

Biblioteka
Warszawska

Mf 12443

Warszawa
1852 r.

t. 1-2


poz. Mf 12443

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1852 t.1-2, og.zb.45-46(m-c I-VI),
sp.rzeczy

Oryg.:ZNiO sygn.117.152

neg. Mf 12443



BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1852.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLV.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

—
1852.

P
117152



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIĘRWSZYM

Z R. 1852.

Materiały historyczne.

	Stron.
F. Kallimacha Geminiańczyka o królu Władysławie czyli o kłesce warneń- skiej. Księgi dwie, Augsburg, r. 1519, w drukarni Zygmunta Grimm doktora i Marka Fürsunga. Przetłumaczył i przypisami objaśnił <i>Mi- chał Głiszczyński</i> . Księga IIga (ciąg dalszy i dokończenie).....	119, 222
Spominki historyczne i artystyczne. IV. Medalierstwo za Zygmunta Augu- sta. — Kielisiński Kajetan Wincenty. Przez <i>E. Rastawieckiego</i>	142
Rękopis Eugeniuszowski kroniki Kadłubka, przez <i>Alexandra Przedzicie- kiego</i> . (Z podobiznami).....	324
List Jana Karola Chodkiewicza do syna Hieronima, z radami o naukach i prowadzeniu się młodzieńca.....	377
Opis zamku krakowskiego, (z rękopisu 1682 r.).....	378
Obraz ścienny w ś. kaplicy w Paryżu z XIIIgo wieku, przez <i>B. Podcza- szyńskiego</i>	378
Poszukiwania do historii rolnictwa krajowego. Oddział IIgi, część Isha... O królowej Elżbiecie żonie Kazimierza Jagiellończyka, i rękopisie pod jej imieniem: O wychowaniu królewskiego dziecka. Przez <i>Alexandra Przedzickiego</i> . (Z podobizną).....	419 524

Biografia.

	Stron.
Jan Stefan Wydźga i jego pamiętnik, spisany podczas wojny szwedzkiej od roku 1655 do 1660, przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i>	205

Prawo.

O znaczeniu exekutorów testamentowych, przez <i>Augusta Heylmana</i>	551
--	-----

Opisy i podróże.

Wycieczka archeologiczna w niektóre strony gubernii radomskiej, odbyta w miesiącu wrześniu r. z. przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> (ciąg dalszy). Z 3 rycinami).....	55, 449
Kommunikacye na Wschodzie. Wyciąg z podróży <i>Tomasza Bartmańskiego</i>	405

Literatura.

Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd p. <i>Juliana Bartoszewicza</i> . (Ciąg dalszy. Oddział systematów: <i>Krajewski</i> i <i>Gołębiowski</i>). 243	243
--	-----

Powieści.

Ustęp z powieści: <i>Hryć Soroka</i> . Obrazek wiejski, przez <i>Józ. Ig. Kraszewskiego</i>	1
<i>Wasilowa chata</i> . Obrazek z obyczajów okolic nadbużnych, przez <i>Leona Kunickiego</i>	177
Wiejskie zarysy. I. <i>Wieś Świątniki</i> , przez <i>Jana Kantego Gregorowicza</i> ...	283
<i>Królikarnia</i> . Z podania ustnego. Przez <i>A. W.</i>	510

Poezya.

Wspomnienie, przez <i>J. I. Kraszewskiego</i>	282
---	-----

Rozbiory.

Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do roku 1830, z rękopismów i druków zebrawszy, w obrazie literatury polskiej historycznie skreślonym, przedstawił <i>W. A. Maciejowski</i> . Tom <i>Iszy</i> . Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	150
Pamiętnik o życiu <i>Łukasza Gołębiowskiego</i> , wydany przez jego syna. Warszawa. 1852. Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i>	171
Mineralogia profesora <i>Jastrzębowski</i> . Przez <i>H. Ł.</i>	174
Uwagi nad rozbiorem krytycznym dzieła pod tytułem: <i>Prawo hipoteczne w Królestwie Polskiem</i> . Przez <i>W. D.</i>	349

	Stron.
Wawrzyna, powieść przez Paulinę z L. Wilkońską. Petersburg. 1851. Przez <i>K. W.</i>	365
Pan Zygmunt w Hiszpanii, powieść prawdziwa, w 4ch tomach, z ostatniej wojny domowej hiszpańskiej, przez autora Wspomnień z podróży po Danii, Norwegii, Anglii i t. d. Warszawa. 1852. Przez <i>J. K.</i>	368
Ocena Mowni języka polskiego, przez F. Żochowskiego. Warszawa. 1852. Przez <i>Adolfa Kudasiewicza</i>	560

Gospodarstwo.

O sztuczném zapładnianiu ikry rybięj w zastosowaniu do chowu pstrągów.	337
--	-----

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Chemia, przez <i>J. B...</i>	380
Historja naturalna: Zoologia, przez <i>A. W.</i>	184, 382, 581
<i>Kronika bibliograficzna</i>	196, 397
Doniesienia literackie.....	197, 398, 611
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiém:	
za miesiąc listopad r. z.....	201
— — grudzień r. z.....	401
— — styczeń r. b.....	613
Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatoryum warszawskiém . w roku 1851 robionych.	



Archeologia.

Stron.

- Opisanie wykopaliska odkrytego dnia 9 kwietnia 1852 r. we wsi Kruchowie pod Trzemesznem, między Gnieznem a Kruszwicą, przez *K. L. Wołickiego*. (Z ryciną)..... 519
- Listy archeologiczne, *Józefa Łepkowskiego*. (Z ryciną)..... 523

Prawo.

- O stosunku hipoteki gubernialnej do okręgowej, przez *Augusta Heylmana*. 131
- O prawnych zasadach rachunku bieżącego, przez *Felixa Zielńskiego*..... 311

Opisy i podróże.

- Wycieczka archeologiczna w niektóre strony gubernii radomskiej, odbyta w miesiącu wrześniu r. z. przez *F. Max. Sobieszczańskiego*. (Z mapą i dwoma drzeworytami. Dokończenie)..... 28
- Podhale i północna pochyłość Tatrów, czyli Tatry polskie, przez *Ludwika Zejsznera*. (Dokończenie). 116
- Wspomnienia z Hiszpanii z r. 1848. Wyjątek z podróży *Tomasza Bartmańskiego*. 287
- Podróż ze Szkocyi do Anglii, przez dra *T. Tripplina*..... 381

Literatura.

- O powieściach arabskich, skreślił *Kazimierz Puchała*..... 69
- O poezyi i poetach ludowych we Francyi, Niemczech i Szkocyi. 157

Powieści.

- Wiejskie zarysy, przez *Jana Kantego Gregorowicza*. III. Powrót. IV. Zabawa w karczynie. V. Skutki. (Ciąg dalszy)..... 205, 441

Poezya.

- Hetman polny. Gawęda staro żołnierska, przez *Władysława Syrokomłę*... 511

Rozbiory.

- Piu kopy kazok*, napysau Spirydjon Ostaszewski, dla wesoloho mira. 8ka. Wilno. 1850. Przez *Wł. W.*..... 141
- Pisma Jakóba Sobieskiego w języku polskim..... 154
- Peremyszanin na rik* 1852. 155
- Starożytnicze wiadomości o Krakowie. Zbiór pism i pamiętników dotyczących się opisowej i dziejowej przeszłości, oraz zwyczajów tej dawnej stolicy kraju; z dodatkiem różnych szczegółów Polaków za-

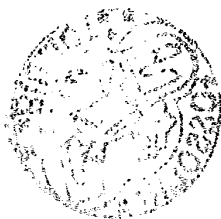
jąc mogących. Z dawnych rękopiśmiennych źródeł zebrał Ambroży Grabowski. Kraków. 1852. Przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	332
Jeografia w obrazach i powieściach moralnych, ozdobiona 8 rycinami. Warszawa. 1852. Przez <i>S. P.</i>	341
Kilka słów o krytyce powieściowej w Warszawie; rzecz napisana z powodu dwóch recenzyj o Panu Zygmuncie w Hiszpanii, powieści Dra T. Tripplina. Przez <i>W. D. z P.</i>	342
Obrazki wiejskie Jana K. Gregorowicza, 4 tomy. Warszawa. 1852. Przez <i>K. Wł. Wojcickiego</i>	542
O czwartém wydaniu Kroniki polskiej Galla w XI tomie Pertza: <i>Monumenta Germaniae historica</i> , przez pp. Szlachtowskiego i Köpke. Przez <i>Alexandra Przewdzieckiego</i>	546
<i>Monumenta regum Poloniae Cracoviensia. Petropoli.</i> 1852. Zeszyt I. Przez <i>Władysława Syrokomłę</i>	551

Nauki przyrodzone.

Wyjątki z Historii nauk przyrodzonych p. Jerzego Kiuwiera (Cuvier), przekładu <i>Gustawa Belkego</i> i <i>Alexandra Kremera</i>	479
Oddane przystugi i przyszłość telegrafów galwanicznych, przez <i>S. Przystańskiego</i>	558
Flora zakaukazka. (Wyjątek z listu p. <i>Heliodora Penczyńskiego</i> profes. w Tyflisie).....	564
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Chemia, przez <i>J. B...ę</i>	164, 352
Historia naturalna: Zoologia, przez <i>A. W.</i>	167, 354, 567

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Józefa Wydzgi</i>	350
<i>Kronika bibliograficzna</i>	182, 366, 579
Doniesienia literackie.....	183, 368, 579
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawkiem:	
za miesiąc luty r. b.	185
— — marzec r. b.	377
— — kwiecień r. b.	581



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

USTĘP Z POWIEŚCI
HRYĆ SOROKA.
OBRAZEK WIEJSKI

PRZEZ

Fóz. Jg. Kraszewskiego.

Amplius invenies in silvis, quam in libris.
S. Bernardus.

Niedaleko Oleska, sławnego urodzeniem Jana Higo, i Podkamienia, niemniej głośnego cudownym obrazem, bliżej jednak granicy, która nas od Galicyi przedziela, leży niewielka wioska zowiąca się *Stare*. W istocie jestto może jedna z najdawniejszych osad w téj okolicy, częstemi najezdami Tatarów zniszczonój: bo i dzieje wojen XVI i XVII wieku wspominają o niej kilka razy, i miejscowe ślady dowodzą, że nie od dziś skupili się tu ludzie do życia, pracy i cierpienia wspólnego. Ma ona wszystkie znamiona odwiecznego siola: otoczona mogiłami w różnych kierunkach rozsypanemi pojedynczo i gromadnie, na których już potężne drzewa porosły; wśród zarośli i błot ma zapadłe, ale jeszcze dobrze widoczne horodyszcze, gdzie i dziś dobywają czasem kamienne siekiery i spisy, a nazwania uroczysk tutejszych wieją wspomnieniami odległej przeszłości. Tak w lasach wyniosłość jedna zowie się *Ładowym gajem*, inna *Lelową kontyną*; dolina nieopodal od wioski nosi miano *Wiecowego dębu*; w gajach téż, które grunta wsi okalają szmerem gesto zarosłych dębów, klonów, lip

i brzeziny, rozrzuconych w części po wzgórzach, w części na równinach, są ślady pieczar ręką ludzką wyłobionych i niezmiernie daleko rozciągających się, są reszty odarnionych jakichś usypów i omszonymi kamieniami wysłane cementarze. Sami mieszkańcy osady różnią się wielce, nawet od najbliższych swoich sąsiadów; tém zwłaszcza, że się u nich zachowały zapomniane gdzieindziej zwyczaje, podania i obrzędy dla nas już niepojęte, a tu ze czcią i troskliwością szczególną z pokolenia w pokolenie przekazywane. W twarzach wieśniaków ze Starego maluje się jakaś powaga smętna, którą przyjęta puścizna przeszłości na lice żywych pokoleń przelewa; jakieś uczucie godności własnej, gdzieindziej przytłumione, tu wybitne: rzekłbyś tajemnicza jakaś wiedza o przebytych losach świetniejszych, o zagasłych w zamierzchłych już dla wszystkich dziejach dniach blasku, o których złota nie podania przelała coś wnukom na pocięgę w niedoli i upadku. Nikt się tu przecie nie pochwali z niczém, owszem skarb swój cenny ukrywa w głębi duszy; ale radość posiadania go tryska z oczu, oblewa czoła pocziwą jakąś dumą spokojną.

Strój tutaj ten sam, co na sąsiednim Wołyniu i Rusi poblizkiej; niczém się wybitném nie różni, krom może użyciem czerwonych obszewek, pasów i ozdób stałej tu i wyłączniej noszonych, a pierwszym krojem, do którego nigdy się nic świeższego, nic nowego wymysłu nie domiesza. Mężczyźni nie kupują po miasteczkach nic gotowego i na tandet sporządzonego; nie przywołują wędrownych krawców, by im szyli misterniejsze świty, nakształt kapot mieszczkańskich: w kilku rodzinach od pradziadów utrzymuje się krawiectwo dziedzicznie, a szycie i wdziewanie nowój siermięgi dopełnia się z pewnemi tajemniczemi obrzędami. Kobiety nawet na dni powszednie nie pozwalają sobie chustek, i kryją głowę pod starodawną namiotką ściśle twarz opasującą, której zarzucenie, długość końców, wzorzyste szycia i najmniejsze ozdoby mają jakieś znaczenie i formę odrębną, niezmienną. Słowem, zachowała się tu więcéj niż wszędzie — część dla przeszłości; znaczą w obyczajach nawet, znac w spełnieniu najcięższych obowiązków, od których nikt się wyłamać nie może; a komu one zastraszone, ten się wynosi i wygania nazawsze, bo inaczej wolen od nich być nie może. Rzadkie są jednak przykłady dobrowolnego wygnania.

Gdzieindziej duch dawnój gminy słowiańskiej zupełnie już zwietrzał i uleciał. Gromada choć się jeszcze mianuje wielkim

człowiekiem wedle znanego przysłowia Rusi, nie poczuwa się do spójni braterskiej i nierozzerwanego związku; tu z zadziwieniem trwa jak za starych wieków, i wszędzie się czuć daje przy każdej pojedynczego człowieka czynności. Znaczenie starców większe jest niż gdzieindziej; uchwała ich nie znajduje oporu u gromady, a wola spełnia się w cichości, ze ślepym posłuszeństwem. Ten, od którego mam następującą powieść, postrzegał także, iż w Starem od niepamiętnych zapewne czasów istniejąca, trwała pogańska jeszcze może jakaś instytucja, w skutek której był zawsze we wsi jeden głową i naczelnikiem gminy. Szanowano go jak urzędnika, niemal jak kapłana; a z kilku o których się domysłano że takimi starszemi byli, choć często z najuboższych pochodzili rodzin, żadnemu nie zbywało na osobistych przymiotach, które ten wybór (jeśli jaki był) zupełnie usprawiedliwić mogły. Urząd to nie był jawny: głowa gminy bowiem niczem się nie odznaczał od braci; spełniał owszem wszystkie obowiązki względem dworu i kraju na równi z innemi, nie okazywano mu widocznie żadnej czci szczególnej, jednakże w każdej ważniejszej sprawie ogół obchodzącej, biegli tajemniczo do niego i nic się bezeń nie stało. Zapytany, nikt się nie przyznał, żeby miał obowiązek jakiś do starszego się odwoływać; widocznym jednak było dla pilniejszego oka, iż gmina czekała jego rozkazów. Kiedy go przypadkiem w chacie nie było, zwlekano różnemi sposobami dopóki nie powrócił, choć nikt nie mówił o tej władzy, którą nad sobą uznawał. Usilniejsi badani mieszkańcy Starego, wypierali się przed obcemi i narad, i zwierzchnika swego. „Ot, zwyczajnie—mówili—poradzimy się czasem siwych, bo to u nich także przecie z wielu lat przebytych coś pozostać musiało; wiedząc oni jak się co poczyna i jak się co kończy, bo przeżyli wiele.“

Cichaczem o zmroku schodzili się starcy do naczelnika, gdy powrócił, i nazajutrz gromada jednozgodnie już wiedziała co począć, a nikt zaś na żart nie sprzeciwiał się postanowieniu ogólnemu.

Szczególnym trafem wieś o której mowa od lat niepamiętnych zostawała w imieniu Stareńskich, którzy widocznie od niej nazwisko swoje wziąć musieli. Gdybyśmy z dawnemi heraldykami naszymi przypuścić mogli, że są charaktery odróżniające całe rody szlacheckie (bo to była wiara kilku wieków u nas, że rodem kurki czubate), Stareńscy doskonaleby to założenie poparli. Z ojca w syna byli to ludzie bardzo do siebie podobni naturą:

spokojni, poczciwi, łagodni, niepragnący wiele, a wszyscy myśliwi namiętnie. Dziwnym losów wypadkiem, w przeciągu lat trzechset żaden Stareński więcéj nie miał nad jednego syna, i z kolei tak syn po ojcu spokojnie wioskę dziedziczył. To także dziwna, że żaden z nich, pomimo że się poświęcali z innemi razem służyć krajowi życiem i mieniem ochotnie, nie stracił ojcowizny, ani jéj nawet nadwerężył, choć się prawda nie téż i dorobić nie mogli. Stare trwało w ich rękach nieodłużone, niepodzielone, w dawnych swoich granicach, zdając się urągać sąsiednim majątnościom, które co lat kilka szły na sprzedaż, kawałkowały się, nie miały panów i przechodziły z rąk do rąk. Stareńscy trochę téż byli dumni, a może ten rodzaj dumy zbawiennie na nich działał, wzbudzając przywiązanie do starego gniazda i wlewając zawczesne przekonanie o potrzebie, o konieczności zachowania spadku całym i nienaruszonym. Nigdy téż żadnemu z nich na myśl nawet nie przyszło, żeby mógł wioskę sprzedać: tak się im zdawało niepodobnem, by ją kto inny posiadał; i gotowi byli do największych ofiar, byle nie ruszać się z siedziby uświęconej poczciwym żywotem pradziadów, usłanej ich kośćmi, polanej krwawym ich potem. Wieki posiadania zadzierzgnęły silnie węzeł serdeczny między rodziną panów, a włościanami. Stareńscy byli łagodni i poczciwi, lud téż ich otaczał poszanowaniem, miłością i uważał za starszą bracią tylko. Od niepamiętnych czasów żaden z wieśniaków woli się ich nie sprzeciwiał; prawda, że i oni nie nigdy nie żądali nad słuszną należność, ograniczoną jeszcze wyrozumiałością względy na stan, położenie i okoliczności. Częste bardzo lata głodu i nieurodzaju na Wołyniu, tu się czuć nie dawały; pan miał sobie za obowiązek ratować wioskę, wioska byle się obejrzała że panu niedostawało, wysyłała zaraz do dworu z ofiarą chętną, serdeczną i tak usilną, że się od niéj nie sposób było wymówić.

Ten stosunek na wzajemném przywiązaniu ugruntowany, dawał się czuć we wszystkiém; robót gospodarskich nikt prawie nie doglądał ze dworu, bo sami starsi gospodarze mieli oko na młodszych i nie pozwalali im się opuszczać; niewiele nawet rozporządzać było potrzeba, bo w gorącej porze co żyło, rośło się do roboty ochoczo, żywo, gromadnie, nie pilnując dni i godzin, byle co rychléj panu zrobić co potrzeba i uspokoić go.

Ciche, jednostajne, spokojne, szczęśliwe powiem prawie wiodło się tu życie; nigdy go nie zasmuciła zbrodnia, występek, niechęć, gniéw i walki, których tak wszędzie po świecie pełno.

Oko wszystkich pilnowało każdego, a każdy też czując na sobie obowiązek przedstawienia ogółu w jak największym blasku, strzegł w sobie cząstki poważanej całości. Bóg dał temu ludowi panów co go i cenić umieli, i sercem przyłgnęli do niego. W ostatnich czasach, gdy się powieść nasza zaczyna, Stare wyglądało na to, czém w istocie było — na dawną a szczęśliwą osadę. Pierwszy rzut oka przekonywał o jój zamożności, o dobrym bycie wszystkich; a widok téj wioski okrytéj zielenią, gajami i sadami, schludnej, zabudowanej porządnie, wzbudzał mimowolnie ciekawość i zajęcie, i wyrwał westchnienie niejednego wędrowca zabłąkanego w ten ustronny kątek.

Wieś leżała po dwóch stronach dość głębokiego parowu, którym toczyła się droga; rozsypana była po wzgórzach, a tak osłonią gęstemi drzewy, że ledwie gdzieniegdzie ujrzalesz róg stodółki, białą ścianę chaty, wysoki żuraw studni, lub żółtą czapkę małej stertki w toku wieśniaka.

Ścieszki malownicze, kręte, na tle zieleńszém migające gliniastymi barwami, wiły się ku górze w różnych kierunkach, gdzie-niegdzie obwarowane poręczami lub wysłane schodkowanemi złomami wapienca. W jednej stronie wsi na pagórku, ciemnych lip koło, na wyżynie, domyślać się kazało dworu; w drugiej błyszczał niewielki kościółek podparty szkarpami napół z cegły, wpół z kamienia wzniesiony, a widocznie bardzo stary. Oslepte dziś strzelnice, wąskie okna, spiczasty dach i wieżyca niebielona, uderzały fizyognomią czasów odległych. Stał on na wzgórzu oberwaném i przeglądał się w zwierciadle dużego stawu, którego nieregularne kształty i kapryśne wygięcia, podobnym czyniły do wielkiej rzeki. Nieopodal zaraz szumiał młyn czarny, osiadły na wyjedzonych od wody palach, o jednym kółku, ale niedźwiadek mrużący ciągle, od wylewów wiosennych do późnej jesieni, mrużący przez zimę całą, którego woda ani podtopić nie mogła, ani mu też jój kiedy zabrakło.

Dwór stał otoczony wałami, i choć nie miał już najmniejszego do zamku podobieństwa, lud go nazywał po staremu: zamczyskiem lub horodkiem, jak przed wieki. Stare lipy rozrosłe po zielonych usypach, wiankiem okalały domostwo niskie, szerokie, z piętrowym dachem i dwoma gankami; obok niego była kuchnia po staroświecku jeszcze sklepiona z olbrzymim przysadzistym kominem, oficyny i skarbczyk: zapewne pozostałość z owego mytycznego zamku, bo i kształt jego i położenie wydawało, że był da-

wniej narożnym bastyonem. Półokrągły z maleńkimi strzelnicami w wyższej swój części, ciemny od dołu i jednemi tylko opatrzoney drzwiami, dzielił się na trzy izby sklepione, z których górna służyła na skład sprzętów, dolna za wnijscie do lochu i na piętro, a ostatnia była poprostu piwnicą. Spiczasty dach gontowy, mocno już podziurawiony, okrywał jeszcze jak mógł silne sklepienie, które niewiele dbało że mu czasem deszcz dokuczał. Na samym wierzchołku chorągiewka herbowna Stareńskich, choć zarzewiała, powiewała jeszcze czasami, gdy silniejszy wiatr ją obudził.

Naprzeciwko samego dworu, w próżni między dwoma końcami wału, był także ślad grubego muru, zapewne starój bramy zamkowej; lecz zamiast mostu zwodzonego na fossie, już usypana grobla wiodła ku górze. Woda, widać dawniej z niedalekiego przyprowadzona stawu, teraz zupełnie była wyschła, i prócz kilku głębszych kałuż deszczem podsycanych, wszędzie zielona murawa uścielała przekop, tu i owdzie gęstemi krzakami łoży porosły. Stary dworzec był, jak wiele innych naszych domów starych, w pół murowany, napół drewniany: krzepki jeszcze i trzymający się prosto, mimo lat, które pamiętał. Były w nim i owe sieni ogromne dla czeladzi przyjezdnej, i komnatki niewielkie dla gospodarzy, i alkowy, i bokówki, i zakomórki różne, i kapliczka nawet do jednego końca od ogrodu przylepiona za któregoś Stareńskiego, co paraliżem tknięty, do kościołka na mszę świętą ani dojsć, ani dojechać nie mógł.

Na wałach z téj strony ku stawowi rozciągał się obszerny ogród na kondygnacye założony, i sad rozrosły bujnie, ale cały z drzew zbyt już postarzałych. Widoków było mało, ale téż w owe czasy myśmy widoków z domu nie potrzebowali; napatrzył się dość świata człowiek wycierając go z szablą w rękę, a gdy do siebie powrócił, to mu milój było w zielonój zaciszy ukrytemu odpocząć. Dziś wcale inaczej: patrzymy daleko w boży świat, patrzymy próżnując z założonemi rękoma w siną dal, jak gdybyśmy chcieli, żeby z niej do nas co przyleciało: i lubimy widoki z okna, bo się po nie dalej nie pokwapim sami: musim je sobie do izby sprowadzić. W jedną tylko stronę między drzewa oko wybiegnąć mogło, a tą widać było: gumna, stodoły, spichlerze i zabudowania gospodarskie. Dziedziczna izba gospodarza, którą zajmowali jeden po drugim Stareńscy, wychodziła właśnie jedyném oknem swoim w ulicę wiodącą na toki.

Takim był dwór, taką wieś była, ale jój jeszcze nie znacie, boście ją widzieli jakby we mgle i zdala rozwieszoną na pagórkach i okrytą drzewami. Cudneż to było sioło! jakie Bóg tylko posiał na Wołyniu i to niewszędzie. Innym brakuje lub wody, lub lasu, lub ziemi dostatku, że się u drugich zapożyczać i kłaniać muszą sąsiadom; tu wszystkiego wbród było, bo i paliwa, i budulca, i wody czystej a zdrowej dla ludzi i chudoby, i urodzajnej, czarnej poczciwej ziemi szmat taki, że jój obrobić nie było podobna; a jakby na świadectwo żyzności rodziły się po miedzach i pod płotami bodiaki w chłopa: rzekłbyś owe kaktusy kolczaste, które oglądałeś może na malowanych krajobrazach Algieru i Sycylii. W sadach grusz i śliw jak w lesie; a i las miał téż owoce swoje, i gdy przyszła Boża wiosna, to od czereśni zakwitłych jakby go mąką posypał; a w czerwcu potem jagód było dla ludzi, dla ptaków, dla robaków nieprzejdzonych. A bór téżto kochany! czego w nim brakło? Jakby go malarz sadził, jakby Bóg nim stracony raj chciał przypomnieć: dęby odwieczne pogarbione i połamane jak dziadowie, brzozy powyginane gdyby dziewczęta w tańcu, i przysadziste poważne wonne lipy i graby z gładką korą a gestym przepysznój zieleni wieńcem, i osiki wysokie a wyprostowane w popielatych sukienkach; miejscami nawet przybłąkna zdaleka, jakby z musu rosła daleko od swych towarzyszek sosna, zimą i latem strojna jak na wesele. Między tą starszyzną leśną, co pokaleczonych czereśni, co krzywych jabłoni i grusz, a dołem ile prześlicznój niepoliczonój drobnoty! Króluje tu głóg, tarnina, orzech, trzmielina, kaliny i jarzęby, a niżej jeszcze kwiecia jak na ołtarzu na Zielną. I jakie tam kwiaty! Nie mają takich pańskie ogrody, pyszniące się zagranicznymi przybyszami; lecz któż bogactwo ich i różnaitość wyliczy! Wszedłszy w gaje już się nie chce wychodzić: taki tu jakiś szmer do serca przemawiający, taki chłód ożywny, taka woń rajska, tak oko lubuje się w obrazie Bożej ręki, nieskończonym różnaitością, choć na wejrzenie jedną szatą okrytym.

Gdzieniedzie zielone pod dębami rozścielają się łąki, wśród których u pni spróchniałych bujają młode odrośla, dopominając się o swoje dawniej ziemię; to znów gąszcz nieprzejrzany, w którego cieniach tajemniczych gubi się ciekawe oko; dalej parów, a na jego ścianach wieńcami zwieszzone chmiele i wonne białe powójki; to góry różnych kształtów piętrzą ci się nad głową i rozstępują nagle pod nogami, odsłaniając poszarpane przez potoki rozpadli-

ny. Idziesz zamysłony, zapatrzony, tęskny a szczęśliwy; a gdy rozsuną się przed tobą drzewa i światło słoneczne buchnie ci w twarz, a żar dzienny obleje twe ciało: to się obejrzysz za lasem jak za domem i potękniesz za nim, a pola wydadzą ci się smutne i nagie.

Lasy są—jak marzenie i poezya ziemi; role czarne—jak rzeczywistość naga i smutna.

Stare było tak piękne, jak rzadko która wieś, i właśnie taki je gaj prawie ze wszech stron otaczał, ponad granicami rozłożywszy się na strazy.

Jak to u nas najczęściej, nie w pośrodku, ale ku jednemu bokowi bliżej granicy swój rozłożona była osada, a wioska łączyła się prawie ogródkami swemi z lasem, co ją opasywał i od sąsiada oddzielał.

W tém spokojném ustroniu, które może na szczęście jego nie przerzynał żaden gościniec większy, żadna droga handlowa wrzawę i żywot miejski niosąca, a z tym żywotem zepsucie: kilka pokoleń wieśniaczych i kilka pokoleń dziedziców przemarzyło i przepracowało długie lata w niezamąconém szczęściu i pokoju, na jednym cmentarzu kładnąc się na wiekuisty spoczynek, przykryci jednemi kamieniami, na których siadali za życia obok siebie. I darń równie zielona i bujna wieńczyła mogiły panów i wieśniaków, rzędem sypane przy sobie.

Dom państwa Stareńskich miał naówczas głową swą pana Joachima, już nie piérwszej młodości człowieka, który przeciwko zwyczajowi swych przodków jakoś leniwo brał się do ożenienia. Prapradziad, pradiad, dziad, i ojciec, wszyscy w dwudziestym szóstym roku życia poczuli wolą Bożą i postarali się o poczciwe połowice; panu Joachimowi jakoś od dnia do dnia było trudniej o postanowienie.

Wziął on w spadku po ojcu zamiłowanie myślistwa nadzwyczajne, do którego że od dziecka się wdrażał, tak wreszcie opętał go ten nałóg, że o niczém inném nie myślał, do niczego innego już czasu nie miał, tylko do polowania. Odumarli go młodym bardzo rodzice, kiedy ze szkół zaledwie wychodził; zostawiony sam sobie, bo opiekun poczciwy człowiek, ale pospolity, o nic się nie troszczył, tylko ażeby jego pupil majątku nie stracił: oddał się pan Joachim namiętnie łowom, do których wszelki przybór, zapasy i ułatwienia znalazł w domu. Gniazdo gończych, chartów i wyźłów najslawniejsze było w Starem i najtroskliwiej utrzymy-

wane od niepamiętnych czasów; konie miał w stadzie prześliczne i wyborne, strzelb nie brakło na ścianie, a ludzie dworscy zachęcali do łowów, bo sami lubili je nałogowo, przywykły do nich za starego pana.

Tak pan Joachim przepolował dobrych lat kilka, ledwie się rzadko za dom ruszając i to chyba z musu; a gdy mu przyszło tydzień jaki przebyć nie słysząc gonu swych piesków i nie odetchnąwszy wolnym lasów i łąk powietrzem, to żółkt, nudził się, chorował i ziewał, a tak potem spieszył do Starego, że nieraz konie poochwacał. Nazajutrz rano odzywała się trąbka w ostępie, i cały już Boży dzień zszedł ze strzelbą na ramieniu. Tém życiem strzeleckim wyrobił on w sobie siły i zdrowie, ale ogorzał i zdziczał; już go codziennie więcej towarzystwo sąsiadów mieszało, a choć gości u siebie rad przyjmował, nieraz ziewnął w rękaw nim się ich pozbył, jeśli z niemi polować nie mógł. Sama postawa pana Joachima okazywała wieśniaka do zbytku zadomowionego: nie dbał bowiem o strój wcale, i niebrzydką twarz opalił na cygańską, a że mu włosy nieraz zawadziły w lesie, strzygł je kruciućko; żadnego wykwiutu około siebie potrzeby nie czuł, w sposobie życia i w ubiorze najprostszym się obchodząc, wyglądał całkiem na leśnika. Ale pod tą niepozorną, szorstką powierzchownością, biło serce poczciwe, litościwe, gorące, w którym głębokie uczucie dojrzewało nie wylewając się na zewnątrz, i małowymny a skromny, nie był tak ograniczonym, jak się wydawał. Obcowanie z prostym ludem upoetyzowało wyobraźnię jego, napełniło głowę mnóstwem tradycyjnych wiadomości, zdrowemi zasadami światła kmiecego zasiało rolę żywną jego umysłu, pracującego w ciszy i skupieniu wewnętrznym. Tak doszedł sobie lat trzydziestu, i ani mu się zamarzyło o ożenieniu; gdy jednego poranka jesieni, ujrzał w ganku zebraną gromadę swojej wioski, której kilku siwowłosych gospodarzy przewodniczyło. Zdziwiony ich przybyciem, pospieszył ku nim z niejakim niepokojem nawet, bo szukał po głowie, coby im braknąć mogło, czego by chcieli, wyrzucając już sobie, że się tego sam wprzód nie domyślił. Gromada stała w ganku (niebardzo licznie jakoś zebrana), niemniej zakłopotana od pana Joachima; wszyscy spoglądali po sobie jakby radząc się, jeden popychał drugiego łokciem naprzód, skrobali się po głowach: widać było, że to z czém przyszli niełatwo im szło wypowiedzieć.

— A! cóżto mi powiecie? co chcecie? moi kochani!— spytał żywo dziedziec przybliżając się do kupki wieśniaków.

Milczeniem i ukłonem odpowiedzieli mu tylko.

— No, mówcie proszę, bo mi tęskno i tak na sercu, że ot czegoś sam się wprzódki dla was nie domyśliłem, aż mnie prosić musicie.

Znowu pokłonili się starsi, zdawali się zachęcać wzajemnie by przemówił który, ale zamilkli; pan Joachim wielkimi na nich patrząc oczyma:

— Ale cóż u Boga tak straszego, że mi i mówić nie śmięcie—rzekł coraz bardziej niespokojny—może krzywda jaka? zmiłujcie się, śmiało, otwarcie mi mówcie.

— A! chowaj Boże!—ozwał się jeden z ludzi, i urwał. Znowu milczenie, szepty tylko, i nikt nie śmié wystąpić.

Stał na przodzie sędziwy Iwan Hołowaty, do niego więc przystąpił pan Joachim.

— Mój Iwanie—rzekł—bądźże śmielszy od innych; wiecie, że ze mną wszystko mówić i co chcecie zrobić możecie; do czegoż ta nieśmiałość. Mówcie, proszę was.

— Mówciebo ty Iwanie—dodał sąsiad.

— A czemużto wy nie chcecie—odparł stary.

Poskrobali się w głowę, czapki dusili w rękach, ani się słowa z nich dopytać. Nareszcie Fedko Gruzda wymowniejszy i śmielszy od innych, widząc, że te ceregiele niecierpliwiają pana, wysunął się przed drugich, i tak rzecz zagaił kłaniając mu się do kolan:

— Kochany panie, nie uważajcie.... my tu nie przyszli z żadną skargą ani z żalem; chwalić Boga mamy zadość wszystkiego, a za ciebie, jak za rodziców twoich, żadnej krzywdy. Ot przyszliśmy tak, jakby to powiedzieć, (tu się zaciął mówca) do serca pańskiego—dodał po chwili.

— A czegożto żądacie moi mili, od tego serca?—zapytał zdziwiony pan Joachim.

— Kiedy nie nad nami, to nad naszymi dziećmi niechajby się ulitowało.

— Fedku, ja ciebie nie rozumiem.

— Możem źle powiedział, ale pozwólcie, to się jakoś powoli roztłumaczę. Dobrze nam było z twojemi dziadami i rodzicami, paneńku, niech Bóg duszom ich świeci, dobrze nam z tobą; a mamyż my albo dzieci nasze, pójść na poniewierkę w obce ręce jak drudzy....

— A jakżeby to być mogło!—ofuknął się pan Joachim.

— Jednakże to być musi, kiedy się nad nami nie ulitujecie— rzekł Fedko powoli, coraz śmielój. Czasby wam, powiedziawszy prawdę, ożenić się; oto z czém my przyszlśmy paneńku.

Pan Joachim się uśmiechnął, słodko spojrzął po gromadzie, która mu potakiwała jeśli nie słowy, to twarzami i oczyma, i tak dalej ciągnął:

— Tak, tak, z témto my przyszlśmy, niemało razy myślelim o tém i szeptali między sobą, ale do pana przystąpić, a jeszcze z taką prośbą, nie rażno; a tu i czas upływa, i roczki idą jedne po drugich, a panisko nasze o tém nie duma: potrzeba było nam tę piosnkę zaśpiewać nareszcie. Jak się tak postarzejecie, to się wam późniój już żenić nie zechce: a któż nam będzie panował? My chcemy wyhodować sobie nowego pana, jakeśmy ciebie wyhodowali: to nic nie pomoże.

Pan Joachim dziwnie jakoś, choć dobrze to przyjął od swoich ludzi: uczuł, że mu przypomniano obowiązek; pomyślał, że mu to serce pierwsze powinno było oznajmić, a to dotąd nie zadrżało dla nikogo. Zafrasował się nieco i łagodnie tylko na pokrycie swego kłopotu się uśmiechał.

— Zapewne, zapewne— rzekł po chwilce— macie słusność, jużbyto i czas mnie było.

— A jakże nie? świętej pamięci dziad wasz i ojciec pożenili się zarania, a nie żalowali tego — dorzucił Fedko— i wamby się już nie opóźniać: dohodujecie się pociechy z dzietek, ot i we dworze będzie nam weselój, i taki nas zostawicie w poczciwe ręce.

— Dziękuję wam, dziękuję— odrzekł pan Joachim— dobra rada, nie ma co mówić, alem ja jeszcze nic nie napatrzył.

— Boście i nie patrzyli, paneńku— odparł z ukłonem i uśmiechem poufałym Fedko— jeno tylko zechciejcie poszukać, a znajdziecie.

— Ale — uśmiechając się rzekł pan Joachim— o ile ja wiem, to tu nawet w okolicy nikogo nie widać.

— O! jakto kochany panie, znajdzie się! znajdzie! Daleko po żonę jeździć niewarto — sentencyonalnie odezwał się Gruzda— ale i poblizu nie bez tego, żeby nie było.

— Ja nikogo nie znam.

Gospodarze mrugnęli po sobie: widać już się byli i o tém naradzali, a Fedko ośmielony, znowu przystąpił z ukłonem:

— A panienska z Sasowa!— rzekł wpatrując się w oczy swemu paniczowi, bo tak go wszyscy dotąd nazywali.

— Ja jój nie znam, nie wiem czym ją widział nawet.

— Śliczna panienka—podchwycił szybko Fedko—nie ma co mówić: hoża, zdrowa, wesola, i gospodyni jak matka; a takito domowój, wiejskiej hodowli, proszę pana, nie z miasta, a ród poczciwy, pracowity.

— Gwałtembo mnie swatacie widzę!—zaśmiał się pan Joachim zafrasowany.

— Chowaj Boże, chowaj Boże, gwałtu! z dobrą radą, z dobrém sercem przyszedliśmy: ot i po wszystkiém.

— Ja téż radę przyjmuję do serca także i dziękuję wam za nią od niego—odezwał się pan—ale to trzeba pomyśleć, oporządzić się, a chcąc co zrobić, to i grosza nagotować wcześniej: lata były nieosobliwsze.

— Albo to my tego nie wiemy—odparło żywo kilku gospodarzy razem—myśmy to sami myśleli sobie, ale na to jest rada. Żebyś tylko panisko chciał posłuchać nas, a nie wzgardził dobrém sercem.

— Wierzcie mi, że wam jestem najwdzięczniejszy za przywiązanie wasze.

— No to i ofiarę przyjmcie—odezwał się ochoczo i wesolo Fedko, poza siebie sięgając, i w obu rękach podniósł wielką czapkę barankową, pełną różnej monety, którą z pokłonem przed panem położył.

Pan Joachim cofnął się krok i łzy mu w oczach stanęły z rozczulenia, z uczucia; ale w twarzy jego widać było, że mu ten dar był ciężki. Poznał to Fedko i nie dając słowa przemówić, sam począł:

— Ot tak, paneczku: gromada postanowiła, przyniosła i musicie to od niej przyjąć; my chwała Bogu, a dzięki wam, mamy się dobrze, złożyliśmy co tam gdzie pleśnić miało, a wreszcie wiemy, że u ciebie jakby komu zabrakło, to znajdzie się jak w kieszeni. Więc nie sromajcie się przyjąć małego datku z dobrego serca od swojej gromady i żeńcie się, a my za to na waszém weselisku wypijemy!

Długoby o tém pisać było, jak się pan Joachim wzdragał, jak na niego gromada nalegała, jak go całowali po rękach, póki rozplakawszy się rzewnie, nie przyjął nareszcie tego daru, z wyraźnym zastrzeżeniem, że w jego ręku zostanie tylko jako depozyt i własność wioski. Wymogli téż na nim słowo włościanie, że im przyrzekł o ożenieniu pomyśleć.

Ale zaprawdę wielkito frasunek przybył podżytemu już myśliwcowi; w domu tak mu jakoś było dobrze, że choć wieczory

zimowe u komina długie się nieraz wydały, swoboda dnia płaciła za nie. A potem, nie miałże poczciwego Jana, nieodstępного towarzysza w kniei i w izbie, na ochoczą gawędę i usługi? Jan był godnym synem poczciwego tego ludu, sierotą ze wsi Starego do dworu wziętym z dzieciństwa, niegdyś dojeżdżaczem u ojca jeszcze pana Joachima, dziś pierwszym sługą, szafarzem, klucznikiem, rządcą, ekonomem, przyjacielem i doradcą. Ale bo też na Jana spuścić się było można; miał on swoje wady, to prawda, a najpierwszą z nich podobno, że od kieliszka nie stronił i cokolwiek podchmielony potrzebował już ciągle mówić; za to poczciwe serce, gotowość do poświęceń, niewyczerpanym w nim były skarbem. Oszczędnością ani ze swego, ani z pańskiego nie zgrzeszył: tłukł wiele, psuł ogromnie, bo mimo siwego włosa był roztrzepany i gorączka jak młokos; ale ze szkody, zrobiwszy ją w prostocie ducha, pierwszy się uśmiechał, nie pozwalając się połajać nawet: tak to jakoś brał lekko. Wszystkie jego grzechy powszednie pochodziły z dobrego serca i nadzwyczajnej żywości, a pan Joachim tak był do niego przywykł, że go zdaje się za wady jego więcej jeszcze kochał, niż za cnoty.

Po odejściu gromady, gdy gospodarz zamyślony wszedł do swojej izdebki, na której kominie palił się suty ogień trzaskający, Jan naturalnie zaraz się za nim wsunął i stanął u drzwi, bo częstując panów braci, trochę się już podchmielił: potrzebował gawędzić, twarz jego połyskiwała rumieńcem, a oczy błyszczące jak węgle latały nieustannie szukając i przedmiotu do rozmowy, i powodu do usługi. Nigdy tak usłużnym i tak tłukącym, rozlewającym, wywracającym nie był, jak w chwilach podobnych ożywienia. Ale pan Joachim siedział na krześle ze spuszczoną głową, zamyślony, i nie zdawał się wcale skłonny do gawędki. Jan spróbował naprzód odchrząknąć, potem stał stół i wyrócił tylko jedno krzesło mimochodem; ale pan przywykły do podobnych burz, ani się ku niemu odwrócił nawet. To już było nie do wytrzymania: sługa ruszył ramionami i uczuł, że potrzeba będzie samemu pierwsze przebić lody: począł więc zcicha bardzo, niby sam do siebie, nieznacznie jednak coraz głos podnosząc:

— Hm! hm! tak! tak! oho! patrzcie jacy mi rozumni, nie w ciemę ich bito! Ho! ho! w swaty! słyszałeś! rozpatrzyli już nawet sami żonkę dla pana! Tak mospanie, tak! Pilno im, pilno! Alboż to już panu koniecznie tak się prędko żenić; cóż to, czy pora minęła, czy co? Zapewne, wprowadzić sobie biedę do domu,

coby wszystko musiało być raz wraz w porządku i na swoim miejscu. Zapewne, jeszcze tego brakuje!

Pan Joachim się uśmiechnął.

— A prawda po części, mój stary: czyto my nie znamy?

— Tak, tak, czyto my nie znamy—podchwycił żywiej coraż sługa, głośno już, bo mu okrutnie język swierzbiał.— Czyto my nie znamy, nie wiemy jak to bywa. Ho! ho! pani w dom, to choć wszystkim z domu. Alboż to już tak bardzo czas: toć ja panicza na rękę nosiłem, a ja se jeszcze myślę, że podstarzawszy, to się będę mógł ożenić; a gdzież? panicz odemnie młodszy.

— Już to tobie Janie—odparł rozweselony myśliwiec—poczekawszy, może być zapóźno.

— A! z przeproszeniem panicza—urazony zawołał Jan—tegom to się ja nie spodziewałem; panicz mnie przecie widzi co dzień w kniei i w domu, jako tłukę zwierzynę...

— I talerze.

— No, to i talerze, ale zawsze taki i siła, i ochota, i krew jest; jak się już zdurzę, a trzeba może będzie pielegnować, no to się i ożenię. Gdzież jeszcze paniczkowi do mnie!

— Ba! ba! a czwarty krzyżyk poczęty!

— No, to cóż, choćby i czwarty? wielka mi rzecz! Ja siódmy pocichu zacząłem i nikomu nic nie mówię; czyto się zaraz chwalić. Ja jak się ogole, mam czterdzieści kilka, a panicz w niedzielę na dwadzieścia pięć wygląda.

Joachim rozśmiał się serdecznie.

— Wybornyś mój Janie, ale prawdę a Bogiem, ja czuję, że oni mają słusność—z licha dorzucił—tylko mi się djable nie chce.

— A na cóż to robić, czego się nie chce?—podchwycił sługa zrzucając nóż leżący na kominie i chwytając go w powietrzu całą dłonią, tak, że się skaleczył do krwi—gromada o sobie myśli, a my o sobie: mogą poczekać.

— Oni mają słusność—z westchnieniem powtórzył Joachim—trzeba taki spróbować i do Sasowa pojechać.

Jan tylko głową pokiwał, załamał ręce i stanął jak wryty; nie takiego spodziewał się on wniosku.

— Ha! zresztą—rzekł desperacko—wola pańska: co to do mnie należy? Ale zobaczy pan co z tego będzie; już taką rzeczą, wypadnie z polowaniem się pożegnać.

— Albożto co.... — chciał spytać żywo pan Joachim, ale ten mu przerwał z gwałtownością gaduły:

— Tak! tak! z polowaniem się pożegnać; żona nie da Jego-
mości po naszymu hulać z kniei do kniei, z lasu na łąkę, z łąki na
pole, z chartami, z gończemi, z wyżelkiem: trzeba będzie i koło
swojej przepióreczki posiedzieć. A przyjdą zaraz dzieci, przyjdzie
za nimi oszczędność djabła warta: ja to wiem! Wkrótce dla psów
osypki zabraknie, charty poczną się nadto do hladyszek umizgać
i kurczęta ścisnąć, gończe będą wyły po nocach, wyły w sieni
robić nieporządki, i skończy się na tém, że nasza dziatwa zmarnie-
je, a my podurniejem:—ot i po wszystkiém.

Pan Joachim znowu się tylko rozśmiał.

— Śmieję się pan, śmieję— coraz rozgrzewając się bardziej
wołał Jan—ale to nie śmiechem pachnie, jak Bóg żywy: wszystko
tak będzie jak ja panu mówię; obejrzy się pan zapóźno, po hara-
pie, klamka zapadła, i trąb w kulak nieboże.

— Ale dałbyś pokój Janie, czyżto i żonaci nie polują?

— Co to za polowanie, proszę pana! polowanie, na które
trzeba pozwolenia u Jejmości prosić. Już pan o świcie nie wy-
jedzie, żeby pani nie obudzić, trąbka nie zagra koło dworu, boby
przestraszyła, i wykradać się będziemy musieli jak złodzieje; a po-
wróciwszy gdy się zziębnie, zmoknie, jeszcze i burę złapiemy na
odegrzanie.

Jan tak się już rozgadał, że chodząc wywracał wszystko,
i potoku słów jego niczem utamować nie było można; sądził na-
wet, że przekonał, bo pan Joachim zamilkł; ale w kilka dni potém,
oporzadziwszy się jako-tako, niespodzianie ruszył do Sasowa, co
Jana do desperacji doprowadziło.

W Sasowie mieszkali państwo Drohobyscy, oboje dobrze
starzy już ludzie, mający młodziuchną córkę i syna tylko. Byli
oni niegdyś majątni, teraz podupadli, dorabiali się powszedniego
chleba starości w pocie czoła. Sam pan Stanisław zawołany go-
spodarz stariej daty, wedle prognostyków kalendarza i notat dzia-
dowskich prowadzący rolnictwo, niczem się prócz niego nie zaj-
mował; sama, równie zabiegła gospodyni, pomagała mu usilnie;
dzieci ich wdrożone do tego życiem rodziców, razem z niemi cho-
dziły od młodu około ucziwego dorobku, a dom był co się na-
zywa gospodarski. Nie było tam krzywdy ludzkiej, ale niedziela
jedna ledwie na spoczynek zostawała; tak się nieustannie krząta-
no. W niedzielę jechano na mszę świętą i w sąsiedztwo, przyj-

mowano kogo Bóg dał, i bawiono się zaharowanym spoczynkiem; w inne dni nikt ich nie zobaczył. Stary, już siwy, ale krzepki i zawiedły mężczyzna, atletycznej postawy, cały dzionek był na szkapie; syn w drugiej stronie. Matka w białym czépcu i cyco-wym przyodziewku pilnowała dziewcząt swoich; córka wyręczała ją w pracy. Wśród takiego życia nie było czasu na złe myśli nawet, a przytém bogobojne staroświeckie wychowanie zaród ich nawet zniszczyło. Jegomość był prosty człowiek, ale serca wielkiego; nieuczony, przecież obowiązki swe znał dobrze: prawa liźnął w praktyce, łaciny zaczerpnął w szkole w Przemyśle, polityki wyuczyły go rodzinne podania, a gospodarki praca własna. Nie byłto statysta ani gębacz, ale też między ludźmi miał się z czém odezwać; choć i niewiele mówił, było czego posłuchać. Jójmość długim nierozzerwaném życiem za swoim poczciwym Stasiem, zupełnie się na jego sposób wykształciła; byłto rzecz można nie dwa odrębne indywidua, ale jeden na dwoje rozdzielony człowiek. Rozumieli się skinieniem, jedną mieli wolą, jedne myśli, jedne upodobania i charaktery. Ta zgodność ich w inném rodzaju życia próżniaczego mogłaby była sprowadzić za sobą znużenie i obrzydzić ich wzajemnie; ale w pracowitym zawodzie Drohobyskich ściślej tylko łączyła.

Wesołość niczém niezamącona, spokój niezrównany i słodycz, odróżniały nieco panią Kunegundę od surowszego, często smutnego i łatwo niepokojącego się męża, który zbyt czując i biorąc do serca każdy kłopot gospodarski, chmurzył się, łajał i gniewał. Naówczas Kunusia wzięwszy się w boki, przychodziła do niego raźnie z perswazyą tak zręczną, a nie natarczywą, że zawsze potrafiła go powoli potakując mu z początku, mitygując potem, rozweselić i udobruchać.

Takich rodziców dzieci musiały wyrosnąć na ich podobieństwo; syn, Paweł, trochę się w szkołach poduczywszy, rychło z nich ojcu pomagać powrócił, i kula w kulę wyrabiał się na Jegomości; córka, która nigdzie nie powstała tylko w domu, była od młodzonym obrazem wesołej, poczciwej i pracowitej Kunusi. Ojciec, który ją też tém silniej kochał, spoglądał na nią czasami i mówił: „Wasanny wyglądacie przy sobie jak rodzone siostry!“

Ale stary pochlebiał, bo jego Kunusia choć rzeźwa i rumiana, dobrze już była podtuptana; i kiedy go posłyszała mówiącego tak w wesołej chwili, zawsze mu śmiejąc się odpowiadała:

— Ale! ale! podobneśmy: podobne jak świeża gruszka do suszonej.

I mówiąc to całowała Maryą w czoło. Marya była ulubienicą i pieśczętą wszystkich; rzadkobo kogo Bóg tak jak ją obdarza. Miała tę piękność Polki, której na świecie nie wyrówna żadna: piękność pełną wyrazu, poważną i wesołą razem, w której się rozum z uczuciem do równowagi układa; miała wdzięk niezrównany wejrzenia, ruchu, uśmiechu, głosu i słowa, podnoszący do ideału; miała serce złote i jasne pojęcie o świecie, wyczerpnięte z poznania obowiązków chrześcijańskich. Ani nadto surowa, ani nazbyt płocha; łączyła dostojność niewiasty z urokiem dziewczęcia; a znać było, że z swobodnego swego kąta młodości już poglądała na życie, któremu była przeznaczoną. Modlitwa, praca, trochę niewinnych marzeń, trochę dziecięcej prostotą zabawy, składały się na dni jej terazniejsze; i nie tęskniła za zmianą losu, bo wszędzie widziała obowiązki przedewszystkiém, które mogą się stać rozkoszą dla poczciwych, ale nigdy gorącej nie obudzają żądz, zwłaszcza w młodem sercu potryskującym swobody, by się rozrosnąć i ukrzepić dla przyszłości.

Dom w Sasowie był sobie szlachecki; nie zatruł go pański zbytek i wymysły nowych potrzeb życia, gdy w istocie życie tak małym się obejść może! Nic tu nie było dla oka, krom kilku starych pamiątek; nie dla pieśczęoty ciała, co wypieszczone nie nowych władz do szczęścia, ale nowych tylko środków dręczenia się nabywa; nie dla pokazu przed ludźmi i pochwalenia się im fałszywym dostatkim. A byłato wszakże zamożność w pocie czoła zdobyta, owoc życia całego. Sasów z długów się oczyszczał dla syna i siostry, posażek zbierał dla córki. Już i rodzice wieczorami posiadawszy na kuferkach szeptali nieraz spoglądając na Maryą, że czasby ją wydać za mąż; ale się nikt jeszcze do ich serca nie trafiał, nikt do serca Maryi, swobodnej, wesołej i nie pragnącej więcej nad to, co miała. Mało też kto bywał u państwa Drohobyskich; sąsiedztwo nie było liczne, i wszyscy wiedzieli, że się w Sasowie szumno zabawić nie można. Na maryasza wieczorem przyjeżdżał czasem proboszcz, czasem zakonnik z Podkamienia; na imieniny przywlekło się kilku starych przyjaciół, a na święta większe i ktoś z dalszych krewnych: ale odwiedziny były krótkie i nic ich nie odróżniało od dni powszednich, tylko większy trochę zakręt w domu, dla którego były niezwykłością.

Z panem Joachimem i rodzicami jego znał się jeszcze pan Drohobyski oddawna, ale nie widywali się téż często, bo lata upływały, a ledwie się czasem spotkali w miasteczku lub uścisnęli we drzwiach kościołka. Zdziwił się niepomalu szlachcie, gdy jednéj niedzieli, w nowiuteńkiém ubraniu jak z igły, czwórka dzielnych domorosłych szpaków zajechał pan Joachim. Gospodarz w piérszój chwili trochę zdumiony, prędko się rozruszał i najgościnniej przyjął sąsiada. Wyszła zaraz i wesola Jejmość z mnóstwem dykteryjek, któremi zwykła była ożywiać rozmowę, pan Paweł i Marya. Nadjechał jakoś wkrótce i proboszcz, a rozmowa bardzo się ożywiła przy kawie poobiedniej. Nie uszło to oka matki, że pan Joachim coraz to na Maryą spoglądał z intencją; ośmielił się nawet, nie zważając na jéj nadzwyczajny rumieniec, przemówić do niéj słów kilka.

Odwiedziny poszły składnie i dobrze: wszyscy się rozstali radzi z siebie i z myślą spokojną. O zmierzchu pożegnał gość chętnych swych gospodarzy, wymawiających mu długie zapomnienie i proszących go, by ich częściej odwiedzał; a po odejściu syna i córki, pan Stanisław z żoną szepnęli do siebie:

— To niedarmo!

— Jakbyś mnie Jójmość z ust wyjęła; i mnie się to zdaje, że nie bez myśli. Jak uważasz, czy mu się téż Marya podobała?

— Raz wraz na nią spoglądał.

— Tak! tak! i podobno nie bez projektu!

— A cóż, jakby się to Jegomości wydawało?

— Ba! czemuż nie! nicbym doprawdy przeciwko temu nie miał: uczciwych rodziców, ludzie rządni, Stare, wieś co się zowie, ryby, grzyby i chléb jest, długów nie mają, siostr, braci ani krewnych żadnych, substancya piękna, on człowiek stateczny; tylko do licha słyszę zagorzały myśliwy.

— O! o! alboż to co tak bardzo złego?

— Ale to widzisz asińdzka i to passya — odrzekł pan Stanisław gładząc wąsa — a passya każda prowadzi daleko daléj, niżeli przewidziéć można: jak koń unoszący, któren czy w wodę, czy w przepaść, czy na ścianę zanieśie, nikt nie odgadnie. Widzi mi się, że kiedyś słyszał o takich u nas, eo za sforę ogarów gotowi byli dać wioskę. Żonie z takim niewygodnie.

— Ale czyżby się to powoli przez przywiązanie do żony nie mogło odmienić? — spytała pani Stanisławowa. — Sam jeden, cóż ma robić? żona nie dałaby mu tak raz wraz po lasach się włóczyć.

— Oj! moja Kunusiu, ciężkieszbo to zadanie żonie męża przerabiać: lepiej dostać gotowego.

Rozśmiała się żona wedle swego zwyczaju, ale odparła zaraz, nie pozwalając, by w umyśle męża gnieździło się uprzedzenie przeciwko panu Joachimowi:

— Będzie to jakoś przy pomocy Boskiej.... Ale dajmy pokój przed czasem głowę łamać.

— I to racya — odezwał się pan Stanisław — poczekajmy z turbacją żeby było czego.

Tymczasem pan Joachim jechał do domu niesiony czwórką szpaków swoich, które woźnica po staniu przed gankiem w Sasowie teraz z całych sił trzymać musiał, tak mu się rwały; jechał i nie widział nic co się wkoło niego działo, bo się zaraz w ulicy od dworu wiodącej tak zadumał, jak mu się przedtém nigdy nie trafiało. Marzył on całą drogę, aż do ganku w Starem, a podróż mignęła mu tak szybko, że się niepomału zadziwił ujrawszy światło i usłyszawszy głos Jana nad uchem. Ocknął się niemal przerażony, spojrzął na konie, i nic nie rzekłszy do ludzi, co było przeciwko zwyczajowi, nie pogłaskawszy nawet Pokaza, wyżyła swego, wszedł zadumany jeszcze do swojej sypialni.

Jan, który zapobiedz nie potrafił tym odwiedzinom, choć się ich lękał, rad był zbadać, jakie wrażenie zrobiły na panu; postrzegł zadumanie niezwykłe, nie podobało mu się milczenie uparte: postanowił koniecznie panicza rozruszać i do wynurzenia się skłonić. Że wieczór był chłodny, pobiegł naprzód po wódkę; uderzył się kilka razy o drzwi na których klamki nie trafiał, zawadził o cztery piece stojące na drodze, kułakując je za to, skrzył dwa zamki z wielkiego pośpiechu i wyklął je jak był przywykł wyklinać psy i konie, to jest: żeby was wilcy pojady! Nareszcie dostał się do apteczki, stłukł jeden butel, a z drugim powrócił.

Myślał, że otwierając flaszkę, otworzy rozmowę; ale pan Joachim odezwał się tylko: — postaw — i wyciągnął się na łóżku.

Jan dorzucił drzew na kominek, poustawiał nieszczęśliwe krzesła, którym gości gruchotał, startł stoły wszystkie, wymiółł śmieci po drewnkach, raz wraz oglądając się na panicza; a widząc że ten milczy uparcie, spytał sam naostatek:

— Czy tylko panicz nie chory?

— Nie mój Janie, nic mi nie jest!

— Ale cośbo pan nie swój?

— Owszem, tyłkom się trochę zmęczył; bryczki nie lubię, wolę konia.

Ani się nic dopytać! Jana rozpacz i niecierpliwość, o które mu było nietrudno, porywały; wypadło mu wyjść, szukał powodu do zostania i wściekle porządkował znowu co tylko mu się nadało, wywracając, łamiąc i sztukując zaraz najnaiwniej z poruszeniem ramion, które zdawało się winę przypisywać sprzętom, nie obejściu się z niemi. Jan w takich razach nigdy nie był winien; zawsze piec, drzwi, krzesło, stół jedynie pokutowały, bo je łajał jeszcze.

Pan Joachim nie zważając na ten łomot, poglądał w komin i milczał. Przetrwawszy tak długą chwilę, sługa nie myślał więcej czekać i szturmem postanowił zdobyć potrzebną wiadomość.

— A cóż—rzekł—pan znalazł Drohobyskich w Sasowie?

— Znalazłem ich.

— Gdyby téż wolno było spytać?....

— O co?

— A juściz—uśmiechnął się Jan figlarnie, oczki żywe mrużąc i trąc z niecierpliwości czuprynę zawsze najeżoną—juściz, jak się tam spodobało?

— Bardzo!—rzekł lakonicznie Joachim i uciał.

Jan tupnął nogą i palce sobie zagryzł.

— A panna, proszę pana?

— Piękna panna.

— Ta! piękna! piękna! Każda z nich piękna, póki za mąż nie pójdzie, ale to gaśnie przedziuteńko.

Pan Joachim rozśmiał się, a Jan nabrał zaraz większej śmiałości, widząc, że jego opozycya uśmiech tylko wywołała, i począł głośniej a żywiej:

— Niechże mnie téż pan z łaski swój powie, swojemu staremu słudze: to już taki będziemy mieli sobie panią, czy co?

— Alboż ja wiem! czyż mogę przewidzieć, czy ja się jój podobam, czy oni mnie zechcą!—Jan podniósł głowę, pokiwał nią, uderzył się po bokach i zawołał:

— Ale! ale! nie chcieliby! Podoba im się i panicz, podoba im się i Stare! zapewne, zapewne! O! co z téj strony można być spokojnym: oddadzą ten klejnot z pocałowaniem rączek, to jasne jak słońce, byleś pan mrugnął tylko. Ale posłuchajno pan starego swego Jana. Ej! dobrze się rozpatrz i namyśl, bo to dalibóg na całe

życie... to nie bagatel, nie zabawka: niech się panicz pomiarkuje. Do domu sobie kłopotu naprowadzić bardzo łatwo; — pozbyć go się potem nie można. Co ja, to Drohobyskich nie lubię: skąpe to, gołe być musi, i żaden z nich nie poluje; podobno pan Paweł, ale to tylko z chartami, i charty gałgany, gnój wozić za naszymi! Z jednym Dolotem wszystkiebym w komysz zapędził.

Prawił Jan długo, od chartów do panny, i od panny do myślistwa przeskakując; macał swego panicza z różnych stron i wyszedł ze spuszczoną głową wódkę odnosząc, tak tęskny, że w przedpokoju dwa razy się jój na pokrzepienie musiał napić. Serce jego przeczuwało, że to, czego się najbardziej lękał, spełnić się musi.

Jakoż w kilka miesięcy potem, stały beczki smolne wzdłuż drogi i stawu od lasu do dworu poustawiane z obu stron; dwór w Starem był rześisto oświecony cały, a we wrotach wioski gromada oczekiwała przybycia państwa-młodych. Zdała już słyhać było wesoly, rażny tętent koni, które wiozły nowożeńców, i dzwonki uprząży wołyńskiej, i klaskanie z batów, i hukanie podchmielonych gości. Starzy wieśniacy poglądali z żywą niecierpliwością ku lasowi, zkąd się im miał ukazać powóz weselny, a Fedko Gruzda pierwszy swat w nowiuteńkiej siwej świcie, podpasany czerwonym pasem, z pięknym kapturem na plecach wzorzysto wyszywany, z ogromną czapką baranią w ręku, trzymał świeżuteńki bochenek chleba, owinięty w białe płótno, gotując się powitać swych państwa z darami zwykłemi: chlebem, solą i miodem. Obok na przykrytym stole, w misie czerwonej, widać było plaster przepyszny, i na szklaniej mniejszej miseczce białej soli kupkę; przy nim siedziała stara kobieta z kądzielą w ręku, nałożoną lnem najpiękniejszym, przy życzeniach mając starodawnym obrzędem wyprząść nie jak najdłuższą: — symbol długiego słodko płynącego żywota.

Zwykle do tego wybierają najwprawniejszą we wsi przadkę, która w oczach nowożeńców z wielką zręcznością wyciągając szybko cienką i równą przędzę i wskazując ją wesoło, kłania się, całe życzenie zamykając w wymownej nici.

Rzadko się trafia, by kogo przyjeżdżającego z żoną do domu po raz pierwszy przyjmowała gromada; zwyczaj téż to już dziś mało komu znany, lecz niemniej istniejący w tych kątkach, gdzie się z wielą innemi podaniami i ten obrządek przechowuje, po Wołyniu i Polesiu.

Cymbalista, skrzypek, basetlista, stroili instrumenta tymczasem, chcąc co najpiękniej popisać się z muzyką. Chłopcy powłazili na drzewa ponad drogą stojące, aby prędzej ujrzeć i oznajmić o weselnym orszaku, nieustannemi ścigani pytaniami, odpowiadając na nie zwodniczo, lub zbywając dziewczęta dwuznacznymi słówkami.

Piękny był obraz uweselonój wioski.

Nad stawem, nad gościńcem wijącym się przez parów, paliły się beczki smolne odbijające się w wodach, oświecając drzewa i białe chaty na wzgórzu, i żółty gościniec pokręcony w malownicze pasy, ginące w dalekim zmierzchu. Wśród ciemnych lip zamczyska, sześć okien dworu jaśniały wszystkie równo; drzwi nawet buchały światłem, a na nich czerniała jakaś postać tajemnicza, stojąca nieruchomie.

Na wałach wkoło domu migwały mniejsze przebiegające tu i owdzie światełka; we wsi gwar, śmiechy i pobrzękiwania muzyki słyhać było wśród szumu sadów, gwarzących z wiatrem wieczora i warkotu młyńskiego koła, które na nic nie zważając, gdyrało. Księżyc blizki pełni srebrzyste swe promienie mieszał z blaskami ogni i resztę krajobrazu odkrywał oczom, zdzierając z niego zasłonę nocy.

Ale któżto tam wśród powszechnego wesela duma na progu dworu, stojąc jak wryty, ze zwisłą głową, z rękoma załamane, z ponurą twarzą i nastrzępionym wąsem, jakby nie dzielił radości wszystkich, jakby się nią właśnie zatruwał? Staryto Jan stanął tak, zadumał się, i aż łza pocięła mu po zmarszczonej twarzy; usłyszał już zdaleka turkot powozów, serce mu zabiło jak dziecku i tak mówił do siebie:

— Czegom się bał, tegom się nie ubał! Ha! musiał się on taki ożenić! ale Bóg-że to wie, co nam wiozą do domu? biędę czy szczęście? Gdyby to odgadnąć, możebym się z drugimi cieszył. To pewna, że się nasze dobre, spokojne, kawalerskie czasy nie powrócą; kiedy tak, to i mnie będzie czas poszukać sobie jakiej flondry... Jednakże kości łamią.. Ot! jaka śliczna jesień, jaka perlista rosa, a djabła tam on się jutro rano da zbudzić do kniei, choć pieskiby zagrały! ojl zagrały! A co jemu teraz psy, już nam teraz nie o tém myśleć: będziemy i my podobno na dwóch łapkach przed Jójmością tańcowali! Mówią, że stara Drohobyska męża za nos wodzi: bodaj żeby i u nas tego nie było, bo to idzie rodem. a mój taki miękki, że go na włosku prowadzić można. I jeszcze

się kocha:—zrobi z niego co zechce. Byle mu choć raz w tydzień pozwoliła zajrzeć do kniei, bo to niebożatko uschnie z tęsknoty, —nie daj Boże!

Kiedy stary Jan tak gaworzy sam z sobą, wesele nadjeżdża do kołowrotu wioski, i w nim zatrzymuje się chwilę; Fedko podał czerwono zapieczoną bułkę chleba, uwinioną w nowy rańtuch biały, z niskim pokłonem, z przemową od serca gromady; prządka wysnuła nić, ale nikt nie widział, że mimo zręczności Horszyny najświetniejszej w swój sztuce z całej wioski, mimo jej dobrej woli, prorocze pasmo zadrzało i rozerwało się w jej rękach. Są niepojęte oznajmienia przyszłości! Wolno niedowiarkom, co świata cudów widzieć nie chcą, zaprzeczyć im i złożyć je na przypadki; my je uznajemy, bośmy przywykli szanować nawet stare przesady. Może to błąd, ale i ten z innymi wypływa z przywiązania do wszystkiego, co swoje.

Tymczasem państwo-młodzi pędzili ku dworowi, a za niemi w tumanach kurzu szły bryczki i wózki panów sąsiadów i gości. Jan wciąż jeszcze stał w ganku, aż gdy się turkot przybliżył, ustąpił nieco w sień i z zaognionem od ciekawości okiem pozostał za słupem ukryty.

Kiedy drżąca od wzruszenia, oblana rumieńcem, ze łzą w oku Marya, modląc się pocichu stanęła nogą na próg nowego swego domostwa, sługa z przestrachem na nią spojrział, i mimo uprzedzenia, mimo żalu nie wydała mu się tak straszną, tak przerażającą, jak ją sobie wyobrażał. Wzruszony także postąpił nieco mimowolnie, a pan Joachim go zobaczył.

— A choćeno tu Janie, niech cię z moją żoną zapoznam— rzekł wesolo.—Marysiu, to nasz poczciwy Jan, wierny sługa moich rodziców, i mój piastun i przyjaciel.

Marya odwróciła się z uśmiechem serdecznym, i kłaniającemu się do nóg, cicho powiedziała:

— Proszę i mnie trochę kochać, panie Janie, jakieś kochał mego męża; będę się starała na to zasłużyć.

Jan ni z tego ni z owego, zawsze do wszystkiego prędki, rozplakał się rykiem i pocałował aż w nogę młodą panią swoje: tak mu do duszy przemówiła; a z wielkiej nagle obudzonej ochoty służenia jej wleciał potem zaraz do domu za państwem, i nogą przewrócił cały kosz stojący w kącie butelek.

Gwar gości, muzyka, śmiechy i wiwaty zagłuszyły brzęk tłukących się flasz, na które pogardliwie tylko spojrział Jan, ruszył ramionami i przez zęby stęknął:

— O to głupie!

Nie zważając na sączące się wino, poszedł dalej potrząsając głową, i wciąż mruczał do siebie: — Ona sama będzie z nami polowała, ja ją nauczę! będzie polowała! mówię że będzie, i wszystko tak się pociągnie, jak było dawniej.... co daj Boże.

* * *

Szumne było wesële, choć cicho szeptali między sobą goście i ludzie dworscy, że wiele złych znaków mu towarzyszyło: u ołtarza w czasie ślubu zgasła świeca ze strony pana-młodego, we wrotach wioski zerwała się nić witającój ich prządki, wchodząc na ganek potknął się pan Joachim i w kilka chwil po przybyciu do starego dworu zerwała się burza z okropnym wichrem, grzmotami i piorunami, która trwała do dnia, tak, że wszystkie drzwi i okna pozamykać i pozastaniać musiano. Jan wiedział o tych przepowiedniach, bo go ciekawość wiodła do każdój kupki szepczących, i kiwał znów głową smutnie; odzywało się w nim powoli uprzedzenie przeciwko młodój pani, ilekroć na nią nie patrzył; gdy przy niój był, ustawało.

Marya umiała ująć sobie i jego i wszystkich, jak ujęła sobie Joachima; uśmiech jój, dobre słówko dźwięcznym wymówione głosem, któremu towarzyszyło wejrzenie anielskie, jednały serca najtwardsze. Mruczał tylko stary myśliwy pod nosem, ale się odezwać nie śmiał i myślał w duchu: zobaczymy téż co będzie z polowaniem: to najlepsza próbka.

Nie przypomniał on panu wcale kniei i piesków, ale bolało go serce, gdy zajrzał do psiarni, gdy wziął w rękę strzelbę.

Trzeciego czy czwartego dnia, gdy się już goście porozjeżdżali i matka tylko Maryi przy niój pozostała, Jan kręcił się wieczorem po pokoju i ze zwykłą sobie gorliwością, czego się dotknął tłukł i wywracał, nie omieszkając winy składać na biędne sprzęty, które mu pod bok się nawijały. Wewnątrz gryzły go niezmiernie łowy, do których czas był wyśmienity, a pan Joachim jeszcze mu nie wspomniał, żeby się w lasy wybierał; wtém z podziwieniem największém poczciwego Jana, sama pani się odezwała:

— Mój Joachimie, ja wiem, żeś ty wielki myśliwy: czemu téż nie pomyślisz o swojój ulubionój rozrywce; ja się tu domem zajmę, a ty każ sobie, proszę, jutro przygotować polowanie. Mama bardzo zwierzynę lubi.

Jan za ledwie uszom swoim mógł uwierzyć, stanął wryty, słuchał, nasłuchać się nie mógł, i drżał z radości.

— Słyszysz pan! słyszysz pan!—wykrzyknął niezrozumiale, i poskoczył do Maryi całując ją w rękę.— A złota moja pani, śliczna moja pani—jąkając się mówił szybko—to prawda, to święta prawda, że naszemu panu bez polowania nie wytrzymać... Jutro o świcie do kniei idę, leczę i zaraz rozporządzę wszystko.

Pan Joachim uśmiechał się patrząc na niego, a Jan już hałaśnie trzaskając drzwiami biegł pędem, i po drodze słychać było jak wywracał, tłukł, rozbijał co napotkał, powtarzając ciągle:

— Ona sama polować będzie! To złota pani, jak Boga kocham, złota pani.

Pierwsze polowanie wielce się udało; za pierwszym poszły żywo szeregiem nieustannym prawie coraz nowe, coraz inne: jesień i zima nadchodziły właśnie, nie zabrakło zwierza, ni ochoty. Marya sama z uśmiechem przypominała Janowi, że polować było można. Tém tak go sobie wreszcie zaskarbiła, że z niedowierzającego dotąd i trochę obawiającego się jój zawsze, stał się pierwszym pani wielbicielem; milczący zrazu, teraz się już z affektem dla Maryi nie taił i głosił wszędzie jój chwałę, powtarzając pochichu:—ona sama polować będzie! zobaczycie!

— Jużto prawda—dodawał—żem się grubo omylił i niepotrzebnie obawiał: bo ona sama i psy lubi, i nigdy gończe nie były tak dobrze utrzymywane, jak teraz. Co pani, to pani! gromada miała rozum, kiedy ją panu stręczyła, bo takięj drugięj kobiety na sto mil wokoło nie znaleźć.

Jan zupełną miał w tym względzie słusność, bo istotnie Maryi podobnej niełatwo; rozum i dobroć, serce i głowa rzadko tak równie rozwinięte chodzą z sobą, rzadko obok nich znajdzie się wdzięk, słodycz, urok, jakim czarowała wszystkich pani Joachimowa. To téż mąż przywiązał się do nięj namiętnie, prawie bałwochwalczo; a ona z powagą matki pieściła go jak dziecię, słuchała jak ojca, i jasnych dni pasmo rozwijać się poczęło w Starem dworze. Powoli nieład, który się był zakradł pod zarządem szparkiego Jana, ustawać począł, i pracą młodęj pani stopniowo, nieznacznie zaprowadzone zostały porządek i oszczędność. Joachim swobodnie polował, zdając na żonę nietylko kobiecą część gospodarstwa, ale cały zarząd domu i kierunek interesów. Jan już jój za złe nie miał, że się do wszystkiego mieszała, bo polowali

ile i jak chcieli, a nigdy słówkiem ani wejrzeniem nie wstrzymała ich pani Joachimowa.

Stare dworzysko dość przedtém opuszczone wyporządzało się, podniosło, odprostowało i połatało boki; ogród podkrzesany zazieleniał inaczéj, dostatek wszedł do spizarni za panią i zamieszkał w niéj, a z nim swoboda i wesołość. Marya od brzasku do nocy z kluczami w ręku krzątała się około swego gospodarstwa i ożywiała każdą robotę zachętą, dobrém słowem, a wreszcie udziałem, jaki w niéj miała.

Rok, dwa lata upłynęły bez zmiany żadnéj; synek tylko przybył panu Joachimowi, a gromada wedle odwiecznego w Starem zwyczaju do chrztu go trzymała. Jan we łzach cały stanął nad kolebką i trzeciego dnia już mu chciał trąbić dla zabawki; szczęściem potrafiiono to jakoś na potém odłożyć. Staś przypomniał mu młodsze lata, gdy jeszcze Joachima piastował i zabawiał, serce mu uderzyło i piérwszy raz w życiu rzekł do siebie: —niech djabli wezmą polowanie: trzebaby nam domu, Jéjmości i dziecka pilnować.

Byłyto jednak tylko wyskoki czułości, które się wkrótce powszedniejszemi uczuciami zacieraly; myślistwo odzyskiwało nad nim władzę: jesień przychodziła z rosą, psy zawyły zamknięte, musiano polować, jak było wytrzymać. Pan Joachim jednak powracał wcześniéj, wyjeżdżał późniéj i siadywał w domu dłużej, a Jan mu tego bynajmniéj za złe nie miał, czasami nawet wybrał się sam do kniei pocichu, nie zachęcając panicza by mu towarzyszył. Szło tak wszystko szczęśliwie lat kilka i Stasiék podrastał na pociechę matce i ojcu, a starowina Jan wykrcęał mu piszczalki z łoziny, strzelał ptaszki, zbierał lisie i zajęcze ogony, aby go wcześnie do myślistwa zaprawić, —gdy jak uderzenie piorunu, padło na dom nieszczęście.

Jednego jesiennego poranka, przybieżono dać znać do dworu, że w lesie pokazał się odyniec, który z sąsiednich ostępów kilka już razy wpadł w bory Starego; widziano go w uroczysku na Halem. Na tę wieść ruszyło się co żyło. Jan siadł na koń, porwano psy, pan Joachim ledwie mając czas żonę w czoło pocałować, pognął na koniu do lasu; Jan oklep go poprzedził. Rozstawiono strzelców, a że odyniec na polankach w lesie rozpierzchnych, w zbożach włóścian nie małe czynił szkody; ludzie się wiejscy dobrowolnie zebrali oblawą przeciwko niemu. Pan Joa-

chim z pośpiechu zapomniał o zwykłych w takim razie ostrożnościach, nie opatrzył dobrze strzelby, i stanął na przesmyku, którym dzik wedle wszelkiego podobieństwa przechodzić musiał.

Założono psami—chwile było cicho: las tylko szumiał pośpiesnie; potem zagrały ogary, ucichły i zagrały znowu, już widocznie z oka goniąc. Zadrżały serca myśliwych, zatętniał i zahuczał las cały,—wtém dał się słyszeć wystrzał jeden i krzyk okropny.

Jan, który stał niedaleko od Joachima, przybiegł w miejsce, z którego głos bolesny się rozległ, nieprzytomny, przelekły, przeczuwając już jakieś nieszczęście. Straszliwy widok go uderzył: pan leżał na ziemi we krwi brocząc, i niespokojne, łzą boleści zasłże oczy wodził po głuchym lesie.

Pierwsze wejście tych oczu padło na biednego Jana; ujrzał to i wrzaskiem przerażającym zwołał co żywo myśliwych i obławę. Widok był okropny: pan śmiertelnie ranny konał prawie. Zajadły odyniec po pierwszym wystrzale, który go ciężko tylko skaleczył, wedle instynktu swego rzucił się wprost na dym; przypuścił go pan Joachim pewien będąc, że drugą rurę ma nabitą, a tymczasem w pośpiechu zapomniał o niej. Odyniec padł nań rozjuszony, a żadnego ani pniaka, ani drzewa nie było w bliskości, by się od napadu ratować; cięty w nogę upadł myśliwiec, a dzik rozplatawszy go wściekły, rzucił się dalej.

Nie potrafimy odmalować co się działo z Janem, jaki krzyk wyrwał się z piersi wszystkich poczciwych ludzi, którzy tak serdecznie Joachima kochali. Stracili przytomność i zapomnieli w pierwszej chwili o ratunku; przejęci okropnością wypadku, nikt nie robił, łamali ręce, klękali przy nim, płakali. Joachim słabnącym głosem szeptał powolnie:—„księdza! księdza! nieście mnie do dworu; krew upływa, życie uchodzi... do dworu... niech ich pożegnam... proszę was.

Opamiętali się ludzie wreszcie, zrobiono natychmiast nosze, a dwóch przodem pobiegli do plebana, który przeciwko ranionemu wybiegł z wyrazem najstraszniejszej boleści. Łzą złane oczy księdza i szklany wzrok dogorywającego myśliwca spotkały się z sobą w milczeniu wymowném; postawiono nosze na ziemi, odstąpili ludzie, klął proboszcz u głów konającego, i przyjął ostatnie jego przerywane jękami wyznania, błogosławiąc umierającemu przyjacielowi.

— A teraz — odwrócił się do zgromadzonych ludzi swój gromady — teraz bracia moi — rzekł powolnie — sierot dwoje wam

polecam: wy im bądźcie opiekunami, wy obrońcą. Nad was nie miałem lepszych przyjaciół: wam ich zostawiam spokojny—I spojrział ku bliżej stojącym.—Podejmujecie się opieki?

Wszyscy płakali, tylko starzec jeden, Hryć Soroka, z powagą przystąpił ku panu swemu.

— W imieniu nas wszystkich— rzekł— przyjmuję twoją wolę ostatnią i spełnię ją święcie; ale ty żyć będziesz dla nas... dla nich.—Joachim uśmiechnął się boleśnie.

— Pamiętajcie—powtórzył—zostawiam was opiekunami wdowy i sieroty; teraz mogę umrzeć spokojny. Nieście do domu—z mężką rezygnacją zawołał—po Bogu pierwsza ona i sierota. Ty księżo idź przodem i przygotuj ją do ciosu; mnie powoli poniosą przez wioskę, pożegnają się z moją gromadą. Życie zatrzymam w sobie, bo muszę ją pożegnać.. i jego... biednego robaczka, pobłogosławić na życie.

Łzy puściły się z oczu słabnącego, ścisnął za rękę księdza i wskazał mu na dwór.

— Idź przodem—powtórzył cicho—powoli, ostrożnie powieź co się stało; tak Bóg chciał.

Jan oszalały prawie, siadł na konia i popędził do Podkaminia nawprost przez lasy i góry, bez drogi, po lekarza; był tam bowiem zakonnik jakiś, który słynął jako doskonały medyk.

Joachima niesiono powoli, a cała wieś wstrząśniona wieścią straszną wybiegła kupiąc się koło niego, i z płaczem żegnała go całując stygnące już ręce. Hryć Soroka szedł przy noszach i chwycił z ust pana ostatnie wyrazy, któremi mu polecał wioskę, żonę, dziecko, opiekę wszystkiego i staranie o wszystkiém. Tymczasem ze spuszczoną głową i myślą skolataną szedł przodem pleban do dworu, wyprzedzając z ciężką do wypowiedzenia nowiną, smutne łożo myśliwca... Jakby na przekór wypadkowi temu, który miał żalobą okryć wszystkich, nie było nawet przeczucia smutku w wesołym dworze. Na ganku siedziała pani Joachimowa z nieodstępniemi kluczykami u pasa, bawiąc się ze szczebioczącém dziecięcim swoim; Staśka głosek srebrzysty rozlegał się daleko i pierwszy powitał księdza, wchodzącego przez wały w dziedziniec. Ujrzała go zdaleka pani domu i zdziwiona niezwykłemi w porze ranniej odwiedzinami, ale rada przyjacielowi, uśmiechnęła się do niego. Cicho i błogo jakoś było w ocienioném podwórku, na którego zieloną murawę wybiegło dziecko, kłaskając raźnie z batożka.

Księdzu ścisnęło się serce na ten widok, który za chwilę miał się tak straszliwie zmienić; stanął mimowolnie, załamał ręce, nowe łez strumienie puściły mu się z oczu. To zastanowienie się gościa wziął mały Staś za wyzwanie do swawoli i żywo przybiegł do proboszcza; spojrzął mu w oczy figlarnie i ujrzawszy w nich łzy, odwrócił się niespokojny do matki.

Pani Joachimowa uśmiechała się jeszcze; żadna myśl gończa nie przebiegła zwiastując jój smutek, przez spokojne serce; nie widziała płaczu, nie domyśliła się nowiny. Wrytym stał ksiądz przez chwilę, ale potrzeba było iść dalej; wymógł na sobie siłę i zbliżył się. Teraz wejrzenia dość było, by poznać, że niesie brzemie, którego złożyć nie śmie, znając ciężar jego. Jak piorun przecucie straszne uderzyło w serce żony: krzyknęła, podbiegła, i wzrok z pytaniem gwałtownym utopiła w jego oczach.

— Księżu proboszczu, mów, mów, co się stało! na Boga!

Biędny posłaniec wziął w milczeniu na ręce chłopaka, i podał go pani Joachimowej.

— Jesteś matką — rzekł głosem stłumionym — pamiętaj o tém żeś matką!

— Co to jest? — cała drżąca i zbladła zawołała kobiéta, coraz więcej przerażona.

— Bóg cię dotknął — dokończył słabnym głosem duchowny. — Wielkiem zagrożona jesteś nieszczęściem; pamiętaj żeś matką... — Twój mąż...

Ale nim dokończył, krzyk rozpaczy się rozległ, i kobiéta nie padła bezsilna pod ciosem; natchniona boleścią i uczuciem obowiązku zerwała się, poczęła biedz nieprzytomna; ani słaby starzec mógł myśleć ją dogonić. Biegła drogą ku wiosce, wiedzona instynktem przywiązania. Dziecię widząc matkę uciekającą, z krzykiem rozplakało się; proboszcz przy niém pozostać musiał.

Serce jój już było wszystko odgadło, i leciała przeciwko ranemu, widząc obraz jego przed oczyma tak jasno, tak wyraźnie, jakby go już oglądała wprzódy. Wiedziała o swém nieszczęściu, choć go jój nikt nie wypowiedział jeszcze: strumienie krwi lały się przed obłąkanym jój wzrokiem.

Ujrzała orszak ludzi idący drogą powolnie... zielone nosze gałęzi... tłum cisnący się ku nim... strugę czerwoną na ścieszcze którą przeszli... Bez jęku, bez głosu, wysiłkiem potężnym przypadła do meża.

On konał już: piersi podnosiły się szybko, żywo łapiąc ostątek powietrza i nie mogąc go pochwycić; oczy jego gasły i zasuwwały się mglistą powłoką śmierci. Zobaczył ją jednak jeszcze, wyciągnął rękę ku niej i coś nakształt uśmiechu przesunęło się przez sine usta. Poruszył niemi, chciał mówić: szept niewyraźny stłumił się w piersi. Ludzie stanęli, ona klęczała przy nim. Joachim spojrzął na stary dwór, jakby wzywał dziecięcia; zrozumieli to ludzie i z gromady ich dwóch rącho wybiegło po sierotę. Umierający ciągle zdawał się wysilać na kilka słów ostatnich, i zebrać się na nic już nie mógł: krew upływała potokiem, a z nią sączyło się życie.

Przyniesiono zapłakanego i przełękłego Stasia, przybiegł ksiądz; otworzył oczy konający raz ostatni, dźwignął rękę, i ta opadła skręplą, zdrewniała już na jasno-włosą główkę dziecięcia.

Duch wrócił do Boga, który go dał.

Trudno słów znaleźć, by opisać straszną boleść żony, przywiązanych sług i poczciwego ludu wioski, który w początku z nieszczęściem swoim oswoić się nie mógł. W chwili wszystkie roboty przerwane zostały: co żyło leciało do pana otaczając nosze jego grobowe, z których jeszcze sączył się krwi krzepnącej ostatek, a życie co ją wydało, już było uciekło. Łkania rozpacz, jęki boleści rozległy się po całej wiosce. Z chmurnemi czołami przyszli starzy gospodarze wioski, stanęli milczący nad umarłym, i po siwych brodach spłynęły im łzy ciche: żal starców głęboki był, poważny i zaniemiały—jak grób.

Wdowa z dzieckiem na ręku klęczała na ziemi i przerywanym głosem niekiedy tylko powtarzała z rodzajem obłąkania: „wdowa! sierota! wdowa! sierota!“

Siłą prawie oderwać ją musiano od męża; powstała wreszcie rozkazując zwłoki jego nieść za sobą, a cała wieś poszła za nią.

Już wówczas nie żył stary Fedko Gruzda, któregośmy widzieli w początku tej powieści, a na czele gromady stał od lat kilku zjawiony w wiosce Hryc Soroka, który gdzieś z dalekiej powrócił wędrowki po długich niebytności latach; ten teraz zdawał się tajemnym zwierzchnikiem gminy.

Hryc Soroka pochodził z zamożnej rodziny wieśniaczej, która od niepamiętnych czasów jedno uprawiała pole i zamieszkiwała domostwo, a zawsze w wielkiem była poszanowaniu u wszystkich. Było ich trzech braci: najstarszy długo przodkował w gro-

madzie i w chacie, z młodszymi razem się godząc na jedném gospodarstwie; lecz zmarł w lat dziesiątek po ojcu, i następny z Hryciem razem objął po nim dziedzictwo. Ale niedługo pracowali wspólnie, bo Hryć, najmłodszy, za pozwoleniem pana niewiadomo dokąd oddalił się z wioski. Nie było go bardzo długo, lecz znać wiedziano co się z nim działo, bo o nim nie wspomniano, domyślając się, ani wzdychano tęskno; ale gdy kto o niego pytał, tajemniczo odpowiadano. Hryć poszedł na inny chłób. Brat młodszy ożenił się wkrótce, pracował na ojcowiznie z najętym tylko parobkiem we dwojgu i z żoną, i jedną zostawiwszy córkę, przed pięcią laty umarł. Śmierć jego jak zpod ziemi wywołała Hrycia, który zjawił się nagle we wsi i zajął się gospodarstwem przy bratowej. Był to niemłody już człowiek: milczący, poważny, pracowity, i na niego po Fedku Gruzdzie musiał paść wybór gromady Starego, bo jój widocznie od tego prawie czasu przewodził. Rodzina Soroków zawsze jakiegoś szczególnego szacunku doznawała od współbraci; nawet gdy inni przewodniczyli gromadzie, dziad, ojciec i bracia Hrycia w wielkiem byli u ludzi zachowaniu, i na ich radę, ich słowo miano wzgląd wielki w każdym ważniejszém postanowieniu.

Chata Soroków leżała na samém wierzchołku wzgórza, po którém rozrzucona była wioska, i przytykała do pola usianego szaremi mogiłami zielonemi, gdzie już od wieków nie było cmentarza, ale je zwano *starem Zgliszczowiskiem*; rozróżniając od drugiego, w lesie teraz położonego, które *nowem Zgliszczem* mianowano. Stareto i nieco od zwykłych chat wieśniaczych obszerniejsze domostwo, wznosiło się na szczycie pagórka otoczone gruszami i lipami, w których liczna stała pasieka. Ściany izby nieco w ziemię zapadłe, ale jeszcze zdrowe i proste, zbudowane były z zawiędłego dębowego drzewa, które przybrało barwę szarą, jaką się zwykle dąb wystawiony na powietrze po długich latach odziewa.

Budowa jój była misterniejsza od dzisiejszych naprędce kleconych jako-tako chałup, i widać w niej było, że ją z jakimś przemysłem i staraniem wznoszono.

Przed sionką od czoła, był okap obszerny wystający, sparty na czterech słupkach rzeźbionych, takiego kształtu na jakie się już dziś nie trafia. Podpory te niepodobne wcale do niezgrabnych naśladowań słupów architektury zwyczajnej, były zupełnie odrębne i oryginalnego kształtu: z przepaskami wpośrodku, z czółkiem

dziwacznie wyrzynaném i wysoką podstawą. Oprócz nich końce belek wystające na zewnątrz, a nawet krokwie, odrzwia i uszaki okien okryte były także misterną rzeźbą zręcznie wykonaną, i nie bez pewnego wdzięku. Szczyt chaty kończył się floresami, a okienka wycięte w nim dla gołębi, ozdabiały różne wygięcia symetrycznie sobie odpowiadające, i zgadzające się z rysunkiem szczytu. Widocznie w téj ornamentacyi staréj, był ślad jakiegóś sztuki, jakiegoś stylu rodzimego, który bezpowrotnie zniknął wytępiony napływem obcych wymysłów i naśladownictwem cudzego.

Pod okapem leżały trzy kamienie na siedzenia przeznaczone, z których średni, największy kawał piaskowca, dziwnemi kształty zdawał się zdradzać, że nad nim ludzka pracowała ręka; dwa mniejsze podobne mu, miały z nim niejakié form podobieństwo.

Na podwórko wiodła wysoka brama drewniana, pokryta daszkiem słomianym, związana z belek kształcących ścięty po rogach prostokąt; przy niej tuż, była mniejsza ze wschodkami furtka, Wszedłszy w dziedziniec, na lewo rozciągała się chata i za nią obejście gospodarskie połączone starym zwyczajem niemal pod jednym dachem; na prawo zieleniał ogródek z ulami, gruszkami, i loszkiem w ziemi wykopanym, na którego dachu czepiały się, strojąc, go prześliczne wielkie liście dyni. Wewnątrz chata Soroków nie różniła się niczém od innych zwyczajnych, chyba może większą czystością, wyrzynaniami na belkach i sprzętem widocznie starym, ale niez użytym.

Tegoż wieczora, przed chatą swoją na wielkim kamieniu z posępną twarzą siedział stary Hryć Soroka i dumiał zatopiony w myślach głębokich; a na górę po krętéj ścieżce szli powolnie ku niemu kilku gospodarzy wioski. Z miejsca na którém spoczywał widać było daleko okolicę całą, a naprzeciw prawie stał dwór, i drzwi jego główne z między drzew połyskiwały już po grzebówém świetłem. Hryć właśnie na ten smutny blask zwrócone miał oczy.

Dwóch czy trzech gospodarzy weszli na pagórek, zobaczyli starca zadumę, i jakby mu jój przerywać nie chcieli, przyzostali trochę opodal, oparłszy się o płot dębowy, szepcząc coś pomiędzy sobą. Nadeszło później kilku jeszcze, zebrała się gromadka, ale wszyscy trzymali się w oddaleniu, nie zbliżając się natrętnie ku starcowi. On ciągle jeszcze miał oczy wlepione w drzwi jasne, które coraz widoczniej błyszcząły wśród cienia drzew świecami, wkoło katafalka pozapalanemi.

Twarz Soroki była napodziw piękna i szlachetna: przypominała spokojnym, głębokim smutkiem bohaterów Ossyana i starych Sasów islandzkich; rzekłbyś wskrzeszone oblicze owéj postaci podań ludowych, którą wieki zolbrzymiły. Jasne i podniesione czoło, obnażone z włosów u góry, strojne dokoła w długie białe spadające pukle, nie potrafiło jeszcze słońce codziennéj dogrzewające pracy, opalić; piękne niebieskie oczy pełne uczucia i zadumy tęsknej, zachowały ogień i żywość młodości; w ustach był także smutek, ale smutek męzki, poważny, uśmierzony doświadczeniem długiego życia, co wiele przeboleło i nauczyło się mierzyć z cierpieniem. Piękna, ale niezbyt długa jeszcze broda siwa okrywała pierś starca. Miał na sobie swiętą białą, sznurkami ponosowemi wyszywaną z kapturem na plecach, ujętą pasem pięknym, także czerwonym; w rękę trzymał swoją wysoką baranią czapkę i zakrzywiony kij biały, z którym zawsze chodził. Laska ta dosyć wysoka, zagięta u wierzchu, była jakby godłem jakiegoś dostojenstwa, czy spadkową pamiątką; uważano bowiem, że jéj wyłącznie rodzina tylko Soroków używała. Fedko i z rodzin innych pochodzący naczelnicy gminy nie nosili takiego kija. Po bracie wziął go Hryc Soroka, a gdy Jan ciekawy pytał co znaczy ta laska w jego rękach, odpowiadał niewtajemniczonymu dworakowi:— Zachcieliście! a cóż ma znaczyć? postarzałem, to się podpieram.

Rodzina starego bezzennego dotąd Hrycia składała się z bratowej, niemłodej już kobiety, niemal jak on poważnej i szanowanej, do której wszystkie niewiastki wiejskie biegly w każdym przypadku po radę, z synowicy Kekeli, ślicznego, młodziuchnego dziewczęcia, i dalekiego krewniaka, który z parobkiem najętym całe gospodarstwo obrabiał. Szło ono dobrze, chociaż Sorokom oddawna się nie powodziło: częste klęski nawiedzały chatę i obejście, a dzieci nawet ciężko się hodowały. Teraz na jedynaczkę Kekelią spadało dziedzictwo po ojcu i stryju: i zamożny porządek, i rola dobrze uprawna; nie dziw téż, że śliczne dziewczę choć młodziuchne jeszcze, już miało do ręki swój ochoczych i swatów, co chata.

Kiedy tak дума Hryc stary, a gromadka poważniejszych gospodarzy już się ściągnęła; jakby się ich przyjscia domyślał, czy spodziewał, wstał z kamienia nagle i obejrzał się witając ich smutnie. Ruszyli się zaraz i przystąpili wszyscy ku niemu.

— Witajcie ojcowie—odezwał się głosem dzwiecznym powolnie—witajcie, choć niewesoło nam dziś powitać się... Spadło

wielkie nieszczęście na sioło nasze, jakiego nie zazналиśmy dawno, ani przeczuwać mogli. Poczciwy pan nasz leży na marach, a my z wdową i sierotą zostaliśmy. Wiécie, że nam ich oddał; myślmyż żebyśmy spokojni byli w sumieniu i nie zawiedli umarłego.

— Uchowaj Boże! — odezwało się kilku — uchowaj Boże. Potrzeba pomyśleć — dodał jeden występując i opierając się na długim kij; — oj! bo prawda, nie było w Starem nigdy ani tak dobrego pana, ani tak wielkiego nieszczęścia! Żyliśmy długo jak u Pana Boga za piecem, było się komu nami zaopiekować; teraz my sami sieroty.

— I opiekunowie — rzekł Hryc.

— Potrzeba pomyśleć — odezwał się inny. — Tak! tak! święty obowiązek nasz; związały nas ostatnie słowa zmarłego, ja sam je słyszałem. Ale i bez tego gromada Starego czułaby się do litości i opieki nad poczciwą krwią swoich panów. Nie damy jój przepadać! któż bliższy od nas?

— Tak — zawołał Hryc po chwili — trzeba to powiedzieć wszystkim do najmniejszego dziecka, że teraz dobro ich, dobro nasze i słaWA nasza, ich mienie i spokój, to nasza pocziwość. Na nikogo teraz się nie spuszczać, wszyscy głowy potracą; my im gospodarze i ekonomowie. Ja sam na dwór i na potrzeby będę nąglądał, żeby niczego nie brakło; wy ojcowie uważajcie na rolę, jak skoro po pogrzebie trzeba doorać i podosiewać. Nasienie z gromady wybierzemy.

— Rozumié się, bądźcie Hryciu spokojni, wstydu nie zrobim ani ojcom naszym, ani sobie: będzie jak być powinno w Starem — z niejaką dumą rzekł jeden ze starszych gospodarzy. — Teraz nam o przystojnym pogrzebie pomyśleć, bo i to na nas.

— Tak! tak — powtórzyli wszyscy — pójdziemy ile nas jest odprowadzić go, i nikt nie poniesie, tylko my na mogiłki...

Hryciowi łza spadła z powieki, otarł ją i mówił dalej:

— Trzeba się nam robotą podzielić, bo jój nie zabraknie, a młodym taką tylko powierzyć, gdzie więcej nóg niż głowy potrzeba: bo mogą nam sromu narobić, nie ze złój woli, ale z nie-doświadczenia. Ja pójdę naradzić się z księdzem: może tam co brakuje, trzeba wcześniej pomyśleć; wdowie teraz łzy tylko w oczach. Foma niech zaraz zaprzęga i jedzie do Podkamienia; zamówi dla nas księży Dominikanów z nabożeństwem i przyborem. Nie pożałujemy zachodu i grosza: niech ludzie wiedzą, żeśmy go kochali, że go i po śmierci szanujemy. Weźmiecie groszy z sobą, sz

jeszcze składkowe gromadzkie. Dwóch niech pilnuje dworu, dwóch stanie na posyłki, dwóch do boku dla pilności.

Tak rozporządzał stary z dziwną przytomnością, chociaż łzy miał w oczach; gromada słuchała z uszanowaniem, potakując głowami słowom jego. Radzono długo i chmurno; rozeszli się gospodarze po chatach, przed których przyzbami stały jeszcze kobiety spoglądając na dwór i szepejąc coś pomiędzy sobą. Cała wieś była w poruszeniu i nikt prócz drobnych dzieci oka nie zmrużył, bo głęboko wszyscy czuli stratę i szczerze pragnęli wspomóc pozostałe sieroty.

Hryć pożegnawszy braci pozostał u chaty, usiadł znowu na kamieniu, i do czarnego zmierzchu z wlepioném okiem w blask świec gorejących u katafalka pozostał; potem wolnym krokiem, spierając się na kij, pociągnął się ku dworowi.

Jakżeto teraz było smutno, jak jedna chwila kirem oblekła wszystko! Nawet to co nie cierpi z człowiekiem i boleści jego nie dzieli, zdawało się mieć wyraz smutku: drzewa szeleściły jakby pacierzem mogilnym, wiatr świstał z jękiem płaczliwym, mglisto płonęły żółte świece i lampy przy niskim katafalku, a na każdej ludzkiej twarzy przebiegająca śmierć wyryła piętno swoje, piętno zdumienia i strachu.

Wielka sień starego domostwa stała otworem drzwiami i oknami; wpośrodku niej na tapczanie pokrytym kobiercem, żółkły już trup z założonemi na piersiach rękoma czekał na ostatnie swe łożo i szczupły domek drewniany, co szczątki jego miał zamknąć na wieki. Jesienny powiew szumiał w blizkich drzewach i liście z nich pożółkłe chwilami wpędzał do izby, smutnym wieńcem zeszlęj zieleni strojąc łożo śmiertelne, rozdymając światło, które kopcąc gorzało długimi knoty.

U nóg zmarłego na ziemi siedziała spłakana pani Joachimowa; dziecko sierota usnęło po płaczu... Dla niej łyżty tylko wypoczynkiem były; zatopiona w myśli chwilami zdawała się jak nieprzytomna, to znów budziła się łkaniem i jękami.

Głos pocziwego księdza przypominający jój Boga i dziecko, sam jeden rozpacz tamował, którą widok zmarłego podbudzał.

Jana nie było jeszcze z powrotem, choć pojechał rano.

Hryć przyszedł powolnie, stanął we drzwiach, przeżegnał się, pomodlił, westchnął i oczekiwał na coś. Obląkany wzrok wdowy padł na niego po chwili, i starzec skłonił się przed nią, szanując w niej podwójnie: swoją panią i nieszczęście jakiego do-

znała. Wzrok, który spotkał jęj wejrzenie tak był współczucia i litości pełen, tak łzami przesiąkły, że choć cierpienie wszelką myśl odganiało od nięj, pani Joachimowa powstała i zbliżyła się ku starcowi.

— Patrz! patrz! — zawołała z jękiem przesywającym — o! mizerne ludzkie życie! w co się to ranna moja obróciła radość. Dziś jeszcze o brzasku liczyłam się do szczęśliwych... i dziś ostatnie słońce zaszło doli mojęj i doli biędnej dzieciny... On umarł, on umarł! I umarł tak okropnie, tak przedwcześnie, nagle, straszliwie, zostawując nas samych na Bożym świecie, samych, sieroty zupełnie!

— Nie, nie — żywo odparł z uszanowaniem, ale z uczuciem Soroka — on konający nam was powierzył, więdnej swojej gromadzie. Nieśliśmy go konającego na barkach i przemówił do nas głosem ostatnim, żebyśmy byli opiekunami waszemi i ojcem dla jego dziecka... I będziemy — dodał Hryc głęśniej — przysięgam to wam, oto przy tych martwych zwłokach jego.

— On to mówił? on tego chciał po was? — spytała wdowa.

— To były słowa jego, slyszalem je; ale gdybym ich nie slyszal, gromada Starego poczulaby się do obowiazku swego. My z panami naszymi złączeni jesteśmy od wieków jedną dolą i jedną ziemią, jednym kościołem i cmentarzem, jednym chlebem i łzami: nasi ojcowie cierpieli z ojcami waszemi i radowali się z nimi; wszyscyśmy pracowali dla nich potem, oni dla nas krwią swoją. Nie było na wsi radości w którejby dwór nie miał udziału; nie było w dworze wesela, na któreby nas nie wezwano: wszystko nam było wspólne, aż do pracy, którą wyście kierowali głową, my spełniali rękami ochoczo... Ten wiekowy węzeł, pani nasza, nie zrywa nic, boby się potrzeba zaprzecć przeszłości i ojców, których chyba zwierzę nie zna. Myśmy twoi opiekunowie, obrońcy, słudzy — a Bóg nad nami wszystkiemi z opieką opatrności.

Łzy rzesiste puściły się z oczu biędnej matki i wybiegła cała wzruszona do kolebki syna, wiodąc za sobą starego.

— Oddaję go więc wam, pocziwi bracia nasi — zawołała — oddaję sierotę w ręce wasze: nie chcę innych opiekunów dla niego nad moje serce i wasze.

Hryc pokłonił się u kołyski matce i dziecku spiącemu, przyłożył rękę do piersi i wzrokiem szczeręj litości pobłogosławił

dziecinę; gdy matka wrażeniami straszliwego dnia złamana padła i straciła przytomność.

Zawoławszy sługi, wysunął się starzec, a pomodliwszy się chwilę przed zwłokami i obejrzawszy wkoło domostwo, zaspokoiwszy księdza o potrzeby pogrzebowe, rozporządziwszy ludźmi, zwrócił się nazad ku chacie.

Na drodze słyhać było zdaleka tętent zziąjanego konia, ktoś prosto leciał do dworu, a co dziwniej, z szaloną wesołością urągającą smutkowi trąbił w róg myśliwski. Głos téj trąbki wrzaskliwy, ochoczy, strasznie się jakoś dziko odbijał po wzgórzach i lasach, sprzecząc dziwnie z żałobą, która okrywała wioskę całą. Hryc zadrzał wstrząśniony z gniewu, i pospieszył co miał siły naprzeciwko jeźdźca, którego schwytał za cugle i wstrzymał krzepką dłoń.

— Kto tu śmie huczyć—zawołał potężnym głosem— A! to ty Janie!— rzekł zdziwiony poznając sługę nieboszczyka—to ty? co ci się stało?

Jan z rozczochranym włosem siwym, z błyszczącym dziko okiem krwią i łzami nabiegłym, z twarzą pałającą, w odzieniu rozwianem i oszarpanem, bez czapki, zdawał się zupełnie nieprzytomny; trzymał w drgającej ręce róg tylko co od ust odjęty, uśmiechał się i był jakby pijany. Śladu boleści na twarzy jego nie widać, tylko obłąkaniem zmieniona do niepoznania.

— Co ci się stało? oszalałeś—powtórzył Hryc chwytając za cugle konia, który robił bokami zasapany, i choć zlany od potu rwał się, bo go jeździec naglił jeszcze.—Pan na marach...

— Jadę do dworu! do dworu, puszczaj mnie! jutro wielkie polowanie! Wracam od księży z Podkamienia, prosiłem wszystkich z przeorem na obławę... Ogromny odyniec w lesie? trzeba go koniecznie zabić, inaczej nas wszystkich pożre... Krew będzie się lała... wszyscy poginą... śniło mi się dziś rano...

— Ale co ci jest Janie! w głowie ci się przewraca, pan na marach.

— Kto to mówi, że pan na marach? A to ty zbójco, zło-czyńco, coś go zabił!—zakrzyknął stary schylając się z konia i przypadając do Hrycia.—Bezczelne kłamstwo, odszczekasz mi je! Sam wyprowadziłem go dziś na polowanie, był zdrow, uśmiechał się; to fałsz, to zdrada! to zabójstwo!

— Nim Jan miał czas ścisnąć za gardło wieśniaka, bo się do niego zamierzył, już go ten pochwycił silnie za obie ręce,

i tak skrepowanego zawrócił z sobą ku chacie, obawiając się, żeby krzyk i trąbienie biédnego obłąkanego, nowego niepokoju nie były przyczyną we dworze.

— Chodźmy — rzekł mu Hryc — we dworze pusto, państwo wyjechali, ludzie śpią, przenocujesz u mnie. — Jan słuchał i nie słyszał; z wielkiego gniéwu pokonany przeszedł nagle do wesołości straszniejszej jeszcze.

— Wyobraźcie sobie Hryciu — rzekł zanosząc się — wszyscy Dominkanie z Podkamienia, nawet nieboszczyki coto ich Tatarowie pozabijali dawniej, zjadą na jutro do ostępu. Ja nieboszczyków najwięcej prosiłem, bo ich tam ćma jest... Dziki boją się białego odzienia i czarnych płaszczów i krzyża świętego: bo to pewna, że wszystkie bestye leśne przez djabłów są opętane.... Pokropim knieję wodą święconą, a potém dalej na nich z Dominikanami; pana postawię na wysokim pniu, a z szalasu będzie patrzeć Jójmość i mój Stasiék... Ale puszczajcież mnie, bo psy nie będą gotowe i ludzie się pośpią.

Hryc jakby nic téj płataniny nie słyszał, prowadził z sobą Jana do chaty, a koń tymczasem chrapiąc, wyrwawszy się, poleciał ku stajni. Jan wrywał się jak mógł, ale stary wieśniak miał siłę olbrzymią i władał dworakiem jak dzieckiem. Zaprowadził go z pomocą spotkanych dwóch parobków do swojej chaty i tu do czasu zamknął w alkierzu.

— Biédny Jan — rzekł do starój bratowój — oszalał z wielkiego żalu, a na taką chorobę podobno nie ma innego lekarstwa, jeno śmierć.

* * *

Młode listki wiosenne powiewały na drzewach, świat się uśmiechał znowu do życia, i na mogile pana Joachima puszczała się zielona trawka; we dworze smutek i pustka, przy niej przykrzję jeszcze odbija się szczebiotanie dziecięcia i jego wesołość.

Stary Jan już nie odzyskał przytomności straconej, ale obłąkanie jego zmieniło się w łagodny smutek: myśli mu się pomieszały i pokrzyżowały, przeszłość złała z terażniejszością, a straszliwy wypadek, którego był świadkiem, zatarł w pamięci zupełnie. Wyobraża on sobie, że Staś jest Joachimem, że go piastuje jak dawniej; o śmierci pana nie wie, i boi się tylko wszystkiego, co ma podobieństwo do dzika, utrzymując, że djabły opętały zwierzęta. Czasem wspomina o polowaniu, jakby na nie czekał i wygląda tylko zaproszonych Dominikanów z Podkamienia,

zwłaszcza nieboszczyków, by z niemi jechać do kniei; to znów zapomina o łowach i cały oddaje się dziecku, którego na krok odstąpić nie chce. Biedna matka przez litość nie odpycha starego: pocziwe jęj serce mimo bólu usiłuje nawet wobec obłąkanego starca dawać dziecięciu to imię, jakim go Jan woła; sama złamana cierpieniem pociesza i słodzi tego, któremu rozpacz na wieki wydarła przytomność.

Czasem wśród uśmiechu lzy się jęj potoczą po białej twarzy, i gorączka je osuszy. Siada na ganku, z którego przez drzewa kazała przeciąć widok na mogiłki i kościółek, pogląda w tamtą stronę i duma.

Nieszczęście rzadko przyjdzie samo jedno: wlecze ono zwykle za sobą długie orszak żałobny. Przed mężem jeszcze straciła Stareńska ojca, po nim już pochowała matkę, jedyną swą i najlepszą przyjaciółkę; pozostał jęj brat tylko. Dobry to był człowiek i przywiązany do siostry po swojemu; ale tak się zawczasu wciągnął do gospodarstwa, że w nióm uwiązał cały. Ożenienie, dwoje dzieci uczyniły go skrzętniejszym jeszcze; człowiek a brat znikł w nim przed ekonomem, nie miał już serca, tylko do swojego zajęcia. Rzadko nawet, i to chyba wezwany odwiedził siostrę, która zupełnie została samotną, bo ksiądz tylko staruszek, kilka litościwych sąsiadek, czasem jaki nieproszony urzędnik, zawitali do opuszczonego dworu. Piękna i młoda Marya wiedła we łzach i pracy, ustawicznie potrzebując sobie powtarzać, że jest matką, by się z życiem pogodzić. Była to jedna z tych rzadkich dziś niewiast, pojmujących przedewszystkiém świętość i wielkość obowiązków, wierzących, że raz tylko w życiu kochać można i raz się życiem podzielić. Pierścionek ślubny, którego nie zrzuciła z palca, wiazał ją z grobem na zawsze.

Nikt przecie wierzyć nie chciał, by smutek, żal i poświęcenie wspomnieniu wiecznie tak trwać miały: bo nikt nie przypuszczał, żeby umarłego równie a może więcéj nad żywych kochać można. Są przecie serca rzadkie, dla których duch przeżywa ciało, i wiecznie trwa przytomny u ich boku. Marya widziała Joachima ciągle przed zapłakanemi oczyma; sama się oszukując dobrowolnie, szukała go wzrokiem, wyglądała duszą: czekała nań jakby się tylko na chwilę oddzielił i za chwilę mógł powrócić. Otaczały ją pamiętki po nim, a najulubieńszym jęj pobytem był ganek z którego widziała mogiłę, lub pokój Joachima, gdzie wszystko zostało jak było za jego życia. Tymczasem przyjaciele i przyjaciółki starali

się ją w swój sposób pocieszyć i rozerwać, dziwując się, że to, co weseliło drugich, ją zasmucało tylko lub męczyło.

— Przejdzieto ta tęsknota—mówili ludzie—kobieta młoda, nie może tak zwieźć; smutek przeboleje, zapomni i pójdzie za mąż jak drugie.

— Niektóre dodawały dobrodusznie stawiając za przykład siebie:

— Słowo w słowo tak samo płakałam i rozpaczałam po nieboszczyku mężu, a dlatego musiałam pójść za mąż; i choć co roku daję na nabożeństwo po dawnym, bo go jeszcze kocham, nie przeszkadza mi to kochać i mego terazniejszego...

Właśnie gdy się to działo, w okolicy Starego i w najbliższe sąsiedztwo przybył mężczyzna młody, całkiem nieznanomy w tój stronie, który Zalesie wziął dzierzawę. Wiedziano tylko, że się nazywał Juliusz Zlewa, że trzyletnie z góry zaliczył pieniądze, i że z nikim żyć nie chcąc, zamknięty w domu, oddawał się cały gospodarstwu, a wolne chwile trawił z książką lub strzelbą w ręku. Młody, przystojny i jak się zdawało nie ubogi przybysz, bo wszystko co go otaczało zdradzało dostatek. Z powierzchownością świadcząca o wychowaniu, z twarzą zajmującą i smutkiem oblaną:—niemało nakłopotał okolicę, od której stosunków usilnie zdawał się stronić. Nadzwyczaj więc zaintrygowało wszystkich gdy się dowiedziano nagle, że był w Starem. Na pierwszą wieść o tém, natychmiast stare panie wykrzyknęły klaskając w dłonie: — zobaczycie, że on się z nią ożeni!

Tymczasem tajemniczy Juliusz prawdziwie przypadkiem zawitał do Starego; potrzebował kupić drzewa na opał i poprostu dla umówienia się o to przybył do ekonoma; ekonoma nie było, odesłano go do pani. Tak się zrobiła znajomość niespodziewanie.

Osamotnionej kobiecie miłém być mogło, że ktoś inny, nowy, i nie tak jak starzy znajomi natrętny, zawitał do pustego dworu. Juliusz zadziwił się temu widokowi szczerój żałoby, i mimowolnie zajął piękną wdowę. Snać łatwo wrażliwy, odrazu poczuł, że przypadkowa znajomość, ważnym będzie w życiu jego wypadkiem. Zatrzymał się dłużej niż było potrzeba, bawił się ze Stasiem rozczulony, wysłuchał drżący krwawego opowiadania o śmierci pana Joachima i odjechał pijany, rozmarzony, smutny i szczęśliwy. Nietrudno odgadnąć, że wkrótce nowa potrzeba gospodarska powołała go do Starego, gdzie równie gościnnie i mile w prostocie ducha był przyjęty; Staś go poznał i kazał mu bawić się z sobą, a któżby odmówił co biednej sierotce? Marya

gdy pomyślała, że te odwiedziny różnie ludzie tłumaczyć mogą, ścisnęło jej się serce trochę, ale spokojne sumienie odepchnęło bojaźń języków złośliwych. I Juliusz zabawił dłużej, a powrócił do domu gorzej pijany, rozmarzony więcej, smutniejszy i szczęśliwszy.

Po kilku dniach powrócił raz trzeci, przyjechał raz czwarty, a Marya, której synek polubił miłego gościa, powiedziała sobie:— Cóż mi ludzka mowa, gdy sierotka się moja zabawi? Mogę dla niej przecierpieć trochę, a świat pomówi, uśmiechnie się, i zapomni.

Gdy się to dzieje w Starem, sąsiedztwo oblatują powiększane coraz wieści o staraniach przybysza; już ktoś łaskawszy od innych poszedł po rozum do głowy i upłótl baśń o dawniej znajomości Juliusza z Maryą, już ich żenią, już się zapraszają na nowe wesele. Ale nikt tak gorliwie nie pracuje językiem, jak pani Emerykowa.

Rzadkabo to kobiéta pani Emerykowa: umysł niezmordowany, ciało niemogące postarzyć, a płochość dziecinna mimo lat pięćdziesięciu. Miała sobie za obowiązek wiedzieć najdokładniej o wszystkiém co się działo w sąsiedztwie, znała życie każdego z najdrobniejszymi szczegółami; zajmowała ją równie kłótnia małżeńska, sprzedaż zboża, odprawienie ekonoma, zmiana pokojówki i sprowadzenie nowego czepka ze Lwowa. Z nadzwyczajną zręcznością z drobnych napozór wiadomostek umiała ona skleić i wyrozumować rzeczy nierównie większe, których nawet w zarodzie nie było. I tak kłótnia naprzykład małżonków naprowadzała ją na drogę domysłu o innych przywiązaniach za domem, które zaraz odgadnąć usiłowała i podawała jako niemyślny komentarz sporu; sprzedaż zboża zwiastowała upadek w interesach, spowodowany wydatkami tajemniczemi; odprawa ekonoma tłumaczy się jakąś potajemną intrygą; odmiana pokojówki umizgami pańskimi, które niechybny rozwód zapowiadały; a nowy czepok ze Lwowa, także mógł czasem znaczyć bardzo wiele. Pani Emerykowa nieporównanej była zręczności w wyciąganiu wniosków i sianiu wszelkiego rodzaju plotek, niezmordowanej gorliwości o dobro cudze, o moralność powszechną, gdyż zawsze niby w imię ich działała. Dziwnato kobiéta, której ani wiek, ani straty, ani choroby pokonać i złamać nie mogły; doszła 50ciu lat w niesłychanej pracy, wypłacającej się tylko wewnętrzną satysfakcją i strachem, który siała wkoło siebie. Rzadki dzień przesiedziała w domu, a rzadziej jeszcze trafiło się, żeby gdzie nie wyprawiała

posłańca na zwiady. Miała formalnych szpiegów po ważniejszych punktach okolicy i najdoskonalszą policją; nikt też do moralnej statystyki sąsiedztwa tak wybornie zebranych nie posiadał materyałów. Szczebiotliwości niepoohamowanej, wesołości utrapionej, złośliwości większej niż dowcipu; pani Emerykowa panowała w domu i na języku trzymała przerażoną okolicę. Ukazanie się jej żółtego koczyka i kasztanowatych koni, przestraszało jak piorun mających cokolwiek do utajenia; nic bowiem przed nią utaić się nie mogło, nawet to, czego jeszcze nie było, i co się nigdy stać nie miało. Ludzie jej zaledwie odłożywszy konie szli zaraz na oglądy i gawędy, z których potem ściśle sprawę zdawać musieli. Nieraz nawet po drodze przejeżdżających żydków i posłańców wstrzymywała, żeby się od nich coś niespodzianego dowiedzieć.

Ale nadewszystko pani Emerykowa lubiła swatać, choćby nawet najstarszych, cóż dopiero młodych! Nie cierpiała próżnujących: panny, kawalerowie, wdowy mieli w niej potężnego sprzymierzeńca, i czyją sprawę wzięła do serca, musiał już dobić targu lub wiecznie się z nią poróżnić.

Pana Emeryka zwano pospolicie tylko mężem pani Emerykowej, co go już dostatecznie maluje; ulubionym jego zajęciem było siedzieć pod piecem i gryźć orzechy lub jeść pierniki. W domu nigdy o nim nie było mowy, wszystko należało i zależało do pani i od pani; ale myliłby się ktoby z tego wnosił, że pan Emeryk był ubozuchnym, dzwigniętym z nicości człowiekiem: owszem, Jójmość żadnego nie wniosła posagu, cały majątek był mężowski, a on sam najpiérwszym tylko i najlepszym żony sługą. Uwielbienie dla niej tak go ogłupiło, że nie robił sam przez się, wszystko z jej rozkazu i dla niej tylko. Miał się za najszczęśliwszego, gdy w dowód zadowolenienia, dała mu garść orzechów i paluszek do pocałowania.

Szanowna pani Emerykowa nie miała dotąd przyjemności znać pana Juliusza Zlewy, co ją niesłychanie niepokoiło i bolało; odzywała się już nawet: — Coto on sobie myśli! że się bez nas obejdzie! zobaczmy! zobaczmy!

A to—zobaczmy, pełne było najstraszniejszej groźby.

Szczęściem, pan Juliusz rad nie rad dał się do państwa Emeryków ściągnąć, choć prawie gwałtem; gdyż po niego wysłano pana Emeryka pod pozorem kupna pszenicy na nasienie, a w istocie dla zaproszenia go do Hodowa. Rozstawiła nań sieci znakomita

instygatorka i poczęła zaraz bardzo zręcznie badać; ale Juliusz z uśmiechem na ustach wykręcał się wprawnie a grzecznie z zapytań, i nie na nie nie odpowiadając, potrafił jednak nie rozgniewać milczeniem upartém.

Powierzchnowość przybylca tak jakoś przypadła do smaku pani Emerykowej, że zaraz po pierwszych odwiedzinach zawyrokowała: — Bardzo przyzwoity człowiek, niezmiernie mi się podobał, pełen taktu! Dojdziemy kto taki, jużcić nie żyd i nie wychrzta: nazywałby się inaczej, i ma herbowy sygnet na palcu. Ma coś dystyngowanego, francuzczyzna dobra, maniery większego świata.

Dowiedziała się natychmiast nasza pani o pierwszych, drugich i następnych odwiedzinach Juliusza w Starem, zatarła ręce z radości i pocichu szeptała:—już niezawodnie się skojarzy!

Przeczekawszy czas niejaki, nie bez myśli rzucając tu i owdzie słówko o tém, aby dla nikogo bywanie Juliusza nie mogło być tajemnicą; pani Emerykowa wybrała się nareszcie dla dokończenia sprawy do Starego, obiecując sobie, że oświeci wdowę i przyspieszy pożądane wesele, które za swoje dzieło uważać chciała.

Zastała Maryą w ganku z dziecięciem, ubraną jak zawsze w grubą żałobę, a przy niej starego Hrycia, który tylko co skończył z nią długą jakąś naradę i powolnie za przybyciem gości się oddalił.

W początku obojętnie zagaiła rozmowę, ale wkrótce odprawiwszy dziecię, gdy język coraz mocniej świerzbic poczynał, przystąpiła do rzeczy.

— Moja tedy kochana pani—zawołała przysuwając się z przymileniem do niej—pozwól sobie usłużyć szczerą, dobrą, przyjacielską radą. Do czego to, proszę cię, ta żałoba, te smutki? i jużcić tak całego życia spędzić w Starem sama jedna nie myślisz, bo musisz kiedyś przecie pójść za mąż?

— Ja! za mąż!—porywając się z oburzeniem i uśmiechem politowania razem, zawołała wdowa—ja! pójść za mąż!

— Ale dlaczegoż?

— Dlatego, że kocham zmarłego, jakem go żywym kochała; i kocham dziecię moje.

— Ale cóż to przeszkadza?

— Możeż być, żebyś mnie pani o to pytała!—odezwwała się Marya z podziwieniem naiwném, tak, że swacha zmieszana, oczy

spuścić musiała.— Kochając jednego, być żoną drugiego dobro-
wolnie.... godziż się i jestli podobna?

— Przyznam ci się, że tój przesadzonej delikatności nie ro-
zumiem — po chwili odpowiedziała Emerykowa, — przedź, później,
nie dasz sobie rady, znudzisz się.... i...

— Ja! mając dziecię i wspomnienie!

— Tyś tak młoda! Staś pójdzie w świat od ciebie, zosta-
niesz sama... Pozwólże mi myśl moję dokończyć—dodała widząc
że pani Joachimowa zabiera się jój przerwać—nacóż masz marno-
wać życie, potrzeba ci pójść za mąż; a kiedy już masz iść, i...

— Ale ja nie pójdę!

— Tak ci się zdaje! o! to imaginacya; więc kiedy już masz
iść, za cóż nie teraz, kiedy jak wiemy (wymówiła z przyciskiem)
stręczy ci się tak przyzwoity młody człowiek..

— Mnie!—krzyknęła cała zapłoniona łamiąc ręce pani Sta-
reńska;—mnie! któż to śmiał powiedzieć!

— O! zmiłuj się! do czegoż to udawanie! Alboż nie wie-
dzą wszyscy, że Juliusz się w tobie kocha? Darmoby się zapie-
rać... Czemu już lepiej nie kończycie....

Trudno odmalować z jaką gorączką gniewu i zniecierpliwie-
nia porwała się Marya i podbiegła do swachy z zaciśnionemi
rękoma.

— Masz pani—zawołała żywo—masz pani dla mnie choć co-
kolwiek przyjaźni?—

— Zmiłuj się! alboż o tém wątpisz?

— Dajże mi pani jój dowód i nie wspominaj mi więcej nigdy
o zamążpójściu. To obelga dla mnie. Pan Juliusz jest, nie za-
przeczam, bardzo miłym człowiekiem, mam dla niego bardzo wiele
szacunku, lubię jego towarzystwo, bo go Staś mój pokochał; ale
od tego do złamania ślubu, o! daleko jeszcze pani!

— Jakiż to ślub w głowie!, moja Marysiu!—z podziwieniem
odezwała się Emerykowa.

— Ślub, który mię z mężem łączy.

— Ależ on umarł.

— Tak jest, umarł, dochowawszy swęj przysięgi; ja żyję
i pozostaje mi moję spełnić, trwając do śmierci wierną jego pa-
mięci. Tego dopełnię.

Po tych wyrazach wyrzuconych z zapałem, głosem który nie
dozwolił odpowiedzi, zamilkła uparta sąsiadka, zamyśliła się

i kwaśno pożegnać miała dziwaczną, jak ją w duchu zwała, kobietę; gdy przypadkiem Juliusz nadjechał. Oczy jój zabłysły—została.

Wdowa chmurno przyjęła gościa, domyślając się jakiegoś zmywy tam, gdzie nie było żadnej; niecierpliwość i oburzenie nią miotaly i po chwili wytrwać nie mogąc, wstała i zbliżyła się poważnie do młodego człowieka.

— Zdziwisz się pan—odezwała się z uczuciem godności i niejaką dumą, że sama pocznę rozmowę niezwyčajną i przykrą dla mnie, ażeby ją raz nazawsze zakończyć.

Juliusz powstał, nie mogąc sobie zrazu wytłumaczyć co to znaczyło, wlepił w nią oczy i zadrzał.

— Posądzają już pana najniewinniej zapewne, że masz czulsze dla biednej wdowy uczucie nad prostą litość. Ja pana tak płochym nie sądzę. Za taki wybór, w który jednak nie wierzę, musiałabym być wdzięczną według ludzkiego sądu, a w istocie serce mi prawie gniewać się zań każe. Nie ludź się pan, jeśli myślisz o mnie; ta suknia czarna, to dziecię, które nad życie Kocham, ta mogiła na którą codziennie patrzę, dość mówić powinny, że nigdy się nie uczuję rozwiązaną z przysięgi, która mnie wiąże do śmierci. Jestem żoną umarłego, ale zawsze żoną.... nikt o mnie starać się nie może, boby mi tém najboleśniejszą wyrządził krzywdę: posądziłby mię o brak sumienia, o brak serca, o nędzne udawanie. Ja cierpię, a urągać się boleści nie godzi.

I łzy wytrysnęły z oczu wdowy. Juliusz stał pomieszany, pani Emerykowa zagryzła wargi i targała woreczek.

— Przebacz mi pani—rzekł nareszcie ochłonawszy nieco Juliusz—jeślim był dla niej powodem mimowolnym przykrości; bolą mnie te łzy, za które chętnie wylałbym krew moję. Jeślim miał myśl jaką, zostanie ona we mnie pogrzebaną na wieki; nikom jednak, wierzaj mi pani, do odgadywania jój nie ośmielił.

Spojrzał na sąsiadkę.

— Odtąd pozwól mi pani pocieszać się jój szacunkiem i życziwością; ja więcj nie żądam.

— Masz pan—podając mu drżącą rękę, rzekła Marya—szacunek, przyjaźń, życziwość, boś na nie zasłużył, i z tego nie robię tajemnicy; ale powtarzam, że serce moje w grobie męża, ręka w jego pierścieniu; jestem żoną i matką, nikt nie powinien zbliżać się do téj sukni czarnej jak sukni kapłana, z myślą płochą, bo go ze wzgardą odepchnę.....

To mówiąc usiadła poruszona i drżąca.

— Nie rozumiem, co mogło być powodem oburzenia jój na mnie—rzekł po chwili Juliusz—boli mnie to tém więcej, że wygnanemu ze Starego tęskno będzie jak po rajach.

— Ja wcale pana nie wyganiam—uspokajając się nieco zawołała wdowa—mniejsza mi o to, że ludzie różnie sobie nasz szacunek tłumaczyć będą, bo ludzie ludźmi są zawsze: muszą szukać czegoś brudnego, żeby się niém pokarmić; proszę pana owszem żebyś u mnie bywał, ale bez myśli żadnej, bez żadnego zamiaru... inaczéj, mniebyś pan obraził, a siebie zawiódł.

Pani Emerykowej pozostawało wyjechać tylko: nie miała co powiedzieć, burzyła się cała, i już myślała jak w sąsiedztwie całą tę scenę, którą nazywała komedią opisywać będzie; przeszedłszy się więc parę razy po pokoju i niby przepatrując kwiatki stojące na oknach, wejrzała na zegarek jakby z przypadku, szybko pożegnała wdowę, i zostawiwszy ją sam na sam z Juliuszem, pośpieszyła do domu.

Zmieszany, smutny gość, chwilę jeszcze pozostał, pobawił się w kątku ze Stasiem, nie śmiał już słowa powiedzieć, żeby nie dać powodu do nowych tłumaczeń i objaśnień bolesnych; nareszcie wziął za kapelusz i chciał się wysunąć, ale wdowa poczęła sama:

— Muszę się panu wytłumaczyć z mojej gwałtowności—odezwała się prawie ze łzami.

— Domyślam się, że powodem wszystkiego musiała być usłużna sąsiadka.

— Tak jest; dała mi uczuć boleśnie, jakie świat ma wyobrażenie o mnie, jak ludzie ocenili serce moje...

— Nie sądź pani o wszystkich z téj oplakanéj próbki—żywo odparł Juliusz—to wyjątek...

— Jakkolwiekby, słówko jój niebaczone dotknęło mnie do żywego. Więc mi nie wierzą! więc sądzą że kłamie łzami i kłamie suknią, samotnością, żalem, wszystkiém!

— Ale pani, powtarzam, to wyjątek.....

— O biédne my kobiety—ciszej zapłakała wdowa—biédne my kobiety...—I twarz ukryła w dłoniach, zamyślając się łzawo i długo. Widok ten przeszył młodego człowieka, uczuł jakby zgryzoty sumienia w myśli, które mu przez serce przebiez mogły; zwilżyły się i jego oczy, niepostrzeżony wysunął się z pokoju.

Smutny włókł się ku prostemu swojemu mieszkaniu, z myślami dziwnie przykreimi, z jakimś odrętwieniem na wszystko.

Kochał, więc bolał z odebrania nadziei, ale że kochał pocziwie, więc myślał, że będzie mógł widywać Maryą i daleką nad nią czuwać opieką, trochę otuchy wlewała do serca zakrwawionego niespodzianie i srodze.

Zkąd i jak wzięta się ta miłość? jak niespodzianie na tak gwałtowne uczucie urosła, jak zapelniła w nim próżnię serca i duszy, i zagarnęła w siebie życie całe; Juliusz sam o tém nie wiedział.

Niedawno zraniony boleśnie, schronił się na wieś pragnąc zapomnienia i spokoju; chcąc wypocząć i opamiętać się po szalach burzliwej dosyć młodości; tu znowu spotkał niewyminioną namiętność, udęczenie nowe i rozpacz. — Nigdzie więc nie ma dla mnie spoczynku? nigdzie ciszy? myślał jadąc lasem i puszczać cugle koniowi; za ledwie jedne zamknęły się rany, już drugim sobie otworzył? Szalony! nigdyż nie zestarzeję, nie ochłodnę, nie skończę téj walki z sercem własnym, które na oślep się rzuca na każde światelko, jak ćma przeznaczona na spalenie? Nie! nie! widzieć jej nie chcę, zamknę się znowu, przeboleję, zapomnę; zostanie pocziwa, gorąca przyjaźń, i nie więcej....

Mówił te słowa żywo, namiętnie i podniósł machinalnie głowę, jakby wyrzekał uroczystą przysięgę; gdy wtém widok jakiś niespodziany, dziwny, wyrwał mu z piersi wykrzyk, a ręka wstrzymała konia.

Znajdował się właśnie w pośrodku lasów należących do Starogo, na uroczysku zwaném Ładowym gajem, ponad którym przebiegała mało uczęszczana drożyna wiodąca do Zalesia. Ładowy gaj leżał na wyniosłym wzgórzu i składał się z rzadko rozsianych po zielonej murawie odwiecznych dębów, u stóp których nic nie rosło, tylko jak w parku angielskim, szmaragdowa niska trawka. Na samém tego wzgórza wierzchołku był usyp jakiś, jakby krągła wielka mogiła, z rodzaju tych, które u Awarów *Ringe* zwano, w pośrodku próżny i zakłęsły, a tak obszerny, że się w nim kilkadziesiąt osób łatwo pomieścić mogły.

Dołem ponad samą drózką sączył się strumyk otoczony sitowiem i ubrany kwiatkami; kręto plątał się pomiędzy drzewy i nikał w oddaleniu wśród gliniastych obrywów.

Miejsce było bardzo piękne i coś poważnie smutnego otaczało tę tajemniczą starą, milczącą już od wieków mogiłę, pracę ludzi, których kości oddawna ziemia pożarła. Nie piękność jednak miejsca uderzyła tak bardzo Juliusza, ani widok tego nieodga-

dnionego usypu, ale postać, która w zamyśleniu dziwném stała u mogiły. Był to starzec z siwą brodą spływającą na piersi, tak pisanych i wyrazistych rysów twarzy, tak można rzec natchnionej postaci, że u stóp grobowca zdawał się z niego wychodzić jak nieziemskie zjawisko. Sparty na białym kiju zagiętym, pooglądał pod nogi swoje oczyma smętnie w ziemię wlepionemi, i ani postrzegł, ani posłyszał przybycia Juliusza.

W chwili, gdy podróżny nasz półgłosem wykrzyknął zdziwiony wpatrując się w starca, najróżniejsze w rysach twarzy objawiając uczucia; wieśniak, gdyż ubiór miał kmiecy, zoczywszy go nareszcie, wpatrzywszy się w Juliusza chwilę, szybko chciał usunąć się za mogiłę: ale jakby się rozmyślił zaraz, pozostał i śmiało zmierzył okiem stojącego w miejscu młodego człowieka.

Oczy ich spotkały się, a Juliusz niepewien to otwierał usta chcąc coś przemówić, to je milczące przymykał. Widać było, że się wahał, że poznawał, i nie był pewien, że go nie zdradzają oczy, że chciał powitać i nie śmiał... Starzec wciąż obojętnie przypatrywał się jeźdźcowi, który stał w miejscu. Nareszcie po długiej chwili Juliusz zeskoczył z konia i szybko przybliżał się ku dziwnemu dla siebie zjawisku; o kilka kroków jeszcze raz stanął, wlepił wzrok wyteżony i zawołał:

— Ale to ty! to ty jesteś! nie mogę cię nie poznać! choć za prawdę, z tą brodą, w tym stroju, w tej stronie, kto innyby się omylił— ale nie ja!

I rzucił się ku starcowi.

On stał jeszcze nieruchomy, tylko uśmiech jakiś przebiegł mu po ustach.

Juliusz się zastanowił.

— Miałoby mnie tak nadzwyczajne uwodzić podobieństwo, i jestli dwóch ludzi tak dziwnie bliźnięco do siebie podobnych? Nie! nie! ja się nie mylę.

Postąpił jeszcze, a wtém starzec przemówił łagodnie, zdejmując czapkę i kłaniając mu się do kolan z pewnym rodzajem dobrodusznój ironii:

— Tak, jasny panie, to ja! nie mylisz się!

— Cóżto za dzień nadzwyczajności!— zawołał Juliusz.... co to za komedia? powiedz mi, patrzę i oczom nie wierzę... Ty... tutaj, w tym stroju: wytłumacz mi proszę tę zagadkę. Ale na-przód uściśnijmy się po staremu.

To mówiąc przyskoczył gorąco i ucałował starego, który przejęty jakimś uczuciem, silnie go objął w milczeniu, i gdy ręce opadły, łza mu w oku zabłysła.

— Na Boga! nie jesteście w niebezpieczeństwie jakim? kryjesz się i uciekasz! Mów! co to jest? Szczęściem, mogę ci być pomocą.

Hryć Soroka, gdyż to on był, znowu ironicznie się tylko uśmiechnął.

— Ej mój panie Juliuszu—rzekł rubasznie—nie szukajcie darmo po głowie dziwolągów: ani się kryję, ani przebrany, a jeśli grozi komu niebezpieczeństwo, z pewnością nie mnie.

Słów tych nie uważał Juliusz, który począł nalegać gorąco:

— Na Boga, mój zacny i poczciwy nauczycielu! wytłumaczcie mi co się z tobą stało i co to znaczy?

— Zdaje mi się—odrzekł smutnie Soroka—że gdybym ci się jak najszczerzej wytłumaczył, niebardzobyś mnie zrozumiał.

Juliusz zamilkł.

— Ale ta suknia—rzekł po chwili—ta broda, to oddalenie z miejsca w którym zdawałeś się osiadłym na zawsze?....

— Mój kochany panie Juliuszu—odparł starzec—nigdy człek nie wie co los z nim zrobi; na zawsze spocniemy tylko w grobie.... a na ziemi, nie ma zawsze.....

— Cóż tu robisz?—spytał znowu coraz silniej zajęty młodzieniec...—Jako! mnie nie chciałbyś powiedzieć, zwierzyć się, mnie nawet.?

Stary uśmiechnął się trochę weselęj.

— Lubilem cię bardzo, mój kochany uczniu—rzekł powolnie—byłeś u mnie Benjaminskiem, nie zgubiłem cię z oczu nawet gdyś się w świat puścił, bom przywiązał się do ciebie; ale nie łudziłem cię nigdy: zawszem w tobie widział nieszczęśliwego, wrażliwego chłopaka, co w zapale gotów był życie dać dla człowieka, dla ludzkości, dla myśli szlachetnej, i jutro toż samo życie postawić na kartę dla igraszki, dla zabawki, dla roztargnienia, dla pięknych oczek, w których błysło trochę życia i nadziei. Jakże chcesz, abym tak płochemu choć najpoczciwyszemu zwierzał się z tego, co może jest tajemnicą życia mego.

— Na Boga! ale kiedyżem zaufanie zdradził?—zawołał Juliusz.

— Poczekajno, poczekaj, nie rozpalaj się i nie krzycz, widzę, że tu nie miejsce do rozmowy; pójdźmy na ustroń trochę.

To mówiąc Hryć ruszył się z pagórka, a Juliusz wiodąc konia za sobą postąpił za nim milczący; lecz jeszcze pod wpływem podziwienia i rozdrażnionej ciekawości, szli, a oczy młodzieńca nie opuściły na chwilę tajemniczój postaci, którą miał przed sobą, jakby ją wzrokiem chciał przesyć do głębi i odgadnąć.

Spuściwszy się za wzgórze, przeszedłszy strumyk i okrążywszy część wyniosłości na której rósł Ładowy gaj, znaleźli się w parowie zarosłym krzewami z góry, i tak gałęzmi ich zasklepionym, że promień słońca nigdy się tu nie mógł przecisnąć. Zpod jednej ściany obrywu, z dębowego ocembrowania, sączyło się źródelko, z którego powstawał strumień. Gliniaste, wysokie i strome boki parowu, osłaniały ze wszech stron tę ustron, w której głębi, ciemność była zupełna. Szeroki kamień leżał nieopodal od wnijscia, na nim zasiedli przybyli; i Juliusz schwycił starca za rękę niespokojnie, z bolesnym wyrzutem w twarzy.

— A! ciężkoś mnie dotknął mój drogi nauczycielu—rzekł—więcem ja tak płochy, tak nieroztropny, że mi nawet nie śmiész powiedzieć nic o sobie, wiedząc, jak cię kocham? Mógłbym cię zdradzić? powiedz.

Hryć wsparł się na swojej lasce, odwrócił twarz ku swemu towarzyszowi i odpowiedział powolnie:

— Wiele to lat, jakeśmy się nie widzieli?

— Nie wiem, blisko podobno dziesiątka—odpowiedział Juliusz.

— Dziesięć się skończy teraz—rzekł Hryć Soroka—a wiele téż razy od téj pory kochałeś się Juliuszu, byłeś szczęśliwy i nieszczęśliwy, zrozpaczony i pełen nadziei; wiele razy traciłeś majątek i wygrywałeś go znowu? wiele razy zmieniałeś sposób życia i z pustelnika przerobiłeś się na miejskiego wytwernisia?

Juliusz się zaczerwienił.

— Nie wiem wiele to razy w przeciągu tych lat dziesięciu spotkać mnie mogło, ale to pewna—rzekł z zapalem szlachetnym—żem ani razu nie zdradził nikogo.

— Jakto, nawet kochanki?

— Zdradzano mnie, alem ja niewinny.

— Tyś na to przeznaczony—smutnie, powoli odpowiedział starzy—Prawda! prawda! mój biędny męczenniku namiętności! No, daruj za wymówkę, która być mogła gorzką, ale doprawdy gdybyś się żalił, żem ci płochosć zarzucił, nie miałbyś do tego prawa.

Juliusz zamilkł.

— Powiedźże mi naprzykład— ciągnął dalej Hryć— ledwie tu przybywszy, jakże można było świeżo, przebolawszy tyle...

— Ale zkądże ty to wiesz?

— Ja wiem wszystko — uśmiechnął się stary—i temu się nie dziwuj, bo tak zawsze bywało. Jakże można, byś świeżo przebolawszy, przybywszy tu z rozpaczą nieuleczoną, boś ją tak nazywał, z zamiarem zmiany życia i osamotnienia; jak można, byś tak prędko znowu, ledwie zastudziwszy serce z jednego uczucia, rozgorzał zaraz drugim?

Juliusz powstał.

— Ale mój kochany tatku, pozwól się po dawnemu nazywać, zkądże ta wszechwiedza—rzekł, pokrywając żartem wrazenie—wiesz jak tu przybyłem, i wiesz już nawet co myślę w téj chwili?

— Wszak tak zawsze bywało—odpowiedział stary—przypomnij sobie, niceście przedemną ukryć nie mogli; cóż dziwnego, że i teraz po kroku jaki uczynisz, dopytuję się uczucia, które za niém idzie nieuchronnie?

— Zkądże wiesz kroki?

— Bo na nie patrzę...

— Chcesz więc hym oszalał?... ja tego nie rozumiem.

— Może kiedyś wszystko ci się jaśniej wytłumaczy—powolnie mówił Hryć wstając—teraz czas się nam rozejść.

— I porzucisz mnie tak?

— Nie na długo... zobaczymy się.

Juliusz odchodzić nie chciał, stał wryty; wtém jakby na jego szczęście silny grzmot dał się słyszeć, błysnęło szeroko, grom rozległ się po lesie i górach, wichur zaszumiał i ogromne deszczu krople spadać poczęły na głowy z między rzadszych u wnijścia gałęzi.

— Burza! burza straszna!—potrząsając głową rzekł Hryć—a ja zapomniawszy o niéj, wstrzymałem cię zadługo, i do wsi i do karczmy daleko, nie wiedzieć dokąd się schronić.

Stanął i podumał chwilę.

— Musimy się wstrzymać—odezwał się po namyśle stary wieśniak—burza będzie straszna i długa, do wsi mila, karczmy żadnej, jechaćby ci było niebezpiecznie i przykro; może wreszcie znajde przyporzysko.

To mówiąc zawrócił się nazad w wąwóz ciemny.

— Jeśli w tym parowie — rzekł Juliusz — to na taką burzę wszystko jedno co pod gołym niebem.

— Znajdziemy coś lepszego—tajemniczo szepnął stary—tylko panie Juliuszu, zapomnij proszę żeś tam był, dokąd cię zaprowadzę; jestto skrytka na wypadek wojny, nieszczęścia jakiego: wydawać się jój nie godzi; kto wie, pod te czasy bardzo przydać się może...

— Znowu posądzacie mnie!

— Jużciż nie, kiedy ci ją odkrywam. Za mną, za mną, a żywo! burza się zbliża, niezadługo las zadrży i drzewa polecą nam na głowy:—uciekajmy!

Posunęli się, uwiązawszy wprzód konia u wnijscia, w głąb jaru ciemnego, który na trzy czy cztery rozdzielał się gałęzie. Hryć po namyśle skierował się w prawo i stanęli przed ścianą gliniastą, zakończającą nagle rozpadlinę. Tu niewielka bryła ziemi, porośła trawami, mchem i drobnymi krzewami, pchnięta silną dłonią starca, odczyla się nieco i za nią pokazał się czarny otwór.

— Schyl się i wchodź za mną - rzekł stary, zręcznie wsuwając się przodem.

Szeroko znów rozświecająca świat błyskawica, wskazała wyraźniej paszczę pieczary, do której za swym przewodnikiem wszedł Juliusz. Stary schwycił go za rękę, bo zrazu nic rozeznac nie mógł, i ciemno mu było jak w grobie; oczy jego olśnione, oswoić się nawet nie mogły z przepaścistą nocą tego dziwnego podziemia, w którym powietrze chłodne i orzeźwiające, zdawało się dowodzić, że się daleko rozciągał. Czuć było nawet jakby lekki przewiew, po którym pomiarkował Juliusz, że gdzieś dalej inne wnijscie lub otwory być muszą.

— Stójże teraz w miejscu—rzekł Hryć puszczając jego rękę, a ja się o światło postaram.

To mówiąc odstał kilka kroków i po niedługiém oczekiwaniu, zapalił grubą nieforemnie zlepioną świecę woskową.

Zewnątrz rozlegający się łoskot nadchodzącej burzy, która drzewa wywracała z korzeniami, bijących jeden po drugim piorunów, szum ulewnego strumieniem spadającego deszczu, nagłe przejście w ciemność, doznane dnia tego uczucia; przyłożyły się do wywarcia na Juliuszu mocnego wrażenia widokiem dziwnej pieczary, którą przy słabym blasku zażegnionej świecy, ciekawie oglądał. Światelko powolnie rozlewające się ukazało mu wyżłobione ręką ludzką podziemie, którego sklepienie nieforemne spierało się tu i owdzie na zostawionych ogromnych ciężkich z gliny słupach. W ścianach oczerniałych od dymu, widać było porobione wgłębienia, a pod niemi wciąż idące przyzby szerokie, służyły zapewne za siedzenia i miejsce

spoczynku. Pod nogami walały się węgle zagasłych ognisk i kości. Juliusz z przerażeniem postrzegł u stóp swoich niedogorzałą czaszkę ludzką. Powiódł wzrokiem milczący, chcąc zbadać głębią podziemia, i nie dopatrywał końca: pieczara zniżając się i zakręcając w różnych kierunkach ciągnęła się daleko w górę, na której stał Ładowy gaj. Gdzieś z pękniętego jęj stropu zwieszały się blade korzonki drzew, które przebiwszy go cienkimi niemi wyciągnionymi w próżnię, zdawały się szukać uciekającej im ziemi.

Juliusz nie mógł się napatrzeć nowego dla siebie i zajmującego widoku. Stary Hryć stał przed nim i patrzył w twarz jego badając wrażenia, jakie na nim to dziwne schronienie wysłane kośćmi ludzkimi, uczyni. Młody człowiek chciał się posunąć dalej, ale go towarzysz wstrzymał.

— Zostańmy tu—rzekł—nie ma tam nic do widzenia, siadaj na tój ławie gliniastej i spoczni; puszczać się dalej i niepotrzebna, i niebezpieczna.

— A dalekoż ciągnie się ta pieczara?—spytał Juliusz, gdy stary zasłaniając światło od przewiewu, przytwierdzał je do jednego z bliższych słupów.

Nie wiem—rzekł Hryć—końca jęj nikt nie doszedł.

— Szkoda, to ciekawa starożytność: możeby się co w nięj odkryło.

Ta uwaga widocznie zniecierpliwiała starego, który brew zmarszczył i posepniej odpowiedział:

— Cóż się tu znaleźć może: nagie ściany, kości trochę i popioły. Ja byłem daleko w głębi: toż samo co tutaj, tylko nietoperzów więcej.

— Ale muszą być jakieś podania o tój jaskini? Cóż znaczą te kości?—badał Juliusz, cały zaprzątniony nowém odkryciem rozglądając się—to widocznie są czaszki ludzkie.

Starzec zamilkł i zdawał się przysłuchiwać burzy, która wrzała coraz się jeszcze powiększając nad ich głowami; chwilami z wstrząśnionęj ziemi sklepienia, sypały się na nich drobne odtamy. Koń Juliusza rżał niespokojny u wnijscia.

Po chwili w westchnieniem usiadł Hryć przy młodym człowieku, i kładąc mu rękę na kolanach, zapytał:

— Julku mój, nie słuchajmy tój hurzy, korzystajmy z chwili: powiedz mi swoją historiją i poskarż na to, coś wycierpiał; znajdziesz i dziś może pod tą sukmaną serce, co ci z dobrą radą pospieszy....

— Ale naprzód, stary mój nauczycielu, wytłumacz mi siebie!

— Dziwnieś ciekawy!

— Daruj, ale któżby nim nie był?

— Tymczasem to bardzo prosta historia—dodał smutniej Soroka—chciałeś jój, słuchaj więc; ale bądź cierpliwy, bo żebym mógł ci wytłumaczyć sukmanę, którą na mnie dziś widzisz, wiele wprzód rzeczy powiedzieć muszę, nawet takich, których nie rad mówię. Uzbrój się w cierpliwość, kochany Julku, i daj mi słowo, że to co powiem nie powtórzy się nigdy i nikomu.

Juliusz wyciągnął rękę do starca.

— O tém i wspominać niepotrzeba—rzekł uroczyście — możecie mi powierzyć co chcecie: umrze to ze mną pewnie.

— Niech z tobą żyje, to większa sztuka—dodał Soroka—a teraz słuchaj spowiedzi, którą sam wyzwałeś.



WYCIECZKA ARCHEOLOGICZNA

W NIEKTÓRE STRONY GUBERNII RADOMSKIEJ

odbyta w miesiącu wrześniu r. z.

PRZEZ

F. Max. Sobieszcańskiego.

(Z dwiema rycinami).

(Ciąg dalszy).

III.

Opatów.— Czy byli tu kiedy Templaryusze, a co robili biskupi lubuscy?— Wspomnienia historyczne i zabytki. — Stan teraźniejszy miasta. — Opis kollegiaty. — Nagrobki Szydłowieckich.— Kościół i klasztor OO. Bernardynów. — Ćmielów. — Wspomnienia i zabytki. — Fabryka fajansu i porcelany. — Bodzechów. — Patryarchalna rodzina właścicieli.

Ciekawy obejrząc i w chęci pokłonienia się Wielkiemu Opatowu, jak go dawne przywileje nazywają, w dzień pogodny pojechałem do tego miasta. Drogę mieliśmy ciągle piękną i malownicze okolice. Spiesznie jednak dążyłem do miejsca i muszę przyznać się, że pomimo namowy moich towarzyszy, chociaż przejeżdżałem przez wieś Garbacz, własność głośnego u nas filozofa, nie wstąpiłem w jego gościnne progi i opuściłem sposobność poznania ze wszech stron znakomitego męża. Nie znam się także na rolnictwie, lecz z wzorowego jego gospodarstwa zwróciły moją uwagę: ogromna stodoła murowana i jeszcze większa gorzelnia, które mówiąc nawiasem, wedle tutejszego zdania, są w stosunku do majątku właściciela zawielkie. Powiedzieli mi także, że uczony gospodarz uracza gości swoich sążnistemi rozprawami z filozofii lub ekonomii politycznej, co już dostatecznym

było, aby odstraszyć takiego jak ja biédnego i cichego archeologa. Bądź co bądź, dosyć że nie byłem w Garbaczu i zapewne kiedyś będę tego żałował.

Po trzygodzinnéj podróży ukazał się nam Opatów, w nizinie pomiędzy górami i wąwozami położony. Rzadko które miasto u nas ma tyle podań, tak bogatą historią i tyle niewyjaśnionych w swoich dziejach wątpliwości.

Za Długoszem idąc, w XII stuleciu byłato siedziba głośnych sławą i tragicznym zgonem Templaryuszów, których jakoby Henryk książę sandomierski, syn Bolesława Krzywoustego, w r. 1154 z Palestyny sprowadził. Za nim z podania i tutejsze akta miejskie i kościelne powtarzają, a w ślad za tém wszystkiém są opisy i wspomnienia nowożytnych. Potrzebaż lepszych dowodów! Brakuje tylko, aby pisarz z żywą a uposażoną w wiadomości wyobraźnią, utworzył ztąd piękny obraz tych zakonników rycerzy, w Opatowie niegdyś (wedle dotychczasowéj jego historyi) przez lat 83 mieszkających. Niechby tylko mocno przejął się tém przekonaniem, toby nawet ślady ich tu pobytu znalazł; kollegiata naprzykład w formie krzyża, to niezawodny dowód, że Templaryusze ją zbudowali. Zatem na murach Opatowa powiewała niegdyś nawpół czarna i biała z czerwonym krzyżem chorągiew, a liczni rycerze z żelaznym kołpakiem na głowie, nawpół uzbrojeni, w krótkiéj białéj sukni i takimże płaszczem z krzyżem czerwonym na ramieniu, z szerokim obosiecznym mieczem u boku mieszkali tu sobie spokojnie: jedli, pili i spali, albo spali, jedli i pili i nic nie robili. W ciągu jednak téj mozolnéj pracy wybudowali w Opatowie wspaniały z ciosu kościół, i w obszernym zamku, uposażeni licznemi włościami, pożyczali książętom pieniędzy, bo jak wiadomo, Templaryusze zamiast pilnować grobu Zbawiciela i bronić pielgrzymujących do ziemi świętéj, co dopóki byli biedni bardzo gorliwie dopełniali, wzbogaciwszy się, bylito sobie w średnich wiekach bardzo zamożni bankierzy, którzy się doskonale na procentach i pomnożeniu kapitałów znali. Tymczasem ni ztąd ni zowąd, kiedy zakon ten był jeszcze najpotężniejszym w Europie, i jak dzisiejsi Rotszyldy, wszystkich miał w kieszeni; Henryk Brodaty książę wrocławski a opiekun Bolesława Wstydliwego, chyba rozgniewany że mu nie chcieli dłużéj kredytować, wypędza z Opatowa w roku 1238 Templaryuszów i nadaje to miasto wraz z 16 wsiami biskupom lubuskim znad Odry.

Za co? zkad? nic o tém nasi kronikarze nie mówią, podania tém bardziéj; dla nowożytnych zaś byłabyto zbyt wielka praca, a jeszcze

większa śmiałość, aby rozwiązać tę zagadkę lub jej wiarogodności zaprzeczyć. Niestety! dlaczegoż przyszło aż na mnie, abym swoją ziemną krytyką dmuchnął na tę piękną bańkę! Bo naprawdę Templaryuszów w Opatowie, ba! nawet w całej dawniej Polsce nigdy nie było. Żałuję tego niezmiernie, ale to święta prawda, o którą opisujący podróże przedewszystkiém powinien się starać. Zresztą, czémże jest historia, jeżeli nie podróżą do przeszłości, i czyliż najznakomitsi starożytni historycy: Herodot, Tucytydes, Salluscysz, Tacyt i wielu innych nie w podróży dzieje swoje opisali?

Cóż więc dało powód wprowadzenia Templaryuszów do naszej historii? — zapytacie mnie zapewne?

Otoż lubo wiem o tém, że daleko łatwiej zaprzeczyć niż przekonać, pozwólcie jednak szanowni czytelnicy, że wam spróbuję rzecz tę objaśnić; zaręczając, że wszelkiej w tém pedanteryi będę unikać, a erudycją na inny raz schowam.

Naprzód sędzę, że do téj niewinnej omyłki piérwszy dał powód nasz zacyjny historyk Długosz, gdy pod rokiem 1154 wspominając o wyprawie do Palestyny Henryka księcia sandomierskiego, tak się w téj okoliczności wyraził. „Kiedy trzech księżęta polscy synowie Bolesława Krzywoustego: Władysław, Mieczysław i Bolesław zajmowali się ziemskimi i domowemi sprawami, młodszy ich a z porządku czwarty brat, Henryk, któremu się dostała lubelsko-sandomierska dzielnica, był głuchym na porady i namowy, aby braci swych naśladować. Albowiem wyższemi nadto zajęty myślami, właśnie postanowił zebrać licznych wojowników i pospieszyć na ratunek ziemi świętej, nad którą królowie i panowie chrześcijańscy zbrojną swoją opiekę rozciągali. Przygotowawszy takowy poczet, rządy swojej dzielnicy powierzył bratu Bolesławowi, i udał się do Palestyny; lecz przed odjazdem wybudował we wsi swojej Zagość (1) kościół pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, i hojnie uposażywszy oddał *Braciom szpitalnym krzyżowym, których także Templaryuszami nazywano*, a którzy z chwałą ziemi świętej bronili i t. d.” W tém wyrażeniu nietyle ówczesnie błędném jak teraz, mamy najlepszy dowód, że Bracia szpitalni nie mogli być to samo co Templaryusze, którzy

(1) Wieś ta położona jest w gubernii radomskiej w powiecie stopnickim nad rzeką Nidą. Pomiędzy licznemi pomyłkami wydania lipskiego Długosza, wieś ta nazwana jest *Jagość*; z pewnością jednak ma to być *Zagość*, gdyż innéj w tych okolicach nie było, a nareszcie późniejsi historycy nomenklaturę tę już byli poprawili.

jako wyłącznie wojenny zakon nigdy nie trudnili się szpitalami, a byli niemi kawalerowie św. Jana Chrzciciela czyli Jerozolimskiego, później Maltańskimi nazwani, bo tylko ci przez powołanie, chorych w szpitalach swego zakonu pielęgowali; albo téż Kanonicy Bożego grobu, którzy także przedtém Templaryuszami szpitalnemi nazywali się, jak o tém następnie powiemy. Nawet Długosz wspominając o téj fundacyi w Zagościu, nie nazywa ich sam Templaryuszami, lecz tylko dodaje, że Braci szpitalnych także Templaryuszami nazywano (*fratribus Cruciferis, Hospitalariis, qui et Templarii vocabuntur*).

Nie zważając na to, wsparty dalszemi wiadomościami z Długosza, Naruszewicz w swojej Historji Polskiej pod rokiem 1153 już bez żadnej wątpliwości nazywa Templaryuszami kawalerów zakonnych zaprowadzonych do Zagości, utwierdza w mylném rozumieniu, że to był rzeczywiście ten zakon piérwszy raz wtedy do Polski zaprowadzony, daje powód do szukania ich zakładów w innych miejscach dawnego państwa, i przyczynia się do następnych wniosków: że gdy wprowadzeni Templaryusze w Zagościu musieli mieć nadane do utrzymania się fundusze, te zatém składały się z miast Opatowa i Solca, jako należących wówczas do dzielnicy księcia Henryka; chociaż o tém nie ma nigdzie ani w krajowych, ani w historyach tego zakonu żadnej wzmianki. Nawet jedno to zdanie na inném miejscu popiera sam Długosz, wspominając znowu pod rokiem 1237, że Henryk Brodaty uposażając biskupów lubuskich nadał im dobra klasztoru opatowskiego z Opatowa, z 16 wsi składających się, a po wypędzonych Templaryuszach pozostałe i t. d.

Pomimo tak poważnych dowodów, ja jednak śmiem i dziadkowi naszych kronikarzy i ojcu naszych historyków jeszcze raz zaprzeczyć; aby zaś mnie kto o zbytnią zarozumiałość nie posądził, zasłonię się zdaniem bardzo zacnego a czcigodnej wiary pisarza, jakim był jeszcze w XVI stuleciu nasz Marcin Kromer. Już bowiem wtedy szanowny biskup właśnie co do tych samych wiadomości domyślał się błędu, i o bałamuctwo pomawiał Długosza. „Ale, mówi Kromer w tłumaczeniu Błażowskiego, nie jeden usterk Długoszków znajduje się w historyi tych czasów. Tak bowiem na tém miejscu wszystkie sprawy powikłał i pogmatwolił, że do wymacania prawdy i do roztrząśnienia porządku rzeczy potrzebaby jakiegoż (co więc przypowiadają) oddennego w pismie pławacza.“ Co przeczytawszy, lubo za tego nie mam się pławacza, dałem jednak nurka w tę otchłań sprzeczności i błędów, i wypłynąłem trzymając w dłoni jeżeli nie zupełną, to bardzo blizką prawdę; taką więc jaką posiadałem puszczam

w świat: niech klóci niewiernych, albo wywoła jeszcze jedno zaprzeczenie, które bliżej do niej przystąpi i sprawę tę do reszty wyjaśni.

Atoli nim do ostatecznych wniosków przystąpię, wspomnę tu jeszcze inne przyczyny, które lubo pomnożyły wątpliwość, przyczyniły się jednak do istotnego śladu początków i dziejów Opatowa. Pierwszą i najdawniejszą wzmiankę o tej posiadzie znalazłem w przywileju Kazimierza Sprawiedliwego z dnia 12 kwietnia 1189, drukowanym pod nr. 29 w szacowném dziele ks. Mateusza Gładyszewicza (*Żywot Bł. Prandoty*), w którym książę ten oświadcza, iż bierze dobra Gropskie, do funduszu kapituły katedralnej krakowskiej należące, pod swój zarząd, dlatego, aby je polepszyć. Przywilój ten datowany jest nawet w Opatowie, zatem snadź należał wtedy jeszcze do księcia; pomiędzy zaś obecnymi przytoczonymi świadkami tego aktu, wymieniony jest Milowan opat z Góry (*Milvani abbatis de monte*), który według Szczygielskiego *Tinecii* był opatem w Tyńcu, a nie ma żadnej wzmianki o Templaryuszach lub innych tym podobnych zakonnikach. Dalej czytam w Boguchwale, kronikarzu żyjącym w połowie XIII stulecia, pod rokiem 1254, że przy podniesieniu kości św. Stanisława męczennika był między innymi biskupami przytomny Gerard pierwszy biskup ruski z zakonu Cystersów, a niegdyś opat z Opatowa.

Zatem byli Cystersi w Opatowie, i zdanie to potwierdzają najlepsi historycy tego zakonu: Manrique, Henriquez i Sartoryusz, wspominając, że w r. 1212 Innocenty papież wybrał kilku opatów z zakonu Cystersów i wysłał ich do granic Pomorza i Polski, aby ludom Północy z temi krajami sąsiadującym, słowo Boże opowiadali.

A tenże sam Boguchwał wyżej pod rokiem 1236 pisze, że Henryk Brodaty klasztor opatowski, którego to klasztoru opat był oraz biskupem ruskim, tudzież wszystkie dobra do tegoż należące, biskupom lubuskim nadał. I ta ostatnia wiadomość już jest niewątpliwą, bo na współczesnych dyplomatach opartą.

Przekonywamy się tedy iż byli Cystersi, a potem biskupi lubuscy w Opatowie, którego nawet wywód nazwiska od opatów pochodzący, doskonale się zgadza.

Otóż na tle tych trzech głównych faktów przez współczesnych świadków podanych, wsparty licznymi pracami uczonych, opowiem całą jednych i drugich historią, do epoki, która już żadnej nie ulega wątpliwości.

Kiedy Bolesław Chrobry podbił nadelbiańskie prowincje, wtedy w Lubuszu, starodawném mieście słowiańskiem nad Odrą, założył katedrę biskupią, i nazwał ją Rusko-Lubuskim biskupstwem,

z powodu, iż obowiązkiem ich było apostołować na Rusi i przywozić ludy tameczne na łono rzymsko-katolickiego kościoła; uskuteczniając zaś te zamiary, kiedy w r. 1018 tenże sam Bolesław Ruś kijowską podbił, utworzył tam nowego biskupa, którym był właśnie jeden z onych biskupów lubuskich. Lecz niedługo tam katedra jego mogła utrzymać się, gdy Jarosław Izasławowicz nie chcąc nie o łacińskim wiedzieć obrządku, w samym zarodku go zniweczył, a duchowych z krajów swoich usunął. Wtedy i biskup lubuski ustąpić musiał z Kijowa i przeniósł się w strony sandomierskie, ażeby zawsze, snadź w nadziei polepszenia swój sprawy, chociaż w bliskości znajdować się. Kiedy zaś lubuskie-ruskie biskupstwo, jak mówią tameczne urzędowe akta, przymuszone do tułactwa z miejsca na miejsce przenosiło się, a w końcu zwątpiwszy o pomyślnym skutku swych zamiarów, do dawnych nad Odrę powróciło siedzib: wówczas biskupstwo ruskie opuszczone, a snadź na sercu Ojcu Świętemu będące, powierzono Cystersom, jako do rozkrzewienia obrządku łacińskiego najzdolniejszym. Cystersi opuszczoną siedzibę w Sandomierskiem zajmwszy, od godności swoich przełożonych Opatowem przewali; a pomimo iż następnie księża Dominikanie znowu biskupami ruskimi mianowali się, opat z Opatowa od tegoż tytułu nie odstępował i pierwszym biskupem ruskim, chociaż tytularnym tylko, przeżywał się. Działo się to wszystko aż do czasu śmierci Leszka Białego, po której gdy Henryk Brodaty księżę szlącki małoletnim Bolesławem Wstydlivym się opiekował, wtedy jeden z biskupów lubuskich imieniem Wawrzyniec w ścisłych od roku 1230 do 1240 z nim stosunkach będący, upominał się o dawne swoje własności, i do zamiaru wskrzeszenia na Rusi biskupstwa lubuskiego namówił. Księżę Henryk przystał na to, a rozpatrzywszy się, jak mówi Boguchwała, w funduszach pomienionego biskupstwa, odebrał opatowsko-ruskim biskupom dobra i pomnożywszy je nowemi, lubuskim oddał. Ci zaś, gdy snadź im przedewszystkiem tylko o majątek chodziło, odtąd spokojnie Opatów przez trzy wieki dzierżyli, i bynajmniej się ani o inny tytuł, ani o nawracanie nie troszcząc.

Otóż w treści cała historia wprowadzenia Cystersów i biskupów lubuskich do Opatowa; zostaje mi dodać jeszcze jeden wniosek, zkądby podanie o Templaryuszach urosło? Pod tym względem sędzę, iż równie zbyt od prawdy nie oddalę się, jeżeli rzecz tę w następny sposób pogodzę:

Cystersi, zakon od wsi francuzkiój Citeaux czyli Cistercium, o pięć mil od Dijon, nazwany, założył i nadał mu wziętość św. Ber-

nard, który rozszerzając swoją regułę, w r. 1128 tę samą nadał rycerzom broniącym pielgrzymów w Palestynie, co osiadłszy przy kościele w Jerozolimie, od tegoż Templaryuszami byli przezwani. Cystersi zaś a Templaryusze, co do reguły a nawet kroju sukni byliby to jedni i ci sami, tylko pierwsi zakonnikami byli, drudzy rycerzami wojującego kościoła. Nawet sami Krzyżacy pierwotkowo braćmi szpitalnemi N. Panny zakonu niemieckiego (*Hospitalium St. Mariae Ordinis Teutonici*) nazywani, nie byli niczem innem tylko odroślą Templaryuszów, a jak dowodzi Manrique w historyi Cystersów, w pierwszych swych początkach regułę Cystersów Templaryuszów przyjęli. Mogło więc łatwo się stać, iż jednych za drugich brano, zważając, iż nazwisko Templaryuszów jeszcze w dyplomatach XIII i XIV wieku nadawano także i zakonnikom św. Jana Jerozolimskiego, a nawet Kanonikom regularnym, którzy początkowo nazywali się Templaryuszami szpitalnemi (Templarii hospitales), od roku zaś 1312 czyli od czasu zniesienia Templaryuszów walczących (F. Militiae templi), zaczęli dopiero używać nazwiska Bożogrobców (*Sancti Sepulchri*), to jest stróżów grobu Chrystusa; jak tego dowodzi historia kościelna i dyplomata klasztoru miechowskiego przed rokiem 1312 pisane.

Przyjąwszy tedy za zasadę, że Templaryuszów w Opatowie nie było, zanim gruntowniejsze znajdą się na to dowody, wróćmy się do historyi miasta, już na pewnych polegając źródłach.

W archiwum tutejszem miejskiem są ślady, że do roku 1800 znajdowały się tu dość liczne przywileje, które rząd austriacki w chęci uregulowania urzędów miejskich do Sandomierza zabrał i odtąd Bóg wie gdzie się podziały. Pilnie ja ich szukałem w Warszawie w aktach tak zwanych galicyjskich, i mam jeszcze nadzieję, że mi się je odkryć uda.

Teraz ze wszystkich tych przywilejów został tylko w Opatowie jeden spis niedbale i szybko sporządzony, a przez niejakiego p. Hoppe poświadczony, z którego przekonałem się, iż była tu niegdy:

1) Erekcya miasta na dwóch arkuszach pergaminowych bez początku i końca, którą szanowny konsyliarz już żadną miarą odczytać nie mógł, więc może być, że miała i początek i koniec.

2) Przywileje Przemysława z roku 1287 i drugi z tegoż roku, które podobnież żadną miarą odczytać nie mogli; zanotowano tylko, że gockiem pismem oba były sporządzone.

3) Przywilój Władysława Łokietka z roku 1328.

4) Przywilój Kazimierza Wielkiego z roku 1341.

5) Dwa przywileje Zygmunta Igo z lat 1515 i 1524.

6) Summaryusz praw przez Jana Kazimierza w roku 1660 stwierdzony.

7) Prawo księcia Dymitra Korybuta z potwierdzeniem księcia Dominika Lubomirskiego, po polsku pisane w roku 1678.

8) Manifest w odpisie, wyjęty z akt grodzkich sandomierskich w roku 1660, względem zabrania praw i podarcie ich przez Szwedów.

9) Prawo do płacenia podatków żydom z miasta katolickiego, z roku 1637.

10) Summaryusz w odpisie wyjęty przywilejów różnych, z roku 1716.

Tyle tylko ze spisu tego nauczyćby się było można, i zapewne byłoby to niewiele, gdyby nie metryka koronna w Warszawie i historia lubuskiego biskupstwa. Ztamtąd więc dowiadujemy się, że lubo Henryk Brodaty oddał Wawrzyńcowi biskupowi Opatów z wielu innymi włościami, a Bolesław Wstydlivy nadanie to potwierdził, ci przecież nie mieszkali tu jeszcze, lecz ciągle w Lubuszu, mieście teraz bezludnym i opustoszałym, a o półtoręj mili od Frankfurtu nad Odrą, zaś o 10 mil od Berlina leżącym. Dopiero przy końcu XIII wieku, kiedy malutka ziemia lubuska doświadczała różnych losów kolei, a margrabiowie brandeburscy, posuwając się za Odrą, Nową Marchią założyli; biskupi lubuscy ustąpili z Lubusza i przenieśli katedrę swoją do Gorecza (Goretia), miasteczka do arcybiskupa magdeburskiego należącego. Lecz i tam nie będąc pewni, pomyśleli o dobrach w Polsce; przekonywa o tém i ta okoliczność, iż w tym czasie Leszek Czarny książę krakowski, sandomierski i sieradzki na prośbę biskupa Wilhelma wydał mu przywilej, w aktach metryki koronnej wspomniany, który jest bez wątpienia tym samym przywilejem erekcyjnym, którego p. Hoppe w r. 1800 zabrał. Gdybyśmy go kiedy odkryli służyłby on za dowód, że Opatów dopiero wtedy na miasto był wyniesiony; gdy jednocześnie są już w aktach wzmianki o przywileju tegoż Leszka z roku 1282, w dniu 4 maja wydanym, w którym uwalnia to miasto od opłat myta targowego i t. p., a które przywileje w roku 1313 na nowo w dniu 4 maja Władysław książę krakowski, kujawski, łęczycki i sieradzki w zupełności potwierdził. Doświadczenie przekonało, że przezorność biskupów lubuskich nie była prózną, bo gdy wkrótce w roku 1324 Ludwik Iszy margrabia, mszcząc się za wyklęcie ojca przez papieża, kościół i katedrę w Goreczu kazał spalić, a biskupa z kapitułą z kraju wygnał; ci przenieśli się również na krótki czas do Fürstenwalden; wyrugowani zaś ztamtąd, w Biskupicach w Sandomierskim

osiedli. Atoli i tam Jan biskup lubuski ścigany od losu, jak dzieje nasze opisują, w głęboką noc od rozbójników pochwycony nie prędzej był puszczony, aż się im znaczną summą opłacić musiał: dlatego napotém do Opatowa się przeniósł i pałac dla swoich następców wygodny postawił. Lecz dziwnym zbiegiem losu niedługo oni i tu mieszkali; gdy bowiem król Władysław Łokietek podburzony przez papieża i biskupa Stefana IIgo Nową Marchią pustoszył, następnie uznawszy niesłuszność swego postępowania, albo może wypełniając warunki zgody, odjął biskupom lubuskim dobra opatowskie i nie wrócił aż na polecenie Jana XXIIgo papieża, przywilejem we środę po Zielonych Świątkach w roku 1328, temuż Stefanowi biskupowi wydanym. Odtąd przynajmniej przestali przymuszonym sposobem podróżyć i stale już w Opatowie osiedli, zajmując się dobrem i pomyślnością tego miasta. Znajdujemy bowiem dowody, iż tenże sam Stefan zakupiwszy od kapituły grunta, nowe obok starego miasta założył, i potwierdzenie od króla Kazimierza Wielkiego w roku 1341 uzyskał; następca zaś jego biskup Henryk w roku 1368 dobra w Polsce położone, wraz z całym biskupstwem i kapitułą lubuską pod protekcją i wszelką podległość królom polskim poddał, co też ostatecznie umową zawartą w Krakowie w dniu 25 czerwca 1369 r. po śmierci poprzednika, Piotr biskup lubuski dokonał.

To stare miasto Opatów położone było na górze, gdzie teraz kościół i klasztor OO. Bernardynów się wznosi; nowe zaś musiało szybko i znakomicie wzrastać, gdy dla odróżnienia nazwę Wielkiego Opatowa przybrało. Takiem też musiało być istotnie, gdy mamy już w historii wspomnienia pobytu tutaj monarchów i monarchiń polskich. Tu we dworze biskupim przysięgał w roku 1339 Kazimierz Wielki przed delegatami Benedykta XIIgo papieża względem szkód od Krzyżaków poniesionych. Tu oczekiwała królowa Anna wracającego zpod Grünwaldu Władysława Jagiełłę, i tu w styczniu 1411 r. z wielką okazałością świetne to zwycięztwo obchodzono. Tu odbywały się zjazdy radzącej a burzliwej szlachty, nawet pod Zbigniewem Oleśnickim. A gdy miasto w ludność, handel i rzemiosła wzrastało, ówczesny jego właściciel Fryderyk biskup lubuski w roku 1457, przywilejem wydanym w Opatowie nazajutrz po św. Szymonie Judzie, pozwolił rajcom i całemu miastu wystawić ratusz wśród rynku, zawarowawszy tylko, aby były sklepy z solą i chlebem, jatki szewskie i składy dla kuśnierzy, tudzież mieszkanie dla miecznika, siodlarza i złotnika; któryto przywilej i król Kazimierz Jagiellończyk na sejmie

mie walnym w Piotrkowie tegoż roku, nazajutrz po św. Barbarze, potwierdził. Ratusz ten stał przez lat prawie 100, chociaż Tatarzy w latach 1500 i 1502 miasto ogniem zniszczyli i mieszkańcy tak byli podupadli, że król Alexander przywilejami w latach 1504 i 1505, mając wzgląd na niedolę mieszczan Opatowa, do Teodora biskupa lubuskiego należącego, uwolnił ich od opłaty i podatków, ponowił zagładzie uległe prawa, nadał jarmarki, targi i t. p.

Lecz snadź niewiele to pomogło, a zniechęcony właściciel, gdy poprzednicy jego inne już dobra w Polsce przedali, a do Marchii i Łuczacy z majątkami swemi przenosili się, wyrobiwszy sobie od stolicy apostolskiej pozwolenie, dobra opatowskie sprzedał w roku 1518 za 10,000 kóp szerokich groszy pragskich Krzysztofowi Szydłowieckiemu kasztelanowi krakowskiemu i kanclerzowi wiel. koronnemu.

Możny ten pan, przyjaciel uczonego Erazma z Rotterdamu, żyjący w związku braterskim z Albertem księciem pruskim, doradca i przyjaciel od młodości Zygmunta Igo, nabywszy Opatów, zaraz porządnie go zabudował, wałem opasał, murami otoczył i warownemi bramami ozdobił; i zostawiwszy wszędzie ślady staranności swój i opieki, zmarł w Krakowie w dniu 30 grudnia 1532 roku, wprzód sobie grób w tutejszej kolegiacie wystawiwszy, gdzie obok swoich dzieci pochowany został.

Po śmierci Szydłowieckiego dobra opatowskie spadły na dwie jego córki: Zofią małżonkę Jana Tarnowskiego kasztelana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego, tudzież na Elżbietę żonę Mikołaja Radziwiłła wojewody wileńskiego; i niepodzielone, dość długo w tych dwóch domach zostawały.

W roku 1551 we wrześniu, we czwartek przed św. Michałem, przypadkowym sposobem Opatów spalił się do szczętu. Znikł wtedy okazały ów ratusz w roku 1457 wystawiony, lecz co gorsza, spłonęły w nim wszystkie prawie najdawniejsze przywileje miasta, jak o tém dowodzi w odpisie w metrykach koronnych znajdujący się przywilój Zygmunta Augusta, na sejmie walnym w Piotrkowie w roku 1555, w poniedziałek po niedzieli 5tej po Wielkiéjnocy wydany, w którym powiedziano: iż dwaj mieszczanie Jan Sokolek i Marcin Sterfflyak rajcy Opatowa, w imieniu całego miasta za upoważnieniem Mikołaja Radziwiłła wojewody wileńskiego, jako małżonka Elżbiety z Szydłowca, tudzież Jana hrabi z Tarnowa kasztelana i hetmana wielkiego koronnego dziedziców, pod przysięgą zeznali, jako całe miasto nieszczęśliwym wypadkiem zgorzało, a z niem ratusz z aktami i wszystkimi przywilejami, które pod témże samém zaręczeniem wymie-

niwszy, potwierdzenie i ponowienie królewskie zyskali, a które następnie w roku 1576 dnia 11 listopada na prośby Konstantego Konstantynowicza księcia Ostrońskiego wojewody kijowskiego, tudzież Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła marszałka Wielkiego Księstwa Litewskiego, i król Stefan Batory przywilejem wydanym w Toruniu ponowił. Dobra albowiem opatowskie po Tarnowskich przeszły w dom książąt Ostrońskich, następnie przez małżeństwo Dymitra Jerzego Wiśniowieckiego wojewody krakowskiego i hetmana wielk. koron. z Teofilą księżną Ostrońską i zasławską do książąt Korybutów Wiśniowieckich, zawsze jednak w podziale z Radziwiłłami; aż dopiero w drugiej połowie XVIIgo wieku, w połowie prawem spadku, w połowie splacone, od książąt Sanguszków przeszły do książąt Lubomirskich, a następnie już w naszym wieku do rodziny Potockich należały.

W pierwszej połowie XVII stulecia, około roku 1634, dla napływu starozakonnych, Opatów podzielony został na katolickie i żydowskie miasto; pomimo to był miejscem zjazdów i sejmików województwa sandomierskiego. Atoli wojna szwedzka pod Karolem Gustawem i Karolem XIIstym po dwakroć znowu to miasto zniszczyła, zaś w dniu 7 maja 1751 roku ogień z żydowskiego domu wszczęty, całe prawie w perzynę obrócił, bo tylko w katolickim mieście 9 domów pozostało się, a w żydowskim daleko większa była klęska, gdyż i szosta część nie pozostała, nie rachując na przedmieściu folwarków, obór i stodół, jak donosi ówczesny Kuryer Polski. Po tém nowém pogorzelsku wzniosło się jednak miasto, a wystawionemi domami kształtnie i porządnie zabudowało się. Takiem bowiem już je oglądał król Stanisław August, kiedy wracając z Kaniowa w roku 1787 zjechał tu w dniu 9 czerwca, a kollegiatę i miasto zwiedzał. Nakoniec i w r. 1834, w nocy z dnia 17 na 18 października, Opatów okropnie się spalił, bo zgorzało wtedy 211 domów, a ledwie kilkadziesiąt z dawnego miasta zostało; wówczas stał się także pastwą płomieni zabudowany naokoło rynek, pod którego dachem mieściły się sklepy i stragany przekupek, jak to w dawnych miasteczkach było we zwyczaj. Teraźniejsze domy po pogorzeli powstałe wprawdzie porządniejszą niż przedtém mają postać, są murowane i kamieniczne, ale tamte coś miały poważnego i starożytnego, że ich mimo woli żałują.

Dziś Opatów należy do p. Karskiego; odległy od miasta gubernialnego o wiorst 70, położony jest nad niewielką rzeczką Opawą, inaczej Łukawą lub Opatówką zwaną, która z odnóg gór Świętokrzyżskich wytryskując, do Wisły pod wsią Słupczą o milę od Sando-

mierza wpada. Miasto to liczy teraz ludności chrześcijańskiej 1,280, żydów 2,157, razem 3,437; wzrost szczególnie tych ostatnich zadziwiający, jeżeli porównamy, że w roku 1820 na ogólną tutejszą ludność 2,347 mieszkańców, liczono chrześcian 1,373, starozakonnych 971, innych wyznań 3. Co do sposobu zatrudnienia téj ludności, chrześcianie zajmują się tu po większej części rolnictwem, żydzi handlem i przemysłem. Miasto to dzieli się dotąd na oba te wyznania; w ogóle zaś ma 320 domów, pomiędzy któremi 115 już jest murowanych, 2 kościoły, 1 klasztor, 1 bożnica, 4 zajazdy, 3 młyny wodne, 1 browar, 1 cegielnia. Zresztą część miasta przez starozakonnych zamieszкана, lubo ma także murowane kamienice, jest przecież tak znakomicie brudną, iż dosyć przejść przez ulicę, aby cię wszelkie nieczystości obsiadły. O błocie już nie ma co mówić, chyba to, że w niém nie toną, lecz po uszy grzęzną; a na wiosnę, jak mi powiadano, często się tu trafia, że ludzie jedni drugich z błota wyciągają: tak bowiem głębokie, szczególnie gęste i lepkie jest tutejsze błoto.

Z zabytków świeckich pozostały tu jeszcze ślady murów, niegdyś całe miasto otaczających, z czterema z ciosu bramami, od przechodzących głównych gościńców nazwane bramami: krakowską, sandomierską, lubelską i warszawską; z których ostatnia od przyjazdu z Ostrowca i najbliżej kolegiaty znajdującą się, dotąd ocalała. Jest ona wprawdzie nieokazale, ale warownie z ciosu zbudowana i zdaje się, iż była pierwotnie wyższą; dziś równa z murem. W jéj frontonie umieszczona jest kamienna tablica, a na niéj w płaskorzeźbie herb Szydłowieckich, Odrowąż, oparty na smoku i kłębem jego ogona dokoła opasany. Różnica ta od zwyczajnego herbu pochodzi ztąd, iż gdy wspomniony wyżéj Krzysztof Szydłowiecki z chwałą i pożytkiem do zagranicznych monarchów posługując, szczególnie w roku 1515 na zjeździe wiedeńskim cesarzowi Maxymilianowi czynił przysługi, ten polubiwszy go chciał między książęty rakuzkie policzyć; a gdy Szydłowiecki obawiając się wpaść w podejrzenie u szlachty godności téj odmówił, cesarz wtedy zniewolił go, aby na pamiątkę przyjął ten dodatek do herbu, tak, że zwyczajny Odrowąż umieścić w smoku ze złotą koroną na głowie, wkoło okrażonym i w pysku ogon trzymającym. Wszakże i ta odmiana nie podobała się wielce szlachcie, a jak powiada Siemek, dała powód do licznych paszkwili i wierszy krotofilnych, które z węża i złotéj korony dotkliwie sobie żartowały.

Znajduje się tu także opustoszały i w czasie wojny 1809 r. spalony, a do własności rządowej należący dom, spichlerzem lub magazy-

nem zwany, który że z ciosu wystawiony, a w romantycznych rozwalinach leży, niektórzy chcą w nim widzieć szczątki zamku po Szydłowieckich, a może i biskupach lubuskich pozostałe. Na nieszczęście poznałem ja tu ludzi, którzy pamiętają, jak dom ten za rządu austriackiego przy nich był wystawiony; zatém jeszcze i ten piękny fakt musi się rozchwiać, czego mocno żałuję, zwłaszcza, iż na złość podanie milczy gdzie ów zamek lub pałac w Opatowie wznosił się, a przynajmniej ja dopytać się nie mogłem. Pokazywano mi za to dom murowany o piętrze w rynku pod nr. 1, który według podania był ratuszem i do miasta niegdyś należał; lecz w roku 1757 ksiązę Antoni Lubomirski ówczesny dziedzic pozazdrościwszy go mieszczanom, zabrał sobie samowolnie i rajców przepędził; a gdy mu bardzo, że nie mieli gdzie radzić, dokuczali, dał im jedną w tymże domu izbę, w której posiedzenia magistratu do roku 1809 odbywały się. Wtedy zaś znowu jeszcze wspanialszy dziedzic i tę izbę sobie zabrał, a radę miejską jak niepyszną na bruk wysłał. Teraz podobno z całego dawnego magistratu została się tylko starożytna pieczęć, która gdy nigdzie dotąd nie jest opisana, ani w wizerunku nieogłoszona, jedno i drugie tutaj umieszczam. Pieczęć ta, widocznie po spaleniu się dawniej w roku 1551 przez króla Zygmunta Augusta nadana, jest okrągła, wyobraża zaś na wyginanej u góry, u dołu i po bokach tarczy jedną wieżę z dwiema u góry, przystawionemi po bokach blankami, na szczytach których są okrągłe galki, w każdej jedno okno, a w środkowej nadto u dołu brama. Nad tarczą u góry umieszczony jest rok 1562. W otocznach pomiędzy dwiema obwódkami następny zwyczajnemi łacińskimi głoskami znajduje się napis: SIGILLUM SCABINORUM CIVITATIS MAGNAE OPATHOW; to jest: pieczęć ławników miasta Wielkiego Opatowa.



Obejrzawszy wszystkie świeckie zabytki Opatowa, poszedłem zwiedzić kościoły, które są rzeczywiście historycznym bogactwem tego

miasta. Jak bowiem pyszna jest tutejsza kollegiata! co za śliczny starożytny zabytek, tak cały, tak piękny, śmiałego i ozdobnego budownictwa. Gmach ten na wzgórzu w formie krzyża wystawiony, ma dwie kwadratowe po bokach wieże, na których dzwony i zegar się mieszczą. Nad mniejszym chórem jest znowu wysoka kopuła z sygnaturką, a z trzech stron frontony ze szczytami zębatymi, nader mu ozdobną powierzchność nadają. W ogólności kościół ten stawiany z kamienia ciosowego, gładko obrobionego, ma styl jednorodny, choć niejednoczesna jest jego budowa: łuki wszystkie kołowe, a dachy i kopuły pokryte są blachą żelazną.

Jak dawno i od kogo wystawiony? nie wiadomo. W wizycie tego kościoła z r. 1791 jako domysł tylko napisano, że podług *Liber beneficiorum* miał być od Templaryuszów wystawiony; gdy jednak wiemy, co sądzić o prawdziwości tego faktu, najpewniejszą jest więc rzeczą, iż wystawili go w XII wieku Cystersi: jakóż układ i forma krzyżowa kościołom Cysterskim właściwa, na mniemanie to naprowadza. Co późniejsi dziedzice Opatowa, to jest biskupi lubuscy dla tej budowy zrobili, podobnież nie ma żadnego śladu; tylko wspomniona wyżej wizyta z tego samego źródła domyśla się, że wtedy na kollegiatę wyniesiony został. Natomiast widać wszędzie rękę pierwszego ze świeckich dziedziców miasta. Szydłowiecki bowiem wkrótce po nabyciu dóbr opatowskich kollegiatę z gruntu przestawił, w niczem nie zmieniając jej pierwotnego planu, a wewnątrz bogatemi ołtarzami i obrazami przyozdobił; pochowawszy zaś w niej dorosłą córkę i dwóch w niemowlęctwie zmarłych synów, w świątyni tej, jakieśmy już mówili, obrał sobie także miejsce wiecznego spoczynku.

Którój z rodzin w następnych czasach Opatów dziedziczących należy przypisać wystawienie kopuł nad wieżami i sygnaturki, na to dowodów nie mogłem znaleźć. To tylko pewna, że są one od całej budowy znacznie późniejsze, bo w nich ani żadnej z całością harmonii, ani szczodrej Szydłowieckiej ręki nie widać. Pomalowanie też ich olejne na niebiesko z żółtymi galkami, przy czerwono malowanym dachu kościoła, tworzy pstroczinę dla oka nieprzyjemną, i powadze znakomitęj świątyni ubliżającą.

Wewnątrz nawa dwoma rzędami filarów podzielona jest na trzy części, z których środkowa znacznie jest od bocznych wyższą. Sklepienia w nich krzyżowe, a wszystkie upiększenia tego kościoła na trzy wieki odznaczyć się dadzą: to jest do początku XVI wieku rzeźby i malowidła ołtarzy, do następnego należą stalla czyli ławki drewniane dla

kanoników, dość niezłą robotą wykonane, nareszcie do końca XVIII stulecia wewnętrzne całego kościoła pomalowanie na suchém wapnie, które co do sztuki na żadną nie zasługuje uwagę. Malowania te przedstawiają dzieje z Pisma Sgo i przedmioty z historyi krajowej brane: tak na ścianie obok wielkiego ołtarza odmalowana jest bitwa pod Gründwaldem, z napisem: *Domitor rebellium* (uskromiciel buntowników). Na piérwszej ścianie zwycięztwo Bolesława Krzywoustego nad Henrykiem V w roku 1109, z napisem u góry: *Profligator arrogantium* (rozproszyciel dumnych). Na lewój stronie w środkowej nawie wymalowana jest bitwa pod Wiedniem, z napisem wieńcem otoczonym: *Victoria sub-auspiciis Serenissimi Joannis III Regis Poloniarum ad Viennam Austriae Anno MDCLXXXIII* (Zwycięztwo pod naczelném dowództwem Najjaśniejszego Jana III króla polskiego pod Wiedniem w Austrii w roku 1683 odniesione). Nakoniec nad czterema arkadami ośm osób trzymają tarcze, na których wyobrażone są: orzeł, popiersie Stanisława Augusta, herb województwa sandmierskiego: Leliwa i Słepowrón.

Za to ołtarz wielki i dwa poboczne w półokrągłych niszach umieszczone, pod względem sztuki nie do życzenia nie zostawiają. W piérwszym umieszczony obraz Sgo Marcina wcale jest niezłego pędzla, a w jednym z bocznych starożytny obraz Bogarodzicy, każdego znawcy oko na sobie zatrzyma.

Atoli najgłówniejszą i najznakomitszą téj świątyni ozdobą są grobowce Szydłowieckich, o których śmiało można powiedzieć, że w naszym kraju mało posiadamy pomników, któreby im wyrównały. Szczególnie zaś wielki bronzowy, ku pamiętce samego Szydłowieckiego wystawiony, jest arcydziełem sztuki odlewu, rysunku i rzeźby XVI wieku. Gdyby takie dzieło gdzie za granicą znajdowało się, dawnoby w licznych, coraz lepszych wizerunkach znane było światu; kiedy u nas dotąd nawet wielu, że istnieje, nie wie. Wprawdzie grobowiec ten rytował już doskonale w roku 1848 nasz czcigodny artysta p. J. Piwarski do jakiegoś dzieła o Szydłowieckich, co od lat kilkunastu ma wychodzić, lecz mała liczba osób rycinę tę widziała, dzieło zaś Bóg wie, czy kiedy ujrzemy. Stara to obojętność, na którą jeszcze w roku 1841 mój zacny przyjaciel p. Tymoteusz Lipiński w swoim opisie kościołów w Opatowie użalał się, a za którym zdaje się, że także napróżno dłużójym jeremiady rozwodził; lepiej więc, że pomnik ten o ile być może najdokładniej opiszę, a przy téj sposobności, choć w zmniejszonych zarysach przedstawię jego wizerunek, hojnością jednego z miłośników starożytności sporządzony.

Nagrobek ten ma podstawę wysokości łokci 2, długości łokci 6, z marmuru chęcińskiego; reszta jest z brązu o trzech piętrach. Całość jego składa się z tylniej ściany i wystającego w pośrodku głównego pomnika. Na podstawie jego brązowej umieszczona jest naprzód płaskorzeźba, wyobrażająca stół przykryty oponą rozlicznych deseni, na nim leżą zwitki papieru, niektóre rozwinięte, dokoła niego stoi czterdzieści jeden osób mniej więcej na dwanaście cali wysokich: jedne w zbrojach, inne w szatach różnego kształtu i długości, w czapkach, kołpakach spiczastych, okrągłych, lub z gołą głową. Jedni są z wąsami, inni z długą lub podstrzyżoną brodą; są też i zupełnie ogoleni. W osobach tych rozpoznać można wojowników, księży, dworzan, władze miejscowe, a nawet dzieci. Na twarzy wszystkich widać bolesć, pomieszanie i rozpacz; każda figura inaczej i z wielkim talentem przez artystę oddaną została. Nic piękniejszego, a razem tyle smutku obudzającego, jak wyobrażenie tylu rozmaitych twarzy i postaw, na których piętno żalu i smutku wyraziście jest oddane. Artysta tu chciał wyobrazić, jak dwór i miejscowi przyjęli wiadomość o śmierci Szydłowieckiego. Zwitki rozwinięte są to listy z Krakowa z tą smutną nowiną otrzymane; wyobrażony bęben z którym płaczące dziecko się bawi, dwie basette porzucone, stracone zabawy oznaczają; leżące zaś pod stołem siedm chartów ze spuszczoneymi lub podniesionymi, jakby do wycia mordami, i trzy spłoszone sokoly, na długo opuszczone myśliwstwo przypominają. W ogóle wszystko to bardzo pięknie jest wydane w poprawnym rysunku i wzorowego wykonania. Figury dobrze są ułożone; w draperyach lekkość, a ubiory takie, jakie w wieku XVI pospolicie noszono.

Nad tą płaskorzeźbą jest ukośnie położony w wypuklejszej jeszcze rzeźbie rycerz cały w zbroi, trzymający w prawej ręce kopię z chorągiewką z herbem Odrowąż smokiem otoczonym, a w lewej ma ogromny miecz. U nóg jego hełm z zamkniętą wizirą, na hełmie korona szlachecka, a nad nią ogon pawi, herbem Odrowąż przetknięty. Na głowie rycerza na dwóch poduszkach spoczywającej jest czapka podwójnym rzędem pereł i spinką bogatą ozdobiona, na szyi dwa grube złote łańcuchy zawieszzone, a na palcach pełno pierścieni. Po obu bokach tego pomnika na wspomnioną tylną ścianę, na dole są trofea ze zbroi, zaś na piętrze w niszach umieszczone dwie figurki wyobrażające jedna św. Zygmunta króla, druga św. Krzysztofa; boki zaś ozdobione są dwiema konsolami. Na samym wierzchu również ukośnie położona płyta nosi na sobie w płaskorzeźbie wyobrażone dziecię, szatą powiewną osłonięte, a głowę na poduszce wspierające;

na boku widać znowu herb Odrowąż ze smokiem, a w nogach na tablicy następny jest napis, który z dopełnionemi skróceniami po łacinie, tudzież w tłumaczeniu polskiem podaje:

S(pectabilis) et Magn(ificus) Dnus (Dominus) D(ominus) Chrophorus (Christophorus) de Schydłowecz, in Szmielow et in Magna Opatów Cast(ellanus) et Capit(aneus) Crac(oviensis).

R(egni) P(oloniae) CANCEL(larius), Parens Sigismundo Sc (Schydłowieci) Do (Domino) Genito filio anniculo dolens posuit Anno MDXXVV.

To jest: *Jaśnie Wielmożny i Wielmożny pan Krzysztof z Szydłowca na Szmielowie (Cmielowie) i Wielkim Opatowie kasztelan i starosta krakowski i Królestwa Polskiego kanclerz, bolejący ojciec, Zygmuntovi Szydłowieckiemu panu synowi swemu rok życia mającemu wystawił roku 1530.*

Dotykają tę tablicę w kształcie ozdób zrobione delfiny, a na końcach siedzą również na delfinach aniołki trzymające tarcze z herbem Odrowąż bez smoka. Sam szczyt pomnika zakończony jest figurą zmartwychwstającego Zbawiciela z podniesioną ręką do góry, który jedną nogą opiera się na skrzydlatej głowie anioła, śmierć wyobrażającego.

Całość tego nagrobka od dołu do samego wierzchu wynosi łokci 8, szerokość wyskakującej części środkowej łokci 4, płaskorzeźba z figurami zajmuje wysokości 21 cali, a długości łokci 3 cali 8. Na jednym boku w pośród arabsków rylcem wrytych, w kwadratowej tabliczce umieszczony rok 1536 przekonywa, że pomnik ten wystawiony był a przynajmniej ukończony już po śmierci krakowskiego kasztelana. Czyje to jest dzieło, trudno dziś odgadnąć, gdy znakomity artysta przez skromność ani napisu, ani żadnego znaku (monogrammu) nie zostawił. Szukałem tego jednak pilnie wszędzie, laziłem po drabinie na sam wierzch, każdą cząstkę z osobna oglądałem, i nie prócz roku nie udało mi się odkryć. Atoli i to odkrycie zburzyło dotychczasową wiadomość, jakoby ten pomnik sam Szydłowiecki za życia sobie wystawił. Ktokolwiek przecież wykonał to dzieło, byłto niezaprzeczenie wielki artysta, a nazwisko jego nieby już może do wartości tej pracy nie dodało.

Obok tego pomnika znajduje się tablica z marmuru czerwonego, a na niej wklęsło rytymi głoskami następny czytać się daje napis:

Spelis (Spectabilis) D(ominus) Chrophor (Christophorus) a Schyd(łowiec) in Szmyelów (Cmielów) et Magna Opatów P. M. (primus) Dns. (Dominus) Palt (Palatinus) Capit(aneus) Crac(oviensis),

R(egni) P(oloniae) Sum. (Supremus) Cancel(larius), memor benefici-
 cior(um), que in eum Georgius Archieps (Archiepiscopus) Strigonie
 (nsis) adoptivus et desiderabilis frat(er), vivens et iam ia(m) moritu-
 rus contulit, legat (legavit) eni(m) ei testamento auri et argentivim
 no(n) contemnendam mortuo ara(m) hac (hanc) erexit, et pptua (per-
 petua) sacrificia instituit, sed haec oia (omnia) fusius lre (literae) ere-
 ctionis habent. Posita Ano (anno) Dni (Domini) MDXXVII.

Tojest: *Jaśnie Wielmożny Pan Krzysztof z Szydłowca na Cmielowie i Wielkim Opatowie piérwszy pan województwa, starosta krakowski, Królestwa Polskiego wielki kanclerz, pomny na dobrodziejstwa jakie mu Jerzy arcybiskup strygoński przybrany i ukochany brat jeszcze za życia i już blizki śmierci wyświadczył, albowiem zapisał mu testamentem niemało złota i srebro, zmarłemu ten oltarz wystawił i ciągle ofiary mszy świętej naznaczył, lecz o tém wszystkiém obszerniej przywiléj erekcyjny opiewa. Zbudowano roku Pańskiego 1527.*

Widoczną jest więc rzeczą, iż na tém miejscu był niegdyś oltarz, którego ku pamięci dobroczyńcy swemu Szydłowiecki wystawił; lecz wspomniany przywiléj zaginął, równie jako i wiadomość, kiedy ztąd usunięty, pomnikiem brązowym był zastąpiony.

Na przeciwnéj ścianie wznosi się drugi nagrobek cały z czerwonego marmuru; wyobraża on młodą niewiastę na poduszce leżącą ze złożonemi na krzyż rękoma. Suknia jój gęsto haftowana, na szyi ma łańcuch, a na głowie czapkę kamieniami drogiemi nasadzaną. Jestto grobowiec Anny córki Szydłowieckiego, urodzonéj z Zofii z Targowiska siostry Zygmunta Targowickiego proboszcza krakowskiego i sekretarza króla Zygmunta Igo, wystawiony przez matkę, jak o tém napis na tablicy marmurowéj nad nią umieszczonej przekonywa:

Zophia a Targowisko
 Castellana Cracovi(ensis).

MR. (mater) Chariss(imae) filiolae Anne, ex pietate posuit.
 Ano (Anno) Do(mini) MDXXXVI.

Zofia z Targowiska kasztelanowa krakowska matka najdroższej córce Annie z przywiązania postawiła roku Pańskiego 1536.

Nad tą napisową tablicą znajduje się inny nagrobek, podobnież o trzech piętach, z poprzednim jedną tworzący całość. W górnéj jego części spoczywa na trumnie dziecię, mające głowę na poduszce wspartą. W środkowym umieszczony jest herb Odrowąż smokiem opasany, a w dolnym siedmiowierszowy następny napis:

Ludovico Nicolao filio suo

Ut flosculo

In spem claris(simo) Dom(us) sue exorto, ac anno post extincto,
 Parens pietiss (pietissimus) Crofor (Christophorus) de Szydlocz
 (Szydłowiec) Palat(inus)

Et Capit(aneus) Crac(oviensis) R(egni) P(oloniae) Cancell(arius)
 posuit MDXXV.

Ludwikowi Mikołajowi synowi swemu jako kwiateczkowi na otuchę najzacniejszego domu wyrostemu, a w rok potém zwiędtemu, ojciec najprzywiązańszy Krzysztof z Szydłowca wojewoda i starosta krakowski, królestwa polskiego kanclerz, wystawił 1525.

Nakoniec pod całym grobowcem znajduje się wielki płyt marmurowy, z następnym w pięciu wierszach napisem:

Christophorus de Schydłowycz,
 Castellanus et Capitaneus Cracoviensis,
 R(egni) P(oloniae) Cancellarius etc.

Vir mira pietate et singulari prudentia insignis, cum ita omnia in vita componeret, ut mortalitatis semper memor esset, monumentum hoc, quod cinerib(us) suis imminet, vivens fieri fecit. Mortuus est autem An(no) MDXXXII. Die penultima Decembris, etatis vero sue LXV collachrimantib(us) uxore, liberis et amicis dulciss(imis) fidiss(imis) Q(quoque) familiaribus.

Tojest: *Krzysztof z Szydłowca kasztelan i starosta krakowski królestwa polskiego kanclerz i t. d., mąż osobliwą pobożnością i szczególną roztropnością odznaczający się, gdy tak wszystkie rzeczy za życia urządził, iż zawsze o śmierci pamiętał, pomnik ten, który nad jego popiołami się wznosi, żyjąc jeszcze wznieść kazał. Umarł zaś roku 1532 dnia przedostatniego grudnia a wieku swego 65, rzewnie opłakiwany przez żonę, dzieci i drogich przyjaciół, tudzież przywiązanych domowników.*

Napis ten przekonywa, iż ten właśnie stanowił grobowiec, który sobie za życia Szydłowiecki wystawił, a bronzowy, cośmy wyżej opisali, snadź później żona i córki mu wzniosły.

Prócz tych grobowców są tu jeszcze tablice marmurowe z napisami świadczącymi, że w kolegiacie pochowani zostali: znany w dziejach Bartłomiej Sobek z Sulejowa starosta sulejowski (zmarł 1530 r.); tudzież kilku tutejszych kanoników, kustoszów i scholastyków, gdyż przy kolegiacie była niegdyś i szkoła, kosztem i staraniem piérwsze-

go opatowskiego scholastyka Piotra z Gławicz proboszcza w Włostowie i Olborzu w roku 1519 wystawiona, a który kaplicę z gruntu przebudował i odnowił, dachem pokrył, ołtarze obrazami ozdobił, stalla wystawił, i zmarł w r. 1554 mając lat 84, jak o tém napis na jednej tablicy przekonywa.

Niegdyś kollegiata opatowska miała nader bogaty skarbiec, a sprzęty kościelne, złotem i kamieniami drogiemi jaśniały; tak przynajmniej w dawnych inwentarzach jest zapisano. Teraz z tego wszystkiego zostały tylko trzy kielichy srebrne wyzłacane, roboty XVI stulecia, z których jeden srebrny niewyzlacany, a piękną emalią ozdobiony, pod względem sztuki odznacza się.

Następnie poszliśmy na przedmieście do kościoła XX Bernardynów, który na górze w starym Opatowie w bardzo pięknym położeniu stoi. Budowla ta zupełnie nowożytna w stylu i smaku drugiej połowy XVIIIgo stulecia, na zewnątrz niczem od zwykłych Bernardyńskich kościołów nie różni się; tylko historia jego jest bardzo starożytna, są także i tu wspomnienia, a nadto bardzo uprzejmy gwardyan ks. Manswet Kossakowski, który nam przewodniczył i co tylko mógł objaśniał.

Wedle akt tutejszych na tém miejscu stał kościół parafialny, wybudowany w roku 1040, a poświęcony w r. 1060. Te same akta dowodzą, iż w siedmnaście lat potem św. Stanisław Szczepanowski biskup krakowski w tymże kościele przy ołtarzu Męki Pańskiej, Torkular zwanym, odprawiał ofiarę mszy świętej. Ołtarz ten dotąd pokazują, tudzież figurę Zbawiciela, wprawdzie bardzo niezgrabną, lecz nie tak starożytną. Joachim Bielski w Kronice polskiej wyliczając dochowane do jego czasów kościoły fundacyi sławnego w dziejach naszych Piotra Duńczyka, wymienia pomiędzy innemi i kościół w Opatowie. Był to ten sam, gdyż wtedy innego jeszcze nie było. To jednak pewna, że w r. 1471 Jan Rzeszowski biskup krakowski dla uniknienia sporów między kollegiatą i farą, tę ostatnią przeniósł do kollegiaty, a w następnym roku zakonnikom Braci mniejszych reguły św. Franciszka, u nas zwykle Bernardynami zwanych, w posiadanie był oddany. Stało się to za przyczynieniem bawiącego na dworze króla Kazimierza Jagiellończyka Jana Tarły syna Ottona z Szczekarzewic, sławnego za króla Jagielly wojownika, który duchownemi godnościami i łaską monarchy zaszczycony, ulegając powszechniej wówczas wziętości Bernardynów, tak sobie ten zakon upodobał, iż cały majątek na rozmnożenie tegoż poświęciwszy, pomiędzy innemi w Opatowie klasztor ten wybudował. Potem sam we Lwowie zakonną obłókł sukienkę, i jako Bernardyn udał się w podróż do Ziemi Świętej, a będąc w Jeru-

zalem zmarł na górze Syonu w roku 1488, dnia 20 czerwca. Stroškana po nim matka wstąpiła znowu do Bernardynek pod imieniem matki Prowincyi, i resztę majątku na korzyść opatowskiego klasztoru zapisała. Był on zatem niegdyś dobrze uposażony, a mieścić przeszło 60 zakonników świątłych i lubiących książki, których biblioteka do czasu pierwszej wojny szwedzkiej służyła liczbą, znakomitością dzieł ważnych, rzadkością zaś pierwszych druków nad wielą innemi celowała. Zabrali ją też z sobą Szwedzi, a resztę wraz z kościołem i klasztorem zniszczyli i spalili. Odtąd nie podniosła się już biblioteka, i kościół też w większej części zniszczony, skassowany został w roku 1751.

Lecz niedługo potem zjawił się nowy dobroczyńca Łukasz Krzyżanowski podstoli mozyrski, który terazniejszy kościół z gruntu na nowo wystawił; atoli dla nastąpniej w roku 1756 śmierci, nie dokończył. Odbudowany zupełnie, poświęcony był powtórnie dopiero w dniu 15 grudnia r. 1765. Z dawnego jednak kościoła przechowało się tu jeszcze kilka nagrobków, które na zewnętrznej ścianie od strony cmentarza są umieszczone; tylko wystawione na działanie powietrza tak są teraz uszkodzone, iż z trudnością nietylko napisów, lecz kształtu ich dopatrzeć nie można. Pomiędzy niemi zastanawia jeden niezgrabnej z kamienia roboty, wyobrażający niewiastę, która ma na ręku dziecko bez głowy, a w drugiej trzyma głowę temuż niemowlęciu uciętą. Coby to wyobrażenie znaczyło, dopytać się nie mogłem; napis zaś przy nim znajdujący się już zupełnie jest nieczytelny. Wewnątrz kościół z wielką czystością i starannością utrzymywany, był w roku 1781 nakładem pani Reklewskiej tutejszej obywatelki, cały malowany. Teraz świeżo odnowiony, ma w ołtarzu wielkim obraz Wniebowzięcia Najświętszej Panny, tém szczególny, iż ubrany jest w sukienkę z cyprysowego posrebrzanego drzewa, z złocionemi gwiazdami, tak kształtnie wyrobioną, iż zupełnie metal naśladuje. Inne w bocznych ołtarzach obrazy wcale są niezłej roboty; mianowicie zaś św. Antoni i śmierć św. Franciszka wyobrażające, doskonale są malowane, a według podobnego do prawdy podania miały być z Włoch sprowadzone. Nadto nad chórem wisi portret wyżej wspomnianej pani Reklewskiej, wdzięcznej i przyjemnej twarzy; na ścianie zaś dwa inne olejne wizerunki: jeden wyobraża Tarłę w habitie bernardyńskim, z rękoma do modlitwy złożonemi, z herbem Topór na wierzchu i napisem łacińskim u dołu, że fundował tutejszy kościół z klasztorem, a w dniu 28 lipca 1488 na górze Syonu pochowany został. Drugi portret wyobraża podżyłego mężczyznę w daw-

nym polskim stroju z wąsami i podgoloną głową, i z napisem także łacińskim: jestto wizerunek Krzyżanowskiego podstolego mozyrskiego. Na tej samej ścianie pod temi obrazami umieszczona jest tablica w ramach, na której wielkimi głoskami napisane są następujące wiersze:

Magnae Familiae.

Konwent opatowski Jan Tarło fundował,
 Po skończoném dziele Bóg go powodował
 Do ścisłej reguły świętego Franciszka.
 Opuścił dobra, światowe igrzyska,
 Będąc Bernardynem umarł w Jeruzalem,
 Na górze Sekulary pochowany z żalem;
 Bo sławny ów mąż odwiedził te kraje,
 Nie wraca do ojczyzny, ale na sąd wstaje.
 Roku tysiąc czterysta ósmdziesiątego ósmego,
 Pożegnał świat czerwca dwudziestego, tego.
 Matka Prowincya czule żałowała
 Syna i fundatora, że nie pochowała
 W tym co wyfundował swym kosztem kościele,
 Oj! dziś fundatorów nie masz tak wiele.

Prawdziwa bernardyńska poezya.

Zakrystya tutejsza bardzo jest ubogą; jednak jakimś cudem przechował się kielich srebrny wyłaczany, przeslicznej złotniczjej roboty z końca XV lub początku XVI stulecia. Znać to po stylu roboty z gotyckiego do odrodzenia przechodnego, mianowicie szczególny jest i bardzo ozdobny kształt całego kielicha, zwłaszcza rączki, która pod samym kubkiem ma szeroką w kostki wystawę, w rozmaite floresy rytowaną, z drobnymi złotniczjami przydatkami filigranowej roboty. Podstawa jego niemniej jest wytworną, a wpośród rytowanych kwiatów umieszczony herb Odrowąż bez smoka, przekonywa, iż z daru Szydłowieckich pochodzi.

Pokazywano mi także smutne szczątki tutejszej biblioteki. Byłyto cztery antyfonarze i psalterze w wielkim arkuszowym formacie, pisane po łacinie na pergaminie i charakterem piérwszej połowy XV wieku. Wszystkie głoski wielkie, równe i z dziwną starannością wykończone, pergamin cienki i śnieżnej białości, dowodzą, iż to włoska jest praca. Przy początku każdej modlitwy i na czele rozdziału lub odstępu, były tu, jak zwykle w takich pysznych rękopismach, uncyalne głoski miniaturowym sposobem nader ozdobnie robione. W każdej takiej literze był obrazek z jedną lub kilka osób składający się, z tysiącznymi upiększeniami mozolnej i wytwornej pracy. Mówię, że były w tych rękopismach miniatury, gdyż wyobraźcie sobie

czytelniczy moję rozpacz i oburzenie skoro ujrzałem, że jakiś barbarzyńiec świętokradzką ręką powycinał i powykrajał ztąd wszystkie, popsuł te kosztowne dzieła i zniszczył może najśliczniejszy pomnik, którym się tak zagraniczne zbiory drożą.

Otóż, pomyślałem sobie, los naszych zabytków i wymowne usprawiedliwienie tych wszystkich, na których skarżą się że zabierali z klasztorów dzieła i gromadzili je do publicznych lub prywatnych bibliotek. Przynajmniej tam, gdziekolwiek się one znajdują, dotąd ocalały; inaczej, niestety! już kilkakrotnie o tém przekonałem się, podobnej zagładzie wszystkieby uległy. Zaczny terażniejszy gwardyan ubolewał wrzecz ze mną nad kalectwem tych rękopismów, widocznie zatem byłato wina dawniejszych przełożonych; a lubo głośno ich oskarżałem, snadź przykre wrażenie łagodząc wprowadził mnie do archiwum klasztoru. Znalazłem je w porządku i bardzo interesującym, a pomiędzy innemi i historiją zgromadzenia tak zwaną *Historia Domus*, którą od roku 1621 z starożytnych dokumentów zebrał, porządnie ułożył, przepisał i do r. 1770 doprowadził ks. Jan Szydłowski ówczesny kustosz całej prowincyi. Jestto gruba księga w arkuszowym formacie, stronnic 544 zawierająca, która oprócz ogólnych dziejów tego kościoła, opisu dawnego stanu, obejmuje nadto przywileje kolegiaty, napisy wszystkich nagrobków, żywoty fundatorów i dobroczyńców, prowincyałów i gwardyanów tutejszych i t. d. Rękopism to zatem bardzo ważny i do historyi Opatowa niezbędny; jest on po łacinie pisany, a ma następny tytuł: *Archivum Conventus Opatoviensis Fratrum Minorum de Observantia S. P. Francisco ab anno 1621 ex antiquo collectum ac in meliorem formam cum evidentioribus documentis deductum, cui addita sunt etiam vetustissima quae inveniri poterant et in anno Domini 1770 per A. R. P. Joannem Capistranum Szydłowski Actuałem provinciae Custodem, conscriptum.*

Pozegnawszy uprzejmego gwardyana, opuściłem Opatów udając się w dalszą w okolice drogę. Byłem tak szczęśliwy, iż wyjechałem w liczném towarzystwie najzaciejszych i najpoczeiwszych ludzi z tego miasta. Obok mnie siedział anioł dobroci i cnoty, tutejszy doktor medycyny Fabian Wrześniowski, którego wszędzie jak ojca ze łzami witano, a o którym tylko jeden powszechny głos słyzałem, że to lekarz najszczęśliwszy i bezinteresowny, ubogi w dostatek, przyjaciel ludzi i najszlachetniejszego serca człowiek. Przekonałem się o tém sam, gdy bryczkę naszą ciągle po drodze zatrzymywano; to dziękował mu ktoś za odzyskane zdrowie, to o ratunek wzywał; a mój sędziwy lekarz żywo zeskakiwał z bryczki, biegł gdzie go

wzywano, a mnie choć bardzo tём zdarzeniem rozczulonego, na gościńcu zostawiał. Cześć ci szanowny mężu! ale drugi raz z tak wziętym doktorem przynajmniej w wycieczkach archeologicznych nigdy już nie pojedę.

W tym sposobie przybyliśmy do Ćmielowa, miasteczka od Opatowa o wiorst 15 oddalonego, a leżącego nad traktem bitym bzińsko-zawichostskim, tudzież nad rzeką Kamienną, w nizkiem, z dwóch stron od północy i południa górami otoczoném położeniu. Byłato niegdyś odwieczna siedziba rodziny Szydłowieckich, wsią Szczymlów lub Szmyelów przezywana, którą Jakób Szydłowiecki podskarbi wielki koronny za przywilejem Aléxandra Jagiellończyka w r. 1505 na miasto wyniósł. Potwierdził to Zygmunt I w r. 1512, i licznemi swobodami obdarzał; wkrótce zaś potém do dóbr opatowskich przyłączone, wspólne z nimi koleje i losy podzielało. Smutne wspomnienie i tu wojny szwedzkie zostawiły. W roku 1657, tak sobie dla zabawki, wyrznięto wiele rodzin szlacheckich do Ćmielowa dla bezpieczeństwa zgromadzonych, a potém pod miastem stał z dzikiem swoim wojskiem Rakoczy książę siedmiogrodzki i przyjmował Karola Gustawa na zgliszczach i popiołach krwią niewinnych ofiar zbryzganych. Atoli miasteczko to najwięcej w roku 1702 ucierpiało, wtedy bowiem do szczętu i wały obronne, i zamek tu niegdyś istniejący, zniszczono. Zamek ten przeciwnym zwyczajem jak iane tego rodzaju budowle, leżał na dolinie otoczony błotami i obwarowany fossami. Jeszcze na wzgórzystym brzegu rzeki Kamiennéj są ślady baterij szwedzkich, z kąd tego zamku dobywali. Powiadano mi, że niedawno żyli ludzie, którzy w całości te mury oglądali i zapewniali, że między innemi gmachami była tam kaplica greckimi ozdobiona napisami.

Przy sposobnych potemu materyałach Ćmielów również oddawna wyrobami garncarskimi słynął; już August III przywilejem w roku 1750 wydanym zastaniał tutejszych mieszkańców handlem tym trudniących się od wszelkich przeszkód z nagabania, i pozwalał swobodnej bez żadnej opłaty po całym dawném państwie sprzedaży; któryto przywilej i król Stanisław August w r. 1768 potwierdził. W drugiej połowie XVII stulecia Ćmielów oddzielony od ogólnej massy dóbr opatowskich był własnością w spadkach rodzinnych znakomitych domów Ostrogskich, Wiśniowieckich, Singuszków, a na ostatku Małachowskich, z których Jacek Małachowski kanclerz wielki koronny szczególnemi względami, jak się akta tutejsze wyrażają, miasto obdarzał i kochał.

Dziś Ćmielów należy do dóbr książąt Lubeckich, liczy mieszkań-
ców chrześcijańskich 1143, starozakonnych 235, razem 1378. W roku
1828 ogólna ludność wynosiła 1259, jeszcze dalej w r. 1820 było
1097 osób; widocznie zatem miasteczko ciągle wzrasta. Mieszczan-
ie w większej części utrzymują się z roli; domów tu jest 169, z któ-
rych 9 murowanych, jeden kościół i szkółka parafialna.

W skrzyni magistratu przechowują następujące trzy przywileje:

1) Z r. 1661 z dnia 23 sierpnia króla Jana Kazimierza na
wprowadzenie sześć jarmarków, któryto przywilej i król Stanisław
August w dniu 25 października 1767 potwierdził.

2) Z r. 1678 z dnia 7 maja w Baranowie wydany, którym dy-
mitr Jerzy Korybut książę na Wiśniowcu i Zbarażu Wiśniowiecki
wojewoda bełzki, hetman wielki koronny, utrzymując obywateli miasta
Ćmielowa przy prawach, jakie za poprzedników jego mieli, obok
włożonych na nich obowiązków, które dworowi dopełnić zobowiązali
się, nadaje im pozwolenie robienia piwa i szynkowania w domach
swoich, za pewną opłatą.

3) Z roku 1691 z dnia 1 lipca, podobny przywilej w tej samej
osnowie, wydany przez Józefa Karola na Wiśniowcu i Jarosławiu
Lubomirskiego, ówczesnego dziedzica, również przez żadnego z mo-
narchów nie potwierdzony.

Komu założenie swoje winien kościół tutejszy, z akt miejsco-
wych dowiedzieć się nie można. To pewna, iż w r. 1372 już istniał,
zaś na początku XVI stulecia był na nowo przestawiony, lub prze-
budowany przez Krzysztofa Szydłowieckiego, jak o tém herb Odrowąż
smokiem otoczony, a nad drzwiami głównymi i nad zakrystyą umie-
szczony, przekonywa. Zresztą, budowa jego prosta, mury silne, bez
ozdób, jednak piętnem starożytności są naznaczone. Według poda-
nia w końcu XVI wieku zajmowali go przez czas niejaki Aryanie:
wiadomość jak zwykle wątpliwa. Wewnątrz nie ma nic osobliwego,
oprócz nowożytnego nagrobka dla zmarłej z Rzewuskich Małachow-
skiej małżonki kanclerza, przez jej syna postawiony, a wyobrażający
piramidę stojącą na trzech stopniach kamiennych. Dopytywałem się
usilnie o szumnie ogłaszany tutejszy kielich, który według zdania wy-
soko zasłużonej Starożytniej Polski pochodzi z daru Szydłowieckich,
z wierzchem i spodem ze szkła kolorowego, a słup ze złota misterniej
roboty mający. Zaczny i uczony proboszcz chętnie mi go pokazał, lecz
cóż powiecie czytelnicy moi, kiedy ów wysokiej wartości kielich
jest tylko małym i nader prostym kielichem ze szkła czerwonego rżnię-
tego, na srebrnej podstawie i ręcznie filgranową wcale nieszczególną

robotą; i jeżeli czém odznacza się, to chyba dowodem z długim jak grandów hiszpańskich tytułem, że Paweł Karol na Białym Kowlu, Smolanach i Rakowie, hrabia na Wiśniczu, Jarosławiu i Tarnowie, książę Olgerd Lubartowicz Sanguszko marszałek wielki litewski, kościołowi temu z kaplicy zamkowej darował. Ja mam nawet kielich ten w podejrzeniu, że pierwotnie inne miał, a bynajmniej nie dla kaplicy przeznaczenie.

Za kościołem nieco w oddaleniu jest cmentarz z nagrobkiem kanclerza Małachowskiego, w kształcie stariej wieśniaczej chaty, w który przed laty gdy piorun uderzył, dotąd nieporatowany w rozwalinach stoi. Dziwna obojętność zamożnej dotąd rodziny! Pozwalają oni tym sposobem na rozszerzenie zabobonnych podań, gdyż lud Bóg wie co już o tém zdarzeniu nie powiada.

Zwiedzałem téż tutejszą fabrykę fajansu i porcelany, na wzgórzach w kilku rozrzuconych domkach mieszczącą się. Założył ją w roku 1804 Jacek Małachowski, lecz długi czas zaniedbana (choć i terażniejsi właściciele niewiele o nią dbają) z początku tylko fajanse wyrabiała. Atoli od kilku lat pod dyrekcją p. Weiss sprowadzając potrzebne z zagranicy materiały, zaczęto tutaj i porcelanowe wykonywać wyroby. Trzeba przyznać, iż kierujący zakładem malutki i filigranowy Niemiec jestto człowiek bardzo przywiązany i o swoje sztukę dbały, chociaż od lat kilkunastu w kraju bawiąc, ani słowa po polsku nie rozumie. Pomimo to wzrost téj fabryki i szczególne staranie o podniesienie téj sztuki w Ćmielowie jemu tylko przypisać należy. Wyroby przecież porównania z zagranicznymi żadną miarą nie wytrzymają. Pan Weiss téż się żali na brak wzorów i pomocy, na szczupłość i niedostatek miejsca, i Bóg wie na co się jeszcze nie żali; a jednak, jak mnie tu wszyscy zapewniali, fabryka bardzo korzystnie idzie, zamówienia są tak liczne, że wydołać im nie mogą, zwłaszcza iż troskliwy zawiadowca jeżeli odkryje gdzie w okolicy jaki wzór zagraniczny, zaraz go bardzo zręcznie w fabryce tutejszej naśladowuje. Możliwy więc zakład ten do wielkich i nader zyskownych posunąć rozmiarów. Dlaczegoż więc tego nie uczynią? Odpowiedźby się znalazła, lecz to do archeologii nie należy.

Obejrzałem całą tę fabrykę po szczególe, podziwiałem zręczność polskich i niemieckich robotników, z jaką łatwością prostymi sposobami rozmaite kształty talerzom, półmiskom, wazonom, a nawet małym garnuszkom prawie w mgnieniu oka nadają. W osobnym miejscu widziałem oddzielną izbę, w której młode dziewczęta na raz wypalonych naczyń kolorowe wzory drukują. Wszystko to z niewypo-

wiedzianą szybkością się tu odbywa przy śmiechach i bardzo wesołym humorze téj swawolnej gawiedzi. Jest tu niewielka malarnia, gdzie już od ręki ozdobne i różnobarwne upiększenia farbą lub złotem nadają. Nareszcie i magazyn gotowych wyrobów, w którym prawie zawsze czegoś brakuje, tak prędko z niego rozkupują.

Z Ćmielowa do Boleszyna wracając zajechaliśmy do Bodzechowa, wsi niegdy do dóbr kanclerza Małachowskiego należącej, gdzie w szerokim czerwono pomalowanym dworze, o licznych i dziwaczuie poprzystawianych skrzydłach, pan ten główną miał swoją rezydencją. Nic tak nie daje wyobrażenia o tym szczególnie oryginalnym magnacie, jak jego pstry dworzec; kanclerz zaś w tych stronach, jak na Wołyniu starosta kaniowski, jest figurą o której pełno anegdot w okolicach krąży. Dziś wieś ta z folwarkiem, do dóbr głównych Bodzechów należąca, jest własnością panów Kotkowskich; liczy ludności chrześcian 616, żydów 13, razem 629 w 62 domach zamieszkałych. Są tu znaczne zakłady żelaza, a mianowicie piec wielki i kilka fryszerek; maszyny obraca rzeka Kamienna, w téj wsi łożysko swe mająca. Właściciele stawiają teraz jeszcze nową fabrykę odlewów, i nowe sposoby wyrobu żelaza zaprowadzają. Mnie to jednak nietyle zajęło, co sami dziedzice, w rzadkiej patryarchalnej zgodzie mieszkający.

Pan Kotkowski ojciec, dawny jeszcze za Stanisława Augusta wojskowy, dotąd od rządu emeryturę swoją odbierający, własną pracą i rozumem zebrał sobie mająteczek; a gdy Pan Bóg obdarzył go pomiędzy licznymi dziećmi czterema synami, właśnie za ich pomocą dojść do większej zamożności postanowił. Dał im więc stosowne do swego celu wychowanie, do wysokości postępu każdej nauki z osobna posunięte, przeznaczając jednego na gospodarza, drugiego na prawnika, trzeciego na górnika, a czwartego na budowniczego i mechanika. Przyczynił ich do zobopólnej miłości, do przywiązania i posłuszeństwa bez granic rodzicom; i jak sobie życzył, tak się stało. Dorosli synowie z chlubą nauki swoje skończywszy, dopełnili jej za granicą i wrócili pod strzechę rodzinną dalszą wolę ojca swego wypełniać. Wtedy podzielił pomiędzy nich nie majątek już dość znaczny, który przysposobił, lecz do każdego zastosowaną pracę: gospodarzowi oddał rolę, górnikowi fabrykę żelaza, architektowi budowlę, a prawnikowi interesa powierzył. Tylko główny ster zostawił przy sobie, i wszystko poszło jak najlepiej: bo jedna myśl te dusze ożywiała, jedna wola głowami temi kierowała, płatnych zaś najemników zastąpiły przywiązane serca, umiejętne ręce i wykształcone umysły.

Tymczasem czterej synowie pożenili się i zawsze nierozłączni dawny dworzec kanclerza zamieszkali, a Pan Bóg snadź próbując te cnoty domowe nawiedził starca chorobą ciała, która go od lat kilkunastu do łóżka przykuła. Pomimo to ścisły węzeł jedności nie rozewał się, wola ojca została świętą i nietykalną, i dziś, jak przed laty, liczne to rodzeństwo dorosłemi już wnukami pomnożone, dotąd przy jednym stole obok łóża sędziwego ojca zasiada, i do najdrobniejszej rzeczy wszystko ma wspólne. Co zaś dziwniejsze, iż zgoda ta tak gruntownie w całej rodzinie jest wpojona, że nawet żony rozdzielwszy między sobą zatrudnienie, i każda z kolei co tydzień całém ogólném domowém gospodarstwem zajmując się, w najlepszej żyją między sobą harmonii. Dzieci każdą z nich nazywają matką i jednak o od każdej są uważane i kochane, chory zaś i podeszła w laty matka od synów, synowych, wnuków i wnucząt na wyścigi otoczeni są czcią, miłością i przywiązaniem niesłychaném.

Pierwszy raz w życiu swoim podobny przykład widziałem, a bliżej poznawszy tę rzadką familią, z której prawie każdy zdrowym rozsądkiem, światłem i nauką w obranym przedmiocie odznacza się, podziwiałem moc jednej woli, i dla pamięci słaby obraz tego domu skreśliłem.

Przepraszam za to od archeologii zboczenie.

IV.

Droga na Łysą-górę. — Miasteczko Nowa Słupia z swoją historją i wspomnieniami. — Kościół św. Krzyża i klasztor Benedyktynów. — Historia tego miejsca. — Opis dawnego stanu kościoła. — Dzieje opactwa i spis opatów od najdawniejszych czasów aż do ostatniego. — Stan terażniejszy kościoła. — Nagrobki i obrazy Smuglewicza.

Już od kilku dni zewsząd widziałem bielejące się szczyty kościoła św. Krzyża na Łysiej-górze, ślicznie i malowniczo wyglądające, zanim z kolei do tego miejsca pojechałem. Z Boleszyna drogę miałem coraz to gorszą: doły wyrwane przez wodę spadającą ani raz pośpieszyć mi nie dozwoliły; to wspinaliśmy się na spadziste wzgórza, to znowu zjeżdżaliśmy z bardzo przykrąj pochyłości. A jechaliśmy ciągle wzgórzami, zwykle ich szczytem. Po obu stronach bawiły oko, to łąki snujące się wąwozami, to pola po złotej Sandomierce żółciejące, to wioski w głębi wąwozów umieszczone i drzewami ocienione. Obraz ten lubo zawsze toż samo wystawiający, zmieniał się co chwila i roz-

maitością swoją przyjemnie zajmował. A Łysa - góra cała lasem okryta, z dwoma pomniejszych obok siebie wzgórzami, jakby z wałami swemi coraz była wyraźniejszą.

Tak dojechaliśmy do miasteczka Nowej Słupi, u spodu téjże góry znajdującego się. Miasteczko to niegdyś do opactwa świętokrzyskiego należące, dziś rządowe, w niskiem położeniu, wokoło górami otoczone, dlatego zalewu wody z gór spadającej doświadcza. Wedle niego płynie mała rzeczka, a raczej strumień Stoną-wodą zwany. Ludność chrześcijańska liczy 579 osób, starozakonnych 170, razem 749; domów po większej części drewnianych jest 114. Mieszkańcy trudnią się rolnictwem i mniejszemi rzemiosłami. Jest tu murowany kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca w roku 1678 przez Mikołaja Goskiego opata wystawiony, który ani zewnątrz, ani wewnątrz niczem się nie odznacza, tudzież żadnych pamiątek i zabytków nie posiada.

Samo miasto nazwisko swoje Nowa Słupia ztąd wywodzi, iż o ćwierć mili graniczy z dawną wsią Starą Słupią, które przedtém i jedno i druga zwane były Stary lub Nowy Słup. Teraźniejsze miasteczko nie posiada erekcyi, i nie wiadomo kiedy założone zostało; lecz jest ślad, że wszystkie dawne papiery znajdowały się niegdyś w świętokrzyskim klasztorze. Już bowiem w roku 1527 obywatele tu-tejsi szukali praw swoich i otrzymali odpowiedź od niejakiego Jakóba Petri podczaszego sandomierskiego, że oryginały wszystkich ich przywilejów w tamecznym archiwum znajdować się miały. Nie ma zatem wątpliwości, że założone było przez jednego z opatów, zwłaszcza, iż w kronice klasztoru umieszczona jest wiadomość, jakoby w r. 1517 za opactwa Jana z Szydłowa probostwo Nowej Słupi do nich dopiero przyłączone zostało.

Dziś w skrzyni magistratu dochowały się jeszcze następne przywileje:

1) Przywilej Władysława Jagielly wydany w r. 1405 w Szczekarczowicach, którym ustanawia targi czwartkowe.

2) Władysława IV z r. 1633, przenoszący miasto z prawa polskiego i ruskiego na niemieckie, i nowe targi tudzież jarmarki nadaje.

3) Przywilej Jana IIIgo Sobieskiego z roku 1690, powiększający liczbę jarmarków. Nakoniec:

4) Stanisława Augusta wydany w r. 1787, dnia 16 lutego, którym wszystkie poprzednie przywileje potwierdzając, jeszcze trzy nowe jarmarki dodaje.

Był tu niegdyś drugi kościół pod wezwaniem św. Michała, założony przez opata Michała Maliszewskiego w r. 1598, który poprzednio wraz z gmachem do probostwa szpitalnego należał; później na szkółkę przeznaczony, od niejakiego czasu na wzgórzu w ruinach leży.

Nad to wszystko Nowa Słupia ma swoje wspomnienia. Tu w roku 1410, zaraz po uroczystości Bożego Ciała, jadący na wojnę pruską przybył Władysław Jagiełło, i w dwudniowym pobycie ztąd pieszo bosemi nogami, jak powiada Bielski, kościół święto-krzyżki odwiedzał, a w następnych latach kilkakrotnie podobną pielgrzymkę odprawiał. Ztąd syn jego Kazimierz IV w dniu 28 lipca 1451 r. dla ziszczenia pobożnego ślubu tamże udawał się; Jan Albert w r. 1494, Zygmunt IIIci, Władysław IVty i prawie wszyscy królowie polscy w tym celu do Słupi zjeżdżali.

I my zatem, aczkolwiek maluczcy pacholeta ztąd na Łysą-górę powędrowaliśmy. Któż o Łysiej-górze nie słyszał? bo pewnie nie masz u nas miejsca tak powszechnie znanego, i tylu podaniami a rozmaitemi powieściami obdarzonego. Ona bowiem wyniosłością swoją całemu krajowi panując, ściągnęła do siebie wypadki dziejowe, żywa zaś wyobraźnia mieszkańców gór obdarzyła ją bogatemi podaniami, zresztą wielu podobnym góróm w Europie wspólnemi. Bo lud lubi wszędzie cudowność, a wyobraźnia jego nauką niehamowana, sama z siebie płodzi cuda. Tu jeszcze dotąd od stworzenia świata, powiadają wieśniacy, w końcu kwietnia czarownice mają swoje szabasy, wjeżdżając na miotłach, łopatach i roznach, które im czart dostarcza, a na których wymknąwszy się kominem lub oknem, lecą od nikogo niewidziane dla gęstej mgły, którą bies umyślnie na ten raz całą górę otacza. Wtedy bywa tu bankiet: czarownice zdają ze swoich czynności sprawę i odbierają nowe polecenia; zresztą z nieszczęścia biednych otumanionych ludzi weseląc się, śpiewają i tańczą, a dopiero pianie koguta przerywa ucztę, po której smród siarki i smoły przez długi czas na górze zostaje.

Podobna gadka w całej zachodniej Słowiańszczyźnie powtarza się, co więcej, iż wszędzie głównejsze miejsca schadzek czarownic z czartami, Łyseimi górami nazywają się. Takich gór pełno jest nad Łabą i na Pomorzu; jedne Łysą górą, drugie Łopatą przezywane. Na nie, podług mniemania tamecznego ludu, dotąd jeżdżą czarownice na owe djabelskie bankiety. Atoli nie tylko u Słowian, bo prawie każdy kraj miał swoją górę na te szabasy przeznaczoną. Taką górą nazywa się Blokala w Szwecyi, Brocken w Niemczech, Puy de Dome we

Francyi, Aquelarra w Hiszpanii, Darco di Terrara we Włoszech. Najznakomitszą zaś jest dotąd w hercyńskich kniejach góra Blocksberg, na którą czarownice nawet z sąsiedzkich krajów nieprzestannie zjeżdżają się.

Tylko szczęśliwa Ruś nie zna starych czarownic na miotlach po górach włóczących się. U nich jeszcze, jak za dobrych czasów, czarownice sąto młode, hoże, czarnookie, czarnobrewy, z krasnem licem smagłe dziewoje, które czatują na młodych i urodnych chłopaków, żeby z niemi, nie z brzydkimi czartami płasnąć po kwiecistych dolinach. Oto są czarownice! to rozumiem! Ale zkąd naszym biednym ojcom przyszło do głowy szpetne i stare baby na czarownice przedzierzgnąć, na góry ich wysłać i na straszdyła dla poczciwców wykierować, zkąd? Czegoby téż uczeni nie wytłumaczyli! Oto mówią oni, że Niemcy nam to wszystko przynieśli, i w widokach politycznych owo mniemanie zaszczepili; bo kiedy piękne córy zawojowanych Słowian nawzajem podbijały serca zwycięzców swoich, starszyzna niemiecka zapobiegając temu, dla odstraszenia od sideł miłości, brzydkimi ich i starymi czarownicami ogłosił. Mój Boże, jaka to szkoda! i my więc mieliśmy przedtém śliczne, żywe i puste młodziuchne czarownice, które po zielonych łąkach z urodziwemi chłopcami zwodziły tany, cudne piosnki śpiewały, lub wiecznie jak Rusalki pluskały się w wodzie. Teraz zostały nam tylko obrzydłe na Łysěj-górze straszdyła.

Lecz nie na tém koniec. Na polskiej Łysěj-górze, wedle dawnych akt klasztornych, gdzie kiedyś, jak Długosz pisze, najslawniejsze pomieszkanie olbrzymy mieli, stała od wieków bożnica pogańska i trzy posągi bożków zwanych: Łada, Boda i Leli, którym przodkowie nasi w dniu 1 maja zwykli byli modlitwy i ofiary oddawać; któreto zwyczaje, powiada łatwowierny ks. Jacek Jabłoński kronikarz klasztorny, dopiero zniesione są przywilejem Jagielly króla; posągi zaś on sam jeszcze oglądał w r. 1686, gdy pod drzwiami kościoła stożkryżskiego w boku skałę kuto, i trafunkiem je znaleziono.

Przy owój bożnicy stał obronny zamek Łysiec zwany, dlatego, iż się zdaleka bielał, a który przez pomstę Bożą wszystek grom roztrącił, tak, iż jeszcze w XVI wieku, wedle współczesnych opisów, leżały na tém miejscu wielkie gromady kamienia. Na zamku tym i górze zawsze owi ludzie w największych niebezpieczeństwach od nieprzyjaciół najpewniejszą obronę mieli, i dlatego ją téż trzema murami kamiennemi dosyć mocno, tylko dwoje miejsca naksztalt dwu bram zostawiwszy, opasali. Tutaj to, pisze w r. 1604 jeden z Benedyktynów świętokrzyżskich, obozy pod tą górą pokładane bywały, jako

przy miejscu takim, gdzie ściek wszystkich ludzi bywał; znać to po rozmaitych sztukach zbroi, ostróg, ułamków broni dziwnego i przedwiecznego kształtu, które do tych czasów znajdują.

Podanie to z starych rękopismów wyjęte może być niedalekie od prawdy, tylko nazwisko Łysiej-góry, jak wyżej mówiliśmy, innym górcom w słowiańskich krajach wspólne, właściwiej pochodzić może od tego, iż miejsca skaliste w lasach borem niezarośnięte, wszędzie w okolicy tutejszej dotąd nazywają *gołoborzem*; zatém nagi wierzchołek góry, właśnie *łysym* jest mianowany.

Lecz idźmy dalej za staremi tego miejsca podaniami. Otóż kiedy Mieczysław książę polski wiarę chrześcijańską przyjął, żona jego Dąbrówka czeska chcąc chwałę Bożą w Polsce rozmnożyć, gdy szukała miejsca godnego ku budowaniu kościoła, spodobała się jej Łysa-góra, a pokaziwszy stojące tam bożnice kazała wystawić kościół i poświęcić ku czci i ku chwale Przenajświętszej Trójcy. Tamże wezwawszy sześciu mnichów zakonu św. Benedykta, mężów nabożnych z Zozee miasta czeskiego, zbudowała im klasztor niewielki i nadała im część mienia z posagu swego; któryto potem klasztor wielki i sławny król Bolesław Chrobry na prośbę téjże Dąbrówki matki swój, której był synem jedynym, roku szóstego po koronacji większém imieniem nadał, i dostatkiem większym zmurował.

To ostatnie podanie, które w rzadkiej broszurze z początku XVI wieku wyczytałem, tak proste i bez przymieszania nadzwyczajnych wypadków, byłoby zaiste bardzo do prawdy podobném, gdyby nie ta okoliczność z nieznośnej nowożytnéj krytyki wypływająca, że gdy wedle współczesnych dowodów księża Benedyktyni sprowadzeni byli dopiero do Czech w r. 993, zaś Dąbrówka umarła w 977 r., jakże mogła tych zakonników do Polski sprowadzać, kiedy ich jeszcze w Czechach nie było? I dalej, w *Memorabiliach* w bibliotece Chigi w Rzymie znajdujących się, w Kosmasie, Dobnerze, oraz w rocznikach Benedyktynów przez p. Bielowskiego wydrukowanych, umieszczona jest pod rokiem 1003 wiadomość, iż po śmierci św. Wojciecha brat jego Radym sprowadził tychże mnichów do Polski, zatém o trzydzieści lat później jak podanie głosi.

Wszakże to pierwsze błędne, aczkolwiek jeszcze proste podanie, urosło z wiekami, i w coraz inną bardziej pstrą przyoblekło się sukienkę. Byłto bowiem czas szczególnie w XIV stuleciu, że na wyścigi bajano, a nieszczęsny ród kronikarzy, sprawił tym sposobem ogromne w historii spustoszenie: bo wtedy bynajmniej nie wstydzono się zmyślać, byle na tém zgromadzenie lub kościół co zyskały. Dla

nich niedostateczny był ladażaki początek, więc od stworzenia świata, od potopu, od wieży Babilońskiej, wszystko wyprowadzano; a jeżeli już nie można było tak daleko posunąć, to koniecznie od cudownych i nadludzkich wypadków zaczynało. Pomędzy takimi bajarzami, szczególnie Czesi celowali, i im to prawie wszystkie nasze legendy winniśmy. Za nimi poszedł najrozsądniejszy z Benedyktynów, kronikę tego miejsca piszących, ks. Wojciech Rufin, w nadzwyczajnie rzadkiem swoim dziełku pod tytułem: *Historya o drzewie krzyża świętego na górę Łysą przyniesionego, w Krakowie, 1604 z druku wydanego*; który polegając na Długoszu i dawnych za jego czasu istniejących aktach klasztornych, mianowicie kronik w języku czeskim pisanych, wybudowanie kościoła na Łysój-górze przyznaje prośbom Emeryka królewicza węgierskiego, bawiącego się myśliwstwem w tych stronach z Bolesławem Chrobrym, w r. 1006. Atoli Naruszewicz idąc za historją węgierską Praja dowiódł, jak podanie to jest błędnem, gdyż Emeryk był wtedy jeszcze w pieluchach. Pomimo to legenda ta tak weszła do naszej historyi i ugruntowała się, iż niepodobna jęj już opuścić. Posłuchajmy tedy co o tém ów roztropany Benedyktyn pięknym swoim językiem opowiada:

„Onego czasu przyjechał do Polski Emeryk królewicz węgierski, i przyjął go Bolesław wdzięcznie jako wielkiego gościa i szwagra, a dostatkami wszelakimi opatrować rozkazał. Człowiek to był ten królewicz bardzo nabożny, Pana Boga się bojący, we wszystkiem naśladowając cnót, pobożności, świątobliwości króla Stefana ojca swego. Kto chce, niech czyta historyki węgierskie, wszyscy nie mogą się wychwalić bogobożności królewicza tego, więc i cudom, któremi go Pan Bóg tak za żywota, jako i po śmierci wślawił. Ten królewicz mieszkając niemały czas w Polsce przy królu Bolesławie, każdemu z postępków swych był przyjemnym, z czego się król bardzo kochał, iż nietylko samo powinowactwo, ale téż i cnoty wrodzone tak u dworzan, tak żołnierstwa, tak u wszystkiego pospólstwa jednały mu wielką miłość i życzliwość. Potém odprawiwszy swoje nabożeństwo w Gnieźnie, gdy do Węgier odjeżdżał, odprowadzał go Bolesław i przyjechawszy do Klec (Kielc), chcąc się jeszcze z sobą ucieszyć myśliwstwem, jechali w łowy ku Łysój-górze, gdzie naleźli jelenia i puścili się po nim; uciekał jelen na wierzch góry, za którym tam zajechawszy nie mogąc mu przebieżać, konie pomordowawszy stanęli, a przypatrząc się położeniu miejsca, po wierzchu góry przejeżdżali się. Powiada Bolesław królewiczowi, jako ono dawni Polacy za wielką fortunę tę górę sobie mieli, jako za pogaństwa na téj górze były trzy

bałwochwalskie obrazy, a na miejscu kędy stały one bałwany, ukazuje kapliczkę zmurowaną ku chwale Panu Bogu w Trójcy jedynemu, założoną od Dąbrówki matki swojej, córki Bolesława księcia czeskiego, przy której mieszkało kilku pustelników zakonu reguły św. Benedykta, którzy nauczali ludzi wiary chrześcijańskiej. Ukazuje mu też około wierzchu tej góry trzy wały, niepodobną pracą kamieniami usypane. Dziwuje się królewicz, widzi, że szkoda na takim miejscu czego nie murować, i o tém jadąc z Bolesławem do stanowiska, rozmawia, a myśli, jakimoby mieszkaniu tu najprzystojniej było. Więc iż król Stefan ojciec jego w Węgrzech wielkim kosztem kościoły i klasztory murował, wpadło mu na myśl, a prawie jakoby duchem Bożym natchniony (bo niektórzy piszą, że miał być od anioła w nocy przez sen upomniony), najprzystojniej mu się zdało na tej górze klasztor jaki założyć; i zjęty nabożeństwem z onego Boskiego napomnienia, prosił Bolesława króla, aby dla czci i chwały Bożej, dla dusznego ludzkiego zbawienia, dla pomnożenia świętej wiary powszechniej, klasztor onym czarnym zakonnikom pustelnikom reguły Benedykta świętego, zmurował. Na prośbę gościa tak zacnego i miłego, powinnego swego, on król bogobojny, który też już i biskupstwa nadawał i kościoły insze w Polsce zakładał, nietylko klasztor zmurować, ale i zakonniki opatrzyć pewnemi dla wyżywienia dochodami obiecał."

„Miał sobie Emeryk święty za osobliwy znak łaski i wielkie szczęście, iż swoją prośbą od króla Bolesława pożądaną obietnicę otrzymał; za co Bolesławowi, wychwalając szerokimi słowy pobożność jego, za tak wielką uczynność przeciwko sobie dziękował. I pewien będąc, iż ona obietnica skutek swój wziąć miała, że i na hojnej szczodrobliwości królewskiej w onym klasztornym zakładaniu ni wczym schodzić nie miało, wyjąwszy krzyżyk srebrny pozłocisty, w którym było pięć sztuczek drzewa z krzyża onego wielkiego, co za grzechy wszystkiego świata krwią swoją go Pan Zbawiciel nasz oblać i napuścić raczył, temu miejscu naznaczył."

„A ten krzyżyk Stefanowi królowi węgierskiemu ojcu jego, Henryk pierwszy cesarz konstantynopolski, powinny krewny, za przedni upominek był przysłał i darował. A Stefan zaś dał go synowi na szczęśliwą drogę do Polski jadącemu, który on za pectorał albo noszenie nieprzeplacone zawsze na piersiach nosił. Jednak nie sprzeciwiając się woli Bożej, oddawając on krzyżyk do rąk Bolesławowych, mówił: Nie miałem klejnotu nad ten i nie mogę już mieć milszego i porządniejszego; jednak iż do tego przystąpiła wola i rozkazanie

Boże, abym go przyszedłemu klasztorowi na tój górze zbudowanemu zostawił, uprzejmą chęcią bardzo rad go oddaje.”

„A w starój historii klasztornej jest, iż Emeryk święty z Klec na tę górę ten krzyż św. ze wszelką uczciwością i nabożeństwem przyniósł, Lampertowi piérszemu arcybiskupowi krakowskiemu go oddał, który o tém przedtém wiedząc, umyślnie z onymi pustelnikami zakonu Benedykta św. przy kapliczce na tój górze mieszkającymi, przeciwko królewiczowi wyszedł, i na tém miejscu, gdzie do tych czasów tamże na górze na pamiątkę tego jest kościółek drzewiany, arcybiskup wziął krzyż święty od królewicza, a ztamtąd z weselem i nabożném śpiewaniem, z processyą, wszyscy na wierzch góry do onój kapliczki od Dąbrówki zmurowanej, gdzie teraz klasztor jest, arcybiskupa, który krzyż święty niósł, zaprowadzili; tam odprawivszy pewne ceremonie starszemu z onych pustelników arcybiskup drzewo krzyża św. oddał i zostawił.”

„Ale jakożkolwiek jest dosyć na tém, że się wszyscy zgadzają, iż od tego Emeryka, syna Stefana króla węgierskiego, drzewo najświętsze do tego klasztoru na tę górę Łysą jest darowane. Także, iż król Bolesław na prośbę i żądanie tego królewicza, i widząc królestwo swoje tak znamienitym klejnotem być obdarzone, onegoż roku, tojest od Narodzenia Chrystusowego 1006, klasztor z kościołem pustelnikom onym zakonu św. Benedykta z gruntu greckim kształtem z kamienia zmurowawszy, przystojne opatrzenie nadał.”

„Więc aby się w większej liczbie zakonników porządniej i zupełniej w tym klasztorze służba Boża odprawowała, zaczęmby się i snadniej błędy pogańskie wykorzeniać mogły, do opata tójże reguły św. Benedykta na górę Kassińską do Włoch zaraz wyprawił, pilnie prosząc, aby do tego klasztoru nowo założonego bracięj reguły więcéj przysłał; co chętnie rad uczynił opat i przyjechało było wszystkich osób dwanaście narodu włoskiego, którzy od króla z wielką chęcią przyjęci, do terażniejszego klasztoru szczęśliwie wprowadzeni. Od onego czasu przez 400 lat z tantęj góry klasztoru Kassińskiego tu do Polski zakonniki na miejsce tych, którzy albo umierali, albo od pogańskich rąk ginęli, posyłano.”

Opowiadanie księdza Rufina, jak widzimy, jest bardzo umiarkowane, bo sumienny zakonnik umieszczone dane poczerpnął ze źródeł, które dotąd za wiarogodne są uważane, i wszystkie je na

swojém miejscu przytoczył. Tylko na nieszczęście wszystkie one probierczego kamienia nowożytnéj krytyki nie wytrzymają. Królewicz Emeryk dopiero w r. 1006 urodził się, a zmarł w 1032. Król zaś ojciec jego, Stefan, podobno po jego śmierci klasztor Benedyktynów w Węgrzech zakładał. Dziwną także jest rzeczą, iż najdokładniejsze kroniki klasztoru w Monte Cassino, które miałem pod ręką, nie o wysłanych ztamtąd do Polski zakonnikach nie wspominają, kiedy o innych podobnych koloniach zawsze na swoim miejscu mówią. Nie ma także o tém żadnych śladów w bogatém archiwum w Monte Cassino, gdzie tyle bull papieżkich od XI wieku zacząwszy, a dyplomata od IXgo wieku znajdują się, w którym są tak ważne rękopisma z VI i VII wieku, nie przecież o Benedyktynach z Łyséj-góry hr. Alexander Przezdziecki nie mógł znaleźć (1). Co więcéj, dokładne roczniki całego zakonu Benedyktynów, jakiemi są prace Mabillona, nie czynią o tém żadnej wzmianki, gdy przeciwnie o początku klasztoru w Tyńcu wszędzie wspominają. W całej zatém pierwotnéj historii kościoła św. Krzyża na Łyséj-górze jest coś niepewnego, i bodajbym nie zgadł, ale przyjdzie kiedyś czas, że jak śnieg na jéj szczycie ożywczym słońca promieniem ogrzany, tak legendy te na słowa prawdy znikną.

Tymczasem oddajmy sprawiedliwość miejscowym opisom, bo im są one starsze, tém mniej zarzucić im można; w późniejszych zaś, mianowicie księży Benedyktynów tutejszych, Kwiatkiewicza i Jabłońskiego, gdzie te same zdarzenia przystrojone są w nadzwyczajne i nadludzkie wypadki, już prawdy ani domaćać nie można.

Wszakże od XIII wieku począwszy, już dzieje tego miejsca są jaśniejsze i przez współczesnych opisywane. Ztamtąd więc, zgadzając z sobą kroniki miejscowe, dalsze wypadki opowiemy.

Klasztor tutejszy uważany jako skład majątków i przytułek ludzi w czasie trwogi i niebezpieczeństwa, zniszczony i spalony został od Tatarów w r. 1260, kiedy wodzowie ich Teleboga i Nogaj z szarańczą dzikiéj hordy wpadli do Polski, a pustosząc całe

(1) O braku wszelkich dowodów co do pierwotnych stosunków Łyséj-góry z Monte Cassino najlepiéj przekonywa notatka z XVII wieku, przez hr. Alex. Przezdzieckiego tamże znaleziona, w której opat świętokrzyżki z Polski żąda wyszukania tam jakichkolwiek śladów pochodzenia ich z Monte Cassino, fundacyi lub erekcyi, co wszystko w Polsce zaginać miało, a im dla obrony od przeciwników było potrzebne.

ziemie okoliczne, zostawiając ślady, które ledwo wiekami zatrzcć się mogły, wtedy i najdawniejsze przywileje tutejsze, jako i insze rzeczy klasztorne, natenczas rozszarpali. Także roku 1370 po śmierci króla Kazimiérza Wielkiego, Lubart i Kiejstut z inszemi książęty litewskimi bracią swą wtargnąwszy do sandomierskiej ziemi, gdy od Wiślicy nazad ku domowi wracali, kościół tutejszy z bogatych sprzętów obdarli; a co więcéj, między inszemi rzeczami, i drzewo krzyża św. oprawne wzięli. „A gdy już z granic Polski, pisze tenże sam kronikarz, zjeżdżać mieli, rzecz się godna pamięci stała. Albowiem wóz, na którym drzewo krzyża św. między inszą zdobyczą wieziono, żadnym sposobem ani bydłęcą, ani ludzką siłą nie mógł być z miejsca ruszony, i owszem jako zabici, tak ludzie, tak konie, tak woły, ktokolwiek się onego woza dotknął na ziemię padali. Przelekły się książęta, a gdy im jeden Ruśniak tego cudu przyczynę opowiadał, zarazem krzyż święty przez Korabellę szlachcica polskiego z więzienia dla téj posługi dobrowolnie wypuszczonego, na miejsce swoje, tojest do tego klasztoru, gdzie i do tych czasów jest, odesłan.”

Odtąd sława kościoła na Łyséj-górze szeroko po kraju wzrosła, a pobożność licznemi go nadaniami wzbogaciła. Hojne jałmużny, wsie, i niemal całe dobra temu klasztorowi zapisywano i darowywano, a monarchowie majątności te od wszelkich opłat i podatków uwalniali. Władysław Jagiełło po przyjęciu wiary chrześcijańskiej przed każdym zaczęciem najpilniejszych praw krajowych, przed każdym potykaniem się z nieprzyjacielem, zawsze zwykł był to miejsce nawiedzać; a gdy Pan Bóg wysłuchiwał modlitwy jego, wszelkie dobrodziejstwa klasztorowi czynił. W roku 1447 kościół blachą ołowianą pobił, organy bardzo kosztowne sprawił, a wewnątrz cały greckim kształtem dał pomalować, któreto malowanie aż do roku 1777 dotrwało. Również bogobojny syn jego Kazimiérz kilkakrotnie świątynię tę odwiedzał, a we wszystkiém pobożność ojcowską naśladowując, kiedy w roku 1459 dnia 8 października klasztor cały zgorzał, a kościół dotkliwie ucierpiał, król Kazimiérz Jagiellończyk budowlę dał ponaprawiać; a widząc jak wielka ilość ludzi, często dla nabożeństwa w tym kościele bywała, a kościół na taką cizbę od króla Bolesława przymniejszym był zmurowany: dlatego przestrzeńszym i większym chórem, niżli sam kościół w sobie jest, nadmurować kazał. Ale król Kazimiérz nie zaraz dał zasklepić onego chóru zmurow-

wanego; tedy on wielki i poważny kardynał Zbigniew Oleśnicki, będąc osobnym dobrodziejem klasztoru tego, kazał go zasklepić.

Atoli lubo pożar ten wielkie szkody w klasztorze sprawił, zniszczywszy oraz najdawniejsze księgi rękopismienne, któremi zgromadzenie Benedyktynów tutejszych służyło; król opatrzywszy ich w dostatek dał im także dla rządu opata Michała z Lipia mistrza akademii krakowskiej, człowieka godnego i pobożnego żywota, a ulubieńca swego, który klasztor do porządku, kościół do ozdoby, jak nigdy przedtém przyprowadził. Za jego staraniem biblioteka nowemi kodexami, kopiowanemi z kodexów akademii krakowskiej była znowu zapełniona; liczne wioski klasztorne do lepszego stanu przyprowadzone, a zakonnicy tutejsi w dobrym rządzie i nauce, przed innemi celowali. Lecz po śmierci tego opata, za jego następców wszystko upadło, a to wedle słów kronikarza klasztoru, „za niedbalstwem przełożonych, którzy nieukami będąc, w próżnowaniu lata swe trawiąc, w czémby się słusznie zabawiać mieli wedle stanu swego nie wiedząc, na stronie od klasztoru mieszkając, karności zakonnej niebożęta zaniedbali. Dwie rzeczy albowiem są, które rząd klasztorny trzymają: bojaźń Boża i nauka pisma; gdzie tego nie ma, od świętego porządku daleko wykraczać się musi. Kto miłuje Pana Boga, z wielką pilnością przestrzega powołania swego; kto się kocha w czytaniu i w nauce, od dobrego przedsięwzięcia nie zwykł odstępować: bo czytaniem pisma do niejakięj skruchy zawsze się skłania. Oni tedy ojcowie to wszystko opuściwszy, nawet i rządu klasztornego zaniechawszy, o sobie i o klasztor prawie nie dbając, dostatkim swoim jakoś nieostrożnie zubożeli, tak, iż do tego przyszło było, że opat z zakonnikami tylko przy dwu folwarkach dosyć małych został. I kiedy ksiądz opat Michał Maliszewski sekretarz króla Zygmunta IIIgo na opactwo przyjechał w r. 1594, zdumiawszy się wielkiemu spustoszeniu kościelnemu i klasztornemu, chciał precz jechać i opactwo porzucić, aż się ledwo za prośbami zakonników dał od tego przedsięwzięcia odwieść.”

Opat Maliszewski wziął się ostro do rzeczy: ujął w kluby rozprzężone zwyczaję, a kościół z klaszturem do porządku przyprowadziwszy, na długi czas znowu w dobrym stanie zostawił. Dopomagał mu w tém silnie Zygmunt IIIci z osobliwém nabożeństwem i czcią dla tego miejsca będący. Monarcha ten był kilkakrotnie na Łysěj-górze. W roku 1607 w lipcu zpod Guzowa wracając, składał tu dzięki za odniesione nad rokoszanami zwy-

ciężstwo, a w r. 1611 swój królewskiej ręki roboty, posągi trzy srebrne znakomite, odlewane, przez Władysława syna swego przysłał. Król Jan Kazimierz podobnież pieszo kościół ten zwiedzał.

Znowuż zatém z bogatych ozdób i zamożności słynął. Tak było do roku 1656, gdy Szwedzi na łup bogaty zwabieni, na klasztor wyprawę uczynili; ale ostrożni zakonnicy uratowali wszystko tym sposobem, iż trzech wybranych ukryli tutejsze skarby i sami za granicę zemknęli. Skoro więc Szwedzi pod dowództwem pułkownika Pawła Wirtz, klasztor opanowali, niemają czasu tu mieszkali, napróżno skarbów szukając, których gdy odkryć nie mogli, pomimo iż zakonników na tortury brano, złupiwszy co mogli, i przez zemstę kilku zamordowawszy, odstąpili.

Powtórzyła się ta sama sprawka i w roku 1704 pod Karolem XIIstym, kiedy generał Renschild w kilkaset koni dla odszukania podobnież ukrytych skarbów na Łysą-górę przybył, grożąc iż cały kościół i klasztor zburzy, jeżeli mu ich sami nie oddadzą. A spełniając tę groźbę, z ziemią zrównał pierwotną kaplicę św. krzyża, spodziewając się, iż tam, jako w celniejszém i najświętszém miejscu, zostały ukryte. Wiele atoli złego uczyniwszy, wykonać swych zamysłów nie mógł, gdyż nikt nie wiedział, gdzie się skarby znajdują, bo wtajemniczeni zakonnicy, jak zwykle, znowu za granicę zemknęli. Zagniewany więc Szwed, jak niepyszny ustąpić musiał z klasztoru. Nie sami jednak tylko Szwedzi na skarby święto-krzyżkie czyhali, albowiem jeszcze w r. 1716 podczas wojny domowej, klasztor najechany i zrujnowany, wiele z tego powodu ucierpiał.

Wkrótce jednak koleje wojen i rozruchów wewnętrznych skończyły się; klasztor tedy znowu tutejszy w zamożność i dostatki wzrastał, gdy w dniu 26 października 1777 roku, nieszczęśliwym trafem spłonęło wspaniałe opactwo, a z niem i mury kościoła do szczytu niszczały. Ogień ten, jak donosi ówczesna Gazeta Warszawska z dnia 12 listopada, dostrzeżono dopiero około godziny 3ciej po północy; a nagły i gwałtowny przy strasznym wichrze, cały kościół z ołtarzami, z ogromném opactwem, ze wszystkiém obszerném klasztorném zabudowaniem i sprzętami w przeciągu trzech godzin w perzynę obrócił, tak dalece, że na owém sławném w dziejach naszych miejscu, same tylko zostały gołe mury, i to częścią przez dawność, częścią téż przez tęgość ognia na szmaty rozsiadłe i popękane. Pożar ten w tak wielkie nieszczęście tenże kościół i klasztor wprowadził, że zakonnicy ledwo

życie samo unieśli; a nic zgoła ratować z ognia nie mogli, tylko Najświętszy Sakrament i sławne tameczne drzewo krzyża Świętego.

Stały czas niejaki pustkowiec mury, aż dopiero w r. 1780 rozebrano je zupełnie, i nowy terażniejszy kościół za rządu ostatniego opata Józefa Jana Nepom. Niegolewskiego wznosić poczęto.

Dawniejszy kościół, podług ryciny przy Historii drzewa krzyża św. przez ks. Marcina Kwiatkiewicza Benedyktyna i proboszcza w Koniemłotach w r. 1690 z druku wydanój, otoczony był drewnianym parkanem z wielką bramą murowaną, której szczątki zdaje się iż do dziś dnia zostały. Sam kościół był z kamienia wystawiony z dwiema czworobocznemi wieżami od wejścia, których wierzch był przykryty baniastym dachem o dwóch piętrach. Na lewo wznosił się klasztor, którego mury do dziś dnia na tém miejscu pozostały. Cały kościół w kształcie krzyża łacińskiego wystawiony, mający wkoło łukowato sklepione duże okna, na rogach wzmocniony przyporami, zdawał się być widocznie dziełem dawnego budownictwa włoskiego. W późniejszej rycinie przy podobnémże dziele ks. Jacka Jabłońskiego Benedyktyna i proboszcza św. Michała w Słupi, w r. 1734 z druku wydaném, tę widać tylko różnicę, iż parkan otaczający kościół na mur przemieniono, a brama główna była ozdobniejszą i wyższą.

Odbudowany na nowo kościół dopiero w r. 1806 poświęcony został. Uratowano także bibliotekę, która oprócz kilkuset dawnych rękopismów, zawierała jeszcze do 9,000 woluminów; gdy Benedyktyni francuzcy przyjęci jako emigranci, podjąwszy się jój ułożenia, płacąc gościnność, jak barbarzyńcy z Alexandryjską biblioteką postąpili i znaczną część ksiąg polskich, jako niezrozumianych spalić mieli. Odznaczył się pod tym względem na Łyséj-górze Benedyktyn francuzki ks. Gerard Lefebure de Lassus, który nietylko co obrażało wzrok i myśl jego bez litości palił, ale nawet dla ułatwienia sobie manipulacyi bibliotecznój, tym sposobem wszystkie mniej zrozumiane dzieła polskie uprzętnął.

Przy takowém uporządkowaniu inny jeszcze cios klasztor tutejszy spotkał, albowiem przy bibliotece znajdował się ów skarbiec zamożny, znany, jakéśmy wyżej mówili, tylko najstarszym zakonnikom pod przysięgą, że nikomu nie wydadzą wiadomości o niém. Gdy więc książki do nowój sali przenoszono, braciszek jeden przeczytał w porzuconym przypadkiem piśmie wiadomość o tym skarbcu i miejscu, gdzie się takowy ukryty znajduje. Zmówiwszy się tedy z dwoma innemi, wykradli złoto i klejnoty, i z kla-

sztoru uszli. Nie wiadomo dokładnie jak wielki był ten skarb; to tylko pewna, iż część jego odebrano zbiegom, a część znaczną już oni sami byli strwonili. Resztę sprzętów złotych, srebrnych i klejnotów zabrał rząd austriacki, od których ceny ustanowionej przez siebie płacił rocznie klasztorowi 14,000 złp.: Temu wypadkowi powszechnie przypisują zupełny odtąd upadek zamożności klasztoru, któremu gdy odłużone i zniszczone dobra odjęto, w gmachu mogącym do stu zakonników pomieścić, kilku zaledwo, jakby szczątki upadłej świetności swego zakonu błąkało się. Później i ci wymarli, a dziś tylko jeden pozostał.

Wszakże jeżeli obszerne są dzieje tego klasztoru i kościoła, niemniej ciekawe są żywoty tutejszych opatów, o których gdy przypadkowym sposobem w okolicy Łysiej-góry osobny rękopism znalazłem, nie od rzeczy będzie i o nich przy tej sposobności wspomnieć. Kto wie, może się znajdzie kiedy historyk, co ubiegłe dzieje tego miejsca w całości przedstawi, moje zatém napomknienia przydać mu się mogą; cierpliwi zaś czytelnicy zapewne jeszcze i o opatach świętokrzyżskich opowiedzieć mi pozwolą.

Rękopism ten, którego kopie z różnych lat w kilku miejscach znajdują się, jest dziełem Jerzego Henryka Johnston, Anglika, Benedyktyna, niegdyś nad tutejszém seminaryum przełożonego, a następnie bibliotekarza i archiwisty klasztoru. Wypracował on go około roku 1707, gdyż dzieje swoje na roku 1704 kończy. Ułożony jest, jak sam się wyraża, z podań miejscowych, z rozproszonych akt lub różnych dzieł krajowych. Szacowna ta praca w exemplarzu, który miałem pod ręką, następny miała tytuł:

Annales Archicoenobii Calvo Montani Sacri Ordinis Divinissime Patris Benedictis Congregationis Cassinensis Dioecesis Cracoviensis autore Georgis Henrico Johnston Anglo-Saxono.

Z tego zatém dzieła, tu i owdzie z innych źródeł (1) i z powieści współczesnych dopełniwszy, spis opatów święto-krzyżkich porządkiem ich następstwa umieszczam.

Imiona pierwszych zakonników tutejszych, dla zniszczonych lub spalonych akt nie są znane; lecz jak utrzymuje Johnston, byli-

(1) W bogatym zbiorze rękopismów i książek p. Kazimierza Stronczyńskiego w Warszawie, znajduje się kopia tychże roczników sporządzona w r. 1811 przez Ks. Bedę Wolskiego Benedyktyna, która tak się zaczyna: *Author Annatum Monasterii S. Crucis in Calvo Monte Adm. Rer. Pater Georgius Henrich Jonston Anglo-Saxo (quondam praefati conventus Alumnus) Bibliothecae et Archivi praefectus, Vir doctrina pietateque insignis.*

to tylko pustelnicy (Anachoretæ) reguły św. Benedykta. Kiedy zaś Bolesław Chrobry dwunastu nowych zakonników z Cassino sprowadził, co miało się stać za Jana III Benventano tamecznego opata, ci już z wybranym przełożonym do Polski przybyli.

Atoli piérwszy ten przełożony z imienia nieznany, po pięcioletnich rządach miał być do Monte Cassino odwołany; następnych zaś już z miejscowych zakonników większością głosów wybierano, którzy podobnie od tegoż klasztoru zależąc, odwoływani lub na nowo wybierani, dla braku współczesnych dowodów nie są znani.

Najdawniejszą wzmiankę o opacie z Łysėj-góry znalazłem w przywileju Leszka Białego, bez miejsca i roku, wydrukowanym w wspomnioném już dziele ks. Gładyszewicza pod nr. 12, w którym książę ten przyznając Iwonowi biskupowi krakowskiemu prawo do bobrów na rzece zwanėj Czarna, pomiędzy świadkami tego aktu wymienia *Lutfrida* opata z Łysėj-góry (*Abbate de Calvo monte Lutfrido*). Lecz we współczesnych przywilejach ten sam czyli tego samego imienia Lutryd znowu jako opat tyniecki jest pisany. Jakoż pracowity Szczygielski w swojej *Tinecii* pomiędzy tamecznemi opatami umieszcza Rutfrida czyli Lutfryda, który był 13 opatem w Tyńcu rodem Francuz z Kluniaku, zmarły 27 sierpnia 1232, i ażeby jednocześnie lub poprzednio był opatem na Łysėj-górze, nie wspomina.

Zatém z porządku byłbyto piérwszy opat; lecz Johnston i inni kronikarze szereg ich zaczynają dopiero od:

1) *Stanisława* Polaka, który jakoby Bolesława Wstydliwego krewny, od Tatarów wedle Johnstona w r. 1258, a podług kronik krajowych w r. 1260, wraz z 82, prawdopodobnie podług Szczygielskiego tylko z 32oma zakonnikami był zabity. Po tym wypadku zniszczony i opuszczony klasztor lat kilka stał bezludny, aż dopiero na prośbę tegoż księcia przysłano powtórnie z Monte Cassino zakonników wraz z opatem, którym był:

2) *Jakób* z Monte Cassino, od r. 1264. Ten zrujnowany kościół i klasztor odbudował, majątności odzyskał, i przywileje wy-

Autographus est hic liber scriptusque circa annum 1707 Praescripsit P. Beda Wolski professus Calvo Mon. S. Crucis in Anno 1811 et comparavit. Podobną kopię tylko bez tytułu, z niektórymi w tekście różnicami, posiada także znany z prac historycznych autor p. Julian Bartoszewicz, którego uprzejmości co do spisu opatów, winienem kilka z jego szacownych notat, dopełnić.

robił, i pełen chwały zmarł dnia 17 grudnia 1285. Po nim nastąpił:

3) *Ratiborius*, z tegoż miejsca, od r. 1286 opatem, również staranny o dobro zgromadzenia; zmarł w r. 1309. Byłto ostatni Włoch, którego na tę godność z Monte Cassino przysłano, gdyż następnych już sami zakonnicy na Łysėj-górze zpomiędzy siebie wybierali. Takimi byli:

4) *Szczepan* Polak, obrany w r. 1310, a zmarły 1325.

5) *Strzesko*, Polak, od r. 1326, zmarł 1334.

6) *Wilhelm*, Niemiec, piastował tę godność od roku 1335 do 1339.

7) *Jan* wybrany zpomiędzy professów w roku 1340; byłto mąż znakomity, szczególnie lubiony i zaufanie Kazimierza Wgo mający; zmarł 1346 roku.

8) *Dezydery*, przełożony nad nowicyatem, opat od roku 1347; zmarł dnia 19 grudnia 1350 r.

9) *Świętosław*, Polak, wychowany w Monte-Cassino, gdzie obłókł sukienkę i był wyświęcony; za powrotem na Łysą-górę, w roku 1351 wybrany od braci opatem. Liczne przywileje u Kazimierza Wielkiego wyrobiwszy, zmarł w r. 1365.

10) *Szczepan* IIgi opatem w tymże roku wyświęcony, w gestych lasach założył wójtowstwo Paprocice, potwierdzenie wszystkich przywilejów od króla zyskał, i po sześciu latach piastowania laski opackiej zmarł 1372 r. mając lat 62.

Po nim został:

11) *Minogneus*, Włoch z Monte-Cassino przybyły; zmarł w r. 1373: nawet całego roku nie rządził. Następnie:

12) *Wojciech*, obrany w tymże roku, miał być wielce w naukach biegłym; w roku 1374 założył nowe wójtowstwo Milanowa Wola i zmarł roku 1377.

13) *Jan*, od roku 1378.

14) *Albert*, zmarł roku 1381.

15) *Mikołaj*, opat wielce gorliwy, za którego staraniem wszystkie włości klasztorne, za przywilejem króla Władysława Jagiełły prawem niemieckim w r. 1386 obdarzone zostały.

16) *Paweł*, wybrany opatem dnia 16 listopada 1386 r., nadzwyczajnie lubiony od króla; zmarł 1393.

17) *Santo*, Włoch, w tymże roku zostawszy opatem, po kilku miesiącach w dniu 31 grudnia pożegnał się z tym światem.

18) *Stefan* z Monte-Cassino, opat od r. 1394, był ostatnim z professów z tamtąd przysłanych i ostatni Włoch godność opata Śto-krzyżkiego piastujący; zmarł 1400 r.

Po nim prawie wszyscy opaci byli Polacy, jakoto:

19) *Mikołaj Bostowski*, szlachcic, herbu Szeliga, klasztoru Śto-krzyżkiego profess., wybrany w r. 1400, zmarł w czerwcu następnego roku.

20) *Maciej Bol* od roku 1401, zmarł 1405 r.

21) *Jan Katarzynka*, opatem od r. 1405, słynął z biegłości w językach: łacińskim, włoskim, czeskim i polskim; byłto mąż bardzo uczony i pisma świadomy. Zmarł 1413.

22) *Mikołaj Drozdek*, z professów tutejszych w tymże roku wybrany, był ulubieńcem Władysława Jagiełły, słynął z pobożności, pokory tak dalece, iż po kilkakroć godność opata składał, brał kij pielgrzyma i w pustyni mieszkał; lecz zawsze od króla powoływany, w latach 1424 i 1426 powrotnie na opata obierany, zmarł dnia 16 września 1433 r. W latach jego pielgrzymki piastowali tę godność:

23) *Marcin Poluk*, opat od roku 1421; sam złożył laskę w roku 1424.

24) *Wojciech* zprydomkiem Łysy, podobnież od króla lubiony, obrany w roku 1425, w następnym roku na opata w Lubiniu z woli monarchy przeniesiony został.

25) *Maciej*, po śmierci Drozdka wyświęcony w roku 1433; wielką starannością dla dobra kościoła odznaczający się, po 17 latach laskę opata dobrowolnie w r. 1451 oddał w ręce następcy swemu, którym był:

26) *Michał z Lipia* czyli *Lipski* herbu Srzeniawa, wychowaniec i uczeń akademii krakowskiej, tudzież mistrz i doktor filozofii, mąż wysokiego imienia, jak powiada kronikarz, równie jako i głębokiej pokory, a nauki niesłychanej. Król Kazimierz Jagiellończyk poważał i cenił go wielce, posłem do papieża Mikołaja V i Fryderyka cesarza po kilkakroć wyprawiał. Za jego rządów, kościół na Łysiej-górze po spaleniu odbudował, i swoim staraniem wzbogacił i ozdobił, probostwo w Wąwolnicy zyskał, jarmarki w Nowej Słupi 1468 r. wyrobił i t. p. Za niego najwięcej pisano kodexów na Łysiej-górze. Opat ten, szacowany od wszystkich, zmarł 26 grudnia 1477 roku. Po nim wstąpił:

27) *Jan z Krakowa*, świeckim będąc, cały naukom oddany, w akademii krakowskiej stopień doktora nauk wyzwolonych i filo-

zofii otrzymał; potem wstąpił do Benedyktynów, i dla swój nauki wybrany był w r. 1478 opatem: miły Bogu i klasztorowi, jak mówi jego życiopis. Ten na sejmie w Piotrkowie otrzymał w r. 1479 potwierdzenie darowizny od Koniecpolskiego kasztelana i starosty przemyskiego wsi Prawencin, a w roku następnym pozwolenie kupna wioski Doły. Według Johnstona uczony ten opat nie był bardzo w życiu duchowném przykładnym, owszem, do rozprzeżenia karności klasztornej tak dalece przyczynił się, iż od władzy wyższej zmuszony został do złożenia w r. 1489 swój godności, Niedługo téż, bo w r. 1490 umarł.

28) *Maciej z Pyzdry*, człowiek bardzo uczony, wychowawiec akademii krakowskiej, nauk wyzwolonych i filozofii bakalarz (magister). Podobnież z świeckiego zakonnik, zostawszy opatem, wyrobił przyłączenie do klasztoru probostwa w Koniemłotach, w roku 1492; kościół św. Katarzyny na górze Łysiec, przedtém do Benedyktynów należący w roku 1491 OO. Bernardynom odstąpił, a w końcu godność tę w r. 1496 złożył.

29) *Jan z Łomży*. obrany opatem w r. 1497; człowiek wielkiego nad ubogimi miłosierdzia, bo gdy w tymże roku straszliwy głód w tych okolicach panował, on własnym swoim kosztem tysiące ludzi na Łysiej-górze karmił. Umarł 1499 r. w dzień św. Wita.

30) *Piotr ze Strzegon*, wsi blisko Osiecka położonej, urodzony; odbył nauki w Krakowie; doktor nauk wyzwolonych i filozofii. Wstąpiwszy do Benedyktynów w r. 1499 został opatem, ale w lat pięć złożył tę godność; powołany powrotnie w r. 1509, umarł w czasie powietrza w r. 1516.

31) *Jan z Szydłowa* uczeń akademii krakowskiej, nauk wyz. i filozofii dr. kochał nauki i ciągle je uprawiał; biegłym był kaznodzieją i professorem w seminaryum tutejszém. Wybrany w roku 1505 po złożeniu laski poprzednika swego, probostwo w Słupie do klasztoru przyłączył, i sam podobnież napowrót w r. 1509 laskę pierwszemu oddał.

32) *Klemens z Oliszowy*, opatem od r. 1516, po dwakroć godność tę składał, rządząc w nieszczęśliwych dla klasztoru czasach; za niego bowiem z powodu zatargów z Hieronimem Łaskim wojewodą sieradzkim stracono wsie Koniemłoty, Święcice, Tukleczy i Czazów, od Bolesława Chrobrego nadane. Pomimo to opat ten był bardzo gospodarny; zrujnowane od czasu budowie podźwignął, i potwierdzenie przywilejów od

Zygmunta Igo w r. 1535 zyskał. Lubiony od wszystkich, zmarł w roku 1539.

33) *Jakób z Krakowa*, wychowaniec akademii krakowskiej, doktor n. ww. i filozofii, z pomiędzy professów świętokrzyskich w czasie pierwszej abdykacji poprzedniego opata, w sierpniu 1523 obrany, po pięcioletnich rządach zmarł w r. 1528.

34) *Andrzej Kuczewski* herbu Poraj, po śmierci Klemensa z Oliszowy od r. 1539 opatem. Smutną po sobie pamięć zostawił, żył bowiem rozwięzle, dobra zadłużył, budowle zniszczył; o nim jeden z wstrzemięzliwych w naganach kronikarz napisał, iż trzydzieści siedm lat opatem będąc, tę tylko pamięć po sobie zostawił, że tak długo żyjąc nic dobrego nie uczynił. Umarł dnia 15 października 1576 roku.

35) *Tomasz Polanowski* herbu Pobóg, według Niesieckiego herbu Starykoń, szósty syn Mikołaja Polanowskiego, wybrany był w tymże roku opatem. Od Herburta z nauki i zacności domu sławiony, za rządów swoich utracony szacunek dla tutejszego klasztoru wrócił, dwie wsie i wiele dochodów przyczynił, a jako mąż szczodry, wielbiony od współczesnych, zmarł dnia 18 lipca 1582 r.

36) *Wojciech Kilianowski* w tymże roku zostawszy opatem, umarł 25 grudnia 1584 roku.

37) *Maciej Lisiecki* herbu Drya, opatem od roku 1584, był w r. 1589 na synodzie prowincjonalnym przeniesiony na probostwo w Siennie; ustąpił nowo obranemu w r. 1592, którym był:

38) *Mikołaj Koczowski*, niegdy professor akademii krakowskiej, biegły mówca i filozof znakomity, z umiejętności szczególnej języków greckiego i łacińskiego słynny, który wstąpiwszy do Benedyktynów tutejszych, godnością opata zaszczycony, ledwie rok jeden rządził; zmarł w r. 1593.

Po jego śmierci, gdy bogate majątności tutejszego opactwa w zaniedbaniu będące uwagę rządu zwróciły, zyskowe zaś to miejsce obudziło starania ludzi do zakonu nienależących; dwór postanowił odtąd z ramienia swego na tę godność wybierać, i do skutku to doprowadziwszy, nominował opatem, którym był z porządku:

39) *Michał Maliszewski* herbu Godziemba, syn Stanisława sędziego ziemskiego dobrzyńskiego, męża wielkiej sławy i zachowania, jak powiada Niesiecki. W młodości lat siła na różnych dworach przepędził, atoli potem porzuciwszy to życie wstąpił do zakonu, i został opatem dnia 3 kwietnia 1595 roku. O nim kro-

nikarz mówi, iż był przykrym i chciwym z początku, ale następnie został wielkim dobrodziejem zgromadzenia, i znakomitym opatem. On srebra i ozdoby kościelne pomnożył, dzwon znaczny swoim kosztem sprawił, probostwo szpitalne pod górą pod tytułem św. Michała fundował. Poważany i lubiony od Zygmunta IIIgo, posławał do papieżów i królów, gdzie wysokim rozumem, powagą i wymową odznaczywszy się, pełen chwały zmarł 14 kwietnia 1608 roku.

40) *Bogusław Boxa Radoszewski* z Siemikowic, herbu Oksza, poprzednio proboszcz kaliski i sekretarz królewski, zanominowany od dworu opatem, wiele pamiątek w ozdobie kościoła po sobie zostawił, i wiele utraconych dóbr wydzwignął. Był on szczególnie od Władysława IVgo lubiony; przeniesiony na biskupstwo kijowskie, a następnie łuckie, łaskę opata 9 lutego w roku 1633 złożył. Jednak tu pogrzebiony został w dniu 14 listopada 1637 r.

Po nim od roku 1634 przez dwa lata rządził opactwem przysłany od dworu *Piotr Gembicki* herbu Nałęcz, wówczas dziekan katedralny krakowski; lecz zanim rzeczywistym został opatem, przeniesiony na biskupstwo krakowskie, ustąpił w roku 1636, a godność tę otrzymał od dworu:

41) *Stanisław z Bogusławic Sierakowski*, herbu Ogończyk, z dawnego szlacheckiego domu z ziemi kujawskiej pochodzący; opat, którego wszyscy kronikarze klasztoru, a nawet nasz Kochoński w swoich Klimakterach mnogimi słowami wychwalają i wiele o świętobliwości jego żywota mówią. Byłto rzeczywiście mąż wysokiej cnoty, niepospolitej nauki, a życia szczególnie pobożnego i przykładnego. On przez 27 lat rządząc, kościół obrazami, srebrem i marmurami przyozdobił, jałmużny ubogim wszędzie rozsyłał, poddanych jako dzieci swoje miłował: pobożny, mądry, pokorny, czysty, wstrzemięźliwy i spokojny, od wszystkich kochany i za życia za świętego miany, umarł dnia 30 maja r. 1662. Nastąpił po nim w dniu 31 czerwca t. r:

42) *Mikołaj Goski*, herbu Prawdziec, ze starożytniej rodziny Mazowsza pochodzący, przedtém kantor i archidyakon warszawski i proboszcz lubelski. Byłto człowiek bardzo uczony, a stopniem doktora obojga praw, nauk wyzwolonych i filozofii zaszczycony, zostawszy opatem świętokrzyskim i przez 20 lat rządząc, liczne ślady troskliwości swojej zostawił. On wybudował kościół w Nowej Słupi i wiele innych funduszków poczyniwszy, zmarł 7 października 1682 roku.

43) *Michał Hieronim Jaxa Komornicki*, w tymże roku nominowany, przedtém sławny wojak i znakomity prawnik, deputat na trybunały i na sejmach poseł, wedle słów kronikarzy, tak w benedyktyńskiej sukience, jako i w pancerzu rycerskim, tudzież w todze sądowej wielką dzielność pokazał. Od papieża kommissarzem wszystkich klasztorów Benedyktyńskich naznaczony, starał się usilnie osobną kongregacją tego zakonu w Polsce ustanowić, lecz śmierć tym zamiarom przeszkodziła. Skończył dni swoje w sędziwéj starości dnia 4 września 1689 roku. Po śmierci jego dwóch na raz opatów wybrano, a to z powodu, iż tą razą zakonnicy poważyli się dworowi sprzeciwić, chcąc do dawnych swoich zwyczajów wybierania z pomiędzy siebie wrócić. Otóż gdy na kapitule elekcyjnej 29 listopada 1689 ze czterech kandydatów pierwszym przedstawionym od króla był Alexander Wyhowski kanonik płocki jego ulubieniec, Benedyktyni na 27 głosów 22ma obrali i potwierdzili Krystyana Mireckiego, professorateologii swego nowicyatu; Wyhowskiemu zaś ledwo tylko jedną dali kreskę. Lecz wsparty od władzy kandydat nie tak łatwo ustąpił, a postarawszy się o skassowanie téj elekcyi, pomimo wielu trudności, siłą prawie opatem w r. 1690 wyświęcony został; z porządku zatém był:

44) *Alexander Wyhowski* herbu Habdank, który przez czas kilkoletniej kłótni i zatargów z swoim współzawodnikiem, rządził opactwem, klasztorem i kościołem na Łysěj-gorze. Byłto mąż sławny i wielce u dworu zasłużony, który dostatkami swemi nie mało kościół tutejszy ozdobił, w ruinie będące mury opactwa nakładem swoim podniósł, nowe mieszkania wybudował, i wedle słów jednego kronikarza mógłby być chlubą i sławą tutejszych opatów, gdyby nie okoliczność podwójnego wyboru i silnych zabiegów pierwszego. Mirecki bowiem wspierany od papieża, zwłaszcza po śmierci króla Jana IIIgo zmusił Wyhowskiego, iż ten w r. 1696 złożył laskę opata, a ostatecznie w r. 1703 i od wszelkich pretensyj odstąpił, na biskupstwo łuckie przeniósłszy się. Wtedy wrócił poprzednio obrany:

45) *Krystyan Stanisław z Mirca Mirecki*, który lubo okolicznościami spowodowany ustąpił miejsca, wszakże godności opata nie zrzekł się; owszem tyle się starał i po kilkakroć do Rzymu jeździł, iż przez samego papieża wyświęcony wrócił do kraju i do oddania rządów opactwa zniewoliwszy, doczekał się tego, iż sam Wyhowski w jego ręce laskę złożył. Ciężkie to już były dla zakonu czasy, gdy opuszczone seminarya nowemi braćmi nie zasilane,

tak się przeredziły, iż władze ówczesne o zniesieniu pozostałych i oddaniu fundacyi innéj reguły zakonnikom zamyślały. Mirecki temu wszystkiemu zapobieżć umiał: opuszczone klasztory zakonnikami z Łyséj-góry zapełnił, utworzenie kongregacyi Benedyktynów polskich, od św. Krzyża nazwanéj, u stolicy apostolskiéj wyjednał. a po siedmkroć razy do Rzymu wędrując jako ablegat, prokurator i promotor téjże kongregacyi, nowemi statutami i przywilejami ją wzbogacił. W końcu zaś szanowany i kochany od wszystkich, zmarł 8 grudnia 1733 roku. Opatem następnym z pomiędzy zakonników wybranym był:

46) *Teodor Antoni Karcki*, za którego długo-letnich rządów szczególny wypadek znowu zniesieniem całego zakonu zagroził, a skończył się poddaniem zupełném władzy świeckiej i złożeniem z urzędu tegoż opata.

Oto co pod tym względem z powieści współczesnych opowiadane słyzałem. Był zwyczaj oddawna w klasztorze św. Krzyża, iż jeden z zasłużonych Benedyktynów, którego w interesach do Rzymu wysyłano, w nagrodę otrzymywał na lat kilka zyskowne probostwo w Koniemłotach. Taką więc właśnie nagrodę wyznaczono pewnemu Benedyktynowi z Łyséj-góry, który upodobawszy sobie wygodne życie proboszcza, gdy raz był wysłany do Rzymu i nauką swoją Ojca Świętego uwagę na siebie zwrócił, zapytany coby sobie życzył, prosił, ażeby mógł do śmierci przy pomienioném probostwie zostać. Papiész łatwo się na to zgodził, polecił wydać kancelaryi stosowne rozkazy i upoważnienie czyli bullę; a szczęśliwy ksiądz wróciwszy do kraju roztropnie osądził nie chwalić się z nią, aż dopiéro w potrzebie. Jakoż nadszedł czas, że zgromadzenie chcąc innego probostwem w Koniemłotach obdarzyć, wezwało do klasztoru piérwszego i złożyć mu takowe poleciło. Lecz ten ufny w powagę stolicy apostolskiéj stawił się im hardo, i bullę papieżką pokazując, bynajmnieéj z probostwa ustąpić nie chciał. Wtedy zakonnicy zaprawieni już jedném nieposłuszeństwem dla władzy, które sam Rzym uprawnił, z kolei i jemu oprzéc się postanowili; a posuwając gwałtowność swoję do lekceważenia rozkazów papieżkich, jeden ze starszych owę bullę publicznie podarł, a nieposłusznego im proboszcza za powszechną zgodą na wieczne czasy do więzienia wtrącono. Wypadek ten grobowém pokryto milczeniem, bo nikt w rządy zakonników się nie mieszał, a góra zbyt wysoka, aby doliny choć podszeptem o tém dowiedziéć się mogły. Długie zatém lata upływały, a nieszczęśli-

wy zakonnik jęczał w karczeresie. Kiedy trafunkiem pewien młodzieniec do nowicyatu przybyły, zdjęty ciekawością kto był ów starzec z długą siwą brodą, o którym już słyshał, że oddawna w wielkiej tajemnicy w więzieniu jest trzymany, pótý szukał sposobności, dopóki za pomocą dowcipnego sposobu nie wrzucił mu ołówka i papieru z zapytaniem i objawieniem chęci ratowania nieszczęśliwego. Tym sposobem więzień opisał całe zdarzenie, a młodzieniec otrzymawszy je tą samą drogą, zemknął z klasztoru, złożył takowe w właściwym konsystorzu, tudzież u świeckiej władzy; te zaś tak energicznie do rzeczy się wzięły, iż niebawem i więzień był wolny, i cały klasztor do odpowiedzialności pociągnięty.

Bóg wié na czémby się to było skończyło, gdyby klasztor nie miał pieniędzy, a zakonnicy giętkich i obszernych pleców; za pomocą więc jednych, przy staraniu drugich, tak całą sprawę załatwiono, iż więziony zakonnik został proboszczem w Koniełotach, a opat złożony z godności, ustąpił miejsca protegowanemu od dworu Niegolewskiemu, który przy wielkim swoim majątku, lubo od natury upośledzony, chciał zostać święto-krzyżkim opatem. Nastąpił więc:

47) *Józef Jan Nepomucen Niegolewski* herbu Grzymała, kanonik katedralny krakowski, kawaler orderu św. Stanisława, urodzony w r. 1744, dnia 19 czerwca z ojca Andrzeja chorążego i sędziego poznańskiego; obrany opatem w r. 1773 dnia 26 maja, a wyświęcony 16 stycznia 1774 r. Byłto zatém 47 z porządku i ostatni świętokrzyżki opat. Ten długo godność swoje piastował, niewiele o nią troszcząc się, a lubo jemu spalony tutejszy kościół podźwignienie swoje winien, przeżył on, że tak powiem, samego siebie, doczekał się zniszczenia klasztoru, spustoszenia gmachu, i umarł dopióro w r. 1828, mając lat 84.

Otóż całe dzieje kościoła, klasztoru i opactwa tutejszego; opowiedziałem je w treści naprzód, zanim do opisu terażniejszego ich stanu przystąpię, sądząc to za konieczne, aby sama przeszłość terażniejszość tłumaczyła. Zrobiłem zaś to umyślnie będąc przekonanym, że inaczej z korzyścią na zabytki starożytności zapatrywać się nie można. Będą one albowiem zawsze nieme i zimne dla nieświadomych; przeciwnie, mogą mieć wiele wdzięku i żywe zajęcie obudzić. Tym sposobem nawet łatwiej uczyć się historyi, która sama z siebie jest przedmiotem poważnym i na erudycyi opartym, wyobraźni zaś tylko, jak malarz palety do pomocy

używa: bo imaginacya nie powinna nigdy granic nauki przekroczyć, inaczej będzie to wymysł, fantazyja, romans. Starożytni historycy uczynili muzę, nowożytni świadkiem ją ogłosili; lecz jedni i drudzy jakkolwiek o ideał starają się, ten koniecznie na samej tylko rzeczywistości musi być oparty. Historia, jak dobrze się pewien mąż stanu wyraził, powinna być epopeją prawdy. I właśnie to ów kierunek pojęcia nauki podniósł w naszych czasach archeologią, która na zabytkach starożytności opierając się, coraz więcej zaufania zyskuje (1). Trudno bowiem zaprzeczyć prawdy współczesnym a bezinteresownym świadkom, jakeimi są: pomniki obrazowe, wyroby rąk ludzkich, dyplomata, akta archiwalne, i tym podobne źródła, które dotąd były zaniedbane, a dziś już są ocenione i poszukiwane.

Z miasteczka Słupi wąską drożyną, w licznym towarzystwie, wraz z ostatnim tutejszym Benedyktynem ruszyliśmy na Łysą-górę. Pochyłość jej w tej stronie nie jest zbyt stroma, ale jednak dosyć nużąca. O kilka stajów za miasteczkiem, u stóp góry, pod samym lasem oglądałem znany posąg pielgrzyma z piaskowca, niezmiernie grubej i niekształtnej roboty. Posąg ten w kolosalnych wymiarach istotnie jest bardzo dawny, ale nie ma żadnego śladu ani cechy, po których epokę jego czasu możnaby było oznaczyć. Wyobraża on człowieka w postawie klęczącej, który twarz ma już przez swawolę ludzką nadpsuta: czoło wysokie, głowa okrągła i jakby ogolona; ubrany w suknię długą, do kostek sięgającą, na niej ma płaszcz z kapturem, który głowę okrywa, rękę lewą w płaszcz obwinętą ma na chuście, jakby na temblaku zawieszoną, i w niej ślad czegoś odłamanego, zapewne krzyża; prawa zaś odziana w rękaw, jakby od drucianej koszuli; zresztą obie ręce są na piersiach złożone do modlitwy, a torba wisi u boku.

Na jaką pamiątkę i kogo ten pomnik wyobraża? trudno teraz odgadnąć, zwłaszcza, iż historia miejscowa zupełnie o nim milczy, a podania zbyt są liczne i niejednostajne, aby z nich przynajmniej coś do prawdy podobnego dojść było można. Jednak zebrałem je kwoli ciekawości i co pospolitsze powtarzam.

Mówią, że podczas napadów tatarskich, (drudzy utrzymują, że szwedzkich), jeden z tych barbarzyńców zabrał z kościoła złoty re-

(1) Wyraz archeologia pochodzi od słów greckich *archajos* (dawny) i *logos* (mowa). Jest to więc mowa o rzeczach starodawnych w najobszerniejszym ich zakresie.

likwiarz z drzewem krzyża św. Dręczony potém rozmaitemi nieszczęściami i chorobami, a mianowicie niemocą ręki, która mu uschła, nadaremnie szukając skutecznego swemu kalectwu zaradzenia, dał się skłonić namową pobożnych chrześcian, wrócił na miejsce relikwiarz, idąc od podnóża góry na klęczkach aż na sam wierzch. Co uczyniwszy zaraz zdrowie odzyskał, przyjął chrzest święty; na pamiątkę zaś tego zdarzenia ów pomnik wystawił.

W rzeczy samój, klęcząca postać pielgrzyma, ręce jakby do modlitwy złożone, ślad że w jednej coś trzymał, a druga na temblaku zawieszona, przedziwnie się z tém podaniem zgadzają. Cóż, kiedy obszerne drukowane opisy cudów drzewa krzyża św. na Łyséj-górze, nie o tym posągu nie wspominają, a zdarzenie powyższe zupełnie inaczej opowiadają.

Co więcj. inne znowuż podanie utrzymuje, że to jest figura pokutnicy z Opatowa, która ciężko zgrzeszywszy, ślubowała pójść ztamtąd na klęczkach do świętokrzyżskiego kościoła; ale nie porachowawszy się pierwéj, ani z wysokością góry, ani ze swemi siłami, nie mogła zająć dalej, tylko do tego miejsca. Wtedy udała się o poradę do księży, którzy tak rzecz tę pogodzili, iż pokutnicy kazali znaczną sumę wypłacić kościołowi (byłato bowiem bogata osoba), a dla zaspokojenia swego sumienia wystawić ten posąg, który jéj własną osobę miał wystawiać.

Najzabawniej atoli lud swoje znowu prawi: według niego, jestto wyobrażenie świętego, który przed wielu wiekami stał na rynku w Słupi, a coraz nieznacznie posuwając się, do tego już miejsca zaszedł; zaś na dzień sądu ostatecznego będzie na samym wierzchu góry, i wtedy znak to nieomylny przybliżenia się tego dnia straszliwego.

W tém podaniu zdaje się iż to tylko jest prawdziwém, że posąg stał kiedyś istotnie na powierzchni ziemi, lecz teraz przynajmniej na pół łokcia wlaźł w ziemię i nieco się pochylił.

Od téj figury rozpoczyna się góra okryta pięknym lasem, złożonym z drzew: sosny, modrzewia, jodły, grabu, buku, dębu, jesionu i t. p. bo roślinienie jest tu nadzwyczaj silne. Nadto mnóstwo jest jeszcze krzewów i rzadkich roślin, które bujną zieloną gestwiną zdobią te jakby dziewicze lasy. U dołu rozrzucone kawałki kolumn, trzony kapiteli, snadź ze spalonego kościoła pochodzą. Nieco dalej dwie otwarte kalwaryjskie kapliczki wstrzymują na chwilę podróźnych; całe téż są ich nazwiskami zapisane. Dziwna mania przejścia tym sposobem do potomności! Na sam

wierzchołek prowadzi przykra kamienista drożyna, wycięta wśród lasu. Uszedłszy połowę tej drogi, coraz większa zaczyna się pochylność, a ostra kamieniami najeżona ścieżka, z niesłychanym trudem postępować pozwala. Wilgoć też pochodząca ze strumieni zpośród skał wydobytych, które z szumem na dolinę spływają, drogę czynią śliską i jeszcze bardziej przykrą. Długo rozłożyście konary zupełnie szczyt góry zasłaniają, aż dopiero przeszedłszy ową ostrą ścieżkę, wchodzi się na płaszczyznę z drzew ogolconą, czyli na tak zwany tutaj gołoborz; tu dopiero jakby przez mgłę widać białe mury kościoła, a wyniosła jego wieża zdaje się bujać w powietrzu.

Blisko godzinę szliśmy porządnie zmęczeni i znużeni, zanim dosięgnęliśmy tej płaszczyzny, na której oprócz kościoła i klasztoru są inne zabudowania, ogrody i łąki, nadewszystko zaś widok zachwycający. Pod samym szczytem jest miejsce oparkanione, na którym, według podania, stała owa kaplica przez Dąbrówkę wystawiona; lecz podanie to jest błędne, gdyż tu, jak wyżej mówiłem, stał mały z modrzewia kościółek pod wezwaniem Wszystkich Świętych, wystawiony na pamiątkę, iż ztąd drzewo krzyża świętego na górę przeniesione zostało. Żyją jeszcze ludzie, którzy ten kościółek pamiętają, albowiem dopiero w r. 1780 ostatni opat Niegolewski rozebrał go, a suche z niego drzewo użył do wybudowania organów, na których sam miał być mistrzem. Niech mu Bóg przebaczy, ale archeologia nigdy tego wandalizmu nie zapomni. Jeszcze dotąd ze szczątków tego kościółka wyrabiają tu małutkie Benedyktyńskie podwójne krzyże, i pobożnym zwiedzającym na pamiątkę rozdają.

Dzisiejszy kościół Śto-Krzyżki jest zupełnie nowy, chociaż ma jak dawniejszy postać krzyżową. Wystawa jego nie jest szczególną, gdyż przymurowana do klasztoru i z dawnego gmachu pozostałej kaplicy, nie tworzy odrębnej całości. Front ozdobiony jest płaskorzeźbami i statuami z ciosu dość mierniej roboty, nad nim zaś wznosi się wysoka wieża. Drzwi główne wchodowe wyłożone są marmurem, a nad niemi zawieszono olbrzymie kości zwierzęce tak zwanego mamuta, jasno tłumaczące owo podanie o tutejszych olbrzymach, o których Długosz prawi. Dwuszczytowe ściany tego kościoła i wieża są z ciosu, ściany zaś boczne z cegły.

Cześć klasztoru ku północy obrócona jest najstarszą, sądząc z kilku strzelnic armatnich u drugiego piętra, które snadź z da-

wnego obwarowania tego miejsca pozostały. Na ścianach kościelnych zewnątrz u dołu wprawione są tablice marmurowe z nagrobków po zmarłych opatach pozostałe, które przedtém zapewne wewnątrz mieściły się. Już one z trudnością odczytać się dają, tak działanie wilgoci i czasu na nich wpływa. Zdjąłem tylko niektóre. Na ścianie od wchodu ze Słupi, pod infułą opacją i herbem Godziemba następny jest napis:

D. O. M.

Qui sim, scire quisquis aves,
Sta, lege, disces.

Maliszewski, qui multis pro Religione et Republica laboribus actis, atque Summorum Principum domi forisque fauste aditis liminibus, Aulica spreta cura, sumptaque Pastorati Tiara insignitus, huic Claustro annis bis septem praefui, cui quid boni praestiti, gratitudo ipsa utique posthumis narrabit. Sub hoc ego marmore quiesco, donec me aethereus excitet tubicen.

Jam me nosti, te quoque ipsum nosce.

To jest: B. N. N.

Ktokolwiek żądasz wiedzieć kto jestem: stój, przeczytaj, a dowiesz się. Maliszewski, który dokonawszy wiele dzieł użytecznych dla religii i rzeczypospolitej, i zwiedziwszy z korzyścią tak w kraju jak i za granicą dwory najznakomitsze, usunąwszy się od dworskich kłopotów, a przyozdobiony pasterską tyarą przez lat czternaście przewodniczył temu tu klasztorowi, dla którego cokolwiek dobrego działałem, wdzięczność sama zaiste potomności opowie. Pod tym ja tu marmurem spoczywam, dopóki mnie nie wzbudzi niebiański trębacz. Już mnie znasz, poznaj też i siebie samego.

Od wschodu na podobnej tablicy:

D. O. M.

Stanislaus Sierakowski a Bogusławice Abbas S^{ae} Crucis aedificii hujus partem collapsam restauravit, partem a fundamentis erexit.
A(nno) D(omini) 1643.

To jest: B. N. N.

Stanisław z Bogusławic Sierakowski opat świętokrzyski budowlę tę w części zrujnowaną wyrestaurował, w części z gruntu wybudował roku Pańskiego 1643.

Wszedłszy do klasztoru, idzie się naprzód na korytarz w kwadrat zamknięty; jestto jedyna pozostałość z dawnego kościoła na Łysěj-górze, krzyżowe bowiem sklepienia krużganków

mają tę samą formę, co w klasztorach w Koprzywnicy i Wąchocku, które jak wiadomo w końcu XIIgo wieku stanęły. Przy zbiegu żeber sklepieniowych umieszczone są tarcze, noszące na sobie herby państwa oraz i prywatnych rodzin, jakoto: Dębno, Topor, Poraj, - Jastrzębiec, Prus, oraz podwójny krzyż, tutejszego klasztoru znamię. Herby te pochodzą niewątpliwie z XV wieku, ale ściany sklepienia krążanków o wiek cały, albo jeszcze dawniejszemi być mogą. Ztąd okna wychodzą na mały czworograniasty dziedziniec, w którym jest studnia z kamienia ciosowego, na sposób dawnych włoskich klasztornych studzien. Na dziedzińcu rosną jarzębiny czerwonymi pokryte jagodami, a bruk pokryty trawą: ślad długoletnich pustek i zaniedbania. Teraz bowiem wszystko właśnie poprawiają i odnawiają, gdyż klasztor przeznaczony został na pomieszczenie księży demerytów. Wysokie zatem mury klasztoru, przedtém opuszczone i bez okien, dziś jakby za czasów zamożnego zgromadzenia są świeżo pobielone i poprawiane.

Ztąd także idzie się do kaplicy na tymże korytarzu leżącej, w całości od pogorzałej budowli pozostałej. Wystawił ją w roku 1604 Mikołaj z Oleśnicy Oleśnicki kasztelan radomski, i na odwiecznie tu znajdujące się rodziny swojej groby, przeznaczył. Gdy za czasów drugiej wojny szwedzkiej w r. 1704 kaplica św. krzyża zrujnowaną i do szczytu zburzoną została, Krystyan Stanisław Mirecki opat tutejszy, przeniósł tu relikwiarz z drzewem krzyża św., a odtąd dawne swoje nazwisko kaplicy Oleśnickich, na św. krzyża przemieniła. Sklepienia i ściany téj kaplicy pomalowane są na suchém wapie kosztem tegoż opata, w obrazy, przedstawiające historią znalezienia krzyża św., cudów przy tém zdarzonych, oddanie części z tegoż św. Stefanowi królowi węgierskiemu, a nakoniec ofiarowanie ich przez Emeryka sto-krzyżkiemu kościołowi. Wszystkie pod względem sztuki niebardzo szczęśliwego pędzla.

W ołtarzu umieszczony jest ów relikwiarz, który ma to do siebie przywiązane, że tylko ksiądz w sukience benedyktyńskiej i w komży kapłańskiej, wyjąć go może i pobożnym do ucałowania podać. A ponieważ był z nami ciągle ostatni tutejszy Benedyktyn i administrator ks. Tomasz Dudziński, zatem i do tego religijnego obrządku przypuszczeni zostaliśmy. Relikwiarz krzyża św. jestto prostój, ale gładkiej roboty, szczerozłoty, niewielki podwójny krzyż, znacznie od pobożnych całowań wytarty, z napi-

sem na czarnej emalii, że sprawił go w r. 1614 Bogusław Boxa Radoszewski opat tutejszy. W nimto umieszczone jest pięć sztuczek drzewa Chrystusowego: trzy części we trzech rogach albo końcach krzyża, poniżej cały krzyż z tegoż drzewa wyrobiony, a pod nim część piąta u samej rękojeści w formie kwadratowego słupka.

Z prawej strony od wejścia do kaplicy znajdują się dwa nagrobki fundatora i żony jego, znanej w piśmiennictwie krajowym ze swoich poezyj autorki. Są one na tablicy z czerwonego marmuru wyrobione; na pierwszej w wypukło-rzeźbie przedstawiony rycerz, na drugiej kobieta, mająca tylko twarz i ręce z alabastru białego zdziałane, reszta zaś z ciemnego marmuru. Rzeźba w nich jest wcale piękną, a szczególna pstrocizna, dziwne sprawia wrażenie. Po obu stronach umieszczone są herby Dębno i Srzeniawa, a pod spodem następne w języku łacińskim pełne poezyi napisy:

D. O. M.

Perennittati Sacrum,

Ilma (Illustrissima) D(omina) Sophia Oleśnicka,

Illustrissimi Domini Nicolai de Oleśnica Oleśnicki,

Palatini Lublinen(sis) uxor,

Filia Illustrissimi D(omini) Sebastiani de Lubomierz,

Castellani Woynicensis,

Comitis in Wiśnicz,

Capitanei Sandomirien(sis),

Gemina Prole virili, Zbigneo et Joanne relicta.

Et unica muliebri Anna,

Decem annis cum concordissime vixisset cum Marito,

Extincta Anno Salutis 1612.

Hic sita est.

Heu quot uno funere obrutae virtutes,

Pudicitia, Fides, Pietas,

Scilicet Fata magnis inviderant, sed frustra.

Vivit meliore sui parte,

Fama in terris, animo in coelis.

Ave charissima conjunx,

Hoc tibi monumentum optime merenti

Profussissimis cum lachrymis

Nicolaus de Olesnica Olesnicki Maritus PP. Sophiae a Lubomierz, Comiti de Wisnicz Olesnicka, Illustris et Magnifici D(omini) Nicolai de Olesnica, Castellani Radomiensis etc. Conjugi, Matronae

Joannis de Olesnica et Sophiae Spinkowna de Bądkow,
Filius natus Anno Domini 1558 ij Cal(endis) Aug(usto)

Esse desiit

Anno Domini 1629 Idibus Decem(bris) anno aetatis prorsus
humanae 71.

Tojest: B. N. N.

Cokolwiek było znikomém, tu złożone zostało. Duch jest w niebiosach, sława zaś na ziemi. Ten dla cnoty, owa z powodu cnot, wieczność osiegają. Był Jaśnie Wielmożny Pan Mikołaj z Oleśnicy wojewoda lubelski, Jana z Oleśnicy i Zofii Spinkownej z Bądkowa syn, urodzony roku Pańskiego 1558 30 lipca, pożegnał ten świat roku Pańskiego 1629 13 grudnia, żywota zaś ludzkiego 71.

Z kaplicy zawsze tymże kruzgankiem idzie się do kościoła, na wstępie którego są dwie wielkie z czarnego marmuru tablice, z obszernemi napisami przez ostatniego opata w języku łacińskim ułożone. Napisy te lubo na kamieniu są wyłobione, z krytyką historyczną zupełnie się nie zgadzają. Bo jeden powiada, iż w spólnych grobach tutejszych złożone są zwłoki 82 opatów, 275 przeorów, 1080 zakonników, którzy tu żyli od roku 1006 do 1766. Liczby te zaiste wszystkie sprawdzić niepodobna, ale co do opatów, z pewnością są błędne, gdyż jak widzimy ze spisu, który bardzo pilnie zebrałem, przez sześć przeszło wieków, tojest od r. 1200 do 1828 było ich tylko 48; chyba i koadyutorów policzono. Drugi napis chociaż równie mylny, lecz że ma więcej historycznych szczegółów zdjąłem go w całości, i wraz z tłumaczeniem umieszczam.

D. O. M.

Templum hoc in Calvo Monte situm Coëvum fidei in Regno olim Polonia dicto A(nno) D(omini) 966 a Miecislao et Dąbrówka conjugibus primisque Polonorum Christianis Principibus, in loco famosissimi trium idolarum fani, in honorem Divinissimae Triadis serectum atque ut ubi triplici Demonis Swisto, Poswist, Pogoda maledicta fiebant, Deo triuni Patri. Filio et Spiritui S. laudes perpetuo benedicantur. Sex primum de Bohemia cum dicta Dąbrówka advenis Benedictinis provisum.

Demum A(nno) D(omini) 1006 a Boleslao Chrabri, dictorum Principum, filio, primoque Poloniarum Rege, peramplius cum coenobio factum dotationve, post primos martyros sublato aliis 12

Benedictinis de Cassino conductis traditum. Cruce ligni vitae vivifico sanguine Christi perfusa a S. Emericio S. Stephani Hungarorum Regis filio Deo volente angelo jubente donatum. Ejusdemque miraculis clarissimum. Concursu populi celeberrimum amplissimis a S. Sede Apostolica

indulgentiis favoribusque dignatum. Passione ab idolatris plurimorum a perfidis Tartaris A. D. 1260 cum S. Stanislao Abbate 82 aliquot a Lithuanis, trium a Svecis, odio religionis immaniter caesorum martyrorum. Tum confessorum: alterius Stanislai Abbatis, Nicolai Prioris, Jacobi Superioris, probabili sanctitatis opinione gloriose

Illustratum.

Quoties vero direptum aut igne combustum fuerat, toties a piis regibus restauratum instructumque extitit.

Postremo A. 1780 a flamis fatiscens periculoque minans demolitum. Porro faventibus superis sumptu communitatis noviter Edificatum, altaribus, organis stalisque

A Reverendissimo Jo(sepho) Nepum. Niegolewski Abbate x ornatum caeteris quoque requisitis comparatis cura Rndi Vincenti Szczytyński Prioris.

Ab Illmo. Excellen. Andrea Gawroński Epi. Crac.

In assistentia Cleri utriusque penes 200 personarum, sub concursu varii status et conditionis ultra 24,000. Populi congregati die 15 Junii Dominica tertia Post Pentecosten

1806

Consecratum.

Co znaczy po polsku:

Kościół ten na Łyséj górze położony, w wieku wiary, w królestwie niegdyś polskiém r. P. 966 od Mieczysława i Dąbrówki małżonków piérwszych polskich chrześcijańskich książąt w miejscu najohydniejszym bałwochwalstwu przeznaczoném, w którém potrójnemu bożyszczu: Swist, Poświst, Pogoda, przekleństwa czyniono, nateraz Bogu jedynemu w Trójcy Świętej Ojcu Synowi i Duchowi jest poświęcony. Naprzód sześciu z Czech z wspomnioną Dąbrówką przybyłym Benedyktynom dom ten roku Pańskiego 1006 od Bolesława Chrobrego syna wspomnionych książąt, a piérwszego Polaków króla rozszerzony i klasztorem uposażonym przeznaczony został, a po zamęczeniu tych, innym 12 Benedyktynom z Cassino sprowadzonym, kościół ten krzyża od św. Emery-

ka i św. Stefana króla węgierskiego staraniu poruczony, wielu zaś cudami wstawiony, od znakomitych zgromadzeń ludzi odwie- dzany, od św. stolicy apostolskiej odpustami i przywilejami uza- cnionym został. Ucierpiawszy wiele od bałwochwalców wiaro- łomnych Tatarów, r. 1260 pod rządem S. Stanisława opata³⁸², cokolwiek od Litwinów i po trzy razy od Szwedów, nienawiść re- ligijna pomściła się na niewinnych męczennikach. Za czasów zaś Stanisława IIgo opata, Mikołaja przeora i Jakóba przełożonego, klasztor ten po ile razy ogniem był zniszczony albo zburzony, tylekroć od pobożnych królów odnowiony został. Nakoniec w ro- ku 1780 (1) od pożaru zupełnie zniszczony, łaskawością przeło- żonych, nakładem zgromadzenia na nowo odbudowany, ołtarza- mi, organami, stallami od Jana Nepomucena Niegolewskiego opata ozdobiony, innemi także potrzebami zapomóżony, staraniem Win- centego Szczytyńskiego przeora, a od JW. Gawrońskiego biskupa krakowskiego w asystencji około 200 duchowienstwa świeckiego i zakonnego, w obecności około 24,000 zebranego rozmaitego stanu ludu, dnia 15 czerwca w niedzielę trzecią po Zielonych Świątkach w r. 1806 był poświęcony.

Sam kościół wewnątrz jest niewielki, o jednej nawie ze skle- pieniem kolebkowatém; wygląda zupełnie nowo, przytém czysty, światły a bardzo skromny. Gzymsy jego wewnętrzne opierają się na płaskostupach bielonych równie jak gmach cały. Wielki ołtarz zdobią dwa słupy marmoryzowane i prześliczny obraz Trój- cę Świętą wyobrażający, pędzla *Franciszka Smuglewicza*, własnego jego układu. Na ołtarzu stoi kula ziemską z krzyżem, gdzie chowają *sanctissimum*. Nadto jest sześć ołtarzy bocznych, a nad każdym obraz ręki tegoż artysty, przedstawiające: 1) od wchodu św. Emeryka, któremu anioł z obłoków wskazuje miejsce, gdzie ma wystawić klasztor. 2) Widzenie się św. Benedykta z św. Schola- styką. 3) Śmierć św. Józefa. 4) Śmierć św. Benedykta. 5) Zna- lezienie św. Krzyża przez św. Helenę i próba cudowności tegoż

(1) Uważny czytelnik łatwo sprawdzić może, jak błędne są daty tego napisu, nawet co do współczesnych wypadków: kościół bowiem spalił się nie w roku 1780, ale w r. 1777, co na swoim miejscu z ówczesnej gazety opisaliśmy. To sprostowanie winna jest historya p. Tymoteuszowi Lipiń- skiemu współautorowi *Starożytnéj Polski* i najgorliwszemu jój pracowniko- wi. Oddając hołd prawdzie, nie piérwszyto już raz przekonałem się, jak wysokiej wartości jest ta praca, która jeszcze dotąd nigdzie u nas jak nale- ży i jak zasługuje ocenioną nie została.

na schorzałej osobie. 6) Niepokalane Poczęcie N. Panny. Wszystkie równiej miary po łokci $6\frac{3}{4}$ — $4\frac{3}{4}$. Obrazy te czas, wilgoć, a po części odnawianie tak uszkodziły, że trudno w nich już ręki mistrza dopatrzeć. Malował on je także w końcu swego życia, kiedy osłabiony na wzroku nie tak dzielnie już pędzłem, jak przedtém, władał. Pomimo to obrazy św. Trójcy, św. Scholastyki i Znalezienie św. krzyża jeszcze są niepospolicie ładne. Szkoda tylko, iż położenie tych trzech obrazów względem światła bardzo jest niekorzystne, i że je wilgoć mocno uszkadza. W roku 1846 odnawiane były wszystkie przez profesora malarstwa i rysunków przy gimnazyum realném i szkole sztuk pięknych, Alexandra Kokular, a po jego zgonie dokonane przez dawnego ucznia jego, teraz nauczyciela rysunków przy témże gimnazyum Franciszka Alexandra Mielnickiego, pod dyrekcją prof. Xaw. Kaniowskiego. Atoli po téj restauracyi zazdrosny jakiś artysta, że nie jemu te roboty powierzono, pociągnął je jakimś pokostem, który na obrazy przeciw światłu wystawione taki wywarł skutek, iż biała sniedz zupełnie cały rysunek i farby zakryła. Jeżeli zatém czas niejaki w tém miejscu zostaną, ulegną zupełnemu zniszczeniu, gdyż wilgoć, pomimo takiój wysokości, jest tu tak wielka z powodu opoki na której mury są wzniesione, że jak tylko dészcz ma następować, woda kroplami na posadzkę marmurową występuje. Życzyłoby potrzeba, ażeby obrazy te kazano ztąd wziąć; możnaby oryginały zastąpić kopiami uskutecznonemi przez uczniów szkoły sztuk pięknych, a te przenieść albo do kościołów, albo do zbiorów w Warszawie.

Organy kościelne, które jak wyżej wspomniałem są z drzewa z kościołka Wszystkich Świętych, przez opata Niegolewskiego wystawione, o czém także przekonywa herb Grzymała i głoski początkowe jego imienia i nazwiska I. N. po obu stronach organu umieszczone, mocą i czystością tonów zalecają się.

Obejrzawszy kościół, udaliśmy się na drugie piętro, dziś bardzo porządnie wyrestaurowane i dla przyszłych mieszkańców przysposobione. Tu była niegdyś biblioteka, po której salę podobnie odnowioną, na tenże sam cel przygotowano. Zostały jeszcze po dawniej bibliotece pułki i szafy z napisami złoczonemi głoskami: *Teologia, Concionatores poloni et latini, Jurisprudencia, Historia, Humaniorae, profanae* etc. Lecz książki z nich Bóg wie gdzie się znajdują: zapewne w znacznej części są one uratowane,

ale daleko więcej przez niedbalstwo niszczało, lub przez fanatyzm spalono.

Dotąd jeszcze tego wandalizmu są ślady, gdy nawet najdawniejsze nagrobki w czasie ostatniego przebudowania kościoła na materiał używano, a jeden z tych właśnie u wejścia do biblioteki, zamiast stopniowych kamienni na dwoje rozpiłowany służy. Jestto zapewne jedyna na Łysiej-górze w tym rodzaju starożytność; wyobraża zaś na płycie z piaskowca długości łokci 3, szerokiej 1 1/2 w głęboko rytym konturze, opata, w całej figurze w długim habicie, w infule na głowie, który prawą ręką błogostawi, w lewej trzyma pastorał opaci, a naokoło kamienia jest napis gotyckimi głoskami. Barbarzyńska ręka, która ten kamień na dwoje rozpiłatała, odcięła też u jednej połowy oba końcowe napisy, tak, że całego teraz odczytać niepodobna, tylko następne wyrazy:

Hic jacet.... Abbas loci hujus qui obiit.... domini.. MCCCCLXX.. orrate pro eo.... To jest:

„Tu leży opat tego miejsca, który zmarł roku Pańskiego 1470. Módlcie się za niego (1).“

Wedle mego spisu opatów, byłto kamień grobowy Michała z Lipia czyli Lipskiego, 26 z porządku opata, który zmarł w r. 1477, gdyż innego w tych latach nie było.

Tym sposobem zapewne zniknęły grobowce Oleśnickich z XV stulecia, o których Paprocki że tu były wspomina; Jeremiasza Wiśniowieckiego ojca króla Michała, sławnego pogromcy Tatarów, równie jako i Wespazyana Kochowskiego znakomitego dziejopisa nieszczęśliwych Jana Kazimierza czasów, i wielu innych.

Z biblioteki wychodząc, przechodzi się mimo cel niegdyś przeora; dalej jest okazałe mieszkanie opata z precudownym na doliny widokiem, które świeżo odnowione, ostatni tutejszy Benedyktyn sam jeden zajmuję. Zresztą liczne cele, niegdyś przez zakonników zamieszkane, podobnież teraz są wyrestaurowane lub na inne przeznaczenie przerobione. Zostały tylko w całości: carceres okropny, gdzie przez tyle wieków przestępni bracia siedzieli; oratoryum, refektarz z szczególnie ogromnym starożytnym

(1) Wierny rysunek tego nagrobka zdjęty z natury w r. 1842, posiada w zbiorze swoim p. Bolesław Podczaszyński, i zamierza go wraz ze stosowną biografią tego opata, w jednym z następnych zeszytów swego pisma artystycznego umieścić.

piecem, którego ledwie sążniem drzewa opalić byłoby można, tudzież lawaterz z różnobarwnego marmuru, bardzo ozdobnie wyrobiony.

Ztąd po wygodnych wschodach udaliśmy się na wieżę. Trudno sobie wystawić, a cóż dopiéro opisać, majestatyczny widok, jaki się z najwyższego ganku wieży, mocną kratą obwarowanego, przed oczyma przedstawia. Stojąc na tej wysokości, masz pod nogami od wschodu na zachód nieprzerwane pasmo gór z okrągłymi grzbiętami, ciemnym i gęstym lasem pokrytych. Przed sobą widać Jelenią-górę, dalej Łągów, potem Daleszyce, Chmielnik, Kielce, Karczówkę i Chęciny, jak na dłoni gołym okiem widzieć można. Jeżeli dzień jest pogodny, i deszcze nie padają, wtedy ztąd ujrzysz z jednej strony śnieżne wierzchołki Karpat, co jak skamieniałe chmury graniczą z niebem, a u podnóża przy srebrnej wstędze Wisły i stary Kraków można rozpoznać. Z drugiej strony, znowu jak na karcie geograficznej rozłożone miasteczka i wsie, o kilka mil odległe: Bodzentyn, lasy starachowickie, michałowskie, brodzkie, Itza, Kunów, Ostrowiec, Ćmielów, i wiele innych, za pomocą doskonałej perspektywy i my odróżniliśmy. A nad tém wszystkiém panuje król gór tutejszych, olbrzymi Krępak, który jak ojciec pomiędzy dziećmi, tak on w Karpatach, siwą głową swoją bieleje.

Cudny, przesliczny widok! którym dostatecznie zadowolniejszy się, zeszliliśmy na dół do gościnnéj celi ks. Dudzińskiego. Przechadzka, czyste powietrze i doskonała tutejsza woda, podwójnie miłym czyniła posiłek, który i z sobą przynieśliśmy, i przez uprzejmego Benedyktyna zastaliśmy dla siebie przygotowany.

Cela jego ubrana jest kilkoma wizerunkami tutejszych opatów, wcale niezłego pędzla. Utrzymuje on tu księgę, w której zapisują się znakomitsi zwiedzający to miejsce pielgrzymi; ale gdy księga ta niezbyt dawno zaprowadzona, sławnych nazwisk napróżno w niej szukałem: natomiast znalazłem pełno wykrzykników, niezgrabnych wierszy i zabawnych pretensyj biędnych turystów, którzy chcieli gwałtem czémś od innych odznaczyć się.

Przy pożegnaniu, zacny Benedyktyń obdarzył nas pamiątkami, które zwykle tu rozdają, to jest: krzyżyk drewniany z owego modrzewiowego kościółka, o drzewo krzyża św. pocierany, i wizerunek tegoż na blasze wryty. I jeden i drugi, przedstawia krzyż podwójny, na nim pełno początkowych głosek, o których

gdy wytłumaczenie prosiłem, dla ułatwienia następcom moim powtórzę.

Głoski wyrażone na jednej stronie krzyża dokoła:

V. R. S. N. S. M. V. S. M. Q. L. I. V. B.

Znaczą po łacinie:

Vade retro sathana nunquam svade mihi vana
Sunt mala que libas ipsa venena bibas.

Czyli po polsku:

*Idź precz szatanie, nie radź mi próżności,
Złe są twoje pieszczoty, zatem sam wypij tę truciznę.*

Na środku krzyża:

C. S. S. M. L. N. D. S. M. D.

Znaczą:

Crux Sacra sit mihi lux
Non draco sit mihi dux.

Czyli:

*Krzyż święty jest pochodnią moją, a smok wodzem moim
nigdy nie będzie.*

Nakoniec głoski po czterech rogach krzyża, C. S. P. B. znaczą: Crux Sancti Patris Benedicti: *Krzyż św. ojca Benedykta.*

Jestto pamiątka jeszcze po św. Benedykcie, do której wiele odpustów było przywiązanych, głoski zaś i ich znaczenie przez św. Zacharyasza biskupa jerozolimskiego ułożone, miały tych, co ten krzyż nosili, od powietrza bronić.

Schodząc napowrót do Słupi, droga nie tak zdaje się być przykrą, i spieszniej nierównie dosięgnęliśmy podnóża góry, choć to zejście dobrze nasze kolana zmęczyło.

A jeszcze raz zegnając spojrzeniem tę świętą górę, późno już w noc do Boleszyna wróciliśmy.

(Dokończenie nastąpi).



F. KALLIMACHA GEMINIAŃCYKA

O KRÓLU WŁADYSŁAWIE

CZYLI

O KLĘSCE WARNEŃSKIEJ.

Księgi dwie, Augsburg, r. 1519, w drukarni Zygmunta Grimm doktora i Marka Fürsunga.

PRZEŁUMACZYŁ I PRZYPISAMI OBJAŚNIŁ

Michał Głiszczyński.

KSIEGA II^{ga}.

Kiedy się wieść o takim zwycięstwie Władysława króla nad Turkami rozeszła, wszyscy prawie chrześcijańscy monarchowie posłów do niego przysłali. Najliczniejsi przybyli z całych Włoch, któryto kraj, o tyle tylko spokojnym się od Turków widział, o ile ich Polacy i Węgrzy albo zupełnie pobiją, albo ciągłą wojną trapić przynajmniej będą. To też wszyscy jednemi ustami zapewniali, że jak dotąd sprzyjał, tak i na przyszłość sprawiedliwej wojnie Bóg sprzyjać będzie. Pod niebiosa wynosili to wszystko co dotąd zrobiono, i niemniej zachęcali, aby do końca w zamiarach przeciw Turkom wytrwano.

Przed wszystkimi papież Eugeniusz IV, Wenecyanie, Geneueńczycy i Filip burgundzki książę wystawiali odniesione zwycięstwo, do nowój wyprawy namawiali, przyrzekając nawet posilki i wystawienie wielkiej floty na Helesponcie (1), przez co Turcy

(1) Cłaśnina Konstantynopolitańska.

z Azji przeprowić się i z europejskiemi połączyć się nie będą mogli.

Tym sposobem bardzoby łatwo było pokonać nieprzyjaciół, bo ich bardzo mało w Europie pozostało, a i to przerażeni i znękanani, zawsze jakby do klęski przeznaczeni. Jeżeliby tylko król jakie takie usiłowania uczynił, będzie mógł łatwo bezbożną i obrzydliwą muzułmanów potęgę z całej Europy wysadzić, a sprawę chrześcijańską na wieki umocnić i trwałą uczynić.

Powodzenie Władysława rozradowało także i pokrzepiło nadzieje Jana Paleologa cesarza greckiego, że będzie mógł stan swój polepszyć, a nawet zupełnie przyjść do siebie, kiedy dotąd Turcy, państwo i majestat jego nie tylko ciągle szarpali, ale zupełnym wywrotem grozili. Posłał dlatego posłów od siebie, którzy powiedziawszy to wszystko, co w życzeniach przy takim wypadku powiedzieć wypadało, rzeczy bożkie z ludzkiemi splatając, opowiedzieli pod religijném zaklęciem, że wielu w Konstantynopolu widziało przy bramie do Macedonii prowadzącej, młodzieńca na koniu w świetne szaty przybranego, niby dla zabawy radośnie tu i tam jeżdżącego. Był to tój samój godziny, jak później sprawdzono, kiedy chrześcijanie szczęśliwie przeciw Karambejowi walczyli. Nagle młodzieniec ów zniknął. To widziało zrazu zakłopotano wszystkich, ale wnet dowiedziawszy się o zwycięztwie króla, posłańca niebieskiego w nim uznali.

Roztropniejsi zresztą, i ci, którym albo świętobliwość żywota, albo biegłość w tajemniczój nauce, przyszłość odkrywała, wierzyli, że tak cudownie nietyle o zwycięztwie Władysława im doniesiono, jak raczej napomniano Greków, aby na czas i położenie obecne rzeczy nie zapominali. Sprawa bowiem Turków w Europie prawie zupełnie upadła, w Azji także chwieje się przez czyhających tylko na dobrą sposobność okolicznych tetrarchów (władców czy rządców prowincyj). Nie ma więc czego zwłóczyć, ale jak najprędzej na przerażonych słabością swoją i przewagą Władysława napaść i zgnieść ich potrzeba. Cesarz bacząc na to, gotów jest sam zbrojno z drugiej strony wystąpić, jeżeli tylko królowi podobać się będzie iść dalej za piérwszém zwycięztwem, które odniósł przy wyraźnej opiece Boga, kiedy je aż cudownemi rozgłosił posłańcami.

Do tego dołączały się jeszcze ciągle a pokorne despoty próśby, zaklinania łzawe, jak niemniej natarczywe zachęcania kardyna-

ła Juliana i powszechne wszystkich głosy, silniejsze już, bo szczęśliwém powodzeniem piérwszój wyprawy upojone.

Że król na to wszystko nietyłe zważał, ileby wypadło, winny temu były sprawy polskie. Przybyło bowiem w tym samym czasie poselstwo od Polaków. Powinszowali jak wypadło posłowie naprzód szczęścia królowi, a potém go napominali, że nie wprzód powinien drugi raz probować losu, dopóki się z panami polskimi nie naradził, chociażby na granicy królestwa; wprzód powinien król sprawy własne domowe uporządkować i utrwalić, a tém bezpieczniej wojnę dalej popierać będzie w stanie. To się na żaden sposób z zdrowym nawet rozsądkiem zgodzić nie może, aby ktoś dbał bardzo o cudze, a swoje własne sprawy zaniedbywał. Opowiadali potém, jaki tam nieład w Polsce, jak się swawola wszędzie rozhukala, jak się bezecne żądze i chciwość rozkiełznały, jakie zaniedbanie, prawie pogarda dobra publicznego. Korzystali z tego Tatarzy i nabiegłszy na Ruś i Podole, okropnie krainy te zniszczyli.

Niedosyć na tém, że prywatne panów zajścia i kłótnie, aż do ran i mordów się posunęły, ale nawet pograniczni śmiało łotrują, i jakby na wojnie jakiej a sprawiedliwój, rabują, szczególniej Bolesław ksiązę opolski. Powiadają nawet, że i Kazimiérz z Litwy lada chwila wojnę do Mazowsza poniesie. Tylu klęskami, jeżeli im się prędko nie zaradzi, zginąć może polskie królestwo.

Wszystko to tém bardziej poruszyło umysł króla, że wiedział, iż wszystko to, co opowiadali i donosili posłowie, prawdziwém było. Żeby jednak nie zdawało się, że przekłada prywatne interesa jednego państwa nad sprawę całego chrześcijaństwa, podziękowawszy za pamięć, zycżliwość ku sobie każdemu w szczególności poselstwu, i za ich względem Boga i religii pobożność, odpuścił od siebie wszystkich tak, że odeszli z pewną nadzieją, że król wszystko uczyni, czego od niego żądali. Polakom zaś odpowiedział, iż natychmiast zwoła przedniejszych panów węgierskich do Budy, i że wszelkich dołoży starań, aby urządziwszy wszystko, co potrzebném będzie czyto do pokoju, czy do wojny tegorocznej, próśby ich mógł jak najlepiej zaspokoić.

Naznaczono téż zaraz dzień na zgromadzenie Węgrów (1), ażeby, jeżeli znowu jednozgodnie wszyscy na odnowienie wojny

(1) Na dzień św. Jerzego, 1444 r.

z Turkami przystaną, pewniejszą wewnątrz mieć spokojność. Pod rękojmią wiary publicznej, przyrzekł król, że gdy się sejm rozwiąże, każdy bezpiecznie do siebie powróci.

Zaprosił także na ten sejm i Iskrę, i wszystkich urzędników od niego zależących, chociaż się temu kardynał Julian sprzeciwiał: bo mniemał, że przy obecności Czechów, nie będzie można nic stanowczego co do religii postanowić (1). Podpierał dzielnie w tym zamiarze króla Franko Ban, mówiąc, że ani czas, ani miejsce potemu rozbierać, jak myślą i czego chcą Czesi w ceremoniach i ustawach chrześcijańskiego wyznania, jak wierzą o rzymskim najwyższym kapłanie, o obrzędach i przepisach w wykonywaniu świętych tajemnic religii. Że co innego jest szeroko słowami o religią się sprzeczać, a co innego, kiedy z religią życie i wolność na niebezpieczeństwo są wystawione, kiedy nie językiem, a ręką bronić się trzeba.

Jeżeli jest coś w myśli i uczuciach Czechów, co się albo od nauki boskiego mistrza, albo od jej tajemnic wyłamuje; nie brakuje potem czasu i sposobności do wytepienia owych różnic, jeżeli co komu na tém zależy.

Nateraz przy grożącym nieszczęściu nietylko jednemu państwu, ale całemu chrześcijaństwu nie ma co wybierać w obrońcach, a brać pierwszych lepszych, szczególnież téż Czechów będących pod ręką, którzy nie w jednej już wyprawie dowiedli, że w sprawie religijnej nietylko gorliwi są uczuciem, ale i dzielni przy jej obronie. Wszak z ich jednego i to niebardzo licznego narodu, przybyło więcej ochotników krzyżowców, niż ze wszystkich razem chrześcijańskich narodów. Wreszcie, czy będą użyci, czy nie, zawsze daleko więcej niż komu innemu nam na tém zależy, aby ich na tę naradę wezwać: bo pochlebstwem tém ujęci, żądają wielkich czynów zagrzani, gdyby nic innego, to przynajmniej spokój wewnątrz od nich mieć będziemy. Inaczéj nietylko jawny nieprzyjaciel, ale jeszcze i rozjątrzony, zostałby w samém sercu państwa.

Gdy tedy wszyscy się zgromadzili, kilka dni zeszło na usiłowaniach przyłumienia zupełnie wojny domowej. Co gdy się nie powiodło, uchwalono zawieszenie broni na dwa lata, niewol-

(1) Czesi wtedy jeszcze przy hussytyzmie stali, i wrzały tam jeszcze hussyckie walki; dlatego Julian za kacerzy ich uważał, a obecność na sejmie za niestosowną.

ników sobie nawzajem wydano, pod tym warunkiem, że gdy zawieszenie broni ustanie, wrócą znowu do niewoli. A tak chociaż stanowczego pokoju nie zawarto, ucieszyli się jednak wszyscy i rozejmem czasowym, bo byli przynajmniej spokojni, że już niczego wewnątrz u siebie obawiać się nie będą. Zaczęto potem o zewnętrzną wojnie się naradzać. Wielu, a szczególnie despota i Julian kardynał nalegali, publicznie i prywatnie namawiali, że już przygotowane, i że w stosownym czasie przyjdą posiłki od papieża i innych chrześcijańskich monarchów; a tak bardzo łatwo upojone świeżem jeszcze zwycięstwem, i ufne w siebie umyśliły, do odnowienia wojny nakłonili. Wydawało się bowiem, że przy pomocy tylu morskich i lądowych posiłków, od tylu monarchów i ludów, łatwo będzie zgnieść tegoż samego wroga, którego dopiero co, bez żadnej obcej pomocy, krom ochotników krzyżowców, własnymi tylko siłami rozbili i rozpędzili. Postanowiono tedy na kosztą tej wyprawy nadzwyczajny podatek na krajowców, i aby go jak najprędzej zebrać, natychmiast poborców wyznaczono. Przygotowania wojenne zupełnie Huniadowi powierzono. Wybrano także posłów, aby ci o tém, co Węgrzy i Władysław postanowili, donieśli wszystkim monarchom, szczególnie tym, których ta wiadomość bliżej obchodziła.

Przybył na owe zgromadzenie do Budy Pankrac od św. Mikołaja (1), stronnik Władysława, ale lotrowstwem swoim całej krainie, którą rzeka Wag oblewa, nieznosny i niebezpieczny. Owóz, ponieważ spokojność domową mieszał, nie miano już względu na powagę wolnego zebrania, a jedno tylko na powszechną wszystkich ku niemu nienawiść; pojmano go, i na domaganie się krzykliwe tłumy, w więzieniu osadzono. Towarzysze jego jednocześnie na szubienicy życie zakończyli. Możeby się było i co Iskrze wtedy dostało, przy tak rozjątrzonych umysłach, chociaż z pogwałceniem zaprzysiężonej wiary; ale Władysław widząc, jak tłumy burzyć się i rozpalać zaczynały, i że ich ani napomnieniem, ani powagą żadną słuszności powstrzymać nie będzie można, wybrał potajemnie kilku Polaków, i ci Iskrę tyłami przebranego wyprowadzili z Budy, i do Jaurinum odprowadzili. Dlatego, nigdy potem Iskra nie mógł bez uwielbienia o Władysławie wspominać, nazywając go zawsze zbawcą swoim (2).

(1) Starosta sokoleczański.

(2) Czynności tego sejmku wydane zostały po raz pierwszy z rękopiśmu przez Józefa Mikołaja Kovachich w dziele: *Monumenta veteris legisla-*

Urządziwszy tym sposobem sprawy w Węgrzech zwrócił się teraz Władysław ku chwiejącemu się ojczystemu państwu i ku uspokojeniu Kazimierza od zawziętości jego na Mazowsze. Dla tego, dopóki w Węgrzech podatek nałożony zbierać i do przyszłej wojny przygotowania czynić się będą, chciał odwiedzić Polskę, aby wewnętrzne rozterki i tam usunąć i naradzić się, jakimby sposobem swawolne łotrówstwa Szlązaków i zwichrzenia litewskie powściągnąć; oprócz tego niepomału ciągnęła go tam chęć pokazania się matce i swoim po tak świetnie dokonanej wyprawie:

Wiedzieli dobrze Węgrzy, że Polacy nie wypuszczą od siebie Władysława wprzód, aż wtedy, kiedy ostatecznie wszystko względem ich spokojności i bezpieczeństwa załatwi; do tego jeszcze więcj obawiali się, aby młodzieńczy umysł, rozkoszą wypoczynku na rodzimój ziemi nie dał się uwieść, albo żeby go matka

tionis Hungaricae. Zagrzeb, 1815, w 8ce, w części drngiej od str. 30 do 35. Narady zakończono dnia 18 kwietnia 1444 r. Głównym ich przedmiotem było wewnętrzne uspokojenie królestwa; uchwalono więc w art. 1, aby wszyscy biskupi, baronowie i urzędnicy krajowi, przez wydane osobne zapisy, pod pieczęciami, ponowili królowi przysięgi na wierność. Dla otoczenia króla większą władzą, zgodzono się w art. 2, że nietylko służyć ma królowi prawo naznaczania na wszystkie, nawet najwyższe dostojenstwa, ale będzie miał moc czynić wszelkie zmiany w urzędach i cofać nadania oparte na zupach solnych, bez żadnego zkądkolwiek oporu. Dobra, kopalnie, pobory i t. d. własność korony składające, nieprawnie komukolwiek zawierzone, nazad do skarbu powrócone być mają.

Art. 3, 4. Majętności w czasie zaburzeń krajowych stronnikom Elżbiety skonfiskowane i rozdarowane tym, którzy w wierności dla króla wytrwali, za otrzymaniem przebaczenia wrócą do dawnych właścicieli, nowi zaś posiadacze stosowne odbiorą wynagrodzenie.

Art. 5, 6. Prawo bicia pieniędzy i oznaczenie ich wartości, służy wyłącznie panującemu.

Art. 7, 8. Wielcy urzędnicy koronni przyrzekają, iż nadal nie dopuszczą się żadnych gwałtów nad współziomkami, z powodu różnicy mniemań politycznych; na przypadek wykroczenia przeciw tej uchwale, wskazany jest tryb przewodu sądowego. Zamki i warownie z których czyniono najazdy, zburzone zostaną, zaciągów zbrojnych za granicami kraju, w zamiarze nękania współobywateli, pod gardłem czynić niewolno.

Art. 9, do 30. Wchodzić w układy z nieprzyjaciołmi kraju lub stawiać opór sprawiedliwym rozkazom królewskim, zabrania się pod karą śmierci.

Art. 30, do 33. Nakoniec król zaręcza, że to wszystko najściślej wykonanem zostanie, a nadto, że żadnemu cudzoziemcowi urzędów w Węgrzech poruczać i nadań czynić nie będzie.

Dan w Budzie 18 kwietnia 1444 roku. (Malinowski w tłumaczeniu Wapowskiego, stronnica 459).

i inni od niebezpieczeństw koniecznych na nowój przeciw Turkom wyprawie nie odciągali. Podmówili tedy despotę i Juliana, niby dwa do wszystkiego motory, aby królowi myśl tę z głowy wybili, i w Węgrzech go zatrzymali.

Sami przez się byli oni oba do tego skłonni, a teraz przez Węgrów namówieni, prośbami i radami zwyciężyli i okazali tego, że król nateraz przez posłów wytłumaczy swoje nieobecność w Polsce koniecznością i ważnością przedsiębranėj wyprawy, i że bez zarzutu zdrady sprzymierzeńców swoich na tę wojnę i bez wielkiego niebezpieczeństwa oddalić się z Węgier nie może, bo Turczyn skoro się dowiędzie, co mu chrześciance przygotowują, zbierze ogromne wojsko, i nimby się co przedsięwzięło, uprzedziłby nas i Węgry splądrował. Polecono oprócz tego posłom uzyskanie z Polski nowych posiłków na przyszłą wojnę.

Posłano także z tém samém zleceniem i do Prusaków, od których tém słuszniej wymagać pomocy można było, że z powołania swego wojnę z niewiernemi prowadzić są obowiązani, i że od piérwszej wyprawy najspokojniej się usunęli. Ale żądanie to bez skutku u Krzyżaków pozostało, a odłożony przyjazd króla na złe bardzo Polakom wyszedł. Gdy bowiem umysły wszystkich oczekiwaniem Władysława zajęte, zaczęły się już uspokajać i łagodzić, jak tylko dowiedzieli się że nie przyjedzie, natychmiast, jak gdyby podżegnięci tém pewniejszą od kary swawolą, rzucili się do dawnych nadużyć i swarów, i tak nietylko sami między sobą siłą szpetnych nabroili czynów, ale jeszcze i zewnętrzne napaści bez zemsty pozostawili. Dla téj samėj przyczyny i pograniczni tém śmielėj łotrować poczęli: wielu poczciwych kupców pojмали i z majątku wyzuli, na ziemię nawet napadali, i daleko większe rabunki niż na wypowiedzianėj sprawiedliwie wojnie, poczynili. Ale najsroźsze były rozboje księcia opolskiego, który zasadzką wielu kupców krakowskich na jarmark do Wrocławia dążących, napadł i obdarł. Wszyscy taką krzywdę kosztem ogólnym pomścić, ale wprzód królowi o tém donieść postanowili. Władysław odpowiedział, żeby nic podczas jego nieobecności siłą nie działać, a prawnie krzywdy poszukiwać; on zaś, jeżeliby im sprawiedliwości nie wymierzono, sam w stosownym czasie zajmie się tą sprawą.

Gdy się to działo w Polsce, w Węgrzech tymczasem wszystko, co było potrzeba do wojny, przygotowano. Doniesiono o tém powtórnie cesarzowi greckiemu, aby się także na wojnę przygo-

tował, i wyruszył z przeciwnéj strony, kiedy Władysław ku Tracji i Macedonii z wojskiem pociągnie. Niemniej także przypominano i papieżowi przyrzeczoną wiarę i czas stosowny, równie i tym wszystkim, którzy przyrzekli, że wezmą na siebie staranie aby opanować Helespont. Ci ostatni nie nie zwłócząc zebrali i uzbroili pod Gaeta flotę z 70 okrętów złożoną, i wysłali natychmiast Franciszka Alberta kardynała florenckiego, aby na Helespont wypłynął, brzegi doskonale obsadził i żadnych posiłków Turkom z Azji nie przepuścił. Do pilnego spełnienia tego rozkazu, nie tylko ich przyrzeczenie dane Władysławowi i uczucie religijne zachęcało, ale i wiadomość także, że Karmanus król Cylicyi i Karmanii (1) z potężném wojskiem przeciw Turkom wystąpił. A tak wszystko, jakby widomą opatrnością Bożką szczęśliwie się układało, aby bezbożna i szpetna niewiara na zawsze zniszczoną została.

Turczyn téż niepomału się przeraził grożącą mu od Karmana wojną, bo wiedział, że mu inaczéj nie dorówna, jeżeli się cały na niego nie obróci; a musiał koniecznie rozerwać teraz siły swoje przeciw Polakom, Węgrom i przeciw Włochom na morzu. Wiedział bowiem dobrze o wszystkiém co przeciwko niemu tak jednomyślnie przedsięwzięto. Doświadczył niedawno z wielką swoją klęską sił i szczęścia Władysława, to téż tém więcéj się go teraz obawiał: bo wiedział jak wielkie przybędą mu zewsząd posiłki. Dlatego żeby nie był zmuszony wojsk swoich rozrywać i tak rozrzucony na pewną nie wystawiał się klęskę, postanowił ująć sobie naprzód despotę, myśląc, że za nim łatwo wszystkich umysły do pokoju się nakłonią.

Posłał więc do niego potajemnie posłów, którzy, nibyto o wykup Karambeja układać się mieli, a przy téj sposobności uczynić despotcie przyrzeczenie, że i synów jego sułtan uwolni, i dawne jego państwo i fortunę mu powróci, jeżeliby chciał być pośrednikiem między nim i królem w zawarciu uczciwego pokoju. Despota zrazu myśląc, że go zdradliwy i chytry nieprzyjaciel podejść usiłuje, podejrzliwie wysłuchał zlecenia posłów tureckich; ale gdy go wielkimi zakłęciami, aby wierzył, przekonali; gdy go pomału niepewność zwycięstwa a pewność odzyskania swych posiadłości na drodze układów nakłaniać ku sobie poczęła; gdy sobie przypomniał, że synowie jego w obrzydliwém więzieniu w kajdanach jęczą, że im już wprzód oczy wykupiono, że teraz na

(1) Północno-wschodnia część dzisiejszój Turcyi azyatyckiej.

wszelkie zniewagi są wystawieni, że już tak długo, czego serce rodzicielskie znieść nie mogło, niegodnie boleśnie hańbą, więzieniem, smutkiem, boleścią dręczy ich srogi nieprzyjaciel; gdy tedy wspomnienie to niemniej jak rozbite własne jego szczęście silnie go wzruszyło:—wszystko co mu posłowie tureccy przyrzekali, Huniadowi powtórzył.

Huniad zaś, chociaż i dawne swe zwycięstwa pamiętał, i siłom swoich ufał, bo wiedział, jakie to posiłki lądem i morzem przyjść miały; ale wiedząc także z drugiej strony, że wojna wewnętrzna nie zagasła do szczytu, a na czas tylko przycichła; że Fryderyk groźny bogactwem i wzięciem u swoich stoi jako niebezpieczny nieprzyjaciel; że bardzo są zmienne i niespodziewane rezultata wojen; że może na nich nieszczęśliwa wypaść kolej; że i Władysław zarazem będzie mógł spokojnie rządzić państwem: utrzymywał tedy, że myśl pokoju przez Turków podsunięta, nie jest do pogardzenia, tém więcej, że drogą pokoju sam despota daleko więcej zyskuje, niżby mógł najszcześliwiej prowadzoną wojną osiągnąć. Przedewszystkiém jednak za stosowne osądził wy badać, na jakich rzeczywiście warunkach Turczyn pokój chce zawrzeć.

Gdy tedy przeświadczył się sam, że to, co mu despota o wykupieniu Karambeja i oddaniu tych krain, których wojną poszukiwano było prawdziwém; ułożył się naprzód o cenę więźnia i wziął za niego 50,000 czerwonych złotych (1). Potém nie pominąwszy niczego co trzeba było przygotować do przyszłej a zaciętej walki, doniósł królowi o tém co się tu działo i prosił go, aby z liczném i wyborowém wojskiem do Szegedina wyruszył, dokąd posłowie tureccy przybędą z warunkami pokoju, które przy obecnym czasie i położeniu królestwa bardzo są korzystne; a gdy jeszcze zobaczą przygotowane tak ogromne siły, zmiękną tém więcej (2).

(1) Wapowski utrzymuje, że 70,000.

(2) Nie ma tu ani wzmianki nawet o tém, żeby despota i Huniad różne sobie wzajemne ustąpienia i nagrody poczynili za namówienie króla do pokoju. Wyglądałoby to trochę na zdradę kraju, czego przy takich okolicznościach w jakich wtedy Władysław się znajdował, nikt nigdzie Huniadowi, jako dzielnemu mężowi, zarzucić nie považył się. Podejrzenie to Długosza rzucone w tym względzie na jednego z najpiérwszych owoczesnych wojowników, krzywdzi jego samego, a nie Haniada. Kallimach wyraźnie powiada, dalej, że dla zawdzięczenia i uczczenia jego męztwa, darowano mu (mówi ogólnie, a zatém cały naród), miasta i zamki, które wprzód w Węgrzech despota posiadał. Powtórzył za Długoszem, chociaż nie tak dobitnie, krwawy ów zarzut i Wapowski, czego nie powinien był tém bardziej uczynić, że żywcem Kallimacha się trzymał.

Zasmucony dotąd Władysław zaburzonym stanem Polski, z radością przyjął myśl o pokoju, bo tém pewniej zgromadzonemi na zewnętrzną wojnę siłami, oba swe państwa wewnątrz silnemi i spokojnemi uczyni, przygniótszy do szczętu, albo precz wyrzuciwszy buntu i występnej swawoli pierwiastki (1). Ale i wielu innych życzyło sobie, aby się już raz, tyle lat bez przerwy prowadzona wojna skończyła, i pokój z Turkami zawarty został. Przybył tedy na dzień 1 lipca 1444 r. król do Szegedina; znajdowali się tam już despota i Huniad z posłami tureckimi. Pierwszy między niemi rodem Grek, ale wiarę muzułmańską wyznający, gdy stanął przed królem, tak przemówił:

„Gdybyśmy zapróbowawszy wprzód losu wojny, teraz dopiero, prześwietny monarcho, o pokój cię prosić przybyli: mogłoby się zdawać, że cesarz Amurat nie ufa już więcej siłom swoim; lecz ponieważ daleko wcześniej, nim mu myśl zbrojnego starcia się z tobą do głowy przyszła, chęci swoje zawarcia pokoju nieraz ci objawił, i przyjaźń ci swoją, sam będąc jeszcze potężnym, ofiarował: nie możesz tedy myśleć, że go teraz naciskająca jakaś potrzeba ku temu nakłania, ale że i teraz też same chęci, które miał zawsze, wywołują w nim też same zamiary zawarcia z tobą przymerza i pokoju. Nie możesz także zawiele ufać przeszlorocznemu twemu zwycięztwu, ani myśleć, żeśmy obok twojego szczęścia upadli na duchu; my, których tylokrotnie ciągle zwycięztwa, nad wszelkie klęski wyższemi uczyniły. Gdyby nas zresztą nic innego nie pokrzepiało, to samo przekonane, żeśmy już tyle razy twoich rozbijali, że zwyciężeni szybko nowe siły zbieraliśmy, i klęski naszej jeszcze prędzej się mścili; przekonanie to samo, powtarzam, wystarcza na to, że tak małą klęskę i to z nieroztropności dowódców naszych poniosłszy, rozpaczać o szczęściu i siłach naszych nie mamy potrzeby.“

„Tak więc nie z konieczności i rozpaczy z warunkami pokoju do ciebie przybyliśmy, ale z tą myślą, że nie chcąc wywoływać twojego szczęścia, własnemu też ufać zabardzo nie chcemy.“

„Kiedy okiem i umysłem spojrzysz na niedawne twoje nad nami zwycięztwo, i na wielkie obecne przygotowania twoje do wojny, ile to wszystko warte, my jesteśmy dla ciebie żywym

(1) Widać w tém wyrzeczeniu owego męża, który to doradzał Janowi Albrechtowi, aby ukrócił buńczuczność szlachty, a władzę monarchiczną więcej samowładną uczynił; coby nam było pewno na lepsze wyszło.

przykładem; my, tyle razy zwycięzcy i takimże samém powodzeniem, jak twoje upojeni, a teraz zwyciężeni. Nikt bardziej nie powinien mniej się na zmienność losu wystawiać, jak ten, który jeszcze żadnej przeciwności nie doznał. Niedawno temu jeszcze młodzieńcem i rządom ojczystego królestwa zaledwie podolać będąc w stanie, przywołany zostałeś do władania drugim państwem, które i zewnętrzną wojną zagrożone, i wewnętrznymi niesnaskami zawichrzzone, możeby silniejszemu nawet wielkim ciężarem się stało; a ty przyjęte na siebie warunki tak szczęśliwie spełniłeś, żeś zaraz wojnę domową usunął, oręż na nas obrócił, i pokazał, że ci, których samo imię zgrozą wszystkich przejmowało, nie są niezwyciężeni. Im tedy łaskawiej los się z tobą obchodzi, tém bardziej strzedz się powinieneś jego niestałości; bo nie ten, co wielkie, ale ten, co miłe i bezpieczne posiada ziemie, prawdziwie szczęśliwym nazwać się może.“

„A cóż ci może i powinno być miłszém nad ojczyzną twą ziemię; cóż pewniejszego jak Węgry, kiedy je pokojem z nami zawartym, z Polską połączysz? Ale ty zabardzo ufasz zaczynającemu się twemu szczęściu, zawiele sobie obiecujesz z przelotnego uśmiechu fortuny, kiedy dla odzyskania despotie jego posiadłości, narażasz na klęskę i niewolnictwo dwa potężne państwa. Nierówna tutaj trudom i niebezpieczeństwom nagroda: bo to, czego przez tak nawalną wojnę poszukujesz, niewarte tylu prac, i usiłowań. O ile się nam zdaje, i twym i naszym zarówno jest interesem, przez zbytnią gorliwość o obce, swoim państwowi nie pozwolić słabnąć. Warunki pokoju i zgody bardzo różne przedstawić i przyjęć lub odrzucić można; a z wojny jeden zawsze skutek na przyszłość:—upadek kraju, a z nim wszystkich bozkich i ludzkich rzeczy zburzenie tam, gdzie kto zwyciężony zostanie.“

„Jeżeli wolno o przeszłości wspominać, mieliśmy i my chwile, kiedy nam siła i oręż niezmiernie dużo przyrzekały; a jednak woleliśmy ustąpić teraz przed niepewnością wypadków, niż się dać uwieść nieroztropnej zarozumiałości. Do ciebie teraz należy, naradzić się z twojemi przybocznymi nad tém, czy wolicie korzystać z przykładu niestałości szczęścia, który z nas macie, czy jej na sobie samych doświadczyć chcecie.“

Już pierwój nakłonione ku temu umysły, łatwo teraz na układy o pokój przystały. Trudniejsza daleko była sprawa z warunkami zgody. Turczyn bowiem chciał zatrzymać sobie Bulga-

ryą i kopalnie srebra i wiele miast w Serbii; Władysław znowu pragnął prawnym posiadaczom wszystko pozwracać. Zgodzono się wreszcie na to, że Bułgaria tylko w poddaństwie u Turków zostanie, a wszystko inne jakimkolwiek sposobem zajęte, oddadzą tym, którzy przed wojną prawo do tego mieli. Niewolnicy z obu stron na wolność wypuszczeni będą, szczególnież synowie despoty. Naznaczono potem dzień, w którym prowincye i miasta, podług umowy, wydane zostaną, a pokój na dziesięć lat zawarto.

Nie sprzeciwiał się temu i Julian kardynał, nie dlatego jednak, żeby serdecznie pokój potwierdzał, ale dlatego, że nic mu do głowy nie przychodziło, coby mógł postawić przeciw tyłu i takim korzyściom, czémby mógł do odrzucenia ich zniewolić; albo téż dlatego, że przy tak ogólnej i prędkiej zgodzie, wszystkich uszy głucheby były na jego przedstawienia. Czekał więc sposobniejszej ku temu pory, a tymczasem gryzł się niepomalu, że jegoto rady najwięcej sprawiły, że Wenetowie, burgundzki książę, i papież, flotę na Hellespont wyprawili, i że go albo o próżność, albo o zdradę niesprawiedliwie posądzą, jeżeli pokój, jak ułożono, do skutku nie przyjdzie.

Jak zaś pokój ten przez pamięć na dawne klęski, na krew wylaną, jak równie odzyskaniem tyłu strat poniesionych, drogim był dla Węgrów: to jeszcze z tego się pokazuje, że Huniadowi mniemanemu sprawcy tego pokoju, dla zawdzięczenia i uczczenia jego męztwa, darowano wszystkie miasta i zamki, które wprzód w Węgrzech despocie na utrzymanie wyznaczono. A kiedy Turcy żądali, aby na potwierdzenie warunków pokoju król przysięgł na Eucharystyą, niebardzo się temu sprzeciwiano, aby posłowie tureccy nie myśleli, że, gdyby się Władysław od tego rodzaju przysięgi wzdrygał, nieszczerem sercem o pokój z nimi się układał. Takto gwałtownie życzyli sobie wszyscy zgody, że chcieli nawet najmniejsze podejrzenie usunąć, któreby ją rozerwać mogło.

Kiedy Grzegorz z Sanoka spostrzegł, że i król od tak bezbożnego czynu dalekim nie był, podżegnęty wielką w nim gorliwością religijną, zawołał: „Oby Bóg nie chciał mścić się nad nami za tak wielką zbrodnię, żeśmy dopiero co walcząc przeciw bezbożnikom, wszystkie przykrości dla zwycięztwa znieśli, a teraz znowu za religią uzbrojeni, i prawie pewne zwycięztwo w rękę mając, najświętszą i bożką tajemnicę przed oczy niewiernych dobrowolnie przynosimy. Nacóż się przydała owa pierwsza i ta

druga wyprawa, naco było domagać się tytu, od tak odległych od siebie narodów, jak Włochy, Burgundya, Tracya, posilków; naco było powtórnie przypasywać oręż, poco tak daleko się posuwać, kiedyśmy o zdradzie religii zamysłali. Mniejszą daleko zbrodnią, bo spokojném a gnuśném pozostaniem w domu bylibyśmy tego samego dowiedzieli, kiedy uzbrojeni ze spokojném sumieniem na znieważenie świętości naszych patrzymy. Wstyd nam i pozdrowień, któremi nas jako zwycięzców obsypano, wstyd nam i pochwał, któremi nas jako obrońców imienia chrześcijańskiego pod niebiosa wynoszono, wstyd nam nakoniec, że nas za zdolnych do tak niegodziwych postanowień wszyscy mieć będą: nas, na których nadzieje królów i monarchów całej Europy spoczywały; nas, za których niezliczone ludy i narody we wszystkich świątyniach korne do Boga zanosily modły, błagając Go o zwycięstwo dla nas."

„Jakże daleko szlachetniej poczynali sobie starzy owi Rzymianie, którzy, kiedy Gallowie miasto ich zdobyli, żeby nawet wzrokiem bogów ich obrazić nie mogli, w ziemię ich zakopywali. A my zwycięzcy, naszego prawdziwego Boga sami niewiernym okazać zamysłamy, i dozwalamy, żeby kiedyś powiedziano, że z większą czcią tamci kłamliwe swe bóstwa, niż my najprawdziwszy i najświętszy zakład nieśmiertelności naszej, strzegli i bronili; żeśmy publicznie taką zbrodnią się zmazali, którą, w pojedynczym nawet człowieku, jak najostrzej ukaraćby wypadało.“

„Pomijam to, jak bardzo przed Bogiem zawinimy, że nie tylko sami od niego odstępujemy, ale go jeszcze za świadka i zakładnika niewiernym podajemy; ale cóż o nas sam nieprzyjaciel pomyśli, kiedy zobaczy, że tak bardzo pokoju pragniemy, że bez wstrętu świętokradzko tak przysięgniemy, jak on nieroztropnie tego od nas zażądał. Przez korzyść, jaką pokój ten daje, za nic sobie mamy wszystko, cokolwiek w naszej jak równie i w innych sektach wyżej stoi, niż człowiek pojąć jest w stanie, i zakryte jest zwykle przed ludźmi osłoną obrzędów, i formami tajemniczymi. Jeżeli to tedy na widok publiczny w zupełnej nagości pokażecie, odrazu wszyscy powiedzą, że ponieważ na żadnym rozumowym dowodzie nie jest to oparte, głupstwem jest i twierdzenie, a bezwstydem nauczanie, aby w to wierzone.“

„Słyszeli już oddawna nieprzyjaciele, że czcimy Boga przytomnego, i że go w tajnikach świętości przechowujemy; nie pojmują oni, jakim sposobem stać się to może: więc gdy o nim myślą, wyobrażają sobie, że nie ma tam nic ziemskiego i chwilowego,

ale że wszystko poza śmiertelnością i materią istnieje. Nieświadomi znowu jaka może być owa niematerialność, przypuszczają, że musi przynajmniej odpowiadać wyobrażeniom o naszym Bogu; a my przez odsłonięcie tajemnic naszych, owe ich przekonanie osłabimy, a myśli ich o religii naszej ku niebu i boskości wzniesione, na ziemię odwołamy, postać chleba im okazując. Że zaś w tym chlebie prawdziwe ciało Chrystusa spoczywa, wierzymy stale, bo to w nas sprawia nauka i łaska boska w której się urodziliśmy: więc Turcy pozbawieni jęj, gdy przedmiot sam przez siebie nie obudza wiary, wysmieją nas, że wierzymy w niepodobne rzeczy. Zaklinam was na Boga, nie pozwalajcie słabnąć owemu przerażeniu, które na wojnie zwykle ich opada, kiedy mają bitwę z nami rozpoczynać: bo wierzą dotąd, że Bóg zawsze tak nam sprzyja, iż go prawie zawsze oczami obok siebie oglądać możemy. Ileby krok ten odjął powagi majestatowi naszej religii, o tyleby dodał im śmiałości: bo będzie im się wydawać z postaci którą im pokażemy, że nie tylko nie jesteśmy pod opieką prawdziwego Boga, ale że nawet pod żadnego bóstwa opatrnością nie zostajemy.“

„Jest jeszcze bardzo wiele innych środków, do potwierdzenia warunków pokoju, chociaż samo słowo królewskie, jest najpewniejszą rękojmią. Inne zaś między prywatnemi, a inne między panującemi zachowują się ostrożności. Zresztą, dodał, że opuści sprofanowany obóz, jeżeli król tym sposobem przysięże“.

Gdy się tedy wszystkim wydało, że bardzo gorliwie i słusznie przemawiał, postanowiono, że zaprzysiężenie pokoju odbędzie się na księgach świętych obu stron, które się u nas ewangelią, a u Turków alkoranem zowią. Gdy tedy każdy rękę na nich położył, uroczyście zaprzysięgli, że co ułożono spełni się, i nierozzerwane przez lat 10 zostanie.

Ukończywszy tak układy o pokój, posłowie tureccy odjechali.

Niedługo potem nadeszły listy od kardynała Franciszka, w których donosił, że sułtan z niezmiernym wojskiem do Azji się wyprawił, a wszystkie swe kraje około Helespontu leżące otwarte i bezbronne zostawił; on zaś sam flotą tak dobrze brzegi obsadził, że na żaden sposób, nic z Azji do Europy przejść nie jest w stanie. Że nietrzeba pomijać takiej sposobności, kiedy prawie bez oręża i bez walki można będzie wypędzić aż do pierwotnych jego siedzib dziki naród i obrzydliwą zabobonność. Żeby pamiętać!

król na wiarę i przyrzeczenie chrześcijańskim monarchom dane, żeby, jak będzie mógł najprędzej, pospieszał z obiecaną wyprawą, kiedy oni już posiłki swoje wyprawili.

Z takimiż samemi prawie zleceniami przysły listy od greckiego cesarza (1) z dodatkiem, że tém więcej ma nadziei, że król

(1) Długosz cały ten list umieścił; wypisuję go tu dosłownie tak, jak go pan Malinowski przetłumaczył.

„Najjaśniejszy. Najpotężniejszy Królu! Poseł Nasz wróciwszy od Waszego majestatu, złożył Nam listy Wasze, z których równie jak z jego doniesienia dowiadujemy się o Waszém zdrowiu i powodzeniu. Co nie tylko Nas, lecz wszystkich książąt chrześcijańskich najżywszą radością przeniknąć, oraz pobudzić powinno, aby Stwórcę wszech rzeczy modlitwami, postami i ślubami nienastannie błagać i zaklinać o Waszę pomyślność, jako stojącego na czele chrześcijaństwa, jużto dla sławy przeszłych zwycięstw. jużto dla nieodzownego zamiaru wystąpienia przeciw zdradzieckim i niegodziwym Turkom, ku większej czci Boskiej, ku chwale i jedności świętej wiary naszój! Tego zamiaru słowa Nasze dosyć uwielbić nie zdołają, chociażby Nam Bóg sto brzmiących ust udzielił, nie potrafimy dostatecznie zalet Waszych wypowiedzieć; ale serce zdolne pojmować cnotę, wspaniałomyślnym przedsięwzięciom Waszym, życzeniami swojemi błogosławi. Wszakże, kiedy tam, gdzie działać należy, na słowach poprzestać nie można; skoro doszło do Naszój wiedzy, że Wasza Wysokość mieliście postanowienie, w ciągu tego lata wyruszyć przeciw Turkom, natychmiast umyśliłiśmy całą potęgę i usiłowania Nasze złączyć z Waszemi na Amurata okrutnego i zdradliwego wroga chrześcijan, pragnąc ze wszelkiem staraniem i pilnością Waszemu majestatowi okazać się wdzięcznym, w przeświadczeniu, iż to jest obowiązkiem całego świata chrześcijańskiego. Gdy atoli nad tém pracujemy, gdy przygotowania czynimy, oczekując na przybycie Waszego Majestatu w te kraje wschodnie, doszło do wiadomości Naszój, że despota Jerzy razem z Waszą Królewską Miłością, pewne układy o pokój z Amuratem rozpoczął i zawarł, oraz że sułtan mianował posłów do ich dokonania i stwierdzenia. Ten wypadek zdumiał Nas niewypowiedzianie, bo niepodobna nam zrozumić, zkądby wynikło, iż zwyciężywszy i upokorzywszy nieprzyjaciela, przeraziwszy go takim przestraczem, że na sam odgłos Waszego imienia, zdawało się że państwo jego runie; dziś wyzutemu ze wszelkich nadziei, sami podajecie czas potrzebny, aby zachwiane siły dźwignął, pokrzepił, aby z upadku powstał, z największém niebezpieczeństwem i zagładą tylu książąt i narodów chrześcijańskich, którzy ufni w Waszę potęgę i powagę, z rzeczonym Amuratem i jego krajem nieprzyjacielskie kroki rozpoczęli. W myśli Naszój pomieścić się to nie może, aby takim błędem zniweczone zostały tak świetne, tak znakomite początki, których odgłos całą kulę ziemską napełnił i Waszę Królewską Miłość z najsławniejszemi cesarzami, z Justynianem i Tytusem porównał. Wielkość, powaga i szczęście Waszego imienia podnieciły książąt i narody chrześcijańskie; poddani sułtana, sprzymierzeńcy, sąsiedzi i stronnicy, wielu nawet jego współwyznawców jako książę Karamanii, który wielką część Azji wschodniej dzielnością oręzą

z większym zapalem, podług przyrzeczenia wojnę odnowi, bo Turczyn jemu samemu myśl o pokoju nasuwał; ale on nietylko warunki odrzucił, ale mu nawet wojnę wypowiedział i stoi pod bronią gotowy, aby się z królem przy trackich górach połączyć, albo gdzie każe, oczekiwać, jeżeli tak z planów wypadnie. Najnatarczywiej działać teraz potrzeba, kiedy rozerwany w różne stro-

aż do brzegów morza zhołdował, z nim synowie Karaman Agłu, oraz wielu innych powstało przeciw sułtanowi; cieśnina też Hellespontska wkrótce zamkniętą zostanie przez pożądaną nadpływ okrętów. Trudno zatem wierzyć, aby wśród tak mnogich, tak niespodzianych nadziei zwycięstwa cisnących się do rąk Waszego majestatu, Wasza Królewska Miłość broń złożywszy, miał raczej skierować umysł do pełnego zdrad pokoju, niż przystąpić do pomnożenia potęgi i chwały wiernych, do zatarcia odwiecznej hańby chrześcijaństwa, do wytępienia bezecnych i okrutnych Turków, którzy sromotnie i najbezbożniej wiarę naszą i imię chrześcijańskie prześladują. Wszakże, aby po wszystkie wieki chwała Wasza nie zamilkła, aby potomność majestat Wasz błogosławieństwem otoczyła, chciej przewyższyć wielkością Tytusa, który po trzydziestu żydów za jeden pieniądz przedawał, mszcząc się za to, iż Chrystusa za trzydzieści srebrników sprzedali. Jeżeli zaszły jakie umowy słowne, rozkaż je cofnąć, powróć królu do pierwotnych wysokich zamiarów, nad które nic wspanialszego, nic świętszego wynaléć niepodobna. Wasza Królewska Miłość, rozumiem, iż nigdy nie zawierysz tym doradcom, których dzień i noc myśląc nie mogę pojąć, chyba że dlatego zdawałeś się dozwolić im ucha, aby Amurat opuściwszy Grecyą udał się na obronę Azji, co téż, jak nam doniesiono, na dniu 12 tego miesiąca uczynił, i abys tym fortem pokonawszy nieobecnego, całą stronę zachodnią podbił pod swoją władzę. Czytamy wyrok ogłoszony ustami Zbawiciela: *Wszelkie królestwo rozdzielone w sobie upadnie*; podobno i sułtan nie potrafi obronić dwóch różnych posiadłości, nie potrafi z wojskiem, zwłaszcza, że okręty drogę mu przetną do Grecyi wrócić, a nikt téż z jego wodzów nie będzie tak zuchwały, aby z małą garstką parażał się na jawne niebezpieczeństwo; nie mu więc nie pozostanie, jak naśladować owego myśliwego, który razem w różnych kierunkach goniąc dwa zające, obadwa stracił. Spuścić się téż na nikogo nie może: doradcy jego są sprzedajni, zwodzą go w najbłahszych nawet rzeczach; według przyjętego zaś w prawnictwie pewnika, kto się raz złym być pokazał, ma być zawsze miany za złego w podobnym rodzaju. Owoż jego poddani, stronnicy, sąsiedzi i my razem z nimi, wzięwszy od Waszego majestatu otuchę, pozostaliśmy przeciw niemu; wiemy, iż nie jest tajemem Waszój Królewskiej Miłości, że wnet po zaczęciu kroków nieprzyjacielskich, ubiegliśmy niektóre, dotąd uległe mu miejsca, że i obecnie ufając sławie Waszój, czynimy jawne, bez żadnej osłony, bez żadnych podstępów, przygotowania do wielkiej wojny; że nie szcędzimy ani starań, ani czuwania, ani troskliwości, ani trudów, ani pracy, ani nakładów w dokonaniu tak świetnego dzieła; że wszystkie potrzeby wojenne, z najbiegłyszemi wodzami opatrzywszy, postanowiliśmy najdzielniej na zamierzoną wyprawę wyru-

ny sultan, w różnych miejscach na lądzie i na morzu wojną zagrożony, nie będzie mógł skupić sił swoich, a niedawno jeszcze pobity, dotąd się jeszcze po klęsce nie opamiętał. Boi się on przyszłych klęsk, i nie tylko napadu, ale nawet samego imienia Władysława znieść nie może, jak się z tym posłowie tureccy, chytrze zagadnieni, wygadali. Nie trzeba dopuszczać, aby tak szczęśliwe

żyć; że najszlachetniejszych mężów naszego cesarstwa, naraziliśmy na widoczne niebezpieczeństwo; nakoniec zachęciliśmy sąsiednie ludy chrześcijańskie, przez Turków zhołdowane, aby jęły się swojego wyzwolenia i obrony wiary naszej. Wszyscy życie, oręż i dostatki mają w pogotowiu; wszyscy czekają przybycia Waszego majestatu z takim utęsknieniem, z jakim ojcowie święci czekali przybycia Chrystusa. Wielkość zaś Wasza taką grozą przeniknęła wrogów, że Amurat nie śmie nastawać i prześladować tych, co mu posłuszeństwo wypowiedzieli, nie śmie nawet słownie im tego wymówić, acz z poddanych i sprzymierzeńców, stali się najjawniejszymi jego nieprzyjaciołmi. Dziwimy się tedy wielkiem zadziwieniem, że Wasza Królewska Miłość po zwycięztwach i tryumfach nad temi, którzy od blasku Waszego imienia tają jak śnieg od słońca, jak mgła od wiatru, jak wosk od ognia, dozwoliłaś jednak ucha podszeptom, bez względu na to, że tyłu własnymi pismami przybycie swoje w te kraje zaręczyłaś. Z obawy więc na niesławę, z uwagi na niebezpieczeństwo i na zgubę tych, którzy za waszą namową uwikłali się w tę wojnę, nie godzi się Nam wierzyć, abyś nie tylko Wasza Królewska Miłość, ale nawet najnikczemniejszy człowiek, tak sławne przedsięwzięcie, na tak poniżające miał zamienić. Wszakże abyśmy wiedzieli, co mamy sądzić, wyprawiliśmy jednego z urzędników dworu Naszego, oddawcę tego listu, który już zapewne w drodze Majestat Wasz znajdzie; z otrzymanej odpowiedzi zrozumiemy, co nam czynić wypadnie, i o ile siły nasze starczą, wykonamy wszystko, czego zaszczyt i chwała Wysokości Waszej wymagają. Jeśliby jednak, na co się myśl wzдрыga, inaczej było, błagamy i zaklinamy Wasz Majestat, aby nas otwarcie bez żadnej wątpliwości o zamiarach i postanowieniach swoich uwiadomić raczył, iżbyśmy wcześniej niebezpieczeństwom naszym zaradzić mogli; zostając bowiem w błędzie, lękać się należy, abyśmy w zgubne i śmiertelne sidła, nad wolą i zamiar Waszej Królewskiej Miłości nie wpadli. Powtórnie tedy zaklinamy Wasz Majestat, o szczere, otwarte i wyraźne oświadczenie nam swoich myśli. Mamy w Bogu nadzieję, że wspaniałomyślne postanowienie Wasze, przychyli się na stronę świętej wiary i prawdziwej chwały Waszej Wysokości, której imię, zaszczyt i dostojeństwo u nas i potomków naszych pozostaną w największym uwielbieniu, już to przez pamięć dawniejszych sławnych przewag, już przez wdzięczność za oczekiwany list, w którym Wasza Królewska Miłość, nauczy nas, co czynić mamy. W gotowości spełnienia chętnym sercem wszystkich rozkazów Waszego Majestatu, błagamy Boga, aby Was w najdłuższe czasy szczęśliwie zachować raczył.

Dan w mieście naszym Mesestra (dawna Sparta), dnia 30 lipca, roku Pańskiego 1444. Imię Jana Paleologa rzymskiego cesarza”.

zaczątki, gnuśném niedbalstwem wniwecz się obróciły; owszem chwycić trzeba gorliwie sposobność do zmazania hańby ciężaczej nie na jedném albo kilku miastach, ale na całych chrześcijańskich ziemiach, jużto zrabowanych, już w poddaństwie u Turków jęczących. Sułtan tak pospiesznie przez Hellespont z wojskiem się przeprawiał, że się zdało, jakoby raczej uciekał od wojny, którą miał za sobą, niż szedł na odparcie tamtej, która mu w Azji zagrozała. Zresztą błagał, aby go, jakby pod nożem jakim, na pewny łup okrutnemu nieprzyjacielowi nie zostawiać, który niewątpliwie, skoro się dowiédł że Władysław nie przybędzie, całe wojsko z Azji na niego obróci; a przecież to całe nieszczęście dlatego tylko spadłoby na niego, że zaufał słowu i przyrzeczeniu króla.

Kiedy oba te listy w obecności króla i panów radnych odczytano, jakiś nagły smutek wszystkich umysły i serca opanował. Przypomnieli sobie wszyscy i nadzieje, jakie na nich chrześcijańscy monarchowie zakładali, nasuwały im się téż zaraz na myśl owe pozdrowienia, które im od tyle narodów, tyle poselstw, jako obrońcom imienia chrześcijańskiego przyniosło, wstyd im było samych siebie, że chwilowe korzyści nad wieczną chwałę przenieśli, i że u wszystkich na pogardę pójdą. Przypomnieli sobie, że wiarę Grekom i łacinnikom przyrzekli, i że tamci wymagane posiłki już przygotowali; że teraz opuścić ich w tak krytyczném położeniu, w które oni sami ich popchnęli, byłoby ohydną zbrodnią.

To wszystko tak ich myśli i uczucia w przeciwną pociągnęło stronę, że ci sami co niedawno pokój wybrali, teraz wojny się domagali. I nastęrczył się téż w samej rzeczy prawny niejako powód do zerwania umowy, bo sultan dotąd ani niewolników nie wydał, ani nawet prowincyj w oznaczonym dniu nie ustąpił.

Wtedyto Julian kardynał uznając za stosowną tę chwilę, kiedy się umysły między pragnieniem a wstydem z zawartego pokoju chwiała, i gdy z wielu poprzednich wypadków dowodnie był przekonany, że Grzegorz z Sanoka siłą swoich rozumowań i zdolnościami, wszystkiemi podług woli kieruje: chciał jego naprzód na swoje stronę przeciągnąć, aby razem i pokój zerwać, a wojnę rozpocząć mogli. Ale kiedy mąż ten przystać na to nie chciał, bo nietylko zgadzał się w zdaniu z despotą i Huniadem, ale jeszcze utrzymywał, że z całą rozważą zaprzysiężonej nieprzyjacielowi wiary na żaden sposób, bez świętokradztwa, łamać nie można: sam zwróciwszy się do obecnych, mówił:

„Wolałbym był, abyście się od przymierza z Turkami powstrzymali byli; nie dlatego, że gdybyśmy teraz wojnę rozpoczęli, jakieś pogwałcenie prawa i przysięgi mógłby nam kto zarzucić, ale dlatego, że przyjąwszy warunki, dużo najkorzystniejszego do wyprawy czasu napróżno straciliśmy. Od początku zaraz sprzeciwiałem się temu, ale widziałem, jak wszyscy pokoju pragnęliście; nie odzywałem się dlatego, bom wymowie mojej nie ufał tyle, że was do wojny nakłonić potrafi; wiedziałem oprócz tego o wszystkiém, co wam teraz doniesiono, wiedziałem, jak łatwo znieść można było Turków w Europie zajętych azyatyką wojną: ale wolałem czekać aż wam kto inny to rozpowie, niż nie w swoim czasie przepowiadać i dopuścić na siebie zarzutu, że wymyślam niebывale rzeczy, lub was ludzę próżną nadzieją. Teraz, kiedy domagania się o korzyści ze zwycięstwa waszego zkładają a nie odemnie do was przychodzą; kiedy jak sobie życzyłem, żal wasz z zawartego pokoju dowodnie przekonywa, że wierzycie temu co wam doniesiono: uważam sobie za powinność wytłumaczyć wam, że wojna którą wszyscy za konieczną, a jak teraz za niemożliwą uważacie, bo chcecie obok szczęścia i wolności, honor wasz nieskazitelnym utrzymać, bo jęj na nowo rozpocząć dla zawartego obustronnie przymierza nie możecie, jest i możliwą, i konieczną.“

„Widzę pomiędzy wami wielu, których urojone widziadło wiary i przymierza w zawieszeniu trzyma, którzy rozważają u siebie nie to, coby uczynić chcieli, ale to, co słuszném się im wydaje; jak gdyby nierozważne słowa, nadzieją i obawą wymuszone, mogły mieć znaczenie i świętość przymierza. Prawnie przymierze wtedy dopiero obowiązuje, kiedy ci co je zawierali, nie słownemi przyrzeczeniami, a prędkim wypełnieniem warunków umowy swoje stwierdzili. A w obecném położeniu, pokój zawarty ani powagi żadnej, ani spełnienia warunków dotąd nie wywołał; jest on najwyraźniej cczą formą i próżną ceremonią, która wtedy dopiero nabywa świętej nietykalności, kiedy obustronne przyrzeczenia wypełnione zostaną.“

„Zresztą zaczynając od tego, kto był głową owego pokoju, muszę powiedzieć, że król mógł sam dowolnie układać się z Turkami o pokój i przymierze, dotąd, dopóki samemi tylko prześwietnego swojego państwa siłami wojnę prowadził, dopóki przez nikogo obcego nie-wspomagany, bronił ogólnej sprawy całego chrześcijaństwa kosztem i niebezpieczeństwem własnego tylko królestwa. Teraz zaś, kiedy o zamiarach swoich prowadzenia dalej wojny, zawiadomił i innych chrześcijańskich monarchów i posilków od nich zażądał, nie mógł

jéj zawieszać bez zezwolenia tych, którzy mu pomagać mieli. Zresztą, chociażby cała ta sprawa zupełnie od króla zależała, na téj zasadzie że ani dawniej, ani teraz inni monarchowie nigdzie czynnie nie wystąpili: to ani zawierać z takimi ludźmi przymierza, ani w żadne układy wchodzić niewolno było bez pozwolenia papieża. Inaczej umowa nieważna. Dlatego jeszcze i to dodać trzeba, że nieprzyjaciel warunków pokoju dotąd nie spełnił, a zatem wszystko co umówiono i uczynione, unieważnił.”

„Owoż widoczném jest, że król od przyrzeczeń swoich, jeżeli jakie były, nietylko jest zupełnie wolnym, ale że i posłowie tureccy, którzy z prośbą o pokój do nas przyszli, zdradą i podejściem warunki podawali i układy poczynili. Bo gdyby był chciał nieprzyjaciel stałego i niewzruszonego pokoju, gdyby był chciał wszelkie podejrzenie z umowy téj usunąć, czyżby był nie miał przysłać do nas kogo innego, a nie człowieka mową, pochodzeniem, obyczajami, a wreszcie oprócz udawanéj wiary, całym sposobem życia od Turków różnego, który ani nie święcie i religijnie ze strony ich przyrzekać, ani przyrzeczeń zaprzysiądz nie był w stanie? Aby potém, jeżeli to będzie potrzebném, wszystkie jego przyrzeczenia, umowy, bez obawy cofnąć, i za niebywałe ogłosić można było. Wstyd go było na tak podle a pokorne udawanie wysłać własnego rodu posłańca; obawiał się téż, aby zanadto pokornie sobie nie poczynił, coby i z wielkością imienia swego, i z rozgłoszonemi siłami niezgodne było. Nie chciał dopuścić, aby się król mógł pochwalić kiedyś, że widział przed sobą blagającego Turka: to téż kiedy się puścił na chytre sztuki, mniemał, że nikt nas tak dobrze podejść nie potrafi, jak ten, co niedawno jeszcze jedną prawie z nami wyznawał religią; i że co samo przez się niepewnej będzie wiary, to pod osłoną religii łatwo do umysłów naszych przypadnie. Jeżeliby zaś to, o co prosił, otrzymał, miał tę myśl u siebie, że pokoju dotrzyma, a jeżeli nie, to udaną zgodą zyska tyle przynajmniej czasu, że się do przyszłej wojny przygotowuje. Że tak jest, przekonywa i to, że w naznaczonym czasie nie z tego, co przyrzekł, nie wykonał. Wiem, że despota a szczególnież Huniad, znają doskonale różne chytrości nieprzyjaciół, że mają tyle doświadczenia, że niegodziwością byłoby utrzymywać, że nie wszystko tak jest, jak im wzmówiono. Ale wierzę, że pierwszego żądza oswobodzenia synów swoich i odzyskania posiadłości i mienia, drugiego zaś nieufność w posilki sprzymierzeńców wojennych oślepiła, zwykłą ich baczność i rozwagę uspiła, tak, że pod szumnemi obietnicami zdrady nie dojrzeli.”

„Zresztą niczyja powaga i wzięcie nie może więcej u was znaczyć niż oczywista prawda, i powinniście przecie to pojąć, że nikt nie jest obowiązany żadną umową, jeżeli albo prawnie zawartą nie była, albo zdradliwie niedopełnieniem warunków przez nieprzyjaciół, zerwaną została. A chociażby też wszystko król prawnie, a nieprzyjaciół szczerze wykonał, powinniście jednak pamiętać na przyrzeczenia, jakieście chrześcianom zewsząd wezwanym na przyszłą wojnę wprzód jeszcze niż Turkom poczynili. Znajdujecie się tedy w ciasnym konieczności logicznej kółku, że zobowiązania wasze dwukrotne razem istnieć nie mogą, że od obu na raz uwolnić się nie możecie, że w końcu jedno z nich silniejsze, za obowiązujące nieodwołalnie uznać musicie. Cóż macie wspólnego z nieprzyjacielem takiego rodzaju? — że od niego wiarą, obyczajami, i sposobem życia najzupełniej się różnicie; kiedy z chrześcianami wszystko was najściślej jednoczy. Że pominię wspólne nieśmiertelności zaczątki, ofiary i pogrzeby, to same obrzędy święte i religijne daleko ściślej wiążą was między sobą, niżby to uczucia naturalne, jako dzieci jednych rodziców, uczynić potrafiły. Czyliżto ci, co flotę na Hellespont wyprawili, dla waszjej chwały i szczęścia siły swe z waszemi połączyli, wojnę z wami razem prowadzić zamierzali, nie są nierozzerwanymi waszemi sprzymierzeńcami? Nie można bez wiecznej hańby i podłego odstępstwa jako niewdzięcznicy opuścić ich, bo kiedy z tej strony stoją tacy, którzy wszystkie ludzkie i Boskie względy wspólne mają z wami, którzy wam nowe dobrodziejstwo wyświadczyli ofiarowaniem posiłków: nietylko nie mogliście inną zawierać umowy, ale też bez wielkiej zbrodni, tytu węzłami ludzkimi i Boskimi zjednoczonych z wami, odstępować nie powinniście.”

„Z drugiej strony stoi nieprzyjaciół groźny, wiarołomny, nietylko nieprzyjaznią od was odepchnięty, ale wyznaniem i wiarą w innego Boga wszystkie wasze świętości pomiatający, i gdyby tylko mógł, wszystkoby to w niwecz obrócił. Nie można mu tedy ani bez niegodziwej zbrodni, wiary dawać, ani bez ciężkiej winy, gdy się ją nieroztropnie dało, dotrzymać. Nie ma tu nad czém tak długo się zastanawiać, czy tym lub tamtym zobowiązań waszych dotrzymać macie. Jeżelibyście trwali w zawartém przymierzu, to nietylko, że oszukani jesteście kiedy przeciwna strona warunków nie dotrzymała, ale jeszcze ciężcy będzie na was nieopowiedziana zbrodnia: utracicie chwałę, którąście wojną zdobyli, i z przekleństwem na wszystkiém co posiadacie, bezstawnie życie pędzić będziecie. Ale kiedy oprócz innych waszych zasług, samo z siebie czcze i nieważne przymierze zerwiecie,

i pomożecie tym, którzy jak to dobrze wiecie, przez was w tak krytyczne wplątani zostali położenie; wtedy nie tylko bezpiecznie to co macie, w nieśmiertelnej sławie posiadać będziecie, ale jeszcze i to, co w umowie wymienione, i wszystkie przez owych barbarzyńców w Europie posiadane kraje, zdobędziecie.”

„Że to łatwem jest do uskutecznienia, to wam dowodnie listy cesarza greckiego i kardynała Franciszka wykazały, a powaga ich w tym względzie tém jest silniejsza, że są bliscy nieprzyjaciół i własnemi oczami wszystko to widzą.”

„Mniej daleko ufności i sam nieprzyjaciół ma w sobie samym, niż postowie jego utrzymywali; a to wszystko daleko więcej, niż jakie tam namawiania, nakłonić was powinny do chwytania takiej sposobności. Bo jeżeli ją przepuścicie, będziecie przymuszeni później we własnych granicach, wzgardzeni i opuszczeni od wszystkich, z większym niebezpieczeństwem i hańbą do walki stanąć, w której sami sobie poradzić nie potraficie, kiedyście już wprzód o posiłki dla siebie prosili“.

Mówił potem jeszcze wiele o prawach, sile i znaczeniu papieża, i zakończył uwiadomieniem, że papież na mocy najwyższej swój powagi, pokój ten, jakikolwiekby on był, rozwiązuje i unieważnia, a króla i tych wszystkich, którzy w tém udział mieli, od przysięgi i zobowiązań się uwalnia.

Tak mało było w zgromadzeniu sprzeciwiających się zerwaniu pokoju, że kiedy Julian skończył, ogólny prawie podniósł się głos, i wszyscy odnowienia wojny żądali, utrzymując, że trzeba pomódz tym, których do wojny wciągnęli, i na niebezpieczeństwo wystawili, boć oni uzbroili się jedynie na prośbę i domaganie się Węgrów i Polaków. Majątki raczej i życie nawet poświęcić trzeba, niż złamać wiarę wiernym przyrzeczoną. Należy się to od nas nie tylko przez ufność i nadzieję, jaką całe chrześcijaństwo w nas położyło, ale i przez wzgląd na bezpieczeństwo i zachowanie własnych naszych ziem i posiadłości; i jeżeliby już nic innego do walki i śmierci za religią nie zachęcało, to sam zarzut, żeśmy sprawę jej opuścili i zdradzili, a tym sposobem Bogu i ludziom obrzydliwymi się stali: sama żądza do zmazania takiego zarzutu jużby wystarczyła.

Postanowiono tedy pokój i umowę za nieważne uznać, i wojnę dalej z innymi chrześcianami przeciw Turkom prowadzić.

Nie sprzeciwiali się temu ani despota, ani Huniad: tamten szczęśliwego wypadku wojny prawie pewny, a ten za wolą królewską chę-

tnie idący (1), i przyrzeczeniami do tego nakłoniony. Przynależał mu bowiem Władysław Bułgarią po skończonej wojnie, i list mu na to królewski, potwierdzony przez wielu panów, wydał.

(1) Bardzo słusznie pan Malinowski w tłumaczeniu Wapowskiego broni Hunlada przeciw Długoszowi, który go, nie wiadomo z jakiej przyczyny, o zdradę jawną oskarża. Kallimach do samego końca, ze czcią i szacunkiem o nim mówi, i nigdzie cienia nawet podejrzenia na niego nie rzuca. W liście nawet greckiego cesarza, tylko despota jeden jest wymieniony, jako winowajca zawartego pokoju.

(Dokończenie nastąpi).



SPOMINKI HISTORYCZNE I ARTYSTYCZNE.

IV.

Medalierstwo za Zygmunta Augusta.—Znany jest okazały tego króla medal z r. 1548, z podpisem: *Dominicus Venetus fecit* (u E. Raczyńskiego nr. 16). Rysunek i wykonanie tego medalu objawiają artystę wybornego; idzie tylko o wykrycie, kto był ten z imienia jedynie oznaczony *Dominik Wenecyanin?* Hen. Bolzental: „*Skizzen zur Kunstgeschichte der modernen Medaillen-Arbeit*“ Berlin, 1840, str. 113—114, domyśla się, że to jest malarz *Dominik Campagnola*, niekiedy zwany *Wenecyaninem*. Za Bolzenthalem poszedł F. M. Sobieszczański: *Wiadomości hist. o sztukach pięknych II*, 356, a już mówi nie o jednym, ale o jakoby wielu medalach *Dominika Campagnoli*, „zarówno sławnego malarza, który trudniąc się rzeźbą medali, pracował dla królów polskich.“ Orzeczenie to zbyt jest śmiałe, a na żadnym pewniku nie oparte. Naprzód *Dominika Wenecyanina* jeden tylko znany jest przytoczony medal, przeto o jego medalach w liczbie mnogićj mówić nam niewolno, bo wcale nie wiemy, czyli ich wykonał więcej; równie na niczém nie jest uzasadnione twierdzenie, jakoby ten artysta pracować miał dla królów polskich, a zdawałoby się dla Zygmunta I i Zygmunta Augusta: bo z medalu przywiedzonego, a na pamięć wstąpienia na tron po ojcu Zygmunta Augusta odbitego, wnosić to tylko można, że pracował dla Zygmunta Augusta. Co zaś do tożsamości medaliera *Dominika Wenecyanina* z malarzem *Dominikiem Campagnola*, nie podzielam bynajmniej zdania przerzeczonych pisarzy, wielką przynajmniej mam w tym względzie wątpliwość, i powody do tego wyłożyć tu pokrótce zamierzyłem.

Z rodziny i nazwiska *Campagnola* było trzech celniejszych malarzy, a wszyscy rodem z miasta Padwy: Hieronim, Juliusz i *Dominik*. Ten ostatni przyszedł na świat może roku 1482, umarł r. 1550, jeżeli nie wcześniej. Że Padwa bardzo jest bliską

Wenecyi, łatwo się tamże w młodości dostał i wstąpił do szkoły Titiana. Wyszedł za czasem na wybornego malarza, tak dalece, że w słynnym swym mistrzu nawet zazdrość niekiedy wzbudzał; przytém był sztycharzem i drzeworytnikiem. Już r. 1512 czynny, największą siłę sztuki objawiał w latach 1517 i 1518; dzieł zaś najwięcej i najznakomitszych wykonał i pozostawił w rodzinném mieście Padwie. Że uczył się, długo bawił i pracował w Wenecyi, ztąd niektórzy piszą go jakoby z tego miasta pochodzącego, lubo mylnie. Na mnogich rycinach przez niego czy z jego rysunków wykonanych, podpisany jest z imienia i nazwiska, czasem w skrótce, nigdy z dodatkiem miasta Padwy lub Wenecyi. Żeby był medalierem, o tém wiadomości nie ma żadnej; dlatego téż wnoszę, iż gdyby mu nawet przypisać można ów medal polski z r. 1548, sądzićby trzeba raczej, że do niego we Włoszech rysunek tylko zrobił i do Polski przesłał, z którego medal w Polsce odbito. O domniemanym jego pobycie w Polsce nigdzie wspomnienia nie ma, sam Bolzental tego nie mówi; gdyby zaś artysta téj znakomitości miał być wynieść się do Polski, przyjął służbę na dworze króla Zygmunta Augusta, byłoby to niewątpliwie Włochom wiadome i w dziejach sztuki zaciągnięte; w czasach nowszych, ks. Seb. Ciampi tak gorliwy i często szczęśliwy badacz sztuki włoskiej w Polsce, byłby także zapewne co o tém wyszukał i powiedział. Wreszcie w Polsce samój pobyt wybornego malarza oznaczyć się mógł prędzej dziełmi malarstwa, aniżeli pojedynczym medalem. Wszakże roku 1550, czy podobno nawet o kilka lat prędzej już nie żył, a daleko wcześniej we Włoszech pracował i sławę swą ustalił; umarł zaś we Włoszech, i w Padwie, mieście rodowém, w kościele św. Antoniego jest pochowany. Mniemam przeto, że do oznaczenia owego *Dominika Wenecyanina*, szukać wypada artysty wcale innego, i co do czasu nieco późniejszego. Dodam w końcu, że Bolzental może być powagą co do medaliki, bo dzieje téj sztuki zgłębiał, ale nie jest nią wcale co do historii malarstwa; tutaj zasadniejsze są podania Fuessliego na przykład z dawnych, a z pisarzy nowszych Naglera, Romberga i Fabra, Sirego, że pomim wielu innych; u nich przeto i o *Dominiku Campagnola* szukać trzeba pewniejszej wiadomości.

W wieku XVI w Polsce sztuki piękne były w wysokim stopniu cenione i upowszechnione; był tu napływ artystów cudzoziemskich w każdym rodzaju biegłych, było już wielu także usposobionych rodaków. Czas, nieprzyjazne okoliczności wyniszczyły

największą część owoczesnych sztuki świetnych pamiątek; z drugiej strony szczególniejsza jakaś niedbałość pisarzy krajowych, zamilczeniem pokryła tę zaletną stronę owój epoki, tak, że zaledwie urywkowe napomknienia gdzieniegdzie natrafić można. Ztądto poszło, że przy niezycżliwości zwłaszcza dla nas cudzoziemców, bardzo fałszywe a ubliżające przeszłości wyobrażenia wzrosły i dotąd po Bożym świecie rozchodzą się. Słuszność i dziejowa sprawiedliwość wołają, aby te błędne mniemania ustały, a szczytném jest to zadaniem dzisiejszych krajowych badaczy, żeby owe cienie blaskiem światła rozproszyć, uwłaczające uprzedzenia dowodną prawdą zniweczyć. Atoli kiedy przeszłości tamtęj pragniemy wnieść pomnik okazały, usiłujmy go stawiać z materiałów trwałych, odszukujmy je pracowicie i gorliwie, a znajdzie ich się dosyć do gruntownej budowy, nie potrzebując do niej dokładać co jest niepewne czy błędne i nieprawnie przywłaszczone; strzeżmy się nawet tego starannie, bo to budowę naszą więcej słabi, nizeli zasila. Wié to wszystko równie dobrze, pewnie daleko odemnie lepiej uczony Sobieszczański; wyrozumie przeto i uwzględni tę moję z powodu *Dominika Campagnoli* małą naukową zaczepkę. Może o tym niepospolitym artyście wykryć się da jeszcze coś dla nas dowodniejszego; tymczasem nie należało umieszczać go w Słowniku malarzy naszych, co tu nawiasowo zastrzegam.

Kielisiński Kajetan Wincenty. — Wiadomość o życiu i pracach tego przed parą laty zgasłego wybornego artysty naszego, szkoły warszawskiej ucznia, przez nikogo dotąd zebraną i napisaną nie była. Skreślona do ogólnego zbioru życiorysów malarzy polskich, ogłasza się obecnie, w nadziei uzyskania dalszych o nim nieznanych może szczegółów,

Malarz, a zwłaszcza rysownik i rytownik bardzo znamienity, przyszedł na świat po r. 1810 w Mieronicach w woje. krakowskiém, gdzie w dobrach hr. Lanckorońskiego ojciec jego był oficyalistą. Początkowe nauki pobierał w szkole pińczowskiej, poczem w Warszawie w latach 1829 i 1830 był uczniem uniwersytetu na wydziale sztuk pięknych, ucząc się budownictwa. Oddziału tego uczniowie obowiązani byli uczęszczać do szkoły politechnicznej na godziny rysunku, które podówczas wykładał professor Jan Piwarski; pod nim przeto kształcił się w téj nauce młody *Kielisiński*. Poznany bliżej przez tego biegłego mistrza, stał się wkrótce ulubionym jego uczniem: „Polubiłem go, słowa są własne professora Piwarskiego, z pracowitości i chęci do ry-

sunku; bywał u mnie w gabinecie rycin, bywał i w domu moim; chętnie mu udzielałem rad i wzorów w różnych rodzajach sztuki, a widząc jego cierpliwość w wykonywaniu rysunków piórem, zachęcałem i do rytownictwa". Z takowój nauczyciela życzliwości umiał korzystać pilny uczeń, a stawszy się niemal jego domownikiem, patrząc zblizka na jego prace, słuchając rad i nauk, nabywał gruntowniejszój znajomości sztuki i w technice onój wprawy. Odtąd téż zawiązał się ów trwały nadal między dwoma artystami stosunek, ojcowskiego sprzyjania, z jednéj strony, poważania i wdzięczności z drugiej. Uczucia te dla swojego mistrza niósł *Kielisiński* aż do zgonu; a kiedy opuściwszy bezpowrotnie Warszawę, znalazł się późniéj rozdzielonym od niego na zawsze, nie przestawał listownie zdawać mu sprawę i z wszelkich życia kolei, i z postępów w sztuce, i z prac wykonywanych. Listy te przechowane troskliwie, stają się nateraz cenném źródłem do bliższój znajomości życia artysty, zaletnych usposobień jego umysłu i serca.—W r. 1831 służył wojskowo; wróciwszy do Warszawy, dostał się do domu generała Kosseckiego, podówczas dyrektora głównego Kom. Rząd. Sprawiedliwości. Tu zostawał rok blisko, a jako pamiątkę dla generała, wykonał szczególnéj piękności album numizmatyczne. Jestto książka w 4ce podłużnéj, nosząca tytuł: „Monety i medale polskie." Na 28 stronicach wyobrażone są sztuki złote, rysunek wykonany piórem i tuszem; numizmata zrysowane są tu z dziwną dokładnością, podobieństwa twarzy uderzające, wszystko zaś ułożone z osobliwym smakiem i przyozdobione godłami i przyborem do dziejów każdego panowania zastosowanemi. Daléj na 26 stronicach są numizmata srebne, z podobnąż ścisłością zrysowane, a otoczone kolorowanemi niby ramkami niewypowiedzianego smaku i ozdobności. Zgoła, album rzeczony jest tak pod względem sztuki, jak i krajowój numizmatyki prawdziwą ciekawością, zasługujące ze wszech miar na rozpowszechnienie sztychem.—R. 1832 wyjechał *Kielisiński* do Krakowa, gdzie lat parę bawił, pracując wiele, między innemi zdejmując widoki okolic, tudzież rysunki z starożytnych pieczęci woskowych przy dyplomatach domieszczanych, które wybornie i z nadzwyczajną wiernością zrysowywał. Był on téż tutaj czynnie pomocnym panom Macewiczowi i Pawlikowskiemu, w kształceniu zamożnych zbiorów ich rycin polskich.—Wezwany przez słynnego sztuki krajowój miłośnika Gwalberta Pawlikowskiego, udał się następnie do niego do Medyki, i w koń-

cu roku 1834 już się tu znajdował. W ciągu kilkoletniego w Medyce pobytu, wielce stał się pomocnym do układu, utrzymywania, a zwłaszcza ciągłego i umiejętnego zwiększania znamienitych tamecznych naukowych zbiorów. Obok tego pracował nad sobą bezprzestannie, czyto nabywając czytaniem głębszych wiadomości historycznych, czy kształcąc się w sztuce samój, wpatrywaniem się w rozliczne jej wzory zamożnego zbioru. „W początkach, opowiada p. Pawlikowski, oddawał się najwięcej rysowaniu piórem monet i pieczęci, i taką w tym rodzaju osiągnął doskonałość, iż bez wątpienia nieprędko kto mu wyrówna. W pracach tych jego rysunek najdoskonalszy, do mikroskopicznych nawet szczegółów zupełnie zachowany; charakter rzeźby całkiem pojęty: znajdziesz w rysunku ducha i sposób ręki mincarza, odgadniesz kruszec z którego medal był bity czy lany; w pieczęciach dostrzeżesz i miękkość wosku, i przez czas nadaną krągłość wystającej rzeźbie, i tę nawet pleśń starości a ponieważ podziwiać będziesz”. Widząc tę jego nadzwyczajną do robienia piórem zdatność, namówił go Pawlikowski, aby chciał spróbować rytowania na blasze za pomocą kwasu saletrzanego, do czego mu téż oddał zaniechane własne narzędzia. Dał się do téj nowój roboty nakłonić, tém bardziej, że do niój otrzymał już był poprzednio niejaki od Piwarskiego skazówki, a wkrótce tak ją zamilował i tyle sam się w niój uzdolnił, iż w parę lat kilkaset blach większych i mniejszych wyszło spod jego igielki: wszystkie bez poprzedniczego rysunku odrazu na blasze robione. „Rytował na nich, mówi Pawlikowski, medale, pieczęcie, stroje, widoki z natury, sceny rodzajowe własnego utworu, kopie z rysunków Plerscha, Chodowieckiego, Norblina, Płońskiego i innych. Szybkość roboty jego była nie do porównania; stąd téż i owe czasem uchybienia, zwłaszcza w rysunkach pomysłu własnego. Nie chciał on blach swoich powtórnie werniksem pokrywać, by je poprawić, a rzadko dał się namówić do użycia suchej igły, twierdząc, iż robi tylko próby dla zabawy. Często téż gdy mieszkając na wsi, nie mógł na zawołanie dostać blach nowych, zcierał najpiękniejsze swe ryciny, nieodciśnięte nawet jeszcze, a na ich miejscu robił nowe, które znowu podobny los spotykał. Oprócz tego rysował mnóstwo strojów współczesnych z natury, po różnych wędrując okolicach, niemniej dawnych z obrazów, portretów i pomników; wykonywał znaczną ilość widoków, osobliwie starych budowli i rozwalin, a jako wykształcony w wielu naukach i wczytany w dzieje, wyszukiwał przedmioty archeolo-

giczne i z całą je znajomością starożytności odrabiał". Na takie cele puszczał się nieraz na wędrowki po różnych okolicach Galicyi, w góry, do Lwowa i Krakowa, o czém téż i w listach Piwarskiemu donosi. Tak w jednym z nich powiada: „W podróży méj terazniejszej (r. 1835) uzbierałem kilka widoków zamków starych, jakoto: Dobromila, Leska, Monasterca, Sanoka, Odrzykonnia, Wiśnicza, Ogródzieńca; niektóre z tych zamków są bardzo piękne. Jeżeli W Pan zechce, posłę ich rysunki, a w zamian będę prosił o Czernsk i co tam łaska z mazowieckich i lubelskich“. Probował się téż *Kielisiński* i w portretach czy z żywych osób, czy w kopiach z obrazów; atoli, zdaniem Pawlikowskiego, mniej był w nich szczęśliwy. Za to wielką okazał zdolność do satyrycznych przedstawień i karykatur. „Są one zgrabne, nierażące, a myśl nie potrzebuje komentarzy do odgadnienia; umiał on w nich rozwijać wiele dowcipu, nie przechodząc w poziomość.“ Taki sąd o nich podaje Pawlikowski. Że je robił tylko dla przyjaciół, poszły w rozsypkę, jeżeli po większej części nie zagięły. — W roku 1839 zmieniło się położenie *Kielisińskiego*: opuścił Medykę, a wezwany na bibliotekarza przez hr. Tytusa Działyńskiego, wyjechał do niego naprzód do Oleczyc w Galicyi, ztąd do Kórnika w Poznańskie, i tu już do końca żywota pozostał. Poświęcał się on i tutaj gorliwie przyjętem obowiązkom, pracował wiele, oddając się z całym zapalem układowi zamożnego miejscowego księgozbioru, a przytém trudniąc się budownictwem. Nie ustawał téż w rysowaniu i rytownictwie, każdą chwilę wolną z zamiłowaniem im niosąc. W r. 1848 tamże zawarł śluby małżeńskie, a pod dniem 8 grudnia tego roku, tak to donosi swemu dawnemu mistrzowi a stałemu przyjacielowi Piwarskiemu: „Od dwóch tygodni jestem żonatym człowiekiem, proszę bardzo o krzyż: należy mi się błogosławieństwo od tak dawnego przyjaciela, a ja dbam o nie bardzo“. Wkrótce potém nie żył już *Kielisiński*, sprzątnięty ze świata po dwudniowej zaledwie chorobie, rozwiniętej nagle z długoletniego cierpienia, na które mniej uważał, i z owych zawichrzeń i niedoli ówczesnych, najgłębiej go wzruszających. Zstąpił do grobu w początku r. 1849 w kwiecie wieku, bo 40 roku życia nie domierzywszy.

Z prac po nim pozostałych znaczna ilość rysunków piórem i ołówkiem, tudzież akwarelli, znajduje się w zbiorach pp. Gw. Pawlikowskiego w Medyce, Alexandra Batowskiego w Odnowie, Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego w Poturzyny, niemniej Tytusa

hr. Działyńskiego w Kórniku; ten ostatni nabył onych od artysty samego na raz jeden za złotych 4,000. Liczne dzieła jego sztycharskie zdobią już dziś wszystkie niemal krajowe téj sztuki zbiory, a litografował także bardzo dobrze z rysunków własnych. Na robotach swych zwykł był podpisywać się lub oznaczać je cyfrą K. W. K., albo téż monogramem *HK*.

Najsławniejsi tegocześni numizmatycy, Vossberg i Köhne, uznawszy jego niezrównaną doskonałość w rysunku i rycinach monet i pieczęci, starali się za pośrednictwem p. Gw. Pawlikowskiego nakłonić go do robienia do dzieł ich numizmatycznych rycin; lecz że już wtedy odjechał był z Medyki do Kórnika, zamiar ten do skutku nie doszedł. Sam *Kielisiński* zamyślał ku końcowi życia o ważnych kilku pracach dla literatury i sztuki krajowej. R. 1842 tak o tém pisze do Piwarskiego: „Chciałbym tu wydać wiadomość o naszych dawnych i nowszych artystach, tudzież spis rycin stanowiących ilustracją dziejów naszych; myślę do tego dodać i oryginalne sztychy, jakiebym mógł zebrać naszych ziomków.” Podobnie r. 1843 donosi mu: „Chciałbym pod tytułem Starożytności polskich, wydać zbiór różnych dawnych rzeźb, nagrobków i t. p.” Mówi jeszcze r. 1848 o zamiarze wydania dawnych krajowych strojów, z rysunków i starych obrazów zebranych, do których znaczny materiał już posiada. Szkoda, iż tych wszystkich przedsięwzięć do skutku doprowadzić nie zdołał. Wyszły z druku: „Spis miedziorytów, litografij, rysunków, płyt miedzianych, przysobów potrzebnych dla malarzy i miedziorytników, z wolnej ręki do sprzedania, z polecenia L. Königha, w księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu, Poznań, czcionkami W. Deckiera i Spółki, 1849”, 8ka, str. 23, po polsku i po niemiecku, obejmuje całą pozostałość artystyczną zmarłego.

Sława *Kielisińskiego* za życia jeszcze jego przeszła téż i do wiadomości cudzoziemców, tak mało co zwykle o sztuce polskiej wiedzących i wiedzieć chcących. W słowniku J. A. Romberga i Fryd. Fabra: *Conversations-Lexicon für bildende Kunst, Leipzig, 1848*. IV, 400, tak jest o nim wyrażono: „*K. W. Kielisiński* zaletnie znany z pełnych ducha rycin, sceny z życia ludu polskiego, krajobrazy rodzajowe i charakterystyczne postacie mieszkańca przedstawiających.” Blizsze badanie biegu życia tego artysty, wykrywa i ów w młodzińcu zapał, w pomyślną przyszłość otuchę, różane marzenia; i dalszego żywota zbyt częste zawody, odczarowanie, tęsknoty: zwykła to kolej życia ludzkiego. Na szczęście jego

był on wielce skromny, prostoduszny, prawy. nad wyraz pracowity; umiał też w pokorze znosić nieominione tego świata niedole i gorycze: dostąpił szacunku u współczesnych, sławy co go przeżyje. Niepoślednią jest to dla niego chlubą, że długo-letnio bawiąc przy boku dwóch z światła znakomitych mężów, pp. Gwalberta Pawlikowskiego i Tytusa hr. Działyńskiego, zaskarbić sobie potrafił wysoki ich szacunek i przyjaźń, a żalść głęboką po zgonie.

(Życiorys powyższy skreślony jest głównie z notat uprzejmie udzielonych przez pp. Gwalberta Pawlikowskiego i prof. Jana Piwarskiego, niemniej z listów do tego ostatniego przez artystę samego pisywanych).

E. Rastawiecki.

KRONIKA LITERACKA.

Pismienictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do roku 1830, z rękopismów i druków zebrawszy, w obrazie literatury polskiej historycznie skreślonym, przedstawił Wacław Alexander Maciejowski. *Tom Iszy.*

Dzieje piśmiennictwa polskiego, które teraz drukuje pan Maciejowski, stanowią piątą, ale już i ostatni ustęp, zrobiony do *Dziejów Prawodawstwa Słowian*, które wyjść mają w drugim i na większą skalę zamierzonym wydaniu (1). Mieliliśmy jeszcze zapowiedziane dwa ustępy; w jednym chciał nam autor opowiedzieć dzieje wyznań religijnych i kościoła chrześcijańskiego w Rplitej, w drugim historią miast, handlu i przemysłu w Polsce, w Litwie i na Rusi. Rzeczyto wszystko nie tknięte prawie dotąd badaniem i pracą uczonych; ledwieśmy małe do tego przygotowania porobili, ledwieśmy cokolwiek materyałów zebrali, a jednak przedmioty to pierwszej dla dziejów polskich ważności. Jużcie nikt dzisiaj seryo Ostrowskiego nie weźmie za historyka kościoła, a Surowieckiego za historyka przemysłu w Polsce. Praca dopięro się naprawdę zaczyna, ale owoce jój zbierać będziemy już po przejrzeniu źródeł i dostatecznym przygotowaniu się.

Pod względem obrobienia dziejów literatury, jużesmy nierównie bogatsi i więcj posiadamy faktów, jak do dziejów np. kościoła. Społeczeństwo nasze ma już widać wewnętrzne poczucie tej potrzeby, kiedy się wiele literaturą zajmuje. Od czasu Bentkowskiego ileżto poszukiwań bibliograficznych, od lat kilkunastu ileżto już wyszło i wychodzi dziejów literatury! Systematyczną i elementarną książkę, chociaż ściśle bibliograficzną, wydał Łęsław Łukaszewicz. Pisali i zbierali te roz-

(1) Poprzednie ustępy, w miarę tego jak na świat wychodziły, są następujące: 1) *Pamiętniki o dziejach i piśmiennictwie Słowian*. Petersburg i Warszawa, 1839, 2 tomy. 2) *Polska aż do pierwszej połowy XVII w. pod względem obyczajów i zwyczajów*, w IV częściach opisana. Petersburg i Warszawa, 1842. 3) *Pierwotne dzieje Polski i Litwy*. Warszawa, 1845. 4) *Roczniki i kroniki polskie najdawniejsze*. Warszawa, 1850.

pierzchnięte dzieje: Wójcicki i Dembowski. Obraz bogactw naszych literackich, przedstawił w spisach dzieł Jocher. Wniknął głębiej duchem w cały ten ogrom, zgasty zawczasie dla nauki, człowiek bardzo zdolny, Majorkiewicz. Wiszniewski zdobył się także na kolosalne i piękne dzieło, które pomimo wszelkich jakie mu czynią zarzutów, pozostanie na zawsze jako pomnik usiłowań epoki. Zabierali się do pracy Szulc i Michalewicz. Teraz świeżo Lucyan Siemieński pomyślał o dziełku podręcznym, które ma wszelkie wymagania zaspokoić i zastąpić Łukaszewicza, więcej od niego obfitując w sąd i treść; na Litwie Kondratowicz rozpoczął już publikacyą swoich dziejów. Mówimy tu o całości, o ogromie, bo w monografii służące jako materiały do historii literatury, pojawiające się teraz, coraz jesteśmy bogatsi. Wreszcie i Maciejowski wychodzi ze swoim piątym ustępem.

Rzekliśmy, że jakaś wewnętrzna potrzeba, że jakaś myśl, pomimo-wolnie popycha nas, często bez wiedzy do prac dziejowo-literackich; fakta, któreśmy przytoczyli lepiej to mówią, jak najwymowniejsze rozumowania.

Ale wracając do pana Maciejowskiego, musimy mu to przyznać, że całkiem z nowego stanowiska jak wszyscy jego poprzednicy, zapatruje się na dzieje naszej literatury. Wszyscy od Bentkowskiego aż do Kondratowicza, dzielili tę historią na epoki, a rokiem jednym lub drugim, trafnie albo mniej trafnie obranym, znaczyli, otwierali i zamykali rozmaite przedziały swojej historii. Pan Maciejowski zwrócił na to uwagę, że żadna epoka nie zaczyna i nie kończy się jakimbądź danym wypadkiem. Na świecie nic nagle nie robi się: po nocy nie nagle nastaje dzień, ale jest jakaś chwila półcieniów, gdzie połowa już dnia, a połowa nocy jeszcze. Podziały takie na epoki dobre są dla nauki, dobre dla konwencyonalnego świata, ale nie ma ich w naturze. Pan Maciejowski sprawiedliwie zatem woli zwroty, jak epoki. Te zwroty w literaturze oczywiście nie mają i nie mogą mieć oznaczonych ram czasu i zachodzą za siebie, spływając jak barwy światła, jak bałwany wód, albo fale obłoków; powtarzamy tutaj poetyczne wyrażenie się Majorkiewicza, który rozwinął myśl Maciejowskiego w swoich dziejach literatury. Majorkiewicz zmienił tylko barwę trzech zwrotów, na które mu wskazał Maciejowski. Majorkiewicz wziął za podstawę wiarę i rozum, Maciejowski ludowość i narodowość (1).

Żeby usprawiedliwić ten swój podział, pan Maciejowski skreśla w przedmowie w rysach ogólnych dzieje cywilizacji polskiej, od jej pierwszych zarodków i zetknięcia się z Niemcami, którzy swój wpływ aż w grunt ziem słowiańskich zapuszczali. Powtórzymy ten wywód cały w skróceniu. To albowiem objaśnia stanowisko naukowe autora.

Przeciw miastom zniemczalym, księża polscy utrzymywali narodowość, za przewodem zacnych biskupów i pierwszych pomiędzy nimi ar-

(1) Pan Szulc w rozprawie: Rozwój zasad umysłu polskiego w piśmiennictwie (Przegląd Nauk. z r. 1845) przyjął także podział na zwroty, ale dwa tylko przyjął dla excentryczności. Połowę literatury odrzucił jako niepotrzebną, a w drugiej połowie szukał myśli XIXgo wieku, i oczywiście nie znalazł ich.

cy-pasterzów w Gnieźnie. Oświata, która do nas przyleciała z Rzymu, stopić się musiała w Słowiańszczyźnie i przerabiać na coś narodowego. Nareszcie akademią założono w Krakowie, także za sprawą duchowieństwa, którego posłuchał Kazimierz Wielki, a któremu pomagała Jadwiga. Byłoto w czasach, kiedy Czechy wrzały walką husytyzmu, a reformy tameczne przedzierały się do nas. Akademia krakowska więc także zhussyciała; odstąpiło jej wtedy duchowieństwo i rzuciło się do łaciny. Kwiatek literatury polskiej, który miał wzrastać za sprawą akademii, sechl teraz, kiedy przestały go podsycać życiodawcze soki. Cały wiek XV literatura czysto polska spi, i zbudza się dopiero z czasami wstąpienia na tron ostatnich Jagiellonów.

Jednakże pierwszy z dynastji litewskiej, król Władysław, mimowolnie ratował polskość przed napływem łaciny. Jagiełło nie umiał języka uczonych, i z konieczności do Polaków przemawiał po rusku: panowie odpowiadali mu po polsku, i język takim sposobem łamać się musiał do wyrażen prawnych i politycznych, zwłaszcza kiedy królowi na sejmach musiano wykładać sprawy dostępną dla niego mową. Do tego nowe stosunki jakie Polska zawarła z Rusią i Litwą, wiele wpływały na wyrobienie się języka i literatury. Nowe te ziemie przez związek z Polską, przeszły do systematu państw zachodnich, a więc miały z czasem przejąć i całą cywilizacyą Zachodu; nie umiały po łacinie, zatem język polski był dla nich jakby elektrycznym przewodnikiem oświaty. Polacy tłumaczyli więc statuta swoje dla Litwy i Rusi na język polski, a Ruś przekładała na swoję mowę te statuta i stare księgi lekarskie.

Ale duchowieństwo polskie przeczuło, że jeżeli Ruś i Litwa zapoznają się z duchem ustaw Korony, i zechcą je sobie przyswoić, a potem rozwijać zasady w nich wyłożone: koalicya ta przeistoczy polityczny stan kraju, z uszczerbkiem władzy duchowieństwa. Szlachta i tak nie dała się kierować biskupom i lgnęła serdecznie do husytyzmu; a nie znaczyło to wcale, żeby miała zrywać z kościołem rzymskim, bo i samego Hussa potem uniewinnił sobor, kiedy dowiedziono mu, że nowator czeski starał się tylko o reformę hierarchii, ale nie wiary. Szlachta chciała wszelkiego rodzaju wolności, a więc i wolności religijnej: tego właśnie zlekło się duchowieństwo i wyrabiało u Jagiełły przywileje przeciw husytom. Duchowieństwo źle się zasłużyło ojczyźnie, mówi p. M., bo sprawiło oporem swoim, że monarchia nasza zmieniła się w Rplitą i miała na czele swoim króla z zawiązanymi rękami. Kardynał Zbigniew, ów dzielny mąż XV wieku, nie sprzyjał wcale rozwojowi literatury ojczystej, jak i wszyscy inni biskupi. Uczuł to, że wolność wyznania zrodzi wolność myśli politycznej, i stworzy *liberum veto* i nierząd.

Z husytyzmem spadł protestantyzm na ziemię polską, a zrobił wiele dobrego i złego dla literatury i Rplitej. A naprzód rozwinął się w takiej pełni, w tak przestraszającej potędze, że duchowieństwo naprawdę się przelekło, i jako przeciwnikarstwo sprowadziło do Polski nowy zakon Jezuitów, ślepo oddany Rzymowi. Pod postrachem Jezuitów, już dysydenci polscy zbierali się na synody swoje i łączyli się w jedną sektę, jeszcze za Zygmunta Augusta (r. 1570). Aryanie wyłączeni byli jedynie od tego sojuszu. Na pierwszym sejmie konwokacyjnym zawarowali so-

bie dyssydenci swoje swobody. W tym stanie była kwestya życia i śmierci, aż Jezuici zerwali się do czynu.

Ale nim uległ przed ich siłą protestantyzm w Polsce, co zrobił dobrego? Naprzód zmusił księży katolickich, że wzięli się do nauki i pilnie zaczęli chodzić około swoich powinności. Sam Skarga tutaj świadkiem, „bo przed Lutrem, powiada on, bardzo byli w nauce i powinności swęj stępieli naszy kapłani; zbroje ich, księgi, biblie i szkoły zardzewiały leżały.” Potém protestantyzm sprawił, że literatura nie stała się powszednim dla ludu chlebem, na co ją starano się od czasu Lutra wykierować, lecz zamieniona w pokarm duszy, dążyła do wyższych celów. Protestanci mieli na widoku cele materyalne: chcieli zwiększyć swoją koteryą, więc *chłopską* mową zaczęli pisać. Naprózno wyzywali ich Jezuici, żeby z nimi staczali walkę po łacinie, nie chcąc się niby popisywać przed cennym motłochem. Mówili inni, że dyssydenci pisząc po polsku, zrywają bratni związek ludów europejskich, które się rozumieją po łacinie: nie to nie pomogło. Szermierka zatém dyssydentów stworzyła literaturę polską, a ta się daléj rozwinęła niż tylko do teologicznych sporów. Rozwinałby ją i hussytyzm, gdyby go nie przyduszono w źródle. Ale i pierwszy i drugi miał zawsze na celu, powiada pan Maciejowski, spory scholastyczne. Potém już rozbijało się morze, kiedy Jezuici chcąc literaturę Polaków w łacinie uwięzić, wzięli i samą myśl narodową. I cóż zrobili? Nasi autorowie łacińscy zajmują drugie miejsce po autorach rzymskich, a żaden z nich w pierwszym szeregu nie stanął, bo myśl narodowa rozwijać się tylko może w narodowej szacie. Pisarzoim naszym łacińskim to się przytrafiło co malarzom, którzy położywszy kopię obok oryginału, myślą, że kopia obudzi podziw. Naśladownictwo to sztuka zawsze, ale nie twórczość. Naśladownictwo zabija. Pan Maciejowski kończy swoje uwagi nad zasługą protestantyzmu u nas tą trafną uwagą, że bez niego możeby oświata polska wykierowała się na węgierską; byłaby utkwiała w łacinie, a nie posiadała ojczystego piśmiennictwa. Wiadomo, że Węgrzy dzisiaj nie mają żadnej literatury, że ich język jeszcze w kolebce, i że pierwszych potrzeb umysłowych wyrazić nie są w stanie.

Rzecz dziwna, że przez protestantyzm Niemcy nawet rozszerzali narodowość polską w ziemczonych już ziemiach. Tak się działo np. na Pomorzu pruskim, gdzie od Alberta pierwszego księcia począwszy, margrabiowie zgorzelicy, jego następcy, sprzyjali rozwojowi ludu polskiego, i pojąc go protestantyzmem, sądzili, że kiedyś pod swoją władzę całą Rplitą ogarną. Fakt pojawiał się i wprzódy w kilku innych jeszcze miejscach. Był w tém interes czysto rasowy, który pokazali Niemcy i za Napoleona w księztwie warszawskim.

Co złego sprowadził u nas protestantyzm?—Z przeczącego stał się twierdzącym, z opozycyi przeciw kościołowi katolickiemu stał się wyznaniem, nie hierarchią, jak im chciał być za Hussa, a ruszywszy wiarę z opoki, na której ją usadowił Jezus Chrystus, sprawił zamęt wyobrażeń, rozognił namiętności, sam upadł i zgubił Rplitą. Podług pana Maciejowskiego, protestantyzm nietylko zreformował kościół, ale i rząd, sprowadził *liberum veto* i wyuzdane swobody szlachty. Wolność wyznania byłaby sprowadziła zgodę do Rplitéj. Ale na nieszczęście pokazują się

Jezuici, którzy jak dawne duchowieństwo z XV, wieku wyrozumowali sobie, że zgoda niepodobna przy tylu wiarach razem. Obawiali się Jezuici rozwinięcia się swobód szlacheckich, a nietolerancją swoją właśnie silny temu rozwinięciu się dali popęd. Zwiążali unią religijną, a skutek pokazał, że pomylili się okropnie. Ruś z protestantami podała sobie teraz w Polsce rękę przeciw katolicyzmowi. Rokosz Zebrzydowskiego miał znaczne cele: chciał rząd naprawić a wypędzić Jezuitów; ale intrygi zepsuły dzieło odrodzenia się. Napróżno Skarga ciskał pioruny na swawolę; szlachta go zakrzyżęzała, że ogłasza *absolutum dominium* i Piotr Złotousty ustał mówić z kazalnicy.

Autor przenośnie się wyrażając, mówił, że przodkowie nasi pili wodę z włoskiej studni królowej Bony, która dalsze o niej staranie intrygantom, jak sama, zostawiła. Tą wodą była niezgoda, studnią obłąkanie polityczne, intrygantami Jezuici. Piekielna ta trójka stała w logicznym stosunku do oświaty, jaką miał naród, a była wynikiem ciemnoty, z której wzięta życie. Cóż było powodem tej małej oświaty narodu?—zapytuje się pan Maciejowski. Złe szkoły—odpowiada. Nie rozwijało ich postępu duchowieństwo, a potem gniewało się, że dało życie akademii, która miała wprawdzie dobrą stronę swoją: budziła naród, wygórowała w niektórych naukach; ale sama potem pomagała ciemnocie. Inne także szkoły wznieść się nie potrafiły dla Jezuitów. Uzyskawszy nad przeciwnikami przewagę, udawali przed narodem, że gasnące światło w akademiach polskich rozpalą i podźwigną nauki razem z katolicyzmem; ale przeciwnie się stało. Nie rozpalili nowego światła, ale gasnące zgasili do reszty i jeszcze zakłady naukowe protestanckie o śmierć przypawili. Wtedy nowi ci synowie Jafetā skradłszy niebu ogień i wydobywszy złąd promień światła, tak nim zamigotali po kuglarsku przed oczyma narodu, tak sztucznie złudzili blaskiem Litwę, że olśniony przez to wzrok ludów do reszty ociemniał i przez dwa wieki nosił kataraktę na oczach. Gorzej to było jak napad krzyżacki, który odarł Polskę z bogactw, a Jezuici obudzili przeciw Polsce miłość ludów z nią powiązanych przez unią.

Od tych smutnych widoków autor przechodzi do weselszych. W połowie XVIII w. zmieniły się czasy i błysnęła nadzieja, która dziś stała się prawie pewnością: że oświata nasza z XVI wieku, „odżyje i w długie z nami zamieszka czasy, a język nasz najdelikatniejsze uczucia i najgłębsze myśli kwiecisto wynurzyć zdolny, zabrzmi znowu wtedy po tylu, które przeszedł kolejach, i wsławi się dziełami, piękności i wielkości narodowej mowie odpowiedniami” (str. 84). „Podziwiajmy w tém mądre wyroki Boga, mówi dalej autor, który wśród złego powodzenia, a nawet upadku zakładów naukowych, nie dopuszcza narodowi upaść umysłowo, wlewając w jego serce miłość dla nauk, i w miejsce żywych wskazując mu unarłych, ażeby, gdy wolnego nauk wykładu słuchać pisarz nie może, z ksiąg czerpał mądrość obficie” (str. 80).

Tak więc pan Maciejowski w tym rysie oświaty polskiej kładzie następujące pewniki:

1) Że literatura polska, która żyła dotąd w ustach ludu, zaczęła rozwijać się w piśmie od czasów Hussa i Lutra, bo reformy religijne dały jej popęd.

2) Za nietolerancją religijną wyradzał się nierząd w Polsce, który prowadził do zguby.

3) Że tej nietolerancji winni byli Jezuici, którzy co innego chcieli, a do czego innego doszli.

4) Że protestantyzm upadł u nas dlatego, że przodkowie nasi chcieli reformy karności, ale nie reformy kościoła, na co godziły wszystkie sekty polskie.

Przedstawiamy główne myśli pana Maciejowskiego. Autor, żeby jaśniejszym być, często odrywa uwagę od myśli głównej i w ustępach rozwija swoje pojęcia; ustępów tych wiele, jak np. o rodowodzie łachów i szlachty, o Bogumitach pierwszych protestantach, ojcach Lutra, o aryanizmie, który jest narodowo polskim protestantyzmem, lubo ma początek włoski i t. d. Gdyby autor te ustępy pomieścił oddzielnie w przypiskach, byłby zrozumialszy.

Autor przechodzi do przedmiotu i mówi, że miał naród polski mimo wszelkie przeszkody literaturę lepszą, jak się tego można było spodziewać. Przez literaturę, pan Maciejowski rozumie li tylko utwory odznaczające się myślą i artyzmem; ogół zaś pisanego i drukowanego stanowi u niego piśmiennictwo. Pan Maciejowski odosobnia literaturę od piśmiennictwa. W rzędzie literatów stawi li tylko świeczniki, ludzi przodkujących, wpływowych; do piśmienników liczy naśladowców, którzy biegli za głosem pierwszych. Ale jak w piśmiennictwie, tak w literaturze trzy zwroty są widoczne. Lud miał swoją literaturę wprzód, nim nauczył się drukować, wprzód nawet, nim umiał czytać. Potem oświecenijsza klasa społeczeństwa za wpływem nowych wyobrażeń wzięła się do pióra i pisała dla siebie, a nie wpływała wcale swojemi dziełami na literaturę ludu. Tak dwiema oddzielnemi korytami płynęła jedna wspaniała rzeka Nareszcie spłynęła w jedną. Pan Maciejowski nazywa te trzy oddziały literatury: zwrotem ludowym, narodowym i ludo-narodowym. Lud nócił pieśni, powtarzał sobie klebdy i przysłowia; naród tworzył piśmiennictwo i literaturę, ale dopiero naród z ludem połączony, tworzył dzieła, które są chlubą i zaszczytem naszym. Krytycy nowocześni nazwali ten ostatni peryód dziejów literatury okresem romantycznym. Te trzy zwroty do dziś dnia płyną w literaturze. Jeszcze lud tworzy pieśni, jeszcze piśmienników dużo, którzy odzywają się do nas głosem zamaryłych pokoleń, a literatura *narodowa*, tak jak ją rozumie wiek XIX, zbogaca się ciągle, chociaż niewielu pojawia się dla niej pracowników, z powodu, że wyższych nierównie zdolności i nauki potrzeba, żeby podnieść się potęgą umysłu do tego zwrotu. Te zwroty żyją, ciągle obok siebie żyć będą. Zdobyczą całej naszej reformy literackiej, która datuje się od Brodzińskiego i śpiewaka Grażyny jest to, że zrozumieliśmy siebie, że zaczerpnęliśmy wiadomości o życiu naszym rodzinnym polskim od ludu i skąpali ją w nauce, której lud nie ma.

Zatém zwrot pierwszy, czyli literatura ludowa, sięga początkiem swoim jeszcze w bałwochwalskie czasy. Pan Maciejowski daje nam poznać teraz, zabrawszy się do samego dzieła, że ustępem jest *Piśmiennictwo* dawniejszych prac jego. Ciągłe przywodzi to Pierwotne Dzieje, to swoje Pamiętniki, to Polskę pod względem obyczajów, napomykając za-

ledwie o tém, co tam powiedział, a tutaj dopełnia dawniej zebranych wyjaśnionych wiadomości. Tak więc wszystkie dzieła jego wiążą się jakąś wspólną niewidzialną nicią. Żeby wystawić obraz literatury ludowej, przedstawia obraz samych pojęć ludu, a naprzód pojęć jego religijnych, które rozwijał już w Pierwotnych Dziejach. Lud więc polski, taki a taki, jakim go autor wystawił, jak każdy lud, przejawiał swoją literaturę w pieśniach, klechdach, przysłowiach. Te trzy oddziały, w których płynęło jego umysłowe życie, autor historycznie rozwija. Klechda jest czémś zupełnie polskiem, narodowém. Pan Maciejowski nawet rodowód tego wyrazu prowadzi od klechtania, paplotania, (klik, krzyk, mówienie hałasliwe). Mądrość narodowa odbija się w przysłowiach. Autor wyjął ich kilkadziesiąt z Reja i starożytnych pisarzy naszych i uporządkował w pewien systemat, który nam pokazuje jak nieuczenie, ale zdrowo umieli przodkowie nasi rozumować o świecie. Wszystkie te jednakże pieśni, klechdy i przysłowia, żyły, jak powiedzieliśmy, w ustach ludu, a z podań przeszedłszy w pisma, stanowią pierwszy zaród dzisiejszego romansu.

Za historycznym poglądem idzie krytyczny. Co do pieśni poznajemy tutaj dwie, które Jakób Grimm wynalazł: w jednej znajduje się powieść o rusalkach, w drugiej o rumaku, któremu zaklęcia przywróciły zdrowie. Pan Maciejowski oświadcza się za polskością tych pieśni, a że z nich wyraźnie przebija się pogaństwo, będą to pieśni nasze najdawniejsze. Z kolei za niemi idzie pieśń, ale już historyczna o tém, jak Bolesław Krzywousty godził się z Pomorzanami. Autor nasz zwraca także uwagę na dziełko Kuhna, który zebrał podania z ust ludu zgorzelickiego. Pan Maciejowski widzi w nim wszystko polskie, wszystko słowiańskie, pomimo zaprzeczenia Kuhna, który powiada, że dzisiaj, po upływie tylu wieków, kiedy się te ludy słowiańskie zamieszkujące Marchią zniemczyły, niepodobna prawie wyosobnić z pieśni zgorzelickich to, co jest niemieckie, a co nasze. Rozbiór ducha tych pieśni pokazał słuszność po stronie naszego badacza.

Co do klechd, pan Maciejowski oddziela podanie od klechd samych. Podanie przechowuje dzieje bez przydatków i poezyi, a klechda tworzy w duchu wyobraźni ludu; zostają więc do siebie w takim stosunku, jak historia i romans historyczny. Z podań ludu pan Maciejowski wydobywał prawdę, kiedy w pierwotnych czasach Polski i Litwy śledził początków naszych jako narodu. Ale z podań czerpie i historia literatury, podanie z klechdą wiąże się ściśle: bo im więcej z upływem czasu ma dodatków, tém się więcej do klechdy nachyla. Obiedwie zatem malują nam usposobienie umysłowe ludu, bo są wyrazem moralnego jego uczucia. Historyk literatury mierzy z nich poetyczne, stopniowo rozwijające się usposobienie ludu. Pan Maciejowski nie poszedł za poprzednikami swojemi w obrabianiu klechd i podań, nie zbierał ich żywcem, ale objaśniał; wskazuje téż, jak podania wiązały się u nas z klechdami, rozwija początek u nas legend czyli podań religijnych, które także przechodziły w klechdy, nareszcie opowiada, jak klechdy się przerabiały. Najobszerniej rozwodzi się o Twardowskim. Rozprawa ta znana jest czytelnikowi z Biblioteki Warszawskiej. Celem jój wskazanie, że podanie nasze o Sowizrzale dawniejsze jest od podania Niemców o Euleuspieglu,

i że klechda o Twardowskim ma z obiema związek. Tu autor walczy z Neumannem, który nie przyjął teoryi pana Maciejowskiego o postępném przerabianiu się i wyrastaniu klechd jednych w drugie, a tém samém bronił samoistności niemieckiego Eulenspiegla. Urodził się Sowizrzal na polskiej ziemi, lubo ziemczonój, ale zawsze mimo to duchem swoim, słowiańskiej. Bo, jak trafnie uważa pan Maciejowski „człowiek zbiorowy czyli naród, nie jest mocen przyjąć innego usposobienia nad to, którego zaród otrzymał od Boga, razem z tym węzłem towarzyskim, który go zrobił narodem, a który rozwinięty został pod opieką Boga. Może się przelać w bryłę innego narodu, może przyjąć jego język, a nawet i zwyczaje, i tak obumrzeć dla swojej narodowości”, wszelako zaraz zdradzi swoje uczucie i pochodzenie (str. 227). Na téj zasadzie autor i w pieśniach najdawniejszych, które Grimm odkrył, znajdował piętno słowiańskie, i co z nich wyczytać się dało, wziął to wszystko za nasze rodzinne. Nazwisko Twardowskiego już później, podług autora, do podania o Sowizrzale przyczepiono, i mnóstwo złąd popełniono anachronizmów. Twardowski nasz jest szlachcicem i religijnym, dobrym Polakiem. Pięknie jego charakterystykę autor nakreślił. Fantazyja ludu, jego szlachetność, przebiła się w tym utworze czarodzieja, który, jakże o wiele wyższym jest od spekulacyjnego Eulenspiegla!

Ostatecznym roztrząsań wynikiem pana Maciejowskiego jest, że klechdy i podania nasze, są ściśle narodowe, i że je od pierwszego razu rozróżnić można od czeskich, a tém bardziej od niemieckich; że klechdy koniecznie rozpatrywać krytycznie należy i text ich oczyszczać, żeby odróżnić co się do polskich obcych pierwiastków dostało; że wtenczas dopiero i poczyna narodowa, i literatura w ogóle, i dzieje ludu mogą wiele na klechdach i podaniach skorzystać. Pan Maciejowski oświadcza się mocno i stanowczo przeciw tym wszystkim, którzy podania o klechdach zbierali, jak pieśni ludu, ale nie objaśniali ich, nie rozbiegali krytycznym zmysłem. Zbierać podania ludu i pieśni, to mechaniczna robota, która nie na wiele się przyda, chyba tylko, że ułatwi następcom naszym pracę, bo już nie trzeba będzie zbierać, ale opracowywać te rzeczy; a jednak nowsi pracownicy zajęli się li tylko tą mechaniczną stroną zadania. Toż samo należy rozumieć i o zbieraniu przysłowiów.

To zwrot pierwszy. Autor przechodzi do drugiego: — z literatury ludowej, do narodowej, to jest do literatury, którą tworzył naród wydzielony od ludu, czyli wszystkie inne klasy polskiego obywatelstwa, oprócz wiosek i ich mieszkańców. Literatura narodowa zaczęła się od naśladowania, od piśmiennictwa. Lud żył sobie oddzielnie w swojej literaturze aż do dziś dnia, wierzył prosto i tworzył w prostocie; ale naród zetknął się już z cywilizacją obcą, zachwycił łaciny, zatem zdobywał się na uczość, której w ludzie nie było. Naród nie znalazł odrazu wieszczów, prawodawców, ludzi wpływu wielkiego na epokę, zatem nie mógł mieć jeszcze literatury: miał jedynie piśmiennictwo. Ocknienie się narodu w piśmiennictwie datuje od chwili pierwszego śladu języka, który nas doszedł. Ta chwila naturalnie zmieniać się musi z okolicznościami, stosownie do odkryć naukowych. Pan Maciejowski odsyła ją aż do roku 1290, którym datuje nowo przez siebie odkryty pierwszy urywek przekładu psalmów.

Tak więc piśmiennictwo polskie zaczęło się od szczytnych pieśni króla proroka. Rękopism o którym mówim, znalazł się w Medyce u pana Gwalberta Pawlikowskiego. Historją jego równie jak innych urywków psalterzów polskich, szczegółowo w swoim dziele opowiada pan Maciejowski. Dotykać się tej kwestyi nie mogę z obawy, żebyśmy nie przeszli granicy, w której ma się mieścić nasze sprawozdanie; zresztą część to jeszcze niezupełnie wydana piśmiennictwa, żebyśmy jakie uwagi robić nad nią mogli. Autor w dodatkowym tomie wydaje pomniki najdawniejszego naszego języka w chronologicznym porządku aż do chwili, kiedy się zaczyna zwrot trzeci, czas literatury ludowo-narodowej. Autor ma tych pomników w liczbie aż 38; pozbierał wszystko co pozbierać się dało. Przegląd ten pomników zaczyna się, jakśmy powiedzieli, rokiem 1290, a kończy się już za czasów Zygmunta Starego, w roku 1510. Kiedy tom dodatków cały będzie skończony, znawcy rzecz bliżej osądzą. Nam tylko pozostaje mówić o tém, co pan Maciejowski dał obecnie, a że, w tym nawet przeglądzie pomników piśmiennictwa rozwinął niektóre nowe pomysły, zwrócim i my uwagę na to jedynie, o czém zupełnie rozumować już możemy. Z historją języka zatrzymać się potrzeba i ocenić tylko pewne oderwane fakta, które nie zostają w ścisłym związku pomiędzy sobą.

Pomnik z roku 1290 jest, podług pana Maciejowskiego, ułamkiem tylko tłumaczenia wszystkich psalmów Dawida, które przerobione na owszy przekład, zachowanemi nam zostały w tak zwanym (czy sprawiedliwie?) psalterzu Małgorzaty. Są nawet poszlaki, że przed psalterzem Małgorzaty a po roku 1290 inne jeszcze było trzecie tłumaczenie pieśni Dawidowych. Urywek znaleziony przez Swidzińskiego ma być tego dowodem (obadwa pan Maciejowski wydaje w faksimiliach) W samym też psalterzu żony króla Ludwika, dojrzał autor dwa różne tłumaczenia: wcześniejsze i późniejsze. Psalmi te tłumaczone nie wprost z hebrajskiego, ale z czeskiego języka na polski. Ztąd często w nich spotyka się składnia naszój mowie niezwycajna. Z porównania języka i wyrażeń wypadło, że psalterz królowej Jadwigi który posiadał Czacki, a z którego dwa wyjątki udzielił Lel. Rakowieckiemu do wydania ich przy Prawdzie Ruskiej, nie może być psalterzem królowej Jadwigi, bo język w nim lepszy, pisownia późniejsza. Pokazuje się z tego jawnie, że piśmiennictwo nasze zaczawszy od psalmów, ciągle się niemi bawiło i na coraz nowsze zdobywało się przekłady i przerabiania dawnych tłumaczeń, bo pomników, a raczej śladów moc. Od roku 1532 zaczęły się pojawiać psalmy w druku i dlatego ważność ich jako rękopiśmiennych zabytków, zmalała.

Tenże sam fakt spostrzega się u nas i co do biblii. Dla Jadwigi zaczęto tłumaczyć na język polski całe pismo święte; tak mówią świadectwa niemal spóczesne. Pan Maciejowski odkrył ten przekład w sławnej biblii Szarospatackiej królowej Zofii Jagiellowej. Postać rękopismu i język pokazuje, że to nie pomnik XV ale XIV wieku, i ztąd płynie naturalny wniosek, że jeżeli jakie tłumaczenie biblii dla Zofii dokonane było, dzisiaj albo zginęło, albo nie inne być mogło, jak zrobione dla Jadwigi, a przerobione dla Zofii. Dawni tłumacze ksiąg świętych nie robili sobie wiele kłopotu; późniejszy brał text poprzednika, gładził, stare sposoby mówienia przera-

biał na nowsze i przelawszy tylko w inną formę psalmy czy biblią, cudzą pracę dawał za nową edycją.

Język polski w dalszym swoim rozwoju ustalał się przez pisma prawne. Do tego wniosku przyprowadziły pana Maciejowskiego zabytki przysięg sądowych, oraz przekłady i układy statutów XIV i XV wieku. Od czasów J. L. aż do autora *Piśmiennictwa* wiele już takich pomników odkryto. W zabytkach prawnych zastanawia ujednostajnienie wyrazów, czegośmy nie widzieli w przekładzie pisma ś. i kazaniach: nie dziwnego, bo prawa szło głównie o dobitność i pewność.

Początek pieśniarstwa oryginalnie-polskiego sięga także XIV wieku. Tutaj piśmiennictwo przywodzi nam imię pierwszego autora. Był nim Jan Łodzia, który, jak pan Maciejowski wnosi, pisał tylko po łacinie, nie jak uczono nas, że po polsku. Pierwsza pieśń oryginalnie polska ma być o św. Stanisławie, którą da nam autor w dodatkach (str. 310); za nią już idzie pieśń Bogarodzicy. Uderzy to może niejednego, że dzieło św. Wojciecha, zbytek najwcześniejszej, prawie pogańskiej polszczyzny, pan Maciejowski kładzie tak późno, bo pod rokiem 1408. Ale nasz autor ma do tego zasady. Pięć jest celniejszych wydań pieśni Bogarodzicy, a wszystkie oparte na dwóch rzeczywiście textach, z których najdawniejszy ogłoszony w Kwartalniku krakowskim, pochodzi z roku 1408. Pan Maciejowski pieśń tę rozbiiera i wskazuje na ślady kilkakrotnego jęj przerabiania: im więcej lat pieśni przybywało, tém więcej przybywało i textu; pokazują to anachronizmy zawarte w Bogarodzicy. Św. Wojciech ułożył tylko dwie pierwsze zwrotki tej pieśni, które składają się z hymnu i odśpiewu kirye elejson; dzisiaj mamy dwanaście zwrotek, a i język tej pieśni, nie język to św. Wojciecha, ale edycya z roku 1408. Przez lat pięćset od Bolesława W. aż do Jagiellów język polski wiele postąpił. Dlatego text, myśl pieśni została, ale nie wyrazy i nie ortografia. Pan Szulc (rozwijamy tutaj myśl naszą rzuconą przy przeglądzie prac jego dziejowych), który w rozprawie o Bogarodzicy dowodził, że ona pochodzi z czasów św. Wojciecha, dowiódł pięknie tej prawdy, opierając się na kronikach, które świadczyły o jęj starożytności; ale pan Szulc nie zwrócił uwagi na to, że tego pierwsiastkowego textu wcale nie mamy, że Bogarodzica nasza, jako pomnik językowy dobrze późniejsza jest i od Nestora i od Królodworskiego rękopisu, o co mu głównie chodziło. Cóż z tego, że pieśń tę św. Wojciech napisał, kiedy nie wiemy jak ją napisał? Śladów mamy pełno o innych pieśniach i nawet historyach narodowych, ale gdzież są te pieśni i historye? Szulc dowiódł tego na drodze faktów, cośmy wiedzieli dawno z podania, ale przez to bynajmniej dzisiejszej Bogarodzicy dalej za rok 1408, w czasie Piastów nie posunął. Każdy bez wyjątku, kto ma choć powierzchowną znajomość dziejów polskich napotka na anachronizmy w pieśni: widział je i pan Szulc, a jednak powiedział dwie herezye; naprzód, „że rękopis z roku 1408 samą czystą pieśń Bogarodzicy zawiera”; powtóre, że „mowa pieśni z roku 1408 odnieść się da do czasów Bolesława Chrobrego” (Pamiętnik relig. moral. T. 12, str. 27).

Okolo roku 1419, pisał pieśni jakiś Stanisław Piskorzewski. Autor nie więcej o nim powiedzieć nie umiał. Po nim idzie pierwszy grammatyk Jakób Parkosz z Żórawicy; przeciw Bandtkiemu dowodzi p. Maciejo-

wski, że mamy tekst oryginalny Parkosza, nie kopia i wysoko ceni zasługi tego prawodawcy ortografii. Za nim idzie Jędrzej z Dobrzyńa Gałka, o którym wiele rozpisał się Wiszniewski. Parkosz i Gałka byli akademikami krakowskiemi; oprócz nich, nie polskiego przez cały wiek XVty do zabytków języka polskiego nie przydali uczeni akademicy. Nareszcie Jędrzej ze Słupia (Słopuchowski?) zanucił na lirze religijnej po polsku, pięknie i oryginalnie. Nic równego przed ukazaniem się tych pieśni nie wydała na jaw poezya polska.

Pamiętniki Janczara są spolszczone z serbskiego. Od czasu ukazania się tych pamiętników po raz pierwszy w druku, wiele o nich pisano; historia Janczara przeszła rozmaite swoje fazy: dzisiaj nareszcie zdaje się, że nie w sobie nie ma bajecznego. Pierwszy raz, o ile nam się zdaje, zwrócił uwagę na te pamiętniki, że nie są dziełem oryginalnym, pan Kopytowski, a pan Kucharski zaraz o tém rozprawę napisał. Pań Kucharski dowodził, że pamiętniki przetłumaczone są z czeskiego; toż samo utrzymywał Władysław Trębicki, a Jocher rzucił domysł, że czeski Janczar mógł być z polskiego oryginału przełożony. P. Maciej. nowe światło na ten ciemny szczegół w dziejach literatury rzuca: Janczarem był Serb i pisał po serbsku; z niego przełożono pamiętniki na język polski i czeski; u nas szczególniej widać, że tłumacz nie trzymał się niewolniczo tekstu, ale i rzecz całą naciągał do Polski, tak, że ktoś mógł posądzić o narodowość polską ich autora.

Dziwniej téż metamorfozie uległa tak zwana książeczka do modlitwy królowej Jadwigi, którą wydał pierwszy raz Motty w Poznaniu. Z tekstu pokazuje się, że to była książeczka jakiś Nawojki; dalej widoczna, że to plód drugiej połowy XVgo wieku, bo mieści w sobie wypisy z dzieł społecznych, prozą przerobione z poezyi, może Jędrzeja ze Słupia. Pan Maciejowski spostrzega jeszcze, że to kopia nie oryginał, i że tę książeczkę przepisywał ktoś nieobeznany z językiem polskim. Nakoniec było księga przeznaczona dla mężczyzn, jak to widać z tekstu. Podanie jednakże twierdziło, że modliła się na niej św. Jadwiga. Być może, ale nie na tym exemplarzu, który wydał Motty. Nie ulega wątpliwości, że tę książeczkę, jak psalmy i biblię, przerabiano często i przepisywano, i że ten exemplarz, który mamy, przygotowany był dla jakiś Nawojki.

Okolo roku 1505 występuje Stanisław Chwalczewski, pierwszy raz z rękopismu wydany razem z pamiętnikami Janczara. Zasługi jego, jak zwykle bez krytyki, podniósł wysoko Łukasz Gołębiowski. Ale pan Maciejowski nie przypisuje Chwalczewskiemu żadnych praw do naszój wdzięczności jako historykowi. Dzieła jego ważne li tylko dla języka; jest w Chwalczewskim dużo prowincjonalizmów, jak w późniejszym Strykowski, obok którego stanął i nasz starosta kobryński, jako drugi główny rusko-litewsko-polski pisarz.

Doszliśmy do chwili, kiedy się zaczynają pierwotne druki polskie. Druki te są jakby przedłużeniem rękopisów, bo o czém jedne rozprawiły, o tém się rozwodziły i drugie: wywoływały na jaw myśli nowe, dopełniały ich treści, rozszerzały wiedzę narodu. Druków przedłużeniem są dzieła wzorowych pisarzy, które zaokrąglały zakres literatury w pewnym przeciągu czasu objawionój. Autor w dodatkach do dzieła obie-

cuje dać obszerniejszą wiadomość o drukach pierwotnych; tutaj jedynie napomyka o związku, jakiego są one przewodnikiem, między płodami drugiego i trzeciego zwrotu.

Zwrot trzeci najciekawszy i najlepiej téż opracowany. Tu już następuje piękny szereg literatów, wybranych z tłumu, przewodników myśli polskiej. Autor stawia ich jednego obok drugiego, w chronologicznym porządku, ocenia zasługi, wskazuje na wpływ, który pojawieniem się swoim wywarli. Każdy z nich nową drogę otworzył dla nauki i literatury, każdy nadał kierunek swoim naśladowcom. I nagle literatura ludowo-narodowa pobratała wszystkie klasy Rplitej i zaczęła płynąć jako wspaniała rzeka. Od czasu jak pierwszy literat zaczął sam myśleć i pracować oryginalnie, rozwidniło się w Polsce, jak w niebie. Już nie same przekłady, nie same naśladownictwo pokazuje się w płodach piśmiennych owego czasu; tu forma polska, tam znowu uczucie przebija. Literatura ludowo-narodowa czyli zwrot trzeci, da nam poznać stanowisko i wartość literatury polskiej, względem obcych europejskich.

Więc nie ma w dziele pana Maciejowskiego sztucznych przedziałów, jak w innych historykach. Nieosobno ustawiają się w dziełaice tu poeci, tam filozofowie, tu wreszcie dziejopisarze, ale wszystko pomieszane. Za jedną wielkością zjawia się druga, za drugą trzecia, za trzecią czwarta.

Jedna rozwija poezją, druga historją. Gdyby nie było tego poety, nie byłoby tych a tych naśladowników; gdyby nie było tego historyka, nie obudzałoby się tak zamiłowanie do śledzeń dziejowych. Tak z nowego zupełnie stanowiska wykładana historia literatury, daje nam poznać cały ogrom, ale nie pojedyncze tylko części. To, że się tak wyrażym, metoda synchronistyczna, nie etnologiczna, jakie bywają w historii, godna naśladowania. P. Maciejowski stworzył ją dla nas.

Tak w trzecim zwrocie mamy same tylko pojedyncze artykuły, i być inaczej nie mogło przy metodzie autora. Autor drukował przez lat kilka te różne wyjątki z dziejów literatury po naszych piśmiech peryodycznych. Czytaliśmy więc niegdyś pojedynczo te jakby studia jakie nad autorami, jakby monografie; a teraz dopiero sądzić możemy o całości i piękności tego obrazu literatury, jak nam autor stawiał przed oczy. Trzeba i to przyznać, że lubo mało znamy przeszłość naszą literacką, przecież niejedyn już na tém polu badał, i jeżeli nie innego nie zrobił, przynajmniej poznał dzieła pod względem bibliograficznym; namnożyło się więc dosyć materiałów, z których historyk czerpać może. Nasz autor ostrożniejszy był od wielu swoich poprzedników; nie pisał o niczém, czego nie czytał. Jeżeli w opisie bibliograficznym jakiej książki znalazł błędy, błędy te w swoim dziele poprawiał, jeżeli jakie opuszczenia, poprzedników swoich dopełniał i objaśniał. Massa się dziwnych wiadomości i świadectw rozmnożyło w naszej literaturze przez nieumiejętność albo lekkomyślność. Macili inni źródła, źle określali lata wydawanych książek, źle nazywali autorów. Na Maciejowskim zupełnie można polegać. Zwrot jego trzeci wiele ma wiadomości właściwie literackich i naukowych, wiele sądu, ale obok tego i wiele bibliografii. Jeżeli nie ma gdzie sądu o utworach literackich, nie ma tam dziejów literatury, a przyznajmy się, żeśmy na to dotąd mało

byli baczni. Sąd Bentkowskiego i Osińskiego, to nie sąd, to konwencyonalne pojęcia szkoły, to frazy bez znaczenia, na jedną formę ulane, deklamacye bez myśli. Wiszniewski znakomite napisał dzieło, ale często na sąd drugich się spuszcza, a miał ten uczony wszelkie dane do objaśnienia czyścgo, prawdziwego sądu. Majorkiewicz dopiero otworzył swoje zdanie.

Maciejowski gruntowny historyk, wie także, że nie w opisie ani w spisie książek leży historia literatury. Daje sąd i zdanie swoje motywuje. Ale nie może też przepuścić po sobie, żeby nie opisywał książek tam, gdzie jego poprzednicy albo nic nie zrobili, albo mało zrobili. Nie wszystkich zatem autorów historyk nasz pod względem bibliograficznym przechodzi. Sam, gdzie fakta dobrze są wyjaśnione, milczy, i sprawiedliwie; odsyła tylko do dzieł, które cytuje. Pan Maciejowski takim sposobem zrobił dzieło swoje skarbcem dla bibliografii, lubo *Piśmiennictwo* ma i wszelkie zalety dziejów literatury.

Pięknie zaczyna pan Maciejowski ten zwrot trzeci: „Stało otworem piśmiennictwo polskie każdemu, kto chciał w niem wystąpić, jako rozkrzewiciel myśli dla jakichciś celów swoich, albo dla dobra nauki. Mógł każdy głosić śmiało co chciał, nie doznając ścieśnienia swojej woli, mógł pisać co i jak się podobało. Pół wieku panowała ta swawola, zanim jej przyszło na koniec. Lepszych talentów pisarskich ukróciła ją wola”. Kiedy ludzie zdolności zabłądli, i ku swym pracom mocą naukową wyższości pościągnęli czytających tłumy, nikły małe pisarskie zdolności. Rola drugorzędna dostała im się w podziale; albo kryły się odtąd w sekciarskiem społeczników swoich kole, albo wtórowały mężom wybranym i rozszerzały ich wpływ po całej wielkiej ziemi polskiej.

Autor kreśli pierwszy wizerunek Marcina Bielskiego, którego odznacza rokiem 1550. Jestto pisarz postępowy, który od filozofii i historii powszechniej przeszedł do dziejów ojczystych. Historią widział w żywotach wielkich ludzi, których zwał filozofami, i dlatego pisał ją etnograficznie. Nic nowego wprawdzie nie utworzył, ale ze społecznych nikt nie wyrównał Bielskiemu w sposobie pojmowania dziejów. Pod tym względem zrobił krok wielki. Po Janczarze i Chwalczewskim, to pierwszy historyk w naszej literaturze, godzien tego nazwiska. Pobratał dzieje z geografją fizyczną, zjawiska historii poddał warunkom fizjologii, a dzieje te wysnuł z czynów społeczeństwa, oparłszy wszystko na faktach. Mało obeznany z krytyką, wiedział przecież, że historia polityczna bez wewnętrznej na mało się przyda, i dlatego nawet pojmował dzieje organicznie, czyli w związku z życiem narodów. Wskazał powinowactwo między podaniami ludów i dał poznać stosunek terażniejszości do przyszłości. A zakończywszy trzecie wydanie swojej kroniki na zmarłychwstaniu ciał i sądzie ostatecznym, dzieje swoje chciał oprzeć o krawędz świata i czasu. To nie artysta, nie Tacyt, ale człowiek z pewnym poglądem na świat i życie, z zamiłowaniem swojego kraju, miłością dla ludzkości. I język ma jędrny, pełny życia, lubo nieco prostaczy, bo gminny. Zasada Bielskiego było: przeciw prawdzie rozumu nie.

Mikołaj Rej z Nagłowic oznaczony jest rokiem 1560. (Ten artykuł znany z *Życiorysów*). Byłby to gieniusz, gdyby odebrał jakie takie wychowanie; ale wyszedłszy ze szkół, nic biedny Rej nie umiał. Pracował sam

potém nad sobą, ale powtarzał z żalem, że lepszy jest zawsze żywy głos, niż zdechła skóra. Rej był pisarzem nie ze swojej woli, ale podstawili go dyssydenci naprzeciw katolikom. Z nieuka więc stał się autorem i to autorem nie lichym, co właśnie dowodziło ogromu jego źle skierowanych zdolności. Człowiek czynu i życia, nie zrzedził jak Kato, ani się trapił jak Rousseau. Jako poeta nisko stoi, lubo spólcześni porównywali go z Enniuszem, Hezyodem, Homerem i Dantem. Bo téż Rej, dziecko przyrodzenia, nie miał być sztukmistrzem, ale uczonym z natchnienia. Nasadzony, rozprawiał pomimowoli długo o tém, czego nie rozumiał; ale nastąpiło szczęśliwe przesilenie. Rej, uczuciem Polak, zaczął rozprawiać o tém, co dobrze pojmował, w czém żył. Został znakomitym przedstawicielem natury ludzkiej, w warunkach polskości. Raz do pisania wciągniony, nie przestał wprzód, aż dopóki wszystkiego nie wymówił, co wiedział. I gdy nadszedł wiek myślenia, we własnych dziełach znalazł podostatkiem zasobu do zbudowania arcydzieła, które imię jego poda późnej potomności. Tém arcydziełem jest *Żywot poczciwego człowieka*.

Łukasz Górnicki idzie za Rejem pod rokiem 1566 (artykuł był w Bibliotece Warszawskiej, 1850 r.). Jedyne tylko jako autor *Dworzaniina Polskiego*, należy do tego zwrotu literatury, bo zresztą nędzne są jego utwory. To panom pochlebiał, to chciał wenecką arystokracją zaprowadzić do Polski. W tym celu kilka dzieł napisał, w których jedna myśl wyłącznie góruje; ale te dzieła późno już ukazały się światu. Górnicki wiele jeszcze zrobił dla języka; przetorował drogę, a za nim już na pulchniej roli umnictwa polskiego łatwo przyjmowało się wszystko, co tylko było posiane.

Kochanowskiego także trafnie ocenił pan Maciejowski. Przyznał wieszczowi Czarnoleskiemu missyą, że miał obeznać Polaków z literaturami Europy. Dlatego nasz Jan pisał odrazu wszystko: dramat, satyrę, psalmy, ody, treny, (które są elegiami); tłumaczył epeję. Skromny i czuły, Kochanowski opiewał religią, miłość i smutek. Wpływ jego na spólczesnych był wielki i powiedziano téż o nim, że Polska większego od Jana poety i więcej narodowego nie miała i mieć nie będzie. Ale to herezja. Kochanowski z natury rzeczy był naśladowcą, bo brał wzory z zagranicy, bo przechodził ze spólczesnemi sobie ziomkami cały kurs literatury europejskiej i wykladał im wzory. Dotąd wierszami przodków naszych częstowano; nie poświęcił się zatém jednemu zawodowi, jednej pracy w poezyi, ale zajmował się wszystkiém. Oddawszy się więc poezyi starożytniej, całkiem nią przesiąkł i jakby opętany przez nią, cokolwiek pomysłał, miał ją, jak malowniczo wyraża się pan Maciejowski, ponad okiem, ponad czołem, ponad twarzą. W trenach tylko i fraszkach jest Kochanowski więcej oryginalny, chociaż i tam nie mógł jeszcze odpędzić rzymskiej elegii od żałoźnej swój pieśni i dokazać tego, żeby nie osiadła na słowiańskiej dumce, niby owad na krasnym kwiecie. Miał Kochanowski bardzo wiele zdolności; mógł nawet stworzyć dla nas krytykę historyczną, ale zabardzo długo obcemi wzorami się bawił, żeby zato na oryginalności nie stracił. Dlatego kto upatruje narodowość w Kochanowskim, zwodzi się. Zgadzaemy się na to z panem Maciejowskim, i myśmy narodowych obrazów w Kochanowskim nigdy nie dojrzeli. Są tam poje-

dynamiczne ustępy ładne, pełne życia, takie, jakie wiek XIX polubił, ale to wszystko psuje całość, te obok Zygmunatów i Padniewskich postaci mitologiczne, ta erudycja obok uczucia. Wiele dodatnich żywiołów w Kochanowskim sprawiło, że wywarł zawsze wielki wpływ na język, piśmiennictwo i naród.

Sęp Szarzyński wyższy jest w tém nad wieszczą z Czarnolesia, że w zewnętrznym tylko kształcie wiersza przypomina zagraniczne wzory, ale zresztą w rozwinięciu poematu jest twórcą oryginalnym i artystą. Sęp do naszej literatury wprowadził sonety, i lubo miał przed sobą Petrarke, nie tłumaczył go, ale rozwijał ten rodzaj poezyi. Niższym jest Sęp w czułości i delikatności od Jana, ale przewyższa go wyrażeniem poetycznym. Sępa w młodym wieku strawił ogień poezyi, a jednak zrównał on Kochanowskiemu potęgą w literaturze. Kiedy więc, uważa pan Maciejowski, mniej szczęśliwy, jak Sęp (umarł młodo i dlatego napisał mało) zrównał się ze szczęśliwszym, jak Kochanowski (żył dwa razy dłużej jak Sęp i dużo śladów po sobie zostawił), bo wydał owoc równie znamienity; sama ta już okoliczność daje poznać różnicę kwiatu ich poezyi, nawet przed posmakowaniem jego owocu. Kraszewski nazywa zuchwałém porównanie Sępa z Kochanowskim, ale się myli i sam sobie sprzeciwia, bo kilka wierszy niżej, stawia go na równi ze znakomitością epoki.

Następuje Klonowicz pod rokiem 1582. We Flisie i Roxolanii, to poeta narodowy według pojęcia XIX wieku, w Zwycięztwie Boga, to obywatel polityk, który bije na wyuzdaną swawolę szlachty. Prawda, że Kl. niewiele wpłynął na swój wiek, ale nie była też chwila stosowna potemu. Klonowicz sił swoich nie obrachował zawczasu i nie wymiarkował wymagań szlachty; pisarz postępowy wziął się do rzeczy z zapędem, a zimno, bo nie ogrzewał go ogień sztuki. Ale zato narodowością Klonowicz wyższy od Kochanowskiego, chociaż nie nazywano go narodowym, a Janowi przyznawali ten przymiot dawniejsi i nowsi krytycy. Narodowym jest pisarz, którego dzieła do narodu przeszły, którego wątek z narodowości jest wzięty, wyrażając jego uczucia i charakter. Kochanowski królował w literaturze przez trzy wieki, ale przeszli go Stanisławowscy poeci i ztąd wielkość jego dzisiaj zmalala. Klonowicz w swoich narodowych utworach, przeszedł aż do nas i przejdzie do potomności. Gdyby nie nomenklatura, nie dojrzałbyś po Janie miejscowości polskiej, a Klonowicza obrazy, tam nawet, gdzie oka niczém nie zachwycają, dają też same, co dziś, oglądać twarze mieszkańców Polski i Rusi. Ślicznyto artykuł o Klonowiczu: wczytajcie się w tłumaczenia Syrokomli, a przekonacie się, czy wart osobnych studyów autor *Ziemi Ruskiej*.

Strykowski w roku 1582 wydał Kronikę, która nigdy światła nie widziała. Z oceanu odmętu i głuchego milczenia wydobył on dzieje Litwy, a gdyby nie przechował ich potomności, kto wie, czybyśmy dzisiaj tyle wiedzieli o historii Litwinów, ile wiemy o Ameryce przed zawitaniem do niej Kolumba? Zarzuty niesprawiedliwe robią dzisiaj naszemu badaczowi, mówiąc np. że nie zrobił tego dla Litwy, co Długosz dla Polski, że nie przejrzał źródeł i dyplomatów, a wziął się do historii. Owszem, Strykowski zajrzał do podań ludowych i pieśni, i więcej zrobił jak Długosz. Kronikarz polski miał źródła już dorobione, a Strykowski dopiero je zbierał.

Długosz nic więcej pewnego o pierwotnych dziejach Polski nie powiedział, jak o litewskich Strykowski. A do dyplomatów i Długosz nie zaglądał, chociaż pod ręką miał ich wiele.

Bartosz Paprocki w roku 1584, otworzył nową drogę literaturze przez swoje badania heraldyczne (artykuł znany z Przeglądu 1845 roku). Pochwycił on myśl Bielskiego, przedstawioną w Żywotach filozofów, a przez Reja zastosowaną do Polski, i w historii szlachty widział historią Rplitej (stron 573 i 616). Trzy razy przerabiał dlatego herby rycerstwa i zasługiwał się na téj drodze Czechom, co także miało swoją dobrą stronę, bo otwierało nam serce pobratymców. Człowiek małej wziętości nie wywarł wpływu na współczesnych; płytko i niesmacznie uczony, miał do tego styl niepoprawny. Ale stworzył nową gałąź literatury i pobratał nas z sąsiadami słowiańskimi. Wróg Zamojskiego raził szlachtę swoim uczuciem dla „świętego” domu rakuzkiego. Zamałe miał zdolności, więc tylko myśl rzucił, którą inni podejmą: Paprocki chciał historycznie i poetycznie wystawić wzrost i początek herbowych klejnotów szlacheckich. Czeskie jego dzieła są gorsze.

Krzysztof Warszewicki zajął miejsce w pierwszym rzędzie pisarzy polskich, bo jest pierwszym mówcą sejmowym, godnym tego imienia. Miał mowę na głównym zjeździe mazowieckim, po śmierci króla Stefana w roku 1587, i dlatego w szeregu autorów stoi po Paprockim. Inne jego pisma mniej warte.

Stanisław Grochowski oznaczony jest rokiem 1588. Li tylko dla języka, którym władał dzielnie, stanął w rzędzie pisarzy wzorowych. To rozogniony bogomyślny (asceta), który potrafił przedmioty świeckie natchnąć religijnym duchem, a myślom płochym o marnościach świata, zrezygnowanie odejmował pokusę, i wiedział jak je zapalić na ołtarzu świętym, w miejsce wonnego kadzidła. Sławna jest Grochowskiego satyra na prałatów ubiegających się o biskupstwo krakowskie po śmierci księcia kardynała Jerzego Radziwiłła. Ma ona wartość i pod względem filologicznym, bo napisana jest w mowie ludu. O pomniku tym wszędzie pełno dziwnych powieści, a nikt go nie znał jednakże. P. Maciejowski wyda *Babie-koło* po raz pierwszy z rękopismu w dodatkach do swojego *Piśmiennictwa*. Książd Stanisław był naśladowcą i pisał zawsze raczej z cudzego poduszczczenia; umiał też sobie radzić z panami, a zwłaszcza duchownymi, którym służył. Życiorys jego pomącony dziwnie przez rozmaite wtępy, p. Maciejowski przedstawia nam w świetle historycznym. *Pieśni Kalliopy słowińskiej*, to najcenniejsze dzieło Grochowskiego.

O Zbylitowskich Piotrze i Jędrzeju kilku już w naszych czasach pisało. *Droge do Szwecyi* jednego, i *Schadzke ziemiańską* drugiego, wydał niedawno pan Wojcicki. Jędrzej pisał z nadzwyczajną łatwością, i zajął tutaj miejsce jako autor *Żywota szlachećca*, na wsi wydanego 1597 roku; a Piotr jako autor *Rozmowy szlachećca polskiego z cudzoziemcem*, wydanéj w roku 1600. Obadwaj pisarze sielankowi, nie bez zalet. Pan Maciejowski korzystał już wiele z nich do swojej Polski pod względem obyczajów. Rej, Klonowicz, Skarga, Symonides celują w malowidło osób: Zbylitowscy lepiej przedstawiają sielskość i krajobrazy, nawet od Szymonowicza, najcenniejszego pod tym względem pisarza. Piotr ma

jeszcze pokrewieństwo ducha z Górnickim, który co powiedział o politycznym życiu Polaków, to Zbylitowski do życia domowego zastosował. (Artykuł był w Snopku nadwiślańskim).

Księża Piotra Skargę oznaczył pan Maciejowski rokiem 1604. Po Reju, to pierwszy tak rozległego wpływu pisarz. Polityk, historyk kościelny, mówca, wszystko w nim znajduje się. Miał dobre chęci, ale pomimo woli zaszkodził wiele Rplitéj. Jako polityk, podłożył ogień pod namiętności, i Koronę pogniewał z Rusią. Gdyby ze stanowiska prawdy, Skarga uważał dzieje i nie uwodził się namiętnościami, nie przysłoby do boju, w którym brat nastawał na życie brata. Byłto nieprzyjaciel szlacheckiego rządu, ale nie poświęcał się dla swojej idei, jak Stanisław Konarski. Rozpoczynał harce zwykle bez zasady, bo mało posiadał światła. Dlatego zbyt przesadnie wyraża się o nim Woronicz, że kto chce być np. historykiem, ma czytać Skargę. Jako dziejopisarz, Piotr Złotousty owszem bardzo małe położył zasługi; skrócił Baroniusza, i napisał dzieło elementarne, dobre dla edukacji dzieci, ale niewszędzie: *Żywoty świętych*. W pracach historycznych chodziło Skardze o to, żeby przewiódł pewne cele za pomocą historii, zbawienne, ludzkości użyteczne, ale na historii nie oparte. Za to kaznodzieją był ognistym i Piotrem Złotoustym, według wyrażenia się Birkowskiego. Uczonym nie był z powołania, ale z natchnienia: ważniejsze rozprawy w sporach, jakie zawodził z różnawiercami pisali Jezuici włoscy, a Skarga je tłumaczył. Języków nie znał, nawet po łacinie niewiele umiał. Był Polakiem nie po obywatelsku, ale po jezuicku; kochał Polskę, ale wszystkich ziomków, co nie po rzymsku myśleli, chciał wytępić. Podnosił nieśmiało rząd teokratyczny w mniemaniu ogólnym, a na czele jego chciał widzieć Jezuitów. Był narzędziem w ręku Jezuitów na dworze Zygmunta IIIgo, i nie wiedział o tém; pełny enót człowiek, nie miał dość charakteru i zdolności, żeby postępował samodzielnie; działał bez wiedzy, i nie umiał ocenić skutków. Pan Maciejowski obejrzał Skargę pod wszelkiemi względami. (Artykuł znany z *Życiorysów*).

Przeciwnikiem Piotra Złotoustego byli Moskorzowscy, Piotr i Jarosz, ojciec i syn. Byłto ludzie bardzo wymowni i wyżsi od Skargi pod względem nauki. Zostawili w pismach swoich wzory godnej tego imienia polemiki, której chodzi nie o szkalowanie się wzajemne, ale o zasady, o pożytek naukowy. Stanowisko ich, jako zacnych obywateli, wybitnie określił pan Maciejowski. Ci ludzie wiedzieli, czego chcieli, do czego dążyli; umieli ocenić stan Rplitéj, nie jak Skarga, który ładnie pisał, ale sam nie wiedział co i dlaczego?

Kacper Miaskowski był przyjacielem Jezuitów i wrogiem rokoshu Zebrzydowskiego; naśladował Pindara, nad którego przenosił go Szczęsny Herbut, stawiając naszego poetę okok jednego tylko Homera. W istocie, w Miaskowskim wiele jest liryzmu Pindara i górności, i pod tym względem wyższym jest nawet Kacper od Kochanowskiego, który za to więcej ma uczucia, tkliwości i prostoty. Pan Maciejowski na dowodzenie daje wyjątki z Pindara i Miaskowskiego, ale przekład Wiernikowskiego nieznośny i pozbawiony wszelkiej siły poetycznej, wcale nie pokazuje wysokich piękności Pindarowych pieśni.

Szymon Szymonowicz tłumaczył i naśladował Moscha, Biona, Teokryta i Wirgiliusza. W oryginalnych sielankach poplątał obrazy swojskie z mitologicznymi, twarz a nie serce wieśniaków naszych odmalował, przedstawivszy ich wprawdzie poetycznie, ale z przesadnej i ujemnej strony. Ale był Szymonowicz i postępowym pisarzem: dał polot sielance, na jaki można było sądzić, że zdobędzie się Miaskowski. Oprócz Klonowicza, nikt krom naszego poety, do poezji polskiej nie wprowadził mieszańców Rusi, i nie zbrałał ich z Polską. Pod tym względem Szymonowicz przypominał po latach kilkunastu Strykowskiemu, który wskazywał na toż samo braterstwo. Śpiewał więc poeta pieśń wesołą o ziem ruskich urodzie, smutną o ludziach, którzy ją zamieszkiwali, bo opisywał ich cierpienia, zabobony, nieszczęścia.

Szereg tych irządów, co dźwigali myśl narodową w trzecim zwrocie, aż do połowy XVII wieku, zakończył ośmnasty z kolei Fabian Birkowski, który ma r. 1636. (Artykuł znany z Pamiętnika religijnego). Wielu nowszych krytyków uważało w tym mężu ambony nadętość i przesadę, obwiniając Birkowskiego, że stał się początkiem nowej ery i makaronizmu zaprowadził do języka: to miało iść dalej i dalej, aż nareszcie zepsuli naśladowcy do szczytu piękną mowę Kochanowskiego i Skargi. P. Maciejowski oświadcza się przeciw tym krytykom, i owszem wielkie zalety upatruje w Birkowskim. W istocie, byłto człowiek namaszczony od Boga, byłto kaznodzieja obozowy, wielki, natchniony, poetyczny. Skarga z zamiarem nauczał, Birkowski budził tylko miłość do cnoty w duchu Chrystusowej nauki; tamten różnił sprawy Rplitej pomiędzy sobą. Birkowski powstawał tylko na zepsucie i bezrząd. Mówiono, że Polska miała postannictwo chrześcijańskie zastłnienia Zachodu od islamizmu, że stała na wyłomie cywilizacji, że poświęcała się dla obcych, i wiedziała o tém przeznaczeniu swoim, nie sarkając na wyroki Przedwiecznego. Otóż tej Polski na wyłomie stojącej, reprezentantem na kazalnicy był Fabian Birkowski. Polszczyzna jego czysta i niepokalana, uczucie zawsze szlachetne i wzniosłe. To myśl pana Maciejowskiego i nasza.

Tom pierwszy obrazkiem tego zacnego męża się kończy. W samęj rzeczy historia literatury p. Maciejowskiego, to rząd obrazków. Narysowane postaci śmiało i oryginalnie; prawie każdą poznajemy z innej strony, jak dotąd ją znaliśmy—dlaczego? bo przegląd p. Maciejowskiego całkowity, nie połowiczny. Widzieliśmy jak studyował nad ludźmi, przedstawiał nam postęp ich wyobrażeń, rozwój ich zdolności, zamiarów, chęci: przedstawiał nam ich ze strony obywatelskiej, ze strony egoistycznej, i dał nam przeglądy ich pism: bibliograficzny i historyczny. Jednym słowem nie stawiał nam faktów oderwanych ciała albo ducha, ale wspólnie malował nam i ciało i ducha. Zbiorowy człowiek, to naród: otóż zbiorowy literat, to duch narodu wcielony w słowo, zawarty w księgach. Była chwila, że dzieje literatury widziano w biografiach autorów; czasy zmieniły się, a studia p. Maciejowskiego to studia pierwsze dopiero na wielką skalę.

Wiszniewskiego dzieło znakomite opiera się jeszcze w znacznej części na cudzych badaniach. Są rozdziały w niem całkiem przepisane, albo skrócone z rozpraw pojedynczych, akademickich albo doktorskich. Zdanie

więc niezawsze uzasadnione, bo nigdy tego dosyć powtarzać nie można, żeśmy niedawno, bardzo jeszcze niedawno, na drogę pracy, takiej jak należy, wstąpili. Dawniej, jeżeli były usiłowania, to pojedynczych ludzi, bez wpływu i rozgłosu. Dzisiaj, takie prace, jak p. Maciejowskiego otworzą oczy, wpływ wywrą—dlaczego? bo widzimy, że już nie w jednóm kółku i nie jeden pojmuje potrzebę pracy, i wie jak się wziąć do niej. Otóż wracając do Wiszniewskiego, nawet sam ogrom i plan przedsięwziętego dzieła sprawiał, że historia literatury polskiej kuleć musiała. Professor krakowski podług materyj przechodził historią, i lubo trafniej dzielił ją na epoki jak wszyscy przed nim i po nim, przecież nie spostrzegł, że ten podział nielogiczny. Ztąd pokazywała się często potrzeba powtarzań, a zawsze kompilacyi. Wiszniewski zbierał naprzód wszystko bez ładu, potem kiedy ogrom materyałów przechodził siły pojedynczego człowieka, zbierał to, co osądził za ważniejsze: wielu rzeczy nie wiedział, wiele źle nazwał. Kraszewski w *Studiach literackich* dał nieraz i nie o jednym pisarzu trafne zdanie, ocenił ich z wyższego stanowiska, ale nieraz też nie mógł uzasadnić swoich myśli i powtarzał na ślepo co mu się zdawało. O innych nie ma co mówić.

Panu Maciejowskiemu prędkiej i zręczniejsz poszła robota dla samego sposobu, jakim się wziął do rzeczy. Schwycić cały ogrom trudno, ale pojedynczego pisarza można przejrzyć i oznaczyć dobrze jego stanowisko, kiedy się go przeczyta, wystudjuje, oceni. Gdyby każdy tym sposobem postępował i wziął sobie jednego, drugiego, miernego albo wielkiego pisarza i nad nim pracował, znalazłby się potem ktoś, ktoby i dzieje literatury napisał, przechodząc je podług przedmiotu i na wszelki inny sposób na jaki pisać podoba się i można. Dotąd, to niepodobieństwo. Pomimo wszelkich usiłowań, Wiszniewski dał nam okruchy; Maciejowski daje nam całość, o ile pojmujemy jego systemat. Nie powiemy, że Maciejowski już napisał wszystko, co tylko da się napisać. Jego rozprawy jak np. o Skardze i Kochanowskim są pierwsze, i dlatego oznaczyły nam dokładnie stanowisko pisarzy, nie wchodząc we wszystkie ich osobliwości, zasługi i przynioły. Ale widzimy naprzód ludzi wpływowych, którzy oznaczali kierunek; zobaczymy w drugim i trzecim tomie naśladowców, którzy szli za kierunkiem z góry sobie danym. Tak wszystko w *Piśmiennictwie* zaokrągla się w całość.

Taki sposób obrabiania dziejów literatury, objaśnił nam nietylko życie i znaczenie pisarzy, ale jeszcze odkrył nam wiele ciekawych szczegółów ważnych dla historii książek i wiele nastreczył zastosowań nieobojętnych dla przeszłości. Opis *Postylli Reja* nowy i dokładny. Poznaliśmy też lepiej drugie jego dzieło: *Ewangelie i Epistoly*, które dał nam poznać Jocher i które z innego wydania opisuje p. Maciejowski: książkę Juszyński plótl jeszcze o tój książce przedpotopowe jakieś powieści. W *Zwierzynku* Reja błądzimy jak w lesie, który nam ma przedstawiać malowniczą Polskę, niby na pokaz nędzemu pokoleniu, jakimi to byli naddziadowie; w *Zwierzynku* kraj nasz opisany historycznie, religijnie, politycznie, miejscowo, moralnie i humorystycznie. Autor rozwija w oddzielnym ustępie swoje myśli, gdzie szukać należy pism Reja zatraconych. Podaje też za nową datę jego urodzenia rok 1507, stawiając dowody prze-

ciw Sobolewskiemu, który twierdzi, że Rej rozpoczął życie r. 1505, i przeciw Trzeciekiemu, że r. 1515. W innym miejscu p. Maciejowski zastanawia się nad tém, kiedy *Droga do wolności* Górnickiego wyjść mogła, żeby sprawić skutek na szlachcie? Droga ta zalecała nam za wzór Wenecyą.

Pod Paprockim autor rozwinął dzieje herbowania się polskiego: ogromnyto ustęp i świeży obok badań Joachima. Widzimy też dlaczego chodzi wieść o takiej mocy nieznanych dzieł Paprockiego, chociaż ich niema połowy: nasi bibliografowie, pokazuje się, artykuły brali za książki. Zbylitowskiego p. Maciejowski porównywa z Górnickim i t. d. Wszystkie te rozprawy i wnioski stanowią ustępy w Piśmiennictwie. Zwyczaj to pana Maciejowskiego, że mówiąc nam już o czém jednym, powie zaraz i o drugim, co jest ciekawe albo ważne.

Chcieliśmy powiedzieć w końcu sprawozdania naszego, który artykuł lepszy i staranniej wypracowany, ale to nie sposób: każda postać wydaje się tak oryginalna, tak jeszcze nowa i nieznaną! Im większa rozprawa, tém ciekawsza, a w takim rozumieniu rzeczy, pierwszeństwo oddajem artykułom o Reju, Kochanowskim, Klonowiczu i Skardze.

Zapewnie nie w jednym wypadku, z wnioskami p. Maciejowskiego około pojmowania przeszłości nie zgodzą się recenzenci. Co do nas, że trudno rozpisywać się obszernie, bo i tak artykuł nasz ogromny, chcemy wyjaśnić względem jednego tylko rozumowania autora. P. Maciejowski nie wypowiedział nam jasno całej swojej myśli o Jezuitach, o szlachcie, o Zamojskim. Wszyscy oni z kolei winni, ale niechże wiemy czego winni: Jezuita, że posiali fanatyzm, szlachta, że zbyt się rozbijała i sprowadziła nierząd, Zamojski, że nosił płaszcz na dwóch ramionach: pochlebiał szlachcie i pogardzał nią. Wszystko to może prawda, ale to jeszcze niewiele objaśnia rzeczy. P. Maciejowski utyskuje za monarchią polską i żałuje, że się w Rplitą nierządną zamieniła, więc nie jest w przeszłości stronnikiem rządu szlachty. Jakićż chciał monarchii? Wenecya była wzorem dla arystokratów i oligarchów, ale i Wenecya guiewa naszego autora. Tak szukamy autora myśli i znaleźć jej nie możemy, i nie zgadujemy, co w jego pojęciu stanowiło ideał rządu dla dawniej Polski. Gdyby nam autor mocno te granice władzy i siły odkreślił, widzielibyśmy jak na dłoni, co myśli o przeszłości, widzielibyśmy co zarzuca Jezuitom, co szlachcie, co Zamojskiemu, co Zygmuntovi III, który powstał przeciw rokoszowi Zebrzydowskiego? Gdybyśmy widzieli te posady rządu i na gorącym uczynku w jego książce łapali stronnictwa, że jedno na to, a drugie na tamto godziło, obraz byłby zrozumialszy, jaśniejszy. Tak np. autora Dworzana słuchał p. Zamojski, który według słów p. Maciejowskiego, wiele złego narobił przez to, że oddał rząd w ręce szlachty, a potem sam poznał błąd i psuł własną robotę. Zdanie to zdaje się nam cokolwiek za przesadne. Zamojski dałby nam podług tego powszechne głosowanie szlachty—nie: on zastosował je tylko do jednego czynu, do elekcji króla; kiedy Zamojski przyszedł już do władzy, szlachta znać była wszystko. Potoku tego ani on, ani Górnicki, ani Skarga wstrzymać nie mogli. Że budował arystokracją i sprzyjał jej pod koniec życia, to widoczna. Ale

że utrzymywał przywileje swego stanu, kiedy był młodym, przypiszem to w części uczuciu własnej dumy, a w części chęci ubiegania się o popularność.

Tak też i duchowieństwo rzymskie w Polsce, pokazuje się, ciągle walczyło ze szlachtą i sprowadziło na nią Jezuitów. P. Maciejowski nie rozwija tego wcale, dlaczego wspólnym usiłowaniom całego zakonu Lojoli nie udało się zreformować Polskę, stosownie do wzoru, jaki sobie wystawiał? Wszakże szlachta za zbyt rozbijała się i trzeba było ten jej zapal poskromić; wszakże Jezuiti nie tylko ogłaszali jedność wiary, ale i *absolutum dominium*, i dlatego wypędza ich z kraju rokosz Zebrzydowski? Jeżeli ścieśnienie granic swobód szlacheckich mogło wyjść kiedy na dobre, to Jezuiti dla tego dobrego kładli kamień. Powiadają wiele o zamierzonych reformach Batorego, którym śmierć przeszkodziła. Nie wiemy nic o nich, ale znał zbliżka całą tę prawdę Zamojski: czemuż nie działał, wszakże był potężny czas długi i po śmierci nawet króla Stefana. Druga rzecz, którą widzim z téj walki wzajemnej stronnictw, jednego rozwijającego się, drugiego tamującego postęp, jest, że duchowieństwo ciągle było w opozycyi ze szlachtą, która goniła to za hussytyzmem, to za protestantyzmem, to za swawolą; więc duchowieństwo także pojmowało położenie rzeczy, wiedziało do czego wyuzdana wolność prowadzi, a czemuż tak nietrafnie działało? Sprowadziło Jezuitów niy na lekarstwo, a lekarstwo gorszem się pokazało, od choroby. Więc duchowieństwo upadło w siłę, w potęgę, w srodkach? więc czyż nie lepiej było nic nie robić i opuścić ręce? Co chwila napotykamy na te ciemności, które się nastreczają zawsze, ile razy sobie powtarzamy główne wywody autora. Dla nauki, dla objaśnienia tak ważnej kwestyi, jaki był powód upadku sił moralnych w Rplitej, te siły trzeba było w grę wprawić, pokazać czém były i czém być mogły. Krzyczą wszyscy na bezrząd w dawnéj Polsce; nie, tam zupełny nie był bezrząd, tam było wiele sił, które zapewniają życie słabszym konstytucyom narodowym. Miłość rodzinna, drużynna, była tam w pełni swojego rozwoju. Pobożność tam była, poszanowanie dla przodków bliższych i dalszych, instynktowe pojęcie o prawach i godności ludzkiej; nawet w Rplitej głęboki szacunek dla majestatu. Trzeba głębiej wnknąć w przeszłość, trzeba całą prawdę wypowiedzieć, a nie półsłówkami oskarżać wszystkich z kolei, żeby pojąć co złego zrobili Polsce Jezuiti, protestantyzm, Zamojski i szlachta. Autor winien nam odpowiedź i spodziewamy się, że jej w dalszym ciągu dzieła dać nie zaniebda dla nauki. Wszakże o nic nam nie idzie, jak tylko o wyrozumienie myśli pana Maciejowskiego, bo zresztą o téj rzeczy mamy sąd własny.

W końcu, jako przyjemną nowość donosim naszym czytelnikom przy téj sposobności, że z *Pismiennictwa* Maciejowskiego dowiadujemy się o innych ciekawych pracach, które się gotują dla dziejów języka albo literatury. Mamy następne ślady i obietnice:

1) Autor obiecuje nam wydać z czasem orytle czyli statuta miejskie, które w wyjątku drukuje teraz w dodatkach (str. 371).

2) Pan Emanuel Glücksberg (Franciszek Chlewaski) zajmuje się rozległemi studjami nad Janem Kochanowskim, które nam wykażą, ile

wieszcz Czarnolasu czerpał ze wzorów starożytnych. Pan Maciejowski mówi, że Kochanowski był dla Polski XVI wieku całą literaturą, bo miał zadanie podawać nam wzory, które naśladował. Badania Glücksberga tego dowiodą, przekonają, że nie narodowego w Kochanowskim nie ma (str. 502).

3) Autor Piśmiennictwa obiecuje nam dać niektóre spostrzeżenia nad celem, jaki miał Strykowski przy układaniu swojego dzieła, a źródła rozważy przy szczegółowym rozbiórce piśmiennictwa Rusi i Litwy. Te dzieje piśmiennictwa naszego nie czysto polskiego, stanowić będą tom dodatkowy. Myśl przeszliczna, dotąd przez nikogo nieobrabaniana (str. 569)

18 grudnia 1851.

Julian Bartoszewicz.

Pamiętnik o życiu Łukasza Gołębiowskiego, wydany przez jego syna. Warszawa. W drukarni St. Strąbskiego. 1852. 8ka. str. 111.

Głosno i dobrze znane imię Łukasza Gołębiowskiego! Lat kilkadziesiąt ciągle, czytająca publiczność wdrażała je sobie w pamięć, coraz nowymi pracami. Główna zasługa na polu dziejowym, i ogrom też pism, jako wieczysty pomnik po sobie zostawił. Towarzysz prac Tadeusza Czackiego, zamienia pióro na pałasz, wraca, niedługo do literackiej broni, i odtąd śmierć mu ją tylko z drżącej i zimnej dłoni wytrąca.

W ostatnich czasach Rplitej przeżył swoje młodość Gołębiowski, świadek tylolicznych zmian krajowych: poznał i pojął przeznaczone sobie stanowisko; wiernie się też na niem utrzymał przez ciąg długiego żywota, w którym rok każdy karbował nową zasługą dla literatury naszej. Jeżeli był świadkiem tylu zmian politycznych kraju, był świadkiem zarazem i potężnej zmiany, i zupełnego przewrotu w pojęciu literatury, i w rozwoju na nowej zupełnie drodze. W jego oczach zaczął się (mówiąc owoczesnym językiem) upadek klasycyzmu, a narodziny, wzrost, i zolbrzymienie szkoły romantycznej. Wszyscy Gołębiowskiego przyjaciele (wyjąwszy śpiewaka Wiesława), współpracownicy, ludzie utalentowani, którzy berło poezji dzierżyli, przyjęli wschodzący gieniusz młodości uśmiechem szyderczym. A gdy pod swój sztandar zagarniać zaczął i myśl i serce, a wzrastać w potężny zastęp, wystąpili do walki. Krótka, zbyt słaba ta walka była: pobite stare falangi, w rozbitkach swoich zawsze nieugięte, patrzyły oślepiałym wzrokiem na tryumfalny pochód zwycięzców. Naoczny świadek tego starcia, Gołębiowski, pojmuje do razu tę zmianę, i z zapalem zabiera się do pracy, która myślą i planem, chociaż niezupełnym wykonaniem, na owe czasy wielką wyswiadczyła przysługę. On pierwszy chciał dać obraz życia domowego Polaków, i w 4 tomach dopełnił tego obrazu wydaniem badań to O Ubiorach w Polsce, to Gry i zabawy, Domy i dwory. W ostateku Lud polski, jego zwyczaj, pieśni i przesady.

Pomoc to była wówczas niemiała dla artystów naszych. Nie roz- bieramy tu krytycznie prac Gołębiowskiego, wspominamy tylko jakie zaj- mował stanowisko w swoim okresie. Krytyka przecież choć najsurow- wsza, przyznać musi, że w pracach tego pisarza znać postęp znaczny, i pojęcie lepsze powołania dziejopisarza.

Wracamy do pamiętnika.

Opuściwszy Warszawę w 60 roku życia, złamany pracą ciągłą i mo- zolną, w małej osadzie Kaźmirówce w Hrubieszowskiem osiadł, i wśród wiejskiego zacisza, rolnych zajęć, orzeźwił i odżył na nowo. Tu, za- czął pisać swój pamiętnik, przywodząc na pamięć przebieżony żywot.

„Wspomnienia młodości (mówi), wspomnienia lat dziecinnych, ileż razy w ciągu życia przychodziły mi na myśl, jakże i starcowi jesteście miłe! Rodzinne gniazdo moje, Pokoście, o mógłbym cię dziś jeszcze od- malować, wiernie odmalować, takim, jakim byłeś wtenczas. Każde wa- sze drzewo, liść każdy, najmniejszy kwiatek pamiętam: mógłbym was zaludnić temi samemi zupełnie istotami, które cię ożywiały, upiękniały w tej porze, a tyle lat jak was nie widziałem, i nie ujrzę więcej!”

Z całą prostotą dziecinnego wieku, z sumiennością prawego męża, spowiada się z całego życia swego w tym pamiętniku. Rzewny to obraz, jest na przemiany wesoły i smutny: a taka w nim prawda wybija, tak znaczne uczucie na każdej karcie, że dobrą twoją wiarę zjednywa sobie. Kochasz go, choć go nie znależ, bolejesz jego troską, cieszysz się powo- dzeniem, i współczucia serdecznego nie odmówisz, gdy przeczytasz list, pisany do dzieci po utracie małżonki, wierniej towarzyszeki lat tylu: cios straszny dla starca, którego nie potrafił przeżyć.

„Wielka żalność wasza; cóż się z moją żalnością porówna, który w niej straciłem cały powab życia, wszelką pociechę. Jeśli dzieci bez matki sierotami, starzec bez żony, bez takiej żony, bardziej jeszcze siero- tą. Czterdzieści jeden lat upłynęło pożycia, upłynęło jak chwila; dziś po- został żal tylko i smutek, aż do końca niebardzo zapewne oddalonego dni moich. Kiedy przed wyjazdem rozmawialiśmy swobodnie, kiedym od- jeżdżającą widział tak pełną sił życia, zdrowia, mógłbym się spodziewać, że to ostatnia rozmowa! Ah Boże, Boże! Ci, którzy z sobą żyli tak zna- czny przeciąg czasu, a żyli z wzajemnem przywiązaniem i szacunkiem, szczęśliwiej byłoby, żeby umierali razem.”

„Modłę się za nią rano i w wieczór, modłę kiedy mię smutek wię- ciej naciśnie, modłę kiedy noc bezsenna, choć życie jęj tak cnotliwe, tak prawe, tak szlachetne, że modłów naszych nie potrzebuje.”

„Są chwile, kiedy się zapominam w mém nieszczęściu, kiedy mu nie wierzę poniekąd, i oderwawszy się od książki, która mnie zajęła, albo machinalnie trzymam w ręku, i niby czytam, a nie rozumiem: szukam jęj oczyma, szukam jęj myślą; lecz smętna rzeczywistość zwraca mnie znowu mojęj niedoli, i żal nowy serce ściska.”

Nie dziw takiego żalu, bo ileżto jęj wspomnień w pamiętniku zo- stawił. Kiedy je czytamy, mimowoli hołd i cześć takiej niewieście skła- dać musimy.

Od jęj śmierci stracił swobodę myśli, pochylił się jak gdyby mu dziesięć lat życia przybyło, z każdym dniem widocznie opadał na siłach.

Chodzić już sam nie mógł, prowadzono go pod rękę, i tak z trudnością kilkanaście razy przesunął się przez pokój; była to zwyczajna jego przechadzka: resztę dnia siedział w krześle smutny i mało mówiący. W dniu 7 stycznia 1849 r. umarł. Ciało jego złożono w Gródku Nadbużnym, obok zwłok żony.

Towarzysz prac Czackiego, od zawiązku biblioteki poryckiej, aż do jej wcielenia do puławskiej bibliotekarz, następnie w Puławach, a wezwany do Warszawy czynny członek b. Towarzystwa król. przyjaciół nauk, komitetu egzaminacyjnego, professor historii w Instytucie pedagogicznym, prawy i szlachetny pracownik na polu literatury, był ścisłą przyjaźnią złączony z Ludwikiem Kropińskim, i Kazimierzem Brodzińskim. W końcu pamiętnika wydawca szczęśliwą myślą wiedziony dołączył pięć listów Klementyny Tańskiej, pisanych do Łukasza Gołębiowskiego, cztery listy Brodzińskiego, i jeden L. Kropińskiego. W tych listach jak z jednej strony wydatniejsze szacunek i przyjaźń dla autora pamiętnika, z drugiej daje nam ważny materiał do życiorysów Tańskiej i Brodzińskiego.

Gołębiowski czynnie wspierał redaktorkę Rozrywek. Używał jej rzadkich dzieł polskich, zachęcał, sam pisał wiele rozpraw do jej pisma. Każdą też pracę swoją Tańska oddawała pod sąd jego, wymagała jego zdania.

„Pan Gołębiowski (mówi w jednym z listów swoich) z tego się spowiadać powinien, bo mnie swoją niezmezoną dobrocią ośmiela.”

Tegoż samego roku kiedy opuścił Warszawę Gołębiowski, i już się osiedlił w szczupłej swój wiejskiej zagrodzie, pisał do Brodzińskiego o szczęściu jakiego tam doznaje w gronie rodzinném.

„Winszuję ci go z rozrzewnieniem serca, (odpisuje nasz poeta), winszuję jeszcze bardziej że go tak czujesz; pragnę, aby jak najdłużej nic go zatruć nie mogło. Jestto wielka ulga w boleściach naszych powszednich, słyszeć o czyjém dobrém powodzeniu: cóż dopiero tak drogiego sercu mojemu przyjaciela. Rozpogodziłeś panie smutne moje myśli, i zdaje mi się, że kochany mój Gołębiowski już jest na szczęśliwej wyspie, do której i ja wszelkim sposobem dążę; ale podobno nieraz jeszcze trzeba mi będzie gorzkiego morza się napić. Nadziei jednak nie tracę, że twoim wzorem, kiedyś to biędne życie dokonywać będę.”

„Pojmuję przyjemność twoją z uczuć jakich doznałem, gdym się za rogatki warszawskie wydostał. Wszak ja to śpiewałem jak chłopiec gdy z karczmy wraca, chwytałem ręką i listki i kłosa po drodze, marzyłem... ale śmielibyście się z biędneho wierszopisa, w którym ludzie zawsze pewne szusy upatrują.”

W drugim liście wyraża:

„Jakżeto pocieszający list czcigodnego przyjaciela, że mi potwierdza wiadomość o swojej pomyślności, którą dawniej brałem tylko za pierwsze uniesienie, jakie sprawić mogła zmiana życia, i wyswobodzenie od miejskich kłopotów. Wiem ja dobrze, że szczęście twoje, zacny panie, ma dużo warunków; ale że w sobie jest takie, jakiego tylko cnotliwe dusze używać mogą. Używaj go w pełni i jak najdłużej; niech ci wydaje wszystko, jak dobra ziemia Kaźmirówki. Ale i to mi jest wielką ośłodą, że tak zacny mąż, z całą rodziną daje mi dowody przywiązania, na które

obym tak zasłużył, ile cenić umiem. Wierzaj mojemu przeświadczeniu, że nad wszelką sławę i fortunę ten się wyniósł, kto dobrą chęcią na życzliwość ludzi zarobił. Mądrze to przodkowie nasi z jednego źródła wyprowadzili życie i życzliwość, bo tylko w życzliwości ludzkiej prawdziwie żyjemy."

„Co ojciec, sąsiad, kapłan i pisarz, z serca do serca podał, to tylko przyjmuje się, kwitnie, wyda owoce i nasiona, i tak ciągle odkwitać będzie. Wszystko zresztą co wyrachowane jest na sławę, wrazenie, co z egoizmu powstało, to jest błyskotką, która nie zostawi po sobie. Z rodzin powstały narody, duch narodu wraca do rodzin. Sława odosobniona jest nikłym zjawiskiem, za którym gonić niewarto; sława każdego zgorzeć powinna w jednym powszechnym ognisku."

W następnych dwóch listach donosi Brodziński do jak ciężkiej zaciągnął się roboty, przyjmawszy redakcją Magazynu Powszechnego. Trudził się i mozolił nad artykułami o mechanicznych kuglarzach, zoologii i t. p. Opisuje ostatnią podróż swoją do Krakowa, i chorobę, z której już nie wyleczył się wcale. A ciągle śpiewak Wiesława marzy, że i on odetchnie swobodnie na wiejskiej grzędzie. Niestety, na obcej ziemi umarł, i w obcej ziemi spoczywa.

Czytając ten pamiętnik, bacząc jak w zaszłych latach, w sędziwym wieku pisał go Gofębiowski, dziwić się potrzeba nad żywością stylu, obrazowością w nim poetyczną, i owym tchnieniem młodzieńczym, któremi napiętnował każdą stronicę, każdy wiersz niemal. Cała ta spowiedź starca, pełna obrazów rzewnych i szczęśliwego pożycia w rodzinnym kole, dotykając zdarzeń krajowych, przywołując świetne w dziejach literatury naszej imiona; z całym zajęciem czyta się, a po przeczytaniu wraża cześć i szacunek dla pamięci zgasłego meża!

K. Wł. Wojcieki.

Mineralogia profesora Jastrzębowskięo.

Mamy przed oczyma nową pracę prof. Wojciecha Jastrzębowskięo, pod napisem: Mineralogia zastosowana do potrzeb życia praktycznego i do rzeczy krajowych. Warsz. w drukarni Tomaszewskiego, w 8cc więk. str. XVI i 418.

W tém dziele odbija się dążenie p. Jastrzębowskięo, aby przeprowadzić dalej ulubioną myśl czworodzielnego rozczłonkowania umysłowych pojęć i rzeczy pod zmysły podpadających; na nięm opiera wszystkie swoje podziały, na nięm wznosi całokształt swęgo wykładu. Zrazu widzimy, iż wymienia zaczątki (elementa), głązy (solida), porządki (regularia) i wizerunki (simulacra). O pięrszych, zda nam się, mówił w swęj Stychologii, na drugie teraz kolej, przychodzi; pozostaje przedstawić porządki w kryystallografii, a wizerunki w paleontologii.

P. Jastrzębowski i w gładach cztery wynalazł kategorie, rozróżnia w nich bowiem: kamienie (litologia), skały (petrologia), gruzy i zwaliska, z których dwa ostatnie jakim sposobem do jego mineralogii weszły, jeszcze jasno o tém sprawy sobie zdać nie umiemy. Obecna książka ma mówić tylko o kamieniach, które przeto stanowią gromadę pierwszą w powyższym podziale, a zostaje nam jeszcze nadzieja ujrzenia w następnym tomie rozdziałów o skałach, o gruzach i o zwaliskach, aby uzupełnić konieczną tetralogią.

W téj pierwszej gromadzie znów są cztery rzędy:

1. Żywce, jakoto: lód (z wody), siarka, bursztyn, węgiel i salmiak.
2. Bodźce (alcalia) potaż, soda, wapno, baryta, stroncjana.
3. Ziemce: magnezya, glinka, krzemionka, cyrkon, toryna, glucyna, itrya; wreszcie:

4. Kruszcze, a tu znowu:

Krusche rzadkie: cerer, tytan, uran, tungsten, molibden, tantal. *Krusche* pospolitsze: manganec, chrom, kobalt, arsenik, antymon, bizmut. Ciągłe śniedziejące: cynk, kadm, cyna, ołów, miedź, żelazo, nikiel. Ciągłe szlachetne: żywe srebro (rtęć), srebro, złoto, platyna, pallad.

Bynajmniej nie śmiemy sprowadzać autora z drogi téj podziałów, na której go głębokie myślenie wiedzie; lecz widać, iż twarde natrafia przeszkody, bo np. na str. 40 brak mu pierwszego z czterech wyrazów w podziale, jaki ustanawia dla budowy gładów.

Układ p. Jastrzębowskiego jest zupełnie nowy, uczeni mineralogowie nań się nie zgodzą, lecz gdy nie mamy w dzisiejszym stanie nauki wszystkich zadowalniającego lub ogólnie przyjętego systematu mineralów, przeto p. Jastrzębowski swój układ usprawiedliwiać może tém, iż sobie założył stosować się do potrzeb życia praktycznego, iż nie pisze dla nauki mineralogów, lecz trafić zamierza do pojęcia większości, łaknącej wiadomości użytecznych z mineralogii, ciekawej poznania rzeczy krajowych, a sposób swój uważa za pomagający pamięci swych słuchaczy, gdyż zapewne podobnym do téj książki jest wykład jego nauczycielski w praktycznej szkole agronomii, powszechnie chwalony. Otóż pod tym względem p. Jastrzębowski nie chybił celu, bo książka jego, która nie obejmuje wszystkich części mineralogii, i po wstępie podziałowym, bezpośrednio przystępuje do opisu mineralów; nie wdaje się tam w żadne erudycye drobiazgowy, zwłaszcza o mniej znanych lub mniej użytecznych mineralach, lecz istotnie zajmuje się głównie samymi najwięcej znanymi mineralami, a przedewszystkiém krajowemi; przy tych, wymienia ich miejscowości, i obszerniej nad nimi się rozwodzi: stąd téż jest przystępną, a dla niemineralogów nader użyteczną. Język jest czysty, jasny i pojętny, słownictwa użył prawie tego, jak tłumacz Beudanta; same zaś opisy są bardzo zajmujące, ciekawe, oparte na wiadomościach sumiennie i pracowicie na miejscu znajdowania się zebranych. Nie przepomnijmy najważniejszej zasługi p. Jastrzębowskiego. Po mineralogiach Drzewińskiego, Kumelskiego, Jakowickiego według przestarzałego układu Wenera i dlatego dziś do żadnego układu nieprzydatnych, po krótkim katalogu Berzeliuszowego systematu mineralów przez L. Zejsznera, i po przepolszczonej mineralogii Beau-

danta, występuje p. Jastrzębowski, lecz z dziełem własnego układu i krajowym minerałom obszerniej poświęconém. Kto zna czém jest taka praca, jaka jest wartość wytrwałości wieloletniej w zmudném zbieraniu spostrzeżeń na miejscu, kto tak piękne dążenia ocenić potrafi, ten zrozumie jaką wdzięczność mieć powinniśmy dla szanownego prof. Jastrzębowskiego za ważną i użyteczną książkę, jaką nas dziś obdarzył.

Warszawa, d. 12 grudnia 1851 r.

H. L.



ROZMAITOŚCI.

WASIŁOWA CHATA.

Obrazek z obyczajów okolic nadbużnych.

Smutnyto kraj Podlasie: darmobyś w nim szukał wesolych wzgórzy, dobrze zbudowanych wiosek, i rozległych zielonych równin, jakimi się Lubelskie poszczycić może; wszędzie równiny pokryte piaskiem, błotami lub sosną, po nich rozsiane nędzne wioski z cerkwiami, liczne przy drogach krzyże; a jeśli natrafisz na jaki wzgórek z którego swobodniejsz zechcesz dać pobujać znudzonemu oku, to ci wnet ściana smutnego sosnowego lasu dalszy widok zasłoni. A spojrzysz na postacie wieśniaków snujące się i kłaniające ci się do ziemi gdy przejeżdżasz: mężczyźni i kobiety o cerach twarzy ogorzonych i chorowitych, dzieci drobne przerażającej bladeści, młode dziewczęta bez rumieńca na twarzy, a sioła ich, sioła, jakże nędzne na Podlasiu! Gdy widzisz ten rząd chat wałących się, nawpół w ziemię zapadłych i oblanych błotem dokoła, ze smutnym zdziwieniem zapytujesz się, jak w nich ludzie mieszkać mogą? A jednak w podobnej chacie mieści się wieśniak z liczną zazwyczaj rodziną i w niej przepędza wiek swój cały, wiek ciężkiej pracy, przepłatany tylko niekiedy hulanką w karczmie lub modłami w cerkwi.

Najweselsze i najwięcej różności mające okolice Podlasia są nadbużne. Zbliżając się do rzeki otwartzsze masz przed sobą widoki, liczniejsze napotykasz wzgórze, częstsze jeziora i rzeczutki przerywające błonia i z szumem pospieszające zlewać swe wody w koryto Buga, który pośredkiem obszernych łęg bujną porośniętą trawą, płynie poważnie i cicho. Wzdłuż jego stromych brzegów napotykasz to laszek brzoź i wierzb, to krzyż drewniany postawiony przez flisów, to wieś lub dworek pański, a z tamtej strony rzeki podobne wioski, lasy i wzgórze: — to Polesie wołyńskie.

Wiosną szczególnie, wesolą postać przybierają brzegi Buga; gdy woda wzbierze, wówczas liczne tratwy i galary spławiające drzewo lub pszenicę do Gdańska, pokrywają jej powierzchnię: plusk drygawek, wo-

łania flisów i retmana, wesołe piosnki echem roznoszą się po laskach, świeżym liściem szumiących przy brzegach.

Na jedném ze wzgórz ciągnącém się nieopodal Buga i przedzieloném od rzeki obszernemi łęgi, osiadła wioska, wioska jakich wiele na Podlasiu: nędzna, poczerniała, waląca się, o lichych chatach przedzielonych od siebie podobnie nędznemi stodółkami i kawałkami ogrodów, z których gdzieniegdzie sterczała grusza lub jabłoń, przedwcześnie z owoców oberwana. Ulica błotnista opatrzona z początku skrzypiącym kołowrotem, przedzielała wieś na dwie części: po jednéj stronie stała resursa chłopów, karczma, z zielonym na dachu mchem i pogniętymi krokwiemi, napróżno roztwierająca swe spaczone wrota dla podróżnych, bo tok w stajni trawą i chwastem porosły, przy żłobie krów kilka szynkarskich, wszystko to świadczyło, że już zapomniano czasów, w których jaki podróżny odwiedzał to rumowisko. Po drugiéj stronie ulicy o kilka chat od karczmy oddalona, osiadła stara czarna cerkiewka z dzwonnica w cieniu odwiecznych lip, błyszcząca dużym krzyżem na pochyłej kopule. Ztądto wiodła dróżka na pola i na mogilki licznemi w oddali najeżone krzyżami:—miejsce kresu żywota chłopków téj wioski.

Tą nędza budowli wiejskich, rażącą przedstawiała sprzeczność z budową dworu dziedzica, bo tą ostatnią był okazały pałac, z pięknym angielskim ogrodem, murowanemi stajniemi i spichlerzami. Oddalił on się od wioski i z pogardą zdawał się spoglądać na jęj nędzne chaty, potulone, poczerniałe starością.

Na samym końcu sioła, niedaleko sosnowego lasu, przy rozdrożu z krzyżem, od innych chat oddalona, jak gdyby wstydząc się swéj lichoty, stała chata z kawałkiem ogrodu jak inne, dwiema gruszami, stodółką i chlewkiem przytulonemi do jednéj jęj ściany. Dach chaty zapadły, mchem i zielem porosły, świadek wielu burz i wiatrów, nachylił się jedną stroną prawie do ziemi: na wierzchu wydrążony okrągłak, zastępował miejsce komina. Drzwi skrzypiące wraz z ścianą, pochyliły się w tęż co i dach stronę, spaczone, popruchniałe; dwa okienka tak małe, że z nich głowy wychylić niepodobna, brudnemi kawałkami szkła zasłonięte, miałyienne do chaty wpuszczać światło; na płocie z chrustu, otaczającym niybyto dziedzińczyk, służący zarazem za dREWUTNIĘ, zatknięto miotłę na wysokim drągu, w płachtę, obwiniętą do wycierania komina. Przy drzwiach leżał kłoc dębowy co służył za ławkę, a dokoła tego prawie nigdy niewysychająca kałuża, duszącemi wzyewy napełniała powietrze.

A wewnątrz, wewnątrz jeśliś słabych nerwów, nie radząc zaglądać do chaty podlaskiego chłopca; wewnątrz nisko, duszno i ciemno od dymu, wilgotno od toku zastępującego miejsce podłogi. Tuż przy drzwiach komin i piec niezgrabny z przypieckiem, dalej dwa tapczany stoma pokryte, stół prosty dębowy, kilka bohomazów z odpustu na ścianach, w kącie żarna i ława, na prawo za piecem drzwi niskie wiodące do alkierza zarzuconego gospodarskiemi narzędziami, w którym jeszcze ciemniej i duszniej, jak w piérwszój izbie:—oto i wszystko; a jednak chata to jednego z zamożniejszych gospodarzy wioski, chata *Wasila Sidoruka*: w niej się urodził, ją dostał w puściznie po ojcu, i jeszcze ją dzieciom ma nadzieję zostawić. W niej przeżył lat 50 swego żywota, 20 i kilka szczęśliwego z żoną *Zos-*

każ pożycia, i dochował się trojga dzieci: 20stoletniego *Harasyma*, chętnego do pracy chłopaka, 19stoletniego *Hrycia*, i 16stoletniej *Pałaszki*, której miejscowe a nawet z sąsiednich wiosek dziewczki zazdrościły smagłej choć bladłej twarzy, czarnych jej oczu i włosów, i o którą już niejeden parobczak starał się na próżno, bo rodzice nie chcieli ją jeszcze wydać za mąż, mówiąc, że zamłoda.

Wasil był wzrostu wysokiego, rysy ogorzałej twarzy grube, oczy i włosy czarne, zęby śnieżnej białości; jednak w tych grubych rysach, w tych czarnych oczach malował się naturalny rozsądek. Mowny był dosyć, bo też *Wasil* bywalec zwiedził kawał świata: płynął z pszenicą nieboszczyka jegomości do Gdańska, widział ten gród odwieczny, widział morze i okręty, a gdy do swój powrócił chaty z gościńcem dla żony i dla dzieci, opowiadania było na czas długi, i ta wędrówka była epoką, do której sam i cała jego rodzina wspomnienia każdego najmniejszego wypadku odnosiła.

Tymczasem żyli pracując ciągle: *Wasil*, *Hryć* i *Pałaszka* odrabiali pańszczyznę, *Harasymowi* pańskiej kazali pilnować stadniny, a słabowitą *Zośkę* bardzo często do pielienia pańskiego lub ekonomskiego zajmowali ogrodu.

Pan *Wercikowski* ekonom dokazywał awantury; mieszkał sobie w oficynie pałacowej, księdzu nierogaciznę strzelał, ze strażnikami się kłócił, kradł i zbogacał się jak mógł, zapruszał się często, a wówczas biada była: temu, kto mu się pod rękę nawinął; i choć dziedzicem był młody pan hrabia, pan dobry i kochany od chłopków, na nieszczęście ten nigdy w domu nie siedział, za granicą wciąż przebywał, zostawiwszy *Wercikowskiemu* pełnomocną władzę.

Okulał pewnego razu klacz ekonomska w pańskiej chodząca stadninie; odpokutował też srogo za to *Hryć*, i cała rodzina *Wasila* ściągnęła przez to na siebie niechęć pana ekonomia.

Tak więc pracować musieli ciągle: latem dzień duży, mało się w domu siedzi, wychodzi się ze wschodem słońca do roboty, powraca o zmroku, chata więc przez dzień cała pusta i milcząca; lecz gdy zima nadejdzie, gdy nie ma tyle dla gospodarzy roboty, weseliej w chacie, większy ruch i życie, choć nieraz wiatr zimny dmie przez szpary ściany, choć nieraz woda sący się przez pułap na głowy.

W długie bywało wieczory zimowe, przy palącym się łuczywem w izbie, zgromadzi się cała rodzina oprócz *Harasyma*, który przy stajni koni pilnuje. *Wasil* z fajeczką *bakunu* w zębach siedząc na przypiecku opowiada ciekawe jakie zdarzenie, którego był świadkiem, lub też osnową opowiadań jego są wspomnienia o nieboszczyku jegomości, u którego był w łaskach i o dobrym paniczu; *Pałaszka* z *Zośką* przędą, *Hryć* struga łyżki drewniane i wszyscy słuchają uważnie. To znówu gdy nie ma co do opowiadania lub gdy *Wasila* w domu nie ma wieczorem, chata rozlega się śpiewem *Pałaszki*, śpiewem smutnym, podobnym do jęku lub płaczu, jak wszystkie tamtych stron śpiewki...

I tak przechodziły im dni jednostajnie i cicho, przeplatane tylko niekiedy niedzielą lub świętami. A w niedzielę lub święto *Pałaszka* brała nową malowaną, pstrokatą chustkę na głowę, i duże *czerewyki* (trze-

wiki) z życzkowemi kokardami, Hryćko nową sukmanę, Wasil czapkę baranią, a Zośka w świeże obwijata się *rahtuchy*, i tak przybrani szli do cerkwi. Tam ksiądz mszą odśpiewał, poszeptali pacierze, przeżegnali się, to i po wszystkiém. Po mszy Wasil szedł popić i pogwarzyć z kumami do karczmy, Hryćko postać w ulicy z parobkami i posprzeciwiać się dziewczkom, do Pałaszki i Zośki schodziły się sąsiednie baby i młodyce; a niedziela schodziła im ani wiedzieli kiedy.

I do téj pory szło jako tako Wasilowi i jego rodzinie, choć w tak ciężkiej pracy, choć Harasym nieraz oberwał od pijanego ekonoma, choć słabowitą Zośkę do pielienia ekonomskiego zajmowali ogród: to już było zwyczajném, oswoić się z tém było potrzeba.

Lecz pewnego roku na wiosnę zjechała *konstrypcya*, Harasym stać musiał do miary i doktor uznał go za zdatnego, zwłaszcza, że pan Wercikowski, który pamiętał okulawienie swój kłaczy, nalegał koniecznie aby go wzięto. Moźniejsi gospodarze chcąc swych uwolnić synów dawali panu Wercikowskiemu po 10 rubli od jednego, a pan Wercikowski póty się kłaniał, czekał i łasił, aż uwolnili opłaconego....

I znowu jak dawniej, jakby nic nie było. Wasil i Pałaszka pańszczyznę poszli odrabiać, Zośka plęć ogród, a Hryćkowi pańskięj po bracie kazali pilnować stadniny.

Pewnego razu wróciwszy z roboty Zośka bardzo zaśląbla i po bezsennęj w gorączce nocy, nie mogła nazajutrz powstać z tapczana; przyszła do nięj żona Chaima, dała jęj pić jakies zioła; nic nie pomogło, pogorszało się co chwila. Wasil pojechał do poblizkiej wioski po *Karpowę*, co umiała zamawiać i zażegnywać; nie zastał jęj na nieszczęście, a Zośka coraz to gorzjęj śląbla. Wreszcie pewnego wieczoru Bogu ducha oddała, a Wasilowi żal się zrobiło chorowitęj Zośki, bo była dobrą żoną, i znowu zapłakał sobie. Pałaszka znów tłukła głowę o ścianę, rzewne wywodząc korowody. Ubili z czterech desek trumnę, złożyli w nią ciało zmarłęj, odezwały się głośnie dzwony staręj cerkiewki, ksiądz pośpiewał i zawieźli na mogiłki.

I znowu jakby nic nie było: Wasil i Pałaszka pańszczyznę nazajutrz poszli odrabiać, Hryćko koni pilnował.

Niedługo po śmierci Zośki Wasil rzekł do Pałaszki:

— Słuchaj-no, tobie trzeba isć za mąż; ja stary, niedługo już nie *zdużam* (nie będę w stanie robić); będę sobie siedzieć w chacie, a ty z mężem będziesz gospodarować. Paweł chce do ciebie wysłać w swaty, on gospodarny i uczciwy parobek, jużem gadał z jego *batkiem* w karczmie.

Z ochotą przystała na Pawła Pałaszka, bo miała serce ku niemu, a Wasil radził się wieczorem z kumami w karczmie, popijał do ojca Pawłowego, robiono układy i oznaczono termin ślubu. Wtém Pawła zagнали do spławu drzewa aż do Brześcia, zkad miał wrócić za miesiąc najprędzję; ślub więc odłożonym został do powrotu narzeczonego.

Tymczasem nawiedziła spokojną w ustroniu leżącą naszą wioskę powszechnie w tamtych okolicach panująca gorączka: ludzie marli częścjęj, dzwony cerkwi dzwoniły, geścjęjsze na cmentarzu sypano mogiły, i dnia pewnego Pałaszka wróciwszy z pańszczyzny, a byłoto w czasie wielkich upałów, położyła się na tapczanie, bo jęj było niedobrze. I już z niego nie wstała, pomimo ziół żony Chaima i zamawiań Karpowęj. Pałaszkę wy-

wieźli na mogiłki, a znów dzwony cerkwi dzwoniły, ksiądz śpiewał, znów Wasil zapłakał; złożyli ją obok Zośki, a niejeden we wsi parobek żałował jej czarnych oczu i włosów, i smagłej a miłej twarzy. Ha! cóż robić, mówił sobie z westchnieniem Wasil; jeden mu tylko syn pozostał, i smutno mu było w chacie samemu gdy przyszedł z roboty, a robota zawsze dawnym szła trybem.

Powracał z Brześcia Paweł z kijem na ramieniu, z nadzieją ujrzenia wkrótce swój narzeczoną, z gościńcem dla niej. Pogwizdując sobie wesoło zbliżał się do chaty Wasila, która z tej strony wieś zaczynała; serce mu biło, w miarę gdy się zbliżał, a gdy ujrzał Wasila rąbiącego drwa na swój drewni, pospieszył kroku i wszedłszy na dziedzińczyk z miną wesołą, pozdrowił starego:

— Jak sia majete *batku!* (ojciec).

Stary podniósł głowę.

— Jak się majesz—odpowiedział smutno.

— Zdroweście wie?

— Ja zdrów sława Bohu!—i westchnął stary.

— Hdeż Pałaszka?.. w chacie?

— Pałaszka?— i tzy zabłysnęły w oczach Wasila. — Pałaszka ot tam—i wskazał ręką na mogiłki.

— Et *breszysz* (znaczy kłamiesz) *batku*—rzekł z niedowierzaniem Paweł.

— *Bihme* (to samo co jak Boga kocham), tam—i obtarł ręką oczy.

Zafrasował się strasznie Paweł, zapłakał, a nazajutrz o wschodzie słońca Wasil zaprzęgając na swym dziedzińcu woły do woza, ujrzał Pawła z kijem wychodzącego ze wsi.

— Hdeż ideż?—zapytał go.

— Do galarów Moszkowych na flisa—odpowiedział.

— Do Gdańska popłyniesz?

— Do Gdańska.

— Szczęśliwej drogi.

— Bóg zapłać—i skłoniwszy się czapką, poszedł Paweł w dalszą drogę.

* * *

W każdej z nadgranicznych wiosek nadbużnych mieszka jeden lub dwóch strażników, których obowiązkiem jest łapać przechodzących granicę, lub przemycających tytuń, sól, woły i t. p. rzeczy. I w naszej wiosce mieszkał pan Frasunkiewicz, co nie jednego chłopka do kryminalu wsadził za przejście granicy, gdy ten nie mógł odpowiedniej kary zapłacić, co się już natapał wiele ludzi z tej wioski; jednakże gęsto udeptane po krzakach nad Bugiem ścieszki, uczęszczanemi bywały przez bakuniarzy mimo ostrożności pana Frasunkiewicza.

I pan Wercikowski bywało nieraz gdy potrzebuje tytoniu lub tabaki, to mówi do Hrycia pasącego zwykle nad Bugiem stadninę:

— Słyszno ty chamie, mnie trza dziś *tiutoni*; skocz do Walińskiego po miesiąc i przynoś. Naści pieniądze.

I Hryc posłuszny, gdy miesiąc zeszedł, zapędzał stadninę do opłotem ogrodzonego pastwiska, a sam wyciągnawszy z krzaków nadbrzeżnych czółenka, dopełniał rozkazów pana ekonomy.

Pan Frasunkiewicz w złąj z panem ekonomem żyjąc komitywie ostrzył sobie zęby na Hrycia, o którego częstych wycieczkach usłyszał, i-tém bardziej złapać go zaklął się w duszy, że ostrożność Hrycia była powodem kilku na czatach napróżno spędzonych nocy.

Ostatnią razą, gdy Hryćko był za tabaką dla pana ekonomy, wysiadłszy już na tamtą stronę, a byłoto wieczorem o wschodzie księżycy, spotkał idącą ku brzegowi młodą, smagłą dziewczkę, której twarz wydała mu się piękną przy księżycu: szła z wiadrami po wodę do Buga. Przechodząc około niej pozdrowił ją:

— Boh pomagaje!

Dziewczyna mu podziękowała po rusku i już mieli iść każde w swą stronę, gdy ona wpatrując się w niego, rzekła:

— Wyście z tamtoj strony, bo ja was użę ne raz baczyła; ne idyte że do dworu, bo *nadziratel* (rewizor graniczny) pryichau.

Zobowiązany tём ostrzeżeniem nieznajomój dziewczki, Hryćko powrócił nazad z wdzięcznością w sercu dla niej, z życzeniem prędkiego jej znów widzenia. Nie obeszło się naturalnie bez szturchańców od pana ekonomy, pomimo tłumaczeń chłopca, że *nadziratel* przyjechał.

Nazajutrz o tēj samój porze Hryćko nie bez ochoty na tamtą popłynął stronę.

Wieczór był cudny majowy: księżyc wznosił się zwolna ze wschodu i srebrzystą smugą odbijał się w cicho płynących wodach rzeki; po wioskach i dworach nadbrzeżnych powoli ruch ustawał, a w miarę tego po błoniach i laskach głośniejszą się stawała cudowna harmonia wieczoru: tu lekki szum srebrnych listków rzecznej topoli mieszał się z szumem dalekiego młyna, tam miarowe krzyki derkacza w bagnisku odpowiadały chórowi dzikich kaczek, w poblizkiem znów jezioru smętny skrzek żabek zlewał się w ten cudny chaos; a po błoniach bujną porośłych trawą i nad wodami, wznosiła się biała mgła na znak pogody.

Wysiadłszy Hrycio na tamtą stronę iść zaczął ku dworcowi, rozglądając się, czy gdzie tēj samój nie spotka dziewczki. Coś białego pomknęło z zapłotem: Hryćkowi serce w czarnej zastukało piersi; zwolnił kroku i ujrzał z uciechą tęż samę dziewczkę idącą z wiadrami po wodę: może nautycznie wyszła o tēj porze, może miarkowała, że Hrycio tędy przechodzić będzie. Znowu się pozdrowili i tą razą dłuższą zawiązali rozmowę. Hryćko wypytywał się o panu tutejszym, opowiadał o swoim, wreszcie rozeszli się: ona po wodę do Buga, on po tabakę do dworu.

Przeplłynąwszy szczęśliwie nazad, wysiadł i już miał czółno w zwyczajną kryjówkę zaciągnąć, gdy zdawało mu się, że coś między wierzbami mignęło jakby broń. Przykucał przy czółnie i słucha: nic innego nie słyhać prócz pluskania ryb w wodzie, szumu wierzb i topoli nadbrzeżnych i szczenia psów w wiosce zabużnej. Może to omamienie; wstaje, patrzy, nic nie ma: już bierze za czółno aby je w kryjówkę zaciągnąć; coś zaszeleściło o kilka kroków. Hrycio struchlał, chce uciekać, porzucić czółno, wtém wypada zza krzaku pan Frasunkiewicz z pałaszem przy boku i strzelbą na ramieniu. Nie żarty: uciekać na brzeg trudno, może ich tu więcej; najbezpieczniej w czółno i na tamtą stronę; tam strażnicy nie tak zważają. I niewiele myśląc Hrycio wskoczywszy w czółno odbił od

brzegu, a pan Frasunkiewicz z iskrzącemi od gniewu i trunku oczyma, przybiegł nad brzeg wrzeszcząc:

— Wróć się zaraz, poczekaj; jak Boga kocham, w łeb palnę!

Hryćko dalej odpływał. Strażnik widząc, że jego groźby są bezskuteczne, zdjął strzelbę, wymierzył i wypalił... Echo rozniosło strzał po brzegach, dym wzniósł się nad wodą, coś ciężkiego w nią wpadło, aż fale bić zaczęły po piasku, a dnem do góry przewrócone czółno płynąc z wodą zaczęło. Wybiegli ludzie z chat nadbużnej wioski i rybacy nocujący w budzie z téj strony, a widząc to rękę, to głowę topiącego się, chcieli mu śpiesznie dać ratunek; lecz głos grzmiący z brzegu pana Frasunkiewicza: „ani mi się waź żaden ratować, bo w łeb wypale!” — wstrzymał dalsze ich zapędy.

W godzinę po téj scenie znów było cicho, jak gdyby się nic nie stało; księżyc przeglądał się w cichych wodach jak zwykle, Bug płynął spokojnie, i drzewa nad nim lekko szumiały jak zwykle, i żywej duszy nie było na brzegu.

Nazajutrz, o! było widziéć Wasila jak z rybakami w czólnie szukał bosakiem ciała swego syna: twarz miał napozór spokojną, tylko błędszą jak zazwyczaj, i oczy żywiej dokoła biegały. Ciało Hrycia zawieziono do sądu do Włodawy, zwołano świadków, żadnego na nim nie było śladu ze strzału: znać przestraszony, stracił równowagę i wpadł w wodę. Pana Frasunkiewicza zasuspendowano w służbie, podobno w kryminale siedział. Ta sprawa długo się ciągnęła, a nowa mogiła obok Zośki i Pałaszkki grobu przybyła.

Wasil został sam jeden na świecie: podstarzał już znacznie, zubożał. Z sił opadły, niezdatny do pracy, siedział jeszcze czas jakiś w swéj samotnej chacie. Lecz pewnego razu nadeszła straszna burza, co drzewa wyrwała z korzeniem, i chacie Wasila dach zerwała...

Postanowił więc opuścić to rumowisko, zapuścić brodę i żebrać, chodząc od dworu do dworu, i z tego się do śmierci utrzymywać, pomimo namawiań swych kumów i przyjaciół, którzy go przy sobie na łaskawym chlebie utrzymywać chcieli. Chodził od wsi do wsi, od dworu do dworu mruczając pacierze; a gdy przechodził koło mogiłek swéj wioski, żał mu się robiło, i wzdychał, mruczając za dusze swoich *Bohorodycie* (Zdrowaś Marya). Najczęściej jednak przebywał koło cerkwi swego rodzinnego siola, i tamże raz na progu skonał pochowano go koło żony i dzieci, a wkrótce zapomniano o Wasilu i jego rodzinie.

Leon Kunicki.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Dr. S. G. Morton w Filadelfii, znany z prac etnograficznych, założył w mieście swoim muzeum, któremu równego nigdzie niema. Jestto naukowy zbiór 1468 zupełnych czaszek, z których 867 należą do gatunku człowieka, a 601 do rozmaitych innych zwierząt. Między ludzkiemi jest 226 z pokolenia kaukazkiego, z mongolskiego tylko 8, z malajskiego 34, 410 rodowitych Amerykanów, 107 Murzynów, a 25 z różnych mieszanych pokoleń; należy jeszcze do tego niemało czaszek ludzi którzy umysłowe cierpieli choroby, i idiotów. Jak najdokładniej wymierzona jest każdej czaszki objętość w calach sześciennych, a to za pomocą bardzo drobnego śrótu. (T. * 1850. nr. 151).

* Niemiecki naturalista Kölliker (*Zeitschr. f. wissensch. Zoologie III Bd. Hft. 83*) oglądając orangutana w zoologicznym ogrodzie w Amsterdamie, utrzymywanego, jako nowy dowód podobieństwa do człowieka w tej małpie, postrzegł na niej okrywanie się skóry gruczolikami na zimnie, czyli tak zwanemi sierotkami (*cutis anserina*), co nie objawia się na żadnym ssącym zwierzęciu, i czego Kölliker nie postrzegał nawet na szympanse którego w Antwerpii oglądał. U szympansa widział nawet w wargach wielkie z otwartemi ujściami gruczoly łojowe, co go tém bardzi ej od ludzkiego zworza oddala (*ib. 1851 nr. 292*).

* Do liczby zwierząt człowiekowi najpodobniejszych przybywa nowe, nad brzegami afrykańskiej rzeki Gabun (Gaboön) żyjące, które jednak ze względu na organizacyą jest nieco niższém od swojego ziomka szympansa (*Troglodytes niger Geoffr.*). U krajowców nad Gabunem ma ono nazwisko *Gorilla* albo *Engeena*. Winniśmy wiadomość o tym

* Tak będziemy oznaczali *Tagsberichte über die Fortschritte der Natur- und Heilkunde, erstattet von R. Froriep zu Weimar*, in-8vo, pismo peryodyczne, które jak powiedzieliśmy (Bibl. Warsz. 1850 T. II str. 404), wydawane jest na miejsce *Froriep's Notizen*.

nowym gatunku doktorowi Tomaszowi S. Savage, który przez wiele lat, jako misyjonarz, na przylądku Palmas w zachodniej Afryce mieszkał, gdzie prócz rozszerzania nauki Chrystusa, zajmował się także historyczno-naturalnymi badaniami. Dostał on najprzód w kwietniu 1847 r. kilka czaszek, które uznał za odmienne od czaszek szympansa; następnie otrzymał dwie zupełniejsze wraz z innymi skieletu częściami. Przesłane do Bostonu doktorowi Wyman profesorowi anatomii w uniwersytecie tamiecznym, były przez niego wybadane i opisane. W lutym 1848 r. professor Owen w Londynie otrzymawszy trzy inne tegoż gatunku czaszki, zwierzę do którego one należą, nazwał *Troglodytes Savagei*. Gdy jednak Owen żadnych nowych cech gatunkowych nie dołączył, przeto jego *T. Savagei*, jest prostą synonimą *T. gorilla* Savage. Z opisania ddr. Savage i Wymana dowiadujemy się, że *engeena* jest daleko silniejszym, straszliwszym i dzikszym stworzeniem, aniżeli lękliwy i bezbronny szympan, zwłaszcza że według wszelkiego prawdopodobieństwa, sześciu stóp wysokości dochodzi. Krajowcy sądzą, że w szympanie przebywa dusza mieszkańca wybrzeżów, a w *engeenie* osadzony jest dziki duch górala. Czaszka samca, mierzona od płaszczyzny kości tyłogłówniej, dłuższą jest o 2 cale, a między łukami jarzmowemi prawie o $\frac{3}{4}$ cala szerszą od zwykłej człowieka. Łopatka i bark sąto olbrzymie massy, zapowiadające nadzwyczajną siłę w rękach, co i potrzebne jest zwierzęciu przebywającemu na drzewach, i stosowne do jego wzrostu wielkiego. Dr. Wyman uważa, że *engeena* w porównaniu z *encheeko* czyli szympansem, różni się od niego w wielu punktach, a mianowicie że jest znacznie większa, że ma wycięcie w tylnym brzegu twardego podniebienia, że komórki przednich zębów nie występują u niego jak u szympansa i orangutana za linią twarzową, że kość łokciowa krótsza jest od ramieniowej i t. d. Jego opisanie (*Silliman's American Journal, July 1849*), towarzyszą cztery tablice in-4to wizerunków. Ale w tymże dzienniku na styczeń 1850 r. dr. Wyman dodał jeszcze więcej wiadomości o tej osobliwej małpie, której znowu dwie czaszki, misyjonarz Perkins z przylądka Palmas do Ameryki północnej nadesłał. Wymiary czaszki w różnym kierunku brane, wystawione są tabelarycznie, w porównaniu z odpowiednimi wymiarami, na czaszce szympansa i czaszce prawdziwego murzyna wziętemi. Prof. Owen który miał szympansa za najpodobniejszego człowiekowi zwierzę, teraz mniema, że *T. gorilla* leży wyżej niż szympan. Mniemanie to wszakże zasada się jedynie na porównaniu samych anatomicznych znamion, jakoto że zrosłe z sobą brzegi kości nosowych bardziej naprzód występują, że nos budową podobniejszy jest do ludzkiego, że wyrostki sutkowate wyraźniejsze są niżeli u szympansa, u którego tylko wystający grzebień je zastępuje i t. d. Nie mniejszą i dr. Wyman wyprowadza liczbę anatomicznych postrzeżeń dowodzących, że *T. gorilla* nie jest tyle co *T. niger* do człowieka podobnym: z czego widać, że gdy jeden w tém, drugi w inném zbliża się do zworza ludzkiego lub oddala od niego. Dr. Wyman przyznaje nadzwyczajną srogość gorylli, która śmiało się rzuca na człowieka pojedynczo w lesie dostrzeżonego. Przytacza nawet świeży przykład tego na murzynie, straszliwie przez tę małpę pokaleczonym,

a którego byłaby nieochybnie zabita, gdyby nie nadbiegli inni murzyni napadniętemu na pomoc. (*Ib.* 1850 nr. 151).

* J. T. Reinhardt w czasie pobytu swego w Brazylii, miał sposobność uważania w głębi Minas Geraes wielu okazów nader tam pospolitego małego niedoperza, któremu książę Maxymilian Neuwied dał nazwisko *Emballonura canina*. Zwrócił on nadewszystko uwagę na tę okoliczność, że u skrzydeł zwierzątka znajdują się niewielkie workowate przysadki, podobne do tych które J. C. Gray i prof. Krauss u gatunków z rodz. *Saccopteryx* uważali (Porów. *Bibl. Warsz.* 1847 t. IV str. 205.) Za powrotem do Europy Reinhardt dowiedział się, że już dr. Natterer organ ten u pomienionego niedoperza postrzegał i w *Abhandlungen der k. Baier. Akad. d. Wissensch. V Bd. 1 Abth.* 1847 przedstawił go w wizerunku, chociaż nie opisał w teście. Tego opuszczenia dopełniając, Reinhardt w następujący wyraża się sposób (*Ann. et Mag. of Nat. Hist. May* 1849): „Uważając u *Emballonura canina* tę część błonki skrzydłowej, która się ciągnie wzdłuż ramienia i łokcia aż do wielkiego palca, postrzeżemy na jej grzbietowej (górnjej) stronie szczelinę prowadzącą do małego wydrążenia wewnątrz błonki zawartego, w któróm wylacza się czerwona tłusta materya, mocnego nieco ammoniakalnego zapachu. Otwór znajduje się w odległości około 3 linii od przyczepienia błonki skrzydłowej do grzbietu, a za rozpostarciem skrzydła przybiera kształt podłużnej na 2 linie szpary, która się do samego wolnego brzegu błonki rozciąga, brzegi ma nakształt warg zgrubiałe i prowadzi do małego wydrążenia, ciągnącego się wzdłuż brzegu skrzydłowej błonki, ku ciału, coraz się zwęża, i nareszcie kończy się około na 1 1/2 linii od szpary. Za rozpostarciem skrzydła, wargi oddalają się od siebie, tak że wydrążenie wtedy się otwiera, ale gdy skrzydło jest złożone lub tylko w pół rozpostarte, wtedy warga wewnętrzna czyli bliższa ciała, zachodzi na zewnętrzną i ją okrywa.” Oprócz tego Reinhardt spostrzega osobne muszkuły, częścią ku ciału, częścią ku wielkiemu palcowi wpośród błonki biegnące, których ściąganie się musi ten woreczek otwierać. U *Saccopteryx* worek ten na samo przecięcie łokcia przypada, gdy u *Emballonura* leży na brzegu skrzydła; tam jest on nierównie większy i przedstawia się na spodniej powierzchni skrzydła w postaci mocnej wydatności, gdy tutaj ledwie wpada w oczy zewnętrznie. Reinhardt postrzega, że u *Emballonura canina* tylko samce ten worek mają: samicom zupełnie go niedostaje, lubo są wargowate brzegi szpary w stanie rudymenarnym, wyobrażone dwiema wyraźnymi fałdkami skóry, z których większa, wardze wewnętrznej odpowiednia, ledwie na 1/8 linii góruje. Książę Maxymilian Neuwied, który swoje opisanie tego gatunku tylko na jedynym samieczym okazy zasadził, nie mówi nic o tych fałdach. Reinhardt domyśla się, że i u *Saccopteryx* tylko samce pomieniony worek mieć muszą, i naprowadza myśl na jego analogią z otwartym gruczołem, który Natterer na szyi u wielu gatunków z rodz. *Dysopes* ukazał. (*Ib.* nr. 188).

* W jaskiniach kraju naszego, jakoto przy Ojcowie i Olsztynie w Krakowskiem, utrzymuje się mnóstwo dosyć wielkich niedoperzów, które za wystrzeleniem z pistoletu, budzą się ze snu i zaczynają latać tak

tlumnie, że nieraz pochodnię przewodnikowi w jaskini gaszą. Dno takiej jaskini wyłożone jest kupami gnoju tych zwierząt, jak guano, od rozmaitych epok tam gnijącego. Prof. Grube z Dorpatu, który w końcu lata r. 1850 jedną z takich jaskiń przy Ojcowie odwiedzał, zebrał na tych niedoperzach rozmaitej wielkości okazy pasorzytnego owada *Nycteribia vespertilionis*, aż do tak wielkich jak niemal połowa kleszcza ptasiego, *Ornithomyia avicularia*. Owady te znajdował nawet na kupach gnoju w jaskini, wolno po nich biegające. W pomienionym gnoju pełno jest skieletów i ich części z niedoperzów w różnym czasie pomarłych, a na wierzchu nieraz spostrzedz można niedołążne indywiduum sędziwe, kończące życie śmiercią naturalną ze starości. Prof. Grube nie jest jeszcze pewny gatunku tych niedoperzów, które tymczasowo za *V. murinus* Schr. uważa. Jeden z miłośników historii naturalnej, znajomych mi, zwiedzając tójjesieni (1851) podobną jaskinię koło Olsztyna, znalazł w niej także same mnóstwa niedoperzów, a między nimi jednego który był prawdziwym albinosem. Całkowicie biały, miał skrzydłowe błonki różowe, co bardzo go zdobiło. Dotąd jeden tylko znaleźliśmy przykład albinizmu u zwierząt nocnych, na niedoperzu z rodz. gacków, *Plecotus barbastellus*. (A. W.).

* Akademię J. F. Brandt w Petersburgu, otrzymawszy nadesłany na swoje ręce do muzeum tamecznego dobrze zachowany okaz chochuła zwyczajnego (*Myogale moscovitica*), w stanie zamrożenia, użył go do uzupełnienia swoich badań przed 14stu laty opisanych (w *Acta Acad. Caes. Leop. Carol. Nat. Cur. vol. XVIII P. I. p. 243—260*) w przedmiocie anatomicznej budowy przyrządu, który u tego zwierzęcia wyłącza oleistą ciecz, do piżma a właściwiej do zybetu podobną. Dotąd wskazał on i w rysunku przedstawił tylko gruczołowate woreczki z ich wydrążeniem, i w ścianie tych woreczków znajdujące się podłużne kanaliki, do wydrążenia uchodzące. Teraz dopiero dostrzegł jeszcze za pomocą mikroskopu pęcherzyków, czyli ciałek komórkowatych, które zakończone pomienione gruczoły, i są istotnymi do wydzielania sekrecyi narzędziami. Budowę tę śledził zarazem i w drugim, mniejszym gatunku chochuła z gór pirenejskich (*Myogale pyrenaica*), w spirytusie zachowanym, i przekonał się że u obudwu zwierząt ta część ich organizacyi ma jednoż zworze i prawie zupełną analogią. P. Brandt dołącza do opisu tych swoich badań, postrzeżenia chemiczne p. Döpping w przedmiocie sekrecyi chochuła zwyczajnego. (*Bull. de la classe physico-math. de l'Acad. des Sc. de Pétersb. T. IX nr. 205*) (*T. 1851 nr. 381*).

* A. Th. Middendorff oznajmia, że w drugim tomie opisu jego podróży do Syberyi, mieścić się będzie obszerna wiadomość krytyczną o zwyczajnym niedźwiedziu (*Ursus arctos* Lin.), której główną treścią jest, iż *Ursus niger* Cuv. *Urs. pyrenaicus* Fred. Cuv. *Ursus syriacus* Ehr. a może nawet i *Urs. isabellinus* Horsf. sąto tylko odmiany niedźwiedzia zwyczajnego, który jest jedynym europejskim gatunkiem, lecz ciągnącym się i przez całą Azyą północną. Zwyczajny niedźwiedź w górach mianowicie odmianom podlega, i te odmiany jego na Kaukazie są zupełnie takie jak w górach Europy południowej, np. w pirenejskich. (*T. 1850 nr. 237 z Bull. d. l. c. phys. math. de l'Acad. de Pétersb. T. VIII, nr. 15*).

* Poprzeczne fałdy na podniebieniu, wchodzącem w ogół organów żucia u zwierząt ssących, najwyższy rozwinięcia stopień w rodz. sztele-ryn (*Rytina*) osiągające, zwracały już uwagę Pallas'a, a teraz przez hr. Kejsersling'a i Blasius'a użyte zostały jako ważna cecha w rozróżnianiu tych zwierząt, nawet przez Wagnera w dopełnieniach do Schrebera przyjęte. Akademik Brandt w Petersburgu, użył ich także w swojej monografii rossyjskich łasic, ale teraz, sprawdzając ważność ich na wielu okazach tchórza, gronostaja i nórki, przekonywa się iż cecha ta nie jest tak stałą, żeby z zupełném bezpieczeństwem można było polegać na niej: że nie u każdego okazu tegoż samego zwłznięcia liczba podniebieniowych fałd jest ta sama, a guziki czyli wyrostki na podniebieniu, w jednym okazy znajdują się, w drugim ich nie ma. (*T.* 1851 *nr.* 317 z *Bull. phys. math. de l' Acad. de Pétersb.* 24 *Févr.* 1851).

* Wiadomo, że w rozróżnianiu gatunków z rodz. łasic (*Mustela*) zoologowie zapatrują się na końce ich palców od spodu i na podeszwy ich nóg, postrzegając że u jednych miejsca te są nagie, u drugich włosami okryte. Akademik Brandt sprawdzał to na rozmaitych okazach wielu gatunków północnych łasicy, i przekonał się że ta rozeznawcza cecha, niemogąca nigdy być użytą do rozróżniania grup wyższych, jakoto podrodzajów, ledwie jako pomocnicza do rozróżnienia gatunków służyć może. Postrzegł on bowiem że ta włosistość nogi u łasic, zmienia się według pory roku, tak że nawet soból utracą ją na lato. Z postrzeżeń p. Brandta otrzymujemy te dwa wypadki: 1)ód, że u wszystkich europejskich i północno-azyatyckich łasic, podeszwa jest latem mniej lub więcej goła, na zimę zaś rzadziej lub gęściej włosami zarasta; 2)re, że u gatunków bardziej północnych (soból, *M. sibirica*, *M. alpina*) ta podeszew więcej, a u innych (*M. martes*, *M. foina*, *M. putorius*) mniej na zimę kosmacieje, że zatem dla należytego jój oznaczenia, zimowe tylko indywidua pod uwagę brać należy. (*Ib.* *nr.* 339 z tegoż).

* Na posiedzeniu Tow. nat. w Berlinie d. 18 czerwca (1850), dr. Peters okazywał zworze nowego rodzaju ssących zwierząt, *Beleogale*, które z Mozambiku przywiózł. Oznaczył cechy pomienionego rodzaju, w którym, jak u surykatek, wszystkie nogi są tylko czteropalczaste, ale postać, anatomiczna budowa wnętrzości, czaszki i zębów taka jak u szczurników (*Herpestes*). (*Ib.* *nr.* 197. 1850).

* Rüppel wszystkie odmiany naszego domowego kota wyprowadza od jednego gatunku, *Felis maniculata*; Fiszler i Schünz uważają ten gatunek, dotąd jeszcze w Nubii dziko się utrzymujący, za odmienny od kota domowego. Temmink przyjmuje że nubijski kot pierwotnym jest szczepem domowego naszego, ale oraz mniema, że skrzyżowanie się jego ze zbikiem naszych lasów, wydało zawód pośredni. Kota zaś angorskiego wyprowadza on od trzeciego dzikiego gatunku który, niepoznany jeszcze, zamieszkuje Azyą północną. Z dalszego krzyżowania się pomiędzy domowym naszym a angorskim, dają się wywieść wszystkie inne europejskie i azyatyckie odmiany domowego kota. Według tego należałoby przyjąć trzy gatunki dzikie: *F. angorensis*, *F. catus* i *F. maniculata*. Ale Blainville, z wybadania mumij kotów, doszedł że także *F. chaus* i *F. bubastis* u staroż. Egipcyan domowemi były, co téż potwierdza

i abecadło hieroglificzne Bunsena, w którym są trzy odmienne koty, każdy z innem symbolicznem znaczeniem. Wynika więc z tego że i więcej mieszanych rodów pod uwagę brać potrzeba. (*Id.* 1851 nr. 371 z *American Annual of scientif. Discovery for 1851*. Dr. Morton).

* DDr. Hornschuch i Schilling wydali w Greifswaldziu 1850 książeczkę in 8vo, w której dowodzą, iż we Wschodniem morzu znajdują się trzy oddzielne gatunki fok z rodz. *Halichoerus*, jakoto: 1szy długopaszczaty (*H. macrorhynchus*), 2gi krzywonosy (*H. gryppus*) i 3ci grubopaszczaty (*H. pachyrhynchus*). Pewność swojego podania zasadzają oni na 29letniem zastanawianiu się nad tym przedmiotem, na uważaniu znacznej ilości (do 50) czaszek z rodz. *Halichoerus*, które sami zebrali, i na postrzeganiu zmian ubarwienia i ukształcenia w indywiduach, które we Wschodniem morzu połapane, w tym celu chowali. Wiadomo że przed nim Nilsson, dwa gatunki fok z tego rodzaju Wschodniemu morzu przyznawał, ale później zdanie swe odmienił, zapewniając iż wszystkie foki w morzu tém znajdowane, do jednego tylko ściągają się gatunku (*Id.*).

* John Tomas (*London, Edinb. et Dublin Philos. Mag. Suppl. January 1850*), zastanawiał się nad budową tkanki, mianowicie w polowie zębów u zwierząt ssących workowatych (*Marsupialia*), i doszedł, że u wszystkich, wyjąwszy niedoląga (*Phascotomys*), widać w polowie zupełnie rozwinięte długie kanały, będące przedłużeniem tych które się znajdują w substancyi zębowej pod polewą leżącą, czyli w tak nazwanej dentynie; że oraz polewa i dentyna są z sobą w tak ścisłym związku, iż jedną bardziej za odsiężenie drugiej, niż za tkankę oddzielnego rodzaju poczytać wypada. (*Id.* 1850 nr. 106).

* Przy 7 zeszytcie na r. 1850 pisma *Revue et Magasin de Zoologie pure et appliquée* wydawanego w Paryżu przez p. Guérin-Méneville i jego współpracownika, p. Ad. Focillon, znajduje się piękny i dokładny wizerunek czwartej europejskiej kozatki, zwanój dębową (*Myoxus dryas*), wystawiający to zwierzątko na gałęzi zatrudnione pożeraniem majowego chrabąszcza. Figura ta ściąga się do wiadomości w tymże zeszytcie (od str. 359), podanej przez hrabiego Tyzenhauza z Wilna, w której autor udowadnia istnienie tego gatunku w Europie i skreśla obyczaje jego, zasadzając się na własnych postrzeżeniach. Pierwszy Pallas poznać dałkozatkę dębową, nazywając ją *Myoxus nitedlua*, ale ją tylko za azyatyckie uważał zwierzę, i nie oddzielił dokładnie od kozatki żółędnej (*M. nitela*), przez co Gmelin jego *M. nitedula*, tylko za synonimę tej ostatniej uznał. Nazwisko *M. dryas* zjawia się dopióro w Schreberze, którego wszakże figura jest tak niedokładną, że Cuvier do polchy ją odniósł. Hr. Tyzenhauz znalazł kozatkę dębową najpiérwszy raz w Litwie przy końcu wiosny r. 1848, a wnosząc z liczby indywiduów znalezionych, która w ciągu następnego lata do 25 doszła, uważa ten gatunek za pospolitszy w Europie północnej, niżeli znajome trzy inne. Kozatka dębowa co do wielkości jest pośrednią między żółędną a laskową; ma głowę podługowatą i mordkę cieńszą niżeli u innych w rodzaju. Przednie zęby górne są żółte, dolne białe; sierć na niej jest miękka i giętka, przy podstawie czarniawo-szara, przy wierzchołkach żółtawa; gdzieniegdzie włosy dłuższe czarniawe; czoło szaro-popielate; wierzch głowy i ca-

łogo ciała szaro-brunatno popielaty, rozjaśniony żółtawym. Zwierzchnie wargi, policzki, wszystkie dolne części ciała i członków białe, słabo zażółcone; więcej przeblja żółtości na złączeniu barwy górnych z barwą dolnych części; wąsy dłuższe od głowy, przy podstawie czarne, przy wierzchołku szare, z włosami gdziegdzie białawymi. U podstawy wąsów bierze początek plama czarna, która się potem rozszerza, otacza oko, i kończy się przy samym uchu. Oczy wielkie, wydatne, świetnej czarnośc. Uszy krótkie, półkoliste i prawie nagie, przypalane po brzegach. Ogon dwurzędny, płaski, popielaty, z wyraźnemi obrączkami czarniawymi, na końcu biały, któryto kolor ma i od spodu. Części nagie, jakoto nos, wnętrza uszu, dłonie i stopy są śniado cieliste. Pazurki białe, całkowicie kryjące się we włosach palce obrastających. W zimie, żółtawość staje się daleko słabszą; wtedy wierzch zwierzęcia jest prawie czysto-szary, a ciemne obrączki ogona ledwie się dojrzyć dają. Całkowita długość od wierzchołka mordki do podstawy ogona, wynosi 5 cali 10 linii; długość głowy 1 cal 11 lin., ręki do wierzchołka pazurów 5 $\frac{1}{4}$ lin.; nogi 6 lin., ogona bez włosów 5 cali 1 lin., włosów na końcu ogona 9 lin.

„Młode prędko rosną i już przed zimą dosięgają wzrostu dojrzałych, wyjąwszy w ogonie, który jest zawsze na pół cala krótszy... Koszatka dębowa mieszka w lasach sosnowych i świerkowych, przekładając nawet te ostatnie, jeśli mają grunt suchy i górzysty; nie było w miejscu jej znalezienia ani dębów, ani brzoź, ani leszczyny, w której laskowa koszatka tak lubi przebywać. Ku końcowi maja ma już gotowe gniazdo, które jej służy za mieszkanie podczas cieplej roku pory. To gniazdo kształtu kuli, z otworem na boku, umieszcza zazwyczaj w rozwidleniu gałęzi świerkowej, przy jej wierzchołku, w wysokości 18 do 20 stóp od ziemi, zawsze na południowej stronie. Składa się ono z drobnych gałązek suchych, z kawałków kory, z zielonego mchu, z wierzchołków zielonych gałęzi świerkowych; wszystko dosyć niedbale roślinnym włóknem i końskimi włosami powiązane. Średnica gniazda ma 6 do 7 cali. Nieraz znajdowane bywało i w pustych nłach, które zawieszają się dla zwabienia pszczół na drzewach w lesie. Zazwyczaj z pięciu do sześciu indywiduów złożona rodzina zajmuje gniazdo; według wszelkiego podobieństwa młode opuszczają gniazdo w końcu czerwca, bo potem znajduje się w niem tylko matka z nowo wylęgłym potomstwem. Za dotknięciem we dnie nawet gałęzi, na której jest gniazdo, cała rodzina szybko się rozbiega i na wierzchołek drzewa ucieka. Tylko w deszcz ulęwny udaje się ją pochwytać; wtedy bowiem tak utulają się w gniaździe, że zatkawszy je, można potem całe workiem nakryć i z gałęzią odjąć. Tymto sposobem dostałem samice kotną, która w kilka dni dwoje młodych urodziła; ale, czyto przez zaniedbanie się dozorującego, który jej nie dał dosyć pożywienia, czy też przez wrodzoną miłość wolności, tak mocnej we wszystkich zwierzętach, których domowość nie spodliła jeszcze, znalazłem nazajutrz główki tylko tych małych, pożartych przez matkę.”

Pod względem obyczajów jako i ubarwienia, hr. Tyzenhauz znajduje największe podobieństwo między dębową a żółdną koszatką. Obiedwie lubią nadewszystko lasy złożone z drzew żywicznych; wychodzą podczas dnia ze swoich kryjówek, czego nigdy nie czyni ani połcha, ani laskowa

koszatka (1). Obłędwie w poruszeniach lżejsze są i żwawsze, po gałęziach skaczą zręczniej, i śmielej po ziemi biegają. Koszatka dębowa zbliża się jeszcze do żółędnej postacią (*habitus*); nie jest tak szeroka jak polcha; idąc wznosi ogon nad głowę, spoczywając zaś na gałęzi, zwiesza niezakrzywiony na dół. Uważał jednak hr. Tyzenhauz, że dębowa koszatka wytrzymałszą jest na zulesienie zimna, niżeli żółędna, i dlatego północne strony za właściwą ojczyznę jej uznaje. Hr. Tyzenhauz nie miał sposobności uważania jej obyczajów w stanie zupełnie wolnym; to, co w tej mierze podał, ściga się jedynie do chowanek, a ponieważ chował jednocześnie i trzy inne europejskie gatunki, domieszcza przeto na końcu ciekawy rys porównawczy tego, co na wszystkich koszatkach w chowaniu postrzegał. Przytacza najprzód swoje fizyologiczne doświadczenia z temperaturą ciała tych zwierząt, podczas ich zimowego letargu. „Pragnąc, mówi, zamrozić koszatkę laskową, wyjąłem ją z pudełka zupełnie zdrętwiałą. Temperatura otaczająca była -7° R., temperatura zwierzęcia $+1^{\circ}$ R. Nie można było dostrzedz w niej oddychania. Położyłem ją nieokrytą na grzblecie, i tak wystawiłem na działanie mrozu. W pół godziny wróciwszy, z wielkiem podziwieniem nie zastałem jej na miejscu: schowała się do pudełka. Wziąłem inną również zdrętwiałą, i podobnie ją położywszy, już nie odchodziłem. Niedługo moja koszatka zaczęła pracowicie oddychać z coraz większą szybkością i siłą: otworzyła oczy, przewróciła się na nogi i pobiegła prosto do pudełka, ażeby w niem na nowo zasnąć. Wszystko to zrobiło się w przeciągu niespełna pół godziny, a wtedy ciepło zwierzęcia doszło do $+15^{\circ}$ R.” (2).

Koło 20 września widział hr. Tyzenhauz, że polcha i koszatka dębowa uporeczywie grzebały piasek na spodzie szklanej swojej budki; wnosi z tego, że te gatunki na czas zimowania w ziemię zachodzą, bo koszatka laskowa, która w wydrążeniach drzew zimę przepędza, nigdy nie kopie.

Zwierzątka te zdają się być stworzone tylko do snu i jedzenia. Ilość pożywienia, które we 24 godzinach polcha zjada, przechodzi jej własny ciężar; dlatego też prędko tyje, a budząc się na wiosnę, utraciła tylko część ciężaru, który miała w epoce zimowego letargu.

Co do wyboru pokarmów, prawie wszystkie gatunki są jednakowemi; wszystkie zarówno jedzą owoce pestkowe i ziarnkowe, jak równie i orzechy, których jednak skorupy nie może przełamać koszatka dębowa i laskowa; wogółności nie lubią jagód i stale odrzucają żółędzie. Chętnie jedzą jaja ptaków, a zapewne i pisklęta ich pożerają; laskowa jednak stanowi wyjątek: przez dwa dni głodzona nie dotknęła ani jaj, ani młodych ptasząt włożonych do jej żłobu. Hr. Tyzenhauz świeżo się upewnił, że wszystkie gatunki kosza-

(1) Spotykać wszakże można tę ostatnią i we dnie na krzakach leszczyny, gdy są orzechy, tudzież w przebiegu do małych kałuży w lesie dla napicia się.
(A. W.)

(2) W sprawozdaniu francuzkiem hr. Tyzenhauz przemilcza o cudowném prawie zjawisku, którego dawniej doświadczył (*Bibl. Warsz. z kwietnia r. 1848, tom II str. 163*), „że w 12 stopniach zimna, znalazł koszatkę wskroś mrozem przejetą i jak kość stwardniałą, a która potem w $+14^{\circ}$ R. wniesiona, po kilku godzinach, gdy zamróz z niej wyszedł, rozbudziła się i z wszelką przytomnością pobiegła.”
(A. W.)

tek chętnie jedzą owady, a mianowicie chrabąszcze. Jadły też ze smakiem bułkę, wszelkie ciasta, suszone owoce, gotowane i pieczone mięso. Flekroć zabrakło im pożywienia, na śmierć się zagryzały, a wtedy silniejsze pożerały słabsze. Na dziesięciu kosztatkach dębowych do tej samej budki zamkniętych, trzy zagryzione zostały przez siedm innych. Skórki i szkielety zjedzonych pozostają nietknięte. Do tej żarliwości między sobą, nie zawsze sam głód je skłaniał.

Hr. Tyzenhauz wzmiankuje na końcu o przesądach, jakie ma lud okolicy tamecznej, względem kosztatek, a między innymi, że nie tylko ukąszenie ich poczytuje za śmiertelne, ale nawet mniema, że samo dotknięcie ich wyrzutów zrzadza w częściach które dotykały; nieuleczone wrzody; że gdy przypadkiem kosztatka przejdzie po grzbiecie wołu albo konia, zwierzęta te w przeciągu 24 godzin nieochybnie giną i t. d. (A. W.)

* Proboszcz Vortisch donosi w *Arch. d. Ver. d. Freunde d. Naturgesch. in Meclenb. 1849, 3 Hft.*, że kosztatka polcha (*Myoxus glis*) znajduje się także i w Meklenburskiem. Przed 23ma laty, widział ją tam i zastrzelił, a potem żywą w żelaza zastawione na czereśni w sadzie złapał. Teraz przekonał się, że to zwierzę jest w okolicach jego stale zamieszkałym. Przebywa w wypróchniałych bukach i dębach małego lasu, z sadem drzew owocowych graniczącego. Z jednego buku 5 do 6 na raz wypłoszył, a przed kilku laty wyjął ze spróchniałego dębu gniazdo, w którym trzy stare i dwoje młodych było. (T. 1851 n^o 383).

* Stud. E. Erslev ogłosił w *Forhandl. ved. de skand. Naturf. 5te Møde, 1847 S. 944—5*, iż na żądanie prof. Steenstrup, badając różnicę pomiędzy dwoma gatunkami północnych myszy, przez prof. Melchior opisanymi, *Mus silvaticus* i *Mus flavicollis*, a uznawanymi zwykle za odmiany tylko, przekonał się, że obiedwie są rzeczywistemi gatunkami, a cechy które Melchior podał, są w obudwu stałe, mianowicie: „*Mus flavicollis*: Ogon długości ciała; uszy 6—7'' wysokie; żółta pręga przez piersi; wielkość $3\frac{5}{6}$ — $4\frac{1}{2}$ '' . Długość nóg tylnych mniejsza jest niżeli odległość od końca mordki do ucha. Mieszka nadewszystko w lasach”. „*Mus silvaticus*: Ogon $\frac{9}{10}$ długości ciała; uszy $5\frac{1}{2}$ '' wysokie; żółtej pręgi na piersiach nie ma; wielkość 3— $3\frac{5}{12}$ '' . Długość nóg tylnych, taka jak odległość od końca mordki do ucha. Mieszka więcćj na polach”.

Podług tegoż, mysz islandzka (*Mus islandicus* Thienemann), którą Thienemann na Islandyi odkrył, a prof. Sundewall uznał tylko za odmianę myszy domowej z białym brzuchem i żółtą plamą na piersiach, co również Kejslerling i Blasius przyjęli, jest gatunkiem rzeczywiście oddzielnym. Odmiana myszy domowej z białym brzuchem i żółtą plamą na piersiach, w wielu miejscach Szwecyi i Danii jest bardzo pospolita, ale to wcale nie mysz islandzka, o czém przekonać się można z okazji tej ostatniej, który prof. Steenstrup znalazł na Islandyi, w miejscu odległym od mieszkań ludzkich, w lesie pod krzakiem. Wymiary zgadzają się zupełnie z podanemi przez Thienemanna; nos jest goły (ważna cecha, bo u domowej myszy jest całym kosmaty), a i w nogach są dostateczne cechy. (Ib. 1850, n^o 213).

* Osobliwość godną uwagi otrzymałem w tych dniach z Augustowskiego w kraju naszym. Jestto wianek łukowatego kształtu, 15 cali długi, złożony z domowych myszy, głowami i tyłami jedna za drugą ściśle z so-

bą spojonych, wyschłych tak, iż tylko skóra i kości pozostały. W pomienionym wianku każda mysz wyciągnięta, przytula głowę pod ogon następnjej, tylnymi nogami ogarnąć ją usiłującj, a na takiem spojeniu dwóch, jest jeszcze od spodu i trzecia, również z niemi zlepiona, jakby wgrzyżona w tył drugiej, a grzbietem przyrosła do brzucha pierwszjej. W pomienionym wianku jest 7 do 8 indywiduów tak połączanych ze ścisłością policzyć ich dokładnie nie pozwalającj. Równie ta która zaczyna wianek, jak i ta która go kończy, obrócone są tyłem na zewnątrz. Znaleziono ten dziwotwór przed dwoma jeszcze laty w śpichlerzu pomiędzy plewami u pana Markowskiego, dzierżawcy we wsi Neta gubernii augustowskiej. Tameczny lud utrzymywał, że to łasica, jak wiadomo nieprzyjaciółka myszy, tak je nakłada i spaja, guiazdo sobie tym sposobem robiąc. Łukowaty kształt całego wianka, jest widocznie kierunkiem, którym szła jama tych myszy. Gniotły się one w niej a razem wyciągały, i dopiero po sztraszliwym zgonie wspólnym, ciałami dotkniętymi pewnym stopniem zepsucia, które musiało wyschnięcie poprzedzić, pozlepiły się z sobą. Dowodem tego jest pleśń pomiędzy sklejonemi ich powierzchniami środkującj. Ale co sprawiło jednoczesny zgon tylu razem indywiduów? — Jedna chyba trucizna, odpowiemy z naturalistami, którzy tak tłumaczą podobne niniejszemu zjawisko, wstawione oddawna w Niemczech pod nazwą szczurzego króla (*Rattenkönig*). (A. W.).

* G. C. Eigenbrodt ogłosił (w *Bull. de la Soc. des Naturalistes de Moscou, 1848, IV.*) porównanie wymiarów na skielecie bobra torfowego (*Castor Werneri*), otrzymanym z kopalni torfu przy Lorsch w Darmsztadzkiem, a skielecie zwyczajnego bobra (*Castor fiber*). Okazało się z tego, iż pomienione wymiary nie więcej odstępują od siebie, jak pomiędzy jednym a drugim okazem zwyczajnego bobra. Różnica podana przez Cuviera, w jego *Ossemens fossiles* (że u *C. Werneri* nosowe kości dochodzą aż do wykrojenia które oczodół w kości czołowej tworzy, gdy u *C. fiber* ledwie sięgają guzików na kości czołowej przy kościach żawych), nie na wszystkich okazach bywa, czego dowodzi czaszka młodego indywiduum *C. Werneri*. W papierach Bojanusa znalazł się rysunek czaszki bobra, podanej za kopalną, z gabinetu Kregeminiera pochodzącj, która tylko o $\frac{1}{10}$ większa była, a zresztą nie różniła się od czaszki europejskiego bobra. P. Eigenbrodt uznaje okazy *C. Werneri*, za rzeczywiste *C. fiber*, które już w historycznych czasach powymierały, i znajduwane są na miejscach na których żyły, lubo teraz w wielu z tych miejsc całkowicie wyginęły. (T. 1850 nr. 7).

* Jako uwagi godny przykład zmyślności w pospolitym zającu, opisał G. Frauenfeld w *Berichten u. d. Mittheil. von Freunden der Naturwiss. in Wien, Bd. V, str. 135*, że w ogrodzie zamku Bistyc, znajduje się bażantarnia, oddzielona od ogrodu szerokim rowem, ale który tylko na kilka cali woda zalewa. W bażantarni utrzymywane są także zające, na które czasem wypuszczają się jamniki. Jeden z tych zająców uciekając przed jamnikiem, skoczył do zalanego rowu, i ukrył się w zielsku tam rosnącém, tak, iż pies napróżno go śledził. Ilekroć zaś naprowadzony przez właściciela wypłoszył uczajonego zająca, ten znowu udawał się na rów, troskliwie chroniąc się uciekania po suchém. (T. 1850, n° 103).

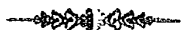
* Nra 206—208, tomu IX pisma pod tyt: *Bulletin de la classe physico-math. de l'Acad. imp. des sc. de Pétersbourg*, obejmują dosyć rozciągłą

pracę dra A. T. Middendorff, w której ten uczony rozplątać usiłuje zawikłanie w zoologii, nie pozwalające dotąd ściśle oznaczyć, ile jest dzikich gatunków zająca w Europie północnej. Trudność tę uczuł jeszcze Pallas, i nie pokonawszy jej całkowicie, upoważnił do mniemanja, iż pomiędzy szarakiem (*Lepus timidus* Lin.), a bielakiem (*Lepus variabilis* Pall.), objawiają się kształty pośrednie, z mieszanja się dwóch tamtych wynikające, które zatem tylko jak mieszańce uważać należy. Pan Middendorff całą literaturę do tego przedmiotu ściśle przejrzał i ocenił, a wzięwszy pod uwagę okazy tych rozmaitych odmian, wywiódł z takowych badań następujące cztery północno-europejskie gatunki zająca: 1) *Lepus timidus* Lin., *L. europaeus* Pall. Ross. *russak*, czyli najpospolitszy zając, u naszych myśliwych zwany szarakiem, rozpostarty po całej Rosyi europejskiej, a nawet w Azji po Kaspjskie morze i może po Kazań sięgający. 2) *Lepus medius* Nilss., pod który podciąga zająca nazywanego przez lud w Rosyi północnej *russakiem*, w południowej zaś *tumakiem*, a którego Pallas nazywając *Lepus hybridus*, mieszańcem szaraka z bielakiem być sądzi. Pod ten gatunek podciąga także Blasiusa *Lepus aquilonius*, i przyznaje mu mniejszą w ogólności liczbę kręgów ogonowych, a jak najściślej przegląda wszelkie jego ubarwienia zmiany, od pór rocznych zależące, twierdząc, że w żadnym innym zilmowa nie jest do tego stopnia rozwinięta. Do niego też odnosi różne wyjątkowe co do ubarwienia odmiany, tu i owdzie natrafiane, jakoto: zające czerwone, a nadewszystko tak nazwane czarne, o których znajdowanju się w Litwie namienia (całkiem czarny, z końcami nóg i czterema plamami na czole i policzkach brunatno-czerwonemi), chociaż nie przeczy że takim zmianom koloru i inne podlegają gatunki. 3) *Lepus variabilis* Pall. *Lepus borealis* Nilss. to jest znajomy nam *bielak*, dostatecznie już w dziełach tak zoologicznych jako i myśliwskich odrózniony. 4) na koniec *Lepus canescens* Nilss. którego Nilsson w Szwecyi podawał zrazu za odmianę bielaka, pod nazw. *Lep. borealis silvaticus*, ale później, wsparty dokładnemi postrzeżeniami Sundewala, za gatunek oddzielny uznał, co po nim Waterhouse potwierdził. Middendorff mniema, że dwa okazy zająca, nadesłane mu z Infant, do tego należą gatunku, i ztądto do rossyjskiej wcieliła go Fauny. W pracy Middendorffa wielkie widać usiłowanie o dokładność; zważając jednak na niestałość w liczbie ogonowych kręgów u tych zwierząt, na trudność a częstokroć i niepodobieństwo zapewnienia się w którym *stadium* dany okaz ma swoją barwę zmieniającą się z porami rocznemi, na wielkie podobieństwo tych zmian ubarwienia w gatunkach rzeczywiście odmiennych, zresztą na niezupełność opisów w autorach i t. d. przedmiotu tego nie można jeszcze uznać za wyczerpnięty, kwestyi za rozwiązanej. Człł to i sam autor zachęcając do przedsiębraju prób na drodze doświadczeń fizyologicznych, to jest do krzyżowania gatunków, i dziwiąc się że mimo wielką łatwość czynienia tego z rodz. zająca, nikt przecież nie pokusił się przez 70 lat od czasów Pallasa, o sprawdzenie tą drogą mniemań jego (*Id.* 1851 nr. 381, 383, 386).

* Wiadomo było że tak gronostaj (*Mustela erminea*) jako i mniejsza jeszcze od niego zwyczajna łasiczka (*M. vulgaris*) napada drobne zwierzęta, kaleczy je zębami i z ran zadanych krew wysysa. Dr. Fr. Betz w Tubindze miał sposobność przekonania się, że gronostaj gotów jest to samo i z lu-

dźmi czynić. We wsi Derendingen niedaleko Tubingi, zwierzątko to pokąsało dwoje dzieci: czteroletnią dziewczynkę i chłopca 9 lat mającego. Rodzice tych dzieci mają mieszkanie o kilka stóp niżej ulicy w ziemię zapadłe, tak że okno przy samej ziemi się znajduje, a gronostajów dużo jest w tém miejscu. Najprzód chłopiec we śnie ukąszony został w koniec nosa, co jednak go nie obudziło. Na drugą noc ponowilo się skaleczenie nosa, i to w to samo miejsce: chłopiec przebudził się i opowiedział matce że gronostaj chciał go gryźć, i że zeskoczył z jego twarzy, gdy się obudził. Matka nie przypuszczając ażeby takie małe zwierzątko ludzi napadało, uspokoiła dzieci, które nie chciały już spać na trzecią noc w tej izbie. Allści i tej nocy gronostaj kaleczy dziewczynkę, i to w to samo miejsce co i chłopca, to jest w koniec nosa. Rodzice posmarowawszy ukąszone miejsca maścią, nie gasili następnej nocy światła w izbie w której ledwie można było dzieci do spania skłonić. Ojciec przyrzekł im czuwać, i gdy raz zajrzał, gronostaj zeskoczył z dziewczynki, ukąszonéj już tą razą nie w koniec nosa, (może dlatego że tam maść była), lecz w koniec wielkiego palca. „Nazajutrz, mówi dr. Betz, oglądałem rany. Każde dziecko miało na końcu nosa trzy skaleczenia, jakby zakłócia lancetem, w oddaleniach zupełnie odpowiednich oddaleniom między przednimi zębami gronostaja. Rany te zrazu jątrząc się nieco, wkrótce się po należytem opatrzaniu zagoiły”. Dr. Betz podał wiadomość o tem na kliniczną kartę dziennika Froriepa, i słuszną czytu uwagę, iż ona ostrzeżeniem stać się powinna względem tych zwierzątek, które, tém bardziej że do drapieżnych należą, mogłyby i chorobie wścieklizny uleż. Rzeczą i to jest szczególną (dodaje), że gronostaj do kłosa obiera części ciała górzące i w krew obfitujące, jakoto koniec palców, nosa, a jak lud prosty nie bezzasadnie utrzymuje, i brodawki u wymion krowich. (T. 1850 nr. 95).

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

115. *Catalogue d'une Collection de livres rares et curieux concernant la Pologne, la Russie, la Bohème, la Hongrie, la Turquie et la Suède. Autographes, manuscrits, gravures et monnaies polonais. Première partie contenant les livres sur la Pologne, en vente aux prix marqués chez J. Lissner. libraire et marchand d'estampes. Svo. Posen, 1851, imprim. de W. Decker.* Str. 88. Złp. 1.

116. *Miasta, wsie i zamki polskie. Powieści i obrazki przez Ad. Am. Kosińskiego.* 4 tomy. 12ka. Wilno. 1851. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I, str. 323. II, 376. III, 346. IV. 320. Złp. 26, gr. 20.

117. *Zamek w Czarnokozincach, powieść narodowa przez Władysława Chadźkiewicza. (Na okładce dodano: Wydanie drugie).* 12ka. Wilno. 1851. 2 tomy. Nakładem i drukiem T. Glücksberga. Tom I, str. 294. II, 280 i w każdym tomie napisów kart 2. Złp. 13 gr. 10.

1852.

13. *X. Coyer Historya Jana Sobieskiego króla polskiego (.) Przekład polski bezimiennego tłómacza świeżo odszukany. Kilku uwagami objaśnił i uzupełnił Władysław Syrokomla.* 2 tomy. 8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk T. Glücksberga. Tom I, str. IV i 307. II, 173. i Słówka o Historji Jana Sobieskiego przez X. Coyer, osobno liczb. str. 18. Złp. 24.

14. *Druga żona. Komedia opowiedziana przez Józefa Korzeniowskiego.* 12ka. Warszawa. 1852. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego w Wilnie. Str. 245. Złp. 6.

15. *Mowy pogrzebowe przy zmarłych różnego wieku i stanu, napisane oryginalnie przez księdza An. Kourada Piramowicza, Zgromadzenia księży Reformatów.* 12ka. Warszawa. 1852. Nakładem G. Sennewalda, drukiem J. Ungra. Kart 6 i str. 315. Złp. 6, gr. 20.

16. *Nabożeństwo dla osób do stanu małżeńskiego zabierających (się) lub w nim zostających (,) tudzież potrzebne nauki i rady, celem otrzymania szczęścia i zbawienia. (sic) W stanie małżeńskim.* 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk T. Glücksberga. Karta I i str. 274. Rejestru kart 3. Złp. 9.

17. *O rasach ludzkich czyli zasady etnografii. Przez J. J. D'Omallus d'Halloy. Przekład z francuzkiego W. P.* 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. XXXVI i 138. (Z 2 tabl. rycin kolor.). Złp. 6.

18. *Paladyn Czorc. Powieść na gminném podaniu oparta.* 8ka. Wrocław. 1852. Nakładem Z. Schlettera, druk R. Nischkowskiego. Str. 40. Złp. 3.

19. *Pan Zygmunt w Hiszpanii. Powieść prawdziwa w 4ch tomach, z ostatniej wojny domowej Hiszpańskiej, przez Autora wspomnień z podróży po D. N. A. etc.* 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1852. Druk Ungra, nakład autora. Tom I, str. 234. II, 247. III, 214. IV, 220. Złp. 20.

20. Sobótka, z powieści pod napisem (:) Kościelisko. 8ka. Wrocław, 1852. Nakład Z. Schlettera, druk Storch. Kart 2 i str. 40. Złp. 2 gr. 10.

21. Stary sługa (.) Powieść J. I. Kraszewskiego. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I str. 249 II, 248. Złp. 8.

22. Stanisława Strąbskiego Rocznik na rok przestępny 1852. 8ka wielka. Warszawa. 1851. Nakład i druk wydawcy. Kalendarza str. 42 i 93. (Z drzeworytami). Złp. 2 gr. 17.

23. Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporozża (,) podług Skalkowskiego (,) oraz Hetmani Małorossyjscy i Kozacy do czasów Unii, przez Michała Głisczyńskiego. Z czterema mapkami. 8ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 2 i str. 373. Złp. 13, gr. 10.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

P. Alexander hr. Przezdziecki, w podróży swojej we Francyi i Niemczech zebrał ciekawe i ważne materyały do dziejów naszych. Zanim sam uczony badacz obszernie sprawozdanie w piśmie naszym poda, my tu choć pokrótce o nich wspomniemy.

Ze znanych dotąd rękopismów kroniki *Wincentego* (Kadłubka) biskupa krakowskiego, najdawniejszy, oraz jedyny pergaminowy był tak zwany *Rękopism Kuropatnickiego*, niegdyś do b. Towarzystwa Przyjaciół Nauk należący, a z którego Kownacki kronikę Kadłubka wydrukował roku 1824 w Warszawie. Szczęśliwym trafem zdarzyło się, p. Przezdzieckiemu znaleźć w cesarskiej bibliotece wiedeńskiej, pomiędzy kodexami niegdyś księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, *pergaminiowy rękopism kroniki Wincentego biskupa krakowskiego* dawniejszy, zdaje się od Kuropatnickiego, bo z końca XIII lub z początku XIV wieku. Sam pisarz zresztą przy końcu kroniki zapisał imię swoje: „*per manum Nicolai Pozn: canonici et plebani de Sydce*.”

Ossoliński i następnii po nim badacze kroniki Kadłubka znali tylko jeden rękopism wiedeński z XV wieku, który się dotąd w tamecznej bibliotece znajduje. Nowo wynaleziony *rękopism księcia Eugeniusza*, nader ważny jest, tak ze względu na starożytność, jak też z powodu *przypisków* na marginesach, ręką uczonego polityka i moralisty z początku XIV wieku pisanych, i świadczących wyraźnie, o pochodzeniu swoim z epoki przed Łokietkiem. Szczegółowe opisanie tego rękopismu, wraz z podobiznami, pan Przezdziecki wygotować ma do zeszytu Biblioteki Warszawskiej na miesiąc luty.

W bibliotece wiedeńskiej znajduje się także ciekawy rękopism dzieła królowej polskiej Elżbiety, żony Kazimierza Jagiellończyka, o wychowaniu wnuczka nowonarodzonego syna Władysława króla czeskiego i węgierskiego. Jestto traktacik moralny i polityczny, najpiękniejszą łacina pisany roku 1502, pod napisem: *Helizabeta Poloniae Regina Wladislao Pannoniae Bo-*

hemiaequae Regi, filio Carissimo S. R. D. De Institutione Regii Pueri. Exemplarz z kart 70 w 12ce złożony, ozdobnie pisany jest, i ozdobiony herbem i cyframi króla Władysława i żony jego Anny. Wszystkie cnoty, które królowa pragnie wnuczce swojemu wszczepić, objaśnia przykładami nie tylko z historyi starożytnéj, ale i z życia osób rodziny swojej Jagiellońskiej. Zajmujący ten zbiór obrazków domowego życia, wyjdzie w którym z dalszych poszytów pisma naszego. Nowe światło rzuca téż na związek Jadwigi z Wilhelmem rakuzkim dyplomata układów, zawartych pomiędzy Ludwikiem królem węgierskim i polskim ojcem Jadwigi, a Leopoldem ojcem Wilhelma; oraz Elżbiety i Maryi królowych węgierskich z samym Wilhelmem, drukowane wprawdzie w mało znaném u nas dziele: „*Marquardi Herrgott Monumenta Domus Austriacae*” a ostatni najwazniejszy z 1385 r. przedrukowany nawet został w *Fejera Codex Diplomaticus Hungariae*, ale można było podejrzewać ich autentyczność. Jednakże tego ostatniego aktu znalazł się *oryginał pergaminowy z pieczęciami* w archiwum cesarskim w Wiedniu, i pan Przędziecki mógł kollacyonować dokładnie kopię z oryginałem.

Z innych dokumentów historycznych znalezionych przez pana Przędzieckiego we Francyi i w Niemczech, najwięcej jest tyczących się Bolesława Krzywoustego, jego żony Salomei, i ich potomstwa. Na dokładny opis zasługują téż rękopisma biblioteki cesarskiej wiedeńskiej, w której oprócz wyżej wspomnianych rękopismów, znajdują się autografy dzieł niewydanych *Warszewickiego*, autograf historyi *Rudawskiego*, wyciąg z historyi *Długosza* pisany 1569 roku dla *Mikołaja Oleśnickiego* znanego aryanina, i wiele innych.

— P. Gustaw Belke, autor znakomitego dzieła pod tyt. *Mastologia*, łącznie z p. Alexandrem Kremerem, przełożyli na język polski dzieło francuzkie: *Histoire des Sciences naturelles depuis leur origine jusqu'à nos jours, chez tous les peuples connus etc. par Georges Cuvier, rédigée et complétée par T. Magdeleine de Saint-Agy.* Wspaniałe to dzieło, wprowadzające nie tylko w poznanie umiejętności właściwych, ale zarazem i filozofii, religij, rządów, sztuk, słowem wszystkiego co się przyłożyło do rozwinięcia towarzystw ludzkich, jest oraz księgą dziejów cywilizacji świata, przez czystość i jasność wykładu dla wszystkich czytelników zrozumiałą; jest jedno z tych, które prawdziwie oświecają, które zagrzewają do postępowania w doskonaleniu się umysłowém. Tłumacze domieszczają w odpowiednich miejscach wszystko, co się do początku i wzrostu nauk przyrodzonych w Polsce odnosi, a mając przygotowane już do druku dwa tomy (wszystkich jest 5), szukają tylko nakładcy, który zapewne rychło się znajdzie, ponieważ tłumacze, wiedzeni rzadką życzliwością dla postępu krajowej oświaty, prawie zrzekają się osobistych korzyści z swéj pracy.

— Nakładem G. Sennewalda oddane pod prasę zostały: „*Pisma pomniejszych J. Majorkiewicza* w IIch tomach: temi dopełnionem zostanie wydanie wszystkich pism, jakie zostawił ten pisarz, tak zawczasie zgasły.

— Nakładem tegoż księgarza wyjdą w r. b. Powieści Seweryny z Żochowskich Pruszek, we 4ch tomach.

— S. Orgetbrand przygotował drugie wydanie znacznie powiększone: *Biblioteki starożytnych pisarzy polskich*, w 6ciu tomach, i *Pamiętników*

do panowania Zygmunta IIIgo, Władysława IV i Jana Kazimierza, w 2ch tomach.

— Do ważnych odkryć historycznych należy *Latopisiec albo kroniczka Joachima Jerlicza*, obejmująca dzieje przeszło z pół wieku, bo z lat 53, tojest od r. 1620 do 1673, przez ciąg panowań trzech Wazów i Michała Korybuta. Mnóstwo zawiera nieznanych szczegółów, a na znane rzuca nowe światło. Wydaniem tego latopisca zajmuje się p. K. Wł. Wójcicki, który go odkrył pomiędzy rękopisami znanego historyka Albertraudego. Życiorys nieznanego kronikarza, i przegląd całego latopisca, umieścimy wkrótce w jednym z zeszytów pisma naszego.

— Z przybyciem do Krakowa dra Dietla ożyje literatura lekarska, bo po upadku *Rocznika lekarskiego*, który przestał wychodzić od kilku lat, ukaże się *Klinika lekarska*, tojest wszystkie historie chorób w klinice leczonych, ze szczegółowemi uwagami. Tym sposobem złoży się wielkie dzieło lekarskie, jedyne w Polsce, bo czysto na drodze praktycznej osłgnięte.

— Obecnie wychodzi w Pradze poliglilotyczny przekład *Króloworskiego rękopisu*, wydawany przez Wacława Hankę. Polski przekład L. S. do tego wydania należący, już wyszedł z druku i sprzedaje się osobno.

— Nakładem J. Czecha w Krakowie wyszła powieść: *Bitwa o chorażankę. Obrazek z XVIII wieku*, z rękopisów Zygmunta Kaczkowskiego. Ska.

— Nakładem J. Wilda w Krakowie wyszły: *Machiawell i jego system polityczny*, i: *Żywot Kazimierza Brodzińskiego*, skreślił w powiastkach L. S.

— W drukarni Zakładu imienia Ossolińskich, która obecnie przeszła pod bezpośredni zarząd dzierżawcy Wojciecha Manieckiego, wyszedł: *Toaletowy Kalendarzyk damski* na rok 1852.

— W Toruniu, rodzinném mieście Kopernika, postawionym będzie w tych dniach posąg tego wielkiego astronoma, przed starożytnym ratuszem. Prof Tieck robił doń model, odlew zaś Fischer. Szlachetna postać Kopernika, odziana fałdzistą draperyą, w lewój ręce trzyma sferę z zodyakiem, prawa nieco wzniesiona, a głowa wawrzynem uwieńczona i podniesiona ku niebu.

— Księgarz Schletter w Wrocławiu wydał piękną edycyą Poezycj Tomasza Aug. Olizarowskiego, we trzech tomach.—Nakładem tegoż księgarza ogłoszona „Marya” Malczewskiego, jest z porządku 11tém wydaniem; petersburska Wolffa, z drzeworytami, jest 12tém; wszystkie zaś edycye w ciągu lat 25 uskuteczniiono.

(*Wyjątek z listu Karola Szajnochy do St. Lisowskiego*).

Lwów, 12 grudnia 1851 r.

„Literackie oniemienie nasze ma być przerwane, Bóg daj, jedno-arkuszowém co tydzień pismem peryodycznym, pod nazwą: *Dziennik literacki*. Muje przypadł obowiązek redaktorstwa. Pierwszy numer wyjdzie temi dniami. Trzymając się w szrankach surowego w każdym względzie umiarkowania, chce pismo nasze kierować się trzeźwym, męzkim rozsądkiem, dalekim od wszelkich religijnych i politycznych paradoxów, od wszelkich poetycznych, i niby naukowych mrzonek, które dziennikarskiej rubryce krytyki aż nazbyt

obfitego materiału dostarczyć mogą i poniekąd zapewne téż dostarczą. Na téj drodze nieuprzedzania się niczém, byłaby nam bardzo pożądaną pomoc światłego zdania pańskiego i t. d.

(Wyjątek z listu R. W. Berwińskiego).

Zebrał się tom spory „Aforyzmów o literaturze ludowej, ze szczególniejszém uwzględnieniem gusek, zabobonów, przesądów i czarów.” Myślę że w téj pracy dotknąłem wszystkiego co jest ważniejsze. Dzieli się ona na trzy części. W pierwszej dałem ogólny pogląd na tę gałąź literatury, i na stosunek jaki zajmuje do całego drzewa naszego umysłowego rozwoju, przyczém wskazałem kiedy z pnia rodzinnego wykiełkowała, i jak się rozrosła. Jest tu i bibliograficzny materiał dosyć starannie zebrany, bez pominięcia nawet potocznych rozpraw, po różnych pismach czasowych od początku XIX wieku drukowanych. Druga część zajmuje się krytycznym rozbiorem uwag, jakie o téj literaturze w nowszych czasach u nas zostały rzucone, mianowicie przez pp. Wójcickiego, Wiszniewskiego, Maciejowskiego i innych; któryto rozbiór doprowadził mnie do przekonania, że naukowych korzyści, ani wniosków uawet żadnych pomniejszych z literatury ludowej wyciągnąć nie można, bez gruntownego poznania gusek, zabobonów i przesądów, i bez rozebrania ich ze stanowiska historycznej krytyki, której podwaliną w téj literaturze są zdaniem moim właśnie te gusła i zabobony, stanowiące poniekąd *dogmat* ujemnej wiary ludu, podający pewien stałszy punkt oparcia naukowym poszukiwaniom. Ważność żywiołu tego starałem się w téj części ocenić, i okazać jak należy: przytoczyłem zarazem co już w téj mierze u nas zrobiono, wyszukałem najstarsze źródła z ciągu całej naszej literatury, w którychby wiadomości niejako o tym przedmiocie zasięgnąć można, a nawet z kilku dzieł takich, co ważniejszego w treści przytoczyłem, zkąd nowe, jak sądzę, i niepostrzeżone dotąd wysunęło się i padło światelko na stosunek sekciarstwa do ogólnej oświaty w kraju, a zwłaszcza do oświaty ludu, również jak i na genezę niektórych wyobrażeń jego, które początek dały wielu ludowym kreacyom. Obiedwie te części zupełnie już są wykończone i zredagowane. W trzeciej traktować będę specjalnie o niektórych gusłach i zabobonach, rozbiierać naturę czarów, dochodzić źródła z którego wiara w nie wypłynęła, oceniać, czy w nich spodziewać się można zabytków mitologii pogańskiej, a zwłaszcza słowiańsko-pogańskiej, przyczém się okazać ma, czy zdanie nowszych naszych pisarzy, o początku ich i pochodzeniu, jak np. Maciejowskiego, który je wyprowadza z politycznego stosunku Słowian nad-łabańskich do Niemców? czy zdanie to, i inne są prawdziwe.

Zapowiadziane ryciny grobowca Szydłowieckich w Opatowie, dołączone będą do następnego zeszytu.



Redakcja Biblioteki W



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Listopad, 1851.

Listopad 1851.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18^o41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0 ^o				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano.	god. wiec.	god. wiec.	
1		742.41	745.31	747.32	747.72	+ 4 ^o .2	+ 6 ^o .3	+ 6 ^o .9	+ 5 ^o .8	86.0
2		743.08	742.72	739.95	737.30	6.2	7.5	9.6	12.0	98.0
3		742.47	744.87	745.06	744.74	4.2	5.7	7.7	5.3	86.5
4		742.83	742.01	739.57	739.88	3.3	9.1	12.6	9.7	95.5
5		743.95	746.25	746.91	749.12	3.9	4.9	5.5	3.9	87.0
6		751.62	753.16	752.22	749.65	— 0.2	+ 2.5	3.6	4.3	91.2
7		746.21	747.96	748.97	749.87	+ 7.1	+ 8.0	5.9	3.3	91.3
8		752.01	752.24	752.11	752.09	— 0.3	+ 3.6	8.4	5.6	86.5
9	☉	752.91	752.97	751.85	751.41	+ 3.5	6.3	10.6	7.4	94.5
10	☉	749.16	748.49	749.30	751.54	7.9	10.0	12.3	8.9	90.0
11		751.26	751.71	752.29	754.74	9.3	10.8	13.2	10.4	92.5
12		754.80	754.03	754.44	755.58	9.3	10.7	11.1	9.1	93.0
13		757.37	757.75	756.66	755.96	6.9	7.5	5.8	3.3	95.0
14		751.21	750.23	747.24	746.20	2.7	5.3	4.2	3.3	83.5
15		747.36	747.94	747.84	748.18	1.0	1.1	1.6	— 0.5	84.5
16	☾	747.63	746.55	742.11	739.10	— 2.5	— 0.8	— 0.7	— 2.4	
17	☾	740.83	742.98	743.48	744.55	— 5.2	— 3.1	— 4.0	— 2.9	
18		742.30	739.54	738.66	745.71	— 1.1	+ 0.8	+ 1.2	— 0.6	
19		750.95	750.99	747.90	745.41	— 1.9	+ 0.2	+ 0.2	+ 0.0	96.7
20		741.06	738.68	737.15	742.45	+ 0.8	+ 2.6	5.6	— 1.4	93.3
21		744.12	742.48	744.86	748.71	— 1.4	+ 0.3	— 0.3	— 1.7	78.2
22		749.35	749.76	749.56	749.20	— 5.1	— 1.2	+ 0.2	0.7	96.2
23	☉	748.04	748.49	747.07	746.10	+ 1.7	+ 2.6	3.2	2.6	100.0
24		742.73	742.00	742.47	743.09	5.4	5.1	2.5	+ 1.1	96.8
25		741.94	742.61	743.24	743.53	0.2	1.7	0.8	— 1.5	89.2
26		741.42	740.11	737.04	736.68	— 0.5	+ 0.1	0.1	— 0.2	100.0
27		739.49	740.89	742.39	744.19	— 0.9	+ 0.4	0.2	— 2.5	95.8
28		744.68	745.34	745.28	744.97	— 2.1	+ 1.1	0.0	+ 0.2	93.7
29		745.55	746.36	746.97	746.83	+ 0.2	+ 1.4	0.8	+ 0.0	94.8
30	☾	747.32	748.24	748.33	748.67	— 0.4	+ 0.3	— 1.0	— 1.3	96.8
Śre.		746.535	746.726	746.275	746.772	+ 1 ^o .86	+ 3 ^o .69	+ 4 ^o .20	+ 2 ^o .13	92.1

Astronomicznem Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7
względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczy	śnie- gu
napót pog. pochmurny	pr. pochm. poch. l. mg.	pr. pogodny poch. dész.	poch. dész. pochmurny	Z. W.	Z. PnW.	Z. Pn.	W. Pd.	1.4 13.2	
pogodny	pr. pogod. mgła gruba	lek. p. dész. poch. dész.	pogodny pochmurny	PdZ. PnW.	PdZ. PdW.	W. PdW.	PnW. PdZ.	1.4 1.4	
pr. pogodny pochmurny	mgła gruba pogodny	poch. dész. lek. poch.	pochmurny poch. dész.	PdZ. Pd.	PdZ. Pd.	PdZ. PdW.	PdZ. PdW.	3.4 0.9	
pogodny pochmurny	pogodny pochmurny	smugi pogodny	poch. dész. lek. pochm.	Pd. PdW.	Pd. Pd.	PdW. Pd.	PdW. Pd.	0.8	
pogodny napót pog. pochmurny	pogodny napót pog. pochmurny	smugi pr. pogodny	lek. pochm. lek. zamgl.	Pd. PdW.	Pd. PdW.	PdW. PdW.	PdW. Pd.		
pochmurny pochmurny	lek. pochm. pochmurny	pochmurny lek. poch.	lek. pochm. pochmurny	PdW. PdW.	PdW. PdW.	PdW. Pd.	Pd. PdZ.		
pochmurny pochmurny	pochmurny pochmurny	pochm. mży pochmurny	pochm. mży pochm. mży	PnZ. PdZ.	Z. PdZ.	Z. PdZ.	PdZ. PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
lek. pochm. pochmurny	napót pog. pr. pogodny	lek. pochm. lek. pochm.	poch. śnieg pogodny	Z. PdZ.	PdZ. Pd.	PnW. Pd.	PnZ. PdW.		3.0
poch. śnieg pochmurny	poch. dész. pochmurny	poch. mgła pochmurny	pochmurny poch. dész.	PnW. Pd.	PnW. PdW.	Pn. PdW.	PdZ. Pn.	2.8 3.0	3.4
poch. d. mg.	poch. mgła	pochmurny	pogodny	Pn.	PnW.	Pd.	PdZ.	3.6	
pogodny pogodny	poch. śnieg pochmurny	pochmurny pochmurny	pr. pogodny poch. dész.	Pd. PdW.	Pd. PdW.	PdZ. PnW.	PdZ. PnW.		0.6
mgła gruba poch. dész.	mgła gruba poch. dész.	mgła gruba pochmurny	poch. dész. pochmurny	PnW. W.	PnW. PdW.	Pn. Pd.	Pn. Pd.	0.8 5.4	
pochmurny	lek. pochm.	pr. pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	Pd.	W.	5.0	
poch. śnieg poch. śnieg	śnieg gęsty poch. śnieg	śnieg gęsty pochmurny	śnieg pochmurny	Pn. PdZ.	Pn. PdZ.	Pn. Pd.	Z. Pd.		15.8 1.2
pochmurny pochmurny	pochmurny pochmurny	pochmurny poch. śnieg	poch. śnieg pochmurny	Pd. Pd.	Pd. Pd.	Pd. Pd.	Pd. PdZ.		3.0
pochmurny	lek. poch.	poch. śnieg	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	PnZ.		1.1
								43.1	28.1

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.577	27	6 955
Najwyżej dochodził — d. 13 o g. 10 r.	757.75	27	11.907
Najniżej — — d. 26 o g. 10 w.	736.63	27	2.567
Średnia zmiana dzienna barometru	3.962		1.756
Największa zmiana dzienna barometru d. 31 Paźdz.—1 Listop. o g. 10 w.	12.68		5.731
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	3.687		1.635
Średnia temperatura Listopada wynosi: +	30.135 C.	+ 20.508 R.	
i ta jest wyższą o	1.681 „	1.345 „	
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 1.454 „	+ 1.163 „	
Największe ciepło dochodziło d. 11 o godz. 4 wiecz.	+ 13.2 „	+10.56 „	
Największe zimno dochodziło d. 17 o godz. 6 rano.	— 5.2 „	— 4.16 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.592 „	2.073 „	
Największa zmiana dzienna d. 31 Paźdz. 1 Listop. o g. 10 w. i 6—7 o g. 6 r.	7.7 „	6.16 „	

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 110.7 R. d. 11 po połud.

Minimum: — 40.8 „ d. 22 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 43,1 milim., czyli 19,10 lin. par. z śniegu 28,1 milim. czyli 12,46 lin. par. razem spadło wody z deszczu i śniegu wysoko na 71,2 milim. czyli 31,57 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 11,8 lin. par. od ilości jaka u nas w listopadzie zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 82,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 6,0 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest większa o 0,02 od normalnej.

Dni napół pogodnych było 8, pochmurnych 22.

Dni deszczu 15 (d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 10, 13, 14, 18, 19, 20, 22, 23, 24).

— śniegu 8 (16, 18, 21, 26, 27, 28, 29, 30).

— mgły 5 (d. 2, 4, 18, 20, 23).

— krup 1 (d. 19).

Wichrów 1 Pd.

Wiatrów mocnych było 4: 3 PdZ., 1 Pd.

Wiatr panujący: Południowy, częste były Południowo-Wschodnie i Południowo-Zachodnie.

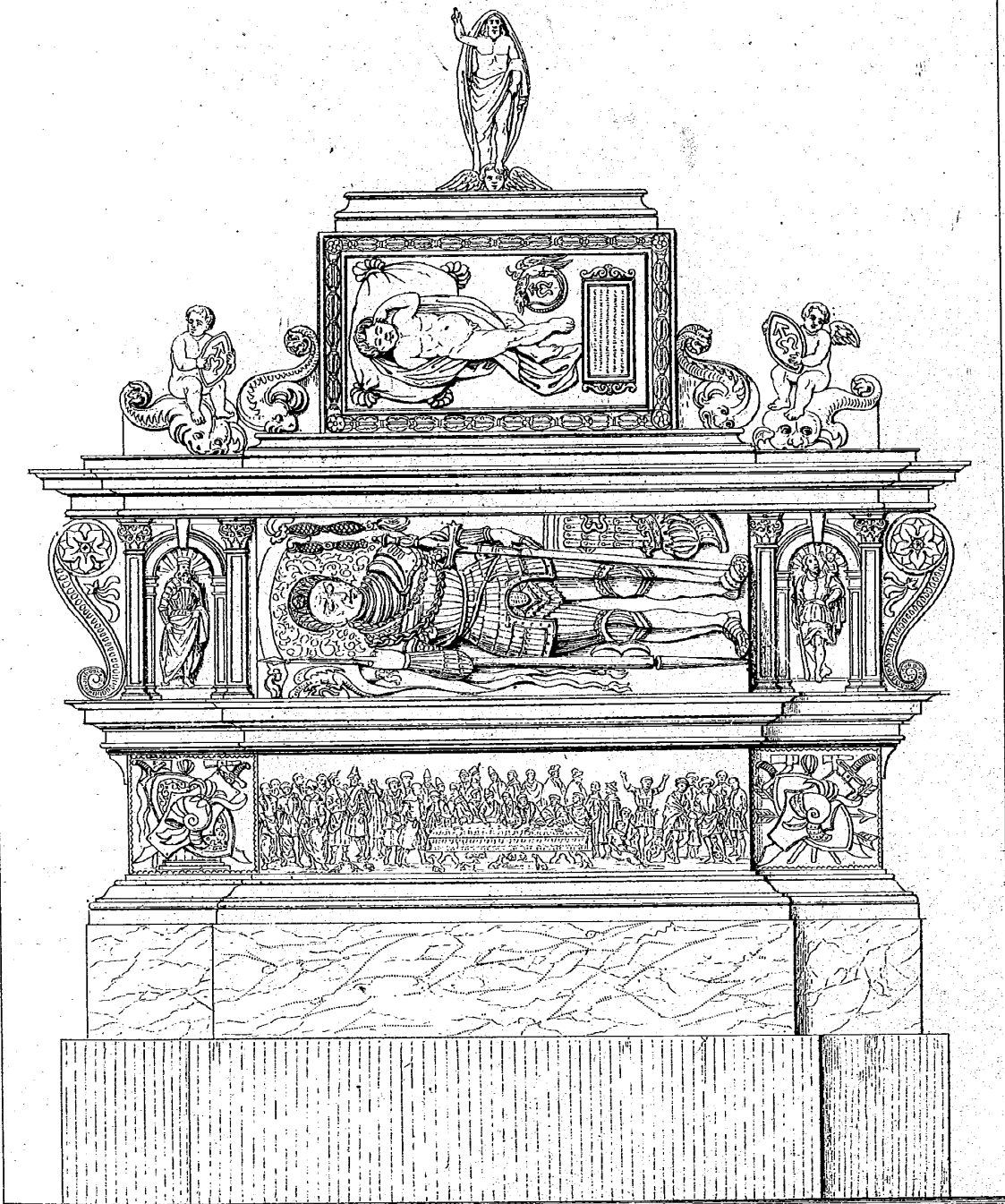
Listopad r. b. był niepogodny, wilgotny i stotny, w pierwszej połowie ciepły, w drugiej chłodny, w ogóle o 1,3 stop. R. cieplejszy jak zwykle. Dni 10, 11 i 12 były osobliwie ciepłe, po południu w tych dniach termometr wskazywał blisko 10 stop. R. Najcieplejsze dni były d. 4, 7, 9, 10, 11, 12; najzimniejsze d. 16, 17, 19, 21, 22, 26, 27, 28, 30. Zmiana znaczna temperatury z d. 31 października na 1 listopada i z d. 6 — 7 listopada wynosiła 6,16 stop. R. Zmiany barometru były także znaczne, największa z d. 31 października — 1 listopada, dochodziła 5,73 lin. par. Deszcze i śniegi były częste, albowiem w pierwszych sześciu dniach i ostatnich czternastu, deszcz lub śnieg codziennie padał. Dnia 26 przez cały dzień śnieg tak obficie pruszył, iż go w tym jednym dniu więcej spadło niż zwykle w całym miesiącu.

D. 1 o godz. 9 rano koło i dwa boczne słońca, i o godz. 10 rano także dwa boczne słońca były widziane.

D. 5 od 6½ — 7½ i d. 7 wieczorem. d. 8 o godz. 6½, d. 9 od 8 wiecz. koła białe otaczały księżyc.

D. 22 o godz. 5½ rano widziano Zorzę Zodyakalną wyraźną.

D. 23 przez cały dzień trwała mgła nadzwyczaj gruba.



projektował H. Pawłowski.

rył. na kam. Adolf Dietrich.

NADGRZEBEK KRZYSZTOFA SZYDŁOWIECKIEGO W OPATOWIE.



PEASKORZEŹBA Z GROBOWCA KRZ. SZYDŁOWIECKIEGO.

W OPATOWIE.

JAN STEFAN WYDŹGA

I JEGO PAMIĘTNIK, SPISANY PODCZAS WOJNY SZWEDZKIEJ
OD ROKU 1655 DO 1660.

PRZEZ

H. Pl. Wojcickiego.

Rodzina Wydźgów, albo Wyźgów, jak mnóstwo innych ze starego Mazowsza wychodzi: bo Mazowsze w średnich wiekach Polski było (że tu użyję wyrażenia jednego z dawnych poetów naszych) owym koniem trojańskim, z którego wnętrza sypała się szlachta rycerska, i rozsiadała na wszystkich rozległych ziemiach Rzeczypospolitej od Bałtyku do Czarnego morza. Zaścianki litewskie, podnoża Karpat, osady rozrzucone ponad Dnieprem, Dźwiną, Niemnem, Dniestrem i Prutem, wszędy rodziny mazowieckie znajdziesz. Bo téż ogromna była ludność tego plemienia, gdy jedna rodzina w końcu XVIgo wieku, tysiąc mężów zbrojnych do boju wystawić mogła (1). Brak ziemi już wtedy dał się uczuwać, i rody mazowieckie po obszarach Rzeczypospolitej musiały roli sobie szukać.

Na początku XIIIgo wieku część Wydźgów rodziny przeniosła się w województwo ruskie, druga część pozostała w Płockiem.

Getko Wydźga kasztelan sądecki, i drugi brat jego, w roku 1255 na dyplomacie Bolesława Wstydliwego są wymienieni (2); Wydźga starosta sandecki w dyplomacie Kazimierza Wielkiego

(1) S. Starowolski w opisie Polski za Zygmunta IIIgo.

(2) Nakielski Miechov, fol. 280.

z roku 1354 (1); Jędrzej Wydźga chorąży płocki w roku 1436 podpisał pokój brzeski (2); Mikołaj z Szczytna Wydźga podkomorzy sochaczewski podpisał się w roku 1463 na przywileju kolegiaty łowickiej.

Jan Wydźga sławny rotmistrz, towarzysz wypraw Władysława IV, później podsędek lwowski, ożeniony z Kiewliczówną, był ojcem naszego dziejopisarza Jana Stefana (3). Stary Wydźga przeżył całe panowanie tego króla, i pięć lat pod berłem Jana Kazimierza, bo umarł roku 1653. Młody Stefan urodzony w powiecie lwowskim, który tytu uczonej krajowi wydał, od samego dzieciństwa okazywał już nadzwyczajne zdolności i nienasyconą chciwość w nabywaniu nauk; ztąd też rodzice z wielką starannością o jego wychowaniu mieli staranie, i do wstąpienia go następnie do stanu duchownego namówili, aby mógł zostać z czasem znakomitym w kraju prałatem, i opiekunem swojej rodziny (4). Oddany do szkół we Lwowie, oprócz wrodzonych zdolności odznaczał się i dowcipem. Zwyczajem owego wieku, dla ukończenia naukowego ukształcenia wysłany za granicę został. Belgią, Francją, Hiszpanią i Włochy zwiedziwszy, zawiązawszy tam ścisłe stosunki przyjaźni z najznakomitszymi uczonemi, stanął wreszcie w Rzymie, gdzie otrzymał stopień doktora teologii (5). Snać że zdolności i naukę Stefana umiano oceniać, kiedy za powrotem do Polski został wkrótce kanonikiem lwowskim, i niedługo proboszczem katedry lwowskiej.

„W wypełnianiu tych obowiązków, jak wyraża Janocki (6), zjednał sobie wielką wziętość; mianowicie gdy wbrew ówczesnemu zwyczajowi, przyjętemu od znakomitych duchownych, dawał się często z kazalnicy słyszeć: przez co tak miłość ludu, jako też i łaski możnych, a szczególnie przychylność uczonego biskupa przemyskiego i podkanclerzego Andrzeja Trzecieckiego pozyskał.”

Biskup ten ujęty uczonością bez pedanteryi, trafnością sądu, i łagodnością obyczajów Wydźgi, przypuścił go do swego zaufa-

(1) Nakielski. Miechov. fol. 174. (2) Łaski. Statuta, fol. 140.

(3) Niesiecki wyd. 1743, str. 613.

(4) Nachricht von den raren polnischen Büchern. Johan Daniel Janocki. T. III, str. 44—48. Wrocław. 1753. 8ka.

(5) W Belgium (pisze Niesiecki str. 612) Eryka Puteana, Mikołaja Vernulensa, a w prawie kanonicznym Jędrzeja Wallensa miał profesorów.

(6) Nachricht etc.

nia, i młodego mówcę na dwór Władysława IVgo zwabiwszy, otworzył mu pole do następnych godności i zaszczytów; bo też tu zaprawdę Wydzga w całym blasku talentu i potęgi wymowy zajaśniał.

Szczęśliwa była chwila wejścia na dwór naszego kaznodziei, bo właśnie Władysław IV rozgniewany na Jezuitów, że brata jego Jana Kazimierza do seminarium swego w Rzymie, pomimo woli jego przyjęli (w r. 1640), Wydzgę pisarzem gabinetowym i kaznodzieją królewskim mianował; po śmierci zaś Achacego Grochowskiego arcybiskupa lwowskiego 1644, gdy Jan Tarnowski po nim nastąpił, król go zaszczycił opactwem bogatym sieciechowskim, jako cud kaznodziejów, wedle wyłożenia Radziwiłła (1).

Po śmierci Władysława IV, na sejmie elekcyjnym 1go października 1684, Wydzga w kościele św. Jana w Warszawie miał kazanie z tekstu: „Obierzcie sobie króla z synów pana waszego, który wam się podobać będzie, i osadźcie go na tronie ojca jego” (z ksiąg król. IV), popierając obiór brata zmarłego monarchy. Jan Kazimierz też Wydzgę nie tylko na kaznodziejstwie nadwornym potwierdził, lecz nadto kanonią krakowską i innymi znakomitemi prelaturami obdarował (2).

W roku 1650 podczas wielkiego jubileuszu za Innocentego X, jeździł za pozwoleniem królewskim do Rzymu, gdzie rok cały zabawiwszy, za powrotem do kraju, kanclerstwem od Maryi Ludwiki zaszczycony, a następnie od króla i Rzeczypospolitej referendarzem i sekretarzem wielkim mianowany (3). Po śmierci Jana Zamojskiego otrzymał biskupstwo łuckie (4) w roku 1655.

Czasy Jana Kazimierza otworzyły szerokie pole i zdolnościom, i działalności Wydzgi: on w towarzystwie towarzyszył za granicę obojgu królestwu, a patrząc na energią Maryi Ludwiki, na jej czynność, poświęcenie i prace podjęte w celu skupienia sił narodu i zwyciężkiego oporu Szwedom, napisał pamiętnik poświęcony głównie tej królowej, o którym poniżej obszerniej powiemy.

(1) Pamiętniki A. Radziwiłła, fol. 2, str. 160.

(2) Janocki. Nachricht etc.

(3) Treteri de Episcopatu et Episcopis Eccl. Varaniens. Craeov. 1685 p. 166. Pamiętniki Radziwiłła. T. II, str. 488. Janocki.

(4) Niesiecki str. 612 mówiąc o Wydzdze jako kaznodziei nadwornym, dodaje: „funkcyą tę z ukontentowaniem wszystkich, z osobliwszym nauki swojej i wymowy, godnie piastował.”

Powróciwszy z tułactwa z obcej ziemi, kiedy dumny Szwed złamany na duchu oporem cudownym Częstochowy, spłoszony i pogromiony zwyciężką szablą Czarnieckiego, uchodzić musiał z granic polskich; kiedy Jan Kazimiérz zasiadł na nowo na tronie ojca i brata w stolicy: zasłynął jeszcze w większym blasku Wydzga jako mówca polityczny (wedle współczesnego wyrażenia).

Po pięcioletniém zasiadaniu na katedrze łuckiej, której znaczne przysługi uczynił, po przeniesieniu Wacława Leszczyńskiego na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, wybrany w roku 1659 na biskupstwo warmińskie, przybył tam w następnym roku (1).

Jan Kazimiérz, co głównie zawdzięczał koronę dzielności bohaterskiej Stefana Czarnieckiego wojewody ruskiego, dnia 7 czerwca 1661 roku w gronie senatu, oczekiwał przybycia na zamku warszawskim szczęśliwego zwycięzcy, aby mu w imieniu Rzeczypospolitej podziękować uroczyscie.

Wpóśród okrzyków ludu, przybywa wojewoda na dziedzińiec zamku królewskiego, wiodąc dwudziestu sześciu znakomitych jeźdźców, przystrojonych w jedwabne szaty, łupy bogate i zdobycz najpiękniejszą, bo zdobyte nieprzyjacielskie sztandary.

Przygotowany Wydzga (nieodstępny króla dotąd towarzysz), miał przyjąć mową okrągłemi słowy bohatera i powitać; gdy nagle w otwartych podwojach ukazuje się ten, co „nie z soli ani z roli” powstał na pierwszego wodza swego narodu, z towarzyszami niosącemi 115 sztandarów zdobytych. Sam Czarniecki z najbogatszym suto haftowanym złotem sztandarem staje przed tronem, pozdrawia pokłonem monarchę, i w milczeniu rzuca go pod nogi królewskie. Towarzysze za przykładem wodza swego rzucają chorągwie które wnieśli, i stos z nich u stopni tronu wyniosły złożyli.

Zmieszał się Wydzga niespodzianą a tak wzniosłą sceną; ale wkrótce przyszedłszy do siebie, zręczny zwrot robi, że zdziwiony takimi trofeami, podziękując zapomina: „ale sam temu winien jesteś, panie wojewodo, kiedyś mnogością zdobytych chorągwi zarzucił tron królewski, i nie dałeś przed niemi widzieć ani pana naszego miłościwego, ani mnie od niego mówiącego”.

Poczém wyliczając niedolę kraju, a poświęcenia, waleczność i bohaterstwo Czarnieckiego, pochlebiwszy królowi i królowej, a nie budząc niczyjéj zazdrości, na czele, w świetle postawił zwy-

(1) Treter, str. 167.

ciężcę szwedzkiego, i hołd mu należny, wraz z podzięką od Rzeczypospolitęj złożył.

Jako biskup warmiński, Wydzga wysłany przez króla do Hieronima Radziejowskiego, skłonił go do przyjęcia poselstwa do Turcyi, i sam mu pisał instrukcye; a w nieszczęśliwej wojnie domowej, wielce się do zgody Jana Kazimiérza z Lubomirskim przyłożył (1).

W instrukcyi danéj posłowi francuzkiemu jak ma popierać elekcyą księcia d'Anghien, dnia 18 grudnia 1662 r., taką czytamy charakterystykę Wydzgi (2):

„Biskup warmiński jest w całej Polsce najwymowniejszym człowiekiem. Wynurzającego zdanie swoje w senacie, słuchają z największą uwagą, a słowa jego często rzecz rozstrzygają. Do wad jego należy opieszałość i nieczynność; ztémwszystkiém tak jest gorliwy dla sprawy naszéj, iż nie omieszka działać, skoro się sposobność dogodna ku temu nadarzy”.

„Wydzga (tak go znów charakteryzuje Janocki) w wysokim stopniu posiadał wszystkie przymioty, jakich wymagano od znakomitych dygnitarzy. Przy zupełnéj podległości królom, którym służył, bronił zawsze żywo i z zapalem swobód narodowych przeciwko wszelkim napadom. Znał się na sztukach i pożytecznych wiadomościach, i często aż do śmierci w czasach najprzykrzejszych, widziano go nieraz czytającego dobre dzieła, aby się rozzerwać i rozweselić: w malarstwie także wielkie miał upodobanie” (3).

W roku 1663 jako kommissarz królewski imieniem królewskiém wysłany był, aby odciągnął elektora brandeburskiego od strony Szweda; nie udało się Wydzdze dopełnić tego, bo nieprzyjaciele króla Jana Kazimierza tak umieli podejść elektora, że ten, co był nagotował 100,000 talarów twardych na honorarium dla Rzeczypospolitęj za to, aby mógł być w Prusiech udzielnym panem i sędzią bez apellacyi, oddał je królowi szwedzkiemu, który podsycił niemi bardzo znużone wojska swoje (4).

(1) Rękopism Kuligowskiego, fol. 1696.

(2) Portefolio królowéj Maryi Ludwiki. Poznań. 1844. T. II, str. 274.

(3) Janocki w dziele wyżéj przytoczoném.

(4) O tém niepowodzeniu swoim mówi sam Wydzga w Pamiętniku własnym. Podług tego sprostować trzeba mylne Niesieckiego podanie na str. 612, gdzie mówi: „że wysłany Wydzga do Królewca, wszystką szlachtę pruską i obywatelów jéj, nową przysięgą elektorowi brandeburskiemu obowiązał.”

We cztery lata (r. 1667) opłakując zgon Maryi Ludwiki Gonzagi, owój królowej, której pamięć Pamiętnikiem swoim uwiecznić pragnął, na jej pochwałę miał żalobną w języku łacińskim oracyą, i ciało jej w grobach krakowskich pochował. Potém wrócił na stolicę swoje biskupią, i klasztor Szprynborski OO. Bernardynów w Warmii, zrzuciwszy drewniany, murowany z gruntu wybudował (1), i liczne w pomienioném biskupstwie zostawił pamiątki. W Brunsbergu pałac biskupi przez czas zniszczony przebudował i mieszkalnym uczynił; w Heilsbergu podobnie wyrestaurował, i nader ozdobnie wymalował, kościoły w dyecezyi licznemi sprzętami uposażył. Mimo tych zajęć, należał Wydźga do wszystkich spraw krajowych. Obecny na elekcyi króla Michała i Jana III przyjmował hołd stanów w Toruniu na dniu 27 czerwca 1676 roku. Jan Sobieski na sejmie koronacyjnym tegoż roku pieczęć mu mniejszą koronną oddał; w rok potém wziął pieczęć większą, którą złożył (r. 1678) zostawszy arcybiskupem gnieźnieńskim: lubo we dwa lata dopiero otrzymał paliusz (r. 1680).

Kosztował go niemało ten paliusz, i Wydźga nie krył się z tém wcale, gdy Jan IIIci zażądał od Wydźgi pieniędzy na wyprawę wiedeńską (r. 1683).

Nuncyusz papieżki Pallavicini podmówił do tego kroku króla Sobieskiego; to tóż wiedząc o tém Wydźga, gdy odebrał od tegoż nuncyusza polecenie, aby po świetném zwycięztwie Jana IIIgo, rozbiciu potęgi tureckiej i po oswobodzeniu Wiednia odśpiewał *Te Deum laudamus*: arcybiskup nasz, jednego dnia przy wielkiém i uroczystém zebraniu w Łowiczu, odśpiewał hymn dziękczynny, a drugiego dnia powtórzył toż *Te Deum* z wotywą, na podziękowanie, że Bóg dał to zwycięztwo bez jego pieniędzy! W roku 1684 w kwietniu Jan IIIci zawezwał w czasie sejmu warszawskiego Wydźgę do siebie wraz z biskupem Dąbskim i Kamienieckim, w głośnej sprawie Morsztyna, a zażądawszy od nich przysięgi na zachowanie tajemnicy, pokazał im listy własnoręczne Morsztyna pisane do margrabiego de Vitry. (2).

Niesiecki przy krótkim życiorysie Wydźgi, przywiódł parę przykładów jego dowcipu. Z rękopismów współczesnych przywieziemy ich więcéj, a te dadzą nam rys wydatny téj strony naszego kapłana-pisarza.

(1) Rzepnicki: Vitae praesul. Poloniae I, str. 185.

(2) Zbiór pamiętników o dawnéj Polsce. T. IV.

Jako prymas zamieszkał stale w Łowiczu; tu trzymał dwór okazały, zastawne stoły jakkolwiek bez zbytku, a pomimo to uważało wielu Wydźgę za skąpca. Zkąd ten rozgłos?—wyjaśnimy zaraz.

Marszałek dworu miał w pogotowiu naprzód krzesła proste drewniane kitajką tylko okryte, bez żadnych poduszek, miał na zawołanie pasztety ze szczurów, i podkwaśniałe piwo.

Gdy jaki paniczek galantomo przybył do rezydencyi prymasa, jaki prałat kortezant dworski albo kapitulny po beneficyum albo po instrukcyą, łaski jego potrzebujący, to kazał go sadzać na owém krześle bez poduszki, pasztetem szczurzym częstował, a do tego miał szklanicę garncową *gwardyanem* zwaną, która w sali jadalnej na pulce stała, z prochem i muchami. Tę szklanicę na stole stawiał, a nalawszy podkwaśniałym piwem, kazał wypić, chwając głośno, że nie masz lepszego, nad łowickie piwo! Krztusił się biédak, ale wypić musiał, bo Wydźga nalegał usilnie (1).

Po takim przyjęciu, gość niechętny roznosił wieść skąpstwa prymasa, chociaż on zaprawdę, przyjmował w ten sposób próżniaków, łakomców na beneficya, i wymuskanych elegantów swoich czasów.

Przy takim ugaszczaniu lubił drwić i żartować z przybyłego.

Przedstawiono mu raz na dworze paniczka świeżo z zagranicy odwiedzającego prymasa. Winszuje mu Wydźga szczęśliwego powrotu z cudzych krajów, a poznawszy, że to wielki zarozumialec a płytkiego rozumu, spyta go zkąd powraca?

— Byłem (prawi) w Hiszpanii, we Włoszech, Francyi, w Niemczech i Belgium.

— A w zamku Tumen we Włoszech, czy było się?—zapyta prymas.

— Byłem i przyznać mu trzeba, że bardzo obronny!

— Cóżto tam za rzeka pod nim płynie?

Młody podróżnik myśli długo; gdy nic nie przychodzi do głowy coby odpowiedzieć Wydźdze....

— Czy nie Tiris?—niby natracając rzeczce prymas.

— Tak! tak! ale mi cale było z pamięci wypadło: rzeka ta bardzo głęboka, po której nawet okręty pływają.

Uśmiechnie się żartobliwie arcybiskup i mówi:

(1) Rozmowy zmarłych Polaków. Rkp. Biblioteka Starożytna pisarzy polskich. 1844 r., Warszawa. T. VI.

— To zamek Tumen, a rzeka się Tiris zowie; gdyby się te słowa w jedno złożyły, co by znaczyły?

(*Tu mentiris, ty skłamałeś*).

Spostrzegł dopiero paniczek na jaką go wędkę schwytał Wydzga, i ze wstydem opuścił zamek łowicki.

Zostawszy prymasem, nie rad opuszczał swoje rezydencyą, gdzie znajdował pokój i swobodę; to też dosyć się w młodych latach nawędrował po różnych krajach, a i w późniejszych nie spoczywał bynajmniej wśród burzliwego panowania ostatniego Wazy. Proszony na uroczystość, aby jój blasku swoją osobą dodał, wymawiał się, że byłoby to z ubliżeniem prymacyalnej godności; że najciężejby w jedno miejsce pojechać, a wszędzieby go potem proszono. Gdy jednakże nalegano ciągle, aby ten raz tylko był względnym, ostatecznie odmówiwszy, powiedział:

— Przypowieśtna dawna mówi, że jedna matka miała syna nieuka. Tego prosi, głaszcze, łakotki obiecuje aby się uczył, ale napróżno. Nakoniec mówi:

— Chodźże Jasiu, tylko A, B, C przepowiem ci.

Na co Jaś:

— Najciężej tylko pani matko A, B, C, a potem to będzie aż do Z. (1).

Na dworze swoim ściśle przestrzegał przyzwoitęj obyczajności, i był surowym na każde w tój mierze przekroczenie. Oskarżony jeden z dworzan o przestępstwo, przywołany przed Wydzgę, wypierał się stale i uporczywie. Przekonany dowodami niewątpliwymi, skazany został na boćkowską admonicę. Widząc że tu nie przelewki, przyznaje się do grzechu, a zarazem prosi o łaskawszy dekret. Na co prymas:

— Ptasznik (mówi) długo ptaszka w klatce chowając, nauczył go tych słów mówić: *dicam carmen*. Uleciał mu potem z klatki. Gdy go wabi, ptaszyna rada z wolności, przylecieć nie chce; więc rozgniewany ptasznik rozrzucił sieci, i wraz z innymi i swego zbiega złapał. Gdy tedy inne ptaki dusi, ten widząc co się z drugimi dzieje, mówi: *dicam carmen*. Na co ptasznik: *malo carnem quam carmen* (wolę mięso, jak wiersze) (2).

Nie wiemy czy winny dworzanin uczuł dowcip tój powiastki, ale niewątpliwie poczuł sens moralny, gdy mu (choć na dywanie), dano ojcowskie z rąk marszałka napomnienie.

(1) Niesiecki Isze wyd. 1743, str. 613.

(2) Niesiecki, tamże.

Zanim został arcybiskupem, nie mogąc się doczekać od Jana Sobieskiego nominacji na prymasostwo, a nie chcąc się natrętnie przymawiać, po obiedzie chodząc po ogrodzie wilanowskim wraz z królem i gośćmi, wtrącił zreźnie w rozmowę, iż gdyby był nawet przekonany, że żydowska wiara najlepsza, to przecieby żydem nie był.

— A to dlaczego?—zapyta król.

— Bo miłościwy panie (odrzekł biskup warmiński wtedy), trzeba długo na Messyasa czekać.

Jeżeli lubił dostatek, niecierpiał zbytku, który był u nas zarazą powszechną, i wszędzie bił w oczy. Wiadoma z dziejów wewnętrznych Polski owa niepohamowana namiętność do kosztownych psów i koni. W dyalogach współczesnych śmiało wyrzucano na oczy, że szlachcic z kalwakatorem czyli berejterem do tresowania koni, nigdy się nie targował i płacił co tylko zażądał, a skąpił nauczycielowi do dzieci własnych, którego mało co więcej nad parobka cenił. Przeplącano psy układne do pola, sprawne brać dzika w kniei, lub osadzać niedźwiedzia, a dobry dojeżdżacz brał wynagrodzenie za tuzin nauczycieli domowych, co kształcili umysł i serce młodego plemienia szlachty. Patrząc na to marnotrawstwo ziemian naszych, wyrzekł Wydźga bardzo trafne zdanie: że wielu młodych paniczów doznają i doznawać będą smutnego losu Akteona i Dyomedesa, którzy od własnych koni i psów pożarci byli (1).

Świadek tylu zniszczeń dokonanych w Polsce przez Szwedów, gdy Jan IIIci na sejm jechał do Warszawy, a Wydźga wybrał się jako pieczętarz na spotkanie króla, i przybył pod Czersk, mając obok w karecie posła szwedzkiego; ten patrząc na zrujnowany zamek czerski zapytał: co to jest?

— To wspaniałe dzieło rąk waszych! — odrzekł poruszony bolesnym wspomnieniem Wydźga (2).

Najważniejszą ze znanych prac piśmiennych Wydźgi jest Pamiętnik, który ma napis: „Historya albo opisanie wielu poważniejszych rzeczy, które się działy podczas wojny szwedzkiej w Królestwie Polskiem od roku Pańskiego 1655 w miesiącu lip-

(1) Ambroży Grabowski: Krótkie przypowieści dawnych Polaków. Kraków. 1819 r. 8ka.

(2) Rozmowy zmarłych Polaków. Rękopism: Biblioteka starożytna pisarzy polskich, K. Wł. Wojcickiego. T. VI. 1844 r.

cu, aż do roku 1660 w miesiącu maju trwającój, w sobie zamykające i do wiadomości potomnym wiekom podane.”

(Bez karty tytułowój i wyrażenia miejsca druku i roku; stron liczbowanych 117, druk bujny (mittel), a wszystkie wstawki łacińskie kursywą. Alfabet użyty w całości łaciński, ani śladu gockiego).

Wydźga bezimiennie dzieło to napisał: odbito go tylko ośmdziesiąt egzemplarzy, i z tego powodu jest nadzwyczaj rzadkie (1).

Ł. Gołębiowski (2) przywołując z Brauna napis i sąd jego o tém piśmie, powtarza: „Zajmują go (mówi) nadewszystko rady, czyny i przymioty Ludwiki królowój; obowiązany jój za dostojęstwa otrzymane, nietyle dzieło swe użytkowi publicznemu, jak złagodzeniu na królową zajątrzonych umysłów poświęca, i nadewszystko zaleca pokój wewnętrzny. Pismo swe najeża zdaniem z starożytnych pisarzy wyczerpanemi.”

Ale minął czas, kiedyśmy skorzy byli z cudzoziemców pism, aby tylko Niemca lub Francuza, czerpać sąd i krytykę: dziś sami i lepiej i rozumniej potrafimy ocenić pomnik z dziejów przeszłości naszej. Sami zwolennicy dawnój rutyny zdobyli się już na odwagę wyrzeczenia, że sąd Brauna o wielu dziełach i pisarzach polskich jest zbyt surowy, a tu co do Wydźgi Pamiętnika, jest wierutném kłamstwem. I dlatego obszerniejsze sprawozdanie naszym czytelnikom złożę.

Prawda, że pismo swoje Wydźga najeża zdaniem z starożytnych pisarzy, ale zrobił to hołdując modzie ówczesnej, jakto sam tłumaczy:

„Żem łaciny niemało polszczyźnie przydawał, dziwować się nie będzie ten, komu humor i styl terażniejszego wieku wiadom, kiedy to weszło w zwyczaj, haftować polski nasz język łacińskimi wzorkami.”

(1) Józef Jędrzej Załuski (Biblioteka etc. wydanie J. Muczkowskiego 1832 r. w Krakowie, 4ka, str. 69) pisze: „Anonim szwedzkiej wojny historją od roku 55 do roku 60 opisał. Stefan Wydźga jest onój autorem, co był potem prymasem. Książka dziwnie rzadka.” I napis jój dokładny przywodzi. W bibliotece św. Genowefy w Paryżu jest właśnie tłumaczenie tego dzieła Wydźgi. (A. Przezdziecki: Wiadomości bibliograficzne, str. 153).

(2) O dziejopisach polskich, ich duchu, zaletach i wadach. Warszawa. 8ka. 1825 roku.

Jakoż zaprawdę te wstawki łacińskich sentencyj, prawie niemal wszystkie, co do opowieści historycznej, bez żadnej szkody mogą być opuszczone. Sąto wyjątki z Tacyta, Liwiusza, Juvenała, Wirgiliusza, Cezara, Horacyusza, Kurcyusza, Seneki, Lukaną, Polibiusza, Klaudyana, Marcyalisa, Owidyusza, Pliniusza, Herodota, Plutarcha, a nawet Izajasza i Ezechiela. Przyznać potrzeba, że na niespełna 15 arkuszy druku dosadnie wyhaftował swą opowieść dziejową Wydźga, wymowny dawszy nam dowód, jak wielowładną była ówczesna moda w pstroczynie języka polskiego łaciną, a nie usprawiedliwiona niczém, jak tylko szalem i obłędem szkolarskim.

Wydźga (jakeśmy mówili wyżej) w tułactwie króla Jana Kazimierza i Maryi Ludwiki nieodstępny był towarzyszem. Gdy po opuszczeniu Warszawy zatrzymano się w Krakowie, królowa pragnęła, zaopatrzwszy ten gród starożytny w żywność i dostateczną załogę, stawić opór szczęśliwemu zwycięzcy, i okazała gotowość, nie zważając na płacz i rozpacz niewiast przybocznych, pozostać w Krakowie broniąc się do upadłego. Pomimo klęski wojska polskiego pod Opoczmem, trwała w tém bohaterskiém postanowieniu, przenosząc bój choć niepewny a we własnej stolicy, niż zostać wygnanką, cudze wycierać kąty, a słuchać (jak wyraża dobrze Wydźga) żalujących pieśni. Inną trwożliwszą przyjęto radę: Czarniecki Stefan pozostał w obronie Krakowa, a królestwo za granicę uchodziło.

„Stanąwszy (pisze Wydźga) w kilka dni w pierwszym za granicą miasteczku szląkiem, Bielsk nazwaném, widziéć było w ciemny wieczór wielką lunę ognia: gorzały to krakowskie okolice. Żalorny to był widok! gorzały rozwlekle i ludne budynki, kościoły, klasztory, ogrody, kamienice, domy, osady Kazimierza, Kleparza, Stradomia, i innych miejsc pod miastem. Przerazał i zapalał ten pożar dobre serce królowej: patrzała smutna na ten prawie trojański pożar téj stolicy, w której niezbyt dawno przy pańskich pompach, przy królewskich aparatach, polską na głowę koronę wzięła”.

I zaprawdę, w tym całym nacisku zwycięzkiego oręża Szwe-da, w téj zmartwiałości ducha i szlachty, i rycerstwa naszego, w tém braku odwagi a pośpiechu chylenia karku przed sztandarem Karola Gustawa, jak szlachty wielkopolskiej, co pierwsza tego dała niestychany w dziejach naszych przykład; królowa tylko, Czarniecki i Kordecki jaśnieją promiennie.

Marya Ludwika z odwagi serca i przekonania moralnego, że tak wielki naród upaść nie może, a trzeba mu dać przykład, stawiając za wzór ukoronowaną głowę; Czarniecki z wrodzonego bohaterstwa i poświęcenia dla kraju; Kordecki z wniosłej wiary, namaszczenia bożego, i pewności, że Królowa Niebios pomoże cudem tym, co postawić się mężnie potrafią, pomnąc na ową staro-wieczną przypowieść: „Boga wzywaj, a ręki przykładaj”.

Dalsze usiłowania królowej, dodawanie otuchy zwątpiałemu Janowi Kazimierzowi, odrzucenie projektów zdradzieckich Karola Gustawa, wpływ silny na konfederacyą tyszowiecką, dowody dziejowe osobistej odwagi Maryi Ludwiki: wszystko dzisiejsza krytyka historyczna w zupełności potwierdza niezbitymi dowodami. Nie masz tu żadnego pochlebstwa, ani chęci odwdzięczenia się Wydzgi królowej za otrzymane dobrodziejstwa, jak Braun utrzymuje. Wydzga bowiem, kaznodzieja królewski Władysława IVgo, już miał pole otwarte do dalszych zaszczytów, a jego poświęcenie nie dla królowej, ale sprawie publicznej, talent, wymowa, zasługi, dokonały reszty. Za panowania Jana Kazimierza został biskupem warmińskim, już po odparciu z granic polskich Szweda; za Jana IIIgo dopięro prymasem. Długo to lata zasług Wydzgi, zanim otrzymał to dostojenstwo.

Towarzysz niedoli królestwa, uczciwy doradca, pełen poświęcenia dla dobra kraju obywatel, nie potrzebował nikiemnym pochlebstwem płacić za otrzymane dobrodziejstwa, które zaledwie sięgały jego zasługi.

Mocny za bezstronnością Wydzgi i to stawia dowód, że bezimiennie ogłosił swój Pamiętnik.

„Imienia mojego przy tak małej mojej robocie nie kładę; dla siebie to, i dla dobrych przyjaciół raptim napisał, nie myśląc nigdy tak lichą moją pracą ani pras drukarskich, ani oczu ludzkich fatygować”.

Nie pochlebiał Wydzga, gdy opisując pobyt Maryi Ludwiki w Głogówku na Szlązku, patrząc na osłupiałość króla bezczynną, przywodzi jej słowa, tak ją dobrze malujące:

„Iż zdała się jej rzecz mniej podobna, aby Bóg miał oraz zagubić tak wielkie królestwo, w którym chwala jego święta, starożytniej szczeroci trybem trwa i pomnaża się, w którym o tak piekielnych bluźnierstwach, subtelných zbrodniach, pomstach, i nigdy nieprzejednanych zawziętościach, jakich są pełne obce kroniki, rzadko słyhać. Zaczem tej była wiary, że teraz tylko do krót-

kiego czasu ściągnęła Boska sprawiedliwość różgę swoją na ukaranie, nie na zagubienie dzieciaków swoich; a zaś wkrótce potem, utulić i pocieszyć ich miała ojcowska tegoż niebieskiego Pana dobroć, obracając złe w dobre, postrachy w pociechy i tryumfy”.

Bo tę myśl w przekonaniu wyrobioną piastowała Marya Ludwika, i świeżo odkryte jęj listy, pisane pośród tułactwa, potwierdzają prawdę podania Wydźgi.

Uważny badacz dziejowy, z całego ciągu Pamiętnika jego, oprócz szczegółów ciekawych mało znanych, a na pogląd owych czasów silne rzucających światło, to powezmie przekonanie, że nigdzie prawdy historycznej nie zfałszował, że pojmował dobrze ówczesne fakta co do najścia Szwedów, i środków oporu, podniecenia ducha narodu; ale nie zgodzimy się na wyrzeczone słowa Wydźgi prawie przy końcu dzieła:

„Kiedyby Bóg dał pokój, żylibyśmy sobie w Polsce jak w raj. Pod takim państwem, kędy wolny każdemu przystęp, kędy nie utają się ani w niebaczenie iść nie mogą zasługi, bo się w oczu pańskich dzieją; kędy cnota rość gwałtem na złość adwersarzom musi, bo ludzi godnych i na ustroniu siedzących szukają, zażywają, ratują, zdobyją: cnota a zasługa najlepiej popłaca.”

Bo Wydźga w przekonaniu mając siebie na myśli, mógł to powiedzieć, ale stają wymownie dowody w sprawie Radziejewskiego, Lubomirskiego, że tak nie było: a jakżeż wielkiem zaprzeczeniem tego jest jeden wyraz bohatera umierającego w Sokółce w chacie wieśniaka, co pieszcząc rumaka, którego więcej nie dosiadł, na wiadomość o przyznaniu mu buławy, wyrzekł ten pamiętny w dziejach wyraz „zapóźno!”

* * *

Wielka jest wątpliwość co do czasu pisania tego Pamiętnika i ogłoszenia go drukiem. Że po roku 1660 był napisany, to sam tytuł przekonywa; ale wśród textu na str. 59 czytamy: „Książka biskup warmiński, który dziś jest arcybiskupem gnieźnieńskim.”

Wiemy, że w roku 1659 Wydźga mianowany biskupem warmińskim, a za Jana III w r. 1678 prymasem i arcybiskupem gnieźnieńskim, a zatem już drukowany był po roku 1678. Mocny mamy dowód sądzić, że wydanym został ten Pamiętnik w tym roku, lub o parę lat później, i to nie przez samego prymasa, ale przez przyjaciela lub powinno Wydźgi; na str. 60 bowiem czytamy znowu epitet, że należał do wielkich ludzi: wyraźny wtętu obcej ręki.

Przed takiemi dowodami upada całe posądzenie Brauna naszego autora o pochlebstwo, i fałszywą pokazuje wiadomość jego, że napisał dlatego, ażeby złagodzić rozjątrzenie umysłów przeciw królowej. (1)

Już ona dawno umarła, Jan Kazimierz na obcej ziemi zakończył życie, Michał Korybut i Jan Sobieski przedzielali od owych czasów; namiętności wzburzone i umysły rozjątrzone na Maryą Ludwikę zastygły, prochem niepamięci przysute, cofnęły się w przeszłość: może być choć cień rzucony pochlebstwa na Wydzę? Sumienny biograf jego Janocki, co z wiarogodnych źródeł zbierał o nim wiadomości, mówi: „Śmierć Władysława IV i abdykacja Jana Kazimierza wielce go zasmuciły, albowiem za swoje prace i usługi, jakie im w owe burzliwe czasy położył, większych się nagród spodziewał.” (2)

Pamiętnik ten pisał za życia obojga królestwa, bo mówi o nich w całym ciągu jako o żyjących: wywierał wpływ potężny w drodze życia publicznego, gdy nakłonił Radziejowskiego do przyjęcia poselstwa do Turcyi, gdy działał przeważnie na zgodę Jana Kazimierza z Lubomirskim.

Rzecz godna uwagi, jak odmienne musi przybierać historyk stanowiska, w osądzeniu działania Maryi Ludwiki królowej.

W czasie najścia Polski przez Szwedów, występuje jako dobry gieniusz, który energią własną budzi do wielkich czynów, a strwożonego męża napadami ze wszech stron na Rzeczpospolitą, lubo mężnego w boju, niby stróż anioł ciągle strzeże, wiedzie na drogę zbawienną, do działania budzi, i tułaczka na obcej ziemi nie marzy, ale czynem dobija się dwóch stolic królestwa swego, i nie boi się powinności prostego żołnierza przy działach, zawsze ufna w piękną przyszłość dla Polski.

Nie kłamię Wydzga, gdy godną pamięci tak opisuje odwagę Maryi Ludwiki:

(1) *Braun: Judicium de scriptoribus Poloniae*, p. 177. Anonim w dziele p. n.: *Exercitatio ad Nicol. Chwalcovii Jus publ. regni Poloniae* na str. 10 mówi, że dziełko to nadzwyczaj rzadkie (*rariosimus*) odbite było w 80 tylko egzemplarzach, i rozdawane magnatom *ex gratia reginae Ludovicae Mariae distributa*. I ta wieść, jakem okazał, jest bajką, bo drukowane było po śmierci królowej najmniej w lat 11.

(2) *Nachricht von den raren polnischen Büchern*. 1753, T. III, str. 44 — 48.

„W Chojnicach w samą wigilią Nowego Roku, kiedy się zaczynał r. 1657, pan wojewoda ruski (S. Czarniecki) o północy przypadł dając znać królowej, że na wojsko nasze, które się cofało ode Gdańska i niedaleko było Chojnic, napadli Szwedowie; zaczęł on musiał iść tam na sukurs, i prosił królowej Jój Mci, jeśliby Szwedowie chcieli uderzyć na Chojnice, żeby się nie trwożyła, i żeby do żadnych akordów z nimi przystępować nie kazała. Królowa najmniej się tą nowiną nie zalterowawszy, rzekła:

„Jedź W. M. z błogosławieństwem Boskiem, a bądź tego pewien, że się tu nie podamy łatwie; doczekam tu WMci.”

Jakoż Czarniecki Szwedów rozbił i niemało więźniów królowej przysłał. Pomiedzy temi wielu było Francuzów, których zaraz królowa uwolniła, i przy swym pomieściła boku.

To jedna strona tego medalu świetna, błyszcząca sławą; odwrotna, a w niej szczególnie głęboka nienawiść przeciw Lubomirskiemu, co zawiodła do wojny domowej, do klęski wojsk królewskich, i głębokich ran zadanych przez to Rzeczypospolitej: to ciemna, brudna strona, co całą nienawiść całego narodu, na jój pamięć rzuciła. Klątwa ta była powszechnym rozgłosem w narodzie, większością nawet; a oburzenie przeciw Francuzom, królowej dworakom tak wielkie, z powodu usiłowania wprowadzenia następstwa dziedzicznego króla przez Maryą Ludwikę, że piosnka następna p. n. „Przydumek panom Francuzom”, której Wydźga nasłuchać się musiał gdy jeździł do obozu Lubomirskiego, bo mu ją pod oknami umyślnie śpiewano, zachęcała do wytepienia Francuzów, jak szkodliwych wilków.

„Siecz Francuzów, siecz!
Wyostrzywszy miecz.
Bij Francuzów, bij!
Wziąwszy dobry kij.
Wal Francuzów, wal,
Wbijaj ich na pal!
Męcz Francuzów, męcz,
I jak możesz, dręcz!

Łup Francuzów, łup,
I z skóry obłup!
Tnij Francuzów, tnij,
Co ich będzie mnię!
Koś Francuzów, koś,
Jeżeliś nie coś!
Top Francuzów, top,
Jeżeliś dobry chłop (1)!

Wpośród tak powszechnego oburzenia, imię królowej obrzucono wzgardą, wszystkie jój przeważne zasługi dla Rplitej pod nienawiści kirem zniknęły, a jój śmierć 4 maja 1667 r. przyjęto z obojętnością. Wystąpił Wydźga z żałobną mową, chcąc uczcić zgon Maryi Ludwiki; ale pomimo wymowy talentu, nie zyskał

(1) Rękopism Jana Wardyńskiego z r. 1699, fol.

współczucia: szemranie nawet w tych ustępach, gdzie z całą prawdą przywołał pocziwe zasługi królowej, odebrał w podzięcie. To go zapewne spowodowało, że swój Pamiętnik bezimiennie napisał, wydanie obcej ręce powierzył, w kilkanaście lat po śmierci królowej, i wydał w bardzo szczupłej liczbie, bo tylko w 80ciu egzemplarzach.

„Pismo to (mówi Janocki), które u wielkich panów w podręcznych bibliotekach spotkać tylko można, za pieniądze nie jest do nabycia (1). Pozostawione od niego w rękopiśmie dzieła historyczne, z przyczyn politycznych nie były nigdy drukowane, i nie w jednem archiwum familijném jako najdroższe relikwie przechowywane. Z mów, jakie Wydzga po polsku na sejmach miewał, i z listów, które do stanów państwa także po polsku pisał, biblioteka Załuskich może najkompletniejszy, i z samych oryginałów złożony kodex pokazać“ (2).

Będąc jeszcze biskupem warmińskim kazał zdatnemu artyście sporządzić herby wszystkich swoich poprzedników, a przyozdobiwszy je napisami polskimi i łacińskimi, których treścią były znakomite urzędy, czyny i przymioty biskupów, w wielkiej sali rezydencyi biskupiej w Heilsbergu na widok wystawił. Z tych inny znowu artysta po odejściu na arcybiskupstwo Wydzgi zdjawszy wierną kopią, dodawszy i jego następcy Michała Stefana Radziejowskiego herby, a zarazem wyobrażenie geograficzne biskupstwa warmińskiego, kosztem kapituły frauenburgskiej na miedzi wyrył i pod następnym napisem wydał:

(1) *Nachricht von den raren polnischen Büchern.*

(2) W dziele: *Specimen Catalogi Codicum Manuscriptorum Bibliothecae Zaluscianae, a Joanno Daniele Andrea Janozki Canonico Scarbimiriensi Ejusdem-que Bibliothecae praefecto exhibitum* (1752 4ka) wspomniał już o tych rękopismach Józef Załuski w rękopiśmie pod napisem: „Polska w obszernych swoich wiadomościach” wierszem ułożonym, nad którego wydaniem, ze stosownemi notami, o ile nam wiadomo, pracuje p. F. M. Sobieszczański, tak o pracach tych piśmiennych Wydzgi napisał: „Wydał też Anonyme Wydzga, potem prymas Hexasticha na herby swoich poprzedników (biskupów warmińskich). Po śmierci dał do druku działy mój, także prymas Jędrzej Olszowski. Mamci Wydzgi rękopisma oryginalne, lecz to są excerpta z książek od niego przeczytanych, i kazania, które swego czasu on miewał przed królem i królową. Mam też także rękopism Anonima z takim tytułem: *Monumenta Ecclesiae Warmien.* Może tenże autorem, co wyżej jest Wydzga.”

„*Series Episcoporum Varmiensium, Typis Monasterii Olivensis S. O. C. primum promulgata. Anno Domini etc. Incarnationis M. D. C. L. XXXI*“ (w 4ce, arkuszy pięć).

Wydźga sześć lat będąc arcybiskupem i prymasem, nagle i niespodzianie umarł r. 1686 jak Niesiecki pisze, a w roku 1685 jak utrzymuje dokładny w szczegółach życia Wydźgi Lengnich (1). Wizerunek postaci jego znajduje się pomiędzy obrazami arcybiskupów gnieźnieńskich w kaplicy księży Missyonarzy w Łowiczu (2).

Życie Wydźgi opisał Maciej Treter, co z pewnych, a jak się zdaje od samego Wydźgi udzielonych wiadomości zebrał (3).

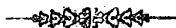
Umarł Wydźga w owych czasach, kiedy w literaturze naszej rozkrzewione panegiryki najbujniej kwitnęły; umarł jako najwyższy dygnitarz Rplitej, bo jako prymas, pierwsza osoba po królu, a w czasie bezkrólewia jego zastępca; a mimo to, dotąd żadnego śladu nie mamy, aby choć jeden panegiryk ku czci jego poświęcono. I czemu to przypisać? Czy nienawistnej opinii w narodzie, co tak pamięć Maryi Ludwiki poza jej grobem jeszcze ścigała, a której cień padł na Wydźgę, jako pierwszego doradcę i powiernika królowej; czyli też szczególnemu wypadkowi?

Późniejsze badania może nam prawdę wyjaśnią.

(1) *Geschichte der Preus. etc. unter d. Regierung d. Könige Michael u. Johan III, v. Gottfr. Lengnich. Danzig, 1718 f. 266.*

(2) Pamiątki historyczne Łowicza przez Gawareckiego. Warszawa. 1844, str. 162.

(3) *De Episcopatu et Episcopis Ecclesiae Varmiensis*, str. 163—172; jestto ciąg dalszy dzieła rozpoczętego od krewnego Macieja Tretera. (Janocki).



F. KALLIMACHA GEMINIAŃCYKA

O KRÓLU WŁADYSŁAWIE

CZYLI

O KŁĘSCE WARNEŃSKIEJ.

Księgi dwie, Augsburg, r. 1519, w drukarni Zygmunta Grimm doktora i Marka Fürsunga.

PRZETŁUMACZYŁ I PRZYPISAMI OBJAŚNIŁ

Michał Głisczyński.

(Dokończenie).

Uwiadomiono tedy o zerwaniu pokoju Franciszka kardynała dowódcę floty, jak równie greckiego cesarza i innych monarchów, do których wieść o zawartém przymierzu z Turkami już była doszła. Rzadko kiedy Polacy tak radosne odbierali poselstwa, jak było owo, które im donosiło, że król z Turkami pokój zawarł; Kazimierz bowiem wypowiedziawszy Mazowszanom wojnę, całemi siłami Litwy Drohiczyn oblegał. Stali tuż naprzeciwko i obozami prawie się dotykali Mazowszanie, i nietyle przez obawę wzajemnych sił do walki nie przychodziło, ile raczej dla podejrzenia, że gdy się bój rozpocznie, większa część wojsk Kazimierza przejdzie na stronę Michała, syna niedawno zabitego Zygmunta, który u Bolesława między Mazowszanami walczył. Myśleli tedy wszyscy i tę błogą nadzieję mieli, że król po zawarciu pokoju, natychmiast, jak sobie tego wszyscy życzyli, do Polski przybędzie. Z przykrością bowiem spoglądali na zajścia między Bolesławem i Kazi-

mierzem; spodziewali się, że król pogodzi obie strony i wojnę domową zakończy. Gdy bowiem i Mazowsze i Litwa pod opieką królewską stały, wiele na tém Polakom zależało, aby żadne z nich nie było zwyciężone.

Gdy się tedy o zerwaniu pokoju dowiedzieli, silnie znowu zatrwożeni, dla naradzenia się do Piotrkowa zjechali (1). Wyznaczyli zaraz na tym sejmie na posłów do Węgier biskupa włocławskiego (2) i Jana z Pilicy, aby przypomnieli królowi, że zaprzysiężoną wiarę i nieprzyjaciółom dotrzymać należy, i namowami wszelkimi do odwiedzenia Polski zachęcali, w której dla jego nieobecności wielkie dzieją się rozruchy. Przedewszystkiem zaś przytłumić trzeba wojnę między Litwą i Mazowszem.

Przeczuł Władysław i zamiary Kazimierza i zebranie się na radę Polaków; dlatego też, aby mu ztamtąd nie doniesiono co takiego, coby mu w przedsiębranych zamiarach przeszkodzić mogło, i żeby im dowieść, jak zawsze życzliwym jest dla Polski: wysłał natychmiast Jana Gruszczyńskiego aby doniósł Polakom, że król na żaden sposób, bez narażenia swój sławy, rozpoczętej na nowo nie może zawieszać wojny, że zaraz wyrusza z Szegedynu, i że zmuszony jest koniecznością iść na pomoc tym, których prośbami do wojny wciągnięto. Zresztą, przy tak ogromnych tylu monarchów posiłkach, zwycięstwo jest pewne nad owym ludem, który przeszłego roku z małemi tylko posiłkami ochotników krzyżowców, zupełnie przez niego pokonanym został, i tylko go ostrością zimy i przykrością górzystego położenia, śniegami i przepaściami przystęp tamującego, od zupełnej porażki zastoniła. Kiedy, czego przy boskiej pomocy prędko się spodziewa, powróci z téj wyprawy, natychmiast do Polski przybędzie. Tymczasem niech pilnie baczą, aby jakiejś szkody kraj ich nie poniósł, a przedewszystkiem niech dopomogą Bolesławowi księciu mazowieckiemu przeciw zamachom Litwinów.

Poselstwo to, ponieważ niespodziewanie przybyło, bardzo Polaków ucieszyło i przekonało ich, że król, jak sobie życzyli, troskliwym się o spokojność i losy Polski okazał; dlatego nie uważali już za stosowne wysłać posłów do Węgier, ale listownie uwiadomili króla o wszystkiém, jak im się sprawy domowe i zewnętrzne wydawały.

(1) Zjazd ten podług Długosza był 24 sierpnia 1444 r.

(2) Władysława z Oporowa.

Tymczasem sultan, chociaż nie w naznaczonym dniu, ze wszystkich zamków, które warunkami pokoju objęte były, załogi swoje wycofał, i prawnym właścicielom je powrócił. Uwolnił także wielką liczbę niewolników, a między niemi i synów despoty. Władysław zaś, jakby przeczuwał przyszłość, niechętnym umysłem, podbudzany ciągle przez Juliana, wyruszył z Szegedynu 19 października 1444 r. Mniej miał teraz wojska, niż przeszłego roku, bo i ochotników mniej przybyło dla rozgłoszonego pokoju z Turkami, i rozpuszczono także w czasie wstępnych układów bardzo wielu Polaków i Włochów do domu, jako w pokoju niepotrzebnych. Przybył król do Orsany (1) dnia 4 listopada 1444 r. przez Dunaj z wojskiem się przeprawił, i stanął w Bulgaryi, gdzie naprzód do Florentuny, a potem do Widdynu przybył, chociaż okoliczne miasta i zamki wszędzie tureckimi załogami obsadzone były. Zakazano jak najsurowiej, aby się żołnierze za zdobyczą nie rozbiegali, z nieprzyjaciół nie urągali, i żadnego po ziemi spustoszenia, jakby wojny nie było, nie czynili. Nie chciał bowiem Władysław ani czasu, ani sił na nadaremne walki i zdobywania tracić, dopóki się nie połączy z morskimi wojskami, które na Hellesponcie się znajdowały.

Dwie do Gallipolis prowadziły drogi: jedna ostatnim krańcem Tracyi, który się Macedonii dotykał, ludna, zamieszkała i krótsza, ciągnęła się między rodopejskiem i bistońskim bagniskiem. Tą, gdyby postępować chciał, byłby przymuszony zostawić wozy, bo niepodobna było inaczej wprost tak przez górę Hemus się przedrzeć. Druga droga szła przez niższą Bulgaryą, naprzód na wschód, a potem na południe, przez środkową Tracyą: jako krzywa, tém dłuższa. Ale tedy, chociaż w wielu miejscach góry i gliny się znajdowały, wozy chociaż z trudnością postępować mogły. Wolał tedy król tedy wojsko poprowadzić, bo nie chciał na równych i otwartych potykać się miejscach; nie chciał też ogołocić się z obronnych wozów, któremi oparkaniony wolnym był od nieprzyjacielskich napadów, i sam też ze swojemi zupełnie był bezpieczny, bo trzeba było w jak najlepszym stanie wojsko do Gallipolis doprowadzić. Zwrócił się tedy ku morzu między Dunaj i górę Hemus, i chociaż małemi, ale ciągłemi marszami do celu zmierzał. Kiedy przybyli do Nikopolis, stolicy bułgarskiej, którą jedną część Dunaj oblewa, a druga na pagórku się wznosi, ponieważ rozeszła się wieść, że tutaj ca-

(1) Orsowa.

tego królestwa skarby ukryto, nie można już było powstrzymać żołnierza i wnet rozbiegł się po przedmieściach za zdobyczą, wszystkie budowle zburzył i spalił, a nawet do bram samego miasta docierał. Ale bramy i mury silnie były bronione, i wydano też rozkaz, aby od oblężenia stanowczego odstąpić. Zresztą, ponieważ żyzne naokoło pola urodzajność ziemi pokazywały, i pagórki obiecywały dostateczne materiały do odświeżenia sił żołnierzy i zaprzęgów: postanowiono dwa albo trzy dni zatrzymać się tutaj. Król tedy liczył swoich, i wszystkie przygotowania na wojnę przeglądał: bo żołnierz nietyle odpoczywał, ile raczej usilnie przygotowywał sobie wszystko, co mu się potrzebném wydawało do drogi, która i z położenia naturalnego przykrzejszą się już stawała, i z przyczyny częstych załóg nieprzyjacielskich w miastach i zamkach zewsząd groźnych, niebezpieczniejszą.

Przybył do króla, zawsze na przyszłość przez wielkiego i potężnego cesarza mianowany władca Wołoszczyzny, *górzystą* przezwaną, Władysław Drakula wojewoda wołoski. Zawarł on już dawniej pokój z Turkami, zmuszony do tego, jak twierdził, nieuniknioną koniecznością. Nieliczny bowiem był jego naród, nie miał żadnych obcych posiłków, a jednak wytrzymywał długo wojnę, całemu chrześcijaństwu prawie nieznośną, wielkością umysłu swojego i męstwem swoich, dłużej nawet, niż się po tak nierównych siłach spodziewać można było; ale też stracił bardzo wiele ludzi, tak, że do uprawy roli brakuje mu teraz rąk pracujących. Codzienne wypadki ostrzegały go, że przeciw takiemu tłumowi nieprzyjaciół, męstwo jego tak szczupłych sił żadnego innego skutku, jedno podziwienie i sławę mieć będzie. Zawarł tedy pokój nie dlatego, żeby w niewolnictwo się oddał, które nawet jeżeli jest sprawiedliwém, znośném bywa, i na tyle narodów i ludów najstawniejszych już wprzód spadało; ale dlatego, żeby obok ojczyzny, obok podań rodzinnych, ziemi karmicielki i powietrza swojego, ocalić można świętości religijne i ołtarze: bo musiałby był przyjąć obrzydliwe zwyczaje i bezbożne a przesądne obrzędy, gdyby był na warunki podawane mu nie przystał. Tym sposobem, oprócz tego, że wszystkie boskie i ludzkie rzeczy od świętokradztwa i zbezczeszczenia zasłonił, zachował też i ostatki swojego ludu do godniejszej takiego męstwa sposobności.

Gdy tedy ujrzał, jak małe siły król z sobą prowadził, prosić i zaklinać go począł, aby się wrócił, bo on sam własnemi nie-szczęściami dobrze się przekonał, jak potężni są Turcy. Sułtan

na polowanie wyjeżdżając, liczniejszą ma około siebie świtę, niż wojsko tutaj na wojnę zgromadzone. Koniecznie wstrzymać się trzeba od tak śmiałego i niebezpiecznego kroku i obmyśleć wprzód doskonale, aby z równymi do walki wystąpić siłami. Tymczasem najrozsądniej będzie, na lepsze czasy obecne wojsko zachować: bo gdyby nawet wystarczyło do wojny, którą z takim nieprzyjacielem prowadzić mają, i gdyby wszystko życzeniom waszym odpowiedziało, to i tak przy nadchodzącej zimie, a z nią wielu przykrości, ulegnąć koniecznie musicie.

Słuchano téj mowy Drakuły nie jako osobistego a silnego przekonania, ale jako wyniku pokoju z Turkami zawartego; zresztą rzecz sama świadczyła o sobie: to téż wielu zdanie jego popierało, znajdując je prawdziwe a nie wymyślone.

Ale fatalny los porywał króla ku blizkiemu i straszliwemu rozwiązaniu; a i Julian przypominał ciągle przeszłoroczne powodzenie, potrzebę dalszego prowadzenia wojny; przyrzekał, że znajdzie wszystko bez żadnej obrony, że Amurat poza Hellespontem się znajduje, rady sobie z Karmanem dać nie mogąc; a chociażby i wolnym był od téj wojny, nie może swoim przyjść na pomoc, bo Wenetów, Burgundów i papieżka flota pilnuje go dobrze, a i Grek nie z małemi wojskami ma aż pod same góry (trackie) przyciągnąć. Mimo to usłużność i mowę Drakuły z wielką pochwałą wszyscy przyjęli, jako oznakę życzliwości jego dla siebie. Nie ma się czemu dziwić, mówili, że o zwycięztwie naszym rozpacza, bo nie wie z jakimi przygotowaniami, z jakimi posiłkami wystąpiliśmy. Byłoby mu to nigdy do głowy nie przyszło, gdyby był wiedział, jaka flota i jakim żołnierzem Włochów i Burgundów obsadzona, jakie wojska konne i piesze od Greków na pomoc nam przychodzą; że ani król, ani oni nie popełnili dlatego owéj nieroztropnej śmiałości, że zaczynają wojnę, której podolać nie potrafią. Niech tedy będzie dobrej myśli, co się tyczy sił naszych, bośmy troskliwie przewidzieli i przygotowali wszystko, a szczęśliwy skutek Bóg sam jak dotąd zsyłał, tak i teraz ześle, bo jego sprawy bronimy.

Obrócił się tedy znowu do króla Drakuła i rzekł:

„Kiedy cię tedy albo los, który ci dotąd zawsze w świetnych twoich przedsięwzięciach sprzyjał, albo nadzieja obcej pomocy, która oby cię nie zawiodła, pragnę, albo ukryta konieczność przeznaczenia ciągnie gdzieindziej, niż ja ci radziłem; kiedy nie mogłem zmienić zamiarów twoich, o ile czas i nieprzewidziane wypadki pozwalają, przyjdę ci na pomoc.”

Do słów zaraz czyn dołączając, 4,000 jazdy pod rozkazami własnego syna do wojsk królewskich przydał; błagając przytém i zaklinając Boga, aby wszystkie nadzieje króla i panów, jakie sobie o obecnej wojnie poczynili, najszcześniejszym uwienczył skutkiem. Mając już zupełnie opuścić króla, zostawił jeszcze przy nim dwóch najdzielniejszych z pomiędzy swoich młodzieńców, położenia dróg doskonale świadomych, i darował mu dwa wyprobowanej a dziwnej szybkości konie. Zaledwie powstrzymując ły, „oto masz, rzekł, sposób do ratunku, gdyby jaki przypadek albo nieszczęsny los, o czém ze zgrozą myślę, zmusił cię do nieufności we własne twe siły. Wolałbym zaiste, aby te moje dary niepotrzebnemi dla ciebie się okazały; co się z pewnością stanie, jeżeli życzenia moje i modły próżne nie będą: ale kiedy konieczność zmusi cię do ich użycia, przekonasz się, jak zbawiennym był mój podarunek.”

Zdrową bardzo i nader pożyteczną dawał radę Drakula, gdyby była tak pilnie i chętnie przyjętą i wykonaną, jak życzliwie daną była.

Rozeszła się potém wieść, że mąż ten wzniosłego ducha i do czynów wojennych jakby zrodzony, kiedy się dowiedział o przygotowaniach Burgundów i Włochów, mocno bić się z myślami począł, zawieszony między żalem, że z Turkiem pokój zawarł, i bojaźnią religijną, gdyby go zerwał; między skutkiem i przyszłym losem, a między sławą, która teraz dla niego od tego zależy, czy z Władysławem na wyprawę pójdzie, lub w domu zostanie: bo więcej znaczyć będą przed wojennym ludem świetnie na wojnie dokonane czyny, niż chwała z dotrzymania przyrzeczonej wiary. Ale go z natury ku wszelkim oznakom przyszłości i zgadywaniom tajemniczym skłonnego, zatrzymała przepowiednia kobiety. Na trzy dni bowiem przed jego przybyciem do obozu królewskiego, Sekuza, bułgarska niewiasta, nadzwyczajnie stara, ale w przenikaniu przyszłości wieloma doświadczeniami biegła, we wsi Sullonie zapytana przez niego o wypadek i koniec wojny, przepowiedziała, że król nieszczęśliwie będzie walczył, że chociaż nieprzyjaciel zrazu kilka razy odparty zostanie, z resztkami które mu pozostaną, nagle szczęśliwie do końca utrzyma się i zwycięży. Stosując tedy i do siebie i do swoich owe prorocstwo, postanowił na szczęśliwsze zachować się czasy, a od grożącego, jak mniemał niebezpieczeństwa, usunąć. Syna jednak posłał, a wysyłając napominał, aby, jeżeli się chrześcianom nie powiedzie, nierozważnie życia swego w walce nie narażał.

Zwrócił się potem Władysław do Tracyi i niezliczone mnóstwo statków rzecznych na rzece Panizie znajdujących się, spalił. Ma zaś Panizus źródło swe w górze Hemus, a między Messembryą i Odessą do Czarnego morza wpada (1). Utrzymywano, że statki owe naumyślnie do napadów na Węgry przez Turków przygotowane tam były; miano je potem spuścić na morze, i kiedy zupełnie będzie spokojne, około brzegów na Dunaj do góry holować, a Dunaj najdalej na południe wpada do morza o 30,000 kroków od Odessy.

Po owém spaleniu posunął się obozem pod górę Hemus, żeby ją nim zima nadejdzie przebyć; a że droga była i wązka i kręta, rozdzielił swe wojsko, aby od nagłych nieprzyjacielskich napadów się zasłonić i zawsze do odporu być gotowym. Wysłał tedy naprzód Huniada z posiłkującemi Wołochami i trzema tysiącami Węgrów, a sam szedł za nim dosyć oddalony z ochotnikami krzyżowcami i resztą wojska. Wozy na środku ustawiono, bo tak między przodowemi i tylnemi szeregami bezpieczne były, a król pewnym, że się nic w tyle nie zostanie, coby w tak wązkich przejściach łatwo przytrafić się mogło. Po drodze kilka miast i wiele wsi spalono lub z gruntu zburzono, a żołnierz tak dalece sobie pozwalał, iż napadał na święte miejsca Bulgarów i Greków, i kościoły ich świętokradzką ręką żelazem, ogniem i wszelkiemi zbrodniczemi sposobami gwałcił. Czyn ten bardzo słusznie bezbożnym się wydał Władysławowi; rozkazał tedy, aby najściślej poszukiwano i zgłaszającym się oddawano wszystko, co jako do religii należące nietkniętém być było powinno. „Nikt bardziej jak my, pisał w rozkazie, nie powinien szanować świętości religijnych, bo za nie walczymy. Wiele wprawdzie na orężu i własnej sile polegać można, ale na Bogu najwięcej, który zmazanym świętokradztwem nietylko nie przybędzie na pomoc w obecnej wojnie, ale jeszcze przeciwko nam stanie, aby się zemścić za swoje świątynie, za ołtarze i za świętości, jeżeli się od tak haniebnego rozboju nie powstrzymamy.“

Wysłał potem kilku niewolników tureckich z listami do rozmaitych załóg z przyrzeczeniem, że wszyscy, którzy stanowiska swoje opuszczą, mają zupełną wolność albo służyć pod rozkazami króla, albo odejść dokąd będą chcieli. Święcie przyrzeczenia do-

(1) Odessy podobno w tamtej stronie nie było. Była prawda osada grecka nad morzem Czarném, która się Odissos nazywała, ale leżała ona aż między Dnieprem i Donem, a zatem w innej zupełnie stronie.

trzymano; to też wiele zamków, które się dawniej silnie broniły, teraz się dobrowolnie poddały: bo będący w nich Turcy obawiali się albo ciężkiej niewoli, albo śmierci z męczarniami. Tylko ci, którzy się w Sumium i Pezechium (1) na wyniosłych dosyć skałach stojących zamkach trzymali, zaufani w niedostępne i obronne z natury położenie, woleli doświadczyć, co broniąc się uczynić potrafią, niż wierzyć zapewnieniom królewskim. Owóż ponieważ dla szczęśliwego położenia mogliby bardzo łatwo powrót naszym przeciąć, gdyby ich wypadek jaki do tego zmusił, uważano za konieczne siłą oba te zamki opanować. Tak więc, nie bez wielkiej straty między naszymi, bo trudność wdzierania się do góry, więcej niż zbrojny nieprzyjaciel, szkodziła naszym, zdobyto oba zamki.

W zwycięztwie tém wielu sztuką, a wielu znówu walecznymi czynami rozstawiło się. Ale najwięcej zasłynęli Jan Tarnowski i Leszek Bóbrzycki: tamten przy wylamywaniu bram dwa razy został ranny, ten zaś pierwszy na mury Petrecza się wdarł, i innym do wdzierania się niezmiernie pomógł. Powiadają, że około 5000 nieprzyjaciół tam zginęło, z których większa część w czasie rabunku od miecza poginęła, reszta przerażona, ze skał, na których tak bezpiecznemi się być mniemali, w przepaści po wpadali.

Kiedy tym sposobem pochód Władysław odbywał, przybyły do niego listy od Franciszka kardynała (2) donosząc mu, że Amu-

(1) Właściwie powinno być Sumen i Petrocz. Te ostatni dzisiaj nazywa się Baldzik.

(2) Franciszek Condolmieri synowiec Eugeniusza IVgo dowodził galerami papieżkiemi, które złączone ze statkami Burgundów, Wenecyan i Genuńczyków, miały nie dopuścić Amuratowi przeprawy z Azji do Europy. Filip Dobrotliwy książę burgundzki na wiosnę 1444 r. wysłał Jana z Warriu do Wenecyi dla uzbrojenia czterech okrętów wojennych, które skoro przygotowano, wnet Vasko z Saaredra wsiadł na nie z ochotnikami burgundzkiemi, dzieląc niebezpieczeństwa tej świętej wyprawy. Godfryd z Thoisi za rozkazem tegoż księcia uzbroił drugą flotę w Nica (Nizza dziś w królestwie sardyńskim). Obie wypłynęły na morze, a lubo głównego celu chybiły, jednak obecność chrześcian w tych miejscach stała się wielce pożyteczną dla opóźnienia zaborów osmańskich. (Zob. Prospera de Barante Histoire des ducs de Bourgogne T. V, str. 180 i 280. Bruxel. 1835).

Niewiadomi są z nazwiska dowódcy galer weneckich wysłanych przez dożę Franciszka Foscarri i genueńskich przez Rafała Adorne, Rządy

rat, albo sztuką przełamawszy, albo przekupiwszy strzegących brzegi, poniżej Gallipolis, gdzie najwęższa była ciążyna Hellespont, ogromne liczbą wojsko przeprowadził do Europy, i złączył z temi, które niedaleko międzymorza Trackiego czyli Chersonezu, w niewielkiej liczbie wprzód się już zebrało. Taka wiadomość do nowych narad i przedsięwzięć zmuszała króla, zwłaszcza, że wielu było takich, którzy cofnąć się radzili albo przynajmniej w bezpiecznym zatrzymać się miejscu, dopóki nie będzie pewności, jaka jest rzeczywiście liczba nieprzyjaciela i dokąd się naprzód obróci.

Od Petrecza, król na równinę zeszedł, chociaż mógł się tam w górach dobrze trzymać i umocnić. Takto uniknąć niepodobna tego, co fatalnym przeznaczeniem się nazywa. Potém wzdłuż rodopejską dolinę dwa razy przebywszy, znowu ku morzu, około

tych rzeczypospolitych, zapewne nie splamiły się zdradą, lecz kupcy genueńscy przez bezecną przedajność, bo wzięwszy od Turków po czerwonym złotym od głowy, w jedną noc całe wojsko Amurata z Azji do Grecji przewieźli, i stali się prawdziwemi sprawcami klęski warneńskiej. Nadto J. J. Sękowski (Collectanea T. I, str. 64) dokładnie oznaczając miejsce, w którym Amurat wojsko swoje pod samą stolicą grecką bez najmniejszego ze strony Jana Paleologa oporu przeprowadził, dowiódł najwyraźniej, że nikezemny władca carogrodzki był spółnikiem zbrodni Genueńczyków, że przyłożywszy się stanowczo wyżej przytoczonym listem do złamania rozejmu, gdy nadeszła chwila niebezpieczeństwa, zapomniał o wspaniałych obietnicach, któremi Władysława do tej krwawej wojny podniecał.

Wiadomo nawet z kadińąd (Chalkokondylas u Strittera T. II, str. 370), że wśród gwałtownych okoliczności, w których każda godzina była tak drogą, Jan Paleolog odjechał do Serbii na gody weselne synowicy swojej Heleny z Łazarzem, najmłodszym synem Jerzego Brankowicza; straż zaś nad Dardanellami porучzył bratu swojemu Konstantemu. Wszystko króla Władysława zdradziło: despota serbski wiedząc, że zdanie kardynała Juliana przemogło, cofnął się do świeżo odzyskanego kraju, i na wielokrotne odezwy królewskie, aby z pocztami stawił się do obozu, odpowiadał, że wzdrygając się wiarołomstwem, poczytując zamierzoną wojnę za niesprawiedliwą i bezbożną, pewnym będąc nieuchronnej klęski Węgrów, dobrowolnie ludu swojego na nią narażać nie chce (Chalkokondylas u Strittera T. III, cz. 2, str. 730); a nawet kiedy Skanderberg na czele hufców w pomoc Władysławowi prowadzonych zbliżył się już do granic serbskich, Brankowicz rozkazał przesmyk pod Białą-cerkwią obwarować i nie pozwolił mu przechoda przez swoje księstwo. Teść Skanderberga Aranites Tofia Golemus, jeden z książąt epirockich z innej przyczyny nie mógł zdążyć do obozu Władysława, gdyż papież Eugeniusz IVty dopiero dnia 7 października 1444 r. uwolnił go w Rzymie od przysięgi sułtanowi wykonanej. (Mallnowski, tłumaczenie Wapowskiego, str. 499).

góry Hemus skierował się. Dziesiątego dnia przybył pod Tawarnę, i zajął ją dla siebie, bo turecka załoga dowiedziawszy się co się w Sumen i Petreczu działo, na przybycie królewskie nie chciała czekać. Tymże samym sposobem Makropolis, Galatę, Warnę i wiele innych na brzegu leżących miast, Turcy dobrowolnie opuścili, a nasi je zajęli i chrześcijańskimi obsadzili załogami. Pasma gór Hemus zaczyna się prawie od Messembryi, wieczystymi tyłami ku Macedonii i wyższej Mezyi zwrócone, w przeciwnie strony od brzegów, jakby kolanowe odnogi wyciąga. Piérwsza, niedaleko zaraz od początku swego na prawo się zwraca i wnet coraz mniejszemi pagórkami w równinę się zmienia. Na téjto drodze z położenia naturalnego miejsca wiele jest dolin, częścią dzikich i nieurodzajnych, częścią znowu do żywienia ludzi i bydła zdatnych, i rękami rolnika do tego przysposobionych. Niektóre z nich naokoło pagórkami są zamknięte, a inne ku morzu zwrócone, brzegami morskimi się kończą. Szczególniej jednak miłą oku i najżyźniejszą była ta, która około Warny się rozciągała, z natury i pracą ludzką bardzo uprawna. Sama zaś Warna leży nad brzegiem, w miejscu w którym się rzeka cokolwiek załamuje, i do spławu dla większych statków niedosyć jest głęboką. Leży jeszcze między dwoma przedgórzami: na jednym z nich Galata, a na drugim Makropolis się wznosi. Naokoło wszystkie górzystości winnicami i innemi owocowemi drzewami są pokryte. Wewnętrzne doliny po prawej stronie w małych i Nieludnych wioskach rolnicy zamieszkują i uprawiają; z lewej strony gdzie się wznosi Galata, bagniste źródło przy pagórkach, daleko na zachód aż na drugą stronę doliny gęste wody rozlewa. Tu tedy, nie tak dla wygodnego miejsca, bo i wody i drzewa i innych potrzebnych rzeczy miał tu podostatkjem żołniérz, ale raczej dla słabości króla, któremu na lewém udzie wrzód się zebrał, zapalenie sprawił, i dotkliwiéj mu dokuczać począł, niż się z jego wielkości domyślać można było, zatrzymano się, i naparzania zrobiwszy, czekano, aż wrzód w materią się zmieni i wyjdzie; żeby król do przywdziania i władania zbroją na koniu był zdolniejszym, gdyby co gwałtownego w marszu wydarzyć się miało. Tymczasem Turcy od międzymorza ku Adryanopolowi się posuwali, a dowiedziawszy się, że nieprzyjaciel się zbliża, forsownym marszem naprzeciw niego spieszyli. Siódmego wreszcie dnia, nie daléj jak o 4000 kroków od obozu królewskiego zatrzymali się. I szpiegi i nocne ognie o przybyciu ich uwiadomiły, bo chociaż pagórki okoliczne przed wzrokiem ich

zasłaniały, jednak w czasie pogodnego nieba, kiedy księżyc na nowiu słabe jeszcze rzucał światło, tak w owęj stronie noc rozświecili, że nie tylko swą bliskość, ale i liczbę ogromną zdradzili. Podwojono tedy strażę i nocne placówki w całym wojsku, i rozkazano broń wydobyć i przygotować.

Kiedy już dzień nastał, Huniád, Julian, despota i inni, których rada i powaga większe miały znaczenie, licznie u króla się zbrali, i o przyszłej walce radzić poczęli. Julian radził, aby się wozami naokoło obtoczyć, zewnątrz poustawiać maszyny wojenne i tarany, których huk przestraszałby, a pociski rażyły nieprzyjaciela, gdyby się odważył na nich napaść; żeby nie wprzód w otwartym polu nie zaczynać, dopóki nie rozpoznają dobrze i nie wypróbują sił nieprzyjacielskich. Utrzymywał, że prawdopodobnym jest, że wojska morskie, które już na flocie są teraz niepotrzebnymi przyjdą z tyłu za Turkami i pomoc ważną przyniosą, bo albo połączą się z naszymi, albo rozerwą siły nieprzyjaciela w drugą stronę, a wtedy najlepsza będzie chwila do pewnego zwycięstwa.

Za tem zdaniem poszedł Franko banus (1) biskup agryjski i wielu innych Polaków i Węgrów; król sam nietyle potwierdzał, ile nie zbijał zwłóczenia stanowczej walki; bo zwolniał mu ból w nodze, który go właśnie w tym dniu najsrożej udreńczył, i spodziewał się, że zupełnie zdrow do walki wystąpi.

Huniád zaś i despota mocno zdanie to ganili, bo zamykać się na równinie nie jest rzeczą tych, co wojnę zaczepną przynoszą, ale jest ostatnią ucieczką dla tych, co w szyku bojowym pokonani zostali. Gdybyśmy się samego nieprzyjaciela o radę zapytali, inna by dał zapewne, a nie z bronią w ręku, na przykre wystawie się oblężenie w polu. Wszystkich zamiarów, a szczególnie na wojnie, szczęśliwe wypadki od pierwszych chwil zależą. Jakiem pierwsze natarcie będzie, taką w całej wojnie odwaga lub przerażenie tu lub tam w bitwach pozostanie. Dlatego żadnego znaku obawy ani swoim, ani nieprzyjaciołom okazywać nie można; na szybkości działania polega całe szczęście; działaniem i śmiałością, a nie sztuką pokonywają się nieprzyjaciele tacy, jakich przed sobą mamy. Cóż się stanie, kiedy uzbrojeniami różnemi Turcy naokoło nas obsiedą. Ani wtedy do walki wystąpić, ani nie mając żadnych przygotowań, oblężenie takie wytrzymać nie będziemy mogli.

(1) Franciszek z Tallocz ban Sławonii.

Śmieszném zaiste jest to, co o morskich wojskach ktoś tu napomknął: bo gdzież to kiedy widziano albo słyszano, żeby lądowe boje, okrętowym staczać żołnierzem. Tyle z nich na lądzie pożytku, ile z jazdy na morzu. Każdy ma swoje sztukę i każdy swoje naukę, każdy też w tej tylko rzeczy podołać coś może, do której się usilnie kształcił. A chociażby nawet przeciw prawom naznaczenia swego i pola do działania, ludzie z okrętów na ląd wyszli, to nie tylko tak wielkiej odległości w tak krótkim czasie pieszo przebyć nie są w stanie, ale co większa, do lądowej walki przeciw konnicy, pieszo, morskim uzbrojeniem orężem, bardzo mało, albo raczej na nic się nie przydadzą. Dlatego i zapóźna i próżna jest nadzieja na posiłki z floty. Gdyby ta była chciała być pożyteczną lądowym walkom, powinna była wszystkie siły na to wyteńczyć, aby nieprzyjaciela do Europy przeprowadzającego się przynajmniej przy brzegach zatrzymać. Kiedy już tak daleko król zaszedł, niech odrzuci precz błahę nadzieję, i niech wystąpi do boju z tym samym nieprzyjacielem, którego przeszłego roku aż do sytu rozbili i zwyciężyli. Przerażony teraz i zmieszany na umyśle, chwytą się raz tego, drugi raz owego, w niczém silnie nie trwa: to do Azji, to do Europy biegnąc, na pierwszą jakąkolwiek wieść, wszędzie ze strachem i trwogą się bije.

Nie o tém trzeba myśleć, jaka jest liczba z przeciwnéj strony, ale jaka odwaga i umysł; bo chociażby byli najliczniejsi, nic innego nie przynoszą do walki, jak przekonanie o pewnej klęsce i bojaźń. Nietrzeba przyzwyczajać żołnierzy do chowania się w dolinie za wozami, bo jest to rodzaj obrony dla tych, co broni swój nie ufają; a że nic dla nas nie znaczą, tego właśnie odrazu dowieść trzeba. Wybierajcie co wolicie: albo z orężem w rękę napaść na nieprzyjaciela, albo niby jakie tchórzliwe tłumy, zamknąć się parkanami i okopami. A czyż nie będzie to hańbą nad hańbami, że silni mężowie, więcej dolinie i wozom, niż własnej broni zaufali!...

Wiedział dobrze Huniad, że to co doradził, jest ostatecznością: ale dla męża tak wielkiego umysłu, niczém było zwycięztwo nawet w porównaniu z nudami długiego oblężenia: zwłoki takiej znieść na żaden sposób nie mógł.

Kiedy więc już tak daleko zaszło, że ani naprzód się posuwać, ani w tył cofnąć bez zwycięztwa nie można było: postanowiono jak najkrótszą drogą dobijać się o nie, i żołnierzy jak najprędzej do walki wyprowadzić, dopóki o świeżych powodzeniach,

w skutek jakich nagłych nieszczęść nie zapomną i na duchu nie upadną. A gdyby siły nieprzyjaciół nie wytrzymały, wtedy dopiero doświadczyć, czego broniąc się na równinie za wozami dokonać będą w stanie.

Zdanie Huniada i despoty tu wszystkich przemogło, i sam król wyższy młodzieńczym duchem nad ból fizyczny, utrzymywał, że nie ma czego zwlekać dłużej walki. Wtém przerażone szpiegi donieśli, że nieprzyjaciół uzbraja się i do napadu na obóz przygotowuje. Uszykowanie całego wojska poruczono Huniadowi, a każdy inny dowódzca do swego oddziału pospieszył.

Huniad obejrząwszy naprzód pilnie te miejsca, z kąd albo otwarcie napaść, albo przez zasadzkę cichaczem wkraśby się mógł zbliżający się nieprzyjaciół, żeby jaka zasadzka z tyłu niebezpieczeństwa jakiego na nich nie sprowadziła, na równinie, z kąd jak powiedzieliśmy bagniste źródła się rozlewają, między pagórkami i błotnistymi jamami, z kąd napad uczynić wypadało, tak ustawił cofnięte wozy, że łatwiej do nich był przystęp z miejsca, gdzie walkę stoczyć miano. Z tyłu więc niczego się już obawiać nie trzeba było, kiedy tym sposobem przystęp zaparto, i armaty i maszyny w tamtą stronę skierowano, a żeby niemi i zdaleka i zbliżka razić i odpierać nieprzyjaciela. Przystąpił potem do uszykowania wojska. Środek doliny powierzył królowi z nadwornym polskim i węgierskim żołnierzem. Obok jeziora i bagna, gdzie mniej było obawy, jużto dlatego, że bagno było nieprzystępne, i że góry urwiste nad niem wisały, umieścił pięć tylko węgierskich chorągwi. Prawe skrzydło, gdzie Warna od obozu się wznosiła, całemi siłami obsadził: bo myślał, że ponieważ tamtędy przystęp między brzegiem i bagnem najłatwiejszy, ztamtąd też najwięcej trudów i niebezpieczeństwa nadejdzie. Tutaj więc wielką chorągiew węgierską pod dowództwem Franko bana i biskupa agryjskiego postawił, a despotę z jego oddziałem i Juliana z krzyżowcami do nich przyłączył. Niedaleko z tyłu przy wozach i amunicyi posiłkowe niby szeregi, chorągiew św. Władysława pod dowództwem waradyńskiego biskupa umieścił, dodawszy mu Leszka Bobrzyckiego z małą garstką Polaków. Sobie z Wołochami żadnego miejsca nie wyznaczył, a żeby mając zawsze świeże szeregi, mógł wszędzie gdzie większe wzywać będzie niebezpieczeństwo, z pomocą przybyć, a tak żadnego wyłącznie miejsca się nie trzymając, losów całej walki pilnować.

Amurat wysłał naprzód najdzielniejszej jazdy około 6,000, a sam za nimi z piechotą i resztą jazdy postępował. Zrazu jakby nie ufali losowi w otwartém miejscu, więcój szpiegowali, niż wyzywali siły nasze, i pokazali się naprzód na prawej stronie na pagórkach, z kąd całe nasze wojsko i szyk przejrzeć mogli byli. W końcu czy walki żądni, czy za nic sobie mając taką małą garstkę chrześcian, zdaleka chmurę strzał na naszych wyrzucili. Kiedy zaś Franko i biskup agryjski wstrzymywali swoich, bo nimby na pagórki do nieprzyjaciół się przedarli, zmęczeniu straciliby dużo na sile pierwszego napadu; Turcy za bojaźń to wzięwszy, zaczęli pomału na równinę zstępować, i na nasze szeregi zbliżka już nacierać. Wtedy Franko przemówiwszy do swoich, że niepodobniestwem jest znosić dłużej, aby się tak ze zwycięzców urągał nieprzyjaciel, który niedawno temu pokornie o pokój błagając, niewiele widać w żelazie miał zaufania; który przeszłego roku tyle razy z pola walki uciekał, i winien ocalenie swego życia jedynie przepaścistym skałom i śniegom: dał znak do walki, i przypomniał swoim, aby i męstwa i szczęścia przeszłego pamiętni, dzielnie się teraz potykali.

Nie wytrzymał pierwszego napadu Turczyn, i cofać się do góry począł, szybkością jedynie koni od ran się zastaniając. Nadeszła tymczasem reszta jego konnicy, i część jej zeszła na dolinę, a część uderzyła na królewskich do góry się pnących, pomieszała ich i na dolinę zepchnęła. Ale tutaj nasi wnet się zebrali i uszykowali, a dzielnie się potykając, dopóki nieprzyjaciel z pagórków zstępował, przy samej dolinie rozbijają go i zawzięcie ścigają.

Wtém biskup waradyński nietyle biegły w sztuce wojennej, ile w piśmie świętém, zobaczywszy, że Turcy tył podali, opuściwszy już wprzód stanowisko swoje, z wielkim oddziałem na pewne prawie pobiegł zwycięztwo, a zapuściwszy się za nieprzyjacielem, nieroztropnie razem z despota i agryjskim biskupem wpadł między najsilniejsze tureckie zastępy, na końcui równiny rozłożone. Ztąd przeważającą liczbą aż na lewe skrzydło wyparci zostali; despota wrócił jednak szczęśliwie do swoich, którzy w małej liczbie na swém miejscu stali, ale waradyński biskup nie znając miejscowości równie tyleż, co i sztuki wojennej, myśląc że przez bagna w góry schronić się potrafi, rzucił się w wodę, i naszamotawszy się z koniem razem w błocie, w końcu utonął. Agryjski zaś biskup około jeziora okrążywszy, do Galaty udać się

postanowił; ale wnet zmieniawszy zamiar, wrócił do swoich, aby z nimi walczyć, ale go już nigdzie nikt więcej nie widział.

Turczyna tymczasem szedł jako zwycięzca prosto na chorągiew św. Władysława, bo despota, Franko i Julian, widząc przeważającą liczbę nieprzyjaciół, coraz natarczywiej z pagórków zstępującą, cofnęli się z swemi do amunicyi i tam z rozmaitem szczęściem walczyli. Kiedy zaś Leszek Bobrzycki do walki szeregi swoje wyprowadził, i wieloma ranami ugodzony umierający z konia spadł; bez żadnej wtedy wątpliwości przewaga na stronie Turków pozostała. Nietylko żołnierzy zwyciężono, ale i wozy zabierać już poczęto. Kiedy król spostrzegł, jak kilka przy pierwszym natarciu przewrócili, a resztę rozbijac poczeli Turcy, z Huniadem szybko tam popędził, aby nie dozwolic nieprzyjacielowi zabrać sobie ostatni w razie przegranej sposób do ocalenia. Za ich przybyciem los bitwy nagle się zmienił; Turcy w rozsypkę poszli, na 2,000 kroków pędzeni i bici ciągle byli: z taką natarczywością z tyłu król na nich nacierał. Odwołał go ztamtąd Huniad; porzuciwszy tedy uciekających, wnet despocie i Julianowi na pomoc przybył.

Tutaj bowiem zwrócili się Turcy z całej równiny i krwawą bitwę rozpoczęli. Kiedy król nadbiegł, bitwa zawzięciej się rozpalila. Boć różne do tego były pobudki: z jednej strony religia, świętości, oltarze, świątynie, dawne zwycięstwa i haniebne nieprzyjaciół ucieczki, życzenia i pochwały od tyłu monarchów i ludów odebrane, i los całego chrześcijaństwa od wypadku dnia tego zależał; z drugiej strony nietylko panowanie, ale zniszczenie nawet imienia tureckiego, jeżeli nie zwyciężą, jawnie się pokazywało. Azyą i morze, gdzie rozkazywali, zajmie nieprzyjaciel, i wszystko co w Europie posiadali, od losu obecnej walki zawisło.

Jeżeli nie wyjdą teraz zwycięzcami, dokądkolwiek się obróca, wszędzie na nich śmierć i męki już dawno przygotowane, czekają. Nie dlatego przecież do téj walki wystąpili, w której nietylko liczbą i siłami, ale słusnością sprawy są wyżsi, bo przeciw prawu i godziwości, po zawarciu pokoju napadnięci zostali.

Silnie tedy nacierali, myśląc, że Bóg świadek przymierza, przestрах, ucieczkę i śmierć na gwałcicieli spuści. Gdy tedy niemniej dzielnie potykali się żołnierze, jak ich wodzowie zachęcali, okropna się z obu stron rzeź rozpoczęła. Ale ogromna massa Turków nie dozwalała im uczuć tak prędko ich straty;

chwiała się tedy długo zwycięstwo. Turcy cofać się poczęli, uciekać; byliby wtedy straszną klęskę ponieśli, gdyby się byli chrześcijanie od walki za zdobyczą nie upędzali. W tej właśnie bowiem chwili, kiedy za nieprzyjacielem gonili, nastęrczyły im się wielbłądy obładowane; konie znowu zapachem i widokiem niezwyčajnych zwierząt przerażone, jeźdźcom na żaden sposób powodować się nie dały, a Huniada w różne miejsca powodzenie naszych odwoływało. Na wszystko bowiem baczny, i wszędzie gdzie potrzeba było z pomocą biegnąc, na środek doliny popędził, gdzie lewe skrzydło zaledwie natarcie nieprzyjaciół wytrzymało. Odnowiłszy tu korzystnie walkę, troszczyć się o króla począł, bo wiedział, jak to często młodzieńcza krew ze ślepą na wszystko rzuca się odwagą. Znalazł go między janczarami, to jest piechotą turecką, gdzie bił się zapamiętale. Wielka tu liczba ludzi i koni poginęła; jedni od miecza polegli, drudzy z połamanemi nogami na ziemi leżeli. Nie po ziemi już, a po trupach stąpano. Tak zawzięcie nacierano tutaj i odpierano się wzajemnie, że to więcej na wściekłość, niż na chęć zwycięstwa zakrawało. Przełamał wreszcie Władysław nieprzyjacielskie szeregi, ale uniesiony między nieprzyjaciół daleko od swoich, za zabitego już albo w niewolę wziętego miany, gdy już Turcy tył podawali, chrześcijanie także myśląc że stracili króla, w ucieczkę poszli, i tak równocześnie obie strony ustępować poczęły, nieświadome własnego losu, przy tak częstój i różnej zmienności szczęścia. Kiedy jednak janczarowie poruszenie chrześcijan zauważyli, zatrzymali się nagle, i walkę odnowili. Huniad kiedy zobaczył, jakie przerażenie i bojaźń na chrześcijan padły i szyki ich połamały, jak wielu haniebnie z placu ustępować poczęło; spiąwszy konia ostrogami, przez najgęściejsze szyki tureckie do króla przypadł, a uwiadomiwszy go o ucieczce i przestachu naszych, zaklinał aby się cofnął, utrzymując, że nie ma czego jeszcze rozpaczać, że tak mało w bitwie zginęło, że zaledwie strata ta dostrzeżoną być może, jeżeli tylko wprzód, zanim przesądnych bojaźń rozpędzi, do amunicyi i wozów razem z nimi przybędzie; że na jego życiu nietylko losy dwóch państw, któremi rządzi, ale i całej Europy i całego chrześcijaństwa losy polegają. Na nic nie bacząc tém natarczywiej rzucał się na nieprzyjaciół, roznosząc wkoło siebie przerażenie i śmierć, aż koń jego silnie w bok raniony, upadł i króla samego na prawą rękę zrzucił. Nadbiegli wnet janczarowie i mnóstwem strzał prawie zasypali go, a nie zabili.

Bronił się jeszcze jakiś czas Huniad, chcąc przynajmniej ciało królewskie unieść z sobą. Ale kiedy wszyscy tłumnie uciekać poczęli, oprócz garstki Wołochów dzielnie się trzymających; kiedy ujrzał, że tak wielkiej siły napadu wytrzymać nie jest w stanie; kiedy różne jego usiłowania wcale się nie powiodły: cofnął się do swoich z tą myślą, że po śmierci króla zostanie się przecież kto, co za taką klęskę pomścić się i hańbę taką zmazać potrafi. Ztąd gdy już i despota wprzód jeszcze zemknął, i kardynał Julian ustąpić radził, pod samą noc, w gęsty las na górach się schronił. Wielu innych także, których dotąd żadna bojaźń ani ucieczka swoich od walki oderwać nie mogła, poszło za nim w góry, a między nimi Franko i Julian (1).

(1) J. J. Sękowski (Collectanea, Warszawa, 1824 r.) umieścił z Roczników Chodży Saad-ed-dina zmarłego w r. 1599 opis bitwy warneńskiej. Hammer w swojej historii państwa Osmańskiego, do tegoż przedmiotu oprócz źródeł europejskich używał dzieła Saad-ed-dina i bliższych tych czasów Neszi, uczonego z wieku Bajezeta IIgo, zmarłego w r. 1512, Mewlana-Idris, który zszedł ze świata w r. 1523. Lewe skrzydło chrześcian składające się z Wołochów i pięciu mniejszych chorągwi węgierskich rozwinęło się za niedostępnym bagnem; prawe ku miastu obrócone, na którym oczekiwano całej natarczywości wrogów, wzmocniono silnemi zastępami Franko bana, pod czarną chorągwią państwa i Symona z Bozgon; między niemi stanęli krzyżownicy, a na ich czele kardynał Julian. W odwodzie, u taboru przy prochach i ołowiu Jan de Dominio biskup waradyński pod chorągwią św. Władysława i Leszek z Bóbrku straż z oddziałem trzymali. Król zajął środek szyku bojowego, otoczony pięciuset jeźdźcami; powiewała nad nimi chorągiew św. Jerzego niesiona przez Stefana z Bator. Jan Huniad był wodzem naczelnym. Ze strony tureckiej, Turachan beglerbey rumilski, stateczny dowódzca ile razy wojna toczyła się w Europie, wziął rząd nad prawem skrzydłem; Karadza beglerbey anatolski, podobnie najwyższy wódz w czasie wojen azyatyckich był na czele skrzydła lewego. Murad z janczarami stanął w środku, zasłonięty wykopany i ostrokołem obwarowanym dołem, ku większemu bezpieczeństwu swęj osoby; przed nim widziano świetny buńczuk i na wysokości włóczni utkwiony napis złamanego przez chrześcian przymierza. Jan Huniad uderzył na Kuradzę, Wołochy złamawszy hufce Turachana przedarli się do obozu Turków, aż pod sam namiot sułtański. Murad już miał uciekać, gdy Kuradza schwyciwszy konia za wędzidło z miejsca ruszyć mu nie dozwolił. Obudziła ta śmiałość Agę janczarów Jasidzi Toghana, lecz wśród sporu który między niemi zawrzał, król Władysław przypiera, i Kuradza od jego szabli ginie. Murad z janczarami stał nieporuszony. Ujrzawszy króla z garstką walecznych z dobytym mieczem w rękę pędzącego ku sobie: „Tego potępieńca” zawołał, „odłączcie od jego orszaku, gdy w pośrodek was będzie wpadał, rozstąpcie się na obie strony, a potem nagle się zamknawszy, jego zabiciem dokonajcie

Tyle razy w tej bitwie i cofano się i do cofania nawzajem zmuszano, że zwycięzcy długo o zwycięztwie wątpili. Ci bowiem Turcy, których król przy pierwszym zaraz natarciu tak zawzięcie był ścigał, rozniesli po okolicznych miastach przerażenie i wieść, że całe wojsko tureckie zginęło, że nieprzyjaciel wnet za nimi przybędzie, i wszystko opanuje; ci zaś co aż do nocy walczyli, sami nie wiedzieli czy zwyciężyli, niepewni będąc, dokąd chrze-

Bogu przyjemnego czynu. Posłuszni rozkazowi janczarowie, otworzyli królowi drogę, wnet zawarwszy się opasali go wkoło, stary janczar Kodza-Chazer obalił konia silnym cięciem topora, i wnet odrąbaną głowę królewską na włóczni zatknawszy złożył Muradowi. Uderzono w kotły odgłos zwycięstwa. Dawer pasza puścił się w pogoń za pierzchającym wojskiem, a gdy się rzeź uśmierzyła, przejeżdżał się sułtan po polu bitwy, i rzekł do jednego z dowódców swój straży Azeb-beja: „Co znaczy Azebie, iż między tylu niedowiarkami żadnego nie widać z siwą brodą?—„Padeszachu, odpowiedział, gdyby między nimi choć jeden był sędziwy starzec, nigdyby na ten koniec nie przyszli: płochość młodości tak drogo opłacili.” Głowę Władysława zaurzono w miódzie, aby ją od zepsucia ochronić, posłano do Brusy dawniej stolicy państwa, tam ją znowu wydobyto i na włóczni obnoszono po ulicach. (Malinowski tłum. Wapowskiego, str. 508).

Kallimach opowiadaniem swoim i w tej ostatniej sprawie dowodnie przekonał, że Huniad nigdy Władysława nie zdradził. Długosz, Wapowski, i inni współcześni nie wahali się rzucić krwawego zarzutu na Huniada, że w czasie widocznego niebezpieczeństwa króla, opuścił go. Słusznie też broni go i od tego zarzutu p. Malinowski w przypisku na str. 511. Kallimach najzupełniej go od takiej hańby oczyścił. Dziwna rzecz, że p. Malinowski w jednym miejscu, str. 447, nazywa Kallimacha pisarzem niepewnej wiary i niezasługującym na oddawane mu pochwały przez Wiszniewskiego, a znowu na str. 506 i 507 mówi: „Kallimach największą wiarę u cudzoziemców zjednał, bo szczególnie tylko panowanie Władysława IIIgo do wypracowania przyjąwszy (właściwie cztery ostatnie lata od 1440 do 1444 r.), zasilony ustnym podaniem mężów stanu urzędujących za Kazimierza Jagiellończyka i wspomnieniami Grzegorza z Sanoka, obecnego podczas bitwy warneńskiej, zdawał się mieć (i miał) więcej źródeł i możności, niż inni do wystawienia losów Władysława w rzeczywistość światła. Wszakże bliższy rozbiór jego dzieła, lubo zawsze wykazuje człowieka rzadkich pisarskich zdolności (na str. 447 nie zasługiwał na pochwały Wiszniewskiego) zdradza dziwna płochość umysłu i lekceważenie prawdy”. A gdzie dowody na tę płochość i lekceważenie prawdy? Zarzuca mu p. Malinowski, że Leszka Bobrzyckiego za największego bohatera wydaje, że nazwisko jego Ligęzy na Leszka przemienił; a przecież i Sękowski wyraźnie nazywa go „Leszek z Bóbrku”. Nie chce przystać pan Malinowski i na to, żeby Grzegorz z Sanoka miał jakie wpływy na radzie i do Korczyna na zjazd jeździł, bo o tém nikt nigdzie nie wspomina. Ale też i Kallimach nigdzie nie napisał, żeby Grzegorz z Sanoka ostro Julianowi zdanie na radzie na oczy wyrzucał, jak to p. Ma-

ścianie się udali. Milczenie, jakie między wozami panowało, za zasadzkę biorąc, przez dwa dni przybliżyć się do nich nie śmieli.

W ciągu całej owój bitwy, waleczność i odwaga Władysława najświetniej zajaśniały; jakby przewidywał, że to będzie ostatni jego czyn na ziemi, spełnił wszystko, czego od dzielnego dowódcy i mężnego żołnierza wymagać można. Pomagał chwiejącym się, wstrzymywał ustępujących, i wszędzie, gdzie najwięcej

linowski utrzymuje; chyba, że p. Malinowski ma inne jakże zmienione wydanie, bo w tém, które ja mam pod ręką, a najniezawodniej pierwszém, nie ma o tém wzmianki, tylko o tém, że Grzegórz zranionego i odartego Juliana znalazł i tam mu wyrzucił na oczy winę z zerwania przymierza. Ale i Leszka Bobrzyckiego może przesadzone, jak utrzymuje p. Malinowski, pochwały, jeszcze nie psują wartości pracy Kallimacha, zkądnąd pełnej siły i jedrności, a nie krouikarskiej gadaniny; a znowu pochwały i wpływ przyznawany Grzegorzowi z Sanoka, także za zarzut Kallimachowi służyć nie powinny, bo jaki to był człowiek ów Grzegórz z Sanoka, to wiadomo powszechnie, że świetlejszego, rozumiejszego i cnotliwszego od niego nie było wtedy w Polsce. Trzeba było wyszukać w jego dziele zwichniętęj prawdy, fałszywie opowiedzianego faktu, złe pojętego stanowiska, a wtedy byłby pisarzem niepewnej wiary, płochym i lekkim. Nie na omyłkę w nazwisku lub dacie leży wartość i wiara historyka, bo historia przestała już być chronologią i genealogią, a jest historią działań i rozwoju faktów z ich przyczynami i skutkami, czego powiedziałbym, aż do zbytku prawie znajduje się w Kallimachu, szczególnie w mowach, które bardzo słusznie tak wysoko Wiszniewski postawił. Nie lubię zresztą sprzeczek literackich, a jak dotąd nigdy, tak i na przyszłość dikogo nigdy zaczepiać nie będę. Wybieram do moich prac same oczywiste fakta, na pewnych oparte źródłach, aby nikomu także nie dać do napaści na mnie powodu.

Spory o Kallimacha z Dziennikiem Warszawskim wszczęte, wywołało małe tylko nieporozumienie się. Dziennik pomylił się o treść, p. Kraszewski o wydanie; Dziennik całą książkę nazwał rzadką i nieznaną, a powinien był powiedzieć, że wydanie tylko obecne jest tak rzadkie, że nikomu znane nie było, bo je wszyscy bibliografowie fałszywie opisali. P. Kraszewski znowu, zarzucając Dziennikowi grubą niewiadomość przedmiotu, chociaż tyle wydań Kallimacha nacytował, sam się przyznaje de facto, że wydania, które mamy pod ręką nie widział, że jest bardzo rzadkie, a nawet tak rzadkie, że nikt go naocznie nie widział; a zatem książka z tego względu jest bardzo rzadką, w czém Dziennik miał znowu słusność.

Przyprowadzając tedy całą tę filipikę do najprostszego zadania, żeby raz nazawsze skończyć spory o Kallimachu pracą naszą wywołane, powiadamy krótko i wyraźnie: Wydanie dzieła Kallimacha z tytułem, jaki na początku tego tłumaczenia umieściliśmy jest bardzo rzadkie, przez nikogo nieznanne, bo je wszyscy bibliografowie inaczej opisują; treść zaś książki tyle razy wydawaną, nie jest żadną nowością, chociaż tylko od uczonych *ex professo* znaną dotąd była.

było niebezpieczeństwa, przytomny, nadzieję w serca przywracał. Radą, ręką i głosem i nieprzyjaciółom straszny, i swoim był pożyteczny.

Różne śmierć jego poprzedziły przepowiednie i znaki. Kiedy kładł na siebie zbroję, upadł z ręki giermka szyszak, i koń kiedy miał na niego wsiadać, nadzwyczajnie rzucił się i wspinał. Oprócz tego, kiedy już wojsko uszykowane stało przeciw zbliżającemu się nieprzyjacielowi, przy pogodnym i spokojnym niebie, nagły i silny powstał wicher, i wiele chorągwi a szczególnie królewską poszarpał, i od włóczyń poobrywał. Nagle potem ustał. Niedługo potem, kiedy się rada, na której drugą tę wyprawę na Turków potwierdzono, rozeszła, i każdy ze zgromadzonych przygotować się do walki do siebie udał się, powstało tak mocne trzęsienie ziemi, że nie tylko, jak się to zwykle dzieje, pojedyncze gmachy, ale miasta całe cudownie prawie z ziemią zrównało. Wiele także rzek koryta swoje zmieniło, i chodziła wszędzie pogłoska dla drogości niezwykłej zboża, że albo nasienie, albo ziemia nagle nicurodzajną się stała.

Ile z obu stron zginęło ludzi, niełatwo można z pewnością oznaczyć, bo i na dolinie i na pagórkach częste były utarczki i mordy. Wielu w jeziorze i bagnach potonęło, a wielu znowu w lasach zabitemi zostało. Odszukawszy ciało króla, na niewielkiej kolumnie, którą dziś jeszcze można widzieć, z opisem całego wypadku, na tym samym miejscu Turcy wystawili. Węgrzy zaś i ci co z niemi uszli, oprócz Wołochów, nieświadomi miejscowości, z trudnością do Dunaju się dostali. A ci, co szczęściem aż tam się przedarli, znękani głodem, pragnieniem, bezsennością, zimnem, umęczeniem i różnymi innymi cierpieniami, żalowali często, że w walce z nieprzyjacielem nie poginęli. Błąkających się po pustyniach albo głód zamorzył, albo na nieprzyjacielską ziemię zagnanych, niewola ciężka spotkała. Daleko większą klęskę sprawił tu błąd, niż walka sama. Julian w ucieczce zabity został, już to przez chęć zdobycia czego na nim, już też, że jako sprawca pogwałcenia przymierza, od wszystkich był znieawidzony. Wiemy o tym od Grzegorza z Sanoka, który go samego, obdartego i ducha wyziewającego na bezdrożnym miejscu znalazł, i wyrzucił mu na oczy, jak dowodnie skutek okazał, że nie podobało się Bogu to wszystko, co przeciw przymierzcu i przysiędze więcej jako zacieki, niż dobry i sprawiedliwy człowiek rozprawiał. Prze-

kląwszy go potem, opuścił go. Huniad zaś, przeprawiwszy się przez Dunaj, z garstką przez Wołoszczyznę jak najspieszniej do Węgier podążył, aby wieść o nieszczęśliwej wyprawie, zamieszania i buntu jakiego nie sprawiła, i Fryderykowi i Czechom na nowe wypadki chciwym, jakiego zamiaru i przedsięwzięcia szkodliwego nie podszeptała.



NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

(Ciąg dalszy).

b) ODDZIAŁ SYSTEMATÓW.

Krajewski i Gołębiowski: Dzieje Jagiellonów i Jana Kazimierza.

W systemata dziejowe, to jest w książki, któreby nam przedstawiały pewną daną epokę w jej rozwinięciu się historycznym, nie była bardzo bogatą Warszawa. Kilka dzieł poważniejszej treści, kilka książek elementarnych: — oto cały nasz przychód literacki w ciągu ostatnich lat kilkunastu. Jedno prawie tłumaczenie o Sobieskim, i duże prace, już pogrobowe Gołębiowskiego i księdza Krajewskiego: — oto wszystkie bogactwa.

Najważniejszym dziełem, które tutaj należy, są bez wątpienia panowania Jagiellonów; o nichby zatem wypadło najprzód pomówić: ztémwszystkiém przegląd nasz zaczniemy od księdza Krajewskiego. Krajewski był literatem jeszcze z epoki Stanisława Augusta, więc pierwszym w porządku chronologicznym przed Gołębiowskim. Gdybyśmy na chronologią dzieł uważali, wypadłoby nam iść od Jagiełłów do Jana Kazimierza i skończyć na Sobieskim. Ale tutaj inne widoki mieliśmy jeszcze na celu: chcemy widzieć po kolei historyków i Stanisława Augusta, obok pisarzy późniejszej epoki, z którą się już my stykamy; chcemy po-

kazać różnicę pomiędzy ludźmi i pojęciami tych dwóch oddzielnych epok. Dlatego nawet nie wspominaliśmy Krajewskiego pod oddziałem materyałów. Nie należał on tam właściwie, bo Panowanie Jana Kazimierza jest utworem, ale nie źródłem dziejów; ale mieliśmy zamiar pod materyałami pisać o wszystkiem, co nie jest robotą naszego czasu, co nam się dostało od poprzedników naszych, czyto w druku, czy w rękopiśmie. Bibliotekę starożytnych pisarzy Wojcickiego myśmy policzyli do materyałów: tambyśmy i dzieło księdza Krajewskiego policzyć byli powinni.

Krajewski ocierał się jeszcze o Naruszewicza i znał go osobiście. Pisząc życie Czarnieckiego miał już wzór podany sobie w Chodkiewiczu. Potem zaproszony przez b. Towarzystwo Przyjaciół Nauk do napisania dziejów Jana Kazimierza, seryo myślał że dopełnia historyi Naruszewicza, chociaż nie w nim Naruszewiczowskiego nie było. Prędzej powiedzielibyśmy, że naśladował autora Zbioru Pamiętników o dawniej Polsce i że kończył jego dzieło, które miało nam przedstawić czasy Wazów w Rplitej, gdybyśmy nie wiedzieli, że jednocześnie obadwaj pisali i że owszem Krajewski wprzód zakończył życie, nim Ursyn wydał Panowanie Zygmunta IIIgo. Krajewski mógł prędzej jak kto inny z literatów żywić się podaniami szkoły Naruszewicza, ale należy zupełnie do epoki pisarzy księstwa Warszawskiego, i jego dzieło ma wiele podobieństwa z charakteru swego i z treści do dzieła Ursyna. Kwiatkowski z Władysławem IV niżej od obudwóch stoi i w porównanie z niemi iść nie może. Ale Gołębiowski zbliżył się już więcej ku nam i przeczuwał nowe potrzeby dziejopisarstwa, jakich dwaj tamci wcale nie czuli. Gołębiowski żył już w epoce autora Ksiąg Bibliograficznych, a od Czackiego nauczył się szperać po archiwach, o czém tamci także nie mieli wyobrażenia. Bo Ursyn i Krajewski czerpali także z akt i z pamiętników o tyle, o ile to zrobić mogli bez wielkiego mozolu, o ile niepotrzeba było starań i zabiegów, żeby coś przecie napisać. Oni dzieje układali z książek już drukowanych, nie z rękopismów. Jeden Czacki podania Naruszewicza zachował i wertując kroniki, prostował je i objaśniał, a do źródeł archiwalnych zaglądał.

Zmieniliśmy więc chronologiczny porządek w przeglądzie naszym i od Krajewskiego zaczęli, bo Gołębiowski względem Krajewskiego, jest już o wiele wyższym, jest następstwem. Gołębiowski już przedstawia rozwój dziejopisarstwa u nas; lubo daleki od doskonałości, jakiej się dzisiaj wymaga, lubo w całej peł-

ni nie rozumie wymagań naszych, musi iść koniecznie po Kraje-
wskim, którego przewyższa pod bardzo wielu względami. Tak
lepiej przez porównanie tych dwóch pisarzy z sobą, odznaczy się
ich stosunkowa dzisiejsza wartość i nowa epoka literatury histo-
rycznej polskiej. Dzieło Krajewskiego pokazało się dzisiaj zbyt
późno, kiedyśmy się już wiele naprzód posunęli, więc było wydane
bez celu; dzieło Gołębiowskiego jest i będzie zawsze szacownym
materiałem dziejów, lubo wcale nie wzorem pisaniej historii.
Zresztą o Krajewskim tém bardziej pisać tu mogę, że panowa-
nie Jana Kazimierza wydał niedawno Michał Baliński ze znalezio-
nego rękopisu. Może się więc zdawać recenzentowi, że to jakiś
autor nam współczesny życiem, napisał tę książkę przed kilką laty,
i że zasnął cokolwiek na drodze, ale przebudziwszy się, wydał to
dzieło wtenczas, kiedy już wszyscy bracia jego i przyjaciele ode-
szli, którzy to dzieło rozumieli.

A więc naprzód o Krajewskim (1). Kreśląc charakterystykę
tego autora, kreślić będziem charakterystykę wszystkich history-
ków szkoły, z której on pochodził. Jak dwie krople wody, są
oni wszyscy do siebie podobni.

Zrobić tu jednakże potrzeba uwagę, że rękopism Kraje-
wskiego wydany jest z jakiegoś brulionu niepoprawnego, albo
przynajmniej z kopii nieprzejrzanej przez autora. To pierwsze
dopiero zarysy dzieła, którego może nie miał czasu zaokrąglić
i rozwinąć proboszcz koniecki. Jeżeli zatem więcej tutaj błędów,
jak w innych historykach téjże samój szkoły, to niezawodnie wina
rękopismu i wydawcy, który ze swojej strony nic nie zrobił, że-
by podnieść jaką taką wartość dzieła. Drugą uwagę tę zrobimy,
że nie mamy dotąd całej pracy księdza Krajewskiego pod ręką, bo
powieść zaczyna się dopiero od r. 1656 i od opisu bitwy pod Pra-
gą, a więc ośm lat pierwszych panowania Jana Kazimierza niedo-
staje. Widać, dzieło wydano z niekompletnego rękopismu.

Właśnie opis bitwy pod Pragą nastreczył nam kilka myśli
o historykach szkoły Krajewskiego. Byli to ludzie, którzy nigdy
nie wyczerpywali swojego przedmiotu, układając kompilacje bez
żadnej innój zasługi, jak że pisali po polsku, i zestawiając tylko

(1) Dzieje panowania króla Jana Kazimierza od r. 1656 do jego
abdykacji w r. 1668, p. ks. Krajewskiego. Warszawa. Nakładem i drukiem
S. Orgelbranda księgarza i typografa, 1846 r. Tom Iszy str. 338, IIgi str.
256, oprócz tytułów, rejestrów i przedmowy.

świadczenia kronikarzy. Ale oryginalny autor miał zawsze więcej uwagi na wartość swojego dzieła, jak ci mniemani historycy: autor pisał tak, żeby czegoś przecie nauczył i żeby pamiątkę jakiegoś wydarzenia zostawił; starał się dlatego być zrozumiałym i jasnym. Historycy szkoły Krajewskiego, zdawałoby się, umyślnie zaciemniali text oryginalnego pisarza, czy przez nieumiejętność, czy z jakiego innego powodu?—trudno sądzić.

Jakie np. są te opisy bitew w historykach naszych epoki księztwa warszawskiego? jaki opis bitwy pod Pragą w autorze, którego robieramy? Krajewski nie określił nam bliżej miejscowości, na której miała się zwać walna dla Rplitéj bitwa, nie oznaczył stanowisk wojsk szwedzkich i polskich, kto, jak i z kąd uderzał na jaki punkt? Nie obrachował siły walczących, nie wskazał nam na wodzów. Więc w całym opisie bitwy, nie zgoła nie widać. Dlaczego Szwedzi wygrali, dlaczego Jan Kazimierz przegrał? tego się wcale czytelnik nie dowie od autora. Wszędzie tylko jakieś oderwane kawały opowieści: ten uderzył, tamten się cofnął, tu w lasach działo się to, a tutaj pod mostem to się zrobiło. Nie ma związku, systematu, obrazu. Takie opisy bitew, niepowinny postać w historii. Bo i cóż komu z téj przyjdzie wiadomości, że Jakób Kowalski rzucił się na Karola Gustawa spiąwszy konia ostrogami, i cóż z tego drugiego faktu, że Marya Ludwika strzelała z dział do Szwedów, jeżeli czytelnik nie widzi, że siły te a te, zgromadzone w taki a w taki punkt, musiały zrobić coś stanowczego i dzień zakończyć zwycięstwem? Skutki bitew są o tyle ważne dla historii, o ile same bitwy przyczyniają się do ukończenia wojny, o ile znowu wojna rozstrzyga pytanie położone pomiędzy obydwoma narodami. Ale jeżeli ma być opis bitwy, niechże to będzie jéj wizerunek, a nie zbiór urywkowych bawidełek i anegdotek.

Tak jak ta bitwa pragska, ciągnie się cała opowieść wojny szwedzkiej, w jakichsiś urywach oddzielnych bez związku. Można sądzić, że Krajewski wziął jaki oryginał łaciński do tłumaczenia, ale niecierpliwił się widocznie przy pracy, bo dziesięć wierszy przełożył, a dziesięć drugie opuścił; albo że mając kilku autorów pod ręką, tak ich skrócił, że potem sam ładu dojść nie mógł, bo z jednego wzięwszy jeden szczegół, a z drugiego drugi, już dalszego opisu zgrabnie polatać nie umiał. Że tak było, są nawet w dziele dowody: bo i w opowieści dalszej widać nieraz skutki, a nie widać przyczyn. Autor niby przywodzi, niby przy-

pomina dawne zdarzenia mimochodem w dalszej opowieści, a zdarzeń tych nie opisał poprzednio. Więc znowu jakby w oryginalnym autorze przewracał kartki, z jednej treść zebrał, a drugą całkiem przerzucił. Co natrafił losem, to tłumaczył.

Oto kilka przykładów wziętych z pierwszego, lepszego rozdziału. Autor opisuje co się stało po odejściu króla szwedzkiego do Prus (T. I str. 10), a nie powiada, że król szwedzki do Prus poszedł i nie objaśnia dlaczego poszedł; przecież to bez przyczyny być nie musiało, a w czasie wojny nikt dla rozrywki nie spaceruje. W innym miejscu jest, że Opaliński wojewoda podlaski wpadł do Marchii i uczynił ugodę z nią (tamże str. 13); autor nie powiada jaką, a do tej ugody potem się odwołuje, tak, że czytelnikowi trudno sądzić, kto złamał warunki tej ugody, kiedy o niej nie wie. I w innym miejscu autor mówi: Jan Kazimierz udał się ku W. Polsce (tamże str. 15), a nie powiada z kąd i jak, i czytelnik dopiero domyślać się musi że z Lublina, bo tam się cofnął król, straciwszy Warszawę w trzydniowej bitwie. I jeszcze raz autor mówi: Czarniecki udał się do Litwy (tamże str. 47), a niewiadomo z kąd, jak i kiedy? co Czarniecki wprzód robił przed tą wyprawą do Litwy i gdzie się znajdował? Wszystko to są dla czytającego tajemnice. Powiedzielibyśmy, że to jest partyzanckie dzieło o panowaniu Jana Kazimierza, jak i Czarniecki sam był partyzantem: bo wiadomo, że nie prowadził wojny podług planu, ale podjazdami. Urywkami były te bitwy Czarnieckiego, urywkami też i całe dzieło zapełnione.

Dodajmy do tego nieproporcjonalność formy, która się od razu postrzedz daje. O jednym wypadku mniejszej wagi jest w Krajewskim stronnice kilkanaście, o drugim większej wagi zaledwie kilka. Nawet w samym podziale pracy ten fakt uderza. Wszystkiego, co mamy w tych dwóch tomach, autor napisał sześć rozdziałów: lat 8 w pierwszym tomie, i lat 5 w drugim. W pierwszym tomie 4 mniejsze rozdziały, w drugim 2 ogromne. Toż samo znać i w opisie: autor zaledwie zaczął opowiadać historią miesiąca stycznia 1658 r. (T. I str. 88), a już we dwie kartki czytelnik ma lipiec przed sobą (tamże str. 92). Podług tej metody, opowiadanie o całym roku skończyłoby się powinno na dziesięciu, dwunastu stronicach, i całe panowanie Jana Kazimierza zajmowałoby powinno mały tomik. Tak przecież nie jest, a z kądże to pochodzi? Przyczynę jedną wskazaliśmy, ale jest i druga: autor płata z sobą wypadki, idzie naprzód, cofa się w tył, jakby umyślnie dla-

tego, żeby zostawić i w swoim dziele kawały. Dzieło też niepotrzebnie powiększają i rozumowania autora, w niejednym miejscu obce przedmiotowi, a nawet dziejom samym. Np. ta okoliczność, że przy przeprawie króla przez Dziesną, Jędrzej Modrzewski spuścił się w głąb rzeki, żeby wydobyć z niej armatę, daje autorowi powód do sprawiedliwej bardzo uwagi, ale wcale tutaj niekoniecznej, że „imiona tysiąca ludu zwanego prostym, mimo bohaterskiej ich cnoty, nie doszły do naszej pamięci. Żołnierz dający się ubić w swém miejscu stanowi częstokroć zwycięstwo, tracąc z życiem pamięć swego imienia, a chwałę jego odnosi wódz naczelny. Cały rodzaj ludzki zdaje się być niewdzięczny swym dobroczyńcom. Nie wiemy imion wynalazców młyna, pługa, wozu, a czytamy Neronów i Tamerlanów“ (tom 2gi str. 5). Sielankowo-pocziwe utyskiwania, nacechowane miłością ludu! W inném miejscu ustęp o Pastoryuszu; a z tego powodu, że kronika jego pisana jest stylem zepsutego smaku, ustęp znowu o Stanisławie Konarskim, mężu, który *odważył się stanąć w sprawie rozumu* (T. I, str. 123). Autor mówiąc o tym sławnym nieprzyjacielu *liberum veto*, własne dzieło tutaj na świadectwo przywołuje, to jest pochwałę zacnego Pijara. Nie zapominał swoich początków.

Mając jeszcze głowę częste pomyłki, *qui pro quo*, których wydawca poprawić nie chciał, czy nie umiał. Po śmierci Wacława Leszczyńskiego, król arcybiskupstwo gnieźnieńskie oddał Prażmowskiemu, mówi autor, pominąwszy wysłużonego starca Tomasza Leszczyńskiego biskupa kujawskiego (T. 2, str. 124). To błąd rażący. Kandydatami do prymasowskiej katedry w r. 1666 byli książę Floryan Czartoryski biskup kujawski, jeden z najzacniejszych ówczesnych senatorów Rplitej i Tomasz Leżeński biskup cheł. starzec, który powagą lat zasługiwał na pierwszy stopień w kościele. Tak mówi Kochowski. Ale autor nasz z Tomasza Leżeńskiego i z Czartoryskiego zrobił jedną osobę, której jeszcze dał nazwisko, jakiego żaden z kandydatów nie nosił. Jan Leszczyński na tymże sejmie 1666 r. podkanclerzym, drugi raz podkomorzym nazwany, (tom 2gi str. 155), był rzeczywiście podkanclerzym.

Książd Krajewski parafrazował siebie samego w dziejach panowania Jana Kazimierza, bo jakby naumyślnie wypadło mu pracować drugi raz nad tą epoką, dziwów majestatycznych pełną, którą już pod innym względem opracowywał. Może los śle-

py to zrządził, nam się jednak zdaje, że Krajewski dlatego podjął się pisać dzieje ostatniego Wazy, że pisał już historią Czarnieckiego. Dla Czarnieckiego musiał wertować kronikarzy XVII wieku, więc dla Jana Kazimiérza praca już była zaczęta, droga przez puszczę przetorowana. Ale kiedy zważym, jak mało źródeł pod ręką miał Krajewski, kiedy się zastanowim, że Kochowski, Rudawski i Grądzki jak do życiorysu Czarnieckiego, tak i do historii Jana Kazimiérza dostarczyli mu głównie materiałów: sam z siebie wynikać musi wniosek, że autor w drugim dziele parafrazował siebie samego. I tak jest w istocie; dziwne to było czy zaślepienie, czy nieumiejętność historyków epoki Krajewskiego; że do źródeł archiwalnych trafiać nie umieli. Jak dla klasycznych poetów były prawidłem wiary pewne przepisy i formułki; tak dla tych historyków, zdaje się, był jakiś tajemny przepis, żeby nie wazyli się tykać niczego, oprócz ksiąg drukowanych i to jeszcze znanych powszechnie. Za broszury nie wzięliby się dawni historycy, bo jak broszury według ich pojęć nie wchodziły do dziejów literatury, tak też niegodne były i wejrzenia historii, która z nich czerpać miałaby sobie za ubliżenie. Dzisiaj poeci narodowi zeszli do pieśni gminnej, żeby ducha ludu zbadać; dzisiejsi też historycy zeszli od kronik i dzieł większego pokroju do broszur, listów, korespondencyj, pargaminów, rozmaitego rodzaju szpargałów, żeby ducha narodu zbadać. Dla nich te szpargały zastąpiły pieśń gminną poety.

Kochowski jednakże stanowi główną kanwę dla Krajewskiego. Autor mając właściwe sobie pojęcie historii, nie wszystko z tego dziejopisa tłumaczy, ale skraca go i robi to nieraz dla *uniknienia nudności*. Tak się przynajmniej wyraził, przywołując pewne pismo Jerzego Lubomirskiego do króla z r. 1663 (Klimakt. 3ci, str. 80). Krajewski zresztą idzie tak niewolniczo za swoim wzorem, że nawet nie umiał dwóch powieści o bitwie pod Montwami, które są w Kochowskim, zlać w jedną, i obiedwie w swoim dziele w skróceniu powtórzył (T. IIgi, str. 134—7).

Oprócz Kochowskiego posługuje się także jakimś Dyaryuszem prowincyi polskiej Pijarów, i wciąga w text perory wyjęte z *Mówcy polskiego*, którego tak ogólnie określa, że prawie niepodobna poznać jaki to mówca. To oprócz historyków drukowanych jedyne źródło, z którego czerpał książd Krajewski. Ale i tutaj jaka nieumiejętność! Jużcié trudno wymagać, żeby dyaryusz pijarski był dziełem przechowującym w sobie historyczne skarby,

bo stary jakiś zakonnik św. Józefa Kalasantego notował to pewnie dla swojej i zakonu pamięci, co interesowało klasztor, prowincją albo dobroczyńców; widoki jego zbyt rozległe pewno nie były. Ale notaty mogły w pewnym stopniu zajmować. Jeżeli przecież z tego dyaryusza miał Krajewski wyczerpać tę jedynie wiadomość, że Lubomirski za wkroczeniem swoim do Siedmiogrodu wydał manifest do tamecznych mieszkańców, i że rozpacz w nich obudził, a niechęć ku księciu (T. Iszy, str. 47); jeżeli w nim znalazł to jedynie, że Rakocego uwięził w góry Jan Sapieha, (tamże str. 62): przyznać musimy, że autor napróżno się trudził, wertując ten ogromny może dyaryusz, a tak skąpy, i że niepotrzebnie cytował go jako źródło dziejów polskich. Raz tylko pamiętamy, jedno nazwisko zwróciło naszą uwagę. Wiadomo znającym dzieje, że substytuta konfederacyi wojskowej pod Swiderskim, Pawła Borzęckiego, jakiś zakonnik, kapelan obozowy, nawracał dla Maryi Ludwiki; Krajewski z Dyaryusza wie, że ten zakonnik nazywał się Przywicki, (T. Hgi, str. 256). Fakt to niezbyteczny, jednak niewielkiej wagi, bo dla historii wszystko jedno, kto podmawiał Borzęckiego. Kochowski mógł wiedzieć to nazwisko, ale je przecież zataił. W innym miejscu Krajewski wypisał cztery początkowe wiersze z listu króla do Lubomirskiego z r. 1655, w którym Jan Kazimierz przyznawał się, że marszałkowi był winien szczególnie swoje przywrócenie na tron (T. Hgi, str. 57). Tutaj trzeba było cały list przepisać. Kawałki krasomówskie *mówcy polskiego*, które się często gęsto sieją przy końcu, autor wierny pojęciom swego czasu, przerabia i gładzi. • Widać, że zmęczył się pracą, bo już nie opowiadał wtedy, a wypisywał. Jest w przypiskach i listów kilka wziętych z biblioteki Załuskich, wcale nieciekawych, a więc nieszczególnie wybranych, (np. T. Hgi, str. 56). Znać po wszystkiém, że autorem dzieła był nie z powołania historyk, ale raczej miłośnik dziejów, literat z nakazu, kiedy między tyłą bogactwami Załuskich, nic nawet znaleźć nie potrafił godnego czci i pamięci. Więc zebrawszy w jedno to, cośmy o źródłach Krajewskiego powiedzieli, widzimy, że oprócz trzech, czterech książek, nie miał nic innego, i że mógł tylko zestawiać świadectwa swoich przewodników, bo w samej rzeczy oni często i w samym teście brylują.

I dlatego całe panowanie Jana Kazimierza, to tylko właściwie drugie wydanie zyciorysu Czarnieckiego, w wielu miejscach zmienione i nie można powiedzieć, że poprawne. Autor potłu-

maczył z Kochowskiego i Rudawskiego inne miejsca do tego panowania, jak do życiorysu Czarnieckiego. a czasem też same, nie zmieniając nawet wyrazów pierwszego swojego wydania. Wyprawa kasztelana kijowskiego zpod Częstochowy pod Gdańsk z Maryą Ludwiką, mowa jego w Gdańsku do króla, są żywcem wzięte z poprzedniego dzieła. (T. 1, str. 28—34). Toż samo powiemy o wyprawie Czarnieckiego do Holzacyi i w ogóle o wszystkich miejscach, w których tylko ten znakomity bohater występuje. Kto zna jedno dzieło, może drugiego nie czytać, bo się znudzi powtarzaniem jednych i tychże samych obrazów.

Mate posiadał źródła Krajewski, a przytém pracę mu psuły fałszywe pojęcia, które miał o dziejach polskich. Ludzi i rzeczy sądził ze swojego wyłącznego stanowiska, to jest przykrajął ich do miary wyobrażeń swoich. Te wyobrażenia niekoniecznie dobre były i sprawiedliwe, ale to mniejsza: cała rzecz w tém, że Krajewski nie widział ludzi Jana Kazimierza w epoce Jana Kazimierza, ale widział w szlachcie ówczesnej typy swoje, z któremi codzień się spotykał w powszedniém życiu. Krajewskiemu się zdawało, że ludzi wiek od wieku nie różni, że jedne zasady mogą zawsze rządzić jedném, drugim i trzecim nawet pokoleniem. Nie brał ludzi w ich słabości, przesądach historycznych, wyobrażeniach i nawyknieniach, ale widział w nich coś oderwanego bez koloru i postaci, i dlatego zawsze do siebie podobnych. U takich ludzi, jak Krajewski, zdrowy rozsądek wyrokuje o wszystkim. Jemu téż powiedział zdrowy rozsądek, że elekcyje są złe i utrzymują nierząd; jemu téż zdrowy rozsądek powiedział, że konfederacye wojskowe były plamą Rplitéj, plamą nie tak dla Rplitéj, jak dla żołnierzy, którzy powinni byli ślepo iść za rozkazem wodza po śmierć. Krajewski nie rozumiał tego, że te konfederacye być musiały, bo żołniérz jeść i odziewać się musiał, a grosza mu nie dawano przez długie lata. Owszem widzieliśmy, kiedyśmy wyżej mówili o Kochowskim, że związek wojskowy Świderskiego był bardzo przejęty obywatelskim duchem, że się tylko swojego dopominał, i to nie żadną drogą gwałtu, ale drogą prawną, jaką mu wskazywała konstytucya Rplitéj. Dla Krajewskiego jednak ten związek jak każdy inny, był buntem. Tak autora zdrowy rozsądek nauczał.

Gdyby ksiądz proboszcz znał lepiej prawo ojczyzstego kraju, które Rplitą władało, gdyby znał ducha konstytucyi i rządu szlacheckiego, nigdyby podług przepisów zdrowego rozsądku nie wy-

rokował o ludziach dawnéj epoki. Zdanie jego byłoby wtedy logiczniejsze. Każdy historyk stawia się w postaci sędziego, który przegląda przeszłe sprawy i czyny. Jeżeli sąd ma być sprawiedliwy, sędzia winien wziąć przed się prawo, którém się strony rządziły, a wtenczas niejedna rzecz wyda się mu niewinną i piękną, która go wprzód odstraszała. Zdrowy rozsądek znaczy wiele w praktycznym życiu, ale posługiwać się nim nie można w sądzie o przeszłości, nie płaci on nic w krainie nauki. Nieszczęściem naszej literatury stało się, że żaden prawie z historyków naszych epoki po-Naruszewiczowskiej, nie miał nauki i że był prawie dylettantem. Żeby zrobić coś dla nauki wielkiego, potrzeba się jéj sercem i duszą oddać; a któż z dawniejszych historyków z powołania nad dziejami Rplitéj pracował? Ursyn wziął się od poezji do pracy i aż do ostatnich chwil swoich poezją się zajmował. Kwiatkowski był nawet literatem przez dylettantyzm, książę generał ziem podolskich nic nie napisał, a inni historycy Przyjaciół Nauk, byli prawie nieznanymi w kraju, chociaż mieli opracowywać dzieje narodowe. I cóż napisali? Nawet nie rozświetlili materyałów. Jeden z nich tylko Ossoliński miał naukę. Do takich historyków należy i Krajewski, który ze zdrowym rozsądkiem, pojęciami sejmów wielkiego, spoglądał na czasy Jana Kazimiérza. Nic w tém wprawdzie nie ma dziwnego, ale za to i całe dzieło jego musiało tracić na wartości swojej, i powiedzmy otwarcie, na prawdzie historycznej. Dzieje pokazują nam ludzi jakimi byli, nie jakimi być powinni.

Przyjaciół stanu wiejskiego, bo nawet wiele myślał o podniesieniu i oświacie chłopków naszych, nic dziwnego, że Krajewski z ubolewaniem o nędzy ludzi wspomina. (Tom Iszy. str. 40). Nie fanatyk i może troszkę filozof XVIII wieku, nic znowu dziwnego, że potępia sejm, który Aryanów wypędził z krajów Rplitéj, przez wzgląd jedynie na różność ich wyznania (tamże str. 94). Przyjaciół porządku i konstytucji Ignacego Potockiego, znowu nic dziwnego, że potępiał konfederacye i że buntem nazywał opór wojska upominającego się o żołd ciężko zapracowany. Ale buntów nie było w Rplitéj, kiedy swobody szlacheckie pozwalały na konfederacye. Wyraz to w całej przeszłości polskiej nieznanymi. Bunt w Polsce mogło być tylko powstanie czerni, jako nieodzobionéj klejnotem szlacheckim. Chmielnicki że nie mógł z hetmańszczyzną swoją pisać manifestów, zakładać konfederacyj, był buntownikiem takim, jakimi byli sprawcy rzezi humańskiej.

Ależ wojsko skonfederowane! Gruba tylko niezajomość historyi mogła Krajewskiemu wrzucić myśl do głowy, że wojsko Rplitéj było buntownicze. Tak samo i Jerzy Lubomirski był w jego pojęciu spiskowym przeciw prawom kraju, a on jednakże praw Rplitéj bronił. Otóżto znajomość historyi! Jan Kazimiérz wykraczał przeciw narodowi, kiedy elekcyą za życia wyznaczał, ale nie Lubomirski, że przeciw niéj powstawał. Marszałka Wgo nibyto broni niesprawiedliwie Krajewski, dając do zrozumienia, że to ktoś inny rozdmuchał pożar, że król i hetman razem nie byli winni. Jak to wszystko razem pogodzić? Kiedy Lubomirski stawał na czele konfederacyi przeciw królowi, województwa łączły się z nim, idąc pod najznakomitszemi obywatelami do związku, jak mówi sam ksiądz Krajewski. Z hetmanem szli poważni senatorowie, szedł starzec Stanisław Warszycki, przez lat trzydzieści kasztelan krakowski, dostojny obywatel, który nie mógł buntować się w téj chwili, kiedy mógł iść lada godzina przed sąd Stwórcy, żeby przed Nim zdać sprawę ze swoich postępków. Wyżej mówiliśmy o Zebrzydowskim, który pod Steżycę i Lublin zwoływał tłumy szlachty. I Lubomirski i Zebrzydowski nie byli buntownikami, działali na zasadzie prawa, swobód szlacheckich bronili. I zkądże taka ich potęga, że mocą swojego głosu podnosili wojnę domową? zkąd taka ich siła, że tryumfowali nad intrygami stronników dziedzictwa tronu i odnosili zwycięstwa? Dlaczego wojsko tak przepadało za Lubomirskim? dlaczego znajdował hetman wszędzie pomoc i wsparcie? A jego pochód po ziemi polskiej, dlaczego był tryumfalnym przejściem?—dlatego właśnie, że konfederacya nie była, nie mogła być buntem. Bierze nas pusty śmiech, kiedy patrzymy na zgrozę historyków ze szkoły Ursyna: jeden się pastwi nad Zborowskim Samuelem, drugi przeklina Zebrzydowskiego, trzeci ma za złe Lubomirskiemu, że bronił elekcyi. Ależ Jerzy Lubomirski nie był Ignacym Potockim, a wiek Jana Kazimiérza, nie było czas sejmu konstytucyjnego. Gdyby ci historycy szkoły Ursyna zdradzili się już tą swoją zgrozą, jaką mieli dla niewinnych ludzi, jużbyśmy powiedzieli o nich, że nie znali historyi, bo nie znali ducha i praw Rplitéj. Śliczna odpowiedź Piotra Ozgi w izbach sejmowych (T. Hgi, str. 169) dana królowi, a wzięta z Kochowskiego, budzi w naszym historyku zgrozę i gniew wcale niesprawiedliwy. Ta odpowiedź właśnie charakteryzuje duch szlachty, objaśnia prawodawstwo Rplitéj. Jednak gdyby już nie znajomość głęboka historyi, to sam zdrowy

rozsądek i przejęcie się podaniami narodowemi byłyby tym historykom dawniej epoki objaśniły prawdę. Owszem, po części trafiali oni, choć bardzo rzadko na czyste źródło, ale czerpać z niego nie umieli. Jedni powtarzali dźwięczne słowa, ale Krajewski czasem zastanawiał się nieco nad wypadkami

Kłęski z konfederacyj wojskowych, zapomniawszy się raz, narodowi autor przypisał; mowa Ponikowskiego wskazała mu przyczynę złego, tam, gdzie była w istocie (T. Iszy, str. 271). Ale kiedy znowu Krajewski utyskuje nad niedołęztwem Rplitéj, że bezkarnie puściła piérwszy związek pod łaską Jaskólskiego, choć wart był kary przykłádnej; kiedy drugi związek Świderskiego zuchwalszym jeszcze nazywa (opuścimy przymiotniki, któremi charakteryzuje swoje niechęć ksiądz Krajewski do konfederacyj, bo te doprawdy są w stanie gniewać za tak grube zapoznanie prawdy): nam się zdaje, że czytamy jakieś wykrzyki studenta zadane z góry na temat, ale nie historiją Rplitéj. Ze studyów nie robił, toć mniejsza, darowalibyśmy to nawet autorowi; ale tłumacząc Kochowskiego, jak mógł tak bardzo przeinaczać ducha Klimakterów? Autor łaciński walczył pod Lubomirskim, dla Świderskiego napisał piękną pochwałę, li tylko rzeczywistém przedstawieniem jego czynności: jakże Krajewski nic tego wszystkiego nie widział?

Że nasz autor machinalnie szedł często za przekonaniem własném, które odzywało się prawdą historyczną, dowodzi tego przyznanie się zrobione niechęć, że Alexander Żaboklicki poseł bract. zerwał sejm w roku 1664 *sprawiedliwie* a to z powodów, które i Krajewski uznał za słuszne (Tom IIgi, str. 54). Téj herezyi żadenby z historyków szkoły Ursyna nie powtórzył.

Zważywszy to wszystko, cośmy tutaj powiedzieli, przekonamy się, że ani Krajewski, ani podobni jemu historycy z przypadku, nie mogli napisać dziejów Rplitéj. Wszyscy oni nie znali ani swojego narodu, ani sąsiadów Polski. O W. Ks. Moskiewskiem mieli najfałszywsze pojęcia, i jeżeli gdzieindziej błędzili w ciemnościach, to tutaj zupełnie oślepli i kroku jednego dobrze postawić nie umieli. Żaden z nich nie znał następstwa carów na tron, każdy przekręcał nazwiska i panujących i bojarów: Iwan Wasilewicz, a Wasil Iwanowicz, wszystko jedno u nich było. Krajewskiego wyłączenie o to winić nie mogę. Pod tym względem niczém się on nie różni od Ursyna, którego naiwność przechodzi często wszelkie granice. Więcej powiemy: dawni Polacy,

dziejopisarze i obywatele epoki Jagiellońskiej i królów obieralnych aż do reform Poniatowskiego, rozumieli dobrze bojarów i znali historią carstwa moskiewskiego; ale dziejopisarze nowi straciwszy dawne ojców podania, zapomnieli zupełnie o nich. Dziejów sąsiadów naszych na Wschodzie z książek francuzkich się uczyli. Darowalibyśmy im to opuszczenie, że nie zajrzeli do kronik swoich, z którychby się wiele nauczyli, i nie dziwim się im wcale, że popełniali dlatego rażące błędy; ale jak darować im to, że czerpali ze źródeł zachodniej Europy wiadomości np. o stosunkach Polski do Rosyi? Pisma francuzkie mogły nam ten albo drugi wypadek w szczegółach rozświetlić, ale nie mogły ocenić jego wpływu i znaczenia dla Polski; ale jakże im jeszcze to darować, że idąc za mądrością zachodniej Europy, tak mało znali jej nawet dzieje i stosunki, że i tutaj mylili się często i okropnie!

Kochowski, to olbrzym, niezmierny olbrzym, względem księdza Krajewskiego; a jednak (przekonani o tém jesteśmy), autor Dziejów panowania Jana Kazimierza sądził się pewno za nierównie wyższego historyka od swojego wzoru.

Żeby takie dzieło, jak Krajewskiego, napisać, niepotrzeba było żadnych zdolności i żadnej nauki. Panowanie Jana Kazimierza czémże jest? — sąto dzieje wojen i negocyacyj Rplitej w danym czasie. Jestto przytém zbiór kilku anegdotek. Znajdują się tutaj powieści o Sułkowskiej, która zwymyślała króla, (opis nierównie humorystyczniejszy i piękniejszy czytamy w Pasku); znaleźliśmy téż i anegdotkę o trzech Pacach pod Częstochową. Dzieło Krajewskiego jestto pochwała kilku osób (np. prymasa Prażmowskiego, człowieka, który niewart był nawet jednego pochciwego wspomnienia, a cóż dopiéro pochwały); to nagana kilku innych osób, to zbiór kronikarskich wspomnień na końcu każdego roku, że ten a ten umarł, (datę śmierci Ossolińskiego kancleza, Krajewski, któżby wierzył! z Naramowskiego wypisał). Jestto zbiór kilkunastu błędów popełnionych w dobrej wierze: do tych liczymy powieść o zjeździe Rakocego z Karolem Gustawem w Modliszowicach pod Końskimi (nie dziw, że autor proboszcz koniecki chciał wstawić miejsce swojego pobytu, wielkiej wagi historycznym zdarzeniem), bo zjazd odbył się właśnie w Modliborzycach; do tych liczymy także cały żywot Jana Kazimierza skreślony w końcu IIgo tomu, że królewic był pod Smoleńskiem z bratem w urzędzie strażnika koronnego, że chciał być biskupem wrocławskim, Pijarem, że zmieniał stan jak Prometeusz. Jestto zbiór

ogromnych błędów popełnionych przez nieumiejętność i przez brak studyów nad przedmiotem. Sąto wreszcie wypisy, w których czytamy coś np. o wilku, ale nie o baranie. Autor czasem przywołuje w tłumaczeniu text jakiego przymierza i rachuje artykuły; ale za to o Hadziaczu, o tych wypadkach, któreby do szczytu zmieniły postać Rplitéj, gdyby dobra wiara chciała także zejść pomiędzy dwa nieprzyjazne obozy, wzmianka tak mała, tak nędzna, że jakby jej wcale nie było. Cóż dopiero mówić o znaczeniu tego faktu, którego nasz autor nie rozwinął, bo wcale go nie rozumiał.

Trzeba było małej znajomości historyi i mieć ładajakie, odwieczne pojęcia o kunszcie dziejopisarstwa, żeby sądzić, że wydanie rękopismu Krajewskiego, zda się dzisiaj na coś literaturze i nauce. Czytelnicy, którzy znają już lepsze dzieła, do Krajewskiego się nie wezmą; boć to anachronizm; a uczeni poznają się łatwo na tym szychu, który nawet dobrze nie naśladowuje złota. Panowanie Jana Kazimierza nie zbogaciło nawet dzieci, tak jest nędzne i blade. Nakład stracony, praca wydawcy wcale próżna.

Z kolei przychodzi nam mówić o drugim autorze, który jest już postępowym względem Krajewskiego i czasem i wyobrażeniami swojemi. Mamy ocenić dzieło ostatnie Łukasza Gołębiowskiego.

Gołębiowski pisał z polecenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Kilkanaście najczynniejszych lat swojego pracowitego żywota, stary ten przyjaciel Czackiego przepędził w gronie Towarzystwa i poświęcał się przedewszystkiém pracy historycznej. Sekretarz i bibliotekarz razem tego grona, jak ognisko skupiał do siebie jednego zatrudnienia uczonych ludzi, którzy nad przeszłością narodu badali, i był jakby ich reprezentantem. Archiwa puławskie i poryckie dostarczyły mu téż wiele i to najważniejszego materiału.

Może w inném kiedy miejscu skreślimy żywot literacki Gołębiowskiego, wskażem na jego stanowisko w piśmiennictwie i na jego zasługi; tutaj wspomnim o nim o tyle, o ile to do naszego przedmiotu należeć będzie. Panowanie Jagiellonów jest pogrobowém dziełem Gołębiowskiego i wyszło przed kilką dopięro laty (1).

(1) Tytuł ogólny: Dzieje Polski za Władysława Jagiełły i Władysława IIIgo, 3 tomy, p. Łuk. Gołębiowskiego, b. czynnego członka i sekretarza b. Tow. Kr. Warsz. Przyj. Nauk. Warszawa, w drukarni S. Orgelbranda, 1846 r.

Tytuły cząstkowe: Panowanie Wład. Jagiełły, str. XXV i 573 (T. Iszy).

Panowanie Władysława IIIgo, z uwagami nad stanem kraju i rządem jego za Jagiellonów do 1506 r. (w księgarni Ig. Klukowskiego) str. 478.

Autor sam rozpowiedział w przedmowie w krótkich słowach historią swojego dzieła. Zajmował się naprzód (tak sam o sobie mówi) uporządkowaniem biblioteki Czackiego; od pierwszych lat młodości, odczytywał rękopisma i robił z nich wyciągi, żeby ułatwić pracę dziejopisarską mężowi, któremu się w spadku miał dostać rylec historyczny Naruszewicza. Ale kiedy Czacki zakończył życie, w Gołębiowskim powstała myśl; żeby obrobić jaki szczupły zakres historii krajowej, bo żał mu było tych pięknych zbiorów i wyciągów, tych lat swoich straconych już napróżno, kiedy umarł historyk. Więc chciał ciągnąć dalej powieść Naruszewicza od czasów Jadwigi, tę powieść, o której myślał już Czacki. Pomyślał wtedy nad planem. Zdawało się naszemu autorowi, że sposób Roberta Henry użyty dla historii angielskiej jest przewyborny. Henry malował pojedynczo oddzielne obrazy; na jednym była polityka i wojny, na drugim związki z ościennemi i z dalszemi mocarstwami, w trzecim opowiadało się o wojsku, w czwartym o skarbie, w piątym o kształcie rządu i t. d. Gołębiowski rozwija obszerniej nieco plan, który się mu tak podobał. Ale mając pisać dzieje Jagiellonów, chciał każdego króla czasy oddzielnie wystawić. Wypadło z tego, że każde panowanie potrzeba było tak rozdzielać na rubryki. Niestosowność tę wybili autorowi z głowy inni światlejsi ludzie: przedstawili mu albowiem, że oprócz obrazu wojen i polityki, który naturalnie inny być musi pod Władysławem Jagiełłą, jak pod Alexandrem Jagiellończykiem, każdy inny obraz lepiej się wyluszczy, wzięty w ogólnych rysach całego stulecia, bo tam będzie razem i rozwój historyczny każdego przedmiotu i uniknie się częstych powtarzań. Zestawiwszy więc obok wojennych i politycznych opisów, religijne tylko dzieła i życie domowe, autor nasz resztę odniósł ku końcowi swojej pracy. Tak powstały trzy tomy dziejów pięciu pierwszych Jagiellonów do r. 1506. Od r. 1506 autor inną już upatrywał cechę w dziejach obudwu Zygmunatów. Obiecywał więc tylko, że jeżeli mu czas pozwoli, osobno opíše epokę od r. 1506 do 1572. Pomocą mu,

Dzieje Polski za panowania Kazimierza, Jana Olbrachta i Alexandra, przez i t. d., u księgarza Ig. Klukowskiego, 1848 r., str. 544. Każdy tom pojedynczo kosztował złp. 12. Wydaniem zajmował się Felix Bentkowski, który drukując dzieło historyczne, troszczył się tylko o pisownię. Lubo w niektórych szczegółach nie zgadzał się z Deputacją Tow. Przyj. Nauk, ale pisał jak ona chciała, bo go nie upoważnił pisać inaczéj głos jakiego uczonego grona, a bał się posądzenia o skłonność do *liberum veto!*

szczegól­nie z obcych nowych pisarzy byli Karamzin i Kotzebue. Taką przedmowę pisał Gołębiowski jeszcze w r. 1821. Widać już wtenczas historia Jagiellonów była skończona.

Dzieło Gołębiowskiego porównane z panowaniem Jana Kazimierza, o wiele od dzieła księdza Krajewskiego jest wyższe, ale jedynie treścią, nie sposobem pisania. Gołębiowski razem z innymi współczesnymi sobie historykami miał przesady i historyczne i literackie, i jeżeli w jego trzech tomach jest wiele nowych rzeczy, winien to raczej przypadkowi, winien to okoliczności, że się zajmował długo porządkowaniem starych papierów, jak uznanej przez szkołę potrzebie, że pomiędzy takimi pomnikami należy szukać historyi. Inne dzieła Gołębiowskiego są tylko kompilacyami bez sztuki. Taką też kompilacją jest i dzieło o panowaniu Jagiellonów. To raczej summaryusz jakiego archiwum, rozłożony systematycznie i chronologicznie według raz z góry nkreślonych podziałów, jak historia. Gdyby autor nie bawił w tém archiwum, zestawiłby tylko jak inni świadectwa Długosza i innych kronikarzy; nie powiedziałby nam nic nowego.

Nie pod względem więc sztuki potrzeba oceniać prace Gołębiowskiego, ale trzeba raczej rozglądać jego zasługi, jakie położył w pomnożeniu naszych historycznych wiadomości. Z licznych dzieł poważnego starca, to jedno tylko o panowaniu Jagiellonów będzie źródłem dla historyi. O *Ludzie polskim*, o *Ubiorach*, i t. d. już dawno zapomniano. Autor nie pojął, że dziejów Rpltej na osobne kawały, w których się mówi to o religii, to o prawodawstwie, rozbijać nie można. Monografie mogą rozwijać pewne strony życia narodowego, ale panowania królów powinno nam przedstawić to życie w jednym pięknym obrazie. To już główna wada autora, dla której odmówiliśmy Gołębiowskiemu zasługi historyka, bo zebrać materyały każdy potrafi, ale nie każdy umie je obrobić. Co zresztą o tych podziałach sądzimy, na które rozbija się w niektórych dziełach historia, powiedzieliśmy już na inném miejscu (1).

Za wzorem Naruszewicza idąc, dał autor na czele tablice genealogiczne monarchów polskich i sąsiednich, współczesnych Jagiellonom. Szkoda, że bardzo niezupełne.

Szkoła Ursynowska lubiła czułości i romanse; Gołębiowski też wierny jój podaniom rozpowiada na wstępie wiele pięknych rze-

(1) W recenzji dzieła Seweryna Gołębiowskiego: *Czasy Zygmunta Augusta*.

czy, stosowne do zwyczaju: jak Litwin Polakowi podawał w r. 1386 rękę bratnią, jak dotąd znali się obadwaj tylko w bojach, jak książę Jagiełło z piękną Jadwigą ślubne zawierał związki, jak, czego tysiące krwi potoków nie dokazało, tego dokazało małżeństwo *młodej, ujmującej królowej*, która zdolna była dla kraju, dla wiary *pierwiastkową* miłość poświęcić; jak ona była *bóstwem dobroczynnym*, zesłanem na ziemię *ku szczęściu* ludzi; jak potem dwa zjednoczone ludy pod *ojcowskim sterem* rozwijały się ku większej swojej potędze i t. d. i t. d. Ale na nieszczęście nie słuchany był w Polsce głos królów *dobrych, światłych* mężów, prawych obywateli, i źle zrozumiana wolność szlachecka wprowadziła nadużycia, które tamowały rozwinięcie się sił rządowych — powiada Gołębiowski. W dwudziestu wierszach tego ustępu jest sielanka i romans i wszystkie utyski całej szkoły, a wszędzie jedne i żywcem też same, na swobody szlacheckie. Nie, ci wszyscy historycy po-Naruszewiczowskiej epoki, powtarzamy znowu, nie znali, nie domyślali się nawet ani ducha Rpltej, ani charakteru konstytucyj narodowych. Ile tylko razy chcielibyśmy ich uniewinnić od tego zarzutu, broń nam sami przeciwko siebie podają w ręce.

Dzieło dalej idzie na wzór Naruszewicza w porządku chronologicznym, rok za rokiem jak kronika: ślepe naśladownictwo w formach, nie w treści. Pod każdym rokiem opisane są pojedynczo sprawy rozmaite, ile ich z kolei przypada, a każda sprawa idzie pod innym tytułikiem. O jednym roku jest wszystkiego dziesięć wierszy, o drugim jest coś więcej powiedzieć, bo zamiast jednego tytułiku, jest ich cztery i pięć, a każdy rozwinięty także w 10—15 wierszach. Powiększają te opisy nie jakie ważne zdarzenia Rpltej, ale opisy uczt, łowów i t. d. Z pewnej liczby stronnic, autor układa rozdziały i tutaj nie kłopotuje się także o systemat; jeden rozdział zawiera w sobie lat 10 i więcej, drugi rok za ledwie. Nic zresztą nie ma o życiu wewnętrznym ludu. Epoka tak ważna, jaką był czas panowania Jadwigi, więcej uderzać powinna była historyka tajemniczym znaczeniem swoim, jak wypadkiem przypadkowym małżeństwa Jagiełły z Jadwigą. Autor winien nam był dać obraz dwóch, trzech oddzielnych narodowości, które spływały w jedną; wskazać tego przyczyny, opowiedzieć jakim sposobem dokonywała się zmiana, jedna z największych w świecie;—ale Gołębiowski tego wszystkiego nie rozumiał. Dla niego ciało historyi, to jest same zdarzenia były historyą: znaczenie światowych wypadków, pochodów i rozwoju cywili-

zacy wytłumaczyć nie umiał i nie wiedział nawet na co się to przydało komu.

Dzieło więc o Jagiellonach łatwym bardzo sposobem powstało. Autor żywcem na osobnych kartkach wypisywał fakta, albo wzmianki o faktach z kronik i dyplomatów, i porządkował je chronologicznie: to godziło się pod rok 1404, a to pod rok 1410. Potém każdemu wypisowi dawał osobny tytułik, a rok każdy porządkował; np. w r. 1392 naprzód pójdzie: „pogodzenie Witolda z królem polskim, potém tytułik: „obejmuje rząd Litwy syn Kiejstuta,” potém tytułik: „Krzyżacy wzywają obcych;” a zakończy to wszystko: „wspaniała uczta” i t. d. Zdaje nam się, że jesteśmy przy nauce ciesli: majster dla wypróbowania zdolności, każe na tém, to potém na owém czeladnikowi sił probować. To same początki sztuki dziejopisarskiej. Kiedy powieść rozwija się, kroniki, a raczój wypisy dość dostarczają materiału; ciągną się w Gołębiowskim rozdziały i lata długie, np. sam rok 1410, starczy swoją obszernością za dziesięć lat ciągłych. Od r. 1386 do 1410 upłynęło całe ćwierć wieku, a mniej o jego wypadkach, jak o zdarzeniach wyprawy grunwaldzkiej. Toż samo powiedzieć można i o roku 1411. Tytuły czasem dziwacznie w jedną całość, czyli w jeden rozdział ściągnięte. Idzie tam zaraz obok siebie walka księcia opolskiego z Jagiełłą, a potém wojny Witolda na Litwie z książętami ruskimi (w rozdziale 2gim). Przechód od przedmiotu do przedmiotu bardzo łatwy i naturalny. Autor tylko powie: teraz będzie o tém a o tém, a teraz znowu o tamtém, i rozwija powieść dalej, nie pytając się czy to wypada, czy to tak można. Ilość wielką, czy mniej znaczną zdarzeń, dla których nie można było dobrać tytułiku, bo trzebaby rzecz bardzo rozdrabniać, autor mieści pod rubryką, *pomniejsze wypadki rządowe*. Wygląda to w historii, niby w domu prywatnym skład rupieci, niby w Kuryerku „Rozmaitości.” Przypisy idą u spodu stronnice, ale są i osobne przypisy na końcu każdego tomu. Autor napomyka coś zdaleka w tekście, źródło przywodzi w dopisku u dołu, ale dopiero w tych ostatnich przypiskach na końcu tomu rozwija rzecz i daje całe dyplomata. Czytelnik więc nieraz się więcej czegoś dowie z przypisów, jak z tekstu.

Rozdział 3ci zaczyna się tak: „Po śmierci Jadwigi, o której w przedziale życia domowego obszerniej mówić będziemy (str. 80). Dziwne o rzeczy: autor rozbił historią na dwa obrazy, na domowe i niedomowe życie, i ztąd wypadło, że dopiero po śmierci Jadwi-

gi, trzeba było rozpowiadać o niej. I czémże była historia Jagiellonów do r. 1399?

Nie ma też i krytyki. Autor daje nam fakta bez rozumowań żadnych; jeżeli więc znajdzie gdzie sprzeczność zdań, albo w jednym źródle inaczej opowiedziany wypadek jak w drugim, oświadcza się poprostu za jednym z nich, nie podając wcale powodów, dlaczego woli jedno jak drugie. Gołębiowski rok 1404 weźmie za 1406, i nawzajem; powie tylko, że zjazd taki a taki był tu a tu, że na nim mówił ten a ten, ale ten się mylił, — i dość: to już cała krytyka. Murzakiewicz tak rozpowiada o tych zdarzeniach, Karamzin znowu tak, ale co do mnie, wolę Karamzina; dlaczego tak? — spytałby się czytelnik. Nie ma odpowiedzi; zdaje się jednak dlatego, że Karamzin, to przecie nie Murzakiewicz. Karamzin historyograf urzędowy, znany był osobiście monarchom; dzieło jego wytłumaczone na wszystkie prawie języki, jest *de facto* i *ex officio* historią Rosyi; Murzakiewicz żadnego z tych powodów za sobą nie postawi. W innym miejscu dostało się i historyografowi; Długosz i Karamzin, obydwa mówią źle, że wojna była w r. 1408: była ona rokiem pierwój, bo tak powiada Kojałowicz. I znowu nie ma dlaczego ten Kojałowicz ma mówić prawdę, dlaczego on sam jeden się nie myli?

Czasem jednak Gołębiowski i poważniejszą bawi się krytyką, bo oświadcza swoje zdanie i rozumuje przytém. Nie podoba mu się np., że zjazd korczyński z r. 1404, na wykupno ziemi Dobrzyńskiej. przewali sejmem Albertrandi i Lelewel. Autor rozprawia szeroko i w dopisku na spodzie stronnicy i w przypisie na końcu książki, gdzie zwykle ważniejsze i krytyczne sądy swoje помещa osobno, jako dodatek do dzieła, może także Naruszewicza wzorem, że to był wiec, nie sejm, bo sejmy tam były, gdzie zasiadali posłowie; opiera się na powadze Władysława Bentkowskiego, który dopiero od r. 1463 sejmy polskie rachuje. Jeżeli sejm ma być tam, gdzie był i stan rycerski, to jużcić trudno zaprzeczyć autorowi, że zjazd korczyński z r. 1404 był sejmem. A potem wolno każdemu historykowi inaczej i w innej epoce naznaczać rozwój jednej albo drugiej instytucyi. Dlaczegooby np. powiedzieć nie można, że sejmy po roku 1468 nie były jeszcze sejmami, bo nie obierano na nich marszałką izby poselskiej; dlaczegooby np. powiedzieć nie można, że właściwie sejmy nastąpiły dopiero ze śmiercią Zygmunta Augusta?—dlatego, że wtenczas sa-

gi, trzeba było rozpowiadać o niej. I czémże była historia Jagiellonów do r. 1399?

Nie ma też i krytyki. Autor daje nam fakta bez rozumowań żadnych; jeżeli więc znajdzie gdzie sprzeczność zdań, albo w jednym źródle inaczej opowiedziany wypadek jak w drugim, oświadcza się poprostu za jednym z nich, nie podając wcale powodów, dlaczego woli jedno jak drugie. Gołębiowski rok 1404 weźmie za 1406, i nawzajem; powie tylko, że zjazd taki a taki był tu a tu, że na nim mówił ten a ten, ale ten się mylił, — i dość: to już cała krytyka. Murzakiewicz tak rozpowiada o tych zdarzeniach, Karamzin znowu tak, ale co do mnie, wolę Karamzina; dlaczego tak? — spytałby się czytelnik. Nie ma odpowiedzi; zdaje się jednak dlatego, że Karamzin, to przecie nie Murzakiewicz. Karamzin historyograf urzędowy, znany był osobście monarchom; dzieło jego wytłumaczone na wszystkie prawie języki, jest *de facto* i *ex officio* historią Rosyji; Murzakiewicz żadnego z tych powodów za sobą nie postawi. W innym miejscu dostało się i historyografowi; Długosz i Karamzin, obydwa mówią źle, że wojna była w r. 1408: była ona rokiem pierwój, bo tak powiada Kojałowicz. I znowu nie ma dlaczego ten Kojałowicz ma mówić prawdę, dlaczego on sam jeden się nie myli?

Czasem jednak Gołębiowski i poważniejszą bawi się krytyką, bo oświadcza swoje zdanie i rozumuje przytém. Nie podoba mu się np., że zjazd korceżyński z r. 1404, na wykupno ziemi Dobrzyńskiej, przewali sejmem Albertrandi i Lelewel. Autor rozprawia szeroko i w dopisku na spodzie stronnicy i w przypisie na końcu książki, gdzie zwykle ważniejsze i krytyczne sądy swoje помещa osobno, jako dodatek do dzieła, może także Naruszewicza wzorem, że to był wiec, nie sejm, bo sejmy tam były, gdzie zasiadali posłowie; opiera się na powadze Władysława Bentkowskiego, który dopiero od r. 1463 sejmy polskie rachuje. Jeżeli sejm ma być tam, gdzie był i stan rycerski, to jużćie trudno zaprzeczyć autorowi, że zjazd korceżyński z r. 1404 był sejmem. A potem wolno każdemu historykowi inaczej i w innej epoce naznaczać rozwój jednej albo drugiej instytucyi. Dlaczegooby np. powiedzieć nie można, że sejmy po roku 1468 nie były jeszcze sejmami, bo nie obierano na nich marszałką izby poselskiej; dlaczegooby np. powiedzieć nie można, że właściwie sejmy nastąpiły dopiero ze śmiercią Zygmunta Augusta?—dlatego, że wtenczas sa-

mowładność Rplitej wydała się w całej świetności i t. d. Nie o wyrazy tutaj idzie, ale o rzecz. Jeżeli sejmy rozwinęły się z wieców i zjazdów, toć i wiece i zjazdy musiały mieć w sobie coś z sejmowego pierwiastku i były sejmami, zgadzamy się, że w zawiązku, w rozpoczęciu, w czémś jeszcze nieoznaczoném, ale były zawsze sejmami. Przypisek zatém Gołębiowskiego i rozumowanie, czy w r. 1404 był wiec czy sejm, nie objawia stosunków Jagiellty do szlachty, ani do Krzyżaków. Długie wypisy z Bentkowskiego nie przekonają; bo to, jak widzimy, rzecz indywidualna, rozglądać w fakcie ten albo drugi pierwiastek. Powiedzieliśmy, że Gołębiowski bawi się w rozważniejszą krytykę; poprawiamy się: Gołębiowski czytał Bentkowskiego, zna więc badania nowsze, dobrze późniejsze od swojego dzieła, ale sam nie rozumuje, nie zastanawia się, tylko ciągle powtarza za drugimi.

Co do stosunków Litwy z zakonem krzyżowym, dzieło naszego autora nie jest czém inném, tylko powtórzeniem indexu do kodexu Napierskiego i innych kodexów, jakie tylko miał autor może w oryginałach. Suchość wszędzie nadzwyczajna.

Dla piękności jednak i żywości stylu, Gołębiowski bawi się i w ciągu dzieła w wymowne frazy, uczuciowe, jak widzieliśmy wyżej, o pięknej Jadwidze i ślubującym jej czystą miłość Jagielle. Historykom dawniejszej daty zdawało się, że dzieje powinny być opowiadane z pewną nadętością, podług przepisów poetyki; dlatego w panowaniu Jagiellów znajduje się wiele porównań i fraz wymownych. W te porównania kładli oni swoje uczucia: gniew, oburzenie, miłość cnoty, sąd o ludziach; np. autor raz mówi: „jak kiedy zwierz dziki u zamożnego wychowany rolnika, czując wzrost sił swoich, od niego się oddala, ale pomny dobrodziejstw, chciwy i zazdrośny, jego dostatków świadom, tam się szczególnie węgca i t. d.; kiedy spostrzega zemstę, korzy się i płaszczy i t. d. i t. d., tak Krzyżacy“ (Tom Iszy str. 135, porównanie wlecze się przez pół stronnicy). W inném miejscu taki maluje obraz: „jak kiedy na strawionych wulkanicznym ogniem pieczarach, nieprzezorna ręka człowieka wzniesie gmachy wspaniałe, niebotyczne wieże, jeden powiów wiatrów podziemnych, jedno trzęsienie wzruszy słabą ich posadę, druzgocze je i obala; tak upadała za jednym ciosem mniemana Krzyżaków wielkość“ (str. 162). I znowu: „Władca zakonu... gdy widział tę chmurę gromowładną po wyrzuconych pociskach, które wstrzęsły w posadzie, zwały kilka dębów niebotycznych, pokruszyły silne konary, wyrwały z korzeniem niezliczoną młodzież“

i t. d. (str. 183 tamże); dalej rozprawa o tém, że ta burza została przecież niektóre drzewa nietknięte, że ten las święty (to jest zakon) odmłodzić się może i t. d. i t. d. Obeznany z nauką dawniej retoryki i poetyki wie, jak te wymowne frazy są kute podług wszelkich wymagań sztuki, te przegradzanie rzeczownika z przymiotnikiem innym wyrazem (np. u *zamożnego* wychowany *rolnika*), te dęby niebotyczne, te silne konary: wszystko to dla efektu. Nie wiedzieli historycy, że ten efekt ich za lat kilka będzie śmiesznością. Nie wiedzieli, że dobierając przykładów wcale nie stosownych, powiększają komiczność swojego obrazu: np. cóż znaczy ten zwierz dziki, więc drapieżny, wychowany u rolnika (tu błąd umyślny przeciw naturze); co znaczą te gmachy wspaniałe na wulkanicznych pieczarach, które za lada powiewem wiatru się trzęsą? i t. d.

Szkoła Ursynowska zakochana w pięknym retorycznym stylu, miała także przywiązanie do mów; i jeżeli znalazła mowy jakie w źródle dziejowém, przerabiała je stosownie do swoich widoków i pojęć; jeżeli nie znalazła, parafrazowała czasem uczucia bohaterów, których jęj wystawiać przychodziło. Mowy były w Liwiuszu i w dziejopisach rzymskich, więc mowy koniecznie dla piękności dzieła powinny znajdować się w każdej historii godnej tego nazwiska. Dlatego i Gołębiowski drukuje w texcie mowy: to Jędrzeja księcia litew., który uciekł od Jagiełły do Krzyżaków w r. 1386, długą na cztery stronnice i przeciągającą text bez pożytku dla historii (w przypisku objaśnia z Lindego autor wyraz *surmy*, który znajduje się w mowie: „surmy, to gatunek piszczalek,” powiada poczciwie), to mowę Henryka księcia mazow. do Witowda w Malborgu w r. 1392 i t. d. Gdyby nie było oznak innych, że ta ostatnia mowa jest płodem autora, a tutaj brak cytacyi z kąd mowa wzięta jest dowodem, poznalibyśmy ją zaraz po retorycznym, kwiecistym stylu szkoły. Henryk chciał nawrócić Witowdę, więc uderzał w jego patryotyzm. „Kto, mówił podług Gołębiowskiego, powiedzą że zniszczył ziemię litewską? Oto *potomek Gedyminów, Olgierdów, Kiejstutów* (tak samo brzmi język Kochanowskich, Krasickich, tak samo książę poetów, a drugi był księciem mowców), a wieki z *hańbą* podawać będą *nienawistne* jego imię następnym wiekom! O jakież byłaby twa rozpacz słysząc te słowa!” (t. Iszy, str. 31). Są tam dalej w tej mowie i łaknące matki i zgłodniałe dzieci, jest i pożoga i kurzące się domy i gruzy rozwalone. „Usłuchaj głosu przyjaciela, brata, mówił Henryk; Gołębiowski dodaje: *wstyd* pokrasił czoło *rycerza* (wstyd czoło?),

łza powieki jego zwilżyła!!! i t. d.” Zdaje się, że Gołębiowski sam niemniej musiał być oburzony, jak Henryk mazowiecki łający Kiejstutą, kiedy takich wymownych fraz dobrał na odmalowanie swojego piorunnego gniewu. Ten gniew, cały jednak, czyż to nie komiczność ubrana w szatę poważną?

Mamyż cytować inne poetyczne i efektowe frazy rozrzucone po dziele garściami? Oto Jadwiga (pamiętajmy że to ideał, o którym nawet źle pomyśleć się nie godzi), oto Jadwiga idzie na Wołyń, amazonka druga. *Nadobnej* monarchini chętnie ulega *sędziwy* wojownik; to niby król (*sędziwy* dodany dla okrągłości peryodu, bo Jagiello narodzony w r. 1348, w dniu śmierci Jadwigi miał tylko lat 51, więc nie był stary tak bardzo na lat kilka wprzód w ciągu wyprawy wołyńskiej, kiedy *nadobnej* monarchini ulegał.) „Młódź rzeźka spełniała ochoczo dane sobie z ust *pięknych* rozkazy.” To romans wyraźnie.

Albo ten Witold, który wzrok gorejący nad brzegi Donu, dla pokonania burzyciela świata Tamerlana i jego horde zwracał (str. 481); albo ten dzielny Wallenrod, zdolny powściągnąć się od posiadania *ręki i serca pięknej* i zamożnej Habsburgu hrabianki, który nad ten szczyt, nad tę *słodycz* przelożył ubogą, krzyżem ozdobioną zakonu sukienkę (str. 39): nie są to komiczne romansowe postaci? Czyste słońce igrało z polyskiem tarcz *chroniących*, mieczów *zabójczych* w czasie uczty, na której w r. 1390 zasiadał Wallenrod zrzekający się *pięknej* hrabianki. Namiot kosztowny, oczom ciekawym krył ten stół przepyszny, tę ucztę dla *bohaterów*, dla *bogów ziemskich* przygotowaną; opada wreszcie namiot, zachwycają się widokiem żołnierze i ludzie niezliczeni różnej płci, wieku i stanu. A rycerze siedzą u stołu, ci bogowie ziemscy jedzą i piją i puhary podnoszą.—Autor skreśla w dwóch, trzech wierszach charakterystykę każdego z tych rycerzy, którzy z pożogą idą wewnątrz Litwy, a uczują przy Kownie. Czy to historia? czy to rys obyczajowej epoki? Nie, to wypisy z jakiejś kroniki pruskiej, parafrazowane uczuciowością, romansem ozdobione. Nas, czytelników, interesują nieszczęścia grożące Litwie biednej, ale nie owi najeźdźcy, nie ich stosunki i kochanki, i nie ci *termopilscy* rycerze (podług autora), którzy giną w obronie Gdańska 1433 roku (str. 406).

Dodajmy do tego konwencyonalne i konstytucyjne pojęcia szkoły, jakiej przykłady widzieliśmy w Krajewskim, jakiej wzory znajdziemy w każdym historyku zwrotu Ursynowego. Autor w W. Księstwie Moskiewskim wszędzie widzi już Rossyą, pisze ciągle

o Rosyi, o książętach litewskich przyjmujących służbę rossyjską. Gdzieindziej ubolewa nad lichą płacą dwóch panów, którzy dostali po 2,000 złp. naszych za urząd administracyi województwa krakowskiego. Uważmy dalej ten poczciwy gniew autora na Zbigniewa, za to, że strofował króla Władysława; a robić był tego nie powinien, mówi Gołębiowski, przez dwojaki wzgląd: jako kapłan i jako poddany (t. Iszy, str. 439). Jakieto niskie pojęcie rozwinął autor o stanowisku tego wielkiego człowieka, jakim był kardynał Zbigniew, kiedy np. rozwodzi swoje domysły, co powodowało Oleśnickim w jego sporach i napaściach na króla: czy zarliwość religijna, czy chęć wywyższenia się, czy żądza słynienia śmiałym postępkami, chluba walczczenia z królem, przemagania niejako tego, co wszystkiemi władał; *zanadto* wiele urzędowości kardynał raz pozwolił sobie, drugi raz *zbyt* uroczyscie czegoś dopełnił (wszystko to własne wyrazy Gołębiowskiego). Autor rzucił nawet podejrzenie na charakter Zbigniewa, wierzył, że kardynał donosił na króla do Rzymu nie mając na to w rękę dowodów; ale wnioskował tym razem sprawiedliwie podług siebie, że kapłani nieposłuszny poddany, gotów był dopuścić się ostateczności. Marcin V papież piorunujące listy pisywał do króla, które Gołębiowski w swoim dziele zamieszcza, i zaraz sądząc z *zuchwałości*, z jaką przeciw monarsze powstawał, autor te listy poduszczeniem Zbigniewa przypisuje (str. 445 i 560). To są jego dowody. Autor pomieścił nawet usprawiedliwienie sądu swojego o Zbigniewie w jednej z oddzielnych rozpraw; nie uważa na to, że „dziwili się i potakiwali jemu współkapłani, że oklasków nie szczędzili pobożne dziejopisy,” a przecież musiały za coś być i te pochwały i te oklaski. Owszem autor z góry zapowiada: „my tę (Zbigniewa) śmiałość zowieśmy naganną (str. 459).“ I następuje sielankowa apostrofa do księży, czémto być kapłan dobry powinien, nienależąca do rzeczy i żadnego niemająca związku z królem Jagiellą.

Źle autor pojął Zbigniewa, mierząc go podług wyobrażeń sejmu wielkiego: insze zasady panowały u nas jak gdzieindziej. Zabawny ten historyk, który powiada, że Polska winna była szlacheckie swobody Ludwikowi węgierskiemu, bo Ludwik starał się tylko o tron dla córki; zabawny i ten, który utrzymuje, że te swobody rozwijał dobrowolnie Jagielło, przez pamięć znowu na syna. Dla królów dziedzictwo tronu było pozorem, ale jak ziemia koronna, tak i przywileje były własnością narodu i musiały się rozwijać same przez się, przez nacisk zewnętrzny szlachty. A kiedy tak było w Rplitej, ten obywatel polski odpowiadał swojemu posłannictwu, który śmiało prawdę mówił każde-

mu w kościele, w senacie, albo na polu obozowém. Z téj strony uważana *zuchwałość* Zbigniewa, stanowi tylko rys charakterystyczny znakomitego kapłana, który pokazał wiele dobrej a nieugiętej woli. Było dwóch ludzi wielkiego wpływu i znacznych, w czasach Władysława Jagielly, że dwóch tutaj weźmiem tylko dla porównania: kardynał Zbigniew i arcybiskup prymas Wojciech Jastrzębiec. Obaj przywiązani do Rplitéj, poczciwie jój służyli; ale Wojciech nie śmiał zawsze otwierać zdania swojego tam, gdzieby się królowi sprzeciwił, a Zbigniew na nie nie zważał. Wojciech stawiał także opór Jagielle, kiedy już nie mógł wytrzymać, ale częściej zmilczał. Przestrzegwał jednakże całości praw ojczystych, jak dobry kanclerz. Nie byłoby tych częstych zająć z królem, gdyby każdy tak postępował, jak Zbigniew szczerze i otwarcie. Jagielło Litwin przyszedł nagle do rządu nad dobrze urządzoną, chrześcijańską i szlachetną Rplitą, która niszczyła zakon krzyżowy, bo wrogiem był ogólnej pomyślności, i stawiał przeszkody dla spokojnego rozwoju zasad, które ona miłowała. Więc król Jagielło nie rozumiał dobrze swojego położenia i często w nim jeszcze odzywał się *serdyty Litwin*. Nie ze złej woli król to robił, że sprzeciwiał się nieraz korzyści narodowej. Musiał ktoś go uczyć i powodować nim, i takiego nauczyciela król znalazł w Zbigniewie. Gdyby nie kardynał Oleśnicki, nie byłby Jagielło tak się przejął natchnieniem swojej wiary: ułagodziła go niezawodnie religia, ale tę religią w praktyce wykładał mu Zbigniew biskup krakowski. Najczulsze téż związki połączyły Władysława z kardynałem; umierając pierścień Jadwigi król mu oddał, a przez życie całe, chociaż często z nim się kłócił, zaraz téż i godził się i wierzył mu więcej jak komu innemu. Zbigniew przemawiał do króla jak obywatel, jak chrześcianin; gdyby zmilczał, uchybiałby swojej senatorskiej powinności w Rplitéj. Był téż Oleśnicki gieniuszem Polski, jednym z największych ludzi jakich Polska wydała; a że rozwijał się kraj pod wpływem swojej zasady, kto wie, czy więcej nie Zbigniewowi to winien, jak Władysławowi Jagielle. Takich ludzi jak Wojciech Jastrzębiec wielu było w Polsce; takich jak Zbigniew—on tylko jeden.

Rzecz zabawna jednakże, że o takich rzeczach potrzeba rozprawić do ziomek po polsku, że aż konstytucją Rplitéj potrzeba teraz przywoływać na świadectwo, rozwijać jój zasady i dowodzić prawdy. Sejm wielki był uwieńczeniem wszystkich myśli, które się snuły po głowach za czasów Stanisława Augusta. On wpośród nas rzucił te przesady o dawnych wiekach, posiał nieumiejętność. Dziwim się,

że cudzoziemcy nas nie rozumieją; my sami siebie nie rozumiemy i nie mamy pojęcia o przeszłości naszej. Słowo Rplitéj jasno wypisane we wszystkich pomnikach piśmiennych polskich, a nam trzeba odgadywać to słowo, jakby egipskie hieroglify. Gołębiowski, spodziewamy się, był ostatniem echem w literaturze, téj osławionéj reformy Stanisławowskiej, która nam pamięć swoich rzeczy odebrała.

Ale wracając do dzieła Gołębiowskiego wspomnim jeszcze te bardzo cliwe i zabawne wykrzyki, jakie się autorowi wyrwały z powodu rzezi żydów w Krakowie 1407 r. Historyk wpada w zapał młodzieńczy i woła do żydów: „oby! oby! obyście raz pokochali tę ziemię, bo ona was żywi! Obyście byli obywatelami polskiem!” W historyi Jagiellonów czyż to wszystko potrzebne, czyż to nie zbyt konstytucyjne i sielankowe?

A te *a priori* sądy o innych ludziach mniej sławnych jak Zbigniew? ta zemsta nad książętami i wodzami w lat czterysta po ich śmierci, wyrażająca się z goryczą, z przekleństwem dla ich pamięci? Popelni kto z dawnych ludzi jakie zabójstwo, ale to zabójstwo nie nastąpiłoby w wieku naszym, bo też inne mamy wyobrażenie o błędach, inne o cywilizacyi; autor z trójnoga zaraz potępia nieszcześliwego sprawcę zbrodni. Świętosław książę smoleński z którym walczy Witold, był dzikszymi od innych książąt ówczesnych; więc zaraz Gołębiowski cytuje ze wstrętem liczne jego przestępstwa i męczarnie. Nie rozumie autor, że na te wszystkie wyskoki nie patrzyła społeczność tak zagniewaném okiem; nie pojmuje tego, że wtenczas inny był rozum i inne wymagania stanu, jak dzisiaj. To był wiek XIV, nie XIXty; mała różnica, lat pięćset blisko! Cieszy się téż Gołębiowski, że ten niegodziwy Świętosław *obmierzłego* ducha wyzionął. To znowu pod Wilnem w r. 1390, dwa stronnictwa walczą przeciwko sobie: po stronie króla Jagielly staje Korygiello, po stronie zakonu Witold; więc Korygiello ma spólcucie autora niewchodzącego w to, czy książę wart był spólcucia. Gołębiowski powiada, że nie ocalił księcia ani ród znakomity, piękna postawa, młodości powabem ukraszone lice, wspanialszy ubiór (co tu fraz na opowiedzenie faktu, że Korygiello zginął); ścięty, a głowę jego ku postwachowi ściśnionych obcém wojskiem, wokoło miasta na spisie obnoszą *zuchwali* przeciwnicy. (Zuchwałości téj dopuściliby się i rycerze króla Jagielly, gdyby Witolda zabili). A wtém drugi wypadek i także pod Wilnem: Narymund, brat Jagielly, świetnego domu *nadzieja i podpora*, wyzwany na pojedynek od rycerza niemieckiego, stawia się *jak mężnym przystoi*, polegając na swéj sile: *zręczny, szykowny*, do rycerskich turniejów nawykły, *cieszył się zwycięstwem*

przyszłóm i nową złą chlubą; ani przeczuwał, że ostatnia dla niego wybijała godzina. Pojmany i przyprowadzony przed Witolda, z jego rozkazu powieszony został na drzewie. Autor dodaje: „Witold tak zdziczał, że wszelkich uczuć: rodaka, człowieka nawet zapomniał” (str. 25). A w inném miejscu ten Witold, jak baba płacze u Gołębiowskiego, kiedy widzi, jak jego Żmudź świętą plondrują Krzyżacy i chce odzyskać tę Żmudź przez samo uczucie ludzkości (!!!).

Znając działających ludzi po wierzchu tylko, Gołębiowski często jest w dziwném położeniu: nie wie kogo ma chwalić, a kogo ganić. Pierwszy lepszy wypadek podaje więc mu miarę do tego sądu. Jest np. zapalonym stronnikiem Henryka Plauen, który uratował zakon krzyżowy po grunwaldzkim pogromie. Tą razą autor postępuje szlachetnie, bo nawet nieprzyjacielowi Rplitej oddaje sprawiedliwość. Takby być powinno, ale Henryk Plauen nieszczęśliwie wybrany za przedmiot współczucia. Gołębiowski co chwila nazywa go wielkim mężem, zbawcą niemieckiej ojczyzny. Rzuca wymowne pioruny na mnichów, którzy w r. 1414 tego wielkiego mistrza zrzucili ze szczytu wielkości, oskarża zakon o niewdzięczność. Malowniczym swoim językiem, autor tak ciska się na przeciwników Henryka: „upokorzona duma, z prochu, w którym się czołgała, podnosi harde czoło (streszczamy obrazy, bo całe wypisy zajęłyby wiele miejsc; ale wiernie słowo za słowem autora przywodzimy), syknęła zawiść szukając słabiej strony, gdzieby jad zabójczy wpuścić mogła, słabość spółników zbrodni chwytą, złośliwość najzłobniejsza zamiary czerni, potwarz dodaje farb ohydnych, a motloch nierozsądny“ i t. d. (str. 218). Dziwim się współczuciu autora dla w. mistrza, kiedy zaraz na następnej stronnicy, po rozprawie o téj zawiści i motłochu, streszczając zarzuty wrogów Henryka von Plauen, wie o co się na niego mnichy krzyżowe gniewali. Nie radził się mistrz nikogo, oprócz kilku zauszników; dostojenstw zakonu nie rozdawał, żeby nie tworzył sobie współzawodników, podatki dowolnie nakładał, obdzierał z bogactw świątynie, mnichom żenić się dozwalał, nie zważał na to jakiej kto wiary, bił fałszywą monetę, niższą szlachtę miał za nic i t. d. Jedynie dobrą stronę, którą pochwalić można, wykazuje Gołębiowski w tém, że mistrz z uczonemi przestawał i że kraj zaludniał przychodniami. Ale autora naszego ujęta nadzwyczaj widać energia Henryka w r. 1410; w samej rzeczy pokazał on wtedy wielką moc duszy i charakter. To jedno zdarzenie wpłynęło wiele na sąd o człowieku „szanownym mężu, godnym lepszych losów.” Najcudniej wygląda, kiedy historyk nasz pisze tak np.: Michał mścił się na Janie,

a wielbić go był *powinien*. Kto ma kogo wielbić, sam wie o tém najlepij. Niech każdy sądzi o swoich stosunkach, po co się w to mieszać innemu? Tak Plauen kontur gdański wielbić był *powinien* brata swojego w. mistrza (str. 224). Po co rozumowanie tu, gdzie fakt jasnie zaprzecza? Historyk nie jest sędzią: autor nasz wydaje wyrok nigdy nieuzasadniony, wzięty z pierwszego lepszego faktu, o ludziach i rzeczach tych, o których już nie miał gotowego sądu podanego sobie przez poprzedników. Dlaczegoż kłótwie podpadł Świętosław smoleński? Książę zabił kogoś, a Henryk Plauen cały kraj obdzierał....

Że autor fałszywie rozumował o ludziach i pojmował wypadki, wina w tém, jak powiedzieliśmy, szkoły; to widoczny brak studyów nad cywilizacją, nad duchem nar. du. Ale że popełniał omyłki nawet faktyczne, że przekręcał imiona i nazwiska własne, to już brak w tém najprościejszych studyów zewnętrznych. A jednak i ten błąd spotykamy u historyków szkoły. Autor nie pozna się na tém, czy to Jan z Tarnowa, czy z Sarnowa; Gilberta de Lannoy, z czystém sumieniem nazwie Wilhelmem de Lamwoa; we francuzkiej książce przeczyta gdzieś, że książę del Monte poddawał się Jagielle, i nie postrzeże, że to właśnie nadreński, niemiecki książę Bergu. Wincentego Kota przezwie Rotem (i to nieraz), zmyśli jakiegoś biskupa inowłodzkiego (str. 440 i 442). Mikołaj z Ryk, albo z Wyk archidyacon gnieźnieński, to u niego jedno. Jędrzeja z Rożnowa nazwie oficerem wojsk węgierskich (str. 208); Czerniaków pisze się za Czernichów.

Kiedy za pomocą dyplomatury uszów układa indexy w swoim dziele, Gołębiowski nie spostrzega prawie, ileto materiału ważnego dla dziejów Rplitej przybyło; bo te dyplomata, oryginały niechcący nawinęły mu się pod rękę: ale kiedy sam znajdzie jaki szczegół nowy, nieznanym, jakąż radość! Zobaczmy na przykładzie, co to być może za szczegół. Oto Boucicaut syn marszałka francuzkiego był na Litwie z Krzyżakami i Jan książę Lancaster, późniejszy Henryk IV, król angielski. Dowiedział się o jednym i drugim z *Biographie universelle* wydanėj w Paryżu w r. 1812, i dlatego w dopiskach na końcu tomu dał zaraz życiorysy obudwu tych sławnych cudzoziemców. Ogromna to zdobycz dziejowa, zapewne, ale większa następuje. Pojedynek honorowy umówiony był pod Wilnem Francuza z Polakiem, z powodu, że Francuz gniewał się na Polaka za wspieranie barbarzyńców Litwinów. Pojedynek miał się odbyć w Pradze

czeskiej, i na czas umówiony zjechali się obadwaj spółzawodnicy, ale Wacław król nie dopuścił zgorszenia z tego powodu. „Zachowałem ten szczegół, podaje Gołębiowski, jako malujący charakter wieku.” W tych oderwanych faktekach chcieli zachować koloryt wieku historycy szkoły, ale sami ducha czasu wystawić nie umieli w swoich utworach. Milczym już o wartości pracy pod względem filozoficznym. Autor daje nam fakta, ale nie wskazuje na rozwój życia. Między przesadami ma i to, że nie wierzy w elekcyę Jagiellońskie w Polsce, chociaż ma jój ślady nawet na Litwie. Gminowładztwo dawne W. Księstwa, o jakim mówiliśmy z powodu Strykowskiego, tli i w jego dziele pod popiołem. Witold u niego gromadzi celniejszych mężów na radę, kiedy się Jagiełło daniny domagał od Litwy, a mężowie ci odpowiadali królowi: wolni u siebie jesteśmy. Gołębiowski wierzył Kotzebuemu, a u tego historyka, Swidrygiellę obierają wspólnie na księstwo Ruś i Litwa; każdy coś widzi w przeszłości, ale wszystkiego widzieć nie chce.

Więc dzieło Gołębiowskiego to nie historia?—zapyta się czytelnik. Nie, nie historia, to w połowie indexa kodexów dyplomatycznych, a w drugiej połowie ckiwe rozumowania. To tylko materiał cudowny dla historyi.

Autor niezawsze się trzymał nawet ścisłości echronologicznój; np. pod r. 1386 wspomina, że książęta litewscy i ruscy złożyli hołd Jagielle, jako królowi polskiemu. Te hołdy ponawiają się pod latami 1388, 1400, a Gołębiowski wszystko to pod jeden rok 1386 podciągnął. Są téż książęta wspomniani z tym hołdem i później po dwa, trzy i cztery razy, a moc ich nadzwyczajna; czytelnik zatem wraca do hołdów znowu po kilka razy, a potem nie ma tu wiernego zestawienia kroniki, np. nie wszystkie zjazdy opisane. Przytoczym np. opuszczony zjazd z r. 1419 w Jedlny. Zygmunt litewski w inném miejscu przymuszony jest poskromić spisek panów; autor nie powiedział gdzie i jaki? Przy takich próżniach, dzieło Gołębiowskiego nie może być historią, lubo zajmuje zaszczytne miejsce w literaturze polskiej. Widzieliśmy ujemne jego znaczenie, zobaczmy téż co dodatniego w téj pracy.

Już dla samych indexów dyplomatycznych, panowania Jagiellonów miałyby wysoką wartość i będą dlatego poszukiwane przez badaczów, ale dla nich jedynie. Autor cytuje moc oryginałów z biblioteki puławskiej i ciekawszych nieraz tém bardziej, że świadczących o dalekich stosunkach Litwy, która się teraz łączyła z Polską,

np. zaręczenie Jagielle wierności dane przez miasto i książąt Nowogrodu Siewierskiego z r. 1386. Rplita wyraźnie rozciągała swoje siły po szerokich krańcach ziem słowiańskich. Oryginały te były niekażdemu dostępne, a dzisiaj jedyny ślad po nich pozostał w dziele Gołębiowskiego. Ubolewać zatem przychodzi, że idąc za zwyczajem epoki, autor podaje czytelnikom same tylko ogryzki dyplomatów, same z nich wyjątki. Rzadko bardzo oryginał całkiem wydrukowany w przypisach. Autor nieproszony o to, stawia się ciągle na stanowisku sędziego, wybiera li tylko co podług niego ważniejsze, albo to, co mu potrzeba. Czasem z tych dyplomatów dowodzi czegoś, i czytelnik doprawdy w kłopotcie, czy wierzyć dowodom autora, kiedy ma podaną sobie tylko cząstkę akt, kawałek dyplomatu. Gołębiowski np. przeciw Karamzinowi dowodzi, że Nowogród Wielki ulegał książętom litewskim nie tylko w czasach Kality, ale i za Jagiellę. Dowody pokłada ciekawe i ważne; np. hold w Sandomierzu złożony w r. 1389, przez księcia Mściława Siemiona Liwenowicza, któremu król oddał pod zarząd Nowogród. Należało cały ten oryginał holdowniczy wydrukować dla wyjaśnienia rzeczy, i tych stosunków książąt litewskich z Nowogrodem.

Oprócz dyplomatów ma inne jeszcze w dziele swoim nowości. Autor czerpał też, pierwszy z historyków dawniej szkoły i w metryce koronnej, z której miał także wypisy. Zachęcił się widać na dyplomatach Czackiego. Ale i tutaj nie użył w całej pełni bogactw swoich. Miał także pod ręką życie Grzegorza z Sanoka, które dzisiaj dostępne jest nam wszystkim z pomników Wiszniewskiego.

Z obcych źródeł czerpał obficie, ale z ostrożnością; np. z Kotzebuego, który także zajmował się historią litewską, bo chciał bronić zakonu krzyżowego i napisał dokładne dzieje Swidrygiełły, także podług dyplomatów zachowanych w Królewcu. Z ostrożnością, mówim, czerpał z nich Gołębiowski, bo już nie wierzył wymysłom Kotzebuego na Jagiellę. Książka tego pana o Swidrygielle, to prawdziwe arcydzieło niemieckie, wraże dla Słowiańszczyzny; to arynga dla historyków niemieckich, jak mają z złością i nienawiścią pisać dzieje polskie. Kotzebue Jagiellę z błotem miesza, a podnosi wobec niego Krzyżaków i Swidrygiełłę. Przedziwna antyteza! Ma Kotzebue dowody, które tak dobrze za Polską, jak za Krzyżakami świadczą, a przecież zawsze bije na Rplite. Wszystko co tylko dawni Niemcy zakonni powiedzieli złego na Jagiellę, wszystko to p. Kotzebue przyjmuje bez krytyki, żartuje sobie z naszego Jagiellę, odmawia mu nauki, zdolności, odwagi, mężstwa, (co tego, to już chyba zanadto).

Polski niecierpi Kotzebue. Rzecz dziwna jednakże, z kąd ta niechęć dla nas, z kąd to spółczucie dla Swidrygielły i ludzi, którzy potem w duchu Swidrygielły działali?

Więc z Kotzebuem był ostrożny Gołębiowski; oprócz z niego, wypisywał jeszcze z Karamzina i Murzakiewicza (co do Smoleńska), biorąc tych ostatnich autorów za dwa źródła dziejowe, kiedy rzeczywiście obadwaj czerpali z jednych i tychże samych kronik, i byli dla tego jednem źródłem. Tak i w cytacjach historyków naszych, nie ma pod tym względem należytej rozwagi. Autor np. przywodzi jako świadectwa słowa Długosza, Kromera, Strykowskiemu, nie zważając na to, że ci dwaj ostatni często pierwszego wypisywali. Zabawniej jeszcze wyglądają cytacje z Solignaca, jako świadectwo tego, co się działo w XV wieku. Powagą też jest dla Gołębiowskiego i Ursyn; jego podanie, że Zofia matka była razem opiekunką Władysława Warneńczyka, podanie zanotowane przy zbiorze pieśni, a więc poetyckie jak cała książka Ursyna, autor poważnie zbija, bo tego faktu nie znalazł w historykach. Nie możemy przy tej okoliczności przepuścić jednego zdarzenia. Raz w cytacji poprawia autor Czackiego, który źle wytłumaczył przywilój Witolda dla żydów, ale przypomina mu się mąż wielki, więc zaraz przeprosza cienie Czackiego, że się odważył dąbroczyńcy swojemu zrobić zarzut. Jest kilka wierszy tego rozrzewnienia. To znowu charakterystyczne.

Powtarzamy raz jeszcze, książka Gołębiowskiego jest pożyteczna, bo zawiera wiele nowych rzeczy; gniewamy się tylko na metodę opowiadania, a wytykamy błędy szkoły i brak zupełnie zdolności: bo gdyby i były te zdolności, autor, samo z siebie rozumie się, nie poszedłby za natchnieniami szkoły.

Dzieło Gołębiowskiego rzuciło na przeszłość światło, dało nam masę wiadomości cennych. Stosunki z Rzymem wyjaśniają się bardzo. Marcin V tyle sobie przywłaszczał władzy w Polsce, że nawet Włocha Brandę mianował archidyakonem gnieźnieńskim. Ciekawe też nadzwyczaj szczegóły o zamachu na życie króla Władysława Jagiellę, pomyslanym przez kapłana, Stanisława Pawłowskiego archidjakona płockiego, ulubieńca księcia Ziemowita, fałszerza monety, który główną był osiłą spisku. Ważne są nadzwyczaj szczegóły o Janie Olbrachcie, że chciał postanowić w Polsce order wojskowy, że o to starał się jeszcze król Alexander, kiedy posyłał Ciołka z obedyencyą do Rzymu po swoim wstąpieniu na tron. (Tom IIgi, str. 466). To pewnie myśl Kallimacha. Dalej nowy o tém szczegół, że Alexander Jagiellończyk mógł zostać królem szwedzkim 1500 r. (tom

IIIci, str. 433). Ciekawe téż..... ale tam wszystko ciekawe, co tylko jest źródłem, dyplomatem, a dyplomatów tych moc, przepaść. Ryszczewski układa ważne bardzo dzieło, o którym już wspominaliśmy mówiąc o jego wydaniach. To Polska dyplomatyczna. Jesteśmy przekonani, że przeczuciwszy kilkanaście, kilkadziesiąt dzieł i dziełek historycznych, nie znajdzie w nich tyle dla siebie pożywy, co w tych trzech tomach Gołębiowskiego.

Nie będziemy po szczególe przechodzić całego dzieła, wskazując na jego opuszczenia i błędy; wskazaliśmy na metodę—to dość. Jaki jest tom pierwszy, taki drugi i trzeci. Jednakże powiedzieć coś potrzeba o następcach Jagielly, i o rysie oświaty narodowej za Jagiellonów, który autor skreślił podług swojego założenia osobno i nazwał to: Uwagami i wiadomościami o stanie kraju, o jego rządzie, prawodawstwie i t. d. Rozprawa ta ostatnia zawiera większą połowę końcową drugiego tomu, ale zważywszy, że obejmuje cały okres od r. 1386 do r. 1506, zawarty w trzech częściach, powinna by prędzej stać na końcu trzeciego tomu i nie przegradzać pojedynczych panowań Władysława Warneńczyka, od brata jego Kazimierza.

Kończąc mówić o młodym bohaterze zpod Warny, autor rzuca oko na ogólny obraz polityki krajowej za jego rządów, to się znaaczy w krótkich słowach, a opowiada o stosunkach tego króla z Krzyżakami, z cesarzem, z Rosyją, Szlązkiem i t. d. Sąto pojedyncze rozdziały kodexu Dogiela, streszczone tak, że żadnych objaśnień nie dają o rzeczy. Autor stosunki Władysława wykładał w historii, i pewnie tam więcej punktów o przyjaźni z cesarzem, o walce z Turkami i t. d., jak tutaj w tym rzucie oka. Jeżeli to powtórzenie tego, co było w texcie, to wcale niepotrzebne; jeżeli streszczenie, wykoszlawienie tego, co w texcie było, tém mniej więc pożądane. Dziwim się, że autor nie widział tego. Ale podług nas to dowodzi tylko braku systematyczności w Gołębiowskim, który chciał objąć wszystkie nagromadzone swoje wiadomości, ale nie wiedział, co z niemi począć, jak i gdzie ich użyć. Co objaśnia np. te dwa wiersze o Szlązku: „wzajemne rabunki ukończyły się zaborem przez Polaków, Zator i Oświęcim (tak) księztwa.” (Tom IIgi, str. 128).

Religia i duchowne wznoszenie świątyń jest szóstym rozdziałem w panowaniu Warneńczyka. Autor tutaj znów przenievierzył się swojemu systematowi. Ogólny rys cywilizacji polskiej wyłożył osobno, do tego właśnie rysu religia i duchowni należeli. Jakoż w samej rzeczy, w *uwagach* szeroko téż rozwodzi się o kościele polskim,

o łaskach władz duchownych naszego kraju, o nabożeństwie, poszanowaniu dla kapłanów; pokazuje na opór stawiany duchownym, rozprawia o różnowiercach, o papieżu, jak i w tym szóstym rozdziale. Musi być jedno z dwojga: albo autor powtarzał się, albo co innego tutaj, a co innego tam rozpowiadał; jeżeli ostatnie, pocóż rozbijanie przedmiotu? po co nareszcie jedna religia ma przywilej, że dla niej wyjątek jednej zrobił autor pod panowaniem Warnieńczyka? Czyż na jego wzgląd nie zasługiwały także np. prawodawstwo, sądownictwo? Czyż rozwój tych żywotnych kwestyj narodowych, ma dla nas mniej interesu jak stosunki Rplitej urzędowe z papieżem?

W *uwagach* Gołębiowski mógł więcej rozwinąć konwencyonalne swojej szkoły pomysły. Mówiąc o rządzie, wzrost prawodawczy szlachty przedstawia zupełnie podług wyobrażeń francuzkich: nie nad nie więcej nie widzi: nie widzi, że tu ziemia i ona, zasady inne, krew w żyłach, stosunki, a więc i życie w ogóle. Narzeka straszliwie nad tym wzrostem szlachty, razi go ten przywilej, że szlachta prawa daje krajowi, monetę, sprawiedliwość, podatki, wojnę. Zasady francuzkie, do których wiele się zbliżały zasady sejmu wielkiego co się dotyczy konstytucyjnego rządu, a te ostatnie Gołębiowski kochał, nie różniły się przecież w niczem od tego, co widzi autor w Rplitej. I tam izby dawały narodowi monetę, sprawiedliwość, podatki i t. d. Autor nie widzi, że podnosi pewną zasadę w tém miejscu, a w drugim eiska na nią pioruny. W ogóle przez ten punkt francuzki widzenia i dotykana sprzeczność słów swoich z uczuciami, autor nic a nic nie rozwinął obrazu historycznego roszczeń prawodawczych szlachty.

Następuje sprawa miast w Rplitej. „Miasta są warownią silnego rządu, powiada Gołębiowski, źródłem oświecenia i t. d. Tu się gromadzi mieszkaniec hojny z własnego kraju i obcy przychodzień i t. d. Nie mogą, nie powinni mieszczenie zajmować się rolnictwem i t. d. Spokojni są o żywność codzienną, bo dowozi ją chętnie kmiotek i wszelki właściciel i t. d.” Ustęp strasznie długi, gdzie jest i o przemysle i o swobodzie, i o łatwości korzystnego użycia sił fizycznych albo umysłowych, i o zabawach, i o lepiankach, mrówkach roboczych, o ulotnych i brzęczących pszczołkach, i o żyłach, w których się krew gromadzi, i o milionowych źródłach, i wiele innych pięknych rzeczy (tom 2gi str. 168--170). Ważny to rozdział, jednak nie dla historyi rozwoju miast, ale dla ich znaczenia, jakie posiadały w XV wieku. Przypominamy sobie w *Dyplomatarjuszu* Rzyszczewskiego, jak król Jagiello wyrabiał sobie zaręczenie od miast, że obiorą po

nim następcę jednego z jego synów. Rzuciliśmy tam myśl, że takich zaręczeń na piśmie musiał mieć nierównie więcej król Jagiello, bo widać z całego kraju starał się o względy dla swojego następcy. Otóż u Gołębiowskiego znajdujemy jeszcze przysięgi i obietnice miast Krakowa, Lelowa, Olkusza i t. d., i dość innych ciekawych wiadomości.

Kreśląc znowu niby zarysy charakteru narodowego, autor przywodzi świadectwa Reja; nie rozumiemy jakim prawem, kiedy pan Mikołaj z Nagłowic może dostarczyć faktów li tylko do charakterystyki Zygmunatów, którzy już w plan dzieła pana Gołębiowskiego nie wchodzi. Z Żywota poczciwego człowieka wypisuje całe ustępy i wiersze, mówi z niego np. że kłamstwo i obłuda w obrzydzeniu były u Jagiellonów. Odkrycie niewielkie, ale do tego jeszcze w tém miejscu niewłaściwe. Także i Górnickiego wyrażenie przywodzi: „nasze Polki nie są bestliwe” i obok tego przyznania się fakt do dziejów pierwszych Jagiellonów mówi: „były cnotliwe nasze kobiety.” Nie ma wątpliwości, że były cnotliwe, ale na dowodzenie téj prawdy czy potrzeba aż świadectwa Górnickiego? Ten rozdział wcale nie pomyslny: autorowie dawnéj szkoły nie mieli elementarnych pojęć o życiu przodków i mieliż dobrze kreślić dla nas charakter ich narodowy? To była praca nad ich siły i pojęcie.

W rozdziale o prawach, autor niefortunnie kompilował Czackiego, Joachima, Bandtkiego i t. d. Treść prawodawstwa podana niedoleżnie; i nic dziwnego: tysiąc przyczyn na to wpłynęło. A przedmiot to największej wagi dla historii.

Następuje rozdział o bezpieczeństwie wewnętrzném i wojskowości. I tu poetyzowań moc: jak to kiedyś szczupła ludność zajmowała wielce obszerną przestrzeń ziemi, jak to zwierz srogi bujał wtenczas po lasach, jak on to (ten zwierz dziki) bał się człowieka, który słaby napozór, zjadł wołu, wsiadł na konia, lwiał się skórą odział; jak to potem ludność rosła i powstały stany, a rycerski przedewszystkiém i t. d. Autor sili się opisać sposób wojowania, i chce malować bitwę. Oto już cząstkowe utarczki zapowiadają walny bój, oba wojska naprzeciw siebie stanęły; oto chwili niebezpieczeństw odważny rycerz wygląda chciwie, oto pobożne modły przed bojem, hardy nieprzyjaciół wyzywa do boju; oto wzorowy żołnierz idzie naprzód: krok jeden prowadzi go do zwycięstw i sławy; oto zabłysnął oręż w ręku tysiąca tysięcy, miecz krwi chciwy drga w dłoni walecznego męża: nie trwoga, ale żądza go budzi. Zabrzmiała pieśń, ryk dział, ogień, świszczą strzały i t. d. To zdaje się jakiś ustęp

z powieści; co do autora zaś, miał pewnie bój pod Grunwaldem na myśli, kiedy obraz swój kreślił.

W artykule o *zwyczajach i obyczajach* łapiemy na gorącym uczynku nową zasadę, wchodzącą w życie u nas, do której stosować się musieli nowi historycy. Gołębiowski tłumaczy się *jeszcze*, że pisze o zwyczajach i obyczajach. Rozwodzi się nad tém długo, szeroko, że to rzecz wprawdzie nowa, ale że już się tém zajmują historycy, że to nie jest rzecz wcale błaha, jak się napozór wydawać może, że to zresztą rzecz godna historyka. Z bojaźnią jednak puszcza się pierwszy w Polsce na to morze, bo ma przykład przed sobą znakomitego historyka angielskiego Roberta Henry (tom 2gi, str. 402—4). Tak więc Albionu pisarzom winniśmy tę reformę, którą zaprowadził Łuk. Gołębiowski w historii. Rzecz uderzająca: Gołębiowski pisał i o ludzie polskim, o ubiorach w Polsce, ogrodach, o dworach, miał przed sobą nieoszacowany rękopism Kitowicza, który cudniejszy jest jak cały Robert Henry, przynajmniej dla nas; Łuk. Gołębiowski wiele ustępów niezgrabnie do dzieł swoich z Kitowicza przepisał, miał wzór jakby na dłoni jasny, i chociaż nawet zwolennik szkoły, czuł całą wartość znakomitego dzieła, nie przeczuwając jednak, że co tylko może interesować w jego kompilacjach, to jedynie wypisy z Kitowicza—a wzoru upatrywał aż za morzem Niemieckim!

Są i tutaj wypisy z Reja i z Górnickiego, o zabawach, strojach, jedzeniach. Streszczone to wszystko, więc znowu nierównie lepsze, jak całe dzieło autora.

Innych tytułów moc w tych *uwagach i wiadomościach*. Gołębiowski wiedział jakie ma kwestye poruszyć, ale nic przecież dla nich zrobić nie umiał. Gromadził bez żadnego porządku swoje spostrzeżenia, bo je potem gubił, a ze zgubionych nowe tworzył rozdziały i opisy, drobiąc rzecz raz już niby w zupełności przedstawioną. Tak po r. 1492 następują znowu stosunki dyplomatyczne Kazimierza Jagiellończyka z innemi państwami; dalej tytuł: religia, bogactwo narodowe i życie domowe. Tak w r. 1501: stosunki, religia i życie domowe, ale nie ma bogactwa. Tak w r. 1506: religia, życie domowe i stosunki; znowu nie ma bogactwa. Na sejmie wielkim zbudziła się myśl podniesienia wiosek: wszyscy reprezentanci pojęć téj epoki w literaturze chorowali na tę myśl i wstawiali się za ludem rolniczym; Gołębiowski powinien był to również uczynić. Raz tylko przecież dotknął w *uwagach* tego ważnego przedmiotu, ale nie rozwinął nawet, nie powiemy już, że nie wyczerpał zadania o kmiołkach.

Skończmy wreszcie o Gołębiowskim. Jeżeli się zastanowim choć cokolwiek nad całym dziełem naszego autora, które rozbiemy, a dziełem nowszym, które już epokę dzisiejszą ujrzało i ma wszelkie jęj cechy: jakaż uderzająca różnica! Wydanie Wapowskiego, które w Wilnie Malinowski gotuje, rozpowiada o tychże samych osobach i czasach, co i Gołębiowski. Trzebaż mówić, że każde tam słowo ma swoją wagę, że każdy tam obraz ma znaczenie, że nie ma tam fraz poetycznych na wiatr rzuconych. Władysław Warneńczyk np. naszego autora, obok tegoż samego Władysława, który z Malinowskiego wygląda, nie wart.

Cała cecha postępu, jaka leży w dziele Gołębiowskiego w porównaniu z Panowaniem Jana Kazimiérza, Krajewskiego, w tém się jedynie zawiera, że autor zaglądał do dyplomatów i akt urzędowych, czego tamten nie robił, że pojmował, lubo bardzo słabo, ważność historyi wewnętrznej narodu, kiedy spisywał cenniejsze fakta tego wewnętrznego życia, lubo o to zaraz przepraszał. Wydawca mógł jednakże wiele oczyścić text autora, gdyby już rozumiał potrzeby nasze. Gdyby usunął np. same poetyzowania, porównania, rzeczby zyskała na powadze, książka uniknęłaby zarzutów ze strony naszej, samo wydanie zmniejszyłoby się może o połowę tomu najmniej. Ten ubytek łatwoby wydawca zastąpił czémś lepszym: tém, co świeżo już po Gołębiowskim zdobyła nauka. Dzieła przerobić nie byłoby już podobna na utwór mający estetyczną wartość, ale powiększonoby przez to skarbnicę wewnętrznych bogactw, rudę złotą samego dzieła. Możliwoby téż usunąć te częste powtarzania się, któreśmy już po części wskazali; np. charakterystyka króla Jagielly w dwóch, trzech miejscach oddzielnych skręślona, a zawsze nieszcześliwie i t. p.

Dzieło Gołębiowskiego daje nam powód do zwrócenia uwagi jeszcze na jeden bardzo ważny przedmiot, tyżący się dziejów naszych.

Nie ulega to najmniejszej wątpliwości, że pracą dobrze zrozumianą i studjami około historyi krajowej zajęło się dopiero nasze pokolenie, które trudami swojemi przygotowali obadwaj Bandtkowie i Joachim. W epoce Naruszewicza, Łojka i Czackiego, pracowali sami tylko Naruszewicz, Łojko i Czacki, bez rozgłosu, bez widocznego wpływu. Mogli Bandtkowie i Joachim pracować także samotni i nie wydać owoców, ależ tak się przecie źle nie stało. Po dziełach, jakie my znamy, nie wróci już epoka ze-

szła, nie odrodzi się szkoła Ursyna, bo co nią tylko trącić będzie, już nie historycy tylko, ale publiczność pozna się na tém. Dzisiaj świetny zastęp stoi badaczy, którzy nie powtarzają za panią matką paciérz, a ciężką pracą, studjami niezmordowanemi dobijają się nauki i pojmują ducha przodków; już ten duch stary, jak odkopany z ziemi, świetnie przejawił się w pieśni narodowej. Tajemnicą dla nas nie jest słowo, myśl ojców. Dlatego nie tykając nawet poezyi, wyliczmy same naukowe sławne imiona, jakie noszą: Łukaszewicz, Malinowski, Szajnocha, Maciejowski, Moraczewski i t. d. Po nich cofnięcie się niepodobne.

Ale zastanówmy się, jak dotąd wyglądały dzieła nasze i historye o dawnych czasach i dziejach przed nastaniem nowój epoki? W tych dziełach była tylko massa nagromadzona bez celu, przeciwności, domysłów, nieprawdopodobieństw. Wypadki okropnie pomieszane, same anachronizmy tam gościły. Naprzód podane to, co było później, i nawzajem. Bo cóż źródłem było naszych historyków?—kroniki. A cóż są kroniki?—opowieścią społeczną, ale niezawsze świadectwem. Kronikarz to chyba jedynie mógł z czystém sumieniem podać za prawdę, na co sam patrzył, lubo i tak jeszcze mógł się często łudzić swoim sposobem pojmowania i ocenienia rzeczy. Kronikarz notował to, o czém słyszał, i o czém mu drudzy, często starcy, rozpowiadali. Któż mu zaręczył, że starca pamięć nie myli? Któż zaręczył, że opowiadający znał prawdę! Potrzebaż na to dowodów? Toż i dzisiaj świat taki mądry, pełno ostrowidzów, gazet tysiące, jedno działo na wiwat nie wystrzeli, żeby zaraz ten hałas nie obił się o wszystkie cztery strony Europy; wszak i dzisiaj, to co się u nas, prawie pod naszym okiem stało w jedném mieście, jeden i drugi inaczej rozpowiada. Są więc kroniki zbiorem wiadomości, którym trzeba wierzyć ostrożnie; podają one dobrze fakt główny, ale tutaj idzie o akcesorya, o te albo inne okoliczności. Urzędowe dopiero słowo dyplomatów jest całkowitą prawdą. Zestawić więc świadectwa samych kronik, to nic nie znaczy, bo tutaj nie ma pewności, że odkopimy w tém zestawieniu historiją; a jakże dopiero wystawić sobie historiją krytyczną? cóż to tam dopiero musi być błędów, kiedy my łapiąc na uczynku błędy kronik, chcemy je objaśnić i podstawiamy swój domysł, jakby dla rozwikłania prawdy? Jeden tak wnosi, drugi inaczej: jeden zważywszy na te a te okoliczności, wypadek tak objaśnia; drugi inaczej. Widzieliśmy np. jak Gołębiowski wybierał między podaniami Ka-

ramzina i Murzakiewicza. Podajemy drugi przykład. Wiadomo z dziejów, że w r. 1440 Zygmunt w. ks. litewski zginął przez zdradę panów, na których czele stał książę Iwan Czartoryski. Gołębiowski (może ze względu na księcia generała ziem podolskich), zwie tego Iwana mężem wielkiego serca, a Zygmunta tyranem. Drugi historyk przyjdzie, wpatrzy się w wypadki, przezwie tego Iwana człowiekiem nieszczerym, właśnie za toż samo zabójstwo (patrz śliczną rozprawę Ostrowskiego o Strykowskiem). Gołębiowski widział w Zygmuncie tyrana przez miłość dla tyranii, Ostrowski tłumaczy to okrucieństwo księcia powodami stanu i potrzebą utrzymania związków z Polską. My zdanie nasze dajemy przeciw Gołębiowskiemu, bo widzieliśmy, że nie umie zastanawiać się, a zdanie Ostrowskiego wymotywowane. Ale i nie o to idzie: my rzucamy pytanie, komu z nich, z tych historyków wierzyć, kiedy jednaki stopień pewności obadwaj obiecują?

Więc historią naszą składają po części zeznania kronik, po części domysły, wnioski późniejszych historyków, którzy oczyszczają text kronik. Dobrze że tworzą się te domysły, mieszczą w przypisach; ale one niekiedy i często nawet wchodzą do textu dzieła. Policzmy to np. ile w Naruszewiczu takich domysłów jest w historii. A to przecież pisarz znakomity! krytyk europejski! Dzieło jego za jakie lat kilkadziesiąt do szczytu runie ze swojego szczytu wielkości, kamień na kamieniu w niém nie pozostanie: gmach ten zwałczy czas i odkrycia naukowe, ale krytyka jego wiecznie zostanie. To co on zbił, na co powiedział że nieprawda i dowiódł tego, że to nieprawda, pozostanie na zawsze bajką. To fakt. Ale jeżeli co oczyścił Naruszewicz, nie zburzył, jeżeli ten swój oczyszczony przez siebie fakt włożył w text: czyż mólby, rękę położywszy na sercu, sumiennie powiedzieć, że dał fakt rzeczywisty, kiedy on tylko z rozumowania wypłynął? Cóż mówić o ludziach szkoły Ursyna, którzy nie mieli żadnego pojęcia o krytyce historycznej?

Text dzieła historycznego powinien być samą prawdą. W czasach np. Bolesława Krzywoustego, już nie jest to prawdą, co dwóch powie, a trzeci zapiera: bo ten trzeci może najlepiej wiedzieć (wyjawszy błąd widoczny). Jeżeli wszystkie źródła znajome zgodzą się na fakt jeden, ten fakt niekoniecznie jest prawdą, bo z kronik czerpany: cóż dopiero mówić o zdarzeniach, na które nie ma zgody? Wzorem historii pisanéj z kronik, wzorem prze-

cudnym, jest Bolesław W. Szajnochy. Autor kompiluje, jednego prawie słowa tam nie ma jego, a mówią same kroniki; nie ma tam domysłów, wniosków, rozumowań, nie ma krytycznych badań. To co się autorowi nie zdało prawdą, to, co ulegało wątpliwości, bo i tak i tak o tém mówiono, wyrzucił; ale faktów podanych przez spółczesnych nie poprawiał. To kompilacya twórcza, którejby się gieniusz nie powstydzil. To umiejętne zestawienie źródeł, ale kto wie jak mocno prawdziwych. Powtarzamy: fakta główne tu są prawdziwe, ale za akcesorya, któż ręczy? Zresztą, to jedynie możebny sposób pisania historii z kronik. Takeśmy zawsze pojmowali tę mozolną pracę i takięj dał nam wzór świetny, już dla tego samego dzieła, bardzo znakomity autor. Mimocho-dem powiemy, że ta metoda pisania o czasach Piastowych, musiała się za nas urodzić. To także fakt.

Tak zestawiając świadectwa, jak je zestawiał Szajnocha, możemy się wprawdzie narazić na to, że nam zabraknie ciągu, że nieraz nie starczy nam słów dla domalowania zaczętego obrazu; ale za to mielibyśmy więcej prawdy, bo już bez domysłów naszych, które nie będą jej przeplatać, i ta prawda będzie się ciągnęła w chronologicznym porządku, bez przykras. Zresztą w epoce, w której się pojawiają dyplomata, przychodzą one bardzo w porę na pomoc takim obrazom.

Historycy szkoły nie pojmowali w dziejach obrazu, więc nie mamy im za złe, że go nie dali, dać nie mogąc; lubo to uderza, że mieli wzory przed oczami, a nie pojęli tajemnicy sztuki. Literatura nasza miała artystów historycznych i w języku polskim i w języku łacińskim. Ci historycy, wyjąwszy Długosza, Kromera i kilku innych, którzy stare dzieje zbierali, pisali zwykle o swoim czasie pamiętniki (Kobierzycki, Fredro, Kochowski). Więc jest w nich obraz, jest artyzm przy zdolnościach pisarskich. Jako badacze dziejów dawniejszych od siebie, możeby nie wytrzymali krytyki, ale w pamiętnikach swoich wiele wymagań zaspokajają. U nas, powiedzić można, po Kochowskim zaginęła zupełnie umiejętność artystycznego opowiadania dziejów. (Erazma Otwinowskiego i Paska poznaliśmy dopiero przed kilką laty, w naszej już epoce).

Trudno dać obraz w historii Rplitej Piastów, trudno dać i w historii Jagiellonów. Ale od czasu, kiedy już romanse dziejowe pisać możemy bez obawy skrzywienia historii, możemy dać i same dzieje w obrazie. Ta epoka zaczyna się dla nas dopiero

z Zygmuntem III: rozwinęła już w całej pełni życie narodowe, zdradzające się w sejmach, w kościele, w literaturze, konfederacjach, w powietrzu: dostarcza nam cudownego materiału i do prawdziwego historycznego romansu i do historii, jak ją pojmujem w całej piękności i majestacie.

Ale wracając do rzeczy, mają Gołębiowskiego Dzieje Polski za panowania Jagiellonów wszystkie te piętna, o jakich tu rozprawialiśmy, a które z historii robią jakiś zbiór niekolejnych wiadomości. Są tutaj wypisy z kronik zacnej i podejrzaney wartości, są i tutaj domysły autora, które, odtrąciwszy już na bok poezją, i to co niepotrzebne wcale, jeszcze ubliżają majestatowi historii. Autor pląta okropnie zdarzenia, jakby naumyślnie popełnia widoczne anachronizmy w texcie i anachronizmy co do porządku, który zupełnie jest dowolny. To wojny z Krzyżakami, to Smoleńsk, to Władysław opolski plątają się bezładnie. Za rokiem 1401 idzie 1410, a obok nich rok 1407 i znowu rejterada do 1399. Myśmy to dzieło odnieśli do systematów i tutaj o niém mówili, ale żaden wyraz nie może być mniej zastosowany do téj pracy Gołębiowskiego, jak *systemat*. Ogólne wady wszystkich historyj naszych z kronik pisanych, na czele których zawsze będzie niepewność dla słowa krytyki, autor powiększył jeszcze wykładem. I gdyby nie ta massa materiałów, która do dzieła wpłynęła z archiwalnych źródeł, gdyby Gołębiowskiemu przyszło się łączyć i to jedynie kronikami, dzieło jego byłoby niższe od wszelkiej krytyki. Krajewski za panowanie Jana Kazimierza nie ma dzisiaj żadnej zasługi, a Gołębiowski stałby jeszcze niżej od Krajewskiego. Autor nasz nie jest artystą; cóż robić? artyści dopiero teraz powstają; ale prawdę powiedziawszy, autor nasz nie jest nawet dobrym pisarzem historycznym szkoły Ursyna.

(Dalszy ciąg nastąpi).



WSPOMNIENIE.

Sny, marzenia, piosnki moje,
Raju młodych dum skrzydlaty,
W jakie uleciałeś światy,
Że cię lez nie ściagną zdroje,
Że cię nawet cierpień siła
W moję pierś nie sprowadziła?

Sny, marzenia, piosnki moje,
Pierś was tęskna próżno wzywa;
Wyschły młodych natchnień zdroje,
Upłynęła woda żywa:
A wśród pustek i zwaliska,
Błada grobów lampa błyska.

Sny, marzenia, piosnki młode,
Na pociechę zostać było!
Zwiędłej duszy na osłode,
I na stypę nad mogiłą!
Z pieśnią słodsze śmierć i życie,
Obu ciężar mi dwoicie!

Pieśni moje! próżno oko
Złote wasze skrzydła goni;
Wszędzie spotkam noc głęboką,
Głuchą ciszę, w której dzwoni
Zdala, zwolna ponad groby
Wśród ciemności, dzwon żałoby.

J. I. Kraszewski.



WIEJSKIE ZARYSY

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

I.

Wieś Świątniki.

„Bajże baję, po zwyczaję,
O tym naszym pięknym kraju.”

P.

W malowniczej okolicy Sandomierza, o półtoręj mili od starego tego grodu, leży wieś zwana Świątniki, mało przez kogo znana, nie wspomniana w piśmie prawie przez nikogo; a jednak odrębna indywidualnością mieszkańców, podaniem przywiązaniem do swego początku, zasługuje na bliższe poznanie tej garstki ludu, która poprzedzona kilku wiekami, zachowała niemal w całkowitości do dziś dnia myśl i szatę pierwszych swych założycieli.

Oto co mówi podanie:

Dawno, bardzo dawno, bo jeszcze za czasów Władysława Jagielly, wieś Świątniki składała się z dwunastu gospodarzy i była własnością jakiegoś bardzo groźnego szlachcica. Razu pewnego, wieczorem, w późnej porze jesienniej, kilku miejscowych gospodarzy zeszło się do karczmy i częstując się czarką, gwarzyli to o tém, to o owém, a najwięcej o swoim panu, o jego srogości, o znęcaniu się nad ludem, i o kradzieży pary koni dworskich, które mieli nakazane albo odszukać, albo też wspólną składką zapłacić. Śnieg gęsty padał na dworze, a czarne chmury zasłaniając całe niebo, taką ciemność siały dokoła, że choćby oko wykol, a o krok jeden przed sobą nicbyś nie dopatrzył. Gwar w kar-

czmie nie ustawał, rozpalone łuczywo na kominie rzucało dosyć żywe światło na całą izbę, a wiatr z szumem i rykiem szalejąc po dworze, jakby z gniewu na swobodę zebranój drużyny, rzucał garściami padającego śniegu w okna karczemne. Wtém drzwi się roztwarły i wszedł do izby człowiek nieznan, z ubioru dworaka pokazujący, i pozdrowiwszy obecnych wezwał ich, aby kto w Boga wierzy, nie tracąc chwili czasu, szedł na ratunek młodój jego pani, z którą dojeżdżając już do wsi uwięził w śniegu w wąwozie; ona zziębnięta, przemokła i przestraszona została w bryce, i modląc się wzywa Boga o ratunek. Pocziwym wieśniakom nietrzeba było dwa razy mówić. Wziąwszy z sobą światło, drągi do dźwigania, żwawo i ochoczo poszli za przewodnikiem, i w pół godziny bryka kryta, w trzy konie zaprzężona, z dwiema kobietami, jedną młodą a drugą starszą, furmanem i dworakiem stanęła przed karczmą.

Owa młoda pani, biedziatko przemokłe i zziębnięte, miała być bardzo delikatna i potulna. Głód dokuczał, a chociaż komin buchał tak silnym ogniem, że prawie wołu można było przy nim upiec, jednak nic do niego nie przystawiono, bo karczma oprócz napitku, nic więcej nie miała. Wieśniacy pomiarkowawszy, żeby nie wadziło poratować żywota jakimś jadłem, poszeptali między sobą, rozeszli się po wsi i wkrótce, jakby na uderzenie laski Mojżesza w pustyni, sypnęły się do karczmy placki pszenne, kapłony, kaczkę, sэр, masło, mléko: słowem wszystko, co się mogło znaleźć w ubogich spizarniach wiejskich. Tak istotnie, tą laską Mojżesza była dobroć i grzeczność młodój pani, a gościnność i pocziwe serca wieśniacze owym zdrojem na pustyni, co jak kiedyś orzeźwił Izraelitów, tak teraz nakarmił zgłodniałych przybyszów. Mój Boże, jakażto dla nas nauka! Młoda pani odbierając dowody takiej dobroci, za wszystko dziękowała ładnie, grzecznie i siedząc potulnie przy kominie z wieśniakami weszła w gawędę. Im biedakom tylko w to graj; a że: co serce boli, to najczęściej włazi na język, dlatego też prawie cały wieczór przegadali o swoim panu i o jego nieludzkości, jak bez upamiętania krzywdzi ich i obdziera, i jak świeżo znajdują się w kłopotcie zapłacenia pary koni, przed kilkoma dniami we dworze skradzionych. Uważano, że młoda pani słuchając, często wzdychała i łzy miała w oczach; lecz coby była za jedna, nie można się było z pewnością dowiedzieć; powiedziano tylko, że mieszka w Krakowie, że wyjechała w zamiarze nawiedzenia Sandomierza, a potém Częstochowy, że

po nocy zmyliwszy furman z gościńca wjechał na boczne drogi, i wałęsając się po różnych *wartebach* i w tę i w owę stronę, i w tył i naprzód, uwięzli nareszcie we wsi między stodołami, zkąd przez włóścian wydzwignieni, do karczmy sprowadzeni zostali.

Wieśniakom dosyć było na tém; nie badali więcéj, nie przyjęli gwałtem ofiarowanej sobie pieniężnej nagrody, i na drugi dzień z równą obfitością przygotowawszy śniadanie, dając do głównéj drogi przewodnika, i polecivszy zbłąkanych podróżnych opiece Boga, w dalszą wyprawili podróż.

Po tém zdarzeniu, tak niezwyklém dla spokojnego i jednostajnego życia wieśniaków, długo wspomnieniem żyli w rozmowach wiejskich zbłąkani podróżni. Gwarzono o nich i w karczmie, i po chałupach, i na błoniu przy studniach, lub przy zganianiu bydła przez skrzętne gosposie; lecz pomалу rozmowy cichły, czas po zgłosce zacierał pamięć o wypadku, o dobrej, potulnej pani, aż nareszcie wszystko ucichło, zostawiając po sobie tylko wspomnienie.

Lecz niedługo rzecz się wyjaśniła: wiadomość jak kamień z procy wyrzucony nagle wpadła między spokojnych wsi mieszkańców, że ową grzeczną i dobrą panią, była sławnej pamięci królowa Jadwiga, jadąca na Sandomierz do Częstochowy, w celu uproszenia Boga na cudowném miejscu o obdarzenie ich królewskiego domu potomstwem, którego dotąd pozbawioną była; i że w nagrodę odebranej gościnności i bezinteresownej pomocy poczciwych wieśniaków, i nadto w celu uchronienia ich od nieludzkiego pana i tyrańskiego z niemi obchodzenia się, zakupiła wieś Świątniki, darowała ją całej gromadzie na własność dziedziczną na wieczne czasy bez danin i powinności, z jedynym tylko obowiązkiem: pełnienia kolejnej posługi przy kościele katedralnym w Sandomierzu.

Takie jest podanie, i taki początek własności dzisiejszych posiadaczy wsi Świątniki, którzy rozmnażając się i dzieląc dziedzictwem, z pierwiastkowych dwunastu gospodarzy i tyłuż chałup, doszli dziś do osady ze stu przeszło dymów złożonej, i tak w podziale rozdrobnili ziemię, a nawet i budowle, że nierzadko można spotkać między niemi spadkobierców, którym w sukcesyi dostało się pół zagona lub jedna skiba, pół izby w chałupie, ósma część stodoły, albo tylko kawał płotu chruścianego.

Ziemia więc już ich wyżywić nie potrafi; dlatego prawie wszyscy są tkaczami, i trudnią się wyrobkiem po okolicznych wło-

ściach. Zewnętrzną postacią niczem nieróżniący się od chłopca pańszczyźnianego Sandomierzaka, bo chodzą w takich samych kamizelach, w modrych sukmanach i czapie baranięj, mają jednak pewne wybitne cechy w rysach twarzy, w przewlekłym dyalekcie mowy, które ich widocznie rozróżniają od wszystkich innych włościan. W rozmowie na każdym przestanku tak zawieszają głos, jakby każdy frazes był wypadkiem zadziwienia; dlatego lud sąsiedni, gdy ktoś czemu bardzo się dziwi, powiada zwykle: „o dziwi się, dziwi, nikiem Świątniczam.”

Nieprzyjaciele wszelkich obcych do wsi przybyszów, w ostateczności i z największą niechęcią łączący się z niemi, dziś stanowią jakby wielką jedną rodzinę, bo wszyscy niemal już się z sobą spokrewnili. Ten rodzimy związek łącząc ich z sobą, nadał i ich zwyczajom pewną patryarchalność, z której barwą historia przedstawia nam piękne urządzenie się w organiczne ciało ludzkich społeczeństw.

Sprzeczki, klótnie i wszelkie nieporozumienia sąsiedzkie, zwykle są rozstrzygane przez sąd starszych ze wsi gospodarzy, albo bardzo rzadko przez wójta gminy. Rzadko kiedy, zmuszeni jedynie ostatecznością, udają się do właściwego sądu pokoju, w którym zajście powszechnie na wzajemnej kończy się ugodzie.

W działach zaś majątkowych wszystko się odbywa w największym pokoju, i nie było prawie żadnego wypadku, aby jaka władza krajowa musiała w takich razach użyć powagi prawa; co jest tém dziwniejsze, że podług odwiecznego zwyczaju, synowie przystępują do spadku po ojcu, a córki po matce.

Powiedzieliśmy wyżej, że rozdrobnienie własności ziemskiej posunęło się u nich do ostateczności; pomimo jednak tego nie dostrzeżesz na polach żadnych granic, kopców, choćby najmniejszych znaczków, któreby rozróżniały własność od własności: bo jakżeż je formować, kiedy ziemi mało, a najwęższa miedza możeby pół dziedzictwa zabrała niejednemu.

Z jesieni każdy sieje swoje skibę, swój zagon, a gdy z wiosną niwy ozime ustroją się krasą zieleni, wtenczas kilku starszych gospodarzy wychodzi w pole, a znając na palcach każdego dziedzictwo, małym radełkiem ciągnioném przez jednego z nich, odznaczają działę.

Przyjdą żniwa, każdy zerznie, sprzątnie do stodoły zgodnie, pięknie; a jeżeli czasem który niby niechęący zarznie sierpem szerzej, jakby się należało: to sobie trochę przymówią, poswarzą, od-

da jeden drugiemu co wziął nadto, i *sza*, zgoda święta, jakby nie nigdy nie było.

Gorliwość religijna w wypełnianiu wszelkich przepisów kościoła, moralność, skromność, wierność małżeńska, szczególnież zdobią dusze poczciwych tych wieśniaków; i nic ich bardziej nie oburza, nic ich w wyrokach wydanych na zgromadzeniach miejscowych bardziej nie robi srogimi, prawie dzikimi, jak wszelkie chociażby najłżejsze przeciwko tym cnotom wykroczenie.

Zdarzają się tam wprawdzie małe nadużycia i drobne wypadeczki; ale gdzież jest prawidło bez wyjątku? gdzież człowiek co nie błądzi? A zresztą, cóż to może znaczyć w porównaniu z dużymi nadużyciami, i całą gębą wypadkami naszych wycywilizowanych towarzystw!

Zamknięcie się jednak takie odwieczne w jedném kółku wiejskiego ludu bez wpływu wyobrażeń, mimowoli z dworców szlachty dziedzicznej wciskających się pod potulne strzechy wiejskie, oddziało także i na ich wykształcenie umysłowe.

Nie powiemy, aby pod tym względem stali niżej od swych braci pańszczyznianych, bo też same dzielą z niemi przesady, też same zwyczaje, też same nuca pieśni; ale choć słaby, jest pewien odcień w wyrażeniach, w sposobie zapatrywania się na rzeczy i stosunki z ludźmi, co chociaż nie niżej, to zupełnie w odrębnej barwie stawia ich od innych sąsiedzkich mieszkańców przed okiem badacza.

Kobiety szczególnież, prawdziwe Świątniczanki, najjaśniejszy pokazują tego dowód. Zajęte gospodarstwem domowém, rodzinne progi uważając za cały świat, zaledwie parę razy do roku wyruszywszy w dalszą gdzie okolicę, jak np. na odpust lub jarmark, z obcym sobie człowiekiem prawie rozmówić się nie umieją; zwłaszcza, jeżeli ten nie do ich klasy należy; i choćby to był dziedzic sta włości, w rozmowie wszędzie miano *pana*, przez *wy* zastępują.

Dla ucha do tego nieprzyzwykajonego dosyć się to śmiesznie wydaje, dowodząc zupełnego braku stosunków z wszelką wyższą warstwą społeczeństwa; dlatego lud sąsiedni przez szykanę ich prostoty i nieznajomości znajdowania się w obecności ludzi wyższego stanu, i stosując to do ich powinności obsługiwania katedry, nazywa ich „*głupiem i szpitalnikami*.”

Ale oni śmieją się z tego i nie gniewają na nazwę, sami wzajemnie czcząc się tym przydomkiem; a dumni swoim położeniem,

czując całą wartość możności rozrządzania czasem, żaden, nawet w największej biédzie nie ciśnie się między obce ludy, choćby mu złote jabłka obiecywano, lecz rękami i nogami trzyma się wioski, w której po raz pierwszy na świat spojrział Boży.

Cechy odróżniające ich od innych włościan, o jakich tu wyżej napomknęliśmy, musiały być dawniej więcej jeszcze wybitne, sądząc po kobietach, dla których stosunek z ludźmi poza obrębem wioski, jeden i ten sam po dziś dzień pozostał. Mężczyźni bowiem potrzebą utrzymania życia, zmuszeni do większego po sąsiedzkich dworach i chałupach u obcych ludzi obcierania się, pomалу zacierają te cechy, i dziś, jak powiedzieliśmy, bardzo małą stanowią różnicę pomiędzy ludnością wiejską.

Szczególniej jednak znać w nich pewien rodzaj samodzielności, umiejętności zaradzania sobie we wszystkich kłopotach: bo wiedzą, że nie mają dworu, że wsparcie i ratunek w razie nieszczęścia tylko we własnych siłach znaleźć mogą; dlatego przez instykt, przez potrzebę jakiegokolwiek nad sobą opieki, przytulają się do dworów sąsiednich wiosek.

Czasem, jak to w sąsiedztwie, zajdą wprawdzie małe nieporozumienia: to o szkodę w łąkach albo w zbożu, to o worywanie się w granice, lub inne podobnego rodzaju zajścia; ale po wzajemnych krzykach, odgrózkach, Bóg wie nie jakich, kończy się wszystko zwykle najspokojniej, najsprawiedliwiej, i na chwilę przerwana harmonia, na nowo powraca pomiędzy powasnione strony.

Dla dopełnienia obrazu włościan świątnickich, musimy powiedzieć, że każdy nowy do wsi przybysz jest bardzo nisko przez nich uważany, i że z dziada pradiada prawdziwy Świątniczanie odbiera pewien rodzaj czci i poważania, które w nim wyrabiają jakby dumę, zupełnie podobną do naszej arystokracji rodowej, i że jeżeli jedni za całe dziedzictwo zaledwie skibę posiadają ziemi, jest dosyć między niemi takich, których przestrzeń ich gruntów kilka, a czasem kilkanaście wynosi morgów.

Do téj wioski i między opisanymi włościan wprowadzimy czytelnika.

W pogodny wieczór czerwcowy, drogą stanowiącą granicę od wsi sąsiedniej, przesuwała się z pługiem para chłopskich mierzynów. Kółka płuźne odzywały się piszczącym głosem, a słońce wisząc nad zachodem, przeglądało jeszcze ostatkami promieni pomiędzy drzewami i budowlami szeroko rozłożonej wsi Świątniki,

rzucając długi cień na ziemię, jakby powitanie niedługo mającego nastąpić zmierzchu.

Obok pluga i koni, wydeptaną ścieżką postępował człowiek blisko sześćdziesięcioletni, w koszuli na wierzch wyłożonej, w stanie szerokim skórzanym spiętej pasem, ze szkaplerzem przez plecy przewieszonym, i z kamizelą złożoną na ramieniu. Spodnie sukienne, długie po kolana bóty, i czapka rogata z modrego sukna z wążką z czarnego baranka obwódka, dopełniały reszty ubrania. Jedną rękę założywszy za pas, a pod pachą drugiej trzymając bicz i styk do odpychania od lemiesza zapychającej się przy oraniu skiby, postępował zwolna, z pewną powagą, kiedyniekiedy odzywając się tylko głosem karzącym do małych swoich koników, albo wódząc okiem po wykłoszonym już życie, i doganiającej go pszenicy.

Był to Wojciech Sierpień, jeden z najstarszych i najmłodszych gospodarzy wsi Świątniki. Od dziada, pradziada, a co najpewniejsza, od dnia hojności królowej Jadwigi statkiem, pracą, oszczędnością utrzymując się wszyscy Sierpniowie przy jednym miejscu, mało co uszczuploną pierwiastkową własność przekazywali zawsze synom najstarszym, starając się różnym sposobem: to bogatym ożenieniem, lub uciulanym groszem wyposażyć młodszych, aby tylko główna część ziemi, nie ulegając podziałowi, zawsze przez Sierpnia była zajmowana.

Tym sposobem utworzył się pewien rodzaj majoratu, który jeżeli z jednej strony zmuszał każdego takiego posiadacza do pracy, starań i zabiegów, a przedewszystkiem do bogatego ożenienia, z drugiej strony wyrobił w Sierpniach wysokie uczucie własnej zacności.

Sierpniowie też od niepamiętnych czasów tylko takiej pracy i usiłowaniam winni będąc swoje zamożność i ciągle w niej utrzymywanie się, przekazując przytém imię potomkom zawsze czyste, żadnym brudem nieskalane, jako godło pracowitości, prawości i ogólnego szacunku, czyż nie mieli dosyć pobudek, aby wyrobić w sobie silne uczucie własnej godności?

Istotnie też w tém rozumieniu rzeczy wszyscy Sierpniowie byli wielkimi arystokratami; bo jeżeli uczucie to może mieć jakie usprawiedliwienie, to tylko takie, co się wspiera na pracy i osobistej zasłudze. Jakby więc na znak téj godności, tego ludzkiego poszanowania, każdy Sierpień obejmując po przodkach pozostałą puściznę, przywdziewał czapkę taką, jaką dziś widzimy na głowie

Wojciecha, która dopiero po śmierci ojca przechodziła na najstarszego z synów, niby herb, niby klejnot szlachecki, z taką czcią i troskliwością przez naszych przodków strzeżony.

Zresztą niczém inném nie różnili się od swoich sąsiadów; a doznając ogólnego szacunku i poważania, na jakie własném postępowaniem zasługiwali, siejąc wokół siebie dobry przykład, jako gospodarze, małżonkowie i ojcowie: z każdym byli grzecznie, potulnie, ale zawsze z pewną godnością, zbliżoną do etykietalnego i dyplomatycznego postępowania naszych panów; z tą tylko różnicą, że każde ich słowo było zawsze wiernym obrazem myśli i na łonie prawdy urodzone, co zwykle daleko odbiega od jedwabnych słówek niby wykształconego społeczeństwa.

Wojciech Sierpień, inaczéj zwany Konfederak, któreto miano dodane zostało ojcu czy dziadowi na pamiątkę, iż walczył w szeregach jakiejś konfederacyi, kilkoletnim pobytém w wojsku obtarł się dobrze między ludźmi; był w téj i w owéj stronie, jadł chléb nie z jednego pieca; przeto wykształcił o tyle chłopski swój rozum, że choć niepiśmienny i nieczytający, w każdéj rzeczy miał zdanie, którego trafności dosyć nadziwiłobyście się nie mogli.

Od roku będąc wdowcem, i co najgorsza bez potomka płci męskiej, nieraz cichém westchnieniem ulżywał cierpiącemu sercu. Wprawdzie jedna z córek z pierwszego małżeństwa już była zamężna, wyposażona i na swoim chlebie; a druga krasna, świeża i rumiana jak malina, jak pączek kwiecia świeżo rozkwitający, zajmowała się gospodarstwem wewnętrzném w domu.

Ale cóż znaczą dziewczuchy? chuchaj, dmuchaj, pielęgnuj, zaledwie piórka podrosną, już cić furknie w świat, tracąc z dziewictwem i ojczyste imię, które z domu wyniosły.

Brak więc syna był największym powodem smutku dla znajomego nam już Wojciecha Sierpnia, a wydobywając nieraz ciężkie z piersi westchnienie, nasuwał do głowy frasobliwe myśli: komu przyjdzie przekazać w spadku dziedzictwo, z taką starannością i zabiegami od niepamiętnych czasów w rodzinie Sierpniów utrzymane.

Z tego powodu zwracał on często oczy na młodszego brata Stanisława, u którego dwa dzielne chłopaki, jak młode zrebki, jak dwa jelonki, gdy z leśnej swéj siedziby ne pole wybiegną, hasali już oddawna po wiejskiém błoniu, staczając bójki z swemi rówieśnikami.

Jakieby jednak miał względem nich zamiary, nikt ani słowa nie wiedział; uważano tylko, że gdy patrzył na swoich synowców, zawsze ciężko wzdychał, a szlachetna i miła twarz Wojciecha, jaśniejąca godnością i swobodą, zwykle wtenczas smutniała, posępniała, jak tarcza księżycy na pełni wśród pogodnej nocy, gdy tam gdzie z boku wybiegnie chmurka, i powlecze go na chwilę przejrzystą zastoną.

Takim jest Wojciech Sierpień, którego widzimy z powagą postępującego okok pług z końmi. Zachodzące słońce przeglądając między drzewami i zabudowaniami wsi Świątniki, zdawało się dzierzgać niemi złotymi i ciemnymi, fantastyczne rysunki na tle szarawém dojrzewającego żyta, po którym z szelestem przelatujący, czasem wietrzyk, chylił kłosa ku ziemi, jakby w pokłonie szemrzących dziękczynną modlitwę za dary dnia Bożego, nim noc z chłodną rosą przytuli się do matki ziemi.

Uboczne wioski wierzchołkami nad dachy wybiegających grusz i topoli odbijając o szyby domostw z ukosa padające promienie, wyglądały jak krasna wiejska dziewczyna, co umaiwszy głowę zielenią, błyszczącém od radości okiem, spogląda z uśmiechem po świecie, i śle wzrok daleko po niwach i polach, jakby wypatrywała rychło tam z sierpem w ręku zawiedzie na nich uroczą pieśń żniwaków.

Ale słońce już coraz bliżej ziemi, jakby znużone, jedną krawędzią usiadło na horyzoncie, i coraz bledsze, coraz mniej jaskrawe, lecz jeszcze wygląda, jeszcze duma, jakby mu żal było pobratać się z zachodem. Skryło się wreszcie, a na ten znak końca dziennéj roboty, ze wszystkich stron pracownicy wieśniacy zaczęli pospieszać ku domowi. Wojciech Sierpień usłyszawszy za sobą tętent kłusującego konia, zwrócił z powagą głowę, a ujrawszy znajomego, a równego prawie sobie wiekiem sąsiedniej wsi dziedzica, lekkim uchyleniem czapki powitał nowo przybyłego:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus—odezwał się pierwszy pan Józef.

— Na wieki wieków, amen.

— Jak się macie Wojciechu? Ale cóżto, samiście dziś z pługiem wyjechali w pole?

— Bóg zapłać za witanie; ale cóżto za nową szkapę panisko sobie kupiło?—odrzekł Wojciech nie odpowiadając odrazu na zrobione sobie pytanie.

— Ha! mój Wojciechu, nogi stare, pola dalekie, toby nogi nie wystarczyły przy gospodarstwie; zdarzyło się na jarmarku, i kupiłem.

— Ale dzielna szkapa. A młoda?

— Młoda, w szóstym roku; lecz i wasze konięta niczego.

Ten wyraz *konięta*, lubo bez żadnej myśli drwiącej przez pana Józefa był wymówiony, bo to był godny i bardzo pocziwy starzec, nie spodobał się jakoś Wojciechowi; przekręcając więc cokolwiek na bakier czapki, zpod której równo ścięte okazały się nad czołem napół siwe włosy, odpowiedział z małą ironią w głosie:

— Ej! mojeta zwyczajnie jak chłopskie: do pracy, do potyrki, a nie do parady, nie do brykania; ale choć takie niepozorne, choć łbami nie trzęsą, kiedy idą w wozie—ale idą, nie oglądają się na nikogo, żeby za nich robił.

— No, ani słowa mój Wojciechu; ale cóż to się znaczy, że dziś sami orzecie, jakbyście nie mieli parobka w domu?

— Parobek młóci—odpowiedział Wojciech jednym zawsze głosem, gdyż żadnym sposobem nie mógł strawić wyrazu *konięta*—a pracy nigdy człowiek nie powinien się wstydzić; prędzej praca kiedy lada jako zrobiona zawstydzi człowieka. Ot na ten przykład—i to mówiąc wyciągnął Wojciech rękę ku roli świeżo zoraną—gdyby panisko było tu samo orało, to pewno tyle calizny nie bieliloby się między skibami; aleta parobek zwyczajnie jak parobek, bo cudze ręce lekkie, ale niepożyteczne.

— A prawda; a niechże cię kaczki zdepczą—zawołał pan Józef nagle zwracając koniem na rolę.

Wojciech obejrzał się za zafrasowanym szlachcicem, poprawił czapki, i świsnąwszy batem na wolno posuwające się konie, zawołał głosem mocnym:

— He konięta! hej moje konięta!—i ruszył dalej oglądając się dosyć często za panem Józefem, który odbywał przegląd zoranego pola.

Im bliższą była wioska, tém więcej napotkać można było powracających z pola od orki wieśniaków. Powitawszy się wzajemnie, każdy zdążył w swoje stronę, a Wojciech przykleknąwszy przed krzyżem własnej fundacyi, skreślił końmi w bok, i wjechał na podwórze.

Od strony wjazdu była brama z desek całówek z daszkiem gontami pobitym; do połowy otwarta, zdawała się zapraszać choć w proste ale gościnne Sierpniów progi, a wyciągając po obu stronach także samo oparkanie, wyglądała jakby obejmowała do uścisku resztę budynków czołem do podwórza zwróconych.

Zaraz przy wejściu po prawej i lewej stronie stała chałupa i obora, z nową błyszczącą poszywką ze strony, na którą się spuszczały gałązki rosochatěj wierzby, kiedyniekiedy szemrzące tchnieniem poruszającego je wiatru; a choć z poczerniałemi i mchem porośłemi ścianami, trzymały się jednak krzepko i cało.

W głębi stały chlewy i chlewiki różnego kształtu, wieku i wielkości, w miarę potrzeby przystawiane i powiększane.

Z poza budynków sterczały wierzchołki drzew z sadu okalającego całą Sierpniów siedzibę, achwiejąc się to w tę, to w owę stronę, wyglądały jak wianki wetknięte za czapkę żwawego parobka, kiedy w ochoczych płasach zawodzi piosnkę, i zalotnie potrząsa głową przed dziarską czarnobrewą.

Pod małym daszkiem, rodzaj brogu formującym, stał wóz, ramię i brony, około których na barłogu igrało dwoje podwórzowych psiaków, a z małych, popod dachem umyślnie z gontów urobionych komóreczek wyglądało kilka par gołębi, gurgoczących napuszysto na dobraneo swoim małżonkom, które z ciekawością popoglądały na wjeżdżającego w bramę gospodarza.

Przy samych drzwiach chałupy zgraja kaczek, gęsi, kur i indyk, gęgając, kwacząc, gulgocząc, gdakając, dopominała się kilku garści poślada, którym przed wegnaniem do chlewków zawsze była częstowaną.

Na samym progu siedział duży kot ze skulonemi pod sobą nogami, potrząsając to uszami, to głową, to skrobiąc się łapką, ile razy nieproszona mucha siadła mu na futerku; a mrużąc zdawał się być zupełnie obojętny na wrzeszczącą pod samym nosem czeredę, często przymrużając oczy, jakby mu się do snu kleiły.

Takie to było wiejskie ustronie, do któregośmy czytelnika wprowadzili. Nigdzie znaku zniszczenia; pustki lub niedbalstwa nie mogło się oko dopatrzeć: wszędzie troskliwa opieka gospodarza widna była jak w dzień biały jasne słońce, gdy zatacza koło na niebieskiem tle nieba.

Jak tylko Wojciech wjechał z końmi na podwórze, te, same zwróciły się ku stajni, a on zatrzymując się na środku, zawołał głosem silnym:

— Marcin! Marcin! a wprowadźta konie do stajni.

Na to wołanie wybiegła ze środka chałupy młoda wiejska dziewczyna. Wrzaskliwa zgraja drobiu rozbiegła się po całym podwórzu, kot powstawszy wyciągnął się i potulnie z podniesionym ogonem do góry zaczął się obcierać o szarą spódniczkę młodej gosposi, która w pstrąg chustce na głowie, w fartuszkach w paski, i w białej koszuli zakończonych u szyi kilku sznurkami różnokolorowych paciorków, zatrzymując się w sieni odpowiedziała:

— Marcin, tatusiu, jeszcze w stodole, bo jakoś mu się z wiatrem nie szykuje, i nie może zwiać tego, co dzisiaj namłócił.

— O! to bięda z tym wiatrem—odpowiedział Wojciech frasobliwie skrobiąc się w głowę—a jeszcze na święto; to dopiero kury będą miały jutro uciechę. No! to ja sam wyprzęgnę konie, a ty Basiu weźta *krzynę* owsa z komory i przyszykuj obroczyne dla szkapin, bo się dziś dobrze z pługiem zdyrdąły.

I przysunawszy się do koni poklepał je po krzyżach, i jakby przypominając sobie rozmowę z panem Józefem, domówił:

— Oj! konięta, konięta, a przecieć mnie z okładem po dziesięć dukatów kosztują.

Basia, córka Wojciecha, którąśmy w progu stojącą poznali, byłato gracka siedemnastoletnia dziewczyna, co krasą świecą nad wszystkimi rówieśniczkami, jak najpiękniejsze i najrumieńsze jabłko na drzewie, niejednemu chłopakowi *oskomę* wzbudzała, nazwania żoną powabnego dziewczęcia.

Zalecali się i młodzi, i starzy, i wdowcy, i kawalerowie, ale wszystko naprózno: Basia na jednych się krzywiła, z innych w oczy drwiła, a czas rozwijając urodę jej w coraz świeższe wdzięki, powiększał tłum zalotników, którzy coraz śmielej dobijali się o serduszko ładnej Basi.

Nie dla wszystkich jednak była tak obojętną: był jeden, na którego ile razy spojrzała, zawsze serce silniej zakolało, i spuszczać w dół oczy milkła ustami, strojąc buzię krasnym rumieńcem.

Ale cóż? Janek Gruzda, którego później lepiej poznamy, kochanek i pięściłto całego obojg płci młodego wsi pokolenia, zupełnie nie posiadał łaski Wojciecha, który ile razy słyszał coś o nim mówiących, zwykle brwi marszcząc nazwał go *nicponiem*, obieży-światem, dodając, że w największej biędzie zakończy życie u żyda za piecem. Cóż więc miało robić biedne dziewczę? Unikać trudno, gdy oczy same gonią za Jankiem; patrzeć a nie

słuchać także niepodobna; a tu Janek tak ochoczo wygrywa na skrzypcach, tak *ładno* wyśpiewuje, tyle ma figlów, żartów, że gdy wpadnie do karczmy, to wnet ludzi najdzie jak mrówia, i tak się wszyscy cieszą, śmieją, weselą, że daleko za wsią po polach i łąkach wiatr roznosi wrzawę hałasującej drużyny.

Basia więc patrzyła tylko i słuchała, a serduszko coraz więcej lgnęło do ucieznego chłopca, który widocznie ją przenosił nad inne, i najpiérwszy zawsze dobijał się do tańca.

Skłonność Basi nie uszła jednak uwagi starego jój ojca, a mając względem niój jakieś inne zamiary, stanowczo zabronił wszelkiego bratania się z *urwipółciem* Jankiem, powiadając, że wolałby, aby mu się Basia dziewczką postarzała, jak go miała obdarować ładajakim zięciem.

Lecz cóż znaczą zakazy, co znaczy *boczenie się* ojca, jeżeli serce gwałtem powiada „kochaj.“

Młoda téż nāsza para, chociaż ani jedném słowem nie zdradziła codziennie silniej zakorzeniającego się uczucia, kochała się jednak szczerze, z całą namiętnością młodego wieku; i im więcej było przeszkód, tém serca silniej drgały do siebie, tém więcej Janek szukał Basi, a Basia tęskniła za Jankiem.

I nie dziwota: bo jeżeli Janek świecił urodą pomiędzy innymi, to i dla Basi natura nie skąpą się okazała.

Nie miała wprawdzie rączki małej, delikatnej, płci białej jakby zpod blichu, omdlewającego spojrzenia, i na zawołanie zalotnego uśmiechu na ustach: bo wykołysana na łonie ciężkiej pracy, pod skwarem gorącego lata i mrozącej wszystko zimy, wpośród prostych obyczajów całej wsi mieszkańców, gdzie mogła nabyć tych powabów i téj sztuki podobania się naszym cywilizowanych piękności?

Bez nich jednak, choć ze spracowaną ręką i ogorzałą cerą, zgrabną kibicią, jakby dłutem utoczoną buzią, z której dwoje oczu niebieskich, niby dwie gwiazdy na niebie świeciły spokojem i czerstwością duszy, wyglądała tak wabnie, tak wdzięcznie, że patrząc na nią, aż coś się dziwnego robiło; że człowiek zapomniał o wszystkiém, i nie mógł wydziwić się dobroci Boga, co jedno ze swoich dzieci odział taką krasą. A gdy rumieńcem ustroiła lica, jeśli wstyd duszy dziewiczej przemówił tym wyrazem dla oczu ludzkich, jeśli uśmiechem poruszyła usta pokazując rząd białych zębów: to zaraz ci do myśli nasuwała się zorza różująca wschodnią część nieba, na którym jutrzienka błyszczy białą smugą.

Taką była Basia, córka znajomego nam Sierpnia, i taką kochanka Janka Gruzdy; a choć słowami nie umiała określać wrzących uczuć, miotających młodém jéj serduszkim, było tam tyle ognia, tyle niezmyślnego zapału, jakichby się nie powstydziała niejedna piękność naszego świata.

Jak tylko postłyszala rozkaz ojcowski, zaraz pobiegła do komory zając się przyrządzeniem obroku dla koni, które wyprężone z pługa przez Sierpnia, już czekały w stajni na zwykły swój positek.

Wkrótce wszystko zostało obrządzone: drób', owce, krowy pozganiane do chlewów, konie chrupały przy żłobach, a gdy parobek z chłopakiem powrócili ze stodoły, Wojciech polecił im resztę czynności, i kazawszy konie napoić jak przejedzą cokolwiek, sam wszedł do izby.

Skromne to było mieszkanie, jak i skromna cała siedziba Wojciecha; lecz jeżeli nie dopatrzyłeś się nic w niém zbytowego, nie brakło nic takiego, co było niezbędném do wygody.

Zaraz przy drzwiach na prawo był duży komin z bratem swoim piecem, otoczonym od izby ławeczką—zwyklém zimowém posiedzeniem wszystkich przadek i lubiących rozprawiać babulek. Pobieleni wapnem z zalepionemi gliną szparami, wyglądali chędogo, niby w świeżo obleczonych koszulach, a połatanych ręką skrzętnéj gospodyni.

Na lewo stała szafa z pułkami, pełna garnków, mis i łyżek, w towarzystwie cebra na wodę, kilku szalików, konewek, a wszystko bielutkich, śmiejących się czystością, porządkiem, niby dumne z opieki, która ich tyłą przymiotami otoczyła.

Popod oknem stała prosta ława, miejsce spoczynku odwiedzających czasem sąsiadów, a za nią łóżko Wojciecha z wysoko ułożoném posłaniem, nad którym kilkanaście obrazów ze świętymi Pańskimi, fabryki częstochowskiej, wisiało rozlepionych na ścianie. Pod drugim oknem stał stół prosty sosnowy na czerwono malowany, z dwoma garnuszkami pełnemi różnych kwiatków, obok którego, jako dowód zamożności, mieściły się dwa stołki z poręczami, zajmowane przy posiłku przez pracowitego Wojciecha i przez więcéj szanowanego gościa, jeżeli raczył nawiedzić niską jego strzechę.

W drugim końcu izby stało łóżko ładnéj naszéj Basi, z obrazkami na ścianie, po większój części szkłem opatrzonemi, pomiędzy którymi przebijały się szeregi wąsatych żołnierzy z pałaszami do

góry podniesionemi; jakby dowód, że właścicielka łóżka, którego ozdobę stanowią, niezawsze modlitwą myśli ma zajęte, że duma i o świecie, którego tak piękną stanowi cząstkę.

Przy obu łóżkach znajdowały się ławki proste dębowe, i takiż kufer z zamkiem na klucz zamykanym. Na belce poprzecznej zwanej siostrzanem, przez całą szerokość izby przechodzącej, był niezgrabnie wydłubany napis: „Uciekajcie strony przeciwne. R. 1794,” a miejsce podłogi zastępowała z gliny uklepana posadzka, na środku której leżał duży pies z opartą mordą na łapie; patrząc się prosto w drzwi i strzygąc uszami, zdawał się wyczekiwać przybycia gospodarza, którego głos już słyszał na podwórzu.

Pod tym samym dachem, z drugiej tylko strony sieni, znajdowała się izba mniejsza z warsztatem tkackim, i małą spiżarką z faskami, beczkami różnej wielkości, pełnemi mąki i kaszy, na które ze ścian opuszczaly się pozawieszane kielbasy, sadła i półcie słoniny.

Basia krzątając się około komina, zajęta była przyrządzaniem gotującej się dla domowników wierzery; a kosztując, przysuwając i odsuwając garnki od płomienia, tu dosypała soli, tam dołała wody, zasłaniając się zawsze ręką od gorącego żaru, palącego się z trzaskiem drzewa.

— Trzeba moja Basiu — rzekł wchodzący do izby Wojciech — przyszykować wszystko na jutro, bo to naszej parafii święto i odpust. Ja z chłopakiem pójdę na ranne nabożeństwo, a ty idź na sumnę, bo bez nas obojga *doma* zostawiać nie można.

— A i ja se tak umyśliła — a później, po małej chwili z nieśmiałością dodała: — jeżeliby wam to mój tatusiu nie *wadziło*, tobym się u ciotki w Obrazowie pożywiła czém, i jużbym została na nieszpórach, i nie powróciła do domu aż wieczór.

— Ha! jeżelita będą jakie od nas kobiety.....

— O będą, mój tatusiu, i niejedna; idą i Józkowa, i Antkowa, i stara Jędrzejowa.....

— No, to dobrze, to z niemi powrócisz, bo młodej dziewczę to nieładno, kiedyta wedle niej nie ma jakiej starszej głowy. Tylko moja Basiu... — Tu stary Wojciech zaciął się cokolwiek, jakby szukał słów na wyrażenie myśli krążących mu po głowie.

Basia zwróciła się ku szafie z garnkami, przekładając je z jednej na drugą stronę, aby tym wybiegiem ukryć pomieszanie: bo czuła, że tu o Janku będzie mowa, że usłyszysz jaką nagane, ja-

kiś zakaz, który może jój popsuć całą spodziewaną uciechę jutrzejszego odpustu.

— Tylko moja Basiu — mówił dalej Wojciech — zważaj *zawdy* na wszystko, jak ja ci gadam. Już cię, że ci-*ta* pilno tak na odpust i na nieszpory, to i nie dziwota: boć to tam będzie i ładne nabożeństwo, uciechy niemiara, i Bóg wie nie jakie rzeczy będą się po kramach przewalać; będzie i różnego narodu *kieby* pszczoł w ulu; ale ty moja Basiu-choćta ciśniesz okiem i tu i tam, *zawdy* pamiętaj o sobie, boćta moje dziecko urody ci Pan Bóg nie pożatował, ubogo cię także z domu nie wydam.

W tém miejscu Wojciech dumnie rękę za pas założył. — Ho! ho! to-*ta* niejedyn wedle ciebie będzie zacharował...

— Ej! mój tatusiu — odrzekła przerywając Basia — przecieć ja mam swój rozum.

— No, moje dziecko, ja-*ta* naprzeciw tego nic nie mówię, ale widzisz, tyś młoda, to dobrego układu nie masz jeszcze w głowie, a młodemu to wszystko równo *nikiej* zrebkowi. jak go założą do wozu: dół, góra—leci; het leci bez upamiętania, aż tóż zdychawicieje, nogi pozrywa, i potém dobry będzie dla psów i dla wilków, ale nie do roboty. Tak tóż u młodego: na co ciśnie okiem to mu się wszystko śmieje, wszystko mu *ładno* wygląda, aż jak starość siądzie na karku, i zacznie człeka ciągnąć do ziemi, ot *bieda!* ale już po czasie.

— Ej! mój tatusiu — odezwała się z małym dąsem Basia — gadacie, gadacie, a ja-*ta* nic waszój gadki nie rozumiem do czego prowadzi.

Na te słowa stary Sierpień zmarszczył brwi, bo poznał wybieg dziewczyny, która dobrze wiedziała do czego rady ojca zmierzają; a podnosząc groźnie rękę do góry, chciał wybuchnąć z całą namietnością gniewu, ale się powstrzymał. Potrząsłszy z niechęcią głową, przeszedł się po izbie, usiadł na jednym ze stołków przy stole stojącym, i tak dalej mówił:

— Moje dziecko, stary i tam patrzy kaj oczów nie ma; a *kiej* patrzy, to widzi dobrze. A mnie niedopiero żyć na świecie, to-*ta* się umiem *obglądać* po ludziach, i wiem kto złemu, a kto Panu Bogu służy.

Po tych słowach Wojciech przerwał, jakby czekał odpowiedzi, ale Basia milcząc krzątała się dalej około komina, bo czuła, że jedném słówkiem wywołać może burzę i na siebie, i na Janka, której pragnęła wszelkiemi uniknąć sposobami.

Stary Sierpień widząc, że córka nie odpowiada, że milcząc zda się przyjmować udzielane sobie rady, w których głównie szło mu o odstrychnienie nadobnej dziewoi od zalecanek nielubionego przez siebie Janka; z lekkim drżeniem w głosie, zdradzającym uczucie miłości ojcowskiej, mówił dalej:

— Moje dziecko, wszyscy ludzie mogą ci gadać i to i owo, ale nikt ci tak nie poradzi, jak własny ojciec. Bo cóż ludzie? zwyczajnie jak ludzie, co *ino* dlatego gadają, że mają gęby, ale *ta* kochania w tém nie ma za szeląg.

— Ja-*ta* naprzeciw tego nigdy wam nie mówię nic przeciwnego—szepnęła półgłosem Basia.

— To téż na to nie mam żadnego uzalenia, bo Bóg świadkiem, że *se* zawsze myślę, iż potulny z ciebie dzieciuch; ale widzisz moja Basiu, ja do tego prowadzę, że ty nie powinnaś być jak inne dziewczuchy, co aby się byle kto do nich *zalicat*, choćby bez żart, zaraz się do niego garną na prawdę. Ale to temu i nie dziwota, bo i nieurodne, i bez wiana, i bez *familii*: to i cóż mają robić? Wianek na głowie cięży, *dziwką* zostać na całe życie ciężko na świecie; to byle jaki chłopina zawsze lepszy jak żaden. Ale ty, moje dziecko, innaś od drugich: bo i urody ci Pan Bóg nie żałował, i wiano będziesz miała, i z takiej jesteś *familii*, cota Bóg wie nie od jakich czasów *zawdy* w naszej wsi siedziała, i *zawdy* u ludzi była w *obserwacyi*; to téż dlatego powinnaś mieć siebie na *baczeniu*, i takiego *ino* wybrać między wszystkimi, co wedle ciebie *zacharują*, *nikiejby* nie *przymierzając* najpiękniejsze jabłko na drzewie, choć ci każde *lazi* do garści.

— No, no! nie frasujcie się tatusiu — odpowiedziała figlar-
nie Basia — starego i koślawego *pewnikiem se* nie upodobam, *ino* takiego urodnego, co i jabłko zakasuje.

— *Fracha-ta* moje dziecko o urodę—mówił już weselój ojciec—bo uroda, to marność, *nikiej* słońko w jesieni, co świeci, jużćić za chmury się schowało; ale tu idzie o to moje dziecko, żeby-*ta* jakie lichy, jaki światowiec nie przyplątał się do naszej *familii*: bo jak Sierpnie Sierpniami, tak żadne z nich nie bratało się ani przyjaźniło z takimi, co-*ta* daleko od nich stali. Dlatego téż Pan Bóg błogosławił, przednowku choćby w najcięższe lata żaden nie zaznał Sierpień: było i zboże *zawdy* w snopie, i bydło, i owce w oborze, i grosz jaki taki w skrzyni. Ale od tego czasu, *jakeśwa* się poprzyjaźnili z Ziębami (starsza córka wydana była za Ziębę, którego ojca dla zbytniej chciwości i że nie był Świątniczaniem,

tylko z obcej wsi przybyszem, Wojciech Sierpień znosić nie mógł); otóż od tego czasu—mówił dalej Wojciech z powstrzymywaną niecierpliwością, zlekka uderzając w stół pięścią — choć-ta Boga chwalić żaden-ta człowieka frasunek ani na zdrowiu, ani w chudobie nie dotknął jeszcze, ale Bóg wie cota dalej będzie, bo jedna już wyszła z domu, ty furkniesz niezadługo..... syna Bóg mi nie dał..... to któż na mojem miejscu znówu będzie Sierpniem? Nie będzie nawet komu..... zamknąć staremu oczu.....

Dalej już nie mógł mówić poczciwy starzec: oczy zabłyszczały łzami, spojrzął na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, i westchnąwszy boleśnie, smutnie zwiesił głowę.

Czułe dziewczę na tę mowę ojca równie się rozrzewniło, a podnosząc fartuszek do modrych, łzami świecących oczu, przystąpiła bliżej starego i rzekła:

— Mój tatusiu, cóż wam za myśli chodzą po głowie! Frasujecie się, tyracie se zdrowie... a cóżby ja robiła przez was.... Matusi już nie mam... toby się przyszło styrać biednej sierocie....

Stary Wojciech powstał z siedzenia, przytulił do piersi ładną główkę dziewczoi, i zaczął obsypywać tysiącem pocałowań; a Basia łkając serdecznie, szeptała przerywanym głosem:

— Przecież się wam nie naprzykrzyłam, co mnie tak rychło wypychacie z doma.... przecież mi lata jeszcze nie przeszły.... a choćby mi przyszło postarzyć się dziewczką.... to was mój tatusiu nie odstąpię, zawdy będę przy was; ..i żadnego—dodała cichszym głosem, jakby się wahała—i żadnego se nie wybiorę, ino takiego, co mi kazecie.

— Moje dziecko, moja poczciwa Basiu — mówił rozrzewniony Wojciech—już nie płacz, bo ci oczy zapuchną i ludziom Bóg wie nie co będzie przychodzić do głowy; przyszykuj se lepiej na jutro święteczne szmaty, żeby-ta ludzie mieli na co spojrzeć. No, no, nie płacz moje dziecko, moja Basiu.

Poczciwa dziewczyna nie mogła się jednak utulić od płaczu, łzy jak groch biegły i biegły po buzi, a serce tak biło, jakby chciało wyskoczyć i uciec od rany zadanej objawionem przyrzeczeniem Basi.

Biedna dziewczoj! porzucasz Janka, przyrzekasz innego kochać i płaczesz? Jutro miało cię spotkać tyle uciechy, z taką radością wybierałaś się na odpust, a tymczasem łzami ubrałaś roje złotych myśli po sercu i głowie krążących. Takto na tym marnym naszym świecie: łzy i śmiech zawsze z sobą w parze, i na-

przemian bratają się z człowiekiem; a dlaczego? ach Boże! czyż rozum ludzki zdolny jest na to odpowiedzieć?

Wojciech jak mógł utuliwszy płaczącą dziewczę, sam poszedł do komory, i niedługo zabawiwszy, wyszedł trzymając w ręku kilka sznurków grubych koralu, które oddając Basi, rzekł:

— Na, moja Basiu, weź se to dla siebie, i ustrój się jutro, żeby ci było *ładno*; a tu masz złotówkę do kramów na *odpuście*, i jak ci co wpadnie w oczy, kup se. — A po małym przestanku dodał—*ino* zawdy z rozumem, bo-*ta* kupcy na odpustach to wielcy oszukańcy.

Basia po tych słowach schowała otrzymane podarunki, z zajęciem przyglądając się koralom, które najmniej warte były za sześćdziesiąt złotych; i gdy dało się słyszeć stąpanie nadchodzącego parobka z chłopakiem, otarła fartuszką resztę łez ślady, bo włościanie przy ciągłej pracy i zatrudnieniu nie mają czasu zajmować się długo doznaniem wrażenia smutku lub radości, i zaczęła miski napełniać ugotowaną wieczerzą.

II.

Święto parańskie.

„Walą się ludzie *nikiej* na odpust.”

Dzień świąteczny na wsi zupełnie inaczej wygląda, jak w naszych ciasnych murach stolicy. Gdyby nie przepelnienie świątyni Pańskich modlącym się ludem, rzekłbyś, że Warszawa nie ma święta; tak dzień od dnia prawie niczem się nie różni: ten sam gwar, ten sam hałas, turkot, tłum przechodniów, nieustawanie spekulacji handlowych, jakby niepodobna było przed nawałem zatrudnienia urwać jeden dzień w tygodniu, i poświęcić go jedynie modlitwie i spoczynkowi. A jednak nie jest to tak rzecz mała, jak niejednemu zdawać się może: bo masa narodu niewykształconego, a przez to więcej bierna, pozór biorąca za prawdę, z powierzchowności dopiero wyrabiając sobie sąd o rzeczy, nie pojmując więc religii i jej świętości bez oznak zewnętrznych, gdy te widzi poniewierane, nieświęcone tak, jak ich kiedyś nauczano: pomалу wyzuwa się z uczuć religijnych, potem potrochu z wszelkiej mo-

ralności i nareszcie bydłęceje, jak tego można się napatrzeć między wyrobniczym ludem Warszawy i wieśniakami w okolicy jej zamieszkałemi.

Przyjdzie niedziela, Warszawa tylko szumi: ze wszystkich stron tłoczą się fury z drzewem, słomą, sianem, zbożem, z sieczką i t. p. przedmiotami; i gdy jedna część ludu po świątyniach Pańskich słucha słowa Bożego, druga targuje się, klóci, przeklina, oszukuje, spija litkupy, i wyruszywszy z zaproszoną już głową, do reszty traci rozum w licznych po drogach rozsypanych karczmach.

I cóż dziwnego, że lud taki odwyknąwszy od kościoła, na-przód przestaje być religijnym, potem moralnym, a nareszcie schodzi do tak niskiej roli, w jakiej go znamy w bliższych stronach Warszawy.

Wszakżeż brak religii, jeżeli z człowieka ucywilizowanego robi pół szatana, z prostaka musi zrobić bydłę posłuszne tylko zwierzęcym swym chuciom; a czy tak nie jest?

Brak więc właściwego święcenia niedzieli jeżeli nie jedyny, to zawsze bardzo szkodliwy wywiera wpływ na moralność wyrobniczej klasy; uważano bowiem, że we wszystkich tych wioskach, gdzie przepisy kościoła tak przez dwory, jak przez włości z wszelką ścisłością są zachowywane, tam i lud inny: pracowitszy, zamożniejszy, trzeźwy, i jakby miłością rodzinną więcej do pana zbliżony. Dlatego też w imieniu dobra powszechnego szanujcie sami niedzielę, i uczcie waszych podwładnych należytego jój święcenia, bo kiedyś przyjdzie ciężko odpokutować za zaniedbanie uprawy dusz braci naszej młodzieży, która tak wielką stanowi część ogólnej kraju ludności.

W okolicy, w której rozpoczęliśmy nasze opowiadanie, pamiętano z wszelką ścisłością o przykazaniu Bożem: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”; dlatego panująca tak w polu jak i we wsi cisza, nieprzerywana żadnym odgłosem przypominającym pracę i zatrudnienie dnia codziennego, nadawała jakąś uroczystość, jakąś powagę całemu obrazowi, jakby wszystko zajęte było dziewczyną ku Stwórcy modlitwą.

Jedne tylko ptaszyny świegotały jak wczoraj, ale głośniej, ale rezolutniej: bo ich śpiewów nie przygłuszał ani regularny stukot młócących w stodole, ani poganianie na powolnie z plugiem postępujące woły lub konie.

W wiosce dziedzicznej pana Józefa, którego już poznaliśmy w rozmowie z Wojciechem, obok stajni przy płocie z żerdzi ułożonym, stało dwóch młodych parobczaków w kamizelach, w świeżych koszulach, z nowo u szyi zawiązanemi wstążkami i w kapeluszach czarnych, przyozdobionemi zalotnie małemi wiązkami kwiatów.

Na boku stała bryka kryta, widać świeżo wytoczona z wozowni, bo drzwi od niej nie były jeszcze przymknięte; dalej pod wystawą rzędem ustawione wozy, z którymi, jak z za barykady wyglądały pługi, brony i radła.

Byłato godzina dziesiąta z rana. Słońce w całym blasku przyświecało ziemi, a małe kupki włościan, kobiet i dzieci, schludnie i czysto poubieranych, posuwały się drogą zdążając na większe nabożeństwo do parafialnego kościoła.

— No Janek—odezwał się jeden z parobczaków opierając się plecami o żerdzie, gdy drugi z niedbałością zdawał się poglądać po polach, zastanych zieloném jeszcze zbożem—no Janek, i cóż se ty myślisz?

— A cóż mam myśleć? nic se nie myślę, ino se poglądam po polach, co tak *ładno* wyglądają, *nikejby* ich kto jak! na Świątki wisem obsypał (1).

— Ej! głupiś mój kochany, to nie o tém *gadka*.

— A o czémże?—zapytał Janek.

— A to o tém, mój kochany, że ludzie już idą na sumę, a ty ani myślisz o zakładaniu koni do bryczki. Stary Jegomość (tak nazywali pana Józefa), znów będzie wytrząsać rękami, i *Bogać-ta* nie ma wytrząsać, kiedy mu wszystko robisz *po przeciwności*.

— Niech se wytrząsa—odpowiedział Janek z małą niechęcią—ja raz powiedziałem, że nie pojedę z Jegomością dzisiaj do kościoła, i nie pojedę, i *juści*.

— Oj! Janek, Janek, jużto ludzie nie darmo mówią, żeś taki dziwny, *nikej* jaki głupi. Co to, czy ci jaka krzywda, że pojedziesz z Jegomością? Da ci wódki, nie zlecisz nóg i będziesz w kościele; potem *pojedzieta* do krewniaków Jegomości, tam cię uczciwie pożywią: i cóż? i złe ci?

(1) Wisem w Sandomierskiém nazywają tatarak, a Zielone Świątki, Świątkami.

— Ja-ta w domu i u matysi mam się czém pożywić; nie pragnący ja-ta po cudzych stronach chleba, a kiedy mówię że nie chcę z Jegomością jechać, toć muszę mieć do tego swoje *okazyją*.

— Ba! *okazyją*—powtórzył przewlekłe drugi, zwany Tomek—jużcié wszystko musi mieć swoje *okazyją*, a tobie to pewno ta *okazyja* wlaźła w skrzypki, bo się jużta zawdy tak do nich wydierasz, jakby Bóg wie nie do czego.

— No! Tomuś, ino cicho—odrzekł Janek oglądając się na wszystkie strony, czy ich kto obcy nie podsłuchuje—ja ci wszystko powiem po przyjaźni, bo ty nie jesteś żaden *bajbuga*. Otóż widzisz, dzisiaj odpust....

— No to i cóż? przecieć wszyscy ludzie wiedzą, że dziś odpust.

No, to prawda; ale widzisz na odpuscie, to dla każdego inna jest uciecha...

— A dla dziada—przerwał Tomek—to już najlepsza: bo choć się nadrze pyskiem i naprzewraca ślipiami *nikiej* szalony, to choć aby pełną garść groszy nazbiera.

— Ej, jata nie do dziada to stosuję, *ino* widzisz na odpuscie ludowiny jak nabił, nie przymierzając *nikiej* gwiazd na niebie, co człowiek patrzy, patrzy, a-ta ich coraz więcej przybywa. *Kaj ino* rzuci okiem wszędy ma na co spojrzeć: tu paciorki sprzedają, tam obrazki, krzyżyki, paski; na wozach orzechy, pierniki; a od wozów do kramów, od kramów do wozów ludowina się przewala *nikiej wróblowie*, co spędzisz ich z konopi, one lecą do owsa, spędzisz z owsa, one lecą na konopie; a ja widzisz między tém wszystkiém przechodzę, pokpiwam....

— O! już co tego—przerwał Tomek—to u ciebie nie kupić.

— A jak się zacznie lud sypać drogami i granicami ze wsi do domu, a w dzwony po nabożeństwie bić, a wszyscy *haru, haru, haru, haru*, *nikiej* pszczoły, co jak słonko poczują, brzęczą, szumią i lecą na wszystkie świata strony: to ja jak się temu przypatruję i przysłuchuję, to tak jakoś wszystko *ładno* wygląda, tak...

— A najładniej dziewczuchy—przerwał znowu Tomek—O! bo-ta wedle nich, to ci już nikt *nie wydali w zacharowaniu*.

— Ba! to téż nasze dziewczuska i do Boga i do ludzi: kiedy się ubiorą w cienkie koszulki, w *gorsyty*, w chustki białe na głowie i spódniczki jakie-ta kolorowe, to tak się zdaje, jakby się w słonku wykąpały, jakby-ta nad nie nic już na świecie nie było urodziwszego....

— Ino jedna Basia—domówił Tomek figlarnie spoglądając na Janka.

— No, zapewne— płonąc cały odpowiedział Janek— że dla Basi Pan Bóg nie zabaczył o urodzie, ale...

— No, cóż ale? pewnikiem ci Wojciech przyszedł do głowy.

— Ej! dajwa o tém pokój— z nieukontentowaniem odpowiedział Janek— nie mów mi o Wojciechu, bo mi zaraz... bo— i Janek zamilkł potrząsając głową, jakby chciał z niej oddalić nasuwające się przykre wrażenie.

— No, ja wiem, że ty wolisz o Basi— po małej chwili zabrał znowu głos Tomek— bo co Baśka, to nie stary Wojciech; ale dajwa im pokój, bo to *herne* Szpitalniki, i ty se po *próżnicy* Baśką głowy nie zaprzataj, chociaż ja-ta miarkuję, że ty się tak do niej wydzierasz na ten odpust, żeby wywodzić różne śmieszne rzeczy i potem burzyć w karczmie skrzypkami choć *bez* całą noc. Oj! Janek, Janek! już-ta przecie czas na ciebie mieć swój rozum w głowie, a ty szalejesz i szalejesz.

— Ej! mój kochany, takiś ty widzę, jak i drudzy: i cóż ja robię takiego szalonego? czy ja jaki krzywdziciel ludzki, czy gorzałkę lubię, czy-ta nie uczciwie służę Jegomości?..

— No, tego ci nikt *nie zadaje*.

— A że-ta umiem ludzi rozśmieszyć, że-ta powiem co składnego, że jak skrzyпки mam w garści, to mi wtedy ni spania, ni jedzenia: to i cóż komu to wadzi?

— No, no! zobaczysz jak ci-ta Jegomość zawadzi kijem o plecy jak zobaczy, że stoisz po *próżnicy*, zamiast zaprzęgać do kościoła.

— Niech cię-ta o to głowa nie boli; pędź się-ta co twoim plecem dostanie jak moim.

— A to jakim sposobem?

— Ba! jakim sposobem? Ja się obiorę za chorego, a-ta Jegomość wylatuje z za płota, wytrząsa rękoma i woła: (w tém miejscu Janek naśladując ruch i głos pana Józefa, mówił dalej) — a cóż u Judasza! czemu koni nie zakładacie?

Zaledwie Janek tych słów domówił z gestem bardzo komycznym, który Tomka pobudził do śmiechu, istotnie z za płotu wysunął się pan Józef z laską w rękę, którą podnosząc do góry, zawołał z gniewem:

— A cóż u Judasza! czemu koni nie zakładacie?

Janek złapany na gorącym uczynku nie stracił jednak przytomności: zgarbił się jakby przygnieciony boleścią, i rękoma trzymając się za brzuch, wołał:

— Oj brzuchu, brzuchu mnie boli! Oj! Boże kochany! Oj! brzuchu, brzuchu!

Tomek ledwo nie pękał ze śmiechu, a dusząc się jak mógł, skrył się między wozy stojące pod wystawą. Pan Józef tymczasem ciągle lającym wołał głosem:

— Już ludzie prawie poprzehodzili do kościoła; ja dawno wybrany czekam i czekam, a te gawrony ani myślą o jeździe. I czegoś się krzywisz i piszczysz—zapytał Janka—jakby ci kto pierzu w gębę nasypał.

— A bom chory, WPanie; nie dosiedziałbym na kozle.

— A ty gawronie czemu się schowałeś między wozy? czy myślisz że cię nie widzę.

— Niech Tomek jedzie, WPanie—odezwał się słabym głosem Janek—bo ja taki chory, że ledwo łążę.

— No, to czemu nie wyprowadzasz koni? Tomek! czyś głuchy? Kiedyś wiedział że Janek chory, to czemuś ty nie pomyślił o zaprzęganu? O gawronie, gawronie! —i zwracając się ku Jankowi zapytał troskliwie: — a cóż się tobie znowu zrobiło? Było przyjsć do dworu, tobym ci kazał dać kropli piołunowych.

— A nie wiem WPanie—ciągle jednym głosem odpowiadał Janek—coś mnie tak boli na wnętrzu, *nikiejby* kto krajał nożami—i w tém miejscu zwracając się jakby z wielkiej boleści tyłem do pana Józefa, przechodzącemu obok siebie Tomkowi do stajni, który przecież zdołał uśmierzyć chętkę do śmiechu, pokazał język i wykrzywił twarz drwiąco, że mu się oszukaństwo tak dobrze powiodło.

W małej téj scenie, tyle było chociaż prostéj, ale zręcznej komiki, że naturalnie Tomek zobaczywszy poruszenie Janka, tak sprzeczne z przybraną na siebie rolą, z całej siły parsknął śmiechem.

— A ty czego się śmiejesz?—wrzasnął z gniewem pan Józef, —co to drwinkowania ci się zachciało?

— Ej! co się mam śmiać—odpowiedział Tomek, wiedząc, że z Jegomością nie przelewki, i kiedy dobry, to go choćby na ranę przyłóż, ale jak zły, to strach. Oglądając się więc czy rozgniewany pan nie zawija się około pleców, dodał:—zwyczajnie, zachłyśnąłem się, a Jegomość myśli, że ja się śmieję.

— Zachłysnąłem się—powtórzył z przekąsem pan Józef—proszę, jaki mi łatwy do zachłysnięcia; co to? jész co, czy pijesz?

— Śliną W Panie, śliną—tłumacząc się mówił Tomek, gdy oczami ciągle poglądał po nabawiającej go niespokojnością łasce;—a zkądby mi śmiechy do głowy przyszły? czy ja głupi, czy co?

— No, no zobaczysz, jak ja ci się śliną zachłysnę, tylko mi prędko nie zajedziesz: kością w gardle ślina ci stanie, zobaczysz. A ty Janek, przyjdź do dworu, to dostaniesz kropli, kiedy cię coś w brzuchu boli.

— Oj! boli, boli, proszę Jegomości. Oj! brzucho, brzucho!—wołał Janek.

Gdy parobczaki zobaczyli już zachodzącego za płot pana Józefa, odezwał się zaraz Tomek.

— Oj ty Judo Janku, poczekaj!

— A widzisz, a nie mówiłem, że się prędzęj twoim plecóm co dostanie, jak moim; widzisz.

— A i ja tak myślałem—dodał Tomek wyprowadzając konie ze stajni—że-ta się nie *wymyśkam* dzisiaj od kija Jegomościwego, bo tak nim wywijał, tak się trzął, że *ino* co nie uderzyć.

— Ej! to fracha; krzyku-ta u niego nie kupić, ale na bicie to nie chciwy. A teraz se ty jedź z Jegomością, kiedy-ta tak lubisz, a ja *ino* się ogarnę, to ścieszkami prędzęj dolecę, jak wy końmi. A wieczór przyjdź do Świątnik do karczmy, bo jata pójde z graniem, to się ucieszewa.

— Oj tobie *ino* granie w głowie! Nietrzeba ci było zostać parobkiem, *ino* przystać *kaj* do jakiej kapeli, tobyś grał i grał.

Po tych słowach rozmawiający się, rozeszli i wkrótce potem drogą jechał Tomek z Jegomością, a ścieszkami, polami, jak się udało, chyłkiem biegł Janek podążając do kościoła.

* * *

Janek zwany Gruzda, któregośmy w rozmowie z Tomkiem poznali, byłto parobczak jakich mało. Żywy, wesoly, wielki figlarz, skrzypek sławny na całą okolice, zręczny do każdej roboty, z najlepszym sercem, był jednak różnie uważany przez ludność wiejską, wydającą o nim najsprzeczniejsze zdania.

Dziecinne swoje lata przepędził we wsi Świątnikach, w której matka połączona związkiem małżeńskim z włościaninem pańszczyznianym, była właścicielką dwóch zagonów ziemi, dających im przy zarobku i wyrabianiu płótna jakie takie utrzymanie. Póki żył stary Gruzda, było wszystko połątawszy: nie było wprawdzie zbyt-

ku, ale chleba nie brakło, i rzadkito był przednówek, żeby ich przymuszał do zaciągnięcia pożyczki.

Młody Janek w latach pierwszej młodości nie przedstawiał w sobie nic szczególnego: był potulnym, posłusznym, i jako jedynak podwójnie pieszczony. Uważano w nim tylko szczególne zamiłowanie do skrzypków, bo gdy usłyszał muzykę w karczmie, żadne zakazy, prośby, pilnowania nie pomogły: on musiał pokażać na swoim, i prześrubowawszy się między tłum karczemny siadał około grajka i basetlisty, i patrzył jak w tęczę na palce, co nikiej fruczki latały po strunach.

Po każdej takiej zabawie potem w domu ciągle strugał, dłubał, kręcił włosia końskie, które z wielkim zgorzeniem sąsiednich gospodarzy, i pomimo najtroskliwszej bacności zawsze kosztem ogonów ich koni umiał zdobyć na potrzebę swego majsterstwa.

Ojciec łajał, czasem na prawdę się gniewał, jeśli skarga do niego zanesioną została; ale to wszystko nic nie pomagało. Janek jak strugał tak strugał, i niczem napędzić go nie można było do nauki tkactwa, bo tu ojciec uczy, a Janek tylko drepce nogami, wodzi okiem po ścianach i myśli, jakby najprędzej wymknąć się do sieni i wziąć się do strugania.

Nareszcie jednego dnia struganie się skończyło: Janek wydłubał skrzypki. Ale jakieżto były skrzypki? Na kawałku prostej deski naśladowującej dosyć naturalne skrzypce, bo była i szyjka i w środku porobione werznięcia, stała w jednym końcu podstawka, na której oparte z włosia i jedwabiu pokręcone cztery struny, przechodziły do drugiego końca.

Pociągnięcie smyczka po tym dziwnym instrumencie przypominało bardzo brzęczenie różnych owadów: bąka, pszczoły, osy i komara; dla Janka jednak nietrzeba było więcej i od tego czasu o niczem więcej nie myślał, tylko o graniu. Matka każe zważać na gęsi, żeby gdzie w szkodę nie weszły, albo ojciec na cielaka lub trzy owce czarne jak kruki: Janek wprawdzie idzie za nimi, ale jak tylko upatrzył gdzie stosowne miejsce, siada, wyjmuje skrzypki, gra i gra bez końca, a gęsi, cielak lub owce *bonują* sobie w najlepsze po owsie, kapuście, grochu, jakby to dla nich były zasiane.

Czasem, gdy kto nie dostrzegł przeszło mu to płazem, lecz często oberwał i szturchańca od rozgniewanych rodziców; a gdy raz za złapane w szkodzie gęsi musiał stary Gruzda zapłacić,

w uniesieniu porwał skrzypki Jankowe, i potłukł w drobne kawałki.

Janek ledwo nie pękł z żalu; przez kilka dni był smutny, nie prawie niemówiący, uważano nawet że płakał: aż po kilku dniach nowe skrzypki stały znacznie ulepszone, bo i krecone były kołki, i dwie struny naturalne, które przy zerwaniu się przez grajka w karczmie rzucone o ziemię, on podniósł i troskliwie przechował.

Z wielkim więc smutkiem rodziców granie rozpoczęło się na nowo: pełno go było w izbie, w sieni, na podwórzu, w polu, bo Janek gdzie się tylko obrócił, musiał mieć skrzypki przy sobie.

Darmo rodzice bronili, prosili; lecz widząc, że to nic nie pomaga, westchnąwszy tylko między sobą i powiedziawszy— „ha! już widać grajkiem mu być wypadła, już mu tak przeznaczone“— nie sprzeciwiali się więcej Jankowi; czém ośmielony, skrzypków już prawie z ręki nie wypuszczał.

Łatwo się każdy domyśli, że przy tak ciągłym graniu, rodzice w domowym gospodarstwie niewielką musieli z niego mieć pomoc; na oko tak było w rzeczy samej, ale rzeczywiście nie można go było oskarżać, bo on przez godzinę więcej zrobił, niż drugi przez pół dnia, i do wszystkiego tak był zręczny, tak sobie umiał zaradzić, że gdyby nie to nieszczęśliwe granie, nie byłoby lepszego chłopca do roboty jak Janek.

W ten sposób przechodziły mu dziecinne lata, aż wyszedł na wyrostka, i żelazną kilkuletnią cierpliwością ukleił sobie sam skrzypce, na których zamasztyło już często i w karczmie wygrywał do tańca. Najlepiej jednak lubił wieczorną porę: oparty o płot albo siedząc na ławeczce przed domem nieraz tak się zapomniał, że jak zaczął grać, to i rodzice usnęli, i na wsi ludzie już na drugi bok się przewracali, i koguty północek opiały, a on ani pomyślał o spaniu, powiadając, że jak gra w nocy po rosie, to mu się zdaje, jakby tam gdzieś w polu za chałupami siedział grajek, i uczył go co ma wygrywać.

Swobodne to było życie naszego Janka: niczém sobie głowy nie zafrasował, bo rodzice o wszystkiém myśleli; a on wesoły, figlarny, wyrastał jak topola, jak młody zajaczek, co kryjąc się na wiosnę między podrastającym zbożem skubie trawki, nie wiedząc o zimie ani o wyprawach myśliwskich, czyhających na jego życie.

Ale wszystko ma swój koniec: i Janek dotąd spokojny, nie troszczący się o potrzeby codziennego życia, niemyślący o przyszłości, skrzypkami jedynie zajęty, nagle śmiercią ojca przywołany został do rzeczywistego, do więcej praktycznego życia, które z początku tak mu się nieznośnym stało, jak jarzmo pierwszy raz włożone na kark młodego wołu, co nie myślał o tém, aby jego przeznaczeniem było ciągnąć pług, i uprawiać ziemię dla człowieka.

Nie było jednak co robić: potrzeby przyciskały, więc trzeba było myśleć o pracy, i rozstać się z kochanymi skrzypkami.

To dobole mu do żywego; praca jak praca, bo téj się nie lękał, i nad podziw zręczny był w każdej robocie, ale porzucić skrzypce, rozstać się z kochanym grajkiem, który w nocy po rosie gdzieś tam zpoza wsi od pola odpowiadał na jego wygrywanie; to mu się zdawało niepodobnym. Ulegając jednak twardemu losowi w jedno tylko święto wracał do skrzypków, resztę tygodnia poświęcając pracy i zatrudnieniom domowym; a jeżeli nie wszystko szło tak jak za starego Gruzdy, nie można było o to obwiniać Janka, bo on starał się, myślał, zabiegał o ile mógł, i o ile własne siły na to pozwalały.

Przykre, nieznośne było życie dla młodego Janka; wprawdzie niezadowolenia swego nigdy słowem nie objawił, bo on może i sam nie wiedział co mu brakuje; ale uważano, że od śmierci ojca jakoś spoważniał, nie był tak figlarny jak dawniej, a jeżeli wieczorem po całodziennéj pracy wziął skrzypce do ręki, to albo porzdąkał ni to ni owo, albo téż zagrał tak smutno, tak rzewnie, że i jemu i matce na płacz się zebrało. Wówczas rzucał skrzypki na łóżko, siadał na ławeczce przed chałupą, i patrząc po gwiazdach; po niebie, czekał na zwykły wieczorny positek.

Lecz na każdej zabawie wiejskiej czyto w karczmie, czy na weselach, Janek zmieniał się zupełnie do niepoznania. Język wtenczas latał mu jak na kołowrocie, a wszystko składno, a wszystko uciesznie, że ludzie tak się śmieli, jakby grzmoty huczały, kiedy niebo ma strzelić piorunem.

Gdy słów już brakło, to się odezwał głosem koguta, psa, lub jakiego innego ptaka, których wybornie umiał naśladować; a ludziska znowu w śmiech, do zabawy, do żartów: i wszystkim tak mile czas upływał, że nawet nie wiedzieli kiedy nadszedł północek, a z nim zwykła pora udawania się na spoczynek.

Chociaż Janek jako gospodarz był dosyć zabiegliwy i wszelkimi siłami starał się zastąpić zmarłego ojca, nie szło mu jednak

wszystko po myśli. Wyrabianiem płótna nie mógł się zajmować, bo w tkactwie był nieukiem jakich mało; pozostawał mu więc jedynie zarobek najmowania się dziennie do różnych prac gospodarczych, ale ten nie był ciągły; a idąc za popędem dobrego serca, gdy tylko kto umiał *ładno* i potulnie poprosić Janka, zaraz go kupił, zapłaty obiecywał czekać, której zwykle odbiór, używając wyrażenia wiejskiego, następował na *Józefata dolinie*.

Różni także łapigrosze, którzy choć nieposiani, a ciągle się mnożą między wszystkimi klasami społeczeństwa, poznawszy usposobienie poczciwe Janka, dalejże do niego o pożyczkę: ten ćwiartki żyta, jęczmienia, ten o bochenek chleba, ów o kilka snopków kłociaków; a Janek dawał, bo jakżeż tu nie dać; kiedy każdemu tak pilno potrzeba, kiedy każdy klnie duszę, ciało, że za dwa dni, za tydzień, jak tylko namłóci albo zmiele, natychmiast odda.

Ale obiecanka cacanka, a komuś radość; i gdy jedni uiszczali się w terminie, drudzy zwłócząc od dnia do dnia stawiali Janka w najprzykrzejszym położeniu, tak, że przyciśnięty potrzebami, gdyż wszystko co miał, posiadał tylko do bieżącego użycia, a nie na chowanie, musiał biedak szukać gdzieindziej pożyczki z lichwą tak wielką, że prawie przenosiła kapitał.

Lecz na jednej biedzie zawsze mało: bo niedosyć, że łaskawi sąsiedzi skubali go na wszystkie strony, ale jeszcze chałupa, której połowy byli właścicielami, na gwałt wzywała ratunku.

Naglił więc współwłaściciel o materiał, sołtys o podatek, wierzyciele o zwrot udzielonej pożyczki, brzuch o posiłek, grzbiet o sukmanę, nogi o buty; a tu zkąd brać na to wszystko, kiedy leżałych pieniędzy po ojcu nie było, roli mało, a zarobek łatwo-wierność Janka tak znacznie uszczupliła?

To wszystko tak mu dogryzło, że sposepniał, zrobił się mruk, jakby języka w gębie zapomniał, na skrzypce zaledwie spojrział; i nareszcie biedząc się tak jakiś czas, rozmówił się z matką i część chałupy wraz z gruntami sprzedał.

Radzono mu wprawdzie dosyć posażne małżeństwo, któreby go z kłopotów wyprowadziło; ale Janek ani słuchać o tém nie chciał, powiadając, że mu *żeniaczka* ani razu jeszcze nie powstała w głowie.

Tak więc Janek pozbywszy się frasobliwego gospodarstwa, popłaciwszy wszystkie długi, zakupiwszy dwie krowy, nową sukmanę, czapkę, a przede wszystkim inne skrzypki i basetkę: ujrzał

się znowu swobodnym, wesołym jak dawniej, bo mu nie groziły ani egzekucye, ani natarczywe wołania wierzycieli, ani codzienne potrzeby, które zaspokajał w części własną pracą, w części zasobami pozostałymi od sprzedanego mienia. Niedługiem jednak było to zadowolenie, bo Janek to jeszcze miał szczególnego w swoim usposobieniu, że wszystkiem póty ochocho się zajmował, dopóki się z tém nie oswoił, dopóki nie starło z siebie szaty nowości.

I tak, kiedy pracował i biegał za zarobkami, to już całą duszą: nie pomyślał nawet o skrzypcach; kiedy grał, to już dzień i noc, że prawie usypiał ze smyczkiem w rękę; kiedy go napadła chęć próżnowania, to chodził od płotu do płotu, przesiadywał w miejscu czasem po godzinie, patrzył po polach, po niebie, po gwiazdach, i wtenczas obiecuje mu choćby złote góry, aby pomógł w jakim zatrudnieniu, to tylko poruszył ramionami, poprawił czapki na głowie i wycedziwszy przez zęby—, „chory jestem, nie pójdę“— powlókł się leniwym krokiem gdzie pod jaką chałupę, i dumał, i myślał Bóg wie nie o czém.

Napady te, stosownie do okoliczności, były krótsze lub dłuższe; uważano tylko, że najlepiej lubił pracować w polu na wiosnę lub w pośród lata, a unikał ile tylko mógł wszelkiej roboty w domu lub w stodole, powiadając, że w polu i świat widzi, i słońce jak wschodzi lub zachodzi, i słyszy ptaków jak śpiewają, a w stodole to *nikiej* w piwnicy. Dlatego téż zimową porą gra na skrzypcach stawała się dla niego jedynem zatrudnieniem; jak nie grał, to próżnował, ale do pracy ani go namówić. Poczawszy więc w sobie prawdziwe zamiłowanie skrzypków, postanowił rzucić wszelkie inne zatrudnienia, które go pomimo doznawanej swobody już znudziły, tylko w tym zawodzie przebiegając wsie i miasta, szukać stałego dla siebie zarobku.

Chociaż gra na skrzypcach dosyć mu znaczne przynosiła korzyści, lecz te zyski nie były ciągłe i tak trwałe, aby na nich mógł zakładać swoje utrzymanie. W jedne tylko zapusty był jak w swoim żywiole: z wesela na wesele, z karczmy do karczmy— wszędzie był rozrywany: grał, śpiewał, coraz nowsze wynajdywał nuty, a ludzie hulali, chwalili, nie mogąc się dosyć nadziwić uciesznemu Jankowi.

Nareszcie takie ciągłe granie, ciągłe odurzanie się zabawami, zaczęło go już nudzić; zateśknął do pracy, do ptaków co po świecie śpiewają, i nie mogąc sam siebie zrozumieć, umyślił spro-

bować nowego dla siebie chleba; i choć w środku roku, bo na Wielkanoc, wszedł w służbę za parobka do sąsiedniej wsi gospodarza.

Z początku było wszystko jako tako: bo nowość, jak wiemy, zwykle mu się bardzo podobała. Pracował więc szczerze, uczciwie, bo zawsze w polu, zawsze przy słońcu i ptakach; ale jak przyszła jesień, on zamiast z końmi na łąki, *łap* za skrzypki, i *myk* cichaczem do karczemki. Za nim jeden, drugi i trzeci, i ni ztąd ni zowąd, hula młodzież, wybija podkówkami, a konie gospodarza dzwonią zębami przy żłobach.

Na drugi dzień niewyspani, powstawali późno; robota się opóźniła, za nią uległ zmianie i porządek dnia całego: ztąd swary, nieporozumienia, a kto winien? — Janek; kto wszystkich pobałamucił? — Janek. Słowem, cokolwiek się we wsi złego zrobiło, wszystko to pakowano na biednego Janka, a on tylko wzdychał, potrząsał głową, powiadając, że jak przyjdzie na niego taki czas, a on nie wyśpiewa się, nie ugra na skrzypcach, i nie wygada: to mu się takie *dziwności* roją po głowie, tak mu się wszystko mąci, że o *krzyne* a *ino*, *ino* nie zgłupieje.

Ale kto tam zważał na takie tłumaczenie! Swary więc nie ustawały, i Janek zmierzwiwszy sobie służbę u chłopca, nie dobywszy roku, nie wybrawszy należnych mu zasług, jeszcze na kilka tygodni przed Nowym Rokiem prysnął ze służby, i zaczął się wafesać po świecie.

Zima zeszła jak nic, bo wesele po weselu i inne uroczystości wiejskie, ciągle prawie bez przestanku następowały po sobie; a wszędzie Janek rej wodził, wszędzie na skrzypcach wygrywał, a dziewczęta tylko krasniały wiele razy która spojrzała na urodzonego chłopaka.

Przyszędł post, potem wiosna; znowu się smutno Jankowi zrobiło, a odrzekłszy się służby u chłopca, dał się namówić za parobka do dworu, i dlategogo widzimy go w służbie u pana Józefa.

Przechodząc przez takie różne zmiany i tarapaty, zupełnie się zmienił, stał się prawie niepodobnym do dawnego Janka; czasem tylko bywał w złotym humorze, pełnym najwyborniejszych figlów, lecz częściej napadały go: smutek, ponurość, stronienie od ludzi. Jakby na większe swoje udreczenie, chociaż znał Basię córkę Sierpnia od lat dziecinnych, teraz dopiero na różnych weselach,

w których za druchnę służyła, przypatrzywszy się jój lepiej, i nahlawszy się co tylko nogi starczyły, przylgnął do niój całą duszą, i wyprawił dwie kobiety z wódką, aby ją dla niego swatały.

Można się łatwo domyslić, jak stary Sierpień swaty takie przyjął; kobiet ledwo że nie wybił, i zaklął duszę i ciało, że jak świat światem, tak nigdy Janek zięciem jego nie będzie.

Basia o mało się nie rozplakała, gdy usłyszała taką odpowiedź, a Janek stanowczój od tego czasu uległ zmianie. Skrzypców wprawdzie nie opuszczał, ale widziano, że często się zamyślał, wdychał, zmizerniał, mało mówił, i tylko wtenczas kiedy był razem z Basią, przychodziło wszystko dawne do niego: i żarty i figle, i wesołość, a w innym razie i trzech zliczyć nie umiał; najchętniej lubił samotność.

Wtedy ludzie mówili, że jak na pastwisku pasie konie w nocy, to nim się uładzie, patrzy po gwiazdach na wszystkie strony, i czasem *nikiej* głupi sam gada do siebie. Janek się nie zapierał, powiadając, że mu jakoś najweselój i najładniej samemu, i że jak tak ogląda się *wedle* siebie po gwiazdach, po miesiączku, to mu tak coś kręci w sercu, tak mu się gęba wydziera do *gadki*, jakby kto siedział *wedle* niego i *duchem* go ciągnął za język.

Gdy więc tak Janek traci przez czas na swobodzie duszy, jedno tylko serce zostało jak dawniej, za którego idąc popędem znowu stawał się łupem kłamanój przyjaźni, trwoniąc na częstunki, na małe pożyczki grosz ciężko przez siebie zapracowany. Gdy lepsi znajomi przestrzegali go strofując o takie nieszanowanie pieniędzy, on zwykle w odpowiedzi potrząsając na to głową i ręką, mawiał: „jak będę zdrów, to przecieć se zarobię; jak zachoruję, to zawiezieta mnie do szpitala; a jak umrę, to *rychtyczek tyła* ja wezmę z sobą na tamten świat, co i największy pan, choćby-*ta* złoto worami się u niego walało.

Takim będąc Janek, różnie był uważany przez ludność wiejską. Matka nazywała go swoją pociechą, bo był najlepszym synem, i każdy grosz co jeszcze z niego nie wydrwili przyjaciele, oddawał na jój potrzeby, zapominając prawie o sobie. Nowe nawet objęcie służby u pana Józefa było ofiarą zrobioną dla niój, bo wzięwszy ordynaryą przeprowadził matkę do siebie, i zapewnił stały kawałek chleba, którego już zaczynało braknąć.

Starzy gospodarze pilnujący domu i gospodarstwa nazywali go urwipółciem, bałamutem, próżniakiem. Oszczędni i zabie-

gliwi, utracyuszem i marnotrawcą. Młodzi parobcy, dobrym chłopaczyskiem; dziewczuchy, uciesznym Jankiem. Stary Sierpień nazywał go ladaco i obieżyświatem, a pan Józef mówiąc o nim powiedział, że to dobry i poczciwy chłopak, nie pijak, nie złodziej, kiedy chce i ma ochotę, to nawet dobry robotnik, ale taki czasem dziwny, jakby mu piątą klepki brakowało w głowie. Wszyscy zaś zwali go skrzypkiem jakich mało, [dobrym do uciechy, do zabawy, ale jak wiatr, co dziś tu, jutro tam, nigdzie miejsca nie zagrzeje; powiadając nadto, że Janek ujdzie chłopaczysko, lecz strasznie głupi, niedbały o siebie, miękkiego serca, i byle kto, to go w pole wywiedzie.

Znając teraz Janka, jakże my go nazwiemy? jak określimy ten dziwny, niespokojny umysł wiecznie goniący za nowością, prędko każdą rzeczą nudzący się, niedbały o byt materialny; dziś wesoly, jutro smutny; dziś gadatliwy, pełen dowcipu i igraszek, a jutro milczący i ponury; cały zatopiony w skrzypcach, w piosnkach i zabawie, z poczciwem sercem, czasem z zapalem oddany pracy, a czasem tak potwornemu próżnowaniu, jakby mu kto ręce i nogi poobcinał.

Gdybyśmy się nie lękali ironicznego uśmiechu naszych czytelników, powiedzielibyśmy, że Janek był... poetą.

Ale gdzie chłop może być poetą? Wszakże poezya to tylko siostrzyca wykształcenia: z niem chodzi razem w parze, pod jego cieniem rozwijając życie, dźwięczy potem czułemi tony, co łzę z oka i westchnienie wydobywa z piersi; a tu Janek nawet pisać i czytać nie umiał: gdzie więc jemu być poetą! A jednak pieśni i śpiewy, jakich zbiory dosyć już liczne posiadamy, najlepszy dają dowód, że poezya której są wytworem, czysta, jedrna, rodzima, żyje między ludem wieśniaczym; bo inaczej w najśmieszniejszą wpadlibyśmy sprzeczność.

Wszakżeż starożytnych rozum bardzo słusznie kiedyś powiedział, że poeci się rodzą; a jeżeli wykształcenie, cały zapas wiedzy zdobyty z ksiąg i nauki, postawi takiego na czele zwyczajnych ludzi, co potęgą słowa i układem myśli zdumieje świat cały; to tylko poda mu środki do większej działalności, przepelnionej poezją duszy, ale nie stworzy, nie nauczy zostać poetą.

Poeta więc, to odrębna, wybrana istota, co z chwilą narodzin odbiera zaraz namaszczenie na ten dar Boży; co przeznaczona żyć sercem i wiecznie cierpieć; bując myślą gdzieś tam poza światy, a zapominając o zlepku gliny w której się dusza kołacze:

szukać jakiegoś wymarzonego ideału piękna, wszędzie go przeczuwać, domyślać się, i dlatego wieczne mieć pragnienie, i potem gonić i gonić za nim bez końca.

To jest tło, na którym się rozwija życie każdego poety. Szczęśliwy, komu nauka podawszy pióro w rękę, dozwoli w postaci pisma ulecieć rojowi myśli ścierających się do zbytku w działalnej jego duszy, bo ideał za którym goni, ucieleśnił wyrazem; więc się cieszy, chociaż chwilą ulgi, nim nowy zaléw myśli przypłynie z serca do głowy. Ale jakież godzien litości biedny poeta, co umie czuć i marzyć, ale tylko wewnątrz siebie, bez możności otworzenia serca na zewnątrz, i pokazania co się w niem dzieje; czyż więc ta niespokojność, to szamotanie się ducha, a ztąd niesmak i niezadowolenie, jakie się naturalnie rodzą w duszy takiego biedaka, nie musi się odbić i w sprawach codziennego życia, znacząc każdy krok jego zupełnie innemi cechami, pod jakich godłem tłumy zwyczajnych ludzi kroczą z dnia na dzień w wielkiej ziemskiej podróży?

Poezja więc, to poczucie i mowa duszy, miałażby omijać nizkie wiejskie strzechy, kryjące lud pracowity, a szukać swoich wyobrazicieli tylko zrodzonych na łonie dostatków i cywilizacji? Trudno coś podobnego przypuścić, bobyśmy naturze przypisywali błąd człowieka, który często zapomina, że wszyscy bez różnicy jesteśmy dziećmi jednego ojca—Boga.

Janek więc w całym znaczeniu tego wyrazu był *poetą*: grał, śpiewał, składał piosnki, bo każdy wydobyty ton był jedną zgłoską z wrzających jego myśli. Smyczek piórem, a skrzypki papierem, po których hasał to smutno, to wesoło, jakim czuciem grała jego dusza.

Czego nie mógł lub nie umiał wygrać i wyśpiewać, zamieniał to w czyny codziennego życia; i dlatego raz był smutny, to wesoły, próżniak i pracowity, niestały w obraném zatrudnieniu: bo wszędzie szukając zajęcia dla zrównoważenia wewnętrznego niepokoju, każdą nowością nie mógł się długo zajmować, gdyż ta nie będąc tém za czém goni każdy poeta, tylko chwilowo nęciła naszego Janka, i naturalnie prędko nudząc, do coraz nowszych zmian popychała.

Łatwowierność, niedbałość o grosz zapracowany, dobroć serca, i poczciwe przywiązanie synowskie: czyż to także nie są cechy prawdziwego poety, człowieka, który więcej żyje duszą, niż ciałem?

Tak określiwszy Janka, spodziewamy się, iż wyrok potępienia nie spadnie na jego głowę, bo mój Boże! wielużto takich Janków znajdzie i między nami i między ludem wieśniaczym, co w miejscach litości, tylko wzgardę i pośmiewisko od ludzi odbierają (1).

(1) Dla dopełnienia przedstawionego obrazu *poety* chłopca, musimy dodać, że we wszelkich umiejętnościach ludzkich dopiero przez naukę wchodzących na drogę ogólnego użytku, można spotkać wrodzone usposobienia między ludem wieśniaczym.

I tak: są między nimi niektórzy, co z dziwną dokładnością i właściwym sobie krytycznym poglądem opowiadają wydarzenia historyczne, których albo sami byli świadkami, albo słyszeli od drugich, i wpadłszy raz na miłą sobie gawędę, trudno się końca ich mowy doczekać.

Czyż to nie jest wrodzone usposobienie na historyka dziejów ludzkości?

Są inni, którzy tak umieją naśladować głos, ruchy, sposób wyrażania się znajomych sobie osób, że kopia nie tylko w niczym się nie różni od oryginału, ale pod względem sztuki nawet go przewyższa, bo komiczną stronę przedstawionego jasno i dobitnie maluje.

Czyż to nie zaród talentu na artystę aktora?

Wielu jest także takich, że opowiadanie jakiego wypadku tak malowniczo, tak żywo i dowcipnie prowadzą, że się trudno ich nasłuchać.

Czyż to nie są pobłyski talentu na humorystę i powieściopisarza?

A wielużto jest włościan w każdej niemal okolicy, co bez żadnej nauki i poprzednich wiadomości doskonale rwą zęby, składają złamane członki, naprowadzają wywichnięte ręce lub nogi, a wszystko narzędziami przez samych siebie z żelaza w miejscowej kuźni ukutymi?

A na jakichto mechaników można natrafić między ludem wiejskim, co naprawiają, naśladowają i stwarzają nawet różne maszynerye w gospodarstwie wiejskim używane!

Widzieliśmy młocarnie, olearnie, tartaki kieratowe, wszystko ręką i niewykształconą głową chłopca stawiane z najściślejszym obrachowaniem wszystkich wchodzących do nich części.

Słyszeliśmy także, iż w okolicy miasta Pułtuska jest włościanin, co urządził podług własnego pomysłu żniwiarkę w najdrobniejszym szczególe zgodną z prawami mechaniki, chociaż jest mu obcym nawet nazwisko tej nauki.

Tenże sam włościanin powiada, iż ma w głowie taką maszynę, co będzie miała ruch nieustający.

Czy oba te pomysły znajdują praktyczne zastosowanie—o tym wyrokować nie możemy, chociażby nawet nic nie było dziwnego, gdyby się nie udało; w każdym jednak razie dowodzą wielkiej siły twórczości, zastanawiania się i prawdziwego talentu, który poparty nauką mógłby w zawodzie mechanicznym może bardzo wysoko stanąć.

Słuszność tych uwag niech osądzą wszyscy ci, którzy z ludem wiejskim mają bliższe i codzienne stosunki.

W kościele parafialnym ludu jak nabił. Ławki przy wielkim ołtarzu były zajęte przez kollatorów i obywateli większe znaczenie posiadających w okolicy, dalsze przez skromnych właścicieli mniejszych posiadłości, dzierżawców i oficyalistów prywatnych, a resztę miejsca zajmowała stojąca lub klęcząca gromada włościan, z której młode dziewczęta w różnokolorowych chustkach na głowie, białych, pstrych i w kwiaty, w takichże samych gorsekach i spodniczkach z sutemi wiązkami na szyi koralu i paciorków, stały przed samymi kratkami wielkiego ołtarza; za nimi mieścili się gospodynie, dalej parobczaki w kamizelach i w modrych sukmanach, a w końcu dopiero pokazywały się siwe i łyse głowy starszych wiekiem włościan, z sumienną troskliwością i licznymi nabożnemi westchnieniami znaczących przesuwaniem paciorkami na prostym różańcu odmawiane pacierze.

Jaki taki wyjmując tabakierkę z kory brzozowej, poczęstował z niej sąsiada; poczęstowany zażył, powiedział „Bóg zapłać,” i dalej szeptał na chwilę przerwane modlitwy.

Czasem także i dziewczęta się jaka poza siebie obejrzała, czasem i parobczak rzucił wzrok ciekawy między krasne przodownice, co ustrojone w jaskrawe kwiaty, wyglądały jakby każda z nich pół ogrodu zabrała na głowę; czasem i w ławkach poszeptano między sobą, kryjąc usilnie na usta wchodzący uśmiech z jakiejś dowcipnej uwagi; ale te wszystkie drobne przeszkody nie przerywały ogólnego nabożeństwa, bo po chwili każdy wracał do pacierzy lub do modlitw z książki odczytywanych.

Suma już była na ukończeniu. Kapłan po odczytaniu *Ita missa est*, udzielił błogosławieństwo zebranemu ludowi; ten z rumotem powstał, każdy zrobił znak krzyża Śgō i poprawiając to odzienia, to szukając czapki, to chowając różaniec lub książki nabożne, zabierał się do wyjścia z kościoła.

Najprzód zaczęły się poruszać ławki. Przed kościołem już było słyhać zajeżdżające bryczki i powozy obywatelskie; wieśniacy jednak jeszcze w większej części zostali, bo organista z chóru zaintonował, „Anioł Pański zwiastował Maryi Pannie“, któryto śpiew naprzemian przez chóry męzkie i kobiece był dalej prowadzony.

Piękny to widok modlącego się ludu! Wówczas człowiek choćby najtwardszego serca mimowoli się ukorzy i powie: „z prochu powstałem, w proch się obróćę.“ Szczęśliwy, kto takich wrażeń doznaje!

Wyszłe z kościoła obywatelstwo wita się z sobą, wypytuje o nowinki, o zdrowie; ksiądz proboszcz grzecznie zaprasza na przekąskę i obiad do plebanii, a lud tłocząc się do święconej wody, pomалу wypływa przez wielkie drzwi kościelne.

Lecz dla ludu nie koniec jeszcze nabożeństwa. Dwa rzędy obdartych bab i dziadów, wrzeszcząc, śpiewając, wyciągając ręce z różnego rodzaju miseczkami i skorupami żółwiemi doprasza się o jałmużnę, obiecując modlitwy to za duszę zmarłych, to do Pocieszenia, to do Przemienienia Pańskiego; jakżeż więc tu nie dać, kiedy każdy ma zmarłego jakiego blizkiego krewnego, każdy potrzebuje pocieszenia lub przemienienia obecnego swego położenia. Kobięty więc odwiązują supełki u chustek z groszakami, mężczyźni szukają po pasach: słowem, każdy się *ładuje* na obdarczenie proszących jakim małym datkiem.

Cała téż linia bab i dziadów, wzięta jest jakby w oblężenie; ze wszystkich stron cisną się ręce, sypią się grosze zamawiające pacierze to za duszę Jana, Wojciecha, Agnieszki i t. d., to na jaką intencyą. Lud głośno rozprawia, a dziady odebrawszy datek, pokornie wymawiają: „Panie Boże wielki zapłać“ i kiwnąwszy głową na znak zrozumienia intencyi, wodzą ciekawym wzrokiem po wszystkich stronach, szukając przechodniów, a z niemi i nowych groszy.

Na boku, nie łącząc się z gawiedzią proszonych dziadów, przybyłych na odpust ze stron dalszych, przy samych drzwiach kościelnych siedzi para miejscowych: jeden z siódmym już krzyżkiem na łysój jak kolano głowie, zwany głuchy dziadek, dlatego, że nie prawie nie słyszy, nadstawia wprawdzie uszy, ale wrzeszcz choćby przez tubę, on tylko kiwnie głową, wolnym głosem wymówi „dobrze, dobrze,“ lecz można przysiąc, że ani jednego słowa nie usłyszał; a druga o parę dziesiątków młodsza od niego kobięta przygarbiona, i choć uboga, ale czysto i schludnie ubrana.

Koło nich ścisk największy, bo to od lat dawnych ciągle przy jednym kościele: wszystkim więc znani, bo każdemu niemal do jakiego obrzędu, chrztu, ślubu, wyvodu lub i pogrzebu służyli; im zatém najprzód jałmużna należy, a potem dopiero przybyszom.

Głuchy dziadek z gołą głową i wyciągniętą ręką ciągle odmawia: „*Zdrowaś Marya*“; z początku zwykle głośno, a potem coraz ciszej, ciszej, nareszcie tylko szemranie widać na ustach, aż głośnym wymówieniem: *Zdrowaś Marya*, daje znak, że na nowo

rozpoczyna pacierze. Przy każdym uchu głuchego dziadka stoi po kilku wieśniaków i wieśniaczek, każdy wtyka grosz w rękę, a w ucho wrzeszczy:

— Za duszę Józefa!

— Za duszę Katarzyny i Wawrzyńca!

— Za duszę Małgorzaty i Tomasza!

Głuchy dziadek kiwa tylko głową, czasami nawet zafanfaronuje i zapyta się: *hę? jak?* a chłopisko ucieszony, że jałmużna w las nie poszła, powtarza imiona zmarłych; dziaduś znowu kiwa głową na potwierdzenie że usłyszał, chociaż tyle wie, co i wprzód.

— A cóż?—zapytała się jedna z kobiet powracającego męża od dziadów, koło której stała znajoma nam Basia—a cóż dałeś głuchemu dziadusiowi za duszę tatusiów?

— A ino? dałem.

— A usłyszał?

— Bogać-ta nie miał usłyszeć—odpowiedział włościanin poprawiając na sobie pasa—kiedy-ta tak się darłem, a wszystko do ucha, co *ino* siły starczyło.

— O! moje kochaneczki—odezwała się kobieta odwracając się do swoich sąsiadek—jemu trzeba wszystko *dokumentnie* przełożyć, bo to dziadusiątko głuche jakby uszów nie miało, to i nie dziwota, że czasem i nie dosłyszysz; a człowiek kiedy-ta nie żałuje za dusze zmarłe, to radby przecie wiedzieć, że-ta z jego *okazyi* dziady paciérz odmawiają—i w tém miejscu odwracając się do męża, dodała:—czy *ino* *pewnikiem* usłyszał, za jakie dusze ma się modlić?

— Ba! jużcić usłyszał, bo mu naprzód głośno powiedziałem, on się zapytał, i potem mu ze dwa razy jeszcze poprawilem, bo-ta mu ludziska przy drugim uchu przeszkadzali; a on kiwnął na to głową i rzekł: „dobrze”, to i czegoż trzeba więcej?

— No *juźcić* to prawda, musiał usłyszeć.

— A *juźcić*, a *juźcić*—potwierdziły sąsiadki.

— Ale jeszcze starój Hance trzeba-ta grosz jaki wścibić—odezwała się znana nam kobieta Jędrzejowa, ciotka ładnej Basi, i wraz z nią i sąsiadkami przysunęły się do babki kościelnej.

Ten sam tumult ludu co przy dziaduniu głuchym, był i przy starój Hance: każdy z chęcią składał grosz w ofierze, a prosił o modlitwy.

Popychano się, tłoczono, grosz za groszem spadał do ręki Hanki, która za hojne dary ciągle *Bóg zapłać, Panie Boże wielki zapłać*, otaczającemu ludowi odpowiadała. Pomалу docisnęło się i znajome nam grono kobiet, i kolejną przystępując do Hanki, mówiły:

— Moja Hanuś—głaszcząc po twarzy babinę odezwała się pierwsza Jędrzejowa—macie tu trojaka i zmówcie za duszę wszystkich naszych krewniaków, za duszę w czyśćcu cierpiące i do Opatrzności boskiej.

— Panie Boże wielki zapłać — odpowiedziała Hanka.— W imię Ojca i Syna i....

— Słyszycie — odezwała się inna kobieta szarpiąc Hankę za ramię i naturalnie przerywając rozpoczętą modlitwę—*namcie* za duszę Jana i do św. Walentego patrona od wielkiej choroby, a wydajcie grosz, bo wam daję trojaka.

— Bóg wam zapłać, moja Józefowa—odrzekła Hanka serdecznie wzdychając, szukając leniwo do wydania grosza.—Święty Walenty pociesz téż nas pociesz, i módl się za nami; w imię Ojca i Syna....— i sama przerywając sobie zapytała czekającej na wydanie grosza kobiety:—może-ta ten grosz na jutro już zostawicie, tobym przy mszy stój litanią odprawiła do św. Walentego?

— Ha, żebyście tylko nie zabaczyli....

— A, nie bójcie się mój robaku, nie zabaczę, nie zabaczę.

— No, to dobrze, ale litanią zmówcie nie jutro, *ino* w sobotę przed wieczorem, bo-ta ostatni raz, to go w sobotę po południu wytłukło (1).

— Dobrze mój robaku—odrzekła Hanka nabożnie wzdychając—Boże Wszchemogący pociesz ich téż, pociesz.

— Za duszę *Jagaty*.

— Do *Wszystkich Świętych*—odezwały się dwie inne kobiety ustępując coraz większemu naciskowi ludzi. Lecz Hanka nie dosłyszawszy, zatrzymując jedną z nich za spódnicę, zawołała:

— Na jaką *intencyj*ą? zmiłujcie się powiedźcie na jaką *intencyj*ą, bo ja nie chcę brać grosza na swoje sumienie.

— Do *Wszystkich Świętych* — powtórzyła przytrzymana, a Hanka przezegnawszy się, puściła zatrzymaną kobietę.

(1) Paroksyzm konwulsyjny nazywają tłuczeniem: nie powiadają, że ktoś miał konwulsye, ale że *wytłukło go*.

— Do pocieszenia Matki Boskiej—wyrzekła nieśmiało Basia, wtykając piąta w rękę Hanki—i za duszę matusi Maryanny.

— Bóg ci zapłać, moje dziecko, niech cię Bóg pocieszy.

Z kolei przystąpił także i Jędrzej wuj Basi, a trzymając jedną ręką otwartą dłoń Hanki, na której położył trojaka, palcem drugiej wskazując mówił:

— Za dwa grosza zmówcie litanią do *Wszystkich Śtych bez dziś i bez jutro*; a grosz macie do świętego... do świętego... bodajcie, *ino* co miałem na języku.

W tém miejscu Jędrzej zafrasowany zaczął się skrobać po głowie, przypominając imię świętego, do którego miał zamówić pacierze.

Hanka już chciała zamknąć dłoń z trojakiem, ale Jędrzej nie popuścił; choć myślał, trzymał jednak rękę, bo nie chciał wyrzucić na darmo pieniędzy.

— Do Śgo Józefa Oblubieńca—odezwała się przypominając Hanka.

— Ej! nie.

— To może do Śgo Stanisława—mówiła dalej Hanka czekając ciągle z otwartą ręką końca medytacyi Jędrzeja.

— Ej nie, to przecieć w Kliczanowie *ino* daje się na pacierze do Śgo Stanisława.

— No to kiedyindziej przypomnijcie *se*—odezwała się znowu Hanka—a dzisiaj ten grosz niech będzie do Śgo Stanisława.

— Tak wam-*ta* mówić, bo wam wszystko jedno byle odmówić swoje; ale ja com *se* obmyślił, to pomaluśku i przypomnę.

Dłoń więc nie zamykała się, trojak nęcił, Hanka się niecierpliwiła, bo inni ludzie czekali, a Jędrzej ciągle się skrobał w głowę i myślał.

— Ej! bodaj was z tém myśleniem—odezwało się kilka głosów dokoła—*ino po próżnicy* zabawiacie ludwinę. To może do Śgo Wojciecha, do Śgo Pawła — i wszyscy naprzemian zaczęli przypominać imiona różnych świętych; ale widać, że nie odgadywali, bo Jędrzej potrząsał przecząco głową, aż nareszcie zniecierpliwiony odezwał się, zawsze jednak nie popuszczając ręki Hanki:

— Ej! dajta pokój, bo mi *ino* bałamucita głowę.

— Jędrzej, nie bądźże głupi—wtrąciła się nareszcie żona—nie róbże z siebie *dziwowiska*.

— To idź *se* z Bogiem, kiedy ci pilno — ofuknął ją Jędrzej.

— Ale, z Bogiem— powtórzyła z przekąsem żona— ty *zawdy* taki, jak ci mówię do rozumu....

— Co mi-*ta* babski rozum— już z gniewem przerwał Jędrzej— byle językiem przewalać po gębie i jużci; a wy mi po *próżnicy* nie *mylta* w głowie, bo takiego świętego nie znata, bo pierwszy raz *bez* życie moje słyszałem o nim wczoraj od zakonnika, co chodził po wsi po kweście.

— To może do Śgo Wita— odczuwała się Hanka przerywając podnoszącą się sprzeczkę między małżonkami.

— Tak! tak!— zawołał z radością Jędrzej— *ino* nie do Śgo Wita, *ino* do Śgo *Witalisa*. Tak, macie ten grosz do Śgo *Witalisa*, a nie zapomnijcie.

Po zaspokajającej odpowiedzi, z wielką wszystkich radością dłoń się z trojakiem zamknęła, Jędrzej otarł spocone czoło, poprawił pasa, i wyruszył z gronem kobiécém prosto przez wieś.

Wkrótce kramy i karczma napełniły się kupującemi i traktującemi; dzwony głoszące ukończenie nabożeństwa umilkły, a wszystkie drogi i ścieżki w różne od wsi rozchodzące się strony, pstrzyły się powracającym ludem do domów, pomiędzy którymi w tumanach kurzu, migały się bryczki i powozy jadących niemi obywateli i ofycjalistów, albo skromne gospodarcze wozy, pełne wieśniaków i wieśniaczek.

A gdzie Basia, gdzie Janek?... O! oni przy sobie, bo gdzie serce, tam i oczy. Janek choć po omacku trafiłby do swojej dziewczoi, a cóż dopiero wpośród dnia białego.

(Dalszy ciąg nastąpi).



REKOPIS EUGENIUSZOWSKI KRONIKI KADŁUBKA.

PRZEZ

Alexandra Przewdzieckiego.

(Z podobiznami).

Suum cuique.

Znakomita praca p. Augusta Bielowskiego w objaśnieniu źródeł naszych kronikarskich, zwróciła szczególniejszą uwagę miłośników historyi na rękopisma Kadłubka, z porównania których jedynie możnaby przejść do nowego krytycznego wydania tyle ważnej dla dziejów naszych kroniki.

Najdawniejszy i jedyny (znany dotąd) pergaminowy rękopis Kadłubka, był tak zwany *Rękopis Kuropatnickiego*, znajdujący się dziś w bibliotece publicznej w Petersburgu. Z niego p. Kownacki wydał Kadłubka w 1824 r. w Warszawie. Rękopis ten pisany w wieku XIV, jedną ręką, niepodzielony ani na księgi, ani na rozdziały lub listy, bez intytulacji (przynajmniej spółczesnej), bez komentarza, z rzadkimi tylko glossami. Po tym najdawniejszym, trzydzieści trzy innych wylicza i opisuje p. Bielowski, we *Wstępie krytycznym do dziejów Polski*; ale wszystkie są papierowe i nie sięgają dalej nad wiek XVty.

W świeżo wydanej części tomu X archiwum historycznego Pertza, w spisie rękopisów historycznych biblioteki publicznej wiedeńskiej, wymieniona jest *kronika Kadłubka* i inna pod nazwaniem *Chronica Vincentii*. Za bytnością moją w Wiedniu, zapytałem natychmiast w bibliotece o *kronikę Kadłubka* (zapisaną pod nr. 452 dawnego historycznego katalogu, a pod nr. 3416 nowego inwentarza). Było ów papierowy rękopis Kadłubka z wieku XV lub XVI, we dwie kolumny, pięknie pisany, na cztery księgi jak w wydaniu *dobromiłskiem* podzielony; o którym Ossoliński, a po nim i p. Bielowski, nie przywiązując do niego

Incipit prologus super Croniam Polonorum. Vincencij Cracouen' epi

Tres ibi excusit. iheronimus de uita sollempnitates. Primi nomen
cod ruc. Secundi. alexyades. tercius dyogenes. Codrus q pauper et piam
esui habitus. Secundus q spece pmlignus. Tercius q et moy honestate. ut renusta
te conspicuus. et animi erat grauitate fecundus. Primi ne ridiculam p se paup'

III. Incipit liber secundus tractatus de origine regum

S Et simon longus enagari non conuenit amh. aethy et pncipi polonie qui
Kuloghodie

randulca. et iudicem. hinc contra
omne uoluntate assitendo. zero q ne alioy euerem defectus contempno inno
ne se pnt uicium arrogancor uirtutibz sese offebat cunctis affabilitate ptabile

fuit cronica siue originale regum et principum polonie

edita p magistrum vincencium Cracouensem episcopum
scripta p manum Nicolai pozni canonici et plebanu de hydre

Annoyé par M. Leibniz

¶ Contra bo
hemos qui
demp ab a
niquo ven
dunt in eo
suo et usq
in p[er]petuo

¶ hic est de
Cambrouci
m[er]gul et de
f[er]re. Et qua
rusticam la
mercantem

Anno d[omi]ni M^o CC^o LXXVII^o Boleslaus dux p[ro]p[ri]o

Goboricius cu[m] fr[atr]e suo. Externat[ur] h[ic] hodie est

frat[er]is gratia et consueti amplexibus. Vidit enim vnicuique
qui cepit hec et scire quod uerum est testimonium eius non credula sed solum ser[ua]tissima m[en]te
illud colloquia feret et iocunda et p[er]cordialissime plena dilectionis communi sollemniter

wielkiej wartości, wspomnieli. Dziwna jednak w nim odmiana zachodzi; gdyż nietylko trzy pierwsze księgi, ale nawet początek czwartej, na rozmowę pomiędzy *Mateuszem* a *Janem* podzielone; tak, że i w czwartej księdze miejsce nad każdym rozdziałem próżne zostawione, a na początkowych kartach zapisane czerwonym atramentem *Johannes, Matheus*.

Drugiego rękopisu nie dostałem odrazu; był on zapisany pomiędzy kodexami niegdyś księcia Eugeniusza sabaudzkiego, pod nr. XII, a bibliotekarze sądzą, że to jest *Speculum Vincentii Bellovacensis* (1). Prosiłem nareszcie o tego Wincentego Bellovacckiego, i dostałem gruby tom *in folio minori*, z 233 kart pergaminowych złożony, na których szesnaście dzieł rozmaitych, kilką charakterami z końca XIII i początku XIV wieku napisanych; pomiędzy innymi *Orosii Ormista de Mundi mysteriis*, p. 68. *S. Isidori Hispalensis liber Etymologiarum*, p. 132. *Sallustii de bello Catiline et Jugurte* p. 135; a na karcie 187:

Incipit prologus super Cronicam Polonorum Vincencii Cracoviensis Episcopi (podobizna nr. 1).

Początek zwykły: *Tres tribus ex causis theatrales.....* koniec: *parcius vituperet*.

Na karcie 187 (verso): *Incipit Cronica Polonorum*.

Początek: *Fuit quondam in hac re publica virtus....* koniec: *humeris potencius suffulsit*. W Kownackiego wydaniu p. 75, czytamy: *potencius sustulisset*, a w wydaniu dobromilskim: *potius suffulsit*.

Na karcie 192. *Incipit liber secundus tractatus de origine Regum et principum Polonie qui sunt usque hodie* (podobizna nr. 2).

Początek: *M. Sed sinuosus longius evagari....* koniec: *ne dum aspis in gremio*. (W Kownackim p. 204). Podział na księgi odpowiada zupełnie wydaniu dobromilskiemu. Tak więc:

Na karcie 205. *Incipit liber tercius*.

Początek: *Nemo vero nisi sapiens....* koniec: *obdormiscamus in domino*. (U Kownackiego p. 302).

Na karcie 214. *Incipit liber quartus*.

(1) Korzystam z tej wzmianki dla złożenia publicznego podziękowania panom bibliotekarzom wiedeńskim *Eichenfeld, Miclosich* i *Pirch* za uprzejmość, z jaką w czasie kilkotygodniowego uczęszczania mojego do biblioteki wiedeńskiej, pomagali mi uczynnością i światłemi radami, w poszukiwaniach moich.

Początek: *Aderat autem quidam Vernaculus...* (z tego p. Kownacki zrobił *epilog* do swojej części 1szej, str. 303).

Na karcie 227. koniec: *Finis Cronice sive originale (sic) regum et principum Polonie edita (sic) per magistrum Vincencium Cracoviensem. Episcopum, scripta per manum Nicolai Pozn. Canonici et plebani de Sydce.* (Podobizna nr. 3).

Na początku kodexu, napisano jest ręką księcia Eugeniusza sabaudzkiego *Anvoyé (sic) par Monsieur Leibnitz*, (podobizna nr. 4); nazywać go zatem będę od imienia ostatniego właściciela, *Eugeniuszowskim*.

Kronika Wincentego składa się ze 40 kart pargaminowych *in folio minori*, (43 wierszów jest na pierwszej stronnicy); pisana wciąż jedną ręką i równym charakterem, na ostatnich kartach tylko, cokolwiek pospieszniej. Charakter zdaje się z końca XIIIgo lub początku XIVgo wieku. Na marginesach z boku są gęste przypiski, mało co późniejsze od textu; wiele z nich zawiera nauczające ostrzeżenia dla książąt ówczesnych, (*moderni principes*), dla urzędników, rycerstwa, panów i Polaków w ogólności (*officiales, milites, nobiles, Polonos*); wszystkie niemal wspominają o niezgodach pomiędzy książętami, o wojnach domowych Polaków i wyraźnie do czasów przed-Łokietkowych należą. Jeden z tych przypisków, z powodu zabójstwa spełnionego na jednym z książąt czeskich, zwraca uwagę na Czechów, „którzy z dawien dawna panów swoich zabijają, tak aż po dziś dzień”; co wyraźnie stosuje się do zabójstwa króla Wacława IIIgo w Ołomuńcu r. 1306. (Podobizna nr. 5). Tę samą ręką przypiski znajdują się też przy dziełach *Orozyusza Izydora i Sallustyusza*, które poprzedzają *kronikę Wincentego*, w rękopiśmie Eugeniuszowskim; i często z powodu Greków i Rzymian, o Polakach, a nawet o ich przysłowiach wzmiankę czyni. Wszystkie przypiski takowe przepisałem, i z nich ciekawsze tylko tu podaję:

Przy historyi Orozyusza.

Str. 80 (verso). Nota sapientiam Grecorum, quod est contra Polonos qui se invicem destruunt.

Uwaga o mądrości Greków, co jest przeciw Polakom, którzy się wzajemnie gubią.

Str. 80 (verso). Hic nota quod Alexander ad bellum va-

Uwaga, iż Alexander na wojnę idąc, wszystkich krewnych

dens omnes suos consanguineos interfecit, iuxta proverbium Polonie quod dicit: *quod principes non egerint cognatis.* swoich pozabijał, wedle przysłowia polskiego, które powiada: że książęta nie potrzebują krewnych.

Str. 102 (verso). Nota contra Polonos et omnem gentem in se discordantem.

Str. 115 (verso). Cesar dolose in curia occiditur, quod caveant principes.

To mogłoby się stosować do zabójstwa Przemysława IIgo w Rogoźnie.

Str. 117. Nota ab antiquo q. gentes se invicem perdunt, pereant, quod est contra Polonos.

To był przypisek z powodu klęski Asturów w Hiszpanii; a chwając uszanowanie Alaryka dla naczyń kościelnych św. Piotra:

Str. 130 (verso). Nota hoc factum per barbarum, quod moderni nunquam facerent tantam reverentiam ecclesie.

Przy *Izydora Etymologiach* nie znalazłem żadnego przypiska tyczącego się Polaków, ale przy *Sallustjusza historyach Kataliny i Jugurty*, następujący:

Str. 149. Notabile contra viros pictos, tollentur uxoribus.

Uwagi godne, przeciw małowanym mężom, których żony wodzą.

Nakoniec przy samój *Kronice Wincentego*.

Str. 191 (verso). Nota contra principes qui secuntur voluntates uxorum, quis finis talium.

Str. 194. Hic vide de Dambrova Christiana fuit et qualis fuit; de qua rustici multa menciuntur. (Podobizna nr. 6).

Uwaga przeciw książętom, którzy za wolą żon idą, i jaki koniec takich.

Oto widzisz o Dąbrówce, że chrześcianką, i jaką była, o której głupcy wiele bają.

To zdaje się wymierzone na Kozmasa praskiego, który w kronice swojej Dąbrówkę starą i nierządną niewiastą zowie.

Str. 194 (verso). Deffuncto Mescone primo qui cecus natus fuerat, nascitur (sic) Boleslaus eius filius qui primus *metropolim* et dyoces. suis terminis distinxit et fundavit, qui primus fuit Bol.

Z powodu tego przypisku wspominającego o metropolii założonej przez Bolesława Chrobrego w Polsce, zwrócić uwagę należy na to, iż w texcie jest: *ut genuinam metropolim instituerit* (iż rodzimą metropolią założył); a nie *geminam* (podwójną); jak po wydaniach Kadłubka wydrukowano.

Str. 196. Nota contra reginas et ducissas theutonicas.

Str. 197 (verso). Nota liberalitatem principis, quod est contra modernos eorum successores.

Str. 199. Hic rex Boleslaus qui beatum Stanislaum occidit, moritur male cum filio, quod caveant moderni principes et hic legant qualis finis talium. Cui successit in regno Wladislaus frater suus.

Str. 200 (verso). Nota de arrogantia et arrogantibus, et contra istos qui consulunt principibus dare porcionem terre tempore vite patrum, et quanta mala inducat arrogantia.

Str. 201. Notabile contra modernos filios principum qui, quod dolor est, parum de hiis curant.

Po śmierci Mieszka pierwszego, który urodził się ślepy, nastąpił Bolesław syn jego, który pierwszy *metropolią* i dyecezyę w państwie swoim odznaczył i fundował, i on był pierwszym Bolesławem.

Uwaga: przeciw królowym i księżnom Niemkom.

Uwaga o szczodrobliwości książęcia; to jest przeciw dzisiejszym ich następcom.

Tu król Bolesław, który świętego Stanisława zabił, umiera nędznie wraz z synem; niech się wystrzegają tego dzisiejsi książęta, i tu czytają jaki koniec takich bywa. Po nim nastąpił na państwo, brat jego Władysław.

Uwaga: o dumie i o dumnych, i przeciw tym, którzy radzą książętom część ziemi oddać za życia ojców, i jakie nie-szczęścia duma sprowadza.

Uwagi godne przeciw dzisiejszym synom książąt, którzy (co rzecz bolesna), mało o nich dbają.

Str. 205. Notabile contra theutonicum jus.

A to z powodu

Str. 206 (verso). Notabile pro bonis prelatibus contra malos.

Str. 209. Contra Bohemos qui semper ab antiquo occidunt dominos suos et usque in presens.

To z powodu zabójstwa księcia czeskiego; a wyraźnie stosuje się do zabójstwa króla Wacława IIIgo w Ołomuńcu, 1306 r.

Str. 210. Notabile contra traditores dominorum suorum et quis talium finis.

To znowu ściąga się do zabójstwa

Str. 211. Nota hic perfidiam Ungarorum quam usque hodie retinent, sicut patet per testes.

Ten przypisek przy porażce Bolesława IIIgo w Węgrzech, stosuje się zapewne do napadów Węgrów, stronników Władysława Łokietka na Miechów, Wislicę i Biecz w 1300 i 1304 r., o czym *Nakielski*, (*Miechowia* str. 233), *Długosz* (wyd. lipskie I, str. 906), i *Rzepnicki* (I str. 295) wspominają.

Str. 211 (verso). Notabile contra viros qui secuntur voluntates uxorum.

Tę samą uwagę już w innym przypisku uczynił.

Str. 212 (verso). Notabile qui alienigenas eligunt episcopos non degente sua.

Mogłobyto być na *Jana Muszkate* biskupa krakowskiego od r. 1295, Szlązaka; lub na *Jana Gerbisch* biskupa poznańskiego, od roku 1286 do 1298, za słabych rządów którego, margrabiowie brandeburscy probostwo Santockie zpod jurysdykcji biskupów poznańskich wyjęli.

Str. 212 (verso). Nota contra adolescentes quod non debet eis laxari libertas.

Uwagi godne przeciw prawu niemieckiemu.

sądu Zbigniewa.

Uwagi godne o dobrych prałatach, przeciwko złych.

Przeciwko Czechów, którzy zawsze z dawien dawna panów swoich zabijają, i aż po dziś dzień.

Uwagi godne przeciw zdrajcom panów swoich, i jaki koniec takich.

Przemysława IIgo w Rogoźnie.

Uważ tu wiarołomność Węgrów, którą po dziś dzień, jak ze zgrozą widzimy, zachowują.

Uwagi godne przeciw mężom, którzy za wolą żon swoich idą.

Uwagi godne o tych, którzy z cudzoziemców obierają biskupów a nie z narodu swego.

Uwaga przeciw młodym, iż nie potrzeba im wodzów puszcząć.

Str. 213. Nota hic unde habent ortum principes Slezie quod eam filii Wladislai h. exulis propter uxorem theutonicam, imperatoris sororem, quorum nomina hic continentur, quod theutonice semper fuerunt infeste genti sue Polonice.

Z powodu ustawy łęczyckiej broniącej biednych ludzi od ucisku:

Str. 218. Hic nota quod antiqui principes oppressiones pauperum annullabant (?) et hic moderni ad antiquas novas addunt.

Str. 220 (verso). Nota Polonos quod semper ab antiquo fuerint invidi et instabiles et ludentes cum dominis, sicut cum pictis ovis.

Mamy tu drugie już przysłowie polskie z kądinąd nieznanne. Nakoniec z powodu wolności wróconej przez Kazimierza Sprawiedliwego synowcowi, synowi Mieczysława Starego:

Str. 221. Nota virtutem de Kazimiro quod moderni principes ullo modo facerent.

Uważaj z kąd początek biorą książęta na Szlązku; że kraj ten otrzymali synowie Władysława wygnańca, z powodu żony Niemki, siostry cesarza, których imiona tu wyliczone; ponieważ Niemki zawsze nienawistne były narodowi swojemu polskiemu.

Uwaga. Starożytni książęta uciski biednych ludzi znosili, a tu dzisiejsi do dawnych nowe przydają.

Uwaga. Polacy z dawien dawna byli zazdrosni i niestali, i igrali z panami, jakby z małowanemi jajami.

Uważaj cnotę Kazimierza; tegoby dzisiejsi książęta nie uczynili wcale.

* * *

Zbiór tych przypisków dostatecznie, zdaje się, świadczy o pochodzeniu ich z epoki podziału Polski na księstwa, przed ich zjednoczeniem za Łokietka i przed koronacją jego w roku 1320. Ztąd wypada, że text sam przez *Mikołaja* kanonika poznańskiego i plebana *de Sydcze* pisany, jeszcze dawniejszy, a zatem do końca XIIIgo lub samego początku XIVgo wieku należy.

W *Kodexie dyplomatycznym Wielkiej Polski* przez hr. Edwarda Raczyńskiego wydany, napotykamy kilku *Mikołajów* kanoników poznańskich z owych czasów. I tak: roku 1247 Przemysław książę Polski potwierdza darowiznę wsi *Rogalin*, uczynioną kościołowi poznańskiemu, w przytomności jego i Bogufala biskupa poznańskiego, przez *Mikołaja*, kanonika poznańskiego, pod warunkiem, że do czasu życia syna tegoż kanonika, Jana, wieś

wraz z dziesięciną we władaniu tegoż syna pozostanie; a po śmierci jego dopiero do kościoła poznańskiego powróci (1). Ciekawa byłaby, a nie jest niepodobna do prawdy, taka styczność najdawniejszego znanego przepisywacza Kadłubkowego, z Bogu-
fałem uczonym biskupem poznańskim, którego kronikę niektórzy uczeni chcą w kronice Baszki odszukać.

Na dyplomacie z r. 1298, którym Andrzej biskup poznański zakłada trzy dyakonaty w dyecezyi poznańskiej, pomiędzy świadkami, kanonikami poznańskimi, wymieniony jest i Mikołaj (2).

Nakoniec w akcie darowizny młyna szklarzowi Tyczkowi przez Jana III biskupa poznańskiego r. 1327 uczynionój, za obowiązek naprawiania okien katedry poznańskiej, pomiędzy świadkami znajduje się także *Mikołaj*, kustosz katedralny (3). Który z pomiędzy nich będzie pisarzem naszego rękopisu, powinnyby to późniejsze badania wyjaśnić (4).

Oprócz tych najdawniejszych przypisków, przy *kronice Wincentego* znajdują się jeszcze późniejsze, dwóch rąk przypiski, podobno z XV wieku: jedno, drobnym charakterem z boku i na dole, komentują czasem owe dawniejsze, a czasem osobną glossę stanowią, lub treść tekstu wyluszczaają (5); drugie grubszym

(1) *Cod. Diplom. Raczyński*, p. 37.

(2) *Idem*, p. 89.

(3) *Idem*, p. 102.

(4) Natychmiast po odkryciu *rękopisu Eugeniuszowskiego* Kadłubka, pospieszyłem z doniesieniem o tém uczonemu bibliotekarzowi biblioteki Raczyńskich, J. Łukaszewiczowi, upraszając go o kwerendę w archiwum katedralnem, dla wynalezienia owego *Mikołaja kanonika poznańskiego*, a *plebana de Sydcze*. Najprzejmiej zajął się tą kwerendą p. Łukaszewicz i odpsał niezwłocznie, iż dwóch tylko znalazł w *repertoryum* katedralnem *Mikołajów* kanoników poznańskich, aż do środka XVgo wieku: *Mikołaja z Niewierza*, i *Mikołaja z Lubekowa*. Oczywiście żaden z nich nie może być naszym pisarzem.

Co do plebanii *Sydcze* musi to być omyłka, wedle szanownego korespondenta mojego; ponieważ ani w dyecezyi poznańskiej, ani w wrocławskiej, ani w krakowskiej, ani gnieźnieńskiej, nie było plebanii ani probostwa w miejscu zwanem *Sydcze*; i może to nazwisko czytaćby wypadało *Syelce*. O tém z przyłączonej pod nr. 3 podobizny najlepiej przekonać się można. Dodaje jeszcze p. Łukaszewicz uwagę, że wyraz *plebania* nie był używany w Polsce w owych wiekach, gdyż synody najdawniejsze nazywają plebanów *Rectores Ecclesiarum*; a także, że w owych wiekach kanonicy katedralni nie posiadali osobnych beneficj. Co wszystko nie będzie mogło się utrzymać, skoro autentyczność naszego rękopisu, dowiedziona i uznana zostanie.

(5) Ob. podobiznę pod nr. 7.

charakterem na dole, rodzaj tytułów dla rozdziałów stanowią; np. *Primus rex pol. Mesco Christianus* (1).

Opisawszy zewnętrzne cechy *Rękopisu Eugeniuszowskiego* i przydatki objaśniające epokę w której mógł być pisany, przejdziemy teraz do samej treści, podając ważniejsze warianty, jakie zbyt krótki czas zebrać mi pozwolił. Koniecznym zaś będzie dokładnie cały rękopis przejrzeć, dla zebrania wszystkich wariantów, i zrobienia z niego podstawy nowego, krytycznego wydania Kadłubka, o czém już się do uczonego komentatora jego kroniki, p. Augusta Bielowskiego odniosłem.

Warianty niektóre Rękopisu Eugeniuszowskiego.

Zaraz pod koniec przedmowy: Sed est incivile re *inperspecta* de re iudicare; a nie *imperfecta* jak w wydaniach dobromilskim i Kownackiego, co już p. Bielowski z *Digestów* poprawił (2).

Potém na początku pierwszej księgi: Memini siquidem collocutionis mutuae virorum illustrium quorum tanto *felicior* recordatio; kiedy w wydaniach dobromilskim i Kownackiego (p. 1), jest *fidelior* recordatio. A jednak na tém p. Bielowski zasada swoje pewność, że Kadłubek „miał pod ręką nie samą kronikę Mateusza, ale i najstarszą Miorsza kronikę..... i że *wierny* był swoim źródłom, a osobiwie Mateuszowi, jak się do tego dwukrotnie przyznaje“ (3).

Nie ma téż w naszym rękopisie owego dodatku, który p. Bielowski znalazł w kodexie *kórnickim*: Memini siquidem collocutionis mutuae virorum *membranulis* illustrium, quorum *tanto major fidelitate est recommendatio*; i z którego odtworzył *Spisany na pergaminie Mateuszów dyalog*, materyalny dowód autorstwa Mateusza (4).

Na początku rozmowy Jana z Mateuszem: Sub quo nam estimabimus constitutionum infanciam; kiedy w dobromilskim wydaniu czytamy: Sub quonam *conceptam existimabimus nostrarum* constitutionum infanciam; a w Kownackim (p. 8): Sub quonam *acceptam* estimabimus nostrorum constitutionum infanciam.

(1) Ob. także podobiznę pod nr. 8.

(2) Wstęp krytyczny p. 156.

(3) *Idem*, p. 117.

(4) *Idem*, p. 98 i 134.

Daléj: Quod tamen per veridicam Maiorum narrationem *condidici*; jak w wydaniu dobromilskiém, a nie *addidici*, jak w Kownackim (str. 8).

W powieści o Kanucie: Hi eciam *Trans maritimum*, fines; a nie *trans finitimum*, jak w wydaniu dobromilskiém; ani *Trans marinorum*, jak u Kownackiego (p. 10). Mowa tu jest wyraźnie o *Danomarchicas insulas*, a nie *Danomalchicas* jak w wydaniach dobromilskiém i Kownackiego, co p. Bielowski przez *Dalmackie* wyspy tłumaczy (1). *Omnium sibi clientelam* subijciunt: zamiast, *omnem clientulam* subijciunt, jak w wydaniu dobromilskiém; lub *omnem sibi Clientelorum* subijciunt *nationem*, u Kownackiego str. 11. Zresztą i w naszym rękopisie znajdują się wyrazy, które p. Bielowski jako wtřęty uważa; np. in suos transtulit ultionem *quam ab hoste* extorquere non potuit; jak u Kownackiego str. 18, (kiedy w wydaniu dobromilskiém *quam ab hoste* opuszczone). Także: Quia enim Dacii prius *cum Polonis*; tak jak w obu wydaniach. a nie: *cum Rolo rege*, jak p. Bielowski, za autorem Polski średnich wieków idąc, poprawia (2).

O założeniu metropolii *rodziméj*, a nie *podwójnéj*, świadczy wyraźnie nasz rękopis: ut *genuinam* metropolim instituerit; a nie *geminam*, jak w wydaniach debromilskiém i Kownackiego, str. 92.

W opowiadaniu męczeństwa Śgo Stanisława niewiele wariantów znalazłem; są jednak niektóre; np. quotiens irruere temptant, *totiens compuncti*, *totiens prostrati mansuescunt*. Słowa *totiens compuncti* opuszczone są w obu wydaniach. Daléj: qui cuius vitam sustulit, cum auferre non possit famam, contendit incrustare; jak w wydaniu dobromilskiém; a nie, *cum animam auferre non possit*, jak u Kownackiego str. 140. W wyliczeniu obelg przez Bolesława na Śgo Stanisława ciskanych, zbliża się nasz rękopis bardziej do wydania dobromilskiego, niż do Kownackiego; ma jednak: ex rerum scrutatore, *renum Scrutatores*; a nie *rerum Scortatores*, jak w obu wydaniach, co lepszy sens stanowi. W zakończeniu: Sic tota Boleslaj domus *Sto* penas Stanislao exoluit, jak w wydaniu dobromilskiém; kiedy w Kownackim wyraz *Sancto* opuszczony.

We wstępie do księgi IVtój, w którym Kadłubek sam siebie młodym przedstawia: Qui vix tandem imperio *maiestatis* effrac-

(1) *Wstęp krytyczny p. 102, 147 i 149.* (2) *Idem, p. 151.*

tus; a nie imperio *magistratus*, jak w obu wydaniach. Na początku panowania Mieszka III są wyrazy: *nisi tempora Kasymiri et filiorum eius*, których nie ma wydanie dobromilskie, ale ma Kownacki.

Nakoniec znajduje się tu miejsce: *Vidit enim Vincentius qui Scripsit hec, et scimus quia verum est testimonium eius*, (które p. Bielowski wtrętem nazywa), tą samą ręką co i cały rękopis pisane. (Podobizna Nr. 9). Opis śmierci Kazimierza kończy się na wyrazie *expirat*; nie ma dodanych w obu wydaniach słów: *morbo incertum est extinctus an veneno*. W wierszach na pochwałę Kazimierza w których *Jucunditas, Meror, Libertas* i inne allegoryczne osoby rozmowę pomiędzy sobą prowadzą, nad wierszem: *Ergo tristi pulsa nube*, napisano w miejscu osoby mówiącej, *Verba auctoris*, czego ani w wydaniu dobromilskiem, ani u Kownackiego nie masz. A po wierszu: *Reseras scrutinia*, dodana osoba allegoryczna mówiąca: *Respondet proportio: Virtus inest hiis poculis; zamiast virus inest hiis poculis*, jak w obu wydaniach.

W opisie bitwy pod Mozgawą, po słowach: *ad resistendum invenies*, dodany wiersz cały: *pondus inest verbis et vocem facta secuntur*, tak jak w wydaniu dobromilskiem; ale w texcie Kownackiego opuszczony, a wraz z czterema innemi umieszczony w kronice Dzierzwy przez tegoż Kownackiego wydanej. Ale w mowie Goworka do Leszka Białego, po wyrazach: *nec amicos deserit*, opuszczono stronnice kilka, od wyrazów *nec ab amicis deseritur. Felix exulatus*, aż do słów *maximorum eventibus. Equidem rem aggredimur*; wyraźnie z winy przepisywacza, gdyż mają to oba wydania. Pod sam koniec czwartej księgi, po wyrazach *dulcem et suavem*, następuje *habuit contra omnes voluntatem assidentes*; zamiast słowa *prudencia* w wydaniach dobromilskiem, i Kownackiego, które sensu nie dopełnia.

Tyle tylko ważniejszych wariantów, dla zbyt krótkiego czasu zebrać zdołałem. Sądziłem jednak, że pożytecznym będzie ogłosić je drukiem, nim więcej dokładniejsze porównanie odkryje.

* * *

Najważniejszym nabytkiem będą intytulacje prologu i księgi II, oraz zakończenie dzieła zupełnie różne od tych, które *Jan Dąbrowka*, komentator Kadłubka w wydaniu dobromilskiem wydrukowany, z niektórych rękopismów wylicza. Na nich opierał

swoje zdanie, iż *Mateusz* biskup krakowski, i *Jan* arcybiskup gnieźnieński, są autorami trzech pierwszych ksiąg téj kroniki, a *Wincenty* biskup krakowski, ostatniéj; ale zdanie to i sam, wahać się, słabo popiera; wyznaje nawet, że upierać się przy niém niewarto: *de autore autem huius operis, non est pertinaciter disputandum...* a daléj: *cum non quis, sed quid et quomodo dicatur est propensius attendendum.* Dlatego téz nie odmawia gościnnego miejsca w komentarzu swoim i przeciwnemu zdaniu, które wszystkie cztery księgi mieć chce dziełem Wincentego Kadłubka, i *Chronica Vincentiana* nazywa. Za tém ostatniém zdaniem *Braun* tylko (*De scriptorum Poloniae virtutibus etc*) i ks. biskup *Prażmowski*, w *Wiadomości o najdawniejszych dziejopisach polskich*) poszli. Za piérszém zmodyfikowaném do autorstwa samego *Mateusza* biskupa krakowskiego, oświadczyli się *Nakielski*, *Hartknoch*, *Rzepnicki*, *Jabłonowski*, *Jan Potocki*, *Czacki*, nareszcie uczony autor *Uwag nad Mateuszem herbu Cholewa*, który poprzedników swoich zdania zebrał i porównał; a po nim jeszcze *Ossoliński*, który o Kadłubku pracovitą rozprawę napisał, i *Bielowski*, który całą kronikę jego rozczłonkował i obrobił.

A jednak pod powagą tyłu sławnych imion, jakież znajdujemy dowody autorstwa Mateuszowego?

Oto *naprzód*, że komentator Dąbrówka na początku XV wieku żyjący, kształtem dyalogu pomiędzy *Mateuszem* a *Janem* w trzech piérszych księgach, uderzony, waha się co do intytulacyi kroniki, pomiędzy rękopisami mającemi tytuł: *Chronica de gestis Principum Poloniae, quam lector sciat esse editam a Matheo quondam Cracoviensi Episcopo, in qua per modum dialogi colloquendo cum Joanne Archiepiscopo Gnesnensi tres libros ediderunt quartum autem addidit Vincencius Cracoviensis Episcopus.* Albo: *Chronica de gestis illustrium Principum et Regum Poloniae per Joannem Gneznensem Archiepiscopum et Matheum Cracov. Episcopum per modum dialogi edita.* Albo w innych, i zdaje się prawdziwiej (*et videtur verius*) *Chronica Vincentiana de gestis illustrium Principum ac Regum Poloniae.*

Nasz rękopis *Eugeniuszowski*, któremu trudno będzie palnę dawności odmówić, ma intytulacyą sobie właściwą: *Cronica Polonorum Vincencii Cracoviensis Episcopi*; inaczéj: *Cronica sive originale Regum et principum Poloniae edita per magistrum Vincencium Cracoviensem Episcopum*; i gdyby był znany Dąbrówce, niewątpliwieby u niego szalę zwycięztwa na stronę au-

torstwa Kadłubkowego przeważył. Podobnież gdy p. Bielowski już nietylko wątek dziejów przez *Mateusza* układanych, ale nawet *spisany na pergaminie Mateuszów dyalog* (1) w ręku Wincentego umieszcza, na mocy dodanego wyrazu *membranalis* w rękopisie *kórnickim* z r. 1400, to nasz *rękopis Eugeniuszowski* z końca XIII lub początku XIV wieku, a zatem *na lat sto* wcześniejszy, tego oczywiście wtrąconego wyrazu nie ma. Nakoniec, jeśli na dowód *źródła* z którego czerpał Kadłubek, p. Bielowski przytacza, iż *wierny* był swoim źródłom a zwłaszcza *Mateuszowi*, tanto *fidelior -est recordatio*; nasz *rękopis temu przypomnieniu rozmowy dwóch mężów* znakomitych, wyraźną cechę fikcyi retorycznej nadaje, zmianą jednego słowa: „*quorum tanto felicior recordatio, quanto celebrior viget autoritas.*“

Drugim dowodem autorstwa *Mateusza* ma być to, że *Nakielski*, a za nim *Rzepnicki* i *Niesiecki* (oczywiście na zasadzie domysłu komentatora *Dąbrówki*) nazywają *Mateusza* mężem uczonym i autorem *kroniki Wincentego*; lubo mu *Długosz* tylko zamiłowanie w ucztach i chępliwość przyznaje (2). Jeżeli nawet dowiedzioną zostanie autentyczność listu *Mateusza* biskupa *krakowskiego* do *św. Bernarda*, (który *Albertrandi* w *Rzymie* przepisał, a p. *Bielowski* po raz pierwszy w całości drukiem ogłosił (3), nie mógłbym w tém uznać dowodu, że *Mateusz* jest autorem *kroniki* pod imieniem *Kadłubka* znanój, gdyż ani z pierwszemi trzema księgami, ani z czwartą nie zdaje mi się mieć najmniejszego podobieństwa (4).

Może więc obaleniem pierwszego głównego dowodu autorstwa *Mateusza*, *rękopis Eugeniuszowski* dokładnie porównany z innemi, powróci *Wincentemu synowi Kadłubka* całość należnej mu chwały, i z historii naszego *kronikarstwa* wyrzucając jedną niepewną postać, drugą żywotną jak *prawda*, żywszém światłem oświeci.

(1) *Wstęp krytyczny* p. 98 i 134. (2) *Idem* p. 97. *Długosz* wyd. Iłpskie I, p. 509. (3) *Wstęp krytyczny*, p. 94.

(4) Napróżno w *Rzymie* szukałem tego listu biskupa *krakowskiego* do *św. Bernarda*; napróżno po kilkudziesięciu rękopisach listów *św. Bernarda*, szukałem śladu jego odpowiedzi. Wskazałem jednak tę zagadkę do rozstrzygnięcia *hr. de Montalembert*, który życie *św. Bernarda* w obszernym zakresie pisze. Może za powrotem chwil spokojniejszych we *Francyi*, znakomity *akademik katolicki*, w dopełnieniu pracy swojej wywiąże się i z tego zadania.

O SZTUCZNYM ZAPŁADNIANIU

IKRY RYBIÉJ

W ZASTOSOWANIU DO CHOWU PSTRAGÓW.

Dr. Jan Radziwoński czytał pod tym tytułem, na posiedzeniu Tow. nauk. krakowskiego zajmującą wiadomość, rozszerzoną przytoczeniem własnych doświadczeń, o sposobie udoskonalenia pewnej części rybołóstwa; a lubo jój zachowanie należy do Roczników pomienionego Towarzystwa, w których się już znajduje, uważając jednak że nowe odkrycia najprędzej upowszechnią się, kiedy ktoś blizki użyteczność ich doświadczeniem potwierdzi: głos dra Radziwońskiego i tu dosłownie powtórzymy.

„Odkrycia, których upowszechnienie może się stać źródłem nowój gałęzi przemysłu, zasługują na zachętę i pomoc ze strony ludzi mających na pieczy dobro kraju. Z tego względu mam sobie za obowiązek zwrócić uwagę szanownego Towarzystwa naukowego na doświadczenia sztucznego zapładniania ikry rybiéj, przedsięwzięte przeze mnie zeszłej jesieni w strumykach górnych okolic Krakowa. W malowniczych dolinach Czerny, Dubia, Pieskowej-Skały i Ojcowa, odznaczających się obfitością źródeł, snują się po kamienistym gruncie piękne strumyki, których najznakomitszym mieszkańcem jest zwyczajny pstrąg (*Salmo fario*), ceniony dla delikatności mięsa i zasługujący pod względem przemysłowym na troskliwsze niż dotąd, pielegnowanie.

Pstrągi są jedyne ryby wód słodkich, odbywające tarło w porze zimowój. Przypada ono około drugiej połowy października i przedłuża się stosownie do klimatu, do marca. Blizsze oznaczenie czasu zależy od położenia i temperatury strumienia.

Wtedy ikrzak opuszcza swoje stanowisko i wychodzi w wyższe okolice ku źródłom, najdalej do odległości mili; po kilkodniowym pobycie w bliskości miejsca wybranego na tarło z upodobanym samcem, który zwykle z innymi spółzalatnikami tak długo zaciętą walkę stacza, dopóki słabsze z placu nie ustąpią, samica czując się już bliską porodu, rozpędza się pod prąd wody w kierunku miejsca wyszukanego, i zanurza całą siłą pysk w żwir strumienia, ciskając jednocześnie ogonem i płetwami brzuszniemi, pokąd nie wysadzi twardej dna skorupy, i nie wryje w niem dość sporego dołka. Tą pracą znużoną wyreca mlęczak: dzieło wzrasta wzajemnym nateżeniem. W urządzoném w taki sposób gnieździe, samica przyciskając brzuchem do dna, wytłacza z siebie ikrę, którą otaczający go (?) mlęczak, w téj samej chwili, po oddaleniu się jej z miejsca, mlęczem poléwa i zapładnia. Ikra i mlecz, jako stosunkowo cięższe od wody, na żwirze dna zostają. Po mniej lub więcej krótkim odpoczynku i odzyskaniu sił, samica czując się znowu pełną ikry, wzdłuż strumienia, w równoległym kierunku obok istniejącego dołka robi drugi, i wyrzuconym żwirem przykrywa piérwszy, już zaopatrzony w zapłodnione jaja. Tym torem postępuje, aż całą masę ikry w sobie znajdującą się wypuści, do czego w przecięciu 6 do 10 dni pospolicie wystarcza.

Dla objaśnienia mechanizmu ikrzenia się tych ryb, potrzeba wiedzieć, że cały rodzaj pstrągów nie ma osobnego przewodu, za pośrednictwem którego jaja z jajnika zwykle na jaw wychodzą. U nich jajnik tworzy zewsząd zamknięty woreczek, którego błony rozsadza dojrzewająca ikra. Tym sposobem dostają się jaja do jamy brzusznej, z kąd w porze tarcia kloaką odchodzą. Dojrzewanie ikry nie odbywa się jednocześnie, lecz w pewnych odstępach, najczęściej dobowych. Z chwil spoczynku korzysta ryba dla pokrzepienia zwątlonych sił porodem. Znajomość tego anatomicznego urządzenia służy za wskazówkę do ocenienia dojrzałości, a nawet i ilości ikry przy sztuczném zapładnianiu. Jeżeli jaja po przedarciu błon jajnika zajmują jamę brzucha, wtedy lekkie przesunięcie ręki spodem ryby wystarcza do wyciśnięcia ich z części płciowych; póki zaś są zawarte w jajniku, i silnym przyciskaniem wytłoczyć się nie dadzą. Można więc być pewnym, że jaja do zapłodnienia są zdolne, jeżeli z jamy brzucha za lekkim przeciśnięciem kloaką odchodzą. Tak samo ma się rzecz i u samca. I tu lekkie pociskanie ścian brzucha jest dostateczne do uzyskania części mlecza do zapłodnienia potrzebnej.

Ikra pstrągów dojrzała odchodzi w ziarnkach odosobnionych wielkości małego grochu, i jest gładka, przezroczysta, bladożółtawego koloru, cięższa od wody, bez klejowatęj powłoki. Inne gatunki ryb mają ziarnka drobne, skupione, wysuwające się w porze tarcia w kształcie sznurków lub paciorków, obwiedzionych lepka powłoką, za pomocą której przyczepiają się do łodyg roślin wodnych, i w tém się właśnie różnią od ikry pstrągów.

Ikra rybia składa się:

1) Z błonki zewnętrznej; grubiej, sprężystej, przezroczystej tkanki siatkowatej; z wierzchu wygląda pomarszczona, brodawkowata, i ma liczne drobne otwory czyli pory, zdolne do wciągania cieczy zapładzającej; silniej przycisnięta pęka, i wodę łatwo przepuszcza. Pod nią leży i z nią styka się:

2) Błona żółtkowa cienka, przezroczysta, wyprężona, dla wody nieprzystępna. Zawiera w sobie:

3) Żółtek napozór do białka jaj podobny. Płyn ten jest przezroczysty, jednorodny, klejowaty, ścina się i twardnieje w wodzie, kwasach, wysokoku i w podwyższonej temperaturze.

4) Na powierzchni żółtka pod błoną żółtkową, pływają cząstki olejku żółtego, od którego pochodzi właściwy kolor ikry. Gałka żółtkowa mieści w sobie:

5) Pęcherzyk zarodkowy (vesicula PURKJNII), a w nim znamiona zarodkowe. Piérwszy odznacza się błoną okrągłą, przezroczystą, nader delikatną, dającą się dostrzedz jedynie za pomocą drobnowidza. Zawiera w sobie komórki piérwotne, jądrami zaopatrzone, stanowiące zasadniczy materyał, z którego bezpośrednio zarodek płodu się wykształca.

Pstrąg, dla większej stosunkowo objętości jajek, jest mniej niż inne ryby zamożny w ikrę. Podług podania badaczów natury pstrąg dwuletni ma do 600, trzyletni do 800 ziarn ikry. Samica lososia 20 funtów wazącego 27,850. Okuń średniej wielkości 69,216. Szczupak 10 funtów wazący ma ich 166,140. Karp duży 621,000. Jesiotrowi naznacza ROUSSEAU 7,635,200. LEUVENHOECK naliczył w jednej węgornicy 9,344,000.

Wobec tak ogromnych liczb jaj, każdego zastanawia, że ilość ryb nie jest większa. Przyczynę tego tłumaczy QUATREFAGES przypadkowym i od trafu zależnym sposobem, jakim się odbywa w stanie natury ikrzenie się i zapładnianie ryb, szczególnie u gatunków wód bieżących; do których policzyć należy niestałe, lub częstokroć nieprzyjazne warunki, rozwijaniu się ikry przeszkad-

dzające. I istotnie, mnóstwo jajek, czyto prądem wody unoszone, czy przez zbyteczne rozcieńczenie mléczka, pozostają niezapłodnione; równie znaczna ich, a nawet i wyklutego potomstwa, ilość służy za żér robactwu wodnemu, rybom drapieżnym; a często i samym rodzicom; nakoniec z rozmaitych przypadków giną jaja na brzegach, osobliwie przy zmianie stanu wody. Możliwy ztąd ubytek w gospodarstwie organiczném ryb, niewyczerpana w swych środkach przyroda obfitością ikry wynagradza.

Temu przypadkowemu zniszczeniu ikry rybiéj skutecznie zapobiedz, już od połowy zeszłego stulecia było zadaniem ludzi przemysłowych. Piérwszą wiadomość o sztuczném zapładnianiu ikry pstrągów umieścił JACOBI, inżynier niemiecki w czasopiśmie hannowerskiém z roku 1763, która od późniejszych spostrzeżeń mało się różni. Wspomina o nim YARREL w drugim wydaniu wspaniałego dzieła historii naturalnéj ryb Anglii, tudzież potwierdza ją GLEDITSCH, w pamiętnikach akademii berlińskiej w tomie 20, własném doświadczeniem. Mimo świadectw takiej powagi, ciekawe to odkrycie, w wykonaniu łatwe, natenczas nie zostało wprowadzone w użycie, a co bardziej zadziwia, wkrótce przeszło w niepamięć. Z tego ówczesnego otrętwienia umysłów wyjątek robią Niemcy północne. Tam od czasu JACOBIEGO sposób sztucznego rozmnażania ryb przechowywał się podaniem między ludźmi przemysłowemi, jak się o tém przekonywamy z piśmka hrabiego GOLDSTEINA ogłoszonego w początkach obecnego wieku. We Włoszech w roku 1835 RUSCONI, badacz natury, a później Vogt wpadli drogą samodzielnego myślenia, na domysł sztucznego zapładniania w celu ułatwienia drobnowidzowych spostrzeżeń nad embryologią ikry rybiéj. W roku 1840 p. KNOCHE dzierzawca odnowił pamięć tego odkrycia wzorową dokładnością w opisanu w czasopiśmie towarzystwa agronomicznego hannowerskiego, i nadmienia, że już od lat sześciu tym przemysłem z pomyslnym skutkiem się zajmuje. Dopiero AGASSIZ w Szwajcaryi rozprawą swoją pod tytułem: *O podniesieniu rybactwa w Niemczech*, umieszczonej w czasopiśmie niemieckiém kwartalnym z roku 1842 N. 20, a później QUATREFAGES w sprawozdaniu Akademii paryzkiej z roku 1848 z miesiąca listopada, *O sztuczném zapładnianiu ikry rybiéj*, zwrócili uwagę publiczności na ten przedmiot, zachęcając ludzi przemysłowych do przedsięwzięcia rokującego znaczne korzyści dla kraju. Odezwy dwóch znakomitych badaczy natury nie zostały bez skutku. Odtąd w Anglii i Szkocyi

upowszechniły się, i szczególniej dla rozmnażania łososi, zakłady tego rodzaju, których zarybianiem trudnią się z wielką gorliwością: JĘDRZÉJ YOUNG z Inwersliu zawiadowca jezior i rzek księcia SUTHERLAND, i p. BOCCIUS inżynier cywilny z Hammersmith. We Francyi, w skutek nader korzystnego sprawozdania p. MILNE-EDWARDSA do ministra (1), rząd francuzki polecił dwom rybakom w Wogezach, Gehin i Remi, zajmującym się od lat kilku tym przemysłem, zarybianie rzek i strumieni tego kraju.

Sposób sztucznego zapładniania ikry rybiéj, lubo prosty i w wykonaniu łatwy, wymaga wszelako wprawy i doświadczenia, których ważność polega na staranném ocenieniu następujących, przy zapładnianiu i rozwijaniu się ikry warunków:

1) *Ikra rybia powinna mieć wszystkie znamiona dojrzałości.* Te wtedy posiada, jeżeli ryba w porze tarcia złowiona, za lekkim przecisnięciem ręką brzucha, ikrę wypuszcza.

2) *Należy ją zapłodnić rozcieńczonym mléczem tego samego gatunku ryby,* albo, jak to już p. SHAW w swoich doświadczeniach okazał, i innego gatunku, byle należącego do tego samego rodzaju, z czego wynikają mieszańce (*Species hybridae*).

3) *Głównym warunkiem przy rozwijaniu się ikry, jest woda właściwa każdemu gatunkowi.* Jaja rybie tylko w takiej wodzie mogą się rozwijać, w jakiej zwykle ryba żyje i trze się. Wedle doświadczenia VOGTA jaja łososio-pstrąga, który pospolicie trze się w rzekach, nie wylęły się w wodzie jeziornéj. To samo mu się wydarzyło z ikrą szczupaka.

a) *Ikra gatunków wód stojących* nie potrzebuje wielkiego opatrzenia: dla niéj woda stojąca, płytka, dno zarosłe roślinami wodnemi, i miejsce zabezpieczone kratą od napaści nieprzyjaciół wystarcza. Gdy czas tarcia się tych ryb w letnią porę przypada, ikra rozwija się szybko, i w przeciągu kilku tygodni wykluwają się rybki.

b) *Ikra gatunków wód bieżących,* a mianowicie łososi i pstrągów, wymaga troskliwszego pielęgnowania. Dla téj woda czysta, płytka, żywo-bieżąca, jednostajnéj temperatury, jest niezbędnym żywiołem. Takie przymioty mają źródła, i one są do rozwijania się jajek pstrągów najprzyjajniejszymi miejscami. Mniej sprzyjające są strumienie, z powodu częstych

(1) Polski tego sprawozdania przekład umieszczony jest w Rocznikach Gospodarstwa Krajowego, tomie XVIII na str. 255.

zalewów, zmiątnienia wód i zmiany ich temperatury, która gdy nagle nastąpi, szkodliwie działa na ikrę. Pstrągi są wyjątkowymi mieszkańcami wód słodkich, które do wylęgnięcia jaj blisko dwóch miesięcy potrzebują.

4) Wspomnieliśmy już wyżej, że jedynie woda żywo bieżąca sprzyja rozwijaniu się zapłodnionej ikry pstrągów; wszelako w miarę jak się w silny prąd wznaga, rozwijanie się ustaje lub nie przychodzi do skutku. Ażeby sprawdzić te spostrzeżenia, umieściłem dwie skrzynki z zapłodnioną ikrą: jedną w silnym prądzie strumienia, drugą w rynwie rezerwoaru; w przeciągu dni 14 postradałem w obydwóch cały zapas ikry. Strumień powinien być o tyle żywo bieżący, o ile potrzeba wymaga, aby utrzymywał jaja w ustawicznym lekkim ruchu, i unosił z sobą wszelki osad wody zwykle zamulający ikrę przy wolnym jej biegu, czyli językiem naukowym mówiąc, by nie dozwalał zatkania por w jajkach, któremi płód oddycha. Z tego powodu pod względem praktycznym wejście jaja jest pewną wskazówką do oceny ich żywotności i do umiarkowania biegu wody. Jeżeli jaja zapłodnione przy powtórnym opatrywaniu zachowują właściwy sobie połysk, świeżość i przezroczystość, znakiem jest, że są zdrowe i zmiana wody dostateczna; w razie przeciwnym powierzchnia ich brudna, jakby zapruszona, nieprzezroczysta, oznacza zaduszenie jaj, i wymaga powiększenia ruchu wody. W ogóle zamulenie zapłodnionej ikry jest jedną z najczęstszych przyczyn niepomyślnego skutku doświadczeń.

5) *Odosobnienie jaj i rozdzielenie ich pomiędzy przestwoiry kamyków* w ten sposób, by się nie dotykały.

6) *Łatwy przystęp powietrza i światła* do zapłodnionych jaj; z tej przyczyny woda powinna być płytka i miejsce otwarte.

7) *Czystość wzorowa* powinna być utrzymywana w skrzyniach przyrządzonych do rozwijania się jajek.

Pierwsze doświadczenie sztucznego zapładniania ikry pstrągów przedsięwziąłem zeszłej jesieni. W tym celu, już w miesiącu wrześniu i październiku, kazałem poławiać duże pstrągi w sąsiednich strumykach i trzymałem w sadzawce obfitej w źródła a zdatnej do tarcia: największą ich liczbę dostarczali mi rybacy w porze tarcia. Pierwszy ich zapas otrzymałem z początkiem listopada; a przekonawszy się zwykłą manipulacją, że ikra z nich wytłoczyć się nie dała, kazałem wpuścić, jak poprzednie, do sadzawki, dla dalszego ich przysposobienia; z później dostawionymi

ponawia się ta sama próba, pokąd się nie spostrzeże, że ikra za lekkim przyciśnięciem ręką brzucha ryby, jednym promieniem kloaką wytryska. Co gdy nastąpi, znakiem jest nieomylnym dojrzalości ikry. Natenczas robi się za pomocą sieci ogólny połów pstrągów w sadzawce, i odłączają się ikrzaki od mlęczaków. Poczém przysposobiwszy do wyciśnięcia ikry i mlécza dwa czyste, obszerne i płytkie naczynia drewniane, napełnione do 3 cali świeżą źródlaną wodą, chwytą się z pośpiechem jedna samica po drugiej za głowę, trzymają się ją prostopadle nad miednicą, i dłonią przesuwają się kilka razy z góry na dół po obydwóch bokach brzucha, przyciskając nieco silniej okolice jajnika. Obwisły brzuch ryby pewnym jest dowodem wypróżnionych z ikry wnętrzości. Jeżeli ta w rękach słabieje, połęwa się świeżą wodą, albo wpuszcza się do sadzawki, gdzie wkrótce do siebie przychodzi. Takim wytłoczeniem jeden ikrzak wydaje z siebie 300 do 400 ziarn ikry. Ta sama manipulacja odbywa się z mlęczakami, pokąd woda nie zabieleje, i ciecz rozcieńczonego mlécza wlewa się do ikry, mieszając dokładnie ręką lub skrzydłem gesiem przez 5 do 10 minut najdluzej, po upływie którego czasu odlewa się mlécz od ikry, a natomiast nalewa się świeżą źródlaną wodą. Dłuższy pobyt cieczy zapładzającej szkodliwy wpływ na ikrę wywiera. Nalane jajka czystą wodą mogą się długo w stanie płodnym przechowywać, a nawet do odległych miejsc przesyłać, byleby nie zaniedbano ostrożności zmieniania wody co 12 godzin. Wysyła się w butelkach, w które należy włożyć kilka gałązek *Walisneryi* śrubowatej (1), albo też jakiegokolwiek rośliny z rodzaju rzęsy (*Lemna*) dla utrzymania w świeżości wody potrzebnej do przechowania jajek; jeżeli odległość jest niewielka, wtedy i mech dostateczny. Tak zapłodniona ikra robi się nieco mętniejsza, i nabywa biało-żółtawego koloru, z powodu skrzeplonych części mlécza na powierzchni jej osiadłych, gdyż te same jajka w wodzie bieżącej po kilku dniach odzyskują pierwotną żółtą barwę. Nasuwa się pytanie, w jakim okresie czasu dokonywa się zapłodnienie. Że ten akt w kilku chwilach po zmieszaniu ikry z mléczem następuje, nie podlega wątpliwości. Ale nie wszystkie jaja są do zapłodnienia zdolne; znaczna ich liczba pozostaje niezapłodniona, która prędzej czy później podczas rozwijania się

(1) Tej używa się zapewne w krajach południowej Europy, bo w naszych wodach jej nie ma.

zepsuciu ulega. Był czas, gdzie nieudolność takich jaj, kładąc na karb niedokładnego zapłodnienia, przedłużałem okres jego za radą p. AGASSIZA do kilku godzin, a nawet i dłużej; środek ten nie tylko nie wpływał na zmniejszenie liczby jaj niezapłodnionych, ale co większej jest wagi, bezpośrednio szkodliwie działał na zapłodnioną ikrę. Doświadczenie przekonało mnie, że im dłużej zostawiałem ikrę zmieszaną z mleczem, tym więcej było jaj zepsutych na dnie naczynia; nakoniec z zapasu ikry, którą przez 6 godzin w tym stanie zachowałem, połowę znalazłem obumarłą. Fakt ten, godzien jest zastanowienia. Gdy jaja należycie zapłodnione, nalane świeżą wodą łatwo się przechowują, a nawet na znaczną odległość przesyłać się dają, zepsucia jaj w wyż wymienioném doświadczeniu nietyle w nieodświeżaniu wody, ile raczej w samym mleczu szukać należy: zdaje się, że ten przy dłuższem połączeniu się z ikrą rozkłada się, i tym sposobem szkodliwy wpływ na jej żywotność wywiera, co tym prędzej następuje, jeżeli doświadczenie odbywa się przy łagodnej temperaturze powietrza i wody. O skuteczności zapładniania ikry ryb nieżywych nie miałem sposobności przekonania się z własnego doświadczenia; wszelako hrabia GOLDSTEIN zapewnia, że ikra pstrągów nawet we 4 dni po uśnięciu ryby zapłodniona być może. Ta sama dzielność utrzymuje się w samcu, pokąd mlecz w stanie płynnym zostaje.

Naczynia do rozwijania się ikry przyrządzają się z blachy żelaznej pobielanej, lub z drzewa dębowego. Pierwszym nadaje się kształt puszek okrągłych, sześć cali średnicy a cztery wysokości mających, albo robią się skrzynki czworoboczne na łokieć długie, ośm cali szerokie i sześć wysokie, oprócz dna drobno podziurawione, najprzód dla zapobieżenia przeciskaniu się jajek, następnie by je ochronić od robactwa wodnego, dla którego ikra najpożądalszym jest żerem. Dna puszek wysypują się na dwa cale wymyłym czystym żwirem rzeczonym, i zanurzają się do połowy w piasku źródła lub strumienia. Do tak przysposobionych naczyń znosi się ikra zapłodniona i pęzlikiem rozdziela się w skrzynki, około 1,000 ziarn w każdą, w ten sposób, by się nie dotykały, i pokrywają się zlekka żwirem. Poczém przystępuje się do zregulowania biegu wody. Zależy ono głównie na tém, by woda w pierwszym okresie rozwijania się jajek żywo, na cal powyżej żwiru, w skrzynce przepływała, zostawując z wierzchu część prózną dla łatwego przystępu powietrza i światła.

Jeżeli źródła mocno biją, puszki obsypują się naokoło piaskiem, albo prąd wody odwraca się stawidłem. Z postępem rozwoju zagląda się co kilka dni do jaj, patrząc, czy mają zdrowe wejrzenie, lub czy ich powierzchnia jest brudna, jakby zakurzona, nieprzezroczysta. W pierwszym razie można być pewnym, że zmiana wody jest dostateczną, w ostatnim bieg jej przyspieszyć należy. Tym sposobem zapobiega się powstawaniu pleśni z rodzaju glonów (*Conferva*), chorobie dla nich niebezpiecznej, która się szybko rozszerza, i cały plon ikry w krótkim czasie niszczy. Wywiązuje się ona z niedostatecznej zmiany wody, z powodu osiadającego zwykle na jajach mułu, gdyż przy silniejszym jej ruchu nigdy się nie tworzy. Z tą pasorzytną wegietacją żadnej nie mają styczności niezaplodnione lub słabe jaja, u których z jakiegobądź przyczyny rozwijanie się ustało, lub nie przyszło do skutku. Takie jaja wkrótce, nawet przy sprzyjających warunkach, obumierają. Odznaczają się od zdrowych powierzchnią białą, mętną, koloru mleka. Żółtek ich jest ścięty i stwardniały. Jestto pierwszy stopień rozkładu nieżywego jaja i pochodzi z wciśnięcia się cząstek wody przez obumarłą błonę żółtka, do wnętrza jego. Tego wejrzenia jajka, peźlikiem grubym a miękkim starannie co kilka dni odłączać należy. Zaniedbanie tej przestrogi również może zniweczyć całą nadzieję obfitego plonu. Zepsute jaja przechodzą w zgniliznę, i szerzą zarazę do zdrowych. Dotykanie jaj nie jest szkodliwe, a nawet sprzyja ich rozwijaniu się, byleby wykonywało się ostrożnie i nie ręką, z powodu wysokiej temperatury ciała, której jaja nie znoszą.

Dla praktyczności swojej zwykle używane skrzynie w Anglii mało się różnią od tych, które już JACOBI do rozwijania ikry pstrągów zalecał.

Buduje się skrzynia podłużna z drzewa dębowego na dziesięć stóp długa, stopę szeroka i tyleż wysoka; jeden jej koniec łączy się spójnie z skrzynią czworoboczną, 4 stopy z każdej strony mającą. Po obu końcach pierwszej robią się otwory kwadratowe i zabijają się blachą cynkową, gesto i drobno dziurkowaną, a w niedostatku takiej, siatką z drótu miedzianego; trzeci otwór robi się w przyległym boku skrzyni czworobocznej, i ten się również jak poprzednie siatką zasłania. Opatrują się obie wiekiem drewnianém ciężkiém, szczelnie zamykającém się. Dna skrzynki podłużnej wykłada się spodem dużemi wymytemi kamieniami, a na nie układa się ściśle warstwa kamyków wielkości małego orzecha

do wysokości 5 cali, w czworobocznój do 3 cali. Wprowadza się otworem skrzyni podłużnej promień wody tak żarzący, by na cal powyżej wiru przechodził, i wyprowadza się ostatnim czworobocznój. Powyższym sposobem zapłodniona ikra kładzie się do skrzyni podłużnej, równo ją między przestwory kamyków rozdzielając, by się pojedyncze ziarenka nie dotykały, i zakrywają się zlekka cienką warstwą wiru. Przestrzegać trzeba, by bieg wody nie był za prędki, lubo zawsze żywy; inaczey nieuchronnie poczynają pleśnieć jaja. Skrzynki w czasie dnia są otwarte, w nocy tylko zamykają się dla zapobieżenia kradzieży. Tak zapłodnioną ikra, wystawioną na działanie słońca, mająca bezustannie świeżą wodę, zabezpieczona jest od szkodliwych owadów, wodnych zwierząt, i ryb drapieżnych. Utrzymywanie wzorowey czystości w skrzyniach, należy do niezbędnych warunków pomyselnego skutku. W tym celu codziennie dozorca zaopatrzony w szczotkę włosienną (naksztalt tej, jaką zwykle kurcz z sprzętów zmiatają), oddala z powierzchni wiru nagromadzone nieczystości, popsute jajka, obczyszcza kratki. W końcu uważa, jakie jest wejście jaja i podług tego reguluje bieg wody.

Dalszy postęp rozwoju należy do embryologii ikry rybięj. Dla praktycznego użytku wypada nadmienić, że błony jaj z początkiem trzeciego tygodnia mięknią, kolor żółty ciemnieje i wpada w pomarańczowy, później w rubinowy. Około piątego tygodnia dwa czarne punkta w jaju wskazują oczy rybie. Po sześciu lub ośmiu tygodniach, według tego, jak temperatura źródeł i pory roku wyższe są lub niższe, poczynają wylęganie się rybki. Wyklute pstrążki długości pół cala, przezroczyste, mają pod brzuchem stosunkowo dość duży pecherzyk, składający się z żółtkowey masy i cząstek olejku, których kosztem się żywią do sześciu tygodni; po upływie tego czasu w miarę coraz dokładniejszego kształcenia się, znika ten posąg przyrody i nadchodzi czas, gdzie młoda rybka już zewnątrz siebie szukać musi karmi. Tym sposobem otrzymałem w tym roku, 1851, w moim zakładzie około 1200 sztuk zarobku. I w tych niższych gromadach zwierząt kręgowych wydzierają się potwory. Między temi znajdują się trzy z dwiema głowami zrósnięte ogonkami, kilka z pokrzywionemi ogonkami, u których ruch tylko krążący był możliwy. Po 40 dniach otrzymują powierzchnią ciemną, wykształcenie zupełne; wtedy przesadzają się do sadzawki płytkiej na ten cel urządzonej, zaopatrzonej w czystą wodę źródlaną, najwięcej głębokości 6 cali;

w głębszej wedle mego doświadczenia giną. Małe te rybki są niezwykle żarłoczne, i żywią się w pierwszych miesiącach mikro-skopowemi robaczkami, zamieszkującemi brzegi strumyków naszych, jeżeli te ziołami wodnymi są zarosłe; później dostarcza im się skrzek żabi. Obfitość karmi jest warunkiem dobrego bytu pstrągów każdego wieku, i wzrost ich i dobroć mięsa od niej zależy; inaczej silniejsze niszczą i pożerają słabsze. Najpożądaniem ich pożywieniem są małe rybki liczne w strumykach; niedostatek takich zastępują glisty ziemne, gasienice, chrząszcze, małe żabki i owady wodne, różnego gatunku, a nawet płuca i jelita zwierząt siekane.

Pozostaje nam zastanowić się jeszcze nad urządzeniem stawów do chowu pstrągów przeznaczonych.

Główną przyczyną wyniszczenia pstrągów w naszych płytkich i przystępnych strumykach jest łatwość, a raczej nieograniczona wolność połowu w porze łarcia. Aby temu zapobiedz, już w dawniejszych czasach zakładano pstrągarnie, które pospolicie żadnej nie przynosiły korzyści. Staw nie jest właściwą pstrągów siedzibą. Wspomnieliśmy już wyżej, że ryba ta z rodzaju wędrujących, musi udawać się w porze łarcia w wyższe okolice dla zapłodnienia ikry. Nie mogąc zaś w ograniczonym miejscu zaspokoić tego naturalnego popędu do wędrówki, przymuszona do niewłaściwego sposobu życia, nie trze się, albo wypełnia tę czynność tylko niedokładnie. A lubo wstrzymane z tego powodu jaja w brzuchu z czasem same przez się wyczerpują się i ostatecznie nikną, wszelako nie odbywa się to bez znacznych chorobliwych przypadłości. Między innemi powstaje gwałtowne zapalenie jajnika z wypoconiem cieczy skrzeptłej, która jakby siatką jaja otaczając, zniszczenie ich utrudnia, a tém samym często usnięcie ryby pociąga. Ścisłejsze badania właściwego sposobu życia tych mieszkańców naszych strumieni, okazały potrzebę zwrócenia szczególnej uwagi przy zakładaniu pstrągarni, na dwa główne warunki. Pierwszym jest odosobnienie każdego pokolenia podług wieku, do którego pstrągi zamierza się chować. Cztery sadzawki są koniecznie potrzebne. Następnie jedynym środkiem na dochowanie się pstrągów do płodzenia zdolnych, jest połączenie stawu głównego ze strumieniem do odległości przynajmniej pół ćwierci mili. Tak urządzone zakłady już w różnych krajach pomyślnym skutkiem zostały uwieńczone. Tém zachęcony, założyłem na ich wzór

pstrągarnią blisko Pisar (1), w pięknej dolinie Niekluza zwanéj, w okolicy sprzyjającej temu przedsięwzięciu, za którą przemawiały wyniesienie miejsca zalewom niepodległe, obfitość źródeł, i istniejący w téj dolinie strumyk.

Urządzony stawek owalny ma 600 sążni kwadratowych; trzecią część tego ze strony źródeł odłączyłem groblą, i za pomocą poprzecznej tamy przedzieliłem na dwie sadzawki, przeznaczone dla jedno- i dwuletniego zarybku. Przez podniesienie obfitych źródeł od wschodu, otrzymałem trzecią sadzawkę dla nowo wykłutego płodu. Staw główny, zasilany całym zapasem źródeł, pozostaje dla trzechletnich pstrągów. Stawki mają grunt kamienny wysypany żwirem, woda jest źródłana czysta, w niektórych miejscach płytka i za pomocą dwóch śluz zmienia się szybko. Oprócz tego zająłem 300sążniową przestrzeń strumienia w obręb zakładu, do wychowywania pstrągów do płodu zdolnych. Tam na próbę wpuściłem kilkaset dużych pstrągów, gdzie przez całe lato przebywają, a w czasie tarcia dają im wolność bujania w głównym strumieniu do odległości ćwierci mili. Przyszłość pokaże, czy nieuchronna w podobnych okolicznościach kradzież i wylewy strumienia, nie staną na przeszkodzie całkowitemu wykonaniu tego przedsięwzięcia."

(1) Koło Krakowa.



KRONIKA LITERACKA.

Uwagi nad rozbiorem krytycznym dzieła pod tytułem: Prawo hipoteczne w Królestwie Polskiem.

Prawa miłość prawdy jest siostrą tolerancyi, która bez obelgi swe zdania wynurzać i przeciwnych głosów bez urazy słuchać uprzejmie zaleca. (Zbiór rozpraw J. W. Bandtkie, str. 197).

Pismo obejmujące istotną recenzją mego objaśnienia prawa hipotecznego, dostarczające wiele ważnych spostrzeżeń nad znakomitą częścią prawa cywilnego, jaką jest prawo hipoteczne: wkłada na mnie obowiązek dać na nie odpowiedź, szczególnież co do tych punktów, w których się z szanownym moim recenzentem zgodzić nie mogę, gdzie zaś sąd publiczny między nami rozstrzygać musi.

Autor Rozbioru Krytycznego wziął pod krytykę z pisma mego następujące kwestye:

1) Z prawa własności.

W kwestyi: jakie warunki przy darowiznach winny być do działu IIIgo wykazu hipotecznego wpisane, aby trzecich obowiązywały, a które mają moc chociażby nie były wpisaniem? Utrzymałem (str. 73, 74 objaśnienia), że warunki z natury darowizn, mianowicie: że są odwołalne dla przybycia dziecka, że w razie przekroczenia części rozrządzałnej ulegają redukcji, nie potrzebują być objawiane, bo każdy jest obowiązany znać prawo. Objawienie nie mogłoby co innego obejmować, jak przypomnienie, że mamy kodex, a w nim art. 929, 960, 963, lub też przepisanie treści tychże artykułów. Nie uważałem potrzeby podobnego ostrzeżenia, lecz gdyby je uważano za potrzebne, doradzałbym, aby ostrzeżenie to czynione było przez wydział hipoteczny z urzędu; inaczéj dyspozyeya o ostrzeżeniu zostałaby bez skutku. Nie możnaby tego pozostawiać dobrej woli darującego, ani obdarowanego, a strona interesowana może albo nie istnieć, jak spodziewane dopiéro dziecko, albo nic o tém nie wiedzieć.

Szanowny mój recenzent utrzymuje, że ostrzeżenie o legitymie, (o przybyciu dziecka nie wspomina), mogłoby być wniesione tylko na żądanie samych stron interesowanych, i zanimby dobra darowane przeszły w ręce trzecie.

Podług tego mocneby były dzieci (bo o nich tu tylko mowa być może), kontrolować ojca, i jego czynności ostrzeżeniami obkładać. A jak będą małoletnie, któż ma prawa ich bronić? Może być przypadek, że wtedy, kiedy ojciec obcej osobie czynił darowiznę, nie przekraczał części rozrządzałnej; później dopiero, kiedy już dobra darowane przeszły w ręce trzecie, powiększy się liczba dzieci darującemu, lub zmniejszy się jego majątek. Teorya szanownego recenzenta żadnego ratunku nie da prawym dzieciom.

Szanowny recenzent twierdzi: „że śmiało można powiedzieć, iż w razie przyznania w całej rozciągłości mocy obowiązującej przepisom Kodexu Cywilnego obok hipoteki, nie byłoby żadnego bezpieczeństwa hipotecznego, i większa część dóbr nieruchomości byłaby usunięta zpod porządnego obiegu: słowem, z postępem czasu wrócilibyśmy do tego chaosu, z którego usiłują wyjść teraz Francuzi.”

Twierdzenie to nie ma rzeczywistej zasady. Przypadek, w którym ojciec własne swe dzieci zechce pokrzywdzać, zawsze się rzadkim okaże. Czy można dać wiarę temu, aby u nas była większa część właścicieli dóbr nieruchomości na krzywdę własnego potomstwa działających?

Francuzi chcą zaprowadzić kontrolę tytułu własności, ale im przez myśl nie przeszło, aby dla hipoteki mieli znosić, lub udaremnić legitymę.

Możnaby się tu zapytać: dlaczego koniecznie dar otrzymujący ma się pozbywać daru swego dobroczyńcy, lub go zmarnować? Jeżeli zaś to czyni dlatego, aby z czasem dzieci darującego tego dobrodziejstwa nie zmniejszyły: taki człowiek niegodnym jest daru i takiemu nieprawym jego chęciom pomagać nie należy. Czyż to koniecznie czyni się darowizna dóbr nieruchomości dlatego, aby handel niemi prowadzić, lub je zaraz obdłużyć, lub długu nie użyć na polepszenie dóbr, ale go stracić? I cóżby to było tak złego, żeby obdarowany nie miał przez prawodawcę ułatwionej możności zmarnowania dóbr darowanych lub ich obdłużenia. Na tém zdaje się nikthby nie nie stracił.

Przystąpmy do samej rzeczy. Między mną, a szanownym moim recenzentem spór zachodzi właściwie o to: czy należy przy przepisaniu tytułu własności na skutek darowizny, zamieścić ostrzeżenie o tém, co prawo samo do natury darowizny przywiązało? lub nie? Ja uważałem, że niepotrzeba, dlatego, że to leży w samym tytule; kto przeczyta w wykazie hipotecznym, że właściciel dóbr posiada je na mocy darowizny, nie może, a przynajmniej nie powinien nie wiedzieć, że prawo tytuł taki w pewnych przypadkach zrobiło odwołałym, to jest w przypadku, gdy darujący bezdzietny doczeka się potomstwa, i w przypadku, gdy po zgonie darującego okaże się, że darował więcej, jak mu prawo darować pozwoliło. Ja tak uważałem, że jak nie ma potrzeby pisać ostrzeżenia, iż użytkowanie skończy się ze śmiercią użytkownika, bo tak prawo postanowiło; tak podobnie nie ma potrzeby ostrzegać, że darowizna w pewnych przypadkach ulega odwołaniu lub zmniejszeniu, bo tak prawo postanowiło.

Prawo hipoteczne zmiany co do skuteczności legitymy zaprowadzić nie zamierzyło, i dlatego o tém nie nie mówi. Ja zamierzyłem wykazać, gdzie Kodex, i jakiej modyfikacyi uległ przez prawo hipoteczne? Rozbie.

rałem kwestyą co do legitymy. Gdyby był szanowny recenzent doradził, aby wydział hipoteczny z urzędu zapisywał ostrzeżenie, jaka jest prawna natura darowizny, nie byłoby między nami sporu: bo użyteczności takiego ostrzeżenia już dlatego że odjęłoby wszelki powód do procesu, zaprzeczyć nie można; ale na zdanie, że jak strona interesowana nie zanie sie ostrzeżenia przed przejściem dóbr w ręce trzecie, to wola prawodawcy zachowania majątku w rodzinie w nie się obróci—zgodzić się nie mogę.

Twierdzi szanowny recenzent, że ogólne względy i wyraźne przepisy prawa zdaniu memu są przeciwnie. Jakie to być mogą ogólne względy?—autor Rozbioru Krytycznego nie objawił. Czyż mogą ogólne względy wymagać, aby darowane dobra właścicieli często odmieniały, lub zaraz obdłużone zostały? Czy może być w widokach prawodawcy, aby skoro ojciec niepomny na własne potomstwo, namiętnością może wiedziony do osoby, z którą nieprawie ma związki, darował jej majątek, a ona go puściła w ręce trzecie, prawe dzieci żadnego już nie miały ratunku? Możeż się to z ogólnemi względami zgadzać, aby ułatwić osiągnięcie majątku może osobie, która nieszczęście w familią wprowadziła? Nigdy nie należy podawać ręki złym namiętnościom, któreby prawe dzieci do żebractwa przyprowadzały, a nieprawie, wyludzone może nabytki ubezpieczały.

Jakież to wyraźne przepisy prawa mają się memu zdaniu przeciwieć? Oto artykuł 30.

Bliższe rozpatrzenie się w tym artykule przekonać może, że on do naszej kwestyi żadnego nie ma zastosowania; ale są artykuły, które moje zdanie popierają, a temi są artykuły 34, 113 Prawa hip.

Czyż wpisanie do działu II wykazu hipotecznego, że dobra są darowane, nie kupione, nie nastęrcza wątpliwości, że jak darującemu bezdzietnemu przybędzie dziecko, darowizna samą potęgą prawa upadnie? Lub gdy pokrzywdzone będą dzieci, ulegnie redukcji? Możeż się nabywca dobrą wiarą zasłaniać, że nie wiedział, aby w naszym kraju było takie prawo, iż najformalniejsza darowizna dla przybycia dziecka, lub nadwężenia legitymy upaść może? Kto nie wie tego, co wiedzieć powinien, nie jest wolny od winy. Niewiadomością prawa nikt się wymawiać nie może.

Szanowny recenzent pyta się, coby tu była za rękojmią, za znanie wiary publicznej, jeżeliby prawa przez trzecich nabyte mogły być unieważnione skutkiem legitymy, należącój od pierwotnego właściciela? Ja znowu zapytać się muszę, czy wydział hipoteczny, zatwierdzając tytuł własności na mocy darowizny, powiedział, że to zatwierdzenie zmieniło naturę prawną darowizny, że zniósło prawo w artykułach 960, 963, 929? Czy wykaz hipoteczny poświadcza, że tytuł nabycia, będący w pewnych przypadkach odwoalny, przez to że zatwierdzonym został, zamienił się na nieodwoalny?

Hipoteka dąży do ubezpieczenia każdemu wszelkich słusznych praw; dlaczegoby miała niweczyć święte prawa rodziny? Dlaczegoby miała pozbawiać ratunku dzieci prawe wtedy, kiedy się bronić nie mogą? Nie można takiej szczególnej alternaty stawiać, aby należało wybierać między

hipoteką a legitymą. Jedna drugiej nie znosi, obie całe być mogą. Że w rzadkich zapewne przypadkach, bo nie tak wielu będzie ojców, którzyby majątki nieruchomości od własnych usuwali dzieci, majątek darowany nie zmieni właściciela przez jakiś czas, lub nie będzie mógł być łatwo obdłużony; na tém wiara publiczna nie straci. Nie tak często się zdarza, aby ludzie niemający obowiązków ojców bardzo byli skorzy do darowania dóbr nieruchomości; nie ma więc obawy o zatamowanie ruchu w dobrach darowanych przez tych, na których natura, i prawo, święte obowiązki ojców włożyło.

Kanton genewski mający ten sam kodex co i my, zaprowadzając hipotekę taką jak my mamy, w art. 58 projektu każe wpisywać pomiędzy prawami własność ściśniającemi:

1. Rozporządzenia na skutek art. 1048, 1049, 1060, K. C.
2. Prawo powrotu na korzyść darującego, zastrzeżone art. 951 K. C.
3. Prawo odkupu dóbr, art. 1659.
4. Warunki, do niewykonania których przywiązane jest odwołanie darowizny, albo rozporządzenia testamentu, lub innego tytułu własność przenoszącego.

Nie wymaga wcale, aby wpisywane było ostrzeżenie o odwołalności darowizny dla przybycia dzieci, lub cofnięcia z powodu nadwężenia legitymy dla dzieci. Owszem professor Bellot do tego artykułu zamieścił notę, że należy wpisywać warunki odwołanie skutkować mogące, te, które strony umówią, a nie obejmować tych, które z samego prawa wynikają. (*Des systèmes hypothécaires, par Pierre Odier*). Tak więc kanton genewski zaprowadzając w całej rozciągłości jawność, w całej rozciągłości zachował legitymę.

Szanowny recenzent przywodzi, jakobym ja w § 47 utrzymywał, iż art. 865 K. C. obowiązuje w całej swój rozciągłości i co do aktów hipotecznie zeznanych; tymczasem ja (str. 75, 76) przywiodłem „że długi powinny być utrzymane nawet podług kodexu”. Zresztą, gdy wykonanie art. 865 nie może szkodzić wierzycielom, bo successor, który na darowiznie nie poprzestaje i przystępuje do działu, nie chce stracić, ale zyskać, gdyby zaś na tém miał tracić, artykuł powołany dozwala wierzycielom sprzeciwić się powrotom. Prócz tego wierzyciele mają prawo poszukiwania czynić, nie czekając otwarcia sukcesyji; artykuł 865 kodexu nie może im żadnej w tej mierze stanowić przeszkody; bo w tym wypadku zastosowany będzie artykuł 860 kodexu.

Co do hipoteki na schedzie niewydzielonej, szanowny recenzent utrzymuje: że każdy ze współsukcesorów swoim prawem mocen jest rozporządzać. Dla ocenienia zaś skutków tych rozporządzeń należy rozróżnić, czyli współsukcesorowie wpisani *pro indiviso* zastrzegli sobie w wykazie hipotecznym wzajemne pretensye, mające się wykazać w drodze działów, i czy postarali się o zamianę praw osobistych, z art. 883 służących (artykuł ten nie mówi o prawach osobistych), na rzeczowe lub nie? W pierwszym razie, przyznaje rozporządzeniom zupełny skutek, w drugim go odmawia.

Przeciwko takiemu widzeniu rzeczy, wieleby się pod względem praktycznym powiedzić dało. Możliwość w wykazie hipotecznym, obok

zapisania współsuksesorów, (bo o nich mowa, nie o współwłaścicielach, między którymi żadnych nie ma powrotów) *pro indiviso*, nie poprzestając na wyrażeniu się *pro indiviso*, ostrzedz skutki działu; ale nie można zamieniać praw osobistych na rzeczowe, bo o nich przed działem wiedzieć nie można. Zresztą tu nie chodzi o wzajemne pretensye, które sobie każdy współsuksesor, tak jak inny wierzyciel zastrzegać może i powinien, ale tu głównie idzie o to, czyli i w jakiej części utrzyma się *pro indiviso* zapisany współsuksesor z powodu wybrania naprzód swój schedy. To rzeczywiście wykazać może dopiero dział.

Było także zarzenie, że nieruchomości spadkową przepisało dwóch suksesorów *pro indiviso*: jeden z nich wybrał już to, co na jego schedę przypaść mogło z innych funduszów, drugi nieletni nie wziął. Z działu wykazało się, że nieruchomości przypadła na schedę nieletniego, tymczasem przed działem powpisywali się na schedzie pierwszego wierzyciela, i utrzymywali, że aż do połowy nieruchomości satysfakcją otrzymać winni. Podług teoryi szanownego recenzenta miałby racją: nieletni bez wiedzy i bez winy swojej straciłby połowę swego majątku. Ale sądy nie poszły za tą teorią i nieletniego majątek był ocalony.

Wierzyciel kiedy pożyczka na schedę *pro indiviso* zapisaną, poddaje się skutkom działu. Współsuksesorowie nie mogą na tém tracić, że sobie wierzyciel lekkomyślnie postąpił. Wykaz hipoteczny onegoż nie zawodził, skoro mu objawiał, że suksesorowie posiadają niepodzielnie.

Nie można tu spuszczać i tego z uwagi, jak się to najczęściej zdarza, że spekulanci za wpisaniem przyjacielskich procentów w kapitał, pożyczają czasem nawet jeszcze niepełnoletnim w nadziei przyszłej sukcesyi, życząc jak najgoręcej, aby kochanego wujaszka lub stryjaszka, jak najprędzej Pan Bóg raczył powołać do swojej chwały; a gdy ta chwila nastąpi i postępowanie spadkowe ogłoszone zostanie, zgłasza się spekulant równocześnie ze współsuksesorami, a zatem nie zostawi im nawet czasu do jakichkolwiek ostrzeżeń; a jeżeli się potem wykaże, że utracysz, który na spodziewaną sukcesyą pożyczkę zaciągał, swoją schedę wyczerpał, może być koniecznie spekulant utrzymany na pewnej części; kiedy się żadna jego dłużnikowi nie należy?

2) Nie mogę być pewny, czy szanowny recenzent co do przeniesienia własności jest za teorią, że własność przenosi się przez samą umowę względnie nabywcy, a przez przepisanie tytułu w księgach hipotecznych względnie trzecich; bo się wyraźnie nie zdeklarował. Zdaje się, że zbijając mój wywód, na konkluzyą moję nie zgadza się, jest zatem za dwojakim sposobem przenoszenia własności.

Ja przyznam się, że tego dwojakiego sposobu pojąć nie mogę. Własność jest *jus in re*, jest prawo bezwzględne, *jus absolutum*; jeżeli to prawda, że umowa przeniosła własność na nabywcę, to każdy to prawo szanować winien, to już tej własności od nikogo nabyć nie może tylko od nabywcy, bo taka jest natura *juris in re*, i tak też jest podług prawa francuzkiego. Ale prawo hipoteczne nie przywiązało przeniesienia własności do umowy, ale do przepisania tytułu; jak najwyraźniej mówi w art. 11, że żaden tytuł nie stanowi *juris in re*, jeżeli nie będzie wciągnięty do ksiąg hipotecznych. To samo mamy w art. 143: umowę uważa za

tytuł, a wciągnięcie do księgi hipotecznej za sposób nabycia, który sam jeden przenosi własność. Według prawa francuzkiego umowa stanowi i tytuł, i sposób nabycia; kto raz sprzeda nieruchomości, już jej drugi raz sprzedawać nie może. Powtórna sprzedaż byłaby sprzedażą cudzej rzeczy, i nie miałyby żadnego skutku, chociażby ten drugi nabywca w najlepszej był wierze. Według prawa hipotecznego, ten co raz sprzedał, nabywcy nadał tytuł; lecz jeżeli ten tytułu nie wciągnie do hipoteki, nie przenosi własności, i zbywca może drugiemu podobnyż tytuł nadać, a gdy ten drugi do swego tytułu dołączy sposób nabycia, to jest wniesie swój tytuł do hipoteki, ten drugi przeniesie własność na siebie. Taką konsekwencją wyprowadza art. 36 prawa hipotecznego. Umowa przez to z pierwszym zawarta, nie przestanie być osobistym tytułem, i pociąga te wszystkie skutki, jakie ustawa do prawa osobistego przywiązuje, ale nie nadaje mu żadnego prawa do drugiego nabywcy, żadna mu nie służy akcja, któraby mu koniecznie służyć musiała, gdyby był miał własność.

Za moim rzeczy widzeniem jest text prawa. Szanowny recenzent chociaż twierdzi, jakoby przyjął system przyznania kodexowi górującego stanowiska nad hipoteką, w tej kwestyi pomimo że prawo hipoteczne zupełnie przeciwną przyjęło kodexowi zasadę; mocy prawu hipotecznemu odmawiać się zdaje, przywołując „że prawo hipoteczne nie urządza stosunków między zawierającymi umowy; że te umowy urządzone są przez Kodex Cywilny, którego prawodawca nie zamierzał zmieniać”. Jak to nie zamierzał zmienić, kiedy w kwestyi przynajmniej obecnej rzeczywiście zmienił? Wszak art. 143, nie czekając nawet na zaprowadzenie ksiąg hipotecznych podług nowego porządku, postanowił, że zaraz od ogłoszenia prawa hipotecznego już nie można było dóbr nabywać, tylko przez akt urzędowy; a podług art. 1582 kodexu wolno było i przez akt prywatny, i własność się nie przenosiła, jak tylko przez wciągnięcie do rejestrów konserwatora; inaczéj czynność uważaną była za stosującą się do osób tylko, niestanowiącą prawa rzeczowego. Obok takiego textu, robię szanownego mego recenzenta sędzią zachodzącego pomiędzy nami sporu.

3) Co do hipoteki prawnej.

Prawo hipoteczne zachowało hipoteki prawne kodexowe, tę tylko z zasady jawności zrobiło zmianę, że je pod obowiązek wpisu poddało (art. 51 Prawa Hipotecznego, art. 17 prawa z r. 1825).

Przeszlibyśmy na zupełnie mylną drogę, gdybyśmy hipoteki prawne z prawa pruskiego, jak szanowny recenzent doradza, wyjaśniać chcieli. Wszystkie przepisy o hipotekach prawnych, sądowych i umownych, przejęte są z kodexu francuzkiego z zastosowaniem do nich zasady bezwarunkowej jawności, i ze zmianami, jakie z odmienną organizacyi wynikały.

Aby żona miała obowiązek zapożywać męża przed zwierzchność hipoteczną, sprzeciwia się literze prawa, które w art. 16 pra. 1825 r. stanowi, że hipoteki prawne powinny być bez zezwolenia nawet dłużnika do ksiąg hipotecznych przyjęte, a dłużnik z przepisu art. 19 powołanego prawa dowie się o nich dopiero przez urzędowe wręczenie. Szanowny recenzent przewidział jeden przypadek, jak mąż pozwany stanie i nie zgodzi się, wtedy interes do drogi sądowej odesłany być winien; w cóż się

obróci przepis nakazujący, że hipoteki prawne bez zezwolenia dłużnika przyjęte być winny? Jeżelibyśmy taką teorią, niezgodną z literą prawa przyjęli, nie miałibyśmy hipotek prawnych, tylko sądowe; tytuł z samego prawa, którego nie przeprzée zdołać nie powinno, w nieby się obrócił; a jeżeliby mąż nie stanął, cóż ma wtedy wydział hipoteczny zrobić? Odsyłając interes do drogi sądowej, co ma uczynić? Jeżeli mąż dobra żony zniszczy, czyż on da na siebie dowód do hipoteki prawnej? A tak podług teorii szanownego recenzenta, prawo, które chciało zabezpieczyć mężatki, nieletnie dzieci i skarb, zostałoby bez powagi i siły. Szanowny recenzent obawia się, aby przewrotna żona męża z majątku nie wyzula. Obawa ta nie ma rzeczywistości. Żona, która zapisuje hipotekę na mocy art. 205 ks. Iéj Kodexu, jeżeli mąż stał się odpowiedzialnym żonie, albo jeżeli przy nim należność jakowa dla żony pozostaje, w razie gdyby na ilość dowodu nie miała, a co się w tych przypadkach najczęściej zdarzać musi, nie uzyska czystego wpisu, ale zanotowanie pretensyi. Gdyby wpis nad potrzebę był rozciągniony, prawo z r. 1825 w art. 18 dozwala żądać zmniejszenia. Zresztą żona nie może robić zlewku bez upoważnienia, nie może exekwować w ciągu trwającego związku; żadna więc nie zachodzi zasadna obawa, aby żony mogły mężów z majątków wyzuwać. Szanowny recenzent mówi tylko o żonie; a jakże będzie należało postąpić, gdy zajdzie potrzeba zapisać hipotekę prawną na majątku opiekuna, lub urzędników odpowiedzialnych?

Troplong, w komentarzu o hipotekach do art. 2153 nr. 706 tłumaczy powody, dla których prawo nie wymaga składania tytułu przy wpisywaniu hipoteki prawnej, a Kodex, nie prawo pruskie jest źródłem naszych hipotek prawnych. W końcu, szanowny recenzent nie podziela zdania mojego, że w razie jednoczasowego zgłoszenia się do zapisania hipoteki prawnej, pierwszeństwo podług daty nastania wierzytelności lub odpowiedzialności przyznać wypada. Niechże raczy szanowny recenzent rozwiązać przypadek: do zapisania hipoteki prawnej jednocześnie zgłasza się żona i przydany opiekun, na majątku męża, a *respective* głównego opiekuna; tak jedna jak drugi przychodzą z tytułu odpowiedzialności, pretensye ich nie nastąpiły jednocześnie, tylko w różnych epokach; gdyby to była hipoteka umowna lub sądowa, wcześniejszość daty tytułu rozstrzygałaby względnie pierwszeństwa, ale że tu idzie o zapisanie hipoteki prawnej z nadużycia, a zatem żadne ze zgłaszających się tytułu na piśmie mieć nie może; kto? i na jakiej zasadzie będzie mieć pierwszeństwo?

4) Co do ostrzeżeń.

Czy można uzyskać ostrzeżenie na illacyą pretensyi, czyli należności osobistój w drodze sądowej wykazaną być mogącej, dla zabezpieczenia sobie skutku prawa rzeczowego, to jest możliwości poszukiwania jój w miejscu ostrzeżoném, chociażby osobisty dłużnik zbył nieruchomość; jest kwestyą bardzo praktyczną, i wielce mieszkańców kraju obchodzącą. Za odpowiedzią twierdzącą, jest powaga sądów, co szanowny recenzent przyznaje, i zdanie Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości.

Kommissya Rządowa Sprawiedliwości objawiła zdanie swoje, raz w reskrypcie z dnia 5 maja 1841 r. nr. 3207, a nawet powtórnie, o czém

nie wiedziałem, w odpowiedzi z dnia 18 września 1843 r. nr. 10.784, pod dyktando samego redaktora projektu prawa hipotecznego, zwracając jednemu z patronów trybunału rozprawę przeciwnego zdanie usprawiedliwiać usiłującą.

Lecz co większa, postanowienie Księcia Namiestnika z dnia 25 kwietnia 1826 r. w § 9 mówiąc o ostrzeżeniach należności osobistych, w słowach: „protestacya nieściąająca się ani do własności, ani do służebności, lecz mająca tylko na celu należytość pieniężną, lub na pieniądze oszacowaną”, nie pozostawia żadnej w tej mierze wątpliwości.

Zdaje się, że przed taką powagą wszelka dysputa ustaćby powinna; mimo to przecież szanowny mój recenzent poszedł za zdaniem przeciwnym, że w samym prawie hipotecznym inaczej ma być postanowionem, a w szczególności utrzymuje, że na skutek rezolucyi sądu na illacyą, można czynić ostrzeżenia prawa rzeczowego, to jest prawa, które już przed wpisaniem rzeczowym było, i należności z przestępstwa wynikających; innych należności, czyli praw osobistych ostrzeżenia zyskać nie można z mocy artykułu 137 Prawa Hipotecznego, ale potrzeba wyroku podług artykułu 138.

Zanim przystąpię do rozbioru tego zdania, przedewszystkiem nadmienić widzę potrzebę, że cały ten podział na prawa rzeczowe i prawa osobiste, wykracza przeciw terminologii w samym prawie postanowionej. Podług art. 11 każdy tytuł, jakiegokolwiek prawa obejmujący, nim do księgi hipotecznej wpisany zostanie, stanowi tylko prawo osobiste. Pomijając ten podział, posłuchajmy co mówi prawo w art. 10: „ktoby sądził mieć jakie z wymienionych w art. 5, 6, 7, 8 praw”; czyli inaczej mówiąc: ktoby sądził mieć prawo do własności, do ścieśnień własności, do szczególnych ciężarów wieczystych, do służebności gruntowych, do obciążenia należnością samych dóbr, i do obciążenia praw hipotekowanych, które dopiero w drodze sądowej wykazanemi być mogą; mocen jest zabezpieczyć sobie ich skutek, przez uczynienie ostrzeżenia w księgach hipotecznych, podług przepisu art. 137”. Toż samo stosuje się do uwolnień, których wymaga dłużnik od wierzyciela (art. 9) w drodze sądowej, (art. 34, 61, 62, 65, 120, 132, do 140, 153). Z tych tu powołanych artykułów wykazuje się, że wszelkie ostrzeżenia ze strony dłużnika w formie art. 137 czynione być mają.

Ogólny przepis art. 10 jasno okazuje, że co tylko w drodze sądowej wykazanem być może, a ściąga się do dóbr lub praw hipotecznych, może być ostrzeżonem. Na tę ogólność zgadza się autor Rozbioru Krytycznego w sposobie, że bez cytacyi art. 137 artykuł 10 dozwala w ogólności ostrzegania praw rzeczowych jako i osobistych; utrzymuje wszakże, że art. 132 w związku z art. 137, niemniej art. 138, skutek artykułu 10 do praw rzeczowych ograniczył.

Gdyby tak było, prawodawca byłby sam z sobą w sprzeczności; czego by w jednym artykule dozwalał, cofałby w drugim. Ale tak nie jest, i zasady interpretacyi takiego tłumaczenia nie dopuszczają.

Ze tak nie jest, następne uwagi okażą:

Dodatek w art. 10 „podług przepisów art. 137”, jak tłumaczy członek Kommissyi sejmowej (Dyaryusz sejmowy tom III, str. 14) i sam

Redaktor projektu (str. 22) miał zaspokoić troskliwość sejmujących, objawiających obawę, aby właściciele, przez obarczenie majątków ich pfonnemi częstokroć pretensjami, na niepotrzebny proces o zniweczenie nie-słusznie zanesionej pretensyi narażonemi nie byli. Dodatek ten zaspokoił troskliwość, nie przez to, aby miał ogólny przepis art. 10 do praw rzeczowych ograniczać, ale przez to, że stanowi, iż chcący zapisać ostrzeżenie, powinien uczynić wniosek do sądu, okazać dowody, a gdy je sąd za takie uzna, że na ich zasadzie dozwoli na ostrzeżenie, że powinien następnie pozew stronie przeciwniej wręczyć i dowód na opłacony wpis złożyć, a gdyby upadł w sprawie, do wynagrodzenia szkód pod przymusem osobistym zmuszony być może.

Ale art. 132 lit. c, w związku z art. 137 i art. 138 ma to ograniczenie stanowić.

Po najgłębszém zastanowieniu się nad przepisami powołanych artykułów, nie mogłem nic takiego znaleźć, coby tę nową teorią usprawiedliwić mogło. Główne siedlisko ostrzeżenia o dochodzeniu prawa jakiego na drodze sądowej, znajduje się w art. 10 Prawa hipotecznego. Art. 132 wylicza rodzaje ostrzeżenia. Pod lit. a. i b, nie są właściwie mówiąc ostrzeżenia, ale ograniczenia mocy rozporządzenia właściciela, dla niezdolności osobistej, śmierci cywilnej lub upadłości, i zatamowanie wpisów z powodu śmierci właściciela. I tak je też uważa projekt Prawa hipotecznego dla kantonu genewskiego z r. 1827. Właściwe ostrzeżenie o dochodzeniu jakiego prawa przez proces, wymienionego w art. 10, objęte są pod literą c. Ustęp ten nie wymienia praw, bo je wymienił art. 10, wyraża się więc w sposób ogólny, gdy złożony jest pozew strony, która w drodze sądowej wykazać chce jakie prawo do dóbr lub należitości. Nie objął tu prowadzawca ostrzeżeń ze strony dłużnika czynić się mogących, ale je objął w artykule 137 przez wyraz *excepcyą*. Ten ostatni artykuł podobnie nie wymienia, jakie to mają być prawa, których się skutek praw rzeczowych zabezpieczyć ma, i wymieniać nie potrzebował, bo je wymienia przez szczegóły art. 10. Artykuł 137 wskazuje właściwie formę, w jakiej ostrzeżenie procesu uczynić należy. W wyrażeniu się prawa: „aby sobie zabezpieczyć skutek praw rzeczowych”, chcą niektórzy znajdować, że przez to chciał prawodawca dozwolnić ostrzeżenia tylko praw, które już przed wpisem były rzeczowemi, że przez to wyłączył należitości summ pieniężnych; lecz to jest rzeczą jasną i prostą, że skutek praw rzeczowych znaczy możność dochodzenia prawa, na drodze sądowej poszukiwanego, z nieruchomości, na którą wniesione było ostrzeżenie, i z miejsca ostrzeżonego.

Trudność największą, bo dotąd żadnej nie napotkaliśmy, stanowi artykuł 138. Niejeden może być naprowadzony na tę myśl, że kiedy prawodawca w art. 138 mówi dopiero o należitości osobistej, że jój nie objął w art. 137. Jak ją ułatwić?

Ani się art. 10 nie powołuje na art. 138, ani go wstępny art. 132 do rzędu przepisów o ostrzeżeniu nie przyjął; on też żadnego nie obejmuje ostrzeżenia, żadnego nie ma związku z przepisami o ostrzeżeniu: on jest poza obrębem ostrzeżeń, on nie jest na swoim właściwem miejscu. Zamieszczony został pod napisem: „O ostrzeżeniach”, dlatego tylko, że

jak ostrzeżenie tak i hipoteka warunkowa zabezpiecza miejsce, i że podobnie hipoteka warunkowa, z wyroku nieprawomocnego, gdy w wyższej instancji nie będzie wyrok utrzymany, albo ulegnie zmianie, wykreśloną zostanie tak jak i ostrzeżenie,

Art. 138 nie mówi nic o ostrzeżeniu, i z niego się też żadne ostrzeżenie nie wpisuje, ale hipoteka sądowa warunkowa. Źródło artykułu 138 jest art. 2123 Kodexu francuzkiego, z którego wzoru powstał artykuł 111 prawa, stanowiący w pierwszym swoim ustępie, że hipoteka sądowa wypływa z wyroku prawomocnego; w artykule zaś 138 powiedziano: „wyrok przysądający należność osobistą, nim się stał prawomocnym, może być wniesionym do ksiąg hipotecznych dla uzyskania miejsca w hipotece, gdy zmienionym nie będzie i stanie się prawomocnym.” Przypuśćmy, że art. 138 zamieszczony jest jako ustęp drugi artykułu 111; nie a nie w nim nie zmieniając, myśl jego będzie jasną i ustanie wszelka wątpliwość. Artykuł 138 ma główną myśl, że hipoteka sądowa niekoniecznie z wyroku prawomocnego wynika, bo aczkolwiek warunkowa, wynika z wyroku już pierwszej instancji. i ta myśl należy do art. 111 prawa; druga jest, że ta warunkowa hipoteka ocala miejsce i nadaje pierwszeństwo z daty wciągnięcia. Z tej drugiej myśli pomieścić prawodawca art. 138 pomiędzy ostrzeżeniami, ale przez to główna jego myśl nie na tém nie traci.

Czy można zyskać ostrzeżenie, gdy kto zamierzył poszukiwać należności pieniężnej?

Szanowny recenzent utrzymuje, że prawodawca miał ważne powody do ograniczenia ostrzeżenia należności osobistych, ale ich nie objawił. Prawodawca znowu sam nie myśląc o tém, nie podał ich w urzędowych motywach; pomiędzy powodami przez szanownego recenzenta wymienionemi znajduje się ten, że poszukiwania praw rzeczowych muszą być rzadkie, a poszukiwania wierzytelności należą do zwykłego biegu życia cywilnego. Czyż ztąd można wyprowadzać wniosek, że te częstsze można wystawić na uszczerbek? Nieraz mi się słyszeć dało, że dopuszczając ostrzeżenia należności osobistych na illacyą, nadweręży się kredyt. Na ten zarzut niech odpowiedzą ekonomiści. Podług mnie, im gdzie łatwiejsze zabezpieczenie, i prędsza exekucya, tam większy może być kredyt. Prawodawca dla kredytu nie poświęci sprawiedliwości, a gdzie ta będzie, tam się i kredyt znajdzie.

Zobaczymy, ile się to sprzeczności w teorii niedopuszczającej ostrzeżenia praw osobistych znajduje; komu służy skarga kryminalna, może uzyskać rezolucyą Sądu Kryminalnego i zabezpieczyć sobie ilość wynagrodzenia. Lecz gdyby przed zaniemieniem skargi przestępca umarł, i pokrzywdzonemu została tylko skarga cywilna, już on nie może uzyskać ostrzeżenia, musi czekać wyroku, a tymczasem przedmiot satysfakcyi może być usunięty.

Dłużnik kapitału hipotekowanego, który może mieć wzajemne pretensye do wierzyciela, które na drodze sądowej wykazanemi być mogą; chcąc sobie zabezpieczyć skutek potrącenia, może uzyskać rezolucyą pozwalającą ostrzeżenia, bo mu to dozwala ustęp 2, art. 10 i art. 137, dla zabezpieczenia sobie excepcyi. Ale kiedy kto będzie mieć do tego sa-

mego dłużnika niewątpliwą pretensją, chociażby ta na urzędowym dokumencie polegała, ostrzeżenia zyskać nie może; trzeba dozwolić czasu dłużnikowi, aby majątek sprzedał, lub go obciążył. Wierzyciel będzie mieć utrudzoną możność zrealizowania należności, ale kredyt nie upadnie.

Przestańmy raz zwać sprzeczności na prawodawcę, o których nawet nie pomyślał.

W zakończeniu wypada mi dać niektóre ogólniejsze uwagi o ostrzeżeniach.

Takię hipoteki sądowej, jak ma prawo francuzkie, a jaką przejęło nasze prawo hipoteczne, nie zna ani prawo rzymskie, ani prawodawstwa niemieckie (zobaczyć wyborny komentarz Troplonga do art. 2123). Jak tylko przyjęta była taka hipoteka sądowa, a ostrzeżenia przy zasadzie jawności były koniecznymi, obręb więc ostrzeżeń musiał być koniecznie obszerniejszy od tego, jaki prawa pruskie zakresliły; ale nie niemajmy, aby należności, *Forderungen*, nie mogły być podług systematu niemieckiego zabezpieczane. Prawodawstwa niemieckie niektóre rozróżniają protestacją i zanotowanie, *Vormerkung*; pierwsza zabezpiecza prawa rzeczowe, drugie prawa osobiste. (Zobaczyć w dziele: *Erörterungen aus dem Grundeigentums und Hypothekenrechte* przez Heyne członka kommissji prawodawczej do praw o hipotekach; rozprawę *Ueber Vormerkungen und Protestationen*). Wszystkie mówię prawodawstwa, nie wyłączając pruskiego, pozwalają zabezpieczać należności. Przytoczę tu niektóre, które mam pod ręką. Austryackie § 453; do tego Zeiller komentarz tom 2 str. 259, który tak mówi: „nie tylko prawa rzeczowe, ale i prawa osobiste czyli należności, czy te powstają z prawa, z umowy, z rozporządzenia ostatniej woli, albo z prawa do wynagrodzenia szkód, jeżeli nie mogą być intabulowane, mogą być ostrzeżone, *Vorgemerket*.” Pruskie c. I tyt. XX, § 417 i następne. Bawarskie § 30 prawa hipotecznego z r. 1822. Saskie § 22 z r. 1843. Inne zobaczyć można w dziele: *Concordance entre les lois hypothécaires étrangères par Antoine de Saint-Joseph*; ale szczególnież zwracam czytelników uwagę na projekt prawa hipotecznego dla kantonu genewskiego. Na szczególniejszą zasługuje on uwagę dlatego, że tak jak nasz prawodawca, miał za cel do kodexu cywilnego francuzkiego zastosować system hipoteki niemieckiej. Ztąd też to da się wytłumaczyć uderzające podobieństwo między temi prawodawstwami, w różnych epokach powstałemi. Rzeczony projekt w § 219 pozwala ostrzegać długi na skutek rezolucyi prezesa Trybunału. Nie bał się prawodawca genewski o upadek kredytu, który mu przecież obojętnym być nie mógł.

Prawodawca nasz w przepisach o ostrzeżeniach wcale się nie zapatrywał na teorię pruską. Jak własną utworzył sobie organizacją hipoteczną, tak własną teorią o ostrzeżeniach, a ta jest bardzo prosta: okazać sądowi dowody, po uzyskaniu rezolucyi złożyć ją do hipoteki wraz z pozwem stronie wręczonym i dowodem wpisu.

W zakończeniu, nie od rzeczy będzie przytoczyć tu zdanie bardzo właściwego sędziego, bo redaktora hipoteki bawarskiej *von Gönnern*, o protestacjach pruskich, *Vormerkungen*.

Vormerkung der Forderungen kommt schon in den Oesterreichischen Landtafelpatenten, die Protestation in ihrer Allgemeinheit aber zuerst in den Preussischen Hypotheken Gesetzen vor. Von ihr handelt die Hypotheken Ordnung v. J. 1783, Tit. II § 289—300 im Allgemeinen dann § 57, 107, 134, 187 im Besondern. Das Landrecht hat so wohl bei dem Unterpfand überhaupt Th. I, Tit. 20, § 418 als bei einzelnen Materien z. B. Tit. 14, § 466, Tit. 18, § 330, 618, dann die Gerichtsordnung vorzüglich Th. I, Tit. 50, § 20 noch vieles bestimmt. Seit dem sind darüber noch viele besondere Rescripte und Entscheidungen ergangen, unter welchen das Gutachten der Gesetzcommission vom 29 April 1808 mit dem Rescript vom 25 Jul. 1808 vorzüglich wichtig ist. Man unterscheidet Protestationen 1) de non disponendo, 2) de non intabulando, 3) de non amplius intabulando, 4) pro conservando jure, 5) pro conservando loco. Die Protestationen in Hypothekensachen sind zunächst durch das Preussische Recht cultivirt, aber durch viele Unterscheidungen und manche Subtilitäten so verdunkelt, und in der Anwendung erschwert worden, dass sie eine der verworrensten Materien des Preussischen Rechts sind; selbst die nicht richtige Abtheilung der Rubriken des Preuss: Hypothekenbuchs hat darauf eingewirkt: die eben angeführten Unterschiede der Protestationen welche Prozesse über deren Zulässigkeit veranlassen, der weitere Unterschied derselben mit oder ohne Wirkung des Cessionsrechts, dann ob sie nur in via arresti gesucht werden können, haben die Schwierigkeiten vermehrt. Auch der eigenthümliche Begriff, welchen die Preuss. Gesetze mit dem Worte Realrecht verbinden, wornach es auch Rechte zur Sache (jura ad rem) in sich schliesst, kann wenn man darunter unsre Realrechte (jura in re) versteht, zu irrigen Meinungen führen. Wie leicht unter solchen Subtilitäten die Rechte eines Betheiligten verloren gehen, und wie manche Prozesse daraus entstehen davon liefert Merkel im neuen Commentar B. II, S. 240 einen Beweis.

Z tego co przywiedziono, mogą sądzić czytelnicy, czy nasz prawodawca mógł brać wzór do ostrzeżeń z teoryi pruskiej, i czy jest jaka zasada na nią się powoływać?

5. Co do przepisania tytułu własności na skutek testamentu, szanowny recenzent mniema, że niewłaściwie zastosowałem przepisy Kodeksu do hipoteki. Ja zamierzyłem godzić przepisy nowego prawa z przepisami dawnego, które za zoesione uważać żadnej nie ma zasady. Kto z nas ma racją, nie chcę wchodzić; nadmienię tylko to, że projekt hipoteki dla kantonu genewskiego w art. 37 tego samego wymaga.

6. Co do spadków między małżonkami, szanowny recenzent na wstępie zaraz z góry mi zapowiedział, że nie znajduje, abym spadki pomiędzy małżonkami, niemniej przywileje, objaśnił według zasad nowój interpretacji.

Przyznaję się otwarcie, że nie znam zasad nowój interpretacji. Przyznaję, że sam sobie zasad interpretacji nie wyrobił, ale wyrabiać ich sobie nie potrzebowałem, bo takowe wyrobili nasi mistrze, Rzymianie.

Z rozbioru stosunków majątkowych między małżonkami, szanowny recenzent wybrał trzy kwestye do rozwiązania:

1. Czy do spadku mają prawo małżonkowie jedno po drugim wtedy, gdy w umowie przedślubnej zastrzegli wspólność majątkową?

2. Czy mają do spadku prawo małżonkowie, którzy zawarli związek małżeński przed ogłoszeniem prawa z r. 1825?

3. Jak się urządza spadek małżonka ze względu na prawa dzieci naturalnych uznanych, niemniej ze względu na część obowiązkową i część rozrządzalną?

Pierwsze zapytanie autor Rozbioru Krytycznego rozwiązuje w sposób potwierdzający. Zdanie to sprzeciwia się literze prawa. Artykuł 231 bowiem wyraźnie zastrzega zastosowanie art. 232, 233, na wypadek jeżeli małżonkowie przez umowę przedślubną nie postanowili, jakie prawa ma mieć małżonek przy życiu pozostały do majątku współmałżonka zmarłego. Gdzie zaś umówiona jest wspólność, tam już postanowili, że pozostały przy życiu weźmie połowę majątku wspólnego. Podług zdania autora, jeden tylko małżonek tak dalece jest uprzywilejowany, że bierze podwójną sukcesyą, czyli podwójne korzyści, z umowy przedślubnej i z prawa. Gdyby tak było, prawo samo mieściłoby w sobie niesprawiedliwość. Ja takiej kwestyi sobie nie zrobiłem, bom rzecz tę za niewątpliwą uważał. Przytoczyłem wprawdzie, jako rzecz szczególniejszą, że było zdarzenie, iż połączono dwa stosunki: dawny, w którym była wspólność, i nowy, w którym małżonek ma przyznany udział, i uważałem to wyrzeczenie za przeciwne prawu. Czytamy bowiem w motywach urzędowych, że prawodawcy nasi, nie uznając wspólności majątkowej za stosunek prawny, korzyść z niej dla małżonka przy życiu pozostałego wynikającą, chcieli zastąpić innego rodzaju korzyścią, przyznając mu udział w spadku. Kwestya przecież ta mieści się właściwie w pytaniu 2giém.

Gdziekolwiek była wspólność, jak u nas chełmińska, pozostały przy życiu małżonek brał połowę, drugą brali sukcesorowie zmarłego. Aby zaś obok sukcesorów miał mieć udział w tej drugiej połowie, tego w żadnej wspólności, a przynajmniej w chełmińskiej, nie dało mi się dostrzedz. Czy chciał nasz prawodawca, pomimo, że zapatrując się na wspólność chełmińską, oświadczył w motywach (Dyaryusz sejmowy z r. 1825, tom IIgi str. 97), że przyjęte są zasady zwyczajami krajowemi upowszechnione—zmienić te zwyczaje? na to nie ma dowodu. Prawodawca nasz, wzorem prawa francuzkiego, dozwolił żonie rzec się wspólności, a nawet dalej poszedł, dozwolił jej wycofać cały swój majątek do wspólności wniesiony, (nadzwyczajne dobrodziejstwo, jakiego inne wspólności nie znają), ale w tym razie przypuszczając, że mogłaby być kwestya, czyli żona, kiedy nie korzysta z umowy przedślubnej, to jest zrzeka się wspólności, może korzystać z prawa, to jest z artykułów 232, 233: przecina tę kwestyą i stanowi, że już w tym razie nie może żona korzystać z prawa. Ja zład wyprowadziłem prostą konsekwencyą, że kiedy prawo nie pozwala korzystać żonie z art. 232, 233, chociaż nie korzysta z umowy, to tém mniej może korzystać z tych artykułów, kiedy z umowy korzyści odnosi.

Autor Rozbioru Krytycznego utrzymuje przeciwnie, że w tym texcie prawodawca wyraźnie stanowi, że jeżeli żona przyjmuje wspólność, to otrzyma spadek. Ja tego nie widzę, i nie przypuszczam w prawodawcy, aby chciał tak stanowić, że jeżeli żona nie zechce korzystać z zastrzeżo-

nej w umowie przedślubnej wspólności, niechże nie korzysta już z prawa; jeżeli ją zaś zechce przyjąć, niechże ma już i korzystać z prawa.

Autor Rozbioru, do takiego rezultatu przyszedł, jak mi się zdaje, dlatego, że wspólność na przypadek śmierci uważa za darowiznę na przypadek śmierci. Lecz skoro zwróci uwagę, że darowizna na przypadek śmierci w ślad art. 1,083 Kod. Cyw. nie odejmuje darującemu dysponowania majątkiem pod tytułem obciążliwym, czego we wspólności będącym małżonkom art. 228 K. C. Pol. zabrania co do dóbr i kapitałów hipotekowanych, zapewne przy swém twierdzeniu obstawać nie zechce.

Przywodzi autor Rozbioru, że nie należy się obawiać dla małżonka pozostałego przy życiu, zbyt znacznych z jego wykładu korzyści, albowiem mniema autor, że korzyści ze wspólności ulegają powrotowi; nie można atoli mieć tego za rzecz pewną, że wspólność najpodobniejsza wspólnie będzie pod obowiązek powrotów podciągnięta.

Podobnie i pytanie drugie autor Rozbioru Krytycznego rozwiązuje w sposób twierdzący. Nie będę się nad tém pytaniem zastanawiał, dosyć się nad nié rozpisałem; jednego tylko bardzo stanowczego punktu pominąć nie mogę.

Uczony mój recenzent mniema, że związek między umowami przedślubnymi, i spadkiem po małżonkach, nie jest tak ścisły i bezwzględny, jak ja uważałem. Tu znowu jesteśmy w rozdzieleniu. Spadek pomiędzy małżonkami wypływa ze związku małżeńskiego, jest on uzupełnieniem nowego stosunku prawnego co do majątku. Myśl prawa jest taka, prawodawca objawia: zaprowadzam nowy stosunek prawny co do majątku, uzupełniam go nadaniem udziału w spadku zmarłego małżonka dla pozostałego przy życiu, zostawiam atoli pierwszeństwo woli stron, dlatego to spadek jest warunkowy, o ile w związek wchodzący inaczéj nie urządzi. Nowy ten stosunek wraz z jego uzupełnieniem co do udziału w spadku, nie może się stosować do małżeństw przed tém nowém rozporządzeniem zawartych. Gdyby zresztą jaka wątpliwość powstać mogła, to ją usuwa jasno objawiona myśl prawodawcy w urzędowych motywach (Dyaryusz sejmowy, tom 2 str. 100), gdzie powiedziano, że przepisy oddziału IV (to jest o spadku) stosują się jedynie do małżeństw po uchwaleniu prawa obecnego zawrzéc się mających. W prawie przechodniém jest to rozwinięciem, jakoż w art. 12 prawa przechodniego wyraźnie to postanowiono.

Co do trzeciego pytania. Z wielką znajomością rzeczy ocenia autor Rozbioru Krytycznego przepisy successyi kodexowej. W tém wszakże, jak mi się zdaje, z właściwej sobie drogi zбочył, że przepisy prawa o spadku pomiędzy małżonkami uważał nie za to, czém one są, za dodatek, za dobudowanie, za to co Rzymianie nazywają subrogacją, *dum aliquid legi adjicitur*, ale uważał za abrogację, za przepisy których wpływowi dawna budowa successyjna uległa; nadał jakieś górujące stanowisko dla małżonka, gdy tymczasem prawodawca w r. 1825 nic w budowie successyjnej zmienić nie zamierzył; przyjął tylko jednego sukcesora więcéj i z dawniejszemi mieć mu udział dozwolił. Zkądże ten wniosek, że ponieważ małżonek do grona successorów najpóźniéj został wprowadzony, to on ma jakieś pierwszeństwo? Cóż prawodawca w r. 1825

postanowił? Oto to, że jeżeli wchodzący w związek małżeński inaczej w umowie przedślubnej nie urządują, małżonek po zmarłym współmałżonku ma mieć udział w spadku, a w szczególności: z dziećmi przychodząc, ma mieć część równą części dziecka, na użytkowanie, z innymi krewnymi do 4go stopnia przychodząc, ma mieć $\frac{1}{4}$ na własność, z krewnymi dalszych stopni ma mieć na własność połowę.

Weźmy dziecko naturalne uznane, to w zbiegu z dziećmi prawem ma $\frac{1}{3}$ schedy dziecka prawego na własność; w zbiegu ze wstępniemi lub rodzeństwem, ma połowę; w zbiegu z innymi krewnymi, a zatem już z wujem lub stryjem spadkodawcy ma $\frac{3}{4}$; gdy tymczasem małżonek ma tylko $\frac{1}{4}$. Jeżeli nie ma krewnych do 12go stopnia, dziecko naturalne ma przez art. 758 kodexu do całości prawo, i to będzie mieć pierwszeństwo przed małżonkiem, bo art. 233 kodexu polskiego w ostatnim ustępie odwołuje się do tytułu kodexu o spadkach; ma się wszakże rozumieć, że małżonek w każdym przypadku swój udział, to jest $\frac{1}{4}$ otrzyma.

Nie chcę przy tém obstawiać, aby rozwiązanie przezemnie przypadku w § 186 było jedynie właściwe; możnaby go inaczej rozwiązać, ale nigdy na zasadzie, jakoby małżonkowi górujące stanowisko nadane było.

7. Co do przywileju mężatek z art. 205 Kodexu Cywilnego polskiego uznaję słusność i ważność powodów, dla których nadany mężatom przywilej przez art. 205 Kodexu Cywilnego polskiego nie powinienby się rozciągać do żon kupców upadłych; takby być powinno. Tę tylko pozwolę sobie uczynić uwagę, że to było rzeczą prawodawcy to ograniczenie zrobić, a nie tłumacza prawa. Nie zdaje mi się więc bezpiecznym robić różnicę, gdzie jęj prawo nie zrobiło.

Co do historii hipotek.

Jak to sam uczony mój recenzent dostrzegł, nie zamierzyłem pisać historii hipotek i nie pisałem. Oświadczyłem w rozbiórce hipoteki polskiej, „wolno nam przeto twierdzić, żeśmy pierwsi może mieli dokładną hipotekę; pruska bowiem datuje się od r. 1722.” Kto się bowiem dobrze zastanowi nad konstytucją z r. 1588, dostrzeże, że była jawność, bo trzeba było wszelkie obciążenia wpisać do aktów tego powiatu, w którym dobra były położone; trzeba było wymienić dobra, do których się obciążenie ściągało, była więc hipoteka szczególna, tytuł własności był kontrolowany nawet ze względu politycznego. Pierwszeństwo datowało się od wpisu w właściwych aktach, była więc zasada: *prior tempore potior jure*. Miałem więc do tego oświadczenia zasadę, a byłem powodowany tém, że Odier, wyżej przezemnie cytowany (str. 26) przywiódł: „*C'est à la Prusse qu'appartient l'honneur d'avoir donné la première l'exemple de la publicité et de la spécialité de l'hypothèque.*” To samo powiedział Gönner w uczonym swoim komentarzu: *Preussen ging mit dem Beispiele allen andern vor.* Str. 31.

Szanowny recenzent utrzymuje, że moje spostrzeżenie, nawiasowo rzucone, stało się powodem do mylnych mniemań. Cudzoziemcy, w szczególności Niemcy, którzy nawet uwagi na nasze prawodawstwo nie zwracają, nie przyznają nam w niczym pierwszeństwa. Dlaczegoż my sami mamy im potakiwać? Powołany Gönner we wstępie swego

komentarza napisał historią hipotek. W § 10 opisuje dawny system germański i przywodzi (str. 28), że ten dawny system utrzymał się w Niderlandach i w mieście Ulinie. Żeby ten system miał być taki, jaki się w nowszej hipotece pruskiej znajduje, a któremu system konstytucyi 1588 r. jest podobny, nie mógłby być przyznawać sławy niezasłużonej Prusom. Nie idzie tu o to, jak dawno w którym kraju akta publiczne były zaprowadzone, bo jak autor projektu do naszego prawa z Czackiego przywodzi: „Nasze akta wieczyste, czyli hipoteczne, nie mają jednego początku; powszechnie są z wieku XV, prócz krakowskich, które się poczynają z roku 1388.” (Tom IIgi str. 72).

Czytamy w statucie Jana Alberta z r. 1496, że nakazano z ksiąg grodzkich przenosić zapisy (*inscriptions*) do ksiąg ziemskich w ciągu roku pod nieważnością (*jus polonicum* f. 341). Ale w tém wszystkiém nie możemy upatrywać hipoteki; mamy ją dopiero w konstytucyi 1588 r. Jeżeli uczony mój recenzent złoży dowody, że w miejscach przez niego wskazanych była hipoteka taka, jak ją mieć chciała konstytucya z r. 1588, to jest jawna i szczególna; wtedy ustąpię, a szanownemu recenzentowi pozostanie rozprawić się z Gönnerem i Odier.

Jeden z moich recenzentów czynił mi zarzut, żeś obcesowo przystąpił do wskazania, czém była hipoteka polska, a nie napisałem historii. Mnie się zdaje, że czego ja nie pisałem, w tém mnie krytykować nie można. Ja z siebie zrobiłem, co mogłem: czemużby recenzent nie miał uzupełnić tego, co ja opuściłem. Ja nie mam żadnej pretensyi do uczoności; z praktycznego stanowiska, dla praktycznych urzędników sądowych takich jak i ja pisałem, nie dla szkoły historycznej, bo ta nie potrzebuje, ona wszystko wie. Żałować atoli należy, że się téj pracy nie podjął jaki uczony ze szkoły historycznej, bo wtedy dopiero mielibyśmy doskonałe dzieło. Zalecałoby się „z układu teoretycznego i zasad kierujących, z jasnego pojęcia prawa, i stylu, z logicznego szyku rozumowań, z głębokości spostrzeżeń i trafności argumentów prawniczych. „Mielibyśmy w niém systematyczną podstawę, sterujące zasady, punkta wyjścia, ujęcia i ujścia, związane rozumowanie.” Znaleźlibyśmy w niém „poglądy, rysy i pojęcia ogólne.” A co najcudowniejszego byłoby w niém, żeby było napisane polskimi wyrazami po niemiecku.

Wracając po tym ustępie do uwag nad Rozbiorem Krytycznym, autor nie zgadza się na rzucone przezemnie myśli, dążące do poprawy części organicznej. Sąto indywidualne propozycje, mogą pozostać, tak jak wiele projektów: nie mam własnej miłości bronienia ich. Co się tyczy obrania zamieszkania, ja uważałem właściwszy przepis art. 2148 Kodeksu; szanowny recenzent powiada, że się z tém zdaniem zgodzić trudno. Z przepisu tego wynika, że wierzyciele przy subhastacyi po całym królestwie szukani bywają, często przez sztafety. Złe widzimy, na nie narzekamy, ale go usunąć nie chcemy.

Kończę słowy wielkiego męża Tadeusza Czackiego: „omyłki moje lub cudze nie przemienią się w prawdę. Tej szukajmy. Ta jedna powinna być przedmiotem badania.”

W. D.

Wawrzyną. Powieść przez Paulinę z L. Wilkońska.
Petersburg. Nakładem B. M. Wolffa. 1851. (Drukowana w Warsza-
wie u J. Ungra). 8ka. Str. 206.

Znana i dobrze zasłużona autorka obdarzyła nas nowym utworem. Prosta treść, za główny cel ma zdarzenie prawdziwe, które okazuje w całym blasku szlachetny charakter i prawosć naszych poczciwych włościan.

Pan Mateusz Wojsławski w 50 roku ożenił się z młodą, ładną, ale wychowaną bez zasad panną. Zakochany w niej, chciawszy drogę jej życia uściślać kwiatami, starał się o ciągłe dla niej zabawy i rozrywki. Młoda kobieta prędko w nich zasmakowała, nazwyczała się do gwarne go życia, nie mogła więc tęsknić ani za domem, ani poświęcać czasu wychowaniu dwóch synów. P. Wojsławski zapóźno błąd swój poznał, i teraz, kiedy już czuł zbliżającą się ostatnią godzinę życia, tał przed żoną cierpienia, zachęcił nawet aby pojechała na świetne imieniny w sąsiedztwo. Kiedy sam walczył z bolesciami, kiedy wysłał po rejenta, dla spisania ostatniej jego woli, jakby w natchnieniu, przywołuje starego Grzegorza, a spojrzawszy na jego siwiznę, każe przywołać trzech włościan: Jana Ziemiłaka, Wojciecha Niwkę, i Bartłomieja Moregę. Długo przy nim bawili, ale narada ich była cicha, nikt i słówka z tej rozmowy nie posłyszał; nawet i później nikt się nie dowiedział, co im p. Wojsławski wtedy mówił: wiesniacy święcie tajemnicy dochowali. Gdy wychodzili z pokoju chorego, silne wzruszenie i smutek znać było w ich twarzach, i poważnie, w milczeniu wracali do domów swoich.

Pani Wojsławska z huczną zabawą wróciła o północy; nad ranem mąż jej żyć przestał.

Synowiec zmarłego pan Jan, zajął się urządzeniem interesów. Stosownie do intercyzy przedślubnej, wieś Ługów, dziedziczna zmarłego, była własnością pani Wojsławskiej. Przywiązana szczerze do dzieci oświadczyła, że się nie uważa za właścicielkę pozostałego majątku, bo to jest własność jej synów, i pragnie wydzierżawienia go na lat 12, bo sama dla ich edukacji chce osiąść w Warszawie.

Pan Jan spełnił jej wolę, sam wyjechał w Poznańskie, gdzie miał się żenić. Pani Wojsławska osiadła w stolicy, i podług swego sposobu widzenia zaczęła kształcić synów. Już od lat najmłodszych wprowadzała urodnych chłopczyków, szczebiocących dobrze po francuzku, ufryzowanych, przybranych we fraczki z cienkiego sukna, bogate kamizelki, i białe rękawiczki, w błyskotne salonowe życie, i nieraz dzieci, po całonocnym tańcu, nazajutrz rozespane, wszystkich odprawiały nauczycieli. A matkę głaskało po sercu, kiedy po szklistej posadzce, ładne chłopczęta z ręcznie suwali, i pochlebne o nich wyrazy strojnych pań i panów jej matczyne popieściły ucho.

Zachwycona powodzeniem ich w salonach, głuchą była na zdrowe rady pana Jana. W tym sposobie edukacji wzrosli, choć majątek zeszczipał: 15,000 bowiem rocznego dochodu nie mogły wystarczyć, i gdy po

10ciu latach mieszkania w Warszawie, pani Mateuszowa z synami za granicę wyjeżdżała, by młodzi uniwersytety niemieckie zwiedzili: pocziwy pan Jan z bolem serca się przekonał, że dzierżawca Ługowa, na rewersa dziedziczki 50,000 złp. nadliczył. Przedłużono więc jeszcze na lat sześć dzierżawę, a matka z synami wyjechała za granicę.

Po kilku latach, umarła na obcej ziemi pani Mateuszowa; synom już trudno było trafić do ojcowskiej dziedziny. Adolf starszy, przesiąkły sposobem życia i widzenia matki, w życiu salonowym zbyt kochany, marzył tylko o bogatym ożenieniu, którym ostatecznie los swój zamierzał ustalić; ale młodszy, Edward, wielce się różnił od brata. Czuł on szlachetne popędy serca, i miał odwagę, prawą myśl i uczucie wypowiedzieć, i iść wskazaną przez nich drogą życia. Dlatego wzgardził bogatą milionową wdową, która z ochotą chciała mu poświęcić i majątek, jak oddała serce. Adolf nie mógł zrozumieć brata, i po krótkich zalotach, ożenił się z panną Henryką Samocką starszą od siebie, ale bogatą, i emancypowaną panną. Edward przed kilką laty w domu pana Jana poznał na weselu wiejskim młodą, a cudną wdziękiem i ułożeniem Wawrzynę: teraz odnowił po powrocie z zagranicy dawną znajomość, i pokochał pierwszą silną miłością sierotę, bo straciła w tym czasie rodziców. Kiedy Adolf z żoną po ślubie wyjechał za granicę, Edward po sprzedaży wsi ojcowskiej, ze szczupłym zasobem, wziął w pobliżu państwa Janów małą dzierżawę, u których Wawrzyna przemieszkiwała; a lubo żadnym słowem nie zdradził swęj miłości, łatwo zrozumiała, że jest celem jego serca. Niedługo mógł się przecież ukrywać: a gdy młody hrabia przybył jako zalotnik do Wawrzyny, i odprawę dostał; Edward w szale gorączkowym oświadczył się, i przyrzeczenie jej ręki otrzymał.

Wawrzyna po rodzicach całego majątku miała 20.000; kiedy niespodzianie dla ratunku brata bawiącego za granicą potrzeba było 15,000. Szlachetna dziewica przesyła natychmiast żadaną summę, ale uszczuplwszy tak znakomicie swój posąg, wyrzeka się szczęścia, bo wyrzeka ręki Edwarda: wymaga na swoich opiekunach, że ją wyślą w odległą do przyjaciół okolice, i pisze list z ostatniem pożegnaniem do narzeczonego.

Edward, który z odwiedzin braterstwa po północy wrócił do domu, zaledwie przeczytał słowa Wawrzyny, wypuścił z drżących rąk list nieszczęśliwy, i w rozpaczę dosiadłszy konia, popędził do Węglewa. Stary Łukasz, świadek jego wzruszenia, połniósł pismo rzucone na ziemię, przesyllabizował całe: po kilka razy przerywał czytanie, zdejmował okulary, ocierał oczy i szkółka, a gdy skończył, złożył list starannie, zachował w książce od nabożeństwa, i nazajutrz równo ze świtem, przybrany w świąteczne suknie, wyszedł ze dworu.

Edward od północy do poranku przesiedział prawie w osłupieniu w ogrodzie Węglewa. Spotkał go pan Jan pierwszy: zdziwiony jego rozpaczą, łatwo wyjednał zgodę Wawrzyny; a kiedy największej oddawali się radości, ukazał się stary Łukasz na czele trzech wieśniaków. Wprowadzeni do izby po oddaniu pokłonu, Wojciech Niwka wystąpił, i przemówił:

„Będzie temu akurat lat 17 na pięć dni po Ś. Janie Nepomucenie, kiedy mnie z pola przywołali; ot pan Łukasz, nieboszczyk Bartosz, ojciec

Marcina, co wtedy był jeszcze niedorostkiem, i gospodarz Jan Ziemiak. Pan Łukasz nam powiedział, że wielmożny dziedzic bardzo zaniemógł, a wiedzieliśmy od tygodnia, że choruje, i chyba z niego nic już nie będzie, i mówił, że nas pan do siebie żąda. Poszliśmy więc, ogarnawszy się jeno cokolwiek. Wielmożny pan leżał zchorzały, ale rękę do nas wyciągnął i ucałowaliśmy ją, i żał się człowiekowi na sercu zrobiło, boć nam żadnej nigdy nie wyrządził krzywdy, a owszem zawsze był sprawiedliwym i nie wynosił się względem biédnego. Potém wielmożny pan do nas przemówił: jako już godziny jego na tym świecie Pan Bóg policzył, że mu nie żał umierać, bo z czystém sumieniem stanie przed Bogiem, i na sądzie jego, ale mu żał żony, a zwłaszcza téż młodych siérot, które zostawia. I tak przemówił, że tego póki życia trudno zapomnieć. Kazał sobie podać panu Łukaszowi zpod łóżka szkatułkę, a miał od niej kluczyk uwiązany przy szkaplerzu na szyi. Otworzył ją i wyjął jakieś papiéry: byłyto listy zastawne. Ś. p. wielmożny pan nieboszczyk wpiérw nam wytłumaczył wszystko: jak to się procent odbiera, i co tam daléj robić. „Macie tutaj, rzekł, 20,000 złp., zachowacie je u siebie, na trzy równe podzielone części i... ale to przecie mamy ot napisane.”

I z zanadrza wyjął torebkę skórzaną, a z torebki arkusz żółtkłego wydobył papieru. Pan Jan go odebrał i przeczytał:

„Składam na ręce Jana Ziemiaka, Bartłomieja Moregi, i Wojciecha Niwki, wobec sługi mojego Łukasza Bosińskiego summę 20,000 złp. w listach zastawnych. Pięćset złp. z rocznego procentu mają wyżej wymienieni rok rocznie do kapitału składać, resztę zaś pomiędzy siebie, jako wynagrodzenie rozdzielić. Summę tę powinni doręczyć temu z synów moich, który jój na wydzwignięcie się z kłopotów i niedoli potrzebować będzie, oraz i na dobry pożytek, i zapewnienie sobie kawałka chleba na przyszłość obróci. W czém mu Panie Boże dopomóż.

Ługów, d. 20 maja 183...

Mateusz Wojśławski.

Gdy Edward ze łzami do ust przycisnął pismo ojca, Niwka daléj mówił:

„I oto, najstarszy z nas, nieboszczyk Morega, zdjął krzyż, co ot wisił nad łóżkiem wielmożnego dziedzica, ukląkł i przysiągł, że uczyni jako wielmożny Pan żąda, i grosza z majątku siérot nie uroni. A po nim przysiągł Jan Ziemiak, a naostatku ja. Pan Łukasz jako świadek toż samo. A jeszcze musieliśmy się wszyscy zarzec na Pana Boga Wszechmogącego, przenaświętszego Jezusa i Matkę Boską Niepokalaną, że nikomu o tém co zaszło wiedziéć i jedném słówkiem nie damy, aż kiedy tego ostatnia nadejdzie potrzeba. Potém rozdzielił nieboszczyk pan sam pomiędzy nas trzech owe listy zastawne. Dał nam swoje błogosławieństwo, i wyszliśmy od niego srodze rozżałowani.”

„Czekaliśmy lat tyle, i stary Bartosz Morega umarł, a myśmy syna jego, ot Marcina, na trzeciego przybrali, żeby zawsze trzech o tém wiedziało, tak jak to było żądanie nieboszczyka. Dzieliliśmy się tém co nam wyznaczył, a dawali rok roku na mszą za duszę nieboszczyka, i na chwałę Bożą, ot na szpital w Jasném Kole. Bardzoć nam to na sercu ciążyło, kiedy Ługów miał iść na sprzedanie: naradzaliśmy się niemało, ale podług

zapisu nieboszczyka pana, to i jeszcze pora nie była potem, i czekaliśmy znowu. Aż oto dziś raniutko, przychodzi Łukasz i mówi nam: że czas paniczowi w *Podolinie* dopomóż ojcowskim derobkiem, bo ciężka go spotkała przygoda. I zabraliśmy się co do ducha, i oto za pomocą Bożą i Matki Przenajświętszej składamy, co nam nieboszczyk ojciec powierzył, i jako sam żądał.”

I złożyli na stole 28,500 złp. z narostym procentem. Edward chciał się dzielić z Adolfem, ale ten o podziale słysząc nawet nie chciał: nic więc na przeszkodzie nie stawało do połączenia z Wawrzyną: jakoż obrząd ślubny wkrótce się odbył w obecności prawdziwych przyjaciół, i tychże samych włościów. I szczęśliwi małżonkowie osiedli skromny dworek w *Podolinie*.

A brat starszy Adolf? Nie doznając żadnej przyjemności w pożyciu z żoną, pomiatany przez nią w domu, znosił długo całą gorycz takiego stanu, aż wyczerpawszy zapas cierpliwości, rozwiódł się w końcu, i osiadł przy bracie. Wtedy ciż sami włościowie przybyli i złożyli Adolfowi taką sumę, jak Edwardowi, powiększoną dwuletnim procentem.

Otóż treść cała powieści *Wawrzyna*. Cel szlachetny: zachowanie w pamięci poczciwości naszych kmiotków. Co do strony artystycznej, utwor ten podobny dawniejszym powieściom pani Wilkońskiej. Są ustępy pełne rzewności, które pokrywają słabe oddanie innych. Opis wesela wiejskiego, z piosnkami ludowymi, jakkolwiek zajmujący, i z prostotą oddany, nie ma żadnego związku z treścią powieści. Zawsze to jednak nasz obrazek, miły i wdzięczny, a godny uwagi, że wiele obejmuje nieznanych dotąd śpiewanek. Miłość Edwarda i Wawrzyny, jak charaktery pani Samockiej i jej córki Henryki, wdowy Amelii, i Adolfa, dobrze naszkicowane. Powieść ta, nacechowana dążnością moralną, należy do tych książek, które z zajęciem i przyjemnością, a dla młodego wieku i z nauką czytane być mogą.

K. W.

Pan Zygmunt w Hiszpanii. Powieść prawdziwa, w 4ch tomach, z ostatniej wojny domowej hiszpańskiej, przez autora Wspomnień z podróży po Danii, Norwegii, Anglii i t. d. Warszawa, w drukarni Józefa Unger, 1852 r. 4 tomy.

Taki noszą tytuł cztery małe, ale ładne książeczki, czystym drukiem i na dobrym papierze odbite, które mamy przed sobą i z których czytelnikom Biblioteki Warszawskiej sprawę zdać zamierzaliśmy. Znakomity autor podróży po tylu krajach, z których wydobył wszystko, co je charakteryzować może, i jak pszczoła umiejętna w wyszukaniu tego, co słodkie i co nie truje, zniósł do rodzinnego ulla takie wrażenia, któreby nam mogły być miłe i użyteczne, postanowił jeszcze spróbować sił swoich w utworze imaginacyi, i usnute przez nią zdarzenie do wspomnień z podróży swych przywiązał. Jestto więc powieść, której bohaterem jest na-

turalnie młody Polak, ale której miejscem działania jest po większej części Hiszpania, kraina już przez się poetyczna, i dziwnym jakimś urokiem pociągająca ku sobie naszego podróżnika i autora.

Obok starego, ogorzałego Portugalczyka, z twarzą wszakże poważną i okiem pełnym życzliwości, usiadł w łódź i przeprowadził się przez Gwadyanę młodzieniec piękny, blondyn, z żywym błękitnym okiem, z wąsikami, które tylko co wierzchnią wargę jego przypruszyły. Młodzieniec pełnym jest życia, pełnym talentu, pełnym tych dalekich nadziei, które w młodym wieku kołyszą na swych rękach każdą równie szczęśliwą organizacją. Malarz, poeta i żołnierz, obdarzony wielorako i hojnie, czuje on w sobie tyle sił, tyle rozmaitych darów, że samo ich posiadanie uważa niejako za zasługę i sądzi, że szczęście, pokój, szacunek i cześć ludzka powinny przyjść już same, bez wytrwałości, bez usilnej i ciągłej pracy, bez oddania się jednemu zawodowi. Ale zamiast tego wszystkiego, po wielu styrańcych latach, przyszło odczarowanie, złudzenia uleciały; ta piękna, gazowa, błyszcząca kolorami tęczy zasłona, za którą leżała jego przyszłość, podniosła się, i okazał się skielet zmarnowanego życia, zamiast sławy znalazło się zapomnienie, zamiast pełności używania, brak sił i odwagi. Otóż pokazanie, że najszcześniejsze zdolności są tylko środkiem, którego trzeba umiejętnie używać, żeby do czegoś przyjść, że praca i wytrwałość są najistotniejszym pierwiastkiem równie chwały, jak i pokoju życia i wszelkiego szczęścia na ziemi—było zadaniem autora, które przez te cztery tomiki z właściwym sobie talentem przeprowadził, sypiąc po swojej drodze obrazy jedne pełne wdzięku i prawdy, inne cokolwiek niepotrzebne i niepodobne do prawdy, malując charaktery i osoby, z których jedne czasem przesadzone i jakby jeszcze niedojrzałe w myśli autora, inne wciskające się potężnie w myśl czytelnika, tak są dobrze, tak zrecznie naszkicowane, tak bogato z obfitej palety swojego twórcy farbami narzucone.

Że ta myśl zasadnicza, którą autor rozwinął, nie jest nową i rozwiniętą już była w głowie każdego, kto przy pewnych zdolnościach do czegoś doszedł, to czytelnicy widzą; ale że jest ważną, że jej dość powtarzać nie można, dość naocznie wystawiać, zwłaszcza u nas, gdzie się tyle darów bożych marnuje, to także oczywista; i należy się wdzięczność autorowi, że ją wyraził w wielu miejscach wypisał i całym ciągiem wypadków odmalował. Jedno tylko z takich miejsc przytoczmy. Towarzysz młodego Polaka, doktor Bonfim, między innemi rzeczami tak do niego przemawia: „Jesteś poetą i artystą, wiesz o tém i w twój duszy czujesz wyraźne jakieś usposobienie, wywyższające cię w wielu względach nad ogół. Ale czy wiesz, jakie zaciągasz powinności względem wyższej potęgi tém posiadaniem wyższych sposobów? to inne pytanie, na które zdaje mi się, mój młody przyjacielu, z trudnością ci przyszło odpowiedzieć. A może wcale nie potrafiłbyś, bo wątpię, czy masz wyraźną wiedzę własnych swych usposobień i przyszłości, którą ci rokować, lub którą ci grozić mogą. Mnie idzie o to, abyś godnie spożytkował iskrę niebieską, pałającą w twój duszy; mnie idzie o to, abyś łudząc się błyskotliwymi nadziejami wieku twego, nie zaniedbał, nie sponiewierał daru boskiego, który, jeśli się na nim poznasz, jeśli go uszanujesz, może ci zabezpieczyć szczęście, gdziekolwiek będziesz, a potomności zostawieć

coś w zysku, gdy dusza twa odwołaną zostanie z tych siedzib i wróci w ręce Stwórcy."

Takich przestróg, z równą prawdą i powagą wyrażonych jest wiele w niniejszej powieści. Uderzony niemi młodzieniec rzucił się zrazu z całą siłą do pracy i wystąpił do walki z Murillem, którego arcydzieło znalazł w Ajamonte. Gdzie tylko p. T. Triplin opisuje, tam wszędzie jest sobą samym, to jest podróżopisarzem pierwszego rzędu, któremu każdy przedmiot okazywać zdaje się najpiękniejszą swą i najbardziej interesującą stronę, jakby wiedział, że ją odda słowami pełnymi życia i imaginacyi. Do takich miejsc należy to opisanie obrazu Murilla, jego historyi i wrażenia, jakie sprawił.

Ale pan Zygmunt, któremu nie wiem dlaczego autor daje ten przydomek *pana*, często rażący i niestosowny, nie był wcale usposobionym do tego wytrwania, które mu przyjaciel wmawiał i o które sam prosił Boga w rzewnej modlitwie, natchnionej przez widok obrazu, który skopiować i któremu dorównać postanowił. Stało mu naprzód na przeszkodzie wychowanie. Wychowanie to Mundzia, synka nierozsądnej i narowistej mamy, jakich u nas tak wiele, opisane jest dość zabawnie i nie bez prawdy miejscowej w rozdz. IV. Do przeszkód, jakie z tak ważnego źródła wynikły, przyłączyła się jeszcze i pokusa, dzięki autorowi tak silna i tak osobliwym sposobem działająca na wszystkie siły jego duszy i ciała, iż nie ma się co dziwić, że biedny młodzieniec dał się unieść z tego brzegu, gdzie jest pokój i praca, a rzucił się na fale namiętności, gdzie rozbicie i zmarnowanie żywota. Nie mamy za złe autorowi, że go na takie próby naraził, że kusicielkę otoczył wszystkimi czarami piękności i tak excentrycznego położenia, które uderzyło imaginacją młodzieńca i heroicznemu sercu jego dało pole do działania; ale to mamy mu za złe, że chcąc go stanowczo spętać i od głównego celu życia bez ratunku odprowadzić, kazał mu przeskoczyć wszystkie pośrednie litery alfabetu miłości, aby odrazu zaczął od Z, i rozminął się tym sposobem i z prawdą moralną, i z prawdą estetyczną. Na rozhukanych falach oceanu, w obliczu śmierci, inaczej zupełnie powinna się była wyrazić ta miłość, inne nastąpić powinny były zobowiązania; nie ciała, ale dusze mogły się tam jedynie objąć, aby za chwilę razem stanęły przed Bogiem i stanęły bez grzechu i pokalania. Ileby na tém zyskała powieść, to łatwo widzieć. Wreszcie, jeżeli dla jój planu i rozwiązania potrzebną była ta *niespodziewana zemsta*, jak ją autor nazywa, powinien był przestać na tej lekkiej wzmiance, przez którą tom pierwszy powieści swój zakończył. Są bowiem wypadki, są okoliczności, których czasem w obrazach potocznego życia uniknąć trudno, ale które w każdym razie należy pokryć zasłoną, i delikatnością wyrażenia niedelikatność czynu osłonić. Jedno niebaczne słowo wystawia czyn w całej nagości, i szkodliwe sprowadza zgorzenie. Niepodobnym więc i rażącym jest kilkokrotne później zdarzenia tego przypomnienie, a zwłaszcza owe „nabrękle od rozkoszy usta” parę razy powtórzone.

Oprócz tego głównego usterku, są w tej części opowiadania inne jeszcze rzeczy, niewolne od zarzutu, a które się wymknęły spod rozpedzonego pióra, jakby nietrzymanego jeszcze na wodzy i w pierwszej wer-

wie tworzenia rzucającego na hazard rysy, nienależąco wcale ani do osoby, jaką malować miały, ani do położenia, w którym się ta osoba znajdowała. Jakkolwiek np. żywym i lekko traktującym wszystkie okoliczności życia jest p. Zygmunt, niepodobna jednak, aby po tém wrażeniu, jakiego doznał przez obraz Murilla, tak mu się natychmiast jeść zachciało, jak to zaraz po skończeniu miszy, i jeszcze w kościele poznać daje; niepodobna także, aby po wyjściu na pokład Maryi Stelli, po obejrzeniu się na klęski sprawione przez burzę i na niebo tak pięknie wypogodzone, ze wspomnień téj nocy tak strasznej i tak rozkosznej nie innego mu nie pozostało, tylko znowu ten głód okropny, który tak rubasźnie, jak jaki majątek, klnąc i żartując, wyraża. W obu tych zdarzeniach, tyle ważnych w jego życiu, zupełnie co innego powinno mu być w głowie. Nie zaprzeczamy, że głód jest rzeczą bardzo naturalną i niezbędną; ale są rzeczy najnaturalniejsze, o których niezawsze się mówi, i które chociaż należą do potrzeb bardzo prawdziwych człowieka, prawdę jego położenia psują i niweczą.

Nie podoba się nam także ten niepokój p. Zygmunta, czy owa piękność, która mu się przez okienko kraty pokazała, która do niego śliczną swą rękę po ratunek wyciągnęła, ma równie piękną figurę, jak piękną twarz; czy nie kulawa, albo nie garbata, a zatem czy warta poświęcenia i zachodu. Wszystko to razi, owiewa zimnem i rzuca niekorzystne światło na bohatera. Taki sam skutek robi jego list, w którym owę Ferdynandę przed nią samą opisuje, wychwalając jój talią, jój formy, jój cudne ramiona i długą i wąską nóżkę. Trudno przypuścić, aby młody człowiek z imaginacją, zakochany i pełen talentu, nie zdobył się na co innego i nie pomyślał, że osoba dobrze wychowana odrzuci ze wstrętem i lekceważeniem takie *in crudo* pochwały.

Wszystkie te drobne, ale dające się łatwo postrześć uchybienia, wszystkie nieodpowiedne charakterowi bohatera, jego usposobieniu i obyczajom wyrażenia, których w dyalogach i częstych monologach używa, a które go czynią czasem podobnym do jakiegoś źle wychowanego Francuza; wszystkie niepodobieństwa do prawdy, zakrawające na awantury zupełnie dowolne, nie z toku rzeczy i charakteru osób wynikające, nagradzają się pięknnością opisów i żywością kolorytu w malowaniu scen i przedmiotów. Opis burzy, którą Marya Stella przeżywa, wszystko co poprzedza zjawienie się angielskiej fregaty, opis téjże fregaty, wizyta młodego oficera na statku, przyjęcie rozbitków na okręcie i dana tam uczta, należą do miejsc jaśniejących pierwszego rzędu zaletami.

Ale jakkolwiek powieść ta czyta się łatwo i z wielkiem zajęciem, niepodobna jednak nie postrzedz pewnej jakby *deprawacyi* moralnej w słowie i czynie, którą autor najniepotrzebniej bohatera swego splamił. Jak mogła mu np. z okazji podobieństwa jego z nowym przyjacielem Sir Walterem Eliot przyjść do głowy tak obrażająca honor kobiety uwaga, iż podobieństwo to pochodzi ztąd, „że ojciec p. Zygmunta mógł widzieć matkę sir Waltera w Niemczech u wód.” Jestto coś więcej, jak płochy żart, i Sir Walter nie powinien go być znieść tak zimno i obojętnie. Gorszym daleko jest postępek p. Zygmunta, którego się dopuścił w Edenie Baudolera. Chciał się on dowiedzieć czegoś o Jezuitcie, który, mówiąc

nawiasem, nie wiedzieć za co tak go serdecznie znienawidził i kochanki pozbawił; czyż potrzeba było dlatego „korzystać z chwil wzruszenia z uczuć tańcem rozbujanych, z niedoświadczenia młodej dziewczyny.” Występek ten znajdujemy zupełnie niepotrzebnym i chcielibyśmy dla powodzenia powieści, aby tej płamiącej ją karty nie było. I w rzeczy samej, szkoda! bo cóżto za żywy opis podróży dwóch przyjaciół do letniej rezydencji bandyty Navara? jak charakteryzującą obyczaje Hiszpanii jest rozmowa ich z Corregidorem w Lucenie? jak cudny obrazek dzieci tegoż bandyty, bawiących się w wawozie, i jego Venty, gdzie się utulił pod postacią prostego wieśniaka! Plama ta na charakterze młodzieńca tém jest przykrzejsza, iż tenże zdaje się nie czuć grzesznej płochości swego postępków i płaczącą dziewczynkę tak pociesza: „bądź dobrej myśli, łzy otrzyj z twych pięknych oczu, i chodź tańczyć kaczuczę, *jeżeli możesz.*” Ileżto potrzeba było siły i sztuki, aby z takiego poniżenia podnieść swego bohatera i znów nim zainteresować. Dokazał jednak tego p. T. Tripplin talentem swym opisowym w trzecim tomie, i wybitnym już wyrażeniem swój zasadniczej myśli w czwartym, który znajdujemy daleko wyższym od poprzedzających, w którym widać, że autor silniej i bardziej seryo zajął się swoim przedmiotem, a równie czynności jak i mowę osób działających zastosował do charakteru, który im nadał, i do położenia, w którym je postawił. Ten tomik czwarty polecamy uwadze czytelników, gdyż on to rzeczywiście zasługuje. Ale wróćmy jeszcze do trzeciego.

Ścigając swoją kochankę pod imieniem Sir Waltera Eliot i na przepysznym Arabie, który mu się od drugiego Anglika, w skutek oryginalności angielskiej, dostał; przybył p. Zygmunt do obozu Karlistów. Cały ten ustęp jaśnieje talentem. Charakterystyka wodzów tegoż wojska, które tylu okrucieństw się dopuściło i tyle zrządziło ruiny, jest pełna prawdy i każdego z nich stawi żywo przed oczy czytelników. Szczególniej Cabrera odmalowany jest po mistrzowsku. A chociaż spotkanie w tym obozie Krakowiaka ze wsi p. Zygmunta, uważamy za rzecz naciaganą, bez której mogło się być obejść, a nienawiść Padre Domenico poczytujemy za zupełnie hiperboliczną, gdyż nawet temu hiszpańskiemu Jezuitcie znajomość polskiego języka natchnęła; za wsze jednak cały ten ustęp czyta się z wielkim interesem i czytelnik chętnie podziela i trwożę o życie bohatera powieści, i interesowanie się nim Julii, i jego radość, gdy się za granicami obozu Karlistowskiego obaczył.

Nudna jest dosyć i przesadzona figura Don Rodolfo, którego pocieszne zdarzenie z bandytą Navaro opisane jest wyżej, a z którym bohatera powieści, po wyjściu jego z ciężkiej choroby, znajdujemy niespodziewanie w Walencji. Widać, że ten Don Rodolfo nie był jeszcze w myśli autora zupełnie gotów, gdy go na scenę wyprowadził. Później jak wszystkie postaci tej powieści dojrzał i Don Rodolfo w tomie czwartym, i wyrobił się na indywidualność pełną natury, oryginalności i prawdy. Daleko ponętniejszym, daleko miłszym oku i sercu czytelnika jest August Flinter, Irlandczyk, komendant Murviedro, i jego rodzina. Cały ten obraz pełen życia i powabu, a w wyrażeniu stosunku przyjaźni dla młodego człowieka, którego ten August Flinter tak bezinteresownie po-

kochał, widać tę rękę pewną, te ruchy śmiałe i prawdziwe, któreśmy we Wspomnieniach z podróży tyle razy podziwiali. Przyjaźń ta wpłynęła stanowczo na los p. Zygmunta. Po wielu przeprawach, po zwycięstwach i klęskach na początku czwartego tomu opisanych, po licznych dowodach odwagi i uzyskaniu stopnia kapitana, dostał się on znowu do więzienia i do więzienia bardzo niebezpiecznego, bo go tam wtracił człowiek niegodziwego charakteru i tchnący nienawiścią za miłość dla tej siostry, którą sam prześladował i wszystkiego chciał pozbawić. Szczęściem, że to było w Tortozie, którą widać p. Zygmunt znał doskonale, bo wiedział, gdzie, na jaką ulicę wychodzą okna celi, w której go zamknęto. Uwolnił się więc prędko i z tego więzienia, chociaż krata była niesłychanie silna i mur potężny. Uwolnienie się to uważamy za zbyt nagłe, i psujące interes. Nosi ono na sobie cechę dowolnej awantury i odejmuje czytelnikowi obawę o los bohatera, którego autor extraordinaryjnemi środkami wydobywa z tak ciężkiego położenia.

Od tego miejsca zaczyna się już opowiadanie wypadków, które uważamy za ważniejsze, bo nie są dowolne, ale wynikają z charakteru i usposobienia osób, i przez ten charakter, o tyle, ile to jest w mocy ludzkiej są kierowane. Opowiadanie to już pełne prawdy, czasem z humorem, czasem z goryczą i czuciem, a zawsze z imaginacją, która każdy przedmiot, każdą osobę postawiła wprzód przed oczami autora, aby ją czytelnikom swoim opisał, jaką była, i jak ją widział. Do najpiękniejszych ustępów z całego dziełka należy rozdział pod napisem: Montpellier. Już tu i p. Zygmunt inaczej wygląda. Miło nam powtórzyć ten krótki ale wyrazisty szkic, bobyśmy chcieli, aby takim pozostał i w myśli czytelników: „Spojrzeniem swém ujmował sobie każdego ten młodzieniec: tyle w nim zawsze poezyi i odwagi i myśli rozsądnej często. Ale że był nieszczęśliwym i jest nim może jeszcze, to wyczytać możesz łatwo i z tej fizynomii, bo na niej osiadł wyraźny powiew boleści, a ten powiew wspólny jest wszystkim ludziom, co długo kochali i tęsknili. Zresztą w skromnym lecz gustownym jest ubraniu; w jednej ręce trzyma teczkę, w drugiej zaś kapelusz słomiany, bo mimowolnie zwykł był odkrywać głowę, kiedy piękną podziwiał naturę, lub kiedy o Bogu myślał”.

Myśl główna całej powieści, myśl, jak już powiedzieliśmy ważna i użyteczna wyraża się najwybitniej w postaci p. Witolda, którego drogę postawił autor jako kontrast z tą drogą, jaką bohater jego przechodził. Urzeczywistnienie to celów życia za pomocą środków, jakimi jedynie dostąpić ich można, a jakich biędny, marzący młodzieniec ze szkoda swą nie użył, jest bardzo dobrze pomyślane, bardzo rozumnie i artystycznie przeprowadzone. Osoba p. Witolda, jego powierzchowność, jego niesławne wcale zdolności, a nawet wiek już do nauki mniej zdatny, słowem wszystko w nim jest na swoim miejscu; język jego odpowiada wszędzie jego charakterowi, a rozwiązanie zagadki jego życia powodzeniem tak dobrze wysłużonym, ofiarowanie potem w zamożnym domu swym przytułku świetnemu rozbitkowi, który powinien go być we wszystkiem prześcignąć, a tymczasem i ogromne siły i tyle obiecujące życie zmarnował, jest i naturalnym i rozrzewniającym.

Równie naturalném i obudzającym interes jest spotkanie się Zygmunta z Julią w Montpellier. Wignanka, jak i on, w skutek tego tułactwa, które dla każdej istoty od ziemi swój oderwanéj staje się najpoważniejszą chwilą życia, przemawia ona już do niego poważnie i rzewnie. A chociaż rozdział ich zdaje się już być stanowczym, ale złamany w życiu swém młodzieniec ma przynajmniej tę pociechę, że ustępuje przed świętością obowiązków, jakimi skrępowana jest kobieta szlachetna, która go sercem ściga i ceni tę ofiarę, jaką dla jej pokoju przynosi. Dlatego więc udanie się p. Zygmunta do Algieru nie jest już płochém i samowolném narażeniem się na niebezpieczeństwa i szukaniem awantur, ale wypadkiem jego położenia i smutném natchnieniem tych uczuć, których pokonać nie mógł, których potępić nie miał powodu, a które jednak ze wszelkiej nadziei życie jego obdarły. Los jakiego doznał w Algierze był prawie koniecznym, bo taka jest kolój wszystkich, cudzej sprawie występujących się, bo to jest przestroga zbawienna i pełna prawdy, którą autor rozdział ten kończy, wołając: „O! trzymajcie się kraju waszego, jak dzieci piersi macierzyńskiej, wy młodzieńcy, pędzeni ciekawością, a miłością do pracy nieożywiani!”

Opisanie pracowni p. Zygmunta w Paryżu, który zaczął od walczenia z Murillem, a teraz na czwartém pięttrze maluje szyldy, uderza oryginalnością i zostaje w myśli czytelnika. Obraz tego niegdyś świetnego młodzieńca, który po 10 latach chybionego zawodu staje u kresu, gdzie go wszystkie drogi, uścielane dawniej kwiatami imaginacji, opuściły, zasługuje na powtórzenie, tak jest trafny i energiczny: „Wymowna to fizyonomia tego artysty, wyglądającego na człowieka, który mocnym krokiem wstąpił w wiek średni. Czoło frasunkiem i bliznami zorane, oczy bystre ale smętne, twarz chuda, lecz wyrazista, ciemna, wąsy jasne, niezmiernéj długości, hiszpanka długa, gęsta, grożąca. Szyja zaś goluteńka jeszcze mocna i krnąbrna; choć także tu i owdzie bliznami pocięta. A jednak w tej żołnierskiej, marsowej twarzy, wyraz wielkiej boleści i myśli głębokiej, wszystko rozbiegającej, i choć jest wynędzniała, nie jest zużyta. Można ją nawet nazwać bardzo piękną w niektórych chwilach, kiedy te oczy zapłoną, ogrzewane jakimśćieć tajemnym grzejącym je ciepłem. Widać, że nie wszystkie zasoby życia zostały tknięte w tej głowie tak bystrzej, czuwającej, kiedy wpływ uczuć na wyraz tej brązowej fizyonomii jest tak szybkim i natychmiastowym”.

Widzimy go tam przed płótnem, na którym nakreślił kontury jakiejś młodziuchnej panienczki. Kontury te nadzwyczaj nadobne, a przecież z nich artysta nie kontent. Patrzy w nie zamysłony, znużony, jeszcze one nie odpowiadają ideałowi jego ducha. „Nie, to nie to”—rzecze wreszcie poglądając na swą omdlałą, ranną rękę—„to wszystko nie to. Gdzież się podziały me siły? gdzie ta moc, którą więziłem kiedyś méj wyobraźni najtajniejsze zarysy? Czemuż mnie ścigasz tym obrazem o Boże! Może aby mi dać uczuć me winy, aby mnie skarać za płochość, z jaką niegdyś w szczęśliwszym wieku, talent przez ciebie mi powierzony zaniedbałem”.

Tę niemoc swoje uważając za karę na którą zasłużył, zrywa się i pogląda z goryczą na swe trofea wojskowe, na ścianie jego pracowni porozwieszane, zbroczone tylko krwią jego własną, a niepokryte ani lau-

rem, ani gwiazdami. Wtedy wymawia te słowa, które nie w jedném sercu znajdują echo, a które cytujemy umyślnie, aby na nie uwagę czytelników zwrócić. „Wielem zyskał doprawdy mym pałaszem! wielkie nim dla świata zdobyłem dobrodziejstwa! O! wybaczcie mi nieprzyjaciele, których nieszczęsny ten pałasz dosięgnął. Waszą śmiercią nie mogliście pomódz sprawie ludzkości, a waszém życiem bylibyście mogli służyć Bogu. Zabijać w imieniu swój wiary politycznej, w imieniu tego, co jaki tam zaśniedziały filozof, albo ambitny mener przy wygodnym kominku wymyśli, a potem spisze na świstku, o to piękna missya! A my, biedna młodzież, pochopna do czynu, a pracą się brzydząca, pojmujemy tylko taką filozofią. Ach! jak się brzydę sobą i ludźmi, co mnie tak młodo nauczyli junactwa, a odwagi nauczyć zaniedbali. Teraz życie bliźnich ma dla mnie wartość, teraz, gdy własnego życia wartość rozproszona, gdy siły znikły, a rozum łatwo opanować może tego niegdyś tak bujnego życia pozostałe żywioły. Brzydę się wami, wy nieszczęsne istoty, które odgadywać mniemacie missye ludzkości i narodów, a siebie sami ani poznać, ani uczyć, ani wolną i niechybną pracą uszlachetnić nie chcecie! Wy szukacie zwolenników, a przyjaciół, którzy was wyniosą, na śmierć posyłacie; a my, nieposiadający nic, prócz uczucia, my łatwowierni młodzieńcy, wierzymy więcej w skuteczność ogólnego systematu, jak w siłę pojedynczej cnoty! O! lituję się nad wami!”

Uważamy to za ważną zasługę autora, że takie myśli upowszechnia.

Ponieważ Paryż jest punktem, do którego zbiegają się i exystencje szczęśliwe dla użycia darów bożych, i exystencje rozbite, dla szukania deski, na którejby wypłynąć mogły; nie dziw więc, że p. Zygmunt po kilku latach znalazł w Paryżu i Don Rodolfa w jego pocieszném *Etablissement Vernis-botique*, i Sir Waltera Eliot z biblią w ręku, i jego piękną żonę, tę samą córkę bandyty, której młodości nie uszanował, i p. Witolda, znamienitego już i wziętego lekarza, ofiarującego przyjacielowi swój dom; i nareszcie heroinę powieści, ideał młodzieńczych swych uczuć, Julię, dziś już naturalnie wdowę, która już teraz szuka go sama i pragnie poświęceniem i miłością naprawić to życie, do którego złamania stała się powodem i sprężyną.

Okoliczność odszukania i zejścia się kochanków spowodowana dość zręcznie i służy do odkrycia szlachetnej strony serca bohatera, która go jeszcze w opinii czytelnika podnosi. Obraz św. Agnieszki, malowany niegdyś w Ajamonte, wyobrażał Julię i celował równie pięknością wykończenia, jak podobieństwem nadzwyczajnym do tej cudnej Hiszpanki, która myśl i serce artysty opanowała. Obraz ten, powtórzony teraz, wystawiony i podziwiany w Luwrze, posłużył jęj do odkrycia kochanka. Posłała ona do artysty przekupnia obrazów, ofiarując mu za to arcydzieło wielką sumę. Dumny wspomnieniem dawnych sił i uczuć, odpowiada on na propozycyą p. Grassin słowami, które dziwnie pięknie i dokładnie malują stan, do którego przyszedł: „Będę szyldy malował, byle z głodu nie umrzeć; dziewice tak piękne, jak oto pan widzisz, te żółte, wymoczone czupiradła portretować będę; będę rysować łuki tryumfalne z napisem: Niech żyje Ludwik Filip! Ale malowidła mego w Luwrze wystawionego za nic w świecie nie sprzedam. Malowałem je, aby było prze-

ślane: po moim zgonie, razem z moim sercem do kościoła tej wsi, w której się rodziłem. Poczciwy Don Rodolfo przysiągł mi, że je sam do tego miejsca odwiezie. To moje ostatnie słowo. Za nic w świecie nie spranuję uczucia, które mną władało, gdym to malowidło tworzył. Ono pochłonęło resztę mego artystycznego żywota, pozostało mi tylko dosyć talentu na szyldy i portrety: — to mi wystarczy na życie.”

Te uczucia odniesione Julii przekonały ją, że taka miłość zasługuje na nagrodę. Pragnie więc niby portretu i przyzywa malarza. Scena poznania: trochę za teatralnie ułożona. Ale odmówienie ze strony Zygmunta, który do swojego sturanego życia nie chce przywiązywać młodości kobiety pięknej i ukochanej, jest naturalne, szlachetne i dopełnia rysów jego charakteru. Szkoda tylko, że dyalog w tym miejscu nie odpowiada sile sytuacji. Chcielibyśmy w nim więcej mocy, więcej rzewności, a nade wszystko usunięcia tej okoliczności, czego się autor jakby umyślnie nie ustrzegł, że powodem odmówienia nie jest upadek sił fizycznych, ale złamanie ducha i zwątpienie jakieś moralne we wszelkie szczęście ziemi i jej dobra. Że piękna Julia wszystkie te skrupuły pokonała, tego się łatwo domyślić. Przyszło jej to tym łatwiej, że miała potężną aliantkę, ową cudną dziewczynkę z jasnym włosiem, którą p. Zygmunt wprzód jeszcze spotkał w ogrodzie Tulierów, której rysy przeniósł na płótno, a która była Maryą Stellą—jego córką.

Nie wiem, czyśmy dali poznać dokładnie zalety i wady tej powieści, której głośne imię autora zapewni powodzenie. Nie wyliczyliśmy bez wątpienia wszystkich piękności, które mi jasniejsze, a o tym, co się nam zdało wadą i uchybieniem mówiliśmy z tą otwartością, na jaką uznany talent takiego jak p. Tripplin pisarza, zasługuje. Pozostaje nam tylko objawić najgorętsze życzenia, aby i dalej w bogatych swych wspomnieniach czerpał. Jeżeli czwarty tom niniejszej powieści jest tak nieskończenie wyższym od trzech poprzedzających, nie wątpimy, że druga i trzecia powieść wolną będzie od tych wszystkich zarzutów, któreśmy tej zrobić musieli. Tworzenie wymaga wdrożenia się, pewnego zmierzania się, jakiegoś ustalenia się stylu i maniery. Jeżeli życzliwość i szczerze interesowanie się równie z bogaceniem literatury, jak i powodzeniem płodów, tak znakomitego talentu może nam dawać prawo do rad i uwag, to radzielibyśmy nade wszystko autorowi, aby wprzód, nim ogniste pióro swe puści, rozpatrzył się dobrze w osobach, które ma przedstawić, aby im pozwolił w myśli swój dojrzeć i dorosnąć, aby je wprzód widział, słyszał, zbadał, nim słowem i czynem objawia własny ruch i życie. Tak bez wątpienia postępował p. T. Tripplin ze wszystkimi postaciami, które w podróży swych maluje, a których rysy żywe i niechybne wrażają się w myśl czytelnika. Nie ma innego sposobu i ze stworzeniami imaginacyi; trzeba z nimi pożyć, z nimi się oswoić, a wtedy oddziela się one zupełnie od swojego twórcy i staną się osobną indywidualnością; wtedy i część dramatyczna powieści i każdy dyalog właściwością i prawdą odpowie wartości wszystkich miejsc opisowych, które równie w tej powieści, jak i w innych utworach autora zamykają pierwszego rzędu piękności.

J. K.



ROZMAITOŚCI.

List Jana Karola Chodkiewicza, hetmana wielkiego litewskiego do piętnastoletniego syna Hieronima, z radami o naukach i prowadzeniu się młodzieńca (1).

Z listu twego, zrozumiałem, że wysszych nauk słuchasz, a mnie się leśsze zda w *humanioribus* trzebaby się zabawić, bo jeśli przy *philosophii* (2) błaznem będziesz wstyd mi uczynisz; ale jeśli dla tego się kwapiasz, abyś szkoły wyszedł, szkoda w tym mieć nadzieję. Uczyć się zawsze trzeba, kto chce być mądrym, nie psując lednak serca. Panie Boże, cię w tej lojce błogosław; bodajś tej thak wiele nagryz jako byś głowę dobrze sobie oną napchał, a bende słuchał argumentów twych przytęchawszy. Dalybóg, leno trzeba aby cię w łacyne. Xiondz Ziemułkowski nie dzwigał; w argumentach jeszcze nie mówię. Historyków nie zaniechaj czytać, a nie wadziłoby Kromera. Pani Matce służ, leno u Panien nie byway, bo tham muiszy (3) nie małą co czynić. Panu Bogusz cię thedy oddaę w opiekę tego świętą niegodny, w Maieście prosząc aby my cię w dobrym zdrowiu chował y dał się ze wszystkiego błogosławieństwa twego nam cieszyć.

Dan z obozu (4) 9 Julij A. D. 1612.

Jan Karol Chodkiewicz:

mp.

Synowi mojemu miłemu Hieronimowi Chodkiewiczowi.

(1) List cały własnoręczny, którego pisownia tu wiernie zachowana, znajduje się w bogatym zbiorze autografów p. Reichel dyrektora mennicy w Petersburgu. Wedle Niesieckiego, urodził się Janowi Karolowi Chodkiewiczowi syn Hieronim, z Zofii Mieleckiej Wki podolskiej, córki hetmana, r. 1597, a umarł 2 lipca 1613. roku, mając lat 16. Ojciec sprawił jedynakowi pogrzeb uroczysty, w dziedzicznym mieście swoim Kretyndze, 18 marca 1614 roku. Ks. Andrzej Grądzki Bernardyn w kazaniu na tym obchodzie mianem; wspomina, że młodzieniec ten w habicie mniszym pochowany.

(2) To jest w wyższej klasie szkoły.

(3) Widzieliśmy wyżej, że był w habicie mniszym pochowany; zdawałoby się, że i za życia ten habit nosił.

(4) Pod Moskwą.

Opis zamku krakowskiego.

(Z rękopismu 1682 r.).

Inventarium omnium et singulorum Privilegiorum literarum diplomatum et monumentorum quaecumque in Archivo Regni in Arce Cracoviensi continentur, per commissarios a S. R. et Republica ad revidendum et connotandum omnes scripturas in eodem Archivo existentes Deputatos confectum A. D. MDCLXXXII. fol.

„Naprzód idąc od miasta do zamku z bramy drzewianej nowo postawionej, mury, jeden od Wisły, a drugi który wał pod zamkiem wspiera, są bardzo słabe, i prędko dla dawności swój i zaniedbania poprawy ich grożące ruiną, i na téj, która od zamku stronie, balki na murze pod ziemią położone zbutwiały. Brama na wejściu do zamku z gruntu zła, wrota zgniłe, zawrzec się niemogące, i od dawnych czasów dla zaniedbania nigdy się nie zawierają; mury po obu stronach na dole i na górze złe i porysowane. Kordygarda tamże reparamcy potrzebuje, na której powały zgniły. Nad izbą na górze wiérzch stary upadł; trzeba inszego. W murach zamku tak wyższych jako i niższych, wkoło ich idąc aż ku bramie *Grodzkiej*, jako i w basztach niektórych znaczna także pokazuje się ruina, które się miejscami poprzepadały i porysowały. Mostów drzewnianych po których armatę na wały wprowadzają i sprowadzają, wszędy nowych trzeba, bo jedne zbutwiały, a na drugich miejscach cale ich nie masz, a bardzo potrzebne są. Tam gdzie wycieczka jest ku teraz Stradomiu, znak jest, gdzie insza przedtém była wycieczka, która się zapadła, ale przecie dziura została w ziemi, którą przejśćby mógł; przeto trzeba ją kazać zawalić, i cale zagubić, albo jeśliby i ta druga zdała się być potrzebną, reparamcy. Pod izbą poselską znak tylko jest gdzie dwie kordygardy były. Pod pokojami królewskimi wycieczka zrujnowana, i rury w niej powiadają, któremi woda na dół zbiegała, zepsowane. Wał ku Bernardynom znacznie na jednem miejscu zepsowany. Strzelnica się zrujnowała. Studnia w samym zamku przestrona i bardzo potrzebna, zaniedbana jest, mułem zalazła, dlatego jej nie zażywają, ale małym kosztem mógłby ją wyszlamować, i restytuować, commodityati w zamku mieszkających. Ganki na murach pozapadały się, dlatego teraz nie masz jaka przedtém była i powinna być wczesności chodzenia po murach. U wycieczki ku Wiśle, drzwi drugich żelaznych nie masz tylko jedne, a przedtém było dwoje. Ksiądz Sarnowski kantor zamkowy furtkę sobie (jako powiadają) prywatą autoritate zrobił w murze zamkowym wedle *bramy Grodzkiej* ku Bernardynom lat temu trzy; za tą furtką ogródek, między pomienionym murem zamkowym a palisadami, których jeszcze podle Bernardynów stoi, założono niedawno i drzewkami zasadzono.”

Obraz ścienny w Ś. kaplicy w Paryżu z XIIIgo wieku.

Obok starożytnego zamku wynoszącego się we środku Paryża, znanego pod nazwą *le Chatelet* albo téż *Pałacu sprawiedliwości*, którego okrągłe wieżyce dziwnie odbijają od sąsiednich, a nowoczesnych budowli wyspy starego miasta (*Ile de la Cité*), stoi niemniej dawna kaplica słynna

pięknością swych koronkowych ozdób gotyckich, a zwana Świętą kaplicą (*St. Chapelle*). Wystawiona w XIII wieku, różnym ulegała przemianom i przeznaczeniom; całość jej jednak o tyle pozostała nietkniętą, że dziś zwać się może jednym z najlepiej dochowanych pomników gotyckiej architektury. Przed kilką laty przedsięwzięto restauracye częściowe w Pałacu Sprawiedliwości: otworzono ulicę, odsłonięto widok na Św. kaplicę, i przystąpiono wreszcie do odnowienia tej ostatniej. PP. Lassus i Duban budowniczo wie paryzcy, znani ze swęj biegłości w architekturze średniowiecznej, z największą starannością prowadzili dzieło odnowienia, i dziś Św. kaplica, tak zewnątrz jako i wewnątrz przedstawia zdumionemu widzowi budowę precudną, w tym stanie wykończenia i świeżości, w jakim wyszła z rąk pierwotnego swego a nieznajomego założyciela i budowniczego. W ciągu troskliwych odnawiań tak górnej jako i dolnej kaplicy, natrafiono w tej ostatniej na ślady malowań murowych. Po ostrożném odjęciu kilku warstw pobiałych, wyszło na jaw piękne malowidło na tle złoconém, przedstawiające Zwiastowanie: anioł podaje gałązkę lilii Najświętszej Pannie, która w ręku trzyma księgę. W medalionie u góry widać Matkę Bożą z Dzieciątkiem na kolanach. Dwaj aniołowie palą przed nią kadzidło. Świeżość zachowania malowidła, którego dawność przynajmniej 500 wiekową zdradza i układ ogólny i niewinność pojęcia, i wszelkie inne przyznaki, zastanowiły znawców. Polecono więc biegłemu chemikowi p. Dumas wybadanie szczegółowe sposobów, jakich użyto przy wykonywaniu tego ze wszech miar ciekawego, a jedyne go w Paryżu malowidła z XIII wieku.

P. Dumas po dwuletnich badaniach złożył w tych dniach swoje sprawozdanie Akademii umiejętności. Znalazł on, że pierwszy pokład na kamieniu wprost leżący, niczém się nie różni od gruntowań w podobnych razach i dziś używanych, a mianowicie jakich użyto przed 20 czy téż 25 laty pod malowidła w kopule Panteonu. Na takim gruncie robiono tło ze złota malarzkiego, na tém dopięro jakby wypukło, nakładano nowy i osobnego rodzaju grunt w miejscach tych tylko, które kolorami malować się miały. Po wierzechu zaś tego wszystkiego, dawano pewien rodzaj wernixu, który łączył i zlewał farby, nadając im oraz żywszą barwę.

Doświadczenia chemiczne i śledzenia mikroskopem przekonały, że rozmaite kolory użyte w tém malowidle, są zupełnie do zwyczajnych dzisiejszych podobne. Lecz najciekawszym wypadkiem poszukiwań uczonego chemika jest postrzeżenie jego, że kilka z tych farb użyto jako suchy proszek. Malarze XIII wieku, snadź na wilgotnym jeszcze powtórnym gruncie, nasypywali farbę w proszku, mianowicie w draperyach, i pędzlem ją rozwoździli dla zestopniowania barw. Ostateczna werniksowa powłoka, przytwierdzała je i nadawała malowaniu pozor taki, jaki mają dzisiejsze olejne obrazy, co właśnie wprowadziło znawców nawet w pierwszłej chwili na domysł, że obraz ów Zwiastowania jest olejno malowany.

Zwracamy tu uwagę na okoliczność, że w XIII wieku sposób malowania miniatur na pergaminie zupełnie był podobnym do tego, jaki tu p. Dumas w malowidle ścienném odkrywa; metoda zaś nasypywania farb sproszkowanych, zupełnie jest nowym nabytkiem w malarstwie ścienném, nabytkiem rokującym wiele korzyści, albowiem zapewnia świeżość kolorów i ich długą trwałość pod stosowną werniksową powłoką.

B. Podczaszyński.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Uwagi tyczące się chemii rolniczej, a głównie teorii mineralnej Liebiga; przez pp. J. R. Lawes i J. H. Gilbert. P. Pusey napisał niedawno w pewnym dzienniku rolniczym angielskim, o postępie rolnictwa w ciągu ostatnich lat ośmiu; przytacza tam doświadczenia p. Gilbert'a i Lawes'a, jako stanowczo zbijające teorię mineralną Liebiga, który utrzymuje, że zbiory z danego gruntu zwiększają się lub zmniejszają, stosownie do obfitości lub braku w roli ciał mineralnych, znajdujących w popiołach roślin. Na uwagi p. Pusey, odpowiedział Liebig w nowym wydaniu swych listów o rolnictwie, gdzie stara się przekonać, że doświadczenia przeciw niemu przytoczone nie mają żadnej wartości; i że twierdzenia jego przeciwników, pochodzą jedynie z niezajomości na większą stopę, rozumowanej praktyki gospodarskiej. W skutku tego, powyżsi dwaj pisarze (Lawes i Gilbert) przedstawili teraz szereg swych poszukiwań w chemii rolniczej, obejmujący doświadczenia czynione na polu pod względem zbiorów główniejszych płodów wchodzących w płodozmian, jak również w przedmiocie pożywienia zwierząt, i czynności roślin, z uwagi na rolę i powietrze; to zaś objaśnili wypadkami prac ciągle uskutecznianymi w pracowni chemicznej od początku swych doświadczeń, to jest od r. 1843.

Wypadki wybrane przez pp. Lawes'a i Gilbert'a dla usprawiedliwienia i rozwinięcia ich sposobu widzenia rzeczy, opierają się na doświadczeniach w polu uskutecznianych z pszenicą, która ciągle rosta na gruncie wyczerpanym poprzednio przez 8 ostatnich lat, przy dodaniu nawozów chemicznych, obok jednego lub dwóch zagonów, na które nie użyto nawozu, i jednego zagona umierzwionego gnojem folwarcznym. Do niektórych z otrzymanych wypadków dodano właściwe rysunki, z których widzieć można, że nawozy mineralne za ledwo zwiększyły wydatek, gdy same były użyte: skutek zaś soli amoniakalnych był bardzo widoczny, nawet przy powtarzaniu uprawy rok rocznie na tymże samym kawałku gruntu, z którego zebrano plon całkowity, to jest ziarno i słomę. Tym sposobem otrzymywano zbiór ciągle przez 6 lub 7 lat po sobie idących, ten zaś przewyższał prawie o trzecią część plon z ziemi niemierzwionej.

Przytém się okazało, że pierwiastki mineralne ziemi, ciągle były w nadmiarze ze względu na saletrorod powstały z źródeł naturalnych roli. Powyżsi pisarze skreślili rys rozmaitych kawalków roli aż do ostatnich zbiorów 1850 roku, i przekonali, że przypuszczenia Liebig'a, jakoby amonia była nawozem głównie potrzebnym dla pszenicy, w zupełności są zgodne z prawdą w takich okolicznościach, w jakich np. znajduje się rolnictwo w Anglii. Czyli innymi słowami: w praktyce brakowi saletrorodu więcej przypisać należy ograniczenie wydawania pszenicy, niż pierwiastkom mineralnym.

W dalszym ciągu, powyżsi autorowie zwracają uwagę na wyziewanie saletrorodu przez rośliny w czasie ich wzrostu, jak to już okazał był Saussure, Daubeny i Draper; i przytaczają niektóre swoje doświadczenia, wykonane w celu okazania prawdopodobieństwa, że więcej saletrorodu dają nawozy, niż wyziewają go rośliny zbożowe, groszkowe i inne w czasie swego wzrostu, i że ztąd wytłumaczyć można potrzebę nawozów usaletrorodzonych dla utworzenia ziarna. Sądzą nadto, że to jest obszerny przedmiot do poszukiwań, a doświadczenia wskazane pozwalają przypuszczać, że powodzenie płodozmianu więcej zależy od stopnia przywrócenia równowagi pierwiastków żywotnych (organicznych) w zbiorach, niż od ich ciał mineralnych, jak chce mieć Liebig; a nawet środki służące do przysporzenia pierwszych, wpływają na dostarczenie w przyzwoitej ilości drugich.

Liebig przytoczył ugorowanie i wapnowanie, jakoby te ze względu na wypadki, były w sprzeczności ze zdaniem pp. Lawes'a i Gilbert'a; ale ci ostatni uważają doświadczenia Mulder'a i Way'a, dotyczące się własności roli, za usprawiedliwiające ich następne przypuszczenia, że skutki z ugorowania i wapnowania polegają bardziej na skupieniu się saletrorodu w gruncie za pomocą środków naturalnych, niż na pierwiastkach rozrzedzalnych mineralnych; ale przytém utrzymują, że i te ostatnie nagromadzają się niewątpliwie powyższemi sposobami.

Ciż pisarze w ostatku okazują, opierając się w szczególności na praktyce podług której postępują w Anglii, gdzie pszenica i mięso prawie wyłącznie z roli są wydawane; iż pierwiastków mineralnych, plonów razem wziętych, czyli tak jak się znajdują przy rozbiórce ich popiołów, nie można uważać za wyczerpane. Zpomędzy jednak tych pierwiastków kwas fosforowy ginie w większej ilości niż alkalia, które przez zabranie ich na pokarm zwierząt w bardzo małej części utracają, nawet być może że przez to w roli pomnażają się. Rolnictwo praktyczne okazało, że kwas fosforowy może być w gruncie przywrócony, przez wzięcie go z ciał innych, to jest z kości, guana i t. p., ale z drugiej znowu strony przekonano się, że w ogólności nawozy alkaliczne sztuczne, były beżskuteczne. Wreszcie, uważając stanowczo dążenie wszystkich doświadczeń praktycznego rolnictwa, jak również wypadków zbiorowych poszukiwań na większą stopę w powyższym przedmiocie wykonanych, tak na polu, jako téż i w pracowni chemicznej; powyżsi pisarze mają to silne przekonanie, że rozbiór plonu nie jest pewnym przewodnikiem ze względu na naturę nawozu, który ma być zastosowany w biegu zwyczajnym rolnictwa, gdy go bierze się z źródeł obcych roli; czyli inaczej mówiąc, gdy się używa nawozów

sztucznych. Zastanowiwszy się nad zjawiskami praktycznego rolnictwa, niepodobna utrzymywać z Liebigiem, że główny cel zależy w nim na otrzymaniu mieszaniny sztucznej, która by mogła zastąpić gnoj folwarczny i być uważaną za ogólne pożywienie roślin. Praktyka rolnicza podług której postępują w największej liczbie krajów europejskich, przekonywa o potrzebie pomnażania gnoju folwarcznego, i wszelki rachunek powinien się opierać na przypuszczeniu jego użycia. (*L'Institut* z 24 septembre 1851 r.)

* *O bytności kwasu siarkowego w powietrzu i wodach, w miastach, przez R. A. Smitha.* W skutek doświadczeń okazało się: że kwas siarkowy znajduje się w powietrzkregu wielkich miast. P. Smith robiąc poszukiwania z powietrzem w Manchester i jego okolicach, utrzymuje: że podkwas siarkowy utworzony przez palenie się siarki, ukwasoradnia się więcej, i spada z deszczem jako kwas siarkowy wolny, lub też połączony z amonią. Liebig okazał już poprzednio bytność węglanu amonii w powietrzu; Smith zaś teraz przekonał, że woda deszczowa dotąd będzie alkaliczna, aż przez odgotowanie zgęści się w niej kwas siarkowy. Deszczówka zebrana w odległości mil sześciu od Manchester była nieprzyjemną do picia. Wreszcie uważa ziemię jako wielki przyrząd odbierający własności nieprzyjemne wodzie deszczowej, bo przez to, ta woda utracą kwasy, amonią, ciała oleiste i węglany nadające jej smak nie miły. Deszczówka zebrana na polu, za zgęszczeniem wywiezuje tak wiele ciał oleistych, że sądzono jakoby przypadkowo była niemi zanieczyszczona; i dopiero inaczéj się przekonano, przy użyciu naczyń platynowych. Śledzono powietrze w lecie w r. 1850 i 1851 w częściach najludniejszych Manchester, i porównywano je z powietrzem wiejskiém. Stosunki kwasu siarkowego wynoszą 0,4 do 1,06 grana na gallon angielski, chloru zaś 0,396 do 0,530 na téż samą objętość wody, gdy cała ilość ciał mineralnych w deszczówce był a 0,8 do 3 gran na gallon. Naostatku Smith mówi o wywiezywaniu się roślin krytoplciowych, i kończy uwagą o dobroczynném działaniu deszczu, przez który powietrze uwalnia się ze szkodliwych wyziewów. (*Tamże*).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

J. C. Gray ogłosił w *Proceedings of the zool. Soc.* na maj 1849 str. 65, przerobienie swoje rodzaju leniwców (*Bradypus*). według czaszek tych zwierząt w *British Museum* zachowywanych. Układa on gatunki pomienionego rodzaju we trzy skupienia: 1) *Cholepus*; 2) *Bradypus*; 3) *Arctopithecus*. W pierwszym mieści się tylko jeden gatunek, dawny *Bradypus didactylus*. W drugim dwa: *Br. ornatus* i *Br. affinis* nowy gatunek amerykański spod zwrotników. W skupienie trzecie wchodzi pięć gatunków: *Arctopithecus gularis*; *A. marmoratus* (*Br. tridactylus*

guyanensis); *A. Blainvillei* (*Br. tridactylus brasiliensis*); *A. flaccidus* (*Br. tridactylus* Temm.) i *A. problematicus* Gray, nowy nieznan jeszcze gatunek z Para. (T. 1851, nr. 339).

* Pod d. 28 lipca z. r. (1851) p. Eustachy Czarnowski podsędek Sądu Pokoju okręgu stopnickiego w Stopnicy, zawiadomić mnie raczył, że w Krakowskim około miasta Brzyska w dobrach Chebdowie, w wyrwie brzegu Wisły, wezbraniem wody na tej rzece zrzędzonej, znaleziono kości mamuta (*Elephas primigenius*), a mianowicie ogromną tego zwierzęcia czaszkę, której rysunek i wymiary dołączone do zawiadomienia, są prawie zupełnie zgodne z fig. 11 Pl. 10 w dziele Cuviera *Recherches sur les ossemens fossiles*. Jednocześnie znaleziono w tém miejscu dwa trzonowe zęby tegoż zwierzęcia. P. Czarnowski czyni uwagę że i przedtem w tej okolicy odkrywała Wisła szczątki przedpotopowych zwierząt, jak np. dwa kły mamuta, każdy po kilka łokci długości mające, na pół łokcia w końcu ułamanym grube (*A. W.*).

* Kopalne szczątki mamuta i mastodona znalezione były niedawno i w północnej Afryce; tamte przy Szerszel w prowincyi Oran, te pod Konstantyną, jak o tém dr. Gervais zawiadomił Akademią um. paryzką na dniu 12 marca (1850). Trzonowy ząb mamuta podobniejszy jest znajdującym w Europie, niżeli słoniowym gatunku dziś żyjącego w Afryce. Dotychczas Sycylia uważana była za najdalszy kraj na południu, w którym się odkrywały szczątki mamuta. Szczątki mastodona pierwszy raz ukazały się w Afryce. Stanowią je ząb i żebro gatunku, który, o ile z rysunku osądzić można, podobniejszy jest do *Mastodon brevirostris* czyli *arvernensis*, niżeli do *M. angustidens*. (T. 1850, nr. 188 z *Edinb. new. Phil. Jour. April-July, 1850*).

* Kölliker w swoich listach z podróży (*Zeitschr. f. wissensch. Zoologie III Bd. 1 Hft. 103*) donosząc o hippopotamie b. r. (1851) w Londynie okazywanym, mówi: „osobliwe to i każdego zdumiewające zwierzę, które od czasów Rzymian po raz pierwszy Europa ogląda, jest w rzeczy samej zajmującym stworzeniem, lecz ażeby dokładniej je ocenić, koniecznie w wodzie widzieć je potrzeba. O ile ciężkiem i niezgrabnym bez niej się wydaje, o tyle jest ruchliwym i zwinnym w swoim żywiole, w którym już na powierzchni żwawo pływa, już po dnie wolno się przechodzi. Pojąć trudno, jakim sposobem zwierzę tak kolosalne, napozór bez żadnego natężenia może się tak długo (5—8 minut) na dnie wody utrzymać; ale już z tego co zewnątrz organizacya jego przedstawia, widać że jest ziemnowodnym. Prócz że oczy i nos, mianowicie zaś pierwsze, bardzo wysoko, prawie jak u gadów żabowatych i krokodyłów, leżą i są do znacznego wyciągania się usposobione, jeszcze je, równie jak i uszy podczas zanurzenia się osobne urządzenie chroni. Oczy bowiem opatrzone są wielką, bardzo ruchomą migawką, każde nozdrze ograniczone dwiema klapami które się dobrowolnie zamykać mogą, a tę samą usługę czyni poduszkowaty wyskok (*Tragus?*) na wstępie do zewnętrznego kanału słuchowego. Obok hippopotama zajmował mnie także dozorca jego, Arab z Shegya, tego osobliwego szczepu, który przy czarnej cerze przedstawia własności kaukazkiego pokolenia i okazuje ile mieć może znaczenia kolor skóry w rozdzieleniu rodu ludzkiego”. (T. 1851 nr. 292).

* Od czasu cesarzów rzymskich, kiedy hippopotama w rzymskim cyrku widziano, nie doszedł do Europy żywy tego zwierzęcia okaz, i tylko szczodrobliwości Abbasa paszy. pana Murray a nadewszystko pana Mitchell winniśmy, że mamy dziś w Regents-Park hippopotama żywego, Był on następującym sposobem ujęty. Pewne towarzystwo myśliwych. krążąc ponad wyższym Nilem gdzie brzeg krzewinami jest zarosły, ugodziło kulą samiec w bliskości serca; zwierzę jednak uporczywie stało na miejscu, w którym jego młode, w zarośli ukryte leżało. Myśliwi zmiarkowali przyczynę tej zaciętości i jęli się szukać młodego. które przerażone skoczyło do rzeki, gdzie zahaczone bosakiem tak silnie zatrzymaném zostało, że na łódź wyciągniętem być mogło. Z największą troskliwością obchodzono się z niem, i wieziono je Nilem, mała na dzień ujeżdżając. Karmiono je przez drogę krowiem mlekiem, którego nadzwyczajną ilość spożywało. Już w Kairze zwierzę to wielkie podziwienie obudzało. Po dosyć długim pobycie w tém mieście, przewiezionem okrętem do brzegów Anglii, ztamąd nadzwyczajnym pociągiem sprowadzone zostało do Londynu i niezwłocznie umieszczone w Regents Parku, dokąd weszło przez bramę, jak pies biegnąc za swoim arabskim dozorcą. Nazajutrz przybył je oglądać prof. Owen i rozmaici malarze chcący do dzienników zdjąć wizerunek nowości.

Zwierzę ma 7 stóp długości i tyleż w obwodzie. Nogi są tak krótkie, że brzuch prawie ziemi dotyka. U każdej nogi są cztery palce, każdy opatrzone kopytem. Kopyto mniejsze jest na zewnątrz. niżeli przy palcach, a cała stopa dosyć skupiona. Ogon krótki, goły, u podstawy bardzo gruby, ku wierzchołkowi coraz zwężający się, wszakże nie przechodzący w kończatność. Skóra naga, na grzbiecie i bokach ciemno-brunatna, wkoło uszu, oczu, paszczy, gardła i brzucha jaśniejsza, czyli cielista. Szyja nadzwyczajnie gruba; twarz i morda szeroka, uszy małe. Otwór paszczy niezmiernie wielki: ku uszom zwrócony, tak że zwierzę zdaje się zawsze szydersko uśmiechać. Oczy mocno sterczą i we wszelkich obracają się kierunkach. Ten gatunek oczu daje się widzieć u wielu zwierząt które zarówno na lądzie jako i w wodzie żyją, np. u żaby. Pod wodą może hippopotam pionowo do góry patrzeć; na lądzie ustawicznie wodzi oczami za swoim dozorcą, nie obracając głowy; nozdrza są jak u foki, gatunkiem zasuwki opatrzone. Zwierzę może je dobrowolnie zamykać, tak że się do wązkiej szpary ściskają. W stanie spokojnym, po każdym odetchnieniu je zamyka.

Chód jego po ziemi jest niezgrabny i ciężki. Arab idzie przed nim z wiązką zielonej wyki, a za nim trepeze hippopotam otwierając niekiedy swoją wielką paszczę, którą wyciąga kilka łodyg wyki i znowu je upuszcza. Podczas tego i Arab i on w zapasy krzają. Głównem pożywieniem jego jest mąka mlekiem rozrabiana (1). Spożywszy swoją dzielną, głośnym krzaniem żąda wody, żeby nią paszczę wypłókać. Nabiera jej w całą paszczę, potrząsa w tę i ową stronę, wreszcie przez obydwie kąty paszczy znowu wypuszcza. Potem udaje się do kąpieli. Zstępuje z wolna

(1) Nadewszystko lubi daktyle, przez co wielu odwiedzających go przynoszą mu ten owoc.

po stopniach do swojej cysterny, i w niej porusza się z taką lekkością jak ciężkimi są jego ruchy na lądzie. Tak ochoczo nurza się i pływa, że nie ma wątpliwości iż w wodzie milszy mu jest pobyt. Może i jak kamień na dnie leżeć, i jak kawałek korka na powierzchni pływać. Zwykle przez ośm minut pod wodą zostaje.

Hippopotam ten okazuje wielkie przywiązanie do swego dozorca: ilekroć się on oddali, zwierzę zdaje się być smutnym. W nocy dozorca musi spać tak blisko niego, ażeby go mógł dotykać; żeby zaś w twardym śnie nie być zgniecionym, Arab między sobą a nim umocował kratę, przez którą czasem nogę przetyka, dla dania poznać, że jest w bliskości. (T. 1850 nr. 207 z *The Zoologist*, July 1850).

* Dr. Sam. Jerzy Morton, wydał w Filadelfii 1849 r. książeczkę in-4to, z trzema tabl. figur (*Additional Observations on a new living species of Hippopotamus etc.*), w której podaje wiadomość o nowym gatunku hippopotama. „W lecie 1840 roku, mówi, zapoznałem się z pewnym człowiekiem, który wielokrotnie objeżdżał osadę Liberyą (w zachodniej Afryce), a nawet i dalej rozciągał wycieczki, do krajów Dey i Bassa. Powiadał on, że w głębi kraju, w rzekach widywał często małego hippopotama, tój tylko co mierny byk wielkości, zresztą zaś pospolitemu hippopotamowi ze wszystkiém podobnego. Mówił także, iż krajowcy polują na to zwierzę używając mięsa jego, czego naocznym nieraz był świadkiem.

W lecie 1843 r. otrzymałem od przyjaciela mojego dra Goheen znakomity zbiór czaszek zachodnio-afrykańskich zwierząt ssących, które on przez ciąg wieloletniego pobytu w Monrovia w Liberyi zebrał. W zbiorze tym były dwie czaszki małego hippopotama z rzeki św. Pawła, która biorąc początek w górach Gwinei, płynie przez krainy: Dey i Liberyą, i na północ od przylądka Messurado do oceanu Atlantyckiego wpada.”

Daléj opowiada autor, że lubo niezaprzeczone postrzegał różnice tak co do wielkości jako i kształtu pomiędzy tą a zwyczajnego hippopotama czaszką, wstrzymywał się jednak od wszelkich ogłoszeń publicznych, dopóki z przejrzenia najnowszych zoologicznych dzieł europejskich nie przekonał się, że gatunek nie jest jeszcze znany. Najpierw w lutym r. 1844 ogłosił w Rocznikach akadem. Filadelf. opisanie dwoma drzeworytami objaśnione, a gdy odtąd nowość gatunku całkowicie się ugruntowała, osądził za rzecz właściwą opisanie ponowić, w wielu miejscach je uzupełnić i lepsze wizerunki dołączyć. Pierwiastkowo nazwał ten gatunek *Hippopotamus minor*, nie wiedział bowiem wtedy, że już Cuvier użył tego nazwiska do oznaczenia pewnego kopalnego gatunku. Odmienia je zatém na *Hippopotamus (Tetraprotodon) liberiensis*, to jest *hippopotam liberyjski*, i w następnéj formule zęby jego przedstawia:

przednie $\frac{1}{2}$ czyli $\frac{2}{1} - \frac{2}{1}$,
 kły $\frac{1}{1} - \frac{1}{1}$,
 trzonowe fałszywe $\frac{1}{4} - \frac{1}{4}$,
 trzonowe $\frac{3}{3} - \frac{3}{3}$,

i szczegółowo każdy gatunek zębów opisuje, kształty ich na rysunku ukazując. Następnie podaje rozmiary czaszki, w różnych brane kierunkach.

Hippopotam liberyjski pospolitým jest zwierzęciem w rzęce św. Pawła, 400 do 700 funtów wążacém. W poruszeniach ciężki i powolny, oddala się jednak niekiedy na 2 do 3 mile (miles) od rzeki, i wtedy krajowcy łatwo go zabijają. Ma nadzwyczaj wiele żywotności, tak że chyba skaleczenie serca z nóg go powala. Postrzelony wpada w wściekłość i staje się niebezpiecznym, w innym atoli razie nie rzuca się nigdy na człowieka. Murzyni bardzo lubią mięso jego, mające smak między wołowém a cielęcém pośredni.

Autor oświadcza na końcu wdzięczność d^{wi} Hugh Falconer w Londynie, który mu w liście swoim z d. 2 paźdz. 1847, najdokładniejszy nadał przegląd dotychczasowych wiadomości naszych o gatunkach hippopotama, tak je w systematyczném uporządkowaniu przedstawiając:

Rodzaj I *Hippopotamus*.

Podrodzaj I *Tetraprotodon*.

- gatunek 1. *H. (Tet.) major*. Europa, kopalny.
 2. *H. (Tet.) palaeindicus*. Indye, kopalny.
 3. *H. (Tet.) amphibius* Lin. Afryka, żyjący.
 H. senegalensis } auct.
 H. capensis }
 4. *H. (Tet.) annectens*. Afryka, kopalny.
 5. *H. (Tet.) minor* Cuv. Europa, kopalny.
 6. *H. (Tet.) liberiensis* Mort. zachod. Afryka, żyjący.

Podrodzaj II *Hexaprotodon*.

7. *H. (Hex.) iravuticus*. Indye, kopalny.
 8. *H. (Hex.) sivalensis*. Indye, kopalny.
 9. *H. (Hex.) namadicus*. Indye, kopalny.

Rodzaj II *Mericopotamus*.

- M. dissimilis*. Indye, kopalny.

Rodz. *Mericopotamus*, jak dr. Falconer objaśnia, jest ogniwem pomiędzy *Hippopotamus* a *Anthrocotherium*; ma bowiem zęby trzonowe ostatniego (jak u przeżuwających), a czaszkę, zęby przednie i kły, tudzież listkowate rozszerzenie kąta szczęki dolnej, jak u *Hippopotamus*. Jego gatunek (*M. dissimilis*) był wielkością równy żyjącemu liberyjskiemu.

Dr. Falconer mówi w pomienionym liście (do dra Morton): „Gatunek pański jest zaiste najciekawszém zoologiczném odkryciem naszego stulecia. Cuvier w swoim *Discours préliminaire* powiedział, iż trudno ażeby się jeszcze kiedy żyjące większe zwierzę ssące lądowe odkryć dało.” (T. 1850, nr. 51, 52 i 53. Niemieccy tłumacze dołączyli i wizerunki oryginalu na pół skali zmniejszone, pragnąc czytelnikom o ile można najzupełniej przedstawić to ważniejsze zoologiczne naszych czasów odkrycie. Wizerunki te wszakże, tylko osteologiczne cechy przedstawiają).

* P. W. Jastrzębowski prof. Inst. Agr. w Marymoncie, w czasie swojej wycieczki po kraju, jaką corocznie z uczniami zwykł odbywać, znajdując się w r. 1850 we wsi Przecznia powiecie sieradzkim, był świadkiem zdarzenia dowodzącego że nawet te zwierzęta, którym bardzo

nizki pojmovania stopień przyznajemy, łączy w ich rodzie węzeł moralny, i to powinowactwo w zdumiewający sposób pobudza je do wzajemnego ratowania się wśród niebezpieczeństw. P. Jastrzębowski stał rozmawiając z dziedzicem miejsca pod niedalekim ode wsi lasem. gdy chart, który poprzedzał wracających tamtędy z polowania myśliwych, puścił się za małym ze wsi prosiątkiem, w stronę lasu je pognawszy. „Dlaboga! rzecze przerażony tym widokiem dziedzic który znał zajadłość charta, dałbym nagrodę gdyby ocalono życie temu prosiątku. Należy ono do ubogiej wdowy: głowę mi ususzy narzekaniem że mój chart pozbawił ją przedmiotu stanowiącego rozrywkę jej dzieci.” I kiedy niedołączną ofiarę już za straconą miano, wtém słyhać przeraźliwe chrochanie świni dzikiej, która na kwik prosięcia z lasu wybiegłszy, tak przeraziła charta, że ten uciekł, a prosię ocalonem zostało (A. W.).

* Nikt nie zastanawiał się nad szczątkami przedpotopowego nosorożca (*Rhinoceros antiquitatis* s. *tichorhinus*) tyle co akademik petersburski p. J. F. Brandt, który nie poprzestając na swoich dawniejszych, pojedynczych badaniach w tym przedmiocie, przejrzał na nowo wszystko co o nim powiedziane było, porównał te reszty ze szkieletem jednego z dziś żyjących nosorożca, a mając przed sobą nawet owe sławne Wilujskie szczątki przy których i miękkie zachowały się części (głowę i tylne nogi), cały że tak powiem, oddał się dziejom nosorożców kopalnych, których nie więcej nad cztery, a najwięcej pięć przyjmuje gatunków. Wszystkie te badania i uwagi swoje w jedną całość zebrawszy, ubogacił paleontologią dziełem znakomitęm, z 32 arkuszy druku i 25 tablic wizer. złożonem, którego postępek, ważność i treść w *Bull. de la classe phys. math. de l'Acad. imp. de Pétersb. tome VIII, nr. 15*, wyklada, lecz które teraz znajduje się już w rękę wszystkich, umiejących prace tego rodzaju oceniać (1). (T. 1850, nr. 237).

* Przed kilku laty obawiano się już zupełnego wytopienia łosia (*Cervus alces*) w Norwegii; tameczny wszakże rząd, biorąc teraz w obronę to okazale zwierzę, wysoką nałożył karę za zabicie łosia, który odtąd znacznie się znowu pomnażać zaczął. Nadewszystko leśnictwo Głommen obfituje w tę zwierzynę: bardzo często w tej okolicy daje się widzieć nade drzwiami czaszka łosia, jak trofea zawieszona, co gdzieindziej robi się tylko z głowami niedźwiedzi i wilków. (T. 1851 nr. 395 z *The Zoologist. Sept. 1851*).

* Pod 6° 9' szer. połud., a 39° 14' dług. wsch. od Greenwich, leży mała koralowa wysepka Chapani, ledwie pół szwedzkiej mili obwodu mająca, a na ¼ mili oddalona od wyspy Zanzibar, która jest najbliższym jej lądem. Na tej wysepce znajdując się w maju 1845 r. p. G. von Düben, zastrzelił samca i samicę małego gatunku antylopy, w mnóstwie tam żyjącego. Za powrotem do ojczyzny, opisał z tych indywiduów (w *Forhandlinger ved de skand. Naturf. 5 Møde i Kiöbenh. 1847, str. 659—*

(1) *Collectanea palaeontologica Rossiae. Fasc. I. De Rhinocerotis antiquitatis seu tichorini structura externa et osteologica observationes* in-4to. 25 tab. fol. Petersb. 1849. (w Lipsku 4½ Tal. w Paryżu 21 fr.).

661) gatunek, który okazał się nowym i nową grupę w rodzaju tworzącym. Grupę nazwał *Nesotragus* (od νῆσος wyspa, i τράγος kozieł), a w podziale bydła Sundevalla, pomieścił ją w pierwszej ich kohoreie *Unguligrada* dla rozdzielonych kopyt u obudwu palców, w oddziale *B. Bovicornia* dla gładkości rogów, w trzeciej familii *Silvicaprina* dla brózdowanej, włosami okrytej wargi górnej, dla małych, zaostzonych, nieco ściśnionych racie, i wgniecionej, niewystającej od tyłu podszwy. Rodzajowe cechy tak wyraża: Czaszka gładka, mordka (Rhinarium) $=\frac{3}{4}$ nozdrzy; zatoka łzawa w tył zakrzywiona, głęboka. Ogon mierny. Racice pozorne (*Ungulae spuriae*) o. Gatunek za jedyny w tém skupieniu uznany, *Nesotragus moschatus* Düb. ma uszy równe połowie długości głowy; rogi u samca (samica ich nie ma) ze 20 obrączkami; ciemną i tył głowy mocno sklepione. Rogi 3" 1" długie, przy podstawie rozłączone, podają się w całej długości swojej ku tyłowi i nieco do wewnątrz, wierzchołkami tylko zwracają się nieco naprzód i na zewnątrz. Samica we wszystkich wymiarach mniejsza. Kolor (u obudwu płci jednakowy) na grzbiecie, na wierzchu szyi i głowy siwawo-brunatny, pojedynczy włos na środku czerwony, dalej siwy, z jaśniejszą obrączką przed czarnym wierzchołkiem. Boki i udy jaśniejsze; golenie i stopy blado-czerwone. Żoby, piersi, brzuch, udy wewnątrz i natylek białe. Na boku paszczy czarny pasek. Uszy prawie gołe, stalowo-szare. Z tyłu stopy czarna plamka, z przodu czarny pasek; kiść ogonowa z wierzchu brunatno-szara, od spodu biała; linia twarzowa wypukła. Zwierzę to zbliża się bardzo do rodz. *Neotragus* H. Smith, *Nanotragus* Sundev. i *Calotragus* Sundev. Od pierwszego różni się kształtem zatok łzawych, nieobecnością racie pozornych i gładkiem ciemieniem; od drugiego wyraźnymi zatokami łzawymi i wielkimi rogami, a od trzeciego węższą mordką, zatokami łzawymi biegnącymi podłużnie, i ogonem. Mięso tego gatunku jest suche, a nawet z powodu piżmowego zapachu do jedzenia niezdatne. (*T.* 1850, nr. 138).

* Wiszących wyrostów u górnego końca szyi kóz i owiec, zwanych zwykle pągwicami, nie można liczyć do cech odróżniających rasę. P. Arm. Goubaux (*Gaz. méd. de Paris*, 28 czerw. 1851) przytacza świeże zdarzenie, że dwie kozy, z których jedna miała pągvice, druga ich nie miała, wydały każda po parze młodych, koziołka i kózkę. Tamtęj koziołek miał pągvice a kóзка ich nie miała, tój zaś odwrotnie, kóзка była z pągwicami, których koziołek jój nie miał. Wyrosty te u kóz trafiają się dosyć często, gdy u owiec są rzadkością. Mają one zawsze kształt gruszkowaty, grubszym końcem do dołu zwrócone, cieńszym ginące w skórce, naprzeciwko stawu pomiędzy pierwszym a drugim szyjowym kręgiem. Niektórzy uznawali je za brodawki; Goubaux wiele ich anatomizując, znajdował stale u wszystkich jednakową budowę, to jest worek, który skóra tworzy, i wewnątrz niego płaskie chrząstkowate ciało, które najszerszym jest u góry i tam do muszkułu przyrasta, a wzdłuż po nim biegną naczynia: tętnica, żyła i nerw. Przy stryżeniu wełny u owiec, pągvice często bywają odcinane, ale wpływ krwi przez to sprawiony, nie pociąga żadnych złych skutków. Do czego te przysadki służą nic nie wiemy,

a mniemanie że kozy opatrzone niemi więcéj mléka dają, jest czystym przesądem. (T. 1851 nr. 346, 347).

* W prowincyi Uello, która w środku Abissynii pomiędzy Gondar a Szoa leży, utrzymuje się rasa owiec odznaczająca się długością wełny. P. Rochet d' Héricourt prowadził parę tych owiec do Francyi, ale samica zdechła w drodze i tylko baran dowieziony, znajduje się w menażeryi muzeum hist. nat. w Paryżu. Wzrostem nie dosięga on merynosów, ale się zaleca mierzytelnością budowy. Ma mocne piersi, wypukłe czoło, głowę miernie wielką, rogi i nogi tęgie; ogon okrągły, krótki i opatrzoony poduszką tłuszczową. Biała albo czarna maść téj rasy, są niezawodnym znakiem jéj oswojenia, o czém także i gatunek włosa w jéj runie przekonują. Wiadomo że u wielu zwierząt ssących są dwa gatunki włosów: właściwy włos i pomiędzy nim puch czyli wełna. W klimacie zimnym podczas zimy powiększa się gęstość, cienkość i kędzierzawość wełny, a włos stosunkowo się zmniejsza. U abissyńskiej owcy włos bierze jeszcze górę nad wełną. Dochodzi on na niektórych częściach ciała długości nadzwyczajnej 0,6 metra jak się przekonać o tém można na runie samicy, które p. Rochet d' Héricourt przywiózł z sobą. Runo barana utrzymywanego w menażeryi, nie wróciło jeszcze do pierwotnego stanu, po utracie wszystkich włosów z choroby w podróży. Jest on czarnej odmiany. Ze skrzyżowania go z dwiema białemi owcami rasy berrychońskiej otrzymano dwoje jagniąt, obydwie czarne. Krzyżowanie to będzie dalej posuwane w zamiarze utworzenia przez to rasy z bardzo długą wełną, która w przemyślowości francuzkiej ważną okazać się może. (Ib. z *Bibl. univ. de Genève*, mar. 1851).

* P. Smith w Deanston w Anglii wynalazł sposób poprawiania wełny na żywej owcy: tanióm ale nieogłoszonym jeszcze postępowaniem umie on runo przed wpływem wilgoci zabezpieczyć, nie tamując wszakże transpiracyi zwierzęciu ani przytłumiając odrastania wełny na nióm. Sprawdzano korzyści tego sposobu na najostrzejszych pastewnikach Szkocyi z nader pomysłnym skutkiem. Wprawdzie i przedtém smarowano owce dziegciem, masłem i t. p., ale podobne namaszczenia są i za kosztowne i brudzą wełnę, gdy sposób nowy żadnym z tego względu zarzutom nie ulega, a nawet chroni owcę od chorób z zaziębienia się na mokrym pastewniku wynikających. Może on nawet i przyswojenie naszemu niebu alpaki ułatwi, czego dotąd dla wilgotności angielskiego klimatu nie można było dokazać. (T. 1850 nr. 105, 106 z *The Athenaeum*, 9 march 1850).

* Przysłano do redakcyi Kuryera Warszawskiego odznaczający się wielkością wymiarów i zupełnością okaz czaszki przedpotopowego wołu, *Bos primigenius*, znaleziony przed kilku laty w bagnach około Łęczycy, a nabyty świeżo od szewca któremu służył za zydel czyli stołeczek używany przy warsztacie, trafnie do tego użyty, wklęsła bowiem kość tyłogłówna utrzymuje się jak ławka poziomo, za odwróceniem czaszki i postawieniem jéj na końcach moździeniów i kości czołowej. Dr. Jarocki na Jarocznym ogłosił wymiary tego okazu w porównaniu z wymiarami innych znanych okazów, a mianowicie opisanego przez Cuviera z St.

Vrain we Francyi i przez Puscha z Augustowskiego u nas (1). Odległość pomiędzy końcami mózdzieni w pierwszym wynosiła 26 cali i 8 lin., w drugim 35 cali i 8 linij, a w Łęczyckim 39 cali i 6 linij wynosi. Według p. Jarockiego każdy mózdzień u téj czaszki dochodząc przeszło 29 cali długości, musiał na sobie nosić róg przynajmniej 36 cali długi. Pomieniony okaz oddany został do tutejszego publicznego gabinetu zoologicznego. (Kur. Warsz. nr. 333, 342 i 344 z grudnia 1851).

* Pod napisem: *O wymarłych i żyjących jeszcze gatunkach wołu Skandynawii*, prof. Nilsson w Lund ogłosił w *Annals and Mag. of Nat. hist. Dec. 1849 (T. 1850 nr. 61, 62 i 73)* wiadomość o kopalnych wśród torfowisk południowej Skandynawii znajdujących szczątkach wołu, między którymi cztery oddzielne gatunki rozróżnia.

Iszy *Bos primigenius* Bojan. et Auct. kolosalny gatunek, z czołem płaskim, brzegiem szyi równym, bardzo wielkimi i długimi rogami, które szły przy podstawie na zewnątrz i nieco wtył zwrócone, przy środku naprzód, a przy wierzchołku nieco do góry nagięte. W Szwecyi odkryto kilka tego gatunku skieletów, których dwa znajdują się w muzeum uniwersytetu w Lund, gdzie jest także kilkanaście czaszek jego. Autor opisuje szczegółowo skielet i czaszkę. Czoło między podstawami rogów gładkie, ale dalej jest mniej więcej zapadłe. Kość nosowa sięga aż do wysokości dolnego brzegu oczodołów. Dolna część kości łzawych nieco szersza od górnej. Odległość oczodołów od podstawy rogów dwa razy większa niżeli średnica oczodołów. Krawędź tyłogłowna (*crista occipitalis*) prosto się ciągnie między podstawami rogów, albo też w tył nakrzywiona i od spodu tak wydrążona, że tworzy kąt ostry. Otwór tyłogłówny ma wysokość nieco większą niż szerokość. Mózdzienie rogów nie na trzonkach, wszakże z szeroką, węzłowatą koroną wkoło podstawy. Autor opisuje i inne kości skieletu, wymierzając stosunek na okazie który ze wszystkich do Muzeum należących jest najzupełniejszy, ale z niedorosłego pochodzący zwierzęcia. W muzeum jest wiele pojedynczych kości o daleko większym wzroście świadczących, a czaszka którą prof. Owen w swojej historii kopalnych zwierząt angielskich opisał (pag. 498, fig. 208), ma 3 stopy i 1 cal długości, odległość zaś pomiędzy wierzchołkami mózdzieniów przeszło 3½ stopy wynoszącą.

2gi *Bos frontosus* n. sp. to jest czolisty, znacznie mniejszy od poprzedzającego, ale większy od następnego, z czołem w części górnej wypukłym, w dolnej płasko zaokrąglonym; krawędź tyłogłowna w pośrodku bardzo wywyższona, wypukła. Rogi krótkie, przy podstawie nieco ściśnione, tamże na zewnątrz i wtył zwrócone, a potem zakrzywiające

(1) W ogłoszeniu (Kur. Warsz. nr. 342) mylnie powiedziano że „tę czaszkę Arystoteles, Gesner i Soldani w dziełach swoich nazwiskiem *Bos bonasus* oznaczają: jaką Koertemu i jego naśladowcom (?) podobano się nazwać *Bos primigenius*” i t. d. Arystoteles nic o téj czaszce nie mówi, i ani on ani Gesner nomenklatury dwumiennój nie znali. U Arystotelesesa a następnie Gesnera *Bonasmus* jest nazwisko gatunku żyjącego, to jest naszego żubra. Soldani przypuszczał tylko, że taka kopalna czaszka mogła należeć do wołu którego Arystoteles nazywa *Bonasmus*. Gatunek zaś kopalny, do którego należy czaszka, nie Koerte nazwał *Bos primigenius*, tylko nasz Bojanus. A. W.

się naprzód. Są w muzeum zachowane dwie tego gatunku czaszki: jedna starego, druga młodego indywiduum. Wypukłością czoła i trzonkowatemi mózgdzeniami gatunek ten zbliża się nieco do żubra. Zdaje się że kości nosowe sięgały do wysokości górnego brzegu oczodołów. Mózgdzenie, które są osadzone na trzonkach dłuższych niż u jakiegokolwiek innego ze znanych wołu gatunków, zwracają się na zewnątrz i wtył, i nieco na dół są podane, tak że nie występują nad czoło. Obwód ich u starego okazu, przy koronie czyli podstawie, wynosi cali 8 lin. 6, u młodego cali 6 lin. 6. Otwór tyłogłówny także ma wysokość większą od szerokości. Szczątki znane tego gatunku, wykopane były z torfu przy Juravall w południowej Skanii. Autor uznaje go spółczesnym poprzedzającemu. Czaszka zachowywana w British Museum, dowodzi że się i w Anglii znajdował (1).

3ci *Bos longifrons* Owen, to jest długoczelny, najmniejszy ze wszystkich kopalnych, z czołem płaskim o wystającej krawędzi na środku i małym zakłębieniu od tyłu; z rogami okrągłymi, małymi, zwróconymi na zewnątrz i do góry, i w jednym kierunku naprzód zakrzywionymi, Słabość jego kości okazuje, że miał poniekąd więcej podobieństwa do jelenia, niżeli do innych wołu gatunków. Nadewszystko kopytowa kość, jest nieco krótsza jeszcze i węższa, niż u dobrego jelenia. Czaszka długa i węższa od jeleniej, przód głowy ponad oczami płasko zgnieciony i wzdłuż czołowego szwu opatrzony krawędzią, która u góry najmocniej sterczy, a od tyłu kończy się okrągłą zapadłością. Pomiedzy oczami znajduje się mniej więcej znaczna dołkowatość, ponad którą kość cieniowiwa tworzy częstokroć wypukłość; pod tą dołkowatością znajduje się wycięcie dla kości nosowych, które do dolnego brzegu oczodołów sięgają. Tym sposobem czołowa kość tego gatunku nie dłuższa jest jak u najpiérwszego albo u zwyczajnego wołu. Mózgdzenie są małe, walcowate, krótkie, w jednym tylko kierunku naprzód zakrzywione; niekiedy, lubo rzadko, w równi z czołem ku niemu zagięte. Kości nosowe od przodu dwukończyste, mają między sobą głęboką, wąską czelusć. Kości łzawe płaskie, najszersze w pośrodku, a przy kościach nosowych i oczodołach węższe. Pomiedzy czołową, nosową i łzawą kością zawsze się znajduje romboidalny otwór. W kształcie jamy skroniowej, która od tyłu do kąta nad zestawieniem szczęki dolnej, jest tylko o $\frac{1}{4}$ szersza niż od przodu, upatruje autor podobieństwo z dzisiejszym domowym wołem, a znaczną różnicę od poprzedzającego i piérwszego kopalnego gatunku. Utwierdza się w tém przekonaniu rozważając i inne kości skieletu, które są takie jak u domowego wołu, tylko w stosunku do długości cieniiej zbudowane. Zna czaszki z rozmaitych okresów dojrzałości zwierzęcia. Szczątki te znajdują się licznie w torfowiskach Skanii, a odkrywano je także

(1) Znalaziono jego czaszkę i w Niemczech w okręgu Ziegenrück, i zachowano ją w muzeum waryscyjskiem w Hohenleuben, jak ztamtąd donosi dr. B. Schmidt w T. 1851, nr. 292 dołączając i wizerunek. Czaszka ta w torfowisku niedaleko Ranis w znacznej głębokości, z innymi spółczesnymi kośćmi znaleziona, zupełniejszą jest od skandynawskiej. Kości międzyszczękowe całkowicie się przy niej zachowały. A. W.

w Danii (1), w Irlandyi, w Anglii razem ze szczątkami mamuta i kopalnego nosorożca. W Niemczech nie znaleziono go jeszcze.

4ty *Bos priscus* Bojan. et Auct. to jest żubr kopalny, kolosalny gatunek z czołem wypukłym, z odległością pomiędzy koroną rogów a oczodołami nieco większą niżeli średnica oczodołów, z rogami na zewnątrz i nieco w tył zwróconymi a naprzód do góry zakrzywionymi. Wypukłość czoła, nadewszystko u góry pomiędzy moździeniami, jest znaczna. Kości nosowe krótkie, szerokie (długość ich tylko $3\frac{1}{2}$ razy większa jest od szerokości, gdy u gat. 1go 5 razy, u 3go prawie 6, a u wołu domowego $6\frac{1}{2}$ razy większa), nieco aż za oczodoły zachodzą. Oczodoły rurowato sterczą. Dolna czyli przednia część kości łzawych daleko węższa od górnej. Czoło znacznie na tył zachodzi. Brzeg tyłu głowy przypada blisko na $3\frac{1}{2}$ cala za moździenie. Za tym brzegiem tyłu głowy szerszy jest i mniej wklęsnięty niżeli u poprzedzających właściwych wołu gatunków. Otwór tyłogłówny ku przodowi węższy, prawie trójkątny, a przedni kąt jego jest roztwarty. Moździenie na trzonkach, na zewnątrz i nieco w tył zwrócone, półksiężycowato, w kierunku naprzód i nieco do góry zakrzywione. Skroniowa czeluszka w środku nieco wązka, w końcach rozszerzona, szersza nieco od przodu niżeli od tyłu. Porównywa autor i inne części szkieletu: wielkie wyrosty u niektórych kręgów (cierniowate, wysoki grzebień tworzące, do 1 stopy i 7 cali dochodzą), łopatki (szersze i dłuższe niż u 1go gat.), żebra (par 14), najszersze 2 cale i t. d. Kopalne szczątki tego wołu znajdują się wszędzie w Europie, aż do Azji; w Szwecyi, gdzie w torfowiskach rzadsze są niżeli 1go i 3go gat., dotąd znaleziono tylko jedną czaszkę indywiduum starego, jedną młodego i szkielet, wszystko w jednym miejscu, to jest w okolicy Skytts i Herresta, w południowej Skanii. W Danii, gdzie jest tak wiele 1go gat. kości, tego nie znaleziono jeszcze.

Prof. Nilsson wszelkie wątpliwe zdania Cuviera, który żadnego z kopalnych wołów do gatunków dziś żyjących odnieść nie śmiał, w stanowcze prawdy przemieniając, a prócz tego całkowicie wierząc podaniem piśmiennym o turach i żubrach, uznaje bez żadnego wahania się pierwszy swój kopalny gatunek (*Bos primigenius*) za tura, zowiąc go *Bos urus antiqu.*, czwarty zaś (*Bos priscus*) za żubra, i zowie go *Bos bison* Lin. a przydaje jako synonimy, dawne nazwiska *Wisent*, *Wisund*. Z niezachwianą więc pewnością oznacza kolory sierci i rogów pierwszego, jakość włosa na skórze i czole, i t. p. czerpając te wiadomości z *najpewniejszych* jak zowie *podać*, (z takich autorów jak np. Herberstein). Podobnie opisuje i czwarty gatunek kopalny (*Bos priscus*), podług żubra litewskiego, dziś żyjącego, a którego *żyjącym kopalnego potomkiem* być mieni. Od swojego pierwszego gatunku (tura) wyprowadza wielkie rasy

(2) Steenstrup doniósł, że tego czaszkę znaleziono tam w torfowiskach pod Dyrehaven (Christiansholmsmoor), obok wielu innych kości wołu, które do dzisiejszego oswojonego gatunku odnosi. Pomienną czaszkę, jako pierwszą z tego gatunku w Danii znaną, ściśle rozmiarza i rozmiary te obok branych na szwedzkiej Nilssona w porównaniu stawia, z czego się pokazuje że morda u tej ostatniej dłuższą była. Steenstrup donosi także, iż w innym bagnie Danii (na Møen) wykopano ułomek czaszki gat. *Bos frontosus* Nilss. (T. 1850, nr. 79).

wołów domowych dzisiejszych; żeby zaś i dwóch pozostałych kopalnych gatunków nie zostawić w bezczynności, chce przyznać drugiemu (*Bos frontosus*) mniejsze domowe rasy krajów górzystych, trzeciemu (*Bos longifrons*) jakąś karłowatą rasę *Finnko*, rogów niemającą, sam wszakże wyznając że to jeszcze będzie wymagało dalszych badań.

Już niemiecki tłumacz w dłuższej swojej uwadze (T. 1850, nr. 61, pag. 83) powiedział, że prof. Nilsson dawne podania bez należytej krytyki przyjmuje, i że na równie słabych nogach utrzymuje się dowód autora, iż *Bos primigenius* był człowiekowi współczesnym. Prof. Nilsson mówi, że gdy pod kierunkiem jego w r. 1840 wydobywano z głębokości stóp 10 w torfowisku pod Önnarp, skielet tego kopalnego gatunku, dziś w muzeum w Lund znajdujący się, postrzeżono na nim wyraźne ślady skałczenia dzidą. Dziura idzie przez dwa kręgi i otoczona jest kościowiną czyli odtretem (*callus*), z czego się okazuje że zwierzę długo jeszcze po zranieniu żyło. Ale p. Froriep słusznie na to odpowiada, że to zranienie mogła mu być gałąź równie jak i dzida zadać. (T. 1850, nr. 61—73 z *Annals and Mag. of. Nat. Hist. Dec.* 1849).

* Prof. Owen dowiedział się przy końcu września r. 1849, że żubr litewski przez Najjaśniejszego Cesarza Rosyjskiego, na prośbę p. Roderyka Impey Murchisona, darowany Towarzystwu Zool. londyńskiemu, od niejakiego czasu choruje i jeść nie chce. Tygodniem później żyć przestał. Prof. Owen anatomizując go, postrzegł w płucach ślady mocnego zapalenia i w całym systemacie splachnologicznym chorobliwy nieporządek. Przyczynę choroby złożył na mglistość atmosfery i położenie zoologicznego ogrodu na gruncie gliniastym nieosuszonym sztucznie, co już względem wielu zagranicznych zwierząt bardzo szkodliwem się okazało. Prof. Owen ogłosił te uwagi przy zbiorze swoich anatomicznych nad zwierzęciem postrzeżeń, w pracach Tow. zool. lond., z kąd je wyjęły *Annals and Mag. of. Nat. hist. nr. XXII Oct.* 1849. Pomieniony żubr, samiec, miał 2 lata i 5 miesięcy wieku. Jego układ zębowy znajdował się w tym stanie: Przednie 3—3; kły 1—1; trzonowe $\frac{5}{3}$ — $\frac{5}{3}$ —28. Przednie zęby środkowe w szczęce dolnej, równie jak pierwsze i drugie trzonowe właściwe, były już zmienione; wszystkie inne były jeszcze młeczne. Badając wewnętrzną budowę żubra, Owen ma na ciągłej uwadze domowego wołu i żubra amerykańskiego, i utwierdza przekonanie że wszystkie trzy odmiennymi są gatunkami. Po rozpoznaniu ściśłem splachnologii jego, bada skielet, pomimo że już Bojanus i Jerzy Landseer tak gruntownie go opisali. Przy tej okoliczności czyni anatomiczną uwagę, że żebra nie powinny być uważane w tej nauce za kości oddzielne, lecz tylko za przedłużenia wyrostków kręgowych, na co przekonywające dowody w osteologii żubra znalazł. Najściślej zajął się oznaczeniem i opisaniem kostek nogi u tego zwierzęcia, wizerunkami nawet ten skład objaśniając. (T. 1850, nr. 105, 106).

* Przy wsi Bawdsey, o 14 mil od Ipswich nad samym morzem leżącej, został na miłączyźnie skałeczony już delfin (*Delphinus tursio* Fab.), którego potem do gabinetu naturalnego w Ipswich oddano. Dr. Clarke zastanawiał się nad tym okazem gatunku, o którym prof. Bell powiedział: „W historii i opisie tego zwierzęcia są jeszcze przerwy.

Ogranicza się ono zapewne do niektórych tylko miejscowości Północnego morza i dlatego rzadkim jest gatunkiem”, a na inném miejscu: „Zdaje się teraz rzeczą pewną, że *Nisarnak* Fabrycyusza i Bouaterre i pierwszy z tak nazwanych flaszonosych delfinów przez Huntera wyobrażonych, są *Delphinus tursio*. Desmarest i J. Cuvier uważali je zrazu za gatunki oddzielne, ale ostatni sprostował później omyłkę, a F. Cuvier sprostowanie to należycie sprawdził.” Dr. Clarke tak swój okaz opisuje: „Jest samicą 8 stóp i 4 cale długą, w miejscu największej grubości 4 stopy obwodu mającą. Na grzbiecie jest czarny, na bokach popielaty z purpurowym odcieniem, a od spodu biały z brudno-białymi centkami. Czoło ma wypukłe, szczęki przedłużone, prawie dziobowate, dolną nieco dłuższą od górną. Zęby stożkowate $22/20 : 22/20$. Płetwa grzbietowa leży na środku, pomiędzy wierzchołkiem mordy a płetwy ogonowej. Wyobraziwszy sobie linią od przedniej podstawy płetwy grzbietowej pionowo spuszczoną, płetwa piersiowa przypadnie na środek pomiędzy tę linią a wierzchołek mordy, gdy odchodek znajduje się na środku pomiędzy tą linią a podstawą płetwy ogonowej. Kształt ciała i ubarwienie tych zwierząt są pięknymi. Płetwy tworzą szereg pozakreślanych w jednym kierunku łuków. Płetwa grzbietowa jest wielka i w tył zakrzywiona: piersiowe zdają się stosunkowo za małe, rozległa ogonowa płetwa jest najsilniejszym do sterowania narzędziem. Otwór oddechowy na 1 stopę i 2 cale od końca nosa oddalony, i tworzy, gdy na zwierzę z boku patrzymy, z okiem i z końcem nosa, trójkąt równoramienny, którego najkrótszym bokiem jest odległość oka od tego otworu. Jest on tak ściśle przyrzedem klap zamknięty, że wydaje się jakby linią półksiężycową, której rogi naprzód są zwrócone. Końce tych rogów są na $1\frac{3}{4}$ cala odległe od siebie, a półksiężyc ma $\frac{3}{4}$ cala głębokości. Gdy się kłapa otwory, otwór ma także kształt półksiężycowaty z rogami naprzód zwróconymi. Brodawki do ssania leżą na listwowatych wzniesieniach po obu stronach środka podłużnej fałdy czyli warg, zamykających razem otwory oddechowy, maciczny i pęcherzowy. Każda brodawka ukrywa się w małej fałdce podłużnej, około $\frac{1}{2}$ cala od niej odstającej. Zewnętrzny otwór słuchowy jest nader wązki i otoczony delikatnym nabrzmieniem skóry, na $\frac{1}{2}$ linii tylko wzniesionym. Na końcu podaje autor rozmiary ciała. (T. 1850 nr. 138 z *Annals and Mag. of Nat. hist.* Aug. 1849 r.).

* Prof. Eschricht złożył Tow. bad. nat. duńskiemu nowe opisanie delfina Gangesowego (*Platanista*), do którego materyą podało mu jedno indywiduum takiego delfina, złapane przed botanicznym ogrodem w Kalkucie, podczas gdy korweta Galatea podróż wokoło świata odprawiająca, w grudniu 1845 na kotwicy tam stała. Historyczno-naturalny rysownik, wykonał natychmiast z żywego dokładny wizerunek, tém bardziej na uwagę zasługujący, że nie ze wszystkiem zgadza się ze znajomymi dawniejszemi. Nawet i w skielecie pokazują się znaczne różnice od tego co Cuvier z pary do Muzeum paryzkiego dostawionej opisał. Zdaje się, że taki rzeczony delfin jest inny w Gangesie, a inny w Indusie. Skielec przedstawił jeszcze profesorowi Eschricht ściśle ogaiwo, łączące delfiny właściwe z wielorybnym rodzajem *Rhynchocetus* Eschr. Połączenie to

na tém większą zasługuje uwagę, że te ostatnie zwierzęta były wśród wielorybnych zębatach nader rozsobnione; p. Eschricht bowiem dwa tylko żyjące gatunki w tém skupieniu uznał, to jest: 1) właściwego (*Dögling*) i 2) małego (*Micropteron*), do czego już trzy kopalne gatunki pod nazw. *Ziphius* przez Cuviera przyczynione zostały. Że *Hyperoodon latifrons* Gray, jest tylko stary zwyczajny *Dögling*, o tém przekonał się Eschricht ze szkieletu jego, który mu p. Steenstrup nadesłał, jak znowu z odcisku czaszki, przez prof. Aukland z Oxfordu mu nadesłanego, doszedł, że *Ziphius sowerbyensis* Gray, jest samcem zwyczajnego małego (*Micropteron*). (T. 1851, nr. 319).

* P. Alfred Eccles (*London med. Gaz. Oct 1849*) zwrócił uwagę na osobne zupełnie urządzenie i rozkład naczyń u zwierząt wielorybnych. W wątrobie ich znajdują się wielkie sploty tętnic i bardzo wielkie żył zatoki, chronione przez osobny muszkuł o nader mocnych włóknach, mogący służyć do najzupełniejszego zamknięcia w wątrobie zatoki, w której, według wszelkiego podobieństwa, wężawa dolna całkowicie się gubi tak, iż ta żyła wstrzymuje krążenie. Wynika ztąd, że gdy zwierzęta bliżkie są zatonienia, mogą jeszcze długo życie utrzymywać gwałtownemi wychnieniami, działając owym muszkułem na zatrzymanie obiegu krwi żylnéj, tak iż jeśli potem znowu w związek z powietrzem wejdą, silne wetchnienie nie tylko płuca płynem tym zaopatrzy, ale i prawej komórce serca pomoc przyniesie, wciągając zarazem krew do piersi, która ukwasorodniejszy się, natychmiast do wszystkich części dochodzi. (T. 1850, nr. 47).

* Eschricht w pierwszym tomie swoich badań w przedmiocie wielorybów, przytacza prawie dosłowne zeznania kapitanów okrętów, kupców i t. p., którzy nieraz spotykali i zbliżka uważali różne gatunki wielorybów, że te zwierzęta nie wodę górnym kanałem, tylko powietrze wyrzucają, zatem ta ich czynność jest prostém oddychaniem. Powietrze to, pędzone z ciepłego zwierzęcia, oziębiając się w zimnej atmosferze, staje się strumieniem widzialnym, ale nie strumieniem wody, bo ta musiałaby nazad spadać, co nigdy się nie dzieje. Wtenczas tylko, gdy zwierzę, śmiertelnie jest skaleczone, z powietrzem niekiedy i krew wytryska, ale ta spada znowu na zwierzę, a powietrze, czyli para, znika w atmosferze. Wieloryb jedząc, z pokarmem niemało i wody zaczerpuje, ale ta za ściśnieniem szczęk, kątami paszczy nazad się przeciska, lejąc się na dół pienistym strumieniem. (*Id.* nr. 17).

* Eschricht także (od str. 8) podaje ciekawe wiadomości o wędrówkach różnych wielorybnych zwierząt na północy. Wędrówki żywiących się rybami (delfinów, morsunów i t. d.), zależą więcej od wędrówek tych ryb, niżeli od zmiany pór rocznych; ale że wędrówki pomienionych ryb idą za porą, ztąd przyczyny obudwu tych okoliczności zchodzą się z sobą. Wieloryby są, jak wiadomo, towarzyskimi zwierzętami, lubo gromadzenie się ich zależy częstokroć od obfitości karmi na jednym miejscu: tam po sto, niekiedy i po więcej niż tysiąc ich zgromadza się, nie tylko jednego gatunku, ale nawet i różnych gatunków w największej zgodzie. Te które żyją rybami, zgodzą się z temi których pożywieniem są miękkliwe zwierzęta, ale właściwe mięsożerne (*Orca*) od wszystkich

tamtym uważane są za nieprzyjaciół. W swoim gatunku najwidoczniejsze zobopólne przywiązanie okazują. Przykłady macierzyńskiej w ich rodzie miłości, są nawet wzruszające. Młode, które przy urodzeniu ma około $\frac{1}{3}$ długości matki, chodzi za nią nietylko pierwszego roku w którym ssie, ale i przez drugi rok, kiedy już do $\frac{2}{3}$ długości matki doszło. Samice co dwa lata rodzą; one z młodem składają stada, przez pojedynczych starych samców wiedzione. Wielkie gatunki trzymają się tylko na wielkich oceanu przestrzeniach: jedynie samice ich ciężarne zachodzą czasem w zatoki lub bardzo blisko od brzegów, zapewne dla spokojności podczas rodzenia. Tak na zachodnim brzegu Afryki zjawia się w czerwcu i lipcu *Liobalaena australis*, a we wrześniu z nowo urodzonym znowu odpływa (Bennet, *Voyage*. tom II, str. 230). Na Wschodzie morze tylko morsun mierzytelnie przybywa, tak jak przez Gibraltarską cieśninę tylko większe i mniejsze delfinowate gatunki przepływają, ale nigdy ani kaszlot ani właściwy wieloryb. Są dla niektórych gatunków pewne miejsca tak ulubione, że zawsze na nie przybywają: nawet gdy ztamtąd krwawa rzeź je wypłoszyła. Żyjące na jednym miejscu (stanowisku), mogą w niem być wyteplone, ale żeby ztamtąd przenosić się miały na dalekie i obce morza, wszelkie podania w tej mierze nieuzasadnionemi się być zdają. Wszakże kłeska zadana im na zwykłej ich wędrówce drodze, może je potem na długo od tej drogi odstąpić. Tak peryodyczne przechody wielkich tłumów delfina kulisto-głowego (*Delphinus globiceps*) koło wysp Färo od 1754 do 1776, zatem przez 22 lata, wcale prawie widzieć się tam nie dały, potem jednak znowu corocznie następowały. Kierunek który wielorybnie zwierzęta w swoich wędrówkach obierają, idzie za kierunkiem nietylko prądu ale i wiatru; zawsze one, jak przynajmniej wielu doświadczonych rybaków zapewnia, przeciw wiatru płynąć mają. (*Id.* nr. 21).

* Nader często zdarza się, że nawet zabity wieloryb zginie, bo ciało jego zatoni. Corocznie około 12,000 wielorybów zabijają, a tylko z 6 do 7,000 tran otrzymują; reszta przepada, ponieważ rybacy nie mają przygotowań do zapobiegania tonieniu zabitego zwierzęcia. Pojąć nie można tak straszego marnotrawstwa, tém bardziej, że według niezawodnych zapewnień, tylko 25 lat potrzeba, ażeby przy dzisiejszym postępowaniu, opustoszyć całkiem i niewydajnem uczynić stanowiska, które teraz amerykańscy rybacy odwiedzają. (*T.* 1851 nr. 280 z *Athenaeum*. nr. 1213).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1852.

24. Dzieła przez autora Bruna. 8ka. 3 tomy. Wrocław, 1852. Nakładem Z. Schlettera, druk Nischkowskiego. Tom I, str. 181; II, 135. III, 191. W każdym napisów kart 2. Złp. 23, gr. 10.

25. Galerya nowoczesnych obrazów. 4ka. Warszawa. 1852. Nakładem S. H. Merzbacha, druk J. Ungra. Str. 47. (Z 24 rycinami na stali). Złp. 22.

26. Grammatyka francuzka Noëla i Chapsala, jak najstaranniej zastosowana dla Polaków, pomnożona o czterysta przeszło prawideł i uwag, i tezema rozdziałami o wymawianiu, szyku i o gallicyzmach przez L. Landié. (Z godłem): „Prawdziwa grammatyka polega na rozbiórce i ocęnieniu wyrażen, prawideł zgody i szyku, przez wielkich pisarzy uswięconych.” * * *

(Obok z tyt. franc.). 12ka. Warszawa. 1852. Druk S. Orgelbranda. Kart 4 i str. 575. Złp. 7.

27. Humor i prawda w kilku obrazkach, przez Karola Libelta.

(Z godłem): Si fructus plus flore placet, fructum lege,
si flos plus fructu, florem, si duo, carpe duo.

12ka. Petersburg. 1852. Nakładem B. M. Wolffa, druk E. Wejmar. Str. 245, i kart nap. 2.

28. Jakić przemiany doznał Deresz Pana Piotra z Osmolna (.) Gawęda z XVIII stolecia, opowiedziana p. S.... 16ka, Kraków. 1852. Nakładem J. Czecha. Str. 30. Złp. 2 gr. 20.

29. Kordecki. Powieść historyczna przez J. I. Kraszewskiego.

(Z godłem): I świętości Twoje podeptane są, i splugawione są, i kapłani
Twoi stali się na płacz i na poniżenie.

A oto poganie zebrali się na nas, aby nas wygładzili, Ty wiesz,
co myślą przeciwko nam.

Jakoż się będziem mogli ostać przed obliczem Ich, jeśli Ty Boże
nas nie ratujesz?

Macchab. Xię. I. R. 3, w. 51, 53.

12ka. 2 tomy. Wilno. 1852. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Tom I, str. 356. II, 406. Złp. 22.

30. Mowy pogrzebowe wybrane z różnych autorów niemieckich i z niektórych Ojców Kościoła (.) przełożył ks. Rzewuski. 8ka. Warszawa. 1852. Nakładem G. Sennewalda, drukiem J. Ungra. Kart 2 i str. 466. Rejestru kart 2. Złp. 13. gr. 10.

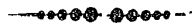
31. Nowy Elementarz Warszawski dla grzecznych dzieci z obrazkami kolorowanemi (tablic 6). 16ka. Warszawa. 1852. Nakładem J. Bernsteina, druk J. Jaworskiego. Str. 48. Złp. 2.

32. O Jezusie Chrystusie Odkupicielu, tudzież o pierwotnych chrześcianach i ich domach modlitwy, rzecz ze stanowiska historyczno-religijnego w kilku słowach skreślona przez księdza Jana Pocieja Mag. Teologii, Kan. kat. Chełm. Asses. Duch. Wyzn. Gr. Un. przy Kom. Rząd. Spr. Wewn. i Duch. Ska, Warszawa. 1852. Nakładem autora, druk Adolfa Krethlow. Str. 496.

33. Trójkątowanie drugiego rzędu. Napisał Henryk Muklanowicz. Ska. Warszawa. 1852. Druk J. Ungra, nakład H. Natansona. Napisów kart 2, str. V i 137. Spisu rzeczy kart 2. (Z 2 tablicami). Złp. 9.

34. Wspomnienia z Podróży po Danti, Norwegii, Anglii, Portugalii, Hiszpanii i państwie Marokańskiem, przez Dra T(eodora) Tripplina. Tom V, VI, VII i VIII. Ska. Warszawa. 1852. Druk Gazety Codziennój. Tom V (Portugalia, z 38 kliszami), str. 375. Tom VI (Hiszpania), str. 391. Tom VII (Hiszpania), str. 206. Tom VIII (Państwo Marokańskie), str. 322. Złp. 33 gr. 10.

35. Wzór do świętoszka (.) Komedia w pięciu aktach oryginalnie napisana przez Gutzkowa, z niemieckiego przełożył St. Lisowski. Przedstawiona po raz pierwszy na teatrze Rozmaitości w Warszawie d. 20 września 1851. 12ka. Warszawa. 1852. Nakładem J. Bernstejna, (druk Jaworskiego). Str. 158. Złp. 5.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem S. Orgelbranda księgarza, ma wyjść w r. b. powieść J. I. Kraszewskiego, we 4ch tomach, p. n.: Złote jabłko.

— Tadeusz Bezimienny, tyle obudzająca zajęcia powieść J. Korzenińskiego, ogłoszona częściami w Gazecie Warszawsktj, wyjdzie osobno we 3ch tomach.

— W małorossyjskim narzeczu w r. 1850 wyszło dziełko p. n. *Piu kopy kazok, napysau Spiridon Ostaszewski dla wesoloho Mira*. Sąto powiastki ludowe, wierszem opowiedziane. W jednym z następnych zeszytów pisma naszego, zdamy o tém ciekawém piśmie obszerniejsze sprawozdanie.

— Oddział 2gi Cesarskiej Akademii Nauk w Petersburgu, poruczył prezydującemu w tym oddziale oczonemu p. Janowi Dawidów, ażeby do współpracownictwa w wydawanych przez ten wydział *Wiadomościach* (których treścią są badania filologiczne co do języków słowiańskich, tudzież rozbiory starożytnych zabytków piśmiennych) zawezwał p. K. Wł. Wojcieckiego, a to w celu otrzymania badań o literaturze i języku polskim. Przy pomienionej odezwie otrzymał w darze dla swego księgozbioru 4 tomy słownika słowiańsko-rossyjskiego, wydanego przez tęż Akademią.

— Lucyan Gostyński znakomity chemik, przygotowuje do druku w polskim języku „Kurs chemii,” zawierający najnowsze spostrzeżenia i odkrycia. Przybył on w dzieciennych latach do Francyi, i tamże po ukończeniu nauk klasycznych, przeszedł paryżką szkołę górnictwa, zyskał stopnie aka-

demickie, i wnet, mimo młodych lat, miał sobie powierzony ważny i trudny wydział w kopalniach węgla Grand Combe. Od kilku lat poświęca się wyłącznie poszukiwaniom fizycznym i chemicznym.

— Profes. Poklukar w Lublanie zajmuje się układem powszechnego abecadła, i wydał już jako piérwszy pomysł pisemko niemieckie, pod napisem: „Zapowiedź powszechnego słowiańskiego, a zarazem niemieckiego, francuzkiego i wreszcie powszechnego abecadła.”

— Akademia wiedeńska umiejęt. wydała świeżo swoim kosztem: „*Codex Suprasliensis*,” najdawniejszy zabytek starosłowiańskiego języka, z ogłoszeniem którego głębsze badania nad językiem cerkiewnym stały się możebnemi. Wydanie tego kodexu uskutecznił dr. Fr. Miklosich. — Niemniej wyznaczoną została przez powyższą Akademię kommissya, do wydawania aktów sobornych (konsyliów). Rzeczto niemaléj wagi, zebrać akta dotyczące się kościoła w XV wieku, które tak ściśle łączą się z historią nietylko Austrii i Niemiec, ale i całego Zachodu.

— W r. 1846 Akademia Cesarska w Petersburgu ogłosiła swoim nakładem Tom Iszy: Katalogu gwiazd besselińskich (des zônes besseliennes) według redukcji przez p. Weisse prof. i dyrekt. obserwatoryum w Krakowie. Tom IIgi tego katalogu znajduje się już w Petersburgu, gdzie nakładem téjże Akademii będzie ogłoszony.

— Biblioteka Muzeum Czeskiego w Pradze liczy obecnie 26,526 dzieł i 1162 rękopisów. Dochody tow. tego wynosiły w r. 1850 zlr. 46,541, wydatki 10,834 zlr. Matica czeska złożyła sprawozdanie z r. 1849, wedle którego posiadała w hipotekach 51,430 zlr., w kapitałach 11,641 zlr., w zapasach nakładów swoich 13,108 zlr., razem 76,180 zlr. Wydatki wynosiły 10,303 zlr.

— Uczeń szkoły malarskiej w Krakowie p. Łuszczkiewicz, po rocznym pobycie za granicą, mianowicie w Paryżu, wróciwszy do swego rodzinnego miasta, oddał się z całym zamiłowaniem artysty wykonaniu różnych większych i mniejszych kompozycji, jakoto: chłopiec składający ręce do więzów na widok Tatara; chłopiec dający jałmużnę dziadkowi; scena z pożaru; Słowianin siejący, i t. d. Z tych drugi, to jest jałmużna, może najlepiej oddany: przynajmniej wiele w nim prawdy jasnej dla oka; również i scena z pożaru przedstawia ruch i życie: postać mieszczeni modlącój się pięknie odbija od tłumu ludu zajętego rozrywaniem palącego się domu. Najznamiętszą jednakże pracą p. Łuszczkiewicza jest wielki sześciokątowy karton, wyobrażający *Przemienienie Pańskie*, a narysowany do freski, którą wykonał w kościele ks. Pijarów. Chrystus zstępuje z obłoków, po jednéj stronie mając Mojżesza, po drugiéj Eliasza. Niżej, przyjscia Pana oczekują trzej apostołowie. W figurach uderzył nas styl szlachetny i prosty, jaki właśnie przystoi obrazom religijnym. Oblicze Chrystusa pełne boskości, tradycyjne. Oglądając obraz ten w części wykonany na murze, musimy przyznać, że p. Ł. szczęśliwiej, niż się spodziewać było można, pokonał trudności malowania *al fresco*; aczkolwiek farby są zbyt ciemno trzymane, obraz dlatego może przyjsć do pewnej harmonii: w rysunku tylko raz i zbyt cienkość rąk Chrystusa, a raczej brak fałdów, niemniej niebardzo szczęśliwie pomysłana draperya, która całej postaci Chrystusa ujmuje téj uroczystéj powagi, jaka zstępującego Boga znamionowacby powinna. Mi-

mo tych niedoskonałości, jakie postrzegać się dają, piękne to są próby młodzieńca wstępującego dopiero w obszerny i trudny zawód malarza.

— W roku 1851 wyszedł pierwszy program dwóch gimnazyów w Cieszynie, w Szlązku austr. Dajemy z niego następane data: katolickie gimnazjum założone zostało w r. 1674 przez OO. Jezuitów, i miało wówczas 4 klasy. W r. 1727 dołączono 5tą i 6tą klasę. W r. 1849 uzupełniono je na 8 klass.—Ewangelickie gimnazjum założono w r. 1709, i składało się oprócz przygotowawczej szkoły z 3ch klass z dwurocznym kursem. W r. 1847 nadworna kommissya szkolna udzieliła pozwolenie założenia przy tém gimnazjum klasy filozoficznej. Odtąd więc składa się to gimnazjum z 4ch klass, każda klasa z dwurocznym biegiem.

W katolickim gimnazjum było uczniów polskich 82, niemieckich 73, czeskich 6, Węgrów 2. Nauczycielem języka polskiego był Eug. Janota; wykładał w Iszym oddziale: „Opowieści i legendy Jadama z Zatora” (Adama Gorczyńskiego), w Ilgim oddziale „Sylva rerum” tegoż autora.

W ewangelickim gimnazjum było uczniów: ze Szlązka 88, z Czech 22, z Morawy 13, z Węgier 16, z Galicyi 16, z Karyntyi 3, ze Styrii 1, w ogóle 149. Język polski wykładali: w 8mej klasie ks. pastor Zilk, wykładał Maryą Małczewskiego i literaturę polską według Łukaszewicza; w 6tej klasie prof. p. Kaizar wykładał: Dzieje Polski L... i gram. według Popłuskiego; w 4tej i 2giej klasie prof. Kukucz wykładał początki grammatyki pol. Wstęp do tych programów stanowią naukowe rozprawy.

Podziękowanie.

Że u nas pracujący w piśmienniczym zawodzie może liczyć na współczucie i pomoc, mamy dowód na sobie, za które spieszymy złożyć nasze serdeczne podziękowanie. W numerze Biblioteki Warszawskiej z roku zeszłego, prosiliśmy żyjących literatów o nadsyłanie nam do Dziejów literatury wiadomości każdy o sobie i swym zawodzie piśmiennym, którego my młodzi, jako niebędący świadkami, nie mogliśmy być dokładnymi sprawozdawcami. W 68 brze Tygodnika Petersburskiego upraszaliśmy posiadaczy rzadkich ksiąg o udzielenie nam do *Przekładów* kilku łacińskich poezyj Joachima Bielskiego.

W skutek tych odezw, otrzymaliśmy już od zasłużonego redaktora b. *Przeglądu* (p. H. Skimborowicza), oraz od chlubnie odznaczającego się jako krytyk i filozof-myśliciel, Antoniego Marcinkowskiego (Albert Gryff) rysy ich zawodu i prac tak już ogłoszonych, jak i przygotowujących się do druku. Nadto p. radca dworu i naczelnik wydz. w Kom. Rz. Przychodów i Skarbu w król. Polskim, Antoni Ankiewicz, nadesłał nam troskliwie przepisany wiersz Bielskiego: *Satyra in quendam Dantiscanum etc.*

Czyż trzeba mówić, iż takowe dowody ufności i współczucia przyjęliśmy z serdeczną wdzięcznością?

Wł. Syrokomla.

Do niniejszego zeszytu dołączone są dwie rycinę grobowca Szydłowieckiego w Opotowie.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Grudzień, 1851.

Grudzień 1851.

Dostrzeżenia w Obserwatoryi

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom mor.
czyli w łuku $18^{\circ}41'25''5$ na wsch.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano.	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		749.00	749.64	750.12	750.58	- 1°3	+ 0°1	- 0°9	- 1°4	98.2
2		749.33	749.10	745.93	743.19	- 1.7	- 0.7	- 0.9	- 0.7	97.0
3		740.85	743.50	743.64	746.15	- 0.4	- 0.4	- 3.7	- 5.2	90.3
4		747.69	747.47	746.72	749.35	- 8.6	- 8.6	- 5.9	- 5.3	94.5
5		752.07	753.82	755.06	756.59	- 4.9	- 3.3	- 2.9	- 7.4	95.0
6		755.50	754.25	748.62	742.67	- 10.2	- 9.1	- 4.4	+ 0.8	92.0
7		745.93	749.65	752.44	752.98	+ 1.6	+ 1.9	+ 1.0	+ 1.0	100.0
8	☉	753.09	753.50	752.12	750.96	+ 1.6	+ 2.2	+ 2.5	+ 1.9	100.0
9		749.07	747.80	746.50	745.81	+ 2.3	+ 3.6	+ 4.3	+ 4.4	89.2
10		748.32	750.33	751.51	751.76	+ 3.5	+ 4.1	+ 4.3	+ 5.4	89.5
11		751.06	750.29	747.39	746.16	+ 7.3	+ 8.2	+ 7.7	+ 5.4	96.7
12		752.40	754.80	757.43	759.33	+ 4.6	+ 4.4	+ 3.7	+ 3.3	89.0
13		761.25	762.15	762.93	762.19	+ 1.7	+ 2.0	+ 0.4	+ 1.0	97.2
14		762.47	762.99	763.37	764.01	+ 2.9	+ 3.4	+ 3.4	+ 2.2	91.7
15	☾	762.64	762.91	762.93	763.11	+ 0.8	+ 1.3	+ 0.6	- 0.6	94.3
16		761.27	761.03	759.02	758.21	- 0.9	- 1.3	- 1.6	- 1.7	98.0
17		757.64	758.18	757.74	757.95	- 1.5	- 0.3	- 0.1	- 0.7	98.5
18		757.83	758.78	759.98	761.67	- 0.2	- 0.0	+ 0.8	+ 0.6	100.0
19		762.12	762.65	762.16	761.56	+ 0.6	+ 1.5	+ 0.5	+ 0.5	95.2
20		760.86	761.41	760.80	760.88	- 0.2	- 0.7	+ 0.3	+ 0.0	94.3
21		761.06	761.70	761.12	759.77	+ 0.1	+ 0.9	+ 1.1	- 0.1	91.1
22	☉	757.51	756.10	754.79	754.64	- 4.2	- 2.8	- 2.1	- 4.3	95.0
23		754.83	755.27	755.45	755.24	- 7.1	- 5.5	- 0.6	- 0.4	95.0
24		752.96	752.22	751.45	751.46	- 0.2	+ 0.7	+ 0.5	- 0.2	96.3
25		751.30	751.94	752.12	753.92	- 0.3	- 0.3	- 0.2	- 0.5	97.3
26		753.95	755.24	755.47	756.18	- 0.8	- 0.7	- 1.4	- 2.6	92.1
27		756.10	756.72	756.33	757.22	- 3.5	- 4.1	- 4.5	- 5.2	95.3
28		758.64	760.44	760.42	760.72	- 5.6	- 5.9	- 5.6	- 9.0	93.3
29		757.63	756.71	754.83	754.42	- 5.0	- 2.9	- 2.8	- 1.8	99.0
30	☾	752.63	752.11	750.60	750.57	- 2.6	- 0.6	+ 2.3	+ 2.4	100.0
31		547.94	747.03	743.32	743.29	+ 1.9	+ 2.2	+ 1.5	+ 1.1	98.0
Śre.		754.353	754.839	754.268	754.274	- 0°98	- 0°34	- 0°09	- 0°44	95.0

Astronomicznem Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^g. 14^m. 45^s, 7
względem południka paryzkiego:

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczy	śnie- gu
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		2.9
pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	poch. śnieg	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	poch. śnieg	pogodny	pochmurny	Z.	Pn.	PnZ.	PnZ.		4.1
pogodny	pogodny	pogodny	napót pog.	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		1.4
poch. krup.	pr. pochm.	poch. śnieg	lek. zamgl.	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
pr. pogod.	pogodny	poch. śnieg	poch. desz.	Z.	PdZ.	PdZ.	Z.	7.0	
poch. desz.	pochmurny	pochmurny	poch. desz.	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.	2.8	
poch. desz.	poch. mgła	poch. mgła	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	0.6	
pochmurny	poch. desz.	pr. pogodny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	0.7	
pochmurny	napót pog.	pochmurny	poch. d. mg.	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	poch. desz.	poch. desz.	Z.	Z.	Z.	Z.	4.1	
pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	Pn.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	2.2	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochm. mży	PnZ.	PnZ.	Z.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	poch. śnieg	Z.	Z.	Z.	Z.		1.2
poch. mgła	poch. l. mg.	poch. mgła	poch. mgła	Z.	Z.	Z.	Z.		0.2
pochmurny	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. mgła	PdZ.	PdZ.	Z.	Z.		
pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
pochmurny	pochmurny	mgła gruba	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
pochmurny	lek. poch.	lek. pochm.	poch. śnieg	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Pn.	Pn.	Pn.		0.8
poch. śnieg	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	PnW.	PnW.	Pn.	Pd.		0.9
pochmurny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	W.	PnW.	PnZ.	Z.		
pochmurny	poch. d. m.	pochmurny	poch. d. z ś.	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochm. mży	poch. desz.	pochm. mży	PnZ.	Z.	Z.	Z.		1.0
pochmurny	deszcz b. dr.	poch. desz.	poch. desz.	Z.	Z.	Z.	Z.	8.7	
								26.1	12.5

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.433	27	10.437
Najwyżej dochodził — d. 14 o g. 10 w.	764.01	28	2.678
Najniżej — — d. 3 o g. 6 r.	740.85	27	4.416
Średnia zmiana dzienna barometru	3.476		1.541
Największa zmiana dzienna barometru d. 5—6 o g. 10 w.	13.92		6.17
Średnia wysokość barometru jest wyższą o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	2.663		1.181
Średnia temperatura Grudnia wynosi: —	0 ^o .49	C.	— 0 ^o .39 R.
i ta jest wyższą o	1.976	„	1.583 „
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	— 2.466	„	— 1.973 „
Największe ciepło dochodziło d. 11 o godz. 10 rano.	+ 8.2	„	+ 6.56 „
Największe zimno dochodziło d. 6 o godz. 6 rano.	— 10.2	„	— 8.16 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.311	„	1.849 „
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 6—7 o g. 6 r.	11.8	„	9.44 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 6^o.9 R. d. 11 po połud.

Minimum: — 8^o.6 „ d. 6 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 26,1 milim., czyli 11,57 lin. par. z śniegu 12,5 milim. czyli 5,54 lin. par. razem spadło wody z deszczu i śniegu wysoko na 38,6 milim. czyli 17,11 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 0,84 lin. par. od ilości jaka u nas w grudniu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 95,5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 5,00 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest większą o 0,01 od normalnej.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 2, pochmurnych 26.

Dni deszczu 11 (d. 6, 7, 8, 9, 10, 11, 13, 19, 29, 30, 31).

— śniegu 9 (1, 2, 3, 5, 6, 17, 25, 27, 29).

— mgły 6 (d. 8, 10, 18, 19, 20, 24).

— gradu (krup) 2 (d. 3, 5).

Wichrów 1 Zachodni.

Wiatrów mocnych 9: 6 Z, 2 PnZ., 1 Pn.

Wiatr panujący Zachodni.

Grudzień był niepogodny, słotny przeszło o półtora stopnia R. cieplejszy jak zwykle. Pierwsze sześć dni były chłodne, następne dziewięć ciepłe, ostatnie dziesięć zimne, mniej jednak niż zwykle. Dzień 11 osobliwie był ciepły, średnia bowiem jego temperatura wynosiła 5,7 stop. R. Najcieplejsze dni były: 7, 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14. Najzimniejsze d. 4, 5, 6, 27, 28. Pod względem zmiany temperatury szczególniej odznaczał się dzień 6, w dniu tym rano termometr wskazywał 8,2 stop. R. niżej zera, później nastąpił śnieg, dalej odwilż, a wieczorem deszcz przy temperaturze 0,6 stop. nad zerem. Deszcze i śniegi były w tym miesiącu częste ale nie obfite. W pierwszych trzynastu dniach i ostatnich ośmiu, deszcz lub śnieg prawie codzień padał. Panujący wiatr zachodni był przyczyną tak ciepłego i wilgotnego stanu powietrza.

D. 18 przez cały dzień trwała mgła gruba.

D. 22 widziano plamy na słońcu.

KOMMUNIKACYE NA WSCHODZIE.

WYCIĄG Z PODRÓŻY

Tomasza Bartmańskiego ().*

Każda pięćdziesiątka ziemi w Egipcie ma swoją historiją. Wielu autorów starożytności pisało o tój klassycznej ziemi, ale ich podania bajkami upstrzone, niezrozumiałe dla potomności, dotąd pozostawiły w chaosie historiją tego kraju. Różne losy koleje, zatarły po części ślady tój kolebki oświaty całej kuli ziemskiej; pozostałe w ułamkach pomniki jój wielkości, tu i owdzie po ziemi walające

(*) Tomasz Franciszek Bartmański inżynier służył w b. wojsku polskim od 1812 roku. W r. 1832 wszedł do służby dróg i mostów we Francji. Ułożył tam projekt części wielkiego kanału spławnego *Nivernais*, i zasilania go wodą z gór, ze źródła rzeki Jonny o 550 metrów wyżej położonego, w odległości mil 9. Następnie zajęty był budową dróg strategicznych i wielu mostów w Wandel, Bretanii i Maine et Loire. Złożył konkurs publiczny na inżyniera i otrzymał dyplom. Użyty do robót portu Algieru przepędził tam przeszło lat 4. W Egipcie wygotował projekt fortyfikacji miasta Alexandryi, wraz z pułkownikiem Gallice, oraz śluzu z morza do Nilu. Przeznaczony przez kompaniją baszów do zrobienia drogi żelaznej z Kairu przez pustynię do Suez, rozpoznał i oszacował ślady dzieła Sezostrysa, to jest kanału między dwoma morzami, przez międzymorze Suez. Wysłany z wyprawą uczonych niemieckich do szukania źródeł Nilu, zwiedził Wyższy Egipt, Nubią, Etyopiją, Sennahhar, Gallas, Dembea, aż do gór księżycowych (które na kartach geograficznych pod ósmym stopniem umieszczono, kiedy rzeczywiście pod 4 się znajdują). Zwiedził Syryą, Palestynę i Arabiją, należąc do różnych karawan. Przez kompaniją angielską zaangażowany, wysłany został do dróg żelaznych w Indjach: ale ze zmianą kompanii, powrócił do Europy po dziewięć-letnim z nięj oddaleniu. Użyty do budo-

się lub zagrzebane, opatrzone w nieodgadnione zupełnie dotąd napisy i hieroglify, niszcząca władza czasu coraz bardziej zaciera. Trudność podróżowania, pochodząca z braku komunikacyi, połączone z niebezpieczeństwem i tysiącem przeszkód, często z samego przyrodzenia wynikających, jest przyczyną, że dotąd historia tego kraju nie może wyjść na jaw w prawdziwem świetle. O tych więc komunikacyach, tak mocno ciekawość Europejczyków zaostrzających, w niniejszym artykule traktować czytelnika jest moim zamiarem.

A. Kommunikacye lądem.

Hamsin. Kraje otaczające morze Czerwone: Arabia, Syria, Egipt, Nubia i Etyopia, są poprzerywane pustyniami. Największą z nich jest Sahara. Pustynia jestto morze piaszczyste, na którym lada najmniejsze igranie wiatru przenosi tumany kurzu drobnego z miejsca na miejsce, usypując z niego mniejsze lub większe góry. Znajomy jest doskonale czas trwania pewnego wiatru, który Arabowie nazywają *hamsin*. Wyraz ten po arabsku znaczy liczbę pięćdziesiąt, a zarazem przeciąg 50 dni trwania tego wiatru. Niektórzy dowodzą, że wyraz *hamsin*, albo *kamsin*, pochodzi od Kambizesa. Wiadomo z historyi, że Kambizes po zniszczeniu sławnej świątyni Jowisza Ammońskiego w Libii, w odwrocie swoim, w piaskach pustyni Sahara, z armią 45900 ludzi zagrzebanym został. Ten wiatr w Persyi nazywają *semum*, czyli tru-

wy drogi żelaznej z Marsylii do Paryża, wykonał największy ze znanych tunel w skale na 115 metrów głęboko przebity, 7800 metrów długi, za pomocą 50 studni i galeryj odpływowych do zalewającej wody, ze skał dobywającej się. Do tej części robót należało jeszcze dwie mile wąwozów ze 79 mostami. W roku 1844 pojechał do Madrytu, i wykonał drogę żelazną z Madrytu do Aranhuez. Następnie z kompanią *Mauby* robił projekt drogi do Walencji i Kartageny; wybudował fabrykę do oświetlenia gazem Madrytu. Skontraktowany do dóbr p. Collade granda Hiszpanii w Andaluzji urządził plantacyą 100,000 drzew oliwnych z robotami hydraulicznemi, jak prasy, młyny, irygacye i t. p. Tu wydał dzieło w języku hiszpańskim p. n.: *Manual de Economia Domestica, 1848, Baeza, 12ka.*

W maju 1848 opuścił Madryt: zwiedził Włochy, Grecyą, Szwajcaryą, a w końcu października tegoż roku stanął we Lwowie.

W 1851 r. wrócił do Warszawy, jako miejsca swego urodzenia.

Z obszernych rękopismów naszego uczonego ziomka, nie zaniedbamy ciekawsze ustępy podać w naszém piśmie.

Przyp. red.

cizna; w Turcyi *szamil* albo *samiel*; *siroco* we Włoszech; *libonotos* w Grecyi; *africanus* u Rzymian; *mistral* w Prowancyi; *solano* w Hiszpanii. Pełny drobnego pyłu, z nadzwyczajnym skwarem połączony, na kilka dni naprzód daje się czuć, szczególniej wielbłodom. W swoim zaś przejściu taką duszność sprawia, że ludzie i bydła, chcąc się od niego ochronić, padają twarzą na ziemię, lub pyski w ziemię zagrzebują. Przechodzi wierzchem gór Taurus i Atlasu; traci moc swoją na morzu Śródziemném, i na brzegach Europy ginie. Na takiej więc pustyni nie masz żadnej drogi; przejście największej karawany ani śladu po sobie nie zostawi. Co mil kilka natrafisz na oazy.

Oaza, jestto miejsce, przez bogatych pielgrzymów Mahometanów, do Mekki i Medyny karawanami co rok udających się, palmami, daktylami i kaktusem zasadzone, i opatrzone studniami czasami murowanemi, lub dołami kopanemi w ziemi, wodą mętną i słonawą napelnione. To wszystko dla kierunku, wygody i spoczynku, a mianowicie dla wody i paszy karawanom potrzebnej, zrobioném zostało. Alkoran bowiem zmusza każdego muzułmana, przynajmniej raz w życiu, do odwiedzenia grobu Mahometa. Są niektórzy więcej religijni hadzi czyli pielgrzymi, co dwa lub trzy razy Mekkę zwiedzili; takich uważają za szeryffów, czyli do rodziny Mahometa należących, a ztąd do wielkiej pensyi u rządu prawo mających. Po tych więc zwykle okiem dla nas niedojrzanych oazach we dnie, a po gwiazdach nocą, Arabowie kierować się muszą, ażeby w pustyni nie zabłąkali się.

Pustynie. Oprócz pustyni Sahara, jak mówiłem największej, na przebycie której z Kairu do Tombuktu potrzeba 45 dni drogi, są jeszcze inne w Arabii i Syryi; jak: z Damaszku, z Alepo, z Bassora do Mekki potrzeba 35 dni drogi; z Persyi 30 dni, z Indyi 38 dni. Są jeszcze pustynie z Etyopii, Abissynii, Sennahar, Tebaidy czyli Saidy, z Libii, Syryi, Suez i Palestyny. Wszystkie te pustynie przebywają się na wielbładach, z karawaną uzbrojoną, mniej więcej liczną. Taka karawana musi prowadzić z sobą namioty, drzewo, wodę i wszystkie inne potrzeby. Drzewo po części zastępuje gnój wielbładow, który się pali przewybornie. Często się zdarza, że pokolenia Beduinów i Wehhabitów na pustyni koczujące, z bronią w ręku atakują pielgrzymującą karawanę, a w razie jój pobicia, rabują zupełnie. Ci rozbójnicy pustyni, na piaskach Sahary wraz z końmi wychowani, odznaczają się bez-

przykładną odwagą, złością i przebiegliwością. Wzniesli się przez swoje łupieztwa do takiej potęgi, że przez lat kilka ani pielgrzymi, ani *kaaba*, to jest płaszcz i dary dla grobu Mahometa, dostać się do Mekki nie mogli. Z obawy więc o *sunnhend*, czyli o przepisy święte religii mahometańskiej, Porta Ottomańska wydała firman na wojnę świętą. Tę wojnę swoim kosztem, a raczej łupami na Wehhabitach i Beduinach zdobytymi, podniósł Mehmed-Ali, na czele swoich szczupłych wojsk z paszaliu syryjskiego, i ochotników fanatyków. W roku 1814 Mehmed-Ali wytepił ze szczerem tych rozbójników na pustyni Sahara, drogę do Mekki karawanom zabezpieczył, a szeryffy ogłosili go zbawcą i obrońcą kaaby i Alkoranu. To ogłoszenie zrobiło jego fortunę, bo z paszaliu Egiptu i Syrii, ogłosił się królem Egiptu *de facto*. Nie chciał bowiem ani sultana Mahmuda za władcę uznać, ani haraczu płacić. Przyszło nawet do tego, że padysza z bronią w rękę chciał swojego dumnego wassala do lennictwa zmusić; ale Mehmed-Ali zabrał flotę turecką pod Kandyą w 1831 roku, a w rok później, pobił Turków pod Bilan, pod górą Taurus i Koniah. A nawet z tego ostatniego miejsca byłby się bez oporu wprost do Stambułu przerznął, gdyby interwencya europejska nie była położyła końca jego zamysłom.

Karawany przebywające te pustynie, jestto zbiór kilkuset lub kilku tysięcy podróżnych, którzy na wielbłądach, w jedną stronę razem podróżują. Karawany bywają kupieckie z towarami, lub pielgrzymów do grobu Mahometa. Pielgrzymi przybywający z Libii, Barbaryi, Tuniz, Maroko i Algieru, łączą się w Kairze w wiadomym czasie. Pielgrzymów z Algieryi rząd francuzki statkiem parowym, przez Alexandryą do Kairu zawozi, i odwozi do Algieru i portów. Te karawany w Kairze napotykają inne karawany, z różnych krajów o tymże samym czasie przybywające, jak to wyżej namieniłem. Pielgrzymi do Mekki łączą się tedy razem, a na czele tych kilku tysięcy uzbrojonych ludzi, staje jaki pasza czyli książę, jako naczelnik przez Portę z Konstantynopola przysłany, i do eskortowania kaaby przeznaczony. Wyjście karawany odbywa się z największą uroczystością, i wszystkie wojska egipskie eskortują kaabę z honorami, aż na kilka czasami stacyj w Saharze.

Karawany w miejscach zamieszkałych znajdują wszędzie prawie karawanseraje, czyli domy zajezdne. Zwykle jestto wielki kwadrat murowany, z dziedzińcem wewnątrz i jednym wjazdem,

Karawanseraj ma dozorcę Araba. Zajazd ten przez bogatych Mahometan wystawiony, służy tylko na użytek podróżnych. W pośrodku dziedzińca stoi studnia z kamiennymi korytami, a naokoło są komórki na skład towarów przeznaczone: w nich spoczywają także podróżni, wielbłądy zaś i konie po napojeniu i nakarmieniu, spoczywają na dziedzińcu. Bramę na noc zamykają. Straże czuwające na tarasie czyli na wierzchu murów, z nabita bronią pilnują bezpieczeństwa karawany od napaści rozbójników lub drapieżnych zwierząt, których podejścia, z największą czujnością wystrzegać się muszą.

Karawany przez pustynię maszerujące, zmęczone podróżą, spoczywają w południe w jakiej oazie, podczas największego skwaru słonecznego. Spoczynek południowy, *asr* u Mahometan zwany, zasadza się na tém, ażeby napoić wielbłądy jeśli można, i pożywić. Nie we wszystkich studniach czyli dołach znajduje się woda; często w piasku, trzy lub cztery stóp głęboko grzebać lub kopać wypadnie, nim się na wodę w mniejszej lub większej obfitości natrafi. Woda jest mętna, słonawa, ciepła dniem, zimna nocą. Ludzie po ablucyach i modlitwach zwyczajnych, toż samo posiłkiem i spoczynkiem zajmują się. Bogaci *kuskus* czyli kaszę gotują, *szorbę* czyli zupę, *lahmy* czyli mięso, *farhę* czyli kurę z ryżem, kawę lub co innego. Chleb, jaja, zwykle pieką w piaskach Sahary. Nawet w pochodzie robią placki, z mąki wodą rozrobioną, i te pieką na głowach wielbłądów; poczem w dalszą drogę się puszczają.

Karawany nocleg na pustyni następującym sposobem się odbywa. Przybywszy do oazy, zdejmują pakunek z wielbłądów, poją i dają im jeść. Jeśli karawana wcześniej przybędzie na nocleg, wówczas wielbłądy puszczają się luzem. Przy każdej oazie znajdują się kaktusy czyli figi barbarzyjskie. Ogromne liście téj rośliny, długimi i mocnymi kolcami opatrzone, chciwie zajada wielbłąd. Kiedym na jeden taki liść, na ziemi leżący, przypadkiem nastąpił, kolec jego przebił mi na wylot podszewę obuwia grubą i ćwiekami okutą, i bardzo skaleczył mi nogę; gdy tymczasem język miękki wielbłąda te kolce nie kaleczą. Zapewne to ztąd pochodzić musi, że tchem i parą zwilgocone liście, tracą własność klócia. Wszak figi barbarzyjskie także kolcami najeżone, zmaczane w wodzie, nie kolą. Oprócz téj rośliny zawsze w oazach znajdującą się, liście palmowe i daktyłowe służą także wielbłądom za pożywienie.

Następnie rozbijają się namioty i rozpalają ognie nocą na łańcuchu, tojest poza kołem, przez wielbłądy sformowanym. Wszyscy gotują kawę, a niektórzy nawet swój ulubiony kuskus. Ogień robi się z liści palmowych, chwastu, a w ich braku z drzewa z sobą wziętego, i gnoju wielbłądziego. Jak tylko noc zaskoczy, po wypiciu kawy, zjedzeniu, zadaniu obroku, i po odbytej obowiązkowej modlitwie, wszyscy zasypiają obwinieci w burnusy, pod swojemi namiotami. Straże rozstawiają się pomiędzy wielbłędami. Zewnątrz obozu rozłożone ognie, są, że tak powiem baryerą, którą lew, tygrys, pantera i inne drapieżne zwierzęta przekroczyć nie śmieją. Czaty strzelają do nich, jeśli się zanadto zbliżają; a jeśli którego zwierza ubijają, to skórę z niego zdejmują i z sobą biorą. Po przepędzeniu noclegu, karawana w dalszą podróż wyrusza przed wschodem słońca.

Wielbłądy używane w Egipcie, Maroko, Tuniz, Barbaryi, Libii, Nubii, Etyopii i w Algierze, są o jednym garbie. Wielbłąd mocniej zbudowany, używa się do przewożenia transportów. Do pakowania ciężarów, wielbłąd kładzie się na ziemi. Kopyto jego wielkie, okrągłe i nierozdwojone, przyrodzenie utworzyło do chodzenia po piaskach. Wielbłąd cieńszy, wysmuklejszy i lżejszy od poprzedzającego, użytym został pod jazdę *dromaderami* zwaną przez Napoleona w 1798 roku w Egipcie. Dziś dromadery użyci są za kuryerów z depeszami rządowemi. Dromader robi zwykle 36 mil dziennie, ochraniając go od zbyt wysokich upałów w południe. Jeździec dromader, oprócz kindżału, jataganu i janczarki, wiezie z sobą żywność na cały czas podróży, dla siebie i dla wielbłąda; przyczem ma wszystkie drobne porządki, konieczne do codziennych potrzeb, jak kociołek, przetak i t. d. Burnus służy mu za namiot, a gnój za opał. Na wielbłąda wsiada się po wystającym jabłku na kolanie. Jazda na wielbłądach, osobom do takiej podróży nieprzywykłym, jest nader utrudzająca. Wielbłąd w chodzie, nie stawia nóg na krzyż jak koń, tylko naraz obie nogi prawe, lub lewe. A że krok jego jest długim, a szyję z głową pionowo do góry trzyma, podróżny siedzący na jego garbie, za każdym krokiem całym ciężarem swojego ciała tak mocno naprzód pochylać się musi, że ciągle swoim czołem w głowę wielbłąda uderzać będzie, jeśli się nie wprawi w siedzeniu do większej równowagi i przytomności. Dla tej przyczyny najwięcej podróżnych siedzi bokiem, jak na krześle. To siedzenie jest wygodniejsze, i mniej utrudzające. Po miastach wielbłądy roz-

wożą wodę po domach. Woziwoda Sakhaz, ma skórzane wory na wielbłądzie z obu stron ułożone, które wodą napełnia u fontanny, i tę wodę mniejszemi workami skórzanemi roznosi po domach lub piętach i wlewa do wielkich garnków glinianych czyli *bardaków*, w których się dobrze konserwuje.

Konie arabskie, szczególnież po trybutach, chowają się wraz z ludźmi pod namiotem. Koń zawsze luźny, szuka sobie pożywienia przez dzień cały, i oddala się od namiotu często na mil kilka. Kiedy pan konia potrzebuje, gwiznie tylko; koń nawet w oddaleniu głos swojego pana usłyszy, pozna, i natychmiast przybiegnie. Nie dziw więc, że taki koń w potrzebie, przebiegnie mil kilkanaście galopem, a nawet że poświęci siebie, ażeby tylko swojego pana z niebezpieczeństwa wyrwał. Najodleglejsza starożytność przyswojenie konia Arabom przyznaje. Arabowie poprawili rasę koni przez dobór, a Anglicy przez zmieszanie. Dziś tylko dwie rasy koni arabskich znamy: czysta *nezit* albo *kocklani*, i *kadishi*.

Muły i osły. Do podróży, szczególnież w okolicach lub po mieście, oprócz koni, używają mułów i osłów. Muły są rosłe jak konie, i przytém wytrzymalsze. Gdziekolwiek Europejczyk obróci się w miastach Wschodu, a szczególnież portowych, wszędzie napotka Beduina lub małego Araba, z jednym lub dwoma osiodłanemi osłami. Na takim wierzchowcu oglądają się osobliwości miasta i jego okolic, lub robią się w mieście interesa. Każdy z nich gotów do najęcia, i za ujrzeniem Europejczyka woła; „*Hawadzi Buryko*” co znaczy: weź pan osła. Wyrazem *hawadzi*, który dosłownie po arabsku znaczy kupiec, częstują każdego zagranicznego, chociażby nie był kupcem. Arabi wyrazu *sidi* (pan), nie powiedzą Europejczykowi przez pogardę. *Buryko*, jest wyraz z francuzkiego lub hiszpańskiego języka wzięty, bo osioł po arabsku, *homar*. Po miastach kursa płacą się za pół dnia lub za cały, podług przepisanej ceny. Siadasz więc na osła, i każesz się wieść, dokąd zamyślasz. Arabowie tak obeznani są z miejscami przez Europejczyków zwiedzanemi, że każdy wyrecytuje z pamięci wszystkie, i do każdego niezawodnie doprowadzi. Arab ciągle *buryka* kijem popędza, i biegnie przez cały kurs klusem lub galopem, wraz z osłem. Jeśli ci pilno, to powiedz tylko Beduinowi, *Fissa, ruh*, (prędko, maszeruj), a on w chęci zysku, nie dozwoli zwolnić Rossynantowi. Lubią cudzoziemców, bo hojnie im za każdą usługę płacą; zwykle bowiem nie wiedzą oni ceny

miejscowej, albo ją za bardzo małą uważają, a co najwięcej się przytrafia, nie znają pieniędzy arabskich.

Strusie na pustyni używane są do podróży. W Saharze strusi nie brakuje. Różnią się one bardzo od swojskich: są mocne i wielkie. Szyję mają nadzwyczaj długą, a głowę bardzo małą; nogi grube i wysokie. Najroślejszy mężczyzna nie dosięgnie im do głowy. Przestraszają się lada czego. Takiemu strusowi siada się na kark, jak na konia, z tą uwagą, aby mu poruszania skrzydłami nie przeszkodzić. Cienkimi sznureczkami, okiełzna mu się pysk, i tak się go puszcza. Można nim kierować tym sposobem do woli. Leci on tak prędko z człowiekiem, że go żaden koń arabski do pustyni przywykły dogonić nie może, a tém bardziej w podróży w pustyni za nim nie nastarczy.

Fata morgana, czyli złudzenia, które Francuzi *mirage* nazywają, znamy dwojakie: na morzu i na lądzie. Wielu podróżnym na morzu zdarzyło się widzieć na powierzchni wody, jakby wymalowany obraz jakiego allegorycznego lub rzeczywistego miasta, wież, kościołów, pomników i t. p. Tłumaczymy to zjawisko odbiciem promieni słonecznych na ciemną chmurę, zastępującą kamerę obskurę, a malujących obraz na jój tle. Ta chmura przechodząc ponad morzem w kierunku patrzącego, odbija obraz na zwierciadlanój wód spokojnych powierzchni. Takiego złudzenia szczególniej, znajdujemy w podróżach przez niektórych autorów opisanych. Złudzenia na lądzie są daleko częstsze. Położenie geograficzne i względne dwóch miejsc, szczególniej gór, niejedno podobne widowisko następuje. Nie wchodząc w ich przykłady i opisy, wspomnę tylko o *fata morgana* na pustyni widzianych. Kiedy w czasie wyprawy Bonapartego do Egiptu armia francuzka przechodziła pustynię między Kairem i Suez, zdawało jój się w marszu widzieć jeziora i stawy przed sobą. Pragnienie mocno dokuczające wojsku, w skutek niestychanego upału, mogło być po części tego przyczyną. Goniono więc bez przestanku za owemi zjawiskami; ale w miarę zbliżania się, obrazy owe ciągle się oddalały: aż się wreszcie przekonano, że to były złudzenia. Pan Monge mówi, że to są odbicia stawów Egiptu, na niższych warstwach nieco gęściejszych powietrza atmosferycznego pustyni odbite, a ruchem jego, z miejsca na miejsce przenoszone. Historia wyprawy do Egiptu, przez kilku uczonych opisana, podaje o tych złudzeniach wiadomość.

Droga do Indyi, Chin. Przejście Mojżesza. W roku 1842 byłem wysłany do zrobienia drogi żelaznej przez pustynię z Kairu do Suez. Skończyło się na wytknięciu jej, i wystawieniu oberży w połowie drogi z przeprzągiem. Teraz więc wszyscy podróżni z Anglii lub innych punktów Europy do Indyi i Chin udający się, przyjeżdżają do Alexandryi; ztąd statkiem parowym jadą kanałem Mahmudie do Afry, gdzie się znajduje śluza do Nilu. Nilem jadą do Kairu. Czas potrzebny z Alexandryi do Kairu wynosi godzin piętnaście. Na przedmieściu Bulak znajduje się biuro angielskich dyliżansów do Suez; dokąd w godzin trzydzieści stanąć można. Wylądowanie w Suez ma miejsce o dwie mile od miasta, bo o tyle prawie morze Czerwone oddaliło się od dawnego Colsum, albo Klysmat. W tém miejscu, w samem odnodze Suez, na wyniosłym wzgórkku widać dawne ruiny. Cofnięcie się morza sformowało kilka wysp, przez które Mojżesz z żydami przeszedł w czasie spadnięcia morza, suchą nogą, jak mówi pismo święte. To miejsce dziś ma 1514 kroków długości, a wody najwięcej półtoręj stopy. Po przejściu żydów, przybrało morze; było więc wody do pięciu stóp, szybko rosnącej, kiedy Faraon Cenhres albo Cenhros, z armią milionową w pogoni za żydami, chciał na sposób Mojżesza przejść suchą nogą, i ze wszystkiem zatonął. Ale nie wiemy, czyby dziś znalazł się drugi Cenhros, nieświadomy czasu przybierania i opadania morza, które prawie co godzin sześć regularnie się odbywa, a za każdą razą rośnięcie dochodzi półczwartęj stopy. Dalsza droga ze Suez do Indyi i Chin, na statku parowym angielskim, odbywa się morzem Czerwonem czyli odnogą arabską, na Babeimandel, obok wysp Braci, przez ocean Indyjski koło wysp Maldywskich, przez odnogę Koromandel obok wyspy Cejlan, do Pondiszery, Madras, Golkondy i Kalkuty. Ta podróż odbywa się we 12 dni najwięcej w przyzwoitej porze roku. A więc z Londynu podróżny we 20 dni stanąć może w Kalkucie.

Istnieje jeszcze droga z Alexandryi do Kairu, którą dawniej szły karawany, przez dni cztery. Tę drogę już zupełnie opuszczono, i wszystkie transporta odbywają się sławem, sposobem powyżej wskazanym. Karawany dotąd jeszcze idące przez pustynię z Kairu do Suez, potrzebują zwykle dni ośm czasu. Tę przestrzeń podróżni dziś przebywają w przeciągu godzin trzydziestu, jak o tém powyżej mówiłem.

B. **Kommunikacye wodne.**

Kanał. Egipt był pierwszym do rozszerzenia handlu z całym Wschodem i z Europą. Sezostrys albo Ramses roku świata 2532 zrobił kanał pomiędzy dwoma morzami, prowadząc go na Peluzyum, przez jedno ze siedmiu ujść Nilu.

Historya kanału jest następująca:

Roku świata 3380, Nehao, kanał zaczęty przez ojca Nectanebo, pomiędzy dwoma morzami, obrócił na Bubastis, Natumon i Memphys. Przy téj robocie miało zginąć 26,000 ludzi.

Roku świata 3386, Psamnetyk wprowadził do Egiptu Karyjczyków i Jończyków, a tém samym otworzył handel z Europą.

Roku 3387, Nabuhhadnazar zniszczył kanał.

Roku 3474, Daryusz dokończył kanału z Kolzum, poprzednio przez Neho zaczętego, i obrócił go na Kair.

Roku 3674, Alexander Wielki wykopał kanał Kibotos, obok Alexandryi, z morza do Affy, zkąd do Nilu się wchodziło.

Roku 114 po Chrystusie, Trajan naprawił kanał Daryusza.

Roku 747, kalif Abudzafar Almanzor zniszczył kanał.

Roku 1820, wice-król Egiptu Mehmed-Ali zmienił kanał Kibotos przez Alexandra Wielkiego zrobiony.

Roku 1840. Mehmed-Ali wybudował służę w Affie na kanale Kibotos. Teraz więc statki z morza Śródziemnego idą wprost do Kairu.

Roku 1842 oglądałem ruiny kanału Sezostrysa, celem zrobienia projektu kanału między dwoma morzami. Szczątki pierwszego kanału są jeszcze widoczne. Jeziora gorzkie leżą o sześć mil od Suez, w kierunku Peluzyum, to jest w samym prawie środku międzymorza Suez, i są parę mil długie. Z nich zbierają co-rocześnie 36,000 centnarów natronu, i do Europy handlem wysyłają. Leżą one w kierunku kanału Sezostrysa. Sama odnoga Suez skałami zapchana, utraciła dziś znaczną część swojego portu na morzu Czerwoném, przez oddalenie się wód od brzegów. Różnicę poziomu wód obudwu mórz, rozmaicie inżynierzy oceniają; mojem zdaniem, różnica ta pochodzi tylko z wysokości przybierania morza. Na morzu Czerwoném, przybieranie podług postrzeżeń pana Niebuhr dochodzi 2,25 metra; na morzu Śródziemném przybieranie morza nie przechodzi 0,60 metra: a ztąd rachuje na różnicę poziomu 1,65 metra, czyli blisko 6 stóp. Wy-

padaloby zrobić służę z morza Śródziemnego. Koszt cały kanału mógłby dojść do summy czterdziestu milionów franków.

Do powyższej opisaney komunikacyi wodnej wypada nam przydać niektóre objaśnienia.

Ambarkacya. Tak nazywają szerokie a krótkie czółna, mocno zbudowane, z masztem i żaglem, do usługi w portach. Zwykle jeden przewoźnik dwoma wiosłami robiący, to jest jednem w każdym ręku, albo dwóch przewoźników, prowadzi barkę. Drugi kieruje trójkątnym żaglem, *taciński* zwanym, stosownie do wiatru. Ci przewoźnicy noszą numer na szpicu czyli przodzie barki. Przewożą towary lub podróżnych, podług ceny taryfą na wszystko oznaczonej. W portach europejskich, ci marynarze zarazem rybołostwem się trudnią. W czasie spokojnego dnia puszczają się nawet daleko na morze; ale jeśli ich burza złapie przypadkiem, bo tę przewidzieć po różnych znakach umieją; albo jeśli przed burzą umknąć nie zdołają, wówczas wielu z nich ginie. W wielkich portach handlowych, pełno jest bark w porcie, zawsze gotowych na usługi. W czasie upałów słonecznych, rozciągają małe namioty płócienne dla cienia. Robią przejażdżki po brzegach i porcie z podróżnemi, port zwiedzającemi. Ale w portach w których nie ma przepisanej na każdą ich usługę taryfy, mają zwyczaj niemiłosiernie obdzierać zagranicznych podróżnych.

Wylądowanie, czyli wyjście na ląd z okrętu, w każdym porcie odbywa się z największym zamieszaniem. Pełno ludzi czeka tylko, aby walizę podróżnego lub inne rzeczy, mogło zanieść lub zaprowadzić go do wskazanego hotelu. Ceną ich zwykle bywa całodzienny zarobek, a w niektórych nawet portach, drogo się płacić każą. Wrażenie przykre, jakie na mnie debarkacya w Algierze w roku 1836 zrobiła, długo tkwiło mi w pamięci. Po przejrzeniu rzeczy moich przez celników, lubo z Francyi przyjeżdżając do departamentu francuzkiego, żadnej kontrabandy ze sobą mieć nie mogłem: obkoczyła mnie chmara czarnych mężczyzn, kobiet i dzieci, niektórych nawet zupełnie nagich. Każdy z nich wrywał mi z rąk jedną z moich własności. Ten kapelusz z futerałem, ów laskę, inny parasol, ten walizę, a tamten worek podróżny. Wszyscy się szamotali, bili, wrywali moje rzeczy, które z rąk do rąk przechodziły. Zdawało się, że wpadł do piekła, a owi czarni djabli wrywali mnie z rąk do rąk, kłócąc się językiem niezrozumiałym dla mnie. Jestto język złożony z francuzkiego,

włoskiego, hiszpańskiego i arabskiego, który *lingua franca* nazywają. Szczęściem, że jeden z celników uproszony, wdał się w tę zawiłą sprawę, i zakończył owe kafarnaum na moją prośbę. W portach Maroko, Tuniz i Alexandryi, jeszcze większy chaos panuje przy wylądowaniu zagranicznego. Tu przy znajomości języka włoskiego, można się jeszcze porozumieć trochę z temi szatanami, na dobrą duszę czyhającemi. Policje arabskie pod tym względem żadnego dotąd nie zrobiły postępu. Życzyłoby należało, aby komory celne portowe, służbę debarkacyi urządziły w sposób najdogodniejszy dla podróżnych, jak to zaprowadzono przy drogach żelaznych w Europie.

Straż morska. Tak nazywają strażnika przy portach na najwyższym punkcie umieszczonego, zwykle na wieży lub stosownej budowli. Znaną była w starożytności: dowodem *panium turbirlatum* w Alexandryi w Egipcie. Ma obowiązek pilnowania okrętów, na morzu się pokazujących, i uwiadamia komorę celną i urząd zdrowia o ich przybyciu. Ci strażnicy są zdolni zdaleka rozpoznać, do jakiego narodu należy okręt. Przyczém uważają perspektywą na znaki okrętu, a z nich wiedzą naprzód, czy tenże chce sternika dla wprowadzenia do portu, czy zabawi, czy popłynie. O tém wszystkiém osobnemi znakami zawiadamiają dyrekcją portu. Znaki te są rozmaite, ale wszystkim marynarzom europejskim znojome, i używane na okrętach. Może nawet okręt pokazać kogo wiezie. Zwykle strażnik używa trzech znaków: chorągwi, flagi czyli długiej chorągiewki, i bani czyli globów plecionych kolorowych, jak przy drogach żelaznych na sznurach zawieszonych. Dyrekcya portu wysyła więc naprzeciw okrętu sternika do wprowadzenia do portu, potem lekarzy i celników.

Na brzegach morza, przy ujściu rzek, w małych portach lub zatokach, albo w miejscach żegludze niebezpieczeństwem grożących, wystawiają się światła, jako znaki dla płynących okrętów, zwane *sémaphore*. Trzy długie drągi trójkąt tworzące, od dołu w ziemię wkopane, a wierzchem poprzecznicami połączone, trzymają podstawkę z latarnią lub kagańcem. Strażnik po drabinie przystawianej, wchodzi na wierzch i zapala światło z wieczora. W miejscach niebezpiecznych lub skalami najeżonych, albo jakie inne przeszkody miejscowe posiadających, wystawiają się owe znaki. Żeglarze łatwo rozróżniają te znaki od latarni morskich.

C. **Kommunikacye powietrzne.**

Gołebie. Wschodowi należy się piérwszy pomysł komunikacyj powietrznych, za pomocą gołębi. Dziś nawet nie znajdziesz kraju, któryby więcéj gołębi chował. Dawniej to godło i wzór stałej miłości, używano za kuryera do depeszy rządowych i handlowych. Wielu nawet miało, że niewinny gołabek, często służył za posłańca kochankom roznosząc słodkie liściki; ale ten zwyczaj upadać zaczął od chwili otworzenia kanału spławnego, od Nilu do Alexandryi, a z wnętrzem kraju komunikującego. Ten środek bowiem oparł handel na daleko silniejszej podstawie od transportów karawaną, a bezpieczeństwo dromaderów i innych posłańców, tém samém zaczęło być szanowaném przez krajowców i fellahów okolicy sąsiedniej téj komunikacyi. Przydać do tego wypadła szczególniejszy dozór policyjny mameluków, który im wraz z zarządem, od czasu piérwszego jeszcze podboju w roku 1519 sultan Selim powierzył. Przybycie dopiero Francuzów w roku 1798 wyrwało Egipt z tego odretwienia. Linia telegraficzna wynalazku pana Chappe, zaprowadzona w Egipcie przez Bonapartego, zniweczyła wszelkie środki komunikacyj spiesznych systemu tureckiego i arabskiego. Następnie wice-król Egiptu Mehmed-Ali zaprowadził statki parowe, między Alexandryą i Kairem, i różne inne ulepszenia. Za jego bowiem rządów już od roku 1814 każdy Europejczyk nawet pojedynczo, mógł przejść, choćby pieszo cały Egipt i Syryą wzdłuż i wszérz, a wszędzie musiał znaleźć pomoc u fellahów i protekcyą u szejków, w razie potrzeby. A gdyby mu jakie nieszczęście wydarzyć się miało, jak naprzykład zabójstwo, wówczas cały okrąg głowami odpowiadał. Traktat londyński z 1841 roku w skutek interwencyi europejskiej, między wice-królem Egiptu i sultanem Abdul Medzid zawarty, popełnił błąd nie do darowania; odjąwszy bowiem wice-królowi Egiptu rządy Syrii, wystawił na okropne prześladowania liczne familie chrześcian, w tamtych krajach od wieków osiadłe, a nadewszystko skompromitował na zawsze bezpieczeństwo podróżujących. Maronici, Druzy i inne pokolenia arabskie z gór Libanu, napadają z bronią w rękę na Europejczyków; nie ma teraz sposobu dostać się nawet do saméj tylko Jerozolimy, bez licznój karawany.

Używanie gołębi na całym Wschodzie, odbywało się w następujący sposób: kiedy para gołębi, to jest matka i ojciec, miały młode, wówczas brano matkę z jednym pisklęciem z Alexandryi do Kairu, a samca zostawiono z drugim pisklęciem. Jeśli potrzebowano pisać z Kairu do Alexandryi, wówczas mały kawałek papieru zapisanego lub leciuchną korespondencyą przywiązywano gołębiczy, nitką pod szyją lub piersiami, i puszczano z domu. Wrodzonym instynktem poleciała ona do Alexandryi, aby nakarmić swojego drugiego małego gołąbka, a zarazem zносиła list. Podobnym sposobem odnosiła odpowiedź do Kairu, bo po nakarmieniu małego na wolność wypuszczona, znowu spieszyła do swojego pisklęcia w Kairze będącego. Mówię tu tylko o dwóch punktach, Alexandryi i Kairze, dla przykładu i dania wyobrażenia o téj nadpowietrznej korespondencyi, która istniała przez tyle wieków pomiędzy kupcami, familiami, przyjaciółmi i kochankami. Ta poczta była szybką i pewną. Posłańcy krzyżowali się w powietrzu z listami w rozmaitych kierunkach, nigdy się nie zaczepiali, i w jak najprędszym czasie stawali w miejscu swego przeznaczenia, jeśli tylko jakie nieszczęście ich w podróży nadpowietrznej nie spotkało, jak na przykład jastrząb, krogulec, sokół lub orzeł. Dziś te nadpowietrzne korespondencye zupełnie upadają, nie mogąc konkurencyi wytrzymać z telegrafami, których szybkości nic nie wyrówna.

Miary dróg. Tu wypada przydać dla wiadomości podróżujących, że miary drogowe na całym Wschodzie bardzo się różnią pomiędzy sobą, tak pod względem zwierząt, jak drogi przebiegają się mającej. Na każdy jednak przypadek, radzę trzymać się następującego doświadczonego rachunku. Godzina pochodu wielbłąda, liczy się za dwie mile geograficzne, albo za dwie i jedna trzecia stacye, albo za półtrzecię mili rzymskiej, albo za jedenaście tysięcy metrów. Dwadzieścia i cztery godzin marszu wielbłąda, czyli dzień drogi, zwykle liczy się za trzydzieści mil.

Dawniej liczo na dzień podróży, czyli *merhala* albo *me-xilnihar*, ośm mil czyli ośm *parasang*, albo trzydzieści *millar*, co wyrównywało 23,077 metrom.

Curso albo *Carrera*, znaczyło dwadzieścia i cztery godzin marszu morzem i lądem, albo półtora stopnia, który odpowiadał 100,000 krokom.



POSZUKIWANIA

DO HISTORII ROLNICTWA KRAJOWEGO.

ODDZIAŁ IIgł.

Część pierwsza.

Jeszcze rzut oka na wiek XVI.—Niektóre pisma i dzieła rolnicze z XVI i XVII wieku.—Inne pisma będące w związku z literaturą rolniczą: publicyści i moralisci.—Upadek rolnictwa w końcu XVII wieku.

I.

Zanim wejdziemy w epokę, w której napotykamy widoczne ślady chylenia się rolnictwa naszego ku upadkowi, niechaj nam wolno będzie raz jeszcze wrócić myślą poza siebie, i na chwilę jeszcze pozostać w czasach, któreśmy już przebiegli. Czegokolwiek z przeszłości krajowej dotknąć się przychodzi, zawsze wiek XVI i pierwsze chwile XVII najwięcej myśl i uwagę zajmują i najsilniej do siebie przyciągają. Zawsze z żalem przychodzi opuszczać tę epokę, w której gieniusz narodowy we wszystkich kierunkach najdzielniej się rozwinął i najpiękniejsze pomniki dla siebie zbudował. Podobnie w życiu pojedynczego człowieka są epoki bogatsze, pełniejsze, szczęśliwsze, do których chętniej powraca pamięć starca i z większą lubością w nich przebywa, i więcej ma z nich do czerpania, dla nauki lub zabawy swych wnuków.

Kiedy więc zwrócimy raz jeszcze myśl na owe czasy, spostrzeżemy, że i w rolnictwie wiek ten był niepospolitym; rozmiary jakie wtenczas zyskało, wielość i różnorodność produktów jakie wydawało, nadmiar jaki rozsyłało po wszystkich krajach, na-

dają mu znaczenie niezaprzeczone. Znakomitością rezultatów zyskało ono miejsce godne pamięci i uwagi ludzi zastanawiać się lubiących. Obok dostatków we wszystkich klassach mieszkańców, Polska była wówczas śpichlerzem Europy. Bilans ogólny handlu wypadł na jej korzyść, chociaż już wiele rzeczy zbytkowych sprowadzano z zagranicy, a tę korzystną przewagę winna była swojemu rolnictwu wyłącznie. Nie sama żyzność ziemi była tego przyczyną, bo później ziemia ta sama została; nie jej przyrodzenie sił rodzajnych nie odjęło, słońce nie odwróciło od niej błogich swych promieni, a jednakże wszystko się zmieniło. Wprawdzie nastąpiły długie i ciężkie burze, które kraj do szczytu sił żywotnych pozbawiły, ludność zmniejszyły, wszystkie korzenie, któremi kraj siły i zdrowie czerpie, poprzecinały. Ale i to minęło: pokój powrócił, goiły się rany w długich kłęskach poniesione, a pomimo tego rozmiary produkcji wieków minionych już nie powróciły. W miejsce bogactwa następowało powoli ubóstwo. Były alternaty lepszych i gorszych chwil, ale już nigdy pola nie pokryły się takimi plonami, rzeki taką ilością statków ładownych, ani błonia i pastwiska takimi stadami wołów i koni. Epoka świetności rolnictwa już nieodwołalnie minęła: brakowało mu warunków pomyślności, które jeszcze w wieku XVI i w pierwszych początkach XVII wieku posiadało, a których już potem odzyskać nie mogło.

W wieku XIV te warunki pomyślności leżały w podziale posiadłości ziemskich, w umiarkowanych powinnościach, w wolnym ruchu ludności rolniej, w wielkiej liczbie drobnych własności, i ztąd wynikającej swobodzie rolnictwa, w samej wreszcie dziewiczości i bogactwie natury i możności czerpania w nich swobodnie. Napływ osadników, mnożenie się ludności, wzrost miast, a z niemi przemysłu i handlu dopełniały w wieku XIV tych przyjaznych stosunków, które były dźwignią rolnictwa w tej oddalonej epoce.

W wieku XVI, warunki pomyślności a nawet wielkości, przeniosły się gdzieindziej. Zmiany polityczne obsypały wielką własność przywilejami, te stały się podstawą wielkiej uprawy. Wielka uprawa wszystkie korzystne warunki spotkawszy wokoło siebie: pokój, bezpieczeństwo, obfitość rąk niekosztownych, odbył korzystny, drogi handlowe łatwe i pewne, wywołały tę olbrzymią produkcją, którąśmy w części poprzedniej starali się przedstawić czytelnikowi.

Ale obok tych ogólnych i niejako pierwszorzędnych przyczyn pomyślności ówczasowego rolnictwa i wielkości jego rezultatów, były inne, że tak powiem, drugiego rzędu. Zwykle ku osiągnięciu znakomitych rezultatów, gromadzi się znaczna liczba przyczyn i warunków mniejszych i większych, które przy szczegółowem dopiero rozpatrzeniu dają się dojrzyć. Czasem potrzeba zmienić punkt widzenia, na inne przenieść się stanowisko, aby je dostrzedz. Najczęściej po upływie dopiero długiego czasu, właściwości pewnej epoki stają się tyle wyraźne, iż można je ująć i określić. Moralny mianowicie i obyczajowy charakter pewnego okresu, nie da się ocenić tylko z odleglejszego punktu widzenia. Zanim pewne idee znikną albo powstaną, potrzeba częstokroć wieków; bo pomimo chęci, krzyków i wmawiań pewnej liczby ludzi, świat postępuje nader wolno.

W wyobrażeniach to XVI wieku, w stosunkach wewnętrznych, w całym splocie społeczeńskim, szukać potrzeba tych przyczyn drugorzędnych, które niemało wpłynęły na utworzenie stanu rzeczy przyjaznego wysokiemu rozwinięciu i wykształceniu rolnictwa.

We wszystkich nieomal krajach, z małemi tylko wyjątkami, rolnictwo gra ważną rolę i jest niejako fundamentem pomyślności i siły narodów. Ale rzadkie są bardzo takie, gdzieby z niem nie współubiegały się w ważności, inne rodzaje pracy, inne źródła bogactwa. U nas, szczególnym zbiegiem okoliczności, rolnictwo stało się wszystkiem: jedynem źródłem fortun prywatnych; wyłącznym zajęciem klass uprzywilejowanych i ukształconych; jedynym dostarczycielem piodów na wywóz zagraniczny. Miało i ma dotąd obowiązek zaopatrywać wszystkie potrzeby, karmić zbytek, tworzyć bogactwa. Przyrodzenie odmówiło nam gotowych piodów, które w wielu krajach są źródłem mienia prywatnego i bogactwa publicznego: klimat surowy pozbawił mnóstwa rzeczy, które cywilizacya za konieczne uznała. Rolnictwo wszystko miało zastąpić i wszystkiemu sprostać; i był czas, że wszystkiemu podolało. Co więcćj, stan rycerski brzydził się kupiectwem i nie dopuszczał się niem zatrudniać; niechętnie nawet patrzył na miasta i poniżał je. W tém położeniu rzeczy nie mógł powstać ani obszerny i żywy handel wewnętrzny i zagraniczny, ani obszerne i silne rozwinięcie przemysłu, którego miasta tylko mogą być siedliskiem. Przemysł jaki był, upadł, a kupiectwem zajęli się prawie

wyłącznie cudzoziemcy. Rolnictwo więc zostało prawie jedynym a przynajmniej głównym zatrudnieniem większej części ludności krajowej, a wyłącznym stanu rycerskiego. Ono jedno godziło się z klejnotem szlacheckim. Rycerz przedewszystkiem powinien być rycerzem. Mógł piastować godności świeckie, tojest sądowe, dyplomatyczne, albo urzędy obywatelskie. Prócz tych, miał zawód duchowny. Ale co się tyczy jego fortuny prywatnej, sposobu utrzymania, jój pomnożenia, tego mógł tylko szukać w rolnictwie; wszystkie inne sposoby były mu zagrodzone, niedostępne. Praca około ziemi i praca skrzętna, była koniecznością, i tém większą koniecznością, im więcej stan rycerski ogrzewał ogień życia, dzielność ducha, miłość dobra publicznego, im więcej czuł się zdolny do walnych usług i znakomitych czynów, a w ziemi tylko szukać mógł ku temu środków. Ztąd wyrodziło się u nas poszanowanie dla rolnictwa, przywiązanie do ziemi, zwrócenie wyłączne starań i uwagi na tę jedną gałąź bogactwa publicznego, z zaniedbaniem wszelkich innych. Rolnictwo na tém zyskiwało, bo rosło i kwitło całą siłą zwróconych ku niemu usiłowań i nakładów. Inne gałęzie bogactwa krajowego na tém cierpiały, bo od nich odwróciła się i uwaga prawodawców, i opieka rządu i troskliwość tych prywatnych, którzy im skutecznie mogli przyjść w pomoc. Duch przedsiębiorczy, przemysłowy, handlowy, został zabitym w narodzie; miasta cudzoziemczale pozabawione zostały znaczenia. W tym stanie rzeczy, sztuki nawet nie miały gniazda, siedliska, przytułku, wyjąwszy dwór monarchów i niektóre zamki możnych. Gieniusz narodowy został ochromiony taką budową socyalną, nie mógł wybujać, rozrość się we wszystkich kierunkach; kilka wielkich jego prądów, które może najsilniej przykładają się do rozmnożenia bogactw narodów, żywotnych jego sił, do różnostronnego wykształcenia, do podniesienia świetności i uwiecznienia pamięci w późnych wiekach, były w źródle samém zatamowane.

A więc rolnictwo, jak powiedzieliśmy, było jedyną podstawą fortuny, przedmiotem jedynym domowych zajęć po pracach publicznych, jedynym honorowym sposobem z bogacenia się. Ziemia była istną matką żywicielką naszych przodków; nic więc dziwnego, że ją kochano. Rolnictwo było powszechnym zatrudnieniem, chlebem powszednim wszystkich; nic więc dziwnego, że je szanowano. Wszystkie prawa polityczne opierały się na posiadaniu ziemi, każdy więc kto mógł być rolnikiem, na większą lub mniej-

szą stopę, później lub wcześniej, krócej lub dłużej. Dla wielu z szlachty rolnictwo było jedyną umiejętnością praktyczną. Z ojca na syna i wnuka przechodząc, jako stałe zatrudnienie, stawało się sztuką tradycyjnie doskonalącą się. Wreszcie, ten związek, to przymierze z ziemią, stało się nierozzerwanym, w przesąd nieomal zamieniło się z czasem, i przeszło jak wszystko złe i dobre w krew późniejszych pokoleń. Dziś jeszcze podobno trwa ono w całej mocy. Niejeden z nas pomimo woli i wiedzy przenosi prace około ziemi nad wszelkie inne; niejeden nie umie zdać sobie sprawy ze wstrętu jaki ma do wszelkiej innej; niejeden gorzko oplaca niedostatkiem, ubóstwem to ślepe przywiązanie do zawodu, który przestał być korzystnym, a stał się trudnym i omylnym.

Na tymto związku z ziemią, na tém do niej przywiązaniu, rolnictwo XVI wieku dobrze wychodziło. Zajmowało ono największą i najzamożniejszą część narodu: to było dostatecznym do podniesienia go moralnie, naukowo i praktycznie; to tłumaczy nam jego wzrost, kwitnienie i obszerne rezultaty, jakie wówczas wydało. Gdziekolwiek zwróci się intelligencya, starania czołowej części narodu, tam wypadki muszą być znakomite. Zwykle zwracają się one tam, gdzie jest największa summa korzyści do osiągnięcia, lub gdzie powołuje naturalna skłonność i zdolności. Ale w narodzie rycerskim liczba powołań była ograniczona czarodziejskim kołem wyobrażeń, a wyobrażenia te były tak silne, iż nikt ich przekroczyć nie odważył się. Nie było zresztą powodu ani potrzeby narzekać na ten przymus, bo posiadanie ziemi było źródłem korzyści i bogactwa.

W takich stosunkach jakie dopióro co skreśliliśmy, spostrzegamy ważny powód do podniesienia się rolnictwa w owęj epoce. Ale niedosyć na tém.

Każdy wiek i każde społeczeństwo ma nie tylko swoje dążenia i właściwy charakter, ale jeszcze pewien zasób przekonań, wierzeń, zapasów moralnych i religijnych. Te stanowią siłę jego, nadają mu spójność; bez nich ostaćby się nie mogło. Ale summa ogólna tych zapasów duchowych, bogactwo téj skarbnicy, nie we wszystkich wiekach i społeczeństwach jest jednakowe; nie masz żadnej wątpliwości, że jedne są w nie ubogie, a inne zamożne. Zkąd to pochodzi, czy z woli i działania ludzi, czy z ich błędów i zaślepienia, czy z wpływów wyższych i niezależnych od nich — niechaj to rozstrzygają mędrcy; dosyć, że tak jest. Jak

z serca i z rozumu pojedynczego człowieka, snuje się pasmo jego czynów i w miarę bogactwa wierzeń i zasobów moralnych, staje się życie jego pełniejsze, skuteczniejsze, wydatniejsze siłą i dzielnością ruchu; tak w życiu narodów i w zastosowaniu do pojedynczych gałęzi pracy społeczeństw, ten sam pojawia się fenomen. Moralne i religijne zasoby są zarazem podstawą pomysłowości narodów, nawet w sferze materialnej. Zamiłowanie pracy i oszczędności ożywia społeczeństwa niemi przejęte. Jakaś dziwna niespotykana gdzieindziej czerstwość i dzielność w nich panuje. Mają silniejszego ducha inicjatywy, silniejszą wolą i większą odwagę. Zdolne są stwarzać wielkie przedsięwzięcia i wykonywać je. Nie trawią ich podłe, niskie namiętności, które pozerają wnętrzości społeczeństw pozbawionych ducha Bożego. Zdaje się, jakby niewidoma ręka wspierała ich prace i przedsięwzięcia, i mnożyła owoce ich zabiegów. Mnoży się wszystko: bogactwa, umiejętności, sława, wielkość. Przeciwnie, narody i społeczeństwa, którym zbywa tych kardynalnych podstaw, więdną, obumierają; ani praca ich skuteczną, ani wysilenia błogimi owocami wynagradzane nie są. Jakieś rozstrojenie zakrada się w łono indywidualuów i w ogół sam. Praca staje się nieznośną i przymusem wydobywać ją potrzeba. Indywiduum na indywiduum, część jedna społeczeństwa na drugą, mniejsi na większych, ubożsi na bogatszych i nawzajem, spoglądają okiem zawiści lub pogardy. Zbytek i namiętność użycia opanowują wszystkich. Powstaje łaknienie cudzego w miarę obrzydzenia do pracy i zamiłowania zbytku; węzeł miłości i współczucia ginie.

Kiedy wpatrujemy się w społeczeństwo polskie w XVI wieku, spotyka się w niém właśnie niemalą jeszcze liczbę tych cnót domowych, tego moralnego i religijnego uposażenia, o których powiedzieliśmy, że stanowią ich siłę i trwałość. W stosunkach klas wyższych i niższych, panuje patryarchalność, która surowość praw samych łagodzi. W życiu publicznem i prywatnem przebijają się stara pobożność kierująca sumieniem i wszystkimi krokami życia. Prywata i egoizm poczynają się wciskać, ale obyczaj je odpychają. Prawa zaczynają być niesprawiedliwsze, ale łagodzi je w zastosowaniu miłość chrześcijańska. Nadużycia się zdarzają, ale jakieżto oburzenie wzbudzają w umysłach nieskazitelnym! Mnóstwo śladów tego pozostało w pismach ówczesnych. Znać wszędzie we wszystkich częściach budowy społecznej ten cymnt moralny i religijny, który wszystko spaja i utrzymuje,

a który później słabnąć i puszczać zaczynał coraz więcej. Wiadac krzepkość i siłę, a chociaż rysy dają się już dostrzegać w budowlu, jeszcze ona dzielnie opiera się zepsuciu.

Z przyjemnością wówczas spotyka myśl nasza postać rycerza-rolnika; postać tak piękną, poetyczną, wspaniałą; postać, która odbija w sobie wszystkie przymioty i instynkta narodowe i cały gieniusz miejscowy. Rycerz-rolnik wypełnia sobą tę znakomitą epokę; wszędzie widzimy go na przodzie. On w ciężkiej koczudze harcuje na granicach z nieprzyjaciółmi kraju, on przepisuje prawa, on kresli dzieje narodowe, on wreszcie z plugiem w dłoni uprawia tę ziemię, którą przed chwilą piersiami swojemi broił. Później, kiedy zbytek swobody zaćmił tę szlachetną część narodu i popchnął na drogę błędów, niejedną cnotę mimo tego przechowała i umiała odkupywać błędy tysiącami poświęceń. To pewna, iż w epoce o której mówiliśmy, przewodniczyła rolnictwu krajowemu z zaszczytem i pożytkiem. Nietylko w ważnych rezultatach, ale w wielu pismach o rolnictwie, pozostały nam tego ślady i o tych właśnie mówić nam przypada.

■ ■ .

Rolnictwo nasze było czysto-miejscowym wyrobem praktycznym. Nie przyniósł go nam żaden obcy naród, ani żadne obce osady, ale przez wieki rozwijało się i kształciło rozumem narodowym i przechodziło podaniem i przykładem z pokolenia na pokolenie. Podniosło się nie domyślając się nawet, iż mogą być książki, które go nauczają. Doświadczenie i tradycya zastępowała ich miejsce. W pierwotnych pismach naszych w téj materji przebija się wszędzie poszanowanie dla doświadczenia i poleganie na podaniu. Musiało to mieć znakomite praktyczne korzyści. Pomimo tego zaraz w epoce w której tworzyć się zaczyna literatura krajowa i książki drukować zaczynają, zjawiają się i pisma rolnicze. Wiele z nich zapewne nie doszło do nas; bo jeśli dzieła znakomite, ważne, naród cały, jego dzieje lub prawodawstwo obchodzące, mogły zaginąć lub przypadkowo kiedyś dopięro być odgrzebywane; ileż łatwiej mogły zaginąć i zaginąć niepowrotnie, pisma, które czasy późniejsze mniej obchodziły. Z tych nawet, które pozostały, wiele zapewne butwieje w zapomnieniu. Są bez wątpienia i takie, które zużyły się i przepadły zużyciem w upływie wieków. Z wielkiem

więc prawdopodobieństwem wnosić można, że nie wszystkie doszły do nas. Wszakże i ta mała część jest szacowna i pod niektórymi względami zajmująca. Jeżeli z nich niewiele skorzystać można dla nauki rolnictwa, to przynajmniej widzieć się daje, że wiele jest rzeczy starych w tej umiejętności, które dziś mamy za nowe; że w porównaniu do naszych te wieki oddalone nie były tak ciemne i nieświadome, jak je w zarozumiałości naszej wyobrażamy. A co więcej, maluje się nieraz w tych pismach duch wieku i moralna jego strona, wybitniej; jakby się tego w dziełach podobnej treści spodziewać można.

Najdawniejszém o ile wiem z pism rolniczych u nas drukowanych jest tłumaczenie Krescentyna, który pisał w wieku XIV, a któreto tłumaczenie wyszło u nas w 1542 roku (1). Chociaż to tylko przekład, ale że dzieło było w swoim czasie cenione, że zapewne miało wpływ, i że jest jedném z najpiérwszych, jeśli nie piérwszém, które wyszły u nas, powiemy więc o niém słów kilka.

Nie dziwię się, że to obszerne pismo miało w swoim czasie walor, bo jest niejako encyklopedyą rolniczą. Traktuje nietylko o roli, ale o chowie inwentarzy i leczeniu jego chorób; o drzewach, ziołach i ich hodowaniu w ogrodach; o winnicach; o polowaniu; w końcu zaś zawiera kalendarz gospodarski. Pomimo pozornój systematyczności pełno jednak w tém wszystkiém zamieszania. Wiele materyj traktowanych jest powierzchownie i niedokładnie. Zdarzają się niekiedy dziwne teorye, których dziś trudno nawet pojąć. I tak np. wszelkie zboża dzieli autor na zimne i ciepłe, na wilgotne i suche, i to podług pewnych stopni. Pomimo tego jest w tém dziele pewna nauka; powołuje i zna autor, Varona, Columellę, Katona, Arystotelesa i innych starożytnych. Napotkać tam można niektóre rzeczy ciekawe; w materyi nawozów zalecone jest użycie gliny, kredy, wapna, a na miejscach gliniastych grubego piasku; zalecane również jako nawóz popioły, a mianowicie pognoje czyli nawozy zielone, na któryto cel autor szczególniej rodzaj grochu zwany słonecznym zachwala. Radzi siać wyki na paszę zieloną i zaraz ścierniska pod oziminy przyorywać. Gałęzie z dębu, topoli, brzoštu, wiązu, jesionu

(1) Tytuł jego jest taki: Plotra Krescentyna księgi o gospodarstwie i o opatrzeniu i rozmnożeniu rozlicznych pożytków każdemu stanowi potrzebne. W Krakowie u Heleny Floryanowój, 1542 r.

i innych liściowych obcinać, przechowywać i jako paszę dla inwentarza, mianowicie dla owiec, używać. Radzi pola skupiać i łączyć w jedną całość, okolać rowami i żywoplotami; wodę jeśli jest ciekąca chwytac i na skrapianie używać. To co mówi o sztucznych łąkach jest uwagi godnem, zwłaszcza ze względu na czas w którym to pisane. „Chciałby téz kto na polnych miejscach łąkę uczynić, takoz masz rozrównać ziemię, każdą bryłkę i téz górkę rozkopawszy, na takowej ziemi nasienia wyki i innych nasiać, albo siennego prochu roztrząść, a nie dopuszczać żadnej zbytniej zastanawiać się wodzie, póki jeszcze ziemia świeża będzie. Wszakże, gdy się już zleży, wodę na takową łąkę przypuszczać.” „Bardzo téz to do wzrostu trawy dopomaga” mówi dalej „gdy będą łąki świeżym gnojem przytrzesione, a zwłaszcza, gdy jak skoro po zebraniu siana będą odwilżane napuszczaniem wody, bowiem za taką sprawą i dwakroć może być potraw przez lato sieczon. Gdyby téz łąka już zastarzała była, tedy ją mchem wszędy potrząść; a gdy zasie mech będzie (jak Palladius naucza) często potrząść tam popiołem. A gdyby już łąka nieplodna była, dla wyrodzenia tedy najlepiej zasie ją zorać i znowu porównać (1).” Niewiele dzisiaj potrafilibyśmy dodać do téj teoryi naprawiania i zakładania sztucznych łąk.

Ciekawym jest także ustęp o machinie do żęcia zboża, gdyż wskazuje jak dawnemi są usiłowania wynalezienia tej wyřęcycielki rąk ludzkich. Mówi autor: „W ziemi francuzkiej, tam, gdzie jest wielka równia, bardzo prędko zżynają bez nakładu prace ludzkiej, tak, że to co przez cały miesiąc roście, jednego dnia jednym wołem późnie, tym obyczajem: uczynią wózek na dwóch kółkach niskich na którym przyprawią szerokość dna z desek albo z tarcic, na bokach téz deskami obiwszy: tak uczynią, iż przodek onego wózka z onemi deskami niższy będzie ku ziemi, a zad wyższy może być podnoszon, według jako potrzeba ukaże; także na przodku, a ku dołu mniejsza połowica deski będzie a wżórze większa. Tamże u dołu będą jakoby zęby grzebioniowe tak gesto, jakoby się ktoś nie wymknął. W tyle téz onego wózka będą dwa dyszle postronne, niewielkie, między które zaprzęgą wołu, tak, iż się czolem do wozu obróci i poganiają go, a on potoczy przed sobą wózek, jakoby taki, któremi ziemię toczą na groble, a tak one grzebienie przednie, kłosy będą obrywać, słomę i dziedbła zostawiając,

(1) Ks. VII, str. 479.

które téz ono jedno drugie będzie wzgóre na wózek popychało. Także taczając i zasię nawracając bardzo rychło późnie. Wszakoz ma być wół powolny, a poganiacz téz roztropny, któryby umiał przodek z zębami podnieść albo zniżyć, podług wysokości albo téz nizkości żyta. Ale takowe żęcie nie może być tylko w równém polu, a tam gdzie słomy nie potrzebują (1)". Żałować można, że tłumacz, który niezłym językiem powyższe dzieło przełożył i licznemi drzeworytami, jak to zwyczaj był powszechny w owym czasie, przyozdobił, nie zamieścił żadnych przypisów, rzucających jakieś światło na stan i położenie krajowego rolnictwa, i nigdzie, przenosząc na polski język, a więc dla Polaków, dzieło włoskiego agronoma (Piotr de Crescentiis, był bowiem Bolończykiem) nie zatrzymał się i nie zwrócił uwagi, na różnice klimatów, kultury, zwyczajów i t. p.

Zpomiędzy pism oryginalnych, miejscowych z wieków XVI i XVII, zdarzyło mi się widzieć, czytać lub napotkać wzmianki o następujących:

Gospodarstwo dla młodych; z ryciną wystawiającą podstarościęgo i czeladź z r. 1598.

Wąsockiego uwagi rolnicze z r. 1601, które Czacki często powołuje.

Pamięć robót gospodarskich, Teodora Zawadzkiego, Ilgie wydanie 1632 r.

Ekonomia albo Gospodarstwo ziemiańskie, dla porządnego sprawowania ludziom politycznym dziwnie pożyteczne, przez Gostomskiego, Ilgie wydanie 1644 r.

Skład albo Skarbiec znakomitych sekretów ekonomii ziemiańskiej przez urod. Jakóba Kazimiérza Haura.

Tenże sam Haur wymienia Ekonomią ks. Hercyusza w 4-ce po polsku; drugą *incerti autoris* w-4ce po polsku, i wspomina o herbarzach różnych autorów, do których dołączona była ekonomia.

Napotykam jeszcze, iż w wieku XVII wydali dzieła ekonomiczne Wojciech Strumiński i Felix Żebrowski, których tytuły niepodane.

Z odnoszących się do pojedynczych części gospodarstwa wiejskiego, są:

(1) Ks. III, str. 155.

O rybnikach, czyli sztuka hodowania ryb p. Dubrawskiego, 1600.

Gospodarstwo stawowe, Strojnowskiego.

O Świerzopach i ograch, Micińskiego.

Hippica czyli o koniach, Dorohostajskiego.

O pasiekach, Kąckiego.

Gospodarstwo jeздеckie; o którym już dawniej wspominaliśmy.

Liczba jest więc niemała, lubo bez wątpienia wiele jest takich z którymi spotkać nam się nie zdarzyło, i łatwo przyjdzie spis ten znacznie pomnożyć.

Rozpatrując się w najdawniejszych z powyższych pism ekonomicznych, tych, które sięgają XVI w., lub przypadają na początek XVII, spostrzegamy, iż one nie wypłynęły z obcych źródeł, z naśladowania lub zapatrzania się na literaturę rolniczą innych krajów. Ani Zawadzki, ani Gostomski nie powołują nigdzie obcych pisarzy; ani znać tego w formie lub sposobie zapatrywania się na ogół ekonomiki, iżby z cudzoziemskich źródeł czerpali. Prędzej grzeszą nieświadomością obcych stosunków jak ich naśladownictwem. Widać w tych pismach, iż powstały z pilnego rozpatrzenia się naokoło siebie, że urodziły się, wzrosły i dojrzały w domu. Nigdzie nie wychodzą one poza granicę prostej empiryi; nawet sztuka uprawy ziemi czyli właściwe rolnictwo, poślednie zajmuje w nich miejsce. Nie zdają się domyślać tego, iżby to była sztuka mogąca się doskonalić. Widać dobitnie w tych pismach, iż są kreślone w kraju żyznym, który ma ziemi dostatkem jeszcze. Spuszczają się na bogactwo przyrodzone matki natury, i nie potrzebują jęj tajemnic sztuką i usiłowaniem zdobywać; podniesieniem sztucznem żyzności ziemi i wydatności łąk mało się zajmują; stary obyczaj nadewszystko kładą, a przykładem doświadczonych rolników uczyć się każą. Więcej się o to troszczą jak zamknąć dobrze, od szkody ochronić, troskliwie opatrzyć, aniżeli jak z danęj przestrzeni największe plony wyciągnąć. Sztuki urządzania folwarków i posiadłości wiejskich nigdzie nie spotkasz dotkniętęj; zdaje się jakoby się nie domyślali, iż może być inny obyczaj jak ten, co go mają przed oczami. Zamiast szukać sposobów oszczędzenia rąk i pracy, każą mieć odpowiednią liczbę kmieci. W ogóle mało widać w nich sztuki i przemysłu. Nie przejęto zdaje się myśli Varrona, który powiada: „agricultura non modo est ars sed etiam necessaria ac magna.”

Natomiast nieporównani są ci starzy nasi rolniczy pisarze, w rządzie wewnętrznym, w organizacyi gospodarskiej w obrębie podwórza. Można powiedzieć, iż na to główną obracają bacność, jak dzielić pracę, jak zarząd, co od kogo domagać się, co komu poruczać; jak od szkód zapobiegać, jak sług odzierać i kontrolować, jak kmieci strzedz, jak się z nimi obchodzić, jak mieć staranie około gumien i zboża, jak sploty zarządzać i odbywać. Widać to wyraźnie, że te pisma nie są układane dla małych gospodarstw, że owszem tamtych weale nie mają na oku, ale dla gospodarstw rozległych, w których jest wiele sług, wiele rozlicznych gałęzi gospodarstwa, wielka produkcya i skomplikowany zarząd; w których najwięcej zależy na kierunku, ładzie, bo wszystko odbywa się przez sługi i urzędników. W tych wszystkich rzeczach pisma te są rzadkiej trafności i rozsądku, i pod tym względem mogły bardzo odpowiadać ówczasowym potrzebom. Największą zaletą jednak jest język, prostota i praktyczna mądrość, jaka z nich wszędzie wybija. Jak dalece duch chrześcijański przejmował ówczesne społeczeństwo, i na wszystkie kroki życia zbawiennie wpływał, tutaj nawet widzieć można. Jaśnieje on na wielu stronicach tych zażółtkłych wiekiem pisemek, dziwny powab im nadaje, i głęboką cześć obudza. Nabierają przez to nawet odrębnego charakteru wśród literatury rolniczej wszystkich miejsc i czasów. W gorących choć prostych wyrazach mówią o miłości bliźniego, wyrozumiałości dla sług, litości ku poddanym. Nie wierzą w pomyślność i powodzenie bez błogosławieństwa Bożego, a w błogosławieństwo Boże bez poczciwości i zasługi. Przytoczmy tutaj ustęp z przedmowy Strojnowskiego do jego Gospodarstwa stawowego, w której do synów mowę swą obraca w następujący sposób:

„Oddawszy Bogu co Bogu należy, pamiętaj coś powinien ludziom i sam sobie, chceszli błogosławieństwo jego mieć. Ludziom powinienes miłość, szanowanie, wedle sprawiedliwości i słuszności z każdym się obchodzić, nikogo nie ukrzywdzając, nikogo nie uciskając, a osobliwie poddanych (jeśli je Bóg da), którzy się odjąć nie mogą, ubogim dobrze czyniąc. Gdy niektóry Faryzeusz powiedział: że miłość bliźniego jako siebie, jest rzecz większa nad wszystkie ofiary; Pan przyznając mu to że dobrze rzekł, powiedział: iż niedaleko był od królestwa Bożego. Mówi Dawid: że ten, który jest niewinnych ręku i czystego serca, weźmie błogosławieństwo od Boga. To więdz, że co się daje ubo-

gim i na chwałę Bożą prawdziwą, to wszystko nie ginie, ale do skarbu niebieskiego bywa kładzione, wedle słów Syna Bożego. Wszystkie skarby i pieniądze nasze tu zostaną i nam nie pomogą; to tylko pomoże, jeśliśmy je włożyli do skarbu niebieskiego, bo z tego będziemy mieć świadectwo naszej pobożności w dzień sądu ostatniego.”

„Sobie z siebie jesteś powinien czystość, świątobliwość, skromność; co Paweł św. napisał, pamiętaj: że ciało nie wszeteczności, ale Bogu ma być oddane. Członki nasze są kościoły Ducha św.; chwalcieź tedy Boga (którego kościoły jesteście), w ciele waszém. A gdzieindziej: Toć jest wola Boga poświęcenie wasze, niechajże nie będą członki wasze środkiem wykonania złości, ale sprawiedliwości ku poświęceniu. Omcyi jesteśmy z grzechu, już się nim pozmazować nie mamy. Zalecam ci przytém skromność: bo przez nie nietylko dobre zdrowie, ale i całość rozsądku bywa zatrzymana. Przez skromność majątności nasze wcale dziadkom i sobie zachowujemy, przez te dostatki pomnażamy; chcę tedy, abyś był skromny w chodzeniu, w jedzeniu, picciu, budowaniu i w innych rzeczach. Niepodoba mi się owo, gdy ziemianin obaczywszy wielkiego pana, szczęścią się koni wożącego i w kosztownych szatach, wnet się jemu sprzeciwi, nie pomnąc na krótki dochód swój i skromność. Sprawi sobie poszóstne, chocia go para koni uwięzić mogła; używa jedwabnych szat, chocia to chudobie jego nie należy. Najadłby się trzech albo czterech potraw, a każe dwanaście gotować; chłopiecby mu sam posłużył, a przecie pachółków kilku chowa, na świetne barwy ciągnąc się, aby tylko był widziany. A cóż za tém następuje? — niedostatek, za nim długi, zastawy; zastawi albo zaarenduje majątność aby długi wypłacił, alić on jeszcze więcej się uwikła, zaczm przychodzi utracenie dóbr i wieczna nędza, której drudzy chcąc się uchronić, a to co nieskromnością i lekkomyślnością swoją opuścili, chcąc sobie nagrodzić, pobożności i słuszności zaniedbawszy, przemysły foremne wydziwiają chłopom, ról ujmują, a kopaniny swoje rozprzestrzeniając, robocizny przyczyniają, zalewają łąki poddanym stawków budowaniem, danin jednak nie umniejszają. Ujrzy drugi sad dobry u poddanego, wnet go sobie przywłaszczy i chałupę jego gdzieindziej przenosi. Wolność i to nam wszystko, ale nie wszystko duszy pożyteczne.... A przecie się te przemysły ludziom nie nadają, przecie zawždy w długu; przychodzi im nakoniec, że majątność przedawszy wniwecz się obracają, i tak sprawiedliwym sądem

Takemci ja znał i znam błogosławieństwo Pana mego, bom się też oto wedle możności méj grzesznej starał, abym chwały jego nie zaniedbywał. Wszystko to i ty sobie obiecuje, jeśli się będziesz Boga bał, a skromności nie odstępował. A nie mów jako owi, którzy majątności pracą przodków nabyte, marnie w młodości swój rozpraszają na szumne jedzenia, pacholki i zbytki insze, a mówią: żonę się to nagrodzi. Co choć bywa, ale rzadko. Lepiej jest, że się równy z równego cieszy, bogata się z ubogim nie zgodzi; będzie chciała więcej nad miarę szat kosztownych, koni, karet sług, pieaszcot, czego twoja majątność nie zniesie; powagi zażywając do rządu się mieć nie chce. Tak są zepsowane wieki te, że matki córki w próżnowaniu zwykły chować, pieaszcotom tylko przyuczać, każe się jej słońca, wiatru przestrzegać, twarz farbować, cudzoziemski ubiór na nią sprawować, w czaczkach, fere-tach, łańcuszkach, letnikach, posag ukazując. Czym i panna w powagę się zaprawia i prostak młodzieniec oszukan bywa. Mém zdaniem lepiejby z młodości tak mężczyzny jak białogłowy w pobożne zabawy i pożyteczne wprawiać, aby zbytkami temi nie obrażały Boga i w wezwaniu swoim mogły przystojnie i pobożnie żyć: bo kto się z młodu pracy nauczy, na starość próżnować nie umie. Gdy będzie wola Boża, żonę sobie wybieraj każdy z was, w urodzeniu, w lecich i w stanie sobie równą; wychowania dobrego, rodziców pobożnych, bo z taką większa zgoda. Jam tego doznał, że po łasce Bożej, zgoda w małżeństwie jest wielka pomoc do dobrego mienia: oba jedno chcą, jedno myślą. Gdy ręka rękę umywa, obie chędogie. Gdy dwa do jednego mieszka noszą, prędsze i sporsze napełnienie. A wstępuj w ten stan z bojaźnią Bożą, przystojnie, bez wszelkich złych przysad, przemysłów i czar. Wstąpiwszy, starania i prace nie zaniedbywaj, tym sposobem jakom już powiedział żyjąc, bez uci-sku ubogich ludzi, gdyż źle na kogo ci płaczą. Téj przestrogi pierwój chciałem tobie synu mój i innym braciej twej młodszym a synom moim, chocia w niebytności waszój, jakoby niejaki testament napisać. A obowiązuje was wolą ojcowską, gdy się wrócicie z cudzych ziem, bądźbym ja też tymczasem umarł, abyście się wedle nich sprawowali; bo jeśli żebyście bojaźni Bożej, pobożności zaniedbawszy, chcieli potem gospodarować, wszystkie rzeczy inne jako bez gruntu zostałyby się nie mogły: Bóg by wam nie błogosławił.”

Późniejsze pisma rolnicze z końca XVIIgo wieku, a mianowicie obszerne dzieło Haura, które zakończa z rzędu ten wiek, tak różni się od dawniejszych, jak się różni w ogólności koniec wieku XVIIgo od końca wieku XVIgo. Już w niem nie znajdujemy ani tój jedrności i czystości w wysłowieniu co w tamtych, ani tój prostoty w układzie, ani tój pobożnej wzniosłości w duchu. Upadek czasów odbija się zwykle w najmniejszych przedmiotach; znać go wszędzie na co spojrzeć i czego się dotknąć. Dlatego to każdy wiek ma swój styl, smak, przysłowia, ubiór, a wszystko to łączy się jakąś niewidzialną nicią w jedną całość i tworzy charakter wieku. To piętno wieku znajdujemy téż na dziele Haura. Zamiast wzniosłej i czystej pobożności spotykamy w niem pełno zabobonów i guślarstwa; w miejsce czystego języka, mowę chropawą i nieczystą; w miejsce prostoty, zamieszanie i nieład. Jest to prawdziwy las różnego rodzaju rzeczy, bez związku żadnego z sobą i bez związku z ekonomiką. Baśnie, anegdoty, lekarstwa, nauka o kompasach i zegarach, rzecz o malarstwie, sentencye moralne, sekreta na czary i gusła, prognostyki i dnie feralne: wszystko tam znajdziesz obok ogrodnictwa, łowiectwa, rybołówstwa, ekonomiki właściwej i t. p.

Są i tu jednak rzeczy ciekawe pod niektórymi względami. Jest wiele praktycznych spostrzeżeń na doświadczeniu opartych o roli, nawozach, uprawie i siewie. Spostrzegał to już Haur, że niektóre zboża więcej wyczerpują rolę jak inne. Nie były mu obce wiadomości o gospodarstwie w innych krajach. Wspomina o wielkich postępach rolnictwa w Anglii, o wybornym chowie bydła tamże, o wielkiej produkcji wełny; o rzuceniu się Anglików do gospodarstwa zbożowego, co podług niego wpłynęło na cenę naszych zbóż (1). Powołuje różne dzieła w różnych językach. Ma on więcej niewątpliwie nauki od swoich poprzedników, ale mniej smaku i rozsądku. Przepisuje on nawet jaką podręczną bibliotekę powinien mieć każdy rolnik. W materji poddanych bardzo obstaje Haur za robocizną pańszczyznaną (2); nie radzi czynszować dopiero jak się ma dostatek robocizny, „i dworskie chować pługi” mówi „ostatni to sposób, klóćże się z większym kosztem z parobkami, a jeśli się słabo w którym urodzi roku, to co Maciek zaorał i zasiał, Maciek téż zje.” Ma zresztą tę zaletę, iż pierwszy z naszych rolniczych pisarzy, zwraca uwagę na lasy.

(1) Str. 63. (2) Str. 45.

O obszerności, zamieszaniu jakie panuje w całym dziele, o dziwactwie i różnorodności przedmiotów, najlepsze dadzą wyobrażenie napisy niektórych rozdziałów, i tak np.: rozdział IIgi traktuje „o ziemi elementalnej, o Bożych mękach, o ogniu elementalnem, o salamandrze, o górach ognistych, o żydach, strojach, monetach, ogniach, miastach, o paleniu ludzi w pogaństwie, o cyganach, o Nilowej rzece, o topielcu, o sądnym dniu, o znakach na pogodę, o dziełach znakomitych Najjaśniejszego Jana IIIgo i t. d.

Z tłumaczeń, oprócz Krescentyna, jedno tylko spotykamy, to jest: Ekonomiki Arystotelesa, przez Petrycego. Ale Ekonomia Arystotelesa jest nią tylko z imienia; właściwie żadnego nie ma związku z rolnictwem. Jestto raczej teoria rządu domowego, a ściślej jeszcze, traktat o władzy ojca, męża i pana. Petrycy też nic nie dodał, coby charakter ekonomiczny jego pismu nadawało; jego przypisy są jednem z najnieznośniejszych i najrozwleklejszych gadulstw, o których uprzykrzeniu a częstokroć śmiešnością, trudno mieć wyobrażenie, nie czytając ich. Niechaj się nikt więc tytułem co innego obiecującym nie da ułować.

Dziwić się można, że pisma starożytnych o rolnictwie nie były u nas nigdy i nie są do dziś dnia tłumaczone. Nie zdarzyło mi się napotkać, aby się nasi ekonomiści na nich powoływali. Trudno przypuścić, aby miały być nieznanne: cała nasza literatura jest przesiąknięta znajomością starożytnych pisarzy. Zresztą dzieła rolnicze Varrona, Catona, Columelli, zasługują na to, aby były znane; mają one istotną wewnętrzną wartość, a dla narodu rolniczego nie powinny być być obojętne. Dziś nawet wzbudzają zajęcie, a w krajach gdzie nierównie wyżej stoi rolnictwo jak u nas, tłumaczą je i robią świeże ich wydania do dziś dnia. Dlaczego u nas niewiele, jak się zdaje, zwrócili na siebie uwagi, trudno dzisiaj domyślić się; niemniej trudno przypuszczać, o ile zgłębienie starożytnych agronomów byłoby przyniosło rolnictwu naszemu korzyści. To pewna, że obszerniejsza sfera wiadomości wzbogaca umysł i podnosi na wyższy punkt widzenia. Porównanie różnych metod i różnego obyczaju rolniczego, rozprzestrzenia sąd, odpycha jednostronność i fałszywe nałogi, wprowadza na nowe ścieżki i nowe metody. Nie brakowało wprawdzie naszemu obywatelstwu na poszanowaniu i zamiłowaniu dla roli; ale pisma starożytnych tém silniej w nich utwierdzić ich mogły; tu bowiem za ledwie można im wyrównać. Rzymianie mianowicie byli biegłymi rolnikami; Varro Italią swoich czasów nazywa ogrodem. Gie-

nieszem praktycznym właściwym temu narodowi. uzbierali i złożyli w swych pismach wiele maxym ważnych, z właściwą im zwięzłością ułożonych, które mogły być dać do myślenia naszym agronomom. Możeby byli usiłowali uniknąć tych kolosalnych folwarków, tego zlewu w jedną całość obszernych latifundiów, które stały się szkodą naszego rolnictwa, gdyby byli rozważyli tę zwięzłą maxymę: *in pastione ut in agro colendo semper utilius pauciora habere eaque bene pascere, quam plura male pascere.* (Colu: 1 c. 3). *In agris longius dissitis,* mówi tenże: *tolerabilius liberis colonis quam servis colere* (1 c. 7). *Ne villa fundum neque fundus villam quaerat* (Ca. re: c. 3). Pod względem obejścia z poddaniem, niejednemu za naukę posłużyłaby była mogła rozsądna rada Kolumelli: *non agendum cum colonis summo jure, summum jus summa crux.* Wiele tym podobnych napotkać tam można, z których te kilka dla przykładu wybraliśmy.

Co do czasu w którym u nas o ekonomice pisać zaczęto, widzimy porównywając lata wyjścia dzieł najdawniejszych w tej materji w Anglii, Francyi i Niemczech, iż nie daliśmy się wiele w tej mierze wyprzedzić. Ile mi wiadomo, do najdawniejszych liczą się: w Anglii dzieło pod napisem: *The boke of husbandry* z r. 1534; we Francyi *Caroli Stephani praedium rusticum* z r. 1554; w Niemczech *Con. Heresbachii rei rusticae libri IV,* 1595 r. Kiedy się jednak bierze pod porównanie jedno z najdawniejszych naszych dziełek rolniczych, np. Zawadzkiego, z najbliższym mu wiekiem Heresbachem, spostrzega się, że drugi ma wiele nauki i różnorodnych wiadomości. Zna na wylot starożytnych i niektóre zwyczaje rolnicze współczesne. Mówi gruntownie o urządzeniu i zakładaniu folwarków, a mianowicie o rozmaitego rodzaju umowach z osadnikami, czynszownikami, robotnikami najemnymi, i o sposobach w jaki każdy grunt najkorzystniej użyty być może. Wylicza mnóstwo narzędzi używanych w różnych krajach do prac około ziemi. O rozmaitych sztucznych nawozach naucza. Dla niego rolnictwo jest umiejętnością i sztuką. Dla naszego pisarza jest ono prostą empiryą. Brakuje mu wyższego poglądu w ocenieniu i porównywaniu stosunków rolnych. Ale w tych stosunkach w jakich się znajduje, umie obrócić zasób cały rozsądku i doświadczenia na osiągnięcie jak największych korzyści. Jest roztropny, praktyczny, ale pod jego piórem, rolnictwo nie jest bynajmniej *ars magna,* jak je zwał Varro.

Podobnośmy się zaobszernie rozpisali; więcej może, jak w tej materji należało. Ależ warto poznać swoje, choćby téż tylko drobnostki; warto rozpatrzeć się w domu, jak on wyglądał za dziada i pradziada, a chociaż wielu zdawać się będzie, iż to wszystko korzyści żadnej nie przyniesie, znajdzie się może taki, co ją i tutaj wynaléć potrafi.

III.

Takie było właściwe piśmiennictwo rolne w XVI i XVII wieku; ale było jeszcze wiele pism, w pośrednim z rolnictwem związku będących. Miał kraj wówczas światłych, miłością dobra publicznego przejętych publicystów, którzy wszystkie kwestye ekonomiczno-polityczne i czysto polityczne i czysto ekonomiczne brali pod rozbiór, badali, roztrząsali, i starali się wskazywać środki poprawy dla wszystkiego tego, co znajdowali błędném lub szkodliwém. Najznakomitszym pomiędzy innemi był Frycz Modrzewski, mąż wyższy niewątpliwie nad swój wiek, którego pismo *De emendanda republica* obudza dotąd w czytającym niekiedy podziwienie, zawsze poszanowanie. Dalej Ostroróg, Górnicki, Starowolski, całe obszerne dzieła rozbiorowi materij ekonomicznych, politycznych i obyczajowych poświęcili. Upominali wszyscy o utworzenie skarbu publicznego, o urządzenie porządnej obrony kraju, o zaprowadzenie stałych i równo rozłożonych podatków. Ostroróg zwracał uwagę na zły zarząd celi, na podłą monetę i drogi źle zaopatrywane; Łuk. Górnicki doradzał zaprowadzenie kadastru ogólnego; Starowolski urządzenie arsenałów, nowe osady na granicach i obwarowanie tychże; Modrzewski upominał o zły wymiar sprawiedliwości dla ludu i nierówność główszczyzna. „Wszyscy się niesiemy” mówi on „jakoby w jednej łodzi Rzeczypospolitéj. Gdy jeden członek ciała utrapienie cierpi, drugima miły żywot nie może być (1). Tamże widziałem to, gdy wiele rzeczy znacznych postanowiono u nas za uchwaleniem szlacheckiego stanu, wiele rzeczy szkodliwych odrzucono za nieprzyzwoleniem jego” (2).

Wszyscy ci publicyści o których wspomnieliśmy i wielu innych pisarzy w dziełach to treści religijnéj, to prawnéj, to filozo-

(1) Ks. III, str. 489. (2) Ks. I, str. 93.

ficznój, dotykali materij. ekonomicznych. Wszystkich ich mianowicie uderzały nowo wyrobione i ustalone stosunki ludności rolniczój. Rzeczywiście, położenie jój z wiekiem XVII stawało się coraz gorszym i coraz więcej rolnictwu i sprawie publicznej grożącym.

Widzieliśmy, jak statut toruński oznaczył jeden dzień tygodniowój robocizny tam, gdzie jój dotąd nie było; za ledwie pół wieku upłynęło, bo w latach 1560 i 1573 spotykamy synody dysydenckie, jeden wielkopolski, drugi małopolski, które już mówią o trzech dniach w tygodniu, i na to tylko usiłowania swe obracają, aby dalszy postęp powstrzymać.

Niedosyć na tém: konfederacya generalna po śmierci Zygmunta Augusta wyrzeka „Wszakże (1) przez tę konfederacyę naszą, zwierzchności żadnej nad poddanymi ich, tak panów duchownych jak świeckich nie derogujemy, i posłuszeństwa żadnego poddanych przeciwko panom nie psujemy; owszem, jeśliby takowe licencye gdzie były *sub pretextu religionis*, tedy jako zawsze było, będzie wolno i teraz każdemu panu poddanego swego nieposłusznego *tam in spiritualibus quam in saecularibus* podług rozumienia swego karać.” To postanowienie utwierdza i uświęca zwyczaj i prawo poprzednio istniejące, bo opieka prawa ziemskiego już wprzód była upadła. Upadła była również, dawna wedle statutu wiślickiego odprawa kmieci. Za Kromera już czasów żadnemu niewolno było ruszyć się, czyli jak się wyrażano wówczas wstać bez pozwolenia pańskiego, wyjąwszy tych, co od lat młodziutkich oddali się nauce lub kościołowi. Później i ten zwyczaj ustał: surowe kary ustanowiły prawa na tych, którzy przyjmują zbiegłych kmieci, i skróconą do ich dochodzenia drogę procesu.

W takim położeniu rzeczy, nie może zadziwiać nikogo, że znaleźli się tacy, którzy nadużywali téj władzy, jaką im prawa i zwyczaje w ręce oddały; że znaleźli się tacy, co naruszali własność, lekceważyli zdrowie i życie poddanych. Podobny stan wszędzie musiałby wywołać podobne następstwa. Nie masz społeczeństwa, w którémby mniej lub więcej nie kipiały brzydkie namiętności, prywatna i chciwość, i wszędzie prawa muszą przychodzić w pomoc do trzymywania ich na wodzy. Religia i obyczaje, choćby głęboko zakorzenione, spotykają zawsze tu i owdzie serca

(1) Vol. II, str. 842.

złe i sumienia skazone, do których nie znajdują przystępu. Zdarzały się, jak powiedzieliśmy, wśród takiego porządku rzeczy i zdarzać się musiały nadużycia. Dziwić się tylko można, że prawodawstwo doprowadziło rzeczy do takiego stanu; tak dalece zaufało jednym, tak dalece porzuciło drugich; tak szybko puściło się po niebezpiecznej pochyłości, po której dojść musiało do zagrożenia nawie publicznej.

Lepsze było położenie królewszczyzn, co z większego poszanowania dawnych praw i zwyczajów pochodziło. Krasiński mówi: „Rolnicy pod władzą królewską będący, obszerniejsze mają prawa i swobody, jak służący szlachcie i panom; przeciw pogwałceniu prawa, przeciw przetożonym do króla mogą się udawać” (1). Wprawdzie Petrycy w przypisach do Polityki Arystotelesowej powiada, że: „królewscy poddani w zamian za inne dogodności, muszą odprawiać stacye, ponosić cła i myta”; dodaje wreszcie: „owo wszędzie bięda, w królewskich dobrach imagina-ria, wolność, sprawiedliwość abo nie rychła, abo nigdy nie dojdzie.” Pomimo tych słów Petrycego mamy powody mniemać, iż lepszy stan kmieci utrzymał się w dobrach królewskich i ekonomicznych. Statut toruński jednego dnia w tydzień powinność i do królewszczyzn rozciągnął, ale nie ma śladu, aby ten rodzaj powinności był tam kiedy powiększony. Przyczyniała się także do lepszego stanu poddanych królewskich instytucya referendaryi. Wprawdzie lubo wiadomy jest czas powstania jej i w kilka miejscach *Volumina legum* o referendarzach wspominają, ich jednak atrybucye sądownicze w sprawach pomiędzy starostami, tenutaryuszami i poddanymi, nie są nigdzie wspomniane, aż do czasu przekształcenia assessorij w drugiej połowie XVIII wieku. Przedmiot ten więc nie jest dostatecznie wyjaśniony, tém więcój, że pisarze nasi, niewiele się jego wyjaśnieniem zajmowali. Lengnich powiada (2), iż zdaje się, że władzy sądowej dostąpili referendarze w końcu XVIgo wieku, za panowania Zygmunta IIIgo, gdyż rota przysięgi dla nich znajduje się w statucie Januszowskiego; dalej mówi tenże autor, że ze zwyczaju istną. Niedostatecznie mówią o nich Skrzetuski i Bielski. Maciejowski tyle tylko, że od czasu Zygmunta IIIgo ref. sami sprawy do referatu im dane, mianowicie téż sprawy włościan dóbr królewskich i narodo-

(1) U Mizl. str. 406. (2) W tłum. Helzla, str. 306.

wych sądzić zaczęli, nie będąc do tego upoważnieni prawem. Metryka koronna, podług Czackiego, od roku 1591 zachowywała dekreta referendarskie. Jakakolwiek to była w formie i istocie swój instytucya, skoro starostowie i tenutaryusze nie zdołali zagubić i zniszczyć inwentarzy i zwyczajów obowiązujących w dobrach królewskich i narodowych, wnosić z tego możemy, iż była ochronną i użyteczną.

Miały jednak powyższe dobra ciężary i powinności, którym nie ulegali prywatni włościanie. Oprócz myt, cell, obowiązku podwód, ponosiły stacye żołnierskie; byłto największy ciężar, tém tylko łagodzony, że Rplita zwykle mało wojska utrzymywała; ale wzrastał w miarę niewypłatności wojska, związków, wojen i najazdów. Miały oprócz tego dobra królewskie i narodowe powinności utrzymywania wybrańców, obowiązanych do służby wojennej.

Porównywając i biorąc pod uwagę z jednej strony, to jest: w dobrach prywatnych, nieograniczone powinności i ciężary prywatne, brak zupełny opieki prawa i z tego wypływające nadużycia; z drugiej strony, to jest w królewszczyznach, małe i oznaczone powinności dominialne, za to większe publiczne, a obok jakąkolwiek opiekę prawa:—szala przeważy na korzyść ostatnich. Wszelką wreszcie w téj mierze wątpliwość rozstrzyga konstyt. z 1613 roku (1) tego brzmienia: „zapobiegając swój woli pospolitego człowieka, iż się przytrafia że całe wsie, od panów swych wstając, idą precz pod dzierżawce dóbr naszych, a iż się ztąd ukrzywdzenie stanowi szlacheckiemu dzieje wielkie; hamując to, postanawiamy, aby sami dzierżawcy, a nie wójtowie ich o takie zbiegi odpowiadali” i t. d.

Zresztą stan ludności rolnój pogorszył się w owym czasie nie tylko w Koronie, ale i w innych częściach kraju. Korrektura pruska za Zygmunta III wyrzekła (2): „U sądu nie mają dzieci miesca przeciwko rodzicom w sprawach należących. Także téż poddani przeciwko panu, także z drugiej strony. Gdyż żaden prawa podnieść nie powinien ze swemi, dla mocy, którą nad swemi każdy ma.” Odbiega to bardzo od ducha dawnych praw, o których w poprzednich częściach mówiliśmy. I w częściach kraju pod statutem będących, niekorzystne zmiany zajść musiały i to z większą

(1) Vol. III, str. 194. (2) *Jus terrestre nobilit. Prus. correc.* T. VI, p. 2, p. 51, wyd. 1739 r.

jeszcze gwałtownością niż w Koronie, bo znajdujemy ślad tego w konstytucyi z roku 1659 (1), w której zapobiegając tłumnemu uchodzeniu poddanych z ekonomij i dóbr szlacheckich do Korony, forum o zbiegi naznaczono w trybunale koronnym z terminem peremptoryjnym.

Tak więc ludność rolnicza opuszczona od prawodawców, niezawsze bezpieczna w mieniu, życiu i zdrowiu, do miast nawet, do rzemiosł i przemysłu, nie znajdowała dla siebie ujścia. Już dawniej zapadło było prawo, że nawet opatrzeni w świadectwa i pisma wyzwalające, jeżeli w przeciągu dni trzech po wejściu do miasta nie wejdą do jakiej służby lub warsztatu, uważani być mają za włóczęgów, i jako tacy imani, okuci, użyci do robót publicznych miasta lub włości (2). Później, kiedy o pismach wyzwalających już i mowa być przestała, tém bardziej wstęp do miast i rzemiosł został dla nich zamknięty. Tym sposobem miasta nie mogły się zasilać przemyślną, zamożną ludnością wiejską, upatrującą większą dla siebie w nich korzyść, a będąc w większej części niemieckiego pochodzenia ludźmi lub żydami zapełnione, zamiast wzrastać w swojską ludność i przygotowywać materiały do rodzinnego stanu średniego, stawały się coraz więcej nieludnemi i cudzoziemskimi. Z drugiej strony wsie, napełnione ludnością coraz więcej obarczaną i nigdzie niemającą ujścia, nikkzemniały. Ani usposobienia, ani zamożność, nie otwierając nikomu drogi do lepszego losu, zniechęcenie i gnusność je ogarniały. Niepewność na jaką był wystawiony dobytek i całe mienie rolnika, dały przystęp próżniactwu i zaniedbaniu. Nadużycia pojedynczych właścicieli, a mianowicie przełożonych, były przyczyną skłonności do zbiegostwa, a zbiegostwo do łotróstwa. Ta smutna skłonność do zbiegostwa i łotróstwa, rosła w miarę rosnących nadużyć. Już Zygmunt August był uderzony tą nową klęską na kraj, chociaż za niego było dopiero początek. Później wzrastała ona, jak się o tém przekonać można z coraz większej liczby konstytucyj, tę skłonność ukrócić i zapobiec jej usiłujących. Przebiegając *Volumina legum*, do połowy blisko XVIII wieku spotykamy około pięciudziesiąt konstytucyj w tym przedmiocie zapadłych. Jedne oznaczają wartość zbiegłych poddanych, inne skracają procedurę; te regulują stosunki w tej mierze z postronnemi prowincjami; tamte obostrzają rygor poprzednich.

(1) Vol. IV, str. 681. (2) Vol. I, str. 390.

Widać z tego, że złe było wielkie i środki zaradzenia złe zastosowane; że przedsiębrano paliatywy, a przyczyny złego nie usuwano.

Przy takim stanie rzeczy lud rolniczy upadał moralnie i materialnie, a więcéj jeszcze moralnie jak materialnie. Ten upadek nie mógł pozostać bez wpływu na dobro ogólne. Nigdy jeden członek nie cierpi, jak to już spostrzegał Modrzewski, aby przytém ciało całe nie cierpiało. Jest niewątpliwie ścisła solidarność pomiędzy wszystkimi członkami składowemi każdego narodu, i téj nigdy spuszczać z oka nie można. Szczególniej u nas więkzy jak gdziekolwiek istniał związek pomiędzy wsiami a miastami. Kwitnęły wsi, kwitnęły miasta; cierpiały wsi, cierpiały i miasta. Stały one tylko zamożnością i bogactwem klass rolniczych. Stan fabryk i rzemioł, jak świadczy Kromer, mniej wygórowany jak w krajach obcych, nie dozwalał prowadzić wyrobami fabrycznemi handlu zagranicznego. Klasy wyższe zaopatrywały się towarami obcemi. Mnóstwo kupców szkockich, niemieckich, moskiewskich, węgierskich, ormiańskich, greckich, perskich, włoskich, jak świadczą uniwersały poborowe, przebiegało kraj i zwoziło dla nich rzeczy i towary zbytkowe i obce. Kogoż to więcéj zaopatrywały owe miasteczka niedawno ludne i pełne rzemieślników? Sochaczew np. mający niegdyś dwadzieścia dwa cechów rzemieślniczych, Szydłów, Koło, Rawa, Łęczycza, Kłodawa, nawet Rogoźno, Tuszyn, i wiele innych, jak świadczą poszukiwania Surowieckiego, mnóstwo cechów rzemieślniczych i kupców posiadające? Nie byłoz widocznem, że upadek i zubożenie ludności rolnej miejscowej, ich ruinę za sobą pociągnąć musi?

Lecz to niedosyć: miało na tém niebawem ucierpieć i rolnictwo; to samo rolnictwo, dla którego właśnie opieki i podniesienia wszystkie te środki mylnie przez prawodawcę użyte zostały. Im więcéj bowiem ludność rolnicza cierpiała, a za nią miasta niszczały, tém więcéj targ wewnętrzny upadał, a cała wielka produkcya krajowa, musiała coraz więcéj szukać targów zagranicznych, których obszerność i pomyślność, od wielu okoliczności niedających się ująć i przewidzieć nawet zależała. Sama produkcya nawet szkodę musiała ponosić. Znane jest powszechnie marnotrawstwo wielkich pańszczyzn na wielkich folwarkach; marnowało się więcéj wiele rąk nadaremno, a też ręce odjęte od usilniejszej i lepszej uprawy ról wiejskich, podwójnie produkcją umniejszać musiały. Nawet jako sztuka, rolnictwo upadać mu-

siało, bo mu zbywało na tym bodźcu, który rodzi przemysł, który popycha do oszczędzenia pracy, i w miejsce rąk ludzkich stara się podstawiać sztukę, rozum i pieniądze.

Wreszcie, w miarę jak najliczniejsza klasa narodu upadała moralnie i materyalnie pod naciskiem nowych praw i zwyczajów; druga część tegoż narodu, w stosunku dóstatków wzrastających i ulg od obowiązków publicznych, poczyniała okazywać skłonność do miękkości i przepychu; poczyniała tracić dawną prostotę obyczajów, zamiłowanie obozu i życia twardego, nawyknie nie pracy, trudu i wstrzemięźliwości.

Taki ogólny stan rzeczy w kraju, takie skrzywienie w kierunku nawy publicznej, takie odstępianie od ducha dawnych praw i zwyczajów, takie grożące dla dobra publicznego położenie: nie mogło, jak już dawniej mówiliśmy, ujść bacności ówczesnych publicystów i zgoła wszystkich ludzi myślących i dalej widzących, a których wówczas było widać wielu. Wszyscy więc na ten przedmiot zwrócili baczną uwagę. Przynosi to niemały zaszczyt krajowi i ówczesnemu duchowi publicznemu; świadczy o światle i troskliwości obywatelskiej, że właśnie od pierwszej chwili, w której symptomata złego zaczęły się pojawiać, powstały głosy ostrzegawcze. Publicyści rozbierali te materye ze stanowiska politycznego i ekonomicznego; prawnicy z punktu prawnego; moralisci w sposób właściwy swojemu punktowi widzenia; poeci nawet niektórzy, ale nadewszystko duchowieństwo w imieniu wiary, z wielkim rozumem, trafnością i namaszczeniem. To wszystko tworzy jakby szereg pism i pisarzy, którzy przez treść całkowitą, dłuższe lub krótsze ustępy w pismach odrębnych zawarte, są niejako w związku z traktowaną tutaj materyą. Odnoszą się oni do niej pośrednio, jedną z ważniejszych jej części dotykając, to jest: stosunki klas ówczesnych roboczych. Czytając ich odsłania się wiele sprężyn ekonomii publicznej tamtych wieków, równie jak skryte choroby, które się coraz silniej na rolnictwo rozlewać poczynają. Co więc, spotykamy tam przyczyny tych chorób i środki jakie do ich leczenia podawano. Wszyscy z zalem mówią o porzuceniu praw, zwyczajów, urządzeń dawnych i odstępianiu od ducha statutu wiślickiego.

Zasługują tutaj na uwagę jak powiedzieliśmy: Modrzewski w pismach *De emendanda republica* i w mowach o główszczyźnie; Górnicki w piśmie: *Droga do zupełnej wolności*; Starowolski w *Reformacyi obyczajów*; Warszawicki w piśmie *De optimo*

statu libertatis; Przyłuski w przedmowie do Zbioru statutów; Seb. Petrycy w przypisach do Polityki Arystotelesa; Smigielski w księdze o lichwie i widerkafach; Krasiński w *Polonii*; Olizarowski w ustępie dzieła *De politica hominum societate*. Niektórzy jak Kromer i Święcicki w topografii Mazowsza w ogólnych tylko wyrazach wskazali złe, oprócz tego i inni. Z duchownych: Skarga i Birkowski, J. Liberyusz, Witwicki biskup łucki, An. Szyrma, Mar. Kurzeniecki, Gelariusz, Zrzelski (1), z których niektórzy już na początek XVIIIgo wieku przypadają.

Im z większą uwagą i poszanowaniem przebiega się te piękne zabytki światła i cnoty obywatelskiej, tém więcej dziwić się przychodzi, czemu te wszystkie usiłowania żadnego nie wydały skutku? czemu ani reformy w prawodawstwie wywołać i prawami powstrzymać obyczaje, ani obyczaj tak podnieść, aby prawa przez nie upadły, nie zdołały?

Mimowolnie następuje pytanie: czyżby literatura nawet przez naświetlejszych mężów w narodzie piastowana, z źródeł nieskażonych, najczystszych nawet płynąca, to tylko miała znaczenie, iżby była smutną i niepożyteczną protestacją przeciwko błędom i skażeniu współczesnych? Miałażby być tylko pięknym pomnikiem dla małej liczby wybranych, co w większej czystości cnoty rodzinne w swoich sercach i w żywszej jasności światła nauk w swych głowach, nad innych wypielegnowali? Jeżeli tak być miało, byłby to smutny przywilej i smutniejsze jeszcze przeznaczenie dla książek i dla pisarzy. Albo miałyżby serce i umysł ludzki być tak dalece pochopnemi do skażenia i upadku, że złe tylko znajdowałoby w nich przystęp, mogło rozlewać swobodnie swe soki i rozsiewać nasiona, a wszystko co dobre, wielkie, piękne i pożyteczne odbijać się i odpadać jak ziarno od opoki? Złe książki miałyżby tylko zatruwać, a dobre nie naprawiać, nie podnosić, nie uszlachetniać? — nie, tak nie jest. Każda literatura wprawdzie z różnych składa się elementów. Odbijają się w niej jak w zwierciadle błędy i namiętności wieku. Nie może ująć w całości tego wpływu, jakim duch czasu wszystko obwiewa. Od ludzi pochodzi, nie może być doskonałą — błędzi i grzeszy jak oni. Zdarza się, iż niekiedy z poszeptów brzydkiego egoizmu, pochlebia-

(1) Wiele zajmujących wyjątków z niektórych z powyższych pisu znaleźć można w piśmku: „Ażali nieczułość ku poddanym tak dalece” i t. d. przez Pilchowskiego; wspomina także o wielu z nich Czacki.

ją niektórzy pisarze namiętnościom i wyobrażeniom z którymi powinni by walczyć. Zdarza się, iż inni zniżają się do rzędu rzemieślników lub tandeciarzy; ale takie ponizienie i zepsucie nigdy nie jest powszechne. Gromada wyższych i zacnych pracowników, oddziela się natenczas tém widoczniej; tworzą się jakby szlaki ciemne w literaturze obok szlaków światła. I takie wypadki jednakże bywają rzadkie; w chorych tylko społeczeństwach zjawiają się chorobliwe znamiona na literaturze, a chorobom zarówno wyjątkowo ulegają społeczeństwa jak pojedynczy ludzie.

W zwyczajnym porządku rzeczy, ludzie pragną dobrego, dążą do niego, usiłują wszelkimi środkami je osiągnąć. Mylą się częstokroć, wpadają na bezdroża; odpychają nawzajem, aby jedni drugich wyprzedzić; unoszą ich częstokroć chwilowo interes lub namiętności; — lecz wracają znów, podwajają usiłowania i dążą do dobrego, które jako wielki i szlachetny cel, postawiła Opatrzność dla wszystkich pokoleń.

Ale najlepiej tłumaczy nam Stan. Leszczyński w dziele swém, „Głos wolny i t. d.” te powody o które rozbijały się u nas wszystkie piśmiennicze i praktyczne pomysły i usiłowania, około naprawy tego, co było złem i zgubnem w państwie i społeczeństwie. „Znajdują się, mówi on, i najzarliwsi o dobro pospolite skrupulanci, którzy się bać mogą, żeby chcąc leczyć rany ojczyzny, przez to samo nie stały się nieuleczone, a do tego wiem ja, że materya reformacyi choć najlepszej, stanu Rplitej naszej, jest u nas jak księga zakazana. Nie godzi się o tém wspominać, tak jak Turczynowi wdawać się z chrześcianinem o fałszach Alkoranu, a dopiero jak trudno, choć oczywistemi racyami przekonać tych, u których *stat pro ratione voluntas*.

„Poszliśmy na owego chorego, który dufając mocy natury i temperamentu swojego, nie uważa choroby która mu śmiercią grozi; brzydzi się tém, co go uzdrowić może, dla wstretu, który ma do przykrych smakowi lekarstw. Postępujemy sobie jak zwyczajnie heretycy, którzy choć po długich kontrowersyach przekonani o błędach swoich, niemniej w nich przestają, inszej na ostatek racyi nie mając po sobie, jedno tę, że w tej wierze chcą umierać, w której się porodzą. Jesteśmy naostatek jak siła takich, którzy w starych gmachach mieszkają, choć z oczywistém niebezpieczeństwem, że ich przywalić mogą; nie myślą o żadnej ich reperacyi, przez wzgląd osobliwy na antecessorów swoich,

mówiąc: „jak mój ojciec albo dziad mieszkał, tak i ja mieszkać chcę bez żadnej odmiany.”

Wpółśród takiego usposobienia umysłów, nic dziwnego, że to co pisano, niewiele znajdowało posłuchu; miało przecież choć to znaczenie i skutek, że działało pojedynczo na ludzi, reflekto- wało jednych, wstrzymywało drugich, umniejszało liczbę nadużyć, kierowało opinią publiczną w ściganiu tych, którzy wykraczali z drogi cnoty i sprawiedliwości. Literatura była hamulcem w cza- sach, w których prawa nie kładły żadnego. W miarę jak pi- śmiennictwo folgowało i uciszało się, złe brać górę poczęło.

IV.

Kiedy piśmiennictwo pracowało napróżno, aby obyczaje zły kierunek biorące powstrzymać, i prawodawstwo zwątlone i spa- czone poprawić; rolnictwo tymczasem, przebiegłszy najświetniej- szą erę swojego istnienia, zaczęło okazywać znamiona zwątlenia i podupadania. Reforma rolnicza rozpoczęta w wieku XVtym, dokonywana w wieku XVIym, ostatecznie dopełnioną została w początkach XVIIgo wieku. Wielka uprawa nietylko wzięła stanowczą przewagę, ale przerosła stosunki naturalne, których przekraczać nie była powinna. W wieku XVIym wszystkie nie- omal soltystwa skupionemi zostały: to co pozostało, zniknęło w XVII wieku. Wszystkie własności ziemskie plebejuszowskie, naciskane prawem, przechodząc w ręce szlachty, weszły w sy- stem wielkiej uprawy. Był wprawdzie w użyciu rozdział wsi na części pomiędzy braci; bywały więc wypadki, iż własność szla- checka dzieliła się na mniejsze części, niekiedy nawet wsie roz- padały się na nieskończoną liczbę małych części; ale to nie sta- wało się żadnym wynagrodzeniem za dawne stosunki, owszem szkodą dla rolnictwa. Dawne osady rycerskie, soltystwa i inne drobne własności były niepodzielne i niezbyt małe, i to właśnie co ich ważność stanowiło. Zatracona przeto została mała wła- sność niepodzielna, a weszła mała własność do nieskończoności podzielna, która z natury swojej jest przeznaczona do utonięcia w większej, i później czy wcześniej temu losowi uledez musiała. Mała uprawa uszczupliła się do tych granic, o ile jako służebna wielkiej uprawie była jój potrzebna. Niebawem upadł do szczę- tu system czynszowy; a za małą uprawą i systemem czynszowym, nastąpił upadek różnych drobnych procederów rolniczych, które

w nich życie czerpały. Bielski, Skrzetuski, Bandtkie (1) mówią: iż mianowicie w bezkrólewju po śmierci Zygmunta Augusta, podniosły się pańszczyzny. Można się z tego domyślać, że w tej epoce system wielkiej uprawy stanowczą wziął przewagę. Gdyby się trzymało w tym nowym systemie granic, jakie natura rzeczy, dawne zwyczaje i dobro publiczne wskazywały, rolnictwo a z niem pomysłność kraju, mogłoby się było utrzymać na tej stopie pomysłności, na jakiej widzieliśmy je w wieku XVIym. Niestety, tego błędu nie zdołano uniknąć. Nie zdołano również obmyślić środków, któreby nowy system pozbawiły szkodliwych skutków, lub przynajmniej nietyłe zgubnemi je uczyniły. Ani wolna ludność zarobkowa nie została utworzoną i użytą do jego posług, ani system dzierżawny na większą stopę rozwinięty i zastosowany. Pozostał zastosowany w całej nagości i w całej obszerności. Stłumił wolny ruch ludności wiejskiej, stłumił system czynszowy i drobną własność niezawisłą i niepodzielną. Jakże ztąd skutki spłynęły na wsie, miasta i samo rolnictwo, staraliśmy się poprzednio wskazać. Tutaj to jeszcze dodamy, że właściwie przez zbyteczne i nieogłędne rozszerzenie tego systemu, tak mała uprawa jak wielka dotkniętymi zostały, czyli w ogóle całe rolnictwo. Mała uprawa czyli osady kmiećce, stały się niekorzystne, bo były zbytecznie obciążone, a zbytek powinności osobistych, wstąpił do nich obudzał. Utrzymywały przy niej ludność prawa przymusowe. Wielka uprawa istniała również pod warunkiem praw przymusowych, tak więc całe rolnictwo na nich się oparło, i cały system ekonomiczny spoczął na tak fałszywej i niebezpiecznej podstawie.

Nie może przeto nikogo zadziwić, że produkcya w takich stosunkach coraz więcej upadała. Wywóz zboża, jak tablice Czackiego wykazują, zmniejszył się w drugiej połowie XVIIgo wieku, i już więcej nie powrócił do tych cyfr, jakiesmy poprzednio spotykali. Ludność zmniejszała, wsie i miasta upadały. „Dziwna” mówi Leszczyński w wyżej powoływaném piśmie „że się nad tém nikt nie reflektuje, z kąd taka wielka kraju naszego dezolacya i tak siła pustych gruntów.” „Jestto rzecz niepojęta” mówi tenże „że takie państwo jak nasze, tak obszerne, w tak żyzne grunta obfitujące, rzekami dla defluitacyi opasane, samego morza blizkie, i mogę mówić, że co *naturae productio* po inszych krajach

(1) *Historisch-critische Analecten.*

distribuit, collecta tenet; a przecie najuboższe i najniełudniejsze; nie insza tego racya tylko ta: chłop nie ma sposobu się z bogacić, a pan co zbierze *per luxum* roztrwania; a przytém, kiedy głód, wojna albo powietrze kraj spustoszy, trzeba wieków czekać, żeby się pustki osadzały, bo z cudzych krajów nikt do nas nie przyjdzie... I tak generalna jest mizerya. To się osobliwie wydaje w miastach naszych, gdzie, jaka ruina budynków, jaka depopulacja mieszczanów, jaka indygencya rzemieślników, jakie ubóstwo kupców; a przecież to są nasze *emporya*, my po morzach nie pływamy, wszystkie nasze *commercya* z miastami, tam tylko sprzedać możemy, co się w domu urodzi; nie masz na to żadnej konsyderacyi....”

To świadectwo wskazuje nam stan kraju w końcu XVIIgo i początkach XVIIIgo wieku. Mogło wprawdzie tu i owdzie, pojedynczo, wyjątkowo, zrobić rolnictwo jako sztuka pewne postępy; mogło się w niektórych miejscowościach posunąć i udoskonalić; mogły być włości niektóre zarządzane z większą biegłością jak poprzednio; mogła nawet pod pewnemi względami umiejętność rolnicza się podnieść: to jednakże położenia rzeczy nie zmieniło. Kraj, miasta, wsie, produkcya ogólna upadały; bilans handlowy przestawał wypadać na korzyść kraju. Cóż z tego, że stosunkowo wywóz pszenicy się zwiększał, kiedy ogół wywozu się zmniejszał? Cóż z tego, że cena ziemi się podnosiła, kiedy to było miarą tylko taniości większej kapitału, za zmianą stosunków pieniężnych postępującej, a nie skutkiem wzrostu bogactwa wewnętrznego, i coraz większych korzyści z ziemi ciągnionych? Oprócz tego, kiedy wszystkie pieniądze jakie były w kraju, na nic innego użyte być nie mogły, ani na przemysł, ani na handel, ani na przedsięwzięcia publicznego pożytku, jak drogi, kanały, budowle publiczne i t. p., to obrócenie ich wyłącznie w ziemię, musiało jój cenę podnosić choćby téż z mniejszą dla kupującego korzyścią. Cóż z tego wreszcie, że niektóre części kraju w wieku XVI niełudne i prawie dzikie, teraz poddane zostały kulturze, kiedy natomiast cały kraj utracił na ludności, na sile moralnej, która tę ludność ożywiała, i na jój bycie materyalnym? Kiedy i mniej wysyłał, i mniej u siebie spożywał!

Przyczyniły się niemało do tego stanu rolnictwa i kraju kłeski, jakiemi dotknięty został w połowie XVIIgo wieku.

(Dalszy ciąg nastąpi).



KAZ-PE X-POLOMIS FECIT CAPUT ISTUD SUI

HONORE SANCTE MARIE MAGDALENÆ

MDCCLXX

WYCIECZKA ARCHEOLOGICZNA

W NIEKTÓRE STRONY GUBERNII RADOMSKIEJ

odbyta w miesiącu wrześniu r. z.

PRZEZ

F. Marc. Sobieszczańskiego.

(Z ryciną).

(Ciąg dalszy).

V.

Wyjazd z Boleszyna i droga do Kielc. — Miasteczko Bodzentyn i jego historia. — Stan terażniejszy. — Ruiny pałacu biskupów krakowskich. — Opis kościoła, nagrobki i obrazy. — Miasto Kielce. — Wspomnienia historyczne. — Stan jego obecny. — Zamek biskupów. — Archiwum akt dawnych. — Kolegiata, jej opis, nagrobki i obrazy. — Kościół pod wezwaniem Boskiej Opactwności, i szkoły. — Zbiór obrazów i starożytności naczelnika powiatu.

Objechawszy dokoła tutejszą okolicę, przyszedł dzień rozstania się z gościnną moją kwaterą w Boleszynie. Gdyby taki dom był jeszcze przynajmniej w Królestwie rzadkością, gdzie jak przysłowie mówi: czém chata bogata, tém rada; opisałbym wyrazami, na jakie tylko mógłbym się zdobyć tę przyjacielską serdeczność, z jaką mnie nieznanego i chudego pacholka tu przyjęto. Ale Bogu niech będą dzięki, moi nowi znajomi nie są u nas wyjątkami, i sądzę, że ani im, ani ich gościnności nie ubliżę, gdy powiem, że w sandomierskiej ziemi gość jeszcze jak za dawnych czasów uważany jest zesańcem od Boga, i ubogi czy bogaty, stary czy młody, przyjmowany czém najlepszym, witany z serdecznością, a ze łzami w oku żegnany. Taki i ja poznałem dom w Boleszynie, gdzie jeszcze wszystko jest po dawnemu: i stary

dworzec bez pretensyi, prosty, drewniany, tulący obok siebie z jednéj strony stajnię z oborą, z drugiejj śpichlerz z gołębnikiem na dziedzińcu, z gankiem o dwóch słupach bez żadnych grymasów architektonicznych; a wewnątrz obszerne komnaty, równie po staremu gładkie, bielone, ze zwyczajnemi rycinami po ścianach, z drewnianą podłogą świecąca czystością, któraby i woskowane posadzki zawstydzila, ze stolami i stółkami, które jeszcze przodkom służyły; wielka izba czeladnia, zapasna komora, apteczka domowa: słowem, nic tu nie wcisnęło się modnego, ani zagranicznego. Za domem piękny ogródek w grzędach z kwiatami, wesolo do świetlicy niewiast zagląda; lecz i tam nie ujrysz innych roślin, nad te, co matki nasze pielęgnowały: wyniosła malwa, żółta nasturcyja, jesienne astry, ruta zielona, całą florę składa. A wśród nich, miasto wytwornéj altanki lub kiosku, poważnie rozpiéra się sernik w kształcie gołębnika zbudowany, gdzie nadobna córka domu, te wyroby z nabiału składa, suszy, i następnie dochodem z nich rozporządza. Obszerne dziedzińce ze wszech stron ogrodzony, zarazem na obrzynki, wesela, i inne uroczystości wiejskie służy. Dalej stoi lamus murowany, tak zwany murowaniec, za nim szklni się spokojną wodą sadzawka, a w końcu zpomiędzy drzew wygląda góra Święto-krzyzka, i z dwiema bielącemi się wieżami, prześliczny krajowid tworzy. Cóż więcéj powiem o mieszkańcach nad to, że wszyscy ubiegali się, abym długo pamiętał ich przyjaźń, bezinteresowny i miły charakter. Nawet skąpy biblioman otworzył w ostatku swoje serce, tojest książki, obdarzył tém, co mi się najbardziej podobało: darował kilka oryginalnych dyplomatów do biblioteki głównej Okręgu Naukowego Warszawskiego, i ujął mnie sobie zupełnie. Jemu winniśmy rzadkie dzieło do historyi sławnego klasztoru Cystersów w Jędrzejowie, pod tytułem: *Lux Ecclesiae Andreoviensis sive historica relatio. Cracoviae, 1648 w 4ce.* Dalej przywiléj Władysława Jagielly na pergaminie z roku 1431, zawierający zapis pewnej summy Dominikanom w Sandomierzu; podobnyż Andrzeja z Ossolina z roku 1477, oraz Zygmunta IIIgo z roku 1593 i t. d.

Bóg wam zapłać zuchni ludzie, z złotém sercem, czystą duszą! Chowajcie w swoim zakątku te cnoty domowe na długo, żeby kiedykolwiek ktoś oziębiony miejską cywilizacją, mógł u was odgrzać swoje uczucia, aby choć te przynajmniej jeszcze do archeologii nie należały.

Pozegnawszy tedy moich gospodarzy, w piękny dzień, sam jeden w dalszą podróż udałem się. Małym wózkiem i drobnemi ko-

nikami, powoził mnie chłopak sandomierski, pokorny, petulny i łagodnej twarzy. Nie był on bardzo skory do rozmowy, lecz na pytania zawsze trafnie i zwięźle odpowiadał; taka już widać była jego natura. Poznawszy się z nim bliżej, przekonałem się, że ze stanu swego był zadowolony, bo na nic nie narzekał i na nikogo się nie skarżył; rzecz rzadka w naszym czasie, nawet pomiędzy włościanami. A pokornym był bardzo jak wszyscy w tych stronach wieśniacy. Mianowicie zaś, podobano mi się jego poddanie i odnoszenie się we wszystkim do woli Boskiej.

— A czyto wasze koniki, ojcze?—róż zapytałem.

— Naprzód Boskie, a potem moje—odpowiedział.

— Macie dzieci?

— Ma-ta Pan Bóg dwoje.

— A bydłko?

— Dał-ta Pan Bóg parę wołów i dwie jałówecki.

Słowem co miał, to było Boskie, co posiadał, to od Niego. Szczęśliwy! Zresztą był sobie na wszystko obojętny, a pomimo że wszelkimi sposobami starałem się wydobyć z pamięci jego jaką gadkę, klechę lub piosnkę, o co tylko pytałem, najczęściej mi odpowiadał: „At nie wiem. Wielmożny Panie, czy-tu czleku do tego; a koby się o to pytał,“ i tym podobnie. Potem dopiero dowiedziałem się, co było głównie powodem tego uporczywego milczenia. Powiedziało nieborakowi, iż wiozę z sobą kości ludzkie z dawnego cmentarza wyjęte, co tak wpłynęło na przesadną jego wyobraźnię, że wioził mnie z niechęcią, a gdy do domu powrócił, pławił kilkakrotnie w rzece swój wóz, potem przewróciwszy go do góry, suszył na słońcu, wodą święconą kropił i zażegnywał, aby, jak utrzymywał, jakie nieszczęście za to go nie spotkało.

W tym sposobie, górami, pagórkami, zawsze złą i pełną wybojów drogą, choć ciągle wśród najpiękniejszych widoków, przejechałem Świętoznarszą wieś tak nazwaną od kościoła pod wezwaniem Najświętszej Panny Maryji, wystawionego przez Bogufala herbu Rogalą, syna Piotra, dziedzica Klonowa, w roku 1367. Jakoż kościół ten zbudowany w gotyckim stylu ma mieć wewnątrz pierwotną starożytną tablicę erekcyjną, lecz ani jęj, ani kościoła dla nieobecności proboszcza widzieć nie mogłem, i do Bodzentyna przybyłem.

Miejsce to znowu historyczne, i jedno z odwiecznych niegdys siedzib biskupów krakowskich. Dziwną jest rzeczą, jak oni lubili okolice nadleśne i górzyste zamieszkiwać, bo i tu we wsi Tarczek bardzo blisko Bodzentyna dotąd istniejącej stał wielki

dwór tych pasterzy; którą wieś w roku 1244 Konrad książę mazowiecki wojując z Bolesławem V spalił i złupił, co się stało za świątobliwego żywota biskupa Prandoty z Białaczewa. Lecz snadź dwór ocalał, gdy następca jego Paweł z Przemankowa tu jeszcze bankietował, głośne uczyty wyprawiał, i wreszcie w roku 1292 w dniu 29 listopada tu niecny i burzliwy żywot zakończył. W czterdzieści kilka lat potem, biskup Bodzanta Jankowski na gruntach téjże wsi założył nową osadę, i od nazwiska swego Bodzantynem nazwał, następnie do rzędu miast wyniósł i zapewne tu także i dwór przeniósł. Wieś jednak Tarczek została na swoim miejscu, a miasto to nigdy przedtém Tarzęcinem nie było zwane, jak mylnie dotąd niektórzy pisarze utrzymują. Biskup to był ten Bodzanta pobożny i gorliwy; nawet omalże męczennikiem za Kazimierza W. nie został, gdy jak drugi św. Stanisław chciał ostro wolne życie monarchy strofować; ale skończyło się na tém, że palmę męczeńską otrzymał Marcin Baryczka wikaryusz katedry krakowskiej, biskup zaś miał spustoszone dobra, a od miejscowego wojewody Ottona Pileckiego herbu Topor ciągle prześladowanie. Później Kazimierz W. pogodził się z duchowieństwem, biskup zaś zawarłszy z królem ugodę względem dziesięcin w r. 1359 na piśmie uczynioną, jeden z ważnych zabytków prawa kościelnego z czasów Piastowskich, który do naszych czasów dotrwał, otrzymał liczne nagrody, przywileje i dalej budował kościoły, dwory, zamki dla swoich następców. Nawet w starości, kiedy był dotknięty ślepotą, miłosierny i dobry dla swoich włościń, którzy go nieinaczej jak ślepym biskupem przezywali, chlubne pamiątki po sobie zostawiał.

To co Bodzanta nie dokończył, następny biskup Floryan Mokroski, herbu Jelita, z proboszcza krakowskiego na tę godność wyniesiony, dokonał. Ten na wzgórzu nad rzeką zamek z cegły wystawił, miasto murem i basztami opasał, a przywilejem w r. 1370 temuż 10 miar pola pomiędzy wsiami Dąbrową, Psarami i Leśną położonego, udzielił. W dziesięć lat potem, to jest w r. 1380 Jan Radlicki biskup krakowski tu kościół parafialny pod wezwaniem św. Krzyża wystawił. Zaś znany Piotr Wysz trzydziesty drugi z porządku biskup, szczególnie poważany od cnotliwej i pięknej królowej Jadwigi, której jak wiadomo był wykonawcą testamentu, przywilejem wydanym w Krakowie dnia 10 maja 1412 r. wcielił grunta ze wsi Tarczek, Polankowskie zwane, dodawszy 12 łanów i lasy, tudzież wszystkich kmieciów téjże wsi, pod władzę i prawa Bodzentyń. W roku 1410 król Władysław Jagiello wyprawiając się na Krzyż-

ków, z Łysiej-góry w dniu 19 czerwca do tego miasta przyjechał i zajmując pałac biskupów, w nim przez dwa dni mieszkał, dając posłuchanie przybyłym doń posłom od książąt pomorskich na Słupie, Szczecinie i Meklemburgu. Oświadczali oni wtedy głośno pomoc przeciw Krzyżakom, i przyrzekali znaczne zapomogi, które jednak w skutku nie dotrzymali; wszelako złożono dzięki książętom, posłów uprzejmie w Bodzentynie podejmowano i po dwóch dniach odprawiono.

Wkrótce potem spaliło się miasto zupełnie, w skutek czego Wojciech Jastrzębiec wyniesiony za życia Wysza na biskupstwo krakowskie, wyjednał od Władysława Jagielly przywilej w r. 1413 wydany, w którym król potwierdza prawo magdeburskie, nadaje i ustanawia dwa jarmarki: na św. Maryą Magdalenę i na św. Idzi; dozwala targów tygodniowych, aby tylko miasto jak najprędzej odbudować się mogło. W ślad za tém biskup kardynał Zbigniew Oleśnicki, jeden z największych ludzi stanu swego czasu, zniszczony od ognia kościół parafialny na nowo z muru nader okazałe wystawił. Bodzentyn tedy szybko się podniósł, atoli znowu nieszczęsne niesnaski z monarchą, po śmierci biskupa Tomasza Strzemińskiego wynikłe, gdy aż trzech razem na biskupów obrano, a jeden tylko z nich Jakób Sieniński przez Rzym wyniesiony utrzymał się, wielce mu zaszkodziły. Król Kazimierz Jagiellończyk rozgniewany, że jego protegowany tej godności nie dostąpił i wbrew swojej chęci miał nowego biskupa; mszcząc się zniewagi, pomiędzy innemi kazał Bodzentyn spalić, zamek biskupów zburzyć, prawa nadane odjąć i t. d., gdyż jak powiadał: „Wolałbym piérwój królestwo stracić, a niż kto inny nad wolą moję miał mi biskupy dawać.” I Bóg wié na czémby się było skończyło, gdyby Sieniński nie złożył infuły krakowskiej, a Rzym widząc niezmienną stałość w monarsze, na wolą jego nie przystał. Wtedy król obranemu przez siebie Janowi Gruszczyńskiemu, któremu był przychylny, wróciwszy wszystkie majątności, przywilejem w roku 1460 wydanym, potwierdził poprzednie prawa Bodzentyna, a do dwóch już istniejących jarmarków, dwa jeszcze nowe dodał.

I za biskupstwa Jana Konarskiego podobnie miasto to było się spaliło, a po tym wypadku potwierdzenie swych przywilejów od króla Zygmunta Igo w roku 1507 zyskało. Potém Bodzentyn spokojnie zabudował się, wzrastał i kwitnął handlem, zaś przy końcu piérwszój połowy XVI stulecia stał się głośnym z sądów biskupich, utworzonych tutaj na zaradzenie szerzenia się reformacyi religijnej. Zasiadał

wtedy na katedrze krakowskiej Andrzej Zebrzydowski, niegdyś uczeń Erazma z Rotterdamu, człowiek bystrego rozumu, głębokiej wymowy i zdrowej polityki. Pojmując on dobrze interes kościoła i zgadując następstwa, tak czynnie wziął się do tego, aby zniszczyć nową naukę, która w całym już państwie bujne zapuściła korzenie, iż wkrótce został postrachem różnowierców; bo też w krakowskiej diecezji były najgłówniejsze ich zbory, najmożniejszych mieli stronników, i ludzi dzielnie za nową wiarą piórem i mową walczących. Jan Bonar z Balic pod Krakowem, Mikołaj Oleśnicki dziedzic Pinczowa założył im tam szkoły i kościoły na zbory obracał. Mikołaj Radziwiłł Czarny w Opatowskim, Piotr Zborowski w Radomskim, i wielu innych panów otwarcie dawali im przytułek i tę naukę wspierali. Wtedy gdy ludzie tacy jak Piotr z Goniądza i Grzegorz Pauli w Krakowie; Marcin Krowicki, Piotr Statoryusz, Stanisław Farnezyusz w Pińczowie; Jerzy Schomanus w Książu i t. d. drukowali dzieła, tłumacząc swoje zasady w języku przystępnym, czystym, jasnym i z logiką jakkolwiek przewrotną, ale bardzo niebezpieczną; biskup Zebrzydowski naprzód za tę broń chwycił i zaczął z protestantami polemikę na piśmie, wydając z druku książkę, którą Krótką odpowiedzią różnowiercom polskim nazwał, a szczególnie na Marcina Krowickiego wymierzył. W niej uniósł się podobno zbyt mocno i słów swoich nie hamował; uchwycili więc za tę słabą stronę nauczyciele pińczowscy, i na małe dziełko biskupa, wystąpili z grubemi książkami, wstrzeźmieliwie, ostrożnie i zrecznie, a zawsze dobrze po polsku pisanemi. Krowicki nazwał obszerne swoje dzieło przeciw niemu: „Obroną nauki prawdziwej naprzeciwno nauki, której broni Jędrzej biskup krakowski”, wręcz zaraz oświadczając, iż wszelkiej osobistości zapomnia, a władzę zwierzchnią szanuje; bo mówi Krowicki: „ani ja, ani żadny z naszych nie sprzeciwiamy się zwierzchności od Pana Boga postanowionej, bobyh się sprzeciwiał samemu Panu Bogu. Biskup też krakowski Jędrzej Zebrzydowski, znam się k temu, iż jest człowiek zacnego narodu szlacheckiego, naprzeciwno któremu ja tu według świata nie mówię, ani piszę, ani najmniejszego uszczytku nie czynię, i owszem jako radę Jego Królewskiej Mości zawždy cześć chcę” i t. d. A jednak to co napisał i jeden i drugi, dziś powtórzyć się już nie da. Szczególnie to była polemika, w której dowody musiały być popierane obelgą i zelżywemi a grubemi wyrazami. I musiała ona być dotkliwą, kiedy Zebrzydowski zmienił pole bitwy, rzucił pióro na bok i wziął się do innych sposobów, które za bardziej skuteczne osądził. Wyrobiwszy tedy na sejmie w Piotrkowie u króla Zygmunta Augusta

edykt, którym wszystkich odstępców od wiary katolickiej jako niezdolnych do wszelakich honorów i urzędów ogłasza i postanawia, jeżeliby się do kościoła rzymskiego nie wrócili; tém uzbrojony osiadł w Bodzentynie, założył sądy biskupie w rodzaju świętej inkwizycji i wszystkich odszczepieńców do nich zapozwał, a surowo karać począł.

Stanisław Lubieniecki w swojej *Historji reformacji polskiej* (str. 54) opowiada, iż wtedy właśnie Zebrzydowski jednego z takich Marcina Kurowskiego, według innych Mikołaja, a jeszcze innych Michała, za to, że udzielał ludowi wieczerzę Pańską pod obydwiema postaciami, złapawszy, kazał wtrącić do więzienia w Bodzentynie, a nie mogąc przekonaniem nawrócić, głodem go umorzył, wprzód przymusiwszy, aby zjadł książkę, której zasad tak się mocno trzymał. Prawdziwa tortura literacka, jeżeli jeszcze książka tak była gruba, jak Krowickiego *Odpowiedź*. Wszelako, gdy współczesny Frycz Modrzewski wypadek ten powtarza z powątpiewaniem, wieść to może zmyślona, na dowód, że było prześladowanie; zwłaszcza, iż jak powiada Niesiecki, herezya tak już była wtedy górę wzięła, że ani na sądy biskupów, ani na prawa królewskie nie zważano: wiadomo zaś, że Zygmunt August prędszy był do wydania takowych, aniżeli do ich wykonania. Pomimo więc tej surowości i kary biskupów, pod bokiem Zebrzydowskiego odprawiano synody w Pińczowie, Książu, Sandomierzu, Secyminie, nawet w samym Krakowie, a biskup nie mógł sobie z nimi dać rady, chociaż szczerze chciał temu zapobiedz. Nawet raz urządziwszy sobie rodzaj milicyi, którą dowodził sługa jego wierny Mazowiecki, szlachcie ogromnego wzrostu, barczysty i z olbrzymią siłą, wysyłał go aby cichaczem łapać protestantów i do Bodzentyna na sądy przywozić, bo sami żadną miarą ani nawracać się, ani przybywać nie chcieli. Mianowicie zaś chodziło biskupowi o to, żeby dostać w swoje ręce Krowickiego i ukarać go przykładnie. Ale ten ostrożnym był nie lada, i wiedząc co go spotkać może, nie wychylał się z Pińczowa; biskup więc umyślił schwytać go podstępem za pomocą jednego Franciszkana, który po usunięciu tych zakonników, pozostał na miejscu, udawał że sprzyja reformacji, i żył z niektórymi jej zwolennikami w przyjaźni. Pewnego tedy razu, gdy trafiło się, że Oleśnicki wyjechał z Pińczowa, ów Franciszkan niby bardziej zbliżając się, zaprosił do siebie na wieczerzę kilku protestantów, a z nimi i Krowickiego; tymczasem dał znać do Bodzentyna. Zebrzydowski natychmiast wysłał Mazowieckiego z kilku uzbrojonymi ludźmi, i kiedy na piękne Krowicki z kie-

liszkiem w ręku dysputował, wpada szlachcic wąsaty na bankiet, a kłaniając się zgromadzonym gościom, obraca się do Krowickiego i rzecze: „Księżę biskup zaprasza Waszmości na dysputę”.

Nie czekając zaś odpowiedzi, chwytą go za kołnierz, i zanim biesiadnicy obejrżeli się, wynosi na powietrzu na dziedziniec, i tam zakneblowawszy gębę, związanego i spętanego, wrzuca na wóz drabiniasty, przykrywa go słomą, i w największym pędzie przez lasy i manowce do Bodzentyna wiezie. Strach był już koło Krowickiego niemały, bo pewno byłby jadł wszystkie swoje dzieła na dworze biskupa, gdyby nie szczęśliwa dla niego okoliczność, iż było już zbyt wielu przychylnych nowej wierze, którzy podobnie śledzili swego potężnego przeciwnika, a dowiedziawszy się o wyprawie na Krowickiego, zabiegli w lasach drogę eskortującym, postraszyli krzykiem, odbili więźnia, i na wolność go puścili.

Takich zdarzeń w Bodzentynie miało być jeszcze więcej, i mógłbym je tu co dramatyczniejsze powtórzyć, ale obawiam się, czy wszystkie są one prawdziwe, bo z jednej tylko strony przekazane. Wiadomo zaś, iż słabsi zawsze niemal powiększają swoje wypadki, a niechęcią się uwodząc, tworzą je dla lepszego światła swój sprawy. Zebrzydowski też znany jest zakonad jako człowiek dosyć wyrozumiały, czego dowodem sprawa Orzechowskiego, który księdzem będąc, ożenił się; gdy przecież innego kacerstwa nie popełnił, od niego był broniony i od kary uwolniony. Nawet sam Lubieniecki, który tego kiskupa w jednym miejscu jako prześladowcę wystawia, w innym znowu zbyt obojętnym maluje, utrzymując, jakoby raz zgromadzonym protestantom miał powiedzieć: „Wiercie sobie w co chcecie, mnie wszystko jedno, bylebyście dziesięciny płacili.”

Wróćmy zatem lepiej do historii miasta. Tu mieszkał i zmarł w roku 1577 uczony i biegły w naukach przyrodzonych Franciszek Krasiński, herbu Ślepowron, pierwszy biskup, który za wolnością wyznań gorliwie obstawał, a przecież dobrym był katolikiem. Tu sławny kanclerz wielki koronny Jakób Zadzik ostatni domu swego potomek zakończył życie w dniu 17 marca 1642 roku. Biskup Andrzej Trzebicki wybudował w roku 1670 wspaniałą w gotyckim stylu ratusz, i darował go miastu; a Jan Małachowski w roku 1698 na ubogie dzieci podupadłych mieszczan i rzemieślników zapisał sumę 31,000 ówczesnych złotych polskich, z której w części dotąd procenta Mansyonarze bodzentynscy pobierają. Biskup Felicyan Szaniawski podniósł znacznie dochody miasta urządzeniem w okoli-

cach wielkich fabryk żelaza. Nakoniec ostatni z biskupów krakowskich zamieszkujących w Bodzentynie, Kajetan Sołtyk, prowadził tu dwór wystawny i ochoczo podejmował liczne zawsze goszczących grono.

W roku 1797, gdy na mocy konwencji pomiędzy trzema sąsiednimi monarchami, w dniu 26 stycznia zawartej, wszelkie prawa i fundusze, które do duchownych w tych państwach należały, zostały własnością tego rządu, w którego kraju te prawa i fundusze znajdowały się: wtedy Bodzentyn przeszedł na własność rządową, dotąd w jej posiadaniu zostając.

Dziś miasto to z drzewa zabudowane, w nader przyjemnym i wesołym położeniu, nad rzeką Psarką, przy trakcie od Kielc do Sandomierza, należy do powiatu opoczyńskiego. Liczy ludności chrześcijańskiej 1097, starozakonnych 150, razem 1247. W roku 1820 było tu chrześcian 1053, żydów tylko 47, razem 1102. Domów murowanych znajduje się 5, drewnianych zaś 205 i dwa kościoły. Były tu niegdyś fabryki sukienne i rzeźbiarskie, cegielnie, a nawet fabryka luster. Teraz jedynym sposobem utrzymania się mieszkańców jest rolnictwo i drobniejsze rzemiosła. Bodzentyn był kiedyś całkowicie brukowany, i dotąd pozostał tak znacznie bruk zniszczony, że utrudnia przez miasto przejazd. Składa się jeszcze z dwóch części, z których jedna otoczona była murem wzniesionym w XIV wieku przez biskupa Bodzantę; z murów tych dochowały się niektóre części, a między niemi i dwie baszty. W roku 1829 stał tu jeszcze pośród rynku ów gotycki ratusz z zegarem na wieży, lecz ten w skutek mylnego raportu ówczesnego burmistrza, jakoby zaważeniem się groził, rozebrany został. Są tu także dwa rynki, a na jednym wznosi się na kamiennym obelisku posąg św. Floryana z ciosu, wcale niezłej roboty.

W skrzyni magistratu przechowują się dotąd liczne przywileje Bodzentyna, a mianowicie:

- 1) z roku 1370, biskupa Floryana Mokrskiego, o którym wyżej wspomniałem;
- 2) z r. 1422, Piotra Wysza biskupa;
- 3) z r. 1443, Władysława Jagiełły, potwierdzający dawniejsze;
- 4) z r. 1468, Kazimierza Jagiellończyka, podobnejże treści;
- 5) z r. 1507, Zygmunta I;
- 6) z r. 1533, tegoż króla, pozwalający przeprowadzenie soli przez Wislicę;

7) z r. 1569, Zygmunta Augusta, uwalniający mieszczan od opłaty cła od towarów; któryto przywilej i Henryk Walezyusz w roku 1574 potwierdził;

8) z r. 1578, Stefana Batorego, wszystko powyższe potwierdzający;

9) z r. 1587, Piotra Myszkowskiego biskupa krakowskiego, którym nadaje miastu łąki pod górą Liwice;

10) z r. 1670, Andrzeja Trzebickiego biskupa, nadanie ratusza;

11) z r. 1671, króla Michała Korybuta, nadający dwa jarmarki: na św. Łukasz i na św. Paweł;

12) z r. 1698, Augusta IIgo, na 3 jarmarki, tojest na św. Kazimierz, na św. Wita, i na św. Dominika;

13) z r. 1726, tegoż króla, jeszcze na 3 jarmarki: 1) po św. Stanisławie w maju, 2) w poniedziałek po św. Marcinie, i 3) w grudniu po św. Mikołaju;

14) z r. 1789, króla Stanisława Augusta, nadający nadto 2 jarmarki: na św. Walenty i w poniedziałek po św. Piotrze i Pawle, tudzież potwierdzający wszystkie poprzednie;

15) z r. 1698 zapis Jana Małachowskiego biskupa summy 31000 złp.;

16) z r. 1711, dekret Kazimierza Łubińskiego biskupa, dowodzący, jako podług przywilejów mieszczanie Bodzentyna na mil dwie mieli prawo szynkować;

17) z r. 1788, Michała Poniatowskiego prymasa, nadanie wójtostwa bodzentyńskiego.

Jak widzimy, niemalyto szereg źródeł bardzo ciekawych do historii tego miasta.

Zpomiedzy świeckich budowli, ruiny zamku biskupów na wzgórzu nad Psarką, jeszcze w obszernych i rozległych murach stojące, prawie z całkowitemi ścianami, piękny i malowniczy sprawują widok. Gmach to był ogromny, na trzy piętra w stylu włosko-francuzkim *da cinque cento* zwanym. Wystawił go jak wspomniałem w drugiej połowie XIV wieku Floryan Mokrski, atoli w téj postaci jak teraz z ruin jeszcze poznać można, dopiero na początku XVI stulecia biskup Jan Konarski wielkim kosztem przebudował, zaś sławny Piotr Tomicki dokończył, część niższą dostawił i wewnątrz wspaniale ozdobił. Ludno i bogato bywało niegdyś na dworze tutejszym, bo wiadomo że biskupi krakowscy byli bardzo zamożni, a jako udzielni książęta siewierscy trzymali swoje gwardyą, milicyą, dwór na stopie monarszój i licznych dworzan, na wzór świeckich magnatów

do każdego rodzaju usługi. Dostatnia nawet szlachta miała sobie za zaszczyt piastować dworskie urzędy biskupów krakowskich, również jak dojrzałym wiekiem, rozsądkiem, a znajomością rzeczy lub czynami wojennymi znakomici. Dodajmy do tego, iż każdy taki dworzaniek trzymał znowu konie i sług swoich, a gdy biskup gdzie wyjeżdżał, wszyscy siadali na koni i z całą paradą go poprzedzali.

Gdy pan Bodzentyna często był nieobecny, marszałkowi jego, który nadto zawsze dostojenstwo jakie publiczne w kraju piastował, służył ten dwór cały, kuchnia i piwnica. Kapela obowiązana była dwa razy na tydzień grać koncerta do stołu dla ćwiczenia; dworzanie tak respektowi, jako też służący nie mieli żadnej powinności tylko usiąść do stołu, i najadłszy się, bawić czem się któremu podobało; zatrudnienie jak się domyśleć można, za którym bardzo wielu się ubiegało. Zapłata, obroki, piwo, drzewo, wszystko to regularnie każdego od największego do najmniejszego dochodziło, zatem hulanki, zbytki były tu nie do opisania; ani dziś już wyobrazić ich sobie nie możemy: bo i cóż ta gawiedź miała zresztą robić z próżniactwa? Tylko gdy biskup miał być w Warszawie na sejmie lub na jakiejś innej publicznej sprawie, przydłuższej rezydencji potrzebującej, na trzy niedziele przed swoim wyjazdem kazał wyruszyć z Bodzentyna całemu dworowi, który traktem wygodnie w karetach pańskich paradnych, wolnym krokiem ciągnął do Warszawy, i tym samym sposobem z niej powracał.

Takim był dwór biskupów w Bodzentynie aż do czasu inkameracji ich dóbr i całkowitej zmiany stanu rzeczy. Późem ludzie po bożym świecie rozlecieli się, a pałac opustoszony stał jeszcze długo opierając się ruinie. Sowy i puszczyki osiadły wspaniałe sale i komnaty, tam zaś, gdzie muzyka i śpiewy brzmiały, wiatr przez wybite szyby spokojnie sobie wędrował, deszcze i śniegi zmywały ozdoby, a dziedziniec trawą zarastał. W końcu, czas wszystko niszczący zwyciężył te odwieczne mury, i piękna budowla upadła tak, że dziś tylko rudery z niej stoją, błyszcząc zdaleka białymi ścianami dla okraszy krajowidłu lub dla wspomnień archeologów.

Tuż przy zamku wznosi się piękna i obszerna kollegiata, na miejscu spalonego kościoła św. Krzyża, założona w r. 1440, a ukończona w r. 1452 przez Zbigniewa Oleśnickiego kardynała, który ją wystawił i poświęcił pod wezwaniem Wniebowzięcia N. Panny. Po zamienieniu na kościół parafialny, uległa ona z czasem zniszczeniu, później była wyrestaurowana kosztem miejscowego proboszcza i w do-

brym stanie zachowała się; teraz zaś kosztem rządu odnawiana, do dawniej świetności powraca.

Jestto wielka budowla i w pięknym stylu murowana, w formie krzyża, zawiera kościół średni z pobocznymi kaplicami. Sama świątynia ma długości łokci 86, szerokości z kaplicami 42, wysokość murów jest łokci 30. Nad drzwiami głównymi umieszczona tablica erekcyjna przedstawia siedzącą Matkę Boską z Dzieciątkiem Jezus, przed nią klęczy w kardynalskim ubiorze Zbigniew Oleśnicki, trzymający w ręku kościół bodzentyński. U dołu tarcza z herbem Dębno. Za nim stoi jakby go przytrzymując, figura w podobnym stroju, przy nogach której widać lwa wspinającego się. Naokoło tablicy gotyckimi głoskami następnym czytają się dające napis:

Ad hono(rem) opatet (omnipotentis) Dei e(t) Bte (beatae) Marie Virgis (Virginis) Reverendssi (Reverendissimus) P(ater) d(ominus) S(b)igneus tt. (tituli) Sce. (Sanctae) Price (Priscae) psb (presbiter) Cardialis (Cardinalis) Eps (Episcopus). Cracovien(sis) MCCCCLII me fecit.

Tojest: *Na cześć Wszchemocnego Boga i Błogosławionej Maryi Panny, Najprzewielebniejszy Ojciec Pan Zbigniew ksiądz kardynał pod tytułem św. Pryszki biskup krakowski roku 1452 wystawił.*

Wewnątrz kościół ten ma dziewięć ołtarzy ozdobnego kształtu, dobrze rzeźbione z drzewa stalla, i szczególnie piękny ołtarz wielki z kollegiaty Panny Maryi z Kielc tu przeniesiony. Ołtarz ten złożony, z drzewa w stylu odrodzenia zbudowany, mieści pomiędzy ozdobami orły Zygmuntofskie z głoską S. na piersiach, tudzież herby Nałęcz pod infułą biskupią, świadczące, iż był sprawiony przez Piotra Gembińskiego, od r. 1642 do 1654 dyecezyą krakowską rządzącego. W ołtarzu tym umieszczony obraz przedstawiający Pana Jezusa na krzyżu, obok zaś wielu jeźdźców przypatrujących się Męce Zbawiciela jest bardzo pięknym i szacownym zabytkiem niemieckiej szkoły malarstwa z końca XV lub początku XVI stulecia. Bez wątpienia pochodzi on z pierwotnego kościoła pod wezwaniem św. Krzyża na tém miejscu, jak mówiłem, stojącego; obraz nadzwyczaj dobrze zachowany, i ze wszech miar zasługuje aby odkryć niepospolitego artystę, który dzieło to wykonał. Po prawej stronie ołtarza wznosi się nagrobek z czerwonego marmuru, wybornego dłuta, wyobrażający w całej figurze, w uroczystym stroju, w postawie leżącej biskupa Franciszka Krasieńskiego, z którego rąk świątobliwych umierający Zygmunt August przyjmował ostatnie sakramenta. Ma on u dołu napis, lecz pęknięcie marmuru i wilgoć zupełnie prawie głoski zatarły, a tylko herb Ślepowron i część główna sarkofagu są w całości.

Z pomocą jednak miejscowych inwentarzy odczytałem i zjąłem ten napis; brzmi on następnie:

Franciscus Krasziński

De Krasne,

Olim Regni Procancellarius. Qui in negotijs executionis Legum, et Unionis M(agni) D(ucatus) Lituaniae cum Regno Poloniae, Sigismundo Augusto regnante, ac duobus periculosis Interregnis, egregiam operam Regno Poloniae nauavit, Episcopus demum Cracoviensis creatus. Obijt Anno quinto Christi 1577 aetatis 52.

Tojest: *Franciszek Krasziński z Krasnego, niegdy podkanclerzy koronny, który około wykonania praw i połączenia Wielkiego Księstwa Litewskiego z Koroną Polską za panowania Zygmunta Augusta i w czasie dwóch niebezpiecznych bezkrólewów wielce się zasłużył Królestwu Polskiemu. W końcu biskupem krakowskim obrany, umarł roku piątego od Narodzenia Chrystusa 1577, wieku swego 52.*

Przy obecnej restauracji odkryto grób tego biskupa, a w szczątkach pozostałych znaleziono kielich z patyną ze srebra, starodawniej roboty, z rękojeścią szeroką, gotyckim kształtem i mistrzernego wykonania. Kielich ten wyjęto z grobu i dziś u jednego z wikaryuszów znajduje się, mało ceniony i w zaniedbaniu. Warto byłoby, aby dostojni krewni tego wielkiego biskupa mogli postarać się o ten zabytek, zastępując czém inném, a ten w zbiorach familijnych umieścić, dopóki pamięć o nim nie zaginie lub go złotnicy nie przeleją.

Atoli najważniejszym pod względem sztuki zabytkiem w tu-tejszej świątyni jest ołtarz składany, teraz w zakrystyi umieszczony, a bez wątpienia z ołtarza Oczyszczenia Panny Maryi, w roku 1515 przez biskupa Jana Konarskiego fundowanego, pochodzący. Jestto prześliczne dzieło malarskie jakiegoś wielkiego artysty z końca XV wieku. Wyobraża zaś na tle złocóném w różne desenie, naksztalt dywanu, w głównej części historiją zycia Najświętszej Panny; nad nią klęczy św. Jan Kanty patron fundatora, a u dołu w tém samym położeniu biskup krakowski Jan Konarski w uroczystym stroju, z infułą na głowie, z rękoma do modlitwy złożonemi, u nóg swoich mający herb Habdank. Na dwóch skrzydłach tego ołtarza wyobrażone są w tym samym sposobie dzieje żywota św. Stanisława biskupa, jego cud z Piotrowinem, męczeństwo i pogrzeb, u dołu zaś przedstawiona święta rodzina Boska. Wszystkie te figury dość znacznego rozmiaru, mianowicie główne, wykonane są doskonale; pędzel lekki, rysunek dobry, kom-

pozycja bogata, a koloryt silny, objawia wytrawnego artystę, którego nazwiska zgadywać nie śmiem, a podpisu lub znaku jakiego monogramu napróżno szukałem. Jeden ze znawców amatorów utrzymuje, że to jest dzieło włoskiego artysty Dominika Corradi, znanego pod nazwiskiem Ghirlandajo; ale krytyka historyczna zbija to zdanie, chociaż z podobieństwa pędzla wielkie ma za sobą zbliżenie. Rzeczony albowiem artysta urodził się w roku 1451, a umarł w r. 1495, zaś Jan Konarski został dopiero biskupem krakowskim w r. 1503, gdyż onto jest niezawodnie na tym obrazie umieszczony, i sprawił go w r. 1515, jak akta miejscowe przekonywają. Zatem nie Ghirlandajo malował ten ołtarz, ale z pewnością równie wielki artysta, którego ta praca zasługuje na większe poszanowanie niż dotąd. Nawet wartoby ją ztamtąd przemieść gdzie do Warszawy, odczyścić, odreparować trochę, a może wtedy dowiedzielibyśmy się kto malował to piękne dzieło, teraz obojętnie w kąć zakryty i w kurzu i pyle rzucone. Za granicą byłaby to ozdoba i okrasa największej galerii obrazów, chluba najwspanialszego kościoła, którą niezawodnie pojechalibyśmy podziwiać; u siebie nawet ją nieznamy, i bodajbym był fałszywym prorokiem, i znać nie będziemy.

Jest jeszcze w Bodzentynie drugi kościółek pod wezwaniem Świętego Ducha, w dobrym stanie będący, ale gdy kluczy od niego nie można było wyszukać, bo zakrystyan sławny pijak gdzieś się był schował; na ten raz pomimo najszczerzej chęci zwiedzić go nie mogłem, chociaż powiadano mi, że ma także starożytne obrazy i piękne srebro kościelne, z dawnych bardzo czasów pochodzące. Zostawiwszy więc na przyszłość sobie, lub komu innemu dopełnienie opisu miasta i tego kościoła, w dalszą drogę ku Kielcom puściłem się. A droga ta była ciągle zachwycająca: z obu stron otoczona wzniosłemi górami, pozłoceniem pięknem i spokojnem jesiennem słońcem, na dole widać było ciągle rzekę tu i owdzie przerzynającą doliny, wpośród drzew rozrzucone bielejące się domki, z lasów dym wychodzący: praca węglarzy lub pastuszków rozrywka. Na zielonych, aksamitną murawą pokrytych błoniach pasło się piękne bydelko, a śpiew ciągły, donośny zewsząd się rozlegał. To prawdziwe już Krakowskie: — tak tu rażno i wesoło. Pieśń na ustach każdego, a Krakowiak, jak pozytywki na ulicach Warszawy, razem, chociaż nie strojnie zewsząd się odzywa: to wrzaskliwy i przeciągły u niewiast na polu około wydobycia kartofli pracujących; to męż-

ki i częstemi „oj donas moja dona” prześpiewkami u wieśniaków lub pastuszków przerywany.

Witaj mi więc kraino wspomnień, czarodziejska swą pięknnością, malarska i romantyczna ziemi! Kto ciebie pierwszy raz zwiedza po obejrzeniu zagranicy, z sercem niezwiędłym, z umysłem nieuprzedzonym, zarumieni się tu wstydem na widok tylu piękności, których z takim trudem u obcych szukał. Są tu skały malownicze i lasy dziewicze, co wieki przetrwały niedotknięte morderczą siekierą przemysłowca. Tu znajdziesz rozkoszne gaje, piękne nie płochy naśladowane wody, wspaniałe niwy, a w łonie ziemi ukryte i nieocenione jeszcze skarby. To nasz Meksyk i nasza Kalifornia; słowem, wszędzie tu jest coś, co do duszy i serca każdego przemówi: dla archeologa co krok stary zamek, świątynia, grobowiec, lub zakładu starożytnego szczątki; górnik wszędzie ma kopalnie, mineralog znajdzie swoje bogactwa, malarz zachwycające wzory z natury, a poeta usłyszy pieśń skromną, czułą lub wesołą jak lud tutejszy, świeżą jak krasne jego dziewoje.

Ja patrzałem na to wszystko przez całą moją drogę z otwartymi oczyma, z nateżonym słuchem. Milczący mój wóznica Sandomierzak nie przerywał mi dumania, za co mu byłem bardzo wdzięczny; i tak pełen bujnych wrażeń, które żałuję że pióro moje niezdolne jest oddać, późno już w noc do Kielc przybyłem.

Otoż już trzecia rezydencya biskupów krakowskich, którą w terażniejszej mojej wycieczce zwiedzać mi wypadło. Gród to bardzo starożytny, a miał już uczonych, co łamali sobie głowy nad wywiedzeniem początku i powodu nazwiska tego miasta od narodu Kieltów czyli Celtów; zacnemu Naruszewiczowi bardzo się to było podobało. Niektórzy chcieli Kielce od góry skalistej w kształcie kolca w pośrodku miasta niegdyś sterczącej wyprowadzić, inni od kiel albo kielec, jako zaród kopalń. Gdy w dawnych polskich aktach jeszcze z XVI wieku, zamiast Kielce niekiedy Klece miasto to jest przezywane, a *klec* znaczy w starym polskim języku lepianka, więc i to mógłby być właściwy powód nazwiska. Co do mnie, daleko mi łatwiej powtórzyć nateraz to, na co ogólnie już o początkach wielu miast zgodzono się, że nikt nie wie o nich w odległych wiekach starożytności. Ojcowie też nasi niebardzo na powody troszczyli się, ani ich pochodzenia nie byli ciekawi. Dostyc więc na tém, że Kielce jest miastem bardzo dawném. Pierwszą o niém wzmiankę znajdujemy w kronice

polskiej z końca XIV wieku, przez Stenzla w r. 1835 wydrukowanej, gdzie pod r. 1159 czytamy, iż miasto Kielce było wtedy w czasie wojny zniszczone; Starowolski zaś w żywotach biskupów krakowskich utrzymuje, iż biskup Gaudenty tu mieszkając w r. 1141 po długiej chorobie umarł. Obie te wiadomości dowodzą, iż mylnie Kromer założenie tego miasta do roku 1173 odnosi, przyznając, jakoby wtedy dopiero biskup Gedeon między głębiną leśną wystawił. To tylko pewna, iż Kielce od niepamiętnych czasów do dóbr tychże biskupów należało i często było ich rezydencją.

Wojna wynikła pomiędzy Henrykiem księżciem wrocławskim a Konradem mazowieckim o opiekę nad małoletnim Bolesławem spowodowała spustoszenie i upadek Kielc; a chociaż dźwigać się ono poczęło, wkrótce znówu, bo w r. 1240 napad tatarski do reszty go zniszczył. Kazimiérz W. na prośby Bodzanty Jan-kowskiego w r. 1360 uwolnił Kielce od dawania ludzi zbrojnych i oznaczył jego granice. Że miasto to było obwarowane i obdarzane przywilejami królów jak inne znakomitsze w państwie grody, dowodzą przywileje Zygmunta I w Krakowie w niedzielę przed Narodzeniem N. Panny, tojest dnia 3 września 1533 r. wydane, co do używania praw krajowych, własnej jurysdykcji, niemniej co do wszelkich prerogatyw osobnemi przywilejami biskupów objętych, ściągające się. Przywileje te ciągle od wszystkich monarchów aż do Stanisława Augusta były potwierdzane, a mianowicie od Zygmunta Augusta w r. 1562 d. 13 stycznia w Łomży; Stefana Batorego w r. 1578 dnia 22 lutego w Warszawie; Zygmunta III w r. 1589 d. 6 kwietnia tamże; Władysława IV w r. 1638 d. 10 kwietnia; Jana Kazimierza w r. 1650 30 grudnia; Jana III r. 1676 dnia 6 marca, w Krakowie; Augusta II w r. 1720 dnia 13 grudnia, nakoniec od Stanisława Augusta w r. 1791 dnia 31 marca.

Poszło za tém, że równie troskliwemi byli o wzrost miasta i biskupi krakowscy nadając rozmaite przywileje, mające na celu jego podniesienie i dobro tutejszych mieszkańców. Wprawdzie najdawniejsze akta miejskie w czasie wojen, grasujących morowych chorób i przez pogorzele kilkakrotnie były niszczone; zostały przecież jeszcze ślady w kopiach w Metryce koronnej lub indziej. I tak: znany jest pomiędzy innemi przywiléj Piotra Myszkowskiego biskupa z dnia 28 lutego 1579 roku, w którym dozwala Kielczanom wolne wyrabianie piwa i wódki, oraz szynkowanie tychże na cały klucz tutejszy, tak dalece, iż w tym obrębie nigdzie browar

biskupi nie mógł być postawiony; Jerzego Radziwiłła kardynała biskupa z dnia 16 września 1598, którym nadaje prawo pobierania brukowego i opłaty tak od bydła przez miasto przepędzanego, jako téż od ciężarów tédy przewożonych. Potwierdził obadwa i Bernard Maciejowski postanowieniem z dnia 14 stycznia 1602 r. dodawszy nowe dobrodziejstwo pozwoleniem wszystkim mieszczanom wolnego wrębu do lasów biskupich.

W czasie pierwszej wojny szwedzkiej w roku 1655 miasto to jak i inne złupione zostało, lecz niebawem staraniem biskupów wzniosło się na nowo; a Jan Małachowski przywilejem z dnia 10 września 1685 roku chcąc zapomódz osiadłym mieszczanom, obwarował, iż samym tylko dziedzicom domów w mieście wolność wyrabiania i szynkowania trunków służy. Lecz zaledwie wytchnęły Kielce po jednej wojnie szwedzkiej, nastąpiła druga, a za tą powietrze, przechody wojsk i ogień do wyludnienia i upadku znowu go przywiodły. Karol XII idąc przeciwko Augustowi II, stanął tu z korpusem swoim w dniu 30 czerwca 1702 roku, zajął bez oporu zamek biskupi, tu główną kwaterę założył i ciągle bawił do dnia 9 lipca czyli dnia bitwy pod wsią Kijami, ztąd o 4 mile zaszłój. Szwedzcy spółcześni pisarze podając te wypadki mówią, iż Kielce były wtedy miasteczkiem drewnianém, dobrze jednak zabudowaném i mającém zamek cokolwiek uzbrojony.

W następnych czasach znowu się tu dobrze działo mieszkańcom, zwłaszcza gdy postanowieniem Kajetana Sołtyka, na mocy delegacyi z dnia 15 września 1787 roku przez Adama Przyrembskiego kustosa koronnego *ad latus* biskupa opiekuna odbytej, zakazano mieszkania starozakonnym pod jakimikolwiek pozorami, któreto prawo dotąd najściślej zachowuje się.

Nad to wszystko Kielce jako siedlisko biskupów książąt siewierskich, miało swoje odrębne prawa i zwyczaje, tudzież zamężność niegdyś niemalą. Powiadają tu, że folwark teraz zwany Nowy, dawniej zaś Wydrzysz był własnością tutejszego magistratu. Żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają powieść ojców swoich, iż wspomniony folwark z powodu grasującego powietrza dla urosłych zaległości czynszowych, od miasta do kassy biskupów należących, wtedy zabrany im został. Niemniej, że dom murowany w rynku miasta pod nr. 232 położony, dotąd Wójtowstwo zwany, z pięcią łanami gruntu i dziewiętnastą w Dymińcach poddanemi był podobnie jego własnością. Potwierdzają to podanie i akta miejskie, tak rzecz tę objaśniając. Od początku założenia Kielc

była tu od niepamiętnych wieków jurysdykcya zwierzchnia, zamkową zwana. Składali ją wybierani znakomitsi obywatele miasta, a nawet, jak to w aktach doczytać się można, zasiadali w niej i szlachta obywatele ziemscy. Ci będąc możnemi posiadali znaczne grunta, a zwierzchnictwo przechodząc od rodziny do rodziny, stanowiło pewną dynastją dziedziczenia gruntów i urzędu doń przywiązanego. Nadszedł czas, iż po morowém powietrzu wygasła zupełnie ta dynastya naczelników miejskich, inaczéj wójtami zwanych; urząd więc z własnością posiadaną przez pierwszych, przeszedł w obce imię, a biskupi chcąc dać dowód możności swojej i opieki nad miastem, z bogacili później posadę wójta nadaniem we wsi Dymińcach 19 poddanych. Najpierwszym takowy urząd piastującym od lat 400 był niejaki Piotr Zawalek, którego nazwiska dotąd śladu nie ma, ani nawet pamiątki sukcesyjnej. Ponieważ urząd takowy tylko ludzie światli posiadać mogli i za pośrednictwem biskupów byli mianowani, był czas, iż Kielce wielką wziętość i powagę między innemi okolicznemi miastami miało. Mianowicie zaś za rządów biskupa Filipa Padniewskiego od roku 1560 — 1572 stało w rzędzie najświetniejszych przez otrzymanie prawa miecza (jus gladii), i dozwoleń rządzenia się prawami magdeburskiemi, co wszystko do urzędu wójta należało. Takowy stan rzeczy trwał do roku 1797, w którym miasto przeszedłszy pod panowanie cesarstwa austriackiego, realności wójtowskie i jego uposażenie przy regulowaniu sądownictwa kryminalnego na fundusz tegoż przeznaczone zostały. Pomimo to Kielce za nowego rządu przyszło znowu do znaczenia, gdy w roku 1800 dnia 24 maja od ognia zniszczone, odtąd w lichych domkach zaledwie dźwigać się poczęło.

Prawdziwy zatem wzrost miasta jest dopiero od roku 1816, gdy założono tu dyrekcją i szkołę górniczą, a w następnym roku władze administracyjne całego województwa i sądownictwo przeniesiono. Od tego czasu dopiero Kielce w ludność, przemysł, i rękodzieła i domy murowane wzbogaciły się. Wtedy dopiero wąwozy i miejsca gorzyste wśród miasta niegdyś będące zniesiono i zrównano, ulice sprostowano i wybrukowano, a wytknięte na nowo pięknemi kamienicami zabudowały się. Ratusz jak zwykle w środku rynku znajdujący się, przez czas zrujnowany i ostatecznie od ognia zniszczony, zupełnie zniesiono, obszerny zaś plac przedtém daszkiem, jak we wszystkich dawnych miastach okolicy, zabudowany został gmachami rządowemi i prywatnemi, mieszczą-

cemi w sobie piękne sklepy, w których wszystkiego można było dostać. Nakoniec droga bita do granicy prowadząca, niemało téż do uporządkowania przyczyniła się, i dziś nawet, chociaż główniejsze władze całej gubernii do Radomia przeniesiono, Kielce zawsze w pomyślnym utrzymują się stanie. Obecnie miasto to, po połączeniu gubernii sandomierskiej z kielecką pod nazwą Radomskiej, jest powiatowém; w ślicznój okolicy na wzgórkach wśród większych gór otaczających je zewsząd, a w kamień marmurowy i płaski do murowania zdatny obfitujących. Blisko miasta znajdują się góry kruszcowe, ołów, miedź, cynk i galman w sobie zawierające. O mil dwie płynie rzeka Nida, a wśród miasta rzeczka a raczej strumień Silnica, który powstaje ze źródeł i łączy się zaraz z rzeką Dobrą. Rzeczka ta mało znacząca nigdy przecież nie wysycha i mieszkańcom obficie wody dostarcza.

Nadto Kielce bogate jest we wszelki materiał drogowy, materiał do robienia cegły i wypalania wapna zdatny; ztąd wyroby tego rodzaju są tu nadzwyczaj tanie. Wśród lasów położone, ma podostatkiem wszelkiego rodzaju drzewa, tak do budowl, jako téż i na opał zdatnego. Przez położenie swoje związkowe z innemi poblizkimi miasteczkami, których w odległości mil 5, blisko 10 rachują, jest zawsze handlowém, i z téj przyczyny tak dobrze się utrzymuje. Przyczyniają się do tego także liczne jarmarki i sławne tutejsze targi tygodniowe. Na tych jarmarkach stosownie do pory roku w której się odprawiają, dostanie wszelkiego rodzaju produktów i towarów, mianowicie zaś słyną z podostatku bydła na nie sprowadzanego i dogodności do kupna. Jarmarki te tak są liczne, że ledwie nie na każdym z nich do kilku i kilkunastu tysięcy ludności rachują. Ludne i ożywione są także targi, na które pomimo znacznej liczby kupców chrześcian w Kielcach znajdujących się, dostarczają wiele towarów starozakonni z Chęcini tylko w tych dniach przybywający.

Terazniejsza ludność miasta wynosi razem samych chrześcian 4472 osób; w r. 1820 było 3040, innych wyznań 61, razem 3101. W roku 1828 ogólna ludność była 4093, to jest płci męskiej 2011, żeńskiej 2082, a zatem i tu 70 kobiet więcej niż mężczyzn. Liczba domów mieszkalnych jest 382, ulic 28, z tych najlepiej zabudowane są: Długa, Mała, Warszawska i Borzęcka. Wszystkie zaś znaczniejsze są wybrukowane. Placów publicznych ma 2, to jest: Panny Maryi i św. Alexandra. Ludność ta po większej części składa się z obywateli trudniących się rolnictwem, własne posia-

dających grunta; są także mający swoje domy, którzy z handlu i przemysłu żyją. Inni trudnią się furmanką i dostarczają Warszawie nabiału i kaszy.

Gmachy publiczne murowane wszystkie są mniej więcej w dobrym stanie, a do tych należą: zamek biskupów, seminarjum, probostwo, dom rządowy Leonard, dom Łażnia zwany, wójtowstwo, wikaryat i t. d. Gmach Leonard zwany założony był przez biskupa Soltyka i początkowo przeznaczony na klasztor Siostr Miłosierdzia; później kosztem rządu wyrestaurowany i na dom skarbowy przemieniony, w roku 1809 zupełnie spalił się i upadł, lecz w r. 1816 znowu wzniesiony mieści w sobie władze miejscowe.

Zresztą ciche a nadzwyczaj czyste jest to miasto; wzbronienie mieszkania starozakonnym nadaje mu odrębną cechę, nawet dziwną dla przyzwyczajonego oka znajdywania ich wszędzie górujących w naszych miasteczkach. Może też z tego powodu jest tak schludnym, a mieszkańcy weseli i zamożni; zresztą ma pozór zupełnie nowy, gdyby nie odwieczna kollegiata, tudzież zaczerpnięte starością mury zamku.

Powiedzmy co naprzód o tej budowlu. Dawnato i bardzo dawna siedziba biskupów krakowskich. Już w roku 1140, Gaudenty XIIIty z porządku biskup, jak to mówiłem, mieszkał na dworze tutejszym i w nim umarł. W drugiej połowie XIIIgo wieku biskup Paweł z Przemankowa często tu przesiadywał, a na stan swój nie dbając, wśród lasów kieleckich zapamiętale polował, i jednego z łowczych swoich oszczepem zabił. Tu huczne biesiady wraz z uwiedzioną mniszką z Grodziska, z bezbożnością bez granic wyprawiał, z wielkim między duchowieństwem zgorzeniem. I doszło do tego, że raz kapituła krakowska zebrała się na wielkie posiedzenie, aby uradzić co z tém począć wypada; skutkiem czego postanowiono, aby naprzód udać się do biskupa, przedstawić mu stan rzeczy, i namową od życia sromotnego odwieść. Wszyscy zatem prałaci i kanonicy pojechali do dworu kieleckiego, i ubrawszy się w szaty uroczyste, mając na czele swego dziekana, od Pawła z Przemankowa posłuchania żądali. Ale niewczesnie wybrali się, bo zatwardziały w grzechach biskup, nie myślał się zmienić, owszem zaraz wypłatać im figła postanowił. Wysłuchał ich tedy cierpliwie, i obiecując poprawę, na ucztę zaprosił. Nie domyślając się niczego, w dobrój wierze przyjęli zaprosiny prałaci, i zasiedli przy stołach, pod któremi byli

ukryci karli, w długie kolce uzbrojeni. A kiedy na piękne biesiadowali, tamci poczęli ich klóć i szpikować w najdotkliwsze części ciała. Rzucali się biędni kanonicy na swoich siedzeniach z krzykiem i wrzaskiem, które im ból wyciskał, biskup zaś niby zdziwiony tém zdarzeniem: „Patrzcie, mówi do współbiedniaków, ci nieszczęśliwi wyraźnie są szaleni;” więc jako takich, kazał powiązać i do więzienia wtrącić. I tak długo ich tam trzymał, dopóki mu nie przyrzekli tajemnicy, i obiecali, że odtąd do postępowania jego wtrącać się nie będą.

Otóż znowu jedna awanturka dworu biskupów w Kielcach, a było ich tu jeszcze więcej, coby powieści dostarczyły wątku, gdyby kto chciał dawne podania zbierać, a nie nowe sobie wymyślać. Ale to nie moja rzecz, idźmy więc dalej. Tu w roku 1366 dnia 12 grudnia umarł cnotliwy i ociemniały na starość biskup Bodzanta, a chętnie mieszkał pobożny i łagodny Jan Konarski. Wspaniale, choć z drzewa, przebudował cały dwór Piotr Tomicki biskup, jeden z największych dyplomatów w XVItém stuleciu w Europie. Potém żarłoczny Piotr Gamrat ulubieniec Bony, gdy ta królowa w zamku chęcińskim mieszkała, on w swoim w Kielcach tuczył spastę swe ciało. Piotr Myszkowski, Marcin Szyszkowski, mieli upodobanie w tém miejscu przebywać. A gdy dwór drewniany pochylony starością mniej był dla dostojnych pasterzy wygodnym, Jakób Zadzik kanclerz wielki koronny przebudował go w części, i prawie zupełnie na nowo w roku 1640 z muru wywiódł, w tym stanie, w jakim aż do naszych czasów dotrwał. A lubo śmierć w roku 1642 nastąpiona nie dozwoliła mu zupełnej budowy dokończyć, atoli testamentem nazaczył pewne summy na prowadzenie téj fabryki, i tym sposobem całkowicie i wspaniale z jego szkatuły stanął. Następcy więc tego biskupa dopięro gmach ten dokończyli, wewnątrz urządzili, i bardzo często prawie wszyscy tu mieszkali. Tu w końcu dumny i z charakterem gwałtownym biskup Kajetan Soltyk smutne dni prowadził i umarł w roku 1788 dnia 30 lipca; a ostatnim z pasterzy, który w zamku tym mieszkał, był Wojciech Górski biskup kielecki, w roku 1818 zmarły.

Przebiegłszy historią tego gmachu, przypatrzmy się terazniejszej jego postaci. Na dość obszernym placu przed kollegiatą, wznosi się ten zamek w czworobok, z czterema ośmiościeniami o trzech piętrach wieżami, z dachem do środka załamany, w sty-

lu włosko-francuzkim zbudowany. Niegdyś od strony cmentarza kollegiaty otoczony on był murem, miał strzelnice i bramy z ciosu, ręczny ogień wytrzymać zdolne, a dotąd długi krużganek z kollegiatą, gmachem szkolnym, kościołkiem Ś. Trójcy i seminarjum go łączy. Pierwsze piętro wspiera się na trzech arkadach sklepionych, wszystkie zaś odrzwia i futryny są z ciosu lub z marmuru. Zdobią go jeszcze dwie piramidy przedzielające cztery posągi z piaskowca; z tych dwa będące pamiątką traktatu wiazemskiego nad rzeką Polanówką w roku 1634 zawartego, przedstawiają ministrów cesarza Michała Teodorowicza, bojaryna Szeremetiew i kniazia Alexego Michałowicza Lwowa, w narodowych strojach, trzymających w rękę rzeczony traktat w arkuszowej formie, który zdają się czytać. Drugie dwa po lewej stronie będące, wyobrażają dwóch pełnomocników szwedzkich, którzy przy rozejmie sztandorfskim w roku 1635 znajdowali się. Obadwa te przymierza pozawierał szczęśliwie biskup Zadzik, umocowany od króla, a budując sobie ten zamek, na czele, jako pamiątkę najświetniejszych swoich dzieł wystawił.

Wyprowadzone z fundamentu mury kosztem i staraniem Zadzika, noszą wszędzie godła jego rodowe, to jest herb Korab pod infułą biskupią. Lecz jak mówiłem, śmierć przerwała ukończenie całej budowli, którą uzupełniali następni biskupi krakowscy, a mianowicie Piotr Gembicki, kardynał Jan Alexander Lipski, a nawet Andrzej Kostka Załuski; ztąd widać tu jeszcze pierwszego herb Nałęcz, drugiego Grabie, a trzeciego Junoszę. Nadto przybudowane są do tego zamku zupełnie nowe części, na przykład lokal na kryminal, na szkołę górniczą, na pomieszczenie kancelaryi sądu kryminalnego, na mieszkania dla profesorów i officyalistów górniczych i t. p., co wszystko to niegdyś tu mieściło się, a dziś cały zajęty jest na lazaret wojskowy. Pomimo tych przerabianń stosownych do przeznaczenia budowy, sale pierwszego piętra godne są jeszcze widzenia ze swojej wspaniałości i ozdób architektonicznych, mianowicie pokoje niegdyś królewskie zwane, z malowidłami historycznymi na sufitach, które według tradycyi bardzo podobnej do prawdy, mają być pędzla Tomasza Dollabelli, nadwornego malarza królów: Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i Jana Kazimierza; lecz są one tak zniszczone, iż z trudnością przedmioty wyrażone rozeznacć można. Jedna téż z sal mieści w sobie portrety biskupów krakowskich począwszy od pierwszego Prochorusa aż do Jana Alberta królewicza, czyli do r.

1634, przed Zadzikiem na katedrze tój zasiadającego, co służy za dowód, iż sprawione były przez tego ostatniego biskupa. Portrety te co do pierwszych bez wątpienia są wymyślone, lecz z ostatnich wiele jest trafnie oddanych i widocznie są z oryginalnych wizerunków zdjęte; ztąd zasługują, aby je ratować jeszcze można. Pyszną jest także wystawa czyli ganek od strony ogrodu, składający salę z wytwornemi ozdobami rzeźbiarskiemi z ciosu lub marmuru, z kasetonami na suficie i marmurową posadzką. Ztąd cudowny jest widok na Karczówkę i na całą tutejszą okolicę, a można sobie wystawić, z jaką tu przyjemnością w obliczu pięknej natury spoczywali lub biesiadowali dawni właściciele.

Jest jeszcze w Kielcach niemniej ważny dla archeologa żywioł, to jest tutejsze archiwum akt dawnych i akta miejskie, w osobnym domu za gmachem trybunału umieszczone, a pod dozorem zacnego 90letniego starca rzadkiej czerstwości i zdrowia, p. Jana Smietanki Kulczyckiego archiwisty zostające. Żałuję niezmiernie, że zbyt krótki czas mego tutaj pobytu, tudzież wiele zatrudnienia jakie miałem, nie dozwoliły mi z tego skarbu korzystać. Lecz szczęśliwém zdarzeniem dostawszy spis i jednych i drugich, dla przyszłego na tój niwie pracownika, tudzież dla próby, aby w podróży tego rodzaju i podobnych źródeł nie pomijać, wskazując gdzie czego szukać należy, ogólny ze spisu tego wyciąg przyłączam.

Archiwum akt dawnych w Kielcach, podług rewizyi przez szanownego p. Walentego Huberta archiwaryusza w roku 1845 sporządzonej, zawiera:

1) Akta podkomorskie graniczne dawnego województwa sandomierskiego w dwóch księgach, z których jedna należąca do dawnego powiatu wiślickiego zaczyna się od r. 1471, a kończy się na roku 1513; druga zaś do dawnego powiatu chęcińskiego jest od r. 1443 do 1605.

2) Akta ziemskie wiślickie, obejmujące w 16 księgach zwanych dudki sprawy od r. 1395 do 1535, podobneż indukty od 1395 do 1791 w 23 księgach. Debitorium od 1778 do 1791. Oblatarum od 1765 do 1792. Relationum od 1765 do 1791. Decretorum od r. 1419 do 1792 w 42 księgach. Nakoniec oblata dokumentów familii Młodeckich z r. 1789, w jedną księgę zebrane i oprawione.

3) Akta grodzkie nowokorczyńskie powiatu wiślickiego, zaczynają się dopiero od r. 1703, gdyż według dowodu, który

w jednej księdze znajduje się, wszystkie akta dawniejsze wraz z zamkiem nowokorczyńskim od Szwedów spalone zostały. Lecz od tego roku wszystkie są w całości.

4) Akta ziemskie i grodzkie chęcińskie obejmują z dawniejszych akta ziemskie, zapisy od r. 1428 do 1792 w 18 księgach. Dekreta ziemskie od r. 1447 do 1797 w 23 księgach. Grodzkie Inscriptum et relationum Inductarum od r. 1439 do 1724 w 89 księgach. Inscriptum Inductarum czyli zapisy od 1579 do 1796 w 35 księgach. Dekreta grodzkie, indukty od 1586 do 1761, także wyroki, manualy czyli oryginały od r. 1678 do 1797.

5) Akta ziemskie i grodzkie siewierskie obejmują Inscriptum Inductarum ziemskie, między którymi pierwsza księga zawiera przywileje księstwa siewierskiego od r. 1413 do 1552: materiał do historyi bardzo ważny; druga zaś właściwe zapisy poczynają się od r. 1453 do 1543, zawiera czynności pisane w pierwszej połowie po łacinie, w drugiej po polsku: dla prawa i języka równie ważne. Zresztą inne są od r. 1546—1801. Dekreta ziemskie od r. 1601 do 1718, wszystkie pisane po polsku. Grodzkie poczynają się od r. 1545 do 1794, podobnie prawie wszystkie są po polsku i zawierają czynności dobrej woli, wyroki, manifesta i t. p. Oblaty grodzkie nader ważne zawierające w sobie zapisy, zjazdy, działy, ugody granice, i t. p. poczynają się od r. 1509 i są bez przerwy do r. 1800, tudzież dekreta grodzkie od roku 1600 do 1801 w zupełności w 51 księgach i 26 tekach.

6) Akta ziemskie lełowskie, biorące swój początek dopiero od r. 1787, a to na mocy postanowienia Rady Nieustającej z dnia 25 sierpnia 1786 roku, co księgi poświadczają, prowadzone do r. 1800.

7) W osobnej wielkiej skrzyni mieszczą się akta dotyczące kościoła i suprymowanego klasztoru Kanoników Regularnych grobu Chrystusowego w Miechowie, ważne szczególnie co do dóbr, a mianowicie granic dóbr tegoż klasztoru. Tamże znajdują się akta suprymowanego klasztoru XX. Augustyanów w Olkuszku i podobnie XX. Paulinów z Beszowa.

Niemniej ważne i bogate są dawne akta miejskie, a mianowicie:

Bendzina, poczynające się od r. 1741 do 1800.

Brzeska Nowego, od r. 1644 do 1810.

Chęcin wójtowskie są od r. 1564 do 1791.

- Radzieckie od 1548—1802.
 Chmielnika od 1569—1809.
 Czeladzi od 1658—1772.
 Daleszyc od 1571—1807.
 Działoszyce od 1650—1811.
 Janowa od 1705—1804.
 Kielc od 1793—1810. Z tego powodu są tak późne, że w r. 1800, jak wyżej wspomniałem, ratusz wraz z aktami spłonął.
 Koszyc od 1611—1810.
 Koziegłowa od 1596—1811.
 Kromolowa od 1578—1809.
 Kurozwęk od 1470—1811.
 Kurzelowa właściwie z porządku zaczynają się od r. 1559 do 1819, lecz jest tu księga przywilejów tego miasta od r. 1539—1773, tudzież inne akta z różnych lat zebrane od roku 1452.
 Lelowa od r. 1560—1789.
 Małogoszczy od 1541—1811; nadto są przywileje miasta w oryginałach.
 Miechowa od 1513—1811.
 Mrzygłodu od 1556—1811.
 Ogrodziniec od 1682—1802.
 Na początku jednej księgi zapisano, że akta tego miasta zaczynają się na nowo po spaleniu przez Szwedów dawniejszych.
 Olkusza akta sądowe, górnicze i urzędu żupnego począwszy od r. 1434 i są do r. 1765 w 34 księgach.
 Akta wójtowskie od 1469—1798, zaś radzieckie od 1483—1798.
 Olsztyna od 1620—1798.
 Opatowca 1563—1810.
 Pilicy 1518—1808.
 Pińczowa 1569—1807.
 Proszowic 1592—1811.
 Siewierza 1634—1799.
 Szkalbmierza 1703—1812.
 Skąły 1771—1798.
 Sławkowa 1507—1811.
 Słomnik 1548—1810.
 Sobkowa 1563—1811.
 Szczekocin 1566—1822.
 Szydłowa 1686—1811.
 Włodowic 1544—1812.
 Włoszczowy 1590—1810.
 Wolbroma 1572—1806.
 Xiąża Wielk. 1658—1820.
 Żarnowca 1556—1811.
 Żarek 1461—1810.

Wprawdzie wiele z tych miast dziś są lichemi miasteczkami lub na wieś przemienione zostały, akta te przecież do dziejów stanu miejskiego w dawniej Polsce mogą być bardzo ważne i użyteczne.

Zbliżmy się teraz do starożytniej i najdawniejszej świątyni Pańskiej w Kielcach, tuż przy zamku sędziwe czoło wznoszącej. Zabytek to budownictwa z końca XII wieku, który pomimo częstych przerabian i przebudowań, jeszcze w głównym frontonie zachował pierwotną swoją postać. Właściwie nie wiadomo jest z pewnością w którym roku kościół Panny Maryi wzniesiony został, gdyż dawne tutejsze akta w czasie wojen zatraciono. Dłu-

gosz i inni historycy piszą, iż przy końcu XII wieku Kielce ozdobione zostały kościołem pod wezwaniem Najświętszej Panny, który od swego założyciela Gedeona czyli Getki z domu Gryffów biskupa krakowskiego, około roku 1173 wyniesiony został do stopnia kollegiaty. Kromer utrzymuje, iż budowa tego kościoła ukończoną była przed śmiercią Bolesława IV Kędzierzawego; co też pozostałe w odpisach przez Długosza akta kollegiaty, toż samo potwierdzają; mylnie zatem Pamiętnik Sandomierski napisał, a za nim wszyscy, jakoby te akta czas jej założenia na rok 1084 posuwały. To tylko pewna, iż ów Gedeon a po nim Wincenty Kadłubek wspólnie wpływali na uporządkowanie i uposażenie tej kollegiaty, zaś następni biskupi krakowscy nieprzestannie jej dobrem zajmowali się. W początku XVI stulecia biskup Jan Konarski przybudował zakrystyą i kapitularz z ciosowego kamienia; Piotr Myszkowski cały kościół znacznie rozszerzył; syn Zygmunta III królewicz Jan Albrecht, wchód do niego marmurem ozdobił; Kazimierz Łubiński za przyłożeniem się kapituły rozszerzył prezbiterjum i dodał po obu stronach kościoła kaplice, które ukończył następca jego Konstanty Felicyan Szaniawski w r. 1727, a nadto wewnątrz kościół nowemi ołtarzami i amboną ozdobił. W roku 1805 za zezwoleniem Piusa VII papieża, kollegiata ta wyniesiona do godności katedry biskupiej, była nią do roku 1818; wtedy zaś na mocy nowych układów stolicy św. z błogosławionej pamięci Cesarzem Alexandrem I przeniesiono takową do Sandomierza; a kościół kielecki jak dawniej pozostał kollegiatą.

Za czasów zarządu dyecezyą biskupa Woronicza w r. 1827 cały ten kościół zewnątrz i w środku odświeżono, obalono wtedy stare ze strzelnicami mury otaczające cmentarz, odcięto część korytarza ułatwiającego przejście z zamku biskupiego do kościoła od strony południowej, wyrównano wokoło taras na którym stoi kollegiata, otoczono go kratą żelazną, a tym sposobem odsłonięto cały jej widok od strony wjazdu, który przedtém był zakryty. Obecnie znowu, szczególnie wewnątrz, kosztem rządu i hojnym przyczynieniem się terażniejszego administratora dyecezyi kielecko-krakowskiej oraz dziekana kollegiaty ks. Macieja Majerczaka znowu z gruntu kościół ten odnawiają, odświeżają, złocą i pstrzą bez względu: iż nie wszystko złoto co się świeci. Kollegiata kielecka od swego założenia zaszczyca się wielu wspomnieniami i ludźmi nauką i zasługą w kraju, oraz w kościele słynnemi. Tu Jan Dąbrowka rektor akademii krakowskiej i komentator kroniki

Kadłubka, mąż na wiek swój bardzo uczony i wielki akademii do-brodziej, od r. 1456 był kustoszem. Tu Marcin Kromer powróciwszy po ukończeniu nauk z Bononii uczyniony kanonikiem, rozwi-jał pierwsze swoje pomysły do historyi kraju; tu naostatek w naszych czasach znany literaturze ze swoich prac ks. Hieronim Juszyński był officyałem i t. d.

Wstępując głównymi schodami na taras i na plac Panny Maryi, z jednéj strony wznosi się kaplica zwana Ogrojcem, zbu-dowana w r. 1760 nakładem ks. Józefa Rogalli kanonika krakow-skiego, kustosza kieleckiego, z drugiejj okazała wieża zdaleka nad całym miastem górująca. Na niéj umieszczony jest zegar, kom-pas i dzwonów trzy, z których jeden najdawniejszy sprawiony przez Tomickiego, ma na sobie następnny napis:

Petrus Tomicki Epus (Episcopus) Cra(coviensis) Vice Can-cellarius Regni Poloniae A(nno) 1527.

Tojest: *Piotr Tomicki biskup krakowski podkanclerzy Króle-stwa Polskiego, roku 1527.*

Drugi dzwon z dawnego przelany został w r. 1789 w Kra-kowie przez niejakiego Balcera Ruszkowskiego gissera.

Pod gankiem wieży umieszczony jest wielki z marmuru wy-kuty herb Nałęcz, pod infułą biskupią, mający naokoło głoski po-czątkowe, które tak się tłumaczą: P(etrus) G(embicki) E(piscopus) C(racoviensis) D(ux) S(everiae); czyli: *Piotr Gembicki biskup kra-kowski książę siewierski.* Na cmentarzu kościelnym są dwie statuy; jedna z marmuru szarego, wyobraża św. Jana Nepomucena, druga z piaskowca, Niepokalanego Poczęcia Panny Maryi, na dole której następnny czytać się daje napis:

Virginis Effigiem dum transis chare viator, non dedigneris dicere Mater Ave. Fieri curavit F(ranciscus) P(reiss) a(nno) 1760.

Tojest: *Podróżniku! przechodząc obok posągu Dziewicy, nie omieszkaj wyrzec: o Matko bądź pozdrowiona! Wzniósł swoim sta-raniem Franciszek Preiss roku 1760.*

Na frontonie kościoła przy głównych drzwiach, na wielkiejj tablicy marmurowéj, w ścianie po prawéj stronie wprawionéj, wyrte jest abecadło polskie większe i mniejsze, potém liczby arabskie aż do 1000, głównejsze zasady wiary, dawne miary i wagi krajowe; po nich dołączona przestroga jakie litery w języku łacińskim są używane i t. d. Jestto pamiątka po bracie króla Stanisława Augusta Michale Poniatowskim, który był administra-torem dyecezyi krakowskiejj od r. 1782—1791, później zaś pry-

masem i arcybiskupem gnieźnieńskim, a którego myślą było po wszystkich kościołach pod jego zarządem zostających tym sposobem umieszczać najpotrzebniejsze wiadomości dla włościan. Główne drzwi do kościoła prowadzące mają wspaniałe z checińskiego marmuru odrzwia, nad którymi u góry umieszczony jest herb domu Wazów, a wokoło następne początkowe głoski, które tak się czytać powinny: J(oannes) A(lbertus) P(rinceps) P(oloniae) E(t) S(ueciae) S(acrae) R(omanae) AE. (Ecclesiae) C(ardinalis) E(piscopus) C.(racoviensis) D(ux) S(everiae).

Co znaczy po polsku: *Jan Albert królewicz polski i szwedzki, świętego kościoła rzymskiego kardynał, biskup krakowski, książę siewierski.*

Podobnież są drzwi boczne nad którymi wyryto: A(nno) D(omini) 1632 ampliata Essa (Ecclesia); czyli: *Roku Pańskiego 1632 kościół ten rozszerzony.*

Tuż przy drzwiach wielkich pod chórem czytać można na marmurze następujący napis:

Templum antea nimis angustum, nec ita multi populi capax Petrus Miscowski Cracoviensis Epus (Episcopus) ad augendam pie plebis Religionem et divini numinis cultum, in hanc amplitudinem auxit 1583. Czyli:

Świątynię przedtém zbyt szczupłą, ani wiele ludu w sobie objąć mogącą, Piotr Myszkowski biskup krakowski w celu pomnożenia pobożnego gminu religii, tudzież czci Najwyższego Boga, do terażniejszej obszerności przywiódł, w r. 1583.

Cały ten kościół jest dosyć duży, o trzech nawach; ma dużo nagrobków i napisów, piękne organy i lożę, w której biskupi kruzgankami z pałacu swego przechodząc, nabożeństwa słuchali. Prezbiterjum całe z ciosowego kamienia, bez wątpienia jest najdawniejszą częścią téj budowy. W niém wznosi się ołtarz wielki z drzewa złocony, snycerskiej dość dobrej roboty, przez Antoniego Frąckiewicza w roku 1728 w Krakowie wykonany. Jest on o czterech słupach, między którymi ustawieni są aniołowie; na górze wznosi się Śta Trójca w złotych promieniach, a w ołtarzu śliczny obraz przedstawiający Wniebowzięcie N. Maryi Panny, malowany w roku 1727 w Rzymie przez sławnego naszego mistrza Szymona Czechowicza, z polecenia i kosztem jednego z tu-tejszych kanoników, nabyty za 100 dukatów. Piękny ten obraz odznacza się jak wszystkie tego artysty prace, prostym układem, prawdą i naturalnością, poprawnym rysunkiem i przyjemnym ko-

lorytem, a przypomina pędzel nauczyciela jego Karola Maratte; w draperyach zaś, co rzadko, bardzo udatny i lekki. W prezbiteryum, po obu stronach, stalla kanonicze ozdobione są téż malaturami wyobrażającemi przedmioty z historii świętej, a nad niemi wiszą cztery wielkie obrazy, przedstawiające Nawrócenie św. Pawła, Młodzianków, ukamienowanie św. Szczepana i widzenie jakie miał na niebie Piotr święty; wszystkie przez niewiadomego artystę, ale wcale niezłe wykonane. Po filarach zawieszono są w złotych ramach wyobrażenia dwunastu apostołów i Jezusa Chrystusa, poniżej obrazy świętych patronów kraju, i czterech doktorów kościoła, które mają z kościoła XX. Cystersów z Jędrzejowa pochodzić. Wreszcie w bocznej kaplicy obraz Przemienienia Pańskiego, jest pędzla Michała Stachowicza Krakowianina, zaś wspaniały obraz ukrzyżowania Pańskiego naprzeciwko łoży biskupiej zawieszony, pędzla tutejszego altarysty ks. Antoniego Brygierskiego, niepospolitego artysty ze szkoły włoskiej, który dobrym rysunkiem i miłym kolorytem odznacza się.

Oprócz trzech wspomnianych ołtarzy, jest tu jeszcze innych jedenaście, to jest z obu stron arkad po cztery i trzy na boku; z tych ołtarze św. Jana Ewangelisty, Pana Jezusa i Matki Boskiej, tudzież św. Józefa zrobione są przez wspomnianego wyżej Frąckiewicza, zaś św. Jana Kantego i św. Mikołaja, przez Wojciecha Bilskiego rzeźbiarzy z Krakowa.

Naprzeciw chrzcielnicy, w kształcie wielkiego kielicha z czarnego marmuru wyrobionej, zastanawia w ścianie umieszczona rzeźba wypukła z ołowiu, wyobrażająca N. Pannę. Jestto trzeci z porządku tego rodzaju pomnik, wyrobiony z trzech brył tego kruszcu w roku 1646 przez włościanina Hilarego Mała ze wsi Niechachłowa, w górze Machnowskiej znalezionych, z których Stanisław Czechowski starosta kielecki kazawszy wyrobić wyobrażenie N. Panny, św. Antoniego i św. Barbary, ozdobił niemi kościoły, przeznaczwszy piérwsze do kolegiaty tutejszej, drugie do kościoła parafialnego w Borkowicach, a do Karczówki trzecie, gdzie dotąd tamże znajdują się.

Jak mówiłem, w kościele tym znajduje się wiele nagrobków, a jeszcze więcéj napisów; które gdy starannie zebrał uczony ks. Walenty Michał Witkowski w wzorowym opisie téjże kolegiaty, w Pamiętniku Religijnym w roku 1845 w tomie IXtym umieszczonym, korszystawszy z téj pracy, opuszczam wszystko,

przytaczając tylko co znaczniejsze ze względu sztuki lub historii. Najdawniejszy i najwspanialszy nagrobek jest przy ścianie obok wnijscia na chór; wyobraża on z czerwonego marmuru niewiastę, w stroju staroświeckich matron, z głową opartą na prawej dłoni, z pierścieniem na palcu lewej ręki, z której spada różaniec; obok herb Radwan, nad nim zaś wielki krzyż drewniany, pod którym stoi N. Panna, św. Jan Ewangelista i św. Magdalena w klęczącej postaci, a na dole następny na tablicy napis:

Elisabeth de Kryczko, Alberti Zebrzydowski viri Illustrissimi conjunx, Andreae Krycy Archi Eppi (Episcopi) Gnesnensis soror, Tomicii vero Neptis, et mater Zebrzydovii Eporum (Episcoporum) Cracovien(sium), mulier honestissima hic sepelitur Andreas Eppus (Episcopus) Cracoviensis, posuit hoc monumentum matri pientissimae, moritur 28 8bris anno 1553.

To jest: *Elżbieta z Kryczka, Wojciecha Zebrzydowskiego człowieka najdostojniejszego małżonka, Andrzeja Krzyckiego arcybiskupa gnieźnieńskiego siostra, Tomickiego zaś wnuczka a matka Zebrzydowskiego biskupów krakowskich, niewiasta najzacniejsza tu jest pochowana. Andrzej biskup krakowski wznosił ten pomnik najbogobojniejszej matce. Zeszła z tego świata dnia 28 października 1553 roku.*

Naprost ołtarza św. Stanisława, pod pięknym portretem na blasze malowanym, taki napis:

D. O. M.

Hic universam carnis resurrectionem expectat Admodum Reverendus Dominus

Adalbertus Reymiński,

Cano(nicus) Sandomir(iensis) Kielcensis, Parochus in Gołęb, et Generalis hujus Eppatus (Episcopatus) pluribus annis Oeconomus. Seminarii Lublinensis Clericorum, et novae Parochiae in Zerzyn fundator, cui de Essa (Ecclesia) Dioecesi, Epis (Episcopis) amicis, pauperibus, optime promerito, amici posuerunt. Obiit V Junii Anno MDCLXXV.

To jest: B. N. N.

Tu oczekuje powszechnego ciała zmartwychpowstania, przewielebny ksiądz Wojciech Rejmiński kanonik sandomierski i kielecki, pleban w Gołębciu i generalny tego biskupstwa przez wiele lat administrator, seminaryum lubelskiego kleryków i nowego probostwa w Zerzynie założyciel, któremu jako temu, co wyświadczył wielkie przysługi kościołowi, dycezyi, biskupom, przyjaciołom

i ubogim, ten pomnik wystawili przyjaciele. Umarł 5 czerwca roku 1675.

Na ścianie w boku ołtarza Śtój Trójcy, na tablicy marmurowej wyobrażony kapłan w komży ze złożonemi rękoma pod krzyżem. Jestto nagrobek Macieja Oblamkowicza tutejszego officyała, słynnego z pobożności i hojności dla nauki biédnej młodzi. Ma on następny napis łacińskimi wierszami, które igraszkę sobie z nazwiska zmarłego czyniąc, zrozumienie tłumaczenia utrudniają:

Hoc tumulo clausus, jacet Oblamcovius ille,
 Qui fractis vitiis nomen et omen habet.
 Norma Sacerdotum, vir prudens atque suavis,
 Cui Deus exhibuit quinque talenta sua,
 Instruxit Juvenes, populum litesque diremit.
 Erexit studium discere noscere Deum,
 Functus honore gravi, fauste octo lustra peregit,
 Invida, provida die stamina Parca scidit,
 Strenuus ut properet victor captare bravium,
 Pro terra coelum, proemia pro meritis,
 Elice tu lacrimas, et corde praecare viator,
 Haeres ut superum vivat in arce Dei.
 Fatis cessit anno aetatis 74 A(nno),
 D(omini) 1654 d(ie) 26 Augusti.

Co znaczy dosłownie: *W tym grobie zamknięty leży Oblamkowski, który złamawszy ułomności, z imieniem łączy pomyslną wróżbę. Wzór kapłanów, mąż roztropny i miły, któremu Pan Bóg użyczył swych pięciornakich darów. Nauczał młodzież i lud, rozstrzygał spory, wzbudzał chęć do nauki i poznawania Boga. Piastował znakomite godności szczęśliwie przez lat czterdzieści. Zazdrosna Parca w dniu przewidzianym przecięła pasmo, iżby dzielny zwycięzca pospieszył otrzymać wawrzyny, zamiast ziemi niebo, nagrody za zasługi. Przelewaj łzy przechodniu i módl się gorąco, aby odziedziczywszy niebiosą, żył w mieszkaniu Boga. Umarł mając lat 74, roku Pańskiego 1654 dnia 26 sierpnia.*

Przy drzwiach pobocznych, od południa, nad dwoma portretami na blasze wyobrażającemi Andrzeja Kostkę Załuskiego i Felicyana Szaniawskiego biskupów krakowskich, którzy lubo pochodzą w Krakowie, tu tylko, jako szczególni dobroczyńcy kościoła, pomnikami są uczczeni. Z tych jeden więcej historyczny, na drugiej stronie obok drzwi od północy znajdujący się, tak brzmi:

D. O. M.

Marmor quod cernis viator,
 Monumentum est aere perennius,
 Felicis recordationis,
 Celsissimi et Reverendissimi olim Domini
 Constantini Feliciany in Szaniawi Szaniawski,
 Eppi (Episcopi) Cracov(iensi) Ducis Severiae,
 Qui Esiam (Ecclesiam) hanc Collegiatam Kielcensem
 Dum vixit, dilexit, ornavit, et animavit,
 Antiquam hanc Gedeonis plantam
 Arida consumpsisset vetustas,
 Ni salvificum rorem vellus Junosze ministraret.
 Nam cum templo caput erexisset Łubienius,
 Corpus aptavit Constantinus,
 Sacro Chrismate per se delibutum,
 Effert ad sidera turris,
 Resonat per horas vocale Cymbalum,
 Principis munificentiam.
 Sed angustae duplicis portae limina,
 Patefaciunt chorum majorem
 Splendescunt arae etiam in titulum,
 Erectae colchico arietis nitore.
 Argenteis sex candelabris adornatae,
 Quibus dum fulgor praetiosi accessit apparatus,
 Aureum probant benefactorem.
 Frequentior e Clero Seminaristico Chorus,
 Et alter musicorum fundatus,
 Memoriam suavitatis ejus eructat,
 Qui si taceant! Lapis de pariete clamabit.
 Hoc in anathema gratitudinis inscribi fecit,
 Stylo ferreo ex tabulis ultimae voluntatis desumpto;
 Venerabile Capitulum Kielcense.
 A(nno) D(omini) MDCCXXXIV.

Co znaczy: B. N. N.

Marmur na który patrzysz przechodniu, jest pomnikiem trwalszym nad wszelkie spiże szczęśliwej pamięci najdostojniejszego i najprzewielebniejszego niegdyś Konstantyna Felicyana na Szaniawach Szaniawskiego biskupa krakowskiego, księcia siewierskiego, który świątynię tę, kolegiatę kielecką, dopóki żył, miłował, zdobił i ożywiał. Starożytna ta Gedeona latorośl,

skrzepła, zniszczałaby na starość, gdyby zbawczej rosy Junoszy runo nie dostarczyło; bo gdy głowę kościoła wzniosł Łubieński, korpus urządził Konstantyn, szczyt świętym chrztem przez niego poświęcony, wieża pod niebiosą wznosi. Dzwon głośny w każdą godzinę rozgłasza hojność książęcą. Jakkolwiek ciasne się okazują progi podwoi, odstawiają wszakże chór obszerny. Błyszczą ołtarze wzniesione złotym blaskiem, również na cześć baranka sześciu srebrnemi świecznikami przystrojone, do których gdy się przyda blask kosztownych aparatów, wszystko to okaże złotego dobroczyńcę. Ustanowione przez niego liczniejsze grono kleru seminaryjnego, tudzież chór muzyków, głoszą miłą jego pamięć, którzy gdyby mieli kiedykolwiek zamilknąć, naówczas muru kamienie odezwałyby się. Słowa te jako dowód wdzięczności wyrzyc poleciła, w niczem nie zmieniając woli jego z ostatniego rozporządzenia powziętej, wielebna kapituła kielecka, roku Pańskiego 1734.

Nakoniec pamiątką po tutejszym księdzu artyście Brygierskim został jeszcze kamień w kruchcie bocznej w posadzce umieszczony, na którym można wyczytać następny napis:

D. O. M.

Hoc sub marmore quiescit Adm(odum) Rds. Antonius Brygierski Altarista hujus Ecclesiae, Sacerdos exemplaris, Pictor celeberrimus. Obiit a(nno) 1791 d(ie) 14 Septembris, Aetatis suae anno 69. Cujus animae amice Viator, requiem praecare aeternam.

Tojest: B. N. N.

Pod tym marmurem spoczywa przewielebny Antoni Brygierski altarysta tego kościoła, kapłan przykładny, malarz znakomity. Umarł roku 1791 dnia 14 września, przeżywszy lat 69, którego duszy łaskawy przechodniu, prosz o wieczny spoczynek.

Obok wielkiego ołtarza jest wchód do zakrystyi wikaryuszów; z niej zaś idzie się do zakrystyi kanoników. Po lewej stronie obok zegaru ściennego w starożytniej oprawie, z klasztoru jędrzejowskiego pochodzącego, umieszczone drzwi prowadzą do kapitułarza, a z niego do skarbcu, gdzie się zarazem mieści nieliczny księgozbiór. W nim jednak znajduje się kilka dawnych pracowicie pisanych na pergaminie antyfonarzy i rękopismów teologicznych, które ani z treści, ani z sztuki podobno na uwagę nie zasługują. Za to w skarbcu godną jest widzenia wielka monstrancja srebrna, całkiem pozłacana, która ma do gotyckich ozdób przyczepione

bardzo pięknie wykonane rozety filgranowe, przyozdobione emalią i kolorowemi kamieniami figurki, wyobrażające u góry Chrystusa Pana w Jordanie, niżej Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus, w wieżyczkach bocznych św. Teklę i św. Katarzynę, po bokach św. Jerzego i św. Floryana, zaś na podstawie następny znajduje się napis: *Superiorem partem hujus operis comparavit Wilczko Civis Andreov(iensis) anno 1520 inferiorem sive sedem f(rater) Valentinus Tarnoviensis anno 1600. Na samym dole: hoc opus deauratum est anno 1620. Czyli: Wierzchnią część tego dzieła sprawił Wilczko mieszczanin jedrzejowski w roku 1520, niższą czyli podstawę brat Walenty z Tarnowa w r. 1600, a cała wyzłocona jest w r. 1620. Monstrancja ta, jak napis przekonywa, pochodzi z klasztoru jedrzejowskiego i jest bardzo wytwornym wyrobem złotnictwa z początku XVI stulecia.*

Za kollegiatą stoją domy proboszcza i kanoników, a nieco dalej na dół schodząc kościół św. Trójcy z seminaryum po jednej stronie, a z szkołami świeckimi po drugiej. Kościół sam jest szczupły i mały, wewnątrz bardzo schludny, zewnątrz zaś niekorzystnie odnowiony; wystawiony on jest kosztem Marcina Szyszkowskiego biskupa krakowskiego, a przyozdobiony przez Szaniawskiego, który jak wiadomo gmachy przy nim stojące w r. 1725 wybudował; co téż poświadcza i tablica z napisem w jednym z tychże umieszczona. Gmachy te pierwsiastkowo przeznaczone były na seminaryum, tudzież na szpital św. Trójcy; pierwszy zapewniał utrzymanie i edukacją 36 klerykom, drugi życie i okrycie dla dwunastu osób obojęd płci, w połowie z ubogich obywateli miasta Kielc lub w usługach miejskich spracowanym, a przy nieskazitelnym prowadzeniu się przez jaki wypadek podupadłym. Tenże sam biskup wznosił w r. 1726 gmach szkolny, obmyślił dostateczne nauczycielom opatrzenie, i tak założoną nową szkolną osadę oddał pod dozór XX. Komunistów, inaczéj Bartoszkami zwanych z Węgrowa, za pozwoleniem papieża Benedykta XIII i Augusta II króla sprowadzonych. Na fundamencie nadanej przez założyciela szkołom ustawy, księża ci do przepisów akademii krakowskiej stosować się obowiązani byli; ta zaś w r. 1729 zaprowadziła tu nauki filozofii, teologii, wymowy, poezyi, grammatyki i t. d. a w r. 1735 nadawszy uczącym oznaki wydziału akademickiego, tém samém kolonią swoją mieć chciała. Kommissya Edukacyjna utrzymała szkoły kieleckie, i były one dość liczne, albowiem w r. 1784 miały 206 uczniów; za rządu austriackiego wynie-

sione na stopień gimnazjum. W roku 1809, gdy budowle od ognia zostały zniszczone, szkoły przez rok jeden ustać musiały; wkrótce jednak za staraniem Izby Edukacyjnej powrócone w r. 1816, rząd zupełnie podźwignął i do stopnia wojewódzkiej podniósł. Dziś mieści się tutaj szkoła wyższa realna, która posiada znaczną bibliotekę, piękny zbiór minerałów i bardzo gorliwego a zacnego inspektora.

Piękne położenie Kielc, charakter mieszkańców tak różny od wielu innych w kraju, nadewszystko brak starozakonnych, sprawia, iż miasto to bardzo przyjemne na obcym czyni wrażenie. Powiadano mi, że obywatele tutejsi lubią się bawić, są przyjacielscy i towarzyscy, a śliczne i żywe Kielczanki często i do upadłego tańczą. Mówiono mi także na wielką moją pociechę, chociaż już z tego korzystać nie mogę, że młodzież warszawska, a w ogóle Mazury w wielkiem są u nich zachowaniu; nawet jako dowód poznałem sam dzielnego Warszawiaka, który upadał pod brzemieniem łask, jakie go z tego tytułu spotykały. Sądzą tu bowiem, że nie można być lepszym tancerzem nad Mazura, a zgrabniejszym nad Warszawiaka; inne zalety idą za temi, a jak wiadomo, dobra opinia wszystko ułatwia.

Są tu także prześliczne spacery nietylko w okolicy, lecz i w samym mieście; naprzykład za zamkiem, gdzie czyste ulice w wzorowym porządku są utrzymywane, gdzie obok zielonej murawy masz drzewka cień dające, i kwiaty ozdobne, i sadzawka z czystą jak kryształ wodą, po której ładne w kształcie batów czółenka do téj miłej zabawy wabią. Tłumnie więc w niedziele i święta korzysta z tego miejsca wesoła publiczność, a gorliwy i dbały o dobro miasta naczelnik powiatu, którego staraniem właśnie przechadzki te do dobrego stanu przyprowadzone zostały, coraz bardziej je upiększa, więcej ozdób przyczynia. Onto właśnie świeżo teraz nad samą sadzawką prześliczną statwę św. Jana Nepomucena z Jędrzejowa także tu przeprowadził, a po wyrestaurowaniu i odnowieniu swoim kosztem postawił. Statua ta pod względem rzeźby tak wytwornie z ciosu jest wykonana, z taką delikatnością dłuta w draperyach, a nawet w koronce u komży świętego, z takim mistrzowskim wyrazem twarzy, iż w tym rodzaju nigdzie w naszym kraju coś tak pięknego nie widziałem.

Lecz nie to jedno tylko jest zasługą p. Tomasza Zielińskiego, gdyż miasto Kielce tak porządne i wygodne, nowemi chodnikami z marmuru ozdobione, przyznaje wiele korzystnych zmian dba-

łości i staraniom tego urzędnika. Zналиśmy go oddawna w Warszawie, ja zaś w pracach moich niejednę mu już pomoc zawdzięczałam. Za czasów jego urzędowania u nas, było szczególny dom, gdzie miłujący sztuki piękne i wszyscy artyści zbierali się, i tu w każdym czasie byli kochani, cackani, i z otwartemi rękoma przyjmowani. Kto chciał ujrzyć nową pracę, kto poznać przybyłego mistrza, kto oglądać piękne dzieła malarstwa, rzeźby, starożytności, ten znalazł to wszystko u pana kommissarza Zielińskiego. I od czasu przeniesienia się jego na naczelnika powiatu do Kielc, brak tego ogniska zgromadzeń wyłącznie artystycznych w Warszawie, brak człowieka, coby z takim zapalem, z takim sercem i nieopisanem staraniem gromadził tego rodzaju zbiory, umiał je znaleźć, a przy tém wszystkiem tulił do siebie i zachęcał będące i tworzące się talenta. Rzadkito miłośnik, przykład nieporównany, aby człowiek z tak szczupłemi zasobami, z samą praktyką, którą długoletniem doświadczeniem i w ciągłych stosunkach z artystami i znawcami nabył, mógł zebrać z wytrwałością i cierpliwością niesłychaną takie skarby, co nie każdemu nawet z odpowiednią zamożnością mogłoby się udać. On téż jeden w czasie, kiedy wszyscy w śnie letargicznym spoczywali, a obojętność owładnęła dawnych amatorów, całą swoją energią rozwinął, aby pomnożyć i wzbogacić swoje zbiory, na które od lat 30 całe swoje mienie poświęca. Widzieliśmy wtedy sami i z zadziwieniem przypatrywaliśmy się jego staraniom, zabiegliwości i zręczności do wysokiego stopnia posuniętej; a szczęście pod tym względem zawsze miał za sobą i sposobności, które się już nie powtórzą. Przy takich więc okolicznościach, z taką miłością i pracą zebrał p. Zieliński cuda sztuki i rzadkości, a zebrał je, jak mi powiadał, nie dla siebie: zamierza on bowiem uczynić z nich w przyszłości dar dla kraju, pod warunkiem, aby stanowiły galeryą dla korzyści i nauki uczniów szkoły sztuk pięknych. Lecz dziś zbiory te są przy nim w Kielcach, w miejscu do działalności jego bardziej ograniczonem. Wprawdzie sprowadza on do siebie młodych artystów z Warszawy, przygarnia ich i zachęca widokiem tylu pięknych utworów, ale to wszystko nie taki wpływ jakby mogło i na ogół i na nauki wywiera.

Ze przybywszy do Kielc udałem się zaraz do domu naczelnika powiatu, czytelnicy łatwo się domyślą; że przyjęty byłem gościnnie, serdecznie, to samo z siebie i z natury rzeczy wypadło; nie powiem więc nic pod tym względem, bo to jeszcze zwyczajne, a państwo Zielińscy znani są i u nas i w Kielcach jako prowa-

dzący jak to mówią dom otwarty i zawsze do przyjęcia gości gotowy. Ale oto co zrobiłem przez kilka dni mego tam pobytu: spisałem prawie wszystkie jego znaczniejsze obrazy i starożytności, obejrzałem rękopisma i książki, a wywiozwszy obszerne notaty, wygotowałem opis tego zbioru i do niniejszej mojej wycieczki załączam. Być może, że kiedyś będzie on lepiej sporządzony, ale na ten raz grzechem byłoby opuszczać tę sposobność lub minąć zbiór, który nie tylko u nas, ale i wszędzie już oddawna na powszechną i szczegółową wiadomość zasługuje.

Parę lat temu, p. Zieliński nabył sobie dom w Kielcach, urządził go stosownie z wielkim gustem i smakiem, i w nim rozłożył swoje skarby w następnym porządku:

Piérwszy pokój.

1. KARCZEWSKI MICHAŁ, *Matka Boska*. Obraz kościelny, pełen zalety, dobrze wykończony i pięknego kolorytu. Artysta, uczeń Rustema ze szkoły wileńskiej, w czasie podróży swęj do Francji i Włoch dla kształcenia się przedsiębranęj, umarł w Rzymie w r. 1832.

2. KOPECKI JAN, *Św. Michał*. Według zdania właściciela jestto robota artysty Polaka tego nazwiska, a nie Węgra, o którejto różnicy zobacz szacowny Słownik malarzy E. Rastawieckiego, t. I, str. 235.

3. SZKOŁA WŁOSKA, *Trzej Królowie*. Prześliczny obrazek pełen prawdy i wybornego rysunku.

4. SZKOŁA NIEMIECKA, *Portret mężczyzny* w średnich latach, w szubie, z myką na głowie; tło przedstawia mały krajowid. Obraz piękny i bardzo starannego pędzla na drzewie. Właściciel utrzymuje, że to jest wizerunek Zygmunta I króla polskiego, malowany przez Jana Holbeina, na co się wielu znawców nie zgadza; ale to pewna, że dzieło niepospolite i należy do znakomitego artysty początku XVI stulecia.

5. ZURBARAN FRANCISZEK, *Św. Magdalena*. Sławny ten mistrz hiszpański celujący w malowaniu zakonników i kobiet, żył od r. 1598—1662.

6. CANALETTO ANTONI, *Widok Wenecyi*. Artysta celujący w widokach tego miasta, które wiernie i z nieporównaną sztuką zdejmował. Żył od r. 1697—1768.

7. FÜGER FRYDERYK HENRYK, *Portret ks. Floryana Czartoryskiego* w całej figurze, w zbroi. Obraz wielki i starannie wykonany. Artysta malarz nadworny w Wiedniu, używał w swoim czasie sławy i żył od r. 1718—1818.

8. ZALEWSKI MARCIN, *Widok Bielan warszawskich*. Obraz z wielką prawdą wykonany. Artysta nauczyciel szkoły Sztuk pięknych, urodził się w Warszawwie r. 1799.

9. TEGOŻ, *Widok dawnego kościoła ks. Pijarów w Warszawie*.

10. VELASQUEZ DON DIEGO, *Św. Franciszek*. Przedstawia tego świętego w nabożnym zachwyceniu. Obraz wielkiej wartości. Artysta jeden z najcelniejszych malarzy hiszpańskich, żył od r. 1599 do 1660.

11. FRA BARTOLOMMEO (Della Porta), *Niepokalanego Poczęcia N. Panna*. Prześliczny ten obraz przedstawia Najświętszą Pannę otoczoną aniołami, u dołu klęczy św. Augustyn i św. Ambroży. Malarz ten był uczniem Leonarda da Vinci i przyjacielem Rafaela; żył od r. 1469—1517.

12. CZECHOWICZ SZYMON, *Najśw. Panna z Synem*. Obraz wielki na blasze, pięknego rysunku i przyjemnego kolorytu tego celującego malarza polskiego, który żył od r. 1689—1775.

13. TEGOŻ, *Św. Józef z Panem Jezusem*. Na blasze, odpowiedni poprzedniemu.

14. ZALEWSKI M., *Widok pałacu Kazimirowskiego, z gór Denasowskich w Warszawie*, na płótnie.

15. TEGOŻ, *Processya na Nowém Mieście w Warszawie*.

16. TEGOŻ, *Widok zamku warszawskiego od Wisły*.

17. TEGOŻ, *Widok świątyni w Arkadyi*.

18. TEGOŻ, *Widok lazienki w Nieborowie*.

19. OSTADE ADRYAN, VAN, *Cyrul k.* Przedstawia cyrulika wyjmującego szkło z głowy wieśniakowi, który w kłótni tak był ucześnie. Żona jego jest przytomną téj operacyi, siedzi i utyskuje. Przedmiot traktowany wesoło i rubasznie; pędzel lekki, dotknięcie nieporównane, tony ciepłe i przezrocyste. Artysta żył od 1610—1685.

II. Pokój Zalewskiego

nazwany na pamiątkę tego odznaczającego się malarza warszawskiego, którego robót znaczna ilość w zbiorze tym znajduje się.

20. MEMLING JAN, *Boże Narodzenie*. Obraz ten na drzewie, nieoszacowanej wartości, słicznego i przezroczyściego kolorytu, a delikatnego dotknięcia, jest dziełem wielkiego artysty, który był jednym z pierwszych mistrzów szkoły flamandzkiej, a żył od r. 1430 — 1499.

Prace tego malarza dziś ogromnie są cenione; niewłaściwie zaś dotąd jest pod nazwiskiem Hemmelinga znany. Terazniejszy właściciel dał mu ramy nader ozdobne, wyobrażające w dobrej rzeźbie przyczyny i skutki Narodzenia Pańskiego, które wykonał Izaak Zweiback Izraelita w Warszawie.

21. REMBRANDT PAWEŁ, jak utrzymuje właściciel, *Porażka przez anioła wojsk Sennacheryba króla assyryjskiego*. Obraz wielki na drzewie wybornie wykonany.

22. RAFAEL SANZIO, jak utrzymuje właściciel, *Uczta Alfonsa 1go ks. Ferrary*. Obraz wielki, na drzewie, dziwnie piękny i doskonałego rysunku, ma wszelkie cechy szkoły tego wielkiego mistrza.

23. MICHAŁOWSKI PIOTR, *Muzar na koniu*. Obrazek piękny na płótnie, olejno malowany przez tego artystę amatora, którego prace bardzo są poszukiwane i cenione.

24. VAN DYCK ANTONI, jak utrzymuje właściciel, *Portret mężczyzny*. Obraz bardzo starannie robiony; według tradycji ma być wizerunkiem sławnego Cinq Marsa.

25. TIEPOLO JAN CHRZCICIEL, *Trzej królowie*. Artysta ten był ostatnim z malarzy weneckich, który miał wielką wziętość i sławę; żył od roku 1697 — 1770.

26. VECELLIO TIZIANO zwany TIZIANELLO, *N. Panna z śpiącym Chrystusem*. Malarz ten ulubiony uczeń sławnego Titiana, nie przejął jednak ani gieniuszu, ani zalety swego mistrza i należy do artystów z upadku szkoły weneckiej; żył od 1570 — 1650.

27. PROSZOWSKI JAN CHRYZOSTOM, *Portret Jana Kazimiérza kr. pol.* Wizerunek dobrze i z trafnością wykonany; było na dworny malarz królewski, a żył od roku 1599 — 1667.

28. TEGOŻ, *Portret Maryi Ludwiki królowej*. Odpowiedni poprzedniemu.

29. CZECHOWICZ SZYMON, *Męczeństwo św. Jana Nepomucena*.

30. TEGOŻ, *Męczeństwo św. Floryana*.

31. GŁOWACKI JAN NEPOMUCEN, *Śty Paweł*. Obraz w większej pół-postaci z wzoru żywego malowany, niepospolitego artysty krakowskiego, który żył od roku 1802—1847.

32. SMOKOWSKI WINCENTY, *Bolesław Śmiały pod Kijowem*. Szkic podmalowany do większego obrazu. Artysta uczeń Rustema urodził się w roku 1797.

III. Pokój Suchodolskiego

dla tych samych powodów, co poprzedni, nazwany.

33. MICHAŁ ANIOŁ BOUNAROTTI, jak utrzymuje właściciel, *Minerwa zstępuje z Olimpu na ziemię*. Obraz wielki, allegoryczny, pełen figur doskonale i śmiało wykonanych.

34. ROSA SALVATOR, *Śty Antoni*. Przedstawia tego świętego, kuszonego od diabła; w dali krajo wid wyobraża miasto, a na przodzie las. Pędzel lekki i doskonale dotknięcie: obraz wielki, na płótnie, pełen efektu i prześlicznie wykonany. Sławny ten artysta żył od roku 1615—1673.

35. TEGOŻ, *Św. Hieronim*. Odpowiedni poprzedniemu, podobnie przedstawia świętego modlącego się; w dali krajo wid, ciemny las i morze w czasie burzy.

36. ALTAMONTI MARCIN, *Portret Jana III kr. pol.* Piękny ten wizerunek przedstawia monarchę w zbroi; u góry ma napis: *Joannes III D. G. Rex Poloniarum*. Ten nadworny malarz żył od roku 1657—1748.

37. NIEZNA NEGO MALARZA, *Jakób Sobieski*, przedstawia tego królewicza w zbroi na koniu. Obrazek mały, bardzo starannie wykonany.

38. TEGOŻ, *Królewicz Konstanty*, odpowiedni poprzedniemu. Właściciel utrzymuje, iż oba te obrazki malował Netscher Gaspard.

39. ELEUTER JERZY, *Portret Michała Korybuta kr. pol.* Wizerunek tego monarchy w zbroi. Artysta Polak, z przydomkiem Siemiginowski, nadworny malarz króla Jana IIIgo.

40. RIGAUD JACEK. *Portret Augusta IIgo kr. pol.* Wizerunek bardzo piękny, pełen życia i wyrazu, pędzel lekki, koloryt ciepły. Artysta zwany Van Dykiem francuzkim, sławnym był w portretach; żył od roku 1659—1743,

41. KRAFFT. *Portret ks. Kaz. Poniatowskiego ex podkomorzego.* Malarz ten portretowy wyższego uzdolnienia, bawił jakiś czas w Warszawie, później był professorem w Sztokholmie, umarł w roku 1792.

42. GRAFF ANTONI. *Portret Fryderyki Bacciarelli,* żony malarza Marcellego. Wizerunek starannie robiony, z którego zdjął kopią J. Gładysz do grobowca téjże w kościele św. Jana w Warszawie. Graff znamienity malarz portretowy, żył od roku 1730—1813.

IV. Pokój piérwszy wchodząc do biblioteki.

43. BRONZINO ANGELO, *Portret damy.* Podług p. Zielińskiego, ma wyobrażać Katarzynę Jagiellonkę, matkę Zygmunta IIIgo króla pol. Wizerunek na drzewie malowany, głowa piękna, poprawny rysunek, koloryt w jasno-zółty wpadający. Artysta żył od roku 1502—1570.

44. SZKOŁA FLAMANDZKA, *Portret wieśniaka flamandzkiego,* pół figury, z wielką prawdą wykonany.

45. TEGOŻ. *Portret kobiety,* odpowiedni poprzedniemu.

46. RUBENS PAWEŁ. *Męczeństwo św. Agnieszki.* Obraz odznaczający się piękną i bogatą kompozycją. Sławnym ten malarz flamandzki, żył od roku 1577—1640.

47. SCHMID MAXYMILIAN. *Krajowid* przedstawia widok portu Dünamünde nad morzem Bałtyckim. Artysta znany pejzażysta z Düsseldorfu.

48. TEGOŻ. *Widok portu w Ostendzie.*

49. TOKARSKI MATEUSZ. *Portret ks. Michała Poniatowskiego* jeszcze jako biskupa płockiego. Artysta ten, uczeń Smuglewicza i Bacciarellego, zmarł w Warszawie 1807 roku.

50. TEGOŻ. *Portret Adama Naruszewicza,* biskupa i historyka.

51. HONDEKOETER MELCHIOR. *Drób.* Obrazek pięknie wykonany, jak wszystkie jedyne w tym rodzaju malarza,

nikt bowiem nie zbadał tak dokładnie charakterystyki i fizjologii ptaków, a żaden nie zdołał wyobrazić ich dobitniej i prawdziwiej. Żył od roku 1636—1695.

52. TEGOŻ. *Drób i dzikie ptaki*, podobnież wielkiej wartości, naśladowanie natury ludzace.

53. BERETTINI PIOTR zwany PIETRO da CORTONA. *Upadek pod krzyżem*. Wielki obraz tego malarza i budowniczego, który żył od roku 1596—1669.

54. ZABIEŁŁO HENRYK. *Krakowiak z dwoma końmi*; mały lecz wcale niezły obrazek tego hrabiego artysty-amatora i znawcy malarstwa. Żył od roku 1786—1850.

55. 56 i 57. BORTER KASPER. *Trzy widoki Neapolu*. Trzy obrazy w formie podłużnej starannego i delikatnego pędzla, z podpisem roku 1720 i nazwiskiem artysty, którego szczegóły życia nie są znane.

58. LAMPI JAN CHRZCICIEL SYN, *Widok okolicy nadreńskiej*.

59. MOUCHERON FRYDERYK, *Krajowid*. Przedstawia okolicę ożywioną jakiegoś miasta. Obraz na płótnie odznaczający się pięknym harmonijnym kolorytem i dobrém wykończeniem. Artysta słynął z robót tego rodzaju; żył od roku 1636—1686.

60. BOUTON KAROL MARYA, *Wnętrze*, przedstawia korytarz klasztoru Kartuzów. Obraz efektowy: światło, cień i perspektywa doskonałe. Artysta ten wynalazca dioramy w Paryżu, urodził się w roku 1781, i dotąd podobno żyje

61. 62. SLINGELANDT PIOTR VAN, *Krajowidy*. Przedstawiają dwa widoki okolicy holenderskiej w czasie zimy; wykończone do podziwu i wypracowane. Koloryt dobry i natura wiernie naśladowana. Artysta uczeń sławnego Dowa, tylko bardziej pracowity i cierpliwy, niezmiernie wiele czasu potrzebował na wykończenie swoich obrazów, i dlatego były one i są drogie; żył od roku 1640—1691.

63. POUSSIN KASPER, właściwie nazywał się DAUGHET KASPER, *Krajowid*: przedstawia na przodzie las, dalej góry z zamkiem i inne budowle. Utwór niepospolity pełen życia i harmonii. Artysta ten że był uczniem i szwagrem wielkiego Poussina, przyjął jego nazwisko, a słynął i ceniony jest z krajowidów. Żył od roku 1613—1675.

64. MARATTI KAROL, *Św. Mateusz*. Mały obrazek na płótnie, pięknym kolorytem zalecający się, tego sławnego artysty

szkoły rzymskiej i nauczyciela naszego Czechowicza. Żył od roku 1625—1713.

65. BRODOWSKI ANTONI, *Portret Ludwika Osin-
skiego*, przedstawia tego autora i profesora w przyborze wolno-
mularskim; obraz wykończony i pięknym kolorytem odznaczający
się. Artysta b. prof. b. u. warsz., żył od roku 1784—1832.

66. RUSTEM JAN, *Portret Józefa Głowackiego*. Nie-
wielki wizerunek, lecz niepospolicie pięknie i z wielkim wyrazem
oddany. Artysta celujący w portretach b. prof. uniw. wileń.
zmarł 1835 r.

67. PĘCZARSKI FELIX, *Dwaj mężczyźni w kawiarni*.
Wizerunki z wielką prawdą ze znanych w Warszawie osób zdjęte,
Malarz warszawski żyjący.

V. Pokój drugi przed biblioteką.

68. SZKOŁA WŁOSKA, *Wiara, Nadzieja i Miłość*.

69. MAZZUOLI FRANCISZEK, zwany, PARMEGIANO.
N. Panna z Dzieciątkiem Jezus. Mały obrazek, lecz dziwnie
piękny. Artysta najbliżej Rafaela i Corregia stojący; prace je-
go są rzadkie i bardzo cenione. Żył od 1504 do 1540 roku.

70. KOPIA Z TITIANA, *Natura i sztuka*. Obraz wielki
robiony przez lat 7 przez Jana Nepomucena Żylińskiego w Rzy-
mie w galerji Borghesich.

71. SMUGLEWICZ FRANCISZEK, *Cesarz Tytus daje
prawa Rzymowi*. Obraz wielki malowany na płótnie w sposo-
bie zwanym *chiaro scuro*. Artysta b. prof. uniw. wileń. żył od
r. 1745 do 1807.

72. RUBENS PAWEŁ, *Przejście do nieśmiertelności
Filipa IIgo króla hiszp*. Wielki szkic do wielkiego allegory-
cznego obrazu znajdującego się w Eskuryalu. Obraz ten pocho-
dzi ze zbiorów Piotra Teppera, bankiera warszawskiego z czasów
Stanisława Augusta.

73 i 74. VANLOO KAROL ANDRZÉJ, *Pomona i Flora*.
Dwa odpowiednie obrazy efektowe, pełne ognia i siły. Artysta żył
od r. 1705—1765.

75. KAUFMANN ANNA ANIELA, *Angelika i Melidor*.
Przedmiot wzięty z poematu Ariosta: Orland szalony. Obraz w na-

turalnej wielkości, starannie malowany. Artystka sławna malarka, żyła od r. 1741—1807.

76. SUCHODOLSKI JANUARY, *Ulan na widecie*. Artysta żyjący w Warszawie, uczeń Horacego Vernetta, urodził się w r. 1796 w Grodnie.

77. ZALEWSKI M. *Widok Krakowskiego-Przedmieścia*, od strony Matki Boskiej do kolumny Zygmunta IIIgo w Warszawie.

78. PIWARSKI JAN FELIX, *Krajowid*. Przedstawia okolicę leśną, część puszczy. Mały obrazek, lecz dziwnie piękny i z wielką prawdą. Artysta zasłużony professor, biegły rysownik i rytownik, urodził się w r. 1795.

79. SUCHODOLSKI JANUARY, *Wąwóz w Samosierra*.

80. TEGOŻ, *Widok bitwy na San-Domingo*.

81. KOKULAR ALEXANDER, *Trójca Święta*. Szkic do wielkiego obrazu znajdującego się w kościele archi-katedralnym grecko-katolickim w Warszawie. Artysta żył od r. 1793—1846.

82. TINTORET JAN (Robusti). *Św. Dyzmas ukrzyżowany*; obraz pełen wyrazu i prawdy. Artysta uczeń Titiana, żył od 1512—1594.

83. KASPRZYCKI WINCENTY, *Szaniec na Pradze w czasie zimy*. Obraz z ludzającą prawdą i pracą wykonany. Artysta żył od r. 1802—1849.

84. TEGOŻ, *Most maurytański* i pomnik Natalii Potockiej w Natolinie.

85. GRASSI JÓZEF, *Portret ks. Józefa Poniatowskiego*. Wizerunek świeżością i delikatnością pędzla odznaczający się, przedstawia tego księcia w młodym wieku w mundurze gwardyi koronnej. Artysta używał sławy z portretów; żył od r. 1768—1819.

86. RUYSDAEL JAKÓB, jak utrzymuje właściciel, *Krajowid*; przedstawia widok z lasu na góry; drzewa przeslicznie oddane.

87. VOLLERDT JAN KRZYSTYAN, *Krajowid*. Widok klasztoru wśród lasu w czasie burzy; ma rok 1752, i podpis artysty znanego pejzażysty lipskiego, który zmarł w r. 1761.

88. MARSZAŁKIEWICZ ALEXANDER, *Portret Cesa-rza Alexandra Igo*. Przesliczny wizerunek, malowany z natury olejno na grodenaplu. Artysta żyjący, znany miniaturzysta warszawski.

89. GRASSI J., *Portret Michała Ogińskiego*, w mundurze hetm. W. L., jeden z najpiękniejszych tego artysty.

90. ZALEWSKI M., *Widok*. Wnętrze dolnej części kościoła XX. Pijarów w Krakowie.

91. BACCIARELLI MARCELLI, *Betsabea w kąpielu*. Obrazek starannie wykonany. Artysta nadworny malarz króla Stanisława Augusta, żył od r. 1731—1818.

92. TEGOŻ, *Portret Stanisława Augusta*, w ubiorze cywilnym po kolana.

93. WOJNIAKOWSKI KAZIMIERZ, *Krajowid*. Widok Ursynowa pod Warszawą. Artysta uczeń Bacciarellego, umarł w r. 1812.

94. SUCHODOLSKI J., *Widok bitwy pod Lipskiem*.

95. GŁOWACKI J. N., *Krajowid*. Przedstawia widok z pomiędzy skał Ojcowa na Kraków.

96. TEGOŻ, *Widok Magory, skały w Tatrach*.

97. TEGOŻ, *Portret z natury*.

VI. Biblioteka.

98. DOLLABELLA TOMASZ, *Portret Dominikana*. Właściciel utrzymuje, że to jest wizerunek Fabiana Birkowskiego kaznodziei na dworze Władysława IVgo. Wizerunek piękny i bardzo dobrze wykonany. Artysta nadworny malarz królów, bawił w Polsce od r. 1600, a zmarł 1650 r.

99. CZACZKOWSKI JÓZEF, *Portret Juliana Niemcewicza*. Jestto kopia z portretu wykonanego przez Brodowskiego Antoniego.

100. PODAREWSKI FRANCISZEK, *Portret Hugona Kollątaja*. Artysta uczeń Bacciarellego, zmarł w roku 1819.

101. BRODOWSKI A., *Portret Franciszku Morawskiego*, w stroju generała b. wojsk polskich.

102. BACCIARELLI M., *Portret Stanisława Potockiego* ministra.

103. HADZIEWICZ RAFAŁ, *Portret Stanisława Staszycy*. Wizerunek bardzo pięknie malowany. Artysta nauczyciel szkoły Sztuk pięknych w Warszawie, urodzony w r. 1806.

104. ŻYLIŃSKI J. N., *Portret Bogdana Zaleskiego*.

105. TEGOŻ, *Portret Seweryna Goszczyńskiego*.

106. NIEWIADOMEGO, *Portret Franciszka Karpińskiego poety*.

107. TEGOŻ, *Portret Kazimierza Brodzińskiego poety*.

Nad temi portretami zawieszony jest szereg wielkich medalionów z cisowego drzewa, wypukło doskonale-rzeźbionych przez Konarskiego artystę z czasów Stanisława Augusta. Medaliony te niegdyś w bibliotece Załuskich znajdowały się, później zaś były własnością hr. Alexandra Chodkiewicza; mają one u góry napisy co wyobrażają. Sąto wizerunki Stanisława Solskiego geometry, Franciszka Menińskiego lexykografa, Stanisława Lubomirskiego filozofa, Bartłomieja Nataniela Wąsowskiego Jezuity, budowniczego, Wojciecha Kojałowicza historyka, Szymona Syreniusza botanika, Jakóba Górskiego filozofa, Adama Frejtaga uczonego Torunianina, Łukasza Opalińskiego poety, Jana Tońskiego matematyka, Filipa Kluwera gdańszczanina geografa, Hieronima Powodowskiego teologa.

Podobne są medaliony z masy kamiennój doskonale wykonane przez Filipa Holzhaussera, znanego medaliera z czasów Stanisława Augusta, który żył od r. 1731 do 1792, a wyobrażają Stanisława Augusta króla, Załuskiego Józefa, Ignacego Krasickiego poetę, Michała Ossowskiego polityka, Marcina Odlanickiego Poczobuta astronoma, Antoniego Portalupiego Teatyna, nauczyciela Stanisława Augusta, i Stanisława Leszczyńskiego króla.

Nakoniec podobne są medaliony z gipsu robione przez Blednera Warszawianina, a przedstawiają Adama Naruszewicza historyka, Mikołaja Kopernika astronoma, Jana Kochanowskiego poetę, Ignacego Krasickiego poetę.

VII. Sala wielka za biblioteką.

108. DOLLABELLA TOMASZ, *Portret Władysława IV*, w stroju koronacyjnym. Prześliczny wizerunek do pół figury, w rodzaju Van-Dyka, z wielką starannością wykonany.

109. TIZIAN, jak utrzymuje właściciel, *Portret Ferdynanda V króla Aragonii*. Obraz wielki i bardzo piękny.

110. SZKOŁA WENECKA, *Portret jednego z dożów weneckich*. Odpowiedni poprzedniemu.

111. RUYSDAEL SALAMON, *Widok krajozłowy*. Przedstawia okolicę Holandyi z wielką prawdą, życiem i czystością tonów. Artysta starszy brat sławnego pejzażysty Jakóba, chociaż nie tak wielki w tym rodzaju malarz; żył od r. 1613 do 1670.

112. COURTOIS JAKÓB zwany BOURGUIGNON. *Widok bitwy*. Obrazek pełen ognia i prawdy, koloryt ciepły i silny. Artysta jeden z największych malarzy w tym rodzaju, żył od r. 1621 do 1676.

113. TEGOŻ, *Widok bitwy*. Obrazek podobnej zalety.

114. CRANACH ŁUKASZ, *Wyrznięcie niewiniątek*. Obraz wielki na drzewie, bogatej kompozycji, pięknej harmonii i prawdy, pędzel gładki i lekki; dzieło wysokiej wartości. Artysta jeden z największych malarzy swego czasu żył od r. 1472—1553.

115. CURADI DOMINIK zwany GHIRLANDAJO, *Zaśnięcie N. Panny*. Na drzewie, na tle złocioném. Artysta nauczyciel Michała Anioła żył od r. 1449—1493.

116. SNYDERS FRANCISZEK, *Pies unoszący postrzelonego baka*. Przedmiot z wielką prawdą trafnie i doskonale oddany, ma podpis i rok 1592. Artysta jeden z najcelniejszych malarzy zwierząt, żył od r. 1579—1657.

117. LEXICKI FRANCISZEK, *Zwiastowanie N. Panny z glorią aniołów*. Artysta Bernardyn krakowski żył do r. 1668.

118. CALDARA POLIDOR zwany CARAVAGGIO, *Zdjęcie z krzyża*. Malowany *chiaro scuro*, w sposobie, w którym się wielce ten artysta towarzysza Rafała odznaczył; rysunek w nim piękny i pełen prawdy. Żył od r. 1495—1543.

119. SUCHODOLSKI J. *Wejście do Rzymu generała Dąbrowskiego*.

120. ZALEWSKI M. *Wnętrze kościoła ks. Dominikanów w Krakowie przed jego spaleniem*.

121. TEGOŻ. *Wejście do uniwersytetu Jagiellońskiego*. Jeden z najlepszych nieporównanego tego artysty.

122. TEGOŻ, *Wnętrze kościoła ks. Franciszkanów w Krakowie przed spaleniem*.

123. MORACZYŃSKI JAN, *Portret staruszki z natury*.

124. MENGES RAFAŁ, jak utrzymuje właściciel, *Portret Drużbackiej*.

125. RENI GUIDO, *N. Panna, św. Jan Chrzciciel i św. Floryan*. Obraz śliczny tego największego malarza szkoły bolońskiej.

skiej, koloryt łagodny, rysunek silny i wyrazisty, twarze anielskie, dotknięcie i pociąg pędzla cudny. Żył od r. 1575—1642.

126. BALESTRA ANTONI, *Chrystus w Ogrójcu*. Ma podpis artysty i rok 1694; było to uczeń i naśladowca Marattego, żył od r. 1666—1734.

127. NIEWIADOMEGO, *Portret Zofii z Zahorowskich Zamajskiej*. Piękny współczesny wizerunek tej fundatorki Kanczynek warszawskich.

128. SZKOŁA FRANCUZKA, *Portret Maryi Leszczyńskiej*. Przedstawia tę królową z pieskiem na ręku.

129. URLAUB, *Inwestytura na księstwo pruskie*. Ma podpis *Urlaub fec. 1543*. Artysta z tej epoki nieznany, gdyż wszyscy malarze tego nazwiska w XVIII wieku żyli.

130. GULIO ROMANO, jak utrzymuje właściciel, *Św. Cecylia grająca na organach*. Pyszny obraz.

131. HAMILTON GAVIN, *Orfeusz*. Wyobraża otoczonego zwierzętami i ptastwem, które go grającego słuchają. Obrazek ten pełen prawdy i nadzwyczajnego wykończenia. na drzewie, malowany był dla króla Jerzego IIIgo. Artysta rodem Szkot, zmarł w r. 1797.

132. OUDRY JAKÓB, *Zajączek zawieszony na drzewie sosnowém*. Ma podpis malarza i rok 1769. Oudry był synem sławnego w tym rodzaju artysty; naśladował swego ojca, choć nie z takim talentem. Umarł w r. 1778, mając lat 60.

133. TEGOŹ, *Ptastwo pobite zawieszzone na drzewie świerkowém*.

134. VANNUCCHI ANDRZEJ, zwany ANDRÉ DEL SARTO. *Św. Szymon ofiarujący Chrystusa*. Mały, przesliczny obrazek tego sławnego florenckiego malarza, który żył od r. 1488—1530.

135. SUCHODOLSKI J., *Portret Stefana Czarnieckiego* w całej figurze.

136. TEGOŹ, *Portret Stanisława Żółkiewskiego*, odpowiedni.

137. SZKOŁA WŁOSKA, *Śmierć Adronika*.

138. BRESLAUER KRYSZTYAN. *Krajowid*. Przedstawia widok kościoła św. Piotra na Antokolu w Wilnie. Obraz dziwnie piękny i z wielką prawdą. Artysta nauczyciel szkoły Sztuk pięknych, urodził się w Warszawie w r. 1805.

139. GŁOWACKI J. N. *Leda z łabędziem*. Wielkości naturalnej.

140. SUCHODOLSKI JANUARY. *Widok bitwy pod Elizabetpołem.*

141. TEGOŻ, *Poddanie się miasta Erzerum.*

142. TEGOŻ, *Bitwa pod Beyburt.*

143. TEGOŻ. *Bitwa pod Ararat.*

144. TEGOŻ. *Wzięcie szturmem Kursu.*

145. TEGOŻ, *Przejsie rzeki Arax.*

146. TEGOŻ, *Poddanie się Erywanu.* Sąto podmalowane szkice i pierwsze myśli do wielkich obrazów wykonanych dla NAJJAŚNIEJSZEGO PANA i Księcia Feldmarszałka Namiestnika Królestwa.

147. BACCIARELLI M. *Zdjęcie z krzyża.*

148. TEGOŻ, *Zmartwychwstanie Pańskie.* Dwa szkice do wielkich obrazów.

149. MURILLO BARTŁOMIĘJ. *Portret młodzieńca,* w szerokiej krezie, z książką w ręku. Artysta zwany księciem malarzy hiszpańskich. żył od r. 1618 do 1682.

150. TOPOLSKI MACIĘJ. *Portret szambelana Nowakowskiego z żoną.* Ma podpis artysty, który był uczniem miniaturzysty Lesseura i malarza Fr. Smuglewicza; żył do r. 1812.

151, 152. LORRAIN CLAUDE GELÉE, jak utrzymuje właściciel, *Dwa krajowidy.* Jeden przedstawia las z kaskadą, drugi same kaskady; obrazki przesliczne, chociażby nie tego wielkiego francuzkiego pejzażysty.

153. REMBRANDT PAWEŁ VAN RYN. *Portret staruszki.* Z natury, obraz wielkiej wartości, z ludzącą prawdą i uroczym efektem, z cudownym światłocieniem, świeżym a nieco jaśniejszym jak zwykle kolorytem. Artysta jeden z siedmiu największych malarzy jakich Europa kiedykolwiek wydała, żył od r. 1606 do 1674.

154. CRESPI JÓZEF MARYA zwany LO SPAGNUOLO. *Missya św. Franciszka Xawerego.* Artysta naśladowca Barrocia, żył od r. 1665 do 1747.

155. CZECHOWICZ S., *Św. Tadeusz.* Obraz kościelny, wielkości naturalnej.

156. SMUGLEWICZ Fr., *Św. Dyzmas.*

157. TEGOŻ, *Św. Hieronim.* Malowany w r. 1781.

158. TEGOŻ, *Estera i Assuerus.* Przedmiot biblijny.

159. TEGOŻ, *Iupido grożący.* Odpowiedni poprzedniemu.

160. TEGOŻ, *św. Jan na puszczy*.
161. TEGOŻ, *Malarstwo, rzeźbiarstwo i budownictwo*, w postaci trzech niewiast podają sobie ręce. Allegorya małego rozmiaru.
162. TEGOŻ, *Amorki z godłami planet*.
163. NIEWIADOMY, *Św. Scholastyka*. Bardzo piękny obrazek.
164. GOŁĘBIEWSKI BARTŁOMIĘJ, *Zestanie Ducha św.* Obraz wielki kościelny, ma podpis B. GOŁĘBIEWSKI. CRACOVIAE 1773. Artysta ten był uczniem Czechowicza.
165. STACHOWICZ MICHAŁ, *św. Floryan*. Obraz kościelny w formie owalnej, ma podpis: MICHAEL STACHOWICZ INV. ET PINX. 15 MAI 1805. Artysta żył od r. 1768 do 1825.
166. TEGOŻ, *Św. Jacek* mający statwę N. Panny w ręku, z napisem jak wyżej i rokiem, tylko data 1 maja.
167. TEGOŻ, przysięga w Krakowie w r. 1794.
168. DAWID JAKÓB LUDWIK, *Juliusz Cezar wyzwala niewolnika*. Obraz szlachejnych kształtów, w ubiorach osób staranny i prawdziwy, ma podpis malarza i rok 1793. Artysta założyciel nowej szkoły francuskiej był jednym z największych malarzy z czasów Napoleona. Żył od r. 1748 do 1825.
169. RAJECKA, *Portret Józefa Szymanowskiego*, poety. Artystka rodem z Warszawy, zamężna *Gault de Saint Germain*, uczennica *Marteau*, słynęła z wybornego trafiania podobieństwa. Zmarła w r. 1832.
170. PLERSCH JAN BOGUMIŁ, *Portret Stanisława Małachowskiego generała*. Artysta Warszawianin, nadworny malarz króla Stanisława Augusta, żył od r. 1732 do 1817.
171. NIVARD, *Krajowid*. Widok okolicy miasta Nancy we Francji, ma podpis roku 1799, i artysty, który jako pejzazysta słynął od r. 1770 do 1785.
172. LACROIX PIOTR, *Krajowid*. Przedstawia widok przystani morskiej. Artysta uczeń Dawida, urodził się w r. 1783 i podobno jeszcze żyje.
173. KOSIŃSKI JÓZEF, *Portret Ignacego Potockiego*. Artysta miniaturzysta nadworny Stanisława Augusta żył od r. 1753 do 1821.
174. GŁOWACKI JÓZEF, *Widok kościoła św. Anny w Wilnie*. Jeden z najlepszych wizerunków tego pięknego kościoła. Artysta uczeń Rustema, dziś dekorator teatrów warszawskich.

VIII. W baszcie.

175. TENIERS DAWID SYN, *Wnętrze karczmy*. Wiśniacy siedzą, piją i fajki palą. Obraz zbliżony do natury aż do złudzenia, ma podpis *D. Teniers fec.* Artysta żył od r. 1610 do 1690.

176. DECKER PAWEŁ, *Krajowid*. Widok chaty flamandzkiej nad rzeką. Obrazek cudny, pełen prawdy i wykończenia. Artysta dyrektor akademii malarskiej w Norymberdze, zmarł około r. 1742; był on synem tegoż imienia budowniczego i rytownika, który żył od r. 1677 do 1713.

177. BERGHEM MIKOŁAJ, *Krajowid*. Bydło pasie się na łące; kompozycja pełna harmonii i różnorodności, żywość tonów w cieniach, bydelko zdaje się że żyje, rysowane biegle i delikatnie. Artysta największy pejzażysta holenderski, równy Claud Lorrainowi, żył od r. 1623—1683.

178. WOUWERMANN FILIP, jak utrzymuje właściciel, *Wyjazd na polowanie*.

179. PYNACKER TOMASZ, *Krajowid*. Kilka drzew bardzo starannie wykończonych. Prace tego artysty są nader rzadkie; zmarł w r. 1653.

180. ROTTENHAMER JAN, *Wychód cyganów z lasu*. Ma podpis artysty i rok 1613. Byłto bardzo znakomity malarz niemiecki ze szkoły włoskiej, uczeń Tintoreta; żył zaś od r. 1564 do 1623.

181. SZKOŁA NIEMIECKA, *Odaliska*. Obraz nowożytny na blasze, pięknie wykonany.

182. ZINCK JAN, *Przędka przy wieczerszy*. Obraz przesłiczny ma podpis: *Johan Zinck inv. et pinx.*

183. WAGNER MARYA DOROTA, z domu DIETRICH, *Krajowid*. Okolice wiejska nad wodą przy świetle księżyca. Artystka ta była młodszą siostrą sławnego malarza Dietricha i żoną starszego Jana Jerzego Wagnera, znanego także pejzażysty saskiego, sama zaś szczególnie odznaczała się w krajowidach. Zmarła w r. 1788 mając lat 60.

184. TEJZE, *Krajowid*. Okolice wiejska przedstawiona w porze ranniej.

185. WAGNER MAR. DOR., *Krajowid.* Podobny przedmiot przedstawiający południe; mały obrazek, lecz z wielką oddaną prawdą, ma podpis: *Wagnerinn née Dietrich.*

186. TEJŻE, *Krajowid.* Przedstawia wieczór.

187. CARRACCI ANNIBAL, *Portret tego artysty*, przez niego samego malowany. Był on założycielem szkoły bolońskiej, a żył od r. 1560 – 1609.

188. DIETRICH CHRYSZTYAN WILHELM, *Krajowid.* Okolice włoska z pomnikami. Obraz śmiałym i swobodnym pędzlem odznaczający się; rysunek dokładny, przedmiot ożywiony, wykończenie aż do najdrobniejszych szczegółów staranne. Artysta żył od r. 1712 – 1774.

189. TEGOŻ, *Krajowid.* Odpowiedni poprzedniemu, podobny przedmiot wyobraża.

190. KLENGEL JAN CHRYSZTYAN, *Krajowid*, przedstawia las w górach. Mały, prześliczny obrazek ma podpis artysty, który był założycielem szkoły drezdeńskiej; żył od r. 1751 – 1824.

191. NETSCHER GASPARD, *Dzieci bawiące się.* Kilko dzieci przy świetle lampy bawią się figurkami. Mały obrazek na drzewie; cudo sztuki: dotknięcie miękkie, koloryt naturalny, złocisty i liniący; natura wiernie oddana, pełna prawdy i pracy. Ma podpis *G. Netscher i rok 1666.* Artysta jeden z największych malarzy XVII wieku szkoły niderlandzkiej, żył od r. 1639 – 1684.

192. BREUGHEL PIOTR, *św. Antoni.* Wyobraża tego świętego kuszzonego od djabłów. Obrazek mały na blasze wybornie i z wielkim dowcipem malowany. Artysta zwany był dla odróżnienia od innych tego nazwiska malarzy *Breughel djabelski* lub *piekielny*, z powodu że lubił malować straszliwe i djabelskie przedmioty. Żył od 1567 – 1625.

193. BREUGHEL PIOTR zwany *stary* lub *wesoły*, *Krajowid.* Przedstawia część miasteczka flamandzkiego wewnątrz. Obrazek mały lecz pełen dowcipu, wesołości i prawdy. Artysta zwany także *malarzem chłopów*, gdyż wiejskie tylko sceny lubił malować. Żył od r. 1510 – 1570.

194. TEGOŻ, *Krajowid.* Odpowiedni poprzedniemu i podobny przedmiot wyobrażający.

195. RUTHART KAROL, *Walka niedźwiedzia z psami.* Mały obrazek na blasze z niesłychaną swobodą, śmiałością i lek-

kością traktowany, pod względem siły i kolorytu nic do życzenia nie zostawia. Artysta, znamienity malarz zwierząt i łowów, słynął od r. 1660—1680.

196. GŁOWACKI J. N. *Widok* z kliniki krakowskiej na Kazimiérz.

197. TEGOŻ, *Dziewica w słodkich marzeniach*.

198. TEGOŻ, *Herkules Dupuis*; większe pół-postaci z natury.

199, 200. TEGOŻ, *Dwie głowy*. Portrety.

Otóż wybór obrazów zbioru p. Zielińskiego, który w ogólnej liczbie jest prawie o połowę większym, nie włączając w to 43 szkiców olejnych ze szkoły włoskiej, wysokiej dla studyów wartości, między którymi są szkice wykonane przez *Albana*, jednego z najświetniejszych malarzy szkoły bolońskiej, który żył od roku 1578 — 1660, a zwany był malarzem wdzięków; nadto kilkanaście obrazów historycznych *Marcina Zalewskiego*, które jeszcze nie są zawieszane, oraz roboty młodych uczniów szkoły sztuk pięknych z Warszawy, między którymi są prace wielkich nadziei *Franciszka Kostrzewskiego* w portretach i krajozidach, *Henryka Pilatti* rodem z Warszawy, w historycznym i rodzajowym malarstwie i t. d.

W ogóle co do tego szacownego zbioru należy nam zrobić jeszcze jedną uwagę, którą sobie zapewne niejednen ze znawców czytelników sam uczyni. Zkąd pewność, że obrazy te są właściwie temu a nie innemu mistrzowi przyznane? Zapewne, że trudne jest pod tym względem tłumaczenie, gdy wiadomo, iż najbieglejsi znawcy często się mylą, a p. Zieliński jak inni miłośnicy łatwo szwankować może; to wszystko jednak nie ujmuje wartości jego zbiorowi, bo czy to są prace tego lub owego artysty, prawda prędzej czy później odkrytą być może, a obrazy ogromnej wartości, są i będą niepospolite.

Ma nadto p. Zieliński znakomity zbiór rysunków i rycin rozmaitych szkół, pod względem sztuki w wytwornych i pysznych egzemplarzach, a takimi są u niego ryciny: *Dürera*, *Rembrandta*, *Płońskiego*, *Nanteuila*, *Edelinka*, *Bolswerta*, *Dreveta*, *Morghena*, *braci Sadeler*; wielką kolekcją *Callota*, *Stefana Dellabella*, *Massona*, *Schmidta*, i t. d., oraz godne widzenia album artystów, obejmujące wizerunki zmarłych lub żyjących artystów warszawskich przez nich samych robione, a na pamiątkę właścicielowi ofiarowane. Lecz szczególnie jeszcze ciekawym i bardzo ważnym jest:

Gabinet starożytności.

Tu naprzód przy ścianie w małym gotyckim relikwiarzu, przez anioła utrzymywanym, umieszczone są szczątki z kości błogosławionego Wincentego Kadłubka naszego historyka z XIIgo stulecia, z grobu jego w Jędrzejowie wydobyte, gdzie od roku 1223 spoczywały. Dalej są tu:

1. *Kolczuga* czyli *koszula pancerska* z drutu żelaznego, z Pieskowej Skály; według tradycyi, pochodzi po Szafrancach.

Jestto najdawniejszy ubiór rycerzy, z drutu lub łańcuszków robiony. Pochodzenie jego ma być ze Wschodu, chociaż Varron utrzymuje, iż Gallowie go wynaleźli. Już Rzymianie używali podobnej koszulki z drutu, atoli w średnich wiekach były one najrozmaitsze. Biograf Karola W., opisując uzbrojenie tego monarchy, wspomina i o koszulach pancerskich. Piérwszy jednak autentyczny dowód używania téjże i kształtu, wskazują sławne opony królowej Matyldy, w kościele katedralnym w Bayeux zawieszane, a wyobrażające podbicie Anglii przez Wilhelma w roku 1066. Zobacz *Maurey D'Orville Notice historique sur la tapisserie brodée par la reine Mathilde. Paris 1793 w 4ce.* Jak zaś powszechnie używane były niegdyś w Polsce kolczugi, dowodzą liczne ślady po rozmaitych miasteczkach istnienia cechu pancerników. (Zobacz moje: *Wiadomości o sztukach pięknych.* Tom IIgi, str. 285).

2. *Dwie zbroje z grubej blachy żelaznej*, podobnegoż pochodzenia. Używanie tego rodzaju zbroi dopiéro z początkiem XV wieku weszło w powszechny zwyczaj, kiedy koszulki druciane nosić przestano. Z początku zbroje takowe były bez ozdób, lecz później, mianowicie w XVIém stuleciu, zaczęto je z przepychem złotem i srebrem ozdabiać, a piérwsze samym tylko prostym wojakom zostawiono. Według Marcina Galla, dwojakim sposobem uzbrajali się Polacy: jedni *loricati* mieli zbroje z blach żelaznych, drudzy *elypeati* samych puklerzów używali. Zbroja pancerna składała się z blach żelaznych, które w staroniemieckim języku zwały się *plata*; ztąd i u nas wyrabiający je rzemieślnicy zwani byli *platnerzami*. Cech platnerski oddawna już istniał w Krakowie, a w roku 1546 są w aktach ślady, iż byli i nadworni platnerze królewscy. Słynęła w XVIym i XVII wieku zbrojarnia w Samsonowie. Wyrabiano téż wiele pięknych zbroi w Korczynie i Świątnikach pod Krakowem, a w początku XVIIgo wieku i w Warszawie.

3. *Szyszak* czyli *helm żelazny z przyłbicą*, także z Pieskowej Skały pochodzący. Nazwisko helm pochodzi od dawnego słowa niemieckiego *hehlen*, przykrywać. Używanie szyszaków na głowę jest bardzo starożytne i u rozmaitych narodów znane. Najdawniejsze są tak zwane normandzkie w kształcie spiczastym; miały one małą spuszczoną blachę, zaledwie nos przykrywającą, a wyszły z użycia od Xgo do XIIgo wieku. Helmy z całkowitą przyłbicą są nierównie późniejsze, jednak w epoce trzeciej krucjaty były już w Europie powszechne. P. Meyrich utrzymuje, iż pierwsza przyłbica pokazała się w r. 1155; najdokładniej atoli pod tym względem pisze *Allou*, *Etudes sur les casques* w *Memoires de la Societe royale des antiquaires de France. Nouv. serie*, Tom IV, str. 33.

4. *Obuszek żelazny*, znaleziony w grocie zwanéj Królewską w Ojcowie.

Użycie tego rodzaju broni, pochodzi dopięro od XIgo stulecia; wynalazek jój przypisują Frankom. Rycerz trzymał go w ręku dla uderzenia przeciwnika i przebicia pancerza.

5. *Zbiór starożytnych ostróg*, wykopanych w zamku w Chęcinach, na polu bitwy pod Kliszewem, i krzyżackie z Malborka pochodzące.

Ostrogi były ważną częścią uzbrojenia rycerzy, one bowiem i ich godność oznaczały, i do użytku służyły. Stosownie do mody i czasu, rozmaitego rodzaju wyrabiano je i noszono: im dawniejsze, tém są dłuższe, większe i z brzęczącemi kółkami.

6. *Konczarz żelazny*, z ostrzem w zęby wycinaném, z szczególną rękojeścią, znaleziony w piwnicach zamku w Będzinie. Jest to broń mała, lecz straszna, używana w średnich wiekach do tortur.

7. *Szabla z stali damasceńskiej*, z napisem *Józef Swirski* na kłindze pomiędzy rytowanemi ozdobami. Według zdania właściciela, ma pochodzić z arsenału warneńskiego.

Klingi damasceńskie poznane dopięro zostały w Europie za czasów krucyat, utrzymują zaś powszechnie, że wyrabiane były na Wschodzie ze starych noży i innych drobnych ostrych narzędzi. Wszelako w Niemczech w XVIIym wieku próbowano je naśladować, a w naszych czasach najlepsze w tym sposobie klingi robią w Rosyi. Zobacz: *Jacobson's Technologisches Wörterbuch*, tom Iszy, str. 388. Co do Polski, tedy w XVI wieku i wcześniej istniał już w Krakowie cech mieczników (*Gladiatores*). Jednocze-

śnie znalazłem wzmianki o pojedynczych tego rodzaju rzemieślnikach i w Warszawie. Broń sieczna, jaką były: miecze, szable, pałasze i t. p., rozmaitego była gatunku, krakowskie zaś słynęły szczególnie ze swój dobroci i ozdoby. Oprawiano je w skórę lub inny materyał, co znowu należało do innych rzemieślników, którzy się zwali *paśnikami*. Nakoniec co do nazwiska na téj klindze umieszczonego, dom Swirskich herbu Szalawa pochodzi z Rusi, a Niesiecki wspomina o jednym Józefie Swirskim, który był rotmistrzem w końcu XVIIgo wieku i miał ojca Hieronima, łowczego sanockiego; być więc może, że do niego ta szabla należała.

8. *Strzelba* darowana Annie Jagiellonice od królowej Katarzyny, trzeciej żony Zygmunta Augusta. Piękna ta broń osadzona jest w drzewo zwane królewskim, z rzeźbą i bardzo wytwornemi arabeskami, pomiędzy któremi umieszczony jest orzeł austriacki i cyfra C. S. na słoniowej kości; w środku zaś na lufie rok 1557. Wewnątrz w skrytce skałkowej, na starym zbutwiałym papierze następny znajduje się napis: *Donum Catharinae Reginae Dominae nostrae missum Annae in die Onomastica Regi Sigismundo Augusto. Anno Domini 1557.* To znaczy po polsku: *Dar Katarzyny królowej pani naszej przestany Annie w dniu imienin królewskich Zygmunta Augusta ro u Pańskiego 1557.* Królowa Katarzyna córka Ferdynanda cesarza, wdowa po księciu mantuańskim, koronowaną była w Krakowie dnia 31 lipca 1553 r. Po kilku latach pożycia z mężem poróżniwszy się, odesłana do Austrii, umarła w Linzu dnia 29 lutego 1572 r.

9. *Strzelba i para pistoletów z XVI wieku.* Prześlicznej roboty i dobrze zachowane, które według tradycyi należały do Tomasza Zamojskiego syna sławnego kanclerza. Pistolety zaczęto wyrabiać w Perugia w r. 1364, ulepszone w Pistoja, z tąd swoje nazwisko otrzymały.

10. *Zbiór rozmaitych strzelb* tureckich, czerkieskich, węgierskich, maurytańskich i hiszpańskich, z rozmaitych wieków i bardzo kosztownych. Pierwszą broń tego rodzaju lontem zapalaną wynaleziono w Niemczech w r. 1378; następnie w r. 1517 zaczęto wyrabiać z cynglem, daleko zaś później ze skałką. Najzupełniejsze pod tym względem wiadomości dostarcza dzieło: *Handbuch der Geschichte des Feuerwaffen-technik.* Berlin, 1835, tłumaczone na franc. p. *Riedel, Paris 1837.* Zdaje się, iż zaraz po wynalezieniu téj broni robiono ją w Polsce, gdy w aktach miej-

skich krakowskich już są pod r. 1455 o tego rodzaju rzemieślnikach wzmianki, a pod r. 1513 że byli nadworni ruśnicarze królewscy. Strzelba dwururna wspomniana jest pierwszy raz pod r. 1536. W wieku XVI ruśnicarze z pasamonikami, kotlarzami i zegarmistrzami jedno zgromadzenie składali, a dopiero w r. 1603 od tych oddzieleni osobny cech stanowili. Bywały robione osobne ruśnice zwane ptaśne, osobno zwierzęce i tarczowe albo szancone, których do potrzeby wojennej używano. Ruśnicarze robili tylko wszystko z żelaza, inni zaś co się zwali *syftarze* lub *szychtarze*, wyrabiali łoża czyli osady do broni, rzeźbiąc je i wykładając misternie kośćcami i inszemi materyami według upodobania i rozkazanania każdego.

11. *Działo* czyli *półdziałko małe żelazne zwane ufnicą*, znalezione na murach zamku w Szydłowie. Pierwsza broń tego rodzaju była ze sztab żelaznych kuta, a najdawniejsza o niej wzmianka historyczna jest w rejestrach Filipa Pięknego pod rokiem 1308. W ogóle zaś w XIV wieku już w całej Europie były używane. W początkach XV wieku zaczęto odlewać armaty; zupełne jednak, jak obecne odlewanie, dopiero w początku XVIII wieku wynalazł Szwajcar *Maritz z Marten*. Według Długosza, już w roku 1366 używał dział w Polsce król Kazimierz Wielki przy zdobywaniu zamków. W otwartym zaś boju pierwsza o nich wzmianka w naszej historii dopiero pod r. 1410, wtedy, gdy Krzyżacy przedstawiali na dwóch jedynie półdziałkach. Takowe półdziałka wożono na wózkach i strzelano z nich kulami kamiennymi. W tej samej wojnie Władysław Jagiełło oblegając zamek malborski, wielkich nawet dział używał. Najstawniejsze i najdawniejsze odlewnie dział były w Augsburgu, odlewano je przecież i w Krakowie. Są ślady w aktach tamecznych, iż Zygmunt Iszy w roku 1516 założył ludwisarnię, która ciągle trwała aż do czasu przeniesienia stolicy do Warszawy. W XVIIIym wieku sławna była odlewnia dział w Wiśniczu u ksiąząt Lubomirskich.

12. *Munsztuk* czyli *wędzidło starożytne żelazne* misternej i szczególnej roboty, wykopany pod Olsztynem.

13. *Grabki* o dwóch widelkach, nóż z trzonkiem z kości i łyżka w kształcie jak w XVI wieku używano, które, jak utrzymuje właściciel, były własnością Jana Kochanowskiego poety.

14. *Laska* szczególnego rodzaju nader starożytna, mająca na wierzchu wyrzeźbione trzy głowy pod koroną. Według zdania właściciela ma to być laska sądowa, jedna z siedmiu, które

Władysław Łokietek rozesał miastom przyjmującym prawo magdeburskie.

15. *Tabakierka* z czasów jak tylko odkryto i wprowadzono do Europy użycie tabaki, nabyta na licytacyi po ks. Michale Radziwille. Jest ona w kształcie podłużnym z bukszpanu wyrobiona, przy końcu ma muszelkę, którą potrzęsnawszy z dziurki napełniała się tabaką, i z niej traktowano stosownie do woli posiadacza, albo téż otwierając wierzch całej tabakierki. Wierzch ten w pięknej rzeźbie z jednej strony przedstawia chrzest Pana Jezusa w Jordanie, z drugiej zakonnika w habitcie św. Franciszka wznoszącego do góry ręce, z napisem w staréj francuzczyźnie *Tou seul me console*, to jest: Ty jedna mnie pocieszasz. Jestto tak zwana we Francyi *Rapé à tabac*. Zobacz obszerniejszy opis i wizerunek podobnej tabakierki w *Magasin pittoresque* na r. 1834, str. 48. Zażywanie tabaki poznano dopiéro w Europie w drugiej połowie XVI wieku. Do Polski wprowadziło się palenie tytoniu od pogranicznych Turków, którzy z nim już dawniej byli oswojeni, a zażywanie z tabakierek od Niemców.

16. *Relikwiarz ze srebra św. Magdaleny*. Jestto popiersie niewiasty kowane z blachy srebrnej, 12 próby, wazące 6 1/2 funta, długie na 10 3/4 u dołu, zaś 22 1/2 cali obwodu mające; w środku wydrążone. Profil twarzy piękny, ubranie na głowie na wzór zimowego czepca (*capuchon*), futrem podbite, nie kończy się wszelako na głowie jak nowoczesne, lecz spada na całą szyję i uклада się w draperye. Pokrycie to było pozłacane; wyglądają zpod niego włosy przepaską przewiązane i w loki na dół po obydwóch stronach twarzy wijące się. Sama twarz ściągła, czoło szerokie i wypukłe, nos kształtny, oczy wydatne i wielkie, usta napół otwarte, broda spiczasta. Na wierzchu głowy widać dość znaczny otwór, który zdaje się był niegdyś przykryty. U spodu popiersia znajduje się orzeł jednogłowy, jak zwykle Piastowski, w polu czerwonym emaliowanym, a począwszy od niego, dokoła podstawy, w obwódce podwójnej, na tle w kratki rylcem wypukło rznęty równemi gotyckimi głoskami następny napis: KAZ—REX—POLONIAE § FECIT § CAPUT § ISTUD § IN § HONORE § SANCTE § MARIE § MAGDALENE § M. § C. § C. § C. § LXX; co znaczy po polsku: *Kazimierz król polski sprawił tę głowę na cześć świętej Maryi Magdaleny 1370 r.* Wyraz *fecit* w napisie tym użyty dosłownie oznaczałby, że monarcha własnymi rękoma głowę tę wykonał; lecz w łacinie średniowiecznej *facere*,

znaczyło także dać, darować, sprawić, nawet *facere honorem* było to samo, co dziś u Francuzów *faire honneur*. Zobacz: *Ducange Glossarium mediae et infimimae latinitatis*. Paris, 1844, tom III str. 178. Nie ujmuje to jednak ważności tego zabytku, który doskonale i w całości jest zachowany, a którego wizerunek w owalu przy niniejszym opisie załączam.

17. *Wazon gliniany* polewany, obejmujący miary cztery garnce, z niebieską, białą i orzechową polewą na wierzchu w kwiaty; na nim wyciśnięte są z dwóch stron herby rosyjskiego cesarstwa, po bokach herby miasta Gdańska i rok 1682. Coby znał ten wazon, nie wiadomo; niewątpliwie byłto dar tego miasta dla jakiego wysokiego dostojnika rosyjskiego.

18. *Krucyfix ze słoniowej kości*, na podstawie i krzyżu z hebanu figura Pana Jezusa, arcydzieło pod względem rzeźby i rysunku; wyraz boleści, kształty ciała pełne prawdy i wszystkie szczegóły dowodzą wielkiej biegłości artysty. Krucyfix ten według podania pochodzi od znaniej w dziejach rodziny Kazanowskich.

19. *Zbiór pieczęci i stęplów* do tychże, pomiędzy którymi z tych ostatnich są stęple do pieczęci klasztoru jędrzejowskiego z roku 1501; miasta Pińczowa z r. 1660; gabinetowe i prywatne Stanisława Augusta i t. d.

20. *Puchar do przywitania* zwany *Willkom*; jestto szklanka cechu kapeluszników w Krakowie z roku 1664, wysoka cali 14, szeroka cali 7, mieści w sobie płynu półtora garnca. Ozdoby na niej są kolorami w ogniu na szkłe malowane, a wyobrażają przy brzegach naokoło wpośród obwódki w arabeski napis: *Willkom Bracia wypiiaycie raźnie kto spełni stanie mu za łaźnię*. Pod tym napisem: *A(nno) D(ominii) 1664*. Na środku godło cechu kapeluszników składające się z ich narzędzi: jednej czapki i kapelusza z szerokiem rondem, po bokach którego stoją dwie figury, mężczyzna i kobieta w całej postaci w strojach mieszczan krakowskich: pierwszy w czapce futrem obłożonej na głowie, w żupanie zielonym, pasem czerwonym przepasanym, na nim kontusz niebieski z krótkimi rękawami bez wylotów, bóty żółte. Kobieta w podobnejże czapce na głowie, pod spodem której widać czepiec; wierzchnia suknia zielona, na przodzie otwarta, zpod której wygląda druga niebieska; na tém kontusik futrem podbity, zwieszony na ramiona. Za temi figurami z jednej i drugiej strony odmalowany jest kwiat, a na drugiej stronie pucharu, która jest

prawą, w promieniach wyobrażenie Niepokalanego Poczęcia N. Panny Maryi. Puhary tego rodzaju zwane u Niemców *Willkommen*, po łacinie *poculum adventorium*, u Włochów *bellicone*, u Hiszpanów *vellicomen*, u Francuzów *vidrecome* znane są i używane były w całej Europie. W średnich wiekach w każdym mieście, w zamkach możnych panów i rycerzy, w salach godowych, na ratuszu, równie jako i w każdym cechu u starszego podobne rozmaitej wielkości puhary znajdowały się, często bardzo szczególnego kształtu. Był albowiem zwyczaj, iż obcemu lub gościowi, który wstępował do zgromadzenia lub odwiedzał go tylko, takowy napelziony winem puhar podawano, a ten jeżeli nie chciał na szyderstwo i hańbę wystawić się, musiał wychylić go do dna, choć często i parę garncy obejmował. Na ten cel utrzymywano także i osobne książki, w których dzielnie spijający zapisywali swoje nazwiska, od czego nawet i kobiety nie uchylały się.

W zbiorze wiedeńskim zwanym: *Ambraser Sammlung* znajdują się dotąd dwie takie książki, z których pierwsza poczyną się od roku 1567 i od zwycięzkiego zapisu własną ręką arcyksięcia Ferdynanda, równie z tegoż roku i pani Filipiny Welser, a dochodzą do r. 1614. Zobacz *S. A. Primiser die K. K. Ambraser-Sammlung*. Wien 1819, str. 37, 294, 295.

21. *Zbiór przywilejów na pergaminie*, bardzo liczny i nader ciekawe obejmujący dyplomata, tyżące się kościoła Miechowitów w Miechowie, które chociaż wszystkie są drukowane w szacowném dziele Samuela Nakielskiego: *Miechovia sive historia conventus Miechoviensis. Cracoviae, 1634 fol.*, z tych najdawniejsze są w oryginałach.

1. Z r. 1198, dyplom patryarchy jerozolimskiego, drukowany u Nakielskiego na str. 83.

2. Bulla Innocentego III papieża, dla tegoż kościoła z r. 1209. Druk tamże, str. 98.

3. Nadanie dziesięciny we wsi Swiniary przez Wincentego Kadłubka biskupa krakowskiego w r. 1214. Tamże, str. 132.

4. Nadanie Tomasza opata jedrzejowskiego wsi Góra, Suchodół i Krańska, z r. 1227 dnia 12 listopada. Tamże, str. 147.

5. Bulla Grzegorza II papieża z r. 1227 dnia 25 kwietnia. Tamże, str. 149.

6. Bulla Innocentego IV papieża z r. 1247 dnia 7 marca. Tamże drukowana.

7. Bulla tegoż papieża z r. 1249 dnia 10 października, tamże drukowana.

8 Bulla tegoż z r. 1250, w marcu, tamże, na str. 270.

9. Przywilej Bolesława V z r. 1256 we wrześniu; tamże str. 176.

10. Tegoż, z r. 1259; tamże na str. 179.

11. Bulla Urbana IV papieża z r. 1261 dnia 15 września; tamże str. 183.

12. Bulla tegoż z r. 1262 d. 12 września; tamże na str. 184.

13. Bulla tegoż z r. 1263 d. 4 października; tamże str. 183.

Zresztą przywileje oryginalne wsi Czarney czyli Czercy z roku 1366, 1414, 1418, 1427, 1437, 1441.

Własnoręczne autografy wszystkich królów polskich począwszy od Zygmunta I, znakomitych lub uczonych ludzi, rycerzy i t. p.; dalej przywilej Zygmunta IIIgo z roku 1602, obejmujący potwierdzenie przywilejów miasta Małogoszczy, ślicznie i kaligraficznie pisany z ozdobami nader pracowicie wykończonemi, pracy Adama Paulinowskiego, jak o tém napis: *Adamus Paulinowski Małogosteo fecit 1602*, pod literą główną S. umieszczony, poświadcza.

Nakoniec piękną, nader liczną i bogatą ma także p. Zieliński bibliotekę, w której celuje zbiór inkunabułów czyli pierwszych druków paryzkich, lyońskich, weneckich, kolońskich i moguncckich; z tych najdawniejsze są dekreta Bonifacego VIIIgo papieża drukowane w Moguncyi w r. 1476, z porządku szóste wydanie, o którym zobacz: *Panzer Annales Typographici*, Vol. II, str. 126 i *Brunet* I str. 413.

Z dzieł polskich rzadkich, pierwsze miejsce zajmuje *Postylla Skulteta*, drukowana w Toruniu 1657 r.: śliczny, czysty i cały exemplarz, dzieło wielkiej rzadkości. Niemniej *Psalterz Gomółki* z roku 1580; zbiór wszystkich biblij, *Postylle Białobrzeskiego* i *Wujka*, najdawniejsze herbarze, wszystkie kroniki i bardzo wiele innych rzadkości. Takimi są zbiory p. Tomasza Zielińskiego w Kielcach, powierzchownie i z ważniejszych rzeczy obejrzone i wyliczone; chciałem bowiem dać tylko wyobrażenie o całości, bo gdyby wszystko wymienić i opisać jak należy, byłabyto praca jakkolwiek może pożyteczna, lecz zbyt obszerna i przedwczesna.

(Dokończenie nastąpi).



KRÓLIKARNIA.

Z podania ustnego ().*

Puściwszy się z Warszawy drogą wiodącą do Czerska, zaraz za wałami miasta po lewej stronie sięgniemy wzrokiem niziny wiślanej, i wnet po téjże stronie przesuwać się zaczęą drzewa i domy, domy i drzewa: domy to cegielnie lub mieszkania ich panów jeśli nie karczmy, drzewa to alleje lub sady i sadki, a dalej to pałacyk, to chatka, to wieżyczka lub brama, to długi ciąg muru i znowu domeczki, to długi ciąg zarośli i znowu pałacyk, aż nakoniec zpośród drzew jak w lesie zgęszczonych wymknie swą hardą głowę pałac, i domyślimy się że to Królikarnia, cała zaś okolica za nami, to niegdyś grunta Mokotowa.

Przed kilkudziesięciu laty nie było ni tych drzew, ni domów, ni tych ogrodzeń pięknych, ani żadnego murowanego gmachu; same jedynie wzgórza i wąwozy: wzgórza tylko od strony Wisły orane, wąwozy tylko żabom wydzierzawiane; tamte jak pustynia gołe, te jak kałuża nieczyste. Tak nieciekawą drogą dochodziło się wówczas do gestego samorodnego lasu pod wsią Szopami.

We czwartek dnia 12 maja temu lat około siedmdziesiąt, na gruntach folwarku Królikarnią zwanego, pomiędzy stosami nowych cegieł i świeżo wyrzuconej ziemi, stało nad wieczorem kil-

(*) Według tego podania, Tomatys, nabywca Królikarni, pragnął w niej wystawić pałac wyrównywający najwspanialszym włoskim, i taką myśl otworzył ziomkom swoim w Warszawie osiedlonym, między którymi byli architekci wówczas najślawniejsi w Polsce. Ograniczył jednak swe plany na tém co dziś widzimy, skoro ci wszysey oświadczyli się nietylko przeciw życzeniu, ale nawet i przeciw woli jego, powodowani zapewne narodową zazdrością, która w pewnych przypadkach zdolną jest przybrać cechę namiętności szlachełnej lub powinności.

kanasście pojazdów których panowie bawili we wzniesionym opodal baraku, podejmowani tam przez grafa de Tomatys, niedawnego nabywcy tych gruntów pod lasem.

W baraku, jeśli to nie była raczej obszerna, naprędce wystawiona szopa, stał na środku długi stół zielonem sukniem nakryty, a wkoło niego siedziały znaczne osoby: sami mężczyźni i tylko po włosku między sobą mówiący. Zginęłaby w przepływie czasu pamięć téj ich rozmowy, gdyby nie było w niéj szło o wystawienie pomnika, który niedługo wzniesiony, teraz jest pięknym w Królikarni pałacem. Przytoczę ją w treści i jak słyszałem od nieboszczyka Piotra Aignera: zawsze mi ją powtórzył ilekroć przyszedłem zobaczyć wznoszące się wówczas nad ziemię mury kościoła św. Alexandra, koło którego codzień dziś przechodzę. Ileżto razy skutkiem téj rozciągléj gawędy wyspałem się na kamieniu, jak teraz słucham kazania w tym kościele; ależ jak sroka albo szpak uczony, umiem ją dzisiaj na pamięć powtórzyć, a daj mi Boże, ażebym podobnież w pamięć mą wrażeń i prawdy kazania, i z równą doskonałością wykonywał je w życiu.

Pan de Tomatys sam tylko stojąc gdy iuni siedzieli, przemówił do zgromadzonych gości: „Zaprosiłem was, ziomkowie, do lichéj szopy, ażebym za parę lat podejmował was na tém samym miejscu lecz we wspaniałym pałacu. Chcę albowiem, jak to już wam po części wiadomo, uwiecznić pamięć swoje, a tém samym i waszą (bo we wszystkich nas jedna, włoska krew płynie) wzniesieniem na téj bez pomników ziemi gmachu, o którymby mówiono że tylko Włoch mógł go wystawić. Fraszka dla mnie Wilanów, fraszka Łazienki: chcę ażeby powiedziano iż mój pałac jest

*„Tondo è il ricco edificio, e nel più chiuso
Grembo di lui, ch'è quasi centro algiro,
Un giardin v'ha, che adorno è sovra l'uso
Di quanti più famosi unqua fioriro”* (1).

— „Ależ kiedy tak, to wzywaj na radę czartów nie nas” przerwał mówiącemu Signor Gaëtano Osini, szambelan J. K. Mości. — „Panie Tomatys, masz dzieci”, ozwał się z drugiéj strony poważny Cavaliere de Varenno, „przy téj ozdobie jaką niedawno imię twoje uzyskało, potrzebny im będzie majątek, zwłaszcza w kraju w którym niebardzo mile poglądują na cudzoziemców co do pewnego znaczenia w nim doszli.” — „O tém właśnie myślałem, odparł de Tomatys, ale żartuję z ich nienawiści skoro mam

(1) La Gerusalemme liberata, canto XVI.

za sobą króla, miłośnika sztuk i protektora uczonych" (1). — „Tylko podobno niedługo mu już panować—rzekł margrabia Carafa: wszystko oznajmia żeśmy w ostatnim akcie dramatu...” — „Mnie to tam niewiele obchodzi, rzekł Tomatys; a chociażby i tron utracił, to tém bardziej będzie potrzebował pałacu, ażeby się w nim zamknął; zamknie się zaś niezawodnie z miłością sztuki i natury, bo słabość taka nie opuszcza do zgonu. O! że zniemawidzi i porzuci błotniste Łazienki skoro Królikarnię ujrzy, to najpewniejszy jestem (2): te pyszne widoki, to zdrowe powietrze na miejscu wzniesioném... wszystko mi zaręcza że naprze się méj willi. Pragnę tu tylko oświadczenia, który z panów architektów podejmie się wykonać plany, jakie oddawna, znając gust królewski, ułożyłem i jakie przedstawiam.”

Po chwili powszechnego milczenia przerwał je budowniczy nadworny Rzplitej pan Antoni Fontana, mówiąc: — „Jużto nieraz rozmawialiśmy o tém, ale ja nigdy nie zmienię mojego zdania. Panteonu ani Bazyliki rzymskiej żaden z moich ziomków nie podejmie się stawiać na ziemi obcej. Tylko klassyczna włoska krajina prawo ma do znakomitych gmachów. Dla Polaków aż nadto miernych z naszej strony usiłowań. Nakreśl, panie Merlini, jak na studyum dla ucznia, i stawiaj podług tego willę w Królikarni. Twoja Maryanna (3) nie siląc się zidealizuje gmach dla Polaków.”

(1) Tomatys tę myśl utrwalił napisem nad głównymi drzwiami do pałacu w Królikarni:

CAROLUS TOMATIS ITALUS
COMES DE VALLERI ET IN SABAUDIA
PRO VITAE COMMODITATE JUCUNDITATEQUE
ARDES EXTRUXIT ATQUE ORNAVIT
HORTOSQUE AMOENITATES SPECTANDOS ADJUNXIT
QVOS
NE ALIENA MALEVOLENTIA
RURSUS (wyraczy zatarte)
STANISLAO AUGUSTO
POLONORUM REGI MAGNO LITUANIAE DUCI
RESTITUTORI BONARUM ARTIUM
LITERARUMQUE FAUTORI MUNIFICENTISSIMO
D. N. M. O. E.
CONSECRAVIT
ANNO MDCLXXXVI.

(2) Wiadomo że wszystkie koszty, na upiększenie Królikarni podejmowane, łożył Tomatys w nadziei, iż król Stanisław August, zachęcony niepomyślnemi próbami poprawienia powietrza Łazienek, nabędzie ją od niego. *Sobieszczański* w Kalendarzu Powsz. na r. 1848 str. 11.

(3) Dominik Merlini, który stawiał pałac w Królikarni, pałac Krasieńskich i t. d. miał córkę Maryannę, która mu wiele pomagała co do rysunków. *Sobieszczański*, Wiad. hist. o szt. pięk. w dawniej Polsce, tom IIgi str. 217.

— „A dlaczegoż, rzecz Merlini, nie miałoby stanąć koło Warszawy dzieło oryginalne, któreby i nam i królowi, tak szacującemu klasycyzm, zaszczyt czyniło?” — „Alboż Polacy, odpowie Fontana, umieją szacować arcydzieła sztuki? Widzisz w jakim stanie utrzymują ten piękny kościół w Kobyłce! Jeszcze niedokończony, a już zapomniany, odziera się z najglówniejszych ozdób, fresków... Zanadto sumiennie, panie Merlini, postąpiłeś z pałacem Krasińskich. Bądź najzagorzalszym w swojej sztuce mistrzem, ale nie dla obcych. Nieprzyjacielem jest swojej ojczyzny kto jej sławę przywłaszcza cudzej.” — „Jako? przerwał pan Tomatys, dla narodu którego władcy spokrewniali się z naszymi, który w dawniejszych czasach tyle miał współczucia dla Włoch, swoich synów wychowywał we Włoszech, którego dzisiejszy monarcha przez swoich przodków Torellich wywodzący ród swój od Gwidona Salingwerry pierwszego dziedzica Ferrary (1), tyle nas szacuje i kocha, byłoby niewarto poświęcić cały swój talent i działać jak dla narodu własnego?” — „Któżby śmiał o tém wątpić, ozwie się pan Bacciarelli nadworny malarz królewski; dawni mecenasi uczonych w tym kraju, byli to uczniowie akademij naszych, a te nawzajem niejedną gwiazdę swojej świetności zawdzięczają Polsce. Dostyc na to przytoczyć nieśmiertelnego Kopernika, bo więcej pewno Bononia mu sławy, niż on jej nauki winien. W XVI wieku literatura włoska przelewała się na polską. Nasi wielcy malarze dawniejsi, jeśli nie przez papieżów, to jedynie przez polskich panów nadgradzani byli.” — „Wszystkiemu temu nie przeczę, rzekł z przyciskiem Fontana, przyznam im nawet summy neapolitańskie; wszakże przepłacać dzieła wyższe nad wszelką cenę, a nabywać je dlatego iż można przepłacić, nie jest to żadna nadzwyczajna zasługa. Niechby porywali wzory, ale niechby się sami doskonalili. Powiedzcież, ziomkowie, czy nie więcej poznaliśmy się na ich Koperniku, niżeli oni na naszym Kalimachu?” — „Podzielam całkownie zdanie pana Fontany, rzeknie pan Solari, budowniczy przysięgły miasta Warszawy (2). Sam, gdy mnie teraz wezwą do stawiania teatru, nie będę myślał ani o *Colosseum*, ani o *Della scala*, tylko postawię im szopę, i to dla Warszawy będzie dostyc.” — „Panie Tomatys, zabrał głos pan

(1) *Heraldyka Wielądka*, tom III str. 275.

(2) Budowniczy dawnego teatru na placu Krasińskim. *Sobieszczański ib. pag. 215.*

Franciszek Bertogliati, zwykle professorem zwany (1), jesteś Włochem Sabaudczykiem, jak ja Włochem Szwajcarem, doszedłeś majątku i zaszczytów w Polsce, a że i ożeniłeś się z Polką (2), przyznaję, iż ci wypada wrodzoną każdemu miłość ojczyzny na dwa narody rozłożyć, i nie ma nic chwalebniejszego, jak że pragniesz to co naród Włoski wślawiło i co go tak chlubnie w dziejach sztuk pięknych odznacza, zostawić jako pomnik na ziemi Polskiej. Ale powiedz mi, proszę, dla kogo ten tak wspinały gmach służyć ma w przyszłości? Jeśli to będzie pałac okazałszy niż w Wilanowie i Łazienkach, niezawodnie króla tém obrazisz. Tém większą obudzisz zazdrość w dumnych magnatach polskich, którzy już i tak nienawiścią pałają ku tobie.”

Tomatys w tém miejscu zadeklamował niskim głosem kilka wierszy z początkowej wrotki 4tej pieśni Orlanda, wymawiając mianowicie z przyciskiem:

*assai più oscura che serena,
Vita mortal tutta d' invidia piena.*

co wszakże nie przeszkodziło professorowi mówić dalej: „Postaw, przyjacielu, domek skromny ale gustowny; tém podobasz się królowi: niechaj to wyobrazą którą z willi około Rzymu. Wypadnie zaś przystawić jaki pawilon gospodarski, np. na kuchnię, niechże ta przystawka będzie wierną kopią jakiego ze sławniejszych pomników Rzymu starożytnego; wtenczas choćby ci i cała Polska zazdrościła pałacu, uczony król pokocha twoje siedlisko, a wszystkie matedory stanu duchownego myśl twoją wysławiają gdy im Królikarnia będzie Rzym przypominała.”

Tu obudziły się dosyć głośne śmiechy, i w zamieszaniu ciągle powtarzano humorystycznie wymawiane wyrazy *Capo di bove*, a nawet pan Bartłomiej Folino przyznał się że nieraz już miał myśl do którego domu w mieście dodać te ornamenta z grobu Cecylii Metelli. — „*Bravo! bravo!* wołano wśród radości ożywionój winem, którego sam graf hojnie zgromadzonym w kieliszki dolewał. — „*Bravo!* zawołał ironiczny Fontana; ilekroć panie Merlini, stawiać będziesz pałac dla polskiego pana, najstosowniej postąpisz, gdy jego piwnicom i kuchni nadasz postać grobu. Doskonała alluzya do konającej tych smakoszów pompy, którą wkrótce w swoich żołądkach pogrzebią.

(1) Franciszek Bertogliati, Szwajcar, przybył do Polski jako major wojsk austriackich, wykładał *in Collegio nobilium S. J.* r. 1777 architekturę cywilną i wojskową. *Sobieszcz. ib. pag. 219.*

(2) Tomatys miał żonę Polkę z domu Wilczewską.

Wiwat! niech więc powstaje w tém miejscu rzymska willa, a obok grób Cecylii Metelli.” — „Wiwat! zawołali wszyscy, a Merlini, który te wyskoki brał za stanowcze układy, dodał że jego Maryanna szczególniejsze właśnie ma upodobanie w obranym zabytku sztuki, bo przy każdym planie te wole głowy rysuje.

— „Czyto tylko, przerwie Tomatys, podoba się królowi?” — „Ani o tém wątpić, rzeknie pan Carafa; komuż nie podobają się góry i wąwozy, widoki, źródła, las, a to wszystko tak niedalekie miasta? Nikt w okolicach Warszawy nie obierze trafniej miejsca na willę, ani znajdzie powabniejszego.” — „Ja zaś upewniam, rzeknie z pałem Merlini, że pałac godny będzie hrabiego.” — „Byle tylko hrabia umiał hrabiowską rolę należycie odgrywać,” rzekł z uśmiechem pan Tomatys. — „Nie trudno, uśmiechnął się de Varenno, jeśli w niej wiernie dopomagać będzie sufler, a tym jest worek.” — „Oni mi tu zawsze wymawiają, mówił dalej Tomatys, że nie jestem pan z panów, a ich panowie są jak i ich pałace: wspaniale, skoro bogato i wyniosło.” — „To prawda, dodał z powagą margrabia Guadagnoli, że w żadnym narodzie szlachta nie jest dumniejsza, zarozumialsza, ciemniejsza, a mniej wspaniała, szlachetna i wysokość stanowiska swojego w Rzplitej pojmująca.” — „Panie Tomatys hrabio de Valleri, zawołał szambelan de Varenno, wyniesiesz się nad nich, gdy im okażesz Królikarnią czém być powinno siedlisko pana pod względem sztuki, a sobą, jakim protektorem sztuk i nauk panu być należy.” — „Sądzę, odpowie Tomatys, iż najlepszy wzór tego sam monarcha im podaje. Co do mnie, proszę pana Merliniego, ażeby w swoim nowym planie nie pominął sali na bibliotekę; złożę ją z najkosztowniejszych dzieł tego wieku, a przedewszystkiém z dzieł naszych ziomków.” — „Sądzę nawet, rzekł szambelan Varenno, że tak lubiący książki professor Bertogliati, a który od zniesienia Jezuitów nie ma żadnego publicznego zajęcia, nie odmówi hrabiemu posług bibliotekarza, jeżeli tylko nie ma w widokach osiąść na dworze księcia prymasa albo pana podkanclerzego koronnego, do których tak usilnie jest zapraszany.” — „Uchowaj cię Boże, kochany Bertogliati, ażebyś miał po tylu latach naukowej zasługi, paść na łup dworakom,” rzekł Fontana. Czyto sądzicie że polski pan trzyma na dworze swoim uczonego przez miłość nauki? Chee on wprawdzie, naśladować monarchę, okazać się niezimnym i w tém uczuciu, ale biada przyjacielowi mądrości pod opieką tego który w niej czuje pogromicielkę swojej chimery.” — „Ależ pozwól, panie Fontana, powiedziéć sobie, że powstajesz na to co nie jest, rzekł jakby nieco obrażony Tomatys. Po rzymskim

Auguście i naszych Medyceuszach, czy był którego kraju władca większym obrońcą i przyjacielem uczonych, nad Stanisława? Małoż widziano, zwłaszcza w XVI wieku panów polskich, którzy umieli w swoich domach szanować powołanie człowieka naukowego? Mnóstwo takich wyliczy ci biskup Naruszewicz albo Albertrandy."

Fontana jakby zagadnięty zamilkł nieco, ale wkrótce tak dalej mówić zaczął:— „Głupi ma zawsze w podejrzeniu naukę, i wielka to dla niego niespokojność gdy moda szanować ją nakaze. Dlatego wszyscy tam na ciebie oczy obróca, a najniższemu więcej niż tobie wiara będzie dana. Ten lokaj albo hajduk, wyćwiczony w dworskich obrotach, więcej od samego pana będzie tam nad tobą panował. Żadna Arystoteliczna logika, żadna Cycerońska sentencya nie uzbroją twój głowy przeciw niemu, jeśli się usadzi do intrygi cię wplątać. Wkrótce cię obstawią jak biegli gracze na szachownicy. Potrafią zrobić cię śmiesznym i politowania godnym w oczach pana. Twoje proste serce stanie się przedmiotem szyderstwa, a jeśli się więcej wynurzysz, okrzykną cię za niebezpiecznego jak Kallimacha i sponiewierają jak Kandyana."

Jakby pobudzeni raczej cierpkością tych prawd niż ciekawością, wszyscy zawołali że nie wiedzą o Kandyanie, zatem Fontana tak rzecz obrócił:— „Kandyan, nasz ziomek, na dworze Samuela Zborowskiego, znanego pana polskiego w XVI wieku, był, jak sam przyznaje, najgościńniej przyjmowany, częstowany, opatrywany, zabawiany, ale to trwało tylko dopóty, dopóki nie upomniał się o pieniądze pożyczone Francuzowi jakimś na poręczenie Zborowskiego który zapewnił że sam w złym razie je wypłaci. Ale gdy Zborowski nie uczynił tego co przyrzekał, Kandyan trzymając się praw towarzyskości, postanowił z domu jego odjechać, o czém zawiadomiony polski magnat, wydaje na dworze rozkaz niepuszczania go od siebie, kładąc za pozorną przyczynę oporu powietrze w okolicy grasujące. Gdy mu udało się gościa tym sposobem zatrzymać, począł z niego żartować zwyczajem wielkich panów sądzących że żadna sól nie pomoże im tyle do wytrawienia ich obfitego obiadu, ile żarcikowanie nawet z najpoważniejszych rzeczy. A że nadworni próżniacy, pasorzyci codzienni, jestto bateria zawsze w ten punkt napadu wódza wymierzona i niemal umyślnie na to jego kosztem utrzymywana, ta więc w takie obroty wprowadziła Włocha, iż obrażony i do najwyższego stopnia rozjątrzenia doprowadzony, jednego z dworzan nazwiskiem Ruskiego wobec licznego zgromadzenia szlachty w twarz uderzył. Nadaremnie usiłowano pogodzić zwąśnionych. Nie było

rodzaju obelgi któregoby Zborowski na Kandyana nie użył; kazał rozwlec go z odzieży, wysmarować miodem i bezbronnemu potykać się ze starym i najprzód przez psy rozjuszonym niedźwiedziem, którego jednak rozpaczający Kandyan trupem na bojowisku położył." Tu nastąpiło między słuchaczami, dotąd posagom ze spokojności podobnemi, nagłe poruszenie; lecz wielu z nich wołało uznać w tém opowiadaniu nieprawdopodobieństwa cechę. Ale Fontana, dopowiedziawszy jak jego ziomek, z tój ciężkiej próby wyrywając się, nagle i bez pożegnania gospodarza chciał wyjechać, jak zastał z pojazdu swego koła pozdejmowane, jak porwano go zdradziecko i poraniono, ogołocono z mienia i kosztowniejszych rzeczy, na niego i na ród jego nałajano i t. d., dodał naostatek że to wszystko sam Kandyan opisał w bardzo rzadkiej dziś książeczce.— „Aha! rzekł zamyślony i milczący dotąd Bertogliati: *Cartellum sive duellum strenuo oblatum equiti Samueli Sborovio*; znam tę książeczkę drukowaną w r. 1577. Pokazywał mi ją kiedyś nieboszczyk ksiądz biskup Kijowski, który tę rzadkość dobrze między swoje *białe kruki* zamykał." Fontana objaśnił jeszcze, iż Kandyan zponiewierany, gdy za Bożką pomocą wydobyl się na wolność, a sto mil w tygodniu ujeżdżając, oddalił się już od nieprzyjaciela swojego, wydaniem tój książeczki, podług owoczesnego zwyczaju wyzwał Zborowskiego na sąd Boży czyli bój śmiertelny, nago, w zbroi lub bez niej, konno albo pieszo, gdzie tylko zechce i w oznaczonym czasie (1).

Jak każda siła do wybuchu skłonna, jeśli wstrzymaną zostanie, to na to, ażeby gwałtowniej wybuchła, tak i tém dobitniej rozległ się wśród lasu gwar rozchodzącego się zgromadzenia Włochów, że usposobionych do niego winem, historia o Kandyanie w chwilowém osłupieniu zatrzymała. Żywiej i więcej mówili przy opuszczaniu miejsca narady, niż na samój naradzie, i wyszedł najpierwszy pan Dominik Merlini, skarżąc się że mu daleko ztamtąd aż na ulicę Książęcą (2); za nim pośpieszył pan Bonawentura Solari, a za przygarbionym Kortycellim (3) wysypał się tłum młodych i niemłodych szambelanów królewskich, jakoto: pan Antonio Antonelli i Antonio de Senigalia, pan Jan Pecliani i Jan Orsetti, pan Hieronim margrabia Guadagnoli,

(1) *Gołębiowski*, Gry i zabawy, str. 159 i przyp.

(2) Tam miał swoją posiadłość pod nr. 1737. *Sobieszczański* l. c. str. 216.

(3) Czyt. *Pamiętniki do pan. Augusta III i pierwszych lat Stan. Aug.* tom III str. 219. (*Obraz Polaków i Polski w XVIII wieku* i t. d. p. Edw. Raczyńskiego tom III, Poznań 1840).

prowadząc się za rękę z panem Maryanem margrabią Carafą, pan Gaetano Osini ciągnąc poważną rozmowę z panem Bacciarellim malarzem, pan Bartłomiej Folino z ochrypłym od mówienia panem Fontaną, i pan Bertogliati zwany professorem, sam jeden idący, i wielu jeszcze innych, a tylko kawaler de Vareuno w mundurze i przy orderach, tłumacząc nieznacznie zgromadzonym, że wyjechał z domu z zamiarem odwiedzenia jeszcze króla po jego obiedzie. I szli oni i zatrzymywali się, a z ich żywych rozmów i gościów zdawało się jakby jeszcze dokończali rozpraw w przedmiocie ważnej na zgromadzeniu narady; wszakże dla polskiego ucha niektóre wyrazy: *Che barbaria! che crudelta! inumanita! ferocita! tirannia!* dosyć zrozumiały a powtarzane często i przez wszystkich, domniemywać się każały oburzenia i gniewu. Ucieszyli się jednak, kiedy ponury Bertogliati, zatrzymawszy się na miejscu, rozpoczął poważniejszą mowę i rzekł: — „Więc tu niedługo pałac ma stanąć? Niechże to zebranie się nasze zastąpi uroczyste założenie kamienia węgielnego do gmachu, w którym, jeżeli kiedyś stanie się siedliskiem magnata polskiego a ten uczonego Polaka na dwór swój powoła, bogdajby powtórzyła się Kandyana scena!“ Zaniemieli niektórzy na usłyszenie jakby zakłęcia, ale więcej było takich, którzy zabierając się do wsiadania w pojazdy, głośnemi śmiechami echo w przyległym lesie męczyli.

* * *

Król Stanisław August po swoim czwartkowym obiedzie, który tego dnia był w Łazienkach, zwyczaj miał w piękne dni wiosenne z kilku uczonemi przechodzić się po najbliższych gajach i ogrodach. Tą razą wziąwszy tylko Naruszewicza, wyszedł za Łazienki. Dzień był tak pogodny, a Naruszewicz tak dowcipny, że król, uważając zwłaszcza iż ani jeden ani drugi nie mieli paradnego ubioru, postanowił iść jak tylko można najdalej ponad strumykiem, i doszedł aż do Królikarni, na sam największy hałas rozchodzących się Włochów trafiając.

— „Cóżto tu dzieje się?“ zawołał zdziwiony Naruszewicz spostrzegłszy liczne pojazdy i ich panów pod lasem. — „A to nazjeżdzało się Włochów co niemiara, i snadź pobili się i pocubili, a teraz się swarzą,“ rzekł parobek od gospodarza z Szop, który konia nad rowem pętał. — „Oj! musi to co innego być, zawoła przechodzący tamtędy z Czerniakowa Bernardyn, częstując tabaką biskupa którego nie znał; to zapewne panowie farmazoni kogoś nowego duszę ułowili

i chcą go tu otrząsać z ceremonią, nim jęj dopełnią w łoży.” — „Wca-
le nie tą, mości dobrodzieju, zeicha odezwał się kontuszowy który
tuż do biskupa i króla przystąpił; to są komedyanty z Warszawy;
uczą się tu nowęj na niedzielę komedyi, żeby czém mieli bałamucić
króla. Złe, mości dobrodzieju, już z nich jeden i grunta koło moich
tu zakupił i pałac ma stawiać, a w pałacu utrzymywać komedyantki
i J. K. Mość do nich zapraszać.“ Naruszewicz nieco zakłopotany tą
mową nieznanego, dla przecięcia jęj zapytał: — „W Pan Dobrodziej
z Warszawy tu przybyłeś?” — „Z Czerska, Mości Dobrodzieju, odpo-
wie szlachcic za wás się ujmując; mam tu kawalek nabyty, a że *certo
temporis intervallo* polowaniem się rozrywam, chowam dla sfory kró-
liki które mi chłopi z kretešem wytepiają. Ten powiada że powy-
marzały, ten że w swojej kapuście je zastawał, a wszyscy zasłaniają
się sądami i juryzdykcyą marszałkowską; takto pod Warszawą mieć
chłopów! Ale ja, Mości Dobrodzieju, bacząc na to że *glebae adscri-
pti*, opuszczam wszelkie *formalitates*, i po dawnemu przyjeżdżam na
grunt *justitiam exercere*; musi dnia dzisiejszego *plenarie convictus* mo-
je króliki wyjęczyć.“ — „Czyż to sprawiedliwie, Mości Dobrodzieju,
za kilkoro lichych zwierząt męczyć użytecznego człowieka?” rzecze
Naruszewicz. — „Nie warci oni kommizeracyi, a do tego, jeszcze to
od Sasów ta *rapina continuatur* (1), rzekł szlachcic i zaraz dodał:
„ale jak widzę, to W Pan Dobr. także szlifujesz schody królewskie.
Ja wiem, król to tych chamów proteguje, bo królowi jegomości
omne effrenatum smakuje. Panie mu przepuść: Rozumię że u tego
piszcza Bakaroly (2) w sercu tak jak w Polsce jest tylko jeden,
a tam i pan marszałek koronny, i pan wojewoda podlaski, i pan ko-
niuszy wielki, i kto tylko chce, basować jęj chodzi.”

Naruszewicz co żywo przecinając rubaszną mowę szlachcica,
rzekł do niego tonem pożegnania: — „Panie bracie, życzę Waszmo-
ści nie mieć kłopotu ani z królikami ani z królami;” postrzegłszy zaś
że zniecierpliwiony, a może i obrażony król zostawia go za sobą,
przyśpieszył kroku, by się z nim złączyć i obydwa wkrótce się z tlu-
mem Włochów zetknęli. — „Jak się masz, kochany mój szambelanie;
cóżto tu robicie w tak liczném zebraniu?” rzekł Stanisław August
do zdziwionego Tomatysa, który nizko się kłaniając królowi, objawił

(1) „Nazwisko Królikarnia ztąd otrzymała, że za panowania Sasów
wychowywano tu i karmiono króliki do łowów.” *Sobieszcz.* l. c. pag. 197.

(2) Pauna Baccaroli, śpiewaczka włoska, pod dyrekcją p. Zapp, gło-
śna w Warszawie od r. 1784.

mu najszczerzej swój zamiar ozdobienia tego miejsca pałacem, na wzór rzymskiej willi, w którymto celu przed chwilą odbył ze znawcami architektonicznej sztuki, a ziomkami swojemi naradę, jakby temu dziełu nadać cechę najodpowiedniejszą panowaniu króla tak znającego i miłującego sztuki; niebawem zaś czyniąc też grzeczność i biskupowi, oświadczył, że wkrótce uda się do niego z prośbą o ułożenie stosownych napisów na gmachu. Król powitawszy uprzejmie i innych dworzan swoich, których tam coraz więcej spostrzegał, zaczął się zachwycać pięknem z góry widokami, i wybór miejsca na letnie mieszkanie wychwalać, co w najweselszy wprowadziło go humor, gdy wtém od strony lasu słyszeć się dały odgłosy plag i jęki je znoszącego chłopka. Wszystkich to obeszło, i tylko Naruszewicz był tak jednostajny, że dla jakiegokolwiek utrzymania w humorze króla, w głos przytoczył łacińską sentencją: „CREBRO PULSATA NITESCIT.” — „Panie Tomatys, rzekł natychmiast król, otóż ci i daje ksiądz Naruszewicz na twój dom napis.” — „Najjaśniejszy Panie, odpowie Tomatys, potomość pracowałaby nadaremnie śledząc w panowaniu W. K. Mości racją takowój sentencji.” — „To połóż przy niej drugą: „PRO RATIONE VOLUNTAS” rzekł Stanisław August z pewną powagą, w której Tomatys natychmiast zrozumiał wolę króla, i szepnął do Merliniego ażeby pamiętał o tych dwóch napisach (1).

Kiedy ktoś od lasu biegnący, oznajmił że szlachcic przestał bić chłopca, ale się nadąsał i nazapytywał „za jakiego licha karę mu ma darować?” król rzekł: „Powiedźcie mu, że tém lichem jest *Pro ratione voluntas*”, a potem dodał: „Zdałoby się na moim pałacu położyć ten napis”; co uchwyciwszy przytomnego umysłu Tomatys, zawołał natychmiast: „Będzie na nim w Królikarni, miłościwy Panie.” Król dorozumiawszy się co to znaczy: „będę, rzekł, jak najczęstszym w twojój willi gościem”, a potem odciągnąwszy Tomatysa na stronę, „tylko zmiłuj się, rzekł przytłumionym głosem, kochany szambelanie, udajże się z Kortycellim do téj niegodziwój Baccaroli; wszakto ona niemilosiernie kompromitować mnie musi. Oto i teraz jakiś szlachcic na drodze w obecności księdza biskupa tak mnie nią zmieszał.... Cóżto jest? do niej, widzę, cały świat zachodzi!” — „Nic to jéj nie ujmie, Najjaśniejszy Panie: *Crebro pulsata nitescit*” zcicha rzekł obecny temu Naruszewicz. Z uśmiechem Stanisław August ściskając jedną ręką Naruszewicza, drugą Bertogliatego który stał przy nim,

(1) Wiadomo że obydwa znajdują się na perystylu pałacu w Królikarni.

obudwu tak zasłużonych niegdyś w Zgromadzeniu Jezuickim, rzekł: „*Waszeto Crebro pulsata* formowało niegdyś najdzielniejszych ludzi. Ale jakie się masz, kochany exprofessorze (zwrócił mowę do Bertogliatego): czekałem cię dziś z obiadem, i zaraz powiedziałem, że chyba któryś szambelan ułović cię musiał. Cieszę się, że obierasz sobie na siedlisko dom mojego brata, który z niecierpliwością cię oczekuje.“

Bertogliati unikając związania się słowem królowi danem, bez ogródki wyznał, że nie mógłby spokojnością się cieszyć w domu pana polskiego. Z tego powodu musiano królowi, nim odszedł, szczegółowo opowiedzieć koniec narady w Królikarni przed chwilą odbytej.—„Zupełną wam słuszość przyznaje, rzekł król, ale mój Naruszewicz, któremu dałem osobny apartament w zamku, nie powiē że go mieszam z moim dworem, i spodziewam się, że go tam żadna intryga nie sięgnie.“

— „Mają wielką słuszość (rzekł jeszcze potēm, gdy ponad strumykiem do Łazienek z Naruszewiczem wracali). Kochany biskupie, ty jesteś najlepszy świadek, jak ustawicznie i gorliwie pracuje nad przerobieniem wyobrażeń narodu, a jednak nie ma kąta kraju w który zaszedłszy nie zmartwiłbym się i nie zgniwał. Ot i ta nabożna Sanguszkowa co się naparła Karpińskiego do swojego wnuczka! Nie uwierzysz ile mnie kosztowało pośredniczenie między nimi (1). Z tą zajadłą Cetnerową koniecznie chcą przekonać poetę, że jego lutnię sielską powinny natchnąć kolana paryzkie.“ — „Ależ bo i Karpiński, rzekł biskup, dziwny ze swoim idyllicznem sercem. Wszakto zwierzył mi się, że miłość wypędza go z tego wysokiego domu.“ — „Wiem o wszystkiē, rzecze król; księżna mu pragnęła dać jedną ze swoich kuzynek, a on się szalenie rozkochał w jakiejś dziewczynie z jēj dworu. Powiedziałem, że kiedy chce jedną, dajcie mu ich dziesięć. Nie pojęły mnie baby, a i jeżdżą za granicę, i tu im światłych cudzoziemców sprowadzam: polor wydatniejszēm czyni co w nich jest grube i dzikie. Cóż za barbarzyństwo ponastawiać dworaków! oczywiście że płocha dziewczyna przełożyła młodego lokaja nad starego poetę. Uraził się, gdy mu raz Cetnerowa rzekła, że panu Karpińskiemu w jego wieku przyzwoitsza jest pisać o miłości, niżeli miłować. Cóżto dziwnego, że więcj i dłuzej czuje ten, którego wielbimy z czucia? Nie Anusiato, jak mówią, lecz ich sa-

(1) Czyt. o życiu Franciszka Karpińskiego przez Kazimierza Brodzińskiego, a osobliwie art. *Karpiński* w Małej encyklopedyi polskiej przez S. P. Leszno i Gniezno 1841—47.

mych arystokracka nienawiść, której w sercu kobiety żadne podobno wychowanie nie zmoże, wydarła kiedyś narodowi Tarłę, porządnego człowieka (1). Wolę już gdy się ta kądziel wplącze w dyplomatykę niż w serce poetów." Tak rozmawiając i idąc powoli, ujrzeni wieśniaczkę nogi w strumyku umywającą. — „To prawda, mój biskupie, rzecze król, że gdyby te wiejskie dziewczyny nasze nieco czystsiejzemi były, stokroćbym wołał w mojej zwierciadłowej ścianie w Łazienkach ujrzyć jedną z takich (2), niż te wojewodzicowe w swoich kornetach, te wypudrowane kasztelanki (3), te wypachnidłone Włoszki, istne karykatury obok ładnych wieśniaczek naszych.” — „Zwłaszcza téż poeta, rzecze nawykły w każdym razie popierać zdanie monarchy Naruszewicz, musi koniecznie tę ze zwieszonemi warkoczami brzozę na zieloném błoniu, przełożyć nad pogarbioną gruszkę w sadzie.” — „Gdyby to przynajmniej, rzekł król, rodziły coś dobrego, ale i to... — „*Ridiculus mus*” dopowiedział tłumacz Horacego.

— „Wierzaj mi, kochany poeto, mówił dalej król, że z całą jasnością przekonania pojmuję nie żal i rozpacz Karpińskiego, ale jego ból i nienawiść ku dworom. Świetność, prawda, salonów paryskich, pierwsze wywarła wrażenie na młodość moję, i cudzoziemiec bardziej nizeli Piast na waszym tronie zasiadłem; ale nie sądz, kochany Litwinie, ażeby nie było chwil w mém życiu w którychby nie wracała mnie jakaś niepojęta siła w naturalne położenie króla Polaka, i gdy postrzegę ładną wieśniaczkę naszą, ze łzami w oczach rozpamiętywam me winy. Nie wyżto mojemi, dla których ziemia mi oddana całym jest światem? Kochany mój historyografie, zapisz w annałach to dzisiejsze wyznanie moje. Miłość jest coś świętego, a tylko wtedy jest miłością, kiedy umocniła święte rodzinności węzły. I wyznaj sam, jeśli kochałeś kiedy?... Winszować ci będę, jeśli twoje uczucia tylko ku temu gorzały, czego wydaniem twój własny kraj się zaleca.”

Naruszewicz uderzony tém, że król, zapędziwszy się w uczucia serca, zdawał się zapominać o powołaniu jego, rzekł: — „Miłościwy

(1) O Anusi i Tarle zob. Pamiętniki do panow. Aug. III i pierwszych lat Stan. Aug. (Obraz Polaków i Polski w XVIII wieku etc. wyd. Edw. Racyńskiego) tom I od str. 11.

(2) Czyt. Pamiętniki księdza Kitowicza do panow. Stan. Poniatowskiego tom III, czyli dzieł historycznych ks. J. Kitowicza tom VI (Poznań, 1835) str. 111.

(3) *Tamże* tom I czyli dzieł IV, str. 5.

Panie, chciałbym z całego serca znaleźć w historii mojego życia dowód na poparcie myśli W. K. Mości, ale jako kapłan, zatém przeciwnik kłamliwej spowiedzi, wyznaję, iż owszem wyrazy *kosmopolita* i *jezuity* zawsze rymowały dla mnie."

Król rozśmiał się. Rozłączyli się przy Łazienkach.

W niejaki czas potém niezmierne tłumy Warszawian ciągnęły do Królikarni, ażeby się przypatrzeć uroczystości zakładania kamienia węgielnego pod pałac, którąto uroczystość obecność króla uświetnić miała. Ale mówiono iż tylko kupa postrojonych Włochów i niektórych innych panów zebrała się na górze, a wpośród niej ledwie się dojrzyć dawał Ferdynand Marya z książąt di Corigliano Saluzzo, arcybiskup kartagiński, podówczas nuncyusz apostolski do dworu polskiego.

I zaraz szybko się wznosić zaczęły mury pałacu, który przyozdobił tę stronę Warszawy. Tomatys kilkokrotnie narzucał się królowi z chęcią odstąpienia mu go na własność, ale Stanisław August odpowiadał stale: — „Nie, mój kochany szambelanie, nazwijcie mnie jak chcecie, lęklwym, przesadnym; nie zapomnę jednak że Bertogliati go zaklął, a ja żadnego z moich uczonych nie chcę wystawić na pastwę intrygi.”

Śmiano się z przesądu króla i wówczas, i dziś rozśmiejemy się z niego. Jakoż, ani książę Michał Hieronim Radziwiłł, który po Tomatysie stał się właścicielem Królikarni, ani nikt z rodziny jego, nie ulegli nigdy potrzebie dawania na swoim dworze uczonemu przytulku. Już nawet i wiek nadszedł nietylko wysmiewania ale zapomnienia przesądów, a pan Xawery Pusłowski, nowy Królikarni nabywca, nietylko uczonych bezpiecznie do swego pałacu zaprasza, ale go nawet otacza pamiątkami, które jedynie wielki gmach prawdziwej nauki i jego węgielny kamień, cnotę, ozdabiać mogą.

A. W.



O KRÓLOWEJ ELŻBIECIE ŻONIE KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA

I RĘKOPISIE POD JEJ IMIENIEM:

O WYCHOWANIU KRÓLEWSKIEGO DZIECKA.

PRZEZ

Alexandra Przewdzieckiego.

(Z podobizną).

Kanonik Sebastian Ciampi korrespondent naukowy b. Kommissyi Rządowej Oświecenia i Spraw Duchownych, w dziele swoim pod tytułem: *Bibliografia Critica* (tom I, str. 102) pod wyrazem *Elżbieta, córka Albrechta II cesarza, żona Kazimierza Jagiellończyka króla polskiego*, umieszcza następującą wiadomość, udzieloną sobie w 1824 roku przez hr. Józefa Sierakowskiego, znanego miłośnika i znawcę rzeczy krajowych: „Ksiądz *Andres* dyrektor biblioteki neapolitańskiej, posiadał i pokazywał mi rękopis ciekawy pod tytułem następującym:

Elisabeth Alberti secundi Imperatoris filia nupta Casimiro IV (1) Poloniae Regi, Hungariae et Bohemiae haeres nata A. D. 1439, (2) denata 1505, hanc institutionem conscripsit filio suo Wladislao Hungariae, Bohemiaeque Regi clarissimo.

Rękopis ten składa się z kart 140, z biblioteki Piusa VI nabyty przez obywatela z Neapolu; pięknie i wytworną łaciną pisany.

(1) Kazimierz w dyplomatach swoich mianował się zawsze *tercius*, III.

(2) Dowiedziemy niżej, że ta data jest fałszywa, i że Elżbieta urodziła się r. 1436.

1.



vdio fili carissime. quod
fortunatum felix. faust
umq; sit: ANNAM
uxorem tuam tibi prope
diem paruum Casmyrum paruum
esse:

2.

Alexandra Regina Rex
manu propria

3.

Matth. D. A large, stylized handwritten signature or scribble, possibly representing the name 'Matth. D.' followed by a flourish.

Upraszał hr. Sierakowski o dowiedzenie się, w czyje ręce przeszły rękopisma księdza Andres (po jego śmierci), i czy nie możnaby nabyć tego rękopisu, albo przynajmniej zdjąć z niego kopią. *Ciampi* dodaje od siebie, iż dotychczas nie udało mu się żadnego śladu piśma Elżbiety znaleźć.

Znajdując się we Włoszech w latach 1846, 1847 i 1848, a zwłaszcza bawiąc blisko pół roku w Neapolu, i zwiedzając bogate księgozbiory téj stolicy, miałem w pamięci powyższą notatkę o *instrukcyi Elżbiety*, i dowiadywałem się o jój rękopis po bibliotekach i u antykwaryuszów; nie znalazłem jednak żadnego śladu, ani tam, ani w papierach samego kanonika *Ciampi*, które później zdarzyło mi się przejrzeć, na kilka miesięcy przed jego śmiercią, w willi pod Florencyą.

W naszych źródłach żadnej wzmianki o literackich pracach Elżbiety nie znajdując, nie miałem téż wówczas pod ręką *Jöchera: Allgemeines gelehrtes Lexicon*, w którym pod wyrazem *Elizabeth* stoi: „iż napisała książkę *De institutione regii pueri*, która dotąd znajduje się w rękopisie w bibliotece wiedeńskiej” (1). Ale jedna ze znakomych dam naszych, znajdujących upodobanie w pomnikach dziejowych, Rozalia z książąt Lubomirskich hr. Rzewuska przypominała sobie, iż pokazywano jój rękopis królowej Elżbiety w jednym ze zbiorów wiedeńskich. Za terażniejszą bytnością w Wiedniu zająłem się wyszukaniem tego ciekawego zabytku, i w katalogu filologicznym pod nr. 570, (nr. ogólny 1240), znalazł się mały rękopis (w 12ce) na papierze ze 138 stron złożony, równym, pięknym charakterem pisany, ozdobiony na pierwszej stronnicy herbem podwójnym czeskim i węgierskim, z cyframi ukoronowanymi W i A. (*Wladislaus, Anna*), ze złożonemi literami początkowemi (2), niezawodnie do Władysława Jagiellończyka króla węgierskiego należący, z tytułem następującym:

Helisabetha Poloniae Regina Wladislao Pannoniae, Bohemiaeque Regi, filio Carissimo S. P. D. De Institutione Regii Pueri.

Daty wyraźnej nie masz, ale z niektórych szczegółów w tekście umieszczonych, przesłanie tego rękopisu wypada pod koniec

(1) Elizabeth (1505) hat ein Buch *De Institutione regii pueri* geschrieben, das noch in der Bibliothek zu Wien in Mss: vorhanden (Paulini, Hoch und wohl gelehrtes Frauenzimmer). *Jöcher Allgem. gelehrtes Lexicon.*

(2) Ob. podobiznę nr. 1.

r. 1502, na półtrzecia roku przed śmiercią Elżbiety, 30 sierpnia 1505 roku zaszła (1).

Z powodu spodziewanego połogu synowej, drugiej żony króla Władysława, Anny de Foix, hrabianki d' Angoulême, królowa Elżbieta posyła synowi rady o wychowaniu dziecka, które już *synem i ulubionym sobie imieniem, Kazimierzem* nazywa (2). Omyliło ją jednak przecucie, bo zamiast syna, w kilka miesięcy później (23 czerwca 1503 r.) urodziła się córka Anna; a we trzy lata dopiero (w 1506 r.), już po śmierci babki, urodził się syn *Ludwikiem* (a nie Kazimierzem) nazwany; ten sam, który nieszczęsnym zgonem w bitwie przeciw Turkom pod Mohaczem, (29 sierpnia 1526 r.) tyle świetnych nadziei do grobu z sobą zabrał, i dwa trony: węgierski i czeski, z ręką siostry Anny, w dom rakuski oddał (3).

Rady te *o wychowaniu królewskiego dziecka*, najpiękniejszą łaciną pisane, zawierają zbiór przepisów tyczących się moralności i polityki dworskiej, objaśnionych przykładami z dziejów starożytnych, i (co dla nas ciekawsze) z domowego życia rodziny Jagiellońskiej: Kazimierza ojca, św. Kazimierza, Jana Olbrachta, Alexandra, Fryderyka braci młodszych króla Władysława. Poprzedzony wstępem w którym Elżbieta o sobie samej mówi, a zakończony treściwem powtórzeniem całej nauki, ten zbiór przykładów domowych stanowi zajmującą całość. Umyśliliśmy zatem podać go tymczasem w tłumaczeniu polskim, nim całe dziełko w texcie łacińskim z tłumaczeniem wydanem zostanie.

Po stylu sądząc, i pomimo pochlebnych wzmianek o Kallimachu, mniemałem zrazu, że temu uczonemu Włochowi możnaby autorstwo dzieła pod imieniem królowej Elżbiety podanego, przypisać. Ale śmierć Kallimacha jeszcze w r. 1496 zaszła, i porównanie wielu szczegółów należących wyraźnie do tegoż 1502 r., w którym rękopis królowi Władysławowi posłany został, nie pozwoliły przy pierwszym domysle pozostać. Jeżeli więc nie

(1) *Miechowity, Chronica Polonorum*. Wyd. Krak. 1521, str. 376.

(2) Po rozwodzie z Barbarą, wdową króla węgierskiego Macieja Korwina, której winien był utrzymanie się na tronie węgierskim, król Władysław ożenił się był tegoż roku 1502 z Anną de Foix, hrabianką d' Angoulême.

(3) Anna w małżeństwie z Ferdynandem I cesarzem, miała syna *Maksymiliana* cesarza, i córki *Elżbietę* i *Katarzynę*, obie żony Zygmunta Augusta króla polskiego.

zechcemy przypuścić, żeby sama królowa, którą społeczny *Miechowita*, tylko z wielkiej pobożności i szczęśliwego macierzyństwa chwali, a *Kromer* (1) *rzadkich przymiotów niewiastą*, (*faemina lectissima*) nazywa, pod wpływem wspomnień Kallimachowych ten utwór literacki napisała; musimy szukać autora na dworze ówczesnym króla Alexandra. Niepodobna bowiem przypuścić, aby który z uczonych czeskich lub węgierskich udając figurą retoryczną głos i pióro matki królewskiej, córki i wnuczki cesarzów, nie z ich rodu, ani z przodków macierzystych królów czeskich i węgierskich, lecz jedynie z polskich Jagiellonów, wzory cnót wszystkich wybierał. Z uczonych polskich na dworze Alexandra, sam *Miechowita* daleko niższą łaciną pisał (2); styl rękopisu wyraźnie cudzoziemską wytwornością pachnie, i jeśli nie *Erazmowi Ciołkowi* lub *Maciejowi Drzewickiemu*, przedźeby go przypisać można któremu z Florentczyków, czyli téż innych Włochów, towarzyszków Kallimacha, których wielu podówczas na dworze królów polskich bawiło (3), jak *np. Arnolf Tedaldi*, któremu Kallimach swoje Elegie miłosne przypisał (4); *Collenuccio*; *Oktawian Calvani*, którego list po włosku o śmierci Kallimacha mamy (5); *Bernardino Galli*, autor nagrobku Kallimachowego. (6) Dwa ważne zarzuty, które przeciw autorstwu królowej Elżbiety, oprócz samego stylu dzieła, walczą, są dwie pomyłki, którychby się kobieta i matka dopuścić nie mogła: najprzód na wstępie chwali się, iż sześciu synów i sześć córek na świat wydała; Elżbieta zaś urodziła córek *siedm*, z których dwie w dzieciństwie umarły, i dlatego albo razem wyłączone byłyby przez matkę z liczby żyjących dzieci, albo razem z innymi córkami wzmiankowane. Powtóre, w r. 1502 pisząc (w rok po śmierci syna swego króla Jana Olbrachta), Elżbieta chwali się, że już *ośmdziesiątego roku życia* dobiega. Urodzenie jój przypada-

(1) *Kromer*, wydanie kolońskie str. 454.

(2) Porównać co *Miechowita* (str. 376) pisze o szczęściu macierzyńskim Elżbiety, z jój własnymi wyrazami.

(3) *Wiszniewski*, *Historya* L. P. T. III str. 446.

(4) Przedmowę tę, w której Kallimach niektóre szczegóły przybycia swego do Polski opisuje, mam przepisaną z *Mss. bibl. watykańskief.*

(5) *Ciampi* wydał część tego listu w *Bibl. Crit.* I str. 31 z *Wincentego Coppi*, *Annali di S. Geminiano*, a *Wiszniewski* w tłumaczeniu podał. II. L. P. III, str. 446. Ja posiadam kopią całego listu z *Mss. Bibl. Barberini* w Rzymie.

(6) *Wiszniewski*. II. L. P. III, str. 450.

łoby zatem na rok 1422, czyli raczej 1423, gdyż w r. 1422 dopiero miał miejsce ślub jej rodziców, *Albrechta* ks. rakuskiego, z *Elżbietą* córką cesarza *Zygmunta* (1), a jednak *Elżbieta* nie była jedynym ich dzieckiem. Mniejsza, że z naszych dziejopisów i genealogistów, jeden, który o wieku *Elżbiety* wspomina, *Albertrandy*, urodzenie jej w r. 1439 naznacza, (2) na który się i z obcych zgadzają *Balbin* (3) i *Koch* (4), wśród przemilczenia innych. Ztąd już i uczony komentator kroniki *Wapowskiego* w przypisku do niej pod r. 1451 nazywa *Elżbietę* *trzynastoletnią księżniczką* (5). Ale w spóczesnym pamiętniku *Heleny Kottannerowej* piastunki *Elżbiety* (tęj samój, która dla jej brata *Władysława Pogrobowca* wykradła koronę św. *Stefana*) pod r. 1440 wspomniana jest *Elżbieta*, jako czteroletnie dziecko (6). Urodziła się więc w 1436 r., a w roku 1502 miała lat 66 a nie 80, jak o sobie w naszym rękopisie pisze. Tak znacznej pomyłki w latach nie mogłaby zdaje się sama popełnić.

Cokolwiekby, w braku dokładniejszej wiadomości o autorze dziełka o *wychowaniu królewskiego dziecka*, podajemy je tak, jakśmy w rękopisie znaleźli, pod imieniem *Elżbiety*; poprzedzi tylko rys biograficzny tęj królowej, dla objaśnienia niektórych szczegółów samego rękopisu, potrzebny.

Elżbieta była córką *Albrechta* ks. rakuskiego i *Elżbiety* jedynj córki cesarza *Zygmunta* króla czeskiego i węgierskiego, znanego w dziejach naszych ze stosunków z *Jagiłłem* i *Witoldem*. *Zygmunt* wydał był jedynaczkę swoją za tego *Albrechta* w r. 1422 i oboje mianował w testamencie swoim dziedzicami tronów czeskiego i węgierskiego, z dodatkiem, że gdyby synów nie mieli, a tylko jedną lub więcej córek, wolno będzie matce wybrać jedno z tych królestw i w dziedzictwo po kądzieli oddać (7).

(1) *Aschbach*, Geschichte Kaiser Sigmund' s. T. III str. 134.

(2) *Panowanie Jagiellończyków* wydanie *Onacewicza*, T. II. str. 269.

(3) *Miscellanea historica Regni Bohemiae* T. III str. 192. „Obit Ellzabeth A. 1505 expletis minimum 66 aetatis suae annis.”

(4) *Tables généalogiques des Maisons Souveraines du Nord et de l'Est de l'Europe*, publiées par *F. Schoell*. Paris, 1815. Pl. LXXII et LXXXI.

(5) *Dzieje korony polskiej* *Bernarda Wapowskiego*, tłumaczenie *Mikołaja Malinowskiego*. Wilno, T. III str. 154.

(6) *Aus den Denkwürdigkeiten der Helene Kottannerin*. Leipzig, 1846, str. 37.

(7) Testament cesarza *Zygmunta*, w *Pray Hist. Reg.* II, str. 241, cytowany w *Aschbach*: *Geschichte Kaiser Sigmund's*. T. III, str. 134.

Troje dzieci urodziła córka cesarza Zygmunta za życia ojca swego: syna *Jerzego*, który w niemowlęctwie umarł (1) i dwie córki: *Annę i Elżbietę* domniemane dwóch tronów dziedziczki, o które jeszcze w 1436 r. (a zatem gdy Elżbieta ledwie na świecie była) Władysław król polski dla siebie i brata swojego Kazimierza prosił (2). Niechęć ojca ich Albrechta i babki cesarzowej Barbary, (która przewidując blizką śmierć zgrzybiałego męża, na przekór córce i wnuczkom sama za młodziuchnego podówczas króla polskiego wydać się myślała), zamiarom tym na przeszkodzie stały.

W roku następnym umarł rzeczywiście cesarz Zygmunt (3). Albrecht i Elżbieta odziedziczyli po nim nietylko czeską i węgierską koronę, ale nawet przez obiór kurfirsztów i trzecią cesarską; a na zjeździe wrocławskim z posłami polskimi, (4) cesarz Albrecht czyniąc zadość naleganiom papieża Eugeniusza IV, który go chciał z Polakami pogodzić, obiecał pod tajemnicą *Wincentemu Kotowi* arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, rękę starszej córki Władysławowi królowi polskiemu, a młodszej wraz z królestwem czeskim, bratu jego Kazimierzowi; ale wkrótce na tymże samym zjeździe obietnicę swoją cofnął, i rozpoczęte układy zerwał (5). Niespełna w rok potem umarł cesarz Albrecht zostawując żonę brzemienną i dwie małe córeczki (6). Starsza Anna była już Wilhelmowi ks. saskiemu zaręczona; młodsza trzyletnia Elżbieta nasza, od roku znajdowała się przy rodzicach w Węgrzech. Ciekawy nowo odkryty pamiętnik piastunki jej, Heleny Kottanerowej, obejmuje najprzód przybycie cesarza do Węgier

(1) *Marquard Herrgott, Pinacotheca Principum Austriae. Monumentorum Domus Austriacae* T. III, Pars I, str. 82—84, cytuje sprzeczne zdania genealogistów co do starszeństwa córek Anny i Elżbiety, które niedawno odkryty Pamiętnik Heleny Kottanerowej teraz dopiero stanowią rozstrzyga. Niektórzy genealogiści jeszcze *drugiego* syna w niemowlęctwie zmarłego wzmiankują. (Ob. Koch. Pl. LXXXI. *Chmel Geschichte Friderich's IV.* T. I, str. 425.

(2) *Długosz*, wyd. lipskie ksiąg. XII pod r. 1436. *Kromer*, pod tymże rokiem. Ob. także *Wapowskiego, Dzieje korony polskiej*, tłumaczenie *Malinowskiego* T. II, str. 281. *Aschbach*, T. IV str. 392. Przez nieuwagę dziwną odnoszono jednak urodzenie Elżbiety do r. 1439.

(3) *Fessler Geschichte der Ungern*. IV str. 496, 503 i dalsze.

(4) 18 listopada 1438 r.

(5) *Długosz*, XII, pod r. 1439. *Fessler*, IV, str. 512.

(6) 27 października 1439 r.

z córeczką Elżbietą, zajście w ciążę królowej, myśl ciągłą o zapewnieniu sobie korony św. Stefana w Wyszehradzie trzymanej, śmierć cesarza Albrechta, obranie królem Władysława polskiego przez znakomite stronnictwo węgierskie, które nalegało na królową wdowę, aby na zamezcie z nim zezwoliła; upór królowej, narzecie urodzenie syna Pogrobowca, i ukoronowanie go wykradzioną przez też Helenę koroną św. Stefana.

Na kilka dni przed śmiercią cesarza Albrechta, gdy mu się polepszyło cokolwiek, przysłała mu mała księżniczka Elżbieta talizman, który na sobie samej nosiła (1). Zaraz po śmierci przybyła wdowa do Wyszehradu, dla obejrzenia uroczyscie przechowywaną na zamku tamecznym korony św. Stefana, gdyż o niej tylko, i o przyszłym dziecku swoim myślała, a nie o zamezcie z królem polskim Władysławem, na które zezwolić musiała za naleganiem panów węgierskich (2). Gdy wszystko przygotowanem było, wyjechała królowa wdowa z córeczką Elżbietą do Komorna, a Helenie Kottanerowej, piastunce małej Elżbiety, poruczyła niebezpieczne wykradzenie korony św. Stefana, z opieczętowaną skrzyni (na zamku wyszehradzkim leżącej), dając jej na to własny sygnet.

Udało się zręcznej kobiécie, nie bez wielkiego strachu i oddawania się pod opiekę Boską (jak to sama w najdrobniejszych szczegółach opisuje), przywieźć koronę św. Stefana, królowej, przed samem urodzeniem syna Pogrobowca, który 22 lutego 1440 roku na świat przyszedł (3). Na chrzcie jego była przytomną i mała królowa Elżbieta. Zdjęto jej (powiada w pamiętniku swoim piastunka) czarną sukienkę, w której nosiła żalobę po szlachetnym i drogim księciu, królu Albrechcie, a włożono złocistą szatę czerwonej barwy (4). Królewskiemu dziecku dano imię *Władysława*. Zaczęło się rozdzwajać stronnictwo panów

(1) Da schikcht im sein junge Fürstinn ain phaitel das gehort zu ir selbs leib. (*Aus der Denkwürdigkeiten der Helene Kottanerin*, str. 13).

(2) Tak więc Władysławowi rajono trzy pokolenia: wnuczkę *Annę*, matkę *Elżbietę*, i babkę *Barbarę* cesarzową.

(3) In der selben stuend als die heiligen kran von der *Plintenburg* (niemieckie nazwisko Wyszehradu), kam zu *Gomarn* (Komorn) in derselbigen stuend ward kunig Lassla geboren. (*Pamiętnik Heleny*, str. 27).

(4) Do man nu den edlen kung wolt tauffen do nam man der jungen kunginn frau Elyzabethen den swarczen rokch ab, darinn sie den hohen und den teurn fürsten kung Albrechten geklagt het und man legt Iren einen guldein gewant in rater varib. (*Pamiętnik Heleny*, str. 28).

węgierskich. Jedni przybywali do Komorna przysięgać wierność nowo narodzonemu, jak *Wawrzyniec Hedervara* wojewoda węgierski, który przy kolébce Władysława stojąc, powiedział: „Heleno Kottanerowo, strzeż dobrze tego króla węgierskiego i króla czeskiego i księcia rakuskiego i margrabiego morawskiego, bo wszystko to masz razem przy sobie” (1). Drudzy, stronnicy króla polskiego, wręcz powiadali królowej, jak *Matco Ban*, czy *Waydafy*, jeden z posłów do Polski: „Miłościwa Pani, gdybyś i dziesięcioletniego syna miała, nie wzięlibyśmy go za pana, jeśli by nie mógł nas od Turków obronić” (2). Postanowiła zatem królowa natychmiast koronować syna swojego koroną św. Stefana, i udała się na ten koniec do *Białogrodu Stołecznego* (*Stuhlweissenburg*), gdzie 15 maja 1440 roku w dzień Zielonych Świątek, arcybiskup ostrzyhomski (3) niespełna trzecziesięczne dziecko koronował. „W dzień Zielonych Świątek (powiada w pamiętniku swoim piastunka dzieci królewskich), wstałam rano i kąpałam szlachetnego króla, i ubrałam go jak mogłam najładniej. Wtedy zanieśli go do kościoła, w którym wszystkich królów koronują, i wiele tam było ludzi, duchownych i świeckich, jakieście już pierwój słyszeli; a gdyśmy do kościoła weszli, zanieśli młodego króla do chóru; ale drzwi od chóru zamknięte były. Mieszczanie byli w chórze, a moja miłościwa pani po téj stronie, ze swoim synem, szlachetnym królem. Moja miłościwa pani mówiła z nimi po węgiersku, a mieszczanie odpowiadali jój także po węgiersku, i Jój Miłość przysięgła w miejscu syna, szlachetnego króla; bo właśnie w ten sam dzień Jego Miłość równo dwanaście tygodni skończył. Jak skoro to dopełnioném zostało, wedle dawnego ich zwyczaju otworzyli drzwi i wpuścili przyrodzonego pana swego i panią, i innych, którzy do tego przeznaczeni byli, duchownych i świeckich; a młoda królowna panna *Elżbieta*, stała na górze przy organach, dlatego, aby Jój Miłości nie stało się co złego w tłumie, *gdyż miała dopiero czwarty roczek* (4).”

„Gdy miano zacząć obrzędy, musiałam młodego króla podnieść, aby Jego Miłość pomazali. Potém wojewoda *Miklosz Frysztacki* przeznaczony został do passowania młodego króla na rycerza, dlatego, że był obywatelem kraju tego, (*darums daz er*

(1) L. c. str. 30. (2) L. c. str. 31.

(3) *Dyonizy Szets*, arcybiskup w Ostryhomie (*Strigonium* czyli *Gran*). (4) 15 maja 1440 roku, musiała więc urodzić się w 1436 r.

ein rechter Landsman war). Szlachetny hrabia *Cyllijski* (1) miał miecz gęsto srebrem nabijany i złocony, a na nim wyryty był więrsz, który znaczył: *niezwyciężony (unverziegen)*, i ten miecz darował on młodemu królowi, aby nim passowany został na rycerza. Wtedy ja *Helena Kottanerowa* wzięłam króla na ręce, a *Frysztacki* wziął miecz w rękę i passował króla na rycerza, i tak mu dobrze uderzenie odmierzył, żem i po rękę poczuła. Uważała to szlachetna królowa, która przy mnie stała, i rzekła do *Frysztackiego*: *is temere nem miserten*, co po niemiecku znaczy: *w imię Boga, niech go nie zaboli!* A on odpowiedział: *nem*, co znaczy *nie*, i rozśmiał się. Wtedy przewielebny ksiądz arcybiskup ostrzyhomski wziął krzyżmo święte i pomazał szlachetne dziecko królewskie na króla; i włożono nań złotą suknię, jak na króla przystoi.”

„Arcybiskup wziął potem koronę świętą, i położył ją na głowę szlachetnego króla, który już jest w chrześcijaństwie świętym, król *Władysław*, syn króla *Albrechta*, wnuk cesarza *Zygmunta*.”

„A i to macie wiedziéć; że gdy mu arcybiskup koronę świętą na głowę włożył i trzymał, dziecko tak mocno trzymało główkę, jak gdyby rok już miało; a to rzadko się zdarza dwunastotygodniowym dzieciom. Gdy tak szlachetny król *Władysław* ukoronowany został na mojem ręku, przy ołtarzu św. *Stefana*, poniosłam go po wschodach na miejsce wywyższone, wedle tamecznego zwyczaju.”

„Tam odczytano *ustawę państwa (die ordnung's zedel)* a potrzeba, aby król siedział na złocistej oponie. Wzięłam zatem z kolébki kołderkę czerwoną ze złotem, gronostajami podbitą. Gdy tak siedział król na złocistej oponie, trzymał mu hrabia *Ulrych Cyllijski* koronę nad głową, podczas mszy śpiewanej. Ale szlachetnego małego króla niewiele bawiła koronacja, bo płakał tak głośno, że w całym kościele słyhać było, a gmin dziwował się, powiadając, że to nie głos dwunastotygodniowego dziecka, ale jakby roczniaka; co jednak nie było. A wojewoda *Mikłosz Frysztacki* passował na rycerzy w miejscu szlachetnego króla *Władysława*. Po skończonym obrzędzie, wyniosłam znowu szlachetnego króla, i włożyłam do kolébki, bo już zmęczony

(1) Stryjeczny brat królowej *Elżbiety*, jako bratanek jej matki cesarzowej *Barbary Cylliejskiej*, żony cesarza *Zygmunta*.

był tak długim trzymaniem. Wtedy zaniesiono go do kościoła św. Piotra, tam musiałam go znowu z kolébki podnieść i zanieść na krzesło i posadzić na niem, gdyż taki jest zwyczaj, aby każdy król koronowany na tém krzesle siedział. Potém znowu wyniosłam Jego Miłość; i włożyłam do kolébki, i poniesiono króla z kościoła św. Piotra do gospody, dokąd cała szlachta poszła za nami piechotą. Jeden tylko szlachetny hrabia *Cyllijski* jechał na koniu, dlatego że musiał świętą koronę trzymać nad głową szlachetnego króla, aby każdy widział, że to ta sama święta korona, którą świętego króla Stefana i innych królów węgierskich koronowano.

„A hrabia Bartłomiej (1) niósł jabłko, a jakiś książę *Lyndbach* (2) niósł berło; niesli téż przed małym królem krzyż jak przed legatem, dlatego, że żaden Węgier nie jest lennikiem św. państwa rzymskiego; niesli téż i miecz, którym passowano Jego Miłość na rycerza, i rozrzucano pieniądze pomiędzy pospólstwo. A szlachetna królowa, która syna swego tak wysoko postawiła, była tak zmęczona, że ja biedna kobieta musiałam iść tuż przy szlachetnym królu, i dlatego Jego Miłość na mym ręku podczas św. namaszczenia i koronacyi trzymałam” (3).

Taki był spółzawodnik króla polskiego Władysława Jagiełłończyka, a ten już obrany królem węgierskim, doszedł do Budy, stolicy państwa, gdzie nie śmiał stawić mu czoła Ulrych hrabia Cyllijski; a gdy królowi polskiemu doniesiono o tém, rzekł: „A przecież nie po tom przyszedł, aby się spierać, ale dlatego, aby tańcować, i być dobrej myśli; a gdyby to nie moja rzecz była, to pewnie księcia Albrechta (4)! Byłato przymówka do księcia Albrechta rakuskiego, 22letniego młodzieńca, ze zbyt rozkosznego życia sławnego, który przybył więcej dla towarzystwa, niż w pomoc krewnej swojej królowej Elżbiecie. Dnia 17 lipca t. r. w Białogrodzie koronował Władysława polskiego tenże sam arcy-

(1) Kroacki. *Grav Bartholome von Grabaten*.

(2) *Tomasz Szets*, brat arcybiskupa ostryhomskiego.

(3) *Aus den Denkwürdigkeiten der Helene Kottannerin 1439—1440*. Leipzig, 1846. str. 35—39. Porównać obrzęd koronacyi Władysława Warneńczyka w *Długoszu* ks. XII, str. 472.

(4) „Ich bin doch darumb nicht auskomen, daz ich rechten wolt. „Ich bin darumb auskomen daz ich tanczen wolt und frolich sein, wann wër es mein dingk nicht, so wer es aber herczog Albrechts.” *Pamiętnik Heleny*, str. 41.

biskup ostryhomski, który przed dwoma miesiącami koronę św. Stefana na główkę dziecięcia włożył. A że tę koronę uwiozła była królowa wdowa, zaszytą w poduszki w kolebce syna, zastąpiono ją inną wydobytą z grobu św. Stefana.

Przed zwyciężającym Władysławem polskim, musiała ustąpić Elżbieta, i wraz z dziećmi schroniła się do Wiednia, do cesarza Fryderyka IIIgo (syna księżniczki mazowieckiej Cymbarki), stryjecznego brata Władysława Pogrobowca, któremu opiekę dziecięcia i koronę św. Stefana w zastaw oddała. Sama jednak powtórnie rozpoczęła wojnę domową w Węgrzech, w obronie praw, które w papieżu Eugeniuszu IVtym gorliwego obrońcę znalazły. Kardynał legat *Julian Cesarini*, ten sam, na którym ciąży niedotrzymanie przysięgi i zgon Władysława pod Warną, zbliżył królową Elżbietę z królem Władysławem, i pracował nad zawarciem pomiędzy nimi pokoju i zameżcia starszej córki jej *Anny*, z Władysławem; a młodszą Elżbietę, zbratem jego Kazimierzem. Nagła śmierć królowej, przygotowane układy zerwała (1).

Tak więc po raz trzeci swatano napróżno przyszłych małżonków (2).

We dwa lata później pojął Władysław Jagiellończyk pod Warną; a młody Władysław Pogrobowiec, tytularny król węgierski i czeski, wraz z siostrami zostawał pod opieką, a raczej w niewoli u krewnego Fryderyka IIIgo w Wiedniu.

Anna wyszła r. 1446 za Wilhelma księcia saskiego, który się o nią starał od r. 1439.

Elżbieta zaręczoną została drugiemu księciu saskiemu Fryderykowi, który umarł r. 1451 (3). Napróżno panowie węgierscy i czescy domagali się u Fryderyka, ażeby im młodego Władysława oddał; cesarz wyjechał do Rzymu na koronację, i dwunastoletniego króla z sobą zabrał. Wtenczas i Wiedeńczycy przyłączyli się do Węgrów i Czechów, a na ich czele stanął *Ulrych von Eutzing*, który za cesarza Albrechta wszystkiém rządził, i na administracyi dochodów skarbowych dorobił się był wielkiego majątku. Prałaci, szlachta, posłowie miast tłumnie przybywali do Wiednia; w kościele Karmelitańskim naznaczono

(1) Królowa Elżbieta umarła 19 grudnia 1442 roku.

(2) *Wapowski*, II str. 410. *Fessler* IV, str. 564.

(3) *Marquard Herrgott*, t. III, pars. I, str. 82 cytuje intercyzę ślubną z roku 1440, mocą której kurfiurst saski Fryderyk żądał, aby oblubienica przywieziona była do Norymbergi lub Egry.

im miejsce do zebrania się. Spółczesny *Eneas Sylviusz*, jeden z doradców i towarzyszków podróży rzymskiej cesarza Fryderyka (a późniejszy *papież Pius II*) opisuje malowniczo, jak na ambone, z której niedawno Jan Kapistran wymownie kazał, wstąpił *Ulrych von Eutzing*, trzymając za rękę „Elżbietę siostrę Władysława, pannę już dojrzałą, która została się była w pałacu wiedeńskim,” i jak w długiej przygotowanej mowie narzekając na jedénastoletnie uciemżenie, na chciwość i skąpstwo Fryderyka: „tę najzacniejszą pannę, już pełne lata do małżeństwa mającą, patrzajcie proszę w jaki sposób pielęgnuje (1)! Jakaż mieszczka, nie powiem tój stolicy, ale najpospolitszego miasteczka, nie wyszłaby lepiej odziana na rynek? Podarte szaty nosi, podarte obuwie, ledwie jój na życie starczy!” Kończył mowę swoją *Eutzing* wywołaniem zbrojnego oporu Fryderykowi „a siostra królewska rżęsiste łzy wylewała wzywając pomocy dla siebie opuszczonej, i dla brata więźnia, i żalonym płaczem, bardziej niż mową, rozczulała serca przytomnych i do litości pobudzała” (2). *Eutzing* obwołany został wielkorządzą. Wyprawiono poselstwo do cesarza do Włoch, ale dopiero za powrotem jego, w połowie 1452 r., gdy cały kraj rakuski wziął się do broni, cesarz dał się skłonić do układów, i 4 września t. r. oddał młodego króla Ulrychowi hrabiemu Cyllijskiemu. „Siostra w objęciach brata cieszyła się widząc go niespodziewanego, z powrotem, i z nim razem do zamku wróciła” (3).

Tam przybyli tóż pod koniec roku i posłowie Kazimierza króla polskiego: *Mikołaj Szarłej* wojewoda brzeski, i *Dzierśław z Rytwian* starosta sandomierski, wyprawieni w dziewosłęby o Elżbietę. Po raz czwarty lepszy miał być skutek tych zamiarów. Z wdzięczną odpowiedzią powrócili do Kazimierza do Grodna, wraz z posłami od króla Władysława i hrabiego Ulrycha, którym poruczono (pisze Wapowski), wiek, postać i obyczaje oblubieńca poznać, i o jego postanowieniu donieść (4).

W następnym roku 1453 dopiero, na zjeździe wrocławskim, świetny zbiór posłów obu rodzin królewskich, układy przedślu-

(1) Elżbieta urodzona r. 1436, miała podówczas lat 15.

(2) *Aeneae Sylvi, Historia Friderici III Imp.* Helmstädti 1700, str. 98—102.

(3) *Aeneas Sylvius*, str. 219—220.

(4) Tom III, str. 155.

hne zawarł. Posagu przyrzeczono 100,000 zł. węg. zaliczyć za trzy lata pod karą *alterum tantum*, w razie uchybienia. Kazimierz zaś zobowiązał się trzy zamki dać na opravę, i 5,000 złotych dochodu rocznego z zup bocheńskich i wielickich, i uiścić się z tego, lubo posagu nie otrzymał nigdy (1).

Małżeństwo tyle razy odkładane miało dojść dopiero w 1454 roku, pamiętnym poddaniem się miast pruskich królowi polskiemu. *Długosz* spółczesny i obecny tej uroczystości, zostawił nam szczegółowy opis (2), którego treść tylko naiwnemi słowami *Bielskiego* tu podamy:

„Dziewiątego lutego była mu przyniesiona Elżbieta poślubiona małżonka, córka Albrychta cesarza, z wielkim dostatkim i ochędóztwem; przeciw której i z królową Zofią matką swą wyjechał przed miasto, z wielkością ludzi, książąt, panów i rycerstwa; a przedtém 2000 koni aż do Cieszyna przeciw niej wysłał. Ale iż był wtenczas dęszcz od rana do wieczora, przeto pomokły na drugich złotogłowy, aksamity, zkąd niemałą szkodę wzięli; szacowano ubiór na królu samym na 40,000 zł. (3). Nazajutrz był spór między arcybiskupem gnieźnieńskim (4) a Zbyszkiem kardynałem (5), który z nich miał ślub dawać. A gdy się około tego zgodzić nie mogli, spuścili to Janowi Kapistranowi, mnichowi Bér-

(1) We dwa lata potem umarł król Władysław, brat Elżbiety, Kazimierz rościł nawet prawo do korony jego jako szwagier, ale gdy Jerzy Podiebradzki uprzedził go, i utrzymał się w Czechach, Kazimierz zawarł z nim 27 maja 1462 r. ugodę, mocą której obiecywał za życia jego nie dopominać się o część posagu żony na królestwie czeskim ciążącój (Dogiel I, str. 14); a po śmierci Jerzego, syn Kazimierza, Władysław, obrany królem czeskim, praw matczynych sam jeden z rodzeństwa stał się dziedzicem.

(2) *Długosz*, ks. XIII, str. 122—123.

(3) O bogactwie strojów Kazimierza Jagiellończyka i jego dworu mamy jeszcze kilka innych śladów: Jakób z Dębna kanclerz polski roku 1469 obstałował dla króla Kazimierza tkaniny jedwabne, złotem przerabiane we Florency; o czém świadczy list oryginalny pargaminowy tegoż kanclerza do Wawrzyńca Medyceusza (w archiwum Medyceuszów we Florency zachowany), którego kopią autentyczną posiadam. Ob. moję *Wiad. bibliogr.* str. 144. A Elżbieta miała suknię atlasową perłami wysadzaną (*Vestem ex athlassio et margaritis*), którą Kazimierz rajcom krakowskim za 2,000 zł. węg. w zastaw oddał, a królowa wykupiła w 1487 roku dochodami swojemi z zup krakowskich (*Metr. kor.* ks. XIV, str. 223; druk w *Bibl. Warsz.* na rok 1841. T. I, str. 348).

(4) Jan ze Sprowy.

(5) Zbigniew Oleśnicki biskup krakowski.

nardynowi; a wszakże gdy mnich po polsku nie umiał, zgodzili się biskupi, tym sposobem: żeby Zbizek kardynał ślub im dawał, a arcybiskup królowę koronował. Potém szli wszyscy z kościoła na zamek, gdzie byli sobą dobrój myśli; przez kilka dni były rozmaite gry, tańce i gonitwy sprawowane" (1).

W matce królewskiej, Zofii, znajdowała Elżbieta wzór wszystkich cnót, któremi sama, wśród licznej rodziny swojej, przez długie lata jaśnieć miała. Namiętnie kochana od męża, którego téż równą miłością kochała, najszcześniejszą była w małżeństwie, od tak dawna i po tylekroć odkładaném (2).

Trzynaścioro dzieci na świat wydała: sześciu synów i siedm córek, które Bielski tak wylicza: „*Władysława* króla węgierskiego i czeskiego (ur. 1456), *Kazimierza* który młodo umarł, (ur. 1458), *Jana Olbrachta* króla polskiego (ur. 1460), *Alexandra* wielkiego księcia litewskiego, króla także polskiego (ur. 1461), *Zygmunta* księcia głogowskiego i króla polskiego (ur. 1467), *Fryderyka* kardynała (ur. 1468); nuż te córki: *Jadwigę* księżnę bawarską (ur. 1457), *Zofią* margrabinę brandeburską (ur. 1464) i dwie *Elżbiety*, które pannami pomarły (ur. 1465 i 1472 r.), nuż *Annę* księżnę pomorską (ur. 1473), *Barbarę* księżnę saską (ur. 1478) i *Elżbietę* księżnę legnicką“ (ur. 1480 r.) (3).

Zajęta wychowaniem tak licznej rodziny, i ozdobieniem kościołów pracą rąk własnych (4), Elżbieta nie mieszała się często

(1) *Bielskiego kronika* (wydanie Gałęzowskiego) t. XV, str. 43. Ob. także *Wapowskiego*: *Dzieje korony polskiej*, w tłumaczeniu *Malinowskiego* t. III, str. 194.

(2) *Coniugis suae reginae Elizabeth fervidus amator, et ab ea reciprocis adamatus amoribus, ut felix coniugium inter eos ore omnium diceretur* (*Miechowita* str. 327). A jednak w lat kilka tylko po ożenieniu swoim, bo w roku 1461, gdy Kazimierz podczas wojny pruskiej ujrzał w obozie swolm *Zofią* żonę Eryka ks. szczecińskiego, która przyszła go przebłagać za zdradę męża swego, sprzymierzeńca Krzyżaków, i uczyniła rzecz w polskim języku, której się wszyscy dziwowali, tak bardzo podobała się królowi, iż rzekł: „Żal mi tego żem tój białogłowy nie pojął, mając to po swój mocy; po której Eryk król duński, jej dziad, dawał mi dobry posag, a Szczecin był jej własny.” A po Elżbiecie nic nie wziął król z Rakus, dodaje *Bielski*, t. XV, str. 106.

(3) *Bielski*. XVI, str. 32. Daty wzięto z *Długosza*.

(4) *Miechowita* str. 376 i 377. Wymurowała kaplicę Śgo-Krzyża przy katedrze krakowskiej. Najwięcej pamiątek po niej zachowuje się w skarbcu krakowskim; ale kościół XX. Bernardynów w Wilnie zachował także po niej bogate ornaty, (odmalowane w piękném Album wileńskiem p. Wilezyńskiego).

do spraw publicznych (1). Nie widzimy jój nawet dopominającej się usilnie o prawa swoje do successyi brata, tego *Władysława Pogrobowca*, przy koronacyi którego w dzieciństwie obecną była (2).

W dwóch okolicznościach tylko okazała upór nieprzełamany: gdy dwie córki jój, jedną *Jadwigę* ojciec Kazimiérz (1472 r.) za Macieja Korwina, a drugą, *Elżbietę*, brat *Alexander* (1505 r.) za Bohdana wojewodę wołoskiego chcieli wydać, przeciw ich własnej i matczyniej woli.

O królowę Jadwigę starał się usilnie *Maciej Korwin* król węgierski, kładąc to za warunek pokoju, tak z *Kazimierzem*, jak i synem jego najstarszym, obranym na królestwo czeskie. Papiész także *Syxtus IV*, który chciał obu królów pogodzić, i przeciw Turkom uzbroić, w instrukcyi daniej legatowi zwojemu kardynałowi S. Marka, pisał: „Inny środek byłby przez jakie małżeństwo pokój i zgodę skojarzyć, tak aby król węgierski pojął za żonę jedną z córek króla polskiego, zachowując tytuł królewski; dożywociem, jeśli być może, niechby dano królowi węgierskiemu Morawy i Szlązk w posagu, a po jego śmierci (za pewną kwotę pieniędzy daną wdowie lub dzieciom), te kraje powróciłyby do króla czeskiego (3).”

Kazimiérz byłby może zezwolił na to małżeństwo, ale w Elżbiecie odezwała się krew dawnych cesarzów i królów węgierskich, których Maciej Korwin był niegdyś poddanym, dziś nieprawym w jój oczach następcą; „i na to słowa nie dała rzec, mówiąc” (że powtórzę tu energiczne wyrażenie Bielskiego) iż: „*Matyasz, chłop, kurczek, Wołoszyn, pies, niegodzien jój*” (4). Wydano królowę w małżeństwo Jerzemu księciu bawarskiemu. „Był i cesarz Fryderyk na tém weselu. Po tym źle bardzo mieszkało to księżę z tą Jadwigą, acz była dosyć nadobna; bo się nierządem bawił; daleko ją tedy lepiej było dać Matyaszowi, któ-

(1) Jeden tylko statut Alexandra, o przypuszczaniu samej szlachty do wyższych urzędów kościelnych, *ad vota Ser. D. Elisabeth D. G. Reginae Poloniae Genitricis nostrae. Volum. Leg. t. I, str. 302.*

(2) Umarł Władysław Pogrobowiec 23 listopada 1457 r.

(3) Instrukcyja Syxtusa IV kardynałowi św. Marka legatowi do Polski, roku 1472 (w bibl. watyk. Mss: *Urb.* 864; Mss. *Ottob.* 2726) i w moim zbiorze.

(4) *Bielski* t. XV str. 224.

ry dowiedziawszy się tego frasował się bardzo, i rzekł ku Pólakom sługom swym, że tego Kazimiérz będzie żałował" (1).

Podobniez gdy o ostatnią jój córkę Elżbietę Bohdan wojewoda wołoski posłów wyprawił do króla Alexandra 1505 r. „*Królowa stara* (pisze Bielski) *na to słowa nie dała rzec, że był inszój wiary*” a przytém jednooki i grubych obyczajów (2). Miała przytém na oczach przykład królowej Heleny żony Alexandra (3). Chcąc zaś zapewnić los córki, gdyby w stanie panińskim pozostać miała, pod dniem 8 kwietnia 1505 r. zapisała jój do czasu życia lub za mąż pójsicia *Korczyn, Wisłicę, Żarnowice, Łęczycę, Przedecz i Kłodawę*, na których jój mąż Kazimiérz oparł był oprawę 40,000 zł. węg. urojonego posagu małżonki. Dodała do tego cło w *Radziejowie* i *Słońsku* (4). A jeszcze r. 1504 król Alexander z zezwolenia matki oddał był téjże siostrze zamki, ziemię *Łęczycką, Radomską* i *Przedecką*, oraz wieś *Zielonki* w ziemi krakowskiej, i *kamienicę w zamku krakowskim przez poprzednika swego i brata Jana Olbrachta dla matki wymurowaną* (5), a to na prośbę matki wiekiem obciążonej, i lękającej się aby córka jój, opieki macierzyńskiej pozbawiona, nie doznała niedostatku i ubóstwa (6).

Po śmierci króla Kazimierza (7 czerwca 1492 r.) w Grodnie, gdy stronnictwa dzieliły się nietylko pomiędzy synów jego, ale

(1) *Btelski*, t. XV, str. 229. *Długosz*, ks. XIII str. 524.

(2) *Bielski*, t. XVI, str. 82.

(3) *Kromer* (wydanie *kolońskie*, str. 454). Po śmierci królowej, Bohdan przerwał wojenne kroki drugiem poselstwem o rękę jój córki królowej Elżbiety. Już nawet intercyza spisana była 16 lutego 1506 roku (drukowana w *Wiszniewskiego Pomnikach* t. IV, str. 109), ale nie doszła do skutku, i Bohdan musiał później tę intercyzę królowi Zygmuntovi oddać. (*Kromer* str. 455). Królowna Elżbieta roku 1515 dopiero wyszła za księcia legnickiego. (*Bielski*, t. XVI, str. 169).

(4) Dyplomát oryginalny Elżbiety na pergaminie z jój pieczęcią dobrze zachowaną. D. Cracovie feria quarta post festum SS. Thiburecii et Valeriani A. D. 1505.

(5) O téj kamientcy wspomina *Mlechowita* (str. 376), że z miłości synowskiej i dla wygody matki Jan Olbracht wymurował dla niéj kamientcę, naprzeciw południowego przedsiönka katedry krakowskiej, obok domu wikaryuszów katedralnych.

(6) Dyplomát oryginalny Alexandra na pergaminie, z podpisem jego i Macieja Drzewickiego, i pięknie zachowaną pieczęcią. Ob. Dodatek przy końcu niniejszego artykułu, i podobiznę nr. 2.

nawet Janusz książę mazowiecki nadzieję do tronu Piastów rościł; królowa Elżbieta, 1,600 jeźdźców wyłowiczonych w wojnie węgierskiej synowi kardynałowi Fryderykowi posłała, i tym posiłkiem najwięcej przyczyniła się do obioru starszego syna Jana Olbrachta, którego nad wszystkich miłowała (1).

Po śmierci tego syna znowu, 17 czerwca 1501 w Toruniu, żałobna matka, wraz z najmłodszym synem Zygmuntem postawiła mu pomnik marmurowy w katedrze krakowskiej (2), i wnet zwróciła bacność na niezgody braterskie, zagrażające już wojną domową. Jedni bowiem za Władysławem królem węgierskim i czeskim, drudzy za Zygmuntem najmłodszym obstawali, a Alexander wielki ks. litewski, „brał się już z wojskiem chcąc dochodzić prawa swego mocą: jednak go matka królowa Helzbieta hamowała” (3). Usłuchał rozkazów matki Alexander, bo już 4 sierpnia 1501 r. pisał do niego brat kardynał Fryderyk: „List twój czytałem i matce. Cieszymy się oboje, że nie siłą i orężem, jak głoszono, lecz przyzwoitemi sposoby, chcesz otrzymać koronę” (4). A w kilka dni później (w połowie sierpnia), pisał Alexander do brata Fryderyka: „Racz Przewielebność Wasza zagniewany umysł J. K. Miłości uśmierzyć i złagodzić, obiecując w imieniu naszém, że wedle zwyczaju naszego, wedle woli i rozkazanía Jój Król. Miłości postanowiliśmy postąpić: a wraz z małżonką naszą, która powolne służby swoje Jój Król. Miłości zaleca; i pragnie jak ostatnia sługa Jój Król. Miłości służyć, i cokolwiek Jój Miłość rozkaże, wszystko rada chętnie uczynić. Niech nie sądzi Jój Miłość, iż obyczaj i umysł ma taki, jaki w niej widziała, i może Jój się niepodobały (5). Już przywykła do innego

(1) *Miechowita*, str. 347. *Kromer*, str. 438.

(2) *Kromer*, str. 448. *Sarnicki* przy Długoszu wyd. lpsk. t. II, str. 1190.

(3) *Bielski*, t. XVI, str. 66, wedle *Miechowity* str. 362.

(4) Z *Mss. arch. Stanisława Augusta*, cytowanych przez *Golebiowskię*: *Dzieje Polski za Jagiellonów*, III, str. 453.

(5) Zapewne podczas odwiedzin królowej Elżbiety, o których *Strykowski* pod r. 1495, zaraz po ożenieniu *Alexandra* z *Helena*, wspomina: „Tegoż lata po Wielkanocy, matka kniazia *Alexandra* Elżbieta z synem Fryderykiem, który był kardynałem, i z dwiema córkami *Barbara* i *Elżbieta*, przyjechali do *Alexandra* do Wilna, który z wielką radością matkę, brata i siostry przyjął; gdzie czas niemały w Wilnie mieszkali, a potem z wielką czcią i z wielkimi dary odpuścił ich do Polski. (*Wydanie pierwotne* str. 670. Ob. także *Kojałowicza Hist. Lithuan.*, pars. II, str. 270).

obyczaju i umysł zmieniła tak, że się nie mogą niepodobać Jój Miłości; a coby jeszcze niepodobać się miało, i to wszystko według woli i rozkazu Jój Miłości się odmieni; tak iż my, i małżonka nasza, jak we wszystkiém Jój Miłości służyć i posłusznemi być powinniśmy, tak téż chcemy i obiecujemy" (1). Tak więc po raz drugi wybawiła Elżbieta Polskę i Litwę od wojny domowej! Do tego zapewne odnoszą się czułe wyrazy Alexandra już króla polskiego, w przywiedzionym wyżej dyplomie z r. 1504, na rzecz siostry Elżbiety.

„Gdy zaś Najjaśniejszej Pani i Rodzicielki Naszej sprawiedliwym i godziwym prósbom nie uczynić zadość, byłoby bezbożném; jako Nam i całemu królestwu w sprawach publicznych i domowych, jako téż powszechnie wszystkim mieszkańcom tego królestwa każdego stanu i położenia, wielorakim sposobem zasłużonej; słuszenie obowiązani jesteśmy Jój Miłości okazać upodobanie i powolność" (2).

Nakoniec gdy umarła królowa Elżbieta 30 sierpnia 1505 r., mając lat 69 życia, żal prawdziwy i szacunek powszechny towarzyszył złożeniu jój zwłok do grobowca (po lewej stronie kaplicy św. Krzyża w katedrze krakowskiej), który sobie sama za życia przygotowała (3). Uwielbiając jój szczęście macierzyńskie, i jój pobożne czyny, społeczny kronikarz, lekarz nadworny, Maciej z Miechowa wykrzykuje: „A że pobożność do wszystkiego służy, posłużyła jój i posłuży do otrzymania łaski Bożej na wieki wieków" (4).

Taką była Elżbieta rakuska, wdowa Kazimierza Jagiellończyka, której przypisują pomysł i napisanie niniejszego rękopisu:

(1) Z *Mss. bibl. Radziwiłłowskiej w Nieświeżu*, cytowanych przez *Gołębiewskiego*, t. III, str. 453.

(2) *Dyplomaty oryginalny króla Alexandra*, drukowany niżej.

(3) *Miechowita*, str. 376. *Kromer*, str. 454.

(4) *Miechowita*, str. 377. *Balbin* nie może się także wydziwić szczęściu i chwale królowej Elżbiety, tylu królów córki i matki. Ażeby nie do szczęścia jój niedostawało, i św. Kazimierza synem miała. „*Miscell.*, t. III, lib. VII, Sect. II, str. 198. *Kochowski* poświęcił jój wiele szumnych pochwał wierszami w swoich *Hypomnematach*, str. 100—106; a *Turtay* jeszcze więcej i gorszych w *Corona Australis in Polo Polonico*, str. 75—77.

*Elżbieta królowa polska Władysławowi królowi węgierskiemu
i czeskiemu pozdrowienie.*

■ O wychowaniu królewskiego dziecka (1).

„Słyszę synu najukochańszy, (co po trzykroć szczęśliwem niech będzie) że *Anna*, małżonka twoja (2) w rychle urodzi ci małego *Kazimierza* (3). Żem z téj nowiny niezmiernéj radości i pociechy doznała, i to ci za świadectwo niech służy, iż niepodobna mi było powstrzymać się od napisania do ciebie i do *Anny* twojéj niektórych nauk, które mi się widzą do dobrego wychowania dziecka naszego stosowne. Jakąż bowiem pożądają i wdzięczniejszą łaskę wyświadczyć nam może Bóg Nieśmiertelny, jak żebyś synaczka dostał, któryby cię w podeszłym wieku od kłopotów uwolnił, *Annę* najpewniejszą otuchą pokrzepił, a moję starość pocieszył, wabiąc nas wszystkich poniekąd nadzieją nieśmiertelności“.....

Taki jest wstęp nauki o *wychowaniu królewskiego dziecka*. Dla wzbudzenia silniejszój wiary w nieomylność swoję, nie zapomina królowa wyliczać praw, na jakich powagę doświadczenia swojego opiera.

„Naukę wychowania królewskiego, ani w wiekach przeszłych, ani za czasów naszych, ani w przyszłych zda mi się wiekach nikt lepiej piastowaćby nie mógł odemnie; com króla najlepszego i najzaciejszego żoną i córką, a także wnuczką i siostrą (4), a trzech królów i kardynała Ś. rzymskiego kościoła, matką; sześciu synów nareszcie i tyleż porodziłam, wyhodowałam i wychowa-

(1) W cudzysłowach zamknięte będą wyjątki tłumaczone z tekstu łacińskiego rękopisu, które będziemy się starali opowiadaniem miejsc opuszczonych w jedną całość powiązać.

(2) Anna de Foix, hrabianka d' Angoulême, w tymże 1502 roku zaślubiona.

(3) Powiedzieliśmy wyżej, że zamiast syna urodziła się córka *Anna*, przyszła matka dwóch żon Zygmunta Augusta.

(4) Elżbieta była wnuczką cesarza Zygmunta, córką cesarza Albrechta IIgo, żoną Kazimierza króla polskiego, siostrą Władysława Pogrobowca króla czeskiego i węgierskiego, matką podówczas trzech królów: Władysława Jagiellończyka króla czeskiego i węgierskiego, Jana Olbrachta i Aleksandra królów polskich (po jéj śmierci dopiero został królem i Zygmunt, najmłodszy z braci), i kardynała Fryderyka.

wałam córek, z któremi z osobliwém wszystkich podziwieniem i radością, widziano mnie często u jednego stołu siedzącą (1). A co do szczęścia mojego najwięcej należy, blisko ośmdziesiątego roku życia dobiegając, zmysły do dnia dzisiejszego w całości i siłę zachowuję, i na całym świecie szczęśliwą mnie zowią, mianują, okrzykują (2). Dlatego synu mój najukochańszy, abyś wiedział, że imię moje dowcipem ludzi uczonych już wstawione zostało, pewien poeta włoski, nie bez szczególnej przychylności affektu, o szczęściu naszym, niezgorszy wiersz ułożył, który dać ci poznać, mnie i ciebie niepomaleu obchodzi:

Neptis, nata, soror regis, coniux que fuisti
 Regum fausta parens, Helisabetha trium.
 Sex spectas fecunda mares, totidemque puellas,
 Una saepe tuo discubueres toro.
 Nulla tuos unquam turbarent nubila vultus;
 Prospera felici sydera cuncta fluunt;
 Te decus et splendor vitam comitantur in omnem.
 Nec caret haec aetas festa nitore suo.
 Sunt hylares oculi, frons, os, naresque, geneque,
 Respondent formae singula quoque tue.
 Non capit has laudes, non tot mortalis honores,
 De superis aliquam te decet esse Deam! (3).

Co znaczy po polsku: *Wnuczką, córką, siostrą, żoną królów byłeś; i szczęśliwą trzech królów, o Elżbieto, matką: sześciu synów i sześć córek widzisz często razem na twojem spoczywającym łóżu. Nigdy chmury nie zaciemniły twego oblicza; pomyślnie pod gwiazdą szczęśliwą wszystko ci płynie; cześć i świetność towarzyszą ci w życiu całym. I wiek ten wroczysty ma piękność swoją: oczy są wesole, czoło, usta, nozdrze, lica; wszystko z osobna odpowiada twój postaci. Nie dostępuje nikt*

(1) Córek urodziła Elżbieta siedm, wyliczonych wyżej. Rzecz dziwna i prawie niepodobna, aby dla figury retorycznej matka miała o jednym z dzieci swoich przypomnieć.

(2) Dowiedliśmy wyżej ze społecznego pamiętnika plastunki Elżbiety, *Heleny Kottanerowej*, iż Elżbieta rodziła się w 1436 roku, w 1502 miała zatem lat 66, a nie 80; druga pomyłka, której, zdaje się, nie mogłaby się sama królowa dopuścić.

(3) Wiersze te, zdaje się, będą Kallimacha; gdyż wielkie podobieństwo mają z innemi tegoż autora, po różnych Mss. bibliotek rzymskich i florenckich. Niektóre z nich mam przepisane w moim zbiorze.

ze śmiertelnych takiej sławy, tylu zaszczytów: musisz być chyba z niebianek którą!

„Widzisz więc, synu najmilszy, szczęście matczyne już w pomnikach naukowych wstawione.“

Przystępując do samej nauki, radzi najprzód Elżbieta, aby matka sama dziecko swoje karmiła: „Ale gdyby, (co często się zdarza) Anna sama nie mogła dziecku pokarmu dostarczyć“ to wybrać mamkę wolną, dobrych obyczajów, i jeśli być może ze szlachetnych rodziców zrodzoną. Syna przedewszystkiém trzeba religijnie wychować.

„Kazimiérz, ojciec twój, wszystkich królów spóczesnych gorliwością w wierze przeszedł. A Kazimierza brata twój, gdy był religii osobliwym wyznawcą, po śmierci potomstwo do rzędu świętych zaliczyło“ (1).

Wszystkie cnoty wpajać w dziecko, a od występków ochraniać je, radzi przezorna królowa; i tę radę mnogimi przykładami z dziejów starożytnych objaśnia. Wychowanie dziecka powinno być na ćwiczeniu w naukach klassycznych zasadzone:

„Kazimiérz, ojciec twój, wieszował sobie, i za szczęście poczytywał, iż miał przy sobie Kallimacha, poetę włoskiego, który ciebie i innych braci twoich łacińskiej literatury wyuczył.“

Jednakże chłopiec powinien się téż do sztuki wojennój i do myślistwa sposobić, a do skromności w jedzeniu przyzwyczajając się. „Kazimiérz, ojciec twój, chwalił obyczaj Włochów, którzy trzy lub najwięcej cztery rodzaje potraw jadać zwykli, a do wina wodę dolewać; i tego umiarkowania w sposobie życia nie przypisywał skąpstwu, jak wielu rozumie, ale wstrzemięźliwości, téj najpiękniejszej cnocie i staraniu o zdrowie.“

Umiarkowanie powinno przewodniczyć we wszystkich czynnościach: „Fryderyk brat twój, kardynał stolicy świętej apostołskiej, często w miejscu przysłowia powiada: *že trudniěj o dobrogo księcia, jak o uczonego.*“

Prawda powinna być dla niego prawidłem: „Kazimiérz, brat twój, powiadał, że po Bogu prawdzie służyć należy, a płoche-

(1) Królówicz Kazimiérz umarł 4 marca 1483 r. na suchoty, i w poczet świętych, u których cudami jaśnieje, pomieszczony, jak pisze spóczesny *Miechowita*: „Plisi suffocatus Interiit, sed inter sanctos ubi prodigils coruscet relatus“ (str. 366). Szczegóły obyczajowe z życia domowego całej rodziny Jagiellońskiej, jeżeli z pod pióra matki wyszły, podwójną wartość mają, ale w każdym razie są zupełnie nowe i nieznanne.

go króla do przetaka przyrównywał, w którym nie utrzymać się nie może.“

Niech unika lubieżności i złych doradców, niech zachowa umiarkowanie we wszystkiém: „Kazimierz, ojciec twój, gdy los życzeniom jego sprzyjał, tyle tylko się cieszył, iż Bogu Najwyższemu dzięki nieśmiertelne składał: takie było u niego umiarkowanie umysłu, i spokojność duszy! Żartem nazywał los *probierzem cnoty* (*virtutis exploratorem*).“

Roztropnym niech będzie, ale i wesołym. „Często w przytomności mojej Kallimach opowiadał o kardynale jakimś, który w nocy zabity został przez łożniczego swojego, dlatego jedynie, że nigdy na niego wesołym okiem nie spojrział.“

„Jan Olbracht król polski, którego dusza w roku zeszłym spoczęła w Jezusie Chrystusie (1), tak trafnie z powagą umiał ludzkość połączyć, iż niemniej go wszyscy szanowali jak podziwiali. Wiem zaś, że i ty z pomiędzy wszystkich królów powagą i układem dwornym celujesz. Zygmunta brata twego, któżby surowym a raczej ponurym, z brwi i twarzy nie osądził? A jednak ile jest dla wszystkich lubym i uprzejmym, w codzienném obejściu przyjemnym i łaskawym, nikomu nie tajno; i dla téj jednéj cnoty dziwnie jest miły i kochany.“

Daléj zaleca hojność (cnotę wprowadzie w rodzinie Jagiellońskiej dziedziecną).

„Kazimierz, ojciec twój, gdy po raz piérwszy wdział suknią na siebie, wkrótce ją któremu z domowników darował. Za przykładem jego poszedł brat twój Olbracht, i dla nieproszących nawet szczodrym się okazywał. Niemniejszej szczodroblowości blaskiem jaśnieje pewnie Alexander, także brat twój, a król polski niezwyciężony, który niedawno pewnemu młodzieńcowi za dwadzieścia cztery wierszyków na pochwałę jego ogłoszonych, tyleż sztuk złota i konia pięknego darował.“

Hojność zwłaszcza dla uczonych zaleca: „Kazimierza brata twojego dobroczynność wieki najdalsze pamiętać będą.... Gdyby Kazimierz i Olbracht nie obchodzili się z Kallimachem szczodrobliwie i łaskawie, żadna pamiątka po nich, ile mi się zdaje, do

(1) Jan Olbracht król polski umarł w Toruniu 17 czerwca 1501 r., a wstęp dziełko niniejsze pisane było pod koniec roku 1502, wkrótce po ślubie Władysława króla czeskiego i węgierskiego z Anną de Foix, a przed urodzeniem piérwszego ich dziełka 23 lipca 1503 r.

potomności by nie doszła (1). A i ty, jeślibyś dowcipem uczonych wzgardził, rozważ co się z tobą stanie po śmierci!..”

Szczodrośliwości powinna towarzyszyć ludzkość w obojętciu:

„Kazimierz brat twój, nie mogąc zgoła być szczodrośliwym, ludzkością swoją usiłował sobie miłość narodu zniewolić. Cóż dziwnego, kiedy przyjaciół *sprzętem najdroższym i skarbem swoim* nazywał! Cóż ojcu twojemu Kazimierzowi najwięcej do sławy nieśmiertelnej dodało:—oto ludzkość; a przeciwnie cóż Maciejowi królowi tyle ujęło? — pysznomówność, (*superbiloquentia*)” (2).

Dziecko to ma w dwóch królestwach panować; niechże się zacnem ludźmi otacza, niech nauczy się zachować powagę królewską, i więcej słuchać, niż mówić.

„Kazimierz, ojciec twój, w tém celował: to samo o tobie słyszę. Olbracht mój często zwykł mawiać: *że natura dała człowiekowi dwoje uszu, a jedną gębę tylko; a to dlatego aby więcej słuchał, niż mówił.* Do powiększenia zaś powagi majestatu, wiele przyczynia się nie potakiwać natychmiast objawiającym swoje zdanie, ani téż zawsze cudze zdania jawnie, w przytomności wielu, zbijać; czołem, oczyma, nosem takie ruchy czynić, i radców swoich tak badać, jak gdyby daszę ich do gruntu wstrząsnąć miał i przeniknąć; co wszystko wielce pomnaża powagę królewską na radzie. Przyzwolitóm jest téż nie wynurzać własnego zdania ani zaprędko, ani w obecności wielu osób.“

„Niech chłopiec przyzwyczai się do zwięzłości i do wykwińtości w mowie; nie gani, ani chwali nadto. Niech pochwała, ale nie zdaje się uwielbiać kogokolwiek; uwielbianie bowiem wielkim dowodem jest nieświadomości.“ Powinien umieć przyjemnie żartować. „*Sebastyan Giustiniani* poseł wenecki, który tam urząd poselski przez lat trzy chlubnie piastował, mąż uczony i roztropny, słyszałam, że powagę twoją dziwnie wychwala.“ Niech téż umie grzeczne słówko powiedzieć, małe podarki dawać, a obiecywać więcej.

„Boże mój, jaką niepojętą radością rozplęwałam się widząc jak nasz Jan Olbracht, żadnej powinności do majestatu królewskiego należnej nie opuszczał; bo téż go natura jakby na ozdobę

(1) Najsurowszy sąd wydałaby królowa o mężu swoim, i o starszym synie, zasadzając całą ich sławę, na pochwałach nadwornego poety.

(2) Poznać tu można dawną niechęć Elżbiety do Macieja Korwina.

majestatu stworzyła. Niemaló się téż przyda chłopcu, przedniejszych panów w królestwach, nad któremi panować będzie, niekiedy po imieniu nazywać; takim fortelem umysły narodów najbardziej sobie zjednać można, i osobliwą przychylnością i przywiązaniem zniewolić. Niech się uczy chłopiec włoskiego i niemieckiego języka, albowiem na polskim, francuzkim i węgierakim żadną miarą zbywać mu nie może.“

„Niech nikomu zupełnie nie zawiera, pamiętając, że i sam i drudzy pośliznąć się mogą.“

Niech się strzeże ospalstwa i wygod. Niech się nadto nie śmieje. Niech się wprawi władać orężem, nie dla zadawania ran, ale dla ich uniknienia.

Nareszcie tak zbiera królowa w jedną całość wszystkie piérwój podane nauki:

„Daj zatém chłopcu mamkę najzacniejszą; mistrza doskonałego i uczonego, od któregooby niemniej dobrych obyczajów, jak nauki czerpał. Grammatyka, poetów, dziejopisarzy niech słucha. Bogu Odkupicielowi naszemu, i Przenajświętszej Pannie niechaj cześć najzyczliwszym afektem oddaje. Niechaj nigdy nie wychodzi bez książeczki w której zapisane pochwały Matki Niepokalanój. Odprawianiu Ofiary świętej chrześciańskiej niech codzien przytomnym będzie; w pokarmach umiarkowany i skromny; od samego rana niech umysł nauką zajmie, ćwiczeniom ciała niech się oddaje, próżnowania i nieczynności unika; przymilaniu się pochlebców uszu nigdy niech nie otwiera. Łowom niech się oddaje, byle nie z niebezpieczeństwem życia; sztuki jeżdżenia konno, fechtowania, gier do sztuki wojennój należących niech nie zaniedbuje. Wierność, stałość, prawdę niech miłuje; w złej zarówno jak w dobrej doli niech rozumną radą nie gardzi. Oblicze niech zachowa jednostajne; ani w radości, ani w boleści miary niech nie przebiera. Szczególnie niech się w powściągliwości kocha, a od doradców rozkoszy ucieka. Złych niechaj nienawidzi, enotliwych kocha, a starych szanuje; dla domowników, dla cudzoziemców, dla rycerzy, dla uczonych niech się okazuje szczerobliwym, dobroczynnym, ludzkim. Nic nie masz mniej przystojnego dla królewskiego młodzieńca, jak łakomstwo i skąpstwo. Zgodę niech ustala, niezgody uśmierza, pokój nad wojnę, przytęki poddanych nad swoje własne niech przekłada. Niech świadczy, bez obrazy obdarowanego; niech się wystrzega pychy i zarozumiałości. Żadnego świadka niechaj nie obawia się bar-

dziej, jak własnego sumienia. W słowach i czynach, w oczu i reszty ciała ruchach, z granic powagi królewskiej niechaj nie wychodzi. Głód, zimno, upał, cierpliwie niech uczy się znosić. W każdej czynności niech umie nad sobą panować; za roztropnością niech idzie, umiarkowaniu niech podlega, w sprawiedliwości kocha się, i w mężtwie. To wszystko, jeśli wedle życzenia mego i nadziei, wykona; nietylko rodzinę naszą dziwnym splendorem wsławi, ale i szczęścia, jakie siłami ludzkiemi pozyskać można, osiągnie; i wśród społecznych jedynym wzorem cnoty zostanie! *Vale!*"

D O D A T E K.

Alexander król polski na prośbę i dla zasług matki swęj Elżbiety oddaje siostrze Elżbiecie w dożywocie, lub do za mąż pójsia, zamki i dobra: *Łęczycę, Radom i Przedecz*, oraz wieś *Zielonki*, i dom kamienny w Krakowie, który Jan Olbracht dla matki wymurować kazał.

Alexander dei gratia Rex Polonie Magnus dux Lithuanie, Russie Prusieque etc. dominus et heres, Significamus tenore presentium quibus expedit universis et singulis presentibus et futuris harum noticiam, habituris. Quia Serenissima princeps domina Elisabeth dei gratia Regina Polonie Genitrix nostra charissima, se etate gravatam senciens timensque ne Deo omnipotenti per mittente antea humanis excedat quod de certo statu Illustrissime principis Virginis Elisabeth filie sue, sororis nostre charissime constitueret. Rogavit a nobis instantissime sua serenitas ut ipsius prefate germane nostre future statui quantum decens esset, clementer providere dignaremur; ne tunc, dum deo volente, materna cura sub qua nunc est, orbata esset, defectui et inopie cum nostro domusq; nostre dedecore relinqueretur, Quoniam autem prefate Serenissime domine Genitricis nostre, iustis ac decentibus petitionibus non concedere impium esset; que de nobis ac ipso regno publice et privatim, tum eciam comuniter de omnibus Regni hujus status et condicionis cuiuslibet indigenis, multiphariam benemeruit; Ita ut merito sue Serenitati gratificari ac complacenciam facere tenemur. Eas igitur ob res constituimus sue

serenitatis petitionibus concedendo, prefate Illustrissime sororis nostre charissime futuro statui providere, certa Bona nostra Regalia sue Illustritati ad vitam, seu donec nuptui tradita non foret, ad traducendum statum honestum assignando, donamus; itaq; propterea dedimus et concessimus prefate Illustrissime principi Virgini Elisabeth sorori nostre charissime, Terras castra districtus nostros Regales, Videlicet *Lancieniensem, Radomiensem, et Przedecensem*, consensu prefate Serenissime domine Genitricis nostre cui in eisdem dos et dotalicium reformata sunt, consentiente; donamusque damus et concedimus graciose presentibus literis nostris per eandem Illustrissimam principem Elisabeth sororem nostram Charissimam Terras castra districtus nostra prefata cum omnibus et singulis civitatibus, opidis, castris, villis, prediis, Molendinis, eorumq; emolimentis, Theloneis, foralibus, flumalibus, ceterisq; exacionibus consuetis, censibus, proventibus, Borris, silvis, piscinis, piscaturis melificiis ac quibusvis obsencionibus et utilitatibus universis ex antiquo quomodolibet pertinentibus et generaliter cum omni Jure dominii et proprietate, tenendas habendas utifruendas pacificeque et quiete possidendas ad tempora vite sue extrema, seu donec nuptui tradita non foret; quod illorum imprimis accideret, quibus Nupciis vel morte subsequuta, ad nos et successores nostros bona prefata pleno Jure redibunt. Et insuper eiusdem Illustrissime sororis nostre competentiori statui consulentes, Sue Illustritati eciam villam nostram cum predio dictam, Zelonkij in terra Cracoviensi sitam et domam lapideam in Castro Cracoviensi per Serenissimum principem dominum Johannem Albertum Regem Polonie antecessorem nostrum, pro serenissima domina Genitrice nostra edificatam, eadem ut premisum est condicione, damus et donamus Similiter habendam, tenendam et utifruendam; ut autem prefata Illustrissima Soror nostra charissima, indubiam et actuaalem iam exnunc possessionem prefatorum Bonorum nostrorum, presertim Serenissima domina Genitrice nostra comuni consenciente, apprehendat; volumus ut Capitanei et officiales dictorum, Bonorum et locorum, quos sua Illustritas pro voto suo deputaverit, de observandis Castris et fidelitate tenenda Juramenta sue Illustritati prestent et faciant, nobis et successoribus nostris eorundem Capitaneorum et officialum in hiis maxime locis quibus cura comunis Juris et exequutio incumbit, obedientiam ut subiectionem nihilominus re-

servantes, harum quibus Sigillum nostrum est subappensum testimonio literarum. Datum Cracovie feria quarta ipso die festi sancti Leonardi confessoris (1) Anno Domini Millessimo Quingentesimo quarto, Regni vero nostri anno tercio.

Alexander dei gra. Rex. manu ppria ssp. Mathias Drzewicki Vicecancellarius ss. (2).

Podpisy króla Alexandra i Macieja Drzewickiego własnoręczne.

Pieczęć Alexandra na wosku czerwonym, zawieszona na pergaminowym obrzynku: orły i pogonie z napisem: Sigillum Domini Alexandri Dei gratia Regis Polonie Magni Ducis Lithuanie; doskonale zachowana.

(1) 6 listopada.

(2) Ob. podobizną nr. 2 i 3.



O ZNACZENIU

EXEKUTORÓW TESTAMENTOWYCH.

Instytucya prawna kodexu cywilnego francuzkiego o exekutorach testamentowych, w dziesięciu artykułach od 1025 do 1034 zamknięta, nie daje sama przez się jasnego wyobrażenia o znaczeniu exekutorów testamentowych, o ich obowiązkach lub attribucjach i rozciągłości onychże. Dla dokładnego pojęcia instytucyi téj, potrzeba ją wyjaśnić tak co do jój początku historycznego, jako téż co do stosunku organicznego, jaki w systemacie sukcesyjnym kodexu cywilnego zajmuje.

Lecz przedewszystkiém poznać ją należy w samym texcie i brzmieniu przepisów prawa.

Zasadniczą jój podstawą kodexową jest artykuł 1025, pozwalający testatorowi mianować jednego lub więcej exekutorów testamentowych.

Attribucye exekutorów testamentowych wyszczególnione są w jednym prawie tylko artykule 1031, i ograniczają się na trzech działaniach, dotyczących zachowania dóbr spadkowych w całości, zaspokojenia legatów ruchomych i złożenia rachunku. W szczególności zaś obowiązkiem jest exekutora testamentu:

a. Dopilnować przyłożenia pieczęci, gdy dziedzice są małoletni, bezwłasnowolni lub nieobecni; niemniej sporządzenia inwentarza dóbr spadkowych w obecności domniemanego dziedzica lub po formalném jego przywołaniu.

b. Domagać się, *provoquer*, sprzedaży ruchomego majątku, *du mobilier*, jeżeli gotowizna nie wystarcza na zaspokojenie legatów ruchomych; niemniej *czuwać* nad wykonaniem testamentu, z możliwością wchodzenia do sprawy przez interwencyą, gdyby powstał spór o ważność testamentu lub rozporządzeń w nim objętych; nakoniec

c. Po upływie roku od śmierci testatora złożyć rachunek z swego sprawowania, *gestion*.

Odpowiednio powyższym attribucjom exekutor testamentu ma prawo żądać zwrotu kosztów z ogółu spadku za przyłożenie pieczęci, za

sporządzenie inwentarza, za rachunek, jako téż za inne wydatki odnoszące się do właściwych jego czynności, *à ses fonctions*.

Wolno testatorowi powierzyć exekutorowi testamentu objęcie, *saisie*, ogółu lub części majątku ruchomego, *du mobilier*, najdłużej jednakże tylko do roku jednego i dnia jednego, oraz z tém ograniczeniem, że dziedzic może mu go wcześniej odebrać, dając dostateczną sumę na zaspokojenie legatów ruchomych, *legs mobiliers*, lub usprawiedliwiając się z ich zaspokojenia.

W artykułach od 1028 do 1030, oraz w art. 1032 oznaczona jest zdolność osób do sprawowania obowiązków exekutora testamentowego. Małoletni wcale nie może być exekutorem; męzatka zaś może być, lecz tylko za zezwoleniem męża, lub jeżeli jest rozłączona co do majątku bądź kontraktem przedślubnym, bądź wyrokiem, to i za upoważnieniem od sądu.

Zresztą, obowiązki exekutora testamentu są osobistemi, nieprzechodzącemi na dziedziców.

Nakoniec artykuł 1033 oznacza stosunek prawny między kilkoma exekutorami testamentowemi, którzy się powołania swojego podjęli; wolno jednemu z nich działać, gdy drudzy nie są obecni. Lubo zaś w ogólności jeden za drugiego nie odpowiada, jednakże za powierzony im majątek ruchomy wszyscy solidarnie odpowiadają, chyba by testator rozdzielił pomiędzy nimi czynności.

To jest wszystko, co kodex za należące do obowiązków i atrybucyj exekutorów testamentowych poczytuje. Obowiązki te widocznie i co do czasu i co do ich natury w ciasnych granicach są zamknięte, polegając na dopilnowaniu, czuwaniu, domaganiu się ażeby testament był wykonanym, nie zaś na samodzielném *wykonaniu*: lecz co do ich rozciągłości lub granic w wszelkich szczegółach, łatwo mogłyby powstać wątpliwości, a za nimi błędne interpretacye, zwłaszcza że w tych kilku artykułach kodexowych, które instytucją exekutorów testamentowych obejmują, bezpośrednio nie są opisane stosunki prawne, jakie ogólnie między exekutorami testamentowemi, a dziedzicami z prawa lub z testamentu przychozącemi, albo legataryuszami ogólnemi, lub pod tytułem ogólnym zachodzą.

Opisy te znajdują się w innych oddziałach kodexu, o sukcesjach tak testamentowych jak nietestamentowych, i nietylko w pomoc przy tłumaczeniu przepisów o exekutorach testamentowych brane, ale owszem za główne i sterujące uważanemi być powinny.

Wprzód atoli nim się przystąpi do wykładu tych zasad głównych, zaczerpnąć potrzeba objaśnień z materyałów kodyfikacyjnych, zebranych przez barona Locré w dziele: „*La législation civile, commerciale et criminelle de la France, Paris 1827*.”

Redaktorem tytułu II księgi III kodexu o darowiznach i testamentach, w którym oddział o exekutorach testamentowych znajduje się, był *Bigot-Préameneu*, jeden z członków kommissyi legislacyjnej. Projektowana przez niego redakcyja dziesięciu artykułów pozostała prawie bez naruszenia. Ani rada stanu, ani trybunał, ani zgromadzenie prawodawcze nie miały nic stanowczego do zarzucenia, tylko pomniejsze poprawki

przedstawił trybunat (1) uważając co do artykułu 1025, którego projekt był taki:

„Le testateur pourra, *pour assurer l'exécution de ses dispositions*, nommer un ou plusieurs exécuteurs testamentaires”;

że wyrazy podkreślone są zbyteczne gdy powód, *le motif*, w samém mianowaniu exekutora testamentu leży. Co do art. 1026 którego brzmienie było następujące:

„Il pourra leur donner la saisine pendant l'an et jour à compter de son décès, du tout ou seulement d'une partie de son mobilier”

że potrzeba dobitniej wyrzec, że objęcie w żadnym przypadku dłużej nad rok jeden i dzień jeden trwać nie może, a ztąd wyrazić:

„Mais elle ne pourra durer au de-là de l'an et jour”.

Co do art. 1027, że potrzeba dodać

„Ou en justifiant de ce payement”.

Wszystkie poprawki te i niektóre jeszcze drobniejsze przyjętemi zostały.

Przed zgromadzeniem prawodawczém, *Corps législatif*, ani Bigot-Prémeneu jako mówca rządowy, ani mówca trybunatu Favard (2) nic ważnego nie przywiedli, bo pierwszy nadmienił tylko, że stosowano się *aux règles de droit commun*; drugi, że *les fonctions et les obligations des exécuteurs testamentaires* są prawie takież same, jak *dans l'ancien droit*.

Tylko w ogólném zdaniu sprawy przed trybunatem mówca Jaubert, wchodząc nieco więcej w ducha nowój kodyfikacyi, powiedział (3):

„Le projet règle tout ce qui est relatif aux exécuteurs testamentaires dans le cas où un testateur voudroit user du droit d'en nommer, car c'est une chose de faculté. La saisine qui ne peut porter que sur le mobilier, ne sera jamais de droit. Le testateur ne pourra l'étendre au-de là d'une année. Apposition des scellés, inventaire, vente du mobilier pour acquitter les legs, responsabilité, reddition de compte, tout est prévu.”

Z materyałów tych kodyfikacyjnych acz szczupłych, okazuje się zgodnie z tekstem prawa: że nie przywiązywano wielkiej wagi do instytucyi exekutorów testamentowych; że jój nie uważano za konieczny element testamentu, i tylko pozostawiono testatorowi możność jój użycia; że mianowanie exekutorów testamentowych nic innego nie ma na celu jak tylko upewnić, *assurer* skutek rozporządzeń testamentowych; że objęcie pozostałości przez exekutora testamentu *nigdy* z samego prawa miejsca mieć nie będzie; że *jedynie* do majątku *ruchomego* rozciągać się może; że nawet nie może być przedłużone przez testatora nad rok jeden i dzień jeden; że ogólnie mówiąc *prawo kodexu przewidziało wszystko co do exekutorów testamentowych należy w przypadku, kiedy ich testator chce mianować*.

Ztąd więc prawo kodexowe i samo z siebie, i wsparte motywami kodyfikacyjnymi, żadnej wątpliwości nie dopuszcza w tém, że *testatorowi*

(1) Loaré, tom XI, str. 327.

(2) Loaré, tom XI, str. 407 pod nr. 68, str. 506.

(3) Loaré, tom XI, str. 473.

niewolno przestąpić ograniczeń kodexowych, że mu niewolno nadać exekutorowi testamentu większych attribucyj nad dozwolone prawem; że nie może mu powierzyć objęcia, zarządzania, a tém mniej rozporządzenia majątkiem *nieruchomym*, którego substancją lub fundusz komukolwiek bądź, czyto pod tytułem dziedzica, czy pod tytułem legataryusza ogólnego lub uogólnionego, *à titre universel* lub nawet legataryusza szczególnego testamentem zapisał, albo bez rozporządzenia *testamentowego* pozostawił; że w ogólności prawo kodexowe wprowadzie dozwoliło testatorowi mianować exekutorów testamentowych, lecz jedynie w granicach kodexem ustanowionych.

Pomijając urywkową, kazuistyczną, a co gorsza dykcyonarską jurysprudencją komentatorów kodexowych, potrzeba teorią powyższą, jeszcze dla mocniejszego jéj uzasadnienia, usprawiedliwić przez związek lub stosunek organiczny, jaki instytucya exekutorów testamentowych w systemacie sukcesyjnym kodexowym zajmuje.

Kodex francuzki nie zna zasady prawa rzymskiego „*nemo pro parte testatus pro parte intestatus decedere potest*,” ani téż uznaje konieczności ustanowienia dziedzica, *heredis institutio*, któryby był reprezentantem *universitatis hereditariae*, lecz stanowi w art. 895, że można przez testament bądź całością, bądź częścią dóbr rozporządzić, a skutkiem tego spadek wyczerpnąć samemi legatami szczególnymi.

Obok tego jednakże ogranicza testatora do części rozrządzałnej, nakazując mu pozostawić legitymę raz na zawsze prawem oznaczoną, dziedzicom koniecznym, a mianowicie dzieciom, wnukom, przodkom, podług właściwego porządku, chybaby miał zasadę do usunięcia ich jako niegodnych.

Tacy dziedzice *obejmują* samém przez się prawem, ipso jure *wszystkie* dobra spadkowe. *Ils sont saisis de plein droit, de tous les biens de la succession*; art. 1004.

Jeżeli takich dziedziców nie masz, *legataryusz ogólny* używa tegoż samego przywileju, wchodząc *bezpośrednio, de plein droit*, w objęcie dóbr spadkowych; art. 1006.

Tylko legataryusz pod tytułem ogólnym, *le legataire à titre universel*, art. 1010, nie może bezpośrednio przystąpić do objęcia swojego zapisu, i jest w każdym przypadku obowiązany domagać się wydania bądź od *dziedziców koniecznych*, bądź w ich braku, od *legataryuszów ogólnych*, bądź nakoniec w braku tychże, od *innych dziedziców* porządkiem spadkowym powoływanych; art. 1011.

Co do legataryuszów *szczególnych*, ci obowiązani są domagać się wydania swych legatów, podobnie jak legataryusze pod tytułem ogólnym bądź od dziedziców koniecznych, bądź od legataryuszów ogólnych, bądź od dalszych sukcesorów prawnych, art. 1014.

W obliczu tych zasad prawa, okazuje się najprzód, że wyraźna sprzeczność legislacyjna między artykułem 1026, a artykułem 1004 zachodzi, bo możność testatora w powierzeniu ogółu lub części majątku ruchomego exekutorowi testamentu, chociaż do roku jednego i dnia jednego ograniczona, nie zgadza się z bezwarunkowém prawem dziedziców koniecznych lub legataryuszów ogólnych, którzy z śmiercią testatora

wszystkie dobra spadkowe, a zatém i majątek *ruchomy, ipso jure obejmują*.

W tym stanie prawa atoli powstaje kwestya: kto w przypadku kolizyi ustąpić powinien, czy exekutor testamentu, który ogół lub część majątku spadkowego ruchomego ma sobie powierzony przez testatora dla zaspokojenia legatów ruchomych, *legs mobiliers*, czy dziedzic konieczny lub legataryusz ogólny, którym z mocy samego prawa, *ipso jure, de plein droit*, służy natychmiastowe z śmiercią testatora objęcie całej pozostałości tak ruchomój, jak nieruchomój.

Kwestya ta łatwą jest do rozwiązania: bo testator podobnie jak każda inna osoba prywatna nie może ubliżyć przepisom prawa, które w ogólności według zasad w artykułach, 6 i 900 Kodexu Cywilnego objawionych, przez umowy lub rozporządzenia prywatne naruszonemi być nie mogą. Do rzędu takich przepisów należy przepis prawa bezwarunkowy, że dziedzice konieczni lub legataryusze ogólni, z mocy samego prawa wszystkie dobra spadkowe obejmują.

Rozporządzenie więc testamentowe, któreby w przypadku pozostawienia przez testatora dziedziców koniecznych lub legataryuszów ogólnych, pomimo artykułów 1,004 i 1006, powierzyło exekutorowi testamentu ogół lub część spadku ruchomego, podpadałoby skutkom powołanych artykułów 6 i 900, a ztąd jako *pro non scripto* uważane, nie mogło mieć miejsca.

Lecz artykuł 1026 wraz z artykułem 1027 zostają nadto w sprzeczności legislacyjnej z artykułami 1014 i 1011, podług których legataryusze szczególni, *les legataires particuliers*, bez względu na to, jaki rodzaj legatu im jest zapisany, choćby to był jaki szczegół ruchomy, *legs mobilier*, obowiązani są domagać się wydania, nie od exekutorów testamentowych, lecz od dziedziców koniecznych lub legataryuszów ogólnych, lub nawet od dalszych sukcesorów porządkowych. Przepis prawa w tym względzie jest bardzo dobitny i pewny. Artykuł bowiem 1014 przepisuje: „że legataryusz szczególny *nie może* objąć swojego legatu, ani żądać przychodów naturalnych lub cywilnych z tegoż legatu, jak tylko od *dnia*, w którym *formalnie* żądał wydania od pomienionych spadkobierców.

Zasadzie téj, która podobnie przez wolę prywatną naruszoną być nie może, sprzeciwia się tak możliwe objęcie ruchomości spadkowych przez exekutora testamentu, jak włożony na dziedzica, *héritier*, obowiązek oddania exekutorowi testamentu dostatecznej summy dla zaspokojenia legatów ruchomych.

Co większa, podług artykułów 1017, 1012, 871, dziedzice testatora, legataryusze ogólni, a nawet legataryusze pod tytułem ogólnym obowiązani są osobiście, *personnellement*, w miarę udziału swojego w spadku, do zaspokojenia legatów szczególnych i długów spadkowych.

W przypadku więc pozostawienia przez testatora dziedziców koniecznych, którym wszakże legityma uszczuploną być nie może, albo legataryuszów ogólnych lub legataryuszów pod tytułem ogólnym, którzy tak jak dziedzice, z samego prawa, za długi spadkowe osobiście odpowiadają, artykuły 1026 i 1027, żadnego wykonania mieć nie mogą: bo przede-

wszystkiem potrzeba sprawdzić i potrącić długi spadkowe, wylikwidować i ustanowić czystą masę spadkową, a dopiero można przystąpić do zaspokojenia legatów szczególnych, zwłaszcza, że i te ostatnie, podług artykułów 1624, 925, 926, K. C. w pewnych przypadkach mogą upaść zupełnie lub uleść stosunkowemu potrąceniu.

Obok tych uwag okazuje się, że redaktorowie kodexowi z widocznym postąpili pośpiechem; niewiele nad instytucją exekutorów testamentowych i jój harmonią z innymi niewzruszalnymi zasadami porządku sukcesyjnego zastanawiali się, ani też nad jój historycznym początkiem; bo inaczej byłiby ją zupełnie wyłączyli z kodexu, albo przynajmniej do właściwego zakresu ograniczyli, a mianowicie do tych wypadków, w których testator nie pozostawiając successorów koniecznych, albo legataryuszów ogólnych, majątek swój legatami szczególnymi wyczerpnie, tak, że nikt z rodziny nie chciałby się podjąć uregulowania spadku i zaspokojenia legataryuszów szczególnych, lub legataryuszów pod tytułem ogólnym; jako też do tych wypadków, w którychby testator nieobecnych lub odlegle przebywających successorów pozostawił.

W istocie, pierwiastkowy początek instytucji exekutorów testamentowych nader jest szczupły. Instytucja ta bowiem nie ma historycznego początku ani w ogromie prawa rzymskiego, ani w różnitości praw zwyczajowych germańskich lub frankońskich, ani nawet w zwyczajach dawnych Gallów celtyckiego pochodzenia. W symetrycznym organizmie prawa rzymskiego, obok *heredis institutio*, gdy *heres* był pełnym zastępcą *universitatis hereditariae*, *atque heredes pro dominis appellabantur*, nigdy żaden exekutor testamentowy ani na chwilę nie mógłby być prawnie istnieć. Ludy zaś germańskie, a tém samym i Frankowie, według swych praw zwyczajowych czyli ziemskich, wcale nie znali testamentów, a poznali je dopiero, w miarę zetknięcia się z prawami rzymskimi. Podobnież było i u Gallów.

Pomimo to, weszła instytucja exekutorów testamentowych do kodexu cywilnego Napoleona z zakresu praw zwyczajowych *droit coutumier*, z ziem południowej Francji, zwanych *pays coutumiers* dla różnicy od połowy kraju żyjącego pod prawem rzymskiem, a ztąd *pays de droit écrit* zwanego.

Wszelako i to prawo przez się nie nosiło w sobie bynajmniej zarodku instytucji exekutorów testamentowych, gdyż z nastęrczających się źródeł lub śladów historycznych bardzo wyraźnie się okazuje, że instytucja ta w średnich wiekach pod wpływem religii chrześcijańskiej powstała i jest pomysłem duchowieństwa rzymsko-katolickiego, a może nawet służyła początkowo ku wyłącznemu użytkowi duchownych, chcących majątek swój obrócić na cele dobroczynne lub pobożne.

Nie mogła instytucja ta powstać i rozkrzewić się w kraju *du droit écrit*, bo jój stała na przeszkodzie konieczna *heredis institutio* z prawa rzymskiego, niedopuszczająca żadnego obcego, zwłaszcza zupełnie zbytecznego wpływu.

W ziemiach zaś zwyczajowych *pays coutumiers*, nie znano ani testamentów, ani *heredis institutionis* stanowiącej żywotny warunek testamentu. Lecz obok testamentu dopuszczalne były podług prawa rzymskie-

go tak zwane *codicilli*, które z początku jedynie służyły do legatów szczególnych, jakie testator po zrobieniu już testamentu chciał jeszcze pozostawić, później zaś nawet do fideicommissów. Otóż, tego rodzaju kodycylla nie wymagały *heredis* instytucyi, a ztąd łatwiejszy miały przystęp w krajach zwyczajowych. Duchowni więc, a za ich przykładem i osoby świeckie mogły za pośrednictwem kodycyllów, zwłaszcza olograficznych, własnoręcznych, mianować exekutorów testamentowych, jako w owej epoce bardzo potrzebnych dla zapewnienia skutku kodycyllowych rozporządzeń na cele pobożne lub dobroczynne (1).

Obok tak szczegółowego początku exekutorów testamentowych, obok textu prawa kodexowego i materyałów kodefikacyjnych; obok prekaryjnego znaczenia téjże instytucyi, i tylu innych środków prawnych, dziś skutek testamentu zapewniających, nie można się dosyć wydziwić téj obfitości jurisprudeneynej, jaką co do atrybucyi exekutorów testamentowych, komentatorowie francuzcy np. Toullier, Duranton rozwinęli, a bardziej jeszcze tylu błahym kwestyom prawnym.

Pochodzi to z niewolniczego przywiązania się do dziesięciu artykułów o exekutorach testamentowych, jakoby odrębnój od kodexu ustawy; następnie że nie wchodzono w związek organiczny tych dziesięciu artykułów z całym systematem sukcesyjnym; dalej z przypuszczenia fałszywych domysłów o początku instytucyi exekutorów testamentowych; dalej z spuszczenia z uwagi tego, że kodex Napoleona przeciął dawną jurysprudeneyą o exekutorach testamentowych, na nader wielkiej rozmaitości praw zwyczajowych ziemskich opartą; nakoniec z niewiadomości lub zapomnienia co *Jaubert* ogólnie o kodyfikacyi co do exekutorów testamentowych przywiódł.

Nie użytecznieby było przytoczyć i rozbierać wszystkie niepotrzebne kwestye. Poprzestanę na krótkim, ile możności rozbiórze jednéj główniejszej, tylko dla przykładu. Otóż *Grenier*, prokurator generalny w Riom, w swoim: *Traité des donations et testaments* 1812, porównywa francuzkiego exekutora testamentu z rzymskim mandataryuszem. Za nim powtarzają toż samo, zwyczajem nałogowym, wszyscy inni komentatorowie francuzcy, bez wyjątku. Atoli porównanie to jest i niepotrzebne i niestosowne i niegruntowne; jest skutkiem powszechnéj choroby, która i w Niemczech przed powstaniem tak zwanéj szkoły czyli raczej metody historycznéj panowała, że właściwe innéj zupełnie natury instytucye zwyczajowe podciągano pod prawidła prawa rzymskiego: przez co najczęściej prawom zwyczajowym fałszywy kierunek nadawano.

Jest niepotrzebne: bo w organicznym układzie kodexu znajdują się różne urzędowania czyli powołania *cywilne*, którym pewne funkcyje,

(1) Zdaje się, że i w Polsce w wiekach późniejszych nastał zwyczaj między duchownymi mianowania exekutorów testamentowych: bo w aktach grodzkich krakowskich z r. 1695 jest wzmianka o exekutorach testamentu Zacharyusza Szolc kanenika warmińskiego, że z mocy tegoż testamentu wypłacili 3000 zł. na powiększenie fundacyi Borasta kanonika, dla sześciu ubogich studentów z Warmii.

atrybucye, obowiązki czyli możności działania lub dozorowania są nadane. I tak np. opiekunom, rozmaitym kuratorom, doradcy sądowemu, successorowi beneficyalnemu, wprowadzonemu w posiadanie majątku po osobie znikłej, podobnież i exekutorowi testamentu, wskazany jest pewny zakres działalności prawnej, którego przestąpić nie mogą, a którego granice, analogicznie, podług większego lub mniejszego podobieństwa z zakresem innych tego rodzaju powołań cywilnych, ani modyfikować, ani mieszać niewolno.

Jest niestosowne: bo francuzki exekutor testamentu zaczyna dopiero wtenczas funkcyą swoją, kiedy ją mandataryusz rzymski kończy. Zmarły nie może mieć mandataryusza, ale może mieć exekutora testamentu, i dlatego *Zachariae* w ślad *Toulliego* waha się i nie wie dobrze, czy exekutora testamentu ma nazwać pełnomocnikiem zmarłego testatora, czy téż pełnomocnikiem dziedziców, i uważa go nakoniec za narzuczonego tymże mandataryusza.

Jest niegruntowne: bo nie ma początkowania ani w texcie prawa, ani w prawidłach analogicznych, gdyż kodex francuzki w artykule 1031 charakteryzując ogół lub całość funkcyi exekutora testamentu, nazywa ją nie *mandat*, lecz *gestion*. Ztąd bliższa byłaby analogia z *rerum gestorem*.

Lecz jak się rzekło, wszystko to niepotrzebne, bo exekutor testamentu nie jest ani tym ani owym, ani mandataryuszem, ani *rerum gestorem*; jest właściwym chwilowym urzędem cywilnym, w zakresie właściwych przepisów kodexu; jest tém, czém mu prawo, *la loi*, kodex, być pozwala — ani mniej ani więcej.

To zaś zasługuje na uwagę, że wszystkie stanowienia prawa, zakres różnych powołań cywilnych oznaczające, podpadają pod sankcyą prawideł w artykułach 6 i 900 Kod. Cywil. ustanowionych, których osoby prywatne ani przez obustronne umowy, ani przez jednostronne rozporządzenia zmieniać nie mogą. Takie prawidła należą do *porządku organizacyjnego*, które jedynie stanowieniom władzy prawodawczej ulegają. Ztąd bowiem wypływa, że testator, mianując exekutorów testamentowych, nie może im nadać większych atrybucyj nad przepisy prawa, *de la loi*, że nie może przekraczać granic oznaczonych kodexem.

Przed tą zasadą, znikają w teoryi wszelkie mniemane wątpliwości względem atrybucyi exekutorów testamentowych. Exekutorowie testamentu nie mogą zajmować się likwidacyą i ustanowieniem czystej masy dóbr spadkowych, nie mogą przyznawać długów, i zgoła nic takiego wykonać, coby za sobą uszczuplenie czystej masy pociągnąć mogło; nie mogą zarządzać dobrami nieruchomemi, ani ich wydzierżawiać, hypotekami obciążać lub sprzedawać; nawet nie mogą wypłacić legatów ruchomych: bo przepis artykułu 1027 jest prostą inkonsekwenyą i obrazą mocniejszych artykułów 1014 i 1011, jak się to już wyżej okazało.

Nadto zamilczéć tego nie można, że gdzie redaktorowie kodexu Napoleona, nie mając łatwości czerpania z dobitnie wyrobionych pojęć i definicyj prawa rzymskiego, zmuszeni byli udawać się do jurysprudeneyi prawa zwyczajowego, tam ich redakcyje stają się wątkami i powierzchownymi, otwierając pole do wątpliwości i sporów; nie ma snadź ani

jednego doskonałego prawidła w tych dziesięciu artykułach, które instytucją exekutorów testamentowych tworzą.

Mogłaby np. powstać kwestya: czy cudzoziemcowi wolno sprawować obowiązki exekutora testamentu? Kwestyi téj kodex w owych dziesięciu artykułach nie rozwiązuje, chociaż w czterech z nich, a mianowicie w art. 1028, 1029, 1030 i 1032, tak drobiazgowo o zdolności sprawowania obowiązków tych traktuje.

Dalloz w swoim *Dictionnaire de législation et de jurisprudence* mniema, że cudzoziemiec może być exekutorem testamentu, ponieważ powołanie to nie będąc urzędem publicznym, nie wymaga zdolności używania *praw publicznych*. Zapomina on wszakże, że i używanie praw cywilnych nie zawiera w sobie bezwarunkowo możności sprawowania rozmaitego rodzaju obowiązków czyli powołań prawem cywilném ustanowionych; że w szczególności powierzenie majątku spadkowego ruchomego cudzoziemcowi wprost bez kaucyi, sprzeciwiałoby się ogólnej pieczy, jaką prawo cywilne nad majątkami prywatnemi rozciąga.

Pomimo to, kodex cywilny francuzki w tytule o używaniu praw cywilnych, a mianowicie w art. 11 ustanawiając nader niepraktyczne prawidło „że cudzoziemcy używać będą *takich* praw cywilnych, jakie krajowcom są lub będą dozwolone przez traktaty z właściwemi państwami zawarte,” nie ułatwił bynajmniej rozstrzygnięcia stosownego powołanej kwestyi podług zasad ogólniejszych. Tymczasem niedoskonałość ta znikła w krajowej legislacyi, gdyż tenże sam artykuł 11 w księdze I Kodexu Cywilnego z roku 1825 przypisując, że cudzoziemcy nie mogą być opiekunami, członkami rady familijnej, ani *świadkami przy aktach urzędowych*, nasuwa bezpośrednią prawie analogią, że cudzoziemiec do sprawowania obowiązków exekutora testamentu, przypuszczonym być nie może.

Heylman.



KRONIKA LITERACKA.

Oceana *Mowni języka polskiego* przez *Feliksa Żochowskiego*.
Ska. Warszawa. 1852 r.

Znany autor *Części Mowy odmieniających się przez przypadki*, p. Felix Żochowski, w 14cie lat po ogłoszeniu pierwszego dzieła, wydał w r. b. *Mownię języka polskiego* jako „wynik 18letniego namysłu i trudów z mozolnym ślęceniem połączonych.” Wyznanie to autora dowodzi owęj koniecznej w pisarzu wytrwałości, która nie jest pochopną do co pędzszego drukowania dzieła, dopóki myśli w niem przedstawiane swojej zupełnej dojrzałości i barwy nie doszły. Wielki to przymiot, owo kunktatorstwo w dzisiejszej epoce pisomanii, rzadki fenix owa sumiennosc w pracy; to mi też kładzie pióro do ręki i do ocenienia *Mowni* zachęca. Wszakże p. Ż. w przedmowie do czytelnika ogółowi je poświęca, bo sądowni jego poddaje, jako wyroczni najwłaściwszej; sąd ten indywiduala wydają, a każde będąc częstką całości zwanęj ogółem, ma do uczestniczenia w nim niezaprzeczone prawo. W ciągu dzieła samego dowiadujemy się wprawdzie, iż p. Ż. *Mownię* swoją wyłącznie dla młodzieży przeznacza (str. 279), i to dla młodzieży uczącęj się (§ 222); ale te wyrażenia uważam raczěj za wybuch mimowolny uczucia dobrego serca ku młodzieży, niż za wyłuszczenie celu dzieła, o którym dostatecznie w odezwie do czytelnika wyraził się autor.

Książka 18tu lat pracy winna być godnie rozpoznana, i dlatego też, gdy recenzi jęj na kilku wiérszach zamknąć nie można, zapraszamy ciekawego czytelnika do łącznego z sobą nad nią zastanawiania się.

Każde pismo dydaktyczne ma być postępow nauki, albo z powodu przybytu nowych, nieznaných dotąd pojęć i pomysłów, albo z powodu rozjaśnienia miejsc wątpliwých, i nowych dowodów na stare twierdzenia lub hipotezy, albo nareszcie z powodu nowego systemu i układu znane dotychmiast prześcigającego jasnością wyrażenia, loiczną kolejnością rozwijanych wyobrażeń i treściwym zbiorem wszystkiego, co znane w przedmiocie obrabianym. Dzieło nieodpowiadające tym warunkom albo przynajmniej jednemu z nich, niegodne jest recenzi i na stos śmieci literackich wskazanem być winno, jako powtórzenie cudzej pracy po swojemu przerobionęj. Nie tak się rzecz ma z *Mownią* p. Ż. Autor jęj,

widać to na każdej niemal stronicy, samodzielnie i z gorącym zamiłowaniem nad przedmiotem myślał: to mu zaszczyt przynosi tém większy, im jałowszą i nudniejszą jest materya, którą opracować zamierzył. Dlatego téż książka jego podaje nam wiele rzeczy nowych lub w zmienionym kroju. Są w niej rzeczy dobre, ale są także, jak w każdym prawie dziele ludzkim, poprawy godne; są neologizmy i archaizmy, ale jest i dobry język; są gdzieniegdzie usterki, ale zewsząd wieje duch dobrych chęci i poświęcenia się przedmiotowi z lubością. Dlatego, wszystkiego drobiazgowo przechodzić nie będę, boby to spowodowało pismo od samój Mowni obszerniejsze rozmiarem. To, co dobrego ma Mownia w sobie, samo za sobą mówi; co obojętnego dla myśli, długich wywodów niewarte; rozbiore więc te szczegóły, które dla ważności swojej sądowi krytyki najwłaściwiej ulegają. Radbym jakoś sprowadzić myśli moje do pewnych w téj mierze obrębów, i zdaje mi się, że nie od rzeczy będzie rozdzielić uwagi na trzy odstępy: 1) o terminologii, 2) o samych pomysłach, 3) o układzie i sposobie przedstawienia.

A. CO DO TERMINOLOGII.

Ukochawszy po ojcowsku swój przedmiot, rad go był p. Ż. własności oddać wyrazy, a nie uważając w dotąd używanych albo dosyć swojskości, albo dosyć mocy ku oddaniu właściwych pojęć lub wyobrażeń, potworzył nowe, lepiej w jego przekonaniu myśl malujące. Wyrazy jego dzielą się na dwa oddziały: *a*) jedne zastępują obce, przyswojone w naszym języku, *b*) drugie wykluczają swojskie lub obce dotąd używane z obiegu.

a) Wyrazy obce spolszczone są: *mownia* za grammatyka; ztąd: *mównik* za grammatyk, *mowniczy* za grammatyczny, i *roda* za natura, *rodni* za naturalny.

Mownia, mownik, mowniczy.

1) *Mownia*, o czém wszyscy wiedzą, pochodzi od mowa. Wyrazy na *nia*, jak to nikomu nie tajno, oznaczają miejsce na pewien cel przeznaczone, np. wozownia, zbrojownia, czytelnia; *mownia* więc raczejby mogła malować pojęcie miejsca, gdzie mowy mają na zgromadzeniach publicznych—parlament; ale wyobrażenia grammatyki niczém w sobie nie cechuje. 2) Przypuściwszy jednakże, iż ten wyraz zgodnie z duchem języka utworzony, narażamy się przezeń na wątpliwość, czy autor czasami nie chce nam wyklądać nauki mowy, to jest nauki o tém, czém jest mowa, jako dar niebios dany ludziom, aby w pożyciu towarzyskim myśli swoje nawzajem wymieniali. Gdyby p. Ż. pisał zasady grammatyki powszechnój, fonologii, ten wyraz mógłby ująć jeszcze, ale wyobrażenia grammatyki szczególnój niczém nie nasuwa. Trzeba albowiem wiedzieć, że *mowa* i *język* nie są wyrazy równe, ale blisko znaczne. Gdyby były jedno, toby się wszyscy ludzie między sobą rozumieć powinni, a tymczasem tak nie jest, jak o tém p. Ż. wie dobrze. Znaczenie wyrazu *język* ma za podstawę różnicę szczegółów; *mowa*, podobieństwo. *Mowa*, jest wyrazem ogólnym, znaczącym tylko sam akt rozumienia się ludzi między sobą pewnym danym sposobem w wydawaniu myśli; ztąd téż, jak dobrze mówi autor (§ 3), *mowa* jest: *migową, ustną i pisaną*. *Język* wyraża poję-

cie szczegółu, to jest coś szczególnego w mowie powszechniej, i to tylko w mowie głosowej; ztąd się też mówi: język polski, rossyjski, francuzki, ale nie mowa polska, francuzka. Przeciwnie można powiedzieć mowa ludzka, nie zaś język ludzki, dopóki wyrazy te w właściwem bierzemy rozumieniu. Widzimy więc potwierdzenie tego, co jeszcze Helwecyusz powiedział, a o czém każdy wie dzisiaj, iż nie ma dwóch wyrazów jednego znaczenia; źle zatem robi p: Ż. że wyraz *mowa* objaśnia wyrazem *język* (str. 2 i inne). Zresztą w mowie zwyczajnej w różnych znaczeniach można brać wyrazy, bo wiele domysłowi fantazyi zostawiamy, ale w piśmie wyrazy mają mieć ściśle określone a wyraźnie odrysowane znaczenia. Uderza więc z samego początku i razi nadpis sam: *Mownia języka polskiego*; czemuż przynajmniej nie *Mownia polska*, nie byłoby tak wielkiego pleonazmu. 3) Ważnym zjawiskiem w świecie naukowym, dowodzącym wspólnego języka potrzeby, a dziś stanowiącym węzeł ludów grono cywilizacyjne stanowiących, jest owo tradycyjne niejako przekazywanie terminów pewnych naukowych, tak do przetłumaczenia trudnych, iż pojedyncze języki raczej je zachować wolą, niż swoje natomiast wprowadzać. Takiemi są: filozofia, fizyka, mechanika, metafizyka i t. d. Do nich należy także grammatyka. Wyrazu tego wprowadzony neologizm *mownia*, całkiem zastąpić nie może. Toż mówić o wyrazach *mownik*, który oznacza tego co mówi lub mowy powiada, i o bezbarwnym wyrazie *mowniczy*.

Roda, rodni.

Drugim wyrazem nowym jest *roda*, zamiast *natura*. Nie wiem, może ten wyraz przesliczny i głębokiego znaczenia, jeśli jest w czeszczyźnie, ale to powiem, iż nim, tych w skupieniu wszystkich pojęć oddać nie można, które oddajemy wyrazem *natura*. Trzeba wiedzieć: 1) iż nigdy pojedynczo i bezwzględnie na najmodniejszy krój wyrazu uwazać nie można, aby godnie zastępował wyraz pewien dany choć obcego początku, bo każdy wyraz otrzymawszy raz prawo obywatelstwa, wprowadza tém samém za sobą całą familią wyrazów z niego powstałych tak pojedynczych jako i złożonych. Tak się ma i z wyrazem *natura*. Pojedyncze wyrazy z niego urobione są: *naturalny*, *naturalnie*, *naturalność*, *naturalista* i inne we wszystkich odmianach. Jakże je zastąpimy pochodnikami z *roda*. Autor tworzy zeń *rodni* za *naturalny*. Już *brat rodni*, *rzecz rodnia*, dziko brzmi dla ucha. Jakże z tego tworzyć stopnie? może *rodniejszy*, *najrodniejszy*! Nie, sam autor cofa się już przed tą przeszkodą i mówi: *szyk najnaturalniejszy*, nie *najrodniejszy* (str. 218). Tém trudniej oddać pochodnikami z *roda*: *naturalność*, *naturalista*, a jeszcze trudniej wyrazy złożone: *nadnaturalny*, *nadnaturalnie*, *nadnaturalność*. 2) Jestto fakt znany w języku, iż raz wprowadzone wyrazy pierwotne, wniosły za sobą do pochodnych pierwiastek swój i znaczenie; nie raz same zaginęły, ale żyją w pochodnych ze siebie powstałych. Jeśli wydobędziemy pierwiastek *roda* w znaczeniu *natura* z wyrazów zeń może utworzonych, cóż się z nimi samemi stanie; chyba je wyrzucić będzie potrzeba wszystkie, a to dlatego, aby nam przypominały znaczenie doń przywiązane, świeże, nowe, nie zaś to, jakie dotąd w sobie zawierały.

Patrzmy, oto wyrazy: *ród, naród, poród, uroda, urodziny, przerodzenie, rodzaj, rodzina, rodzeństwo, narodzenie* i t. d. tracą moc logiczną swego dotychczasowego znaczenia, przywodząc na umysł pojęcie inne, nie to, którym dotąd żyły w języku. Nie widzimy więc, jak wielkie wprowadzamy zamieszanie w ekonomią języka, sadząc się na tworzenie nowych wyrazów ze źle zrozumianego puryzmu! Po co wprowadzać inne, kiedy nie lepsze, nie dobitniejsze, wystawiające dopiero język na próżną pracę deportowania starych wyrazów, (choć kiedyś obcych, ale teraz prawem przedawnienia już z dawien dawna za nasze uznanych), a tworzyć dopiero nowe! Wszelka praca próżna jest męką, a w tworzeniu nowych wyrazów powinniśmy się mieć na baczeniu, bo i tak mimowiednie ślepym naśladowaniem obczyzny, kazimy i psujemy język do niepoznania prawie.

b) Drugi poczet wyrazów nowych zastępuje tylko inne dotąd w powszechnym użyciu będące. Takimi są: *Przedimek* za *przyimek*. (str. 29, 32 i t. d.), *modła* za *forma*. (§ 162, 193, 195 i t. d.), *spadek* za *przypadek* (§ 68, 71). Słowa (§ 193) *konane* za *niedokonane*; *jednotrójne* za *trzecioosobowe* (§ 162); *miot* za *subjekt* lub *podmiot* (§ 238); *objawnik* za *predykat* albo *orzeczenie*; *złącznik* za *łącznik* (§ 238); *orzecznik* za *przydawnik* albo *apozycyę* (§ 246); *zdania gote* albo *nierozwinięte* nazywa autor *ogólnemi* (str. 195), a *rozwinięte określonemi*.

Przedimek za *przyimek*.

Ten termin nie pierwszy raz światło dzienne ogląda w Mowni p. Ż. owszem pp. Tyszyński w *Amerykance* (I. 172) i Maciejowski w *Pamiętnikach Słowian* (II. 36), używali go już poprzednio. Ciekawy jestem w czem ten wyraz lepiej i mocniej pojęcie przeznaczenia swego ma? To, że przed imieniem stoi, nie cechuje głównie *przyimka* (praepositio), wiadomo bowiem, że dawniej i przyimki niektóre po imieniu kładziono np. *tego dla*, zamiast *dla tego*; z życiorysu Chrystusa Pana, przez Baltazara Opeca w *Prawdzie Ruskiej* (II. 225). W zwyczajnym szyku to jest mieszanym każdy wyraz co przed imieniem stoi, (a któryż nie stoi?) mógłby się przedimkiem nazywać. Wreszcie przedimek był już wyraz w języku, oddający pojęcie wyrazu: *Artikel, Geschlechtswort* i *l'article* w językach romańskich i germańskich tylko, ale nie w słowiańskich używanego; po co wprowadzać zamęt znaczeń ze szkodą jasności mowy! Czyż *przyimek* nie oddaje należycie pojęcia sobą przedstawionego? Najzupełniej. Dotychczasowy *przyimek*, analogicznie do wyrazów: *przymiotnik, przysłówek* urobiony, odpowiadał należycie swojej nazwie. Cechami jego głównymi są: 1) należenie do imienia, bez którego sam *przyimek* stać nie może, 2) wyrażanie pewnych względów, których samo imię wyrazić nie jest zdolne, 3) rząd pewnym danym przypadkiem. Z uwagi na te cechy główne, *przyimek*, którego pierwszą częścią składową jest: *przydo*, należycie nazwą swoją wyraża pojęcie swego przeznaczenia. Niepotrzebnym więc jest *przedimek*, bo *przyimek* jest logiczniejszego znaczenia; co większa jest nawet szkodliwy, bo rozburza organizm terminologiczny wyrazów, delikatnemi fibrami organicznymi z sobą powiązanych.

Modła.

Modła za forma lub *wzór*. Nie wiedzieć zkąd sobie p. Ż. wyraz ten upodobał, przestrzegającemu bowiem czystości i swojskości wyrażenia, wyraz obcy mile w ucho wpadać nie mógł. Autor *nauki języka polskiego podług zasad Szreniawy*, zna wprawdzie ten wyraz i używa go często; ztąd jednakże iżby on mógł być wdzięcznym uchu polskiemu, i pojęcie, jakie mu *nadajemy*, z łatwością dla umysłu oddawał, nie wypływa wcale. Wszakże to 1) wyraz niepolski, przypominający zawsze pośrednio niemieckie: *Modell* lub francuzkie *modèle*, a bezpośrednio łacinę czystą *modus* i średniowieczną *modulus*; 2) iż jest już w języku naszym *modła*, do której inne przywiązuję znaczenia. W pierwszym znaczeniu jest wyraz powszechnie znany *modła* za *modlitwa*: np. zasyłać *módlty* do Boga. W drugim znaczeniu brało się i bierze się za cześć, jak w książeczce św. Jadwigi: *Chwała y modła oblyczu thwemu* (38). *Chwała y modła dzewsthwo y czysthocye thwey*, (tamże). P. Grabowski tego wyrazu w swoim dziele *Literatura i Krytyka* używa, niby za wierne odbicie niemieckiego: *Anbetung*. Knapski w dykeyonarzu swoim (z r. 1621 na str. 421), przywodzi wyraz techniczny *modła* w znaczeniu *śródwagi*, pisząc: *Modła do ustawiania prostego muru, ścian*. Jeśli wyrazom już używanym w języku, coraz nowe i całkiem inne nadawać będziemy znaczenia, niezadługo Polakowi będzie potrzebny słownik wyrazów, z którego się dopiero znaczenia ich uczyć będzie musiał!

Spadek.

Chociaż go p. J. Muczkowski w swojej *Grammatyce polskiej* poprzednio używał, a p. Ż. do swój terminologii grammatycznej wprowadził, mniej on jest dobitny, niż dawniej znany; *przypadek*. Zmiana bowiem kształtu czyli postaci pierwotnej imienia, nie spada wcale ani się podnosi, ani się skłania, jak chciał Deszkiewicz ze swoim: *skłonnikiem* (Beüßfall), ale prosto przypada imieniowi taką obrać formę, jaka z natury rzędu wyrazów przy nióm stojących wypływa. Nie gońmy tak za wyrazami, a będziemy mogli więcej poświęcić czasu zbadaniu istoty i treści rzeczy!

Miot i Miotnik.

Zamiast *subjekt* albo *podmiot*, daje nam p. Ż. dwa wyrazy na to, mianowicie: *miot* i *miotnik*. Pierwszy, według niego, oznacza rzecz w myśli główną, działającą. Drugi jest wyrazem przedstawiającym ją w zdaniu (§ 238). Zbytek nigdy nie był chwalebny, a ścisłości naukowej i rozumieniu rzeczy zawsze jest przeciwny. Takie subtylizowanie w grammatyce gmatwa tylko wyobrażenia elementarne i inaći pojęcia. Dopóki co jest tylko w myśli, jest jakby go nie było, i na to niepotrzeba wyrazu; ten dopiero staje się potrzebnym wówczas, gdy owa myśl uzewnętrzni się pewną formą, i z jakimś do siebie należącym znaczeniem. Z dwóch wyrazów *miot*, *miotnik*, jeden jest niepotrzebnym; bo jeśli *miot* ma oddawać rzecz w myśli główną, toć jest wyrazem na jój oznaczenie tylko użytym, wtenczas, gdy ją przedstawia w zdaniu jako członek jego; jeśli nie przedstawia téj rzeczy głównej w zdaniu jako członek jego, to niepotrzeba nowego wyrazu, bo samo się z siebie rozumie, iż on będzie istotą, nazwaną imieniem lub rzeczownikiem, które toż samo, co

miot w tym razie oznaczają. *Miotnik* zła jest nazwa, i już nic obok miotu nie wyraża, jeśli tamten ma być wyrazem czegoś; a jeśli *miotnik* jest wyrazem przedstawiającym rzecz w zdaniu, to zakończenie *nik* jest nie-stosowne, bo chociaż subjekt jest osobą działającą, w zdaniu jednakże nie o to nam chodzi; bo o działaniu subjektu nic bez słowa się nie dowiemy, a tu nam głównie idzie o nadanie nazwy istocie, o której słowo coś orzeka, to jest iż jest w pewnym stanie lub działaniu. Pozostaje więc właściwie ocenić *miot*. Co *miot* pierwiastkowo znaczył, nie wiadomo; musiał zapewne coś podobnego znaczyć co imię, istota, bo mamy w języku wyraz z niego powstały: *przymiot*. Następnie znaczył pojęcie ruchu, rzutu, ztąd: *miotac*, (ciskać), *wymioty*. *Miot* więc jako pierwot, który zaginął, nie może się powracać do życia z nadanem mu świeżo znaczeniem, niby duszą wyrazów, bo tę nie po urodzeniu, ale przy samém poczęciu wlewa się temuż. Daleko więc lepszy jest *podmiot*, który chociaż żywcem z łacińskiego przetłumaczony, ale wiernie, dobitnie i mile oddaje pojęcie subjektu, oznacza bowiem wyraz, który myśl mówiącego miota, to jest poddaje pod sąd słowem wyrażony. To też jest najwyższém zadaniem subjektu.

Objawnik, złącznik, przedmiotnik.

Nie tak dobry jest wyraz *objawnik*, jak *orzeczenie* dotąd używane, w nim bowiem nie ma nic cechowego. Jeśli *miot* albo nasz subjekt może mieć nazwę *rzeczy*, toć słowo o niej coś rozpowiadające najwłaściwiej, najtrafniej i najłatwiej nazwać *orzeczeniem*, gdzie wyraz *rzecz* jest punktem zawiązkowym jego, bo predykat orzeka o istocie pewien sąd lub zaprzecza go całkowicie. *Złącznik* jest już wyrazem tym samym co *łącznik*, ale pleonazmowym, przez przydanie *z* na początku. *Łącznik* maluje dostatecznie pojęcie łączenia, po co więc owo *z*, które cieniuje to samo pojęcie: w ogóle pamiętać należy, iż lepiej jest, aby w wyrazie mniej z sobą było skupionych głosek, kiedy te ani do mocy wyrazu, ani do łatwości wymówienia nie przyczyniają się wcale. Cośmy powiedzieli o *miocie* i *miotniku*, stosuje się do *przedmiotu* i *przedmiotnika*. Ostatni niepotrzebny, bo pierwszy aż nadto dostateczny do odmalowania tego, co sobą ma przedstawiać.

Orzecznik.

Orzecznik zamiast: *przydatnia*, *apozycya*. Końcówki wyrazów mają także pewną wagę, której z oka spuszczać nie należy; im się więcej w ich znaczenie wmyślamy, tém nam odstęp i znaczenie wyrazów jaśniejszém i wyraźniejszém wydawać się musi. Wyrazy na *nik*, oznaczają pojęcia istot odrębnych, samodzielnych, o sobie stojących; wyrazy na *nia* malują jakąś zależność, podrzędność, brak samobytności. Śledząc tego znaczenia w wyrazie *przydatnia*, natychmiast przychodzi nam na myśl, iż to coś musi być drugorzędnego, nie samoistnego, i tak też jest w istocie, bo *przydatnia* jest tylko objaśnieniem, należącym do głównika. Kiedy tak się rzecz ma, *orzecznik* więc nie jest wyrazem na duchu języka opartym i dlatego w grammatyce polskiej miejsca mieć nie może w tém znaczeniu. Śliczny on jest, ale nie do tego, do czego go używa p. Ż. On tylko może być użytym do oddania tego pojęcia, o którym grammatycy nasi do-

ład nie a nie nie wspominają, a który tymczasem jest potrzebą naszej terminologii grammatycznej, to jest powinien być użyty do odrysowania odrębności rzeczownika lub przymiotnika, połączonego z podmiotem za pomocą łącznika *być*. Gdy mówię, np. *Brat mój jest chory. Świat jest dziełem Boga. Tu chory i dziełem* są orzecznikami, wyrazów brat i świat. Jeśli słowu *być*, nadałiśmy nazwę *łącznika*, nazwijmyż także i ów wyraz po imieniu, który się z podmiotem w jedno spaja pojęciem orzeczenia za pośrednictwem łącznika. *Orzecznikiem* więc oznaczają się podmioty, gdy przy nich wyrażamy, jakimi one lub czém są.

Słowa konane, jednotrójne.

Daruję mi p. Ż., ale z taką terminologią prawdziwie pojęcia grammatyczne do trumny się chowają. Czemuż autor nie użył lepiej wyrażenia *konające*, kiedy już słowu przez to tak mało życia zostawił? Zresztą, *konany* nie jest imiesłowem polskim, bo się wcale w języku naszym nie używa, jako naturze jego przeciwny. Słowo *konać*, znaczenie swoje czynne utraciło; teraz jest tylko słowem *miotowem*, jakby p. Ż. nazwał, albo *nikiem*, to jest pozostało przy znaczeniu zmiany stanu życia, kończenia żywota, umierania; po co je gwałtem do innego znaczenia, którego dziś nie ma, przykuwać! Wyrażenie *jednotrójne za formę nieosobistą zwrotną*, jakąś czarną chmurą zasłania nam pojęcie dotąd znane i tej największe usiłowanie zedrzyć z umysłu nie jest mocne.

Zdania ogólne i określone.

Zdania *proste, gołe* albo *nierozwinięte* zowie autor *ogólnemi* a *rozwinięte określone* (195). Nazwa zdań *ogólnych* na zdania *proste* albo *gołe*, wcale nie jest dobrą, bo przez nią wprowadza nas autor w wątpliwość, czy my zdanie bierzemy w grammatycznem, czyli też w logicznem znaczeniu. Wątpliwość ta miejsca mieć nie powinna. W logicznem bowiem znaczeniu rozumiemy przez zdanie ogólne to, które jest przeciwieństwem zdania szczególnego, to jest nazywamy to zdanie, którego podmiot jest wyrazem ogólnym; np. *wszyscy, niektórzy, niejeden, wielu*. Gdy zaś powiem: *Napoleon ubiwał ludzi za cyfry do rozwiązywania zagadnień politycznych*, zdanie to jest szczególne, bo o jednym *Napoleonie* mowa. Zdania *rozwinięte* nazywać *określone* niewłaściwie, bo tu możnaby myśleć o zdaniu jakimkolwiek, które przez następne po niém idące, wyjaśniające je, określone bywa.

B. O POMYSŁACH.

Pod tym oddziałem zamykam nie tylko same twierdzenia, nowe lub hipotezy, ale nadto przeczenia pojęć dotąd logicznie lub grammatycznie za inne mianych; z tego powodu inną w uszykowaniu myśli o tém nie ma drogi, prócz tytułowania treści rozsądanej; inaczéj bowiem musieli byśmy się w zbyt drobne wdawać podziały i podziałki, za pomocą których i takby należycie wszystkiego pod pewne kategorie podciągnąć nie można było.

Stopniowanie imion.

Chociaż o stopniowaniu imion nie jest rzecz nowa, bo już poprzednio w „Częściach Mowy” szerzej traktowana, gdy jednakże nie wiem

czy kto przeciw tój hipotezie wystąpił, dam i o nióm swé zdanie! Rad-
 bym był przede wszystkim, iżby p. Z. ten pomysł swój o stopniowaniu
 należyciej rozwinął, bo w takim kształcie w jakim nam go w *Mówni* po-
 daje i w *Częściach Mowy* nawet przedstawił, porządnego wykładu tegoż
 nie dopatruję się wcale. P. Z. przywodzi (str. 61—62) 5 stopni imion:
 1go imię pierwotne, 2go stopnia końcówki *ik, ek, ka, ko*, znaczą małość,
 piękność istoty, 3go końcówki: *eczek, iczek, eczka, eczko*, jeszcze większe
 zmalenie przedmiotu i powab istoty malować mają, 4go *isko* wyraża
 zwiększenie istoty, niezgrabność i budzenie wstrętu, 5go *ina* przedsta-
 wia przymiot słabości i nędzy w istocie i przedmiot litości. Trzeba było
 przede wszystkim powiedzieć, p. Z. które to imiona się w ten sposób sto-
 pniują, bo że nie wszystkie, to rzecz niezawodna. I tak np. wyraz *Bóg*,
 już w ten sposób stopniować się nie da. Mając ki Najwyższemu naj-
 głębsze uszanowanie, nie możemy z wyrazu tego robić wspomnianych
 stopni. Jakże powiedzieć *bożyśko, bożyna!* Jeśli zaś zdrobnimy *Bóg* na
bożek, to już wyraz stracił znaczenie swoje pierwotne, i nabrał innego;
 gdyż jak wiemy *bożek* przedstawia tylko istotę żywą, lub martwą w na-
 turę bożą odzianą, *bałwana*. Zdrobnienie według wzoru na stopień 3ci,
 także się nie uda. Możem jednakże z tego wyrazu mieć jemu właściwe,
 że się wyrażę terminem p. Z. stopniowanie, ale nie już według wzorów
 podanych. Mówiąc do dzieci z najpoufalszym spieszczeniem o Bogu,
 używamy wyrazów *bozia, boziunia*, te jednakże końcówki do wzorów
 stopniowania p. Z. nie wchodzą; ten błąd nasz, że *bozia, boziunia* do

Końcówki *ek, ka, ko*, do pierwotny przydane nie oznaczają zawsze
 przymiotu małości i powabu, owszem malujemy niemi także wielkość, niez-
 grabność, w ogóle przedmiot więcej pogardliwy, niż pieszczotny. Szczeg-
 ólniej ten przypadek zachodzi w imionach ludzkich. *Pietrek, Maciek,*
Szymek, Bartek, Marynka, Franka, nie są wyrazami spieszczonemi,
 owszem uwstrętnieniem pierwotników: toż *dziadek, babcia, ciocia*, nie
 wyrażają żadnego zdrobnienia. Ale natomiast mamy końcówki; *us, usia,*
dzio, cio, cia, cię, unio, unia, ulo, ula, ulko, ulka, uleńka, i mówimy:
Piotrus, Macius, Bartus. Lud prosty ślicznie zdrabnia *chleb* na *chlebus*.
 Mamy dalej: *Stefcio, stryjcio, dziadzio, babcia, ciocia, dziadunio, ma-*
tusia, matula, matunia, matuleńka, Marynka, Frania, Franulka, Fra-
nuleńka, Franusia. Tego wszystkiego w stopniowaniu p. Z. nie zo-
 baczysz, a przecież to jest w języku!

Końcówka *ina*, zmienia czasami rzeczowniki w przymiotniki, np.
mamina, cioteczyna; 2^{re} zmienia znaczenie rzeczowników, np. z *księga,*
księżyna, co znaczy książka; ze *stoń, stonina*. Indziej nie oznaczają nę-
 dzy i słabości istoty, np. *okruchaj, okruszyna*. W imionach drzew wy-
 rażają gatunek drzewa, ale już nie drzewo pojedyncze, np. *grab, grabi-*
na, dąb, dębina. W imionach zwierzęcych, stopniowane zwierzę ozna-
 cza tylko mięso do jedzenia, np. *baran, baranina, wieprz, wieprzowi-*
na. Gdzież więc pochodność podobną wyrazów, gdy aż znaczenie zmie-
 niać mogą, do stopniowania zaliczać, które napiętość przymiotu tylko od-
 znać powinno!

Końcówka *ska* nie znamionuje zawsze zwiększenia przedmiotu,
 ale samo czasami politowanie wyraża, np. *biędne matczyśko!* W wyra-
 zach *panisko, panosko* końcówka ta jest obojętnego znaczenia.

Prócz tych stopni, jeśli wewnętrzne przetwarzanie się wyrazów, za ich stopnie uważać chcemy, mamy jeszcze końcówki: *al, aczek*, np. *syn, synul, synaczek*; *ica*, np. *panna, pannica*; *dziewa, dziewczka, dziewica*, i inne.

Przedstawmy rzędem zmianę końcówek wyrazu: *Jan, Janek, Janeczek, Janio, Janisko, Jasiak, Jaś, Jasiunio, Jasiczek, Jasineczek, Jasiśko, Jasiatko*. W tym wykazie ani tych wszystkich końcówek widać, które p. Ż. podaje, ani tak mało, jak u niego. Czegożeśmy przez to chcieli dowieść? Oto, że zjawisko zmiany etymologicznej wewnątrz wyrazu pozostającego przy swoim znaczeniu, żadnym nie jest stopniowaniem. Gdyby to było stopniowaniem, toby cechą jego stała, była podobna zmiana końcówek i jednostajność formy we wszystkich imionach ulegających odmianie. Dalej, w tej zmianie końcówek, nie widać żadnego przymiotu ulegającego stopniowaniu, widać tylko pojęcie większego lub mniejszego upodobania w nas do pewnej istoty. Przymiot wyrażony przymiotnikiem, leży w istocie, i on sam ulega stopniowaniu; tu zaś leży w nas upodobanie do istoty, ale nie mamy żadnego jej przymiotu na względzie, bo tylko cieniem indywidualność uczucia naszego do istoty. Czyż np. w przykładzie *ojciec, ojcuł, ojcułek, ojczyśko*, widzimy w jednym z tych wyrazów raz mniej ojca, drugi raz więcej ojca, trzeci raz zaś zgoła nic? Wcale nie. W różnym usposobieniu będąc, w różnym nastrojeniu umysłu i stanu duszy, wydobywamy z siebie kiedyniekiedy pieszczone lub pogardliwe słowa; to jednakże nie jest jeszcze stopniowaniem, i chociaż owe zmiany końcówek nazywano dawniej wyrazami: *zgrubiałemi i zdrobniałemi*, a to niezbyt było dobitne, atoli zawsze lepsze od tej teorii o stopniowaniu imion.

O liczbie podwójnej.

Wątpię, iżby w tym względzie autor szedł za Kopczyńskim lub Deszkiewiczem, bo znamy go z jego samodzielnego na rzeczy zapatrywania się; sądzę więc, iż ją dlatego w grammatyce polskiej umieścił, iż się nią niekiedy lud posługuje. Używanie jej atoli między ludem nie jest jednostajne, bo raz używa jej i wtenczas, gdy mówi w liczbie mnogiej, np. *weźma, chodźwa, zróbta*; drugi raz nie używa liczby pojedynczej, gdy powinien, ale się wyraża liczbą mnogą: *matko chodźcie, pićcie ojcie*. Czegoż ta zmienność w użyciu liczby dowodzi? Oto, że forma liczby *mnogiej* jest ładniejszą, gdy jej, z uszanowaniem mówiąc do kogoś, używa, od liczby *podwójnej*. Że ta jest tylko kształtem przechodnim do nadobniejszej postaci liczby *mnogiej*, jaką dziś spostrzegamy. Forma niby liczby *podwójnej* znikła w języku ukształconym i klasy oświecenijsze nie używają jej wcale. Sądzi się, że to się dzieje z pogardy dla ludu i aby się od niego odróżnić? Bynajmniej. To dlatego, że liczba *podwójna* u ludu, a i u nas *mnoga* jest jedną i tą samą formą w dwóch różnych dobach rozwoju językowego. Liczba więc *podwójna* w elementarzu faktów języka ukształconego figurować nie może, tylko chyba jako wspomnienie momentu historycznego w postępie języka. Zresztą, byłaby bezużytecznie. Po co liczba *podwójna*, gdy wszystko, co nie pojedyncze, należy do liczby mnogiej, nieokreślonej wcale! Język dzisiejszy piśmienny po-

winien mieć cechę powszechności, a nie specjalności, tém bardziej klasowości. On jest językiem wszystkich prowincyj, klas i indywidualów. Grammatyka powinna być nauką języka wyrobionego, nie mieszanego i wyrabiającego się dopiero. U nas więc liczby podwójnej w języku już nie ma.

O pisaniu ym im, za ém w przymiotnikach nijakich.

P. Ż. utrzymuje, iż pisać należy: *ym, im, za ém* w 6tym i 7mym przyp. przymiotników nijakich, opierając się na *duchu języka*, że *e* przed *m* nigdzie się nie pochyła, i na *powadze pisarzy Zygmunrowskich*. Dziwna rzecz, iż gdziekolwiek znajdujem zapórę przeciw indywidualnemu zapatrywaniu się naszemu, tam w te pędy wyrzekamy: „*duch języka temu się sprzeciwia*.” Należałoby już dzisiaj starannie rozróżnić te dwa całkiem odrębne pojęcia, mianowicie: *ducha języka* i *ducha*, że tak powiem, *pisowni*. Każdy z nich ma swoje państwo, nad którym drugi żadnej jurysdykcji nie rozciąga. Jestto, że się tak wyrażę, władza duchowna i świecka jak w Japonii rozdzielona między dwóch władców: *Kubo* i *Dairy*. Pierwszy czuwa nad czystością językowi właściwą, i nie dopuszcza wprowadzać zmian niweczających jego przyrodę; drugi samowładnie rządzi administracją jego zewnętrzną, dopuszczając zmiany, jakie za stosowne do wprowadzenia w czasie swoim uzna. Otóż w pisowni nie można się zastaniać duchem języka tworzącego formy, układającego po swojemu brzmienia, ale trzeba mieć na uwadze dogodność i łatwość wprowadzonych znaków, oddających też brzmienia i formy w najjaśniejszym odróżnieniu. Gdy Kopeczyński poddał prawidła odróżniania w imieniu przymiotnym przez pisownią innych przypadków, odrzuciła je powszechność, jako niepotrzebny ciężar pamięci, ale ortograficzne prawidło odróżniania 6go i 7go przyp. przez kreskowane *ém* przyjęła ze skwapliwością niesłychaną, bo mimowiednie może przeczuwała słuszność podawanego przepisu i instynktowo zgadywała jego użytek i potrzebę. To że przed *m* nie pochyła się nigdzie samogłoska *e* w imionach, jest niezbitym prawdą; już jednakże w słowach ogólności tego zjawiska znajduje wyjątek, bo są grammatycy, do których i sam p. Ż. należy, kreskujący *e* przed *m*, np. *jjém* (str. 128), co by powinno zachodzić także i w słowie *wiém*, z powodu ściągnięcia (kontrakcyi) tych słów, gdzie znak *é* kreskowane, jest przedstawcą jego. Ale pochylanie się z powodu fonetycznego i pochylanie się z powodu loicznego, także pewną stanowi różnicę, a ostatnie może służyć imiestwom, przymiotnikom, zaimkom i liczebnikom przymiotnym w 6tym i 7mym przyp. Kreskowane *ém* w ostatnim razie pomaga częstokroć rozumieniu rzeczy, szczególnież, gdy inna pisownia wprowadzałaby nas w wątpliwość z okazji podobieństwa tych przypadków z 3ciem liczby mnogiej. Zobaczmy to w przykładzie. Gdy piszę: *Tym wszystkim dał poznać swoje wyższość*, każdy może mieć, że końcówki *ym, im*, są końcówkami 3go przyp. l. m. osoby, gdy tu tymczasem *tém wszystkiém* stoi za *przez to wszystko*. Zdaje się, iż dla odróżnienia przypadków nie zawadzi zostawić w pisowni *ém* kreskowane.

2) Kreskowane *ém* odróżnia niekiedy imiestwowy i przymiotniki należące do imion rodzaju nijakiego, od przymiotników męskich w zdaniu jak p.

Ż. nazywa roztraconém (str. 197) przy sobie stojących, odnosząc je do swoich właściwych imion, np. *Coż powiemy o człowieku, ciągle w zaślepieniu swoim, trwającym.* Jeżeli w tym przykładzie obie końcówki napiszemy przez *ym*, to *trwającym do zaślepienia* nie zaś do rzeczownika *człowiek* mimowolnie, choć przecinek tam położony, odnosić możemy. Toż samo w następującym przykładzie: *W położeniu smutném zostającym nieraz się wymknie mimowolne: ach Boże!* 3) Przez *ém* króskowane odróżniamy dalej znaczenie spójników porównawczych, *czym, im, tym*, od 6go i 7go przyp. zaimka *tém.* *Tym większy jest człowiek, im więcej sobie samemu jest winien. Czym dalej w las, tymwięcej drewn. Tém dał mu uczuć jego nierozum.* 4) Za pomocą *ém* króskowanego odróżniamy znaczenie spójników z zakończeniem osobowém słowa od zaimka albo przymiotnika, np. *Ozym (ażulim) był, pytasz mię, a najlepšíj sam wiesz o tém, bośmy byli razem. Czém był Alexander W. każdy wie, bo imię jego żyje w historii.* 5) Nareszcie końcówką *ém* malujemy bardzo delikatny odcień i zręczne odkreślenie przejścia z przymiotników do rzeczowników nijakich, w 6tym i 7mym przyp. *To pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim.* Tu *swoje* jest rzeczownie wzięte. Toż piszemy: *pogłówném, komorném*, i taką pisownią zbliżamy owe przymiotniki lub przymiotniki rzeczownie położone, do końcówki imion rodzaju nijakiego, np. *morzem, zbożem.* Godna jest rzecz na to dziwne zjawisko trochę zwrócić uwagi. Zresztą może być, że język w swoim ciągłym łagodnieniu odrzuci owo ścieśnienie samogłoski *e* miłszjéj dla niego, w stanie swobodnym, otwartym, jak to zrobił z wyrazami *ony* za *one*, *ty* za *te*, i w 6tym i 7mym przyp. rzeczowników, gdy mówiono: *Visznawamy tho thym naszym listym* (z arch. 1400 r.) *wę-rzeniem swoim, widzeniem, rozmyślaním,* (z żywotu Chryst. Pana p. Ope-cia) i t. d., gdzie *e* zamiast *y* lub *i* nastąpiło. Nam na przyszłość niewolno jest żadnych praw rozciągać, bo ta nie nasza, a po swojemu nie po naszem urobi się zawsze, lecz pomagajmy pisownią naszą rozumowi do odróżniania wątpliwości, aby pismo było obrazem języka. Odwołanie się do powagi pisarzy Zygmunrowskich, gdybysmy nie wiedzieli, że przed nimi i współcześnie z nimi czasem *em* otwarte za *ym* lub *im* pisano, niewiele nam pomoże. Tak w wyjątku z archiwum r. 1400 stoi: *Piszan w Szkelwie po bozem narodzeniu pierwszego dnia liutha.* Z Agendy z 1511 r.: *Bosze Wszchemocznij daij wom sczijaszczije ij duschne zba-wijennije w tem stadlije.* Dalej w pisowni nie o to chodzi, jak pisano, ale jak pisać należy; wreszcie nawet w zbiegu dwojga dobrego roztrópnosc radzi wybierać większe. W zbiegu powagi złotego czasu piśmiennictwa świeżającego, z postępem pisowni nie wahamy się ani na chwilę przejść pod sztandar ostatniego, aby nam dziwactwa i uporu nie przypisywano.

Pisownia słowa jeść w czasie terażniejszym.

P. Ż. utrzymuje, iż słowo *jeść* w czasie terażniejszym pisać się winno: *jjém, jjész, jjé, jjémy, jjécie, jedzą,* (str. 128), powiadając (str. 126) „iż nas wrodzony instynkt ciągnie, abyśmy w czasie terażniejszym słowu *jeść* z przyciskiem spółgłoskę *j* wymawiali, jak gdyby podwójne było, wyjąwszy 3cią osobę l. m.” Wié p. Ż. jak sobie w po-

czątkach wyrabiającego się języka co do słowa *jeść* radzono, to jest: „*iz po utworzeniu słowa być i jego czasów, przystąpiono do wyrabiania słowa jeść za pomocą słowa być; mówiono więc, jeść jestem, jeść jesteś i t. d.* (str. 127). Z przedstawienia obrazu wyrabianego słowa *jeść* za pośrednictwem słowa *być* [którego (obrazu) prawdopodobnej wierności nie zaprzeczam wcale], nie widzimy, aby gdzie na początku występowało lub mogło występować podwójne *j*, lub do jednego *j* od słowa *jeść*, drugie ze słowa *jest* przybywało; mimo to więc, że samo przedstawienie jest dowcipne, wcale do tego na nic nieprzydatne, gdyż nam tu nie o formę końcówek, które nateraz są obojętne, ale o *jj* chodzi. Z tego obrazu nie dostrzegamy także powodu, dlaczego w 3-ciej osobie l. m. dwóch *j*, według przypuszczenia p. Ż. co do innych osób nie ma.

Teraz ocenmy dowód historyczny. Historia nauk powiada nam w ogóle jak co było, i że nie mogło być inaczej jak było, ale nie mówi wcale jak być powinno; to filozofia rozwiązuje, podobnie jak dzieje wykazują nam czyny dopełnione, ale daleko do tego, aby one miały być dla nas bezpośrednią nauką moralności! P. Ż. przytacza pisownią z księżeczki św. Jadwigi, gdzie 3-cia osoba czasu teraźniejszego od słowa *jeść* pisze się „*gye*.” To żaden dowód. To samo bowiem źródło dostarcza nam mnóstwo przeciwnych twierdzeniu p. Ż. dowodów. Spostrzegamy tam bowiem *gye* za *je*, „*a czynysz gye ucząstnyky thwney mykosezy* (135) *gyesthem za yestem*” *yz ya nye gyesthem dosthoyna patrzyez na thwe szwyathe czyato*, (116) *mogyey, twogyey, thagyemnycze, pygya, omygye*, i wiele innych. Jesliby pierwsze *gye* za *je* miało być dowodem mówiącym za używaniem podwójnego *j*, czemużby te wszystkie inne wyrazy tego nie miały doznawać przywileju? Godząc więc skutki równe z równą przyczyną, pisacibyśmy powinni: *ije, jjestem, twojjej, mójjej, tajjemnice, pijjg, omyjje*, i t. d. na to i sam p. Ż. nie zgodzi się wcale. Pisownia ta bowiem przekonywa nas tylko o tem, że tak wówczas pisano; że ortografia jeszcze podówczas nie miała żadnej jednostajności, że zatem raz pisano samo *y* na miejscu *j*, inny raz jeszcze *ig* przed niem bezpotrzebnie wkładano. Następnie odwołuje się p. Ż. do tradycyi ustnej, i mówi: (str. 128), że brzmienie to w podaniu ustnym wieki przetrwało i że dopiero p. Skibiński w Rozmówkach p. Bocquel szanując je (to podanie) pierwszy dobrze pisać zaczął. Nie możemy się na to zgodzić, aby tradycya tak ciasnym i wązkim płynęła korytem, iżby nikt o niej nie wiedział prócz p. Skibińskiego; musiałaby ona być podobną do owój rzeki np. *Gwadyany*, której wody płynąc jakiś czas po powierzchni ziemi, potem w nią wsiąkają, gdzieś popód nią płyną, i znów występują na widok. Tradycya przerwana przestaje nią już być. Przypuściwszy jakiejs do niej analogii, to jest musiałaby być w języku wyrazy na dwie też same spółgłoski zaczynające się, a tu prócz syków nigdzie się podobne zjawisko nie okazuje, bo żaden wyraz przez dwa mm, dwa gg, dwa kk, dwa hh, dwa H, nie pisze się wcale. Zatem pisownia słowa *jem* w czasie teraźniejszym ulega pisowni właściwej innym wyrazom, i żadnej wyjątkowości przez p. Ż. dlań podawanéj, przyjąć nie można.

O słowie posiłkowym *mieć* i czasach: *teraźniejszo*, *przeszło*
i *przyszło-przyszłych*.

P. Ż. utrzymuje (§ 161), że dwa mamy słowa posiłkowe, i że słowo *być* bez pomocy *mieć* obejść się nie może. Że to twierdzenie jest mylne, nietrudno będzie dowieść. Powiada p. Ż. o słowie *być* że jest: „*pierwotne i zapewne najpierwsze*.” Jeśli pierwotne, czemuż się bez pomocy słowa: *mieć* nie ostoić? Albo więc słowo *być* jest pierwotne, i z tego powodu nie potrzebuje i nie może ze względu na swoją pierwotność, przybierać żadnego innego słowa, którego przed niem jako pierwotnem być nie mogło; albo nie jest pierwotne, bo to które je posiłkuje, samo przed niem być musiało, kiedy mu jest potrzebne: w ostatnim więc razie mogłoby tylko być z niem współpierwotne. Ale słowo *być* jest pierwotnem, bo będąc słowem bytu, jest węgielnym tworzenia się słów i ich odmian kamieniem. Wszakże wiadomo nam zapewne, że końcówki słowne pochodzą z czasu teraźniejszego słowa *jestem* w formie uciętej *jem*, *jesz* (jeś) *je*, i t. d. np. *żywyjesz* pisano dawniej, a dzisiaj *żyjesz* zamiast *żywyjesz*, *żyweś* i t. d. Ale nie o to nam chodzi, mamy dowieść, że słowu *być* do urobienia całkowitego czasowania niepotrzebne jest słowo *mieć*. Słowo *być* w bezwzględnej swojej odmianie jako słowo bytu, nie może mieć żadnego słowa posiłkowego, albowiem byt sam się przez się objawia, a gdyby słowo bytu do oznaczenia swego potrzebowało innego słowa, nie oznaczałoby wtedy bytu w sobie, ale, albowy jakieśmy powiedzieli, były dwa słowa bytu, albowy go oznaczało w drugim słowie, a zatem samo przestałoby wyrażać pojęcie bytu. Tak nazwane przez p. Ż. osobliwie czasy *teraźniejszo*, *przeszło* i *przyszło-przyszłe*, nie są samą formą czasowania, stanowiącą taką jedność, jak czasu przyszłego słów niedokonanych (np. *będę* i *isał*). Te czasy nazywane *formą omówną* słów nie są dopełnieniem czasowania, ale jeszcze malują inne odrębne pojęcie, prócz pojęcia czasu; dlatego też jako takie później nastąpiły w języku, gdy język do tyła się wyrobił, że na oznaczenie pewnych pojęć w skrótce, już (język) postaci mownej używać zaczął, nazwanęj: „*wyrzutnia*.” Gdy miano wyrazić nie samą nagą przyszłość, to jest porę działania lub bytu, pamiętajmy to dobrze, ale potrzebę, powinność, konieczność, cel, zamiar, chęć; natenczas wyrazy te ze słowem *mieć* używane, jako łatwo domyślne wypuszczano, samem słowem *mieć* przy którym stały, posługując się tylko. I oto słowo *mieć* w swoich odmianach zwyczajnych z innym słowem w trybie bezokolicznym położonem utworzyło nową formę czasowania, omówną zwaną. Taka forma słów nie czasu, głębokością loiki języka naszego, inne języki wszystkie prześcigająca, będąc utworem późniejszym nie przesądza na niekorzyść słowa bytu, bo powtarzam nie oznacza prostego czasu przyszłego, ale zawiera pojęcie uboczne tej przyszłości, czasem innemi także słowami, a mianowicie *nierzupelnemi* oddawane. Jeśli słowo *mieć* dlatego że się przed słowem posiłkowym *być* kładzie, uważać będziemy za drugie słowo posiłkowe, to chcąc być awoźni (konsekwentni) musimy przyjąć za równie posiłkowe, słowa: *myśleć*, *zamierzać*, *pragnąć*, *chcieć*, *winiennem* i t. d., bo te słowa podobną, chociaż w swój sposób, słowu *mieć* funkcją wypełniają. Wszakże nieraz słowo *mam* można oddać przez słowo: *muszę*, *powinennem*, *potrze-*

ba mi, a przecież tych słów nie nazywamy posiłkowemi. W formie *zwyczajnej* czasowania wyrażamy tylko po prostu wzgląd na porę czasu, w formie zaś czasowania *omownej* za pomocą słowa *mieć*, z dwóch słów przy sobie stojących każde swoje pojęcie wyraża, a zatem jedno jest drugiego dopełnieniem, nie dopełnieniem formy, (jak np. w *będę pisał*), bo czas przyszły jest: *napiszę*, ale dopełnieniem pojęcia. Na tych więc, przez p. Ż. wprowadzonych czasach, pełne prostoty czasowanie naszych słów, co do bogactwa formy nie a nic nie zyskało, a straciło wiele!

O czasie zaprzeszłym i warunkowym.

P. Ż. wyrzuca z naszych form czasowania czas zaprzeszły, przytaczając dowcipny przykład (str. 138): *byłaby baba babita*, na poparcie swego twierdzenia, iż brzmi niemile. Zapewne, że w podanym przykładzie on aż nadto przeciw dźwięczności wykracza, ale za tém jeszcze nie idzie, aby *czas zaprzeszły* był niepotrzebnym. Wszakże są wyrazy w języku które trudniej wymówić przychodzi, ale dlatego je zachowujemy i przeciw harmonii mowy nie wykraczamy, gdy ich tylko w skupieniu przykrych brzmień innych z niemi nie używamy. Czemuż czasu tak dął zwanego *zaprzeszłego* nie używać, gdy on jest nieraz potrzebą loiczną. Zgodziłbym się na to, aby téj jego formy nie nazywać czasem zaprzeszłym, bo to jest służalczem tłumaczeniem obczyzny do naszego języka nieprzystającym; ale wolałbym był, gdyby autor zamiast nas raczyć swojemi czasami *warunkowemi bezwzględniemi* (?!) *warunkowemi względno-bezwzględniemi* (???), był słowo powiedział o *czasach względnych*, a tam mógł się i *czas zaprzeszły* pomieścić. O czasach względnych to jest o formie czasów takiej, gdy dwie czynności słowa wzajem od siebie zależą, należało się coś powiedzieć, bo przecież tego często w języku naszym nagadza się (przytrafia się) potrzeba; tém bardziej, iż p. Ż. *tryb łączący* wyrzucił i słusznie. Gdy *trybu łączącego* nie wmieścił autor do form czasowania, na to się zgadzamy, ale gdy tryb warunkowy liczy między czasy (136—137), na to nie przystaje nasz język, bo się zdrowej jego loice sprzeciwia. Niech sobie Francuzi, do całej swojej fury czasów przeszłych dolożą jeszcze i *czas warunkowy*, to w przechwalonym co do jasności języku ujdzie; ale w naszym nie uchodzi, bo my nie rozumiemy co to jest *czas warunkowy*. U nas *czas* zawsze tylko oznaczał wzgląd na porę bytu, stanu lub czynności słowa i nigdy innego względu wyrażać nie może. Do oznaczenia innych względów, służą *tryby*, a czego te nie zrobią w słowie, to uskutecznią *przystówki* i *spójniki*. Pomyślmy tylko nad tém, co by można rozumieć pod wyrażeniem: *czas warunku!* Nic. Znamy i rozumiemy *czynność warunkową*, *stan* i *byt warunkowy*, to jest od pewnych zależny warunków, ale czasu nigdy. Wzgląd warunku tryb wypowiada, bo w jego samej nazwie *tryb* albo *sposób*, leży już powołanie jego, to jest możność wyrażenia i warunku.

O przedimkach stanowiących przejście do przysłówek i o przysłówkach wśród, około, wzdłuż, podług, zamiast, względem, nakształt.

Niewielką tém przysługę p. Ż. zrobił rozumowości języka naszego, iż wielką część prawdziwych *przymków* w tak zwaném *przejściu do*

przysłówek wmieścił, a niektórym *przysłówkom* odmówił charakteru przyimkowego. Im bardziej który wyraz jest odkreślony od drugiej części mowy, tém prędzej jego naturę zbadać można; im mniej zaś ma indywidualności, a więcej cech takich, które innym częściom mowy służą, tém mniej, że tak powiem, jest wyrazem. Dotychczas cechy ostrzej odrysowane wyrazów za *przyimki* mianych, dostarczały zasady podciągania ich do rzędu *przyimków*. Za takie uważane były: *z, za, dla, bez, przeciw, naprzeciw, mimo, pomimo*; dzisiaj p. Ż. wykrywszy w nich podrzędne piętna, zalicza je i mnóstwo innych pod kategorią *przejścia* do *przysłówek*. Rozbierzmy to bliżej. Co do przyimka *dla*, gdy twierdzenie autora na żadnej zasadzie nieoparte, dosyć mu zaprzeczyć, to już walny przeciwdowód.

a) W przyimku *z*, uważał p. Ż. cechę przysłówkową dlatego, że oznacza: *niemał, blisko, prawie co*. To jeszcze nie niweczy charakteru jego przyimkowego, a nie przemawia za jego naturą przysłówkową. Nie kładzie się bowiem osobno przy słowie jak *przysłówki*, ale zawsze do imienia należy; nie oznacza żadnej okoliczności słowa, i nie jest, że tak powiem wyrazem zupełnym sam przez się, bo nawet głoski nie stanowi, potrzebując się dopiero oprzeć na jakim imieniu. To, że *przysłówek* na miejscu jego położyć można, nie na jego stronę nie przesądza, bo któreż wyrazy w owej rozległej postaci mowy, *zamiennią* zwaną zastępców mieć nie mogą? Ale kiedy *z* oderwać nie można od imienia i przełożyć osobno, to już stanowi cechę główną przyimka. To zaś, że z różnemi przypadkami stać może, dowodzi wielkiej jego starożytności w języku, gdzie brzmienie, ów punkt zapłodkowy słówka, nie miało jeszcze swojej odrębności wyrazu, i dopiero jej z postępem języka nabierało. Zresztą, taką naturę jak *z* okazują także *do* i *na*, np. *Było do 400 osób na balu: na 100,000 złotych ma straty*. Tu *do* i *na* znaczy: *tylce co, prawie, blisko*, i t. d.; a przecież później p. Ż. nie widzi w nich natury przysłówkowej.

b) *Za*, ma być dlatego *przysłówkiem*, że znaczy obfitość lub nadmiar przymiotu i że jest wyrazem podziwu. Słowo *za* równie jak *z*, sięga że tak powiem samej kolébki języka, jak tego rozliczność jego znaczeń różnogatunkowych niezbitcie dowodzi. W żadnym razie nie może być przysłówkiem. Gdy oznacza nadmiar przymiotu, nie jest przysłówkiem, ale słówkiem odcień przymiotu w przymiotnikach malującym, podobnym do innych przyimków w skład słów wchodzących. To słówko odcień przymiotu wyrażające, nie poza przymiotnikiem stać ma, ale łącznie z nim lub pośrednio przy nim, bo jeśli ma co z charakteru przysłówka, to to, że obok przymiotnika lub przysłówka stać musi, i to nie za nim, ale przed nim. To słówko *za*, równie cieniuje swoim sposobem pojęcie przymiotu, jak przyimki *przy* i *prze* swoim, a ostatnich p. Ż. do przysłówek nie policza; mówi się bowiem: *przytrudny, przytępy, prześlizny, precudnie*.

c) *Przeciw*, należy według p. Ż. do przysłówek, bo w skład słowa nie wchodzi. Że w skład słowa nie wchodzi nie w tém dziwnego, ale wchodzi w skład przymiotników, które zawsze po słowie z natury jego dziedziczą; mówi się np. *przeciwległy*. Dalej sam ten wyraz od słowa *przec* pochodzi, niby: *przeczyć, zapierać*, mógł być rzeczowni-

kiem niegdyś, bo są ślady w języku iż się odmieniał przez przypadki z przyimkiem, np. Petrycy mówi: *Jest zprzeciwia rozumowi, za; sprzeciwia się rozumowi, ale od najdawniejszych czasów za przyimek uchodził nietylko u nas, ale i u innych pobratymczych języków. Zresztą to, że jest dwuzgłoskowy, nie dowodzi jego natury przysłówkowej, gdy wiadomo, iż, aby z tego zrobić przysłówkę, dodać należało zgłoskę: nie; zatem od *przeciw, przeciwnie*. Ostatnie jest przysłówkiem, przyimkiem pierwsze. Końcówka bowiem w przysłówkach jest także ich cechą odróżniającą i téj pomijać nie można, gdyż forma zewnętrzna jest także czémśiś, na co wzgląd dawać należy.*

d) *Mimo* nie jest przysłówkiem dzisiaj, ale przyimkiem. W grammatyce dzisiejszój powtarzam zawsze, nie chodzi nam o to, czém co było i być mogło, ale czém jest. Przyznajemy p. Ż. słusność, że *mimo* może pochodzić od *mijać*, ale nie zgadzamy się na to, aby było przysłówkiem. Z tego, że samo nieraz przy słowie stoi, nie wynika jeszcze, aby było przysłówkiem, bo to jest skutkiem postaci mownej zwanój *wyrzutnia*, gdyż wyraz łatwo domyślny można ze zdania wypuścić bez szkody zdania. Gdy mówię „*to puść mimo*” dorozumiewamy się wyrazu *siebie* bez trudności.

e) *Bez*. Co do tego przyimka sam autor przeciw sobie samemu rozumuje mówiąc (str. 262): „*Tém jest bez względem imion, czém nie względem słowa; ten zaprzecza działania słowa, tamten maluje brak, niedostatek rzeczy, czyli jój zaprzecza.*” Więcej nam nie potrzeba nad samo udowodnienie autora, że *bez* jest przyimkiem, gdyż według tego co powiedział. maluje wzgląd wyłączenia lub braku, przy imieniu. Co do tego, co autor wie dobrze, iż *bez* jest szczątkiem jakiegoś rzeczownika, mam honor najuroczystszy zanieść protest. Dowiedzionóm jest zjawiskiem, iż jeśli rzeczowniki były kiedyś w języku, to nigdy z niego nie znikły, bez zostawienia pewnego śladu, czy w odmianach pewnych samopas po języku tułających się, czy w pochodnikach od nich. *Przyimki* są wyrazami najkrótszemi, które nigdy żadnego pojęcia rzeczy w sobie zawierać nie mogły, a musiałyby to oznaczać, gdyby z popiołów rzeczowników powstawały. *Przyimki*, jakieśmy to już tylokrotnie powiedzieli, samo pojęcie względu, stosunku, odniesienia się do imienia wyrażały; a gdy *bez* ten stosunek dotykalnie tak przy każdym rzeczowniku jak i imieniu słowném wyraża, więc jest *przyimkiem*. Co do niego zatem, przypuszczenie iż ze szczątków rzeczownika powstał, jest bezzasadne, a to z powodu, że w rozwijaniu się języka, wyrazy ze znaczeniem rzeczy, nie mogły przejść w wyrazy względów tak dla oka zmysłów nieujętych, iż je duch języka tylko w najwyższém napięciu rozumu i fantazyi, jako coś tak eterycznego i bezcielesnego mógł stworzyć.

f) Co do wyrazów *wśród, podług, zamiast, naksztalt* i innych, które już autor nie *przejściowemi* wyrazami do przysłówek, ale przysłówkami tylko być sądzi, nadmienię te uwagi. Ze przysłówki i wyrażenia przysłówkowe mogą pełnić usługę przyimków, to nie nowina, ale te przysłówki przez zwyczaj, długie używanie i przedawnienie w takim stosunku i takiój atrakcyi do imion stały, iż już ich dzisiaj do przysłówek policzać nie można, i rząd im nadawać samym przyimkom właściwy. One już bowiem nie oznaczają dopełnienia pojęcia przysłówkom *blisko-*

ści lub odległości właściwego, ale dopełnienia względu nierozłącznego z imieniem; z tego powodu same nie stoją, ale zawsze przy jakimś imieniu, a czy one są pojedyncze czy złożone, nadewszystko są *przymkami*.

O rządzie przymków podwójnym.

Mówiąc autor o rządzie przymków podwójnym, zadaje sobie pytanie (§ 293 uwaga I): „*dłaczego przymki nasze, gdy przy nich malujemy dążność, rządzą przyp. 4tym; gdy zaś wyłącznie miejsce samo przedstawiają, rząd ich rozbiega się na spadek 6ty i 7my. Skoro z okolicznością dążności rządzą wszystkimi przypadkami 4tym, po usunięciu tej dążności powinny wszystkie także rządzić jednym: albo szóstym, albo też siódmym; wszak gdzie przyczyny jednakowe, tam skutki powinny wynikać jednakiem?*” Na to odpowiadam: przymki nie powinny być uważane tylko jako należące do imion, ale w związku ze słowami, które ich wymagają jako dopełnienie swojego rządu. Wszakże nienapróżno wyrobiły się formy przypadkowe w języku; one były skutkiem wewnętrznej potrzeby jego, były wpływem stosunków słowa do imienia. Gdy atoli słowo wszystkich odniesień się swoich do imienia za pośrednictwem przypadków oddać nie mogło, musiało wziąć na pomoc przymki do odmalowania tych względów, których same formy przypadkowe nie oddawały wcale. Dlatego przymki rządzą przypadkami, ale niemi samemi znowu rządzą słowa; dlatego jeśli te słowa mają przy sobie pojęcie spoczynku, przymki wtedy z przyp. 6tym lub 7mym łączyć się muszą, a z 4tym mimo rządu przymków jaki mają, nie mogą. Kiedy więc autor mówi: „*ż po usunięciu tej dążności powinny wszystkie rządzić jednym przypadkiem,*” zapomina o tej kardynalnej prawdzie, że pojęcia tej dążności znieśćby nie można, bo ta nie od nas zależy, ale jest nieodłączną przy słowach ruchu, którego cel, kierunek, zmierzanie muszą być jakieś, a ruch bez celu, bez kresu swego i końca, byłby wyrazem bez treści, nieloiką, niedorzecznością (absurdum); a tej w języku naszym nie znajdziesz. Wybijmy więc sobie z głowy przedewszystkiém to przypuszczenie, bo tu już w niém leży błąd organiczny przeciwkoice. Pozostaje więc odpowiedź na zapytanie: dlaczego przymki oznaczające miejsce, nie wszystkie rządzą przyp. 7mym? By sobie na to pytanie odpowiedzieć, niepotrzebne jest szkalowanie łaciny, do którego się udaje p. Z., nie w tém niewinnój; jeśli to zresztą winą nazwać można, że jedne przymki tym, drugie innym rządzą przypadkiem. Dajmy powtarzam pokój łacinie, ma ona już i tak sprawiedliwie za swoje, ma ona słusznie za co u nas cierpieć, poco ją lżyć jeszcze i niesłusznie trapić! Szukajmy powodu tam, gdzie jest, nie tam, gdzie go nie masz. Najprzód trzeba nam wiedzieć, że jeśli język polski z częstych bardzo a koniecznych historycznie stosunków z łaciną, winien jej swoje syntaktyczne wyrobienie, to nie wyrobienie form przypadkowych, a tém bardziej rządu przymków. Wszakże krynica z której on wypłynął jest nam znana; ze wspólnego źródła słowiańskiej mowy rozlały się rozliczne strumyki, dziś w potężne rzeki wzbране. Z niego urósł język polski, oraz tyle innych nam współplemiennych języków. Jeśli łacina działała na język polski, to nie działała, przymkami, w tej napiętości na język np. ruski i inne. Jeśli w nich formy przypadkowe są te same co u nas, choć nieco różne, jeśli przymki

u nich rządzą temi samemi przypadkami co u nas, gdzież jest wina łaciny? Różne przyczyny powinny wyradzać różne skutki, a gdzie są skutki jedne, tam i przyczyna ich wspólna. To wszakże wiadomo, że początkowo przyimki żadnym nie rządziły przypadkiem, dopóki język nie wyrobił sobie form przypadkowych imienia; np. *Nye odrzuczay mye przez ma velika zgloba* (dla méj wielkiej złości. Ks. św. Jadwigi 47). *Gdy yesz na prawycza szwyathey Trojczce pomyesczona w korona szlawy* (65 k. S. J.). *I będzie jako drzewo jeż (które) szczepiono jest przy ciekących wód* (z psal. Dawida). Z tego widać, jak język wspólny dobierał dopiero stosownych przypadków do przyimków, a nie miał jeszcze żadnych form stałych. Z tego powodu i dziś wążają się po języku naszym wyrażenia, w których nie umiemy zdać sobie sprawy z rządu przyimkowego, a które nam przypominają pierwotny rząd, dopóki stałego nie nabrały, np. *iće za mąż, wsiadać na koń*. Z tego widać, iż język w urabianiu form przypadkowych i dobieraniu do przyimków stosownych przypadków, szedł za poradą wewnętrznego instynktu, za natchnieniem własnego ducha, tylko praw fizyologicznych głosu słuchającego; a w wytworze swoim wewnętrznym żadnych napływów lub zewnętrznych nanosin do rady nie wzywał. Owszem artykułował brzmienia swoje organicznie do zasad fonetyki, symfonii, harmonii i loiki. Tych wszystkich zasad stałe zformułować nie można do każdego danego przypadku, ale ich przewagę wszędzie ujrzyć w mechanizmie naszego języka. Czyż pojęcie miejsca tylko temi dwoma przypadkami oddajemy? czyż nie ma przyimków także innemi przypadkami rządzących? poco chcieć ściągąć wszystko do jedności formy, która jest dopiero w grobie, a tam gdzie życie płynie, jest rozmaitość! Dlatego nie mogę się z p. Ż. i na to zgodzić, „*jakoby Polacy pierwotnie spadkiem 7mym na e wyrażali miejscowość w wyrazach: poddasze, pomorze, przedmurze*.” Tu albowiem w formowanych rzeczownikach jest przyp. Iszy rzeczownika w skład wchodzącego, inaczej bowiem, rzeczownik złożony nie mógłby się utworzyć, gdyby rząd już przyimków był stały; bo ten rząd stały nasuwałby nam pojęcie rozdzielone między względem przez przyimek oddawanym, a rzeczownikiem dopełniającym go pewną formą przypadkową, a toby nie mogło stanowić jednolitej całości zwanéj rzeczownikiem złożonym. Jeśli nie przypadek Iszy, to przynajmniej forma bez lub innoprzypadkowa w skład nowego rzeczownika wchodzić musiały, jak mamy np. *bezrząd, przysługa, bezcen*, a nigdy, jak chciał p. Ż. Powód tego jest, że przyimek w skład rzeczownika wchodząc, dodał mu pewnego odcienia w znaczeniu, jakie sobą przedstawiał, a zarazem wszedłszy wewnątrz, stracił swoją odrębność wyrazową, i tylko mógł być w nim uważany jako część składowa złożonego wyrazu, ale nigdy jako część mowy, rząd, na stojący obok siebie rzeczownik, wywierająca.

C. CO DO UKŁADU I SPOSOBU PRZEDSTAWIENIA DZIEŁA.

Chcąc to należycie ocenić, musimy oddzielnie obie części dzieła uważać.

a. W pierwszej części materya, nie można temu zaprzeczyć, organicznie się rozwija, jest jakiś ciąg wewnętrzny całości, jakaś kolejność loiczna pojęć. Paragrafowanie jest wierne, ale pojedyncze paragrafy nie-

kiedy chybiają swego celu; np. w § 110 niczego się o liczebnikach nie dowiemy z tego, że się niemodelnie odmieniają, i że są pierwotnikami w kolebce języka powstałemi; § 112 nie więcej ma w sobie jak to, co w napisie (tytule) stoi. Paragrafy 144ty i 145ty, równie jak 52gi i 53ci niepotrzebnie są rozdzielone. § 197 powinien wyprzedzać wszystkie modły, albo iść za niemi, ale nie stać dopiéro pod 1szą modłą, gdzie ogólne uwagi. Język jest niezgorszy, tylko bezużytecznymi neologizmami najeżony, i nie ma dosyć jedności i należytej ścisłości naukowej. Określenia niezawsze dokładne, choć zamiast definicyj idą omówienia pojęć i wyrazów; np. na str. 2 takie p. Ż. daje pojęcie wyrazu: „Gdy patrzę na rzecz jaką, bądź zmysłem, bądź umysłem, widzę ją i poznaję; poznawszy, chcę ją nazwać: więc mówię np. stół, drzewo, książka, pióro, rozum i t. d. Otóż głos wymówiony ustami lub napisany: stół, drzewo, i t. d. są wyrazami czyli znakami téj rzeczy, którąśmy patrząc na nią, poznali.” Wiadomo bowiem jest, że chęć sama za uczynek nie stanie, ale prócz rzeczy albo jój obrazu w głowie, winno być do niój przywiązane brzmienie głosowe, jakiś kształt fonetyczny, bez którego rzecz pozostanie rzeczą w myśli, ale się wyrazić czyli uzewnętrznić nie da, jeśli ją jakoś nie nazwiemy. Podobnie określenie mowni, (§ 1) jest zbyt scholastyczne, językiem szorstkim, ciemnym i nieogładzonym oddane. Podział mowni na mownię zewnętrzną i wewnętrzną jest nadzbyt abstrakcyjny, któryto podział tém jest niewłaściwszy w nauce grammatyki, abstrakcyi oderwanéj od człowieka i zewnątrz niego jako przedmiot postawionéj. Tu bowiem abstrakcyja w tym podziale podniesiona jest, że tak powiem do kwadratu, a uczący się chcąc go zrozumieć, musiałby dopiéro z niój pierwiastek kwadratowy wyciągnąć. Klasyfikacyja form słownych za obszerna, (od 126 do str. 176), możnaby ją było ująć w 4ry modły, bo 4ta, 5ta, 6ta i 10ta, rzeczywiście jedną stanowią, bo charakterem ich wybitnym jest przybieranie *j* lub zmiana w *j* w czasie teraźniejszym słów niedokonanych, a przyszłym słów dokonanych. Modły 2ga i 7ma, w jedną zbite być mogły, bo 2ga i 3cia osoba czasu teraźniejszego jednako się kończą; 3cia zaś 1sza i 8ma cechują się podobnemi końcówkami w czasie teraźniejszym. Prócz tego niedokładnie obrobiony przedmiot, a nie wiedzieć np. gdzie słowa: *wiem, śmiem, rozumiem, umiem, powiem*, odnieść mamy. Z niedokładności wyrażenia popada p. Ż. niekiedy w sprzeczność, jak np. mówiąc (str. 68) o tém, które przymiotniki ulegają stopniowaniu bezwzględnemu, powiada. „Takie tylko przymiotniki ulegają stopniowaniu bezwzględnemu, które z rody swéj malują przymioty dobre. Nie można powiedzieć, wyraża się dalej: wielkuchne drzewo, ogromniuchna góra.” Wyrazy jednakże *wielki* i *ogromny* nie malują złego przymiotu wcale; np. *wielki człowiek, ogromna pamięć*. I przeciwnie, gdy mówię *mały postęp robi w naukach*, *mały* nie jest przymiotem dobrym, a przecież da się stopniować. *Mądry* według reguły powinien się być odmieniać, a nie odmienia się; *głupi* nie powinien, a stopniuje się przecież. Tu więc coś zapomniał dodać, zdaje mi się autor, coby mogło być uwadze jego pewną nadać ważność.

Częstokroć zbyteczne rozwleczenie materyi naraża go na sprzeczność z sobą, jak np. gdy mówi o zasadzie słowa (§ 154). Najprzód bowiem tryb bezokoliczny autor nazywa *pierwociem słowa, w którym*

wszystkie części słowa się znajdują, z którego się całe drzewo słowa rozwinęło. Nie powiada nam p. Ż. jakiego części słowa w trybie bezokolicznym się znajdują, a my się ich domyślić nie umiemy! Powiedziawszy autor, że tryb bezokoliczny jest *niewątpliwém pierwociem* słowa, przechodzi, szukając téj zasady, do części *pochodnej*, z której wydobywa zasadę, a tą jest 3cia osoba l. p. czasu przeszłego rodzaju męzkiego. Po co rozumowanie poprzednie o pierwociu słowa w trybie bezokolicznym, gdy go autor znowu w części pochodnej dopatruje? Ta część pochodna, już dla swojej nazwy, zdaje się być czémśiś niecałkowitem, a ona ma być podstawą całości, z której wydobywamy zasadę! Łączność tego pojęcia, to jest wydobywania zasady z jój wydobyciem jest niezbędną, autor tymczasem podaje nam osobny na to paragraf (155), gdzie mówi o tém, co już poprzednio powiedział, to jest iż 3cią osobę l. p. czas ter. w rod. męz. uważa za zasadę. Nakoniec powiedziawszy, że tryb bezokoliczny jest pierwociem słowa ze wszystkimi swojemi częściami, że czas przeszły jest częścią pochodną z której wydobyliśmy zasadę, wyprowadza z owéj części *pochodnej bezpośrednio* (§ 156) *części słowa*, i między innymi tryb bezokoliczny, owo *niewątpliwe pierwoce słów* wywodzi. Jeśli zasada słowa t. j. czas przeszły jest częścią pochodną, więc to, co z zasady a części pochodnej wypływa jest już pośrednią i to bardzo małą cząsteczką. Tu więc tego zrozumieć nie można, co to znaczy, iż tryb bezokoliczny jako pierwoce słowa jest *bezpośrednim utworem* części pochodnej. I jeszcze (§ 157) na dobitkę owe części bezpośrednie utworzone z części pochodnej nazywa *głównemi*.

b. W części drugiej, z której p. Ż. sprawiedliwie wypuścił umieszczoną dotąd ciągle naukę o więszowaniu, jako nie do grammatyki należąca, ale z niéj niesłusznie naukę o postaciach grammatycznych wiele zjawisk w składni tłumaczącą, wykluczył; już nie ma téj organiczności rozwoju, widać jakieś przeskoki; rzecz tu nie płynie sama, ale się jakoś zszywa, dolepia. To co następuje nie jest konieczną, rozumową następnością tego, co poprzedza. I tak po nauce o zdaniach i okresach wmieusza zaraz autor znaki pisarskie (§ 250) gdy nie wiemy jeszcze nic o szyku wyrazów w zdaniach i zdań w okresach, a więc nie jesteśmy jeszcze dosyć przygotowani, do zrozumienia ważności znaków przestankowych. Po znakach pisarskich ni ztąd ni zowąd następuje składnia szyku, § 254. Myśl nie może uchwycić żadnego związku między tém co poprzedzało, a co następuje, i mimowolnie spostrzega jakąś przerwę lub łataninę doklejanie. Nieraz co trudniejsze, przeciwnie idzie piérwéj, co prostsze i łatwiejsze, późniéj; jak np. naukę o *składni szyku*, sadowi przed nauką o *składni zgody i rzędu*, a przecież ostatnią należało piérwéj rozebrać i z gotowemi pojęciami przystąpić do zrozumienia składni zgody, co dopiéro doprowadziłoby nas do zbawiennego końca w składni szyku. Przestrzenna rozległość przedmiotów traktowanych nie powinna była skłaniać autora do wykraczania przeciw metodzie loicznej, wiążącój wszystko po kolei w jedną żywozną całość. Tu bowiem nie żadna mowa albo oratorska chryja, ale przedmiot naukowy, w którym wszystkie części niekoniecznie mają być odmierzone, aby sobie równe były, bo to od wątku rzeczy zawisło. Rzecz w ogóle zbyt pobieżnie przedstawiana, i dla wielkiéj krótkości ciemno wyłożona, jak np. *nauka o zdaniach*,

z której bardzo płytkiego i miałkiego o ich ważności nabieramy wyobrażenia. Taż sama krótkość a nie zwięzłość mąci pojęcia, jak w rzeczy o szyku mowniczym czyli najnaturalniejszym (§ 256), gdzie najprzód idzie *miotnik*, powtóre *złącznik*, potrzenie *objawnik*, albo przedmiotnik, następnie, mówi p. Ż., miejsca zajmują *określenia*. Po liczbie 3 idzie 4, 5 i t. d., czy więc wszystkie określenia idą na 4te miejsce, czy kolejają po sobie, to tu nie wiedzieć którym znowu z nich dać pierwszeństwo, boć przecie nie wszystkie określiki idą na koniec zdania, a gdy wszystkie główniki mogą być określane, nie ma na nie miejsca między liczbą 1 a 2, między 2 a 3. Często paragrafy nie mają odpowiedniej sobie długości, jak np. § 250 i 251 mogłyby stanowić jeden, bo pierwszy mówi o znakach pisarskich, drugi je wylicza. Za to § 252 jest niezwykle długi, bo 6 przeszło kartek zawiera; lepiej było każdemu znakowi przestankowemu osobny dać §, a przykłady gromadnie za niemi idące, kategorycznie pod każdym znakiem umieścić. Pomiedzy znakami pisarskimi, które właściwiej przestankowemi nazwać można było, kładzie autor: §, *rozdział*, *księge*, *tom*, *dzieło*. Gdyby był p. Ż. to przynajmniej gdzieś w odsyłaczu lub uwadze, jako coś podrzędnego umieścić, jeszcze pół biedy, ale policzać do głównej treści o znakach przestankowych, to już nie uchodzi! Zdaje się, iż do popelnienia tego błędu dwójznaczność obranego terminu na znaki przestankowe, „znaki pisarskie” doprowadziła. Wyraz bowiem pisarz, jak jest wiadomo, znaczy człowieka umiejącego pisać i piszącego dzieła. Znaki przestankowe są ku pomocy czytającemu, aby myśli w piśmie należycie rozumiał, a czasami nawet sam ton mówiącego. Okres dla nas jest w pisowni najwyższą całością, bo chodzi o to, aby długiego okresu nie było trudno czytać i rozumieć; ale całych paragrafów, rozdziałów i tomów nikt jednym tchem przeczytać nie potrafił! Następnie zawiele metafizyki i uwag niepotrzebnych w elementarzu grammatycznym, a niektóre tak ciemne jak nauka o działaniu ducha (§ 299) i w następnych paragrafach przy tworzeniu się myśli, iż przepraszam za wyrażenie, ale trzeba by je podać poprzednio do przetłumaczenia na polskie, bo w niej prócz miotów i jaźni, żadnej nie dojdiesz myśli. Najszkodliwsze jednakże w Mowni p. Ż. jest *potępienie drugich* (w odezwie i *wdawanie* się w krytykę, czego w części organicznej nauki być nie powinno. Przez to bowiem zaprawia się młodzież do mędrkowania i niedowiarstwa (sceptycyzmu) naukowego, kiedy ona wiarą zaczynać powinna, to jest nabierać poprzednio pewnych myśli, pojęć i wyobrażeń, nim będzie zdolną do wystąpienia krytycznie; bo krytykować łatwo, ale z rozumieniem rzeczy ciężko jest nieraz. Niektóre przedmioty krytyczne należało p. Ż. poprzednio w pismach publicznych wyświecić, a tu już samą, że tak powiem, dogmatykę podać. Inaczéj bowiem młodzież zrywa się do przedwczesnego mędrkowania nad tém, czego nie pojęła i nie przetrawiła; umysłu swego nie bogaci treścią, ale już trawi siły jego rozbiorem i nabywa przez to rozumu bez dna, a ruchomego jak fala morska, i zaczyna mieć upodobanie w wielkości swojej, na próżni i czezości ducha opartéj. Skończyłem.

A. Kudasiewicz.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

W *Archiv d. Vereins d. Freunde d. Naturgesch. in Mecklenb.*, pismo które E. Boll wydaje, w zesz. 2 z r. 1848 czytamy: „Nieraz postrzegano że odlotne ptaki jednego roku wcześniej, drugiego później na wiosnę wracają, i ta niemierzytelność nietylko co do dni, ale częstokroć i co do tygodni zachodzi. Tak np. pierwszy bocian w okolicach Nowego Brandenburga w r. 1842 ukazał się na dniu 14 kwietnia, w r. 1846 22 marca, 1847 18 marca, 1848 nawet już 13 marca. Słusznie składamy przyczynę podobnych zjawisk na różne przygody którym te wędrowniki w swojej dalekiej podróży podlegać mogą; czasem też i nie pojmujemy dlaczego, gdy powietrze u nas łagodne jest i piękne, pierwsi oznajmiciele lepszej pory roku, czajki, szpaki, pliszki i t. d. jeszcze się nie ukazują. Ale nie pamiętamy na to, że nie wszędzie są te same warunki przyjazne dla pomienionych gości. W czasie gdy słońce u nas przyjaćielsko się uśmiecha, może dalej o kilka mil tylko ku południowi, leży jeszcze nieprzebity mur śniegowy, przed którym bojaźliwe dzieci łagodniejszej strefy ze strachem się cofają, bo nie mogą wiedzieć jak tam jest za nim w rodzinnych stronach: czy tam już nakryto stół dla nich i przygotowano im mieszkanie. Wypada przyjąć, że wszystkie wędrownie ptaki mierzytelnie na ten sam czas z miejsca pobytu swojego ulatują, bo ta peryodyczność wyraźnie się okazuje w obudzonej żądzy powędrowania indywiduów w izbie cbowanych; lecz że stan powietrza albo opóźnia, albo przyspiesza ich podróż. Trudniej jest wszakże rozwiązać pytanie: dlaczego czasem zapóźniają się pojedyncze indywidua u nas, i w łagodne zimy całkiem częstokroć tu zostają, gdy to z naturą ich jest niezawodnie sprzeczném? jak się one żywią? jak znoszą zimna tyle dotkliwe dla nich? Tak, widziałem z mojego okna w dniu 24 listop. 1846 r. jednego z delikatnych owadożernych ptaszków, pewnie, jeśli wzrokowi

mojemu zaufać mogę, gajówkę ogrodową (*Sylvia hortensis*), w dniu 15 i 18 grudnia tegoż roku popielatego płochacza (*Accentor modularis*), a 11 stycznia 1848 r. po wielu dniach zimnych, bekasa kszyka (*Scolopax gallinago*). Wszystkie trzy były gładkie i rzeźwe, i zdawało się że nie wiele cierpiały. Sądzę że przyczyną tego zjawiska była albo choroba, albo sparaliżowanie narzędzi do lotu, albo zabłąkanie się, bo natura nie zchodzi nigdy bez potrzeby i bez gwałtownego strącenia z drogi którą raz sobie wytknęła." (T. 1851, nr. 386.)

* W tomie I Naumannii, zbiorowego pisma ornitologicznego, w Niemczech wydawanego, ornitolog Brehm (*syn*) taki skreśla obraz przelotu ptaków wędrownych przez wyższy Egipt: „Jeżiora nad brzegiem morza na Delcie, z których największe Menzalech się zowie, nawet w samym środku lata niesłychaną mnogość ptaków zatrzymują. To największe jezioro tylko w bliskości morza jest około ośmiu stóp głębokie, dalej zaś tak płytkie, że prawie wszędzie w pław przechodzić je można. Na kraj rozlewa się w mnóstwo zatok rzadko nad 1 1/2 stopy głębszych, nader szlamistych, i niezliczoną mnogość ryb ukrywających. Zatoki te zalewają przyległe pola ryżowe i tworzą rozległe bagna, którym i na mieszkańcach nie zbywa. Najwspanialsze lasy daktylowe zamykają całość, która jest sama dla siebie światem, a dla wędrowców prawdziwym rajem.

W końcu września zaczyna się przelot. Pierwszemi przybylcami z Europy, są wilgi i muchołówki. Niedługo tu one przecież bawią: idą daleko w głąb kraju, kierunkiem Nilu; spostrzegalem je aż po el Muszejnef, ku 18° szer. na południe idąc. Za niemi następują jaskółki i przepiórki, które téż niedługo się zatrzymują. Z pierwszych, widziałem i rzechołkę i dymówkę 20 września w Handok w Nubii (pod 18° 40' szer. półn.), a ostatnie kupami w Kordofanie pod 14 i 15° szer. Przybywają tu one tak gromadnie, że w godzinie do 40 zastrzelić można, nawet nie śpiesząc się z nabijaniem strzelby. Potem ciągną skowronki, świergotki, błękitne rudziki, słowiki, ludarki, pokląskwy i mnóstwo śpiewających, które prawie wszystkie pozostają w Egipcie, albo najdalej po Wadi-Halfa w Nubii (22° półn.) zachodzą. Jezioro zaludnia się odtąd mnogością mieszkańców. Kormorany tysiącami widzisz; kaczki, jakoto rożeniec (*Anas acuta*), świstula (*A. penelope*), krakwa (*A. strepera*), nieroznakwa (*A. boschas*), cyranka (*A. querquedula*) i cyraneczka (*A. crecca*) okrywają w całym znaczeniu wyrazu powierzchnie blisko 1/4 godziny obwodu mające; grązyce (*Platypus*), jakoto górna (*A. marila*), czernica (*A. fuligula*), rdzawogłowa (*A. ferina*) i ogorzalka (*A. leucophthalmus*) rozdzielają się na towarzystwa z 300—400 sztuk złożone, i w niesłychanej mnogości codziennie na targ do Damietty przynoszone bywają. W porze téj zjawiają się także i orły bardzo licznie. Bez trudu chwytają sobie na każdy dzień obfitą żywność, a nadewszystko mogilnik (*Aquila imperialis*) jest postrachem czerwonaaków i gęsi, które z niezmordowaną wytrwałością ściga i zaraz pochwyca. Spokojnie tymczasem spoczywa na brzegu łomignat (*Aquila albicilla*), i mały i wielki; a nawet skopnik (*Pandion haliaëtus*) trwoży się bliskością straszego łupieżcy. Siedzi on częstokroć spokojnie pomiędzy kaczkami, które nie znając go,

nie ulatują przed nim nawet wtedy, gdy się unosi tylko na stopę przed niemi. Największymi ich wszakże nieprzyjaciołmi są wędrowny sokoł (*Falco peregrinus*) i krzeczot (*Falco lanarius*). Smiały drapieżca już zdaleka dostrzega rozległym wzrokiem kaczek, które spokojnie na płytkiej wodzie wymacaną żywność polykają. Jak piorun upada na nie z pogodnego nieba i jedną z gromady łupem swoim czyni. Inne ulatują najwięcej o sto kroków dalej. Zaledwie zdobywca łup swój uniósł, zaraz się zjawia wszędzie obecny i czyhający pościg pasorzytny (*Lestrtris parasiticus*), i z wrzaskiem go ściga. W mgnieniu oka porzuca zdobycz swemu przesładowcy, wraca się i natychmiast zdobywa inną. Widziałem jak sokoł wędrowny w przeciągu pięciu minut trzy porywał zdobycze; z czwartą dopiero odleciał od miejsca. Na miakczyznach uwiłają się szablodzioby czarnogłowe (*Recurvirostra avocetta*), które na głowach stawając, drobne rybki i wodne owady łapia; dalej widać w głębi jak warzęcha gęśica (*Platalea leucorodia*), wielkimi stadami krzatając się tam i sam biega, a za nią widać, jakby pułk żołnierzy, długą linią bojową, 1000, lecz przynajmniej 1000 czerwonek (*Phoenicopterus antiquorum*), niby przerażający front tworzących. Arabowie łapia tego ptaka w sieci i na targ go przynoszą. Sposoby łowienia go mają nader szczególne. Opowiadano mi między innymi następujący. Wywiędzawszy się z całą dokładnością i już dniem pierwój o nocnym legowisku ptaka, wieczorem przybliża się ostrożnie ku niemu na czółenku z trzciny uplecionym, i zdaleka rozpoznaje się czausza (*straż nad stadem trzymającego*). Ten stoi tam wyprostowany, kiedy inne podwinawszy głowę pod skrzydła, spokojnie zasypiają. Nagi Arab czołga się pod wodą do ptaka straż trzymającego, i zręcznym pochwytem skręca mu szyję pod wodę, poczem wszyscy pomocnicy tyle ile się tylko da w pośpiechu czerwonek nakrępują. Mają już do tego przygotowane więzy, i ujętemu ptakowi natychmiast bez hałasu skrzydło przelamują. Tym sposobem nieraz do 60 na jedną noc złapia, a używają jeszcze i różnych innych fortelów na tego smakowitego ptaka. Nie pojmuję zatem, czemu njejeden uczoney dziwić się będzie, jakim sposobem, strzelby nie mając potrafiiono na biesiadę u jakiego Lukulla, dostawić takiego mnóstwa czerwonek, których języki najsmaczniejszą stanowiły potrawę. Nawet i z pomocą strzelby niepodobna byłoby to uczynić.

Następuje potem kormoran karłowaty (*Carbo pygmaeus*), wielkimi tłumami okrywający trzcinowe lasy. Gatunki różne pelikanów (*Pelecanus crispus, onocrotalus, minor*) w niesłychanej mnogości, rozsypane na przestrzeniach bez końca; każdy w tym tłumie swoim osobliwym rybołostwem zajęty; i można sobie wystawić jak rybnym jezioro być musi, ażeby same te pelikanów krocie wyżywiło. Nigdzie w Egipcie tyle co tu pelikanów nie widziałem, bo chociaż w wyższym Egipcie nieraz 800—1000 sztuk zebranych ujrzyć się dawało, nie można przecież liczby ich porównywać z temi stadami które w półmłowych rozległościach okrywają jezioro, i z miejsc tych najczystiej uprzatają ryby. Jeśli się do nich wystrzeli, zrywają się z hałasem, który przyrównać można do bicia w beben przechodzącego pułku żołnierzy. Słychać go niekiedy 20 minut daleko. Arabowie łowią je w sieci i jedzą, mimo że to po-

dług mahometańskich zasad jest wzbronni. Bo gdy Kaabę w Mekce budowano, a wodę potrzeba było zdaleka przynosić, wytrysła ona przy Sakach (woziwodach); wtedy Allah tysiące zesał pelikanów, które swoje torby pod gardłem napelniały wodą i budującym ją przynosiły.—Po złapaniu pelikana, natychmiast biednemu zwierzęciu szczelnie zatykają się uszy, a przez oczy przeciąga szpagat, który się nad głową związuje. Nieszczęśliwy ptak musi zaiste straszliwie cierpieć. Młody złapany, tak się oswaja, że odchodzi i wraca, a pożywienia sam sobie szuka. Kormoran dla Arabów stanowi łakoć, co złąd pochodzi, że te ptaki są nadzwyczajnie tłuste, a Arabowie najniższego gustu nie mają.

Na bagnach roją się także ich mieszkańce. Kszyki (*Scolopax gallinago*) są nader liczne: więcej jest wszakże słąk. Wielki kulig (*Numenius arquata*) z ostrożnością wpośród nich biega, lękliwy ibis (*Ibis falcinellus*) trzyma się na środku trzciny w towarzystwach od 30 do 40 sztuk na wolnych placach; purpurowa i siwa czapla wybrały sobie wolniejsze i głębsze miejsca; forga (*Ardea egretta*) trwożliwie się ukrywa na trzcinisku, ostrożna, z wielkiej już odległości ociężałym lotem usuwa się przed podchodzącym ją strzelcem. Slepowrony (*Ardea nycticorax*) niedalekie drzewa poupatrywały sobie na nocny spoczynek, i krzyczą wraz z bąkami (*Ardea stellaris*), nadewszystko w nocy. Nadobna *Ardea garzetta* przechadza się zawsze pojedynczo tylko znajdującą się warkoczową (*Ardea comata*) po polach ryżowych; złotawa (*A. russata*) chodzi w dobrym humorze tam i nazad, ufając człowiekowi i ani znając strzelca, ani się go lękając.

Po zachodzie słońca inne jest życie. Wtenczas bowiem do tych bagien zgromadzają się na nocleg mnóstwa gęsi, kaczek, mew, rybitwów i kormoranów, które nazajutrz zrana znowu opuszczają bagna, oddalając się dla pożywienia na dalekie płaszczyny wód jeziora.

Na łądogach trzciny, siedzi w wielkich towarzystwach kormoran karłowaty (*Carbo pygmaeus*); koło niego na ten sam sposób osiadł zimorodek srokaty (*Alcedo rudis*), ażeby tu i owdzie przelecieć, i trącąc wody rybkę ułowić. Jeśli się mu to szczęśliwie powiodło, usiada znowu spokojnie na dawnym miejscu i trawi. Daleko lękliwszy i piękniejszy zimorodek pospolity (*Alcedo ispida*), cichszy sobie wybrał zakątek, gdzie nieporuszenie na wątlęj trzcinie spoczywa, czyhając na zdobycz. Krzyżka (*Sylvia turdoides*) z modrą ludarką (*S. cyanecula*), skaczą sobie między trzciną, i uchodzą licznych na schwywanie zamachów kobuza błotnego (*Circus aeruginosus*), który jest bardzo pospolitym w tych bagnach. Krążąc i krzycząc lecą w znacznej liczbie rybitwy (*Sterna minuta i nigra*); ich gatunki *St. anglica* i *St. caspia*, ustawicznie spotykać można: wrzeszczą, z głową na dół zwieszoną latają i ryby łowią, podczas czego nadewszystko *Sterna caspia* z wielkim szelestem w wodę się rzuca. Często zastrzeli się szybkołotną czubatą (*Sterna cantiaca*). Na wolnych, trzciną otoczonych miejscach, znajdzie się i gęś białoczelną (*Anser albifrons*), w towarzystwie kazarki (*Vulpanser rutilus*) niezmiernie troskliwie przepatrującej dno morskie. Po małych wysepkach biega piszczyk (*Charadrius minor*) i wszędzie liczna, niespokojna czajka szponiasta (*Vanellus spinosus*), z którą częstokroć bywa i towarzyska (*V.*

gregarius). Czajka szponiasta jest dla myśliwego nieskończenie szkodliwą. Skoro go ujrzy, oblatuje go małemi zakoleniami z niesłychanym wrzaskiem, czém ostrzega inne ptaki, które natychmiast jój ostrzeżeń słuchają. Krzyczy ona i we dnie i w nocy, a że, jak wszystkie czajki, na najmniejszy szelest jest baczna, wrzeszczenie jój nieustannie słysząc, co i Arabów skłoniło do sądzenia, że ptak nigdy nie śpi.

Jeziora są nadzwyczajnie rybne, tak, że z samego Menzalech 8,500 kies, czyli blisko 88,500 talarów pruskich dzierżawy się płaci. Rybacy zajmują się połowem na 12 stanowiskach, a miejsca te są najwyborniejszemi dla mew i rybitwów. Zgraje tych żarłocznych zwierząt ścigają się wzajemnie z obrzydłym wrzaskiem, a skutkiem niesłychanej żarłoczności i ciekawości stają się łupem strzelca, którego zresztą przezornie unikają. Niekiedy zbiera się ich po 200 sztuk razem, a usiadłszy okrywają długie, białe muszlowe opoki, które wtedy jeszcze bardziej bieleją. Postrzegałem około 10 gatunków na jeziorze Menzalech.

Tym sposobem przez kilka tygodni trwa ta wspólność życia najrozmaitszych ptaków, dopóki coraz gorętsze słońce wiosenne nie wypędzi ich, a nowe nie nadciągają. Już na końcu lutego zbierają się pelikany, i widać wieczorem dążące na nocleg niezmiernemi tłumami, które z każdym dniem stają się mniejsze. Pelikan wybrał się do odlotu, a czerwona codzien bardziej się rozdziela. Wynoszą się kaczki; co noc słysząc świszczący szelest ich lotu. Orły, które nie wędrują do Europy, wracają na pojedyncze puste wyspy, ażeby budowę gniazd rozpocząć, a szara i pasorzytna kania (*Milvus ater et parasiticus*) już ku końcowi lutego gorliwie do budowy się biorą. Bagna, które już tylko deszcz niekiedy przepadający wodą zasilał, zaczynają wysychać, a ich uchodni mieszkańce znikają w takim stosunku, w jakim je zajmowały. Ptaki, które dalej na południe odleciały, zaczynają się tu około środka marca ukazywać, jednakże krótko tylko bawią, ażeby jeszcze posilić się nieco na tłustym pastewniku niżeli się puszcza w podróż przez morze. W środku marca wszystko już jest w pełni odlotu, a co na początku kwietnia nie odleciało, zostaje tu przez całe lato. Nadewszystko dużo jest na końcu marca płytyńosów, korsuniów (*Anas clypeata*) i czernie (*Anas fuligula*), których sztukę za 5 para czyli 2½ fenika saskiego kupić można. Na początku kwietnia przybywa żołna Sawinięgo (*Merops Savignii*), a z nią wszystkie te niższego Egiptu mieszkańce, które na zimę dalej na południe odleciały. Ciepło wtedy jest takie jak w czerwcu albo lipcu, a wiele ptaków drapieżnych, wrony i gołębie dzieci już mają." (*T. 1851, nr. 270*).

* I w Australii odbywają się wędrówki ptaków. Gould, w swoim wspaniałem dziele *Birds of Australia*, podaje iż wiele gatunków w letnich miesiącach odlatują do części południowych tego lądu, i do kraju Vandiemena: tam się gnieźdzą, a za zbliżeniem się zimy, znowu ku północy wracają. Niektóre nawet gatunki zdają się peryodycznie zmieniać miejsca swojego pobytu i w odległejsze przenosić się okolice, gdzie 5—10 lat pobytwszy, znowu tam nagle znikają. Mała, piękna, na ziemi usiadająca papużka, *Melopsittacus undulatus*, która przed r. 1838 w południowej Australii tak rzadka była, że tylko jedyny okaz jój do Europy mógł być posłany, przybyła w pomienionym roku takim tłumem na dolinę Li-

werpolską, że stanowiła tam ważny artykuł żywności. To samo zaszło z ptakiem *Nymphicus novae hollandiae* zwanym, i z brązowo-skrzydłym gołębiem (*Peristera histrionica*); ostatni w r. 1839 przy Namoi gromadami się ukazał, gdy go tam przedtém nigdy nie widziano. *Tribonyx ventralis* w r. 1833 naszedł osadę nad rzeką Łabędzią, a w r. 1840 osadę południowej Australii w takiej mnogości, że tylko przez jedną noc wszystkie pola zbożowe zniszczone zostały; nawet ogrody i ulice miasta Adelajdy tłumy ich napelniały. (T. 1850, nr. 134).

* John Blackwall (w *Annals and Mag. of Nat. Hist. July 1849*), mówi: „Zimna wiosna w r. 1847 wywarła bardzo wyraźny wpływ na zdolność śpiewania w naszych cienkodziobych odlotnych ptakach. Śpiew trzcionka (*Sylvia arundinacea*), którego w Llanrwst w Walii, nie słyszano przed 14 maja, uległ znacznym niedoskonałościom, i ptak mimo wszelkie natężenia, zaledwie kilka przerywanych strof mógł zanucić. Nawet ten tak silny głos pokrzywki popka (*Sylvia atricapilla*) i figojadki (*Sylvia hortensis*), ograniczył się do niektórych jedynie, przerywanych, słabych, niemelodyjnych tonów. Nawet i na zostające u nas ptaki, zimne powietrze ten sam wpływ wywarło; nie śpiewały one ani z tą łatwością, ani z tą siłą, co zwyczajnie. Skoro zaś nastąpiło ocieplenie powietrza, poprawiła się i muzyka w polu i w lesie, dopóki pełnogłosny chór śpiewaków nie zapowiedział przybycia prawdziwego lata. Chcę tu krótko zastanowić się nad okolicznościami, na których się opiera ta zależność pomiędzy temperaturą, a zachowaniem się ptaków śpiewających.

Daines Barrington tego, zdaje się, był mniemania, że peryodyczne zaniemnienie ptaków może być jaką fizyczną przeszkodą spowodowane. Przynajmniej White ten jego pomysł pochwała, zowiąc go nowym i śmiałym, i zachęcając do uzasadnienia go bliżej. Już od 26 lat na ten ciekawy przedmiot uwagę mą zwracałem. Wiadomo powszechnie że bardzo mała liczba śpiewających ptaków dłużej jak do końca lipca lub do początku sierpnia śpiewają, i że sierpień jest pod tym względem najcichszy ze wszystkich miesięcy ciepłych. Ale czy ta cisza jest przymuszona, czy też dobrowolna, tylko troskliwém badaniem okoliczności wiążących się z tym wypadkiem, rozstrzygnąć można.

Ornitologzy przypisują śpiewanie ptaków obudzonemu w nich uczuciu miłości, z którego przejściem i śpiew ustaje; zaprzeczyć wszakże niepodobna, że wiele gatunków śpiewa i po upłynieniu pory mnożenia się, a ledwuchna, ruzdzik, mysikrólik i t. d. w jasne dni, nawet w zimie śpiewają. Ci którzy śpiewające ptaki w klatkach utrzymują, wiedzą, że ptak w niewoli śpiewa dłużej jak na wolności, i że sposób karmienia i temperatura mogą podnieść albo też przytłumić siłę śpiewania. Dobrze żywione samczki śpiewają niekiedy prawie tak jak samce. Podobne okoliczności, równie jak i to, że młode ptaki bardzo wczesnie zaczynają swoje gardziołka wprawiać, i że niektóre gatunki dają się wyuczyć melodyj sztucznych, powodują mnie do sądzenia, że częściowe spotkanie się pory śpiewania z porą legu, wprowadziły ornitologów w błąd, i skłoniły do przyjęcia nie takich jakie są rzeczywiście przyczyn.

Według moich postrzeżeń i doświadczeń, które nader starannie z rozmaitemi gatunkami ptaków śpiewających angielskich czyniłem, mogę

zapewnić, że każdy śpiew im właściwy, jest wypadkiem zmysłności owego w nich popędu, mogącego obudzić się wszelkiem zadrażnieniem, jeśli jednocześnie narzędzia głosu w należytem znajdują się stanie. Ta ostatnia okoliczność na szczególną zasługuje uwagę, bo największa część naszych śpiewających ptaków, dlatego w jesieni stają się niememi, że wtedy już nie mogą tonów melodyjnych wydawać; długo one czynią nateżenia ażeby i dalej śpiewały, ale się im nie udaje; to zaś, równie jak i trud który ponoszą ażeby znowu na wiosnę do śpiewania się wprawić, dostatecznie przekonywa, że harmonia śpiewu zależy od siły muszkułów głos wydających. Ta zaś siła zawisła ze swojej strony od pożywienia, od temperatury, od stanu zdrowia i od popędu płciowego.

Wkrótce po wycieńczającym okresie rozmnażania się, następuje pierzenie się ptaków, a jednocześnie z niem uspienie narzędzi głosowych, które już nie mogą odpowiedzieć woli śpiewania w ptaku, jest podług mnie prawdziwą przyczyną peryodycznego ich milczenia. Za tym stanem rzeczy idzie powolne zniżanie się temperatury w atmosferze i coraz większy brak zwierzęcego pokarmu, tak, że osłabione narzędzia głosu odzyskują swoją siłę dopiero w nadchodzącej wiosnie, kiedy się zjawiają niezliczone owady zaopatrując ptaki pokarmem zwierzęcym, który pobudza i ukrzepia organizm. I to jest według mojego zdania, właściwą naturą zależności, jaka pomiędzy temperaturą atmosfery, a śpiewaniem ptaków środkuje."

Niemiecki tłumacz dodaje w tém miejscu uwagę, że nadewszystko pokarm główną gra rolę we względzie siły organizmu u zwierząt i zależących od niej zjawisk, a mianowicie obudzenia popędu płciowego i głosu ten stan oznajmującego. Nieodlatujące krajów północnych ptaki, które o ile nie doświadczą braku pokarmu, nawet i podczas zimy w tych krajach, znajdują się w należytem stanie zdrowia, mają i w téj porze roku ciągłą chęć i siłę do śpiewania, a ze względu na te, które słabszemi są w zimie, możnaby o nich sądzić, że się mniej pożywnym pokarmem zadowalać muszą. Wszystkie poczwarkami owadów żyjące, strzyżyk, mysikrólik, sikory, tak śpiewają w zimie jak i w lecie. Krzywodziob w zimie jest najgłośniejszy, ponieważ w téj porze roku ma w największej ilości i w najlepszym gatunku swój główny pokarm: ziarna drzew iglastych. Nawet i gnieździ się tylko w zimie. Cietrzew tokuje w lutym, marcu, kwietniu, a nawet i na początku maja, podług tego jak łagodność pory liściowe oczka na drzewach prędzej lub później w nabrzeknięcie wprawi. Że tu wpływ temperatury nie wprost działa, dowodem tego jest krajowe ssące zwierzę. Lis grzeje się podczas tegiej zimy o 4—5 tygodni wcześniej, niż w zimie łagodnej; ponieważ im zimniejsze powietrze, tém łatwiej mu o żywność, i tém dowolniej się najada. Nie potrzebuje on wtedy poprzeszawać na myszach, skrzeczkach i t. p., ale zdobywa łatwo zajace i sarny, które dla głębokiego śniegu cierpiąc niedostatek żywności, stają się słabsze. Co innego jest z wędrownymi ptakami. Wpływ, który zniżona temperatura na te wywiera, jest dla nich wpływem depressyjnym. Zimno nietylko je z pożywienia, to jest owadów, ogołaca, ale nadto czyni je widocznie choremi. Kanarek w tegiej mrozy, nawet w izbie (nieopalanój) zdycha; a chory i głodny

ptak nie śpiewa, ponieważ śpiew jest okazaniem jego zadowolenia, które w porze parzenia się swój najwyższy stopień osiąga.

„Wiele ptaków (mówi dalej Blackwall) obdarzone są nadzwyczajną łatwością naśladowania tonów: uczą się gwizdania długich melodyj, a nawet wymawiania wyrazów. Zpośród naszych krajowych, dosyć na to przytoczyć gile, sroki, sójki, szpaka; wszakże w stanie natury zdolność ta jest daleko rzadszą i w mniejszym rozwija się stopniu. Ale który z krajowych ptaków ma w najwyższym stopniu talent mimiczny, to trzcionek; i we wszystkich dziełach ornitologicznych znajdziemy, że śpiew tego ptaszka składa się ze strof śpiewu wielu innych ptaków. Przekonany wszakże jestem że go niesłusznie oskarżono o pożyczanie śpiewu cudzego, bo te mniemane naśladowania właściwe są całemu gatunkowi, co nie byłoby, gdyby to były przypadkowo naśladowane tony innych gatunków. Pokrzywka ta trzyma się prócz tego miejsc, w których mało mieć może sposobności słyszenia śpiewu ptaków śpiewowi jej przyznawanego; gdy tymczasem potrzos (*Emberiza schoeniclus*), który razem z nią zamieszkuje trzciniiska, nie śpiewowi jej nie dodaje, chociaż prosty jego głos jest bardzo łatwym do naśladowania.

Mieszkając w Lancashire, miałem najlepszą sposobność uważać sposób życia sójki, sroki i szpaka; nigdy jednak nie postrzegłem, ażeby one w stanie wolności dowodziły talentu naśladowania, i nigdy nie było przykładu ażeby dziki gil przejął coś od innego ptaka. Pojętność jego okazuje się tylko pod wpływem człowieka. Dziki śpiew szpaka jest wprawdzie nader rozmaity, ale całemu gatunkowi wspólny.” (*T. 1850, nr. 165*).

* Dr. Beverley R. Morris mniema, że kolor puchu u wodnych ptaków, może w niektórych zdarzeniach przyłożyć się do utwierdzenia cechy gatunku. Poleca on badanie koloru puchu u młodych i u starych indywiduów. Tak np. u mewy śmiechliwej (*Larus ridibundus*), puch, przynajmniej u ptaka starego, jest biały, a na młodym indywiduum mewy maskowanej (*Larus capistratus*), niedawno koło Yorku zastrzelonem, puch zafarbowany był ciemno. (*Id. nr. 21 z The Zoologist 1849*).

* Kamyki w żołądku podawano za dowód że dront nie mógł należeć do drapieżnych ptaków; wszakże Strickland (*Ann. & Mag. of nat. hist. April 1849*), dowód ten zbił przytoczeniem że (podług zapewnienia w *Ross Antarctic Expedition, Vol. II, p. 159*) w żołądku Forsterowego bezlotka (*Aptenodytes Forsteri*) znaleziono kamienie do 22 *℥*. wazące. Pytanie tylko, czy bezlotek nie połknął tego kamienia w rybie, przez nią pierwój z morszczynami (*Fucus*) połkniętego? (*Id. 61, 62*).

* *Zasady fizyologicznego podziału ptaków.* Na posiedz. Tow. Zool. Londyńskiego, d. 12 marca (1851), p. Edward Newman mówił: „Podział gromady ptaków (*Aves*) niepewniejszy jest, niż wszelkich innych zwierzęcego królestwa oddziałów, co rząd pochodzi, że więcej dotąd ważności przyznajemy tym cechom które się tylko do budowy i stosunku wielkości ściągają, niżeli tym które w ścisłej są z odradzaniem się zależności; krótko mówiąc, że więcej na fizyczne niż na fizyologiczne zapatrujemy się względy. W gromadzie zwierząt ssących, płazów i ryb, główne działy zasadzone są całkiem na fizyologii. Tak, zwierzęta ssące

rozdawamy na *placentalne* i *marsupialne*: w innych gromadach rozpołowienie to stanowi żywo- i jajorodność i t. d. Autor chcąc i gromadę ptaków z tegoż stanowiska rozróżnić, uważa te zwierzęta na wykluciu się z jaja, to jest w *stadium* ich życia, odpowiedniém *placentalnemu* przyjsciu na świat ssącego zwierzęcia, a z takiego stanowiska uważana gromada ptaków, dwie następujące przedstawia różnice:

1) *Ptaki hestogi: niczne (hesthogenicae)*. U tych wykluwa się pisklę z jaja w okresie rozwinięcia się stosunkowo bardzo postąpionym. Jest ono należycie przyodziane gatunkiem futra, które potem zastępują właściwe pióra. Ma już zmysł widzenia, słyszenia i powonienia zupełny, i z łatwością może biegać szybko. Rozumie tony wabienia i ostrzegania starych, i skoro je matka do pokarmu przywołuje, biegnie z pośpiechem, lub też ukrywa się pod trawę, pod kamienie, krzaki i t. d., gdy je ostrzegający ton dojdzie; słowem i w jednym i w drugim razie rozumie głos rodziców. Ję samo, dziobiąc pokarm z powierzchni ziemi lub wody. Rośnie przeto bardzo powolnie, i dopiero późno staje się całkowicie lotnym. Dorosłe staje się ptakiem, który bardziej na nogach niżeli na skrzydłach miejsce odmienia, i niebezpieczeństwa więcej biegiem uchodzi. Podczas lotu przecina powietrze szybko po sobie następującemi poruszeniami skrzydeł, i jak najprędzej spada na ziemię lub wodę, nie zatrzymując się na drzewach. Nie lata nigdy dlatego, ażeby pożywienie osiągnąć, albo się ucieszyć; lecz tylko ażeby prędzej miejsce odmienić. Żyją w wielożeństwie, i więcej jest samic niżeli samców (1). Samce są nader chciwemi boju i towarzyszą samicom tylko po czas lęgu, wysiadkiwanie i staranie o dzieciach wyłącznie im zostawiając. Samice nie budują właściwego gniazda, lecz tylko wygrzebują dołek na ziemi. Jaja w stosunku do objętości ptaka są wielkie. Żadna płeć nie śpiewa ani się stara o naśladowanie głosu innych zwierząt. Ptaki tego oddziału są bliższymi zwierząt ssących, niż inne; np. że więcej do poruszeń nóg używając, mają je bardziej rozwinięte, że biegają szybko, że żyją w wielożeństwie, że nie okazują zmyślności w budowaniu gniazda. Uważane więc jako ptaki, stoją niżej, lecz uważane z ogólniejszego stanowiska, są wyższymi od innych ptaków. Mięso ich jest zdrowe, pożywne i zazwyczaj smakowite. Dział ten obejmuje następujące rzędy, z których każdy przedstawi częściowe wyjątki od jednej lub kilku cech ogólnych wyżej pomienionych:

- 1) *Gallinae*. Kurowate (grzebiące).
- 2) *Brevipennes* Cuv. Szczudłowate (strusie).
- 3) *Pressirostres* Cuv. Weislodziobe (dropie).
- 4) *Longirostres* Cuv. Długodziobe (bekasy).
- 5) *Macroductyli* Cuv. Palczyste (kokoszki).
- 6) *Plongeurs* Cuv. Nurki.
- 7) *Lamellirostres* Cuv. Kaczki.

(1) Co do tego punktu, zachodzą, jak wie każdy przyrodzenia badacz, nader liczne wyjątki nietylko u *Pressirostres* etc., ale nawet i u kurowatych (*Gallinae*).
Przyp. niem. tłum.

2) *Ptaki gymnogieniczne (gymnogenicae)*. U tych pisklą wyklują się z jaja w stanie zupełnej niedołężności. Jest ono gołe, ślepe i niemogące się poruszać. Niezdolne rozeznac swoich rodziców, otwiera dziób do pokarmu, lecz czyni to zarówno dla palca lub pręcika, jak i dla ich dzioba, i zdechłoby gdyby mu pożywienie do pyszczka włożone nie było. Dochodzi prędko, często jeszcze nim wyleci, swojej zupełnej wielkości. Dorosłe, więcej lata niż biega; lata łatwo i wygodnie, tak dla swobody jak i dla pożywienia, a nie tylko żeby z jednego miejsca na drugie się przemieścić. Ptaki te żyją w ścisłym jednożeństwie, i znajduje się pomiędzy nimi tyleż samców co samic. Samce naprzemian z samicami wysiadują, i nawet mają udział w karmieniu młodych, dopóki te nie staną się zdolnymi same starać się na utrzymanie swoje. Ptaki te budują sztuczne gniazdo (zwykle) na drzewach, i wolą wysoko niż na ziemi usiadać. Wiele pomiędzy nimi melodyjnie śpiewają; inne naśladują z łatwością głos różnych zwierząt, nawet człowieka. Mięso ich jest gorzkie i niesmaczne, często całkiem do użycia niezdatne. Dlatego nigdy nie osławiano ich do gospodarskich celów. Sąto najprawdziwsze ptaki, ponieważ swoje cechy w najwyższym mają stopniu; jakoto: ruchliwość na powietrzu, siadanie na drzewach, siłę i grubość muszkułów piersiowych, jednożeństwo, budowanie gniazda, śpiew; a temi wszystkimi własnościami oddalają się od zwierzęcia ssącego, zatem od najwyższego zwierzęcego zworza. Dział ten obejmuje następujące skupienia, w których znowu znajdujemy gdzieniegdzie wyjątki od cech ogólnych.

- 1) *Totipalmes* Cuv. Rudłowate (pelikany).
- 2) *Longipennes* Cuv. Długoskrzydłe (mewy).
- 3) *Accipitres*. Drapieżne.
- 4) *Cultrirostres* Cuv. Nożodziobe (czaple).
- 5) *Passeres*. Wróblowate (śpiewające).
- 6) *Grimpeurs* Cuv. Łażące.
- 7) *Columbae*. Gołębie.

(T. 1851 nr. 298 z *Annals & Mag. nat. hist. March. 1851*).

* W. Pässler ogłasza w Naumannii (I.), niemieckim piśmie peryodycznym ornitologii poświęconym, że krótkoszpioniasty orzeł (*Aquila brachydactyla*) buduje gniazda wielkości prawie jak zwyczajnego myszotłowa, w lasach iglastych, z suchych gałązek na drzewie. W połowie maja znosi jedno lub dwa jaja, które samiec z samicą naprzemian wysiadują. Jaja stosunkowo wielkie, mają kształt okrągławy, są jednobarwne, niebieskawo-białe, jak je Roux i Schinz wyobrażają, zatem nie czerwono-nakrapiane, jak je Naumann, Thinemann i Berge opisali lub wyobrazili. (T. 1850, nr. 110).

* W Naumannii także ogłoszono, że kwiczoł (*Turdus pilaris*), o którego gnieźdzeniu się w Niemczech nie wiedziano dawniej, który więc słusznie za ptaka całkiem północnego uchodził, od niejakiego czasu posunął się ze swoim letnim pobytom w stronę południowo-zachodnią, bo nie tylko w Inflantach i Estlandyi, ale niedawno i w północnych Niemczech koło Drezna i Gera dostrzeżono gnieźdzenia się jego, a w okolicy Torgawy dokładnie zapewniono się o tém. (Ib. nr. 105, 106). Ale Creplin z Greifswaldu sprostował to doniesienie, przekonując że już

Hornschuch i Schilling w r. 1837, tudzież niektórzy inni autorowie, wyrażają, że kwiczoł lęgł się w Pomeranii, że gniazda jego podczas lata w r. 1836 w prowincyi téj, koło Anclam znaleziono, a znajdowano je także koło Szczecina i t. d., i że tenże ptak w Luzacyi, do licznie tam gnieźdzących się należy. (7. 1851, nr. 319).

* Hartlaub opisuje nowy gatunek dróżda z Wenezueli: *Turdus aurantirostris* Nob. „Supra dilute olivaceus, unicolor; cauda et alis extus ejusdem coloris; remigum pogoniis internis nigricantibus; subtus albidus, pectore hypochondriis collique lateralibus cinerascens, subcaudalibus albis, gula nonnihil cinerascens variegata, rostro, pedibus et annulo periophthalmico nudo laete aurantiacis. Long. tot. 6" 7"; rostr. a rictu 7"; rostr. a fronte 6"; ala 3"; tarsus 1" 1" 3, 1, 4." Jeden tylko okaz tego zajmującego małego gatunku dróżda widział w zoologiczném muzeum w Hamburgu. (T. 1850, nr. 213, z *Revue de zoologie, Mars, 1850*).

* Na posiedzeniu Akad. umie. sztokolmskiej, dnia 12 września 1849, p. C. F. Sundewall wszczął rozmowę o zimowaniu jaskółek, a to z powodu następującego listu, który przez pośrednictwo p. N. M. Mandelgren odebrał:

„Na zażądanie p. Mandelgren, niniejszém donoszę na piśmie o tém, czego mnie doświadczenie nauczyło w przedmiocie pobytu jaskółek w zimowych miesiącach.

Znajduje się w dobrach Kafweläs w zachodniej Gotlandyi, małe jezioro, zwane Djupasjö, koło którego nieraz się zatrzymywałem, gdy wyciągano niewód spod lodu, przyczém znajdowały się w sieci odretwiące jaskółki, ze dna jeziora wyciągnięte. Ojciec mój, podówczas inspektor w Kafweläs, także był obecny temu, i kazał mi kilka jaskółek wziąć do domu i położyć je tam na stole w pewnej odległości od ognia palącego się na kominie, co téż i uczyniłem, i z podziwieniem ujrzałem wkrótce że powyciągały głowy spod skrzydeł, a w kilka minut później latały po izbie. Ale że to nie był właściwy czas ich obudzenia się, niedługo więc żyły.

Z plebanii w Annehärad
16 sierpnia 1849.

(podpisano) H. J. Edberg
Proboszcz i pleban w Annehärad.

Do tego listu dodał jeszcze p. Mandelgren, iż wiele osób w pomienionej okolicy, które były świadkami przeszłości, gotowe są prawdziwość podania zatwierdzić.

P. Sundewall mówił więc w tym przedmiocie: „Zimowanie jaskółek w głębi jeziora ilekroć wystąpi na plac rozmowy, ma zaraz przeczących sobie; jest ono przedmiotem powszechnéj wiary ludu, nietylko w całej Szwecyi, ale i w wielu innych Europy krajach, a co najważniejsza, doniesienia o niém otrzymujemy, jak i w tym przypadku, od takich osób którym rzetelności podania nikt zaprzeczyć nie może. Wielkiém jest przeto podobieństwem do prawdy, że doniesienia te opierają się na zjawisku prawdziwém, lecz które albo niedokładnie było pojęte, albo téż, co być może, naturalistom dotąd jest nieznané. Możnaaby je porównać z doniesieniami o wielkim wężu morskim, które opierają się może na istnieniu wielkiego, umiejętnośći nieznanego jeszcze zwierzęcia morskiego.

go, któreby przecież węzłem być nie mogło. Niesłuszną zatem byłoby rzeczą podania te odrzucać w zupełności, bo możeby one naprowadziły na ślad niepoznanéj jeszcze prawdy, lub téż na sposób zaspokajającego ich wytłumaczenia.

Ani myśleć o tém, ażeby jaskółki zimę na dnie jeziora przepędzić mogły. Oprócz bowiem, że żadną miarą wierzyć temu nie można ażeby ptak lądowy, najwytrwalej ze wszystkich latać zdolny, przeleżał długi czas pod wodą, wszelkiego oddechu pozbawiony, to wiemy jeszcze bardzo dokładnie, że wszystkie gatunki jaskółek odlatują na zimę do krajów zwrotnikowych, i nie może być ażeby pojedyncze indywidua tego samego gatunku zwierzęcia, podlegały tak odmiennemu zimowaniu z zatrzymaniem życia, to jest ażeby jedne odlatywały dla przezimowania w krajach ciepłych, drugie w marznących jeziorach pod wodę się kładły. Jeżeliby zaś część tych jaskółek które są chore albo stare, miała mieć zwyczaj zanurzania się pod wodę ażeby tam umrzeć, co wprawdzie mogłoby być, ale nie zdaje się prawdziwém, to te niezawodnie mrą tam zaraz po zanurzeniu się, co nie później następować może, jak w jesieni, kiedy jaskółki u nas znikają. Już Buffon, w wyborném opisanu dymówki (*l'Hirondelle de cheminée. Hist. nat. VI*), bardzo dobrze wiedział o odlatywaniu jaskółek, i dlatego podanie o zimowaniu ich pod wodą uznał za niedorzeczność, która nawet nie potrzebuje zbijania. Wszyscy późniejsi natury badacze byli przeciw temuż zimowaniu, a Nitzsch, wszelkie prawdopodobieństwo mu odjął uwagą, że jaskółki, w ciągu czasu przez który nie ma ich u nas, pierzą się, i w nowéj, świetnéj odzieży wracają, co nie mogłoby nastąpić, gdyby zostawały pod wodą. Nikt się odtąd nie spodziewa, ażeby można było żywe jaskółki ze dna jeziora wydobyć; ale byłoby rzeczą nader pożądaną, gdyby wiele osób wzięło się do sprawdzenia zjawiska, które do tak rozszerzonego mniemania ludu powodem się stało. Samo przez się rozumie się, że tym mianowicie byłoby to najłatwiej uczynić, którzy częstą mają sposobność zaciągania niewodu, albo łowienia ryb w małych, trzciną otoczonych jeziorach i wyciągania z ich dna wielkich mas szlamu. Najwłaściwiej zaś byłoby te doświadczenia przedsiębrać w miejscach, w których, według podania, jaskółki znalezione być miały."

P. Sundewall czyni dalej dwa nietrafne przypuszczenia, iż może wyciągnięte z wody gąsienice wielkich szklarków i ważek (*Libellula, Aeschna*), które się zaraz potem, do ciepłej izby wniesione, w dojrzały owad, to jest lotną ważkę, przeobraziły, dały powód do przyznania tego zjawiska jaskółkom, lub téż że niedopérze, w jakim spróchniałém drzewie nad wodą w zimie znalezione, po wyjściu z letargu i uleceniu, za jaskółki poczytane zostały. Naostatek dodaje, że doniesienia o znalezieniu jaskółek podczas zimy, z wyrażeniem daty Akademia chętnie przyjmować będzie.

W skutek tego, Akademia odebrała następnego roku dwa pisma, jedno z Lessebo-Bruk w Smolandyi, a drugie z Bona-Bruk, obydwie w takim rodzaju jak przytoczone powyżej i obydwie nie o nowo-zdarzonych idonoszące wypadkach, lecz zaświadczające podania z upłynionego węgku. P. Sundewall za okazanie żywej jaskółki wśród zimy, znaczną

przyrzeka nagrodę, po którą okazujący udać się ma do intendenta zoologicznego muzeum rządowego. (*Öfversigt af Kongl. Vetenskaps-Akademiens Förhandlingar 1849 nr. 7, pag. 181—185, i 1850, pag. 6 squ.*)

Niemiecki tłumacz także zabierając głos w tej sprawie, wyznaje iż mu się niepodobieństwem być widzi, ażeby ktoś zdrowe oczy mający, owad brał za ptaka, albo w niedopérzu widział jaskółkę, którą każde dziecko pozna. Że jaskółki w naszych okolicach północnych mogą na zimę usypiać, nie było to już zaprzeczane całkowiec, lubo zdarzenia są rzadkie, ponieważ prawidłem jest to, że na zimę do ciepłych odlatują krajów. Sławni naturaliści uznawali to samo. Tak np. Bronn, w swojej wyborniej Historji przyrodzenia (T. II, cz. 3, str. 269) mówi: „nie ulega już żadnej wątpliwości, że jaskółki, na swoim odlocie do cieplejszych krajów, zimnem przerażone, mogą przypadkowo drętwieć na zimę,” lubo zaraz dodaje, że ta własność nierównie więcej w nich jest uderzająca, niżeli w zwierzętach które prawidłowo zimowy sen odbywają. Przytacza wreszcie kilka godnych uwagi przykładów z jaskółkami które w zabudowaniach odrętwiałye znaleziono, a które za ogrzaniem znowu ożyły. Dutrochet naoczny podobnego był świadkiem i doniósł o tém Akademii paryżkiej (*L'Institut 1838, VI, 157*). Cuvier (*Le Règne animal*) mówi o grzebiotce, że „zdaje się rozwiązaniem, iż ten gatunek drętwieje na zimę, a nawet przepędza tę porę na dnie wód stojących.” A. Humboldt (*Ans. d. Natur*, wyd. 2, tom II, str. 60) tak się wyraża: „niewątpliwe, jak się zdaje, zapadanie grzebiotki w bagnach, do tém dziwniejszych należy zjawisk, że w gromadzie ptaków funkcyja oddychania tak silnie się odbywa.” Przydać do tego można, co mówi Perty, w 4tym tomie swojej równie głębokiej jak pełnej rzeczy *Historyi naturalnej powszechniej*, że lubo w ogólności zaprzecza snu zimowego jaskółkom, przecież on „zdaje się mu zasługującym na wiarę, nie co do wielkiej massy tych ptaków, która z pewnością odlatuje, lecz co do pojedynczych drobniejszych stadek, które z niewytłumaczonych dotąd przyczyn, oddają się tej odmowności.” Wskazuje on na dawniejsze doświadczenia Leidenfrost'a *De lethargo hirundinis diss. Duisb. 1758*, (które pismo i Rudolphi, w swojej Fizyologii I, pag. 284, jako bardzo nauczające wychwala), i Smellie'go Filozofią historyi naturalnej, a przytém wzmiankuje o niektórych nowszych przykładach, między temi że w styczniu 1825 na Wołyniu, koło wsi Kasperówka, do dwudziestu jaskółek siecią z wody wyciągnięto. (*T. 1850, nr. 9—196, 197*).

* Z okoliczności opisywania zbioru kolibrów należącego do pana Gould a obecnie wystawionego w zoologicznym ogrodzie w Londynie przeszło 300 obejmującego gatunków, czytamy w *Athenaeum* z 31 marca (1851), co następuje: „Ze świetności piór tych ptaków mógłby kto wnosić, że one wyłącznie w gorącej strefie żyją: gdy rzecz ma się zupełnie inaczej. W Ameryce mają one niezmiernie rozległą geograficzną rozciągłość. Jeden gatunek sięga na brzegu zachodnim aż do zundu Nutka, a inny znajduje się na Ziemi ognistej (Feuerland), gdzie go widziano latającego ponad kwitnącemi fuksyami gdy ziemię śnieg zasypał. Nawet pomiędzy zwrotnikami ptaki te wybierają wysokie, chłodne okolice. Na Andach, które są właściwą ich ojczyzną, najwięcej gatunków żyje w wysokości 7 do 10 tysięcy stóp nad poziom -morza; a wiele na-

wet na linii śniegowój 14 do 15 tysięcy stóp nad morzem. Niemało gatunków ograniczone są do nader ciasnego zakresu, tak że np. niektóre doliny w Andach mają każda swego osobnego kolibra, prócz którego żaden inny tam nie spotyka się gatunek. Wszakże jest i wiele wyjątków od tego pravidła, a nawet niektóre gatunki należą do wędrownych ptaków. Tak *Trochilus colubris* latem aż do Kanady zachodzi, kiedy przez zimę trzyma się tylko Meksyku. Geograficzny rozkład wielu gatunków idzie za rodzajem ich pożywienia, a znowu to z kształtem ich dzioba jest w zależności. W okręgach, w których kwiaty przez kolibry wysysane są rurkowate i głębokie, kolibry mają dziob stosunkowo długi, a gdzie rosną kwiaty o koronach krótkich, dzioby tych ptaszków są także krótkie. Kolibry lubią nadewszystko miód z kwiatów wysysać, ale główne ich pożywienie składają owady, które w locie łapią. Lecąc przeryniają powietrze w zygzag poziomo i na bok, w czem głównie ogon im służy. Pozbawione ogona, sprawiają podczas lotu brzęczący szelest; ztąd ich angielskie nazwisko *humming-bird*. (T. 1851, nr. 339).

* *Jana Goulda Monografia kolibrów* (1). Żadnemu z dziś żyjących pisarzy ornitologia tyle nie jest winna, co p. Gould. Dosyćby tylko było przytoczyć szereg wspaniałych dzieł przez niego wydanych, ażeby usprawiedliwić to zdanie. Wszelkie towarzystwo albo rząd, mogłyby dumami być z tego, gdyby od nich wyszło tyle przepysznych tomów *in folio*, które p. Gould od 20 lat własnym jedynie nakładem i własnymi siły wydał. Te, w części niedokończone jeszcze dzieła, obejmują opisy i wizerunki ptaków wszystkich części świata. Z jak nadzwyczajnym pożytkiem p. Gould w tej gałęzi historii naturalnej badał, okazuje się już tylko z tej jednej okoliczności, że daleko więcej niż połowę ptaków Australii które opisał i wyobraził, umiejętność przez niego poznała.

P. Gould już bardzo wczesnie ornitologii się poświęcił, i wiele się zajmował wypychaniem ptaków. Jego najpiérwsze dzieło *A Century of Birds from the Himalaya Mountains* (Secina ptaków z gór Himalajskich), wyszło w r. 1832 i utwierdziło sławę jego jako ornitologa, chociaż w następném: *The Birds of Europe* (Ptaki europejskie) daleko wyższy cel sobie założył. Ostatnie dzieło wyszło podobnie w zeszytach z wizerunkami kolorowanemi *fol. imperial.* i objaśniającym tekstem. Wszystkie pięć tomów jego obejmują do 400 tablic. Kiedy autor dzieło to rozpoczął, nikomu się nie zdawało ażeby je na taki rozmiar mógł ukończyć; atoli wierny założeniu swojemu, dał nietylko wspaniałe wizerunki z opisami wszystkich europejskich ptaków, ale nadto dzieło znalazło tyle pokupu, że lubo cena jego do 100 funtów szterl. dochodzi, nie ma już ani jednego egzemplarza na składzie. Odtąd badał wiele familij zaeuropejskich ptaków i wydał dwie monografie: jedną tukanów, drugą pilików (*Trogon*), obiedwie wykonane na ten sam rozmiar co dawniejsze pisma jego.

Dzieła te słusznie uznane zostały za *non plus ultra* naturalno-historycznych zarysów. Postawy i kształty ptaków są w najwyższym stop-

(1) A monograph of the Trochilidae or Humming Birds, By John Gould, F. R. S.

niu naturalne i przyjemne; szczegółowe wykończenie pierza i koloryt przewyższyły pięknnością i wiernością wszystko, co przedtém w gałęzi téj ukazane było.

Zaraz potém p. Gould zwrócił uwagę swoją na ptaki Australii, ale niedługo postrzegł że w materyałach które w téj mierze pozbiierał, wiele przerw zachodziło. Dlatego, mężki powziął zamiar sam do Australii pojechać, ażeby co niedostawało, na miejscu zebrać. Tam w wielkiem utrudzeniu całe dwa lata przepędził. Trzej z jego towarzyszków życiem tego przypłacili: ale owocem prac było siedmiotomowe dzieło *in fol. imp.* przedstawiające wizerunki i opisy przeszło 700 gatunków ptaków Australii, a sława autora o wiele wzrosła. Przedtém trzymał się on więcej cudzych badań; tu wystąpił jako samodzielny rozszerzyciel dziedziny umiejętności, bogacąc ją poznaniem nowych stworzeń i ich sposobu życia. Tu np. znajdujemy po raz pierwszy opisany sposób życia ptaków altankowych (*Chlamyderae* Gould.) które na czas parzenia się swojego, urządzają sobie oddzielne altanki z liściami; tu otrzymujemy wiadomość o *Telegalla Lathamii*, ptaku, który nadzwyczajne stopy materyj roślinnych układa, znosi w nie jaja, a tych wylęgnię powierza samemu ciepłu gnicia. (1) Drugi gatunek *Leipoa ocellata*, usypuje do tegoż celu kupę piasku. Moglibyśmy wiele jeszcze ciekawych przykładów przytoczyć, ale musimy się ograniczyć do uwagi, że niełatwo znajdzie się która inna część historii naturalnej, tak doskonale obrobiona jak ptaki Australii Goulda, lubo mu nie wszystkie jeszcze gatunki téj części świata znane być mogły. Pracuje on już, jak słyhać, nad Dopelnieniami do tego dzieła, w czem mu najwięcej materyałów dostarczył zbiór ptaków, liniowym okrętem *Rattlesnake* do Anglii sprowadzony.

P. Gould, jak się łatwo każdy domysli, przywiózł ze swojej podróży bardzo wielki zbiór ptaków wypchanych, który brytańskiemu muzeum za 1000 funt. szt. chciał odstąpić, lubo na utworzenie go więcej niż dwakroć tyle wyłożył. Ze szkoda jednak ofiara nie była przyjęta, a zbiór do Ameryki przeszedł.

Obok ptaków Australii, badał p. Gould i nieliczne w téj części świata, ale nader osobliwe zwierzęta ssące, których także wizerunki i opisy wydać zamysła. Dwa zeszyty obejmujące kangury, już wyszły; inne są w robocie.

O innych jeszcze pomówmy zasługach, które pan Gould w dziedzinie umiejętności położył. On opisał ptaki zebrane w podróży liniowych okrętów *Beagle* i *Sulphur*. Sir William Jardine zawdzięcza pomoc p. Goulda w wypracowaniu swego ornitologicznego dzieła z rycinami. Musimy téż wspomnieć i o jego *Birds of Asia* (Ptaki azyatyckie), i o *Icones Avium*. W piérwszém z tych dzieł opisane będą i wyobrażone te azyatyckie ptaki, które nie znajdują się jeszcze w dziełach Goulda o ptakach europejskich i australijskich; w drugim mają być zebrane wszystkie nowości ornitologiczne z każdój części świata. Piérwszego już trzy, drugiego dwa zeszyty wydane zostały. W przeszłym roku wyszła także Monografia amerykańskich kuropatw (*Odontophorinae*), ze

(1) Zob. Bibl. Warsz. z r. 1845, tom IV, grudzień, str. 517.

32 wspaniałemi tablicami. Ale najnowszém tego autora dziełem, jest to, którego tytuł za nadpis niniejszemu artykułowi służy.

Niedawno wspomnieliśmy o zbiorze kolibrów Goulda (1), który się teraz w ogrodzie Tow. Zool. londyńskiego znajduje, a czytelnik poznał odrazu, że ten niezmiernie bogaty materiał p. Gould zebrał w zamiarze wydania monografii kolibrów. Wątpiliśmy tylko nieco, czy powiedzie się p. Gould koloryzowanie tych ptaszków, tak błyszczącemi piórami odzianych, w sposób zaspokoić go zdolny. Aleśmy zadziwili się oglądając 16 tablic stanowiących część pierwszą, i widząc jak one wiernie naturę oddają. P. Gould nowym postępowania sposobem doszedł do tego, że w koloryzowaniu metaliczny blask pierza jest w najwyższym stopniu ładującym, tak że nawet pod różnym nachyleniem rozmaity odbłask widz odbiera. Postawy kolibrów są niezmiernie naturalne, życiem tętnące i charakterystyczne. Widać je fruwające ponad kwiatami, gniazda zakładające, karmiące pisklęta i t. p. Figura pierwsza przedstawia długosternego (*Trochilus polytmus*); potem następują trzy gatunki z rodz. *Oreotrochilus*, którego nazwa trafnie utworzoną została z wyrazów *gwiazda gór*; za temi idą dwa gatunki bardzo osobliwego rodzaju *Phaethornis* (samotne kolibry), ozdobny z szafirowemi skrzydłami kolibr (*Pterophanes*) i inny z mieczowatym dziobkiem (*Docimastes*), któremu długi dziób służy do wyciągania owadów z kwiatów o rurkowatej koronie, np. rośl. *Brugmansia*. Dalej przedstawione są trzy o postrzaskowatym ogonie (*Spathura*) z ich dwiema długiem, na końcu rozszerzonymi sterowkami, i z drobnemi, w zarękawki z piórek czerwonych i białych ubranemi nóżkami, jako téż dwa gatunki kolibrów hełmiastych (*Oxygogon*), a jeden żarzysto-ogonny (*Tryphaena*) i jeden z naozniczkiem (*Augastes*), zakończają tę część dzieła.

W objaśniającym teście rozszerza się autor nad opisaniem sposobu życia, miejsc zamieszkiwania etc. tych ciekawych ptaszków. Ta monografia zapowiada najulubieńsze dzieło autora (*T. 1851 nr. 395 z Athenaeum, nr. 1243, p. 900*).

* J. J. Briggs Esq. w swoich *Birds of Melbourne*, przywodzi na przykład, że gdy w czerwcu 1849 ze psem po polu chodził, ujrzał w szczególniejszém poruszeniu kukułkę, która, jak czajka, ciągle nad nim latała i kiedyniekiedy psa trącała. Domyślił się zaraz, że niedaleko musi być gniazdo w którym kukułka ma młode, i szukał go w pobliskich zarosłach, ale nadaremnie. Nazajutrz przyniósł mu wieśniak młodą kukułkę wjętą z gniazda polnego wróbla, które właśnie w tém znajdowało się miejscu, w którym kukułka stara tak szczególne dniem pierwój odbywała obroty. (*T. 1850 nr. 7 z The Zoologist, Nov. 1849*).

W. Newby donosi według zapewnienia bardzo godnego wiary człowieka imieniem Tom Green, że ten postrzelił raz kukułkę, która podleciawszy jeszcze kawałek, z rozpostartemi skrzydłami na płot upadła. Gdy Green przybliżył się do niej, spostrzegł świergotka (*Anthus*), jak do wysiadywania na zabitej kukułce siedzącego. Green uważał także, iż lubo małe ptaszki, skoro kukułkę ujrzą, jak koło krogulca koło niej się

(1) Zobacz wyżej, na str. 593.

gromadzą, za kukułką jednak milcząc i z uszanowaniem do pewnej odległości lecą, gdy na widok krogulca straszliwe krzyki wznoszą, jakby tém chciały mordercę w nim wydać. Ale jakiej przyczynie ten bezczelny paraszyt wiuien jest swój wpływ na małe ptaki, tego nie doszliśmy jeszcze. (*Id. nr. 47 ex eod. Dec. 1849*).

Jeden z korespondentów dziennika *The Zoologist* (*June, 1851*) donosi, że ostatniej wiosny zastrzelił kukułkę z jajem w dziobie. Strzelec widział jak je niosła, i dlatego daleko ją ścigał, nim strzelił. Można by to uważać za dowód, że ten ptak chciał do obcego gniazda przenieść jaje, na co wszakże więcej jeszcze postrzeżeń mieć trzeba. (*T. 1851 nr. 363*).

* Przy odwiezaniu zoologicznego ogrodu w Regents-Park, uważał korespondent dziennika *Zoologist* (*Dec. 1850*), następujące zajście. Wielka, biała papuga kakadu i daleko mniejsza zielona, mieszkały razem w jedynéj klatce. Ostatniej podawano orzechy, ale nie brała się do ich gryzienia, tylko je zaraz oddawała większej kakadu, która silniejszymi zuchwami rozgryzłszy każdy orzech, dzieliła jądro jego na dwoje, sama połówkę tylko zjadając, a drugą z uprzejmością towarzysze swój oddając. Powtórzyło się to więcej niż 12 razy. (*Id. nr. 270*).

* J. J. Briggs w swoich *Birds of Melbourne*, tak mówi o gołębiu grzywaczu (*Columba palumbus*) w Anglii: „Lasy nasze i ciemne bory zamieszkują wielkie stada dzikich gołębi, które na poblizkie wylatują pola i wielkie szkody czynią. Pomiedzy siejbą a żniwem widać małe ich stadka na łąkach, szukające tam pożywienia w wysokiej trawie, a w téj porze żywią się najwięcej nasionami traw dzikich. W lipcu, kiedy pszenica się wykłosi, a ziarno jej stanie się mlęczystém, ptaki te zrzadzają niezmiernie szkody. Przylatują małemi oddziałami, siadają na zbożu które wiatr i deszcz powalił, i mnóstwo ziarn wyjadają z niego. Często zaglądałem do wola grzywaczów na pszenicy zastrzelonych, i po kwaterce młodych ziarn w niem znajdowałem. Zimą udają się na jarmuż i wydziobują serca i miększe liście. Na wiosnę ciągną gromadami na pola zasiane konieczyną, i wydziobują środkowe listki rośliny. Mijając te szkodliwe przymioty, grzywacz jest pięknym i zajmującym leśnym ptakiem, a jego żałośliwe, łagodne tony, podczas łagodnych, cichych wieczorów letnich, w ciemni lasu mają coś nader miłego.

Gdy się rozpocznie zbiór pszenicy, ptaki te następującym sposobem licznie dostawać można. W blizkości pszenicy na polu, zatyka się kilka gęsto liściami okrytych dębowych albo wiązowych gałązek w ziemię, tak, żeby tworzyły altankę, i w téj zasadza się ze strzelbą, z której strzela się do przelatujących lub spuszcających się gołębi. Niekiedy, można w ten sposób do 40 sztuk w jednym dniu zastrzelić.

Zimą grzywacze trzymają się w wielkich stadach, które, z kilkuset głów niekiedy złożone, na zér za dnia wyleciawszy, wieczorem do lasu wracają. Tam poszedłszy ze strzelbą na miejsce w którym nocować zwykły, ustaje się za grubem drzewem i strzela do gołębi, gdy usiadają. Za pierwszym wystrzałem całe stado się zrywa; ale po oblecieniu kilka razy dokoła, znowu się spuszcza, ła często pierwój niżeli jest czas do nabi-

cia flinty. Można w ten sposób przez jeden wieczór niemało par zastrzelić, a dziki gołąb' przyrządzony na taki sposób jak kuropatwa albo dzika kaczka, wcale zły nie jest. Dobry okaz waży 12 uncyj." (*T. 1850, nr. 17*).

* Pardwy (*Tetrao scoticus* Lath.), które, jak wiadomo, niegospodarnem polowaniem w Szkocyi, całkiem wygubione zostały, usiłowaniami lorda Breadalbane, według doniesień do dziennika *The Zoologist*, Febr. 1851, znowu się tam zamnożyły. Lord otrzymał w latach 1838 i 1839 z Norwegii 54 pardw dorosłych (około $\frac{2}{3}$ samic), wypuścił niektóre do lasów, drugie zatrzymał w ptaszarni i powierzył wysiedzenie ich jaj szarym kurom a jeszcze lepij bażantom. Teraz wszystkie lasy koło Taymouth Castle są napełnione pardwami. Część ich wędruje co lato do Strath Tay, Blair Athol i t. d.; krótko mówiąc, pardwa znowu jest w Szkocyi krajowym ptakiem. (*T. 1851, nr. 292*).

* P. Stenstrup (w Działaniach skand. Tow. bad. nat. w Kopenhadze, Dod. P.) gruntownie okazał, iż postrzeżenie że dront był gołębiem, nie p. Strickland przyznawać należy, tylko duńskiemu zoologowi J. Reinhardt, który także w król. hist. nat. muzeum w Kopenhadze wynalazł czaszkę dronta i za taką ją uznał. (*T. 1850 nr. 73*).

* W. Mantell Esq. *O kopalnych szczątkach ptaków na Nowej Zelandyi*. Piérwszą pozostałością po olbrzymich strusiowatych ptakach, które niegdyś zamieszkiwały tę wyspę, do Europy przywiezioną, był tylko na parę cali długi ułomek kości grubej, która takie podobieństwo miała do wołowój, że z początku wielu znakomitych naturalistów w rzeczy samj za taką ją uznali. Ale prawdziwe jej cechy rozpoznał w r. 1839 prof. Owen i ogłosił, że należała do ptaka z rodziny strusiowatych, lecz który miał wielkość ogromniejszą, niżeli dziś żyjące gatunki. Mniemanie to potwierdziły wkrótce inne szczątki, w znacznej liczbie przez pp. Williams i Earl do Europy nadesłane. Usłyszawszy o tém odkryciu p. W. Mantell, zajął się zbieraniem prób zupełniejszych, w skutek czego, zwiedził w latach 1846 i 1847 wszystkie miejscowości, w których te ułamki znalezione były. Dawniej przywiezione do Anglii kości, pochodziły wszystkie ze szlamu rzék i były mniej lub więcej przejęte i zafarbowane roztworem żelaza. Ale te które p. Mantell nadesłał, przechowały się w wolnym wulkanicznym piasku; są one lekkie, dziurkowane, płowego koloru, nieskażone; towarzyszyły im ułamki skorup od jaj, żuchw dzioba, a nawet dobrze zachowane kościste pierścienie tchawicy. Wulkaniczny piasek wszystkie próżne miejsca w kościach wypełnił, ale tak słabo jest skupiony, że pocieraniem miękkiej szczotki wymiatać się daje. Miejsce znalezienia na żadnej karcie Nowej Zelandyi oznaczoném nie jest, zdaje się wszakże przypadać w bliskości rzeki Wanganui, wypływającej z wulkanicznej góry Tongariro, z ciepłych źródeł znanj. Przybyło do Anglii 700 do 800 ułomków, które należały do ptaków rozmaitej wielkości i wieku, wskazujących na pięć rodzajów (*genera*), z których cztery dotąd nieznanymi były. W pewnych pagórkach, w których według powieści krajowców, miały się utrzymywać zabytki ich uroczystości, znalazł Mantell kości moów czyli olbrzymich ptaków, psów i ludzi, które wszystkie w zmieszaniu leżały i widoczny ślad ogniowego działania okazywały. Musiały więc te ptaki żyć w epoce, w której już na téj wyspie ludzie

(kanibale) byli. A że kości leżą w napływowych gruntach, zdaje się że ląd podniósł się z czasem: widać też wiele rozmaitej wysokości nasypów wzdłuż brzegu. Nowa Zelandya zatem, była od bardzo dawnego czasu zamieszkałą przez osobne rodzaje ptastwa, z wyłączeniem prawie zupełnym zwierząt ssących i płazów. Ma się to odwrotnie względem pewnych geologicznych okresów, w których same tylko płazy, a przynajmniej w głównej ilości one istniały, jak to dziś na wyspach Galapagos widzimy. (T. 1850, nr. 51—53 z *Zeitschr. f. Erdkunde, von Dr. Berghaus X Bd. 2 Hft. S. 149*).

* Na posiedz. Tow. zool. londyńskiego, d. 12 lut. 1851 prof. Owen zdawał w dalszym ciągu sprawę z rozpoznawania nadesłanych z Nowej Zelandyi kości olbrzymich ptaków niegdyś tam żyjących, i popierał mniemania swoje rozłożeniem długiego szeregu okazów tak z północnej jako i południowej wyspy pochodzących. Są pomiędzy nimi wszystkie kłykie nogi olbrzymiego gat. *Palapteryx robustus* z Waikawaite, także dobrane i zestawienie kłykciów od *Dinornis rheoides*: i mniej więcej niezupełnie zebrane kłykie od *Dinornis giganteus*, *Palapteryx ingens* i innych gatunków. Opisował po szczególe charakterystyczne znamiona tych rozmaitych kłykciów, i rozszerzył się nadewszystko nad stosunkowością paleów u dwóch największych gatunków, tojest: *Dinornis giganteus* z wyspy południowej, i *Palapteryx robustus* z torfowisk środkowej. Że kości pazurowe do grzebania zastosowane były, wyraźnie się okazuje z ich kształtu i siły. Rozeznawcza cecha rodz. *Palapteryx*, która pierwój tylko na małym zagłębieniu w śródnózu okazaną była, teraz mogła być Towarzystwu przedstawiona w głównej kości niewielkiego palca tylnego, jaki jest u żyjących jeszcze nietotów (*Apteryx*). Okazane także były i opisane: całkowity mostek, ułomek drobnego barku i czaszka jednego z mniejszych gatunków *Dinornis*. Ważny ten zbiór nadesłany był do Anglii przez p. p. Wakefield i J. R. Gowen. na Nowej Zelandyi zamieszkałych. (T. 1850 nr. 94 i 1851 nr. 298 podług *Athenaeum 2 March 1850* i *Mag. Nat. hist. March 1851*)

* Na środkowej wyspie Nowej Zelandyi p. Walter Mantell zebrał blisko 500 okazów pozostałości po olbrzymich ptakach tego kraju, i wraz z minerałami tamże zebranymi, do Anglii je nadesłał. Ojciec p. Mantell oddał wszystko na d. 27 lutego b. r. (1850) Towarzystwu geolog. lond. Niektóre z tych szczątków leżały w piasku menakanitowym na północnej wyspie, inne pochodzą z bagna na środkowej, niegdyś lmem nowozelandzkim zarosłego. W bagnie tém znaleziono między innymi dwie na 3 stopy odległe od siebie nogi olbrzymiej moy (*Dinornis giganteus*), w prostym kierunku stojące. Noga żyjącego ptaka musiała około 16 cali być długą a na 17 do 18 cali sięgać daleko, przy wysokości samego ptaka $9\frac{1}{2}$ stóp wynoszącej. Kościom tym towarzyszyły i inne, jakoto gatunku psa, dwóch gatunków foki, albatrosa, bezlotka, kokoszki wodnej, nestora, szczura i nietota. W głębi wyspy północnej odkryto niedawno jaskinię z kośćmi, wpośród których dają się postrzegać i ptasie. Autor mniema, że w znaczeniu geologiczném szczątki te są młodemi, ale we względzie na rodzaj ludzki są bardzo stare. Te olbrzymie ptaki niegdyś mieszkaly zapewne na lądzie stałym, który się

dziś tak głęboko zapadł, że tylko najwyższe punkta jego w postaci wysp jeszcze występują nad wodę. Ostatnie indywidua gatunku były, według wszelkiego prawdopodobieństwa, już przez człowieka wyniszczone, ale to dopiero wtenczas, gdy geograficzne ich rozpostarcie zmianami fizycznymi gwałtownie ograniczone zostało. (T. 1850, nr. 102, 103 z *The Athenaeum*, 9 march, 1850).

* Według świeżo otrzymanych wiadomości z Nowej Zelandyi, podobieństwem jest, że olbrzymia moa, którą za wymarłą uznawano, żywa jeszcze utrzymuje się na tej wyspie. (T. 1851 nr. 292 z *The Zoologist*, febr. 1851 na okładce).

* H. E. Strickland, *O olbrzymim ptaku na Madagaskarze*. Odebrałem wiadomość od p. F. R. Surtees na przykładu Dobrej nadziei, ściągającą się może do dronta albo jakiego innego, blizkiego mu ptaka. Już przed 200 laty doniósł Flacourt, że wielki ptak z krótkimi skrzydłami na tej wyspie żyje. Dlatego ta wiadomość, jakkolwiek wydaje się szczególną, zawsze na uwagę zasługuje.

W październiku 1848 r., gdy angielski okręt Geysler przed zatoką Św. Augustyna przy Madagaskarze krążył, podróżujący na nim Francuz p. Dumarelle, napisał do chirurga John Joliffe, list, z którego on zanotował w dzienniku swoim taką wiadomość. „P. Dumarelle prowadząc przed niedawnym czasem na swoim własnym okręcie handel, wzdłuż brzegów Madagaskaru, widział w porcie Leven, na północno zachodnim końcu wyspy, skorupę nadzwyczajnie wielkiego jaja, ptaka znajdującego się w niemieszkalnych częściach wyspy. Było tak wielkie, że 13 kwartowych butelek cieczy objąć mogło, i że on sam tę ilość dokładnie zmierzył. Jaje miało kolor i wejrzenie strusiego, a skorupa jego grubość hiszpańskiego dolara, i wielką twardość. Przynieśli je na brzeg Sakalawowie, jeden szczep krajowców, dla nabrania w nie rumu. Miało ono w jednym końcu dosyć dużą dziurę, przez którą wybrany został środek i tak do napełniania służyło. P. Dumarelle pragnął od ludzi jaje kupić, ale nie chcieli go odstąpić, tłumacząc się że należy do ich naczelnika bez którego pozwolenia przedawać jaja nie mogą. Opowiedzieli że zoaleziono było w trzciniisku, i że się takie bardzo rzadko znajduje, równie jak i sam ptak, który przypadkowo jedynie widzieć się daje.”

Wartość tego zeznania spoczywa na wiarogodności je czyniącego, a pod tym względem, dodaje p. Joliffe, p. Dumarelle jest francuzkiem kupcem na wyspie Bourbon, człowiekiem około 60 lat mającym, szanownym i światłym, który przez wiele lat Madagaskar na swoim własnym okręcie odwiedzał, i z rozmaitemi pokoleniami krajowców, tudzież płodami wyspy dokładnie się poznał. Zachowaniem się swoim, wolnym od wszelkiego samochwalstwa i uczącą rozmową mocno nas ujął, i mieliśmy wszelkie zaufanie w jego zdaniu i w jego miłości prawdy.

Sam p. Joliffe zdaje się mniemać, że p. Dumarelle przez krajowców jakimś sposobem ułudzony został; dodaje wszakże, iż podanie p. Dumarelle jest pewne, i należałoby ażeby naukowo wykształceni wędrownicy dalsze w tym przedmiocie poszukiwania czynili.

Szczególniejszą jest ta okoliczność, że Marco Polo ptaka *Roc* (1) na wyspie Madagaskar osadza. Wszakże ten ptak, jeżeli coś podobnego mu istniało kiedy, krótkoskrzydłym z pewnością nie był. (*T. 1850, nr. 9 z Annals & Mag. of Nat. hist. nr. XXIII, Nov. 1849*).

* Isidore Geoffroy St. Hilaire, *O tymże przedmiocie*. Od p. Malvois, osadnika na wyspie Bourbon, nadeszła niedawno przesyłka tak wielkiej ważności, iż za obowiązek poczytujemy natychmiast Akademii wiadomość o niej podać. Okazuje się z niej, że na Madagaskarze żył jeszcze przed niedawnym czasem ptak, o którym umiejętność dotąd nie wiedziała, którego jednak ślady tu i owdzie odkrywano.

Rzeczony przedmioty odkryte zostały w r. 1850 przez p. Abadie, kapitana kupieckiego okrętu. Odwiedzając on południowo-zachodni brzeg Madagaskaru, postrzegł w ręku krajowca nadzwyczajnie wielkie jaje, które w jedayam końcu przedziurawione, za naczynie do domowych użytków służyło. Wiadomości, które p. Abadie od Madagaskarczyków otrzymał, doprowadziły go wkrótce do wynalezienia drugiego jaja prawie téj saméj wielkości, postrzeżonego w korycie strumyka pod żwirem który się świeżo osypał. Niedługo potem odkryte zostało i trzecie jaje, razem z olbrzymimi kośćmi, za wółskamieniałe uznanemi, w gruncie napływowym. Wszystkie te przedmioty, chociaż szkoda że nie z należytą przezornością, odesłane były na wyspę Bourbon, a ztamtąd do Paryża. Jedno z jaj potłukło się na drobne kawałki, dające się jednak zestawić. Dwa inne utrzymały się w całości.

Przedmiotami, które tu Akademii przedstawiam, są dwa w całości dochowane jaja, kawałek skorupy z jaja rozbitego i kilka ułomków kości, między którymi szczególnie jeden ma wielką naukową ważność.

Dwa leżące tu jaja pod względem objętości mało, lecz pod względem kształtu znacznie się od siebie różnią. U jednego wypukłość obu dwu końców jest bardzo odmienna, gdy tymczasem przecięcie drugiego prawie doskonałą elipsoidę tworzy. Tu podaje autor tabelaryczne porównanie wymiarów tych jaj, z wymiarami jaj strusia i rei, obudwu kazuarów i kurzego, a dalej tak mówi:

Według powyższych rozmiarów przestworność wewnętrzna olbrzymiego jaja z Madagaskaru, wynosi około $8\frac{3}{4}$ litrów, a jest ono około 6 razy większém od jaja strusiego, dwanaście od jaja rei albo strusia amerykańskiego, $16\frac{1}{2}$ razy od jaja kazuarowego, 17 od jaja kazuara nowoholandskiego, a 148 razy większe od zwyczajnego kurzego. Około 50,000 jaj kolibrzych miałyby dopiéro objętość jaja olbrzymiego.

Ale czy te olbrzymie jaja należą do ptaka, czy téż do płazu? Jużby to pytanie rozwiązywało podobieństwo skorupy jego do skorup jaj wielkich z niedoskonałemi skrzydłami ptaków, a osobliwie nowoholandskiego kazuara: lecz daleko bardziej przekonywającemi są kości, które razem z jajami nadesłane zostały. Jedną z nich jest dolna sztuczka wielkiej kości śródnożowej u lewej nogi. Jest ona opatrzoną trzema wyrostami klubowemi (*trochlea*), z których dwa prawie nieskazony stan zachowały. Na pierwszy rzut oka poznać można że ta kość do ptaka należała. Po

(1) Polscy tłumacze powieści wschodnich zowią go *skatą*. P. R.

dokładném rozpatrzeniu się, dochodzimy następujących wypadków. Olbrzymi ptak madagaskarski, różni się znacznie od dronta. Niedostaje mu silnie rozwiniętego palca tylnego, którym się wymarły ptak z Isle de France od strusiowatych i kazuarowatych różnił. Można się o tém zład przekonać, że u dolnego końca wielkiej kości śródnożowej nie ma wykrojenia, które u dronta i wielu innych ptaków miejsce przyczepienia palca wielkiego oznacza. Pod tym względem ptak madagaskarski podobny jest do moy (*Dinornis*), ale znowu odstępuje od niej, jako i od niedawno na Nowej Zelandyi odkrytych rodzajów pokrewnych, bardzo szerokim i płaskim kształtem dolnej części (a może i większej) kości śródnożowej.

Co się tyczy tych ptaków, których kopalne ślady ukazano (*Ornitho-thichnites*) z jednej, a strusia i powinowatych mu rodzajów z drugiej strony, niełatwo kto uzna słuszność wcielania do nich olbrzymiego ptaka z Madagaskaru, który przeto zdaje nam się być zworzem nowego rodzaju w fam. *Rudipennes* albo *Brevipennes* (krótkoskrzydłych), i nazwiemy go *Aepyornis* (od *απυος* wysoki, *ορνις* ptak), nazywając zarazem jedyny jego dotąd odkryty gatunek, *Aepyornis maximus*.

Z innych nadesłanych ułomków dochodzi autor przez rozumowania i wnioskowania, wielkości ptaka, i twierdzi że gdy struś wysokości dwóch metrów dosięga, *Aepyornis* musiał być 3—4 metrów wysoki, zatem wyższy jeszcze od olbrzymiej moy (*Dinornis giganteus*), której prof. Owen wysokość 9½ stóp ang. (2,9 M.) nadaje, lubo insi badacze za wyższą ją uznali. Potém zaś tak mówi:

„Ale jakże to mogło być, ażeby tak wielki ptak, który niewątpliwie dożył czasów niebardzo odległych od nas, a nawet o którym utrzymywać nie można, ażeby jeszcze i teraz nie żył (1), badaczom natury europejskim dotąd pozostał nieznany? Może téż tak i nie jest, jak się z następujących przytoczeń okaże.

Czy *Aepyornis* nie jest owym *Vouron-Patra* olbrzymim Madagaskaru ptakiem, o którym z postyszenia donosi, przed 200 laty wędrujący Flacourt, jeżeli go liczyć można do autorów, którym *Aepyornis* był znany? Powiada on w swojej *Histoire de la grande île de Madagascar*, wyd. 1758, p. 165: „Jest wielki ptak, który na Ampatrach mieszka i niesie jaja strusim podobne; jestto gatunek strusia. Nie daje się złapać i w najsamotniejszych miejscach przebywa.” Miejsce to jest zbyt nieokreślone, ażeby się do ptaka *Aepyornis* z prawdopodobieństwem odnosić dało. Jeżeli zaś Flacourt go nie znał, to z pewnością inny francuzki wędrownik, przynajmniej słyszał o nim i jego jaja widział.” Tu opowiada autor cośmy już wyżej ze Stricklanda przytoczyli, o pp. Dumarelle i Joliffe, i wzmiankuje o lście p. Lépervanche Mézière, który ten naturalista z wyspy Bourbon do muzeum paryzkiego pisał, przysyłając mu jaja i kości z Madagaskaru, a w którym między innymi wyraża, że lubo Madagaskarczycy nie sądzą ażeby ten ptak olbrzymi teraz istniał, utrzymuje się wszakże pomiędzy nimi stare podanie o istnieniu kiedyś tak

(1) *Notornis*, który także z wykopanych najprzód szczątków był poznany, i za wymarłego uważany, niedawno żyjący na Nowej Zelandyi znaleziony został. (Zobacz niżej).

wielkiego, że był w stanie wołu wywrócić i pozrzóć, i że to jego są te wielkie jaja, które tu i owdzie znajdują się na wyspie.

„Podanie to, mówi p. Geoffroy, przyznaje ptakowi z pewnością nie jego sposób życia. Bajki te są tak bezzasadne, jak nowo-zelandzkie podanie o moy. *Aepyornis* był jak *Dinornis* krótkoskrzydłym ptakiem, a gatunek z którego mitologia utworzyła straszliwego, drapieżnego, podobnego skale (*Roc* albo *Ruc*) we wschodnich powieściach (1), nie miał ani szponów, ani zdatnych do lotu skrzydeł, i bezbronny żywił się roślinnym pokarmem.” (T. 1851, nr. 298 z *Comptes rendus*, 27 Janv. 1851).

* *Odkrycie żywego ptaka z rodz. Notornis na Nowej Zelandyi* (z listu dra. Mantell do prof. B. Sillimann). Wytrwałe poszukiwania syna mego Waltera, który obecnie mieszka w Wellingtonie na środkowej wyspie Nowej Zelandyi, wynagrodzone zostały odkryciem żyjącego okazu ptaka, z fam. chróscielowatych (*Rallidae*), którego czaszkę i inne kości wynalazł dawniej w piaszczystych napływach przy Waingongoro na zachodnim brzegu wyspy północnej razem z kośćcami olbrzymiej moy (*Dinornis*). Prof. Owen uznał kopalnego ptaka za zworze nowego rodzaju *Notornis* (ptak południowy), a na cześć odkrywcy *Notornis Mantelli* go nazwał. Utrzymuje się pomiędzy krajowcami podanie, że jednocześnie z ptakami olbrzymimi (*Dinornis*, *Palapteryx* etc.) żyło wiele małych gatunków, zpośród których jedna kokoszka wodna, aż do naszych dochowała się czasów, ale ją wytepiają żbiki i psy,— w drobiu także wielki uszczerbek sprawujące. Kokoszka ta miała być wielkości małego indyka, mieć kolor czarny, bezskrzydła, o dziobie i nogach czerwonych. Angielscy osadnicy nie widzieli dotąd żadnego żywego okazu tego ptaka. Mieszkańcy wyspy południowej nazywali go *Takahé*, północnej *Moho*. Syn mój powtórnie zwiedzając południową część wyspy środkowej, dostał od polujących na fok piękny okaz za wyginiony uznanego ptaka *Notornis*. Ci ludzie, zwiedzając wybrzeża wyspy Dusky May (przy południowo-zachodnim końcu wyspy środkowej), w zamiarze ubicia fok, postrzegli na śniegu ślady wielkiego ptaka i tak daleko ścigali go, że naostatek oczom się ich ukazał. Uciekł on z wielką szybkością przed psami w zaciśń niedaleko zundu, z tyłu wyspy Resolution będącego, gdzie go żywcem złapano. Wydał głośny krzyk i walecznie się bronił. Trzymano na pokładzie szoneru przez kilka dni żywego, potem zabito go i upieczo-

(1) Bajka o skale (*Roc*) może mieć jakiś związek z istnieniem olbrzymich jaj, które zapewne do najdawniejszych historycznych czasów tu i owdzie na Madagaskarze znajdowane były; wszakże p. Strickland za daleko się posuwa, naznaczając skale siedlisko na Madagaskarze, a może i dalej wnosząc, że skala i *Aepyornis* są tym samym ptakiem. P. Strickland nie zrozumiał Marka Polo, jedyną powagę którą przytacza. Marco Polo mówi w swoim sławnym dziele (księga III, rozdz. 40) o ptaku skala (*Roc*), zaraz po opisanju Madagaskaru, ale bynajmniej nie o tam znajdującym się ptaku. Owszem utrzymuje przeciwnie, że ten ptak mieszka na niektórych innych wyspach z tamtej strony Madagaskaru (*aliarum insularum ultra Madagascar*. Wyd. łacińskie z r. 1671, pag. 157). *Przyp. aut.*

P. Strickland odwołał się przeciwko temu sprostowaniu w *Mag. Nat. Hist. March* 1851 do wydania Marsdena pism Marka Polo, Lond. 1818 str. 707. gdzie jest: „Lud na wyspie (Madagaskarze) utrzymuje, że w pewnej porze roku osobliwy ptak, którego *Rukh* nazywają, z południa się zjawia, etc.” Polo uważa, iż dalej na południu leżące wyspy nie bywają przez okręty nawiedzane, a to wzmiankowane przez niego podanie o skale, odnosi się widocznie do Madagaskaru.

no, a tylko skórę z głową i nogami zachowano. Ta szczęściem dostała się mojemu synowi świeża i w dobrym stanie, a tym sposobem uratowany został może ostatni *Moho* na korzyść umiejętności.

Ten ciekawy ptak ma około 2 stóp wysokości, a z kształtu podobny jest do czarnogrzbiatego modrzyka (*Porphyrio melanotus*), chociaż nie do tego rodzaju należy. Cechy które prof. Owen na kościach kopalnych ukazał, przedstawiają się wyraźnie na świeżych. Dziób jest krótki i gruby, a u żywego ptaka był równie jak nogi, pięknie czerwony. Szyja i ciało są ciemno-purpurowo-czerwone, a grzbiet równie jak skrzydła, mienia się zielono i złoto-żółto. Krótkie, okrągławe skrzydła, mają budowę nader słabą i nader skąpe upierzenie. Ogon bardzo kusy i od spodu biały. Znany ornitolog p. Gould (autor dzieła o ptakach Australii) któremu opisanie tego ptaka podałem, przyznał że jest tym samym co kopalny *Notornis*. Przybywa nam tedy w niedawno zabitym okazie *Notornis Mantelli*, spółczesny olbrzymich Nowej Zelandyi ptaków, których kości i jaja podziwienie naturalistów wzbudzają.

Syn mój pisze, iż może jeszcze więcej okazów *Moho* zdobędzie, ale podług upewnienia osób które długo na Nowej Zelandyi bawiły, nie jest to prawdopodobnem. Przysłał mi on także skóry innych gcdnych uwagi ptaków tamecznych, jak np. owego dziwnego nowozelandzkiego *Strigops*, który pomiędzy sową a papugą środek trzyma, dwie z rodz. *Neomorpha* i z nietotów (*Apteryx australis* i *A. Oweni*). Ostatni ptak nadzwyczajnie jest rzadki, i o ile wiem, dwa tylko okazy jego do Anglii nadeszły. Oddam tę skórę do brytańskiego Muzeum." (z Sillimana *American Journal of Science and Arts, January 1851*),

Dodatek. Na posiedz. Akad. um. paryzkiej d. 2 grudnia 1850, książkę Karol Lucyan Bonaparte przedstawił wizerunek tego samego ptaka *Notornis*. Uczynił przytęm uwagę, że dosyć wykazują się na nim cechy familii chróściełowatych, w których więcej się do *Tribonyx* niżeli do *Brachypteryx* (jak Owen rozumie) zbliża. (*T. 1851, nr. 296*).

* Wielka należy się wdzięczność niespracowanemu H. G. L. Reichenbachowi w Dreźnie, który może jeden tylko, równo z postępem odkryć wydając, wspaniałe lecz nieprzystępne dla nas wizerunki angielskie nowo odkrywanych ptaków, z dziwnym pośpiechem przenosi na skromniejsze niemieckie, a wydając familiami całemi zwierzęta ssące i ptaki, dołącza obok ich wizerunków i opisy, dokładniejsze jeszcze od angielskich. Zamieniwszy więc owo równie ponętne okazałością jak odstręczające ceną dzieło Goulda *Birds of Australia*, w skromną książkę (*Die neuentdeckten Vögel Neuholands*), tak opisuje w 3 jej oddziale na str. 323, osobliwego ptaka *Leipoa ocellata*: „Należy on do familii *Megapodidae* Gray, której rodzaje *Tulegalla*, *Leipoa* i *Megapodius* składają część wielkiej rodziny ptaków właściwych Australii, Nowej Gwinei, wyspom Celebes i Filipińskim, a obyczaj i sposób życia mających tak osobne, że odstępują od wszystkich innych skupień, które na okręgu ziemskim poznano. Co do budowy, są blizkimi kur, z poruszeń jednak i ze sposobu latania podobniejsze chróścielom. Małej objętości mózgiem i osobliwym wylegania się sposobem, niższego stopnia rozwinięcia wodzą.

Trzy australijskie gatunki, należą wszystkie do osobnych rodzajów. Mają one coś wspólnego, szczególnie w sposobie gnieźdzenia się; bo składają jaja w pagórki usypane z ziemi i liścia, w których się one od ciepła gnijących materij roślinnych a razem i od promieni słonecznych zalegają, poczem wychodzą z nich młode, całkiem piórami okryte i same utrzymywać się mogące.

Kopce gniazdowe nogalów (*Megapodius*) które tu opiszemy, wzięte były przez niektórych wędrowników za kurhany, a osobliwsze altanki familii *Chlamyderae* za kolebki dzieci krajowców: błędy, które rozjaśniły poszukiwania znakomitych ornitologów, poświęconych nowoholandskiej faunie.

LEIPOA Gould. Dziób prawie długości głowy, cienki, przy podstawie nabrzmiały, krańce faliste i na dół zachylone. Nozdrza wielkie, podługne, opatrzone nakrywką i wśród dolka położone. Głowa nieco czubata. Skrzydła wielkie, okrągłe i w kształcie muszli; 1—5 lotek równych a najdłuższych, trzeci ich szereg prawie tak długi jak pierwszy. Ogon okrągły o 14 styrowkach. Podym miernie gruby, z przodu tarczami, z tyłu łuskami pokryty. Palce nieco krótkie, skrajne prawie jednakowej długości.

L. ocellata Gould vol. V pl. 78.

Do opisu tego ptaka w części I powyższego dzieła Nr. 88 na str. 71, przydajemy jeszcze że znalazł się później rozpostarty wszędzie po wikliskach (1) nad Murray w południowej Australii. JW. kapitan sir George Gray udzielił mi jeszcze następujących ciekawych nad nim postrzeżeń, które zebrał będąc gubernatorem Australii.

„Dom gubernatora Adelajda, 12 grudnia 1842. Mój drogi panie Gould. Świeżo powróciłem z Murray, gdzie uważałem czynności i obyczaje ptaka *Leipoa ocellata*, który w piaszczystych okręgach wiklisk bardzo licznie się znajduje. Oczy u żywego są jasno-orzechowo-brunatne, nogi i stopy ciemno-brunatne, nie tak ciemne jak na pańskim wizerunku; a nagie miejsca na głowie i twarzy bardzo miękkie, jasno-błękitne. Żołądek jest bardzo wielki i mięsisty, wyścielenie jego wewnętrzne nader twarde i rogowate. Jé on przedewszystkiém owady: rostrety (*Phasma*) i pluskwy, lecz także i nasiona rozmaitych roślin. Całe płuca i wnętrzości ptaka, którego rozbierałem, napełnione były tasiemcami. Jeszcze nigdy nie widziałem zwierzęcia któreby do tego stopnia obarczone niemi było, a jednakże ptak był zupełnie zdrowy. Biega on wytrwale i z nagłą szybkością; na noc siada na drzewach, i nigdy nie lata jeśli tego uniknąć może. Samiec waży 4½ funta.

Kopce które usypuje, mają przy podstawie 12—13 łokci obwodu a na 2—3 stóp są wysokie; mają one kształt śpiczastej kopuły. Piasek i trawa bywają częstokroć na 15 do 16 stóp od zewnętrznego ich brzegu zgrzebane.

(1) Wikliska (*brushes*) sąto chróstowiska okrywające wielkie przestrzenie piasków nad brzegami morza i rzek w Nowej Holandyi, gęste zarośle osobnej natury, złożone ze wznoszących się łukowato korzeni srożyplątu (*Rhizophora*), pomiędzy którymi, nieprzystępnymi dla nóg ludzkich, utrzymuje się bezpiecznie niezliczona moc ptaków podobnych naturą naszym kokoszkom wodnym. Sąto więc niskie gęstwiny, wpośród których gdzieniegdzie tylko ujrzyć można wysokie drzewo, jak u nas gruszkę na polu.

Zakłada kopiec następującym sposobem. Wykopuje najprzód dosyć okrągły dołek, około 18 cali w średnicy a 7 do 8 cali głęboki; wypełnia go suchym liściem, sianem i tym podobnemi materjami, których wielką masę naokoło zgromadza. Na pierwszy pokład sypie wielką warstwę piasku pomieszanego z suchą trawą i t. p.; aż nakoniec całość przybiera postać kopuły, jak wyżej powiedziałem. Gdy jaje jest zniesione, wierzchołek kopca stoi otworem, a jama w środku wygrzebana, dochodzi aż do dwóch albo trzech cali nad poziom pokładu suchych liści. Jaje leży w piasku, tuż przy brzegu jamy, w położeniu pionowém, cieńszym końcem do dołu. Po narzuceniu na nie piasku, kopiec swój właściwy kształt otrzymuje. Złożone jaje, jest dokoła miękkim otoczone piaskiem, tak że pomiędzy dolnym końcem jego a pokładem liści na 4—6 cali grubo piasek środkuje. Drugie jaje składane bywa zupełnie na równi z pierwszym, lecz przy ścianie przeciwnéj dopiero wspomnianej jamy. Trzecie jaje położone jest na téj samej wysokości w trzecim rogu, a czwarte w czwartym kwadracie, czyli wszystkie cztery tworzą kwadrat ukośny. Następne cztery jaja kładą się w wązkie przedziały pomiędzy tamtymi, ale zawsze na téj samej płaszczyźnie, tak że nakoniec utworzony został okrąg z ośmiu jaj, wszystkie pionowo ustawione w piasku, którego na kilka cali między każdą parą środkuje. Samiec dopomaga samicy w otwieraniu i nakrywaniu kopca, a jeżeli ptaki nie zostały spłoszone, samica nie się ciągle w ten sam pagórek, nawet gdy się jój kilkokrotnie jaja zabiorą. Krajowcy wiedzą, że samica codzien jedno jaje znosi.

Największa liczba jaj, które się w jednym gniaździe znajdują, jest ośm, podług wiarogodnych zapewnień. Otworzyłem jeden kopiec z którego krótko przedtem wiele jaj zabranych zostało, i znalazłem, że dwa złożone były w zwyczajny sposób naprzeciw siebie, a trzecie na płaszczyźnie równoległej z tą na której dwa inne leżały, lecz o 4 1/2 cala głębiej. Z tego wnoszę, iż mogą okręgi i na różnych znajdować się płaszczyznach.

Z jednego kopca tych ptaków wybrałem 11 listopada wszystkie jaja: niektóre z nich były zupełnie świeże; w dniu 27 tegoż miesiąca zniesione zostały znowu dwa świeże, a ptaki były 28 września rano nad gniazdem widziane, pewnie, ażeby się nieś, lecz samiec zastrzelony został. Niekiedy kilka takich kopców tuż obok siebie stoją. Znalazłem dwa na przestrzeni 200 do 300-łokciowej, a pięć na przestrzeni 4 do 5-milowej. Były zupełnie tak zbudowane, jak je w innych stronach widziałem; to jest w piaszczystej korzeniami przerosłej okolicy, na małej otwartej wydmie, w najgęściejszej części wikliska. Jaja są jasno goździkowo czerwone, w stanie świeżości najpiękniejsze i najjednostajniejsze. Koło tego czasu, kiedy już młode wykluc się z nich mają, tracą one kolor i stają się ciemno-nakrapianemi. Największa ich długość 3,6 cali wynosi, szerokość 2,2 cale, obwód w kierunku długości 10 cali, w kierunku zaś szerokości 7,2 cale. Temperatura w gniazdach zawsze była ciepła, jednakże nie w tym stopniu jakiego się do wylęgania jaj spodziewałem. Jaja mają dwie znakomite własności: 1) że w obudwu końcach są prawie jednakowo grube, któryto kształt bardzo sprzyja położeniu jakie w gniaździe przybierają. Jaje, o ile tylko można ściśnięte jest ku swojej osi, przez co staje się najmniej zdolne stracić środek ciężkości, gdy

pionowo jest postawione. 2) Nadzwyczajnie cienką skorupę, przez co też bardzo stłuczeniu podległe. Własność ta jest w takim stopniu, że choćby najostrożniej jaje objąć, pewno się jednak zgniecie, i wszelkie usiłowanie ażeby je pod kurę podłożyć, jest nadaremne; kończy się na tém, że podkładając jaje się zetrze. U krajowców ptak ma nazwisko *Marrak-koo* albo *Marra-koo*; w Australii zachodniej zowią go *Ngow-o* albo *Ngow* od czuba, bo *Ngoweer* znaczy kitka z piór.

Znajdowałem ptaka w rozmaitych okolicach tej części Australii pomiędzy 26 a 36° równoleżn. sz. połud., a 113 aż do 142° dług. wsch. i domyślałem się, że zapewne i dalej jeszcze zachodzi. Znajduje się on we wszystkich wikłisk okręgach Australii..." Jestem i t. d. G. Gray."

W całości u Reichenbacha zamieszczoném *postscriptum*, jest jeszcze, że ptak ma ciało wielkości indyki, ale krótsze nogi. Jest on niezmiernie bojaźliwy, a przytém bystrego wzroku, tak że nawet przy gniaździe rzadko ujrzeć się dozwala, zwłaszcza że mu sprzyja ręczność biegu, tak nadzwyczajna jak u kazuara Nowoholandskiego. Samiec i samica mają głos odmienny. Młode wygrzebują się z kopca bez pomocy matki, która wodzi je naksztalt kury domowej ustawnie głos wydając.

Podania Giliberta, który, towarzysząc w podróży dr. Leichhardt, z ręki krajowca zginął, w jego liście z Wongan-Hills w zach. Australii, 28 wrześ. 1842 objęte, są w ogólności zgodne z powyższemi; mówi tylko iż znajdował 7—8, a nawet do 14 jaj w gniazdach. Jaja te niejednakowy mają kolor, od jasno-brunatnego do łososioczerwonego; skorupka na nich jak na jajach nogiłów, jest do naskórka podobna, a jedno waży 8 uncyj. W późniejszym liście Gilibert dodaje, że żółtek jest jak w jajach żółwich. (*T. 1850 nr. 213*).

* Westwood zawiadomił Tow. [Linneuszowskie, że na wyspie Lord-Howe, pomiędzy Nową Holandją a Norfolk-Island, odkryty został ptak bezskrzydłowy. Na tę wyspę wstępują corocznie rybacy trudniący się połowem wielorybów na południu, dla nabrania wody i zaopatrzenia się w żywność. Jest ona dosyć wielką i ma dwa wysokie wzgórza. Pomieniony ptak jest wielkości chróściela (*Rallus*); osadnicy mięso jego wychwalają ze smaku. Istnienie takiego ptaka jest ciekawe przy dzisiejszém poszukiwaniu wymarłych bezskrzydłowych ptaków Nowej Zelandyi. Żywe okazy mają już być w drodze do Europy. *T. 1851, nr. 270 z Athenaeum, 1209*).

* Na posiedz. Akad. um. paryzkiej, d. 13 styc. 1851, książę Lucyan Bonaparte przedstawił wizerunek osobliwego ptaka *Balaeniceps rex* Gould, pochodzącego z wyższej części białego Nilu. Jestto ptak błotny, na 4 stopy wysoki, ciałem, skrzydłami i nogami do bociana podobny. Można by go wziąć za bardzo wielkiego rakojada (*Canceroma*) i uważać jako reprezentanta tego rodzaju w Afryce, a lubo żadnego śladu płetwiastoci nóg nie ma, zbliża się jednak do ptaków wodnych (*Palmipedès*), do rodziny pelikanów. Odważny wędrownik Parkynus, który to zwierzę ubił, jego nadzwyczajnie wielką głowę z potężnym dziobem (mającym przedstawiać podobieństwo do głowy wieloryba), z głową dziecięcia porównał. (*L' Instit. 1851, nr. 889, 15 Janv.*).

* Pod d. 25 września z. r. p. Czarkowski ze Starachowic nadesłał mi zastrzeloną tam na stawie czapłę białą czyli forę Tyz. (*Ardea alba* v. *egretta*). Okaz od wierzchołka dzioba do końca nóg miał przeszło 32 cali długości, i był bez długich piór barkowych. Już p. W. Taczanowski czapłę tę między ptakami u nas w Lubelskiem znajdującemi się wymienił (1). Tym więc niewątpliwie gatunkiem jest *czapla białego pióra* w Myślistwie Ptaszém, nie zaś jak z początku myślałem, starą zwyczajną czapłą. Rzecz osobliwa, że niemal jednocześnie dr. Jarocki otrzymał z innych stron kraju okazy czapli nadobnej (*Ardea garzetta*). Mokre lato zeszłego roku rozszerzyło zakres pobytu tych rzadkich u nas ptaków. (A. W.)

* Do pisma *Würtemb. naturw. Jahreshefte* (V. 2) podał urzędnik leśny p. Jaeger wiadomość, że ku końcowi sierpnia 1843 r. przyniesiono mu z doliny sto-Krzyżkiej czarnego bociana (*Ciconia nigra*), rzadkiego w Wirtemberskiem ptaka, złapanego nad Dunajem pod Hundersingen, w skutek postrzelenia go w lewe skrzydło. Był samcem, tak niedorosłym, że niedaleko w tej okolicy wylądzić się musiał. Wpuszczono kalekę w wielki ogród z łąką, murem otoczony, przez który rzeka Aach przepływa, lecz pomimo największe usiłowania ażeby go z widokiem ludzi oswoić, bocian upornie trwał w dzikości, i chociaż obficie przynoszono mu różne odpadki z kuchni na pokarm, wołał żyć z własnego starania na łące, przez co musiało nastąpić, że wreszcie zdechł z głodu, zwłaszcza gdy na początku listopada przez kilka dni lód nie puszczał. W lecie 1848 r. p. Jaeger widział w tejże okolicy parę bocianów, czarnego z białym, tak złączonych zobopólną przyjaźnią, że przykład ten zdolny był udowodnić psychologicznie rodzajowe powinowactwo tych dwóch gatunków, gdyż domowy bocian jestto zwierzę tak nietoleranckie, że oprócz ptaka podobnego sobie, żadnego innego w bliskości nie znosi, a bocian czarny jest znowu tak łekliwy i dziki, że tylko z istotą swojego rodzaju przestawać może. (T. 1850, nr. 237).

* P. E. Homeyer uważa (*Naumannia I*), że nie wszystkie gatunki nurków (*Colymbus*) o jednej pierzą się porze. Gdy rdzawogardlisty (*C. septentrionalis*) zmienia swą strojną odzież na wiosnę, czarnoszyjny (*C. arcticus*) czyni to w jesieni. Zdaje się że lodowaty (*C. glacialis*) zgodny jest w tej mierze z pierwszym (*Ib. nr. 110*).

* Dziennik *Zoologist* (Oct. 1849) ogłosił, że we Francji (w Gironde i Charente infér.) widziano 5 pelikanów, z których 2 ubito, jak doniósł proboszcz Guitres, który w swoim zbiorze zachował te ptaki nader znakomitej wielkości i z dziobami 46 cent. długimi. (*Id. nr. 1, 2*).

* P. Sundewall w 7 ciągu (z r. 1850) Roczników Akad. Sztokolm. (*Öfversigt af K. Vet. Akad. förhandl.*), od str. 96, daje wiadomość o ptakach, które p. Wahlberg z południowej Afryki do Szwecji przywiózł. „Całkowita liczba przywiezionych gatunków dochodzi 530, czyli nieco więcej niż wszystkie w Europie znalezione, a tylko o 90 gatunków mniej niż cała fauna ptaków Australii wynosi. Pomiedzy temi jest około 60 gatunków, które dotąd nie były znane. Doliczywszy do nich około 70

(1) Bibl. Warsz., 1851, tom I, str. 350.

gat. takich które nowemi są dla południowo afrykańskiej fauny, ale już z innych okolic świata, jakoto z Afryki północnej, z Indyi i Europy znane były, (np. i nasze: *Muscicapa grisola*, *Sylvia trochilus*, *S. hortensis*), wypadnie około 130 nowych dla południowej Afryki ptaków.

Całkowita liczba poznanych dotąd południowo-afrykańskich ptaków dochodzi 700 gat., z których Le Vaillant w swoim dziele *Oiseaux d'Afrique* opisał 207, a A. Smith. we wszystkich swoich dziełach około 140, gdy w liczbie tej tylko nieco więcej nad 20 dawniej opisanych było. Do tego przybysza nieco więcej nad 200 gat., które przynajmniej pod dwakroć większą liczbą rozmaitych nazwisk w dawniejszych i nowszych ornitologicznych dziełach są rozrzucone, tudzież owe 130 gatunków ze zbioru Wahlberga.

Ze 150 gatunków znanych południowo-afrykańskich ptaków, lecz których Wahlberg nie znalazł, najwięcej należą do osady wkoło miasta Cap, i do zachodnich części południowej Afryki ztamtąd na północ położonych, zatém do okolic, których Wahlberg nie zwiedzał. On najwięcej zebrał w Kafreryi. Gdy więc Kafrerya czyli wschodnia południowej Afryki strona, nierównie większą część tych 700 gatunków wyżywia, możnaby przeto liczyć ją do krajów najobfitszych w gatunki tej gromady, i za równą pod tym względem sondzkim wyspom, Indyom, Brazylji, Gujanie i t. p. uważać.

P. Sundewall opisuje nowe gatunki w języku łacińskim, ze zwykłą sobie dokładnością i oględnością. Oto są ich nazwiska: *Ploceus (Hypphantornis) rubriceps*, *Estrilda melanogenys et incana*, *Crithagra scotops*, *Xanthodira flavigula*, *Amblyospiza* n. gen. (*Pyrrhula albifrons* Vig.), *Ortygospiza* n. gen. (*Fringilla polyzona* Temm.), *Alauda conirostris*, *fringillaris*, *nigricans* et *breviunguis*, porro *Al. fasciolata* (= *Al. pyrrhonota* Smith, non Vieill.), *Anthus lineiventris*, *cafer* et *brachyurus*, *Lamprotornis porphyropleuron*, *Andropodus importunus*, *Cossypha signata* et *fasciventris*, *Zosterops virens*, *lateralis* et *capensis*, *Eremomela* (n. gen.) *flaviventris*, *usticalis* et *scotops*, *Camaroptera* (n. gen.) *olivacea*, *Bradypterus brevirostris*, *Drymoica obscura*, *fulvifrons*, *procerula*, *curvirostris* et *chloris*, *Pogonocichla margaritata* et *ruficapilla*, *Chloropeta icterina*, *Platystira peltata*, *Muscicapa fuscula*, *Bradyornis ater*, *vittatus* et *leucomelas*, *Malaconotus rubiginosus*, *Aegithalus Smithii* Jard. (a Sundew. de novo descr.), *Hirundo semirufa*, *dimidiata*, *atrocaerulea*, *griseopyga*, *spilodera* et *holomelas*, *Buceros nasutus* var. *cafer* vel *B. epirhinus* n. sp. *B. erythrorhynchus* var. *cafer* vel *B. rufirostris* n. sp. *Indicator maculicollis*, *Prodotiscus regulus*, *Megalaema leucotis* et *bilineata*, *Picus* sp. n. *Aquila Wahlbergi*, *Hyptiopus cafer* (= *Avicida cuculoides* Swains.), *Hemipodius nanus*, *Gallinula angulata*, *Charadrius frontalis*, *Ardea rufiventris* et *flavimana*. (T. 1851 nr. 270).

* W témże piśmie (od str. 125) podaje Sundewall łacińskie opisy ptaków północno-afrykańskich, ze zbioru przez prof. Hedenborga w latach 1835, 1837, 1839 do Sztokolmu nadesłanego. Było w nim wszystkich gatunków 327 z krain nadnilowych i z Arabii skalistej, tudzież z okolic Sinai, któryto okrąg pod ornitologicznym względem wciela

się zwykle do zakresu Nilowego w Egipcie, ponieważ obydwaj kraje zazwyczaj ci sami wędrownicy zwiedzają.

Fauna tych okolic rozpoznawana była nadzwyczaj gorliwie przez wielu znakomitych badaczy, szczególnie zaś Rüppel'a który w swoim systematycznym przeglądzie (*Systematische Uebersicht*, 1845) ogarnął faunę ptaków całego zakresu nilowego z Abissynią i Kordofanem, dodając oraz brzeg Arabii nad anorzem Czerwonem. Liczy tam 532 gatunków ptaków, do których teraz jeszcze 54 dodać możemy, przez co cała liczba podniesie się do 586.

Przyrost stanowią przeszło 40 gat. ze zbioru Hedenborga, między którymi 16 jest nowych, a blisko 30 takich, które już z innych okolic znano; potem z niektórych w ostatnich latach opisanych (np. w *Revue zoologique*, z Abissynii), i kilku które oddawna z pomienionego okręgu znano, ale które w Przeglądzie Rüppel'a opuszczone zostały (jak *Ploceus sanguinirostris*, *Fringilla simplex* Licht. *Hirundo ruficeps* i t. d.). Opuszczenia takie nader łatwo zachodzą, a i teraz wiele gatunków znanych niedostawać musi.

P. Sundewall opisuje te tylko gatunki które są nowe, lub dokładniejszego oznaczenia wymagały, a za takie uważał: *Ploceus sanguinirostris* var. *major* (*Pl. aethiopicus*), *Estrilda rhoasopyga*, *Crithagra leucopygia*, *Xanthodira dentata*, *Lamprocoltus cyanogenys*, *Coraphites albifrons*, *Alauda arenicolor*, *Motacilla vidua*, *Oligura micrura* Rüpp. (*Dicaeum rufescens* Vieill. *Troglodytes micrurus* Rpp. *Sylvietta* (!) *brachyura* Lafresn.), *Drymoica scotoptera* et *fulvescens*, *Aegithalus punctifrons*, *Prionops concinnatus*, *Corvus umbrinus* (prius a Sund. descr.), *Buceros nasutus* var. *orientalis* et *B. erythrorhynchus* (Var. ?), *Picus murinus*, *Poliornis rufipennis*, *Helotarsus ecaudatus*, tudzież odmiany *Falconis tinnunculi*, *Micronisi sphenuri* et *nilotici*, et *Spizaeti accipitalis*, naostatek *Gallinula mutabilis*. (Ib.)

A. W.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego w Wilnie wyszedł tom IIIci Athenaeum. — Tenże księgarz wkrótce ukończy druk powieści Włodzimierza Wolskiego, w jednym tomie.

— A. E. Odyniec, pracuje obecnie nad nowym utworem poetycznym p. n.: „Barbara Radziwiłłówna.”

— P. Zygmunt Kaczkowski, autor powieści: „Bitwa o Chorążkę, i Kasztelanów Lubaczewscy, umiejący malować z największą prawdą obrazy z życia sanockiej szlachty, zamierza już wykończoną powieść w obszerniejszych ramach p. n. „Mardelio”, wydać.

— P. Alexander Przędziecki przygotował do druku ważny materiał do dziejów naszych. Rękopism już ukończony nosi napis: „Listy Annibala z Kapui arcybiskupa neapolitańskiego, nuncjusza w Polsce, o bezkrólewiu po Stefanie Batorym i pierwszych latach panowania Zygmunta IIIgo, do wyjścia arcyksięcia Maxymiliana z niewoli.” Z rękopisu biblioteki Brancacciana w Neapolu, wybrał, przetłumaczył z języka włoskiego na polski i wydał Alexander Przędziecki; z dodatkiem objaśnień historycznych i kilku dokumentów odnoszących się do tejże epoki dziejów Polski. W tych dodatkach znajdują się listy nieznane Jana Zamojskiego, pisane przed samą bitwą pod Byczyną, dalej ciekawa wiadomość szczegółowa o śmierci Podkowy wojewody włoskiego, przez Filipa Taldini agenta toskańskiego w Polsce, przesłana do Florencyi; o śmierci Stefana Batorego i t. d. Obszernie sprawozdanie o całym już wykończonym rękopiśmie podamy w następnym zeszycie naszego pisma.

— W drukarni zakładu Ossolińskich we Lwowie wyszedł „Katalog biblioteki odnowskiej” (Alex. Batowskiego), której sprzedaż rozpocznie się z d. 3go maja r. b. Zawiera ona: w rękopismach, które jednakże skutkiem późniejszego rozrządzenia w sprzedaż nie wchodzi tomów CVII, obejmujących nieraz po kilkaset poszczególnych pism mniejszych; w drukach numerów 5135, i map 219.

— W tejże drukarni wyszło: „Album na r. 1852”, z rycinami widoków galicyjskich, rysowanemi z natury i na kamieniu przez Bogusza Stęczyńskiego, w litografii Marcina Jabłońskiego.

— Józef Łukaszewicz w Poznaniu przygotował do druku: „Historją kalwinów małopolskich”, wyjaśniającą wiele nieznanych faktów w dziejach narodu i kościoła naszego.

— Dr. Zieleniewski w Krakowie wydaje w drukarni *Czasu*: „Opis Szczawnicy pod względem lekarskim, etnograficznym i dziejowym.”

— Ks. Barącz Dominikan z Żółkwi drukuje u Pillera we Lwowie: „Pamiętki miasta Żółkwi”, z dokładną wiadomością o początkach i wzroście tego miasta. Wszystkie wspomniane w dziele fakta mają być udowodnione w przypiskach przytoczeniami z akt miejscowych.

— Drukarnia uniwersytecka w Krakowie zajęła się wydaniem Długoszewego opisu sztandarów krzyżackich, zdobytych pod Grunwaldem, znanego pod tytułem: *Banderia Pruthenorum*. Rękopis ten wydaje p. J. Muczkowski. Wydanie to sprostuje niektóre omyłki, przez niemieckich komentatorów tego pomnika hist. popelnione.

— P. Szlachtowski prof. lit. pol. przy uniw. lwowskim, wydał kronikę Marcina Galla, w XIym tomie zbioru Pertza: *Monumenta Germaniae*, pod tytułem: *Cronice Polonorum etc. edd. J. Szlachtowski et R. Köpke*.

— Ks. biskup Łętowski w Krakowie przygotował do druku: „Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich.” Całe dzieło, owoc długich studyów z aktami i wszelkimi pomnikami archiwum kapituły w ręku, obejmuje 4 tomy.

— Księgarnia J. Czecha w Krakowie, ogłosiwszy w pyszném wydaniu: „Starożytnicze wiadomości o Krakowie” Ambr. Grabowskiego, ogłosiła temi dniami: „Wieczory Badenkie, czyli powieści o strachach i upiorach, z dołączeniem bajek i innych pism humorystycznych Józ. Max, hr. z Tenczyna Ossolińskiego. Z autentycznych autora rękopisów, w bibli. imienia Ossolińskich dochowanych, z portretem autora”. P. J. Czech jedyny oddawna nakładca pism ś. p. Ossolińskiego, postarał się z chwalebna gorliwością o staranny odpis z autografu. Całe dzieło zajmie do 20 arkuszy druku.

— Alex. Stadnicki, autor pisma „O wsiach tak zwanych włoskich”, zajmuje się obszerną, również na dokumentach opartą, rozprawą: „O sołtystwach”.

— W Petersburgu nakładem B. M. Wolffa wyszły następne dzieła: Bohdana Załeskiego Poezye (niedrukowane dotąd). Powieści Lucyana Siemienińskiego. Libelta Humor i prawda. S. Witwickiego *Gadu gadu*. Powieści poetyczne J. Słowackiego, i pierwszy poszyt Grobów królów polskich. Drukuje zaś obecnie tenże p. Wolff: *Zamek krakowski* 2gie wydanie. Pielgrzymkę do ziemi świętej Hołowińskiego w jednym tomie, z rycinami, 2gie wydanie. Estetykę Libelta tom I. Nowe powiastki Czajkowskiego. Poezye Magnuszewskiego. Węreszczyńskiego kazania, które całkiem dotychczas nieznanę w tój gałęzi literatury, nową epokę stanowiąc będą.

— Nakładem tegoż wydawcy drukują się zarazem niektóre pisma *Hoffmanowej* dla dzieci w przekładzie rossyjskim, tłumaczenie Piotra Dubrowskiego, znanego redaktora *Ju-trzenki*, wychodzącej dawniej w Warszawie.

— Dyonizy Zubrzycki wykończył dokładną: „Genealogią książąt ruskich ze krwi Włodzimierza W.” Blizkie powinowactwo przedmiotu z całością historii polskiej, nadaje tój pracy szczególną dla nas cenę. Owszem, sama polskich Piastów genealogia, tylorako z rodowodem książąt halickich związana, znajdzie tam potrzebne dopełnienie.

Z listu.

....PP. J. Łepkowski i Jerzmanowski zwiedzając w r. 1849 w celu naukowym okolicę podtatrzańską, doszli, iż zaginął z klasztoru staro-sandeckiego autograf Długosza: *Życie św. Kunegundy*. Nie zaniedbali oni gorliwego w tój sprawie naukowego dochodzenia: w Dodatku literackim do Czasu (nr. 5 z r. 1849 i dalsze) i w Bibliotece Warsz. (zeszyt 117) stosowne do odszukania tego zabytku poczynili odezwy. Te, jak równie interesowanie się tą sprawą innych pism czasowych, sprawiły, iż obecnie wykrytym został we Lwowie nieprawny posiadacz, i ważna ta pamiątka ukaże się niezadługo w skarbcu zakonnicy. Kto? i jaką drogą? powraca rękopis w miejsce swego przeznaczenia, po jego 21-letniej wędrówce, doniosę później, gdy mi wolno będzie podać do powszechnej wiadomości imię godnego znalazcy.

Zapewne nieporządkom w naturze, które od lat kilku przeszkadzają naturalnemu rozwojowi pór roku, i zamiast zimy dają nam jesień, przypisać należy tak obfite pojawienie się tego roku kalendarzy. Mamy ich mnóstwo: lwowskich kilka, bocheński, przemyski, stanisławowski, ruskich 3, Nadwiślański wadowicki, krakowskich Częcha 3, i Wildta ścieniny krakowski i kieszonkowy i t. d. Obecnie księgarnia Wildta zabiera się do arcydzieła w tym względzie, księgarnia też Baumgartena zbiera artykuły do mającego się wydać kalendarza. We Lwowie zakład Ossolińskich wydał nawet kalendarz toaletowy dla dam, gdzie na czele umieszczono wykaz odpustów i nabożeństw: miałyżby nabożeństwa do toalety należeć?!

† Dnia 31 stycznia r. b. we Lwowie skończył żywot po długiej i przykrzej chorobie Jan Gwałbert Pawlikowski, mąż wielkich zasług i poświęcenia dla literatury i sztuk pięknych.

† Dnia 4 lutego r. b. we wsi Siekierkach pod Swarzędzem w Wielkiem Księstwie polnoznańskim, po krótkiej chorobie, w skutek głębokich cierpień moralnych, umarł August Wilkoński, znany autor *Ramot i Ramotek literackich*, redaktor *Dzwonu Literackiego*, w samej sile wieku, bo w 48 roku życia. W zawodzie literackim zyskawszy prędko wielką popularność i rozgłosne imię, był na tém polu pracownikiem szlachetnym i uczciwym. Nie skalał swego pióra ani jadem, ani przewrotnością: zacna myśl kierowała nim zawsze. Pod szatą wesołej opowieści, a w każdej umiejac tyle humoru rozlać, podawał moralny pokarm, lub karcie błędy i wady naszej społeczności.

† Dnia 7 lutego r. b. w Warszawie umarł na raka Stanisław Lisowski, w 33 roku życia, po długiej i ciężkiej chorobie.

Tak zmarły s. p. Wilkoński jak i Lisowski, byli współpracownikami Biblioteki Warszawskiej. W późniejszych zeszytach poświęćim obszerniejsze im wspomnienie, z wylczeniem prac naukowych i zasług w zawodzie literackim.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Styczeń, 1852.

Styczeń 1852.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,45 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				Wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano.	god. wiec.	god. wiec.	
1		740.25	743.72	747.67	753.47	+ 2°.1	+ 0°.6	— 1°.6	— 6°.2	84.2
2		756.12	756.31	753.05	749.79	— 8.9	— 7.6	— 5.2	— 6.9	80.7
3		747.10	747.47	747.91	748.68	— 3.1	— 0.9	+ 1.0	+ 1.0	91.0
4		748.33	747.14	743.49	741.60	— 3.1	— 0.0	+ 2.2	+ 1.7	92.3
5		741.52	744.91	747.67	756.83	+ 1.9	+ 1.3	+ 0.2	— 2.5	90.7
6		758.82	757.74	757.15	757.91	— 0.8	+ 0.7	+ 1.7	— 0.9	85.5
7		757.07	756.41	753.80	750.89	— 1.3	+ 1.1	+ 1.3	+ 0.4	85.8
8	☽	750.20	750.99	753.06	753.25	+ 2.0	+ 2.0	+ 3.4	— 0.9	72.7
9		748.81	746.89	742.48	739.26	— 4.1	— 2.2	+ 0.9	+ 2.1	91.3
10		740.31	742.66	742.79	744.23	— 0.9	+ 1.3	+ 1.5	+ 0.5	77.7
11		746.63	748.62	749.44	746.61	+ 0.1	+ 0.5	— 0.8	— 1.0	91.8
12		744.00	744.60	744.83	745.04	— 0.3	+ 1.6	+ 3.0	+ 2.3	93.5
13		741.76	742.07	743.46	746.71	+ 3.8	+ 5.7	+ 5.8	+ 4.3	93.7
14		748.86	749.52	748.46	748.78	+ 1.9	+ 2.4	+ 3.5	+ 3.4	99.5
15	☾	749.66	751.99	752.17	753.86	+ 0.8	+ 1.3	+ 1.7	+ 1.2	100.0
16		753.36	753.53	749.04	747.05	+ 0.9	+ 2.0	+ 4.8	+ 4.6	99.3
17		750.56	752.14	750.82	747.89	+ 3.9	+ 3.9	+ 4.0	+ 1.9	94.5
18		747.65	749.31	750.53	750.51	+ 0.1	+ 1.3	+ 3.2	+ 2.5	99.0
19		750.80	751.52	751.38	752.22	+ 1.7	+ 2.7	+ 2.9	+ 1.4	97.7
20		751.67	753.16	754.07	755.12	+ 0.7	+ 0.3	— 0.5	— 1.1	93.5
21		754.64	755.09	755.14	754.84	— 2.5	— 1.7	— 2.3	— 3.7	95.8
22	☽	752.18	751.40	747.70	745.65	— 5.9	— 3.9	— 1.7	— 1.5	97.5
23		745.21	746.13	747.24	748.26	— 1.9	— 0.4	+ 0.3	— 0.1	97.2
24		751.59	752.74	753.30	755.38	+ 0.4	+ 1.6	+ 1.6	+ 0.8	97.0
25		756.81	757.53	756.60	754.82	0.0	+ 2.1	+ 1.7	+ 0.5	89.3
26		753.92	755.58	756.82	756.96	+ 0.2	+ 0.8	+ 1.6	+ 1.0	96.7
27		754.48	753.92	752.91	752.16	+ 1.0	+ 1.5	+ 1.7	+ 0.1	96.8
28		750.97	751.42	752.54	754.84	— 0.2	+ 0.1	— 1.8	— 3.3	94.7
29		757.16	759.60	760.74	761.30	— 4.6	— 6.2	— 6.6	— 9.2	97.0
30	☾	760.88	761.15	758.18	754.81	— 11.1	— 10.8	— 8.6	— 11.4	93.7
31		550.53	750.76	751.39	751.50	— 7.4	— 4.1	— 0.4	— 0.1	96.5
Śre.		750.382	751.162	750.833	750.975	— 1°.12	— 0°.10	+ 0°.63	— 0°.62	92.9

Astronomicznem Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7
względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				K I E R U N E K W I A T R U				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
pochmurny	napół pog.	lek. poch.	pogodny	Z.	PnZ.	Pn.	Pn.	0.8	
pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
pogodny	pochmurny	pr. pogodny	lek. pochm.	Pd.	Pd.	Pd.	PdZ.		1.2
pochmurny	chm. podz.	pochmurny	lek. pochm.	PdZ.	Z.	PnZ.	Z.		
pochmurny	pr. pochm.	napół pog.	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	Pd.	Pd.	PdZ.		
pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	pr. pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	Pd.		
pr. pogod.	napół pog.	lek. pochm.	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
lek. pochm.	lek. pochm.	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
pochmurny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	Z.	Pd.	Pd.		2.0
poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	Pd.	3.4	
pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	Z.	3.3	
mgła gruba	mgł. gr. i d.	mgła dészcz	pochmurny	PnZ.	W.	PdW.	Z.	4.5	
mgła gruba	mgł. gr. i d.	poch. i l. m.	poch. dész.	PnW.	PnW.	PdW.	PdW.		
mgła gruba	mgła gruba	poch. dész.	mgła gruba	PdW.	PdW.	PdW.	PdZ.	3.8	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	Z.	Z.	PdZ.	PdW.	1.0	
poch. d. z ś.	poch. dész.	poch. dész.	dészcz	PnZ.	Z.	Z.	Z.	8.8	
pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	0.8	
dészcz	pr. pogodny	napół pog.	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	W.	4.6	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
pogodny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	PdW.	Pd.		2.3
pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	poch. śnieg	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		4.8
pr. pogodny	lek. pochm.	pochm. mży	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	lek. pochm.	napół pog.	pochmurny	Z.	PdZ.	Pd.	Pd.	1.8	
poch. d. z ś.	poch. mgła	napół pog.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PdZ.	0.5	
pochmurny	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Pn.	Pn.	Pn.		
pochmurny	poch. śnieg	napół pog.	pochmurny	Pn.	PnW.	Pn.	Pn.		
pochmurny	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	Z.	Z.		
								33.3	10.3

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.838	27	8.843
Najwyżej dochodził — d. 29 o g. 10 w.	761.30	28	1.481
Najniżej — — d. 9 o g. 10 w.	739.26	27	3.612
Średnia zmiana dzienna barometru	4.3105		1.911
Największa zmiana dzienna barometru d. 8—9 o g. 10 w.	13.99		5.049
Średnia wysokość barometru jest wyższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	0.209		0.093
Średnia temperatura Stycznia wynosi: i ta jest wyższą o	751.047	27	8.936
od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	— 0° 302 C.	— 0° 241 R.	
	5.539 „	4.432 „	
	— 5.841 „	— 4.673 „	
Tak wysokiej średniej temperatury Stycznia w całym peryodzie 26 letnim ani razu nie było.			
Największe ciepło dochodziło d. 13 o godz. 4 wiecz.	+ 5.8 „	+ 4.64 „	
Największe zimno dochodziło d. 30 o godz. 10 wiecz.	— 11.4 „	— 9.12 „	
Średnia zmiana dzienna temperatury	2 5507 „	2.041 „	
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 30—31 o g. 10 w.	11.3 „	9.04 „	

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 5° 8 R. d. 13 po połud.

Minimum: — 9° 5 „ d. 30 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 33,3 milim., czyli 14,76 lin. par., z śniegu 10,3 milim. czyli 4,56 lin. par. razem spadło wody z deszczu i śniegu wysoko na 43,6 milim. czyli 19,32 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 7,04 lin. par. od ilości jaka u nas w styczniu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 92,9 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4,92 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest mniejszą o 0,01 od normalnej.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 7, pochmurnych 21.

Dni deszczu 12 (d. 1, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 24, 26).

Dni śniegu 9 (d. 5, 12, 18, 19, 23, 26, 28, 29, 31).— Dni mgły 5 (d. 14, 15, 16, 26, 27).— Dni gradu (krup) 2 (d. 1, 12).

Wiatrów mocnych i PnZ. — Wiatr panujący Zachodni, częste były Południowo-Wschodni, Południowy i Południowo-Zachodni.

Styczeń r. b. był niepogodny, wilgotny, niezwykle ciepły i więcej do jesiennego niż zimowego miesiąca podobny; średnia jego temperatura jest o 4,38 stop. R. wyższa od normalnej. Od 46 lat nie było u nas tak ciepłego stycznia jak w r. b., w dwóch tylko latach tego wieku t. j. 1804 i 1806 miesiąc ten był nieco jeszcze cieplejszy, lecz w wieku przeszłym w latach 1791 i 1796 nie równie był cieplejszy, gdyż w tym ostatnim roku średnia temperatura stycznia wynosiła aż 2,34 stop. R. nad zerem, gdy przeciwnie w r. b. dochodziła do 0,24 stop. R. pod zerem. Pierwsze trzy dni i cztery ostatnie, oraz trzy dni 21, 22, 23 były zimne, inne zaś, osobliwie ośm dni od 12 do 20 były ciepłe. Najcieplejsze dni były: 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 24, 25, 26, 27; najzimniejsze 2, 29, 30.— Pod względem stanu nieba miesiąc ten był niepogodny, wilgotny i mglisty, śniegu spadło bardzo mało, a i ten wkrótce zniknął. Przyczyną tak łagodnego i niezwyklego stanu powietrza w tej porze były wiatry panujące Zachodnie i Południowe.

D. 7 o godz. 5 min. 45 rano całkowite zaćmienie księżyca widzialne w Warszawie.— D. 29 o godz. 8 1/2 w. koło białe otaczało księżyc.— D. 30 widziano plamę na słońcu.

Wista pod Warszawą w tym miesiącu nie stanęła.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1852.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVI.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej. Nr. 617, w dawniej Bibliotece Żaluskich.

—
1852.

P
117152



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

SZAHIN GIRAJ I KOZACY.

PRZEZ

Seweryna Gołębiowskiego.

Rozważając dzieje rodu ludzkiego w całym ogromie i w pojedynczych szczegółach, Salomon powiedział wielką prawdę: próżność i wszystko próżność. Następujące pokolenie zapomina o tém co nas żywo zajmowało, rozgłosne imię ginie razem z życiem; a potem z pyłu zbutwiałych papierów wyrastają znakomite dziejowe postacie, a potem otchłań wieków pochłonie wielkie dzieła i wielkich ludzi. Do odtworzenia jednej z takich postaci, udało mi się zebrać kilka szczegółów z pomników drukiem ogłoszonych i z relacyj zostających w rękopiśmie. Szahin Giraj, dzielny najeźdnik, dziki jak Tatar a wierny danemu słowu, krymską ordę prowadził w ścisłe przymierze z narodami składającymi dawną Polskę. Życie jego było ciągłą walką: bronił brata, któremu z prawa należało zasiąść na stolicy, usiłował strącić jego przeciwnika, wygnany z murów zamkowych Baczysaraju tułał się po stepie, pobratał się z Zaporozcami i zaprzysiągnął wierne poddaństwo królowi. Gdyby Zygmunt IIIci umiał korzystać z pomyślniej chwili, Krym i stepy tatarskimi hordami zasiane, przeszłyby pod jego panowanie.

Po śmierci Seadet Giraja hana krymskiego, tłukli się z sobą o następstwo Dzanibeg z Muhamedem synem Seadeta. Oba starali się o względy Wysokiej Porty, i zwykle ten je odbierał, który lepiej wezyrowi zapłacił. Dzanibeg wielki koszt na to wazył, a więc pojmano Muhameda i posadzono do Jedykuły; brat jego Szahin schronił się do Persyi. Dzanibeg zasiadł na stolicy, ale

stracił u sultana łaskę, kiedy nie chciał wyjść na wojnę przeciw Persom, wymawiając się częstemi napadami Kozaków. Zrzucony z hanstwa udał się do Carogrodu na nowe praktyki, a miejsce jego zajął Muhamed uwolniony z więzienia. Zaledwie powrócił z Persyi Szahin Giraj, wnet w silne ręce ujął rząd nad krymską ordą. Mianowany przez brata kałgajem (1), nie miał czasu nacieszyć się rodzinnym krajem i pozyskaną władzą, kiedy ze Stambułu trzynastego dnia po jego powrocie nadeszła wieść, że Dżanibeg został wyniesiony na hanstwo, i że wyprawiono go do Kaffy z 40 galerami i z 10,000 janczarów. Muhamed chciał ustąpić, ale Szahin oparł się temu, zwołał panów wojennych starych i młodych, Czerkiesów, Nogajców, Tumanów, Siewkałów, złożył radę i rzecz całą opowiedział. Tatarzy do nóg Muhameda głowy położywszy, wolali: „My nie chcemy innego nad ciebie hana i sultana, innego kałgaja nad Szahina; pójdziemy z wami przeciw Osmańczykom: dosyć już nad nami przewodzili. Pójdziemy z wami i piérwój w boju zginiemy, niż uznamy Dżanibega za hana.“ Tymczasem Turcy Kaffę ludem swym zaleli; przez trzy miesiące szły wojska ze Stambułu, czwartego miesiąca całą siłą wystąpili z Kaffy. Na czele tureckiego wojska był Redżeb pasza, a pod jego rozkazami było dwóch drugich wezyrów: Hasan pasza i Ibrahim pasza. Tatarzy zrazu rwali ich podjazdami zwodząc harce i próbując siły. Na rękę im było, że w téj porze Kozacy wracali z morza złupiwszy tureckie nadbrzeże; krew wężem poczuli, więc posłali do Szahina, zapytując, czy nie zechce zaciągnąć ich na służbę. Szahin przystał z wielką ochotą i sprowadził ich do swego taboru. Trzystu ich tylko było, ale trzystu takich, co wśród bojów, mordów i łupieży żyli jak w swoim żywiole, co z rusznic pluli wrogom między oczy, a szablami rąbali znakomicie. Właśnie tych trzystu przeważyło na jego stronę zwycięztwo, jak sam Szahin wyznawał. Byłato granitowa skała, o którą rozbijały się uderzenia janczarów. Hura ha! grzmiał okrzyk po polu, a głośniej grzmiały wystrzały. Zginął Hasan pasza i Ibrahim pasza; Redżeb pobity ustąpił z Dżanibegiem. „Bodaj zdrowi byli te trzysta Kozaków, którzy w pomoc nam przyszli“ zawołał Szahin. Zajął

(1) Według relacyi wydanej przez Przyłęskiego w Ukrainnych sprawach, kałgajem był Czobon Giraj; dopiéro kiedy zginął w bitwie z Turkami, Szahin jego miejsce zastąpił. Pewniejszém zdawało mi się świadectwo samego Szahina w liście do Zygmunta IIIgo.

Kaſę, miasto i zamek, galery z portu armatami wypłoszył i ustalił w Krymie swoje panowanie. Kozacy hojnie obdarowani, wrócili za poroby ze złotem, z końmi, z jedwabnemi materyami, sławiąc odwagę i hojność Szahina. To był początek przyjaźni między nimi; Szahin nabrał żywności, gorzałki, wina, i pojechał na Zaporozże żeby przyjaźń utwierdzić i zaciągnąć do swęj służby mołojców.

Do króla Zygmunta IIIgo napisał list pełen przyjacielskich oświadczeń. „Chcemy trzymać z wami przyjaźń i braterstwo, żeby wasi i nasi ubodzy poddani w pokoju mieszkając, za was i za nas modlili się Bogu. Z dawnych czasów, za dziadów i pradziadów, bywaliśmy sobie bracią i przyjaciółmi: wojska nasze wespół za jedno chadzały, ludzie nasi do was, a wasi do nas przyjeżdżali, i dokąd idziesz, nikt nie pytał; najmniejszemu téż dziecięciu ani ubogiej wdowie przykrości nie było. Osmańczykowie między nas się wieszali, i brat podniósł rękę na brata, a oni cieszą się z waśni i zdradliwie starają się o to, żeby narody nasze wytracili. Odnówmy przyjaźń i braterstwo, królu Zyguncie; od Turków ani wam ani nam dobrego spodziewać się nietrzeba: nie ma w nich wiary, ani prawdy. Patrzcie, przeszłego roku o wasze złe starali się—Pan Bóg nie dał; tego roku o nasze—Pan Bóg równie nie poszczęścił. Dajcie nam dniewprowych Kozaków, a łatwo złamiemy ich potęgę. Granicą między nami niechaj będzie po staremu Dniepr i Owcza Woda. My Tatarów z Białogrodu na tę stronę Dniepru przeniesiemy, zamki Białogród, Kilią i Tehinią wam oddamy, tylko z nami braterstwo uczynicie. A Tatarów krymskich i nogajskich zatrzymamy, że z państw waszych i kokosz nie będzie wzięta. Niechaj będzie zgoda, miłość i jedność za dni wielmożności waszëj króla Zygmunta, i za dni Szahin Giraja sultana brata waszego; niechaj ubodzy poddani w pokoju siedząc wczasów swych zażywają. Więc i dobra sława o was i o nas aż po wieki wieków trwać będzie, a ojcowie dzieciom o tém powiadając, wdzięcznie wspominać nas będą. Dajcie nam Kozaków dniewprowych, rozprawimy się z Turkami za pomocą Bożą, potem pójdziemy nad rzekę Adyl... Kozaków nie dlatego potrzebujemy, żebyśmy mało wojska mieli: mamy go chwała Bogu dosyć; ale na janczarów rusznicznego téż wojska potrzeba. Dajcie nam téj zimy tysiąc Kozaków, prochu i ołowiu; nad proch i ołów innych upominków nie potrzebujemy. Najjaśniejszy Szach Abbas król perski przysłał nam szablę w podarunku, żebyśmy tą szablą Turków bili;

my téż posyłamy wam szablę sadzoną drogiemi kamieniami, żebyście tą szablą Turków bili:—tak wiadomo niech będzie.“

Dzieje Szahina ściśle się łączą ze współczesnemi najazdami Kozaków i Tatarów; nie od rzeczy więc będzie zdać o nich bliższą sprawę. Kiedy flota sultana znajdowała się w Kaffie zajęta sprawą tatarskich hanów, Kozacy w 150 czajek spuściwszy się na morze Czarne, 7 października 1624 r. zrabowali i spalili wieś Jeni Kioj, niedaleko od Stambułu. W następującym roku w 300 czajek chodzili na morze. Redzeb pasza główny dowódzca tureckiej floty, we 43 galer i galiot przez półtora miesiąca strzegł ujścia Dniepru, czekając ich powrotu; potem bojąc się, żeby zwycięzcy nie uderzyli na cieśninę Carogrodzką ogołoconą z morskiej straży, popłynął wzdłuż brzegu ku południowi. Na wysokości miasteczka Kara-harman dały się widzieć czajki kozackie. Kozacy śmiało uderzyli na galery; statek kapudana paszy był w największém niebezpieczeństwie. Dwieście Kozaków wdarło się na statek i pokład trupami zasłali; wiosłarze przestali robić wiosłami: byli to jeńcy kozaccy, którzy jak zbawienia wyglądali pomysłnej chwili, żeby razem z braćmi mordować wroga. Pomimo zaciętej odwagi, Kozacy zostali na głowę porażeni. Naim Efendi kronikarz turecki opisując tę bitwę, oddaje im sprawiedliwość, że nie ma narodu mniej dbającego o życie.

Muhamed Giraj dopóty sprzyjał Kozakom, dopóki ich potrzebował. Jeden z pułków kozackich pozostałych w Krymie przebojem drogę sobie otworzył, za jego wiedzą otoczony przez Tatarów. Kozacy chcieli się pomścić: w końcu października 1625 r. zebraли 30000 wojska żeby wtargnąć do Krymu, ale tymczasem nadeszły do króla z Carogrodu skargi z domaganiem się przykładowego ich ukarania. Król miał w świeżej pamięci gwałty popełnione przez Kozaków w Kijowie, gdzie wójta i księdza unickiego zamordowali; kazał więc hetmanowi polnemu Koniecpolskiemu powściągnąć i ukarać Kozaków. Hetman stoczył z nimi bitwę pod Krytowem. Kozacy nie probowali więcéj szczęścia w polu i cofnęli się taborem w lasy, na uroczysko Niedźwiedzie-łozy nad jeziorem Kurukowem. Po kilku szturmach w których od dział kozackich wiele piechoty niemieckiej poległo, zawiązano układy. Kommissarze polscy zarzucali Kozakom napady na ziemie tureckie, związki z Szahin Girajem i z samozwańcami carskimi, którzy znajdują gościnne przyjęcie na Zaporozu, gwałty popełnione w Kijowie, w Korsuniu i w Bohusławiu, podburzanie

poddanych i najazdy na domy szlacheckie. 6 listopada 1625 r. nastąpiła ostateczna umowa. Przeszłe winy puszczono w niepamięć, wojsko kozackie ograniczono do sześciu tysięcy spisanych porządnie w rejestra, z oznaczeniem w którym starostwie każdy obiera sobie mieszkanie; w dobrach szlacheckich i duchownych tym tylko pozwolono mieszkać, którzy panom swoim będą posłuszni i których panowie cierpieć zechcą. Konięcpolski mianował hetmanem obranego przez Kozaków Michała Doroszenkę i wyraźnie zastrzegł, że podawanie hetmana jest przywilejem korony. Żołd dla Kozaków przeznaczono 60,000 zł., które w Kijowie w dzień ś. Ilii odbierać będą; prócz tego naznaczono jurgielt dla starszyzny: dla starszego nad wojskiem zł. 600, dla oboźnego zł. 100, dla dwóch assawułów po 150 zł., dla pisarza zł. 100, dla sześciu pułkowników po 100 zł., dla sześciu assawułów pułkowych po zł. 50, dla sotników po zł. 50. Tysiąc Kozaków zawsze miało stać na Niżu dla dawania wiadomości o nieprzyjacielu; czółna mieli popalić, na morze nie chodzić, ani przymierza z postronniemi zawierać.

Kozak żyć nie mógł bez rozboju: 60 czajek znowu puściło się Dnieprem na morze. Posłano ze Stambułu kilka galer, które zachwyciły ze 30 czajek, reszta rozsiała się po morzu. Tatarzy chcieli korzystać z tego zdarzenia i dopominali się, żeby im pozwolono najeżdzać lechską krainę; sultan odrzucił ich żądanie, z królem polskim na dawnych warunkach zawarł przymierze, i kopią traktatu posłał do Krymu dla wiadomości hana.

Podczas krymskich rozruchów, Kantemir sławny z odwagi i ciągłych na Polskę najazdów został paszą białogrodzkim. Zebrał potężne wojsko i puścił się do Polski wołoskim szlakiem, z chorągwią przyslaną od cesarza tureckiego, z muzyką i pompą wielką. Stanisław Konięcpolski rozesłał uniwersały ostrzegając o grożącym niebezpieczeństwie, a sam z wojskiem kwarcianém szedł drugim brzegiem Dniestru, prawie równo z Tatarami, aż do Martynowa, gdzie Dniestr przebyli. Tatarzy rozpuścili zagony; hetman dla małości wojska nie mógł dać im wstępu, nie mógł za nimi w kopyto następować; zatrzymał się i czekał na posiłki. Szlachta ze zbrojnemi oddziałami wciąż się do niego garnęła; komu dom spalono, w obozie miał pewny przytułek.

Hetman dowiedziawszy się od Odrzywolskiego, który w 200 koni ustawicznie się nad Tatarami wieszał, że już wracają obciążeni łupami i prosto idą na bród martynowski, nastąpił ku brodo-

wi i stanął w miejscu obronném ściśnionym taborem, wozy ciężkie do zamków odesławszy. Pokazali się Tatarzy i stanęli koszem za górami o dwie mile. Kilkuset nadbiegło wieczorem, a widząc mały taboreczek i lekce go sobie ważąc, ustąpili. Obawiał się hetman, żeby go nieprzyjaciel harcami nie zabawiał. płon za górami uwodząc; ustąpił więc od brodu, a idąc przez noc całą zatrzymał się pod Belzowcem, między Haliczem a Bóliszowem. Uczynił to dlatego, żeby Tatarów zachęcić, i wywabić w szerokie popławnickie pola. Podstęp szczęśliwie mu się powiódł; Kantemir w kilkanaście tysięcy ordy puścił się za nim w pogoń, a widząc na drodze porzucone wozy z beczkami i szmatami, tém bardziej utwierdził się w przekonaniu, że Polacy ze strachu ustępują, i z całą siłą zapalczywie przypadł. Hetman sprawił tabor w ośm rzędów i zaczął szykować wojsko; ledwie godzina na dzień była, kiedy się pokazali Tatarzy (20 czerwca 1624 r.); miasto przespiania i odpoczynku, chętnie wysypało się wojsko z taboru. Przed bitwą nasi mieli dobrą wróżbę, bo gdy Tatarzy wioskę w bliskości zapalili, z płomieni i z dymów na powietrzu krzyż się uformował, i ku temu krzyżowi przebijało się wojsko; hetman trzymał je w kupie, na harc nie wypuszczając, a w szerokie pole szykiem i taborem dobrze sprawionym powoli ustępując. Kantemir uderzył całą potęgą; nasi wzięli na szable według rozkazu hetmańskiego, strzelbę na ostatni wypadek zachowując. Środek szyku zajmowały konne chorągwie, na skrzydłach stał tabor, którego rogi równały się z czołem wojska, a działa w taborze ustawione krzyżowym ogniem otwierały drogę w pogańskim tłumie. Godzinę bitwa trwała; nieprzyjaciel potężnie rażony z dział i od wojska, ustąpić musiał. Hetman puścił w pogoń dwanaście chorągwi kwarcianych z Odrzywolskim i Chmieleckim, a sam za niemi w szyku następował; nasi wsiedli na karki Tatarom i do Dniestru ich napędzili. O milę od Dniestru na polskim brzegu był kosz, a w nim niezliczona moc bydła i owiec, stada koni, tłumy więźniów. Część Tatarów uciekając wpadła do kosza, a pogoń tuż za nimi. Ludzie w jassyr zabrani, jak gdyby znowu na świat się porodzili, krzyżem padając dziękowali Bogu. Było téż kilkaset chłopów świętych, lecz lepsza śmierć, niż przez wiele lat co godzina umierać. Tatarzy uchodzili ciasnemi miejscami na las bednarski, nie wiedząc o tém, że w lesie przed kilkoma dniami hetman kazał porobić zasieki. O ośm mil od pola bitwy padł statek tego pogaństwa; kiedy ludzie na zasadzce zostawieni rzucili

się na nich z okrzykiem, Tatarzy jak kto mógł poszli w rozsypkę, a chłopci bili rozpierchłych po lesie. Nie kazał hetman żywcem ich wodzić, żeby się wojsko więźniami nie zabawiało, ale spieszenie naprzód postępowało. Trzy chorągwie wzięto, z czwartą cesarską uciekli. Kiedy już konie przez 26 godzin bez pokarmu i bez odpoczynku dłużej iść nie chciały, i noc ciemna zapadła, hetman ze starszyzną zgłodzeni także i zmorzeni, upatrzwszy w lesie polanę, rozłożyli się na niej, a napiwszy się trochę wody z błotem skłóconej, zasnęli twardym snem na niekoszonej trawie. Naza jutrz pojechali do Halicza i tam złożyli Bogu powinne dzięki.

Kantemir wyprawił znowu na Ukrainę Selman szah Mirzę z niemałą kupą ludzi; w polach zabiegł mu drogę postaniec Szahina z rozkazem, żeby ziemie koronne zostawił w pokoju, a raczej zwrócił się na Wołoszczyznę albo do Multan. Selman szah posłuchał rozkazu i rozpuścił zagony w ziemiach będących pod opieką sułtana tureckiego. Sułtan z gniewem rozkazał Kantemirowi żeby więźniów wolno puścił; odebrał więc kilka tysięcy, resztę Tatarzy zagnali do Krymu, a tam z rozkazu hana naładowano niemi sześć okrętów i odesłano do Białogrodu.

Król polski powściągnawszy Kozaków nalegał o przeprowadzenie Kantemira z Kili i Białogrodu. Sułtan wydał rozkaz do hana, żeby Kantemira z budzackimi Tatarami dobrą wolą czy gwałtem przeniósł do Krymu. Pasza białogrodzki niebardzo chciał słuchać; dopiero kiedy Szahin do Białogrodu przybył, rozmówiwszy się z nim spalił domy i zagnął Tatarów z całym dobytkiem na nowe siedziby i koczowiska.

Szahin starał się o utrzymanie dobrych stosunków z Polską. Pomimo jego woli Muhamed Giraj han w 1626 r. wybrał się do Rusi, o czém Szahin zaraz dał znać na Zaporozie. Wtenczas pobito hana pod Tarnopolem i na Dniestrze. Przez trzech jeńców: Kąckiego, Ujejskiego i Zaliwskiego, han pisał do króla (w końcu listopada 1627 r.), że otrzymał od sułtana szablę oprawną w drogie kamienie i szaty kosztowne, a zarazem rozkaz postawienia zamku nad Dnieprem na przeprawie Dywan, naprzeciw Tawani, dla wstrzymania łotrstwa kozackiego. Prosił o przysłanie upominków za lat siedm: trzy dawne, i cztery od swego wstąpienia na tron, zapewniając, że jak tylko upominki odbierze, wyśle wielkich gońców, wielkiego posła i list przymierny złotem pisany. „Ubodzy ludzie będą żyć w pokoju, i za nas panów swoich będą

modlić się do Boga, a ludzie kupieccy bez obawy handel prowadzić będą.“

Na wiosnę 1627 r. han poszedł na Czerkiesów, a Kantemir z Szahinem zostali w Krymie. W czasie pochodu, kiedy Tatarzy w rzece konie poili, Selman Szah Mirza z pistoletu zabił Czerkiesę, który był agą u hana, a który przedtém zabił mu ojca. Wielki rozruch powstał w wojsku; Selman Szaha sam han gonił, aż Ali Mirza wuj hana konia za cugle chwycił i zatrzymał. Zabójstwo przez zemstę krwi popełnione, było powodem rozerwania między Tatarami. Selman Szah uciekł do Małej Nogai i dał znać swemu krewnemu Kantemirowi. Han téż przewidując dalsze rzeczy, posłał do Szahina, żeby Kantemira pojmał lub zgładził. Szahin wziął z sobą dwór swój i wiernych sobie szremskich mirzów i skoczył do Kantemira, który na godzinę przedtém ostrzeżony odbiegł wszystkiego i w jednym kaftanie uciekł w pole, a za nim mirzowie z rodu Kantemirowego. Szahin kazał pozostałym tak mężczyznom jak i kobietom z głów i z bród włosy obciąć, nakładł tego dwa wory, i posłał do wojska Kantemirowego nogajca Musai Kalmuk Kara. Ten przyjechawszy do Kantemira włosy z worów wysypał, powiadając, że to są włosy ojców, braci, żon i dzieci waszych; jeśli się do domu nie wrócicie, Szahin pozostałych dziwnemi mękami wytraci. Część Tatarów zalem zdjęta téjże nocy do Krymu uciekła, reszta z Kantemirem za Dniepr przeszła do Turków.

W 1628 r. na wiosnę Kantemir z Szahinem spotkali się za Dunajem na dobruckim polu. Szahin stracił siłę ludzi i uciekł do Krymu, a w ślad za nim następował Kantemir, który po bitwie dwóch co najprzedniejszych mirzów wziętych w niewolę kazał załuszczyć kijami. Zpod Białogrodu, gdzie do niego zbiegli się Nogajcy, Kantemir wyprawił posłów do Stambułu, oznajmując, że „Szahina który skożaczał pogromilem, przysyłajcie co prędzej na haństwo syna Ghazi Girajowego.“ Kantemir otrzymał w nagrodę sandżak, a do Krymu pociągnęli z licznym wojskiem: wezyr Banalukaly Husein pasza i Kiennaan pasza, a Hasan pasza udał się z flotą do 95 różnej budowy galer, prowadząc z sobą Dżanibeg Giraja dawnego hana, z którym Kantemir żył w nieprzyjaźni. Szahin wezwał na pomoc Kozaków.

Kantemir obległ Mubameda i Szahina w Bakczysaraju, lecz porzucił oblężenie gdy się dowiedział, że Michał Doroszenko z czterema tysiącami Kozaków wtargnął do Krymu. Przez sześć dni

Kozacy uganiali się z Kantemirem; Doroszenko poległ, a na jego miejscu wybrali starszym Mojrzenicę. Szahin obiecał im stada i sto tysięcy czer. zł. Bili się po swojemu, jak wcielone djabły, i rozgromili Kantemira. Wnet do Szahina zbiegli się mirzowie szremscy i badraccy i poszli pod Kaffę. Kantemir nie zamknął się w mieście jak baba, wyszedł w równe pole i stoczył bitwę; pobity w kilka koni uciekł do Kaffy. Szahin w tej potrzebie dostał syna Kantemirowego Działan Timira, którego ściąć kazał w oczach ojca patrzącego z muru. Pilnowali Kaffy przez półtora miesiąca, rokując o wydanie Kantemira, który nie ufał mieszczanom i zwykle noc przepędzał na tureckim okręcie. Przybył wreszcie Dżanibeg han z wojskiem tureckim. Kantemir wcale nie prosił o Dżanibega, odłożył jednak nieprzyjaźń na stronę; oba razem stoczyli bitwę i pobili Muhameda i Szahina. Muhamed w nocy porzucił swoich i uciekł. Kozacy ustąpili z Krymu; zamek Islam Kiermen nad Dnieprem dobrze opatrzony armatą i ludźmi, przemyślnym sposobem zdobyli, zburzyli go ze szczętem, a kilkadziesiąt dział uprowadzili na Zaporozie. Za nimi przyciągnął Szahin Giraj w kilkadziesiąt koni; uciekali do niego szremscy mirzowie, których Dżanibeg jak psów zabijać kazał, za to, że się wiązali z Szahinem.

Kozacy widząc pomyslną porę do zakłócenia ordy, wyprawili do króla swoich posłów: Kusenika Prokopowicza, Jacka Sawicza i Stefana Mikiticza, razem z posłem Szahin Giraja, Isajem, przekładając, że za jedną jesień Krymców zniosą, a Rzpta wieczny pokój mieć będzie, byleby król JM. przyłączył do wojska zaporoskiego wojsko kwarciane pod dowództwem Stefana Chmieleckiego. (Od wojska zaporoskiego do króla JM. 28 lipca 1628 r.). Janusz Zbaraski kasztelan krakowski (w liście do kanclerza Zadzi-ka, w sierpniu 1628 r.) chwalił rozum i politykę Zaporozców, którzy chcieli wynieść na państwo Szahin Giraja: „Lepszej rady nie dałby nieboszczyk Juliusz Cezar. Ale trzeba robić sekretnie, w pisma się nie wdawać, żeby w ręce Turkom nie wpadły; nawet przed Kozakami nie ze wszystkiem się zwierzać, bo chłop po pijanemu może się wygadać. Posłać między nich kogo sprawnego, coby rzeczy umiał pokierować. Całą wyprawę odbyć Kozakami; pójdą taborem, ruszniczo, z armatą dobrą, i dadzą radę. A choćby też i nie dali, bez krwi rozlewu obejść się nie może; będziemy mieli na czas jakiś spokój od Tatarów i od Kozaków. Jeśli Szahin się

utrzyma, będzie nam sprzyjać, bo w każdej przygodzie nie ma się gdzie przytulić, jedno do nas. Niech Bóg broni żeby Chmielecki miał się łączyć z Kozakami na tę wyprawę, boby to było otwarte zerwanie przymierza. Turcy będą się nam mostem kładli, Szahin Giraj dla nich solą w oku, zwłaszcza teraz, kiedy Persom nie mogą dać rady. List Kienaan paszy do Chmieleckiego tak łaskawy, tak przyjaźni pełen, nie zkadynąd pochodzi jedno ze strachu. Niechaj król JM. puszcza Kozaków w imię Boże, nie wchodząc w długie deliberacye.“

Miron Bernawski gospodar mołdawski radził Polakom, żeby Szahinowi nie żalowali chleba, który siła ludzi niepotrzebnych jedzą. Za przyjęciem do łaski Szahina, który bez wszelkiej pokrywki szczerze tego żąda, wielki pożytek dla korony polskiej urosć może. „Bardzo bez niego tęskni pogaństwo i wielce to ich frasuje, że pozbyli rycerskiego i tak zacnego człowieka, któremu nie wiem żeby się mógł w tym wieku równy we wszystkim świecie znaleźć.“ Szahin Giraj i Bernawski do stóp kłaniali się królowi, żeby ich przygarnął pod skrzydła swojej potężnej opieki; król zwlekał, rozważał, wspierał ich tajemnie i bojaźliwie. Minęła chwila i zmieniła się postać rzeczy.

Muhamed i Szahin Girajowie wyprawili do króla w poselstwie swego siostrzeńca Urazły Murzę, przyrzekli że zostaną jego hołdownikami, jeśli Polacy dopomogą im wrócić na carstwo i zatrzeć *duszmanów* (nieprzyjaciół). Szahin dodał, że z Tatarami pójdzie za Dunaj, i co zawojuje rzuci pod nogi królewskie. Król odpowiedział, że Muhamed Giraja i Szahin Giraja chce mieć za życzliwe sąsiady i przyjaciół, a hołdu od nich nie potrzebuje, gdyż jest tak możnym panem, że co jednego dnia rozda, wszystek Krym dorocznój intraty nie ma. Rejestrowym Kozakom będzie pozwolono żeby odbyli wyprawę; a jeśli przybiorą sobie ochotników nie zapisanych w rejestrze, o tém król nie chce wiedzieć. Dziwoje się jednak górnój myśli Szahina Giraja, że na powietrzu ptaka skubie; wprzód niechaj Krym odzyska, a do sułtana posła posła prosząc o chorągiew i przywrócenie na państwo.

Kienaan paszy, który domagał się o wydanie Szahina, Chmielecki namiestnik hetmana Koniecpolskiego odpowiedział, że go nie ma na ziemi polskiej, a jeśli się tuła po dzikiem polu albo ukrywa między Dnieprowemi ostrowami, chyba ptak z góry wysledzi go i porwie. Jeden jest tylko sposób dostania Szahina: niechaj go łapie Dżanibeg han i Dewlet kałgaj, kiedy się wynurzy

z kryjówek. W podobny sposób pisał do Hasan paszy (31 października 1628 r.). „Uważaj sam przyjacielu mój, jako wielki człowiek, czyto słuszna, żebym ja był u nich siepaczem? Ja im życzę, żeby ich wszystkich ziemia żywcem pożarła, bo Tatarzy zawsze psuli między panami naszymi starą i ugruntowaną przyjaźń.”

Kozacy 1 listopada 1628 r. powrócili z morza. Trzymali się tylko tatarskiego brzegu, Turkom mało szkody zrobili; to najważniejsza, że złupili dwa okręty i przedali zdobycz Grekom do Kozłowa. Tym łotrom morskim niebardzo chciało się iść do Krymu; ale Łuszczyński, którego do nich posłał chorąży Chmielecki, porządnie koło tego chodził. (Chmielecki do kanclerza Zadzika 27 listopada 1628 r.). Za jego staraniem Muhamed i Szahin zaciągając wojsko taką wykonali przysięgę, stanawszy wśród rady kozackiej: „Przysiegamy J. K. M. panu naszemu miłościwemu za osiągnięciem stolicy wierne poddaństwo, które za najmniejszym J. K. M i Rplitej rozkazaniem odprawować ohotnie gotowi będziemy, i nietylko orde swoje na posługę króla J. M. i Rplitej posyłać, ale i sami przeciw każdemu nieprzyjacielowi przybywać będziemy. Zrzekamy się zwyczajnych upominków, do państw J. K. M. poddanym naszym bronić napadów i surowo za nie karać będziemy, niewolników z Krymu wydać obiecujemy. Tak niech nam Pan Bóg dopomoże, a ta przysięga od nas wcale dotrzymana będzie.” Potem Szahin Giraj przysięgł wojsku zaporozkiemu za siebie i za brata, że jakkolwiek szczęście padnie, złe i dobre dzielić z wojskiem będzie.

8 listopada 1628 r. wyruszyli Kozacy do Krymu; dwa dni przeprawiali się przez Dniepr od Mikityna-rohu do Kamiennego-zatону, ale na brzegu wielu Kozaków zostało. Starszy wezwał na radę towarzystwo, zapytując: dlaczego tak nieochotnie idą? Na to odpowiedzieli mu ci, którzy zostać chcieli, że w kozactwie z ochoty tylko każdy na wojnę idzie nie z przymusu, a pod zimę strasznie się puszczać nieprzyodzianym w taką ziemię, gdzie nie ma się przy czém ogrzać, ani wody, ani żywności nie można dostać; drudzy odpowiedzieli, że pójdą ohotnie, życie ważyć będą. Jednym starszy pójść lub nie pójść zostawił do woli, drugim podziękował za dobrą ohotę, naznaczył pułkowników, piechotę posłał czólnami, a z konnemi poszedł polem. U Kisienki tatarskiego meczetu, naprzeciw Nosakowskiego Ostrowu spisało się wojsko; było tam 2,000 jazdy, 2,000 piechoty i 350 Tatarów. Ztamtąd do Kajeru mieli pół dnia drogi; przyciągnawszy złożyli

radę. Szahin Giraj radził i prosił, żeby nie czekać aż nieprzyjaciel ostrzeżony w potęgę urośnie, ale przez dzień i przez noc spiesznie idąc podpaść pod Perekop: przekładając, że kiedy go wezmą niespodzianie, orda jego *duszmana* odstąpi, a do niego kupić się będzie. Kozacy krzyknęli, że pole bezwodne i droga daleka, odpocząć potrzeba. Tam przenocowawszy 14 listopada polami ruszyli, i koło północy zbliżyli się do Perekopu; a że trzeba było języka, starszy puścił się naprzód z kilkunastu Kozakami i z kilku Tatarami, a wojsku kazał taborem następować. O milę od miasta napotkali stado Kantemirowe do kilkunastu tysięcy koni; ztém wrócili do wojska i weszli w radę, czy stado zająć, czy dawszy pokój stadu na Perekop uderzyć? Szahin Giraj radził, żeby dać pokój stadu, wpaść w ziemię i ciągnąć prosto do Bakczyseraju. Kozacy powiadali: czego mamy nieprzyjaciela żałować, zajmujmy stado; konie zdadzą się pod piechotę, a co Pan Bóg naznaczył, to nas nie minie. Ztém rozdzielili się na trzy pułki, Szahin Girajowy był czwarty, i czekali żeby rozświtało. Nade dniem ruszyły się pułki, tabor zwolna szlakiem następował, a zbliżywszy się pod stado, skoczyli co w koniach siły. Szahin Giraj uderzył od lewego skrzydła, Kozacy od prawego, zagarnęli do 5000 stadnych i wojennych koni, i rozgromili *ulusy*, w których orda koczując, trzymała niewolników. Zdobycz zapędzili do taboru, a starszy z Szahin Girajem w trop poszedł za Tatarami, którzy uganiiali ostatek stada. Doszedłszy uderzyli się z ordą; Pan Bóg zdarzył szczęśliwie, gdzie Szahin Giraj z Tatarami swemi najeżdżając, Nogajców znacznie raził. Tymczasem Dżanibeg Giraj han i Dawlet Giraj kałgaj ostrzeżeni wieczorem do Perekopu przybyli i kazali bić z dział, żeby się orda kupiła. Kozacy sprawiwszy tabor zbliżyli się do zamku, zwodząc harce i następując wstępnym bojem od poranku do wieczora; potem stanęli w takim oddaleniu, żeby ich działa razić nie mogły i złożyli radę, na której stanęło, żeby wracać na Zaporozże. Szahin Giraj przyszedł na radę zafrasowany i tak przemówił: „Panowie mołojcy! nie chcę wojaska na zgubę prowadzić, ale raczej na sławę i przysługę. Darujcie mi noc jedną; mam ja takich przyjaciół, którzy mi znać dadzą o zamysłach i potędze nieprzyjaciela. Jeżeli o niedostatek wody i paszy idzie, staniem na futorach miejskich, na Kosaranach nad limanem, i wody zasiągniem i konie choć potrosze pożywić mogę.“ Na co Kozacy nie pozwalali, i owszem ku Dnieprowi na odwrót wołali. Starszy zgodził się z Szahin Girajem i przeciw woli i nieochocie

wojska kazał następować. Szahin Giraj zachęcał nieochocze wojsko, a nie ufając tak dalece sercu chorążego swego jako samemu sobie, wyrwał mu z rąk chorągiew, rezolutnie skoczył na orde, która pod Kosaranami obsypała mogiłę i spędził ją aż za wały perekopskie. Tatarzy ustępując spalili futory, a Kozacy w polu stanęli taborem; potem we trzy godziny w noc odciągnęli na Zaporozie. Dzanibeg posłał za nimi część wojska, sam został zbierając większą potęgę. Tatarzy ciąglemi harcami opóźniali pochód; było téj zabawy aż do Kalancaku, cztery mile od Perekopu, gdzie orda zwykła stada swoje zapędzać dla paszy i dla wody słodkiej, która jest po jeziorkach. Tam zatrzymali się Kozacy, napoili konie, zaspokoili palące pragnienie, i ledwie chwilę wytechnęli, kiedy o wschodzie słońca nadciągnął Kantemir z Dzanibeg Girajem i Dewlet Girajem w 10,000 ordy, z janczarami i z działami. W równém polu ze wszystkich stron na tabor potężnie uderzył, raz, drugi i trzeci; Kozacy spieszywszy się dawali dzielny odpór, tak ich rażąc dobrze, że plac taweczny zageścili trupem nieprzyjacielskim, gdzie i mirzów znacznych niemało poległo. Zajuszony Kantemir spieszonych janczarów i Tatarów jeszcze raz przeciw nim puścił, i z tyłu sam ich przyganiał; odparty odstąpić musiał. Z dział już tylko i z janczarek sięgając zdaleka Kozaków, odprawiała ich orda do samych Kackarów, dziesiątek mil od Perekopu. Potem orda uczyniła odwrót, a Kozacy przyciągnęli ku Tawani pod Islam Kiermen, gdzie przez dzień cały odpoczywali po pracy, dzieląc się końmi i zdobyczą. Zpod Islam Kiermenu Szahin wyprawił jeszcze swoich 20 Tatarów, którzy przeprowadzili półtrzecia sta wojennych rumaków i 16 jeńców. Kozacy Dniepr przebyli pod Kamiennym-zatonem i zatrzymali się na stanowisku nazwaném Wołczą Witką; tam przybył poseł do Muhamed Giraja i Szahin Giraja od siostrzeńca ich, który był hanem Wielkiej Nogai, dając im znać, że sułtan i nogajska orda chce z nimi wespół trzymać przeciw ordzie krymskiej. Muhamed Giraj puścił się do nogajskiej ordy, żeby na wiosnę razem z Kozakami poprowadził ją do Krymu, a Szahin Giraj został na Zaporoziu i przez całą zimę szarpał ustawicznemi podjazdami nieprzyjaciela, nie dając mu się wychylić w step ze stadami i z dobytkiem. Na odwet w maju 1629 r., 4,000 Tatarów wpadło na Ukrainę, ale nie odnieśli korzyści za czujnością pana Chmieleckiego, i owszem zostawili trupem dobrą dziesięcinę.

W końcu maja zebrało się Kozaków tyle albo i więcej, jak było pod Chocimem, 40000 podług obrachowania Naima Efendego, pod dowództwem znakomitego i dzielnego hetmana. Ze swojej strony Dżanibeg zebrał wojsko, przyszedł mu na pomoc Kantemir z nogajskimi ujmakami i bracia jego stryjeczni Selman szah mirza i Urak mirza. Stoczono walną bitwę w której poległo mnóstwo Tatarów. Zwycięstwo ważyło się na dwie strony, a noc przerwała bitwę. Zebrani na radę mirzowie postanowili jeszcze raz silnie uderzyć. Na drugi dzień zwycięstwo przeważało się na stronę Dżanibega. Muhamed Giraj padł trupem ugodzony kulą w piersi, hetman kozacki zginął, a głowę jego zatknęto na murach Kaffy.

Kozacy wspierali Muhameda za wiedzą króla, teraz król wysłał do Stambułu posła Koryckiego. Dywan przyzwolicie odpowiedział, a Tatarom pozwolił w Polsce poszukać Szahina.

Tatarzy w ostatnich dniach sierpnia 1629 r. przeszli przez Dniestr i zmiierzali ku Czarnemu szlakowi; ale kiedy spotkali silny podjazd z rotmistrzem Bajbużą, postrzegli, że jest na tym szlaku gotowość i zmienili kierunek. 21 września między Bieloczą a Kamienicą, rzekami, stanęli w głowie kuchmeńskiego szlaku. Chmielecki przestrzeżony o tém ruszył wojsko zpod Stefanowskiej. Dowiedział się o tém chytry nieprzyjaciel, a wojując podstępem i prędkością znowu zmienił kierunek i puścił się wołoskim szlakiem. Chmielecki z kwarcianami pospieszył ku Dniestrowi i ciągnął z drugiej strony polskim brzegiem. 28 września Dewlet Giraj i Kantemir przebyli Dniestr pod Kołodrubką i rozpuścili zagony w obwodzie czortkowskim. Tatarzy bachmaty mieli schudzone, bo szli dniem i nocą, żeby im Chmielecki nie zabiegał z boku. Kałgaj o nim powiadał: „Chmielecki gdzieś pod Barem z małym wojskiem leży: wrócimy z plonem nim się o nas dowiędzi.”

Chmielecki przeszedł Zbrucz i stanął na górze oczekując na wojsko Stanisława Lubomirskiego wojewody ruskiego; rzucił przed sobą miecznika braclawskiego z dwiema chorągwiemi i z dwoma stami Zaporozców na podjazd pod te dymy, które się ukazywać zaczęły. Napadł pan miecznik uszedłszy od wojska dwie mile na dobry zagon tatarski, za łaską Bożą rozgromił go, odbił kilkaset więźniów, języków dobrych dostał, z których powziął pewną wiadomość o kałgaju i o ordzie. Zatem Chmielecki nie czekając dłużej pospieszył z kwarcianami i z Zaporozcami i stanął o dwie mile od kosza, który był natenczas pod Jagielni-

ca. Tatarzy przestrzeżeni od uciekających Tatarów o pogromie zagonu przez jakąś czatę, wyruszyli ku Białobożnicy. Chmielecki patrzył na kosz, ale natrzeć nie śmiał, bo miał rozkaz wyraźny od wojewody ruskiego żeby bez niego nic nie począł; zatem musiał czekać, żeby wszystkie siły złączyły się w kupę. Jakoż 30 września Lubomirski nadciągnął. Chmielecki przed północą ruszył z wojskiem kwarcianém i zaporozkiém, napędził Tatarów, i już przednia straż ścierała się z nimi. Trwoga padła na pohańców, Chmielecki naglił przez gońców, że już straż ze strażą się ściera; lecz nim wojewoda nadciągnął, Tatarzy porzuciwszy bydło i owce, z lekkim płonem uszli; z czego bardzo był żałośny Chmielecki, bo kosz upuścili za sprawą wojewody. Kiedy wojsko zeszło się do kupy, dość było wielkie i ozdobne. Nie tracąc czasu poszli w pogoń za Tatarami, przednia straż rozgromiła potężny zagon, w którym był Kantemir, starszy syn Kantemira, tak, że ledwie w kilkadziesiąt koni uszedł. Popędził ten pogrom tém spieszniej kałgaja ku Dniestrowi. Szła za nim straż wojskowa szarpiąc go z tyłu aż do Dniestru, który przeszedł 1 października u Scianki, w miejscu przykrém i brzeżystém, odbieżawszy wszystkich zagonów na téj stronie. Wpadł do Polski w 60,000, i ledwie 4 dni gościł, czujność i pośpiech Stefana Chmieleckiego zegnały go z pola. Chmielecki ze swoimi poszedł nad Dniestr; pan wojewoda dodał mu 4 chorągwie kozackie, dragonów swoich i 200 usarzów; sam został w Monasterzyskach. Po górach za Dniestrem stały straże tatarskie; na odwiedki Chmielecki wyprawił w kilkadziesiąt koni pana Bajbużę, który dość długo i dobrze Tatarów na sobie trzymał, a wsparty wielością pogaństwa, przez Dniestr do swoich uszedł. Na radzie zgodne były głosy rycerstwa i ochota wielka, żeby przejść przez Dniestr i na kosz uderzyć; ale pan starosta tarnogórski i pan podczaszy bractawski oświadczyli, że nie mają pozwolenia od pana wojewody, żeby z ludźmi jego za Dniestr iść mieli. Chmielecki porachowawszy się ze swojemi siłami nie śmiał się na to odważyć. Znoszono więc pojedyncze oddziały.

Chmielecki jak zwykle dziarsko się związał; 4 października pod Uściem rozbił mocny zagon; Mambet sultan Bej syn Kantemira dostał się do niewoli, a ponieważ panowie towarzysze zgodzić się nie mogli, czym ma być więźniem, zabili go w rękę. Z 6 na 7 drugi oddział tatarski rozłożył się na nocleg w Koniuszkach. Kozak od wojska zapędził się za żywnością; schwyтали go Tatarzy i wzięli na męki, ale na mękach nie wyznał że wojsko jest w blisko-

ści. Dzielna wiara! Chmielecki kazał koniom wytchnąć, ogni nie rozniecać i dobrze przed północą stanął nad karkiem Tatarom. Stanął w szyku i czekał świtu, żeby więźniów nie rąbać. O świcie dał się widzieć ruch w obozie tatarskim; wiązali juki i tłumoki, sadzali więźniów na koń. Nasi huknęli im dzień dobry witaném kopytem i pognali przed sobą nie dając oddechu. Szło rycerstwo ochotnie póki sił i tchu stawało, i na 3 mile było tój pogoni. Gdy Chmielecki zobaczył że konie słabieją, pchnął zpod chorągwi towarzysza Komorowskiego do wojewody ruskiego, żeby Tatarom od brodu zachodził. Komorowski przyjechał na godzinę przed Tatarami, którzy tak byli zaslepieni, że gdyby nie trochę namiotów, które stały nad brodem, wpadliby w sam obóz. Lubomirski dał im dobrą chłostę i do reszty rozgromił, tak, że z tego zagonu mało co uszło; a było, jak więźniowie powiadają, do 7,000 wyborowego ludu. Islam Giraj dostał się do niewoli; ten, co później w Polsce z Chmielnickim wojował. Plon wielki, samych więźniów 10,000 odbito, a zacnych białychgłów liczbę niezmierną. O Chmieleckim, który takimi posługami imię swoje wstawił, pieśni w Polsce śpiewano; jedna z nich zaczyna się od tych słów:

Cny Chmielecki, mężu sławny,
 Jakiego czas nie miał dawny;
 Nie jeden wiek, ni dwa minie,
 A twa sława nie zaginie.

Wróćmy do Szahin Giraja, któremu równego w owym wieku nie było na całym świecie, jak powiada Miron Bernawski. Szahin schronił się do Persyi, potem udał się do Carogrodu, i za naleganiami Dzanibega został zesłany na wyspę Rodos. Oto jest ostatnia wzmianka, jaką znalazłem o nim we współczesnej inkwizycyi z 1629 r., która odprawiła się w obozie pod Uściem przy wielu ludziach zacnych wojskowych, nad zdrajcą Kamińskim szlachcicem z województwa podlaskiego, który psu zaprzedałszy oczy, a djabłu duszę, razem z Tatarami najeżdżał kraje koronne, i został pojmany w zagonie tatarskim wracającym od Belza. Pytany o Szahin Giraja powiedział, że jest pewnie w Kuzielbasiech (Keszulbas) i przysyłał teraz do swoich żon, które żyją w nędzy w Baczysaraju, młynkiem jednym tylko się żywiąc. O wojnie tój z której Szahin Giraj uciekł do Persyi powiedział: „Kiedyby byli Kozacy ubiegli wodę, która tylko w ćwierci mili była od nich, zaraz miała się orda oddać.“

Szahn Giraj do Zygmunta IIIgo.

Między narody Jezusowemi możnemu, między chrześcijańskimi pany wielkimi najwyższemu, bratu naszemu królowi J. M. polskiemu, litewskiemu, ruskiemu, pruskiemu, mazowieckiemu, inflanckiemu, żmudzkiemu, smoleńskiemu, czernichowskiemu księciu, szwedzkiemu, wandalickiemu własnemu królowi, bratu naszemu królowi J. M. Zygmunтови.

Po przyjaznym pozdrowieniu i przyjaznej chęci naszej ofiarowaniu, i zaczętej miłości oświadczeniu Wielkiej Ordy prawej i lewej strony i Wielkiej Nahai, Krakowych, Szydakowych, Muniajowych, Mensurowych, Jusufowych synów, i wielu Czerkiesów, Kabartajów, Abazów, Tumanów, Temunów, Temuków, Siewkałów, Jatów i wielu inszych niezliczonych i nieporachowanych Tatarów, i pól Kipciak nazwanych, i stolice krymskiej wielkiego i potężnego cara i chana terazniejszego najjaśniejszego i potężnego Mechmet Giereja hana brat, który jest gałą, brat Jasności Waszej Szahn Gierej sułtan za pomocą Bożą, który wszystkiemu światu panuje.

Wielmożny i zacny starszy brat nasz Mechmet Gierej chan, którego nic złego niech się nie tyka, na stolicy krymskiej będąc; a tego czasu rozkazujący gałą sułtan my brat Jasności Waszej Szahn Gierej sułtan téż będąc; zamyśliliśmy aby jako z początku dziadowie i pradiadowie nasi, którzy z dawnych przodków swych idąc wielkim narodom rozkazywali, a z temi, którzy z nimi zdawna w zgodzie, w braterstwie i przyjaźni mieszkali przyjaźń i braterstwo trzymali; tak my Szahn Gierej brat Jasności Waszej królu Zygmuncie jeszcze większą przyjaźń i braterstwo trzymać chcemy, aby wasi i nasi ubodzy poddani w mieszkaniach swoich uspokoiwszy się, wam i nam dziękując, Bogu modlili. To tedy w sercu postanowiwszy, od króla perskiego przyszedłszy, wam bratu naszemu Zygmunтови królowi polskiemu, na znak dobrego i szczerego braterstwa ten list miłości i zgody pełen napisawszy, oznajmując posyłamy. Naprzód na dziedziczną ojca naszego stolicę krymską przyszedłszy, i 12 dni posiedziawszy, urząd mój co na gałą należy odprawując, po tak dawnym się z bratem naszym Mechmet Gierejem niewidzeniu, ciesząc, zabawiliśmy się, i jeszcze prawie nizechmy się z sobą nabyli, jakoby trzynastego dnia z Stambułu okręty przyszły i nam tę wieść przyniosły, że haństwo krymskie Dzianibeg Gierejowi chanowi dano, z którym 40 galer

z 10,000 janczarów i ze trzema wezyrami, jeden kapudzi basza co jest starszy nad odźwiernemi cesarskiemi, wyprawiony. Tych do Kaffy wysadziwszy, do Krymu na państwo inszego prowadzić chcąc, dostatecznie nam oznajmiono. Co my usłyszawszy, ileby to było w państwach naszych i w stolicy krymskiej starszych panów wojennych, a wrotom naszym posłusznych, dawnych nam życzliwych, starych i młodych, więc Czerkiesów, Nahajców, Tumanów, Siewkalów i wielu inszych, obwieściwszy. Ci do wrot naszych zbiedzawszy się, do nóg brata naszego starszego i do naszych także głowy położywszy. „My nie chcemy inszego nad was hana i sultana, pójdziemy przed wami obiema bracią, wprzód pomrzemy;” mówiąc przysięgali i przysięgę strzymać obiecali. Tymczasem Osmańczykowie Dzanibeg Gierej chana ze 40 galer, ze trzema baszami i janczary do zamku Kaffy przywieźli. Całe trzy miesiące wojska szły z Konstantynopola, tak, że Kaffę wszystką napelnili. Czwartego miesiąca z Kaffy wyszedłszy z nami się ujeżdżali. Kozaków dniewprowych waszych Najaśniejszy królu Zygmuncie bracie nasz, nam Szahin Gierejowi sułtanowi bratu Waszemu w towarzystwo przyszło trzysta Kozaków. Pan Bóg Wszechmogący się zmiłował, a nam w bitwie poszczęścił, tak, iż janczary i dziebediów pobiwszy, z wezyrów co z nimi byli Hasan baszę i Imbram baszę zabiwszy, kapudzi baszę także nie żywiliśmy. Bodaj długo zdrowi byli ci trzysta Kozaków, którzy od was Szahin Gierejowi bratu Waszemu ku pomocy w towarzystwo przyszli, wedle myśli i serca się naszego sprawując, o nas się zastawowali. Rozgromiwszy onych janczarów i dziebedziów, co chana inszego stanowić mieli, i galery odstraszywszy, Kaffę, zamek wzięwszy, osiedliśmy, i w mocy i w ręku naszych jest. A tak Najaśniejszy królu Zygmuncie bracie nasz, z dawnych czasów, dziadów, pradziadów, bywaliśmy sobie bracią i przyjaciółmi, i my Wam, a Wy też nam zawsze pomagaliście; i za przodków naszych wojska nasze wspólnie za jedno chadzały, ludzie nasi do was, a wasi do nas przyjeżdżali, i dokąd, albo z kąd idziesz, nikt nie pytał: najmniejszemu też dziecięciu ani ubogiej wdowie przykrości nie było. Aż to niedawnemi czasy nalazszy sposób albo okazyjkę Osmańczykowie wmieszali się między nas, którzy nas od Was, a Was od nas odłączywszy, nieprzyjaciółmi poczynili; mało jeszcze na tém mając, aby nas zwadziwszy narody nasze wytracili, zdradliwie się z nami obchodząc starali się i starają się. A tak Najaśniejszy królu Zygmuncie bracie nasz, przyjaźń i braterstwo, które były między

przodkami naszymi, wspomniawszy, t \acute{e} m mocniej teraz ja brat Wasz Szahin Gierej sułtan trzymać chcę, i to, co jest dobrego w sercu m \acute{e} m, oznajmuję. Od Turków i Wam i nam przyjaźni się spodziewać nie trzeba, bo gdyby się im okazała, i Was i nas jednogoby dnia nie żywili. Pan Bóg Wszechmogący niech im sposobu i okazji żadnej nie daje. Przeto jako oni nam dobrego życzą, tak i my im życzyć chcemy, i poruczywszy się Bogu, za złe zł \acute{e} m oddawać będziemy. Patrzcie, przeszłego roku o Wasze złe starali się, Pan Bóg nie dał; tego roku zaś o nas się starali, oto im Pan Bóg nie poszczęścił. Dlatego Najaśniejszy królu Zygmuncie bracie nasz z Szahin Gierejem bratem Waszym, abyście jedność i zjednoczenie uczynili, a obietnicom i przysiędze naszej abyście wierzyli i braterstwa doświadczyli. Dajcie nam dniewprowych Kozaków, tych my z sobą wzięwszy z Turki łącno postępować będziemy. A jako za przodków naszych było, że cokolwiek po naszej stronie Dniepru jest, to niech nasze będzie aż dotąd, gdzie Owcza woda się poczyna. A cokolwiek zaś po tamtej stronie Dniepru, to Wasze niech będzie; od tej zaś wody Owczej, aż do początku wody Bocznk po samy Dun i moskiewska strona niech Wasza będzie, a co za Dunem do nas, to t \acute{e} ż nasze niech będzie. My wojsko tatarskie, które się kolwiek znajdzie w Białogrodzie za pomocą Bożą na owę stronę Dniepru przeniesiemy. Zacz \acute{e} m te trzy zamki: Białogród, Tehynią i Kilią już puste i próżne zostawia. Jeśli tych zamków pragnąć będziecie, wojsko posławszy weźmijcie i trzymajcie. Jeśli t \acute{e} ż Najaśniejszy bracie nasz, wojska swego posłać nie zechcecie, dajcież nam Kozaków dniewprowych, a w t \acute{e} m nam braterstwo ukazecie. My Białogród, Tehynią, Kilią, te trzy zamki wzięwszy wam oddamy, tylko w t \acute{e} m nam braterstwo uczynicie, aby Kozacy dniewprowi do nas przyszli, którym rozkażecie, bo oni zdobywszy chcieli, iż my t \acute{e} j zimy stada i bydła nasze zabrawszy za Dniepr zagnać chcemy, aby tego nie ruszali. A my tak krymskich i nahajskich Tatarów zatrzymamy, że z państw waszych i kokosz nie będzie wzięta. Niechaj i wasi przychodzą, a nad Dnieprem z dobrami i stadami swemi niechaj chodzą, a tak będzie zgoda, miłość i jednota, za dni wielmożności Waszej króla Zygmunta brata naszego i za dni Szahin Giereja sułtana brata Waszego. Za którą ubodzy poddani w pokoju siedząc i wczasów swych zażywając, póki jeno żywota im stanie, tak za was jako i za nas Boga modlić nie przestaną. Wi \acute{e} c i dobra sława do sądnego dnia o Was i o nas ztąd będzie, bo ojciec dzieciom o t \acute{e} m powiadając, aż do skończenia wieków wspominać

nas będą. Gdy tedy braterstwo i stała jednota między Wami Najaśniejszy królu Zyguncie, a między nami Szahin Gierejem sułtanem nastąpi, a Kozaków dniewprowych gdy do nas poślecie, za pomocą Bożą z nimi się wzięwszy, a z Turki się rozprawiwszy, między nami także postanowienie i przymierze ślubem i przysięgą utwierdzone niech będzie. A iż moskiewski król posła swego przez ziemię naszą do Turków posyłał, aby wojsk swoich mu dawszy, z jego wojskiem się złączyli i Was wojowali, obiecując im za to Astrachań i Kazań, a państwa Wasze zwojowawszy i o nas by się kusili. Rozprawiwszy się tedy z Turki za błogosławieństwem Bożem, z wami wespół poszedłszy, przodków naszych niekiedy będące państwa i zamki, które są nad wodą Adyl tojest Wołgą, sobie weźmiemy..... Te rzeczy i obietnice abyśmy między sobą trzymali, potrzeba. Kozakom dniewprowym do nas przyjść rozkażcie, których nie dlatego abyśmy wojska naszego mało mieli pragniemy. Mamy go chwała Bogu dość, ale u Osmańczyków, iż janczarów z rusznicami niemało, na rusznice też rusznicznego wojska trzeba. Dlategoż od Was brata naszego Najaśniejszego Zygmunta Kozaków potrzebujemy, i żądamy, abyście nam téj zimy tysiąc Kozaków dniewprowych przysłali, a drugich po święcie wielkiem Waszém (tojest po Wielkiéjnocy) w piętnaście dni przysyłajcie. Więc od Was Najaśniejszy bracie nasz, nam przedtém upominki zwyczajne syłane były, na miejsce ich nam bratu swemu prochów i ołowów pošlijcie. Nad proch i ołów większego podarku u nas nie będzie, bo przedtém prochy i ołowu od Turków kupowaliśmy; teraz Turcy nam nieprzyjaciołom więcéj tego przedawać i przynosić nie będą, gdyż i okrętom przystępować zakaz uczynili. Jeśli tedy nam przyjaźń i braterstwo oświadczyć chcecie, prochów i ołowu nam na pewne miejsce przyslijcie. To będzie od Jasności Waszój nam wielka przyjaźń. Zatem pokój Boży nad dobrze czyniącemi. Pisan dnia 5 miesiąca zylkadde nazwanego, roku od Mahometa 1033.

(Na pieczęci napis: Szahin Giraj sułtan z synów Saadet Giraj hana).

Cedula.

My gałga Szahin Gierej brat Wasz przy liście naszym zgody i miłości pełnym królowi J. M. Zyguntowi bratu naszemu, szablę sadzoną kamieniami pošlaliśmy, za wdzięczne przyjmijcie. Jeszcze wiadomo niech będzie bratu naszemu Najaśniejszemu

Zygmuntowi królowi, że obiema nam król J. M. perski Szach Abbas pismo swe posłał, który Wam bratu naszemu i z szablą sadzoną przez wiernego naszego Aju Bega posyłamy. Z téj szabli tak z wierzchu jako i ze spodu 13 kamieni zginęło, żeby Jasności Waszój było wiadomo. Najaśniejszy Szach Abbas król perski nam Szahin Gierejowi sultanowi bratu Waszemu, przedniego zezłaza szablę posłał, abyśmy tą szablą Turki bili. Tą téż, którą Jasności Waszój królowi Zygmuntowi bratu naszemu posyłamy, Turki bić macie: tak wiadomo niech będzie.

Relacya terażniejszój wojska zaporozkiego imprezy do Krymu.

Mahmud Gierej han z Szahin Gierejem sultanem bratem swym, zaciągając Kozaków do Krymu, taką przysięgę w pośrodku rady kozackiej stanąwszy wykonali: „Przysięgamy J. K. M. panu naszemu mił., za osiągnięciem przez wojsko nasze ojczyzny naszój, wierne poddaństwo, życzliwość i poddaństwo wszelakie, które za najmniejszym J. K. M. i Rplitój rozkazaniem, odprawować ochotnie gotowi i powinni będziemy, i nietylko orde swoje na posługę J. K. M. i Rplitój posyłać, ale i sami przeciw każdemu nieprzyjacielowi J. K. M. i Rplitój przybywać będziemy, upominków zwyczajnych od J. K. M. i Rplitój wyrzekamy się, i pilnie tego przestrzegać mamy, aby żadne inkursye do państw J. K. M. nie bywały, i swawolników takowych poskromić i surowie karać obiecujemy; niewolników wszystkich z Krymu powydawać wojsku i u Tatarów odbierać pozwalamy. Czego niech Pan Bóg nam dopomoże, a ta przysięga od nas wcale zachowana będzie.” To skończywszy, Kozakom Szahin Gierej przysięgał i za hana brata swego, wszedłszy do Krymu jakożkolwiek szczęście posłuży, od wojska nie odstępować, i owszem i złe i dobre przy wojsku zaporozkiem ponosić; a nie przyszłoby państwa osieść, z niemi się na zwykłe miejsca wrócić, a na dalsze szczęście i łaskę Bożą oczekiwać. Po wykonaniu téj przysięgi pozwolili Kozacy z nim iść do Krymu i dzień ruszenia się wojska 8 *novembris* naznaczyli, którego się czasu ruszywszy od Mikitina rohu, do Kamiennego zatonu przez Dniepr przeprowowali dwa dni; jednak barzo wiele na brzegu pozostało się Kozaków, dla zazdrości starszemu téj sławy, iż nie z ramienia J. K. M. podany był. Co starszy postrzegłszy,

miał radę upominając się u nich tego, czemu by nie ochoczy na takową przysługę byli, iż tak małe barzo ściągnęło się wojsko. Krzyknęli wszyscy, iż w kozactwie z ochoty tylko każdy idzie na wojnę a nie przymuszony; a teraz przeciwko zimy każdy z nas i z towarzystwa naszego, wzdrygać się musiał nieprzyodziany a w takową ziemię iść, w której ani się przy czém ogrzać, ani żywności dostać, tak dla siebie jako i dla koni, wojennikom straszno. Ci jednak którzy zostali, chcąc iść, temi się słowy ofiarowali: iż my ochotnie idziemy, nie chcących przymuszać nie będziemy, aby tylko sławy wojska swego nie utracić, a na zwykłe miejsca wrócić się. Co im za takową ochotę starszy podziękowawszy, tém bardziej animował ich, i ochoty do zawziętego przedsięwzięcia dodawszy i pułkowników naznaczywszy, poszedł z wojskiem polami do Kajera, piechotę czółnami posławszy, która się tam z kominikiem skupić miała. Trzeciego potem dnia, 12 *novembris* u Kisienki meczetu tatarskiego, który tu *antiquitate* jako orda na tych miejscach przemieszkiwała, u Nosakowskiego nad Dnieprem ostrowu położony, stanęli i wojsko przepisowali, kazawszy i czółnowej piechocie do brzegu przywrócić. Przepisało się wojska komunika tysięcy dwa, piechoty dwa, ordy z Szahin Gierejem półczwarta sta, i ciągnęli do Kajera, gdzie pół dnia chodu, i piechota tamże się skupić miała, czółny swoje zostawić, a ztamtąd już jednym cugiem za dzień i noc pod Perekop spieszo idąc, podpaść potrzeba było. Do Kajera przyszedłszy radę mieli, jeśli nie spoczywając wojsku tego dnia iść. Na co Szahin Gierej radził i prosił, aby się nie bawić, konsyderując to, iżby się nieprzyjaciel nie ostrzegł, a lubo wziął wiadomość o nas, nie zbierze się w potęgę tak prędko, zaczęć nam odporu nie będzie miał dać jako; do tego w takim razie prędkości potrzeba, żeby w nocy doszedłszy do Perekopu niewiadomie zarazem go wziąć; tam orda rada nie rada duszmana mego odstępując do mnie kupić się będzie, a gdy czasu nieprzyjacielowi pozwolimy, zmocni się na nas niepotężnych, i sposoby do obrony sobie i dania odporu wynajdzie. Na co Kozacy krzyknęli, iż pole bezwodne i cug daleki, odpocząć potrzeba, a tym małym czasem do dobrego nic się zagrozić nie może. Tamże przenocowawszy, 14 *novembris* polami ruszyli się przychodząc *circa mediam noctem*, i zbliżając się już ku Perekopowi iż było języka potrzeba wpadłszy bez wieści pod miasto dostać, zastanowił starszy wojsko; w czém nie dufając inszemu i téj przysługi sobie u wojska życząc, sam starszy z kilkanasto człowieka,

z kilką Tatarów Szahin Gierejowych się puścił, kazawszy wojsku taborem następować. Nie dochodząc miasta w mili, na stada kilkanaście tysięcy perekopskiej ordy Nahai Kantemirowy samego natrafili, którego przepatrzywszy jako i Tatarów i murz przy stadzie koczujących, wrócili się do wojska, w radę cicho wezwawszy, jeśli stada dawszy pokój na Perekop prosto uderzyć, w czém taka Szahin Gierejowa rada, aby pominąć stado, w ziemię za Perekop wpaść, i do samego Bakczysaraju ciągnąć, to upatrując, iż wojsko zdobyć tę otrzymawszy, nie zechce się dalej walczyć, ale zarazem wracać się będą chcieli (jakoż i tak się stało). Kozacy na takowej radzie nie przestawając na stado zezwolili, powiadając, co się opiece ukroić, czemu nieprzyjaciela żałować i tych sposobów, które mogą być do zniszczenia jego zaniechiwać; stado wzięwszy pod piechotę koni przysposobim i pójdziemy do Perekopu, a co Pan Bóg nam naznaczył, to nie minie. Uszykowawszy tedy komunika na trzy pułki, Szahin Gierejowy czwarty, czekali ażby świtało, żeby snadniej uderzyć i widzieć na co natrzeć. W tym też czasie znać, że się orda ostrzegłszy przy stadzie zatrwożyła. Ku dniowi ruszyły się pułki, tabor po lekku szlakiem następował, a zbliżywszy się pod stado oraz skoczyli. Szahin Gierej lewe skrzydło trzymając zagarnął stada, a Kozacy także prawém skrzydłem uderzywszy, do pięciu tysięcy wojennych koni i z stadnemi zagarnęli, i ulusy na których orda koczując niewolników naszych trzymała, rozgromili, Tatarów tamże niemało zaskoczywszy, i wszystkie dostatki, których odbiegli, do taboru zapędzili. Starszy z Szahin Gierejem w tropy za Tatarami i za ostatkiem stada, które uganiłi, szedł, a doszedłszy ich uderzyli się z orda. Pan Bóg zdarzył szczęśliwie, z wielką szkodą ich a naszych z małą, gdzie i Szahin Gierej z Tatarami swemi najeżdżając, tak żywcem dostając jako i na placu pokładając, Nahajców znacznie raził, a przed tym czasem już wieczorem Dżanibeg Gierejhan i Dawlet Gierej sultan gałga do Perekopu przybyli, i wzięwszy wiadomość o tém z dział kazali bić, aby się orda kupiła. Przybierało się potém ordy z poranku aż do wieczora, z którą Kozacy tabor sprawiwszy, przez wszystek czas tak harcami jako i wstępnym bojem potykali się, następując spieszo pod Perekop. Przychodząc ku miastu i zbliżywszy się pod mury zamku perekopskiego, z kąd tylko co z dział nie dosięgali, stanęli. Kozacy radę uczyniwszy krzyknęli, aby się już z tego miejsca na Zaporozże, w ziemię w małej potędze nie wchodząc, wrócić się, aby zaś za

wzmocnieniem się nieprzyjaciela i tój zdobyczy nie utracić, i w samych sobie szkody wielkiej nie odnieść. Co Szahin Gierej usłyszawszy, frasowliwy barzo przyszedł do rady, aby odmieniwszy zamysły swoje takowe nie trwożyli się, i owszem to co umyślił wykonywali, tych słów zażywając: „Panowie mołojcy, nie jestem ten, któryby wojsku niesławy życzyć miał i na zgubę prowadzić, ale raczej na sławę i przysługę; a ladajako odchodzić nie spróbawwszy się z nieprzyjacielem i serca onemu na się dodawać, wojennikowi azali przystojna? Darujcie mi noc jedną, a ja mam takich przyjaciół tam swoich, że mi dadzą znać o zamysłach i potędze nieprzyjaciela mego, jeślibym się kusić miał albo nie miał, i dopiéro odstąpić. Jeżeli o niedostatek wody i paszy idzie, stanem na wiosce miasta tego, tojest na futorach nazwanych Kosarany nad limanem morskim, i wody zasięgniem, i koni choć potrosze pożywić możem, a w tym czasie mam nadzieję w Bogu, iż przy sprawiedliwości mojej, przeciwko duszmanowi memu dopomoże“ (jakoż za Szahin Gierejem nad Dniepr przyszła ta wiadomość, że już tamci carowie z Kantemirem uchodzić z Krymu mieli, byliby Kozacy do odwrócenia nazad nie pospieszyli). Na co Kozacy nie pozwalali i owszem ku Dnieprowi na odwrót wolałi. Ochota jednak starszego iż zgadzała się z wolą i z radą Szahin Gierejową, przeciwko woli i nieochocie wojska kazał następować. Szahin Gierej sam animując nieochotne wojsko i nie dufając sercu tak dalece chorążego swego jako sam sobie, chorągiew wzięwszy sam na orde, która pod temiż Kosarany mogiłę obsypała rezolutnie skoczył, że aż na wały perekopskie zagnani dusili się, i tę wioskę Kosarany w której folwarki perekopskie, samiż zapalili, iżby wojsko kozackie bez żywności dla koni i wody znędźnić mogli, a tém prędzej odstąpiło i w ziemię wchodzić nie ważyło się. Nie dochodząc tedy tój wioski pod wałami taborem stanęli Kozacy bez wody i bez paszy; Tatarowie więcj nie nacierali. Szahin Gierej radził, aby za Perekop zająć, spodziewając się iżby się orda kupić do niego, a duszmanowie jego szwankować musieli. Na co Kozacy nie pozwalając we trzy godziny w noc ruszyli się do Perekopu na Zaporozie ciągnąc. Postrzegłszy tamci carowie, część wojska swego wysłali zabawiając tabor kozacki, a tymczasem sami na większą się potęgę zdobywając; lecz Kozacy dawali odpór rażąc tych, którzy nacierali na tabor, ale i z tamtój strony janczarowie podsuwając się blisko pod tabor i armatę podwożąc, szkodzili. Takowój zabawy było

aż do Kalancaku mil cztery od Perekopu, gdzie orda stada swoje z Krymu na paszę i dla wody słodkiej, której jest w jeziorach potrosze, zapędzać zwykła; tamże wojsko kozackie koni spracowanych i siebie samych pragnących wody trochę pocieszyli. Podczas wschodu słońca na toż miejsce Kantemir dobrze przygotowany z Dzianibeg Gierejem chanem i z Dewlet Gierejem gałą, przybywszy w dziesięć tysięcy ordy z janczarami i z działami, w równym polu ze wszystkich stron na tabor potężnie raz, drugi i trzeci, bez przestanku nie dając się poprawić, nacierali. Zdarzył Pan Bóg, iż Kozacy spieszywszy się z koni wszyscy, a blisko orde nacierającą przypuszczając, dawali znaczny odpór tak ich rażąc dobrze, że plac tameczny zagaścili trupem nieprzyjacielskim, gdzie i murzów znacznych niemało poległo. Czém barziej żalem zwiedziony i zajuszony Kantemir, janczarom się swoim z koni spieszyc kazał, pułki komunikiem sam przewodząc z tyłu przyganiał; lecz że ochynawszy się z pierwszego razu Kozacy tém lepiej i mężniej nacierając się z nimi nabili wielu janczarów i Tatarów, ze wstydem i z żalem Kantemir odstąpić musiał. Z dział już tylko i z janczarek sięgając zdaleka do samych Kackarów mil dziesiątek od Perekopu odprowadzali Kozaków, ztamtąd więcęj nie nacierając odwrót uczynili, a Kozacy ku Dnieprowi na Tawani pod Aslangród przyciągnęli, i tam dzień z téj pracy spoczywali, i zdobyczą koźmi się dzielili; zkąd Szahin Gierej nieprzyjaciela swego wszelakimi sposobami gnębiąc, posłał znowu zpod Aslangrodu 20 swych Tatarów pod Perekop, którzy półtrzecia sta rumaków wojennych i 16 Tatarów przyprowadzili. A wojsko kozackie z Szahin Gierejem i chanem na Zaporozie do téjże przeprawy Kamiennego-zatonu przyciągnęli. Gdzie już przeprawując się na stanowisko swoje nazwane Wolczą Witką, poseł przyszedł do Mechemet Giereja chana i Szahin Giereja gałą od Wielkiej Nogai, która za Ohonem koczuje, siostrzeńca ich sułtana za pana swego mając, który takowe odprawował poselstwo do carów: „Siostrzeniec Wasz a sułtan nasz i orda wszystka nogajska, dowiedziawszy się żeście spędzeni będąc z państwa swego, udali się do wojska zaporozkiego J. K. M., przysłali mię dając znać wam, iż sułtan nasz i wszystka orda, chce zarówno z wami trzymać i wespół przeciwko temuż nieprzyjacielowi być, gdyż tamta Nogaj z krymską ordą w nieprzyjaźni wielkiej ustanwie.“ Chan tedy upatrzywszy, iżby mu to na wielkiej pomocy było, chcąc ich sam przez się do siebie przychęcić, za pozwoleniem

od Kozaków poszedł do Nogai, aby tę orde nogajską przyprowadził na wiosnę, i za pomocą Bożą do Krymu ich zażył. Szahin Gierej zaś na Zaporozżu między Kozakami został, i nie chcąc dać odpoczynku nieprzyjacielowi, ustawicznymi podjazdami szarpał, żywając na to Tatarów swych i Kozaków ochoczych, tak, iż na tę stronę ze stady iż dobytka swemi wychylić się na paszę nie mogą, a inszych téż pasz oprócz tych w Krymie nie mają i wczesnych mieć nie mogą.

Inkwizycya z 1629 roku.

Inkwizycya odprawowała się w obozie pod Uściem, przy wielu ludziach znacznych wojskowych, nad zdrajcą Kamińskim szlachcicem z województwa podlaskiego z powiatu grodzickiego, którego byli wzięli Tatarowie pod Ostrogiem, kiedy służył p. Walentemu Kosakowskiemu, co się działo roku 1617, to jest pojmanie, a teraz jest od wojska polskiego pojmany; który był przy Szahin Giereju sultanie, przy synie Gani Girajowym w zagonie, który się od Belza wracał.

Pytany wiele wojska wszystkiego w Polsce było, powiedział: sześćdziesiąt tysięcy. Pytany wiele ludu w Krymie zostało przy caru, powiedział dziesięć tysięcy, a drugie dziesięć po różnych miejscach być może. Pytany ze strony Bernawskiego jeżeli wiedział o tém wtargnieniu, powiedział że wiedział i miał drogę pokazać, i upominki wielkie obiecywał sultan: galdze trzydzieści tysięcy talarów, Kantemirowi piętnaście, innym sultanom i murzom po kilka tysięcy, a to dlatego, żeby go na gospodarstwo wprowadzono do Jas; co obiecowali onemu wracając się z Polski, ale nie szczerze, albowiem galdga mówił: dalby mi go Pan Bóg z Chocimia wywabić, zarzekłby się gospodarstwa. A chcąc mu uczynić otuchę dobrą, zakazano wojsku pogańskiemu, aby w ziemi wołoskiej najmniejszej przykorzyzny nie czynili krom wzięcia żywności; dlatego w miasteczkach i wsiach galdga ludzi zostawiał, żeby przestrzegali, aby jakie gwałty i krzywdy nie były. Pytany jako się galdga z Kantemirem przeprowiał przez Nestr, powiedział: wprzód Kantemir się przeprowiał i stał dwa miesiące w polach konie pasąc, na przyście galdzyne czekając, do którego galdga miał się za trzy dni przeprowić. Przeprowił się pod Oczakowem w uczujkach; tam Kantemirowi przysłano konia, buławę i szablę,

rozkazując mu, żeby Polskę plondrował ogniem i mieczem, czego się z chęcią podjął. Pytany jeżeli wiedział o p. Chmieleckim i o naszym wojsku, powiedział żechmy dostali języka, że p. Chmielecki pod Barem z małym wojskiem; na co rzekł gałga: wrócim się nazad z plonem nim się Chmielecki o nas dowie. A kiedy o naszym wojsku powiedziałem Kantemirowi, rzekł: Laddaco to, miał Żółkiewski kilkadziesiąt tysięcy wojska, a przeciwmy go znieśli. Pytany czemu chude bachmaty macie, powiedział: żeśmy dniem i nocą szli, a to gwoli Chmieleckiemu, żeby nas nie zabiezał z strony. O Szahin Gierēju powiedział, że jest pewnie w Kuzietbasiech, i przysyłał teraz do swoich żon, które żyją w nędzy w Baczysaraju, młynkiem jednym tylko się żywiąc. O wojnie téj z której Szahin Gierėj uciekł do Persyi, powiedział: kiedyby byli Kozacy ubiegli wodę, która tylko w ćwierci mili była od nich, zaraz miała się orda oddać.



WYCIECZKA ARCHEOLOGICZNA

W NIEKTÓRE STRONY GUBERNII RADOMSKIEJ

odbyta w miesiącu wrześniu r. z.

PRZEZ

F. Mraa. Sobieszczańskiego.

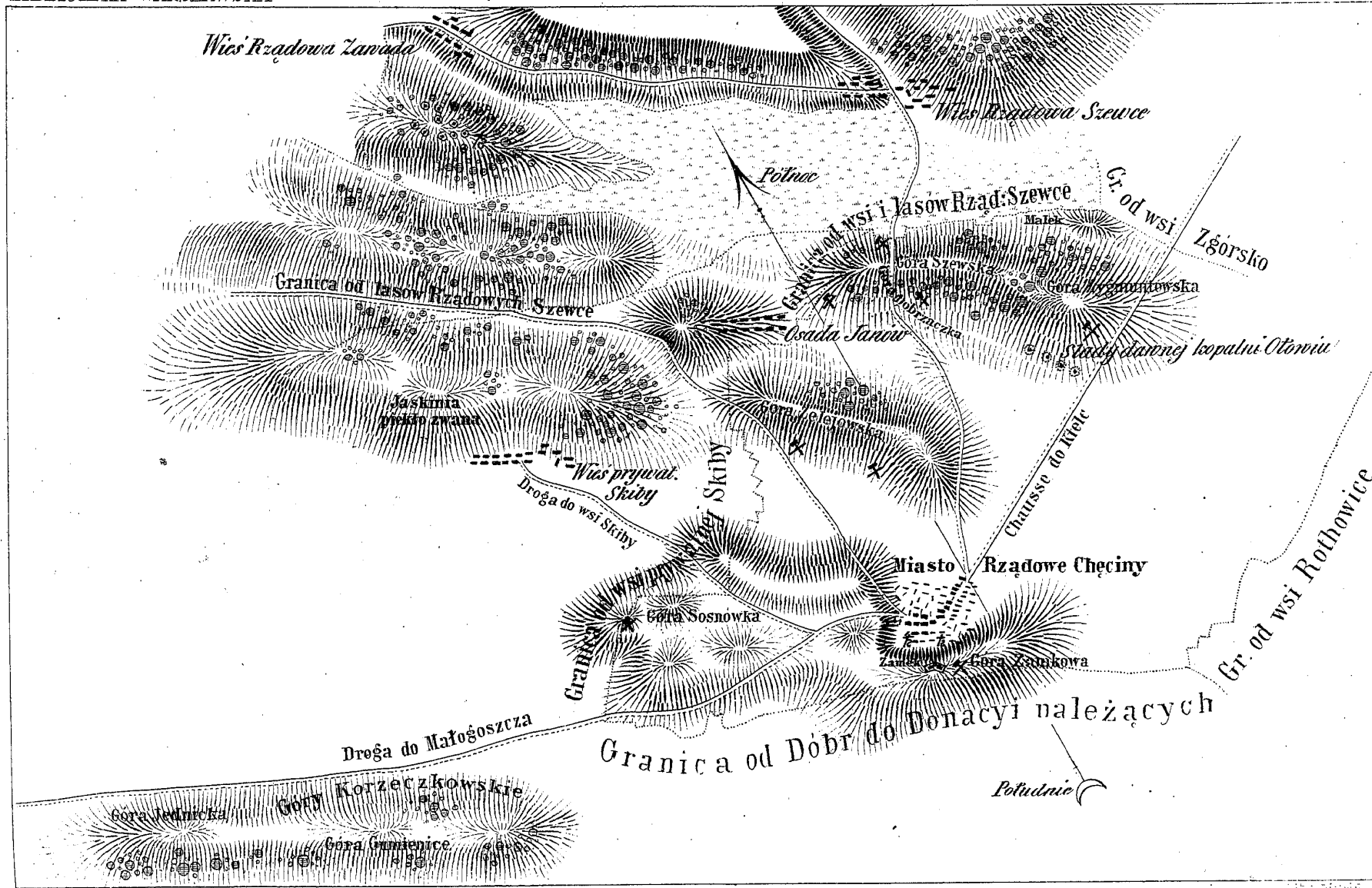
(Z mapą i dwoma drzeworytami).

(Dokończenie).

VI.

Droga do Chęcin — Zakłady w Białogoni. — Miasteczko Chęcin. — Historia tego miejsca i ruin zamku. — Stan obecny. — Kościoły i ich opis. — Góry marmurowe i historia ich łomów. — Wylczenie wszystkich kopalń pokładów i odmian znajdujących się tu marmurów. — Powrót do Warszawy. — Kilka słów o popielnicach znalezionych we wsi Brzoza i o zgonie artysty w Kunowie.

W jednym z tych prześlicznych dni jesiennych, coto często lato u nas przedrzeźniają, wybrałem się zwiedzić Chęcin i sławne tameczne marmury. Wabiła mnie wprawdzie zewsząd cudowna ze swojemi widokami góra Karczówka z klasztorem Bernardynów, ale przyznam się, że na ten raz sprzykrzyły mi się już klasztory, a potem o Karczówce podobno niewieleby można więcej powiedzieć nad to, co już wiadomo. Piękną zatem drogą, bitym gościńcem, zajechaliśmy do osady fabrycznej Białogon zwanój, o 5 wiorst od Kielc oddalonej; lecz także nie dlatego, abym ją szczegółowo opisał, bo szczęściem dla mnie, już to dawno i dokładnie zrobiono, ale trzeba jednak widzieć koniecznie ten ósmy cud świata w Kieleckim, aby mieć wyobrażenie o istotnie wzorowym tym zakładzie.



Niedaleko od zabudowań białogońskich zastanowił mnie na drodze krzyż niezwykle u nas kształtu: tak jest piękny i wytworny, a wystawiony na pamiątkę, że panująca po całym kraju w latach 1848 i 1849 cholera nie dotknęła tutejszej osady. Jest to pomnik wdzięczności urzędników i robotników białogońskich, którzy sposobem składki go wzniesli, według projektu i rysunku p. Bolesława Podczaszyńskiego budowniczego warszawskiego, zaszczytnie z prac swoich piśmiennych i z rzadkiego gustu znanego. I myśl doskonała, i trafne wykonanie bardzo mi się podobały; takie dzieło zasługuje na rysunek, lecz w braku tego przynajmniej jak wygląda opiszę.

Na szerokim stopniu kamiennym stoi naprzód murowana kwadratowa podstawa, daszkiem blaszanym przykryta, w której umieszczony jest kamień z napisem. Na tej podstawie wznosi się krzyż z żelaza lany w Białogoni. Krzyż ten w średniowiecznym (gotyckim) stylu składa się ze spodu w postaci ośmiościennego słupa na kwadratowej podstawie; z czterech stron przy słupie na konsolach umieszczone są posągi świętych patronów górnictwa krajowego: N. Panna, św. Barbara, św. Antoni, św. Konegunda. Pomędzy posągami umieszczone są na rogach podstawy słupki utrzymujące daszki z gwiazdą na frontonie, a gotyckim głąbiem na szczycie każdego. Nad samymi słupkami umieszczone są podobnie ale znacznie mniejsze szczyty (pinacula). Takim jest bogaty spód, niejako podstawa krzyża samego, który osadzony na kapitelu słupa wspomnionego, z ramion ośmiobocznych złożony, końce tych ramion na sposób średniowieczny liśćmi ma przyozdobione. Na krzyżu umieszczony jest wizerunek Zbawiciela ukrzyżowanego, odlany podobnie jak i inne posąжки tego pomnika podług wzorów z pracowni p. Pawła Malińskiego b. profesora rzeźbiarstwa w b. uniwers. Alexandryjskim. Wysokość zaś jego całkowita jest od ziemi do wierzchu łokci $7\frac{1}{2}$.

W Białogoni, w miejscu gdzie była dawniej huta zwana hutą Alexandra, do wytapiania rudy miedzianej służąca, wznoszą się teraz liczne budowle zakładów fabrycznych, które z zadziwieniem oglądałem, i z uwielbieniem, ze schyloną głową przed przemysłem ludzkim wyszedłem. Co tu za porządek, jaka czynność, jak tu wszystko śliczne, wzorowe! Powiadano mi, że wyroby tutejsze przewyższają wszystkie inne w kraju co do piękności, gładkości, doboru i rysunku, w co bardzo łatwo uwierzyłem, przypatrując się tu wszystkiemu, jakkolwiek oczyma niewiadomości. Główną czę-

ścią zakładu są warsztaty mechaniczne, i te wybornie mają być urządzone. Warsztatów tokarskich i heblarni jest do 40; najbardziej jednak zwrócono moję uwagę na tokarnią prostopadłą do wytaczania we środku cylindrów dużego rozmiaru; pokazywano mi także tokarnią obrotową do wiercenia dziur w różnych miejscach blachy, bez jęj poruszania; maszyny do narzynania kótek, i narzynania śrub, tudzież maszynę, która sama tnie blachę i robi z nięj rozmaitego rodzaju wyborne gwoździe. Wszystkie te warsztaty poruszane są kołem wodnęm z żelaza, przesłicznie urządzenem, lub maszyną parową o sile 12 koni, podobnież wytwornie zrobioną. W zakładzie tym wykonywają maszyny parowe, rolnicze wszelkiego rodzaju, których skład w osobnym gmachu znajduje się; robią tu blachę pobielaną żelazną, na sposób angielski, rozmaite odlewy według obstalunku, których ogólnie wartość roczna w przecięciu do 400,000 rub. sr. wynosi.

Oprócz budowli zakładu, szereg przesłicznych domków nad kanałem wystawionych dla robotników, nadaje tęg osadzie postać małego miasteczka; wszystko zaś odznacza się szczególnym porządkiem i systematycznością fabryczną.

Wyjeżdżając z Białogonia zaraz za tym zakładem najpiękniejszy pokazał się nam widok: wyobraźcie sobie stromą górę lasem okrytą, która zdaje się zupełnie zamykać drogę. Zbliżywszy się spostrzedz się daje wąwoz, przez który płynie rzeka dostarczająca wody dla Białogonia; po jęj brzegach jest wązkie pasmo łąki, i las z jednęj strony cały świerkowy, z drugięj lipowy, wznoszący się na bardzo znacznej spadzistości. Jednego jasna, drugiego ponura zieloność odbijały się wzajemnie, wśród drogi zrobionęj, a raczęj wyrąbanęj w skale, u spodu góry idącęj. Dodajmy do tego promienie jesiennego słońca, które wierzchołki lasów świerkowych pozłacały, kilka chat i młyn na rzece, a będziemy mieli wyobrażenie o cudownym tym krajo widzie, któregoby nam Szwajcarya pozazdrościła.

Zdaleka o parę mil widzieliśmy już zczerniałe baszty zamku chęcińskiego i wyniosłą górę, ze wszech stron coraz to inaczęj szczyby ruin przedstawiającą. Nareszcie po krętej i z wielkim nakładem wybudowanęj drodze zbliżyliśmy się do miasta.

Właściwie cała pierwiastkowa historia Chęcin odnosi się do zamku na szczycie skały marmurowęj zbudowanego, co obecnie w gruzach leży, a który najodleglejszję sięga starożytności. Miasteczko zaś leżące pod górą, dawnięj na innęm miejscu, tam, gdzie

dziś wieś Stare Chęciny zwana, będące, tylko o tyle występuje na widownią, o ile dzieje zamku na niego wpłynęły. Byłato albowiem w swoim czasie niezdożyta twierdza, którą panujący na wszelkie ważniejsze zdarzenia zachowywali, i w której skarby koronne chowano: tak była uważaną za bezpieczną i pewną. Władysław Łokietek przygotowując się na otwartą i walną wojnę z Krzyżakami w r. 1318, jeszcze przed swoją koronacją, skarby kościoła archidiecezjalnego z Gniezna do zamku chęcińskiego przeniósł, tak jak skarby koronne i znamiona królewskie z tegoż Gniezna do Krakowa. W kilkanaście lat potem, to jest w roku 1331, kiedy tenże sam monarcha, aczkolwiek przyciśniony laty, przyrządzał wielkie do wojny siły, zaś publiczne sprawy chciał urządzić: zwołał na dzień św. Trójcy, w dniu 14 czerwca przypadającej, powszechnie i wielkie wiece czyli sejm do Chęcin. Byłto pierwszy raz wydarzony w państwie i jego historii zjazd wszystkich ziem małopolskich i wielkopolskich, na który wszyscy wojewodowie i kasztelanowie zebrawi się. Byli tam pomiędzy innymi Spicimir kasztelan krakowski, Mszczug sandomierski, Mikołaj krakowski, Wojciech brzeski, wojewodowie. Byli Adam kasztelan wiślicki, wielkopolskich i innych ziem panowie, oraz tychże ziem kanclerze, wicekanclerze, między niemi Piotr kanclerz wielkopolski a dziekan poznański, Piotr kanonik wicekanclerz krakowski, i inni, a nadto znaczna liczba dostojnych i godnych mężów, prałatów i baronów, których wymienia przywilój wówczas w Chęcinach wydany, a w *Miechovii* Nakielskiego na str. 257 ogłoszony.

Na zwołane obrady z obozów, kurzem polowym pokryty, pospieszyl 70-letni Władysław Łokietek i zasiadł na czele rady, senatu, biskupów, baronów, szlachty i rycerstwa, po raz pierwszy w jedno grono przez niego zebranych, aby przed śmiercią w chyłacem się a złamanem strapieniami życia swoim, wspólnie z niemi, dawne prawa do porządku przywieść, grożącemu niebezpieczeństwu zaradzić, a stosowne do potrzeb nowe ustawy wydać. Dzielny ten monarcha był już wtedy starcem wątłej i suchej postawy, lecz nikłe ciało pokrywało wielką duszę, a na czole wiekiem i nieszczęściami pooranem, w zapadłych oczach jeszcze tchnął umysł niepospolity i rozum przenikliwy. Wpółród tego licznego grona król zasiadł na majestacie, i w krótkiej przemowie, przebiegając historiją swego życia, przypomniał zgromadzonemu co w ciągu panowania zdziałał, do czego ich powołał, i co dla dobra

państwa potrzeba było koniecznie wykonać. Radził i prosił, aby prałaci i baronowie myśli swoich udzielali, jak wojnę z Krzyżakami prowadzić, jak publicznie pozalać sprawy, które z dawnych powrócić, a które nowe utworzyć prawa.

I w skutek tego ważne na tym zjeździe stanęły ustawy, które chociaż w całości do nas nie dochowały się, stanowią przecież zasadę dawnego prawodawstwa polskiego, którego ślady w najważniejszych pomnikach zostały. Wtedy zgodzono się powszechnie, że gdy pod jednym panem jeden lud zostaje, wspólnego i tego samego powinien zażywać prawa, jednako być sądzony i jedną mieć monetę. Za tem poszło, że skoro jedno prawo być ma, a zatem i sądownictwo jednostajnie urządzać się winno; do czego wszystkiego odnowiono starodawne ustawy, lub nowe zupełnie w tym celu utworzono. Na wiecach chęcińskich podniesiono także do politycznej działalności stan szlachecki, chociaż w owe wieki już to był dawny zaszczyt i znamię służby rycerskiej, ale Łokietek, który za jego pomocą wrócił na tron ojców swoich i kraj ocalił, przez wdzięczność wprowadził go rzeczywiście dopiero na pole działalności, do większych zaszczytów posunął, a więcej i zupełnie od innych oddzielił.

Nakoniec z tegoż sejmu ogłoszono także wielkorządcą Wielkiéj polski królewicza Kazimierza, dając pomoc w synie wielkiem przyciśniętemu ojcu. Ważną tedy epokę w dziejach krajowych zajmuje sejm w Chęcinach odbyty, zwłaszcza, gdy obradujący prosto z swoich krzesel siedli na konie, a król przemienwszy uroczystą szatę monarszą na zbroję, zagrzeni gotowością i męstwem rycerzy, udali się zaraz na pole przeciw nieprzyjacielowi i wydając walną pod Płowcami bitwę, potęgę krzyżacką tak starto, iż łatwiej już było następcom zupełnie ich pokonać. Zdarzenia zatem w Chęcinach i pod Płowcami nowy naród, nowy stan, nowe państwo utworzyły, i były ostatniem dziełem wielkiego króla, który nawet tą jedyną pomyslnością nie mógł się cieszyć, gdy niebawem w r. 1333 zszedł z tego świata, zostawiając bogate myśli i dzieła rozpoczęte, które syn jego wykonywając, na imię Kazimierza Wielkiego zasłużył.

Te atoli wypadki w Chęcinach nie w samém mieście miały miejsce; sejm albowiem podług Kromera na obronnym tutejszym zamku odprawiał się, co doskonale się zgadza z przytoczonymi miejscami z listu Kazimierza W. w bulli Urbana Vgo papieża z Awenionu, pod dniem 5 marca 1367 wydanéj, w którym król

ten wyraził się, iż wśród skał i gór, w miejscach pustych i ponuremi lasami, gdzie tylko sam dziki i drapieżny zwierz przemieszkiwał, zarosłych, budując zamki, miasta i wsie; prosił zatem tęże stolicy apostolskiej, aby mu dozwoliła w nowo założonych siedziach, jakoto w Chęcinach, w Skawinie, w Szydłowie i Opocznie zaprowadzić i ufundować nowe kolonie Franciszkanów, którzyby swoją nauką, roztropnością i przykładem, wiernych Chrystusowi utwierdzali, a niewiernych do tejże wiary doprowadzali. Przychylił się do jego prośby papież Urban, i w skutek tej stanął tu w r. 1368 kościół XX. Franciszkanów, o którym później powiemy. Wielkie jest tedy podobieństwo, że miasto Chęciny wzrost swój dopiero od Kazimierza W. poczyną, a przynajmniej terażniejsze; gdyż jak wiadomo, niedaleko ztąd leży wioska, która się Staremi Chęcunami zowie: ztąd bez wątpienia, iż była ona właściwie niegdys dawnym tym miasteczkiem. Są także dowody, iż Chęciny były jednym z pierwszych grodów, co prawem niemieckim czyli magdeburskim rządziły się, gdy w przywileju z r. 1465 Kazimiérz Jagiellończyk po spaleniu dawnych tutejszych akt odnawia te prawa tylko i wspomina, iż takowe były oddawien Chęcinom nadane. Za panowania albowiem tego monarchy, w tymże samym roku, Chęciny do szcztu spaliły się, a król na sejmie w Kaliszu w lipcu we środe przed św. Piotrem w Okowach, na prośby rajców tego miasta, wszystkie im prawa odnowił i potwierdził. Następnie chcąc jeszcze bardziej podupadle miasto podźwignąć, przywilejem wydanym w Krakowie w maju we czwartek po św. Zofii w r. 1487, nadał mieszkańcom prawo do kopalń tutejszych i inne niemniej ważne swobody. Powiększył takowe Jan Olbracht przywilejem wydanym w Krakowie w dzień św. Agnieszki w r. 1494, urządzając prawa górnicze na sposób olkuskich i uwalniając od wszelkich opłat, ceł, targowego i t. p. Wszystko to zaledwie poczęło miasto podnosić, aliści w roku 1507 znowu całe Chęciny spaliły się, i Zygmunt I przywilejem w tymże roku wydanym w Krakowie, bacząc, iż po zgorzeniu miasta wszystkie jego dawniejsze prawa i ustawy od ognia zniszczone zostały, takowe im powraca i poprzednie odnawia. Tenże sam monarcha w r. 1525 urządził także górnictwo tutejsze co do podźupków, gwarzków, praw i zwyczajów górniczych; podobnie syn jego Zygmunt August przywilejami, jakoto: jednym wydanym w Krakowie we czwartek po św. Franciszku Wyznawcy w r. 1550 ponowił da-

wne prawa i bliżej takowe określił; drugim wydanym w Wilnie dnia 16 lipca 1555, oraz trzecim wydanym w Warszawie we wtorek po Wniebowzięciu N. Panny w r. 1571, kopalniami chęcińskimi zajmował się. Niemniej także i samém miastem, gdy dekretem wydanym w Piotrkowie w r. 1559 w niedzielę przed św. Agnieszką, oraz przywilejem z Warszawy pod dniem 10 grudnia 1565 r. przysądził mu wieś Polichno, którą starostowie odjąć starali się. Król Stefan Batory wydał przywilej w Krakowie w dniu 27 lipca 1583 r. na założenie tutaj szkółki i fundusz na nauczyciela przeznaczył, a Stanisław Karnkowski arcybiskup gnieźnieński na ten sam cel odstąpił dziesięciny, przywilejem z Łowicza 11 sierpnia 1583 r. Zygmunt IIIci na prośby Mateusza Post proboszcza chęcińskiego, przywilejem z Warszawy dnia 5 listopada 1611 r. zaprowadził tu jeden doroczny jarmark w dzień św. Doroty Panny i Męczenniczki, zaś Władysław IV uchwałą w skutek wyznaczonej kommissyi co do urządzenia komor i cła, w r. 1643 dnia 27 maja zapadłą, pomiędzy miastami w Małopolsce i Chęciny na miejsce komory przeznaczył.

Atoli zniszczyła to wszystko pierwsza wojna szwedzka, gdy w r. 1657 wojska Jerzego Rakoczego księcia siedmiogrodzkiego i Bogdana Chmielnickiego w dniu 1 kwietnia wpadły do Chęcin, miasto zrabowali i spalili, a co oni nie dokończyli, okropnie szerząca się tu morowa zaraza przez lat cztery do reszty miasto zgubiła, tak, że lustracya w roku 1660 uczyniona, z 341 domów przedtém miasto to składających, zastała tylko osiadłych domów 34, domków na górkach 14, czyli razem 48. Zaradzając tym klęskom Jan Kazimiérz przywilejem wydanym w Warszawie 24 kwietnia 1666 roku, ustanowił pięć jarmarków, aby z upadku go podnieść; ale to niewiele pomogło. Jan IIIci Sobieski pragnął także podźwignąć Chęciny, kiedy w uchwale sejmowej roku 1677 dnia 14 stycznia oświadczył, że chcąc temu miastu nadać od napadów nieprzyjacielskich zniszczonemu, wzrost, i przywrócić go *ad pristinam integritatem*, aby do swój przyjść mogło poprawy, dozwala wszystkim ludziom wszelakiego narodu w kraju znajdującym się budować się w Chęcinach z tém zapewnieniem, że przyjmujący prawa miejskie, mogą wszelkie prowadzić handle, trunki szynkować, one robić i zkądinąd sprowadzać. Uchwała ta w dalszej osnowie, pozwoiliła staroście puste place, do których właściciele do roku się nie zgłoszą innym odbudować się chcącym, oznaczyć, zastrzegając prawa starostom oddawna służące. Ale

na nieszczęście właśnie to zastrzeżenie, zamiast dopomódz, jeszcze bardziej przyczyniło się do upadku miasta. Starostowie albowiem prawa swoje tak daleko rozszerzyli, że niemal od każdego rodzaju zarobku musieli mieszczenie i powinni byli starostom opłacać się. Aby ten wypadek zrozumieć, potrzeba mieć wyobrażenie, coto byli starostowie po miastach dawniej Polski. Przedmiot to ciekawy i zasługujący na osobne studjum, bo ci panowie ogromny wpływ na losy wszystkich miast w kraju wywarli. To co nam piszą o dawnych plantatorach murzynów, o uciskach jakich biédni niewolnicy doznawali, o nadużyciach wszelkiego rodzaju, jest niczém w porównaniu do postępowania polskich starostów. Onito właściwie zgubili miasta, zniszczyli przemysł i rzemiosła, a gruzami najpiękniejsze niegdyś grody zawalili. Jakoż nie można było dowcipnieć, a razem tak prawdziwie określić starostów, jak kasztelan Jezierski na pokojach Stanisława Augusta, gdy razu jednego mówiono o usiłowaniach, jakie na zburzenie Bastylii Paryżanie podejmowali; wesół kasztelan rzekł wtedy do króla: „Prawda, że milion ludzi długo się mozoli z tym gmachem, ale racz im posłać W. K. Mość w pomoc kilku starostów; a oni wkrótce nietylko Bastylią, ale i cały Paryż zrujnują.”

A jednak z zasad i pierwotnego swego przeznaczenia, urząd starosty byłato władza poważna i nader użyteczna, prawdziwie słowiańska i od wyrazu *starzec* pochodząca. Wiadomo bowiem, iż prawie wszyscy Słowianie przed chrześcijaństwem, a mianowicie zakarpaccy ulegali władzy starców czyli starostów. Podobnież miało być i u Czechów, a nawet i na Rusi przed przybyciem Wargów. W właściwej Polsce nie znano tego urzędu, aż dopiero od panowania Czechów; ci bowiem używając go oddawna u siebie, i do Polski zaprowadzili. Pierwszą wzmiankę o starostach ma przywilej z roku 1295, dany przez Wacława króla Miechowitom, w Nakielskiego *Miechovii* wydrukowany. Gdy władza Czechów ustała w Polsce, zachowali królowie ten urząd, który pierwsiastkowo wyższe jak później miał znaczenie. W żadnym jednak narodzie słowiańskim nie miał takiej powagi starosta, jaką miał w Polsce. Za Kazimierza Wielkiego rozdrobiono władzę starościńską, powiększając ich liczbę i oddając im władzę w przedmiotach mniejszej wagi, jakoto: w sprawach sądowych i administracyjnych niższego rzędu. Zatem odtąd należało do starostów sądzić, strzedz kraju i nim rządzić; ztąd powstałi starostowie grodowi, graniczni i dzierzawni. Obowiązkiem ich było ściągać należności skar-

bowe w obrębie swego starostwa, i wnosić je do kas publicznych, sędzić mieszkańców powiatu, to jest nieszlachtę na prawie polskiem osiadłą, szlachtę zaś tylko wtenczas, kiedy starostwo leżało w obrębie grodu, gdzie sąd grodzki zasiadał. Podobało się królom starostów i do tego upoważniać, aby nadto różne polecenia publiczne dopełniali. Oni też wybierali nietylko podatek, ale i wszelką daninę, ścigali przestępców, czuwali nad wszelkim porządkiem, bezpieczeństwem dróg, utrzymaniem w dobrym stanie miast i zamków; poprawianie tychże do nich należało. Starostom też ferowanie różnych krwawych wyroków poruczano, a zawiadujący grodem całe prawie do nich sądownictwo kryminalne należało. Wzrost zatem, ich znaczenie i władza, tak stała się potężną, a razem i zyskowną, iż do starościńskich zaszczytów najwięksi cisnęli się panowie. Z czasem atoli ta najzbawienniejsza instytucya, jak to zwykle na tym świecie, licznemi nadużyciami skrzywioną została. Starostowie zaś zamiast opieki i sprawiedliwości, burzyli i łupili co któremu się tylko podobało z niesłychaną bezkarnością, bo gdzież skarżyć się mieli uciśnieni? Starosta więc zapłaciwszy pewną bardzo niewielką summę podatków, był sobie panem życia i śmierci nad wszelkimi istotami pod władzą jego zostającemi; i nie dziw, że o taki urząd każdy się ubiegał. Dzieje też nasze przedstawiają liczne przykłady kłótni i wielu zgorzeń pomiędzy możnowładcami polskimi, którzy całe swoje staranie na to obracali, aby się zyskownemi starostwami obłowić, a potem obsadziwszy w nich podstarościę, ciągnąć zyski wszelkimi możliwemi sposobami, bez względu na ludzkość, smutne następstwa i szkody całego kraju. Takimito byli wszyscy dawni starostowie polscy, z małemi wprawdzie wyjątkami.

Do niepoślednich a bardzo zyskownych należało starostwo grodowe checińskie, w którym od najdawniejszych czasów aż do upadku kopalń tutejszych starostowie pobierali tak zwaną olborę z kopalń czyli dochód skarbowy z kopania kruszców w obrębie starostwa znajdujących się; ztąd posiadali go niemal zawsze bardzo możni panowie, chociaż z prawa, byłto chleb tylko zasłużonych. Najdawniejszemi starostami checińskimi była niegdyś potężna rodzina Szafranców: w roku 1508 był takim starostą Stanisław Szafraniec herbu Strykoń, a w końcu panowania Zygmunta Igo, Hieronim Szafraniec z Pieskowej Skąły. Za Zygmunta Augusta był nim już Stanisław, a potem Walenty Debiński, który piastował oraz podobnie zyskowny urząd żupnika checińskiego

nad kopalniami. Zawakowane to starostwo po śmierci ostatniego było powodem do głośnie wrzących niechęci pomiędzy Janem Zamojskim hetm. kanc. wiel. koron., a Andrzejem Opalińskim marszałkiem wiel. koron. w r. 1587, gdy pierwszy chciał je wyrobić u króla dla rycersko zasłużonego Stanisława Przyjemskiego, drugi zaś dla Piotra Myszkowskiego, za to tylko, że się z jego córką ożenił. Zawiść i zazdrość znaczenia i potęgi hetmana rozdmuchnęła te niesnaski, a chociaż stało się według woli Opalińskiego, gdyż Myszkowski dostał starostwo checińskie, odtąd przecie rozdwojenie z Zamojskim i sprzeciwianie się jemu nawet z dobrem kraju było cechą postępowania marszałka. Ileżto razy błahy powód był podobnych następstw przyczyną!

W pierwszych latach XVIIgo wieku był starostą checińskim Stanisław z Ruszczy Branicki miecznik królestwa; od Branickich przeszło w posiadanie sławnego Stefana Czarneckiego, któremu Jan Klemens hrabia z Ruszczy Branicki marszałek nadworny i starosta checiński, konsensem z dnia 20 sierpnia 1663 r. takowe odstąpił, jak o tém przekonywa akt téj cessyi w księgach metrycznych pod n. 203 na str. 287 znajdujący się. Ale waleczny ten hetman nagradzając zasłużonych pod bokiem swoim rycerzy, z własnej woli obdarzył starostwem checińskim aktem z dnia 25 stycznia 1665 r. Stefana Bidzińskiego herbu Janina, który był później kasztelanem, a następnie wojewodą sandomierskim, o czém są dowody w aktach zwanych Sigillaty, księga 9 str. 14. Dalej Stefan Dominik Scibor z Marchocic Marchocki, a ostatnim emfiteutycznym tutejszym starostą na lat 50 od roku 1775 Bogumił Załuski; possessorem zaś niejaki szambelan Niewieściński. Starostwo checińskie od dawnych czasów składało się z miasteczka i zamku Chęciny, ze wsi Stare Chęciny, Korzeczek, Bratkowic, Bolechowic, Murowana Wola z młynami, Wierzchowic i Baranek, z których w roku 1789 czysta intrata wynosiła zł. 16764 gr. 19, denarów 12. Ci więc panowie powoli co tylko mogli, od miasta odejmowali; i tak są ślady w aktach miejscowych, iż Chęciny posiadały niegdyś wieś Polichno, przedmieściem checińskim zwane, o ćwierć mili ztąd położone, a która przez samowolność i arbitralność starostów zabrana została. Jest także tradycja, że wójtostwo we wsi Woli Murowanej, które podobnie starosta posiadał, dawniej należało do wójta checińskiego w mieście mieszkałego i to było jego pensją; że karczma stara Bugaj zwana, pod klasztorem panien Franciszkanek istniejąca, oraz zarośla i krzaki

gdzie dawniej były lasy, wszystko to było własnością tutejszego magistratu, który jeszcze za rządu austriackiego w roku 1803 o takowe upominał się i prawa swoje przedstawiał.

W roku 1764 uchwałą na konwokacyi warszawskiej, Chęciny przeznaczono na drugie miejsce sądów ziemstwa radomskiego co do powiatów radomskiego, opoczyńskiego i chęcińskiego, dla obszerności województwa sandomierskiego ustanowione; przedtem bowiem było tylko jedno takie miejsce. Największy atoli cios zadał miastu temu dekret rady nieustającej z dnia 17 czerwca 1777 r., mocą którego dozwolone zostało prawo osiedlania się tu starozakonnym na téj zasadzie, iż już za starostwa Bidzińskiego kilku żydów miało pozwolenie handlowania i budowania się tutaj, którzy zyskali także na to przywileje Michała Korybuta, Jana III, i Stanisława Augusta z r. 1760. Ale początkowo było tylko dwóch starozakonnych w Chęcinach, z czasem zaś doszło do tego, iż w roku 1796 już w rynku tylko dwa domy były w posiadaniu chrześcian, a żydzi zajmąwszy nietylko cały rynek, lecz rozsypawszy się po mieście wszędzie, uspili przemysł, zgubili rzemiosła, mianowicie snycerstwo i kamieniarstwo, które tu niegdyś kwitnęły, a rozpoiwszy mieszczan przymusili ich do tego, iż żyjąc tylko z rolnictwa, w brudnych chatach mieszkali, i do nędzniejszego od włościan przyszli stanu.

Dziś miasteczko to jest własnością rządową. Mieści w sobie sąd poprawczy dla powiatów olkuskiego, miechowskiego, stopnickiego i kieleckiego. Nad traktem warszawsko-krakowskim położone, odległe od miasta gubernialnego mil 14, od powiatowego mil 2. Ludność jego w r. 1820 wynosiła chrześcian 1000, żydów 1086, razem 2086; w r. 1827 chrześcian 1117, żydów 1740, razem 2857. Teraz zaś liczą chrześcian mężczyzn 487, kobiet 554, razem 1041; starozakonnych mężczyzn 1396, kobiet 1402, razem 2798; czyli ogólnie liczą tu mężczyzn 1883, kobiet 1956, razem 3839, zatem już prawie trzy razy tyle starozakonni przewyższają. Główny sposób utrzymania się mieszkańców jest rolnictwo, jednak pomiędzy nimi są: aptekarz 1, bednarzy 2, billarzysa 1, brukarz 1, cieśli 4, cukiernik 1, księży chrześciańskich 2, duchownych starozakonnych 4, dystrybutorów tabaki 1, felczerów i cyrulików 5, furmanów najemnych 2, garbarzy 3, górników 14, grzebieniarz 1, handlarz drzewa 1, handlarzy świec łojowych 3, introligatorów 5, kamieniarzy 14, kapeluszników 5, kołodziej 1, kominiarzy 6, kotlarz 1, kowalów 4, krawców 26, kupców i kramarzy 25, kuśnierzy 8, lekarz 1, mosiężnik 1, mularzy 7,

piekarzy 8, piernikarz 1, powroźników 2, przekupników 20, gospodarzy rolnych 12, muzykantów 2, mydlarz 1, nauczyciel 1, rymarz 1, rzeźników 17, szklarzy 2, stolarzy 6, szewców 24, szynkarzy soli 15, szynkarzy wódki 11, tokarzy 2, traktyernik 1, urzędników i officialistów rządowych 40, waciarzy 4, zakonnice 8, złotników 4.

Domów murowanych znajduje się tu 83, drewnianych 189, razem 272; kościół 1, klasztor 1, bóżnica 1, sklepów 25, szlachtuz 1, więzienie 1, szpitalów 3. Dochody miasta w r. 1846 wynosiły rs. 2916, kop. 34½.

Dawny herb miasta przez Augusta II w r. 1723 nadany, wyobraża jak zwykle trzy wieże, z tą różnicą, iż w murze jest brama z otwartymi drzwiami; na wierzchu wież umieszczone są korony, a pod nimi herb domu królów saskich, i na dole rok 1723. W otoku napis naokoło: Sigillum Consularis civitatis S(acrae) R(egnae) M(ajestatis) Chęcinaensis.

To jest: *Pieczęć rajców miasta J. K. Mości Chęcina. Wizerunek tej pieczęci jest taki:*



W skrzyni magistratu przechowują dotąd następujące akta:

1. Przywilej Kazimierza Jagiellończyka z r. 1465 w Kaliszu wydany.
2. Zygmunta Augusta z r. 1550 w Krakowie, potwierdzenie praw do kopalń tutejszych.
3. Tegoż z r. 1559 w Piotrkowie, dekret przysądżający wieś Polichno miastu Chęcinom.
4. Tegoż z r. 1564 z dnia 10 grudnia z Warszawy o też samą wieś.
5. Stefana Batorego z r. 1583 dnia 27 lipca w Krakowie przywilej na szkółkę.

6. Przywilej arcybiskupa Karnkowskiego z tegoż roku dnia 11 sierpnia w Łowiczu wydany: uposażenie téjże szkółki zawierający.

7. Zygmunta III z r. 1611 z Warszawy, nadanie jarmarku.

8. Jana Kazimierza z roku 1666 dnia 24 kwietnia z Warszawy, nadający nowe pięć jarmarków.

9. Stanisława Augusta z roku 1775 dnia 13 listopada z Warszawy, na inne sześć jarmarków.

Chęciny położone są pomiędzy dziewięciu marmurowemi górami, obfitującemi w piękne kamienie, o których następnie cokolwiek powiemy, w kruszcu ołowiu i farby różne. O ćwierć mili płynie rzeka Czarna, dotąd niespławna. Rozległość miasta nateraz od wschodu słońca na zachód rachować można na milę 1; szerokość od północnej góry zamkowej do granic Zgórskich i Szewskich pół mili.

Największą atoli jego ozdobą są ruiny zamku na wyniosłej nad miastem panującej górze, które już z góry Michałowskiej o wiorst 86 od Chęcin odległej widzieć się dają. Na górę tę z trudnością dojść można, ale widok z niej niewypowiedzianie jest wspaniały. Zamek chęciński budowany jest na opoce czyli skale litwej marmurowej; mury same częścią z kamienia marmurowego, częścią z cegły wzniesione, są jeszcze dlatego, że trudny do nich przystęp, niezbyt zrujnowane i bardzo mocne. Dwie wieże okrągłe nader wysokie, a trzecia czworokątna ukośna, także dobrze się trzymają, tylko jedna część murów oraz kawałek ściany jest zupełnie prawie rozwaloną. Zamek ten jak już wspomniałem był mieszkaniem książąt i królów polskich; jest wielkie podobieństwo, iż dał on nazwisko miastu i był przyczyną jego powstania. Mówiłem już, że pierwszy sejm na zamku tutejszym odbył się; teraz dalszą jego historią opowiem. W końcu XIV wieku jako miejsce bezpieczne na więźniów stanu był przeznaczony. Tak w roku 1386, kiedy brat przyrodni Władysława Jagielly Andrzej Wingold książę litewski niechętny za to, że Jagiello zmienił wiarę przodków swoich, podniósł broń przeciw niemu: pokonany i wzięty w niewolę, jako jeniec odesłany został do Polski do nowego króla, który osadził go w zamku chęcińskim, gdzie przez trzy lata całe, jak powiada Strykowski, w ciemnej wieży pod strażą siedział w więzieniu; potem był czwartego roku ztąd do Wilna przewieziony, i dopiero na prośby Witolda i innych książąt za ich poręką został puszczony. W roku 1409, w czasie wojny z Krzyżakami, gdy Ulryk wielki mistrz z tego zakonu wypowiedziawszy temuż królowi wojnę, pustoszył koronne

włości, zamek zaś Bobrowniki zwany oblegał i dostał go nad wszelką nadzieję przez dobrowolne poddanie się Warcisława z Gotardowic, którego król do téj twierdzy z załogą dla obrony posłał, a który nie będąc do tego kroku niczem zmuszony, bramy Krzyżakom otworzył, za co Warcisław oskarżony, długim więzieniem był ukarany; a byłto pan bardzo możny, o którego uwolnienie wielu u króla starało się. Napelnił się zamek chęciński więźniami wojennymi po sławnej bitwie pod Tannebergiem, w dniu 15 lipca 1410 zasłużej i szczęśliwej nadzwyczaj dla oręża Jagielly, po której tylko znakomitszemi jeńcami napelnione były zamki chęciński, łeczycki, sieradzki, lubelski, sandomierski, lwowski, przemyski i dalsze królewskie twierdze. Niebawem przybył także do pierwszego wódz najwyższy Krzyżaków, Michał Kuchmeister von Sternberg wójt Nowej Marchii. Kiedy zakon ten po przegranej bitwie pomnożywszy swoje siły wznowił wojnę, i znowu pod Koronowem w dniu 10 października na głowę pobity został: wtedy pomiędzy wielu jeńcami dostał się wspomniany wódz w niewolę, a tryumfujący Jagiello gdy wszystkich innych uwolnił, tylko jego pod strażą na zamek chęciński odesłał. Tu także był więzionym Jerzy Langwinowicz synowiec królewski, wzięty w niewolę w bitwie pod Oszmianą w roku 1432, za to, że pomagał Swidrygielle utraconą władzę orężem odzyskać.

Lecz zamek ten nietylko przeciw potędze ludzkiej służył, ale w zdrowej okolicy położony, nieraz samowolnie w czasie grasującego powietrza bywał napelniony. Nawet Władysław Jagiello syna swego pierwородnego Władysława, niespełna rok mającego, tu w r. 1425 w czasie panującej choroby schronił, a sam na Litwie będąc, kiedy zaraza i tam się wkradła, wraz z bratem całą zimę po lasach błakać się musiał.

W roku 1554 tu na czas niejaki były przechowane skarby królowej Bony pod strażą Włocha Brancaccio, kiedy ta za niemi do Włoch wybierała się. Bona w tym zamku także przez krótki czas mieszkała; nawet ztąd Walenty Dębiński kasztelan sądecki, starosta chęciński, z naznaczenia od króla odprowadzał ją do granic Polski. Następnie na mieszkanie starostów grodowych przeznaczony, mieścił sądy i kancelaryą grodzką, a wtedy już był zniszczony, gdy lustracja w r. 1569 zastała go zrujnowanym i poprawy potrzebującym; albowiem piszą lustratorowie: „Rysy są szkodliwe, a poprawa z trudnością w zamku ma być, póki wody nie będzie tamże; jakoż stu-

dnia łamią w górze twardego marmuru kosztem niemalym, około której studni w lecie robić się niegodzi, jedno w zimie. Nad tą studnią zbudował pan starosta na kowalnię i ze wszystkimi potrzebami kowalskimi dla hartowania żelaz, któremi łamią kamień twardego marmuruwy.” Mieszkali wtedy na zamku oprócz starosty pan podstarości, który z dochodów miejscowych pobierał rocznie złp. 56, pisarz grodzki złp. 20, sędzia grodzki złp. 32, burgrabia złp. 16, klucznik złp. 5 gr. 18, nadto dostawał co rok nowy kozuch; wrotny na tej samej pensyi bez kozucha, i kucharz, który pobierając rocznie 4 złp. obowiązany był dla wszystkich tych panów najwyborniejsze potrawy gotować. Znać to więc dla zrujnowanego tego zamku obywatele powiatu checińskiego wyrobili sobie na sejmie w r. 1588 ustawę, iż księgi ziemskie tegoż powiatu, które przedtém na zamku były, pozwolono aby w kościele w mieście tamże były chowane, za pozwoleniem księdza biskupa krakowskiego. I dobrze się stało, albowiem w lat kilkanaście potem w czasie rokосу Zebrzydowskiego, dumny ten możnowładca mając nienawiść osobistą przeciw starości tutejszemu, spalił zamek, zniszczył wieś okoliczną, które uchwała sejmu warszawskiego w r. 1607 lustrować i oszacować nakazała. Podźwignął go i umocnił swoim własnym kosztem Stanisław Branicki miecznik koronny, starosta miejscowy; sejm zaś w r. 1613 wyznaczył rewizorów do oszacowania wyłożonych nakładów „Bacząc, iż tak Rplitej jako i obywatelom tamecznym siła na tém zależało, gdyż po tém zgorzeniu księgi sądowe w mieście nie z całym bezpieczeństwem chowane być musiały.” Naznaczeni rewizory byli: Jan Świętosławski referendarz koronny, Zbiegniew Lauckoroński podkomorzy sandomierski, i Zbigniew Brzychwa, którzy powinni byli na miejsce do tego zamku zjechać, wszystko rewidować i nakład na to podjęty zrachować, a na następny sejm na piśmie oznajmić. Jakoż wedle tego rozkazania uczyniono, a summa obrachowana wynosiła 5446 złp. i gr. 15, którą konstytucya z r. 1616 przyznała Janowi Klemensowi z Ruszczy Branickiemu starości checińskiemu, i zapewniła tak jemu jako i jego potomstwu na dobrach do tegoż starostwa należących.

W całości zatem i w dobrym stanie zastała zamek checiński lustracya w r. 1627 odbyta, która tak go nam opisuje. „Wchodząc do zamku jest most nowy tarciami położony na filarach trzech murowanych Najprzód jest brama sklepista; obok tej bramy jest izdebka dla wrotnego. Postępując dalej na prawej stronie jest sklepik nowo zasklepiiony; podle tego sklepiku piwnic dwie. Nad szyją

piwniczną znowu sklepik murowany, w którym księgi chowają. Naprzeciwko bramy jest izba dolna, gdzie na ten czas kancelaryą odprawiają; okien w niej dwie ku miastu, a trzecie w zamek. Tam piec malowany, ławy naokoło i stół jeden dębowy; z téj izby wchodzi się do drugiej mającej podobne ławy naokoło, dwojé okien i piec polewany. Dalej znowu trzecia izba, z której jedno wychodzi okno kratą żelazną opatrzone. Pod tą izbą jest trzecia izba, niesklepista, drzwi w niej nie masz, a kratę ma drewnianą. Obok niej jest kuchnia, za tą sklepik nowo murowany, dla chowania rzeczy o jedném oknie. Za tą kuchnią jest przygródek, w którym kuchnia dachem pobita. Ten przygródek ma stare mury i w końcu wieżę kwadratową, która potrzebuje naprawy. Obok tego przygródka jest znowu izba o dwóch oknach z drzwiami na zawiasach, z piecem do pieczenia chleba; ztąd wchodzi się do małej komnaty. Niedaleko tego gmachu jest sklep górny nowo restaurowany o jedném oknie; pawiment w nim posadzką położony, a pod nim są piwnice."

„Do gmachów górnych wchodzi się przez dwa wschody murowane, jednym od przygródka zatylnego, a drugim od bramy. Z tego wschodu jest sala wielka o dwóch dużych oknach, posadzka w niej kamienna; z téj sali idzie się do kaplicy, mającej drzwi dwoste: zamcyste i malowane, oraz trzy okna. Za kaplicą jest sklep, naprzeciwko zaś izba stołowa o trzech oknach, mająca komin murowany. Podle téj izby jest pokój dolny o jedném oknie z piecem malowanym i kominem murowanym. Z tego pokoju wchodzi się do alkierza nowo zmurowanego o trzech oknach, dalej jest komnata o jedném oknie i izba na południe o dwóch, z której drzwi prowadzą na ganek. Za tą znowuż alkierz nowo zmurowany o dwóch oknach i komnatka podobna i wyjście znowu na ganek. Z ganku idzie się na schody, które są na przygródku i na wschody na wieżę pod sam dach, którym cały zamek jest pobity."

Ta sama lustracja wyliczając ludzi w zamku zamieszkałych, a obowiązki miejscowe pełniących, przekonywa o podniesieniu stopy mennicznej i powiększeniu płacy tychże. Podstarości już bowiem brał rocznie złp. 140, burgrabia 50. Zresztą klucznik, wrotny i kucharz zarówno po złp. 12. Co zapewne przy wszelakiej redukcji na terazniejszą stopę, zawsze nadzwyczaj była licha nagroda, która tylko to jedno dowodzi, że ceny produktów musiały być stosowne, kiedy ludzie przy tak szczupłej płacy utrzymać się mogli.

W trzydzieści lat potem, kiedy zamek checiński zaledwie był wyrestaurowany, powtórnie spalony został od Szwedów; a chociaż

nadwerezone mury znowu nieco naprawiono, coraz większemu podlegał zniszczeniu, i nigdy już do dawnego stanu nie był przyprowadzony, zwłaszcza, gdy wyznaczona rewizya uchwałą sejmu grodzieńskiego w roku 1678 już tylko samém starostwem zajmowała się. W roku zatem 1778, w czasie kiedy uczony mineralog Jan Filip Karozy dyrektor górnictwa, pod panowaniem Stanisława Augusta zwiedzał Chęciny, zamek ten był już zupełnie zrujnowany i od ludzi opuszczony. Według opisu w szacowném jego dziele pod tytułem: *J. P. von Carosis Reisen durch verschiedene polnische Provinzen, mineralischen und andern Inhalts. Leipzig 1781*, w tomie I na str. 56, jeszcze kilka lat przedtém mieściła się tutaj kancelarya i archiwum grodzkie, mieszkali officjaliści, słudzy i t. p. Ale Karozy z tego wszystkiego zastał tylko gołe mury, około 100 łokci długie, a czterdzieści szerokie, bez dachu i okien; dwie okrągłe wieże były tak jak są teraz zrujnowane, a na ich wieżchu dzikie krzewy rosły: snadź więc od czasów szwedzkich nie były podźwignięte. Tylko jedna wieża czworokątna miała zniszczone wiązanie na swoim dachu, ale jeszcze w całości, z którego małułkie teraz tylko szczątki pozostały. Cała budowla była o dwóch dziedzińcach: jeden mniejszy od wjazdu do którego murowany most prowadził, drugi za nim był wewnątrz zamku daleko obszerniejszy, a w środku miał wykutą w skale studnię na 100 łokci głęboką. Zresztą były jeszcze całe bardzo piękne podziemne w skale kowane sklepienia, o których lud wówczas przechowywał podanie, jakoby jeden z tych sklepów miał niegdyś ściany całe lazurem wykładane. Karozy zrobił jeszcze lepiej niż opis tego zamku, bo zostawił nam w dziele swoim dwa jego wizerunki, z których możemy jeszcze przy terazniejszych ruinach odgadnąć stan jego dawniejszy. Porównywając z pozostałemi szczątkami, najdokładniej przedstawiał się zamek chęciński od strony Podzamcza: wjeżdżało się do niego przez most na arkadach wystawiony od strony czworokątnej wieży, który już był zrujnowany, a dziś z niego nie ma żadnego śladu. Część muru wystającego od téjże wieży z jedném oknem jest miejscem gdzie była kaplica, a dalej ściana dotąd pozostała, miała wtedy jeszcze 17 okien pochodzących z rozmaitych mieszkań zamkowych, z których zewnętrzna tylko i to przy ziemi zburzona ściana została. Pierwsza zatem okrągła wieża prowadziła na wyższe piętra zamku, dalej zaś znowu równa ściana muru wtedy szkarpami jeszcze podparta, obejmowała w sobie dziedziniec ze studnią, która dziś kamieniami przez ciekawych jój głębokości jest zarzuconą; naostatek narożna druga okrągła wieża miała nieco opo-

dal podziemny wehód, z którego dziś śladu nie zostało, lecz wieża w takim jest jak wówczas stanie.

Powiadano mi za pewną rzecz, iż dokładnie malowany wizerunek zamku chęcińskiego z czasów kiedy był jeszcze zupełnie cały, ma znajdować się dotąd na ścianie w kościele panien Franciszkanek w Chorku; wartoby, aby miłośnicy podobnych zabytków wiadomość tę sprawdzili, i jeżeli tak jest, to zasługuje aby go ztamtąd przerysować i ogłosić, ceby było nad wszelkie opisy pożyteczniejsze.

Schodząc z góry, pierwszą budowlą jest starożytny parafialny kościółek. Był on niegdyś filialny, a niewiadomo kiedy założony został; z budowy jego tylko domyślać się można, że w końcu XIV lub początku XV wieku powstał. W roku 1571 przerobiony na zbór arikański, w r. 1603 powrócony został katolikom i na nowo poświęcony. Przy końcu zeszłego stulecia piorun strząsnął jego sygnaturkę, którą następnie, równie jak dach i facyatę o trzy łokcie zniżono. Jestto gmach pięknej budowy gotyckiej, a wewnątrz ma bardzo piękny marmurowy ołtarz Ukrzyżowanego Zbawiciela.

Lecz daleko dawniejszym był kościół niegdyś księży Franciszkanów z klasztorem, teraz zwinięty i na więzienie obrócony, z którego tylko kaplica św. Leonarda pozostała. Wystawił go jak wyżej wspomniałem Kazimierz Wielki około roku 1368; w r. 1581 zajęty przez arianów nietylko był ogołocony ze wszystkich sprzętów i ozdób służbie Bożej poświęconych, ale nadto mury tegoż kościoła i klasztoru w gruzy obrócono. Powrócił je pierwotnym właścicielom Zygmunt IIIci, tak jak i wiele innych, i nowemi przywilejami wzbogacił. Gdy zaś z powodu zrujnowanego klasztoru mała tylko liczba zakonników mieścić się mogła, w roku 1605 Stanisław z Ruszczy Branicki starosta tutejszy, kosztem swoim kościół i klasztor oraz kaplicę św. Leonarda z gruntu wyrestaurował i nowemi funduszami uposażył. Wdzięczni Franciszkanie po śmierci tego dobroczyńcy wzniesli mu pomnik z pięknego marmuru dobrze robiony, z tym skromnym napisem, który nad furtą klasztoru umieszczony, dotąd czytać się daje:

*Pio benefactori Illustri ac Magnifico Dno (Domino) Stanislawo a Ruszcza Branicki Ensifero Regni, Chęcinensi et Leloviensi Capita-
neo, qui hunc ambitum, ex fundamentis erexit, Ecclesiam restauravit,
multaque alia beneficia Conventui praestitit A(nno) D(omini) 1620
Oretur pro eo.*

To jest: *Bogobojnemu dobroczyńcy Jaśnie Wielmożnemu Panu Stanisławowi z Ruszczy Branickiemu miecznikowi koronnemu, chęcińskiemu i lelowskiemu staroście, który to ogrodzenie z fundamentów wznosił, kościół odnowił i wiele innych dobrodziejstw zgromadzeniu wyświadczył. Roku Pańskiego 1620. Poleca się modłom.*

Kościół ten stawiany był pod tytułem Matki Boskiej Wniebowzięcia i poświęcony w r. 1628. Zrujnowany i sprofanowany przez Szwedów w r. 1657, wtedy bowiem trzej kapłani tutejsi śmierć nawet ponieśli za to, że skarbów ukrytych odkryć nie chcieli, ani pieniędzy żądanych nie dostarczyli. Ciała tych zakonników przez pobożnych którzy byli świadkami ich męczeństwa, w kaplicy św. Leonarda pochowane zostały; dla uwiecznienia zaś ich pamięci, później, to jest w r. 1720 umieszczony został pomnik z marmuru, w ścianie zewnętrznej téjże kaplicy umieszczony, z takim napisem:

Corollarium:

Trina recens nato prompserunt munera Christo Reges, trina etenim Trinus et ipse cupit. Trinus et ipse Deus, tamen est is trinus et unus, et qui trinus erat, semper et unus erit. Hostia trina etiam hic Francisci fune ligatur, corpore sed trino spiritus unus ovat. Passi sunt praedicti Patres A(nno) D(omini) 1657 ipsa die paschae quae fuit 1. Aprilis. Occisi hic jacent a Suecis.

Co znaczy: *Wieniec. Potrójne nowo narodzonemu Chrystusowi złożyli dary królowie, gdyż i on sam potrójnym będąc, potrójnych żąda ofiar. Potrójny i Pan Bóg także; jednakże jest potrójny i jeden, a który był potrójnym zawsze będzie i jednym. Potrójna także ofiara tutaj skrepowana jest powrozem Franciszka, ale w potrójnym ciele duch jeden tryumfuje. Umęczeni zostali pomienieni ojcowie roku Pańskiego 1657 w sam dzień Wielkiénocy, która przypadała dnia 1go kwietnia. Zabici przez Szwedów tu spoczywają.*

Naprzeciwko tego nagrobku, na drugiej stronie ściany, zawieszony był wielki obraz na płótnie olejno w r. 1751 malowany, a przedstawiający śmierć tych trzech kapłanów. Po zwinięciu klasztoru obraz ten jest dziś w klasztorze Panien Franciszkanek, na górnym korytarzu nad wschodami, idąc do chóru, umieszczony.

Po tém zrujnowaniu kościoła w większej części znowu nakładem Stefana Bidzińskiego tutejszego starosty był odbudowany; mianowicie zaś korytarz klasztoru wraz z mieszkaniami dla zakonników i ogród przez niego były wystawione. O czém świadczy kamień

marmurowy ozdobiony herbem Janina, a wmurowany w ścianie nad schodami idąc na górny korytarz, z takim napisem:

D. O. M.

Perennis gloria et Illmo (Illustrissimo) ac Magnifico D(omino) Stephano a Bidziny Bidziński Castelano Sandomiriensis supremo et vigilantissimo excubitori Regni, pro tunc Chencinensi, Scalensi etc. Capitaneo, munificentissimo Conventus nostri benefactori immortales gratiae, cujus liberalibus impensis haec pars conventus a fundamentis erecta est, tempore Gwardianatus A(dmodum) R(everendi) P(atris) Symeonis Boratinski patris conventus, qui hoc monumentum ob gratitudinem poni curavit quatenus grata familia tanto Benefactori viventi faustam salutem, est post sera fata aeternam precetur felicitatem.

Tojest:

B. N. N.

Wiekuista chwała Jaśnie Wielmożnemu panu z Bidzin Bidzińskiemu kasztelanowi sandomierskiemu, najwyższemu i najczujniejszemu strażnikowi koronnemu, naówczas chęcińskiemu, skalskiemu i t. d. staroście, najszczodroliwyszemu zakonu naszego dobrodziejowi nieśmiertelne podziękki, którego hojnym nakładem ta część klasztoru z fundamentów została wzniesiona, za gwardyaństwa przewielebnego Szymona Boratyńskiego ojca zgromadzenia, który ten pomnik na znak wdzięczności wystawił, iżby wdzięczna czeladka modliła się o pomyślność i powodzenie dla tak wielkiego dobroczyńcy za jego żywota, a o wieczną szczęśliwość po najpóźniejszym zgonie.

Po trzeci raz poświęcony był ten kościół w roku 1685; na koniec w r. 1817 pozostałe mury z kościoła i klasztoru na więzienie dla całej gubernii zajęte zostały. Teraz tylko jedna kaplica, ciasna, ciemna, zarzucona kościelnymi starymi sprzętami zwiedzana być może. Kilka nagrobków tkwi w ścianach z płyt marmurowych wyrobionych. Jeden z nich brzmi jak następuje:

D. O. M.

Dzień szósty maja skończył wiek sławnego,

Pod pełnią samą w cnoty dostatniego,

Anno Domini 1724

Umarł Baltazar Januszek nazwany,

Wójt miasta Chęcín wszystkim ukochany.

Pamiętka jego na sercu zostaje,

Anna małżonka ten nagrobek daje.

Czytaj zdrów każdy, o śmierci pamiętaj,
 Pozdrów Maryą tą jeszcze ofiarą,
 Lub też zmów paciérz, duszy jego daruj.
 Żył lat 55, miesięcy 4 i dni 6.

Drugi ku pamiętce Mikołaja Monwida wojewody połockiego,
 z napisem w części zniszczonym, te tylko wyrazy odczytać pozwala:

Pie

ac sancte defuncti

Nicolai Monvidi Palatini Polocen

w

.

viri

.

Patriae since

corpus

Hac continetur urna.

Qui anno.

.

Pr

.

.

cu

Mens vita vivet corpus istud adhuc

Vivet perpetuo mortali labe carente

Vita cum justis praemia digna ferent.

Któreto wyrazy tak wytłumaczyć się dadzą: *Pobożnie i świętobliwie zmarłego Mikołaja Monwida wojewody połockiego, męża ojczyźnie szczerze życzliwego, ciało w tej zamyka się urnie, który zmarł roku Duch będzie żył życiem, ciało to jeszcze żyć będzie wiecznie życiem wolnym od śmiertelnej skazy, gdy sprawiedliwi zasłużone odbiorą nagrody.*

Co robił ten wojewoda w Chęcinach, wyaléć mi się nie udało. Niesiecki niewiadomo dla jakich jezuickich przeszkód opuścił go umyślnie w swoim Herbarzu, ale wcześniejszy i bezstronniejszy Bartosz Paprocki nie tylko obszernie o tej znakomitej familii litewskiej podaje wiadomości, ale dodaje, że za jego czasu, to jest w roku 1584, Mikołaj Monwid kuchmistrzowicz litewski był wojewodą połockim i wiele a znacznie Rplitej służył; wielkie koszty kwoli jój podejmował, a w potrzebach wojennych przez wszystkie czasy niemały poczet kosztem swoim trzymał i t. d.

W samym kościele są tu także piękne marmurowe nagrobki: Piotra Tegoborskiego, zmarłego 10 lutego 1660, i Eleonory Katarzyny z Pilicy Korycińskiej, Jana kasztelana oświęcimskiego córki a jego małżonki, zmarłej dnia 8 stycznia 1642, której syn Jan Tegoborski cześnik nowogrodzki, później kasztelan żarnowski, wystawił. Nadto przed wielkim ołtarzem od strony ewangelii jest bardzo wspaniały nagrobek marmurowy z następnym napisem:

M(agnificus) Stephanus Dominicus Stiborius de Marchocice Marchocki Capitaneus Chencinensis, Michaelis Marchocki Ensiferi Premislensis et Constantiae de Konary Słupecka Castelanae Radomiensis filius; defunctus A(nno) D(omini) 1686, aetatis suae 28.

To jest: *Wielmożny Stefan Dominik Scibor z Marchocice Marchocki starosta chęciński, Michała Marchockiego miecznika przemyskiego i Konstancyi z Konar Słupeckiej kasztelanowej radomskiej syn, zmarły roku Pańskiego 1686, wieku swego 28.*

Jest jeszcze w Chęcinach kościółek św. Magdaleny z klasztorem panien zakonnych Franciszkanek, tutaj Klaryskami od ich założycielki zwanych, a których początek miał być taki: Przy końcu XVI stulecia zawiązało się tutaj towarzystwo pobożnych niewiast, które przyjąwszy habit tercyarek, pod zwierzchnictwem jednej, żyły przez lat kilkadziesiąt przy kościele Franciszkanów, bardzo przykładowie i bogobożnie, utrzymując się z pracy rąk swoich i edukacyi dziewcząt. Zgromadzenie to zyskawszy powszechny szacunek, w krótkim czasie zaczęło się powiększać przybywaniem nowych towarzyszek, wraz z znacznemi funduszami; co widząc przełożona tych tercyarek niejaka panna Klara Grędoszewska, umyśliła formalny założyć klasztor ze zwykłą klauzurą pod regułą św. Klary, na co téż pozwolenie od wyższej władzy duchownej zyskała. Errekcya tedy tutejszego klasztoru wydana i podpisana została w dniu 30 marca 1643 roku w Warszawie, przez Macieja Łubieńskiego prymasa arcybiskupa gnieźnieńskiego, która dotąd religijnie szanowana znajduje się w aktach klasztoru. Atoli po założeniu klasztoru i zaprowadzeniu tutaj panien Franciszkanek nie miały one własnego kościoła, tylko oratoryum, aż dopiero w roku 1673 przez komplanacyą z miastem i proboszczem szpitalnym pozyskały kościółek św. Maryi Magdaleny, ten zaś powiększony został o drugą większą część kosztem wyżej wspomnianego starosty Bidzińskiego, którego córka Teresa po kilka razy

urząd ksieni w tym klasztorze sprawowała. W kościele tym jest teraz sześć ołtarzy: wielki, pod wezwaniem św. Magdaleny, jest piękną snycerską robotą z czterema kolumnami złożonemi. Nad obrazem téj świętej jest drugi Matki Boskiej Rożańcowej, z kościoła Franciszkanów przeniesiony. Trzeci ołtarz Matki Boskiej Bolesnej, w którym jest umieszczony obraz Przemienienia Pańskiego; z tegoż kościoła także pochodzi. Czwarty św. Józefa i Najświętszej Maryi Panny, częścią złożony. Piąty św. Antoniego z Padwy z dwiema złożonemi kolumnami, i ostatni podobnyż św. Klary.

Klasztor tutejszy, gdy coraz więcej panien do zakonu przybywało, był kilkakrotnie rozszerzany, a po dwakroć od pożaru niszczoney, to jest w roku 1700 i 1731. Piérwszą jego dobrodziejką była pani Maryanna z Łukowa Wilczewska cześnikowa drohiczyńska, która mając zamiar przyjąć habit Franciszkanek, sprzedawszy wszystkie swoje nieruchomości, osiadła w klasztorze, hojnie go wspierała, placów i domów dla rozprzestrzenia dokupiła, i w budynki gospodarskie zapomogła. Nawet już miała odbyć oblóczyny, gdy nagle zakończyła życie z wielkim żalem, a jeszcze większą stratą dla panien Franciszkanek, które jednak na jój pamiątkę wystawiły pomnik, dotąd nad drzwiami zakrystyi znajdujący się, z następnym napisem, dowodzącym, że zakonnice kiedyś nawet wiersze składały:

D. O. M.

Rozumiała, że tu co wskóra śmierć zajadła,
 Lecz daremno, gdyż na kosę herbową napadła
 Wielmożnej Maryanny Wilczewskiej z Łukowa,
 A ta była drohicka sławna cześnikowa.
 W tysiąc sześćset trzydziestym piątym urodzona,
 Wieku swego czterdziestym trzecim przeniesiona
 Tysiąc sześćset siedmdziesiąt ósmym do wieczności,
 Maja siódmego, gdzie krzyż znalazła światłości
 Za jałmużny, co hojnie ubogim rozdawała,
 Osobliwie ten konwent wielce ratowała.
 Za co pobożne siostry tu ją pochowały,
 Z żalem jak dobrodziejkę miłą oplakały.
 Kto czytasz za jój święte westchnij pobożności.
 A w niebo duszę zaleć Bogu do wieczności.
 R(oku) P(ańskiego) 1683 dnia 12 czerwca.

Niemniejsze położył zasługi i starosta Bidziński, który klasztor z drugiej strony kościoła wymurował, ogród owocowy zakupił, i całe zabudowanie wysokim murem opasał, oraz kościółek św. Magdaleny przez niego domurowany i upięszony, z tymże klasztorem połączył.

Ogólnie terażniejsza postać miasta Chęciny przypomina starożytność jego pochodzenie. Rynek otoczony murowanymi kamienicami, z których kilka odległych sięga czasów. Ruch handlowy pomiędzy starozakonnymi dość tu jest znaczny, a płyty marmurowe polerowane, w drewniane domy jak szyldy wstawione, z złoceniem napisami, mieszkanie rzeźbiarzy i handlarzy marmurów wskazują. Ale omyliłby się każdy, kto by sądził, że u tych handlarzy i majstrów można w lecie lub jesieni co dostać, albo że oni potrafią co zrobić, gdyż jak już wspominałem, tylko w zimie kamieniarstwu i snycerstwu tu się poświęcają, w innych zaś porach idą do roli, która ich łatwiej niż sztuki piękne wyżywić potrafi. Atoli najznaczniejszy zapas i najlepiej handel ten prowadzi starozakonny Mosiek Silberberg, niegdyś majtek na okrętach angielskich, potem żołnierz, który miał udział w wielu wypadkach zeszłego stulecia, był w Ameryce, a dziś jest starcem poważnym z długą siwą brodą i bardzo ujmującą postacią, tak że zdaje się, że ten żyd musi być poczciwy. Wywiózłszy sobie od niego kilka wyrobów z tujszego marmuru niewypowiedzianie tanio nabytych, słyszałem także anegdotę, za której prawdziwość nie ręczę, ale ją powtarzam. Lat temu kilkanaście dwaj Anglicy usłyszawszy, czy gdzieś w jakimś przez cudzoziemców opisie Polski wyczytawszy, że Chęciny całe z marmuru są wystawione, wyobrazili sobie, że to musi być z marmuru polerowanego jak na stoliki i tym podobne wyroby. Dla obejrzenia więc tak wielkiej osobliwości umyślnie tu w r. 1839 czy w 1840 zjechali. Udali się najprzód do zamku, który obejrzawszy, pytali Silberberga jako mówiącego po angielsku, gdzie jest to miasto marmurowe? A gdy on pokazał im z góry Chęciny, spojrzeli zdziwieni na lichy chaty i brudne ulice, splunęli i grubo zakląwszy, jak to potrafią Anglicy, wnet nie czekawszy ani chwili, i w mieście nie wstrzymując się, do siebie odjechali, aby, jak mówili, wywieść swych współziomków z błędu.

Inną powszechną tutaj gadką jest powieść o dwóch posągach, dziadem i babą zwanych, które już miały ten zaszczyt, że o nich osobną rozprawę p. Tomasz Ujazdowski napisał, dowodząc bardzo głębokiej starożytności tych zabytków. I był czas, że nie-

mi na seryo zajmowano się, rysowano, litografowano, i więcej jeszcze jak dziś o Światowidzie krakowskim mówiono. Nawet drżemiące byłe Towarzystwo Przyjaciół Nauk jeden, to jest babę sprowadziło do Warszawy. Cóż, kiedy podobno pokazało się później, że baba byłato sobie figura z igraszki kamieniarzy wyciosana, a dziad to już niezawodnie był pomnikiem grobowym Stanisława z Gorzkowa Gorzkowskiego, który przy boku hetmana Chodkiewicza pod Chocimem walczył, a zmarł sobie spokojnie w dniu 28 października 1649 roku. Biedni więc uczeni zmistyfikowani byli najokropniej, co im się bardzo często zdarza.

Opuściwszy wspomnienia antykwarskie, chciałbym jeszcze co powiedzieć o tutejszych kopalniach rud kruszcowych, przedewszystkiem zaś o marmurach, bo o pierwszych dokładne już zebrał wiadomości p. Hieronim Łabęcki w szacowném swém dziele o Górnictwie w Polsce. Przekonałem się o tém zwłaszcza teraz, gdy miałem sposobność za uprzejmém pozwoleniem autora przejrzeć to dzieło przygotowane do drugiego wydania, w którém tak obszerne, ważne i wielkie poczynione są zmiany, poprawki i pomnożenia, że nie zostaje nic do życzenia, jak tylko, aby p. Łabęcki co rychléj zechciał je drukować.

Wiemy zatém, że od dawnych czasów góry i kopalnie chęcińskie należące do dóbr królewskich, stanowiły dochód panujących i urządzane były pierwotnie na wzór innych kopalń gwarek, mianowicie olkuskich, że w nich znaczne tu bogactwa wydobywano. Kopano zielenice (malachity), lazury, srebro, miedź i ołów; miedzią prowadzono handel z zagranicą, a rudy wożono do Anglii i t. d. Nie będę więc tego wszystkiego powtarzał, bo ciekawy pod tym względem czytelnik łatwo sobie da radę. Pisali o tém dawniej Kromer, Starowolski, Cellaryusz, Opaliński, Gwagnin, Łubieński, Rzączyński i t. d. zgadzając się z sobą lub powtarzając jedni za drugimi, jak to dziś jeszcze ma miejsce.

Najdawniejsze wzmianki w aktach archiwalnych o kopalniach tutejszych, które p. Łabęcki pracowicie do drugiego wydania swego dzieła odszukał, dochodzą do roku 1396; wtedy bowiem był Mikołaj Bochner żupnikiem olkuskim i chęcińskim, co może służyć za dowód, że kopalnie te od dawnych czasów były z sobą porównane i jednéj natury. Atoli pod rokiem 1487 już Jan Karas był tylko żupnikiem chęcińskim. W XVI wieku sławna i znana rodzina Bonerów z Krakowa była podobnie żupnikami olkuskimi

i chęcińskimi: tak po Janie Bonerze zmarłym 15 kwietnia 1523 roku otrzymał oba te żupnictwa Seweryn Boner, - po którego śmierci w roku 1549 przypadłej, dostał je Jan Lutomirski podskarbi nadworny koronny, kasztelan brzeziński, starosta łęczycki, burgrabia zamku krakowskiego; jak z tytułów przekonać się można nie tak górnik, jak wielki pan, zmarły w roku 1554. Po nim był Jost Ludwik Dycz z Woli Chełmskiej znany historyk pierwszych dziewięciu lat panowania Zygmunta Igo, żupnikiem olkuskim i chęcińskim, karbarzem wielickim, wielkorządcą zamku krakowskiego i sekretarzem królewskim, zmarły 1567 r., a wszystkie te urzędy i godności otrzymał syn jego Ludwik, zmarły dnia 1 września 1576 roku. Dalej rozmaicie: to starostowie chęcińscy byli oraz żupnikami tutejszemi, jak Stanisław Dębiński, Prosper Prowana zmarły dnia 20 września 1587 roku, Jan Branicki zmarły 1605 roku i t. d.; to znowuż w latach od 1624 i 1630 wymieniony jest Stanisław Gorzechowski podżupkiem, a w r. 1633 niejaki Stanisław Łowczyk possessorem olbory i gór chęcińskich.

Zatém te dziewięć gór, wśród których spokojnie sobie leżą dziś ubogie Chęciny, kryją w swoim łonie skarby, które oddawna znane, miały czasy świetności; później zaledwie wracały, lub też zupełnie były opuszczone, z tój podobno jednéj tylko przyczyny, że natura tutejszych kopalń nie była dotąd gruntownie rozpoznana. Najdawniejszy opis tych kopalń znalazłem w lustracyi starostwa chęcińskiego z r. 1569, który że ciekawe szczegóły zawiera i dotąd był nieznany, pozwalam sobie za wysokiém pozwoleniem moich czytelników w całości takowy przytoczyć. Pomieniona lustracya tak góry chęcińskie wylicza:

Pierwsza góra jest nad miastem kamienia marmurowego dzikiego, na której zamek zbudowany; na téjże górze jest szybów bardzo wiele, co kruszce brano zdawna, przy którym kruszcu jest srebro, ale dzisiejszych czasów tam nie robią.

Wtóra góra jest naprzeciwko zamku, niedaleko, którą zowią Rzepką; w tój téż wiele bardzo zrobisk i dziś jeszcze potrosze robią; tam okwitszy kruszec i srebra więcej ma.

Trzecia góra jest dalej; ta przy polu miejskiém, którą zowią Sosnówką; tam téż zrobisk wiele i kruszec dobry ołowiany, ale tam dziś nie robią.

Czwarta góra jest za wioską miejską Polichnem, którą zowią Miedzianką, i tamże są huty miejskie. W tój górze kruszec mie-

dziany bardzo dobry, srebra ma niemało. Lazur przy nim bardzo kosztowny i zielenica bardzo cudna. Z tej góry za inszych czasów bardzo wiele skarbów wychodziło, i dziś ich jest wiele, ale trzeba robić, jednoby trzeba nakładu wielkiego.

Piąta góra jest kruszcu ołowianego, która idzie ode wsi zamkowej Załęzie nad Skibami ku miastu, którą zowią Żakową, w której bardzo wiele zrobisk i kruszec dobry srebra ma przy sobie nad insze góry. Tam i dziś skibscy ziemianie robią sami, a inszym nie dopuszczają robić, chociaż jest góra własna króla Jęgo Mości.

Szosta góra jest z drugiej strony miasta, w której też zrobisk wiele, kruszec też w niej dobry ołowiany i glinka czerwona; ma ta góra przezwisko Zelejowa.

Siódma góra za tą Zelejową jest niedaleko, która idzie nad polem miejskiem, i tę zowią Szewską. Tam pamiętnika nie masz kiedyby robiono, tylko jest tam dosyc zrobisk.

Ośma góra którą zowią Jerzmaniec, pod wioską księdza biskupa krakowskiego; tam też kruszec dobry ołowiany i srebro ma, i jeszcze tam potrosze robią.

Dziewiąta góra którą zowią Bolechowską; tam zrobisk wiele, ale dziś nie robią.

Widzimy tedy, iż stan tutejszego górnictwa już w XVI wieku był w upadku, a przytoczone słowa lustracyi bardzo znaczące zawierają zdanie, iż jest tu wiele skarbów, ale potrzebaby robić i nakładu nie żałować; snadź więc byłato już odwieczna tego stanu przyczyna.

Czy królowa Bona z swojemi Włochami miała jaki wpływ na kopalnie tutejsze, bardzo wątpię, bo śladów o tém nie ma. Ale w czasie bezkrólewia, przed koronacyą Stefana Batorego, Walenty Dębiński starosta chęciński wnosił, żeby z odkrytych tutaj drogich kruszców bić monetę; więc być może, że kopalnie były wtedy znowu czynne. Jakie zaś były dalsze ich koleje, rzecz dobrze znana, i to już nie podlega wątpliwości, iż coraz bardziej upadały, dopóki zupełnie nie zaginęły, tak, iż ołów, miedz, srebro, a jak Starowolski chce, przez szczególną życzliwość dla kraju upatrując to, czego nigdy nie było, nawet i złoto niegdyś tu znajdujące się, nietylko w kopalniach, ale i w pamięci ludzkiej zniknęły. Cóż mówić o owój cudnej zielenicy (zieleni czyli malachicie) i lazurze (błękitie miedzi) bardzo kosztownym, o których istnieniu w tych stronach znam mineralogów co o tém wątpią i zaprzeczają. Piękne jednak okazy zieleni i błękitów miedzi z Miedzianogóry

wielu krajowych zbiorów stanowią ozdobę, a znane są płyty malachitowe szlifowane, które upiększały niegdyś pokoje króla Stanisława Augusta, za generała Soldenhof wydobyte. Podobnie według Rzączyńskiego, który między wielu bajkami i szacowną źródłową prawdę umieszczał, za Jana IIIgo tylokrotnie przezemnie wspomniany Stefan Bidziński starosta, z lazuru wydobytego z kopalni tutejszej wyrobiony stolik, przesłał w darze Innocentemu XI papieżowi (1).

Ale dam pokój rudom kruszczowym, bo zresztą mógłbym się wdać nie w swoją rzecz i sprowadzić na siebie zarzut tak często słyszany: po co jemu się wtrącać do tego, czego sam nie rozumie. Pozwólcie mi tylko, o uczeni mineralogowie, z mniejszą lub większą zarozumiałością przedmiot swój dobrze znający, abym pozalił się nad marnowaniem darów Bożych, jakimi są liczne i piękne tutejsze marmury, które tu nogami wszyscy deptają, a które wydobyły ze mnie zapleśniałego archeologa i smutek, i chęć napisania co o nich, chociażby to był głos wołającego na puszczy i słowa pełne grzechów mineralogicznych.

Czy marmurołamy w Chęcinach znane i używane były w dawnych czasach—powiedzieć tego nie umiem. Nie wspominają o nich najdawniejsze lustracje; ale to pewna, że nie w środku XVII wieku, gdy kopalnie kruszczowe ustawały, zaczęto marmury wydobywać. Lustracja bowiem z r. 1602 przekonywa, iż za czasów Zygmunta IIIgo kopalnie marmurowe były tu czynne i wydobywano takowe z gór tutejszych „nakładem i na potrzebę J. K. Mości, na ozdobę kościołów i zamków kosztem jego wznoszonych.” Atoli w tych wszystkich górach, mówi też lustracja, „choć marmury są ozdobne, różnej maści, jednak z nich do tych czasów żaden pożytek nie idzie skarbowi J. K. Mości, ani staroście.” Pod tém wyrażeniem się rozumiano dochody pieniężne, gdyż istotnie były one pożyteczne, zważając, iż wszystkie dotąd dotrwałe gmachy tak kościelne jako i świeckie, przez Zygmunta III stawiane, przechowały dotąd dowody, iż je używać umiano, gdy schody, odrzwia, futryny u okien, ołtarze i tym podobne części budowli jeżeli ocalały, są tam zawsze z marmuru chęcińskiego, nawet

(1) Regnante Joanne III Steph. Bidziński, Palatinus Sandomiriensis, Capitaneus Chenciuensis, ex effossa ibidem tabula lazuli mensulam elaboratam Innocentio XI Summo Pontifici muneris loco obtulerat. *Rzączyński, in Auctuario Hist. Nat. p. 65.*

częstokroć z umiejętnością rzeźbiarstwa wykonane. Starowski pisze, że za jego czasów słyneły marmury chęcińskie mianowicie w kolorach czarnym i zielonym, których teraz nie wydobywają; jeżeli tylko szanowny ten polihistor nie omylił się. Wedle świadectwa Opalińskiego w dziele napisaném przeciwko zarzutom Barkłaja, użytek marmurów tak był w Polsce upowszechnionym, iż król Zygmunt IIIci kazał wykuć w jednej z gór chęcińskich, przedtém Wierzmoniecką zwanęj, dwie kolumny 38 stóp wysokie, na których chciał jakieś posągi w Warszawie stawiać; ale nie przyszło do tego, a syn jego Władysław IVty kazawszy je wydobyć, gdy jedna z nich pękła, drugą sprowadził do Warszawy i na nią dotąd stoi od roku 1643 posąg Zygmunta IIIgo na Krakowskiem-Przedmieściu; góra zaś na tę pamiątkę dotąd także Zygmuntofską się nazywa. Później z upadkiem wszystkiego w kraju i marmurołamy były zaniechane; wszelako Rzączyński za Augusta IIIgo piszący, wyliczając odmiany tutejszych marmurów, domniemywać się każe, iż nie były one zupełnie zaniedbane. Ale gdy uczony Karoży w r. 1778 zwiedzał Chęciny, i piérwszy raz dokładnie opisał wyliczając wszystkie znane wtedy odmiany marmurów, łomy ich znalazł w zaniedbanu i zniszczeniu, kamienie zaś powierzchownie tylko niekiedy wydobywano. Dopiero w końcu panowania Stanisława Augusta, gdy monarcha ten łomy tutejsze oglądał, pomyślano o wzniesieniu tego przemysłu w kraju; a król sprowadziwszy usposobionych potemu i biegłych majstrów z Włoch do Czerny i Dębniaka, jakeimi byli w sztuce dobywania Dominik Schianta; dłutem wyrabiania Leonardo Galli i polerowania Gigli Edward; ci pod kierunkiem nadwornego malarza królewskiego Marcellego Bacciarelli i w Chęcinach nauczyli wydobywania i wyrabiania różnych z niego przedmiotów, król zaś ozdobił nim nawet jedną salę zamkową, którą z tego powodu marmurową nazwał. Potém znowuż wszystko upadło, aż dopiero w r. 1817 po ustanowieniu głównej Dyrekcyi górniczej, w której prezydował mąż światły i wysokich zasług, minister Tadeusz hrabia Mostowski, za jego szczególném staraniem urządzono fabrykę marmurów w Chęcinach, składającą się z pilarni o czterech pilach do rżnięcia takowych i polerowni. Otworzono wtedy główne łomy w Słopcu, w górach Zygmuntofskiej, Zelejowej i Okręgliicy, i wyrabiać poczęto rozmaite przedmioty. Projektowano także w roku 1820, aby tu założyć szkołę rysunków i snycerzy, sprowadzić do wydobywania z gór ukrytych skarbów ludzi po-

temu usposobionych i t. p. Wtedy także uczoney i gorliwy ten minister rozkazał zdjąć plan z tutejszych kopalń, który u dostojnej jego rodziny przechowany, teraz do niniejszej pracy łaskawie udzielony mi został. Wszelako Kommissya Rządowa Spraw Wewnętrznych zarządzająca górnictwem, w r. 1823 straciła nadzieję wzrostu fabryki marmurów, pod zawiadywaniem ówczasowej Dyrekcyi górniczej w Kielcach zostającej, ciągle będąc narażaną na ponoszenie wydatków dla jej utrzymania, a żadnej nie mając korzyści; chcąc więc takową utrzymać koniecznie, bez potrzeby wydatkowania co rok zasiłków pieniężnych, połączyła owę fabrykę z więzieniem chęcińskim i zaprowadziwszy warsztaty w obrębie samego więzienia, wydzierżawiła ją na lat 12 Wincentemu Sokołowskiemu nadzorcy tegoż więzienia, pod temi głównemi warunkami, aby fabrykę utrzymywał ciągle czynną, nietylko w stanie w jakim się wówczas znajdowała, lecz owszem starał się o jej udoskonalenie, aby w niej wyrabiane były rzeczy gustowniejsze, więcej sztuki i przemysłu potrzebujące; nadto aby starał się młodych ludzi krajowców doskonalić, utrzymując ich przy zdatnych potemu majstrach i t. d. Kommissya oddała temu dzierżawcy lokal na fabrykę, zapasy materiałów z wszelkimi rekvizytami górniczymi, narzędziami, modelami, machinami, rysunkami, i nietylko nie żądała żadnego czynszu dzierżawnego, ale nadto oddając ówczasowych majstrów pod dowolny zarząd przedsiębiorcy, przydała mu jeszcze 150 więźniów chęcińskich na lat 6 do robót kamieniarskich, z obowiązkiem płacenia 5,000 złp. co rok do kassy tegoż więzienia. Ale przedsiębiorca nie dotrzymał kontraktu, robił nie to co mu umowa przepisała, cena wyrobów była zbyt wygórowana i dla kraju nieprzystępna; skutkiem tego fabryka coraz bardziej upadała, a nareszcie w roku 1833 zupełnie zamkniętą została.

Odtąd przemysł ten prawie znikł w Chęcinach lub przeszedł w ręce starozakonnych, którzy największą z niego produkcją nad 1000 rubli srebrem rocznie podnieść nie potrafili. I teraz kilku kamieniarzy majstrów zaledwie utrzymać się potrafią; wyroby zaś muszą być niezgrabne przy braku wszelkich wzorów, a jeszcze bardziej gdy są bez odbytu. Wprawdzie wyrabiają tu, rozumie się kiedy kto zamówi naprzód, schody, posadzki, niezgrabne nagrobki, płyty na stoły, niezręczne patery, a najwięcej przycisków do papieru. Ale to wszystko nie ma należytego poloru, nie ma

dobrego kształtu, nie ma stosownej formy. Jeszcze gdyby nie władze rządowe, możeby i ten użytek jaki jest dotąd z marmurów chęcińskich, zaginał. Tak przy budowie okazałej katedry św. Trójcy w Warszawie, korzystano i używano marmurów krajowych; chodniki warszawskie, radomskie, kieleckie w większej części są z niego wyrobione; teraz zaś wznoszący się wspaniale Instytut szlachecki przy ulicy Wiejskiej, o ile mi wiadomo, nietylko posadzki, schody, ale i wewnątrz w kaplicach kolumny, kapietele i t. p. części budowli wszystkie będzie miał z chęcińskiego marmuru wyrobione. Ileżbyto podobnych rzeczy możnaby tu robić, gdyż nic tu nie brakuje, tylko dobrych chęci, umiejętnego wzięcia się do rzeczy, blahój summy pieniężnej! Wszakże i dziś budują się lub odnawiają kościoły, stawiają pomniki grobowe, ozdabiają zamożne domy, do których marmurowe przedmioty, i użyteczne a trwałe, i piękne stanowiłyby dodatki. Trzeba nie-szczęśnej na to naszej obojętności, abyśmy o tém wszystkiém nie wiedzieli lub o to nie dbali. Pierwszy lepszy szarlatan włoski z wapieniami, które za agaty nam podaje, znajdzie u nas więcej wiary, zaufania i odbytu, niż najlepsze krajowe wyroby.

Może mi kto na to odpowieć: gdzie szukać tych marmurów, kto nam wyrobi zręczne i zgrabne przedmioty, bez których dzisiejsza wytworność nie obejdzie się, a dlatego tylko że krajowe, trudno jest bałwanami pokoje zapychać lub niezgrabiaszami domy swoje oszpecać; wreszcie, gdzie ich kupić można, kiedy ani składu ich nigdzie nie ma, ani nie wiadomo jak, i przez kogo je sprowadzić? Marmury chęcińskie, powiedzą mi inni, na posadzki są kruche, na ozdoby zablade, na figury smutne. Prawda wszystko, w części prawda, ale któż jeżeli nie my sami moglibyśmy temu zaradzić? Potrzeba tylko, jak mi powiadali ludzie dobrze znający się na rzeczy, 1000 rubli na założenie fabryki, tyleż na zaprowadzenie szkoły rysunków i rzeźbiarstwa, potem ułatwić komunikacją z Warszawą, otworzyć skład wyrobów gotowych lub w materiałach, a wszystko pójdzie jak najlepiej: pieniądze nakładcy się wróca, publiczność zaś wiele i bardzo wiele z tego skorzysta. Cóż przyjemniejszego naprzykład i trwalszego jak stolik z wierzchem marmurowym, który teraz nawet na miejscu i trzech rubli nie kosztuje. Niechby nasze liczne kawiarnie, traktyernie, garkuchnie, bawarye i t. d. zdobyły się na takie stoły, mało co więcej nad zwykłe drewniane kosztujące, czyliżby na tém porządek i czystość nie zyskały? Albo stoliki marmurowe zaprowa-

dzzone po sklepach, magazynach, szynkach, nie byłybyż trwalsze i ochędźniejsze niż są teraz? Przedewszystkiém zaś w jatkach mięsnych, w składach wędlin i t. p., takie stoliki nietylko czystościąby się zalecały, ale zdrowie publiczne wieleby na tém zyskało. Przynajmniej tak jest wszędzie za granicą, a my przecież naśladowując ją ciągle, jeszcze do tego nie przyszliśmy.

Otoż jest jedno źródło odbytu na marmury, nie wspominając o innych równie użytecznych i korzystnych. Niech mówią co chcą, że najlepsze schody są żelazne; doświadczenie przekonywa, że marmurowe równie trwałe, są zawsze lepsze i ozdobniejsze. A kominki? czy może być co piękniejszego jak w pokojach ładne z marmuru wyrobione, trwałe i tak wygodne w naszym klimacie, a które nie wiedzieć za co wyszły z powszechnego użycia. Cóż dopióro, gdy dojdziemy do tego, że potrafią nam wyrabiać przedmioty do ozdoby, zabawy i t. p., co wszystko może być bardzo ładne, a co więcej—że nasze.

Nie mogę zaprzeczyć, że w marmurach chęcińskich, jak we wszystkich północnych krajach, farby są niejasne, nieczyste i cokolwiek brudne; gdy przeciwnie marmury w krajach południowych mają barwy zawsze czyste, świetne i żywe. Natura nam pod tym względem uskąpiła jakimś dziwném zdarzeniem, gdy nasze północne agaty, jaspisy, opale, porfiry, i t. p. w niczém południowym nie ustępują. Ale pomimo to, takie marmury jakie mamy są jeszcze prześliczne; można z nich robić cudowne rzeczy, są mocne, trwałe, przyjmują dobry polor, dają się łatwo obrabiać i łamać w takich, jakich tylko potrzeba rozmiarach. Nie sąto próżne słowa, zaręczam, bo chcąc i siebie i drugich przekonać o téj prawdzie, zebrałem na miejscu potrzebne szczegóły, i te w zbiorach tutejszych uzupełniwszy (1), nadto osobnemi umyślnie ztamtąd

(1) Wiele pod tym względem winienem uprzejmości p. Karola Frycze b. urzędnika Górnictwa, dziś obywatela warszawskiego, który nietylko mi wszelkich udzielił objaśnień i stosownych szczegółów, ale nadto pozwolił do korzystania z bogatego swego zbioru mineralogicznego. Zbiór to prawie kompletny oryktognostyczny i geognostyczny, składający się przeszło z 8000 exemplarzy w formatach jak zwykle w wielkich gabinetach. Jest on szczególnie w klasie metali obfity, ma dużo rzeczy krajowych, np. minerałów znalezionych przy poszukiwaniu soli przez Bekkera, bogaty w skamieniałościach, których kilkaset exemplarzy liczy tak odznaczających się, iż mogłyby być pierwszych gabinetów ozdobą i t. d. O nabycie tego szacownego zbioru właśnie teraz stara się nowo założona akademja medyczna w Stambule; byłabyto strata dla kraju i szkoda niemala, a i wstyd także, że Turcy prędzej na wartości naszych zbiorów poznali się, niż my sami!...

przesłaniem wiadomościami wsparty, sporządziłem i podaję opis tu-tejszych i w okolicy marmurołamów, wyliczenie odmian marmurów co do ich barwy, objętość takowych, a nareszcie użytek; kto wie zresztą, może się to na co przyda, a przebaczcie mi zawsze jeżeli błędę.

Formacja gór przechodowych sylurska i kambryjska zajmująca okolice Bodzentyna, Kielc, Daleszyc, Chęcín, Iwanisk, Łagowa, Klimuntowa, Koprzywnicy, aż prawie pod Sandomierz, zawiera wapien różnokolorowy, który szczególnie w okolicy Chęcín i pod Słopcem tworzy marmur. Łomy takowego osobliwie około Chęcín, istnieją w wychodniach czyli wysterczających skałach, znaczne góry tworzących, których położenie załączony plan objaśnia.

Między wsią Szewce i Zawada, ku południowi zaczyna się wapien utworu sylurskiego (dawniejszy przechodowy); rozciągając się ku stronie południowo-wschodniej, zajmuje górę pod wsią rządową Zawada, południową część gruntów do wsi Szewce należących, górę Okrąglicę, Szewską, Malik, Zygmontowską, w obrębie Chęcín. Dalej następuje zlepienie wapienia sylurskiego, który zajmuje tu małą przestrzeń, i jak z jednej strony, to jest od północy, służy za podstawę piaskowca kambryjskiego, tak z drugiej strony, to jest od południa, opiera się na wapieniu sylurskim czyli przechodowym, który tworzy góry ciągnące się równie jak wyżej wymienione od strony północno-zachodniej ku stronie południowo-wschodniej, zajmując część północną wsi prywatnej Skiiby, a w dalszej rozległości ku wychodowi tworzy górę Zelejowską. Dalej ku południowi wapien ten wydzwignieniami swymi tworzy najwięcej w kierunku swym przerywane, lecz równie jak poprzednio wzniosłe wychodne skał, stanowiące niejako pasmo gór. Rozciągające się ku stronie południowo-wschodniej góry Sosnówka, Zamkowa pod Chęcínami i inne pomniejsze, do tego pasma należą. Opisany tu ogółowo utwór wapienny, wraz z należącymi doń marmurami, służy za podstawę dalszych utworów warstwowych w stronie południowej, w obrębie Chęcín. I tak: góry kozeczkowskie, które należą już do utworu wapienia tryasowego muszlowego, dalej ku południo-zachodowi pokryte są wapieniem ikrowcowym, już do następnej formacji juraskiej należącym, mianowicie w zbliżeniu i ponad samą rzeką Nidą od Małogoszczy do Sobkowa pasmem rozwiniętą.

Co do pokładów, wapień sylurski i marmury do tegoż należące są w téj okolicy podstawą wszelkich innych mass. Główny kierunek jego pokładów jest smuga od strony północno-zachodniej, ku stronie południowo-wschodniej. Nachylenie pokładów względem poziomu jest ku stronie południowo-zachodniej, nawet dość pionowe, bo niektóre pokłady, jakoto pod zamkiem chęcińskim, w górze Zelejowej do 70 stopni upadu okazują, i z tego powodu massy jego w tych miejscach, szczególnie w górze Zelejowskiej, sterczącymi odznaczają się skalami.

Zlepieniec wapienia ze strony północnej jest pokładem piaskowca czerwonego (new red Sandstone Anglików), z drugiej zaś, to jest od wschodu i południa, złożony jest, jak już wspomnieliśmy, na wapieniu sylurskim.

Części wapienia w tym zlepięcu, spojone są lepiszczem do wakki podobnym, a w części spatem wapiennym przerośnięte, stanowiąc jedną massę, której części mniej więcej silnie są z sobą spojone. Zlepieniec ten zdaje się należeć do tak zwanych w tych stronach okrucowców wapiennych (czyli brekeji), tworzących górę Karczówkę pod Kielcami i inne około téjże. Ztąd marmur w górze Zyguntowskiej także okrucowców ma postać.

Wapień sylurski téj okolicy w głębszych pokładach zdaje się być więcej zbitym i w massie jednostajniejszym; złam jego muszlowy, w cieplej wilgoci wydaje zapach glinki; przerośnięty bywa cienkimi żyłami spatu wapiennego, a niekiedy kryształami brzozenia czyli siarczanu baryty. Wśród mass wapienia tego zdarzają się rozpadliny, wypełnione w swych częściach wierzchnich gliną czerwoną, która się do nich dostała przez napłynienie, jednakże pomieszana z piaskiem. Różnobarwność tych glin i krzemionkowych niekiedy ziarenek piasku, przerośnięcie żyłami spatu wapiennego, stanowi cechę marmuru, w który wapień sylurski istotnie się tu tym sposobem przemienia. Góry zawierające marmur, znane są w téj okolicy następujące:

1. *Zamkowa*, kopalni teraz tutaj nie ma, marmur atoli jest tak twardy, jak Zelejowski; polor przyjmuje bardzo dobrze i wydobywa się w dwóch odmianach: jedna jest koloru wiśniowo-różowego, żyłkowanie równoodległe i niebardzo rozmaite; druga podobnej barwy, tylko nieco jaśniejszej i przechodzi w popielatowiśniowo-brunatny. Podobny on jest zupełnie do włoskiego marmuru zwanego *Caroline*, tylko nie ma tak żywej barwy.

2. *Podzamecze*, podobnież nie ma teraz kopalni; marmur tu jednak znajduje się tak twardy, jak w poprzedniej, różni się zaś barwą bardziej w różową wpadającą, mało ma żyłkowań i kolor jednostajny. Można z niego prześliczne rzeczy wyrabiać.

3. *Sosnówka* pod Chęcunami daje marmur w kolorze popielato-wiśniowym, z żyłkami białymi i ciemnymi; jest on twardy do wydobywania, obrobienia i poleru trudny. Dobywają go tu jednak łamami długości na łokieć 1, szerokiemi na łokieć 1, grubemi na $\frac{1}{4}$ łokcia.

4. *Zelejowska*, czyli Zelejowa, w obrębie miasta Chęciny znajdująca się, o dwie mile na zachód od Kielc położona, ma w jednej wielkiej górze trzy łamy marmurów, różniące się odmianą kolorów; i tak: od południa na tle ciemnym są pasy białe i żyłki koloru różowego i białego; dobywają tej odmiany łamami długości na łokci 3, szerokości na $1\frac{1}{4}$, grubości na pół łokcia. Od wschodu na tle cielistym pasy i żyłki czerwone i białe; tego wydobywają także na łokieć długości, tyleż szerokości, a pół grubości. Nareszcie od zachodu na tle jasno-popielatym ma plamki różowe i szare; dobywa się w mniejszych łomach najwięcej długości i szerokości na pół, a grubości na $\frac{1}{3}$ łokcia. W ogóle marmur ten wydobywa się w bryłach, jest zbyt twardy i trudny do obrobienia dlatego, że łatwo pryska pod dłutem, z powodu spatu wapiennego, który jest bardzo kruchy do wydobywania, ale daje się dobrze polerować. Wyroby z niego są kosztowniejsze jak z innych tutejszych marmurów, a barwą swoją celują.

5. *Okreglica*, góra w obrębie miasta, mieści marmur, który na tle ciemno-popielatym ma plamy ciemniejsze tegoż koloru i jakby muszelki białawe. Twardość ma niewielką, spat wapienny w nim przeważa i tworzy główne tło. Do obrobienia trudny, ale łatwo polerować się daje; dobywają tu łamy długości łokci 4, szerokie na 3, a grube na łokci 2.

6. *Dobrzączka*, góra obok powyższej znajdująca się; w jednej obszerniej górze ma łam marmuru koloru lila z ciemniejszymi plamkami. Twardość tego marmuru jest znaczna i ma dwie odmiany: jedna koloru ciemno-popielatego, z plamkami białego spat wapiennego, druga lila. Dobywają tu łamami długości na łokci 4, szerokości na 3, a grubości na 2.

7. *Szewce*, wieś rządowa o dwie mile na zachód od Kielc położona, ma w jednej górze trzy kopalnie marmurów różnych kolorów; i tak: od strony południowej na tle koloru ciemno-brunat-

nego narzucone skamieniałości pierścienic (annelidae), a mianowicie nereid i rurówek (serpulae), jaśniejszą swą barwą i połyskiem od tła wydatniejsza. Łamy mają długości łokci 4, szerokości łokci 2, grubości 1½ łokcia. Od zachodu jest marmur koloru popielato-różowego, na którym podobnie są plamy muszelkowe; długość łamów łokci 3, szerokość łokci 2, grubość łokieć. Od północy znowu marmur jest różowo-popielaty, z żyłkami białymi i znaczkami muszelkowymi. Ta ostatnia odmiana zbliża się bardzo do włoskiego marmuru zwanego *Duhamel*. Wszystkie te trzy gatunki marmurów są bardzo twarde, do wydobycia trudne, łatwo polerować się dają. Piękne z nich wyrabiają naczynia, kolumny, posadzki i t. p.

8. *Zygmuntowska*, pół mili od Chęcín odległa góra, dawniej Wierzmoniecka zwana, w której części różnokolorowe wapienia sylurskiego ściśle z spatem wapiennym są skryształizowane, tak, iż stanowią jedną masę nakształt zlepiania. Zawiera marmur twardy do wydobycia, obrobienia i poloru, kolorów bardzo rozmaitych, na tle zawsze mniej więcej ciemno-wiśniowém, na podobieństwo marmuru włoskiego *Seracolin* zwanego. Główniejszych odmian jest cztery. Pierwsza koloru ciemno-wiśniowego z żyłkami koloru krwawego i białymi spatu wapiennego. Z tego jest kolumna pod posągami Zygmunta III w Warszawie. Druga ma kolor krwawy, żyłki ciemno-wiśniowe w jaśniejsze nieco przechodzące; podobna do włoskiego marmuru zwanego *Rose*. Trzecia podobna do poprzedniej, tylko w nim więcej spatu wapiennego, tworząc tło, na którym porożrzucane są w różnych kształtach nieregularne plamki koloru brunatno-wiśniowego. Nakoniec czwarta jaśniejszą tylko barwą od poprzedniej różniąc się. W ogóle we wszystkich tych odmianach łamom dają długości łokci 15, szerokości łokci 6, grubości łokci 4.

9. *Staroheciny* ma marmur zupełnie podobny do Zygmunto-wskiéj, różni się tylko większą jednostajnością barwy; odmian zaś ma dwie.

10. *Rzepka*, góra w obrębie Chęcín. W górze obszernéj części marmur na tle ciemno-popielatém, mający plamy koloru wiśniowego i żyłki białe; jest on twardy, a polor przyjmuje z łatwością. Dobywają tu łamami długimi na łokci 3, szerokimi na łokci 2 i grubymi na tyleż łokci.

11. *Sitkowska*, wiosieczka pod Chęcínami na zachód, ma trzy kopalnie w dwóch obszernych górach: z tych od północy marmur

jest koloru plamistego, orzechowo-różowego, z żyłkami spatu wapiennego; dobywają z niego łomami łokci 4 długimi, łokci 3 szerokimi, a łokieć grubymi. Od południa marmur ten barwę ma jaśniejszą niż poprzedni, i w tychże rozmiarach dobywa się. Od zachodu więcej jak pierwsze dwie odmiany jest ciemny. Przykłoty tego marmuru we wszystkich trzech łomach są te same, jak w kopalniach Szewce.

12. *Skiby*, wieś prywatna, pół mili od Chęcín. W górze obszernej mieści marmur koloru popielatego, z żyłkami białymi spatu wapiennego, różowymi i ciemno-czerwonemi. Odmiana tu jest tylko jedna. Własności te same jak marmurów z góry Zelejowej. Dobywają łomy długie i szerokie na łokci 3, grube na 2.

13. *Miedzianka*, kopalnia niedaleko Chęcín, w której dawniej wydobywano rudę kruszcową miedzianą, dziś zarzucona. Mieści w sobie marmur koloru jasnego białawego, z czerwono-brunatnymi żyłkami, przerośnięty częściami malachitu i lazuru miedzi, który po szlifowaniu w kształcie gwiazdek wydobywa się. Prześliczny ten marmur naturalnie zielonemi i błękitnymi gwiazdkami i złamkami upstrzony i urozmaicony, niestety w bardzo małych kopie się kawałkach.

14. *Dębska Wola*, wieś prywatna, o 14 wiorst od Chęcín odległa, ma kopalnię marmuru przedzielanego cienkimi warstwami gliny. Kolor tego marmuru jest orzechowo-wisniowy, z żyłkami białymi spatu wapiennego. Jest on twardy i dobrze polor przyjmuje. Jedną ma tylko odmianę, ale bardzo ładną. Dobywają łomy długie i szerokie na łokci 5, grube na $\frac{3}{4}$ łokcia.

15. *Korzecko*, wieś donacyjna o 5 wiorst od Chęcín odległa. W wielkiej tutejszej górze znajdujący się tu wapień tryasowy muszlowym zwany, dla szczelnej spojności części jego składowych, to jest wapienia z skamieniałościami i spatem wapiennym, używany tu jest pod nazwiskiem marmuru żółtego. Daje się on równie dobrze jak inne polorować. Właściwie marmur ten jest koloru kawowego, narzucony białymi punkcikami, jakby zasiany ikrą lub drobnymi muszelkami. Łupać i obrabiać daje się łatwo, pasadzkę z niego można mieć dwa łokcie w kwadrat. Łamią zaś kawały długie na łokci 4, szerokie na łokci $2\frac{1}{2}$, grube na łokieć.

16. *Morawica*, wieś prywatna nad Nidą, dwie mile od Kielcu ku południowi, ma kopalnię marmuru w górze znacznej wielkości; kolor jego jest także kawowy, napryśnięty ciemniejszymi i jaśniejszymi centkami; twardość jego jest niewielka, polor trudny

w robocie pod dłutem łatwo rozpryska się. Używany na posadzki i inne wyroby. Dobywają łomy szerokie na $\frac{3}{4}$ łokcia, a grube na $\frac{1}{4}$ łokcia.

17. *Małogoszcz* miasto rządowe na zachód od Kielc, o mil 4 odległe. Na przejściu od utworu tryasowego w juraski, ma kopalnię w obszernej górze, w której marmur prawie z nic nieznaną odmianą jest koloru i tej samej natury jak w Korzecku. Dobywają tu łomy długie na łokci 3, szerokie na łokci 2, grube na pół łokcia.

18. *Brody*, wieś prywatna mil $2\frac{1}{2}$ na południe od Kielc odległa, ma kopalnię marmuru w górze znacznej wielkości; jest on koloru ciemno-kawowego, niekiedy w jasno-orzechowy przechodzącego, po którym są jaśniejsze i bledsze w różnych kształtach napryśnienia. Marmur to twardy i łatwo obrabiać i polerować się daje. Łamią go w sztukach długości łokci 6, szerokości $4\frac{1}{2}$, a jeden łokieć grubemi.

19. *Jaworznia*, wieś prywatna o milę na zachód od Kielc położona. W ogromnej górze ma dwa łamy marmurowe, z których począwszy od wierzchołka do połowy góry mieści marmur białawy przezroczysty, pomieszany kolorami blado-różowym i żółtawym; dobywają z niego łamy łokieć długie, szerokie i grube. W części dolnej ma kolor blado-różowy, żyłkami buraczkowemi poprzedzielany i w mniejszych łamach dobywa się. W ogóle marmur jaworznicki jest twardy, pęka przy obrabianiu i do polerowania jest trudny. Marmur ten jestto wapień sylurski, przez częste zbliżenie do krystalizacyi w spat przechodzący, i spatem przezroczystym i różnokolorowym, lecz jasnym, urozmaicony i upiękniony. Mogliby go nam cudzoziemcy pozazdrościć, ale nie poważyliśmy się tego daru Opatrzności tak użyć, jakby się dał z łatwością.

20. *Słopiec*, wieś rządowa, o dwie mile na wschód od Kielc położona, zaś o 20 wiorst od Chęcin; ma dwie kopalnie marmuru w poziomie poprzedzielanego cienkimi warstwami spatu wapiennego. Kolor marmuru jest ciemno-orzechowy, czasem w różowy przechodzący, żyłkowany spatem; znajdują się w nim jakoby skamieniałości roślin, istotnie zaś pierścienic, jak i powyżej to uważaliśmy w Dobrzączce; czasem jakieś muszle których rodzaj i gatunek nie umiemy oznaczyć. Jest on twardy należyte, daje się obrabiać żelazem bez rozpryskiwania i przyjmuje

polor z łatwością. Wyrabiają z niego wazony, kolumny, naczynia gospodarskie i aptekarskie i flizy na posadzki. W ostatnich latach kilkanaście tysięcy łokci fliz wzięto ztąd na trotoary do Warszawy, Kielc i Radomia. Łamy od wschodu są tu długie łokci 6, szerokie łokci 3, grube $1\frac{1}{3}$; od północy długie łokci 5, szerokie 3, grube pół łokcia.

21. *Kajetanów*, wieś rządowa 2 mile od Kielc, a 23 wiorst od Chęcin odległa; pod powierzchnią ziemi rodzajnej, na przestrzeni mili kwadratowej ma kopalnię marmuru czarnego w stalowy wpadającego, który do wydobywania łatwy, dość twardy, z trudnością polor przyjmuje. Łamy mają długości łokci 4, szerokości 3, grubości pół łokcia.

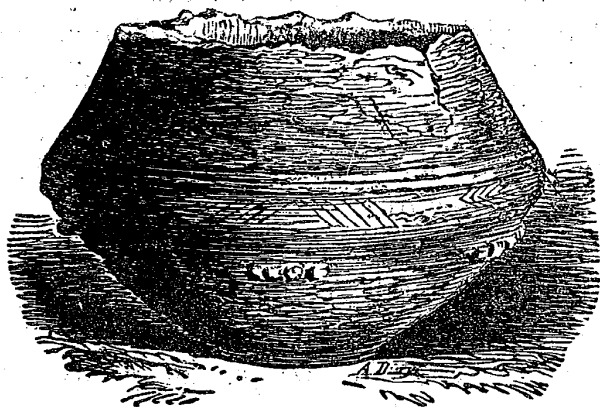
Otóż jest gałąź przemysłu krajowego bogata i tysiączne mogąca dać korzyści. Mamzeli jeszcze co więcej nad to powiedzieć?—Nie. Puszczam na świat na próbę i to, na co się zdobyłem: bodajby ona zachęciła znawców do zrobienia czegoś lepszego, a myśli i nadzieje nie spełzły na niczym, lub zamknęły się w kilku sercach niemożnych do czynu, do wpływu niezdolnych!

Z krainy marmurów, wróciłem do Kielc. Wprawdzie miałem jeszcze po drodze dawny dwór na Podzamczu, w piękne wspomnienia obfitujący, śliczną okolicę, cudne widoki, a naokoło miejsca, o których tyle możnaby napisać, żeby i czytelników zabrakło. Ale powiedziałem sobie, niech to będzie na ten raz dosyć. Przyznam się także, iż obawiałem się, aby nauka starożytności maluczkie jeszcze u nas łaski mająca, nie znudziła nowych swoich zwolenników. Wątpiłem, aby opis chociaż swego kraju obudził zajęcie. Zwinąłem więc wszystkie notatki i wróciłem do Warszawy. Doświadczenie przekonało, iż się omyliłem: dobra to więc otucha na przyszłość, zachęcenie dla drugich.

Jeszcze porządkowałem owe notaty, do druku je przygotowując, gdy zacni miłośnicy tych stron obdarzyli mnie nowymi wiadomościami, zachęcając do powtórnej w tym rodzaju podróży. Jedni donosili mi o kopcach szczególnych, pełnych legend i tradycyi, inni o gotowych i licznych popielnicach, które tylko oczekują, aby je z łatwością na pożytek nauki wydobyć; a byli tacy, co przysłali mi je nawet do Warszawy. Osobliwym nabytkiem archeologicznym jest nowy wykop w gminie Brzoza powiatu radomskiego, w dobrach należących do JW. generała jazdy Ożarowskiego. Przesłane ztamtąd dwie popielnice wydobyte zostały w bliskości wsi Brzozy, w miejscu płaskim, rozległym, w głęboko-

ści około pół łokcia pod powierzchnią ziemi. Pokryw od nich nie znaleziono i zdaje się, że te zniszczeniu uległy; mieściły zaś w sobie, jak inne tego rodzaju zabytki, kości i popioły. Przestrzeń na której je wydobywano jest dosyć obszerną; znaleziono ich tam nierównie więcej, ale przez nieostrożność w odkopywaniu zaledwie kilka wydobyto. Kształt tych popielnic jest nieco odmienny od tych, jakie w Nietulisku znajdowano; jedna zaś mianowicie jest szczególną, nosi bowiem na sobie ozdoby, które dotąd nie były znane. Sąto oprócz zwykłych na bokach centków w tym samym miejscu kilka wystających ząbków, w pewnych od siebie odstępach naokoło popielnicy, które albo stanowiły upiększenie, albo też jakieś ważniejsze miały znaczenie.

Przyłączam wierny wizerunek tej popielnicy, wstrzymując się od wszelkich domysłów.



Dzieje piśmienne wsi Brzoza sięgają roku 1369; była ona kiedyś królewską dzierżawą, a wypuszczaną rozmaitej szlachcie w nagrodę ich zasług, za pewną małą opłatą. W XVII wieku posiadali ją Lubomirscy, później została dziedzictwem Adama Ponińskiego podskarbiego wiel. koron., nakoniec przeszła na własność Ożarówskich, u których dotąd zostaje. Zresztą o pamiątkach tego miejsca ciekawi znajdą wiele interesujących szczegółów w pięknej rozprawie ks. Józefa Gackiego proboszcza i dziekana w dyecezyi sandomierskiej, zamieszczonej w Pamiętniku Religijnym na r. 1850, w tomie 19, na str. 381.

Doniesiono mi także smutną wiadomość, iż ów rzeźbiarz Jan Duchnowski uczeń Schwanthalera, o którym na początku swój pracy wspomniałem, umarł z nędzy w Kunowie dnia 8 grudnia 1851 roku.

Pokój twojej duszy biedny artysto! Nie spodziewałem się, abym przed twoim grobem odkrył promyk nadziei lepszego dla ciebie losu, któregoś nie mógł się doczekać przez tyle lat zawodów. Oby śmierć twoja była ostatnim wyrzutem obojętności ziomeków, a nauką dla podobnych tobie ludzi. Po coś się przywiązał do kąta, o którym nikt nie wiedział; czemu nie obrałeś sobie miejsca wi-
doczniejszego, nie zgłosiłeś się do ludzi co mają jeszcze serca, mi-
łość dla sztuki i przywiązanie do swoich! Czyżby zupełnie takich już u nas brakło? Los twój byłby niezawodnie jeżeli nie świę-
tnym, przynajmniej nie tak smutnym i tak prędko skończonym. Tyś zamknął swój zawód z goryczą i rozpaczą w sercu, zostawu-
jąc jeszcze sieroty w nędzy i niefortunną towarzyszkę twego nie-
szczęśliwego życia. Któż im teraz poda rękę na pamięć tylko
męczennika sztuk pięknych u nas? Kto przytuli dzieci artysty,
którego jedyną tylko było winą, że nie umiał żyć na teraźniejszym
świecie i nosił nazwisko nie po włosku zakończone?

Przykro mi, że takim wspomnieniem kończę moją pracę, bo istotnie z tej wycieczki wywiózłem wiele innych przyjemnych i nauki pocieszających, a zostawiłem nierównie więcej, o czémby i napisać i ogłosić wypadało.

Pięknaboto ta gubernia radomska, dziwnie we wszystko bogata, co nie miara archeologiczna! Ludzie tu są dobrzy, po-
stęp tu widoczny i co krok przedmiot oczy i serce wabiący. Po-
żegnałem więc ją jeszcze z nadzieją, że kiedyś dopełnię to, co opuściłem, pewtarzając z dawnym poetą:

Zacna strono! tobie gwolt,
Jeżeli Bóg życia pozwoli,
Nie żał mi będzie tej drogi,
Odwiedzić jeszcze twe progi.
Co obaczę, co usłyszę,
Wtenczas dokładniej opiszę.

O POWIEŚCIACH ARABSKICH.

SKRĘŚLIŁ

Wazimiérz Puchala.

W poezyi Arabów, tym kwiecie ich literatury, powieści najwybitniej odzwierciadlają ducha Wschodu, i po gazellach i kassydetach (1) najwięcej mają oryginalności. Zamiłowanie w słuchaniu dziwnych przygód sięga najodleglejszych czasów, i pochodziło ze zwyczaju ludu wiodącego życie koczujące w stepach, zasiadania wspólnie wieczorem pod gwiazdzistém niebem, i opowiadania kolejno, lub przez umówionego opowiadacza, *Essamir*, to jest *przywodzącę gwiazdzistęj nocy* nazwanego.

Prowadzona rozmowa przy blasku księżyca, zowiąca się *Semer*, jest główną częścią życia Arabów, a szczególnie Beduinów, niemających stałych siedlisk, przebiegających ogromne pustynie, i utrzymujących się z chowu koni i wielbłądów. Wynika to z właściwej przyrody kraju, gdzie w dzień pasąc swe trzody, lub uganając za zdobyczą, wieczorem gromadzą się około swoich namiotów, i dla gorącego klimatu część dnia na sen poświęciwszy, za to noc przepędzają na czuwaniu. Ten zwyczaj wypływający z stanu przyrody i oświaty, przeszedł z namiotów do *Hadesi*, mieszkańców miast trudniących się handlem i rzemiosłem, z wielobóstwa do Islamu, którego zakaz w koranie używania wina, gry, muzyki i tańców, nie zostawia innej rozrywki jak rozmowę, co swoją

(1) Rodzaje poezyi arabskiej: gazella jest pieśń treści erotycznej lub allegorycznej, składająca się nie mniej jak z pięciu, a nie więcej jak siedmiu dwu-wierszy, różniąca się tém od kassydety, że ta zwykle jest dłuższą, po większej części na pochwałę ułożoną.

cichą jeduostajnością wszystko zastępując, musi być szczególnie cenioną. Muhamed wprawdzie uznając szkodliwem opowiadanie powieści, szczególnież z Persyi pochodzących, jako w świat bałwochwalczy marzeń przenoszące, wzbronił takich w koranie; lecz natomiast dla wzniesienia i krzepienia odwagi narodowej, zalecał starodawne podania o czynach sławnego wojownika i razem poety arabskiego *Antara*, a tym sposobem upowszechnił ten pochlebiający wyobraźni wschodniej i przypadający do smaku narodowego, rodzaj poezyi. Gdy ta następnie pielęgnowana na dworze kalifów, ożywiana promieniami ich względów, rozwijała się sztucznie, wysilona jak w cieplarni roślina pozbawiona rosy i słońca, blask okupując utratą świeżości i siły, które odznaczają nieokrzesałą, ale pełną życia pierwotną poezją; powieści zachowały swoje oryginalność, w której odbija właściwe piętno ducha arabskiego, i stały się ulubioną zabawą ludu.

Ztądto Arab i dziś jeszcze czas najmiliej przepędza na słuchaniu powieści: czyto wśród rozległych stepów, pod niebem oświetlonem od księżyca wypoczywa z pielgrzymami, do świętej Mekki spieszącymi, lub z karawaną przewożącą na wielbłądach towary z Bassory i Damaszku; czy wieczorem siedząc pod namiotem wśród oazy rozpiętym, lub też nareszcie po miastach po dziennych zatrudnieniach w obszernych kawiarniach. To dało początek do zbiorów licznych powieści. Osnową ich było jużto zdarzenie prawdziwe, które niespisane, tylko z ust do ust przechodząc, przytém dodatkami wzbogacone i upięknione, stawało się nakoniec fantastycznem; jużto była całkiem zmyśloną, niekiedy nawet przyswojoną z krainy duchów, i w samym swoim pierwiastku, w treści i formie, miała urok cudowności.

Budzająca się wyobraźnia skłonna jest wymarzać świat, który nie istnieje: otaczający znajduje zaciąsny, zdarzenia zapowszechnie; chętnie goni za cudownością, przenosi się w czasy uplynione, w krainy nieznanne; nadaje wypadkom nadzwyczajnym wielkość olbrzymią, lub przyozdabia barwami świetnymi. Tak też i lud Arabów jeszcze w kolébce cywilizacji zostający, unosił myśl swoją na skrzydłach bujnej wyobraźni w dziedzinę cudów, i spletał uroczy wieniec powieści, z pomiędzy których najwięcej znane są *Elf Leila* czyli *Tysiąc i jedna nocy*; gdzie wszystko poplątane jak na kobiercach ozdobionych arabeskami, składającymi się z postaci ludzkich, zwierząt, kwiatów i liści.

Dawno już dostrzeżono zachodzące powinowactwo między architekturą a poezją; bo sztuki są z nią jednéjże rodziny, jednaki je duch ożywia. Posepny gieniusz Egiptu zbudował *Serapeum* w Memfis (1) i rył grobowe napisy; wesoły, pełny harmonii duch grecki wznosił *Partenon* w Atenach, jak Lamartine nazwał, najdoskonalsze poema wypisane w kamieniu na powierzchni ziemi. To powinowactwo najjaśniej wykazuje się u Arabów. Jak meczetów stropy, słupy, odrzwia ozdabiali postaciami zwierząt, płącząc je z wijącemi się liśćmi roślin; tak w powieściach swoich splatają żywotną z martwą przyrodą. A jak wyrabiali minaretów ozdoby fantastyczne, w dziwne, lecz pięknnością zachwycające arabeski wyrznięte, nietłoczące swoim ciężarem, tylko lekkie, użyczające chłodu miłego, odpowiednie skwarnemu i pogodnemu niebu; tak swoje powieści tworzyli lekko, zdobiąc całym bogactwem wyobraźni, nie obciążając zbyt ciężko przepychem fantazyi, tylko rozrzucając świeżość i powaby, jak wymagał ich gieniusz narodowy i sposób życia.

Lecz jak w budowlach Arabów, łuki wspierając się wzajemnie gmach utrzymują, nie przeszkadzając oczom objąć widoku jego całości; tak w ich powieściach wiąże się zamęt osób, wypadków i obrazów, a z tego wszystkiego, pomimo najrozmaitszój fantasmagoryi, nie mącząc uwagi słuchacza, składa się nauka.

Powieści *Tysiąc i jedna nocy* przyrównałyby można do bazaru wschodniego, gdzie w pozornym nieładzie znajdują się jedwabie z Aleppo, kandiany dziwerowane w Damaszku, obok różnobarwnych dywanów z Ispahanu, i tkanin w wielkie ptaki i kwiaty wyrabianych w Bagdadzie. Tak téż i w tych *Tysiąc i jednéj nocy* przechodzimy od powieści o czterdziestu wezyrach, do historyi młodego króla czarnej wyspy; od wypadków Alego z Kairu, do przygód Hassana z Bassory.

A jednakże wszystko to ma związek, i łączy się cudownie, by utworzyć całość noszącą na sobie oddzielne piętno. Sąto jakby drobne zwierciadła, co razem spojone, odbijają rozliczne od-cienia ducha wschodniego. Wszystko tchnie urokiem jak w *Amarat Sepuchet*, tym słynnym kiosku powabnej ustroni, przeznaczonym na tajemne rozkosze szachów perskich (2).

(1) Serapeum było miejscem grobów, jak u Greków Nekropolis.

(2) Flandria malarz należący do poselstwa francuzkiego, w latach 1840—1841 wysłany do przekopiowania napisów i pomników perskich, w opisie swojej podróży wydanej świeżo r. 1851, mówi o Amarat Sepuchet:

Ale przy całym wrażeniu, jakie te miłe i tak urozmaicone obrazy wywierają na naszą wyobraźnię, niedostaje nam przecież pojęcia ducha wschodniego; przeto powieści te, nie mogą rozbudzić w nas tego zajęcia, jakie w synach Arabii wznieca ta jedyna ich rozrywka. Aby je słusznie ocenić, potrzeba znać społeczność wśród której się zrodziły, ludzi którzy je wymyślili, i tych, co się im przysłuchują. Należy przenieść się myślą wśród poważnych od słońca ogorzałych wychowañców stepów, z twarzami pełnymi wyrazu. z ognistym i błyszczącym wzrokiem, koczujących przy cysternie w blasku księżyca, pod gwiazdzistym namiotem wyiskrzonego nieba, otoczonych od wielbłądów, co liche pożywienie znaleźli na oazie wśród oceanu piasków. Lub widzieć tychże Arabów wieczorem zgromadzonych w kawiarni w Aleppo i Kairze, siedzących poważnie na dywanie z założonymi nogami, puszczających kłęby dymów z wspólnej *nargileh* (1), popijających małemi czarkami mokkę, i nie mó-

„Wszystko w tym pałacu oddycha wdziękiem życia wschodniego, takim, o jakim poeci marzyli i niekiedy opisali. Wchodzi się do małego ogrodu pełnego wonnych kwiatów, zawsze pięknych, zawsze odświeżanych miłą rosą, którą rozrzuca nigdy nieustający wytrysk wody. Tam bluszcz i róża „rozkoszny kielich z którego pije słowik” spletają długie girlandy i spadają na alabastrowe wazony. Woda przezroczysta w wannie, wzbiera nad brzegi i spływa w kapryśnych festonach, by kąpać w kryształach hyacynty i narcyzy, napełniające powietrze wonią. Posadzka marmurowa zawsze biała jak śnieg odbija jak w zwierciadle lilie i mirty. Mniemaćby można, że wróżka przeniosła nas do jednego z zaczarowanych gmachów powieści arabskich. Jeszcze krok dalej, a jesteśmy wśród cudów fantastycznych Wschodu: Wstąpmy na te schody, odchyłmy tę zasłonę: wchodzimy do gmachu, gdzie oczy olśnione, zaledwie otworzyć się mogą. Światło dzienne nie przeciska swych słabych promieni jak tylko przez szkła różnobarwne w kształcie kwiatów. Stopa depce w cichości po miękkich i bogatych kobiercach. Wszystko w tej uroczej ustroni wzywa do snów rozkosznych. Odsuwa się kryjówka, spostrzegać się daje sala nawpół oświetlona światłem błękitnym: jestto ustron najtajemniejsza odalisek. Sybaryta zakładający ten *ermitaż*, w którym ukrywało się dla niego tysiąc rozkoszy, wymyślił najpowabniejsze utwory, wymarzył najwyższe uciechy. Pałac ten jest świeżej daty, wystawiony został przez syna Feth-Ali-Chah, który dostał w udziale rządu Isphanu. Nie chciał on ubiegać się z wspaniałością ani z wielkością i przepychem innych sułtanów, lecz pełen smaku i chciwy rozkoszy Epikurejczyk ze szkoły Hafsa, powziął ideę rajy ziemskiego i takową urzeczywistnił.”

(1) Nergileh jestto rodzaj fajki z której wspólnie palą tytuń, a którą Niebuhr opisał w swój podróży do Arabii.

więc jeden do drugiego, nadstawiających ucha biegłemu opowiadaczowi. Czy też znajdować się w haremie, gdzie odaliski na kaszmirowych kobiercach i sofach z tkanin perskich, przysłuchują się dziwnym powieściom; a wówczas pojmiemy niezmierną różnicę między tamtejszemi a naszymi słuchaczami.

Chcąc zasmakować w powieściach arabskich, potrzeba (jak to o jednym pisarzu niemieckim pismo czasowe angielskie powiedziało) (1) „pewnej delikatności w dotknięciu, by zrywając róże z tego bujnego krzaku, nie zadrasnąć palców kolcami.” Nienależy być drażliwym na wybryki fantazyi wschodniej, która nie znosząc wędzidła pędzi jak Farys (2) szranek nieznający; lecz owszem wypadałoby na czele dziwnych powieści *Tysiąca i jednej nocy* umieścić wyrazy sybilli kumejskiej:

Procul o procul este profani!

gdyż to dziedzina uroku, jak Ispahan najwspanialsze miasto Wschodu, które zwiedzając wędrownik marzy, że *dischny*, te gieniusze napowietrzne, uniosły go na swoich szarfach w siódme niebo Muhameda.

Aby dać wyobrażenie nieznającym *Tysiąca i jednej nocy*, skreślę treść powieści *O czterdziestu wezyrach*, stanowiącej piękny ustęp przez pięć nocy opowiadany.

Pewien szach perski miał syna, będącego rozkoszą wszystkich i nazywanego *Nurgehanem*, to jest *światłem świata*. Jasniał on pięknnością, odznaczając się przytém roztropnością i przymiotami ciała. Po śmierci jego matki, szach powtórnie pojął za małżonkę *Chansade* córkę sąsiedniego króla, która pokochała swojego pasierba. Ten zagłębiając się w astrologii, miał objawione przez mądrego swego nauczyciela, że z powodu biegu gwiazd nieprzyjaznego, dla uniknienia nieszczęścia, *Nurgehan* musi milczeć przez dni czterdzieści. Ten przyrzekł to, a mędrzec nakreśliwszy *amulet*, zawiesił na jego szyi. Szach, gdy syn nie odpowiadał, mniemając, że tajony smutek musi być tego przyczyną, zaprowadził go do *Chansady* aby się jój zwierzył. Lecz ta korzystając ze sposobności, wynurzyła swoje miłość dla *Nurgehana*, żądając przysięgi że ją pojmie za żonę, a ona śmierć ojca jego przyspieszy, by ulubiony od niej wkrótce został władcą Persyi; a gdy pomimo naj-

(1) O Janie Pawle Rychterze, (Blackwoods, Edinburgh Magazin).

(2) Farys arabskie słowo znaczy jeździec, odpowiednie słowu *Fers* koń.

tkliwszych prośb milczał, myśląc że nią wzgardza, miłość przemieniła w zemstę, i postanowiwszy go zgubić, oskarżyła go przed ojcem.

Szach uwierzył, i powodowany gniewem, rozkazał sprowadzić kata, i przygotować wszystko do śmierci *Nurgehana*. Czterdziestu wezyrów powziąwszy o tém wiadomość, pospieszyli do szacha, i jeden z nich opowiedział historią, z której wypływała nauka, że *nienależy być skorym w prześladowaniu niesprawiedliwem*. Szach usłyszawszy to, odłożył śmierć syna do dnia następnego; lecz wieczorem *Chansada* opowiedziała mu powieść, której było treścią że *nie wszystkim dogodzić można*; i nalegała, ażeby wykonał pierwsze swoje postanowienie. Gdy znowu z porankiem szach zasiadł na tronie, i kata przywołać rozkazał, wezyr opowiedziawszy powieść *O małżonku i papudze*, rzekł: „nie każ syna twego zabijać, dopóki nie przybędzie jego nauczyciel, gdyż pewnie w tém wszystkiem ukrywa się coś dziwnego; a jakążbyś popełnił zbrodnię, gdybyś twe ręce splamił krwią niewinną!“

Za nadejściem wieczora, *Chansada* rzekła do szacha: „nie kazałeś zabić syna, jeszcze masz do niego nierozsądne przywiązanie: posłuchaj historii *Sultana Machmuda i jego wezyra*,“ i opowiedziawszy to porównanie, nagliła na przyspieszenie śmierci *Nurgehana*. Szach przyrzekł, iż jój zemście zadość uczyni z najbliższym porankiem. Gdy ten nadszedł, trzeci wezyr opowiedział przygodę Bramina, mającą podobieństwo z historią szacha i *Chansady*; i błagał, by *Nurgehan* nie ginął „*gdyż jeżeli jest niewinnym, to ciebie niebo ukarze jako współnika mordu*.“ Tak przez dni czterdzieści i tyleż nocy panowali nad umysłem szacha, już to wezyrowie, już przebiegła sułtanka, opowiadając na przemian powieści, w których ukrywała się nauka. Nakoniec zjawił się nauczyciel *Nurgehana*, wyjaśniając rzecz całą. Wówczas szach żałując to, co dotąd uczynił, rozkazał synowi zasiąść na tronie po swojej prawicy, dozwolił wezyrom ucałować monarsze ręce i kolana, a *Chansada* ściętą została. Na tém kończy się opowiadanie o czterdziestu wezyrach, które pochodząc z obcego źródła, w zbiorze *Tysiąca i jednej nocy* zamieszczone zostało.

W tych powieściach urozmaiconych gazellami i kassydetami, przeplatanych już to krótkimi *Rabjat*, to jest czterowierszami (Quatrains), już dłuższymi, *Mesnewi*, rodzajem poezji dwuwierszem ułożonej, ulubionym od Arabów; wyobraźnia mogła rozwinąć swe

skrzydła w smaku wschodnim, czyto w poemacie piękność opisującym, *Nesib* zwanym, wystawiając:

„Jak na tronie siedziała z uroczemi oczami, okolonemi łukami brwi ciemnych, a jój oddech napelniał gmach cały jakby wonią ambry.”

„Mniemano, że jój uśmiech wychodzi z pięknej perły; włosy okalające jój skronie podobne do nocy, a czoło zawstydza blask wschodzącego słońca.”

Lub na inném miejscu mówiąc:

„Jest gietką jak gałązka drzewa, którą wiatr porusza; przy jój uśmiechu błyszczą zęby, tak, że je brać można za błyskawicę przyświecającą przy gwiazdach. Jój włosów krucznych spadające sploty, podobne do nocy trosk, co rozciągają się nad dniem radości, i otulają jasne południe w ciemne obłoki; a gdy okaże swoje oblicze w ciemności, to oświetla wszystko ze wschodu aż do zachodu.” Czy czerpiąc w *Dywanie*, tym zbiorze lirycznych powieści, opisując rozstanie:

„Jój serce było podzielone między miłością i rozpaczą; płakała świeżemi perłami, a z oczu moich płynęły łzy krwawe jak karniol, i tworzyły razem jój naszyjnik”....

Lub wspominając chwile szczęścia:

„Spędziłem w Damaszku dni i nocy. Zasypialiśmy pod skrzydłami cieni, aż wesoly poranek rozłączał mnie z kochanką. Jasne punkta pośród ciemnych drzew przez powiew wiatru sprawiane, błyszczały podobne do pereł rozrzuconych od wiatru; zwierciadło wody było jakby kartą, na której tenże swém skrzydłem pisał“..... Wszędzie objawia się duch Wschodu, lubiący obrazy barw jaskrawych i śmiałe porównania, brane z otaczającej przyrody. Jak wieszcz grecki przyrównywał piękną dziewicę do drzewa oliwnego wieńczącego wesołe wzgórze Jonii, a śpiewak śnieżystych szczytów Morwenu, do księżyca wychylającego swe światło z obłoków na wschodzie; tak wojowniczy Arab przyrównywa wzrost kochanki do dziryty, jój wysmukłość do drzewa rosnącego w puszczech Iraku, jój oczu spojrzenie do błyskawicy, do księżyca w pełni, oblicze rozszerzające miłe wrażenia jak to światło wśród ciemnej nocy; i gromadząc porównania jakby nawlekając perły, mówi: „Cztery rzeczy połączyły się, ażeby serce moje zranic i oczy moje łzami napelnić: słońce, czoła, noc włosów, róże lica, i ust uśmiechających się perły.”

Przeplatające te powieści piosenki miłosne, zwane u Arabów *Sedschal*, to jest dzwoniące, któreto nazwanie przeniesiono do włoskich sonetów, nie mogąc z temi równać się w tkliwości, gdy poeta arabski śpiewa: „Tęsknota maluje twój obraz w mojem sercu, chociaż widzieliśmy się już tak dawno. Nadzieja zbliża ciebie do mnie, podobnie jak błyskawica w oko wzdiera się i znika. O! nie spóźniaj się dłużej! Tyś dla mnie światłem; dopóki jesteś nieobecny, otacza mnie ciemność dokoła. Jeżeli raduje ciebie rozdział ze mną, to ciesz się twoją radością. Milcz moje serce! i wstrzymaj się czynić mu wyrzuty, gdyż w dniu w którym się znowu znajdziemy, musiałobyś samo siebie oskarżać. Wszakże on mnie o to nie obwinia, a przecież rozumieją się nasze serca!”

Porównywając *Tysiąc i jedna nocy* z tak sławnym *Dekameronem*, który Boccaccio ułożył, lub z *Nowellami* Małgorzaty królowej Nawarry, dostrzeżemy, że powieści arabskie więcej zostają w szrankach przyzwoitości; i jakkolwiek nie można ich w zupełności przyswoić naszemu wykwintemu społeczeństwu, zawierają jednakże zdania i porównania, które dziś zastosowaćby można; jak np.: „Człowiek w dniach szczęścia podobny do drzewa: dopóki w owoce obfituje, gromadzą się ludzie koło niego, lecz gdy te oberwą, wówczas odchodzą, zostawiając je na kurz i burzę.”

Arabowie oddani zmysłowym rozkoszom, obojętni na wyższe cele życia, tchną zasadami zarazem stoików i Epikurejczyków w swoich powieściach; gdzie wszędzie przebijają się ich narodowe przymioty i szczodrość, o której mówi poeta:

„Pokaż skąpca, któryby swoim skąpstwem pozyskał sławę, lub szczerego, żeby zmarł w pogardzie.”

„Jeżeli szczęście ci sprzyja, to z całym światem jego dary podziel, zanim uleci. Gdy ci jest chętnym, szczodrość nie wyczerpnie, a gdy odwróci się, nie obroni ciebie skąpstwo.”

Cóż w tym względzie wznioślejszego powiedzieć można?

Nie pogardzajmyż więc powieściami *Tysiąc i jedna nocy* jakoby czczemi baśniami; piękność ich, jak wiosna, rozwesela serce i duszę, blaskiem barw przynęca zważających tylko na powierzchowność, wonią nagradza szukających wewnętrznych zalet; bo jak *Kremer* w swych Listach powiedział (1):

„W każdym dziele sztuki dwa różne schodzą się pierwiastki: jeden zmysłowy, materyalny, drugi duchowy; pierwszy dla zmysłów przystępny, drugi dla samego ducha istnieje.”

(1) Listy z Krakowa, napisał Józef Kremer. Kraków, 1843 r.

Dlatego też mając na pamięci zdanie *Goethego*: „Kto chce zrozumieć poetę, musi przenieść się myślą w poety krajine” obeznawszy się z duchem, sposobem myślenia i życia Wschodu, odkrywamy pod obstonami *zmyślenia* prawdy moralne, i piękności poetyckie, które były wzorem dla Boccaccia, w których Ariosto czerpnął pomysł swojego *Orlanda szalonego*, a Sonthéy w bieżącym stuleciu przedsięwziął przyswoić poezyi północy.

Jeżeli tym powieściom zarzucają cudowność, duchy, i czarowane gmachy, zwrócić należy uwagę na właściwość obyczajów, przesądów i zwyczajów Arabów.

Ich poetycka wyobraźnia, zaludnia, jak wiadomo, nietylko niebo aniołami i piekło złemi duchami, lecz nawet pustynie i skały gieniuszami: męzkie *Gule*, żeńskie *Solus* zwanemi. Ta wiara w nadziemskie istoty zakorzeniona na całym Wschodzie, jak podobnie w średniowiekowej epoce panowała i na Zachodzie, jest charakteryzującą ten naród. Lecz obok tego, czyż pałac Alcyny Ariosta, ogrody Armidy Tassa, lub wyspa Kalipsy Fenelona byłyż rzeczywiście?

Miranda w Śnie nocy letniej Shakespeara; *Titania* w *Oberonie Wielanda*, *Królowa wróżek* Spensera, *Peri Moora*, nie mająż więcej cudowności, a przecież są pięknymi utworami poezyi.

Domniemywać się można, że powieści *Tysiąc i jedna nocy* powstały w rozmaitych stronach z ustnego opowiadania. Najdawniejsze mogą niewątpliwie pochodzić z Indyi, inne przypominają dość wyraźnie Persyą, i zdaje się, że za panowania trzech sławnych kalifów: Mansura, Harun-al-Reschida i Almanzora Mamun, wielkich miłośników nauk, po raz pierwszy przetłumaczone, po części na sposób arabski przerobione i wkrótce rodzinnymi dodatkami pomnożone zostały. Za miejsce zaś ostatniego ich przekształcenia uważać można Egipt, gdzie po upadku kalifatu, bogaciej nizeli gdziekolwiek kwitnęła literatura arabska. Pierwsze zapoznanie z tém dziełem Europa winna Antoniemu Galland, ur. 1646 r., a zm. 1715 r., który za sekretarza dodany posłowi francuzkiemu w Konstantynopolu, obeznawszy się z językami wschodniemi, mógł z zapałem poświęcać się ulubionėj od siebie nauce. Najznakomitszym owocem długiego jego pobytu na Wschodzie był przekład z arabskiego *Tysiąc i jednéj nocy*, z któremi nie porównać nie można w nowoczesném piśmiennictwie.

Długi czas praca Gallanda była jedyném źródłem dla następnych tłumaczy, aż w XIX stuleciu nowy popęd do języków

wschodnich, wydał z oryginału nowe przekłady, któremi zajmowali się najznakomitsi orientaliści: we Francyi Silvestr de Sacy, Caussin de Perseval, Gautier; w Anglii Scott; w Niemczech Voss, Habicht, Fleischer i inni. To ubieganie się w tłumaczeniu tych powieści, dowodzi, jak ważnemi być muszą w literaturze arabskiej. Nakoniec w 1838 r. młody uczony niemiecki Gustaw Weil, nieprzewyciężonym pociągami zawiedziony do Kairu, tam wiele lat przeżywszy, po raz piérwszy przetłumaczył na język niemiecki zbiór powieści *Tysiąc i jedna nocy* całkowicie i wiernie, tak, jak je Arabowie po kawiarniach opowiadane słyszą, w milczeniu zwracając oczy ku niebu, niejako dziękując za cuda w tych powieściach zesłane, na które jakby sami patrzeli. Najpóźniejsze tłumaczenie francuzkie uskutecznione przez Petit le Croix, zamieszczono w *Pantheon Litteraire*. Rozbiór zaś krytyczny historyi *Tysiąc i jedna nocy* uczynił znakomity orientalista francuzki Chéry w piśmie czasowém *Hermes*, jak również wiadomość o nich powziąć można z dzieła „*Podręczna historia powszechnej literatury*”, wydanego przez Graesse bibliotekarza w Dreźnie. Przedmiotu do wielu innych powieści dostarczył sławny *Asmaj*, zebrawszy w drugiem stuleciu *hegiry* (Hedschret) podania dawnych Arabów i powiązawszy je z nazwiskiem *Antara*, znanego z śmiałych wypraw i słynącego na całym Wschodzie poety a razem wojownika, o którym te podania mówią.

Antar, syn pięknej Schedady, wsławiony dźwiękami pieśni: jedną którą sam wyśpiewał, drugą co o nim wciąż brzmiała, stał się bohaterstwa światłem; ale miał nawpół czarną twarz, gdyż czarną była ta niewolnica, która go ojcu zrodziła. Ztąd nie nadał mu praw syna, zowiąc go tylko wiernym sługą. Stryj idąc za zdaniem ojca, nie chciał mu dać córki Abli, która pokochała Antara. To nastąpiło w tym roku, kiedy ojciec i stryj jego, uciekając przed napadem, wpośród trwogi nań wołali: sługo przychylny, uderzaj! Wówczas odrzekł mężny Antar: sługa nie rwie się do boju, on nie chwyta jak za kubło: i nie podniósł swojej ręki. Jednak ojciec party tłumem, zawołał: uderzaj synu! Wtedy Antar wznosił prawicę, której ciężko wróg doświadczył; ale wśród wrzawy bojowej, stryj był jeszcze zbyt daleko, i w trwodze również zawołał: synu! na wroga uderzaj. To dopiero cud sprawiło: dla ojca Abli uczynił więcej, niż własnemu ojcu. Odtąd nie zwał się już sługą. Ojciec dał mu prawa syna, lecz stryj nietyle przyjazny, pozostał mu dłużnym, gdyż nie dał mu swój córki.”

O sobie zaś Antar sam wyśpiewał:

„Pytaj innych jeśli nie wiesz, niech cię o tém zawiadomią, zem postrachem jest silnego, dla słabego zaś puklerzem. Ostрым mojej włóczni końcem niejednemu skarcił smoka, i przywiódł świeże ofiary w paszczę roztwartą srogięj wojny. Władam koniem w boju wrzawie, jak żeglarz łodzią wśród burzy, ciesząc się kiedy dziryty gruchoczą się o pierś moją. Najpóźniejszym do spoczynku, a najranięj się przebudzam, i za wrogiem jak wiatr pędzę. Kiedy inni zdobycz łowią, wówczas śmieję się z chciwości, co szydzi z mego ubóstwa.”

Takiegoto bohatera wyprawy i przygody połączono w jedną powieść, którą wielu perłą romantyczności nazywa. Zbiór ten pod tytułem: *Życie Antara*, więcéj zajmujący nad *Tysiąc i jedna nocy*, dostarczający na całym Wschodzie treści do rozmaitego opowiadania po kawiarniach, wprzódę nawet nieznaną w Europie, zakupił był dla biblioteki cesarskiej wiedeńskiej sławny Józef Hammer-Purgstal, jeden z największych żyjących orientalistów. Powieść ta, jestto właściwie arabski romans rycerski, bez przymieszania nadzwyczajnych wypadków, wystawiający przygody bohatera, takiego, jakiego ten lud wojowniczy pojmował, mówiąc:

„Trzy cnoty właściwe Arabom goszczą w szlachetnej ich duszy: wymowa, szczodrość i męztwo. Komu z ust mowa jak złoto, to zaś z ręki jak źródło płynie, a włócznia ogniska strzeże: ten jest wzorem bohatera, i stepy są pełne pieśni o nim.”

Wypadki opowiedane dzieją się przed przyjściem Muhameda, tojest w złotych czasach Arabów, a *Asmaj* poeta żyjący na dworze Harum-al-Reschida miał je osnuć w jedną całość. Po głębszych jednakże śledzeniach, szczególnięj wspomniony Hammer wyjaśnił w opisie zamieszczonym w *Kopalniach wschodnich* (Fundgruben des Orients), że te powieści dopięro w VI stuleciu hegiry, sławny poeta *Ibu-ess-Saigh* ułożył, korzystając z dawnych podań Arabów. Gdy *Tysiąc i jedna nocy* pochodzące z czasów kalifów mówią o *życiu Antara* jak o dalekiej przeszłości, ztąd wypływa o ile są późniejsze, i jak musi być ważnym dzieło przedstawiające wierny obraz obyczajów, zwyczajów, i mniemań Arabów przed przyjściem ich proroka.

Hamilton przełożył te powieści na język angielski (1819 r.); we Francyi znane są tak, jak je Lamartine zamieścił w swęj *Podróży po Wschodzie*, i z wyjątków, które ogłosił Dugat w dzien-

niku francuzkim towarzystwa azyatyckiego. Delatre mówi o nich w kursach języka arabskiego, wykładanych przez Caussin de Perseval w szkole przy bibliotece paryzkiej.

Jeżeli *Tysiąc i jedna nocy* otwierają niewyczerpaną kopalnię wschodniej fantazyi; to Harirri, urodz. 446 r. w Bassorze, zmarły 515 r. hegiry (1054 i 1121, ery chrześ.) w swoich przeobrażeniach zwanych *Makamet* t. j. *posiedzenia*, sławnych na całym Wschodzie, odsłania jakby panoramę wszystkich okolic rozległego państwa ǳarabskiego. Czytając te powieści przebywamy z karawaną stepy, znajdujemy się w bibliotece w Bassorze, spędzamy noc [wśród opowiadaczy powieści, jesteśmy obecni sądom w *Meragetech*; przenosimy się do miejsca z kąd pochodził poeta perski *Ferdusi*, i do miasta Kafy, gdzie się urodził słynny *Motenebbi*, oglądamy przepych *Bagdadu* przezwanego *Medinet Isselam*, t. j. miastem pokoju; zwiedzamy rozkoszne okolice *Damaszku*, liczone do czterech ziemskich rajów, i świętą *Mekkę i Medynę*; zapuszczamy się od miłych, różami uwieńczonych brzegów *Eufratu*, do szczątków stariej *Niniwy*; odbywamy wędrowkę do *Egiptu*, zatrzymujemy się w *Kairze* i przebiegamy pustynie *Sahary*.

W tej powieści *Harirri* występuje pod przybranym nazwiskiem *Hareth-Ben-Hemman*, i opowiada pełne dziwów podróże, przygody i przeobrażenia *Abu Sejda* z miasta Serug, który 50 razy zmieniając swoją postać, prawdziwy Proteusz, przybiera wszystkie postaci, i staje się przedmiotem do tyluż odmiennych powieści, które jakby *Odyssea* satyryczna, trafnie wyszydzą przesady lub wzbudzają zamięłowanie cnoty.

Urokiem tej powieści jest zręczność i przyjemność, z jaką opowiada poeta; formą zaś ulubiona powszechnie od Arabów proza rymowana, przeplatana dwuwierszami zwanymi *Mesnewi*, używanymi do wszelkiego rodzaju poezyi.

Harirri zawiadamia na wstępie, że czterdzieści i kilka *makamenów*, wedle swojej zdolności i obarczenia troskami, uwił z przestroóg i żartów, ulał ze złota i innych kruszców, osnuł z cienkich i grubych nici, splótkł z pstrych i wiotkich powiastek, pełnych porównań, urozmaiconych igraszką słów i dwuznacznikami, nasadzonych drogiemi kamieniami wyrazów, wyszytych perłami myśli, wzbogaconych zagadkami i przysłowiami, poezją i mową pospolitą, przeplatanych wybrykami wesołości i uroczytymi zdaniem, farsami i nauką, dowcipem pobudzającym do śmiechu,

i mową karcącą, lzy wywołującą. To wszystko przeniósł na osobę *Abud-Seida* z Serug, i przez usta *Hareth Ben Hemmam* opowiedział, a temu podał się z wszelką pracą, ażeby czytelnik zabawę i naukę osiągnął, i słuchaczowi służyło za rozrywkę i rozszerzenie jego wiadomości. Nie chciał on postępować drogą utorowaną, nie pożyczał z obcych skarbów, lecz całe swoje gospodarstwo sam urządził. Tak są wszystkie jego pieśni, poziome i wzniosłe, właściwemi dziećmi jego ducha, i nie stawia na stół jak tylko własną swoją sól, i własne swoje przyprawy, tak kwaśne jak słodkie. Ztąd zachwyca stylem, już pełnym liryczności lub płynącym elegijnym strumieniem, znów związłym i treściwym, a wszędzie włada mową z taką biegłością, jak Kątski skrzypcami.

Zwroty od komiki do patos również są nagłemi jak zmiana scen.

Zaledwie *Hareth-Ben Hemmam* znajdował się przy grobie jako pielgrzym pokutujący, by głosić znikomość ziemskich rzeczy; to znowu, gdy wiosna światu nowego blasku udziela, zanuća w wesółm kole pochwały wina i rozkoszy biesiad, a uniesiony uczuciem ich niestałości, kończy w elegijnych dźwiękach. Pomimo ustawicznych igraszek słów, błyskotkami przeładowanych obrazów, prozy rymowanej, co zakrawa na częstochowską poezją; jedném słowem pomimo tego, co nazwać można fałszywym smakiem wschodnim, istnieje pod tą dziwaczną formą duch, jaki tylko pod taką formą mógł się uwydatnić.

Podstawę historyczną téj powieści stanowi zdobycie przez Greków z czasów byzantyńskich miasta Serug, rodzinnego *Abu-Seida*, który pozbawiony dobrego bytu, zmuszonym jest zostać włóczęgą, czego pojedyncze wypadki przedstawiają kolejno makameny. Lecz wspomnienie stanu pierwotnego towarzyszy mu przez wszystkie jego przemiany, i odzywa się tu i owdzie, częstokroć wśród najkomiczniejszego lub najniegodniejszego przebrania w tkliwej piosnce, jak to objawia 24ty makamen, gdzie na weselu żebraków będąc ich naczelnikiem, pamięć swoją z tęsknotą zwraca na ubiegłe lepsze czasy, na ciche, wygodne życie, z którego gwałtownie został wyrwanym.

Następny makamen zawiera jego testament. Znudzony włóczęgą przekazuje swoje zasady, zalecając stosować się do nich swojemu synowi, którego poświęca na króla żebraków. Nakoniec następuje nawrócenie *Abu-Seida*. Występuje zpod wszyst-

kich zasłon pod któremi ukrywał się, i wraca do kraju, gdzie spędził swoją młodość i za którym przez całe włóczęgowskie życie wzdychał; a wyjaśniając ludowi Bassory powody swojego tajemniczego postępowania, zrzekłszy się wszelkich uciech, zostaje pobożnym pokutnikiem.

Tak *Harirri* przypominając w pewnym względzie Donkiszota Cerwantesa, obznajmia najprzyjemniejszym sposobem ze Wschodem, a fantasmagorya którą przesuwą, tak przynęca, że kto w nią raz zajrzy, ma chęć znowu ję się przypatrywać i podziwiać. Ze wstępu tego powieścio-pisarza dowiadujemy się, że poprzednikiem jego, czyli pierwszym który wykształcił ten rodzaj powieści arabskiej był *Abulfaddi Achm ed Hamedani*, t. j. rodem z miasta Hamedan, zmarły przed nim na lat 300, niegdyś towarzysz cechu i zgromadzenia, którego światło za czasów Harirrego już było zagasło; lecz gdy fale poezji z potokiem czasu spłynęły, usłyszano nazwisko i chwałę makamenów, które ułożył *Bedi elseman*, to jest *Nowy cud czasu*, zaszczytne miano nadane poecie Hamedanu.

Już w XVII stuleciu J. Fabricius w *Specimen arabicum* (Rostock 1658 r.) zamieścił pierwszy makamen Harirrego; następnie Erpinus (1656), Sultens (1731), Reiske (1734), niemieccy orientaliści zajmowali się zwanymi od nich *Consensus Harirri*, które Uri wydał w części w Oxfordzie (1774). Alcharisi przełożył na język hebrajski, Chappelów na angielski (Cambridge 1767), a Jahn professor języków wschodnich wsparty pomocą uczonego Aryde archipresbitera z Tripolis w Syrii, któremu język arabski był ojczystym, ogłosił drukiem r. 1804 po raz pierwszy wszystkie makameny Harirrego. Następnie, prawodawca dla Europy grammatyki arabskiej Silvestr de Sacy wydał na nowo w Paryżu r. 1822 (ze wszystkimi objaśnieniami, które poczynił był Montarezzi) całkowity oryginał tej powieści, której tłumaczeniem zajmowali się najsłynniejsi tego czasu orientaliści, uskuteczniając wielokrotne na rozmaite języki przekłady, mianowicie: Garcin de Tassy professor w Paryżu szkoły szczegółowej języków wschodnich, członek towarzystwa azyatyckiego, Paryża, Londynu i Kalkuty, zamieścił jęj przekład w dzienniku azyatyckim (*Journal Asiatique*), w poszycie 16, 17, 18; Caussin de Perceval professor literatury arabskiej w *Collège de France*, wykładał ją na swoich kursach. W Niemczech Rosenmüller prof. języka arabskiego przy uniwersytecie w Lipsku uczynił wielką przysługę, udzielając do-

kładną wiadomość o tém dziele, wedle całkowitego opisu znajdującego się w tamecznej bibliotece. Niezmordowany w przekładach z wschodnich języków Fryd. Rückert wydał w wolném naśladowaniu *Przemiany Abu Seida z Serug* czyli *makameny Harirrego* (trzecie wydanie, Stuttgard, 1844 r.) brakujące zaś trzy *makameny* Ph. Wolf, Stuttgard, 1837).

Gdy na początku XIX stulecia szkoła literatury arabskiej pod zwierzchnictwem wielkiego znawcy Silvester de Sacy w Paryżu założona, i w Niemczech oddziaływać zaczęła; Wacław hr. Rzewuski biegły w języku arabskim, współwydawca pisma *Kopalnie Wschodu* (Fundgruben des Orients), przez sławnego Hammera w Wiedniu od 1809 do 1820 r. wydawanego, zamieścił w VI poszycie swoje tłumaczenie 1go *makamenu*, lecz w języku francuzkim, w jakim wspomniane dzieło wychodziło. Gdyby był tę pracę swoją w polskim języku przedsięwziął, byłby się przysłużył rodakom, dając im przynajmniej wyobrażenie o Harirrim i o powieściach arabskich u nas prawie nieznanych, których potrójny jest sposób opowiadania.

Tysiąc i jedną noc są zbiorem w różnych miejscach zrodzonych i przez różnych poetów ułożonych powieści, jedne z drugich wypływających, a łączący je węzeł stanowi *Schehersada*, nadobna córka wezyra, opowiadająca szachowi. Jestto jakby kępa rozkwitłych obok siebie wschodnich tulipanów, które pyłkiem nasiennym zapładniając nawzajem siebie, stwarzają rozliczne barwy kielichów swych kwiatów, a ujęte w jedną grzędę, przedstawiają uroczą całość. Chociaż te powieści przypisują pod ogólnym wyrazem poecie Rasti, co znaczy opowiadacz, jednakże nazwiska tych co je wymyślili są niewiadome, i tylko znana jest *Schechersada*, która te w smaku wschodnim utwory fantazyi opowiadała. Jój wspomnienie miesza się w tym zbiorze jakby w kryształowém naczyniu sorbetem napelnioném; woda różana dodana dla nasycenia wonią przyjemnego napoju,

W powieści, której osnową są wyprawy i przygody Antara, poeta zebrał dawne narodowe podania arabskie, i szykując je jakby perły Omanu (1), ułożył z nich opowiadanie snujące się jedném pasmem, gdzie kolejno następuje wypadek po wypadku, czyn po czynie. Jestto jakby potok spadający z wierzchołka Horebu, co

(1) Omman nad zatoką perską, sławna połowem i handlem najpiękniejszych pereł.

pieni się, szumi; napotkawszy zaś równinę, łagodniej bałwan po bałwanie tocząc, płynie jednem korytem. Tak i poeta opowiadając młodość swego bohatera szumnemi wyrazami przedstawia jego wojenne wyprawy, dalej łagodniejszymi rysami maluje miłość jego do Abli; lecz wszędzie życie Antara i połączone z niem wypadki, rozwijają się jakby różnobarwna wstęga.

Makameny zaś Harirrego, każdy stanowi odrębną całość, którą z innemi sprzęga łącząca osoba *Abud Seida*. W każdym zaczyna się i kończy przygoda, i następna wypływa z poprzedzającej, lecz z wspólnego ogniska, z charakteru głównego bohatera, który znowu znajduje całkowite swe rozwinięcie w uzupełnionem kole makamenów. Nie widać akcji postępującej, a przecież na końcu cel jest osiągnięty; opowiadanie nie idzie naprzód, tylko obraca się w kole. Porządek więc makamenów jest jakby planet, odbywających bieg około słońca; lub rozwija się jakby liście palmy, które od środka jej wierzchołka wyrastając, składają wieńczącą koronę; a jak nie pod każdym liściem jest owoc, tak nie każdy makamen zarówno jest ważny do rozwikłania całości: jedne stanowią istotne okresy; drugie są przydatkiem, dopełnieniem. Lecz wszystkie opowiadają, jak *Haret Ben Hemman* przejęty żądzą podróży i przybywszy tu i owdzie, był świadkiem tego lub owego zdarzenia. W urozmaiceniu tych obrazów w jednych jednostajnych ramach, Harirri jest niewyczerpanym, zawsze nowym, bawiącym i zadziwiającym.

Gdy taki rodzaj powieści i ten sposób ich opowiadania ulubionym był u Arabów, przeto mieli jeszcze makameny pod tytułem: „*Szach i Derwisz*.” Bohaterem czyli raczej opowiadaczem, który przez dobre nauki i porównania uczy szacha mądrości, jest pokutujący pustelnik. Derwisz ten, nie jestto wesół, dowcipny, przebiegły *Abu Seid*, którego nazwaćby można *Gil-Blasem* arabskim, ale jestto więcej stoik, którego postępowanie częstokroć graniczy z cynizmem; lecz za to jest pełen honoru, na czem lekkomyślnemu Abu-Seidowi zupełnie zbywa. Duch w tej powieści jest prawie wszędzie podobny temu, jaki w nas powstaje, gdy częste odczarowanie w życiu, połączone z gasnącym czuciem do zmysłowych rozkoszy, wzbudza pewne odretwienie ku rzeczom światowym.

Powieść ta przeszła od Arabów do ludów mieszkających z nimi; jakoż *Abraham-Ibu-Chisduis*, uczony żyd z Barcelony, na początku XIIIgo stulecia zrobił wolny przekład w języku

hebrajskim, z którego W. A. Meissel swoje tłumaczenie wydał w Szczecinie 1847 r. Mieli Arabowie jeszcze i powieści, których główną treścią była miłość; między temi odznacza się pod tytułem: *Leila i Mendschnu*, gdzie szalony z miłości (*Orleando furioso* Wschodu), przypomina Aryosta. Chociaż powyższa powieść wykształconą została w Persyi, pochodzi jednakże od Arabów, pomiędzy któremi wielu probowało układać powieści filozoficzne. Z tych jedna tylko jest dotąd drukiem ogłoszona pod tytułem: *Człowiek natury*, w której *Ebu Tofail* zapewne z Korduby, (współczesny Aweroesa sławnego filozofa maurytańskiego), zmarły 1190 ery chrześ. w Sewilli, chciał okazać jak człowiek bez pomocy obcej, własną myślą przechodząc z jednej do drugiej, wznieść się może aż do idei Bóstwa; co autor z taką biegłością wykonał, że go sam Leibnitz z współczuciem i przyjemnością czytał, a Arabowie jako klasyczne dzieło wysoko cenili. Treść w krótkości jest następująca: *Hai Ebu Thokdan* na bezludnej wyspie przez sarnę wykarmiony, przychodzi sam do rozmaitych wynalazków, uczy się rozważać przyrodę, poznawać kształty rzeczy, swoją własną istotę, dochodzi na tej drodze do zbadania bóstwa i nakoniec, że sam ma z niem podobieństwo; jako myśląca istota usiłuje coraz więcej być mu podobnym, i przez tę dążność i oddalenie od wszelkiej zmysłowości, wznosi się do stanu kontemplacji i poglądu duchowego. Sławny XVIIgo stulecia orientalista angielski Edw. Pococke wydał tę powieść po arabsku i po łacinie (Oxford, 1671), zaś na język angielski przetłumaczył Szymon Ockley (Lond. 1708), na niemiecki Pritius (Frankf. 1726), a wprost z arabskiego J. J. Eichorn (Berl. 1783). Powieści arabskie przez Krzyżowców ze Wschodu do Europy przeniesione, stały się obfitą źródłem, w którym wielu późniejszych pisarzy czerpało, jak tego są ślady w francuzkich tak zwanych *Fableaux i Contes*, zdradzających swoje pochodzenie wschodnie, przez wprowadzenie czarodziejstw, karłów, olbrzymów i t. p. Również imię Alexandra W. było ogniwem łączącym Wschód z Zachodem przez powieść rycerską. Jak w Europie w wiekach średnich licznie opiewano wyprawę tego greckiego bohatera, tak również w Azji czyny jego dostarczały przedmiotu do wielu powieści, którym, przez Arabów obrobionym pod tytułem: *Siret Iskender* t. j. żywot Alexandra, podobnie jak przygodom Antara przysłuchują się po *kawiarniach*. W ich opowiadaniu poznać można bogate żyły złotego kruszcu, co

w powieściach średniowiekowych czasów, przeszły do wiadomości Zachodu. Tak dwunastu rycerzy stołu okrągłego Karola W. mieli wzór w rycerskiej powieści o Antarze na dworze *Nurchirwana* wielkiego króla perskiego, *Morgana* Bojarda w arabskiej królowej Korali; a miecz Alego również był sławnym jak Rolanda. Zastanawiając się nad poezją romantyczną wieków średnich, jej kolebkę dostrzeżemy na Wschodzie.

Rękopisma powieści arabskich znajdują się po wielu bibliotekach, a nadewszystko w Eskuryalu, gdzie po Maurach nagromadzone spoczywają skarby literatury arabskiej. Przekład ich na języki europejskie stawia trudności prawie niedające się pokonać: dwóch skał bowiem unikać potrzeba. Gdy dawniej mniemano, że najlepiej dopiąć celu przez ściśle zastosowanie się do obcej formy, czyniono rzecz prawie niezrozumiałą; z drugiej zaś strony, wolny przekład jest raczej naśladowaniem, gdzie ginie właściwy charakter.

Wiadomości obszerniejsze o powieściach arabskich i w ogólności o wschodnich, znaleźć można w uczonych dziełach Russela *Historji naturalnej Aleppo* (Lond. 1795), w Masciera *Podróży do Egiptu i Niebuhra do Arabii*; w Murra *Dodatkach do literatury arabskiej* (Erlangen, 1803 r.), w Hartmana „*O tłumaczonych i naśladowanych w językach europejskich powieściach wschodnich*” i „*o ideałach piękności kobiecych u narodów Wschodu*”; w Eichorna *Historji powszechnej literatury*, nakoniec u Weila (1837 r.) i w najświeższej Hammera *Historji literatury arabskiej* (1851 r.).

Co zaś do bibliograficznych o tych powieściach szczegółów, obfituje w nie dzieło podręczne *Powszechnej literatury*, napisane przez Grässe bibliotekarza w Dreźnie.

Aby zapoznać z kwiatami literatury Wschodu, tak mało u nas pielęgnowanemi, wspierałem się na wiadomościach wyczerpanych z pism wspomnionych; i jakkolwiek w tym ogrodzie Islamu, bukiet przezemnie związany może być niebogatym, miałem na pamięci zdanie arabskie: „Jeżeli wszystkiego objąć nie można, nie należy wszystkiego opuszczać, gdyż poznanie choć w części, lepszym jest nad zupełną niewiadomość.”

ANNIBAL Z KAPUI

NUNCYUSZ PAPIEZKI W POLSCE,

I LISTY JEGO W CZASIE BEZKRÓLEWIA PO STEFANIE BATORYM,
DO RZYMU PISANE.

PRZEZ

Alexandra Przewdzieckiego ()*

W bibliotece *Brancacciana* w Neapolu znalazłem był w 1846 r. rękopis *in folio* pod tytułem: *Primo tomo del Negotiato dell' Ill. et Rev. Monsignor Annibal di Capua, Arcivescovo di Napoli, legato residente nel regno di Polonia nell' anno 1587.* Wśród trzechset z górą listów do kardynałów Azzolino i Montalto, pisanych od 23 listopada 1586 do 29 maja 1589 r., znalazłem wiele ciekawych, dotyczących się stosunków polskich w czasie bezkrólewia po Stefanie Batorym; tudzież o podwójnej elekcji Zygmunta IIIgo i Maxymiliana, więzieniu arcyksięcia w Krasnymstawie, i uwolnieniu jego w skutek paktów będzińskich. Pospieszyłem z przepisaniem tych szczególnie listów, które ze względu na dzieje nasze zajmować nas mogły; tém bardziej, że Annibala z Kapui wystawiają nam historycy nasi jako główną sprężynę elekcji Maxymiliana, a zatem listy jego byłyby autentycznym świadectwem wypadków ówczesnych ze stanowiska rzymsko-rakuzkiego.

Mamy wprawdzie historią owego czasu pisaną przez autorów do przeciwnego stronnictwa należących, mianowicie przez *Heiden-*

(*) Artykuł niniejszy o Annibalu z Kapui, służyć będzie za wstęp do *Listów* jego, których rękopis już jest do druku przygotowany.

steina i *Solikowskiego*; a zpod gładkiego pióra łacińskiego, stronnika Maksymilianowego, opisanie bezkrólewia po Batorym, które wydawca *Ciampi*, *Michałowi Bruti* przypisywał, a Wiszniewski (mojém zdaniem mniej trafnie), *Krzysztofowi Warszewickiemu* (1). Z późniejszych, biskup *Piasecki* ostro i zwięzłe, a *Bielski* (w nowo odkrytym i wydanym przez p. Sobieszczańskiego *Dalszym ciągu* kroniki swojej) obszerniej, i w potocznej, naiwnej mowie, ważniejsze wypadki ówczesne opisali. Brakuje nam jednak dotąd pamiętnika społecznego do téj epoki dziejów naszych, takiego, jakie mamy do panowania Zygmunta Augusta w *Listach królowej Barbary* przez Michała Balińskiego, i *Radziwiłłów* przez Lachowicza wydanych; a zwłaszcza w świeżo obrobionej przez biegłego komentatora źródeł naszych, Mikołaja Malinowskiego, *Korrespondencyi kardynała Commendon*; jakimi do bezkrólewia po Zigmuncie Augustacie będą przygotowane już do druku *Pamiętniki Świętosława Orzelskiego* (2). Do panowania Henryka, Batorego, Zygmunta III, a tém bardziej do późniejszych czasów, mamy ich wielką obfitość.

Pierwsze miejsce zajmuje tu drogocenny *Pamiętnik hetmana Żółkiewskiego* wydany przez dzisiejszego Kuratora O. N. Warszawskiego, Rz. R. St. Muchanowa; któremu historia XVIIgo wieku tyle szacownych materyałów zawdzięcza; i te złote *Pamiętniki Paska*, którym druk, pędzel, rylec sztycharski i litografia w dzisiejszych czasach nową żywotność nadały. Pan K. Wł. Wojcicki obiecuje nam wprędce *Pamiętniki Jerlicza*, i nowe wydanie nieznanego prawie *Wydźgi*.

Niniejszy zbiór listów Annibala z Kapui ma swój charakter właściwy. Cudzoziemiec piszący o kraju mało mu znanym, na który zapatruje się z wysokiego wprawdzie stanowiska, ale z obcego, nie może wzbudzić tego zajęcia, jakiebyśmy w rodzinnych pamiętnikach znaleźli. Jednakże przez bliższe stosunki z kardynałem Radziwiłłem, z Solikowskim arcybiskupem lwowskim, i przez pilną uwagę zwracaną na najmniejsze wydarzenia krajowe, których napróżno szukalibyśmy gdzieindziej tak szczegółowego opisu; a zwłaszcza przez pogląd na stosunki kościelne nietylko w Polsce, ale i w sąsiednim

(1) *Rerum polonicarum ab excessa Stephani Regis ad Maximilianum captivitate, liber singularis, in lucem editus cum additamentis ab Sebastiano Ciampi. Florentiae, 1827, in 8-vo. Ob. téż Historię literatury polskiej. T. VIII, str. 445.*

(2) Tłumaczone z łacińskiego języka przez tak wczesnie zgasłego Stanisława Lisowskiego.

wołoskim kraju, Annibal z Kapui wielką ma dla nas zasługę; a listy jego zajmą stanowisko niepoślednie w dziejach wewnętrznych owego czasu.

Staraliśmy się uzupełnić ten zbiór, czerpanemi i z innych źródeł materiałami, z pomiędzy których spółczesne raporta agentów tokańskich, i list komtura *Pucci*, dworzanina kardynała *Aldobrandini*, żywcem schwytane szczegóły miejsc i czasów podają. Największą zaś okrasę stanowią dwa listy wielkiego kanclerza i hetmana Zamojskiego, przed samą potrzebą byćczyńską do króla pisane, nigdzie niewydane dotąd, a które uprzejmości uczonego profesora krakowskiego, p. Zygmunta Helcla zawdzięczamy. Obszerniejsze, lub w texcie łacińskim materiały, umieszczone będą w *dotatkach*, dla nieprzerwywania wątku samej korespondencyi. Znajdzie tam swoje miejsce nieznaný dotąd wiersh *Jana Karczewskiego* podczaszego czerskiego, pod tytułem: *Uczkńieniek, lubo przestrożnik na seymn blizko przyszley electey króla nowego*, który nie pod względem poetycznej wartości, ale jako obraz spółczesny ma swoje znaczenie. Nakoniec w związku ze stosunkami Wołoszczyzny, list agenta tokańskiego *Filipa Talducci*, podaje nam w malowniczych rysach krwawy obraz śmierci *Podkowy*, której opis szczegółowy i bezstronny, rzuca niestety cień mniej korzystny na wielką postać Stefana Batorego.

O autorze samych listów szczegóły biograficzne, jakie mogliśmy zebrać, są następujące:

Annibal di Capua był synem Wincentego, księcia (*Duca*) di *Termoli*, ze starożytnéj rodziny neapolitańskéj. Nauki odbył w Pawdwe i w Pawii; następnie został referendarzem i komornikiem (*Camerario*) Grzegorza XIIIgo papieża. W imieniu jego jeździł winiszować Rudolfowi II korony cesarskéj (r. 1576); później został nuncyuszem w Wenecyi. Zasługi w téj nuncyaturze położone, otworzyły mu drogę do arcybiskupstwa neapolitańskiego, które mu papież Grzegorz XIIIsty oddał, *pomimo*, a może być *dla* zabiegów kardynałów *Orsini* i *Arragońskiego*, starających się o nie każdy dla siebie (1). Cokolwiekbądź, *Annibal z Kapui* odbył wjazd do Neapolu w dniu 22 lutego 1579 r. i „jak najuroczyściej (powiada autor spółczesny), przyjęty został w katedrze, którą zdobiły od dołu do góry obicia z axamitu i brokateli” (2).

(1) *Zedler*, *Grosses Universal Lexicon*, pod wyrazem *Capua*.

(2) *Compendio dell' Istoria del regno di Napoli*, di *Pandolfo Collicuccio* etc. In Venetia, 1613. Parte III, str. 80.

Grzegorz XIIIsty przez sprawnego posła swego *Antoniego Possewina*, pogodziwszy Stefana Batorego króla polskiego, z W. ks. moskiewskim, chciał potężną ligę tych mocarzów północnych, wraz z cesarzem i Wenecją, przeciw Turkom utworzyć; ale śmierć jego zamiary przerwała. Syxtus Vty, który po nim (1585 r.) na stolicę apostolską obrany został, przez tegoż Possewina i kardynała Batorego, o planach poprzednika swego z królem Stefanem traktował, obiecując nawet subsydia na koszty wojenne. Jakoż własnoręczny list o tém do Stefana Batorego napisał, i 25,000 szkodów rzymskich (1), jako stypendyum miesięczne, miał oddać nowemu nuncyuszowi, którego w r. 1586 do Polski na miejsce *Hieronima Bovio, biskupa di Camerino* posyłał (2). Tym nuncyuszem był arcybiskup neapolitański *Annibal di Capua* „mąż zacnego rodu (pisze współczesny autor historyi Neapolu), wielkiego rozumu i nauki, i nie mniejszego doświadczenia w sprawach publicznych. Wybrał się w tę podróż z Neapolu 28 października tegoż roku.”

W Rzymie odebrać musiał instrukcją od kardynała sekretarza stanu *Montalto*, synowca panującego papieża, któremu miał o wszystkich czynnościach swoich donosić. Pierwsze jednak listy z drogi, z Florencyi, a nawet z Krakowa pisze nuncyusz do kardynała *Azzolino*. (3) W Bononii dał mu legat miejscowy rękopis korespondencji polskiej kardynała *Bolognetti* (*Un libro del negotiato di Polonia del S. Card. Bolognetti*), zawierający listy od 9 lipca 1581 do 6 marca 1582 r., które nuncyusz starannie przejrzał (4). W Wiedniu dopiero dowiedział się o nieodżałowanej śmierci Stefana Batorego, zaszłej w Grodnie 12 grudnia tegoż roku; tam musiał zatem na nowe polecenia i instrukcye oczekiwać. Stolica apostolska miała wielki i konieczny interes w nowej elekcji polskiej, aby ta na katolickiego księcia padła; wybór nuncyusza mającego wpływać na przyszłą elekcję był zatem nader ważnym. Nie zdało się Syxtuso-

(1) Szkud rzymski wart był 1 dukata (bez 1 grosza papieżkiego), czyli dzisiejszych półtora talara.

(2) *Heidenstein* str. 238, *Compendio* etc. str. 124.

(3) Kardynał *Azzolino* był jednym z tych, którym papież powierzył później interes elekcji nowego króla polskiego.

(4) *Albert Bolognetti* biskup Massy (później kardynał) był nuncyuszem w Polsce w latach 1581 i 1582. Relacya z jego legacyi, przez sekretarza jego *Horacego Spannocchi* pisana, znajduje się w Mss. w bibliotece książąt Chigi w Rzymie (Ob. *Przeddzieckiego* Wiadomość bibliograficzną str. 93 i 173, oraz *Wiszniewskiego* Hist. lit. polsk. t. VIII, str. 19—23).

wi V komu innemu ten urząd powierzyć, jak Annibalowi z Kapui, już w drogę wybranemu, a którego przezorności i gorliwości zupełnie zawierzał (1).

Pierwszych dni lutego 1587 r. przebył nuncyusz granicę polską; ale zaraz na wstępie oświadczone mu, że wedle przyjętej ustawy, jako poseł obcego mocarstwa, nie może być do Krakowa puszczonym bez szczególnego pozwolenia senatorów z Warszawy. Pomimo protestacyi i posunięcia się przebojem pod sam Kraków, musiał nuncyusz na przedmieściu tej stolicy w przygotowanym dlań naprędce mieszkaniu pozostać; i w miesiąc później dopiero, za otrzymaną odpowiedzią z Warszawy, na sejm elekcyjny pojechał. Tam starała się królowa wdowa, Anna Jagiellonka, przeciągnąć go na stronę siostrzeńca swojego, Zygmunta królewicza szwedzkiego; a posłowie szwedzcy odwiedzili go, lubo sami luterskiego wyznania, z zapewnieniem o katolickich zasadach swojego królewicza. Nuncyusz politycznie odpowiadał, że papież pragnie jedynie katolickiego księcia na tronie polskim widzieć, za zgodą powszechną obranego; a tymczasem zawiązując ściśle stosunki z kardynałem Radziwiłłem, przez niego Litwinom i Zborowskim oraz innym naczelnikom stronnictwa kalwińskiego, gorliwie zalecał rakuskiego arcyksięcia Maxymiliana. W mowie publicznej jednak, na sejmie elekcyjnym mianej, (14 sierpnia) tylko katolickiego księcia, i zgodną elekcyą zalecał (2). Gdy w pięć dni później (19 sierpnia) prymas Stanisław Karnkowski, przeszedłszy do stronnictwa królowej i kanclerza Zamojskiego, Zygmunta królem ogłosił, i *Te Deum* za niego w kościele św. Jana odśpiewał, nuncyusz nie był przytomnym tej uroczystości. Nie zrywał jednak stosunków z królową, ani z prymasem; i gdy stronnictwo któremu potajemnie sprzyjał, przygotowywało elekcyą Maxymiliana, Annibal z Kapui pracował nad biskupami, aby się opierali rozszerzaniu swobód religijnych różnowierców, chociaż na nich spoczywały całe nadzieje Maxymiliana!

Gdy arcyksiążę zbliżył się do Polski dla utrzymania przemocą swojej elekcyi, nuncyusz, którego pobyt w Warszawie niezbyt był przyjemnym, dla ciągłej styczności z dworem królowej wdowy, wyjechał do Bodzencina, dóbr biskupa krakowskiego Piotra Myszkowskiego, z którym w zażyłych stosunkach zostawał; ztamtąd w imieniu papieża do obu stronnictw pisał, ofiarując się za pośrednika pomiędzy naj-

(1) *Compendio* etc. str. 142.

(2) *Mowa Annibala di Capua*, drukowana w Rzymie 1587 r.

jaśniejszymi elektami. Ale wkrótce zwycięstwo Zamojskiego pod Byczyną, i wzięcie Maxymiliana w niewolę, uczyniły pośrednictwo niepotrzebnym, i nuncyusz w imieniu papieża uznał Zygmunta królem, w Niepołomicach, w maju 1588 r., i wjazd uroczysty do Krakowa odprawił.

Wtedy zajął się gorliwie rozszerzeniem wiary katolickiej na Wołoszczyźnie, dając w tém pomoc komornikowi wojewody multanńskiego, *Bartłomiejowi Bruti*, i posyłając mu missyonarzy z Jezuitów, pomiędzy któremi najczynniejszym był *O. Stanisław Warszewicki*, brat znanego z dzieł historycznych i z wymowy sejmowej, *Krzysztofa*. Na sejmie warszawskim 1589 r. silnie popierał nuncyusz sprawę wiary katolickiej przeciw różnowiercom, i władzy kościelnej przeciw świeckim. Jakoż w marcu tegoż roku zwołał Annibal z Kapui zgromadzenie biskupów w zakrystyi u św. Jana, i wymownie zagrzewał ich do dzielnej obrony wiary katolickiej, a zarazem do reformy nadużyć w dyscyplinie kościelnej. Zobowiązali się obietnicą biskupi, i w części dotrzyмали jęj niebawem; gdyż z powodu ich stanowczego oporu, odrzucił sejm konstytucyą dla różnowierców przez nich zaprojektowaną.

Przybycie do Polski kardynała legata *Hippolita Aldobrandini* (który później papieżem został pod imieniem Klemensa VIII), dla prowadzenia układów o uwolnienie arcyksięcia Maxymiliana, pozbawiło nuncjusza tego zaszczytnego trudu. Po zawarciu *paktów będyńskich*, król Zygmunt odwiedził więźnia swojego w Krasnymstawie; towarzyszył mu i nasz Annibal z Kapui, i list jego z Krasnegostawu pisany, 29 maja 1589 r. kończy właśnie w rękopisie biblioteki *Brancacciana* korespondencyą jego, której tłumaczenie polskie wydajemy.

Nie musiał długo potem Annibal z Kapui w Polsce bawić, bo już pod rokiem 1590 napotykamy *Mikołaja Mascardi* nuncjusza w Polsce (1). Grzegorz XIV papież miał go w nagrodę znakomitych zasług purpurą kardynalską ozdobić, ale mu do tego śmierć (r. 1590) przeszkodziła, gdy nie więcej nad jedenaście miesięcy panował (2).

W 1595 roku 2 września o godzinie XIIItej (z rana) umarł w Neapolu arcybiskup Annibal z Kapui. „Prafat urodzeniem, nau-

(1) Akta nuncjusza Annibala z Kapui w głównym archiwum królestwa w r. 1587 obejmują jeden tylko bardzo szczupły *Volumen* nr. 4 oznaczony. Następnie jest przerwa aż do początku wieku XVII za nuncyatury *Klaudyusza Rangoni*.

(2) *Zedler: Universal Lexicon*, pod wyrazem *Capua*.

ką i znajomością wysokiej dyplomacyi (*isperienza di gran maneggi*) znamienity, (pisze tyle razy przywiedziony przez nas społeczny dziejopis neapolitański). W rządach katedry swojej zachowywał przyzwoitą powagę, z którą umiał prawdziwą grzeczność i uprzejmość łączyć. A na przekór tym, którzy mało albo nie umieją, łaskawymi względami zaszczycał uczonych, jako sam w naukach doskonale wyćwiczony" (1).

Taki obraz kreślą nam społeczne dzieje o Annibalu z Kapui, któregośmy dotąd z przycinku tylko *Piaseckiego* znali, jako: „kurlawy nuncyusz w czasie rozdwojenia elekcyj na wieżę św. — Jańską wdrapał się dla przypatrywania się przyszłemu krwi rozlewowi (2).” Z tego zarzutu przynajmniej oczyszcza go zupełnie nie tylko listy własne, ale i postronne materyały, któreśmy do tego zbioru dodali, aby z nich jedną całość o dziejach naszych od 1587 r. do połowy 1589 r. utworzyć, i o jeden *pamiętnik* więcej literaturę naszą historyczną wzbogacić.

(1) *Compendio* etc. str. 139.

(2) *Piasecki*, str. 71.

O NAJDAWNIEJSZYCH PRAWACH LITEWSKICH

UPATRZONYCH PRZEZ P. MACIEJOWSKIEGO W DYPLOMATACH Z XIII WIEKU,
RYDZE I INFLANTOM SŁUŻĄCYCH.

PRZEZ

Józefa Jaroszewicza.

P. Maciejowski w kilku miejscach pism swoich, tak ważnych pod względem dziejów i kraju i prawodawstwa naszego (1), za złe mi to poczytał, że przy układzie mojego Obrazu Litwy, zaniedbał zajrzeć do najdawniejszych źródeł praw litewskich, dostrzeżonych w niektórych dyplomatach zbioru p. Turgieniewa (2), gdyż przez to badania moje, odnoszące się do pierwotnych praw Litwy, stać się musiały z wielu miar niedostatecznymi. I w rzeczy samej, szczerba w mojej pracy musiała się okazać znaczną, kiedy odkryte w owych źródłach ślady pierwotnego prawodawstwa Litwy, sięgać mają czasów nie już tylko Witowta lub Mindowsa, ale może nawet przed-Ryngoldowych, i kiedy tym sposobem poznany początek kilku praw litewskich, da się już dzisiaj pogodzić z ich środkiem i końcem, czego bez owych pomników uczynić do-

(1) Pierwotne dzieje Polski i Litwy. 1846, str. 175, 176, 531, 532. Słódko o postępie nauki prawa litewskiego, w Bibliotece Warszawskiej r. 1846. Luty.

(2) Historica Russiae monumenta etc. Petropoli, 1841, wydane przez Kommissją Archeograficzną w T. I.

tań było niepodobna (1). Tak ważne ostrzeżenie z prawdziwą przyjąłem wdzięcznością, dowiedziałem się albowiem o rzeczach niemal zupełnie dla mnie nowych, a nowych z tego najbardziej powodu, że przy układaniu mojego dziełka, zbywało mi na zbiorze dyplomatów p. Turgieniewa, gdyż inaczej możebym i nie zaniedbał z niego korzystać. Aby więc poprawić to uchybienie, jeśli rzeczywiście miało miejsce, a z drugiej znowu strony uchylić się od zarzutu, że milczeniem odrazu przystaję na wszystko i nie wchodząc w ściślejsze rozpoznanie rzeczy, gotów jestem na ślepo *jurare in verba magistri*, osądziłem za rzecz konieczną bliżej się rozpatrzeć we wskazanych mi źródłach. Winienem w tém miejscu oświadczyć mą wdzięczność p. M. Malinowskiemu, który do skutecznienia tego zamiaru łaskawie mi dopomódz raczył, nadsyłając żądane kopie tych mianowicie dyplomatów, na których p. M. swoje wnioski i twierdzenia głównie oprzeć usiłował. Zobaczymy więc teraz, czy przy szczegółowym ich rozbiorze toż samo, co p. Maciejowskiemu uda się nam wysnuć z tych źródeł.

W czterech dyplomatach z XIII wieku w latach 1226, 1231, 1235 i 1284 wydanych (2), mają się znajdować owe pierwotne prawa Litwinów, o których mówić będziemy (3). Jedne z nich odnoszą się do zniesionych praw pogańskich, których miejsce zajęły nowe przepisy z duchem chrześcijaństwa zgodne; drugie sąto prawa zupełnie nowe, przez Niemców w Inflantach zaprowadzone, które przez stosunki zapewne Litwy z tym krajem i naśladownictwo wejść miały w praktykę i na Litwie; trzecie nakoniec mają należeć do rzędu owych praw, które jakoby od wieków już między plemionami letońskimi zachowywane, przetrwały do czasów chrześcijańskich, i przez wzgląd na ich wewnętrzne zalety, w prawach późniejszych pisanych powtórzone zostały.

O pierwszym gatunku praw mówi dyplomata z r. 1235. Jest to pismo okolne Wilhelma biskupa modeńskiego, legata stolicy apostolskiej, w którym przywodzi świeżo otrzymaną bulę Grzegorza IX, datowaną z Witerbu VII kal. Martii (23 Febr.) stanowiącą

(1) O postępie nauki prawa i t. d. l. c. str. 331.

(2) *Monimenta Russiae*, T. I, p. 18, 28, 40, 85.

(3) Jeszcze dawniejsze źródła prawodawstwa litewskiego, odkryto jakoby w dyplomataruszach przez uczonych Niemców drukowanych. (Pierwotne dzieje Polski i Litwy, str. 527), lecz te nie są mi znane.

wiącą między innemi: że neofitom wolno zatrzymać żony przed chrztem pojęte, jeśli tylko ich związki nie sprzeciwiają się prawu Boskiemu (1).

Pominąwszy niewłaściwe może przywózenie tego dyplomu, mającego bardziej Estonią niż Inflanty na widoku; słusznie jednak utrzymuje p. M. że to zastrzeżenie władzy duchownej odnosi się niewątpliwie do zwyczaju od wieków między pogaństwem tych stron zachowywanego, który pasierbom dozwalał a może nawet nakazywał brać w małżeństwo owdowiałą macochę (2); lecz o takim zwyczaju, będącym w praktyce i między ludami letońskiego plemienia, wiedzieliśmy już dawniej, a nawet więcej szczegółowo (3). Wspomina o nim Maciej z Miechowa pisząc o Żmudzi: „*apud quos, s'łowa s'ą tego kronikarza, licitum erat uni viro plures habere uxores, et patre mortuo novercam, fratremque glorem in uxorem recipere* (4). Czy ten zwyczaj przynieśli z sobą Litwini ze Wschodu, naśladowując w tém prawa dawnych Azyi ludów, które w szczególnej opiece mając kobiety, przez ludzkość dozwalały a nawet kładły obowiązek na blizkich krewnych

(1)*Ut Magister et fratres (Militiae Christi in Livonia) resignent in manu tua Ecclesiae Romanae omnem munitionem castris Revaliae, Revaliam quoque et Hacıam, Wironiam, Gervam. Reddant quoque spolia occisorum, et pecuniam pro redemptionibus captivorum, ac reficiant castra Agnileti et Goldenboret et infeudationes quas fecerunt in terris eisdem, non differant renovare.... Neophiti in causis secularibus, quae forum ecclesiasticum non requirunt, stent juri coram iudici seculari et in quo si eos gravari contingat, poterunt ad suos episcopos appellare Praeterea supradicti neophiti, libere primas uxores suas retineant, quas ante baptismi gratiam receperint, habentes duntaxat exceptas, quas lex divina habere prohibet... Ideoque fraternitati tuae etc. (Monimenta I, 40).* Taka jest osnowa główniejszych miejsc tego pomnika. Jestże to dyplom inflancki? Nie chciałbym go brać za taki, bo widocznie odnosi się do Estonii, gdzie jak dotąd i w owe czasy nie Łotwa, lecz Czuchny mieszkali, gdzie były owe krainy *Wirronów* i *Hirronów* o których i przywilej wspomina. Właściwie więc dyplomu tego nie należałoby tu przywozić, chyba może tylko dla okazania, że co do małżeństw, zwyczaje Litwów zgadzały się ze zwyczajami Letów. Wprawdzie mógł ów warunek dyplomu, jako dość w ogólnych wyrazach oznaczony, nie ograniczać się Estonią, ale sięgać i Inflant; lecz to będzie tylko domysłem. Wypisaliśmy go jednak przynajmniej na poparcie podania naszych kronikarzy, o podobnych małżeństwach na Żmudzi.

(2) °O postępie nauki prawa i t. d., str. 331.

(3) Obraz Litwy. I, str. 118, 150, przyp. 46.

(4) Descriptio Sarmatiae, w zbiorze Miclera. T. I, str. 207.

i powinowatych brać takie wdowy w małżeństwo (1), czy też może uważać go należy za rodzimy litewski, który bez względu na jakiś wzór obcy, z miejscowej urosł potrzeby? Nie chcąc budować na domysłach, w rozbiór tego pytania wchodzić nie będziemy; ale na to chętnie się zgadzamy, iż z tego zwyczaju mogło w części wypłynąć późniejsze statutowe rozporządzenie, nakazujące dawać wdowom podwójną nawiązkę i zapewniające im obok pasierbów pewne korzyści prawne z majątku zmarłego męża (2). Takowy wniosek więc do przekonania mówi niż twierdzenie Czackiego, który prerogatywy prawem pisanym litewskim zastrzeżone, z ich stanu wolnego w czasach pogańskich usiłował wywodzić, czego właśnie przy wielożeństwie Litwinów upatrzeć byłoby trudno.

Drugiego rodzaju prawa mają się znajdować w okolnym liście Hermana biskupa ezelskiego z r. 1284, w którym ponawia i zatwierdza prawa i obowiązki przez poprzednika swego dla neofitów w dyecezyi ezelskiej w siedmiu kilegundach czyli powiatach zamieszkałych, przepisane. Według tego dyplomatu obowiązani byli neofici: 1) oddawać dziesięcinę z przedmiotów, podług prawa Boskiego tój daninie uległych, i takową zwozić byle nie do miejsc za granicą dyecezyi położonych; 2) z łanu inflanckiego, *uncus* (3), płacić po półtrzeciłej grzywny (4); dawać po jednym żrebięciu (5); dzień orać własnymi wołami, a dwa dni żąć; dwie fur siana i sążen kubiczny, *Vaden* (6) drzewa dostawić; 3) winni są prócz tego: kościoły, zamki i domy panów swoich i plebanów budować, jako też do obrony kraju na wezwanie biskupa

(1) O postępie nauki prawa, str. 336.

(2) Tamże.

(3) *Uncus*—*Hacken*—w r. 1232 zawierał w sobie 30 morgów, z których każdy miał 30 prętów długości, a 10 szerokości. Nie wszędzie jednak w Inflantach równa była miara *Hackenów* (*Arndt Liefl. Gesch.* str. 43. Czacki o lit. i pol. pr. I, str. 221). Taż miara mogła być i na *Ezelit*.

(4) Mowa tu zapewne jest nie o grzywnie czystego srebra (*marca puri, ponderati argenti*), boby to było zawiele, ale o grzywnie używalnej (*marca usualis argenti*) Zob. Czacki. I, 154.

(5) W dyplomacie powiedziano: „*de quolibet unco, pullum unum.*” *Pullus* niezawsze znaczy żrebie, ale i drób młody; że jednak w przywilejach średnich wieków nieraz mamy wzmiankę o daninie w żrebiętach, *poledrus*, być może że i tu o nich jest mowa.

(6) W średniowiecznej ortografii niemieckiej często zamiast *f* pisało *v*, np. *vasten Vreede*, zamiast *festen Frieden*. Tu *Faden* tyleż znaczy co *Klafter*, sążen.

stawać; 4) Co do sądownictwa, tedy w rzeczach duchownych ulegają władzy kościelnej, w świeckich zaś zostają pod jurysdykcją swych panów, z wolną wszakże apellacją do biskupa. Wreszcie dodano: że do wymienionych posług i danin, mogą neofici co zechcą dodać, byle się to stało z dobrej ich woli i bez przymusu (1).

(1) In nomine sanctae et individuae Trinitatis. Hermannus Dei gratia osilensis Ecclesiae Episcopus etc. Universitati vestrae notum esse cupimus, quod praedecessoris nostri vestigiis inhaerentes, *statuta ac jura*, quae ad petitionem neophitorum diocesis nostrae praelibatae, de consensu Magistri ac fratrum domus Theutonicae *ibernorum* (?), ac Vassalorum Ecclesiae nostrae, a jam dicto praedecessore nostro, bonae memoriae edita, ac conscripta fuerunt, et de consilio et consensu Praelatorum et Canonicorum Ecclesiae nostrae, Commendatoris ac fratrum Domus Theutonicae in *Leal* (pierwsza osada Mieczowych) vasallorum ac seniorum Ecclesiae jam praelibatae domus, praesentibus litteris duximus *innovanda* ac etiam auctoritate qua fungimur *confirmanda*. Quorum Statutorum ac jurium tenorem, praesentibus duximus declarandum, videlicet: ut solvant decimas de omnibus, quae secundum jus divinum, consueverant decimari. Item de quolibet unco dabunt duas marchas.. (opuszczony wyraz) cum dimidio. Item de quolibet unco pullum. Item una die arabunt dominis suis, propriis bobus et propriis expensis, duobus vero metent. Item de eo qui metere potest, unum de quolibet *Vitzkatu* (?) duas plaustras feni solvere promiserant. Item de quolibet unco, ducent unum cubitum lignorum aequum in longitudine et latitudine et altitudine, qui *Vaden* vulgariter appellatur. Item de vino *Gordii Brazni* (?) facient illudque suis dominis portabunt. Item decimam etiam praelibatam ducent ubi dominis placuerit, dummodo in diocesi loca fuerint, ad quae ducent, extra diocesim autem ducere non cogentur. Praeterea castra Ecclesiae et domos dominorum suorum aedificabunt, si ipsas contingat per incendium vel insultus hostium devastari. Item Ecclesias suas et Plebanorum aedificabunt et reaedificabunt, si fuerint incendio vel aliquo casu fortuito devastatae. Item ad expeditionem et ad terrae defensionem parati erunt, cum ipsis ab Episcopo fuerit intimatum. Teneantur etiam ad jura spiritualia et pontificalia et in aliis causis coram dominis suis stent juri, iudicio seculari, in quo si ipsos indebite gravari contigerit, possunt secundum mandatum apostolicum et jus gentium ad Episcopum appellare. Si autem ultra quod praescriptum est, dominis suis sive in servitiis, vel aliis donis, sine aliqua coactione, sed bona voluntate adijcere voluerint, hoc ipsorum libero arbitrio duximus relinquendum.—Nulli ergo omnino hominum liceat hanc innovationis et confirmationis nostram paginam infringere, vel ei auso temerario contraire. Si quis autem hoc attentare praesumpserit, excommunicationis sententiam, quam in talem inferemus, se noverit incursurum, ad poenam aliam nihilominus secundum mandatum apostolicum processuri, si hoc meruerit profervitas contumacis. Plebanis autem in his septem Kilegundis constitutis districtius injungimus, ut quisvis in ecclesia sua tenorem litterae praelibatae bis in anno, videlicet in festo Paschae et in Assumptione

Taka jest treść dyplomatu. W nimto upatruje p. M. zaród owych późniejszych robocizn, opłat i danin, któremi lud wiejski na Litwie do zbytku był uciążony. Jakoż odwołując się do tego pomnika, między innymi mówi: „Wtedyto (gdy papieże robili świeckie i duchowne urzędownia w zawojowanych przez kawalerów Mieczowych krajach) narzucono na tych Litwinów ciężary, których snąć nie znali oni niegdys”. Dalej zaś: „*Robocizny* pod nazwiskiem *Serebszczyzn* występujące w statucie, tudzież opłaty wszelkiego rodzaju, rozciągnięte później na wszystkie ludy pod panowaniem Litwy zostające, powstały w XIII wieku” (1). Zastanówmy się teraz nad tém wszystkiém więcej szczegółowo.

I w tym dyplomacie zawarte rozporządzenia odnoszą się nie do Łotwy lub Kuronów, ale właściwie do Liwów w siedmiu kilegundach dyecezyi ezelskiej zamieszkałych (2). Jak na ów wiek stanowią one znaczne zapewne daniny, a nawet mogły być niemało uciążliwe, wkładając obowiązek służby wojennej i poma-

beatae Virginis, coram vasallis et neophitis, non negligant recitare, si et ipsi praemissam poenam vel consimilem voluerint evitare. Ut ergo praelibata firma et inconvulsa permaneant, praesens scriptum sigillo nostro et capituli nostri fecimus communiri. Datum in Leapasellae Anno 1284 (*Zbiór Turgieniewa I, str. 88*). Kilka wyrazów w tym liście jest dla nas zupełnie niezrozumiałych. Co znaczy np. *de quolibet Vitzkatu?* albo: *de vino Gordi Brazni facient?* Może to są jakie słowa wzięte z języka Liwów. W mowie litewskiej nie znalazłem coby jakiegokolwiek podobieństwo do brzmienia owych wyrazów miało.

(1) O postępie nauki prawa i t. d. l. c. str. 331, 332. Toż samo utrzymuje p. M. w swoich Pierwotnych dziejach Polski i Litwy str. 175, 176, z tą tylko różnicą, że te ciężary, chociaż od Niemców jakoby przez Litwinów były przyjęte, znajdowały się już w prawie gockim, ale gockim w znaczeniu takim, jakie mu p. M. nadaje, o czém niżej mówić będziemy.

(2) Zdało mi się na tę okoliczność zwrócić uwagę, gdyż w początkach, jak o tém i dyplomata społeczesne nas przekonywają, surowiej podobno postępowano z Liwami, zwłaszcza ezelskimi, których morskie rozboje dały się we znaki Niemcom, niż z Łotwą lub Kuronami. Liwy, Esty, inaczéj Czuchnami zwani, nie byli letońskiego rodu, lecz plemienia fińskiego (pobratymcy Permjaków, Czeremissów, Loparów), którzy jak dotąd tak i w XIII wieku zamieszkiwali wyspę Ezelią. Ztąd téż i wyspa ta zowie się nie po łotewsku lub kurońsku, ale po estońsku *Sarema* czyli krajem wysp, albo *Kure-saar*, t. j. Żórawią wyspą; ztąd i stolicę Areusberg mianują po swojemu *Sarema-Lin*; ztąd wreszcie i podział ich kraju na *Kilegundy* wśród plemion estońskich tylko znany, bo jeśli na *Kilegundy* natrafiamy w Inflantach, jak widzimy w dyplomatach z r. 1231 i 1284 (*Turgieniew I. 28, 85*), to tylko dowodzi, że nie wszyscy Liwowie wyparci zostali za Windawę, i że zmieszanych z Łotwą lub Kuronami jeszcze odróżniano.

gania w budowlu kościołów, zamków i t. d. Wszakże mówiąc w powszechności, władza duchowna przy nawracaniu na wiarę chrześcijańską Liwów, Łotyszów, Kuronów, Wendów, Kuningów i Krewingów zamieszkałych na pobrzeżnych Inflantom wyspach i na stałym lądzie, nie wkładała na neofitów nadzwyczajnych ciężarów i powinności; owszem usiłowała ich zasłaniać od zbytich ucisków, czego dowodem są i przywileje im nadawane, i układy z nimi zawierane. Piérwsze nas uczą: że taż władza miała sobie za obowiązek z nowonawróconemi po ojcowsku i z chrześcijańską postępować łagodnością (1); z drugich zaś dowiadujemy się, iż w nich albo w ogólności oznaczano że takie tylko składać mają podatki, jakim podlegają rodowici Gotlandczycy (2); albo téż główną daninę do zsyпки zbożowej, i to w miarę uprawianego gruntu, zredukowano (3). Rozporządzenia nawet tyczące się Liwów ezelskich, choć

(1) „Circa personas vero et terras, quos dominus ad fidem vocaverit, provideas quod neophiti congrua libertate gaudeant” (*Bulla Grzegorza IX do Wilhelma biskupa modeńskiego, legata apost. dat. z Witerbu XV Kal. Mar. (15 Febr.) papieżstwa IX, t. j. 1235. Turgieniew I. 38*). „Perpetuam enim eis (neophitis) indulsumus libertatem, quamdiu eos apostatate non contigerit.” (*Tegoż papieża bulla dat. z Reate III Idus Febr. (11 Febr.) papieżstwa IV, t. j. 1231 r. zatwierdzająca udzielone w r. 1230 Kuronom prawa i swobody przez Baldwina zastępcę legata Ottona. Turgieniew I. 28*). Baldwin mnich o którym ta bulla wspomina, apostoł i opiekun Kuronów i Łotwy, widząc jak rycerze Mieczowi wcale nie myśleli według przepisów władzy duchownej postępować z neofitami, chciał ich dumę i chciwość władzą świecką poskromić. W tym celu wyrobił u cesarza Fryderyka IIgo postanowienie, w którym dla nowo-nawróconych i na przyszłość drogą pokoju nawrócić się mających, zapewniono wszelką własność i prawa ich stanowi odpowiednie, a wyłączono ich zpod wszelkiego daniectwa i jurysdykcyi królów, ksiąząt, hrabiów i szlachty; przyrzeczono nawet, że im téż same prerogatywy służyć mają, co wolnym poddanym państwa rzymskiego i stolicy apostolskiej (*Reynold Annal. Eccl. T. XIII, p. 219. Gebhardi Gesch. v. Liefland. etc. s. 369*). Na nieszczęście tych ludów, rycerze Mieczowi, nieodrodni bracia Krzyżaków ani o duchowną, ani o świecką władzę niewiele dbali.

(2) „Ad ea vero jura quae persolvere tenentur indigenae de Gothlandia per omnia perpetuo tenebuntur Episcopo suo suisque praelatis annuatim persolvenda, ita quod nec regno Daciae et Sveciae subiciuntur.” (*Dyplomata nńej wypisany z r. 1231*).

(3) „Talem facimus compositionem, cum se offerent ad subeundum jugum Christianitatis, quod videlicet ipsi, et eorum successores, de quolibet unco (tu wzięty za sochę) solverent nobis annuatim, dimidium navale talentum (pół szyfunta czyli 208 funtów) siliginis, et de erpica, quae vulgari nostro Egede (brona) dicitur, solverent shailiter dimidium talentum siliginis.

wkładały na nich różne ciężary, które, mówiąc nawiasem, może i nie były większe od tych, jakie w średnich wiekach i w Polsce postrzegać się dają (1); jednakże nie zaprowadzają jeszcze tygodniowej pańszczyzny i nie usuwają ich zpod opieki prawa, owszem zapewniają im wolność szukania sprawiedliwości u samego biskupa, w razie pokrzywdzenia przez pierwszą instancją.

Ale chociaż ezelscy Liwonowie w XIII już wieku do większych służb i danin, niż ich sąsiedzi letońskiego rodu obowiązani być mogli, wszystko to jednak nie może iść w porównanie z tém, co się później w tej mierze dało widzieć w Inflantach. Gdybyśmy zatem koniecznie w tym kraju, a nie gdzieindziej, szukać chcieli wzoru, podług którego urządzali u siebie Litwini uciążliwe stosunki poddanych z dziedzicem, tedy sądziłbym, że wzoru upatrywać należy nie w owych dyplomatach pod wpływem i powagą władzy duchownej układanych, ale w niecném postępowaniu z pokonanymi Inflanckami dumnych a bogactw i władzy chciwych kawalerów Mieczowych. Onito, zwłaszcza od czasu gdy się zpod władzy biskupów rygskich prawie wyłamali, a z Krzyżakami w jedno zrosli ciało, zaczęli zaprowadzać w tych stronach ów niesłychany ucisk ludu prostego. Na nieszczęście posłużyło im przyjęte w owym wieku prawidło: że ci, którzy nie dobrowolnie, lecz mocą oręża nawróceni będą, nieograniczonej woli zwycięzcy ulegać mają. Czegoż im więcej było potrzeba? Nie robiąc różnicy między chętnym a niechętnym nowój wierze, gdzie tylko mogli nawracali orężem, a na pokonanych ciężkie narzucali

Si vero aliquis uno equo laborat in unco et erpica, non solvet nisi tantum dimidium talentum siliginis. Insuper sacerdotibus suis, quos de Riga advocabunt, quantotius poterunt, absque periculo, necessaria vitae persolvent, et ab eis obedienter Baptismum recipient et legem christianam, salvis sibi possessionibus et proprietatibus agrorum, caeterarumque rerum sine contradictione cujuslibet potestatis. Praeterea iidem Curones nobiscum impugnabunt inimicos Christi. Ne ergo quae gesta sunt a nobis, processu temporis evanescant, et in irritum deducantur, nisi forte Curones infregerint, rebellando Christianos, firmandum duximus” etc. Układ Ryżan i kawalerów Mieczowych z Kuronami zawarty w Rydze 1230 r. (*z Nettelbadta Rer. Curl. fasc. 1, p. 145, u Narbutta. Dzieje III, Dodat. VII, str. 591*).

(1) Aby się o tém przekonać, można porównać dyplomaty ezelski z przywilejem tynieckim z r. jakoby 1105 (*Szczygielski. Hist. Monast. Tynec. p. 138*), lub przywilejem Mieczysława Starego z r. 1145 danym Cystersom w Lendzie osiadłym (*Kod. Dypl. Warsz. T. I. nr. 1*), gdzie podobne a może i liczniejsze znajdziemy daniny i robocizny dworowi należne, nie mówiąc już o powinnościach publicznych.

poddaństwo. Otoż zkąd książęta i panowie litewscy brać mogli naukę, jak gnębić lud wiejski, gdyby rzeczywiście ściślejsze poddaństwo, tylko z Inflant miało się wcisnąć do Litwy. Lecz niech nam wolno będzie wyznać, że właśnie o tém nie mamy dostatecznego przekonania. Nam się zdaje (bo nie mówimy *ex cathedra* i zwyczajem naszym nie narzucamy nikomu naszego przekonania), że do zaprowadzenia przez naśladownictwo obcych instytucyj potrzeba, aby kraj na niższym stopniu cywilizacji będący, albo sobie podbił kraj oświecenszy, albo też przez długi czas i ciągle zostawał z nim w przyjaznych stosunkach. Lecz tu właśnie ani jedno, ani drugie nie miało miejsca. Jeżeli tak przeważny miał być wpływ urzędów inflanckich, czemuż sąsiednia Żmudź naprzód nie uległa temu wpływowi? Żmudź, po której nieraz gospodarzyli ciemieży Kuronów i Łotwy i jej swoje panowanie narzucali? Dlaczego ten wpływ nie zaraziwszy Żmudzi, pominać miał tę krainę i dopiero w dalszej od Niemców pojawić się Litwie, która do XIII wieku przy podobnych mniej więcej co na Żmudzi socyalnych porządkach i przy żadnym albo małym jeszcze tylko znaczeniu możnych i zwierzchników swoich, równą może ze Żmudzią ciesząc się swobodą gminu, nie była jeszcze usposobioną do przyjęcia bez gwałtownych wstrząśnień, drogą spokojną uciążliwych instytucyj niemieckich. Jeżeli jednak w czasie ich zaprowadzenia w dyecezyi ezelskiej, t. j. pod koniec XIII wieku (r. 1284) rzeczywiście już i na Litwie dają się postrzegać zmiany w jej bycie pierwiastkowym, zmiany, które i na stan gminu niekorzystnie wpłynęły: jakaż tego mogła być przyczyna? Zobaczymy, czy odpowiedzi na to nie znajdziemy na Rusi.

Ruś osłabiona podziałami, znękana i poniżona napadem Tatarów, przedstawiała łatwą i gotową zdobycz dla zaborczej Litwy, która od początku XIII wieku coraz czynniej na scenie dziejów występować zaczęła. Podboje te koniecznie wpłynąć musiały na położenie wyższej i niższej klasy ludności litewskiej; wszakże o ile przez to zyskała pierwsza, o tyle a może i więcej straciła druga: bo właśnie na Rusi wojownicy litewscy znaleźć mogli gotowe już wzory większej uległości gminu, z czego też korzystać nie zaniedbali.

Wiadomo, że na Rusi książęta waragscy, budując zamki i rozdając ziemie swojej drużynie, zaprowadzali feudalność. Kiedy się jednak Waragowie z Rusią w jedno ciało zleli, pierwotny feudalizm powoli ustawał i od czasów Jarosława W., a bardziej

jeszcze Włodzimierza W. rząd zaczął przechodzić do rodziny, a z jej rozmnożeniem do rodu; lubo ten porządek nieraz się miewał, gdy jedni dobijali się o W. księstwo na mocy prawa familijnego (np. wnuk po dziadzie), drudzy zaś na mocy prawa rodu (np. stryj przed takim wnukiem). Systemat Jarosława sprawił, że się Rossya podzieliła na księstwa, które, gdy w nich potomstwo Andrzeja Bogolubskiego dziedzicznie osiadło, bez końca dzielić się musiały. Wiadomo i to: że dopiero W. książęta moskiewscy byli pierwszymi, co przełożywszy interes polityczny nad interes pokrewieństwa, uchyliłi prawa osobiste, przez co syn starszy jako W. książę otrzymywał najwięcej, młodsi zaś pozyskując coraz mniejsze wydziały, przeszli nareszcie do rzędu poddanych W. księcia, straciwszy samodzielność swoją. Wszakże ta zmiana nie należy do epoki o której mówimy, ani się też tak silnie jak w księstwach zadnieprskich odbiła na Rusi południowo-zachodniej, gdzie nawet feodalności upaść zupełnie nie dali Węgrzy, do feodalizmu oddawna nawykli, a którzy pod koniec XII i na początku XIII wieku w tych stronach władali.

W owych więc drobnych księstwach, jak kniazie bojarami, tak ci znowu ludem sobie podległym samowładnie rządziłi, a taki stan rzeczy nie mógł sprzyjać swobodom gminu. W takim właśnie położeniu Ruś zastali Litwini, gdy się za zdobyczą i zaborami po niej upędać zaczęli. Zdobywca nie z ludem, lecz z kniaziami, z bojarami wchodził w przymierze, ich język i obyczaj przyjmował, a przesiąkły ruseczyzną wprowadzał i do Litwy ruskie porządki, ale już wzięte w kluby feodalności przez nagłe zabory zaprowadzone. Może z początku tym nowym porządkom ulegli tylko koloniści ruscy, których osadzono w wyludnionej Litwie lub na Rusi litewskiej, lecz z czasem przy władzy feodalnej panów, uleż im musiała i ludność krajowa. Bo jak feodalny posiadacz ziem ruskich, Litwin czy Rusin, chciał być panem i prawodawcą wśród swoich podwładnych, czy Rusinów, czy Litwinów, co się po Rusi rozbiegli; tak i na Litwie kniazie i bojary, na wzór ruski utworzone, w ziemi sobie nadanej, a nawet choćby i dziedzicznej, równemże rządzić chcieli prawem jako dla siebie korzystnym.

Przez takięto praw i zwyczajów ruskich naśladowanie, niejedna robocizna, niejedna danina, wprzódy nieznane, ale książętom i bojarom dogodne, przyszły i do Litwy. Jak zaś ruskie porządki co do stanu mieszkańców łatwo sobie przyswajała Litwa, o tém jużbyśmy się mogli i z tego przekonać, że też same

dla Litwy co i dla Rusi pomnożenia niewolnictwa służyły przepisy. Jak bowiem na Rusi tak i na Litwie, nietylko niewolnik mógł być kupiony lub na wojnie zdobyty, ale się nim stawał człowiek wolny, gdy się zaprzedał lub niewolnicę pojmował za żonę; a chociaż prawo nibyto w opiekę brało życie niewolnika, przez nałożoną takse na jego głowę, tém jednak ani jego losu osłodzić, ani téż bezpieczeństwa jemu zapewnić nie było w stanie. Gdzie podobne o prawach człowieka wyobrażenia upowszechnić się mogły, czyliż tam i lud wolny, jeśli nie w niewolę, to przynajmniej w poddaństwo, przy przemocy zwłaszcza feodalnej, z łatwością przechodzić nie może? Owszem tak było rzeczywiście na Litwie. Cóż bowiem innego mogło mieć na celu owe rozporządzenie statutu, które zastrzegło: że człek z urodzenia swobodny, skoro tylko na *woli* pańskiej lat dziesięć zasiedzi, w poddaństwo wieczne przejść musi.

To wszystko zważywszy, sędzę, że nie nauka inflanckich Niemców, z którymi Litwa prawie w ciągłych zostawała bojach (1), ale zabory Litwy na Rusi, której prawa i zwyczaje zwycięzca mniej oświecony sobie przyswajał, a co nadewszystko feudalizm z tych zaborów wynikły, ten miały skutek, że w Litwie, choć to kraj nie był zdobyty, zaprowadzono stopniami i utrwalono taki ucisk gminu, jakim Żmudź stariej pilnująca narodowości, nigdy nie uległa.

Uzupełniając uwagi nasze, któreśmy tu przy rozbiorze twierdzenia p. M. na ezelskim dyplomie oparte, podali, jeszcze o jednej okoliczności wspomnieć winniśmy, a mianowicie: że zdaniem p. M. *roboczny występują w statucie pod nazwiskiem serebszczyzn* (2). Że nazwisko serebszczyzn (3) jakby dla odróżnie-

(1) Jeżeli się w tej mierze i wcisnęło z Inflant do Litwy, czego zupełnie zaprzeczać nie chcemy, nigdy to jednak stanowić nie mogło zasady stanu litewskiego poddaństwa, ale było tylko dodatkiem do rzeczy już gotowej.

(2) O postępie nauki prawa lit. l. c. str. 331. Toż samo czytamy i w *Historii prawodawstw słowiańskich*. T. III str. 266, przyp. 590.

(3) Nie będziemy się spierali o źródłosłów tego wyrazu. Czacki wyprowadza go od srebra, co najprostsza zdaje się być etymologią (*I. str. 202*). Inni od sierpa, bo to był podatek od zbioru sierpem, co także nie do odrzucenia (*Dzieje Litwy i Polski do Unii, str. 185*). Kto na tych prostych wywodach nie przestaje, może szukać źródłosłowu w wyrazie łacińskim *Serritium*, a nawet w wyrazie *Serb*, bo w ruskich jakoby ziemiach i gdzieindziej, mianując serbami gmin prosty, nazywano serebszczyzną roboczny nań wkładane (*Maciejowski, Historia prawodawstw l. c.*).

nia od danin składanych w naturze (osepów, miodu, bydła, drobiu i t. d.) najczęściej tam natrafiamy, gdzie tylko o opłatach jest mowa, żadnej w tém nie masz wątpliwości, i łatwo się o tém przekonać możemy z najdawniejszych źródeł prawodawstwa litewskiego i kronikarzy naszych (1); lecz żeby przez serebszczyznę rozumiano i robocizny, na to nie mam żadnego dowodu.

Trzeciego nakoniec rodzaju prawa, t. j. takie, które od wieków miały być zachowywane między plemionami letońskimi i które później przeszły nawet do statutu, znajduje p. M. w bulli Honorjusza III pisanéj do Ryżan z Lateranu VIII kal. Decembr. (24 9br.) papieżstwa XI, czyli 1226 r. Jestto potwierdzenie układu zawartego za pośrednictwem znanego już nam legata Wilhelma biskupa modeńskiego w r. 1225 między Ryżanami z jednej, a biskupem inflanckim Albertem, tudzież Janem proboszczem ryskim i rycerzami Mieczowemi z drugiej strony, względem jurysdykcji i pewnych swobód miastu przyznanych.

Z układu tego dowiadujemy się: 1) że od założenia Rygi (2) biskup Albert dozwolił miastu rządzić się *w powszechności prawem gockim*, w szczególności zaś uwolnił Ryżan: *od sądów bożych przez*

(1) Na sejmie grodzieńskim 1507 r. kazało wybierać serebszczyznę z całego W. X. Lit. od świeckich i duchownych, a mianowicie: od sochy wołowej po 15 gr., od końskiej połowę tego, od posiadaczów ziemi, którzy sochą nie orzą po 6 gr., a po 3 gr. od ogrodników. (*Działyńskiego zbiór praw lit. str. 112*). O płaceniu nie zaś robieniu serebszczyzny jest wzmianka i w przywileju Zygmunta Igo danym żydom (*tamże str. 110*). Za tegoż króla r. 1513 kazało wybierać opłatę serebszczyzny po 3 gr. od sochy (*Czacki I, str. 202*), a w r. 1551 za Zygmunta Augusta sejm wileński na trzy lata od sochy po pięć groszy serebszczyzny naznaczył. (*Strykowskiego Kronika str. 750*). Nazwisko serebszczyzny zostało i przy podatku, który w zamian za powinność osobistej służby wybierano; a ponieważ szło tam o zastąpienie służby konnej, miał ten podatek zwłaszcza na Żmudzi nazwisko *Pokoniewskie, Pokoniowszczyzna*, i wynosił niekiedy, jak w r. 1552 kopę groszy litewskich, czyli z górą 23 zł. dzisiejszych (*Strykowski w Kronice str. 751*). Czytamy w ustawie włócznej Zygmunta Augusta z r. 1557, iż serebszczyznę tylko z włók nie zaś od wołów i kłacz wybierać było wolno (*art. 18 w Obrazie Litwy, II str. 239*). Nakoniec we wszystkich trzech statutach, serebszczyzna zawsze znaczyła pieniężną daninę nie zaś robocizną (Sta. I. R. I. art. 22. Stat. II. R. I. art. 25, u Czackiego I. str. 201. Stat. III. R. III. art. 29).

(2) Osada Rygi miastem uznaną została 1199 r., nadanie swobód o których układ wspomina, nastąpić musiało około r. 1208. (*Arndt Liefl. Chron. Th. 2 str. 43, i pod r. 1200*).

pojedynek i rozpalone żelazo, od cła i grabieży własności rozbitków morskich. 2) Biskup może bić monetę, byle téjże dobroci i wagi, co moneta Gotów czyli *Gollandyi*. 3) Każdy nowy osadnik może zostać obywatelem Rygi, skoro w przeciągu lat trzech dowiedzie, że mu służy prawo Niemców mieszkających w *Gotlandyi*, gdyż témże prawem rządzą się i Ryzanie, z tą tylko różnicą, że Niemcy *gotlandscy* mogą poniekąd ustanawiać kapłana (sacerdotem), czego nigdy Ryzanom czynić niewolno. Nakoniec 4) aby nie było wątpliwości, co właściwie przez prawo gockie rozumieć potrzeba, wyjaśniono: że to prawo zależy na prerogatywie, jaka służy Ryzanom, w swobodném obieraniu sobie sędziego, którego biskup zatwierdza, i przy téj okoliczności szczegółowo oznaczono, jaka ma być rozciągłość jurysdykcji miejskiej (1).

(1) Ponieważ ten dyplomata wielką gra rolę w badaniach p. M., przeto całkowitą jego osnovę wypisuję. *Communitati Civitatis Rigensis Honorius Episcopus servus servorum Dei. Ea quae iudicio vel concordia...* (brak kilku słów). *Eapropter petitionibus vestris, grato ac benigno concurrentes assensu, compositionem, quae inter vos ex parte una et venerabilem fratrem nostrum Episcopum Livoniensem (opuszczono Albertum). Praepositum Rigensem. . (opuszczono Joannem) et fratres militiae Christi Livoniensis dioecesis ex parte altera, super jurisdictionibus et libertatibus civitatis vestrae, mediante venerabili fratre nostro G. (znaczy Guilhelmo) Mutinensi Episcopo, Apostolicae sedis legato, amicabiliter intervenit, prout in ipsius litteris, plenius continetur, sicut sine pravitate provide facta est, et ab utraque parte sponte recepta, et hactenus pacifice observata, auctoritate apostolica confirmamus. Ad majorem autem rei evidentiam tenorem litterarum ipsarum, de verbo ad verbum praesentibus, duximus inserendum, qui talis est: Coram nobis W. (znaczy Wilhelmo) divina misericordia Mutinensi Episcopo, apostolicae sedis legato inter venerabilem fratrem Alb. Livonensem Episcopum et dilectos filios Jo. Rigensem praepositum et Wlch. (znaczy Wolkwin Schenken de Winterstadt) Magistrum militiae Christi in Livonia ex una parte et Albertum Syndicum Civitatis Rigensis, nomine ipsius civitatis ex altera, super jurisdictione ipsius civitatis, et super moneta et super quibusdam aliis capitulis, quod hujusmodi vertebatur: Dicebat namque Syndicus pernominatus, Civibus licere iudicem civitatis constituere, eo quod haberent *jus Gothicum* sibi ab Episcopo a constitutione Civitatis concessum, super quibus interrogatus jam dictus Dominus Episcopus, pro se, Praeposito et Magistro, praesentibus ibidem et consentientibus respondit: quod a Constitutione Civitatis, concessit Civibus in genere *jus Gothorum* et specialiter, *libertatem a duello, theloneo, Candente ferro et naufragio*. Dubitabatur autem inter eos: *quid esset jus Gothorum?* de quibus omnibus de consensu nostro eis placuit transigere in hunc modum, videlicet: *quod Cives possunt sibi libere iudicem eligere civitatis, et electum debeant Episcopo praesentare et Episcopus ipsum investiet*. Ille vero iudex de omni causa temporali*

Ktokolwiek się w tym przywileju rozpatrzy, nie powinien żadnej doznawać trudności w wyrozumieniu jego myśli. Wszystkie tu jasne, wyraźne i żadnemu jak się zdaje nie podlega już tłumaczeniu. Tymczasem przeczytawszy to, co p. M. z tego dyplomatu wysnuć potrafił, rzecz się ma wcale inaczej. Zdziwi się zapewne niejeden gdy się dowiéd, że wspomniane tam *gockie prawo* nie jest ani gotlandskiém, ani nawet prawem gockim, i że cały ten dokument kryjąc w swojej treści źródło najdawniejszego prawodawstwa Litwy, nadwyzwyczajnej powinien być wagi dla każdego badacza rzeczy litewskich. Lecz posłuchajmy samego autora.

Prawo gockie w takim kształcie w jakim nadane było przez ów dyplomata Ryżanom, t. j. z wyłączeniem sądów Bożych, powszechnie u Gotów używanych (*Ordalia*) i praw o rozbitkach morskich (praw brzegowych, *jus naufragii*, *Strandrecht*) wpłynęło, powiada p. M. i na prawo ziemsko-litewskie, w którym również ani *Ordaliów*, ani praw brzegowych nie znajdujemy (1). Po téj ogólnej wzmiance o prawie gockim, i jego wpływie na prawodawstwo Litwy, głębiej się p. M. zapuszcza w uczonych badaniach swoich, a usiłując nowém światłem rozjaśnić odległe wieki, tak nam dalsze swoje myśli rozwija: „Z dyptomatów Turgieniewa,

*cognoscat, homines autem qui sunt de jurisdictione Episcopi, vel aliorum qui ab Episcopo feudum tenent, ut Magister, Praepositus et alii, non teneantur sub praedicto iudice respondere, nisi de contractibus et delictis in Civitate vel infra Marcham Civitatis commissis sub eo cujus fuerit domus vel ager debent terminari. Et si quis civis in jurisdictione Episcopi, Praepositi vel Magistri, possessiones habuerit, vel ibi contraxerit, seu delictum commiserit, teneatur sub eo cujus fuerit iudictio, respondere. Clerici vero vel alii religiosi ut Magister et fratres ejus vel Hospitalarii ut sancti Spiritus et sancti Lazari, de nulla causa teneantur sub praedicto Civitatis iudice respondere. Monetam autem in Civitate fieri, cujuscunque formae, sit in potestate Dni Episcopi, dum tamen ejusdem bonitatis sit et ponderis, cujus est moneta Gothorum seu Gotlandiae. Cives vero liberi sint, in praedictis quatuor capitulis, videlicet a ferro, theloneo, naufragio et duello. Omnibus autem volentibus intrare civitatem ad habitandum, liceat Cives fieri praedictae Civitatis, siquid etiam poterunt probare infra triennium esse de jure Theotonicorum commorantium in Gutlandia (quia) eodem gaudeant et Rigenses, excepto eo, quod Theotonicici Gutlandia constituerunt aliquatenus sacerdotem, Rigenses tamen nunquam possint constituere sacerdotem. Actum in Riga A. Dai M. C. C. XXV. mense Decembris, XIII indictione, praesentibus etc. Nulli ergo etc. confirmationis etc. Siquis etc. Datum Laterani VIII kal. Decem. Anno XI. (*Historica Munimenta Russiae T. I, p. 18*).*

(1) Pierwotne dzieje Litwy i Polski, str. 175.

widzimy, że *gockiem* nazywało się *dawne prawo litewskie*, nie dlatego że gockie zwyczaje były jego zasadą, lecz raczej dlatego, że niemieckie ludy powszechnie Gotami od Litwinów nazywane, granicząc z niemi, udzielały im praw swoich i nawzajem ich prawa przyswajały sobie, i tak w jedną całość zlawszy różnorodne (niemieckie, litewskie a nawet słowiańskie) zwyczaje, utworzyły ztąd *coś rzeczywiście do gotyckiego podobnego* (1). Tę samą myśl powtórzył p. M. w inném miejscu ucząc nas: że Gotów prawami nazywały się te swobody (od Ordaliów i grabieży po rozbitkach) nie dlatego, że były rzeczywiście starożytnych Gotów ustawami, *lecz raczej dlatego, że wspólnie z cudzoziemcami używali ich kurońscy Litwini* (2).

Z takiego stanowiska spoglądając na wspomniane w dyplomatach p. Turgieniewa prawo gockie, szło jeszcze tylko o rozwiązanie, każdemu na pierwszy rzut oka nastęrczających się pytań: dlaczego te prawa tak zgodne ze statutem litewskim, a zupełnie różne od rzeczywistych praw Gotów, jednakże gockich nosiły nazwisko; dlaczego litewskie prawa zaraz przy swoim w dziejach wystąpieniu, nie pokazują się czyste, lecz z gockimi pomieszane? dlaczego wreszcie Litwini, którzy swemu prawu imię gockiego nadali, sami jednak siebie nie nazwali Gotami? Odpowiedź na te ważne pytania jest właśnie, jak p. M. powiada, kluczem „który pierwotną historią narodu i prawodawstwa litewskiego w pomnikach do nas doszłych szczelnie zamkniętą, odmykając, objaśnia ducha, który ożywiał oboje, uczy jak początek Litwy pojmować mamy; stawia przed oczy postęp jej dziejów, tudzież ścisły związek między jej przeszłością i następstwem zachodzący pokazuje, przekonywając o tém: że Litwini mieli oddawna *prawa rzeczywiście gockie, bo mieszaniną różnych praw będące*, i w gotycyzmie ich niemczyzna i słowianizm główną, a litwinizm podrzędną grał rolę, jako ten, który obumarłszy w przeszłości, nie przystał do postępu oświaty europejskiej” (3).

Po tych uwagach które nas ostrzegać mają, jak wielką ważność, do trafnej odpowiedzi, na powyższe pytania przywiązywać należy, przystępuje p. M. do rozwiązania rzeczonych kwestyj, i na-przód powód nazwania pierwotnych praw litewskich gockiem,

(1) Pierwotne dzieje Litwy i Polski, str. 532.

(2) O postępie nauki prawa lit. l. c. str. 332.

(3) Tamże str. 333.

upatruje w przewodze Gotów, którzy w czasach bardzo dawnych panowali nad ludami letońskimi. Z takiego zwierzchnictwa i uległości wyniknąć miało, że te ludy niegdyś gockim jarzmem ugniecione, nie tylko każdego co w późniejszym czasie niemi władał nazywali *Gotem* (*Gudas*), bez względu na to czy to był Norman czy Rusin (co zresztą jest faktem historycznym) (1), ale i najdawniejszemu prawu swemu, (lubo nie wiem dlaczego, bo pewnie nie przez pamięć niemiłego jarzma Gotów) nazwisko jakoby gockiego dawali. Niedosć na tém: pod nazwiskiem gockiego prawa, znane być miały oprócz praw litewskich, ezelskich i gotlandskich, prawa nawet Słowian, a mianowicie nowgorodzkie, pskowskie i białoruskie, na co wszystko znajduje p. M. dowody i w owych dyplomatach Turgieniewa, któreśmy już wyżej rozbierali i jeszcze w dyplomacie tegoż zbioru z r. 1231, w którym jednak, równie jak w tamtych, nie podobnego upatrzeć nie mogłem (2). Nakoniec, że owi Litwini co nieprzyjaciół Gotami, a prawa swoje gockimi nazywali, samym jednak sobie imienia Gotów nie dali, to ztąd wyniknąć miało: iż nazwisko swoje przyjęli od owych *Litów*, którzy po długim tułactwie po Włoszech, Francji, Niemczech i pobrzeżach Bałtyku, nakoniec jakoby w okolicach Trok założyli państwo, przez nich samych lub od sąsiadów Litwą nazwane, gdzie i bóstwo swobody *Liethuwa*, w skandynawskie godło przybrane, cześć odbierać zaczęło (3) Lecz kiedy to

(1) Nawet Rossyan dotąd tak nazywa Litwin. Zapewne i Niemca za jedno brał z *Gotem*, choć go w innym razie oznaczał wyrazem *Wokietis*. Wreszcie i Polakowi (po litewsku *Linkas*, po łotewsku *Lejczys*) musiał dawać to miano, kiedy dotąd *Gudduks* znaczy Polak ladaco, a *Gudde* także Polka. *Pogudotē* znaczy mówić po litewsku akcentem polskim.

(2) Jestto bulla Grzegorza IX do neofitów kurońskich, datum Reate III Idus Febr. (II Febr.) papieżstwa V czyli 1231 r. zatwierdzająca udzielone im w r. 1230 swobody przez Baldwina mnicha Alweńskiego, zastępcę legata Ottona (*Zbiór Turgieniewa I p. 28*). Dyplomata ten znany mi już był dawniej, ponieważ go wypisał p. Narbutt (*Dzieje. III. Dodat. VII, str. 589*). Nie o nim nie wspominałem w *Obrazie Litwy*, bo też nie w sobie nie zawiera takiego, coby się do Litwy zastosować dało. Chcących się o tém przekonać, a niemających zbioru p. Turgieniewa, odsyłam do wskazanego miejsca dzieła p. Narbutta.

(3) Nie mówimy tu więcéj o tych Litach, z którymi, lubo do nich p. M. wielkie przywiązuje znaczenie, dotąd jeszcze wyobrażeń naszych o dziejach pierwotnych Litwy pogodzić nie możemy. Wiele stronnic poświęconych jest dla nich w *Pierwotnych dziejach Polski i Litwy*, głównejsze miejsca znaleźć można na str. 68, 69, 100, 405, 411, 412 i 421.

państwo w potęgę podnosić się, a z niém razem i imię Litwy wy-
rastać zaczęło, wówczas Litwinem w mowie Ukraińca został
i Białorusin, od XIIIgo wieku z Litwą złączony (1), a statut któ-
ry po większej części z ruskich praw powstał, litewskiego takż
otrzymał nazwisko (2).

Wyłożyliśmy główniejsze myśli p. M. wysnute z treści dy-
plomatów p. Turgieniewa, szczególnież zaś z dyplomatu rygskie-
go, który mówiąc o prawie gockim, grabieżach po rozbitkach
i sądach Bożych, dał powód do tylu głębokich a nowych badań,
postrzeżeń i wniosków. Jużesmy wyżej nawiasowo gdzieniegdzie
dali to poznać, że różnimy się w zdaniach naszych; jakoż inaczej
być nie mogło, kiedy na ów dyplomata z zupełnie innego spoglądać
będziemy stanowiska. Wszakże i tu powtarzam, że nikomu mnie-
mania mego narzucać nie myślę, i że bez trudności od niego od-
stąpię, skoro gruntownemi dowodami inaczej przekonany zostanę.
Oświadczam bowiem, że nie próżna chęć sporu, z tak uczonym
i w literaturze naszej zasłużonym mężem, podała mi pióro do rę-
ki, ale jedynie żądza wykrycia prawdy, do której wszelkie histo-
ryczne badania zmierzać powinny. Wreszcie i to miałem na
uwadze, że rzecz da się może lepiej poznać, jeśli na nią nie z je-
dnój tylko przypatrzemy się strony.

Namieniłem już wyżej, że rozczytawszy się w przywileju na-
danym Rydze r. 1226, myśl jego okazuje się być jasną i żadnemu
nawet naciąganemu tłumaczeniu nieuległą. Toż samo powie-
dzić możemy i o dyplomacie kurońskim z r. 1231, do którego
również z powodu praw gockich p. M. się odwołuje. Cóż bo-
wiem nieuprzedzony badacz może w nich więcej upatrzeć nad to:
że co do praw, formy sądu, monety i podatków, Gotlandya za
wzór służyć miała Ryżanom i Inflantom. Jeżeli więc taka jest
myśl rzeczonych dyplomatów, a spodziewam się, że może nieje-
den co je przeczyta, zgodzi się ze mną; zachodzi więc pytanie:

(1) W texcie powiedziano: „od Litów to i od *Liethui* nazwano i obec-
ludy pod Litwy będące panowaniem i t. d. Włęc i bóstwo *Liethuja*, do na-
rzucenia téj nazwy jakoś się przyczyniło.” Wyżej zaś cokolwiek czytamy:
„Wzięło ono (bóstwo) imię swe od Litów, a nie Litowie nazwisko swoje
od niego. Bo nie bóstwa ludom, ale ludy pogańskie bóstwom dawały imio-
na.” (*O postępie nauki prawa lit. l. c. str. 334*). Nie wiem jak te dwa
miejsca z sobą pogodzić?

(2) *O postępie nauki prawa lit. l. c. str. 333, 334.*

zkąd wynikło takie zbratanie się Rygi i Inflant z Gotlandyą? Sprobujemy na to odpowiedzieć.

Z upadkiem nadmorskich miast słowiańskich Winety (1043 roku) i Julina czyli Wolina (1170 r.), znaczenie wyspy Gotlandyi i jój miasta Wisby, szybko wzrastało. Nim jeszcze kupcy z Zachodu w co rok regularnie przedsiębranych pojazdkach, zwiedzać zaczęli Inflanty, t. j. przed r. 1158, już Wisby słynęło handlem i było zwiedzane przez kupców z Bremy, Hamburga, Lubeki z Fryzyi, a nawet z Nowogrodu (1). Od téj zaś daty coraz bardziej wzmagał się ten ruch w Gotlandyi, a nadewszystko w jój stolicy, która stała się miejscem składowém całego ówczesnego w tych stronach handlu między Wschodem i Zachodem. Wszystkie okręty płynące do Inflant i ztamąd wracające zawijały do Wisby (2). Tą zatém drogą szły towary do północno-wschodniej Europy i do Azji, a nawzajem produkta Północy i krajów wschodnich na Zachód (3). Lecz w owych czasach i samych mieszkańców Wisby marynarka była już nadzwyczaj czynną, co téż było powodem, że księżę saski Henryk Lew chcąc korzyści handlowe ściągnąć do Lubeki, znacznemi prerogatywami obdarzył Wisbianów, pod tym tylko warunkiem, żeby pilnie do lubeckiego uczęszczali portu (4). Znajdowane niekiedy w Gotlandyi greckie, rzymskie, syryjskie, arabskie i staro-duńskie monety, świadczą, jeśli nie o ojczyźnie kupców tam zamieszkałych, to przynajmniej o dalekich stosunkach handlowych Wisbianów. Korzyści z takowego przemysłu i swobody pod rządem prawie republikańskim, gdyż ciągłego zwierzchnika Wisby natenczas prawie nie miała (5), ściągnęły tam mnóstwo cudzoziemców: tak, że oprócz rodowitych Gotów i najdawniejszych osadników Niemców, trwale lub czasowo zamieszkiwali tam Hiszpanie, Francuzi, Anglicy, Szkoci, Niderlandczycy, Duńczycy i Rusini. Niekiedy obok

(1) Gruber, Anmerk. z. Liefl. Chr. I, s. 5. Aradt. Liefl. Chr. s. 78. Gadebusch Liefl. Jahrb. pod r. 1188, T. I, s. 17. Fischer Gesch. d. deuts. Hand. I, s. 421, 422.

(2) Liefl. Chro. pod r. 1192 § 11, s. 12.

(3) Fischer l. c.

(4) Op. Lamb. Orig. Hamb. L. 11, Fischer l. c.

(5) Wisby dopiero r. 1300 zdobył Waldemar król duński. W latach 1397 i 1408 uległo zwierzchnictwu Krzyżaków, którzy to miasto nakoniec odstąpili sławniej w dziejach Małgorzacie duńskiej i szwedzkiej królowej (Anderson Gesch. d. Hand. Th. II, s. 563. Fischer l. c. s. 526).

1200 kupców miejscowych, do 12,000 liczono tych obcych przybyszów (1).

Miasto, które tak obszerne miało handlowe stosunki i tak różnorodną w murach swoich mieściło ludność, nie mogło się obejść bez pewnych porządków i praw zabezpieczających i osobę i własność każdego. Jakoż nie zbywało tu na municypalnych, a tém bardziej na handlowo-morskich przepisach. Wprawdzie król szwedzki Magnus II dopiero w r. 1342 dozwolił Wisbianom spisać swoje prawa i to w dwóch językach: gockim i niemieckim, gdyż z obu tych narodów składała się ich ludność i rada miejska (2), lecz te prawa już oddawna istniały i były w użyciu. Co się zaś tyczy praw morskich Wisby, walczyło w tym względzie o pierwszeństwo z podobnemiż prawami Oleronu wyspy francuzkiej na brzegach Guienny, które w XII wieku były spisane i z 47 składały się rozdziałów. Owszem prawa morskie Wisby tak się wslawiły, że posłużyły za wzór wielu innym tego rodzaju prawom europejskim i na wszystkie niemal języki tłumaczone były (3). Nie mam, z kądbym o tych prawach bliższą mógł powziąć wiadomość; zdaje mi się jednak, a niemal pewny jestem, że w nich znaleźlibyśmy wzmiankę o owych swobodach, które sobie Ryzanie wyjednali, przyjmując w powszechności prawo Gotlandyi; takie bowiem warunki dziwnie się zgadzały z interesem handlowego przemysłu, od którego cały byt Rygi zależał.

Od pierwszych zawiązków osad niemieckich nad brzegami zachodniej Dźwiny, postrzegamy, że te osady w przyjaznych były stosunkach z ową Gotlandyą i jej miastem Wisby, których sława była wówczas już głośną na całej północy. Prosta mogła być tego przyczyna: Gotlandya nie przez samych Gotów, ale w znacznej części i przez Niemców zamieszkała, a nierównie bliższa Inflant niż Hamburg, Lubeka i Brema, ojczyście miasta pierwszych wśród pogańskiej Litwy osadników, prędzej też i skuteczniej mogła im w każdym razie nieść pomoc i ratunek pożądany. Domysł nasz stwierdzają fakta historyczne. I tak czytamy w kronikach: że gdy pierwszym osadnikom w Inflantach, zbywało na rzemieśl-

(1) Palmshöld narrat. Mss. de incrementis et decrementis Visby in Vol. II, Act. nov. Soc. Upsal. p. 101. Gadebusch Liefl. Jahrb. Th. 1, s. 429. Fischer l. c. s. 327, 524.

(2) Gadebusch l. c. Th. I, s. 431. Fischer l. c. s. 524.

(3) Herm. Conring d. orig. jur. germ. c. 19, p. 104.

nikach do budowania zamków przeciw pogaństwu, nie Lubeka lub Brema, ale Gotlandya dostarczyła im takowych w r. 1186, a ci rzemieślnicy nie gockiego, ale niemieckiego byli rodu (1). Z tegoż źródła dowiadujemy się: że kiedy Goci i Duńczycy do pokromienia rozbojów morskich przez mieszkańców Ezelii popełnianych (2), należąc nie chcieli, znajomy nam legat papieżki Wilhelm biskup modeński, skłonił do téj krucjaty w r. 1225 szczególnie kupców niemieckich z wyspy Gotlandyi, którzy téż zbrojno przybywszy do Rygi, dostali się na wyspę po lodzie, i Czuchnow ezelskich upokorzyli (3). Pominąwszy wreszcie tę okoliczność, że Wisby i Ryga jednocześnie przed r. 1284 wstąpiły do hanzeatyckiego związku (4), lubo i to dowodzi, jak wspólność interesów łączyła oba te miasta; za najlepszy dowód przyjaznych stosunków Rygi z Gotlandyą, a nawet przeważnego wpływu téj ostatniej na niektóre wewnętrzne urządzenia Inflant, posłużyć nam mogą same dyplomata z r. 1226 i 1231, któreśmy już poznali, a których główne punkta dla lepszego przekonania się jeszcze raz powtórzmy. Piérwszy z nich naucza nas: że biskup rygski miał prawo bić jakiegokolwiek kształtu monetę, byle takiéże dobroci i wagi, co moneta gotlandzka: „*eiusdem bonitatis et ponderis cuius est moneta Gothorum seu Gothlandiae*” i że każdy mógł zostać obywatelem rygskim, skoro dowiódł, że wprzódy żył pod prawem teutońskim Gotlandyi: „*esse de jure Theotonicorum commorantium in Gullandia*”, także bowiem prawo służył i Ryżanom: „*eodem gaudent et Rigenses*” z tą tylko różnicą, że Niemcy gotlandscy sami sobie niekiedy wybierają księdza (*sacerdotem*), Ryżanom zaś tego czynić niewolno. W drugim zaś

(1) Lief. Chron. Th. 1, s. 7, § 6.— Fischer l. c. s. 583.

(2) Liwończycy ezelscy głośni byli jako zręczni marynarze i odważni rozbojnicy morscy. Nieraz wysyłałi znaczną flotylę do blokady portu rygskiego, o którego nawet zawalenie kusili się. Jeśli nie coś podobnego do greckiego ognia, to przynajmniej użycie branderów musiało im być znane, gdyż w kronice inflanckiej czytamy, że ogniem który na morzu pływał, trwożyli żeglarzy niemieckich (s. 115, 117. Fischer l. c. I, 423, 424). Wspomnieliśmy już wyżej o nazwisku liwońskim Ezelii (Kurcsaar): niemieccy etymologowie wyprowadzają ztąd nazwę korsarzy. (Arndt. Lief. Chro. Th. I, s. 34). Inni wszakże źródłosłów wyrazu korsarz upatrują w mowie galskiej, gdzie *kusarar* morskiego rozbojnika oznacza. (Torfaci hist. Norweg. P. III, p. 452).

(3) Lief. Chron. r. 1225. § 1, s. 210. § 3, s. 211. Fischer l. c. I. s. 433, 434. (4) Fischer l. c. I. s. 14.

dyplomacie czytamy: że chcąc dobrodziejstwo okazać nowonawróconym Kuronom, takie tylko kazano im składać podatki, jakie opłacali rodowici Gotlandczycy: „*ad cævero jura, quæ persolvere tenentur indigenæ de Gothlandia, per omnia tenentur Episcopo suo.*”

Jeżeli więc takie było znaczenie Gotlandyi i tak przyjazne jej stosunki z Inflantami i Rygą, cóż więc dziwnego, że świeżo założona osada, przez Gotlandyą wspierana, jej ludnością niemiecką zasilana, idąc za powszechnie w średnich wiekach przyjętym zwyczajem, nie tworzyła sobie praw nowych, ale dla własnego municypalnego rządu i sądu, szukała wzorów u swoich rodaków oddawna w Gotlandyi, a mianowicie w jej mieście Wisby, zamieszkałych. Przyjęli zatem Ryżanie już r. 1208 przez biskupa Alberta udzielone sobie w powszechności prawo gockie, t. j. gotlandzkie, a w szczególności zawarowane zapewne i w témże prawie swobody, uwalniające ich od sądów Bożych, cła i grabieży po rozbitkach czyli prawa brzegowego, z którego by jeśli nie ich zwierzchnicy duchowni, to niezawodnie Ezeleczycy, a nawet mistrz i rycerze Mieczowi, jak to później czynili Krzyżacy pruscy, korzystać nie zaniedbali.

Tak pojmuje prawo gockie w przywileju rygskim wspomniane. Nie odrzucam wprawdzie téj myśli, że plemiona letońskie, ani Ordaliów (1), ani praw brzegowych czyli grabieży rozbitków (2) nie

(1) Jeżeli w średnich wiekach u ludów chrześcijańskich widzimy zaprowadzone sądy Boże, nic w tém nie masz dziwnego, bo się to z duchem czasu zgadzało. W silnej wierze że Bóg wesprze stronę niewinną występował w owe czasy skrzywdzony do walki, a winny taż wiarą przejęty, nie raz słabszemu i mniej zręcznemu zostawiał zwycięztwo. Lecz żeby i religia pogańska podobnem uczuciem Litwinów natchnąć była zdolną, trudno przypuścić. Utrzymuje wprawdzie p. Narbutt, że sądy Boże znane były i pogańskiej Litwie (Dzieje I, str. 173. III, str. 515), ale dowody przytoczone na to, uważam za niedostateczne, i dlatego jak dawniej (Obraz Litwy I, str. 155, 166) tak i teraz bytność podobnej instytucyi na Litwie pod wątpliwość podciągam. Chętnie jednakże odstąpię mojego twierdzenia, jeżeli o bytności u nas sądów Bożych, lepsze niż dotąd znajdują się dowody.

(2) Sprawiedliwie przy téj okoliczności uważa p. M., że naród który zastąpił od grabieży własność z okręto-rozbitcia uratowaną, nie był narodem chciwym i drapieżnym, jak to mylnie zarzucają Litwinom niektórzy dziejopisarze (Pierwotne dzieje Polski i Litwy, str. 532). Jakoż co do Litwinów, których tu szczególnie mamy na widoku, i my na powyższe twierdzenie zgadzamy się zupełnie. Oddaleni od brzegów morza lub małą tylko częścią kraju żmudzkiego do Bałtyku zbliżeni, złym przykładem innych nadmorskich ludów, zarazić się nie mogli. Kiedy się zaś litewski handel podnosić, a strugi z wiciuami na Niemnie i Wilii płody krajowe przenosić zaczęły, własny interes bez szukania na to wzoru u obcych doradził pilnować tego,

znały, i że ten wstręt od obojga przechodząc dziedzicznie od naddziadów do późnych potomków, odbił się nareszcie i w statucie litewskim; wszakże nie idzie za tém, ażeby Niemcy, co tak gardzili ludem pogzańskim i obcą narodowością, chcieli mimo tego przyswajać sobie tegoż ludu instytucye i na nich opierać warunki przywilejów Niemcom nadawanych, zwłaszcza gdy wzór podobnych praw i u własnych znajdowali rodaków. Ani ówczesni duchowni inflandcy, ani rycerze Mieczowi tegoby nie uczynili, bo jak jedni tak i drudzy przybywali do tego kraju nie w tym zamiarze, aby kurońskie^o ochraniać zwyczaj, ale raczój dlatego, aby Kuronom dobrowolnie lub gwałtem nawróconym, własne narzucili ustawy. Jeśli zatém przywilój rygski mieści w sobie rozporządzenia podobne do dawnych zwyczajów letońskich, a ze statutem zgodne, podobieństwo to i ta zgodność praw, które z dwóch zupełnie różnych płynęły źródeł, więcój za przypadkowe chciałbym uważać, niż wyłącznie ze wzajemnego na siebie wpływu wynikłe.

Na tém kończymy nasz rozbiór owych dyplomatów, z których, jakośmy widzieli, p. M. wiele ciekawych, wiele nowych, a pod względem dziejów prawodawstwa naszego bardzo ważnych usiłował wyprowadzić wniosków. Ponieważ widoczna, że w ocenieniu tych źródeł nie mała między nami zachodzi różnica: z czyjój zatém strony słuszność i prawda, a przynajmniej większe do prawdy podobieństwo, niech to osądzi teraz bezstronny czytelnik. Jeżeli zaś z uwagą zechce się rozpatrzeć w dyplomatach ze zbioru p. Turgieniewa wypisanych, a dziełko moje nie jest dla niego obcém, nietrudno mu będzie i na to odpowiedzieć pytanie: czy mój Obraz Litwy, jakkolwiek nie z jednego względu bardzo jeszcze niedostateczny, rzeczywiście wiele na tém stracił, żem przy jego układzie, źródeł owych pod ręką mieć nie mógł?

Pisałem w Bielsku podlaskim, w grudniu 1851 r.

aby zgodnie z charakterem ludu, nawet rozbitkom na owych rzekach, opieka i pomoc dawane były. Lecz ta pochwała Litwinów, kto wie czy w całej zupełności i do dawnych Kuronów da się zastosować. Jakież mamy dowody, że grabieże rozbitków nigdy u nich znane nie były? Na burzliwych brzegach Baltyku, pokusa była wielka, a przykład gotowy u Ezelczyków i innych Liwów, a nawet u Szwedów, którzy dopiéro po traktacie zawartym z Hanzą 1365 r. rzekli się tych haniebných zysków. Wszakże nie mając o bytności lub niebytności tego zwyczaju u Kuronów i Litwy historycznych dowodów, wolimy ich narodowy charakter z lepszej uważać strony.



PODHALE I PÓLNOČNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW

CZYLI

TATRY POLSKIE (*).

PRZEZ

Ludwika Tejsznera.

(Dokończenie).

Jednym z najwybitniejszych rysów charakteru Podhalan jest owa otwartość i dobroć, z jaką spotykają obcego. Nieraz wydawało mi się po półgodzinném poznaniu, żeśmy się znali od niepamiętnych czasów. W tych krótkich chwilach objawiali tyle serdeczności i tyle niezwyčajnego rozumu, że zawsze rozstawałem się pełen zadowolenia. Indywidualność tych prostych ludzi ma coś bardzo przyciągającego; źródła tego szukać należy w owój szczęśliwój swobodzie umysłowój, którą się głównie odznaczają. Jestto niezaprzeczony skutek przestawania z przyrodą: ona bowiem wydaje i rozwija takie usposobienia duszy i silniej działa na człowieka od najbrzeczniejszej wymowy naszych nowoczesnych filozofów, polityków, i tym podobnych pisarzy. Człowiek przestający z przyrodą wyrabia w sobie głębokość uczuć, i przeczuwa potęgi rządzące światem. Chociaż w czasie ostrych zim przykuci są do ciasnych ścian swego mieszkania, wpływ wymieniony nietylko że się nie zmniejsza, ale przeciwnie wzmagą się przez rozpamiętywanie w odosobnieniu.

Podobnie jak inni górale, Podhalanie odznaczają się religijnością. Trzeba im się przypatrzeć w kościołach: na ich poważnych twa-

(*) Zob. Bibl. Warsz. r. 1849. Tom I, str. 57 i 535. T. III, str. 441. T. IV, str. 1. R. 1851. Tom IV, str. 523.

rzach widać wzniesienie i głęboką modlitwę. W świąteczne suknie ubrani, z wyszukaną czystością, kobiety i mężczyźni przedstawiają obraz kościoła wiejskiego, niezostawiającego nic do życzenia; ale w lecie, w dniach gorących, pobyt w nim dla obcego nie jest zbyt przyjemny: rozwija się albowiem szczególna atmosfera pochodząca od masła owczego, którym namaszczają włosy. Pomimo charakterystycznego piętna religijności, liczba kościołów w tych górskich okolicach nie jest zbyt wielka; a chociaż co kilka lat nowy wznosi się na Podhalu, niektórzy muszą jeszcze dwie lub trzy godziny drogi robić do parafialnego kościoła, co niemałą jest zawadą w czasie słót jesiennych i zadymek zimowych. Prawie wszystkie kościoły są drewniane. Życzyłoby należało, aby na Podhalu stanęły świątynie z ciosów i marmurów, do czego materiału dostarczyłyby ich góry. Może się kiedyś znajdzie jakiś skromny proboszcz, silny mocą ducha, który pobudzi gęstą ludność Podhala, łatwą do zentuzjazmowania dla tego co jest wielkiem i pożytecznym, do wzniesienia wspanialszej świątyni. Księża w wysokim są poważaniu na Podhalu, wszystko korzy się przed dobrodziejem; jemu poświęcają zwykle co mają najlepszego. Za księży wpływem wprowadzone zostało wstrzymywanie się od wódki, od téj okropnej plagi i głównej przyczyny moralnego ponizienia naszego ludu.

Stosunki rodzinne u Podhalań są zupełnie na stanowisku patryarchalnym. Ojciec jest głową, około którego wszystko się obraca w domu; szanują go z cziłą religijną żoną, dziećmi i domownikami. Nieraz słyszałem synów w dojrzałym wieku, żonatych: „Kiedy ojciec tak kazał, to musi być dobrze”. To uszanowanie, ta cześć dla starców jest zasadą rodzinną; im przeznaczają zawsze w domu pierwsze miejsce, oddają co jest najlepszego. Podhalanie bardzo są zdrowi i do późnego wieku dochodzą: w każdym prawie domu zastać można starca żyjącego już wspomnieniami. Co to za dobre były czasy, opowiadali mi nieraz, kiedy chodził po najwyższych turniach, jak się uganiał za dzikimi kozami, jak szczęśliwie zszedł z wirchu wśród mgły niebezpiecznej, jak zwinnie uszedł strażom przemycając tytuń węgierski.

Pożycie domowe Podhalań nie jest bez powabów, i w każdym szczególe przebijają się wydatne rysy ich charakteru. Cierpki klimat, niezmierne zamiecie, zmuszają ich przez niemały czas zostawać w ich schludnych a ciepłych domkach. Sobie i myśleniu zostawieni, nabyli pewnej smętności charakteru, obok melancholijnej łagodności. Kiedy wśród wieczorów zimowych zbierze się drużyna przy

domowym kominie, po rozmowie o potrzebach gospodarstwa, po żartach, rozpuszczają wodze fantazyi. Djabeł ważną tu odgrywa rolę; to co o nim opowiadają, nie odbywało się w odległych czasach lub miejscach. Dziad lub ojciec na tój górze, albo w owym lesie, wypłatał jakiego figla diaszkowi czyli czartowi, a będąc z nim w spółce, zabrał mu niemało i uciekł. Każdy Podhalaanin wie o ukrytym skarbie w turniach, który zbójcy schowali. Nieraz rozpoznawając skały tatrowe, gdym szedł do hól, zapytywali z ciekawością gazdowie, czego tam szukam? Każdy opowiadał, że ten albo tamten wirch mieści w sobie niezmiernie wiele *dobrego* (drogiego metalu), ale nie każdego Bóg nim *pożegna* (udarzy).

Często już wspominałem, że Tatry są nader ubogie w metale. Znajdują się w nich wprawdzie żyły zawierające nieco złota, ale dobywanie kosztuje więcej od jego wartości. Za to fantazyja Podhalaan utworzyła złota bez miary; po najtrudniej dostępnych wirkach za Żabiém (jezioro) powyżej Morskiego Oka sterczą złote skały, złote mniki, gdzie się ruszysz, samo złoto. Ale powszechnie nikt go ztamtąd nie wynosi, bo jeżeli zapomni zmówić jeden paciérz, albo się obejrzy, nagle złoto zmienia się w kamienie. Gdzie nie masz bogactwa, tam je fantazyja stwarza. Ubogie kopalnie złota w Tatrach i liczne powieści Podhalaan zostały przez ogół, mniej dokładnie rzecz znający, przeniesione do bogatych kopalń Olkusza, i tu ma źródło wiersz Krasickiego, bo na dnie każdego przysłowia gminnego zwykła się prawda znajdować. Aby dać wyobrażenie o powieściach Podhalaan, przytoczę niektóre, trzymając się ile być może ich własnych wyrazów.

Wielki las okrywał kiedyś teraz zupełnie nagą górę Raniszberg przy Szaflarach. Na samym czubku stała niezmierna jodła, którą nasamprzód oświecało słońce. Na owój górze przebywali zbójniki, a gdy ich połapano na Węgrach, i miano wieszać, wtedy jeden z nich przemówił do zgromadzonych widzów: czyby nie było nikogo ze strony polskiej. Właśnie był ztamtąd jeden chłop na robocie, i temu opowiedział zbójnik idący na śmierć, że na owój jedlicy jest schowany opasek (pas) pełen dukatów, a w ziemi zakopany kocioł z pieniędzmi. Wróciwszy do domu poszedł ów chłop do wskazanej jodły, i znalazł istotnie to wszystko, co zbójnik opowiadał. Od-tąd zaczyna się bogactwo rodziny Belinów.

Pod polaną Kacprową wytryska niezmiernie obfite źródło, mające się łączyć podziemnymi kanałami, według powieści mieszkańców, z Suczym Stawem, jednym z Gąsienicowych, tak nazwanym, że sukę

niepilną owiec utopili w nim pasterze. Pradziad mojego przewodnika, któremu tę powieść opowiadał, poszedł wraz z czarownikiem szukać złota do owiej dziury, gdy jednego razu woda cieć z niej zaprzestała. Zaraz na wstępie znaleźli wielki młot ważący 20 funtów, którym czarowniki rąbali złoto. Właśnie mieli się zbliżyć do tego skarbu, gdy wtém wzbierać zaczęła woda, i nie nie wskórawszy, czémprędzej musieli uciekać.

W dolinie Skoruszyny jest skała zwana czarną turnią, z dziurą albo raczej jamą, w której 12 zbójników ma zostawione ubranie. Jest tam i świńskie koryto pełne pieniędzy. Wszystko teraz jest zażegnane czyli zakłete, opowiadał mi tam pasący pastérz, i nikt nie może znaleźć otworu do niej, pomimo że wielu widziało, jak zbójnicy do niej włązili po rzemiennój drabinie. Tę samą powieść nieco odmiennie ubarwioną opowiadają o innój jamie w Kościeliskiej dolinie. Przesiadujący w niej zbójnicy mieli wszelkie sprzęty, tak, że mieszkali i podczas zimy. Teraz są tam jeszcze zupełne mundury czyli ubrania na 12 ludzi i niezmierne skarby, które może wziąć każdy, kto wynajdzie tę dziurę; ale do mundurów niech się nikt nie zbliża, gdyż na środku stołu leży broń nabita, i za dotknięciem sukien wystrzeli i zabije; skarby tylko wolno wynosić.

Dolina Kościeliska najpiękniejsza w całych Tatrach, nadzwyczajnie jest upoetyzowana. Do każdój skały wiąże się jaka powieść. Przytoczę tu jedną. Zaraz na początku doliny przy piecu wapiennym napotkało chłopca dwóch zbójców; każdy z nich niósł pieniędzy po pół centa (centnara) i mówili do niego: „Bóg ci poszczęścił, masz te pieniądze, uszczęśliwisz siebie, a nas zbawisz”. Chłop jednak bał się przyjąć skarbów mówiąc: „Boję się, bobyście mię wydali,” i odszedł. Zbójnicy poszli na górę, wzięli z sobą pieniądze i oddali je djabłu, a ten ich wartuje. Jednakże chłop zaczął się i pilnie patrzył, gdzie się podzieli zbójnicy, a gdy znikli, poszedł za nimi na miejsce, gdzie się skryli w górę; nie znalazł jednakże ani dziury, ani schowanego skarbu. Wielu w tém miejscu potem szukało, ale zawsze nadaremnie. Podhalanie opowiadają tę powieść bardzo dramatycznie; zdaje się, jakoby byli naoczniemi świadkami tych wydarzeń: twarz, cała postać przybiera wyraz to podziwienia, to żalu, to smutku, jednakże jakby zpoza mgły przebija ostrzegająca prawda, że to są piękne złudzenia bez rzeczywistości, których sprawdzenia życzyłyby sobie należało.

Podhalanie jak wszyscy górale bardzo są przesądni, i wierzą w nadprzyrodzone potęgi. Jeszcze dotąd radzą się w trudnych oko-

licznościach planetników i wróżek; pierwsi zajmują się głównie rzeczami nadziemskimi, przepowiadają pogody, deszcze, mają umieć ściągać chmury na pewne miejsca i odwracać je; niekiedy zajmują się rzeczami ziemskimi i przepowiadają przyszłość, wskazują miejsca gdzie są ukryte skradzione przedmioty. Jeszcze niedawno był na Podhalu bardzo słynny i wielce poważany planetnik, mieszkający w graniczącej Orawie. Nierównie liczniejsze są wróżki; prawie każda znaczniejsza wieś ma starą babę, przepowiadającą to, czego inni nie widzą, co się stało i co się stanie. Jeżeli komu zginie krowa, koń, owca, lub co ze sprzętów, a poszukiwania nie doprowadzają do skutku, pospolicie udają się do wróżki, i ta zwykle zaspokaja pytającego się dwuznacznymi odpowiedziami. Babcie te znając dobrze mieszkańców wioski i ich skłonności, przeczuwają niejako gdzie się mogą znajdować stracone rzeczy. Wróżkom trzeba za to coś darować, lubo zwyczajnie przestają na małym datku.

Obyczaje i zwyczaje Podhalań nierównie więcej zbliżają się do słowackich sąsiadów, aniżeli do swych braci zajmujących równiny. Niewątpliwie wpłynęły na to stosunki przyrodzone. Ludzie mający jednakowy sposób zatrudnienia, pospolicie mają jednakowe zwyczaje. Odbija się to głównie w zabawach. Muzyka i taniec Podhalań zupełnie się różni od sąsiednich Krakowiaków albo Mazurów: nie wieje w nich ta ochocza wesołość, i śpiew powszechnie jest melancholiczny, a taniec sztuczny. Piękny, rosły chłopak zrzuca gunię i wyprowadza jedną lub dwie dziewczęta na środek izby: dziewczęta wtedy odstępują na bok, a chłopak we środku w opiętych spodniach zaczyna przebierać nogami w najrozmaitszy sposób; z początku zwolna, potem coraz prędzej, a następnie wymierzonymi krokami skacze i tupa. Ten popisujący się taniec, musi się pewnym wdziękiem odznaczać, aby widzowie byli zadowoleni. Przygrywająca muzyka jest melancholiczna i monotonna. Pospolicie pomiędzy ustępami śpiewa tancerz dwa, rzadko cztery wiersze, a widzowie skaczą, poklaskują śpiewakom. W czasie popisywania się tancerza, dziewczęta małemi kroczkami zbliżają i oddalają się od niego, a gdy się dadzą słyszczyć szybsze akordy, wtedy porywa zwinną tancerkę, i wykręca się z nią z niewymowną prędkością. Niewielu umie właściwy taniec zbójcecki; trzeba być zawołanym tancerzem, aby się na niego odważyć, chociaż nie różni się od zwyczajnego tylko śmielszemi skokami i muzyką bardziej poważną i uroczystą.

W śpiewach ludu odbijają się jego uczucia i myśli; im te są głębsze, tym więcej odsłania się wnętrze duszy narodowej. Nie mo-

gę wszakże twierdzić, iżby z piosnek podhalańskich można było poznać charakter tego wielkimi zdolnościami obdarzonego ludu; za mało się dotąd wykształcił, władać jeszcze nie umie dostatecznie mową, naginać ją do myśli, wyrażać przezeń swe uczucia; przynajmniej nie mogłem tego odkryć w zbiorze, który ogłosiłem przed kilkoma laty (1).

W piosnkach mieszkańców Podhala przeważają więcej przedmioty zmysłowe, otaczające ich bezpośrednio, mające użytek, anizeli przedmioty umysłowe; nierównie więcej zajmują się owcami, końmi, krowami, anizeli żywej barwy kwiatami, które rodzą ich hale. Ten charakter noszą następujące piosnki:

Janiczku, Janiczku, co ci po koniczku,
Będę se przewoził, bez bystre wodziczku.

Nie jadł konik, nie jadł ani ja,
Frajereczko (2) moja, czyżże ja, czyżże ja?

Frajereczko moja, mam ci cosi pytać (3),
Uciekł mi koniczek, pomóż mi go chwytac.

Nauczże się, naucz, siwy koniu robić,
Bo ja se nauczył, poza Tatry chodzić.

Cisawe koniczki nie dają się łapać,
Frajereczko moja, będziesz na nie płakać.

Te moje koniczki oba siwe były,
Dobrze mi frajerki w polu nie zabiły.

Nie mogę, nie mogę do wiérszycka chodzić,
Musisz mi frajerko koniczka wywodzić.

Zajmują się także bardzo pożytecznymi zwierzętami, owcami i krowami, i w pieśniach swych wyrażają nieraz troskliwość, by odwrócić niebezpieczeństwo od *kierdela* czyli stada owiec.

Baco nas, baco nas,
Daj pozior na szalas,
Bo słoneczko zaszło,
Na owieczki straszno.

(1) Pieśni ludu Podhalan czyli górali tatrowych polskich. Warszawa, 1845. (2) Kochaneczko. (3) Prosić.

W innych znów przedstawiają poetycznie wracające stada:

Idą se owieczki tą sławiańską percią (1),
Juhasów nie widać ino dzwonki zbierzą.

Kukułeczka kuka, stryszki po dolinie,
Wstańcie chłopcy moje, stryszki po dolinie.

Idą ci owieczki z téj Porońskiej hale,
Cośby ino jedli, kiedy samo skale.

Tracą mi się, tracą, te owieczki tracą (2),
Nie będę se już więćej, w Kondratowej (3) bacą.

Zakukała kukułka poniżej kozzara,
Obudziła owce, obudziła owcara.

Idą ci owieczki,
Z wierzka do uboczki,
Jak się pięknie roją,
Bo się nocki boją.

Złébeczki, złébeczki, zielone złébeczki (4),
Nie chodziłbym po was, kieby nie owieczki.

Jak wszędzie, tak u Podhalan mają najwięćej piosnek miłosnych. Umysł przepelniony uczuciem widzi świat w najpiękniejszych barwach; wszystko oddycha rozkoszą i szczęściem. Dowodzi tego kilka załączonych wierszy:

Czém dalej do lasa, zieleniejsza buczyna,
Czém dalej do ludzi, szumniejsza (5) dziewczyna.

W lesie kochaneczka,
W lesie studzieneczka,
Przy niéj frajereczka stoi,
Piórko (6) mi wije,
Ze zielonéj lillje.

Zagrajcie mi suciéj,
Bo ja chłopiec ruci (7),
Czy suciéj, czy nie suciéj,
Kej ja chłopiec ruci.

(1) Ścieszka. (2) Gina z głodu. (3) Nazwa holi. (4) Strugi któremi woda spada na bokach gór. (5) Piękniejsza. (6) Bukiet. (7) Rączy, wyrażenie słowackie.

Ładny jest Janiczek, ładny jest do znaku,
Mnieby nie żal było, z tobą iść do światu.

W moim ogródeczku kwiateczki pachnące,
Dalekoś odemnie serce kochające.

Daj mnie matko, daj mnie, kiej ludzie pytają (1),
Kiedy lilija kwitnie, wtedy ją targają (2).

Inne pieśni malują znów rozpacz opuszczonej kochanki:

Boli mię głowa, boli,
Bo mój miły inną woli,
Woli inną, a mnie nie chce,
Kamienieje moje serce.
Mój się miły z inną śmieje,
Moje serce kamienieje,
Niech się śmieje, wola jego,
Ja pokocham téż innego.

To moje serdeczko takie zażalone,
Jako to żelazko w ogniu rozpalone.

Szeroko, daleko, mojej matki pole,
Ale szerzej, dalej, pocieszenie moje.

Przegadała woda, przegadała skała,
Moja kochaneczka, przegadać nie chciała.

Często piosnki przebierają miarę wesołości, jak to z następujących widać:

Miała ja téj nocy Janiczka ładnego,
Samo mi serduszko gadało do niego.

Dobrze ci to chłopcze pod trusiém (3) pióreczklem
Ale mi niedobrze z małym dziecięckiem.

Na wysokiéj jedli (4) gołabeczek siedział,
Jaby cię kochała, kieby nikt nie wiedział.

Na wierszyczku (5) stała,
Oczka przedawała,
Czy przedam, czy nie przedam,
Ja ich darmo nie dam.

Śpiewanki podhalańskie powszechnie są dwu-, rzadko cztero-wierszowe: zwykli je podczas tańca śpiewać albo raczej wykrzykiwać.

(1) Proszą. (2) Zrywają. (3) Strusiém. (4) Jodła. (5) Górka, wirch, wierszyczek.

Toż samo czynią pasterze i pasterki, by czas skrócić, lecz w tym śpiewie wdzięku i harmonii trudno znaleźć; czasem tylko wydają przedłużone głosy, które budząc echa przypominają śpiew tyrolski. Juhasy zwykli grywać na kozie; instrument ten jakby stworzony do lasów i skalistych dolin, wydaje tony nie bez wdzięku, ale melancholiczne i smętne. Piosnek nieco większych udało mi się kilka zebrać; są one tém ciekawsze, że noszą charakter miejscowy, i przystosowane są zupełnie do pojęć mieszkańców.

W Chochołowie na ryneczku,
Piją chłopcy palineczku;
Jedni piją, drudzy grają,
Trzecie dziewczę namawiają.

A skoro go namówili,
Na koniczka wysadzili.
Jedź, jedź Kasiu nasza,
Nie dowię się matka wasza.

A matka się dowiedziała,
Sasiada jej powiedziała;
A łapajcie Kasie swoją,
A kandy ją dościgniecie,
Rączki, nóżki obetnecie.

Dościgli ją aż we Lwowie,
Ona stoi w złotogłowie.
Witajże ty Kasiu nasza,
Gdzieś podziła swego Jasia?

Oto jest za stołami,
Pije wino z huzarami:
Chodźże ino szwagrze młody,
Będzie krwi jako wody.

Srebro, złoto odbierajcie,
Mego Jasia nie rubajcie.
Srebro, złoto odebrali,
Zacieni go wedle pasa,
Mego Jasia porubali,
I to z tobą Kasiu nasza!

Zacieli go wedle brody:
Otóż tobie szwagrze młody.
Wielka się mi wola stała,
Młoda wdowa wnet ostała.

Będę chodzić po kiermaszach,
Jako sarna po szałasach.

Będę zbierać kluczykami,
Jako sarna rożyczkami.
Będę skakać wedle krzaki,
Jako sarna bez potoki.

I szło dziewczę po wodę,
Po wodziczkę studziennę,
Przyszedł pan, rozbił dzban,
Tataryta, rozbił dzban!

Dziewczę bardzo płakało,
Za dzbanem się żaliło.
Dziewczę moje na płacz się,
Szkoda ci się nawrócić,
Za ten dzban, glajcarz dam.

Dziewczę glajcarz nie chciało,
Za dzbanem się żaliło;
Kiedyś pan, zapłać dzban,
Tataryty, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz się,
Szkoda ci się nawrócić,
Za ten dzban złoty dam,
Tataryty złoty dam.

Dziewczę złoty nie chciało,
Za dzbanem się żaliło;
Kiedyś pan, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz się,
Szkoda ci się nawrócić,
Za ten dzban, dukat dam.

Dziewczę dukat nie chciało,
Za dzbanem się żaliło;
Kiedyś pan, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz się,
Szkoda ci się nawrócić,

Za ten dzban, rolę dam,
Tataryty rolę dam.

Dziewczę roli nie chciało,
Za dzbanem się żaliło:
Kiedys pan, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się powróci,
Za ten dzban kasztel (1) dam,
Tataryty kasztel dam!

Dziewczę kasztel nie chciało,
Za dzbanem się żaliło:
Kiedys pan, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się powróci,

Za ten dzban, brata dam,
Tataryty brata dam!

Dziewczę brata nie chciało,
Za dzbanem się żaliło:
Kiedys pan, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się nawróci,
Za ten dzban, sam się dam,
Tataryty sam się dam!

Chwała Bogu na niebie,
Szkoda mi się nawinie (2),
Za ten dzban, pana mam,
Tataryty pana mam!

Podhalanie bardzo są rozwiozli; dwie są tego główne przyczyny, fizyczna i moralna: gorąca krew i właściwe zwyczaje od niepamiętnych trwające czasów. Przyjętą jest rzeczą między innemi, że chłopak starający się o dziewczynę, przybywa do jój domu powszechnie w sobotę, i nie wchodzi drzwiami tylko oknem, a rano tą samą drogą wychodzi od swój frajerki czyli kochanki. Zwyczaj ten mają Podhalanie z graniczącemi Słowakami węgierskiemi. Odwiedziny te nie są wcale uważane za coś nieprzyzwoitego lub nieobyczajnego, owszem odbywają się z wiedzą rodziców, i jeżeli dom nie jest przestronny, ustępują parze najlepszą izbę. Czaplowicz w swym obrazie Węgier opisuje zupełnie podobny sposób zalecania się w Liptowie, i dodaje, że mężatka, któraby dopięro w pierwszym lub drugim roku miała potomstwo, wstydziłaby się niemało. Nie chcę rozbierać, jak dalece to zdanie jest uzasadnione, ale tyle jest pewnego, że Podhalanie nie są tak ściśli co do tego. Wtedy tylko się żenią, gdy nie zachodzą wątpliwości, że ich potomstwo nie wygaśnie. Nie mają nawet za złe, jeżeli narzeczona ma niewątpliwe zadatki poprzednich miłostek. Wiele jest bardzo piosnek rozwiozłych, których nie ma potrzeby upowszechniać.

Pod względem językowym piosnki Podhalan zasługują na szczególniejszą uwagę. Mowa w nich aczkolwiek niewykształcona, odznacza się jędrnością i siłą; często odkryć można niepospolite piękno-

(1) Nazwa ta wzięta jest z Węgier, gdzie dosyć gęsto pozostały rycerskie zamki; teraz każdy dwór zowią kastellem. (2) Nawróci.

ści. Mowa Podhalań stojąc na przejściu języka polskiego do słowackiego, stanowi ogniwo pośrednie pomiędzy obydwoma, w którym polski język ma zwroty słowackie. Gdyby grammatycy zastanawiali się nad tém żywém źródłem mowy, zapewne niejedna jednostronna teorya nie byłaby zrobioną. Szczególnie odznacza się język Podhalań licznemi wyrazami odznaczającemi stosunki w wysokich górach, i zarówno geograf jak i geolog znajdzie skarby nazw żyjących w ustach ludu, które lepiej wynajdywać niż tłumaczyć z obcych języków.

Jednym z najwybitniejszych rysów charakteru Podhalań jest pociąg zostania zbójem, albo jak się wyrażają, chodzenia na zbój. Pospolicie juhasy wiele miesięcy oddzieleni od ludzi, dziczeją, a po dokonaniu jakiego pomniejszego przewinienia, jakoto: po zjedzeniu barana albo zgubieniu konia lub wołu, uciekają z obawy kary i wążają się po szalasach. Gdy się pomiędzy tą luźną czeladzią znajdzie jaki zuchwalszy, zbiera się banda, napadają na szalasy, i rozpoczynają zwyczajnie od zabierania mléka, sérków owczych i baranów, które na wieczerę zwykli gotować. Przyrządzają je właściwym sobie sposobem: oprawionego barana gotują w mléku w kotle szalassowym. Jestto największy przysmak góralski, wcale niezły, jeżeli jest dobrze przyrządzony. Rozumié się, że kilku ludzi nie może spożyć przygotowanój smacznój wieczerzy, i wszyscy juhasy mają w niéj udział; a chociaż nadzwyczajnie boją się zbójców, i drżą na samo ich wspomnienie, nie są wszakże niemilemi gośćmi w szalasiu. Owszem jest między Podhalańmi przyjęte zdanie, że iść na zbój jest coś szlachetnego, i odznacza, jak mówią, tego chłopca. O tém ciągle rozpowiadają i śpiewają, mają nawet oddzielny rodzaj piosnek zbójceckich. Kilka z nich podaję:

Chłopiec ci ja, chłopiec,
Wychował mię ojciec,
Wychowali ludzie,
Zbójnik ze mnie będzie.

Poza buczki, poza las,
Pójdziemy zbijać, pójdziemy kraść,

A za hary, za hary (za góry),
Na liptowskie (1) barany.

Byłato trubita (2),
Talary wybita,
Kto tę trubitę wybijał,
Siedm roczków zbijał.

Kiedy se ruszemy z wirchu Maruszyny (3),
Zamek rozbijemy, żaden nie zginiemy.

(1) Komitat na drugiej stronie Tatrów południowych. (2) Trąba długa z drzewa. (3) Maruszyna wioska przy Szaflarach, gdzie dawniej stał zamek, teraz zniszczony zupełnie; na miejscu tém stoi na wysokości skale altana zdaleka widziana.

Nieraz w piosnkach żartują sobie z trwożliwych zbójników lub narzekają na skutki wynikające:

Nie masz, nie masz jako zbój,
Spadnie listek to się bój,
Spadnie listek bukowy,
Jużto Janko gotowy.

Nie maszci jako zbój,
Spadnie listek to się bój,
Spadnie listek z jawora,
Pójdzie Janko do dwora.

Byli chłopcy, byli, co się na zbój brali,
Jeszcze nie porośli, już na zbój pošli.

Nie był se zbójniczkim ino jeden roczek,
Już mię zawiesili na żelazny haczek.

Juże se nie ukradł ino dwa barance,
Już mię okowali w żelazne bugance (1).

Kieby nie owce, te czarne barany,
Nie zbyrczałyby (2) mi na nóżkach kajdany.

Mali chłopcy, mali,
Kiej się na zbój brali,
Jeszcze nie porośli,
Kiedy na zbój pošli.

Jeszcze nie zbijali,
Kiej ich połapali.
Dyć ich połapali,
W zakopańskiej hali.

Najcelniejszym zbójcekim bohaterem nietylko u Podhalan, ale i na całej Słowacyzynie węgierskiej jest Janosik. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jestto niezmyślona osoba, w której jednakże wszystko się zgromadziło, co tylko mogła wymarzyć wyobraźnia tych ludzi natury. Janosik obrał sobie Liptów, Orawę, Spiż, Podhale za miejsce do swych wielkich czynów, a nawet zapuszczał się do Tatrów nad źródła Hronu i do gór Roznawskich. Najwięcej upodobał sobie Tatry i przyległe im miasteczka; jeszcze teraz pokazują w Kościelisku miejsca, kędy do Węgier przechodził, skały na których obiadował, i jamę w której zimę przepędzał. Obdarzony nadzwyczajną siłą, był celnym strzelcem; śmiały w przedsięwzięciach, odznaczał się niezwykłymi przymiotami; wybornie tańczył; dorośnię, wspaniałe w postępach, brzydził się okrucieństwem, odbierał bogatym a obdarowywał ubogich. Był on ulubieńcem góralek i nie jedną miał kochankę. Te przymioty razem wzięte uczyniły Janosika ideałem w całej góralszczyźnie, i Podhalańskie stworzyli z niego prawdziwie poetyczną postać. Smutno jednakże skończył; śmierć jego opowiadają jeszcze z widocznym rozrzewnieniem. Złapany w Liptowie, został powieszony w Mikołaszu, w stołecznym mieście

(1) Kajdany. (2) Brzęczały.

tego hrabstwa. Pisał do cesarza Janosik, by go ulaskawił; z Wiednia téż przysłano rozkaz, ażeby mu życie darowano. Obiecywał, że stanie w wojnie za cały pułk i bić się za niego będzie; ale spóźniło się nadejście ulaskawienia, i został straconym. Liczne obrazy niezgrabnie rysowane wiszą po ścianach w całej goralszczyźnie polskiej i słowackiej, przedstawiające Janosika opartego na siekierce; jeden z towarzyszków bandy popisuje się tańcem zbójckim, a drugi strzela z pistoletu. Spiewając o Janosiku jeszcze teraz narzekają. Z licznych piosnek niektóre wymienię:

Janosik, Janosik,
Gdzieś podział wałasik (1)?
W Lewoczy na murze,
Na jedwabnym sznurze.
Albo: W Lewoczy na ścienie,
Przepiły na winie.

Janosik, Janosik, zbójcki hetmanié,
Zabrał sam toraczki, nie robił sam na nie.

Surowiec, Surowiec (2)
Kielos wyżarł owiec?
Owieczek nie wiem co,
Baranów siedm sto.

Zbójniki bardzo dobrze znają umysłowe ukształcenie mieszkańców i wiedzą, że wpływając na ich wyobraźnię więcej dokazą, aniżeli siłą. Kiedy się zatem zjawia w górach, krążą nieprzeliczone powieści o ich nadzwyczajnej sile i odwadze, o dokonanych okrucieństwach, i o niezmiernych skarbach zrabowanych. Wszyscy mieszkańcy Podhala drżą na ich wspomnienie; aby złagodzić niejako te straszne obrazy, opowiadają o ich wspaniałości, z jaką obeśli się z żebrakiem, o dostatkach i bogatych szatach, w jakie się stroją ich szumne frajerki. W takim rozdrażnionym stanie umysłów, kiedy się zjawia dwóch lub trzech zbójów, przeraża się dziesiątek juhasów w szalasie, i niebezpiecznym gościom oddają wszystko co tylko mają: mleko, oszcepki, barany, krowy. Rozzuchwaliwszy się zbójniki nie kontentują się zdobyczą w szalasach: napadają na podróżnych, rozbijają domki włościańskie, dwory, a nawet dopuszczają się mordów. W roku 1848, zjawily się w Tatrach groźne bandy zbójców, które były postrachem całej okolicy. Po zakończeniu w roku 1849 wojny węgierskiej, znaczna liczba osób schroniła się do dobrze urządzonych

(1) Siekierka. (2) Jeden z najsmielszych zbójców bandy Janosika.

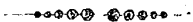
kwaśnych wód, na południowej pochyłości Tatrów położonych na Spizu, zwanych Schmeks. Wody te leżą wśród samych lasów, i są kilka godzin drogi od wiosek odległe. W tym czasie rozeszła się smutna wiadomość w Schmeksie...; pozostało więc tylko liczne zgromadzenie kobiet z pięcioma mężczyznami. Jednego dnia, kiedy zachodzące słońce wywabiło zgromadzenie na ganek, i wszyscy pogrążeni byli w smętném dumaniu nad właśnie zakończonym dramatem, wtém wypadł z lasu góral uzbrojony w dubeltówkę: mało co na to zważano; wtém wchodzi na ganek, a w téjże chwili wystąpił inny z drugiej strony, i równocześnie pokazało się w lesie dwóch czy więcej uzbrojonych w pistolety, noże, sztylety, w brunatnych guńkach. Tém niespodzianém zjawieniem się przerażeni goście cofnęli się do obszernej sali jadalnej, a za nimi wszedł góral z bronią, z odwiedzionemi kurkami, żądając groźnie oddania pieniędzy, zegarków i innych kosztowności. Przestraszeni goście wykonywali dany rozkaz; jeden tylko chciał ratować swą własność i ująć tylnemi drzwiami, ale tu stał inny góral i obszedł się niegrzecznie z uciekającym: chwycił go za kołnierz, ochłostał dyscypliną, którą w rękę trzymał, i obrał go ze wszystkiego. I panie musiały oddać wszystkie swe kosztowności: ale nie przestali na tém zbójnicy: każde mieszkanie przetrząsali, odbierając co im się wydało dobrego. Lepszego obłowu nie udało im się zrobić nigdzie, bo wartość w gotowiznie i kosztownościach zabranych miała do 3,000 dukatów wynosić. Zdaje się, że jeden z domowników zostając w zмовie ze zbójcami naprowadził ich, albowiem podczas tego plądrowania służba się pokryła. W następnym roku (1850) przywrócony został porządek: zbójnicy wyłapani zostali i jak dawniej można zupełnie bezpiecznie po Tatrach podróżować.

Od niepamiętnych czasów Podhalanie są właścicielami ziemi którą uprawiają, i dlatego niełatwo ustępują z odziedziczonych praw. Równość zarobku, przeludnienie, wielka oszczędność są powodem, że wyrodziła się pomiędzy nimi niekiedy rażąca kłótniowość, a przynajmniej większa, aniżeli u bardziej tępych mieszkańców naszych równin. Spory te zwyczajnie załatwiają pomiędzy sobą, u swoich soltysów; rzadko wytaczają je do urzędów dominialnych. Nietylko *prawocą* (prawują) się pomiędzy sobą, ale i z panami, którzy od kilkunastu lat nabyli dobra posiadane przez rząd.

Niektórzy obcy autorowie dają prawdziwie odrażający obraz charakteru Podhalan: wystawiają ich jako całkiem zepsute plemię.

i nie ma nic ohydneho, coby im nie przyznali. Tak skreślili Podhalan: Albin, Heinrich i Sydów. Tym pisarzom brakuje jednakże głównego środka do poznania ludu, który oszpecili:—znajomości języka. Opowiadania przybyłych innoplemiennych rządców dóbr były źródłem tych przelotnych pisarzy, a nie istotna znajomość ludu Podhalan, tych nieco rozpuszczonych dzieci gór. Za nic innego te zdania uważać nie należy, jak za pisma, którym prawdy niedostaje.

Nie masz części kraju polskiego, gdzieby cała ludność większy miała pociąg do kształcenia się jak na Podhalu; czytających mają tam w wielkiem poważaniu, a modlić się na książce jest u nich oznaką wyższości. Nieraz młode parobki służą za darmo rok u gazdy pod warunkiem, że nauczy go czytać i pisać. Jeżeli chłopak zamożniejszych włościan pokazuje nieco zdolności i chęci do nauki, wtedy oddają go rodzice do szkół w poblizkich Węgrach, lub do szkoły pijarskiej w Podoleńcu na Spizu, założonej przez książąt Lubomirskich. Tam z małą zapomogą z domu pobieraną, pospolicie ucząc młodsze dzieci, kończą szkolne nauki, a następnie idą do uniwersytetu we Lwowie, Peszcie lub Preszburgu. Prawie bez wyjątku poświęcają się stanowi duchownemu, i teraz większa część proboszczów na Podhalu, w przyległej góralszczyźnie, w znaczniejszej części Galicyi; i w Krakowskiem są synami podtarzańskich górali, uprawiających najbiedniejszą ziemię, których przemysł i zabiegliwość stawia ich w możności dania zapomogi do wyższego wychowania dzieci. Potrzeba wykształcenia się jest wybitnym charakterem Podhalan; wrodzoną bystrością umysłu przeczuwają, że są w świecie wyższe dążności, o których nawet nie marzy tępy uprawiacz najżyźniejszej ziemi w Proszowskiem. Niepodobna, żeby się taki szczep kiedyś nie odznaczył, i jest nadzieja, że te góry wydadzą znakomitych ludzi, tak wystrzelających nad poziom zwyczajnych istot, jak ich niebotyczne wirchy.



O STOSUNKU HYPOTEKI GUBERNIALNEJ DO OKRĘGOWEJ.

Prawo o ustaleniu własności dóbr nieruchomości z r. 1818 poddało regulacji hipotek tylko dobra ziemskie w całym kraju, tudzież nieruchomości po miastach, w których zasiadał trybunał cywilny I instancyi, jedne i drugie własnością prywatną będące; prawo zaś o przywilejach i hipotekach z r. 1845 dozwoliło regulacji hipotek dla *wszystkich* innych nieruchomości prywatnych, miejskich lub wiejskich.

Wyłączone więc były zpod regulacji hipotek dobra rządowe i instytucyjne. Później jednakże, w celu przystąpienia do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, rząd poddał hipotece niektóre z swych dóbr ziemskich.

Z systematu tego wywiązała się różnica między hipoteką wojewódzką dziś gubernialną, a hipoteką powiatową dziś okręgową. Hipoteka gubernialna ustanowiona jest przy trybunałach cywilnych I instancyi, okręgowa zaś przy sądach pokoju. Przy jednej i drugiej są osobne wydziały hipoteczne do kierowania regulacją hipotek i rozpoznawania prawności działań hipotecznych.

Hipoteka więc gubernialna obejmuje dobra ziemskie prywatne, tudzież nieruchomości prywatne w miastach trybunalskich położone, niemniej dobra ziemskie rządowe, z którymi rząd do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przystąpił; hipoteka zaś okręgowa obejmuje wszystkie inne posiadłości, własność prywatną stanowiące, bądźto po innych miastach, bądźto po wsiach położone.

Lubo ztąd w ogólności okazuje się, jakiego rodzaju własności ziemskie lub miejskie hipotece gubernialnej ulegają, a jakie posiadłości miejskie lub wiejskie hipotece okręgowej są pozostawione; lubo co do uporządkowania hipoteki gubernialnej artykuł

15 ustawy z r. 1818, dał niektóre skazówki: jednakże we względzie stosunku hypoteki gubernialnej do okręgowej prawo z r. 1825 to tylko w artykułach 22 i 23 wyrzekło, że do nieruchomości, których hypoteka podług prawa z r. 1818 uregulowaną być miała, a z powodu *małej wartości* uregulowaną nie została, stosować się mają przepisy artykułów 11 i 12 prawa z r. 1825.

Z tych przyczyn, jako téż z zapatrywania się na pochodzący z dawniej Polski i po panowaniach pruskiem lub austriackim, stan prawny dzierżenia *własności podzielnej*, który, acz nie odpowiadał prostym zasadom kodexu cywilnego francuzkiego o prawie własności, przecież na nowo wskrzeszonym został: to przez dekret z dnia 31 stycznia 1810 r. pozwalający nadania *erbpachtu* czyli dzierżawy dziedzicznej na każdą mniejszą posiadłość w dobrach narodowych (1); to przez ustawę z r. 1818 w artykule 43 pod wyrażeniem *dzierżawa wieczysta*; to nakoniec przez prawo z r. 1825 znoszące ustanowioną w artykule 530 Kodexu Cywilnego możność wykupienia wszelkiego rodzaju opłat wieczystych (2): ztądto mówię, wyrodziły się różne sprzeczności lub wątpliwości, które regulacją hypotek okręgowych utrudzały i dotąd utrudzają.

Pomijając inne wątpliwości, mamy tu jedynie na celu wykazanie mylności tego twierdzenia: jakoby posiadłości prywatne szczególne w obrębie kluczy dóbr ziemskich rządowych lub prywatnych, po miastach lub po wsiach położone, nie ulegały regulacji hypotecnej okręgowej, mianowicie wtenczas, gdy miasto rządowe lub prywatne w hipotece gubernialnej uregulowane zostało, a nie ma objawionych praw swych szczególnych w wykazie hypotecnym.

Twierdzenie to usiłowano usprawiedliwić to reskryptami objaśniającemi, to artykułem 15 ustawy z r. 1818, to nakoniec tą okolicznością, że prawa hypoteczne gubernialne przez regulacją hypotek okręgową uszkodzone być mogą.

Żadne z tych twierdzeń nie jest dostatecznym w obliczu obowiązującego prawa powszechnego: bo reskrypta objaśniające, pominąwszy nawet pochopność do dwoistego ich tłumaczenia lub

(1) Dziennik Praw księztwa warszawskiego, tom II, str. 135.

(2) Dziennik Praw Król. Pol., tom IX, str. 352.—Art. 530 K. C. brzmi tak: Toute rente établie à perpetuité pour le prix de la vente d'un immeuble ou comme condition de la cession à titre onéreux ou gratuit d'un fonds immobilier est essentiellement rachetable.

naciągania, same przez się mocy obowiązującej i sankcyi prawa nie mając, prawa zastąpić nie mogą, i tylko o tyle mogłyby być stosowane, o ile oparte są na brzmieniu lub duchu kodexów, ustaw, słowem praw *ogłoszonych*, których stanowcze tłumaczenie i stosowanie w zachodzących sprawach magistraturom sądowym jest pozostawione: co i w instrukcyi hypotecznój z dnia 30 czerwca 1819 r. w artykule 78, pod napisem: „przepis ogólny,” wyraźnie uznano w słowach: „że o ile instrukcyja ta zawiera w sobie wyjaśnienie zasad nowego i dawnego prawa hypotecznego, o tyle uważać ją należy jako radę i pomoc dla urzędników, którym powierzone jest pierwiastkowe zaprowadzenie hypotek, w niczém nie naruszając zdania magistratur sądowych w zastosowaniu prawa do przypadków.”

Jakoż ci co twierdzą, że hypoteka gubernialna nie dopuszcza hypoteki okręgowej, chcą się posiłkować przepisem prawa w artykule 15 ustawy hypotecznój z r. 1818. Artykuł ten wszakże stanowi tylko o wewnętrzném urządzeniu i uporządkowaniu ksiąg hypotecznych, a dodatkowo o możności połączenia w jednej i téjże samej księdze hypotecznój bądź różnych właścicieli posiadających części jednéj majątności pod jedném wspólném imieniem istniejącej, bądź różnych posiadłości, przez jednego właściciela pod ogólném imieniem nabywanych i obciążanych; niemniej o możności zakładania oddzielnych ksiąg hypotecznych w razie rozdzielania składanej w powyższy sposób majątności.

Nie masz więc w artykule 15 ustawy z r. 1818 najmniejszej wzmianki o stosunku hypoteki gubernialnej do okręgowej, i być jej nie mogło, skoro hypoteka okręgowa dopiero w roku 1825 powstała.

Przeciwnie, gdy ustawa z r. 1818 poddała hypotece dobra ziemskie i nieruchomości miast trybunalskich, prawo zaś z roku 1825 dozwoliło hypoteki dla *wszystkich* innych nieruchomości, rozumie się zawsze prywatnych: przeto wynika ztąd ta żywotna porządku hypotecznego krajowego zasada: że wszelkie bez wyjątku posiadłości nieruchome, gdziekolwiekbądź położone, własność osób prywatnych stanowiące, regulacyi hypotek ulegają.

Zasada ta znajdzie zupełne usprawiedliwienie w pobudkach prawodawczych do prawa o przywilejach i hypotekach z r. 1825, które w skróceniu są następującego brzmienia: „ze ze względu na interes prywatnych i ze względu na interes publiczny, nie należy *wyłączać* od dobrodziejstwa prawa hypotecznego z r. 1818 *całej*

klasy tych nieruchomości, które wprowadzie pojedynczo je biorąc, mniejszej bywają wartości, aniżeli dobra ziemskie, których ogół jednak znaczną stanowi część *stałego* majątku krajowego; że kiedy właściciele nieruchomości miejskich coraz więcej zatrudniają się przemysłem, należy i dla tej klasy mieszkańców ułatwiać i ulepszać *kredyt*; że więc prawo hipoteczne z r. 1818 rozciąga się do *wszystkich bez wyjątku* nieruchomości, gdy nie ma powodu, dla któregooby toż prawo nie miało być przyjęte co do nieruchomości *po miastach nie-wojewódzkich i po wsiach*" (1).

Sąto autentyczne powody prawodawcze do prawa z roku 1825, ustawę hipoteczną z r. 1818 uzupełniające, stanowią oraz żywotny wątek całego porządku hipotecznego krajowego, i nie pozostawiają żadnej wątpliwości co to tej prawdy: że wszelkie posiadłości miejskie lub wiejskie, własność osób prywatnych stanowiące, gdziekolwiek bądź w obrębie kluczy dóbr ziemskich prywatnych lub rządowych, po miastach lub po wsiach położone, hipotece okręgowej ulegać mają.

Co do hipoteki okręgowej prawodawca żadnej nie zrobił różnicy między dobrami ziemskimi prywatnymi, a dobrami ziemskimi rządowymi; między mieszkańcami po pierwszych lub po drugich dobrach osiadłymi. Celem jego było przyjść w pomoc drobniejszym właścicielom w całym kraju po miastach lub po wsiach zamieszkałym; posilkować ruch przemysłowy, handlowy, rolniczy, całej klasy drobniejszych właścicieli, urządzeniem dla nich hipoteki okręgowej, ażeby przez objawienie posiadanego majątku nieruchomego mogli tém łatwiej otrzymać pożyczki na podźwignienie swych przedsięwzięć przemysłowych lub rolniczych, zapisując wierzycielom za użyczony dług rękojmią rzeczową, realną, hipoteczną.

Czy dobra ziemskie prywatne lub rządowe, weszły lub nie weszły do hipoteki gubernialnej: to w niczem pierwiastkowych założeń i celów instytucji hipotecznej okręgowej zmieniać nie może; inaczéj wbrew przytoczonym dopiero pobudkom prawodawcy wynikłby ten skutek, że ile razy miasto bądź rządowe, bądź prywatne, do ogółu dóbr ziemskich należące, ma uregulowaną hipotekę gubernialną, tyle razy nie mogłaby mieć miejsca hipoteka okręgowa. Że zaś dobra ziemskie *prywatne wszystkie*, a nad-

(1) Dyaryusz sejmowy z r. 1825. Tom III, str. 7. Jestto mowa referendarza stanu *Brockiego* do senatu.

to wiele dóbr ziemskich rządowych mają hypotekę gubernialną, ztąd więc bardzo mało pozostałoby posiadłości prywatnych mniejszych dla hypoteki okręgowej, czyli: raczej ta wraz z prawem z dnia 13 czerwca 1825 o przywilejach i hypotekach musiałaby zniknąć.

Co się nakoniec tyczy obawy uszkodzeniu hypoteki gubernialnej przez hypotekę okręgową; jeżeli z powodu nieoznaczenia prawem z r. 1825 wzajemnego stosunku między hypoteką okręgową a hypoteką gubernialną, z powodu niustalenia prawideł wszelkim krzyżowaniom zapobiegającym, okazały się trudności lub nadużycia, właścicielom lub wierzycielom ogółu dóbr szkodzące: tym nietrudno zaradzić uzupełnieniem ustaw lub instrukcjami proceduralnymi, a nawet pojedyncze nadużycia z złej wiary lub podstępny, albo z zmywy pochodzące, które w drodze sądowej na zasadzie prawa cywilnego obowiązującego sprostować można, i nie mogą uwłaczać stałym instytucjom prawnym, do których hypoteka okręgowa należy.

Największą zaiste trudność w regulacjach hypotecznych okręgowych zrzadzają pojęcia o własności podzielnej, pojęcia pochodzące tak z prawa rzymskiego i kanonicznego, jak i z praw zwyczajowych germańskich, w dawniej Polsce teutońskimi lub saskimi zwanych, niemniej z praw dawnymi konstytucjami rzeczypospolitej polskiej mniej więcej ustalonych, następnie z praw tego rodzaju po panowaniach pruskim lub austriackim pozostałych, nakoniec z dzierżaw dziedzicznych lub wieczystych późniejszych.

Tu mamy przed sobą rzeczywisty chaos stosunków prawnych, i jureprudenccją krajową, która w całym znaczeniu tego wyrazu zawilą i niepewną zwać się może. Tu nasuwają się jak najrozmaitsze pojęcia, domniemania i przesady prawnicze, nie tylko wszakże owe starożytne rzymskie *dominium* podzielne, *in bonis et ex jure Quiritium* zwane, ile późniejszy *per legem Zenonianam* ustalony *emphyteuseos contractus* (1), który w średnich wiekach, po wędrówce narodów gockich, germańskich i innych, po powstaniu szkół prawa w Bononii (Bologna) i w innych miastach włoskich, glossatorom dał powód, a następnie, po przyjęciu w rzeszy niemieckiej prawa rzymskiego, obok stosunków feodalnych

(1) Institutiones Justiniani lib. III, tit. XXIV (XXV) de locatione et conductione § 3.

i praw zwyczajowych, do teoretycznego podziału własności na *dominium directum* i *dominium utile*: pod któryto podział podciągnięto, prócz wielu innych rozmaitych nazwań, prawa emfiteuty-
czne różnie pojęte lub oznaczone, erbpachty, czynsze wieczyste (renty), dzierżawy dziedziczne lub wieczyste.

Wszystkim tym rupiecicom feodalnym lub jurystowskim, Kodex cywilny Napoleona, na utorowanej już drodze, położył tamę, ustanowieniem w artykułach 544 i 546 pojęcia jedynéj własności, a obok niéj innych praw rzeczowych własność ograniczyć lub obciążyć mogących, tak, że i doktryna teoretyczna i użyteczność praktyczna zadowolonemi zostały, a mianowicie doktryna możliwością uporządkowania wszelkich praw rzeczowych podług wielkiego, bo prostego podziału rzymskiego na *dominium et jura in re*, chociaż to w nieco odmienném od rzymskiego znaczeniu, przez podniesienie tak zwanych praw emfiteutycznych do kategorii własności, *dominii, propriété*, użyteczność zaś praktyczna przez możność łatwego, bo dla pojęcia wszystkich przystępnego urządzenia systematu hipotecznego wzorem pruskiego lub polskiego.

Wprowadzenie Kodexu Cywilnego francuzkiego do kraju tu-tejszego, w jednéj części z dniem 1 maja 1808 r., w drugiéj z dniem 15 sierpnia 1810 r., wprawdzie nie mogło zniweczyć rzeczywistego stanu prawnego majątków prywatnych; nie mogło jednych pozbawiać własności lub przychodów z nich, a drugim takowe nadawać; nie mogło tamować ocenienia istniejących między mieszkańcami stosunków i praw majątkowych według właściwych prawodawstw, pod któremi stosunki te powstały: lecz po wprowadzeniu kodexu nieznającego wcale ani prawa emfiteuty-
cznego, ani erbpachtu, ani dzierżawy dziedzicznéj czyli wieczystéj, nie należało wskrzeszać tego rodzaju stosunków prawnych bez równoczesnego nadania ustawy legislacyjnéj o dzierżawach dziedzicznych lub wieczystych, któraby podobnie jak np. tytuł o użytkowaniu, *usufruit*, przepisała prawidła na nieprzewidziane kontraktami okoliczności lub wypadki i spory; zwłaszcza, że takiż sam niedostatek albo raczéj nieład prawa stanowionego zachodzi i co do epoki dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj: jak tego doczytać się można po *Voluminach legum*, i po różnych autorach dawniejszych i nowszych, a najlepiéj w wydaném w roku przeszłym przez p. Kazimierza Bandtkie Steżyńskiego *Prawie Prywatném Polskiém*, z manuskryptu ojca swojego s. p. Jana Wincentego

Bandtkie, w tytule I pod napisem: *Emphyteusis*, str. 258, i w tytule II pod napisem: Dzierżawa dziedziczna, wieczysta, str. 264, a nadto na stronnicy 410.

Powstaje bowiem pytanie, podług jakichto przepisów prawa mają być rozpoznawane i rozstrzygnięte spory co do erbpachtów, albo dzierżaw wieczystych lub dziedzicznych, albo co do praw emfiteutycznych, które w kraju po wprowadzeniu kodexu cywilnego francuzkiego powstać mogły; gdyż zmiana artykułu 530 Kodexu cywilnego prawem sejmowém z dnia 13 czerwca 1825 r., z datą ogłoszenia z dnia 6 sierpnia t. r. w słowach: „Artykuł 530 księgi II Kodexu dotąd obowiązującego nie stosuje się do *dzierżaw lub czynszów wieczystych*, jeżeli warunek wykupna wyraźnie umówiony nie był”, tylko jeden punkt rozstrzyga, to jest: że czynsze dzierżawne mogą być wieczyste ustanowione bez możności wykupna.

Teorya kodexu cywil. francuzkiego o własności i innych prawach rzeczowych nie przedstawiała żadnej trudności w zastosowaniu do niej systematu hipotecznego, ogarniającego własność nieruchomą i wszelkie inne prawa rzeczowe nieruchome. Podług teoryi téj uważać należy tak zwane *dominium utile* za własność istotną, tak zwane zaś *dominium directum* za własność tytularną, czyli raczej za *jus in re*, ograniczone do pewnej ilości kanonu, lub czynszu, do *laudemium* lub innego rodzaju ograniczeń istoty własności nienadwerężających.

Gdy zaś pod kategorią *dominii utilis* podpadają *jus emphyteuticum*, erbpacht, dzierżawa dziedziczna, dzierżawa wieczysta i wszelkie inne grunta czynszowe do dziedziców lub innych nabywców przechodzić mogące: przeto należało do rubryki własności policzyć wszystkie posiadłości pod tytułem prawa emfiteutycznego, erbpachtu lub dzierżawy dziedzicznej czyli wieczystej posiadane, kanon zaś, czynsz i inne wieczyste opłaty lub obowiązki odesłać do rubryki innych praw rzeczowych, *jura in re*, własność ograniczających.

Prosta teorya ta i odpowiedni jój porządek hipoteczny nie naraża żadnej strony ani tak zwane *dominium directum*, ani tak zwane *dominium utile* na żadną stratę, nie dopuszcza zawikłań; prostuje pojęcia prawne, a w razie nastęrczających się kwestyj lub sporów ułatwia ich rozwiązanie konsekwencyjne i sprawiedliwe, a nadto drobniejszych posiadaczy, przez samo wyobraże-

nie o posiadaniu własności, acz ograniczonej, pobudzi do zamiłowania i upiększenia gospodarstwa, i nakłoni do nałogowego posłuszeństwa prawu i sprawiedliwości.

W duchu tych zasad i uwag, uwłaszczenie *miasta*, czyli wpisanie miasta do wykazu hipotecznego jako przedmiotu własności bądź prywatnej, bądź rządowej, niczém inném nie jest jak *metonymią*, figurą wyrażania się taką samą, jaka się np. w tém wyrażeniu objawia, gdy mówimy Europa, zamiast narodów lub państw europejskich, albo jaka w artykule 162 prawa hipotecznego z r. 1818 znajduje się w słowach: „że prawo to ściąga się do miast, w których zasiada trybunał ziemski”, bo redaktor chciał powiedzieć, a dla krótkości powiedział to pod metonymią, że prawo hipoteczne ściąga się do nieruchomości prywatnych w miastach tych, w których trybunał cywilny I instancyi urzęduje, najdawniej departamentowemi, później wojewódzkiemi, dziś gubernialnemi zwanymi.

Uwłaszczenie więc miasta bądź prywatnego, bądź rządowego w wykazie hipotecznym gubernialnym, podług ducha ustawy z r. 1818 i prawa z r. 1825 do niczego więcej nie ściąga się, jak tylko do czynszów, kanonu, laudemów i innych obowiązków wieczystych, jakie na pojedynczych nieruchomościach miasta te składających ciążą: zwłaszcza że miasta, *urbes, municipia*, w właściwém swém znaczeniu przedmiotem kupna i sprzedaży być nie mogą, gdy pod tytułarną nazwą miasta, tylko czynsze, laudemia, lub inne wieczyste ciężary sprzedają się i nabywają. Te zaś przy regulacyi hipotek okręgowych na szczególnych posiadłościach miejskich objawione być powinny.

Jakoż podczas pierwiastkowej regulacyi hipotek z mocy ustawy z r. 1818, wszelkie własności emfiteutyczne lub czynszowe (*superficies*) po miastach trybunalskich, dziś gubernialnych wciągnięto do rubryki własności, przy odesłaniu tak zwanego *dominium directum* z należnością kanonu, czynszu, laudemii, lub za konsens do rubryki innych praw rzeczowych wieczystych.

Wypadek ten wszakże nietylko na zasadzie samej ustawy hipotecznej, lecz i na zasadzie instrukcyi dla wydziałów hipotecznych pod dniem 30 czerwca 1819 r. wydanej, oraz przyłączonego do niej wzoru do protokołów regulacyi hipotek osiągnięty został: gdyż w wzorze tym jak najwyraźniej nietylko *własność dziedziczną* (niczém nieścieśnioną) lecz i *possessyą emfiteutyczną* za

należącą do działu IIgo wykazu hipotecznego o własności, *dominium*, kanon zaś, czynsz i laudemium, jako téż tak zwany konsens za należące do działu IIIgo o ciężarach wieczystych i ścieśnieniach własności uznano.

Stosownie do tychże zasad, które prawem z r. 1825 o hipotece powiatowej; dziś okręgowej, do wszelkich innych posiadłości miejskich lub wiejskich własność prywatną stanowiących rozciągnięto, należą do działu IIgo wykazu hipotecznego: o własności, wszelkie posiadłości *juris emphyteutici*, gdziekolwiek bądź po miastach niegubernialnych lub po wsiach położone.

Uznała to instrukcyja z dnia 22 grudnia 1825 r. dla wydziałów hipotecznych okręgowych, przepisana w art. 46 pod nr. 3, w słowach „wzór do wykazu hipotecznego z r. 1819 jest dla nich obowiązującym.“

Lubo co do dzierżaw wieczystych, dziedzicznych, lub erbpahtów lub innych tymże odpowiednich praw gruntowych, artykuł 94 instrukcyi z dnia 30 czerwca 1819 r. odnośnie do artykułu 43 ustawy z r. 1818 do innego zmierzać się zdaje celu, jednakże jeżeli dzierżenie dzierżawy dziedzicznej, lub wieczystej, lub odpowiednich tymże pojęciom posiadłości, pomimo opłacanego z nich kanonu, czynszu, laudemii, konsensu, zawiera w sobie możność przenoszenia ich do dziedziców podług porządku sukcesyjnego, lub nawet do innych nabywców niefamilijnych, jako téż możność zupełnego z nich użytkowania; słowem, jeżeli dzierżenie posiadłości miejskiej lub wiejskiej obejmuje w sobie to, co pod wyrazem *dominii utilis* rozumieć należy: wtedy i takie posiadłości do działu IIgo o własności stosowane być powinny. A nawet cel ten i ta zasada już były przygotowane przez instrukcyą hipoteczną ministeryalną, z mocy dekretu z dnia 31 sierpnia 1809 r. wydaną, w której pod tytułem III o rozdzieleniu czynności między konserwatorów departamentowych i konserwatorów powiatowych, artykuł 18 jest następującego brzmienia:

1. „Konserwatorowie powiatowi utrzymywać będą księgi hipoteczne tyczące się *nieruchomości w obrębach granic miast leżących*, bez żadnej różnicy, czyli dawniej nieruchomości te szlacheckie lub miejskie zwały się. Nadto do konserwatora powiatowego należać będą księgi wieczyste *tych nieruchomości, których posiadacze czynsze prywatnym lub narodowym dominium opłacają*, słowem, księgi wszystkich tych nieruchomości, które za rządu zeszłego do

jurydykcyi sądów niższych, jakoto: miejskich, powiatowych, wiejskich, justycyaryuszów i t. d., należały.”

2. „Konservatorowie departamentowi utrzymywać będą księgi wieczyste wszelkich innych dóbr, w numerze pierwszym nieobjętych, z całego departamentu w téj rozległości, jak za rządu zeszłego przez regencyę departamentowe utrzymywanemi były. Oprócz tego, konservatorowie departamentowi pełnić będą obowiązki konservatora tego powiatu, w którym miasto departamentowe leży.”

Heylman.



KRONIKA LITERACKA.

Più Kopy Kazok napysau Spirydon Ostaszewski dla wesoloho Mira. Wilno. Drukiem T. Glücksberga. 1850 r. 8ka. str. 200.

Dzielko to powinno zwrócić naszą uwagę z kilkorakich względów. Naprzód że treścią jego są podania ludowe: powtóra, że w całym bogactwie i prostocie a sile, widzimy czyste narzecze ruskie okolic Humania: dalej, że stawia nam nowy, nieznany świat, stworzony w wyobraźni ludowej, w kształcie sag skandynawskich, uroczy, pełen poezji.

Uderza naprzód oryginalna przemowa p. Ostaszewskiego.

„Kazki tij (mówi) ne wydumka moja, ale zbyrauem, szczo kazały stari lude, i szczo cikaswoho, abo dywnoho za moich lit statos.”

„Byli tacy ludzie, co pytali się, na co się przyda ta książka? Czy ona czego nauczy, albo czy sumienia ludzkie poprawi?”

„My Ukraińci znaymo, w szczo naszi didy dawno wiryły. Słuchaymo Kazok, jaki stari lude rozkazowały. Uczim sia piśni naroda, to nas do czohoś dowede.”

Dalej gniewa się szczerze na naród krytyków: *Wony (mówi) czort by ich mater, szczo im popade sia w ruki, to hudiant. Nehaj sobi krytyki hudiant. Taze to sobaka bresze i na czesneho czołowika, i na złodija, bo joho diło brehuty. A czołowik rozumnyj jak wyjde zaczuwszy szczo pes bresze, zmirkuje, czy złodziej, czy dobryj czołowik ide: dla toho to sobaki pry chati i potrybni, aby ino ne duże zjidływi, szczoob ludey tiazko ne kaliczyły, i za swoje obistia ne wybihaly.*

Tak też (mówimy słowami p. Ostaszewskiego) czasem i te zjadliwe krytyki mają psią naturę. Pies pierwsze mięso powala zanim je zje, a toy (krytyk) persze czołowika zrobyt durniom, a potomu welyczaje sia, szczo wit toho durnia rozumniszczy. Ni bud'ty rozumniszczy wid mudruho, to szczoś wart.

„A potem co mnie to wadzi jak mnie kto sądzić będzie. Łujka ne byjka, pysauem dla sebe, i dla ludey.

— „Ot tak lude! taki to dobre szczo napysauem tij kazki, bo nikomu zła, a ne jednemu potichu zrobyuem, bo szczo inszoho jak bym

pysau na koho brechni, to kiepsko, i dla niego i dla mene, bo za brechniu można czasom w pysok distaty, jak to wże ne idnomu obiciany, ale jakos mało kto obirwau szczo jomu należałoś. A taki na obicianku terpne szkura, taki to ne myło wse ohladaty sia, a czay ne budut byty. Naszczo meni teje zdalo sia? Bo chot to ja duzczy wid druhoho, jak win prylypyt, ni kto ne widlypyt. Woluś pysaty o czortach, o uperach, o czariwnyciach, to im ne wadyt, i wony meni ne zaszkodiat, bo szczo i wże teper po switi ne szlajut sia. Deś ich cholera wydawyla czy szczo?”

W tej samej przemowie tak szczególniej, daje nam autor ciekawą wiadomość co do ruskiego narzecza.

We wszystkich dawnych księztwach: smoleńskim, czernichowskim, poławskim, na Rusi *Krasnej*, na Rusi *Białej*, lud jedną mową mówi, z tą różnicą, że ci co blisko Wielkorossyi przyjęli wiele wyrazów rossyjskich; a Ruś Biała blizka Litwy, łotewskie słowa, a nawet i wymowę litewską przyjęła. Czysta mowa została wpośrodku Czerwonj Rusi, osobliwie około Humania. Kotlarewski i Padura pisali (słowa p. Ostaszewskiego) poławskim narzeczem pomieszaném z rossyjskim, dlatego, że rossyjska mowa obfitszych im słów poddała.

„Na moje proste kazki, prosta mowa wystarczy: dlatego jak stare Humanie mówią, tak i ja piszę. I nasz ukraiński naród zrozumie mnie, zarówno jak Smoleńczanie, Puławcy i Białorusini.”

Założywszy sobie p. Ostaszewski, że dziełko jego ma się składać z pół kopy *kazek*, gdy mu zabrakło do pełnej liczby, pisze do Hulaka Artemowskiego, aby mu nadesłał utwór swój, w którym tak szczęśliwie nadsładował znaną balladę naszego wieszczka: *Pani Twardowska*.

W tym liście tak pisze: *Obiciauem ciekawym ludiam piu kopy kazok, ot dwadciat diewiat i napysau. Na trydeciatu, chot płacz, ne staje, tay kłopot! a tut jak na to, ani w Humanu na jarmarku, ani w Balti, ani w Berdyczowu rozumu ne prodajut. Szczo ja najzdyu sia po jarmarkach, ne można distaty czoho dobroho. Ta je taki, szczo szlajut sia z dwora do dwora, i woziat swij rozum na prodaż. Ale se tandytna robota, ne wart kupowaty!”*

„Odzież przyšlo meni na hadku, szczo wasza kazka „Pani Twardouska” jak raz bysia tut prydała, ot bułoby i piu kopy. Hłań te myłoserno na miy kłopot, tu dayte meni tuju kazku, a ja wam kołys wiroblu.”

Dla dopełnienia liczby pół kopy nie przestał na tém p. Ostaszewski, ale przełożył z polskich utworów Franciszka Kowalskiego dwie powiastki (*Did i baba*, str. 75—*Zoumir* str. 105) i Alexandra Grozy o *Martynie Znachorze* (str. 116): dwadzieścia sześć więc *kazek*, są wyłączną autora własnością. Gdzie dotknął przesądów i zabobonów ludowych, miał wielką pomoc, jak sam wyznaje, w swojej klucznicy. „W niej (mówi) posiadałem niewyczerpany skarb różnych guseł babskich i gospodarskich.”

Wczytawszy się w kazki p. Ostaszewskiego, przyznać musimy, że umiał dobrze i w lud się wpatrzeć, i uchwycić jego język z całą barwą prostoty, i zniżyć się na tego ludu, którego kazki nam podaje, stanowisko. Bardzo szczęśliwie wywiązał się ze swego zadania, prawie nigdzie nie

zdradził się ani wyższą nauką, ani wyższą ogładą towarzyską: a tyle pro-
stoty rozlał, taką szczéroduszość naiwną, że prawie zawsze się zdaje, iż
to opowiada prawowierny chłopek. Sztuka to nielada, nielada zadanie,
tak wnikać i myśla, i wyobraźnia, i wyrażeniami językowemi, a nie uch-
ybić ani prostocie, ani myśli ludowej, i w prawdziwym ludowym języku
kazki te oddać.

Nie powiemy tu nic o tych, które są tłumaczeniem czy naśladowa-
niem z polskich utworów naszych pisarzy. Przerobienie p. Artemow-
skiego ballady *Pani Twardowska* znamy od lat przeszło dwudziestu kil-
ku (1) i od pierwszego poznania tego utworu, nie przestaliśmy go cenić ze
szczęśliwego zastosowania do zwyczajów ruskiego plemienia, dosadnych
wyrażeń, i języka ludowego.

Powiemy tu tylko o tych *kazkach*, które barwą oryginalności i po-
chodzeniem swoim z ludowego gniazda, odznaczają się wybitnie w zbior-
rze p. Ostaszewskiego.

Kazka pod napisem *Matěj*, zupełnie główną myślą i treścią odpo-
wiada klechdzie polskiej o sławnym rozbójniku *Madeju*. *Try braty* jest
tą samą niemal co w polskich powieściach *Szklana-góra*, z małemi od-
mianami. Gdy dwóch mądrych braci, po cudną królownę zakłęta na
szklaną górę drąc się, karki połamali, trzeci miany za głupiego, w bru-
dnym kozuchu baranim, smarując ręce i nogi smołą, dostał się pod sam
wierzchołek. Wielki ptak biały, stróż owéj królownéj, utopił szpony swo-
je w jego kozuchu, i wniósł go do zaczarowanego zamku. Ujrawszy
to *głupi* że przebył mury, nożem urznął nogi ptakowi, i spadł na podwó-
rze, a tym sposobem dostał i cudną zakłęta królownę za żonę, i posiadł
wielkie bogactwa. P. Ostaszewski pięknym zwrotem i niespodziewanym
zakończa swoje *kazkę*:

„Tak sia na switi dije. Ne jdna skotyna,
Chot dureń, dobre sia i kroszy, i czyna.
Poszmołył sobi duszu, a hładkiy z pozoru,
Chot' prożyu wik w bołoti, wdrapau sia na horu.”

Wernyhora i Wyrwidub, odpowiada znanéj klechdzie polskiéj *Wa-
ligóra i Wyrwidub*. *Czorna-hora: Pieczarom w Czarnéj górze, Hryc*, to
powieść znana o kwiecie paproci: dlatego treści ich nie podajem. Tu
zdamy sprawę o tych, co nową, nieznaną myśl ludową nam odkrywają.

Do takich należą: *Żmijowy wał, Bida*, mogiła Soroki, czort i Meki-
tycha, *Łysy, Try trasti*, dwie czarownice, gospodynie, arendarz, zamek
nad Siniucho, śmierć na gruszcze, pies i kot, pan Starosta Kaniowski, i Iwan.

W *kazkach* mogiła Soroki, i djabeł i Mekitycha, ta myśl jest głó-
wna, że baba oszukuje djabła, wedle wyrażenia p. Ostaszewskiego: „Ale
baba to zrobyt, szczo czort ne zhadaje.”

W *kazce bida* myśl szczególna.

„Skoro się świat urodził, śmierć się urodziła. Kto tylko żył na
świecie, to go śmierć zjadła: czyto człowiek, czyto zwierz, nie wyprosił

(1) Drukowanym był ten utwór w Dzienniku Warszawskim pod redakcją
J. K. Ordyńca.

się biędny, ani pan wykupił; wszyscy jęć się bali, a ona sobie dobrze utyła, bo zjadła kogo chciała, i jeszcze się nadeła.

Ale na swój kłopot śmierć gdzieś z *bidy* się spotkała, i zaraz *bida* jak się do nięć przyczepiła, jak poczęła z nięć krew i pięć i ssać, jakby śnieg wiosniany, znikło sadło i skóra nawet, tylko kości się zostały.

Byłaby śmierć przepadła, widząc że tu nie żarty. Pyta się śmierć bidy, co chce od nięć, a na wszystko przystanie.

Bida widząc jak dogryzła śmierci, nadeła się jak ropucha, zadarła nos w górę, i nie umowę już robi, ale daje rozkaz, aby jęć śmierć natychmiast podpisała cyrograf, że bida nigdy nie zaczepi, dopóki świat stać będzie.

Śmierć choć oddawna na nią ostrzyła już zęby, musiała, aby ujść zguby, ustąpić, i cyrograf żądany podpisała na wołowej skórze.

Teraz bida bezpieczna nie przepadnie nigdy, bo wiecznie żyć będzie”.

Obrobieniem i treścią odznacza się kaska *Orendar*. Przywiedziem tu w oryginalnym teście jęć początek:

„De je misto i bazar,
Tam żydów bery na fury,
A w syli je orendar,
Joho zinka i bahury.
Z czohoż teje drańcia żyje?
Ani ore, ani sije,
Praciowaty ani rusz,
Ale żyje jakby pan,
Pustyły się na obman.”

Taki oszust arendarz, co ubożył kmieci, rozpajając ich wódką, a zabierając całą ich pracę, nie cierpiał chłopka trzeźwego. W tęć wsi gdzie na karczmie siedział, był kmieć bogaty *Rudy Safon*, i ten ani nie pił wódki, ani nie zajrzał nigdy do arendarza. Żyd różnych sposobów daremnie używał, wreszcie zawezwał w pomoc baby czarownicy. Ta kazała mu się postarać o szczyptę włosów Safona. Arendarz przeto namawia dziewczynę służącą u niego, aby jak będzie spał, dostała takowych. Dziewka przeczuwszy, że to będą czary, przywiązana do poczciwego Safona, a nie chcąc się zdradzić, przyrzekła zrobić wszystko jak żyd pragnął; ale wróciwszy do domu, gdy ruda krowa zdechła, ucina z ogona kosmyk włosów i niesie do arendarza. Żyd spojrział, a rudy był Safon; pewny, że to jego włosy, oddaje czarownicy, ta co rychlęć poskoczyła czarować nad rzekę Taśminę.

Żydzi na szabas zasiedli wkoło, świeczki pozapalali, kiwają głowami, śpiewają boruchy. Aż w sieni słyhać łoskot, i włazi do izby skóra z rudęć krowy. Żydzi z przestachem krzyknęli, skoczyli z za stołu, i wyciągają skórę, chwyciwszy to za ogon, to za uszy. Tylko co zasiedli, aż skóra znów włazi; tak dzień pó dnu, ani wygnąć. Wieść się rozbiegła, doszła aż do miasta. *Stanowy* przyczepiwszy do dyszla dzwonek, zaraz przyłeciał, począł śledztwo ciągnąć. Zakłęćć skórę zabrał w swoje bryczkę, a arendarza do kozy wsadził.

W kascie *Smert na gruszi*, czytamy:

„Andrzéj w Ukrainie miał przy chacie ogródek, pełen bujnego owocu: ale nie mógł się ustrzedz szkody. Chłopi ze wsi często niedojrzałe gruszki i jabłka obrywali mu z drzewa. Raz przybył do niego żebrak; że Andrzéj był gościnnie, przyjął dziada po bożemu, dał mu do syta jadła, napoju, i przenocował wygodnie. Na pożegnaniu dziad przemówił: „dłużny jestem tobie bracie za spoczynek, za chleb dobry: czém ci się wypłacić mogę?” Andrzéj odrzekł: „zrób więc tak, że kto wlezie na tę gruszę, żeby tam przyrósł, dopóki ja go nie uwolnię.” Stało się jak żądał, i szkody więcej w ogrodzie nie miał. Długo żył nasz Andrzéj, wreszcie przyszła śmierć do chaty. Poznał gościa i дума, jakby tu się wykrecić. Więc mówi do niej: „Zanim wezmiesz moję duszę, bądź tak dobra, wleź na tę gruszkę, i zerwij mi gruszek.” Śmierć wlezi na drzewo, ale zaledwo między gałęziami siadła, trzyma ją jakaś niewidzialna siła; chce zlézć, nie może, i tak na drzewie została.”

Z dwóch *kazek* o panu *staroście kaniowskim* pomijamy znane powiastki, a w wiernym przekładzie podamy nowy szczegół:

„Raz jedzie pan starosta, z nim dwór wielki: dwudziestu Kozaków na koniach. Tylko co wyjechał na wielką drogę, aż na bułanym koniu jedzie sobie Lach. Byłto chłop krzepki, mocny jak dębina, jak orzeł bystro patrzył, a zmiąłby każdego. Czapka jego na bakier, a czarniawy wąs. Spojrzawszy, widno było że nie tchórz, a na obliczu napisane: „Ej! nie zaczepiaj.” Szabla przy boku, a w rękę nahajka. Pod nim konik czupurny, wesołe ma oko, niesie jakby laleczka jaka: głowę podniósł, uszkami sobie strzyże, ogon zadął w górę: domby przeskoczył jakby był naparty. Gdy podjechał i ujrzał kolosę starosty, troszkę poruszył czapką, jakby kłaniał z łaski. Starosta nawykły do niskich pokłonów, nie mógł znieść że szlachcic taki poufały, i rozgniewał się srodze. Lach spokojnie jechał dalej, ale chciawszy fajkę zapalić, prosił jednego z Kozaków o krzesiwo. Pan starosta w kolosie raptem się podnosi, krzesze i podaje ogień. Szlachcic zsiadł z konia, z ukłonem ogień bierze; starosta znak swoim daje: obskoczyło go Kozactwo, a obaliwszy dalej bić nahajkami, a starosta kaniowski zaczął mu prawić: „Kiedy lulkę palisz, wóz z sobą krzesiwo.”

Schwycił się Lach na konia:

„O trystaź twoju matir! mospane starosto,
Dostaniesz ze tri razy, a za kożnym po sto.”

— A długoż tego czekać—ze śmiechem odezwie się starosta.— Jeszcze roku nie minie— odrzeknie mu szlachcic.

— Daruję ci wioskę, jak dotrzymasz słowa — zawołał starosta.

—No, to wcześniej przygotuj zapis starosto!

Kto był w Kaniowie to wie, że za miastem ku Dnieprowi stoi kaplica na wierzchu skały. Tam na wieczornej modlitwie pan starosta był, i sam pieszo powracał. Aż zpoza skały jednéj załomu, wyskoczy Lach na bułanku obces.

— A gdzie to byłeś panie starosto?—W kaplicy, odrzeknie z wielkim strachem.—Z kaplicy idziesz, a nie masz książki do nabożeństwa, ani różańca.—Schwycił za czuprynę, dalej do nahajki: odliczył mu sto jak

oblał, i na konia i zniknął. Starosta ledwo się dowlóknął do zamku; cierpiał, ale nikomu słówka nie pisał. No! rzekł do siebie, udało mu się: a to Łach przeklęty, nie trzeba mi go było zaczepiać. Drugi mu się raz nie uda, bo nie ruszę się z miejsca, żebym choć dwudziestu nie miał swych Kozaków.

Starosta raz upił się, a udał że chory, i dla śmiechu kazał naprowadzić baby. Te robią co mogą: ta szepece, ta głośno zaklina, a jedna do dworzan mówi: „Jest tu dziad co umie djabła wyganiać. Dawaj że go prędzęj, bo w starości djabeł się rozgościł.” Staje na ganku dziad brodaty, a zwoławszy dwór cały, tak się odzywa: „Wy wszyscy pokryjcie się dobrze, bo jak starostę djabeł porzuci, to w którego was wskoczy.” Rozbiegli się wszyscy, zamek pusty cały. Dziad bezpiecznie wchodzi, a nie byłto dziad, ale ów szlachcic z bułanego konia: zrzucił łachmany zebra-cze, a schwyciwszy starostę za czuprynę, znów mu sto wypalił, jak oblał.

Starosta widzi że nie żarty, już dwa razy po sto nahajów dostał; do-biera więc sobie samych wiernych, a zuchów.

Raz ze stoma Kozakami jedzie przez las, aż tu znów na bułanku dja-beł nadniósł szlachcica; aż skóra zcierpła na starości ze strachu. „A tuś mi wpadł w rękę, ty djabelski Łachu”, i krzyknął na stu Kozaków. Rzu-cili się wszyscy za nim.

A z gęstych krzaków wyskoczy szlachcic, bo kozactwo za nim aż za las pobiegło, a on znikł im zprzed oczu, jakby go był bies porwał.

— Tak to umiesz starosto komenderować, za jednym człowiekiem posyłać stu ludzi? Gdzież cię uczyli takiej wojennej sztuki. Ja widzę, że muszę tobie dać naukę, żebyś trzymając wojsko, trzymał się i ładu,

I doliczył resztę obiecanki starości.

— Teraz już dość starosto z Kaniowa. Więcej już bić nie będą; a karta gotowa, coś to mi miał zapisać wioskę?

-- Nie ma co odpowiedzieć, rzekł starosta.

„Przegrałem sprawę i zapłacić muszę.

Za toś wart, żeś bił krzepko, a nie wygnał duszę.”

Dwie najpiękniejsze kazki z zbioru p. Ostaszewskiego, przytaczamy tu w wiernym przekładzie niemal w całości; malują one cudnie bujną wyobraźnię ukraińskiego plemienia.

II.

Wał Żmii.

„Między Dnieprem a Rosiem płynie mała rzeczka *Stunia*; pomiędzy nią a Rosiem ciągnie się długi wał. Posłuchajcie z kąd się wziął.

W wiosce Pawliwie był kowal bogaty, rodny Kozak, a zwał się *Ulas*.

Przedobra duszą, przemity człowiek; cały swój wiek sprawiał się tak, że go wszyscy lubili.

Każdemu był rad, i jemu nawzajem wszyscy: trzymał dużo czeladzi, bo roboty było huk, a rąk on nie pożałował.

Jednego dnia jakoś na samym przednowku, kiedy chleba było brak, bo choć urodzaj dobry, ale jakoś na gorzałkę Kozactwo to przechulało, przypadło tak, że przyszedł do niego żebraczy dziad.

Ułas posadził go za stół, zaprosił na obiad, jadł z nim razem, razem pił.

Zkąd był ten dziad, nikt nie wiedział, i Ułas jego nie pytał. Potém różne bajki chodziły o nim: jedni gadali że to jakiś święty za dziada się przebrał, drudzy że to był wielki czarownik, a jedna sąsiada, sprawiedliwa czarownica rozgadywała, że to djabeł przerzucił się w dziada. Bóg z nim, ktoby był, Ułas nie pytał. Jeść i pić do syta dał, a że miał pilną robotę, położywszy dziada spać, sam krzyknął na czeladź, i dalej do roboty. Wielką miał pracę; co wziął i dzwignął kawał żelaza, to mu aż na łeb wylazły oczy, i czupryna potem złała. Aż dziad do kuźni przychodzi, pozdrawia kowala, i widzi jak roboty ma dużo, i ciężko dzwiga kleszczami.

Dobyl więc kleszczy z torby, i dając do rąk, rzeknie tak:

„Weź je odemnie na znak żeś mnie przyjął dobrze. Temi kleszczami przemożesz wszelką siłę, i korzyść mieć będziesz, i pamiątkę miłą.”

Wziął niemi kowal blachę co ważyła dwa pudy, obraca nią siędy, tędy, młotem na wszystkie strony praży, a blacha funta nie waży. Serce mu się rozradowało, że ma takie kleszcze. Obejrzał się by za nie podziękować, ale dziada już nie było.

Wkrótce po tym darze, któremu się dziwowała cała Ukraina, pokazał się taki *żmij*, że był wzrostem ogromny, jak Peczarska dzwonnica: a jak w *Stuni* wodę pił, bo się nad nią włóczył, to ogon leżał gdzie Mytnycia. Takie cudo, takie dziwo, jak się w przyrodzie zjawilo, rzuciło postrach po całym narodzie; wszystko uciekało co żyło, choć gdzie? sami nie wiedzieli.

Zasmutniała Ukraina, bo od kiedy świat nastał, pierwsza to była przyczyna, że się Kozak przestraszył. Wszyscy przecie to wiedzą, że nie bajki, że niejeden raz i okręty, i bisurmańskie szable, uciekały od czajki kozackiej i kozackich spis. Kule sypały jak grad, co broniły Carogród, Kozak przecie i tam wlaźł. A tu przyszło na to, że się zląkł i sam Kozak, i żaden się nie znalazł ochotnik, żeby zajrzał *żmijowi* w oczy.

Ułas wielką murowaną miał kuźnię, a drzwi silne z samych żelaznych blach. Tam on z czeladzią pracuje, kiedy *żmij* w *Pawliwku* gospodarzy. Teraz już nie ma żartów, Ułas drzwi dobrze zaparł, i żartuje sobie: aż *żmij* prosto do kuźni sunie. Ale drzwi gładkie, nie zaczepi zębami; próbuje, próżno: więc ozorem zacznie lizać, i wylizał dziurę tak wielką, że przez nią cały język wsunął, bo miał wielki chrap na Ułasa. Struchlała czeladź, ale Ułas dziadowemi kleszczami schwycił za ozór. *Żmij* pieni się, rwie, ale języka nie może cofnąć. Kowal krzyknął na czeladź: „chłopcy zróbcie prędko pług, niechaj *żmij* nam poorze.”

Chłopcy byli żwawi, rażni, znali swoje rzemiosło; zrobili lemiesz na trzy sąnie, z jednego dębu zrobili jarzmo, z dwóch sosen hołoble; pług był jak dzwonnica *pawłowiecka*, i do tego zaprzęgli *żmija*.

Ułas kleszczami wiedzie *zmija*, cała wieś przygniotła osadę lemieszka: żmij rwie a orze, sypie wał za sobą. A gdy przyszedł do rzeki wypił wszystkę wodę, i suchą ją przeszedł nogą.

Ej! robota była skora! Chciał Ułas usypać wał aż do morza. Wał był jak cerkiew wysoki, a bruzda głęboka jak loch. Podpality się żmijowi z wielkiej pracy boki, i zaraz zdechl, bo Ułas nie dał popasu żmijowi, usypawszy 30 mil wału.

Wał ten stoi już od wieku, i zostanie do końca świata."

II.

Dwie czarownice.

Gdzie się pieni woda z szumem,
Między skałami Jatrani,
Młoda tam żyła pani,
I bogata i rozumna.
Jasnowłosa, krasnolica,
A od pół roku już wdowa,
Żona sławnego hetmana,
Co poszedł na bisurmana.
I tam głowę położył,
Od tatarskich szabel padł.

Dobra była dla gromady,
Dobra i dla dworskich sług;

Czy kto w wiosce gdzie zastał.
Nie potrzeba było bab:
Każdy dostał dobrą radę,
I lekarstwo dostał wnet.
Czyto komu chleba brak,
Czy też niestało odzieży,
Czy wypadło co z obory,
Czy dobytek zginął cały,
Kiedy pomór na nie padł:
O, to do niej jak do matki!
Przyszła pomoc, i to tak,
Że nikt biedy nie zaznał.

Jak zwyczajnie w świecie bywało i będzie,
W jednym siole niezawsze jednakowi ludzie.
Gromada była dobra, nie ma co powiedzieć,
Żony były tam dobre, poczciwe dziewczęta;
Lecz kąkol wśród pszenicy musi się pomieszać.
Zasiadły tam na lieho, aż dwie czarownice,
Obiedwie w czarach były jednej siły,
I obie w czarach wyrabiały dziwy.
Przeklęte baby tak się niecierpiały,
Jak cięte suki:
Jedna drugiej wyrabiała sztuki.
Co jedna zrobiła, druga odrobiła.
Warwara była aż strach jak złośliwa,
Jak się wściekła baba rozgniewa,
To z ust spieczonych aż piana ciekła.
Czasem ludzi ziołami truła.

Raz wezwano babę do dworu,
Że ziołami truje lud,
Nie ma rady, prosta rzecz,

Kazano babę różgami wysiec:
Baba zakłęta się na samego djabła,
Że pani zrobi niejedną sztukę.

* * *

I *Chawrona* znała czary,
Wyprawiała czasem lichy;
Ale jakoś było cicho,
Może dlatego, że mniejsze
Od Warwary złe robiła.
Ale jęj siła w czarach,
Z Warwarą się nieraz sparła,
Nieraz Warwarze nosa utarła.
Poznała ona myśli Warwary,
I uwzięta się na to, aby jęj czary
Od hetmanowój zdala odegnać.

* * *

Gdzie głęboki Kuczurhał,
Puste stepy przecinał,
Tam od wieków zamek stał,
A w tym zamku siedział han,
Srogi, dziki, jakby zwierz,
I z rabunku tylko żył,
Nikt się nie skrył, gdzie przybył,
Wziął dobytek, wyciął ludność.
Kędy tylko zwrócił krok,
Pałił sioła, i brał łup.
Jego wszędzie znaczył ślad
Pustka, łyż, pożar, i trup.

Jednego poranku do tego Tatara przyszła Warwara udając cygankę. Rzuciła fasolę jako wróżbita, a zgadując jego dolę, tak poczęła mówić:

„Nie ma tobie hański synu,
Na tych stepach dobrej doli:
Idźże z wojskiem w Ukrainę,
Tam nacieszysz się dowoli.
Idźże do *Jatran* rzeki,
Tam bogata mieszka pani,
Jakby miesiąc czoło jasne,
Jakby róża lice krasne,
A bielutkie jakby chusta,
Jak korale takie usta.

Światły włos, jako len gładki,
Ogniem błyszczy siwe oko,
Jak w niebiosach na dzień skwarny,
Zorza podejdzie wysoko.
W chodzie lekka, i swobodna,
Jak do tańca jeno trzeba:
A wesola, a pogodna,
Jakby z nieba pragnęła gościa.
A co bogactw i dobytku,
Nabierzesz się tam do zbytku.”

* * *

Porwał się z miejsca Tatarzyn dziki,
Brodę pogłaskał, rozgorzały oczy.
Wzniosły się zaraz w obozie krzyki,
Ruszył więc hordeę ochoczy.
Końskie kopyta wraz zadudniły,
Tuman, jak chmura wzniósł się pod chmury,
Szczęknięty szable, świsnęły strzały,
I przepłynęli *Jatran* Tatarzy.
Horda Tatarów ruszała szybko,
Zeszli w dolinę, by spocząć koniom,
Bo zamek z góry już było widać,
A na popasie staną w godzinę.
Ledwo z popasu ruszył się han,
I już pod zamek postąpił w jar;
Taka mgła całe wojsko objęła,
Że się przestraszył wnet cały kosz,

I dalej w nogi. Objął ich strach,
 Każdy na inny puścił się szlach,
 I uciekali do samej nocy,
 Jakby każdemu wytupał oczy.
 Ci aż do Krymu, tamci na Budżak.
 Mało kto trafił na Kuczarkał.
 I rozlecieli po świecie tak,
 Że do gromady nie mógł zebrać han.
 Oberwał z gniewu han swoją brodę,
 A coraz dalej biegli Tatarzy,
 Bo strach ich pędził. Nie zmiarkował,
 Że to nastały *Chawrony* czary.

A pani nasza ciężko się złąkla ujrzawszy hana.

Padła na kolana, stała modlitwy
 Do Bogarodzicy łzami zalana.
 Ktoby w tę porę był spojrział z boku,
 Ktoby podsłuchał modlitwę szczerą,
 Jaka nadzieja błyszczała w oku,
 A w sercu jaką budziła wiarę;
 Toby powiedział, że tę sierotę,
 Pewnie wybawi Bóg od nieszczęścia.
 I tak się stało. Któż Bożą wolę
 Może odgadnąć? Ot dał Chawronie,
 Choć czarownicy, takową dole,
 Że wybawiła z okropnej toni.

* * *

Warwara rodna siostra z djablami,
 Widzi, że sztuka jej się nie udała.
 Zazgrzytała w głos zębami,
 I nowe лихо znów pomyślała.
 Mało jej było, pani swój ciało,
 Tatarom oddać w ciężki jassy;
 Ona zachciała coś lepszego:
 Duszę jej czartom sprzedać na wieki.

* * *

Na wierzchołku wzniosłych skał,
 Ponad Dniepru brzegami,
 Stary zamek był z basztami,
 Wkoło go otaczał wał.
 Stare mury popleśniały,
 I na ścianach porośł mech;
 Ludzie w nim nie mieszkali,
 Lecz zaklęty siedział bies.
 Tak osądzon, że dopóty
 Nie będzie wyswobodzony,

Dopóki się nie ożeni.
 Wtedy przejdzie sam w upióra,
 A z zaklęcia się uwolni.
 Tam Warwara pospieszyła.

* * *

Na drodze widać jakiś tuman.
 Czy znów tatarska sunie hołota?
 Nie, to gdzieś jedzie wielki pan,
 Ludzie od srebra, i od złota.
 Naród doborny, czarny jak kruki,
 Wszyscy na wronych konikach ludzie,
 Idą pancerni, z niemi hajduki.
 Wieś się dziwuje, co to za ludzie?
 Po przedzie jedzie bogaty pan:
 Czy to starosta, czy to hetman?
 Wrony koniczek pod nim się sunie,
 I skacze w boki, jak zajac susa.
 Pan na wsze strony spogląda,
 I tylko ręką pokręca wasa,
 I czasem tylko strzygnie uszami.
 Na nim bekiesza suto wyszyta,
 Żupan z bogatąj termotamy,
 Pas lity, szabla perłami sadzona.

* * *

W zamek gdzie mieszka wdowa tak hoża,
 Młodzieniec wehodzi, wzrostu takiego
 Żeby poszukać, czy z Zaporozia
 Jemu się Kozak gdzie znajdzie równy.
 Jeno mu oczy smutkiem zamglily,
 Oblicze piękne trochę pobladło,
 I jawno na nim znać troskę tajną:
 Sam on znał tylko troski przyczynę.

I zaczął mówić, że słyszał dawno,
 Jaką ozdobił Bóg ją krasotą,
 A chociaż szczęścia nie miał jój widzieć,
 To serce za nią już usychało,
 Nie mogąc pozbyć ciężkiej tęsknicy,
 Co i pokoju chwili nie daje!

* * *

Pani krzyknęła zaraz na sługi,
 Kazała jadła postawić suto;
 I byli z sobą w jednej godzinie,
 Jakby się znali przez wiek już długi.
 Tydzień wesolo bankietowali,
 I wraz i jedli, i pili razem;

Całe dnie społem bawili,
 I nie wiedzieli jak płynął czas.
 Miło leciała każda jój godzina,
 Bo on był dla niój kochankiem.
 Raz przed nią padł na kolana,
 Ze łzami w oczach tak mówi:
 „Spójrz miłosiernie na moję mękę,
 Na moje serce łaskawie spójrz!
 Ja ciebie kocham, podaj mi rękę,
 I zbawicielką moją się stań.”

* *

Miała już jemu ręczniki dać (1),
 To i pobiegła po nie co żywo;
 Tylko wróciła, aż dziwne dziwo:—
 W miejsce młodzieńca, psisko kudłate.

* *

Chawrona zawsze strzegła pani cicho,
 Zeby jój nigdy przygoda nie była;
 Widząc, że blizkie już jój jest lichy,
 Zaklętą duszę w psa obróciła.

* *

Jeszcze panienką nasza pani była,
 Jak dwaj panowie przysyłali swaty;
 Każdy był piękny, każdy był bogaty.
 Ona ku wojewodzie serce nakłoniła,
 Ojciec za hetmana pójść córce kazał;
 A nie można było ojcu się sprzeciwiać.
 Z tego się zrodziła nawet i niezgoda,
 Bo aż strach, jak się gniewał o to wojewoda.
 Odtąd już jój nie ujrzał, ale ciężko tęsknił,
 I zawsze coś na sercu poczuwał cierpienie.
 Śmierć hetmana, przyniosła wesołą godzinę,
 I zamyslił wziąć za żonę wdowę po hetmanie.
 Miał on dwór wielki, i dworzan dobornych,
 Ale siadł sam na konia, jechał bez orszaku:
 Radosny był, bo blizka wesoła nadzieja.
 Warwara na drodze nasadziła źmija,
 Ale Chawrona wyrzekła: nie zaszkodzi źmij,
 I wybiegła na drogę, czekając na gościa.
 Aż jedzie wojewoda w zielonym żupanie,
 Na dzielnym koniu co zdobył na Turku.
 I spotkał na drodze obdartą cyganke,
 A była to Chawrona, pod pachą niosąc burkę.
 Wstała z miejsca, i idzie przeciw niemu śmiało.
 „Czekajno wojewodo, bo mam tutaj sprawę,

(1) U ludu danie ręczników własnej roboty, oznacza wesele.

Będę ci fasolą wróżyć,
 Chcę ciebie od śmierci, co cię czeka, bronić;
 Wdziej na siebie ot tę burkę,
 Bo nie zobaczysz, co sercem kochasz tyle lat,
 I dla której sam taki przejechałeś świat.”
 Dziwuje się wojewoda, z kąd cyganka wie,
 Kto on, gdzie jedzie, i dlaczego jedzie?
 Bierze więc od niej burkę, i wdziewa na siebie,
 Rzucił jęj sakwę, a w niej pełno złota,
 I cwałem ruszył z miejsca. Aż w małym lasku,
 Stoi żmij na drodze, z pyska zionie ogniem.
 Wojewoda do szabli; żmij płomieniem zionie,
 A burka pomaleńku w wodę się przemienia.
 Żmij widząc że płomieniem nic już nie zaszkodzi,
 Skrył ogień, i potokiem chlusnął nań obfitym.
 Aż tu ogniem na żmija zasyczała burka.
 Wojewoda więc zreźnie dzielnego Turczyna
 Zwraca, i całej dobywszy odwagi,
 Naciera i najeżdża koniem na żmija;
 Krzepki zamach wymierzył na szyję żmijowi,
 Ciało, i łeb jego stoczył się po ziemi.
 Tak przyjechał na miejsce, choć trudu było długo.
 Wieleby było gadać, jako się ożenił,
 Jaka była parada, jaki wielki dwór,
 Jak się temu weselu podziwiali wszyscy.
 Zaraz jemu powiedziano o psotach Warwary.
 Wojewoda pan dobry, ale także srogi,
 Rozmyślił, że dla takiej widmy mało zwykłej kary:
 Kazał dzikiego konia uchwycić z tabunu;
 Przywiązali Warwarę za nogi do ogona,
 I tak konia na wolę i z babą puścili.

A Chawrona co chciała, to od niego miała,
 Na całą Ukrainę bogaczką się stała,
 A jak tylko na świecie nie było Warwary,
 Chawrona swoje także porzuciła czary.

Dziełko p. Ostaszewskiego znajdzie właściwe miejsce w dziejach literatury naszej, nie tylko jako zbogacające nowym zasobem gałąź literatury ludowej powieściowej, ale zostanie jako ważny materiał co do narzecza ruskiego, tak blizkiego i pobratymczego językowi naszemu.

Wł. W.

Pisma Jakóba Sobieskiego w języku polskim.

Powszechnie znane i cenione jest dzieło Jakóba Sobieskiego: *Commentarii Chotinensis belli*, ale mniej znana jest ta okoliczność, iż tenże opisał najpierw tę wojnę w języku polskim, i że dopiero w kilka lat później, ułożył z opisu polskiego łacińskie komentarze. Ów wojny chocimskiej dziennik, czyli jak go wyrazem ówczesnym nazwano *Dyaryusz*, zaczyna tak:

„Rok terazniejszy, stał się ojczyźnie naszej wiccznie pamiętnym.” z czego widać, że go pisał w tym samym roku, w którym się wojna toczyła, mianowicie 1621. W komentarzach zaś wspomina na str. 154, że gdy to pisze, już towarzysz jego z którym wraz traktat chocimski układał, Stanisław Żorawiński kasztelan bełzki, życie zakończył. Wiadomo, iż śmierć jego przypadła dnia 30 maja 1624: pisane więc te komentarze w trzy lata później, po samychże zdarzeniach. Dziwnie płatały się wiadomości ogłaszane o polskim dzienniku. Miał go pod ręką Adam Naruszewicz, i używszy go jako jednego z główniejszych źródeł w żywocie Chodkiewicza, wydrukował tę jego część, która poza żywot sięgała, w końcu IIgo tomu, pod imieniem Jakóba Sobieskiego.

J. S. Bandtkie, wydając drugą część *Rozmaitości Naukowych* krakowskich w r. 1829, miał na swe zawołanie rękopism, jeden z tych, jakie niekiedy nasi przodkowie z łacińska *silva rerum*, albo z polska *Zwierzyniec* nazywali, w którym począwszy od bajecznego rokосу glińiańskiego i strasznej w życiu szlacheckim pamięci rad Kalimachowych, aż do ostatnich czasów Chmielnickiego znajdowały się artykuły różnorodne, zsypane jakby w jeden bigos, okraszony tłustemi wierszami. Wydawca wyczytawszy na pierwszej karcie rękopismu że to spisywał niejaki Samuel Sobiekurski, wziął go za autora, i pracę Jakóba Sobieskiego, Sobiekurkiemu przypisał.

Dziennik ten znajduje się w dawnym współczesnym rękopiśmie biblioteki uniwersytetu lwowskiego, z dodatkami szczególnymi. Do należytego wydania tego pomnika mógłby dobrze usłużyć pomieniony rękopism. Sobieski Jakób był bardzo znakomitym mówcą swojego czasu; wiele z mów jego było drukowanych w zbiorach osobnych, inne są jeszcze nieznanne.

Biblioteka Ossolińskich posiada spory rękopism z XVIIgo wieku, którego napis jest taki: „Pisma i mowy różnych czasów Jegomości Pana Jakóba Sobieskiego krążącego koronnego, a natenczas wojewody bełzkiego.” Jest w nim przeszło 50 mów mianych przez niego publicznie przy różnych sposobnościach, a między niemi i pieśń o *Podhorcach* jego utworu. Przyjaciel od serca Zamojskiego Tomasza, wspomniany z uwielbieniem w łacińskich Szymonowicza rytmach, nie był jak widać nieczuły na wdzięki polskiej jego muzy, i starał się ją naśladować w tym wierszu. Pragnąc należy, aby ten pomnik troskliwa ręka o dzieje przeszłości wydała.

Peremyszanin na rik 1852. W Przemyślu, w 12ce, str. 154.

Jestto kalendarzyk czy noworocznik ruski, wydany w Przemyślu, obejmujący prócz zwyczajnych rubryk i artykułów kalendarzowych, obszerną, bo niemal całe dziełko zapełniającą rozprawę pod napisem: „*Wiadomost istoryczeskaja*; wiadomość historyczna o mieście Przemyślu i okręgu tegoż imienia, napisana przez ks. Antoniego Dobrzańskiego. W szanownym autorze tej pracy widzielibyśmy chętnie pisarza celniejszego, gdyby piórem jego nie stronnicze uprzedzenia, lecz prawda i powaga rzetelnej umiejętności kierowały. Rozprawa jego należy w istocie do najznakomitszych, jakie ostatnimi laty w ruskiem narzeczu napisano; jednakże przekręcanie faktów historycznych, stronnicze pochlebstwo, a wraz stanowisko nienawistne względem bratniego plemienia, każą tę pracę autora. Oprócz rozprawy ks. Dobrzańskiego zawiera *Przemyszanin* artykuł ks. *Hawryszkiewicza*, pod napisem: „*Początek do ułożenia terminologii botaniczeskiej ruskiej*.” Praca ta dotyka wcale nieuprawianej dotychczas roli, i musi tém samém wiele do życzenia zostawiać. Głównie to niekorzystnie nas uderzyło, iż znanym, i oddawna już umianowanym roślinom krajowym, ponadawał autor wcale nowe, dowolne nazwy. Obok tego, nazwy roślinne, używane jedynie w obwodach eparchii przemyskiej, która jak wiadomo najmniej czystego typu maoruskiego przechowała, są nam tu podane jako nazwy ogólne, na co się zgodzić nie można. Dodane w końcu poezye, czynią miłe wrażenie, przypominając nam nasze „lata, lata młodości.” i tych lat ławki szkolne i *pensa* szkolne, i wieńce szkolne, woniejące tak świeżo z tych zielonych *stichotworenjów*.

Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza w Wilnie, wyszły dwa tomy zapowiedzianego prospektem dzieła, p. n.:

„*Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów korony polskiej i Wielkiego księstwa litewskiego, od Wilibalda do Andrzeja Olszowskiego włącznie, opisał Stanisław Bużeński dziekan i oficyał warmiński, kanonik gnieźnieński i krakowski. Z niewydanego dotąd rękopismu łacińskiego na język polski przelożył Michał Bohusz Szyszko; wstęp i wiadomość o założeniu arcybiskupstwa, tudzież o jedenastu późniejszych prymasach, do zgonu księcia Michała Poniatowskiego, dodał Miłkołaj Malinowski.*”

Co do autora powyższego dzieła, tłumacza i znakomitego dopełniacza, czytamy w prospekcie wydanym:

„Stanisław Bużeński zmarły w r. 1676, zostawił w rękopiśmie biografią arcybiskupów gnieźnieńskich. Byłto jeden z najczynniejszych mężów stanu, zajmował wysoki urząd rejonta kancelaryi wielkiej koronnej, i oprócz głębokiej znajomości prawa powszechnego i krajowego,

oprócz biegłości w dziejach, słynął między współczesnemi wyborynym stylem, mianowicie w języku łacińskim. Jako dziekan kapituły gnieźnieńskiej, pragnął zostawić jej pomnik swojej życzliwości; wiedząc zaś, że historyczna literatura krajowa nie posiadała porządnego zbioru biografii prymasów koronnych: dzieło bowiem Stefana Damalewicza wydane w r. 1649 było wielce niedokładne; z zabytków przeto rękopiśmiennych, czerpanych z archiwum tego najdawniejszego kościoła polskiego, z historyków godnych wiary, i z innych dostępnych dla siebie źródeł, ułożył porządną szereg arcybiskupów. Że zaś pasterze dyecezyi gnieźnieńskiej byli pierwszymi urzędnikami, a następnie pierwszymi po królach książętami kraju, i przeważny wpływ na polityczne jego sprawy wywierali: w ich żywotach wystawił zupełny obraz dziejów, w ciągu blisko siedmiu wieków istnienia narodu, t. j. od roku 965 do r. 1666."

„Bużeński za życia nie zdążył wydać na jaw tego ważnego dzieła: w połowie przeszłego wieku, kiedy J. A. Załuski zgromadzał zewsząd skarby nieocenionej swojej biblioteki, wówczas ocalał i rękopism Bużeńskiego, i znakomity ówczesny uczony Daniel Janocki, podał o nim krótką wiadomość, a Mitzler de Kolaf zamierzał ogłosić drukiem i text łaciński, i skrócenie jego w języku niemieckim. Niektóre okoliczności przeszkodziły doprowadzić do skutku to pożyteczne przedsięwzięcie, i w 30 lat później, gdy biblioteka Załuskich w części roztracona została, zdawało się, że i rękopism Bużeńskiego niepowrotnie zaginął; jakoż uczony Michał Wiszniewski w T. I swojej Historji literatury polskiej, umieścił o nim wzmiankę pod *dziejopisami zatracanemi lub będącemi w rękopismie.*”

„Szczęśliwym trafem, zupełny, poprawny, i wybornie dochowany exemplarz całego dzieła Bużeńskiego, znalazł się w bibliotece p. Mikołaja Malinowskiego, który wysoko ceniąc tę piękną i pożyteczną pracę, zachęcił chlubnie znanego w literaturze z przekładów: *Wyznanń św. Augustyna*, *Drogi do doskonałości św. Teresy* i *Pism św. Bernarda*, p. Michała Bobusza Szyszkę, do wytłumaczenia jej na język polski. P. Mikołaj Malinowski sam zaś okazał pomoc naukową w wydaniu tego dzieła, przez dołączenie wstępu, obejmującego wiadomość o założeniu arcybiskupstwa i biograficznej skazówce o jedenastu prymasach polskich, aż do zgonu ostatniego, którym był Michał Jerzy Poniatowski, zmarły w r. 1794.”

(Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów. Cena prenumeraty na miejscu rs. 6, z pocztą rs. 6 k. 50.)

ROZMAITOŚCI.

O poezyi i poetach ludowych we Francyi, Niemczech i Szkocyi.

Czyli istnieje poezya ludowa?—zadanie to nie ulega wątpliwości. Czy istnieją obecnie poeci ludowi?—odpowiedź na to trudna i wątpliwa. Liczba ich nader jest ograniczoną; i nie w tém dziwnego, jeżeli się zastanowimy, jakie zalety i cnoty winien koniecznie posiadać poeta, aby mógł godnie opowiedzieć żywot ludu; przeniknąć jego tajemnice, żyć témże samém co i on życiem; z ilu przesądów i błędów winien się otrząsnąć, ażeby nabyć prawa do przemówienia w imię ludu. Jeżeli poeta nie pochodzi wprost z ludu, jeżeli nawet związany z nim węzłem krwi oddalił się od niego wychowaniem, obyczajami, zwyczajami, słowem atmosferą towarzystwa, w którym obecnie żyje: mamy prawo żądać od niego rachunku z każdego słowa, wyrzeczonego niebacznie z uniesieniem. Ażeby poeta należący do wyższych szczeblów społeczeństwa, nabył moralnego prawa do przemówienia w imię ludu, winien się wprzód dać poznać zaszczytnie na drodze cnoty i poświęcenia w sprawie ludzkości, abyśmy go posądzić nie śmieli, o chęć odegrania roli, i o powierzchowne współczucie dla istot nieszczęśliwych i upośledzonych świata tego. Trzeba, ażeby charakter poety nie dał przystępu najłżejszemu podejrzeniu, aby kłamstwo nie splamiło nigdy ust, z których ma płynąć czysta prawda; trzeba, ażeby życiem całém przekonał nas, że służył wyłącznie dobru i prawdzie, oraz że jego miłość dla ludzkości zupełnie była bezinteresowną. Oto ideał ludowego poety.

Poezja ludowa nie jest bynajmniej zadaniem artysty; jest ona raczej zadaniem czarodzieja, wywołującego duchy za pomocą swój laski. Widziałże kto ryciny starych niemieckich mistrzów Alberta Dürera i Łukasza z Lejdy, w których Chrystus wystawiony jest zstępujący w otchłanie, dla uwolnienia dusz cierpiących, a dokoła Zbawiciela wiją się i snują dziwne poczwary, sprzymierzeńcy grzechu i śmierci.—Oto jest obraz poety ludu! Napotka on niewątpliwie w głębokości, w którą się zapuszcza, dusze jeszcze nieodkupione, wystawione na ciężką walkę ze złem; napotka cnotę wystawioną na pociski występku, jakby Prometeu-

sza szarpanego przez krwawego sępa; napotka żądze czołgające się ponuro po ziemi, jakby roślinę pasożytną wijącą się wzdłuż wilgotnych murów pieczary, zanim ją promień światła obejmie. Na wezwanie poety duch ludu dwojako odpowie: klątwą lub modlitwą, albo żalosném *de profundis*, albo strasznym okrzykiem rozpacz. Poeta znajdzie wśród ludu dobre i złe idące obok siebie bez hamulca, jaki w wyższej sferze zwykle nadawać wychowanie. Poeta ludu winien zatem działać baczenie, aby w miejscu dobrej nie uderzyć drażliwój i bolesnej struny.

Oto jest główny szkopał, grożący rozbięciem poecie odzywającemu się w imię ludu. Między tak zwanymi poetami ludu, nie wszyscy są niemi rzeczywiście. Jedni są cieniem Tyrteusza, inni oddaloném echem dawnych proroków; ale jakże mało powiedzieli nam o życiu ludu, o jego niedoli i niewinnych uciechach! Poznali oni obyczaje i zwyczaje ludu, a widząc je zupełnie odmiennymi od naszych, odwrócili się z litością i oburzeniem, krzyżąc poczęli na bogaczów świata, wzywali ratunku i pomocy. Ale rzecz dziwna! sam lud inaczej zupełnie przemawia, opowiadając swe życie, opiewając obyczaje. Poezye prawdziwe ludowe (te, które nie wyszły z pod pióra uczonego poety) pełne są niepojętego spokoju, tkliwości, naiwnego wdzięku i niezrównanej słodyczy. Niewinna wesołość przebijają w każdym ich ustępie, nie objawiając się bynajmniej gwałtownie ani gorączkowo:—jest ona raczej wypływem duszy. Błoga jakaś radość płynie wśród dawnych ludowych pieśni, jakby krew w żyłach naszych, i napętnia je życiem, zdrowiem i siłą. Owa wesołość nie ma w sobie nic zmysłowego; odbija w niej raczej dziwna zgoda z życiem, zupełne niém zaspokojenie. Z tej wiary w życie wypływa prawdziwie dobry smak, i delikatność uczucia, tak rzadkie pomiędzy wielkimi nawet poetami. Nie czynicie zarzutów uczeni za niedokładność i niepoprawność owych pieśni, dowodzą one albowiem jasno, że intelligencya ludu, pozostawiona sama sobie, bliższa jest przyrody, pojmuje lepiej rzeczywiste prawa bytu, aniżeli intelligencya poety uczonego i literata. Każde uczucie w pieśni ludu jest usprawiedliwione: émi je niekiedy smutek i tęsknota, ale te spowodowane są zawsze jakąś nieuleczoną przyczyną: śmiercią, oddaleniem, niesławą. Nic zwłaszcza nie wyrówna tajemniczej niewinności i słodyczy religijnych pieśni. Dusza i serce topnieć się zdają przed obliczem Boga, jak śnieg nieskażony przed promieniem słońca. Taki jest ogólny charakter wszystkich ludowych pieśni, czyli to pochodzą z Niemiec, Hiszpanii, Szkocyi lub Francyi.

Zważmy tylko jak pełne dźwięki lira ludowa wydaje, skoro jój lud sam dotyka; w ręku uczonego poety poruszenia jój stają się monotonne. Nie uważam bowiem za pieśni ludowe ballad Goethego i Ohlanda, osnutych wprawdzie na starych podaniach, ale opromienionych gieniuszem wieszczów. Czytaliśmy pieśni, które Goethe wziął za temat do swoich utworów lirycznych; czujemy w utworach Goethego ogólnego ducha Niemiec, ale nie dostrzegamy szczególnych odcieni życia ludu niemieckiego. Poezya ludowa winna mieć zwłaszcza na celu, oddanie wierne życia ludu; gdy tymczasem poeci zamiast tego, dają nam wyrażenie osobistych swych uczuć, własnego natchnienia, stawiając je tylko w ramach rodzinnego życia ludu, i ubierając w swe własne myśli i uczucia obranego

wśród ludu bohatera. Jestto niekiedy wcale zręczna zasadzka literacka, ale to nie stanowi bynajmniej ludowej poezji.

Tyle jest trudności do zwalczenia, aby zostać poetą ludowym, że niepodobna prawie przełamać wszystkich. Ta więc tylko poezya jest rzeczywiście ludową, którą lud sam utworzył. Wielkie gieniusze poetyckie pojęły to dokładnie. To téż nie szło im bynajmniej o malowanie obyczajów ludu, ani téż wyższych class społeczeństwa: poprzestali raczej na wypowiedzeniu wrażenia, jakie życie w ogólności na nich wywarło. Dante, Molier, Szekspir, Cervantes, tworzyli, jeżeli wolno się tak wyrazić, poezją ludzką i zbierali do tego naprzemiany żywioły z życia społecznego i przyrody. I stali się popularnemi, albowiem malując z zadziwiającą dokładnością serce ludzkie, przemawiają zarówno do wszystkich umysłów. Najwyższą zaletą prawdziwych poetów jest to, że mieli w własnej duszy głębokie uczucie ludzkości; że nie wdając się w stronnicze spory, ukazywali nam człowieka, w walce z życiem przyjmującego rozliczne warunki bytu, stawiającego czoło zmiennym kolejom losu: w każdej jednak okoliczności w jakiej go wystawiają, człowiek zawsze bierze górę nad swém położeniem. Tém się różnią tegocześni pisarze, że w miejscu rodzaju ludzkiego, malują nam excentryczne i oderwane zupełnie jednostki. Wiele tylko poeci, powtarzam, posiadali głębokie pojęcie ludzkości, jak naprzykład Szekspir.

Liczba poetów ludu jest zatem nader ograniczoną, a w czasach nowszych, dwóch się między nimi mianowicie odznaczyło: Robert Burns i Hebel. Obok nich możnaby jeszcze przytoczyć Allan Ramsay'a i Bürgera. Dwaj piérwsi zasłużyli na imię prawdziwie wielkich, bo pojęli i oddali życie ludu z najdrobniejszymi jego odcieniami. Robert Burns dziecię ludu, wieśniak i rolnik, winien jedynie sprzecznemu losowi, że został prawdziwym poetą ludu.

W ostatnich latach życia, gdy stał się jednym z lwów edyńskich salonów, postradał w części talent, pod wpływem zbytńego zetknięcia ze światem, i dowiódł jasno, że nie byłby nigdy został wielkim poetą, gdyby był zmuszony wegetować na niewłaściwym sobie gruncie, zdala od ziemi do której wrosł uczuciem i nawykniem, gdzie się rozwinięły władze jego pięknej duszy i uczucia tkliwego serca. Przeciwność stała się dlań tarczą od kuglarstwa i literackiego fałszu; jój tylko winien, że oddychał pełném życiem ludu, i wypowiedział je w cudnych swych rymach:—jój winien głębokie współczucie dla ludu.

Burns jest prawdziwym poetą ludu, a obok tego jest głębokim filozofem; w nim jak w czarnoksiężkiem zwierciadle, odbija myśl i uczucie ludu. Czytając utwory Burnsa, pojmujemy dokładnie nieskażoną ludu nieśmiertelność. Lud nigdy nie umiera; w nieustającej pracy kipi jak odwieczne źródło życia, i strupieszaltemu światu nadaje świeższe myśli, czystsze uczucia. Taka jest precudna treść sławnój ballady pod napisem: *Jan Grajn d'orge*. Daremnie srożą się przeciw niemu, daremnie grzebią go w ziemi; Jan pojawia się zawsze, i ucieka przed ich zemstą. Jest jeszcze inny utwór Burnsa, pod napisem: *Wieczór sobotni w chacie*. Tu poeta wprowadza nas do skromnej szkockiej lepianki. Po wieczerzy ojciec otwiera biblią i czyta dzieje mężów świętych, którzy

zasłużyli sobie u Boga, że rzucił na nich okiem miłosierdzia, i ludów przewrotnych, które ściągnęły na siebie gniew Wszechmocnego. Tu poeta kreśląc ów obraz, daje nam do zrozumienia, że nadejdzie chwila, gdy Bóg, znudzony kłamstwem i obłudą, schroni się do serc prostych. Gdy religia zapomniana zostanie na ziemi, gdy imię Boga w bluźnierstwie tylko wymawiane będzie: wówczas duch ludu ostatnim się stanie przybytkiem, w którym przechowa się słowo i imię Przedwiecznego.— Oprócz tych dwóch filozoficznych utworów, wiele jest innych, gdzie poeta opowiada swoje życie, które było życiem ludu, swoje nawyki, wypadki wydarzone domowym zwierzętom, śmierć ulubionej owcy, starość wiernej klaczy; i nic zrównać nie może tkliwej prostocie, owej prawdziwie poetycznej duszy. Burns nie zminął się nigdy z prawdą. Jako poeta liryczny, często mówił o sobie. Jakieżto otwarte pole do wynoszenia własnych cnót, składając własne winy na zepsucie świata. Ale Burns, nie wmawia nic w siebie: jest zmysłowym i wie o tém, upija się niekiedy, i żałuje tego szczerze, nie czyniąc nikomu wyrzutów. Ma on rozliczne namiętności, ale nie ma cynizmu; umysł jego pełen jest prostoty. Porównajmy naprzykład wyznanie Jana Jakóba Rousseau, gdzie dumny pisarz stawia się przed sądem Boga, zalecając się serca swego dobrocią, z ową modlitwą, w której Burns błaga Najwyższego Sędziego przeznaceń ludzkich, aby oszczędzić raczył tę nędzną mieszaninę dobrego i złego, biedny zlepek utworzony ręką Pana.

Słodki Hebel nie jest tak czysto ludowym jak Burns: ma on ściśle oznaczoną własną samodzielność. Hebel przemawia do ludu językiem naiwnym nianiek i piastunek do niemowląt; przemawia z taką pokorą serca, jakby się dopiero co ukorzył przed Bogiem, policzył z własnym sumieniem, wymiół z serca wszelką żądzę, duszę oczyścił z wszelkiej obcej myśli, któraby nie była czysto ludową. Czytając go zapominamy, że złe istnieje na ziemi:—nie przypuszczamy nawet nazwiska zbrodni i występku. Żli zdają się tu być istotami symbolicznymi, a zepsuci, niknącymi w pomroce bajecznych wieków ludami. Jedno tylko uczucie Hebel z głębokim wyraża przejęciem, uczucie czysto-ludowe: naiwną radość człowieka dobrego, i naiwną dumę z uznania się takim.

Otóż są dwaj poeci zasługujący rzeczywiście na nazwisko ludowych. Jeżeli się zwrócimy do Francji, i zasięgnieśmy pierwszych lat obecnego stulecia, napotkamy Beranżera, który uchodzi za poetę ludu, a który przecież nie jest nim w całym znaczeniu, jaki wyrazowi temu nadajemy. Beranżer jest mianowicie poetą narodowym. Imię jego i dzieła, wiążą się ściśle z nieśmiertelną kartą dziejów:—to mu zapewnia wieczne miejsce w pamięci potomnych. Pomimo barwy politycznej, żywo odbijającej w niektórych piosenkach, nie jest on poetą stronnictw. Duch narodowy uchronił go od tego. Wyśpiewał on ogólne wypadki dotykające kraj cały, a nie klęski pojedynczych stronnictw i koteryj. Ze stanowiska politycznego, Beranżer pozostaje nieskażonym. Wyrażał on tylko szlachetne uczucie miłości kraju. Po klęsce pod Waterloo, Francja zwyciężona i znękana, mniemała, że już wszystko dla niej stracone bez powrotu: oglądała się smutno poza siebie, wspominała z boleścią dawną świetność i chwałę, a zraniona do głębi serca, nie wątpiąc o bliżkiej śmier-

ci, oczekiwała jęj w straszném i rozpacziwém przygnębieniu. To bolesne uczucie odbiło się w utworach Beranżera, i stanowi najważniejszą ich zaletę. Uważając go ze stanowiska moralnego, rzecz się ma inaczej. Z tęg strony Beranżer nie zasługuje bynajmniej na nazwisko ludowego poety.

Przykro zapewne kazić tak niezaprzeczoną sławę, ale prawda powinna iść przedewszystkiém. Beranżer popełnił błąd nieprzebaczony dla poety: zdeptał i sponiewierał najświętsze uczucie miłości. Co do pieśni dotykających religii, tych niepodobna czytać bez oburzenia, a co więcéj, bez głębokiego smutku. Beranżer nietylko że znieważał cnotę ludu, ale nadto lekcoważył najświętsze rzeczy, o których jeżeli kto nieszczęściem zwątpi, powinien przynajmniej najgłębsze zachować milczenie.

Od czasów Beranżera, dążność umysłów inny zupełnie wzięła kierunku, a wśród ogólnego wstrząśnienia pojawiło się mnóstwo nowych utworów z których niektóre zaledwie zasługują na uwagę.

Z młodych poetów piszących w duchu ludu, najzdolniejszym bez wątpienia jest Piotr Dupont, autor zbioru pieśni pod napisem: *Muza ludowa*. Poeta w jednę chwilę zyskał niesłychaną popularność, salony i ulice powtórzyły pieśń jego równocześnie.

Pieśni pana Dupont zawarte w jednym tomiku, dzielą się na trzy wcale odmienne rodzaje: na pieśni polityczne, ludowe i fantastyczne.

Pomijając pierwsze, zastanowimy się tylko nad piosnkami ludowemi.

Myśl autora nie jest w nich jeszcze dostatecznie rozwinięta, widzimy ją zaledwie w zarodzie: uczuciom brak jedności. Uczucie i namiętności składające ludzką naturę, nie są tu zlane w jednę doskonałą całość moralną; słowem, samodzielność poety jeszcze się dostatecznie nie wykształciła. Czémże jest bowiem samodzielność poety?—jest połączeniem umiejętném, sztuczném, wszystkich władz duszy, wyrobieniem uczucia i namiętności. Pan Dupont nie doszedł jeszcze do tego stopnia. W utworach jego podziwiamy wzniosłość, delikatność, zręczność zwrotów, ale nie ma ogólnęj myśli, któraby jednoczyła owe oderwane zalety. Trudno mu zaprzeczyć poetycznego uczucia, ale brak mu dostatecznego rozwinięcia. Przyszłość dopięro okaże do jakiego stopnia zakwitnie jego talent. Niektóre oderwane zwrotki zadziwiają nas prawdziwym urokiem świeżęj poezyi. Zważmy naprzykład zwrotkę do jagody:

„O jagodo! poeta łaciński dałby ci dojrzyć na łonie Wenery, albo na łonie swęj kochanki. Co do mnie wolę cię widzić tam, gdzie ci błogo i dobrze: w cieniu zarośli, kędy słowiki tkliwą miłość opiewają bez końca.”

Oto inna zwrotka do piosenki, pod nazwiskiem *przetacznik*:

„Tkliwe kwiateczki, ofiary zwiędłe, wracacie nam zdrowie; w waszym się skromnym kielichu, niebieski błękit odbija. Wy wśród dąbrowy kwitnijcie dla tych serc prostych, które wśród ziemskiej pielgrzymki drobnych szukają kwiateczków.”

Co chwila w zbiorze pana Dupont natrafiamy na znakomite ustępy, ale obok tego widzimy co chwila lekkie skazy. W wielkich poetycznych utworach byłoby to do przebaczenia, gdy tymczasem w krótkich lirycz-

nych piosenkach, mamy prawo wymagać, obok natchnienia, doskonałości formy. Ta stanowić powinna największą ich zaletę.

Myśl pana Dupont najczęściej jest szczęśliwą, ale wykonanie niezawsze jej odpowiada. Uważaliśmy naprzykład między innymi pieśń pod napisem, *Zabójca lwów*. Pierwsza myśl zawiera piękny zaród ludowego poemaciku. Ow żołnierz afrykański, który lat kilka temu, opuściwszy wioskę rodzinną, walczyć musiał nie tylko z ludem nieprzyjazytnym, ale nadto i z dzikim zwierzem, wracający do domu z lwią skórą, godłem odniesionego zwycięstwa, nie jestże stosownym przedmiotem do tkliwej ludowej pieśni? Przygody jakie opowiada zgromadzonej przy ognisku rodzinie i sąsiadom, pełne są same przez się poezji, niemniej jak niegdyś opowiadania hiszpańskich i portugalskich majtków XVI wieku. Dodajmy do tego dówcipne uwagi słuchaczy, dumę stariej matki i ojca, uszczęśliwionych z powrotu syna; nie byłżeto przedmiot godny nowoczesnej ludowej pieśni? Nieszczęściem poeta zbyt łatwej szuka drogi: zaniedbuje zupełnie stronę dramatyczną w swych pieśniach, a nawet i legendach. Poprzestaje tylko na opisach. Poezya wymaga tymczasem, aby poeta stłukł zewnętrzną lupinę, a ukazał nam sens moralny. Tak i w piosnce pod napisem *Morze*, oczekiwaliśmy uczuć i myśli obszernych i głębokich jak przedmiot, który nam poeta stawia przed oczy; znaleźliśmy tylko opis geograficzny i rozbiór chemiczny soli morskiej. W pieśni pod napisem *Tkacz*, pełnej zajmujących szczegółów, poeta opowiada nam w jakiej porze zbierają się konopie, jak się płótno bieli, i na jaki użytek służy ludzkości. Wszystko to mało nas zajmuje: wolelibyśmy raczej widzieć tkacza przy swjej pracy, radzibyśmy odgadnąć jaka myśl przewodniczyła mu przez lat tyle, gdy puszczał swobodnie czółenka po postawie, jak się wyrobił jego umysł pod wpływem jednostajnej pracy; słowem, należało nam wskazać moralną stronę życia człowieka. W balladach pana Dupont mało jest także dramatyczności. Dwie tylko legendy zasługują na uwagę: *Luidory*, i *Podkowy*.

W zbiorze tym pieśni sielskie są rzeczywiście znakomite. P. Dupont oddał doskonale najwydatniejszą stronę życia ludu, jego niewinną wesołość. Dusza ludu zda się przemawiać w ślicznych piosenkach: *Pies pasterza, matka Johanna, wóły, mój osiołek, moja winnica*. Widzimy tu skromność obok prostoty, dobroduszość w miejscu grubijaństwa, słowem, łatwość niepospolitą. W piosenkach tych przebija niewinna wesołość, owoc życia cichego i pracowitego. Autor oddał umiejętnie owę błogą rozkosz spoczynku, po całotygodniowej pracy. Żadnym lekkomyślnym i zbyt śmiałym słówkiem nie obraził prostych a rzewnych uczuć wieśniaka. Tak, sąto rzeczywiście pieśni ludu pracowitego, szczęśliwego równie w pracy, jak w spoczynku. Z drugiej strony pan Dupont umie doskonale oddać wdzięk niewieści, niewinną zalotność wieśniaczek; z najdelikatniejszymi odcieniami opisał on owe dziewczę przeglądające się w czystej krynicy jak w zwierciadle, owę niewiastę śpiącą spokojnie przy księżycu z koszykiem na ręku, pomiędzy brukwią i kapustą na parzykim targu. Jest zwłaszcza piosenka pod napisem: *Taniec wieśniaczek*, którą uważać można za arcydzieło w swoim rodzaju.

Po przeczytaniu tomiku pana Dupont ta nam się nasuwa uwaga: że autor stanął właśnie na najtrudniejszej drodze, to jest na drodze przejścia. Nabył on już tyle nauki i wiadomości, że mu niepodobna pozostać dłużej instynktowo naiwnym; nie ma ich tyle, aby zastąpić czém inném owę skromną zaletę: ztąd wypływają niekiedy uczucia fałszywe i myśli sztuczne. Wytrwała praca, głębokie zbadanie sztuki, mogą na to jedynie zradzić. Zaniedbanie nie wróci mu już pierwiastkowej prostoty, a wiedzieć o tém powinien, że w poezyi nadewszystko nie ma środka pomiędzy zupełną niewiadomością, a doskonałym i wszechstronnym zbadaniem wszystkich tajników sztuki.

Po panu Dupont, możnaby przytoczyć jeszcze kilka innych talentów, pomiędzy któremi odznacza się imię p. *Lachambeaudie*. Akademia uwieńczyła jego bajki, publiczność czytała je z upodobaniem.

Bodajby ci wszyscy, którzy chcą stać się tłumaczami ludu, którzy dobijają się o zaszczyt popularności, poprzestać zechcieli na wypowiedzeniu nam dolegliwości ludu, na wyśpiewaniu jego cnót; ale w imię Boga niech nie stawiają własnych uczuć w miejsce uczuć ludu, własnych żądz i namiętności, w miejscu żądz i namiętności ludu. Niechaj uszanują lud, bo pochodzenie jego dawne i wysokie. Lud powstał rzeczywiście wraz z chrześcijaństwem; odtąd znalazł organ w swoich pieśniach, bo poezya ludowa nieznaną była w starożytności. Szanujcie więc cnoty ludu, a nadewszystko nie uczcie go kłamstwa: społeczeństwo ludzkie płynie dalej drogą przeznaczenia; ale kiedy w narodzie lud kłamać poczyna, wówczas naród zginąć musi, bo nie ma środka na uleczenie rany, gdy zepsucie przechodzi w krew i kazi najżywotniejsze źródło życia. Niechaj więc poeci ludu zapytują sami siebie, czyli chcą być podniętą do powszechnego upadku, czyli też przeciwnie zechcą poprzestać na natchnieniu ludowi uczuć wzniosłych, czystych i bogobojnych.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

P. Dessaignes udzielił Akademii Umiejętności paryzkiej następną ciekawą wiadomość.

PP. Lassaigne i Chevallier już dawniej oznajmili, że w roślinie żyjącej zwaną psia łoboda (*Chenopodium vulvaria*), znajduje się węglan amoniaku. Podobieństwo pomiędzy zapachem tej rośliny, a jedną z zasad amoniakalnych z szeregu odkrytych przez Wurtz'a, Anderson'a i Wertheim'a, chcemy mówić o *propylaminie*: kazało przypuszczać już od dwóch lat, że to alkali może się znajdować w chenopodium. Zebrawszy w tym roku znaczną ilość powyższej rośliny, zaczął P. D. robić doświadczenia, a skutek potwierdził jego przewidywanie. Przepędzał różnemi czasami w alembiku około 40 kilogramów rośliny, jużto z słabym roztworem potażu gryzącego, już też z rozciekiem węglanu sody. Wypadek z przepędzenia nasycał kwasem solnym, i parował do suchości, potem na to nalewał stężonego wyskoku, który zostawił znaczną ilość nierozpuszczonej soli amoniakalnej. Do roztworu wyskokowego dodawał chlorku platyny, osad ztąd utworzony przemył wyskokiem, i rozpuszczał w małej ilości wody gorącej; ztąd za ostudzeniem powstały wielkie kryształy czerwono-pomarańczowe soli podwójnej platynowej i zasady żywotnej (organicznej), które przez nowe przekryształizowanie oczyszczono z małej ilości chlorku platyny amoniakalnego, w nich jeszcze znajdującego się.

Propylamina gotowa, znajduje się w żyjącej roślinie jednocześnie z amoniakiem. (*L'Institut* z 1 Octobre 1851 r.).

* Na posiedzeniu Akademii Umiejętności paryzkiej w dniu 17 listopada r. z. czytał P. Ebelmen rozprawę obejmującą dalszy ciąg poszukiwań dotyczących się kryształizacji drogą suchą. Ważniejsze opisy z tej pięknej pracy przytaczamy.

W dwóch poprzednich rozprawach z których wyniki były zamieszczone w Bibliotece Warszawskiej, p. E. skreślił nowy sposób krystalizowania drogą suchą, za pośrednictwem którego, otrzymać można w doskonałych kryształach wiele ciał podobnych naturalnym minerałom, a z tych pewna liczba stanowi kamienie rzadkie i kosztowne. Ciała zaś rozpuszczające w powyższych doświadczeniach, które zarazem ulatniały się przy dłuższem działaniu mocnego ciepła, były natury kwaśnej; stanowił je bowiem kwas borowy, borax, i fosforany alkaliów kwaśne. Później sądził p. E. że postępowanie to może w nowy sposób być rozwinięte, i poprowadzić do innych zastosowań, a to przez użycie zasad, za istoty rozpuszczające, np. alkaliów. Wiadomo, że te ciała (alkalia) otrzymać można jako ciekłe w ciepłe, które łatwo wydają nasze piece, i ulotnić całkowicie w otwartych naczyniach w mocnym ogniu. Doświadczenie polega głównie na tém, aby rozpuścić pierwiastki ciała, które chcemy skryształizować, w krzemianie mającym znaczną ilość alkali; to zaś wszystko mocno ogrzać w piecu np. porcelanowym; wtedy nadmiar alkali się ulotni, a kryształy utworzą się wpośród masy szklistej roztopionej. Koniecznie zaś potrzeba krzemionki, aby roztop był przyzwoicie gęsty, i aby utworzył się krzemian topliwy, wśród którego dopiero mogą powstawać kryształy z wyrazistością żadaną.

Tym sposobem p. E. otrzymał wiele związków nietopliwych: pomiędzy którymi przytacza perydot biały w kryształach pięknych, tytan rutył, tytanian wapna, czyli perowskit; oraz glucynę w tak wyraźnych kształtach, że można je było oznaczyć goniometrem. Kryształy rutyłu otrzymane przez P. E. były przezroczyste, pięknie czerwone, zupełnie podobne kryształom naturalnym.

W drugiej części swój rozprawy P. E. wskazuje zasady i niektóre zastosowania, innego sposobu krystalizacji drogą suchą, to jest przez osadzanie. Wiadomo, że otrzymuje się drogą moką znaczną liczbę niedokwasów metalowych, przez osadzanie ich z roztworów solnych za pośrednictwem mocniejszej zasady. Te niedokwasy opadają częstokroć w związku z ciałem osadzającym, lub też innym niedokwasem, który jednocześnie znajduje się w roztworze. P. E. sądzi, że podobny sposób mógłby być zastosowany w robotach drogą suchą, podstawiając w miejsce roztworów wodnych, krzemiany lub borany topliwe. Oto są wypadki, które otrzymał na tém nowém naukowém polu.

Przez działanie wapna w dużych kawałkach na boran magnezyi, osadza się magnezją w postaci kryształów przezroczystych twardych jak feldspat; przez kwas siarkowy przekonano się, że były utworzone z zupełnie czystej magnezyi. Sposób, który posłużył do otrzymania magnezyi, może być w ogólności zastosowany do skryształizowania niedokwasów pierwszych niklu, kobaltu i manganu. (*L'Institut 19 Nov. 1851*).

* *Jod w powietrzu.* Już dawniej w Bibliotece Warsz. podaliśmy ciekawe odkrycie p. Chatin tyczące się jodu w powietrzu, które później się potwierdziło; dzisiaj tylko dodamy, że podług doświadczeń tego chemika, jod nie we wszystkich okolicach znajduje się w powietrzu w jednakowej ilości; tak np. w okolicach Sekwany znalazł go p. C. więcej niż

w okolicach Rodanu. W ogóle w miarę zbliżania się do Alp, powietrze zawierało mniej jodu. (Treść z powyższego numeru *L'Institut*).

* *Amigdalina*. Pierwiastek ten natrafiony został w wielu roślinach, szczególnie wydających owoce jabłkowate, jakoto z pospolitych: w korze jarzębiny, w bardzo młodych wypustkach głogu, w późniejszym czasie nie masz jej w żadnej części téj rośliny; we wszystkich częściach śliwy czeremchy, i t. p. Nie odkryto zaś jej wcale w częściach zielonych, ani korzeniach wiśniny, chociaż w pestce owocu (wiśni), znajduje się. (Treść z pisma *L'Institut* z 26 Nov. 1852).

* *Nowy kwas znaleziony w płucach*. P. Dumas przedstawił Akademii Umiejętności paryżkiej opis nowego kwasu, który p. Verdeil miał znaleźć w płucach. Kwas ten krystalizuje się, a z zasadami tworzy także sole krystaliczne. W części zaś był on tam w stanie wolnym, a w części połączony z sodą. Powyższy kwas ogrzewany wyżej nad 100° C. rozkłada się, i wydaje ciała przypalone; pozostaje zaś węgiel mający znaczną objętość, który później niknie bez śladu popiołu: rozpuszcza się (ten kwas) w wodzie, nie rozpuszcza w zimnym tylko w wrzącym wysokoku. Składa się zaś z węgla, wodorodu, saletrorodu, siarki i kwasorodu w stosunkach oznaczonych. Kwas płucowy wydaje z zasadami sole krystaliczne, a z węglanów wypędza kwas węglowy. (Treść z *L'Institut* z 4 Decembre 1851).

* *Ciało zielone roślinne*. Jeszcze jedną pracę p. Verdeil przedstawił p. Dumas Akademii Umiejętności paryżkiej; tyczy się zaś ona barwnika zielonego roślin, a co jest szczególniejsza, że ten barwnik ma posiadać wielkie podobieństwo do pierwiastku czerwonego krwi.

Ciało zielone, które się otrzymuje z wielu roślin za pośrednictwem wysokoku lub eteru, uważane było za istotę roślinną nazwaną chlorofillą: czyli za żywicę roślinną zieloną. P. V. donosi iż przekonał się, jakoby ta żywica zielona była mieszaniną tłustości zupełnie bezbarwnej, mogącej się skryształizować, z barwnikiem mającym największe podobieństwo do pierwiastku czerwonego krwi. Barwnik roślinny zawiera jak barwnik krwi, znaczną ilość żelaza. Tym więc sposobem pierwiastek ubarwiający krew zwierzęcą, jest podobny do pierwiastku barwiącego roślinnego. (Treść *L'Institut* z 24 Decem. 1851).

* P. Schoenbein śledząc działanie kwasu drugiego siarkowego (*acide sulfureux*) na barwniki roślinne, okazał: 1) że barwniki błękitne i czerwone wielu kwiatów i owoców, tworzą z kwasem drugim siarkowym związki bezbarwne; 2) że barwniki żółte zawarte w kwiatach, nie doznają zmiany od tego kwasu; 3) że indygo (indycht) błękitne, czerwień kaktusowa, żółta barwa jedwabiu, bieleją od kwasu drugiego siarkowego, w skutku działania jego kwasorodu. Ztąd wynika, że odbarwianie jestestw organicznych przez kwas drugi siarkowy może pochodzić albo z utajania się barwnika przy tworzeniu się związku bezbarwnego; albo też ze zniszczenia barwy. Rozprawa niniejsza czytana była na posiedzeniu towarzystwa helweckiego nauk przyrodzonych w Glaris. (Treść z *L'Institut* z 31 Decembre 1851 r.).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Duméril, *O temperaturze w płazach* (czyt. na posiedz. Tow. filom. par. d. 15 grud. 1849). Dotychczasowe badania autora ściągają się tylko do żab i do węzów. Temperatura w wewnętrznych organach żab, wyższą jest niż w otaczającym te zwierzęta środka; wszakże ta stała różnica jest tylko bardzo mała, gdy ją uważamy w okolicznościach nie czyniących znacznego uszczerbku przyrodzonemu sposobowi życia tych zwierząt. Nigdy ona nie przeniosła $\frac{1}{2}^{\circ}$ Cent. w innych przypadkach ledwie dochodziła $\frac{1}{4}$ lub $\frac{1}{5}^{\circ}$. Przeniósłszy żaby z wody letniej 14 do 15° , w jakiej się te płazy w menażeryi zwykle utrzymują przez czas zimy, do wody na 8 do 6° , temperatura w nich znacznie się zmniejszy, bo co pierwiej miały 15 do 16° , w drugim razie ledwie $8\frac{2}{3}$, a nawet tylko 8° okażą. W ciągu 1 godziny i 50 minut, przez które doświadczenie trwało, wprowadzony do kloaki termometr, mimo to znizenie, wciąż okazywał temp. wyższą, niż inny w wodzie zanurzony. Ostateczne punkta téj różnicy, były $\frac{1}{4}$ i $2\frac{1}{6}^{\circ}$, ale zazwyczaj utrzymywała się pomiędzy $\frac{3}{4}$ a $2\frac{1}{6}^{\circ}$. W największém ostygnienu wody, żaby najsilniej opierały się ziębnieniu, tak, że nawet jeszcze nieco ciepła wyrabiały w sobie. Maxymum $+8\frac{2}{3}^{\circ}$ okazywało się rzeczywiście tylko wtenczas, kiedy woda z $+8^{\circ}$ na $+6\frac{1}{5}$ albo $+6\frac{1}{2}^{\circ}$ spadała.

To przekonywa, że żaby mają zdolność utrzymania w sobie temperatury nieco wyższej niż w otaczającej je cieczy, lubo i małe znizenie się temperatury w téjże cieczy, przywodzi oraz do znizenia i temperaturę tych zwierząt. Przy czynieniu doświadczeń należy być bardzo uważnym, ażeby żab nie ocieplić, bo chociaż, nawet przy wysokiej temperaturze środka, temperatura żab, jak to wiemy z doświadczeń które F. Delaroche czynił, do pewnych przywiązana jest granic, może ona przecież zrównać się z temp. środka, jeśli ten nie przechodzi 26° a zupełném ponurzeniem zwierząt zapobiegnie się parowaniu z płuc i ze skóry.

Chociaż także i węzów temperatura niższą jest niekiedy jak w otaczającym je powietrzu, jeśli to między 20 a 30° wynosi, w pewnych jednak okolicznościach może się ona z pomienionemi temperaturami powietrza zrównać, a z 16 przypadków było 7, w których ona ją o niecałe 1, czyli o $1\frac{1}{4}^{\circ}$ przewyższyła. Różnica ta wszakże o wiele jest mniejszą, od téj którąby według jednego postrzeżenia Huntera przyjąć wypadało. Znalazł on bowiem temperaturę żołądka i kloaki u zdrowej żmii o $5\frac{1}{2}^{\circ}$ wyższą, niż w otaczającym powietrzu.

Temperatura węzów w godnej uwagi zależności z temperaturą powietrza zostaje. Gdy np. położ dusiciel obwinie się wkoło pieńka znajdującego się w jego klatec, i w tém położeniu, tyleż od drucianego wierzchu jak i od dna (części najcieplejszej, bo tamtędy rury ogrzewającego kanału przechodzą) klatki oddalony, przez dłuższy czas pobędzie, wtedy znacznie się wyziębi. Temp. téj środkowej części klatki niższą jest

o 1 do 3° od temp. dna, a wąż okazał w dwóch przypadkach tylko o $\frac{1}{3}$ i $\frac{3}{4}$ ° wyższą, w jednym równą, a w jednym prawie o $\frac{2}{5}$ ° niższą.

Ale gdy zwyczajne węże wodne (*Coluber natrix*) wniesiemy w temp. daleko wyższą od téj w której się zwyczajnie utrzymują, opierają się one temu ciepłu tylko nader niedoskonale. Można je, bez uszkodzenia, w suchém powietrzu aż do 39 $\frac{1}{4}$ ° ogrzewać; wyżej ogrzane umierają. Jeden wtedy zdechł, gdy wewnętrzna temp. jego do 41°, drugi gdy do 40 $\frac{1}{5}$ ° doszła. Temp. otaczającego powietrza dochodziła w pierwszym przypadku 45, w drugim 47°. Wszakże ciepło wilgotne znoszą węzowate gady lepiej, niżeli suche: oddychanie jednego z tych zwierząt najmniejszego nie doznało uszczerbku, gdy je trzymano w wodzie do 44° ogrzanej, w której temp. węża doszła zwolna do 42 $\frac{1}{2}$ °, i wtedy dopiero zdechł. Węże przeto nie mogą temperatury otaczającego je środka tak wytrzymywać jak żaby, których znakomitą pod tym względem siłę F. De-laroché w swoich doświadczeniach okazał, a co wynika z odmiennego usposobienia ich okrycia. U wszędzie łuskami pokrytych węzów wyziewanie musi być daleko mniejszém, niżeli u żab na których skóra jest całkiem naga.

Linienie sprawia u jutrzyn (*Python*) małą tylko różnicę temperatury, która się wtedy stosunkowo do otaczającego środka zniża.

Przeciwnie, trawienie bardzo znacznie podwyższa temperaturę jutrzyn, w porównaniu z temp. otaczającego środka. Wyższość ta zwyczajnie 2 do 4° dochodzi. Przedłużając postrzeżenie wyraźniej jeszcze ten fizyologiczny fakt widzieć można, bo temp. dochodzi do maximum, od którego potem znowu się powoli wraca do stopnia od jakiego podwyższać się zaczęła.

Zresztą, podwyższanie się temperatury następuje w dość niemierztelny sposób, bo niekiedy we 24, a niekiedy dopiero w 66 godzin dochodziło do maximum. Nie zdaje się ażeby ta różnica czasu szła za większą lub mniejszą pożywienia wziętego ilością. Podwyższanie się następuje dosyć nagle, a nie łagodnymi przejściami. (*T.* 1850, nr. 94 z *Institut*, 9 janv. 1850).

* *O szylkrecie z Celebes* (1). Pomiędzy szacownemi towarami które nam śmiali i przemyślni Bugijczycy corocznie z Celebes i innych na wschód położonych wysp dowożą, jedno z pierwszych miejsc zajmuje szylkret. Ilość jego wprowadzana do Singapore przechodzi niektórych lat 13,000 funtów, a spada czasem niżej 7,000 funtów, tak że w przecięciu 10,000 funtów wynosi. P. Vosmaer udziela nam następujących wiadomości o sposobie w jaki Orangbaje, którzy południowo-wschodni półwysp Celebes zamieszkują, szylkret zbierają.

Orangbaje rozróżniają cztery główne gatunki szylkretu, nazywając je *Kulitan*, *Akung*, *Boko* i *Ratu*. Pierwszy jest najwyżej szacowany i pochodzi z żółwia tartarugowego (*Chelonia imbricata*). Skorupa górna tego żółwia składa się z 13 pól, z których 5 są na linii pośrodkowej, a po 4 na każdym boku. Oprócz tego brzeg obsadzony jest 25 wązkiemi polami,

(1) Z *Verhandelingen van het Bataviaasch Genootschap van Kunsten en Wetenschappen*, Vol. XVII, p. 1.

znanemi pod nazwiskiem nogowego albo nosowego szylkretu. Cena szylkretu ustanawia się według wagi i jakości głowy, pod którémto nazwiskiem rozumie się cała skorupa grzbietowa zwierzęcia.

Skorupa z białemi i czarnemi, stykającemi się z sobą plamami, jeśli te na obudwu jęj stronach o ile można symetrycznie są rozłożone, w mniemaniu Chińczyków uchodzi za najpiękniejszą, i takie chciwiej oni zakupują niżeli czerwonawe i raczej marmoryzowane niż centkowane, które mniej białego, czyli, według zdania Chińczyków, mniej przyjazny rozkład kolorów mają. Chińczycy przywiązują niekiedy nadzwyczajnie wielką wartość do tak nazwanych głów białych, za które niestychane summy płacą. Odróżniają oni w tym gatunku wiele znowu odmian, które się nie dają opisać bo różnice polegają częstokroć na cechach uchodzących oczu Europejczyka. Uczynię więc jedną tylko pod tym względem uwagę, że głowa, pomienione przymioty mająca, której tarczy przedstawiają wiele czystej białości, tak, że zewnętrzny brzeg każdej na 2 do 3 palce szeroko jest zupełnie biały, a której waga $2\frac{1}{2}$ Cattie wynosi (właśności których połączenie bardzo rzadko się trafia), płaci się 1,000 i więcej złotych (à 4 złp.). Szylkret nogowy cały do Chin idzie. Gdy obie dwie tylne sztuki dobrze są zachowane i $\frac{1}{4}$ Cattie ważą, co bardzo rzadko się zdarza, można je na 15 złotych i więcej szacować. Cała tarcza zwierzęcia rzadko więcej nad 3 Cattie waży, lubo utrzymują że bywa okaz do 4 i 5 cattij ważący. Wyjątkowo także trafiają się tarcze nie dzielące się na pola, tylko jedyny równy pancerz tworzące. Te rzadkie sztuki Orangbaje zowią *Lojong*.

I z *akungu* daje się czasem *kulitan* wykroić, ale za taki mniej się zawsze płaci, bo skorupa jest cienka i w ogólności nie tak dobra.

Boko jestto ten sam szylkret, który Malajczycy nazywają *Panju*. Pochodzi on ze zwyczajnego żółwia morskiego (*Chelonia mydas?*) który tylko jako materiał pokarmowy ma swoją wartość. Do tego gatunku należą *Panjubui*, tak nazwane bardzo grube tarcze zwyczajnego żółwia morskiego, lecz które nie wydają dobrego szylkretu. To samo rozumie się i co do *Akung-Boko*, który tylko w tém od zwyczajnego *Boko* różni się, że głowa (skorupa górna) jest daleko większa.

Nakoniec *Ratu* jest gatunek odznaczający się wielkością, a Orangbaje utrzymują, że zwierzę z którego pochodzi, jest zazwyczaj dwa razy większe niż najteższy żółw z gatunku z którego się *Kulitan* otrzymuje: tak, że trafiają się okazy 5 do 6 stóp i więcej długości mające.

Orangbaje łowią żółwie zazwyczaj *hadungiem*, harpunem i siecią, a najprostszy sposób jest napadać na samice wtedy, gdy dla zniesienia jaj z morza powyłażą. Mieszkańcy brzegów prawie wyłącznie w ten ostatni sposób zdobywają żółwie. Przewraca się tylko zwierzę na grzbiet, a że ono nie może samo powstać na nogi, musi zatém leżeć na miejscu. Niekiedy też dostaje się żółw w ściany sieciowe zastawione na ryby, a nie mogąc się z nich wyplątać, w najostatniejszą chwytą się przegródę.

Jak tylko Orangbaje żółwia złapią, natychmiast go zabijają, uderzając kilka razy w głowę. Wtedy zdzierają z niego górną skorupę, ja-

ko tę zwierzęcia część, o którą im najwięcej idzie. Że zaś ona tak mocno trzyma się ciała, że łatwo mogłaby być uszkodzona, gdyby była zdzierana ze świeżo zabitego zwierzęcia, czeka się więc z tą czynnością zazwyczaj trzy dni, po których upłynieniu miękkie części są tak zepsute, iż skorupa łatwo się odejmuje. Jeśli ma być zaraz po zabiciu odjęta, uskutecznia się to za pomocą ukropu, a niekiedy użyciem ognia który ze łatwo uszkodzić może szylkret, używają więc tego środka tylko nieznający wartości szylkretu. (*Id. nr. 35 Annals & Mag. of nat. hist. nr. XXII, Oct. 1849.*)

* R. W. Gibbes, O kopalnym rodzaju *Basilosaurus*. (1) Z pomiędzy paleontologicznych odkryć w nowszych czasach, nadewszystko szczątki olbrzymich jaszczurkowatych płazów i zwierząt ssących wielorybnych, uwagę geologów zajęły.

W roku 1832 opisał dr. Harlan nadesłany sobie przez sędziego Bry, znaleziony nad brzegiem rzeki Wachity, ogromny krąg 40 funtów wagi, na którym oparł nowy swój rodzaj w gromadzie *Enalisauri* Conybeare, *Basilosaurus* go nazwawszy. Później otrzymał od sędziego Creagh w hrabstwie Clark państwa Alabama, ułamki podobnegoż kręga wraz z innymi kośćcami, które widocznie do tegoż należały zwierzęcia, a które w swoich *Medical and physical Researches* obszernie opisał i wyobrazić kazał.

W r. 1835 prof. Agassiz odwiedzając Anglię, spostrzegł tam w muzeum uniwersytetu w Cambridge osobliwy ząb, którego wizerunek podał jeszcze Scilla (2). Uznał go za ząb ssącego zwierzęcia i wkrótce potem opisał w Walentyna Repertoryum do anatomii i fizjologii, pod nazwiskiem *Phocodon*.

W r. 1840 wydał Grateloup w Bordeaux „opisanie ułamka szczęki nowego kopalnego rodzaju płazów jaszczurkowatych, blizkiego rodzaju *Iguanodon*.” Ułomek ten znaleziony był w Léognan, kilka godzin na południe od Bordeaux, w grubym eoceńskim wapieniu. P. Grateloup wątpliwość miał czy zwierzę wielorybnem, czy jaszczurkowatém uznać, i skłonił się naostatek do poczytania go za ziemnowodny płaz, mięsożerne morskie zwierzę trzeciorzędnego peryodu, tworzące ogniwo pomiędzy jaszczurkami a żarłaczami, dla którego nazwisko *Squalodon* utworzył.

W r. 1839 dr. Harlan posłał swój okaz professorowi Owen do Londynu, który zawyrokował że zwierzę nie należy do jaszczurkowatych, tylko jest wielorybnem. Mikroskopna budowa zębów okazywała jasno, że do ssącego należały zwierzęcia, lubo nie miały polewy, co tylko u małej liczby zwierząt ssących bywa. Prof. Owen ogłosił wizerunki zębów, ale te zęby, jak się później okazało, były niezupełnemi, bo im polewy i części korony niedostawało (3).

(1) Memoir on the fossil genus *Basilosaurus* with a notice of specimens from the Eocene Green sand of South Carolina, by Robert W. Gibbes, Esq. *Philadelphia* 1847.

(2) De corporibus marinis, 1747, Tab. XII fig. 1.

(3) Transactions of the geolog. Soc. of London, Vol. VI.

Postrzegł, że bark zbliżał się bardziej do zworza ssących zwierząt, niżeli do jaszczurkowatych płazów: zęby, które dwoma korzeniami w wyraźnych alweolach tkwiały, miały w swojej budowie mikroskopnej, wiele podobieństwa do zębów u dugonga i u kaszelota. Owen tedy oświadczył, że *Basilosaurus* był zwierzęciem wielorybném, które pomiędzy kaszelotem a gatunkami ziolożernemi środkowało. Osobliwy kształt poziomego przecięcia zęba spowodował go do nazwania rodzaju *Zeuglodon* (jarzmózab), a z powodu powinowactwa z wielorybnemi, nazwał gatunek *cetoides*.

W r. 1843 otrzymał p. S. B. Buckley w Nowym Yorku większą część skieletu jednego z tych ogromnych przedpotopowych zwierząt, z hrabstwa Clark w państwie Alabama. Opisał te szczątki w *Sillimana American Journal* (kwiecień 1843 i lipiec 1845). Znajdują się one teraz w posiadaniu dra. J. C. Warren w Bostonie. Prof. Emmons podał ich opisanie, do *Quarterly Journal of agriculture and science* (lip. 1845 i kwiecień 1846), i przekonany jest że należą do tegoż samego gatunku, co szczątki przez prof. Owena badane. Składają się one z szeregu kręgów 65 stóp długiego, z uda, z barka, z łokcia i z sprychy, z ułamka łopatki i miednicy, z kilku żeber, kilku kostek z przegubu pokrętowego, z obudwu końców szczęki dolnej, przedniego końca górnej i t. d.

Jestto największe zgromadzenie kości tego zwierzęcia jakie dotąd znaleziono, oprócz tych, które p. Koch w rozmaitych miejscach na widok wystawił, jako szczątki jednego i tegoż samego, na tém samém miejscu wynalezionej kopalnej zwierzęcia, które on mylnie *Hydrarchus* nazwał (1). Większa część (jeśli nie wszystkie) tych olbrzymich kości należą do *Zeuglodon*, a p. Koch sam się później przekonał, że jego *Hydrarchus* nie czém inném jest, tylko *Zeuglodon*, co następnie przez p. Wymana w Bostonie, i przez prof. Müllera w Berlinie całkowicie zatwierdżoném zostało. Naostatek p. Lyell, dr. Lister (w państwie Alabama) i dr. Dickeson, który niedawno w tém państwie geologiczne badania czynił, w przekonywający sposób okazali, że *Hydrarchus* p. Kocha z bardzo rozmaitych miejscowości zniesiony został.

Mam w moim zbiorze wielki krąg, darowany mi przez p. Cooper z Claiborne w państwie Alabama, i będący tym samym okazem, o którym dr. Buckley w *American Journal*, July 1846, wspomina. Jest on 18 cali długi, a płaszczyznę zestawienia mają 1 stopę w średnicy. Chociaż nieco obłamany, waży on 65 $\frac{1}{2}$ funtów. Otrzymałem z nim kilka ułamków żeber, które się zdają należéć do tegoż gatunku, co opisane przez dra. Harlan i professora Emmons.

Niedawno miałem sposobność badania czaszki małego *Zeuglodon*, którą prof. Lewis R. Gibbes w Charleston znalazł. Opisał ją prof. Tuomey w *Proceedings of the Academy of Philadelphia* Febr. 1847. Czaszka ta nowy stanowi dowód, że prof. Owen miał słuszną, gdy zwierzę do wielorybnych zaliczył: uderzające jest bowiem podobieństwo jej do czaszki delfina. Prof. Tuomey uznaje ją za czaszkę zwierzęcia młodego, wszakże stałość kości i zęby, jako téż całkowite rozwinięcie

(1) Zob. Bibl. Warsz. 1845, IV, 443, i 1848 II, 205, IV, 202.

polewy, przeciw temu mówią. Odkąd otrzymałem Grateloupa opisanie i wizerunek *Squalodona*, zdaje mi się, że ten *Zeuglodon* i *Squalodon* jestto jeden gatunek, bo tak u znalezionego w Charleston jak i u znalezionego w Léognan okazu, zęby są cieńsze, ich korony bardziej stożkowate, a zęby piłkowane stoją bardziej pionowo, ich karby są więcej płaskie, szyja zaś przy wprawieniu w alweole węższa niżeli u innych znanych gatunków.

Zwierzę, które w *Proceedings of the Academy*, Juni 1845, pod nazwiskiem *Dorudon* opisałem, uważam teraz za nowy gatunek rodz. *Zeuglodon*, który *Zeuglodon (Basilosaurus) serratus* nazywam. Oprócz piłkowato powykrawanych zębów trzonowych, które wszystkie podobne są sobie i w jednej części szczęki dolnej siedzą, mam jeszcze 2 gatunki zębów kończatych całkowicie dochowanych. Jeden z tych jest nakrzywiony, ściśniony i kończaty, nadzwyczajnie podobny do zęba azjatyckiego krokodyla czyli gawiala, który Faujas de St. Fond w swoich *Fossiles de St. Pierre à Maestricht* (Pl. XLIX. A.) w wizerunku wystawia, chociaż nie można przy nim domyślać się zęba przyległego, a osadzony jest w alweoli skośnie. Jest on z boku mocno spłaszczony, a przytém wydrążony. Substancją zębową (dentynę) ma rzadką, ale polewę należyte rozwinięta. Rynienkowate zagłębienie na obu dwu płaszczyznach bocznych, nadaje przecięciu kształt prawie klapkowaty, tak że się do jarzmowatego zbliża. Na przedniej i tylnej spłaszczonej stronie polewą okrytej korony, brzegi są sieczne, a ząb ma w ogólności wiele podobieństwa z zębem u *Megalosaurus*, brzegi tylko nie są piłkowane. Drugi kończaty ząb jest prościejszy i jedynie tam nieco zgięty, gdzie się polewa zaczyna. Pod polewą ciało zęba jest gęściejsze i ząb nie jest z boków spłaszczony, nie ma także żadnych rynienkowatości na bokach. Ostatni z tych zębów pochodzi z dolnej szczęki gat. *Zeuglodon cetoides*.

W towarzystwie tych szczątków znajdowały się wykopane z ziemi kości słuchowe i zęby wielorybnych zwierząt ssących, mających podobieństwo z kaszelotem wielkogłowym i wielorybem pokrewnym (*Balœna affinis*); niemało kręgów jakiegoś delfina, zęby prawdziwego krokodyla i inne ze ściśnionemi siecznymi krawędziami bocznymi, podobne do tych, które prof. Owen w swojej Odontografii przedpotopowych jaszczurek przypisuje rodz. *Madrimosaurus* von Meyer, zdającemu się mieć wiele podobieństwa z krokodylem długonosym (*Crocodylus macrorhynchus*) Harlana. (1)

Tamże znalazłem zęby wielkiego gatunku piły (*Pristis*) nieco różniące się od zębów u *P. acutidens* Agassiz, a które *P. Agassizi* nazwałem. Przewaga kopalnych wielorybnych zwierząt i jaszczurkowatych płazów, jak również i tych minerałów które formacja eoceńska z kredową ma wspólne, w peryodzie tym jest zastanowienia godna. Te oceńskie pokłady są najniższe w całym uszeregowaniu, i zawierają w sobie muszle: *Gryphaea mutabilis* Morton i *Terebratula Harlani* Morton, które się również w formacyi kredowej natrafiają, gdy warstwy cechują

(1) Porówn. *Medical and physical Researches*, p. 380 i *Journal of the Academy of nat. sc* Vol. IV, p. 15. 1824.

gatunki do eoceńskiej formacji należące, jakoto: *Cardita planicosta* Sowerby, *Scutella Lyelli* Conrad, *Pecten membranatus* Morton i inne.

Gdy Maestrychski ostrzegacz (*Monitor*) odkryty został, naturaliści długo nie mogli się zgodzić na miejsce dla niego w rzędzie organicznych jestestw, dopóki nie rozstrzygnął sprawy Camper, który rozpoznał w nim jaszczurkowego płaza blizkiego ostrzegaczów, a którego rodzaj wtedy Conybeare *Mosasaurus* nazwał. Za zdaniem Campera poszedł i Cuvier (1). Odtąd przybywały temu rodzajowi kopalnych jaszczurkowych płazów, inne gatunki, lecz pozostawała wątpliwość czy niektóre z nich nie są raczej ssąciami zwierzętami. Cuvier ustanowił w tym względzie następujące prawidło, które dotąd jeszcze ma całkowitą wartość: „Gdy mamy głowę, a osobliwie zęby i szereg zwierzęcia, znaczy to tyleż, cobyśmy i całe zwierzę mieli, przynajmniej we względzie cech istotnych. Jeśli poznam dokładnie głowę, już mi nietrudno będzie rozpoznać i oznaczyć kręgi.”

Ale co do rodzajów *Megalosaurus* i *Geosaurus*, prawidło to ulega wyjątkowi. O tamtym mówi v. Meyer „że lubo jego zęby wiele mają podobieństwa z zębami rodz. *Geosaurus*, jednak reszta skieletu mocno się różni. Niektóre ze znalezionych dotąd kości przypominają krokodyla, inne ostrzegacza. Paszcza zdaje się że była prostą i długą; dotąd znalezione kręgi mają szerokość o $\frac{1}{3}$ większą od długości, a w środku są przewięziste jak u *Streptospondylus*. Obiedwie powierzchnie są równe (2)”. Wprawdzie u dziś żyjących krokodyłów powierzchnie kręgów są z jednej strony wypukłe, z drugiej wklęsłe, przecież u wielu kopalnych obiedwie są wklęsłe albo równe, zatem kręgi u nich są takie jak u zwierząt ssących wielorybnych. U kopalnego krokodyla z Caen i innego w Hawrze znalezione, kręgi są z małymi wyjątkami na obu dwu końcach słabo wklęsnięte (3). U *Megalosaurus* są również obiedwie słabo wklęsnięte: u *Iguanodon* jedna jest prawie równa, druga nieco wciśnięta; u *Geosaurus* obiedwie słabo wklęsnięte; u *Streptospondylus* kręgi mają tę osobliwość, że przednia ich powierzchnia jest wypukła, tylna wklęsła, jestto więc naodwrot ukształcenie krokodyłów, a takie jak u wszystkich zwierząt ssących lądowych (4). Na tej osobliwości w budowie zasadzony został rodzaj *Streptospondylus*. I Cuvier mówi: „Są też kręgi wielkich płazów; tak podobne kręgom niektórych delfinów, że łatwo tém podobieństwem uwiesić się można. Należy miejsce ich wykopywania dokładnie badać i patrzeć czy nie ma pod tym względem różnicy pomiędzy kośćmi wielorybnych a płazów” (5).

Po tych niemałego znaczenia w badaniu kopalnych szczątków uwagach, przechodzi autor do szczegółowego wyjaśnienia różnicy pomiędzy gat. *Zeuglodon* (*Basilosaurus*) *cetoides* i nowo utworzonym przez siebie *Zeuglodon serratus*, a różnica ta nietylko w kształcie tak trzonowych

(1) Ossemens fossiles. T. V p. 314.

(2) On the structure of fossil Saurians, in *Charlesworth's Mag. of nat. hist.* vol. I p. 341.

(3) Patrz *Mantell*, *Geology of South East of England*, p. 263.

(4) Von Meyer l. s. c.

(5) W liście do G. *Mantell'a*; *Geology of South East of England*, p. 282.

jako i kończatych zębów zachodzi, o czém już wyżej mówiliśmy, ale jeszcze i w ukształceniu szczęk które są dłuższe i ostrzejsze u *Zeug. serratus*. Nadto kończate zęby u tego gatunku są wprawione skośnie, a wewnętrzna wyskakująca blaszka ich alweolów, odstaje od nich. Nawet wydrążenie kończatego zęba zdaje się mu być charakterystyczném w porównaniu z drugim gatunkiem.

Zpośród rozmaitych nazw *Basilosaurus*, *Phocodon*, *Squalodon*, *Zeuglodon* i *Dorudon*, które dla tych szczątków utworzono, zwraca im przez Harlana nadaną *Basilosaurus*, wprawdzie niezupełnie odpowiednią miejscu jakie rodzaj w uszeregowaniu istot organicznych zajmuje, ale pierwszeństwo za sobą mającą, gdy zarzut jakiby jój uczynić można, ciąży na wiele innych, powszechnie przyjętych nazwisk, jak np. i Cuvier dla jednego rodzaju ryb przyjął *Saurus*. Tym sposobem, mielibyśmy w rodzaju *Basilosaurus* Harlan, trzy teraz znane gatunki:

1. *Basilosaurus cetoides* Owen.
2. *B. serratus* Gibbes.
3. *B. squalodon* Grateloup.

Do téj pracy autora dołączona jest tablica figur, przedstawiających czaszkę i zęby z różnych stron i w przecięciu, tudzież na końcu objaśnienie tych figur, lubo i w texcie często się odnosi do nich. (*Id.* nr. 165, 166 z tab. fig.).

* Mantell rozpoznał nowy gatunek kopalny olbrzymiego jaszczurkowatego płaza, *Pelorosaurus*, w wealdzkiej górze przy Tilgate. Przednie ramię, jedyny jój szczątek, ma $4\frac{1}{2}$ stóp długości, a 32 cale obwodu. Jeszcze nie można z pewnością oznaczyć, z jakim ze znajomych jaszczurkowatym płazem ten jest najbliżej spowinowacony. Przednie ramię w porównaniu z gawialem, wskazuje długość ciała na stóp 81, a na 20 stóp obwód brzucha. (*T.* 1851 nr. 312 z *Ann. nat. hist.* 1850, VI, 128).

* W piaskowcu pstrym koło Bernburga odkryły się nowe i bardzo piękne czaszki z rodz. *Labyrinthodon*. Sack okazywał je zjednoczeniu naturalistów w Hali. Jedna, we dwóch znaleziona okazach, należy do rodzaju *Mastodonsaurus* nieznanego jeszcze dotąd w pstrym piaskowcu Niemiec północnych, a mająca wielkie podobieństwo do téj, którą Quenstedt opisuje pod nazw. *M. robustus*, z kejpru wirtemberskiego, lubo przy dokładniejszym rozpatrzeniu dają się spostrzegać gatunkowe różnice. Druga czaszka będzie należała do *Capitosaurus*, i już dawniej w Bernburgu znaleziona, zachowuje się w zbiorze Brauna (*Eod.* z *Jahresb. d. naturw. Vereins in Halle.* III. 38).

* *Jeziro kajmanów w Sindh.* To osobliwe jeziro leży około 8 mil (Miles) od Korradży i godne jest odwiedzenia ze strony miłośników potworności i straszności. Przejechawszy piaszczystą nieżyzną krainę, po której tu i owdzie rozrzucone sitowiska widzieć się dają, przybywamy do lasu powidlnikowego (tamaryndowego), w którym kajmany mieszkają. Kto nie został już uprzedzony, że je tam widzieć może, aniby mu przyśnić się mogło co obejmuje ten zielony las ze swoim bagienkiem, przez którego środek wprawny skakacz jednym zamachem przesadzić może. „Tu kałuża, rzekłem pogardliwie do mojego przewodnika, ale gdzie są kajmany?” Zarazem postąpiłem śmiało naprzód, mniema-

jąc że zażartowano ze mnie. Ale: znagła słyszę tuż przy sobie chrząpliwe ryczenie, tak iż z wielkim przestachem odskoczyłem od miejsca. Prawie nadeptałem na młodego kajmana około 3 stóp długiego, a którego ukąszenie nie byłoby pewnie przyjemném. Wnet objawia się gieniusz miejsca w postaci starego fakira, do czarnoksiężnika podobny, i gdy mu parę rupij w rękę wcisnąłem, zaczyna długą laską wywoływać swe duchy. Gdy zawołał parę razy *Ao! Ao!* (wychodźcie! wychodźcie!), woda nagle żywą być zaczęła. Najmniej sześćdziesiąt potężnych kajmanów, niektóre do 15 stóp długie, wyszedłszy na jaw cisnęły się do brzegu. Scena przypominała mi bajki o czarownicach. Samotny las, otchłań z szarawemi potworami, schronienie fakira pod ścianą góry, sam chudy, długi, ponuro spoglądający fakir, a obok mnie do rozbójnika podobny Beluczy, wszystko to fantastyczny przedstawiło obraz. Nawet siła, jaką nasz zaklinaacz duchów na swoje straszidła wywierał, była zadziwiająca. Gdy skłonił swoją laską, one się zatrzymały, bo też już istotnie za blisko nas przystąpiły, a gdy zawołał *Bedszyto* (leżeć!), pokładły się płasko na brzuchach, ponawracawszy z pokorą ku niemu rozdziawione szeroko i pełne oczekiwania paszcze. Rzucił im kilka wielkich kawałów mięsa, o które zajadły z sobą walcząc w szmaty je porozdzierały. Pocięsznie było patrzeć, jakie uszanowanie młodsze kajmany miały dla starszych i większych. Jeden, około 10 stóp długi, biedak kaczkował od wody ku miejscu, na które żywność rzucano; aż wtém postrzega tuż za sobą innego daleko większego i natychmiast ustępuje mu z drogi; pomieszanie w oczach jego wydało że się zląkł, ażeby z pół łokcia ogona nie stracić, gdyby się był szybko nie usunął z miejsca.

W odległości około kwadransa drogi od tego stawu pokazano mi drugi, napelniony wodą tak gorącą, że ledwie można było bez bólu rękę w nią zanurzyć, a jednak i tę młode kajmany zamieszkiwały. Fakir mi mówił, że bardzo wiele tych zwierząt jest w rzece o 15 do 20 mil (Miles) na zachód płynącej. Król otchłani, potężny okaz, któremu fakir nazwisko *Mor saheb* (Lord Mor) nadał, nie przyszedł na zawołanie, tylko jak kloce w wodzie leżał. Wziąłbym go był za pień obalonego drzewa, gdyby jego małe oczy nie błyszczały tak silnie, iż zdawało się że iskry sypią. Fakir mówił, że ten jest bardzo złośliwy i niebezpieczny, a najmniej 20 stóp długi. (*T. 1850, nr. 7 z The Zoologist, nov. 1849*).

* P. H. Goose, *Sposób życia leguanowatej jaszczurki Cyclura lophoma*. „Zwierzę o którym tu mówię, zdaje się nie być jeszcze naturalistom znane. *Cyclura lophoma* mihi (λοφος, grzebień, ωμος, bark). Tarcze na paszczy poprzedzielane drobnemi łuskami; paszcza ze 4 wielokątnemi, wypukłemi, nieszypułkowatemi blachami na każdej stronie; przednie i tylne bardzo wielkie, dwie między tamtymi leżące mniejsze, krótkie ale szerokie. Ogólne tarcze głowowe wielkości niemierzytelnnej; dosyć wielka na środku głowy szczeka dolna o jednym, z tyłu o dwóch rzędach blach szypułkowatych wielkich, romboidalnych; między temi blachami a innymi na wargach, nie środkują żadne. Grzbietowy grzebień wysoki, ponad barkami ciągnie się nieprzerwanie, ponad łędźwiami przerywany.

Długość około 3 stopy, z czego ogon 21 cali zajmuje. Kolor zwierzęcia w stanie suchym zielonawo-szary, z niewyraźnymi czarniawymi zlewającymi się z sobą plamami, tak iż z tego niemierzytelna sięć powstaje.

Ten ze wszelką pewnością odróżniony gatunek daje się rozpoznać już z liczby, kształtu i ułożenia tarczy na paszczy, ale nade wszystko z tego, że grzebień ponad barkami ma nieprzerywany. Sam nie znalazłem nigdy na Jamaice tego zwierzęcia żywego; okaz jego znajdujący się dziś w muzeum brytańskim, a podług którego niniejsze opisanie skreślone zostało, otrzymałem od przyjaciela mojego Ryszarda Hill, Esq. w Spanish-town. Jemu także winien jestem wszystkie wiadomości, które mam o sposobie życia tego jaszczurkowego płaza i tu udzielam.

Zwierzę uchodzi za zupełnie ziolożerne, i znajduje się na niektórych tylko miejscach wyspy. Głównym siedliskiem jego jest niskie pasmo gór wapieniowych, ciągnące się wzdłuż brzegu od Kingston Harbour do wyspy Koziej (Goat-Island) i dalej aż do Vere. Znajduje się także nierzadko w dolinie pomiędzy temi nadbrzeżnymi górami, a innemi środkowej części kraju, gdzie się ich często po kilka w drzewach wypróchniałych zachodzi.

Podczas karczowania i wypalania roślinności na jednej sawannie pomiędzy Spanish-town a Passage-fort, robotnicy odkryli w marcu 1844 w wypróchniałym pniu fałszywego cedru (*Guazuma ulmifolia*) pięć silnych okazów tój jaszczurki. Jeden, który nie miał być największym, 45 cali długości dochodził. Był on nadzwyczajnie mięsisty i tłusty. Ogólną barwę ciała i nóg miał czerwono-brunatną z zieloną, miejscami w sinosć przechodzącą. Na barkach dawały się postrzegać ukośne, ciemno-oliwkowe pręgi, a od grzbietowego grzebienia aż do brzucha rozciągały się (po każdej stronie?) trzy szerokie, ciemniejsze, trójkątne miejsca, strzępiastemi, ciemno-oliwkowymi plamami oznaczone. Ogon był naprzemian w bardzo mierzytelnych odstępach jaśniejszy i ciemniejszy oliwkowy. Kolor zębiastoci grzbietowego grzebienia i nóg, widoczniej niż inne części ciała w błękitnawo-zielone przechodził.

Soczyste rośliny, na wyżej wzmiankowanych górach wapienia rosnące, służą jój na pożywienie. Gór tych wszakże roślinność jest nader ubogą; nie ma nic prócz aromatycznych i żywicowych drzew, i ziół balsamicznych. W nizinach, gdzie się nagromadził czarnoziem, mogą się tu i owdzie soczyste rośliny i korzenie znaleźć. Dlatego *Cyclura* w tym jedynie zamieszkuje okręg; znajduwane tu i owdzie na sawanach uważać należy tylko za przypadkowo zabłąkane w doliny.

Worek pod szyją, który jakby łałok u wołu pod gardłem wisi, może zwierzę nadać (1); ale w jakich to okolicznościach czyni, nie jest wiadomo. Nadęty worek musi zwierzęciu podczas pływania wielce być użytecznym, o ile ono może udawać się za pożywieniem na wodę. Rozdrażnione przybiera groźną postawę, i wlepią w nieprzyjaciela wzrok nadzwyczajnie złośliwy. Wtedy worek nadyma się, grzbietowy grzebień

(1) P. Hill mógł się w tém omylić. Wnosząc z analogii rodz. *Anolis* i *Dactylon*, worek pod gardłem legwanów może się rozciągać, ale nie nadymać.

P. H. Goose.

powstaje, a szeroko otworzona paszcza wyszczerza osobliwie rozpołożone, białe, z nacinanemi brzegami zęby, które przypominają te organa u olbrzymiego kopalnego *Iguanodon*. Zęby tych dwu stworzeń przedstawiają tak wiele podobieństwa, że nie można wątpić o ich przyrodzonym powinowactwie. U obudwu zastosowane są do ciężca roślinnych pokarmów.

Cyclura broniąc się umie nader zręcznie użyć długiego i nader giętkiego ogona. Strzępiastosc na górnym jego brzegu, przeciągnięta przez ciało nieprzyjaciela, działa na nie jak piła. Wtedy kręci się zwierzę i bije nagle ogonem to w tę, to w ową stronę. Krokodyl broniący się, ten sam wykonywa obrót, i nie ma żadnej wątpliwości, że piłkowały grzebień na ogonie wielkich gatunków jaszczurek, przeznaczony jest do słuzenia zwierzęciu za oręż. Psy, które na legwana napadną, bywają czasem nielitościwie poszarpane.

Przy rzekach *Cyclura* nigdy się nie znajduje, nie jest przeto prawdopodobnym, ażeby w wodzie żywnosci szukała.

Po przybyciu mojem do Anglii, odebrałem od p. Hill następujące jeszcze, na kilka moich zapytań w przedmiocie tej jaszczurki, odpowiedzi.

Ze to zwierzę na swoję obronę używa ogona, zapewnił mi o tém murzyni, którzy byli obecni gdy pomieniony 45 cali długi okaz badałem. Ostrzegali mnie oni, ażebym się niebardzo do zwierzęcia przybliżał, bo postrzegli że się kręci i chce bić ogonem. Zdradliwe wejrzonic, które zwierzę przy tej okolicznosci przedstawiało, wynikało z osobliwszego wykręcania głowy, jakoby słuchało i czatowało. Murzyni mniemali, że w tém położeniu trzymało ogon, ażeby mnie nim uderzyć; psy mają zazwyczaj nogi straszliwie poszarpane, tak że ciało jest jakby odpiłowane od kości. Mniemanie jakoby zwierzę łatak swój nadymało, ztąd powziąłem, że widziałem dwa bardzo wielkie legwany z Kuby, które ten worek już rozciągały, już kurczyły. Skóra tych okazów wisiąca wolno na nich, jak gdyby będąc tłustemi, zchudły potem.

Na początku września 1844 r. postrzegł jeden z moich przyjaciół zwierzę, grzejące się na pniu wypróchniałego jadoszynu (*Prosopis juliflora*), które mu wielką jaszczurką się być zdało. Smagnął ku niemu śpicróżgą i w mgnieniu oka zwierzę ukryło się w wydrążeniu drzewa. Nakazano ażeby go nie straszyć, i oswoiło się zwolna, a gdy je mój przyjaciel znowu potem ujrzał, całą jego długość na 10—11 cali ocenił. W rok potem wyszło znowu na drzewo, grzać się na słońcu. Nie widziano nigdy, ażeby chwytalo owady; ale dnia jednego gdy po mocnej ulewie słońce zajaśniało, ujrano że jaszczurka je rzechlin (*Petiveria*), w odległości 30 stóp od jadoszynu rosnący. Sunęła się ona zwolna naprzód, narwała pełną paszczę ziela i połknęła je nie żując. Można było potem wyraźnie widziéć ukąszenia na liściach rośliny. Skoro ta *Cyclura* postrzegła że ją człowiek ma na oku, posunęła się szybszemi skokami po drzewie i znikła w jego wydrążeniu, do którego wiódł otwór na stopę od ziemi odległy.

Pewny tępego umysłu chłopiec, mniemając że *Cyclura* jest dla kurcząt niebezpieczną, zastrzelił ten okaz w nieobecności mojego przyjaciela, a we dwie lub trzy godziny później zabił na tém samym drzewie

drugi, o którego znajdowaniu się tam nikt nie wiedział. Przyjaciel mój doszedł teraz dlaczego jedno zwierzę bywa brązowo-zielone i większe, drugie czarniawe i mniejsze. Okaz większy był niezawodnie samcem, mniejszy samicą (1).

Pierwszy miał 22—24 cali długi, ale ogon z postępem wieku stawał się stosunkowo krótszy. Przy anatomizowaniu ciała, znaleźliśmy żołądek pełen liści rzechliu, a niektóre z nich (o godz. 9 z rana) całkiem jeszcze świeże były. Trup dla oskieletowania kładziony był w gniazda 3 lub 4 gat. mrówek, ale żadne go nie tknęły. Może tego przyczyną był pokarm zwierzęcia, bo rzechlin ma bardzo przenikliwy czosnku zapach. (T. 1850, nr. 188 z *Ann. & Mag. of nat. hist. July 1849*).

* Dr. Guyon, naczelny lekarz armii w Algierze, uwiadomił Akad. um. paryżką (pod d. 17 lutego), że więcej niż od trzech lat uważał, iż mały jaszczurkowaty płaz z fam. *Scincidae*, nazwany *Gongylus ocellatus*, podobnie jak zwyczajny czołg (*Seps chalcides* Bonap) żywy płód wydaje. (T. 1851 nr. 292 z *Gaz. méd. de Paris* nr. 8).

* P. Edw. Newman jeszcze przytacza w swoim dzienniku (*the Zoologist, May 1850*) doniesienie o morskim wężu, które z amerykańskiego pisma peryodycznego *the christian Mercury* wyjął. Brzmi ono jak następuje: „Beaufort 15 marca 1850. Doniesienie kap. Bankenship i jego passażerów, przez wielu naocznych świadków sprawdzoném zostało. Ten straszliwy potwór morski znowu dziś w naszych wodach był widziany. Gdy go z parostatku uważano, znajdował się w Port Royal Sound, 7—8 mil (Miles) od miasta. Ztąd powędrował z wolna w Broad River, i dziś widziany był w White Branch River, odnodze od tamtej. Mówią, że idzie coraz wyżej i mają nadzieję że go złapią może. Opisują że ma długości 120—150 stóp i odpowiednią grubość; z głowy podobny do węża i nawet podczas płynienia zawsze ją 5—6 stóp nad wodę wznosi. W odległości około 10 stóp od głowy znajduje się guz jakby wielka głowa świni, a jak tylko można było zwierzę z wody wysunięte widać, na całej jego długości ciągnął się szereg guzów. Ścigano potwór na kilka mil daleko w górę rzeki, przyczem ścigający mieli go nieraz dosyć blisko siebie. Strzelono za nim z flinty, co zdaje się przstraszyło go, tak, że zanurzył się, gdy przystąpiono bliżej” (2). P. Newman pyta się na końcu: czy to jest żart, czy to jest *Brachioptilon Hamiltoni*? (T. 1850, nr. 188).

* Według p. A. Ch. Smith (*Zoologist, sept. 1851*) w Norwegii mieszkańcy brzegów, marynarze i oficerowie od marynarki wcale nie

(1) Zdaje się owszem że przeciwnie, bo u naszych jaszczurek samica zawsze jest znacznie większa od swojego samca. A. W.

(2) Podobne temu podania od początku wieku naszego przez dzienniki ogłaszane, zawsze były przyjmowane od naturalistów z pewną nieufnością, skutkiem której prawie nie powtarzano ich w pismach naukowych. Od dziś może przybiorą one inną barwę, skoro się stawią przed oczy uczonych lupy z indywidualnym zabitego 13 stycznia b. r. ze statku Monongahela, usiłowaniami p. Karola Seabury, dowodzącym tym statkiem. Doniesienie p. Seabury, zdające się mieć cechę wiarygodności, ogłoszone najprzód w amerykańskiej gazecie *New York tribune*, czytaliśmy wzięte z niej, w nr. 73 (13 marca) b. r. gazety *L'Indépendance Belge*. A. W.

wątpią o istnieniu węża morskiego, ale p. Smith żadnego między niemi nie znalazł, któryby mówił że sam to zwierzę widział; wszakże wszyscy dziwią się jak można wątpić o istnieniu zwierzęcia, które na ich brzegu i na ich Fjordach tak często widziéć się daje. (T. 1851, nr. 395).

* Dr. Klein naczelny lekarz w Sztutgarcie, pracował nad osteologią i myologią żab, i zbadawszy pod tym względem tak niektóre tutejsze gatunki, jako i wielkością słynące amerykańskie, wypadek swoich prac ogłasza w wirtemburskich rocznikach nauk przyr. (6 Jahrg. 1849). Dolna powieka u tych zwierząt ruchomsza jest od górnej; silny muszkuł do władania nią przeznaczony, wspiera zarazem i gałkę oczną w jéj położeniu. Powieka górna albo nie jest wcale, albo tylko mało ruchoma. Prócz czterech prostych muszkułów oka, osobny służy do pociągania w tył gałki. Jestto im wspólne z największą liczbą płazów. Grzbietoród (*Pipa*) odznacza się małością gałki, przy której nie ma powiek, lecz tylko gęsta tkanka komórkowata otacza oko i przytwierdza je do części sąsiednich; jéj muszkuły są bardzo mnogie. Muszkuły żucia, które służy tylko do obejmowania pokarmu, ale nigdy do żucia, są silne; osobny od głowy się ciągnący muszkuł, przeznaczony jest do odwodzenia dolnej szczęki, jak u jaszczurkowatych. Muszkuły kości językowej i języka dosyć są równe u rodzajów u których język jest ruchomy; osobliwość zachodzi tam gdzie znika gnyko-językowy (*hyoglossus*) który służy do odwrócenia w tył założonego języka. U rzekotek (*Hyla*) poruszenie to niepodobnem jest do wykonania. Muszkuły piersiowo-podjęzykowy i prosty brzucha (*sternohyoideus et rectus abdominis*), od mostka i brzucha do kości podjęzykowej idące, wspierają działanie gnyko-językowego, odwodząc kość językową. U grzbietoroda, który nie ma języka, nie ma i muszkułów do poruszania go służących. U wszystkich tych zwierząt połączenie muszkularnych wiązek pod sercem, tworzy gatunek przepony, ale u grzbietoroda są jeszcze osobne muszkuły które się wiążą z wątrobą i płucami. Przyrząd muszkułów grzbietowych, dla małej ruchliwości stosu kręgowego, jest prosty, ale osobny zachodzi ruch pomiędzy kręgiem ostatnim a kośćmi bioder; te ostatnie mogą się odłożyć na wyrostkach kręga, a przez to sprawić osobny kąć czyli zgięcie na grzbiecie, przy którym końce kości biodrowych występują; położenie przez które się uskutecznia w długich tylnych odnózkach skok lub pływanie, będące właściwie tylko ciągle ponawianemi skokami w wodzie. Ale u grzbietoroda silne i bez środkowania muszkułów złączenie ostatniego kręgu z kością biodrową, takiej postawy nie dopuszcza, a tém samém i zdolność do skakania odejmuje. Muszkuły do poruszania łopatki są pomnożone, co jest potrzebném do podpierania się przy rozmaitych poruszeniach nogami przedniemi w czasie skakania i pływania. Jest téż osobny muszkuł do zbliżania z sobą ruchomych części łopatek. Ponieważ łopatka ze swoją większą chrząstkowatą częścią prawie poprzecznie na grzbiecie leży, a żeber nie ma, wszystkie przeto muszkuły do pociągania ramienia służące, wychodzą od mostka i od przedniej części barkowego zrebu, to jest od obojczyka i kości kruczozióbój. Liczba muszkułów należących do łokcia i pokrętu, także jest pomnożona, ponieważ w czasie skakania i pływania, przednie członki ciała za podporę służą. U rzekotek, jako na drzewa łażą-

cych, pierwszy palec ma odmienną postawę; nakształt palca wielkiego zwrócony jest na bok i nieco w tył. Oprócz muszkułów do władania palcami, są jeszcze u wszystkich osobne, prostujące i zginające każdą kostkę śródreza. U wszystkich długa głowa u wyciągacza goleni długiego (m. extensor cruris longus) odejmuje możność zupełnego wyprostowania uda; nawet i przy wyciągnięciu nóg tylnych, przy czém one tak długimi się okazują, ud zgięty jest zawsze pod mniejszym lub większym kątem. U grzbietoroda, przyczepienie muszkułów brzusznych do uda, jeszcze bardziej to wyprostowanie utrudza. Nie ma pośladków, za to muszkuły pośladkowe (glutaei) przyczepione u góry do zrostu (symphysis), rozciągnięte są po całym udzie na dół, jako wyciągacze jego. Oprócz muszkułów do zginania goleni (flexores adductores cruris), które są takie jak u innych zwierząt, jest jeszcze muszkuł osobny, kulszo-goleniowy (ischiotibialis), zostający w związku ze skórą udową, a u ropuch i ze skórą brzuszną. Muszkuły okrywające przednią część goleni, przodem przyczepione są do uda. I u tylnych odnożów znajdują się oddzielne muszkuły do zginania kostek śródnoża, u grzbietoroda wszystkich. (T. 1850, nr. 7).

* W. Turner pisze w *Gardener Chronicle*: „Otworzywszy zeszlęj soboty o 7 godz. rano mój inspekt na ogórki, ujrzałem że wielka ropucha którą w nim chowam, jakby konająca na grudce ziemi leży. Oczy miała zamrużone; co parę sekund otwierała paszczę, za każdym jęj otwarciem konwulsyjnie poruszając tułów, przy czém prawą nogę przednią trzymała na głowie. Widziałem, że coś w paszczę wciągała, i w téjże chwili otworzyło się jęj prawe oko. Potém wzdęła się lewa strona tułowu, gdy prawa zapadła, a ropucha lewą nogę przednią przesunęła po głowie, z za oka do paszczy. Tu zdawało się, że blisko przez sekundę zatrzymała nogę w paszczy, gdy zaś ją wyjęła, postrzegłem wyraźnie jak trzy płatki skóry, które z palców były zwleczone, wytykały się z paszczy niżej w nią weszły. Gdy ropucha przeciągnęła nogę ponad zamkniętém prawém okiem, to otworzyło się. U lewój nogi wisiato kilka zadziorów skóry, lecz które za poruszeniem się parę razy szczęki dolnej znikły, a w minutę później także i z warg skóra zeszała. Ropucha zjadła swoje własną skórę i siedziała w nowój jakby lakierowanój. W godzinę odzyskała swoje brunatną i bez połysku barwę. Do zwleczenia skóry z głowy potrzebowała kilku minut i zdawało mi się, że za każdym otwarciem paszczy pociągnęła skórę naprzód a nadeła stronę ciała liniejącą.”

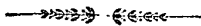
W przedmiocie tegoż J. S. Henslow podał do *Annals & Mag. of nat. hist. July 1850*, następującą uwagę: „W V tomie Roczników W. Turner opisuje linienie ropuchy tylko co do jednego punktu inaczéj niż Bell w swoich *British Reptiles*. Bell mówi że zwierzę zwinąwszy przedniemi łapami naskórek w kształt kuli, zatacza tę kulę do paszczy i na raz połyka. Uważałem dziś z rana liniejącą wielką ropuchę z Jersey. Postrzegłszy że część grzbietu zwierzęcia staje się lśkniącą i wilgotną, i że ono przednią łapę podnosi jakby się po grzbiecie drapać chciało, zmiarkowałem, że się do zrzucenia skóry zabiera, i pilnie je mieć na oku zacząłem. Ropucha co parę sekund szeroko otwierała paszczę, a zarazem dopomagała odstawanemu naskórkowi wyciąganiem przedniój nogi i skrzywaniem ciała, prawie jak czynimy zdejmując z siebie dziany kaftanik.

Już wielka część naskórka znikła na tyle ciała, a ja ujrzałem jak w jednym kącie paszczy posuwały się zwolna resztki ku gardłu. W ten sposób połknięty został naskórek, skoro się odłączył. Ogołoconą była cała lewa strona, z wyjątkiem małego płotka przy palcach, a który, nie uważałem czy się do paszczy dostał. Potem wyliniała całkowicie prawa noga przednia, a naskórek z niej ukrył się zwolna w prawym kącie paszczy, jakby ktoś długi pasek makaronu połknął nie rozrywając go. Ażeby zwierzę łapami pocierało albo z naskórka tworzyło kulę dla jednorazowego połknięcia jej, tego nie widziałem. Nie sędzę też ażeby ropuchy angielskie przy linieniu zachowywały się inaczéj jak jersajska." (*Ib. nr. 207*).

* Dziennik *Zoologist* z maja 1850, zamieścił następującą z Richardsona *Borderers table Book III. 92*, wiadomość: „Przy wyłamywaniu muru w Bamborough (Northumberland) w r. 1809, znaleziono żywą ropuchę w środku muru zamkniętą. Stawiając ten mur przed 16 laty, mularz nazwiskiem Jerzy Wilson, powodowany lekkomyślnością, wsadził tę ropuchę w szczupłą jamkę pomiędzy ceglami i jak najściślej wapnem ją zasmarował. Znaleziona, była nieco odrętwiała, wkrótce jednak ożyła i poskoczyła żwawo ku stosowi kamieni w którym znikła”. (*Ib. nr. 188*).

* Kölliker w swoich listach z podróży (*Zeitschr. f. wiss. Zool. III, Bd. 1, Hft. 88*) mówi o olbrzymiej salamandrze, którą oglądał w zoologicznym ogrodzie w Amsterdamie, że to jest rzeczywiście zdumiewające zwierzę, prawdziwa okropność. Podobna zewnętrznie do traszki (*Triton*), czarniawa, krostowata, z głową szeroką i płaską, przypomina ją także ciężkimi ruchami i głupowatym wyrazem swoich drobnych oczu. Na 3 stopy, jeśli dobrze przypominam sobie, długie zwierzę, nie jest, jak wiadomo, salamandrą, lecz przybliża się bardziej do traszek, lubo ani skrzeli, ani skrzelowego otworu nie ma. Van der Hoeven w Lejdzie, który je *Cryptobranchus* nazwał, pokazywał nam w muzeum lejdejskiem skielet indywiduum małego, na którym łatwo było przekonać się, że czaszka jest zupełnie jak w rodz. *Siredon* i *Menopoma*.” (*Id. nr. 292*).

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

118. Jana Długosza kanonika katedr. krak. *Banderia Prutenorum* tudzież *Insignia seu Clenodia regni Poloniae* (.) Wydał Józef Muczkowski prof. i bibl. uniw. Jagiell. Z 16 tablicami. 8ka. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. str. 75. Złp. 7.

119. Wiadomość o rękopismach Historji Długosza, jego *Banderia Prutenorum*, tudzież *Insignia seu Clenodia regni Poloniae* (.) Wydał Józef Muczkowski prof. i bibl. uniw. Jagiell. Z 17 tablicami. 8ka. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. Złp. 10.

120. Wiadomość o założeniu uniwersytetu i kolegium Władysławsko-Nowodworskiego w Krakowie (.) Napisał Józef Muczkowski prof. i bibl. uniw. Jagiell. Dodana „Wspominka o Mateuszu z Krakowa. 8ka. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. Karta 1. i str. 164. (Z podobizną). Złp. 6 gr. 20.

1852.

36. Biała Kamelia (,) obrazek dramatyczny (.) Naśladowanie z francuzkiego Andrzeja Listowskiego. Przedstawiona piérwszy raz w teatrze Rozmaitości dnia 22 Lutego r. b. 16ka. Warszawa. 1852. Druk Józefa Unger. Str. 54. Złp. 3.

37. Broszurki P*** Z(acharkiewicza). Kilka stronnic poezyj napisanych przez hultaja (,) poświęconych podobnemuż hultajowi, a wydanych przez barona von Szuchter-Muchter. (Broszura piérwsza). 12ka. Warszawa. 1852. Nakład autora, druk S. Orgelbranda. Str. 59. (Z portretem autora.) Złp. 3 gr. 10.

38. Jeografia w obrazach i powieściach moralnych, ozdobiona 8 rycinami. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. II i 174. Złp. 8.

39. Królodworski rękopis. Zbiór staroczeskich bohaterzkich i lirycznych śpiewów, przełożonych przez Lucjana Siemieńskiego. Edycja Wacława Hanki. 12ka. Praga. 1852. Kosztem wydawcy, druk i papier synów Bogumiła Haase. Str. 78. (z podobizną).

40. Krótki wykład katolickiego katechizmu. Przez księdza Józefa Zelwowieza. Z godłem:

„A te są napisane, abyście wierzyli, że Jezus jest Chrystus Syn Boży, a iżbyście wierząc, żywot mieli w imię Jego.”

W ewangelii S. Jana w rozdz. XX, w. 31.

16ka. Wilno. 1852. Nakład autora. Druk J. Zawadzkiego. Str. VIII i 156. Złp. 1 gr. 20.

41. *Le chant du cygne*. Par Henri Stecki (de Górka). 8ka. Warszawa, 1852. Druk Strąbskiego. Kart 3 i str. 70. Złp. 6 gr. 20.

42. Nauka osuszania gruntów, wyjęta z dzieł Albrechta Thaer, z niemieckiego na język polski przełożona. Z 4 tablicami rycin. 12ka. Warszawa. 1852. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 162. Złp. 6.

43. O przedawnieniu według dawnych praw polskich (.) Napisał Józef Michniewski. 8ka. Kraków, 1852. W drukarni uniwersyteckiej. Str. 58.

44. Pielgrzym w Dobromilu czyli nauki wiejskie z dodaniem powieści. Ozdobione 16 rycinami. Wydanie Maurycego Orgelbranda podług 1ej edycyi warszawskiej. 16ka. Warszawa. 1852. Nakładem wydawcy, druk Orgelbranda. Str. IV i 412. Złp. 13 gr. 10.

45. Podania Litewskie przez Ignacego Chodźkę. Autora Obrazów Litewskich. Serya pierwsza. 12ka. Wilno. 1852. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 237. (Z portretem autora). Złp. 8.

46. Trzech silnych ludzi (.) przez Aleksandra Dumas. Z francuzkiego. 12ka. 2 tomy. Warszawa. 1852. Nakład M. Neudinga, druk Kaczanowskiego. Tom I str. 240, II 228. Złp. 6 gr. 20.

47. Wiązanie Bronia, powiastki obyczajowe dla młodych chłopców. Przez Franciszka Kowalskiego. 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk T. Glücksberga. Napisów kart 2 i str. 274. Złp. 6 gr. 20.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem S. Orgelbranda wyszły zpod prasy drukarskiej zapowiedziane dawniej „Obrazki wiejskie.” J. K. Gregorowicza, we 4ch tomach.

— H. Natanson drukuje u Ungra dzieło w dwóch tomach, obejmować mających razem około 50ciu arkuszy druku, pod tytułem „Historya nowożytna, ciąg dziejowy od odkrycia Ameryki, aż do rewolucyi francuzkiej, według pierwotworu jednego z najświetniejszych dziejopisarzy tegoczesnych na język polski przełożone.” Tom pierwszy wyjdzie w kwietniu, a drugi w czerwcu r. b.

— Wincenty Pol wykończył w obszernych ramach poemat do 1700 wierszy, pod napisem: *Senatorska zgoda*. Jestto dalszy ciąg opowiadania Benedykta Winnickiego. Główną w tym poemacie figurę stanowi biskup Ignacy Krasicki w chwili pobytu swego w *Dubiecku*.— Obecnie pisze powieść prozą p. n: *Powieść bez końca*. Treścią jej ma być przedstawienie życia artystycznego u nas w kraju i jego stosunku do reszty społeczności.

— Ks. Józef Szpaderski wykończył rozprawę zajmującą, p. n. „Lud wiejski, jego religijność, moralność i byt materyalny.”

— P. Alex. Batowski przygotowuje do druku *Tinecię*. Do przysposabiających się w Królestwie podobnych monografi Lęczycy, *Lancicia sacra*, i klasztoru łędzkiego, *Landecia*, będzie dyplomatarysz tywiecki uzupełniający i prostujący Szczygielskiego, nadzwyczaj pożądanym. Sporządzono już podobizny ważniejszych dyplomatów, w liczbie których znajduje się także sławny dokument z r. 1105.

— Jan Wagilewicz pracujący od lat kilku nad dziełem: „Chronologia dziejów powszechnych”, przygotował do druku szczegółowy rozbiór Wstępu krytycznego do dziejów polskich przez A. Bielowskiego.

— W drukarni zakładu Ossolińskich wyszły: „Melodye biblijne Korne-
la Ujejskiego,” w pojedynczych ustępach z żywym upodobaniem czytane.

— P. Rogoziński w Krakowie, znany z wypracowanej przez siebie statuy św. Jana Kantego, wykończył na mniejszą skalę i z gipsu odlał po-
piersie Piotra Kochanowskiego, zdobiące nowo-wyrestaurowany pomnik
w kościele XX. Franciszkanów tego poety naszego. Tenże sam rzeźbiarz
ma zamiar wymodelować w małym rozmiarze posąg Światowida. Myślıo
szczęśliwa, która prawdziwym miłośnikom tego zabytku, da dokładniejsze,
niż rysunek, o nim wyobrażenie.

— W archiwum watykańskiem w Rzymie, gdzie złożone są ciekawe
akta dotyczące historii narodów katolickich, a więc i polskiego, nasz za-
służony Jastrzębski pracuje od lat kilku, i idąc po śladach Albertrandego
i Przeddzieckiego, odnalazł już niejeden kłos pełny i ważny, przeoczony od
poprzedników. Ma on zamiar wkrótce ogłosić drukiem część wyszukanych
przez siebie, a dotąd nieznaných dokumentów.

— W Cieszynie z początkiem b. r. wychodzić począł: Gwiazdka
Cieszyńska, pismo poświęcone oświacie ludu. Jestto dalszy ciąg Tygodnika
Cieszyńskiego, wychodzącego od r. 1848.

— Nakładem Schlettera we Wrocławiu, wyjdzie wkrótce dzieło na-
der zajmujące, p. n.: „Tajemnice społeczeństwa, wykryte w sprawach kry-
minalnych i cywilnych.” Treścią dzieła tego, którego w r. b. dwa tomy wy-
dane zostaną, są sprawy najciekawsze krajowych wypadków, i osób pod
względem historycznym. Dalszy rozwój pomienionego dzieła, zawisł od
przyjęcia z współzuciem pracy tej od czytającej publiczności. Jestto albo-
wiem obszerna niwa, z której niemało zebrać można plonów do dziejów
prywatnego i publicznego życia przodków naszych. Obszerne i nader
szacowne posiadamy w tym przedmiocie materiały, które obok smutnej
rzeczywistości, łączą w sobie obrazy, na jakie najbujniejsza wyobraźnia za-
ledwie zdobyćby się mogła. Nie uwłaczają one bynajmniej cnotom i po-
czciwości dawnych czasów; owszem jako rzadki wyjątek, służą tém więcej
na ich pochwałę.

— Tomiciańskie wydawane przez T. hr. Działyńskiego rozpoczęły się
drukować i postępują z nadzwyczajną szybkością. Tom I, obejmujący trzy
pierwsze posyty rękopisu od r. 1506 do 1515, wyjdzie z druku w środku
marca. Tenże hr. Działyński wydał genealogią sławnego domu Szydłowie-
ckich, z rękopisu łacińskiego z XVI wieku, z przepyszniemi kostiumami człon-
ków obojg płci tej głośnej w dziejach naszych rodziny.

— P. J. Łepkowski zajmuje się opracowaniem przeszłorocznej podró-
ży archeologicznej po Galicyi. Rękopis wkrótce nadejdzie do Warszawy.

— Słychać o blizkiem wydaniu ważnego rękopisu z biblioteki w Pod-
horcach. Jestto dyaryusz sejmu lubelskiego z r. 1569, na którym, jak wiado-
mo, dokonana się ostatecznie unia. Obszerne ten rękopis *in folio*, spisany
prawie dzień po dniu, zawiera najdokładniejsze wyszczególnienie wszystkich
czynności tego wielkiego sejmu. Chce go wydać p. Leon hr. Rzewuski.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Luty, 1852.

Luty 1852.

Dostrzeżenia w Obserw

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom
czyli w łuku 18°41'25,5" na

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y			
		6	10	4	10	6	10	4	10
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano.	god. wiec.	god. wiec.
1		751.43	751.02	748.42	744.26	— 0°4	+ 0°8	+ 1°0	— 0°1
2		741.20	742.15	748.39	752.81	+ 2.2	+ 1.9	— 1.6	— 1.9
3		755.07	755.09	754.52	754.38	— 7.2	— 9.7	— 7.6	— 10.6
4		754.12	754.95	754.97	754.46	— 7.7	— 6.0	— 5.4	— 4.7
5	☾	749.14	743.93	738.10	738.46	— 4.5	— 3.1	+ 1.3	+ 1.6
6		739.14	738.78	734.14	734.10	+ 0.8	+ 2.1	+ 1.5	+ 2.1
7		737.43	740.95	743.28	745.91	+ 1.0	+ 1.2	+ 1.1	+ 0.0
8		746.87	746.39	743.92	743.15	— 0.2	+ 1.4	+ 1.9	— 2.1
9		740.05	739.39	738.02	738.69	+ 2.0	+ 3.3	+ 4.9	+ 3.5
10		739.79	741.67	743.96	745.88	+ 1.8	+ 3.3	+ 5.5	+ 1.7
11		747.08	747.66	748.36	750.82	— 0.3	+ 1.8	+ 2.6	+ 1.4
12	☾	754.65	756.64	757.36	758.31	— 0.8	— 2.1	— 1.2	— 5.9
13		756.94	757.09	755.69	756.29	— 6.7	— 4.8	— 2.6	— 6.8
14		755.71	755.74	755.79	756.73	— 7.0	— 4.2	— 0.5	— 4.8
15		757.11	757.41	755.04	753.96	— 8.1	— 5.1	+ 0.3	— 3.5
16		751.12	748.85	745.37	742.66	— 1.9	— 0.9	+ 0.4	+ 0.6
17		736.34	735.54	735.22	735.28	+ 0.0	+ 0.9	+ 0.6	— 0.5
18		731.70	729.25	720.31	723.22	— 1.1	+ 0.6	+ 0.7	— 0.2
19		728.77	731.24	733.97	737.02	— 2.2	— 0.1	— 0.0	— 2.1
20	☾	739.31	740.81	742.00	744.98	— 2.6	— 0.6	— 1.9	— 4.0
21		747.42	749.86	751.29	752.37	— 4.3	— 1.5	— 1.3	— 4.6
22		755.48	757.91	761.38	764.36	— 6.4	— 2.5	— 0.8	— 4.4
23		766.44	767.23	767.07	767.85	— 5.4	— 3.1	— 1.2	— 4.6
24		769.06	769.45	769.57	768.48	— 6.0	— 4.9	— 1.7	— 7.8
25		766.45	765.70	763.43	762.43	— 10.5	— 5.3	— 2.8	— 7.5
26		760.01	759.61	756.06	752.96	— 9.3	— 8.2	— 5.5	— 10.2
27		748.99	748.08	746.80	745.77	— 11.1	— 7.7	— 6.7	— 5.8
28	☾	742.72	742.10	738.87	738.45	— 4.1	— 1.9	+ 0.2	— 1.5
29		736.33	736.34	736.15	735.84	— 1.9	+ 1.4	+ 1.3	+ 0.1
Śre.		748.478	748.649	747.843	748.272	— 3°51	— 1°83	— 0°60	— 2°70

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.310	27	7.722
Najwyżej dochodził — d. 24 o g. 4 w.	769.57	28	5.148
Najniżej — — d. 18 o g. 4 w.	720.31	26	7.173
Dotąd ani razu barometr nie miał tak małej wysokości.			
Średnia zmiana dzienna barometru	6.243		2.767
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 4 w.	16.87		7.478
Średnia wysokość barometru jest niższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	2.106		0.932
Średnia temperatura Lutego wynosi: i ta jest wyższą o	750.413	27	8.654
od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	— 2 ^o .16 C.	—	1 ^o .728 R.
	0.851 „		0.681 „
Największe ciepło dochodziło d. 10 o godz. 4 wiecz.	— 3.011 „	—	2.409 „
Największe zimno dochodziło d. 27 o godz. 6 rano.	+ 5.5 „	+	4.40 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 11.1 „	—	8.88 „
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 2—3 o g. 10 r.	2.27 „		1.817 „
Termometrograf wskazał:	11.6 „		9.28 „

Maximum: + 5^o.5 R. d. 10 po połud.

Minimum: — 10^o.2 „ d. 27 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 17,7 milim. czyli 7,85 lin. par., z śniegu 19,2 milim. czyli 8,51 lin. par.; razem spadło wody z deszczu i śniegu wysoko na 36,9 milim. czyli 16,36 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 3,99 lin. par. od ilości jaka u nas w lutym zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 94,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4,46 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest większą o 0,02 od normalnej.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 3, pochmurnych 21.

Dni deszczu 6 (d. 2, 6, 8, 9, 11, 18). Dni śniegu 13 (d. 1, 2, 4, 5, 6, 7, 8, 16, 18, 20, 21, 28, 29).— Dni mgły 3 (d. 22, 26, 27).— Dni gradu (krup) 2 (d. 8, 18).

Wichrów było 2 (1 Z. 1 PdZ.). — Wiatrów mocnych 2 (1 Pn. 1 PdZ.).— Wiatr panujący: Zachodni i Południowo-Zachodni.

Luty r. b. był niepogodny, wilgotny, w pierwszej połowie ciepły, w drugiej zimny, w śnieg nie obfity. w ogóle o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle, jednak zimniejszy o 1,33 stop. R. od grudnia r. z. a o 1,48 stop. R. od stycznia r. b. Najcieplejsze dni były 6, 7, 8, 9, 10, 11; najzimniejsze d. 3, 25, 26, 27. Zmiany temperatury a bardziej jeszcze zmiany barometru były znaczne. Dnia 18 w przeciągu 12 godzin barometr zniżył się o 5,2 lin. par. i stanął na 26 cali 4,84 lin. par. to jest niżej niż kiedykolwiek w ciągu 26 lat upłynionych. Wielkim zmianom barometru towarzyszyły zwykle wichry.

D. 3 o godz. 7 min. 17 sekund. 52 wiecz. *światna kula ognista* blaskiem przechodząca Wenus, ukazała się około gwiazdy δ Erydanu i szybko pionowo ku poziomowi dażyła. Przebiegłszy 10^o—12^o, rozdzieliła się na 2 mniejsze, które znikły doszedłszy do 30^o—40^o do poziomu.

D. 12, 13, 14 i 15 między 7 a 8 godz. wiecz. na zachodzie przyświecała słabym światłem białawym w blado-różowe przechodzącym *Zorza Zodyakalna*, która w kierunku zwierzyńca niebieskiego w kształcie piramidy ukośnej wznosiła się nad poziom; w dniach 12, 13, 14 zorza ta szczególnie wyraźnie świeciła.

D. 20 w nocy widziano *Zorzę Północną* w m. Prenach w gubernii augustowskiej i w Krakowie.

JOACHIM JERLICZ

I LATOPISIEC ALBO KRONICZKA JEGO

OD R. 1620 DO 1673.

PRZEZ

H. Ul. Wójcickiego.

II.

Choć znanem jest rodzinne nazwisko Jerliczów w Litwie i na Wołyniu, w piśmiennictwie naszym po raz pierwszy się zjawia. Niewiele moglibyśmy powiedzieć o naszym kronikarzu z dzieł znanych i herbarzów, bo tam żadnego wspominku nie znajdziesz, gdyby nie przyszedł nam w pomoc sam autor, który kreśląc wypadki dziejowe narodu, w swoim Latopiscu jeden ustęp wyłącznie poświęcił na wypisanie genealogii rodziny *Jerliczów*, razem z bliższymi gałęziami krewniaków, a nadto wiele rozrzucił wiadomości dotyczących i swęj osoby, i rodziny pod różnemi latami. Zbierzemy więc te szczegóły, aby dać całość dokładną.

Ustęp pomieniony ma taki napis:

„Wypisanie przodków moich przezaenych domów Ichmość Panów *Pliszczów*, *Jurlów*, które przodki nasze służąc królom Ichmościom i różnym książętom w Litwie i na Wołyniu, nazwali się *Jerliczami*, w sławie rycerskiej żyjących, przezemnie *Joachima Jerlicza* spisanych w roku 1648, dnia 3 sierpnia.”

Tu o sobie tak mówi:

„Zdało mi się za rzecz słuszną, przeżywszy po łasce Pana Boga mego lat 50 i rok jeden, gdyżem się rodził w roku 1598,

dnia 19 maja, w niedzielę z rana do dnia, we wsi *Kolenka* pod *Ostrogiem*; a jako wiek mój prowadziłem w młodości lat swoich, wyszedłszy ze szkoły, aby potomkowie moi wiedzieli.”

„Najprzód mając lat 17 (1), będąc wyrostkiem, wyprawił mnie był pan ojciec mój do wojska pod *Buszę*, przy panu *Tychonie Szuszkiewicz* podkomorzym braclawskim, pokrewnym, abym się przypatrzył wojennym rzeczom: gdzie był Skinder basza hetman cesarza tureckiego ze 100,000 wojska, mając oprócz tego przy sobie Multanów, Wołochów, Węgrów i Tatarów, który nad samym Dniestrem obozem stanął; a panowie hetmani koronni obaj po drugiej stronie Dniestru, u miasteczka *Buszy* na górze, ćwierć mili od Dniestru, mając wojska 15,000, na którym miejscu przez całe lato stali, a doczekawszy jesieni, w pokoju rozeszli się.”

„Potém na *Orynińskim* polu drugiego roku, gdzie *Galga* w 40,000 przypadłszy (Tatarów), kilka godzin harcami bawiwszy się, do Polski umykał ku Lwowi, a złupiwszy i nabrawszy więźniów do kilkudziesiąt tysięcy, w całości nazad się wraca.”

„Napotém byłem u księdza Imci Jędrzeja Lipskiego podkanclerzego koronnego oddany przez Ichmość pana Laurentego *Drzewińskiego* cześnika wołyńskiego, który widząc, że umiałem czytać i pisać po rusku, oddaje mnie do swojej kancelaryi, którą tenże podkanclerzy zawiadywał: gdzie przy mnie Piekarski króla uderzył” (2).

„Napotém gdy uchwała stanęła na sejmie przeciw Turkom, tedy oderwawszy się od dworu biskupiego, odjeżdżam z Warszawy. Zaciągnąłem się na 3 konie z Ichmość panem *Teodorem Woroniczem* podczaszym kijowskim pod *Chocim*, gdzie byłem od janczarzyna z janczarki w nogę lewą postrzelony, na którą musiałem chromać i ulegać.”

(1) Pomylił się tu Jerlicz i ujął sobie lat dwa prawie wieku. Traktat niepomysłny zawarty pod *Buszą* przez Stanisława Żółkiewskiego hetmana ze Skinder-baszą, był podpisany dnia 26 września 1617 r.; gdy zaś Jerlicz urodził się w roku 1598, miał więc tedy lat 19.

(2) Zamach na życie króla Zygmunta IIIgo przez Piekarskiego przy wnijsciu do kościoła katedralnego św. Jana w Warszawie, wykonany był dnia 15 listopada 1620 r. w niedzielę rano, gdy król ten poprzedzony licznym dworem, w towarzystwie syna swego Władysława, wchodził na mszłą świętą.

„Odbywwszy te expedyce, napotém z różnemi rotmistrzami będąc, w zaciągach kilkanaście lat służąc, dawszy pokój, ożeniłem się był. Będąc od zbójców Kozaków w wielkiem niebezpieczeństwie życia mego mizernego na tym świecie, za grzechy moje wielkie i ciężkie, któremi i Majestat Pana Boga mego i Stwórcę zawsze obrażam, w Trójcy jedynego gniewam, i Przenajświętszą Pannę Bogarodnicę: trwoży się serce, a w mdłości zawsze opływa. Przeto umyśliłem to po sobie zostawić, aby się potomki moje, tak po mnie pozostałe, jako i po rodzonych moich, które natenczas Bóg wie gdzie się obracają, i gdzie się mogą znachodzić, z braci i sióstr moich, i potomków po nich, których gorącym sercem pragnę w dobrém zdrowiu oglądać, o co Pana Boga proszę, aby mi dać raczył, a oczy moje zalewają się łzami, zwłaszcza znajdując się w czasie mego utrapienia przy miejscu świętém *monastyrze pieczarskim kijowskim*. Jeżeli zaś kto z potomków moich znajdować się będzie żywym, aby wiedział którego domu, i z kogo ojcowie ich i matki pochodzą, albo poszli, i kto kogo spłodził, a tym sposobem, aby sam mógł się o krewnych dopytać; i jeżeli Pan Bóg za grzechy nasze, narodu szlacheckiego w koronie polskiej nie da do końca wygubić, na co oczy nasze patrzą, iż niemało zacnych ludzi pozabijano i towarzyszy: natenczas o tém pisać nie mogę dla niebezpieczeństwa ustawicznego od chłopów i swywoli kozackiej.”

Tu poczynając od pradziada swego *Iwona Tymofejewicza Pliszca Jurłowa*, dworzanina króla Alexandra, przechodzi szczegółowo rozgałęzienie się swój rodziny. Pisze po większej części z pamięci, bo papiery potrzebne potem, jedne Tatarzy w napadzie spalili, drugie Kozacy.

Miał Joachim od ojca *opisek* o pokrewnych swych, czyli kroniczkę, ale i tę Kozacy w napadzie na dwór latopisca naszego wzięli; tu mu pomagały notaty Butowicza z rodu Jerliczów, które miał pod ręką w monastyrze kijowsko-pieczarskim. Było między naszą szlachtą zwyczaj chwalebny, że każdy nie zważając na drukowane herbarze, dzieje swój rodziny dla pamięci potomków spisywał. Wymagała tego miejscowa nawet potrzeba. Z gniazda rodzinnego, zaczęła się szlachta osiedlać w oddalonych stronach rzeczypospolitej: z Mazowsza wnosila się na Wołyń, Podole, Ukrainę i Litwę; osiadała ruskie ziemie między Prutem, Dniestrem a Stryjem: toż z krakowskiego, z sandomierskiego, słowem z Wielko- i Małopolski. Patrzał niejeden ojciec, jak

z jego gościnnego dworu i syny i dziewczki jego, opuszczają rodzinne progi, aby więcej do nich nie wrócić. Jeden syn w gnieździe ojczystém utrzymywał dalej imię i ród; reszta rozpieczęła, nowym rodom głową była. Aby więc nie poszło w niepamięć pierwotne gniazdo rodzinne, szlachcie spisywał dzieje swego rodu; wiodła go do tego potrzeba i miłość. Dziś nie mamy wyobrażenia owego serdecznego przywiązania, jakie cechowało dawne rodziny polskie: w obozie z odległych stron zebrane rycerstwo, gdy się poznało że krewniacy dalecy, już są z sobą jakby rodzeni bracia: jeden za drugiego życie własne w obronie stawiał. Krewniak w biedzie od dalekich nawet miał pomoc chętną, i serdeczną przyjaźń. Ojcowie utrzymywali ten piękny krwi swój związek, i dla pamięci, w piśmie przechowywali.

Byłybyto dla dziejów naszych drogocenne materiały, gdybyśmy więcej takowych wynaléć mogli. I Jerlicz wyraźnie nam potrzebę takich rodowodów wyjaśnił, rozpisując się szeroko nad rozgałęzieniem własnej rodziny (1).

Ojciec naszego Joachima Olizar Jerlicz, „który (jak syn jego wyraża) w młodych latach swych nie chcąc sadzić kur w domu, ale służąc żołniersko, był z królem Stefanem Batorym przez wszystkie expедыce przy wzięciu *Połocka*, pod *Łukami* i *Wielkim Nowogrodem*,” ożenił się naprzód z *Tomilą Borowicką*, z którą kilkanaście lat żył, i ta mu bezpotomnie umarła. Powtórzył związki małżeńskie z *Katarzyną Sosnicką*, i z tą miał siedmiu synów i dziesięć córek. Joachim był trzeci z porządku, ale gdy brat starszy i siostra pomarli, on był głową rodu.

Przy dziadku swoim *Żychonie Baszkiewicz* podkomorzym braclawskim bawił nasz Joachim, a gdy podrósł i w lata i w siłę, za wolą ojca i zgodzeniem się dziada, oddany był pod chorągiew Stanisława Żółkiewskiego, aby pod sławnym hetmanem żywot rycerski rozpoczął. Kiedy był na wyprawie chocimskiej, umiera mu w maju 1621 r. ojciec; w następnym, stryj jego Ma-

(1) Szacowny było zwyczaj pisania dyaryuszów domowych i tak zwanych *Silva rerum*, w których często oprócz wypadków dziejowych, zapisywano szczegóły dotyczące rodziny piszącego szlachcica. Z obszerniejszych znanych w tym rodzaju pomników, stawieć na czele musimy Pamiętoiki Paska, Koniecpolskich, Maszkiewicza, Wybickiego, Kitowicza, a przybywa do tego poczetu i nasz Jerlicz. Teto pomniki rozjaśniają dopiero życie domowe i wiele ustępów dziejów krajowych.

twiej Jerlicz, którego Joachim ranny kulą janczarki, chowa razem z ojcem w cerkwi horodyskiej, o dwie mile za Zaslawiem.

W roku 1630 już nasz kronikarz porzucił snąć do czasu zawód rycerski, bo mieszkał z żoną w *chodorkowskim* zamku, i tu mu się w listopadzie przededniem pierwsza urodziła córka. W pięć lat żeni się po raz drugi, lubo o pierwszej żonie nie wspomina: ani nazwiska rodzinnego, ani imienia, ani kiedy zmarła, chociaż nadzwyczaj jest troskliwy w zapisywaniu wszelkich szczegółów, dotyczących i siebie i rodziny swojej.

Roku 1635, 24 listopada wstępuje w związek małżeński z panną Maryanną *Roguską*, córką porucznika w chorągwi księcia Samuela Koreckiego, Wojciecha Roguskiego, co zginął pod Cecorą wraz z hetmanem Żółkiewskim. Pan podkomorzy włodzimierski opiekun panny Maryanny sprawiał wesele w majątności swojej Dobrzynie.

W następnym roku w grudniu rodzi mu się syn *Konstanty*, ale w miesiąc umiera; ojciec go chowa w cerkwi chodorkowskiej na Starém-Mieście.

R. 1641 syn mu się drugi, Bazyli, rodzi. W tymże roku Maryanna Jerlicz rodzona siostra naszego Joachima przywdziewa habit zakonny, i wstępuje do panińskiego monasteru pieczarsko-kijowskiego.

R. 1642 rodzi mu się syn trzeci, Jarosz.

R. 1643 umiera mu brat rodzony Jan Jerlicz. Byłto sławny myśliwy; łażąc na dąb za ubitym ptakiem, spadł i potłuczony, we trzy dni skonał.

Jerlicz był spokrewniony z rodziną Hołowińskich i Chmieleckich. Hołowińskiego Stefana, zabitego przez Szczyrskiego, nazywa bratem stryjecznym; a pod rokiem 1643 pisze:

„Dnia 12 septembris pan Chmielecki, młody wojewodzie kijowski siestrzeniec mój, porwał pannę Sokołowską i za małżonkę gwałtem ją pojął.”

R. 1644 rodzi mu się córka Maryna. Zygmunt Kopec trzyma ją do chrztu.

W r. 1647 kiedy nasz kronikarz bawił w Kijowie, a żonę z dziećmi zostawił we wsi swojej *Byków*, dnia 4 sierpnia, syn dawnego jego przyjaciela Adam *Tyszyna*, zebrawszy sto hultajstwa, dwór napadł, a strzelając do tych co mu opór stawiali, zbuntowawszy poddanych téjże wsi, Jerliczowę z dziećmi z domu wyrzucił, a zbiór cały i sprzęt domowy złupił i zabrał. Synek

najmłodszy, Gregory, rok mający, noszony na ręku, z tego przestrachu wpadł w chorobę, i następnie téż zaraz umarł we wsi Boleszowie, gdzie Jerlicz zamieszkiwał. Rozżalony ojciec pochował go w Kijowie w cerkwi na górze pod zamkiem, gdzie zwłoki jego na *roczkach* (w sądzie) pokazywał, pisze:

„Którego duszyczce Panie Boże racz być miłościwym panem, a między anioły wieczne odpocznienie dać; a tym niecnotliwym zabójcom sędzią sprawiedliwym, a mścicielem wiekui-stym być.”

W roku 1648 mieszkał na Polesiu we wsi *Koczerowie*, gdy w powstaniu Chmielnickiego napadło go nagle i niespodziewanie Kozactwo. Jerlicz zaledwie uciekł z duszą do lasu, i z tego powodu mówi:

„O dalszych postępach téj bezbożnej wojny chłopskiej, czyli rozboju domowego, do końca nie mogę wiedzieć, bo w monasterze pieczarskim przyszedłszy piechotą dnia 16 Augusta, siedziałem aż do zmiłowania się Bożego.”

W latopiscu przecież, ważne i ciekawe szczegóły téj domowej wojny zachował, opisując wypadki zaszłe już to w samym Kijowie, już w dalszych stronach, które zebrał od naocznych świadków.

Miał w nich udział nawet w r. 1649 we wrześniu, gdy król złożył sejmiki, dla narady o obronie przeciw wzburzonym Kozakom. Wojewoda kijowski *Kisiel*, wezwał, aby ktokolwiek z obywateli żywym został, zbierali się i zjeżdżali na zwykłe miejsce do Żytomierza na sejmik:

„Na który i mnie Joachima Jerlicza Jegomość ojciec Tryzna, archimandryt pieczarski, od wszystkiój kapituly z listami uprosiwszy wyprawił, i byłem przez tydzień z inną szlachtą, oczekiwając na przyjazd JMci pana wojewody; ale się nie doczekało.”

W roku 1653, dnia 8 czerwca, we wsi *Sarnikach* za Styrem, umiera matka jego w sędziwym wieku, przeżywszy męża, i zostając we wdowieńskim stanie lat 32. Zjeżdża Joachim na jój pogrzeb, i chowa w miejscowój cerkwi w towarzystwie braci swoich, Michała i Alexandra.

W roku 1657 umiera mu siostra rodzona Ewa Pawłowatoska, przybywszy doń w odwiedziny. W następnym roku w styczniu wydaje drugą swoję siostrę Nastazyą za mąż, za pana Sarnowskiego, i sprawia jój wesele.

Gdy Czarniecki ukazał się na Litwie i Ukrainie 1660 r., nasz kronikarz porzucił dom i żonę z dziećmi drobnymi, i stanął do boju pod chorągwią bohatera. Odbywał z nim różne wyprawy, i pod Mohilewem dnia 8 października w bitwie, gdy uderzyli z kopyta na piechotę nieprzyjacielską, ostawioną kobylicami i ostrokołami, otrzymał kilka nieszkodliwych postrzałów: pomimo ran, dalej służył pod chorągwią, aż do zimowych leży.

„Roku Pańskiego 1663, dnia 8 Februarii, ze środy na czwartek w noc, jakoś o godzinie 6 przed kury, małżonka moja z tym się światem pożegnała, i ze mną małżonkiem i dziatkami swemi, która była ostatnia z domu panów Roguskich na imię Maryna. Żyła w stanie małżeńskim lat 27, miesięcy 4 (która spłodziła 5 synów a 4 córki; gdzie synów w małym wieku umarło trzech, a córka jedna. Żywych synów zostało dwóch: jednemu imię Bazyli, a drugiemu Hieronim; córkom imiona: Katarzyna, Maryna i Hanna); której ciało pochowałem w cerkwi przy Weredowie pod Dubnem dnia 13 t. m. we wtorek; której duszy Panie Boże racz miłościwy być.”

Syn naszego kronikarza Bazyli służył wojskowo; pisze o nim pod rokiem 1664: „d. 25 Decembra przy dobywaniu na Ukrainie *Psiarówki*, syna mego Bazylego w pół postrzelono z samopału, który za ledwo po lasce Bożej żywym został, pół roku gojąc się albo lecząc.”

We cztery lata, 1668 r. 9 listopada zapisuje śmierć córki swojej Hanny, która mając lat 22 zmarła: pochowana we wsi *Strakłowie* w monasterze, pół mili od Dubna.

Ostatni szczegół dotyczący swój rodziny zapisał Jerlicz w roku 1673, pod datą 17 *Aprilis*, gdy mu synowiec Bazyli umarł. Na tym roku kończy i swoje kronikę.

Jak długo żył jeszcze, gdzie przebywał nasz autor, i kiedy umarł, — niewiadomo nam wcale. Może wydanie pozostałego po nim pomnika dziejowego, które zamierzamy, będzie powodem do szczęśliwszych poszukiwań w tych właśnie okolicach, gdzie przemieszkiwał Jerlicz. Wszakże i ta sama rodzina żyje jeszcze.

My skrzętnie zebrawszy szczegóły do życiorysu naszego Joachima, przystąpiam teraz do przeglądu jego latopisca, albo kroniczki, jak sam Jerlicz pracę swoją nazywa.

III.

Zaczyna ją pisać od dnia 26 sierpnia r. 1620; dalej podaje dyaryusz wyprawy chocimskiej. Szczupłe są jego wiadomości i mało nowych faktów; sam walcząc, zaledwie miał czas krótkie wspomnienie którego dnia zapisać: nie dziwota, w gorącym téż tam rycerstwo nasze było upale. Wspomina wyprawy książąt Wiśniowieckiego i Koreckiego, opisuje świetne zwycięstwa Stefana Chmieleckiego, i taki stawia nam obraz jego czynów i zasług godnych pamięci:

„Roku 1630, dnia 16 Februarii, pan Stefan Chmielecki wojewoda kijowski, który otrzymawszy województwo nie zajeżdżał na one, ale zaraz z tego świata schodzi w mieście Barze. Jego ciało tamże pogrzebiono. Po nim wielki żal był wielu województwom, szlachcie, obywatelom, i ludziom pospolitym. Będąc regimentarzem wojska kwarcianego, bez bytności króla i pp. hetmanów zajętych z Gustawem królem szwedzkim, onym sprawował czas niemały, tatarskie hufce i kosze, pułki niemałe potężnie rozgramiał i znosił, a zbijał na głowę; a nietylko samych hanów, carów tatarskich straszyl, jakoto pod *Tarnopolem*, drugi raz pod *Białą-Cerkwią*, trzeci raz pod *Bursztynem*, czwarty raz za Dniestrem, gdzie i synowi Kantymirowemu głowę uciawszy, oddano za upominek królowi, a drugiego z innemi więźniami murzami żywcem odesłano do dworu. Na tychto Tatarów kilkanaście razy różnemi sposobami napadając, znosił, przez którą pilność i staranie swe, bardzo był zahamował i powściągnął Tatar pogan, że ani śmieli się pokazać w polach dzikich, mając a widząc rycerstwo ochoce ku sobie zawsze, że nigdy pociechy nie odnosił, i zawsze plony i zdobycz, nietylko co oni zdobywali, ale i swoje poganie utracać musieli, i głowami nakładali: jako bydło po polach rozgromione zbierając, gnali, do niewoli brali. Któregoto wodza i rycerskiego człowieka dawno takowego korona polska nie miała, przez co w polach dzikich na samych szlakach pogańskich, tatarskich, niemal wszystka Ukraina dalsza miasteczkami i wsiami pozasiadywała; którego szczęścia wodzowie starzy wojenni w głowach, panowie hetmani bardzo mu tego zazdrościli; a mało, jak powiadają, z naprawy śmierć stanęła przez cyrulika nadwornego hetmana koronnego; którego wielce śmierci wszyscy żalowali i płakali, tak rycerskie ludzkie jako i pospolity człowiek,

tak jako dzieci ojca, albo matki które miłujące, iż byli za staraniem a szczęściem onego wytchneli.”

I rzecz godna uwagi zaprawdę, że ani za buławy Żółkiewskiego, ani Koniecpolskiego, nie używały Ukraina, Wołyń, Podole i ruskie ziemie Rplitéj takiego pokoju i swobody od napadów tatarskich, jak za Stefana Chmieleckiego. Dwóch téż Stefanów, co nie słuchając przepisów taktyki wojennéj, nowym, a własnym sposobem walcząc, zwycięztwami ciągle zdobyli swoje lotne sztandary:—Chmielecki za Zygmunta IIIgo, Czarniecki za Jana Kazimierza. Ale pierwszego imię nie miało tyle rozgłosu, w cień usunięte przed poważnym blaskiem wielkich hetmanów; lzy narodu, wdzięczność rycerstwa imię Chmieleckiego podały nam w cudnéj historycznéj pieśni, którą Birkowski przy swém kazaniu, opłakując zgon bohatera, wydrukował.

Wśród zdarzeń historycznych nie przepomina Jerlicz zapisywać w swojej kronice napadu szarańczy, srogich zim, drożyzny, moru, i widziadeł na niebie.

Idąc porządkiem rok za rokiem, miesiąc za miesiącem, co tylko ważniejszego, nie opuszcza.

Tak w roku 1646 podaje ciekawy szczegół powodu śmierci Stanisława Koniecpolskiego hetmana koronnego; obszerniejszy Samuela Łaszcza prawdziwego rozbójnika osłoniętego powagą tego hetmana, co najeżdżał dwory, łupił, mordował, gwałtami najohydniejszymi każdy napad znacząc.

Opisując przybycie Władysława IV d. 8 sierpnia t. r. do Lwowa, rzuca wielkie światło na smutny ustęp naszych dziejów powstania Chmielnickiego. Król w tajemnicy zaczął przygotowania do wyprawy na Turków. Zniósłszy się ze wszystkimi panującymi w Europie i z Ojcem Świętym, miał oddane najwyższe dowództwo nad wszystkimi wojskami, jakie zebrać się miały; już marzono o odebraniu Stambułu i wyrwaniu państwa greckiego z rąk pogańskich, a następnie grobu Chrystusa Pana. Do tych tajnych planów wpływał głównie kanclerz Ossoliński. Władysław zaciągnął 16,000 cudzoziemskiego wojska, wystawił 60 sztuk dział, i z temi przybył do Lwowa. Król hiszpański zobowiązał się dostawić 40,000 bitnych zastępów; oprócz tego 16,000 i 50 dział autoramentu hiszpańskiego już było blisko pode Lwowem. Władysław tajnie posłał pieniądze Kozakom, i postawił na ich czele *Doroszenkę*, który z młodcami swoimi na czajkach już ruszył na morze Czarne.

Ale panowie senatorowie i rzeczpospolita, pomni na traktat wieczysty pod Chocimem zawarty, na śmierć Warneńczyka, wyprawy téj nie dopuścili. Władysław z wielkim kosztem zebrane chorągwie cudzoziemskie rozpuścić musiał, i wszelkie marzone nadzieje sławy i wyzwolenia Grecyi upadły. Wydano rozkazy, aby wojsku hiszpańskiemu nie dozwolono z okrętów na brzegi Rplitéj wylądować „przez co (słowa Jerlicza) jadem wielkim serce królewskie i niezyczliwość przeciw wszystkim odwróciło się i okazało, i już wszelkich sposobów szukał, aby mógł ten śmiech i zelżywość oddać: jakoż i znalazł, bo co się złego stało w koronie polskiej od chłopstwa, to wszystko przez króla, zdradą niedotkliwą kanclerską (Ossolińskiego) człowieka bezbożnego, tak klótnia i zguba korony polskiej, a tak wielkie krwi przelanie i hańba.”

Owoż mamy nowy dowód, objaśniający ów list przez Władysława IV pisany do Kozaków, który Bohdan Chmielnicki ukazywał w odpowiedzi na skargi o uciemżaniu i niewoli srogiéj od panów i szlachty doznawanéj. „Macie proch i samopały, bo ja moją władzę nic wam nie pomogę.”

Słowa niebacznie napisane, które uzbroiły krocie rąk krzepkich na zgubę Polski, i wylały potoki i łez i krwi.

Zamyślał Władysław, już odtąd idąc w ślady Ryszelięgo, stłumić przewagę możnowładców w kraju; dla tego celu przygotowywał sobie pomoc kozacką. Śmierć zniszczyła te plany, a rzeczypospolitéj przepaść otworzyły.

Podaje dalej Jerlicz ciekawe szczegóły o unii i działaniach metropolii kijowskiej; co tém ważniejsza, że znał jako Rusin sprawy te dokładnie i zblizka, a bezinteresownie poglądał na nie.

Od roku 1648 wraz ze śmiercią Władysława IV zaczyna obszerny opis powstania Chmielnickiego. Ważny ten i ciekawy obraz, w którym dotyka tylko tego, co się w Kijowskiém działo, na co się patrzył, i o czém miał dowodną wiadomość.

Opisuje klęskę pod Pilawcami, kreśli wypadki w samym Kijowie, wpisuje do swéj kroniczki punkta i suplikę do Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitéj wojska zaporozkiego 1649 r. podaną, oraz układy wojewody Kisięła z Kozakami.

W miejsce opisu klęski pod *Zóltemi-wodami*, przywodzi w ruskiém narzeczu pieśń do hetmana Potockiego, która zdaje się być utworem samego Jerlicza. W niéj wyrzuca hetmanowi, że w zapędzie dumy próżnéj, nic nie ma na względzie: ani rozkazów króla, ani rady życzliwych; na nędzę i łupież wokoło nie dba, na

swój rozum tylko liczy. Traci też syna, sam idzie w tatarską niewolę, zgubiwszy chorągwie walecznego rycerstwa.

W dalszym ciągu wspomina mimochodem o wielu osobach historycznych, podaje ciekawe szczegóły do ich życiorysów. Opisuje wszelkie wyprawy przeciw Kozakom i Moskwie, wpisuje hadziackie punkta, a przyszedłszy do napadu szwedzkiego, osobliwą podaje wiadomość, jak król Gustaw powiększał swoją armią:

„Gdy wysiadł (z okrętów) nie miał więcej wojska własnych Szwedów nad 6000, który od miasta do miasta, od powiatu do powiatu obierał lud sposobny do wojska. Krawiec, lub szewc, lub kowal, to równo ze szlachtą za jedno, i wojska na 50000 był zebrał.”

Wśród tych historycznych zdarzeń, przywodzi list pana Jezusa, który krążył w tych czasach na Rusi, i opis snu Najświętszej Panny. Nie wspomina Jerlicz w jakim celu go umieszcza, ale współczesny rękopism nieznanego autora, przywołując tenże list, mówi o wielkiem wrażeniu jakie pomiędzy ludem w całej rzeczypospolitej polskiej sprawił. Treść jego religijno-moralna, polecająca pilność w zachowaniu przykazań boskich, wśród klęsk powszechnych, dla wielu była balsamem pociechy. Przepisywano go, noszono przy sobie, bo przyrzekał odpuszczenie grzechów, i zapewniał szczęśliwy żywot w niebiesiech. Kiedy nikt nie był pewnym życia, nie spodziewał się umierać w spokoju, a widział tylko śmierć nagłą a niespodziewaną: to przy okrzyku dzikich hord tatarskich, to wrzasku czerni kozackiej, to napastniczych Szwedów i rozbójniczej hałastry Rakocego; nie ma dziwoty, że jedyną każdą nadzieję tylko pokładał w Bogu, i jego oddawał się opiece. Uczucie religijne potęgowało się wtedy, a cudowna obrona Częstochowy, a widziadła niebieskie, a list ów w prostocie wiary, silnie a błogo i szczęśliwie działały na naród cały. Trzeba się przenieść w owe czasy i myśłą i sercem, aby pojąć to uczucie przy prostocie gorącej wiary, która sama tylko może być jedynym balsamem na rany i cierpienia.

Jana Kazimierza nazywa Kazi-pokój (Kazimir), jako psujący pokój: bo rzeczywiście całe jego panowanie, to tylko walka ustawna i krwawa. Ostro docina Sobieskiemu, wówczas amantowi panny Kazimiery d'Arquien, a następnie żony Zamojskiego.

Opisuje jak w roku 1661 owa Francuzka, gdy sam wojewoda bawił w Warszawie na sejmie, zabrawszy dostatki męża,

z podmówionym starym sługą i kilkunastą pacholećtami; ujechała do Francji. Z tego powodu przemawia Jerlicz:

„Lepiej było w domu się ożenić ze szlachcianką polską; zdrowiejby było i pożyteczniej.”

Siedziała u krewnych we Francji lat trzy, wróciła z potomkiem; ale stary wojewoda, wnuk wielkiego Jana Zamojskiego, ani jęj widzięć, ani uznać potomka nie chciał. Zmarł bezpotomnie, i na nim tęż zgasła prosta gałąź wielkiego męża w rzeczypospolitej polskiej.

Królowa wydała za mąż młodą wdowę w pierwszym miesiącu żałoby, za Sobieskiego chorążego koronnego: „znali się oni z sobą i kochali,” dodaje nasz kronikarz. Na tēm weselu odsądzając Jan Kazimięrz od czci Lubomirskiego, oddał buławę Sobieskiemu jako zięciowi, choć się temu sprzeciwiała rzeczpospolita. Z powodu zdrady Hieronima Radziejowskiego i przebaczenia mu zbrodni, w szlachetnym gniewie woła Jerlicz:

„Nięstało onych książąt, paniąt, które bywali wojewodami, senatorami, stróżami korony polskiej, niecierpieli nikomu złęgo, karali, wytykali zpośrodku siebie; zaczęm po łasce Bożęj, dobrze się działo, i Polska w pokoju i w całości, aż do tych czasów zostawała: ale jak przyszło na terażniejsze senatory, co młodość swoję i czasy lat swoich, u szlachty służąc komorniczo, ani na żołnierce tracili, ale piętami przed paniami wiercili, czapki poprawiali, za karetami jeździli, w kancelaryach się przyćwiczili, w których ani sumienie, o częm Pan Bóg wię, ani tęż mało poczciwego, aby jeno zkąd wziąć, jakimże sposobem częgo nabyć, o tēm wszystka rada i myśl, zawsze dostatki swoję przyozdabiać. Tędy i ten zdrajca, o kim więdzcie, Radziejowski, datkiem i obietnicami panów senatorów umohoryczył, i do łaski pańskiej dostąpił.”

„O! książęta Ostrogscy, Zbarawscy, Zaslawscy, Wiszniowieccy, Koreccy, Sanguszkowie, i inni; panowie: Tęczyńscy, Sieniawscy, Zgórkowie, Jazłowieccy, Pretwicowie, Zborowscy, Strusowie, Hoyscy, których już jedna pamiątka zostawa, nięstało onych obrońców, filarów korony polskiej! Gdzie teraz podzieli się i książęta Słuckie?—ustąpili, nie masz ich, nięstało, jedno pamiątka stróżów kochanej ojczyzny. Podobno was ziemia, jako matka wszystkiego stworzenia pobrała do siebie; zaczęm nie masz, ani potomków po was nie zostaje. Teraz nam złę się dzieje po waszych głowach, i Pan Bóg wię co się jeszcze dalej z nami bę-

dzie działa! Sprawiedliwości ani prawdy nie pytaj:—ośleplana obie oczy. Szalbierstwo szczęcią końmi na górę ciągnie: zacinaj dalej gdzie równo. Na co Ty sam Panie z nieba, do czasu każdemu folgując, czekasz?!”

Wspominając śmierć hetmana Gąsiewskiego, zabitego od związkowego rycerstwa jako posądzonego o zdradę, pisze mu wierszem nagrobek niepoehlebny, i jako rzecz godną wszystkich uwagi notuje, że król Jan Kazimierz 1663 r. 29 maja, wydał i rozesał uniwersały po grodach, aby szlachta i poddani województw ruskiego, wołyńskiego i bełzkiego, byli w ostrożności, gdyż horda tatarska ma iść na usługi onemu, aby się do miast, przysposobwszy żywności, z dobytkiem sprowadzali.

„Które uniwersały (dodaje Jerlicz) z podpisem własnej ręki królewskiej były z pieczęcią wielką konsyliarską wydane, którem oczyma swemi widział.”

Chorągwie związkowe ruszyły naprzeciw tak zaproszonych gości, a z całego toku rzeczy zdaje się, że do tego związku i nasz kronikarz należał.

Służył i walczył nasz kronikarz pod Czarnieckim; to też ostatnie chwile swego wodza ze szczegółami opisuje, i dopełnia tém Pamiętników Paska.

„Zimując p. Czarniecki w Białej Cerkwi z cudzoziemskimi chorągwiami, gdzie zachorował: powiadano, jakoby dana była trucizna, o którym daniu sam Pan Bóg jeno może wiedzieć, jeżeli od swoich, czyli z nieprzyjaciół który do tego mógł przyjść z Kozaków. Z Ukrainy chorego prowadzono, wieziono na saniach, gdzie z Brodów ku Lwowi puścił się był, chcąc doktorów i leków zażyć dla ratunku zdrowia; a będąc już w mili od Brodów, przyjechawszy ku wsi *Sokula*, jeszcze gorzej począł chorować. Jednakże ztamtąd każe się prowadzić, gdzie wyjechawszy za wieś, każe się nazad zawracać do Sokula, i tam w oniej wsi bieg żywota swego dokonał; którego duszy daj Panie Boże duszne zbawienie! I innym panom regimentarzom tak się sprawować i na taką sławę zarabiać, który ani o domie, ani o żonie, ani o dzieciach, ani o zbiorach nie dbając, żywot swój tak prowadził i skończył go. Zawsze dzień i noc na koniu, nie dbając ani o namioty, ani o karetach, ani o wyśmienitych potrawach i trunkach: ale pogoda czy niepogoda, zawsze jednako. Pokarm onego, jeżeli jest, wędzonka, a napój woda; pościel wołok, a siodło wezglowie. Takie spanie onego było. Nie czekając dnia, ale i o północy, albo

z wieczora, nieprzyjaciela łowił i znosił, którego spraw i dzielności wypisać żaden nie może.”

Ciekawy a nieznany szczegół podaje nam Jerlicz, co do poselstwa wspomnionego już Hieronima Radziejowskiego. Zjechał się on w Czerogrodzie z postem od Kozaków wysłanym, który go znając, oskarżył przed cesarzem tureckim, ostrzegając, aby mu wiary żadnej nie dawał, bo to zdrajca swego kraju, na który tyle nieszczęść sprowadził. Już Radziejowski odprawiony był z zawartym pokojem, gdy w skutek oskarżenia zatrzymano go w Adrianopolu, gdzie i umarł, a syna jego wypuszczono.

Z przekazem wspomina Maryą Ludwikę; nazywa ją z ruska: „korolicha,” która bardzo złego w Polsce narobiła licha, która jak niedźwiedzia za nos, tak Janem Kazimiérzem wodziła.

Roku 1668 składa ten król koronę na sejmie, a Jerlicz mówi:

„Nie mamy czego żałować: niejednego zabito, niejednego do ordy pognano, niejednego kałęką uczyniono. Jak się poczęło za ojca jego dzać, a za niego się zawieruszyło; za ojca krzywoprzysięstwo powstało, i nienawiść pomiędzy pospółstwem; każda rzecz odmianę wzięła, a teraz i ostatek przepadł.”

Po złożeniu korony, wybrał się na odpust (w styczniu 1669) do Sokalu z licznym orszakiem; wracając ze Lwowa, gdzie bawił kilka miesięcy, do Krakowa, w Pińczowie nocleg przypadał.

„Gdy komornik albo stanowniczy sługa, (słowa Jerlicza) naprzód przyjechawszy, w domu wjezdny zastaje J. M. Pana Pisarskiego, który tam stał wprzód, i każe ustępować z gospody, powiadając, że tu król Jegomość będzie stał. P. Pisarski odpowié onemu, że my teraz króla żadnego nie mamy. Słowo za słowo. W tym czasie *Kazipokój* nadjeżdża. Posłany uskarża się na p. Pisarskiego, którego każe obić dobrze do rosółu obuchami przy sobie, mając z sobą do 500 gwardyi, a ten jako szlachcic mając się dobrze, a nie spodziewając się takiej tarapaty, miał ze 20 człowieka. Nazajutrz, czyli jak się zebrał p. Pisarski, jedzie do Krakowa, zastaje bywszego króla, daje mu pozew na kapturowe sądy, które się odprawowały natenczas, i te Jana Kazimiérza od czci odsadzają.”

Przy końcu swój kroniki przystępuje Jerlicz do opisanja bezkrólewia, i obrania Michała Korybuta.

Śmiało rzucony cień na Jana Sobieskiego wówczas hetmana, krytyka dziejowa poświadczyć musi. Złączony ścisłym węzłem

jednej myśli z Prażmowskim, nie wahał się zniżyć do intryg niegodnych jego szabli zwyciężkiej.

Jerlicz ze szczegółami opisuje jak Sobieski zwabiał Tatarów, by utrzymać Kondeusza na tronie, pozwalając im łupić Polskę. W drodze Prażmowski, po obraniu Michała, na sutęj uczcie zadaje mu truciznę, od której skutków zaledwie uratował go domowy ojca, Wiszniowieckiego, doktor.

Jeżeli pierwsze podanie nie ulega wątpliwości, drugie potrzebuje dowodniejszych świadectw: wieść jednak powszechna, chwilową słabość na tęg ucztę króla Michała ze zbytku pokarmów, przypisywała zjadliwęg truciznie.

Jerlicz stary żołnierz, miłujący swój kraj, przeżywszy całe panowanie Wazów, ojca i dwóch synów, lubo przywiązany do króla Michała jako krwi Piastowskiej, nie może utaić oburzenia na zbytek i rozrzutność: czy je widzi na dworze króla, czy pod strzechą szlachecką. Wymowny tęg kreśli obraz tęg niedbałości o dobro publiczne, a obok tego tęg chuci marnotrawstwa, tęg chęci przesady w przepychu, czy utrzymywania licznego dworu, czy w ucztach i w ubiorach. W jaskrawęg barwie wygląda ten wizerunek, postawiony obok nędzy i niedoli, jakimi cała Polska była przygnieciona.

Kończy kronikę swoję na akcie związku, którym szlachta z rycerstwem stanęła w obronie Michała Korybuta, przeciw Sobieskiemu i Prażmowskiemu.

* * *

Daliśmy tu tylko wydatniejsze ustępy latopisca albo kroniki Jerlicza: wszakże w nięg ciąg opowieści idzie rok za rokiem przez pół wieku z górą, bo przez lat 53. Opuściliśmy więc mnóstwo drobniejszych nieznaných szczegółów, lub znanych a inaczej przedstawionych, bo te wszystkie znajdzie czytelnik w samém dziele Jerlicza. My tylko chcieliśmy uwagę zwrócić na nowe fakta, które zbogacą dzieje nasze, a w inném świetle ważne ustępy historyczne, głównie z czasów Jana Kazimierza i Michała Korybuta, przedstawiają.

Kronika Jerlicza uzupełnia Pamiętniki Chryzostoma Paska. Nie mówimy tu, że go wyprzedza w swęg opowieści o lat 37, ale właśnie od roku 1660 obaj jednę wyprawę Stefana Czarnieckiego na Litwie i Ukrainie opisują. Obaj służyli pod jego sztandarem, obaj go znali, kochali, i uwielbiają zarówno. Gdy Pasek w ogólných wyrazach wspomina śmierć tego bohatera; Jer-

licz szczegółowo ten zgon opisuje, i podaje do życiorysu jego ważne, a wielce malujące charakter Czarnieckiego szczegóły.

Pełniejszym od Paska jest Jerlicz, gdy przychodzi do obioru i panowania Michała Korybuta; obaj zarówno nienawidzą Prażmowskiego. Jerlicz nie tai intryg Sobieskiego, które oburzały szlachetną jego duszę; Pasek przemilcza, choć wiedzieć o nich musiał, bo to jego wódz później, a następnie król, którego jako wielkiego bohatera na polu bitwy, sam wojownik, uwielbiał. Jerlicz zamyka kronikę swoje na rok przed śmiercią króla Michała; szczęśliwszy Pasek, bo dożył oswobodzenia Wiednia przez króla Jana IIIgo, i nieraz miał sposobność z nim mówienia. Przeciągnął Pasek lat 15 po Jerliczu Pamiętniki swoje, w które wlać umiał więcej życia, więcej barwy swoich czasów, aniżeli którykolwiek z pisarzy naszych. Mistrzem był w tém Pasek, ale i nasz Jerlicz nie zostanie mniej obojętnym dla badaczy dziejów krajowych.



WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Ciąg dalszy).

III.

Powrót.

I idąc gwarzyli,
Z ludzi się dziwili,
Ten taki, ten owaki,
Ta taka, a ten siaki.

Już i nieszpory się skończyły. — Na plebanii pełno gości: księży i obywatelstwa. Jedni siedzą na ganku, drudzy przechadzają się po ogrodzie; fornale gwarzą przy stajni, a w karczmie tylko dudni i huczy; tak młodzież wywija.

Pozwijano kramy. Gospodynie ocieniając oczy od promieni nisko już nad ziemią wiszącego słońca, wyglądają rychło tam było do wsi przygonią. Gospodarze z ręką w zanadrzu poją dobytek pozostały w domu, a drogą od wsi wijącą się między dwiema ścianami pszenicy i żyta, postępują w małych od siebie ustępach trzy gromadki włościan z różnych wsi sąsiednich.

W najpiérwszój idą dziewoje i parobczaki, w drugiej kobiety zamężne, a w końcu kilku gospodarzy już nie piérwszój mlodości. Rozmowa wszystkie usta ożywia: młodzież się śmieje, figluje, kobiety trajkoczą jakby z nich każda po dwa miała języki, a gospodarze z pewną powagą toczą między sobą rozprawy.

— Ot żytko *kieby* las—mówił wuj Basi, Jędrzój, wskazując ręką na obszerną niwę żyta, po której przelatujący czasem wie-

trzyk szumiał szelestem poruszanych kłosów, — a coto będzie chleba, co roboty dla *ludowiny!*...

— Ej! mój sąsiedzie — odezwał się drugi Tomasz — jeszcze-*ta* wszystko w woli Boskiej; choć dziś *ładno* wygląda, to-*ta* różne mogą wypaść *okazyje*: to przypali, to zarazi, to grad wybi-je, to powali.

— Oj! prawda, święte wasze słowa — potwierdzili drudzy — człowiek się cieszy, a nie wie *kiej* bięda na niego przypadnie.

— Ha! bo bięda, moi kochani — odezwał się Tomasz — nie chodzi po ziemi, *ino* po ludziach.

— Starato *gadka*, ale prawdziwa — zabrał głos Jędrzej. — Żeby bięda chodziła po ziemi, toby *zawdy* człowiek mógł się od niej opędzić, ale że chodzi po ludziach, to i trudno jęj poradzić. Ot, na ten przykład, i ten szlachcic ma żytko coby i wężowi trudno się było *bez* niego precisnąć; pszenica także na ludzi patrzy, jarzyna ujdzie, a jednak rok roku nigdy-*ta* u niego nie dogoni. Fornalki, Boże zmiłuj się, pyskami się *ino* po roli podpierają; a z wiosny jak zasieje, to potem i *krzyny* ziarna u niego w śpich-rzu nie *uświadczy*: *het!* to kupuje, to pożycza od drugich i jak może tak cygani, aby-*ta* dalej, aby do nowego (1).

— Ej! mój sąsiedzie — odpowiedział na to Tomasz — i cóż dziwnego? Jak *ino* człowiek nie ogląda się na jutro, *ino* aby miał czém *kaldun* napchać, to-*ta* wszystko u takiego musi iść bez składu i bez ładu. Po żniwach *ino* co zasieje, to fury ze zbożem tak walą się do miasta, że po gościńcu to tak dudni, *nikięj* na wiatraku kiedy pytlują. Jego nigdy nie *uświadczy* w domu, *ino* *zawdy* na polowaniu, albo na jakich zbytkach: to u przyjaciół, to w mieście, to u siebie; a żebyśta moi sąsiedzi wiedzieli, co to oni-*ta* dokazują, co się narozlewają wina i araku, to aż człowiekowi dziwne rzeczy się dzieją, że-*ta* *tyla* pieniędzy na marność wychodzi!

— Oj! prawda, prawda — odezwali się słuchacze serdecznie wzdychając — a ludowinie u niego, to gorzej, niż psu u złego gospodarza: ni zapomogi, ni pomocy, ni poradenia. Chałupa się wali, a niech się wali! Na przednowku się rozłają po całym

(1) Żeby ktokolwiekbaż zdań rozmawiających włościan nie wziął do siebie, przymuszeni jesteśmy oświadczyć, iż takowe pozbiuraliśmy we wszystkich stronach kraju naszego, i ulepiwszy z nich jedną całość, przedstawiamy ją w naszej pracy głównie w tęg myśli, aby dać wyobrażenie, jak lud wiejski pilnie śledzi i roztrząsa wszystkie czyny swoich panów.

świecie, jak mrówki, bo i *cóż* w *doma* będą robić? Jeść nie ma co, ze dwora nie dadzą, bo sami nic nie mają: to jaki taki szuka po świecie zarobku, i jak *kaj* zalezie, tak i utchnie, a we wsi pustki. Nadejdą żniwa, nie ma czém robić; dopiero jeżdżą wieś od wsi *nikiéj* organista po *petycyi*, a wszystko o *bandosów*; ale Bogać-*ta* ma kto do niego pójść, kiedy każdy w *doma* ma robotę. To téż nim zbierze, pół ziarna *zawdy* w polu zostanie, i tak téż wszystko idzie na marność.

— *Laboga!* moi kochani—odezwał się na to pierwszy raz Wawrzyniec, z dziada pradziada rodowity Świątńicznin, zwykłym przeciągającym dyalektem—pierwsze słyszę co mi powiadacie; a to szlachcic strasznie głupi, kiedy się nie umie *obrzędzać*. *Laboga!*

— O! że głupi, to ani gadania—potwierdził Tomasz.—Sadzi się na cugowe konie, na *liberyje*, i Bóg wie nie na jakie wymysły, a w domu pocziwego nie ma wozu, ani wołu; a jak się w mieście pokaże, to żydzi *ino* się czernią *wedle* niego. Na jesień to jeszcze *fracha*, bo ma co sprzedawać, to żydzi *zacharują*, a wszystko Jaśnie Panie, nisko się kłaniają, i *zawdy-ta* od niego taniéj choćby półzłotek, to wykpią na korcu.....

— O! to prawda, że głupi szlachcic — potwierdzili inni, a Wawrzyniec dodał:

— *Laboga*, moi kochani! i szlachcic i taki głupi? *Laboga!*

— Ale jak przyjdzie wiosna—mówił dalej Tomasz—to żydzi jak go zobaczą, to-*ta* powkładają ręce w kieszenie i szwargoczą, szwargoczą, a on taki pokorniuski, bo w domu i na nasienie ziarna nie znajdzie. Już się nie puszy *nikiéj* kogut na płocie kiedy pieje, ale tak *potulno*, grzecznie z żydami się rozmawia, że czasem to i wykpi co pieniędzy, a czasem to żydzi *ino* pogłaskają *se* brody, podniosą ramion do góry i odchodząc powiedzą: *Aj wej, szlachter*, niech go diabli wezmą ze spekulacją; a mój owies, a moja pszenica? Jaki mądry, *aj wej!*

Na te słowa wszyscy się rozśmieli, a Jędrzej dodał:

— O! to *judy* te żydy: oni-*ta* człeka zaraz zwąchają i wiedzą czém kto pachnie, to mu wtedy pewno nie Jaśnie panują.

— Bogać-*ta* mają mu Jaśnie panować, kiedy-*ta* nie żyd jego, *ino* on żyda musi się prosić.

— Moi kochani, moi sąsiedzi—odezwał się Wawrzyniec—powiedzcie mi, co to za wymysł taki Jaśnie Panie, bo-*ta* u nas takiej *gadki* nigdy nie *uświadczy?*

— O! już prawdziwy z was *szpitalnik*—odpowiedział Jędrzej—chłopiby-*ta* między sobą Jaśnie Panie mówili.

— Laboga, moi kochani! ja przecieć nie do tego prowadzę, *ino* do tego, co to znaczy Jaśnie Panie?

— Ej! co znaczy, co znaczy? to *ino* subiekcyja dla głowy. Ot na ten przykład: do ekonoma, to mówi się panie; do szlachcica na jednej wiosce Wielmożny Panie; a jak ma kilka wsi, to Jaśnie Wielmożny Panie.

— O! moi kochani! a *my-ta* choć po różnych chodziewa dworach, to *zawdy ino panie* mówiewa każdemu.

— Ha! to też między ludźmi jest taka *gadka*, żeśta głupie szpitalniki, bo nie wieta jak z kim wypada się rozmówić.

— Patrzajcie?— moi kochani, i to dlatego? Laboga!

— Ba! i dlaczegożby-*ta* innego? A żebyście mój Wawrzyniec wiedzieli, jakto niektóra szlachta lubi kiedy mu się mówi Jaśnie Panie! To ten szlachcie w Radkowie jak przyjdiesz do niego po interesie, to *ino* mu co słowo mów Jaśnie Panie, a kłaniaj się, a znów Jaśnie Panie, i znów kłaniaj się, to ci rodzonej *krwie* z palca nie będzie żałował, i tak się *ładno*, tak *grzeczno* rozmówi, i każe dać wódki. Ale *ktota* nie wie tego do niego i niech mu mówi Wielmożny Panie, to go o mało z podwórza psami nie poszczuje, i tak wtedy zły, tak wykrzykuje, że człek ucieka za dziesiątą granicę.

— Patrzajcie? moi kochani—odezwał się potrząsając głową Wawrzyniec—*dobrzeta* i o tém wiedzieć.

— Ba! zapewne że dobrze.

— A powiedzcie mi mój Jędrzeju, a temu panu z Chodowa czy także Jaśnie Panie należy się mówić?

— Ej! bajecieta, bajecie, *nikiej* kował w gorączce; niby to pan z Chodowa to taki głupi jak ten z Radkowa. U pana Chodowskiego to wszystko bez żadnych wymysłów, bez żadnego odkazywania, wszystko po gospodarsku: i ludziom dobrze, i bydłom, a niechta do niego i *tyli* dzieciak przyjdzie, to się z nim tak *delikatno* rozmówi, że aż miło. Ho! jemu mówcie Jaśnie Panie, *tota* z wami ani jednego słowa się nie rozmówi, *ino* natuli czapkę na uszy i pójdzie do dwora; bo powiada, że się-*ta* przyszło do niego z jakimś oszukaństwem, kiedy człek od *pochlibstwa* zaczyna.

— O! to dobry, uczciwy szlachcie—odezwali się inni— a jaki na wszystko wyperswadowany, jak się na każdej zna robocie, to-*ta* jego nikt nie oszuka.

— To *właśnie*, nie tak jak szlachcic z Ładowa.

— E! co tam pan z Ładowa! Ludzie mówią, że on-*ta* nie wszystko dobrze ma w głowie: raz taki, raz owaki; czasem za byle co, czy *warta* kto czy niewarta, daje wódki, zboża, pieniędzy; to wtedy już co kto urwie, to jego. Ale czasem znowu to *nikiejby* szalony: lata, krzyczy, o byleco zaraz każe rozciągać, zarobek *haresztuje*, i wtedy proś u niego choćby krwawemi łzami, nie nie uprosisz. To też-*ta* u niego Bóg wie jak wszystko idzie; nie ma żadnej jedności: ekonom sobie, chłopci sobie, dworscy sobie, a nikt nic nie ma, i Bóg wie *kaj* się co podziewa.

— Laboga! moi kochani—odezwał się Wawrzyniec—to-*ta* dziwna szlachta co o niej mówita. A wasz też, Tomaszu, jaki, bo ludzie powiadają, że ta ujdzie *ciarachosko*?

— Ej! nasz-*ta* ujdzie, ani gadania: ludzi nie krzywdzi, wypłaci co się komu należy, czyta zasługi, czy zarobek. Zabiegliwy, *wedle* gospodarstwa, *wedle* roli chodzi od rana do nocy; ale-*ta* moi kochani zawdy u niego bliższa koszula jak sukmana, i wodę *ino* na swoje koło ciągnie.

— No, mój Tomaszu, to i *niedziwota*, boć każdy człek, czy-*ta* chłop, czy szlachcic, to zawdy jest k'sobie, a nie od siebie.

— No, juźci co prawda, to prawda; ale-*ta* łatwiej panu jak chłopu, bo co człek nie wypracuje rękoma, to mu-*ta* łatwo nic do garści nie wpadnie.

— A juści, a juści—potwierdzili drudzy.

— Ej! *dziwniśta* strasznie moi kochani—odezwał się na to Wawrzyniec—kiedy wypłaca co się komu należy, kiedy nie krzywdzi, to i cóż wy więćej chceta? Jesteście w jakiej *okazyi*, to *mata* się gdzie podziać: czy o jakie leki, czy o chleb na przednowku, czy o poradzenie w jakiej *turbacyi*; ot nie tak jak my, co nikiiej ptakowie, co *ino* jednego Boga mają nad sobą.

— Ale, tak wam to gadać—odezwał się jeden z włościan—zawdy wam łatwiej jak nam: bo choć—mówił dalej z pewną ironią w głosie—wasze dziedzictwo, mój Wawrzyncze, niedługie i nieszerokie, ale głębokie: i kop, kop, a nie dokopiesz się końca.

Wszyscy się rozśmieli, a Wawrzyniec odrzekł:

— O! *kpijta-se*, *kpijta* ze szpitalników, a równie dobrze wam z niemi: czy z płótnem, czy o robotnika, to zawdy do szpitalników.

— Ba!—odpowiedział Tomasz—bo też ludzie z waszój wsi to tak latają po świecie z przedzionkami, nikiiej żydzi po skórkach.

— A jak się zaczął dziwić — dodał inny — i wołać co słowo *laboga*, *laboga!* to tak śmieszno, jakby się w lesie między wilkami, a nie pomiędzy ludźmi wychowali.

— A, bo żyda i Świątniczanina — dołożył znów inny — po *gadce*, to poomacku zaraz pozna.

— *Laboga!* — zawołał w zapomnieniu i napót rozgniewany Wawrzyniec — a wyśta, czy poszaleli czy co? — *Laboga!* *nikiejby* nie z kościoła, *ino* z karczmy wracali, tak *se* wykpiwają.

Takie powtórne wymówienie cechującego wszystkich Świątniczan wyrazu *laboga*, właśnie wtenczas, kiedy go za przedmiot drwinek wybrali, pobudziło całe grono rozmawiające do szczerój wesołości.

Śmieli się więc poglądając z ukosa na siedzącego się Wawrzyńca, który z cichym dąsem, szepcząc sobie coś pod nosem, jeszcze bardziej zagniewaną miną podsycił dowcip towarzyszącej mu gromadki. Nareszcie każdy umilkł, bo gniew Wawrzyńca szedł krokiem galopującym, i choć jeszcze w duszy się śmiano, gwarliwa rozmowa ustąpiła miejsca takiej cichości, że z dokładnością można było policzyć odgłos stąpających kroków. Aż na raz jeden z piersi Wawrzyńca buchnął głośny, serdeczny śmiech; uspokojeni włościanie z równą szczerością zawtórowali, a pola, łąki i wzgórza, odpowiedziały echem téj nagle podniesionój radości.

Wypadek do tego jeszcze zdarzył, że i dwie drugie gromadki młodzieży i gospodyń wiejskich, postępujące w małej odległości od naszych włościan, równą ożyły wesołością. Gdy więc ucichł gruby chór męzki, zabrzczały cienkie, naiwne głosy dziewcząt; zaraz potem zagadało echo szumiąc temi podwójnemi tony, które przytłumił pełnym głosem zawodzony śmiech kobiet.

I ten koncert śmiechu to opadał, to się wznosił, to nikt między wzgórzami; i cała okolica strojna uroczą cichością dnia świątecznego, jak młoda dziewczoja gdy ze spuszczonei oczyma przystępuje z pokorą do spowiedzi, taką napełniła się wrzawą, takim ożyła weselem, jakby za każdym wzgórzem, w każdym rozdole i w każdej wiosce czerniącej się wśród zielonego zboża jak stogi z sianem na łąkach, ukryte były śmiejące się gromady, które wzajemnie przedrzeźniając się, gadają do siebie.

— A bodaj was Bóg kochał — odezwał się pierwszy Wawrzyniec — i z waszém wykpiwaniem; a to mało ze śmiechu nie przyjdzie się człowiekowi udusić.

— O! już prawdziwy z was szpitalnik: to się gniewacie, to się śmiejecie—zagadł Tomasz—a wszystko Bóg wie z czego. Ale dajcie pokój, bo nadjeżdża szlachcic z Noskowa, to będzie myślał, że wracawa nie z próżnymi głowami.

Wkrótce w cztery gniade konie, z brzęczącą uprzężą chomont krakowskich, przesunęła się zgrabna najtyczanka.

Włóścianie rozstąpili się na obie strony drogi z pokornie zdjętymi czapkami, skłonili się aż do samej ziemi siedzącemu w bryczce panu, i gdy zobaczyli go na kilkanaście kroków już oddalonego, pierwszy przemówił Tomasz:

— Ale tegie szlachcic ma szkapy.

— A, bo widzicie, on *zalicu* się w naszym dworze — dodał inny — a u szlachty to już taki obyczaj: z kąd wziąć to wziąć, choćby w domu jeść co nie było, choćby się przyszło zapożyczyć, aby tylko szkapy były dobre do *zalicania się*.

— A to dziwna ta szlachta — odezwał się Wawrzyniec — to u nich parada więcej znaczy, *nikiej* wszystko.

— A *ino*, a *ino*, mój Wawrzyncze. Ot ten szlachcic z Noskowa, to już więcej ma długu jak majątku, i ludzie mówią, że-*ta* za jakiś podatek co w Radomiu go placą (1), jakoś on się nazywa... bodaj cię... no przepomniałem; otóż że za ten podatek mieli mu już wieś zabrać, ale on się jeszcze uprosił do nowego, i choć-*ta wedle* niego chudziutko, a widzicie jak paraduje. W domu bięda taka, coby jój i siekierą nie uciął, a on nie pyta, paraduje i *juści*.

— No, jak się ożeni w waszym dworze, to się trochę podeprze, bo podobno u waszego to pieniędzy nie brakuje.

— Ej! człeku, człeku, co-ta u niego majątku, co *wszyckiego*, to patrzeć, to aż człeka oczy bolą; ale to wszystko pójdzie na marność, bo póki stary żyje, to się wszystko kupy trzyma, ale niechno mu przyjdzie oczy zamknąć, to się tak rozleci, jak *pirze* po świecie.

— A to dlaczego? co wy gadacie?—zapytał Wawrzyniec.

— Ba! synowie swoją drogą, zięciowie swoją drogą. Ot, a ten szlachcic z Noskowa, to jemu *ino* piszczy, a *wszycko* tak do pieniędzy. Niechno każde weźmie co swoje do garści, to pójdzie jak plewa z wiatrem.

— Co nie ma pójść? pójdzie, pójdzie—potwierdzili drudzy.

(1) Towarzystwo Kredytowe.

— Moi kochani—zapytał Wawrzyniec—powieǳcie mi, *kaj* są te pieniądze, bo *kaj* się *ino* człowiek obróci, to wszędy ludzie płaczą bez pieniędzy.

— *Kaj* są?—powtórzył Tomasz—a jużci *kajże* mają być jak nie u żydów; a czy wiecie dlaczego?

— No, dlaczegożto?—zapytano dokoła.

— A to widzita dlatego, że u nich nie ma żadnego odkazywania się: czy-*ta* żyd biędny, czy bogacz, czy-*ta* pan, czy służący, to *wszyćko* jedność; nie powstyǳi się żaden niczego i nie przestrzegają tak *prywaty*, jak między naszą szlachtą. Ot na ten przykład, żebyśta byli kiedy we dworze u tego pana z Noskowa, to mieliśbyta się czemu napatrzeć. Co-*ta* u niego dworusów, co zawdy gości, co *liberyi!* Albo w Radlicach, jak to tam dworono, jakby u największego pana; a jednak ludzie mówią, że jużby ich dawno z majątków powyganiali, co już Bóg wie nie od kogo się napożyczili, żeby nie to, że się od roku do roku *zawdy* uproszą.

— Macie *racyjja*, mój sąsiedzie—odezwali się słuchający—prawda, prawda. Jednak ta szlachta, chociaż i w szkole się uczyła, choć-*ta* i w domu różnych ma nauczycieli, to strasznie jest głupia; bo choć po wierzchu piórka się im świecą, to ludzie dobre mają oczy i widzą, że czasem u nich i złotówki w domu nie *uświadczy*.

— Ej! moi sąsiedzi—odezwał się Tomasz—i między nami zdarzą się tacy. Znacie Urbana w Pokutnie, co ma trzy dziewczki *kieby* łanie, a każdej jużby czas dawno o chłopie pomyśleć (1); to Urban, żeby niby ludziom pokazać, że ma dla nich wiana, *zawdy* zachowa z kilka snopków żyta i dopiero ich młóci *wedle* żniwa, żeby się przecieć odkazać, że u niego nie ma przednówka; ale-*ta* ludzi nie oszuka, bo każdy wie, że choć się ma nie ostatnio, to jednak u niego się nie przewala, i dziewczki jak siały tak i sieją rutkę.

— Oj! głupi Urban, głupi Urban—odezwano się ze śmiechem, a Tomasz dodał:

— Ale *zawdy*, moi sąsiedzi, głupsza szlachta; bo cóż, Urban, zwyczajnie jak chłop, bez żadnej *edukacyi*, i na Urbana *ino* we wsi patrzą, a do szlachećca, to się cisną oczy ze wszystkich stron.

(1) Czyli o mężu.

— Prawda, prawda—potwierdzono tłumnie—już co głupsza szlachta, to głupsza. A jeden dodał:

— *Nikić Janek* co z dziewczynami idzie na przodzie, bo jemu to wyraźnie *podalo* się na szlacheca, a nie na chłopca; do uciechy, do stroju, do uciesznej gadki, to jeden, ale do statku i pracy, ani go weź.

I gdy jedni potwierdzali wyrzeczone zdanie, Jędrzej, wuj Basi, odezwał się:

— Ej! moi sąsiedzi, dajta pokój chłopaczyskowi, bo sięta ludzie dosyć pyskami o niego nawycierają; a cóż on winien, że *miętkiego* serca? Jednak w uczciwości chodzi i nic krzywego ludziom nie zrobił.

— No, ani słowa, ale że głupi, to nie ma gadania.

I tak zawyrokowawszy, rozmowa się urwała; każdy zapewne w dumnej zarozumiałości widząc siebie wyżej postawionego nad *ciarachami*, chwilowo się zamyślił.

Dwie inne gromadki idąc ciągle gwarzyły; a jeżeli między młodzieżą najwięcej było żartów i śmiechu, to między starszemi gospodyniami trajkotu i obmowiska.

— Czyście zważały, moje sąsiady — mówiła jedna z nich zwana Stachowa, głosem prędkim a monotonnym—jak się to dziś wystroiła do kościoła Grzesiowa. Na szyi *tyla* miała koraliki ni-kić indyk, ale to mieszane, były-*ta* prawdziwe, ale nie *wszyckie*, bo ja się dobrze *przypatrowała*....

— Toście źle widziały—odezwała się Tomaszowa—boć i ja przecie mam oczy....

— Nieprawda.

— Ej! bajecie, bajecie....

— Nieprawda, nieprawda — odezwała się Stachowa.— Gadajcie wy swoje, a ja wam sto razy powiem nieprawda, nieprawda i *juści*, bo-*ta* i połowy nie było prawdziwych koralików; zkądżeby ich wzięła, czy z roli, czy z zarobku, kiedy-*ta* wszystko u nich jak woda: jak przyjdzie tak i pójdzie, a choć grosz jaki wpadnie, to-*ta* znajdą się inne dziury. O ho ho! a wszystkieby trzeba zatykać, nie koraleby właśnie kupowała....

— A któż wam powiada — przerwała Tomaszowa—że ich sama kupowała? Nie bójcie się, ma ona dobry rozum i wie *każ* grosz podziąć.

— A to któż ję kupił?—zapytano dokoła.

— No gadajcie, gadajcie—dołożyła Stachowa.

— Ej! moje kochanecki, tak się wypytujeta, *nikiej* bysta nie miały ani oczów, ani uszów; ja-*ta* plotek nie lubię, ani-*ta* szarpać kogo na honorze: dajta mi pokój, niech każdy pilnuje swego nosa.— I reszta odpowiedzi w cichym szmerze zginęła na ustach Tomaszowej.

Gadatliwa Stachowa potrząsłszy z nieukontentowaniem głową, poprawiła spadające jój z ramion z białego płótna okrycie, i obracając się do reszty towarzystwa, mówiła:

— Moje sąsiady, plotka plotką, a prawda prawdą. Grzesiowa wszystkich koralu miała dziewięć sznurków, nieprawda?

— A juści, a podobno tak—odezwały się słuchające, a Tomaszowa pomruknęła jakby do siebie: Oj! bajbuga, bajbuga!

— No, to widzicie—mówiła dalej Stachowa—a dziś w kościele jeżeliśta zważyły, to się jój czerwieniło wedle szyi najmniej 13cie, a może i więcej; to zkądzeby ich wzięła?

— Uhm—mruknęła z przekąsem Tomaszowa—tak, zkądby ich wzięła! Wy nie wieta, ale ja wiem.

— Przecieć ich nie pożyczyla, bo-*ta* każda przecie na odpust do ubrania potrzebuje; i nie ukradła także: więc namieszała między prawdziwe koralu z kilka sznurków fałszywych, aby się-*ta* przecie odkazać między innemi.

— Albo to prawda?—odrzekła Tomaszowa nie mogąc dłużej w milczeniu wytrzymać.—Wam moja Stachowa w oczach się uroiło *cosic* i chceta nas.....

— Co ja chcę, co ja chcę?—wołała Stachowa bijąc się w pierś—ja o prawdę nigdzie nie zginę; bo żebyśta wy mnie gadali i gadali, to ja wam zawdy powiem: nieprawda, nieprawda i *juści*.

— Otóż moja prawda i juści—z podniesionym głosem odrzekła Tomaszowa.

— Nieprawda, nie wasza!

— Moja, moja.

— Nie wasza, nie wasza!—wołała Stachowa.

— Kiedy nie moja prawda, to się wy nic nie znacie na koralach, bo.....

— O! ho, ho, ho, widzicie jacy mądrzy! To wy się nie znacie.

— Nieprawda, wy się nie znacie.

— Znam się, znam się.

— Nieprawda, nieprawda—odrzekła Tomaszowa i przez dalszy ciąg mowy wymowniejszój Stachowej ciągle powtarzała: nie prawda, nieprawda: nie znacie się ani *krzyny*.

— O! gadajcie, gadajcie, nawet się zagadajcie—trajkotała Stachowa—ja zawdy swoje powiem, bo swoim oczom lepiej wierzę jak cudzym. Korale koralami, a prawda prawdą; i żeby mi-*ta* nie wiem jak kto gadał, jak perswadował, to ja zawdy będę przy swoim; zawdy swoje będę prowadzić, że korale nie wszystkie miała prawdziwe, i że-*ta* choć z piąta część to była fałszywych, *ino* dla parady. O! ho, ho, ja się na tём znam; nie pierwszyna mi takie rzeczy, nie od dziś, ani od wczora patrzę przecie swemi oczami po świecie, i żebyście mi tu nie wiem jak dowodzili i jak perswadowali, to ja zawdy przy swoim zostanę, bo zkądby *wzie-
na* tyła koralu, zkąd?

W tём miejscu Stachowa wstrzymała się i w mowie i w chodzie, jakby czekała odpowiedzi. Tomaszowa chociaż nie przekonana, ale zakrzyczana potokiem słów Stachowój, w najwyższym stopniu wrzała całą niecierpliwością przekonania upartój sąsiady, którą jak tylko ujrzała cokolwiek uspokojoną, na zapytanie: zkądby ich wzięła, zkąd?—odpowiedziała:

— Zkąd? oto ani ich kupiła, ani ukradła, *ino* od swego dziedzica dostała.

— Od dziedzica, moi kochani—powtórzono z zadziwieniem dokoła, nie wyłączając i Stachowój—a to za co? jakimto sposobem?

— Za co, za co? juścić nie za robotę; ale że od niego, to ja wiem dobrze, bo mi sama Grzesiowa mówiła i pokazywała; a korale powiadam wam śliczności; warte ze 40 złp.

— Moi kochani—odezwała się żona poznanego przez nas Świątniczana Wawrzyńca—a to poczciwy jakiś szlachcic, kiedy-*ta* tyle pieniędzy nie żałuje dla swoich kobiet na ustrojenie. Patrzajcie, moje kochaneczki, to uczciwy szlachcic.

W tój chwili reszta kobiet parsknęła śmiechem z tak nawiwnie wyrzeczonego zdania, a Jędrzejowa, ciotka Basi, odezwała się:

— Moja Wawrzyńcowa, tak gadata, jakbyście się w lesie wychowali. Właśnie by-*ta* kto po próznicy tyła pieniądze wywalał; zwyczajnie, piękne za nadobne.

— Bójta się Boga, moi ludzie—odpowiedziała Świątniczanka—czy to może być, a toć przecie śmiertelny grzech *zalicac* się do innych, kiedy się ma swoją kobietę.

— Zapewne, zapewne—potwierdziły inne—i komuto jeszcze? Żebyto jakiemu młodemu, to by-*ta* i nie była taka wielka dziwota, ale takiemu statecznemu.....

— Macie *racyjną*, moja Józkowa, bo od młodego to może-
byście i wy koralami nie wzgardzili.

— Cichobyście byli, nie obrażalibyście taką *gadką* Pana Boga, bo dobrze *żeśwa* same, że mamy swoją *kalkulacyjną*, ale gdyby tak przy dziewczuchach.....

— O! przy dziewczuchach właśniebym tak pokpiwała. Przecież ja wiem *kaj* co powiedzieć.

— Ale bójta się Boga, moje sąsiadeczki—zapytała się Świątniczanka—czy tylko to nie jakie obmówisko. Czy to może być, żeby szlachcic a tak źle miał w głowie?

— Moi kochani—rzekła na to Tomaszowa—u was w głowie to ni źle, ni dobrze, *ino* prawdziwie po świątnicku, bo-ta nic nie wieta, co się po świecie między ludźmi dzieje.

— A może to i być, bo u nas zwyczajnie-*ta* jak między chłopami: robota od rana do nocy, to o niepotrzebnych rzeczach nie ma i czasu myśleć.

— A *ino*, a *ino*; ale widzicie, u szlachty to *wszyćko* inaczej, i Grzesiowa takichby koralu nie miała, żeby nie dziedzic. A to choć stary, to wielki zbytnik: jak-*ta* u jakiej roboty, to on zawdy między kobietami: to *se* pokpiwa, to żartuje, że aż straszno słuchać.....

— Patrzajcie moi kochani—odezwała się Świątniczanka— a jak w kościele, to tak się modli, taki pokorniuśki, jakby jaki święty.

— E, zwyczajnie wszystko to *ino* dla oka ludzkiego, bo choć książkę trzyma pod nosem, to mu oczy latają *nikiej* ciarki po kościele, a wszystko *ino* po dziewczuchach, po kobietach, a modlenie to mu-*ta* ani w głowie nie postoi.

— Ej! dalibyście pokój—odezwała się znowu Świątniczanka—i w kościele i takieby mu rzeczy do głowy przychodziły?

— Co wy wiecie? U szlachty nie ma takiej *obserwacyi* w kościele, jak między nami. Widzieliście dzisiaj jak-*ta* ci młodzi z Poskoczna zeszli się z synami pana Przybyłowa, co to było między nimi witania, co gadania, co śmiechu; a niech-*ta* między nami które się zdrzymnie, co i niedziwota, bo człek cały tydzień *haruje*, to w święto jak przeleci milę do kościoła i siądzie gdzie na boku, to ani wie kiedy mu się oczy zamkną; to zaraz potem na nas *haru*, *haru*, że *ino* na spanie, a nie na modlenie przychodzi-
wa do kościoła.

— Oj! prawda, prawda—potwierdziły słuchające.

— A ten szlachcic z Kosowa — odezwała się jedna z kobiet — widzicie, jak to on w kościele bije się w piersi, na klęczkach mszy świętej słucha, zawdy złotówkę kładzie na światło. Do spowiedzi to pięć i sześć razy chodzi do roku, a i cóż to wszystko znaczy, kiedy *ino* w kościele taki pobożny, a u siebie we wsi, to nikić wilk między owcami. Każdy u niego pijak, złodziej, próżniak, z gęby nigdy Boskie słowo nie wyjdzie, *ino* takie przekleństwa, że obcemu to aż straszno, bo się *duchem* zdaje człekowi, że to go złe opętało.

— Ale, bo on podobno nigdy próżnej nie ma głowy — przerwała jedna ze słuchających.

— A *ino*? tak jest. Mój kum Walek, co-ta służy u niego w gorzelni, to powiada, że tak wódkę pije, jak wodę; *ino* się ze snu ocknie, zaraz do flaszki: *bach* jeden kielich, *bach* drugi; pójdzie do magazynu, znowu poprawi, i tak *bez* dzień cały. A niechno zobaczy pijanego, to zaraz z batem nad nim i pokłada nie żartując, a zawdy sam bije.

— Mój Boże! żeby to tak u nas, toby już człeka i za Boskie stworzenie nie mieli.

— I to oni tacy wszyscy, ci wasi panowie? — zapytała Świątniczanka.

— A niechże Bóg broni; zwyczajnie jak-*ta* i między nami co są źli, są i dobrzy: boć-*ta* przecie o panu z Jaltowa albo z Gozdowa, albo-*ta* i o wielu innych nikt nic złego nie powie. W domu żyją po Bogu, nie swarzą się, zawdy u nich wszystko *grzeczno, ładno*, w kościele znać, że *ino* o nabożeństwie myślą, a i ludowinie musi-*ta* być u nich nie najgorzej, boć-*ta* przecie trzymają się, nie uciekają, i nie słyhaćta, żeby się na nich o jaką krzywdę skarżyli.

— Prawda, prawda — potwierdzono dokoła, a jedna dodała: — jednak moje sąsiady i o nichby się-*ta* znalazło co powiedzieć.

— Ej! moja sąsiado, nie dziwota, bo znacie tę *gadkę*: że się nikt jeszcze nie urodził, coby wszystkim dogodził. Żebyta wszyscy panowie byli tacy jak z Jaltowa, z Gozdowa, z Ruszyc, z Komorzyc, oho! nie byłoby między ludowiną *tyła* płaczu i przeklinania.

— Oj! prawda, prawda — z westchnieniem potwierdzono dokoła.

— Słuchajta moje sąsiady — odezwała się Tomaszowa — już-*ta* raz zakończcie taką *rozgadkę*, bo to chłopska a nie babska

rzecz, a powiedziała mi, dlaczego ta panna z Trocic tak miała wszystkie włosy na głowie do góry pozganie, *nikiéjby* ją kto wygolił.

— Oj! prawda, że *ta* jéj z tém strasznie *dziworacznie*; a tak jéj brzydko, jakby nie szlacheckie dziecko, *ino* strach na wróble. Jaby się *ta* nawet wstydziła tak między ludźmi pokazać, nikiéj jaki cudak.

— Oj! prawda, że co cudak, to cudak—ze śmiechem odezwały się słuchające.

— Ale powiedzcie mi, moje kochaneczki, coto za obyczaj taki między szlachciankami, żeby *ta* *zawdy* to inaczej się ubierać: to włosy na głowie raz *se* tak uczeszą, to znowu inaczej; to dziś sprawią *se* co nowego, uszyją, jużćie niedługo znowu psują, krają i znowu szyją, jakby *ta* w jedném nie można chodzić do zdarcia, tak jak u nas: *zawdy* jak było, tak i jest.

— Ej! moi kochani — odezwała się na to Jędrzejowa — bo téż *tyl*e ich całej roboty, *zawdy ino* z gałganami; nie pójdzieta z nich żadna do ciężkiéj roboty, to same *se* wymyślają co mogą.

— Ej! bajecie, bajecie — przerwała Stachowa—przecięta w naszym dworze jest pani i dwie córki, a cały dzień nigdy nie popróznują; choć *ta* prawda nie *chytują* się nic ciężkiego, bo od tego dziewczki trzymają, ale *bez* cały dzień jak woda wedle gospodarstwa: to u drobiu, to u wieprzy, to w kuchni, to w piwnicy u nabiału, a w zimie *ino* się zmierzchnie, to szycia im ani nastarczy; a jak się to na wszystkiém znają, jak w każdéj rzeczy umieją człowiekowi poradzić, to nikiéjby się na książce gospodarstwa uczyły!

— Patrzajcie, moi kochani, no! no!

— Albo to wszędzie tak jak w waszym dworze? — odezwała się Tomaszowa — żebyście byli u nas, albo w Trocicach, tobyście się dopięro mieli czemu napatrzeć, jak to *prywaty* przestrzegają. Tam panie albo panny, broń Panie Boże, żeby się wzięły do jakiego gospodarstwa: tylko się ubrać *ładno*, wymuskać, spacerować *se* po podwórzu albo po ogrodzie, i tyła ich wszystkiego. A *co-ta* gości codzien, to *nikiéj* u księdza na odpusćie....

— A! i cóz *ta* komu wadzi — odezwała się Stachowa — że *ta ino* myślą o bawieniu; *tyla* mają majątku, i jeszczeby mieli pracować. Ho ho! dobrze robią, co to im potém? W naszym dworze, to co innego: dzieci *kieby* bobu, majątku nie tak wiele, to jakby przyszło spuszczać się na cudze ręce, trzebaby im dobrze brzucha

ściągać, boby *krestencyi* i na pół roku nie wystarczyło; ale tam kilka folwarków, to jest w czém ręce umaczać i na co obejrzeć się.

— Ej! niedobrze mówicie, moja Stachowa, bo czyto w chłopskim, czy w szlacheckim stanie, żeby się chłop po uszy zapracował, żebyta majątku nie wiem jak *wielą* było, to jak w domu gospodyni nie da wszystkiemu dobrego obrotu, wszystko będzie szło na marność, zawdy będzie bięda i *juści*. W dziurawy garnek lój i lój, a *zawdy* będzie próżny, aż téż w końcu i ręce ustana i człekowi się naprzykrzy, i nareszcie lać nie będzie czego. O! na ten przykład w naszym dworze, albo w Trocicach, to ani samój pani, ani żadnej panny nie *uświadczy* przy żadném gospodarstwie; to téż żebyście wiedzieli, co się tam dzieje, co tam nieraz jest swaru z panem, co płaczu, co krzyku, to *nikiej* nie między panami. I bogać-*ta* nie ma być *tyła* obrazy Boskiej, kiedyto dziś z miasta nawiozą różnych korzeni, wina, araku, różnych wódek słodkich, z młyna worami mąki, kaszy, naodbierają ze wsi drobiu, jaj, juścić po niedługim czasie wszystko jak wymiółł: bo wszystko stoi otworem, wszystkie dworusy za ręce się trzymają; ani pani, ani panny na nic nie dadzą baczenia, to téż oni łapią, capią, i wszystko wynoszą to do domu, to do karczmy. A jak kto z gości przyjedzie, dalejże dopiéro wyprzegaj z pługa albo od jakiej innej roboty konia, i *hajże* jeden leci po arak, drugi po wino; dziewczki znów na wieś: ta po masło, ta po śmietankę albo po kapłona na kolacyą. Mnie przecieć raz to kure z jaj gwałtem wzięli, *co-ta* nie mogli u nikogo wyzebrać. Darmo mówiłam, że chuda, *że-ta* z niej dojadku żadnego nie będą mieli, bo co to warta kura, kiedy na jajach siedzi; ale *co-ta* z niemi nie było co gadać; oblecieli całą wieś, każdy jakoś miał się na baczeniu, tylko ja taka byłam głupia, com nie zakryła kury przetakiem. Jak téż zobaczyli, ani upros, i wzięli jak swoje.

— A zapłacili?

— No, juścić zapłacili, ale jabym się była wyrzekła i pieniędzy i wszystkiego, bo mi tak było żal kury, że o *zdrę* o małym co nie płakała; ale myślę sobie: cóż-*ta* kura, nie ojciec, ni matka, to będzie inna; ale *zawdy* człowiekowi smutno, kiedy-*ta* po próżnicy pozbędzie się z *doma* dobrego stworzenia.

— Zapewne, zapewne. Bogać-*ta* nie—potwierdzono do-koła z czutém westchnieniem, poświęconém pamięci nieszczęśli-

wój kury, która w połowie drogi do macierzyństwa musiała pójść pod zęby niegospodarnój rzeszy dworskiej.

— Ej! moi kochani—odezwała się Stachowa—choć*—ta* prawda wszystko co powiadacie, *zawdy* oni jednak będą panami, i prędzej nam wody zabraknie, jak im chleba. A zobaczycie, że i roku nie minie, to panny poznajdą *kawalirów*, choć*—ta* wszyscy wiedzą, że im gospodarstwo ani w głowie nie postoi, bo będą miały wiana nie lada jakie; a w waszym dworze choć*—ta* dziewczyniny i statkiem i pracą Bogu i ludziom się podobają, i wszyscy ich chwala, to jeszcze w Wisle dużo wody upłynie, nim one rutkę siać zaprzestaną.

— Ha! moja sąsiado, szlachta, choć to szlachta, ale czasami strasznie głupia, nie przymierzając tak, jak między nami. Bo i cóż, że*—ta* wiano wprowadzi do domu; jak przy niém nie będzie gospodarstwa i pracy, i dobrego w głowie układu, to wnet się wszystko rozleci jak pierze po świecie; a kiój człowiek nie *nau czny* tego jest od młodu, o ho! już mu nie czas na starość uczyć się rozumu; bo kiedy kto myśli *ino* o tém jak wydawać i wydawać, a nie jak przysparzać, to żeby*—ta* miał złota i srebra pełne skrzy nie, to mu się w końcu przebierze, i na starość przyjdzie w ręce dmuchać, co takie głupie były, że się za młodu o pracę parzyły. Ot na ten przykład szlachcic z Kosowa: połakomił się na bogactwo; albo i u nas Paweł: to samo. Pożenili się z wianami, pobrali do bytku, szmat *i—ta* różności innych co nie miara, i wszyscy im zardrościli, wszyscy *zacharowali*; a i cóż się w końcu zrobiło? Z początku wszystko szło jako tako, póki było *kaj* sięgać, póki się było czém ratować, to*—ta* jeszcze dla ludzkiego języka nie było tylu *okazyi* do *gadki*; bo choć się wszystko rozchodziło po świecie, to *zawdy* na nowo było z kąd brać; ale jak przyszły dzieci, jak zabrakło w worku, a ludzie nie chcieli pożyczać: to powiadam wam moje kochanecki, że tak w Kosowie we dworze jak i u Pawła, piekło od rana do nocy. Dopiero im się oczy pootwierały, dalejże na swoje kobiety: a ja pracuję, ja zabiegam, mnie mało głowa nie pęknie z kąd brać, a ty *ino* o tém myślisz, jak prędko wydać! Od słowa do słowa, od dnia do dnia, coraz gorzej, coraz gorsza bięda, bo dochodu nie przybywa *ino* ubywa, a wydatek *zawdy* jeden, a nawet coraz większy, bo dzieciiska do kieszeni bardzo prędko dorastają. Za biędą przyszły swary, kłótnie, przekleństwa i inne obrazy Boskie; a potém?—gorzałka, i na tém się wszystko skończyło. Pije pan z Kosowa, pije i Paweł, a kobiety ich zabru-

dzone, zawalane, niewyczesane, niewymyte, chodzą-*ta* od kąta do kąta i płaczą, i stękają, a wszystko *ino* na swoich chłopów, że-*ta* im zmarnowali *tyla* majątków. Boże zmiłuj się, głupie; chłop choćby dziesięć rąk miał, czyto pan, czy z naszego stanu, to nie nastarczy pracować jak gospodyni nie ma w domu, a jak gospodyni jest, to i przy ladajakim chłopinie wszystko pójdzie dobrze.

— Prawda, prawda moja sąsiado; macie rację, bo na ten przykład Józwa już od dwóch lat jak mało się *chyta* jakiej roboty, co go Pan Bóg nawidził chorobą, a przecieć Józefowa wszystkiemu daje radę, i jak może tak się obrządza.

— A *ino*, a *ino*: a Antkowie pobrali się z sobą, to *ino* każde z nich miało dziesięć palców zdrowych; albo ten szlachcic w Pukczycach, co się ożenił z ekonomą córką, i wedle niego było kuso i chudo; a dziś, widzicie, jak się wzięli oboje do pracy, do gospodarstwa. *Oni* w polu przy roli i w stodole, a *one* w domu i w chlewach; to ludzie mówią, że i szlachcic w Pukczycach i Antkowie nie jednego talara już mają w mieszk.

— Bogać-*ta* nie mają mieć; mają pewnikiem i nie jednego.

— Dobrze to, moja Tomaszowa — odezwiała się na to Stachowa — mówicie wszystko do rozumu, i nawetby się wam dziecko nie przeciwilo; ale-*ta* choć w *gadce* wszystko tak, na świecie znowu inak; naszym pannom już czas dawno pomyśleć *se* o czepcach, i choć każda swoim gospodarowaniem więcejby przysporzyła jak wydała, ale że ich kilkoro, a majątku mało, *nie zacharująta* wedle nich *kawalirowie*, *ino* szukają z wianami, coby zaraz brzęczały....

— Ale, bo u szlachty, to już taki obyczaj, że....

— Ale u szlachty!... niby u nas nie tak. A Magda, a Maryna, dziewuchy kieby łanie, robota to im się w rękach *ino* pali; ale że ubogie, to żaden ich jeszcze nie wziął, i jak wałały się po służbach, tak się i walają; a niechby miały choć po jednej krowinie, o ho! jużbyśmy im dawno byli śpiewali o chmielu. Tak, tak, jak u szlachty, tak i u nas; nie patrzą na statek, na robotę, na gospodarstwo, *ino* na wiano.

— Ej! bajecie moi kochani! Jednak u nas prędzej później dziewuchy *zawdy* poznajdą *se* chłopów, i *ino* taka na *dziwko*-*stwie* się postarzeje, co za młodu wdała się w jakie złe, w jakie zbytki; ale u szlachty postarzyć się na panieństwie jak nie ma wiana, to nic dziwnego: gdzie rzucisz okiem, to wszędy się człowiek może tego napatrzeć.

— A juścić prawda, moi kochani — odezwała się Wawrzyńcowa — ale dlaczego to tak, bo ja nie umiem tego pokalkulować.

— Ba! ja wam powiem, moja Wawrzyńcowa — po małej pauzie odpowiedziała Tomaszowa — Widzicie, bo szlachta chociaż *ta* niby ma *adukacyją*, ale strasznie głupia i nie umie rozkalkulować w głowie co to znaczy dobre zagospodarowanie w domu; im się zdaje, że *ino* trzymać worek przy sobie i ścisnąć go, to *ta* w nim nigdy nie zabraknie. To téż oni myślą nie o gospodyni, ino o wianie, a niejeden znowu wcale się nie żeni, tylko się postarzeje jak pies na kawalirstwie i potem stare czarne zęby wyszczerza do kobiet na wsi, *nikiéj* zrebek kiedy rzy za kobyłą.

— A! i jakżeż *ta* — zapytała naiwnie Świątniczanka — oni mogą się tak obejść *bez* całe życie *przez* żony? Czy *ta* *krwie* w nich nie ma, czy co?

— Jak, jak! Wielaby wam o tém mówić, moi kochani; na takie rzeczy to oni mają *tyla* rozumu, co już więcéj niepotrzeba; ale widzicie, tacy, to takim jak Grzesiowa het kupują korale, dają na chustki, na krowy. No, ale co tam, nie o tém *gadka*...

— A to Sodomniki, a to zbereźniki — przerwała ze zgrozą Wawrzyńcowa — Moi kochani, to *ta* u nas tego nie *uświadczy*.

— O! *gadacie-ta*, *gadacie*! Między chłopami to *ta* trudno o takie rzeczy, bo się każdy żeni jeszcze przed dwudziestą laty czasami, a potem choć owdowieje, to jeszcze jednéj nie pochowali, a ludzie już mu rają drugą, i nie wyjdzie czasem i kwartału, a ludziska znów wykrzykują na weselu. Dlatego téż, moi kochani, u nas nie *uświadczy* ani takich zbytków jak u szlachty, ani starych kawalirów, ani starych wdowców, bo się wszyscy żenią: to nie zbytkowanie im w głowie, *ino* praca i *juści*.

— Prawda, prawda, ani *gadania* — odezwano się potwierdzająco, a jedna z kobiet dodała: — Ale dajta pokój takim rozgadkom, bo żebyście wy swój język po sam pas wygadali, to szlachta zawdy będzie jedna, i nic już jéj nie poradzi; ludzie będą *gadać* że biało, oni powiedzą że czarno, to już taki ich obyczaj. Ale powiadam wam, moje kochaneczki, że ta panna z Trocie, co *se* tak włosy do góry podczesała, to mi z głowy wyjść nie może, bo to Boże zmiłuj się, nie przymierzając, wyglądała jakby kto i koszulę zdjął z siebie i tak latał po świecie całkiem nagi.

Na ten żart głośny śmiech powstał między rozmawiającemi, który połączonej ze śmiechem innych gromad, równą wesołością ożywionych, napełnił okolicę taką wrzawą radosną, o jakiej wyżej

mówiliśmy. Po małej pauzie poświęconej tak szczeremu weselu, na nowo ożyła rozmowa.

— A bodaj was i z waszém przymierzeniem! Żebyta nasza ekonomówna o tém się dowiedziała, toby wam dopiero uszyła bóty u ojca...

— A czy i ona taka dziwna, jak panna z Trocie?

— Ba! nie znacieto gadki, że za panią matką paciérz. Póki nie widziała takiego cudactwa, to-ta i ona na ludzi przecie patrzyła; ale jak *ino* raz zobaczyła to, i sobie tak pozadzierała i młodziej siostrze, a w końcu i starą matkę namówiła; *ino* ekonom jakoś się zmiarkował, i jak naklął na czém *ino* świat stoi, tak nie dopuścił takiego dziworactwa.

W téj chwili dał się słyszeć trzask z bicza, wołanie woźnicy na trajkoczące kobiety, żeby się z drogi usunęły i z brzękiem dzwonek od chomont krakowskich przejechał młody dziedzic z Noskowa.

— A *kaj* to on tak paraduje?

— A *kajże*, jak nie do naszego dworu; bo on tam, moje kochaneczki, zalica się już od zapust.

— A i jakże, będzie z tych zalotów wesele?

— Ha! któż-*ta* może zgadnąć; ale mi powiadała Połonka co jest we dworze za pokojówkę, że najgorszą robotę, to mają ze starym dziedzicem: bo cóż, matka zwyczajnie jak matka, radaby mieć w domu wesele. córka także nie od tego, ale stary dziedzic nie chce sięgnąć do worka, i powiada, że te zaloty nie z kochania, *ino* z tego, że mu potrzeba pieniędzy na wykupienie wsi, co mu chcą zabrać za jakiś-*ta* podatek.

— O, moi kochani! trzebaby na to naszego Felka, cota teraz owdowiał, to onby go nauczył jak se poradzić.

— Bójcie się Boga, a cóż on zrobił?—zapytano dokoła.

— A! moje kochaneczki, widzicie jak owdowiał, tak zaraz oczy obrócił do Kaśki u Wydrasów. Jak-*ta* zaczął wedle niej zacharować i w karczmie i u każdej roboty, bo-ta z pracy ojcowskiej dosyć będzie wiana, tak dziewczuszysko, zwyczajnie młode to głupie, *ino* już tylko dla niego oczy miała; ale ojcom ani-*ta* o tém gadaj, bo to i wdowiec i z dwojgiem dzieci: co to takiemu dzieciuchowi świat *se* tak za młodu zawiązywać. Tak-*ta* w gadce z Gurasami powiedzieli, że prędzej im na dłoni włosy wyrosną, jak żeby mieli swoje dziecko za Felka wydawać, i zabezpieczyli ich, że aby *ino* od syna swego z wódką przysłali, tak przyjmą, i potem

zrobią się zaloty. Jak się moje kochanecki o tém Felek dowiedział, poleciał do karczmy, na lepszy *jankur* wypił półkwaterek wódki, złapał potem nóż, może na pół łokcia długi, i przypadnie do Wydrasów; na środku izby, moje kochanecki, jak nie padnie na kolana, jak nie zacznie krzyczyć: „co wy chcecie mi moje kochanie zabierać? chcecie mi moje Kasię innemu zaprzędawać! Nie-doczekanie wasze, i przy was, i przy waszych oczach zabiję się, zabiję, żebyśta duszę moję *wzięni* na sumienie.” Tak potem moje kochanecki jak zaczął krzyczyć, ślipiami przewalać, to *nikiej* szalony; rozpiął potem pasa, kamizeli i wywalił gołe piersiska, i dalejże nożem kręcić. Myśmy się postrachali: starzy Wydrasowie w krzyk, ja w krzyk, Kaśka w *bek*, a on wrzeszczy, ryczy, a het nożem wierci i powiada, że póty nie przestanie, póki mu Kaśki nie przyrzekną. Starzy mu-ta przekładali do rozumu; wszystko po próżnicy: dopiero jak *se* po *ziebrach* nie pociągnie, jak się nie pokaze krew...

— Jakto, to się przebił?

— E, co miał się przebić, *ino* z téj zapalczywości po skórze się tak *zakaliczył*, a starzy i my wszyscy myśleliśwa w piérwszym razie, że się i na prawdę przebił. To téż jak nie zaczniewa wszyscy krzyżyć, jak się nie zaczęją ludzie złatać, to powiadam wam, że *tyla* było wrzasku, *tyla* chałasu, jakby się paliło.

— A i cóż Wydrasowie na to?

— A i cóż, moje kochanecki? Jak zobaczyli, że to nie na zarty, że Felkowi krew się pokazała, że trzyma rękę w zanadru i wala się od bólu po ziemi, a przytém drze się *nikiej*by go kto opętał, tak mu powiedzieli: „człeku, weź *se* i Kasię i Jadwisię, *ino* daj nam pokój.”

— No i cóż, nie odchorował Felek?

— E, właśnie-*ta*: zaraz potem poleciał po wódkę, sprowadził krewniaków i swoich i Wydrasów, i pili, i pokrzykiwali *bez* noc całą, że *ino* się po wsi rozlegało.

— No, no, a to Felek!

I rozmowa w ten sposób prowadzona, ciągnęła się dalej między powracającemi z kościoła wieśniaczkami.

Trzecie jednak grono złożone z młodych dziewuch i parobczaków było najweselsze. Śmiech zdawał się nie opuszczać te czerstwe twarze, choć ogorzałe od słońca, ale błyszczące zdrowiem i wewnętrzném weselem duszy; a patrząc się na nich, jakąś lubością napełniało się serce, że tyle szczęścia, tyle niekłamanéj

wesołości mieści się pod tém ubraniem wieśniaczym, które nam zwykle na myśl przywodzi nędzę moralną i materyalną ludu wiejskiego.

Ale na przekór temu powszechnemu wyobrażeniu, tam się śmiano i żartowano całym sercem i duszą, jakby nędzy i biedy nie było na świecie, i tylko śmiechem i żartem usłana była droga życia dla ludzi na ziemi.

I nic dziwnego: bo to sama młodzież wiejska, pewna chleba powszedniego na dziś, jutro i na zawsze; bo czująca zdrowe ręce do pracy, i pewna, że téj pracy nigdy dla niéj niebraknie.

Dlaczegoż więc miała się śmucić? Czyliż ta niepewność, to troskanie się o potrzeby życia codziennego, połączone z gorką myślą zabezpieczenia sobie spokojnych chwil w starości, nie jest głównym powodem wczesnych zmarszczków i wczesnego dojrzewania młodzieży, co we własnej pracy przechodząc przez ciernie i głogi, jakie im świat i okoliczności stawiają, szukać muszą środków do obecnego i przyszłego utrzymania?

Młode pokolenie wiejskie nie zna tych kolców życia, i aby nabrało stosownych sił fizycznych, już pracuje i zarabkuje, bo miejsca jest dosyć, a ochotników niewielu; i całą przyszłość widzi zaległą od własnych chęci i własnego starania się, którą u nas ze szczytu najwznioslejszych nadziei, bardzo często zmienne okoliczności strącają w otchłań okropnego zawodu.

Dlatego więc nie z drwiącém okiem przypatrujcie się swobodzie dziarskich dziewoi i parobczaków wiejskich, ale patrząc zazdroście ich pokoju duszy wolnej od wszelkiej troski, ich szczeréj wesołości, których my od pierwszego kroku między ludźmi o własnych siłach najczęściej bardzo rzadko kosztujemy.

Ale powiecie: praca wiejska jest ciężka, niegodna człowieka ucylizowanego, a tém samym, co na jedno wychodzi, wstyd przynosząca. A któż wam powiedział, że praca, aby tylko była istotną pracą, jest lekką? Praca tém samym że jest pracą, już musi być ciężką i mozolną, bo inaczej przestałaby być pracą, przemieniając się w igraszkę lub w proste zamydlenie oczu. Ciężkość zaś jéj jest względną do naszego przywyknienia.

Któż wam także powiedział, że praca może wstyd przynosić? Kto ją podzielił na szlachetne i mniej szlachetne klasy?

Nie szydźcie więc, bo Bóg wyrzekł do pierwszego człowieka: *pracuj!* A patrząc na naiwne igraszki młodzieży wiejskiej, zazdroście im w duchu, bo zaiste jest czego zazdrościć, gdyż oni

i połowy tych trosk nie znają, które jak ptastwo do żeru zlatują się codzień do waszjej głowy i serca.

Lecz nie samemi tylko figlami i wesołością odznaczało się grono młodzieży wiejskiej; świeciła tam i krasa na buziakach jak jagody kaliny, kryjącej się między liściem zielonym. A jakieto stroje, jaka świeżość ubrania, jaka junakierya chłopaków i skromna wstydlivość dziewczuch!

Chcąc to wszystko jasno wyrazić, trzebaby artysty-malarza, bo pióro, to słaby środek: zaraz się skruszy na pierwszym poskoku.

Parobczaki mieli na głowach duże prawdziwe sandomierskie czapki baranie, lub czarne kapelusze z wełny prostych owiec, z wetkniętymi od niechcienia małemi pęczkami kwiatów, zpod których w wijących się puklach spadały po obu stronach twarzy gęste czarne albo blond włosy. Koszule lniane bez kołnierza, z przewieszonym przez ramię nowym szkaplerzem, zawiązane były u szyi świeżemi modremi albo czerwonemi wstążkami, na których owiązane pasem włóczkowym mieściły się modre albo białe sukmany, z wywinietami, czerwonym sukmem podszytymi klapami.

W stroju dziewcząt więcej już było zalotności i widocznej chęci ustrojenia się, a tém samém i podobania. Chustki różnej barwy ściśkały głowy, związane sztucznym węzłem nad samém czołem, a w spadającym końcu na plecy krył się warkocz dziewiczy, z jakim się dopiéro na zawsze w dniu wesela rozstawały. Od obydwóch skroni wymykały się małe kosmyki włosów, a na szyi świeciło pełno koralu i paciorków szklanych, sięgających aż do piersi krzyżykiem mosiężnym lub jakim okrągłym medalem z wizerunkiem Najświętszej Panny Częstochowskiej, lub téż innego jakiego świętego.

Koszule najczęściej kartonowe, miały z włóczki wyszycia na obu ramionach, a gorsety sznurowane z przodu, zachodziły aż za stan, przykrywając cokolwiek fartuszki białe i sfałdowane różnobarwne spódnice, sięgające aż do kostek nóg, ubranych w puńczochy i trzewiki.

Każda przytém okryta była pewnym rodzajem prześcieradła, bardzo podobném do szalików naszych ucywilizowanych piękności, które chociaż bardzo dalekie od ich zewnętrznej powierzchowności, dopełniały zupełnie swego przeznaczenia, bo niby przy-

krywały, a jednak zbytecznie nie wzbraniały przyjrzenia się smagłym i zgrabnym figurkom ich posiadaczek.

W gronku tych wesoluchów jest znana nam już Basia Sierpień i dziwny Janek, o którym tyle w rozdziale poprzednim powiedzieliśmy.

Dziś wesóły jak rzadko, bo już parę godzin przepędził ze swoją ukochaną, i jeszcze kilka godzin jest przed nim; a dla wiejskiego kochanka nieczęsto takie gody się trafiają: święto uroczyste nie codzien, a w dni powszednie kto w służbie, to o kochaniu nie ma czasu myśleć.

Gdy po niesporach powracająca młodzież złączyła się w gromadkę, Janek to z tym to z owym pogadał jeszcze trochę, a tymczasem towarzysze go odeszli. Ubodło go to cokolwiek, że go nie zawołano, chociaż w tłoku trudno było się dopilnować; spojrział na drogę od wsi między płotami do wąwozu idącą, i z wielką swoją radością dostrzegł trzy znajome nam gromadki włościan, w rozmowie posuwających się drogą.

Mruknąwszy pod nosem: „poczekajta, nauczę ja was o Janku zapominać”, przeskoczył przez płot i *chylkiem* przez ogrody, żeby go nie dostrzeżono, co tylko miał siły tak biegnąć szybko, że zastąpięty płotem stanął prędzej przy samym wąwozie, nim towarzysze, których zgubił wychodząc z kościoła.

Po małej chwili wesole grono młodzieży prowadząc z sobą żywą rozmowę, zaczęło dochodzić do miejsca, w którym ukryty siedział Janek.

Na przodzie szła Basia z trzema towarzyszkami, za niemi dwie młode, bo zaledwie od pół roku zamężnych kobiet; w końcu dopiero kilku parobczaków, często różnemi żarcikami odzywających się do przodujących dziewczuch.

— Hej! Kasiu—odezwał się jeden z nich widząc dziewczuchy już dochodzące do wąwozu:—Kasiu, a przeżegnajta się nim wejdzia do wąwozu, żeby was-*ta* jakie złe nie napotkało, żebyśta od wozu, albo osi, albo dyszla nie złamały.

— Albo żeby się wam szkapiny nie pobrykały—dodał inny ze śmiechem.

— O! moja szlachta—odpowiedziała z przekąsem zaczepiona—co biczem nogi-*se* pogania: chodźta — i przysunęła się właśnie do tego samego miejsca, w którym za płotem siedział Janek.

W tej chwili inne dziewczęta dochodziły już do końca płotu, co Janek zobaczywszy, naśladując głos rozzłoszczonego bryta-

na, z warczeniem i zjadliwém szczekaniem trudném do opisania, okryty na głowie zarzuconą sukmaną, na czworaku wyskoczył nagle z za płotu, i najpierw rzucił się do Kasi, z największą spokojnością szukającą pręta w płocie.

Tak niespodziewany napad naturalnie zmieszał ogromnie biedną dziewczynę, a czując szarpanie spódnicy, u której Janek się uczeplił, z okropnym krzykiem zwróciła się do reszty towarzystwa, będąc pewną, że przez jakiegoś wielkiego psa została napadnięta.

Krzyk przestraszu Kasi został powtórzony i przez inne dziewczęta, a w pierwszej chwili nie mogąc poznać przyczyny zamieszania, każda myślała o ucieczce i o zabezpieczeniu całości spódniczek od zębów zażartego brytana, którego straszny głos na chwilę nie ustawał.

Ztąd naturalnie powstał mały popłoch, i w tém zamieszaniu gdy każdamyślała o spiesznej i pewnej ucieczce, Kasia uderzyła przypadkiem jedną z dziewczyn, ta straciwszy równowagę chciała się wesprzeć na innej dziewczusze, lecz zaledwie uchwyciła się prześcieradła, ściągnęła go z pleców uciekającej i padła na ziemię jak długa, na nią Kasia, a Janek wierny swój roli przyskoczył do gramolących się dziewczuch i targał za spódnice i za nogi, jakby je chciał potargać w drobne kawałki.

— Gwałtu! Matko Boska! ludzie ratujcie, bójta się Boga! O dla Boga! gwałtu, gwałtu! — wołały przestraszone dziewczuchy.

Janek nie nie zważał, targał, warczał; parobczaki się śmieli, a dziewczęta co tylko gardła starczyło wrzeszczały.

— To Janek!—odezwały się nareszcie inne dziewczuchy, które odskoczywszy kilka kroków w bok, miały odwagę spojrzeć na sprawcę takiego zamieszania—to Janek, jemu-*ta* zawsze figle w głowie niepotrzebne. Wstajta dziewczuchy, wstajta.

Janek nie nie mówiąc stanął tylko na nogach, a szczeknąwszy równie zjadliwie, puścił się jak kula ku strofującym go dziewczętom.

— Janek nie szalój! Janek *uciek!* Janek nie *wojuj!*—wołały już ze śmiechem uciekające dziewoje, i okrążywszy małe koło, przystały przy owych tak niefortunnie wywróconych dziewczuchach, które otrzepywały się z kurzu i poprawiały rozrzucony strój.

— Daj Janek pokój! czy ty oszalał?

— U! ten wartogłowy—dołożyła Kasia—straszyć tak ludzi *nikiej* jako głupi. Widzicie go!

— A czemuśta na mnie nie czekały z kościoła, tylkośta poszły?

— Widzicie, na niego miałyśmy czekać! Niedoczekanie-*ta* twoje—odpowiedziały prawie chórem.

— Ej Basiu! ej Kasiu! nie boczta się—bo wy dziewczuchy, to nie *ładno*.

— Zapewne że dziewczuchy, a ty co?—wartogłowiec i juści.

— Latawiec, szalenciec—dołożyły inne.

— Oj! Janek, Janek!—odezwali się parobczaki, gdy dziewczwoje ze śmiechem powtarzały nadane Jankowi przezwiska.— A i dasz *se* to tak dziewczuchom z siebie pokpiwać?

— A i cóż mi to znaczy, kiedy ja wiem, zem nie wartogłowiec, *ino* chłopiec i *galanty* chłopiec, *nikiej* najpiękniejszy kłos pszenicy.

— O! śliczny mi chłopiec!—odpowiedziały dziewczęta—co psa udaje i *nikiej* pies kęsa i szczeka; tyś nie chłopiec, *ino* wartogłowiec.

— Albo to prawda! Chłopiec jestem i jeszcze jako chłopiec! Słuchajta:

I to powiedziawszy ujął się pod bok, przychylił cokolwiek głowy i przytupując przed idącemi już dziewczętami, głosem czystym śpiewał:

Chłopiec ci ja, chłopiec,
Kogutek mi ojciec,
A kokoszka matka,
Stara kura babka,
Hu ha! (1).

— A to *familijant*—odezwała się Kasia—daj go katu!

— Oj! prawda, prawda—dołożyły drugie—a co to teraz krewniaków ma w każdej chałupie!

— Słuchajcie dziewczuchy—odezwała się Kasia—to ten duży dworski kogut to chyba jego dziadek, kiedy stara kura babka?

W miejsce odpowiedzi wszyscy serdecznie zachichotali, a Janek podniósłszy głowę do góry trzepnął rękoma po bokach, naśladując uderzenie skrzydeł kogucich, i tak zapiał, jakby nawet sam

(1) Zobacz: Pieśni ludu zebrane przez Kazi. Wład. Wojcickiego. Tom II, str. 192.

kogut lepiej tego nie skutecznił. Śmiech jeszcze szczerzy ożywił wszystkie usta, a Janek bez zmiany wyrazu twarzy, co jeszcze większą nadawało całej scenie komikę, odezwał się:

— A cóż wykpiwata z Janka, a jednak tak musita tańcować, jak wam zagram.

— O! ty familijancie kurzy!—odezwała się trzecia dziewczucha Małgorzata, przewrócona przez Kasię—*ino* ci tańcowanie w głowie; szkoda że nie ma skrzypków, tobyś-*ta* gębą tak *nie dokazował, ino* grał.....

— A tybyś tańcowała?

— Ja się-*ta* obejdę dziwowisko z siebie robić; to-*ta* tylko tobie ujdzie....

— O! ho! ho! moja Małgoś, żebyś umiała, tobyś tańcowała; ale jakoś do tańca nie masz dobrego składu, zawsze nogą *dryp*, nogą *dryp*.—I poprawiwszy czapki na głowie zaśpiewał:

Tańcowała, nie umiała,
Jeno nogą zamiatała,
A matka ją po udzie,
Tańcujże tak jak ludzie.

Hu! ha! (1).

Tu już śmiech nie miał granic, bo istotnie Małgorzata chociaż z buziakiem nieszpetynym, była pozbawiona daru do tańca, i raz przez matkę wyprowadzoną została z karczmy, co się tak śmiano z jej nietaktowych w obertasie podskoków.

— A to wiara ten Janek—odezwał się jeden z parobczaków, gdy dziewczęta zatykając sobie usta, dusiły się od śmiechu, spoglądając zukosa na zachmurzoną Małgosię— a to wiara ten Janek, jak-*ta* z *ogródką* umie człeka ukłóć.

— A cóż ja zrobił?— zapytał niby niczego niedomyślający się Janek—kogo ja ukłóć?

— O, nie widzisz, jakto się Małgoś pochmuriała?

— Co, Małgoś, tyś się na mnie pochmuriała?

— Idź-*se* do takich samych szaleńców jak sam jesteś — odpowiedziała Małgosia z gniewem—ja tam nie potrzebuje.

— Ej! moja Małgoś.—I Janek zabiegając z jednej i z drugiej strony ciągle gniewającą się Małgosi, śpiewał:

Ej! moja Małgorzato,
Da nie uważaj na to,
Chociaż się posierdziewa,

To się i pogodziwka,
Da o ty Małgorzato,
Dajże mi gębusi za to.

(1) Zob. Pieśni ludu zebrane przez K. Wł. Wojcick. Tom IIgi, str. 378.

— Mój śliczny, do gębusi: widzicie go—zawołały wszystkie stając w obronie Małgosi, której Janek w przeprosiny chciał gwałtem ukraść całusa.—Patrzajcie go, jaki mi *chibki* do całowania.

— A psik kot od mléka, a psik!—wołali śmiejąc się parobczaki.

— To ty Basiu daj gębusi—odezwał się Janek przyskakując do ulubionój dziewoi; ale Basia zasłaniając się ręką, z godnością obrażonój skromności odpowiedziała poważnie:

— No, no, jeszcze-*ta* drogi nie poprowadzili od twojój gęby do mojej.

Jankowi zupełnie skrzydła opadły.

— Basiu—odezwał się rzewnym głosem—czy i ty na mnie krzywo patrzysz?

Basia nic na to nie odpowiedziała, tylko po małej chwili nadąsaną minkę ustroiła uśmiechem, i spojrzawszy na Janka, rzekła tonem wymówki:

— Ej! boś dziwny; ludzie na wszystko strasznie duże mają oczy, a ty se tak poczynasz, jakby.....

— E! co tam ludzie; nie wiesz to:

Że to u nas w naszój wsi,
Gorsi ludzie niżli psi,
Bo psi breszczą i przestaną,
A źli ludzie nie ustaną (1).

— Dobrze-*ta* wszystko—odezwała się Basia—ale zawsze niepotrzebne ci rzeczy przychodzą do głowy.—A ciszej dołożyła:—i ja-*ta* nie lubię, kiedy ty tak szalejesz za wszystkimi.....

— No, no, moja Basiu, już się-*ta* nie frasuj, bo ja na wszystko mam swój rozum.

— Hej! Janek—odezwał się jeden z parobczaków—dziewuchy się na nas poboczyły i idziwa tak *spokojno, nikiéj* za po-grzebem: wywiedz-*ta* przecie jaką gadkę.

— A bo to wszystko szlachcianki: radeby, żeby im się nizko kłaniać kapeluszem, w ręce całować, toby-*ta* dopiéro chichotały i świdrowałyby na nas oczyma od wielkiój radości.

Mówiąc to Janek, zdjął kapelusz i z przesadami naśladował nizkie pokłony. Za Janka przykładem poszli i drudzy, tak, że dziewczęta otoczone zostały kłaniającemi się parobczakami i mówiącemi pokornym głosem:

(1) Zob. Pieśni ludu zebrane przez K. Wł. Wojcick. Tom IIgi, str. 250.

— Moje wielmożne panienki, moje wielmożne szlachcianki! kłaniamy wam się pięknie, prosiewa o rączki do pocałowania. Wielmożne panienczki, rączka to nie gęba: prosiewa, prosiewa. I popychając się podsuwali kapelusze pod same nogi idących.

— Wy *se* tylko tak *bez* kpiny to robita—odezwała się jedna z młodych kobiet — ale tak należy parobkom wedle dziewczynek chodzić, bo ja widziałam w naszym dworze, jak się gości *wielu* nazjeżdżało, to *kawalirowie* *ino* dreptali nogami, co tak *ładno* i *delikatno* wedle naszych panien chodzili; a wy zaraz do gonienia, do całowania. O! już prawdziwe z was chłopiska.

— Patrzajcie, a wyśta właśnie szlachcianki, moje śliczne — mówili parobcy — to czemuż tak nie chodzita poubierane, jak we dworze?

— Bo nas nie stać na takie strojenie.

— O ślicznieby wam było! — odezwał się jeden z nich zwany Paweł — Jużby nic więcej nie brakowało, tylko żebyśta się wy po szlachecku przebrały; a zabaczyliśta, jak stary Ignacy zawdy w karczmie śpiewywał:

Że nasze dziewczycyce,
Mają zapaśnice,
Złote zausznice,
Jedwabne spódnice.
Na szyi korale,
Zęby jak szynale,

Głowa jak niedźwiedzia,
Oczy jak u śledzia,
Nogi jak stępory,
Piersi gdyby wory,
Ręce jako grabie,
Twarz podobna żabie (1).

— A ty zbereźniku — krzyknęły młode dwie kobiety — a nie pójdziesz sobie od nas! Patrzaj go, żebyś ty tak *nieładno* o naszych dziewczuchach mówił; ani się pokazuj na nasze oczy, idź-*se* lepiej do kobiet, *co-ta* za nami idą, przecieć cię tu nikt do spódnicy nie przyszył.

Parobczaki się śmieli i przyskakując do dziewczuch, powtarzali: — patrzajta, zęby nikić szynale, a oczy jak u śledzia, a wszystkie podobne do żaby. O to dziewczuchy nie ładajakie, nie *żał-ta* i popatrzć na takie.

— To też my nie potrzebujewa — mówiły nawpół gniewające się dziewczęta — żebyśta na nas patrzyły: idźta *se* do takich jak i wy sami.

I w figlach, w żartach podobnych do tych, któreśmy tu przedstawili, wesołe grono młodzieży ciągle się posuwało, darząc się wzajemnym prześladowaniem, aż na raz jeden wszystko umilkło,

(1) Zobacz: Pieśni ludu zebrane przez K. Wł. Wojcick. Tom I, str. 179.

śmiejąc porzucił usta, ustępując wyrazowi dosyć niezręcznie przybranéj powagi, bo z brzękiem i z trzaskiem ukazał się młody pan z Noskowa. Czapki parobczaków i ręce dziewczuch nachyliły się w pokłonie aż do ziemi, a gdy kurz zasłonił odjeżdżającą bryczkę, zaraz wszczęła się na chwilę przerwana rozmowa:

— Ej! bodajto tój szlachcie— odezwał się jeden z parobczaków—i nie napracuje się, i naporaduje, że aż człowiekowi dziwne rzeczy się dzieją, że tak my nie możemy.

— E! głupis Tomek—odezwał się Janek— i powiedz: a juscici. Jest-*ta* u twego tatusia jedne siwe szkapsko włogawe, u ujka (1) kara kobyła ślepa; dobierz *se* do tego od Franka i Ambrożego do lejca ich szkapiny, jedną koltóniastą, a drugą o zbitém biodrze, u łbów nawieszaj końskich gnatów, co się-*ta* po dołach walają, a tak człeku będziesz szpilował, że-*ta* ludzie ino gęby rozdziawiać będą, co tak się będą przypatrywać.

— Oj! zapewne, a ino—potwierdzili drudzy, gdy dziewczęta tuląc się do siebie, stłumioném chichotaniem odpowiadały na żarcik Janka.

— O! wy się śmiejeta—odezwał się z przekąsem Tomek do dziewczuch—wyszczertzata zęby, a radziłyśta były, żeby i do was tak zajeżdżał jaki szlachcie, kiedy się zalica.

— O! już cię niech oczy nie bolą na nasze dziewczuchy—odezwała się jedna z młodych kobiet, stając w obronie śmiejących się ciągle dziewczuch—bo one takiego odkazywania się nie potrzebują, i patrzą bylecia chłopaczysko było przecieć jakie okazałe i do ludzi. *Wamta* wprzód do oczów lazie wiano jak dziewczucha, choćby w urodzie i szlachciance żadnej nie ustąpiła.

— A i cóż to dziwnego?—odezwali się wszyscy parobcy oprócz Janka—wszakże co się do dom przysporzy, to nie zuboży, a kiedy się z kawalirstwa zatracać, to już wiedzieć za co.

— Ej! bajeta, bajeta—odezwał się Janek—jabym *ta wzion* i w jednéj koszuli, aby ino kochanie było między nami.

— Albo to prawda?—odpowiedziały kobiety—albo to ty wedle jakiej sieroty ubogiej teraz *zacharujesz*. Ho! ho! wszyscy wy-*ta* jednacy: gęba swoje, a wy swoje.

Janek chciał coś na to odpowiedzieć, ale mu się widać jakoś w odpowiedzi nie poszykowało; westchnął tylko, poprawił czapki na głowie i widząc, że już weszli na drogę prowadzącą do

(1) Wuja nazywają ujek.

wsi, w której służył we dworze, skreślił w bok na łąki i powie-
dziawszy do towarzyszy:

— Idźta, ja was za wsią dogonię, *ino* wpadnę do chałupy
po skrzypki—i ruszył przyspieszonym krokiem.

IV.

Zabawa w karczmie.

Hej! nawracaj od komina,
A uważaj której nie ma.
Jest i Kaśka i Maryna,
Jednej tylko Zośki nie ma.

Pieśń ludu przy tańcu.

W karczmie świątnickiej gwar i wrzawa. Starsi z kieliszkami w rękach toczą w izbie rozprawy to o tém, to o owém: zwyczajnie jak ludziska, co cały tydzień ciężko pracując, radzi dzień świąteczny poświęcają spoczynkowi i rozmowie z sąsiadami. Na dworze zaś, przed budynkiem karczemnym, parobki wiejskie mocując się probują siły na równiennikach, inni przewalają się po murawie, albo sprzeciwiają się stojącym spokojnie przy płocie dziewczętom; a wszystko w śmiechu, w żartach, w figlach, że patrząc aż chęć bierze człowieka wziąć współudział w tej szczerzej i niewinnej wesołości młodego wsi pokolenia.

Lecz chociaż w zebraniu karczemnym życia było dosyć, brak jednak muzyki widocznie się okazywał: bo dla wieśniaka nie ma zabawy, jeżeli mu w uszach nie dudli rzępolenie skrzypka; dlatego jaki taki rozweselony kilku kieliszkami wódki ujmuje się pod bok, przekręca junacznie czapkę, a podrygując, podskakując i wybijając takt nogą, zawodzi głośno piosnkę nie zważając, że głuzy sąsiadom rozmowę, szarpiących go na wszystkie boki aby słuchał co do niego mówią.

Czasem dwie i trzy takie piosnki złączą cię z sobą w jeden niesforny akord, bo każda z innego tonu i na inną nutę, a przeleciawszy nad głowami szumiącej rozmową gromady, lecą później na podwórze karczemne, a potem dalej i dalej, jakby się prosiły o wesołucha, coby zamaszystym pociągami smyka natchnął nowym życiem karczemną drużynę. Czasem ujawszy się w pary dwóch parobczaków lub dwie dziewczuchy, zakręcą się wkółko

gdzie w jakim kąciku, żeby im wstydno przed ludźmi nie było, że się tak nogi do tańca wydzierają; ale zawadziwszy to o tego, to o owego i w przydatku odebrawszy ze strofowaniem porządne szturchnięcie, ze śmiechem rozłączają się, upatrując stosownej chwili do nowego wybryku pohulanki.

Czas więc chociaż nie przy tańcu, schodzi jednak jako tako, bo i rozmowa nie ustaje i śmiechu dosyć; ale wszystko byłoby inaczej, gdyby tylko struny zabrzęczały jakim żwawym oberkiem.

A tu Janka jak na złość nie widać; młodzież wiejska zaczyna się już nawet trochę niecierpliwic, bo to nie bagatela, *stać jak malowana Kaśka* (1), kiedy się spodziewano hulać co tylko siły wystarczą.

— Szkoda, że nie ma jakiego skrzypiciela—mówią starsi gospodarze—bobyta człowiekowi jakoś raźniej zaraz się zrobiło.

— Pójdźwa do dom —mówią dziewczęta—i czegoż będziewa czekali? Janek-*ta* pewno gra w karczmie w Obrazowie, to się go nie doczekamy, bo Baśki nie ma, a on *zawdy* ino przy niej.

— A to chodźwa i my—dodają parobczaki.—Noc niedługa, to choć się wyspiewa; chodźwa, co tam, tańcowanie chleba nie da. I tak mówiąc, zaczęła się młodzież pomału wymykać z izby karczemnej i połączywszy się w małe na dworze gromadki, jakby jój żal było opuszczać miejsce spodziewanej zabawy, leniwym krokiem co chwila zatrzymując się, posuwała się w stronę swoich domostw. Wtém, z wąwozu kryjącego drogę wprost ku karczmie prowadzącą, ozwała się jakby gra na skrzypcach. Wszyscy zaraz przystanęli, zwracając ciekawe spojrzenia w stronę słyszanego grania; ale nie mówią tylko słuchają, lękając się nowego zawodu, aby to czego tak pragną gorąco, i zdaje im się że słyszą, nie było tylko prostém złudzeniem słuchu.

Ale co chwila granie staje się głośniejsze; już nawet słysząc wtórowanie śpiewu, pokrzyki wesole; nie ma więc wątpliwości że to wesoluch Janek, że to jego palce *nikiiej* ptaki tak furgają po skrzypcach.

— To Janek, to Janek—wołają parobczaki, i pędem biegną ku wąwozowi; gdy dziewczęta poprawiając to odzienia, to kwiatków lub chustek na głowie, z błyszczącemi od radości twarzami już pędzonym krokiem zbite w małą kupkę, nawracają ku karczmie, aby się za piec pochować i ukryć przed ludzkim okiem ochotę zabawy, nim przez *kawalirów* do tańca wprowadzone zostaną.

(1) Przysłowie ludu.

Już granie słyhać przed samą karczmą, potem w sieni. Nowy ruch karczmę napełnia, każdy usuwa się na bok, robiąc miejsce tanecznikom, drzwi się otwierają i Janek na czele pokrzykującej radośnie młodzieży tłoczy się do izby, wycinając na skrzypkach co tylko sił starczy.

— A! jak się masz Janku, a gdzieżeś się-*ta* podziewał? — wznoszą się zewsząd witające głosy. — Na kawałek placka z serem; chodź, napijewa się wódki: daj ci Boże zdrowie. — I Janek tak wzięty w obłężenie, tu odbiera placek, tam sér, tu znowu kieliszek wódki; z każdym się wita, każdemu coś śmiesznego powie, wszyscy się śmieją, a starsi pokręcają głową i mówią do siebie: „Oj Juda Janek, do uciechy to już nie znajdzie lepszego, ale do starunku, to go i kijem nie napędzi.

Janek promienieje radością i szczęściem, bo Basia pamiętna strofowania ojcowskiego; chociaż z początku cokolwiek wzdragała się i chciała pójść do domu, ale jak zaczęły towarzyszki namawiać, jak zaczęły przedstawiać, że przecieć w tém grzechu nie ma, że się człowiek troszkę popatrzy jak się ludzie w karczmie cieszą; dała się namówić i razem z innymi z postanowieniem krótkiego pobytu weszła do karczmy.

Jankowi więc już nic nie brakuje, bo i dziewczoję ukochaną ma przy sobie i ludziska mu tak radzi, jakby już Bóg wie nie co mieli między sobą; a dla Janka, co o nim tyle złego rozgadują, co nieraz zdaje mu się, że go cały świat już odepchnął od siebie, tak serdeczne witanie, tak szczere przyjęcie wszystko wygładza z pamięci, napełniając serce i duszę tylko miłą dlań obecnością.

Język więc u Janka lata jak na kołowrocie, na każde zapytanie dowcipnie odpowieć, żart odeprze żartem, a ludowina tylko za boki się trzyma od wielkiego śmiechu, co tak *ładno*, składno i uciesznie Janek gada i gada.

— Hej! Janku! a *kaj* podziałeś basistę? Janku, wywiedzno nam jaką gadkę! Janku *pojrzo* po dziewczuchach, jak*ta* na ciebie spoglądają — sypią się zapytania jedne po drugich przy niemiłosiernych szarpaniach Janka na wszystkie strony.

— Co to jest? na co te szarpania? — woła Janek naśladowując ton mowy żydowskićj — to gwałt, to rozbój, to kryminał. Aj wej! ny, jakie to głupstwo, tak szarpać i szarpać. — I Janek poruszając plecami i ramionami udaje głaskanie brody, smocze ustami jakby coś smakował, a lud śmiejąc się woła: cicho, cicho; bo widzi, że

Janek jest na dobrej drodze, i że teraz z jego gadki będzie tyle śmiechu, co niemiara.

— No, bez urazy moi gospodarze—mówi dalej Janek w jednej zawsze roli żyda—kiedy już biednego żydka co lata za skórkami jak *ten* kura za ziarnem po świecie, już nie szarpiecie i nie skubiecie jak gęś z pierzy, ny, to i ja biedny Jankiel znać się będę na rzeczy i rzekę wam: dziękuję i Bóg zapłać, i powiem wam z papieru takie czytanie, aj wój! co sam rabin w bóżnicy czyta na kuczki.

— A *kaj* Jankiel Ryfkę podziałeś? a *kaj* masz skórki, coś ich naskupował po wsi i ludzi naoszukiwał?—znów lecą pytania od słuchaczy.

— Mój gospodarzu—odpowiada Janek—wy się nie uchowacie, bo wy strasznie mądrzy. Coto naoszukiwał? co to jest takiego? A wy nacoście tak gębę otworzyli—mówi dalej Janek zwracając się koleją do patrzących w niego jak w tęczę włościan—*nikiéj* wrota u stodoły? A wy czy mnie zjeść chcecie oczami? Aj waj, moi ludzie, schowajcie mnie, bo ja nie kielbasa, coby mnie miał kto zjadać. Aj waj! gwałt, gwałt!

Znów ludowina w śmiech, a Janek zakłada ręce za pas, podnosi ramiona i z miną niby zagniewaną wymawiając ciągle „Aj waj! co to jest?” wodzi oczami po otaczającym go tłumie.

— Jankiel, Jankiel! a czytanie co nam miałeś powiedzieć?

— No, czy tanie—odpowiedział Janek—dajcie naprzód pieniądze, to się dowiedziecie czy tanie, czy drogie? Ale wy tak wszystko darmo, darmo, to ja nie wiem czy tanie, czy drogie.

— Ale my o tém mówiewa, co to rabin czyta na kuczki w bożnicy.

— Aj waj! co to za mądry człowiek, że on wie co rabin czyta w bożnicy! Aj waj! ny! dajcie książki, to wam przeczytam, co mam robić?

Tu Jankowi podano kawałek papieru zabrudzonego, on go zaczął miąć, przykładając do uszu, oczu, nosa, i po małej chwili odezwał się:

— Ny, ani piszczy, ani gada; ale nie bójcie się moi ludzie, on tu zaraz zapiszczy, tylko ja jemu troszkę uszów pokręcę. A bo-to moi Ryfkę to śliczne *kobity*; ny, ny, znacie moi Ryfki? te krótkie, grube a wysokie. A to śliczne kobita, nos jak u indyka, a oczy jak u kota; a jak ona umie szacher macher, to z ziemniaka dwa zrobi jak go przekroi. A czy wy znacie tego Janka, co to go głupim nazywają?

— Oj! judo Janku, znawa go, znawa—odpowiadają tłumnie.

— Ny, moi ludzie, choć ja żyd, ale wam powiem, że to dobry chłopak: nikomu w drogę nie wejdzie, a jak przyjdzie do nas na jarmark do miasta:

To ten Janek on chodzi zawsze z toporkiem,
Siekierą się podpasuje, a podpięra workiem.
Studnią ma za piecem, czerpie z niej przetakiem,
Łapie ryby widłami, strzela wróble makiem.

— Ale ja wam powiem jeszcze, moi gospodarze, ino bez waszój urazy, że on nie taki głupi, jak się wam zdaje: bo choć mu się czasem dziwne rzeczy po głowie roją, to on jednak żadnego szacher macher nie robi jak moje Ryfkę; a jak on raz zaczął mi gadać i gadać, to od wielkiego śmiechu i krymka mi z głowy zleciała, i skórki baranie pogubiłem. No, a czy wy wiecie, co on mi mówił? i wy nie wiecie, i ja nie wiem, ale ja sobie wszystko wypisał i wam przeczytam, bo ja *uciony*, jak sam rabin z Warszawy.

W tém miejscu Janek rozłożył pomięty papier i z komicznemi gestami zaczął z niego niby czytać:

Dziwne cepy z widłami młóciły groch w gaju,
I zjadł zając kobyłę siedzącą na jajach.
Siedzi niedźwiedź nikiój szewc bóty latający,
Chodzi wieprzak po wygonie rzepę gryzający.
Pojechała pani wrona do króla we wozie,
Kozą wilka prowadziła do tańca w powrozie.
Owca z wilkiem tańcowała, gęś na skrzypkach grała,
A kaczka się ustroiła i tańcować chciała.
Siekierka się rozigrała morze przepłynęła,
A biedna magiereczka z piórkiem utonęła.
Sowa nam się okociła za piecem na grzędzie,
Porodziła łyse ciele, pewnie panem będzie.
Sikora się ocieliła pod oknem na chwaście,
Porodziła sto cyganów, żydów jedenaście.
Jeden został plebanem na lipowym moście,
Przychodzi się wilk spowiadać, zjadł sto kobył w poście.
O! mój miły wilku, na cóżto tak wiele?
Mój miły plebanie zjadłbym jeszcze ciele.
Stodoła się rozigrała, zająca zgoniła,
Stępa widząc takie dziwy, oknem wyskoczyła.
Poszedł kozuch do lasa ułowił tam śledzia,
Szydło w worku tańcowało, ubiło niedźwiedzia.
Wiśla się zajęła, ryby pogorzały,
Opalone szczupaki do Gdańska leciały (1).

(1) Patrz: Pieśni ludu polskiego przez Żegotę Pauli, str. 175, i Pieśni ludu przez K. Wł. Wójcickiego. Tom IIgi, str. 270.

Trudno opisać zajęcie, z jakim mówienie Janka przez całe zgromadzenie karczemne było słuchane. Czasem tylko kiedy niekiedy powtarzano z zadziwieniem: „Kobyła siedzi na jajach nikić kura; kaczka się do tańca ustroiła; Wisła się zajęła. O! Boże! co téż ten Janek wygaduje.” Zresztą nic nie przerywało ogólnej uwagi, poświęconej mowie wiejskiego poety.

Jak tylko skończył, śmiech i rozmowa dotąd wstrzymywane, jak wystrzał z działa buchnęły ze wszystkich ust i wrzawą napełniły całą izbę karczemną. Janek otoczony młodzieżą jeszcze figlował, jeszcze żartował, aż nareszcie ujął skrzypce i puścił smyk po strunach. Młodzież zaraz ruszyła do tańca, powyciągawszy ukryte za piecem chichoczące dziewczęta, a starsi częstując się to tabaczką, to wódeczką, rozpoczęli gawędy przerywane wesołemi pokrzykami: hu, ha, ha! tańczących.

— A to ucieszny chłopak ten Janek — mówił jeden z małego grona rozmawiających włościan—co-*ta* u niego w głowie, a język to nikić pytel w młynie, tak lata i lata na wszystkie strony.

— Oj prawda, mój sąsiedzie; ale zkąd mu tak wszystko do głowy przychodzi, bo żeby mnie tam Bóg wie nie co obiecywali, tobym ani jednej takiej śmiesznej gadki nie wywiódł.

— A juści, a juści — potwierdzili inni — a jemu to jakoś tak wszystko *ładno* idzie, *nikiejby* z zanadru wytrząsał.

— Ej! bo jemu się nie *podalo* urodzić na chłopca, *ino* na szlachcica; bo żeby-*ta* cały świat *ino* był karczmą, a tak piątek jak świętek zawdy niedzielą, toby-*ta* lepszego już nie było jak Janek. Ale cóż? w każdej wsi na tyła domostw *ino* jedna bywa karczma, a na siedm dni jedna niedziela; to nim-*ta* przyjdzie czas na jedno i na drugie, to trzeba się wprzódy dobrze rękoma napracować, żeby przecie człowiek wiedział, że Bóg ludziom dał święto, i że karczma dla uciechy jest we wsi.

— Oj! prawda, prawda. Ale *kaj* się on jednak pouczył takich różnych rzeczy?

— A już tak go Pan Bóg stworzył, żeby ludziom był na uciechę, a sobie na szkodę. Póki młody, to jeszcze *fracha*, bo mu *ino* figle siedzą w głowie; ale na stare lata, to będzie latał po świecie jak dziad z torbą. Ot na ten przykład Dudas, rychtyczek taki był jak i Janek, *nikiej* wiatr: dziś tu, jutro tam, *nikaj* nie posiedział; to téż teraz na stare lata bieda, coby i siekierą nie urąbał, a co zarobi, wszystko przepije.

— Nie bójcie się—odezwała się jedna z kobiet—Janek nie taki głupi, jak wy myślicie, w gorzałkę się także nie wdaje, a dobrze on umie pamiętać o sobie. Nie zawdy on taki rozgadliwy jak dzisiaj; a czy wiecie dlaczego? oto z kochania wszystko mu tak do głowy przychodzi. *Kaj* ino Baśka jest, to-ta Janka już nietrzeba za język ciągnąć; ale żebyście go widzieli bez Baśki, to czasem taki dziwny, taki smutny, żeby go się i ptak napłakał. Oj tak, tak!

— Ej! moja sąsiado, bajecieta, bajecie, zwyczajnie po kobiece-mu. Kochanieby mu znów tak w głowie siedziało! Czyta mało dziewczek jest we wsi, czyta jedna Baśka *ino* na świecie?

— Ej! co wyta wiecie. Kochanie, moi kochani, to dziwne rzeczy między ludźmi dokazuje. Wam się zdaje, że u młodego, to tak jak u starego. I mnie jakem szła za swego, to inny siedział w głowie, a po ślubie, mój mocny Boże! to więcej było płaczu, jak spania i jedzenia; a jednak teraz widzicie, sama wydziwić się nie mogę, jaka ja byłam głupia za młodych lat, i żeby mi kto chciał mego Florka przemienić, tobym już nie chciała.

— Ej! możebyście się i namówili na jakiego młodego galante-go chłopaka.

— Ej! dajta pokój, nie grzeszta, niech mnie-*ta* cudowna Matka Boska Częstochowska zachowa od tego; już on mnie zamknie oczy.

— No, no, nim zamkniecie oczy, to jeszcze ze swoim Florkiem nie na jedném będziecie skakać weselu.

— Zapewne że będę, a najpierw na Janka weselu z Baśką....

— E, moja sąsiado, nie będzie z tój mąki chleba. Stary Sierpień żeby go-ta umęczyli, to nigdy na to nie pozwoli. On, co tak lubi statkowanie i zawdy na niego wydziwia, miałby go wziąć za zięcia do *tyla* swojej pracy, do *tyla* bogactwa. Ho, ho! moi kochani, chyba nie znacie Sierpniów wszystkich; to *cherny* ludowina: nie Jankowi pchać się między nich.

— Co wy wiecie? nic nie wiecie—odezwała się kobieta—wy wiecie jedno, a ja wiem drugie. Baśka choć potulne dziewczuszyko, aleta już na piękne zagubiła się w Janku, a choć stary Sierpień będzie się zżymać i wydziwiać, to jak kobiety zaczną kłaść swoje w uszy Wojciechowi, Baśka znowu płakać, a Janek wedle ojca *zacherować*, to moi sąsiedzi żeby-*ta* człowiek i kamień był, toby musiał zmięknąć, a cóż dopiéro człowiek ze krwią i z kośćmi.

— No! już to prawda, że-ta baby wszędzie się wszrubują, i już co baby nie robią, to tём po próżnicy nie ma co głowy zaprztać; ale zawdy *dziwność* to będzie, jeżeli Janek z Baśką się ożeni.

— No, zobaczycie i sami powieita, że Florkowa miała *racyją*.

— A i czy wam tak samo Florka *raiki* ludzie?

— A zapewne, że tak samo; jak-*ta* kobiety zaczęły do mnie latać, a trajkotać, jaki on zabiegliwy, jaki starowny, jak ja se od razu będę gospodynią i będę między ludźmi miała poszanowanie, tak bach! dali na zapowiedzi, potem we trzy tygodnie zrobiło się wesele i zostałam Florkową i wszystko się skończyło. Ja płakałam co ino wlażło, a one się weseliły i pokpiwały, że się-*ta* mój płacz wnet skończy, ino będzie po weselu.

— No i po weselu jużście nie płakali więcój?

— No, i zawdym miała *ino* płakać i płakać.

— A, to widać—odezwał się jeden z włościan z uśmiechem—*ze-ta* Florek umiał jakoś dobrze *se* z wami począć, kiedyście tak wnet z głowy *se* innego wypędzili: bo na weselu to jeszcze nie ma żony *ino* panna-młoda, a wam to widać tak wianek panny-młodej ciężył na głowie, kiedyście płakali, bo za wiankiem i płacz z Wisłą popłynął.

Wszyscy słuchający śmiechem zawtorowali mowie swego sąsiada, a Florkowa odrzekła:

— Oj! statkowałibyście sąsiedzie, nie pokpiwali, bo tak wam jak i mnie prędzej pacierz powinien być w głowie, jak takie rzeczy. Ot lepiej poszlibyście do tańca.—I zaczęła śpiewać:

Widęleczki strugał,
Na dziewczynę mrugał.
Widęleczki cisnął,
Dziewczynę przycisnął (1).

— O! w starym piecu to zawdy djabeł pali—odezwał się jeden z włościan, gdy Florkowa trzymając się obiema rękoma pod boki i przekręcając się to w tę, to w owę stronę, nogą w takt przytupywała.

— Bo widzicie—odezwał się inny—to tak Florek ich nauczył wszystkiego: i śpiewania i ściskania, i dlatego teraz tak go szanują.

— Zapewne że Florek, a nie kto inny—odrzekła zaczepiona, i nowym śpiewem chciała się odezwać, ale przygłuszona została małą wrzawą powstałą między tańczącą młodzieżą.

Nie byłato kłótnia, lecz hałaśliwa narada, kto w graniu zastąpi Janka, który chciał także poprobować tańca.

(1) Pieśni ludu polskiego przez Żegotę Pauli, str. 209.

Po samój basetli skakać niepodobna; bez żadnego grania także nie można: cóż więc robić? Skrzypka drugiego nie ma, a tu Janek gwałtem ma ochotę pohulać.

Gdy więc radzą i tak i owak, gdy jaki-taki czepia się skrzypków i bez składu i ładu pociąga niemilosiernie smykiem po strunach, w drzwiach od sieni dał się słyszeć głos dudki ze trzciny, wygrywającej brzęczącym tonem jakiegoś skoczego obertasa, z taktowém przeraźliwém wtorowaniem przez palce pogwizdu owczarskiego.

Wszyscy zaraz zwrócili głowy ku tym nowym gościom, a ci przetłoczywszy się przez środek izby, zajęli miejsce na stole, zwykle dla grajka przeznaczone, i ku ogólnej wszystkich ucieście dalej zawodzili skoczne swoje tony.

Do zaprowadzonej tak naprędce muzyki dołączyła się zaraz i basetla, a jeden z włościan widząc takie ogólne krzątanie się około stworzenia orkiestry, ujął za dziezę od pieczenia chleba i bębniąc po dnie łyżkami albo bucząc palcem, dopełnił brak jeszcze osoby czwartej do tego wrzaskliwego kwartetu.

Tak więc w miejsce Janka stanął huczny kwartet, wprawdzie dziwny i niemilosiernie drapiący ucho, bo proszę sobie tylko wystawić brzęczenie dudki trzymającej główny śpiew, w połączeniu z buczeniem basetli, z bębnieniem na dzieży i taktowém odzywaniem się przeraźliwego pogwizdu; ale jednak żwawy, ochoczy, bo gdzie jest szczerza chęć zabawy, tam na harmonią nie ma czasu zważać, byle po czém było hulać i skakać.

Zabawa na chwilę przerwana nowém zajaśniała życiem; pary się znowu poszykowały i Janek ująwszy Basię, stanął na czele przygotowanej do hulanki młodzieży.

Muzyka z całym wrzaskiem ozwała się.—Wysuwa się para za parą, przypatrujący usuwają się na bok, zostawiając próżne miejsce do tańca; młodzież wybija hołubce potrząsając głowami, a dziewczoje ze skromnemi minkami trzymają się swoich tancerzy, jakby ich zabawa nie obchodziła, chociaż nogi aż drżą do tańca.

Janek wolno się posuwa i wszyscy za nim wolnym postępując krokiem; muzyka brzęczy i huczy, a on tylko myśli i дума: czasem spojrzy na ukochaną dziewczoję, ujmie w pól i wykręci się wkółko, jakby chciał powiedzieć—„tyś moja jedyna” i pokrzyknie — „hu ha!” A młodzież — hu ha! powtórzy, brzęknie podkówkami i znów się wolno za przewodcą sunie.

Wtém Janek wstrzymał się przed grajkami, dał znak, muzyka się uciszyła, i wszystkie pary przystanąły. Już Janek wyśpiewał pierwszy wiersz piosnki:

Moja róžo malowana.....

gdy jakiś głos z tłumu odezwał się:

— Ino Janku wywiedzno co uciesznego, jak to ty umiesz, a potem będziesz swoje śpiewał.

Janek urwał rozpoczętą śpiewkę i zwracając się w stronę słyszanego głosu, odpowiedział:

— Dobrze, mój Jędrzeju, kiedy *ładno* proście, to się ucieszyicie i wszyscy będziewa śpiewać, ino zważajta na mnie i róbita tak, jak wam pokażę.

Janek ujął się jedną ręką pod bok, a drugą wyciągając w górę, zaczął śpiewać;

Na a a a a a a.....

Wszyscy tańczący i patrzący poszli za Janka przykładem; każdy wrzeszczał co tylko sił starczyło: *a a a a a a*, a muzyka brzęczała i buczała, że aż szyby w oknach izby trzęsły się, co taką wrzawą napełniła się cała karczma. Janek spuścił rękę, wszystko się uciszyło, a on śpiewał dalej:

Na powiślu Wtśła
Baba z lasu wyszła
I i i i i i.....

Znowu wszyscy z wraskiem zaczęli powtarzać: *i i i i i i*, naśladując do tego różne jeszcze głosy zwierząt: to rzenie konia, beczenie owcy, gulgotanie indora, słowem jak kto mógł tak starał się wszelkimi siłami powiększać wrzawę i tak aż nadto hałaśliwój gromady. Janek spuścił rękę, wrzask się uciszył, a on kończył piosnkę:

I dziewczyna z dzbaneczkiem,
Po wodę doń przyszła.

Ogólnym wszystkim śmiechem piosnka zakończoną została. Janek uciął holubca i puścił się młynka; młodzież poszła za jego przykładem i już wiruje para za parą, że aż migocze w oczach patrzących, tak furkają spódniczki i chustki wiejskich tanecznic. A Janek coraz ostrzej, coraz żywiej przytupując, pokrzykując: hej! dziś ha! ha! pędzi pary przed sobą, młodzież pokrzyk powtarza, a każdy ostatnich sił dobywa, aby tylko pospieszać za drugimi, bo biada niezręcznemu: przewrócony, ile par tyle nóg uczuje na swojej głowie, rękach, piersi, i potracony na wszystkie strony, zdeptany i zawalany, zaledwie na

balyku wyczołga się z nieszczęsnego kółka, w którym, jak w jakiej maszynie, trzeba ciągle posuwać się naprzód, nikomu nie zawadzać i co chwila nowe zajmować miejsce, zostawiając swoje następującą parze.

Ale tu nie ma tego wypadku: tancerze wszystko zuchy dobrali się jeden w drugiego, gdyż wiedzą, że kiedy Janek przewodzi, to nie ma żartu; trzeba hulać i całą duszą i zdrowiem zręcznemi nogami. Mniej więc obdarzeni darem do tańca wolą należeć do grona przypatrujących, jak narażać się na bolesne stratowanie nogami.— Wiruje więc para za parą, muzyka brzęczy, huczy i pogwizduje, a za każdym odezwaniem się pokrzyku: hu ha! héj dziś!—umykaj!—całe koło tancerzy jak rumak ukłóty ostrogą, nowym zabłyszcza ogniem i pędzi dalej i dalej.

— A bodaj ich Bóg kochał i z takim szaleniem — odezwała się jedna z kobiet do kilku swoich sąsiad, przypatrujących się z zajęciem ochocie młodzieży, między którymi każda miała kogoś: to syna, córkę lub jakiego blizkiego krewnego.—A to szaleją, nikiéjby ich kto najął; cóż—ta za nogi takie.

— Zwyczajnie, moja sąsiado, jak młode i juści; waszymby—*ta* podobno trudno było tak poradzić.

— E, przecieć i ja nie zawdy byłam stara; ale patrzyta, moje sąsiady, choć się—*ta* Jagna boczy na Walka, to teraz widać radaby mu była: i wystroiła się, i poszła z nim do tańca. No, no!

— Ale Baśka, Baśka, będzie—*ta* dopiéro miała od starego Sierpnia, że tak Janek ją wytańcowywa: bo onta na niego ani spojrzeć może.

— E, co tam! Sierpień się trocha posierdzi, ale potem na wszystko przystanie.....

— Bajecie, bajecie, jakbyście nie wiedzieli, jakto stary Sierpień głowy do góry zadziera; i onby właśnie przystał na zięcia bez żadnej *familii*.

— Cota głupstwo *familija* — mówiła jedna z kobiet spluwając—*familija* to tyła warta, co ta ślina, bo nie da ani picia, ani dojadku, a uczciwość to grunt....

— Tak wam gadać, moi kochani, żeśta nie ze Świątnik, ino zpod pańszczyzny, tota u was wszystko równo; ale u nas w Świątnikach, tota takie rzeczy wiela znaczą.

— To téż ludzie wydziwiają się z was strasznie i Bóg wié nie jakie *gadki* o was wywodzą.

— A niech-*ta* wywodzą, ale jabym dlatego, moja Wawrzyńcowa, nie chciała pójść na chleb pańszczyzniany.

Wawrzyńcowa nie już na to nie odpowiedziała, kiwnęła tylko głową z niezadowoleniem i po małej chwili znowu się odezwała:

— Patrzta moje sąsiady, czyta Maryna oszalała, żeby *tyła* korali pozawieszać na szyi, nikiéj w kramie u żyda.

— E, moja Wawrzyńcowa, bota jój ojcowie starzy Ziembowie, to strasznie lubią się pysznić ze swoim bogactwem; oni żeby mogli, toby i na *palice* pokładli korale, a cóż dopiéro na szyję swojemu dziecku.

— Patrzajcie! moi kochani.

— Tak, tak, a żebyście zesli się z nią kiedy, toby wam już żadnej nie wywiodła *gadki*, ino o tém ile sprzedała płótna, *ila* gęsi, kaczek, *ila* znów wywiezli pszenicy, żyta i owsa do miasta na targ; a to wszystko dlatego, widzisz, żeby duchem Sierpniów zakasować, bo oni ich-*ta* nawidzić za to nie mogą, co ludzie Sierpniów wyżéj zawdy od nich stawiają. Ale to wszystko po próżnicy, bo jaka nalka, taka nać, jaka córka taka mać; Sierpniowie-*ta* od ojca, dziada zawdy są Sierpniami, choć-*ta* ich ludzie zowią teraz konfederakami, a Ziembowie przyszli z *obczyzny*, to *zawdy* są nie swoi i juści.

— To téz między Sierpniami a Ziembami nie ma prawdziwéj przyjaźni. Przed ludzkim okiem to się niby szanują, z sobą *grzechno, ładno*, ale-*ta* między niemi i za grosz serca nie ma; chociaż Bogiem i prawdą powiedziawszy, lepszy stary Sierpień w Wielki Piątek, niżli Ziemba w Wielkanoc, chociaż u niego w gębie *tyła* nabożeństwa, nikiéj u jakiego księdza.

— O, święte wasze słowa, moja sąsiado; Sierpień chociaż-*ta* twardy do pożyczki i nie każdemu da co prosi, ale jak da, to i bez *pro wizyi*, i potém nie tak naciska; a Ziemba nikogo nie opuści, każdego niby wesprze, ale *pro wizyi* dwa razy *tyła* weźmie co pożyczki, i potém jak przyjdzie do oddania, to i koszulę ściągnie, aby *ino* odebrał co swoje.

— To téz moi kochani, na krzywdzie ludzkéj wszystkiego się on tak dorobił, i zobaczycie, że prędzej późniéj to go zawdy Bóg skarze, bo-*ta* na każdym u niego groszu to więcéj łez ludzkich, niż włosów na głowie.

— Oj! prawda, prawda—potwierdziły inne.

W tém miejscu Janek zatrzymał się przed muzyką; rozmawiający przerwali rozmowę, hałaśliwy kwartet ucichł, a Janek zmieniwszy nutę, śpiewał:

Hej nawracaj od komina,
A uważaj której nie ma,
Jest i Baśka i Maryna,
Ino jednej Zośki nie ma.

I posuwistym krokiem uciawszy hołubca, z radosnym pokrzykiem hu ha! Janek pędzi dokoła, trzymając za sobą zaledwie mogącą podążyć Basię. Pary z równym ogniem posuwają się tuż za śladem swego przewodcy, podłoga tylko dudni jak kotły w orkiestrze, co dosyć odpowiada brzęczeniu i huczeniu muzyki, i gdy całe grono tancerzy wirując dokoła tak migocze się parami, jak szprychy u wozu z góry cwałem pędzonego, Janek nagle zwraca się w przeciwną stronę i krzyknawszy—hej! nawracaj, nawracaj!—zatrzymuje w biegu rozpedzone pary, tłoczy jedna na drugą, a wszyscy za nim powtarzają:—nawracaj, nawracaj!

Można sobie łatwo wystawić zamieszanie sprawione tak raptowną zmianą kierunku tańca, bo gdy od przodu zwrot już zrobiono, przy końcu w najlepsze pędzą jeszcze naprzód; ztąd w środku najokropniejsze powstaje starcie, tłoczą się, popychają, a Janek ciągle naciska wołając: —nawracaj, nawracaj!

Pomału zbita massa tancerzy znów się rozwija, odlepia się para od pary, cokolwiek wprowadzie z pomietem i spódniczkami, bez jakiego kwiatka, albo z przekreconą chustką na głowie; ale ktoby tam zważał na tak małe rzeczy! Choć bez luster dziewczęta spiesznie porządkują nieład ubrania i już ze śmiejącymi buziakami podążają za swemi tancerzami.

Jeszcze raz i drugi figiel ten powtórzono przy pokrzykach już nietylko tańczących, ale i patrzących—nawracaj! hej! nawracaj od komina! —Jeszcze nieraz i popchnięcie i szturchnięcie dosyć nastąpiło bolesne, aż nareszcie koło tancerzy tak się wprawilo, iż za pierwszym znakiem do zwrotu, wszyscy jak z bicia trzasł już byli na drugiej stronie.

Gdy młodzież tak hula potupując, pospiewując, że wieś cała tylko szumi wrzawą zabawy karczemnej, my przeniesiemy czytelnika do chałupy Wojciecha Sierpnia.

Mały kaganek oświetla całą izbę. Na ławie przy kominie młody chłopczyzna pożywa wieczerzę: kartofle ze słoniną, a stary Sierpień stoi przy stole pod oknem, kruszy sér na mniejsze kawałki, obdziera kielbasę wędzoną ze skóry i częstuje nią przybyłych do siebie dwoje kumów w gościnę.

Jestto Andrzej Łaza szwagier Wojciecha, wraz ze swoją żoną; oboje już ludzie nie młodzi, rzadkiej dobroci i poczciwości, a szczególnie z Wojciechem przyjaźniący się.

Andrzej troszkę ospowaty, z wrośniętym wyrazem uśmiechu przyjaznego w twarzy, który odrazu Ignie do serca i duszy, trzymał Basię do chrztu; ztąd szwagrowie pokumali się i odtąd tytuł siostry, brata, na miano kuma zamienili: gdyż u włościan pokrewieństwo kościelne daleko więcej jest uważane, jak wszelkie związki krwi choćby najbliższe.

Bezdzielni, pracowici, oszczędni, nielubiący ani hucznych zabaw, ani gwarnych jarmarków; poczciwem postępowaniem, miłosierdnym sercem, wyrozumiałością na głupotę ludzką i ciągłą dążnością do godzenia powaśnionych stron, choćby nawet z własną stratą, przyszli i do jakiegoś takiego mienia, i do ogólnego poważania wszystkich wsi mieszkańców, niedaleko od Świątnik położonej, w której za wspólną zgodą dziedzica i gospodarzy już oddawna, bo od lat przeszło kilkunastu ciągle Andrzej Łaza był sołtysem.

Rzadkito człowiek ten Andrzej Łaza wraz ze swoją małżonką, z którą się dobrali jakby w korcu maku; lecz nie dlatego, że jest prostym włościaninem bez żadnej nauki i wykształcenia, a jednak tyle poczciwym, ale dlatego, że choćby w społeczeństwie i bardzo wysoki zajmował szczebel, to jeszcze taką zajaśniałby cnotą, takąby błyszczał prawością duszy, że może nieraz przy jego boku zapomnielibyśmy, iż podstęp, oszukaństwo i tyloliczne zbrodnie, pod różnymi maskami i postaciami kryją się między ludźmi.

Prawda więc, że rzadki taki włościanin, ale równie rzadki i człowiek podobny. Gdybyśmy w obydwóch warstwach społeczeństwa, z których jedna surdudem, a druga prostą kamizelą plecy okrywa, zaczęli pilnie śledzić, szperać, na szalę sądu kłaść wszystko, co mówi za i przeciw jednym i drugim, kto wie, coby z tego wynikło....

Wojciech Sierpień ma więc gości u siebie. Nawiedzania podobne, a po naszymu *wizyty*, nieczęsto się trafiają między włościanami, bo przy pracy i ciągłym zajęciu jeśli się znajdzie chwila wolnego czasu, to go każdy chce użyć jak najprzyjemniej, i idzie do karczmy, gdzie z sąsiadami nagwarzyć się może do syta; ale się jednak trafiają.

Nawiedzania takie nie mają także na sobie cechy i nudnej etykiety i owego bezlitośnego zabijania czasu, w których niewiadomo czasem, czy bilet wizytowy osobę, czy osoba bilet zastępuje i komu z nich więcej będą radzi; ale za to że rzadkie, że są wpływem pra-

wdziwój chęci zobaczenia się ze staremi znajomemi albo krewniakami, przyjmowane są z całą serdecznością, z całym wylaniem się gościnnego serca, które i siebie i czém chata bogata wszystko oddaje na użytek gościa.

Takiemi gośćmi byli Łazowie dla Sierpnia; nie dziw więc, że się gospodarz krząta i że co może wynosi z komory, aby tylko uraczyć miłych mu kumów.

— O! mój kumie—odezwał się Łaza patrząc na Wojciecha rozłamującego kielbasę, z której woń czosnku po całej rozchodziła się izbie—mój kumie, i czegoż się szkodujecie; jak tam dla nas, to świat tego coście nałamali.

— O! zapewne, dajcie pokój, mój kumie—dołożyła żona—i tu jeszcze mam kawałek placka, com go wzięła na drogę, i *właśnie* doniosę go napowrót do domu, to nie łamcie, bo kto będzie jadł?

— Nie ma-ta moi kumowie—odezwał się Wojciech—żadnego szkodowania; wieprzak się w domu upaśł, potem się go zatrąciło, to nie kupne ino swoje, a wyście kawałek od domu wyleźli, to pomału zjewa przy kieliszku wódki i przy rozgadce po kąsiołku, to i pójdzie.

— Na Waluś—odezwała się Łazowa podając chłopakowi kawał przyniesionego placka i kielbasy ze stołu—na i ty, skosztuj, bo *ta* u dzieciuchów to gęba zaraz przy oczach siedzi.

Chłopiec z ucieszoną miną przyjął tyle smaczny dlań podarunek, zaraz go zaczął z apetytem obrabiać i na podziękowanie uściśnawszy wszystkich nogi, zajął znowu miejsce pod piecem.

— Mój kumie, ale choć bez gospodyni, kielbasy się jednak nie powstydzicie, bo to wszystkiego w niej *tyła*, co prawie....

— Jakto bez gospodyni? alboto nie mam Baški. Ho ho! moi kochani, dziewczuszyko choć młode, ale ma swoją kalkulacyą i czego nie znajdzie u siebie w głowie, to jak pójdzie po wsi od jednej do drugiej kobiety, to wnet ma wszystko co jój potrzeba.

— No prawda, żeta od śmierci waszój kobiety dopiero drugi raz przywlekliśmy się do was, ale wtedy, to Baška nie pokazywała po sobie *tyła* śmiałości do gospodarstwa, i ja zawdy frasowałam się o was, jak wy *se* rady dacie.

— Juścić moja kumo, co starsza głowa, to nie młoda; ale pomału, pomału, to się tak Baška włożyła, że już-ta wszystko w domu przez jój ręce przechodzi: i pranie, i gotowanie, i wedle drobiu, trzody, krów....

— Mój kumie — odezwał się Łaza — dla chcącego to nie ma nic trudnego, a Baśka już od młodu była nauczna gospodarstwa i statkowania, to i nie dziwota, że teraz i starego zakasuje. Żeby ino Pan Bóg obdarzył ją jakim poczciwym chłopiną, boćby to szkoda było dziewczuchę i z urodą i z poczciwością oddać na biędę w jakie niepoczciwe ręce.

— Oj! prawda — dōmówiła wzdychając Łazowa — bo choćto nasza krzesznica i kochawa ją jak własne dziecko, ale co prawda, to nie grzech, że-ta dobrze ten Panu Bogu będzie służył, co ją dostanie za gospodynią.

— Bóg wam zapłać, moi sąsiedzi — odezwał się Wojciech nalewając w kieliszek wódki — za dobre słowo o mojem dziecku, bo kiedy się jedno *zagubiło*, to.... Ale co tam, daj wam Boże zdrowie — i to powiedziałwszy wypił wódkę i na nowo nalawszy, podał ją Andrzejowi.

— Pijcie z Bogiem, mój kumie; wódka to nie woda, prędko idzie do głowy, a do dom mawa jeszcze kawałek....

— Nie bójcie się, nie wam nie będzie....

— Mój kumie, nie niewólcie go — odezwała się Łazowa — on-ta całkiem głowy nie ma do wódki, i niech ino ze trzy kieliszki wypije, to już mu i język i głowa het latają, a każde w swoją stronę; a jaki wtedy ucieszny, to powiadam wam, że inoby się śmiał, i choć koszułę to zdejmie i odda, taki wtedy *miętkiego* serca.

— A ne, to dobrze moja kumo — odpowiedział Wojciech — to widać wódka idzie im na zdrowie; a i ja tam z wódką zadawać się bardzo nie lubię, ale kiej się ma w domu kogo po swojej myśli, to przy gadce wypije się jak nie kilka kieliszków, i na zdrowiu człowiek nic nie szwankuje.

— Cicho, moje dziecko, cicho — odezwał się Andrzej przerywając żonie, która zabierała się znowu do mówienia — już ja-ta wiem do czego chcesz prowadzić; ale kiedy Pan Bóg człowiekowi daje, a nie ma po sobie komu zostawić, to przecieć dobrze, że-ta w jakiej potrzebie człek człekowi dopomoże. Bo to widzicie mój kumie, tego roku w ziarno to jeszcze jako tako się urodziło, ale co słomy, to strasznie skąpo, i u nas we dworze, i po innój szlachcie, i po chłopach już w poście zaczęło braknąć paszy. Ja tam Boga chwalić miałem u siebie dobrej *więzi* dwie kopy kłociaków. Myślę sobie, przedam półtorej kopy, a pół kopy to świat dla mojego dobytku; ale jakem *se* zaczął kalkulować, że choć mało wiewa zawdy coś wezmę za to grosza — i cóż? schowa się go i juścić, a przecieć Bogu dzięki, takiéjta

nagłości u nas na pieniądze nie ma: tak poszedłem do dworu, skłoniłem się dziedzicowi, oświadczyłem że mam słomę, a że on jest w takiej *okazyi*, że mu paszy brakło, aby se przysłał po nią, a z nowego mi odda.

— O! to dziwnście mój kumie! Już kiedyście dali, to choćby za pieniądze, ale nie na oddanie, bo teraz kopa waszój kłoci warta choćby lekko 24 złote, a na jesieni to za dziesięć złotych takiej samój kupi.

— Macie *racyją*, mój kumie, ale widzicie, ja se znów tak kalkulowałem, że-ta we dworze naszym nie przewala się, i choć dochodu wiele, to i wydatku co niemiara, i że w gromadzie naszój, jak to zwyczajnie między ludowiną, są różni: i zli i dobrzy; niejednen ma dobre oko we dworze, a na innego to i patrzeć nie mogą. Jakby téż, widzicie, nie miał kto się za niemi upomnieć i rzetelnój prawdy nie doniósł do ucha pańskiego, toby niejednen niewinnie się i nacierpiał, a niejednen jakby zaczęli na niego walczyć, toby musiał i z duszą ze wsi uciekać. Otoż widzicie, ja ze dwora nic nie potrzebuję. Boga chwalić, przy pracy i starunku spokojnie odrobie pańszczyznę, zapłacę podatek, i żebym nie był sołtysem, tobyta dwór i nie wiedział o mnie że siedzę we wsi; to jak za kim przemówię we dworze i poproszę, to zrobią wszystko jak chcewa: bo dziedzic wie, że co powiem, to sprawiedliwie i że mnie ani kieliszkiem wódki, ani niczem nie kupią, bom ja na nic nie pragnący. Otoż widzicie, dlatego ja słomę na pożyczenie dałem dworowi, bo zaraz jakoś człowiek śmielszy i w gadce i we wszystkiém, kiedy dziedzic widzi, że człek nie ma żadnój chciwości i *ino* pragnie, aby spokojnie i cicho we wsi było.

— A żebyście mój kumie wiedzieli, jak ja się o niego wykleklam kiój powrócił ze dwora; a Boże kochany!....

— No, i cożeście takiego zrobili?

— E, mój kumie— odrzekł na to uśmiechając się Andrzej— upiłem się jak cztery dziewczki i *duchem* wołałem o muzykę i garnąłem się z moją kobietą do tańca.....

— A i kajżeście tak dogodzili sobie? boć to wam przecie nie trafia się?

— A kajże? we dworze, mój kumie. Widzicie jakem przyszedł do dworu i oświadczyłem że chcę pożyczyć słomy, bo wiem, że jój zabrakło, tak dziedzic *duchem* chciał mi zapłacić; ale jata swoje miałem na głowie i w żaden żywy sposób zapłaty nie chciałem przyjąć. Dziedzic mnie męczył do ostatniego; tak ja się

skłoniłem i rzekę — „Wżny Panie, nie rób mi Wżny Pan téj krzywdy, żebyś miał gardzić moją dla siebie życzliwością, bo ja już dwadzieścia siedm lat jak jestem gospodarzem we wsi, a niczém się Wmu Panu nie uprzykrzyłem; to i teraz jeżeli tę słomę pożyczam, to nie dlatego, aby mi Wny Pan miał potem robić jakie podarunki, ino dlatego, że Wny Pan tak jest nad nami jak ojciec nad dziećmi, i żeby zawsze stary Łaza miał dobre oko u Wgo Pana.” Tak mój kumie jakem to wyrzekł, to-ta dziedzicowi jakoś tak dziwnie głos się zmienił, tak mu wargi latały, że ino, ino a myślałem, że się rozplacze. Ja mój kumie także *miętkiego* serca, o płacz nietrzeba mi dwa razy mówić: jak spojrzę na dziedzica, jak zobaczę u niego łzy w oczach, jak mi coś zakręci wedle serca, to żeby mnie ino wstyd nie było, tobym był tak płakał, *nikiej* dziecko. Tak potem, moi kochani, dziedzic kazał mi usiąść na stolku, zawołał żonę i dzieci, narobili... ta jakoś dziwno się to nazywa...

— Poncz, poncz—dołożyła Andrzejowa.

— Rychtyk tak, tak ponczu narobili na misce, i jakeśwa zaczęli z dziedzicem pić a gadać i gadać, tak moi kochani ja nie nauczny, jakem zaczął pić jedną i drugą szklanę, a to słodkie, to się człękowi *ładno* przez gardło przesuwają, tak ani zmiarkowałem, że-ta wiewa się piło. Tak mój kumie wstaje i chcęta podejść do dziedzica, żeby podziękować za ich takie ucześnie, ale gdzie tam: jedna noga siudy, druga tudy, i ino, ino com całego stołu nie przewrócił. Tak mnie dopiero dziedzic sam sprowadził ze schodków na podwórze, dziedziczka otuliła głowę czapką, bo ja choć na nogi był pijany, ale w głowie zawdy swój miałem rozum i widziałem wszystko. Jak mnie dwóch parobków przyprowadziło do domu, to mój kumie cudeńka z moją kobietą dokazywałem, a dziedzice i tego wieczora i na drugi dzień raz po raz przysyłali dowiedzieć się, czy czasem nie jestem chory. Niech im-ta Pan Bóg da wszystko dobre.

— No zapewne, że-ta warci takiego życzenia — odezwał się Wojciech—ale gdybyście tak ze dwa razy jeszcze się utraktowali we dworze, to mój kumie—mówił dalej z lekkim znaczącym uśmiechem—możeby się wam kobieta jako naprawiła, i potem nie mówilibyście, że nie macie swojej pracy komu zostawić.

— A może to być — dodał Łaza żartobliwie — różnie się-ta przecie między ludźmi trafia.

— Ej! stary, statkowałbyś — odrzekła Andrzejowa — o pacierzu byś lepiej.....

— O! widzicie mój kumie, że ma starego, to go do pacierza i statkowania nagania; żeby tak z młodym, oho! toby...

— A tobie znowu co się zrobiło — odezwała się niby z fukiem Andrzejowa — już widać, że nie jeden kieliszek masz w głowie.

— Nie bójcie się, moja kumo — odezwał się Wojciech — bo to nie poncz, ino wódka, a kum ino po ponczu myśli, żeby-*ta* praca jego na marność nie poszła. Ale może dlatego teraz nie garniecie się do świątnickiej wódki i kielbasy — mówił dalej Sierpień z pewnym rodzajem obrażonej dumy — żeście-*ta* spróbowali szlacheckich traktamentów, i chłopskie częstowanie nie jest wam do smaku?

— Ej! mój kumie — odrzekł zaraz Łaza, znający dobrze drażliwą stronę Sierpnia — jeżeli-*ta* człowiek ma życzliwość do swego dworu i uszanuje swoich dziedziców jak wypada, toć przecie nie przez żadne *pochlibstwo* jakta drudzy, żeby wodę ciągnąć *ino* na swoje koło, ale mój kumie dlatego, że kiedy się we wsi już lat tyła jest soltysem, to żeby ten głupi ludowina miał przecie we wsi takiego, co umie za nim po sprawiedliwości przemówić. Bo wy nie wiecie, jak to jest w pańszczyźnie: dworusy swoją drogą, przystawcy i ofycyalistowie swoją drogą, a do tego jak *pochlibcy* różni zaczną swoje szwargotać, jużci z kozła macie barana; a dziedzic cóż na to poradzi, kiedy-*ta* we wszystkim choć jest *trocha* prawdy, to *zmyślenia* znowu *tyła*, coby i korcem nie zmierzył. A nasz ludowina wiecie jakito nieśmiały: w karczmie między swemi gadki nie brakuje, ale jak przyjdzie do dworu, a jeszcze ekonom albo dziedzic fuknie na niego, to ino skrobie się w głowę, czapkę przekręca w garści na wszystkie strony, i gada ni to ni owo; i choć-*ta* nasz dziedzic nie garny do bicia, albo jakiej inniej krzywdy, aleta niejednen że się nie umie wytłumaczyć, to się *bez* niewinność biędzy nacierpi. Ja też mój kumie, że mam uważanie we dworze i jestem soltysem, zawdy wypowiem wszystko po sprawiedliwości: ani za jedną, ani za drugą stroną, a dziedzic chociażby mu nie wiem co kładli w uszy, to zawdy na moje przystanie, bo wie, że w mojej gadce nie ma żadnego oszukaństwa. I teraz mój kumie tak się włożyli, że dziedzic każdego co-*ta* przyjdzie do niego na uzalenie, to het! odsyła do mnie, i chociaż jest dużo *subiekcyi* ze zgodzeniem, ale ja mój kumie, to poczę-

stuję wódką, to jeśli idzie o szkodę jaką w zbożu, pożyczę pieniędzy na zapłacenie *ila*-ta sąsiedzi oszacowali, to znowu jak Józefowi co trzoda całej gromady wpadła w połanek ziemniaków i całe staje zryła, to ja choć mój kumie wtedy ani szerści świńskiej w domu nie miałem, bo wszystkie sprzedałem na jarmarku żeby namiastek odmienić, oszacowałem szkodę na trzy korce i na wszystkich rozłożyłem co ino świnię utrzymują. Ale jak zaczęli wywodzić różne rzeczy: a to zawiela, a to moje wtedy były w chléwie zamknięte, a to to, a to owo; tak rzekę sobie, żeby-ta was pogodzić, bo przecieć te dwa garnce ziemniaków toć nie żadne bogactwo, wziąłem mój kumie i sam pierwszy Józefowi zaniósłem, chociaż wszyscy przyświadczyli, że z mojej trzody szkody nie było, bo jój wtedy nie miałem. Tak potem mój kumie wstydnio strasznie wszystkim było, i jeden przed drugim znosili a znosili Józefowi, aż przecieć znieśli te głupie trzy korce. Otóżto widzicie dlatego ja tak szukam przyjaźni we dworze, żeby-ta we wsi wszystko było cicho, spokojnie, jak to mówią: i Bogu i ludziom żeby było miło.

— Dobrze to wszystko, mój kumie—odezwał się Wojciech—że tak jesteście *szczyrzy* dla ludzi, bo przecieć macie się nie ostatnio i od nikogo nie potrzebujecie; ale żebyście kiedy wy byli w jakiej *okazyi*, to nie byliby tak ludzie dla was, i może nie jedenby się nawydział, że nie umieliście grosza szanować, kiedy wam Pan Bóg dawał.

— Oj! święte wasze słowa—dołożyła Andrzejowa wzdychając—ja téżto zawsze mu mówię, ale co-ta, wszystko na wiatr.

— Ej! mój kumie—odezwał się Łaza—jużta się we mnie nie przemieni, już ja takiój natury; a kiedy człek Bogu i ludziom służy, to-ta i Bóg i ludzie o nim nie zapominają.

— Ej! mój kumie, tak się to mówi, ale na świecie to wszystko inaczej; ot na ten przykład u nas....

— Oj! prawda, prawda—przerwała Andrzejowa, a Łaza dodał:

— Mój kumie, nie bywał ja-ta dużo po świecie, to nie wiem jakta jest *kaj indzi* między ludźmi; ale u nas mój kumie, to Boga chwalić, nie postoi u mnie w gębie żadne uzalenie, Pan Bóg daje mi zdrowie; *ino* raz jakoś zapadłem co już myślałem, że trzeba będzie oczy zamknąć.—W tém miejscu Andrzejowa boleśnie westchnęła, a Łaza mówił dalej—ale jak ze dwóra raz i drugi po-

stali po doktora, potem po cyrulika, jak zaczęli zadawać różne leki, tak wnet opuściło mnie wszystko, i ot! znowu człowiek łazi po świętej ziemi. A w całej chorobie, mój kumie, żadnej nie miałem *subiekcyi*, bo ze dwora i posyłali po doktorów i leki przywozili, a wszystko za dworskie, nie za moje pieniądze. Chłopaczną co mam u siebie w służbie nikićj wasz Waluś, to brali do poganiania, do paszenia, a wszystko pisali za dzień pański, żebyta nie było zaległości, a mnie wielkiego upadku. Ludzie znów, to jeden przyszedł urznął sieczki, drugi obił kilka snopków na obroczynę dla szkapin, inny znowu zawiózł ćwiartkę zboża do młyna, kobiety znowu pomogły wedle gospodarstwa w domu, i ta jakoś lazło tak wszystko, że i w polu i w domu żadnego nie było upadku, choćta człowiek więcej jak cztery tygodnie kacołował w łóżku. No, to widzicie mój kumie czy nie mam *racyi*, kiedy mówię, że kiedy człek o Bogu i o ludziach pamięta, to i Bóg i ludzie nie opuszczą człowieka, kiedy będzie w jakim przypadku.

— No! mój kumie, to ino wasze szczęście, zeta u was we wsi jakoś i dziedzice i ludowina mają Boga w sercu; bo żeby oni na ten przykład byli wszyscy Ziębami, ho ho! tobyście nie raz, *ino* dwa razy mogli umrzeć, a onibyta żadnego ulitowania nad wami nie pokazali.

— Ej! mój kumie, i Ziemba-ta nie jest znowu taki zły, jak o nim ludzie mówią; prędzěj u niego głupio w głowie, jak źle na sumieniu, bo ino myśli o zbieraniu, jakby się tém można od śmierci wykupić; to dlatego taki chytry na wszystko, że ino mu się ręce trzęsą.

— Ej! co wy gadacie, głupi, głupi; ma on lepszy rozum jak wy wszyscy. Ho! ho!—mówił dalej Sierpień z przytłumionym gniewem zlekka w stół uderzając—mój kumie, prędzějby-ta on nas wszystkich i całą wieś sprzedał, nimby-ta kto choć jeden włos z głowy jego uskubnął.

— A bo-ta włosów już *niewiele* świeci się na jego głowie—zartobliwie dołożył Łaza; ale Wojciech już nie zważał na ten żart szwagra, tak był zajęty oburzeniem na Ziembę i mówił dalej:

— Mój kumie, żadne frasunki, żadne dopuszczenia Boże tak człekowi nie dokuczają, jak zły człowiek, kiedy się wkręci do *famili*, bo wtedy to rychtyczek tak się dzieje, jakbyście założyli do wozu konia jednego z przodu, a drugiego z tyłu, i każdego w swo-

ję stronę poganiali; to i szkapiny się pomęczą i drogi nic nie ubywa, i wozowi na pożytek nie idzie. Oj tak, tak!

— Ej! mój kumie, cobyscie tam mieli zważać na drugich. Ino po próżnicy przypuszczenia różne robicie do głowy, a z tego nic nie będzie dobrego: wszystko oddać Panu Bogu i juści.

— Zapewne, mój kumie — dołożyła Andrzejowa — jeszcze możecie na zdrowiu szwankować, zawsze was ludzie będą mieli w *obserwacyi*, a Ziembów nikt do was nie przyłoży.

— Moi kumowie, wiecie dobrze, że jata żadnej zawziętości długo w sercu nie noszę do żadnego człowieka; ale stary Ziembra to już mi wlaźł za wszystkie pazury, i co se ino wspomnę o nim, to mnie *aże ciarki* po skórze przechodzą.

Tu Wojciech zamilkł, brwi zmarszczył jakby burzą i piorunem miały wytrysnąć, a war tłumionego gniewu oblekł lekkim rumieńcem poważne Sierpnia policzki. Po małej pauzie ujął za flaszkę z wódką i obczęstował nią gości, podsuwając w milczeniu kielbasę i sér na przekąskę.

Oboje Łazowie znali dobrze, oparte tylko na polityce stosunki Sierpnia z Ziembą; dlatego nie chcąc wznawiać niemiły przedmiot w rozmowie, starali się nadać zupełnie inny jój kierunek.

— Szkoda, mój kumie — odezwała się Andrzejowa — że-to jakoś tak padło, żeśwa Basi nie zastali w domu, bo-to dziewczuchy z dobry kwartał nie widzieliśwa, toby się było czemu przyjrzyć. Ale płótna, to widzę macie kilka łokci: czyście lnu co przykupywali, czy wszystko ze swego?

Wojciech w miejsce odpowiedzi rzekł do chłopaka:

— Waluś! biegajno do karczmy i zobacz czy tam Baški nie ma; a jeżeli ją znajdziesz, to powiedz, żeby wnet przychodziła, bo ciotka Andrzejowa jest u nas w domu.

Chłopiec ujawszy bicz w rękę wybiegł pędem z izby, a Wojciech mówił dalej:

— Dziwno to jest jednak, że jój jeszcze do tego czasu nie ma; jeżeli do karczmy z kobietami nie wstąpiła, to ino co jój patrzeć, chociaż ja-*ta* niebardzobym rad był temu, żeby ona w karczmie tak długo się zabawiała.

— Ej! mój kumie — odrzekła Andrzejowa — jak staremu paciérz, tak młodemu zabawa przystoi. Dziewuszysko się nautyka wedle domu, wedle chlewów, to jak się wyrwie w święto między ludzi, a jeszcze muzykę usłyszysz w karczmie, to i nie dziwota, że-

ta się trocha zabawi. Przecież granie i tańcowanie nie za nas powstało i nie za nas zginie.

— Naprzeciw tego, moja kumo, ja nic nie rzekę, ale widzicie, przed wami mogę wszystko po myśli mówić, boć ja już jedno dziecko za Ziembę młodego zgubiłem i ta oboje Pan Bóg zabrał do swojej chwały; to radbym przecieć choć aby drugie w lepsze oddać ręce, a Jankowe do marnowania to dobre, ale do pracy to go bolą: ino grać, tańcować i różne śmieszne rzeczy wywodzić, to do tego chybki jak zając do kapusty.

— Ej! mój kumie, chłopaczysko młode, to i nie dziwota; ale pomału, pomału, to się *utemperuje* i może być....

— A jak się nie utemperuje?—zapytał przerywając Wojciech.

— Mój kumie, co rok to człowiekowi więcej do głowy przybwa; i my przecieć nie zawdy tacy byli, jak teraz.

— A ino, a ino—dołożyła Andrzejowa— pamiętacie mój kumie, jak to nieboszczyk rodzic wytaśmowali wam pasem skórę, coście nie chcieli poganiać wołów parobkowi, ino sami garnęście się do pługa? A przecieć to nie przez lenistwo, ino tak z głupiego rozumu.

— Moi kumowie, to też dobrze nieboszczyk rodzic robili, co skórę garbowali; i żeby tak Jankowi byli robili, toby był nie utracił i pół swojej chałupy i gruntu, i byłby przecieć we wsi siedział, a nie walał się po służbie; ale teraz już trudno naprawić, co się za młodu złego narobiło; bo czego się skorupa za młodu napije, tém zawdy na starość trąci. Był ladaco, i takim już zostanie.

— Ale mój kumie, powiadam, że się *utemperuje*. I Józwa i Wawrzek tacy byli rychtyczek; jednak się ustatkowali i dziś gospodarze co się nazywa....

— A jak się nie utemperuje?—zapytał Wojciech z małą niecierpliwością—jak zawdy takim zostanie? A czybyście mogli *sumieniem poprawić* (1), że w Janku wszystko się odmieni?

— No, i jużcić....— jękając się bakał Łaza.

— A widzicie, mój kumie, ja też tyła pracy swojej, tyła starunku w ladajakie ręce nie oddam; a przytém wiecie mój kumie, że ten grunt co należy do téj chałupy, to już z dawna dawien zawdy idzie osobno, żeby ino sami Sierpnie pod ten dach się przytulali. Dotąd Boga chwalić wszystko szło spokojnie, ucziwie; ja zostałem na ojcowiznie, młodszemu dali rodzice wszystko co nale-

(1) Czyli przysiądz..

żało do gospodarstwa: konie, krowy, pługi, wozy i co-ta było. A ja znowu co wziętem za swoją kobietą, to na to miejsce pokupowałem; wyście znów moja kumo podzielili się z siostrą gruntem po matce, potemeście siostrze odprzedali, kiedyście za kuma wychodzili; i ot, wszystko Bogu dzięki porobiło się ładno, bez kłótni, bez obrazy Boskiej i wszystkim nam przecieć w świecie nie najgorzej i nie swarzewa się i nie wymawiamy sobie, żebyta jedno drugie miało oszukać. Ale teraz, mój kumie... o! ciężkie frasunki na mojej głowie.....

— A mój kumie, cóż-ta za frasunki macie takie ciężkie? — Wojciech boleśnie odetchnął, jakby chciał zrzucić ciężar frasunku przytłaczający jego piersi, a kładąc rękę w zanadrze, odpowiedział:

— Moi kumowie, wiecie, że mi Pan Bóg nie dał syna...że... — w tém miejscu głos zadrzał Wojciechowi i umilkł.

— No, mój kumie wola Boska; i tak was bez dzieci Pan Bóg nie zostawił: bo choć jedna już na Boskim sądzie, ale macie Baškę dziewczuchę nikięj łanią. Ot u nas gorzej: pracujewa, zabiegawa, codzien to przecieć nie ubywa, ino przybywa, a dzieciaka w domu ani jednego; jednak mój kumie frasowaniem nie obrażawa Pana Boga,—wola Boska i juści. Najlepsyto gospodarz Pan Bóg nad ludźmi!

— Oj tak, tak, mój kumie—dołożyła Andrzejowa—lepiej żebyście to wszystko ofiarowali Panu Bogu, jak po próżnicy psuć se tak głowę, co się już nie może odmienić.

— Moi kumowie, znam już to wszystko, co mi powiadacie— już spokojniejszym głosem odpowiedział Wojciech—ale wy znowu nie kalkulujecie, do czego to wszystko prowadzę.....

— No, mój kumie, juścić ja to dobrze miarkuję, że wam idzie o to, że nie macie komu ojcowizny zostawić; ale co tam, to fracha.

— Jakto fracha — marszcząc brwi, podniesionym głosem rzecze Wojciech — jak wy możecie wywodzić taką gadkę że to fracha, kiej człowiek nie wie komu zostawi to, co bez *tyla* lat było zawdy w naszej *familii*?

— Ej! mój kumie, nie ma wam o co iść—odpowiedział Łaza, gdy go żona szarpiąc pod stołem za kapotę, nakłaniała do milczenia, mówiąc przytém półgłosem—Jędrzej, dałbyś pokój, wiesz, że na kuma lepiej cisnąć ognia, jak w gadce wywodzić takie rzeczy— Ale Łaza nie zważał i mówił dalej:

— Mój kumie, przecieć macie córkę i wnuka po drugiej, to i tak ani wasza praca, ani ojcowizna nie pójdzie na marność.

Wojciech na te słowa zerwał się z siedzenia, jakby go kto ukropem oparzył, i stając przed zdziwionemi Łazami, głosem silnym, zdradzającym wewnętrzne szamotanie podniesionego gniewu, z powolnością należną szanowanym przez siebie kumom, odpowiedział:

— Nie pójdzie na marność? Jak nie ma pójść na marność, kiedyby się rozeszła po świecie między ludzi, co się Ziębami albo siak albo inak nazywają? Ale nie, moi kumowie, prędzej ta stara głowa do ziemi się schowa, niżby miała taki *despekt* na naszą *familię* sprowadzić, i póki Sierpnie Sierpniami, żaden ze *stroyny* (1) nie będzie gospodarzem na tych śmieciach, co *tyla* Sierpniów na sobie uchowały.

Tu rozmowa ustała, każdy utonął we własnych dumaniach, a Wojciech przeszedłszy kilka kroków po izbie, znowu zajął miejsce przy stole. Mała chwila już była dostateczną do uspokojenia wzburzonych namiętności starca, obtarł potem zroszone czoło, i ujrzawszy Łazów zabierających się do odejścia, z przyjaznym uśmiechem, w którym przebijał się żal za gniewliwe cokolwiek obejście się z miłemi mu gośćmi, odezwał się głosem wzruszonym:

— Moi kumowie, nie róbcie mi przecieć téj krzywdy, żebyście po nieprzyjazni mieli odchodzić do domu; bo u starego, to już taki układ, że jak co usłyszysz przeciwnego swemu pomyśleniu, a jeszcze takiemu pomyśleniu *co-ta* zawdy jedno było u rodzica, dziada i *hell!* dalej, to już języka i rękami w gębie nie utrzyma; ale moi kumowie, choć gęba gada, to i cóż?—słowo wiatr i juści, a w człowieku wszystko *zawdy* jednako pozostaje.

— Mój kumie — odezwał się Łaza, ale mu żona przerwała, mówiąc:

— Cicho Jedrusiu, cicho; *ty-ta* nie wiesz, co kum mają na głowie, bo nie z takiej *familii* pochodzisz jak nasza, to się wyrwiesz z jaką gadką niepotrzebną, i znowu jakiego licha narobisz.

— Dajcie pokój, moja kumo, niech kum mówią, bo choć oni z obczyzny i wieleśwa z nieboszczykiem rodzicem *termedyi* użyli, nim was moja kumo dostali, to-ta trudno już o lepszego człowieka jak oni; niech mówią.

(1) To jest obcy.

— Nic jata nowego mój kumie nie miałem do powiedzenia ino to, że choć co powiem dla was przeciwnego, to nie z przy-mowiska, ani-*ta* z innéj jakiej *okazyi*, ino tak, ot co w głowie, to i w mowie.

— Moi kumowie—odezwał się Wojciech coraz więcej roz-brojony łagodnością szwagra—alboto od dziś, albo od wczoraj znawa się z sobą, alboto ja już *nienauczny* waszój życzliwości dla siebie?

— O! zapewne—odezwała się Andrzejowa—już-*ta* przy-chylniejszych od nas nie znajdziecie dla siebie. Ale już późno, trzeba się do *doma* zabierać, bo-*ta* memu trudno gęby zawiązać, a jabym nie rada była takim rozgadkom, coby kumowi były po przeciwności.

— Moja kumo, miéjcie przecieć Boga w sercu. Ot Baški *ino* co nie widać, narobi nam jajecznicy z kielbasą; a teraz napijewą się wódki z miodem, co nam kuma przyrządzi. Zaraz z komory wszystko przyniosę. Moi kumowie, poczekajcie.

To powiedziawszy wyszedł Sierpień po miód do komory, a Andrzejowa zaraz odezwała się do męża:

— O! już się téż wybrałeś z taką gadką do kuma, jakbyś nie wiedział, że oni i figurę wyfundowali, i korale zawiesili u obrazu Matki Boskiej, a wszystko ino dlatego, żeby im Pan Bóg dał syna. Oj! dziwnie straszny z ciebie człowiek.

— No no, cicho moje dziecko, już wiesz, że ja takiéj natu-ry, co nie umiem z *ogródkami* mówić; ale jakbyś miarkowała, że ja co takiego wywodzę, co może być kumowi przeciwne, to *ino* pociągnij mnie za kapotę, a ja zaraz przemienię to na co innego, że kum się nie domiarkują.

— No, będę ja to widziała.

— No, zobaczysz, moje dziecko.

Zaledwie powyższa rozmowa prowadzona głosem znacznie przytłumionym ukończoną została, wszedł do izby Wojciech z garczkiem miodu, z flaszką wódki i innemi przyborami potrzebnymi do zrobienia krupniku czyli palonéj wódki z miodem.

Jestto przysmak nieczęsto przez włościan używany, gdyż szczególniej po wsiach pańszczyznianych rzadko który ule posia-da; zwykłym zaś wykwintniejszym napitkiem bywa wódka palona wraz z roztopioną słoniną, która nietylko przez zdrowych, ale i przez chorych w różnych wypadkach jest z wielką chęcią używana. Masło świeże, placek, kielbasa, sér znowu przybyły na

stół, a gdy krzątająca około krupniku ukończoną została i napój czerwono brunatny kurząc się ponapełniał kieliszki i kubeczki, rozmowa znowu ożyła.

Z początku prowadzoną była o pszczołach, ulach, miodzie i innych podobnych rzeczach; bo wiele razy skłaniała się do przedmiotu więcej drażliwego dla Wojciecha, zaraz Andrzejowa zręcznym zwrotem naprowadzała ją do czego innego. Lecz gdy krupnik zaczął cokolwiek działać i rozwiązywać język krępowany znaną dobrze i włościanom przyzwoitością obejścia się towarzyskiego, Wojciech przerywając rozwodzenie się Andrzejówej nad sposobem prowadzenia gospodarstwa domowego, odezwał się:

— Moja kumo, wszystko mądrze mówicie, i dlatego że znacie, coto znaczy kobieta kiedy się nie leni do gospodarstwa, to nie powinniście się dziwić, że ja na Janka nie chcę przystać dla Baški, ino szukam dla niéj jakiego człowieka ze statkiem.

— No, mój kumie—odezwał się Andrzej, ale uczuwszy pościągnięcie przez żonę sukmany, kiwnął tylko głową, popił z kieliszka i umilkł.

— Cożeście chcieli powiedzieć?—zapytał Sierpień.

— Ej! nic, ino to—odpowiedział cokolwiek zaambarasowany Łaza, bo czuł ciągle pociąganie kapoty—ino to, mój kumie... że macie rację... coście powiedzieli... tak..—i kaszlem zakończył resztę odpowiedzi.

— No, to widzicie mój kumie, Janek nie ma nie ino ręce, i to dobre do skrzypków, ale nie do ciężkiej roboty; a ja przecieć dziecka swego nie mogę dawać na potyrkę po służbie, po dworach, po chłopach, bo-ta jeszcze żadne z naszej familii w takiéj biedzie po świecie się nie walało. To zaś co z Boskiej woli zostało po rodzicu i *zawdy* ino było Sierpniów oddawna dawien, to na *zawdy* musi Sierpniów pozostać.

— No, mój kumie—odezwał się Łaza nie czując szarpania kapoty—juścić nie ma-ta nic dla człowieka przyjemnego, kiedy widzi, że-ta tém, co bez całe życie zganiał i zganiał do kupy, krewniaci kiedyś będą się dzielić; ale kiedy wam Pan Bóg nie dał syna.... Andrzej umilkł i aż zająknął się, tak go żona raptownie przestrzegła znakiem umówionym. Nie chcąc jednak dać poznać Wojciechowi, że miał coś takiego powiedzieć (polegając ślepo na zdaniu swojej żony, szarpnięciem kapoty objawioném) co mówić nie wypadało, i chcąc zręcznie podług przyrzeczenia przejść do innego przedmiotu, mówił dalej jękając się, i raz po raz łykając ślinę:

— No, mój kumie, kiedy wam Pan Bóg nie dał syna....kiedy już tak padło.... no, to widzicie macie bratanków....macie wnuka po Ziembach....

— O! to téż ten mój wnuk, co mi pozostał po starszej córce, a teraz się chowa u dziadka starego Ziembę—przerwał Wojciech podniesionym głosem, uderzając zlekka w stół pięścią, co zwykł zawsze robić, ile się razy rozgniewał— onto cały mój frasunek, nie bez niego, bo cóż-ta taki dzieciuch znaczy, ale bez starego Ziembę a jego dziadka. Oni myślą, że jak ino oczy zamknę, to się będą rozpierać w naszej pracy; ale niedoczekanie wasze! Jeszcze za życia wszystko tak poszykuję, żeta i Ziembę głowa chociaż mądra, a niczemu nie poradzi.

Przez czas mowy Wojciecha Łaza z nosem spuszczoneym na kwintę słuchał w milczeniu i mowy kuma i przytłumionego łajania żony; bo czuł biedaczysko, że mu się niby dyplomatyczny zwrot w rozmowie zupełnie nie udał.

— O! bajbuga, bajbuga—szeptała Andrzejowa—cota za język taki? Ja szarpię, ciągnę, a on swoje. Oj ty bajbugo!

— Cicho, moje dziecko, już teraz jak malowany będę siedział.

— No, mój kumie—odezwała się Andrzejowa—zostawcie-ta na później takie rozgadki; gniew zdrowia nie daje, a

— Gniewanie moja kumo swoją drogą, a co człek się wygada, to mu zawdy lżej....

— O! zapewne, zapewne, mój kumie—potwierdził Łaza serdecznie wdychając, bo czuł jakto przykro milcząc, gdy smaczny krupnik ochoty do mówienia dodaje.

— Dlatego téż moi kumowie—mówił dalej Wojciech—wszystko wam wypowiem, co już dawno u mnie siedzi w głowie, o czém i w dzień i w nocy zawdy ino myślę. Wiem przecie, że wy przychylni dla mnie, i jeżeli człowiekowi dobrze nie poradzicie, to go na zdradę pewnikiem nie wywiedziecie.

— O! mój kumie — odezwali się oboje Łazowie—alboto my nie swoi, alboto nie w jednej familii, czy co? alboto Baśka nie nasza krześnica? O! Boże kochany!

— Bóg wam zapłać, moi kumowie za waszą poczciwość, za waszą dla mnie serdeczność; dlatego wszystko wam tak powiem *nikiej* przed sobą, ino wypijcie po jednym jeszcze kubeczku. Nie zaskodzi, bo to z miodem, a miód to wszystką tęgość wypija.

Po wzdraganiu się i wymawianiu, kubki na nowo napełnione zostały, i Wojciech zaczął mówić:

— Widzicie, moi kumowie, u nas w naszej familii, to już taki obyczaj, że zawdy starszy syn zostaje na téj ojcowiznie. Dlaczego się to tak dzieje?— ja nie umiem wam dobrze tego przełożyć; ale skoro starsi tak postanowili, toć musi być tak dobrze, bo starzy ludzie *zawdy* lepszy rozum od nas mieli. Otóż ja se tak ułożyłem, ino niech to-ta przy was moi kumowie pozostanie, bo wy pierwsi co jestem dla was z taką szczérością; otóż ułożyłem se, że kiedy mi Bóg nie dał syna, nie dał mi téj pociechy, żebym widział swoje krew i swoje kości na téj ojcowiznie, wedle której już tyła lat pracuję, żeby obsadzić na mojem miejscu starszego chłopaka naszego brata, kumo. Żeby zaś nie skrzywdzić swoich dzieci, to jego część coby z ojcowizny na niego przypadła, i te szkapiny i krowiny co są naprzód Boskie, a potem moje, poszłyby na Baškę i na dziecko, co zostało po młodej Ziembinie, a on jakby se pojął kobiętę, toby za wiano żony pokupował do gospodarstwa coby wypadało, i tak wszystko ładnoby się ułożyło, a mnieby cały frasunek zeszedł z głowy.

— Mój kumie — odezwała się Andrzejowa, gdy pocziwy małżonek tylko wzdychając, bo nie śmiał w długiej się rozwieść rozmowie, szeptał półgłosem urywane zdania — oj! frasunek, gorzkito chléb; ho ho! niejednemu dojadł dobrze.

— Mój kumie — mówiła Andrzejowa — wy macie lepszy rozum, to wiecie jak co zrobić. Niech-ta Pan Bóg we wszystkiém wam dopomaga.

— Ale cóż, moi kumowie — odezwał się znowu Wojciech — wszystkoby można zrobić i nie byłoby w niczém *subiekcyi*; ale stary Ziemba, co mu się zdaje, że nad niego już nie ma mądrzejszego człowieka... — i przy tych słowach Sierpień zmarszczył brwi i uderzył w stół pięścią — zwyczajnie jak światowiec, co się wciśnął do naszej wsi, nikiéj wilk do owczarni, zmiarkował jakoś co ja myślę zrobić, i powiedział, że na to nie może pozwolić, boby to było z krzywdą jego wnuka, co mu się po mojej córce a po jego nieboszczyku synie został. I patrzcie moi kumowie — z coraz więcej podnoszącym się gniewem mówił dalej — czego u nas nigdy nie bywało, o czém się ludziom nawet nie śniło, on teraz swoim lisim rozumem chce do nas wprowadzić, i powiada, że jak po dobrowolności ojcowizny między córki nie rozdzieli, żeby połowa na

jego wnuka przypadła, to pójdzie do prawa i straci sto złotych, a na swoim pokaze.

— Mój kumie—odezwał się Łaza—cobyście zważać mieli na ludzkie *gadki*; człowiek słowo wymówi, ludzie dwa dołożą, ot i po próznicy wadzą drugich między sobą.

— Oj! mój kumie, nie wymyśliłto ludzki, nie. Wy przykładacie każdego człeka do siebie, i zdaje się wam, że każdy do was podobny; ale ho! ho! Ziembra stary, to mądry ptaszek: jemu się chce naszej ojcowizny, niby żeby wnuka w niej obsadzić i potem zakasować Sierpniów. Ale-*ta* słaba jego głowa na to; choćby Sierpniowie z kijami po proszeniu chodzili, a Ziembowie Bóg wie jak się rozpierali, to *zawdy* inaczej ludzie patrzeć będą na Sierpniów, a inaczej na Ziemków. Ho ho! ludzie nie od dziś i nie od wczoraj nas znają.

— Co tam, mój kumie, macie zważać na takie rzeczy—odezwała się Andrzejowa—albo to co macie czy nie wasze, czy co? Czyż człek do swego nie ma mieć wolności, żeby *se* z tém tak poszykował, jak sobie w głowie ułoży? Co się tam frasujecie, niech *se* co chcą gadają, a wy swoje zrobicie i juścić.

— Dobrzeta moja kumo, ale widzicie, nie wszędy jest tak jak u nas, co córki idą za matką, a synowie za ojcem...

— Moi kochani, czy to może być? — ze zdziwieniem spytała Andrzejowa.

— Tak, tak moja kumo, dlatego téż może mi stary Ziembra dużo stanąć na przeszkodzie; ale ja pójdę do tego szlachcica pana Józefa, co Janek u niego służy, bo to dobry szlachcic, chociaż—w tém miejscu Sierpień przypomniał sobie nazwanie swoich szkapin *koniećtami*, gdy wracał wczoraj wieczorem z pola do domu, i mówiąc dalej założył rękę za pas i podniósł dumnie głowę do góry—choć mu *zawdy* wygląda w mowie szlachectwo, i poradzę się, Baśce w zapusty sprawię wesele, bo już *se* umyśliłem dla niej chłopca. Co w domu się znajdzie, pójdzie dla niej na wiano, a chłopaczynie co się po starszej córce chowa u Ziemby już nic nie dam, nawet na owinięcie palca; niech się z dziadkiem swoim tém cieszy, co mu pozostało po ojcach, i co stary Ziembra już zagarnął na swoje rękę.

— A mój kumie—odezwał się przerywając Andrzej—przecież to *zawdy* krew wasza i wszystko co wam po córce zostało, a.....—i urwał dalszą mowę, bo go żona za kapotę pociągnęła.

— Ale mój kumie, chociaża w nim bez pół jest *krwié* mojej, ale to zawdy Ziembra nie Sierpień — odrzekł Wojciech podniesionym głosem, gdy stół jęknął pod uderzeniem pięści — a Sierpniowie nie na to bez lat tyła pracowali, żeby im Ziembo-
wie mieli wleźć na kark i przyjsć do gotowizny (1).

— Ale ja slyszalem mój kumie — odezwał się Łaza — że Ba-
śka Janka dosyć nawidzi, i że.....

— Ej! bajbugo — przerwała Andrzejowa widząc pochmurza-
jące się czoło Wojciecha — dajwa już pokój rozgadkom, późno,
trzeba do dom powracać.

— Prawda, moja kumo — domówił Wojciech powstając — Ba-
śki jeszcze nie widać, pewnikiem siedzi w karczmie, a może się
ta wszystko dzieje nie po mojej myśli. Walka nie widać, zacze-
kajcie moi kumowie, ja sam po Baškę pójdę, żeby przecieć z wami
się *pośratala*.

I to powiedziawszy, ujął Wojciech kij w rękę z którym zwy-
kle obchodził pola albo szedł do kościoła, i wyruszył prosto ku
karczmie. A w karczmie Janek wywija, pośpiewuje. Baśi ser-
duszko tylko puka od tańca i radości. Biedny chłopcze! biedna
dziewojo! nic nie wiecie, jaka burza wisi nad waszemi głowami.

(1) Czyli do gotowego majątku, na który już nietrzeba pracować.

(Dalszy ciąg nastąpi),



INSTYTUT Ś^{go} KAZIMIERZA

W WARSZAWIE,

OPISAE

Dr. M. Jan Kulesza.

(Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego warszawskiego,
w d. 25 stycznia r. b.)

Właśnie z początkiem bieżącego roku upłynęły dwa wieki, jak sprowadzonymi zostały do Polski Siostry Miłosierdzia: i tyleż prawie czasu ubiegło od założenia instytutu św. Kazimierza. Jestto jedna z najpiérwszych i najdawniejszych instytucyj szpitalnych kraju naszego; jednakowo ten przedmiot mało jest wiadomy naszój publiczności, owszem całkiem jest zaniedbany. Żadne pióro nie opisało go dotąd z taką dokładnością, jaka przynależy; Siostry Miłosierdzia zaledwo znane są z imienia i usługi swój po szpitalach. Moim tu zamiarem jest skreślić historiją tego zakładu, oraz przedstawić pożytki, jakie zeń spływają na społeczność kraju naszego.

I.

Sprowadzenie Sióstr Miłosierdzia do Warszawy, i ich reguły.

Pod nazwą instytutu św. Kazimierza znajduje się w Warszawie na Tamce dom generalny zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. W nim jest szkoła duchowna czyli seminaryum, gdzie kształcą się i przysposabiają młode dziewice do przyszłego powołania; tu jest główny zarząd Sióstr Miłosierdzia, rozliczne usługi odbywa-

jących w kraju po szpitalach; tu nareszcie jest miejsce schronienia dla wysłużonych emerytek, które stargawszy siły na usługach przy chorych, a częstokroć utraciwszy i zdrowie, przychodzą resztę dni żywota tu przepędzić. Również tu jest zakład wychowania ubogich sierot płci żeńskiej.

Ludwika Marya, żona dwóch królów polskich braci rodzonych, naprzód Władysława IV, a następnie Jana Kazimierza, urodzona księżniczka Mantui Gonzaga, mieszkając przez długi czas w Paryżu, знаła osobiście ojca Wincentego, przełożonego zgromadzenia missyi, później kanonizowanego i świętego, oraz Ludwikę Le Gras fundatorkę Sióstr Miłosierdzia we Francyi; a bywając niejednokrotnie na słynnych podówczas schadzkach zgromadzenia dam Miłosierdzia, nabrała przekonania o wielkiej ich użyteczności dla świata, pochodzącej z prawdziwej pobożności, tudzież głębokiej pokory ducha. Sama też pobożna, widząc się panią spraw swoich, powzięła myśl zaprowadzenia tej instytucji do kraju naszego, jakoż w r. 1651 (1), sprowadziła z Francyi do Polski trzy Siostry Miłosierdzia reguły św. Wincentego a Paulo. Od tego czasu datuje się ich początek istnienia u nas.

Właśnie podczas przybycia do Polski Sióstr Miłosierdzia, panowało w kraju morowe powietrze: pierwszą zatem czynnością przybyłych było usługiwanie chorym zapowietrzonym, a opuszczonym od wszystkich.

Gdy zaraza ustała, Ludwika Marya umieściła je tymczasowo na Krakowskiem-Przedmieściu w jednym z domów w pobliżu kościoła św. Krzyża, gdzie obok starań około ubogich chorych, zatrudniały się nauką ubogich sierot płci żeńskiej.

We dwa lata później, z powodu wkroczenia Szwedów do Polski, Ludwika Marya zmuszona będąc opuścić Warszawę, wzięła też ze sobą i Siostry Miłosierdzia, które przy toczącym się podówczas boju, trudniły się opatrywaniem rannych żołnierzy. Po wyparciu nieprzyjaciela powróciwszy wraz z królową do Warszawy, umieszczone były w jednym z dawniejszych pawilonów pałacu Kazimiérowskiego; gdzie, jak poprzednio, trudniły się nauką dziewcząt ubogich, a obok tego miały staranie o chorych.

(1) Podług akt w klasztorze XX. Missyonarzy znajdujących się. W opisanu życia Ludwiki Le Gras przez ks. Lubienieckiego, rok 1652 sprowadzenia Sióstr Miłosierdzia do Polski mylnie jest podany; albowiem przy końcu roku 1651, Siostry Miłosierdzia już znajdowały się w Warszawie.

Następnie Ludwika Marya idąc za skłonnością swego serca czynienia zawsze dobrze, pragnęła przyjść jeszcze bardziej w pomoc ubogim dziewczętom, którymby rodzice przez zawczesną śmierć, ubóstwo lub niedostatek, żadnego wychowania dać nie mogli; chciała, aby Siostry Miłosierdzia macierzyńską nad niemi opiekę rozciągały.

Na ten cel kupiła w r. 1659 za własne pieniądze folwark Kałęczyn pod Warszawą, nad Wisłą, przy Solcu leżący. Na jednym z jego placów nazwanym Glinki, zabudowania drewniane wystawić kazała, i w tych Siostry Miłosierdzia stale umieściła. Tym sposobem szpital, a razem instytut Sióstr Miłosierdzia pod nazwiskiem św. Kazimiérza ufundowała (1).

Aby zaś to dzieło trwałém na wieczne czasy uczynić, dobroliwa królowa oprócz gruntów do folwarku wspomnionego należących, kupiła jeszcze ze swój szczodroliwości, za własne także pieniądze dobra Pęcbery, o mil trzy od Warszawy, a jedną milę od miasta Piaseczna odległe, z przyległościami: Runów, Bogatki, Grochów, Wólka i częścią w Jazgarzewie; tudzież przeznaczyła sumę złp. 30,000, na kupno przyległego folwarku Łbiska.

Nadając te dobra Siostróm Miłosierdzia na dziedzictwo wiecznemi czasy, oddała zarazem ich pieczy i staraniu ubogie dziewczęta; mieć chcąc, aby w miarę osiąganých dochodów, utrzymywały odpowiednią liczbę takich sierot, a przez macierzyńską nad niemi opiekę, wpajały w nie to wszystko, co im przynieść może dobro, nietylko pod względem ciała, ale i duszy.

Dla postawienia zaś w możności Siostry Miłosierdzia aby mogły jak najprędzej doprowadzić do skutku zamiary królewskie, w następnym roku sprowadziła z Francyi drugie trzy Siostry Miłosierdzia do pomocy piérwszym, jak to okazuje list św. Wincen- tego a Paulo z dnia 16 września, 1660 roku (2).

(1) *Approbacia*, to jest zatwierdzenie téj fundacyi, zastrzeżoną została konstytucją r. 1662 na sejmie przez stany rzeczypospolitéj i króla.

(2) „Wincenty a Paulo przełożony generalny zgromadzenia missyi i dyrektor zgromadzenia Panien Miłosierdzia sług ubogich, założonego w Paryżu. Kochanym naszym córkom w Chrystusie: Barbarze Bailli, Katarzynie Bancher i Katarzynie Göny, wspomnionego zgromadzenia Pannóm Miłosierdzia, pozdrowienie w Panu.

Gdy od kilku lat z rozkazu i szczodroliwości Najjaśniejszój królowej polskiéj, stosownie do życzenia J. W. i najprzewielebniejszego biskupa poznańskiego, rzeczone zgromadzenie Panien Miłosierdzia, w mieście Warszawie, dla posługi ubogich chorych, zaprowadzone zostało; i taż sama Najja-

Ufundowane tym sposobem Siostry Miłosierdzia utrzymywały początkowo sierot ubogich 15, i mieścili się w powyższych zabudowaniach drewnianych. Dopiero w r. 1699, korzystając ze szczodroblewości ówczesnych, a mianowicie: arcybiskupa gnieźnieńskiego, biskupa poznańskiego, i wizytatora księży Missyonarzy (1), jak równie z uzbieranych przez same Siostry Miłosierdzia jałmużn i oszczędności, wymurowany został gmach czworoboczny z kaplicą, ten sam właśnie, w którym do dziś dnia mieści się instytut Sióstr Miłosierdzia św. Kazimierza.

Pierwotnie Siostry Miłosierdzia zatrudniały się w instytucie św. Kazimierza wychowywaniem ubogich dziewcząt. Obok tego dopełniały posług wszelkiego rodzaju przy chorych, we wszystkich takich miejscach, gdzie zachodziła potrzeba ich obecności. W tym zamiarze chodziły po przedmieściach i miejscach opuszczonych, wyszukiwały chorych ubogich, doglądały ich, puszczały

śniejsza Pani, chcąc je pomnożyć, trzy inne z tych panien od nas zażądała. My żądaniu i woli téj monarchini pragnąc zadosyć uczynić, was do wspomnionego miasta Warszawy posłaliśmy, i niniejszém posyłamy; ażebyście tam wspomnianej królowej podlegały i według zwyczaju instytutu naszego, który się we Francyi zachowuje, żyły, pod zarządem i kierunkiem J. W. Gwillelma Derdames przełożonego kapłanów naszego zgromadzenia w Polsce już zostających, stosując się do woli JWW. przewielebnych JXX. biskupów. Przeto JWW. i Najprzewielebniejszych panów naszych, biskupów, officyałów, proboszczów, i wszystkich rządców kościołów, usilnie prosimy, ażeby wam przejeżdżającym przez miejsca ich władzy podległe, sakramenta przyjmować w Paau pozwalali: świadcząc niniejszem, iż wy nie podlegacie żadnym karom kościelnym; owszem, iż do przyjmowania tychże sakramentów św. należycie usposobione jesteście. Prosimy nadto wszystkich książąt, ich zastępców, rządców miast, naczelników wojsk, wódców, urzędów, dozorców dróg i portów, aby wam bezpiecznie i wolno przejścia i powrotu przez swoje kraje pozwolić i pomoc swoją udzielić raczyli. Czego przy pomocy wielkiego miłosierdzia i łaski Boga spodziewając się, prosimy i błagamy dobroć Boską, aby was ocalić, i błogosławieństwa swojemi napełnić raczyła.

Co dla większej wiary świadectwa własną ręką podpisane, przez sekretarza naszego zwyczajnego wygotować, i pieczęcią wspomnionego naszego zgromadzenia stwierdzić rozkazaliśmy. Dano w domu św. Łazarza przy Paryżu, (1660) Tysiąc sześćset sześćdziesiątego roku Pańskiego, dnia zaś 16 (szesnastego) września. (Podpisano). Wincenty a Paulo niegodny przełożony generalny zgromadzenia Missyi (W. P.)

Z rozkazu wspomnionego JX. przełożony generalny (podpisano): Tomasz Berthe."

(1) Był nim hrabia Tarło, pan zamożny.

kręć, rozdawały żywność i lekarstwa. Nadto, miały u siebie odosobniony budynek, także z rozkazu królowej wystawiony, do którego zbierały ubogich chorych, znajdujących na ulicach i po drogach publicznych; dawały przytułek biedakom przybywającym do miasta, a niemającym schronienia. Miały też u siebie własną aptekę i *laboratoryum*, w których same przyrządzały lekarstwa.

Ale w miarę jak instytucje szpitalne przeznaczone do leczenia chorych, szczodrobliwością możnych i bogobojnych panów polskich rozmnażać się i wzrastać po kraju zaczęły, a fundatorowie pragnęli, aby zakłady takowe pod wyłącznym zarządem i opieką Sióstr Miłosierdzia zostawały; gdy z tego powodu niedostatek Sióstr Miłosierdzia coraz silniej uczuć się dawał: natenczas instytut św. Kazimierza urządził u siebie *nowicyat* i *seminaryum* dla kształcenia panienek, pragnących poświęcić się ludzkości, na Siostry Miłosierdzia.

Tym sposobem instytut był w możności zadosyć uczynienia licznym żądaniom. Jakoż z postępem czasu doszło do tego, że w r. 1794 Siostry Miłosierdzia utrzymywały w kraju polskim, dawnymi granicami objętym, szpitali 34.

Szpitaly te przez Siostry Miłosierdzia dozorowane, zostawały wyłącznie pod opieką i zarządem naczelnie przełożonej czyli wizytatorki całego zgromadzenia, tak pod względem religijno-moralnym, jako też administracyjnym czyli funduszowym. W tym celu wizytatorka zwiedzała peryodycznie szpitale, i w miarę potrzeby Siostry do nich wysyłała: nawzajem przełożone specjalnych szpitali, tudzież Siostry na funduszach będące, odnosiły się do niej we wszystkich swych potrzebach i interesach.

Lecz od roku 1842, tojest od czasu zaprowadzenia Najwyższej zatwierdzonej ustawy o zakładach dobroczynnych w Królestwie, obowiązki Sióstr Miłosierdzia, tudzież przełożonej ich wizytatorki nieco się odmieniły. Teraz każdy szpital ma swoje Radę Szczegółową Opiekunczą, złożoną z członków przez rząd mianowanych, do której składu należy także i przełożona każdego szpitala. Ta Rada zarządza szpitalem i jego funduszami pod zwierzchnictwem Rady Głównej przy Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych; Siostry zaś Miłosierdzia mają tylko starania o chorych i trudnią się wewnętrznem gospodarstwem pod zwierzchnictwem Rady Szczegółowej.

Do wizytatorki głównie teraz należy przyjmowanie i usposabianie kandydatek do zgromadzenia, rozsyłanie Sióstr do spi-

tali w miarę potrzeby, oraz czuwanie nad ich postępowaniem, czyli krócej mówiąc, część religijno-moralna, bez wdawania się w zarząd administracyjny.

Tym sposobem w obecnym położeniu Siostry Miłosierdzia w obrębie teraźniejszego Królestwa Polskiego, trudnią się dozorem i pielęgowaniem chorych w 17 szpitalach, oprócz głównego domu św. Kazimierza; a mianowicie:

W Warszawie: 1) u Dzieciątka Jezus; 2) u św. Ducha czyli Marcinkanek; 3) u św. Rocha; 4) w Towarzystwie Dobroczyńności; 5) w Instytucie Oftalmicznym.

Po guberniach: 6) w Lublinie; 7) w Szczebrzeszynie; 8) w Radzynie; 9) w Białym; 10) w Mieni; 11) w Janowie; 12) w Pultusku; 13) w Płocku; 14) w Sandomierzu; 15) w Kurozwękach; 16) w Wilanowie; 17) w Krakowie. Oprócz tego są jeszcze 3 Siostry w Poznaniu, ale od dalszego tam przesyłania Sióstr wymówił się instytut św. Kazimierza, z powodu trudności w przebywaniu granicy.

Liczba Sióstr Miłosierdzia na każdym z pojedynczych funduszów, wynosi najmniej 3, a najwięcej 25.

Ogólna zaś liczba Sióstr Miłosierdzia z całego kraju jest obecnie osób 200, licząc w to i 40 ciągle w instytucie św. Kazimierza zamieszkujących.

Główny zarząd Sióstr Miłosierdzia w instytucie św. Kazimierza składa się: z naczelnie przełożonej czyli generalnej wizytatorce na cały kraj polski, tudzież asystentki, którą sama sobie do pomocy przybiera. Inne urzędy w instytucie są: 1) dyrektorki seminarium; 2) oficjalce czyli siostry do szczególnych poruczeń, mającej prawo wglądać w sprawowanie urzędów przez inne Siostry; 3) sekretarki; 4) ekonomki. Dalsze obowiązki sprawują starsze wiekiem Siostry z zgromadzenia, jako mistrzyni, infirmerki, i t. p.

Na kandydatki Sióstr Miłosierdzia, przyjmują się tylko dziewczęta z domu rodzicielskiego, które żadnych jeszcze ślubów nie czyniły; zatem nie wdowy i nie rozwódki, i nie starsze nad 25 lat wieku. Siótki w domu instytutu wychowane, nie mogą być kandydatkami. Paniątka życząca wejść do zgromadzenia, powinna usprawiedliwić przedewszystkiem prowadzenie się swoje moralne i bogobożne; poczem przyjmowaną bywa przez wizytatorkę na próbę, ztąd zaraz otrzymuje nazwę próbantki; nosi jeszcze ubiór świecki swój własny, na głowę tylko dają jej ubranie

Sióstr Miłosierdzia. Próba trwa zwykle od 6 do 9 miesięcy. W tym czasie używaną bywa do rozmaitych posług Siostrom Miłosierdzia właściwych, pod kierunkiem dyrektorki seminarjum; przyzwyczajają się do życia w ubóstwie, w pokorze, prostocie obyczajów i pracowitości. Po upływie czasu, jeżeli nie sprzykrzy sobie takiego sposobu życia, owszem okaże się być stałą w przedsięwzięciu, a postępowanie, jako też zdolności uznane będą za odpowiednie stanowi i powołaniu Sióstr Miłosierdzia, przywdziewa ubiór zgromadzenia, i zostaje seminarzystką. W tym stanie pod dozorem zawsze i przewodnictwem matki seminarjum, kształci się dalej religijnie-obyczajowo, przysposabia do obowiązków Sióstr Miłosierdzia, co trwa razem z próbą najwięcej lat 5. Po upływie tego czasu, jeżeli w postępowaniu jej nic takiego dostrzeżonem nie będzie, coby powołaniu Sióstr Miłosierdzia było przeciwnem, natenczas wykonywa zwyczajne proste śluby, i nazywa się wotystką.

Ale jeżeli w tym przeciągu czasu okazałaby się być nieusposobioną do podobnego rodzaju życia, albo też spróbowała go sama oświadczy, że nie jest zdolną, lub nie ma ducha powołania: w obu razach zostaje natychmiast uwolnioną i wychodzi na świat.

Tak seminarzystki jako też wotystki bywają przeznaczane do szpitali na usługi około chorych. W każdym atoli czasie, skoro wizytatorka uzna potrzebę, mogą być napowrót ściągnięte do instytutu św. Kazimierza, lub w inne miejsce posłane, a nawet mogą zupełnie być uwolnione ze zgromadzenia, jeżeliby same tego życzyły, lub gdyby w postępowaniu swoim dopuściły się czynu przeciwnego ustawom zgromadzenia.

Zgromadzenie więc Sióstr Miłosierdzia nie jest zakonnem, jak inne klauzurowe zakony płci żeńskiej, ale tylko zgromadzeniem religijno-duchownem. Tém samém Siostry nie są zakonnice, bo nie czynią ślubów dozgonnych, ale wykonywają proste śluby nieograniczone co do czasu; dlatego też w każdym czasie mogą być od nich wolne. Od nowo przyjmowanych panien do zgromadzenia nie wymaga się posagu; tylko jeżeli są w możności, składają małą kwotę na sprawienie dla siebie samego pierwszego ubioru.

Zpomiędzy Sióstr Miłosierdzia, wizytatorka wybiera przełożone nad innymi Siostrami, zostającymi przy specjalnych szpitalach. W razie śmierci wizytatorki, starsze Siostry w instytucie św. Kazimierza, wybierają znowu z pomiędzy siebie następczynią,

która po zatwierdzeniu jój wyboru przez wizytatora księży Misyonarzy, wchodzi w obowiązki naczelnie przełożonej zgromadzenia. Gdyż, lubo wizytorka jest naczelnie przełożoną Sióstr Miłosierdzia na cały kraj polski, wszakże zostaje ona z całym swym zgromadzeniem we względzie religijno-moralnym pod dyrekcją wizytatora ks. Misyonarzy. Obowiązki bowiem stanu i powołania Sióstr Miłosierdzia nietylko wymagają wielkiej ofiary i poświęcenia się dla ratunku wielolicznej nędzy ludzkiej; ale nadto są trudne, z wielu przykrościami połączone, a niekiedy odrażliwe; aby więc Siostry godnie je dopełniać mogły, muszą mieć do tego pobudki daleko wyższe, bo pobudki Boskie; w wysokim stopniu cnoty chrześcijańskie. Albowiem żadne widoki światowe, ani też pobudki ludzkie nie byłyby dostatecznymi do tak wielkiej ofiary. Potrzebują zatem nieustannej pomocy, ciągłego wspierania i ożywiania ducha ich powołania, przez obszernie uczenie gruntownej chrześcijańskiej pobożności. Dlatego św. Wincenty a Paulo założyciel Sióstr Miłosierdzia, tudzież księży Misyonarzy, w ustawach swoich poddał je pod dyrekcję wizytatora tych ostatnich. Wizytator ze swój strony przynajmniej kapłana z nazwą dyrektora duchownego Sióstr Miłosierdzia. Do niego więc udają się Siostry po radę w potrzebach sumienia swojego, jest ich spowiednikiem, odbywa z Siostrami corocznie przed Wielkanocą rekolekcyje ośmiodniowe, i w tych miewa nauki. Odbywa też i konferencye, za pomocą których Siostry utwierdzają się w duchu powołania swojego, i tém mocniej pobudzane są do gorliwego poświęcenia się z miłości Jezusa Chrystusa na Jego usługę, w Jego członkach: ubogich chorych i sierotach.

W inne tamże czasy miewa nauki i mowy duchowne, zastosowane do obowiązków i powinności chrześcijańskich. Na takowe konferencye zgromadzają się Siostry do instytutu św. Kazimierza ze wszystkich szpitali warszawskich. Jednym słowem: we wszystkich czynnościach zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, o ile odnoszą się one do ustaw pod względem moralnym i religijnym zgromadzenia obowiązujących, dyrektor duchowny pomocnym jest wizytatorce i całemu zgromadzeniu; a na prowincyi przy każdym szpitalu jest kapelan wypełniający podobne obowiązki, jak dyrektor duchowny przy instytucie św. Kazimierza.

Z powodu tego poddania Sióstr Miłosierdzia pod zarząd duchowny wizytatora księży Misyonarzy, kapłani tego zgromadzenia wykonywają wszelkie obrządkie religijne w instytucie św.

Kazimierza, mianowicie: przez cały rok codzień o godzinie 7^{mej} rano odprawiają mszę zwyczajną w kaplicy instytutowej, w dni zaś świąteczne i w każdą niedzielę, lub kiedy Siostry przyjmują świętą komunią, po dwie mszy. We święta i niedzielę celebrują na wielkiej mszy zwanój summą i na nieszpórach, tudzież miewają kazania.

Gdy która z Sióstr Miłosierdzia zakończy życie, zwłoki jój wyprowadzają do kościoła Śgo Krzyża, odprawiają nabożeństwo żałobne, i chowają w grobach dolnego kościoła swojego, gdzie Siostry Miłosierdzia mają swoje osobne groby.

Zresztą, księża Missyonarze odprawiają nabożeństwa za fundatorów i dobroczyńców instytutu św. Kazimierza.

II.

Wychowanie sierot.

Drugim równie świętym zadaniem Sióstr Miłosierdzia w instytucie Śgo Kazimierza, jest trudnienie się wychowaniem ubogich sierot płci żeńskiej, które albo rodziców zawczasu utraciły, albo téż mają tak ubogich, że ci zaledwie siebie samych wyżywić mogą.

Siostry Miłosierdzia winne są wykształcać je w taki sposób, aby po wyjściu z instytutu ugruntowane będąc w religii i moralności, utrzymać się mogły z pracy rąk własnych: a tém samym przestały być ciężarem dla siebie samych i społeczności.

Przedtém Siostry Miłosierdzia trudniły się same przyjmowaniem sierot do instytutu śgo Kazimierza, dlatego liczba ich ograniczoną nie była. Skoro tylko widziały biedne dziewczęta na litość zasługujące, przyjmowały je bezwzględnie do instytutu, nie zważając czy jest miejsce lub nie, i czy mają fundusze na ich utrzymanie.

Tym sposobem ilość sierot przewyższała najczęściej możność ich utrzymania. Atoli Siostry Miłosierdzia nie zrażały się tą okolicznością, nie odmawiały biednym schronienia, rachując na Opatrzność Boską, która przez zamożnych dobroczyńców, wspaniałemi jałmużnami instytut zaopatrywała; bywało więc w instytucie po 180 i 200 sierot na raz. Ale gdy w roku 1842 ustanowioną została dla instytutu śgo Kazimierza Rada Szczegółowa Opiekuń-

cza, składająca się z osób przez rząd mianowanych, (1) i obowiązki swe pełniących bezpłatnie, do składu której należą téż wizytatorka, i dyrektor duchowny Siostr Miłosierdzia, odmieniła się postać rzeczy. Rada bowiem szczegółowa przekonawszy się, że dochody instytutu równie jak i miejscowość nie pozwalają utrzymywać z należytym dla samychże sierot pożytkiem i wygodą tak znakomitę liczbę dzieci, ograniczyła ją do 120, z których 100 ma być utrzymywanych na koszcie instytutu, a 20 na prywatnym za opłatą roczną po rs. 45. Jakoż to postanowienie swe wprowadzając w wykonanie, bezwzględnie zawiesiła przyjmowanie nowych sierot dopóty, póki nie przyszło do liczby oznaczonej.

Na przyszłość zaś następujące stałe zasady do przyjmowania dzieci przyjęła:

Rodzice lub opiekunowie ubogiej dziewczyny albo sieroty, pragnący umieścić ją w instytucie św. Kazimierza, winni złożyć:

1) Prośbę do Rady Szczegółowej Opiekuńczej na prostym papierze, wyjaśniającą powody i stan, dla których żądają pomieszczenia sieroty w instytucie; 2) akt urodzenia téjże; 3) akt ślubny rodziców, lub inny dowód małżeństwa; 4) akt zejścia rodziców, lub świadectwo ubóstwa żyjących, wydane przez dwóch wiarogodnych obywateli i przez władzę miejscową poświadczone; 5) świadectwo lekarskie szczepionej lub odbytej naturalnej ospy.

Nadto wymagane jest: aby sierota była prawego małżeństwa, religii chrześcijańskiej, nie młodsza nad 9, a nie starsza nad 12 lat wieku; aby pod względem obecnego stanu zdrowia, nie

(1) Rada Szczegółowa Opiekuńcza składa się z następujących osób:
Opiekun prezydujący: szambelan dworu Jego Cesarsko-Królewskiej Mości, rzeczywisty radca stanu i kawaler Alexander Kruzenstern dyrektor kancelaryi dyplomatycznej przy J.O. Księżciu Namiestniku.

Członkowie: Tekla Żukowska przełożona instytutu, wizytatorka generalna Siostr Miłosierdzia; JX. Łaszcz, misyjonarz, dyrektor duchowny zgromadzenia Siostr Miłosierdzia; referendarz stanu i kawaler Walenty Solnicki były naczelnik rachunkowości w Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych, emeryt; radca dworu i kawaler Jan Kulesza doktor medycyny, lekarz instytutu; Ludwik Naimski obywatel miasta Warszawy; Faustyn Chmieliński kommissarz ekonomiczny w Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu; Jan Wróblewski rachmistrz Kommissyi Rządowej Spraw Wewnętrznych i Duchownych; Julian Nowosielski adjunkt Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego; Wincenty Szamowski, kommissarz ekonomiczny Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu; Dominik Zieliński patron; Iguacy Essmanowski technik.

zachodziła żadna przeszkoda, mianowicie, aby ułomną nie była, ani skrofuliczną w wysokim stopniu; aby nie miała szkorbutu, kołtuna, wrzodów po ciele i liszajów, świerzby ani wyrzutów zaraźliwych na głowie, aby oczy zdrowe miała, zdolne do wykonywania robót ręcznych. O tém wszystkiém lekarz instytutowy naocznie przekonywa się i poświadcza.

Takie dowody Rada Szczegółowa na posiedzeniach swych kollegialnie rozberra, i jeżeli jest miejsce opróznione, natychmiast przyjmuje sierotę do instytutu. Jeżeli zaś nie ma wakansu, zapisuje na listę kandydatek, na co w odpowiedzi udziela się dowód piśmienny rodzicom lub opiekunom.

W razie odkrycia się wakansu przegląda się lista kandydatek, których nigdy mniej nie ma jak 30, oprócz znacznej liczby nowo starających się, które na każdej sessji zalegają przedsiönki instytutu.

W przyjęciu daje się pierwszeństwo sierotom niemającym obojga rodziców, ani krewnych takich, którzyby je utrzymać mogli; po nich wyszukują się najbiedniejsze, którym nędza i ubóstwo doskwiera.

Dziewczęta na koszcie prywatnym będące, za których rodzice, opiekunowie, albo łaskawi dobroczyńcy płacić obowiązują się, przyjmowane są podług tychże samych zasad, mianowicie: co do religii, wieku, prawości i zdrowia. Liczba tych nigdy nie bywa wyższą nad oznaczoną, dlatego przyjmują się natychmiast po zgłoszeniu się, bez zapisywania ich na listę kandydatek.

Największa liczba sierot za opłatą w instytucie jest na koszcie JO. Księcia Namiestnika, który ze swój szcudroblivości wspierając nędzę, utrzymuje ciągle na swój rachunek kilkanaście takich sierot. Obecnie znajduje się na koszcie dostojnego Księcia 6 dziewcząt, z których 3 są religii prawosławnej.

Opłata roczna wynosi od każdej po rs. 45, którato kwota jednorazowie, albo téż w ratach półrocznych wnoszoną bywa.

Sieroty na koszt instytutu przyjęte, jako téż za opłatą utrzymywane, zostają ciągle pod dozorem mistrzyni, oraz kilku Siostr innych do pomocy jój dodanych. Siostry te czuwają od rana do nocy, a nawet i w nocy nad postępowaniem swych wychowanek. Będąc zarazem ich dozorczyniami i nauczycielkami, pilnują dziennego porządku, nauki i robót, prostują uchybienia sierot, upominają, przestrzegają, a za ważniejsze przewinienia pokutę naznaczają. Słowem, dozór i macierzyńskie pielęgnowanie sierot,

utrzymywane jest nieustannie i troskliwie przez Siostry Miłosierdzia, do tego stopnia, że sieroty w instytucie prawdziwie znajdują w nich utracone lub nieobecne, ale ciągle zajęte z pieczołowitością o ich dobro matki.

Łóżka i pościel są jednakowe, podobnie i ubiory tak co do koloru, kroju, jako i materyi; tylko inne w lecie, a inne cieplejsze na zimę.

Dla słabych urządzona jest infirmerya pod dozorem Siostry infirmerki. Lekarz instytucyjowy trudni się leczeniem chorych, a infirmerka wykonywa jego polecenia, dogląda chore, przysposabia lekarstwa w apteczce instytucyjowej, takowe rozdaje, i przestrzega, aby regularnie używanemi były.

Zadnej dziewczynie zdrowej niewolno jest odwiedzać infirmeryi, chyba za pozwoleniem mistrzyni. Jakoż infirmerka pilnuje troskliwie, by dzieci zdrowe nie kominikowały się z choremi, co i mistrzyni ze swój strony przestrzega.

W potrzebie użycia świeżego powietrza, chorowite sieroty wysyłane bywają latem na wieś do dóbr instytucyjnych Pęchery, gdzie także zostają pod okiem Sióstr Miłosierdzia, aż do przywrócenia im zdrowia. W czasie letnim i pogodnym, sieroty przebiegają co dzień pewne godziny na wolnym powietrzu, na placu instytucyjowym osadzonym cienistemi drzewami, tam biegają i bawią się pod okiem Sióstr Miłosierdzia. W słotny i zimny czas mają podobne rozrywki w sali naukowej lub na korytarzach domu instytucyjowego. Oprócz tego, w ciągu roku cztery dni w porze letniej wolne miewają zupełnie od nauki i pracy, w których pod dozorem Sióstr Miłosierdzia, wychodzą rano z instytucji na rozrywkę. Zwykle udają się na folwark Sto-Krzyzki w obrębie jeszcze miasta leżący, ale już na otwartym polu pod rogatkami. Tam w ogrodzie osadzonym wielkimi drzewami bawią się przez dzień cały, biegają, a nawet między sobą tańczą. Żywność zamówioną otrzymują na miejscu, i przed wieczorem wracają do domu.

Co do nauk: samo już przeznaczenie pierwiastkowe instytucji wskazuje, aby sieroty przedewszystkiem chowane były w bojaźni Bożej, i miały sobie wpajane cnoty chrześcijańskie; a potem, by uczono ich rozmaitych robót, dalsze im życie zapewnić mogących.

Siostry Miłosierdzia stosują się w tej mierze ze wszelką ścisłością do reguł przepisanych im przez św. Wincentego, a które Najjaśniejsza ich fundatorka szczególnie zastrzegła; dokładają też najusilniejszych starań i pracy, aby godnie tym obo-

wiązkom uczynić zadosyć. Uczą więc sieroty przedewszystkiém nauki religii, obyczajów i moralności chrześcijańskich, wykładają zasady ku temu potrzebne nietylko razem wszystkim, ale i każdej z osobna. Nadto jeden z kapłanów księży Missyonarzy, udziela im dwa razy na dzień naukę religii; kierunek zaś jęj ma dyrektor duchowny zgromadzenia, który oprócz czuwania nad wykładem, sam udziela takową i silną jest pomocą do jęj gruntownego wpajania w młode sieroty.

Przed przyjściem do instytutu, sieroty bywają po większej części zupełnie zaniedbane w religii i moralności, a nawet zepsute, brzydkie wady i nałogi mające, do czego się przyczynia niedbałość rodziców lub opiekunów, zwykle z nędzy wypływająca. Tych wykorzenienie, a tęp samęp wzbudzenie poprawy, wiele pracy i trudów wymaga (1).

Prócz nauki religii teoretycznej, sieroty wykonywają praktycznie obowiązki chrześcijańskie, jakoto: każdego dnia rano mówią paciérz, odmawiają modlitwy poranne i inne za fundatorów i dobrodziejów. O godzinie 7^{mój} słuchają mszy świętej w kaplicy instytutowej; w czasie której śpiewają nabożne pieśni. W ciągu dni miewają czytane, lub jedne dla drugich czytają, ustępy z ksiąg dla nich stosowne; przed obiadem i wieczera, jak również i po tych odmawiają krótkie dziękczynne modlitwy, a przed udaniem się na spoczynek nocny, odmawiają także modlitwy wieczorne.

W czasie świąt i uroczystości kościelnych znajdują się na nabożeństwach w kaplicy odprawianych. Dalęp uczą się czytać, pisać i arytmetyki początkowej, lecz o tyle tylko, o ile te nauki mogą być dla nich pomocnemi w dalszęp życiu. Celują przedewszystkięp w rachunkach praktycznych na pamięć, tak potrzebnych w życiu ich codziennęp.

(1) Nie idzie za tęp, aby to był instytut dla moralnie zaniedbanych dziewcząt, jak o tęp wspominał p. Natauson w Tygodniku Lekarskim; z powyższego bowiem przekonywamy się, że to jest zakład jedynie dla ubogich dziewcząt, a że pomiędzy nimi trafiają się i moralnie zaniedbane, nie jest to przecież dowodem, aby wyłączenie dla takich tylko instytut był przeznaczony, jak to się dzieć powinno w instytucie moralnie zaniedbanych chłopców. Owszem do instytutu św. Kazimierza jedynie dlatego w 9 roku przyjmujemy dzieci na wychowanie, że te nie miały dosyć czasu jeszcze do zepsucia się.

Następnie uczą się szyc bielizny, haftować, znaczyć, robić szydełkiem, włóczką, pelami i perelkami, na materiałach kosztownych złotem i srebrem. A zważając na dalsze ich przeznaczenie, używane są w instytucie odpowiednio ich wiekowi i siłom fizycznym do wszelkiego rodzaju usług: do prania bielizny i prasowania, do usługi przy stole i w kuchni, do utrzymywania w czystości i porządku naczyń stołowych, do ślania łóżek i wszelkich innych gospodarczych robót, zapewnić mogących utrzymanie mieszkań w czystości i ochędństwie.

Niektóre z nich odznaczają się pięknym głosem. Takie uczą się śpiewów religijnych, i w dni niedzielne i uroczyste wykonywają na głosy msze święte w kaplicy instytutowej, tudzież hymny znakomitych nawet kompozytorów.

Co kwartał odbywają się examina wewnętrzne czyli prywatne, a co rok jeden publiczny w obecności delegowanych Okręgu Naukowego i członków Rady Szczegółowej, a to w celu przekonania się o postępach, jakie w każdym roku wychowanki uczyniły.

Roboty ręczne doprowadzone są w instytucie do pewnej doskonałości, i przynoszą też materiałą korzyść; a że cena ich jest przystępna i umiarkowana, zamawiane bywają w znacznej ilości, tak dalece, że instytut nie jest częstokroć w możności podejmować się ich wykonywania; szczególnież też szycie bielizny i hafty różnego rodzaju poszukiwane są. Należytość za nie stanowi nader potrzebny zasilek dla instytutu.

Sieroty w instytucie wychowywane zostają w nim tylko do lat 16; poczem ubodzy rodzice, lub wiekiem obarczeni odbierają je, aby im wsparciem i pomocą były. I rzeczywiście, niejedna już wychowanka instytutu godnie usprawiedliwiła odebrane w nim dobrodziejstwa przez cnotliwe i pełne pracy życie, osładzające starość i biedę rodziców.

W braku rodziców, opiekunowie odbierają wychowanicę; albo też trafiają się zamożniejsze małżeństwa rzemieślnicze bezdzietne, które w braku własnych dzieci biorą wychowanki z instytutu i przysposabiają za własne córki, a gdy się zdarzy stosowna partya, wyposażają i wydają za mąż.

Wszakże po największej części zamożne domy Warszawy lub na prowincyi biorą wychowanki do usług swoich pokojowych, do szycia i haftu. Przełożona nad sierotami mistrzyni ugadza się w tym razie o płacę i utrzymanie, a nadto zobowiązuje biorącą, ażeby nietylko panią, ale razem stała się matką i opie-

kunką wychowanki, która wychodząc na świat potrzebuje straży i oka, aby nie zboczyła z drogi cnoty i poczciwości, a nadto aby była pobudzana do wykonywania obowiązków chrześcijańskich. W tym celu nawet mistrzyni wywiaduje się troskliwie o osobach pragnących wziąć wychowankę, czyli te są prowadzenia się moralnego i chrześcijańskiego; a nigdy wychowanki nie oddaje do familij takich, gdzieby się mogła zgorszyć i zepsuć, lub gdzieby nielitościwie i tyrańsko była traktowana.

W dzień poprzedzający wyjście sieroty z instytutu odbywa się spowiedź, dla uproszenia łaski, pomocy i opieki Wielkiego Boga, w tym nowym zawodzie. Wychodzące nareszcie są zaopatrywane kosztem instytutu w bieliznę, pościel i odzienie, tak, aby przynajmniej w pierwszym półroczu nie zbywało im na pierwszych potrzebach; potem powinny się utrzymywać z własnej płacy.

Nawet i po wyjściu z instytutu, Siostry Miłosierdzia nie przestają troszczyć się o los i prowadzenie się dalsze swój wychowanki. Dowiadują się, o ile okoliczności pozwalają, jak im się dzieje, a niekiedy służbę odmienić starają się. Wprawdzie wiele wychowanek w późniejszym czasie wstydy się przyznawać, że były kiedyś na koscie sierockim, czyli raczej na łaskawym chlebie dobrodziejów; ale dziś temu w części zapobieżonem będzie, gdyż ś. p. Józef Krzyżanowski był naczelnik w Kommissyi Spraw Wewnętrznych, emeryt, pomiędzy wielu legatami na cele dobroczynne, zapisał też złp. 6,000 na instytut św. Kazimierza, z tém zastrzeżeniem, aby procentem od téj summy wynagradzać corocznie takie wychowanki św. Kazimierza, któreby w przyszłości po wyjściu z instytutu zasługiwały na to przez moralne, uczciwe i bogobojne prowadzenie się.

Oprócz tego, Siostry Miłosierdzia utrzymywały dawniej w instytucie św. Kazimierza pensją wyższą płci żeńskiej o 4ch klassach, która to założona r. 1693, zamkniętą została w r. 1824. Przyjmowano do niej bezpłatnie panienki uboższe szlacheńskiej familii, możniejsze zaś płaciły w miarę możności po 20 i 30 duk. rocznie. Liczba uczennic była od 30 do 35, z tych połowa bezpłatnych. Same Siostry Miłosierdzia udzielały nauki klassyczne; oprócz tego uczyły języków: francuzkiego i niemieckiego, robót, rysunków i muzyki. Ale gdy wiele uczennic zadłużało się instytutowi, pozostawiając Siostronom cały ciężar nie tylko edukacji i żywienia, ale nawet odziewania i zaopatrywania w rzeczy do

nauk potrzebnych; gdy z tego powodu instytut długi zaciągać musiał, a liczba ubogich dziewcząt na prostsze wychowanie z mniejszym kosztem dla instytutu coraz znacniejszą stawać się zaczęła: natenczas Siostry Miłosierdzia zmuszone były zamknąć pensyą wyższą, co z wielkim niezadowoleniem ówczasowego ministra oświecenia nastąpiło. Największą część pauien na tej pensyi wykształconych oddawano na guwernantki do zamożniejszych domów polskich.

III.

Fundusze Instytutu.

Siostry Miłosierdzia w instytucie, równie jak i sieroty w nim będące, utrzymują się:

1. Z dochodów czerpanych z dóbr, na pierwiastkowe uposażenie instytutu przez Najjaśniejszą fundatorkę im nadanych.
2. Z procentów od kapitałów później legowanych przez dobroczynne osoby dla instytutu.
3. Z czynszów gruntu dawniejszego folwarku Kałęczyn, na którym dziś liczne domy Warszawy zabudowane stoją.
4. Z należności za roboty ręczne, jakoto: szycie bielizny, hafty i t. p.
5. Z jałmużn i ofiar dobroczynnych, na rzecz instytutu składanych.

Wydatki roczne na ich utrzymanie wynoszą:

1. Na żywność dla 40 Sióstr Miłosierdzia, po kopiejek 12 dziennie	rub. sr.	1752
Dla 120 sierot po kop. 4 dziennie	—	1752
2. Na ubiór, bieliznę i pościel dla 40 Sióstr Miłosierdzia po kop. 18 dziennie, rocznie.	—	720
Dla 120 sierot po kop. 6 dziennie	—	720
3. Na lekarstwa dla Sióstr i sierot.	—	132
4. Na zasługi i utrzymanie służących.	—	892
5. Na drzewo i światło.	—	900
6. Na mydło i inne szczegóły do prania bielizny	—	210

do przeniesienia rub. sr. 7078

	z przeniesienia rub. sr.	7078
7. Na potrzeby szkolne i materiały do robót potrzebne	rub. sr.	230
8. Na sprawunki i utrzymanie sprzętów . . .	—	200
9. Na utrzymanie w dobrym stanie budowli.	—	300
10. Na koszta podróży dla wizytatorki i utrzymanie dwóch koni.	—	300
11. Na utrzymanie kaplicy.	—	112
12. Na drobne potrzeby Sióstr Miłosierdzia .	—	45
13. Na drobne potrzeby dla sierot	—	20
14. Na utrzymanie ogrodu.	—	500
15. Na płacę pisarza i materiały kancelaryjne.	—	158
16. Na wszelkie inne wydatki zwyczajne i nadzwyczajne	—	57

Łącznie. . . rub. sr. 9000

które rozdzielając pomiędzy Siostry Miłosierdzia i sieroty wedle ich potrzeb i stosunku, jaki rzeczywistość ma miejsce, wypada:

Na 40 Sióstr Miłosierdzia po rub. sr. 90 rocznie,	rub. sr.	3600
Na 120 sierot.	— 45 — —	5400

Łącznie jak wyżej, rub. sr. 9000.

Na pokrycie tych wydatków instytut posiada dochody następujące:

1. Z dóbr Pęchery z przyległościami	rub. sr.	2600
2. Czysze z placów w Warszawie	—	882
3. Z procentów od kapitałów	—	1184
4. Z ogrodu instytutowego	—	780
5. Z kwesty Wielko-tygodniowej	—	500
6. Z opłaty za 20 sierot kosztem prywatnym utrzymywanych po rub. sr. 45	—	900
7. Za roboty ręczne, jakoto: hafty i szycie bielizny.	—	1050
8. Z opłat przez wchodzące panny do zgromadzenia na pierwszy ich ubiór.	—	50

Łącznie . . . rub. sr. 7945.

Porównanie.

Wydatki czynią rub. sr. 9000

Dochody wynoszą rub. sr. 7946

Brakuje zatém rub. sr. 1054

które zapełniane są przez wpływy nadzwyczajne, jakoto z ofiar i darów osób dobroczynnych, przychodzących łaskawie w pomoc instytutowi.

IV.

Wiadomości lekarskie.

Lubo Siostry Miłosierdzia z powołania swego trudnią się usługą przy ubogich chorych, a tém samém udzielają im częstokroć piérwszej pomocy lekarskiej, opatrują ich, lub t. p. przysługi świadczą; wszakże wiadomości tych nabywają praktycznie od lekarzy, przy których dłuższy przeciąg czasu zostawały.

I w rzeczy saméj, Siostra Miłosierdzia, która po salach chorym usługiwała, następnie lat kilka przepędzała przy aptece szpitalnej i składała recepty, taka po kilkunastu latach pobytu swego w zgromadzeniu uzdatnioną jest tak dalece, że obcemu przybytemu na salę, potrafi opowiedzieć z dokładnością o każdym chorym pod jój okiem będącym, na co choruje, jaki był przebieg jego choroby, i jakich dotąd środków używano.

Oprócz tego, Siostry uczą się krew puszczać, bańki stawiać, i inne przysługi dla chorych wyświadczać. Ztémwszystkiém same nie są skore do leczenia chorych.

W głównym domu zgromadzenia, tojest w instytucie św. Kazimiérza, Siostry Miłosierdzia wraz z sierotami od najdawniejszych czasów zaszczycały się opieką znanych w Warszawie z imienia i reputacyi lekarzy. Ci z największą chęcią poświęcali swoje usługi dla tych osób, które same siebie na pożytek dla ludzkości przeznaczyły.

Jak tylko pamięć zasięgnąć może najstarszych Sióstr zgromadzenia, tojest od roku 1776, następujący lekarze udzielali swéj pomocy bezpłatnie instytutowi św. Kazimierza:

Doktorowie: Filipecki, Hirszfeld, Bergonzoni, Czekiński, Brandt; od r. 1831 do 1837 Cimerman, od tego zaś ostatniego roku do dziś dnia ja trudnię się i zajmuję leczeniem w pomienionym instytucie.

Przez lat 14 mego tam zawodu, ciężkie przechodziliśmy próby na dzieciach, jakich nigdy przedtém nie bywało. Wielkie epidemie nawiedzały nas; na 200 dzieciach w r. 1839, było chorych 540, na gorączki i zapalenia oczu: po kilka razy jedne i téż same dzieci powracały z recydywami. Epidemia gorączki trwała przez cztery miesiące: po 40 na jeden raz chorych przybywało. Zaledwie gorączka uspokoiła się, nastąpiło zapalenie oczu kataralne epidemiczne. Obie te choroby nie były groźne: dlatego żadna sierota nie umarła, i ani jedna nie utraciła wzroku, pomimo że u kilku z nich zapalenie oczu wyrodziło się w ziarniste (cum granulatione). W latach 1838 i 1841 ciężka panowała ospa; w tym ostatnim roku zmuszeni byliśmy wśród epidemii dla jój przecięcia, wszystkim bez wyjątku zdrowym przyszczać ospę ochronną (vaccinam). W roku 1843 wkradły się pomiędzy dzieci zajady czyli owrzodzenia w kątkach ust (exulcerationes in angulis labiorum); 136 dziewcząt poddanych było podówczas specyjalnej kuracyi, i wszystkie wyleczone zostały. W następnych latach mieliśmy każdorocznie febry zimne, kaszle, odrę, różę, zapalenia oczu, gorączki i t. p. zwyczajnego przebiegu choroby; szkrofuły ważną tu grają rolę, cholery nigdy nie było w instytucie.

W ogóle przez lat 14 było chorych dzieci 2395, co czyni w przecięciu rocznie po 176. Koszta kuracyi w instytucie nieskończenie są małe; odtrąciwszy bowiem zioła lekarskie i botaniczne z własnego ogrodu pochodzące, nie licząc produkcji, pracy, ognia, szkła i t. p. rzeczy, wypada $\frac{1}{10}$ część grosza na jedną chorobę dziennie na lekarstwo.

Śmiertelność. Póki Siostry Miłosierdzia same przyjmowały do instytutu dziewczęta na wychowanie, póki żadnego nie czyniąc pomiędzy nimi wyboru brały częstokroć słabowite, a tém samém mniej przydatne do robót i nauki; póty téż i choroby były częstsze, a śmiertelność większa. Ale od zaprowadzenia Rady Szczegółowej, która przedewszystkiém uwagę swoją zwróciła na byt fizyczny zgłaszających się, widocznie polepszył się ogólny stan zdrowia instytutu. Zwykle dzieci ubogich rodziców zanędnione bywają i skrofuliczne, a tém samém skłonniejsze do chorób niżeli

inne; lecz gdzie jest wyższa nad potrzebę liczba ubiegających się, tam łatwiejszy pomiędzy nimi wybór.

Oprócz tego, gdy ograniczoną została ilość sierot w instytucie, i przez to samo zapewniono już nieco wygodniejsze ich pomieszczenie, nadto pokarmy zawsze zdrowe, oszczędność, czystość, łaźnia i przynależny ruch ciała, sprawiają, że teraz daleko mniejsza jest śmiertelność. Przedtém umierało na same suchoty kreskowe czyli żołądkowe (*phthisis mesaraica*) 5 do 6 dziewcząt rocznie; dziś zaledwo jedna w lat kilka na tę chorobę umrze. W ogólności śmiertelność pomiędzy dziećmi w instytucie teraz jest małą; np. w roku 1850, żadna siérota nam nie umarła, a w r. 1848 jedna tylko. W innych latach umierało po dwoje, troje i pięcioro. W ogóle przez lat 14 mojej tam praktyki, umarło 36 dziewcząt, co na ogólną liczbę chorych 2395 wynosi jedną na 67.

Co do zdrowia Sióstr Miłosierdzia w zgromadzeniu zostających, te z obowiązków i trudów powołania swojego, nie podlegają żadnym wyłącznym chorobom. Życie bowiem pracowite i czynne, ciągłe zajęcie się, bezustanne ćwiczenie ducha i ciała, skromność w żądaniach bez namiętności, umiarkowanie w pokarmach, a tém bardziej w napojach sprawiają, że późnej dochodzą starości. Wprawdzie narażone są one na rozmaite choroby zaraźliwe, o śmierć je niekiedy przyprawić mogące. Tak w latach 1654, 1660 i 1661, umarło kilkanaście Sióstr na morowe powietrze, kiedy służąc ubogim chorym zapowietrzonym, odwiedzały ich po chatkach. W latach 1837 i 1847, dwie Siostry dostały cholery za murami instytutowemi, z tych umarła ostatnia. Przed dwoma laty dwie Siostry Miłosierdzia dozorując chorych w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, dostały zapalenia oczu egipskiego; jedna z nich utraciła wzrok zupełnie, a drugiej pozostało jedno tylko oko.

Inne choroby zwykłe Sióstr Miłosierdzia, na które je leczyłem w instytucie, są: gorączki kataralne i tyfusy, febry zimne, zapalenia, wodne puchliny, i choroby piersiowe; nadto, obrzmienie kolana od klęczenia (*hygroma patellare*). Emerytki w instytucie chorują na upadek sił i niemoc z wieku pochodzącą, podlegają téż atakom trzewów, a niekiedy hysteryi.

V.

Zakończenie.

Przy zakończeniu tego opisu winienem dodać:

Że przed zaprowadzeniem Sióstr Miłosierdzia do Polski, znajdował się już w Warszawie szpital miejski na Piwniej ulicy.

Że w początkowych ośmiu latach przybyło tu 20 Sióstr Miłosierdzia francuzkich.

Że w roku 1658 założono seminaryum dla kształcenia Sióstr Miłosierdzia, Polek, na całą Polskę i Litwę.

Że od tego czasu po koniec roku 1851 wstąpiło:

Do nowicyatu panien 769

Wydaliło się z niego 210

Umarło Sióstr Miłosierdzia przez niespełna dwa wieki 359

Dziś pozostaje w zgromadzeniu Sióstr 188

i probantek 12

Razem 200.

Że Siostry Miłosierdzia utrzymywały pensją wyższą przez lat 131

Wykształciły w niej panienek szlacheckich 798

Przyjęły w ogóle wszystkich dotąd sierot na wychowanie do instytutu 6400

Z tych wychowały i oddały na służbę 5828

Od zaprowadzenia zaś Rady Szczegółowej, a zatem pod jej okiem wychowano i wypuszczono już dziewcząt. . . 277

Umarło w pierwszym stuleciu na morowe powietrze i inne zaraźliwe choroby dzieci 312

W drugim stuleciu 146

Razem 458.

Pozostaje w instytucie z końcem r. 1851 sierot. 114.

Siostry Miłosierdzia wierne swemu powołaniu zawsze są ubogie: żadnej z nich niewolno jest mieć swojej własności. Takie wyrzeczenie się dobrowolne świata i jego ponęt, owszem pogarda wszystkiego tego, za czém ludzie zwykle uganiają się; spokojność duszy, zadowolenie i wytrwałość w obranym zawodzie,

na podziw i uwielbienie zasługują. Uczęszczając w rozmaitych porach dnia i różnych godzinach, znajdywałem zawsze w domu spokój największy, zgodę, jedność i wypogodzone oblicza. Trzeba widzieć tę cześć głęboką z serca pochodzącą dla ich przełożonej, to posłuszeństwo dla niej bez granic, skromną żywność, a jeszcze skromniejsze, ale czyste pomieszkanie; nareszcie te panny z lepszym wychowaniem, przychodzące poświęcić się ubóstwu dla ludzkości:—aby przejąć się dla nich głębokiem uszanowaniem. Bo i czegoż w zamian od ludzi i świata wymagają one za to? czego od nich potrzebują?—oto niczego! Żadnej nagrody światowej, ani żadnej ludzkiej wdzięczności!

Nikt też z większą oszczędnością ani mniejszym kosztem nie potrafi wychowywać sieroty, jak Siostry Miłosierdzia. 8 groszy dziennie na wyżywienie jednej dziewczyny wyrachowane są, a i na to nie ma odpowiedniego funduszu: potrzeba aż łaski i miłosierdzia osób dobroczynnych. W zaprzeszłym roku z daru Jój Cesarzkiej Wysokości W. Księżnej Olgi Mikołajewnej, dostaliśmy na ten cel 500 rs. jednorazowego zasiłku. W innych latach, kiedy tego nie ma, instytut doznaje przykrego niedostatku, gdyż potrzeby swoje i tak już ograniczone, jeszcze bardziej uszczuplać jest obowiązany.

Nadto, gmach instytutowy zamały jest do pomieszczenia 120 sierot: a gdyby nawet i była odpowiednia ku temu miejscowość i fundusze dostateczne, toby jeszcze nie odpowiadał dzisiejszym wymaganiom, albowiem liczba ubiegających się teraz kandydatek tak jest znaczna, że pomieniony instytut powiększony być musi. Ważna ta okoliczność powinna by zwrócić na siebie uwagę ludzi dbałych o dobro powszechnie.



WSPOMNIENIA Z HISZPANII Z R. 1848.

WYJĄTEK Z PODRÓŻY

Tomasza Bartmańskiego.

Dnia 26 listopada 1844 roku, po dziewięcioletnim pobycie w różnych krajach na Wschodzie, w których oprócz prac inżynierskich i wypraw naukowych do źródeł Nilu, część znaczną czasu na podróżowaniu przepędziłem: wsiadłem na okręt w Konstantynopolu, i obok Mityleny na Smyrnę, powracałem do Francji. Niebo włoskie zawsze pogodne i temperatura umiarkowana, sprzyjały naszej podróży. Opuściwszy warowny zamek Dardanelle, przez sułtana Selima IIgo w 1570 roku wystawiony, stanowiący bramę z Czarnego do Śródziemnego morza, przebywamy tę drogę ciaśniną, której obydwie brzegi zdobi bogaty krajobraz, i przepływamy morze Adryatyckie. Widok kilkuset wysp, mało nie poskupianych z sobą, dowodzi oczywistego zburzenia pod wodami morskimi, przez podziemne wulkany działanego. Powstały one z oderw europejskiego lądu, w części pochłoniętych, w części zaś na wierzch wyrzuconych; wszystkie które wystąpiły, są jednéjże prawie formacyi geologicznój, i służą dziś za schronienia ptakom i drapieżnym zwierzętom. Mała tylko liczba jest zamieszkałą.

Po odbyciu kwarantany na wyspie Sciros, gdy zmierzaliśmy obok Kandy do Malty nocą, (a nocy tu ciemne bywają); parostatek nasz przez zbytnią oszczędność kapitana nie oświetlony, wpadł na okręt żaglowy kupiecki z brzegów barbaryjskich żeglujący. o który ocierając się tak uderzył go bokiem, iż mogły być oba statki rozbić się, albo zatonać. Skończyło się jednakże na ober-

waniu kilku burt i wystaw. O godzinie siódmej rano stanęliśmy w porcie Lavalette, na wyspie Malcie. Tu urzędnicy zdrowia, (Sanita) przytrzymali parostatek, zabraniając mu wejścia do miasta: cały zaś ekwipaż na oddzielną skałę warowną, dla odbycia dziesięciodniowej kwarantany, zawieziono. Dowiedziałem się, że paki moje z Alexandryi do Malty, w czasie *pesty* czyli okropnej morowej zarazy w Egipcie mocno grasującej odesłane, wrzucono do morza. Zawierały one zbiory różnych monet algierskich, tunetańskich, marokańskich, arabskich, egipskich, greckich i rzymskich, tudzież rozmaitą broń dzikich ludzi z wyższego Egiptu, Etyopii, Nubii, Sennahar, Demba i Gallas. Były w nich prócz tego dwie mumie, najlepiej zachowane, dobyte z równiny mumij, czyli grobów starożytnych Egipcyan, obok piramid znajdujących się. Ale nadewszystko mnóstwo widoków, rysunków i planów z natury zdjętych, wraz z dziennikiem podróży, od roku 1831 zaczętych, były dla mnie stratą, której nigdy nie odzatuje.

Tyłu podróży opisywało Malte, jej piękne kościoły, porty i fortyfikacje, że zaledwie o kościele św. Jana Chrzciciela wspomnieć mi zostało. Wspaniałemi musiały być ściany tego kościoła, gdy je pokrywały szczerozłote arabeskowe blachy, a które Napoleon zabrał. Bogate ołtarze z kolumnami z jaspisu, malachitu, i różnych starożytnych marmurów, z podstawami i sokłami z najpiękniejszego kamienia lazuru (*lapis lazuli*), zadziwiają równie przepychem, jak i smakiem architektonicznym. Pomniki, arcydzieła sztuki, sławnych kawalerów maltańskich, z różnokolorowych marmurów i złota, z mozaikami i obrazami pierwszych mistrzów sztuki, przyozdabiają wszystkie ołtarze i filary sklepień. Cała posadzka z mozaiki, przedstawia herby i napisy różnych kawalerów i rycerzy w tym zakonie zgastłych. Kilka grobowców bardzo kosztownych, można jeszcze widzieć w sklepieniach pod kościołem. Zasługują też na odwiedzenie, o dwie godzin drogi odległe krypty w głębi ziemi kute, które dziś puste, napełniały niegdyś tłumy pierwszych chrześcian.

Po odbytej kwarantanie, zwiedziłem tu jeszcze flotę angielską, w innym porcie na przystani stojącą, przeznaczoną do utrzymywania w bezpieczeństwie morza Śródziemnego i wyspy Malty, którą, jak wiadomo, Anglicy dzierżą. Na pięknych przechadzkach przyglądałem się wojsku w paradzie. Byłto już piąty pułk piechoty szkockiej, tu garnizonem stojącej. Ubiór jego na-

rodowy, tak do twarzy tym góralom przypadający, piękny widok oku przedstawiał. Ich marsz *pibrok*, i capstryk z kozą, bębna-
mi i trąbkami, przywabia do siebie wszystkich podróżnych. Cztery poprzednie pułki wymarły co do jednego, z zbytniego używania wódki, w tym gorącym klimacie zabójczego.

W dalszą podróż puściłem się innym statkiem na brzegi włoskie. Nad wieczorem pokazała się nam Sycylia, ze szczytem w posrodku ogromnej Etny. Nocą przeplłynęliśmy kanał Messyny, której tylko latarnią i kilka wież dojrzyć można było w ciemności. Po prawej stronie ukazał się nam w całym blasku ogniem wybuchający i dymiący Wezuwiusz; przed nami na pierwszej płaszczyźnie pokazały się: Lipara, dymiąca Solfatara i Capra; na drugiej całkowita panorama Neapolu. Tu doznałem wrażenia najprzyjemniejszego, jakie podróżnemu nastęrczyć się może. Zwiedziłem drogą żelazną umyślnie na to urządzoną, Herculanium i Pompeję; następnie Pauzylipę, Stromboli, grób Wirgiliusza, i sławną grootę *del Cane*. Po czterogodzinném zwiedzeniu Neapolu i okolic, obstąpieni przez Marinero, Lazzaroni i różnych spekulantów, traktujących wyrobami z lawy i koralami, opuściliśmy ten czarujący krajobraz.

Przejeżdżaliśmy obok dymiącego Puzzuoli wzdłuż Peloponezu i Romanii. Ztąd przy pięknej pogodzie ciągle nam towarzyszącej dojrzeliliśmy z morza, promieniami słońca błyszczący złoty krzyż na kópule świętego Piotra w Rzymie, o trzydzieści i sześć mil odległy. Zdala po lewej stronie Elba i Korsyka, po prawej zaś Civita-Vecchia, Liwurna i cały Piemont, mignęły się nam płynącym obok wyspy Pantellaria, gdzie na wysokiej skale umieszczone światło, służyło nam za latarnię morską. Ukazała się potem w rozwinięciu Nicea, a zatrzymawszy się na wyspach Hyeres, zwiedziliśmy sławne tutejsze ogrody pomarańczowe. W jednym z nich, ukazują podróżnym bardzo rozłożyste drzewo, które przed kilku laty wydać miało dziesięć tysięcy najpiękniejszych pomarańcz. Zawinęliśmy następnie do Tulonu, gdzie zwiedziłem część floty francuskiej w tym wojennym porcie na kotwicach stojącej, baterie nadmorskie, arsenał, warsztaty budowy okrętów i owę sławną *Corderie*, w której liny okrętowe wyrabiają. Ta budowla z kamienia, ani kawałka żelaza nie zawiera. Znajdowałem się przy spuszczeniu dwóch okrętów na morze. Odwiedziłem *Bagne flottante*, czyli mieszkanie więźniów *forçats*, albo galerników czerwono ubranych. Częstoowano mnie wyrobami z aloesu,

kokosu i jaj strusich: bardzo tanio w te wytworne przedmioty zaopatrzyć się tam można. W parę godzin stanęliśmy w porcie Marsylii, kędy nas obok fortecy świętego Jana przetrząsłszy, towary i rzeczy podróżnych na komorze celnéj złożywszy, samych do miasta puszczono. Podróżnym z Ameryki lub Hiszpanii przybywającym, wolno jest sto cygarów mieć przy sobie; posiadający większą ilość, może ją na na komorze złożyć, a przy odjeździe odebrać. Nawet bawiącemu dni kilka w Marsylii, pozwalają ze składu co dzień po dwadzieścia i pięć cygarów brać na swoje potrzeby. Ten wielki port handlowy, w którym codziennie zastać można ośmdziesiąt statków parowych, to wychodzących, to wchodzących, łączących go z wszystkimi stronami świata, a do półtora tysiąca okrętów kupieckich, znany jest dobrze czytelnikowi z rozmaitych opisów. Opisywać go za nie moję rzecz uznaję.

Po dwudniowym spoczynku, potrzebnym po tak długiej podróży morskiej, i odsiedzeniu w kwarantanie dni dwudziestu, jak przepisaniem jest dla przybywających ze Wschodu, udałem się do kompanii francuzko-angielskiej, która pod dyrekcją pana Talabort, w Nimes przemieszkującego, zawiaduje robotą kolei żelaznej z Marsylii do Paryża. Na całej linii z Marsylii do Nimes i Lugdunu, nie brakowało już inżynierów, a roboty były otwarte. W oczekiwaniu umieszczenia przyjąłem na siebie wykonanie tunelu 7860 metrów długiego, i wybudowanie 79 mostów mniejszych lub większych, w parowach na dwumilowej przestrzeni, pod Marsylią. Tunel znajdował się w narysie linii krzywéj, a tém samém wiele trudności do zwyciężenia nastęczał; pięćdziesiąt kilka studzien, przeszło 100 metrów głębokich, otworzyliśmy na całej linii, w twardej wapiennej skale. Robota galeryi podziemnej szła szybko, aż dopokąd nie natrafiliśmy w dwóch miejscach na tak znaczną ilość wody, że do wyciągania jéj. musiałem użyć dwóch machin parowych o sile trzydziestu i czterdziestu koni. Następnie wypadało przebić boczną czyli poprzeczną galeryą odpływową, aby tym sposobem główną galeryą tunelu, od zalewającej wody uwolnić. Do pokrycia cegłą tego podziemia, li tylko w miejscach przesiąkających, potrzeba było dwadzieścia i pięć milionów cegieł angielskich, trzy cale grubych, a które najdalej w trzech miesiącach zrobić wypadało. Sprrowadzeni do tego ceglarze Anglicy, w liczbie czterdziestu rodzin, wyrabiali po 280000 cegieł. Warsztat każdego Anglika składał się z majstra, dwóch pomocników do przerabiania dowiezionéj w doły gliny, i dwóch

chłopców. Wypada więc w przecięciu na jeden warsztat 7000 cegieł dziennie. Użyłem nawet maszyny, która jednym koniem poruszana, majstrem, pomocnikiem i woźnicą, wyrabiała 40000 cegieł dziennie; ale tę maszynę lubo nader korzystną i prostą, porzucić musiałem, bo cegła nią wyrobiona nie miała tyle spoiwości, co wyrabiana ręką, i z téj przyczyny pękała w ogniu. Wypalanie cegły odbywało się w stosach na powietrzu, za użyciem węgla kamiennego.

Dnia 8 lipca 1845 r., wyjechałem do Hiszpanii, dowiedziawszy się, że tam potrzebowano inżynierów do dróg żelaznych, robić się mających w różnych kierunkach po kraju. Tę wiadomość umieściły pisma publiczne, może dla zachęcenia kapitalistów i spekulantów zagranicznych, bo za mojej bytności skończyło się na projektach. Wsiadłem na parostatek z paszportem francuzkim, jeszcze w Alexandryi przez konsula francuzkiego wicehrabiego Lavalette wydanym, a przez konsula hiszpańskiego w Marsylii rezydującego, zawizowanym; jak chciały mieć przepisy przez ministryum spraw zagranicznych wydane. Parostatek francuzki do Barcelony idący, w jednym dniu tę podróż odbywa. Podróż lądem wyciągałaby trzech dni czasu, a sześć razy więcej kosztu. Statek parowy, oprócz wygody, przedstawiał jeszcze warownię przeciwko niebezpieczeństwom grożącym na drodze lądowej w czasie wojny domowej w Katalonii, przez bandy karlistowskie napastowanej. Malowniczy widok Katalonii i gór Pyrenejjskich, uprzyjemniał nam podróż; około godziny trzeciej po południu stanęliśmy w Barcelonie.

Przepyszny jest wjazd do tego pięknego portu. Barcelona, jedno z największych miast Hiszpanii, i handlowe, ma port broniony fortyfikacyami od strony miasta: tylną jej ścianę stanowi Barcellonetta, a przeciwną nadbrzeżne baterye i cytadella Montjoie, która z wysokiej góry, w morze wchodzącej, panuje na wstępie do portu i miasta. Ma piękne gmachy i ulice; na bardzo rozległym placu wspaniała teatr, a na głównym wale fortyfikacyi i w porcie miłe przechadzki. Oświetlenie miasta gazem, już od lat kilku przez kompanią angielską zaprowadzone. Niemało tu mieszka cudzoziemców, i dlatego wiele ruchu i przemysłu w tym porcie znajdziesz. Zastałem tu królową Izabellę, z matką królową Krystyną, i całym dworem. Dwa statki parowe hiszpańskie *Balear* zwane, zabrano na usługi dworu; podróżni więc musieli

przez pięć dni czekać o swoim koszczie, na przybycie innego parostatku *Gadetano* z Walencji.

O godzinie 5^{tej} rano, parostatek ten wyruszył z podróżnemi w drogę do Walencji. Piérwszy raz tedy znalazłem się pomiędzy Hiszpanami. Rozumiałem nieco język kastylijski, ale nim mówić nie mogłem. Pomiedzy podróżnemi, znajdował się doktor, Francuz, który już lat kilka przemieszkiwał w Madrycie, i teraz tam powracał. W towarzystwie osób pod namiotem na pokładzie siedzących, znajdowała się Donna Manuela Y... frejlina królowej, ze swoim wujem. Piękność téj Andaluzki, akcent jéj mowy wdzięczny i przyjemny, mocno mnie zajmowały. Piérwszy raz zdarzyło mi się widziéć piękność z owych okrzyczanych hiszpańskich. Włosy czarne, oko czarne i strzeliste, kibić ujmająca, nóżka dziecięca, ręka pełna i pulchna, zgoła wdzięk w każdéj przebijający się części. Ubiór nóg i głowy zachwycał. Noszenie mantylli przez piękność andaluzką ma coś uroczonego w sobie; przyjęcie kapeluszków i wprowadzenie mody francuzkiéj w Hiszpanii, wiele wdzięków odejmie Kastyliancom i *Mahom*, czyli ubiorom narodowym. Słuchałem więc z rozkoszą tego prawdziwego dyalektu kastylijskiego, tak wdzięcznie i przyjemnie wyrażającego się przez usta pięknej Donny Manueli. Na nieszczęście dama nie mówiła po francuzku, lubo rozumiała ten język; rozmawialiśmy więc, ona do mnie po hiszpańsku, ja do niéj po francuzku. Pełna żywości, przenikliwości i kokieteryi, Donna Manuela przekonała mnie późniéj, że uczucia i serce równie miała szlachetne, jak wdzięki piękności. Znajomość i szczéra przyjaźń, trwała pomiedzy nami przez cały ciąg pobytu mego w Madrycie.

Prześliczny czas sprzyjał naszéj podróży. Całą Katalonią i góry Pirenejskie mieliśmy po prawéj stronie. Zawsze bowiem z morza widzieliśmy ląd hiszpański, a brzegi afrykańskie mgłą zakryte w dalekiéj przestrzeni, prawie znikały nam z widnokręgu. Pokazał nam się dawny Sagunt, dziełami Annibala wstawiony, a zemstą Rzymian trzykrotnie burzony. Do dziś dnia to miejsce, zwane Murviedro, dostarcza mnóstwa najdawniejszych fenickich i kartagińskich numizmatów, czyli piérwszych pieniędzy kruszcowych, na lat 1500 przed Chrystusem bitych. Zbiór tych numizmatów, różnéj wielkości i kształtu, bardzo nawet liczny, posiada gabinet numizmatyczny w Madrycie, ze znanych najbogatszy w starożytne pieniądze. Nieco daléj, w całej okazałości widzieliśmy wyspy Balearskie, Iwikę, Majorkę, Minorkę, i małą Cabrera.

Westchnąłem za owym rajem ziemskim, przez tylu podróżnych Europejczyków wysławianym. Patrzyliśmy na Palmę i Mahon, które w poprzednim przejeździe do Afryki, zwiedziłem. Trzytygodniowy pobyt w tych miejscach, nazawsze złotemi głoskami wybił się w mojej pamięci.

Po górzystych okolicach, nagle ukazały się płaszczyny prowincyi Walencyi, królestwem zwanój, a pomiędzy górami Katalonii i Murcyi zawartój. Płaski i niski brzeg, do którego większe okręty przybijać nie mogą, był miejscem naszego wylądowania. Kilka domów stanowią improwizowaną komorę celną. Przy niej, różne jednokonne i dwukonne przykryte budą wózki, *Turantelas* zwane, oczekują na podróżnych, dla odwiezienia ich do miasta Walencyi, o dobrą godzinę drogi odległego. Tu u pięknej bramy miejskiej nastąpiła rewizya naszych rzeczy przez celników (*carabinieros*) dokonana, po odbytej już jednej na wysiadaniu z parostatku. Wpuszczono nas do miasta. Zajechałem do ozdobnej oberży, przez jakiegoś Włocha utrzymywanej, obok biura dylizansów. Zabawiłem tu przez trzy dni, nad moje spodziewanie nader małym kosztem. Wszędzie tu afrykański klimat: palmy, daktyle, kaktusy, figi i pomarańcze, są zwykłym plonem ziemi. Znalazłem tak zwaną galerę czyli wóz czterokołowy w ośm mułów zaprzężony, jadący do Madrytu. Takie galery wychodzą w poniedziałek z Walencyi i odbywają w siedm dni drogę do Madrytu. Kto chce najprzyjemniejszą, a zarazem najtańszą mieć podróż, udaje się galerą. O podróż, życie i noclegi, ugodzić się trzeba z *magioralem*, czyli właścicielem, albo przewodnikiem galery. Wraz z nim i innymi podróżnymi, zatrzymujesz się po wszystkich posadach czyli oberżach, w których właściciel galery, dobrze znający się z oberżystami, ma zwyczaj muły popaść lub zanocować. Ten wóz, oprócz przewózki rozmaitych rzeczy, pak i towarów, zabiera jeszcze czterech lub więcej podróżnych. Dla turysty, podróż podobna, odbywająca się zawsze stepo, a często na piechotę, najkorzystniejszą bywa; dokładniej bowiem rozpoznawać może kraj, jego okolice, i zwyczaje mieszkańców. Drogi latem wszędzie są dobre, ale podczas jesieni z błota wyléć trudno; często w owe galery, po dwańście mułów zaprzęgać muszą. Ale do życia po tych posadach przyzwyczać się trzeba; kuchnia bowiem prawdziwie hiszpańska czyli narodowa, nie ma nic wspólnego z kuchniami innych

krajów. Zwyczajna rodzima potrawa *puczero*, o której niżej powiem, w całej Hiszpanii jest przyjętą. W prowincjach południowych w ryz obfitujących, *garabanzos* (*Cicer arietinum*), czyli groch wielki okrągły, do puczero wchodzący, zastępują ryzem. Kuchnię składa ogromna gliniana miska, popiołem lub piaskiem napełniona, na której mniej więcej garczków z puczero, w okrąg ustawionych stoi. W pośrodku nich, jeden lub dwa węgle zapalone, ogrzewają wszystkie garnki razem. Otóż wzór oszczędności opału na kuchnię, z którego nasze biedniejsze rodziny przynajmniej korzystałyby powinny. Dla podróżnych wiejska kastylijska kuchnia robi wszystko na poczekaniu. Jeśli (jak to zdarza się o godzinie szóstej z rana, lub najdalej o siódmiej), magjoral ze swoją kompanią zażądają *huevos*, to jest jajecznicy, to liczą po dwa jajka na osobę, a po trzy czerwone pieprze, *piõnenta* zwane, na kawałki pokrajane, i razem w oliwie usmażone, z małym przydaniem mąki. Jeśli jest królik (*conejo*), lub zając (*lievra*), to z niego potrawkę robią z długim sosem i pieprzem, jak do jajecznicy. Nieprzyzwyczajonym do tego tureckiego pieprzu, do każdej potrawy wchodzącego, z początku nadzwyczaj pali w gardle. Za ledwie popijaniem częstym taniego, a nadzwyczaj dobrego wina, złagodzić można palenie i ztąd powstające pragnienie. Każdy ma *bobę* czyli woreczek skórzany, winem napełniony przy sobie, i całą drogę popija. Większy worek do wina zowie się *pelleho*. Obydwa worki skórzane mają na wierzchu otwór w kształcie miseczki drewnianej, kolkiem w pośrodku zatykaną, a którą się do ust bierze pijąc. Po karczmach istnieje zwyczaj, wypijać podaną sobie miarkę *quartos*, lub więcej, z flaszki okrągłej pękatej, z krótką szyjką. Z boku brzucha téj flaszki wychodzi cieniuchna jak słomka rurczka, a którą leje się wino w usta z góry. Jeśliby jaki nieświadomy podróżny włożył tę rurkę do ust, stłuczonyby natychmiast flaszkę. Nawarcy i Biskajczycy lubią wino lać sobie na czoło, nos lub policzki ową rurką cieniuchną, a z tego punktu różnymi liniami wino do ust, się dostaje. Noclegi są wygodne, a łóżka czyste i porządne. Z Walencyi do Madrytu przejeżdża się przez Santa Barbara i San Felipe, piękne miasta, schludne i porządne. Dalej na Almansa. Tu na wzgórzu prawie pośród miasta, stoi warowny zamek czyli kastel maurytański, a obok niego piramida kamienna na pamiątkę pobicia Maurów i śmierci ich króla Almanzora. Cała Murcyja, a za nią Mańcza, dwoma pa-

smami niższych gór po bokach przecięta, składa się zresztą z płaszczyn, na mniejszej lub większej wysokości, lekkiemi spadkami naturalnemi w stanie suchości utrzymanych. Niektóre pola zasadzone są orzechami lub oliwą tu i owdzie, ale rzadko. Wszystkie budowle wiejskie są z kamienia, lasy bowiem tylko na górach się znajdują. Okania, górami otoczone, sławne bitwą w 1809 roku, w której ułani polscy siedm linii wojsk hiszpańskich przebili na wylot. Aranhuez, między dwiema rzekami, Tagiem i Gwadarama, i górami od strony Okania położone, jest miejscem prawdziwie rozkoszném. Jest tam wielki pałac, park i królikarnia, na letnią rezydencyą króla przeznaczone. Ma piękne kościoły, place, spacery i *plaza de toros*, czyli amfiteatr do walki z bykami.

Madryt o mil cztery dojrzeć można. Ta stolica Hiszpanii, na pochyłym wzgórku położona, stanowi piękne, porządne i wielkie miasto. Jest w niém sławny pałac królewski, największy ze znanych, a który ogromne skarby kosztował lubo dotąd nieukończony. Rozpoczął budowę jego Filip Hgi, którego téż bronzowa statua konna wzniesiona jest na okrągłym placu przed pałacem. Pomieniony plac otoczony jest kamiennemi kolosalnemi statuami wszystkich królów hiszpańskich. Za miastem widać góry Gwadalahara, dostarczające granitów i drzewa. Prezydent miasta, alkałdy, w ostatnich dwóch latach tę stolicę do wzorowego porządku przyprowadził. Wszystkie chodniki są z taffi granitu szarego tak długich, ażeby na całą szerokość przed domami jedna wystarczała sztuka. Na ulicę nic wystawać nie może; drzwi i okna nawet wewnątrz domu zamykać się i otwierać muszą. Żaden schodek, rynna lub filar, albo mur podporowy, poza linią ulicy czyli domów, wychodzić nie może. Policya bardzo ściśle tego wszystkiego przestrzega, a architekt miasta jest odpowiedzialny. Miejscami najpiękniejszych i przez cały Madryt uczęszczanych przechadzek są *Prado* i bulwary. Galerye obrazów są najliczniejsze może w Europie. Madryt posiada trzynaście bibliotek, muzeum i gabinet numizmatyczny. Niektóre kościoły są piękne i bogate, lubo Napoleon ogołocił je z wielu kosztowności, a szczególnie z dzwonów srebrnych, z których pięciofrankowe sztuki wybijać kazał. Odbywają się tu bardzo często processye. Na Boże Ciało, cały dwór ubrany za penitentów, w kapy z kapturami i ogonami, towarzyszy obrzędowi. Książę celebrujący w najkosztowniejszych powozach królewskich jadą.

Nawet do umierającego idzie processya, często z muzyką na czelu. Pogrzeby odbywają się z pompą w odkrytej trumnie, i z muzyką; nawet dzieci zmarłe niosą w odkrytej trumnie, towarzysząc im przygrywką na gitarze i tańcami. W święta wszyscy prawie mieszkańcy wychodzą na zielone błonia za miastem, rozciągające się ponad brzegami rzeki Manzanares; tam na tańcach i śpiewach cały dzień przepędzają. W późnej jesieni i zimą, ogrzewają domy za pomocą *brazeros*. Jestto miednica drobnym żarem napelniona, stojąca na ziemi w okrągłym, drewnianym kole, naokoło którego zasiadają goście lub domownicy, na wieczór *Tertulia* zebrani.

W Madrycie pan Salamanka skontraktował mnie do zrobienia drogi żelaznej od téj stolicy do Aranhuez, pod dyrekcją Don Pedra Miranda, byłego pułkownika inżynierów. Po ukończeniu narysu i prac zwanych *terrassements*, i pobudowaniu mostów niektórych, kiedy już przyszło do położenia szyn żelaznych, wstrzymano roboty dla braku funduszków. Kompania angielska pod dyrekcją panów Mamby i Parthington, wszedłszy z miastem w układy o urządzenie fabryki gazu do oświetlenia Madrytu, poruciła mi wykonanie przyjętego planu. Wystawiłem ten wielki gmach na obranym miejscu za bramą Toledo, niedaleko sławnego mostu kamiennego na rzece Manzanares. Cały plac składem śmieci będący, nie dozwolił dobrać się do gruntu mocnego pod fundamenta; musiałem tedy posadę odlewać z betonu. Gazometry również z betonu zrobiłem. Próbę rur żelaznych odbyłem prasą hydrauliczną. Po ukończeniu tych większych robót, wezwany zostałem przez granda Don Colliao do urządzenia plantacji stu tysięcy drzew oliwnych i rozmaitych w związku z tém przedsięwzięciem będących robót hydraulicznych, w wielkiej majętności jego pod Baeza, czyli Waeza w Andaluzji.

Opuściłem Madryt i przejeżdżałem dylizansem przez miasteczka Portolapis, Santa Cruz i Valdepenas. W okolicy ostatniego są najslawniejsze winnice. Ztąd zaczynają się owe góry Sierra Newada i Sierra Morena; pierwsze często śniegiem podczas zimy, a drugie ciąglą zielonością pokryte. Przejeżdżałem ów rozbojami niegdyś sławny wąwóz, pomiędzy skałami, mnóstwem drewnianych krzyżów upstrzony: sąto nagrobki nieszczęśliwych, których rozbójnicy pomordowali. Wyminąłem Bailen, w którym generał francuzki Dupont we 20000 wojska przed powstańcami generała Castanios, bez wystrzału broń złożył, i Menhibar z wysoką wie-

żą na górze wystawioną. Tu w całej okazałości przedstawiają się góry Sierra Morena, zawsze zielone, przez które droga idzie. Minąłem i Baezę, miasteczko odznaczające się rozwalinami po Maurach, od którego, o dobrą milę leży Laguna, majątność pana Colliao, w której zamieszkałem. W półtora roku urządziłem sprowadzenie wód z gór Sierra Nevada. Wody te w massie dwudziestu milionów stóp sześciennych w jednym naturalnym wąwozie zebrane, murem wpoprzek zamknięte, rozprowadzały się kanałem na całą plantacyą i szły do domu o dobrą milę odległego, gdzie urządziłem czyszczące cysterny na wodę do napoju i innych potrzeb domowych. Osobnym kanałem oddzielona woda, obraca młyny oliwne i jeden kamień do mąki. Urządziłem prasy hydrauliczne do wyciskania oliwy, która następującym otrzymuje się sposobem.

Dobra Laguna, po zniesieniu zakonów księżom zabrane, za trzy miliony przez właściciela od rządu nabyte, a dziś ośm wartujące, posiadają jeszcze dotąd kilka tysięcy sztuk drzewa oliwnego, którym podania miejscowe starożytność przed-Chrystusową przyznają. Drzewa te dotąd rodzą. Zwykle stary pień wypuszcza z korzenia cztery drzewa, w przecięciu do kilkunastu cali grubości mające. Nizkie i karłowate, pełne gałęzi, odnóg i lato-rośli, są zwykle rozłożyste, prawie zawsze zielone, bo drobnym liściem w jęczyczki pokryte. Z początku rośnie owoc okrągły jak ciarki, ale nabierając z czasem kształtu jajowatego, dochodzi do wielkości migdała; i kiedy dojrzeje, zieloność jego czernieć zaczyna. Epoka zbierania oliwek, najpóźniej koło Nowego Roku przypada. Wówczas zgromadzają się na miejsce oliwozbioru całe rodziny z okolicy, utrzymując się tam żywnością przez właściciela dostawioną. Składa się ona zwykle z płodów miejscowości. Ojcowie rodzin idą po linii drzew oliwnych, sadzonych zawsze w szachownicę, i kijkami na kilka stóp długimi, obtrzásają wszystkie oliwki z drzewa. Matki z dziećmi i resztą rodziny, postępując za nimi, upadłe na ziemię oliwki zbierają w podłużne, z *esporty* uplecione kosze, i tak na muły lub osły z folwarku przysłane pakują. Zapłata liczy się według liczby koszów, do domu kosztem właściciela przystawionych. Obtrzásający oliwki, *varas* zwani, są płatni dziennie, osobno. Ludzie domowi przywożący oliwki w koszach, wysypują je na dziedziniec kamieniem wyłożony. Wpóśrodku dziedzińca wznosi się wielki i wysoki słup murowany, na który, włącząc po przyrobionych schodkach ludzie z koszami, sypią z wierzchu oliwki tuż

przy słupie, przez co się one w jeden ogromny stos na dziedzińcu usypują. Kilka młynów dniem i nocą pracujących, gniotą stosowną miarkę oliwek. Kamień zwykle stożkowy, jednym mulem obracany, rozgniata na miazgę porzucone oliwki na płycie kamiennym. Miazga następnie zanosi się do prasy, i wkłada w plecione z rośliny *esporta* płaskie krążki, *esportas* zwane, mające na wierzchu otwór denkiem zamykany, przynajmniej na palec lub pół cala grubości. Te *esportas* układają się w stos czyli kolumnę, pomiędzy czterema żelaznymi słupami, żelaznej prasy hydraulicznej. Czasem wchodzi ich do stu sztuk na jeden stos, a to według siły prasy. Wypuszcza się woda i pompuje pod żelazny walec, tworzący ruchomą podstawę prasy hydraulicznej. Wówczas podnosi się spodek prasy, siłą wody czyli ciśnieniem party, i ślizga po słupach żelaznych, a tym samym przyciska stos z krążkami miazgę oliwną zawierającymi, do nieruchomego i mocnego wierzchu żelaznego, i tym sposobem oliwę wyciska. Obok prasy są dwa kotły żelazne do zagrzewania wody, którą polewają się boki czyli ściany stosu, dla tém łatwiejszego dobytia oliwy z miazgi. Oliwa dobytą z wodą połączona, spływa na dół po stosie do żelaznego rowka, znajdującego się naokoło podstawy czyli walca. Z tego rowka spływa do ogromnie wielkich glinianych garnków, po dwieście kilkadziesiąt funtów oliwy zawierających, i pod ziemią zakopanych. Żeby zaś woda odłączyła się od oliwy, obok wielkiego garnka *damizana* zwanego, jest drugi mniejszy i trzeci. Pierwszy z nich nazywa się piekłem, a dwa inne czyścem. Wpośrodku piekła jest kurek lub rurka łączna z czyścem. Kiedy więc wysokość wlanej w *damizaną* oliwy z wodą, dojdzie do kurka lub rurki, wówczas oliwa na wierzchu wody pływająca, odchodzi do czyścica. Również, kiedy pierwszy czyściec jest do dwóch trzecich wysokości pełny, wtedy rurka tu umieszczona, prowadzi oliwę do drugiego czyścica, a ztąd kubelkami miedzianymi na łańcuszku, dobywa się najczyściejsza oliwa z wierzchu, i do innych *damizan*, w ziemię kilku rzędami wkopanych, odnosi. I to jest magazynem, czyli składem oliwy. Odciek zaś wody, ze wszystkimi nieczystościami z piekła, odbywa się za pomocą kurka na spodku i z boku dna umieszczonego, a połączonego z kanałem, zewnątrz budowli wodę z nieczystościami odprowadzającym. Oliwa stojąca przez rok na składzie, utworzy na dnie osad nieczystości, czyli fusy. Wierzchnia więc jest zwaną *vier-*

ge, czyli najlepszą: niższa zwyczajną, a spodnia poślednią. Stos pomiędzy słupami żelaznymi prasy hydraulicznej, zwykle siłą od dwukroć do trzykroć stu tysięcy kilogramów ściśnięty, przychodzi do jednej trzeciej prawie wysokości. Wówczas pozostałe resztki roślinne z *esportas* wyjęte, tak ogołoconemi zostaną z części oliwy, że ręki, a nawet białej chustki, potarte o nią, nie brudzą. Te roślinne pozostałości tworzą doskonały opał lub nawóz. Prasą zwyczajnie drewnianą, a dotąd w Hiszpanii używaną, wyciskany stos ze czterdziestu lub więcej plecionych krążków, wydaje o dziesiątą część mniej oliwy od prasy hydraulicznej, większej usługi i kosztu wymagając, a niszczy się prędko. Dla tej przyczyny, dziś, po piérwszém przezemnie zrobioném doświadczeniu, w obecności bardzo wielu takich, których to obchodzić mogło, zgodzono się ogólnie dawny sposób wyciskania oliwy w całej Andaluzji porzucić, a zaprowadzić prasy hydrauliczne. Prasy te są żelazne, i lubo drogo kosztują, bo żelazo hiszpańskie jest złe, a sprowadzone z Anglii, wysokiej opłacie cła podlega: jednakże w ogólne użycie wchodzić zaczynają.

Prasy, rury do upustu i sprowadzenia wody, i inne szczególne machin, podług wydanego przezemnie planu, kazałem odlać w Sewilli, dokąd w tym celu dwukrotnie jeździłem. Ulane sztuki i wyprobowane w fabryce, mianowicie rury żelazne na trzy atmosfery siły, z zastosowaną prasą hydrauliczną, przyjmowałem, płaciłem, i do domu o osmdziesiąt mil odległego fornalkami domowemi odwieźć kazałem. Wszystkie te zabiegi powiększyły nieco kosztu, ale zyskaliśmy na dobroci materiału i bezpieczeństwie, bo żadna użyta sztuka nie uległa pęknięciu, okazawszy poprzednio przy próbie, żadaną wytrzymałość.

Oprócz powyższych robót, były i inne, jak: urządzenie stosowne budowli, irrygacyi gruntów porobionemi kanałami, i tym podobne. Zawiązałem nawet kompanią, do zwrócenia z gór Sierra Nevada rzeki Gwadalkwiwir, na irrygacyą okolicznych gruntów, aż do miasta Kordowy, o 30 mil niżej położonego. Na co wszystko przyjęte plany i kosztorysy przezemnie zrobione, przyjęto z zapalem. Wykonanie tych wielkich przedsięwzięć, przerwał rok 1848, w którym musiałem porzucić Hiszpanią.

Podróż moja z Laguna do Sewilli dwukrotnie odbyta, dała mi poznać resztę téj pięknej Andaluzji. Wzdłuż rzeki Gwadalkwiwir, samemi płaszczynami, jedzie się do miasta Kordowa, téj niegdyś drugiej Maurów stolicy. Każdy wędrownik ogląda tu

z podziwieniem katedrę zupełnie maurytańską, na 854 kolumnach marmurowych wzniesioną. Stoi w niej dotąd ołtarz drewniany przez Ferdynanda i Izabellę wystawiony, kaplica i sławny Sunnehheid, z całym koranem złotymi głoskami na marmurze wypisanym, a w całości po Maurach zachowanym. Dalej miasto Ecyha, w którym cały rynek maurytańskiej struktury, dotąd się zachowuje, i w najlepszym jest stanie. Nie widziałem w Hiszpanii nic piękniejszego nad ten uroczy rynek. Te domy kilkopiętrowe, na małych alabastrowych wysmukłych kolumnach, przed całym przodem frontony mające, i taką nowością zachwycają zdumione oko znawcy, że dosyć nasycić wzroku nie można. Jedzie się przez Arabalat i Alkalę do Sewilli. Tu jest owa katedra *Hiraldą* zwana, dotąd niedokończona, z maurytańską wieżą, na której wierzchołek królowie hiszpańscy na mułach wjeżdżali; Almejda i Alkazar, zamek i spacery Piotra Okrutnego z wytryskami arabskimi, w kanałach marmurowych ukrytymi, a za jednem poruszeniem tajnej sprężyny, wszystkie kwiaty ogrodu na raz polewającymi kroplami wody, różne desenie kształcące; wieża maurytańska, w której cała historia Hiszpanii i portrety królów są umieszczone; Torredeoro w porcie, mury starożytne, spacer i t. d. Z Sewilli popłynąłem do San-Lucar i Xerez sławnego winem. Ujście rzeki Gwadalkiwir i widoki okolic nie mogą być piękniejsze. Kadyx wpośrodku morza leżący, językiem wązkim z resztą ziemi złączony, jest miejscem dobrze znanem w nowoczesnej historii. Tu przepyszne widoki na wszystkie strony zachwycają oko. Fortyfikacye Kadyxu, place, spacer, wszystko tu podoba się podróżnemu. Mnie jednak wszędzie wspomnienia pięknych Andaluzek, a szczególniej Sewillanek ściagały. Przydomek jaki mi dały: *A kel ombre tun roho*: co za czerwony człowiek, nigdy z pamięci mojej nie wyjdzie. Kadyx jest ściekiem różnych krajowców. Natura położenie jego utworzyła handlowem. Godniejszymi wspomnieniami miejscami w dalszej mojej podróży były: Tariffa latarnią oświecająca, Trafalgar, w którego zatoce Nelson zniszczył flotę francuzko-hiszpańską, wreszcie Algezyras na krańcu Hiszpanii. To ostatnie miasto leży prawie u stóp Gibraltaru przez Anglików trzymanego. Jego wysoka skała wykutemi wewnątrz bateriami na piętra najeżona, nie da przejść żadnemu okrętowi z oceanu na morze Śródziemne. Naprzeciw *Pointe de l'Europe* jest twierdza Ceuta. Ztąd powróciłem do Sewilli, a po dwumiesięcznym pobycie do Laguna.

Zwiedziłem następnie Haen, w którym piękną katedrę i *plaza de toros* widzieć trzeba; Granadę, wslawioną Alhambrą i Zeneralifem, stojącemi na górze, która się wywyższa nad miasto. Wszędzie mi słodkie wspomnienia o moich ziomkach, za czasów Napoleona w Andaluzyi przebywających, z rozczuleniem opowiadano. Wszystkie domy przyjmowały mnie z otwartemi rękami.

Powróciłem do Madrytu w pierwszych dniach maja 1848 roku.

Bardzo wiele podówczas pisano o Hiszpanii, z powodu ślubnego związku młodej królowej Donny Izabelli de Bourbon z krewnym Don Francisco de Paula, i jej siostry Donny Ludwiki de Bourbon z księciem Montpensier, zawartego z wielą uroczystościami w Madrycie. Chcę jedynie sprostować nierzetelność kilku opisów, które za bardzo krzyczące znalazłem, w ostatniej publikacyi przez panów Dumas i Gauthier. Ci panowie siedząc przez piętnaście dni w dyliżansie, zwiedzili i poznali całą Hiszpanią, nie mówiąc ani słowa po hiszpańsku! Trzy ostatnie lata przepędziłem w Hiszpanii i posiadam dostateczną znajomość języka kastyljskiego. Dziewięć lat poprzednio spędziłem na Wschodzie i poznałem nieco język arabski, a następnie obyczaje Maurów. A że Hiszpania przeszło przez ośm wieków pod panowaniem i przemocą Almogawarów zostawała, nie masz w tém nic dziwnego, że przejęła od nich niektóre wyrazy i zwyczaje, a nawet ubiory. Moznaby więc uważać Hiszpanów niejako za pokolenie Maurów na cudzej ziemi osiadłe, a które jedną tylko religią zmieniło. Ale Hiszpania przez samą nienawiść ku Maurom, przynajmniej o dwa wieki w tyle cywilizacyi europejskiej dziś pozostała.

Największe podatki ciężą na klassie ubogiej, ponieważ podział jest równy pomiędzy wielkimi i małemi kapitałami. Nędzę ludu powiększa naturalna skłonność do próżniactwa, wspólna wszystkim narodom wschodnim, a bardziej jeszcze prawo obowiązujące obchodzić wszystkie dni świąt przez kościół naznaczone. Gdybyśmy bowiem policzyli wszystkie dni świąteczne, zatrzymujące mianowicie roboty rolnicze, i przydali do ich liczby 52 dni deszczowych; niezawodnie ogół ich przeszedłby połowę roku. Możemy więc pojąć prawdziwe wyobrażenie o nędzy proletaryatu. Dodajmy do tego niską cenę robocizny, która w miastach rzadko przechodzi półtora złotego, a 24 grosze po wsiach, a łatwo osądzimy, czy biedny ojciec rodziny, pomimo najtroskliwszej oszczędności, może jaki grosz na bok odłożyć, aby nim w potrzebie swoje rodzinę utrzymać.

Uprawa gruntów lubo dobrze zastosowana do potrzeb miejscowych, zwykle jedno tylko żniwe wydaje, w miejscu trzech; mianowicie w prowincjach południowych, gdzie rola uprawna posiada wszystkie bogactwa ziemi afrykańskiej. Stowarzyszone kapitały nie mając żadnego zabezpieczenia i zachęty ze strony rządu, pozwalają ujść wodom rzek i strumieni do przepaści morza, zamiast obrócenia ich na podlewanie gruntów ornych. Irrygacye bowiem w krajach gorących zastępują orkę i nawóz, pozwalają zasiać i zbierać naprzemian trzy a nawet pięć razy do roku ziarno, jeśli doliczymy w to uprawę roślin olejnych, jarzynnych i ogrodowin: jak to ma miejsce w Egipcie.

W ogólności w Hiszpanii brakuje łąk naturalnych, ale nie przeszkadza założeniu łąk sztucznych. Dla téj przyczyny nie mają prawie nabiału, prócz z owiec i kóz. Masło muszą z Holandyi sprowadzać. Chowają wiele owiec różnych odmian; wełnę z nich, szczególniej merynosów, tak sławną w Europie, sprzedają za granicę. Wszystkiéj rogowatności i stadninie brakuje paszy i schronienia, tak potrzebnego podczas ciągłych i przykrych słońc zimą. Dla téj przyczyny rasa ich coraz bardziej nikczemnieje.

Podstawą ekonomii domowéj w Hiszpanii bez zaprzeczenia jest oliwa i wino. Grunta skaliste i wznioślejsze, obracają na sadzenie drzew oliwnych. Wymagają one podwójnej orki pomiędzy drzewami, i podwójnego obfitego podlania. Grunta ogołocone z zasobu potrzebnej wody, bez porównania mniej oliwy wydają. Oliwa w Hiszpanii jest artykułem największej wagi, i najznakomitsze stanowi bogactwo kraju. Wino hiszpańskie jest mocne, doskonałe, tłuste, i smaczne: można powiedzieć, że na kuli ziemskiej nie masz tańszego.

Brakuje tu po większej części lasów i drzewa budulcowego. Na południu okrzesywania coroczne oliwy i winnicy, dostarczają dosyć drzewa na potrzeby domowe. Drzewo budulcowe jest drogie. Handel zagraniczny zupełnie umarły, wyjąwszy z Hiszpanią na płody zamorskie, zmusza Hiszpanów do spożycia swoich płodów wewnątrz kraju, a na tych Hiszpanii bynajmniej nie zbywa. Wszędzie *garabanzos* i ryż używa się na zupełne *puczero* i potrawki; ale gotują go wraz ze słoniną, kielbasą, kiszką i wloszczyzną, z dodatkiem ogromnej ilości pieprzu. Mięso wołowe niewiele tu warte, ale za to mięso krowie jest bardzo poszukiwane. Ptactwa i zwierzyny jest do zbytku. Ogrody pełne są kwiatów i owoców. Rodzynki z Malagi, najslawniejsze na całej kuli ziemskiej.

Hiszpania wydaje wiele wybornych owoców, nieznanych wcale innym krajom Europy, jak na przykład: daktyle, figi barbarzyjskie z rośliny *Cactus*, chleb świętojański, orzechy amerykańskie i t. d. Garabanzos, (*Cicer arietinum*) gatunek wielkiego grochu okrągłego, nie dał się nawet w Prowancyi przyswoić. Len i konopie służą na zwykłe potrzeby. Esparta (*Stipa tenacissima*), aloes, i palma dostarczają materiału na różne użyteczne wyroby.

Już dawniej wiele powykopano kanałów spławnych, w chęci ułatwienia związków handlowi wewnątrz kraju, ale ich utrzymania zaniedbano, przez co w zamulonych zatrzymywał się odpływ wody. Stojąca woda stała się niezdrową, a wyziewami smrodliwymi zarażała długo całe okolice, aż wreszcie prawie zupełnie wyschła. W ogólności wszystkie niemal drogi są w stanie opuszczenia. Dawniejszy system ich budowy, zupełnie innym krajom przeciwny, dotąd się utrzymuje. Drogi główne jeszcze przedstawiają jakiś cień utrzymania; są jednak w zbytnej szerokości makadamizowane, a przez to niepraktyczne, bo trudne do naprawy. W wielu nawet stronach drogowcy nie mają najmniejszej instrukcyi. Używają ziemi do poprawy drogi, a ta rozesłana na żwir spodem leżący, niszczy zupełnie szosę. Urządzenie dróg, których dobroć jest jednym z najważniejszych warunków uporządkowania kraju, jestto przedmiot zupełnie obcy inżynierom hiszpańskim. Budowa mostów i wielkich zakładów przemysłowych, należy wyłącznie do przedsiębiorców zagranicznych, i stanowi spekulacyą na niezmierną skalę. Łatwo sobie wystawić, jak wiele na tém traci przemysł narodowy. Drogi żelazne na przykład, do których europejskie kraje tyle przywiązują znaczenia, nie zaraz Hiszpanią z resztą Europy łączą; nie dlatego, żeby w Hiszpanii brakowało na to kapitałów, lub żeby topografia ziemi nie sprzyjała, ale dla braku dobrych chęci, dla uprzedzenia rządu i stagnacyi przemysłu. Skończyło się dotąd na małym kawałku drogi żelaznej z Madrytu do Aranhuez.

Oświecenie gazem miast Barceliony, Walencyi, San Sebastian, Kadyxu, Sewilli i Madrytu, kompania inżynierów angielskich uskuteczniła, a nawet na inne miasta Hiszpanii swoje projekta rozciągnęła.

Organizacya poczt, nowocześnie zaprowadzona, jeszcze jest daleką od tego, co w tym względzie inne mają kraje. Dwie są tylko główne drogi do Francyi: jedna na Bayonnę, druga na Marsylią. Dylizanse kompanii lub prywatne, do których się zaprzęga dwanaście mocnych mulów, dla złego stanu dróg, prowadzone są przez

konduktora (*mayoral*), pocztyliona jednego, lub dwóch chłopczyków (*delanteros*) na przodzie, i jednego wagenmajstra (*zagal*). Ten ekwipaż tak dobrze usłużony, wygodny i szybki, najczęściej bardzo mało podróżnych wiezie, a to dla ceny nader wysokiej. Każdy powóz i bydlę musi opłacać drogowe co stacya, chociaż drogi są w złym stanie, a często i mostów brakuje. Ta nadpłata ciężyc musi na podróżnych. Dodajmy do tego wymaganie na piwo pocztylionów na każdej stacyi, prawda że z grzecznością, bo z kapeluszem w rękę, i powiększoną cenę jedzenia po oberzach, w których powóz się zatrzymuje z obowiązku, a to dla pokrycia kosztu konduktora, a wówczas przekonamy się, że cena miejsca w dylizansie, i kufra lub innych rzeczy, może się potroi.

Oprócz tych dwóch głównych związków z Francją, rozchodzą się i dylizanse i malposty na wszystkie znaczniejsze kierunki wewnątrz kraju. Ich urządzenie jest zupełnie podobne poprzednio opisanemu. Są tu jeszcze inne związki wewnętrzne, daleko tańsze od poprzedzających, a które utrzymują się ciągle i peryodycznie pomiędzy wszystkimi wielkimi miastami a stolicą, lub pomiędzy dwoma punktami odległymi. Zwykle są to czterokołowe wozy, o bardzo niskich przednich kołach, zwane *galera*. Mają po sześć lub ośm mułów, a prowadzone są przez jednego *mayoral* i jednego *zagal*, który zarazem robi służbę *delantero*. Wozy te, w których muły ciągle idą stępo, codzien po siedm lub ośm mil ujeżdżają, i zatrzymują się na noc po karczmach przy miastach lub wsiach, *pasada* zwanych. Są długie, obite obręczami; na tych obręczach kładą trzcinę, a na trzcinie przybijają płótno grube. Zwykle napakowane bywają aż do wierzchu drabin, towarami lub rzeczami rozmaitemi, jak arka Noego. Zostaje więc miejsce dla sześciu lub ośmiu podróżnych, do leżenia pod płótnem, bo usiąść wygodnie jest niepodobniestwem. Siadłszy oni po turecku, tłuką swoje głowy o obręcz i trzciny okrągłego sklepienia z płótna, za każdym stuknięciem wyladowanego wozu, po tak licznych wybojach złej drogi ubocznej. Często połowa podróżnych musi iść naprzemian piechotą, kiedy czas jest piękny, aby jakkolwiek przyczynić wygody pozostałym na wozie, zwłaszcza kobietom i dzieciom. Pozostali kładą się wtedy jak lalki w kolebce, kołysząc głowami ruchem wahadłowym jak pagody chińskie, przez cały czas spoczynku w podróży, jeżeli takie piekło spoczynkiem nazwać można. Ta podróż powolna i w towarzystwie różnego stanu ludzi, zawsze wesolością ożywiona, zwykle się podoba zagranicznym, którzy mają czas przypatrywać się do woli okolicom,

miastom i zwyczajom. Z wypraw takich korzystają najwięcej turyści, którzy, dyletanci prawdziwi, maszerują z ołówkiem i album w rękę. Lecz przedewszystkiem należy oswoić się z jedzeniem, do którego pieprz turecki w nadzwyczaj wielkiej ilości kładą. Palenie więc gardła, trzeba winem uśmierzać. Tu i owdzie zdarza się napotykać karczmy dobrze usłużone, ale bardzo drogie, szczególnie dla obcych. Bez zaprzeczenia, podróż galera jest najtańsza, bo ugodzwszy się z mayorałem, za pomierną cenę wszędzie jesteś dobrze żywiony, usłużony i przenocowany, a często nawet dobrze widziany przez pleć piękną, stosownie do twego worka.

W Madrycie istnieje bank narodowy czyli hiszpański, w którym rząd, z kilku bogatymi spekulantami w spółce zostający, gra na papiery bankowe. Osoby prywatne, posiadacze owych biletów, zależą od widzimi się banku: bo gdybyś chciał wymienić owe bilety na gotówkę, musisz zapłacić *agio*, czasem 20 i więcej na sto wynoszące. Rząd ściąga podatki w gotówce, a wypłaca pensye, zaległości i wszelkie rachunki, samemi tylko biletami, których nikt przyjmować nie chce. Brak zaufania publicznego wewnątrz kraju, najgorszy wpływ wywarł za granicą, i dziś rząd nigdzie więcej pożyczki w razie potrzeby nie mógłby zaciągnąć. Obraz takiego frymarchenia pieniędzmi, rozszerzył się wszędzie, a tym sposobem urzędnicy łatwo psuć się dają.

Co do organizacji wojska, Hiszpania nie ma nic wspólnego z innemi narodami Europy. Ma więcćj generałów, aniżeli by ich potrzeba było całej Europie, a w téj liczbie dziś ani jeden się nie znajdzie zdolny dowodzić korpusem w czasie wojny. Armia liczy 80,000 wojska regularnego. Najdziwaczniejszą rzeczą jest widzieć w wojsku hiszpańskiem bardzo wielu oficerów wyższej i niższej rangi, tytułowanych czyli assimilowanych, to jest noszących naprzykład uniform pułkownika, a biorących żołd i pełniących służbę kapitana lub porucznika. Czynną służbę oficerów wyższych, generałów, adjutantów i lekarzy, oznacza noszenie trzciny czyli laski ze złotą gałką. Takiegoż znaku używają urzędnicy cywilni. Ostatniemi czasy wojsko bardzo pięknie ubrano, a jego taktyka i znane męstwo w niczem nie ustępują armiom najlepiej wyćwiczonym. Zapał wojskowy, podsyca ciągle wojna domowa. Z czasem talenta wojskowe wyrobić się mogą. Tym sposobem powstałi: Mina, Cabrera, Zurbano i Zumalacaregui.

Dawniej siła morską hiszpańską przeważną i znaną była w świecie; ale od zniszczenia *Grande Armada*, to jest wielkiej floty

w roku 1588, dotąd się do potęgi podnieść nie może. Marynarka hiszpańska najświetniej zasłużyła się historii. Pierwszą podróż naokoło świata odbył Cano, Hiszpan, w roku 1522. Wszystkie odkrycia nowego świata winniśmy Hiszpanom. Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę w 1492 roku, Vasco de Gama Indye Wschodnie w roku 1497, Juan Ponce, Florydę w roku 1512, Hernandes Cortez, Meksyk 1518 roku, Saavedra, Filipiny w 1527 roku i Kalifornią w roku 1529, Pizarro, Peru w 1533 roku. Żeglarze hiszpańscy sprowadzili do Europy trzecinę cukrową z wysp Kanaryjskich w 1506 roku, tytuń z Indyi w 1560 roku, skóry garbowane z Ameryki w 1587 roku. Pierwsza nawet myśl żeglugi za pomocą siły pary, wyszła od Hiszpana Garaj w roku 1543. Dziś cała siła morską hiszpańska składa się z jednego trzymasztowego okrętu Sobrano, już niezdatnego do służby; ze dwóch fregat, la Reina Isabella Secunda i Espania; ze dwóch brygów i kilku statków parowych, zbrojnych na stopę wojenną przeciwko brzegom Afryki. Kilka statków parowych służy do transportów pomiędzy Marsylią, Barceloną, Walencyą, Sewillą, Kadyxem, Malagą i wyspami Balearskimi.

Oprócz powyższej wzmiankowanej zasługi marynarki hiszpańskiej, winniśmy jeszcze Hiszpanom rycerskie turnieje, tak dowcipnie wyszydzone przez Cerwantesa w znanym dziele jego pod tytułem: *Don Kichot de la Mancha*; im winniśmy także liczby arabskie od roku 991 i tauromachią od 1100. Ale zaprowadzenie tej ostatniej nie pochodzi od Maurów, jak wszędzie rozumieją; nigdzie na Wschodzie nie widziałem nic podobnego; musi ona być zabytkiem rzymskim. Plac zwany *plaza de Toros*, kędy się te gonitwy byków odprawiają po wszystkich prawie miastach Hiszpanii, jest cyrkiem czyli amfiteatrem rzymskim, na którego arenę, czterema *vomitoriami* wychodzili do walki szermierze (gladyatorowie) i zapasnicy (atleci), a później ludzie walczący ze zwierzętami lub na pożarcie skazani. Hiszpania wprowadziła do siebie roślinę *esparta* w roku 851, na różne plecione wyroby, a nawet na sandały czyli *spadillas*, *espardillas*, tak korzystnie używaną. Algiebrę ukazał Geber, Maur w Sewilli, roku 1000. Zaprowadzono uniwersytet w Meksyku i Lima roku 1551. Wynaleziono granat ręczny w roku 1566; bagnet w roku 1670. Grecy jeszcze dobyli w Hiszpanii pierwszą mine merkuryusza w Almaden, na lat 700 przed Chrystusem, która za czasów Rzymian wydawała 100,000 centnarów rocznie, gdy dziś tylko 22,000 wydaje. Takie więc są zasługi Hiszpanów w dziejach

cywilizacji europejskiej, w których zaszczytnie ten naród wspomniany będzie.

Rząd hiszpański jest wyrazem najslabszego stronnictwa, i pod nazwą anomalicznego lub gitary, pozostaje w ręku kamarylli, która go wstecznie prowadzi. Jemu winien kraj owę ciągłą nieszczęśliwą wojnę domową, tę plagę Iberyi, niszczącą wszelki postęp. Zawiścią lub zemstą powodowany, z zimną krwią zabija brat brata, krewnego, przyjaciela lub współobywatela. Trzy stronnictwa istnieją w Hiszpanii: rządu, progressistów i Karlistów, czyli Montemolinistów. Policya urządzona jest w sposób niegodziwy. Największe nadużycia i bezprawia spełnione przy blasku słonecznym, uchodzą bezkarnie. Policya i żandarmerya są bardzo liczne; wszakże zamiast zmniejszać się, liczba zbrodni stosunkowo się powiększa. Drogi publicznie przepełnione są rozbójnikami, czyli brygantami zbrojnemi, którzy zniemacka wpadają na podróżnych, rabują ich kieszenie i dyliżanse, a żadnej drogi bezpiecznej nie pozostawiają na każdym punkcie kraju.

Polityka przyczajona gabinetu madryckiego nie jest przystępną, i nie może być ani zgłębianą, ani odgadniętą. Raz płaszcząca się i na kolanach, potem bez zastanowienia się wyzywająca i śmieszna, to znowuż z wściekłością rzucająca się na ustalone prawa, wreszcie internacjonalna, przekładając związki familijne nad zdrowy interes narodu. Potrzeba nadludzkiego gieniuszu, ażeby wśród tych czarnych ciemności, rozplątać machiawelizm kamarylli madryckiej.

Budowle nowoczesne, mianowicie z lat ostatnich, nie grzeszą smakiem architektonicznym. Ale zanadto kolosalny pałac królewski, olbrzymim planem odbiera wszelką możność Hiszpanii, do ukończenia go kiedykolwiek, lubo dotąd pożarł już tyle skarbów i czasu; zapewne koniec będzie miał taki, jak wszystkie tego rodzaju budowle w tym kraju. Ów tak okrzyczany Eskuryal, oprócz położenia czarowniczego pomiędzy górami, nic nie przedstawia ciekawego, i więcej wygląda na obszerny klasztor Trapistów, jak na rezydencją królewską. Gabinet obrazów tu znajdujący się, bardzo przetrzebionym został w tych czasach z oryginałów Murylla, które kopiami zastąpiono. La Granha ma więcej całości w swoich stosunkach, i bez porównania rywalizować może z Neuilly, Schönbrunn i Łazienkami. Letnie mieszkanie w Aranhuez zanadto obszerne, chociaż grzeszy architekturą nakupioną i poklejoną, rozkosznym położeniem ściągając na siebie ciekawe oko turysty. Na pierwszym wyniesieniu ma z jednej strony zwierzyniec i nader liczną królikarnię, otoczone rzeką Guadarama: a z drugiej ogród i pałac, zamknięte rzeką Tagiem. Na dru-

giem zaś wyniesieniu leży miasto uwieńczone górami i wzgórzami. Wszędzie przyroda piękna i bogata, czyni to miejsce czarowném, malowniczym, i zachwycającém.

Wada narodowa w architekturze, mianowicie wielkich gmachów publicznych lub pomników, na pierwsze zaraz spojrzenie uderza cudzoziemca oczy. W Hiszpanii te arcydzieła zaczynają zwykle na skalę kolosalną, przechodzącą o wiele ich proporcją, przeznaczenie i kosztorys. Skoro zaś fundusze wyczerpane zostaną, robota zatrzymać się musi, i prawie zawsze prędzej zniszczeje, nim do zapobieżenia złemu znajdą się nowe środki.

Pod względem materiałów do budowli, Hiszpania nie ustępuje najbogatszym krajom. Drzewo budulcowe lubo drogie, dostawiają lasy Guadalahara, Sierra Nevada, Sierra Morena i inne góry. Nie zbywa i na marmurach. Brokatel i niektóre jednostajne hiszpańskie marmury, znane są w innych krajach. Góry najdawniejszych formacji, tak mnogie w Hiszpanii, obfitują we wszystkie minerały. Granit szary wydobywany o siedm mil od Madrytu, w postaci bloków różnej wielkości, lub ogromnych łomów i kolumn, dostarcza kamienia ciosowego, dającego się nawet polerować, jak granit egipski, tebański, lub z Syenny w starożytności. Twardy granit w najpiękniejszych brukach, zastępuje piaskowce krzemionkowe innych krajów. Ceramika hiszpańska dostarcza krajowcom owych sławnych garnków do wody, *alcarazas* zwanych, z ziemi białej, prześlakliwej złożonych. Mają one tę szczególną własność, że przechowują świeżą i zimną wodę, chociażby na upał słoneczny wystawiona była. Ma Hiszpania doskonale i obfite wapno. Rzeki dostarczają piasku kwarcowego tak do budowli, jako i do hut szklanych. Margiel, używany i tam do uprawy gruntu, i glinę, wszędzie się natrafia; glinę zdatną nietylko na cegłę i dachówkę, ale i na fajans (*petunte*) i porcelanę (*kaolin*), których fabryka istnieje w Madrycie. Cała Katalonia pełna jest rudy żelaznej i kuźnic. Wytapianie miedzi i ołowiu, na wielką tu odbywa się skalę. Cynku i cyny nie brakuje. Kopalnia merkuryusza w Almaden, istnieje od roku 50 przed Chrystusem, już od téj epoki nazywana hiszpańską. Ale kopalni złota i srebra nie ma Hiszpania. Dawnemi czasy, Meksyk i Peru przysyłały corocznie 50 wielkich okrętów, *Galeas* zwanych, naładowanych srebrem i złotem, co uczyniło przez 250 lat najmniej 20 bilionów funtów, a temi całą kulę ziemską okryćby można było. Trudno powiedzieć, jakim uszły kanałem te massy kosztownego metalu. Największą ich część pochłonęły kościoły. Napoleon z samych dzwo-

nów srebrnych w Hiszpanii zabranych, całą monetę francuzką wybi-
jał. Pałac królewski, jeszcze przez Filipa IIgo zaczęty, a dotąd nie-
dokończony, miał spotrzebować nieobliczone summy. Dziś w Hiszpa-
nii daje się uczuć brak monety brzęczącej; wszystkie talary hiszpań-
skie *duro* zwane, znajdują się na Wschodzie, w ręku Arabów, Tur-
ków, Maurów i innych ludów barbarzyjskich. Takiz sam los spotkał
monetę złotą *onza* zwaną, której każda sztuka uncyą złotą waży,
a ma wartości 97 franków. Ponieważ ta moneta rzeczywistą war-
tość większą miała od nominalnej, pieniądz w gotowiznie wyszedł zu-
pełnie za granicę. W ostatnich latach, ten ohydny handel pieniędzmi
odbywał się nawet za pozwoleniem rządu. Francuzcy agenci objeżd-
żali cały kraj, i wykupowali monetę złotą i srebrną, płacąc pięcio-
frankowemi sztukami po 108 za 100. Znany generał Narwaez,
miał wysłać w 1847 roku ze skarbu publicznego kilkadziesiąt wo-
zów onzami hiszpańskimi naładowanych, do banku paryzkiego na
wymianę, i tym sposobem kraj prawie z reszty owiej brzęczącej mone-
ty ogołocił. Teraz po całej Hiszpanii tylko francuzkie pieniądze krą-
żą; krajowych nie ujrzysz prawie.

Podróżny zwiedzić powinien Kadyx, Gibraltar, Walencyą, Bar-
cellonę, Saragosę, Malagę i tyle innych miejsc i miast godnych po-
znania, a nadewszystko piękną Andaluzją, do której stolicy, Sewilli,
wabi samo przysłowie hiszpańskie:

„Quien no havisto a Sevilla,
Noha visto maravilla.”

Co znaczy: że kto nie widział Sewilli, nie widział cudu. Bę-
dzie podziwiał w Andaluzji żyjącą jeszcze architekturę maury-
tańską; w Granadzie, Żeneralifę i Alhambrę; w Kordowie meczet
na 854 kolumnach marmurowych stojący, ze sławną Sunnehend;
w Ecyha rynek miejski z placem publicznym. Pogodne niebo Anda-
luzji, jój płody afrykańskie, a nadewszystko sławny szczep płci
pięknej, ten prototyp szczególny rodu Maurów, dziś znikłego w Eu-
ropie, sownie nagrodzą ciekawość turysty. Sierra Morena ze swym
cudownym krajobrazem, wydadzą mu się prawdziwym Edenem.
Powinien widzieć w Madrycie na *Plaza de toros* walki i gonitwy
z bykami, lubo ta najulubieńsza Hiszpanom zabawa, nie sprawi ró-
wniej przyjemności cudzoziemcowi. Za to z uweseleniem będzie się
przypatrywał uciechom publicznym niższej warstwy mieszkańców,
szczególniej w dni świąteczne, kiedy prawie cała ludność Madrytu
zbiera się na cudownych i uśmiechających się błoniach rzeki Man-

zanarez. Tu w narodowych ubiorach *Mako* i *Maniola*, obojój płci zachwyceni i zapaleni zwolennicy uciech, tańczą do upadłego z kastanietami w rękę swoje ulubione Fandango, Bolero, Hota, Kaczucza i t. p. przy dźwięku gitary lub innego muzycznego narzędzia, wtórującym śpiewowi. Lecz aby dokładniej zbadać ducha narodowego Hiszpanów, poznać i dobrą i złą stronę ich towarzystw, konieczna jest znajomość hiszpańskiego języka. Niechaj więc bają nam tysiące przesadzonych bredni o Hiszpanii, panowie Dumas, Gauthier i spółka: sąd o nich zostawimy woli wyrozumiałego czytelnika, który chciał bez uprzedzenia i z uwagą; ten lekki nasz zarys przeczytać.

Cudowna kraino, Andaluzjo czarująca, pełna dla mnie słodkich wspomnień, wyrytych głęboko i nazawsze w tajnikach serca mego i pamięci! Rzuciłem cię ze smutkiem; tęskniący jeszcze dumam o tobie. I chociaż oddalony na kilkaset mil od ciebie, zasyłam do Przedwiecznego gorące modły o powodzenie twoje. Przyjmij moje życziwość i bądź nazawsze miłą krainą!



O PRAWNYCH ZASADACH RACHUNKU BIEŻĄCEGO.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

Ze wszystkich prawodawstw ucywilizowanego świata, objętych w porównawczym zbiorze praw handlowych pana Saint-Joseph, jeden tylko kodex handlowy portugalski (1) podał w osobnym oddziale zasady prawne rachunkowości handlowej, której odznaczającym się zjawiskiem jest rachunek bieżący.

Prawa handlowe innych krajów, lub mieszczą w sobie pojedyncze przepisy do rachunku bieżącego odnoszące się, albo uznają tylko prawne jego istnienie, nawiasowo czyniąc o nim wzmiankę, lecz nie określając bynajmniej prawnej natury stosunku, jaki z niego wynika.

Kodex handlowy francuzki dotychczas u nas obowiązujący, do rzędu tych ostatnich prawodawstw należy. W artykule 581, księgi trzeciej (dziś zastąpionym we Francji przez artykuł 575 téjże księgi, na skutek prawa z d. 28 maja 1838 r.), przypuszcza kodex istnienie rachunku bieżącego, żadnym przecież przepisem zasad tego rachunku nie urządza.

Takie milczenie prawa więcej przedstawia niedogodności u nas niż w kraju, gdzie kodex handlowy utworzony został. Tam w części przynajmniej jest czém zastąpić i uzupełnić niedostatki kodexu. Świat handlowy wyrobił sobie prawo zwyczajowe w głównych za-

(1) Concordance entre les Codes de Commerce étrangers et le Code de Commerce français par Mr. Antoine de Saint-Joseph. Paris. 1844 str. 4 i 5 (oddział 3ci, tytułu 4go, księgi 1szej kodexu portugalskiego); tudzież str. 30 i 31 (tytuł 3ci księgi 2giej tegoż kodexu). Kodex portugalski jest z roku 1833.

rysach jedne, zasadami silne, które we Włoszech wzięwszy swój początek, ztamtąd przeszło i upowszechniło się po całym niemal ucywilizowanym świecie; i doskonałością swoich urządzeń stanąwszy obok prawa rzymskiego, stało się głównem źródłem nowoczesnych prawodawstw handlowych, a między niemi i kodexu handlowego francuzkiego. Dlatego téż Rada Stanu Francuzka, ciało polityczne, które temu kodexowi życie nadało, uznając powszechné źródło prawa handlowego, wyrzekła zdanie (avis) „że trybunały handlowe winny rozsądzać przedstawione im spory podług swego przekonania, opierając się na przepisach i duchu kodexu, lub gdy ten milczy, na prawie pospolitém (droit commun) i zwyczajach handlowych (1).”

To zdanie, oparte na znajomości początku i kształcenia się ustaw handlowych, podzielili wszyscy prawnicy francuzcy, a tak zyskano obfite źródło, z kąd czerpać można zasady dla uzupełnienia niedostatków kodexu. Są nawet we Francyi znakomici prawnicy tak przejęci doskonałością prawa zwyczajowego, tak lękliwi o jego całość pod ręką prawodawcy, że chcieliby jeśli nie całkiem ustawy handlowe usunąć, to przynajmniej ograniczyć je do bardzo szczupłej liczby ogólnych zasad prawnych, pozostawiając ustalenie ich następstw wolnej pracy czasu i na ogólném przyzwoleniu opartemu zwyczajowi.

„Ustawa chce i nakazuje” mówi Fremery: „a więc zamknąć się winna w zakresie rzeczy, które od woli zależą i nakazać się dadzą. Lecz raz wolę swą wyraziwszy, ustawa następstw z niej płynących oznaczać nie powinna; tak czyniąc, wkraczałaby w dziedzinę konieczności. W niepotrzebną i niebezpieczną rzecz wdaje się prawodawca piszący ustawy na to, co jest prawdą niezależnie od czyjśbądź, a więc i od jego woli; w wywodach swoich omylić się może, lub używając mowy ludzkiej, tego niedoskonałego choć niezbędego narzędzia, niedokładnie myśl swoje wyrazi (2).”

Trudno jest zaprzeczyć trafności przywiedzionym tu słowom; więcej przecież uwzględniają one doskonałość samego prawa, niż potrzebę jego pewności w każdej chwili, w praktycznym zastosowaniu. Ta potrzeba stworzyła ogromne księgi praw naszych, wywołuje codzienne w nich zmiany, których długi jeszcze szereg przewidzieć można, zanim przyjdziemy do form klassycznych, tak słusznie wielbionych w prawie dawnych Rzymian.

(1) Pardessus: Cours de droit commercial, we wstępie (avertissement). Zdanie Rady Stanu z d. 13 grudnia, 1811 r., potwierdzone d. 22 t. m. i r. Porównaj art. 906 K. P. S.

(2) Fremery: Etudes de droit commercial. Paris. 1833, str. 3.

Zwyczaj jest prawem ludu, jak przysłowia są jego mądrością; jak te ostatnie nie mogą z postępem ukształcenia starczyć za jedyny kodex moralności i filozofii, tak i zwyczaj przy więcej rozwiniętych stosunkach daje uczuć potrzebę i brak ustawy.

Zwyczaj niewszędzie jest jednostajny; na swoje ustalenie potrzebuje czasu, zmienia się ze zmianą stosunków, w końcu zacierają się i niknie. Jeżeli w wyrokach sądów i w pismach prawników przechowały się o nim świadectwa, powaga tych świadectw nie dorównywa mocy ustaw, które w końcu zwyczaj wesprzeć trzeba. Ustawa bada zasadę zwyczaju, zbadaną wyraża w formie ogólnej. Tak odrywając myśl od rzeczywistości, z którą dotąd zrosniętą było, ustawa niszczy życie zwyczaju, i dalsze kształcenie prawa oddaje w ręce oddzielnej klasy prawników. Przejście od zwyczaju do ustawy jest konieczne; lecz nieraz ustawa łamie zwyczaj zamiast go uświęcać, a zniszczywszy żywotność rodzimego prawa, przypomina swoim istnieniem wątłe rośliny w cieplarni wyhodowane, i tam tylko byt swój utrzymać mogące.

Przejścia od zwyczaju do ustawy kodex handlowy francuzki niewszędzie dopełnił. Zdawałoby się, że mógł tego zaniedbać bez szkody w kraju, gdzie powstał, bo tam zwyczaj handlowy był dawny, silny, długi szereg pomników swego istnienia liczący. Pomiń to, nieujęcie w karby przepisów rachunkowości handlowej zrodziło nawet we Francyi niepewność jurysprudencji, a lubo źródło, z kąd niedostatek prawa zastąpić, było w pobliżu i płynęło obficie, mało kto z niego umiał lub chciał zaczerpnąć.

Gdzież tego źródła szukać u nas; jak, gdy prawo milczy, badać zwyczaj handlowy? Swojego nie mamy, za obcym śledzić, jakież moźół i zachód, jak łatwo zbłądzić na drodze niepewnej i nieznaniej! Przejście od zwyczaju do ustawy w przedmiocie rachunkowości handlowej, we Francyi może stosowne, u nas jest potrzebą. Zanim przecież potrzebie téj zadość się stanie, przedewszystkiem zwyczaj poznać i zasady jego prawne wyluszczyć należy.

Za punkt wyjścia, weźmiemy stosunki i urządzenia cywilne. Zastanowimy się pokrótce nad rachunkiem zwyczajnym, ażeby tém wybitniejszą stała się różnica zachodząca między nim i rachunkiem bieżącym.

Ważniejsze zasady Kodexu Cywilnego odnoszące się do rachunku są następujące (art. 1253—1256): Uplaty liczą się naprzód na procent, potem na kapitał. Dłużnik bez zezwolenia wierzyciela nie

może upłat liczyć na kapitał, kiedy jeszcze procent się od niego należy.

Dłużnik, jeżeli z kilku źródeł dług się od niego należy, może oświadczyć, na który dług upłatę czyni; jeżeli przecież w pokwitowaniu dozwoli uczynić wzmiankę, na który mianowicie dług upłata liczyć się winna, upłata na ten dług zarachowaną zostanie.

Jeżeli oświadczenia ze strony dłużnika nie było, i wierzyciel w kwicie nie zastrzegł nic względem zarachowania upłaty, upłata liczy się na dług wymagalny raczej, niż na dług niewymagalny; a gdy jest kilka długów wymagalnych, na dług w którego zaspokojeniu dłużnik miał największy interes, np. na dług przynoszący wyższy procent.

Dodajmy, że nie stanowi różnicy, czyli dłużnik czyni upłatę wierzycielowi, czyli też stawia do potrącenia wzajemną jaką należność; w takim razie według przepisu art. 1291, 1292, potrącenie dwóch wzajemnych pieniężnych należności następuje samém przez się prawem, z chwilą ich wymagalności; tak, jak zmniejszenie długu następuje z chwilą upłaty.

Rachunek na tych zasadach oparty, jest rachunkiem zwyczajnym, zwanym we Francji: *Compte par echelette*.

Przypuśćmy, że jedna osoba winna jest drugiej zapłacić w dniu 1 stycznia 1850 r., summę rs. 15,000, od której procent liczy się wedle umowy po 6^o/_o.

Na dniu 1 lipca t. r. nastąpiła upłata rs. 7500. Ponieważ do chwili upłaty należało się procentu za pół roku rs. 450, więc z obliczenia wypadnie, przy zarachowaniu według zasad wyżej wskazanych upłaty naprzód na procent, potem na kapitał, iż pozostanie nadal summa kapitałna rs. 7,950, od której dalszy procent liczyć się będzie.

Taki sam wypadek otrzymamy, chociażby summa rs. 7,500 nie była upłatą na dług rs. 15,000, lecz stanowiła wzajemną należność wymagalną w dniu 1 lipca 1850 roku.

Rachunek taki nie ma z natury swojej stałych terminów obliczania; za każdą upłatą, z chwilą wymagalności każdego wzajemnego długu nowe obliczenie się nastąpić winno; zmniejsza się stopniowo wysokość kapitału, i procenta od mniejszej liczą się ilości.

Gdyby jednak w przypadku, któryśmy za przykład wzięli, strony chciały uregulować swoje stosunki w dniu 1 stycznia 1851 r., to, jeżeli od dnia 1 lipca 1850 r. żadna okoliczność na zmianę tych stosunków nie wpłynęła, wypadek będzie następujący:

Należało się w lipcu 1850 roku w kapitale . . rs. 7,950
 Procentu od téj summy do dnia 1 stycznia 1851 r.
 przybyło. rs. 238 k. 50

należy się razem . . rs. 8,188 k. 50.

z czego tylko summa rs. 7950 jako kapitalna nadal procentowaną być winna, summa zaś rs. 238 k. 50, jako wyobrażająca prócent za pół roku należny, nietylko procentu nie przynosi, ale nawet umowa przeciwna byłaby nieważna, gdy tylko procenta najmniej za cały rok zalegające kapitalizowane być mogą (artykuł 1154 K. C.).

W przykładzie powyższym przyjęliśmy, iż summa rs. 15,000 przynosi prócent. Na to potrzeba albo umowy między stronami, albo iżby należność z takiego pochodziła źródła, iż z samego prawa prócent od niej liczoną być winien.

Jedną z należności ostatniego rodzaju jest należność pochodząca z wykładów, jakie kto na interes drugiego czyni. (Artykuły 2001 Kodexu Cywilnego i 184 Kodexu handlowego).

Należności z tego źródła nader często się wydarzają w stosunkach handlowych. Kupiec załatwia interesa, czyni wypłaty nietylko w miejscu gdzie mieszka i ma swój kantor, lecz w miarę zakresu swoich działań w różnych miastach, różnych krajach, różnych nawet częściach świata.

Wypłaty te czyni, interesa załatwia za pośrednictwem swoich korrespondentów czyli kupców z którymi w stosunkach zostaje, i wzajem tę samą dogodność im wyświadczą, umawiając się z nimi poprzednio, do jakiego stopnia na ich usługność liczyć może, czyli do jakiej wysokości ma u nich otwarty kredyt. Z każdym korrespondentem prowadzi oddzielny rachunek; w stanie czynnym tego rachunku zapisuje to wszystko, co korrespondent za niego zapłacił, licząc na jego korzyść prócent, według umówionej stopy, od nazajutrz po dniu poniesionego wydatku, i w podobny sposób urządza stan bierny rachunku czyli rachunek tego, co mu się wzajem od korrespondenta należy.

Rachunek taki gdyby miał być prowadzonym w sposobie zwyyczajnym, stałby się nieraz nader zawiłym i mozolnym. Przy nieustannym ruchu stosunków kupieckich, rachunek dwóch korrespondentów składa się z licznych pozycji, z wydatków i wypłat, czynionych w krótkich odstępach czasu, niemal codziennie. Gdyby od każdej należności miał być obliczony przypadający prócent do chwili, w której nowa pozycja stan rachunku zmieniała, gdyby każda wzajem-

mna należność z chwilą wymagalności potrąconą być miała, i zarachowaną według zasad wskazanych naprzód na procent, potem na kapitał: summa dłużna jednemu lub drugiemu korespondentowi zmieniałaby się nieustannie i co chwila téż od innej summy należałoby obliczać procenta.

Tak zawilego obrachunku uniknęli kupcy bardzo prostym i naturalnym sposobem: nie chcąc się obliczać codziennie, umówili się o pewne stałe terminy obliczania się, zwykle roczne lub krótsze od roku. Aż do umówionego terminu każdy z dwóch korespondentów liczy swoje należność tak, jakby nie wzajem dłużny nie był, a swój dług tak, jakby mu się nie należało. Wyrażając się językiem prawnym, kupcy odstąpili od zasady w prawie cywilnym przyjętej, że potrącenie dwóch wzajemnych pieniężnych należności następuje samém przez się prawem z chwilą ich wymagalności, a natomiast przyjęli za prawo, że potrącenie należności zapisanych w ich rachunku bieżącym, następuje z chwilą zamknięcia rachunku.

Ważne to odstępianie od zasad ogólnego prawa leży w istocie rachunku bieżącego. Wiemy, że nie można być dość ostróżnym w przyjmowaniu co do stosunków handlowych, wyjątków od wyrażonych przepisów prawa cywilnego. Wyjątki takie wprowadzając sprzeczność między cywilnym i handlowym prawem, psują harmonię całości prawodawstwa. Wszakże rachunek bieżący stanowi stosunek w handlowym świecie powszechny, przez wszystkie niemal prawodawstwa uznany, choć nieokreślony. Gdy zaś istota tego rachunku niesie z sobą wyjątek od przepisów cywilnego prawa, trudno jest dopuszczalności tego wyjątku nie uznać.

Nadmienić tu widzimy potrzebę, że jeżeli w zasadzie rachunku bieżącego uważamy odstępianie od zasad ogólnego prawa, to nie rozumiemy przeto, iżby praktyka kupiecka odstąpiła od zasad czystego rzymskiego prawa, ale tylko, że odstąpiła od zasad w mniemaniu dawniejszych prawników powszechnie za czysto rzymskie uchodzących, i w takim kształcie wcielonych do nowoczesnych prawodawstw, np. do kodexu cywilnego francuzkiego. Najbieglejsi przecież z dzisiejszych badaczy prawa rzymskiego tłumaczą przepisy tego prawa w sposób niesprzeciwiający się bynajmniej wskazanej tu zasadzie rachunku bieżącego. Nie mniemają oni, iżby według prawa rzymskiego potrącenie nawet bez wiedzy stron następowało, jak to zbyt dosadnie Kodex Cywilny francuzki w artykule 1290 wyraża, lecz za istotną rzymską zasadę podają, że potrącenie następuje wtedy, kiedy jest żądane, i że tylko skutek jego, jeżeli dopuszczono

ném zostanie, cofa się do chwili w której oba długi stały się wymagalne (1). Tak więc praktyka kupiecka mając jasne uznanie potrzeb handlu, lepiej trafiła w prawdziwe znaczenie prawa rzymskiego, niż cały świat prawny tworzeniu się jój współczesny, i najzawołanejsze nowoczesne kodeksa!

Widzieliśmy jakiej natury były stosunki, które doprowadziły do utworzenia rachunku bieżącego. Byłto rachunek gotowych wykładów, jakie dwaj kupcy czynili za siebie wzajemnie, i dlatego rachunek ten w najdawniejszych pomnikach zwyczaju handlowego, w których o nim jest mowa, zwany jest rachunkiem *de numerato* (na gotowiznę) (2). Wyrażenie to łacińskie, zdaje się być wzorem włoskiego *conto corrente*, którego znaczenie nam objaśnia. Nazwą włoską i utworzone w zastosowaniu się do niej nazwy rachunku bieżącego w innych językach europejskich, przypominają inną jeszcze jego własność. Wykłady na rachunek bieżący zapisane, czynione są bez zastrzeżenia terminu zwrotu; każdy z dwóch korespondentów ma prawo w każdej chwili żądać oddania sobie wzajem usługi, którą sam wyświadczył, przekazując do skutecznienia wypłaty i t. d., poczem znowu w granicach kredytu przez siebie otwartego zlecenia sobie dawane skutecznie jest obowiązany. Tę nieustanną zamianę wzajemnych usług dobrze oddaje nazwa rachunku bieżącego.

W odróżnieniu od niego, wszystkie długi terminowe objęte były rachunkiem terminowym, zwanym w dawnych pomnikach zwyczaju handlowego, *ad tempus, compte du temps* (3). Długi te nie przynosiły procentu z mocy samego prawa, i ten zwykle już w nich bywał objęty ze względu na odległość terminu.

(1) Vangerow: Leitfaden für Pandekten Vorlesungen, wydanie z roku 1849. T. III, str. 347 — 353. Mylnego rozumienia zasad rzymskich, stały się powodem pojedynczo brane miejsca (jak np. w kodexie Justyniana l. 21, T. 4: „Posteaquam placuit inter omnes id quod invicem debebatur ipso jure compensari”), w których nietrudno dojrzeć źródła prawa naszego. Z temi miejscami porównać przecież trzeba inne, np l. 1. § 4 D. de contrar. tut. act. (sic erit arbitrii ejus utrum compensare an petere velit sumtus) ażeby zrozumieć istotne znaczenie wyrażenia „ipso jure” użytego w miejscu na początku przywiedzioném i temu podobnych. Pierwotném źródłem przepisu prawa francuzkiego, że potrącenie następuje bez wiedzy stron, zdają się być l. 10, § 1 D. (5, 3) i l. 30 D. (12, 6) de cond. indeb.

(2) Rota geneueńska *decis.* 191, nr. 7, *decis.* 173, nr. 2, przywiedzione u Fremerego str. 383.

(3) Cleirac: Commerce des lettres de change, ch. 13, nr. 8.

Przeciwnie, od wszystkich wykładów zapisanych na rachunek bieżący, liczone sobie procent od dnia następnego po ich poniesieniu, co wyraża pełna nazwa tego rachunku w francuzkim języku: *Compte courant et d'interêts*.

Te rozmaite nazwy rachunku, podają nam inne jego oprócz wskazanej poprzednio zasady. Jestto rachunek procentowy (*d'interêts*), czyli zasadą jego prawną jest, iż każda pozycja w nim zamieszczona przynosi procent. Dlatego gdy zwyczaj handlowy rozszerzając zastosowanie rachunku bieżącego, dozwolił w nim zamieszczać należności z innych, niż poczynione wykłady, źródeł pochodzące, zezwolenie na zapisanie jakiego długu w rachunku bieżącym zaczęło być i jest dotąd uważanem za przyjęcie obowiązku płacenia od tego długu procentu.

Zasada, że wykłady przez korrespondentów czynione na rachunek bieżący, nie mają określonego terminu zwrotu, znaną jest w handlowym świecie pod wyrażeniem, że bilans rachunku bieżącego jest w każdej chwili wymagalny.

Zasady tu podane, wskazują zakres stosunków do których rachunek bieżący użyty być może. Pojedyncza pozycja odmiennej natury, może przez to samo, że ją z obustronnem zezwoleniem zamieszczono na rachunku bieżącym, nabyć znamion rachunkowi temu służących; lecz jeżeli stosunki między stronami były przeważająco innego rodzaju, obliczenie ich w sposobie rachunku bieżącego byłoby niedopuszczalne (1).

Rachunek bieżący jest rachunkiem należności wzajemnych procent przynoszących; jest w nim dwóch dłużników i są dwaj wierzyciele. Jeżeli jedna tylko strona jest wierzycielką, a druga na swój dług czyni tylko upłaty, rachunek bieżący nie jest między nimi właściwy. Wzajemna należność, chociaż mniejsza od należności głównej, może przynosić procent dopóki potrącenie jej nie nastąpi, a jak widzieliśmy, potrącenie odkłada się w rachunku bieżącym do chwili jego zamknięcia; lecz upłata czyniona na dług mniejsza jego wysokość, ale do liczenia sobie od niej procentu, żadnego nie może dawać tytułu.

(1) Fremery str. 378, 391 słusznie uważa, że Sąd Apellacyjny w Bordeaux zadaleko się posnął twierdząc (wyrok z d. 3 grudnia 1827 r.), że wszelka operacya między handlującymi ulega obliczeniu w sposobie rachunku bieżącego.

Częściowa zatem spłata udzielonej pożyczki, nie może być obliczana w sposobie rachunku bieżącego. Zasadę tę przyjął Sąd Apellacyjny paryzki w wyroku z d. 18 maja 1825 r. (1).

Wskazawszy właściwy zakres i główne zasady rachunku bieżącego, zastanowimy się pokrótce nad różnymi sposobami jego prowadzenia, i nad skutkami jego zamknięcia: w części, aby na przykładzie okazać odmiennosć jego wypadków od wypadków rachunku zwyczajnego; w części, ażeby objaśnić niektóre kwestye rozmaicie a czasem niewłaściwie rozstrzygane.

Mówiąc o różnych sposobach prowadzenia rachunku bieżącego, spuścimy z uwagi to, co pod względem buchhalterycznym ciekawego przedstawiają, zastanawiając się nad niemi o tyle tylko, o ile wywołują spostrzeżenia prawne.

Pierwotnym i najprostszym, chociaż nienajdogodniejszym sposobem prowadzenia rachunku bieżącego, jest tak zwana metoda bezpośrednia (*methode directe*). Według téj metody urządzony rachunek przedstawia się jak następuje:

Na osobnej stronnicy oblicza się stan bierny (*debit*), a na osobnej stan czynny każdego korrespondenta. Główna kolumna na każdej z tych stronnic, przeznaczona jest na zapisywanie należności w kapitale, porządkiem czasu. Od każdej pojedynczej należności, liczy się sposobem rachunkowości kupieckiej właściwym procent za czas od nazajutrz po dacie jój przypadnięcia, po dzień zamknięcia rachunku; przyczem każdy miesiąc uważa się za przeciąg dni trzydziestu. Procent zapisuje się w kolumnie oddzielnej, lecz na téj samej linii co kapitał należności. Przy zamknięciu czyli zbilansowaniu rachunku, kolumny kapitałów i procentów, summują się tak w stanie biernym, jak w stanie czynnym; cyfry mniejsze odejmują się od cyfr większych, a różnice czyli tak zwane salda, dodają się do siebie lub odejmują według okoliczności przypadku. Dodają się różnice jeżeli dłużnik w kapitale jest zarazem i dłużnikiem w procencie; odejmują się różnice, jeżeli w kapitale i procentach nie wypadły na korzyść jednej strony.

Ostateczny wypadek téj operacji daje saldo ogólne, czyli wyraża należność, jaką jeden korrespondent ma u drugiego. Należność ta, przechodzi na nową epokę rachunku, który prowadzi się dalej tym samym sposobem.

(1) Dalloz: Dictionnaire etc. sub voce: Compte courant § 1, nr. 8.

Bilans rachunku, strona stronie przesyła. Korrespondent bilans przyznaje lub zarzuty przeciw niemu czyni. Skutki przyznania bilansu (*arreté de compte*) poniżej ocenimy.

Rachunek bieżący składa się często, jak to z natury stosunku wynika, z wielu pozycji; epoka na wzajemne obliczenie się umówiona, nie dochodzi zwykle roku.

Dla nieutrudzenia przecież uwagi czytelników, i gdy nam idzie nie o danie buchhalterycznego wzoru rachunku bieżącego, lecz o prawną analizę jego wypadku i wykazanie zachodzącej między nim a wypadkiem rachunku zwyczajnego różnicy: wypadek rachunku bieżącego okażemy na tych samych cyfrach, których poprzednio już użyliśmy do zastosowania rachunku zwyczajnego.

Przypominamy, że należność jednej strony wynosiła rs. 15,000 w d. 1 stycznia 1850 r.; należność zaś drugiej strony w d. 1 lipca t. r., czyniła rs. 7,500.

Stopa procentu była umówioną na 6^o/_o.

Bilans w księgach korrespondenta, który zaliczył rs. 15,000, będzie się tak przedstawiał:

	Winien rs. 15,000		procentu 900 (od 1 stycznia).
	Ma — 7,500		— 225 (od 1 lipca).
	(Saldo kapitałowe) — 7,500		saldo proc. 675
	— 675		
	Saldo ogólne — 8,175		

W przykładzie tym, saldo procentowe dodane zostało do salda kapitałowego, bo oba na korzyść jednej strony wypadły; gdyby przecież summa rs. 15,000 zaliczoną była nie 1 stycznia jakśmy przyjęli, ale dopiero 1 grudnia 1850 r., przewyżka w procencie byłaby na stronie summy mniejszej (rs. 7,500), lecz dłużej, bo przez sześć miesięcy procentującej, a wtedy saldo procentowe należałoby odjąć od salda kapitałowego.

Zastanówmy się nad ostatecznym wypadkiem rachunku wykazującym saldo rs. 8,175. Cyfra ta jest summą dwóch saldów, w kapitale rs. 7,500 i w procencie rs. 675. Zdawałoby się zatem, że w dniu 1 stycznia 1851 r., jeden korrespondent winien jest drugiemu rs. 7,500 w kapitale, i rs. 675 w procencie.

W istocie przecież rzecz ma się inaczej; w danym przykładzie, saldo rs. 8,175 w oczach prawa nie jest summą długu w kapitale i długu w procencie, lecz stanowi jedną czystą kapitałową należność.

Jakież było położenie stron obu w chwili ułożenia bilansu?

Jednej stronie należało się w kapitale rs. 15,000 i w procencie rs. 900, razem rs. 15,900.

Druga, miała do potrącenia wzajemną należność w kapitale rs. 7,500 i w procencie rs. 225, czyli razem rs. 7,725.

Potrącenie dwóch wzajemnych należności, następuje, jak to już powiedzieliśmy, w ten sam sposób, co i zarachowanie upłat; należność wzajemną strąca się naprzód z procentu, potem dopiero z kapitału.

Według téj zasady, należność rs. 7,725 potrąconą być winna naprzód z procentem od summy większej rs. 900 wynoszącym, a reszta dopiero zarachowana na kapitał, zmniejszy go do cyfry jak wyżej rs. 8,175. Cyfra ta zatem nie składa się z kapitału i procentu, lecz powstała ze zmniejszenia się kapitału, po potrąceniu całkowitego zaległego procentu. Ponieważ zaś należności mieszczono na rachunku bieżącym, przynoszą procent z samego prawa, ponieważ należności te nie zmieniły swojej natury przez zmniejszenie skutkiem potrącenia: wynika ztąd, iż należy się procent od pozostałej ich reszty czyli salda.

Tak więc z rachunku zwyczajnego należność wynosiła w d. 1 stycznia 1851 r., rs. 8,188 k. 50, z czego rs. 7,950 składało kapitał, a rs. 238 k. 50 procent; w rachunku bieżącym do tego samego przypadku zastosowanym należność wyniosłaby tylko rs. 8,175, czyli o rs. 13 k. 50 mniej, lecz stanowiłaby czysty kapitał. Jest więc w rachunku bieżącym strata na procencie dla tego, kto ma większą kapitałową należność; strata tém większa, im dłuższą jest epoka na zbilansowanie rachunku umówiona.

Wskazaliśmy zasadę dla której, i w granicach zastosowania której saldo rachunku bieżącego procent z samego prawa przynosi. Nie zdawszy sobie sprawy z istotnego stanu stosunków między stronami po sporządzeniu bilansu zachodzącego, wielu kupców, a nawet wielu prawników zwiedzeni zewnętrzną formą bilansu, uważają saldo za składające się *zawsze* z kapitału i procentu, i siląc się napróżno o wynalezienie zasady, z mocy której część salda procent zaległy reprezentująca, miałaby nadal procent przynosić, zwłaszcza gdy takie kapitalizowanie procentu, przy względzie, że epoka bilansowania rachunku zwykle krótszą jest od roku, podchodzi pod wyraźny zakaz prawa (art. 1154 K. C); prawnicy ci przyjmują, że zwyczaj handlowy stanowiąc wyjątek od

przepisów prawa, dozwala procentu składanego w krótszych nawet niż roczny przeciągach, lub też twierdzenie, że saldo procentowe przynosi procent, opierają na zasadzie, iż w handlu jest przyjętym, że kapitały nie mogą próżnować.

Twierdzenia te są niepotrzebne; nie można się też zgodzić na samowolne stanowienie wyjątków od wyraźnych przepisów prawa cywilnego.

Różnica w teorii nie pociąga za sobą w danym przykładzie różnic w praktyce; bo i według nas całkowite saldo rs. 8,175 nadal procentuje jako stanowiące czystą kapitałową należność takiego rodzaju, iż z samego prawa procent od niej liczony być winien. Zdarzyć się jednak mogą, a nawet dość często zdarzają się przypadki, gdzie saldo nietylko z kapitału, lecz rzeczywiście i z procentu się składa. Taki przypadek zachodzi, gdy jeden z korespondentów nie z swjej strony nie wniósł przez cały ciąg jakiej epoki istnienia rachunku bieżącego, albo gdy wzajemna jego należność nie dorównywa nawet procentom od summ, które jest winien.

Często skutkiem nieporozumienia lub dla innych przyczyn, stosunki między korespondentami ustają, nawet bez wyraźnego ich wypowiedzenia z którejś strony. Saldo niezapłacone przez lat kilka, przenosi się z rachunku do rachunku, nim przyjdzie do kroków sądowych lub zgodnego załatwienia kwestyi. Można w takim razie prowadzić rachunek w ten sposób, aby w epokach na zbilansowanie umówionych, np. co trzy miesiące, procent od salda poprzedniego doliczać, na kapitał go obracać i w epoce następnej całą tę należność za procentującą uważać?

Jurysprudenca francuzka kwestyą tę w rozmaity sposób rozstrzyga. Sąd Apellacyjny w Orleanie (wyrok z dnia 27 sierpnia 1840 r.) (1) przyjął, że w tym razie należy się procent składany, opierając to zdanie na zwyczaju handlowym. Sąd Apellacyjny w Bruxelli uznał (wyrok z d. 13 stycznia 1813 r.) (2), że saldo jeżeli nie było umowy przeciwniej stron, wcale procentu nie przynosi. Sąd Apellacyjny paryzki (wyrok z d. 24 czerwca 1812 r.) (3) inaczej jeszcze rzecz oceniając, wyrzekł, że tylko rachunek przez drugą stronę przyjęty procent przynosi. Sąd Apellacyjny w Li-

(1) Dalloz: Supplement, sub voce: Compte courant nr. 21—33.

(2) Dalloz: Dictionnaire, sub voce: Compte courant § 1 nr. 21.

(3) Dalloz ibid. Nr. 22.

moges (wyrok z d. 20 listopada 1818 r.) (1) wychodząc z téj saméj co sąd paryzki zasady, uznał, iż w przeciwnym razie, t. j. jeżeli przyjęcie nie zaszło, rachunek winien być zrobiony jednym ciągiem i z jednym tylko bilansem (d'un seul jét et avec une seule balance). Wyrzeczenie to oparte zostało również na zwyczaju handlowym, a sąd kassacyjny rozpoznając wyrok sądu w Limoges, uznał, iż rozporządzenie jego nie jest z żadną ustawą w sprzeczności.

Przepisy prawodawstw innych krajów zdają się najwięcej zbliżać do systematu przyjętego przez sąd paryzki, t. j. procentowanie salda czynić zależném od przyjęcia rachunku przez korespondenta (2).

Zasada ta przecież nie wynika z natury stosunku. Korespondent który rachunku nie przyjął, może czynić zarzuty przeciw pojedynczym tego rachunku pozycjom, lecz odmówienie przyjęcia rachunku nie wywiera żadnego wpływu na istniejącą między stronami umowę. Według téj umowy, według saméj nawet istoty rachunku bieżącego, potrącenie wzajemnych należności w zwyczajnych stosunkach z chwilą ich wymagalności następujące, w tym rachunku odkłada się do epoki na sporządzenie bilansu przeznaczonéj. Do téj zatem tylko chwili można liczyć procent od należności mniejszój. Wszakże już z téj możności liczenia procentu od należności mniejszój wynika, jak widzieliśmy, niekorzyść w rachunku bieżącym dla tego, kto ma należność większą; niekorzyść tém znaczniejsza, im odleglejszą jest epoka zbilansowania. Gdybyśmy z powodu nieprzyjęcia rachunku przez jedną ze stron odłożyli potrącenie wzajemnych należności aż do epoki wytoczenia kroków sądowych, jak chce sąd w Limoges, zwłoka ta uciążyłaby wbrew wyraźnéj osnowie umowy stronę mającą należność większą;

(1) Dalloz ibid. Nr. 24.

(2) Landrecht pruski, część II, tyt. 8, § 697: „Wenn Kaufleute sich untereinander wegen wechselseitiger Forderungen an Capital und Zinsen berechnen, so ist der welchem ein Ueberschuss gebührt von dem ganzen Betrage desselben wenn gleich darunter Interessen mitbegriffen sind Zinsen seit dem Tage des Abschlusses anzusetzen berechtigt.” Kodex portugalski art. 288 w tłumaczeniu p. St. Joseph: Il y a lieu à compte et paiement d'intérêt pour chaque retard dans le remboursement d'une dette commerciale liquidée, ainsi que dans le cas d'arreté de Compte courant entre deux maisons de Commerce, lorsque la dette n'a pas été acquittée par la maison débitrice. Porów. § 148 Instrukcyi szczegółowéj dla Banku Polskiego z d. 21 lipca 1841 r.

a skutkiem uczynienia bezzasadnych nieraz przeciw rachunkowi zarzutów, lub tylko odmówienia ich przyjęcia, byłaby korzyść w sprzeczności z zasadami umowy osiągnięta. Podobna korzyść nigdy przecież wpływem jednostronnego czynu być nie powinna.

Saldo zatem musi być odniesione do epoki na zbilansowanie rachunku przeznaczonéj. Procentowanie salda nie jest skutkiem jego przyznania przez drugą stronę, lecz o ile saldo reprezentuje kapitał, procent od niego płynie samém przez się prawem.

Właściwe zasady zdają się nam w téj mierze następujące:

Rachunek bieżący istnieje między stronami dopóty, dopóki zachodzą między nimi stosunki, które w taki sposób obliczać jest właściwém, t. j. dopóki obie strony są wzajemnie wierzycielami i wzajemnie sobie dłużnemi. Jeżeli jedna tylko ze stron jest wierzycielką, nie ma rachunku bieżącego. Chociażby zatem umowa otwarcie rachunku bieżącego poprzedzająca, przez żadną stronę wypowiedzianą nie została, przecież zmiana w rzeczywistych między stronami stosunkach, wypowiedzenie umowy zastępuje. Jeżeli w terminie na zbilansowanie rachunku umówionym, np. po miesiącach sześciu, zrobiono bilans, i odtąd stosunki dające powód do rachunku bieżącego ustały; jeżeli np. od téj chwili strona będąca dłużną nic nie wniosła: nie można po upływie drugich sześciu miesięcy do poprzedniego salda dodawać procent, sporządzać nowy bilans, chociaż nie ma do niego elementów i od salda tego bilansu procent liczyć. Zasadę tę zastosowalibyśmy nawet wówczas, gdyby na rachunek pierwszego salda w epoce następnéj coś wpłynęło, jeżeli tylko z natury stosunków między stronami zachodzących wynika, że wpływy nie stanowią żadnej wzajemnéj należności, ale prostą były upłatą.

Od salda bilansu, z którego sporządzeniem stosunki między stronami sposobem rachunku bieżącego obliczane istnieć przestały, procent płynie z samego prawa, o tyle tylko przecież, o ile saldo to według wskazanych powyżéj zasad składa się z saméj kapitalnéj należności. Jeżeli saldo składa się i z procentu, nie ma zasady dla którójby, przy ustaniu rachunku bieżącego, część to salda nadal procent przynosiła. W razie dalszego trwania rachunku bieżącego, uważalibyśmy w przeniesieniu salda, chociaż złożonego w części z zaległego procentu, na kolumnę należności kapitałowych, dostateczny tytuł do liczenia od całego salda procentu. Jak tylko przecież rachunek bieżący ustał, o doliczaniu procentu do kapitału mowy być nie może.

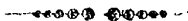
Zasady tu podane wystarczą do rozstrzygnięcia ważniejszych sporów, jakich rachunek bieżący może stać się powodem.

Pozostaje nam jeszcze pomówić o innych, od już wspomnianej, metodach utrzymywania rachunku bieżącego.

Według metody drugiej, tak zwanój pośredniej (*methode indirecte*), wszystkie pozycje rachunku sprowadzone zostają do jednoścł czasu, przez odniesienie ich nie tak jak w metodzie pierwszej do dnia zamknięcia rachunku, lecz do dnia pod którym najwcześniejsza pozycja zapisana została. Od należności po tym dniu do rachunku wciągniętych, strąca się procent za cały czas pośredni. Bilansuje się jak poprzednio. Metoda ta w użyciu dogodniejsza od pierwszej i więcej od niej używana, daje te same co tamta wypadki rachunkowe, a przez to samo pod względem prawnym nie przedstawia nic do nadmienienia.

Istotną odmianę rachunku bieżącego stanowi trzecia metoda, tak zwana hamburska. Spostrzegać się w niej daje niejakię zbliżenie do zasad rachunku zwyczajnego. Według tój metody potrącenie wzajemnych należności uskutecznia się, ale tylko w kolumnie kapitałów, z chwilą ich wymagalności. Wypadki rachunku w ten sposób urządzonego nie różnią się w niczem od wypadków otrzymanych według dwóch pierwszych metod, jeżeli wszystkie pozycje rachunku jednój stopy procent przynoszą. Jeżeli wysokość stopy nie jest jednakowa, w wypadku okaże się różnica na korzyść tego, który do niższej stopy procentu od swojój należności miał prawo.

Metoda hamburska jest odstąpieniem od ścisłości zasad rachunku bieżącego, odstąpieniem bez wątpienia dopuszczalném, lecz względem którego zajść musi między stronami umowa, ażeby zastosowaném być mogło. Umowę stron może pod tym względem zastąpić tylko panujący niespornie w jakim miejscu zwyczaj handlowy.



KONGRES W NIEMIROWIE 1737 r.

Cóż po tém wiedzieć, co się w Rzymie działo,
a nie wiedzieć: co się dzieje doma?

A. M. Fredro.

Na rozległych równinach żyznej Ukrainy, w odległości mili od krętém korytem toczącej swe nurty rzeki Bohu, leży Niemirow. Miasto niegdyś ludne, handlem i zamożnym stanem mieszkańców słynęło, ale po zadanych mu klęskach przez Bogdana Chmielnickiego, następnie przez Turków, a nakoniec 1702 r. od czerni ukraińskiej wiele ucierpiawszy, przyszło do zupełnego upadku. Niemirow z okolicznemi włościami, rozproszonemi na kilkomilowej przestrzeni, własnością był 1737 r. dzielnego w boju męża Józefa Potockiego wojewody kijowskiego, hetmana wielkiego koronnego, kiedy osobliwszém losu zdarzeniem, obranym został na miejsce obrad i układów o pokój, w czasie toczącej się wojny między trzema potężnemi mocarstwami. Wtedyto mała, nikczemna ta miejscina stała się głośną i nabrała znaczenia w świecie politycznym; cała Europa miała na nią zwróconą uwagę i pilnym śledziła wzrokiem odbywające się tamże narady, mające położyć koniec trwającemu krwi rozlewowi (1). Fakt ten, tyle ważny w dziejach, a zaszczyt wielki Niemirowi przynoszący, zabłysł jak świetny meteor, zgasł i równie prędko zatarł się w pamięci ludzkiej. Lubo epoka ta rozgłosu Niemirowa nie jest zbyt odległa, dziś wszakże mało już kto wie o tym zjeździe; odświeżyć go przeto i ponowić zamierzyłem, zwłaszcza iż dostał mi się w ręce nader

(1) Niemirow własnością jest teraz Bolesława hr. Potockiego, ma gimnazjum, i należy do porządniejszych i znaczniejszych miast gubernii podolskiej.

ważny i rzadki współczesny drukowany zabytek, a tym jest *Kuryer Polski* z roku 1737, który sposobem dyaryuszu ciekawe podaje szczegóły.

Nieobrobione dotąd panowanie Augusta III, wiele ważnych w tajemniczości, i że tak rzekę, w całkowitem nawet ukryciu pozostawia wypadków, w których liczbie mieści się i ów zjazd czyli kongres. Najpiérwsza o nim, ile mi wiadomo, zachodzi wzmianka w kilku tylko wyrazach zawarta w dziełku: „Dzieje królestwa Polskiego lat porządkiem opisane, z francuzkiego języka na polski przełożone, poprawione, i przydatkiem życia Augusta III pomnożone, 1766 r.” przez księdza Jana Albertrandego S. J., lubo nazwisko jego nie jest wymienione. Więcej i dokładniej wyrzekł o tym zjeździe J. L., przerobiwszy historją Teodora Wagi 1824 r., co też przytoczyłem w II tomie *Starożytnój Polski*. Wskrzesić zatém europejski ten, a bliżej nas obchodzący wypadek, i na większy nieco rozmiar skreślić o nim wiadomość, nie będzie od rzeczy.

Już rok upływał, jak cesarzowa rossyjska Anna i Karol VI cesarz niemiecki prowadzili wojnę przeciw Porcie otomańskiej; nakoniec porozumiawszy się z panującym w Polsce Augustem III, zgodziły się trzy wojujące strony na wyprawienie swoich pełnomocników do kraju neutralnego, celem zawarcia pokoju. Naznaczony na miejsce zjazdu Niemirów w województwie braclawskim, powiecie winnickim, miał tak zwany zamek, który na wzór przygrodków ukraińnych, zbudowany był w znaczniejszej części z drzewa, otoczony przekopem, ostrokołem i wałami. Nie mógł on żadną miarą przyzwoicie i wygodnie pomieścić w sobie spodziewanych gości z licznym ich orszakiem; zaradzając przeto téj niedogodności, zjechał tu dziedzic Józef Potocki, obrał stosowne miejsce za miastem, wytknął plac na wystawienie drewnianego budynku dla odbywania konferencyj, tuż obok polecił wznieść szałasy i namioty, a jako hetman W. K. przeznaczył część wojska pod rozkazami generała-majora Wilhelma Miera dla czuwania nad bezpieczeństwem w czasie nastąpić mającego zjazdu; upoważnił go nadto do prowadzenia robót około obozowiska dyplomatycznego i przyjmowania dostojnych posłanników: słowem uczyniwszy Miera *alter ego*, i wydawszy różne rozporządzenia, odjechał do zwykłej swojej rezydencyi Załoziec niedaleko Brodów.

Doniesienie z Niemirowa w zmiankowanym *Kuryerze Polskim*, brzmi w tych słowach: „Z dyspozycyi generała Miera wystawiona za miastem w polu, przy niedalekich każdą stroną wodach i lasach

dosyć wspaniała *et intus* adornowana, 60 wzdłuż, 10 wszérz sążni mająca w sobie szopa, na przysły *mediorum pacis inter belligerentes partes* kongres, przy której dwa namioty wspaniałe i kosztowne stykające się z bokami szopy, *a latere* dwadzieścia celt żołnierskich i namiot oficerski. *Ad famam* zbliżania się ku miastu barona *Thalman* (1) posła cesarza Jmć chrześcijańskiego 28 *junii*, wyjechał z zamku niemirowskiego generał Mier *in numerosa assistentia* oficerów cudzoziemskiego *authoramentu ad numerum* sto osób na dobrych koniach, i tak zjechawszy się o staj troje od szopy z Jmć P. posłem, prowadził go do niej przy odgłosie armat i ręcznej broni. Jmć Pan poseł siedział na gniadym tureckim bogato przybranym, przed którym szła dragonia, za nią jechał koniuszy Jmć P. posła i prowadzono 40 rumaków pięknie przybranych, a za Jmć P. posłem dwa szwadrony pancerne. Mułów 50 różne na sobie *necessaria portabant*, wielbłądów 80 z namiotami Jmć P. posła, jego sekretarza, dwóch kapelanów Reformatów i innej *assistenti*cy; maź 20 po 4 woły (2), w których wina i inne *ad victum necessaria* były. Godzinę dobrą zabawiwszy się u szopy, zaproszony został Jmć Pan poseł na traktament do zamku, i *humanissime* był częstowany przy dawaniu z armat ognia. Poczém odjechał Jmć Pan poseł w pole do namiotów swoich, których było niedaleko szopy trzydzieści rozbitych”.

Nadciągnęli téż z licznymi swemi taborami i posłowie tureccy, przebywszy Dniestr pod Soroką; ale dowiedziawszy się, że nie masz jeszcze pełnomocników rossyjskich, zatrzymali się opodal od Niemirowa, mając w tém, jak to niżej zobaczymy, dumą podniecone widoki na względzie. Przez całe trzy tygodnie oczekiwano na przybycie z Kijowa posłów rossyjskich, którzy może i dlatego zwlekali swój przyjazd, że budynek na obrady nie był jeszcze należycie wykończony, mimo wszelkich usiłowań i starań podejmowanych przez generała Miera. Brak materyałów i zdolnych rzemieślników, wśród téj stepowej krainy, wielce utrudniało dokonanie dzieła; czas upływał, a w tém nadeszła wiadomość, że wojska rossyjskie pod wodzą feldmarszałka *Münnicha* zdobyły szturmem mocną twierdzę Oczaków. Jednocześnie prawie zjechał był August III z dziedzicznych swoich krajów do Wschowy na

(1) Korrespondent niemirowski przeistoczył go na *Dalman*, w późniejszym zaś doniesieniu zamiast hr. D'Ostein, pisze *Ostein*.

(2) Maża, także mazia, jest nazwa wozu łubem wyłożonego na Rusi.

zwykle *senatus consilium*, gdzie dnia 11 lipca dawał publiczne posłuchanie posłowi od wysokiej Porty. Na téjże radzie senatu była mowa o wyprawieniu ze strony rzeczypospolitej posłannika do Niemirowa; lecz nie nastąpiła zgoda, a wniosek ten spełził na niczém.

Dnia 21 lipca przybywszy *incognito* poseł dworu wiedeńskiego hrabia *D'Ostein*, stanął w namiotach swoich, których było 32 niedaleko szopy. Na jego spotkanie wyjeżdżał baron *Thalmann*, a generał Mier nie mógł się powściągnąć, ażeby przynajmniej choć gestem z dział zamkowych wystrzałami nie powitał pierwszego pełnomocnika. Trzecią osobą do zawierania układów miał być hrabia *de Veldseg*, o którym wszakże korespondent Kuryera Polskiego nic nie wzmiankuje.

Dnia następnego t. j. 22 lipca, zjechali podobnie bez wszelkiej okazałości umocowani ministrowie dworu petersburskiego: baron *Szafrow*, książę *Wołyński* (1) i graf *Neplujew*. Orszak ich składał się z ośmiu karet i 25 rumaków pod siodłami, sto zaś obładowanych wozów wiozło poselskie rzeczy, sprzęty i różne zapasy żywności.

W parę dni potem odbyli posłannicy tureccy wjazd z azyatycką wystawnością. Wyjechał na ich spotkanie generał Mier i Nikodem Woronicz starosta ostrzki. „Gdy się zbliżali ku miastu, postępowała dragonia, za nią pierwszy tłumacz *Gikka*, brat hospodara wołoskiego, przed którym pięć koni powodnych prowadzono; przy nich szło dwunastu pajuków w bieli ustrojonych. O kilkadziesiąt kroków jechał poseł *Mustafa Effendi*, mając 24 pajuków z janczarkami, a przed nim szło dziesięć koni powodnych; koło posła dziesięciu Turków na koniach wybornych rządno asystowało. Potem drugi poseł *Metypaj* (raczej *Mitypej*) z takową apparencją; dalej *Reis Effendi* najpierwszy minister (wielki kanclerz) *in commitatu* 40 konnych i 24 pieszych pajuków z janczarkami, oprócz młodzi tureckiej *ad latus* jego będącej, do tego 30 koni powodnych w bogate dywdyki i rzędy przyozdobionych prowadzono. Innęj assistencyi na 400 osób przy tychże posłach znajdowało się, którzy wjeżdżając, huczném biciem z armat przywitani byli. Po skończonych ceremoniach, Jmć P. Mier z paradą odprowadzał posłów do namiotów *in numero* 170 przeciw szopy

(1) Mylnie go zowie Kuryer Polski książę *Wołyński*, a jeszcze błędnej wydawca pomienionej historii T. Wagi, gdyż mówi *Walński*.

rozbitych. Ekwipaż tychże posłów: wielbłądów 152, mułów 100, osłów 30, bawołów 200, wozów *cum necessariis* dwieście.”

Następne doniesienie z Niemirowa pod dniem 11 sierpnia opiewa: „Panowie posłowie dotąd na ceremoniach bawiąc się, zgodzili się na to: iż ponieważ tureccy posłowie naostatku przyjechali, zaczęm należy im piérwój wizytę odebrać od drugich posłów. Dlaczego Ichmość PP. cesarsey, ze wszelką assystencyą dworów swoich, oddali posłom tureckim wizytę, a nazajutrz rossyjscy u nich byli z wizytą. Poczém *viceversa*, posłowie tureccy także z wszelką apparencyą u cesarskich, a dnia następnego u rossyjskich posłów byli. Po tych wizytach oznaczono dzień do zasiadania na sessyi, ale wątpią, gdyż jest jeszcze wiele do robienia w szopie.” Tu następuje szczegółowy opis urządzenia téjże szopy, miejsc dla posłów i ich sekretarzy, oraz podana jest wiadomość, jak i którędy mają wchodzić na obrady, ażeby w niczem jedni drugim nie uchybili.

W połowie sierpnia przybyło sto koni powodnych pełnomocników rossyjskich, przyprowadzono także różne psy myśliwskie, orły i sokoły do Niemirowa „gdzie na długą zdaje się zabierać rezydencyą, zwłaszcza że książę Wołyński na siedmiu placach zakupionych, rezydencyą sobie buduje.” Dalsze doniesienie zawiadamia: że pełnomocnicy rossyjscy stawiają w mieście budynki, stajnie, szopy, a nawet zamierzają cerkiew zbudować. Nie przemilczany jest i ten szczegół: że 18 września przybył do Niemirowa generał-major wojsk litewskich hr. *Flemming* (Jerzy Dettlof), który jako ochotnik znajdując się przy wojsku rossyjskiem, był świadkiem zdobycia Oczakowa, z kąd przywiózł z sobą trzy tureczynki i tureczynka.

Mimo wszelkie środki ostrożności przedsiębrane przez generała Miera dla bezpieczeństwa obradujących, chciwi łupu hajdamacy wypadając z swój *Siczy*, plondrowali włości i miasteczka okoliczne. Trudno się było im opędzić, gdyż ci mołojcy podzieleni na drobne hufce z kilkunastu głów złożone, mając na czele swych *watazków*, jak błyskawica ukazywali się i znikali. Razu jednego podstąpić się ośmielili pod sam obóz, przez co wielki sprawili popłoch; szczególniej Turcy takiego nabawili się strachu, iż odtąd dzień i noc ludziom swoim stać kazali pod bronią i mieć się na bacznej czujności.

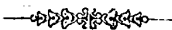
Odbywające się konferencye doznawały różnych trudności, każde bowiem z wojujących mocarstw uporzeczywie obstawało przy

swojém: Roszsa żądała mieć wolną na morzu Czarném żeglugę i zatrzymanie w posiadaniu zdobytego Azowu; Niemcy zaś domagali się również odzienia niektórych miejsc warownych zadunajskich; a gdy posłowie tureccy nie chcieli żadną miarą na to zezwolić, zawieszono przeto układy do powrotu gońca tureckiego, wyprawionego do Stambułu po nowe instrukcye. Zjazd ten jeszcze więcej się zachwiał, kiedy jeden z pełnomocników zawezwany będąc przez wielkiego wezyra, ażeby się natychmiast stawił do jego obozu, spiesznie opuścił Niemirow. Zbliżająca się chłodniejsza pora roku, nakazywała mieć staranie o zmianę dotychczasowego letniego mieszkania; jakoż polecił Mier, ażeby w mieście i na przedmieściu wynieśli się właściciele z swych domów, które wyporządzać poczęto na gospody dla przenieść się mających z obozu. Przy końcu września przesiedlili się pełnomocnicy rossyjscy i niemieccy do miasta, tureccy zaś niewiadomo dla jakich powodów pozostali pod namiotami. Upływał tydzień po tygodniu, a nie nadchodziła ani nowa instrukcya z Carogrodu, ani też wracał pełnomocnik, który był przez wielkiego wezyra powołany, lecz natomiast nadeszła wiadomość, że został w ścisłym więzieniu osadzony. Domysły, że kongres nie dokona rozpoczętego dzieła sprawdziły się; pełnomocnicy tureccy otrzymali rozkaz wracania do kraju, i dnia 21 października opuścili Niemirow. Odprowadzał ich za miasto generał Mier, przy nieustanném dawaniu ognia z armat. Na dniu 30 t. m. nastąpił wyjazd posłów niemieckich, z wyświadczeniem podobnychże honorów. W skutek otrzymanego polecenia od dworu swego, hr. *D'Ostein* udał się na Warszawę do Petersburga. W parę dni potém wyjechali i pełnomocnicy rossyjscy do Kijowa, wyprawiwszy poprzednio oficera z kilku łowczymi, którzy zawieźli cztery wyuczone sokoly w darze Józefowi Potockiemu het. W. K. do Załoziec.

Tak więc ów słynny zjazd, mający południowej Europie pożądaną *mir* przywrócić, rozszedł się bezowocnie w Niemirowie, i jakoby na utwierdzenie w całym znaczeniu źródłosłowu nazwy miasta, *nie mir* tamże stanął, ale przeciwnie się stało, gdyż dla niedoszłych narad wojna jadowiciej się zajęła, którą dopiero ukończył pokój 1739 roku w Belgradzie zawarty.

Pisałem 2 marca, 1852 r.

Tymoteusz Lipiński.



KRONIKA LITERACKA.

*Starożytnicze wiadomości o Krakowie. Zbiór pism i pamiątek ty-
czących się opisowej i dziejowej przeszłości, oraz zwyczajów tej da-
wnej stolicy kraju; z dodatkiem różnych szczegółów Polaków zajęć mo-
gących. Z dawnych rękopiśmiennych źródeł zebrał Ambroży Grabow-
ski. Kraków. Nakładem i drukiem Józefa Czecha, 1852 r. 8ka wiel.
Str. XV i 304.*

Kronikarz starożytnego Krakowa, skrzętny zbieracz wszelkiego rodzaju wiadomości, które się do tego historycznego grodu odnosiły, od lat trzydziestu pracownik na polu literatury ojczystej, poważny starzec, Ambroży Grabowski żegna wreszcie nas wszystkich *ostatniem* już dziełem swoim. Wzrósł w Krakowie, wychował się w Krakowie, i całe swoje życie przepędził u stóp tego Wawelu i katedry, które natchnęły go, i w całej piękności błysnęły przed nim poezją murów miasta i okolic. Grabowski opisywał naprzód te okolice, ten Łobzów pamiętny wspomnieniami króla chłopków, te Bielany na których niegdyś marszałek W. K. budował klasztor skromnym pustelnikom, i tę Mogiłę, w której panowali dumni opaci. A potem już o samym Krakowie rozповідаł nam ciągle: to o kościołach, to o Wawelu i zamku, o Sukiennicach, pałacu Spizskim i Krzysztoforach, o bramach, mieszczanach krakowskich i t. d. Raz tylko i to na bardzo krótko zrobił wycieczkę nasz autor poza ulice Krakowa, i wydał trzy oddzielne pisma, jako zbiór materiałów nieoszacowanych, pierwszego znaczenia dla dziejów Rplitej. Ale zaraz wrócił znowu do murów Krakowa. Ukazały się tedy naprzód jego *Dawne sabytki*, a teraz jako ich dopełnienie, jako wieniec całego zawodu, *Starożytnicze wiadomości o mieście Krakowie* mamy pod ręką.

Żadne miasto polskie nie ma tak dobrze pod każdym względem obejrzanych i opisanych pamiątek, jak stary Kraków. Zajmowało się tym przedmiotem wielu; opiewała go nawet w dźwięcznych alexandrynach muza Wężyka, że innych autorów pominiemy. Gmachy Krakowa znamy już z tyłu rycin, wspomnienia z tyłu uczuciowych, dziejowych, i archeologicznych opisów. Doprawdy, że sporym poczetem swoich kronikarzy i historyków mógłby się pochwalić Kraków, a i to nie od dnia

dzisiejszego: w dawniejszych chwilach miał on także swoich literackich przyjaciół. Jednakże Ambr. Grabowski zajmuje najcenniejsze miejsce pomiędzy niemi, i on dopiero stworzy nam historią Krakowa, bo nikt tyle co autor Starożytnych Wiadomości nie naszperał się po aktach i nie nadrukował takiej liczby materyałów dla dziejów rodzinnego miasta. Jeszcze ksiądz podkanclerzy koronny Hugo Kottłataj, który rozumiał czego wymaga praca około historii, powiadał: „szukajmy materyałów, a znajdzie się dziejopis.” Ambr. Grabowski całe życie ich szukał. Dotąd ta dawna stolica królów nie miała jeszcze dokładnej swojej historii, zaklętej w powieść pełną zajęcia dla czytelnika, streszczonej w obrazy rzeczywiste wielkości i sławy. Talent jeszcze się nie zjawił, bo nie miał na czém budować; ale jeżeli się zjawi kiedy, Grabowski go pewno natchnie. Rozpowie wtenczas ten talent, jeżeli nie nam, to potomkom naszym szeroko i pięknie o losach Krakowa, o jego zwyczajach, zabobonach, zatrudnieniach, murach, pałacach, świątyniach; rozwinie przed nami całą panoramę przeszłości, ujętą w zakresie jednego sławnego grodu: bo od czasu jak się tam zjawiają akta miejskie, a Grab. z nich wypisuje, możebny jest już dziejopis Krakowa. Inne miasta nasze nie dojrzały jeszcze dla swojej historii, bo nie zebrały, nie opisały pamiątek swoich; jeden Kraków może pomyśleć o niej, ale winien to najwięcej pracy i zabiegom Grabowskiego. Tej zasługi zacnemu mężowi literatura nigdy nie zapomni.

Charakterystykę dzieł i dziełek, rozpraw i rozprawk Grabowskiego o Krakowie, skreślić bardzo łatwo. Sąto wypisy z akt miejskich, z książek starych, z przygodnych gdziekolwiek bądź napomknień o wszystkim, co tylko ma jakikolwiek bliższy albo dalszy związek z Krakowem, chociażby to były wypisy o cenie goździ przed stą laty, albo o kilku strzałach, danych komuś na wivat. Jestto cała encyklopedia miasta, encyklopedia najzupełniejsza, jaką kiedy wymyślono: bo obejmuje wszystko, i to nawet, o czém nikt nie pomyśli, że tam się może i powinno znaleźć. I wszystko to nieobrobiony materyał, nie w całości, ale w urywach, nie w rozwoju organicznym części, ale w wypisach. Dlatego też wszystkie te dziełka Grabowskiego o Krakowie jedną całość z sobą stanowią; sąto jakby pojedyncze tomy wielkiej księgi, poświęconej archeologicznym badaniom. Kto chce mieć jedno dzieło Grabowskiego, musi mieć wszystkie, bo w następnych częstokroć znajduje dopełnienie i rozwinięcie tego, co napomknięte było w poprzednich. Są przedmioty, o których potrosze wszędzie: i w *Grobach królów polskich*, i w *Zabytkach* i w *Starożytnych Wiadomościach*, i w samym historycznym opisie miasta. Z tych rozrzuconych kawałków szczególniej dla historii sztuki polskiej wiele wiadomości przybędzie, a zbieracze nasi jak Kraszewski i Rastawiecki niejednen fakt zapewne winni są krakowskiemu archeologowi. Autor tyle jest zamiłowany w swoim grodzie rodzinnym, że wszystko pomija (mówimy tu jedynie o dziełkach, które na celu mają Kraków) w ciekawych odkrywanych przez siebie materyałach, co tylko z tym grodem nie ma związku. Wpadnie czasami w ręce jego ważna, nieznaną zupełnie historyczna broszura, o jakimś zdarzeniu, które miało rozgłos w Rplitej, a nawet wywarło wpływ, należało do pierwszych zjawisk bytu krajo-

wego; Grabowski wypisze z niej wszystko, co tylko jest o Krakowie, a resztę na bok odrzuca: nie dlatego jednak, żeby tej reszty nie cenił, ale dlatego, że żałuje chwili straconej dla nie Krakowa. Niedaleko szukać przykładów: w Starożytniczych Wiadomościach czytamy np. wyjątki z niemieckiej gazety: *von der Wahl und Krönunge des Königs in Polen, Sigismund III Printzen aus Schweden* i t. d., która miała wyjść osobną broszurką w Magdeburgu w r. 1588. Ale autor dał nam z tej broszury tylko wyjątki o sławném oblężeniu Krakowa przez arcyksięcia Maksymiliana, a skoro pretendent oddalił się od murów stolicy, Grabowski nie był już ciekawy pogonić za nim dalej do Buczyny, bo: „reszta relacji więcej już do dziejów powszechnych Polski należała” (str. 76).

W Starożytniczych Wiadomościach jest kilka osobnych części: są *opisy*, osobno idzie *oddział dziejowy*, potem tytuł: *Zwyczaje i urzędownia w Krakowie, szczegóły dodatkowe; nareszcie i Słowniczek wiadomości do Krakowa się odnoszących i innych*. Zarzucaliśmy Grabowskiemu niesystematyczność jego publikacji, a że nią autor grzeszy, to każdy widzi: głównym charakterem tych wszystkich wypisów Grabowskiego ułożonych w książki jest niesystematyczność. Tak samo razi nas ten podział dowolny, przyjęty dla Starożytniczych Wiadomości. Co znaczy osobny oddział dziejowy, kiedy tutaj wszystko są same zabytki dziejowe, same starożytnicze podania i fakta? W części opisowej nie ma nic także o powierzchni murów, o piękności nagrobków, o utworach pędzla, ale także wypisy z akt, że ten a ten dom, był w tym a tym roku tego a tego, a potem innego właściciela; że te Sukiennice krakowskie, których wybudowanie Kazimierzowi W. przypisują, istniały jeszcze za Bolesława Wstydlwego i t. d. Listy wielkorządców zamku krakowskiego, pod żadnym pozorem załączyć nie można do opisów, ani też sporów magistratu krak. z archiprezbiterami kościoła N. Panny. Dalej, co znaczą te szczegóły dodatkowe, w których i o ubiorach mieszczan krakowskich (to prędyżby należało do oddziału *zwyczajów*), i o Tęczynie, i o mistrzu sprawiedliwości, i z testamentu kanclerza *Korycińskiego* kruciuteńki wypis?.. Co nareszcie może znaczyć ten słowniczek wiadomości do Krakowa się odnoszących? Dla słuchającego o tém, wszystko to są zagadki; dla czytelnika zaś to dowód, że autor wszelkimi siłami starał się nadać jakąś formę, jakiś koloryt całości, jedném słowem jakiś systemat różnym wypisom swoim; i nie trafił do celu.

Treści tutaj jednak nierównie więcej i ważniejszej, jak w *Dawnych zabytkach*.

Za najpiękniejszą jednak ozdobę dzieła poczytujemy wypisy z akt miejskich, o któreśmy się dopominali przy recenzji tych właśnie *Dawnych zabytków*. Pokazują one stan miasta pod rządami Szwedów, za czasów pierwszego i drugiego najścia. Doprawdy, żal serce ścisnąć, kiedy się pomyśli, co te biedne miasta polskie cierpieć musiały! Dziwny był dawniej sposób prowadzenia wojny. Pierwszy lepszy zdobywca obdzierał ze skóry winnych i niewinnych; nie obdzierał dla skarbu, w interesie samej wojny, ale dla siebie. Karol Gustaw nakładał kontrybucją na utrzymanie swojego żołnierza; ale Witteberg, Wirtz, Rakocy nakładali

kontrybucye dla własnej kieszeni: stali prosto do miasta z rozkazem, że pan generał taki a taki, pan gubernator, prezes sądów wojskowych i t. d. potrzebuje koniecznie takiej a takiej kwoty pieniężnej. Grzeczniejsi czekali troszkę, ale za zdarzoną sposobnością dziesięć razy przypominali się, że miasto obiecało dać im kilka tysięcy talarów, które im właśnie w tej chwili są gwałtownie potrzebne. Robiło się to wszystko bez najmniejszej ceremonii. Bywały nawet targi jak na jarmarku. Karol Gustaw pałożył na Kraków z pierwszego zaraz ognia, sądząc że jest bogaty jako stolica królów, 800,000 tal. okupu; miasto dawało tylko 50,000, a król się gniewał, że jestto nadużywać jego łaskawości, dawać mu taką drobnostkę (tantillum) za krew i pracę, i jeszcze kazał za to rumienić się miastu (str. 102). Skończyło się wreszcie na 300,000, ale że nie zaraz mieszczanie złożyli ten okup, panowie Szwedzi bardzo się często o to przypytywali, a najwięcej Wirtz, który szczególnie był potrzebny i polecał się raz wraz dobremu sercu mieszczan krakowskich. Wśród tej nędzy i powszechnego upadku, uderza pięknie szlachetna postać obywateli miejskich. Kiedy po zawiązaniu się konfederacyi tyszowieckiej zbliżały się wojska koronne pod Kraków, gubernator szwedzki nakazał, żeby mieszczanie złożyli przysięgę na wierność Karolowi Gustawowi. Długo się opierał burmistrz i rajcy, ho przysięga u nich nie była jak dziś u wielu czynem prostego zabezpieczenia się, ale w niej leżało coś sakramentalnego, świętego. Chcieli dać wszelkie inne rękojnie gubernatorowi, który się gwałtem domagał przysięgi. Nareszcie burmistrz odważył się powiedzieć, że miasto już raz ślubowało wierność swojej Janowi Kazimierzowi, i że bez obrazy Boga, nie może zapomnieć o swoich obowiązках; ale Wirtz chciał wypędzić wszystkich mieszczan za rogatki; wtedy się namyślili. Długi jednakże opór ten miał skutek, że zmieniono im rotę przysięgi; a i tak z płaczem jeszcze byli posłuszni panu Wirtzowi. 17 maja 1657 r. Kraków dostał się w moc Rakocego, tojest Szwedzi na mocy rozkazu Karola Gustawa oddali księciu siedmiogrodzkiemu rząd nad miastem, jako do jego dzielnicy przypadłem. Te sceny znowu się powtórzyły, a miasto nie mając ani jednego żołnierza swojego na własną obronę, dumnym zdobywcom dyktowało warunki. Za każdym najmniejszym niebezpieczeństwem albo złą nowiną, burmistrz zbierał na ratuszu reprezentacyą miasta. Szereg tych obrad przedstawił nam p. Grabowski (od str. 94 i 134): są nauczające wszędzie, rozrzewniające często, a stanowią żywy obraz ówczesnej niedoli kraju. Autor zacytował nam ciekawą broszurę niemiecką, która ma zawierać koniec tego dramatu pierwszego napadu Szwedów. Notujemy ją dla rzadkości, może téż komu wpadnie w ręce i da ją nam poznać. Jestto: *Der Accord zwischen Casimir König von Polen und dem Kaiser Leopold I, wegen Uebergabe des Stadt und Schlosses Cracau*; wyszła w r. 1657 (str. 128).

Na tle tej odległej przeszłości rysuje się ślicznie szlachetna postać burmistrza Jędrzeja Cieniowicza, który w burzliwych czasach był drugą Opatrznością rodzinnego miasta. Zaczny ten człowiek zakończył życie swoje w r. 1659.

Mniej nierównie, przynajmniej ile się zdaje po ilości dat i wypisów Grabowskiego, ucierpiał Kraków za czasu drugiego najścia Szwedów,

choć Karol XII dłużej gościł w Polsce jak jego poprzednik, znakomity także. Nakazał na pierwszy wstęp 60,000 tal. cesarskich okupu pod karą *ignis et excidii*, a magistrat tak exekwował ten wyrok, że nawet do opłaty byli i tacy pociągani, przy których nazwisku stało w spisie: ubogi, albo uboga; ci dawali po 2 tynfy. Jestto skarga magistratu do kasztelana krakowskiego z r. 1703, ale Grabowski źle go nazywa Wielopolskim: byłto hetman wielki, książę Hieronim Lubomirski (str. 137). Cyfry, które autor przytoczył, pokazują, że akademia łącznie z kapitułą więcej płacić musiały generałom szwedzkim, jak samo miasto, albo zgromadzenia rzemieślnicze (str. 136). Ale niezawsze tak grzeczna była kapituła; w innych razach, kiedy kontrybucya spadła ciężarem na miasto, magistrat upraszał księży kanoników i prałatów, żeby ze swojej strony także ofiarowali grosz wdowi i podzielili się nędzą publiczną. Dumna szlachta, bo w gronie kopituły krakowskiej były zawsze najpiękniejsze imiona Rplitej, dąsała się tylko na takie wnioski i nie dawać nie chciała.

W istocie, los dawnych miast polskich był zawsze oplakania godny. Nietylko obcy w czasie wojny, ale i swoi w czasie częstych konfederacyj, bardzo często kazali sobie płacić podatki, Pan Bóg już wie jakim prawem, na mocy jakich konstytucyj. W urywkach Grabowskiego czytamy nieraz imiona wielkich dostojników koronnych, którzy nie pożalowali Krakowa. Pan Sieniawski ostatni z rodu, hetman i kasztelan stolicy brał swoje; zdzierali także krakowskie miasto sławni partyzanci Augustowskich czasów: Śmigielski i Grudziński, że nie powiemy już o konfederacjach Swiderskiego w r. 1661, Baranowskiego w r. 1697. Branicki marszałek w związku tarnogrodzkim w r. 1716 kazał się opłacać; a policzmy jeszcze, co rajcy krakowscy dali dobrowolnie pieniędzy na zjednanie sobie ich łaski i względów. Zaony książę Janusz Wiśniowiecki wojewoda krak. za Sasów, często wspomniany w tych wypisach, bo Kraków raz wraz zdobywał się dla niego na pamiąteczki. W czasie pokoju były inne sposoby: panowie zapraszali miasto na chrzciny syna, albo na wesele córki; już-eć na tym obrzędzie nie można było stawić się z gołemi rękami, bez jakiego upominku, który wiele kosztował. Czasami przyjęcie jakich gości stawało się powodem do nowych wydatków; czasami jaki przykry komendant kazał miastu żywić zabranych niewolników, jak generał de Lamotte, którego niecierpieli Krakowianie (str. 145.)

Rzadko tutaj spotkać się przychodzi z jaką osobą, któraby zasłużyła na sympatyą naszą, z powodu, że ulitowała się nad miastem i starała się nieszczęściom jego przynieść jakąkolwiek ulgę. Takim przyjacielem miasta pokazuje się Jędrzej Trzebiecki, kiedyś minister Rplitej, a wreszcie i świetny biskup krakowski (umarł 1679). Pamiętał on o swoim rezydencyonalnym mieście i często u króla wdawał się za Kraków. Kiedy zaraza grasowała w stolicy, biskup wiele się troszczył o zmniejszenie siły tego nieszczęścia; pozwalał miastu rewidować nawet mieszkania księży, bez uwiadomienia go poprzednio o tém, a to rzecz bardzo wielka, kiedy zważymy na powagę duchowieństwa u nas w dawnych czasach. Jest kilkanaście listów Trzebieckiego w Starożytnych Wiadomościach, które będą pomnikami jego dobrych chęci. Dla wzniesienia Krakowa on podał pierwszy projekt królowi Sobieskiemu, żeby wojewodowie nie

wdawali się wcale w nominacyą urzędników miejskich; starał się toż samo biskup wyjednać jeszcze u króla Jana Kazimierza, ale mąż M. Ludwika nie miał ochoty pozbawiać téj prerogatywy wojewody, którego właśnie co przedtém mianował. Za to grzeczniejszy był książę Dymitr Wiśniowiecki, który na prośbę biskupa zrzekł się sam dobrowolnie starodawnego prawa, i dla Krakowa wtenczas *novus rerum nascebatur ordo*. Prawda, że i Trzebicki brał piękne podarunki od miasta, aleć nie dla nich kochał Kraków,—to rzecz oczywista.

Biskup Jan Małachowski także wdawał się za Krakowem u Jana IIIgo, ale już więcej uproszony, jak z własnego popędu. Zabawny jeden szczegół zachował nam list tego biskupa, który w dobrej wierze nie spostrzegął tego wcale, jak wielkiego błędu się dopuszczał, kiedy zmuszał dyssydentów mieszczan krakowskich, żeby chodzili za katolicką processyą Bożego Ciała. Byłto stary zwyczaj, który zamienił się w prawo, że niekatolicy towarzyszyć musieli téj processyi; ale Jan IIIci skasował osobnym przywilejem w r. 1686 ten zwyczaj, bo widać nadużycia jakieś miały z tego powodu miejsce. Małachowski w roku następnym upraszał Sobieskiego, żeby téj krzywdy nie wyrządzał kościołowi katolickiemu (str. 161). Nie wiemy jaki koniec wzięła ta sprawa, ale to pewna, że takie dziwne pretensye biskupa, ochładzały zaufanie wzajemne, stawiały przeciw sobie dwa szeregi nieprzyjazne mieszkańców jednego miasta, a to paraliżowało niezawodnie nawet przyszłość Krakowa.

Do dziejów samego miasta ciekawe są jeszcze szczegóły o pobycie carewicza Alexego w Krakowie w r. 1710 (str. 142—143), a dla dziejów mieszczan dwie wzmianki o ich związkach familijnych z panami. Szkoda, że dowiadujemy się tutaj tylko o pani wojewodzynie betzkiej i o pani Tęczyńskiej.

Lubimy bardzo, kiedy badacze przeszłości dają nam spisy jakich prątów albo dostojników, czyto kościelnych, czy świeckich. Przy zmuđnych nieraz poszukiwaniach, takie spisy objaśniałyby błyskawicą niejednę w dziejach wątpliwość. Im większa zatém dokładność w szeregach nagich imion, które nie są bez interesu, im więcej dat stanowczych, a nie mylnych i przybliżonych tylko, tém większa zasługa. Ambr. Grabowski dał nam w Starożytnych Wiadomościach spisy archiprezbyterów kościoła Panny Maryi i wielkorządców zamku krakowskiego. Że bardzo cenim sami takie poszukiwania, kilka tutaj uwag umieścim, dla uzupełnienia wiadomości przez autora podanych. Ale przestaniem li tylko na prezbyterach Panny Maryi; nasze materyały co do wielkorządców, w zbyt jeszcze mało faktów ważnych obfitują.

Jan Hejdeke, szósty z kolei (u Grabowskiego) proboszcz N. Panny w Krakowie, był jeszcze w r. 1511 archiprezbyterem, czego autor nie zapisał, bo tylko rok 1500 podaje. Ale że tak jest, do wód znaleźć można w Dwutygodniku krak. tom Iszy, str. 29. Po nim zaraz kładzie p. Grab. czterech Mikołajów, o których powiada, że „może są jedną osobą.” Trzeci z nich oznaczony rokiem 1533 i 1545, nazywa się także Walthko, Waltheck; tymczasem w tymże Dwutygodniku, na téjże samej stronnicy czytamy, że Mikołaj Wartek w r. 1527 był archiprezbyterem: to ani chybi, że ci trzej, pierwsi przynajmniej Mikołajowie „są jedną osobą.” Pier-

wszy jest u Grab. pod r. 1521 i 1527, drugi pod r. 1529. Zatem Wartek nasz a Walthko w Starożytnych Wiadomościach, jest toż samo, a Wartek był w r. 1527, to jest wtenczas, kiedy był i najpierwszy Mikołaj pana Grab. Że zaś drugi jest doktorem obojga prawa i czwarty także, zatem zdaje się niepotrzebnie wcale z jedną osobą tworzyć aż cztery. Od roku 1521 aż do 1550 upłynęło lat 29; zatem jeden człowiek mógł dobrze być przez lat 29 ciągle archiprezbyterem kościoła N. P. Maryi.

Hieronim Powodowski występuje już w r. 1586, jak to widać z Obrazu Jochera.

O Tomaszu Pszonce, który po Mikołaju następuje, mało ma autor wiadomości. Z nagrobku umieszczonego w Starowolskim widzimy, że umarł 24 lutego 1563, a że to było we wstępną środę, w dzień św. Macieja, uczy nas o tém napis na jego grób dość spory, umieszczony w Historii Literatury, który Wiszniewski całkiem przywodzi (Tom VII, str. 154--160). Pszonka był kanonikiem plockim, pułtuskim, sandomierskim i wrocławskim, a do tego rejentem kancelaryi większej, sekretarzem króla i proboszczem dybowskim.

Dalój Krzysztof Trzciniński występuje w tym spisie tylko pod r. 1615 i 1636, a bezpośrednio po nim pod r. 1652 znajduje się Justus Słowikowski. Tymczasem Trzciniński umarł 20 stycznia 1640 r. mając lat życia 72, a nagrobek jego znajduje się w Starowolskim. Słowikowski zaraz widać po jego śmierci wybrany był archiprezbyterem, bo kiedy w r. 1643 wydawał dziełko swoje: *Salutaris christianae pietatis ros contra purgatorii aestum*, w drukarni Jędrzeja Piotrkowczyka, już wtedy na niem podpisał się jako archiprezbyter kościoła N. Panny i kanonik krakowski. O tém przekonać się łatwo z dodatków Sienkiewicza do Bentkowskiego, z których Jocher Tom IIIci str. 485. Tak więc próżnia w spisie p. Grab. od r. 1636 do 1652 zniesioną zostaje. Słowikowski doktor obojga prawa i teolog, był jeszcze do tego sekretarzem królewskim i archidyakonem kollegiaty w Zawichoście. W r. 1652 kiedy pisał testament, jak p. Grab. powiada, drukarz Förster dedykował mu dziełko: *Triumphus Jesu Christi Dei ac Salvatoris nostri*, jak stoi u Jochera tom IIgi str. 392. Co zatem znaczy prezenta księdza Niewiarowskiego w r. 1645, trudno objaśnić. (Star. Wiad. str. 38).

O Jerzym Januszowicu, który umarł r. 1700, znaleźliśmy w sygnillatach ks. 15, że był dziekanem kollegiaty sandomierskiej, ale w listopadzie 1697 r. złożył to dostojenstwo, które po nim zajął Lochman kustosz opatowski. Bliższej daty nie ma, bo przywilój wydany z okienkiem.

Jacek Łopacki, który w r. 1732 prenumerował na Volumina Legum (patrz Kuryer Polski t. r. nr. 111), był oprócz archiprezbyterstwa, dziekanem sandomierskim i proboszczem spiżskim; umarł w lipcu 1761, jak świadczą *Thornische Wöchentliche Nachrichten*.

Nareszcie Karol Lochman był poprzednio koadjutorem archiprezbytera, nim został archiprezbyterem. Z tym tytułem spotykaliśmy go jeszcze po gazetach w r. 1786.

Żałowaliśmy bardzo, że autor nie dał nam jeszcze spisu komendantów polskich i cudzoziemskich Krakowa. Materiałów do tego znalazłby wiele w swoich już wydrukowanych wypisach. Zdałoby się

i o burgrabiach zamkowych pomyśleć. Byłobyto wiele roboty, to prawda, ale kiedy p. Grabowski tak skrętnie spisywał Włochów i Szkotów, którzy mieszkali w stolicy, szkoda, że i tych burgrabiów, urzędników Rplitej nie notował.

Jest i trzeci jeszcze spis lekarzów nadwornych, których nie ma w Gąsiorowskim; praca ze wszech miar szacowna. Czwarty spis obejmuje królów kurkowych od r. 1578 do 1793, których kiedyś zwano ptasiami królami. W *Słowniczku* jeszcze czytamy spis minarzy krakowskich.

Spis ubiorów mieszczan krakowskich, pomieszczony w tych wiadomościach, niezbyteczny jest także; krótki, obejmuje tylko słowniczek i stosowne objaśnienie każdego wyrazu. Tém samém że niewielki, pożądany jest jak gruby słownik Gołębiowskiego, z którego niewiele się nauczyć można.

To są wszystko spisy, wypisy, ale nie słowniki. Osobny *Słowniczek wiadomości do Krakowa się odnoszących*, przyniósł nam dość sporo nowych zajmujących faktów. Sąto jak zawsze tylko urywki, napomnienia, artykułiki, wyjątki, wyjąteczki, w miniaturze po raz może dziesiąty cała encyklopedia o Krakowie. Jest tu moc wiadomości dla sztuki, dla osób, dla wsi, dla miejscowości krakowskich i różnych rzeczy. Tytułik np. *ryby stoi obok Swoszowic, a Tatarzy, obok Szwedów*.

Kilka jeszcze nowych wypisów do dziejów rodziny mieszczańskiej Koperników, albo pańskiej Bonerów, mówią nam ciągle o długach, zapisach i sprawach majątkowych. Kopernikowie jeszcze w r. 1687 w Krakowie występują, ale już pod zmienioném nazwiskiem Kopernickich. Bardzo téż ciekawe są szczegóły o rodzinie sławnego Wierzyńka, o której znajdują się wspomnienia najpóźniej tylko w r. 1484. Nie wzniesli się Wierzyńkowie do rodzin historycznych magnackich rzeczypospolitej, a owszem spadli bardzo nisko, bo już w r. 1406, a zatém w chwili, w której niejeden jeszcze zapewne mieszkaniec Krakowa pamiętał sławnego Mikołaja, ministra Kazimierzowego, jeden Wierzynek, Jędrzej po imieniu, ścięty był za kradzież. Dowiadujemy się téż cośkolwiek o stosunkach majątkowych Turzów, którzy byli szlachtą węgierską, Wierzbietów i Wietorów. Życiorys księdza Zelnera skreślony osobno, mile się spotyka. Szkoda, że z rękopismu jego, treściwsze tylko wypisy i to jedynie Krakowa tyczące się, dał nam autor w „Grobach królów polskich.” Ten chronograf i tak ciekawe daty nam zachował: trzeba było go zatém wydać, ale że autor piérwszy dał nam poznać to imię, na nim téż leżała powinność, żeby życie jego opowiedział.

O rzeźbiarzu Stosie, znówu jest wiele w Starożytnych Wiadomościach. Tę postać Ambr. Grabowski odkopał nam z naszego Herkulanum; głuche wieści o tym artyście latały kiedyś, teraz go mamy jak na dłoni: szereg ważnych odkryć otoczył to piękne imię. O Dolabelli także kilka wypisów.

Szczegół, któregośmy nigdy nie napotykali w żadnej historii obrazu Częstochowskiego, ani nawet w podróży pątnika XIX wieku, znalazł p. Grabowski w kazaniu księdza Laskiewicza na pogrzebie archiprezbytera Łopackiego. Szczegół ten następujący. Od czasu napadu Hussytów na Jasną Górę za Władysława Jagiełły, obraz połupany i zniszczony,

bez najmniejszej naprawy miał przetrwać w Częstochowie aż do czasów Władysława IV; dopiero król ten dał go do naprawy majstrom krakowskim, i odtąd obraz cudowny znowu zrosł się i stanowi jedną całość.

Wspomnim jeszcze o Reju, Sędziwoju i Stańczyku.

Pan Mikołaj z Nagłowic miał folwark na przedmieściu lełowskiem, który sprzedał w r. 1543 Maryanowi z Przełęka za grzywien 120. Sędziwój miał dom w Krakowie i nie chciał płacić z niego żadnych podatków: wniosek zatem że był szlachcicem. Autor znalazł ślady, że sławny ten alchemik pisał dzieła. A do dziejów filozoficznego kamienia i to dodać potrzeba, że król Zygmunt III przetapiając metale na zamku krakowskim i robiąc złoto, był przyczyną owego sławnego pożaru w r. 1595. „Kurzą nogę spalił, powiada stary zapis, za co przecie Rplita nie pretendowała od dzieci jego wynagrodzenia” (str. 298).

Wreszcie najciekawsza z tych słowniczkowych wiadomości, ciekawość. Każdy kto chociaż najlżejsze miał wyobrażenie o dworze Zygmunta Starego, znał Stańczyka. Z kilku słówek jego dowcipnych, które nam zachował Bielski, nie objaśniający wreszcie wcale kto był ten żartowniś Stańczyk, domyślił się ktoś, że król Zygmunt chował na dworze swoim trefnisią, błazna, czyli wesołka, jak nazywali starzy Polacy. Ale akta krakowskie nazywają go wciąż sławnym rycerzem, *miles gloriosus*. Podają nam nawet całe jego nazwisko: byłto *nobilis*, szlachcic Stanisław Stańczyk Złotopolski, herbu Nałęcz. Występuje on w aktach pod r. 1532, 1536 i 1538. Był osiadłym dziedzicem w ziemi krakowskiej, posiadał albowiem w bliskości stołecznego grodu wieś Kamienicę. Z żony Barbary Naborwskiej miał dzieci: Wojciecha, Piotra, Barbarę, Elżbietę, Annę, Jadwigę, Katarzynę i Małgorzatę. Otoż i cała genealogia, której nie ma w Niesieckim. Korona jeszcze powiada, że to ród mazowiecki, kiedy pokazuje się że małopolski, bo Niesiecki dopiero za Zygmunta III liczy Złotopolskich. Z tego widać, że Stańczyk byłto sobie ziemianin żartobliwy, który uprawiał ziemię swoją i siał hreczkę, ale nie był nigdy nadwornym wesołkiem; żartował tylko sobie nieszkodliwie z wad i śmieszności ludzkich. Mógł też bawić kiedy i na dworze Zygmunta Starego.

P. Grab. przedrukował jeszcze w Starożytnych Wiadomościach *Compendium*, albo krótkie zebranie chronologii miasta JKMei stołecznego Krakowa i t. d., które ksiądz Jędrzej Lipiewicz niegdyś professor akademii i prałat, wydał przy kalendarzu swoim z r. 1749. *Compendium* to wydał p. Grab. nie całkiem, ale z małemi skróceniami; zawsześmy byli przeciw wszelkiemu cząstkowemu przedrukowi: to krzywda dla autora. Ale wracając do Lipiewicza, pojmujemy bardzo łatwo, że wydawca Starożytnych Wiadomości mógł z nim sympatyzować. Całe to *Compendium* stanowi także zbiór artykułków nadzwyczaj rozmaitej treści: ten do lasa, tamten do lasa, bez ładu i porządku najmniejszego. W miniaturze jeszcze raz tutaj spotykamy się z całą encyklopedyą Krakowa. W całym tym spisie nie ma nic jednakże ani nowego, ani pięknego. Zgadza się to, że Lipiewicz zbierał swoje broszurkę z niemałą pracą i pilnością, i że *Compendium* jego, to treść dzieł większych w tym przedmiocie; ale wierzymy, że tylko dla *rzadkości* przedrukował je p. Grabowski, bo z innego względu na ten zaszczyt *Compendium* wcale nie zasługiwało. Taka ma-

ła encyklopedia krakowskich wiadomości mogła być pożądana w roku 1749, ale dzisiaj jest zupełnym anachronizmem. Jeżeli zatem gniewamy się za niekompletny przedruk, idzie nam tu o zasadę jedynie, ale nie o księdza Lipiewicza.

Taką jest treść téj ostatniej książki Ambr. Grabowskiego. Sądzim, żeśmy nie obrazili zasłużonego męża, jeżeliśmy całą prawdę napisali o Starożytniczych Wiadomościach, przynajmniej o ileśmy zrozumieli tę prawdę. W naszych uwagach, któreśmy kiedykolwiek robili, o to nam przedewszystkiém i zawsze chodziło. Nie mamy pretensyi, że potrafim zbywać kogoś grzecznosciami, pochlebstwami, półsłówkami. Oddajemy zawsze hołd zasłudze i pracy. Chcielibyśmy, żeby słowa nasze przyjęte były z równém spólczuciem, z jakim my je rzucamy na świat szeroki. Już minął czas, żebyśmy wszyscy za doskonałych koniecznie uchodzić chcieli; posłuchajmy téż chętnie słowa prawdy. Cierpką jest ona czasami, ależ ta sama cierpkość dowodzi sympatyi, bo któżby pisał o dzieciństwach? Podług naszego rozumienia rzeczy, recenzent który nie obwija wcale w bawełnę zdania swojego, służy lepiej sprawie literatury, jak panegirysta. Mamy nadzieję, że zacny Ambr. Grabowski nas zrozumie: wszakże większy mu przez to hołd przynosim, że wskazujemy na rzeczywistą (zawsze jak ją pojmujem), aniżeli na urojoną wartość jego pracy. Tak przynajmniej wie autor, co o nim sądzą, i co za jego zasługę przyznają; tymczasem usypiać kogoś pochwałami bez końca, jestto kogoś bawić jak dziecko i zamykać mu oczy.

15 marca.

Julian Bartoszewicz.

Jeografia w obrazach i powieściach moralnych, ozdobiona 8 rycinami. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1852 r.

Niedawno jeszcze rozchodziły się narzekania na brak książek, któreby z korzyścią można było dać do rąk młodzieży; dziś sądząc z wielkiej liczby dziełek popularnych lub dla dzieci przeznaczonych, w jakie od lat kilku zbogaciła się nasza literatura, możemy śmiało wyrzec, iż nasza młodź w rodowitym już języku znaleźć jest w stanie obfity i pożyteczny pokarm. Nie wszystkie wprawdzie gałęzie wiadomości z równą zaopatrzone zostały obfitością; można mieć jednak nadzieję, że ten brak wkrótce się zapełni, skoro publiczność czując własną potrzebę, oceni pracę autorów i chęci nakładców, wyrzekłszy się panującej dotąd mody zaopatrywania dzieci w książki zagraniczne.

Za przykład w tym rodzaju literatury mogą dla nas służyć Francuzi, a szczególniej Niemcy; tam część literatury tak zwanéj dziecinnéj, już ocenioną została względnie do jéj ważności. Do pisania podobnych dziełek biorą się wytrawni pedagogowie, a nawet niekiedy na jedno większe dzieło lub tylko wypisy, kilku się składa; nie dlatego, aby przez podobny

podział pracy prędszy osiągnąć skutek, lecz aby wspólnymi siłami, wzajemnymi uwagami lepiej odpowiedzieć potrzebie i zniżyć się, że tak powiem, do usposobienia dziecinnego. Dlatego, naszym zdaniem, mają wielką zasługę tłumaczenia podobnych utworów; lepiej jest jednak, gdy dziełko nie tylko spolszczone co do języka, ale przerobione i zastosowane do polskiej młodzi zostanie. Te uwagi nasunęły mi się biorąc w rękę nowo wyszłe dziełko dla dzieci: „Jeografia w obrazach i powieściach moralnych”. Jestto myśl prawie u nas nowa dawać dzieciom wyobrażenie o charakterze ludów i produktach kraju za pomocą drobnych powiastek moralnych. W niniejszém dziełku użyto właśnie téj metody; każdą powiastkę czerpaną z podania lub ducha narodu, poprzedza krótki zarys jego geografii. Ta metoda sama za sobą najlepiej przemawia; jestto kształcenie pamięci wraz z imaginacją: dwóch warunków, o których zapominać w nauczaniu dzieci nie należy. Wspomniane dziełko prawdziwie pożyteczne być może, szczególnie przy pomocy światłych przewodniczek lub przewodników. Język w niem czysty, poprawny; dodano rycin starannie wykonane; słowem, wydane dziełko tak treścią jak powierzchownością odpowiedzieć winno wymaganiom publiczności.

S. P.

Kilka słów o krytyce powieściowej w Warszawie. Rzecz napisana z powodu dwóch recenzyj o Panu Zygmuncie w Hiszpanii, powieści Dra T. Triplina ().*

Nie ma zapewne kraju, gdzieby więcej różnorodniejszych było czytelników, jak u nas: konieczne to następstwo niejednorodności ukształcenia naszego. Był czas jednak, i to nie tak dawno temu, że różnorodne żywioły te jednoczytło współczucie, może ciekawość dla miejscowego piśmiennictwa, wątpliwego rekonwalescenta po długiej chorobie. Mielismy wtedy literatów i literatek jak nasiał. Gwałtowny ten popęd piśmienniczy wkrótce jednak osłabł, zmalał i nareszcie ustał zupełnie, wprowadzie nie tylko u nas; nie stanowiliśmy wtedy wyjątku od ogólnej reguły. Zajmowały nas wypadki zagraniczne tak dalece, że najmniejszy

(*) Redakcja Biblioteki Warszawskiej nie podzielając zdania szanownego obywatela z radomskiego, co do ogólnych jego uwag o kierunku smaku ogółu, o niechęci czytelników do powieści głębszej, i jak ją uczenie nazywa *analityczną*, nie zgadza się i na to, aby wszystkie powieści, które w ostatnich czasach wyszły, oprócz P. Zygmunta, były *bezbarwne* i *bezdążeńnościowe*. Redakcja nie widzi bynajmniej, aby jakaś nieprzychylność kierowała piórem tego pisarza, który pierwszy zdał sprawę z powieści Dra Triplina. Chociaż więc artykuł powyższy nie zmienia bynajmniej opinii redakcyi o wadach i zaletach powieści, o którą idzie, ani o wartości innych tegoż rodzaju utworów, które szanowny obywatel z radomskiego ponizyć usiłuje; umieszcza go jednak chętnie, aby przekonać czytelników swoich, że śmiało poddaje pod ich sąd obie opinie, nie wahając się zostać przy swojej.

P. R.

fakcik obcy nabierał w oczach naszych powszechno-europejskiego znaczenia. Trafem, czy też logicznym następstwem wydarzeń, kiedy właśnie z taką ciekawością śledziliśmy wszystkich szczegółów *great exhibition*, dużo nawet o marynarce niemieckiej wiedzieliśmy, w 1851 r. przypomnieliśmy sobie, że istnieje przeciw nasze piśmiennictwo. Może chcieliśmy z dawnym znajomym odnowić poufalskość stosunków, może też znużeni wyobraźniowemi wycieczkami w dalekie strony, pragnęliśmy zobaczyć jak wygląda uczciwe, rodzinne domostwo. I otóż znów ozdrowienie drugie piśmiennictwa, a raczej czytelników, daj Boże! aby trwalsze od pierwszego. Znów zaczęły nas zajmować utwory miejscowe poważniejszej, i tak nazwanj lżejszej treści. O pierwszych zwykliśmy raczej więcej mówić, niż je przeglądać sumiennie; o drugich zwykliśmy raczej wyrokować stanowczo, niż je czytywać ze współczuciem. Smak i wymagania czytelników pod jednym względem odmieniły się obecnie, pod drugim ukształciły może; i kierunek terażniejszej chwili w piśmienniczej działalności wydatnie różni się od poprzednich. Już pieśnictwo z dźwięczną i świetną szatą swoją nie tak bardzo nas obchodzi jak dawniej; praktyczniejsi w naszych wymaganiach, pragniemy koniecznie posiadać jak najwięcej przystępnych i kunsztownych zarazem utworów smaku i wyobraźni,—powieści. Przy ograniczeniu miejscowej dramatycznej literatury, gwałtowne to pragnienie da się łatwo wytłumaczyć. Talenta nasze zawsze chętne zadosyć uczynić wymaganiom ogółu, rozpowieściły się teraz na dobre; karty pism zapełniły się rozmaitemi przygodami rozmaitych bohaterów: ogół jednak przesycony nacytaniem się zagranicznych powieści, dziwnym smakiem kieruje się w ocenianiu miejscowych. Mniej go zdają się obchodzić typy, głębsza analiza serca ludzkiego, jakby nie chciał zrozumieć, że powieściopisarz albo ze swojej wyobraźni wyprowadza na widownię idealne postaci, na które każe się zapatrywać czytelnikom, albo też postaci z rzeczywistego życia podnosi do godności sztuki, uzacnia je, uszlachetnia, uwydatnia, i tym tylko sposobem utwór jego służyć może czytelnikowi nietylko na przepędzenie czasu, na zabawę, ale i na pożytek. U nas chcą teraz prawdy, wypadków codziennego życia bezpośrednio odtwarzanych, aby tylko zręcznie powiązanych, aby raczej ciekawość czytelnika, a nie myśl jego mogła mieć ciągłe zajęcie. Pragną daguerrotypów, o obrazy, szkice, nawet i o sztychy nie dbając. Słowem, nad powieść głębszą, analityczną, przekładają faktyczną, powierzchowną.

Dziwny to niezawodnie kierunek smaku ogółu, ale dziwniejsza, że znakomite talenta nasze tak skwapliwie chcąc mu dogodzić, zamiast prowadzić czytelników za sobą, posłusznie za niemi postępują.

Ale wymagania ogółu ruchliwe jak on sam, a może jak on logiczne. Już dzisiaj przestaje się zachwycać utworem w jego dążności skreślonym, i wielu powstawać zaczyna na ostatnie powieści miejscowe, w pismach peryodycznych u nas ogłaszane. Obwiniają ich autorów niezupełnie słusznie, bo powtarzam, że raczej ich uległość, jak talent obwiniaćby wypadało.

Uwagi te krążyły mi w myśli, gdy odebrałem nowy utwór znakomitego naszego podróżo-pisarza Dra T. Triplina, powieść pod napisem:

Pan Zygmunt w Hiszpanii. Skwapliwie zacząłem czytać Zygmunta, pragnąc powitać sympatyczny talent autora na nowém dla niego polu, i ciekawy byłem, jak to pióro ogniście i potężnie szkicujące, wywiąże się z zadania, gdzie więcej zaokrąglać kształty, obrazować i grupować potrzeba.

Na pierwszy rzut oka zdaje się, że powieściopisarz nie mógł się otrząsnąć z podrózpisarza, i utwór ten ma pozór li tylko przedmiotowego obrazowania zajmujących przygód romansowego rodaka, w krainie tak malowniczej, jak ziemia Abencerragów i Murillów. Wpatrzywszy się jednakże w tę masę faktów, jakby w panoramie przemijających, i bohatera w ich koło wplątanego, dojrzysz jedną myśl przez całość sumiennie i umiejętnie przeprowadzoną. Zygmunt, to dzisiejsza nadzwyczaj postać, dokładny wyobraziciel owych ludzi czynu—marzycieli, zlepków bohaterstwa i uniesień, co mimo tylu zawodów i bolesnej tęsknoty, zawsze są niezłomni wiarą w zacność marzeń swoich. W kole obcej społeczności tylko powierzchowna jej strona jąć się ich mogła: żołnierze, powołanie swoje podnieśli do godności posłannictwa we własnych oczach, i to poważna ich strona, za którą zawsze gotowi byli krew przelać; druga lżejsza, jak zwykle u ludzi mało ceniących życie, tém bardziej u nich mijąta im jak sen przykry, z którego mniemali, że się w rodzinnych stronach obudzą. Mniej też dziwi, jeżeli wyłączną opanowani myślą, dla niej i przez nią żyjąc, na resztę życia trochę zalekko spoglądali, dopóki to życie ujawszy ich nareszcie w konieczne pęta, nie dopomni się o twarde prawa swoje. Postawić taki typ z dodatnią i ujemną stroną jego w obec społeczeństwa i oświaty obcej:—oto było główne zadanie powieści niniejszej, o którym autor ani na chwilę nie zapomniał i sumiennie się wywiązać potrafił. Płochosć pana Zygmunta, gdyby była tylko cokolwiek mniej ponętnie wspomniana, nie ujmuje prawdy i trafności typowi; owszem do zaokrąglenia postaci ta ujemna strona może i potrzebną była. A chociaż czytelnik pogniewa się cokolwiek na pana Zygmunta, trochę zaprędko, zabardzo po żołniersku trafiającego do serca swoich wybranych: wybaczy jednak tę rzutkość ognistej krwi młodego wojaka, tak chętnie narażającego życie dla dobra innych, i nie przestanie sympatyzować z artystą, co jak każdy marzyciel często excentrycznie postępuje w życiu, choćby dlatego, że je nie tak pojmuje jak drudzy.

Drugim typem myśl autora uosobiającym i dopełniającym, jest Witold, ów żelaznej pracy i wytrwałego poświęcenia lekarz, zaczynający wtedy oddawać się nauce swojej, kiedy ją inni kończą zazwyczaj; także anomalia wśród obcego społeczeństwa, którego się woli stawia autor jako antytezę naprzeciw wrażliwych uniesień Zygmunta. Inne postaci tej powieści, choć także na pierwszym planie ukazujące się czasem: Julia, Sir Walter, biskup Ptolomaidy, August Flinter, don Rodolfo, są tylko konieczne potrzebne do rozwoju dramatu: to sprężyny poruszające działalność opowiadania, wiążąc je w całość i uwydatniając główny typ—Zygmunta.

Takie zrobiłem sobie ogólne sprawozdanie po przeczytaniu tej powieści, a im więcej się nad niem zastanawiałem, tém bardziej zdawało mi się, że myśl główną pojąłem, to jest, że określiłem sobie zadanie utwo-

ru tak, jak autor pragnął, żeby je zrozumiano; i powtarzam jeszcze raz, że Zygmunt w każdej fazie dramatu jest dokładnym wyobrazicielem koła z którego wyszedł, chwil i wypadków, które go takim, a nie innym zrobić musiały. To rysunek zarazem powabny i smutny, świetny i poważny; brak mu kilku zarysów, żeby zupełnie pewnych nabrał kształtów, jest w nim coś niedokończonego, nieharmonijnego, jak ta postać tułacza wśród obcych ludzi.

Autor czy z powodu miejscowości gdzie się dramat odbywa, czy też wymaganiom czasowym hołdując, panoramicznie przedmiot swój odrobił. Szkoda, że zamiast takiej masy faktów nie poświęcił wyłączniejszych badań dwom postaciom utworu, a prawdziwość typów jeszczeby wydatniej uderzyła czytelników, i skupiła bardziej ich uwagę na cel i dążność główną całości. W każdym razie, nie wchodząc w szczegóły i szczególki artystycznego obrobienia, w zręczność zawiązywania i rozwiązywania węzełków intrygi, w efekt sytuacji, powieść ta tém zaszczytniejsze zajmuje miejsce w obecnym ruchu naszego piśmiennictwa, że to pierwszy utwór powieściowy dra Tripplina, że wśród tylu powieści bezbarwnych i bezdążnościowych, rozwiązuje zadanie ważne dla serca i myśli czytelników, i wiernym będzie, jedynym może tego rodzaju pomnikiem czasów ubiegłych, a dla nas pod wieloma względami tak ważnych. Powitana i przyjęta ze współczuciem, byłaby ważniejsze zajęła stanowisko, gdyby, powtarzam, wyłącznie główne postacie wystudyowane były. Serdecznie ciesząc się, że przybył w piśmiennictwie utwór, który słusznie do rzędu dobrych powieści zaliczyć można; ciekawy byłem, jak też o nim krytyka miejscowa zawyrokuje. Czekać długo nie trzeba było; bo we dni kilkanaście po wyjściu powieści, Biblioteka Warszawska i Gazeta téjże nazwy wystąpiły z recenzjami Pana Zygmunta w Hiszpanii.

Artykuł w Bibliotece umieszczony nie jest właściwie recenzją, ale raczej zręcznym przygotowaniem czytelników do wrażenia, jakie powieść na nich wywrzeć może, uprzedzeniem ich sądu; prócz tego zawiera kilka rad fachowych dla autora, jak nadal ma postępować w wykończeniu postaci utworów swoich. Mimo tego stanowiska, już z założenia niezupełnie przychylnego dla Pana Zygmunta w Hiszpanii, cel artykułu byłby dobry, gdyby zamiast wykazania głównej dążności powieści, nie zamieniono jej na dążność czysto-stosowalną, podrzędną, z głównej koniecznie wypływającą, ale nie główną. „Zadaniem było autora” powiada sprawozdawca: „pokazanie, że najszcześniejsze zdolności są tylko środkiem, którego trzeba umiejętnie używać, żeby do czegoś przyjść; że praca i wytrwałość, są najistotniejszym pierwiastkiem równie chwały, jak i pokoju życia i wszelkiego szczęścia na ziemi.”

Nie przeczę, że taki pogląd na zadanie autora jest bardzo utilitarny, a zwłaszcza moralny, w najbardziej określonym znaczeniu słowa; ale nie przypuszczamy, żeby sprawozdawca mógł na seryo w ten sposób zapatrywać się na główne zadanie utworu. Za tém ścieśnieniem poglądu, jakby naumyślnie, musi koniecznie iść ograniczenie i ścieśnienie o nim sądu. Dla tego sprawozdawca lżej traktuje utwór cały i zbyt często nastaje na wybryki Zygmunta, które mogłyby z mniejszym oburzeniem skarcić, nie ro-

biąc z nich tak wielkiego zarzutu autorowi, że w obec niego niknie cała dodatnia strona powieści.

Zgadzam się ze sprawozdawcą, że jeden wyraz zbyt czyny robi cały ustęp drażliwym. Jestto usterk, który przypisać winniśmy pośpiechowi z jakim przypuszczamy że był pisany Zygmunt. Ale jeszcze dla tego jedyne go ustępu niegodzi się całej powieści nazywać gorsząca. Walka to niesłuszna i nieregularna, wydostawać na jaw błąd szczegółu, ażeby go zrobić ogólnym. Czytanie ustępu tego nie może być gorszącem, bo autor prawdziwy typ malując, zaczerpnięty we własnych wspomnieniach, nie sympatyzuje z nim w chwili jego uniesień. Przedstawia go takim, jakim był w istocie: człowiekiem zlewkiem złego i dobrego, poddającym się prawie bez oporu natchnieniom chwilowym. A zresztą, gdyby czytelnik lub czytelniczka mieli się zgorszyć po przeczytaniu ustępu tego, to nie wiem, czyby się potrafili ulepszyć moralnie z wielu innych współczesnych powieści, które ze stanowiska sprawozdawcy możnaby nazwać moralnymi, bo w nich albo rzeczywiste założenie niemoralne, pokryte konwencją stylu, albo też moralne zadanie przyczępione do bladych postaci bez walki i prawdy, bez zajęcia i wydatności, czytelnika nie uniesie, ani polepszy. Do tego celu moralnego powieściopisarz dwojakim dochodzi sposobem: albo przedstawieniem charakterów ujemnych chce wzbudzić wrażenie dodatnie, albo też wystawia walkę charakteru dodatniego z ujemnym, o której sąd zostawia czytelnikowi. Gdzież szukać w naszych powieściach (ma się rozumieć ostatnich, które znamy) dość potężnego i śmiałego pióra, aby dwom tym zadaniom godnie odpowiedziało? Jak patrząc na scenę, widz gra razem z dobrym artystą, płacze i śmieje się naprzemian; tak czytelnik powieści razem z jej bohaterem będzie szaleć, cierpieć, kochać lub myśleć dopiero wtedy, kiedy prawda wydatnie i typowo na jej widowni przedstawioną będzie.

Powieść zaś, która sobie jakie moralne zadanie za cel założywszy, tak jak pensum szkolne przeprowadza je w postaciach dowolnie pozlepianych, jak maryonетки na drucikach poruszanych, nie może pociągnąć, podbić lub też kazać myśleć na seryo umysłowi czytelnika. Nie czerpana w prawdzie, nie podniesiona potęgą talentu do godności typowej, będzie sztuczna—ale nieprawdziwą, mechaniczną—ale nieorganiczną.

Odstąpiłem od przedmiotu, ale czas też przypomnieć talentom naszym, żeby wymaganiom ogółu albo mniej hołdowały, albo też nie tak nas lekko traktowały: nas, czytelników, co jeżeli pod innym względem mało może mamy wytrawności, to pod względem powieściowego czytania się aż nadto jej posiadamy.

Wracam do sprawozdania. Rady dawane autorowi zdają się być prawdziwe, bo na własnem doświadczeniu oparte; i gdyby ścieśnienie poglądu było mniej widoczne, nie byłoby tylu wadliwych szczegółów za sobą pociągnęło. Umiejętność stylu, trafne niektóre spostrzeżenia, ton w ogóle godny i spokojny, każą się domyślać wytrawnego a niepospolitego pióra, nad którym serdecznie ubolewam, że oceniało raczej zręcznie—niż słusznie, raczej grzecznie—niż przychylnie.

Rzecz się ma zupełnie inaczej z recenzją w Gazecie Warszawskiej umieszczoną; ta wybitniej i ostateczniej rozwijając zarzuty sprawozdawcy

Biblioteki, zdaje się jakby dalszym ciągiem nieprzyjaźni dla Zygmunta. To już ani sprawozdanie, ani recenzja, ale wypowiedzenie wojny, pełne niechęci źle ukrytej, a naszpikowane do zbytku pretensją do zręczności. *Nie mieszac się do spraw cudzych*, otóż ma być kwintessencya, którą autor filipiki wycisnął z Zygmunta, i główne jego zadanie, na które z całych sił powstaje, wyklada dla pożytku czytelników dodatnią stronę *mieszania się* za pomocą dwóch porównań poetycznych o pożarze i szermierstwie językowym. Czyż to miał być cel Zygmunta? i czyż godzi się tych, co mogli nie czytać tej powieści, z tak zimną krwią uwodzić? A ileż to strwoził wyrażen szanowny autor filipiki dla pokazania całego ogromu zbrodni w owym drażliwym ustępie Zygmunta, *cheval de bataille* całego artykułu, którego dosiadłszy z trudnością z niego zsiąść usiłuje! Tém prawdziwsza musiała być nieprzychylność, im niezręczniejszą jest grzeczność z jaką zaletom Zygmunta sprawiedliwość pragną oddać. Szczegółowo na zarzuty filipiki odpowiedzieć, zrecenzować jej nie wypada, bo nie jest recenzją, ani sprawozdaniem; Zygmunt zaś zanadto drobiazgowej obrony nie potrzebuje: i tyle nawet byłbym o tém nie wspomniał, gdyby artykuł ów był drukowanym w piśmie mniej poczytném, jak Gazeta.

Wprawdzie cała krytyczna strona pisma tego rzadko kiedy celowała dokładnością lub bezstronnością sądu; ależ jeżeli Gazeta z założenia swego musząca być organem jakichś wyobrażeń estetycznych, chciała z powodów sobie tylko wiadomych, potępić Zygmunta: wypadało, albo tę chęć zręczniejsz pokrywć, albo przynajmniej streścić rozwlekłą gadaninę siłą się na to jedynie, żeby obfitością czcziej frazeologii gazeciarskiej zakrzyczyć nieprzychylność sądu w oczach czytelników, a może i we własnych.

Znamy niejedną już recenzją a raczej filipikę tego samego pióra; zewszę nieprzychylnie było dla utworów samoistnych, wyłamujących się z pewnej, że tak powiem, szkolnej rutyny powieściarskiej, niehołdujących wymaganiom tego rodzaju pojęć, które recenzent ulepił sobie przeświadczeniem czy też ślepą wiarą *in verba magistri*. Zdaje się, jakby pragnął zostać wyobrazicielem jakiegoś areopagu, a raczej koteryi, według dowolnych i nieruchomych formuł oceniającej każde nowe zjawisko w świecie literackim. Nigdy jednak dotąd nie spostrzeżliśmy i nie podziwiali tyle względnej staranności, jak w tym ostatnim artykule, mozołącym się zdepopularyzować Pana Zygmunta w Hiszpanii. Ale mimo tubalnego odezwania się głosu tego, było głos wołającego na puszczy, chociaż w Gazecie wydrukowany.

My co na wsi mieszkamy, zwykliśmy pomimo naszych gospodarskich zatrudnień, poświęcać dużo czasu czytaniu, i jesteśmy może najpracowitszemi, jeżeli nie najsumienniejszemi czytelnikami miejscowych utworów. Pretensyi do wyrokowania o nich nie roszczęc sobie, wymagamy jednak żeby ci, co chcą kierować sądem naszym, pomagać mu, ulepszać go, prostować, postępowali z nami już jako z czytelnikami, których tylko ołsnąć i zakrzyczyć niegodzi się. Nas trzeba już przekonywać. W stronach gdzie mieszkam, nietylko ja sam czytałem Zygmunta; zapatrywanie moje na ten utwór przedstawia nietylko moje myśli i spostrzeżenia, ale

wszystkich tych, co go z współluczeniem i z uwagą przeczytać zechcieli. Ponieważ zaś sąd owych dwóch pseudo-recenzyj znalazłem niezgodnym z naszym, te kilka uwag o Panu Zigmuncie w Hiszpanii ośmielam ci się przesłać, szanowny autorze, prosząc, abys je raczył uważać jako sumienne i bezstronne sprawozdanie z wrażenia, jakie pierwsza twa powieść na czytelników w moich stronach wywarła. Prosimy o drugą. Za bezstronność tego co napisałem ręczy naprzód to, że się nie znamy osobiście, i że z żadną z warszawskich literackich koteryj nigdy styczności nie miałem; a gdybyś uważał, że ten artykuł można ogłosić, prosiłbym o zamieszczenie go w Bibliotece Warszawskiej: jedyne to pismo, dające rękojmię większej dbałości i bezstronności w ogłaszaniu artykułów swoich krytycznych.

W. D. z P. obywatel z radomskiego.



ROZMAITOCI.

Dopełnienie artykułu: O najdawniejszych prawach litewskich, upatrzonych przez p. Maciejowskiego w dyplomatach z XIII wieku, Rydze i Inflantom służących.

Pominąwszy już wspomniane dyplomata, dodać tu jeszcze winniem: że komu by koniecznie podobało się szukać u Niemców inflanc-kich śladów najdawniejszego prawodawstwa Litwy, mógłby, z większym nawet podobieństwem do prawdy, niż w nadaniach i przywilejach, upatrzeć takowe w ich *prawie rycerskiem*, które przez Alberta arcybiskupa rygskiego w r. 1228, a zatem spólcześnie z owemi dyplomatami, ogłoszonym było. Czytamy bowiem w rzezoném prawie następujące o dłużnikach rozporządzenie: „Kto sądownie upomina się o swoją należność od dłużnika, który jej opłacić lub rękojemców stawić nie może, sędzię za pieniądze zawinione, dłużnika wydać powodowi, a ten go na równi z czeladzią swoją karmić i do pracy używać będzie. Jeśliby wierzyciel chciał go osadzić w więzieniu, wolno mu to uczynić, lecz go innym sposobem dręczyć nie ma prawa.” (*Erzbischof Alberts von Riga Liefländisches Ritterrecht von 1228. B. II C. 28 in Arndts Lieflän. Chron. B. II. str. 27*). Któż nie zna podobnego rozporządzenia w statucie litewskim, gdzie czytamy: że sąd może dłużnika, którego majątek na zaspokojenie długu nie wystarcza, naprzód zatrzymać w więzieniu, póki rękojemstwa nie da, iż stronę zaspokoi. Dalej zaś mówi statut: „A nie będzieci miał rękojemstwa, tedy urząd stronie powodowej, winnego wydać ma, a on go w więzieniu dzierżyć ma, aż mu za wszystką sumę przysądzoną dosyć uczyni.” (*R. IV. ar. 98, § 6*). Tylko Tatarom i żydom niegodziło się w ten sposób postępować z dłużnikiem swoim; bo gdyby kto z sądu w zapłacie jakiej był im wydany, wówczas z wielkiej summy wyrobi się za lat siedm, z małej zaś potrącić należy mężczyźnie co rok rubel groszy (35 złp. 21 gr.), a kobiecie kopę groszy (21 złp. 12 gr.), ale pokarmu i odzienia dostarczy wierzyciel (*R. XII, ar. 9*). Odsunąwszy więc ten dodatek o Tatarach i żydach, którego miejscowe wymagały okoliczności, przywiedzione rozporządzenie statutu, niemal dosłownie zgadza się z pra-

wem rycerskiém Inflant, a zupełnie się różni od Prawdy Ruskiej, która w podobnym przypadku każe dłużnika przedawać na targu (*Rakowiecki, II, str. 78*). Zdaje się więc, że prawo statutowe o dłużnikach, mogło wypłynąć z prawa rycerskiego Inflant, kiedy tak uderzające między nimi zachodzi podobieństwo; a jednakże nie śmiałbym tego z pewnością utrzymywać, bo samo podobieństwo nie jest jeszcze dostatecznym na to dowodem. Nie wiemy, czy podobne postępowanie z dłużnikiem miało już miejsce w Litwie przed nastaniem praw pisanych, a tém bardziej w czasach pogańskich. Nie znajdujemy nawet takiego rozporządzenia w Iszym i 2gim statucie. Jeżeli więc tak się rzecz ma, widoczna zatem, że to prawo nastać musiało dopiero w czasie redakcyi statutu 3go; ale czy nastąpiło przez naśladowanie rycerskich praw Inflant, czy jakiego innego wzoru, lub wynikało z własnego redaktorów pomysłu, tego trudno dzisiaj dowodzić: to tylko pewna, że w jakimbądź razie, nie należy już do dawnych praw Litwy. W tego rodzaju badaniach z wielką trzeba postępować ostrożnością, żeby rzeczy swoich nie wziąć za obce, a obcych za swoje. Dla nauki częstokroć korzystniejsza będzie *docta ignorantia*, niż bezdowodne twierdzenia.

J. J.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Wyczytawszy w zeszycie Biblioteki Warszawskiej na miesiąc luty r. b. wspomnienie o Janie Stefanie Wydźdze, jako potomny imiennik tegoż, ośmielam się niektóre wyjaśnienia szczegółów szanownej redakcyi przesłać.

Rodzina Wydźgów nie z mazowieckiego, lecz z krakowskiego województwa pochodzi, jak Długosz, a z niego Maciejowski w dziele swoim z r. 1842: „Polska pod względem zwyczajów i obyczajów, w tomie Iszym na str. 13 to przywodzi, mówiąc: „Wydźga z Czorsztyna dostawił dla Krzyżaków w darze, Wisłą na pięciu statkach, pszenicę, żyto, wino, miód i 300 wołów.” To samo i Naruszewicz w Historji polskiej, pod panowaniem Bolesława Wstydlwego, mówi, że: „Jan z Czorsztyna Wydźga długie spory i wojny między Przemysławem księciem wielkopolskim, a Światopełkiem pomorskim, będąc obudwóch książąt przez żonę pokrewnym, pogodził i zaspokoił.” Tenże był kawalerem teutońskim i dostawił Wisłą dla wzrastającego wówczas zakonu Krzyżaków r. 1244 wyż wspomniony dar; wszakże i zeszyt Biblioteki Warszawskiej z roku 1844, w tomie IVtym, z miesiąca kwietnia to samo powtarza, i nazwisko Wydźgów z krakowskiego pochodzące mieni. Niesiecki w tomie pierwszym pod literą C, na stronnicy 390, pod Czyżowskiemi herbu Półkozic, cytuje i syna tegoż Wydźgi Michała kasztelana krakowskiego i starostę, powołując na to Papreckiego; a sam Niesiecki pod rokiem 1252 między kasztelanami krakowskimi, jako Jastrzębczyka (ten jest herb Wydźgów) tegoż Michała umieścił w tomie pierwszym; wreszcie kasztelania sande-

cka i starostwo sandeckie w krakowskiem województwie, a tak pochodzenie Wydzgów z krakowskiego z przekonaniem dowiedzione. Nie Kiewliczówna matka Wydzgi, lecz Ziemliczówna, jak Niesiecki w tomie IIgim pod literą K tę rodzinę na Podolu zamieszkałą, wspomina. Biskup przemyski podkanclerzy koronny, nie Trzeciecki, lecz Trzebiński, który Wydzgę do dworu z nauki i talentów zalecił, jak Niesiecki i wielu innych o Trzebińskim podkanclerzu koronnym dowodzą. Trzecieckiego podkanclerzego nie było; Andrzej Trzeciecki wstawił się pismami: jestto ten, co uwolnił Sztankara, idący za nauką Zwingla; między innemi należał do składu Aten sarmackich. Wydzga nie w roku 1684, lecz w roku 1648 na sejmie elekcyjnym miał kazanie; to musi być omyłka druku.

Ządanych przez króla Jana IIIgo pieniądze na wyprawę wiedeńską Wydzga udzielić nie chciał, jako dla rzeczypospolitej niepolitycznej, przeciwniej, która spowodowała dla Polski utratę Kijowa, Czerniechowa i księstwa siewierskiego; a wiadomo, jakie mowa prymasa w senacie, jako naganiająca panowanie i politykę króla Jana, i przymówienie się Opałińskiego, zrobiły na królu wrażenie, nieukontentowanie. Po śmierci prymasa Wydzgi brak panegiryku, tamtym czasem zwyczajnego, przyznać należy Jezuitom, którzy wówczas jedynie z takowemi występowali, a prymas Wydzga był nieprzyjazny Jezuitom, i tego zakonu nie protegował; dlatego i Niesiecki jako Jezuita dosyć zaokrąglił o Wydzdze, kiedy o innych prymasach, choć mniej światłych, nieodznaczających się, a nawet może postępowania nagannego i wspomnień szkodliwych, ale jako protektorów przyjaznych i fundatorów tegoż zakonu, długo, rozciągle, i z panegirykiem rozpisywał się. Nadto wystąpienie Wydzgi z projektem prowadzenia księcia francuzkiego na tron, usilne popieranie przez Wydzgę tegoż, wnioskowanie ztąd zaprowadzenia tronu dziedzicznego, w szlachcie polskiej wówczas fanatycznie do wolności elekcyi królów przywiązanej, bynajmniej z téjże złych skutków niepojmującej, zuchwale burzliwej, a w oświecaniu się wtenczas zaniedbałej, nieprzyjazną i nienawistną opinią dla Wydzgi ściągnęło, i jako nieprzyjaciela złotój wolności, najcelniejszego jej klejnotu: wolnego obierania sobie królów, głosiła. Przekonać się o tém można, kiedy później w półtora wieku przeszło, spełnienie tego projektu roku 1792, tak silną opozycją wywołało; tylko dzisiejsza potomność ocenić potrafi tak wzniosły, wysoce polityczny i światły, blisko przed dwoma wiekami naprzód wniesiony pomysł Wydzgi. W archikatedrze gnieźnieńskiej, wedle Gazety Polskiej w roku 1829 wychodzącej, gdzie opis katedry gnieźnieńskiej znajduje się, są wyszczególnione kaplice tamże; między temi dziewięta z porządku jest Wydzgów, gdzie nagrobek tegoż, jako fundatora, znajdować się może.

Dutrów,
d. 14 marca, 1852 r.

Józef Wydzga.



WIA DOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

W dniu 12 stycznia r. b. przedstawił p. Bussy Akademii umiejętności paryżkiej ostatnią część pracy p. Chatin, tyczącą się znajdowania niejednakowej ilości jodu w powietrzu, wodach, ziemi, i ciałach służących na pożywienie, rozmaitych okolic Alp, Francyi i Piemontu.

Z powyższych badań przekonał się p. Ch., że stosunek jodu w wodach, powietrzu, gruncie i płodach rolnych, zmienia się ze względu na miejscowość. Gdy ilość ta wynosi $\frac{1}{400}$, narośl zwana wole zaczyna się objawiać, gdy zaś stosunek ten zniża się do $\frac{1}{1000}$, wole często się okazuje, a przy $\frac{1}{2000}$ wole jest chorobą pospolitą. Ztąd wypływa podział geograficzny na trzy strefy: w pierwszej wole jest prawie nieznaną, bo ta zawiera jodu najwięcej $\frac{1}{100}$. (Paryż, Orlean, Londyn); w drugiej jodu jest najmniej $\frac{1}{2000}$ (niektóre części Alp); do trzeciej pośredniej liczą się okolice mające jodu od $\frac{1}{500}$ do $\frac{1}{1000}$ (Lyon, Chambéry, Grenoble). (*L'Institut, 14 Janvier, 1852*).

* P. E. Filhol, professor chemii w szkole lekarskiej w Tuluzie, robił poszukiwania tyczące się mocy odbarwiania, jaką posiada węgiel i inne ciała. W tej pracy starał się okazać:

1. Że z pierwiastków, nie sam tylko węgiel ma własność odbarwiania cieczy: siarka, arsenik, żelazo (otrzymane z wodanu półtoro niedokwasu żelaza, przez wodoród), są nią także obdarzone.

2. Że liczba ciał złożonych posiadających moc odbarwiania jest większa, aniżeli by sądzić można; i że własność ta zdaje się zależeć więcej od okoliczności fizycznych, a szczególnie od podzielności, niż od chemicznych.

3. Że pewne ciało, które z łatwością wciągnie w siebie jeden barwnik, może z trudnością pochłaniać drugi; tak np. fosforan wapna z kości (otrzymany sztucznie), zaledwo odbarwia siarko-indychtan sody, a na roztwór lakmusu działa mocniej niż węgiel zwierzęcy.

4. Odbarwianie w bardzo wielu przypadkach należy do zjawisk czysto fizycznych; tak więc ten sam barwnik bywa pochłaniany przez

niemetale, metale, kwasy, zasady, ciała żywotne. Wreszcie można z łatwością przez użycie właściwych ciał rozpuszczających, odebrać barwę nieczepną temu ciału, które ją wprzód pochłonęło. (*L'Institut* z 18 *Février*, 1852).

* *Wydzielanie niektórych trucizn.* P. Augustyn Felix Orfila, opierając się na własnych doświadczeniach doniósł: że dając zwierzętom przez pewien czas dwuchlorek żywego srebra (sublimat), octan ołowiu, siarkan miedzi, i saletran srebra, uważał: iż merkuryusz niknie zupełnie z ich organów w 8 lub 10 dniach, raz bowiem tylko znalazł go jeszcze w 18tym dniu; ołów i miedź wykrył w wątrobie, kiszkach i kościach w 8 miesięcy po zażyciu; srebra, które w niektórych przypadkach w wątrobie znaleziono w czasie do 6 miesięcy, już wcale wykryć nie mógł w 7 miesięcy od czasu zażycia saletranu srebra. W ciągu powyższych poszukiwań, p. O. znajdował ołów, miedź i merkuryusz w moczu; dwa pierwsze metale zaczęły się wydzielać w 2 dni po zażyciu trucizny, trzeci, to jest merkuryusz dopiero w dni 8. Wcale zaś nie mógł wysledzić srebra w moczu zwierząt, którym zadawano saletran srebra. (*L'Institut* z 26 *Février*, 1852).

* *Rozbiór wody deszczowej Paryża.* P. Barral podał wypadki swych doświadczeń tyczących się deszczówki, którą zebrał w ciągu 6 ostatnich miesięcy r. 1851, w okolicach obserwatorium paryzkiego.

Liczby wyobrazają ilość ciał na wagę; z nich okazuje się, że tą drogą będzie można wykryć różnice składu wody deszczowej w różnych miesiącach.

Woda z udometru tarasowego (obserwatorium), z drugiej połowy roku 1851, wydała z metra sześciennego, średnio:

Saletrorodu.	6 ^{gram.}	397.
Amonii	3	,334.
Kwasu saletrowego	14	,069.
Chloru	2	,801.
Wapna	6	,220.
Magnezyi	2	,100.

Woda z udometru podwórza (obserwatorium), zebrana w ciągu 5 ostatnich miesięcy roku 1851, w metrze sześciennym okazała:

Saletrorodu.	7 ^{gram.}	939.
Amonii	2	,769.
Kwasu saletrowego	21	,800.
Chloru	1	,946.
Wapna	5	,397.
Magnezyi	2	,300.

Gdyby, biorąc za podstawę niniejsze liczby, obliczono ilość powyższych ciał, powstałych z deszczu, na hektar ziemi umieszczonej na tarasie obserwatorium paryzkiego przez 6 ostatnich miesięcy 1851 r.; otrzymanoby wypadek następujący:

Saletrorodu	13 ^{kl.}	490.
Amonii	7	,032.
Kwasu saletrowego	29	,695.

Chloru	5 ^{bil.} ,910.
Wapna	13 ,114.
Magnezyi	4 ,450.

Na hektar zaś ziemi umieszczonej w wysokości podwórza rzeczono-
nego obserwatoryum, przez przeciąg pięciu ostatnich miesięcy r. 1851,
wypadłoby:

Saletrorodu	12 ^{kd.} ,323.
Amonii	4 ,299.
Kwasu saletrowego.	33 ,840.
Chloru	3 ,019.
Wapna	8 ,398.
Magnezyi	3 ,700.

(L'Institut z powyższego dnia).

J. B...a.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Podziemne zwierzęta. Pod napisem *Specimen faunae subterraneae* J. C. Schiödte wydał rozprawę w duńskim języku, której angielski przekład na dniu 6. stycz. r. z. Towarzystwu entomologicznemu londyńskiemu złożył dr. Wallich. Pismo *Zoologist* (Febr. 1851) tak o tém donosi (str. 3039): W r. 1768 znaleziony został najprzód w jaskiniach Krainy, później zaś w grocie Magdaleny przy Adlersbergu w Illiryi, ów osobliwy ślepy płaz *Proteus anguinus* (1). W r. 1840 Koch podał wizerunek czerwiał z fam. stonogowatych, *Pherusa alba*, również w jaskini przy Adlersbergu odkrytego, a we cztery lata później znalazł się w Luegskiej jaskini owad z chrząszczowatęj fam. *Carabidae* (*Anophthalmus Schmidtii*). Nietylko miejscowość wykrycie to godném uwagi czyniła: uosobliwiał je nadewszystko brak oczu, które u innych téj samęj familii zwierząt tak całkowicie są rozwinięte. Oczy u odmiénca (*Proteus*) są tak mało rozwinięte, że tylko wrażenia ogólnego światła, ale bynajmniej żadnych określonych przedmiotów przyjmować nie mogą. Zależność ślepoty w mieszkańcach jaskiń z niedostatkim w tych jaskiniach światła, jest jasna. Dopóki jedno tylko znane było zwierzę, a dotego w biegnącym strumieniu mieszkające, zatem nie na zupełną ciemność skazane, uważano tę jego ślepotę jako wyjątek. Ale gdy i inne jaskiń mieszkańce poznane zostały, które nietylko że były ślepe, lecz i do całkiem odmiennych gromad i t. d. należące, musiała powstać myśl, że te zwierzęta są ogniwami łańcucha, który podziemna fauna tworzy, a których cechą jest ślepotą. (*T. 1851 nr. 280*).

(1) Odmieniec węzowaty. *Zob. Bibl. Warsz.* z r. 1849 tom III, str. 204.

* *O ślepej rybie z jaskini Mamutowej.* (Z listu L. Agassiza do prof. B. Sillimana). Ślepa ryba z Mamutowej jaskini była opisana najprzód r. 1842 w 3cim tomie (str. 187) Zoologii Nowego Yorku p. dra. Deekesa, pod nazw. *Amblyopsis spelaeus* i wątpliwie załączona do fam. sumowatych (*Siluridae*), ponieważ z moim rodzajem *Cetopsis* odległe podobieństwo okazywała. Dokładniejsze opisanie ryby dał potem dr. Wyman w *American Journal of sc. and arts*, 1843, na str. 94.

W r. 1844 ogłosił dr. Tellkamp w Archiwum Müllera opisanie téjże ryby więcéj jeszcze obejmujące szczegółów, przy czém namienił i o wielu innych zwierzętach, które się w téj samej jaskini znajdują, a z których najciekawszem jest czerw, *Astacus pellucidus* przez niego nazwany, i już przedtém z opisu p. Thompson, prezesa Tow. nat. w Belfast znajomy. Tak pan Thompson jako i dr. Tellkamp mówią o oczach u tego gatunku, jednakże twierdzenie ich spoczywa na błędzie. Wiele okazów badałem, i przekonałem się, że tam widać tylko szypułkę oka, lecz nie ma na końcu oczowych ścianek, jak u innych raków,

P. Thompson mówi daléj o szarańczy, bardzo blizkiej gat. *Phalangopsis longipes*, która w całej jaskini licznie się znajduje. Z pajaków odkrył tam dr. Tellkamp dwa gatunki bezokie, białe, które *Phalangodes armata* i *Antrobia mammothia* nazywa; potem muchy z rodz. *Anthomyja*, maleńką garnełę, *Triura cavernicola*, i dwa ślepe chrząszcze *Anophthalmus Tellkampfi* Erichs. i *Adelops hirtus*. Większą część tych zwierząt opisał potem całkowicie i w wizerunkach przedstawił Tellkamp w Archiwum Erichsona z r. 1844, na str. 318 i nast.

Wymoczki znalezione w jaskini są takie jak *Monas kolpoda*, *Monas socialis* i *Bodo intestinalis*. Ja znalazłem jeszcze nowy *Chilomonas*, który dr. Tellkamp *Ch. emarginata* nazywa, i inny blizki gatunku *Kolpoda cucullus*.

Deekey załączył, jak już powiedziałem, wątpliwie ślepa rybę do sumowatych. Dr. Tellkamp ogłosił ją jednak za zworze familii osobnej. Także i dr. Storer w swoim w r. 1846 wydanym Przeglądzie ryb północno-amerykańskich (Porówn. *Memoires of the American Academy of arts and sc.*) podziela zdanie, że ryba ta tworzy familią osobną, którą *Hypsacidae* nazywa. Z powodu, że ona żywy płód wydaje i ze względu na cechę w łuskach, jako téż na kształt i budowę głowy, uważam tę rybę raczéj za odstępne zworze karpiozębnych (*Cyprinodontes*).

Zapytujesz mnie pan o zdanie we względzie pierwiastkowego stanu zwierząt w Mamutowej jaskini. Jestto jedno z najważniejszych zadań historyi naturalnej, i już przed kilku laty podałem do rozwiązania go metodę, której staranne rozwinięcie mogłoby doprowadzić do nader ciekawych wypadków, bo tym sposobem na zawsze rozwiązaniemby być mogło pytanie: w jakim stanie dziś żyjące na ziemi zwierzęta pierwiastkowo stworzone były? Ale to dochodzenie wyciągałoby tyle trudu i czasu, że jest rzeczą nader wątpliwą czy się da uskutecznić. Należałoby najprzód grůntownie zbadać anatomią zwierząt znajdujących w jaskiniach i w rozległy sposób porównać pod tym względem pokrewne gatunki, rozpoznać potem dokładnie embryologią jednych i drugich, wreszcie doświadczyć wychodowania embryonów zwierząt jaskiniowych, w innych miejscach.

Jeżeli organizm zwierząt odsiężają potęgi fizyczne, można tu było bardzo łatwo dojść tego. Ja sędzę, że ślepe zwierzęta jaskiń tylko póki są embryonami, ukażą organa widzenia w stanie w jakim je znajdujemy przy normalném rozwijaniu się zworcz, do których należą, i że nawet wtedy, gdybyśmy dopuścili działania światła w stopniu tak słabym, iż nie zdołałoby im szkodzić lecz było dostateczném do rozwinięcia oczu u pokrewnych widzących gatunków, młode gatunków jaskiniowych stałyby się zwolna ślepymi, gdy u innych organa widzenia należycieby się rozwinęły. Bo wszystko co wiem o geograficzném rozłożeniu zwierząt, przekonanywa mnie że one były stworzone pod temi samemi okolicznościami, pod któremi żyją teraz wśród zakresu swojego geograficznego rozłożenia, i z terażniejszą swoją znamionującą je budową. Wszakże to jest tylko wywód z prawd początkowych, ale gdyby kto doświadczeniami wprost czynionemi pytanie rozwiązał, na zawszeby zapewnił sobie wdzięczność umiętności. Byłbyto piękny cel dla młodego amerykańskiego natury badacza, któryby postanowił całe swe życie i starania na rozwiązanie jedynego wielkiego zagadnienia poświęcić. (*T. 1851 nr. 280 z Sillim. Am. Journal of sc. & arts, Jan. 1851*).

* *O geograficznym rozkładzie ryb.* Następującemi trafniemi uwagami prof. Ludwik Agassiz swoje opisanie ryb Wyższego jeziora (Agassiz, on Lake Superior p. 246) zakończył: „To krytyczne zbadanie ryb Wyższego jeziora i innych wielkich jezior Kanady, było piérwszym krokiem do dojścia pierwiastkowych przyrodzonych stosunków pomiędzy temi rybami, a wodami przez nie zamieszkiwanemi. W takiej rozległości porównywałem europejskie ryby wód słodkich z amerykańskimi, że śmiało utrzymywać mogę, iż wszystkie bez wyjątku amerykańskie gatunki, są od europejskich odmienne, przy czém wszakże raz jeszcze ostrzedz muszę, iż to się wyłącznie do właściwych ryb słodkiej wody ściaga.

Wiadomo mi dobrze, że łosoś, który zachodzi w rzeki północnej i środkowej Europy, znajduje się także w rzekach północno-wschodniej Ameryki i wstępuje do rzék uchodzących do oceanu Atlantyckiego; ale ta ryba należy do arktycznych ryb morskich, które corocznie z wielu innymi na południe wędrują: te zaś gatunki są obudwu częściom świata wspólne. Przeciwnie te gatunki, które nigdy wody słodkiej nie opuszczają, są w obudwu częściach świata zupełnie odmienne, i w każdej znajdujemy pod różnemi szerokościami gatunki inne, chociaż jedne daleko większy geograficzny rozkład mają niż drugie.

Okazaliśmy np. że we wszystkich niższych jeziorach znajdują się zworza, które się nigdy nie dają spostrzedz w jeziorze Wyższém, ani dalej na północ, a większa część gatunków Jeziora Wyższego, są jemu samemu właściwe. Łososiowate tylko rozleglejszy mają rozkład, i jedne z nich są na całym rozpostarcie téj fauny, drugie mieszczą się tylko w bardzo ograniczonym jój zakresie.

Jestto więc okoliczność w każdej faunie zwyczajna, pod względem geograficznego rozkładu zwierząt, że niektóre pewnych familij gatunki znajdują się bez różnicy w rozległych zakresach, wpośród których wiele gatunków innych familij mają bardzo ograniczony zakres mieszkania.

Uważając wszakże przedmiot z najogólniejszego stanowiska, dojdziemy mimo te zboczenia do wniosku, że wszystkie ryby wód słodkich pomienionego zakresu, właściwe są tej tylko części świata, i w żadnej innej napotkać się nie dadzą.

Mają one podobniki swoje w innych częściach świata, nigdzie jednak zewnątrz granic amerykańskiego lądu nie znajdziemy ryb, któreby takie same jak w tym zakresie były. Minogi w powiecie jezior, mają w Europie niezmiernie podobne sobie, wszakże nie zupełnie takie same. Jesiotry tegoż powiatu nie takie są jak w Europie i Azji. Sumy są również odmienne. Te same podobieństwa i różnice znajdujemy w okuniach, węgorzach, łososiach i karpach. We wszystkich familiach całej umiarkowanej strefy, znajdują się w obudwu częściach świata, blizkie powinowactwa, które jednak nie do tychże samych należą gatunków; a obok tego znajdujemy zworza, które albo wyłącznie amerykańskiemu lądowi są właściwe, np. *Lepidosteus* i *Percopsis*, albo też należą do rodzajów które w obudwu częściach świata nie mają jednoczesnych wyobrazicieli a zatem mniej lub więcej różnią się od tych, których tak dokładne podobniki znajdujemy. Tak familia okuniowatych ma w Europie wiele rodzajów, które żadnych wyobrazicieli w Ameryce nie mają, a nawzajem w Ameryce jest wiele tej familii rodzajów, które w obudwu częściach świata mają wyobrazicieli, wszakże należących do gatunków odmiennych.

Z uwag tych przychodzi autor do wniosku, że ryby i wszystkie zwierzęta wód słodkich w wielkich jeziorach mieszkające, musiały być stworzone tam, gdzie żyją, i że rozsądek nie dozwala przyjmować, ażeby stworzonymi będąc w innej części świata i z niej przeniesionemi, wyginęły w pierwotnym swoim siedlisku a rozmnożyły się w krainach odległych od niego. Gdziekolwiek dany był jaki gatunek, czy też zworze, musiał tam oraz znajdować się i zbieg warunków jego życia przyjazny. Agassiz sądzi, że i liczba czyli stosunek każdego gatunku, należy do jego niezmiennych własności, to jest że tego, którego dziś jest wiele, było i od samego początku wiele, lub naodwrot; że więc np. te ryby które wielkimi gromadami żyją, nie mogły być w pojedynczych parach stworzone, albo te które drugim służą na pokarm (pożerane) stworzone być musiały w innym stosunku niż te, które pokarm z nich mają (pożerające); te które wszędzie są w mnóstwie, musiały być od początku w takiej liczbie, że zawsze miały się w stosunku normalnym do tych które żyją pojedynczo i ciągle w małej liczbie znajdowane bywają; ponieważ, jak wiemy, harmonia numeryczna między zwierzętami, jest jednym z wielkich praw natury. Okoliczność, że gatunki w pewnych tylko granicach nawet tam się znajdują, gdzie dalszemu ich szerzeniu się nic na przeszkodzie nie staje, prowadzi znowu do wniosku, że te granice od początku były im wytknięte, a z tego naostatek wypadnie, że porządek w całym stworzeniu panujący, umyślny był i ustanowiony od samego początku i po wszystkie czasy utrzymywał się niezmienny, z wyjątkiem odsiężeń spowodowanych przemysłem człowieka, który sobie pewne zwierzęta do użycia wybrał, tak jak pojedyncze tu i owdzie gatunki z ich pierwotnego siedliska sztucznie poprzemienił w inne (*T. 1850, nr. 182 z Edinb. new Philos. Journ. Apr. July 1850*).

* Na posiedz. Akad. um. w Montpellier, p. Marès czytał ciekawe postrzeżenia nad działaniem zimna na ryby. Mrozy w ostatnim tygodniu r. 1849 i w pierwszych piętnastu dniach r. 1850, zgubny wywarły wpływ na ryby słonych stawów nad brzegiem Śródziemnego morza. Od pierwszego tygodnia w styczniu, odrętwiałe ryby wypływały na wierzch wody. Znaczną liczbę takich wybrano ze stawu Thau. Świebrzany (*Chrysophris aurata*), pierwsze padły ofiarą zimna i wynikły w stawach. Wilczany (*Labrax lupus*), także w niemałej liczbie wyginęły, równie jak mułaki (*Mugil*). Przeciwnie węgorze, ukryte w szlamie, oparły się mrozom. Podobne skutki objawiły się już w r. 1829, w którym zimna wypłeniły te stawy. Termometr ustawiony na jednej ze wzgórzystości staw otaczających, okazywał w pierwszym tygodniu stycznia o godz. 8 z rana, 6° C. Pewna jest rzecz, iż to nie było minimum temperatury w tym okresie czasu. (*Ib. nr. 138 i Revue et mag. de zoologie, 1850 nr. 2 p. 138*).

* Dr. Leydig z Wireburga pod d. 31 marca 1850 r. podał do dziennika *Tagsberichte* tymczasową wzmiankę o postrzeżonej przez siebie odłomności w ustroju zwyczajnego jazgarza (*Acerina cernua* C.). Rybka ta odznacza się, jak wiadomo, licznymi dołkami na głowie. Wszystkie leżą w kierunku kanałów śluzowych i ztąd powstają, że górna czyli przednia koścista ściana śluzowego kanału, zawsze ma okrągławe otwory, przez które tylko zewnętrzna skóra, zagłębienie tworząc, przechodzi. Ściągając ostrożnie od tyłu ku przodowi skórę jazgarza np. ze szczęki dolnej, ujrzyć można z pomocą lupy we czterech otworach do śluzowego kanału prowadzących, że od nerwu, który się wzdłuż dolnej szczęki ciągnie, rozbiegające się na bok gałązki, wchodzą, jedna w każdy otwór, do śluzowego kanału, i że każda taka gałązka ku końcowi nieco się rozszerza, a nareszcie kończy się żółtawym, guzikowatym, około 1/4 lin. wynoszącym ciążkiem. Dr. Leydig znalazł dotąd około 35 takich guzikowatych zakończeń nerwów w kanałach śluzowych, po każdej stronie głowy i odpowiednio liczbie dołków tamże. Opisuje tymczasowo w krótkości tak rozgałęzienia pomienionych nerwów, jako i guziki je zakończające, dostrzegając wszystkiego mikroskopem; wszakże obiecuje na przyszłość opisanie obszerniejsze i objaśnienie wizerunkami tych, jak sądzi, nieznanych dotąd ciałek w organizacyi ryb kościstych. (*T. 1850 nr. 79*).

* P. Sundewall (w Akad. Sztokolm.) okazywał rybę niezwykłego wejrzenia, to jest złotego okunia, w pierwszym dniu Wielkiej nocy przy Eskilstuna złapanego i darowanego krajowemu muzeum, gdzie dotąd się zachowuje. Trzymano go w sadzu; żywy jeszcze (do Sztokolnu) przybył, ale nazajutrz żyć przestał, zbyt utrzęsiony w czasie transportu. Ma 8 1/2 cali dług. prócz ogonowej płetwy i jest nieco węższy od okuniów zwyczajnych, przez co zdaje się że ma płetwy większe niż zwyczajnie. Kolor żywej ryby na całym ciele był wyraziście czerwono żółty, czyli nieco czerwieńszy jak u małego zwyczajnego karpia złotego, z niejakimi śladami czarnych plam na grzbiecie. Koniec pierwszej płetwy grzbiecовой był, jak zwykle, czarny; zresztą płetwy były czerwone, a płetwy brzuchowe czerwone jak u zwyczajnych okuni. Górna część okręgu

oczego była blada i zdawała się nabrzmiąta. Po włożeniu w spirytus, kolor znacznie spłowieł, i powychodziły ciemne zwyczajne okuniom znamiona wzdłuż grzbietu, lubo niedoskonałe. Podobny i tój samej wielkości okuń z jeziora Regnan w północnym końcu wschodniej Gotlandyi, był już przed 10 laty do muzeum darowany. (T. 1852 nr. 436 z *Öfvergift etc. Arg.* 8, 1850, p. 155).

* Kupiec Motzfeldt w Grenlandyi, widział przy Holsteinsborg stado włóczników (*Xiphias gladius*) utrzymujące w obrotach grenlandzkiego wieloryba, którego otoczywszy wokół, przesunęło się z nim od południa tuż przy łodziach. Niektóre z tych ryb, uchwyciły się zażarcie ogona i piersiowych płetw wieloryba, gdy inne przeskakiwały ponad oddechowym otworem jego, skoro się wzniosł nad powierzchnią morza, a inne znowu ciężkie razy z boku mu zadawały. Ciekawi na czém się ten bój skończy, ludzie popłynęli łodziami za stadem. Wieloryb zwrócił się w zatokę; tu wydarł się napastnikom i taki cios jednemu z nich krąwędzią ogonowej płetwy w samą głowę zadał, że uderzony włócznik bardzo wolno spadł na dno morskie, zapewne nieżywy. Wieloryb potem tak daleko zaszedł w zatokę, że głowa jego aż na ląd się wsunęła; w tém położeniu był zabity. Wszakże przed morsem zdaje się włócznik uciekać; widziano jak ostatni w walce z nim poległ. Przy Nouksuak w północnej Grenlandyi, kilku Grenlandczyków powzięło zamiar na spoczywającego morsa uderzyć, gdy z drugiej strony stado włóczników wpadło na niego. Gdy już bardzo blisko jego stanowiska byli, mors się zanurzył, poczem całe stado na wszystkie strony rozproszyć się miało. Grenlandczycy ujrzeli że największy z włóczników w niejakićj odległości znowu się wynurzył, dźwigając przy swoim boku morsa, który w nim kły zatopił. (T. 1850, nr. 17 z Eschrichta Postrz. nad półn. wielorybami Tom I).

* *O rybach łososiowatych*, p. Ludw. Agassiz (z jego dzieła o Wyższem jeziorze). Familia *Salmonidae*, w tój rozległości w jakiej ją Cuvier uważał, stanowi zworze na całej powierzchni ziemi rozpostarte, rozciągające się zarówno do mórz jak i do wód słodkich, tak że przyrodzone jego stosunki do reszty stworzeń bardzo trudno oznaczyć. Gdy Jan Müller, na wskazanie księcia Canino, gruntowniej zbadał anatomią tych ryb, i rozdzielił je na *Salmonidae*, *Characini* i *Scopelini*, natychmiast światło na tém polu zabłysło. *Salmonidae*, nie jak są u Cuviera, lecz w ścieśnieniu Müllera, należycie odznaczające się obecnością pozornęj skrzeli na wewnętrznej powierzchni skrzelowej pokrywy, obejmują ryby wyłącznie północnej umiarkowanej strefie właściwe, utrzymujące się w niezmierzonej mnogości na całym okręgu polarnego morza, z kąd mierzytelnie w pewnych porach roku do rzek dla zniesienia ikry wpływają, prócz niektórych co stale w słodkiej przebywają wodzie. Mamy więc tym sposobem w *Salmonidae* Müll. familią ryb prawdziwie północną, która choć i w cieplejszych ukazuje się okolicach, tam jednakże trzyma się tylko czystych i zimnych strumieni na górach, nieraz w wielkiej nad powierzchnią morza wysokości i niedaleko linii śniegowej, albo też w głębokich zimnych jeziorach mieszka. Że ta familia do zimnych

stworzona jest okolic, pokazuje się mianowicie ztąd, że wszystkie jej gatunki odbywają tarcie w zimnej porze roku, gdy woda rzek w których się to dzieje, jest bliską punktu marznięcia. Zapłodki w jaju rosną bardzo powoli, blisko przez 2 miesiące, nim się wyklują, gdy tymczasem zapłodnione jaja ryb niektórych innych familij, na wiosnę i latem tarcie odbywających, wykluwają się w kilka dni po zniesieniu. Właściwe to-sosiowate ryby wylęgają się w takiej porze roku, w której zwykle rzeki stawają, w której przeto maximum temperatury na dnie wody, gdzie jaja i młode w żwirze leżą, 40° F. (35°/9 R.) nie przenosi.

Szczegóły te, równie jak i wszystko co o sposobie życia tej familii wiemy, jasno okazują, że żadna inna na całej powierzchni ziemi nie żyje pod jednostajniejszymi warunkami, a jednakże gatunki jej są bardzo rozliczne i we wszystkich krainach, w których się one znajdują, postrzegamy osobne. Tak w jeziorze Wyższem są gatunki, które się nie znajdują w rzece Mackenzie i Saskaczawan, i odwrotnie w rzece Kolumbii odmiennie od tych, które ma Lena, Obi i Jenissej, gdy Europa przedstawia znowu swoje właściwe kształty.

Kto historią naturalną z filozoficznego stanowiska uważa, z powyższych przytoczeń pojmie natychmiast dlaczego pstrągi i welchunie (*Coregonus*), pomimo gatunkowe różnice, tak szeroko są rozpostarte po powierzchni ziemi. Przyczyną tego jest jednakowość fizycznych okoliczności, w jakich te ryby żyją, a do czego anatomiczna ich budowa i zmysłność tak osobliwie są zastosowane. Że muszą pływać pod górę i na dół w szybkich gór strumieniach, a nawet znaczne wodospady przeskakiwać, opatrzone są nader silnymi muszkułami. Ich ogon wielki jest i mięsisty, a siła jego zgromadza się w szerokiej podstawie. Ich paszcza jest szeroka, szczęki mocne i kończącemi osadzone zębami, stawiaćmi je w możności przytrzymywania skąpój zdobyczy, która się im w tych zimnych wodach płynących trafia; a jakkolwiek uderzy nas doskonałe obustronne zgodanie się budowy zwierząt północnych z warunkami fizycznymi je otaczającymi, nie możemy jednak zgodności tej za dzieło potęg fizycznych uznawać. Nie możemy powiedzieć że pstrągi dlatego tak podobne są między sobą, iż pod jednakowemi fizycznymi warunkami powstały: nie możemy utrzymywać, że dlatego jednakowy życia sposób mają iż do odmiennego nie podała się żadna okoliczność; nie możemy twierdzić, że dlatego ikrę zniosły w zimie a młode ich wylęły się pod śniegiem i lodem, ponieważ w tej porze roku były najbezpieczniejsze przed nieprzyjaciołmi, ale myśląc głębiej musimy wyznać, że ta jednakowość kształtu zachodzi w cudownie zdziałanej budowie; są one pstrągami całą wspaniałości pełną organizacją swoją, swoim sobie właściwym kręgosłupem, swoją pysznie zbudowaną głową, silnymi szczękami, ruchomemi oczami, grubą, tłustą skórą i jej ozdobnymi łuskami, rozgałęzionemi płetw promieniami i całą ową zawikłaną, a jednak harmonijną budową która znamionuje zworze pstrągów.

Zmysłność pstrągów nie więcęj się da wytłumaczyć klimatem, jak zmysłność innych pod odmiennymi warunkami żyjących zwierząt. Ryby te są usposobione to czynić w porze roku odpowiedniej ich organizacyi, co czynią inne zwierzęta w innych roku porach. Gdyby nie tak było, nie

zdołalibyśmy pojąć, dlaczego wszystkie inne ryby, które przez cały rok w tychże wodach bieżących żyją, nie w tych samych porach roku odbywają tarcie, a powinnyby nawet mieć i ukształcenie tego samego zworza. Czy w tej różnaitości przy warunkach tych samych, nie mieści się raczej przeważny dowód, że na zrządzenie ażeby się tak stosowało i tak zostało, działała przyczyna inna, która żyjącemu jestestwu podawała możność oparcia się równającemu wpływowi jednakowych potęg zewnętrznych, jak niemniej ona i pewny stosunek pomiędzy temi jestestwami a temi potęgami ustanowiła?

Że działacze fizyczne nie wywierają wpływu ważniejszego na pstrągi niż na inne zwierzęta, okazuje się z tej okoliczności iż w małych i zupełnie jednakowej natury jeziorach, znajdują się niekiedy dwa albo trzy gatunki, które w sposobie życia bardzo są między sobą odmienne: gdy np. jeden na czas tarła w rzeki zachodzi, drugi nigdy w płynącą wodę nie idzie, tylko się trze w jakimś spokojnym miejscu przy brzegu jeziora. Jeden ugania się za zdobyczą, drugi czatuje na nią z zasadzką; jeden żywi się więcej rybami, drugi więcej owadami. Mamy więc tu gatunki z różnaitym sposobem życia na miejscach, w których zewnętrzne potęgi zdają się móżd mało działać; z drugiej zaś strony w niezmiernie wielkich wodach, które powołują do nader różnaitego sposobu życia, różne gatunki żyją obok siebie, a nie znać na nich widocznej różnicy w zachowaniu się, jak tego stawi przykład Siscowet i pstrąg jeziorny wielkich północnych jezior Ameryki.

Jeżeli niedość jeszcze tych czynów i wywodów, do przekonania czytelnika o prawdziwości moich mniemań, zwróciłbym uwagę jego na inną okoliczność ważną, którą nam familia łososiowatych przedstawia, to jest że dwa najwydatniejsze odsiężenia prawdziwego zworza pstrągów znajdują się wszędzie jednocześnie, i pod temiż samemi warunkami. Obydwa przedstawiają te same cechy ogólne kręgosłupa, czaszki, mózgu, kształtu paszczy, trzewiów, skrzel i t. d., ale wielkość paszczy jest bardzo odmienna i w jednym prawie zupełnie brakuje zębów. Temi dwoma skupieniami są węłchunie (*Corregoni*) i prawdziwe pstrągi (*Salmones*).

Teraz się zapytam, w czém wpośród przyrodzonych geograficznych granie ryb łososiowatych, znajdować się mogą te potęgi, które spowodowały podobne różnice? Kiedy wszystkie łososiowate we wzglądzie ogólnego zworza są sobie podobne, zewnętrzne działacze, które to podobieństwo sprawiły, musiały pewne znowu części uczynić tak odmiennemi, iż możnaby na nich niemal nowe zworza zasadzić. Jakżeby można było znaleźć jednocześnie na tych samych miejscach węłchunie, (mające zupełnie ten sam sposób życia co pstrągi i równie jak one trące się w późnej jesieni, tak że młode ich wylęgają się w zimie), a pstrągi prawdziwe (*Salmones*), gdyby najwyższa istota, która najprzód wszechświat stworzyła a potem zarządziła słoneczny układ, nie powoływała do życia w różnych po sobie idących epokach takich zwierząt, któreby stosownie do planu stwarzania, nadawały się do różnaitych miejscowości i każdorazowych warunków, gdy naostatek człowieka na czele stworzeń postawiła? Rozważmy to dobrze, a coraz wybitniej rozlegać się będzie po całym świecie stworzeń głos wyznania naszego, iż mądry i wszechmocny Stwór-

ca wszystkie rzeczy, które były, są i będą, do istnienia powołał i powoływać nie przestanie. (*T. 1850 nr. 182 z Edinb. new philos. Journal. April July 1850*).

* Henryk Rathke uważał węgorza w stanie daleko posuniętej ciężarności, u którego jajeczniki ciągnące się zwyczajnie naksztalt dwóch zkarbowanych wązkich tasiemek, przez całą długość jamy tułowowej, były nabrękle do szerokości $1\frac{1}{2}$ " , a w fałdzistościach do 10" grub. Nieodłączone jeszcze jaja miały tylko 0,0048" w średnicy, skórkę cienką ale mocną i żółtek złożony z galarety o bardzo drobnych ziarkach, w której dosyć liczne (do 100) krążki ciekłej tłustości widzieć się dawały. Osobnych płam zarodkowych nie można było w zarodkowych pęcherzykach dostrzedz. Zewnętrzny otwór tułowowej jamy, który dla małości zwykle nie daje się widzieć, znacznie się rozszerzył, i sam wypełniony był częścią jajeczników. Byłyby niewątpliwie jaja oddzieliły się niedługo od jajeczników, gdyby zwierzę przy życiu zostało. Gdyby zaś to nastąpiło, według wszelkiego podobieństwa jaja, przy swjej drobności, przy nader znaczném rozszerzeniu zewnętrznego otworu tułowowego, i przy ciśnieniu którego musiały doświadczać ze strony nadmiarę wyteżonych ścian tułowu, byłyby wnet na zewnątrz się wydostały. Wszakże żadna z przywiedzionych okoliczności nie upoważnia do wniosku albo sądu, że po odłączeniu się swoim od jajeczników, mogłyby jeszcze tak długo w tułowowej jamie zostawać, ażby z nich młode powychodziły. Sądzę więc (słowa autora) że powyższe spostrzeżenia mogłyby posłużyć na wsparcie mniemania, iż węgorz nie żywo rodzi, tylko jaja niesie. (1). (*T. 1850 nr. 231 z J. Müllers Archiv. 1850, III*).

* W. C. Williamson, *O mikroskopnej budowie łusek i skórnych zębów u niektórych ryb szklistołuskich (Ganoides) i łakliwych (Placoides Ag.)*. Autor, w ciągu swojej rozprawy wspomina, że budowę i rozwijanie się rybich łusek już przed nim wielu badało, a mianowicie Leuwenhoek, Agassiz, Mandl i Owen. Pierwszy z pomienionych badaczy mniemał, że każda łuska składa się z wielu na sobie leżących blaszek, które się jedna po drugiej nad ostatnią spodnią tworzyły. Mniemanie to, jakkolwiek ze znacznymi różnicami, odświeżył Agassiz, a mianowicie we względzie szklistołuskich, których łuski składają się z listków prawdziwie kostnej substancji i zwykle okryte są polewą, która ma podobieństwo do dentyny zębów rybich. P. Mandl zaprzeczył, ażeby łuski u szklistołuskich tworzyły się z blaszek osadzających się jedna na drugiej, a także i prof. Owen nie uważa ich za wypadek układania się powolnego w warstwy.

Badania autora ściągają się najprzód do gatunków: *Lepidosteus osseus*, *Lepidotus semiserratus*, *L. Mantelli*, *L. fimbriatus*, *Seminotus rhombifer*, *Pholidotus Leachii*, *Ptycholepis hollensis*, *Beryx* sp. *Dapidius orbis* i *D. granulatus*, których wszystkich łuski zdają się być według jednego zworza ukształcone. Osobliwe odświeżenie tego zworza ukazuje *Palaeoniscus comptus* i *P. Beaumonti*, inne *Gyrodus* i *Aspidorhyn-*

(1) Porówn. Bibl. Warsz. 1845. II, str. 715.

chus acutirostris, a jeszcze za wikłańsze różnice zachodzą w łuskach je-siotra i gat. *Platysomus parvulus*.

Obszerniej potem opisuje autor inną ciekawą budowę w rodzajach *Megalichthys*, *Holoptychius* i *Diplopterus*, u których tkanka kostna i powłoka łusek są nadzwyczajnie piękne i zawilego składu. Dalej rozważa łuski gat. *Macropoma Mantelli* z formacji kredowej. U tej ryby pokrywa skrzel całkiem koścista, równie jak i tylna część każdej łuski, osadzona jest gęsto zębami skórnymi. Jednakowoż ta część łuski która między pomienionymi zębami leży, nie koścista jest, tylko się składa z cieniutkich blaszek, żadnej komórkowatości nie przedstawiających. Dęty trzew' który się wewnątrz u *Macropoma* znajduje, jestto walec z prawdziwie kostnej tkanki, budowy osobliwej blaszkowatej, pełnej komórek. Autor nie podziela mniemania jakoby to był żołądek, sądząc raczej iż pomieniony walec sprawował tę samą usługę co powietrzowy pęcherz.

Zastanawia się potem nad budową i rozporządzeniem skórných zębów u wyłownika (*Squalus canicula*). Zdają się one być takimi jak u skrzelowej pokrywy i u łusek w rodz. *Macropoma*. Podobneż zęby znaleziono przy skamieniałej skórze gat. *Hybodus reticulatus* z liasu przy Lyme Regis. U tej kopalnej ryby znajdowały się liczne ziarnka materii kredowej, rozproszone po kawałkach skóry miękkiej pod zębami skórnymi leżących, i przedstawiały spóśrodkowo-blaszkowatą budowę. Autor opisuje odpowiednie tym skórne zęby u *Raja clavata*, tudzież te którymi uzbrojona jest paszcza zwyczajnej pily i bardzo osobliwe międzyszczękowe kości w rodz. *Coelorhynchus*.

Z wybadania łusek u wyżej pomienionych ryb, wyprowadza autor:

1^o Że tak nazwana polewa na rybich łuskach ma zawikłaną budowę, i że te łuski składają się z *ganoinu* i *kosminu* (od κοσμηῖν, zdobić). Ganoin jest przezroczysty i układający się w blaszki, ale zresztą nieprzedstawiający organicznej budowy: kosmin zaś składają liczne porozgałęzlane rurczki, w czém on jest podobny do dentyny prawdziwych zębów.

2^o Że kosmin powłóczący kościste łuski wielu ryb szklistołuskich, jak np. *Lepidotus semiserratus*, *Megalichthys Hibberti* i t. d, jest tą samą materią z której się składają skórne zęby prawdziwych ryb łakliwych, jakoto wyłownika, cierniugi (*Spinax acanthias*), z różnicą, że w kosminie polka leżą na kościstych łuskach, a tu bez środkowania treści kościstej, osadzone są w miękkie skóry. Z tego wynika, że różnica pomiędzy *Ganoides* a *Placoides* Ag. pod fizyologicznym względem ledwie się da usprawiedliwić, bo łuski wielu tak nazwanych szklistołuskich, np. *Dapidius orbis*, *Acipenser* etc. mało przedstawiają ganoinu i kosminu, albo i wcale go nie zawierają. Przeciwnie u wielu w oddziale *Placoides*, obiedwie te substancye są bardzo rozwinięte, i jest wyraźny szereg ogniów, ciągnący się przez zwyczajną cierniugę, zwyczajnego wyłownika, przez *Hybodus reticulatus*, *Macropoma Mantelli*, *Dapidius granulatus*, *Holoptychius*, *Diplopterus* i *Megalichthys*, w którym *Ganoides* mieszają się z *Placoides*.

3^o Że łuski u szklistołuskich złożone są z kościstych blaszek w rozmaity sposób podsiedzanych, które osadzają się zwolna, szczególnie

na powierzchni dolnej, nad albo pod sobą; ale, według okoliczności, bywają też przyłączone częścią lub całością i do powierzchni górnej.

4^{te} Że blaszki te albo listki, nie należą się wcale procesowi ekscyjnemu lub też osadowi pochodzącemu z powierzchni wydzielającej, jak utrzymuje p. Agassiz, ale tworzą się w skutek wapnienia spoduich błonek pełnej naczyń przykostni; że zatem zjawiska budowy i wzrostu tych łusek u szklistoluskich, nadzwyczajnie się jedną do udowodnienia rzeczywistości w zdaniu prof. Sharpey o rośnięciu kości ludzkich; powolne bowiem tworzenie się kanałów Harvesa nader łatwo śledzić się tu daje od prostych błonek, jakie przedstawiają łuski u *Lepidosteus*, *Lepidotus* etc. przez *Aspidorhynchus*, *Acipenser*, *Holoptychius* i t. d., aż do najwyższego stopnia rozwinięcia u *Megalichthys*.

5^{te} Że badanie mikroskopnej budowy przysadek skórnych u ryb, może się stać szacownym środkiem pomocniczym na odróżnienie gatunków bardzo pokrewnych, jak również i na rozeznanie pokrewieństw, a to wtedy nawet, gdy ulomki tylko pomienionych przysadek mamy; jak też znowu może ono łatwo i o błąd przyprawić, jeśli nie rozpatrzywszy należycie innych części ryb, klasyfikacją ich zasadzimy na samém mikroskopném badaniu łusek: nie mogły się bowiem wszystkie części ciała w zgodności z niemi rozwinąć. (*T. 1850, nr. 207, z London, Edinburgh & Dublin Philos. Mag. Suppl. Jan. 1850.*)

* Kopalne zęby żarłaczów (*Squalus*), niegdyś *Glossopetrae* zwane, jakie się znajdują obficie i w niektórych Europy miejscowościach np. na wyspie Sycylii i Malcie, na Wołyniu pod Krzemieńcem, i t. d., zbierał starannie i porównywał w Ameryce dr. Robert Gibbes w Kolumbii, w połud. Karolinie, poodnosił je do rodzajów i gatunków téj familii, i wydał swą ważną pracę pod tyt. *Monograph of the fossil Squalidae of the United States, by R. W. Gibbes M. D. Philadelphia 1848*, z dołączeniem wizerunków każdej różnicy w ukształceniu zęba (1). Z monografii téj dowiadujemy się, iż pomiędzy naturalistami amerykańskimi, dr. Morton i dr. Harlan już przedtém o żarłaczach kopalnych pisali. Familia ryb żarłaczowatych, należy u Agassiza do pierwszego rzędu który on *Placoides* nazywa. Skóra na tych rybach jest niemierzyltnie pokryta łskniąciami tabliczkami, które częstokroć są wielkie, ale też nieraz mają kształt tylko drobnych guzików czyli krostek, jakie stanowią jaszczur (chagrin) żarłaczów i płaszczyk. Z obudwu tych familij w stanie kopalnym znajdujemy tylko zęby i kręgi, wyjąwszy że niedawno Sir Philip Egerton, w drugorzędowej górze na wyspie Wight, znalazł paszczę rodz. *Hybodus* przy której rozeznac się dawały chrząstkowate skrzydło i część przedniego wydrążenia w czaszce. Szczątki ryb żarłaczowatych, znajdują się tylko w drugo i trzeciorzędowych górutworach, a Agassiz uważa, że dziś żyjące zworza téj familii albo nie mają żadnych między kopalnemi wyobrazicieli, albo ograniczone tylko do trzeciorzędowych i krédowych górutworów; gdy tymczasem rodzaje, które w naszym okresie jakby odosobnione stoją,

(1) Wystawił autor przeszło 50 takich odmian kształtu, w więcej niż 60 wizerunkach które Froriep zmniejszając, na jedną tablicę do swojego dziennika przeniósł. A. W.

np. *Mustelus* i *Cestracion*; zastąpione są nader licznymi rodzajami podobnymi, w całym szeregu górutworów drugorzędowych.

Pomimo odmienności jakie postrzegamy w kształcie zębów u żarłaczy, wszystkie jednakże mają istotną cechę budowy, to jest podstawę czyli kościsty korzeń, już tak już inaczej ukształcony, zapuszczony w skórę, i wysterczoną w paszczę koronę, która jest okryta mniej więcej grubą warstwą polewy i przedstawia wiele odsiężeń cechujących rodzaje. Zęby te zrastają się tylko z okryciem szczęk, i są nader ruchome. Stoją zwykle rzędami, z których zawsze najpierwszy od przodu, zużywszy się wypada, a zastępuje go najbliższy, podczas gdy od tyłu tworzą się ciągle nowe rzędy zębów. Podstawa zęba jest szeroka i gruba, zaokrąglona i dęta albo brózdowana, ale nigdy stożkowata, ani też w kończatość przechodząca. Jest ona koścista, mniej lub więcej ściśta albo też dziurkowata i bez wewnętrznego wydrążenia. Korona przedstawia w rozmaitych rodzajach a nawet na rozmaitych miejscach téżże szczęki, różny kształt i wielkość. Z tych co są szydłowate i mniej więcej trójkątne i ściśnione, na przodzie szczęki stoją prostsze i ostrzejsze niżeli na tyle, gdzie stoją pochyło i są tępe. W szczęce górnej nie są częstokroć zupełnie takie jak w dolnej: w jednej bywają prostsze i ostrzejsze niż w drugiej. Jeżeli środkowe tenże mają kształt co boczne, są one zwykle mniejszemi i kończastszemi, a na zrośnięciu (*symphysis*) tak jednej jako i drugiej szczęki, jest częstokroć jeden lub kilka odmiennie ukształconych drobnych zębów.

Zęby rozróżniają się jeszcze większą lub mniejszą piłkowatością brzegów i małemi ząbkami przydanemi z boków, czego wszakże u zębów młodych często brakuje i na czém nie można gatunkowych różnic opierać, lubo obecność tego, oznaczenie gatunków ułatwia. Prof. Agassiz postrzegł różnicę pomiędzy zębami w rodz. *Carcharias* a *Carcharodon*: tam jest stożkowata czczość w zębie, tu zaś ząb jest pełny; wszakże budowa mikroskopna w obudwu jest ta sama.

Prof. Agassiz zajmuje się teraz klasyfikacją tak kopalnych jako i żyjących ryb żarłaczowatych, usiłując ją oprzeć na mikroskopném zbadaniu budowy zębów. Tymczasowo najtrafniej będzie zasadzić ją na gładkości lub pokarbowaniu boków zęba, a to jak następuje:

FAMILIA ŻARŁACZOWATYCH (*SQUALIDAE*).

Zęby po brzegach karbowane.

Z rodz. *Carcharodon* Smith. opisuje autor 6 gatunków amerykańskich. Z rodz. ludojadów (*Carcharias* Cuv.) tylko jedyny (*C. tenuis*) i niecałkowicie. Z rodz. *Galeocerdo* Müll. et Henle, 6 gatunków. Z rodz. *Hemipristis* Ag. jeden (*H. serra*). Z rodz. *Glyphis* jeden (*G. subulata*). Z rodz. kusz (*Sphyrna* Rafin. *Zygaena* Cuv.) trzy. Z rodz. *Notidanus* Cuv. jeden (*N. primigenius* Ag.).

Zęby po brzegach gładkie.

Z rodz. chochleniów (*Lamna* Cuv.) gatunków 9, przyłączając niektóre i z *Odontaspis*. Z rodz. *Otodus* Ag. gat. 7. Z rodz. *Oxyrhina* Ag. gat. 9. (T. 1850, nr. 67--71).

A. W.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

109. Grammatyka polska rozbiorowa, ułożona podług zasad zdrowej logiki, i naturalnej, przez porównanie z innemi językami, krytycznie roztrząsanéj, budowy języka polskiego, ze szczegółowym wykładem praw ustalonéj pisowni, i odmian grammatycznych. Przez Aloizego Kalixta Kozłowskiego Jurowianina. Część pierwsza. Obejmująca naukę o Głoskach, tworzeniu Zgłosek, o Przygłosie wyrazowym i mownym; ogólną teorią źródłosłowu; i teorią ustalonéj pisowni polskiéj. Kosztem autora. 8ka. Kijów. 1850. Druk T. Glücksberga. Str. 241.

1851.

121. Dzieciobójca. Obrazek z wiejskiego żywota, przez Adama Pługa (Pietkiewicza). 8ka. Wilno. 1851. Druk J. Zawadzkiego. Str. 48. (Oddruk z Athenaeum.). Złp. 2. gr. 10.

122. F. Ahna Nowa metoda praktyczna i łatwa nauczania się w krótkim czasie języka niemieckiego (.) Według trzeciego wydania, z zastosowaniem do użytku młodzi polskiéj, przez Antoniego Tessarczyka. Kurs pierwszy. 8ka. Bochnia. 1851. Druk W. Pizsa, nakład autora. Str. 92. Złp. 2 gr. 20.

123. Piosenki gminne ludu pińskiego. Zbierał i przekładał Romuald Ziembkiewicz. (Z godłem):

O pieśni gminna! ty arko przymierza.....

8ka. Kowno. 1851, Druk M. Zymelowicza. Str. XVII i 424. Złp. 13 gr. 10.

124. Podróże Galliwera w nieznanym kraje, przez Jonathana Swifta. Polskie wydanie ozdobioné 450 drzeworytami przez J. J. Grandville, z przydaniem krótkiéj wiadomości o Swiccie z Walter Scotta przez J. N. Bobrowicza. Nowe tanie wydanie. 2 tomy. 8ka. Lipsk. 1851. Nakładem J. Baumgaertnera, druk J. G. Teubnera. Tom I str. LXII, i 271. II, 315. Złp. 16.

125. Rzecz o modrzewiach przez B. M. 12ka. Wilno. 1851. Druk M. Zymelowicza. Str. 24. Złp. 3.

126. Ziemiańin, pismo poświęcone rolnictwu i przemysłowi. Z godłem:

Gdy się naród rzuci rojem
I dołoży silnéj ręki,
To nie darmo się i znoim:
Gumna, stogi się postroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.

12 zeszytów. 8ka. Leszno. 1851. Nakład i druk Ernesta Günthera. Stycz., Luty, Marzec i Kw. str. 354. Maj, Czer., Lip. i Sierp. str. 372. Wrz., Paż., List. i Grud. str. 314. Złp. 40.

1852.

48. Bitwa o Chorażankę. Obrazek z XVIII wieku (z rękopismów Zygmunta Kaczkowskiego). 12ka. Kraków. 1852. Nakładem J. Czecha, w drukarni Czasu. Str. 50. Złp. 3 gr. 10.

49. Bruno. Romans. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera, druk B. Nischkowskiego. Str. 110. Złp. 6 gr. 20.

50. Czarna wstążka. La Kaczuca. Opowiadania i powieści Włodzimierza Wolskiego. 16ka. Warszawa. 1852. Nakładem księgarni pod firmą Zawadzkiego i Węckiego, (druk J. Zawadzkiego w Wilnie). Str. 331.

51. Dr. E. J. Arnolda krótkie powiastki niemieckie do czytania, opowiadania, rozbierania i do tłumaczenia na język polski lub francuzki; z dołączeniem słowniczka niemiecko - polsko - francuzkiego. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. (Text całkiem niemiecki). Napisów kart 2, str. 190 i XXII. Złp. 5.

52. Jak człowiek powinien się modlić. Rzecz napisana przez ś. Piotra z Alkantary, z dodaniem stopniowania cnót, ułożonego przez ś. Bonawenturę. Przepłszczył jeden z Kapucynów. 8ka. Warszawa. 1852. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 160.

53. Kazania na niedziele całego roku kościelnego wybrane z dzieł drukowanych i niedrukowanych znakomitych kaznodziejów nowszych. Wydał X. Franciszek Wróżewski. Za pozwoleniem zwierzchności duchownej. 2 tomy, 8ka. Wrocław. 1852. Nakładem Z. Schlettera, druk Grassa, Bartha i Spółki. Tom I, str. 223, II, 171. Złp. 22.

54. Krótki rys chemii, z dodaniem treściwego zastosowania jej do rolnictwa; napisał Józef Bełza (z drzeworytami). 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 4 i str. 370. Rejestru kart 3. Złp. 6 gr. 20.

55. Obrazki wiejskie przez Jana Kantego Gregorowicza. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I str. 317, II 261, III, 228, IV, 393, i w każdym napisów kart 2. Złp. 26 gr. 20.

56. Ogień miłości Jezusa Chrystusa czyli dowody gorącej ku nam miłości Zbawiciela, w dziele odkupienia naszego. Podług Xiędza Pinart. Przerobione z francuzkiego. Wydanie nowe poprawne, 8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. X i 502. (Z ryciną). Złp. 6 gr. 20.

57. Paladyn Czorz. Powieść na gminném podaniu oparta. Przez autora Bruna. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera. Druk B. Nischkowskiego. Str. 40. Złp. 3.

58. Topir-góra. Powieść wołyńska, wedle miejscowego podania. Przez autora Bruna. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Schlettera, druk B. Nischkowskiego. Str. 48. Złp. 3 gr. 10.

59. Śpiewy duchowne i inne poezye religijne z najznakomitszych francuzkich poetów wierszem przełożone przez Jana Klemensa Minasowicza Ar.(tystę) mal.(arza) b. U.(niwersytetn) Kr.(ólewskiego) W.(arszawskiego) U.(cznia) Wydz.(iału) Nauk i Sztuk Pięknych. 8ka. Warszawa. 1852. Druk J. Ungra. Str. 91 i rejestru karta 1. Złp. 3 gr. 10.

60. Zródło żywota czyli przewodnik do Sakramentów Świętych, zawierający w sobie nauki o Sakramentach i modlitwy stosowne. Sześć spo-

sobów słuchania mszy Ś. Trzy godziny adoracji. Nabożeństwo kompletne na Boże Ciało. Odwiedziny Pana Jezusa utajonego w Sakramencie ołtarza, na każdy dzień tygodnia. Czterdziesto-godzinne nabożeństwo. Pieśni kościelne.

(Z godłem). Jam jest Alpha i Omega, początek i koniec. Ja pragnę-
cemu dam darmo ze źródła wody żywej. Kto zwycięży,
odziedziczy to, i będę jemu Bogiem, a on mi będzie sy-
nem. (Obj. XXI, 6, 7).

A kto pragnie, niech przyjdzie, niech bierze wodę ży-
wota darmo. (Obj. XXII, 17).

12ka. Warszawa. 1852. Druk Ungra. Napisów kart 2, str. 771, rejestru
kart 4. Złp. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

J. Korzeniowski wykończył komedią p. n.: *Wąs i peruka*, we trzech aktach (prozą), którą odczytał sam w zebranym kole przyjaciół i artystów u siebie. Chwila wybrana, kiedy szła moda obłąkał wszystkie niemal umysły, kiedy dla poloru (jak mniemano), dla europejskiej cywilizacji, wyzuwano się ochotnie z krajowego ubioru, aby w małpiarstwie cudzoziemskim o pierwszeństwo się ubiegać. Sztuka ta należy bez żadnej wątpliwości do najlepszych utworów p. Korzeniowskiego; szczególniej drugi akt po mistrzowsku obmyślany i oddany. Cały dramat umiał autor bardzo szczęśliwie kolorytem właściwym, historycznym przyoblec, co mu więcej jeszcze dodaje uroku. Komedia ta jest przeznaczoną na ogłoszony konkurs we Lwowie, gdzie już przesłaną została.

— Nakładem i drukiem S. Orgelbranda wkrótce opuszcza prasę: 1) *Pisma rozmaite Dominika Szulca*, zawierające: O znaczeniu Prus dawnych, wydanie drugie poprawne; O wieku bałwochwalskim pieśni Bogarodzicy; O Tarnowie mazowieckim, i o nagrobku Bolesława. 2) Życie Fryderyka Wielkiego króla pruskiego, ozdobione rycinami. 3) Dzieje panowania Augusta II króla polskiego. 4) Złota książeczka, czyli powiastki moralne dla dzieci przez Fr. Hofmana; przełożone p. Teofila Nowosielskiego; po polsku i po niemiecku, z rycinami. 5) Obrazki z życia potocznego Ad. Am. Kosińskiego. 6) Siedm grzechów śmiertelnych przez E. Sue; Grzech VI: Skąpstwo czyli Milionery, w 2ch tomach.

— Dr. Teodor Tripplin wykończy obecnie dalszy ciąg swoich Wspomnień z podróży, które stanowiąc będą następne tomy 9, 10, 11, i 12. Z tej nowej pracy znanego tak chlubnie autora, pismo nasze wkrótce obszernie ustępy ogłosi.

— P. Sowiński autor dzieła: *O uczonych Polkach*, które oddawna zupełnie wyczerpane zostało z obiegu księgarskiego, rozszerzył o większą połowę pierwotną pracę i przygotował w zupełnym przerobieniu drugie wydanie p. n. *O pismach polskich autorek*. Dzieło to stanowiące tom spory, zamierza wkrótce ogłosić drukiem.

— Adam Pług (Pietkiewicz), znany chlubnie jako współpracownik *Athenaeum*, zamierza wydawać pismo zbiorowe p. n.: *Kwestarz*, i w tym celu zawezwał wszystkich piszących do udziału w tej znacznej pracy.

— Professor Teodozy Sierociński ogłosił wyjście ważnego ze swojej treści dziełka, p. n. *Pogląd historyczny i krytyczny na pisownię polską od r. 1808 aż do naszych czasów*; tudzież: *Ocena Pedagogiki praktycznej* p. T. Sierocińskiego, i porównanie jej z Pedagogiką filozoficzną wydaną przez B. T.

— J. Jaroszewicz, znany zaszczytnie autor *Obrazu Litwy*, wykończy obecnie drugie wydanie tego dzieła już wyczerpanego z handlu księgarskiego. Wydanie powtórne będzie w obszerniejszych ramach, bo o dwa razy większe od pierwszego.

— Paulina Wilkońska rozpoczęła w Poznaniu druk *Wiązanki literackiej*.

— Dowiadujemy się z pewnego źródła, iż rękopism wielce poszukiwanego w ostatnich czasach *Żywota świętej Kunegundy przez Długosza*, stał się w r. 1851 własnością Zakładu naukowego Ossolińskich we Lwowie.

— Niedawno znalazł się we Lwowie bardzo ciekawy rękopism z XVII wieku polityczno-moralnej treści, pod tytułem: „*Paradoxa koronne, publice et privatim, potrzebne szlachcicowi polskiemu, napisane 1603 roku*”. Jestto zbiór 24 rozpraw obyczajowych, pełnych klasycznej erudycyi, a osobliwie celujących wzorowym Zygmuntońskim językiem, który wraz z głębokim rozsądkiem treści, stawia ten zapomniany dotąd zabytek literacki w rzędzie najdatniejszych plodów złotego wieku piśmiennictwa naszego. Nazwisko autora niewiadome. Pożądaniem ogłoszenia tego zajmującego dziełka przysłuży się publiczności księgarz krakowski p. Józef Czech, w którego drukarni pierwsze arkusze paradoksów już się drukują.

— Ustęp dziejowy: *Zjazd w Koszycach, przyjsście Jadwigi*, wykończył p. Karol Szajnocha, znany tak zaszczytnie na polu dziejowem historyk, i tę pracę Biblioteka Warszawska wkrótce w całości umieści.

— Rocznika C. K. Tow. gospodarczo-rolniczego krakowskiego zeszyt 2 i 3 wyszedł z druku.

— W r. 1852 nakładem B. M. Wolffa wyjdą następujące dzieła: 1) *Hołowińskiego* (arcybiskupa) Pielgrzymka do Ziemi Świętej, wydanie 2gie w 1 tomie. 2) S. G. *Podróż do Karpat*, w 1 tomie, w 8ce. 3) H. *Rzewuskiego Zamek krakowski*, wydanie 2gie. 2 tomy, 8ka. 4) *Mętlewicza* Kazania na niedziele i święta całego roku. 2 tomy. 5) J. *Bartoszewicza*, Obrazy historyczne XVIIgo i XVIIIgo wieku. 6) *Pamiętniki Jerlicza*, wydane przez K. Wł. Wojcickiego.—7) Libelta: *Piękno natury* czyli estetyka, t. 1, 2.—8) Wereszczyńskiego biskupa kijowskiego, Kazania na nowo wydane staraniem arcybiskupa Hołowińskiego.—9) Tripplina: Wspomnienia z podróży, 8 tomów. Wydanie 2gie poprawne i powiększone.—10) Powieść J. Korzeniowskiego pod napisem: *Tadeusz bezimienny*.—Tegoż nakładem wkrótce ujrzymy *Fizykę popularną* w 1 tomie, ozdobioną 1000 rysunków w texcie.

— W numerach 48 i 49 z r. b. pisma czasowego, wychodzącego w Berlinie pod tyt.: *Magazin für die Literatur des Auslandes*, zamieszczono

ne jest sprawozdanie z dzieła pani Felińskiej: Dziennik pobytu w Berezowie, którego przekład na język niemiecki wkrótce ma wyjść z druku. Sprawozdanie to jest tłumaczone z Biblioteki Warszawskiej z m. kwietnia r. z. z zatajeniem źródła.

— Nakładem J. Zawadzkiego w Wilnie wyjdą wkrótce zpod prasy drukarskiej: poezye Wł. Syrokomli, i ostatni tomik Przekładów poetów polsko-łacińskich, tegoż.

— Nakładnictwem dzieł katolickich sposobi nowe zupełne wydanie wszystkich poezyj ś. p. Franciszka Żyglińskiego.

— Nakładem Józefa Czecha w Krakowie wyszły dotąd drukiem nieogłoszone Jana Pawła Woronicza *Homilie, nauki i przemowy*, z własnoręcznych rękopismów autora zebrane.

— W skutek odezwy kassyna obywatelskiego we Lwowie z dnia 25 stycznia r. b., sędziom przez wydział kassynowy do oceny sztuk dramatycznych wybranym, przełożono: z francuzkiego sztuk 7, z niemieckiego sztuk 4, z hiszpańskiego 1. Między temi pierwszeństwo otrzymała komedia w 5ciu aktach pp. Scribe i Legouvé, p. n.: *Powiastrki królowej Nawarry*, przełożona przez Wojciecha Smochowskiego, syna znanego artysty dramatycznego teatru lwowskiego.

— *Pamiętnik gospodarski*, wydawany tygodniowo przez p. St. Przyłęckiego we Lwowie, przeszedł pod redakcją D. Bilińskiego, a *Przyjaciel dzieci*, tygodnik obyczajowo-naukowy, pod redakcją Hippolita Witowskiego; rozpoczął on czwarty rok swego biegu.

— Towarzystwo naukowe krakowskie połączone z uniwersytetem Jagiellońskim, zabrało się do wypracowania *słownika naukowej terminologii*, któryby w każdej gałęzi potrzebną wprowadził jednostajność. Podzieliło się towarzystwo w tym celu na sekcyje, z których każda w odpowiednim sobie zawodzie, terminologią układa. Niektóre sekcyje jak np. chemików, są już blizkie ukończenia swój pracy. U nas w Warszawie, za wpływem redakcyi Biblioteki Warszawskiej, tutejsi chemicy i znawcy zajmują się gorliwie ułożeniem słownika chemicznego, i praca ta jest już tak daleko posunięta, że skutku wkrótce spodziewać się należy. Życzyć potrzeba, ażeby czynność ta, tak dla nauki ważna, mogła przyjść do wykonania za zniesieniem się uczonych wszystkich głównych miejsc, gdzie na polskiej niwie w jednym zawodzie pracują.

— Professor Wincenty Pol ukończył *Geografię Ziemi Świętej*, przeznaczoną głównie do użytku seminaryów, a jeszcze b. r. zpod prasy wyjść mająca.

— Józef Łepkowski odbywszy zeszłego lata naukową po okolicach podgórskich podróż, kończy teraz jój opis, który wraz z dotyczącymi mapkami i rycinami archeologicznemi, w Warszawie wydać zamierza. Nowa ta praca naszego młodego, a już tylą publikacyami znamienitego badacza, będzie miała tytuł: *Archeologiczny opis okręgu Krakowa i Sandeczczyzny*. Przeznaczona doń główna mappa starożytnicza, ma wskazywać wiek budynków, errekcyj, kierunek wałów, wykopaliska, zamki i t. p. 40 rycin oprócz mapp ozdobi i objaśni tę pracę. Oprócz tego ukończył p. Łepkowski w r. 1847 rozpoczęte *Starożytności krakowskie*. Miało ich wyjść 12 zeszytów, lecz burze polityczne i pożar Krakowa, który przygotowane do dal-

szych zeszytów ryciny i materyały pochłonał, zmusiły poprzestać na siedmiu, stanowiących teraz z 7miu dużemi rycinami, przedstawiających kilka znakomitych rzeźb, obrazów i grobowców kościelnych, jako też niektóre inne zabytki, skończoną i kompletną publikacją.

— Jak już donieśliśmy, od Nowego Roku wychodzi w *Cieszynie*, pod redakcją p. *Stalmacha*, co tydzień od 1 do 2 arkuszy: *Gwiazdka cieszyńska*, pismo dla nauki, umiejętności, przemysłu, i zabawy ludu wiejskiego. Odnacza się tak doborem artykułów, jak zarazem i poprawniejszym daleko więcej językiem, niż wiele publikacyj literackich na Szląsku. Oprócz *Gwiazdki* zaczął p. *Stalmach* z rokiem bieżącym wydawać osobno polską gazetę polityczną dla ludu, wychodzącą w jednym dużym arkuszu raz na miesiąc, i ztąd *Miesięcznik* nazwaną, a zwyczajne wiadomości polityczne, w jasnym, treściwem skróceniu zawierająca.

— Z drukarni *Czasu* wyszło dziełko p. n.: *O upuście krwi przy zapaleniu płuc*, z dołączeniem tablic statystyczno-lekarskich, przez dra *Józefa Diell* profesora uniwersytetu Jagiellońskiego; przełożyli z niemieckiego *Paweł Grzywiński* i *Ulidowski*.

— Znana *Wincentego Pola* gawęda: *Przygody Benedykta Winnickiego*, wyjdzie w Petersburgu nakładem księgarza *B. M. Wolffa*, w ozdobnym illustrowanem wydaniu. Główną jednak zaletę tegoż wydania stanowić będzie druga część ulubionego poematu, którą autor późniejszymi czasy dopisał.

— W Poznaniu wychodzi w drugim wydaniu znane u nas i poszukiwane, a wyczerpane zupełnie w handlu księgarskim dziełko *D. Chłapowskiego*, *O rolnictwie*.—Z drukarni *Kamińskiego* i *Spółki* wyszła *Geografa ogólna*, ze szczególnym względem na Słowiańszczyznę i nasz kraj, w krótkości wyłożona przez *St. Zawadzkiego*. Książka ta, napisana językiem popularnym, zawierająca prócz ogólnych, bardzo wiele specjalnych wiadomości, szczególnie historycznych, odnoszących się do dawnych i teraźniejszych siedlisk słowiańskich, i do Polski, opatrzona przy końcu bogatym spisem nazwisk, za dykeyonarzyk geograficzny służyć mogących, stanie się niezawodnie powszechném dziełkiem podręcznym.

— Biblioteka *Warszawska* wspomniała już o zdolnym artyście malarzu *Kornelu Szleglu*: dopełniamy teraz te wiadomości. *P. Szlegel* obeznany kilkoletnim pobylem z naturą i arcydziełami Zachodu, znalazł pomyslną sposobność, uzupełnić skarbnicę wyobraźni przypatrzeniem się przyrodzie Wschodu, mianowicie tej jego okolicy, która jak wiadomo do najpiękniejszych na kuli ziemskiej się liczy. Przybywszy do *Jass* z końcem listopada 1850 r., zabawił tam aż do połowy 1851 r. W lecie zwiedził góry *Karpackie*, i był na szczycie *Czahleu*, gdzie mu się podarzył przedmiot do obrazu, przedstawiającego górala pastucha na urwisku skały, na kobzie grającego. Z przodu dwie owce, z tyłu poza skałą koza, u stóp połonina, w głębi malowniczy *Czahleu*. Obraz ten nabył książę *Muruzi*, lubownik malowideł, i utalentowany dyletant. W jego też posiadaniu jest studyum z natury: stary cygan z kosztorem w ręku, naturalnej wielkości. Najznaczniejszym atoli z wykończonych w tym czasie obrazów jest portret księżnej w całej figurze, naturalnej wielkości, według myśli księcia, w ślubnym stroju, w kaplicy u ołtarza klęczącej, w profilu. Bawiąc dłużej w *Mołdawii*, polubił artysta

tę krainę. Podobała mu się ona dlatego głównie, ponieważ wiele rysów obyczajowych, wiele szczegółów malowniczych, które sobie malarz w starożytniej wystawia Polsce, tam jeszcze w codzienniej rzeczywistości, w żywej zachowało się praktyce. Wszakże niecierpliwość ujrzenia Carogrodu, nie dozwoliła przeciągać pobytu w Mołdawii. Wyjechał do Galaćzu. Ztamąd popłynął p. Szlegel Czarném morzem do Konstantynopola. Ileżto cudownych widoków, ile uroczych wrażeń poiło w tej podróży za każdym krokiem wyobraźnię artysty! Ze Stambułu przywiózł między innymi dwa portrety: jeden olejno malowany autora *Anny, Gawęd, i Powieści kozackich*, w łezie na głowie, mina turecka: drugi ciekawy sposobem rysowania, przedstawia osobą *Józefa Rudnickiego*, obiecującego *perpetuum mobile*. Zbliżająca się zima, spowodowała naszego podróżnika do opuszczenia Stambułu. Chcąc jeszcze przed porą burzliwą zwiedzić Ateny, udał się na Smyrnę i Syrę do Grecyi. Ztamąd pełen najwznioślejszych wrażeń, jakeimi tylko czarująca natura i pamiątki klasyecznej przeszłości duszę zachwycić mogą, popłynął p. Szlegel po zwiedzeniu w drodze wysp Zante i Korfu do Tryestu, i zdawna znaney sobie Wenecyi. W końcu r. 1851 wrócił do Lwowa. Oprócz wymienionych powyżej portretów, widzieć można w pracowni jego, przywieziony z podróży mały obraz olejny, przedstawiający *kuźnię mołdawską w Jassach*. Pocztylion trzyma konia przemawiając do niego, aby go uspokoić; kował dobiera podkowy i już rozmaite porozkładał narzędzia. Na płaskim dachu kuźni, piesek drażni napuszonego indyka, co zwraca uwagę innego jeźdźca. Za kuźnią dla kontrastu widać pałac czyli raczej dom, pałacową strukturą. Cyganka z dziećmi uzupełnia grupę. Dalej obrazy: *Chłopi karczujący* dąb stary, znajdują pod nim starożytne zbroje szlacheckie. Podziw chłopów. Tu nieba i widnokregu posępne jak sama przedmiotowość. *Zosia* karmiąca drób: kury, indyki, gołębie, zlatują się dokoła; na przodzie część ogrodu. Wpóśród kapusty wspaniały słonecznik przy pełzającym ogórku. Wtyle budynek niby piekarnia. Dalej: *Górski pejzażyk* sanockiego lub samborskiego charakteru, ożywiony grupą czynszowej szlachty, zawracającą pług z czterema wołami; wpośrodku skała, za którą okolica z widokiem rzeki, sadów, zagrody. Obok poprzednich: *Dwa wieczory staropolskie*: na jednym przy stoliku blisko kominka widać parę w podeszłym wieku: jejmość z jegomością, przy grze w maryasza. On gra z ochotą, dama więcej z powinności, gdyż wespół ze swoją towarzyszką zajmuje się bardziej młodym mężczyzną, który zpoza krzesła jegomości, przy objaśnianiu świecy, gasi ją; to obudza śmiech kobiet. Wtyle stary sługa bezkarnie resztki wina pociemku spija. *Drugi obraz, pendent*, również oparty na efekcie światła. Jegomość w gawędzie z księdzem Bernardynem wydobywa zpod stołu jeszcze jedną butelkę wina. Kwestarz niebardzo przeszkadzając, bierze jedną ręką gospodarza domu za ramię, drugą zaś zażywa tabaki, filuternie mrużąc oczyma. Musi być późno, bo jejmość w najlepsze drzémie na kanapie; z czego para młodych korzystając, porozumiewa się za pomocą podanego sobie ukradkiem bileciku.

— Pomiędzy nowemi pracami malarzów lwowskich, zasługuje na niepospolitą uwagę obraz p. *Rajchana*, przedstawiający *rodzinę świętą*. Świętny talent tego skromnego, ale niezaprzeczenie najgłębiej, najszczerzej ze wszystkich malarzy lwowskich natchnionego artysty, wystąpił tu zpoza

chmury niewdzięcznych zatrudnień codziennego zarobku, w całym blasku swojej wewnętrznej wartości. *Rodzina święta* wyobrażona pod gołym niebem: Matka Boska siedzi, trzymając na kolanach dzieciątko Jezus; święty Józef z tyłu, wsparty o łaskę; święty Jan przykłęka u nóg dzieciątka. Grupa tak pięknie ułożona, że jako dzieło rzeźby, przedstawiałaby ze wszystkich stron równie malowniczy widok. Matka Boska, posępnego wyrazu twarzy zniewala oko dziwnie uroczym, im dłużej patrzysz, tém silniej działającym na ciebie wdziękiem. Uwięziony powabem tego anielskiego oblicza wzrok, doznaje wrażenia, jakie tylko kilka razy w życiu widok *Madon włoskich* ci sprawił; a przecież usta Madony p. Rajchana, jak się jedna ze znawczyń lwowskich wyraziła, do polskiej mowy złożone. Matka Boska siedząc, siedzi na prawdę; ciało dzieciątka jest prawdziwem, żywem ciałem. Cały obraz pełen szlachetności, prostoty i wielkiego stylu.

— W muzycznym świecie lwowskim, uradowanym nadzieją założenia wielkiej szkoły muzycznej czyli konserwatorium, słynie coraz głośniejszymi kompozycjami na fortepian młody doktor praw, pan *Marceli Madejski*. Niektóre z jego kompozycyj, jak osobliwie *Kolenda*, *Le Noël*, wydana w Wiedniu u Piotra Mechetti, należy do najpiękniejszych utworów muzyki krajowej. Szkoda tylko, że pisma zagraniczne lepiej znają i oceniają *Kolendę*, niż my sami. *Nowa Berlińska gazeta muzyczna* z r. 1851, w nr. 7 oddaje Kolendzie wielkie pochwały, podczas gdy w Warszawie imię jej kompozytora prawie nieznanie. Najnowszą kompozycją p. Madejskiego są „*Pieśni polskie, ułożone w muzykę z towarzyszeniem fortepianu*” do słów Kornela Ujejskiego, Karola Szajnochy, Henryka Jabłońskiego, i M. B. Antoniewicza; wydał je księgarz lwowski Kallenbach, druk lipski. Wszyscy chwalą melodyjność i dramatyczność tych pieśni.

— Podług wykazu przedmiotów naukowych wykładać się mających w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, w półroczu letniem roku 185¹/₅₂: w wydziale *teologicznym* wykładają przedmioty professorowie dr. *Sosnowski*, dr. Penka w języku łacińskim; w polskim *katechetykę* i *wymowę kaznodziejską* dr. *Laurysiewicz*. W wydziale *prawnym* professorowie: dr. *Rzeziński*, dr. *Dunajewski*, dr. *Zielonacki*, dr. *Słotwiński*, dr. *Helcel*, dr. *Fierich*, dr. *Hammer*, dr. *Kuczyński*, dr. Burzyński w polskim, niemieckim i łacińskim języku. Dr. Z. Helcel dawny redaktor *Kwartalnika Naukowego*, wykłada w tym wydziale po polsku *prawo dawne prywatne polskie*, i *historję prawa polskiego od czasu wolnej elekcji królów*. W wydziale *lekarskim* professorowie: dr. *Kozubowski*, dr. *Majer*, dr. *Dietl*, dr. *Skobel*, dr. *Sawiczewski*, dr. *Bierkowski*, dr. *Kwaśniewski*, dr. *Sławikowski*, dr. *Bryk*, dr. *Domański*. W wydziale *filozoficznym*, professorowie: dr. *Weisse*, dr. *Steczkowski*, dr. *Czerwiakowski*, prof. *Czyrniański*, dr. *Zejszner*, dr. *Kuczyński*, dr. *Bratanek*, dr. *Matecki*, prof. *Walewski*, dr. *Kremer*, (etykę i historję filozofii wieków średnich), dr. *Muczkowski* (numizmatykę starożytną i polską), dr. *Wincenty Pol*, (geografją monarchii austriackiej, geografją Ziemi Świętej, geografją handlową powszechną i ćwiczenia z geografji fizycznej), dr. *Karol Mecherzyński*, (Historję literatury wieku Ludwika XIV we Francji, historję literatury polskiej od reformy przez Konarskiego aż do nowszych czasów). Naukę języków wykładają nauczyciele: *języka niemieckiego* dr. *Otremba*; zasady języka fran-

czkiego i o pisarzach francuzkich wieku Ludwika XIVgo p. *Aubertin; historyę* literatury rossyjskiej od Piotra W. do dzisiejszych czasów i język rossyjski p. *Hieronim Mecherzyński*.

Wszystkie przedmioty są wykładane już bezpłatnie, już za małą opłatą, z pewnemi wyjątkami. Gabinety: anatomiczny, mineralogiczny, chemiczny, fizyczny, obserwatorium astronomiczne, w oznaczonych godzinach są otwarte i dla uczniów i dla publiczności. Biblioteka uniwersytecka każdego dnia otwarta dla czytających od 9tej do 1szej rano; dla zwiedzających, w każdym czasie wolnym od obowiązków urzędowych.

(Wyjątek z listu).

Jan Nepomucen Kamiński ogłosił nową pracę filozoficzną pod napisem: „*Dusza uważana jako myśl, słowo, i znak: psychologiczno-etymologiczne poszukiwanie*”. Koszta nakładu zastąpił hr. Adam Zamojski. Czy ta hojność rzetelną publiczności i autorowi przysługę wyświadczyła, czy tylko bez gwałtownej potrzeby, na nowo, niezbyt szczęśliwie szanownego Kamińskiego popisy na polu *etymologii* wywołała, o tém niech rozstrzygnie krytyka. Dla ogółu publiczności, a nawet dla literatury, nieskończenie ważniejszą rzeczą byłyby pamiętnikowe wspomnienia do historyi teatru lwowskiego, które tyloletni jego dyrektor i podtrzymywacz, następca Bogusławskiego, winien jest dziełu własnemu, winien jest swojej i mistrza swego pamięci.

Około podniesienia podupadłej od niejakiego czasu sceny lwowskiej dzieją się skrzętne zabiegi. Naprzód obywatelskie *Kassyno* lwowskie zajęło się przysporzeniem scenie większej ilości widzów, przez abonowanie łóż na rzecz własną, zapraszanie publiczności do abonamentu i t. p. Następnie wyszło z tegoż kassyna ogłoszenie dwóch premiów za najlepszą sztukę dramatyczną w języku polskim, tragedją lub komedją oryginalną i tłumaczoną. Wszakże i bez konkursu nie zbywało scenie na nowych utworach dramatycznych, jeśli nie mistrzowskich, o co zbyt trudno, tedy przynajmniej ze wszech miar przedstawialnych. Lecz innego rodzaju przeszkody nie dozwoliły i nie dozwolają im okazać się przed publicznością. Największej liczby sztuk nowych dostarczył *Adam Gorczyński*. Niedawno cały powieściopisarstwu oddany, rzucił się autor *Powieści Jadama* wyłącznie na pole dramatyczne. Po pierwszej w tym zawodzie próbie, dramacie *Zbydowscy*, nastąpił szybką koleją szereg dramatów i komedyj: *Bajbuza, Anglik, Włoszka, Esterka*, i inne. Większa część tych sztuk domagała się u dyrekcji teatralnej wstępu na scenę lwowską; atoli dotąd oprócz przedstawionych przed kilką laty *Zbydowskich*, nie widział Lwów żadnej ze sztuk p. Gorczyńskiego. Tymczasem w Krakowie mają one co trzeci wieczór bawić publiczność. Oprócz autora *Anglika*, podali jeszcze pp. *Władysław Anczyc* i *Mikołaj Bołoz Antoniewicz* dwie nowe sztuki do przyjęcia dyrekcji. Pierwszy, autor tyle razy przedstawianej, acz zresztą lichęj komedyi *Chłopi arystokraci*, przedłożył czteroaktowy, jak słychać bardzo zręcznie skreślony dramat *Jan III pod Żurawnem*. Ale tymczasem gdy licha komedya natychmiast przystęp znalazła, lepszy dramat dotychczas w aktach dyrekcji leży. Podobnyż los spotkał także p. M. B. Antoniewicza, znanego z tłumaczenia Gutzkowa dramatu: *Uriel Akosta*. Ledwie

napisał nie wartą farsę *Szlachcie na wystawie londyńskiej*, zaraz chwyciono się jęj, jako arcy powabnego kaska benefsowego, i przedstawiono sztukę, tym razem szczęśliwiej niż *Chłopów arystokratów*, bo ku wiecznemu zapomnieniu. Także nowy utwór p. Antoniewicza, tragedia *Oświecimowie*, opiewająca niefortunną miłość Stanisława i Anny *Oświecimów*, nieprzedstawiony do teki autora wrócił. Przy tak niepomyślnych widokach dla nowych sztuk, nie bez korzyści może będzie interwencya premiów kassynowych w sprawach teatru lwowskiego.

— P. Józef Fr. Szumawsky ogłosił prospekt na *Słownik wszechsłowski*, i próbki pracy swojej ogłosił przy nim. Tenże pisarz wydał broszurę p. n.: „Jazyk Slovansky, cili myslenky o vseslovanském písemním jazyce.” Praga, 1851. 8ka, str. 48.

— W Pradze czeskiej wyszedł w nowém wydaniu przekład polski znanego rękopisu krółodworskiego Lucyana Siemińskiego, z dodaniem podobizny oryginału pergaminowego. Tamże, pieśń z tegoż rękopismu *Sławoj, Ludjek, a Zaboj* w przekładzie francuzkim wydano p. n.: *Victoire de Zaboi*, przez p. Eichhoff, w 16ce, str. 15.

— P. Czelakowski wydał zajmujące nas dzieło: *Mudrosłovi národu slovanského ve přístovích*. (Praga 1852).

— Przy czasopiśmie czeskiego muzeum na r. 1851, wychodzi z oddzielną paginacyą lekarska terminologia czeska.

— We Lwowie wydano: „C. K. uprzywilejowane towarzystwo zabezpieczenia *Azienda Assicuratrice* w Tryeście, założone na akcyę w r. 1822 z własnym rękojemnym kapitałem zakładowym w ilości 2,000,000 złotych reńskich w monecie konwencyjnej, z których trzydzieści od setków gotowizną złożono, niemniej ze znacznym zapasem nagrodowym, i własnym funduszem zapasowym, daje zabezpieczającą publiczności największą, jaka być może, rękojmię, prędkiego dopełnienia przyjętych na się obowiązków.” 1851. 8ka. Str. 23.

— P. Władiwój Tomka w Czasopiśmie czeskiego muzeum na r. 1851, ogłosił rozprawę p. n.: „Starania domu rakuzkiego o nabycie korony polskiej w XVI stuleciu.” Rzecz wiele ciekawa dla naszych dziejów. W jednym z następnych zeszytów naszego pisma ogłosimy przekład téj pracy.

— Pan J. M. Fritz r. b. wydał we Wrocławiu dziełko: „Elementarbuch zur praktischen Erlernung der polnischen Sprache,” opracowane z gruntowną znajomością języka polskiego i niemieckiego. P. Fritz jest lektorem prywatnym przy uniwersytecie wrocławskim.

— W Moskwie umarł dnia 5 marca r. b. w samęj sile wieku, bo nie skończywszy lat 44 życia *Mikołaj Gogol*, znakomity pisarz i celna ozdoba nowęj literatury rossyjskiej. Mamy kilka przekładów z jego utworów.

Korrespondencya.

Na odebrane listy redakcy Biblioteki Warszawskiej ma z aszczyt odpowiedzieć:

PP. *Henrykowi z Podola* i *Zygmuntowi Szabłowskiemu*, że nadesłanych poezyj i obrazku z życia ludu podolskiego umieścić w swoim piśmie nie może.

P. Cypryanowi *Gozdeckiemu*, że redakcyja nie zajmuje się drukowaniem dzieł oddzielnych, i z gotowym rękopismem może się zgłosić do którego z pp. księgarzy.

P. *Fritz* z Wrocławia, iż do życzenia jego przychylić się nie może.

† W końcu r. 1851, w Wilnie, umarł w 52 r. życia Felix Rymkiewicz, wysłużony profesor b. uniwersytetu wileńskiego i akademii medycznój.

† Ku końcowi r. z. umarł w sędziwym wieku, w powiecie mińskim, Jan Chodźko. Napisał powieść p. t. „Pan Wojski.”

† Dnia 1go lutego r. b. we wsi Kunce koło Hajssyna na Podolu zmarł Józef Drzewiecki w 80 roku życia, autor ważnych pamiętników, których część była ogłoszona w *Athenaeum*.

† Dnia 4 lutego r. b. umarł w Wilnie Józef hr. Plater, przeżywszy lat 56. Ogłosił drukiem „Rocznik gospodarski” i „Czytelnia dla służących”, oprócz wielu artykułów literacko-naukowych, w pismach zbiorowych, a mianowicie w *Rubonie* umieszczanych.

† W nocy z dnia 8 na 9 marca r. b. umarł w Żytomierzu, przeżywszy lat 69, Franciszek Miechowicz nauczyciel mechaniki i architektury w b. liceum wołyńskim w Krzemieńcu, a następnie professor i dziekan fakultetu matematycznego w uniwersytecie kijowskim. Urodził się na Wołyniu r. 1783. Napisał: „Teoryą machin.” Krzemieniec. 1827 r.

† W nocy z d. 6 na 7 kwietnia r. b. w Warszawie zmarł Antoni Muczkowski professor literatury łacińskiej i greckiej w Akademii duchownej i adjunkt Archiwum Głównego. Urodził się w r. 1807 w Zawieprzycach.

Od redakcyi.

Jeszcze przy końcu r. z. redakcyja ogłosiła tak przez gazety krajowe, jak i w poszytach swego pisma, iż przedpłata roczna na Bibliotekę Warszawską z przesyłką pocztową w *kopertach* wynosi *franco* rub. sr. 10; gdy jednakże wielu szanownych prenumeratorów nadesłało więcej nad powyższą kwotę; przeto dla uniknienia kosztów, redakcyja niniejszém ogłasza, iż wszelka nadpłata może być potrąconą przy odnawianiu prenumeraty na Bibl. Warsz. w roku przyszłym 1853, nadsyłając resztę należności wprost do redakcyi.

Również uprasza redakcyja tych szanownych prenumeratorów, którzy mniej nadesłali jak rub sr. 10, aby raczyli przypadającą jeszcze od nich należność w jak najkrótszym czasie uzupełnić.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Marzec, 1852.

Marzec 1852.

Dostrzeżenia w Obserw

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom
czyli w łuku 18°41'25,5" na

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y			
		6	10	4	10	6	10	4	10
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano.	god. wiec.	god. wiec.
1		735.28	737.20	739.30	739.84	+ 0°2	+ 1°1	— 0°2	— 2°7
2		738.37	740.61	742.56	745.27	— 3.6	— 3.9	— 3.3	— 5.7
3		746.57	747.42	748.66	750.52	— 107.	— 3.3	— 1.7	— 5.7
4		753.47	755.82	758.77	762.64	— 6.6	— 2.9	— 2.2	— 6.4
5		767.75	769.63	771.63	773.59	— 11.2	— 7.2	— 1.2	— 7.2
6	☾	773.83	773.46	772.04	769.26	— 11.3	— 7.4	+ 0.3	— 4.6
7		764.51	763.15	760.30	754.86	— 3.3	— 1.6	— 0.5	— 0.5
8		751.76	752.09	752.21	751.52	+ 1.0	+ 3.6	+ 3.3	+ 1.5
9		751.74	752.29	751.85	752.46	— 0.0	+ 1.2	+ 2.4	— 0.2
10		753.14	753.44	753.25	753.08	— 2.1	— 2.3	— 0.6	— 2.3
11		751.99	752.23	752.10	753.51	— 3.5	— 2.2	— 1.9	— 5.2
12	☾	753.18	751.40	749.31	751.69	— 7.1	— 3.6	— 1.6	— 6.9
13		756.10	757.80	758.91	760.17	— 10.6	— 6.7	— 4.5	— 8.3
14		759.76	759.18	755.89	751.10	— 9.7	— 3.6	— 3.7	— 3.1
15		751.58	752.30	754.62	756.80	— 4.4	— 3.2	— 2.0	— 5.2
16		756.97	756.87	754.13	752.66	— 10.5	— 3.6	— 0.2	— 0.9
17		752.71	754.04	754.84	756.21	— 1.2	— 0.1	+ 2.9	— 1.8
18		756.63	756.79	755.85	756.80	— 3.0	— 0.7	+ 2.2	— 1.6
19		756.18	757.53	758.07	759.02	— 1.8	+ 1.6	+ 3.1	— 0.7
20	☾	760.45	761.86	761.90	762.21	— 1.0	+ 0.2	+ 1.7	— 0.2
21		763.18	763.91	763.19	763.46	— 0.6	+ 1.6	+ 3.3	— 0.9
22		762.70	762.55	760.21	759.16	— 2.7	+ 2.0	+ 6.0	+ 1.2
23		756.93	756.18	752.20	748.37	— 2.1	+ 2.7	+ 6.6	+ 1.8
24		741.61	737.63	732.84	735.63	+ 0.8	+ 2.1	+ 4.6	— 1.3
25		737.24	737.56	738.10	737.15	— 3.5	— 1.6	— 1.2	— 2.6
26		736.56	737.35	739.65	741.06	— 5.6	— 1.2	— 2.2	— 5.0
27		740.47	743.34	745.28	746.74	— 3.1	— 2.7	+ 1.9	— 3.3
28	☾	748.63	749.19	748.67	749.15	— 4.7	+ 1.7	+ 6.2	— 0.1
29		748.75	749.38	749.52	749.46	— 2.1	+ 3.4	+ 8.5	+ 3.6
30		743.41	743.10	746.15	745.88	+ 1.5	+ 6.4	+ 14.9	+ 6.4
31		744.69	744.27	743.33	743.76	+ 2.5	+ 11.5	+ 16.4	+ 9.6
Śre.		752.295	752.729	752.430	752.678	— 3°87	— 0°60	+ 1°84	— 1°88

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.533	27	9.595
Najwyżej dochodził — d. 6 o g. 6 r.	773.83	28	7.036
Najniżej — — d. 24 o g. 4 w.	732.84	27	0.866
Dotąd ani razu w marcu barometr nie stał tak wysoko.			
Średnia zmiana dzienna barometru	4.502		1.995
Największa zmiana dzienna barometru			
d. 23—24 o g. 4 w.	19.36		8.582
Średnia wysokość barometru jest wyższą o	3.734		1.656
od stanu normalnego z 26 lat			
poprzedzających	748.799	27	7.939
Średnia temperatura Marca wynosi:	— 1 ^o .13	C.	— 0 ^o .902
i ta jest niższą o	1.79	„	1.430
od stanu normalnego z 26 lat po-			
przedzających	+ 0.66	„	+ 0.528
Największe ciepło dochodziło d. 31			
o godz. 4 wiecz.	+ 16.4	„	+ 13.12
Największe zimno dochodziło d. 6			
o godz. 6 rano.	— 11.3	„	— 9.04
Średnia zmiana dzienna temperatury	2 349	„	1.879
Największa zmiana dzienna tempera-			
tury d. 16—17 o g. 6 r.	9.3	„	7.44

Termometrograf wskazał:

Maximum: +13^o.9 R. d. 31 po połud.

Minimum: — 9^o.2 „ d. 6 i 14 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 2,2 milim. czyli 0,97 lin. par., z śniegu 9.2 milim. czyli 4.08 lin. par.; razem spadło wody z deszczu i śniegu wysoko na 11.4 milim. czyli 5.05 lin. par.; ilość ta wody jest mniejszą o 26.9 lin. par. od ilości jaka u nas w marcu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 89,5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4.51 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest większą o 0.03 od normalnej.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 13, pochmurnych 13.

Dni deszczu 3 (d. 2, 7, 24). Dni śniegu 11 (d. 1, 2, 7, 11, 12, 14, 16, 24, 25, 26, 27). — Dni gradu 2 (d. 17, 26).

Wichrów było 1 (Pn.). — Wiatrów mocnych 10 (5 Z., 4 PnZ., 1 Pn.). — Wiatr panujący: Północny i Zachodni.

Marzec r. b. był pogodny, zimny, w deszcz i śnieg nieobfity. w ogóle blisko o półtora stopnia R. zimniejszy jak zwykle; zimniejszy o pół stopnia od grudnia r. z., o 0.66 stop. R. od stycznia r. b.; a cieplejszy o 0.82 stop. R. od lutego r. b. Najcieplejsze dni były: d. 30, 31. Najzimniejsze d. 2, 3, 4, 5, 6, 12, 13, 14. Przyczyną tak niskiego stanu temperatury były wiatry północne w tym miesiącu panujące. Pod względem ilości wody spadłej z deszczu i śniegu miesiąc ten znacznie się różnił od lat innych, gdyż przeszło trzy razy mniej wody spadło niż zwykle i wyjąwszy rok 1847 w żadnym z 26 lat poprzednich tak mało wody nie spadło jak w r. b., chociaż ilość wody ze śniegu jest większa od ilości wody z deszczu. Zmiany barometru były znaczne i tym zwykle towarzyszyły wiatry mocne. Dnia 24 po południu barometr stał na 28 cali 7.04 lin. par. tak wysoko, jak w żadnym, z poprzednich lat.

D. 10 pierwszy raz słyszano skowronka.

D. 25 o godz. 9 wiecz. widziano *Zorzę Północną* koloru różowego; o godz. 9 min. 10 dwa słupy różowe posuwały się ku zachodowi w wysokości na 10^o—15^o.

PODRÓŻ Z SZKOCYI DO ANGLII.

PRZEZ

Dra G. Crippina.

I.

Dwie są główne drogi dylizansowe, prowadzące ze Szkocyi do Anglii: jedna ciągnie się wzdłuż brzegu wschodniego przez Berwick, druga zaś wzdłuż zachodniego przez Carlisle. Pomiedzy temi miastami leży pasmo pagórków zwane Chewiot, utrudniające wszelkie komunikacye lądowe. Pasma tedy Chewiotu odgranicza Szkocyą od Anglii prawie w ten sam sposób, w jaki góry Pyrenejskie przedzielają Francją od Hiszpanii; dwa główne trakty, z jednéj strony przez Bayonnę i San-Sebastian, z drugieję zaś przez Perpignan i Geronę ciągną się i tam, po obu krańcach podnóża łańcucha granicznego.

Podróżni jadą najczęściej przez Berwick ze Szkocyi do Anglii. Wybraliśmy drugą drogę; chcieliśmy bowiem zwiedzić Abbotsford i Carlisle, wabieni sławą poety i wspaniałej bazyliki.

Przez pyszne pola pszeniczne Mid-Lothianu, urozmaicone willami i fabrykami, wioskami i błoniem, gajem i dąbrową, ciągnie nas szybki jak wiatr dylizans kaledoński. Woznica milczący w wprawnej dłoni dzierży swe lejce, a rumaki na cienkich posuwistych nogach rżą z radości, i kłębami pary pryskają z szerokich różowych nozdrzy. I liczna osada dylizansu milczy. Któż chętnie opuszcza miły Edyburg? Kto bez smutku w sercu żegna się z temi oświeconemi, a tak dobrymi mieszkańcami północnych Aten? Wszystko jest względném na tém świecie:—nawet i smutek. Kto

go nie uczuje rozstając się z ukochanymi ludźmi, ten niech rozpacz, bo ten pewno dobrym nie jest człowiekiem, i w doznaniu próżni serca znajdzie dotkliwą karę za swój stoicyzm.

Toczą się i obracają szybkie koła naszego wozu, zawierającego w swém wnętrzu i na dachu ćwierć setni passażerów, różnego wieku i płci różnej. Na mgły wlekące się obojętnie, gnuśnie po krańcach widnokregu, przecież pada promyk słońca; pierzchają popielate wodniste dymy, rozjaśnia się widnokrąg; powoli, powoli, roje siedzib ludzkich wyrastają z pomroku: wszędzie życie, wszędzie myśl i czucie. Z dobroczynném światłem miłe ciepło rozlewa się w tę toczącą maszynę, i powołuje do życia i do udziału życia całą osadę dyliżansową. Ten się rusza, ów trzeźwi się tabaką, tamta poprawia loków, inna jeszcze zpod półotwartych źrenic examинуje towarzysza podróży, dzieci nie zażywając tabaki wszystkie kichają, łechtane w nos promykiem wschodzącego słońca; a ja, po raz może tysięczny w mém życiu dziwię się, że tu jestem pomiędzy tylu cudzoziemcami, tak daleko od mego kraju, i tęskne przesyłam westchnienia wam wszystkim, którzyście mnie znali dzieckiem, a zobaczycie dopiero gdy młodość moja minie, i w jesieni wieku domagać się będziecie odbłyску zdaleka od was strawionój młodości.

Szukam nie wiedząc że szukam współdziału. Pytam go u przyrody mnie otaczającej; ach! niestety! ona wszędzie inną, więcj urozmaiconą jak nasza. Pytam go w fizyognomiach mych bliźnich; ach! przecież gdzie są ludzie, tam i przyjaciela znajdziesz, bylebyś sam pałał potrzebą przyjaźni i wierzył w święte, bezinteresowne uczucia.

Wóz się toczy rażno i szybko po dolinach Mid-Lothianu; już jesteśmy na pograniczu hrabstwa, już się wije po zieloném błoniu rzeka Gala, już i miasto Galashiels zpoza wysokich drzew licznymi fabrykami, a drobnym wyziera kościołem. Bawełnie wzrost swój winno to miasto, którego starzy mieszkańcy jeszcze pamiętają jak byłó nędzną wioską. Pamiętek historycznych jeszcze w niem żadnych, prócz dymu, który z wysokiego komina od pół wieku kopci mury miasta. Bawełną żyje, dymem oddycha, a może od wątlejszój jeszcze substancji zginie. Ludnómbo jest bardzo, ale patrzcie na te znędniałe twarze młodzieńców, na te znękanę pracą dzieci. Jak niepełne życie w tych ludziach, a ilu cierpień ślady w owych posepnych oczach!

Trzeba nawet przyznać, że jest coś złośliwego, chytrze podstępnego w wyrazie twarzy wielu z tych wyrobników, uważających się instynktownie, a przecież słusznie za ofiary cywilizacji! — „Oni spoglądają z zazdrością na wszystkich ludzi, a umierają obojętnie; zdaje się, że im nigdy promyk nadziei nie przyświeca,” rzekł nam jakiś filantrop siedzący w Galashiels umyślnie dla przekonania się, jaki stopień ubóstwa znieść może wyrobnik, zanim z nędzy umrze.

—Prawdziwie, moi panowie, kto widział waszą ludność wyrobniczą, ten wam nie pozazdrości ani waszej potęgi, ani rozumu, ani waszej wolności. Jaki smutny z tych trzech wielkich żywiołów szczęścia robicie użytek, kiedy nędza tak licznej klasy ludu musi być warunkiem waszego bytu, lub też koniecznym wynikiem waszego szczęścia — rzekłem do pana Hether.... i do filantropa, który się był przyplątał do nas dla złowienia zdań naszych, jak to często robią ciekawi, choć nie literaci.

Pan Hetherington tak zagadnięty, wytrzeszczył oczy zpod ciężkich, cokolwiek zaspanych powiek, pięści ścisnął i krzyknął: *Damn! and still we are, what we are* (a jednakże jesteście czym jesteście: panami morza i dzierżawcami ziemi!). Ale filantrop do żywego tknięty w swém uczuciu godności narodowej, odrzekł z wielkiem zastanowieniem w sentencyonalnym tonie: „Patrz pan, każdy rad być dumnym ze wszystkiego, z czego tylko można być dumnym. Pan w tej chwili dumny jesteś ze swój szlachetnej duszy, która mu tak piękne płodzi uczucia, ze swego rozumu, który mu tak logiczne nasuwa rozumowanie; a my Anglicy, choć ze ściśnioném patrzymy sercem na nędzę naszych bliźnich, której pomimo wszystkich ofiar nie umiemy usunąć odrazu: dumni jednak jesteście, że przy tej nędzy toczącej znaczną część ludności, prawo jednakże jest szanowaném, porządek nienaruszony, szeroka droga do postępu utorowana, tak, że nędza ta nie wyzuwa owych ludzi ze względów winnych szczęśliwszym, że im nie wpaja ani wściekłej myśli targnięcia się na majątek bliźniego, ani też niezwalzonego pociągu do samobójstwa. Owszem, zobaczysz pan coś, czego nigdy może i w żadnym nie widziałeś narodzić: zobaczysz pan średnią klasę ludu mało zamożną, ale posiadającą środki wystarczające na życie, nietylko niezazdroszczącą bogatym magnatom, ale owszem dumną z tych praw, których poszanowanie robi, że majątki tak ogromne ostać się mogą, obok tak okrutnej nędzy proletaryatu, i oprzeć się mogą nawałnicy złych namiętno-

ści, wywołujących w innych krajach, gdzie szacunek dla prawa osłabiony, najokropniejsze burze i konwulsje. W towarzystwie tak sztuczném jak jest nasze, w porządku rzeczy tak czynnym, wszystkie najrozmaitsze stosunki i siły, dodatne i ujemne, wespół pracować muszą na tworzenie postępu, to jest celu i środka ogólnego życia. W postępie bowiem nowe objawiają się, dotychczas nieznanne, lub nieużywane przynajmniej środki i siły, wyrrywające z nędzy, ubóstwa lub ciemnoty cząstkę dotychczas bolejącą, wtrącające może inne dotąd szczęśliwsze klasy w położenie mniej świetne, jeśli nie umiały wyrzucić podostatkiem sił do utrzymania się przy bycie. A tak, choć bolejemy wszyscy nad losem człowieka nieumiejącego niczém inném służyć światu, jak kręceniem mechanicznego krążka, pomniéć jednakże na dwie ostateczności winniśmy: *na ogromne bogactwa sprowadzone dla całego państwa pracą rękodzielniczą; powtóre, na to, że prócz nieszczęśliwych, do żadnej innej łatwiejszej, mniej zdrowiu szkodzącej pracy niezdolnych, niktby się tej pożytecznej pracy oddać nie chciał.* A to na pochwałę i najnędzniejszego Anglika przytoczyć muszę, że on woli być powolną ofiarą pracy, anizeli szybką ofiarą zbrodni, samobójstwa lub głodu; że woli używając swobody okupionej wielką pracą, małym zarobkiem zadowalniać się, jak w domach roboczych przymusowemu oddawać się mazołowi.”

Powiedziawszy ten *Speech*, nasz filantrop spojrział na zegarek, kiwnął głową i wrócił do brudnych zaułków, gdzie mieszkają blade rodziny wyrobników. Tam gniazdo jego filozofii.

Kto to jest ten filantrop, rozumujący tak mądrze i zimno? Zdaje się prawie, że ma słuszość.

To młody Cobbett, wnuk starego, sławnego demagoga angielskiego Wilhelma Cobbett. Niewiele ma majątku; zdobył go wielkimi wysileniami pracując w fabryce; ale codziennie wyszukuje ubogich i wydaje znaczne sumki na otarcie tych łez, jakie sam niegdyś wylewał w podobnym zawodzie.

Wnuk zaciętego demagoga, był przyjacielem ludu, ale nie demagogiem. Tak się idee przekształcają, ludzie wyrabiają, i coraz nowe siły umysłu i ducha w działanie wchodzi.

W bliskości Galashiels leżą pyszne zwaliska świetnego opactwa Melrose, dalej Jedburg i Dryburg, także powabne miejsca, rozpościerające się malowniczo po śmiejących dolinkach, opasywanych czterema rzekami: Tweedą, Galą, Yarrowem, i Etrykiem. Miejsca te minąć musieliśmy, pozostawiając do lepszych czasów

nadzieję ich zwiedzenia; jednego jednakże dotychczas niewymienionego minąć nie byłem w stanie: przyciągała mnie doń wdzięczność za kilka lat strawionych w ciągłym zachwyceniu. Ledwie dwanaście lat liczyłem, kiedy po raz pierwszy dostał się w me ręce romans, p. t.: *Guy Mannering*. Ojciec mój pomny o me dobro nie pozwalał mi osłabiać sił duszy czytaniem romansów, i wkrótce spostrzegł, jak głęboki, trwały urok wywierał na mnie *Walter Scott*, nawet w tak niedoskonałym przepolszczeniu, jak jest *Dmochowskiego*. Dobry ojciec widząc mnie po całych godzinach marzącego o górach *Szkocyi*, o poczciwych, walecznych ludziach mieszkających pod jej posepnym a poważnym niebem, nie walczył już z wrażliwością dziecka, lecz umyślił spożytkować ją na jego korzyść. — „Dobrze, możesz czytać romanse *Walter Scotta*, nie zawierają one nic, co duszę człowieka skalać potrafi; lecz abyś w sobie nie osłabił, nie zniewieścił ducha, czytaniem łatwój, wyobraźnię ludzającj literatury, czytaj *Walter Scotta* w języku oryginalnym. Przymuszony potykać się z trudnościami języka, nie rozpieścisz twych władz umysłowych, nie wpadniesz w błąd tych istot, które czytając wiele wykształcą w sobie do zbytniego stopnia wrażliwość duszy, a żadnej nie zdobędą potęgi umysłu.”

Tak mówił ojciec, i sprowadził wraz ze wszystkimi już wyszłymi romansami szkockiego powieścio-pisarza, słownik angielsko-niemiecki; angielsko-polskiego wówczas jeszcze nie było.

Ciekawość, chciwość wiedzy przewyciężyła wszystkie trudności. W kilka miesięcy za pomocą słownika i rad uczonego mego ojca, czytałem płynnie trudny, bogaty język *Walter Scotta*. Mogę powiedzieć, że *Szkotów* dzieje wcieliły się siłą krwi w me wzrastające serce. Może one zbudziły w niem tego ducha rycerskiego, który tylu nieszczęść i tylu zachwycen dla mnie stał się źródłem, i dziś jeszcze, w czasach tak prozaicznych, pokutuje w méj duszy jak widmo dawno upłynionych wieków.

Mógłbym tedy minąć *Abbotsford*, wiejską siedzibę starego romanso-pisarza, rozczulającego utworami swemi miliony młodzieży wszystkich krajów, i nie złożyć hołdu szczeremu cieniem meza, który siłą swego gieniuszu obudził tyle sympatyj dla swój nieludnej, a tak uroczej ojczyzny?!

Jestem w *Abbotsford*. Z początku było tylko drobny folwark, kiedy go zakładał niezamożny, bogactw swych późniejszych nieprzewidujący bard szkocki. Później przybyły do małych pokojków większe sale, do dachów wieże, do murów strzelnice; aż

nareszcie w lat dwadzieścia kilka stanęła ulubiona poety siedziba taka, jaką jest jeszcze dzisiaj: najnieregularniejsza narośl, ni-by gotycko mieszanego stylu. Szczerze powiedziawszy, wiele smaku w téj budowlu nie ma; za dużo pretensyi w owych drobnych rozmiarach: bawidelko, którém gotycka wyobraźnia antykwaryusza poety lubiła się pieścić: Z samych zbiorów, niegdyś bardzo szacownych, stary wieszcz straciwszy nie z własnej winy swój majątek, zmuszonym był sprzedać najciekawsze przedmioty; później wszystko poszło w ręce wierzycieli, i dziś cała posiadłość do obcych przeszła ludzi.

I tu spotkaliśmy angielskiego turystę, oryginała kompletnego, jakiego już oddawna życzyłem sobie widzieć. Rudy, sztywny i cierpki jak dzikie jabłko; stąpał w nankinowych *inexpressibles* i w długim paltocie, w wodotrwałym kapeluszu, który zarazem służył mu za miednicę i wazę, z kołnierzykami podryzającymi mu uszy, jak dwie piłki. Kieszenie miał zapelnione całym magazynem najrozlicniejszych sprzętów domowych: znajdowało się w nich krzesło kieszonkowe, stolik kieszonkowy wraz z album in folio; brzytwę miał w lorynetce, bussolę, puszkę z szuwaksem i barometr w lasce, fajkę i szczotkę od zębów w nożu; nakryty zaś był płaszczem, który w razie potrzeby można było zatknąć na laskę, i przemienić w deszczochron lub w namiot, a nawet w materac, nadawszy powietrzem przedział pomiędzy podszewką a wierzchem zawarty. Tak wyposażony Anglik podróżował już od lat kilkunastu, najczęściej piechotą po kontynencie, aż nareszcie wróciwszy do ojczyzny, przyszedł zwiedzić Abbotsford. Nie był zadowolony ze swych wycieczek, szukał wszędzie rozrywki, a znalazł tylko nudy. Nic a nic w świecie nie odpowiedziało jego oczekiwaniom: ani kościół św. Piotra, ani Alhambra, ani Mont-Blanc, ani wodospad Renu pod Szafuzą.

— Nie mogę sobie nawet wyobrazić, czemu ludzie do tego znów stopnia ubiegają się za przyjemnością oglądania siedziby wielkiego nieznanomego—ręczę do nas turysta siadłszy na swém składaném krześle i rozpiąwszy deszczochron na barometrze. —Walter Scott nie wyglądał na gentelmana, nic nie miał w sobie szlachetnego, okazałego lub dostojnego; owszem, fizyognomia jego tłusta, płaska, staro-szkocka, nos ogórkowaty, oczy małe, siwe, tchnęły gminnością. Ani téż nawet mądrze nie wyglądał: usta miał ciężkie, obwisłe, *upon my word* bardzo głupie. Na ogromnych chodził nogach, kulejąc na jedną, a nieznośném mó-

wił narzeczem, akcentem czysto-chołopskim; przytém na domiar nieszczęścia tak miał nieudolne organa wokalizacyi, że go trudno było zrozumieć. Żadnego *r* nie mógł wymówić; zamiast *rock*, mówił *cock*: ubierał się zaś jak wieśniak w gruby surdut z wielkimi, jak talary metalowemi guzikami. Takim go widziałem ze sto razy przed dwunastu laty w Edyburgu; anim się spodziewał że tu przyjdę umyślnie, by oglądać wiejską siedzibę dawnego pisarza kollegium notaryuszów edyburgskich. Ale darmo, przedsięwziąłem sobie podróżować przez całe lat 15, i jeszcze dwa lata będę się musiał włóczyć po świecie, dla dotrzymania sobie słowa.

Istotnie, obraz jaki tu skreślił nudny turysta o osobistości Walter-Scotta wiernym jest zupełnie. Tak czasem wielka zachodzi różnica pomiędzy wartością duszy, a ciała.

O małą milkę za Abbotsford, leży niewielkie wesołe miasteczko Selkirk, pamiętne w dziejach wojen Szkotów z Anglikami. Szewcy Selkirku słyną podziśdzien z dobroci swych wyrobów: wszyscy niemal obywatele tego miasteczka oddają się z zapałem temu użytecznemu rzemiosłu. Ztąd téż zapewne pochodzi istniejący dotąd zwyczaj, że wszyscy nowi obywatele miasta, przed uzyskaniem dyplomu obywatelskiego, winni wyczyścić wiązeczkę szczeciny, którą potém do dyplomu przytwierdzają. Tylko Leopolda Koburgskiego, terażniejszego króla Belgijczyków, miasto przyjmując w poczet swych obywateli, od tych uwolniło obowiązków.

Przebywamy hrabstwo Ronburg i stajemy na popasie w Kirk Yelholm, wiosce położonej między górami i zawierającój w sobie największą kolonią Cyganów, jaka w Szkocyi istnieje. Jest ich przeszło 150; z postępem oświaty, wiele przybrali zwyczajów europejskich, zachowali jednakże śniady kolor twarzy, mowę swą i zwyczaj koczowania i trudnienia się kradzieżą.

Już zdaleka widzimy srebrny strumyk wijący się pomiędzy pagórkami Teviotu. To rzeka Tweed, to granica Szkocyi, to owe pamiętne czyste wody, które splukały potoki krwi bohater-skiej z błon szkockich. A tam dalej na zachód piętrzy się długi i gęsty szereg kopców okrągłych, gładkich i zielonych aż po same szczyty; jedne wznoszą głowy nad drugimi, jak gdyby dzieci jednej matki:—to pasmo Cheviotu, stanowiące suchą granicę pomiędzy dwoma królestwami, zostającemi dziś pod jedném berłem. Ten srebrny strumyk i te pagórki, były przez lat przeszło tysiąc

widownią krwawych walk i zaciętych zatargów. Dziś tu wszystko spokojne. Rzeczka obraca młyny, tartaki i walcownie, pagórki porosły bujną trawą, trzody się na nich paszą: wszystko technie szczęściem i pokojem, tryumfują błogie skutki pracy, i wszędzie zamiast dzikiej trąby wojennej, odzywa się tęskny odgłos pasterskiej fujarki. I ztąd się rozchodzi na całą Szkocję i na wielką część Anglii owa pyszna rasa owiec Cheviotu, której wełna tak miękka i biała, i to poprawne plemię wypędza zewsząd starodawną czarną i kudłatą rasę swych współbraci.

Tylko jedna jeszcze sterczy ruina: zwaliska zamku Armstrongów, sławnych „*border-depredators*” to jest rycerzy gwałtów pogranicznych. W środku XVI wieku król Jakób V kazał tu powiesić jednego z nich, wraz z całym orszakiem jego, za to, że wyklęty przez niego, śmiał przyjść złożyć mu swe hołdy. Wiele tu grobowych pomników, uwieczniających pamięć bohaterów, a pomiędzy nimi świetnie wysoki na 100 stóp obelisk, wzniesiony pod *Langholm* na cześć generała Malcolm.

Pomiędzy rzekami Esk i Sask rozpościerało się niegdyś na pochyłości wielkie bagno torfowe, zwane *Solway Moss*. Bagno to zmiękzone i wzdęte deszczami, zerwało się z twardej swiej podstawy d. 17 listopada 1771 r., i zalało błotnistą lawą 400 pól, wielkie mnóstwo wiosek, pogrążyło w swych odmętach wielu ludzi i nareszcie zaginęło w morzu.

Wjeżdżamy w ów labirynt okrągłych pagórków: raz się zamyka widnokrąg w ciasnych obrębach, drugi raz się otwiera, znów ścieśnia i znów znikają zapory. Drzewa coraz radsze, płaszczyzny wyzierają ku południowi, deszcz kropi coraz rzęsiściej. Żal mi ściska serce, bo już granice Szkocyi niedaleko, już dymy miasta Carlisle czarnemi kłębamii pną się ku niebu.

Bądź mi tedy zdrowa Kaledonio, bądź zdrowa nazawsze! Gdziekolwiek będę, tęsknić za tobą nie przestanę, bo tyś mnie przyciągnęła twą sławą, oczarowała poezją i twą pracą oświeciła!

Tobie Szkocjo winienem przekonanie, że praca, przemysł i handel nie są grobami poezyi i szlachetności, chyba w narodach, gdzie charakter jest słabszy jak namiętności, ruch większy jak czynność, lub téż żądza wygód materyalnych żywszą, jak potrzeba pokoju duszy.

Zegnaj cię Szkocjo wyrazami twego ulubionego barda Burnsa:

„Fare well to the Highlands high covered with snow;
Fare well to the straths and green valleys below,
Fare well to the forests and wildhanging woods,
Fare well to the torrents and loudpouring floods.”

(Żegnam was góry napiętrzone śniegiem,
Żegnam was łąki, nadobne doliny,
Żegnam cię dziko rosochaty lesie,
Żegnam was potoki, szumiące kaskady).

II.

Good God be merciful on us! there we are again in our old matter of fact England! Dalibóg tak, a nieinaczéj, wykrzyknęła Mistris Hethr..... skorośmy przebyli mostek rzucony na Tweedę.

Ale warto dać przepolszczenie tego wykrzyknika: „*Good God be merciful on us*” znaczy: dobry Boże, zlituj się nad nami; *there we are again in our old England*: jesteśmy znów w naszej staréj Anglii. Ale co znaczy *matter of fact*?—to epitet, który nielatwo w polskim oddać języku.

Arystokrata angielski mówiąc o kupcu, o przemysłowcu, o adwokacie angielskim, nazywa go z urąganiem *a matter of fact man*, i przez to chce powiedzieć, że to człowiek pilnujący li tylko swego interesu, sięgający nietylko swemi czynami, ale także swym rozumem, swém uczuciem najdalej aż do granic zakresłonych mu powołaniem, dającém mu chléb i utrzymanie; przez to chce oznaczyć szczypty zakres, w którym się obraca jego honor i jego prawo do szlachetności, i tém się mści za wkraczanie przywileju bogactwa do przywilejów urodzenia.

Poeta, literat, uczuciowiec i uczony, nazywając Anglika *a matter of fact man* chce przez to wyrazić swą pogardę dla człowieka pozbawionego wyższych, szczytniejszych uczuć; uczuć wyrrywających się poza położenie materyalne jednostki. Nie potępia on przez to wyrażenie honoru lub moralności swego rodaka, ale daje poznać, że jego dusza niezdolna wznieść się ani na chwilę ponad widnokrag swych cielesnych oczu. I tém wyrażeniem mści się za swoją biedę, za swe upokorzenie, za nudy doświadczane w towarzystwie człowieka, oddanego duszą i ciałem zawodowi, doprowadzić mogącemu do bogactwa, do wziętości, nawet do poszanowania gminu.

Rzemieślnik, kupiec, przemysłowiec, adwokat nawet i lekarz angielski, mówiąc o sobie z dumą powie: *I am a matter of fact man*, i przez to chce powiedzieć: nie obawiaj się, ja celu mego nigdy ani na chwilę z oka nie spuszczę; ja całkiem i bezwzględnie memu powołaniu oddany, ani na chwilę na bezdroże sprowadzić się nie dam; mnie się możesz powierzyć, na mnie liczyć jak na Zawiszę.

Wiemy teraz co jest *a matter of fact man*, epitet powtarzany tak często w Anglii z pogardą, z urąganiem i dumą. To znaczy poprostu *być prozaicznym*, nie łudzić się ani poezjami, ani teoryami, ani dać się oczarować żadną rzeczą, której w rękę wziąć, powąchać, obejrzyć, obsłuchać i obmakować nie można.

Pani Hethrington nazwała tedy swą ojczyznę prozaiczną Anglią i niebardzo się cieszyła z powrotu do niej. Anglik nie jest hipokrytą, i niejeden z nich wyznaje najnaiwniej w świecie, że go własna nie zachwyca ojczyzna, że przekłada pobyt za granicą nad bawienie we własnym kraju. Z tego jednakże nie wypływa, aby tacy Anglicy byli wyzuci z patryotyzmu; bynajmniej—tylko oni inaczej pojmują patryotyzm: mniej się przywiązują do miejsca urodzenia, które niezawsze piękne i powabne, jak do narodowości angielskiej, która wszędzie jest poważną. Nieraz mi się zdarzyło widzieć Anglików nielubiących własnego kraju, utrzymujących, że podróżami do tego stopnia otrząsnęli się z narodowych przesądów i uprzedzeń, iż stali się prawdziwemi kosmopolitami, to jest obywatelami świata. Ale doświadczenie nauczyło mnie nie ufać takim zaręczeniom.—Anglik nie pozbywa się nigdy dumy narodowej, nie przestaje cenić wysoko swych współobywateli, chociażby ich prawdziwie nie kochał. Anglik ubogi, podróżujący dla oszczędności, za granicą czepiać się nie będzie bogatszych od siebie ziomeków; ale skoro tylko zoczy w prawach ludzkości obrażonego, zaraz występuje śmiało i odważnie, i nie uważając na żadne niebezpieczeństwo, na żadne straty, nie da włosa ruszyć swemu rodakowi. Jednym słowem, Anglik nigdy nie przestaje być patriotą, chociażby zbieg okoliczności wyzuł go z téj przyrodzonej miłości do swój ziemi, na której inne ludy opierają cały swój patryotyzm.

Gdy idzie o poniesienie ofiar dla swój ojczyzny nazawsze od niego pożegnanój, wówczas budzi się w Angliku uczucie patryotyzmu na honorze oparte, w całej swój sile: wówczas odmówi sobie ulubionych wygod, a groszem ostatnim wspomóże rodaka-

ków. Tak mu honor nakazuje. Nigdy jeszcze Anglik w służbie zagranicznej pozostający nie zezwolił podnieść broni przeciw własnej ojczyźnie; nigdy też jeszcze nie zapomniał względów winnych sobie, jako człastce téj wielkiej rodziny, którą Anglią zowie-my. Tak tedy Anglik choć nie tęskni do swéj ojczyzny, kochać honor swego narodu nigdy nie przestanie; i lubo często narzeka na klimat swego kraju, na egoizm, na przesady swych rodaków: ale w gruncie serca nie przypuści nawet, żeby Anglicy nie byli najgodniejszymi obywatelami świata, jedynie pojmującemi prawdziwe znaczenie wyrazu *honor*.

Jakże inaczej Francuz pojmuje patryotyzm! On tęsknić do swéj krainy nie przestaje nigdy, chociażby obcemu panu, chociażby nieprzyjacielowi służył. Wyzuje się z całej dumy narodowej, talentem w własnej ojczyźnie zdobytym pozwoli szkodzić swym rodakom, ale cieszy się miłą nadzieją, że zdobywszy tém okrutném poświęceniem sposób do życia, powróci z kapitałem do swéj krainy, i tam jako dobry obywatel, przepędzi ostatnie lata swego żywota. Francuz nie przypuści nigdy, żeby istniał kraj tak piękny jak jego Francya, i dla miłości do ziemi poświęcić gotów względy winne jéj mieszkańcom, swym własnym ziomkom. Dla Anglika tedy ojczyzna istnieje nieraz abstrakcyjnie, w uosobnieniu; ojczyzny mu nie reprezentuje ani ziemia, ani rodacy, lecz raczej duch honoru wyrobiony w kraju i przez rodaków. Tak pojęty patryotyzm nie nastrocza tkliwości Anglika żadnych żywiołów, a jednakże godność osobistą jego całkowicie pozostawia nietkniętą. Gardzi korzyściami spłynąć nań mogącemi z narodowości, ale pełni powinności, które mu ona nakłada. Można szanować Anglika, nawet gdy utrzymuje, że jest kosmopolitą.

Francuz zaś przywiązuje nieraz całą swą czułość patryotyczną, li tylko do kawałka ziemi, na którym się urodził. Puszcza się w świat, służy obcym, nienawistnym bogom, rozrzewnia się, płacze i pociesza nadzieją powrócenia na łono téj ojczyzny, której nieraz szkodził; ale do niéj powraca zdobywszy w dalekim świecie sposób utrzymania się uczciwie, i umiera przykładnym ojcem i gwardzystą narodowym nieskazitelnym, zadowolony ze swego żywota, przekonany, że najlepiej dopełnił obowiązków syna ojczyzny.

Ale wróćmy do Anglii, którą tak naiwnym wykrzyknikiem powitała uczuciowa pani Hethrington. Żaden z Anglików, a siedziało ich niemało w naszym omnibusie, nie obruszył się słysząc córkę Albionu, witającą Albion słowami pogardy. Jeden

tylko, który dotychczas drzymał, otworzył oczy i spytał się niby nawiasem: *You are a sentimental Lady, is it not Madame?* (Pani jest sentymentalną niewiastą, czy nie tak?) tak, jak gdyby się był spytał: która godzina u pani? lub téż: daleko ztąd do Carlisle? — Pani Hethrington odpowiedziała krającym jak brzytwa tonem: *So I am Sir! to be sure.* (Tak jest panie, upewniam pana). — *That's very well Madame.* (To bardzo dobrze, moja pani) dodał znów Anglik, zamknął powieki, ręce złożył i dalej sobie drzymał.

Z tego wszystkiego cośmy dotychczas o Anglii i o Anglikach powiedzieli wypada, że wysoko cenimy Anglików, pomimo dumy ich arystokracji, pomimo prozaiczności mieszczaństwa, pomimo niedoli proletaryatu angielskiego. Wybitne jest jedno, drugie i trzecie, oczy rażące; a jednakże nie tak powszechne w jednej, drugiej i trzeciej klasie narodu, żeby dostrzedz nie można licznych wyjątków, błyszczących jak gwiazdy na niebie, nad horyzontem Albionu. Poważam ten naród szczerze i wyznać się nie waham, że mu wiele winien. Co w nim było dobrego i pięknego, to tak głębokie na mnie wywarło wrażenie, że go żadne w latach późniejszych doświadczane burze zatrzeć nie zdołały w méj pamięci. Jasność charakterów i zdań angielskich, wypiętnowała się w méj duszy wiarą jakąś niczém niezłamaną w pojęcia proste, zdrowe, i że tak powiem, absolutne. Mowa ich krótka, szorstka, ale w najsubtelniejszych odcieniach każdą myśl dokładnie oddająca, pomimowolnie jakoś na mój język wpłynęła. Słyszac Anglika wysławiającego się z jemu tylko właściwą precyzją, widząc Anglika gardzącego próżną, niewyraźną frazeologią, pożegnałem się raz nazawsze z ową niemiecką ostrożnością w mowie, i z ową niewiarą w absolutne pojęcia, któremi mowa pseudo-filozofów, okoleniem zobojętniona, ciągle uwzględniana możliwością jakichś wyjątków, lubi matwać się, maskować i utrudniać pojęcie najprostszej rzeczy. Uwierzyłem w wartość mej idei, gdy ją posiadałem zdrowo i silnie wyobrażoną w méj myśli. Słowa znajdziesz na wyrażenie twój idei, i bylebyś tylko miał śmiałość oddać ją bezokolicznie, pewnym jesteś że Anglik ją oceni, nawet wten czas, gdy się z jego przekonaniem nie zgadza.

Wieczny téż rozbrat wziętem z francuzką chciwością mówienia o rzeczach, o których żadnego, lub niewyraźne tylko miałem wyobrażenie. Francuz puszcza język, tak jak niejeden myśliwy, puszcza charty, na chybił trafił: może się tam myśl jaka nawinie

lub téż zając wytropi. Dalej tylko, dalej, haż go ha! Pola nie zabraknie, a ludzi złudzić się dających brzmieniem słów podstawkiem wszędzie. Bylebyś nie zaciął się językiem o zęby, znajdziesz zawsze sympatyzera, którego zdumiész, odurzysz twą wymową, który nasłuchawszy się do syta, a nie zrozumiawszy nic wcale, wykrzyknie z uniesieniem: „A to mi człowiek! A to rzeczy pojmuje! aż miło słuchać, niech go d..... biorą!”

Oh! nie tak z Anglikami. Anglika słowami nie odurzysz; z uwagą cię będzie słuchał, nawet gdy się niedokładnie wystawiasz; ale gdy cię nic nie pojmie, wówczas jest pewnym, iż gadasz byle co, odwróci się od ciebie, i bądź zdrów: — nie zaczepi cię nigdy do pogadanki.

Za tę wiarę we własne zdanie szanuję ich, i za wiele innych przymiotów jeszcze.

Ale z tego nie wynika konieczność rozkochania się zapamiętane w Anglii, pomimo wszystkich izb, pomników, katedr, domów ubogich, szpitalów i zakładów; pomimo marynarki, *habeas corpus*, akademii i towarzystwa biblijnego. Nie! z tego wcale nie wynika, ażebym uważał Anglię za przewodniczkę takiego postępu, jaki ja sobie wyobrażam, że jedynie doprowadzić może ludzkość do szczęścia. Od Anglii, która tyle powinna czuć potrzebę wszechstronnego, a jednoczesnego postępu wszystkich władz życia i wszystkich klass narodu, może mam prawo domagać się wcale innych, świetniejszych wyników działalności ludzkiej, jak dotychczas osiągnięte. Nim ją postawię na czele ludzkości i w zapomnieniu tego, co się może dzieje w mniejszych, mniej potężnych krajach, nim ję oddam berło pierwszeństwa; zapytać się zechcę Anglii: czemuż, o! potężny narodzie, kiedy tak szumnie głosisz tryumf pracy, członkowie twoi pracujący najwięcej są najnieszczęśliwsi, a najszczęśliwsi niepracujący? A tak jest przecież. Krocie, krocie Anglików wlecze się po obszarze świata wytrzeszczając oczy na ludy, góry i morza; milion innych zabija czas i nudy grą, wyścigami i polowaniem; a tam, w zaułkach miast najpyszniejszych, w bezustannej pracy, w ciągłym mozole, wiecznej nędzy, giną i giną biedni wyrobnicy: ci sami, którzy plody potu, krwi i życia posyłają na owę wystawę, w której podziwieniu, wy wszyscy, co widzicie słońce na niebie, a mgły ujrzyć nie zdolacie na ziemi, zatracacie zwykliście zdrowie sądu waszego. O! bądźcie sprawiedliwi! Chcielibyście okupić świetność wasze-

go kraju tyłą łąz potokami, tyłą śmierci? Pewno nie! Wolicie sami tęsknić całe życie za lepszą połową waszój istności, niedopuszczonej do rozwoju, lub do objawu; ale nie chcielibyście być odpowiedzialnemi za tak okropną, serce rozdzierającą nędzę waszych bliźnich. A Anglik? Któż mu broni być trybunem swego ludu, gdy widok jego cierpień wzbudzi w nim politowanie i szlachetną żądę ulżenia im? Niech się o to stara, a będzie reprezentantem, niech daje, a będzie dobrodziejem. A jednak tylu turystów, tylu sportsmanów, pomiędzy owym najpiérwszym narodem ziemi! Nie! honor jeszcze nie jest ludzkością, a na honorze i oględności wznosi się ów postęp, którego podziwiamy na papierze statystyczne wyniki. Daleko jeszcze ztąd do ludzkości, dalej jeszcze do chrystyanizmu. — Bezwzględniemi jednak potępicielami arystokracji angielskiej nie jesteśmy. Część jój, jak to już wprzódy wyrzekliśmy jest, że tak powiem kwintessencją narodu, a całość jeszcze nieskończenie wyższe miejsce zajmuje od arystokracji wielu narodów. Może nie ma i jednej rodziny arystokratycznej angielskiej, któraby nie uważała za najświętszą powinność ponosić wszelkie ofiary dla dobra kraju, utrzymywać swe imię w poszanowaniu, doskonaleniem się w naukach, ośmielaniem literatów i artystów.

Kocham tedy i wielbię tych mężów stanu, którzy jednej chwili życia swego nie stracili, którzy zdobywszy władzę spożytkowali ją na dobro ziomek. A takich miała i ma Anglia! Kocham i wielbię owych filantropów, którzy nie szczędzą mozołu i pieniędzy na wyszukanie biédnych i otarcie łąz ubóstwu. Takich mnóstwo w Anglii. Kocham i wielbię owych literatów, którzy w świętym gniewie odkrywają rany społeczeństwa, i wszystkie swe siły zwracają na wymyślenie sposobów zagojenia takowych. Szanuję w mieszczaństwie, owój osi społeczeństwa angielskiego, ten umysł praktyczny, nieporównaną rzeźwość, czynność, przenikliwość, sprowadzające tak wielkie zasoby dla kraju. Szczerze się lituję nad tą biédną klasą ludu, ginącą tysiącami w znojach i mazole, a nietracącą cierpliwości, nieporrywającą się na prawa kraju i Boga; ale Anglii nie kocham, bom tam widział mych bliźnich umierających z głodu.

Że i Francya nie zasłużyła, jako przewodczicielka narodów, na bezwzględną sympatyą moję, o tém wiedzą moi czytelnicy i tego się wcale wypierać nie myślę. Tém mniej może zasługuje, im

więcej świata obiecywała, im więcej w materjalizmie jednostkowym zagrzęzła.

Nie wiem, dlaczego tylko Anglia i Francya mają posiadać tajemnicę owój maszyny, na której, według wyobrażenia mędrców sązących zdaleka, jeździć ma jak na lokomotywie *postęp!*

Milsze mi kraje, w których cywilizacya nie przeskrydliła uczuć poczciwości.....

Ale otoż i Carlisle,—przerywamy nasze rozmyślenia.

Jesteśmy więc w Carlisle, w starodawném Luguwallum, które już za Adryana było znaném światu. Zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy ma mieszkańców, ale wiele w niém ruchu, handlu i przemysłu. Fabryki wyrobów bawełnianych szczególnie tu są liczne; znajdują się także i ludwisarnie. Carlisle za Rzymian było punktem militarnym bardzo ważnym; ztąd wychodził ów mur wysoki, którym Rzymianie zasłonić się chcieli od natarczywości Kaledończyków, a szczątki tego muru do dziś dnia tu istniejące i podróżnym ukazywane, głęboko do duszy przemawiają. Pod Dawidem I Carlisle należało do Szkotów; roku 1644 wzięli je i spalili parlamentarze, a w roku 1745 Jakobici. W starym, od pięciu wieków istniejącym zamku, Marya Stuart więzioną była w 1568 r. Napisy francuzkie wyrżnięte dyamentem na gotyckich oknach, wielką tchnące smętnością, mają być wypisane ręką nieszczęsnej królowej.

Katedra biskupia w Carlisle ciekawym jest bardzo zabytkiem budowy saxońsko-gotyckiej. Coś równie starożytnego, a tak dobrze utrzymanego i okazałego, może w całej Anglii nie ma; kościół ten bowiem już w VII wieku ery chrześcijańskiej budować zaczęto.

W bliskości miasta, w stronie północnej, znajduje się ów sławny pomnik druidyjski, przewany *Long Meg and her daughters* (długa Meg i jej córki). Jestto niezmierne koło, obstawione po obwodzie surowemi głazami ogromnej wielkości, a góruje nad wszystkiemi długa *Meg*, głaz formy stoczkowej, na 170 stóp wysoki.

Dyliansem puszczamy się o 7mej godzinie wieczorem do Manchester, o 23 mil geograficznych od Carlisle odległego, i stajemy tam na drugi dzień rano o 8mej godzinie. Całą drogę w najlepsze przespaliśmy, tak był wygodnym dilyzans, pomimo szybkiego swego biegu.

Czy mam opisywać Manchester, owę na węglu i parze wypieczoną stolicę przemysłu angielskiego, która sto lat temu miała zaledwie 15,000 mieszkańców, a dziś ich liczy 300,000? Trudno rozwozić się nad takim opisem; zresztą może on tylko ludzi specjalnych zajmować, a ci wiedzą doskonale, gdzie go mają szukać. Za méj bytności 327 machin parowych w ciągłym było ruchu w Manchester. Samych warsztatów tkackich, poruszanych mechaniką, było 35,000. W powietrzu tego miasta nie ustaje gwar, turkot, a gęsty dym węgla ziemnego bezustanną toczy walkę z mgłami, wlekącemi się po ulicach.

O milę od Manchester warto zwiedzić pyszne kollegium katolickie Stonyhurst.

W pięć kwadransy przybyliśmy z Manchester do Liverpool koleją żelazną. Dziewięć mil geogr. nie mniej i nie więcej z jednego miejsca do drugiego. Przed stuleciem Liwerpool liczył zaledwie 10,000 mieszkańców; dziś ich posiada 220,000. Swobodniej się oddycha w Liwerpool, jak w Manchester, pomimo gorączkowego zajęcia, jakie się i tu maluje na twarzach wszystkich mieszkańców. Blizkość morza czyści powietrze, a zresztą w Liwerpool nie zapomniano jeszcze Boga i muzy, dla pary i Merkurego. Są i piękne świątynie, mianowicie kościół św. Piotra i Pawła; są i muzea nadwyzczaj bogate w najrzadsze przedmioty, jest i ogród botaniczny, są nareszcie szkoły, gimnazya i licea dosyć liczne. Pod całym prawie miastem rozciąga się tunel podziemny, długi na 6,000 stóp, wysoki na 24, a szeroki na 30. Okazałą jest budowa tego kosztownego dzieła.

Wracamy jeszcze do Manchester i ztąd jedziemy do Sheffield, także koleją żelazną. Już jesteśmy w Sheffield, bo tu wszystko niesłychanie prędko idzie, i mieszkamy nie w hotelu, tylko u pana Slivers, fabrykanta i blizkiego krewnego pana Hethrington.

Sheffield liczy 120,000 mieszkańców; przed stu laty liczył ich zaledwie 6,000. Niegdyś to miasto było fortecą, dziś słynie na cały świat swemi wyrobami żelaznemi, mianowicie brzytwami i nożami. W blizkości miasta kopie się wyborna ruda, a w innym miejscu doskonały węgiel kamienny: a tak wszystko sprzyja Sheffieldowi. Budynków okazałych prócz ogromnego szpitala, w którym porządek najprzykładniejszy, nie ma tu prawie wcale. 120 machin parowych, reprezentujących siłę 36,000 koni w ciągłym są ruchu; niezmierne kłęby dymu wznoszą się pod obłoki,

drży cały Sheffield od tęża tysiąca ogromnych młotów, spadających na rozżarzony metal. Rzeka Sheaf spotyka się w samym mieście z rzeką Don; kanałów ułatwiających komunikację, dróg i kolei mnóstwo, mało zaś kościołów na tak liczną ludność. Stan zdrowia wyrobników zadowalający, w porównaniu ze stanem zdrowia wyrobników w Manchester: żelazo mniej sprowadza chorób jak zdradliwa bawełna, wkradająca się subtelnym pyłem w płuca.

Pan Slivers małą tylko w porównaniu innych miał fabrykę; machina o sile 120 koni wystarczała na jej obracanie. A jednakże małą siłą, wielkie pan Slivers otrzymywał wyniki: wyrabiał u siebie pilniki z lanéj stali, słynne na całym świecie z twardości i taniości, przytém wynalazł sposób polerowania stali i żelaza w krótszym czasie i z mniejszém wysileniem, jak dotychczas. Tylko 20 najlepszych, najwierniejszych robotników przypuszczonych było do tajemnicy tego wynalazku; pan Slivers nam nawet nie pozwolił zwiedzić téj części swéj fabryki, tylko na dowód jéj doskonałości zabrał ile mieliśmy przy sobie kluczy, nożów, wraz ze wszystkimi memi narzędziami chirurgicznymi, i w godzinę potém zwrócił nam wszystkie nasze przedmioty gładkie i świecące się, jak zwierciadélka.

Inną jednakże maszynę, którą niedawno był wynalazł, raczył nam pokazać pan Slivers. Była to maszyna wyrabiająca ostrza do scyzoryków i tak urządzona, że z jednéj strony wchodził w nią drut stalowy na zimno, a z drugiéj strony sypały się z niego wycięte ostrza najwyborniejszego gatunku. Na każdą minutę sześć takich ostrzy wyrabiała ta maszyna. Na funty i kamienie pan Slivers sprzedawał te wyroby, cały funt za 6 pensów, to jest groszy polskich 30. Zastanawiająca taniość! a jeszcze się bogacił p. Slivers tym przemysłem i kazał stawiać 12 maszyn więcej.

Z Sheffield jedziemy dylizanssem przez Nottingham i Leicester do Oxfordu.

Położenie Nottinghamu miasta, a zarazem i hrabstwa 60,000 mieszkańców liczącego, bardzo jest malowniczym. Rozpościera się na wysokiéj opoce nad brzegiem rzeki Trent. Zamek książąt Newcastle góruje nad wszystkimi budowlami uszykowanymi w piękne ulice. Mnóstwo jaśni naturalnych i sztucznych w opoce. Główny rynek otoczony wysokimi domami, które się na śmiałych wspierają filarach i pyszne tworzą kolumnady. Wiele tu zakładów dobroczynnych i naukowych, ale nie braknie także i fa-

bryk. Pomiędzy innymi słynie na cały świat fabryka pończoch bawełnianych i jedwabnych, fabryka koronek, fajansu i huta szklana.

Leicester dawne *Ratae Coritanorum*, które odegrało tak ważną rolę za heptarchii anglo-saskiej i zawiera około swój *via romana* mnóstwo zabytków starożytności, dziś jeszcze jest pięknym i świetnym miastem, choć ma zaledwie 60,000 mieszkańców. Jakiś ton swobodny, naukowo-arystokratyczny w tym mieście, przypomniał mi luby Edyburg. Prawda, znalazłem tu niespodzianie dawnego znajomego, i radość z tego spotkania wszystkie osłodziła wrażenia zdobyte w tym miejscu. Nocą wyjeżdżamy do Oxfordu, odległego ztąd o mil geogr. 15. Stajemy w starodawnym grodzie nauk i sztuk pięknych, prawie równo ze świtem.

III.

Na okrągłym pagórku przy ujściu rzeki Charwel do Tamizy, wznosi się Oxford, wpośródki zielonych błoni i łąk kwitnących. Całkiem gotyckie miasto najeżone wieżami i kopułami, pełne pałaców, których styl prosty i dostojny wzbudza poszanowanie, a którym zbliżka przypatrzwszy się, nie można odmówić podziwiania. Miasto to niegdyś stołeczne. Król Karol I tutaj szukał schronienia podczas wojny domowej. Wszechnica oxfordzka jedna z najdawniejszych w Europie, bo w XI wieku założona i niegdyś jedna z najświetniejszych w świecie, dziś jeszcze zdumiewa przepychem zakładów i budowli do niej należących, ale od pewnego czasu przestaje zadziwiać swym światłem i przyciągać do swych piersi młodzież chciwą nauki. Niegdyś 3,000 uczniów do niej uczęszczało; dziś, po upadku wiary w przywileje scholastyki, wszechnica oxfordzka zaledwie trzecią część téj liczby pielęgnuje. Dziś młodzież dąży do natychmiastowego zastosowania wyniku swego mozółu: specjalności więcej się oddaje i nie pojmuje wolnego, a ciągłego wpływu nauk klasycznych na swe wykształcenie i szczęście. Zwolna, porwana prądem tego, co my nazywamy postępem, młodzież zapomni szlachetnych tradycyj starożytności, i specjalizując wszystko, może nowe wyrobi żywioły dla przyszłości, a może też zaniedbawszy starych, zagrzeźnie w bezdenne trzęsawiska niedowiarstwa.

Oxford opuszczony. Tula się do niego prawie tylko potomkowie mężów, którzy tu ufundowali bursy rodzinne, ich krewni, lub ich dependenci. Professorowie też nie widząc przed sobą owych ócz pałających żądzą nauki, zaniedbują się pomimowolnie w swych obowiązkach, bo nie czują się zagrożeni owym świętym ogniem, który swe żywioły czerpie w nadziei bogatych pólów. Zresztą i oni po największej części przywilejowi winni tę posadę. Być zwolennikiem kościoła anglikańskiego, torysem, krewnym, powinowatym, lub dependentem jakiego z dobrodziejów:—oto najważniejsze tytuły do osiągnięcia miejsca. Potem dopiero idą tytuły uniwersyteckie, potem konduita, a nareszcie zdatność.

Uczniowie wszyscy chodzą w togach różnej materji i różnych kolorów: w togach czerwonych i czarnych, jedwabnych i wełnianych, w baretach haftowanych i niehaftowanych. Pięć tego rodzajów. Jak do stopnia uniwersyteckiego?—Nie! jak do gatunku urodzenia. W audytoryach także uniwersyteckich, których jest ze wszystkiém 13, osobne są miejsca dla uczniów należących do *nobility*, do *gentry*, do *commonalty* i t. d., słowem do pięciu klass towarzystwa, z których się składa naród angielski.

Kollegiów, to jest gmachów, w których mieszkają uczniowie i pobierają *repetytorya* jest 19. Noszą po największej części nazwiska fundatorów, lub też hrabstw. W kolegium zwaném *All Souls college* mieszczą się prawie wyjątkowo synowie pierwszych rodzin angielskich. Dziwnie piękna jest kaplica gotycka do tego kolegium należąca, a nie ustępuje jój ogród, księgozbiór i muzeum, w skład budynku wchodzące. Pod względem wygod, synowie monarchów nie wymagaliby więcej.... Wiek młodzieńczy sam przez się już jest darem, którego żadnym innym zastąpić nie można: w nim znoszą się łatwo niedogodności życia, w nim trzeba się starać zdobyć owę szlachetną dumę, która wynika ze zwycięstwa zdobytego duchem nad cielesnością. Wszakże i monarchowie podzielali to zdanie i śmieli sprawdzać je na własnych dzieciach; czemuż arystokracja angielska nie chce go użyć dla swych synów? Może dlatego, żeby zawczasu wnarowić młode pokolenie w obyczaje i potrzeby, oddzielające je od nieszczęśliwszych, od biedniejszych, a zatem od niższych.

Prócz owych 19 kolegiów, po największej części świetnie wyposażonych, znajdują się tutaj cztery *halls* czyli budynki przeznaczone dla uczniów *wolnych*, to jest stołujących się w mieście.

Fakultetu lekarskiego nie ma właściwie w Oxfordzie, ale istnieje tu rada lekarska, upoważniona do dawania dyplomów doktorskich lekarzom, którzy pobierali nauki w innych fakultetach, lub też prywatnie przysposobili się. Teatr nawet anatomiczny nie istnieje w Oxfordzie.

Kancelerzem uniwersytetu zawsze bez wyjątku mianują pana jakiegoś dostojnego: ministra, generała, księcia, lorda i t. d.; wicekancelerzem jest uczony jaki, wybrany z grona professorów. Uniwersytet prócz tego posiada przywilej mianowania swego własnego reprezentanta do izby niższej.

Każdy *Civis Accademiae*, to jest uczeń wszechnicy, prócz jednych *commonerów* bursyjnych, mieszczan stypendystów, ma prawo głosowania.

A tak można powiedzieć bez omylenia się, że nie ma w świecie feodalniejszego zakładu naukowego, jak uniwersytet oxfordzki. Dziwić się potrzeba, że coś podobnego ostać się mogło aż do połowy XIX wieku; ale istotnie, gdy zważymy, że tyle innych starodawnych instytucyj angielskich winno swe istnienie jedynie tylko poszanowaniu, jakie u Anglika zdobywa prawo swą długotrwałością: przestaniemy patrzeć na wszechnicę oxfordzką, jako na widmo ubiegłych czasów.

Pod względem czysto naukowym uważając wszechnicę Oxfordu, wyznać musimy, że nowe zakłady naukowe Anglii, mianowicie nowy londyński uniwersytet, daleko większe zdobyły prawo do poszanowania. Oxford oddawna przestał przewodniczyć światu w dziedzinie nauk, i wszystkie bez wyjątku uniwersytety niemieckie wyprzedziły starodawną szkołę oxfordzką w naukowości. Puzeizm tu wcale nie służy za dowód przeciwnemu zdaniu; mogły się jego doktryny rozpowszechnić w idei wielu zwolenników, ale na stan religii lub naukowości w Oxfordzie żadnego jeszcze nie wywarł wpływu.

Pomiędzy księgozbiorem Oxfordu celuje biblioteka Bodlejska, założona i wyposażona przez Tomasza Bodley (1544—1612), szlachcica angielskiego i ambassadora królowej Elżbiety. Dyplomata ten doświadczywszy niewdzięczności ze strony dworu, opuścił zawód publiczny i zajął się wyszukaniem najciekawszych ksiąg świata. Zgromadził do 80000 ksiąg i do 13000 rękopismów i zapisał ten szacowny zbiór, wraz ze swym majątkiem, uniwersytetowi oxfordzkiemu.

Hearn zgromadził kilka pism Bodlea pod tytułem: *Reliquiae Bodleyanae*. London, 1703. Dziś biblioteka Bodlejska, druga w Anglii, zawiera przeszło 200,000 ksiąg i 25000 rękopismów; pomiędzy temi wiele sanskrytskich, arabskich, perskich i trzy meksykańskie.

Biblioteka Radcliffa druga z rzędu w Oxfordzie, zawiera wszystkie dzieła, jakie w którymkolwiek bądź języku wyszły o prawie, sztuce lekarskiej i historii naturalnej. Wielkiego podziwienia godną jest sala, w której się mieści ta biblioteka. Ogromna pokrywa ją kopuła. Ale przedewszystkiem zastanawia teatr Szeldona (Sheldonian Theatre), wzniesiony przez Wrena, sławnego architekta kościoła ś. Pawła w Londynie, na wzór teatru Marcella w Rzymie. Może mieścić w sobie 3000 osób i przeznaczonym jest na uroczystości, towarzyszące otwarciu kursów, rozdawaniu nagród, doktoryzacyom i t. d., jako téż na reprezentacje sceniczne tragedyj i komedyj greckich i łacińskich, przedstawianych przez uczniów filologii.

Są i galerye obrazów, muzea, sala marmurowa Arundela. Ogród botaniczny, położony obok wspaniałego mostu kamiennego, rzuconego na Charwell, i obserwatoryum, ozdobą są wielką tego starodawnego miasta, w którym wszystko tchnie gotycką powagą. Trudno oprzeć się urokowi tych wysokich murów, wzniesionych wiernie w jednym stylu od lat blisko tysiąca, i łatwo tu zapomnieć gwaru miast fabrycznych, pokutującego w mych uszach.

Być doktorem oxfordzkim, wielki to zaszczyt, którym nie wzgardziły i ukoronowane głowy, odwiedzając starodawną stolicę nauk. Kilku teraz jeszcze żyjących monarchów kolegami są niejednego uczonego, pracującego w pocie czoła na swe utrzymanie.

W r. 1815, gdy monarchowie świętego przymierza zwiedzili Anglię wraz ze swemi zwycięzkimi wodzami, ciekawość zaprowadziła ich do Oxfordu. Mianowano doktorem błogosławionej pamięci Cesarza Alexandra, i ś. p. króla pruskiego Fryderyka Wilhelma, nareszcie i marszałka księcia Blücher. Gdy temu ostatniemu przyniesiono dyplom doktorski, niemało się zakłopotał stary wojak, nie wiedząc, że są doktorowie różnych nauk, i rzekł do kanclerza uniwersytetu: „Kiedy już pan chcesz koniecznie żebym był doktorem, mianujże mego szefa sztabu Szarnhorsta aptekarzem, bo inaczej kuracye nie pójdą dobrze.”

W tych naiwnych słowach stary wódz oddał sprawiedliwość swemu podwładnemu, któremu, jak historia głosi, niejedno winien był zwycięstwo. Anegdotę tę opowiadał mi archiwista uniwersytetu dr. Clarendon, starzec, który jeszcze w r. 1815 ten sam urząd przy uniwersytecie sprawował.

O dwie milki od Oxfordu leży powabne miasteczko Woodstock. Świetny pałac otoczony pysznym parkiem góruje nad tém miejscem, pamiętném w dziejach Anglii. Król Henryk IIgi wystawił go w r. 1165 dla swój kochanki Rozamundy. Któż nie słyszał o pięknej Rozamundzie Clifford bohaterce tylu tragedij, oper i romansów? Nieszczęścia Rozamundy przeszły starożytnemi balladami od pokolenia do pokolenia, i wcieliły się w pamięć wszystkich Anglików, a Walter-Scott swą cudną powieścią obznajmił nas wszystkich z pięknościami i tajemniczym labiryntem Woodstocku. Henryk IIgi schronił tu swą kochankę przed zazdrością prawnój żony Eleonory de Guyenne, ale zazdrość wzrok zaostrza, i rywalka padła pod razami obrażonój królowej. Do dziś dnia istnieją ślady podziemnych ganków, któremi Henryk wkładał się do swój kochanki.

Dziś Woodstock mniej poetyczny, trudni się przemysłem, mianowicie wyrabianiem sławnych rękawiczek.

I Blenheim leżący tuż pod Woodstockiem minąć nie sposób. Jestto pyszny zamek darowany walecznemu Marlborough, na cześć zwycięstwa przezeń odniesionego pod Blenheim nad Francuzami i Bawarczykami w roku 1704. W środku dziedzińca pałacowego wznosi się bronzowa statua zwycięzcy, na kolumnie 130 stóp wysokości. Dziś jeszcze zamek ten należy do książąt Marlborough i stanowi część ich majoratu. Ale rodzina Marlborough na majątku zupełnie podupadła; w długach siedzi po uszy i chętnieby swój majorat sprzedała, gdyby to było możebném. Żył jeszcze za méj bytności w Blenheim walecznego wodza ostatni potomek w linii prostój; synów bowiem nie miał, tylko córek kilka. Najmłodszą i najpiękniejszą córkę wydał książę Marlborough za pana Barton majętnego piwowara w Oxfordzie, człowieka już niemłodego i dosyć gminnego obejścia się; ale pan Barton posagu nie wymagał, owszem, jeszcze swój żonie bogaty zapis zrobił i tacie pożyczł cokolwiek pieniędzy. Własny *major domus* księcia oprowadzając nas po pysznym zamku, opowiadał następującą, dosyć oryginalną anegdotę: Ostatni potomek Malbruga nigdy się nie wstawił orężem, ale za to potężnie władał biczem. Namiętnie lu-

bił powozie końmi, i gdzie mu się tylko nawinęła sposobność, zaraz siadał na kozioł i dalej—wiśta ha!

Z wiekiem i wzrastającym osłabieniem głowy, która nigdy nie była mocną, namiętność powożenia przybrała charakter monomanii. Wtém żona księcia umiera. Na przepysznym karawanie, na którym wznosił się baldachin księżęcą koroną wieńczony, leży trumna ze zmarłą księżną, toczy się ciężki wóz zaprzężony ośmią białymi końmi ku Oxford, gdzie jest grób rodziny Marlborough'ów. Wtém się zapomina księżę postępujący w krepowym płaszczu za karawanem, wskakuje na jego kozioł, zacina konie i kłusem wiezie żonę do grobu familijnego.

* * *

Listopad nadszedł, deszcze spadły z katarakt niebieskich, i ze ściśnioném bolesnemi przeczuciami sercem, wracam koleją birminghamską w mury tak dla mnie złowróźbnego Londynu. Smutek mój coraz wzrastający, nie uszedł bystrego oka pani H...., ani téż dobrego serca jój męża.—„Doktorze! na Boga, tracisz odrazu cały twój humor: jedź z nami na dni kilka do Bromley, tam się w bliskości Londynu przyzwyczaisz do zniesienia jego atmosfery, i w towarzystwie przyjaciół zwalczysz ogarniający cię spleen” mówili moi dobrzy towarzysze podróży. Ja im odpowiedziałem:— „I tu w Londynie mam przyjaciół, może mnie bardzo potrzebujących; okrucieństwem byłoby, żebym przez Londyn przejechał i nie dowiedział się nawet o ich powodzeniu. Za tydzień najdalej będę u was w Bromley, a teraz was żegnam z żalem w sercu i dziękuję za miłe chwile spędzone z wami!”

— Nie! nie! doktorze, bez strzemiennego nie puścimy cię; choć butelkę szampana wypić z nami musisz. Potrzebujesz szampana, wierzaj mi, okrucieństwem byłoby odmawiać sobie szampana. *upon my word* tego nie ścierpię!—krzyczał pan H., i wciągnął mnie do bufetu wspaniałego dworca na Euston Square.

Wystrzelił pocziwy korek epernajski, trysnął perłowy nektar. *Good friendship for ever!* Otucha jakaś wstępuje w me serce. Za godzinę państwo H. byli w drodze do Bromley, a ja znalazłem się znów w dawném mém mieszkaniu, przy ulicy Tottenham-Court-road, i szukam myśli i natchnienia przy kominku, na którym pali się w najlepsze węgiel kamienny.

Już na drugi dzień wszedłem w me bezpłatne obowiązki w *foreign dispensary*; gdyż te ułatwiały mi oddawanie usług kolegom, niemającym sobie za co kupić lekarstw; odnowiłem stosunki z arcopagiem niemieckich uczonych, z redakeją medycznój

Timesy i z professorami uniwersytetu londyńskiego. Ze świeżymi siłami wziętem się nie tracąc chwili do pracy, w żwawy ruch wprowadziłem maszyneryą umysłową, wszystko szło dobrze: pracy nie brakło, bo chęć do niej wrzała w duszy.

Odwiedziłem i Abigail. Oczekiwała mnie oddawna mamka Emilii, bo znowu zapadła na oczy. „Przywróć mi pan wzrok mój, niech ją choć raz jeszcze oglądam, nim się z tym światem rozstaniemy. Nastąpi to niezadługo. Miss Emilia coraz ma się gorzej, a ja dla niej tylko żyję. Syn mój już sobie sam daje radę i jak będzie po wszystkim, wróci z panem W. do Indyj, — mówiła Indyanka.

Pan W. i jego córka mieli jeszcze miesiąc cały pozostać w Bath, gdzie powietrze łagodniejsze jak w Londynie.

I w Mile-end byłem. Kapitan duński z ciągle wzrastającym zapalem oddawał się kontrabandzie. Marcin jakoś niebardzo zadowolony ze zbliżającej się zimy, obrastał wprawdzie w sierć, ale tracił dobry swój humor. Prawda, że mu kaganiec włożono, pazury obcięto, co się niekoniecznie zgadzało z jego wyobrażeniami o wolności osobistej.

Ze dwa tygodnie minęło w tych zatrudnieniach, gdy jednego pięknego wieczora wpada do mnie pan Hethrington i krzyżując: „tak to dotrzymujesz słowa?” wdziewa na mnie paletę i mackintosz, wydobywa z szuflady frak z świątecznym ubraniem, sadza na karyolkę i na całą noc pędzi do Bromley. Trzy tylko mile geogr. do tego miejsca; doskonałe konie mego przyjaciela zawiozły mnie w półtoręj godziny. Przebieram się, do salonu wchodzę; siedzi w nim jak na tronie pani Hethrington, otoczona gronem dam i panów, świetnie przybrana, dumna i imponująca. Nie wiedziała że przybyłem, nie wiedziała nawet że mąż po mnie wyjechał. Chciał jęj zrobić miłą niespodziankę, bo jutro jęj urodziny. Długo myślał czémby jęj mógł największą zrobić przyjemność, aż nareszcie wpadł na myśl sprowadzenia jęj dawnego towarzysza podróży.

And now I see Mister Hethrington, you are a perfect gentleman, and I am proud of you. Be wellcome in our house, dear Doctor! many, many thank for your kindness. But let me introduce yourself to this honourable company (1).

(1) Teraz widzę panie H., że jesteś prawdziwym gentelmanem i dumną jestem z pana. Witaj nam pan w domu naszym; wiele, wiele dzięków za jego grzeczność. Lecz pozwól sobie przedstawić szanownemu towarzystwu.

I tu nastąpiły ceremonialne przedstawienia, trwające z dziesięć minut.

Gospodyni w najlepszym była humorze. Przebiegliśmy jeszcze raz wszystkie wypadki i wrażenia podróży wespół doświadczane. Towarzystwo było zachwycone. Nastąpiła kolacja, posiedzenie zakończyło się zwykłym sposobem angielskim: damy się ulotniły, a mężczyźni ciężko cięci posnęli, jeden na stole, drugi na kanapie. Byli i tacy, co pod stołem i kanapą szukali i znaleźli Morfeusza dary.

IV.

Nazajutrz raniuteńko wyprawiony był goniec do Londynu do *foreign dispensary*, z prośbą, żeby mnie kolega dr. Costello zastąpił w mych obowiązkach.

Zwiedzamy posiadłość pana H. Składa się z domu wiejskiego na przedmieściu, pięknego, wygodnego, w pośrodku sporego ogródka wystawionego, w którym mieszka rodzina; z folwarczku doń przytykającego, a cokolwiek dalej z jakiejś długiej, wązkiej budowli, na której sterczy komin, wyziewający kłęby dymu. To fabryka pana Hethrington. Był bowiem fabrykantem, choć nie chwalił się z tém przedemną, bo jójmość niebardzo lubi żeby o tém wspomiano; ale był fabrykantem, to tam darmo, i zatrudniał się drukowaniem perkalów, półplócienek, plócienek, nowym, przez niego wynalezionym sposobem. Istotnie przyznać muszę, że nic w podobnym rodzaju nie widziałem równie pięknego.

Tła nie drukowano dawnym sposobem prasami, lecz za pomocą szeregu walców metalowych, oklejonych jakąś substancją drewnianą, na których rysunek był wyciętym. Do każdego koloru w skład desenia wchodzącego, jeden był walec obracający się wolno; tło przechodziło pomiędzy tym walcem kolorem właściwym zaprawionym, a pomiędzy drugim walcem obwodu miękkiego, przyciskającym go do farbującego walca. Tło wyszedłszy spod walca kolorowego, wchodziło na inny walec ze środka ogrzany i także metalowy dla osuszenia farby; potem podchodziło pod trzeci walec wilgotny, zaprawiający tło chwytnikiem chemicznym koloru. Potem znów pod inny walec kolorowy, zaprawiony inną farbą w skład deseni wchodzącą, podchodziły plóciénka. Wszystkie walce obracały się wolnym, a matematycznie wyrachowanym biegiem. Gdyby jeden był szybszym lub większym od drugiego,

lub elastyczność tła większą w jednóm miejscu jak w drugiem: natenczas rysunek następującego walca zamiast paść na swe miejsce, padłby bliżej lub dalej, a tym sposobem chybiwszy tylko choćby na włos, desen nie wydałby się czystym tylko zamazanym. Do każdego tedy walca farbującego, należał drugi osuszający farbę i prasujący, trzeci odwilżający i chwytnikiem chemicznym zaprawiający. Czasem dziesięć kolorów różnych wchodziło w skład malowidła; potrzeba zatem było 10 walców farbujących, 10 osuszających, 10 odwilżających; oprócz tego był jeden gummujący, jeden prasujący i wreszcie ostatni zwijający tło już skończone. Tego ostatniego walca przyrząd, był najtrudniejszym dziełem: bieg jego bowiem około osi, aby nie spowodować ciągle wzrastającego prężenia, musiał ciągle jednostajnie wolnieć, w miarę jak się tło około niego owijało. Ostatni walec zwijał tedy po sto łokci tła malowanego, a zwinąwszy je coraz wolniejszym biegiem, nożyce padały na tło, przecinały je, walek sam spadał, i na nowy walec znowu się zwijało płócienko. Bieg maszyny parowej bardzo słabej siły, pędzący całą mechanikę, regulowanym był jak zegar ogromném wahadłem, oznaczającym matematycznie na frakcyą tysięcznej części minuty prędkość biegu we wszystkich walcach. Fabryka ta cała była jednym zegarem pędzonym parą, zamiast sprężyny lub ciężarów. Maszyna tak była urządzoną, że z dokładnością wiedziano, ile się tła drukuje w jednej minucie. Drukowało się tego tła u pana H. półtrzecia łokcia na minutę, bo w minutę walec cały swój obrót robił, a obwodu miał właśnie półtrzecia łokcia. Fabryka szła 12 godzin na dobę, a zatem 1,800 łokci perkalu, czy płótna drukowało się na 12 godzin. Wszystkie walce obracane były jedną osią stalową, długą na 120 stóp, do której przytwierdzone były koła zębate, dające jednostajny ruch wszystkim walcom. Niezmierna sala, w której odbywała się ta dziwnie piękna zegarkowa maszynerya, ogrzana była zawsze jednostajnie; lękano się bowiem nawet, żeby różnica temperatury nie wpływała na objętość najściślej wyrachowaną metalów, w skład maszyny wchodzących.

Główny rysownik brał 30,000 złp. rocznie, za wykonywanie projektów; pięciu było rysowników przenoszących rysunki na walce i pobierających po 10,000 złp. rocznie; dziesięciu rytowników wyłobujących walce i pobierających po 5,000 złp. rocznie; farbiarz główny brał 10,000 złp., toż samo maszynista główny; czterdziestu było pomocników biorących po 4,000 złp., a dwudziestu po 2,500 złp.; koszt materiałów farbiarskich, opału i in-

nych potrzeb, wynosiły 100,000, podatki drugie 100,000; jednem słowem do 500,000 złp. było rozchodu rocznego, licząc w to procent od kapitału włożonego w samo wystawienie fabryki. Ale tło wydrukowane nabywało o 45 groszy na łokciu większej wartości wychodząc z pod prasy, odznaczało się przed wszystkimi innymi, które dotychczas widziałem, żywością kolorytu, trwałością i poprawnością rysunku. Cudowne były te płócienka: jedne błyszczały najprzepyszniejszymi kwiatami, drugie ptakami, trzecie w arabeski, inne jeszcze w guście gotyckim wyobrażały budowle, jakie tylko najbujniejsza fantazyja wymyśleć może. Obicia, sztory, firanki, pokrowce na meble, szlafroki, kurtyny, wszystkoś tu mógł obstałować, wybrać sobie, lub sam oznaczyć deseń i koloryt; wszystkie nowe mody i smaki mogłeś tu ujrzyć odgadnięte, wszystkie nowe pomysły natychmiast na 1,800 łokci wzdłuż i 3 łokcie wszérz jednego dnia urzeczywistnione. Ale téż wszystkie nauki tu znalazłeś zastosowane: zoologią, botanikę, architekturę, archeologią, chemią, fizykę, mechanikę i optykę. Wiele podobnych zakładów w Anglii, ale żaden może w tak małych rozmiarach nie zastosował dla użytku mody, dla wykwintności gustu, ogrom tak poważnej wiedzy ludzkiej. I w tém jest tryumf wiedzy, bo prace takowe uszczęśliwiają i uszlachetniają, podnoszą duszę i żywią ciało.

— Oh Anglicy! — rzekłem zachwycony do mego gospodarza — prawdziwie, macie z czego prawo być cokolwiek dumnymi; kiedy nam się najmniejsze ułamki czasu odbijają na tle tak żywemi kolorami, to pewno niezadługo wynajdziecie klucz do owéj zagadki, do *perpetuum mobile*.

— A niechże Bóg bron! ukamienowałbym Anglika, porywającego się na ten zuchwały, Anglo-bójczy wynalazek — odrzeknie pan Hethrington. — Nie pojmuję cię, jak to wynaléżeć bieg niezwyony żadną substancją, żadną zgubą materyi?

— To nazywasz bezbożnym wynalazkiem, a toż przecie urzeczywistnienie najpiękniejszego snu filantropów. Jest w tém coś Boskiego. pożyczyc od natury cząstki jéj wiecznej siły, uszczęśliwić ziemię, bez szkodenia naturze. Dalibóg, nie ma myśli szczytniejszój, bujniejszój, a jednakże podobniejszój do urzeczywistnienia: bo *perpetuum mobile*, tak jak kwadratura koła i aeronautyka jest zadaniem, które kiedyś niezawodnie rozwiązaniem zostanie.

— Byleby nie za mego i mych przyjaciół życia — odpowiedź z tęsknuć westchnieniem pan II.

— Ale na Boga! czemuż się lękasz tego *perpetuum mobile*, jakby powietrza, głodu, wojny, komunizmu?

— Lękam się go stokroć więcej jak komunizmu, republiki czerwonej, braku apetytu i wszystkich djabłów piekła. Doktorze, zlituj się! czyś jeszcze nie spostrzegł, że cała Anglia na parze się trzyma i z węgla żyje? Nasze kopalnie węgla tysiąc razy więcej warte od kopalń złota Meksyku, bo one są kopalnią chleba i życia. Wszystkie maszyny parowe w trzech królestwach węglem kamiennym Anglii się ogrzewają, a wszystkie razem reprezentują siłę przeszło czterech milionów koni. Węgla kamiennego angielskiego wywozimy za granicę rok rocznie za przeszło 10 milionów funtów szterlingów, bo żaden węgiel kamienny Europy nie może rywalizować z naszym: tak jest palny i pełen substancji; a węgiel ten żywi maszyny stojące, bieżące i płynące. Rozwożeniem tego węgla, handlem jego i wydobywaniem żywi się przeszło milion osób, a ceną sprzedanego żyje kilka milionów ludzi:—tyle z niego zysku dla kraju wypływa. Teraz przypuścić wynalezienie obrotu wiecznego, teraz przypuścić możliwość ruchu bez pary, ciepłaka, a zwałeś z nóg całą Anglią: dziesięć milionów ludzi zostanie bez chleba, i nastaje rewolucja, jakiej świat nie był jeszcze świadkiem! Oh! wierzaj mi doktorze, okropna to myśl dla Anglika wynalazek owego *perpetuum mobile*; myśl ta ciąży nam na piersiach jak Alp jaki, ale nie radzi o tém mówimy, bo nas to okropnie zasmuca. I ja cię proszę, nie rozwijaj téj myśli przed naszymi gośćmi, bobyś im wszystkim apetyt popsuł; obiadek zaś będziemy mieli, przysięgam na honor, godny Lukullusa i księcia regenta: ostrygi, trufle, indyki, morskie ryby, niedźwiedzie, głuszce, *klaret*, *sherry* i jamaikę. Na Boga! tylko nie o tém szkaradném *perpetuum mobile*, które nam zwali z nóg Anglią, tak jak kula drewniana zwala *alle nejne*.

Tak rozumował pan Hethrington i zdaje mi się, że nieźle rozumował: Anglia stoi na swym węglu kamiennym geograficznie i socjalnie:—późniejsze wypadki mogą to okazać.

Po przekąsce dosyć zwawój, korzystając z południowych godzin, pojechaliśmy zwiedzić z gospodarzem i jego żoną w sąsiedztwie leżący pałac biskupów Rochester. Wystawić go kazał z wielkim przepychem Henryk VIII, kiedy jeszcze był katolikiem, dla jednego z najzagorzalszych nieprzyjaciół reformacji. Później odarto pałac z godeł katolickich, a pod panowaniem Maryi przezwanój *bloody Mary* przywrócono je; pod

Jakóblem Ilgim zdjęto te godła jeszcze raz, poniszczono posągi i obrazy przedstawiające świętych i spalono bibliotekę. W architekturze nic szczególnego, ale porządek i wygody w środku, nie pozostawiają nic do życzenia: osobne są pokoje dla biskupa, osobne dla biskupowej, inne jeszcze dla ich dzieci. Wszystko urządzone jak najlepiej: nie zapomniano ani o gotowalni, ani o łazienkach.

Obiad tedy, obiad angielski z truflami, rakiem i niedźwiedziem, z sosikami indyjskimi i toastami, z wykrochmalonemi gentelmanami i uczuciwemi ladykami! Rozmowa toczy się na-przód widelcem, potem nieśmiało wargami i oczkami, nareszcie śmiało całą gębą. Ale nikt nie piśnie o węglu i o *perpetuum mobile*. Damy po obiedzie ulatniają się, *to pluck a rose*, aby zerwać różę, jak się wystawiają Angielki. Obrus się zdejmuje, pluton butelek maszeruje na stół, jawią się orzechy, migdały, figi i daktyle. Zaczyna się: *Old England's merry life*; każdy siada na dwóch stołkach, jak gdyby miał miłą objętości. Kto dobrze i jędrnie mówi, ten ma głos; inni żują orzechy i wytrzeszczają oczy. Ja Torry, ty Whig, tamten Radical, ja nie chcę Cornlaws, ty chcesz Repealu. Tam znów pietysta: *Puzey for ever, Wesley be damned. You are a free trader*; pan na chartystę zakrawa *Sir!* Niech żyje królowa: *God save the Queen. Merry England for ever!* Ostatnia scena kończy się pod stołem. John! podaj poduszki. *Good night!*

Na drugi dzień rano otrzymuję bilecik następujący:

„Pan nas opuszcza, ale my nie opuszczamy pana. Dziś w Londynie grają Purytanów w włoskiej operze. Grisi! Persiani! Rubini! Lablache! Tamburini! Mario! ach! jakie melodyjne, jakie dźwięczne nazwiska. Mamy zakupioną lożę. Nieprawdaż, pan nam będziesz towarzyszył? Oh! *be kinde nough*. Dobry Francis tak pana kocha. Jedziemy razem. Tylko żadnego *perpetuum mobile*. *Truly yours.*”

(Podpisano) *Heliadora.*

Ja odpowiedziałem zpod stołu:

If the sound of your devine name,
Did charme your ear, as it doe's mine,
You would no other's sound reclame,
To make obedieut him, who is thine.
Oh! de not fear the dreadful word,
Of perpetuum mobile!
Do rather shreak the pleasing sport,
Of perpetuum stabile!

Te wiersze, podobno pierwsze jakie wymyśliłem w języku angielskim, napisałem uniesiony natchnieniem, i że tak powiem duszkim. Nie wychodząc z pod mego namiotu, i po odejściu służącego widząc, że *Justice of peace*, to jest sędzia pokoju leży jak zabity pod kanapą, że major lekkich dragonów chrapi w najlepsze na fortepianie, że Sir James Bedford głowę swą dostojną, ma złożoną ciągle na dostojniejszym jeszcze brzuchu *Rewerend-Sira* Nightingal, wikarego parafii; pozwoliłem sobie pozostać w tém samym położeniu, i bawić się sennemi myślami bujającemi jak widemka w wzruszonej listem Corynny wyobraźni. Długo to zatrudnienie nie trwało, bo trzeba było koniecznie ocknąć się i zjeść śniadanie, zastawione nad mym namiotem. Żadnej nie przyjmowano wymówki, nie sposób było uchylić się od téj nowój missyi.

— Wody! wody! — krzyczeli widząc co się święci sędzia, major, baronet i wikary; — wody! krzyczałem i ja, zbudzony z marzeń błogich. Czterech służących wypada z wiadrami i płynny kryształ leją na angielskie głowy.

Tak się bawią Anglicy. Gdy pracują, całkiem są oddani pracy: wszystkie siły wyprężone, wszystka uwaga zwrócona na przedmiot, na cel zatrudnienia; ale gdy się bawią, wówczas ustają wszelkie myśli do zatrudnień zwykłych życia należące, wówczas zapominają, że będzie jutro lub pojutrze, i w téj rozkoszy nowe zdobywają pomysły, nowe zasoby na życie; a gdy spią, spią lepiej jak ich umarli królowie pod sklepieniem Westminsteru.

Jesteśmy w Londynie i siedzimy w łoży najpiérwszego rzędu, w której (nawiasem powiedziawszy) każde miejsce kosztuje 2 funty szterlingów. Cztery tysiące publiczności, wszyscy mężczyźni w czarnych frakach, w białych chustkach na szyi, nawet na galeryi i paradyzie. Królowa ze swym mężem i orszakiem siedzi w królewskiej, pysznie ozdobionój łoży. Żadnego nigdzie munduru. Sykać i w ręce klaskać nie zakazywano. Policji nie było widać, ale poszanowanie jakie wzbudzała przytomność ukochanój monarchini, utrzymywało całą publiczność w granicach najprzystojniejszej przystojności.

O samém przedstawieniu Purytanów nic nie powiem. Świetne to były czasy dla opery włoskiój, a szczęsne dla wielbicieli muzyki, kiedy Rubini *najpiérwszy tenor świata* walczył o pierwszeństwo z miłym, świeżym śpiewem Julii Grisi. Potężny organ Tamburiniego i Lablasza towarzyszył téj cudownój harmonii,

a młody, wykwitający talent Maria, obiecywał na przyszłość tyle rozkoszy.

Ale od tego czasu jakiś wichur nieprzyjazny padł na operę włoską Paryża i Londynu. Rubini zszedł ze sceny, Lablache i Tamburini zestarzelili się, Julia Grisi w częstych obowiązkach macierzyńskich świeżość głosu straciła, a Mario zawiódł nadzieje swych wielbicieli.

— Doktorze! jak ci się podoba nasze miasteczko? — spyta mnie pan Hethrington — ludności niewiele, zaledwie trzy tysiące kilkaset, ale ubóstwa prawie nie masz: milionowych panów przeszło 20, fabryki, rolnictwo, piękne położenie, dobrzy ludzie. Wygodne to miejsce dla lekarza, nieprawdaż? Bo i okoliczne wioski zatrudnienie dają.

— Widać, że to dobre miejsce dla lekarza, kiedy ich aż pięciu jest u was — odpowiedziałem.

— Ale jest miejsce na szóstego, i szósty może zakasować pięciu innych, bylebyś ty nim zechciał być. Zyskałeś sobie pan wójta, komendanta, księży, sędziego, mnie i kilku fabrykantów najznacniejszych. Osiądź pomiędzy nami, będziesz miał szalone wzięcie; ja z moją rodziną i fabryką abonuję się na 100 funtów szterlingów rocznie, sir T. Bedford na tyleż dla siebie i swych włościan, sędzia pokoju na 20, inni fabrykanci pójdą za naszym przykładem. Zakupimy ci aptekę i pozostaniesz między nami aż do lepszych czasów.

— Doktor medycyny, mój dobry przyjacielu — odrzekłem panu H. — obowiązków aptekarza sprawnie nie może zarazem: uchybilby swemu tytułowi i swemu ważnemu posłannictwu. To dobre dla waszych druggistów, niewierzących w naukę lekarską, tylko w sztukę zarobkowania.

— A to jednak konieczne, mój szanowny doktorze; gdybyś brał lekarstwa u druggistów, którzy zarazem są lekarzami, toby ci wytruli połowę pacjentów umyślnie, aby cię zgubić w opinii. Aptek, właściwie tak nazwanych, u nas nie ma; nie utrzymałaby się żadna. Będziesz sobie trzymał prowizora, i wszystko pójdzie jak po *oleum ricini* — rzecze znów pan Hethrington.

— Może, może że się później na to zgodzę; teraz jeszcze wytrwam w mém położeniu, w którym się daleko więcej uczę, w którym daleko więcej daję, niż cierpię i zarabiam. Nie śmiem opuścić mych kolegów tak biednych, zostawionych bez pomocy. Później, może mnie owionie srogi wiatr egoizmu, może i ja legnę

pod ciężarem nędzy, wówczas zacznę pamiętać o sobie; teraz jeszcze wytrwam w mych uczuciach.

Tak rzekłem do pana H., a on spojrzawszy mi w oczy, zamyslił się, ręce mi ścisnął i nie nalegał więcej.

— Za dni 17 urodziny mego męża; uwolnij się pan na dni kilka, będziemy mieli towarzystwo literackie—rzekła mistress Hethrington półgłosem, żegnając się ze mną.

Ja znów po krótkim przestanku wracam do prac mych literackich, tyle uroku dla mnie mających. Uczęszczam przytém do szpitalów, sprawuję me obowiązki w *foreign dispensary*, którego dyrektor biorąc 300 funt. szterl. rocznie, a za ledwie raz na tydzień w zakładzie się jawiący, wyznaczył mi przecież 6 funt. szt. miesięcznie na dorożki. Nękały mnie w krótkich dniach zimowych wizyty oddawane chorym cudzoziemcom, po najodleglejszych zaułkach Londynu rozsianym; ale wytrwać musiałem, bo pomiędzy cierpiącymi znajdowali się ludzie, których terażniejszość nie uszanowała, a historia nie zapomni.

Ojciec Emilii pan W. wrócił nieco wprzód niż zamierzał do Londynu. Był u mnie, cały wieczór przesiedział ze mną, u mego skromnego *fire-side*.

— Moja biedna córka często, bardzo często o panu mówi. Ona pana nazywa swym narzeczonym w duchu, z naiwnością temu aniołowi tylko właściwą. Niech pana to skoligacenie z umiერającą istotą nie przestrasza; krótkie jęj chwile, a długie przed tobą życie mój przyjacielu. Zakroiłeś sobie twemi daleko sięgającymi dążnościami możolny, ale wielki zawód, i zdaje mi się, że go przebieżesz, bo jest coś nadzwyczajnego w twym całym ustroju, *coś*, co idei śmierci nie dopuszcza—rzecz patrząc w ognisko kominka pan W.—Możesz być u nas jutro, lub przynajmniej pojutrze? Moję biedną Emilię znajdziesz bardzo zmienioną. Cera jęj niegdyś blada, potém tak kwitnąca, przybiera barwę jakąś woskową. Rysy niegdyś tak świetnie piękne, zastrzają się, wyciągają; usta te pełne życia, koralowe, więdnieją na zębach. Boże! Boże! jaka okrutna zmiana! i ja tego wszystkiego muszę być świadkiem!

Biedny ojciec! twarz zasłonił rękami, konwulsya serca wstrząsnęła całym jego ciałem tak muszkularnym, tak silnym. Łzy przeciskały się pomiędzy palcami. Piérwszy to raz w życiu, i raz jedyny widziałem Anglika płaczącego, i płacz ten odbił się w méj duszy okropnym, przeszywającym bólem.

Cóż miałem robić w tej chwili? Pocieszać ojca, tracącego piąte i ostatnie dziecko, jakimiś cytacyami religijnymi? Boże drogi! on już oddawna sposobił się na czekającą go, niechybną boleść, i wszystko przeczytał, co tylko ludzie gdziekolwiek i w jakimkolwiek języku napisali o śmierci i wieczności.

— Ciało musi wrócić do ziemi, z kąd wyszło nieskończenie drobnymi cząstkami, a dusza wróci w ręce Boga, z kąd wyszła całkiem, i odrazu żyć będzie wiecznie, bo Bóg dał ludziom pamięć: dobrym na rozkosz, a złym na umartwienie— rzekłem machinalnie, ale słowa te były tylko niewyraźnym echem tego, co wówczas duch mój jasno poczuł.

Odwiedziłem pustelników w Chelsey. Dobrze zrobił pan W. że mnie na zmianę zaszła w Emilii przygotował, że jój oszczędził widoku wrażeń, jakieby niechybnie była na mnie sprawiła. Śmierć, nieubłagana śmierć już roztoczyła skrzydła nad tą głową anielską, już niemi przejęła blask życia.

Powitała mnie z serdecznością Emilia. Wiedziała, że mam przyjść i sama mówiła, że chwile liczy w tém oczekiwaniu. Życie musi jednak wielki mieć urok dla człowieka i świętą jakąś wartość, kiedy w pewności zbliżającej się śmierci nie niknie, nie więdnije przyjaźń dla żyjących.

Jeden pokój domku pana W. przeistoczono na kwaciarnią. Wpóśród lubych, woniejących córek Flory i kanarków bujących od krzewu do krzewu, ustawiono kanapkę, na której pracowała, czytała i spoczywała dzień cały Emilia. Wieczorem jednakże i nocą wąż lilia indyjska nie mogła znieść towarzystwa swych rówienniczek europejskich, bo kwiaty dniem wyziewają życie, a śmierć nocną porą. To tylko ten uczuje, w kim mało pozostaje sił żywotnych.

Musiałem opowiedzieć dzieje méj podróży po Szkocyi. Z natężoną uwagą słuchała Emilia. Tak się zajmowała tém opowiadaniem, tak szczegółowo mnie wypytywała, że nieraz oczarowany wzbudzoną uwagą, uniesiony zapalem, zapomniał w jaką podróż wybiera się biedna Emilia, i że z tej podróży już nigdy do nas nie wróci.

— Claryssa Campbell tak piękna i dobra, tak odważnego serca i pełnego życia—rzeknie z westchnieniem gdym skończył, Emilia.—Ah! Boże! ona musi być szczęśliwą, i jak rzewnie powinna dziękować Ci Boże za tak wielkie jój udzielone łaski!

Powiedz *my dear friend*, czy umie miss Claryssa cenić swoje szczęście?

— Mnie się istotnie zdaje, że go nie umie cenić—odrzekłem, żalując szczerze, że życie wychwalałem w obliczu niezawodnej śmierci, bo nieraz napadają tę młodą, pełną życia osobę chwile jakiś smętności, jakiś melancholijnej tkliwości. Widać, że niezawsze czuje się szczęśliwą, albo też właśnie w tych chwilach życie to wywierające się zazwyczaj z takim ciepłem na zewnątrz, skupia się czasem w sercu młodej osoby, i ukazuje jej wewnętrzne duchowe zasoby, przez nią zaniedbane.

— Ah! nie, doktorze—rzecze z żywością Emilia—nie obwiniaj twój przyjaciółki, ona wskrósł dobra. Nic nie zaniedbała w sobie wykształcić, i właśnie owe chwile melancholii są tego dowodem. Musisz wiedzieć przyjacielu, że miss Clarysse od małego dziecka zaręczono z lordem Glenelg jej kuzynem. Zналиśmy go bardzo dobrze z Neapolu, gdzie był towarzyszem zabaw mego biednego brata Jerzego. Przyszły małżonek miss Claryssy to młodzieniec piękny, bogaty, dobry bardzo; ale mało ma polotu umysłowego, mało owęj natychmiastowości uczuć, które tak ceni młoda Campbell: *he is rather a matter of fact man*. Wié o tém dobrze gieniusz Hebrzyd. Wolalaby, żeby ów gołąb był orłem.

Tak się jeszcze szczerze i serdecznie zajmowała życiem znajomych ówa dobra istota, którą niebo pożyczyło na czas tak krótki naszej ziemi!

Nadszedł dzień urodzin pana Hethrington. Wyrwam się od zatrudnień, wyrwam się z oddechu myśli poważnych i smutnych, obcowaniem mém z domem pana W... wzniesionych. Spieszę do Bromley oddać hołd przyjaźni.

Salon literacki! Z kobiet były tam: mistriss Wolcott-Radcliff, kojarząca w swém nazwisku sławę teścia J. Wolcotta, piszącego pod pseudonimem Piotra Pindara, i sławę swęj babki pani Radcliff, której w swoim czasie nadzwyczaj smakowane romanse na wszystkie języki zagraniczne zostały wytłumaczone. Sama także pisała owe tkliwe i ekliwe romansiki, wyszłe pod zasłoną nazwiska Julii Eurgreen, ale nie przechodzące nigdy za kanał Manszy.

Mistriss Throllope niezmordowana podróżniczka, już niemłoda; muza suchego temperamentu, bujnych myśli, nieustraszonej odwagi i siekającej impertynencyi. Właśnie czekała zimy, aby się nauczyć na zmarzłych stawach Hyde-Parku jeździć na łyżwach i potem płynąć do Norwegii dla zwiedzania cudów tego kraju.

Mocno pragnęła méj znajomości *indeed*; słyszała, że zimą całą przepędził w uroczej Skandynawii, że ją Kocham entuzjastycznie. Ale się okazało, że mnie ję znam Norwegię niż pani Throllope, czekająca na zimę dla nauczania się w Hyde-Parku objeżdżać tyżwami cnda Skandynawii i uroki Laponii. Dałibóg, ona lepiej znała Norwegię niż ja; wszystkie o niej książki przeczytała. Znała Norwegię jak filolog niemiecki Ateny, jak niejeden z nas zna Niemcy, w których podróżował dla Karlsbadu, Pysznitza lub rułety badenkiej.

Skromna, młoda miss Jane Burney, autorka pięknych powieści wyszłych p. t. *Evening lecture for my young sisters*, w milczeniu przysłuchiwała się dyssekującym rezonowaniom autorki podróży po Pyreneach i Kordyllierach. Na jej miłej twarzy malowały się pogoda i tkliwe czucie, które znamionują jej utwory.

Jest i mistriss Lawrence, żona sławnego chirurga; uczona, która z bogaciła botanikę niejednym odkryciem. Właśnie zaręcza i zaklina się, że nie masz w naturze *agamów*, to jest bezpłciowych istot, że się dotąd mylili botanicy, dając ten upośledzający epitet biednym grzybom i bedłkom, że ona sama, mistriss Lawrence, nie rozpacza i że spodziewa się przywrócić tym płodom natury zaprzeczony im zaszczyt.

— A gdzieżby pani nie wynalazła tych interesujących organów? — rzecze mistriss Throllope — w kamieniach nawet?

Zbladła mistriss Lawrence i rzekła półgłosem donośnym jak trąba jerychońska, a przeszywającym jak bagnet bayoński:

— Pani pisałaś podróże pod tytułem: *Pyreee i za Pyreneeami*, alebyś lepsze mogła napisać pod tytułem: *Krzaki i pod krzakami*.

Twarz pani Throllope stała się podobną do głowy głuszca, tak się karmazynem załała. Widząc to major lekkich dragonów, wstaje z krzesła, dąży poważnym krokiem do mistriss Throllope i ofiaruje się z najzimniejszą krwią w świecie na sekundanta. Ale właśnie w tej chwili nowi goście przybywają; nagła przeszkoda kroki nieprzyjacielskie zawiesiła, gniew stłumiła, ale u kobiety nie zniknie on nigdy.

A mężczy literaci? Jest kapitan Alexander, co objechał kulę ziemską kilka razy naokoło, i przywiózł z sobą *tu w towarzystwie przytomnych*: małpę z Borneo, księcia kaffryjskiego z przyładka Dobrzej-Nadziei, dwóch Budehudów z szpontami na półtora cala grubemi w wargach i patagońskiego olbrzyma, który

się w chwilach wolnych od zabaw salonowych pokazywać raczył na Smithfield (to jest na targowisku bydłęcóm, na któróm Anglicy czasem sprzedają swe żony), i to za skromną summę sześciu pensów. Kapitan Alexander istotnie nie jeździł na wieczory prowincjonalne literackie, gdzie był zawsze upragnionym, bez swéj menażeryi, i tysiąc ciekawych opowiadał szczegółów o swych, podrózach i dzikich towarzyszach wędrowcach. Wszystko co tylko uzdolnić może człowieka na podróżnika, wszystko to posiadał kapitan. Dzielnym marynarzem, uczonym geografem, historykiem i naturalistą, rysownikiem, lekarzem nawet i chirurgiem zręcznym; przytém śmiały, wesoły, dowcipny: oto charakterystyka tego żeglarza, którego przygody zainteresowały świat cały.

Mało się udzielający reszcie towarzystwa, a w ciągłej rozmowie z baronetem Bedford zatopiony, siedział jakiś jegomość z dumnym, pogardliwym, złe dostojnością, ale wcale dobrze wyemancypowaną pychę malującym obliczem. Do kogo należy ta fizygnomia, około której ust igra wyraźny orientalny *gipses*, a igra pomimo i wbrew woli właściciela? My Polacy tak wprawne mamy oczy na wyśledzenie żywiołu hebrajskiego, jak wyżeł ma wprawny nos na wytropienie zwierzyny. Nawet w dziewiątém pokoleniu jedna kropla krwi starozakonnój nam nie ujdzie, choćby ją nawet pasztetem sztrasburskim lub prezydentem zamaskował.

— *Who is that Jew?* (kto ten żyd?) — pytam tedy mego gospodarza.

— Na miłość Boga — odpowie pan H. oczywiście zakłopotany — wszakżeż to najdostojniejszy człowiek naszego towarzystwa, przynajmniej tak utrzymuje pani Hethrington: to pan d'Israeli! Isaac d'Israeli! wielkiej reputacyi autor!

— *Still a Jew* (jednak żyd); wszakżem to odgadł — rzekłem.

— Z czegoż pan odgadłeś?

— Z układu ust, z powiek wierzchnich cokolwiek ociężałych, z kręconego włosa, z wyemancypowanej pychy, malującej się w całym układzie, z podufałości chełpliwej, z jaką stara się traktować osoby wyżej od siebie stojące.

— Ale bogaty, ale uczony, ale modny (*fashionable*) i dobrze widziany u torysów. Wielkie to szczęście zdobyć przyjęciem jego rekomendowanego do méj fabryki.

Sławny autor Panowania Karola Igo, Sprzeczek autorskich, Konigsby'a, mało się udzielał naszemu towarzystwu; nie w swym

był żywole, nie pachnęli mu fabrykanci. On wolał obcować z książętami i zawierać przyjaźń z milordami.

Jako talent literacki wysoko stoi w Anglii pan d'Israeli; niżej cokolwiek jako mowca parlamentowy, ale zawsze poważne, winne talentowi swemu, swój uczoneści zajmuje miejsce. Nieraz go zbyt zapalony torysowski zawiedzie poza wszystkie granice względności dla ludu angielskiego; ale to zwyczaj neofitów przekraczać granice dawniej wiary. Nieraz mu się zdarzy kręcić prawdą w te lub owe strony, boć tego przecież nawyknięcia od razu pozbyć się nie można; ale pomimo tego kredyt jego wzrasta. Z przyjściem czystych torysów do steru rządu, pan d'Israeli niezawodnie zdobędzie tekę ministeryalną.

Pan Warren, autor *Now and then*, także obecny, należy do małej liczby wszechstronnie uczonych, z utworami stałego ładu obznajmionych pisarzy. Miły to był, dostojnie wyglądający, już niemłody autor.

Było jeszcze kilku innych mniej znanych literatów w salonie pani H.; np. William Bell współredaktor Prawdziwego Słońca (*True Sun*), jakiś doktor rodem Włoch, którego sobie nie przypominam nazwiska, a główny redaktor czasem dowcipnego, ale zawsze ordynarnego *Szelałgowego satyrysty* (*Penny Satirist*).

Kilku literatów ze zbytnej bojaźni, żeby nie powiedzieli głupstwa, nic nie mówili; kilku innych w nadziei, że im się nawet przypadkiem coś mądrego, o wszystkiém mówili. Tak bywa i u nas w każdym salonie literackim.

Kilku literatów miało minę ludzi bardzo zgłodniałych: tak najczęściej bywa i u nas w inne dni, wyjąwszy w niedzielę i poniedziałki.

— Mistriss Hethrington, *pray Madame*, kto jest ten młody gentleman tak przystojny, rozmawiający tyle z panną Jane Burney — pytam się gospodyni.

— To Charles Dickens, ten sam, który podobno pisze owe *Sketches of London* (londyńskie szkice) w *Morning Chronicle*. Zabawne artykuły, ale nie wiemy z pewnością, czy z jego pióra wypływają. Ma mieć wiele dowcipu; nie znam go bliżej. To literat dopiero poczynający; takich się trzyma jeszcze zdaleka. Przedstawił mi go poczciwy Warren, ja go zaprosiłam, aby go ośmielić. Widzi pan, takich ludzi to się ośmiela na chybił trafił. Ale coś panu wpadł w oko?

— Istotnie, jego twarz tak otwarta, roztropna, rysy tak poprawne: piękny to typ angielskiej szlachetnej twarzy. To on pisze

owe Szkice londyńskie? Nadzwyczaj w nich wiele dowcipu, doprawdy!

— Tak, tak, te szkice londyńskie istotnie niezłe. Szkoda tylko tyle talentu zmarnowanego na opis gminnego, potocznego życia. Ale to wcale jeszcze rzecz niepewna, czy Dickens jest ich autorem; on się wypiera tych utworów: to skromność z zarzumiłością granicząca, albo téż jakieś dziwactwo charakteru. Jedno z dwojga, przyznasz pan. Mister Charles Dickens, (*soit dit entre nous*, ale to pod sekretem, nie chciałabym, żeby się to roznieśli, że takich ludzi do mégo domu wpuszczam); mister Charles Dickens, mówię, nigdy nie był ani w uniwersytecie, ani w klasycznych szkołach. Proszę pana: co może wydać talent człowieka nieumiejącego ocenić pierwowtworów starożytnych?

— Oh pani! może wydać wiele, wiele. Talent ogrzany iskraw gieniuszu, może wydać coś z kształtu i ducha nowego, piękniejszego jeszcze od pierwowtworów starożytnych. A wasz Shakespeare, moja pani? Ale pan Dickens musi znać grecką literaturę, kiedy oto cytuje Sophoklesa, a właśnie cytuje pannie Jane Burney. Racz mnie pani przedstawić panu Dickens.

— Panie Hethrington! panie Hethrington! Francis! zawołała dumna Corinna Bromleyn, wyświadczyć panu Dickens zaszczyt przedstawienia go doktorowi T...

Takie było moje zapoznanie się z piérwszym z dziś żyjących humorystycznych autorów Anglii. Ojczyzna jego, której dziś jest chlubą, nie znała go jeszcze przed niewielą laty; ale oko sympatyczne człowieka chylącego się jedynie przed talentem, odgadło w bystrym wzroku, w otwartém czole Dickensa wyraźne piętno gieniuszu.

I nie zawiodło mnie to oko. Dickens należy bez żadnego wątpienia do rzędu ludzi udarowanych zastanowiającemi, a na pozór sprzecznemi darami. Śmiały jak lew, gdzie szło o walkę, a téj doświadczył niemało w swém awanturniczém życiu; skromnym był jak panienka wychowana w klasztorze, gdy szło o wiarę w swój własny talent. I dlatego te anonymy w *Morning Chronicle*, ten pseudonym *Boz*, pod którym krył młody, a już popularny autor swe nazwisko. Pięć lat pisał i bawił publiczność artykułami w gazetach; *Pickwick-Club* taką wziętość zyskał, że go tysiącami dziennie sprzedawano, na ulicach śpiewano, w teatrach grano, a jeszcze autor takich utworów chciał pozostać za kulisami, pasował się nieraz z biedą i niedowierzał swemu talentowi wtenczas, kiedy roje innych tysiączną część téj

popularności doświadczywszy, umieli piąć się po niej do zaszczytów i bogactw. Poznałem Dickensa właśnie w chwili, gdy największego używał poklasku pod pseudonimem *Boz*, a jeszcze nie był zdecydowanym, czy nareszcie wystąpić na jaw, czy zedrzyć maskującą go kurtynę. Kochał, ubóstwiał szlachetnie urodzoną bogatą pannę, która później została jego żoną a jój nawet nie powiedział, że chwalony wszędzie *Boz* jest jój ubóstwiaczem, Karolem Dickens. Tak mało znamy szczegółów biograficznych znamienitszych autorów Albionu w naszym kraju, do którego na nieszczęście tylko francuzkie ramoty z zagranicy dochodzą, że warto bliżej obeznać się z osobistością Dickens'a, godnego ze wszech miar większego szacunku, jak autorowie owych utworów, któremi młodzież nasza ducha swego bałamuci i sił swych wiedzę zatracą.

Dickens urodził się w r. 1814 w Portsmouth. Ojciec jego ubogi urzędnik marynarki królewskiej, nie mógł dać wychowania odpowiedniego wczesnie objawiającym się zdolnościom syna. Rząd angielski dopiero od lat niewielu, i to bardzo słabymi zasiłkami ułatwia pobieranie nauk. Szkół bezpłatnych prócz niedzielnych nie ma jeszcze, a te są pod wszelkiemi względami niedzielne. Jednak nauczył się młody Dickens czytać, pisać, rachować i katechizmu, i już wczesnie zasmakował w literaturze, a szczególnie w utworach naówczas nadzwyczajnie poszukiwanych Teodora Hook. Pisma Hook'a wywarły na wykwiatający rozum Dickensa wpływ stanowczy. Jemuto, a nie innemu Anglia zawdzięcza tę nową ozdobę literatury swojej. Mając lat zaledwie 13, młody Dickens wysłanym został do Londynu i otrzymał po długich staraniach miejsce kopiisty u sędziego spraw policyjnych. Tu w widoku ludzi najrozmaitszych klas towarzystwa, w widoku najtajniejszych sprężyn życia publicznego, Dickens czerpał koloryt do swych szkiców. Wiedziony jakimś niezwalczonym instynktem, młody kopiista przypatrywał się ludziom, ich obyczajom i ruchom; tak jak naturalista przypatruje się zwierzętom, astronom gwiazdom, a kupiec towarowi. W chwilach wolnych od zatrudnień, kopiista sądowy spisywał swe spostrzeżenia, i z nieporównaną prawdziwością, z bystrością wszelkie pojęcie przechodzącą, umiał oddać najsubtelniejsze charaktery, znamionujące różne klasy ludu, różne temperamenta i wszystkie osobliwości wynikające z rodzaju zatrudnienia. W owém wszechstronném, różnobarwném życiu angielskiém, tylko człowiek wielką obdarzony przenikliwością, mógł znaleźć wątek prawdy; ale co

więcej jeszcze zastanawia w Dickensie, to owa naiwność, siebie sama nieznająca, z jaką wystawia rzeczy, na które inni tysiąc razy patrzyli, a które przez nikogo w swjej wartości nie były poznane. Szkice te ulotne, odczytywane kolegom biurowym, zajmowały ich bardzo. Ich oklaski ośmielały młodego człowieka do prac podobnych. Kilka lat w ten sposób strawił Dickens; potem ojciec mu umarł i zostawił synowi całego majątku 50 funt sz. puścizny. Dickens pojął nareszcie właściwe powołanie, ale i w niedostateczności swego wychowania, uznał swą niezdolność władania sumiennie myślami i uczuciami ludu, dla którego chciał pisać. Oddał się tedy, nie mając prawie żadnych początków, nauce klasyków. Codziennie uczęszczał do biblioteki *muzeum brytańskiego*, zwalczył wszystkie niezmiernie trudności bez profesora i poradcy, i we dwa lata dokazał tego, co tysiące innych przy najwięcej sprzyjających okolicznościach, przy pomocy szkół i kursów, nigdy dokazać nie mogą: posiadał język łaciński i grecki, przeczytał wszystkich klasyków, obznajmił się ze wszystkimi naukami, mianowicie z historią i jej filozofią. Takiem wysileniem zadał kłamstwo licznym nieukom zastaniającym się brakiem zakładów publicznych, zpod zarzutu najhaniańbniejszego niedbalstwa. Teraz dopiero mając lat 21 i wydawszy ostatni grosz swego majątku na swe wykształcenie, biędą dokuczającą nekany, starał się Dickens o płatną pracę i otrzymał miejsce reportera w Zwierciadle parlamentarskiem (*Parliamentary Mirror*), później zaś został współredaktorem dziennika *Morning Chronicle*, i tam pracując przez lat pięć, wystąpił po raz pierwszy pod zasłoną bezimienności ze swemi Szkicami, malującemi w jaskrawych kolorach, z dowcipem nigdy niezrównanym, życie wszystkich, a mianowicie niższych klass stolicy. Poznano się wreszcie na wartości tego pisarza, choć go jeszcze z prawdziwego nazwiska nigdzie nie znano, bo Dickens jeszcze w dwudziestym szóstym roku życia swego, świadek niezmiernej popularności jakiej dostały jego utwory, a znając niebezpieczeństwo zawodu literackiego i skutki jego przykrych zawodów z dziejów życia swego świetnego przewodzczy Teodora Hook, nie śmiał się jeszcze puścić na skrzydłach własnego nazwiska w tak dla niego ponętne, a dla innych zdradliwe obszary autorstwa. Wielbić należy tę jego skromność, mianowicie, gdy zważymy, jak płocho w innych krajach ludzie bez żadnej sankcyi naukowej, niepędzeni żadnym istotnym powołaniem, nieośmielani żadnym poklaskiem, puszcza ją się dręczeni li tylko biędą lub

chciwością zysku w tak święty zawód literacki. „Do pewnego stopnia stać się można głośnym, zalewając papier najnędniejszemi utworami myśli; do pewnego nawet stopnia przy pomocy przyjaciół, względami osobistemi ujętych, można stać się popularnym w jakimś szczupłym kółku; ale to niedosyć dla człowieka serca, poświęcającego się trudnemu zawodowi przewodzczy umysłowego: on pragnąc powinien swym móżolem, swą ciężką pracą zdobyć sobie pewne grono szczerých wielbicieli, władać opinią publiczną jakiejś części narodu, oprzeć swój byt na istotnej potrzebie publicznej;” mówił Karol Dickens i siedm lat najświetniejszego powodzenia przeczekał, nim światu i swym najbliższym przyjaciołom wyjawiał, że on jest autorem sławnych *Szkiców londyńskich* i rozrywanych wszędzie dziejów *Klubu Pickwiku*. On na tém skończył, od czego inni zaczynają: staraniem się o godność swego nazwiska; ale téż, gdy raz na scenę publiczną wystąpił zbrojny w swe imię i w sławę dawniej zyskaną:—wówczas podobny do Minnerwy zrodzonej z głowy Jowisza, doświadczył u wszystkich klas narodu angielskiego entuzjastycznego społecznia, i nie potrzebował się lękać o przyszłość swego zawodu. Pole, na którym się potykał gieniusz Dickensa, oddawna istniało, ale niém literaci piśzący li tylko dla pieniędzy, pogardzili. „Gdzież w narodzie, w którym tylko bogaci książki kupują, pożądaną być może książka, wystawiająca typy najuboższej klasy ludu?”—mówił tuzinkowy literat, a Dickens wiedziony już w młodzieńczym wieku instynktem swego gieniuszu, badał w biednym surowym ludzie charakterystykę wrodzonych i nabytych uczuć człowieka, swemi utworami wykazał, ile rodzaj zatrudnienia może wpłynąć na uszlachetnienie lub poníženie swego bliźniego, jednym pociągiem pióra umiał wystawić to, co inni wielkimi tomami wydać nie są w stanie; i pomiędzy swemi wielkimi zasługami liczy i tę największą, że najwyższe klasy dumnego narodu angielskiego przeświadczył o istności nieprzebranego źródła poezyi w najniższych warstwach społeczeństwa.

W stanie umysłowym i materyalnym, poprzedzającym jutrenkę jego sławy, poznałem Karola Dickensa, na wieczorze literackim pani Hethrington, i od téj chwili, nie przeczuwając nawet jego późniejszej sławy, umiałem ocenić spotkania tego wartość.

(Dalszy ciąg nastąpi).



UWAGI

NAD WYKŁADEM P. MACIEJOWSKIEGO O POCHODZENIU LECHÓW.

Pan Szafarzyk zostawił przyszłym badaczom dochodzenie, czy między narodem nazwanym litewskim a staro-niemieckimi nazwaniami *Litus*, *Letus*, nie zachodzi jakie powinowactwo. P. Maciejowski w dziele swoim: *Pierwotne dzieje Polski i Litwy*, usiłuje dowieść, iż nie tylko pod temi nazwiskami ukrywają się Litwini, ale nadto, iż pod nazwiskiem *Lazzi*, którzy od niepamiętnych czasów z Niemcami i tak zwanemi Litami mieszkać mieli, ukrywają się Lachowie. To ostatnie założenie jest przedmiotem naszych uwag.

„Saksonowie, słowa są jego (1), w końcu drugiego snadź wieku przybywszy tu z za morza, połączyli się z załabańskimi Polanami; wyższy stan ich obywateli Lachami zwanych do wspólnictwa rządu przyjęli, i jedną z Słowianami i tak później nazwanymi Litwinami, składali rzeszę.” Jakoż, starożytne kroniki (2) przekonały go, iż ludzie, którzy od niepamiętnych czasów razem z Niemcami nad Łabą mieszkali, *Lazzi* zwani, stanowili stan wyższego obywatelstwa u Słowian tamecznych.

To, co pan Maciejowski w innych miejscach w tym przedmiocie utrzymuje, zdawałoby się przeciw głównemu założeniu walczyć.

„U Saksonów, mówi, dwa pierwsze stany składali zwycięzcy, a trzeci zwyciężeni, to jest *Lati*, *Lazzi*, których dlatego, że najpóźniejsze prawo obywatelstwa mieli, podwładnym ludem nazywano (3).”

(1) Str. 12. (2) W VIII, IX i następnych wiekach. (3) Str. 97.

Tak zatem Saksonowie zamiast połączyć się z załabańskimi Polanami, zwyciężyli ich, a podwładnym uczyniwszy ludem, poddali pod swój rząd, nie zaś do spółnictwa onego przypuścili. I ten stosunek Lazzów do zdobywczycy Saksonów sam p. Maciejowski przyznaje.

„Prawo Saksonów, mówi, spisane w końcu XII wieku wyraźnie powiada: że pod wyrazem *Lüde*, rozumieją się ludzie we własności będący (niewolnicy), a *Lazzi* (*Lati*), że znaczą lud w poddaństwo obrócony, a zawojowany przez tych Saksonów, którzy, służąc niegdyś w wojsku Alexandra Wielkiego, przybyli do Turyngii, i lud ów tu mieszkający, ujarzmili“ (1).

Nowy dowód, iż się z ludem u którego byli *Liti*, *Lazzi*, nie połączyli, ani go do spółnictwa rządu przypuścili, lecz że go zwycięstwem w poddaństwo i niewolę obrócili.

Co p. Maciejowski w inném miejscu powiada, zdawałoby się potwierdzać ten wniosek.

„Polepszyła się z czasem dola Litów i Lazzów, przypuścili ich bowiem do obywatelstwa Saksonowie“ (2); zkądby wypadało, iż tego za przybyciem swoim do Germanii nieuczynili. Inaczej się jednak rzecz miała, gdyż p. Maciejowski wyraźnie mówi:

„Zaraz za przybyciem, podzielili obywatelstwo na trzy klasy: t. j. *Edelingi*, *Frylingi* i *Lazzi* (*Lachy*).”

Sprzeczności te stawiliśmy obok siebie, dla wyprowadzenia z nich zupełnego dowodu, iż, według wykładu p. Maciejowskiego, odróżnić należy *Lazzi* do spółnictwa rządu przyjętych, którym razem z p. Szafarzykiem przeddziejowy początek naznaczać zdaje się, od tych późniejszych, których Saksonowie od praw obywatelskich usunęli, i takowe dopiero później znowu im udzielili.

Naucza bowiem p. Maciejowski, iż „Saksonowie szanowali obywatelskie prawa *Lazzów*, aż do czasu, w którym się bez nich obejść nie mogli. Wtedyto pogńębieni *Lazzi* i *Liti* znikają z rządu saskich stanów, tułają się po Niemczech, przypominają w nazwiskach miejsc i osób dawne swe, które teraz utracili, znaczenie. Dopiero później, znowu występują nad Wisłą *Lazzi*, nazywają się *Lusi* czyli *Lachowie*, tworzą stan rycerski niemieckim obyczajem, czyli stanowią rodzaj szlachty, Polanom nieznaną przedtem i t. d. (3).“

(1) Str. 69. (2) Str. 69. (3) Str. 39.

A w inném miejscu: „Długo *przedtém* doznawali piérwsi (Liti) upośledzenia od tych, którzy pod panowaniem Rzymian jedną z nimi dzielili dolę, długo potém doznawali ją drudzy Lazzi (1).”

Możnaby mniemać, iż p. Maciejowski, czując potrzebę objaśnienia téj sprzeczności, znaczną część roczników i kronik polskich i litewskich temu celowi poświęcił, i że to stało się powodem, iż Lachów na czynnych i biernych podzielił. Do tego podziału zapewne ściąga się następujące objaśnienie: „Ci Lesi, którzy własność posiadali, i należeli do publicznych obrad, mieli poszanowanie stanowemi będąc ludźmi; ci zaś, których zwyciężysz Niemcy, obrócili w poddaństwo, lub których osadzili na udziałach, pod warunkiem czynienia służby wojskowej, będąc prostemi tylko ludźmi, równać się z owemi nie mogli.”

Tak rzecz wyjaśniwszy, powtarzamy twierdzenie p. Maciejowskiego: iż Saksonowie zastali już Lachów nad Łabą, a połączwszy się z załabańskimi Polanami, tychże, jako wyższy stan obywatelstwa, do współnictwa rządu przyjęli. Zobaczymy teraz, jakim sposobem to przypuszczenie do współnictwa rządu nastąpiło.

„Sasów siły, mówi p. Maciejowski, polegały na stanach, które zaraz za przybyciem w te strony, rodzinnym swym niemieckolennym urządzili sposobem, podzieliwszy obywatelstwo na trzy klasy: na szlachtę czyli majątek ziemski posiadających, Sasów (Edelingi); na wolnego stanu ludzi saskiego rodu, majątku niemających, czyli na obywateli nieszlachtę (frylingi); na obywateli ziemskich (*jak mniemam?*) majątek posiadających, a z rodu saskiego niepochozących (lazzi) (2).

Według naszego zdania, nie mogli Saksonowie zaraz za przybyciem swoim podzielić naród, rodzinnym swym niemieckolennym sposobem. Saksonowie w piérwszych wiekach zjawienia się swojego byli narodem nieokrzesanym, i jak nas p. Maciejowski naucza: „od Słowian polityczne przyjęli urządzenia i takowe do Brytanii (dokąd się wespół z nimi przesiedlili) zanieśli, od nich nazwiska przyjęli, przelożywszy je na swój język (3).” Zkądże naród, który pierwsze swoje ociosanie polityczne Słowianom był winien, wygrzebał nagle rodzinne niemieckolenne urządzenie? od którychże Niemców przybywszy z za morza przyjęli takowe? Dziś nie wątpią już nieuprzedzeni Niemcy, że dopiéro za zjawie-

(1) Str. 69. (2) Str. 39. (3) Str. 29.

niem się Gotów, a szczególnie Hunnów, zaczyna się właściwa historia narodów niemieckich. Jednakże przypuściwszy, mimo téj uwagi, twierdzenie p. Maciejowskiego, pozostanie rzeczą oczywistą: iż w niemiecko-lennych urządzeniach, nie mógł trzeci stan nosić nazwiska Lechów, tak jak piérwszy miał Edelingów, drugi Frylingów, bo tych nazwisk źródło znajduje się w niemieckim języku. Lazzi zaś ma znaczyć obywateli ziemskich z rodu saskiego niepochozących, ale *Słowian*; gdyż, jak uczy p. Maciejowski, miano Lecha (1), „u różnych narodów używane, wslawiwszy się i historyczne uzyskawszy znaczenie u zachodnich Słowian, wystąpiło naprzód w Germanii, gdzie właściwy, i z pojęciem słowiańskiej (bynajmniej zaś niemieckiej) narodowości zgodny miał wyraz tak w źródło-słowie, jako i w charakterze swoim.” Jakoż nazwisko *Lech*, według p. Maciejowskiego i Szafarzyka, pochodzić ma od starosłowiańskiego *lecha*, skibę gruntu czyli rolę oznaczającego; gdyż, jak mówi p. Szafarzyk, na Bałtyckim Pomorzu mieszkający Słowianie, a odwiecznie trudniący się uprawą roli, mogli, w przedhistorycznych jeszcze czasach, obywatele mających t. j. własność ziemską posiadających, Lechami nazywać. W niemiecko-lennych urządzeniach zatem trzeci stan nie mógł nosić nazwiska Lechów. Skoro więc podzielili kraj według wymagań miejscowych, i wszystkich Słowian ziemską własność posiadających do trzeciego stanu policzywszy, z nazwania miejscowego, nazwali go stanem Lechów; jakże się po narodowemu trzeci stan nazywał?

Jeżeli Saksonowie polityczne urządzenia do Brytanii przemieśli, można ztamtąd stosownego w tym względzie zasięgnąć objaśnienia. U Anglo-Saksonów był podział stanów na Eorli, Ceorli i Devi. Wyrazy te mają źródło swoje w Sanskryckim, a tém samém dowodzą, iż nazwy Edelingów, Frylingów i Lazzów są późniejsze. *Eor* (Ahor), z kąd fenicyjski i hebrajski *Or*, znaczy dzień lub światłość; więc Eorli oznaczali *światłych, jasnych, lub oświeconych*, a Ceorli mniej jasnych. Devi pochodzi od sanskryckiego *Devas*, któryto wyraz, w ogólności, niebiańskie duchy oznaczał; później szczególnie do strąconych duchów był zastosowany, i dlatego u Persów *Diws* znaczyło złych, czarnych duchów. Słusznie téż p. Kraszewski tłumacząc staro-litewskie wyrazy *Devas, Divas*, mówi (2): „Wedle znaczenia, jakie ten wy-

(1) Str. 94. Roczniki i Kroniki pol. i litew. (2) Litwa, str. 112.

raz ma w mitologii Persów, postrzegamy, że szczególnie dodawano go do nazwania bóstw złośliwych." Trzeci zatem stan oznaczał u Anglo-Saksonów *Czerń*, t. j. ludzi najpośledniejszych, czyli niewolników.

Był zatem u Saksonów albo inny stan najpośledniejszy, który odpowiadał Anglo-Saksońskiemu *Devi*, albo, co jest prawdopodobniejsze, właściwi Saksonowie jako zwycięzcy, dzielili się tylko na szlachtę i wolnych (1), inne stany zaś wynikały z położenia miejscowego ujarzmionego kraju. Jeżeli przeto Lazzi byli nad Łabą wyższym stanem obywatelstwa, jeżeli ich Saksonowie do współnictwa rządów przyjęli: przeto nie mogli należeć jak do stanu Edelingów lub Frylingów; trzeci zaś stan niewolnych, nie mógł być zastosowanym do nazwiska wyższe obywatelstwo i udział w rządzie oznaczającego.

Oto jest pierwsza wątpliwość, która nam do zdania p. Maciejowskiego o pochodzeniu Lechów bezwarunkowo przychylić się nie dozwala.

Ci z Lechów, którzy do publicznych obrad należeli, i byli stanowem ludźmi, nie mieli potrzeby opuszczać swoich własności i tulać się po Niemczech. Czynili to owi pognębeni Lazzi, którzy utraty praw swoich znieść nie mogli; ci to mieli nad Wisłą wystąpić pod nazwiskiem Lechów. Że zaś Lazzi przybywali od Sasów, najprzyzwoicij przeto w prawach saskich szukać ich pochodzenia. Nie pozostaje zatem, jak czerpać w tym względzie objaśnienia w księdze praw przez Ecke de Repkaw, pod nazwiskiem: *Zwierciadło Saskie*, spisanej, jako jedynem dokładniejszym źródle, w którym takowe znajdują się. Wypiszemy więc z niej artykuły, które o Lazzach lub Lassach wspominają.

Artykuł 2gi księgi 1szej wyszczególniając sądy duchowne, cywilne i stany, które przed niemi stawać są obowiązane, wylicza następujące: Baniti (od niemieckiego Bannerher) wolni co do osoby i majątku i ci *actu ipso*, byli radcami sądowemi, lub niemi być mogli. (Schöppenbaar freie Leute).

Właściciele ziemscy, do jakiej daniny obowiązani (Pfleghaf-ten), po rossyjsku *Obrazane*, *Propjietarii*.

Urodzeni do własności służebnej (Lassen) *Proprietarii censuales*, *originarii*, *latini*.

(1) „Do unsere Eltern inn diese lande kommen sindt, do sein kelne dienstleute unter ihuen gewesen, sondern sie sindt alle frei gewest. Zobels: Sachsenspiegel 5 Glosse zum 42 Artikel.

Siedzący na cudzej własności krajowi (*Landsessen*), *Pagani censuales*, i obcy, zapewne *Lüde*.

Oprócz wyżej wyliczonych wspomina artykuł 16ty księgi 1szej o ludziach we własności będących (*Eigen, Servus*) i wyzwolonych (*freigelassene, liberti*). Artykuł zaś 44ty księgi 3ciej mówi, iż *Lasse*, który straci prawo do swojej własności, staje się poddanym, *dedititius* (*Tagwerk*).

Pod artykułem 55tym księgi 2giej tak objaśnia glossator XVIgo wieku, *Zobel*, własność czynszową. W Saksonii, mówi, trzeba się do własności czynszowej urodzić, a tacy właściciele nazywają się *Lassen* (*originarii*). *Lasse* nie może pozbyć swojej własności bez woli pana. Są oni całe życie za wolnych poczytani, dopiero po śmierci pan ma udział w ich pozostałości.

Niewolnemi więc byli: *Lassen* po zgonie, wyrobnicy czyli poddani, *Tagwercke, dedititii*, i we własności będący, *eigen, servi*. Wyzwolenicy zaś używali tych samych praw co *Landsessen v. Lüde*, t. j. krajowi, lub obcy na cudzej własności siedzący. Dokładnie przeto Anonym IX wieku przez p. Maciejowskiego zacytowany dzieli mieszkańców saskiego państwa na szlachtę, wolnych, wyzwolenców i niewolników.

Zkąd się wzięli *Lassen*, nauczy nas artykuł 44ty księgi 3ciej.

„Przodkowie nasi, którzy do tego kraju przybyli i Turyngów wypędzili, służyli niegdyś w wojsku Alexandra Wgo, który za ich pomocą całą Azyą podbił. Po jego śmierci nie śmieli osiąść w swoim kraju, z powodu ściągniętej na siebie nienawiści; puścili się więc morzem na 300 statkach, z których tylko 54 ocalało; z tych na 24 przybyli przodkowie nasi do tego kraju, a że ich tylu nie było, iżby pola uprawiać mogli, a gdy i turyngskich panów powypędzali i pozabijali, pozostawili chłopów przy życiu i rolach na takim samym prawie, jakiego dotąd używają *Lassen*. I ztąd pochodzą *Lassen*, a od tychże *Lassen*, którzy prawa swoje utracili, pochodzą wyrobnicy (*Tagwercke*) (1).

(1) Und do ihr so viel nicht was, das sie den acker bawen mochten, und do sie auch die Döringischen herren schlugen und vortrieben, liessen sie die Bawren sietzen ungeschlagen, und bestettigten ihn den acker zu solchen Rechten, als noch die Lassen haben. Und darvon kommen die Lassen her, und von den Lassen, die sich vorwirkten an ihren Rechten, seindt kommen die Tagwercken.

Et cum in numero essent pauci ita, quod agros culturae tradere commode non possent, fugatis et interfectis dominis Thuringorum, reliquam gentem,

Według wyrażonego brzmienia tego artykułu, Saksonowie nie Polanów, lecz Turyngów zwyciężywszy, nie wyższy stan ich obywateli, lecz chłopów przy życiu zostawili, a wyższy stan obywateli, to powypędzali, to pozabijali.

W księdze téj zatem nie ma żadnego śladu, iżby Lazzi albo kiedykolwiek byli wyższym stanem obywateli, albo kiedykolwiek do wspólności rządu przypuszczeni zostali.

Gdyby Lassen było narodowém wyższego stanu obywateli nazwiskiem, musiałby był Ecke v. Repkaw, który z treści praw znał ich pochodzenie, i który Zwierciadło Saskie naprzód na łaciński język przetłumaczył (1), zostawić to odznaczające dawnych, wyższego stanu krajowców do wspólności rządów przypuszczonych, nazwisko tak, jak z niemieckiego wyrazu uczynił *Baniti*; lecz on ich nazwał *originarii*, a dla oznaczenia ich stanu *Proprietarii Censuales, latini*, iż do czynszu byli obowiązani, nie wspomniawszy bynajmniej o wyższém ich pochodzeniu, na któreby go było cudzoziemskie nazwanie koniecznie naprowadziło. Ale przeciwnie, po opowiedzeniu jak panowie turyngscy wypędzeni lub pozabijani zostali, nazywa pozostawionych do uprawy roli, *resztą ludu* (*reliquam gentem*), a dodaje, iż nadano im prawa, jakie dotychczas istnieją w stanie *Latinów*, co ma znaczyć, według niemieckiej treści, *Lassów*.

Ci Turyngowie nie byli Słowianami, bo chociaż przytoczony artykuł nie wspomina o Polanach, inne jednak ustawy Zwierciadłem Sasiem objęte, wspominają o *Wendach*, którym to nazwaniem Słowianów odznaczano; skoro więc wie o nich rzucone prawo, byłoby zwyciężonych, lecz przy własności zostawionych *Lassen*, nie Turyngami, lecz Wenedami nazwało. Bo téż Saksonowie nie tylko wówczas nie podbili Słowian, których Wenedami, albo raczej Wenidami nazywano, ale przeciwnie. Poeta saski nadmieniając o Sorabach (Syrbach) (2), o których i p. Maciejow-

ut operaretur terra, vivere permiserunt, talia imponentes eis jura, quem admodum adhuc consistunt in conditionibus *latinorum*. Et ex his, qui juri derogabat suo, deditiorum conditioni subiciebantur.

(1) Ecke nobilis de Repkaw: Jus Saxonum primitus ex prisca Saxonum lingua in tres libros Latino sermone conscripsit, deinde ad preces Domini Hoyeri Comitiss a Falkenstein lingua Germanica, qua tunc Saxones utebantur, idem reddidit.—Vorrede zum Sachsenspiegel von Zobel, pag. VI.

Tém wskazujemy, z kąd się wzięło łacińskie tłumaczenie Zwierciadła Saskiego. Zobaczycie zdanie p. Maciejowskiego w Pierwot. Dziej. str. 171.

(2) Narusz. Hist. Pol. Tom I, str. 562 i 563.

ski twierdzi (1), iż są pierwszym ludem Słowian nadłabańskich, którzy pod osobną wystąpili nazwą, i że o nich już, jeżeli nie pod IV, to pod VI wiekiem Ubiusz Sekwester rzymski wierszopis wspomina; mówi „iż naród ten pustoszył orężnie, sąsiedztwo sweje Sasów ziemię, oraz Turyngów korzystnej ziemi zabierał plody, i że ich dopiero Karol Wielki pierwszy zawojował (2).“ Najdawniej więc znani Słowianie nie byli przez Saksonów ujarzmieni (3).

W takim stanie rzeczy, czémże wytłumaczyć, iż gdy Słowianie, sąsiedzi Saksonów i Turyngów, kraje obu narodów orężnie pustoszyli, zostawili pod ich jarzmem owe pobratymcze pokolenie, którego stan wyższych obywateli p. Maciejowski Lazzami a raczej Lechami być mniema; czém się stało, iż pokolenie to, nie połączyło się z ziemkami, lub że znakomitsza część przynajmniej ścierpiała, iż ją Saksonowie z praw obywatelskich odarli, w podwładności i uposiedzeniu trzymali, zwłaszcza, gdy w czasie wojny którą Awarowie z królem Franków Sigebertem około roku 561 prowadzili, Syrbowie zawarowali sobie spokojne siedliska między rzekami Elbą i Sałą (4), i pod Samosem Słowianie tyle w onych stronach dokazywali, a których dopiero Karol W. w części zawojował. Zaiste, nie musieli Serbowie uważać ich za pokolenie słowiańskie. Tém niezbędniejszém jest zatém przytoczenie treści owych starożytnych kronik, które przekonały p. Maciejowskiego: iż ludzie, którzy od niepamiętnych czasów nad Łabą mieszkali, *Lazzi* zwani, stanowili stan wyższego obywatelstwa u Słowian tamecznych. Inaczéj słusznym byłby wniosek: iż Wendowie później weszli do Zwierciadła Saskiego. Glosatorowie téż utrzymują, iż ustawy Zwierciadłem Saskim objęte, Karol W. Saksonom udzielił, a to w Saksenburgu w Turyngii dnia 10 lutego, 810 roku, a siódmego swego nad niemi panowania; na co

(1) Pierwotne Dzieje, str. 37.

(2) Według p. Maciejowskiego, dostała im się nawet z obalonego Turyngów państwa, kraina między Łabą i Sałą; str. 37.

(3) Słowianie osadziwszy się między Odrą, morzem Bałtyckiem i Łabą, nie byli poddani Niemcom. Dzieje znajdują ich tu w zupełnej niepodległości pod sprawą własnych książąt, zajętych prowadzeniem okrutnych i wiele wieków trwających bojów z Niemcami. Szafarzyk: Słowiańskie starożyt. § 43, oddział 2.

Znajdujemy wprawdzie, przed Łabą, niektóre pokolenia słowiańskie pod władzą Franków i Sasów, ale już w VII wieku i to chwilowo, aż ich Karol Wielki w części zawojował.

(4) Ekkard str. 8, rozdział II: de rebus Francorum.

się większa część pisarzy niemieckich, wbrew tym zgadza, którzy utrzymują, iż prawo turyngskie już w wieku VI spisane zostało.

Wyznać podobno wypadnie, iż późniejsi Niemcy, dogadzając raczej swym politycznym widokom, niż z powodu niewiadomości, nazwali Sorabów, podciągając ich pod miano ogólnego niegdyś zrzeszenia Wenedów, Turyngami północnymi, i tym sposobem podhicie Wendów odnosili do czasu, w którym od Franków, części północnej Turyngii, jako nagrodę za udzieloną im w zburzeniu tego królestwa pomoc, otrzymali.

Ztąd i glossator Zobel, wbrew wyraźnej treści, która o prawach Wendów oddzielnie mówi, nazywa północnych Turyngów Wendami; ale ta sama okoliczność, iż ci Turyngowie mieli osobny dyalekt niemiecki, którym Ecke v. Repkaw Zwierciadło Saskie przetłumaczył, dowodzi, iż nie byli pochodzenia wenedzkiego; bo Wendowie z taką trudnością zrzekali się swój mowy, iż nią do dnia dzisiejszego jeszcze w niektórych saskich mówią okolicach. Jeżeli ich jednak miał za Wendów, czemuż *Latī* nie tłumaczy z ich języka, ale z rzymskiego prawa *de libertinis*; gdzie jedni, mówi, byli zupełnie wolni i stawali się obywatelami rzymskimi, drudzy używali mniejszej wolności i nazywali się *latini*, i *z tąd wielu chcą nazwisko Latī od Latini wywodzić*. I podobno znaczna zachodzi pomyłka w sposobie w jakim p. Maciejowski przetłumaczył następujące wiersze, w przedmowie do Zwierciadła Saskiego umieszczone „Spigel der Sachsen sal diz buch syn genant, wende Saxen recht ist hir an bekant.” Zwierciadłem Saskiém ma się nazywać ta księga, obejmująca słowiano-saskie prawo (1).” Bo naprzód: mało w niém mowy o Wenedach, potwóre, mówi o nich jak o podbitym narodzie, któremu nowe stosunki narzuca, a przeto z słowiańskich praw go wyzuwa; potrzecie: gdyby księga ta miała obejmować słowiano-saskie prawa, nazwanoby ją słowiano-saskiém zwierciadłem; poczwarte: w nowszej edycyi Zobla stoi: „Ein Spiegel der Sachsen sol disz Buch sein genant; Darin der Sachsen Recht ist bekant.“ Tu nie ma mowy o Wenedach. Zkąd wnosimy, iż zamiast jednego wyrazu *Wende*, trzeba położyć dwa wyrazy *wen* i *de*, bo i do dziś dnia ludzie prości zamiast *wenner*, wymawiają *wen de* (Saxen Recht etc.), któreto narzecze nazywają *Plattdeutsch*. A nawet drobniejszych nie pomijając postrzeżeń i co do pisowni: jeżeli wyraz *Saxen* jako naród oznaczający, ma wielką początkową literę, powinienby mieć takąż, z téj saméj przyczyny

(1) Str. 170 Pierwotne dzieje.

wyraz *wende*, gdy tymczasem z małą jest umieszczony. Że się także same prawa między ludami słowiańskimi rozeszły, nie szukalibyśmy z p. Maciejowskim przyczyny w tém: iż prawo to dużo słowiańskiego zawiera, bo się wiele z tych ustaw i u pokoleń litewskich znajdowało, lecz w tém: iż z jednego najstarożytniejszego, i pokoleniom tym nieobcego źródła są czerpane; a gdy przez naród sąsiedni spisane zostały, zbiór ich, ułatwiając nauczanie się i zastosowanie takowych, chętnie przez inne ludy przyswojony został.

Te uwagi skłaniają nas do wniosku, iż *Lassen* nie pochodzi od słowiańskiego wyrazu; iż nie byli Słowianami Turyngowie *północni*, którym stosunek jaki pomiędzy Saksonami i pozostawionemi im przez zwycięzców, którzy ich przy życiu zachowali, własnościami zachodził, nazwisko Lassen zjednął (1). Do nich to trafniej stosować można, co glossator XVIgo wieku o nazwisku ludzi we własności będących (*eigen*) przytacza. Tłumacząc, z kąd się wzięli, mówi: Starożytni cesarze urządzili w czasach wojny, iżby nie wszystkich jeńców zabijać, lecz zachowanych przy życiu obrócić do służby dożywotniej; dlatego nazywają się *servi*, nie od *servire* służyć, ale od *servare* zachować, iż zostali przy życiu (2). To zostawienie przy życiu, które o wiele urządzenie cesarów uprzedziło, a nadto zostawienie włóścian przy posiadanych gruntach, tłumaczy, jak to już Hermann Müller utrzymywał (3) owe nazwanie *Zachowańcam*, Lassen, i przypomina stosunek jaki między mężem rycerskim obdarowanym ziemią, a nadawcą jej zachodził, i nadawał piérwшему nazwisko *Vassen*. Zostawieni przy życiu i gruntach czynszowych Turyngowie, przeistoczyli się z czasem z Saksonami w jedno ciało, a tak, później Lassen, nie oznaczał już owych pierwiastkowych *Zachowańców*, ale raczej pewien stan wolnych ludzi, który własności ziemskie pod oddzielnemi prawami posiadał. Dlatego téż gdy w oznaczonym czasie, co rok po dwunastu mężów z każdej osady i z każdego stanu wybierano do rady ogólnej, powoływano do niej i owych właścicieli czynszowych (*Proprietarios censuales*). Ale to samo dowodzi, iż ci właściciele nie byli Lechami.

(1) Lassen sind die, welche unser Vorfahren frej liessen, da sie die Landt bezwungen. Zobel, Glossa des II Artikels.

(2) Glossa artykułu XVI.

(3) Solche ungeschlagene Besiegte scheinen alle Lassen, Latten, zu sein. Ihren Nahmen erkläre ich mir eben aus dem Aufgehen des Kampfes, aus dem Nachlassen im Kampfe.—Nota p. Maciejowskiego.

Zepchnięci z wyższego stanu, który im pozostawione, godność ich odznaczające nazwisko, ciągle przypominało, do używania poślednich praw; obrócenie w zawisłość, gdyż Lassen nie mógł sprzedać własności bez zezwolenia pana, który po jego śmierci miał udział w pozostałości jego ruchomej; nie mogli mieć wspólnego interesu z stanami zwycięzkiemi, nietylko już co do bytu zewnętrznego i stosunków politycznych, ale co do bytu wewnętrznego. Takich praw ludzi nie można wzywać do rady w przedmiotach, które dla nich z samego stanu zawisłości i poniżenia, są obce, a z natury swojej im przyjaźniejsze zwycięzcom, tém uciążliwsze dla zwyciężonych.

Przeciwnie, owi niegdyś Zachowańce zostawieni na gruntach które uprawiali, nie utracili nic zapewne z dawniejszych praw, a może im nowi panowie, dla wzmocnienia wzajemnych stosunków, jeszcze korzystniejsze nadali. Musieli oni z wyższemi stanami mieć wspólny interes bronięcia krajowych urzędów, choćby z bronią w rękę, skoro w owych czasach, tak w zasadniczym pojęciu o obrońnię krajowej od dzisiejszego różnym, nietylko znaczną część siły zbrojnej składali, (boby ich do tego Saksonowie, tak jak Awarowie Słowian zmuszać mogli); nietylko, że Saksonowie wiele nimi dokaazywali, (bo mogło przyrodzone usposobienie czynić ich bitnemi); ale że, według p. Maciejowskiego, Karol Wielki biorąc od Saksonów zakładników, uznał potrzebę brania ich od Lassen, którzy najznaczniejszą część siły wojskowej stanowili. Lecz ta mnogość, to wspomnienie kronikarzy, jak wielka ich liczba ginęła w bitwach, znów dowodzi, iż nie byli Lechami, bo dla czegożby dziejopis Karola Wgo opisując bitwę, jaką tenże w roku 805 Czechom wydał, donosił, jako rzecz godną pamięci, iż w niej Lech zginął (1). Lech zatem oznaczał męża wysokiej godności.

Nie było też w polityce Karola Wgo, iżby dążył do zjednoczenia Saksonów z Słowianami, pomiędzy którymi nie zachodziły bynajmniej, wówczas, stosunki zwycięzcy do zwyciężonego, ale przeciwnie, mimo chwilowych nieporozumień, stosunki pobratymstwa. „Przedzielali od Franków, mówi Naruszewicz, pokolenia nadmorskie Słowianów, Saksonowie, równe im pogaństwo, zgodne z nimi, przynajmniej co do wolności i bałwochwalstwa, a Frankom nieprzyjazne dla chrześcijaństwa i chęci panowania pod tym pozorem.”

Jakież powód mieliby byli Słowianie północni żywić nienawiść przeciw Frankom nieprzyjaciółom Saksonów, gdyby tych byli za cie-

(1) Eginhard.

mieźców swoich uważali. Ale przeciwnie, łączyła ich z Saksonami potrzeba wspólnej obrony; wiedzieli bowiem, iż Karol W. tylko po zgębieniu Saksonów zdoła się do nich przebić, i równy im los zgótować, co téż później rzeczywiście nastąpiło. Saksonowie ze swojej strony każdego nieprzyjaciela Franków uważali za swego sprzymierzeńca, tak dalece, iż kiedy nawet podbici służyli pod chorągwiemi Karola Wgo, zmyślone tylko wodzom okazywali posłuszeństwo. Ztąd, chcąc Wilkom, których Naruszewicz mylnie za czysto słowiańskie uważa pokolenie, dać, jak mówi, dowody swojego z nimi tajemnego pobratymstwa, króla Obotrytów *Wizana*, który się z Frankami na nich łączył, zdradą zabili (1).

Kiedy więc było interesem Karola Wgo Słowianów wszelkimi sposobami od łączenia się z Saksonami odrywać, niepodobna przypuszczać, iżby: żądając od Saksonów i Lassów, jako Słowian, zakładników, miał, wkładaniem na tychże solidarności w dotrzymaniu zawieranych z nim umów, jedność między nimi utwierdzać.

Tak więc, Zwierciadło Saskie wystawia nam Lazzów właściwie Lassów, początek w świetle, z którego żaden promień na wyjaśnienie pochodzenia Lechów padać nie zdaje się.

Lecz postępując za p. Maciejowskim zapędziliśmy się do czasów Karola Wielkiego, kiedy już znaczenie Lechów nad Wisłą chylić się zaczęło. Wróćmy się więc do owych Lechów, którzy od Saksonów do Polan nadwiślańskich przybywali „gdzie różnych ludów rządy różne zaprowadzały porządki, z których żaden nie przyjął się na długo, a tak w ciągłym niemowlęctwie była nad Wisłą organizacya kraju; emigrujący więc od Saksonów Lachowie znaleźli gotowe miejsce dla rozwinięcia swojej organizacyi saskiej i rozwinęli ją u nich, tudzież u braci ich Czechów (2).”

Uderzającą jest okoliczność, iż organizacya saska, która Lazzów czyli Lechów pogębila i z wszelkiego znaczenia odarła, tak wielkie u nich znaleźć miała współczucie, iż ją u ziomeków swoich zaprowadzić usiłowali; wypada przeto bliżej roztrząsnąć o ile w czasie, który Lazzom do przybycia nad Wisłę oznaczają, zmiany w rządzie Polan im przypisywane, dziejowemi potwierdzone są pomnikami.

P. Maciejowski w pismach swoich wielokrotnie powtarza: iż Lachowie zaczęli od Saksonów przybywać do Polan w VIIIym wieku ery chrześcijańskiej. W tym właśnie czasie Saksonowie podbili

(1) Hist. Nar. P. tom I, str. 297 i 298. Poeta Saxo w księd. III pod r. 795. Eginhard w życiu Karola Wielkiego. (2) Dzieje pierwotne str. 48.

Lazzów, jeżeli sami tak nie nazwali zachowanych przy życiu chłopów turyngskich (1).

Tymczasem, według p. Maciejowskiego (2), uciskali Awarowie w VIym wieku nadwiślańskich Polan, czego ma być śladem wyraz olbrzym (Avar), olbrzyma czyli ciemieźcę oznaczający. Nie przypuszczamy, iżby w owych czasach dała się była rozwijać organizacja saska. W pierwszej połowie VIIgo wieku wybili się wprawdzie Słowianie zpod jarzma Awarów, lecz na czele ich nie stanął Lech, ale *Frank Samo*, urodzony w Senegago. Mazury byli w VIym wieku już tak dobrze uorganizowani, iż według p. Voigt z którym się wszyscy inni pisarze rzeczy litewskich w tym szczególe zgadzają, król ich podbił lud Ulmi-gerów (Prusaków), zmusił do dani w pewnej liczbie dzieci, które corocznie zjeżdżając do podbitego kraju, wybierał. W Krakowskiem nie byli Polanie, lecz jeżeli nie Chrobotowie, to zawsze lud, który na czele swoim miał królów; Lechowie zatem nie mogli oznaczać tam takiej dostojności, iżby naród miano Lechitów od nich przybrał. Pozostaje Gniezno. Ale władztwo to nie Lechowie, lecz Lech według podania założył. Czyż z wykładu p. Maciejowskiego ma wynikać, iż podanie to nie zasługuje na wiarę? Bynajmniej. Niewątpliwą jest rzeczą, iż pierwotkowo było więcej Lechów, i że od nich powstało miano Lecha, a nie przeciwnie. Idzie o to, w jakim ci Lechowie mają być pojmovani znaczeniu. Według pana Maciejowskiego (3): „od rzeki Łaby i Sali przywędrowawszy Lechowie do téj części kraju, który nad Wisłą i Notecią jeziorami i jeziorkami okolony będąc, Polską nazywał się pierwotnie, w niej niemieckim zwyczajem, pierwszą monarchią czyli pierwsze założyli księstwo. Pokazuje się to z książęcych grodów, z których najznakomitszy pod górą dotąd się od Lecha zowiącą nad jeziorem Jeleń zbudowany zostawszy, knieźskim snadź, czyli knieźnem, to jest knieza, ksiondza, krótko mówiąc, książęcia, mianował się miastem. Nie było to pierwsze Gniezno, o dawniejszém bowiem od owego Gniezna powtarzała odległa starożytność głucho obrzmiewając wieść, już za Długosza czasów prawie umilkłą, która prawila o pierwszym kościele gnieźnieńskim na wyspie w środku jeziora Lednickiego (Letckiego, Łackiego) położonej zbudowanym, z kąd następnie świątynia ta, do właściwego miała być przeniesiona Gniezna. Nie było też ostatniem drugie owo Gniezno, gdyż istniało trzecie, Kruszwicą ina-

(1) W roku 531. (2) Str. 47.

(3) Roczn. i Kron. Pol. i Litew. str. 88 i 89.

czej nazywane. Więcej od tych Gniezn, nie dopatrzysz grodów, nazwisko to noszących w pierwotnej, to jest między rzekami Wartą a Notecią leżącej Polsce, czyli ważniejszych nad te nie dostrzeżesz grodów, któreby się mianowały Gnieznami. Co zapewne ztąd poszło, iż wielkopolskich, wyjąwszy innych Lechów czyli lechickich książąt, grody nie nazywały się Gnieznami, dlatego, ażeby je łatwiej od siedziby wielkiego, iż się tak z Mateuszem wyrażę, kniazia odróżnić można było (1). O dwóch takowych, które w Małopolsce czyli (tak podówczas nazywającym się) kraju Wiślanym stały, mówi według wieści Boguchwała. Jeden zbudowany był na górze Tyniec przez mężnego Walcerza plemiennika Popielowego, drugi w mieście Wiślicy przez Wisława, który miał żonę z tegoż pochodzącą pokoleń, wystawiony istniał.

Przytoczenie z Mateusza, iż Popiela prawem pierworodztwa królem obrano, nie zdaje się nam w niczem służyć do potwierdzenia panowania wielu Lechów pod naczelnym władztwem gnieźnieńskiego, gdyż Popiela, prawem starszeństwa monarchą ogłoszono, z pomiędzy braci, ale nie z pomiędzy Lechów. Że Walcerz i Wisław, jeden plemiennik, drugi ożeniony z plemiennicą Popiela, posiadali jeden na Tyńcu, drugi na Wiślicy grody, dowodzi: iż książęta krwi panującej mieli wyznaczone sobie udziały, lecz nie to, że byli Lechami, jakkolwiek ród swój od nich wyprowadzali. A lubo zupełnie na to zgadzamy się, iż od Lechów powstał Lech, trzymamy się jednak podania, które nie wspomina o naczelnym Lechu, któryby innym przewodniczył; lecz mówi o Lechu monarsze, który na miejscu dzisiejszego Gniezna, miasto stołeczne swojego państwa założył; trzymamy się go tém mocniej, iż jak słusznie p. Maciejowski ostrzega: jest rzeczą pisarza dziejów odgadywać podania, a nie pomiatać niemi; czém powodowany sam p. Maciejowski, lubo nie monarchę Lecha, to choć naczelnika Lechów w Gnieźnie, osadza. Tak w tém przynajmniej zgadza się z podaniem, iż Gniezno było siedliskiem naczelną władzy. Wypada zatem wytłumaczyć, czém się działo, iż ten z Lechów, który najwyższą ogarnął władzę, nie odznaczył dostojenstwa swojego innym od równą stanowości swych współobywateli, czyli téż drużyny swojej odróżniając go imieniem? Dlaczego, gdy miano to, liczni nad Łabą posiadać mieli wyższego stanu obywatele, nad Wartą do niego tak wysokie przywiązano znaczenie, iż pierwiastkowo władcy, na od-

(1) Pompilium vero jure primogeniturae regem omnium statuit.... ejus filium regem suffecerint.

znaczenie najwyższej dostojności, innego jak Lech nie używali nazwiska? iż, jak mówi Długosz, niém, jakby znamieniem szczególném zaszczycano wybrane do panowania osoby? (1). Mogliżby mu takie znaczenie nadać owi Lazzi, którzy po długim upośledzeniu wyswobodziwszy się z poniżającego położenia przez służbę rycerską, i natulawszy się między Niemcami, mieli jako Lachowie przybyć nad Wisłę, celem saskiego uorganizowania tego kraju. Więc kiedy u Sasów do późnych lat, Lazzi, oznaczali ludzi wolnego wprawdzie, lecz zawsze pośledniego i zawistego stanu; Polanie mieliby u siebie najwyższą dostojność tak poniżaném oznaczać mianem i takowe jeszcze takiém uszanowaniem otoczyć? Wreszcie, jeżeli Lechowie z przeznaczenia swojego trudnili się rycerstwem, czyż, zjawiwszy się nad Wisłą jako produkt, jak mówi p. Maciejowski (2), saskiej rycerskości, mogli uważać posiadanie części gruntu za rzecz tak zaszczytną, iżby od tego miana wyprowadzoną, lecz już potyraną godność utrzymywać i nią szczyścić się chcieli.

Nowa wątpliwość względem dokładności wykładu p. Maciejowskiego o pochodzeniu Lechów.

Ale główną podstawą tego wykładu jest, iż nazwisko Lech, powstało od *lechy*, oznaczającej skibę gruntu; ztąd wywodzi p. Maciejowski, iż posiadający własność ziemską, stanowili wyższy stan obywateli, Lechami zwanych, a którym przeddziejowe nadaje istnienie. Dlatego téż Saksonowie jeżeli nie wprzód, to już w początkach IIgo wieku ery chrześcijańskiej, Lechów, w Germanii zastali, i do współnictwa rządów przypuścili. Lecz mógłże na początku ery chrześcijańskiej znajdować się w Germanii stan obywateli, wyższość swoją z posiadania własności gruntowej wyprowadzać mogący? Że między Germanami były narodki różnych pokoleń, o tém nie ma żadnej wątpliwości; że między niemi były takie, u których niejaki podobieństwo z późniejszymi Słowianami upatrzeć można, i temu zaprzeczyć niepodobna; lecz równie niepodobna przypisywać im wówczas charakterystyczną słowiańskich obyczajów cechę — zamilowanie rolnictwa. Przyznał w niejakiem stopniu ten przymiot oddalonym od siebie Estyom Tacyt, gdy bawiąc jako prokonsul w Belgii, zbierał wiadomości o północnych narodach. Lecz powiedziawszy, iż oni bawią się około roli

(1) *Crebro enim id nomen (Lech, Leszek) apud Polonos tunc temporis, habebatur, ut etiam quos in principatus dignitatem assumerent, illos quasi quodam caractere, insignirent.* 1—63. (2) Str. 47.

pilniej, niżeli to Germanowie czynić zwykli (1), potwierdził objawione w tylu miejscach zdanie, iż bliżsi niego, a więc lepiej znani mu Germanowie, nie byli bynajmniej rolniczym narodem, iż możniejsi niewolnikami obrabiali rolę, a i tak jeszcze dozór nad nimi poruczali niewiastom, starcom, lub najpodlejszym z rodziny (2). Nie można inny stan jak najniedołężniejszy przypuścić pod nazwiskiem *servus*, którego Tacyt względem nich używa, ani téż, z Naruszewiczem, nazywać kmieciami ludzi, z których wychodzili wyzwoleni, a ci nawet, według słów Tacyta, żadnego w narodzie znaczenia nie posiadali (3). I gmin porządnemu rolnictwu oddawać się nie mógł, gdyż, jak Cezar i Tacyt nauczają, role corocznie odmieniano, i sami rolnicy kolejają, raz bronią, znowu rolę zajmować się musieli.

„Nie oddają się, mówi Cezar, Germanowie rolnictwu, żyją najwięcej mlékkiem, serem i mięsem, nikt nie ma rozgraniczonej roli na własność, lecz starszyzna co rok wyznacza grunta rodom i rodzinom w społeczności żyjącym, gdzie i jak wiele jój się zdaje, w następnym roku znowu w inne miejsce przechodzić *zmusza*. Wiele obyczaju tego przyczyn naznaczają: obawiają się, aby przywyknienie do uprawy roli, nie ostudziło zamiłowania do wojny; ażeby chęć rozprzestrzenienia swojej własności, nie stała się podniętą do wypędzenia z niej słabszych; żeby nie odwykano w zbyt wygodnych mieszkaniach od znoszenia zimna i upału; ażeby żądza bogactw, nie zrodziła niezgody i stronnictw; nareszcie, ażeby w karności utrzymywać gmin owym duchem słuszności, który mienie każdego z najznakomitszym, równa” (4). Najoczywistszy dowód, iż właśnie obszerniejsze ziemi posiadanie, które Lachów w rzędzie obywateli wyższego stanu stawiać miało, było duchowi Germanów przeciwne.

Opisując zaś Swewów, Cezar mówi: (5) „Nikt nie ma osobnego i odgraniczonego pola; ani dłużej nad rok, na jedném miejscu dla uprawienia roli, zostawać niewolno.” Tacyt dodaje: (6) iż pola kolejno obejmują, i chociaż role co rok zmieniają, pozostaje im jeszcze pola (7).

(1) *Frumenta, caeterosque fructus patientius quam pro solita Germanorum inertia, laborant.* Cap. 45.

(2) *Delegata agrorum cura faeminis, senibus, et infirmissimo cuique ex familia.* Cap. 15. (3) *Libertis nou multum supra servos sunt, raro aliquod momentum in domo, nunquam in civitate.* Cap. 25. (4) *Lib. VI. Cap. 22.*

(5) *Lib. IV. Cap. I.* (6) *Agri pro numero cultorum ab universis per vices occupantur.* Cap. 26. (7) *Arva per annos mutant et superest ager.* Tacit. Ger. cap. 26.

Tento właśnie zbytek pola i płodność jego, kładzie Tacyt za przyczynę: iż ani o zakładanie sadów, ani o zwilżenie ogrodów, ani o wytykanie pastwisk nie dbali, i jak to zwięźle maluje: *rozkazywali ziemi, aby im tylko zboże rodziła* (1). Taki sam sposób uprawiania roli, przypisuje Horacy Skitom i Getom (2).

To przechodzenie z miejsca na miejsce i uprawianie coraz innego, a nawet w inném miejscu pola; ta kolejna i ludzi i pól odmiana; ten sposób obrabiania roli, której skutek nie od uprawy, lecz raczej od samej płodności ziemi zależy, co Tacyt tak dobitnie wyraził, zastępując *uprawę, rozkazem*: wszystkie te okoliczności nie pozwalają przypuszczać, iżby Germani porządne prowadzili gospodarstwo, i jak p. Maciejowski wnosi (3), używali tak zwanego dziś kilkopolowego gospodarstwa. To też wszystkie z takiego przypuszczenia wyciągnięte wnioski, urządzenia, prawa i cała na podobnych domysłach wyprowadzona budowa towarzystwa germańskiego, na której ozdobienie tyle się niemieccy pisarze przesadzają, na bardzo wątlęj spoczywa posadzie.

Trudno zatem przypuścić, iżby przy tak nizkiem o rolnictwie, a tak wysokiem o rycerstwie między Germanami wyobrażeniu, mieszkali w najbliższych po erze chrześcijańskiej wiekach, między narodkami nadłabańskimi takie, u którychby posiadanie *lechy* gruntu nadawało prawo do wyższego stanu w obywatelstwie.

Ostatnim powodem dla którego p. Maciejowski Lechów znad Łaby sprowadza, jest naprzód (4), iż tak polscy jak ruscy kronikarze, kładą ich siedliska w dzisiejszych północnych Niemczech, a mianowicie, Długosz około gór hercyńskich. Nestor zaś nad morzem Warazkiem czyli Bałtykiem, a dopiero następnie w teraźniejszej Polsce; powtóre, że nie mogli od południa lub wschodu posu-

(1) *Nec enim cum ubertate et amplitudine soli labore contendunt, ut poma conserant, prata separent, hortos rigent, sola terrae seges, imperatur.*

(2) *Campestres melius Scythae,
Quorum plaustra vagas rite trabunt domos
Vivunt, et rigidi Getae;
Immetata quibus jugera liberas
Fruges et Cererem ferunt,
Nec cultura placet longior annua,
Defunctumque laboribus,
Aequali recreat sorte vicarius.
(Ode, in divites Avaros).*

(3) Pierwotne Dzieje str. 208. (4) Pierwotne Dzieje str. 4 i 5.

wać się na zachód, lecz przeciwnie od zachodu na wschód i południe iść musieli; bo gdyby byli szli owym szlakiem, wtedy, idąc od gór Karpackich ku rzece Łabie, trafiliby byli na Niemców, a ci jako możniejsi, bo w bojach z Rzymianami toczonych doświadczeni, nie byłiby im byli pozwolili osadowić się między sobą, rozszerzyć się i rozsieść szeroko.

Co do pierwszego, mówi Długosz, że Lech (nie Lechowie) przebył góry i lasy, które starożytném nazwiskiem Hercyńskie się nazywają (1). Ani potwierdzamy, ani przeczymy temu, gdyż, zdaniem naszym, przytoczenie to w niczém założenia nie popiera i dowodziłoby tylko, że Lech, któremu Gniezno początek swój winno, przybył z północnych Niemiec, lecz nie Lechowie; a nie ci od Lecha, ale przeciwnie on od Lechów zyskał nazwisko. Nestor jeżeli umieszcza Lechów nad morzem Bałtyckim, nie oznacza czasu w którym tam przybyli; a właśnie rzecz idzie o dowiedzenie, czy tam znajdowali się za okazaniem się Saksonów w Holsztyńskim, czyli téż dopiero później od południa lub wschodu, posunęli się na zachód.

Co do drugiego, iż to posuwanie się od południa lub wschodu na zachód nastąpić mogło, na to odpowiemy co p. Szafarzyk kilkakrotnie powtórzył (2), „że Słowianie musieli przenieść się nad Łabę w czasach, kiedy toczono z Rzymianami boje, znaczne ztamtąd hordy germańskie wyciągnęły, a wystąpienie narodów uralско-чуждких nad Wołgą i Donem, a mianowicie Spalów, Hunnów, Sabirów, Awarów, Bulgarów i innych, drogę im na wschód zaparło. Ztąd poszło, iż Słowianie rzucili się na Zachód i pokonawszy na prawym brzegu Odry wycieńczone wojnami rzymskiemi ludy germańskie, zdobyli na nich orężem tę starożytną ojczyznę Słowian.” Niepodobna nam jest oprzeć się dowodom jego wykazującym: iż Słowiaństwo nadłabskie uważać należy jako rozsiedlenie się Słowiaństwa nadwiślańskiego, dowodom, które równie pracowity jak uczony badacz z trzech źródeł, t. j. z narzecza, z świadectw starożytnych pisarzy, o pochodzeniu i pokrewieństwie Słowian nadłabskich z innemi pokoleniami, i ze zgodności nazwisk narodowych i miejscowych czerpa. Z najwyższém przeto zadziwieniem czytaliśmy twierdzenie p. Maciejewskiego: iż p. Szafarzyk na migracyą Słowian ze wschodu

(1) Lech superatis montibus et saltibus qui nomine vetusta Herciuli vocantur. I. 8.

(2) § 18, oddział 4. § 25, oddział 2. § 43, oddział 2. § 44, oddz. 12.

na zachód w IIgim i IVtym wieku po Chrystusie, żadnych dowodów nie przywodzi (1).

Podobnie już przed p. Szafarzykiem utrzymywał Surowiecki w tych słowach (2): „Zachodnie strony pierwotnych siedlisk słowiańskich, wcześniej jeszcze niż wschodnie wyludniały się z dawnych mieszkańców; począwszy od IIgo wieku, narody osiadłe między Wisłą i Elbą, wywędrowały w nieprzerwaném paśmie jedno po drugim ku granicom państwa rzymskiego. Od téj epoki do końca IVgo wieku, widzieliśmy Wandalów, Burgundów, Ligiów, Buryów, najbliższych mieszkańców Wisły już rozproszonych, to nad Dunajem, to nad Renem, aż do Gallii i Hiszpanii. Za nimi wyszli Herule, Rugianie, Tureylingi, Sciry, Longobardy, Saksony, tak dalece, że w Vtym wieku nie znajdujemy już w całej téj przestrzeni, ani wzmianki, ani śladu dawnych narodów. O Semnonach Swewskich, których posady rozciągały się niegdys od Elby aż do Warty, przez wszystkie przechody narodów, nie było już najmniejszego napomknienia; jest podobieństwo, że się wcześniej ztąd usunęli ku głównym siedliskom bratnich Swewów i Hermandurów, około rzeki Menu. Z téj więc strony, mogli Słowianie już w IVtym wieku rozpościerać się za Wisłą i zajmować siedliska po Burgundach, Ligiach i Buraych, a przed końcem Vgo wieku pomknąć się aż do Sali, do dolnej Elby i pomorza zachodniego Bałtyku. Od tych stron i południowe kraje wkrótce się stały dla nich przystępne, i po osłabieniu Markomanów i Kwadów, jak się wyżej dowiodło, od połowy Vgo wieku, ogarnięcie Morawii i Czech aż do granic Bawaryi i Frankonii, i do pokoleń osiadłych między Odrą i Elbą, nie mogło im być trudne.”

Tym sposobem dwaj najznakomitsi badacze starożytności słowiańskich, przeważném zdaniem swoim usuwają przeszkody, jakie dla Słowian do przedarcia się od Dniepru do Elby, p. Maciejowski w meztwie Niemców upatruje.

Na tém kończymy nasze uwagi, uczynione nie z próżnych pobudek, ale w téj jedynie najszczerzej chęci, aby w przedmiocie dla wyjaśnienia dziejów słowiańskich, *tyle ważnym*, wszelkie zachodzące mogące wątpliwości, zwycięzko usunięte zostały.

(1) Dzieje pierwotne, str. 404. (2) Sledz. pocz. narod. słow. str. 50.



WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Ciąg dalszy).

V.

S k u t k i.

Kto miłuje rzewnie, ten szaleje pewnie,
Kto miłuje powoli, tego głowa nie boli.

Przypowieści polskie *Salomona Rysińskiego*.

Kiedy Sierpień wyszedł z chałupy, już niebo całe zasłane było błyszczącymi gwiazdami. Księżyc bujał w wysokich obszarach, bladym światłem spoglądając na ziemię, a z zachodu wysuwające się pasmo, ciągle w tej porze roku świecącej zorzy ku wschodowi, zdawało się łączyć z sobą dwie tak dalekie strony świata, i jakby namawiało ludzi do zgody, braterstwa i miłości.

Stary Sierpień jak tylko wyszedł na drogę przez wieś idącą, zaraz dosłyszał wrzawę zabawy karczemnej. Przyspieszył więc kroku, wyraz nieukontentowania mignął mu na twarzy, i poszepnął sam do siebie:

— O ho! już pewnikiem Janek dowodzi w karczmie, kiedy ludzie tak szaleją. Ino żeby się Baśce znowu co w głowie nie przekreśliło, bo to u młodego łatwo o to. — I już w milczeniu, z pewną powagą podpierając się kijem, szedł dalej samym środkiem drogi.

A w karczmie hasanka co się nazywa. Janek ciągle w tańcu przoduje, zaimprovizowany kwartet brzęczy i buczy dziwnym skła-

dem swych instrumentów, a piosnka po piosnce coraz nowsza, coraz więcej ochocza wybiega nad tłum karczemny, wtorowana stukiem, pukiem i wesołym pokrzykiem tańczącój družyny.

Janek co przetańczy kilka razy, to przestanie, a w piosnce gada sercem i duszą do ulubionój dziewoi. Basia słucha, czasem westchnie gdy sobie przypomni ojca, a jednak nie ma siły być powolną jego rozkazowi:—tak już ją otumanił ten czarownik Janek.

O! już dziś ostatni raz—myśli sobie Basia—potém ni razu już nawet nie spojrzę na Janka, kiedy się tatuś tak na niego uwzięli.—A Janek jakby słyssał myśli dziewczyny, zaśpiewał:

O! moja dziewczyno,
Bym cię miał nie dostać,
To już i na świecie
Nie mógłbym się ostać.

i—hu ha! dalej wkoło, dalej ostro i wesoło! Wtém drzwi się otworzyły i naprzód pokazała się ręka z kijem, a potém Wojciech Sierpień stanął w izbie karczemnej.

— Niech będzie pochwalony....—Nie dokończył reszty zwykłego wszystkich włościan pozdrowienia, bo między tłumem upatrując córki, wzrok jego padł na wirującą parę w szalonym oberku, w której niestety, poznał Janka i Basię. Jakby oczom nie dowierzał, postąpił cokolwiek bliżej, zaczął przypatrywać się dokładniej, a w miarę przekonywania się, iż obawy jego o Basię nie były płonne, twarz zaczęła się pokrywać takim wyrazem oburzenia, gniewu i niemal rozpączy, że każdy mimowoli zwrócił wzrok na starca, który jeden z pomiędzy wszystkich okiem boleści poglądał po weselącój się družynie.

— Basiu, Basiu! — zaczęły wołać niektóre kobiety — tatuś po ciebie przyszli.

Basia wyrwała się z objęć Janka, a poznawszy ojca, z oczami w dół spuszczone podszła ku niemu. Stary Sierpień ciągle milczał, ani jedném słowem nie zdradzając wewnętrznej burzy, co mu wrzała w duszy: bo i on umiał hamować uniesienie, i nie chciał z gniewu swego robić dziwowiska między ludźmi.

Stał, i okiem zgrozy wodził to po Basi, to po Janku, jakby zbierał myśli, jakby wybierał między niemi pierwszą ofiarę tłumionego oburzenia.

Basia znając dobrze ojca, a lękając się smutnych następstw tak dla siebie, jak i dla Janka, zaczęła Wojciecha całować po rękę, i obejmując w uścisku nogi, półgłosem szeptała:

— Mój tatusiu, już nigdy, nigdy na niego nie spojrzę, ino chodźcie do dom, bo tu tyła ludzi. Chodźcie, mój tatusiu.

Stary Sierpień na te słowa wyjaśnił cokolwiek oblicze, odechnął ciężko, jakby mu kamień spadł z piersi, i nacisnąwszy czapkę na głowę, zabierał się do wyjścia; gdy Janek odurzony całodniową radością, wirem tańca i wypitemi kilku kieliszkami wódki, spokojne znalezienie się Sierpnia wytłumaczywszy na swoje korzyść, postąpił ku niemu, mówiąc:

— Zaczekajcieo Wojciechu, i jeżeli nie wzgardzicie moim poczęstunkiem, to się napijewa po kieliszku wódki.

Na te słowa tłumiony gniew Wojciecha przełamał krępujące go zapory i podnosząc w górę rękę ze ściśniętą pięścią, głosem drżącym od gniewu, odrzekł:

— *Zasie, zasie* od mojej córki, a wódką częstuj-se takich, jakieś sam; ty próżniaku, obieżyświecie.

I w Janku duma się odezwała; odgarniając więc spadające mu na twarz włosy, odrzekł z godnością:

— *Zasie* albo i nie *zasie*, bo ja tak dobry ze swemi rękami co pracuję niemi na kawałek chleba, jak i wy, choć macie *tyła* gruntu i.....

— Cicho ty ladaco — przerwał Sierpień uderzając nogą w podłogę, że aż szyby zabrzęczały w oknach, gdy Basia tuląc się do ojca, ciągle mu szeptała: — Mój tatusiu, mój drogi tatusiu, chodźcie do dom.

— Cicho ty *nicponiu* — mówił dalej Wojciech wyciągając przed siebie pięści z groźbą — bo żebym się nie bał Boga i nie szanował tych pocziwych ludzi, to jakbym cię *uchycił* w moje stare ręce, tobym w twoich chabach i jednego gnata zdrowego nie zostawił. Widzisz, zalotów mu się zachciało! Ty hultaju, ladaco, zmarnowałeś pracę ojcowską, teraz chcesz na cudzej się dorabiać. *Zasie, zasie* ci od mojego dziecka; szukaj se do zalotów takięj, jakieś sam, a nam w drogę nie włącz: bo choć stare ręce, ale krzepkie i jeszcze poradzą takiemu walaczowi po cudzych śmieciach, że....

Mowa Wojciecha przerwana została niespodziewanym postępkim Janka. Stał biedaczysko, a nie wiedział, co się z nim dzieje: czy to, co widzi i słucha jest na jawie, czy we śnie — tyle mu się naturalną zdawała gwałtowna przemiana chwil doznanych radości na scenę boleści i smutku.

Po pierwszém odcięciu się na wzgardliwe odrzucenie poczęstunku, Janek spojrział na Basię i zrozumiał całą jej obawę malującą

się na twarzy. W milczeniu słuchał gwałtownych wyrazów Wojciecha, a oczami ciągle wodził po ukochanej dziewczynie; aż zobaczywszy ją zalewającą się łzami i wymawiającą głosem wzruszonym wpośród łkania: — Ach! Boże kochany! ach! cudowna Matko Boska Częstochowska ratujże mnie, ratuj! — podsunął się ku Wojciechowi, i obejmując mu nisko nogi, wyrzekł rzewnie:

— Bijcie mnie mój tatusiu, bijcie i zabijcie, już wam ani słoweczka nie rzeke, ino Basi dajcie pokój, bo ja wszystkiemu winowaty. Bijcie, bijcie, mój drogi tatusiu, bijcie!

Stary Sierpień opuścił ręce, zamilkł, twarz jakoś dziwnie mu się rozjaśniła. Popatrzył chwilę na leżącego mu u nóg Janka, odsunął go lekko od siebie, zdawało się nawet, że chciał coś przemówić; ale tylko potrząsnął ręką, i nacisnąwszy czapkę na głowę, wyszedł z izby, a za nim Basia, nie pożegnawszy obecnych zwykłym wyrażeniem: — została z Bogiem.

Po wyjściu Wojciecha, gwarna rozmowa znowu rozpoczęła się w karczmie. Niektórzy z radą lub z pociechą przybliżyli się do Janka, ale ten ani słowa im nie odpowiadał: wsparł się plecami o kratowaną zagrodę oddzielającą szynkarza od izby, i zsunawszy kapelusz na oczy tak, że mu prawie pół twarzy zasłonił, zdawał się być cały zatopiony we własnem dumaniu.

— Dajcie półkwaterek wódki—zawołał Janek rzucając piątką szynkarzowi—i *naprawcie* w kieliszek (1).

Nie zmieniając położenia, Janek wypił podaną sobie wódkę, cały wstrząsł się, jakby go zimno przeszło; i nucąc sobie naprzód pocichu, zaczął potem głośno śpiewać na rzewną, smętną nutę jednej z tych pieśni, której słuchając, mimowoli serce napełnia się jakąś niewypowiedzianą tęsknotą i posyła myśli w minioną przeszłość, jakby tylko w niej mieściło się szczęście człowieka.

Oj tam się pochmurzało,
Kędy świtać miało;
Oj tak moje kochanie,
Z wiatrem poleciało.

Da z wiatrem poleciało,
Z wodą popłynęło,
O bodaj takie kochanie,
Na zawdy zginęło (2).

I śpiewając, szybkim krokiem wyszedł z karczmy.

(1) Czyli nalejcie.

(2) Pieśni ludu, K. Wł. Wojcieckiego. Tom IIgi, str. 221.

— A już tego Sierpnia—odezwał się jeden z parobczaków nawdziławając kamizelę—musiało jakiś złe przyprowadzić do karczmy; ino po próznicy popsuł nam *kompanija*.

— Ale i Janek strasznie dziwny—dołożył drugi.—Żeby kto mnie tak się naprzezywał, naodgrażał, to jakbym go złapał za ozydła..... (1).

— A do paciérza smarkaczu—przerwała jedna z kobiet występując na środek izby.—Czybyś się ty nie bał, żeby ci ręce poupadały, porywać się na siwą głowę, na takiego statecznego człeka.

— A to po co zaczypuje? po co przezywa? Mnie żeby nie wiem kto wlaź w drogę, czy żyd, czy szlachcic, czy chłop, to jakbym zamalował.....

— Albo to prawda? Ty dzieciuchu, nie obrażaj ot lepiej Pana Boga.

— A juści, a juści, masz racją Walek—potwierdziła młodzież—i żeby ino Janek był nie pokpił sprawy, a *chycił* się Sierpnia, a my mu dopomogli, no! tobyśwa dopięro dali mu ducha.

— O! moje zuchy do klusek—odezwała się z przekazem kobiéta—a od kaszy to ich i djabeł nie odstraszy. Fiu! fiu!

— Idźcie ot lepiej spać, a nie wtykajcie nosa nie w swoje rzeczy.

— Zapewne—zapewne, potwierdzili drudzy—niepróżną wiadać macie głowę; idźcie, bo i wam może się co dostać.

— A wy dzieciuchy, wy fąfry—krzyknęła kobiéta ujmując w rękę miettlisko stojące w kącie—ja z wami tu zaraz krótko se pocznę, ja tu wnet nauczę was poszanowania dla starszych.

Młodzież ze śmiechem zaczęła niby uciekać przed grożącą im miotłą, nie przestając drwinek i różnych przycinków, a wtém odezwał się jeden ze starszych gospodarzy:

— Cicho chłopaki, nie szalejta. Frankowa mają racją co wam mówią, że niegodzi się na starszego rękę podnosić, bo to grzech; a Janek, że tak ładno ze starym Sierpniem se począł, to mi aż świrczki w oczach stanęły. Poczciwy dzieciuch, zawdy jego cierpliwości Bóg mu bez nagrody nie zostawi. O! dobrato dusza musi być w takim człowieku, co umie tak uszanować starego.

— No, my téz nie ganiewa Jankowi—odezwała się młodzież—a jeżeli co mówiewa po przeciwności, to ino tak, aby się Frankowej przeciwiwać: bo przecieć wiewa co to starość znaczy.

(1) Czyli klapy.

Gdy tak na podobnej gawędzie upływa czas karczemnemu zebraniu, Janek już był daleko za wsią. Naprzód biegł prędkim krokiem, jakby chciał uciec od miejsca, w którym utracił wszystkie nadzieje, później cokolwiek zwolnił biegu, a gdy doszedł do wykutěj z kamienia figury, zwykle przez pobożnych na rozejściu się kilku dróg w różne strony stawianych; przystanął, uchylił pokornie kapelusza, zaczął oglądać w oblicze świętego, i ciężko westchnąwszy padł na kolana, odmawiając głośno wszystkie modlitwy, jakich go w domu rodzicielskim nauczone.

Lubo modlenie Janka zdawało się być prostém tylko odmawianiem wyrazów, w których myśl żadnego nie brała udziału, bo tak trzepał prędko i bez żadnej napozór uwagi; spojrzawszy jednak na jego załamane oczy w górę wzniesione, na pierś wzdymającą się pod częstemi westchnieniami: łacno dostrzegł, że tam i dusza i serce rwią się tylko do Pana nad Pany, lecz w prostocie i zbytku uczucia nie umieją promieniem słów przedrzeć się przez niebiosą i paść modlitwą u stóp Przedwiecznego.

Po małej chwili, gdy już wygadał wszystkie umiane pacierze, nachylił głowę aż ku samej ziemi i uderzając się w piersi, z coraz większym rozrzewnieniem mówił: „Boże! bądź miłościw grzesznej duszy mojej; Boże! zmiłuj się nademną; Boże! pociesz mnie też, pociesz.”

Przy ostatnich słowach lzy dotąd powstrzymywane trysnęły z oczu biednego Janka, łkając aż się zanosił prawie od płaczu i załamawszy ręce szeptał niewyraźnie: Ach Boże, Boże! na cóż mnie trzymasz na tym świecie..... Tyla ludzi zabiérasz do swojej chwały, co po nich *ino* rozlega się po wsi, co tak ludzie płaczą, a po mnie jedna matusia inoby zapłakali, a niejeden możeby się i naśmiał. O! Boże, Boże, tyła zmartwienia..... tyła turbacyi..... Od czasu jak tatuś zamknęli oczy, to już sam nie wiem, co się ze mną dzieje.... Tak mi jakoś ciężko, tak mnie dusi *kajście* wedle piersi i ściska, że inoby płakał i płakał. A ludziom wszystko *wadzi*, wszystko im nie na rękę; zapłacę *se* albo posmutnieje, zaraz rzeką: ot głupi Janek płacze i smuci się nie wiedzieć czego; rozśmieszę ludzi jaką gadką albo się sam powesele, juźcié wszyscy: ot głupi Janek weseli się z biedy swojej—i wszystko zawdy głupi i głupi. O! Boże, Boże, przecieć ja ludziom niczém nie zawinił, nikomu *ta* w drogę nie wlażem.....

Przy tych słowach Janek powstał z kolan, obtarł zroszone łzami oczy i wyraz dumy mignął na twarzy, bo mu Wojciech i Basia przyszli do myśli. Milcząc, jakąś chwilę stał tak zadumany, tylko

częstszymi westchnieniami i niespokojnym ruchem rąk, poprawiając to kapelusza, to odzienia, zdradzał wewnętrzne szamotanie się duszy z wypadkami bolesnej rzeczywistości.

— Wojciech, o Wojciech — odezwał się znowu po małym przestanku — onito narobili wszystkiego, oni pragnący na majątek, na bogactwo, jakby *ino* w majątku uciecha była dla ludzi. Oj! głupi ludowina, głupi; ja choć ciężko pracuję, a wszystko aby *ino* kałdun napechać i grzbiet przykryć jakimś łachem, to mi nieraz tak ładno spojrzeć po świecie, tak mnie wszystko cieszy, że gdyby mi ludzie nie wiedzieć co dawali, to nigdy nie chciałbym przemienić się w innego człeka. Ot na ten przykład dzisiaj bez dzień cały, póki Wojciecha nieszczęście nie przyniosło do karczmy... — tu Janek ścisnął pięść jakby z gniewu; ale tylko chwilę trwało uniesienie, wkrótce ręka opadła i rzewnie mówił dalej — chociaż Wojciech są *przyczyncą* do wszystkiego, chociaż nawydział na mnie tyła, jakby na jakiego kryminalistę, jednak ja nie mogę mieć dla nich przeciwnego serca; niech biją i zabijają, mnie zawdy będzie w myśli, że oni są rodzicem Basi. Oj Basiu, moja Basiu!

I Janek usiadł na małym wzgórcu pod figurą i zasłonił twarz rękoma. — Co ja winien, że już tak zagubiłem się w tobie: przecieć ja se tego w głowie nie ułożyłem, *ino* tak ot przyszło nie wiedzieć zkąd. Jaby cię wszędy poznał, chociaż poomacku, choćby ludzi Bóg wie wleka było. Idzie ludowina do roboty, zdaleka wszyscy jednako wyglądają; ja *ino* spojrzę i cisnę okiem po polu, juścić wiem kaj się Basia podziewa: nikt nie dojrzy, a dla mnie nie ma *dalekości*. O! Basiu moja, Basiu, żebyś ty z kim innym miała mieć wesele, jaby się zatracił, jaby się utopił, albobym musiał lecieć *kaj* w świat daleko, żeby *ino* nie patrzeć na uciechę drugiego. O! Boże mój jedyny, ratujże mnie, ratuj.

Znowu nastąpiła chwila milczenia, a promień księżyca oświetlając całą postać Janka, zdawał się zaglądać w najtajniejsze zakątki duszy biedaka i pociągać ją ku temu, co mu kazał przyświecać ziemi i patrzeć na biedne robaki, których my ludźmi zowiemy, jak nieraz dla fraszki płaczą i z fraszki radują się i weselą.

Mała pauza milczenia uspokoiła cokolwiek Janka; wspierając więc głowę na rękę, mówił dalej:

— Dobrze że nikt nie słyszy mego gadania, boby znowu powiedział, że Janek głupi, gada do siebie nikić szalony; bo ja choć między ludźmi, kiedy na mnie tak padnie jak dzisiaj, i jednego słowa nie wyrzekę, to na osobności nie wiem kiedy mi się ma gęba zam-

knąć, a ludzie zaraz: głupi Janek i *juści*. O ho! gadalibyśta i wy tak, żeby ino wam tak wszystko we środku jak mnie kotlowało, nikiéj woda w garnku kiedy się gotuje: i woda skipiéc musi i gęba wygadać. Aleta *fracha* o ludzi, co tam! Pan Bóg lepszy jak ludzie; ale Basia, Boże jedyny, co ja bez niéj pocznę? Co ludziom wadzi, że się my kochawa? Przecieć ja nie pragnący ani jéj wiana, bo żeby nie ludzka gadka, toby mi ono i w głowie nie postało, nie przyspieszam także i wesela, bo choćbyśwa *zawdy* ona Bašką, a ja Jankiem zostali, to i cóż? jabym *bez* tydzień służbę moje robił, żeby ludzie gęby nie mieli czém wycierać, a w święto szedłbym do karczmy i skakalibyśwa jak dzisiaj. Ale cóż? ludzie wszystko psują, bo ludzie wszystkiego zazdroszczą i do wszystkiego się wetkną. Oj ludzie, ludzie! Już niechta ze mną co chcą robią, niech mnie po wsi obnoszą, co ino ślina do gęby przyniesie, aby ino Baški nie tykali i nie odwrócili jéj odemnie do kogo innego. Baška zwyczajnie jak dziewczucha: potulna i *miętkiego* serca; nie ma téj hardości, co my mawa, i jak zaczną kłaść jéj w głowę, a wszystko naprzeciw mnie... O mój Boże! o moja Basiu! przeciećta miéj ulitowanie nad Jankiem.—O! gdybyto ja miał wiera gruntu, swoje chałupę, o ho! i stary Sierpień inaczejby na mnie patrzył; ale że ja biedny, że ino dziesięć zdrowych palców mam w garści, to nawet przyznać się nie chce, że z jednéj wsi pochodziwa. Oj Boże, Boże! oj Matko Boska cudowna Częstochowska zmiłuj się nademną.—Janek przy tych słowach złożył ręce jakby do modlitwy, nachylił głowy i w ukorzonéj tak postaci pozostał chwil kilka.

Niedługo znacznie już uspokojony, w milczeniu począł się przyglądać pięknemu krajobrazowi wokoło niego rozpostartemu, nad którym, w niebieskim przestworze nieba, unosił się poważnie księżyc i migotały miliony gwiazd i gwiazdeczek. Miejsce na którym siedział, zdawało się panować nad całą okolicą. Zdała czerniły się wioska za wioską, otoczone cieniem rzuconym na ziemię od drzew i budynków, a od starego zamczyska w Osolinie, sterczącego dziś tylko ruiną, ciągnął się rząd lip starych prostą drogą aż ku kościołowi w Gozlicach, niby duchy ojców naszych, co wyszedłszy ze wspólniejszej swéj siedziby suną się poważnie do świątyni Pańskiej, aby błagać Pana nad Pany o pomyślność i szczęście dla dzisiejszych ich następców.

Cisza nocna, przerywana tylko dalekiém szczekaniem psów i rechotaniem po sażawkach i bagnach ukrytych żab, wśród której promień księżycza niezastłany zazdrosną chmurą bujał swo-

bodnie po niwach i polach, zdradzając odbiciem swego światła małe strumyki kryjące się po łąkach między trawami: jakimś dziwnym urokiem okrywała cały obraz, który z prawej strony za ramę miał ścianę niewielkiego lasku, a wprost i na lewo ciągnął się daleko jak tylko okiem zasięgnąć się dało.

Janek poglądał to po polu, to po niebie, a w głowie widać różne myśli mu się snuły, bo twarz raz pochmurniała i wtenczas wyciągał rękę przed siebie, jakby nią groził; czasem znowu dziwnie promieniła jakby rzewnością, smutkiem, czy nadzieją, i wówczas odgarniając spadające na czoło włosy wznosił oczy ku niebu, rękę przyciskał do piersi, z których się lekkie i tęskne wydobywało westchnienie.

— Mój Boże!—po długim milczeniu odezwał się—co tu gwiazd na niebie, a wszystkie jak *ładno* świecą, nikiéj świece w kościele przy ołtarzu podczas nabożeństwa. Ale *kajta*: ani świec, ani ludzi tyła na świecie, co gwiazd na niebie, bo kaj ino człowiek się obróci, to wszędy gwiazdy i gwiazdy; a tu tyła widzę światu, a człeka ani jednego. Ludowina mówi, że to gwiazdy i *juści*; ale to nie gwiazdy, ino święci Pańscy i aniołowie tak oczami świecą, żeby ludziom było widno po nocy. Mój Boże! jak to kiedyś musiało być dobrze na świecie, kiedy tyła świętych było między ludźmi: bo teraz, to i jeden człek nie *patrzy* na świętego (1); wszyscy *ino* dla siebie, żeby okpić, oszukać. Oj! głupi ludowino, głupi, nibyto bogactwo człek zabierze z sobą na tamten świat.

Po małej pauzie milczenia oglądając się wokoło siebie mówił dalej:

— Jak to po nocy dziwno wszystko wygląda! Żeby człek nie wiedział że to wieś i jak się która nazywa, że tam, o! stoi wiatrak, *hajnok* krzyż, tam drzewa: toby myślał, że jest na *smentarzu* w Obrazowie i patrzy się na groby i na różne krzyże i figury, coto ludzie krewniakom swoim postawili. O! mój Boże! tamto dopiero będzie spokojność! Tam się człek ani zafrasuje, ani po głowie nie będą mu chodzić różne *cudenka*; nie tak jak tu, co człowiek raz się rozśmieje, a dziesięć zapłacze. A jakto księżyc *ładno* świeci, nikiéj Basia, kiedy się śmieje, albo... O! teraz strasznie brzydko wygląda, bo się ino mieni w czarnej chmurze: nikiéj stary Sierpień, kiedy się mnie

(1) Wyrażenia *patrzeć na co*, lud wiejski używa zamiast *wyglądać*; np. patrzy na poczciwego człowieka, patrzy na złego i t. p., zamiast *wygląda na poczciwego, na złego i t. p.*

chciał *chycić* w karczmie do bicia. O Wojciechu, Wojciechu! coście wy do mnie upatrzili? Oj! Basiu moja, Basiu, czy ty teraz płaczesz, czy się śmiejesz?.... a może ty nie dbasz o mnie... może ja ci ani postaję w głowie?.... może inny..... może...

Jeszcze Janek jakiś czas podobnie majaczył, wymawiając urywane wyrazy, między którymi najczęściej było słyhać imię Basi i Wojciecha, aż nareszcie na znużone oczy zsunęły się powieki, głowę wsparł na rękę, i usnął. Wkrótce szary skowronek, jakby chciał pocieszyć i natchnąć nadzieją płaczące serce biédaka, odezwał się świegotaniem, witając jutrzenkę różującą wschodnią stronę horyzontu.

Gdy Janek dopiero usypia, ptaszyny już rozbudzają się ze snu, i coraz gwarniejszém śpiewaniem napelniając powietrze, zdają się mówić: — biédny człowieku z całą dumą swego rozumu, patrz, jak my swobodne i wesole, jak nam nieznaną jest boleść serca, pod brzemieniem której nieraz upadając bluźnierstwem kalasz usta, poddając się nikczemnej rozpacz.

Zostawiwszy Janka uspiętego pod figurą i całą świegocącą rzeszę, która na widok pierwszego rąbku wschodzącego słońca, wszystkimi tonami zagrała pieśń powitania, my zaprowadzimy czytelnika do Jakóba Ziembę, aby go zapoznać bliżej z ostatnią osobą naszego opowiadania, a bardzo wpływającą na całą przyszłość biédnego wieśniaka-poety.

Jaka zachodziła różnica w powierzchownej postaci między Ziembą a Sierpiem, taka sama okazywała się i w moralném ich usposobieniu duszy i serca, stawiając drugiego w ogólnym ludzkim szacunku, a pierwszego jeżeli nie w głośnej nienawiści, to przynajmniej w pokątnych szemraniach na zdzierstwo i chciwość, które bardzo zręcznie umiał okrywać płaszczykiem udanej pokory i nabożeństwa.

Jak Sierpień trzymał się zawsze prosto jak żołnierz na warcie, do czego przywykł w służbie wojskowej, z głową dumnie podniesioną i każdemu śmiało patrzył w oczy, był przytém prędki i skory do gniewu, ale i łatwy do upamiętania; tak znowu Ziembę cichy, spokojny, łagodny, ze słowami miłości i pokoju na ustach, chodził zawsze nieco przygarbiony z wrośniętym wyrazem przyjacielskiego uśmiechu na twarzy, którym dzielnie umiał pomagać kłamanój zwykle mowie.

Od młodego wieku sierota po biédnych rodzicach, których ludzie prawie z łaski pochowali, przechodząc przez różne koleje

praktycznego życia, w jakim nędza szczególnie w dzieciennym wieku dobrze mu się dała we znaki, zawczasu wyrobił w sobie poznanie, że biédnemu źle na świecie, i że tak i owak starać się trzeba wszelkimi sposobami, aby zabiegami i oszczędnością, dorobić się jakiego grosza, i choć kiedyś wyjść na człowieka i zapewnić spokój na stare lata.

Stanąwszy raz w takim stanowisku pojmowania, nie zбочył z niego potem już ani na włos jeden; a w miarę wieku i nabywanego doświadczenia, rozszerzał i środki, nie gardząc żadnym, który go doprowadzał do celu przez niego założonego.

Nabrawszy stosownych sił fizycznych, zawód swój rozpoczął od służby za parobka dworskiego w jednej z wiosek niedaleko Świątnik położonej; lecz wkrótce poznał, że ze służby nic nie zbuduje, że przyjdzie całe życie biędę klepać, jeżeli jakim szczególnym zbiegiem okoliczności nie wybrnie z nieszczęsnego kółka, w jakim go los na świecie pomieścił. Bo chociaż oszczędnością posuniętą do najwyrachowańszego skąpstwa przez lat kilka uciułał ośm rubli w srebro, a wkradaniem się w łaski dziedzica i ekonoma, donoszeniem najmniejszych przewinień swoich współtowarzyszy, zyskał pochwałę lub kieliszek wódki, tak z jednej jak często i z drugiej strony, chcąc datkiem milczenie jego okupić; ale wszystko to nic nie znaczyło dla chciwego Jakóba, i jeszcze bardziej podsycalo wzbudzoną żądę zbierania grosza. Dotąd wszystko szło jeszcze jako tako: zbierał, ciulał, oszczędzał, jednego nawet grosza nie wydając bezpotrzebnie, ale przynajmniej bez krzywdy ludzkiej, bez łez i przekleństw spadających na sumienie Jakóba, i możeby na całe życie został tylko skąpym a nie nikczemnym chciwcem i derusem, gdyby nie mała pewna okoliczność, która go stanowczo pogodziła z każdym środkiem pieniądza w zysku przynoszącym.

Przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że Kuba, jak go wówczas nazywano, zajęty ciągłą myślą polepszenia swego losu, gdy był prostym tylko parobkiem, zamierzył pomału wyjść koniecznie na karbowego lub innego podrzędnego oficjalistę dworskiego, jako naturalnie większą pensją uposażonego i mającego pod swoim zarządem cały zapas gumieny, z którego choć nie kradzieżą, ale mógł zbierać małe okruchy to dla siebie, to dla drugich, i w zamian ściagać małe datki, w szczególności chociaż niewiele, lecz w massie zawsze coś stanowiące. Kuba znał to dobrze, że grosz dokładany do grosza, jak nic złotówkę uformuje.

Dlatego też był tajnym szpiegiem swoich towarzyszy, i ciągłym donosicielem najmniejszych ich sprawek, często z komara robiąc wołu, żeby zyskać zaufanie pana. I udało mu się doskonale; dziedzie coraz więcej go lubił, a Kuba tak zręcznie spełniał swoje tajemne obowiązki, nieraz dla pozoru prosząc o burę i ostre wyłajanie, że potulną minką umiał wszystkich oszukać, i jeżeli zupełnie nie, to przynajmniej bardzo małe ściągnąć na siebie podejrzenie.

Gdzie jednak szło o własną korzyść, tam nie był takim skrupulatem: ciągnął zyski gdzie się tylko udało, a choć znalazł się jaki donosiciel, to Kuba zaparł się wszystkiego, zawczasu umiejac zręcznie usunąć wszystkie pozory mogące go wydać: któżby więc nie uwierzył tak przychylnemu słudze? Kuba przy indagacyi rozplakał się, pan go jeszcze za to poczęstował wódką, a oskarżyciel wykrzyczany, odchodził z kwitkiem narażając się przez długi czas na zemstę Jakóba, aż jakim datkiem lub poczęstunkiem ułagodził przecie rozżłoszczonego Cerbera.

Tak stały rzeczy; Kuba się tylko uśmiechał do czekającej go przyszłości, gdy razu pewnego, jak sam powiadał, podkusiło go jakieś złe, i ujęty znacznym zyskiem, pożyczył jednemu z gospodarzy połowę z takim mozołem uzbieranego kapitału. Zrobiwszy ten interes na przednowku, miał być spleaconym zaraz z nowego, a w prowizyi dostać staję roli pod owies, któreby mu na czysto najmniej ze trzydzieści kilka złotych uczyniło.

Za kilka miesięcy podwoić z nasypką pożyczony kapitał, śliczny interes; Kuba też wyliczył cztery ruble, a zabrawszy się ostro, zasiał, zorał, co także pociągnęło za sobą znaczny wydatek; i dzień i noc tylko liczył i przemyślał, co robić będzie dalej z pieniędzmi, gdy te tak znacznie powiększone, wrócą znowu do jego kieszeni.

Ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi: bo gdy Kuba tak rośnie w nadzieję robienia pieniędzy i zawczasu oblicza złotówki i rubelki, jak z pożyczek podobnego rodzaju spadać będą do jego ręki: jak z parobka zostanie karbowym, a może i ekonomem chociaż nie piśmiennym, jak pokupuje krowy, konie, ożeni się, a do worka coraz więcej będzie przybywać;—na raz jeden uderzył go cios, który chwilowo stał się prawie grobem wszystkich tak pięknie snutych planów.

Tym ciosem była śmierć wierzyciela; a że to był człowiek biędny, bo tylko biędny pod tak uciążliwymi warunkami może

przyjmować pożyczki, i że nie prawie po sobie nie zostawił, a co było, to poszło na chorobę i pogrzeb; zwrotu więc pożyczonych pieniędzy nie mógł się spodziewać, pokładając całą nadzieję jeszcze w owym staju owsa, które jeżeli nie zysk spodziewany, to przynajmniej zapewniłoby powrót uskutecznionej pożyczki.

Ale jak na złość wszystko się spiknęło na Kubę. Znalazło się zaraz mnóstwo ochotników na opustoszałą rolę, obsiew staja owsa wypłynął na wierzch, roli nie zostawiono przy wdowie jak tego sobie życzył, bo za staraniem ekonoma dano ją komu innemu. Rozsądny dziedzic chcąc chwilowo przynajmniej ukarać chciwego procentowicza, oświadczył, iż czyja rola, tego i zasiów na niej, a skoro Kuba tajemnie uwikłał się w pożyczkę z nieboszczykiem, niech idzie do niego po odbiór, — mając zawsze zamiar zapłacić i zwrócić wyłożone wszystkie koszta, przez tak dotkliwie oszukanego spekulanta.

Kuba ledwo nie oszalał z rozpaczy, gdy się dowiedział o tak tragiczném rozwiązaniu interesu. On, co ciułał i zbierał przez lat kilka z takim mozolem, co budował przyszłe plany korzyści i zysków bez końca i końca, na raz jeden wszystko widzieć wniwecz obrócone: — to zdawało się dla niego gorszém być od samej śmierci, gorszém od największego nieszczęścia, jakie może dotknąć kiedykolwiek człowieka.

W jednym dniu zbladł, schudł, zmizerniał, a z każdą chwilą większą pałał nienawiścią ku ekonomowi, jako głównemu, jak sądził, sprawcy swego nieszczęścia, którą drwinki i żarciki tegoż coraz bardziej podsycali.

— A cóż kapitalisto, procentowiczu — mówił do niego ekonom — tęgi zrobiłeś interes; jeszcze ze dwa takie, to wyjdiesz na dziedzica. Chodź kapitalisto po obrok; kapitalisto, a wóz nasmarowany? — Kuba drżał z gniewu i zmartwienia, gdy ekonom ciągle mu podobnie docinał; zaciskał usta zgrzytając zębami, ale milczał, jedném słówkiem nie zdradzając wewnętrznej zgryzoty, co mu jak nożem serce krajała.

Ekonom jednak nie zważał na to, i w miarę cierpliwości Kuby, podwajał dozy swoich żarcików; a że dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie, więc i tu się urwało, ale niestety! na skórze i tak już biédnego Kuby.

Na drugi dzień po ciężkiém zmartwieniu jakie go dotknęło, gdy pomimo rzewnych, płaczących i pokornych prośb do dzie-

dzica, ten mu stanowczo oświadczył, że nie jest obowiązany za nikogo płacić długi, a tém bardziej za nieboszczyka, co mu i tak blisko sto złotych pozostał dłużny; że rolę powinien obsianą odebrać, bo taką dał do użytkowania, i kto nie na swoim siewie, nie może się i zbioru spodziewać; Kuba straciwszy wszelką nadzieję, pomimo odwoływania się do położonych zasług, nie domyślając się wcale, że to tylko dla ukarania go komedia była z nim odgrywaną:— stał w południe około stajni przy płocie, zły jak piekło, przeklinając w duszy i ekonoma, i dziedzica, i siebie samego, a nawet i nieboszczyka, który wszystkiego najpierwszym stał się powodem.

Parobcy inni drzémali w stajni, bo to była chwila wypoczynku południowego, a on stojąc przy płocie, wzdychał, skrobał się po głowie, i szeptał pocichu przekleństwa na mniemanych winowajców.

— Żeby cię choroba utłukła — to było dla dziedzica.— Żebyś-ta jeszcze po śmierci latał het po polu, z memi tak krwawo zapracowanemi ośmioma rublami—to było dla nieboszczyka wierzyciela.— Żebym już na piękne zgłupiał, kiedy mnie raz tak złapało—tyle tylko życzył sobie wydzierając z głowy porządną garść włosów.— Żebyś się niczego nie dorobił — to najokropniejsze przekleństwo w mniemaniu Kuby było ofiarowane ekonomowi, który właśnie wtenczas, kiedy Jakób ostatni wyraz domawiał w myśli, stanął tuż przy nim, i spuszcżając rękę na jego ramię z lekkością centnara ołowiu, odezwał się z szyderskim śmiechem:

— Cóżto kapitalisto tak medytujesz? czy myślisz o swoich rublach?

Jakób wrząc cały wewnętrznym gniewem, przytém uczuwszy chociaż żartobliwe, ale zawsze bardzo bolesne uderzenie w ramię, z niezwykłym ofuknięciem odpowiedział:

— A i cóż mnie pan bijesz? Cóżto niewolno mi stać, czy co?

— A cóżto sobie myślisz, ty łajdaku — odpowiedział już rozgniewany ekonom, kubek w kubek podobny do całej ligi ekonomskiej, której ubóstwo serca i głowy główną jest cechą.—co ty sobie myślisz, ty gałganie, tak hardo mi odpowiadać?

— Nie gałganiaj pan nikogo—cały drżący ze ściśniętymi pięściami odpowiedział Kuba—ja nie pana gałgan, bo jak.....

W tém miejscu ekonom odwinął ręki i wyciął taki policzek nieprzygotowanemu na to Kubie, że ten pochylił się i padł

wznak na ziemię. Podniósł się jednak natychmiast i z całą wściekłością człowieka poświęconego na wszystko, złapał ekonoma za gardło, ten znów jego, i wymyślając, przeklinając się wzajemnie, co tylko któremu ślina do ust przyniosła, szamotali się usiłując koniecznie jeden drugiego przewrócić.

Na nieszczęście dla Kuby, wtenczas właśnie, kiedy ten zerwał się na ekonoma, o kilkanaście kroków znajdował się dziedzie; i gdy pomimo jego rozkazu i łajania bitwa nietylko nie ustawała, ale udało się nawet Jakóbowi przewrócić przeciwnika i okładać potem porządnymi szturchańcami: dziedzie rozgniewany, iż pod okiem jego mogło mieć miejsce takie zuchwalstwo, kazał zawołać ludzi, ściągnąć Kubę z ekonoma i potem na pamiętne wyliczyć batogowe napomnienie.

Rozkaz co do joty wypełniony został, a rozwścieczony ekonom, gdy udzielał przeznaczoną Kubie gratyfikacją, wołał ciągle:

— Łotrze! zuchwalcze! będę póty bił, aż zabiję, a jak zabiję, to zapłacę i figę mi zrobią.

Plagi wprawdzie wkrótce się zgoiły, chociaż ich coś około pół kopy dochodziło, bo jak Kuba powiadał później, że się mu w rachubie zmyliło, chociaż doskonale umiał rachować, i dlatego nie wie z pewnością, czy 28 czy 30 ich dostał; ale chęć zemścić się i dwa wyrazy: *zabiję* i *zapłacę*, na wieki utkwily mu w pamięci.

— Ho ho!—mówił sobie później, kiedy już na zimno mógł rozważać smutny ten wypadek—widać, że to nie głupia rzecz mieć dużo pieniędzy, kiedy i człeka zabić można, a potem się z tego opłacić. No, no!

I myśląc tak Kuba kręcił głową, wzdychał i przemyślał, jakby koniecznie zdobyć to, co tak wielowładnym pokazuje się być na świecie, i mocy jego naprzód doświadczyć na ekonomie.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Kuba chociaż napozór zdawał się bardzo łagodnym i potulnym, nadzwyczaj był jednak mściwego charakteru; i jeśli nigdy gniewem nie wybuchał, to już jak rozgniewał się na kogo, to póty czekał, choćby rok i dwa, póty przemyślał, póty wrzał gniewem, dopóki nie oddał wet za wet, rozumie się z podwójnym procentem.

Można więc łatwo sobie wyobrazić, co się działo w sercu Kuby po wypadku, w którym i skóra i kieszeń tak boleśnie ucierpiały. Spojrzawszy na niego zdawało się, że to nie ten sam da-

wniejszy chłopak dosyć przyjemnego oblicza: tak cały spochmurniał, tak mu z oczu i twarzy żal, gniew i zemsta wyglądały. Ale nie było rady, trzeba było wszystko zdjąć z twarzy i schować do kieszeni, bo batów niemało na świecie, a ekonom szczególnym był amatorem garbowania skóry chłopskiej, tym tak przeważnie przekonywającym argumentem.

Od tego też czasu stał się małomównym, a więcej zagłębianym w siebie. Cały gniewem przejęty i ciągle prześladowany przez ekonoma nowym przydomkiem *ponurego wilka*, tylko myślał i przemyślał jak się naprzód zemścić, a potem jak wybrnąć ze służby parobkowej i stanąć na gruncie lepszej cokolwiek przyszłości.

Straciwszy nadzieję zostania oficjalistą dworskim, a zresztą zmierzwszy sobie stan, który mu tak się dał we znaki, naprzód obrócił myśl na bogate ożenienie, bez względu na osobę; do czego młodością i dosyć szykowną powierzchownością zdawał się mieć wszelkie prawo.

Pierwszy krok jego był do siostry Sierpnia, a dzisiejszej Łazowej, z którą już cokolwiek zapoznaliśmy się; ale tam nieprzyjęty ani przez rodziców, ani przez córkę, uderzył z zalotami do drugiej i trzeciej: lecz wszędzie jakoś mu się nie poszczęściło, wszędzie dostał odkosza.

Chociaż zmartwiony, ale niezrażony niepowodzeniem, nie przestał przebiegać myślą wszystkie wsi sąsiednie, wyszukując w nich posażnego dla siebie małżeństwa; aż razu pewnego ni ztąd ni zowąd, tam, gdzie się najmniej spodziewał, znalazł to, czego tak gorąco pragnął.

W tej samej wsi w której służył Kuba, znajdowała się już niemłoda wdowa, utrzymująca po mężu zagrodę, a choć dźwigała piąty skończony krzyżyk wieku, nie przestała jednak stroić się zalotnie, przeglądać w małym zwierciadelku pomarszczonój, odróżniającej szpetnością swęj twarzy, co wszystko jasno mówiło, że wdówka myśli o mężu, i żeby rada uszczęśliwić jakiego śmiertelnika swoją piegowatą rączką, jakby dla harmonii okrytą liczną rodziną małych i dużych kurzajek. Ale babinka chociaż gorące miała serce, głowa jednak nie w ciemę bita; na zimno wszystko obliczała i pragnąc wyjść za mąż, oprócz młodości w przyszłym swym małżonku, bo to warunek był bez żadnego *ale*, pragnęła znaleźć człowieka ze statkiem i zabiętością, któryby nie strwo-

nił posiadanego mienia, złożonego z kilku krów, owiec, trzody, pary koni i dosyć pękatego worka.

Swój swego zawsze znajdzie, i Kuba zdawał się babince odpowiadać wszystkim wymaganym warunkom. Niedługo jakimś wypadkiem zeszli się z sobą, pogadali, a gdy Kuba przekonał się, że w komorze są jeszcze i półcie słoniny, i kasza, i mąka, i zboża kilka beczek, a w worku trzysta złotych samemi rublami: aż podskoczył z radości, uśmiechnął się mile do swojej przyszłej i postanowiono wesele.

Najtwardszy był tylko do zgryzienia orzech, owo nieszczęśliwe zadarcie z ekonomem, a ztąd i niełaska dworu, bo nie wiedział czy przystaną na objęcie przez niego zagrody, czy będą chcieli mieć we wsi gospodarzem tego, który się tyle okazał zachwałym względem oficjalisty, a co gorsza, względem samego pana.

A zagroda była piękna, dobrze sprawiona, dobrze obsiana: szkoda byłoby jej porzucić, i dopiero szukać po świecie nową dla siebie siedzibę. Nie było więc co robić, trzeba było koniecznie dwór i ekonoma przeprosić, bo inaczej kusa rada: zagrodaby przepadła, a kto wie, czyby i małżeństwo, którego się Kuba chwycił nogami i rękami, przyszło wówczas do skutku.

Jedną więc niedzielę wypogodziwszy twarz, jak tylko mógł najlepiej i ustroiwszy ją przyjaznym uśmiechem, z oczami spuszczone, bo w nich jednych czuł, że pozostał płomień nigdy nieugaszonego gniewu, i te mogłyby go wydać, poszedł najprzód do ekonoma, potem do dworu i udaną pokorą, potulną minką, cichym, rzewnym głosem, póty błagał, póty przepraszał, aż wszystkich przekabacił po swojej myśli i otrzymał przyrzeczenie zdania na niego zagrody.

Wkrótce odbyło się wesele. Kuba rozparł się na nowym gospodarstwie, a chociaż śmiano się i szydzono z tak niestosownie zawartego małżeństwa, on drwił z tego, pracował, zbierał i maki raz na twarz przybraną już nie zmieniał: bo zadziierać z dworem niepodobna, gdy się ciągle jego względów potrzebuje, a zapomnieć urazy nie umiał.

Kłamane więc to wypogodzenie twarzy, ów uśmiech przyjacielski, spuszczenie oczu, potulność i łagodność mowy i całego obejścia, pomału, z czasem wrosło mu w twarz, w mowę i w ruch całej postaci, wyciskając niezatarte piętno fałszu, do jakiego i chciwością i zbiegiem okoliczności przymuszony prawie został.

Piędądz robi piędądz, a przemyślna głowa Kuby tak umiała obracać małym posażnym kapitalikiem, że rzadko upłynął miesiąc, aby jeden lub dwa ruble nie wpłynęły do worka.

Małżeństwo żyło przykładowie, zgodnie, bo oboje lubiąc nadzwyczaj grosiwo, nie mieli czasu na swary, gdy tylko jeden cel widzieli przed sobą. Babinka nie posiadała się z radości mając młodego i tak przemyślnego męża, a szanowny małżonek zwykłym swym wyrazem twarzy przymilając się połowicy, myślał w duchu: przecieć tego co mamy nie zabierzesz z sobą do grobu.

I tak lat kilka upłynęło, Kuba zyskał przychylność dworu, podwoił mienie, wydoskonalił się jeszcze lepiej w przybranój roli świętoszka, i jeżeli nie z radością, to przynajmniej nie z wielkim smutkiem owdowiał, stając się jedynym spadkobiercą pozostałego mienia, gdyż nieboszka była bezdzietną i bez żadnych bliższych krewnych.

Wkrótce jednak poznał Kuba, że źle bez gospodyni; że bez czujnego w domu oka niedaleko zajędzie, i że z braku dozoru, co dzień na nowe straty narażony zostaje. Postanowił więc powtórnie ożenić się, ale już stosowniej jak pierwszą razą, i jeżeli nie z wianem, to przynajmniej z jaką pracowitą, potulną dziewczuchą.

Gdy tak namyśla się, gdzie trafić ze swoim wyborem, dowiedział się przypadkiem o młodej wdowie także bezdzietnej w Świątnikach mieszkającej, mającej cokolwiek i gruntu i własne oddzielne zabudowania, które w połowie należało drugiej siostrze zapłacić. Kuba kręcił głową, rachował, mało mu się to wprawdzie cokolwiek zdawało, ale że wdówka jakoś mu wpadła w oczy, i pokalkulował, że dostawszy się między Świątnicznan, wyborne na pożyczki będzie mógł z nimi robić interesa, że tam nie ma dziedzica ani ekonoma, którzyby mu znowu w drogę wleźć mogli, i że każdy jest właścicielem posiadanego gruntu; położywszy na czole znak krzyża śgo, gdyż od czasu pierwszego małżeństwa coraz stawał się nabożniejszym, poszedł do wdowy, pogadał z nią otwarcie, wywiedział się o wszystkich interesach, które znalazł w nienajlepszym stanie, i powiedziawszy sobie: „jakoś to będzie, abym tylko raz wlaźł między tych gawronów Szpitalników”, odbył zaloty, dał potem na zapowiedzi, i w kilka tygodni odbyło się wesele.

Tu dopiero otworzyło się dla Kuby pole zysków, o jakich wprzód nie marzył, ale zarazem i szkoła chciwości, zdzierstwa i hypokryzyi, w czém także dawniej nie był tak wydoskonalony.

Naprzód potroszku, po dziesiątce, po złotówce, ćwiartką zboża, wynajmem koni do roli lub miasta, wypłacił siostrę żony z zajmowanych budowli.

Mając podostatkiem własnych porządków gospodarskich i inwentarza, posiadane pieniądze, których było blisko siedmset złotych, w połowie rozpozyczył między uboższych mieszkańców, biorąc od nich w zastaw grunta trzy i cztery razy więcej warte niż pożyczka wynosiła, a drugą mniejszą połowę trzymał w domu, aby na wszelki wypadek pomyślnego jakiego interesu, nie być nigdy bez funduszu.

Niedługo biedaki utraciwszy pożyczone pieniądze, znowu w prośby do Jakóba, bo gdzie mieli pójść, kiedy to, co posiadali, on trzymał w zastawie. Jakób wzdychając, ubolewając, czasem dołożył, gdy natrafił na jakiego upartego, ale częściej tak umiał rzecz przełożyć, że coś dodawszy, stawał się zupełnym właścicielem zastawnego gruntu.

Ztąd po całym polu świątnickim miał rozrzuconą własność: tu zagon, tam dwa, gdzieindziej pół tylko; i chociaż na każdym z nich prawie ile zdziebeł rośło, tyle łez ludzkich znajdowało się, ale Kuba na to nie zważał, mówiąc sobie pocichu: „płaczcie, *ino* płacie, a o resztę fracha”.

Głośno zaś tak się umiał ładnie tłumaczyć, a wszystko z przyjacielskim uśmiechem na twarzy i potulnym głosikiem, że każdego przekonał, iż skupując tym sposobem grunta, biednym nawet łaskę robił, sam nic nie zarabiając; nie mówiąc jednak, że sam niejednego prawie namówił do zaciągnięcia pożyczki, jak tylko dopatrzył w kim dużo skłonności do marnotrawstwa i hulajki.

Ponabywane w ten sposób kawałki gruntu tą samą drogą pomалу łączył z sobą, przemieniał, odprzedawał, nabywał, lecz żadnego nie zrobiwszy kroku, aby na nim choć kilka złotych nie zarobić. Byłoto głównym zadaniem każdej czynności Kuby, utrzymując słusznie, że z groszy formują się złotówki, a ze złotówek dukaty.

A z jaką zręcznością wszystko to dopełniał, jak umiał każdego odurzyć i przekonać, że jemu tylko stratę, a komuś prawdziwy zysk przynosi; to prawdziwie patrząc na jego obroty, nie jeden z naszych spekulantów możeby się zawstydził, że go prosty chłop w przebiegłości i rozumie przewyższa.

Znał téż to dobrze nasz Jakób Ziembra i nieraz układając nowe jakie plany, wzdychając, mówił sobie: o! żebym to ja jeszcze znał czarne na białém, i miał jaką taką *adukacyją*, no, to jużbym chyba pół świata zakupił.

Koniec końców, ni ztąd ni z owąd, po kilkunastu latach mozolnych zabiegów znalazł się Kuba przy posiadaniu pięknej części ziemi, stawiającej go między najbogatszymi wsi mieszkańcami. Wtenczas Kuba odetchnął, bo mając już własne zabudowanie, spory kawał ziemi i zawsze gotowiznę w domu, widział spełnione w znacznej części marzenia, które od młodego wieku nigdy jego głowy nie opuszczały.

Zyskawszy dobry niezależny byt na świecie, nie przestał jednak zabiegów do powiększenia mienia dążących, bo żądy ludzkiej i chciwości nie ma granic na świecie, a u Kuby z wiekiem żądza zbierania w zastraszający posuwała się sposób. Nie mógł pieniędzy dawać na grunta, pożyczał na zastawy, a zawsze z so-witym procentem, nieraz dwa razy przenoszącym kapitał.

Prowadzenie tego rodzaju spekulacji na większą skalę, bo prawie całą jedną komorę miał zapchaną samemi fantami, zaczęło pomалу otwierać oczy ludziom na zdzierstwo Jakóba, które nader stawało się widoczném. Ale nasz spekulant umiał się ze wszystkiego wykręcić, i jeżeli nie wszystkich, to wielu z mieszkańców było takich, co w postępowaniu Jakóba nic nie widzieli zdrożnego.

Podzielenie takie opinii o jego uczciwości bołało go niezmiernie, a chociaż czuł, że ludzie źle o nim mówiąc mieli zupełną słuszość, powszechnym wszystkich derusów i lichwiarzy zwyczajem pragnął na gwałt uchodzić za poczciwego człowieka i posiadać we wsi ten szacunek, jaki się tylko cnocie i szlachetności należy.

Ale opinia nie zna rozkazu; codzien więcej szemrano, a znany nam Wojciech Sierpień był mu solą w oku, bo każda jego pochwała kłuła go jak szydłem, niby powiadając: tyś nie taki jak Sierpień.

Wówczas udało mu się skojarzyć małżeństwo między jedynym synem a córką Sierpnia, który należał do téj części wsi mieszkańców, co naturalnie skutkiem dobrego bytu nie mając żadnych stosunków pieniężnych z Ziembą, nie czuli bólu biedniejszych szemrzących pokątnie, że derus, lichwiarz, że i z ołtarza-by ściągnął, aby tylko wiedział, że trzy grosze zarobi.

Ale wkrótce przekonał się, że na spokrewnieniu z taką *familią* bardzo mało co zyskał, bo i szemrania nie ustawały biedniejszych, i bogatsi uważając go zawsze za obcego przybysza, kładli go daleko niżej od siebie.

Martwił się tém wewnątrz, ogień gniewu buchał mu w piersi na arystokratyczną część wioski, ale twarz nie przestawała się odziewać już od tak dawna klamanym uśmiechem przyjaźni, i zwracać do każdego z wyrazem łagodności i dobroduszości.

Już Jakób prawie utracił nadzieję postawienia się na równi z Sierpiem i innemi gospodarzami, już nawet powiedział sobie jak w bajce lis do kielbas: „kpię z was Szpitalniki, zawdybyśta tego, co ja, nie umieli dokazać,” gdy przez śmierć syna i synowój pozostawiających ośmioletniego wnuka, nowa mu w głowie myśl zabłysnęła, o której wprzód ani pomyślał.

Utuliwszy się w żalu po stracie jedynego syna, którego kochał całym sercem czulego ojca, zabrał wnuka do siebie ze wszystkim, co po rodzicach zostało, chociaż Sierpień podług przyjętego we wsi zwyczaju, wniosek córki chciał odebrać, i to był piérwszy zaród nieporozumienia między starcami. Sierpień kiwnął tylko ręką i wyrzekłszy: „Weź weź, derusie, ale niech ci moja praca kością w gardle stanie,” nie sprzeciwiał się więcej, i całe gospodarstwo młodych Ziembów wraz z wnukiem przeniosło się do starego.

Skutkiem tego zajścia o wiano synowój, Ziembra zaczął się zastanawiać o czém wprzód nie myślał, bo to należało do nieboszczyka syna, że Sierpień ma jeszcze własne dosyć znaczne mienie, że mając dwie córki, takowe w połowie spadnie na jego wnuka, a on, jako pieniądze, po śmierci Wojciecha, gdyż lichwiarze, derusy nigdy o tém nie myślą, że także są śmiertelni i że umrzeć muszą, zdoła drugą połowę znanemi mu tak dobrze sposobami pomału nabyć, a sam jako dziadek i opiekun wnuka, zajmie w posiadanie całą własność Wojciecha.

Gdy tak pomyślał, aż zadrzał z radości; poleciał do miasta, poradził się prawników, i gdy rada ich zgodziła się z ułożonym planem, o niczém już więcej nie myślał, tylko o przyszłym przeniesieniu się do siedziby Wojciecha, o zakasowaniu nazwiska Sierpniów imieniem Ziembów, o przywdzianiu nawet modrej czapki na głowę, z taką powagą przez wszystkich Sierpniów no-

szonój, a tём samém o zyskaniu pierwszeństwa przed wszystkiemi wsi mieszkańcami i ogólnego poważania, jakie bezrozumnie sądził, że nie do osoby, tylko do miejsca przez Wojciecha zajmowanego jest przywiązane.

Słowem zapatrywał się na świat i na rzeczy jak niektórzy nasi dorobkowicze, co z łez ludzkich zebrawszy krocie, myślą, że herbem, liberyą, tytułem, dobrami i innemi podobnemi cechami zewnętrznemi otumanią oczy ludzkie i staną na równi z temi, co prawém, szlachetném postępowaniem, użytecznością dla bliźnich, utrzymując pracą i zacnością przodków swoich zdobyte mienie i znaczenie, w ciągłym w opinii ludzkiej zostają szacunku i poważaniu.

Ale jest Bóg, co zna najtajniejsze myśli i sprawy człowieka, i są ludzie, co dobrze patrzą i pozorami nie dadzą się ułudzić.

Jak tylko więc ułożył sobie plan przyszłego wyniesienia, o niczém już więcej nie myślał, tylko o wyjściu Basi Sierpniowój za mąż za takiego, któryby najwięcej przedstawiał widoków odpowiednich jego tajnym zamiarom. Jonek był właśnie takim, jakiego pragnął, bo raz za bezcen prawie nabywszy jego część, był niemal pewnym, że później wszystko zrobi co tylko zamierzy, i dlatego postanowił go wspierać wszelkiemi siłami.

Tak rzeczy stały w chwili, gdy się rozpoczęło nasze opowiadanie; a jeżeli od czasu zajścia o wiano młodej Ziembiny, oba starcy, Wojciech z Jakóbem, krzywo na siebie zaczęli poglądać: nie zrywali jednak zupełnie stosunków, do czego jako naczelnicy dwóch spokrewnionych rodzin czuli się być obowiązani. Ziembra pieścił wnuka jako jedynego spadkobiercę i nazwiska i mienia, z takim mozolem przez lat tyle zbieranego, często go przyprowadzając do dziadka, Wojciecha.

Sierpień zaś ciągle przemyślał, jak urządzić następstwo po sobie, żeby i Basi dobrze było na świecie, i żeby ojcowizna nie poszła na marność. Ziembra przebiegłym rozumem domyślił się tych tajnych myśli Wojciecha, i w piérwszém uniesieniu, czemu bardzo rzadko ulegał, widząc na szwank wystawione swoje dążenia, wymówił się, że pójdzie w prawo i sto złotych straci, a nie dopuści, aby się jakakolwiek krzywda miała stać wnukowi.

Później słów tych żałował, bo Wojciecha uczynił baczniejszym na swoje obroty; ale się stało, słów nie było można cofnąć, i Ziembra choć pozornie schował jak kot pazury, zostawiając zdala sięć, żeby mu się zdobycz nie wymknęła.

Coraz więc krzywiiej starcy zaczęli na siebie poglądać, i chociaż Ziemba z największą serdecznością witał zawsze Wojciecha, pozornie przyjmującego to z wielką uprzejmością, czuli mimo to obadwa, że się nienawidzą, i że radby jeden drugiego w łyżce wody utopić.

Co się dalej stało, okaza nam przyszłe wypadki, a teraz przejdziem do siedziby Jakóba Ziembę i staniam oko w oko z człowiekiem, który niebardzo korzystnie czytelnikowi odmalowany został.

Aleć bo i wieśniacy także są ludźmi! Są między niemi zli i dobrzy, zbrodniarze i cnotliwi, marnotrawni i skąpi, szczerzy i fałszywi, samoluby i z poświęceniem, hipokryci i pobożni: słowem, kubek w kubek tacy jak my, z tą tylko różnicą, że jeżeli u nich brak wykształcenia i cywilizacyi, robi każdy czyn więcej szorstki, nieokrzesany, nawet często rażący zbytnią prostotą, a tém samém cnotę nietyle okazałą, a złe więcej odrażające:—ta sama znowu cywilizacya i wykształcenie, jak dłuto rzeźbiarza szarą bryłę marmuru, przyobleka w piękne kształty i stwarza arcydzieła, naznaczając piętnem swém każdy krok naszego życia, musi dobre w nadobniejszych formach przedstawiać a złe więcej ułagodzone, przynajmniej na pozór nietyle odstrasżające.

Dlatego włościanin, pobudzony zemstą lub żądzą posiadania pieniędzy, podpali lub zabije: bo nie czując wędzideł cywilizacyi, idzie za pierwszym popędem pobudzonych namiętności; a że czyny takie, jako gwałtowne, przerażają nas swoją okropnością, wołamy na przestępcę:—oto zbrodniarz, dla pieniędzy zabił człowieka, a przez zemstę podpalił—i pakujemy go do kryminału, okrywając hańbą i kajdanami.

My w takich razach lepiej sobie umiemy radzić. Wiedząc, że za podpalenie lub morderstwo czeka nas sroga odpowiedzialność, bierzem do pomocy: szkalowanie, obłudę, potwarz, wybiegi prawne, pieniactwo, okropną lichwę, bezlitośne korzystanie z sierot, z małoletnich, z głupoty i nieogłędności ludzkiej, i tym podobne wszystkie inne sposoby, i póty chodzimy, póty zabiegamy, aż tającej przez nas żądzy stanie się zadość. A świat choć trochę poszmerze, bo trudno, żeby przed nim co się ukryło, nieuderzony żadną gwałtownością, nie powie, że to zbrodniarz, nie zamknie w domu hańby, chociaż jak tam, tak i tu przestępca jeden powód:—jeden cel mieli przed sobą i jedno dopięli, tylko nie jednymi drogami.

Czuł to dobrze Ziemba, jak dzielną bronią staje się w rękach złego człowieka rozum nabyty nauką, kiedy sobie nieraz myślał, że umiejąc czarne na białem i posiadając *adukacyją*, pół Świątnik pomałoby zakupił; ale Pan Bóg wie co robi, i Ziemba prosty chłop, został tylko derusem i lichwiarzem, gdy między nami stałby się może szatanem.

Przepraszając za to małe zboczenie, może już i tak znudzonego czytelnika, powrócimy teraz do wątku przerwane go opowiadania.

Zostawiliśmy Janka uśpionego pod figurą, gdy wschodzące słońce witane świegotaniem skrzydlatej rzeszy, złotym promieniem zaczęło poglądać po ziemi i oświetlać cały krajobraz, który w nocnym Janka majaczeniu zdawał się być cmentarzem, pełnym nagrobków i pomników żalu ludzkiego. Za jego pokazaniem się, fantastyczne kształty zniknęły, a cały obszar ziemi pokazał się pokryty niwami wykłoszonego zboża, zielonemi pasmami łąk, czarnemi rolami, do których ze wszystkich stron posuwały się pracowite woły z piszczącemi na kółkach pługami. Ziemia znowu życiem odetchnęła, ruch, wrzawa napęłniły wioski i pola, z kominów wiły się słupy popielatego dymu, gromady bydła i trzody z rykiem pospieszały na paszę, za któremi przygarbiony pastuch palił z bata raz po raz, a słońce majestatycznie wznosząc się coraz wyżej nad poziom, darzyło ciepłem i światłem zarówno bogatego i ubogiego, złego i dobrego, jakby przypominało odpowiedź Chrystusa na zrobione pytanie, czy za złe należy dobrem wyplacać.

To samo więc słońce co opromieniało uśpionego Janka, świeciło także i przed chałupą Ziemby, który z odkrytą głową siedząc na ławie pod ścianą, szemrał półgłosem pacierze, przesuwając paciorki różańca. Obok niego leżał pies w kłębek skulony, strzyżeniem jednak uszy dając poznać, że pomimo tego pozornego uśpienia, zawsze czuwa nad mieniem swego pana; a cokolwiek dalej, kilkadziesiąt sztuk nadzwyczaj ruchliwego drobiu młodego, złożonego z kaczek, kur i gęsi, popychając się, tłocząc, często piszcząc, gdy jedno drugie dziobem stuknęło i mieniąc się różnobarwną krasą, pożerało z żarłocznością kilka garści ziemniaków, kaszy i ziarna pośledniego, które im ręką gospodyni na śniadanie rzucone zostały.

Cała zaś siedziba Ziemby, lubo zupełnie była podobną do innych zabudowań we wsi się znajdujących, przebijały w niej jednak

małe oznaki jakiegóś dążności do odróżnienia się, które nie nadając owéj staréj powagi, jaka widną była w zagrodzie Sierpnia, jasno pokazywały i nową głowę i nowe ręce, co je pomyślały i wykonały.

Do jednego boku małej pierwiastkowej chałupki przybudowaną została komora, która naturalnie przedłużając front budynku, główne wejście dawniej w samym środku znajdujące się, zostawiła teraz na boku, przedstawiając całość dosyć śmiesznie, jakby jéj czegoś brakowało, jakby ją ubrał w suknię, u której rękaw obcięto.

Na dwóch słupkach okrągło wyciosanych, wznosił się mały daszek wlepiony w dach chałupy, który osłaniając drzwi do sieni prowadzące, stanowił mały ganeczek widocznie z dworców szlachty naśladowany i wraz z komorą pobity gontem, dziwnie odbijał od reszty dachów, skromnie poczerśniała już słomą poszytych.

To samo przebijało i w innych budynkach, które w miarę rosnącej potrzeby czyli pomnażania się mienia Ziembiny, przeistaczane, powiększane i dostawiane były; a chociaż nie przedstawiały jednego całkowitego planu, jaki odrazu dopatrzeć się mogłes w siedzibie Sierpnia, a tém samém owéj powagi staréj, co tak mile wpada w oko: dostatnią obszernością, całością i porządkiem, dobrze świadczyły i o zamożności, i o staranności gospodarskiej właściciela.

W izbie słyhać było krzątanie się staréj Ziembiny i córki Maryny, ogień już gorzał na kominie, a Jakób siedząc na ławce, zdawał się niczém nie być zajęty, tylko odmawianiem pacierzy, którym towarzyszyły nabożne westchnienia, wtorowane częstém uderzaniem się w piersi. Wtém pies zastrzygł uszami i zawarczał, Ziembra spojrzął po drodze tuż przy budynkach idącej, i zaczął głośno śpiewać: — „U drzwi Twoich stoję Panie” — a zza chlewów i obory zasłaniających drogę, pokazała się znana nam już cokolwiek Frankowa, która wczorajszego wieczora zgromiwszy parobczaków w karczmie, goniła ich potem z miotliskiem po izbie.

Byłato kobiéta wielki gadateusz i wszystkowiedz całego ruchu wiejskiego; rada wszędzie ucha nadstawiała, i potem z tysiącem przemian i dodatków, roznosiła nowinki i ploteczki między kumoszki i sąsiadki. Ziembra z wiekiem nabrawszy znajomości serca ludzkiego, wiedział, jak ma kogo użyć do swoich widoków, i lękając się języka Frankowéj, wołał go obrócić na swoje ko-

rzyść, jak przeciwko sobie, i dlatego nieraz za jej wstawieniem zrobił coś takiego, co mu żadnej nie przynosiło korzyści, a czego dla kogo innego nigdyby był nie dopełniał. I dobrze mu się z tém działo. Frankowa jeżeli nie przekonała, to przegadała, zakrzyczała niekorzystne o Ziembie rozgadki, i tym sposobem wiele się przyczyniała do owego rozdwojenia opinii o chciwości i zdzierstwie Jakóba.

Jak tylko dostrzegła śpiewającego nabożnie Ziembę, nie chcąc mu przerywać, wyrzekłszy zwykle powitanie:—„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, chciała go ominąć; ale Jakób powitawszy z odpowiedzią—Na wieki wieków, amen—zagadł znając mu i tak dobrze utalentowaną trajkotkę:

— A cóżto sąsiado tak wam pilno: czyż tylko z Boskiem słowem miniecie dzisiaj starego Ziembę?

— Ej! mój sąsiedzie, spiesz mi się do doma—odpowiedziała Frankowa, zakładając ręce za pas i zatrzymując się na drodze.—Widzicie zaspalam dziś trocha i musiałam krowiny aż na pole gnąć do pastuchy, a w izbie ani ognia na kominie, ani żadnego oporządzenia. *Mój* pojechał w pole, a jak się jeszcze pobudzą małe robaki.....

— A cóżeście w nocy robili? Bo chociaż Boga chwalić teraz się nocą Bóg ludziom nie naprzykrza, ale zawdy po święcie człowiek jakoś lepiej wypoczęty.

— To téż to właśnie mój sąsiedzie, że to po święcie. W powszedni dzień człowiek się nautyka i *tu i haw*, to potem ino przyłoży głowy do poduszki, to śpi nikiéj zarznięty, zbytki mu w głowie ani postoją; ale w święto roboty nikaj, jak się więc powróci z kościoła, drzymie się trocha, to się potem przykrzy, połaziła człowiek po chałupach, a jak zobaczy, że taki taki idzie do karczmy, juścić się człek skusi. W karczmie znowu gadu gadu, o tém, o owém, i ani się obejrzy, kiedy koguci na północek zapieją.

— A może do tego i granie jakie było w karczmie?

— Ba! jakżeżby to było bez grania? Ale chociaż granie nie jednego weseli, to i niejednemu dobrze dokuczy, że potem i zapłacze. Ot na ten przykład Paweł Karuś, coście mu na grunt pieniędzy pożyczli.....

— To i cóż—zapytał Ziemba z udanym przestraczem—może już co do grosza przemarnował?

— Bogać-ta co lepszego zrobił: co nie przepił, to resztę zgubił, i zamiast kupić ziarna na chleb dla żony i dzieci, to poszło wszystko teraz z wiatrem.

— Mój Boże! co to za człowiek taki nieumiarkowany — odpowiedział Ziemia wznosząc oczy do góry i z boleścią załamując ręce. — A nie chciałem dać pieniędzy, Bóg świadkiem, że nie chciałem, bo myślę sobie: chociaż dam na korzec ziarna, to i cóż, przepije, a ludzie zaraz rzeką: „ot Ziemia zgubił Pawła i wydarł mu ostatni kawał gruntu”.

— E, co tam ludzie, mój sąsiedzie — przerwała Frankowa wdychając — ludziom nigdy nie dogodzi; i aby tylko człek miał czyste sumienie, to fracha na ludzkie gadki.

— To téż ino to, moja sąsiado, całą wesołością człowieka, że sumienie czyste i że Bóg wszechmogący — i przy tych słowach Ziemia zdjął czapkę z głowy, podniósł oczy do góry i bijąc się w piersi, mówił dalej — i że Bóg wszechmogący sprawiedliwszy jak ludzie: bo przy Jego świętej opiece niczegom Bogu dzięki nie pragnący, ni chleba, ni zdrowia.

— A ino, a ino, mój sąsiedzie; Bóg złemu nie daje, a choć da czasem, to ino na próbę. — Tu się Ziemia skrzywił, jakby go coś ukłuło, a Frankowa mówiła dalej: — Ale zawdy mój sąsiedzie pokpiłiście sprawę, i sami wraziłiście się w ludzkie gadki.

— A to czémże, moja sąsiado — z potulną minką zapytał Ziemia.

— A to tém, mój sąsiedzie, że kiedyście wiedzieli, że Paweł taki już pijak okoliczny, że go znają po wszystkich prawie karczmach, to mu do garści grosza nie było dawać.

— Nie wiedziałem, Bóg moim świadkiem, że nie wiedziałem.

— Ino — mówiła dalej Frankowa nie zważając nic na uczynioną przerwę — ino było zawołać kobiety, dać jój żeby kupiła ziarna, albo swego użyczyć z jakie pół korca, ot! wszystko byłoby ładno: w domu żona z dziećmi nie marliby z głodu, Paweł musiałby pójść kaj do roboty, boby za co nie miał hultać się, a z wasby ludzie nie wycierali pysków, jakta teraz będzie, zobaczycie.

— Ale moja sąsiado — odpowiedział Ziemia cokolwiek jękając się, bo wszystko co miał mówić było wierutnym kłamstwem — ale moja sąsiado, Bóg świadkiem, nie wiedziałem, że on taki ładaco. Niech mnie tak Najświętsza Panna i Wszyscy Święci mają w swój opiece, jeżeli mi choć bez głowę to przeszło, co mi powiadacie.

O! Boże kochany, gdybym był wiedział, że się tak stanie, tobym wolał te dwadzieścia złotych wrzucić do studni, jak ich pożyczać Pawłowi; ale cóż, wy wiecie, że ja *miętkiego* serca—tu się aż zachłysnął, tak mu twardo słowa przez gardło przechodziły.—Jak też zaczął płakać i prosić, a wszystko daj i daj, tak myślę sobie: choćta ten kawałek gruntu wyploniony i zapuszczony, bo-ta na nim ino ptakowie gospodarują, to jak wezmę pod swoje prace i doprawię jak się patrzy, to i mnie się za pracę opłaci i jemu potem lepiej się będzie rodzić, a teraz poratuje biedne sieroty pragnące kawałka chleba: boć kiedy mi Pan Bóg dał, to miło człekowi i dopomódz. A i dałem, ale ktota mógł się spodziewać, żeby Paweł tak był niebojący się kary Boskiej. żeby ino co wziął, niby dla dzieci, i zaraz potem rozhultał. A przeciećta na Boskim sądzie człowieka się o wszystko będą pytać; i Bóg chociaż dobry, wszechmogący i sprawiedliwy, ale równo nic nie popuści człowiekowi, i trzeba będzie w piekle odpokutować za wszystkie grzechy, a w piekle nie będzie śmiechu, ino płacz, żal i zgrzytanie zębów. Oj! moja sąsiado!....

— O! Boże, Boże, o cudowna Matko Boska!—przerwała Frankowa z nabożnym westchnieniem, co usłyszawszy Ziemia, widząc, że zrobił wrażenie jakiego pragnął, mówił dalej:

— O! moja sąsiado, żebyta ludzie mieli zawdy wszystko tak na baczeniu, nie byłoby na świecie takiego hultajstwa, obmowiska, takiego marnowania, i ludzieby zawdy ludziom pomagali i wszystkim byłoby dobrze.....

-- Oj! święte wasze słowa, oj Boże serdeczny! jak wy mówicie, to człekowi się zdaje, że w kościele słucha księdza, kiedy ludziom z papieru nauki czyta. O! Boże jedyny!

— Moja sąsiado — mówił Ziemia pokornie spuszczać oczy—gdzie mnie grzesznego człowieka przykładąć do księdza, do takiej duchownej osoby. Ale choć człowiek grzeszny, choć ludzie Bóg wie nie co na niego wydziwiają, człowiek zważa *zawdy* na Boga, a nie na ludzi: bo Bóg wszechmogący wszędzie widzi i nic przed nim nie ma zakrytego; dlatego moja sąsiado ino proszę was po sąsiedzku, żebyście w sobie wszystko zachowali.

— No, mój sąsiedzie—odpowiedziała Frankowa drząc prawie cała z radości, że jakiegoś sekretu stanie się powiernicą i który naturalnie pod sekretem z ust do ust przenoszony, wkrótce stanie się sekretem wszystkich wsi mieszkańców, o czym aż nadto był przekonany Ziemia, i dlatego o tajemnicę prosił—no

mój sąsiedzie, przecieć wiecie, że ja nie żadna bajbuga, i mnie powiedzieć co, to tak, jakby kto w wodę wrzucił.

— To téż wam tego nie zadaję, moja sąsiado — mówił dalej Ziembra spoglądając zukosa przenikliwie na zaciekawioną Frankową, jakie na niej ten wyraz *sekret* zrobił wrażenie — Bóg świadkiem, że wam tego nie zadaję; przecieć wy macie dosyć gospodarstwa na głowie i pracy wedle wszystkiego, żebyście się mieli plotkami albo bajkami zabawiać: — to ino próżniaki tak umieją.

— A ino, a ino — przerwała potakując Frankowa. — Ot! wy to mądrze mówicie, aż miło słuchać, nie tak jak ludzie, co Bóg wie nie co na człowieka wydziwiają, że-ta plotki noszę po wsi, że mi język w gębie lata jak pytel w młynie, i Bóg już tam nie wie jakie różne inne wymysły. Oj tak, tak!

— To téż moja sąsiado nie zważajcie na ludzi. Ludzie zwyczajnie jak psy we wsi, co jak jeden szczeknie, juścić wszystkie za nim *haru haru*, chociaż nie wiedzą po co się drą pyskami.

— Prawda, mój sąsiedzie, prawda. Ja wiem, że w uczciwości chodzę, to co tam; ale cożeście to mieli mi powiedzieć, coście prosili, żeby już we mnie zostało?

— A prawda, ino pamiętajcie moja sąsiado....

— No, no, nie zdradziłam was nigdy, to już i nie zdradzę. Nie bójcie się, jedno słowo z ust moich nie wyjdzie; przecieć mnie znacie, że nie ma lepszéj odemnie do sekretu.

Ziembra ledwo nie parsknął ze śmiechu, bo właśnie wiedział, że wszystko jest przeciwnie; lecz dobrze znający czém sobie kogo kupić, przygryzł tylko wargi i odpowiedział:

— Oto moja sąsiado chciałem was prosić, żebyście szepnęli Pawłowej, że mówiliście ze mną o niej, i że ja się bardzo zafrasowałem jakeście mi rzekli, że Paweł utracił całe dwadzieścia złotych, co mu pożyczyłem; i dlatego niech przyjdzie do mnie, ale ona sama, to jéj odmierzę korzec żyta, aby przecieć miała kawałek chleba dla dzieci na przednówku.

— Mój sąsiedzie, pocziwie se poczynacie — przerwała Frankowa — ale ja nie mogę pomiarkować, dlaczego takie rzeczy o jakieście mnie prosili, tak ścisnąć w sobie: boć przecie w tém nie ma nic złego, owszem.

— Moja sąsiado — mówił Ziembra tonem tak rzewnym, że zdawało się, iż tylko, tylko co mu lzy z oczu nie trysną — moja sąsiado, człek co robi, to nie robi dla ludzi, ino dla Boga, dla-cu-

downej Matki Boskiej i dla wszystkich świętych, co w raju mieszkają; więc kiedy co zrobić dobrego, tobym nie rad, żeby między ludźmi chodziło, bo ludzie, mój Boże jedyny!...

— O! prawda, prawda—serdecznie wzdychając potwierdziła już naprzód Frankowa.

— Ludzie, mój Boże jedyny—mówił dalej Ziemba podnosząc oczy w górę i rzutem oka przelustrowawszy całą postać ciągle oszukiwanej kobiety—zwyczajnie jak grzeszne stworzenie, wszystko miarkują po sobie i do siebie przykładają; jakby się więc dowiedzieli, że ja sam tak z dobrowolności dałem Pawłom korzec żyta, toby zaraz rzekli: ot! Ziembę ruszyło sumienie i dał Pawłowój ziarna: ale ja moja sąsiado nie dbam o to, bo się ino Boga wszechmocnego boję, żebyta na tamym świecie, jak człowieka weźmie do swojej chwały, nic na sumieniu nie ciążyło.

— Oj prawda, prawda moja sąsiado, wszystko sprawiedliwie mówicie. Bogaćta byłoby co innego z ludzką gadką, ino tak, jak powiadacie.

— To widzicie moja sąsiado, dlatego prosiłem was, żebyście w sobie to zachowali, co powiedziałem.

— O! mój sąsiedzie—z udaną powagą odpowiedziała Frankowa, pragnąc się już jak najprędzej wygadać świerżbiącym swym językiem—o! nie zada mnie nikt takiej rzeczy, bo ja wiem *kaj* co mówić, a *kaj* język trzymać za zębami.

— No, to się wie, moja sąsiado; dlatego też ja tak z wami po szczerości mówię, nikiój dziecko, bo i przed kim się człek użali na swoje między ludźmi pokrzywdzenie, jak nie przed pocziwemi sąsiadami.

— Oj prawda, prawda mój Jakóbie, ale na nic nie zważajcie, ludzie zawdy będą jednacy: czy im źle, czy dobrze człek świadczy, zawdy błotem go obrzuca. Wy w pocziwości chodzicie, a mówią żeście derus, chciwiec, że Boga w sercu nie macie, że z oltarzabyście zdjeli, że....

— Patrzajcie—z przekąsem nieukontentowany cokolwiek Ziemba na tak długą litanią zdań sobie nieprzychylnych odpowiedział: —to wy dobrą widać macie pamięć, kiedy tak wszystko pamiętacie.

— Ba! nie mam pamiętać, kiedy człek *kaj* się obróci, to zawdy ino jedno i jedno o was gadają; ale....

— Doprawdy—przerwał z gniewem Ziemba, tak że mu aż wargi zadrzały; ale w chwilę już się uspokoił, i głosem słodziut-

kim mówił dalej, rzucając błyszczącemi oczami po Frankowój, w których z całą potęgą gorzał gniew wewnątrz niego skryty.— Moja sąsiado, wy znacie najlepiej, czy ja ezém ludziom zawinił? O! Boże kochany, mój Boże jedyny! Ale ludziom nikt gęby nie zawiąże: zawdy na białe rzeką że czarne. O mnie Bóg wié nie co po wsi obnoszą i o was także różne dziwności wygadują: żeście bajbuga, plotkarka, że wam ino latanie między kumoszkami w głowie, a nie praca, a nie gospodarstwo, że.....

— Albo to prawda—przerwała z wrzaskiem Frankowa.

— Ale prawda, prawda moja sąsiado—odpowiedział wzdychając niby z boleścią Ziemba—O! ludzie to strasznie bolące mają języki.

— Ja wiem że prawda, że tak mówią, ale czy to prawda, że ja bajbuga, że nie dbam o pracę, ino o *gadki* niepotrzebne?

— Ale moja sąsiado, ktoby tam wierzył takim obmowiskom? Niby ja was dopiero od dziś znam.

— No, to widzicie, a kiedy wy mnie takich rzeczy nie zadajecie, to co mnie ma kto zadawać? Ja zaraz oblecę wszystkie chałupy i każdej rzekę, że one plotkarki, obmównice, próżniaki, kiedy mnie zawdy tak noszą na swoich językach; że kiedy ja nikomu wody nawet nie zamączę, to niech mnie nie zaczepują, bo jak ja język rozpuszczę, to dopiero zobaczycie, jak wam wszystkim przysolę i przypieprzę. A to dopiero szkaradnice, latawice!

I w tém miejscu zwracając się twarzą ku wsi, jakby ją mogły inne kobiety słyszeć, mówiła dalej przytupując nogą—Swędzą was moje śliczne gospodynie języki, to przyjedźta do mnie, połóżta ich na ziemi, to jak wam bótem przycisnę, to się wam zaraz niepotrzebnych gadek odechce; a mnie dajta pokój, bo ja muszę myśleć o pracy, a nie tak jak wy o próżniactwie, o wystawaniu na drodze albo na błoniu.

Ziemba podczas tego wybuchu gniewu, z radości, że mu się tak udaje coraz więcej zyskiwać względy Frankowój, a gniew jój podsycać na spokojnych wsi mieszkańców, uśmiechał się chytrze, oczami błyskał podnosząc je czasem na mówiącą i ręce zacięrał jakby je zimno przejęło.

Przy ostatnich słowach, kiedy mówiła o wystawaniu na drodze lub błoniu, jakby sama co lepszego robiła, nie mógł już dłużej wytrzymać i uśmiechając się przerwał mówiącej, przybierając zaraz poważny wyraz twarzy:

— Dajcie pokój, moja sąsiado, nie gniewajcie się i nie psujcie sobie po próżnicy zdrowia. Ot na mnie się zapatrujcie: choć mnie ludzie Bóg wie nie jak obmówili, ja to wszystko zdaje na Boga, to i wy zdajcie, a *bez* dobre nigdy człek nie zginie.

— Oj! prawda, prawda!

— No, to widzicie: zawdy człek powiniien iść swoją drogą, a ludzie swoją, i nie nie zważać, co ludzie wydziwiają. Pawłowie nieraz i mnie i was dobrze na wszystkie strony obracali.....

— Co nie mieli obracać! Onita tacy sami jak drudzy, *ino* cokolwiek potulniejsi.

— Tak, tak, moja sąsiado, a jednak ja se nieraz tak rzekłem w pomyśleniu: wziąłem grunt ich w zastawę, a chociaż dałem na niego pieniędzy, ale kiedy Bóg człowiekowi daje, toć na to, żeby czasem biednemu pomódz.

— A ino, a ino.

— Tak rzekę w sobie: choćbym oddał Pawłowi grunt, przecieć ja i tak nie zginę, toby się może biedak jako podratował; ale cóż, jak mi znowu przyjdzie do głowy, że z gruntem miałby ino frasunek, bo ani zasiać, ani czém zaorać; to rzekę sobie: ma tak leżec odłogiem i marnować się, to wolę sam zasiać, żeby nie obrażać Boga wszechmocnego i Najświętszą Pannę Maryą, że święta ziemia żadnego profitu człękowi nie przynosi. Przecieć na to ludziom dana, żeby chléb rodziła, a kiedy człek źle wedle niéj chodzi, to grzech, moja sąsiado, śmiertelny grzech.

— A ino, a juści.

— I dlatego, widzicie, wolę Pawłom dać korzec ziarna na chléb, a sam rolę obsiać, jakbyta przezemie miał kto w grzech popadać.

— Sprawiedliwie mój Jakóbie mówicie, Bóg widzi, że sprawiedliwie. A jednak, ot na ten przykład, wczoraj w karczmie, kiedy-ta Wojciech tyła breweryi z Jankiem nadokazywał...

— No, a cóż to było takiego?—zapytał z nieudaną ciekawością Ziemba.

— To wy nic nie wiecie? Prawda, żeście nie byli, ale myślałam, że wam Maryna wszystko opowiedziała.

— Spałem już moja sąsiado, kiedy Maryna wróciła do doma, a wy wiecie, że ja się nie lubię wypytywać, co się-ta między ludźmi dzieje: jak samo wpadnie co w uszy, to i dobrze. Ale cóż to takiego zrobił Sierpień z Jankiem w karczmie? przecieć to człowiek taki stateczny, taki ma o wszystkiém dobry układ w głowie,

a Janek zwyczajnie jak młody: i ja taki byłem *nimem* przecie przyszedł do rozumu, ale zawdy poczciwa w nim dusza.

-- O! że poczciwa dusza, to nie ma gadania, bo widzicie..... i tu Frankowa szeroko i długo z naddatkami i różnemi uwagami opowiedziała całe wydarzenie w karczmie: jak Janek naprzód był wesoły, jak się ludzie śmieli, jak potem tylko z Baską tańczył, a ona ino za nim oczami wodziła, jak przyszedł Sierpień i gdy łajząc i gromiąc chciał się chwycić Janka, jak ten począł mu ścisnąć nogi i prosić, żeby się nie gniewał na Baską, a jego bił jako przyczynę do wszystkiego, i jak nareszcie Wojciech odepchnął od siebie Janka i z Baską płaczącą poszedł do domu. Opowiedziawszy wszystkie te wypadki, tak zakończyła:

— Szkoda, mój sąsiedzie, że was nie było, bobyście się mieli czemu napatrzeć; ale zawdy ludzie żalowali Janka i mówili, że choć se z Sierpniem ładno począł, zawdy nic z tego nie będzie, aby go miał przyjąć na zięcia, bo Sierpień wiela hardości ma w sobie i za byle kogo córki z domu nie wyda.

Ziamba z wielkiem zajęciem słuchał opowiadania mającego tak blizki stosunek z tajonym przez niego zamiarem wydania Basi za Janka. Gdy usłyszał traiczne rozwiązanie zalotów Janka, zmarszczył brwi, spojrział ponuro na mówiącą, chcąc wybadać, czy wszystko tak było jak opowiadała, i po małej chwili ułożył nowy plan postępowania, który był pewny, że mu się uda, jeżeli zręcznie zdoła użyć języka Frankowój.

Spędziwszy więc z twarzy zmarszczki nieukontentowania i umiliwszy się jak tylko mógł wyrazem potulności i dobroduszości, odpowiedział:

— Moja sąsiado, a to poczciwa dusza w tym Janku. Mój Boże jedyny, za tyła wywodzenia, za tyła obmówiska ścisnąć jeszcze po nogach, o! moja sąsiado, to aż serce się ścisnąć w człowieku—mówiąc to Ziamba, podniósł rękę do oczu, jakby łzy obcierał.— Mój Boże kochany, to poczciwy dzieciuch, kiedy tak siwą głowę umie szanować; ale cóż? ludzie nie zważają na to, i więcej mają baczenia na majątek, jak na poczciwość, chociaż majątek jak woda: jak przyplynie, tak i odpłynie. Ale ja nie taki jak drudzy, i wiem pewnikiem, że Janek chociaż Bóg wie jak se począł z ojcowizną, że posłuszne chłopaczysko, i umie szanować stare lata, to jakby dostał kawałek chleba do garści, toby pracował i słuchał ludzi, gdyby mu dobrze kładli w uszy. Dlatego żeby sobie wyperswadował Baską, a chciał pójść w zaloty do mojej

Maryny, Bóg widzi, żebym mu ją z chęcią oddał, chociaż Boga chwalić — i tu Ziemba dumnie podniósł głowę — przecieć i dla mego dziecka nie uboższe dam wiano, jak Sierpień dla Basi, a jednak nie bałbym się, Bóg widzi, żebym się nie bał, inobym się cieszył, że mi Anioł Stróż i święci Pańscy dali takiego zięcia, co-by człeka szanował, nikiěj syn rodzony.

— I wy to naprawdę mówicie? — zapytała zdziwiona Frankowa.

— Moja sąsiado — odpowiedział Ziemba wodząc wzrokiem koło siebie, czując bowiem spojrzenie Frankowój, nie śmiał spojrzeć jěj w oczy, chociaż nadzwyczaj pragnął ujrzeć, jakie na niěj wrażenie zrobiła tak niespodziewana mowa — moja sąsiado, znaćcie to dobrze, że u mnie co w głowie, to w mowie. Ot i teraz człowiek się wygadał, co miał w pomysłeniu, a jakby kto podsłuchał, toby myślał, że mi już tak ciężko o zięcia, że go sam muszę sobie zmawiać. Przed wami to co innego, bo wiem, że macie przyjaźń dla starego Ziemby, to choć człek serce otworzy i wygada się z niepotrzebną rzeczą, to wszystko przy was zostanie.

— A ino, mój sąsiedzie, a ino — odpowiedziała Frankowa lękając ślinę i ledwo mogąc ustać z niecierpliwości, co takby rada biegnąć z językiem między sąsiadki. — Przecieć mam swój rozum i wiem kaj co powiedzieć.

— Wiem, moja sąsiado, wiem, i dlatego tak z wami jestem po szczeroci, jakbyta sam z sobą, i powiem tak wszystko, jak ten ot Bóg jedyny patrzy teraz na nas, że choćby Janek ani miał w pomysłeniu mojej Maryny, to jakby gdzieindziej wypadło mu wesele, tobym mu dał ze czterdzieści złotych, aby przecieć wesprzeć poczciwego chłopaka, bo wiem, że teraz i grosika nie ma przy duszy. Nie wziąłbym od niego ani fantu, ani żadnego zastawu, boć u niego ino jedna się dusza w ciele kołacze; ale trudno, ratować ludzi trzeba, a Bóg jedyny za przyczynieniem się Wszystkich Świętych, wynagrodzi znowu innym sposobem człowiekowi. Tak moja sąsiado, od tego czasu jakeście mi powiedzieli, że wczoraj Janek tak se ładno z Sierpiem począł, pokochałem go nikiěj syna. Poczciwy dzieciuch..... niech mu Bóg przenajświętszy..... i Matka Boska dopomagają..... bo wart tego.

Koniec swojej mowy Ziemba wymówił głosem rzewnym, jakby ze wzruszenia urywanym, i przy ostatnich słowach obcierając niby łzy w oczach, rzucił między palcami spojrzenie na Frankową, i aż się z radości prawie uśmiechnął, bo dobroduszna kobieta

także się rozrzewniła, i w téj saméj chwili, kiedy Ziemba tak doskonale grał komedią, ona fartuchem lzy obcierała.

— No, moja sąsiado — odezwał się znowu Ziemba już niby uspokoiony, gdy kobiécisko naprawdę rozczulone, szeptało niewyraźnie — poczciwy Janek, poczciwy dzieciuch! — no, moja sąsiado — mówił dalej Ziemba — i mnie pilno do doma i wam się spieszy: idźcie z Bogiem, ino pamiętajcie zachować to wszystko w sobie, bo ludzie strasznie szerokie mają gęby, i niech to, cośwa z sobą gadali, między nami ino zostanie.

— No, no, nie bójcie się mój sąsiedzie, nie zdradziłam was jeszcze nigdy, to i nie zdradzę — i Frankowa spiesznym krokiem pobiegła drogą przez wieś.

Nie zdradziłam i nie zdradzę — szeptał do siebie Ziemba, zobaczywszy oddalającą się Frankowę — Oj! głupia kobiéto, ktoby tobie wierzył? I do wieczora nie zejdzie, a w całej wsi wszyscy będą wiedzieli, co jój nakładłem w uszy. Ale dobrze, trajkocz, gadaj, bo to najlepsza twoja robota. Pawłowie wezmą korzec żyta, ludziom tém pyski utrę, potem im znowu co wetknę, i pomału grunt ich zakupię; a to spory kawał. Mają go zmarnować i w innej ręce ma się to dostać, to lepiej w moje; ja nie utracę, i zawdy wszystko czego się człowiek dorobi, wyjdzie na pożytek ludzki; a kiedy kto głupi, to co ja temu winien. I ja mam córkę, mam wnuka, to trzeba myśleć, żeby ich wyprowadzić na ludzi. Ale Sierpień — mówił dalej po małym przestanku — to się spali ze złości jak się dowié wszystkiego, co ja tu o Janku mówiłem. To głupie chłopaczysko, żeby mu z Maryną całe Świątyniki na wiano dawał, to onby Baški nigdy nie odstąpił; ale dobrze, że to wszystko dojdzie do ucha Sierpnia; on taki głupi jak wszyscy, choć się niby ma za mądrego, i bez zazdrość i złość na mnie, umyślnie sprawi im wesele. O! niech sprawia choćby dziś jeszcze: Janek się nie odmieni, na zawdy taki pozostanie jaki jest dzisiaj, i Sierpień nie będą więcej pierwszeństwa we wsi nosić, boć i Ziemba także wart czegoś. Dam ci nieboraku Janku, co ci tak kochanie w głowie przekręciło, że aż ścisakałeś za nogi głupiego Sierpnia, dam ci pieniędzy i na wesele, i potem na co będziesz chciał, bo ty wszystko zmarnujesz; a ma kto rozsiadać się w siedzibie Sierpnia, jak stary zamknie oczy, to wolę ja, bo ja zabiegliwy, nabożny, posty zachowuję, do światła w kościele należę, u spowiedzi bywam, karczmą ani wódką się nie zabawiam, nie obrażam Pana Boga przekleństwami jak drudzy; a że ciułam,

staram się, zabiegam, żebyta aby przysparzać, toć nie dziwota, boć człowiek musi pracować, a kiedy Pan Bóg daje i błogosławi, to Boga chwalić i ciągle jednako pracować. Przecież tak już na świecie jest, że się jedni bogacą, a drudzy ubożeją; i bogactwo Pan Bóg z nieba dla ludzi nie spuszcza, ino jak było między ludźmi, tak zawdy pozostało; ale kto mądry, to se umie radzić, a kto głupi, to w rękę dmucha. Oj! tak, tak, wie Pan Bóg co robi, i kiedy jedni się bogacą, to drudzy muszą ubożać. Ot na ten przykład, żeby na mnie Pan Bóg co zesłał — w tém miejscu Ziemia aż zadrżał i szczerze westchnął — co nie dopuść Panie, i ja wyszedł na biédaka jak za młodych lat, toby się z mojej krwawej pracy, tyła lat z potem zbieranój, inni znowu podorabiali. Oj! tak tak, na świecie już sam Bóg tak postanowił, żeby się człek starał i myślał o zbieraniu.

I Ziemia ukończywszy samotną tę rozmowę, wolnym krokiem doszedł do chałupy i cicho, nieznacznie, jak kot kiedy się na mysz czai, wsunął się do izby.

Tymczasem we dworku pana Józefa, gdzie Janek służył za parobka, rejwachu co nie miara.

Wszystko już ruszyło w pole, każdy się zajął przeznaczoną robotą, a Janka jak nie widać, tak nie widać. Każdy wiedział, bo cóż się na wsi może utaić, że był na odpuszcie, że potem hulął w karczmie; ale co się z nim dalej stało, nikt nie mógł na pewne objaśnić, bo i w domu nie nocował, i matka nic o nim nie wiedziała.

— Pewnie mu się robota uprzykrzyła—mówił rozgniewany pan Józef z obawy utracenia parobka w porze najwięcej roboczej—i prysnął w świat między ludzi, jak to zrobił Michałowi nie dobywszy nawet Nowego Roku. Bo to postrzelona pałka, jak półwaryata, chociaż doskonale umie udawać chorobę i mnie zwozdić. Poczekaj łotrze, zpod ziemi cię wydobędę, a nauczę rozumu: wyleci ci wszystko ze łba, poczekaj.

Ale wszystkie te groźby na słowach się tylko kończyły, bo Janka ani oko dopatrzeć: przepadł jak kamień w wodę wrzucony. Na południe dopiero gdy fornalki i pługi z pola wróciły, ktoś doniósł panu Józefowi, że widziano Janka leżącego pod figurą, i że potem podniosłszy się, wolno drogą poszedł ku wsi. Niedługo stawiony został winowajca przed rozgniewanym panem.

— Co ty u Judasza dokazujesz?—krzyknął pan Józef do pokornie z gołą głową stojącego Janka—gdzie się ty wałasasz?

Kiedy wszyscy myślą o robocie, to ty dopiero o wysypianiu? Zaraz mi gadaj, dlaczego rano do koni nie przyszedłeś?

Janek w miejscu odpowiedzi obracając kapelusz w rękę, tylko się uklonił w milczeniu.

— Słyszałeś—jednym zawsze tonem mówił dalej pan Józef—co to zapomniałeś mówić? Może cię język tak samo boli jak brzuch? Poczekaj łotrze! Zaraz mi się tłumacz, coś zrobił do południa. Słyszałeś?

Janek ciągle jedno zachowywał milczenie, tylko wzdychał, skubał wstążkę u kapelusza, ale pomimo krzyku i łajania, ani jednego słowa nie udzielił w odpowiedzi.

— Poczekaj łotrze, ja cię tu zaraz z niemowy zrobię wielkim gadułą, poczekaj. Hej!—mówił dalej pan Józef obracając się ku stajni—fornale, karbowy! pójdźcieno tu posłużyć w kumy, żywo. U mnie krzywdy żadnej nie masz, zasługi ci zapłacę, ordynaryą wydam, to łotrze służ jak wypada na uczciwego człowieka, a nie, to ruszaj z Panem Bogiem; nie będziesz ty, to się inny znajdzie na twoje miejsce.

Janek widząc, że to nie przelewki, że z gniewem pana swego nie ma co żartować, a nie mogąc słowa przemówić, tak mu żal i pamięć sceny z Sierpniem, serce boleścią ścisnęły; czując, że ze skórą już strasznie krucho: rozplakał się jak dziecko i łkając zasłonił twarz rękoma.

— O! i czegoś głupi płaczesz?—odezwał się jeden z przywołanych parobków—powiedz wszystko Wielmożnemu Panu, skłoń się, to-ta Wielmożny Pan wszystko ci przebaczy.

— A juścić, a juścić—potwierdzili inni—gadaj Janek, Wielmożny Pan przecieć jak ojciec nad nami.

Ale Janek tylko płakał i płakał.

— Cóż u Judasza z tobą się dzieje?—odezwał się pan Józef, —czy ty zgłupiał, czy co; płacze jak baba.

— A czy ja wiem, Wielmożny Panie—odezwał się nareszcie Janek—czyta jakie na mnie nasłanie, czy co, czy mnie kto urzekł. Niech Wielmożny Pan bije, to się może jako we mnie odmieni, bo już ja biedny sierota nic z sobą nie poradzę.

Pan Józef chociaż prędki i impetyczny, ale byłto bardzo poczciwy człowiek i wyrozumiały na błędy ludzkie. Płacz i pokora Janka zaraz go chwyciły za serce, a gdy przywołani fornale wyjaśnili wypadki zabawy karczemnej, i już tak dawne napróżne

zalecanki Janka do Basi; pan Józef zupełnie się udobruchał i po ukończeniu sprawozdania, rzekł:

— No, ruszajcie do swojej roboty, a ty Janek nie bądź głupi, kochanie sobie wyperswaduj z głowy i koniec, bo cię do niczego dobrego nie doprowadzi. Ot i teraz o mało basiorów nie złapałeś. Dziewuch dosyć na świecie i ty padniesz na swoje; a teraz marsz do roboty i żeby mi tego nigdy więcej nie bywało.

Janek na te słowa jeszcze lepiej się rozplakał i uściskawszy nogi poczciwego pana, zawsze jednak płacząc, poszedł do stajni.

— A to chłopaczysko widzę już na piękne zwaryował—odezwał się do siebie pan Józef, patrząc za oddalającym się w płaczu Jankiem.—No, no, nie wiedziałem, że i chłop z miłości zgłupić może; a to romansowy kawaler!

(Dalszy ciąg nastąpi).

*



WYJĄTKI

Z HISTORII NAUK PRZYRODZONYCH

p. Jerzego Kiuwiera (Cuvier).

PRZEKŁADU

Justawa Belkego i Alexandra Kormera ()*.

Młody człowiek gruntowniej poznając wartość nauk i umiejętności, wybiera z nich jedną, jakby towarzyszkę życia: tę umiłował szczególnie i dla téj poświęcić się pragnie.

Z nią się złączył w jedno ciało: on ję, ona jest jego. Błogostawiona społeczność która sposobie umie członków swoich do téj szlachetnej miłości. Kto nią goreje, staje się kapłanem nauki, do której ani powabny z katedry wykład, ani z rozległą uczyością księga nie zapalą tyle, co wierny obraz dziejów ję postępu.

Żadna więc książka nie może się trafniej i pożyteczniej wybrać dla czytelnika młodego, nad historię nauki którą on polubił. W tych dziełach łączy się ciekawość powieści z użytecznością teorii. Tam czytający wypływa na morze wiadomości ludzkich i widzi jak na coraz dalszą rozległość téj przestrzeni bez granic, zapuszczali się przed nim umiejętni i śmiali żeglarze. Ludzie byli niemi: tém więc bezpieczniej zwiedza co oni już odkryli, tém śmieliej uważa dokąd jeszcze przedostać się można.

(*) Zob. Bibl. Warsz. b. r. T. I, str. 198. — W wyjątkach niniejszych głoska (T.) odróżnia przypisy tłumaczy polskich, od objaśnień przy oryginalnie francuzkim należących się jego redaktorowi (St. Agg). P. R.

I powraca częstokroć panem dziedziny w nowych granicach, przynosząc z wyprawy chwałę imienia, które w dzieje wpisał, chwałę narodu, do którego należał.

Wszelki naród mało jeszcze zasłużony w historii nauk i wynalazków, jeśli chce zasłużeńszym wyrównać, nie może łatwiej i skuteczniej usposobić do tego członków swoich, jak wspierając swą literaturę przekładami dziejów umiejętności. Nader życzliwa myśl w wyborze historii nauk przyrodzonych przez Kiuwierę, przewodniczyła naszym tłumaczom tego dzieła. Nauki przyrodzone, które w tym wieku stały się podstawą wiadomości ludzkich, mało jeszcze u nas zwolenników mają. Potrzeba ich tworzyć, a to się da skutecznie jedynie przyswajaniem literaturze klasycznych dzieł o tym przedmiocie. Klassycznym bez wątpienia jest dzieło Kiuwierę; tłumacze z całym użyciem zdolności swoich oddali się przepolszczeniu jego. Co tylko było godnego wspomnienia w postępie tych nauk u nas, najtroskliwiej i najsumienniejsze zebrali i dołączyli, przygotowując tym sposobem wydanie prawdziwie własne. Owoż przybywa nam pięciotomowe dzieło, nie na czas krótki, lecz na zawsze użyteczności i powabu pełne. Oby jak najrychlej znalazł się oświecony i prawego sposobu myślenia wydawca, któryby z tłumaczami przekonanie dzielił, że pierwszym prawdziwego powodzenia warunkiem jest trwałość.

Nie powiemy nic o zaletach stylowych przekładu, zostawiając sąd w tej mierze czytelnikom następujących kilku wyjątków, które i sposób wykonania dzieła całego okażą.

A. W.

Dzieła Arystotelesa. — Jego historia zwierząt.

(Z tomu Igo rozdz. VI).

.....

Doszliśmy teraz do tych prac Arystotelesa, nad którymi więcej szczegółowo zastanawiać się mamy; przystępujemy bowiem do jego dzieł odnoszących się do nauk przyrodzonych. Składają się one z 8^{mtu} ksiąg o fizyce właściwej, z 1^{ch} o niebie, jednej meteorologicznej, w której mówi także o mineralogii, jednej o barwach, dwóch o rodzeniu się i psuciu ciał, czyli o rozkładaniu i odtwarzaniu się jestestw organicznych, dziesięciu o historii

zwierząt, czterech o ich częściach, jednej o narzędziach ruchu zwierząt, dwóch o ich płodzeniu się, i nareszcie z rozmaitych rozpraw o czuwaniu i śnie (1).

W różnych tych dziełach, Arystoteles téj samój używa metody co w Poetyce, Etyce i Polityce: wszystkie zasady ogólne wprowadza z postrzegania i porównywania szczegółowych faktów; nigdy prawidła nie stanowi *a priori*. Postępowanie takie wynika zresztą z jego teoryi o powstawaniu ogólnych pojęć, którym nazywa źródło całkiem ludzkie. Platon, jak widzieliśmy, rozbie-rając Tymona, przypuszcza, że idee ogólne mają być samoistny, że są wrodzone człowiekowi, ponieważ dusza jego posiadała je w czasie gdy jeszcze z Bóstwem połączoną była, tak dalece, że wszystkie prawdy ogólne zdające się jój być nowém odkryciem, są tylko przypomnieniami wiadomości które niegdyś posiadała.

(1) Ośm ksiąg fizyki Arystotelesa przełożonych przez Jana Argyropula profesora we Florencyi, wydano w Krakowie u Hallera 1519 r. Księgę *de divinatione per somnium*, przełożył Józef Strus Poznańczyk i wydał w Krakowie u Szarfenberga 1529. *De juventa et senectute, vita et morte*, przełożył Marcin Kromer; wyszła zaś w Krakowie u Hieronima Wietora, jak się zdaje około 1532 r.

Wiele téż wydano tam komentarzów i przypisów do dzieł Arystotelesa, ułożonych przez Jakóba Stapulensis (d' Etaples), Jana z Głogowa; Jodokusa Klichtowensza d^{ra} Sorbony i t. d. Przekład Problematów Arystotelesa wiśniśmy Janowi z Kobylina, a później w 1620 r. Kalixtowi Sakowiczowi. Politykę, Etykę i Ekonomikę tłumaczył Sebastyan Petrycy i wydał w Krakowie 1618 r. drukiem Macieja Jędrzejowczyka.

Pisali także u nas komentarze do dzieł Arystotelesa, prócz wielu bezimiennych: Michał z Paryża prof. Akad. krakowskiej, którego pisma wydał uczeń jego Jan ze Stobnicy; Jan Broscysz, Samuel z Lublina (1627 r.), Adam Krasnodębski (1678 r.), Szymon Stanisław Makowski (1679 r.).

Wojciech Tylkowski wydał w Oliwie 1680—1682 dzieło pod tytułem: *Philosophia curiosa seu universa Aristotelis philosophia juxta communes sententias exposita etc.* 9 części w 6 tomach. Jestto komentarz do ksiąg Arystotelesowych o naturze rzeczy, sposobem katechizmu ułożony, zawierający całą filozofią teoryczną i praktyczną, mianowicie logikę, metafizykę, filozofią moralną, fizykę ogólną czyli o własnościach ciał; wiele wiadomości z historyi naturalnej, z nauki lekarskiej, tudzież różnych osobliwości przyrodzenia, między temi mnóstwo takich rzeczy jakie się w historyi naturalnej Rzeczyńskiego znajdują. Nakoniec gorliwemi czcicielami filozofii Arystotelesa byli i pisali o niej: Adryan Miaskowski (1720 r.), Alexander Podlesiecki (1731 r.), Józef Rojewski (1750). *Ob. Hist. lit. p. Bentkowskiego* T. II; *Obr. hist. bibliograf. lit. i n. w Polsce* T. I. Eucykl. pow. T. I. (T).

Z téj zasady wypada, że zmysły są zupełnie niepotrzebne do nabywania wiadomości, i należy je owszem zostawiać w spoczynku, dla łatwiejszego przywołania idei, które od Boga odebraliśmy. Arystoteles wręcz przeciwnie naucza. Nie przypuszcza on żadnych pojęć wrodzonych; przyznaje, że Bóstwo posiada wszystkie pojęcia ogólne, lecz człowiek nabywa ich jedynie na drodze abstrakcyi, to jest przez porównanie faktów szczegółowych, w celu dostrzeżenia co w sobie zawierają wspólnego lub różnego; a jako fakta nie mogą dobrać się do naszego rozumu, jak tylko za pośrednictwem zmysłów, to też sprawiedliwie wnosi, że jedynym źródłem poznania, są zmysły nasze czyli postrzeganie. Ta główna zasada Arystotelesa w logice, zastosowana w rozlicznych jego dziełach, nadaje jego filozofii piętno odrębne.

Ze wszystkich wymienionych pism Arystotelesa, pierwsze, traktujące o fizyce ogólnej, jest najstarsze i nie mogło też być inaczej; fizyka bardzo wolno postępuje, gdy się tylko nad takimi faktami zastanawiamy, które się same nastreczają. Potrzeba je umieć wywoływać według woli, powtarzać często ich zjawiania się, słowem trzeba robić doświadczenia, aby nauka mogła postępować szybko i pewnie. Otóż za czasów Arystotelesa robienie doświadczeń było prawie niepodobnym; sztuki przemysłowe tak mało wydoskonalone były, że uczonemu żadnej niemal pomocy nie dawały. Małą jeszcze wtedy liczbę spostrzeżeń posiadano, a tém samym nie można było wznieść się do abstrakcyj bardzo ogólnych. Niektóre przeto zasady Arystotelesa uznano za błędne lub niedokładne; lecz były one przynajmniej oparte na postrzeganiu, i zawierały w sobie treść wszystkich znanych faktów. I tak np. wiedział, że ciała stałe i ciekłe spadały na ziemię, gdy im odjęto podporę, że ciała powietrzne czyli gazy, wznosiły się z dna wody na jej powierzchnię, że promień zwracał się ku niebu, że wniósł, że ziemia i woda mają dążność zstępowania, a powietrze i ogień wstępowania. Dzisiaj wiemy, że ten ruch w odwrotnym kierunku, od działania jednej siły pochodzi; lecz odkrycie to winniśmy jedynie postrzeganiu nowych faktów. Wszelako fizycy dotąd się nie zgodzili, czy ogień ulega prawom ciężenia powszechnego, lub nie.

Uwaga którą zrobiliśmy co do opadania i wznoszenia się ciał, da się również zastosować do zasady, że *natura nie cierpi próżni*, którą tak wyrzucano Arystotelesowi. Oczywiście jest rzeczą, że i téj zasady nie wymyślił *a priori*, lecz że była wypad-

kiem uogólnienia faktu, którego wszystkich szczegółów jeszcze nie znano. Gdyby Arystoteles wiedział był, że woda nie wznosi się w pompach nad 32 stóp, a rtęć (merkuryusz) w próżni Toryczellego nad 28 cali; to bez wątpienia, porównyując ciężkość gatunkową tych dwóch cieczy, z wysokością do której się wznoszą w próżni, byłby odkrył, podobnie jak Toryczelli a dawniej jeszcze Paskal, prawdziwą przyczynę tego zjawiska, które przypisywał wstrętowi do próżni, to jest ciężar powietrza. Zresztą, nim doświadczenie dowiodło mylności zasady Arystotelesowej, równie było logiczném przypuszczać, że ciała mają dążność do zapełniania próżni, jak, że się przyciągają nawzajem, co dzisiaj utrzymujemy. Wniosek Arystotelesa nie w sobie przeciwnego rozumowi nie zawiera, mogło się to zdawać jedynie tym, którym się podobało tłumaczyć dosłownie wyrażenie przenośne: wszak i innych podobnych używamy bez oporu, ponieważ nam język dokładniejszych nie nastęcza.

Wyznać jednak należy, że Arystoteles zostawił nam wiele syntez daleko dokładniejszych w innych gałęziach historii naturalnej właściwej, niż w fizyce. Jakoż w pismach jego o tym przedmiocie, najwięcej prawd podziwiamy. Główném z nich jest historia zwierząt, której czytać nie można bez zachwycenia. Rzeczywiście, pojąć trudno jak jeden człowiek mógł zebrać i porównać mnóstwo faktów szczegółowych, z których wyprowadził tak liczne prawidła ogólne, taką ilość aforyzmów, o których poprzednicy jego pojęcia nie mieli.

Historia zwierząt nie jestto właściwie zoologia, czyli zbiór opisów różnych ich gatunków, ale raczej rodzaj anatomii powszechniej, w której autor mówi w ogóle o prawach ustroju zwierzęcego, wskazuje jego podobieństwa i odmiany u różnych zwierząt, opierając się na rozbiórce porównawczym ich narzędzi, i ustanawia zasady najdoskonalszego uporządkowania.

W pierwszej księdze opisuje części z których się ciało zwierzęce składa, nie podług gatunków szczególnych, ale podług gromad przyrodzonych. Praca tego rodzaju, widocznie musiała być wypadkiem głębokiej znajomości szczegółów budowy zwierzęcej. Ponieważ Arystoteles nie uznał za rzecz potrzebną utworzyć ściślejszego podziału zoologii, utrzymywali niektórzy, że dzieło jego niedostaje metody. Sposób widzenia tych co tak mniemali, bardzo musiał być płytkim. Początek księgi o której mówimy, jest oddzielony od reszty, i stanowi niejako wstęp.

Sklada się prawie całkiem z prawideł ogólnych, przedstawionych bez dalszego rozwinięcia, pod postacią krótkich zdań, sposobem tak jasnym, że je każdy zrozumieć może i zastosować do znajomych sobie przedmiotów. Celem Arystotelesa, jak sam powiada, było, przez wystawienie wielkiej ilości znakomitych wypadków, wzbudzić ciekawość do nauki przyrody. Podajemy tu niektóre z tych zdań, co jak już mówiliśmy, dowodzą spostrzeżenia i porównywania niezliczonej ilości faktów szczegółowych.

1. Żadne zwierzę ziemskie, nie jest do ziemi przytwierdzone.

Zdanie to jest zupełnie sprawiedliwe. Zwierzokrzewy przytwierdzone do miejsc na których się rozwijają, nie są ziemskimi, ale wodnymi zwierzętami.

2. Żadne zwierzę beznogie nie ma skrzydeł.

Spostrzeżenie to trafne, sprzeciwia się istnieniu smoków latających, o których tyle przed Arystotelesem i po nim rozprawiano, a które w samej rzeczy są bajecznymi zwierzętami.

3. Wszystkie zwierzęta bez wyjątku, mają gębę i zmysł dotykania. Te dwa przymioty są istotnymi i koniecznymi warunkami zwierzęcej przyrody.

Nie prawdziwszego nad to zdanie pomimo różności postaci i ustroju zwierząt.

4. Wszystkie owady skrzydlate, mające żądło w przedniej części ciała, są dwuskrzydłe, jak np. bąk (*Tabanus*) i komar; te zaś których żądło umieszczone z tyłu, mają cztery skrzydła np. mrówka.

Ileżto trzeba było zebrać spostrzeżeń, aby wyrzec zdanie tak ogólne, a razem tak dokładne! Domyślać się należy, że ich twórca zbadał wszystkie niemal gatunki zwierząt; bo jakżeby mógł *a priori* ustanowić prawo, w ostatnim z przywiedzionych zdań wyrażone, kiedy dotąd nikt nie pojmuje powodu téj ustawy przyrodzonej.

Po wstępie umieszcza Arystoteles klasyfikacją zoologiczną, po której następnym wiekiem mało co w tym względzie zostało do zrobienia. Działy główne i podziały królestwa zwierzęcego, zadziwiają dokładnością i prawie wszystkie ostały się, pomimo późniejszego wzbogacenia nauki.

Dzieli on zwierzęta na dwie wielkie gromady: pierwsza obejmuje zwierzęta mające krew, a druga zwierzęta bez krwi. Jest to ten sam podział którego i my używamy, inaczéj go tylko wy-

rażając; w pierwszej bowiem gromadzie, mieścimy zwierzęta o krwi czerwonej, a w drugiej o krwi białej. Do pierwszej należą: czworonożne, ptaki, węże, ryby i wieloryby. Chociaż zwierzęta obu ostatnich klas żyją w wodzie, i postać zewnętrzną mają z wielu względów sobie podobną, nie pomieszał ich jednak Arystoteles, jak się to zdarza i dzisiaj podróżnym nieznaną zoologii. Zna on równie dobrze jak my przyrodzenie (1) wielorybów, wie że mają krew ciepłą, że rodzą żywe potomstwo i karmią je mlekiem piersi swoich. Rozróżnia też czworonożne żywo rodzące od jajorodnych i dodaje, że te ostatnie, wielkie mają podobieństwo do węzów w budowie wewnętrznej i układzie powłók,

Widzimy że gromady Arystotelesa są utworzone w sposób całkiem odpowiadający przyrodzie, i sam tylko ich rozkład mógłby być przedmiotem krytyki.

Zwierzęta bez krwi, czyli z naszego stanowiska, zwierzęta o krwi białej, podzielone są na cztery klasy: mięczaków, skorupiaków, muszli i owadów. Podział ten chociaż nie jest bez zarzutu, utrzymywał się jednak aż do Linneusza, którego układ co do istoty rzeczy jest ten sam, dzieli bowiem dwie swoje klasy, muszli i owadów, pierwszą na mięczaki i muszle, a drugą na owady i skorupiaki.

Między mięczakami szczególnież wymienia Arystoteles sepie, czernitwę (*Calmar*), ośmiornicę (*poulpe*) i żeglarka (*Argonaute*), a zwraca uwagę na to co do niedawna zaprzeczano, że ten ostatni nie jest przyrośnięty do swojej skorupy, jak inne tego rzędu zwierzęta. Opisuje w krótkości wszystkie części ciała mięczaków i namienia nawet o ich mózgu.

Podziały Arystotelesa utworzone w klasach ze zwierząt o krwi białej, jeszcze doskonalszemi są od podziałów głównych, chociaż i te godne są podziwienia. Jego podział owadów Linneusz zachował nietkniętym. Dzieli je Arystoteles na skrzydlate i bezskrzydłe; pierwsze rozdziela znowu według tego czy po dwa, czy po cztery mają skrzydła, i czy te narzędzia są nagie lub też z twardemi pokrywami. Dalej tłumaczy co to jest rodzaj, czyli zebranie kilku gatunków w jedną gromadkę i stawia na przykład zwierzęta ssące kopytowe, do których należy koń, osieł i dziki muł syryjski (*hemionus*). Rodzaj konia w samej rzeczy

(1) Wyrazem *przyroda*, zastępujemy cudzoziemski *natura* w znaczeniu najobszerniejszém; *przyrodzeniem*, nazywamy naturę szczegółu. (T).

jest jednym z najwyraźniejszych, który i my wybralibyśmy najchętniej za przykład.

Po tych ogólnikach, Arystoteles zgłębia szczegóły zwierzęcego ustroju. W opisach swoich zaczyna od budowy ciała ludzkiego: od niej bierze nazwanie różnych części, i do niej też części przyrównywa. Najprzód, bada obszerniejsze okolice ciała i to wszystko, co zewnątrz widzieć można. Następnie zajmuje się częściami wewnętrznymi; lecz pod tym względem pojęcia jego już nietylko są dokładne. Wszelako dość dobrze zna ogólne rysy budowy, a nawet w niektórych szczegółach, lepsze robił postrzeżenia niż jego następcy.* Zdaje się, że wiedział o przeznaczeniu trąbki Eustachiusza, zbijając bowiem zdanie Alkmeona, jakoby kozy uszami oddychały, powiada, że istnieje wprawdzie przewód z ucha do gardła, ale że ten nie służy do oddychania. Najprzód opisuje mózg; twierdzi, że on znajduje się u wszystkich zwierząt o krwi czerwonej, a zpomiędzy zwierząt o krwi białej, posiadają go jedne tylko mięczaki. To ostatnie twierdzenie zasługuje na szczególną uwagę, gdyż za naszych dopiero czasów sprawdzonem zostało (1). Człowiek podług Arystotelesa, jest zwierzęciem mającém mózg stosunkowo największy. Opisuje on dość dobrze błony które go powlekają. Zna także niektóre nerwy udające się do oka i przejścia ich, które porami mózgu nazywa. Lecz nic nad to o nerwach nie wie, nie zna ich rozpostarcia się ani czynności; te nieodzowne pierwiastki ustroju, według niego, podobnie jak i poprzedników jego, są tylko ścięgnami, więzadłami, słowem częściami białymi. Prawdziwe przyrodzenie nerwów poznano dopiero za Herofila, i Erazystrata wnuka jego i ucznia. Opisując żyły powiada, że wszystkie biorą początek z serca, do którego pnie główne wlewają krew swoją. Daleko pod tym względem wyższy jest od Hipokratesa, którego opis zdaje się być dziełem wyobraźni. Arystoteles odróżnia dokładnie żyłę główną od płucnej. Opisuje także tętnicę główną (aortę), od początku aż do jej rozdwojenia w niższej części tułowia: nazywa ją żyłą nerwową czyli chrząstkową. Nie zna jednak przeznaczenia tego naczynia, choć je pierwszy od innych odróżnia.....

(1) Kiuwier (Cuvier) utrzymuje jak Arystoteles, że mięczaki posiadają mózg; Ser (Serres) przeciwne zdanie objawia w swojej anatomii porównawczej mózgu. (St. Azy).

Zauważył on dobrze, że jój komórka jest większa od innych, i że ta uprzywilejowana istota, przyjmuje pożywniejszy i obfitszy pokarm; co dowodzi śledzenia bardzo uważnego gospodarstwa pszczół, i tém bardziej zadziwia, że wówczas szkło nie było jeszcze tak rozpowszechnioném, żeby go mógł być użyć do nakrycia ula, co bardzo ułatwia podobnego rodzaju spostrzeżenia. Zastanawia się także nad gospodarstwem os, szerszeni, pszczół-mularek i trzmieli. Opisuje szczególniejszą pochwę w którą się odziewa gąsienica chróścika (*Phryganea*), i wspomina o pająkach noszących pod brzuchem kłębek jaj. Rozprawiając o zwierzętach doskonalszych od owadów, rozróżnia bardzo trafnie jaja pokryte twardą skorupą, jak np. krokodyle lub żółwie, od tych co mają powłokę giętką jak u węzów, i powiada, że chociaż te ostatnie wydają na świat żywy płód, mają jednak jaja; z tą tylko różnicą że zamiast wykluwania się zewnątrz ciała samicy, wewnątrz się otwierają. Różne przejścia rozwoju jaja kurzego wysiadywanego, doskonale znał Arystoteles i opis ich, dzień po dniu podaje. Mówi że serce najpierw się pojawia, następnie żyły rozchodzące się do górnych i do dolnych części ciała, nareszcie błonka allantois, która wkrótce całe ciało płodu otula. Nie trzeba zapominać, że wszystkie te spostrzeżenia robione były gołym okiem, że zatem małe błędy które się dają spostrzedz, pochodzą od niedostatku szkieł powiększających, tak wielką dla nas będących pomocą. Mówiąc o jajach rybich, robi uwagę, że nie mają błony allantoidalnej jak wszystkie zwierzęta skrzelami oddychające. Przypuszcza, że ryby podobnie jak owady dobrowolnie lęgnąć się mogą, i wspiera to faktami, które sobie dzisiaj inaczéj tłumaczymy. I tak, przywodzi mnóstwo drobnych rybek pojawiających się nagle przy wybrzeżach, które zdają się być wylęte przez samo działanie ciepła i wilgoci. Grecy nazywają te rybki *aphya*, a miano to wyraża pojęcie które mieli o sposobie ich powstawania. Na wybrzeżach Prowancyi, zjawisko wspomniane przez Arystotelesa, często się wydarza, a mieszkańcy oznaczają te rybki nazwiskiem podobném do greckiego, to jest *nonnats*, wyrazem który się wywodzi z łacińskiego *non nati* (1). Wiemy dzisiaj, że to w jednej prawie

(1) Φῶσ, *gigno, produco*, & privativum Rzeczyński, mówiąc o nich tak się wyraża: „*Aphya quasi non nata, nobis* mrzówka owiesek” (Auctarium). Systematycy użyli tego nazwiska do oznaczenia drobnych a tłumnie objawiających się rybek, jakoto *Gobius aphyia* Lin. *Cyprinus aphyia* Lin. ale starożytnych nazwa ściągala się najpewniej do dzisiejszej *Atherina aphyia*. (T.).

chwili zdarzające się wylęganie, pochodzi od ikry poprzednio w namule złożonej, z której przy okolicznościach przyjaznych, jednocześnie rybki się wykluwają. To co nam o węgorzach mówi, nie jest zapewne zupełną prawdą, ależ nam samym, pomimo poszukiwań Spallanzanigo nad odradzaniem się tych ryb, wiele jeszcze zostaje do zbadania.

Arystoteles wyklada zmiany u zwierząt i ludzi od wieku pochodzące, i doskonałe przy tej zręczności matkom rady podaje. Następnie, zajmuje się obyczajami zwierząt, ich sposobem życia, instynktem; wyprowadza wpływ jaki na nie wywiera sposób życia, okoliczności zewnętrzne, klimat, pory roku, środki w których życie pędzą różne gatunki, i wskazuje pokarmy najwięcej im przydatne. Szczególniej zajmującym jest to, co podaje o rybach, i wielceby pożytecznym było, gdyby nazwiska których używa, lepiej nam znane były.

Mówi o wpływie pór roku na wędrówki ptaków, wymienia które z nich podróże odbywają, w jakiej epoce je przedsięwzięją, w jaki ład szykują się w locie. Zajmuje się także wędrówkami ryb. Przywodzi, że z Czarnego morza ogromna ilość ryby przechodzi do Śródziemnego i wskazuje drogę onęj przez cieśninę Carogrodzką aż do Archipelagu greckiego. Zdaje się, że robił swoje spostrzeżenia na brzegach Tracji i w Carogrodzie. Wspomina że niektórym rybom w różnych porach, różne nadają nazwiska według stopnia rozwicia się: i tak np. ryba w Czarném morzu *cordylus* zwana, przybięra na wiosnę miano *pelamidy*, a gdy dojdzie do Archipelagu, *tuńczykiem* się zowie. Przy tej zręczności wzmiankuje o rybach niepokazujących się w zimie i innych zwierzętach które, jak np. bobak czyli jego szczur pontyjski, ukazują się tylko w pewnych porach roku. Zna on nawet choroby ryb i pod tym względem daleko nas za sobą zostawił.

Zastanawiając się nad przemyślnością różnych zwierząt, opisuje podstęp którego używa żaboryb (*baudroie*) dla zwabienia drobnej rybki potrzebnej do swego utrzymania, to jest, że rozpuszcza swe wąsiki tak, iż się zdają być robaczkami. Wspomina też o chytrym sposobie unikania wrogów swoich, którego używa sepia, zamącając wodę czarną cieczą z siebie wypuszczoną. Wzmiankuje jeszcze o silnych uderzeniach któremi trętlik się broni, gdy go ująć chcemy. Doszedłszy do owadów, zatrzymuje się nad niektórymi, mianowicie nad pajakami przyrządzającymi sobie z wielką zręcznością sieci dla łowienia muszek, których

kwę wysysają. Potém przechodzi do ptaków, rozbięra rozmaite sposoby budowania gniazd, naznacza gatunki które gniazd nie ściera, i przytacza kukulkę znoszącą jaja w obce gniazdo. (1)....

.....

.....

Stan nauk przyrodzonych po śmierci Alexandra W.— Teofrast.— Ptolomeusze.

(Z tegoż tomu rozdz. VIII).

Arystoteles nie samemi tylko pismami wzbogacił nauki; przyczynił on się również do ich wzrostu i rozpowszechnienia, wpływem wynikającym z wysokiego stanowiska towarzyskiego na jakim się znajdował. Będąc nauczycielem Alexandra, wpoił weni smak do nauk przyrodzonych, i za jegoto zapewne radę, towarzyszyli temu młodemu zdobywcy w jego wyprawie uczeni, a w ich pracach i on sam brał udział. Gdyby nie ta przezorna troskliwość, podboje Alexandra nie więćjby się były do postępu nauk przyrodzonych przyczyniły, jak wyprawa 10^{ciu} tysięcy, i nie możnaby było zastąpić bajecznych podań Ktezyasza, opisami prawdziwych faktów, które zebrali uczeni mający wszelką łatwość należytego zgłębnienia rzeczy. Między uczonemi towarzyszącemi Alexandrowi, odznaczał się *Kalistenes*, który jeszcze w Grecyi napisał dzieło o roślinach, i drugie o anatomii, a w tém ostatniém wnętrze oka daleko lepiej jest opisane, niż u poprzedników jego.

(1) Gall utrzymuje że kukulka nie wysiaduje piskląt dlatego, że jej brak wyniosłości na czasce miłość macierzyńską oznaczającą. Inni zaś twierdzą, że osobliwy kształt brzucha kukulki, tego szczególnego zjawiska jest przyczyną.

(*St. Azy*).

Znakomity nasz badacz przyrody, hr. Konst. Tyzenhauz, trafniejsze od powyższych uczynił spostrzeżenie: mówi on, że długa przerwa między jedniem a drugim znoszeniem jaj kukulki, zdaje się być przyczyną konieczności składania ich w obce gniazda; pierwsze albowiem jaja zniesione w kwietniu, uległyby zepsuciu, nimby się ostatnie w lipcu zniesione wykluło; a obok tego robi uwagę, że kukulka pomiędzy owadożernemi ptakami jedynym jest przykładem wielomęztwa; wiadomo zaś, że same tylko ptaki w jednożeństwie żyjące w wysiadaniu i karmieniu potomstwa kolejno się wyręczają; jakowa okoliczność już sama przez się tłumaczy dostatecznie macierzyńską obojętność kukulki. Ob. *Ornit. powszechna T. II, str. 168, 169 w przypisku.*

(T).

Tragiczna śmierć tego badacza, nie dozwoliła żeby nas doszedł owoc spostrzeżeń jego na Wschodzie. Lecz domyślać się można, że aż do chwili, w której popadł w niełaskę, pisywał ciągle do Arystotelesa, będącego jego krewnym i mistrzem, i że tym sposobem poszukiwania jego nie były stracone dla nauk. Zresztą, zdobycia Alexandra mają zupełnie odrębną cechę. Większa część napadów o których dzieje wspominają, były sprawą tłumów nawpół dzikich, rzucających się na ludy ukształcone i zalewających je ciemnotą i barbarzyństwem. Wyprawa Alexandra przedstawia nam przeciwnie naród już wysoko wykształcony, niosący światło do krajów do których wkracza, a biorący nawzajem od zwyciężonych to, co posiadają pięknego i pożytecznego. W téjto wyprawie Grecy odkryli słonie, które wkrótce użytymi były z wielkiem powodzeniem w wojskach książąt Zachodu. Z téj samej wyprawy przywiezli pawie, których lśniące pióra tak podziwiali Grecy, że je pokazywano za opłatą. Ona również dostarczyła papug, których gatunek najpiérwój poznany, nosi nazwisko przypominające czas ich wprowadzenia: mianują go naturalisci *papugą Alexandra*; przy upierzeniu zieloném ma on szyję szkarłatną, długi ogon żółtawo-zielony i jasno zielonkowane podbrzusze.

Państwo Alexandra rozciągało się od Adryatyku do rzeki Indus, a jednak badania naukowe za jego panowania czynione, obejmowały większy jeszcze obszar. Spuściwszy się Indusem rozkazał admirałowi swojemu Nearkowi płynąć dalej, i przydał mu za towarzysza filozofa Onezykrytesa. Flota przebywając morze nieznane Grekom w kierunku na zachód, przybiła do przystani Harmozya blisko ujścia zatoki Perskiej. Po drodze często miała stosunki z mieszkańcami nadbrzeżnemi i w sprawozdaniu z téj podróży znajdują się opisy roślin i zwierząt ziemskich i wodnych spostrzeganych na miejscach do których przybijano. Jest tam wzmianka o drzewie bawełnianém i o pożytku, który Indyanie z jego puchu odnoszą używając go na edzież. Opisany także tygrys królewski czyli pręgowany i wieloryb, którego kości szczękowe służyły nadbrzeżnym mieszkańcom w budowlu domostw.

Po przedwczesnej śmierci Alexandra w roku 324 przed Chr. obszerne państwo jego podzielone było przez naczelników wojsk, którzy wydzielali sobie nawzajem różne jego części, i wielkie z tego powodu zamieszanie powstało. Lecz po zabiciu Perdykasa przez własnych żołnierzy, i gdy późniój Antygon z synem swoim Dymitrem Poliorcetem pobici zostali w Frygii pod Ipsus, utwo-

rzyło się troje królestw, które zdawały się zapowiadać długą trwałość. Kassander panował w Macedonii, Seleukus w Syrii i krajach przyległych, Ptolomeusz w Egipcie. Piérwszy, jak się zdaje, sam jeden nie lubił nauk i umiejętności. Uciemieżał Ateny i zmniejszył w nich upodobanie do nauk. Dwaj inni królowie inaczej postępowali, opiekowali się naukami, a nawet sami z pewnym powodzeniem uprawiali je. Ptolomeusz syn nałożnicy Filipa, Arsynoi, a tém samém brat naturalny Alexandra, był naczelnikiem jego wojsk i napisał sprawozdanie o jego zaborach, po dług którego Adrianus ułożył historiją Alexandra.

Ptolomeusz i Seleukus założyli każdy osobno księgozbiór na wzór mistrza swego Arystotelesa, a może nawet to robili w skutek rad jego dawniejszych. Przed Arystotelesem zbierali wprawdzie niektórzy księgi dla rozrywki swojej, lecz nikt nie miał wyobrażenia o dzielnej pomocy, którą zbiory ksiąg mogły być dla ćwiczących się w naukach, i jak dalece tém samém mogły przyczynić się do wzrostu tychże nauk. Arystoteles piérwszy zbierał księgi, żeby się ich mógł radzić według potrzeby. Cały jego księgozbiór, zapewne wielki, Ptolomeusz nabył od Neleusza i wcielił do biblioteki alexandryjskiej.

Państwo Seleuka obszerniejszém było od tamtych dwóch, lecz wkrótce rozpadło się na części, z których powstały królestwa: Pontu, Kappadocyi, Pergamu, Baktryany i Bitynii.

Najmniejszém było królestwo Ptolomeusza, ale téż za to było najspokojniejszém, i wkrótce doszło do wysokiego stopnia pomyślności, w skutek tych samych przyczyn, które pod panowaniem dawnych dynastyj, Egipt kwitnącym uczyniły. Podbojami rozszerzyło się królestwo ku południowi, i było krajem najbogatszym, najwięcej przemysłowym i ze wszystkich, które składały państwo Alexandra, najlepiej urządzonym. Ptolomeusz założył swój księgozbiór w Alexandryi, które to miasto chociaż dopiéro co powstające, zapowiadało już przyszłą wielkość swoją. Zgromadził tam z różnych stron uczonych, zapewnił im przyzwoite utrzymanie przy bibliotece, aby się mogli oddawać bez przeszkód uprawie nauk i filozofii. Zakład ten, *muzeum* zwany, cieszył się od samego początku dziwnie przyjaznemi okolicznościami, albowiem oprócz światłej opieki założyciela swego i pomocy wypływającej z księgozbioru, wielkie odnosił korzyści z geograficznego położenia swego. W krótkim czasie Alexandrya stała się ogniskiem całego handlu morza Śródziemnego, Arabii, Afryki środ-

kowej, Persyi i Indyj; przybywali tam podróżni i sprowadzano płody najrozmaitsze ze wszystkich stron świata. Tym więc sposobem, uczeni muzeum mogli szybko rozszerzyć dziedzinę nauk. Nadmienić tu wypada, że postęp ten był dalszym ciągiem umiejętności greckiej, nie zaś egipskiej; uczeni bowiem których sprowadził Ptolomeusz, przybywali z Grecyi i przynosili z sobą wiadomości daleko wyższe od egipskich, które przez ucisk i domowe rozruchy, oddawna już zupełnie prawie zniszczone były.

Syn i następca Ptolomeusza Lagusa, *Ptolomeusz Filadelf*, rozpoczął w 285 r. przed Chr. czterdziestoletnie panowanie swoje i wspierał nauki pełną światła szczodrobliwością. Nauczycielem jego był *Straton*, uczeń Arystotelesa, dla wielkiego zamiłowania w naukach przyrodzonych *fizykiem* zwany. Uczeń jego Filadelf naśladowując mistrza z wielkim zapalem oddawał się tej nauce; będąc charakteru spokojnego i niewiele mając zdrowia, w nauce szukał wynagrodzenia rozkoszy, do których przyroda odmówiła mu zdolności. Straton ułożył księgę o rzeczywistych i bajecznych zwierzętach której nie posiadamy. Ptolomeuszowi Filadelfowi winniśmy pierwszy zbiór żywych zwierząt czyli *zwierzyniec*, który razem był najbogatszym ze wszystkich jakie kiedykolwiek istniały.

Ten monarcha, prócz tego, że rozporządzał niewyczerpanemi skarbami, wielką miał łatwość w sprowadzaniu rozmaitych zwierząt kuli ziemskiej, z powodu szczęśliwego położenia stolicy swojej. Handel Egiptu z wnętrzem Afryki ułatwiał otrzymywanie zwierząt tego kraju lądem lub po Nilu; zwierzęta Azji mniejszej i Europy przybywały morzem Śródziemnym, a indyjskie Czerwonem. Szczegóły igrzyska, które wyprawiał na cześć swego brata, zapisane w historii, mogą nam dać wyobrażenie o bogactwie jego zwierzyńca. Ptolomeusz Soter przechodził Indye w czasie wyprawy Alexandra, chciano więc przypomnieć to zdarzenie, wystawiając na tym obchodzie tryumf Bachusa. Grono towarzyszące bożkowi przedstawiało tak rzadką rozmaitość zwierząt, że wszyscy władcy Europy nie byłiby w stanie dzisiaj coś podobnego uczynić. Widziano tam słonie, białe jelenie indyjskie, bawoły, strusie, Antylopy z gatunku *Oryx* zwanego, do wozów zaprzężone; były wielbłądy objuczone pachnidłami, kadzidłami i innymi kosztownemi płodami Wschodu, owce etyopskie, pantery, irbisy (*Felis uncia*), lamparty, nosorożce, dwadzieścia cztery lwów naj-

większego wzrostu i niedźwiedzie białe. Długi czas dziwiono się, że te ostatnie mogły się znajdować na téj uroczystości; nie znając innych nad te, które wśród lodowatych mórz mieszkają; nie pojmwano jakim sposobem król Egiptu, mógł je z tamtych stron sprowadzić. Niedawnemi czasami Rüppel wyjaśnił tę trudność, nauczając nas, że niedźwiedzie białe znachodzą się na Libanie; z tychto zapewne gór, pochodziły Ptolomeuszowe.

Łatwo pojąć jak wielkiój był wartości dla badaczy przyrody zwierzyniec tego władcy. Tém zaś był użyteczniejszym, że od dawnych czasów zwyczajem było w Egipcie hodować po świątyniach rozmaite zwierzęta których obyczaje badano za życia, a po śmierci balsamowano ich zwłoki. Nauka zatem już poniekąd rozwinięta, nowy wzrost brać mogła. To téż Aleksandrya słynęła anatomami i zoologami znakomitemi, podczas przewagi filozofii perypatetycznej.

Lecz teraz należy nam się wrócić do Aten i zastanowić nad rozwojem filozofii po śmierci Arystotelesa, która jak wspomnieliśmy, nastąpiła w roku 322, przed Chr., tojest w tym samym roku, w którym Demostenes zakończył życie, aby się uwolnić od prześladowań Antypatra. Już przedtém jarzmo Macedończyków przyniatało Grecyą; lecz po śmierci Arystotelesa i Demostenesa Ateny rzeczywiście poddały się królowi macedońskiemu. Zachowawszy jednak udzielność swoje i wewnętrzne urządzenie, co je stawiało w położeniu podobném poniekąd do niektórych miast Cesarstwa niemieckiego, posiadały zawsze szkoły kwitnące o tyle, o ile być mogło przy rozruchach. Temi szkołami były: *Akademia* w której panowały wyobrażenia Platonowe, *Liceum*, gdzie trzymano się metody Arystotelesa, i *Szkoła Portyku* w ręku sekty Cyników zostająca.

Najsławniejszym w szkole Liceum był *Teofrast*, o czternaście lat młodszy od Arystotelesa. Urodzony w Erezie na wyspie Lesbos, był jak powiadają, najprzód uczniem Platona, nim wstąpił do szkoły Arystotelesa, przyjaciela swojego i mistrza. Nazywał on się właściwie *Tyrtamem*, a miano Teofrasta, co znaczy *mówca boski*, nadane mu było przez założyciela Liceum dla jego wymowy, która zaiste wielką być musiała, kiedy mogła jak podają, zjednać mu dwa tysiące uczniów. Mówią, że gdy zapytywano Arystotelesa kogoby chciał naznaczyć po sobie przewodnikiem swéj szkoły, dał do zrozumienia, że przenosił Teofrasta; kazał sobie bowiem podać wina rodyjskiego i lezbijskiego i powiedział: że pierwsze

choć jest mocne, woli jednak drugie, bo słodsze i lepsze. Otoż Teofrast był Lezbijczykiem, a współzawodnik jego Menedem pochodził z Rodu.

Teofrast podobnie jak mistrz jego był prześladowanym; niejaki Sofokles, pod te czasy pretor, oskarżył go o bezbożność i dał powód do skazania go na wygnanie, wraz z innemi filozofami roku 306 przed Chr; lecz wkrótce Teofrast został przywołanym, a oskarżyciel jego wygnanym. Teofrast, naglony przez Ptolomeusza Lagusa żeby w Alexandryi osiadł, wolał zostać w Atenach dla przewodniczenia w Liceum. Wytworną uposażony wymową, słodki w obejściu, czystego żywota, dobroczynny i dbały o przyzwyczajenie, był przedmiotem miłości i uwielbienia współziomków swoich. To téż gdy umarł, mając lat 85, a podług innych 107, wszystek lud ateński towarzyszył pogrzebowi jego. Przekazał dom przyjaciołom swoim z warunkiem, żeby go nigdy nie sprzedawali, a schadzali się w nim dla biesiady literackiej lub filozoficznej. Piérwszy to był przykład zapisu na cel naukowy, przez prywatnego człowieka uczynionego; naśladował on w tém o ile mógł Ptolomeusza Lagusa, jeszcze za jego życia. Zostawił także przyjaciołom swoim ogród, w którym był nagromadził znaczną ilość roślin zagranicznych i krajowych; lecz ponieważ szkło nie było jeszcze tyle upowszechnioném, żeby pomyślano użyć go do budowy cieplarni, to téż roślin podzwrotnikowych mało tam było. Opisy Teofrasta przedstawiają niedostatki, które właśnie pochodzą z braku tego sposobu postrzegania ich z natury; jednak jego ogród botaniczny wielką był bez wątpienia pomocą dla nauki. Widzimy, że i ten zakład naukowy, najpiérwszy w swoim rodzaju, do szkoły Arystotelesa należy.

Oprócz księgi o *charakterach* którą naśladował La Bruyere (1), napisał Teofrast mnóstwo innych o roślinach, zwierzętach, kopalinach i t. d. Według Dyogenesa Laërcyusza, który nam zachował część ich napisów, liczba tych ksiąg dochodziła do dwóchset. Posiadamy najznakomitsze i niektóre z mniej ważnych. Odznaczają się wszystkie metodą doskonałą, wielkim dowcipem, trafnością i niepospolitą wytwornością wyrażenia.

(1) Przekład tego dzieła La Bruyera dał nam hr. Franciszek Podolski w Warszawie u Dufoura 1787 r. in 8vo, tomów 2. Mamy także tłumaczenie *Charakterów* Teofrasta p. ks. Zacharyaszewicza, w dziele pod tytułem: *Krótki zbiór starożytnych moralistów*. W Łowiczu 1784 i 1787. (T.).

Ze wszystkich pism Teofrasta, które do nas doszły, najznakomitszym jest *Historia roślin*. Układ taki sam jak *Historii zwierząt* Arystotelesa. Na wzór jego zaczyna od części roślin, które dzieli na korzeń, łodygę, gałęzie i gałązki. Robi uwagę, że różne te części nie u wszystkich roślin się znajdują, uwaga ta tym jest słusniejszą, że umieszcza i to bardzo sprawiedliwie, trufle i grzyby pomiędzy roślinami. W każdej części rozróżnia korę, drzewo i rdzeń. Opisuje części roślin powierzchowne jakoto: kwiat, szypulkę, liść i wąsy; mówi też o dębiankach, co się tworzą od zakłócia owadów. Następnie przechodzi do części wewnętrznych, do mięszu, nerwów, żył i soków.

Teofrast używa zawsze, naśladowując Arystotelesa, pewnej metody dla uporządkowania przedmiotów które rozbiera; lecz mu się to nie tak dobrze udaje jak mistrzowi jego. Przyczyną tego jest bez wątpienia, że zadanie jego trudniejszym było: cechy bowiem według których można rozdzielać rośliny na rozmaite gromady, nietylę wpadają w oczy, co piętna służące do podziału zwierząt; zasada on swój podział roślin na samym tylko ich wzroście i zbitości. Tworzy tym sposobem cztery wielkie gromady, których używano aż do odrodzenia się nauk; gromadami temi są: *drzewa, krzewy, podkrzewy i zioła*.

Zastanawia się nad rozmaitemi własnościami drzewa i rdzenia; opisuje różne kształty korzenia; rozróżnia kształt gałęzisty, wrzecionowaty, bulwiasty czyli guzowaty i przywodzi przykłady każdego z tych kształtów.

Stanowi zasadę ogólną, że korzenie roślin nie zapuszczają się nigdy dalej w ziemię jak do głębokości w której jeszcze ciepło słońca uczuwać się daje. Liście dzieli podług wielkości, kształtu i położenia. Dostrzega bardzo trafnie, że ich strona odwrotna daleko większą posiada zdolność wsysania od wierzchniej. Wspomina o narzędziach owocowania, rozróżnia kwiaty nadowocowe i podowocowe i wylicza rozmaite gatunki nasion. Wspomina o rozmnażaniu się roślin za pomocą korzeni, rozłogów i odziomków. Porównywa rośliny dzikie z uprawianemi i dowodzi, że te ostatnie nie utworzyły się przez wyrodzenie dzikich; że na przykład błędem jest, żeby żyto miało pochodzić od jęczmienia zmienionego przez uprawę, jak to niektórzy nieświadomi rzeczy dziś jeszcze utrzymują. Zastanawia się nad wpływem gleby i klimatu na urodzajność roślin i nad innemi okolicznościami podobny skutek wywierającemi; i tak tłumaczy kapryfikacyą, za pomocą któ-

rój otrzymujemy większą ilość owoców fig, a która zależy na tém, że się kładzie na drzewo małe owady (1), które zapuszczając się w kwiaty zapładniają jajniki (2). Mówi także jak się zapładnia palma daktylowa samiezza, potrząsając nad nią gałązki palmy samczej. Wspomina o palmach znajdujących się w krajach podzwrotnikowych, a pomiędzy nimi wyszczególnia palmę rosochatą, rosnącą w wyższym Egipcie. Dalej, gdzie rzecz idzie o drzewach leśnych, naucza, jak się rozradzają w oddalonych miejscach za pomocą wiatrów, nawodnień i t. p. Rozróżnia drzewa rosnące na górach, od mieszkających po dolinach; wiecznie zielone od rojących liście, i kiedy opadanie liścia następuje w różnych gatunkach. Wskazuje czas wstępowania soków, porę owocowania. Nareszcie prawi o względnej szybkości rozwijania się każdej rośliny. Pomędzy opisanemi drzewami dostrzegamy mimozę czyli akację prawdziwą, dalej czulek (*Noli me tangere; Mimosa sensitiva*) odmienne od małego gatunku, który w naszych cieplarniach hodować zwykli. Poznajemy jeszcze kilka gatunków jakoto: cytrynowe drzewo, które nazywa jabłonią ciernistą Medyi; owoc téj rośliny, jak podaje, nie służy do jedzenia, lecz skórki jego używają dla zaprawienia przyjemną wonią sukni; dalej figę braminów, której gałęzie zwracają się do ziemi, tam przemieniają się w korzenie, z tych zaś znowu wyrastają gałęzie i t. d., następnie drzewo bananowe, o długich liściach naśladowujących strusie pióra; nareszcie drzewo hebanowe i bawełniane. Ostatnie znane było od czasu wyprawy Alexandra, lecz do Grecyi go nie wprowadzono.

Mówi téż o morskich roślinach i mieści gąbkę obok porostu, chociaż mu wiadomo, że ma niejakie podobieństwo do zwierząt. Opisując rośliny wód słodkich, namienia o papirusie tak pożytecznym podówczas, kiedy jeszcze pargaminu nie znano, o lotusie, rodzaju grzybienia bardzo pospolitego po kanałach egipskich.

Zastanawia się nad trwałością roślin i ich chorobami, nad wiekiem w którym je ścinać należy, nad owadami pożerającemi rośliny, i przy téj zručności opisuje poczwarkę jeionka mieszkającą pod korą dębiny. Utrzymuje, że na wyspie Korsyce drzewa najwyższego dochodzą wzrostu.

(1) Sąto owady błonkoskrzydłe z rodzaju galasówki, *Cynips pennes* Ltn. (T).

(2) Owady te nie mają własności zapładzania, lecz zaoszczędzają mimowolnie pyłek kwiatowy (pollen) do zapłodnienia potrzebny. (St. Azy).

W szóstej księdze swojej historii roślin, mówi o krzewach, podkrzewach i roślinach kwiatowych; w następnej o roślinach warzywnych i niektórych polnych; w ósmiej o zbożowych i groszkowych; spostrzegamy, że kukurudza już wtedy znaną była. W dziewiątej, Teofrast wspomina o sokach co je z niektórych roślin otrzymujemy, jak np. mirrę, kadzidło, smołę, dziegieć, żywicę, gumę. Wzmiankuje też o niektórych przyprawach korzennych, szczególnie o cynamonie, o roślinach lekarskich, np. o ciemierzycy, której za jego czasów daleko więcej jak dziś używano.

Ta historia roślin jest niejako naśladowaniem historii zwierząt Arystotelesa, lecz o wiele jest niższą od swego wzoru. Lubo Teofrast wiele miał rozumu i nauki, niedostawało mu jednak geniuszu Arystotelesa. Napróżno szukamy w jego pismach tych pięknych i dokładnych zasad ogólnych, które podziwialiśmy w jego mistrzu. Podziały Teofrasta ustąpiły miejsca innym, mianowicie Linneusz wszystko niemal zatarł, gdy tymczasem Arystotelesowe prawie się wszystkie ostały.

Wszelako historia roślin nie jest bez zalet: zawiera ona wiadomości o czterystu blisko gatunkach, a liczba to niemała jak na pierwszą botanikę. Między temi gatunkami znajdujemy wielką ilość drzew leśnych, kilka owocowych, prawie wszystkie rośliny warzywne, zbożowe i niektóre rośliny indyjskie, które dopiero w XV wieku odszukano na nowo.

.....

Anatomia. Sylwiusz. -- Wezaliusz i jego dzieła.

(Z tomu II rozdz. I).

.....

 Sławniejszym od Etiena był professor *Jakób Diuboa* (Dubois) znany pod nazwiskiem *Sylwiusza*; był on jednym z pierwszych uczniów Gontiera, a tym sposobem, stał się nawzajem nauczycielem wielu uczniów swego mistrza. Słynął w Paryżu od 1531 roku. On pierwszy przełożył dzieła Hipokratesa i Galena z pierwowotników, nietylko co do anatomii, lecz co do całej nauki lekarskiej. Opowia-

dają, że miał czterechset słuchaczy, gdy tymczasem sławniejszy od niego Fernel piętnastu do dwudziestu tylko liczył. Został on profesorem 1550 roku po śmierci Vidiusza o którym zaraz mówić będziemy. Do tego czasu prywatnie tylko nauczał. Księga jego *Isagogae in libros Hippocratis et Galeni*, jest komentarzem do starożytnych. On pierwszy nadał nazwiska muszkułom. Galen opisał wprawdzie muszkuły człowieka, lecz oznaczał je liczbami, np. pierwszy, drugi i t. d. muszkuł nogi lub ramienia, co bardzo utrudzało pamięć; Diuboa nadał każdemu osobne nazwisko. Oprócz tego, wiele zrobił odkryć. Pierwszy spostrzegł przedłużenie błony brzusznej do moszen. Początku żyły głównej szukał w sercu, kiedy jeszcze długi czas po nim szukano go w wątrobie. Wzmiankuje o zastawkach w żyłach, które później dokładnie opisane przez Fabrycjusza ab Aquapendente, doprowadziły Harweya do odkrycia krążenia krwi. Zawsze jednak Sylwiusz pierwszy zrobił to ważne spostrzeżenie; a że nie zaraz przyniosło owoce, winni są temu następcy jego, którzy się niedość nad ważnością jego zastanawiali. Często się zdarza widzieć w umiejętnościach, że pierwsze odkrycie, które powinnyby w prostém następstwie dać początek drugiemu, zostaje w odosobnieniu do pewnego czasu, bo związek i następstwo, najprostsze na pozór gdy je już poznamy, długo dostrzeżonemi nie były. Opisał także Sylwiusz przyrostek robaczkowy kątnicy, i część wątroby zwaną dzisiaj zrazikiem Spigeliusza, chociaż ten anatom nastąpił dopiero w 60 lat po Sylwiuszu. *Isagogae* nie były drukowane aż po śmierci 1555 roku. Zostawił on jeszcze inne dzieło pod napisem: *Librorum Galeni de ossibus Commentarium*; wyszło w r. 1561, to jest również po śmierci jego. W tym czasie zaczęto poszukiwać, czy Galen opisywał człowieka, czy zwierzęta. Galen nigdzie nie mówi, że opisywał człowieka, lecz, że w wielkiem był poważaniu u lekarzy, więc nie chciano przyznać, żeby tylko zwierzęta były przedmiotem jego badań. Wezaliusz pierwszy odważył się wystąpić z tém zdaniem wbrew wszystkim lekarzy Europy; Sylwiusz zaś, mistrz Wezaliusza, widząc go powstającego przeciw Galenowi, bronił Galena z dziwną żywością i gwałtownością. Znajoma jest szorstkość owoczesnych rozpraw literackich; nie lepiej się działo co do anatomii. Gburowatość Sylwiusza była niesłychaną. Był on bardzo cierpkim odludkiem. Mówią także że był niesłychanie skąpym, a ztąd powstał dwuwiósz Buchanana, przyczepiony do bramy kościoła w dzień jego pogrzebu:

Sylvius hic situs est gratis qui nil dedit unquam,
Mortuus et gratis quod legis ista dolet.

(Tu spoczywa Sylwiusz, który darmo nie nigdy nie dał nikomu. Umarł, a że to czytasz darmo, i to go boli).

Najpierwszym anatomem tego czasu, i że tak rzekę księciem wszystkich anatomów, był uczeń Gontiera i Sylwiusza *Jędrzej Wezaliusz* urodzony 31 grudnia 1514 w Bruxeli. Ojciec jego był aptekarzem cesarza Maxymiliana. Przodków i wielu krewnych miał lekarzy, którzy przybrali nazwisko od rodzinnego miasta Wezel w Kliwii. Wezaliusz gruntownie pobierał nauki w Lowanium, gdzie oprócz humaniorów i filozofii uczył się języka greckiego. Potem udał się do Mapelie, dla nauki lekarskiej. Mapelie w tym czasie służyło jako siedziba medycyny arabskiej, wydoskonalonej znajomością pism lekarzy starożytnych. Przybył później do Paryża, aby się jeszcze doskonalić w sztuce lekarskiej pod Gontierem, który poniekąd był ziomkiem jego i wziął go na prosektora; uczył się także od Sylwiusza i Fernela, a mając lat 22, odkrył naczynia nasienne. Narażał się na wielkie niebezpieczeństwo, szukając trupów po cmentarzu, a nawet pod szubienicą (1). W roku 1536 wezwany został do Lowanium. Cesarz Karol V mianował go naczelnym lekarzem armii, podczas wojny którą prowadził z Franciszkiem Iszym w Pikardyi i Prowancyi. Wkrótce potem schronił się do Wenecyi i wydał w 1539 r. kilka tablic anatomicznych, a rzeczpospolita Wenecka wezwała go na profesora do Padwy. W XVIym i na początku XVIIgo wieku, uniwersytet tego miasta, był najznakomitszą szkołą lekarską; ciągle jednym z najświetniejszych. Nauczał on tam od roku 1540—1549. Udał się najprzód do Bononii, następnie do Pizy, a w roku 1543 ogłosił pierwsze wydanie swojej wielkiej anatomii. A że w Bazylei najpiękniejsze były druki, więc tam Wezaliusz wydał dzieło swoje. Przedmowy napisanej w roku 1542 nie zmienił. Drugie wydanie, w niczem prawie niezmienione, zrobił 1555 r. Wszystko więc, co się zawiera w tój księdze pięknego i wielkiego, jest dziełem młodzieńca dwudziestoosmioletniego. Tablice były rytowane we Włoszech na drzewie, z rysunków bardzo doskonałych. Wiek XVIsty najbogatszym był w artystów: we Włoszech żyli Tycyan, Rafael i wszyscy wielcy mistrzowie. Utrzymują, że tablice Wezaliusza rysowane były przez Tycyana, a jeżeli nie przez niego samego, to przynajmniej przez jednego z najlepszych jego uczniów;

(1) Przepędzał dnie całe pośród trupów na cmentarzu Niewiniątek (des Innocens) który później na rynek zamieniono, lub na wzgórzu Mafoką. Byłto Bisza (Bickat) owoczesny. (St. Azy).

wątpię bowiem, iżby i dziś znaleźć można piękniejsze tablice co do samej sztuki rysowania: bywają może więcej wykończone i wydoskonalone, lecz wyższych pod względem piękności i sztuki pewno nie znajdziemy. W miarę jak je wykończano we Włoszech, przysyłano mu je do Bazylei. Udał się do tegoż miasta dla ogłoszenia drugiego wydania. W czasie tego pobytu złożył szkielet i podarował go uniwersytetowi bazylejskiemu, gdzie przez długi czas był zachowywanym. Nie wiemy czy się tam jeszcze znajduje ów pomnik kursu anatomicznego, który wykładany był w tém mieście przez największego z anatomów. Że drugie wydanie z 1555 roku w niczem się nie różniło od pierwszego, pochodziło to ztąd, iż Wezaliusz zostawszy nadwornym lekarzem Karola Vgo, nie miał już czasu zajmować się anatomią. Towarzyszył cesarzowi do Hiszpanii, i tam się właśnie znajdował gdy wyszło dzieło Fallopiusza, w którym go ten krytykuje. Hiszpania tak wtedy nisko stała pod względem anatomii, że w całym Madrycie, nie mógł znaleźć trupiej głowy i musiał z pamięci odpowiadać na zarzuty (1).

Zdarzył mu się w tym czasie bardzo nieszczęśliwy wypadek: rozbierał ciało szlachcica, którego leczył, dla przekonania się o przyczynie śmierci; lecz w chwili, gdy otworzył jamę piersiową, spostrzeżono, że serce jeszcze biło (2). Zgorszenie było okropne, przesładowano go jako lekarza co żywego rozbierał człowieka. Inkwizycja wmixszała się w tę sprawę. Darowano mu życie, lecz za pokutę rozkazano odbyć pielgrzymkę do Ziemi świętej. Jakoż w samej rzeczy udał się do Jerozolimy, zktąd go przyzywała nazad rzeczpospolita wenecka, chcąc mu napowrót powierzyć katedrę padewską, osieroconą po śmierci Fallopiusza w 1563 roku. Lecz w powrocie rozbił się z okrętem koło wyspy Zante, gdzie umarł z głodu mając lat pięćdziesiąt.

(1) To też sławni jego wydawcy Boerhaw i Albinus przyznają, że ta obrona nie jest godną jego; i tak się wyrażają: *Aulicis obnoxius totus obsequiis, haeret cerebro, vera negat, saepe minus proba asserit* i t. d.

(2) Można przypuścić, że jeden z widzów nachylony i oparty na trupie, mógł spowodować przyływ krwi żylnéj do przedsióneków; niewyraźne drganie, lekki ruch falisty ztąd pochodzący, mogły być wzięte za znak życia i wywołać okrzyk przerażenia, który z radością powtórzyli nieprzyjaciele Wezala, ucieszeni że mieli sposobność zgubić go. Inkwizytorowie i muisi hiszpańscy, chwycili się chciwie téj zręczności pozbycia się uczonego, co się naśmiewał z ich ciemnoty, stroju i obyczajów. Padł więc jak Sokrates ofiarą téj walki to utajonéj to otwartéj, którą apostołowie błędu i kłamstwa po wszystkie czasy toczyli z badaczami przyrody i prawdy. (St. Azy).

Takim był koniec sławnego Wezaliusza. Prace nie zapełniły całego życia jego. Widzieliśmy, że w 28 roku wszystko już było skończone, gdy napisał swoje anatomię: *De humani corporis fabrica*. Podzielił ją na 7 ksiąg. W pierwszej opisuje kości; wizerunki przyłączone, są doskonałe; co chwila zbija Galena. Niepodobną też było rzeczą, robiąc spostrzeżenia bezpośrednio z natury i porównyując je z pismami sławnego lekarza pergamskiego, nie dostrzedz zaraz, że Galen nie opisywał kości ludzkich. Wezał dowodzi, że Galen opisując w szczęce kość nacinającą, jako część oddzielną, musiał mieć przed oczyma szczękę zwierząt: u człowieka bowiem, między korzeniem kła a drugim nacinającym zębem, nie ma szwu żadnego, nawet w płodzie, chybabyśmy mogli przypuścić, że się znajduje w stanie zarodkowym. Błąd również oczywisty znajdujemy co do kości krzyżowej i mostkowej. Opisy kości podniebieniowej i sitowej podane przez Wezala, nie są już tak dokładne jak poprzedzające; to też te kości najtrudniejsze są do opisania. Odrzuca on błędne starożytnych mniemanie, jakoby śluz z mózgu do nosa zstępował, i okazuje, że między mózgiem a jamą nosową żadnego nie ma przewodu spółkującego, jednak to mylne mniemanie, długo się jeszcze utrzymywało. Druga księga mówi o muszkułach: są one tam lepiej opisane niż u wszystkich jego następców, aż do Winsłowa. Wizerunki ich bardzo są piękne, lecz drobne muszkuły krtani i twarzy źle opisuje, co złąd pochodzi, że chociaż tak cierpko wymawiał Galenowi opisywanie ciała ludzkiego podług spostrzeżeń robionych na zwierzętach, jednak sam co do drobniejszych przedmiotów, zwierzętami się posługiwał. To szczególnież widoczném jest w opisie miejsca (placenta), które oczywiście wziął z sukki, i słusznie mu za to robią wyrzuty. W dziele swoim on pierwszy opisał wiązadła stosu pacierzowego.

Trzecia i czwarta księga poświęcone są naczyniom i nerwom. Tu mniej już widzimy dokładności, nie umiał bowiem robić wtryskiwań, a jednak opisy te bardzo były szacowne w swoim czasie. W piątej opisuje wnętrze brzucha: niektóre trzewia bierze ze zwierząt jak np. macicę i wątrobę, a sprawy ich lepiej od poprzedników swoich opisuje. W szóstej, mówi o piersiach, zastawkach sercowych i ich przeznaczeniu, co zdaje się powinno go było naprowadzić na odkrycie krążenia krwi. Widać tu znowu, że rozbiérał tylko zwierzęta, bo kość którą w sercu człowieka mieści, znajdujemy tylko u przeżuwających i u innych czworonożnych zwierząt. Położenie serca lepiej oznacza mieszcząc je nie w pośrodku jak dawniej czyniono, ale nieco z lewej strony kości mostkowej. Rysunki jego nie były

jednak robione podług człowieka. Siódma księga zawiera głowę i mózg: rozróżnia istotę mózgu korową od rdzenistej i rozek zstępujący komórki mózgowej; odrzuca siatkę cudowną i przedłużenie komórki przedniej w nerw powonienia. Dostrzegamy także, że znał sposób przywracania ruchu serca za pomocą nadymania płuc i kilka innych doświadczeń fizyologicznych, chociaż właściwie w dziele swoim nie mieści fizyologii. Dla piękności wizerunków dzieło to od razu stało się klasycznym, a wytworność łaciny odpowiada poprawności rysunku.

Zawziętość z jaką wyrzucał błędy Galenowi, który od czasu Arabów był bożyszczem w sztuce lekarskiej, ściągnęła nań nienawiść wszystkich lekarzy i anatomów tego czasu. Widzieliśmy z jaką zaciekłością powstał na niego dawny jego nauczyciel Sylwiusz; dla obrony swojej napisał Wezaliusz książkę pod napisem *De radice chinae* (1) drukowaną w Wenecyi 1546. Broni się po prostu przywołując wszystkie części ciała, które w człowieku inaczej są zbudowane jak u zwierząt, i na każdej dowodzi, że opis Galena odpowiada tylko zwierzętom. Ile razy opisuje części których skład jest taki sam u człowieka jak i u zwierząt, nie można dostrzedz podług czego opisywał Galen; lecz skoro tylko zachodzi między niemi różnica, zaraz się błąd staje widocznym. Przywiedliśmy jedynie dla przykładu samą kość szczękową, lecz możnaby bardzo wiele dodać podobnych uchybień. W dziele swoim Wezaliusz sam poprawia niektóre błędy. Lecz gwałtowność z jaką pisano przeciwko niemu, tak go zraziła do sporów literackich, że rzucił w ogień przygotowane zapiski swoje.

Fallopjusz następca jego w Padwie napisał dzieło: *Observationes Anatomicae*, w którym robi zarzuty Wezaliuszowi w sposób nieco odmienny od innych przeciwników, broniąc pod wielu względami zdań lekarzy starożytnych. Wezaliusz znajdujący się pod tę porę w Hiszpanii, odpowiedział mu w dziele pod napisem *Anatomicarum observationum Fallopii examen*. Ułożył je z pamięci, bo jak już wspominaliśmy, nie mógł w całym mieście znaleźć trupięj głowy. Porównywa on w tém dziele opisy Galenowe z samemi przedmiotami i dowodzi ile możności, że Galen opisywał tylko zwierzęta. Wspomina w niem także o niektórych odkryciach anatomów swego czasu; naprzykład o kości *strzemieniowej w uchu* przez Ingrassiasza znako-

(1) To jest o korze Chiny, którą świeżo wyleczono Karola V, a poczytywano ją za korzeń.
(St. Azy).

mitego wtedy anatoma spostrzeżonej. Oba dzieła wspomniane na końcu, to jest *de radice chinae* i odpowiedź na spostrzeżenia anatomiczne Fallopa, zawierają obronę Wezaliusza od zarzutów lekarzy co się mienili orędownikami Galena. Pewną jednak jest rzeczą, że wielkie dzieło Wezaliusza jest początkiem całej nowoczesnej anatomii. Dzieła Fallopiusza i wszystkich jego następców oparte są na niém. Od niego poczyna się prawdziwa anatomia ludzka, którą wydoskonaliliśmy i jeszcze doskonalimy. Wszystko co poprzedziło, może być ciekawym przedmiotem dla historii umiejętności: od wydania zaś Anatomii Wezaliusza łatwo już oznaczyć każde szczegółowe odkrycie i powiedzieć, co kto dodał do bogatego zbioru w jego dziele zgromadzonego i chronologicznie wykazać postępy umiejętności, aż do naszych czasów.

W następnym rozdziale zastanawiać się będziemy nad współczesnemi Wezala, i dojdziemy aż do odkrycia krążenia krwi na którym zamknie się historia szkoły włoskiej. Harvey, chociaż był Anglikiem z rodu, pobiérał nauki głównie w Padwie, a co do wielkiego odkrycia jego, możnaby powiedzieć, że rozwinął tylko wyniki w nauce mistrza swego Fabrycyusza ab Aquapendente zawarte.

Palissy.

(Z tegoż tomu, rozdz. IX).

.....

Bernard Palissy, współczesny niemal tych wszystkich autorów o których dotąd mówiliśmy, wprowadził do Francji wiadomości mineralogiczne; był on nadto jedynym prawie w tym kraju człowiekiem co je posiadał. Urodził się w dyecezyi Aginneńskiej (Agen) 1499 r., w bardzo ubogim stanie i nawet po łacinie nic nie umiał. Pierwiastkowo zajmował się miernictwem praktycznym, rysunkiem i malowaniem obrazów świętych; przebiegł, szukając sobie sposobu do życia, całą niemal Francję. Udarowany umysłem chciwym wiadomości, gdzie tylko przybył, zajmował się badaniem płodów przyrody. Gdy mu się zdarzała zrzeczność, zabierał stosunki z aptekarzami i chemikami albo raczej alchemikami. Nabył tym sposobem dość wiele wiadomości, które stosował mianowicie do wyrabiania fajansu i różnych szkliv czyli emalii; jakoż założył rękodzielnię podobnych wyrobów, które dotąd dość są poszukiwane, chociaż barwy onych

mało przedstawiają różnaitości, a błękitna zbytnią nad innemi ma przewagę. Nazwał się wyrobnikiem naczyń glinianych i wynalazcą rustyków garncarskich. Księżę Mąmoransy (Montmorency) pierwszym był jego opiekunem; użył go do wyrabiania bruku i posadzki fajansowej, które zdobiły zamek Ekuński; jeszcze się resztki z niej pozostały; inne wyjęto i umieszczono po zbiorach. Wyrabiał on dla króla Henryka IIgo i niektórych jego następców, wazy różnej wielkości, półmiski i tym podobne naczynia, na których są wyobrażone szklivem rozmaite rysunki, do tego zaś używał rozlicznych istot, przez długie poszukiwania mozolnie wynalezionych; wizerunki te dzisiaj jedynie dla smakowitości rysunku na uwagę zasługują. Palissy który w podróżach swoich ciągle się w rysunku ćwiczył, zdaje się mieć uczucie sztuki, a przywiązał się szczególnie do pięknych utworów wielkich mistrzów XVI wieku, tak pod tym względem bogatego, jak żadna może inna epoka; zaiste, wielką to było zasługą, że garncarz z powołania, takie sobie wzory wybierał (1). Przyznano mu przywilej garncarza królewskiego, i pod tym tytułem mieszkał w Tiuleryach i prowadził dalej swoje rękodzielnię. Tym to sposobem uniknął rzezi śgo Bartłomieja, boć już w roku 1562 uwięziony został jako protestant. Laroszfukol i inni panowie, którzy sobie zamawiali u niego robotę, poradzili mu ukryć się w swojej rękodzielni w Tiuleryach i tém go ocalili. Lecz w czasie oblężenia Paryża przez Henryka IVgo, tudzież za panowania szesnastu, znowu był prześladowany. Księżę Mayen zaledwie zdołał ocalić mu życie, lecz nie mógł zapobiedz jego uwięzieniu w Bastylji (2), gdzie umarł 1589 r.

Palissy nie zajmował się wyłącznie sztuką garncarską; wykładał on także publicznie mineralogią (3), i na ten cel założył dość

(1) P. Lenoar (Lenoir) mniema, że Palissy malował według rysunków Rafaela okna zamku Ekuen, wyobrażające historią Psychy; ogłosił on 45 rycin z tych okien przerysowanych, w VI tomie swego dzieła: *Musée des monumens français*. (St. Azy).

(2) Henryk III (Walezyusz król polski) odwiedzając go w więzieniu, rzekł do niego: „mój poczeiwce, jeżeli się nie ugniesz pod względem twojej religii, będę przymuszonym zostawić cię w ręku moich nieprzyjaciół.” „Najjaśniejszy Panie” odpowiedział Palissy: „ci którzy cię przymuszają, nie na mnie nie wymogą; potrafię umrzeć.” (St. Azy).

(3) Tak był przekonany o prawdziwości zdań swoich, że kazał przybić oznajmienie na ścianie swojej szkoły, iż zwróci pieniądze każdemu coby mu ich mylności dowiódł. Wielu professorów w wielkiém znajdowałoby się niebezpieczeństwie, gdyby podobne obwieszczenie nad katedrą swoją przybić kazali. (St. Azy).

znakomity zbiór mineralogiczny. W podrózach swoich zebrał wszystko co mu się osobiwém wydało i uporządkował. Ze spisu przedmiotów tego zbioru widzimy, że posiadał wiele ciekawych stalaktytów, kopalin, kruszców, markasytów (1), a nadewszystko liczne skamieniałości. Przywiązał on się mianowicie do tych kamieni postaciowych. Onto piérwszy lub przynajmniej jeden z piérwszych utrzymywał, że muszle kopalne, które się znajdują po górach, są resztkami zwierząt morskich; dowodzi téż bardzo dowcipnie za pomocą nienaruszoności najdelikatniejszych nawet części owych konch tak kruchych, że nie mogły być tam zaniezione przez wody potopu lub nawodnienia, że żyły na tych samych miejscach, a tém samém, że morze spoczywało niegdyś na lądach gdzie je obecnie znajdujemy. Otóż widzimy początek, zarodek niejako, nowoczesnej geologii. Zajmowano się wprawdzie przedtém, w różnych dziełach traktujących o kamieniach, jużto starożytnych, jużto średnich wieków lub późniejszych czasów, zagadnieniami fizycznymi, odnoszącemi się bądź do przyrody różnych skał, bądź do tworzenia się kształtów lub głazów; lecz ogólne zagadnienie o ułożeniu się ogromnych warstw części stałych kuli ziemskiej, nigdy jeszcze rozwiązaniem nie było: a zaczęto o tém myśleć wtedy dopiero, gdy sobie zadawano pytanie, zkądby mogła pochodzić ta niezliczona ilość ciał organicznych, a nadewszystko miliardy muszel, znajdujących się w niektórych pokładach skorupy ziemskiej. Niektórzy utrzymywali, że to było wypadkiem igraszki przyrody, wynikiem sił przyrodzonych, zboczeniem potęgi żywotnej: Palissy wymiótł te błędy z dziedziny nauk. Jest on także jednym z ludzi, co największą przysługę rolnictwu uczynili, zalecając muszle tłuczone i margiel jako nawóz, czego się był nauczył w wędrówkach swoich po Santonii (Saintonge), gdzie tego rodzaju nawóz muszlowy w wielkiej się obfitości znajduje. Dzieło w którym mówi o tém, nosi nazwę: *Récepte véritable par laquelle tous les hommes de la France peuvent apprendre à multiplier et augmenter leurs trésors*; wydane było w Roszelli 1563. Drugie dzieło pod napisem: *Discours admirables de la nature des eaux et fontaines, tant naturelles qu'artificielles, des pierres, des terres, du feu, des émaux, avec plusieurs autres excellens secrets des choses naturelles*, również jest ważnem. W 1580 ogłosił rozprawę o marglu; inne nareszcie prace jego, zebrane zostały w nowém wydaniu jego dzieł, ogłoszoném w 1777 roku staraniem Foza de Sę fa (Faujas de Saint-Fond).

(1) Markasyt jestto siarczyk żelaza i miedzi.

(T).

Palissy nie posiadał nauk klassycznych: był on samouczkiem, a jednak jak widzimy stał się jednym z najpożyteczniejszych ludzi swojego czasu, rozprzestrzeniając we Francyi zamiłowanie do mineralogii, przyczyniając się do postępu rolnictwa i wywołując po raz pierwszy pojęcia o przewrotach kuli ziemskiej.

.....

.....

Fizjologia.

(Z tomu III rozdz. XI).

Niektórzy filozofowie wyprowadzają ideę życia z tożsamości bytu i działania; inni jak filozofowie przyrody, wyrazem życia, oznaczają wszystek ruch wszechświata. Przypuszczają oni życie powszechne, z którego każde jestestwo bierze początek i znów do niego wraca, gdy jako szczegół istnieć przestaje: i tak każdy z nas naprzykład jest zjawiskiem życia powszechnego, podobnie jak zjawiska wewnętrzne lub zewnętrzne ciała naszego, do naszego szczegółowego życia należą. Takim zaś sposobem, odnosząc życie nasze indywidualne do życia powszechnego nic nie orzekamy; jeżeli bowiem pojmujemy stosunek pojedynczych zjawisk ciała naszego z całością naszego jestestwa, a zechcemy dalej odnieść życie nasze indywidualne do powszechnego, otrzymujemy pojęcie oderwane, które nam nic nie objaśnia. Nie będziemy więc uważać życia jestestw jako zjawiska czyli objawienia życia powszechnego, lecz badać je będziemy w każdym gatunku albo raczej w każdój gromadzie w szczególności. Ograniczona w taki sposób fizjologia, przedstawia się nam z najciekawszej strony. Badając ciało żyjące w stanie najbliższym swojego początku, o ile je zmysły nasze dostrzedz zdołają, widzimy, czy to u ssących, czy téż u ptaków, kilka tylko atomów czyli cząsteczek nawpół płynnych przedstawiających wprawdzie kształt, lecz kształt odmienny od tego, który zwierzę kiedyś ma przedstawiać. W miarę wzrostu rozwijają się pierwiastkowe zarysy, kształt pierwotny staje się zawilszym, części mające wznieść się nad inne zaczynają kielkować, że się tak wyrazimy, i od reszty odznaczają, nie tak jak w kopalinach gdzie od zewnątrz nasiadają. Cały dalszy ciąg wzrostu tym samym trybem, to jest od wewnątrz ku zewnątrz, już się odbywa, chociaż cząsteczki zewnętrzne innemi drogami do wnętrza ciała się dostają. Wprowa-

dzenie nowych cząstek zewnętrznych sprawia wydalenie tych co poprzednio w ciało wstąpiły, za pośrednictwem odchodów, wyziewów lub oddechów, a ruch ten ciągły, tak się przez pewien przeciąg czasu urządza, że ilość cząstek wprowadzonych, przewyższa stale ilość wydalonych; w tymto czasie zwierzę rozrasta się na wszystkie strony. Lecz wkrótce rozwój się zmniejsza lub w innym odbywa się kierunku; nowe cząsteczki wstępujące w ciało, służą już tylko do powiększenia gęstości części których objętość doszła miary swojej. Nakoniec ustaje wszelki ruch i odtąd związek łączący między sobą różne części ciała rozrywa się, ginie, a cząsteczki ciała wracają pod panowanie powszechnych sił fizycznych. Kiśnienie, gnicie lub inny ruch podobny, rozdziela spojone przedtém siłą życia pierwiastki, z których każdy wraca do stanu z którego był wzięty; jedne stają się napowrót wodą, drugie w kształcie gazu ulatują w powietrze, inne nakoniec większej spojności, szukają sobie miejsca, opadając ku ziemi i z nią się łącząc.

Tak się nam przedstawiają zjawiska życia w ogólności. Widzimy że życie jest ciągłym mniej lub więcej szybkim ruchem, lecz ruch ten musi się odbywać koniecznie w ciele żyjącém, inaczej bowiem nie moglibyśmy pojąć tego ruchu. Za pojęciem życia, idzie więc koniecznie pojęcie ciała żyjącego; wszelako w ciele żyjącém ruch ten powszechny, sprawiający tyle różnych wydzielen, tyle różnych tworzący części, może nie dać początku zarodkowi nowego jestestwa: lecz to odnosi się do ważnego zagadnienia rodzenia, o którym później mówić będziemy. Obecnie zastanawiać się mamy nad samym tylko przedmiotem życia, to jest nad ciałem czyli tą machiną jestestwa żyjącego, w której się wszystkie ruchy żywotne odbywają, nad ich różnaitością i zawilnością, tudzież nad siłami które je wywołują. Różnaito o nich były zdania i te najprzód rozbiierać będziemy; przyczyny bowiem ruchu, najistotniejszą część fizjologii stanowią.

Widzieliśmy w dziejach fizjologii XVIIgo wieku, że szkoła na zasadach Kartezjusza oparta, pod przewodnictwem Sylwiusza Leboe, starała się zastosować prawdy chemiczne do zjawisk fizjologicznych, przypuszczała burzenie pochodzące z mieszania się cieczy, z których jedne kwaśnemi a drugie alkalicznemi być miały; z połączenia tych dwóch przeciwnych sobie cieczy, wyprowadzała ciepło zwierzące, rozmaite wydzielania i t. d. Degraaf, Takeniusz i inni lekarze, przyjęli ten system, i usiłowali stosować go do nauki lekarskiej; lecz poznano wkrótce, że się na samych urojonych opierał przypuszczeniach; dwaj mianowicie uczeni, badaniami swojemi nad sokami zwie-

rzęciami i roślinnemi, przyczynili się do obalenia jego; byłto Bonius professor lipski i Boerhaw, którzy dowiedli, że nie ma ani kwasu, ani alkali, tam gdzie je Sylwiusz przypuszczał, i że dopiero po śmierci, przez kiśnienie powstają. W XVIIIym wieku nauka Sylwiusza mało już liczyła stronników: wznowił ją jeden tylko Wiessan (Vieussens) professor w Mapellie, o którym jeszcze w dziejach anatomii, mówiąc o budowie mózgu i układu nerwowego, wspomnieć nam wypadnie. Uczony ten w dziele: *Traité nouveau de la structure du coeur*, wydaném w Tuluzie 1715 r. wyprowadzał krążenie krwi od kiśnienia, sprawionego przez pierwiastek saletrzany krwi tętnicowej i pierwiastek siarczysty właściwy krwi żylnéj.

Panującami wówczas systematami były: lekarsko-matematyczny i psychiczny, w którym wszystkie sprawy ciała przypisywano duszy, tudzież system pobudliwości (*excitabilité*), który później nazwano systematem drażliwości (*irritabilité*). Trzy te systemata jeden po drugim następowały; piérwszy wziął swój początek we Włoszech w szkole Borellego, a fizjologia Boerhawego kres mu położyła. Szkoła psychiczna, której piérwsze zarodki upatrzeć można w Archeuszu Van-Helmonta, powstała pod przewodnictwem Sztala, a zmieniwszy nieco postać, utworzyła system żywotny Soważa (*Sauvages*). Piérwsze początki systematu drażliwości znajdujemy w książce Glissona; podjęli tę myśl Fr. Hoffmann i Gorter, a najwięcej ją rozwinął Haller, który zaniębując zupełnie nerwy w częściach mięsnych umieszczone, zbyt jednostronnie zwrócił swą uwagę na samą tylko drażliwość włókna muskularnego. Pracowali później nad nim inni fizjologowie i dziś jeszcze u nas ma przewagę. Rozbierzemy teraz trzy te systemata więcj szczegółowo, niż dotąd czyniliśmy.

Lekarze-matematycy usiłowali zastosować ogólne prawa mechaniki do zjawisk ciała zwierzęcego, i matematycznie ocenić siły sprawające rozmaite ruchy. Założycielem téj szkoły był *Alfons Borelli*, uczeń Galileusza. W traktacie jego *De motu animalium*, zawierają się poszukiwania czynione nad siłami ruchu zwierzęcego. Przekonał on się, że przyroda obdarzyła muskuly siłą o wiele przewyższającą ciężar mający być poruszonym, umieszczając je w sposób niekorzystny dla siły. Cała niemal książka jego zapelnioną jest dowodzeniem téj prawdy, nowéj podówczas, lecz dziś znanéj powszechnie. Sposób działania włókna muskularnego, objaśnia burzeniem powstającém przez mieszanie się powietrza ze krwią w płucach, a burzenie to jest powodem obfitego krążenia cieczy we włóknach

mięśnych. Wyobrażał on sobie włókna jako łańcuch złożony z pęcherzyków, które nabrzmiwały i skracały się w czasie przyływu cieczy poruszonych owém burzeniem. Wydzielanie tłumaczy rozmiarem naczyń, lecz tu i zakwas przypuszcza, a tak oczywiście nauka jego w części jest mechaniczną, a w części chemiczną. Skoro tylko w ocenianiu sił muskularnych oddala się od zasad drążka, przychodzi do wypadków nie dających się żadną miarą dowieść. I tak np. chcąc ocenić siłę serca, porównywa ciężar jego z ciężarem innego mięśnia, np. dwugłowego, będącego głównym zginaczem przedbarku: usiłuje wyliczyć, ile ten mięsień potrzebuje siły do podniesienia danego ciężaru i wyprowadza rachunkiem siłę serca wyrównującą ciężarowi 135,000 funtów. Rozumowanie takie nie jest dokładnem, dwa bowiem mięśnie, podnoszące jednaki ciężar, różną mogą mieć siłę. Wszystkie zresztą ocenienia lekarsko-matematyczne, znacznej ulegały zmianie, co już samo dowodzi, jak niedostatecznymi są środki do otrzymania rzetelnych wypadków w tego rodzaju poszukiwaniach. Borelli, który jak wspomnieliśmy, łączył system matematyczny z chemicznym, i z psychicznego także wziął niektóre rzeczy; i tak mówi między innymi, że ruch serca możnaby pożytywać za skutek woli i przywyknienia; to samo i o piersiach trzyma, które uważa jako zostające pod wpływem działania powietrza. Lecz porównanie tych dwóch ruchów wcale jest niewłaściwem, bo możemy wstrzymać dowolnie ruch klatki piersiowej, na ruch zaś serca żadnego nie ma wpływu wola nasza (1)

(1) Twierdzenie to nadto jest ogólnem, bo jak ruchy piersi do pewnego tylko kresu woli ulegają, potrzeba oddychania dalej już przewycięża postanowienie woli, tak nawzajem wola nasza nie jest bez niejakiego wpływu na ruchy serca, które do pewnego stopnia zwolnić lub przyspieszyć według chęci możemy. (T).



HETMAN POLNY.

GAWĘDA STARO-ŻOŁNIERSKA.

„Bo gdy doma lwami okrutnemi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami.”

P. Skarga.

I.

Poza pagórktem, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg przypadnie.
— „Hej! gdy zawita dzicz hajdamacka,
Zpoza pagórka wypaść zuienacka!
I broniąc nizkie strzechy wioskowe,
Krymskich bandytów pobić na głowę!” —
Tak już uradził plan całej sprawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

II.

Lecz zabezpieczon w stalowej zbroi,
Niezwądzdy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza,
Oto po wiosce zagon rozpuszcza:
Rabuje bratnie chaty, śpichlerze,
Robocze woły rznie na wieczerzę,
Znieważa krasne dzlewy wieśniacze,
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy,
Wielmożny hetman polnej buławy.

III.

A wtém pod wioskę nocną zaciszą,
 Naszli Tatarzy—i jęki słyszą;
 —„Ej nie masz Boga jak Allah w niebie!”—
 Po bisurmańsku rzekli do siebie.
 —„Snadź tu już goszczą nasi Tatarzy,
 Sulejman-Murza od przedniej straży;
 Niechże rabują, niech się ochocą,
 Nam tu zajeżdżać nie ma już po co,
 Dziś spalim zamek, gdzie wróg nasz krwawy,
 Wielmożny hetman polnej buławy!”

IV.

Na wiosce hula szlachta pancerna,
 Na niebie gore łuna obszerna;
 Hetman na niebo spojrział z oddali:
 —„Na koń rycerstwo! mój dwór się pali!”—
 Lecz nim dobiegło rycerstwo boże,
 Wróg gospodarzył w hetmańskim dworze:
 Zamek spalony, służba wyrznięta,
 Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta;
 Na zgliszczach domu modli się łzawy
 Wielmożny hetman polnej buławy.

D. 10 kwietnia, 1852 r.

Władysław Syrokomla.



WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH
JANA KRASIŃSKIEGO.

PRZEZ

Stanisława Budzińskiego ()*

Zasłużonym był ojczyźnie mężem Jan Krasiniński. Nie miał on wszakże znakomitego udziału w sprawach rzeczypospolitej; owszem udział jego był skromny i nieznaczny, a na pamięć następnych pokoleń bardziej jako pisarz, niżeli jako mąż stanu zasłużył. Nieliczne szczegóły o jego życiu czasów naszych doszły. Szczegóły te wedle możliwości zebrawszy, podajemy wraz ze wzmianką o pismach po nim pozostałych.

Jan Krasiniński syn Andrzeja sędziego ziemi ciechanowskiej a następnie kasztelana, czwartego i najmłodszego z braci Franciszka biskupa krakowskiego i Katarzyny z Czernickich (1), urodził się r. 1550 w wigilią Wniebowzięcia Panny Maryi we wsi rodzinnej Szczukach, w dawniej ziemi ciechanowskiej na Mazowszu położonej (2). Wychowaniem jego od samego dzieciństwa (jak o tém sam w dedykacji *Polski* Henrykowi wspomina) zajmował się stryj, Franciszek Krasiniński. Następnie wysłanym był przez tegoż do Niemiec i Włoch, gdzie ćwicząc się w naukach wyzwolonych i językach obcych, młodość swoją strawił. Naprzód uczył się nauk wyzwolonych w Wiedniu w kolegium Jezuickim u Bartłomieja Francuza, potem filozofii u Franciszka Ribeiry Hiszpana w Rzymie, w kolegium rzym-

(*) Z przygotowanego do druku rękopisu: Jana Krasinińskiego *Polska*, oraz materiały do panowania Henryka Walezyusza. P. R.

(1) Okolski: *Orbis Pol.* III, 124.—Niesiecki ed. lwow. II, 695.

(2) Paprocki, *Herby Rycer.* Kraków. 1584, fol. 316.

skiém słuchał, a dla ukończenia nauk do Włoch do Bononii udał się (1); wówczas bowiem Włochy innym narodom w naukach i sztukach przodkowały (2). Następcy Juliusza II i Leona X, Medyceusze, dom Este, Gonzagów i książąt Sabaudyi hojnie wspierali nauki i opiekowali się uczonemi. Uniwersytety włoskie stały się ogniskami oświaty, do których młodzież z różnych krajów Europy, a między temi i z Polski licznie na naukę przybywała: w Bononii i Padwie Polacy osobny naród stanowili (3). W Bononii autor nasz pod Sygoniuszem w naukach wyzwolonych ćwiczył się. Tu doszła go wiadomość o śmierci ostatniego z Jagiellonów po mieczu, a wkrótce potem o obiorze Henryka Walezyusza. Na kilka miesięcy przed tym ostatnim wypadkiem, rzeź Ś. Bartłomieja smutną Karola IX okryła sławą (4). Wezwanie na tron polski Henryka brata tak wsławionego króla, obudziło ciekawość Europy, będącej jeszcze pod wrażeniem tragicznego wypadku: wszyscy zapragnęli bliżej poznać Polskę i jej byt społeczny. Wśród takiego usposobienia umysłów, młody, 23-letni Krasinśki, ulegając prośbom Sygoniusza i niektórych szlacheiców bonońskich, wziął się do napisania dziełka o Polsce. Młodzieńcem jeszcze będąc, i w Bononii w uniwersytecie bawiąc, już godności duchowne piastował (5); mylnie zatem podaje Janocki (6), że dopiero po powrocie z Włoch stan duchowny sobie obrał. Był scholastykiem łęczyckim i kieleckim, kanonikiem łowickim, w końcu scholastykiem krakowskim, kanonikiem gnieźnieńskim i łuckim, i sekretarzem króla Stefana (7). Licznemi poselstwami dobrze rzezypospolitéj się zasłużył. Paprocki w r. 1584 Herby Rycerstwa piszący, a zatem współczesny autorowi, niektóre z tych poselstw wylicza „*Ad Georgium Fridericum, Marchionem Brandenburgensem in Prussia ducem*, do Frankoniei, od Połocka do trybunału lubelskiego,

(1) Paprocki l. c.

(2) Dostyc tu wspomnieć nazwiska Sygoniusza, Tassa i Michała Anioła.

(3) Wiadomo, że studenci w średnich wiekach, chociaż składali jedną korporacją, na czele której stał rektor uniwersytetu przez nich obrany, dzielili się prócz tego na narody, z których każdy miał swojego prokuratora czyli zwierzchnika również z pomiędzy nich wybieranego, swój tytuł (np. w uniwersytecie paryzkim: *honoranda natio Franciae, fidelissima Picardorum* i t. d.) i swego ś. patrona. Ten zwyczaj dzielenia na narody powstał w Grecyi za Konstancyusza cesarza, w połowie IV wieku po Chr.

(4) Henryk obrany 9 maja 1573 r., noc Ś. Bartłomieja d. 24 sierpnia 1572 roku. (5) Zob. dedykacją *Polski* Henrykowi Walezyuszowi.

(6) Nachricht von den raren polnischen Büchern. II, 18.

(7) Okolski l. c. Paprocki l. c. Starowolski *Monum. Sarmat. Cracov.* 1655, str. 26.

od Pskowa z wojska za rozkazaniem królewskim jeździł"; a kończąc wzmiankę o nim, powiada: „W historyey potém więcéj spraw jego i zasług obaczysz”. Okolski pisze, że byłto mąż w językach biegły, a przykładnego żywota (1). Poświęcając się naukom lubił zbierać księgi i tych piękny eukologiczny zbiór z kilkudziesiąt (nateraz już dosyć rzadkich) książek złożony, kościołowi w Krasnem darował (2). Zmarł w roku 1612, jak świadczy nagrobek u Starowolskiego przytoczony (3), a który tu w przekładzie podajemy:

„Janowi na Krasnem Krasińskiemu, kantorowi, kanonikowi krakowskiemu i gnieźnieńskiemu, sekretarzowi J. K. Mości, mężowi wielkich zdolności i znakomitej wymowy, wielkie rokującemu nadzieje, w kościele Pańskim zasłużonemu, najukochańszemu bratu, Stanisław na Krasnem wojewoda płocki, starosta błoński, kamień ten położył. Zmarł r. P. 1612, dnia 13 mca kwietnia.”

Oprócz dziełka *Polonia* (o którym niżej), zostawił jeszcze następujące pisma:

I. Oratio ad Senatum et equites Polonos de electione Henrici Valesii, Poloniae regis. Bononiae, apud peregrinum Bonardum, 1573, 4to, str. 17. Broszurę tę Załuski biskup kijowski widział w Paryżu w bibliotece Czterech narodów (4).

II. Elogia et vitae Archiepiscoporum Gnesnensium. Rękopism własną ręką autora pięknie pisany. Żywoty arcybiskupów doprowadzone do Stanisława Karnkowskiego współczesnego autorowi. Do tego rękopismu dołączone były herby arcybiskupów kolorowane. Dzieło to znajdowało się w bibliotece Załuskich (5).

III. Comentarüi belli Livonici atque ducis Moschoviae contra Livones,—jak o tém wzmiankuje Janocki (6); lecz dzieło to wcale nieznanne, a Janocki dokładniejszej nie daje wiadomości, nie można więc nic pewnego o nióm powiedzieć.

IV. Elegia na śmierć Zygmunta Augusta po łacinie, znajdująca się na karcie 49 w zbiorze poematów na zejście tego króla napisanych, wydany w Neapolu 1572 r. (7).

(1) „Virum litteris, linguis, moribus ornatum.” Orb. pol. III, 124, 125.

(2) Część tych dzieł pieczęcią Jana Krasińskiego opatrzonych, znajduje się w bibliotece ordynacyi hr. Krasińskich. (3) Monum. Sarmat. 26.

(4) Jak o tém wspomina Mieler: *Histor. Pol. Script. Collectio magna* I, 429.

(5) Janocki: *Specimen Catalogi Cod. Mss. biblioth. Załusc.* 20.

(6) *Nachricht*..... I, 17.

(7) *Niesiecki* l. c. II, 695. Juszyński Dykeyouarz poetów polskich.

Pismo o Polsce, którego przekład przygotowaliśmy, wyszło pod następującym tytułem:

„Joannis Crassinii Polonia. Ad Sereniss. et Potentis. Henricum I Valesium, Dei Gratia utriusque Poloniae regem. Bononiae, apud peregrinum Bonardum, venia ab superioribus concessa”. 1574. 12ka, str. 147. Najdokładniej opisane jest u Janockiego (1). Tenże wspomina (2), że dzieło to w prywatnych bibliotekach wcale się nie znajduje, a w publicznych bardzo rzadko napotkać je można. Nawet we Włoszech, gdzie wyszło, w tak licznej i bogatej bibliotece Ottobońskiej niegdyś pokazywano to dzieło jako wielką rzadkość. Ztąd wnosić należy, że w bardzo małej liczbie egzemplarzy wydaném zostało. Blizko sto lat temu piszący Micler powiada (3), że Załuski biskup kijowski oprócz posiadanych przez siebie dwóch egzemplarzy (z których jeden bibliotece drezdeńskiej darował, a drugi zaginął), widział w życiu swoim tylko trzy egzemplarze: w bibliotece Ottobońskiej i Kazanateńskiej w Rzymie, i w bibliotece rodziny Krasińskich w Nowejwsi (4). Micler nie mogąc nigdzie dostać tego dzieła, przedrukował je w Iym tomie swego zbioru z rękopisu dostarczonego mu z biblioteki drezdeńskiej.

Dzieło to dedykowane Henrykowi Walezyuszowi, jak przez niego przyjęte zostało, powiada Janocki (5), nigdzie nie mogłem wyczytać.

Niektórzy pisarze twierdzili, że Jan Krasiński nie był autorem tego dzieła, i przypisywali je Sygoniuszowi. Powodem do tego był współczesny Tuana, który w pamiętnikach swoich (6) wspomina, iż od Sygoniusza słyszał, jakoby ten był autorem *Polski*; ztąd w katalogu biblioteki Tuńskiej I, 439 obok tytułu dzieła dopisano: „autorem jest Karol Sygoniusz.”

Za Tuaniem poszedł Pacciusz w *Theatrum anonymorum*, Decker i inni. Mylnie to zupełnie i powierzchowne zdanie, albowiem wszyscy ci autorowie nie wyjmując Tuana, zdanie to ze słyszenia powtórzyli, a nawet tytułu dzieła nie widzieli, bo z Jana, Piotra zrobili. Najlepszym dowodem że Jan Krasiński jest tego dzieła autorem, są własne słowa jego w dedykacji: „za naleganiem Karola Sygoniusza nauczyciela mego, wziąłem się do napisania tego dzieła”; a mógłżeby

(1) Nachricht I, 16 i nast. (2) l. c. (3) l. c.

(4) Biblioteka ta kilkadziesiąt lat temu spaliła się.

(5) l. c. (6) *Sui temporis historia* ed. Colon. w tomie V pod r. 1573: „ab eo (Sigonio) tamen expressit Thuannus et libros de Senatu Romano sub Joannis Zarii Zamoscii nomine editos, ut et Poloniam Petri (Joannis) Crassinii a se scriptam esse.”

Krasiński pracę swego mistrza, z którym w ciągłych stosunkach zażyłości pozostawał przywłaszczając, w témże samém mieście, gdzie mistrz mieszkał ogłaszać i królowi poświęcać? Dlaczegoż Sygoniusz nigdzie nie podaje się za autora téj książki? a i Tuan nadmienienia (1). że Sygoniusz niechętnie przyznał się do autorstwa. Trudno przytém przypuścić, aby wówczas, kiedy zachodnia Europa Polaków za barbarzyński naród mając, w zupełnej o ich ojczyźnie pozostawała niewiedomości (2),—Sygoniusz, w starożytności rzymskiej zamilowany, mógł powziąć chęć poznania Polski, i co większa, życzeniu temu zadosyć uczynić; a gdyby i tak było, to niepodobna podać takiego dokładnego obrazu kraju, nie zwiedziwszy go i nie przepędziwszy w nim czas niejaki: tymczasem Sygoniusz nie tylko że nie był w Polsce, ale podobno i za granicę Włoch nigdy nie wyrzwał (3). Wprawdzie wzywał go Stefan Batory do Polski; wezwaniu temu jednak Sygoniusz odmówił. Zresztą, dosyć jest kilku kart *Polski* przeczytać, aby się przekonać, że to Polak pisał: każdy ustęp tchnie duchem Polski szlacheckiej, wszędzie odbijają się wyobrażenia narodowe owego czasu. Być może, że Sygoniusz dzieło przejrzał i styl poprawił, co wiedząc Tuan, Sygoniusza za autora poczytał. Wszakże i Zamojskiego *De Senatu Romano* Sygoniuszowi przypisywano, co przecież Muratori za pozbawione dowodu uważa. Taką była sława tego znakomitego humanisty, który w dopełnieniu traktatu *de Consolatione* zupełnie pod styl cyceroński podszycić się miał, że prawie każde godne uwagi dzieło mniej znanego współczesnego autora jemu przypisywano. Zakończmy wzmiankę o tym sporze słowy Janockiego: „Spodziewamy, że cześć autora, jeżeli czas pozwoli, zupełnie mu będzie powróconą (4).”

(1) l. c. (2) Krasiński w dedykacji dzieła swego wyraża się o tém w sposób następujący: „Gdy bowiem upragniony goniec przybył tu do nas z wieścią, że W. K. Mość dziwną zgodą wszystkich stanów Polski na godność króla wyniesiony został...; nietyle podziwiano wysokość zaszczytu, jak raczej pilnie starano się dowiedzieć coby to był za kraj, który Bóg wzniósłym przymiotom W. K. M. przeznaczył. Albowiem zachodnie narody tak dla małych z nami stosunków, jako téż znacznej odległości, w sądzie o sprawach naszej Rplitej równiej niewiedomości, jak i dumy dają dowody. Gdym się o tém po przybyciu do Włoch przekonał, począłem myśleć, jakimby sposobem pożytkowi obcych narodów dogodzić....”

(3) Zob. jego życiorys w „Biographie Universelle” w tomie 42.

(4) Janocki l. c. Mieler l. c. 428, 429, Bentkowski Hist. Lit. Pol. II, 630, 631. Maciejowski Piśmien. polskie. cz. II, 116 i nast.

De Thou, który obwinia autora o przywłaszczenie, sam sobie jego pracę przywłaszczył; albowiem to co mówi o Polsce w księdze LVI swoich pamiętników (1) jest prostém skróceniem *Polski* ze zmianą porządku, gdyż to, co autor o instytucjach *Polski* w rozdz. 5 i następ. księgi I podaje, to Tuan na końcu kładzie. Po większej części całe peryody prawie bez zmiany z *Polski* powypisywane; o czém łatwo można się przekonać, odczytawszy naprzód jakikolwiek rozdział *Polski*, a następnie odpowiadający mu ustęp w *Tuanie*. Dziwna, że na tę okoliczność Janocki, Mieler i Bentkowski uwagi nie zwrócili.

Dzieło Krasińskiego, napisane jest piękną i wytworną łaciną, gdzieniegdzie jednak znajdziesz barbarzyzny. Jestto pierwsza w tym rodzaju książka o Polsce; a zatem autor pisząc ją, ani wzoru, ani uławnienia nie miał. Dziełko to przedstawia treściwy, ale jasny i wydatny obraz ówczesnej *Polski*. Napisane dla cudzoziemców, zawiera ciekawe szczegóły, które uszły uwagi innych autorów dla *Polski* piszących. Nieraz napotkasz się z autorem czytając jego dzieło; uderzą cię te dobitne rysy szlachcica polskiego, kochającego swój kraj, zamilowanego w instytucjach *Rplitéj*, gorliwego katolika uważającego się na nowości kacerskie, kapłana broniącego przywilejów duchowieństwa i kościoła, przemawiającego za uciśnionym ludem i karzącego posłów, że się do spraw kościoła mieszają. Kiedyś skończył, zdaje się, żeś już dobrą zrobił z autorem znajomość. Wszakże nie są to rysy osobiste, ale raczej typowe: poznałeś nie indywiduum, lecz w ogóle całą uprzywilejowaną klasę, słowem poznałeś szlachcica polskiego, jakim był w wieku XVIIym.

Wiszniewski (2) dawszy dosyć treściwe o dziele wyobrazenie, tak autora z Kromerem porównywa: „W ogólności skład owczesnego rządu lepiej opisuje jak Kromer, który za to złe skutki jego lepiej przepowiedzieć umie. Kromer mieszczanin, nagania swawolę panów i przewagę szlachty, do władzy królów wdzierającej się; Krasiński szlachcic chwali, iż lud, t. j. mieszczanie i chłopi, od urzędów jest odsuniętym.” Wiadomość o autorze temi słowy kończy: „I dziś jeszcze książka Krasińskiego z ciekawością i pożytkiem się czyta.”

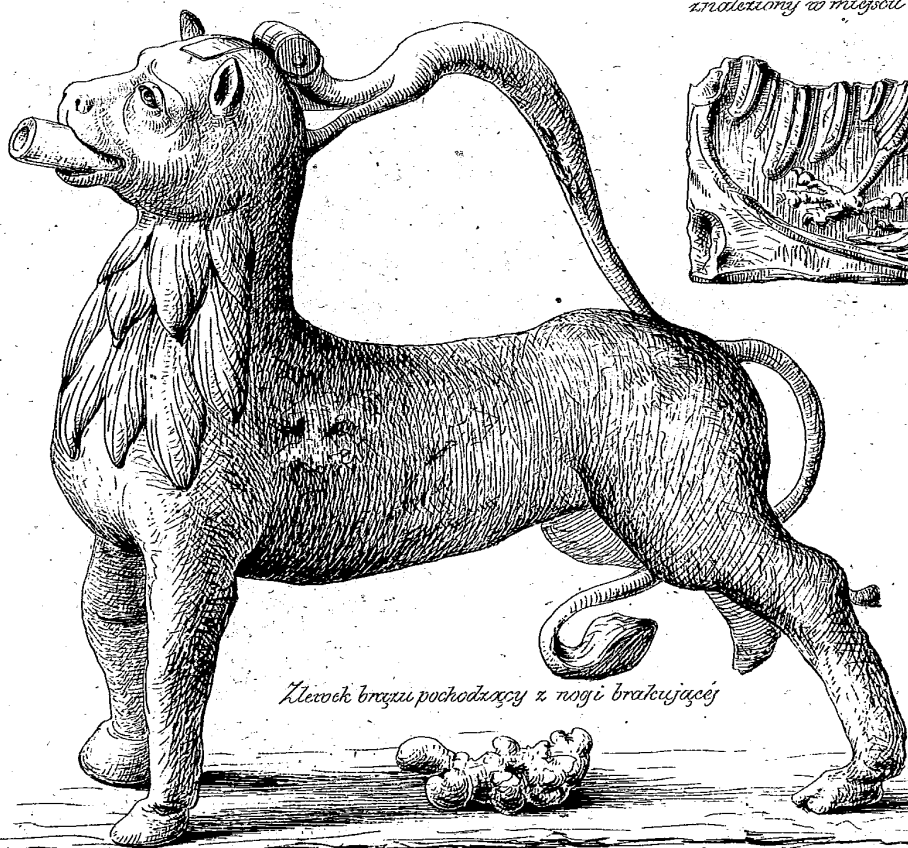
(1) Przedrukowane w zbiorze elzewirskim. Przystępując do opisu *Polski* powiada: „Wytłumaczymy naprzód pokrótce sprawy polskie, powiemy o prowincjach *Polskę* składających, o królach jakich miała” i t. d.; lecz nie wspomina, że to są wyjątki z *Polski*.

(2) *Hist. Lit. Pol.* VII, 530 nast.



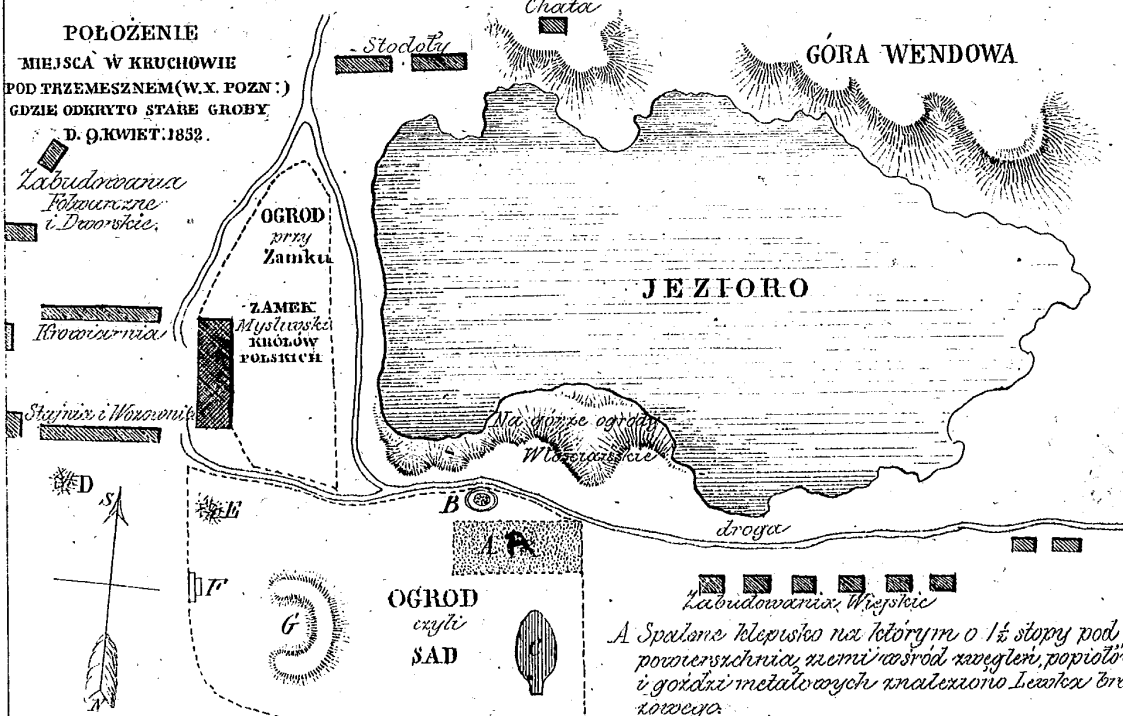
NACZYNIĘ BRĄZOWE WYSOKIE CALI 10. DEU. C. II. WAGI F. 6.

KAFEL PIECOWY
znaleziony w miejscu D.



Kłosek brązu pochodzący z nogi brakującej

POŁOŻENIE
MIEJSCA W KRUCHOWIE
POD PRZEMESZNEM (W.X. POZNAŃ)
GDZIE ODKRYTO STARE GROBY
D. 9. KWIEŚ. 1852.



Kładzioniarza, Wiejskie
A Spalone telesko na którym o 1/2 stopy pod powierchnia, wemi wśród nągłen, popiołowa i gołki metalowych znalaziono Leżek i brzo, rowego
B. Groby (z glazuró grzebiórowych) z urnami/
C. Słepiony grób (murowany z cegły na cement) miejsce punktem oznaczone jest miejsce jądoby po studni lub od krodła

(D) Stare grzechy od pieca
(E) Garncańskiego w D. znaczącej się, kładki ulamki
(F) Szczałki dawnych schodów
(G) Weł w półokrągłej z kładki, murów w środku

rys.: B. Podkaszynski

w Warszawie 12 Maja 1852

STAROŻYTNOŚCI ZNALEZIONE W KRUCHOWIE
POD ST. PRZEMESZNEM (W.X. POZNAŃSKIE) Druka 9 Kwieś. 1852.

OPISANIE WYKOPALISKA

odkrytego d. 9 kwietnia 1852 r. we wsi Kruchowie pod Trzemesznem,
między Gnieznem a Kruszwicą.

(Z ryciną).

Regulując ziemię w sadzie, na załączonym planie w miejscu lit. *a* i kropkami oznaczoném, w głębokości 2 stóp natrafiono na rodzaj podłogi z gliny ubitej i wypalonej, mającej 24 łokci długości a 20 szerokości, i pokrytej węglami, popiołem i goździami bronzowemi. Zaczęto ją oczyszczać, i ku środkowi znaleziono lewka brązowego, u którego jedna z tylnych nóg była stopiona i leżała tuż obok niego. Rysunek tu załączony, przedstawia lewka tego i formę nogi stopionej. Lewek ten jest odlany z jednego rzutu z brązu, wewnątrz pusty, z otworem na łbie czworograniastym, poruszającym się na zawiasce. Łeb jest psi, uszy kocie, szyja okryta lwią grzywą, ogon lwi. Trzy nogi pozostałe są opatrzone każda inną racicą: jedna tylna końską, druga z przodu słonia, trzecia bydłącą. Noga prawa przednia umyślnie odlana krzywą, bo nie jest krótsza, i lewki na trzech mocno stoi; krzywość ta zdaje się przedstawiać jakieś godło. Żaden fundament z kamienia nie otaczał tego palonego z gliny klepiska, które zdaje się, że służyło za podłogę może jakiej budowli ofiarniczej z drzewa, która gdy zgorzała, spaliło się wszystko co w niej było, z wyjątkiem tylko tego lewka z brązu, który może przedstawiał jakie naczynie ofiarnicze. Za rękojeść służy mu jaszczurka, opierająca się przednimi łapkami o łeb; zdaje się, iż tylnymi opierała się o część tylną lewka, bo na jaszczurce są ślady, że miała i tylne łapki. W pysku lewki ten trzyma rurkę, niby do wylewania. Długości ma cali 11, wysokości do końca łba cali 10; waga jego wynosi 6 funtów bez kil-

ku łutów. Kiedy podłogę oczyszczono i prócz lewka, goździ metalowych, mnóstwa zwęglań i popiołu nic nie znaleziono, zaczęto kopać obok podłogi, i w miejscu kółkiem i lit. *b.* na planie oznaczoném, nadybano stos kamieni granitowych 9 łokci szeroki. Zaraz pod drugim kamieniem od wiérczu, znaleziono około 500 pniażków srebrnych i miedzianych, które w wielu odmiennych typach przedstawiają z jednej strony orła Jagiellońskiego, a z drugiej koronę. Dwa tylko z tych pniażków miały po obu stronach orła, a jeden miał orła z jednej strony, a z drugiej 3 listki do koniczyny podobne, z dwoma pączkami sterzącemi między środkowym listkiem, a bocznemi. Pniażki te, zdaje się, iż właściciel położył w czasie jakiego zamieszania pod drugim od góry kamieniem, nie domyślając się, że pod kamieniami znajduje się odwieczny grób z urnami. P. Malczewski właściciel Kruchowa, w nadziei, że więcej pniażków takich i starszych odkryje, zaczął ostrożnie kamieni stos ten rozbierać, i w głębokości 9 stóp odkrył sklepienia z gliny ubite i wypalone, otoczone wokoło warstwą kamienia polnego 9 stóp szeroką, zupełnie tego przemiaru, co warstwa górna grób ten nakrywająca. Po otworzeniu grobowca tego, ukazały się w niém framużki sklepione, a każda z nich zawierała urnę glinianą na bok położoną. W przedziale ostatnim była urna największa, nakryta pokrywą brązową, zachowaną w Kruchowie, a mająca 8 cali przemiaru. W urnie téj w popiele znalazła się część lancy metalowej, także w Kruchowie zachowanej.

Na nieszczęście urny te, skoro je tylko powietrze owiało, porozsypywały się, i tylko z nich są kawalki. Z tych trzy tu składam: to jest z urny gdzie była dzida, i która mieściła w sobie popioły naczelnika, czego zdaje się dowodzić największa jój objętość i pokrywa brązowa; drugi ułamek w niezgrabne formy wyrabianej urny; trzeci kawalek z urny najciekawszej, bo w środku jakąś polewą szklaną powleczonąj.

Daléj odkrył p. Malczewski sklep kształtu eliptycznego (lit. *c.*), zawalony od góry, mający ogromne fundamenta z kamienia polnego i cegły ogromnego rozmiaru, cymentem spajanych. Po oczyszczeniu gruzów znaleziono 2 urny spore i kilka płaczników dobrze zachowanych i pniażek Jagielloński; co zdaje się dowodzić, że urny te w późniejszych czasach znalezione w grobie jakim, tam zostały złożone w tym czasie, kiedy i pniażek ten był zgubiony.

Naostatek w miejscu na planie lit. *d* oznaczoném, w gruzach, odkryto rodzaj pieca, w którym z gliny wypalano różne herby rodzin polskich; znalazły się bowiem ułamki z temi herbami. Widziałem między innymi herb Wieniawa, Nałęcz, województwa sieradzkiego i wiele innych, wszystkie schludnie wyrobione. P. Malczewski okruchy te starannie z gruzów dobywa, celem poskładania tych herbów.

Żeby zaś dać wyobrażenie o piękności tego wyrobu, składam ułamek orła Jagiellońskiego. Uczeni nasi niech dadzą swe zdania, kiedy fabryka ta istniała, i do czego by taka massa herbów służyła? Może to były ozdoby do murów, może téż do pieców kafe. Prosiłem p. Malczewskiego, aby wstrzymał wszelkie dalsze poszukiwania, aż do chwili przybycia tam którego z naszych archeologów, pod którego przewodnictwem wykopaliska dalsze mogłyby doprowadzić do odkryć ważniejszych jeszcze jak te, które dotąd zrobiono. Obiecał to p. Malczewski uczynić.

Otóż wszystko, co Bibliotece Warszawskiej udzielić mogę, upraszając, aby to raczyła ponieść do wiadomości naszych znawców.

Warszawa, dnia 6 maja 1852 roku.

K. L. W.

Autor *Ksiąg Bibliograficznych* w liście swoim, takie rzuca myśli o tém odkryciu:

„Setne składam dzięki za piękny rysunek lewka: widać naczynie do wlewania i wylewania napoju. Owe klepisko 3calowe, pewnie za fundament domu nie służyło: było klepiskiem jakiej izby drewnianej budowy, która spłonęła; a z pogorzelska nieoszacowany lewek ocalał. Jeśli w popiołach prócz goździ znachodzą się jakie żuźle, sądzićby można, że inne podobne naczynia potopiły się. Co bądź jest lewek, choć nieco potwornej postaci, pewnie umyślnój, ale gładkiego odlewu. Czy na miejscu, czy jeszcze z rzymskiego *imperium* przyniesiony? czy jest na nim co wernixu? Niemcy powiedzą i dowiodą, że to ich robota.

Otóż spodem i grobowiec. Lewek pewnie służył do libacyi pogrobowej, a klepisko, goździe i popioły na nim, może nie budowy, ale jakiej pogrobowej ceremonii pozostałość. Najdziwniejsza jest skład monet zarazem Piastów i Jagiellońskich. Razem?—To odkrycie niezmiernie ważne dla numizmatyki stać się może. Powtóre, jak tam trafiły przypadkiem późniejszym między kamienie pod klepiskiem? Więcby klepisko późniejsze było od

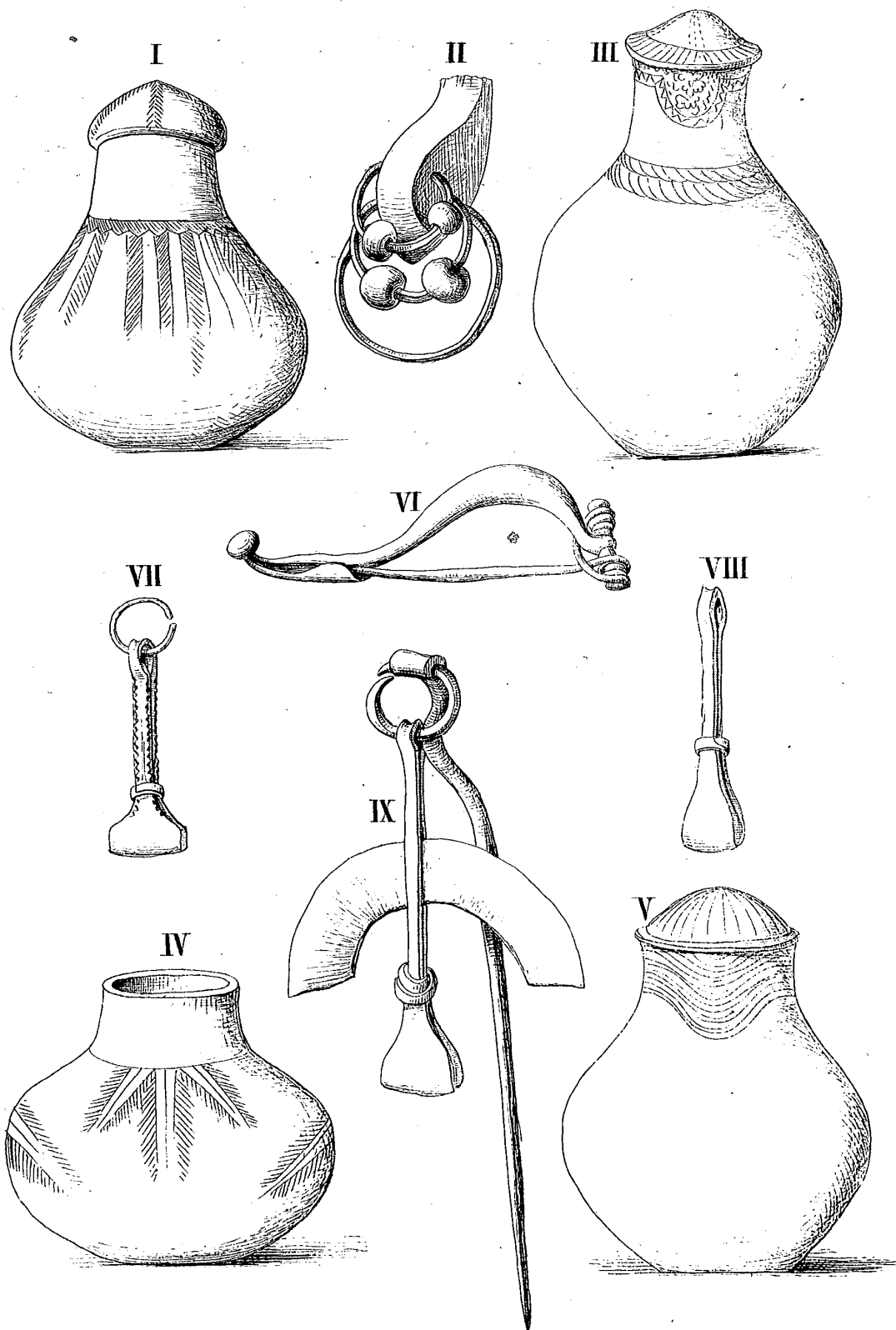
zachowanych przypadkiem, między poruszone kamienie, pieniądze? Klepisko izby chałupy jakiej? (1)

Bez wątpienia jest zbieg różnego czasu; szczęśliwy traf otwiera ciekawe wielu przeszłości rozważanie, nawodzi na pilną w okolicy całej bacność, bo czyni nadzieję, że się co więcej ukaże. Życzę, aby się najwięcej znalazło na własnej Malczeskiego ziemi, kiedy umié okruchy zeszyłych wieków cenić. Na miejscu znajdą się, co zdołają objaśnić i wyciągnąć ztąd widoki, które zapełnią pozorną próżnię przeszłości zapadłej rodu, który ma byt swój z własnym swym żywiołem.”

(1) Zdaje się, iż sprawozdanie przesłane szanownemu autorowi *Ksiąg Bibliograficznych* nie dość jasno było napisane, kiedy on zrozumiał, że grobowiec był pod klepiskiem; gdy tymczasem grób ten nie pod klepiskiem, ale obok o kilka kroków znajdował się.

K. L. W.





LISTY ARCHEOLOGICZNE.

(Z ryciną).

I.

Kraków, d. 10 kwietnia, 1852 r.

Od pół wieku prawie, obudził się u nas zapal do badania przeszłości w najdrobniejszych jej zabytkach; a dziś przyszliśmy już do tego, iż archeologia pozyskała u nas specjalnych dla siebie ludzi, i że dążenie do wyjaśniania i odszukiwania starożytności, staje się głównym prawie tłem piśmiennictwa. Kierunek ten nie tylko u nas się wybitnie objawia, ale widzimy go we Francyi, a do drobiazgowości posunięty w Niemczech. Mniemam, że ruch ten w przeszłość skierowany, obudził się w Europie jako przeciwstawienie panującym w r. 1848 pojęciom. Niemcy i Francuzi mogli nam dostarczyć w tej sprawie już gotowych pojęć ogólnych o archeologii jako o nauce; mogliśmy wziąć od nich teorię badań, skazówkę poszukiwań: przecież stało się, iż o swoich siłach, od śledzeń, że powiem poomacku, od opisów w których widać tylko pocziwą chęć poszanowania przeszłości, przychodzimy już do badań świadomych drogi i celu, do podróży archeologicznych, naukowych zbiorów, systematycznych dyplomatarjuszów i umiejętnych badań w sprawie numizmatyki, grafiki i sfragistyki. Da Bóg bez podpierania się obcą kulą, i nie o szcudłach, staniemy bliżej celu, i długoletnia droga praktyki doprowadzi nas do teoryi stawiającej archeologią w rzędzie umiejętności. Dziś jednak, gdy się już skarb uskładał z wdowich groszów, gdy ciągle pojawiają się monografie, drobne odkrycia i owocne dla nauki szperania; gdy już uniwersytet nasz gromadzi zbiory, a całe grona uczonych biorą sobie za cel badanie i zachowanie szczątków przeszłości: dziś tedy potrzebne, konieczne jest skupianie wszechstronnych prac w jedno ognisko, niezbędną jest kronika, ów rachunek pracy,

owo obliczenie co zrobiono, a co jeszcze robić wypada. Ileżto drobnych prac na tém polu ukryło się w pismach czasowych, których wartość z dniem jednym się ukończyła; a nieraz wypada odszukiwać znów te drobne artykułiki z pyłu zapomnienia. Uniwersytet krakowski tworząc z grona swego wydział archeologiczny i wydając pismo badaniom starożytności poświęcone, podjął wprawdzie myśl skupiania naukowych rezultatów tego pola umiejętności; ale wątpimy, czyli usiłowanie mimo wysokich zalet pisma, sprosta tutaj celowi. Dziś, przy obudzonej powszechnie chęci do badań przeszłości i przy tylu pracach w téj sprawie, stałoby nas już może było na pismo archeologiczne, wychodzące peryodycznie w małych odstępach czasu; któreby jak w zwierciadle ukazywało stan odkryć i badań w każdej chwili na całym obszarze kraju dokonanych. Wedle wykazów turyngsko-saskiego towarzystwa archeologów, Niemcy liczą dziś około 20 towarzystw archeologicznych, w których ma udział 5,000 członków, a 15 pism peryodycznych ogłasza rezultaty badań. Sąto prace, które dla nas niezupełnie obojętnymi być winny: w zbiorach niemieckich są pamiątki nasze, a niejedna ziemia dziś niemiecka ukrywa groby i pomniki słowiańskie, zabytki, które Niemcy oceniają nieraz fałszywie, lub z pominięciem względu na narodowość, do których te spuścizny przeszłości należą. Skupienie przynajmniej wiadomości o tych odkryciach i badaniach tak swoich jak obcych, miał na myśli, prócz wyższych celów, uniwersytet krakowski; ależ, jak powiedzieliśmy, skutek jest wątpliwy. Wątpliwy w tym względzie, bo wszelka korporacya, téj jak uniwersytet natury, więcej jest sposobna do badań poważnych obszernością rozpraw, niż posiada energii i uwagi skierowanej na drobiazgi, które piórem kronikarskiém, jak soczewką skupiać w jedno ognisko wypada. Otóż kierowany chęcią zaradzenia téj konieczności, stawiam dziś redakcyi Biblioteki Warszawskiej myśl, otwarcia w jéj kolumnach kroniki badań starożytności, pod tytułem: *Listy archeologiczne*, któreby przesyłane ze wszęch stron, mogły jednoczyć usiłowania w téj gałęzi nauki i uwiadamiać badaczy o wzajemnych poszukiwaniach, odkryciach i pracach. Sam, ośmielam się otworzyć ten oddział korespondencyi; sądząc, iż jeśli myśl ta trafia do przekonania moich kolegów, jest w porę i wywołana potrzebą, ujrzę niebawem dalsze w jéj rozwinięciu udzielenia, z innych stron kraju nadesłane, a tym sposobem zasłużone naszej literaturze pismo: „Biblioteka Warszawska” zastąpi nam nateraz osobny dziennik

archeologiczny, i podejmie sprawę archeologii, jako specjalność dążącą do wielkich celów, tytu drobnymi pracami.

GROBOWCE POGAŃSKIE NA POMORZU GDAŃSKIEM. Począwszy już od Długosza, co z całą dobroduszością oburza się na Solinusa, że zamilczał o cudowném płodzeniu się garnków w polskiej krainie, osobliwie w poznańskich okolicach Obornik, Szrema, Nochowa, Kozielsk i Pałuk (1); ileżto nie odkryto na ziemi słowiańskiej pogańskich grobowisk? Niedawne dopiéro czasy, jak zabytki te troskliwie ochraniać i opisywać poczęto; a chłop dziś jeszcze tłucze co prędzej popielnicę, pełen chciwych myśli, że przypadek odkrył przed nim zakopane skarby. Znaczną ilość tych wykopalin już starannie opisano, przechowano w gabinetach lub rysunkiem upowszechniono; przecież nawet autor „Ukrainy dawniej i terażniejszej,” i gorliwy badacz p. Eust. Tyszkiewicz, autor *Dziejów Litwy* p. T. Narbutt, a przed niemi Chodakowski, Keppen i inni, mało co powiedzieć nam umieli o systematach układu urn, o miejscowości lub religijnym obyczajem spowodowanych kształtach grobowisk, rysunku popielnic, celu zachowanych w grobie narzędzi, i o innych względach koniecznych do wyjaśnienia i zrozumienia pogrzebowych u Słowian obrządków. Myślę, iż możebném jest dojście do ciekawych rezultatów w téj sprawie, gdyby się znalazł kto, coby podjął pracę przerysowania znalezionych dotąd popielnic, grobów i naczyń w nich znajdujących; opisanie miejsc znalezienia, oznaczenia ich na mapie, a wreszcie ułożenia tych zabytków wedle kształtu ich rysunku, w pewien systemat odróżniający rodzaje i odmiany urn i grobów. Ta klasyfikacya, możeby zdołała zamgloną sprawę wyjaśnić (2). Mając przed sobą rozprawę dra E. Förstemanna z Gdańska, i F. Wiggerta z Magdeburga, podam ich treść. W rozprawach tych podano wiadomość o zabytkach pogańskich, odkrytych na obszarze 75 mil □ w okolicach Neustadt, Gdańska i Karthausen.

(1) Wyd. Dobrom. str. 43.

(2) Prócz wspomnianych pism: Keppena, Chodakowskiego, T. Narbutta, E. Tyszkiewicza, M. Grabowskiego, wielce ciekawe w téj sprawie materiały, opisy i rysunki dostarczyć może pismo: *Przyjaciel ludu*, gdzie podano w rysunkach urny słowiańskie w berlińskim zbiorze starożytności przechowane (r. 5, n. 42), i opisy urn znalezionych w Sulau w Szlązku (r. 5, n. 46). W Kotowie w Poznańskim pod Grodziskiem, znaleziono w 40 grobach przeszło 60 urn. Kształty tych popielnic podane w rysunku w Przyj.

Biorąc się w kierunku południowo-zachodnim od półwyspu Hela, o półtoręj mili od punktu, w którym półwysep ten styka się ze stałym lądem, w podobnej odległości od miasteczka Putzig w kierunku północno-zachodnim, a o 9 mil od Gdańska, leży szlachecka majątność Redziszów. W majątności tej położonej w ogólności w polu równym, znajduje się wyniosłość rozszerzająca się od wschodu na zachód, a wznosząca się nad poziom naokoło niej leżący, na 20 do 30 stóp, która zajmuje około pięciu magdeburskich morgów przestrzeni. Niedługo leżała ona w ogromnym lesie dębowym, który, jak niesie podanie, tak był wysokim, iż nie można było dosięgnąć strzałem, siedzących na szczycie drzew dzikich gołębi; dzisiaj miejsce to zupełnie jest z drzew огоłocone. Cała południowa rozciągłość tej wyniosłości jest wielkiem, starodawnym miejscem grobowców. Budowa tych wszystkich grobów jest jednaka. W głębokości trzech do czterech stóp, leży wiele ciosowych kamieni. Na tej podstawie wznoszą się pionowo 4 ściany z podobnych kamieni, schodzących się pod kątem prostym i tworzących w ten sposób kształt sześcianu. Zwierzchnią część stanowi niekoniernie pojedyncza warstwa kamieni; bywa ona podwójna, potrójna, a nawet poczwórna. W grobowisku stoją dopióro urny w ten sposób, że dotykają ścian tego sześcianu, i zestawione tak, żeby jak najmniej miejsca próżnego między nimi zostawało. Aby silniej stały, ustępy pomiędzy nimi są wypełnio-

Ludu (r. 7, t. I), z powodu swój różnorodności zasłużyć winny na szczegółowe badanie. Także w Krasnej Górze w Lubuszu, Ciszkuwie, Mikołajewce, Górze, Stajkowie, Sokołowie, Miłkowie i przyległych tym wsiom miejscach w Poznańskim, mnóstwo tych zabytków szczęśliwie odkryto, (Przyj. Lud. r. 2, n. 40, r. 7, n. 23). Pod Gostykiem grobowiska (P. L. r. 8, n. 45). Popielnice z Gniezna (P. L. r. 9, n. 6). Uroczyska w Bojcynie (P. L. r. 9, n. 36, 37, 38, 39). Groby pogańskie w powiecie obornickim (P. L. r. 10, n. 15). Kopce i kurhany na Podolu (P. L. r. 11, n. 24). O grobach w powiecie szamotulskim (P. L. r. 13, n. 7). Mogiły w Galicyi (Pam. pow. nauk. krak. posz. V, str. 298). Za źródło tu jeszcze wymienić wypada pismo: Mrówka poznańska na r. 1821, i dzieło Fr. S. Bock: *Von den in Preussen befindlichen Grabhügeln* etc. Zakład Ossolińskich posiada zbiór popielnic; także zbiory ś. p. G. Pawlikowskiego mieszczą urny pod Szczawnicą znalezione. Muzeum archeologiczne przy uniw. krak. posiada popielnicę odkopaną we wsi Brzezim w Okr. krak. i znaczną liczbę tych zabytków nowo odkrytych we wsi Popówce (Okr. krak.). Przytoczyłem tu pobieżny wykaz źródeł z materyi o grobach pogańskich, ciekawych mogących dostarczyć szczegółów, w myśli, że ta notatka przydać się może komu, chcącemu wiadomości te w ład zebrać, i w postaci porządnego opisu przedłożyć.

ne piaskiem, również jak ich wnętrze, jeżeli popiołem lub kośćcami nie jest zasute. Wierzchnią część sześcianu stanowi znów jeden albo więcej ciosowych kamieni. Przykrycie to otoczone jest pewną liczbą nieobrobionych kamieni, a na środku leży zwykle jeszcze jeden kamień, takiej częstokroć wielkości, iż go trzech ludzi z trudnością poruszyć może. Kamień ten leży rzadko głębiej nad jedną stopę pod powierzchnią ziemi, na której zresztą nie ma najmniejszego śladu, któryby się istnienia w tém miejscu grobów domyślać kazał. W jedenastu grobach, otworzonych w przeciągu pięciu dni, znalazło się razem urn 38. W jednym było ich 6, w dwóch po 5, w dwóch po 4, w trzech po 3, w dwóch po 2, a w jednym tylko jedna. Powiadają jednak, że w redziszowskich grobach liczba ich dochodziła do dziesięciu w jednym. Urny owe po największej części wyrobione są z grubej i mocno ze żwirem pomieszanej glinki. Większa ich część jest koloru brunatnego, rzadsze są czarne, a czasami trafiają się w jednym grobie oba rodzaje. Czarne są z większą starannością wyrobione jak brunatne; bo nie tylko, że od zewnątrz są lepiej wygładzone i mają mocny połysk, ale znajdują się także na nich wcale dobre rysunki. Zresztą czarne, jeżeli się same znajdują, leżą zwykle głębiej aniżeli brunatne, i mocniej są kamieniami obłożone. Z tego powodu domyślać się można, iż one zamykają w sobie popioły możniejszych. Pod względem wielkości znaczna zachodzi między niemi różnica; albowiem gdy niektóre mają do 16tu cali wysokości, inne ledwie trzeciej części téj wysokości dochodzą, a jedna z nich ledwie 2 $\frac{1}{4}$ cala wysoka. Od wielkości głównie zależy, czyli są urny do tego czasu w całości utrzymane, co ledwie o trzeciej części powiedzieć można. Większe prawie wszystkie albo rozpadły się w czasie oczyszczania ich z ziemi, albo uległy zniszczeniu w czasie podnoszenia ich z grobu, w skutek własnego ciężaru. Chociaż przy całej téj czynności zachowaną była wszelka ostrożność, bo urny starannie oczyszczano scyzorykami i probowano przy zapalónéj słomie osuszyć je i wzmocnić: przecież małą tylko ilość udało się utrzymać w całości; wszystkich jednakże kształt i rysunek obejrzano bacznie. Na te dwie rzeczy, t. j. kształt i rysunek, głównie téż zwrócimy uwagę. Kształt urn nie podlegał stałemu prawidłu: niektórych średnica wynosiła nie więcej jak połowę wysokości, niektórych przewyższała ją. Zwierzchni otwór, wyjąwszy najmniejszą urnę, miał trzy do sześciu cali średnicy. Nawet w je-

dnym grobie znajdujące się urny były różnego kształtu: jeden tylko grób mieścił w sobie 6 urn czarnych, zupełnie jednakowych (fig. I); większa część miała pokrywki, mniejsza, a mianowicie z szerszym otworem, była bez nich. Pokrywki te były różnego rodzaju: jedne miały powierzchnią poziomą, drugie formowały półkole; znajdowały się inne mające kształt ostrokągu. U jednych urn szyja głęboko w pokrywkę wchodziła, u drugich obejmowała ją w sobie prawie zupełnie. Znalezione także pokrywkę kształtu głębokiego talerza, którego środek wchodził w otwór urny. Jako szczególniejsza ozdoba, zasługuje tu na wzmiankę, że u jednej urny znajdowały się trzy małe gruczołki, jeden obok drugiego; u większej jednak części były w tém miejscu uszy całkowite.

U dwóch urn w dwóch różnych grobach były te uszy szczególnego kształtu; w każdej z tych wyniosłości formujących uszy były dwie dziury, a przez każdą z tych był przeciągnięty pierścień, ozdobiony bursztynem i szklanymi perłami. Ostatni z tych dwóch pierścieni był w połączeniu na każdej stronie urny z trzecim jeszcze pierścieniem, tak, że cała ta ozdoba, której jednakże nie można było uchronić od uszkodzenia, przedstawiała wcale dziwną figurę (fig. II).

Pierścienie te zupełnie jak gdyby w przekłutém uchu umieszczone, sąto kolczyki, jakich mnóstwo znaleziono w wielu okolicach Niemiec, zwłaszcza w tych, które po Xty, XIIsty i XIVsty wiek były siedliskiem pogańskich Słowian. Są te pierścienie wyrobione z brązowego drutu, ozdobione jedną albo dwiema szklanymi perłami, po większej części niebieskimi, albo bursztynowymi, lub nawet glinianymi kulkami; drut jest po obu końcach śpiczasty i widać, że końce te po przeciągnięciu drutu przez ucho, dopiero zagięte i połączone zostały. Przy podobnego rodzaju pierścieniach w okolicy Elby znajdowanych, drut rozszerza się w jedném miejscu zwykle w kształt wycinka kuli, tak, że na pozostającej części pierścienia, najwięcej jedna perła szklana pomieścić się może. Pierścienie tego kształtu znajdują się w wielkiej ilości w Altmark, również w grobach pomiędzy Biederitz i Königsborn, o milę na wschód od Magdeburga; pomiędzy Möckern i Lützenitz o trzy mile na wschód od Magdeburga, i w niektórych innych miejscach w téj okolicy. Nie wiadomo, czyli gdzieindziej urny z podobnymi pierścieniami znaleziono; tém ważniejsze jest więc odkrycie zrobione w Redziszowie. Zresztą okoliczność ta, że przy jednej urnie znajdowano dwie albo trzy

pary pierścieni, nie jest zadziwiająca, gdyż trafiają się nieraz urny, zawierające kości jednego tylko szkieletu, przy których jednakże wisi kilka par pierścieni. Chodzi tylko o to, czyli w każdym uchu znajduje się kilka pierścieni jeden obok drugiego, czy też liczba ich była tylko zbytku oznaką. Ztąd, że pod Redziszowem poznajdywano po kilka pierścieni w jednym i tém samym uchu, wnosić tylko można, że zwyczaj ten i u żyjących był w użyciu. Już albowiem Seneka wyszydza zwyczaj kobiet rzymskich, które uszy swoje zbytkownemi ozdobami przeciążać lubiły, czego im później Alexander Severus osobną ustawą zabronił.

Niektóre urny znajdowano bez żadnego rysunku, na niektórych znów znaleziono rysunek wklęsły, jakby kończastém narzędziem wyrobiony, który często składał się tylko z pojedynczych szeregów punktów, najczęściej na pokrywce powyrzynanych. Punkta te tworzyły czasem na szyi urn dziwną jakąś mieszaninę, dziwnie w różne strony powycinanych linii (fig. III). Częstokroć były one lepiej wykończone, zawsze jednak cechowała je prostota smaku i ubóstwo formy. Charakter rysunku był prawie wszędzie ten sam (fig. I, IV i V); znaleziono nawet w dwóch odmiennych grobach zupełnie jednakowy (fig. IV). Na liniach krzywych często zbywało im zupełnie. Tém więc godniejszą uwagi jest wiadomość o znalezieniu w Redziszowie urny z twarzą ludzką, której jednak jeszcze nie obejrzano.

Na szczególniejszy rozbiór zasługują znajduwane w urnach i obok nich metalowe przedmioty, prawie wszystkie wyrobione z mieszaniny miedzi i cyny, w której pierwsza znacznie przeważa. Oprócz powyżej wspomnianych pierścieni w uszach urn, znaleziono jeszcze wiele innych ozdób, jak się zdaje głowy, również perłami nasadzonych. Znaleziono także pierścionek, na którym nie było pereł; również znaleziono igłę, co do kształtu zupełnie podobną do igły już pierwój w Prusach znalezionój, (fig. VI), która jednakże pod względem sztuki nisko stoi. Oprócz tego odszukano dwie bardzo do siebie podobne w kształcie cęgów ozdoby (fig. VII i VIII), jak się zdaje do spinania sukien używane. Przedmioty te były nieźle wyrobione, jednak zdaje się, że jeszcze wówczas nie znano sposobu lutowania metalów. Sądząc na jakim stopniu stały sztuki w tych okolicach, zwrócić trzeba uwagę na tę ważną okoliczność, że znajdowano tutaj, aczkolwiek w małej liczbie, kawałki żelaznych pierścieni, i że nad urnami nie wznoszą się pagórki, co wszystko nie do zbyt dawnych czasów odnosić je każe.

Całe to grobowisko nie jest wcale świeżo odkryte, owszem od 50ciu już lat korzystają z niego sąsiedni wyrobnicy, używając kamieni do zatykania rur piecowych, a urn do przechowania nasion.

W dobrach szlacheckich Mały-Starzyn, graniczących z Redziszowem, na południowej stronie jednego pagórka, rozciąga się powszechny, wedle wszelkiego podobieństwa, cmentarz; ponieważ jednak do budowy tych grobów nie użyto ciosowych kamieni, przeto niemal wszystkie rozorane zostały. Przynajmniej mimo najusilniejszych poszukiwań, oprócz licznych ułamków skorup, z bardzo grubej gliny i bez żadnych rysunków, nie udało się panu Förstemann znaleźć więcej nad jedną urnę w całości, osobno stojącą, a i ta za dotknięciem natychmiast się rozpadła. Zabudowanie w którym się mieściła, różniło się całkiem od wszystkich dotąd mu znanych: było kuliste, i składało się z kamieni wielkości pięści. Oprócz tych dwóch wspólnych cmentarzy, znajduje się tak w Redziszowie jak i Małym Starzynie wiele pomniejszych, które się składają z pagórków sztucznie utworzonych, przez narzucenie wielkiej masy kamieni, pod którymi znajdują się urny w mniejszej wprawdzie ilości, ale staranniej zachowane. Są one już oddawna znane, a może nawet tradycya o nich od pogańskich przechowała się czasów.

Obiedwie te majątności były niegdyś w posiadaniu oliwskiego klasztoru, a p. Förstemann wyczytawszy na przed dwoma wiekami rysowanym planie tej okolicy napis: *tumuli paganorum*, z łatwością odszukał wskazane miejsce, bo w samej rzeczy znalazł na niem cztery pagórki grobowe. W Małym Starzynie, w jednym takim pagórku znanym pod ogólną tutaj nazwą *mogiły*, gdzie dotąd poniewierają się licznych urn szczątki, znaleziono w półkole zgięty, na obu końcach przedziurawiony blaszany pas i metalową igłę. Nazwa miejsc *mogiła*, reflektuje cokolwiek p. Wiggerta, który obyczajem niemieckich uczonych, zabytki w okolicach Gdańska wykopane, niemieckimi a czasem pruskimi nazywa. Zważywszy jednak, że tylko Słowianie czezą tém mianem groby; zwraca się delikatnie znów do przywyczki, i podaje, iż podobnym jest do prawdy, że Słowianie przybywszy na tę ziemię, cudze groby swoją nazwą ochrzcili (?!). W Parszkowie, wsi także z Redziszowem graniczącej, natrafiono na pagórek, w którym kamienie ogołoczone z pokrywającej je ziemi, zaległy jego powierzchnią w kształcie foremnego kręgu.

Wedle tego, cośmy wyżej powiedzieli, zdaje się, że okolica ta jeszcze za czasów pogańskich była zabudowana i zamieszкана. Inny zupełnie obraz przedstawiać musiała dalej ku zachodowi leżąca kraina, gdyż w położonych wśród niej dobrach hr. Krockow, nigdzie prawie na ślad grobowców pogańskich natrafić nie można, i zdaje się wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, że aż do czasów chrześcijańskich, cały kraj rozciągający się od tego punktu, aż po granice dzisiejszej Pomeranii, to jest aż po stary klasztor zakonnice i wspaniałe jezioro Żarnowickie, zajmowały pierwotne lasy i niedostępne bagna, które przystęp wszelkiej oświaty tamowały. Odszukane później przez p. Förstemann niedaleko miasteczka Putzig urny, wykopane w dwóch wsiach: Mechau i Oslanin, o milę od siebie odległych, bardzo były do siebie podobne; od redziszowskich zaś różniły się tém, że były w ogóle większe, że były niekształtne i bez wszelkiego rysunku wyrobione z gliny, z grubym piaskiem zmieszanej, i nareszcie, że kolor miały daleko jaśniejszy, białawy.

Dla podania dokładnego o ile możności wyobrażenia o tym przedmiocie, wspomnieć tu wypada o znaniej już z kądinąd rzeczy, to jest o trzech podziwienia godnych urnach, znajdujących się obecnie w muzeum starożytności w Berlinie, a wykopanych w bliskości wioski Klein-Katz (półtrzeciej mili na północ od Gdańska), w roku 1836. Szyja tych urn przedstawia twarz ludzką, a pod nią znajdują się dziwnych kształtów postacie zwierząt, ludzi i planet. W grobie tym oprócz 9ciu urn, znajdowało się jeszcze wiele przedmiotów z brązu.

Urny z wyobrażeniem twarzy ludzkiej, są, jak się zdaje, właściwe tylko powyżej opisaniej okolicy, gdyż jedynie w bliskości Tszczewa (Dirschau) znaleziono coś podobnego; a jedna z wykopanych tamże z twarzą ludzką urn, znajdująca się w muzeum wrocławskim, ma w wypukłości usznej małą dziurkę, przeznaczoną prawdopodobnie na pierścień. Oprócz tego znaleziono jeszcze w Kastel pod Moguncją urnę z twarzą ludzką, o której robi wzmiankę Emele, w swoim opisie starożytności rzymskich i niemieckich; ta jednak nie ma wcale uszu.

Okolice Gdańska w większej części nie posiada zupełnie pogańskich grobów. Wielka albowiem część wiślanego nizu, która do gdańskiego obwodu należy, a zwłaszcza tak nazwany Mały Werder, położony między zachodniem ramieniem Wisły a Motławą, równie jak wielki maryenburski Werder, przed przybyciem

niemieckich rycerzy i ich wzrostem, tworzył nieprzebyty łańcuch bagien, który tamował wszelką uprawę. Najnowsze poszukiwania nie odkryły tutaj żadnych grobowisk; być jednak może, że się wynajdą później, gdyż wykopane pod wsią Steegen monety, świadczą o istnieniu osad w tych miejscach.

Na zachodniej stronie Gdańska, pomiędzy wewnętrznymi a zewnętrznymi wałami, wznosi się potężnymi szczytami otoczony wzgórek, Hagelsberg zwany, godny uwagi tak ze względu na otaczające go dziś jeszcze bajeczne prawie obrotne mury, jak również ze względu na podania, które o nim ze starych ksiąg do nas przemawiają. Góra ta zostaje w bezpośrednim związku z wieloma pagórkami, które się rozciągają wzdłuż sąsiedniego przedmieścia Szydlic (Schidlitz) i z których jeden w późniejszych już jak się zdaje czasach, *řogańską górą* (Heidenberg) nazwany został.

Już w XVIym wieku znaleziono tutaj w jednej urnie złote i srebrne monety, a pomiędzy niemi Ottońskie, i wedle wszelkiego podobieństwa arabskie, z napisami kufickimi; co zresztą, jak wiadomo, w Prusach dosyć często się przytrafia. (Ob. Casp. Schützi rer. Prussicar. historia, ed. Zerbst 1592, p. 9, ed. Chytraci 1598 fol. 7, ed. Gedani 1769, fol. 18).

Około roku 1664 znaleziono na Hagelsbergu urnę, na której pokrywie osadzony był odlew wysoki blisko 4 1/2 cala, z cyny pomieszanej z miedzią, wyobrażający płaczącą pannę ze znakomitego stanu. Szczegółowe opisanie tej jedynej w swoim rodzaju, a zagubionej jak się zdaje starożytności, znajduje się wraz z jej rysunkiem w niedrukowanym dotąd zbiorze rozmaitych dokumentów, rozpraw i wiadomości, w dwóch księgach (Gdańsk 1748), w księdze pierwszej str. 1 i 30. Podziwienia godną jest tutaj okoliczność, że statuetka ta, obiedwie ręce miała utracone, i dopiero w 93 lat później znaleziono jedną rękę (Ob. S. Bocka historią naturalną wschodnich i zachodnich Prus, tom 2 (Dessau 1783) str. 581, gdzie autor wspomina o tym posątku jako o znajdującym się jeszcze w gdańskiej miejskiej bibliotece).

Jako rękojmią wiarogodności innego pod tym względem szczegółu, przytacza p. Förstemann C. F. Reuscha, który w r. 1722 wydał książkę: *de tumulis et urnis sepulchralibus in Prussia*. Wyciąg z tego dzieła przez samego wydawcę dokonany, nie pomijający, a nawet poprawniejszy jeszcze, znajduje się w niemieckim języku w książce: *Erläuterte Preussen*, w tomie III

i IV (Królewiec, 1726 i 28), i ztamtądto przytaczamy dosłownie co następuje:

„R. 1656, 5go lipca niedaleko Gdańska, po prawej ręce przedmieścia Szedlitz, na górze Heyde-Berg zwanój (może z powodu odprawianych tamże pogańskich obrzędów, jak to Kasper Schütz utrzymuje), można było widziéć 8 urn w należyтым porządku ustawionych w podziemnym, kamiennym grobie. Zewnątrz widać tylko było troskliwie i starannie usypany pagórek, licznemi zarośnięty drzewami. Gdy w ziemi głęboko kopać zaczęto, znaleziono trumnę, zestawioną z połupanych czerwonych polnych kamieni, a w niej ujrzano owe 8 urn, pełnych popiołu i nawpół spalonych kości, ustawionych w ten sposób, iż 3 największe składały rząd piérwszy, a 5 pozostałych stanowiło rząd drugi. Dwie z tych czerwonych urn widziéć można w bibliotece gdańskiej (1)”.

To są jedyne na Hagelsbergu dokonane poszukiwania, a trudno spodziéwać się nowych, gdyż miejsce to dla względów fortyfikacyjnych nieprzystępne jest dla publiczności. W ogóle zdaje się, że bliższa Gdańska okolica nie jest tak dalece uboga w pogańskie groby. Nie mamy wprawdzie nowych odkryć w tym względzie, mamy jednak nadzieję, iż rzecz tę wyświecą lepiej przyszłe poszukiwania, do których zachęciłby powinno założenie w Gdańsku muzeum dla przedmiotów sztuki, między któremi bez wątpienia i archeologiczne zabytki pomieszczenie znajdą.

Reusch w zacytowanój powyżój książce, wspomina jeszcze o dwóch pod Gdańskiem leżących grobowiskach. Słowa jego wiernie tutaj przytaczamy, z wypuszczeniem tylko miejsc nienależących do przedmiotu:

1) „W ogrodzie p. Abrahama Grodeck w bliskości Gdańska we wsi zwanój Ohra, dziś jeszcze widziéć można pagór, który bez wątpienia zawierać w sobie musi groby pogańskie, wnosząc z jego wierzchołka okrytego wielkimi w okrąg ułożonemi kamieniami. Cały ten pagór od stóp aż do wierzchu drzewami jest zarośnięty.... Wiele osób miało już ochotę przetrząsnąć pagórek, ale właściciel stale się temu opiéra, mówiąc: *se nolle cineres et ossa defunctorum turbare*.

2) Na jednój wyniosłój o milę od Gdańska odległój, znaleziono 2 urny, z czarnój i czerwonej ziemi, w takim samym

(1) Dzisiaj już urn tych biblioteka miejska nie posiada.

kamiennym grobie....Jedna z nich różni się od innych swoją wielkością i tém, że ma uszy bardzo ozdobne. Druga ozdobiona jest szczególnymi rysami, z których kształtu różne poczyniono wniosków (1).... Na szczególną uwagę zasługuje to, że w grobowcu tym znaleziono dzban piwa, u góry grubą skórą szczelnie zawiązany. Ludzie, którzy grób ten otwierali, wypili to piwo i zapewniają, że było czyste, wybornego smaku i nader mocne'...

Tyle z Reuscha. Dwie następujące wiadomości przytaczamy ze wspomnionej już historii naturalnej Prus przez Bocka (tom 2, str. 573). Wedle niego w r. 1745, we wsi Gischkau (o 1 1/2 mili na południe od Gdańska) odkryto grób zbudowany z polnych kamieni, a w nim urny, z popiołem i kośćmi. Pod popiołem znaleziono pierścień z drutu, kilka rozbitych bursztynowych paciorków, kawałek paciorka niebieskiego szklanego, i trzy srebrne denary Domicjana i Adryana. Oprócz tego w bliskości Gischkau, w kilku wsiach poznajdywano urny, ale o tych nie można było powziąć bliższych wiadomości. W drugim miejscu powiada Bock, że w tym samym roku „za Zielonym lasem pod Gdańskiem” znaleziono urnę i kilka kawałków bursztynu. Dzisiaj niepodobna oznaczyć miejsca, które ów las pokrywał.—Teraz rzucimy jeszcze okiem na zachodnią okolicę Gdańska, która po większej części do obwodu karthauskiego należy. Cały pas kraju rozciągający się od Gdańska aż po miasteczko Karthaus i wielkie jezioro Radaunen, był może za czasów pogańskich najbardziej zamieszkałą częścią Prus zachodnich. Albowiem powieści o grobowiskach tak są tutaj liczne, że otwierają niezmierne pole do nowych poszukiwań, z których codziennie ciekawszych oczekujemy rezultatów. Tak np. wymaga sprawdzenia twierdzenie, jakoby w okolicy Karthauzu w pogańskich grobowcach znachodziły się monety. Szczególniej wiele nowych odkryć obiecuje dobra Lesen, położone na granicy gdańskiego i karthauskiego obwodu, w okolicy o 3 mile na wschód od Gdańska odległej.

P. Förstemann ofiarował towarzystwu turyngsko-saskiemu szczególną ozdobę bronzową (fig. IX) i życzy sobie wiedzieć, czyli gdzie podobną znaleziono. Jedna część téj ozdoby (a) ma kształt cążków i jest zupełnie podobna do przedmiotów tego rodzaju znalezionych w Redziszowie. Jednakże między obydw-

(1) Z początku wzięto te ozdoby za pismo runiczne, ale po bliższym rozpatrzeniu, porzucono to mniemanie.

ma ramionami cążków przechodzi półkolista, z zaostrzoną zewnętrzną krawędzią brązowa blacha (*b*), która za pomocą ruchomego pierścienia może być mocno w cążki ujęta. Oprócz tego cążki zostają w związku z innym pierścieniem (*c*), a ten znów z igłą na pół stopy długą (*d*). Całość zaleca się starannym wyrobieniem, a szczególnie grubsza, zakrzywiona część igły. Ciekawy ten przedmiot, znaleziony został w grobie, zawierającym 9 urn, z pięknym po większej części rysunkiem.

Dotąd mniemano powszechnie, że narzędzia te, znajdowane zarówno na północy jak i w wielu okolicach Niemiec, służyły do tego samego celu co *Volsellae* u Rzymian, to jest do wrywania pojedynczych włosów. W Kopenhadze jednak, zrobiono inne pod tym względem objaśnienie. W Przewodniku naukowym o północnych starożytnościach (Kopenh. 1837, str. 52) nazwano narzędzia te pęsetami (*Pincetten*). „Zwykle bywają one z brązu, rzadko z żelaza, niektóre opatrzone są zasuwką albo pierścieniem. Zostają one prawie zawsze w związku ze sztyłem i małym nożem, z kąd poszło mniemanie, że to były narzędzia, w głębokiej starożytności używane do szycia, kiedyto jeszcze odzienie składało się po większej części ze skór, pozszywanych żyłami albo strunami. Domysł ten potwierdza jeszcze i to, że przedmiotów tych nie znajdowano nigdy, a przynajmniej bardzo rzadko, obok zwyczajnych igieł do szycia”. Pod tym względem robi p. Wiggert uwagę, że przy odkryciu pod Möckern, o którym już wspomnieliśmy, widział obok takich cążków długie, żelazne, o jednem uchu igły.

Sam pierścień ruchomy na owych cążkach wskazuje, że ich używano nietylko do przytrzymywania (np. strun), ale raczej do utrzymania czegoś w ciągłym spojeniu. Gdy na zgromadzeniu towarzystwa turyngskiego przedstawiono nadesłane z Gdańska cążki (fig. IX), obudziły one wielkie zajęcie. Zaczém jeden z obecnych zrobił uwagę, iż widział jak Arabowie w Afryce używają podobnego przyrządu, tylko w kształcie pierścienia, do podtrzymywania wysoko na piersiach rogów zwierzchniego odzienia, co niezmiernie poruszenia ciała ułatwia. Kto inny znów uczynił następne uderzające porównanie. W wielu wsiach w Turyngii jest zwyczaj, że przy okazalszych ucztach, podają gościom srebrne, do będącego w mowie zupełnie podobne narzędzia, składające się z wielkiej igły, z pierścienia i cążków z zasuwką; któreto narzędzia służą do utrzymania na piersiach serwety. W najnowszych nawet czasach można było widzieć po handlach galante-

ryjnych podobne sprzęty, tylko w mniejszych rozmiarach, do tegoż samego przeznaczone użytku.

Jeżeli się zgodzimy na to, iż narzędzia te podobne miały w starożytności przeznaczenie, i do przytrzymywania sukien, albo splotów na głowie były używane, to zachodzi nowa trudność, co do znaczenia półkulistój blachy. Zewnętrzna jój krawędź jest ostra, jakoby przeznaczona do krajania, i podobna jest do krzywych nożów w Kopenhadze, o których jest mniemanie, że służyły do krajania skór i rzemieni, do czego bardzo zdają się być stosowne; tém bardziej, że i dzisiejsi rymarze podobnych nożów używają. Jeżeli jednak téj blaszce bronzowój przyznamy znaczenie noża, to zachodzi znów pytanie, w jakim celu umieszczono ją wśród ramion cążków. Najprawdopodobniej zdaje się, że przy wypełnianiu urny, weszła w to miejsce przypadkiem, a użycie jój z użyciem cążków nie miało nic wspólnego. Przeciwnie można tylko wtenczas twierdzić, gdyby gdzieś drugi egzemplarz podobnego narzędzia z takim samym składem części znaleziono.

Nareszcie wspomnieć tu wypada o 9ciu urnach, będących w posiadaniu towarzystwa badaczy natury w Gdańsku; przeszły one tam ze zbioru prywatnego, gdzie już znajdowały się w przeszłym stuleciu. Niestety, niewiadome jest miejsce ich znalezienia, przez co niezmiernie na wartości tracą; zdaje się jednak, że wszystkie z okolicy Gdańska pochodzą. Są one rozmaitej wielkości, kształtu i koloru, tylko czarnój nie ma ani jednéj między niemi; na niektórych widać niezgrabne rysunki. Najgodniejszą uwagi jest jedna, na którój znajduje się pismo runiczne, jakiego dotąd nigdzie nie odkryto. Pożądaną byłoby rzeczą, gdyby się ktoś zajął odczytaniem tegoż napisu, a raczój zbadaniem przez szczegółową korespondencyą, czyli przypadkiem owo ujrzenie runów na urnie, nie jest owocem bujnej imaginacy badacza.

BAEHR, JOH. C., PROF. AN D. AKAD. D. KUENSTE ZU DRESDEN ETC., DIE GRAEBER DER LIVEN. EIN BEITRAG ZUR NORDISCHEN ALTERTHUMS-KUNDE U. GESCHICHTE. DRESDEN, 1850. VIII, 68 s. U. XXI STNFLN. GR. 4TO.

Wielki wylew Dźwiny pod Ascheraden, na wiosnę w r. 1837, odkrył znaczną liczbę starożytnych grobów; a tak liczne zabytki dawno ubiegłej przeszłości na jaw wydobyte, zwróciły tak dalece na siebie uwagę rządu, iż szanowny professor Kruse w Dorpacie,

otrzymał polecenie do bliższego zbadania téj rzeczy. W skutek tego polecenia rozciągnął on poszukiwania swoje na całą Kurlandya, Liwonią i wyspę Oesel, a rezultaty prac swoich złożył w wielkiej księdze in folio, która ozdobiona wielu rycinami, wyszła w r. 1842, pod tytułem: *Necrolivonica, czyli starożytności liwońskie, estońskie i kurlandzkie*. W dziele tém, zarówno pracowitém jak i interesującym, nietylko zebrał, opisał i objaśnił wszystkie zabytki starożytności tych krajów, o których mógł poznać wiadomość, ale dodał jeszcze uczone poszukiwania, pod względem dawniejszój historii téj pustej okolicy. Z tych poszukiwań okazuje się, że najprzód Grecy, potem Rzymianie, a następnie Normanowie, za pomocą bezpośredniego handlu, przeważny wpływ na tamtejsze ludy wywierali. Książka p. Bähra jest pod pewnym względem polemiką krytyczną na dzieło p. Kruse. P. Bähr ogranicza swoje poszukiwania do grobów pod Ascheraden, i stara się tylko dowieść, że groby te odnoszą się do peryodu żelaza, to jest do VIII — XII wieku, i że nie należą ani do słowiańskich Łotyszów, ani do germańskich Normanów, ale do fińskich Liwończyków, którzy wkrótce potem, w skutek niemieckich zaborów naciśnieni i ujarzmieni zostali. Do tego dołącza p. Bähr pogląd na historya, stan i własności fińskich ludów, a w końcu przychodzi do tego rezultatu, że wyjąwszy monety, które handel naniósł w te okolice, wszystkie inne przedmioty, znalezione w owych grobach, były wyrobem krajowym, i świadczą nietyle o wpływie zachodniej oświaty, jak raczej o własnej, azyatyckiej pierwotnych fińskich ludów cywilizacji.

ODCZYTY RUNÓW. W skutku rozprawki mojej o czytaniu runów słowiańskich (Bibl. Warsz. r. 1851, sierp.), pisze mi nestor archeologów L. autor Bibliograficznych Ksiąg dwoje, iż mój rozbiór literatury runicznej i powątpiewania, znalazł słusznemi i trafniemi. Co do napisu z kamienia wykopanego w Lublinie w 1847 r., którego przerys do owój rozprawki załączyłem, sądzi L. iżby go może tak czytać wypadło, od prawej biorąc głoski za ruskie: *tysiac. leto. gd. p. ilkyj*; niby tysiąc lat od gospoda przyjscia. Sam jednak śmieje się z swego odczytu.

Jak mię przekonał dokładny rysunek, napis na domu nr. 16 w Lublinie, który téż do rozprawki dołączyłem, tylko z powodu fantastycznego przerysu, podanego przez p. Sierpińskiego mógł być wzięty za pomnik runiczny; jestto bowiem arabska cyfra, oznaczająca rok 1525; między każdą liczbą jest znak oddziaływy.

W Siedmiogrodzie, w okolicy miasteczka Torda, znaleziono mały bronzowy posążek sfinxa, którego rysunek podał II nr. Dziennika lit. lwow. Napis otaczający podstawę figurki czytają wielorako; i tak: H. L. Bock z Hamburga czyta z lewój ku prawój po łacinie: *Ne spes Epejo item Jemy*. Thalson z Karlsburga wyczytał po grecku: *Chłosta niweczy radość złośliwą, surowa Temida kruszy chwiejne kajdany Aureliana*. Wreszcie po wielu jeszcze dowcipniejszych wyczytach, p. Leligdowicz ze Lwowa czyta: *Ćmato ćma ciebie zabiła*. Autor Ksiąg Bibliograficznych tak sądzi o tym zabytku: „Odczyt *ima ima* i t. d. jest lichy. $\text{H}+$ nie może być *si*, bo jest *ti*; to jakaś greczyzna. Jedna głoska ?? coś małogreckim odpowiada; zdaje się, że za nie innego użytą być nie może jak za S E, i że się czyta: *ima imatih. ieres-imag imaticzu v. imaczu: zgadnij zgadulo kapłanie arslana*.” L. nie wiedział o odczycie lwowskim, a do swego i sam ceny nie przypisuje; możnaż bowiem mieć jaką rękojmię odczytu, gdzie cały napis ma ledwie kilkanaście znaków, i zbywa mu na powtórzeniach, któreby autentyczności odczytu dowodziły. Cytując list L. przytoczymy jeszcze, co wreszcie donosi: „Jeden Flamand, a przeto niepomówiony o nieznamość germańskiej mowy, obznajmiony ze źródłowaniem sanskryckim, drukuje w Bonn dziełko, gdzie nader dowodnie okazuje, iż mnogo wyrazów germańskich pochodzi z fińskiego.” Co do kwestyi tego rodzaju, myślę, że dlatego germańskie podobne do fińskiego, a oba znów do innego jakiego języka, że wszystkie z jednego idą źródła i mają wiele wspólnego.

PARADOXA KORONNE PUBLICE I PRIVATIM POTRZEBNE SZLACHCICOWI POLSKIEMU. Pod tym tytułem znaleziono we Lwowie rękopis, prześliczną polszczyzną pisany r. 1603, obejmujący prawdy moralne dla narodu, dziwnie, ponętnie i zajmująco napisane. Z okładki udało się redakcyi Dziennika lit. lwow. (nr. 12 t. r.) dojsć nazwisk posiadaczy tego ważnego zabytku, autora jednak nie wykryto. Księgarz Czech zajął obecnie prasę swoją wydaniem téj nowój gwiazdki z widnokregu naszej Zygmuntofskiej literatury.

TOWARZYSTWA OPIEKI I WSPARCIA SZTUK PIĘKNYCH, (Kunstverein) zawiązały się jednocześnie w Krakowie i we Lwowie; czekają tylko zatwierdzenia władz.

MONUMENTA POLONIAE HISTORICA: pod tym napisem wychodzić zacząną we Lwowie najstarsze pomniki dziejów naszych. Wedle programu ogłoszonego w Dzienniku lit. lwow., redakcyą wydawnictwa zajmują się pp. A. Batowski, A. Bielowski, S. Pilat, S.

Przyłęcki, K. Szajnocha, J. Szlachtowski, J. Wagilewicz, a pierwsze oddziały dzieła obejmą:

I. Spominki i roczniki polskie od czasów najdawniejszych aż do wieku XVI, wydane porównawczo, z podobiznami rękopismów.

II. Żywot ś. Wojciecha, napisany w wieku X przez Kana- parza, z różnicami rękopismu pergaminowego pisanego w Polsce w wieku XIV, i żywot tegoż świętego napisany przez ś. Brunona.

III. Kronikę Galla z przedmową obszerną i dokładnymi objaśnieniami, oraz ze szczególnym względem na zdarzenia opisane przez tego kronikarza jednobrzmiąco z polskimi rocznikami, i na lokucye brane przez niego z najstarszego żywota ś. Gawała i z ksiąg pisanych przez mnichów sangalleńskich.

IV. Kronikę węgiersko-polską, porównaną według dwóch rękopismów, z ich podobiznami.

V. List Chasdaja ben Izaaka Sprota, pisany roku 958 do króla chazarskiego Józefa, i tegoż odpowiedź: oryginał hebrajski, z polskim obok przekładem.

VI. Spominki i roczniki dotyczące najdawniejszych dziejów Rusi i Litwy, z rękopismu nieznanego dotąd, w języku ruskim i polskim.

VII. Latopis Nestora: tekst oryginalny, z polskim obok przekładem i z objaśnieniami.

VIII. Kronikę Wołyńską: tekst oryginalny z polskim obok przekładem i z objaśnieniami.

IX. Lwa Kiszki biskupa włodzimirskiego ob. gr. dwóch kronik ruskich, obejmujących dzieje najdawniejsze aż po rok 1186, skrócony przekład polski, uskuteczniiony w końcu XVII wieku lub w pierwszych latach XVIII.

X. Kronikarzy polskich szkoły Wincentego, mianowicie: *a) Mierzwy* kronikę z jej dopełnieniem; *b) list Mateusza* biskupa krakowskiego do ś. Bernarda, pisany około r. 1150; *c) kronikę Mateusza i Wincentego*; *d) komentarz Jana Dobrówki* do tych kronik.

XI. Jana de Plana Karpini i Benedykta Polaka opis podróży do Tatarji roku 1246 odbytej, z spólczesnego pergaminowego rękopismu.

XII. Żywot ś. Stanisława, napisany około połowy XIII wieku przez Wincentego z Kielc Dominikana, dotąd niedrukowany, a nawet nikomu nieznan; według dawnego pergaminowego rękopismu.

XIII. *Ułamki kroniki Bogusawy*, według rękopismu Hodi-jowskiego, i kronikę *Godysława Paska* z objaśnieniami.

XIV. *Kronikę Jana z Czarnkowa*, archidyakona gnieźnieńskiego, z objaśnieniami.

XV. *Herbarz Długosza*, z kilku rękopismów uzupełniony, z ich różnicami.

XVI. *Roczniki przez Lwa Kiszkę*, z rozmaitych dokumentów układane w języku polskim i t. d.

Ks. Barącz Dominikan wypracował i wydał obecnie we Lwowie monograficzny opis Żółkwi, pod napisem: PAMIĄTKI MIASTA ŻÓŁKWI. Pięknyto nabytek do szczegółowych opisów miast i miejsc znakomitszych Galicyi; obecnie posiadamy już z téj części kraju opisy, jak: Lwowa, Krakowa, Tarnowa, Jarosławia, Bochni, Wieliczki, Tatr, Szczawnic, Kalwaryi, i wiele drobniejszych po pismach czasowych.

HISTORIA ERREKCYI KOŚCIOŁÓW W WIELKOPOLSCE, przez J. Łukaszewicza, wyjdzie niezadługo w Poznaniu.

Professor uniw. krak. p. J. Muczkowski wydał w drukarni uniw. Długoszowe BANDERIA PRUTENORUM i HERBARZ NOWO odkryty (Insignia seu Clenodia reg. pol.) W pięknie i krytycznie napisanej przedmowie do Banderyów i Herbarza mówi p. Muczkowski o odpisach piérwszych z bibl. kap. katedr. gdzie się oryginał dochowuje i o rękopisie drugiego, znalezionym w bibl. im. Ossol. i w zbiorach ks. bisk. Łętowskiego. Wydanie Banderyów Vossberga i uwagi o niém p. Żebrowskiego (Bibl. Warsz. r. 1851, t. II str. 168), miał już pod ręką p. Muczkowski tworząc swoją edycyą; dlatego ciekawe poczynił w przypisach uwagi, porównywając wydania i rękopisy. Szkoda tylko, że publikacya ta straciła na popularności przez umieszczenie łacińskiego Długoszowego textu, gdy może dobrze było przełożyć rzecz na polskie.

Professor uniw. p. W. Pol ogłosił w Roczn. tow. nauk. rzecz o ZASŁUGACH DŁUGOSZA POD WZGLĘDEM GEOGRAFII; jestto tłumaczenie opisu kraju, który Długosz podał w I tomie, I. księdze swojej kroniki, poprzedzone ocenieniem téj pracy i wykazaniem stanowiska i wartości Długosza jako geografa. Ważne zadanie i pożyteczna praca p. Pola; ależ gdy geografią Długosza już mieliśmy tłumaczoną (Gustawa Bornemana, Leszno, 1840 r.), obecnie pod piórem zacnego profesora zasługi Długosza w geografii dopiéro wtedyby należycie i dowodnie ocenionemi być mogły, gdyby rozebrano Długoszową księgę *de Beneficiis*, gdzie z taką drobiazgową dokładnością, prawie siły człowieka przechodzącą, mamy opisaną ogromną dyce-

zyą krakowską. *Liber beneficiorum* przechowuje się w kapitule katedr. krak., a tylko p. Muczkowskiemu winniśmy, że nas bliżej obznajmił z tym rękopismem, opisawszy go bibliograficznie (*Wiadomość o rękop. Długosza. Kraków. Druk. uniw. 1850. str. 73*). Praca ta nieśmiertelnego Długosza zasługuje zapewne przed wszystkim na wydanie, ale łatwo zda mi się odgadnąć, iż dlatego dotąd nie jest ogłoszoną i może nigdy wydania się nie doczeka, iż w sprawach spornych o majątki kościelne jest dokumentem mającym urzędową powagę, a zatem rodzajem archiwum, z kądby łatwo było wyszukać materyi do sporów. Radbym ujrzeć wydany ten rękopis, choćby tém okazano, że się myłę w sądzie o jego losie.

J. Łepkowski.



KRONIKA LITERACKA.

Obrazki Wiejskie Jana Kantego Gregorowicza. 4 tomy. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. 12ka. Tom I, str. 317. Tom II, str. 261. Tom III, str. 228. Tom IV, str. 393.

Znane są, choć tylko w bardzo małej części *Obrazki Wiejskie* p. Gregorowicza, umieszczone w naszym piśmie. To, co Biblioteka Warszawska ogłosiła, jest dopiero wstępem niejako do tego obszernego dzieła w 4ch tomach, o którym zdać sprawę naszym czytelnikom zamierzamy (1).

Przedmiot to zaiste nowy, nieznan w naszej literaturze, przedstawić życie domowe ludu w tak obszernych ramach, a w tak rozmaitych odcieniach. Zdania też różne już wydano; o ogłoszonej w Bibliotece Warszawskiej części, p. Kraszewski w listach swoich wypowiedział myśl swoją. Jeżeli chwalono rzecz, której zganić nie można, zarzucano zbytnią rozciągłość, gadatliwość w rozmowach. Znany, jeden z pierwszych naszych pisarzy wyrzekł zdanie, że *obrazki* p. Gregorowicza mają wierność *dagerotypu*, ale mają zarazem i *dagerotypu* wady; przez co chciał myśl wyrazić, że brak artystyczności w utworach p. Gregorowicza. Szanujemy każde zdanie, ale nie umiemy iść ślepo za cudzém. *Obrazki* p. Gregorowicza są zbyt ważnym utworem w obecnym czasie, ażebyśmy zbyli sąd o nich lekkim frazesem.

Odkąd zwrócono uwagę na literaturę niepiśmienną ludu naszego, odkąd zaczęto zbierać pieśni, powieści i przysłowia ludowe, jako w bogatej kopalni rodzinnych skarbów: wyrabiać się zaczęła myśl, że postaci chłopków naszych, niewiast wiejskich i krasnych dziewic, można użyć do utworów literackich; że te postaci świeże, dziarskie, żyjące prawdą a Bogiem, ożywią nasze obrazy, i dobrze, malowniczo odbiją wśród wyższego towarzystwa schorowanego i wybladłego. W. Bogusławski szczęśliwem natchnieniem wiedziony, wywiódł Dziarskich Krakowiaków i goral na scenę, pierwszy korzystając zrecznie z piosnek ludowych; Kraszewski przedstawił nam *Ulanę*, *Bondarczuka*, *Jarynę*, figury ludowe;

(1) Umieszczone powieści w Bibl. Warsz. zajmują tom *Iszy Obrazków*, i jeden rozdział tomu *Ilgo*. P. R.

w utworach innych występują chwilowo te postaci: ale nie mieliśmy dotąd pisarza, któryby nam wiernie, z całą prawdą przedstawił lud we wszystkich niemal odcieniach życia domowego, aby dał nam jasno pojęć jego myśl i serce. To zadanie trudne zaprawdę, pan Gregorowicz wziął za cel główny w swoich obrazkach.

Kto zna zblizka lud nasz, ten wie dobrze, że nie jest rozmowny ani z *panem*, ani z jego tak zwanemi oficyalistami. Potrzeba go umieć wciągnąć w rozmowę, trzeba ażeby ten, przed kim kmieć nasz myśl swą i serce otwiera, zyskał sobie przychylną kmiotkę; inaczey półsłówkami będzie bąkał, lub zupełnym milczeniem zbędzie.

Jakaż ci pozostała droga, ażebyś poznał myśl, ów chłopski rozum, i serce tyle umiejące czuć kmiecia?

Usłyszysz pieśń—to chwilka radości; powieść—to rys wyobraźni; przysłowie dosadne—to okruchy jego myśli: wszystko to szczupłe fragmenta żywota ludu. Ale zkad weźmiesz farb do odmalowania w ramach rzeczywistey prawdy tego życia chłopskiego, tego na miliony liczącego się roju pracowitych, co myślą po swojemu, rozumują po swojemu i czują po swojemu; co uparci, bo zamięłowani w tém, co im przeszłość zostawiła, zachowali nam najdroższe jej pomniki, i rodowość swoję od napływu cudzego chroniąc troskliwie, wierną przechowali.

Ten cały rój milionowych rodzin rozsypanych na ogromnej przestrzeni dawniej Rplitej, to plemię rolnicze, które z niemieszaną krwią w pokoleniach, z górą lat tysiąc na tej ziemi przeżyło, wyrobiło w sobie charakter pewny, myśl, pojęcie, rozum, któremi się silnie rysuje na tle naszego społeczeństwa. Te poznać, zgłębić, ocenić, zadaniem być naszym winno. Powołany potem pracownik musi przedewszystkiem długo żyć z ludem, zyskać jego ufność, pokochać go, aby bez uprzedzenia był spokojnym badaczem, a miłując prawdę, dla artyzmu nie fałszował postaci ludowych.

Trudne to i bardzo trudne, jak rzekliśmy, zadanie. Prosta myśl w szorstkich słowach, zamięłowanie sielan w długiej pogawędce, owo drożenie się, półsłówka nieśmiałe, zanim na dobre zacznie rozmowę z tobą swobodną: przyznać musimy, że to niewdzięczne dla artystyczności pole, ale niestety, to są bardzo silne rysy do odznaczenia prawdziwie ludowych postaci. Nie zaprzeczamy bynajmniej, aby prawdziwy artysta nie potrafił szczęśliwie te trudności talentem swoim przełamać; ale obawiać się musimy, żeby dla strony artystycznej, prawdy nie poświęcił, i miasto prawdziwie dziarskich kmieci krakowskich, nie dał nam baletników z Wesela w Ojcowie. W obrazkach p. Gregorowicza jedni uważali niepospolity talent w prowadzeniu dyalogów, drudzy zbytnią ich rozciągłość za wadę poczytali. Ktokolwiek zna lud nasz bliżej (powtarzamy raz jeszcze) ten wie, że ani on sam w życiu, ani żaden dostrzegacz w opisie lepiej go nie scharakteryzuje jak w schwytaney, lub podsłuchaney rozmowie. W niejto kmieć nasz w swobodnej chwili, w pogadance ochoczey czy w karczmie na uciezce, czy w chacie w czasie chrzcin, wesela, pogrzebów, wylewa swoję myśl, uczucie, ból i smutek. Pogadanka taka, to dopięro zwierciadło, w którym cała jego charakterystyka odbija. Świat działania jego w szczupłych się szrankach zamyka: w tychto szrankach

stacza turnieje życia, opłacane krwawym znojem. Praca i ciężka praca to herb jego tarczowy w tém bojowisku czynu. Chcesz więc kmiecia z całą prawdą, z całą jej utudą malować, musisz milczące jego usta rozwiązać, a rozmowę jego wiernie stenografować. Tą też drogą poszedł p. Gregorowicz, a o ile odpowiedział założeniu swemu—zobaczmy.

W trzech tomach Obrazków zawarł nasz autor całość, w której przedstawił nam jako działające główne figury pana dziedzica, pana rządcy z godną małżonką, Małgosi bohaterki obrazków, jej kochanka Antka, starego ogrodnika Sakowskiego, i wiele innych jeszcze postaci mniejszej działalności, ale należących do wypełnienia dobrze ram każdego obrazku. Treścią główną jest miłość Antka do skromnej a krasnej Małgosi, miłość, która przełamała wszystkie zawady, bo i nienawiść matki Antka, i pani rządczyni, a nawet upodobanie w pięknej dziewczoi młodego dziedzica.

W utworze swoim, jak widzimy z prostej treści, nie ubiegał się p. Gregorowicz, aby go przedstawić jako powieść; szło mu głównie, aby wiernie a z prawdą, postaci pochwycone w rzeczywistości, odmalować jak w zwierciadle. A wszystko to osnuł myślą tak zącą, szlachetną, że każdy przywiązuje się do tych postaci prostych, poczciwych. Trudne tu nasz autor miał zadanie: opisać miłostki dziedzica ku prostej dziewczce wiejskiej, których celem nie była żadna myśl wyższa, żadne szlachetne uczucie, umiejące wzbic się ponad względy i przesady światowe. A przecież przyznać musimy, że opromienił p. Gregorowicz tak utudnie krasotą wdzięku, naiwnością i prostotą Małgosię, że jej postać tak przystrojona widzimy, iż blask dziewiczości trzyma się silnie tego lica czerstwego, tych rąk narobionych, tego zgrabnego ubioru.

I ów młody panicz, ów dziedzic pod wpływem tego uroku, oczyścił myśl i serce z kału ziemskiego, uszlachetnić je potrafił, i sam dopomógł do związku małżeńskiego z ukochanym Antkiem. Z tym samym talentem maluje nam widoki przyrody i tych chat wieśniaczych: zpod jego pióra czujem tchnienie i woń sielskiej zagrody, choć nie dodaje, bo maluje to tylko, na co patrzył, ale patrzył z uczuciem i rzewną myślą.

Dodajmy do tego wiernie schwytny język ludowy, tak oryginalny a tak malowniczy, który więcój jeszcze tym postaciom i obrazkom dodaje uroku. Jakażto szlachetna postać ogrodnika Sakowskiego? ileż ta postać ma w sobie życia i prawdy w każdym ruchu, w każdym słowie. Cóż mówić o w przeciwieństwie stojących figurach zarozumiałego a oszusta pana rządcy, zjadliwej jego małżonki, przebiegłej Szczepanowej, matki Antka, albo o wesolych a szczerych Sandomierzakach towarzyszach jego. Z jakąż prawdą mamy odrysowany jarmark gwarny, ten godowy dzień dla kmieci naszych.

Jako ustęp w tej opowieści, jest *Wieczór jesienny*; tu nowe postacie się jawią, które autor zręcznie jako niezbędny rys do swych obrazków w ciąg jeden wcielił. Miejszem działania jest karczma, chwila obierania kapusty na zapas zimowy. Wpółśród niewiast (z których jedna bajkę ludową czyli klechdę opowiada) i dziewcząt, widzimy na zydelku siedzą-

cego szewca, latającego bót pana Błażeja, który obok niego oczekiwał na robotę, z nogą bosą. Jestto ten pan Błażej, znany w okolicy; trudni się uczeniem małych dzieci, strojeniem fortepianów, a gdzieniegdzie uczeniem muzyki. W tak szczupłych ramach, przy tak małym ruchu dramatycznym, p. Gregorowicz z prawdziwym talentem wywiązał się z zadania. Trzeba odczytać ten ustęp, aby uznać, jak śmiało pociągami pióra narysował silnie, wyrazisto te dwie postaci. Jestto zaprawdę Hogartowski obrazek.

Niewszędzie jednak był tak szczęśliwym p. G. Zamknąwszy całość co do głównych swoich bohaterów, Małgosi i Antka, w trzech tomach, dla uzupełnienia zarysów ludowych w IV tomie dodał dwa obrazki p. n.: *Okrężne* i *Wesele*: tu już więcej przedstawia nam postaci wyższej sfery społeczeństwa. Wyznać musimy, że jeżeli ze szczególnym talentem umie p. G. ludowe wizerunki nam dawać, talent jego maleje, kiedy do obrazków swoich nie sam lud wprowadza, a zaczyna je przepelniać surdutem czy frakiem. Zręcznie bardzo (wyjąwszy owych nieludowych postaci) tak okrężne, jak i obrząd weselny narysował p. G. i temi obrazkami silnie uwagę zajmuje.

Wydanie tych obrazków, jak już rzekliśmy, niemałe ma znaczenie w obecnym stanie literatury naszej: bo nie tylko że oznajmi wszystkich z mnóstwem postaci i charakterów ludowych, i téj klasy, jakkolwiek nie kmieci, ale najbliżej ludu zostających, jak oficyalistów dworskich, których równie dosadnie a wybornie umie p. G. malować: ale dalej, nie tylko w ponadwiślu da poznać, czém lud jest wśród naszego społeczeństwa, czém być może przy środkach polepszenia jego doli.

Ta myśl wyższa, ta szlachetna dążność jasno odbija w utworach p. G.; otwarcie wynurzamy mu tu za to naszą wdzięczność. Nie umiemy szyderstwem odstręczać młodych pracowników, których i tak szczupłe grono; nie umiemy usterki pochwałą okrywać lub przyklaskiwać złej myśli, choćby jaśniejącej talentem, albo niedołężnym utworom: ale każdemu co wstępuje w chlubny zawód literacki, bratnią podajem rękę, i cieszymy się, gdy talent jego chlubny znajduje odgłos w kraju naszym.

Dlatego i p. G. wytknęliśmy jego usterki, a do nich dodać musimy: małą wprawę we władaniu piórem, i brak dramatycznego ruchu w całości. Sąto niewiele znaczące skazy, w porównaniu z zaletami, które hojnie wynagradzają nam wszystkie drobne usterki.

Wydanie tych obrazków zawdzięczamy księgarzowi S. Orgelbrandowi, który ohotnie każdy utwór oryginalny, a rzeczywistą mający wartość, w ozdobnym i troskliwym wydaniu ogłasza, czém się téż odznaczają i pomienione Obrazki Wiejskie p. Gregorowicza.

O czwartém wydaniu *Kroniki polskiej Galla* w XI tomie Pertza:
Monumenta Germaniae historica, przez pp. Szlachtowskiego
i Köpke.

W XI tomie wspaniałego zbioru kronik krytycznie wydanych przez Pertza, obok *czeskiej kroniki Kozmasa*, wydaną téż została po raz czwarty *Kronika polska Galla*, przez uczonego profesora lwowskiego p. Jana Szlachtowskiego, z pomocą pana Köpke z Berlina (1). Chciała zapewne redakcja zbioru kronik niemieckich mieć obraz najdawniejszych stosunków z ościennym krajem, z obcego także stanowiska skreślony; podobnie jak w zbiorze naszych kronikarzy i *Dytmar* i *Nestor* miejsce znaleźćby powinni.

Jakkolwiekby, p. Szlachtowski przygotowuje jeszcze *piąte* wydanie, liczniejszymi przypisami i objaśnieniami wzbogacone, dla umieszczenia go w pięknym zbiorze kronik polskich przed-Długoszowych, które p. August Bielowski we Lwowie, pod tytułem: *Monumenta Poloniae historica*, ogłasza.

Do terażniejszego wydania użył p. Szlachtowski nowo-odkrytego w bibliotece ordynatów Zamojskich, *trzeciego a najdawniejszego* rękopisu Galla, bo w połowie XIV wieku na pergaminie pisanego. Lubo prawie całkiem zgodny z *drugim* (*gnieźnieńskim* czyli *kłodawskim*), jednak już samą starożytności powagą i poprawnością kalligraficzną celuje.

We wstępie, klasyczną łaciną pisanym, objaśnia p. Szlachtowski skąpe wiadomości, jakie autor kroniki sam o sobie podaje, i te, które w przytaczających jego kronikę, późniejszych kronikarzach i dziejopisach naszych znajdujemy. Dowodzi gruntownie własnymi słowami kronikarza: „że był cudzoziemcem (*Exul et peregrinus*) (2); mnichem uczonym, który wziął się do pisania nie dla wychwalania własnego kraju i własnej rodziny, ale dla odniesienia jakiej nagrody za swoją pracę, na miejsce w którym śluby zakonne złożył, (*ad locum professionis*); tudzież dla zachowania się od próżniactwa, i aby nie stracić zwyczaju dyktowania i nie darmo jeść chleb polski, (*et ne frustra panem Poloniae manducarem*). Żył na dworze Bolesława IIIgo, najbardziej do jego osoby zbliżony, zapewne nawet należący do liczby jego kapelanów, których w dedykacji księgi IIIciej, *najmilszą bracią* (*fratres carissimi*), nazywa (3). Dwie

(1) *Pierwsze* wydanie *Lengnicha*, z rękopisu *heilsberskiego* (czyli *szamotulskiego*), pod tytułem: *Vincentius Kadlubko et Martinus Gallus, Scriptores historiae Poloniae antiquissimi. Gedani 1749. Drugie*, (z pierwszego przedrukowane), w III tomie zbioru *Mitzlera de Kolof. Varsaviae, 1769. Trzecie*, z rękopisu *gnieźnieńskiego* (czyli *kłodawskiego*), porównanego z *heilsberskim*, przez Jana Wincent. *Bundkie*, pod tytułem: *Martini Galli Chronicon. Varsaviae, 1824.*

(2) Przez błąd drukarski *exul, apud vos et peregrinos*, (tak jak w wydaniu warszawskiem); kiedy w teście kroniki (Pertz. XI, str. 463), czyta się: *exul apud vos, et peregrinus.*

(3) O jednym z kapelanów Bolesława IIIgo, *Leopardem* zwanym, który w klasztorze Benedyktynów w *Zwifaltenie*, w ziemi szwabskiej, (niedaleko Ulm) życie zakończył, i tam wiele dzieł rzeźbiarskich wykonał, niektóre szczegóły podać zamierzamy w dziełku: *O śladach Bolesławów polskich po obcych krajach.*

piérwsze księgi napisał pomiędzy rokiem 1109 a 1110, ponieważ z liczby biskupów, którym je poświęca, *Maurus* został biskupem krakowskim r. 1109, a *Paweł* biskup kruszwicki r. 1110 umarł. Trzecią księgę po niejakiem wypoczynku napisał (*aliquantisper quiescamus*) i doprowadził do kary wymierzonej przez Bolesława, na brata Zbigniewa, czyniąc wzmiankę o pielgrzymce pokutnej tegoż Bolesława *do św. Idziego i św. Stefana*, za życia Kolomana króla węgierskiego; a więc przed r. 1114 (w którym ten król umarł), dokonanej (1).

Tak więc zdaje się niewątpliwém, iż autor kroniki naszój był mnichem spółczesnym, cudzoziemcem, może kapelanem Bolesława IIIgo; ale jak się nazywał i z jakiego był narodu? Co do imienia, o tém żadnego śladu nie ma, ani w trzech znajomych dotąd rękopisach kroniki naszój, ani w żadnym z późniejszych kronikarzy i dziejopisów. Dwa miejsca bowiem w Długoszu (2) o zwycięztwie Karola W. nad Lechem, i śmierci tego księcia w bitwie, jak o tém *Marcin Gall*, t. j. mieszkaniec Gallii, pisał: (*ita enim reperi Martinum Gallicum de eo scripsisse*) nie znajdują się w żadnym z rękopisów naszój kroniki; odnosić się zatem muszą do nieznanego jakiego kronikarza, bo nawet w XIStu tomach zbioru Pertz, żadnego pod imieniem *Marcina* nie masz, lubo wzmianka o zwyciężonym i zabitym przez syna Karola W. Lechu, księciu czeskim, niejednokrotnie się powtarza (3).

Sprawiedliwie zatem odebrała nowsza krytyka historyczna imię *Marcina*, bez przyczyny nadane najdawniejszemu kronikarzowi naszemu, a któreby można nazwiskiem narodowości jego zastąpić, gdyby się ta krytycznie udowodnić dała.

Lengnich, piérwszy wydawca, świadczy, że na czele rękopisu heilsberskiego, (czyli szamotulskiego) pisanego w wieku XV, położony był nadpis: *Gallus hanc historiam scripsit, monachus ut opinor aliquis, ut ex prooemiis conicere licet; qui Boleslai tertii tempore vixit* (Gall tę historiją napisał; mnich jakiś, sądzę, który żył za czasów Bolesława III, o ile dorozumiewać się można ze wstępu). Przy końcu rękopisu było: *Huc usque Gallus* (dopóty Gall).

Z późniejszych Kromer i Sarnicki nazywają naszego autora *Gallem*; Herbut w przedmowie do Kadłubka, *Gallem anonymem*; Paprocki cytuje go jako *anonyma*; Semler, w Dyssertacyach o starożytnościach pol-

(1) P. Szlachtowski rozumie tu klasztor ś. Idziego *Semuchensis vel Sentigis*, w Węgrzech, fundacyi króla węgierskiego ś. Władysława r. 1095; co zdaje się podobném do prawdy, przez połączenie téj pielgrzymki z drugą, do grobu św. Stefana w Węgrzech, za życia Kolomana króla węgierskiego, który umarł w 1114 roku. Zwiedzając w 1851 r. starożytny kościół św. Idziego w *Saint-Gilles* w południowej Francyi, znalazłem archiwalne ślady pielgrzymki Bolesława III, jako-by tam odbytej w r. 1128, o czém więcej szczegółów znajdzie się w wyżej wspomnianém dziełku: *Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach*.

(2) Wydanie lipskie. Księga I, str. 36 i 65.

(3) *Einhardi Annales*. Pertz I, str. 193. *Annales Tiliani* I, str. 224. *Annales Quedlinburgenses* V, str. 41. *Herimanni Augiensis chronicon* VII, str. 101. *Mariani Scotti Chronicon* VII, str. 549. *Ekkehardi Chronicon Universale* VIII, str. 169. *Sigeberti Chronica* VIII, str. 336. *Annalista Saxo* VIII, str. 565. Także w *Leibnitza Accessiones Historicae* T. I, str. 131. *Chronographus Saxo*, Annus DCCCV.

skich, drukowanych w aktach *Societatis Jablonovianae* w Lipsku, tłumaczy nazwisko *Galla* na *Niemca zareńskiego*. Pan Szlachtowski mniema, że nasz mnich był *Włochem*, a to dla dwóch mianowicie poszlak: 1^o że używa dwa razy słowa *Vastandiones* i *Vastaldiones*, odpowiadającego longobardzkiemu urzędowi *Guastaldiones* (rządcy miast), a to słowo mnichowi polskiemu lub niemieckiemu nie byłoby znajome, 2^o dlatego, że Niemców nie nazywa *Germani*, tylko *Alemanni*.

Co do pierwszego; Ducange, wyluszczywszy znaczenie słowa *Guastaldiones*, wzmiankuje, iż niektórzy uczeni wywodzą jego źródło ze *staro-saskiej* mowy, i dodaje, że *Awarowie, Węgrzy, Anglicy* i *Frankowie* takich *Guastaldionów* u siebie mieli (1). Nie potrzebował zatem nasz autor być *Włochem*, aby o nich wiedzieć.

Co do drugiego; Gall lub *Frank*, a nawet *Belgijczyk*, podobnie jak *Włoch*, nazywałby Niemców *Alemanni*.

Po co zatem szukać innej narodowości dla naszego kronikarza, jak tę, która mu tak dobrze z własnego dzieła przypada; którą przepisywacz z XV wieku, na tytule i przy zakończeniu rękopisu oznaczył; którą mu *Kromer, Sarnicki* i *Herburt* bez wahania nadają?

Zaraz po dedykacji dzieła swojego biskupom polskim, umieszcza mnich kronikarz legendę wierszem, o cudownym narodzeniu Bolesława III, za przyczyną *ś. Idziego*. Najdokładniej opisuje w niej podróż posłów przez nieznane im dotąd kraje; jak *Gallią* przebyli, i do *Prowancyi* doszli; jak przez *Burgundię* wrócili do Polski (2). A potem, gdy w samej kronice narodzenie Bolesława III opowiada, przez usta *Franka* biskupa polskiego, tak opisuje miasto *Saint-Gilles*, gdzie grób *ś. Idziego*, (*S. Egidius, Saint-Gilles*) słynnym był podówczas celem pobożnych pielgrzymek: „Jest, powiada, pewien święty u krańców Gallii, ku południowi blisko Marsylii, gdzie Rodan w morze wpada, w ziemi prowancyckiej, a nazywa się *ś. Idzi*” (3).

Czyż nie naturalnie przypuścić, że opisywał dokładnie znajome sobie miejsce *Gall*, a może do tego i mieszkaniec Prowancyi, może nawet mnich Benedyktyn z *Saint-Gilles*, aniżeli *Włoch* albo *Niemiec zareński*?

Uczony autor *Wstępu Krytycznego do Dziejów Polski*, August Bielowski, nazywa naszego kronikarza *Gawłem*, a ten domysł swój, na następującym rozumowaniu opiera:

Bolesław III urodził się skutkiem modłów zaniesionych do Boga w *Saint-Gilles*, w Prowancyi. Zakon ten założony był (jak powiada Mabillon w *Annales S. Benedicti*) *ad honorem S. Galli* (na cześć *ś. Galla*) czyli po polsku *ś. Gawła* (4). Mnisi z *Saint-Gall* w Szwajcaryi byli kolonią tego zakonu. Dlatego i *Kronika szlązka* opisując poselstwo ojca Bolesławowego, pisze: *in Provincia ad abbatem et conventum sancti Galli* (5). Po narodzeniu syna, Władysław wywdzięczając się, spro-

(1) *Ducange, Glossarium latinitatis mediæ ævi*, pod słowem: *Guastaldio*.

(2) *Pertz XI*, str. 424. (3) *Pertz XI*, str. 443. (4) Nie mogłem znaleźć tego miejsca w *Annales Benedictini Mabillona*.

(5) *Stenzel: Scriptorum Rerum Silesiacarum I*, str. 12; według mnie, przez błąd przepisywacza zamiast *Sancti Egidii*, lub przez złe tłumaczenie słowa *Saint-Gilles*.

wadził zakonników *ś. Gawła* do Krakowa, Kłodawy, Łęczycy, Krobi; ci nawzajem starali się zapewnić sobie wpływ na Bolesława, opisując jego czyny. Tak powstała *Kronika Galla*, napisana przez mnicha tego zakonu, zwanego *Gallem* nie dlatego, że z Francyi był rodem, ale dlatego, że był zakonnikiem *świętego Gawła*, a nie jest też niepodobna, że i sam *Gawłem* nazywał się (1).

Nie wiemy, czy to przypuszczenie wielu zwolenników znalazło; ale takie są przeciw niemu zarzuty:

1) Roku 673. *ś. Idzi* (*S. Egidius, Saint-Gilles*) rodem Ateńczyk, założył w dolinie flawijskiej, (*in valle Flaviana*), nad ujściem Rodanu do morza, klasztor pod regułą *ś. Benedykta*, i kościół pod wezwaniem *SS. Piotra i Pawła* (a nie *ś. Gawła*). A w roku 685 od papieża *Benedykta II* otrzymał bullę z przywilejem zależności bezpośredniej od stolicy apostolskiej (2).

2) *S. Gallus* (czyli *Gawet*), rodem Irlandczyk, uczeń *ś. Kolumbana*, udał się z mistrzem swoim do Francyi, a potem sam jeden do Szwajcaryi, gdzie jako pustelnik umarł r. 640. Domki pustelnicze *ś. Gawła* i uczniów jego utworzyły klasztor, który trzymał się naprzód reguły *ś. Kolumbana*, a w VIII wieku dopiero regułę *ś. Benedykta* przyjęął. Wtenczas też zajęli się mnisi *Sangalleńscy* naukami i założyli słynną podziśdzień bibliotekę. Ale oprócz spólności reguły *ś. Benedykta*, nie zachodziły żadne stosunki pomiędzy *Saint-Gilles* w Prowancyi, a *Saint-Gall* w Szwajcaryi; jak najlepiej przekonywają *Roczniki sangalleńskie*, których kilka *Pertz* w I i II tomie zbioru swojego wydrukował, a gdzie żadnej wzmianki ani o *Saint-Gilles*, ani o *Polsce* nie ma (3). Dlaczegoż więc miał książę *Władysław*, zawdzięczając dobrodziejstwo od *św. Idziego* doznane, do kościołów pod wezwaniem tego świętego stawianych, zakonników *ś. Gawła* (*Gawłami* zwanych) sprowadzać?

3) Narodzenie *Bolesława III*go wymodlone w kościele *ś. Idziego* w Prowancyi, 1085 r., namnożyło tak w Polsce, jak w sąsiednich krajach węgierskim i czeskim fundacye kościołów pod wezwaniem *św. Idziego* (*S. Egidii*). Tak powstały w Polsce kościoły *ś. Idziego* w Krakowie, w Kłodawie, w Łęczycy, w Krobi, we Wrocławiu; tu z fundacyi hrabiego *Piotra ze Skrzywna*, który synowi własnemu dał też imię *Idzi* (*Egidius*). Ale mniej więcej wszystkie były to kościoły świeckie (4).

(1) *Bielowskiego list do redaktora Biblioteki Warszawskiej*, w zeszycie tego pisma na miesiąc kwiecień 1851 roku, str. 90. Porównać także *Wstęp krytyczny do Dziejów Polski* str. 33.

(2) Za bytności mojej w *Saint-Gilles* miałem sposobność przejrzeć bogaty bullaryusz oryginalny tego kościoła, a później archiwa departamentalne w *Nismes* i w *Marsylii*, oraz wszelkie drukowane zbiory dotyczące się historii tego miasta i samego opactwa.

(3) Pomimo *leoninów* na cześć *ś. Gawła*, i *ś. Othmara* układanych, które się w tych *Rocznikach* zachowały, nie mogę dostrzedz w nich nawet analogii stylowej, z naszą *kroniką Galla*.

(4) Dowodzi tego najlepiej nota pisarza rękopisu gnieźnieńskiego (czyli *kłodawskiego*) na str. 36. *Iste Wladislaus in honorem beati Egidij* (a nie *Galli*) *dotavit et fundavit ecclesiam parochialem in Clodawa; ecclesiam collegiatam in honorem beati Egidij in Cracovia; aliam collegiatam in Lancicia, parochialem in*

Z zakonników znano tylko podówczas w Polsce *białych Kamedułów*, z czasów jeszcze Bolesława Chrobrego, i *czarnych Benedyktynów* (*monachi nigri*) przez Kazimierza I sprowadzonych, a na miejsce których przybywali w drugiej połowie XII *szare mnichy* (*monachi grisei*) Cystersi. W żadnych pomnikach historycznych nie napotykamy nazwy *Gawłów*.

Zdaje się zatem, że najwłaściwiej będzie najdawniejszego kronikarza naszego mnicha, wprost *Gallem* (t. j. mieszkańcem Gallii) nazywać, jak go rękopis heilsberski (szamotulski) mianował; a za nim *Kromer*, *Sarnicki* i *Herburt* zwali. A więc i kronika jego, którą p. Szlachtowski w zbiorze Pertza, tylko *Chronicue Polonorum* nazwał; w zbiorze pomników dziejowych polskich, znaną już i popularną nazwą *Kroniki Galla* oznaczyć, odrzucając tylko urojony przydatek *Marcina*.

Czwarte wydanie *kroniki Galla*, przez pp. Szlachtowskiego i Köpke, w XI tomie zbioru Pertza wykonane zostało, jakieśmy już wyżej powiedzieli, według najdawniejszego i najpoprawniejszego pergaminowego rękopisu *Zamojskiego*. Waryanty z dwóch innych rękopisów *heilsberskiego* (*szamotulskiego*) i *gnieźnieńskiego* (czyli raczej *kłódawskiego*), umieszczone są u spodu; text gdzieniegdzie uczenie poprawiony przez Pertza. Wydawcy dodali niektóre przypiski objaśniające; jak dla cudzoziemców mogą być dostateczne. W krajowym wydaniu mielibyśmy prawo wymagać więcej, i dokładniejszych. Stosunki genealogiczne ruskie np. nie z Długosza, ale z kroniki Nestora i Wołyńskiego należałoby objaśnić.

Wydanie to stanowi jednak zawsze prawdziwy pomnik, poświęcony początkowemu kronikarstwu naszemu; do poprawności krytycznej textu przydając wspaniałość formatu, i ozdobę papieru, oraz podobizn z początków rękopisów *Zamojskiego* i *gnieźnieńskiego* (czyli *kłódawskiego*).

Alexander Przewdziecki.

Crobya, et alias plures in honorem beati Egidij confessoris, ad cujus preces habuit filium. (Ob. *Wstęp krytyczny* str. 54). Wszystkie to były *parafialne* kościoły lub *kollegiaty*. Wprawdzie braciszek Sandko z *Czechelu*, w XV wieku pisał na pierwszej karcie tegoż rękopisu: *ex dono fratris Santconis monasterio beati Egidii* (nigdy *Galli*) *Clodaviensi*. Ale też bytło *zakon kanoników laterańskich reguły ś. Augustyna*, których *Jagiello* około roku 1430 pozwolił osadzić w Kłodawie, przy kościele ś. Idziego na prośbę *Pawła* z *Brudzewa*, kanonika i profesora krakowskiego, a proboszcza kłódawskiego. (Ob. *Starożytną Polskę Balińskiego i Lipińskiego* T. I, str. 282). W *taxach opactw kancelaryi apostolskiej* z XV wieku (których kilka przepisałem w bibliotece watykańskiej i neapolitańskiej, *Brancacciana*) znajdują także: *Egidii Clodaviensis. Ord. S. Aug. floren xl.* (Mss. 910 *Ottobon.* bibl. watyk. str. 186. Mss. *Brancaccian.* Sc. I. C. 12).

Monumenta regum Poloniae Cracoviensia. Petropoli. Editore B. M. Wolffio. 1852. Zeszyt I.

Oto prawdziwy podarek dla publiczności od młodego wydawcy w Petersburgu B. M. Wolffa. *Monumenta*, o których mamy rzec słów kilka, nabytek tak piękny pod względem sztuki, że śmiało stanowić może epokę w dziejach nowych i ważnych publikacji: jestto zbiór dwudziestu czterech okazałych rycin przedstawiających nagrobki książąt i królów polskich w krakowskich świątyniach: katedralnej, dominikańskiej i franciszkańskiej, rycin wykonanych niegdyś przez Stachowicza, pracowicie i świetnie przeniesionych na blachę przez Dietricha, a świeżo odbitych na olbrzymich arkuszach przez Lemercier'a w Paryżu. Rozpowszechniając to ukryte dotąd ważne dzieło krajowej sztuki, ratują się od zapomnienia i te piękne stare abrysy sklepień, pomników i grobów królewskich w Krakowie, i zabytek pędzla Stachowicza i rylca Dietricha. Oto potrójna zasługa księgarza-nakładcy, przed obliczem lubowników sztuk pięknych.

Nie będziemy szczegółowie wymieniać co każda rycina w sobie zawiera, lubo mieliśmy zręczność widzieć je wszystkie przed rokiem, kiedy szły jeszcze do Paryża, kędy w zakładzie Lemercier'a miały otrzymać tę uroczą powierzchowność, w jakiej dziś występują; nie przytaczamy treści rycin, bo prospekt dołączony do dzieła wybornie i dokładnie oznajamia z każdym szczegółem każdej planszy. Rzućmy tylko okiem na pierwszy zeszyt złożony ze czterech rycin (dwa wnętrza i dwa sarkofagi) i przyjrzymy się tym prawdziwym arcydziełom pędzla i rylca.

Marzycielu przeszłości! co lubisz zapuszczać się myślą w stare wieki, i odtwarzać w wyobraźni wielkie historyczne oblicza; oto *wnętrze świątyni krakowskiej* oddane z całą uludą perspektywy, czarodziejsko oświecone wiązką promieni słońca, co się przez gotyckie okno wkrada do kościoła: podziwiaj to wnętrze zbliżka, zadumaj się z oddali: oto z za tych filarów lada chwila wyjdzie w całej świeżości postać którego z Bolesławów, Zygmunatów, oto processya uroczysta przesuwająca się przez kościół. Cóż ci przeszkadza w tej oddalonej figurze kapłana niosącego Chleb Żywota, poznać Bodzantę, albo Zbigniewa Oleśnickiego, albo Samuela Maciejowskiego, czy któregoś z ulubionych przez cię postaci biskupów krakowskich? Któż ci przeszkadza w tych uroczystych parach kanoników krakowskich idących od pierwszego planu ku wielkiemu ołtarzowi szukać naszego historyka Długosza, albo drugiej epoki dziejopisa Szymona Starowolskiego, albo tylu innych sławnych mężów, którzy tutaj stalla kanoniczne zajmowali? Kto ci powiedział, że wnet nie zagrzmi tutaj głos Skarbimierczyka lub Skargi? albo muzyka Mikołaja Gomołki? Zaiste, łatwo się zapomnieć, i jest się nad czém zadumać patrząc na ten obraz. Albo jak słodko dać się przenieść złudzeniu we wnętrze tej bogatej i napodziw pięknej *kaplicy Jagiellońskiej*, która jest przedmiotem niemięniej świetnej drugiej ryciny. Wnętrze kaplicy znane już z innych dzieł o Krakowie, ale tam na skalę drobną, a więc nie oddają w całej majesta-

tyczności w ogóle, całego wdzięku w szczegółach. Dla wyrażenia całego efektu téj cudnej budowy, potrzeba rozmiarów wielkich, bystrego oka a biegłej i sumiennéj ręki artysty, i właśnie te zalety połączył miedzioryt, który mamy przed oczami. Trzecia z kolei rycina przedstawia z pięciu rozmaitych stron sarkofag Konstancyi Austryjaczki żony Zygmunta III; czwarta zaś przynosi widza we wnętrzu *sklepienia*, gdzie stoi trumna *bohatera Wiednia*, i osobno ze czterech stron téż trumnę przedstawia. Tutaj nie wiemy czy więcej podziwiać sztukę staroświecką w robocie samych trumien, czy sztukę nową w przeniesieniu na papier najdrobniejszych szczegółów, zdobiących śmiertelne ostateczne mieszkanie ludzi nieśmiertelnych.

Czyż trzeba mówić, jak gorąco pragniemy wyjścia dalszego ciągu *Monumentów*? czyż trzeba wróżyć, że publiczność nasza wdzięczną będzie nakładcy za przysługę?—to rzeczy zbyteczne. Zostaje miu tylko złożyć dzięki, iż umiarkowaną ceną udostępnił ludziom niedostatnim nabycie téj pięknej pamiątki. Oto zbiór przepysznych ogromnego formatu rycin, zbiór ze 24 arcy-sztuk złożony, kosztuje tylko rs. 12. Pół rubla przepyszna rycina mająca około półtora łokcia wysokości i łokieć podstawy, odbita na świetnym welinie, w jednéj z najpiérwszych paryzkich litografij, rycina arcydzieło wykonania! Czy zdarzy się drugi raz w życiu lubownikowi sztuki zręczność uczynić nabycie tak ważne i zarazem tak tanie?—wątpimy.

D. 10 kwietnia, 1852 r.

Władysław Syrokomla.



ROZMAITOŚCI.

O Towarzystwie historyczno-archeologiczném prowincyj rossyjskich nadbaltyckich (Gesellschaft für Geschichte und Alterthum'skunde der russischen Ostsee provinzen), i wydawanych przez nie Wiadomościach.

Pod tém nazwaniem zawiązało się w 1833 roku w Rydze towarzystwo uczone, którego cel i zatrudnienie sam tytuł dostatecznie wskazuje. Pierwsze hasło do tak pożytecznego przedsięwzięcia dał p. *Taubenheim*, dziś pastor luterski w Petersburgu; za jego sprawą utworzył się komitet z kilku miłośników dziejów ojczystych złożony, (do którego należał znany w uczonym świecie dyrektor szkół *Dr. Napierski*) (1), dla ułożenia ustawy towarzystwa, i ta za pośrednictwem p. ministra oświecenia cesarstwa, 1 września 1834 r. otrzymała łaskawie Najwyższe zatwierdzenie.

Prezesem towarzystwa obrany był już pierwój landrat baron *von Campenhausen*, a sekretarzem sam założyciel pastor *Taubenheim*. Przystąpiono potem do wyborów członków dyrekcji i urzędników towarzystwa: kassyera, bibliotekarza, i dyrektora muzeum.

Wedle Najwyżej zatwierdzonej ustawy, celem towarzystwa jest *utrzymanie i rozpowszechnienie tego wszystkiego, co się do historyi i nauki starożytności prowincyj rossyjskich nadbaltyckich ściąga.*

Członkiem może zostać każdy mąż wykształcony, zwłaszcza z miłośników nauki, będącej główném zatrudnieniem towarzystwa. Każdy członek ma prawo przedstawić kandydatów na członków, którzy obierani są większością głosów przez balotowanie na następném ogólném doroczném posiedzeniu. Towarzystwo ma także prawo wybierania członków honorowych, na przedstawienie dyrekcji. Później, w roku 1837, na przedstawienie Dra *Napierskiego*, postanowiono przybierać sobie

(1) Jego *Index Corporis historico-diplomatici, Livoniae, Esthoniae, Curo-niae*. 2 tomy in folio, *Riga und Dorpat* 1833—1835, jest nieodbitcie potrzebném źródłowém dziełem dla naszej historyi.

członków korespondentów poza obrębem prowincyj, z pomiędzy uczonych pracujących w tymże samym zawodzie naukowym.

Towarzystwo postanowiło założyć:

a. Zbiory rozmaitych pomników, historyi i starożytności.

b. Wydawać dzieła naukowe.

Zbiory składają się z *biblioteki* i z *muzeum*. Pierwsza ma być zbiorem o ile być może zupełnym wszelkich druków i rękopisów ściągających się w najrozleglejszym znaczeniu do historyi, starożytności i literatury prowincyj nadbałtyckich, do ich mieszkańców w ogólności, a szczególnie do osób znakomitszych.

Muzeum dzieli się na części: *numizmatyczną*, *dyplomatyczną*, *epigraficzną*, (t. j. zawierającą *napisy* starożytne), *heraldyczną*, *graficzną* czyli *plastyczną* (obejmującą mappy, plany, szkice, rysunki, portrety i t. d.), *archeologiczną* i *genealogiczną*.

Biblioteka i muzeum przeznaczone są na użytek nie tylko samych członków, ale i obcych pod pewnymi warunkami.

Towarzystwo zbiera się co miesiąc na posiedzenia, na których członkowie mają prawo wprowadzać gości; na nich też odczytane bywają nadesłane rozprawy, przy właściwych dyskusjach o przedmiotach wchodzących w obręb celów towarzystwa. Sekretarz odczytuje raport o czynnościach zeszłego miesiąca.

Publiczne doroczne posiedzenie miało miejsce z początku 25 czerwca, jako w dzień urodzin N. Pana; ale od r. 1844 przeniesione zostało na dzień 6 (18) grudnia, jako dzień imienia J. C. K. Mości.

W wigilię dnia tego odbywa się posiedzenie przygotowawcze dla wyborów dyrekcyi i urzędników (prawo przywiązane później i do posiedzeń miesięcznych); dla ściągania opłat od członków, złożenia rachunkowego sprawozdania z upłynionego roku, i narad nad stanem administracyjnym towarzystwa. Posiedzenie publiczne zagaja prezes mową, po której sekretarz odczytuje historią towarzystwa w ciągu upłynionego roku, i nekrologi zmarłych członków. Potem odczytane bywają nadesłane rozprawy, a nakoniec nazwiska nowych członków.

Sessye administracyjne odbywają się w miarę potrzeby. Towarzystwo składało się początkowo z 5 członków honorowych, 76 założycieli i 38 członków zwyczajnych (1).

Dla obznajomienia liczniejszej publiczności z pracami towarzystwa, umieszczane bywały sprawozdania o jego czynnościach w kilku pismach peryodycznych krajowych. Z 1837 rokiem towarzystwo rozpoczęło drukować własne peryodyczne pismo, pod tytułem: *Mittheilungen aus dem Gebiete der vaterländischen Geschichte*. (Wiadomości z obrębu dziejów ojczystych).

Trzy zeszyty wychodzą w nieoznaczonych terminach, i tom jeden stanowią. Sześć tomów od r. 1837 do 1851 przysłane mi uprzejmie

(1) Pierwszemi członkami honorowemi towarzystwa byli: p. minister oświecenia, prezes akademii nauk Rz. R. T. Uwarow, baron Magnus von der Pahlen wojenny gubernator rygski, i professor Voigt dyrektor tajnego archiwum królewieckiego, obrani 5 grudnia 1834 roku.

przez dra *Napierskiego*, jednego z najczynniejszych członków towarzystwa, dały powód do niniejszej wzmianki *O Towarzystwie historycznym prowincyj nadbaltyckich*, mającém wiele spólnych z nami przedmiotów do badania, i o wydawanych przezeń *Wiadomościach*, w których niejednen artykuł nas obchodzący znaleźć można.

Zaraz w Iszym zeszycie Igo tomu (r. 1837, str. 60) umieszczona jest rozprawa dra *Napierskiego*: *O źródłach i dziełach posilkowych dziejów inflanckich*, w której sprawiedliwe pochwały oddane są uczonemu i pracowitemu *Dogielowi* za tom V *Dyplomatarjusza*, poświęcony aktom inflanckim.

W 3cim zeszycie I tomu (r. 1840, str. 450), członek korespondent towarzystwa, *R. St. von Busse*, podał zajmującą wiadomość o kopiach z dokumentów archiwum *W. książęco-meklemburskiego w Szwerynie*, dotyczących się dziejów inflanckich, a zdjętych tamże dla biblioteki muzeum *Rumiańcowa* w Petersburgu. Jeden z tych tomów in folio, zawiera pod nr. 9tym: *Pismo Władysława księcia krakowskiego*, datowane z *Krakowa* 27 czerwca 1315 r. z zaręczeniem, iż dotrzyma świącie zawartego przymierza z królami: duńskim (*Dacia*), norweskim i szwedzkim, oraz z książętami *Rugii*, *Wendów* i *Meklemburga*, przeciw margrabiom brandeburskim, zaręczając przytém, że i krewni jego książęta ruscy do przymierza tego przystąpią.

Jestto kopia legalizowana z drukowanego, *Westphalen: Monumenta Inedita Rerum Germanicarum praecipue Cimbricarum et Megalopolensium*. T. IV p. 957.

Dalszy ciąg tego artykułu w Iszym zeszycie T. II (r. 1840 str. 103), zawiera spis różnych aktów *Zygmunta Augusta*, między innemi *list koresarski (Kaperbrief)* dany przez tego króla 8 stycznia 1564 r. w Warszawie, kapitanowi okrętowemu *Gerth v. Oldenburch*; materyał do niemal bajecznej dotąd historii marynarki polskiej.

W zeszycie I tomu II (r. 1840, str. 88): *Rzut oka na rękopisa tyjące się historii inflanckiej, przechowane w Petersburgu*; przez dra *Napierskiego*. Ważnym jest opis rękopisu pochodzącego z biblioteki *Sapieżyńskiej* w *Dereczynie*, a zawierającego w oryginałach wiele bulli papieżkich od r. 1227, do rzeczy inflanckich, oraz przymierza królów polskich z mistrzami inflanckimi: piérwszy *Jagielly* i *Witolda*, z *Pawłem Rusdorfem*. Ciekawy ten rękopis znajduje się w *Cesarskiej publicznej bibliotece*.

W zeszycie 2gim tomu II (r. 1842, str. 385): biografia *Remberta Geilsheima* przez pana *K. H. von Busse*, z dodatkiem dokumentów oryginalnych, po większej części z archiwum meklemburskiego (1). *Rembert Geilsheim* był jednym z postów inflanckich wystanych do *Wilna* pod koniec r. 1561, z paktami *Subjectionis* *Zygmuntowi Augustowi*. Mianowany sędzią ziemskim wendeńskim, znajdował się w ciągłych stosunkach z administratorem inflanckim, *Janem Chodkiewiczem*, i został po-

(1) Dopelnienie do téj biografii w zeszycie 2gim tomu IV, r. 1848, str. 340.

stę na sejm unii litewskiej w *Lublinie* w 1569 r. Później posłował w 1575 r. w Wilnie, do panów rad litewskich. W czasie wojny inflanckiej, przeszedł był *Rembert Geilsheim* do stronnictwa księcia *Magnusa* duńskiego, obranego królem inflanckim. W r. 1577 usprawiedliwa się z tego przed Stefanem Batorem, w piśmie pod tytułem: *Ad Ser. Potent. atque Illustr. Principem ac Dominum D. Stephanum D. G. Regem Poloniae etc. Apologia Reliquiarum Livoniae queruluntiam, calamitates clades que a (hoste) ob neglectam ac iniquissimo odio male perfideque desertam ac seu proditam patriam acceptas Anno 1577.* Z kopii społecznej przechowanej w archiwum meklemburskiem w Szwerynie, znajduje się kopia legalizowana z 293 stronnic *in folio*, w bibliotece muzeum *Rumiańcowa* w Petersburgu. Pan *Busse* dodaje, iż nie wie czy znajdują się jeszcze gdzieindziej odpisy tego pisma, np. w Warszawie?

W tej apologii nie szczędzi autor ostrych wymówek administratorowi inflanckiemu *Chodkiewiczowi*, i stan ówczesny kraju w żywych kolorach wystawia. Zdaje się, że odpowiedzią Stefana Batorego na tę apologią jest: *Responsum S. R. Majestatis etc.* drukowane w *Dogielu* T. V, str. 299.

W zeszycie *Iszym* T. III (r. 1843, str. 68): Inwentarz dokumentów dotyczących się *Inflant*, wyjęty z inwentarza archiwum zamku krakowskiego z roku 1613; staraniem podpułkownika przy głównym sztabie w Warszawie hr. *von der Osten-Sacken*.

W zeszycie *Iszym* tomu III (r. 1843 str. 117): *Dwa dokumenta z r. 1586 do historii księżęcia Magnusa, króla inflanckiego*, t. j. list cara *Teodora Iwanowicza* do kardynała *Radziwiłła*, z podziękowaniem za uczciwe odesłanie z *Rygi*, *królowej Maryi*, z domu księżniczki ruskiej, a wdowy po *Magnusie*; oraz odpowiedź kardynała *Radziwiłła* na list cara. Oba pisma z archiwum państwa w Moskwie drukowane są w *Rocznikach moskiewskiego towarzystwa historycznego*. (R. 1837. T. VIII, str. 392—396).

W zeszycie *2gim* T. III (r. 1844, str. 231): *Lew Sapieha* kanclerz i hetman w. litewski i wpływ jego na sprawy inflanckie, przez pana *K. H. von Busse*; obraz historyczny skreślony według *Kognowickiego* i dokumentów przez niego przytoczonych, oraz *Gejera* *historii szwedzkiej*.

W zeszycie *2gim* tomu III (r. 1844, str. 309) znajduje się nader ciekawy list członka honorowego towarzystwa, dyrektora głównego archiwum moskiewskiego księcia *Michała Oboleńskiego* z d. 15 czerwca 1844, o aktach dotyczących się *Inflant*, z archiwum niegdyś krakowskiego.

„W przypuszczeniu, że towarzystwo zechce mieć kopie z tych aktów, pospieszam donieść (pisze książę *Oboleński*), jak te akta z miejsca na miejsce wędrowały. Aż do roku 1765 zostawały one pod najściślejszym dozorem w zamku krakowskim; wtedy przeniesiono je do Warszawy. Po wzięciu Warszawy przez *Suworowa* w r. 1795, radca kancelaryjny *Paweł Diwow* miał sobie polecone, archiwum państwa rzeczypospolitej polskiej i bibliotekę *Załuskich* odebrać i do Petersburga odesłać. Tam złożone zostały przy gabinecie cesarskim. W r. 1796 dyrektor gabinetu Rz. T. Radca *Bazyli Popow* odebrał Najwyższe polecenie przejrzeć całe archiwum, i z książek biblioteki *Załuskich* utwo-

rzyć Cesarską bibliotekę publiczną. Utworzona na ten cel kommissya w r. 1798, za zezwoleniem Najwyższém, oddała akta dotyczące się administracyi wewnętrznej kraju, pod rozporządzenie Rządzącego Senatu; tam dostały się i dokumenta oryginalne dotyczące się Inflant oraz Estonii i Kurlandyi. Papiery zaś dyplomatyczne i korespondencye z dworami zagranicznymi, oddane zostały przez radcę kancelaryjnego *Syszajewa*, do kolegium spraw zagranicznych państwa. W r. 1805, za rozkazem Najwyższym utworzono w Cesarskiej bibliotece publicznej osobny oddział na rękopisma, do którego w r. 1808 i dokumenta inflanckie, z pod zawiadywania Rządzącego Senatu przeszły i dotychczas tam się znajdują. Raport pana *Olenina*, o zarządzie Cesarskiej biblioteki publicznej, od r. 1808—1812, drukowany w Petersburgu w r. 1813, wspomina o 890 dokumentach i bullach dotyczących się Małorossyi, Litwy, Polski, Inflant i Kurlandyi.”

Przy tym liście księcia Oboleńskiego załączony był *Wyciąg z inwentarza*, wedle którego w r. 1798 akta z archiwum królestwa polskiego, oddane zostały Rządzącemu Senatowi. Oryginał sam z 83 stronic złożony, przechowuje się w archiwum Senatu w Petersburgu. — W tymże zeszycie, (str. 328) znajdują się znowu ciekawe akta do historyi inflanckiej z lat 1582 i 1583, z rękopisu Cesarskiej biblioteki w Petersburgu, pod tytułem: *Acta legationum aliorumque negociorum externorum anno Domini 1582 i 1583, Ill. et Mag. Joanne de Zamoście etc. Cancellariatum regni gerente, in cancellaria regni tractatorum expeditorumque* (1).

Sąto listy księcia *Magnusa*, króla *Stefana* i namiestnika królewskiego w Inflantach, *Jerzego Radziwiłła* biskupa wileńskiego, pełne ciekawych, autentycznych szczegółów o sprawach inflanckich.

W zeszycie 1szym tomu IVgo (r. 1847, str. 57): *Losy inflanckich wychodźców z r. 1601, według spółczesnego opowiadania Konrada Bussau rewizora szwedzkiego w Inflantach, spisanego w Rydze 1612 roku.*

Skutkiem zwycięstwa księcia *Krzysztofa Radziwiłła* pod *Kokenhusen* w r. 1601, udali się stronnicy szwedzcy do państw cara *Borysa Godunowa*; szczegóły ich pobytu w tym kraju opisuje jeden z nich *Konrad Bussau*. Z rękopisu nowoodkrytego w Cesarskiej Akademii Nauk, wydrukowane tu są niektóre wyjątki. Kommissyą archeograficzna wydała je dopiero w 1851 roku całkowicie w pierwszym tomie zbioru pod tytułem: *Rerum Rossicarum Scriptores Exteri*; gdzie pomiędzy rokiem 1601 a 1610tym wiele szczegółów ciekawych o *Dymitrze* i *Polakach* z nim trzymających znaleźć można.

W tymże zeszycie (str. 177): *Dwa listy administratora inflanckiego Jana Chodkiewicza, z r. 1573 do panów rad koronnych, o sprawach wojennych w Inflantach; z oryginałów polskich, tłumaczone ze spółczesnego rękopisu Cesarskiej biblioteki publicznej w Petersburgu,*

(1) Rękopis ten znajdował się w bibliotece klasztornej w *Oliwie* pod *Gdańskiem*; ztamtąd (jak na tytule wyrażono) r. 1692 na polecenie króla *Jana III Sobieskiego*, zabrany i do *Warszawy* sprowadzony. Znajdował się potem w bibliotece *Zaluskich*. Ob. *Janockiego Specimen* i t. d. str. 40.

pod tytułem: *Acta Interregni post Sigismundi Augusti Regis Poloniae M. D. L. mortem, ad Henrici usque coronationem.*

W zeszycie 2 i 3cim tomu Vgo (r. 1850, str. 393): *Akta inflanckie niedrukowane dotąd z oryginałów Cesarzkiej biblioteki publicznej w Petersburgu.* Pod nr. 4 Robina de Eltz mistrza inflanckiego list z 9 lipca 1387 roku *in campo Curtzen*, na zjeździe ze *Skirgieltem* w. ks. litewskim (*cum domino Skirgailone supremo duce Lettovie*); zapowiadający zawieszenie broni na rok, od przyszłego święta Bożego Narodzenia, z pozwoleniem na tenże sam czas wolnego handlu w Rydze kupcom pskowskim (*de Plescovia*) i wileńskim.

Nakoniec w 1szym i 2gim zeszycie ostatniego tomu VIgo (r. 1851, str. 1): *Ustalenie wyznania ewangelicko-luterskiego w Kurlandyi przez księcia Gotarda*, gdzie stosunki z Polską niejednokrotnie są dotknięte. I w tymże zeszycie (str. 311): *Przywilój Zygmunta IIIgo z 1 grudnia 1601 z obozu ad Papendorff*, nadający wojewodzie wendeńskiemu Jerzemu *Farensbachowi*, na dziedzictwo dobra zabrane szlachcie inflanckiej, która chwyciła się była stronictwa szwedzkiego.

Zbytecznym byłoby po tém wyliczeniu rozszerzać się nad ważnością tego zbioru, i czynności Towarzystwa historyczno-archeologicznego prowincyj nadbałtyckich: każdy je łatwo uzna i oceni. O dwóch ważnych dziełach historycznych pod przewodnictwem Towarzystwa wydanych, *Scriptores Rerum Livonicarum* tomów 2, (przedruk rzadkich pomników dziejowych) i *Monumenta Livoniae antiquae* tomów 5, (po raz pierwszy z rękopisu wydane źródła), osobną wzmiankę uczynić wypadnie. W grudniu b. r. na pamiątkę jubileuszu założenia uniwersytetu dorpackiego, mają wydrukować przysłany im przezemnie, niewydany dotąd ważny dla historyi Inflant rękopis sławnego *Possewina*, pod tytułem: *Commentarius Livoniae*, który z biblioteki watykańskiej przepisać dałem.

Alexander Przędziecki.

Oddane przysługi i przyszłość telegrafów galwanicznych.

W drugim wydaniu dzieła: „Traktat o telegrafii elektrycznej”, autor opat Moigno dołączył liczny zbiór ważniejszych przysług oddanych przez telegrafy galwaniczne. Przytoczymy wyciągi z niektórych ustępów tego dzieła, zalecających się ciekawością i dających sposobność oceny szybkości, z jaką mnożą się liczne zastosowania tego bogatego w przyszłość wynalazku.

Telegraf elektryczny jest pomysłem samodzielnym przez nic zastąpić się niedającym; wykonywa to, na co poczta zdobyć się nie może: wyprzedza posłane gołębie, bieży szybciej jak wiatr, naigrawa się z czasem, zaciera granice przestrzeni. Tym sposobem wypełniając ogromną próżnię, staje się dobrodziejstwem prawdziwie opatrzniem dla całej ludzkości i tak obszernego zakresu, iż zapewne lat kilka jeszcze upłynie, nim wszechstronnie ocenioną zostanie jego ważność.

Ajent pocztowy nie wie ani o bolesnych, ani o radosnych nowinach, jakie przesyła lub roznosi; urzędnik stojący przy telegrafie galwanicznym zna wszelkie szczegóły uwiadomień. Zważywszy liczny szereg przedmiotów depeszy przesyłanych (w Anglii), dopiero poznać można całe zaufanie, jakie publiczność pokłada w osobach użytych przy telegrafach elektrycznych. Jak podczas choroby do lekarza, tak w chwilach ważnych i nagłych publiczność ucieka się do biur telegraficznych. Czasem, mówi Walker, korespondencye telegraficzne mają komiczną stronę, po większej jednak części są nader przykre. I tak, ciągnie dalej wspomniany autor, polecono nam zamówić rybę i trumnę, obiad i lekarza, mamkę za miesiąc i ubranie do wyścigów, maszynę przemysłową i łańcuch, duchownego i perukę adwokacką, sztandar królewski i koszyk wina i t. p. A ileżto przedmiotów zgubionych na kolejach żelaznych wynajdowaliśmy za pomocą telegrafów elektrycznych.

Aby lepiej dać poznać liczne i pocieszające przysługi, jakie społeczność dziś już z telegrafów ciągnie, przywiedziemy tu kilka wypadków, nie zważając na porządek.

1) Gdy parochód Brytania przybył do Bostonu w styczniu 1847 r. z wiadomością o głodzie panującym w Anglii, Irlandyi i innych krajach Europy, i z licznymi obstalunkami zakupów zbożowych; dzierżawcy wnętrza prowincyi New-York uwiadomieni o tém za pomocą telegrafu elektrycznego, natychmiast wyruszyli ze zbożem, tak, że zaledwie statek przybył do portu w Bostonie, już wszystkie drogi Albany pokryte były niezliczonymi wozami, prowadzącymi obstalowane zboże. Dzięki więc telegrafom zboże w porcie złożone zostało w czasie krótszym od tego, jakiegoby potrzebowało przesłanie wiadomości o przybyciu paropływu do różnych stanów Unii.

2) Mowa tronowa królowej angielskiej przy otwarciu parlamentu, w 18 minutach przesłaną została o 120 mil ang. z Londynu do Norwick.

3) Na paropływach rozkazy z pomostu okrętowego do izby machin, udzielane bywają za pomocą rury głosowej. Podobne ciągłe wyjące głosy i wykrzykniki, dla osób na statku będących są wielce nieprzyjemne; wpadnięto na szczęśliwy pomysł zastąpienia téj barbarzyńskiej komunikacji przez telegraf elektryczny, co po raz pierwszy uskuteczniiono na królewskim yachcie Albert i Wiktorya. Przyrząd składa się z dwóch dzwonek i dwóch tarczy noszących tylko te napisy: naprzód, w tył, z całą prędkością, z połową prędkości, powoli, stań. Przed wydaniem rozkazu, służbowy oficer daje znak maszyniście za pomocą dzwonka, i nawzajem oficer odbiera podobny znak jako dowód, że maszynista zwrócił baczną uwagę na telegraf; wówczas dający znak nastawia skazówkę na znak rozkazu, a druga tarcza telegrafu przy maszyniście będąca wskazuje natychmiast tenże sam znak. Nie ulega wątpliwości, że ten sposób wkrótce znajdzie powszechnie zastosowanie.

4) Pewien dziennik amerykański przywodzi taki fakt: wczoraj przed południem mężczyzna wszedł do stacyi telegrafu w Buffalo i oznajmił chęć poradzenia się doktorowi mieszkającego w Lockport. Uwiadomiony o tém doktor stawił się przy telegrafie w Lockport. Mężczyzna z Buffalo opisał wszelkie symptomata choroby żony, a lekarz w zamian

wskazał lekarstwo do użycia. Poczém umówiono się, że jeżeli cierpienia nie ustąpią, druga porada będzie miała miejsce nazajutrz przy końcach drutu telegraficznego.

5) Gdy od dni 6 deszcz nie przestawał padać w Manchester, a rano dnia 6 nawet ulewa stała się silniejszą, kupcy miejscowi strwożeni, chcieli zbadać czy podobna pogoda ma miejsce i w innych przyległych okręgach rolniczych. Zbiegli się do biura telegraficznego, wysłali do różnych okolic stosowne zapytania i natychmiast otrzymali odpowiedź, że w Normanton czas piękny, Derby brzydka pogoda, York piękna pogoda, Leeds pięknie, w Nottingham nie ma deszczu, lecz czas zimny i ponury i t. d. Według tych doniesień przekonano się, że tak na wschód jako i na północ od Manchester w głównych okręgach rolniczych pogoda była piękna.

6) Prof. Espy znany ze swych poszukiwań nad teorią uraganów, proponuje dla otrzymania ważniejszych wypadków brać w pomoc do podobnych badań telegrafy elektryczne. Według jego poprzednich śledzeń, uwiadomienia tą drogą przesyłane, na czas przybywałyby dla przedsięwzięcia ochronnych środków.

7) John Bull, który jak powszechnie wiemy nie cofa się przed żadnym nawet dość śmiesznym pomysłem, proponuje powiązać drutami kazalnice głównych kościołów Anglii, tak, iżby kazanie miane w Londynie przez sławnego kaznodzieję, mogło być natychmiast w całej Anglii powtórzone.

8) Zamierzają w Londynie wszystkie koszary straży ogniowej połączyć za pomocą telegrafów. Pożary przy tej pomocy łatwiej można by opanowywać i przytłumiać w samych początkach.

9) Podczas zamieszek w Philadelfii w r. 1843, depesze zapieczętowane wysłano z tego miasta kuryerem do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Za przybyciem kuryera do Baltimore, wyszła na jaw treść depeszy i jednocześnie gdy przygotowywano pociąg oddzielny dla odjazdu kuryera, telegraf elektryczny doniósł do Washingtonu treść nadsyłanej wiadomości, uprzedził i kompanią drogi żelaznej, aby wstrzymała odjazd wszystkich pociągów z Washingtonu dla oczyszczenia drogi i przyspieszenia w ten sposób przejazdu kuryera. Wszystko było zrozumiane i wykonane. Droga była zupełnie wolna, a prezydent z ministrami zebranymi na radzie, uwiadomiony już był o treści wiezionych depeszy, tak, iż za przybyciem kuryera gotową już była stosowna odpowiedź.

10) W styczniu 1844 r. popełniono zabójstwo w Salt-Hill i morderca udał się natychmiast do Slough, wziął miejsce do Londynu w pociągu, który miał odejść wieczorem. Policja uwiadomiona o zbrodni, ścigając winnego przybyła do Slough właśnie w chwili, gdy pociąg już dochodził do Londynu. Lecz telegraf działał. Natychmiast przestano do Paddington następną depeszę: „Zabójstwo popełniono w Salt-Hill; podejrzanego widziano w Slough jak brał bilet do powozu piérwszej klasy i t. d.” W trzy minuty następną odebrano odpowiedź: „Pociąg tylko co przybył, osoba odpowiadająca wszystkim okolicznościom przestanej depeszy przez telegraf, wyszła ze wskazanego miejsca. Została przytrzymana.”

11) Telegraf elektryczny wiele jest winien kolejom żelaznym; bez ich pomocy, ten wynalazek zapewne długoby jeszcze pozostał w stanie początkującego pomysłu. Koleje to wskazały telegrafom uitorowane drogi, na których dopiero objawiła się cała ważność tego świetnego wynalazku. Lecz nawzajem, dziecię sowiecie wywdzięczyło się swemu przybranemu ojcu. Spokojne słupki, milczące przewodniki, cynk, kwas siarczany, miedź, kość słoniowa, glina wypalona i gutta-percha, przyczyniają się dziś w znacznej części do oszczędności na kolejach żelaznych. Aby się o tém przekonać, dość przejrzeć wykaz uwiadomień, dotyczących pociągów na drodze żelaznej, przesyłanych telegrafem stojącym obok kolei żelaznej. O wszystkiém, co tylko ma związek z biegiem pociągu, od chwili jego wyjścia, aż do przybycia na miejsce, sygnaluje telegraf i to w tak wyraźny dla umysłu sposób, jak gdybyśmy pociąg własnymi widzieli oczyma. Skoro pociągi się opóźniają, przyczyna tego natychmiast jest znana; gdy je spotka nieszczęście, w tój prawie chwili biegną na pomoc; gdy potrzeba prędszej jazdy, a jedna machina nie wystarcza, zaraz przygotowują pomocniczy parowóz; gdy się coś nadzwyczajnego przytrafi na linii, pociągi natychmiast zostają o tém uprzedzone, a więc zabezpieczone od wszelkiego niebezpieczeństwa i t. p. Na to wszystko wystarcza kilka zboczeń igły magnesowej.

Pociągi oddzielne (extra-cugi), mogą rzeczywiście krążyć tylko po kolejach zaopatrzonych w telegrafy elektryczne. Rozumié się, że tu mowa o bardzo uczęszczanych drogach żelaznych, i że pod tą nazwą, pojmujemy pociągi wymagające zupełnie wolnej drogi na całej przebieganej linii.

I w ogóle dana ilość pary na kolei połączonej z telegrafem elektrycznym, wykonywaną bywa daleko mniejszym kosztem. W tym bowiem razie, mniej wychodzi pary na bezużyteczne przebywanie linii. Bardzo jest wielka oszczędność, jaką z tego wynalazku otrzymuje zarząd drogi żelaznej. Codziennie, a niekiedy kilka razy dziennie, stacye bardzo uczęszczanych kolei, żądają to powozów, to innych potrzeb, w jakie mogą je natychmiast zaopatrzyć przyległe stacye, uwiadomione telegrafem, t. j. za pomocą środka tańszego od wszelkich innych. Zresztą co rano stacye telegrafem mogą do zarządu zdawać raporta o wszystkiém, co się w nich znajduje; ztąd rodzi się większe zaufanie publiczności, bo i administracya może natychmiast wydawać rozkazy stosowne, i wzajemnie, może każdej chwili być zapytywaną o radę lub szczegół, dotyczący porządku służby. Najważniejszą jednak oszczędnością dla administracyi jest zmniejszenie liczby konduktorów.

Przywiedzione korzyści, poprzemy następnymi przykładami:

Pewien zakład dobroczynny w Londynie, urządził dla dzieci spacer i wypoczynek w Tumbridge-Wells; dzieci zajęły osobny tak wielki pociąg, że machina jedna nie mogłaby przejechać wzniesienia, znajdującego się przy Tumbridge. Pomocnicza machina, zajęta była z przeciwległej strony wzniesienia. W jednej chwili telegraf przyzwał machinę z Tumbridge-Wells i ta stanęła na wskazaném miejscu wprzód, nim cały pociąg dojechał do oznaczonego punktu.

W dzień Nowego Roku 1850, telegraf uchronił od okropnego nieszczęścia, na którego wspomnienie umysł się wzdryga. Skutkiem silnego wstrząśnienia, maszynista wyrzuconym został z parowozu ciągnącego do Londynu pusty pociąg, lecz pociąg ten nie zatrzymał się w biegu. Natychmiast dano o tém znać do Londynu i innych pośrednich stacyj, oczyszczono zupełnie drogę i przygotowano parowóz do ścigania zbiegłego pociągu. Dyrektor wyjechał z machiną na linią, i stosownie manewrując, przepuścił pędzący pociąg, zwrócił się, dopędził go, i w biegu zatrzymał na dwie mile ang. przed Londynem. Machina bez konduktora przebyła dwanaście stacyj bez przypadku. Można rzec śmiało, że gdyby zarząd nie był wcześniej uwiadomionym o tém grożącym licznemi nieszczęściami wypadku, szkody powstałe, wyrównywałyby prawie kosztom budowy całej linii telegraficznej.

Na kilka miesięcy przedtém, machina przy podobnych okolicznościach wyszła z New-Cross do Londynu. Kompania Brighton nie mając jeszcze telegrafu, nie była w stanie uprzedzić o jój zbliżaniu się; szczęściem jednak, miejsce do którego wchodziły pociągi w Londynie, było zupełnie wolne, machina wpadła z nadzwyczajną gwałtownością i wywróciła mur od biura bagażowego.

Telegraf elektryczny ma i tę ważną zaletę, że obudza i podnieca bacność osób użytych przy kolejach żelaznych. Nie mogą oni ani na chwilę zaniechać swych obowiązków, nie będąc natychmiast, że się tak wyrażę, schwytanemi na gorącym uczynku. Ztąd każde opóźnienie, każdy wypadek natychmiast jest donoszonym, przez co dla publiczności oczekującej, oszczędza się tych długich chwil niespokojności i obawy.

Przytoczone dogodności i przysługi telegrafu elektrycznego przy drogach żelaznych, nie są wcale utopią; wszystko to już dziś w Anglii istnieje lub jest wprowadzoném. Kommissye wyznaczone do ocenienia użyteczności tego wynalazku, po zbadaniu przedmiotu zostały zachwycone wielkimi skutkami tego gienialnego pomysłu, i głośno oświadczyły, że koszta zakładowe telegrafów, tysiąckrotnie są wynagrodzone przez usługi różnego rodzaju, jakie wyświadcza czynny telegraf elektryczny, pod względem bezpieczeństwa, powiększenia ruchu handlowego, oszczędności w służbie i t. p.

Lecz na tém nie koniec: ogromną jest jeszcze przyszłość telegrafii elektrycznej. Postępy jakie w ostatnich czasach uczynił ten wynalazek i podane projekta, najlepiej dowodzą bogatęj jego przyszłości.

Niedawno (to jest przed kilką laty) wszyscy prawie zadowoleni byli zwykłemi telegrafami ze wskazówkami, i niewielu było przekonanych o możności nadania przyrządom telegraficznym większej i stosowniejszej do użycia doskonałości. Dziś posiadamy już telegrafy składające same i drukujące depesze. Usiłowania Siemens'a, Bretta, a szczególniej Bain'a, wprowadziły ten wynalazek na nową drogę, po której dojść może do prawdziwéj doskonałości. Dotąd przesyłanie 20 znaków na minutę, było średnią prędkością; bo praktykowanemi dotychczas sposobami, niepodobna było zwiększać zbytecznie prędkości, dlatego, że wzrok ludzki odbierający znaki, pod względem szybkości ma swą własną granicę. Dziś drukarnia przy telegrafach elektrycznych usuwa tę granicę. „Łatwo, mó-

wi biegły w tym przedmiocie Breguet (w 1849 r.), pojąć maszynę drukującą 100, 200, 500, a nawet 1,000 liter na minutę. Telegraf przesyłający 200 liter czyli średnio 40 wyrazów na minutę, daje ich 2,400 na godzinę; jestto prędkość tak wielka, a nawet i większa od pisania. Telegraf, co prześle 300 liter czyli 60 wyrazów, da 3,600 wyrazów na godzinę, a to już jest prędkość mowy ludzkiej. Nic więc nie przeszkadza oczekiwać urządzeń, które depešom telegraficznym nadadzą naprzód chyżość zwykłego pisania, a później szybkość mowy.”

Zyjemy w 1852 r., a już telegraf Bain'a urzeczywistnił tę nadzieję, podał środek komunikowania w jednej chwili na wszystkie punkta kuli ziemskiej z szybkością mowy ludzkiej.

Na zakończenie dodamy niektóre szczegóły, dotyczące świeżo zbudowanego lub zamierzonego olbrzymiego pomysłu telegrafów podmorskich. A naprzód co do telegrafu między Calais i Douvres.

Pierwszy pomysł należy się p. Wheatstone, który już w 1847 r. przygotował drogę do jego urzeczywistnienia, a w r. 1849 wykonał próbę z drutem rozciągniętym na przestrzeni 2 mil ang. po dnie kanału Brytańskiego. Jednak inżynierowi Jakóbowi Brett należy się sława urzeczywistnienia podmorskiego telegrafu. Dzięki stosunkom znakomitych osób, Brett uzyskał od prezydenta rzeczypospolitej francuzkiej wyłączny przywilej na lat 10, do przesyłania korespondencji podmorskich między Francją i Anglią.

W skutek tego zdołał zebrać kompanię angielsko-francuzką do złożenia potrzebnych funduszków na koszt budowy. W statucie kompanii znajduje się warunek, aby przesyłanie depešy odbywało się za pomocą maszyny drukującej odrazu na papierze literami rzymskimi, dokładnie czystymi; na taki właśnie przyrząd Brett wyrobił sobie przywilej tak w Anglii, jako i we Francyi. Kapitał otrzymano z 5,000 akcyj po 25 fr. każda.

Drut gruby na $\frac{1}{10}$ cala powleczono warstwą z gutta-perchy; część jego (około 300 metrów) niezanurzająca się w morzu, dla zabezpieczenia od tarcia, zamkniętą została w rurze ołowianej. Zarzucenie drutu odbyło się 28 sierpnia 1850 r. Największą trudność przedstawiało zagłębienie drutu w miejscu leżącym prawie na środku kanału. Jest tam bowiem głęboka podmorska dolina, ciągnąca się w kierunku długości kanału, i zamknięta przez dwie góry zwane przez Francuzów Colbart i Varue. Ogromna głębia środkująca między temi skałami, straszną jest dla marynarzy z przyczyny ruchomych piasków, i w niej téż najwięcej są wystawieni na utratę kotwic, sieci i t. p. Jednakże zdołano przezwyciężyć tę przeszkodę, złożono drut w głębokości zabezpieczającej od kotwic okrętowych, przyrządów rybackich i potworów morskich. W kilka dni drut się zerwał; czego można się było spodziewać, zważywszy mały jego opór względnie do przeszkód, na jakie był wystawionym. Wkrótce założono drugi drut mający siłę zdolną do utrzymania ogromnego ciężaru kotwicy największego okrętu liniowego. Ten drut łączy do dziś dnia oba brzegi kanału La Manche. Jakiżto wielki widok tego morza, jednego z najstraszniejszych podczas wiatrów wiejących w epoce porównań, powol-

nego gieniuszowi ludzkiemu i spokojnie przesyłającego myśli i utrzymującego przyjacielskie stosunki dwóch narodów!

Lecz to był pierwszy krok; podano jeszcze śmielszy projekt połączenia Ameryki z Anglią przez ocean Atlantycki. Oto plan:

Mocny drut ma być rozciągnięty po dnie oceanu od brzegów Terre-Neuve, aż do zachodniego brzegu Irlandyi. Na podstawie stojącej na silnych kotwicach, w odległości 500 mil angielskich od pierwszego kraju umieścić mają stacyą, przez co całkowita długość sprowadzi się do 1,600 mil angielskich. Pomimo głębokości oceanu, drut zamierzają przeciągnąć po dnie morskiem; gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, głębokość nigdy nie przejdzie dwóch mil angielskich. Przypuszczają zaś istnienie podmorskich dolin głębokich na 10—12 mil ang., a 50—60 mil szerokich, można więc będzie przesunąć drut ponad temi wąwozami podwodnemi, zawieszając go w odległościach zostających między sobą o 2 mile, albo też bliżej siebie, lecz tak, aby drut zawsze znajdował się tylko o 200 sążni pod powierzchnią morza. Co 100 mil wypadnie na morzu ustalić mały statek opatrzony flagą i komunikujący z drutem, dlatego, aby łatwiej można było podnieść drut w przypadku uszkodzenia, lub w zamiarze częściowego odnowienia. Zdaje się jednak, że drut leżący w takiej głębokości będzie wolny od wszelkich uszkodzeń.

Według przybliżonych obliczeń, rozciągnięcie drutu zajmie rok czasu i kosztować będzie około 2,600,000 fr. Przypuszczając, że ten pomysł zostanie arcywystnionym i zastosowanym do innych mórz, jakoto: morza Śródziemnego, Sundu i t. p. wtedy np. Paryż za pomocą kanału La Manche będzie mógł korrespondować z Anglią, przez ocean z Ameryką, przez morze Śródziemne z Algierem i t. d.; a to daje nam dostateczne pojęcie o przyszłości, jaką ma jeszcze przed sobą telegraf elektryczny.

S. P.

Flora kaukaska.

(Wyjątek z listu p. Józefa Heliodora Penczyńskiego profes. gimn. w Tyflis i członka Tow. agronom. kaukaskiego tamże).

Tyflis, d. 23/11 marca 1852 r.

. „Tą razą posyłam Panu 50 roślin kaukaskich, zadeterminowanych podług Reichenbacha, Bibersteina i Ledebura.

- | | |
|--|--|
| 1. <i>Androsace villosa.</i> | 8. <i>Convolvulus linearis.</i> |
| 2. <i>Anemone apennina.</i> | 9. — <i>persicus.</i> |
| 3. <i>Astragalus fabaceus.</i> | 10. <i>Coronilla orientalis (iberica Bib.)</i> |
| 4. <i>Bifora radians (testiculata Spr.).</i> | 11. <i>Crozophora tinctoria.</i> |
| 5. <i>Centaurea dealbata.</i> | 12. <i>Cyclamen coum.</i> |
| 6. — <i>solstitialis.</i> | 13. <i>Cynanchum acutum.</i> |
| 7. <i>Cerastium grandiflorum (argenteum Biberst.).</i> | 14. <i>Dictamnus albus.</i> |
| | 15. <i>Ephedra monostachya.</i> |

- | | |
|--|--|
| 16. <i>Erythraea centaurium flor. alb.</i> | 34. <i>Plumbago europaea.</i> |
| 17. <i>Glycyrrhiza glandulifera.</i> | 35. <i>Primula acaulis.</i> |
| 18. <i>Helleborus viridis.</i> | 36. <i>Pyrethrum sericeum.</i> |
| 19. <i>Iris caucasica.</i> | 37. <i>Rhagadiolus Koelpinia (Koelpinia linearis Pall.).</i> |
| 20. — <i>Güldenstaediana,</i> | 38. <i>Rhamnus Pallasii.</i> |
| 21. — <i>iberica.</i> | 39. <i>Salvia glutinosa.</i> |
| 22. — <i>reticulata.</i> | 40. <i>Scilla biflora.</i> |
| 23. <i>Jurinea mollis.</i> | 41. <i>Scutellaria orientalis.</i> |
| 24. <i>Lathyrus roseus.</i> | 42. <i>Serratula quinquefoliata.</i> |
| 25. <i>Linosyris vulgaris.</i> | 43. <i>Sida abutilon (Abutilon Avicennae Gaert.).</i> |
| 26. <i>Linum tenuifolium.</i> | 44. <i>Smilax excelsa.</i> |
| 27. <i>Lonicera iberica.</i> | 45. <i>Sophora alopecuroides.</i> |
| 28. <i>Merendera caucasica.</i> | 46. <i>Tamus communis.</i> |
| 29. <i>Momordica elaterium (Echali-
um agreste Reichb.).</i> | 47. <i>Teucrium orientale.</i> |
| 30. <i>Orobanchia aurantia.</i> | 48. <i>Tragopyrum buxifolium.</i> |
| 31. <i>Peganum harmala.</i> | 49. <i>Viscum oxycedri (Arceuthobium oxycedri Biberst.).</i> |
| 32. <i>Periploca graeca.</i> | 50. <i>Xeranthemum annuum.</i> |
| 33. <i>Phelypaea foliata (Anoplantus
Bibersteinii Mey.).</i> | |

Jeżeli jaką roślinę znajdziesz Pan mylnie zadeterminowaną, bardzo proszę uwiadomić mnie o tém, gdyż mając szczupły bardzo zielnik i biblioteczkę, trudno mi ściśle determinować. Dlatego też chciałbym mieć rośliny i innych krajów. Wszystkie rośliny które tylko mam i które zbieram jeszcze, będę powoli przysyłał Panu, i jeżeli jakakolwiek roślina zainteresuje Go i zechciałbyś Pan mieć więcej exemplarzy, a nawet nasiona, proszę mnie uwiadomić, a natychmiast postaram się zadość uczynić żądaniom Jego. Cebule i kartosle piękniejszych kaukaskich roślin wszystkie już powysadzałem, ale po odkwitnięciu przysię Panu tegoroczne, bo są śliczne rośliny dziko tu rosnące! Tak np. *Iris iberica* i *I. reticulata*, *Anoplantus Bibersteinii*, *Tragopyrum buxifolium*, mogą pójść w zawody, co się tyczy piękności, z roślinami nie tylko ogrodowymi (w naszych stronach), ale nawet oranżeryjnymi. Z 50 roślin posłanych teraz, jest kilkanaście właściwych Azji, kilka Kaukazowi wyłącznie, a reszta dziko rośnie i w południowej Europie; jednakże posyłam i te ostatnie, bo dla botanika przyjemnie będzie rozpatrzeć i znajome mu rośliny, ale mieszkające w innym klimacie, w innej zupełnie krainie. Tak np. tysiącznik (*Erythraea centaurium*) rośnie i w Polsce, i w Litwie, i w Rosyi, i na Kaukazie, ale dopiero tu w Gruzji pierwszy raz znalazłem tysiącznika albinosa, t. j. tysiącznika mającego wieniec biały zamiast różowego. Wiele bardzo roślin tu za Kaukazem i osobliwie rosnących w dolinach wąskich, zmieniają swe jaskrawe kolory na białe; tak np. ostróżka i fiołek, stopniowo nawet, od błękitnego przechodzi do koloru białego. Zdarza się dosyć często, że błękitne i białe kwiaty bywają na jednym exemplarzu. Wiele roślin kwitnie dwa razy na rok. Tak *Merendera* kaukazka kwitnie zawsze dwa razy na rok; akacya, tani, głóg, i inne, tylko w suche i gorące lato kwitną na wiosnę i w jesieni. *Merendera* kaukazka jest właściwie zi-

mowit kaukazki, ale ją Biberstein, w swojej *Flora taurico-caucasica*, nazwał Merenderą, dlatego że ma główki pyłkowe kręcące się (*versatiles*), a zimowit stałe, niekręcące się. Co się tyczy kwitnienia dwa razy na rok roślin za Kaukazem, jeszcze z pewnością nie mogę powiedzieć, bo dopiero czwarte lato zajmuję się zbieraniem podobnych spostrzeżeń.

Zachęcaś mnie Pan do pisania w przedmiocie historii naturalnej dla Biblioteki Warszawskiej. Będę się starał coś zajmującego napisać, chociaż jestem teraz zajęty: włożono bowiem na mnie uciążliwy obowiązek napisania elementarnych dziełek o chemii i mineralogii dla gimnazjów kaukazkiego naukowego okręgu."



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

HISTORIA NATURALNA.

Zoologia.

Sir John Graham Daliell (*Edinb. new philos. Journal, July - Oct. 1851.*) badając linienie czerwiów, do następujących postrzeżeń doszedł: 1^o Czerwie odzięwa tęga, niezdolna do rozciągania się skorupka. 2^o Ponieważ wewnątrz niej zwierzę nie może rosnać, musi ją przeto co pewny czas zrzucić, a otrzymywać natomiast przestronniejszą nową. 3^o Czerwie zaczynają linić w bardzo młodym wieku i rosnać powtarzają to w nienierzytelnych okresach czasu, a mianowicie tak, że po każdym wylinieniu zwierzę większe jest niż przed nióm. 4^o Nowa, większa skorupka tworzy się wewnątrz starój, która, skoro tylko młoda dojrzeje, otwiera się i wyjście zwierzęciu ułatwia. 5^o Po utworzeniu się skorupki nowój, zwierzę aż do następnego linienia wcale nie podrosta. 6^o Nawet gdy stara skorupka lub zwierzę w jakikolwiek sposób uszkodzone albo skaleczone były, zawsze po wylinieniu tak nowa skorupka jako i zwierzę są całemi. 7^o Samice podlegające sprawie rozplodowój, nie linieją; ich przeto plód do skorupy zewnątrz przyczepiony, nie ulega żadnemu uszkodzeniu. 8^o Młode wielu czerwiów, jeśli niepodobne są rodzicom, otrzymują budowę symetryczną i stają się doskonałemi przez odbywanie stopniowych przemian (*T. 1852, nr. 458*)

* *Organ słuchu u czerwiów.* T. Huxley (*w Annals and mag. of nat. hist. April 1851 p. 304*) zastanawia się nad tym przedmiotem, mówiąc: „We względzie urządzenia i położenia organów słuchu u czerwiów, są jeszcze bardzo podzielone naturalistów mniemania. Autorowie dawniejsi, jakoto Fabrycyusz, Scarpa, Brandt, Treviranus, jednozgodnie nazywają organami słuchu pewne, wypełnione cieczą woreczki u podstawy różków drugiej pary (wielkie różki). Do tego mniemania przyłącza się i p. Milne Edwards, opisując bardzo zawyły przyrząd bębenkowy w rodzaju *Maia* krótkoogoniastych raków. Większa część autorów przed nim przemilczają o woreczku, który w wielu rodzajach znajduje się

u podstawy różków pierwszej pary (małe różki). Jednakowoż Rosenthal dokładnie podaje opis tego organu u raka rzecznoego i u homara (*Astacus fluviatilis* i *Astacus marinus*). Uważa on go za organ powonienia, mniemając że woreczek przy podstawie różków zewnętrznych jest organem słuchu.

Dr. Farre (*Philos. Transact.* 1843) gruntownie przekonywa, że rozumienie Rozentala odwrócić należy, t. j. woreczek pierwszych różków za organ słuchu, a drugich za organ powonienia uważać. Dr. Farre wątpi, ażeby krótkoogoniaste raki organ powonienia miały.

Siebold, w swoim sprawozdaniu o postępie anatomii zwierząt niekręgowych (1843—1844), przywodzi te mniemania, zdaje się jednak o prawdziwości ich wątpić. Nie więcej im ufają Erichson i prof. Van der Hoeven.

To więc uznanem jest powszechnie, że u raków długoogoniastych, przy podstawie pierwszej i drugiej pary różków znajduje się worek napełniony cieczą, i że u krótkoogoniastych worek ten jest przynajmniej przy drugiej parze. Według zdania większości, worek drugiej pary jest organem słuchu, według zaś Rozentala, worek pierwszej pary jest organem powonienia. Z drugiej strony, według tłumaczenia Dra Farre, woreczek pierwszej pary różków jest organem słuchu, woreczek drugiej organem powonienia.

Jakożkolwiek budowa organu słyszenia w pierwszej parze różków u długoogoniastych raków, nieco się różni od budowy tegoż organu u zwierząt bezkręgowych, pan Huxley jednak idzie za zdaniem Farrego, które że nie jest powszechnie przyjęte, usiłuje poprzeć je dowodami nowymi, i te które przytacza ma za oczywiste.

W małym przezroczystym czerwiu z oceanu Spokojnego, należącym do rodzaju ślimoraczków (*Palaemon*), podstawa pierwszej pary różków jest zgrubiała i na zewnętrznym boku opatrzona kolcem rzęsowatym, nieco podniesionym. Pomiędzy nim a podstawowym stawem, znajduje się mała szparka. Ta prowadzi do gruszkowatego wydrążenia w skórkowatym worku, leżącym w substancji samego stawu. Koniec tego worka otoczony jest ziarnistą masą; na boku worka przeciwnym szparce znajduje się rząd łukowatą linią ustawionych włosków z węzłkiem na końcu, stykających się z wielką jajowatą skalistą ucha częścią (skalą ucha, *otolithus*), i na niej zdających się wyrastać.

Nerw różka idzie od wewnętrznego boku worka i dzieli się na gałęzie które się przy łukowatej linii czyli szeregu włosków kończą. Worek ma około $\frac{1}{100}$ cala długości, a kość skalista ma $\frac{1}{220}$ w średnicy.

Niezaprzeczenie budowa ta jest bardzo podobna budowie słuchowego przyrządu u zwierząt miękkich, a nawet u *Lucifer typus* jest zupełnie taka sama.

U tego osobliwego czerwia podstawowy staw pierwszej czyli wewnętrznej pary różków, jest daleko dłuższy od innych i przy swojej podstawie nieco szerszy. W tym rozwięszczeniu jego mieści się przezroczysty pęczerek, podający się nieco dalej od przodu, ale od zewnątrz z żadną szparą nie połączony. Ma on około $\frac{1}{600}$ cala średnicy i obejmuje kulistą skalę ucha (*otolithus*) średnicy około $\frac{1}{1250}$ cala, w której ani drgający

ruch, ani obrót nie daje się dostrzegać. Widać przeto że *Lucifer* ma w tym organie przyrząd zupełnie podobny słuchowym woreczkom zwierząt miękkich, kiedy u ślimoraczka postrzegamy bardzo ciekawe przejście od téj do zwyczajnej czerwim postaci organów słuchowych, jak je dr. Farre opisał. (*Id.* 1851 nr. 363 z *Bibl. univ. de Genève. Juin 1851 nr. 66.*)

* Dr. Duchassaing, w czasie pobytu swojego na Antyllach, uważał sposób życia wielu tamecznych czerwimów, a mianowicie lądowych krabów. Wyjmujemy z pisma jego o tym przedmiocie następujące wiadomości.

Tak nazywane na Antyllach lądowe albo białe kraby (*Cardisoma* Latr.), są wszystkożernemi; zjadają co tylko napadną. Zazwyczaj trzymają się w wilgotnym gruncie okolic które srożypląt (*Rhizophora*) przerasta, a tam żywią się głównie cukrowemi owocami siężyśni bagiennéj (*Annona palustris*), obficie w tych miejscach rosnącój. Mają w szlamie swoje nory, do których je najmniejszy szelest zapędza. Na cmentarzach głęboko się wkopują ażeby dostać się do grobów i trupy pożerać. Na takich miejscach we wszystkich kierunkach zwierzęta te grunt przedziurawiają. Mimo to, *Cardisoma carnifex* jest ulubioną mieszkańców potrawą, i uważają ten gatunek za smacniejszy niż *tourlourou*. Wszakże do jedzenia biorą się wyłącznie z bagien odległych od cmentarzy, sadzają się do naczyń i tuczą odpadkami z kuchni. Łowią się w takie łapki jak na szczury, przywiązując na zanętę kawałek owocu siężyśni, którego skoro dotknie krab, spadają za nim drzewiczki i jest złapany. Najlepij udaje się połów w porze deszczowój, kiedy srożyplątowe bagna stoją pod wodą, a tysiące krabów wynosi się na miejsca wywyższone, w których bardzo łatwo nabrać ich można.

Kraby z rodz. *Uca* Latr. są również pospolite na Antyllach. Trzymają się one tych samych miejsc co i poprzedzające, i mają podobny sposób życia. Łowi się ich także mnogość w łapki: ale ich mięso przykrego jest smaku i tylko murzyni go używają.

Pątniki (*Gecarcinus*), które téż fiolelowemi krabami i *torlouroux* nazywają, nie jednym są gatunkiem. Pątnik boczny (*Gecarcinus lateralis*) jest najpospolitszy, i do niego właściwie nazwisko *tourlouroux* należy. Żyje on w suchych lasach niedaleko brzegu morskiego, i chowa się pod kamienie, pnie i w jamy. Czasem można go także, jak gatunki *Uca una* i *Cardisoma carnifex*, pod posadzką dolnych mieszkań znaleźć. Dobry jest tylko w porze niesienia jaj, gdy ma jajeczniki powypelniane. Jakoż w tę tylko porę stawiają się nań zasadzki, a wtedy, bardzo łatwo zapatrzeć się w niego można, bo tłumami z nór wylazi.

Mniemaniem jest że *tourlouroux*, podobnie jak *Cardisoma carnifex*, czasem trucizną bywa; lecz że mięso tych zwierząt trudnym jest do strawienia, a smakosze nieraz je do zbytku jedzą, może więc tylko lękać się należy o zepsucie żołądka, czego symptomata takimi są czasem jak w niektórych otruciach. Mniemaniem jest, że *tourlouroux* nabywają własności trujących wtedy, gdy się objedzą owoców koniszału (*Hippomane mancinella*); przeciw temu wszakże jest to, że owoc koniszału nie w tych porach roku dojrzewa, w których się te raki jedzą, a te owoce

wtedy dopiero spadają, gdy są dojrzałe. Wprawdzie może to być, że kraby zjadają rośliny które człowiekowi są szkodliwe, ale dr. Duchassaing przez 4 lata praktykując na Gwadelupie, nie miał ani jednego zdarzenia z otruciem przez kraby, gdy często się mu trafiały otrucia przez morskie ryby.

Przechytrniki (*Gelasimus*) zamieszkują najbagnistsze miejsca, gdzie się pod zgniły liść łatwo zagrzebać mogą. Te zwierzęta, skoro cokolwiek podejrzanego spostrzegą, cofają się tyłem z podniesionemi do góry kleszczami w jamę. Do utrzymania życia koniecznie im potrzeba wiele wilgoci: bo aby tylko podczas wielkich suszy zarośle srożyplątowe powysychały, prawie wszystkie mrą, a wtedy trupy ich gnijąc zarażają powietrze. Taka jest mnogość tych zwierząt, że bywają zakresy na 2—3 godzin długie, w których nora koło nory widzieć się daje.

Gatunek *Sesarma Pisonii* trzyma się przy korzeniach srożyplątu (*Rhizophora mangle*) i włazi aż na ostateczne rozgałęzienia tego drzewa, jak z drugiej strony póty wkopuje się pomiędzy jego korzenie, póki na wodę nie natrafi. Żywi się owocami rościeży (*Avicennia*).

Upstrzony zmykacz (*Grapsus*) trzyma się samego pobrzeża morskiego na zalewanych skałach, gdzie ustawicznie na zdobycz czyha. Uczają się może na $\frac{1}{2}$ cala nad wodą, i niech mu ta jakakolwiek zdobycz przyniesie, rzuca się na nią. Nogi ma osadzone sęczkami tak ostremi, że po najstromejszych skałach szybko biegać może, tak iż z trudnościami tylko złapać się daje, tém bardziej, że gdy mu już żaden inny wybieg nie pozostaje, do morza się rzuca. Linieje na skałach, a zaraz po wylinieniu jest mniej żwawy, tak iż wtedy łatwiej go złapać. Na miejscach w których zmykacze się utrzymują, całe pobrzeże okryte jest lśknąciami ich skorupami. (*Id. nr. 339 ex eod. Avril 1851*).

* Przekonał się podróżujący na korwecie Galatea J. Reinhardt, że familia *Bipeltata* czerwiów ustonogich w zwrotnikowych morzach, a mianowicie w indyjskim i chińskim, przedstawia taką mnogość indywidualów, a tak rozlicznych kształtów, że potrzeba nowe na ich pomieszczenie rodzaje tworzyć. Jedno z tych zworcowych postaci opisuje pod nazwiskiem *Phyllamphion*, zład tak je nazywając, że tworzy zajmujące ogniwo pomiędzy *Phyllosoma*, a *Amphion*. Jedyńy, który poznał, gatunek, obszernie tu opisany, zowie *Ph. elegans*.

Rodzaj przedstawia jakby spłaszczonego *Amphiona*, którego głowowa tarcza przybrała cienkość papieru. Tarcza ta bowiem, jak i w rodz. *Amphion*, okrywa tu cały gorset, a nawet i na brzeg najpiérwszego pierścienia odwłokowego zachodzi, ale jest, jak w rodz. *Phyllosoma* nader cieką blaszką, daleko szerszą niżeli równie cienki gorset, z którym się tylko na pośrodkowej linii cokolwiek zrasta. *Phyllamph. elegans* ma wielkości 23 milim. i jest tak przezroczysty jak *Phyllosoma*, nawet i ruchy odbywa tak powolne i ciężkie, jak gatunki tego rodzaju. P. Reinhardt znalazł trzy jego okazy w morzu Chińskim, w odległości kilku mil od wyspy Luzon dnia 11 czerwca 1846. (*T. 1850 nr. 128*).

* P. J. van Beneden, O rozwijaniu się i organizacyi zaoczlików (Nicothoë). Piérwsi pp. Audouin i Milne Edwards opisali w r. 1826 zworze tego rodzaju, należące do gatunków nazywanych odlomnemi

(anomal). Zwierzę wykluwa się z jaja ukształcone normalnie i opatrzone znakomitą zdolnością poruszania się z miejsca; potem udaje się w skrzelowe blaszki homara i tam przybiera nader szczególnie zmienioną postać, którą, ukryte pod skorupą nowego karmiciela swojego, zatrzymuje aż do końca życia. Przy téj przemianie organa zależnego życia (1), stają się uschłe (atrophies), a na bokach powstają osobne wyrosty.

Van Beneden znalazł najprzód samca tego szczególnego zwierzątka (*Nicotoë astaci*), ale dla drobności nie mógł zbadać jego przyrządu rodzenia. Przyrząd rodzenia u samicy rozwinięty jest nader silnie i leży obok worków do trawienia w bocznych przysadkach, zajmując ich podstawę, jako téż i część ich długości. Jajecznik jest dosyć niemierzytelny, od przodu rozłupany widlasto, i osadzony wielu krótkimi workami ślepiemi. Jego mglista białość przebija przez ściany, i jest podwójny. Widać przed nim jajowód w kształcie długiego sznurka, który się ciągnie przy ślepym worku do trawienia i zbliża się ku sznurkowi na przeciwnym boku, a potem w tył zwrócony uchodzi w wypochwie. Nieraz całą jego długość wypełniają jaja. Z jajowodów przenoszą się jaja wprost do niezmiernie wielkich worków, z obu stron ciała, jakby wielkie przysadki boczne, leżących, kształtu owalnego.

Skoro młode zaoczliki wyklują się z jaj w tych workach, ściany worków pękają, a one z nadwyzwyczajną żwawością pływają dokoła. Niktby nie pomyślił, że ma przed sobą to samo zwierzątko, które potem na skrzelach homara gatunek roślinnego życia wiedzie. Jest ono całkiem podobne do oczlików (*Cyclops*), z tą tylko różnicą, że ma pyszczek dziobowaty.

Jak w zupełnie wykształconym stanie, ma ono poza pyszczkiem trzy pary przysadek, a dalej ku tyłowi cztery pary, które tylko w wiosłkach przedstawiają mniejszą liczbę członków niż u dorosłego zwierzęcia, u którego pływalne nogi są o dwóch wiosłkach, a o trzech członkach, gdy tu w każdym wiosłku jeden tylko spostrzegamy członek.

Przez ciąg tułaczego życia, zwierzę ma, jak oczliki, jedno tylko na środku leżące oko. Skoro się uczepiło do skrzeli homara, oko jego dzieli się na dwa rozłączone. Zarazem ciało nabrzęka, a za trzecim pierścieniem tułowu tworzy się na każdym boku ciała guz, w który się wciskają wnętrzości, wkrótce rozwijające się tak nadwyzwyczajnie, że nakoniec reszta ciała, które się nie powiększa, zdaje się być tylko przysadką tych guzów.

Zważyć potrzeba, że gdy homar linieje, wszystkie jego pasorytne zaoczliki oddalają się od niego, przy wyleni zostając.

Niepodobna wchodzić tu z autorem w szczegóły embryogenii, objaśnione licznymi wizerunkami, których przedstawić nie możemy. Oto po dawane przez niego zoologiczne cechy i powinowactwa.

Płcie mocno się różnią i wielkością i kształtem: Samiec nadwyzwyczaj mały, ośm razy mniejszy od samicy. Jestto rzecz godna uwagi, że

(1) *Vie de relation*. Tak nazywa Milne-Edwards (czyt. jego zoologią od § 179) życie zwierzęce, to jest uzdolniające jestestwo do dobrowolnego zmieniania miejsca, czego nie ma w życiu roślinném, jakie potem prowadzi to zwierzę, przyczepiwszy się stale do miejsca.

u wszystkich czerwiów pasorzytnie żyjących, tak wielką jest różnica wzrostu pomiędzy dwiema płciami.

Z początku, samiec kształtem dosyć jest podobny do samicy: trwa to podobieństwo dopóki pasorzytnego życia nie zacznie. Wszakże i wtedy można go rozpoznać po odwłoku, który zwykle w pionowym kierunku zadarty trzyma, czegośmy u młodej samicy nigdy nie widzieli.

Ciało obudwu płci rozdzielone jest na głowę, tułów i odwłok. Głowa jest wielka, kształtu tarczy. Na środku czoła ma oko. Z przodu ją zakończone przygięte na środku różki, które u samca mają mniej stawów niż u samicy.

Za czterema nóg parami widać pod jednym z ostatnich pierścieni tułowu krótką przysadkę, która, podług naszego zdania, wyobraża piątą nogę parę. I odwłok przechodzi we dwie szczecinki, przy których podstawie znajdują się krótsze.

U samicy pomiędzy tułowem a odwłokiem, znajdują się szczególniejsze skrzydłowe przysadki. Ma ona dwa nieprzygięte różki, o dziesięciu stawach, trzy pary nóg do żucia, i cztery pary nóg dwuwiosłowych, które się trzema zakończone członkami. Dwoje czerwonych oczu leżą tuż przy linii pośrodkowej. Dwa szerokie krótkie worki jajowe, których całkowita długość 3 milim. wynosi, są tego samego co ciało koloru.

Znajdują się pod blaszkami skrzeli u homara, równie na prawej jak i na lewej stronie. Rzadko kiedy homar wolny jest od tych pasorzytów, czyto gdy świeży wydobyty będzie z morza, czy osłabiony w sadzach.

Zaoczlik rakowy (Nicothoë astaci Aud. et Miln. Edw.)

Samica. Ciało złożone z głowy, tułowu i odwłoka, na bokach dwie skrzydłowe przysadki; dwa dziesięciostawne nieprzezięte różki; trzy pary nóg do żucia; pięć par nóg, z których pierwsze cztery pary dwuwiosłowe, a wszystkie włoskami okryte; dwoje oczu, dwa bardzo wielkie worki jajowe; ciało i jaja różowego koloru. Dług. 4 milim.

Samiec. Ciało podzielone na niemierzitelne pierścienie; dwa przezięte różki; odwłok zakrzywiony pionowo; pięć par nóg włoskami okrytych.

Uważając zwierzę tylko w stanie zupełnego rozwinięcia, możnaby powiedzieć, że zaoczliki z rodzajami *Ergasile* i *Bomoloché* składają jedno zupełnie naturalne skupienie; ale im przyznamy oddzielność zworza rozciągając wzgląd do stadyów ich rozwoju.

Tak postrzeżenie autora w skróceniu przedstawić można: samiec jest daleko mniejszy od samicy, nie ma on żadnych przysadek bocznych i prowadzi żywot tułaczy.

Dwie skrzydełkowe przysadki na bokach, nadają samicy osobliwe wejście.

Pyszczykiem jest ryjek kończący się pierścieniem, na którym z prawej i lewej strony umocowany jest kolec. Jest para różków i dwoje oczu. Poza pyszczykiem dają się przedewszystkiém widzieć trzy pary organów ruchomych, kształtu kleszczy i haków, nóżki do żucia (szczękoniogi); potem cztery pary dwuwiosłowych, szczecinkami okrytych i trzy-

stawowych przysadek: nogi. Za temi jeszcze jednéj pary nóg szczęty leżą.

Kanał pokarmowy jest zupełny: wielkie dwie kiszki ślepe rozciągają się w bocznych przysadkach ukazując ruch perystaltyczny.

W tychże przysadkach leży i jajecznik. Zewnątrz widać dwa worki jajowe długości przysadek.

Na zapłodku dają się zrazu widzieć od przodu dwie przysadki, stające się potem różkami; objawiają się następnie cztery sęczi pod odwłokiem, z których wyrastają nogi.

Zrazu jedno tylko na pośrodkowej linii daje się postrzegać oko; ale zwierzę dorosłe ma ich dwoje, oddalonych od siebie.

Pokąd młode zaoczniki żyją tułaczko, wiele mają podobieństwa do oczlików. Za przyczepieniem się do skrzeli homara zaczynają się ukazywać im boczne przysadki przy czwartym tułowowym pierścieniu; a kiedy zwierzę zupełnie się wykształci, przysadki te zdają się być całym stworzeniem.

W bliskości homara ustawicznie pływają młode zaoczniki. (*T. 1851, nr. 346 i tabl. wiz. z Annales des sc. nat. Juin 1850*).

* P. Sebastyan Fischer (w *Bull. de la Société des naturalistes de Moscou, 1849 nr. III*), opisuje i wizerunkami objaśnia nowy gatunek rozwielitki, który *Daphnia aurita* nazwał, łącząc z tém postrzeżenia swoje nad znanym dawniej *Daphnia laticornis* Jurine. Jego rozwielitka uszata, tak budową jako i sposobem życia przystępuje najbliżej do gat. *Daphnia mucronata* Autor. Jak ona pływa zawsze na grzbiecie i trzyma się blisko powierzchni wody. Ruchy jęj są szybkie i żwawe, ale często też nieporuszona na jedném zatrzymuje się miejscu. Z równą jak tamta szybkością spada na dno wody. Obiera sobie na pobyt takie wody stojące, w których kawały drzewa i kory gniją. Uważana gołém okiem przedstawia ten kształt, który ma *Daphnia mucronata*, tylko jest nieco większa i dłuższa od nięj, a łatwo odróżnić się daje po szaro-brunatnym kolorze, gdy tamta dla nieuzbrojonego oka wydaje się czarniawą lub zupełnie czarną. Wielkość jęj wynosi $\frac{1}{3}$ do $\frac{1}{2}$ lin. paryżkięj; samiec o $\frac{1}{3}$ do $\frac{1}{2}$ jest mniejszy. *Daphnia mucronata* jest tylko $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{3}$ lin. par. długa. Znalazłem rozwielitkę uszatą w miesiącu sierpniu, w obwodzie sergiewskim przy Peterhofie.

Uważana przez mikroskop, jest przezroczysta, ma skorupkę bezbarwną albo lekko czerwonawo-żółtą, ciało, skrzelowe i pływalne nogi i warzę czerwonawą, kanał pokarmowy jasno-zielony, a w niém pokarm ciemniej zielony, niekiedy także piérwszy czerwonawy lub brunatny, drugi brunatny, oko i przyoczek czarne.

Uważana z boku ma kształt podłużnie czworokątny, głowotułow wysoki, od skorupki na ciełe wyraźném zagłębieniem oddzielony.

Górny jęj brzeg spada ukośnie i nieco się zakola ku przodowi i pod spód, przedni mocno jest zaokrąglony, i przy nim leży przednia strona oka. Zaraz pod nim zaczyna się długi, silny dziobek, którego kończatłość osłonięta jest dolną przednią częścią skorupy na ciełe, mianowicie u zwierząt młodszych. Brzeg skorupy jest kanciasty, u młodszych zwierząt idzie prawie prosto, u starszych, gdy młode się rozwijają, lekko wy-

pułty, z tylnym kątem zaokrąglonym. Tylny brzeg skorupki lekkiem zagięciem spada ku tyłowi prawie pionowo, i od dołu z wystającym rogiem brzegu spodniego, tworzy znaczną, jednak nieco tępą kończatość.

Brzeg spodni idzie prawie prosto, tylko od przodu nieco jest wypuszczony, i tworzy blisko dziobka tępy wyskok. Nie widać na nim żadnych włosków; mniemam wszakże iż się znajdują, a dlatego tylko nie dają się dostrzedz, że prosto do wewnątrz są zwrócone; ponieważ na okazach które niejaki czas nieżywe w wodzie leżały, postrzegałem delikatne szczecinki wzdłuż całego brzegu spodniego, ukośnie od przodu ku tyłowi i od góry do dołu osadzone. Przedni brzeg idzie zrazu krzywo, potem zlekka falowato od dołu do góry i ukośnie od przodu ku tyłowi w górę. Od kanciastości grzbietowej skorupa nieco się rozszerza ku spodowi i na zewnątrz, a najsklepiastsza jest w swojej $\frac{1}{3}$ górnej, potem jednak znowu się nieznacznie ściska, tak, że spodnie obudwu skorup brzegi nie odstają znacznie od siebie. Mianowicie w górnej i środkowej części swojej skorupka odkryta jest drobnymi, niemierztelnie rozłożonemi wyniosłościami czyli guzikami, ale bez śladu kraciastości.

W głowotuluwie daje się widziéć dosyć wielkie, wyraźnemi soczewkami opatrzone oko, ganglion tułowowy i oftalmiczny, przyoczek, żołądek z jego ślepymi przysadkami, i rożek.

Dwa są na każdym boku muszkuły oczne, biorące początek na boku głowotuluwu niebardzo daleko nad okiem, a oddalając się od siebie pod ostrym kątem, przyczepiają się do górnego brzegu oka. Ganglion głowowy prawie ma kształt podłużnego czworoboka, a górna i przednia jego część, lekkiem tylko odcienieniem odłączona, ciągnie się jako ganglion oftalmiczny, który się bezpośrednio do górnej tylnej części oka przyłącza, tak, że wychodzące z niego nerwy oczne wcale się widziéć nie dają. Od przedniej części właściwego ganglionu tułowowego, ciągnie się jeden albo dwa mocne nerwy do oka, urządzenie, którego nie ma u innych rozwielitek. Przyoczek wiąże się z dolną przednią częścią ganglionu głowowego, i jest niemierztelną czarną, dosyć wielką plamą barwidła. Rożek jest stożkowaty, gruby, na dolnym końcu nitkami czucia opatrzony, ponad dziobkiem i nieco za nim leżący, a przeto także w części skorupką ciała zakryty. Żołądek i kiszka ślepa takie są jak i u innych rozwielitek. Na górnym boku głowotuluwu dają się widziéć trzy zakręcone linie, oznaczające wiązki muszkułów, które do nóg pływalnych idą. Oprócz tego, prawie półkolista, głęboko wryta linia, ciągnie się od przedniej części głowotuluwu przez oko i prawie przez największą część dzioba.

Pływalne nogi wytykające się pomiędzy głowotuluwem a skorupą ciała, nie przedstawiają nic szczególnego; gałęzie ich, opatrzone są niepierzastemi dwustawowemi szczecinkami; tylko drugi staw gałęzi górnej ma dosyć wielki kolec.

Wewnątrz właściwej skorupy ciała, daje się postrzegać serce, kanał kiszkowy, żuwaczki, wargę, nogi oddychalne, ogon ze swemi haczykami, i jajeczniki.

Trzy pierwsze z tych części, są zupełnie takie jak u innych rozwielitek; na końcu ciała leżą dwa tępe zaokrąglone sęczki (languettes); ogon uzbrojony jest dwoma mierniej wielkości szponami, a w niewielkiej odle-

głości od nich, podwójnym szeregiem 5 — 6 drobnych, nieco zakrzywionych kolców; na złamaniu jego, leżą dwie dosyć długie niepierzaste szczeciny ogonowe. Budowa nóg oddychalnych jest zupełnie taka jak u *Daphnia mucronata*. Jajeczniki leżą na bokach ciała, blisko kiszkowego kanału i nieco pod nim; są białawo szare, podczas tworzenia się siodełka (1), brunatno czarniawą masą wypełnione. Liczba młodych w macicy, które są koloru różowego z błękitnym grzbietem i licznymi, prawie cynobrowo-czerwonymi ziareczkami, wynosi 1—4.

Przy tworzeniu się siodełka, skorupka podnosi się z tyłu głowotułuwowego zagłębienia w znaczny sęczek; zawarte w siodełku jaje ma czarniawo-brunatny kolor; ciemniejszy wkoło okrąg, jest żółto-czerwonawy albo żółto-brunatny; drugi, bardziej na zewnątrz położony, jest szaro-białawy, a w przedniej części wielu drobnymi, nakształt komórek wyniosłościami okryty.

Uważana z góry postać rozwielitki uszatéj, jest podłużnie owalna; widać od przodu górujące oko, a za nią dosyć wielką do ucha podobną kończatą; głowotułuw jest szeroki, z boków zaokrąglony i okrywający podstawę nóg pływających, na których daje się także spostrzegać mały przydatek, ze dwóch kończatych szczecinek złożony. Ślepe przysadki żółładka nader widocznie występują.

Samiec rozwielitki uszatéj, odznacza się osobnym kształtem. Jest on blisko tak wysoki jak długi; głowotułuw ma bardzo wywyższony, ale wązki; spodnią kończatą tylnego brzegu skorupy tępą. Przednia część jego oka jest nadzwyczaj górująca i odłączoną od reszty głowotułuwu. Dzióbek tępszy jest niż u samicy i nieokryty skorupą ciała; rożek nieco dłuższy od samiczego, ale także stożkowatego kształtu. Jądrowniki leżą z obudwą stron kiszkowego kanału; są szaro-białawego koloru, napelnione mnogością drobnych, nieco ciemniejszych ziarek (spermatozoidy?). Szpony ogonowe wielkie i długie, a stojące za nimi kolce (po trzy z każdej strony) krótkie i tępe.

Z podobnemi szczegółami opisuje potem autor i na wizerunku przedstawia inną rozwielitkę, podług jego uznania zgadzającą się w cechach istotnych z gat. *Daphnia laticornis* Jurine, lecz której warunkowo dodaje nazwisko *D. serricaudata*, na przypadek okazania się że nie jest ta, którą Jurine uważał. Autor kładzie znak wątpliwości przy synonimach *Daphnia laticornis* Mil. Edw. (*Hist. nat. des Crust. T. III, p. 384*) i *Lynceus laticornis* Desmar. (*Consid. gén. sur la classe des Crust. p. 377*), to jest wątpi ażeby ci dwaj autorowie pod przytoczonymi nazwiskami opisali ten sam gatunek, który Jurine *Monoculus laticornis* nazywa i na wizerunku (*Hist. nat. des Monocles p. 151 pl. 15, fig. 6, 7*) wystawia. (*T. 1850 nr. 70 i tabl. wiz.*)

* P. Emil Blanchard przedstawił Akad. um. paryzkiej pod d. 28 stycz. (1850) wypadek nowych postrzeżeń nad przyrządem krążenia i oddychania u pajakowatych mrowiów (*Arachnides*), któremi wszędzie poświadczal postrzeżenia dawniejszych badaczy. Według niego krew

(1) Siodełko (*Sella*) u autora jest zapewne to, co *ephippium* u Müllera, w opisie gat. *Daphnia pennata*. A. W.

dostaje się ciągle w organa oddychania, to jest ich substancją przenika. To wcedzanie się płynu dzieje się niekiedy za pośrednictwem właściwych naczyń, niekiedy zaś tylko częściowo przez naczynia, a zresztą bezpośrednio przez ogólną jamistość, otaczającą narzędzia oddychania. P. Blanchard, mocniej jeszcze niż przedtém utwierdzony jest w przekonaniu, że pomiędzy przyrządem krążenia a przyrządem oddychania zachodzi wewnętrzny związek; i że jeden całkowicie zależny jest od drugiego; że w tej mierze nie ma jak sądzono, wyjątków, lecz że u wszystkich tych zwierząt najzupełniejsza okazuje się tożsamość. (*Id. nr. 61 z L' Institut, 1850*).

* John Blackwall dochodził własności jadu niektórych mrowiów, i w sprawozdaniu o tém (Roczn. Tow. Linn. Lond.) wspomniawszy o bajecznych podaniach co do ukąszenia tarantuli i falesznika o 13 plamach (*Latrodectes 13guttatus*), rozjaśnia mniemanie dzisiejszych arachnologów, że owady skaleczone żerowemi kleszczami pajaków, prawie w mgnieniu oka umierają. Szczegóły doświadczeń które przedsiębrał w tej mierze latem 1846, rozdziela czworako: uważał bowiem działanie jadu pajaków na człowieka, na pająki, na owady i na nieżywe przedmioty. Co do pierwszego, użył krzyżaka (*Epeira diadema*) i najzupełniej przekonał się że ukąszenie tego w Anglii największego pająka, nawet podczas najmocniejszych upałów i gdy zwierzę w najsroźszym jest gniewie, nie sprawuje nic niebezpiecznego, i że ból nióm zrzadzony ledwie znaczniejszy jest od prostego zadarcia skóry na ciele. Co do drugiego, wystawił na doświadczenie samca i samicę z gat. *Tegenaria civilis*, dwie samice sześciookiego czyhaka (*Segestria senoculata*), dwukrotnie samicę od *Ciniflo atrox* z samicą krzeczka *Lycosa agretica*, samicę krzyżaka i gat. *Caelotes saxatilis*, nakoniec samicę krzyżaka, która w najwyższym stopniu zapalczywości sama siebie kąsała. Znaczne mechaniczne skaleczenia, mówi p. Blackwall, czyby je taki bój bratni, czy inne przyczyny zrzadziły, stają się dla pająka śmiertelnymi, ale bynajmniej z doświadczeń jego nie wynika, że ciecz wypływająca przez otwór w kleszczach do kąsania, ma własności odbierania pająkom życia, gdy w świeżą ranę wejdzie.

Z wielokrotnie powtarzanych doświadczeń na owadach które kąsały krzyżak, sześciooki czyhak, *Tegenaria civilis* i *Agelena labyrinthica*, wcale się nie okazało, ażeby owady prędzej umierały, gdy ukąszeniem pająka, niż gdy jakim innym sposobem są skaleczone. Bez wątpienia śmierć następuje śpieszniej gdy pająk ciągle owad trzyma, ale to widocznie ztąd pochodzi, że pająk wysysa mu soki, na które jest tak cheiwy.

W próbach które p. Blackwall z nieżywymi przedmiotami przedsiębrał, okazało się, że gdy rozgniewany pająk lakmusowy papier ukąsił i zwilgocił go cieczą z kleszczów do kąsania wypływającą, papier zawsze się zczerwiecił, z czego wynika że ta jego sekrecya jest kwaśną. Ciecz która z pyszczka wypływa, równie jak i ta która się w żołądku mieści, tudzież sącząca się ze skaleczeń ciała albo nóg pająka, w działaniu na nią odczynników chemicznych, okazała się alkaliczną, gdy zbrunatniony nią papier kurkumowy odzyskał kolor pierwotny działaniem cieczy z kleszczów do kąsania, a to w sposób iż kwasowość tak nazwanego jadu i alkaliczność innych, wyżej pomienionych soków, najzupełniej udowodniona została.

P. Blackwall na końcu swojej pracy zakłada nazwisko *falces* dla narzędzi któremi pająki zdobywają uchwycają i mordują: ponieważ nazwisko *mandibulae* (żuwaczki) nie może służyć organowi, który, jak p. W. S. Mac Leay dowodnie okazał, nie należy do przyrządu pyszczkowego, a przez Latreilla podane nazwisko *chelicera*, każe przypuszczać analogią ich z różkami owadów, od których i budową i funkcją tak mocno się różnią. Wspomina także iż w gatunkach najrozmaitszych rodzajów, znajdował wargę (*labrum*) w niskim rozwinięcia stanie i że ona swoją podstawą na górnej płaszczyźnie podniebienia jest umocowana; że jednak jej wolny i zwykle okrągły albo cokolwiek śpiczasty koniec, może się nieco podnosić, spadać, rozszerzyć, wciągać i tu i owdzie poruszać. Przywodzi dalej, że prof. Owen, u pajaków z rodz. *Mygale* odkrył szczęt wargi. Ale jest oczywistym błędem nazywać żuwaczkami organa, które nad wargą początek biorą a przeto nie w pyszczku leżą, i autor nie waha się mniemać, że przyszłe badania na zasadzie anatomii oparte, okażą nastatek, iż żuwaczki u mrowiów z podniebieniem są zrosłe. (T. 1850, nr. 9 z *Annals & mag. of nat. hist.* nr. XXII, Oct. 1849).

* P. Roth czytał w Akad. Mnichow. d. 11 stycz. (1851) wypracowanie swoje o pająkach kopalnych, w łupku litograficznym znalezionych. Namienił że pierwszy hrabia Münster w kamieniach z Solenhöfer znalazł reszty kosarzów (*Phalangium*), którym nazwisko *Phalangites priscus* nadał. W zbiorach mnichowskich znajduje się prócz tego inny okaz, nazwiskiem *Phalangites multipes* oznaczony. Ten, i szereg innych w posiadaniu dra Fischer zostających, podały autorowi sposobność szczegółowego zbadania tych paleontologicznych szczątków. Uznał w nich zworze nowego pokrewieństwa w którym stanowi jeden tylko rodzaj z dwoma gatunkami, należący do fam. pająkowatych, oddz. płasznikowatych (*Mygalidae*). Nadaje mu nazwisko *Palpipes* (*P. priscus* i *P. cursor*). (T. 1851, nr. 319 z *L'Institut* nr. 905).

* W czasopiśmie duńskim *Krøyers Naturhistorisk Tidsskrift*, nowa ser. T. II od str. 617, opisuje obszernie J. C. Schiödte nowego indyjskiego pająka uderzających kolorów i znacznej wielkości, który lubo niezaprzeczenie należy do mrowiów ze czterema płucami, wszakże na końcu odwłoka nie okazuje najmniejszego śladu przedzących brodawek. Powierzchnia jego ciała jest bez jedwabistego pokrycia; potężny głowotułów dźwiga od spodu długie i silne nogi dosyć gęsto cierniami okryte, tyle na nim wielkimi biodrami miejsca zabierające, że jedynie mała na środku przestrzeń zostaje. Kształt i położenie oczu zupełnie odstępują od zworza do któregooby z wejrzenia to zwierzę odnosić można. Dwie ich pary są wielkie i poprzecznie owalne; otaczają one podstawę i boki półkulistej wzniosłości prawie zamkniętym okręgiem, gdy cztery inne, z których dwa przednie są bardzo małe, leżą na wierzchołku wzniosłości, ułożone w czworobok. Skóra na odwłoku, stosunkowo małym, jest pergaminowata, delikatnie pomarszczona, z tęgiemi włoskami, a wzdłuż powierzchni górnej odwłoka, zbroją go pozostawiane z sobą rogowe tarcze.

To nowe ogniwo w łańcuchu który mrowie składają, porównywa autor z dotąd poznanymi, już przedzącami (*Theridion*, *Linyphia*, *Tetragnatha*, *Nephila*, *Epeora*), już polującami (*Lycosa*, *Myrmecia*, *Eresus*,

Salticus, Atypus, Mygale), i z tego porównania wyprowadza wniosek, iż jego nowy gatunek obrotnym jest i silnym łowcem. Widzi w nim najwięcej podobieństwa z ptasznikami (*Mygale*), gdy znowu ze względu na rodzaj pokrycia, na uzbrojenie nóg cierniami, na zupełny brak kłapek przy żuwaczkach, na wielkie rozwinięcie bioder i kształt ich pary ostatniej, na kształt i położenie oczu, na tarcze na odwłoku, a szczególnie też na brak narzędzi do przedzenia, widzi w nim wyraźne spowinowacenie z nieprzedzającymi mrowiami, a mianowicie niedźwiadkami i kosarzami, ze spawakami (*Phrynus*), nadewszystko zaś z temi ostatniemi.

Nowoodkryte na wschodnioindyjskiej wyspie Pinang zwierzę, którego samca nie zna, nazywa *Liphistius desultor*, tak rodzaju jako i gatunku dyagnozy troskliwie w łacińskim języku skreślając, i domieszczaając przy opisie wizerunek okazu. (*T. 1850 nr. 221 i tabl. wiz.*)

* Szacowną znacznej rozciągłości pracę dra Modesta Kittary obejmuje nr. IVty Bulletinów ces. Tow. nat. moskiewskiego z r. 1848. Sąto badania anatomiczne dwóch gatunków sołpugi, *Galeodes araneoides* i *Galeodes intrepida*, wypełniające wiele szczerb, które przedstawia anatomia pajaków. Autor zaczyna od ogólnego opisanie obudwu gatunków, z których ostatni, mający podawaną Hiszpanią za ojczyznę, prof. Wagner z Kazanu, znalazł także w stepach kirgizkich, niedaleko góry Inderskiej. Gatunek ten przeto uważać należało za znany, lubo w opisanie jego przez Lucasa (*Hist. nat. des Crust. et Arachn. p. 447*) wiele jest niedokładności, które autor w następujący sposób prostuje: Pierwsza para nóg ma tylko 5 (nie 6), trzecia i czwarta tylko 4 (nie 7) członków. Kształt ciała jest eliptyczny (nie walcowaty), a to ciało ma 10 (nie 6) pierścieni. Nie wspomina także Lucas o narzędziach oddychania w odwłoku.

Organizacya tych dwóch gatunków jest, podług autora, tak jednokowa, że wszystkie szczegóły anatomii ściągają się do obudwu zarazem. Opisuje p. Kittary najprzód ogólne zwierchnie pokrycia (cały skielek), następnie układ muszkularny (bardzo szczegółowo), dalej układ krążenia (znalazł tylko serce i naczynie grzbietowe): narzędzia karmienia się, a naostatek czucia czyli nerwowy układ. Autor nie uważa sołpug za zwierzęta jadowite, ponieważ nie znalazł w nich żadnego jadowitego przyrządu, a te wielkie kleszcze któremi sołpuga zdobycz chwytą, wyobrażające jakby niedorośle kleszcze niedźwiadka, uzbrojone są igłami czyli zębami bez wewnętrznych kanałów.

Tę ważną dla umiejętności prace, objaśniają w potrzebnych szczegółach dokładne wizerunki. (*T. 1850, nr. 108, 110, 123 wiz.*)

* Do pokrewieństwa roztoczowatych (*Acariens*) należący rodzaj *Hypopus*, według spostrzeżeń prof. Dujardins w Rennes, jest tylko stopniem rozwinięcia się mrowiów z rodz. *Gamasus*. U *Hypopus* nie ma ani pyszczka, ani żołądka, a jeśli te zwierzęta gdzie osiadły, to tylko na to, ażeby sprzyjające dalszemu rozwijaniu się swojemu okoliczności znaleźć. Sąto więc gąsienice, lecz które, podobnie poczwarcom owadów, żadnego pożywienia z zewnątrz nie biorą. Tylko *Gamasus*, zwierzę doskonałe, może jeść i rosnąć. (*T. eod. nr. 67 z L'Institut 6 Févr. 1850*).

A. W.



— We Lwowie wyszła rozprawa: „O nomenklaturze chemicznej”, wyjątek z najnowszego dzieła Regnaulta, przetłumaczył I. P. M. Duniecki, i do nomenklatury chemicznej zastosował.

— Kajetan Jabłoński wydał *Krajorys polski*, ułożony przez I. H. arkusz jeden z mapą.

— *Rocznika archeologicznego* wyszedł z drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego zeszyt drugi; zawiera rozprawy o zburzonym ratuszu krakowskim, przez Karola Kremera, i o pomniku Pakosława z XIIIgo wieku, przez prof. Z. Helela, ze stosownemi rycinami.

— Drukarnia Czecha ogłosiła nadzwyczaj ważne dzieło pod względem rzeczy i stylu: *Paradoxa koronne*, poprzedzone pięknym objaśniającym wstępem Augusta Bielowskiego. Pióro znakomite, współczesne Jana Kochanowskiego.—Wkrótce rozpocznie druk trzyciomego dzieła p. n.: *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich* przez księdza biskupa Łętowskiego. Praca ta podjęta z wielką sumiennością badań, a ze źródeł mniej znanych, może być uważaną za celny przyczynek do dziejów przeszłości naszej.

— We Lwowie wkrótce rozpocznie się druk tomu IVgo *Wiadomości historyczno-krytycznych Ossolińskiego*, obejmujący żywoty: Hozyusza, Tomickiego, Niemojowskiego, Dantyszka i t. d. Ważne to dzieło uzupełni badania Ossolińskiego, które tyle ruciły światła na dzieje literatury naszej.

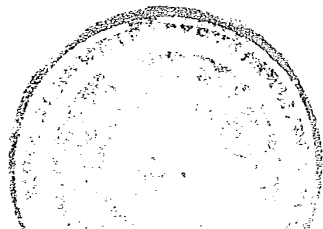
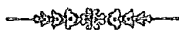
— Nakładem Zygmunta Schlettera w Wrocławiu, ukaże się wkrótce: Kurs wymowy i poezyi, dla użytku pici żeńskiej, w 2ch tomach.

(Ze Lwowa).

....Z przyjemnością donieść możemy, że duchowieństwo tutejsze, które od lat kilku żadnego prawie śladu literackiej czynności nie wydało, teraz tém gorliwiej do powetowania straty czasu zabiera się. Jeden z uczonych jego członków, ks. Barącz, autor wydanych niedawno *Pamiętek Zólkwi*, pracuje nad historią Ormian w dawniej Polsce, do której znaczne zgromadził materiały. Inni pracownicy duchowni zamyślają wydawać czasopismo kościelne, moralno-archeologicznej treści, zawierające rozprawy teologiczne, moralne, opisy świątyń Pańskich i znajdujących się w nich pomników starożytnych, dokumenta i daty errekyjne, i tym podobne nauczające wiadomości — Świeckie dziennikarstwo tutejsze krzewi się coraz bujniej. Po zjawieniu się z Nowym Rokiem *Dziennika literackiego*, w którego twardém piórze i ciężkiej treści niełatwo zasmakować, okazały się dwa nowe pisma. Pierwszem jest ogłoszony przed trzema miesiącami *Telegraf*, pisemko humorystyczne, wychodzące w dwóch półarkuszkach na tydzień, redagowane przez p. Goczalkowskiego, męża literatki tutejszej pani Julii Goczalkowskiej, redaktorki drugiego pisma nowego, pod nazwą *Wianki*, treści moralno-belletrystycznej, z dodatkiem opisu i modelów mód najnowszych, wydawanego co dwa tygodnie w połączeniu z pisemkiem dla dzieci, pod napisem *Bławatek*. Obadwa nowe pisma, *Telegraf* i *Wianki*, są bardzo dobrze u publiczności widziane. Osobliwie *Telegraf*, odpowiadający swoją lekkością, od wszelkiej pedanteryi i naukowości wolną, tylko bawić pragnącą treścią powszechnemu usposobieniu tutejszych klas czytających, w coraz większą wzmaga się wziętość. Otrząśnięto się już z przesądu, jakoby najświatlejsi ludzie nie mogli czasem upodobać sobie w roli rozśmieszania niewinnym sposobem żadnych rozśmieszenia serc ludzkich, zwłaszcza jeżeli z tém szlachetną dążnością moralnej ich poprawy w parze idzie. Z prawdziwą tedy radością, jako niepoślednie znamię postępu zastarzałych wyobrażeń, postrzegamy, iż pierwsze miejsce w szeregu współpracowników naszego humorystycznego pisemka zajmuje jeden z najuczestniejszych mężów stolicy naszej, biograf Piotra Skargi, obecny kurator jedynego w swoim rodzaju instytutu naukowego zakładu Ossolińskich, hr. Maurycy Dzieduszycki. Dowcipne jego trawestye sonetów Mickiewicza, satyryczne monografie Bzików i Bzikowców, szczerze wszystkich rozweseliły. Przykład Śniadeckich jako współpracowników wileńskiego niegdyś *Brukowca*, może zasłonić go przeciw wszelkim uwagom pedanteryi.

Z pojedynczych publikacyj słyszymy tylko o zamyślaném wydaniu wszystkich pism ś. p. Dominika Magnuszewskiego. Oprócz dzieł znanych, ma wydanie to objąć wszystkie mniej znane artykuły wierszem i prozą, rozrzucone po różnych czasopismach, tudzież mnogie utwory, częścią zupełnie ukończone, częścią tylko w fragmentach przechowane, znajdujące się w obfitym zbiorze rękopismów, pozostałych po tym nieodżałowanej pamięci poecie narodowym. Podobnegoż wreszcie na świat wydania oczekują jeszcze pisma ś. p. Józefa hr. Borkowskiego, Stanisława Starzyńskiego, Szymańskiego; owszem samego założyciela zakładu, nieśmiertelnego J. M. Ossolińskiego.

Z.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Kwiecień, 1852.

Kwiecień 1852.

Dostrzeżenia w Obserw

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom

czyli w łuku 18°41'25,45 na

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy			
		6	10	4	10	6	10	4	10
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano.	god. wiecz.	god. wiecz.
1		744.45	745.48	744.91	746.36	+ 2 ^o .8	+ 11 ^o .5	+ 17 ^o .6	+ 11 ^o .2
2		749.78	752.08	753.47	755.12	+ 3.5	+ 4.2	+ 5.0	+ 3.7
3		755.63	756.19	756.35	757.67	+ 2.8	+ 4.4	+ 6.9	+ 4.2
4	☉	759.43	760.22	759.58	760.74	+ 1.9	+ 8.2	+ 12.4	+ 5.4
5		760.62	760.86	758.87	759.11	+ 1.3	+ 7.5	+ 13.3	+ 7.1
6		758.46	758.47	755.73	754.36	+ 3.6	+ 9.7	+ 15.3	+ 7.3
7		752.41	751.70	749.45	748.46	+ 4.3	+ 12.1	+ 17.4	+ 10.6
8		746.37	746.56	745.32	744.62	+ 8.1	+ 11.9	+ 11.5	+ 6.5
9		747.17	748.70	750.03	752.15	- 0.7	+ 1.1	+ 3.4	- 1.9
10		752.15	752.30	750.11	751.02	- 2.6	+ 1.0	+ 4.7	+ 1.8
11	☾	751.59	752.09	752.06	752.41	- 1.2	+ 0.7	+ 4.2	+ 1.9
12		751.57	753.77	755.23	757.15	+ 2.2	+ 2.4	+ 4.2	- 1.3
13		757.67	756.69	752.87	751.56	- 1.8	+ 2.3	+ 5.6	+ 4.6
14		755.93	756.81	756.08	754.23	- 1.9	- 1.0	+ 2.4	- 0.7
15		751.55	750.13	747.30	748.95	- 2.0	- 0.9	- 1.2	- 4.3
16		750.13	750.08	749.33	749.42	- 6.4	- 3.3	- 1.3	- 3.9
17		748.44	748.85	747.75	747.68	- 5.5	- 1.9	- 1.2	- 5.3
18		746.45	746.67	746.21	747.09	- 4.0	+ 2.0	+ 1.7	- 1.5
19	☉	747.47	747.85	747.68	748.80	- 2.1	+ 2.9	+ 4.7	- 0.4
20		750.33	751.35	752.58	753.82	- 0.3	+ 3.3	+ 2.7	+ 0.8
21		755.30	756.22	755.98	757.20	+ 0.2	+ 1.9	+ 4.7	+ 0.8
22		757.57	757.62	756.90	757.01	- 0.9	+ 3.6	+ 5.8	+ 1.4
23		756.36	755.60	752.45	750.46	- 0.0	+ 3.0	+ 6.6	+ 3.8
24		745.97	745.74	746.24	746.79	+ 0.2	+ 1.3	+ 1.7	+ 2.7
25		748.52	749.42	749.86	750.60	+ 0.6	+ 4.4	+ 8.3	+ 2.1
26		749.70	749.30	748.06	748.37	+ 0.1	+ 5.6	+ 9.8	+ 6.0
27	☾	751.05	752.13	752.30	753.28	- 0.1	+ 3.1	+ 6.6	+ 1.9
28		754.03	754.46	754.17	754.45	+ 1.7	+ 6.1	+ 6.5	+ 2.3
29		754.39	754.24	752.41	751.86	+ 0.9	+ 5.6	+ 9.6	+ 2.4
30		750.05	748.82	746.24	743.55	+ 1.3	+ 9.2	+ 12.3	+ 7.1
Śre.		752.038	752.347	751.517	751.810	+ 0 ^o .20	+ 4 ^o .06	+ 6 ^o .70	+ 2 ^o .54

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. 52°13'5'', długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7
względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				K I E R U N E K W I A T R U				Wys w sp w n
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szcz
pogodny	pogodny	chm. podz.	lek. poch. d.	Pd.	Pd	PdZ.	Pd.	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	Pn.	Pn.	
pochmurny	pochmurny	pochmurny	napót pog.	Pn.	Pn.	Pn.	PnW.	
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	W.	PnW.	
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	W.	
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	PdW.	Pd.	
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Z.	Z.	
napót. pog.	lek. pochm.	pogodny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.	
poch. śnieg	pochmurny	poch. śnieg	pr. pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	PoZ.	
pogodny	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	
napót pog.	pr. pogodny	lek. pochm.	pochmurny	Pn.	PnW.	Pn.	Pn.	
pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PnZ.	Pn.	PnW.	PnW.	
pogodny	pogodny	pochmurny	poch. deszc.	PnZ.	Z.	Z.	PnZ.	
pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	PnW.	Pn.	
pochmurny	śnieg	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.	
pogodny	napót pog.	lek. pochm.	śnieg pruszy	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.	
pogodny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	Pn.	PnZ.	PdZ.	PdZ.	
pr. pogod.	lek. pochm.	poch. śnieg	pr. pochm.	PdZ.	Pd.	Z.	PnW.	
pogodny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	W.	
pochmurny	śnieg	poch. śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	Pn.	
pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.	
pogodny	chm. podz.	pr. pochm.	pr. pogodny	PnW.	PnW.	Pn.	Pn.	
pogodny	pr. pogodny	pr. pochm.	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.	
śnieg	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	
pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	PnW.	
pogodny	pr. pogodny	pr. pochm.	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Pn.	
pogodny	pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.	
pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.	
pogodny	pogodny	lek. pochm.	smugi	PnZ.	PnZ.	PnW.	PdW.	
pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.	

	mm.	c.	f.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.928	27	9.326
Najwyżej dochodził — d. 5 o g. 10 r.	760.86	28	1.287
Najniżej — — d. 30 o g. 10 w.	743.55	27	5.614
Średnia zmiana dzienna barometru	3.296		1.461
Największa zmiana dzienna barometru d. 23—24 o g. 6 r.	10.39		4.606
Średnia wysokość barometru jest wyższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	0.695		0.308
Średnia temperatura Kwietnia wynosi: + 3 ^o .375 C.	751.233	27	9.018
i ta jest niższą o od stanu normalnego z 26 lat po- przedzających	+ 4.252 „		+ 2 ^o .700 R. 3.402 „
Największe ciepło dochodziło d. 1 o godz. 4 wiecz.	+ 7.627 „		+ 6.102 „
Największe zimno dochodziło d. 16 o godz. 6 rano.	+ 17.6 „		+ 14.08 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	— 6.4 „		— 5.12 „
Największa zmiana dzienna tempera- tury d. 1—2 o g. 4 w.	2.242 „		1.7935 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: +14^o.7 R. d. 1 po połud.

Minimum: — 5^o.7 „ d. 16 rano.

Ilość wody spadłej z śniegu wynosi 13,7 milim. czyli 6,07 lin. par., ilość ta wody jest mniejszą o 10 70 lin. par. od ilości jaka zwykle u nas w kwietniu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 73,6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4.86 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, wilgotność ta jest prawie równą normalnej.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 8, pochmurnych 13.

Dni deszczu 5 (d. 1, 13, 20, 24, 30).

— śniegu 8 (d. 9, 15, 16, 17, 18, 20, 21, 24).

— gradu 1 (d. 21).

Wichrów było 1 (PnW.).

Wiatrów mocnych 8 (4 Pn., 3 PnW., 1 PnZ.).

Wiatr panujący: Północny.

Kwiecień r. b. był pogodny, suchy i bardzo zimny, średnia jego temperatura jest o 3,4 stop. R. niższa od normalnej. Wyjąwszy pięć dni 1, 4, 5, 6, 7 które były ciepłe, inne dni osobliwie w porankach od d. 9 były zimne. Najcieplejsze dni były: 1, 4, 5, 6, 7, 30; najzimniejsze d. 14, 15, 16, 17, 18. Przez trzy dni 15, 16, 17, termometr utrzymywał się ciągle niżżej zera, co się o tej porze w 26 upłynionych latach u nas nie zdarzyło; wiatry północne i północno-wschodnie były przyczyną tak zimnego stanu powietrza. Deszcze rzadko i w małej ilości padły, natomiast śniegi były częste i obfite, tak iż ilość wody z śniegu jest o 2.8 lin. par. większa od tej jaka w tym miesiącu spada.

D. 6, 26, 27 widziano plamy na słońcu.

D. 23 o godz. 9 wiecz. powstał wichor PnW.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-R



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82